

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

Rok XI—1890.

776



Biblioteka Jagiellońska



1002114091

WARSZAWA.

W Drukarni Noskowskiego,

# Spis rzeczy zawartych w tomie XI<sup>lym</sup> Wieczorów Rodzinnych.

## WIEBSZE.

Nowy rok przez *T. P.* str. 2. (z drzew.)  
Zuchwalstwo ukarane, str. 12  
Pamięci Maryi Julii Zaleskiej p. *Z.* str. 21.  
Bajka p. *N. S.* str. 34.  
Do siostrzyczki str. 50.  
Z krzyżowych wojen, przez *Gabryelę Jasienską*, str. 66 (z drzew.)  
Do matki, p. *Z. U.*, str. 82.  
Wiosna w duszy, p. *Maryę Kondracką*, str. 102.  
Na święta Zmartwychwstania, p. *M. . a.* str. 105 (z drzew.)  
Rada p. *Annę D.*, str. 118.  
Na mogile p. *Natalię Sokołowską*, str. 147.  
Oj wesolał ja dziewczyna! p. *H. B.*, str. 153 (z drzew.)  
Wiosenna zieloność, p. *W Łaszczyńskiego*, str. 164.  
Na wsi. str. (z drzew.)  
Zgodna rodzina, p. *H. B.*, str. 195 (z drzew.)  
Sobótka, p. *Łaszczyńskiego*, str. 202.  
Rozmowa z ptaszkiem p. *H. B.* str. 218.  
Anielska robota p. *N. Sokołowską*, str. 230.  
W polu, p. *T. P.*, str. 252 (z drzew.)  
Żniwa, str. 273.  
Piosnka prządniczki p. *H. Bojarską*, str. 282.  
Grajek p. *H. B.*, str. 289.  
Łabędzi śpiew, p. *W. Łaszczyńskiego*, str. 299.  
Jesień, p. *T. P.*, str. 308 (z drzew.)  
Bocian-ojciec, str. 318.  
Kwiatek p. *Z. Morawską*. str. 334.  
U przewozu, p. *H. B.* str. 350 (z drzew.)  
Bryła marmuru, p. *T. N.*, str. 367.  
Pagórek, p. *Maryę Leonę*, str. 375.  
W imienniku Marysi Ch., p. *D. H.*, str. 379.  
Dzban rozbity, p. *Swerynę Duchlińską*, str. 387.  
Modlitwa, p. *St. Jachowicza*, str. 394.  
Kolęda p. *T. P.* str. 401.

## POWIEŚCI I OPOWIADANIA, DROBNE ARTYKUŁY.

Pod wpływem błogosławieństwa, p. *Michalinę Zielińską*, str. 2, 9, 17, 26, 34, 42, 50, 59, 66, 73, 82, 90, 100, 106, 115, 122, 129, 138, 151, 154, 166, 170, 180, 190, 193, 202, 210.  
Ofiara nauki str. 260 (z drzew.)  
Opowiadanie Islandczyka p. *Sobola Irkuckiego*, str. 6, 12.  
Upiór, p. *I. Ł.* str. 14.  
Wieczorek w Zalesiu, p. *Zbigniewę Zmorską*, str. 62, 70, 78.  
Ryś, urywek z podróży, str. 28 (z drzew.)  
Królowa Ryksa, p. *Terese-Jadwigę*, str. 75.  
Zmarnowane bohaterstwo, p. *Terese-Jadwigę*, str. 140.  
Braterska pomoc, p. *Annę Załęską*, str. 178, 188 (z drzew.)  
Ellam, p. *V. Cairo*, str. 236.  
Nauczycielka, p. *Terese-Jadwigę*, str. 250, 261.  
Gość niespodziewany, p. *Z. Morawską*, str. 283.  
Z podań o Kijowie, p. *Terese-Jadwigę*, str. 290.  
W złotej klatce p. *V. Cairo*, str. 297, 305, 316, 361.  
W pałacu Wieszczyki, p. *H. T.* str. 361.  
Zbudzone sumienie, p. *M. Zielińską*, str. 378.  
Sztuczka z kart, str. 9.  
Pytania, str. 32, 120—224.

Most przez kanał La Manche, str. 45 (z drzew.)  
Odpowiedzi na pytania, str. 72—192—272.  
Ślizgawka, str. 85.  
Skały dziwnych kształtów, str. 101 (z drzew.)  
Wielkanoc, str. 105.  
Dom o 25-ciu piętach, str. 111 (z drzew.)  
Lwy uczone, str. 149 (z drzew.)  
Konkursa, str. 49—163—184—201—390.  
Uczone króliki, str. 215 (z drzew.)  
Siostry miłosierdzia, str. 219. (z drzew.)  
Artysta bez rąk, str. 229 (z drzew.)  
Gry towarzyskie, str. 232.  
Sprawozdanie z konkursu, str. 149—147—235—337—348.  
Łódź papierowa, str. 262 (z drzew.)  
Zwierzyniec warszawski, str. 351  
Zwycięstwo Pawełka, p. *H. T.* str. 354.  
Święty, nauczyciel młodzieży, str. 357.  
Na zamku wieszczyki, p. *R. T.* str. 364.  
Zbudzone sumienie, str. 378, 388.  
W wigilja, p. *V. Cairo*, str. 394, 407, 410.  
Ze wspomnień młodego Chińczyka, str. 399, 415.

## WIADOMOŚCI Z NAUKI I PRZYRODY.

Z wyspy Atlanty, wyczytane przez drobnowidz i przepisane przez *Zofię Urbanowską*, str. 97, 107, 131, 145, 156, 161, 228, 233, 257, 265, 274, 313, 323, 338, 345, 361, 369, 396, 402, 411, (z drzew.) 402, 411  
Kwiatek obrońca, p. *Z. Urbanowską*, str. 3 (z drzew.)  
Obrazki z literatury, p. *Z. Morawską*, ttr. 4—45—170—218—254.  
Doświadczenia naukowe, str. 17, 49, 73, 129, 153, 169; 193, 241, 273, 337, 361.  
Korkowe drzewo, str. 20 (z drzew.)  
Widome a niewidzialne, p. *Z. Urbanowską*, str. 25.  
Zebra, p. *Z. Urbanowską*, str. 33 (z drzew.)  
Prześladowca pszczoł, p. *Z. B.*, str. 44 (z drzew.)  
Ośmiornica, str. 60 (z drzew.)  
Gniazda pajęczce, str. 65 (z drzew.)  
Szczur Faraona, p. *Z. Urbanowską*, str. 81 (z drzew.)  
Palma wachlarzowa, str. 107 (z drzew.)  
Chrabąszcze, p. *Z. Urbanowską*, str. 124 (z drzew.)  
Kuna, p. *M. Weryho*, str. 142 (z drzew.)  
Szarotka, p. *Z. Urbanowską*, str. 185 (z drzew.)  
Kryształy gradowe, str. 249 (z drzew.)  
Nasi goście, p. *T. P.*, str. 254.  
Słynny rozbójnik, p. *Z. Urbanowską*, str. 281.  
Połów bursztynu, p. *H. Wernica*, str. 292.  
Zjawiska powietrzne, str. 297 (z drzew.)  
Złudzenia optyczne, str. 305.  
Studnie Artezyjskie, p. *M.* str. 321 (z drzew.)  
Proch bez dymu, p. *Młodego Przyjaciela dzieci*, str. 322.  
Kakao, p. *Henryka Wernica*, str. 334.  
Wzgórek Etny, str. 356. (z drzew.)  
Maskonur, str. 378 (z drzew.)  
Rogadanka naukow p. *Młodego Przyjaciela* str. 386.  
Ośmiornica, p. *Młodego Przyjaciela* str. 405 (z drzew.)  
Maskonur, str. 409 (z drzew.)

Myszy tańczują, gdy kota nie czują, p. *Zabokrzewską*, str. 29.  
 Niebieska pończoszka, p. *B. Porawską*, str. 196, 205, 212.  
 Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, p. *H. Chr.*, str. 241.

## PODRÓŻE, OPISY KRAJÓW I MIEJSCOWOŚCI.

Poszukiwanie dzikich zwierząt, str. 14, 22, 30, 39, 46, 55, 86/  
 95, 102, 111, 118, 126, 134, 142, 174, 183.  
 W Indyach, str. 199, 207, 215, 221, 230, 239, 246, 254, 263,  
 271, 278, 287, 292, 302, 310, 319, 327, 334, 342, 351, 358,  
 367, 375 (z drzew.)  
 Nowy-rok u czarnych, str. 4 (z drzew.)  
 Labirynty, str. 28 (z drzew.)  
 Wan-li-Czang-Czing Mur Chiński, str. 38. (z drzew.)  
 Wata-morgana, str. 53 (z drzew.)  
 Uzbrojenie dzikich, str. 77 (z drzew.)  
 rywek z podróży, str. 91 (z drzew.)  
 starożytny taniec indyjski, str. 141 (z drzew.)  
 Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa, str. 134 (z drzew.)  
 Ciekawa królowa, str. 51 (z drzew.)  
 Syon, str. 137 (z drzew.)  
 Dawny pomnik w Meksyku, str. 177 (z drzew.)  
 Przedstawienia w Oberammergau p. *H. T.*, str. 186.  
 Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa, str. 211  
 (z drzew.)  
 Wyspa Helgoland, str. 219 (z drzew.)  
 Szmeks, str. 238 (z drzew.)  
 Kobiety perskie, str. 270 (z drzew.)  
 Rygi-Kulm, str. 274.  
 Gibraltar, str. 308, (z drzew.)  
 Powódź, p. *H. T.*, str. 108.  
 Alhambra, p. *H. T.*, str. 329 (z drzew.)  
 Karły afrykańskie, p. *A. M.*, str. 338 (z drzew.)  
 Bazylea, p. *Terese Jadwigę*, str. 342 (z drzew.)  
 Obrazki z ziemi świętej, 365, 373, 388.

## ŻYCIORYSY I WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Apostoł trędowatych, str. 11.  
 Władysław Taczanowski, str. 41 (z drzew.)  
 Major Serpa Pinto, str. 54 (z drzew.)  
 Alfons XIII, p. *Z. Urbanowską*, str. 57, 68 (z drzew.)  
 Katarzyna z Lipińskich Lewocka, str. 89 (z drzew.)  
 Anastazyja Dzieduszycka, str. 209 (z drzew.)  
 Oskar Kolberg, str. 217 (z drzew.)  
 Jan Kanty Gregorowicz, str. 316 (z drzew.)  
 Ś-ty Stanisław Kostka, str. 382.  
 Antoni Waga (z drzew.) str. 394.  
 Dziesięcioletnia królowa (z drzew.) str. 404, 410.

## KORESPONDENCYE.

Listy *Józia* z Warszawy, str. 35—113—121.  
 „ *Goląbki pocztowej*, str. 93—164—203—286—350—355—374  
 —379,  
 „ *Z Gorycyi Stefanka*, str. 43—79—159—173.  
 „ *Z Wiednia Jaskółki z nad Dunaju*, str. 166—187.  
 „ *Ze Skodsbęrga Sobola Irkuckiego*, str. 244 (z drzew.)  
 „ *Z Wenecyi Sarenki z nad Sanu*, str. 290—299 (z drzew.)  
 „ *Z Bretanii, Jaskółki z nad Sekwany* str. 395.

Wieża Eiffel, str. 8.  
 Skowronki i wieża Eiffel, str. 16.  
 Gwiazdka dla ubogich dzieci u pani Carnot. Lalka fonogr.  
 str. 24.  
 Róża i jej woń, str. 48.  
 Stanley o trucznach u dzikich.  
 Lary i penaty, str. 64.  
 Mozaika z piór, str. 88.  
 Inteligencya psów. Kolej żelazna podwodna, str. 104.  
 Żółw w zaprzęgu, str. 128.  
 Oswojony pułacz, str. 144.  
 Naród karłów, str. 175.  
 Lalki mówiące, str. 240.  
 O żniwach, str. 248.  
 Woda słodka w zatoce Perskiej, str. 269.  
 Pałac z węgla, str. 336.  
 Foki, str. 336.

## DODATEK DLA MAŁYCH DZIECI.

## WIERSZYKI.

Ślizgawka, p. *Z. Morawską*, str. 2.  
 Dwa duchy, str. 5.  
 Gdzie ptaszkom najlepiej, str. 9.  
 Jałmużna Teosi, p. *Z. Morawską*, str. 13.  
 Przy jedzeniu p. *M. Z.*, str. 17.  
 Powiastka o Stasiu, p. *Gabryelę Jasięską*, str. 22.  
 Rozsądna Teci p. *Helenę Bojarską*, str. 25.  
 W kożuchu i bez kożucha, str. 29 (z drzew.)  
 Jaś i koń, p. *T. N.*, str. 33.  
 Rozstanie p. *R. Kamięską*, str. 38.  
 Dwaj ślepcy, p. *Ewę Maryę* str. 42.  
 Pustelnik i niedźwiedź, p. *T. N.*, str. 46.  
 Wiosna, p. *R. K.*, str. 54.  
 Czytanie, str. 65.  
 W drodze do szkoły, str. 70 (z drzew.)  
 Roztrzepanie, p. *H. Bojarską*, str. 76.  
 Porządny kotek, str. 79.  
 Przygody złośliwego Antosia, p. *G. Jasięską*, str. 83.  
 Dobry Ignasz, str. 88.  
 Mała nauczycielka, str. 92.  
 Wisienki, p. *H. B.*, str. .  
 Obietnica Cesia, p. *Maryę Leonę*, str. 99.  
 Różia i Różyczka, str. 104.  
 Zbyt mądre kurczę, p. *T. N.*, str. 108.  
 Obietnica, p. *Ewę Maryę*, str. 109,  
 Dwie jagódki, p. *H. B.*, str. 111.  
 Wędrowiec i skowronek, str. 116.  
 Dozwólcie dzieciętkom przyjść do mnie, p. *T. P.*, str. 119 (z  
 Ziunia, p. *Morawską*, str. 128.  
 Zazdrosny, str. 131.  
 Komar, p. *T. N.*, 135.  
 Bawią się dzieciętki, p. *H. B.*, str. 139.  
 Dzieciętki przy śniadaniu, p. *H. B.*, str. 144.  
 Chłopczyk i wiewiórka, str. 148.  
 Myszka, p. *H. B.*, str. 159.  
 Ptaki wędrownie, str. 163.  
 Rozmowa z Trezorem, str. 167  
 Pies i małpa, p. *H. B.*, str. 171.  
 Modlitwa wieczorna (z drzew.) str.  
 Niezgoda w rodzinie p. *T. N.* str. 198.  
 Bocian i wrona p. *T. N.* str. 202.  
 Anioł p. *O. M.* (z drzew.) p. 205.  
 Kasztany p. *H. B.* str. 210.

## OPOWIADANIA NAUCZAJĄCE.

- Opowiadanie motylka, *Wiochnę z pod Lublina*, str. 132, 135, 140, 144, 148, 156, 159.  
 Głos sumienia, str. 1.  
 Kret żarłok, p. *M. Weryho*, str. 5.  
 Uręczystość w Wieliczce, p. *Cichą Wodę*, str. 10.  
 Wróbelek, p. *M. Weryho*, str. 17.  
 Zuchwała osa, str. 33.  
 Mała szwaczka, str. 33.  
 Zajączki, p. *M. Weryho*, str. 42.  
 W Wielką Sobotę, str. 53 (z drzew.)  
 Króliki, p. *M. Weryho*, str. 57.  
 Kocia muzyka, str. 61.  
 Złapana zięba, p. *M. Weryho*, str. 87 (z drzew.)  
 Prawdziwa odwaga, p. *A. Z.*, str. 87.  
 Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy, p. *Ewę Maryę*, str. 88, 92.  
 Kraby czyli pająki morskie, str. 95, 99, 103 (z drzew.)  
 Nad morzem, p. *Cairo*, str. 107.  
 Odmiana Jasia, str. 111.  
 Potwory, p. *M. Weryho*, str. 116.  
 Zaśmienie słońca, p. *Wiochnę z pod Lublina*, str. 120, 125.  
 Połów Śledzi, p. *H. Wernica*, str. 128.  
 Krowa, p. *M. Weryho*, str. 132.  
 Jaką niespodziankę miała Jania, p. *M. Weryho*, str. 135.  
 Przyjaciele Jani, p. *M. Weryho*, str. 140.  
 Zagadka na śniadanie, str. 145.  
 Dziwne deszcze, p. *H. B.*, str. 155.  
 Bobry, p. *M. Weryho*, str. 159 (z drzew.)  
 Łowienie rybek na wędkę, str. 175 (z drzew.)  
 Łosrsie (z drzew.) str. 192.  
 Psy górskie (z drzew.) str. 201.  
 Nieudana ślizgawka p. *A. M.* str. 211.
- POWIASTKI KOMEDYJKI I DROBNE ARTYKULIKI.**
- (Gra na skrzypcach, p. *Pegaza skrzydlatego*, str. 2.  
 Zabawa w koniki, p. *Bron. Porawską*, str. 6.  
 Nieposłuszne panny Myszowińskie, str. 9 (z drzew.)  
 Przygoda Jaśka, str. 13 (z drzew.)  
 Powrót Amika, str. 13.  
 W karnawale, p. *L.*, str. 14, 18.  
 Zielone panienki, str. 17.  
 Suchy chleb, str. 21.  
 Przygody Wicusia, p. *Annę Załęską*, str. 22, 26, 30, 34, 38, 42, 46, 51, 55.  
 Poczciwy Antoś, str. 25.  
 Dobry Henryś, p. *Niezapominajkę z nad Warty*, str. 29.  
 Wdzięczne gąski, str. 37.  
 Przygoda Stasia, str. 41.  
 Za radą mateczki, p. *Cairo*, str. 45.  
 Prima-aprilis, p. *Pegaza skrzydlatego*, str. 49.  
 Niespodzianka dla mamy. Obrazek sceniczny, str. 58.  
 Pamiętnik ołówka, str. 61, 66, 70, 76.  
 Zegar z kukułką, p. *A. Z.* str. 65.  
 Podróż młodych Szczurowskich, str. 69, 75, 79, 83.  
 Przyjaciółka mamy, p. *M. Z.*, str. 80.  
 Przygoda w podróży, p. *Maryę z Grabowa*, str. 80, 84.  
 Sierotka, str. 91.  
 Szczególne rośliny, p. *Z. Marawską*, str. 96.  
 Naśladowanie, str. 97.  
 Wyścigi, p. *Pegaza skrzydlatego*, str. 99.  
 Zawstydzona Zosia, p. *A. Z.*, str. 103.  
 Noc Świętojańska, p. *Cairo*, str. 104, 108, 112, 117. X  
 Pierwszy siostrzeniec, str. 115  
 Przygoda nieposłusznej Wańdzi, p. *Niezapominajkę z nad Warty* str. 120.  
 Bohater, str. 123.  
 Zawstydzona Zosia, str. 217.  
 Lekarstwo, str. 129.  
 Dobry przykład, p. *Cairo*, str. 131.  
 Dobra siostrzyczka, str. 143.  
 Dobre serduszka Lucia i Zosi, str. 144.  
 Przygoda Państwa Psińskich, str. 147, 151.  
 Kłamstwo, komedyjka p. *Pegaza Skrzydlatego*, str. 153.  
 Najmilszy podarek, p. *Cairo*, str. 159.  
 Litościwy chłopczyk, p. *Wróżbiarkę szczęścia* str. 163.  
 Naparstek Janinki, p. *Annę Załęską*, str. 164, 168.  
 Założmy się, p. *H. Chr.*, str. 167.  
 Bajeczka, p. *Maryę Brühlową*, str. 171.  
 Naucz się czekać, p. *H. Wernica*, str. 172.  
 Łakome szczury, p. *Bronisławę Porawską*, str. 172, 175.  
 Wieniec; przedstawienie w przeddzień imieniu ojca, str. 176.  
 Konkurs kaligrafii, str. 19.  
 Sprawozdanie z konkursu kaligrafii, str. 50.  
 Gry we wróbla i w wilka, str. 124.  
 Szczególna jazda, str. 111.  
 Żaba papierowa, str. 155 (z drzew.)  
 Zagadnienie, str. 157.  
 Papierowy ptaszek, str. 163 (z drzew.)  
 Odpowiedź na pytanie, w N-rze 39 str. 173  
 Grzeczny Julek p. *H. W.* str. 184.  
 Granaty p. *A. M.* str. 184.  
 Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. *A. Do.* str. 184, 189, 193, 199, 203, 206.  
 Więzień (z drzew.) str. 137.  
 Legendy o ptakach str. 138.  
 Kasztany p. *W. L.* str. 192.  
 Ciocia Scholasia p. *B. P.* str. 198, 202, 205.  
 Wyęcicielka mamy (z drzew.) *V. Cairo* str. 209.  
 Pawełek p. *K. W.* str. 210.

100.525.117



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.



# NOWY-ROK.

Oto jestem — rok nowy, młodziutki —

W koszu zjeżdżam, kwiatów pęk przynoszę,  
Nie znam co są zgrzyoty i smutki,  
Same chciałbym dać tylko rozkosze.

Do rozdania ja skarby mam duże:

Skromnych zalet fiołki, lilje cnoty,  
I szlachetnych uczuć piękne róże...

Z tych się złoży szczęścia wieniec złoty

Co klejnotem jest i skarbem ducha!

Bo szczęśliwym ten, kto Bogu miły,  
Kto poświęca się, kocha i słucha  
W szczyrych modłach czerpiąc na to siły.

Kto potrzebnym chętnie pomoc świadczy,

Kogo prośbą wzruszają biedacy,  
Kto na nudy ma środek zaradczy  
W użytecznej i rozumnej pracy,

Ten szczęśliwy! Takiego wam życzę

Dzisiaj szczęścia, nowy rok młodziutki!

T. P.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTAWA.

### I.

„Środkiem Węgier, po lewej stronie wielkiej rzeki Dunaju, ciągnie się rozległa płaszczyna, zwana *Pusztą* albo Niższemi Węgrami. Wysoka trawa pokrywa na wiosnę tę niezmierną przestrzeń, na której nie dopatrzeć ani najmniejszego pagórka, ani drzewa; gdzie sięgnąć okiem step szeroki jak morze, styka się z niebem na krańcach widnokregu. Nie ma tu nawet wyraźnego śladu drogi, a raczej jest droga na pół mili szeroka, wyciśnięta kołami pośród trawy; gdyż, dla miękkiego gruntu, każdy podróżny toruje sobie nową koleję. Latem panują tu wielkie skwary; trawa nieskoszona więdnie i usycha, a spalona ziemia rozpada się na głębokie szpary, które zgruntować trudno.

Na tych stepach pasą się niezliczone stada bydła i koni pod strażą *gulyasów* wolarzy, i *czykosów* koni pasterzy. Miejscami znów, step zamienia się w błotniste trzęsawisko, popręciny jeziorami, w których leżą się chmury dzikich kaczek i wodnego ptactwa.

Stepy, puszcza, są dotąd siedzibą prawdziwych potomków tej drużyny, która przybyła tu niegdyś z Arpadem; od dziesięciu wieków nie widzimy w niej odmiany. Tacy oni są dzicy jakimi byli ich ojcowie, z sumiastym wąsem i długimi w palonych butów ostrogami. Madziar pozostał żołnierzem na ziemi, którą zdobył. Konie jego pasą się w pobliżu kiedy spoczywa po dzienniej pracy, jak niegdyś spoczywał po bitwie. Kształt wsi wskazuje pierwotnego ducha mieszkańców. Czuć tam lud koczowniczy. Jest tam długa i szeroka ulica, po której bokach wznoszą się domy, przedzielone równą przestrzenią, niby podwójny szereg namiotów co znikną na najbliższe hasło, a jutro zjawią się gdzieindziej. W posrodku wsi jest kościół, tam właśnie gdzie w pierwszych czasach wznosił się namiot wodza. Niekiedy, podwójny rząd akacji zieleni się na tej szerokiej drodze, na której sto koni może pomieścić się w jednym szeregu. Te wsie dzisiejsze, były niegdyś stanowiskami wojennymi, najeźdźczego wojska. Dla tego to przedzielone są znaczną przestrzenią i nieraz

obejmują liczną ludność. Oprócz tego że napady tureckie nie dozwalały mieszkańcom rozpraszać się po kraju, zdaje się że lud wierny tradycyi, nie chce opuszczać pierwotnych siedzib pradziadowskich, ani zmieniać ich kształtu. Nawet Debreczyn, główne miasto madziarskie, które liczy do 80,000 mieszkańców, składa się po większej części z małych domków, zbudowanych jakby namioty i pobielonych w około”.

Wśród takich to miast, wsi i puszt, rozrzucone gęsto pomiędzy niemi, istnieją jeszcze innego rodzaju punkta zborne, bez których Madziar nie umiałby się obejść, i których nie zastąpiłby mu nie mogło, są to tak zwane czardy, gospody. Jeżeli bogata szlachta węgierska, przy całej odrębności swych cech właściwych, żyje jednak mniej więcej życiem zbliżonem do życia ogółu ludzi bogatych w Europie, jeżeli lud w ogóle ma w najbliższych odnośnie głównych miastach komitatowych swoje jarmarki, które łączą go z resztą świata, zastępując poniekąd książkę, szkołę i czasopisma, to mieszkańcy puszt odleglejszych nie mają nic z tego wszystkiego, prócz najbliższej *czardy* zastępującej wszystko.

W jednej z takich to właśnie *czard* stepowych, panował pewnej soboty roku 1832, o gorącym letnim poranku okrutny acz zwykły tygodniowy gwar i zamęt.

Czarda rzucona w stepie niby szpilka w stóg siana, otoczona wieńcem topoli, była obszerna, wygodna i czysta, jak wszystkie zresztą prawie chaty madziarów, którzy lubują się w czystości. Była to też w istocie chata tylko, przyjmująca zapłatę sumienną od przejeżdżnych, dla tego jedynie, że inaczej żadnym sposobem nie mogłaby gościnności koniecznej zadość uczynić. Cały tydzień pracowano tu gorliwie choć nie na zabój; gospodarz zwany Petőfi rzeźnik z rzemiosła przyrządzał mięsiwa, żona jego, jak zwykle zamężne madziarki z ludu, trudniła się drobnym handlem, sprzedając proso, chleb przez się wypiekany i wazywa z domowego ogródka, lub co najcześniejszy dowożone z różnych stron. Czeladka, dziewczęta i parobcy spełniali ohochoz rozkazy gospodarzów, a pomiędzy niemi uwijał się bezustannie mały chłopaczek Oleś (Szandor) około dziewięcioletni. Gości w tygodniu bywało bardzo mało, bo któż tam tak znów często przez step przejeżdża. W sobotę i w przeddzień każdego święta, pospolitym zwyczajem węgierskich wieśniaków, od wczesnego rana myto i szorowano wszystko, podłogi, okna, stoły, ławy, a nawet pobielano chatę. Tego ostatniego zadania dopełniał sam gospodarz, bo mu chodziło wielce o piękny wygląd domostwa zewnątrz, tak samo jak chodziło żonie jego o toż samo wewnątrz domu. Średniego wzrostu Madziar ten, mógł przedstawiać jeden z najdorodniejszych typów europejskich, zarówno pięknoscia rysów jak udatną postawą. Miał na sobie koszulę o szerokich rękawach z doskonałego płótna, bo bawełna uważa się tu za nędzę, i takież spodnie spuszczone szeroko na buty, a mocno w pasie obciśnięte. Pomimo że jeszcze wcale nie stary, przecież dla powagi zapewne miał włosy długie i jak u starców zaplecione z obu stron w warkocze, spuszczone na ramiona. Za rzemienny pas ściskający mu biodra miał założoną dużą chustkę czerwoną, i w tem starożytnem przybraui, machał pendzlem zamazysziacie i z niezmiernem zajęciem, mimo to nie wypuszczając z ust fajki ani na chwilę. Nareszcie skończył robotę, i wypalił fajkę jednocześnie.

— Uff!... — odetchnął z zadowoleniem, przyglądając się białemu jak śnieg domostwu, wytrząsnął fajkę, nałożył znówu, zapalił, i puszczał kłęb dymu potężny, potoczył okiem po okolicy okrążającej jego „dziedzinę”... step, step zielony naokół jak zajrzeć i nic więcej... nic prócz błękitnego nieba i złotego słońca, spijającego z traw stepowych resztki błyszczącej rosy porannej. Gospodarz wsparł się w boki:

— Ha! Janos! zaprzęgał do małego wozu, na *Bakony* jedziemy! — zakrzyknął. — Iluzka! héj! czy Janos nie potrzebny tobie do roboty koło domu? — i poprawiał kapciuch szyty w jaskrawe wzory u pasa, przygotowując się do drogi. Na pierwsze wołanie odpowiedział tylko kędys poza czardą lekki na miękkim gruncie odgłos kół. Wytaczanego do ze

gu wozu; na drugie Iluzka wybiegła żwawo z głębi domostwa z wielką *skutora*, fiaszą drewnianą, pełną wina w rękę, bez której wieśniak węgierski równie jak bez fajki nie rusza się w drogę, i kładąc mu ją do kieszeni, podawała jednocześnie szeroki kożuch.

— Janos może jechać panie, już my resztę zaraz dokonczymy — mówiła przytem. Kobieta młoda jeszcze, pełnych kształtów, z dwoma grubemi warkoczami splecionemi od skroni, złączonemi z tyłu i wyglądającymi z pod dużej jak welon białej chustki właściwej miejscowym meżatkom; mimo tygodniowego porządkowania była ubrana z pewnym wdziękiem właściwym węgierskiemu odzieniu. Ciemna krótkka a niezmiernie faldzista spódnica, przy lekkiej jaskrawej chusteczce, skrzyżowanej na piersiach i związanej na białej z szerokimi a krótkimi rękawami koszuli, przy bucikach na wysokich obcasach i przy niedużym fartuchu, musi zawsze zgrabnie wyglądać, jeżeli ta która ją nosi jest zgrabną, a taką jest każda Węgierka. Że na całym tem odzieniu znać było trochę śladów gwałtownej sobotniej roboty, to mu wcale nie ujmowało wdzięku. Za matką wybiegł z domu ośmioletni chłopaczek w płóciennem jak ojciec odzieniu, tylko włosy mocno wysmarowane sadłem krótko były przycięte, ostrogi pobrząkiwały u wysokich butów, noszonych nawet przez takich malców w pusztach, mnóstwo guzików świeciło mu u pasa, pod szyją i gdzie się tylko dały umieścić, a mały kapeluszek z szerokim brzegiem, błyszczał pękiem świecideł, wstążek i sztucznych kwiatów. Chłopak niósł w rękę oprócz własnego bicia, jeszcze i ojcowy toporek czyli *czekan* osadzony na kijku i podawał go ojcu, jak laskę, przy wyjściu z domu. Gospodarz zarzucił na się obszerny kożuch futrem na wierzch, jak zwykle w ciepłą porę, wziął toporek, a poważne rysy rozjaśnił mimowolnym uśmiechem spojrzawszy na chłopca:

— A to co!.. Szandor! chłopcze, ty masz kwiaty i wstążki u kapelusza jak dorosły parobczak, to ty może i dziewosłęba niedługo w swaty zechcesz posyłać?... — zawołał z udanym zdziwieniem. Mały pieścuch zdjął z głowy kapeluszek, popatrzył nań błyszczącymi radością oczyma, a potem go napowrót uważnie kładąc na głowę i poprawiając aby był z fantazją, ujął się drugą ręką w bok i rzekł z wielką powagą patrząc ojcu w oczy:

— Tak, matka pięknie przystroiła na jutro, ale dziewosłęba?... a... jeszcze nie w tym roku teraz... — matka dusiła się tłumiąc śmiech, ojciec pokręcał ogromnego sadłem w drut wysmarowanego węża:

— Czemuż nie w tym bieżącym roku? — zapytał seryo.

— A no jakże? — odparł Szandor wdychając — przecież nie mam jeszcze szamerowanego płaszczka z pętlcami... którażby mię dziewczyna chciała bez płaszczka?... I kiedy to jeszcze będzie... bo przecież na kosztowny płaszcz sam sobie muszę zarobić, a dotąd nie robić nie umiem... — ostatnie wyrazy maledc wymówił ze szczerem i ciężkiem smartwieniem i drapał się przytem po chłopsku za ucho, straciwszy zupełnie pierwotną butną minę, na myśl o kłopotliwej żeniaczce. Zanosząc się od śmiechu, matka pochwyciła w ramiona dzieciaka okrywając go pieścuchami. Najśmieszniejszym było to, że maledc wychowany wśród starszych, widząc co niedziela tańce i stroje młodzieży w rodzicielskiej czardzie, i słysząc ich rozmowy, mówił prawdę bardzo rozsądnie, a ta, dla tego właśnie że prawdą była, wydawała się komiczną w jego ustach. Tak, istotnie, parobczak każdy na Węgrzech musi sobie najprzód zapracować dużo pieniędzy i sprawić kosztowny ogromny płaszcz, bogato szamerowany sznurkami, tak samo jak dziewczyna musi mieć *reklę* coś w rodzaju bogatego dużego kaftana i porządną pościel; bez tego nie można ani myśleć o żeniaczce. Nawet żaden poważny dziewosłęb nie podjąłby się dziewosłębować parobczakowi nie posiadającemu owego płaszczka. Ależ taki parobczak musi mieć przynajmniej dziesięć lat więcej, niż miał dzieciak Petőfich, bo inaczej ślubu nie dostanie. Mały Szandor serdecznie przyjmując i odwzajemniając jej pieścuchy, patrzył przytem uważnie na matkę tak, że brwi marszczył z natężenia umysłu, usiłując zrozumieć przyczynę jej śmiechu dziwił się i niepokoił,

więc na ojca spojrział pytającymi oczyma. Gospodarz, rozśmieszony w duszy tak samo jak gospodyni, kręcił przecież wciąż olbrzymiego węża, a rzekł w końcu:

— To szczerą prawdą, Szandor, że nic jeszcze nie umiesz, i przeto trudno ci na płaszcz zarobić, a no, jeżeli chcesz, to jedź oto teraz z nami do lasu, będziesz pomagać Janosowi, obznajmisz się z robotą. — Dzieciak aż w górę na te słowa podskoczył, w nagłym przystępie radości, ale prawie jednocześnie spojrział na matkę pytając:

— Jechać, matko? — a oczy błyszczały mu szaloną ochotą. Trzeba wiedzieć że chociaż w Węgrzech żona wieśniaka nazywa mężem „panem”, a on ją po imieniu, co jest podobno ostatnim zabytkiem tradycyi azjatyckich, to przecież w rzeczywistości kobieta w domu rządzi głównie. Dla tego to mały Szandor bez namysłu do matki się zwracał po sankcyę ojcowskiej propozycyi. A przecież jechać z ojcem było chłopca marzeniem, który dotąd jeżeli jeździł, to tylko z matką. Nie zdawał on sobie z tego sprawy, ale czuł jakoś że dzieci jeżdżą z matkami a z ojcem dorosli chłopcy, ludzie skończeni, mężczyźni z wężami... A rozpieszczonemu jedy-nakowi który tylko dorosłych chłopców w stepowej gospodzie rodzicielskiej widywał, tak chciał się być dorosłym, tańczyć jak oni, toporkami igrać jak oni... Więc ucieszony szalenie ojca zamiarem, pytał teraz z przymileniem i najwyższym niepokojem:

— Jechać, matko?..

Kobieta przestała się śmiać odrazu, zachmurzyła się, spoglądając z wyrzutem na męża, a dziecko wypuszczając z objęć:

— Do lasu Bakony? między „Kanaszów”?.. z dzieckiem jechać? Cóż znowu!.. — rzekła. Szandor poczerwieniał, łązy mu stanęły w oczach, postąpił ku ojcu patrząc mu w oczy błagalnie. Ten, łatwo zrozumiał milczącą prośbę jedy-naka.

— Ej, albo to Kanasz gorsi od innych ludzi, dla tego że świnki a nie konie ani owce wychowują? Czy zjedzą dziecko? Czy nie bywają tu u nas co niedziela?

— Nie, nie gorsi... ale co innego tu u nas, a co innego tam w lesie, może się dziecku co Boże broń przytrafić... a potem, nuż tam będzie jaki *szegeny legeny* (biedny chłopiec).

(d. c. n.)

## KWIATEK OBROŃCA.

Pomiędzy kwiatami które Bóg hojną ręką po ziemi rozsypał, są rozmaite: jedne radują oczy człowieka pięknymi barwami, inne dostarczają farb, inne jeszcze — a takich jest bardzo wiele — mają własności uzdrawiające, a są i takie co kryją w sobie truciznę. Ale nie trzeba tych kwiatów potępiać, bo i trucizna w potrzebie użyta, przynosi człowiekowi pożytek.

Są owady lubiące w wielkiej ilości gnieździć się w mieszkaniach ludzkich, zwłaszcza wilgotnych i w świeżo zbudowanych domach, których mury nie wyschły jeszcze dostatecznie. Gdy trafią na warunki przyjazne, mnożą się tak bardzo, że stają się prawdziwą plagą mieszkańców. Obrona przed niemi była długo bardzo uciążliwą, aż kwiatki przysły ludziom z pomocą, udzieliwszy trochę trucizny.

Zabijając owady dla tego tylko żeby je życia pozbawić, grzechem jest ciężkim — ale zabijając we własnej obronie, nie jest grzechem, jest nawet czynem pożytecznym, bo gdybyśmy ich nie niszczyli, one fakty się rozmnożyły, że zniszczyłyby nas zupełnie. Jednym z najskuteczniejszych sposobów wytepienia tych nieproszonych gości, jest posypywanie podłóg, ścian i sprzętów, proszkiem perskim. Gdzie czystość starannie jest utrzymana, tam prosek perski bywa zbyt-czny — ale owady owe często niespodzianie na ludzi napadają, dobrze więc jest zawsze mieć go pod ręką. Niema prawie nikogo ktoby go nie znał i nie używał, ale mało kto wie z czego się ten dobroczynny prosek wyrabia.

# NOWY ROK U „CZARNYCH“.

(URYWEK Z PODRÓŻY PO AMERYCE).

Kwiaty dostarczające go, podobne są bardzo do naszych rumianków łąkowych, ale gdy te bywają zawsze białe, *rumianek perski*, *Pyrethrum roseum* i *Pyrethrum carneum* z którego kwiatogłówek zawierających aromatyczny olejek, wyrabia się proszek, bywa żółtawy, bladoróżowy i czerwony. Żyje w licznych odmianach, w Persyi, w górach kaukaskich, na wysokości 1,000 do 2,500 stóp nad poziomem morza, na pokładach wapienno-marglowych. Znalezione też gatunek tej rośliny na bazalecie alpejskim na wysokości 8,000 stóp i na trachytach, na wysokości 7,000 stóp. Ludność kaukazka znała oddawna proszek perski, nazywając go po swojemu *Gutrita*, i używała odpowiednio — ale w Europie znanym jest dopiero od lat pięćdziesięciu kilku, dzięki botanikowi niemieckiemu Kochowi, który odbył kilka podróży na Kaukaz i tam się z nim zapoznał. W r. 1840 jako profesor botaniki w Berlinie, głosił sławę proszku perskiego z takim zapałem, że wkrótce wszyscy zaczęli go sprowadzać i używać — a gdziekolwiek się pojawił, tam owady trapiące dotąd ludność bezkarnie, padały milionami. Miłośnicy ścisłości historycznej jednak utrzymują, że to nie niemiec Koch, ale kupiec armeński Juntikow, pierwszy zwrócił uwagę na ten wyrób kaukazki, nauczył się sposobu wyrabiania od mieszkańców i jeszcze na dwadzieścia lat przed podróży Kocha, usiłował go do handlu wprowadzić. Dla nas jest wszystko jedno któremu z tych panów należy się zaszczyt pierwszeństwa: wdzięczni im jesteśmy że z ich przyczyny zyskaliśmy pożyteczny nabytek.

Wielki odbyt proszku wywołał szerszą uprawę rumianku perskiego, ale hodowany w niższej położonych miejscowościach, utracił pewną część swych własności, bo jest rośliną górką i w dolinach łatwo się wyradza. W Dalmacyi i Czarnogórze rośnie inny gatunek *Pyrethrum*, z którego wyrabia się *proszek dalmacki*, równie skutecznie wyniszczający owady. Jaką ilość kwiatów oba te kraje dostarczają Europie, wnieść można z tego, że od Czerwca r. 1881 do Marca 1882, czyli w ciągu dziewięciu miesięcy, wywieziono go z tamtąd 1,628,750 funtów, w cenie mniej więcej 51½ kop. za funt — czyli za sumę 839,484 rubli. Jaki piękny zarobek dla ludności! To też dalmatyńcy zazdrośni o tę złotodajną roślinę, nie chcą udzielać obcym jej nasienia; mimo to zaprowadzono hodowlę *pyrethrum* we Francyi, w Stanach Zjednoczonych Ameryki i w Kalifornii. Proszek z kalifornijskich kwiatów otrzymany, zowie się w handlu *butah*.

Kwiat zbiera się w chwili zupełnego rozwoju i dojrzałości pyłków nasiennych, bo jego siła ma być wtenczas największa; ścina się z łodygą na cztery cale od ziemi i suszy w cieniu. Gdy wyschnie, zamyka się go szczelnie aż do sproszkowania — a im delikatniej sproszkowany, tem energiczniej działa. W ogóle, im świeższy, tem jest lepszy; długie leżenie pozbawia go wiele siły.

Botanicy którym idzie nietylko o ludzi, ale i o rośliny utrzymują, że dobrze byłoby moczyc te kwiaty w spirytusie, a następnie rozcieńczywszy wodą płyn otrzymany w ten sposób, używać go do skrapiania roślin których liście i korzenie trapią także przez owady. Probowano proszek perski palić w miejscu zamkniętem, zwilżywszy go poprzednio wodą, dla odurzenia dymem much. Ma to być pożytecznem zwłaszcza w cieplarniach.

Jak wiele rzeczy dających się spieniężyć z korzyścią, tak i proszek perski bywa często fałszowany: mieszają do niego trociny rozpylone z drzewa żółtawego, a także i mąkę. To ostatnie nie jest przynajmniej szkodliwe, bo trucizna łatwo mąkę przenika. W Niemczech fałszują sam kwiat, przez domieszanie do niego rumianków łąkowych, tak bardzo podobnych do rumiaku perskiego.

Kwiat ten należy do rodziny złożonych, najliczniejszej w królestwie roślin, do gatunku *Chrysanthemum*, a po polsku nazywa się *szłociem*.

Zofia Urbanowska.

— I tak znowu będziemy siedzieć w domu zamknięci przez cały dzień!.. to nieznośne: myślałem że wyznawcy anglikańskiego kościoła, tylko niedziele święcą taką nieruchomą kontemplacją, aż tu dzisiaj w Nowy rok ma być toż samo! Gotów jestem dla tego samego prędkiej niż zamierzałem uciec od was..., bo wy pewno jeszcze więcej dni tak święcicie?...

— Nie; a przedewszystkiem nie mieszaj rzeczy. Niedziela niedziela, a Nowy rok to wcale co innego, to jedynie rzecz zwyczajaju, mody...

— Mody?...

— Tak. Dawniej, nie bardzo dawno jeszcze, był u nas zwyczaj że w Nowy rok odwiedzaliśmy się wzajemnie, życząc sobie wzajem aby rok przyszły był nam miły; mianowicie młodzież mężka składała te życzenia obowiązkowo w domach rodzinnych...

— A! to zupełnie jak u nas nad Wisłą w Nowy rok i na Wielkanoc!...

— Co mówisz?

— E... nic, tak sobie coś przypomniałem... A teraz już niema u was w Stanach Zjednoczonych tego zwyczajaju? I dla czego?

— Hm, powiedziałem ci, zwyczaj, moda; wyszło to ze zwyczajaju i koniec na tem. Ale trzeba ci wiedzieć, że jeżeli wyszło ze zwyczajaju u nas to jest wśród białych w sferach tak zwanych „wyższych” to, jak kapelusze i suknie przeniosło się trochę niżej i znowu jest w modzie w sferach niższych, mianowicie u wolnych murzynów tutejszych. Jeżeli się chcesz zabawić, chodź!.. Powiadam ci, nic śmieszniejszego jak przyjęcie u naszych murzynów w dzień Nowego roku, naśladowane w najdrobniejszych szczegółach wedle dawnego zwyczajaju. Pójdź, właśnie u naszego rządcy jest przyjęcie świąteczne!..

Znudzony bezczynnością poszedłem chętnie za przyjaciela do którego gościłem. Weszliśmy wkrótce do salonu państwa Guils, wolnych murzynów zarządców majątku w rodzinie mego przyjaciela. Salon był świetny, zastawa w zimnych mięsach, ciast i wina, doskonała, i ciągle oczekująca na gości, zupełnie jak u nas na Wielkanoc, tylko państwo czarni jak smoła z wystającymi policzkami, jaskrawo i błyszcząc ubrani i panny domowe miss Guils i miss Chloe Guils w najmodniejszych możliwie sukniach i fryzurach, w bransoletach, koronkach, jedwabiach i z całym zasobem starannie naśladowanych wielkoświatowych obyczajów, smutne na mnie uczynili wrażenie. Są to zdaniem mego przyjaciela najpocziwsi ludzie pod słońcem i wierni od dziadów słudzy jego rodziny: o ileż byłoby miłej i stosowniej do ich własnej ludzkiej godności, gdyby zamiast naśladować bezmyślnie zwyczaje swych państwa, chcieli być dalej sami sobą, zachowując stare zwyczaje właściwe ich stanowisku. Udawanie bezmyślnie i naśladowanie, niemilem jest i poniża godność ludzką.

## OBRAZKI Z LITERATURY.

I.

NESTOR ZAKONNIK KIJOWSKI.

Przyjemna to rzecz, gdy nam opowiadają o dawnych dziejach; niektóre bitwy, meztwo bohaterów, poświęcenie życia dla obrony innych, szlachetne czyny dziewic i życie pełne wielkich cnót niewiast i matron zaciekawiają umysł nasz, rozbudzając uczucie, dla przeszłości. Wsłuchując się w te chcielibyśmy naśladować tych, którzy spędziwszy pożyteczny żywot swój, spoczęli już oddawna w górze, a my z...





Wielki Rok u Murzynów.

ania pragniemy, dowiedzieć się o najdrobniejszych szczegółach ich życia.

Gdyby jednak ktoś nam opowiadał o tem, co sam widział, przeszłość nie sięgałaby daleko, a jednak wiemy o najdawniejszych ludziach i narodach, wiemy jak one żyły, jakim sposobem dochodziły do rozmaitych odkryć i wynalazków, jakie s obie ludzie ci budowali mieszkania, z kim byli w zgodzie, a z kim prowadzili wojny; wiemy nawet, co jedli i jak się ubierali. Są to rzeczy bardzo ciekawe, ale jakimże sposobem one do nas doszły?

Oto najpierw ojciec synowi, matka córce i w ogóle starzy ludzie opowiadali o tem, co się za ich życia działo; ci znów opowiadali to następnym pokoleniom i tak dalej. Dużo więc wiadomości o latach dawnych, przeszło do nas tradycją, to jest opowiadaniem.

Najwięcej jednak i najpewniejszych szczegółów doszło do nas przez kroniki, czyli księgi w których spisywano wszelkie ważniejsze wypadki. Kroniki te po większej części spisywali zakonnicy, którzy pilnie zwracali uwagę nie tylko na to co się w ich klasztorze działo, ale i w całym kraju.

W słowiańszczyźnie najdawniejszym kronikarzem jest Nestor, zakonnik kijowski, żyjący w XI wieku. Spisywał on taką kronikę, siedząc samotnie w swój celi i nazwał ją: „powieścią lat dawnych”. Nie mając stosunków ze światem, nie mógł pisać co się dzieje w całym kraju, spisywał za to bardzo pracowicie, co się dzieje w jego klasztorze, i naokoło klasztoru. Spisywał też, co słyszał od starszych od siebie zakonników, którzy osiedliwszy się w pieczarach i na poły zaledwie skleconych chatach, prowadzili życie bogobojne, i lud okoliczny w wierze świętej umacniali.

W kronice swojej opowiada w ten sposób:

„Hilaryon, ksiądz Berestowski, człowiek młody i piśmienny, opuściwszy swoją parafię, poszedł nad Dniepr na górę, gdzie teraz Pieczerski monaster stoi, a wówczas był tu wielki las, i wykopał Hilaryon sobie małą pieczarę na dwa sążnie głęboką, dokąd chodził i modlił się w cichości. Ale gdy w r. 1050 wielki książę Jarosław kazał go swojemu duchowni swu wybrać na metropolitę \*) wtedy pieczara opuszczoną została”.

Dalej opisuje jak założono na owę górę klasztor, okół którego zaczęło wzrastać miasto nazwane Kijowem, od Kijów jakie po wyciętym lesie zaległy dużą przestrzeń, i nie mało podjęto pracy, nim je zdołano uprzętnąć.

Tak więc miastu Kijów dali początek zakonnicy; gromadzili oni w Pieczerskim klasztorze pamiątki religijne, lud przychodził do nich po radę, a zarazem dla oddania czci tym pamiątkom. Kijów stał się powoli stolicą Rusi, przodował innym księztwom, lud zaś chętnie około tej stolicy się gromadził.

Nestorowi więc zawdzięczamy, iż wiemy o początku tego pięknego miasta, do którego jeszcze dziś przyjeżdżają z daleka, aby obejrzeć starożytne jego pamiątki.

Tenże Nestor ma jeszcze tę zasługę, że kiedy inni kronikarze słowiańscy pisali swe księgi po łacinie, on swoje „powieść z lat dawnych” pisał w języku ojczystym. Kronika też jego jest najdawniejszym zabytkiem w całym piśmiennictwie słowiańskim.

Z. Morawska.

## OPOWIADANIA ISLANDCZYKA.

### I.

Szanowna Redakcyo!

Mieszkając w Irkutsku i potrzebując koniecznie służących, rodzice moi przyjęli między innymi do służby jakiegoś

\*) Do r. 1050 metropolitę kijowskiego wybierał zawsze patriarcha konstantynopolitański, ks. Jarosław zaś chcąc władzę swoją zaciebić, sam wybrał metropolitę, o co powstały kłótnie z patriarchy.

człowieka dziwnego i niezachęcającego na pozór. My, to jest ja, mój brat i siostra baliśmy się go prawie. Niezadługo przecież przywykliśmy, a nawet poprzyjaźniliśmy się z nim, spostrzegłszy z największym zdziwieniem że był wykształcony nad stan swój, wiedział nawet niektóre daty historyczne. Zdumieni tem odkryciem dopytywaliśmy go o jego przeszłość, a on, zimowemi wieczorami siedząc z nami przy ogniu, opowiadał chętnie, płacząc często. Przed tygodniem człowiek ten opuścił z wielkim naszym żalem nas z własnej woli, znalazłszy sposobność udania się w upragnioną podróż na zachód. Otóż my, spisawszy wedle możności jego opowiadania, posyłamy je szanownej Redakcyi dla umieszczenia w Wieczorach jeżeli warto, a jak nie, to niechaj mu... kosz lekkim będzie.

Stały czytelnik

Sobol Irkutski.

Pytacie, dziatki, czemu nie uśmiecham się nigdy? Ja nie wiem, ale może to dla tego, że uśmiech mój został w kraju rodzinnym, a kraj ten jest bardzo daleko. Imię jego Islandya, *Eisland*, kraj lodów, tak go nazwał Flokki, podróżnik norweski, który około r. 870 wraz z towarzyszymi Nadd' Oddem i Gardarem poznał bliżej tę ziemię, znaną z daleka już dawniej. Około r. 874 Norwegczyk Ingolf pierwszy się tam stale osiedlił, a potem inni rodacy jego, gdy źle im było w ojczystej Norwegii pod berłem króla Haralda Haarfagera. W r. 1,000 wprowadzona tam została religia chrześcijańska, a w bieżącym już wieku ja, najprzód zapłakałem, a potem uśmiechnąłem się poraz pierwszy w życiu w maleńkiej chatce, zbudowanej z odłamów lawy i kawałków ziemi mchem porośnięj.

Najprzód zapłakałem, to też płacz jako najpierwszy na ziemi przyjaciel nie opuścił mię więcęć, i dotąd mi towarzyszy po świecie, gdy śmiech, drugi z kolei przyjaciel, pozostał tam, gdzie go poznałem. Później... cóż to ja później robiłem? tak to już dawno, że miałem czas zapomnieć. Ha, jak zapamiętam, zrywałem trawkę, najdrobniejsze ździebelka zielone, z pomiędzy lawy potrzaskanęj wyrastające, bo już wiedziałem że to jest błogosławieństwo Boskie, bo trawą żywią się domowe zwierzęta, których mlekiem i mięsem żyją ludzie. Jeżeli gdziekolwiek wyrastała większa kępka trawy, tam ją kosił mój ojciec i nasi sąsiedzi, i przechowywało się ją starannie na zimę, tak troskliwie, jak wy skarby przechowujecie, gdy je macie. A gdy trawa się żęła w miesiącu Sierpniu, to się zwało żniwo; i im obfitszą była, tem radowaliśmy się bardziej, zupełnie jak u was na wsi, jeśli pszenica obrodzi i żyto.

Gdy trochę podrosłem, chodziłem ciągle za matką i pomagałem jej w każdym zatrudnieniu. Więc pielęgnowaliśmy zwierzęta, a potem szliśmy na brzeg morski i wraz z sąsiadami szukaliśmy, co morze nam przyniosło?... a kto co znalazł, to brał; najbardziej uganiał się za drzewem, innym ludziom rozbił się okręt, morze wyrzuciło nam szczątki, a u nas z nich robiono sprzęty, naprawiano niemi łodzie, budowano choć części niektóre chat naszych. Rodzice opowiadali mi, że to drzewo bywa ogromne, jak góry, i daleko tam gdzieś za morzem rośnie samo z ziemi, jak u nas trawka, tylko jest go daleko więcęć niż u nas trawy, jest go tak dużo, że aż go ludzie używają na opał i do gotowania żywności, tak jak my używamy ususzone porosty morskie i chrzęście ryb, i ususzone odpadki zwierzęce. Słyszając to, zdumiewałem się nad takim ogromem bogactwem i marnotrawstwem ludzi zamorskich. Zbieraliśmy zresztą wszystko, co morze przyniosło, a jak przyniosło nieżywego wieloryba, wielkie było szczęście na całym wybrzeżu, bo tłuszcz i fiszby, toż to prawie tyle, co kopalnia dyamentów dla nas, bo je można sprzedać, niektóre inne części nie dające się sprzedać, dawały się zjeść, wielkie zaś ości używały się na dachy chat naszych.

Czasem w skrzynkach, wyrzuconych przez morze, cuda się znajdowały, płótno, odzienie, suchary, ale prawie wszystko, czego nie można było zjeść, szło na sprzedaż, bo na cóż zda się w Islandyi to, co się ugryźć nie da?... kiedy przede wszystkim trzeba żywności, a tam nie rośnie nic, prócz trawy i mchów. To szczęście, że są ryby; to też chodziliśmy

zawsze z matką czekać na brzegu na ojca, wracającego z połowu i pomagaliśmy przy rybach, dopóki nie podrosłem tak, że sam z ojcem na połów jeździłem. Byłem z tego bardzo szczęśliwy i dumny, zarabiałem na życie, jak dorosły człowiek. W miesiącu kwietniu przyplływało do nas mnóstwo statków norweskich, duńskich, angielskich, francuzkich, na połów dorsza szczególnie; przyplnęliby ci rybacy i wcześniej, ale im ich rzędy na to nie pozwalają, bo wcześniej wielkie jest niebezpieczeństwo w zimie na naszych morzach. Ale nam nikt nie broni, żyć nam potrzeba, a czemuże żyć, jeżeli nie rybą? Więc już w miesiącu lutym sąsiedzi z głębi Islandyi przychodzą do nas na wybrzeże, kobiety i dzieci zostają w chatach, my mężczyźni idziemy na robotę na morze po chleb, bo ryba to chleb Islandczyka, bez niej i trawaby nie pomogła i tę trochę swoich zwierząt, które pielęgnujemy po chatach i trzebaby umierać z głodu.

Więc w lutym, o drugiego lub trzeciego z rana, to jest wśród głębokiej nocy i ciemności stoimy wszyscy na wybrzeżu, odkrywają się głowy i mówimy głośno do Tego, który nad falami panuje: „O wielki Boże! w niebezpieczeństwie strzeż mnie! Łódka moja mała a morze jest potężne!” Po modlitwie wchodzimy w łodzie, odpływamy wiosłując i do stosownego miejsca przybywszy, łowimy na wędkę przez cały dzień, trzęsąc się od zimna i walcząc z falami wzburzonemi częstokroć. Wieczorem wracami do brzegu ze zdobyczą, zbliżywszy się, trzeba często wskoczyć w morze, zaprządź się do łodzi i ciągnąć je na brzeg. Gdy wyjdzie człowiek z morza, jeżeli to jest w lutym, marznie na nim zaraz odzienie ze skór baranich lub z cieląt morskich, tak marznie, jakby był w grube żelazo odziany; ale niema czasu o tem myśleć, bo trzeba dzielić się połowem. Nie każdy przecież taki jest magnat, żeby miał własną łódź. Więc jedna część połowu idzie dla właściciela statku, druga na dziesięcinę kościelną, a resztą dzielimy się my, rybacy: kobiety z dziećmi już tam czekają i zabierają, co ojcowie, mężowie, i bracia zapracowali.

I znowu każdy już swoje własną rybę przyrządza; co najpiękniejsze sztuki zachowuje się na sprzedaż, inne suszy się na zapas domowy na wietrze. Dopiero wszedłszy do chaty, jeżeli kto jest zamożny i ma dużo odzieży to zmienia zmoczoną na suchą, i jeżeli jest czem ogień rozniecić, to się grzejemy, i jeżeli połów był obfity, to matka lub żona daje nam po kawale gorącego dorsza, w tłuszczu rybim rozrzanego, w gdzie bieda, to mąkę owsianą kupną z miasta i rozrobioną a ciepłej wodzie, gdzie zaś wielka bieda, to mech nasz islandzki kochany, suszony, roztarty i rozprażony w mleku.

A potem opowiadamy kobietom i dzieciom różne okoliczności całodzienniej pracy, i starzy opowiadają młodszym dawne nasze bajki, o ludach mieszkających w morzu i w powietrzu, a choć nawet dzieci wiedzą, że to są tylko bajki, przecież bardzo to jest miło opowiadać i słuchać, i nieraz śmiałem się w takich chwilach serdecznie wraz z innymi. Bóg w rodzinie, w której jest uczciwość, zgoda, praca i swoboda, szczęście być musi. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

Latem na malutkich naszych konikach, bo wozów u nas niema, wozimy z wielkim trudem przez obszary kamienistą lawą najeżoną, przez bystre rzeki i okrażając wulkany śniegiem pokryte, wszystko, co dało się zebrać przez zimę, na sprzedaż do kupca; i kupujemy, co nam najkonieczniej potrzebne, noże, siekiery, kosy, mąkę owsianą i t. p. rzeczy. A gdy tak idziemy przy koniach tam i napowrót, to nieraz tu i owdzie kąpiemy się w ciepłej, czystej jak kryształ wodzie, która gorącami strumieniami wytryska w górę wysoko na naszej Islandyi, i w zagłębieniu skał tu i owdzie ostygłszy, czeka na zmęczonych wędrowców, aby się im ofiarować na kąpiel. Latem także chodzi się w kilku na wesołe wycieczki, wybiera puch edredonowy, którym ptactwo to wyściela sobie gniazda, zabiera się i jaja, a puch ten, sprzedany kupcowi, dobrze się opłaca. Na takie wycieczki między skały, wulkany, lody i gorące, bijące w górę źródła, i rzeki wzburzone, chodzą tylko młodzi, dzielni chłopcy, na wyścigi ubiegając się o bogatszą zdobycz, a jak tam przytem wesoło, swobodnie my się bawimy, jak ja się śmiałem nieraz, tego

do dzisiaj nie mogę zapomnieć, choć już dawno opuścić musiałem Islandyę, wyrzucony z rozbitego statku na cudze brzegi, i napróżno odtąd starając się wrócić na swoje... kędy pozostał mój młodociany przyjaciel, śmiech młodociany.

## II.

Pewnego razu w godzinę może po północy zabraliśmy wędki i wyszli nad morze, gdzie zebrał się duża gromada, odkryliśmy głowy, odmówili głośno modlitwę jak zwykle i wsiedli do łodzi licznie stojących u brzegu, popłynęliśmy na połów. O świcie zerwała się burza, ojciec natychmiast przeczuwszy ją zanim się pojawiła zawrócił do domu, ale mimo całego jego doświadczenia ubiegła go tym razem, wybuchła w chwili, gdy już zbliżaliśmy się do rodzinnego wybrzeża i porwawszy nędzny nasz statek, poniosła go na pełne morze, to wyrzucając w górę na szczyt bałwanów takich i daleko wyższych jak tutejsze wasze najwyższe kamienie, to strącając w czarne przepaści tak głębokie jakby morze chciało do dna się roztoprzyć, aby nas pochłoniąć. Długo walczyliśmy z burzą, aż nareszcie spadając w jedną z takich przepaści, poczułem, że zabrakło mi łodzi i wiosła, i straciłem przytomność. Lepiej byłoby mi gdybym był nie ożył, bo pewno zginął wtedy mój ojciec i towarzysze, a ja otworzyłem oczy leżąc na ziemi, wyrzucony falą, która cofając się, jeszcze nogi mi wilżyła. Instykt zachowawczy w żywej istocie jest tak potężny, że zanim zebrałem myśli, już wprzódy poczułem się dalej od morza, aby mnie nie zabrało znowu, gdy fala powróci. Uczyniwszy to leżałem czas jakiś nie mogąc się czegoś ruszać, i dziwiąc się coraz bardziej, że matki ani sąsiadów niema koło mnie i myśląc co się z ojcem stało. Dopiero gdy mi zupełnie przytomność wróciła i odpocząłem o tyle, że mogłem wstać, spostrzegłem, że jestem na pustem i nieznanem mi wybrzeżu, tak zatarasowanem od morza lodami i lodami zawalonem, że zrazu nawet sądziłem je tylko lodowiskiem jakimś olbrzymiem. Nigdzie ani śladu roślinności nie ujrzałem, zimno nawet dla mnie było przejmującym. Rozpatrzywszy się bacznie, jako znający się na rzeczy, poznałem prędko, że wyrzucony zostałem na jakąś lodowatą wyspę w północnej stronie mórz, bezludną zupełnie, i nie przedstawiającą żadnych środków do życia. Rozpacz mię ogarnęła nie za życiem, które zdawało się niepodobieństwem tam utrzymać, lecz za rodzicami, za rajem, w którym byłem zrodzony, za Islandyą. Upadłem na lód i płakałem, chcąc umrzeć. Ale śmierć nie przychodziła sama, a tymczasem leż zabrakło i głód przyszedł, a ja przecież miałem na sobie jak każdy z nas mocno przywiązaną torbę z żywnością. Otworzyłem i jadłem, a gdym kładł do ust tę żywność ręką matki do tej torby włożoną, lzy odnalazły się na nowo.

Zjadłszy, wstałem i włókłem się prawie beznamiętnie po lodowiskach, aż okrzykawszy prawdziwą górę lodowatą, stanąłem osłupiały, i pewien, że złe moce naigrawają się ze mnie, ludząc fałszywym widzeniem, złudą tak zwaną, bo w odległości na tle chmur ołowianych i lodowisk białawych, ujrzałem to co u nas widywałem tylko w mieście Rejkjavik'u: kościół i parę domków koło niego... nie takie jak tu u was, ale zawsze, domy to były. W godzinę później doszedłszy do nich dotknąłem je ręką i jeszcze wątpilem... Kościół był otwarty, ksiądz misyonarz miał naukę, mała gromadka ludzi słuchała, poznałem nawet i potrochu zrozumiałem język duński. W chwilę później wszystkie oczy zwróciły się na mnie, otoczono mię, dowiedziałem się, że jestem w Grönlandyi przeszło o osmdziesiąt mil od Islandyi mojej.

— Grönland!... a gdzież tu jest choć źdźbło zieleni? czy bywa tu zielono choć latem? — zawołałem.

— Nigdy! ale mimo to doskonale jest tutaj! Jak w raj! — odparł z dumą jakiś człowiek. Zrozumiałem że musiał się urodzić w tym okropnym kraju i przeto tak ma: w nim dobrze jak mnie w Islandyi.

— A jednakże. roku 986, kiedy Eryk Czerwony z Norwegii uciekając odkrył tę wyspę i osiadł na niej, musiała ona

yc zieloną, bo inaczej nie byłby jej przecież Zielonym kram nazwał — rzekł ksiądz — klimat tylko zmienił się od tego czasu jak wszystko wszędzie na ziemi się zmienia. Królestwo Boże dopiero niewzruszonym będzie. Dobry ksiądzabrał mię do siebie, do domku z drzewa obficie oblanego mową, gdzie wewnątrz był piec żelazny: po raz pierwszy wiazałem takie wygodę wspaniałe. Dowiedziałem się że dzisiaj już tylko te zachodnie wybrzeża na które się dostawałem, zamieszkałe, nie bardzo zresztą gęsto, bo na przestrzeni rzeszło trzystu mil żyje tylko ze dwustu Duńczyków, kuców, urzędników, rzemieślników, i dziesięć tysięcy Eskimów niby właściwych Grenlandczyków. Ksiądz opowiadał mi że dawniej było inaczej. Potomkowie Eryka Czerwonegoyli tacy dzielni marynarze i takie mieli statki nie lada, że żywali ztąd z Gröenlandyi do Nowej Ziemi i Nowej Szkocyi, więc odkryli Amerykę blisko na pięć wieków przed Kolumbem. Dużo różnych rzeczy dowiedziałem się od tego siędza, o których mi się ani śniło i wszystko, co wiem o moim własnym kraju, to od niego. Powiadał też, że za dawnych zasów od Eryka Czerwonego tak się wiodło jego osadzie: Gröenlandyi, że na zachodnim brzegu wyspy tej stanęły ztery kościoły parafialne i ze sto wsi, a na wschodnim brzegu stało sto dziewięćdziesiąt wiosek, dwanaście kościołów, wa klasztor, i stolica biskupia, mieszkańcy hodowali różne omowe zwierzęta i co lato sprzedawali różne produkta okęrom przyplływającym z odległych krajów. A potem nie dość klimat powoli się zmieniał i lody nakryły Gröenlandyę, jakawa naszą Islandyę, ale jeszcze straszna choroba przyszła a ludność, a w końcu napadli na nią Eskimosi jak zbójcy zniweczyli do reszty. Lody tak opanowały teraz owe ludne iegdyś wybrzeża wschodnie że wcale do nich niema dostępu.

Dobry ksiądz sam bardzo biedny, trzymał mię u siebie chodząc z nim często odwiedzać Eskimosów, których nauczyciele uczą tu czytać, a misjonarze usiłują nawrócić do chrześcijańskich pojęć, ale to trudno idzie, a bałwochwalstwoawsze tam panuje. Naprawdę, zdaje się że ci biedni ludzie nie mają może i czasu myśleć o czem innem prócz o staraniu się o żywność, bo nie tak tu o nią łatwo jak w naszej rajskiej Islandyi. Tu żyje się tylko przez fokę i z foki, bez foki trzeba by umierać. Z foki jest tłuszcz na światło i opał, mięso na pożywienie; wnętrzności, które służą za sznury, worki, nici szyby; a ze skóry foki jest odzież, jest pościel i wysłanie cian wilgotnej chaty z ziemi i z kamieni zrobionej; skórą foki pokrywa się też nędzna łódź tutejsza. A wszystko, co do polowu i do polowania na niedźwiedzie, reny i ptactwo, porzeba, łódź, harpun, pikę i odzienie własne i wszystko, musi Eskimos sam sobie zrobić z wielkim trudem. Z łódką trud najokropniejszy, a dziwna jest, długa około pięć łokci, szeroka niecały łokieć nawet, w środku w pokrywającej ją skórze foki jest zrobiony otwór, przez który Eskimos wsuwa się w łódź do pasa i szczerlnie koło pasa się przytwierdzwszy, siedzi już tak w tej łodzi jakby we własnej skórze i nie może z niej wyleźć, a ślizga się po morzu wśród lodów zupełnie jak ryba. Długo pozostawałem u dobrego księdza, tęskniąc do Islandyi, aż przybił do nas statek, na którym puściłem się do Norwegi, sądząc że ztąd może łatwiej się do Islandyi dostanę, ale długo mi się to nie udawało.. może jeszcze się uda myślałem. Bylem tylko mógł umrzeć i kości złożyć w Islandyi, mniejsza już o resztę... A gdybym też jeszcze ujrzał rodziców na tej ziemi?... Wszystko jest w mojej mocy Boga. Wreszcie wybrałem się na płynącym w moje strony statku.

(d. c. n.)

Nie chcąc się dać w niczem prześcignąć Francuzom, Anglicy postanowili wybudować wieżę na wzór wieży Eiffeł'a. Nadesłano już do Londynu mnóstwo planów, których konkurs ma być rozstrzygnięty w przyszłym miesiącu. Budową wieży ma kierować zdolny bardzo inżynier nazwiskiem Watkin. Wszystkie zarzuty co do bezużyteczności podobnej wieży, w obec mglistego powietrza Londynu, odparto tem, że wieża wznosić się będzie ponad warstwę mgły i dymu, skutkiem czego właśnie podczas mglistych dni, osoby zwiedzające wieżę używać będą mogły pięknej pogody. Są tacy co marzą już o urządzeniu domu zdrowia dla chorych na jakimś 16-tem albo 17-tem piętrze, specjalnych sypialni i t. d. Wieża Watkina, ma posiadać tę wyższość nad wieżą Eiffeł'a, iż wykonana będzie z najlepszej stali, gdy tymczasem do wzniesienia tamtej użyto żelaza.

### SZARADA.

(od P. Z. dla Rosiczki z nad Rowu).

*Pierwsze trzecie* to wielkie naczynie drewniane,  
W gorzelniach i browarach zwykle używane,  
*Drugie czwarte* tych pewno często doświadczacie,  
Gdy w lecie nierozważnie po słońcu biegacie.  
*Trzecie czwarte* świat dla was nowy a otwarty,  
Niejednego nauczyć was mogą ich karty,  
*Wszystko*, gdy ludzie zdolni łatwo się tłómaczy  
Ze chętnych oraz licznych znajdują słuchaczy.

### Łamigłówka sylabowa.

(ułożyła Biała Perelka dla Króla Ćwieczka).

Wyrazów 16. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu, złożą nazwy dwóch peryodycznych pism: Sylaby: go—li—ko—  
Jas—No—Za—mun—ni—kier—Re—nie—wiec—Da—wa—  
dos—Noc—pól—ja—Ya—chy—ri—wid—be—rzesz—ma—  
Ro—E—wa—Wp—raz—Ed—Il—fez—O—Cze—zi—sya—  
Zam—Ol—wi—e. Znaczenie wyrazów: 1. Dwie spółgłoski.  
2. Roślina należąca do rodziny Ranunculaceae. 3. Miasto w Azji mniejszej. 4. Kraj w Europie. 5. Rzeka w Aryce południowej. 6. Powieściopisarka polska. 7. Osada w gubernii Lubelskiej, założona przez Mikołaja Reja. 8. Rzeka w Ameryce południowej wpadająca do Amazonki. 9. Naród w Europie. 10. Miasto pow. w gub. Podolskiej. 11. Król izraelski. 12. Przysłówek. 13. Najwyższy szczyt Andów Peruwiańskich. 14. Człowiek ocalony podczas potopu. 15. Część doby. 16. Imię męskie w 3-m przypadku.

**TREŚĆ:** Nowy rok, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa, powieść. — Kwiatek obrońca p. Zofię Urbanowską. — Nowy rok u czarnych, wrywek z podróży po Ameryce (z drzew.) — Obrazki z literatury p. Z. Morawską. — Opowiadania Islandczyka. — Rozwiązania. — Łamigłówki. **Dodatek:** Głos sumienia (drzew.) — Ślizgawka, wiersz p. Z. Morawską. — Gra na skrzypcach, opowiedział Pegaz skrzydlaty. — Łamigłówki — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



Głos sumienia.

## GŁOS SUMIENIA.

ZE WSPOMNIENIĘ MŁODOŚCI.

Było nas kilkoro, bawiliśmy się w chowanego, ułożywszy się że dla zwiększenia interesu w zabawie, każdy znaleziony przed upływem pierwszych pięciu minut, będzie dawał fant, jako niedbale schowany. Wyjątkowo, udało mi się po dwa razy wyjść zwycięzko z zadania, to jest bez fantu, gdyż szukano mię raz kwadrans, drugi raz aż pół godziny. Wzięłam sobie tedy za punkt honoru aby zawsze tak było. Tymczasem, gdy znowu na mnie przyszła kolej schować się, byłam w nielada kłopotcie:

wyzyskaliśmy już albowiem w kilkogodzinnej zabawie wszystkie domowe skrytki i trudno było obmyśleć jakąś nową, którejby nie odnaleziono od razu. Kręcąc się śpiesznie i zakłopotana po całym domu, spostrzegłam ogromną skrzynię z wielkimi przegrodami, tak zwaną „śpiżarnię” stojącą w dużej sieni, a której ciężkie wieko spuszczone było, lecz niezamknięte, tylko podłożone cegły kawałkiem, umyślnie, aby świeże powietrze miało dostęp do wnętrza skrzyni, pustej chwilowo i przygotowanej właśnie do przyjęcia nowych zapasów. Dostyc silna z natury, podważywszy ze wszystkich sił owo wieko, wsunęłam się pod nie w dużą przegrodę, i krzyknąwszy z pełnej piersi na całą sień:

— Już!... — zapadłam w skrzynię, cegła popchnięta wpadła wraz ze mną, a wieko zatrzasnęło się własnym ciężarem. W chwilę później usłyszałam tupanie niby całego stada przebiegających owiec, potem okrzyki, wołania, śmiechy, pytania, domysły, a ja rozpływałam się z gorąca, ale także i z uciechy że się tak przepysznie schowałam. Dopiero gdy coraz trudniej było mi oddychać, przypomniałam sobie, że mieliśmy raz na zawsze zakazane nie tylko chować się w skrzynię, ale nawet zaglądać w nią i rękę w nią wkładać, gdyż ciężkie wieko niezręcznie podniesione, mogło zapadając zranić głowę lub rękę zmiążyć. Przypomniawszy to sobie, zrozumiałam zaraz łatwe do pojęcia skutki mego nieposłuszeństwa, brak powietrza, uduszenie, bo z pewnością nikt nie przyjdzie szukać mnie w zakazanym kącie wielkiej sieni, zaczęłam więc krzyczeć ile sił starczyło. W chwilę później, przy akompaniamencie okropnej wrzawy przybiegła ciotka z domownikami, roztworzyli skrzynię i wyciągnęli mnie z niej siłą ze strachu i z krzyku, bo nie z braku powietrza jeszcze przecież i rozpoczęło się śledztwo. Ciotka pytała:

— Dziecko weszło samo do skrzyni, ale kto wyjął cegłę która leżała na rogu mocno i sama spaść nie mogła? he?... Dziecko samo tego nie zrobiło, bo rozumie niebezpieczeństwo...

Wystraszona tem niebezpieczeństwem właśnie, rozpieszczona przez nazbyt dobrą ciotkę, spłakana, nie mogłam jakoś zebrać myśli w pierwszej chwili. Niezadługo Anka służąca, surowo, nie tylko przez samą ciotkę ale i przez wszystkich domowników została złajaną, ponieważ ze śledztwa wypadło, że nikt inny nie mógł cegły wyjąć, tylko niechybnie ona. Uczyniła zaś to, aby podłożyć cegłę pod swoją własną skrzynkę, dla wyniesienia jej i zawartych w niej rzeczy jak najwyżej, nad wilgotną podłogę, ku czemu zawsze mnóstwo cegieł było potrzeba. Wtedy dopiero przypomniało mi się, że nikt tylko ja popchnęłam cegłę, i rzuciłam ją wewnątrz, wchodząc sama do skrzyni, co niezbyt łatwym było. Już miałam to powiedzieć, gdy zapewnienie ciotki że „dziecko samoby tego nie zrobiło”, powstrzymało mi wyznanie na ustach. Zdawało mi się że fakt iż „dziecko to zrobiło” będzie dowodem nierozumu tego dziecka, że nadwerzę moją dobrą sławę poprostu. Tymczasem Anka, po tysiącnych protestacjach umilkła nareszcie, poszła do kuchni i ogólnie uznana za winną, siadła na swą własną ukochaną skrzynkę, płacząc, jakby się już i sama winną uczuła.

Siedząc w pokoju ciotki, potem przy herbacie, na koniec położywszy się już do łóżka, słyszałam ciągle ten płacz Anki, choć na prawdę już go słyszeć z drugiego końca domu nie mogłam. Zatykałam sobie uszy, ale to nic nie pomagało, słyszałam ciągle płacz, co mnie okropnie męczyło, i oka nie dawało zmrzyć. Nareszcie, około północy, doprowadzona do rozpaczki tem łkaniem bezustannem, wyskoczyłam z łóżka, pobiegłam do ciotki, która swoim zwyczajem nie spała jeszcze, i padłszy przed nią na kolana, wyznałam całą prawdę, płacząc. Ciotka uznała ciężką moją winę w zatajeniu prawdy, równającą się rozmyślnemu kłamstwu, zaprowadziła mnie zaraz do kuchni, gdzie wobec całego kuchennego aeropagu zabierającego się już do snu, wyznałam winę

i uznałam niewinność obwinionej. Po takiej rehabilitacji Anki, płacz jęczący mi w uszach ustał nagle, ciotka uściskała mnie i zasnęłam ledwo zdążywszy się położyć.

## ŚLIZGAWKA.

Raz, dwa, trzy! łyżwy lśnią się, dalejże po lodzie Sunie para za parą w rozkosznej ślizgawce. Wśród zabawy nie pomną o metrze i chłodzie, *Holendrując* ochoczo na szklistej sadzawce. Lecz powoli słońeczko wychyliło skronie I złotym swym promieniem musnęło po stawie, Ogrzało tchnieniem ciepłym zamrażnięte tonie, Przeszkadzając młodzieży w wesołej zabawie. „Ach, nieznośne to słońce! taką psotę czyni”. Ozwą się gniewne głosy i z zmarszczką na czole Jaś podał rękę Koci a Kazio Maryni, Spuściwszy nos na kwintę, wracali ku szkole, Wtem pod bramą ogrodu ujrzeli dziecinę, Co zziębnięte swe dłonie wznosiła do słońca, Błagając: „O, słońce, daj nam ciepła chociaż odrobinę „Bo czyż zimy wśród nędzy doczekam się końca”! A młodzieź, co przed chwilą słońcu złorzeczyła Otoczyła z współczuciem zziębłe biedne dziecię, Żalując słów niewczesnych. W oczach ich łza lśniła I wszyscy zawołali: „Cóż nędzy na świecie! „I jakże nierozważne były nasze dąsy! „Bo to słońce, które nam wyrzadziło psotę, „Przerywając zabawę i wesołe płasy, „Ogrzało swoim ciepłem tę biedną sierotę”. I każdy wydobywał z kieszeni grosiwo, I w zziębłą dłoń dzieciny rzucał pieniądz mały, Wołając: „Idź maleńka, ogrzej się co żywo”! A serca przy tym datku radością im drżały.

Z. Morawska.

## GRA NA SKRZYPCACH.

(Z prawdziwego wydarzenia.)

opowiedział PEGAZ SKRZYDLATY.

— Nie, ja się już chyba nigdy nie wyuczę tej przebrzydłej etiudy — zawołał Adaś, rzucając niemal swe skrzypce na fortepian — i znów jutro na lekcji profesor będzie mię łajał, że nie umiem tego i owego! Czy na tę naukę nie szkoda prawdziwie czasu i atlasu?

— Bynajmniej — rzekła matka — mówią że masz po temu zdolności, powinieneś się starać, aby przejść szkołę skrzypiec, zanim pójdziesz do szkół, bo wtedy nie będziesz się mógł tak zajmować muzyką.

— Skoro mam chodzić do szkół pocóż się grać uczyć? Wszak nie jesteśmy biedni, abym grą miał na chleb zarabiać?

— Im bogatszym jest człowiek, tembardziej powinien umieć korzystać z darów losu, które mu pozwalają kształcić się wyżej w różnych kierunkach. Nie wiemy zresztą co nam kiedyś przydać się może. Jutrzej

lekcya jest już ostatnią przed świętami, więc przez dwa tygodnie wakacyi wyuczysz się chyba téj etiudy, która ci tak trudno idzie.

— Postaram się, mateczko — odrzekł Adaś, już przekonany o prawdzie słów matki, zabierając swe książki do przygotowania lekcji z korepetytorem.

Nazajutrz ostatnia lekcya muzyki poszła już lepiej, a obietnica stanowczej poprawy uradowała profesora. Lekcya z korepetytorem poszła też dobrze i ten uczynił nawet mamie nadzieję, że na przyszłą jesień Adaś złoży egzamin do trzeciej klasy.

Rodzice Adasia mieli majątek ziemski w okolicach gór Świętokrzyskich, dorocznym więc zwyczajem pojechała mama z Adasiem i o z lata starszą odeń siostrzyczką jego Malwinką, na święta do domu. Trudno opisać radość powitania z ojcem po tak długim niewidzeniu. Ściskano się, całowano i rozprawiano bez końca. Najwięcej jednak uradował się ojciec, kiedy w Wigilię Bożego Narodzenia o 12 w nocy przy płonącej choince, Adaś na skrzypcach, a Malwinka na fortepianie, zagrali śpiewając:

„W łobie leży,  
„Któż pobieży  
„Koleďować małemu?”

Ucałowawszy dzieci, wręczył im ojciec podarki gwiazdkowe: Adaś otrzymał „Wieczory czwartkowe M. J. Zaleskić”, Malwinka zaś „Księżniczkę”, piękną powieść Zofii Urbanowskić którą miała czytać jak będzie starszą.

W dzień Nowego Roku rodzice Adasia zostali zaproszeni do sąsiedniego obywatela pana O., na którego prośbę Adaś miał wziąć z sobą skrzypce. Ponieważ mróz był tęgi więc mimo sporego śniegu pojechano kareta. Ciągnęły ją dwa dziarskie koniki, w niespełna godzinę przebyto milową blisko przestrzeń. Gości było wiele, bawiono się ochoczo do północy, a dzieci niejedną otrzymały pochwałę za staranną i poprawną grę swoje.

— Zdaje mi się, że powrót dłużej potrwa — rzekł ojciec, wsiadając do karety, jedź więc ostrożnie mój Janie, bo widzę że wiatr przez ten czas dużo nanosił śniegu.

— Dobrze, proszę łaski pana — odrzekł woźnica trzaskając z bicza.

Gdy wśród ożywionć rozmowy mijano wielki las sosnowy, kareta nagle stanęła.

— Cóż się stało — zapytał ojciec, wychylając głowę przez okienko.

— Uwięźliśmy w śniegu i konie nie mogą dalej ruszyć — odrzekł woźnica, zeskakując z kozła.

— Wysiadajmy — rzekł ojciec — może uda nam się co poradzić temu, po chwili jednak próżnych usiłowań przekonano się że niema innć rady, jak zwołać ludzi dla wyciągnięcia karety. Dwór był już niedaleko, za pół godziny więc można było powrócić. Woźnica miał jechać sam na wyprężniętym koniu, a że ten był narówny i nie chciał odejść od swego towarzysza, więc aby nie tracić czasu ojciec wsiadł na drugiego i obaj ruszyli kłusem., w karecie zaś pozostała tylko mama z dziećmi.

Dzieciom jakoś nie miło było zostać tak samym wśród nocy blisko lasu, ale nie śmiały okazywać swćj obawy. Adaś zwłaszcza którego uczono, że męczyzna

niczego się lękać nie powinien, czekały więc tylko niecierpliwie końca całej przygody.

— Zdaje mi się, że ojciec już z ludźmi wraca — rzekła Malwinka, wyglądając po chwili.

— Gdzieżby tak prędko — odparła mama — wszak dopiero co odjechali.

— Ale wracają — rzekł Adaś — bo od strony lasu zbliżają się ku nam jakieś ogniki.

— Ogniki — zawołała mama zdziwiona i przerażona zarazem — ależ to muszą być chyba wilki; tak, nie inaczej, widzę, jest ich pięciu!

Dzieci pobladły mocno, zachowały się przecieź spokojnie; tymczasem mama zamknęła drzwiczki karety na zasuwki i spuściła story zasłaniające szyby. W karecie zrobiło się ciemno zupełnie. Wkrótce potem naraz rozległy się dzikie wycia wilków, które otoczyły karete.

Obiegały ją dokoła a następnie poczuwszy że w tym nieznanym im budynku mieszczą się ludzie, na których rzucają się chętnie w chwilach głodu, przypuściły szturm formalny. Drapały dokoła pazurami ściany karety, a w końcu gryźć ją zaczęły tak że słychać było trzask drzewa ustępującego pod ich ostremi zębami. Mama jak w każdym niebezpieczeństwie czynić zwykła, modliła się pocichu, ale teraz rzekła do dzieci, które się modliły również za jćj przykładem:

— Zdaje mi się że zanim ojciec przybędzie z pomocą, możemy być naprawdę w niebezpieczeństwie jeżeli zdołają nadwerężyć drzwiczki... Wiesz co mi przychodzi na myśl Adasiu, słyżałam, że muzyka działa na dzikie zwierzęta, tutaj zwłaszcza może być skuteczną, dla tego że nas jeszcze nie widzą, inaczej ani myśleć o czemś podobnem, bo rzuciłyby się na nas... Zagraj więc na skrzypcach...

Drżącą ze wzruszenia ręką wziął chłopczyk skrzypce i pomimo ciemności zagrał aryę z Halki: i oto, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskić, ucichły wycia i wilki dobijać się przestały. Po Halce poszły inne melodye; przebiegłszy cały swój repertuar muzyczny, biedny Adaś omdlał prawie ze znużenia, lecz za to wilki stały dokoła wśród uroczystćj ciszy. Nagle dał się słyszeć tentent kopyt końskich i jednocześnie dwa strzały przeszły powietrze.

— Ojciec, ojciec! — zawołały dzieci radośnie i po chwili znalazły się w jego objęciu.

Ojciec powracał z kilkoma fernalami, widząc zaś z daleka wilków, strzelił parę razy z rewolweru, który zawsze miał przy sobie i dwóch drapieżników zostało zabitych, a reszta powędrowała cwałem do lasu.

Fornale wyciągnęli prędko karete z śniegu i za kwadrans byli już wszyscy w Służewskim dworze. Teraz dopiero Adaś przypomniał sobie słowa matki zachęcająć go do nauki, która zawsze pożytek przynosi: gdyby nie gra na skrzypcach, którćj chciał zaniechać, Bóg raczy wiedzieć czy ojciec znalazłby jego, mamę i siostrę przy życiu! Odtąd więc postanowił Adaś korzystać ze wszystkich udzielanych mu nauk, grze na skrzypcach poświęcił się z zapalem i etiuda po świętach poszła mu wybornie.

*Drugie i pierwsze* — to skarb gospodarza;  
*Wszystko* dochodu gosposi przysparza.

### Łamigłówka kryształowa.

(od Rosiczki z nad Rowu dla Brzózki z gub. podols.)

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak domowy. 3. Rzeka we Francyi. 4. . . . . 5. Minerał. 6. Przymiotnik rodzaju żeńskiego. 7. Samogłoska. Rząd środkowy i środkowe litery w kierunku pionowym i poziomym, utworzą imię bohaterki powieści, w Wieczorach drukowanej.

### Skrzynka do listów.

Pani Solickiej w Dubnie. Żądane pismo zaprenumerowane i książki wysłano, z pozostałych kop. 50 dano 20 za przesyłkę pocztową, która nie była rachowana.

Wszystkie młodsze i starsze przyjazne „kochanej pani” osoby są nam równie miłe, a do takich liczymy Kalinkę. Wieczory posyłałyśmy bez przerwy, ale je nam z poczty zwrócono z powodu nieobecności adresantki. Obecnie wyszłyśmy powtórnie brakujące numera, prosimy tylko, aby je nam wymienić.

Ależ pragnę, i bardzo nawet gorąco, miła **Gospośiu z Białodolnej**, być zawsze „kochaną” dla ciebie i siostrzyczek twoich, równie jak dla wszystkich naszych młodych przyjaciółek. Wieczory według życzenia mamy, posyłać będziemy.

Biedne dzieci dziękują serdecznie za pamięć dziatwy z Idzikowic i Komeic i modlą się za nią bardzo gorąco.

**Niezabudka z nad Chomoru** trafnie odgadła szaradę i zagadkę.

W **Trawce stepowej** chętnie witamy nową korespondentkę i Gołąbka przesyła jej uściśnienie.

**Kameleon** niech do liściku swego zastosuje to, co pisaliśmy już nieraz o podobnych korespondencyach.

Tak, to aż miło, **Gwiazdo!** Świeć jasno pogodnie równym zawsze blaskiem i jak Gwiazda prawdziwa nie schodź nigdy z wytkniętego ci toru obowiązków, a tęsknice nie będą miały do ciebie przystępu. Serdecznego słowa i życzliwej rady zawsze możesz się od nas spodziewać.

Droga **Wesoło Krakowianko** nie było sposobu zadość uczynienia twemu żądaniu. Gdy list twój nadszedł, numer już był wydrukowany.

**Laureatce i Gwiazdzie Polarnej** podziękowania przesyłamy za życzenia. Tak, w istocie, okazywane nam przywiązanie przez tych, dla których pracujemy, uważamy już sobie „za błogosławieństwo Boże” dla naszej pracy. To plon najmiłszy!

W imieniu Gołąbki pocztowej dziękujemy **wszystkim** kochanym korespondentkom, które jej przesyłają życzenia i uściski osobne podziękowanie należy się Barwinkowi za bukiet z nadbałtyckich rozlogów.

Kochany Kwiatku Granatu! Dla czego dotąd nie pisałaś? napisz radzę ci, ale zmień pseudonym mężki na żeński, bo cię w redakcyi wezmą za chłopca. Co ci się najwięcej w „Wieczorach” podoba? mnie „Szesnastoletni wojewoda.” Czy ci się podoba „Prawdziwe bogactwo”? Czy już czytałaś pismo, które ci posłałam? jest ono bardzo zajmujące. Ucałuj odemnie czarną Koteczkę, namów aby pisywała przez „Wieczory”. Ucałuj moją kochaną pannę K. po tysiąc razy. Odpisz prędko; ściskam cię serdecznie, *Czapla z nad Pohanki.*

Kochane moje: Różycko biała z Wołynia, Niezabudko z nad Chomoru, Stokrotko z nad Stochodu, Kulko śniegowa i Topolko

srebrna. Dziękuję wam bardzo za wasze miłutkie liściki i przepaszam, że tak długo nie odpisywała. Pytasz, Różycko co porabiam: Uczę się, szyję, uczę młodszą siostrzyczkę, nadto w wyznaczone dni biorę lekcye gotowania od kucharki niezmiernie gderliwej. A czasem zabawię się w sąsiedztwie. Tobie błękitny kwiateczku donoszę, że jestem niska, niezbyt szczupła szatynka, mam czarne oczy i gruby ciekawy nosek. Mam rok 16-ty. Wincentynko luba, bardzo mi się podobałaś, nazywam się Klewentyna, mieszkam w Lubelskiem. Kuleczko miluchna, z nauk najlepiej lubię historję i geografję. Donieś mi o sobie. Topoleczko miła już wszystko o sobie napisałam, dodam tylko, że cię bardzo polubiła. Całuję was serdecznie i czekam odpowiedzi *Jedlinka.*

Kochana Akacyo różowa, donieś mi jak zajechałyście do domu? Czy Zosia się bała w drodze? i czy jest jeszcze panna Stanisława? Chciałabym cię znów prędko zobaczyć, droga Kulko śniegowa. Wakacje smutno mi zeszyły, bez towarzystwa, bo mam tylko czteroletnią siostrzyczkę. Napisz mi ile masz lat i jak imię twoje. Ja mam lat 11 i imię Zosia. Czytać lubię wszystko co jest w „Wiecz. Rodz.”. Całuję was obie serdecznie, a ty Akacyjko ucałuj odemnie Zosię. Wasza *Śnieżna Jagódka.*

Orliczkę białą i Góralkę ściskam serdecznie i proszę a napisanie do *Śnieżnej Jagódki.*

Droga Topolko z Żytomierza! Dziękuję ci za liścik, który mię niewymownie ucieszył. Na imię mi Marylka, mam lat 13, jestem w 7-jej klasie nazwisko moje zaczyna się od E., mieszkam zaś w Krakowie. Jak ci się podobają „Podziemia barwałdzkiego zamku”? Bo mnie ogromnie, dla tego, że jest mowa o zbójcach, a ja przepadam za takimi historyjami. Posyłam ci szaradę, której redakcyja zapewne nie wydrukuje. Ściskam cię z całej siły *Gama C-dur.*

Kochana Ciociu Figo! Już od dwóch miesięcy jestem w Petersburgu, ale nie bardzo lubię to miasto, wołę wieś. Na imię mi Stefcia, mam trzynaście lat i chodzę do gimnazjum. Na jakiej ulicy mieszkasz? Ja na Targowej. Napisz mi cokolwiek o sobie. Może się znamy i do jednego gimnazjum chodzimy? Odpowiadaj prędko. Twoja *Śpiewna Lira.*

Kochana Litwinko z nad Szczary! Ucieszyłaś mnie bardzo swym listem, gdyż nawzajem czuję do ciebie sympatyę i proszę cię donieś mi, gdzie mieszkasz, jak ci na imię i ile masz lat? Ja mam tylko starszą siostrę Manię. „Wieczory” czytuję już cztery lata lecz dopiero drugi rok z niemi koresponduję, najwięcej mi się w nich podoba też sama powieść co i tobie, niezmiernie jestem ciekawa jej końca. Ściskam cię serdecznie wraz twoją siostrzyczką Wańdzią. Chętnie się zgadzam na twą propozycję i dawno już o tem myślałam. Ściskam cię wraz z Niezabudką czeską, *Niezapominajka z nad Warty.*

Najmiłsze moje: Kapłanko Znicza i Niezabudko z nad Chomoru! Wybaczcie że tak długo zwlekała z odpowiedzią z powodu choroby mojej mateczki. Donoszę wam, że mieszkam w głębi Polesia w Pińskim pow. niedaleko od sławnych błót tegoż nazwiska), w małym miasteczku, przędę 17-stą niteczkę życia, jestem jedy-naczką, na imię mi Wincentyna S. w skróceniu Wińcia. Gdzie mieszkasz miluchna Niezabudeczko? Jak ci na imię? Czekam rychłej odpowiedzi. *Stokrotka z nad Stochodu.*

Kochanym: Ukraince na Mazowszą, Czeskiej Niezabudce, Westalce i Jesieni szlę życzenia świąteczne, *Stokrotka z nad Stochodu.*

Kochana Różycko Biała z Wołynia! Jakże już dawno nie korespondowałyśmy z sobą od ostatniego widzenia się nie wiem co się z wami dzieje; co porabia Ł.? czy nie wybiera się do nas? Od tygodnia wyjechała nasza Francuzka, a w tych dniach ma przybyć druga. Czekam listu od ciebie. Serdecznie cię pozdrawiam *Niezapominajka z Polesia.*

Kochana Jasieni! Ściskam cię serdecznie. Droga Niezabudko, nie znasz mię, a ja przecież wiem o tobie. Jestem kuzynką Jaskółki z nad Ussy i Miski, a zarazem i twego młodszego rodzeństwa; liczę się do sędziwych staruszek. Czy odgadujesz moje nazwisko? Ucałuj odemnie ładne buziaki Gabryelki, Stasia i Anusi. *Sarenka z nad Moroczku.*



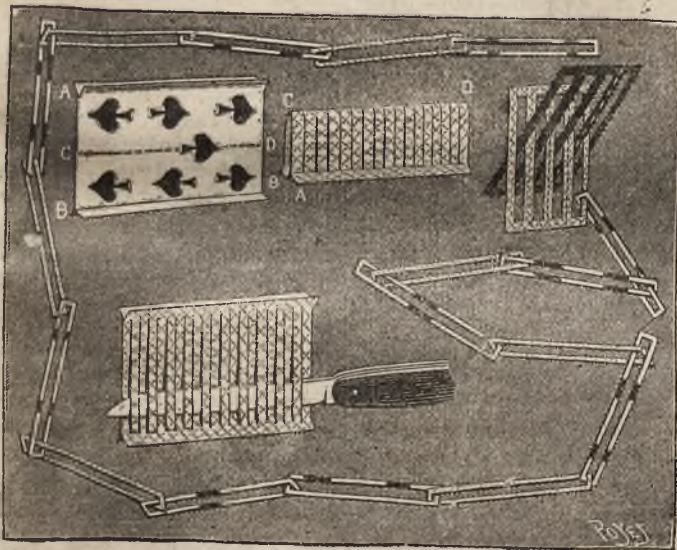


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### SZTUCZKA Z KART.

Długie wieczory zimowe uprzyjemniają różne gry i zabawki, a dobre są takie w których wyrabia się cierpliwość i zręczność. Jedną z więcej zajmujących jest utworzenie łańcuszka z ogniwek niczem nie spajanych, lecz wyciętych z jednej karty, jak nam to wskazuje powyższa rycina. Zadanie zdaje się być trudnem, prawdziwa łamigłówka, proszę jednak przeczytać uważnie jak się zabrać do rzeczy, a powodzenie jest pewne. Bierze się jakakolwiek karta od gry, lub równo przycięty kawałek brystolu; ponieważ papier karty, jako też brystol sklepany jest z cieńszych warstw, przeto nie trudno nam będzie za pomocą ostrego szczyrzyka rozpołowić

oba brzegi dłuższe, głęboko na dwa milimetry t. j. aż do linii, którą sobie w pierw ołówkiem naznaczamy. Rozdzielenie to ułatwi się, gdy poprzednio oba brzegi nieco zwilżymy. Następnie w poprzek karty naznaczamy ołówkiem odstępy również 2 milimetrowe, które rozcinamy szczyrzykiem, kładąc kartę na deseczkę, aby stołu nie zniszczyć; przy rozcinaniu tem jednak uważać należy na linie po brzegach naznaczone, poza które przekroczyć nie wolno. Teraz przekładamy ostrze szczyrzyka pomiędzy tak powstałe żeberka karty w ten sposób, aby gdy pierwsze jest pod spodem, następne przyszło na wierzch i powoli przecinamy papier u żeberka na spodzie, lecz tylko do połowy jego grubości, t. j. aby się złączyć z poprzedniem rozdzieleniem brzegów. Drugi brzeg tak samo przeciąć należy z tą tylko różnicą, że trzeba brać na wierzch ostrza szczyrzyka żeberka, które były przy pierwszem rozcinaniu na spodzie. Rycina nasza wskazuje, że powstaną w ten sposób jakby duże kraty jedna w drugiej. Teraz rozcinamy nożyczkami wzdłuż do samego brzegu każde żeberko kraty przez sam jego środek, a tak powstanie cały szereg ogniwek, które utworzą wspomniany wyżej łańcuszek.

### POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Szegeny legendy?... ach, to więc o to ci idzie? Nie bądźże dziwną kobieto! Cóż znowu, czy ty pandur (żandarm) jesteś żebyś miała przeciw „biednym chłopcom” powstawać? Jakto, czyliż Pan Bóg nie dla wszystkich ludzi stworzył las,

zwierzęta i ptactwo, więc jeżeli jaki „biedny chłopiec” zabierze na swój użytek wołu lub konia pasącego się na trawie, którą także Bóg stworzył, to cóż on tak złego zrobił?... a jednak pandury zaraz go ścigają, biedak musi uciekać do lasu, a gdy tam z biedy zdarzy mu się czasem co gorszego popełnić, to któż winien, czy on, czy ci co go ścigać i tropić kazali? Oczywiście, że nie on! „Biedni chłopcy” są to wszystko poczciwi chłopcy, przecież płacą hojnie jeżeli mają czym zapłacić w naszej czardzie co niedziela. Toż czego ty się boisz żeby się z dzieckiem nie spotkali? Nie rob też z chłopca tchórza i niezdary i pozwól mu jechać choć raz ze mną, a żwawo, bo wie-przowiny niema w domu ani kawałka, a tu jutro niedziela i ludziska gdy się zjadą, nie przestaną na baraninie i wołowinie samój.

— Szandor!... idź do domu, odziej się w ciepły kubraczek i zawiąż na szyję ten piękny nowy krawat z frendlami, który ci świeżo z jarmarku przywiozłam, a śpiesz się, kiedy pan ojciec tak każe! — zawołała gospodyni zmieniając nagle front. Chłopak poskoczył ku domowi uniesiony radością, ale poprzednio rzucił tak nie dziecinne badawcze spojrzenie na rodziców, że to zwróciło ich obojga uwagę. Zaledwo znikł we drzwiach, gdy kobieta sploniona ujęła się oburącz w boki i nagle zwracając się do męża zawołała przytupując gniewnie, z czysto madziarskim zacięciem:

— Słuchajno mój panie, czy ty chcesz żeby twój syn został *szegeny legeny*?

— Mój syn rozbójnikiem... kobieto coś wyrzekła! oby nie w złą godzinę! — zakrzyknął gwałtownie wstrząsając się cały. A żona na to:

— Aha!... teraz to wiesz jak rzeczy zwać po imieniu, a przy dziecku wygadawałeś Bóg wie co, jakbyś mu chciał umyślnie rozum pomącić! I ja litość czuję dla *szegeny legeny* i pewna jestem że oni nam ani dziecku nic złego nie zrobią, ani nam co porwą, chociaż bogatym ulżą worka a nieraz obedną i powieszą, ale dziecku o takich litościach mówić nie można, tylko trzeba czarne zwać czarnem a białe białem, a *szegeny legeny* rozbójnikiem i złodziejem, bo taka jest prawda!.. Inaczej, pamiętaj że dzieciakowi tak się wyobrażenia pomieszają, że nie potrafi wcale złego od dobrego odróżnić i jeszcze, Boże broń, może sam wejść na złą drogę.

— Dosyć! nie wymawiaj! dla Boga nie wymawiaj tego kobieto!...—cicho i pokornie ale z przerażeniem przerwał mają znowu — masz słusznosc, dalibóg; cóż kiedy ten chłopak jest taki czasem mądry, zupełnie jak dorosły, że się człowiek zapomina i jak ze starym z nim rozmawia...

— A to właśnie dla tego że pomiędzy dorosłymi się chowa, a w niedzielę słyszy co wygadujecie wy starzy, *szegeny legeny, kanasze, czikoso* i wszyscy inni ze stepów, gdy się zjedzą, choć o ile mogę trzymam go przy sobie albo spać układam.

— To może lepiej niech i teraz do lasu nie jedzie?..

— Byłoby lepiej, ale kiedyś tak już raz rozporządził, to musi jechać, aby przedewszystkiem wiedział że co pan ojciec powie, to święte!..

— Już, już gotów jestem! — zawołał w tej chwili Szandor zdyszany, czerwony, wypadając z hałasem z drzwi domostwa. Miał na sobie dostatni kubraczek kończąc go wciągać na rękawy, na głowie świetny swój kapelus, a w zdrowych białych zębach, nie mogąc z pośpiechu inaczej, trzymał ostrożnie wspaniały swój krawat... jaki noszą po większej części wieśniacy z okolic Jaszbereny, który dla swojej świetności podoba się w ogóle młodzieży. Przepyszny krawat z jedwabiu i krepy jedwabnej, czarny, obsyty suto złotą frendlą, długi, ze spadającymi końcami w kształcie szala. Biegając prosto do matki po wykończeniu stroju, chłopak znowu bystrem spojrzeniem badał rodziców. Pewny był że na to go wysłano aby się swobodnie rozmówić i drzał żeby w skutek tej rozmowy, nie przepadła zamierzona przejażdżka. W smutnej tej obawie utwierdziła go zakłopotana mina ojca, bo co do matki, ta zawsze miała mniej więcej nie wojowniczą, wprawdzie, lecz zwyciężką postawę. Wszak wiadomo, że pomimo rzeczywistych cnót domowych Madziarek, żaden

naród nie wydał tyle amazonek co madziarski, bo wiele z tych kobiet od niepamiętnych czasów walczyło w szeregach żołnierzy obok ojców, mężów, braci...

Matka zajęła się żwawo ubraniem Szandora, mianowicie zawiązaniem cudnego krawata, w dwie olbrzymie kokardy pod brodą, z pod których jeszcze ogromniejsze dwa sute końce ze złotymi frendlami spadały na piersi, do samego pasa nieledwie!

— Ach!... — krzyknął radośnie malec i pocałował matkę całowając gwałtownie, to w jedną to w drugą rękę, tak z powodu owego krawata, jak i dla tego że wycieczka widocznie miała mieć miejsce, pomimo skruszonej miny ojca. Po chwili namysłu gospodarz podniósł głowę i rzekł gdy matka uściskiem wzajemnym zakończyła graniczące z szalem pieszczoły malca.

— Szandor, słuchajno! — dzieciak wyprostował się nagle i opuszczając w dół ręce a głowę wznosząc do góry przystąpił do ojca patrząc mu bystro w oczy. Nikt go nigdy ruchów tych nie uzył i chłopak sam ani się domyślał ile w nich było czysto żołnierskiej służbistości i fantazyi mianowolnej zarazem, zaznaczonej miarowem pobrzękiwaniem ostróg. Madziary jak przed wiekami są dotąd narodem złożonym z żołnierzy, zwłaszcza mieszkańcy stepów, wśród których żył Szandor, zapatrując się bezwiednie na butnych i dzielnych gości, napełniających co niedzielę gospodę.

— Jedziesz po raz pierwszy do lasu Bakony, chłopcze, pamiętajże sobie, iż to wszystko co przed chwilą mówiłem o „biednych chłopcach” to tylko żartowałem, tak jak my starzy ludzie żartujemy nieraz przy ognisku; prawda zaś jest że każdy prawie *szegeny legeny* jest albo rozbójnik albo złodziej, chociażby lada kogo zabił, albo konia porwał ze stepu. Wiedz bowiem że nikomu zabierać życia nie można, zaś brać sobie na własność wolno to tylko co człowiek sam sobie zapracuje, albo czem go rodzice lub kto inny życzliwy obdarzy. Zrozumiałeś? Będziesz pamiętał?

— Zrozumiałem, będę!

— No, to dobrze, bo matka dla tego lękała się puścić cię do Bakony, żebyś nie uwierzył, temu coby ci *szegeny legeny* inaczej mówili, jeżeli ich spotkamy!

— Oho!... niech poczekają aż uwierzę. Przecież matka dawno mi już to samo mówiła! — odparł mały nie spuszczać oka z ojca, który, chcąc zaznaczyć wybitniejsze wyrazy swęj perory, przy każdym silnie sobie potężnego węża w górę podkręcał. Nikt nie wiedział że Szandor oddawna już studyował ten czysto madziarski ruch na własnej swojej wierzchniej wardze... I otóż teraz zapatrzony na ojca, biedaczek zapomniiał się zupełnie, i niechcący w naturalny zupełnie sposób podniósł rączkę i podkręcił sobie poważnie wąż... nie istniejący jeszcze. To było za wiele, nawet dla zwykłej powagi pana domu. ojciec roześmiał się w głos; matka śmiejąc się pochwyliła synka znów w ramiona, i ściskając, posadziła na węgierskim wozie, zaprzężonym w cztery dzielne konie, którym Janos właśnie zajechał z poza domostwa, i śmiał się także widząc co zaszło.

Na ten raz chłopczyną doskonale zrozumiał przyczynę ogólnego śmiechu, zacerwienił się okropnie i chwytając matkę oburącz, ukrył twarzyczkę na jej piersi. Uściski przecież prędko go pocieszyły, więc odważył się jednym okiem figlarnie popatrzeć na otaczających i skrył znowu twarzyczkę jak wprzód, uśmiechając się teraz już także, sam z siebie.

— Kto ciebie nauczył węża pokręcać? — pytano.

— Ja sam... nikt... — odszepnął.

— Jakim sposobem?

— Patrzyłem w małe zwierciadełko tam w matczynej izbie, i próbowałem żeby tak pokręcać jak pan ojciec... już dawno umiem.

— I pocóż to kiedy ty jeszcze wężów niemasz?

— Ale za drugie ośm lat przecież urosną?... to już wtedy będę umiał!..

Wśród tej gawędy i pieszczoł z jedynakiem, matka sadowiła go w najlepszym miejscu na wozie. Ojciec opatrywał baczenie wóz i zaprząg, różne sznury i naczynia, poczer-

siadł obok syna, Szandor jeszcze raz uściśnął matkę, oddalając się od niej poraz pierwszy w życiu, Janos parobczak rozwinął bat, ale ani dotknął nim koni, tylko cmoknął, wstrząsnął cuglami z lekka, i dzielna ognista czwórka wionęła z wichrem na przegony, w step...

Stojąca przed czardą matka, głęboko pobożna jak wszystkie Madziarki, przeżegnała odjeżdżających. Potem długo stała w miejscu jak wryta, mimo nawału dzisiejszej sobotniej w domu roboty; stała goniąc okiem podróżnych, aż znikli w bezdni blasków i barw igrających na zielonym stepie, równym jak taneczna sala bezgraniczna, zalany powodzią złotego światła słonecznego. Nareszcie, wróciwszy do roboty ze zdwojoną gorliwością, aby czas stracony nagrodzić, jeła przytem gospodyni tak ostro napominać i pędzić do pośpiechu pozostającą służbę, że ta odrazu szeptać zaczęła między sobą:

— Oho!... tęskno gospodyni okrutnie za pieszczochem...

## II.

Pędzi czwórka tabuńskich koni, chudych na pozór, ale wytrzymałych i żwawych aż do szału. Powozi parobczak Janos w kapeluszu z piórem, kwiatami sztucznymi i wstęgą, z wielkim wąsem zakreconym w górę, w butach z ogromnymi ostrogami, z długim biczem przystrojonym w rzemieńne czerwone kokardy, nabijanym suto mosiadzem w różne wzory. Na wozie siedzi gospodarz i oburącz trzyma pod pachy Szandora: bo małeć krótką tylko chwilę podczas wyjeżdżania z zagrody siedział tak, jak go matka usadowiła. Ledwo wyjechawszy, Janos jął palić z bicza raz po raz, jakby z armaty strzelał, i równie donośne wydawał okrzyki podbudzając konie do biegu. Gnały też jakby wpół oszalałe, jakby z ptakami chciały się ścigać. Więc oczywiście zerwał się Szandor i stojąc machał ramionami jak skrzydłami, pokrzykując także z całej siły. Uniesiony radością chłopak w istocie czuł jakby mu skrzydła wyrosły. A w około step bezbrzeżny zielony, widnokrag bez granic ni końca. Szandor leciałby tak bez końca także, nawet o matce zapomniał w tej chwili, klaszcze w ręce krzycząc radośnie, gdy ogromne stada dzikiego ptactwa zrywając się do lotu z bagnistych miejscami sitowi, spłoszone szaloną jazdą. To są dropie, dzikie kaczkę i gęsi; nawet żóraw i pelikan przywędrowawszy od jeziora Balatonu, pojawiają się czasami. Poważna czapla stoi tu i ówdzie nad wodą, ani myśląc się płoszyć, za to też Szandor kłania się każdej zamaszysto kapeluszem, w dowód uznania dla jej rozsądku. Czasem górą przeleci jastrząb, bażant, sęp, orzeł, sokół. Nagle step przed końmi staje się białym..

— Co to? Czy to śnieg? Co to jest ojciec? Przed nami śnieg a trawa za nami?

— Co znowu chłopcze, nie znasz to bydła? Wszak i nasze domowe ma sierść białą, tylko tutaj jest tego wielkie mnóstwo i dlatego tak ci się wydaje z daleka. Jest tu nawet i znane tobie *gulya* ze swoimi *gulyasami*, toż samo stado i ciż sami pasterze, którzy pod zimę zbliżają się do naszej czardy, gdyż im zdaleko do wsi i do lasu, i zimą to byłoby w zagrodzie bez dachu w pobliżu nas, czy nie wiesz?

Chłopak nie odpowiedział, nie słysząc podobno co doń mówiono, zapatrzonej w całkowicie już teraz biały step, bo rozigrana czwórka wpadła w pośrodek tych niezliczonych prawie stad białego bydła, dzikiego nieledwie zupełnie, które nigdy nie zna jarzma, ani powróśla, ani dusznego powietrza obory. Chmary tych ogromnych silnych zwierząt pierzchały jak szalone przed podróżnymi, gdyż znają tylko swoich *gulyasów* wolarzy, i białych psów swoich im jedynie pozwalają zbliżać się do siebie. Jeden i drugi *gulyas* z białym psem u nogi stał tu i ówdzie w płaszczu długim siwej barwy, wyszywany zrzynkami sukna w jaskrawe kwiaty, tulipany zwłaszcza; z toporkiem oprawnym na długi kij w rękę. Kłaniali się kapelusząmi podróżnym, a Szandor kłaniał im się wzajemnie, machając kilkakrotnie kapeluszem, aby przecież widzieli jego świetne przystrojenie. I nagle wszystko zniknęło, zielony step ogarnął rozpedzoną czwórkę taki głuchy, że

Szandor aż się zdumiał na tę zmianę i przestał pokrzykiwać, a wtedy wśród ciszy doleciał doń huczny brzącający śpiew, znany mu, bo brzmiał często choć nie tak potężnie w rodzicielskim domostwie.

— *Czikosy!* — zakrzyknął dzieciak; uwielbienie drgało mu w głosie, zapał gorzał w oczach. *Czikosy* pasterze koni, najdziksi bodaj, ale z pewną dozą szlachetności, najburzliwsi, najpiękniejsi i najstrojniejsi z mieszkańców puszt, byli ideałem Szandora. Obejrzał się więc naokół czy nie ujrzy śpiewaków, a wtem zaszumiało w zielonym stepie jakby huragan się zerwał, pociemniała zieleń i cały ten step runął ku rozpedzonej czwórce, tętent jak sto grzmotów i rzenie napęliły przestrzeń: to dzikie konie z rozpuszczoną na wiatr grzywą, zbiegają się tłumami witając swych ujarzmionych towarzyszy. Dzielna czwórka radosnem rzeniem odpowiada na serdeczne powitanie, ale pędzi wciąż, potrzebując dumnie głowami, unosząc wóz jak piórko, zdaje się owszem zdwajać biegu, jakby popisywać się chciała. Jakoż mnóstwo rumaków zaczyna z nią pędzić w zawody, to istny wyścig. Janos nie podnieca już teraz swych koni, tylko rozpiera się w wozie umacniając na nogach, odwracając chwilami głowę na jedno mgnienie oka, woła;

— Szandor, cicho! a krzepko trzymaj się wozu! Oj Szandor! — Próżne ostrzeżenie: wóz ulatuje prawie, a Szandor wychyla się zeń tracąc rozum z radości, klepie i głaszcze stepowców zbliżających się tak, iż ich dosięść może, wydając pełne uniesienia okrzyki. Wypadłby dziesięć razy pod kopyta, gdyby ojciec nie trzymał go, ze wszystkich sił przycisnąjąc do piersi.

(d. c. n.)

## APOSTOŁ TRĘDOWATYCH.

Na oceanie Spokojnym, pomiędzy Ameryką i Australią, leży gromada wysp Sandwichskich, z których jedna wyspa Molokai, wybrana została przez rząd miejscowy na przytułek dla trędowatych. Trąd straszliwa owa plaga, z tak przerażającą prawdą opisana w „Brankach w jasyrze”, szerzy się nieubłagalnie pod pogodnem niebem tamecznem, na ziemi, którą prześlicznie stroi bogata roślinność podzwrotnikowa, w klimacie tak rozkosznym, jak mało który... Szerzenie się jej tem jest groźniejsze, że jedna to z najzaraźliwszych chorób i dlatego rząd wysp, chcąc o ile możności zapobiedz klęsce, dziesiątkującej ludność, odosobnia chorych na wspomnianej już wyspie Molokai, przewożąc ich tam gwałtem, jeżeli dobrowolnie przewieźć się nie dają.

Łatwo więc sobie wyobrazić, jak strasznym musi być pobyt wśród potwornie zeszepeczonych chorych, jak nadludzkiego trzeba poświęcenia, aby dobrowolnie wśród nich zamieszkać, jak prawdziwie chrześcijańskich uczuć pełne mieć trzeba serce, aby całe życie poświęcić służbie tych, którzy odcieci od świata żyjących, nic prócz cierpienia i śmierci nie widzą przed sobą. Temu, który się na podobne poświęcenie zdobył, słusznie należy miano Apostoła trędowatych, miano pod którym cały świat chrześcijański uwielbia dzisiaj „Ojca Damiana”, Józefa de Veuster, zakonnika klasztoru OO. Misjonarzy.

Urodzony w Belgii w r. 1840, młodo się poświęcił służbie Bożej i nie wyświęcony jeszcze na kapłana, udał się w zastępstwie brata do wysp Sandwichskich, gdzie udzielał słów nauki i pomocy religijnej dość liczny tam katolikom.

Podczas ciągłych wędrówek wypadło mu udać się i na wyspę Molokai i tam, wzruszonia widokiem tyłu nieszczęśliwych, powziął zamiar pozostania wśród nich na zawsze. Biskup Maigret, którego pasterskiej wizycie towarzyszył do trędowatych O. Damian, pobłogosławił młodego kapłana na żywot poświęcenia i O. Damian nigdy już odtąd nie opuścił wyspy, na którą przybył w maju r. 1873. Że zaś umarł dopiero w kwietniu, lat zatem 16 pełnił apostołski swój za-

wód, niosąc pracę swoją i życie w ofierze ludziom złym bo wszelkiej nadziei pozbawionym, zepsutym i zgorzkniałym, bo odsuniętym od rodziny, od obcowania z bliźnimi od wszystkiego co jest życia rozkoszą i uśmiechem...

Dobrocią i łagodnością poprawił ich i zmiękczył O. Damian, a praktycznym rozumem swoim i energią, obmyślił środki ulepszenia ich bytu. Oprócz kościoła, wznosił dla nich zdrowe i obszerne pomieszkania, hojnie zaopatrzone w wodę, którą z pobliskich źródeł przeprowadził, słodził im jak mógł życie, pocieszał i krzepił w chwili śmierci, był im ojcem duchownym, bratem, towarzyszem i razem gospodarzem najlepszym. Odrodził ich moralnie i materyalnie, to też niebawem podróży, zwiedzający od czasu do czasu wyspę Molokai, podawać zaczęli do dzienników wieści o O. Damianie, o którym wspomiano tylko dotychczas w „Rocznikach misyjnych” piśmie wyłącznie poświęconem sprawozdaniu z działalności Misyjonarzy.

Dzienniki to angielskie najgorętszem się przejęły uwielbieniem dla Misyjonarza katolickiego, a angielski proboszcz jednej z parafij londyńskich zebrawszy wśród swoich parafian dość znaczną sumę przesłał ją O. Damianowi dla trędowatych, z listem, wyrażającym uczucie czci i podziwu należnego bohaterowi miłosierdzia.

Na list ten odpowiedział O. Damian z prostotą prawdziwemu bohaterstwu właściwą, i pozyskawszy odtąd w p. Chapmanie gorącego wielbiciela, nieraz odbierał od niego znaczne zasiłki zebrane drogą składek. Sam trędem już dotknięty, nigdy jednak niczego nie potrzebował dla siebie, wspierał tylko nędzę chorych swoich, których kochał tem więcej, im więcej dla nich ofiar ponosił.

W r. 1888 odwiedził go Anglik, niejaki Clifford, który przywiózł mu mnóstwo darów złożonych dla trędowatych przez ludzi chętnych do świadczenia miłosierdzia, Ten to właśnie p. Clifford, naoczny świadek działalności O. Damiana, z rozrzewnieniem i podziwem o nim mówi, że „zawsze jest zadowolony, wesoły, ujmujący w obejściu, pełen prostoty, zręczny, niezmordowany w pracy, cieśla mularz jakich mało, a rachmistrz przytem wyborny! Wygląda na człowieka istniejącego szczęśliwego...”

I w samej rzeczy *szczęśliwym* być musiał O. Damian, bo czyż jest większe szczęście nad zapomnienie o sobie i ofiarną służbę ludzkości?

W ostatnich latach pomogli mu w pracy dwaj zakonnicy Misyjonarze, przykładem jego do ofiary zachęceniu, oraz trzy zakonnice Franciszkańki. Tak kapłani jak i Siostry, żyją w ciągłym zetknięciu z chorymi, pielęgnują ich do ostatniej chwili, sami kładą do trumny i grzebią; prawdopodobnie więc prędzej czy później, ulegną trądowi tak, jak uległ mu O. Damian. Lekarstwo przywiezione p. Clifford'a przyniosło mu na razie pewną ulgę, ale nie mogło wyleczyć go stanowczo. W ostatnich dniach marca roku 1889-go zaczął przygotowywać się na śmierć, ze spokojem i cierpliwością prawdziwie chrześcijańską. Tyle pieniędzy rozdawszy pomiędzy chorych, tak nic dla siebie nie zachował, że na ziemi leżał jak nędzarz, zaledwie po usilnych naleganiach udało się skłonić go do przyjęcia łóżka. Dnia 15-go kwietnia powołał go Bóg do siebie, a śmierć mu zesłał spokojną i lekką, jak sen przychodzący cicho. Pochowano go pod drzewem, pod którym w pierwszych czasach swego pobytu na wyspie, nie mając jeszcze mieszkania, nie jedną noc przepędził, a mogiła ta na odludnej wyspie oceanu rzucono, jest womowym dowodem, do jak szczytnej wielkości moralnej dochodzi człowiek, który nie dla siebie żyje i wyżej ponad wszystko doczesne stawia spełnienie *dosłowne* przykazania: „będziesz miłował bliźniego, jak siebie samego.”

## ZUCHWAŁSTWO UKARANE.

— Proszę dalej panienci, śmiało kuzyneczki!  
Mówił gąsior, do strojnych w szare sukieneczki  
Czterech gąsek naiwnych, co o słońca wschodzie  
Wybrały się z krewniakiem w podróż po ogrodzie.

— Niema tutaj nikogo, do mnie park należy,  
I ta struga srebrzysta która przezeń bieży,  
Ponad strugą jest mostek rzucony z niechcenia:  
Pyszne miejsce na kąpiel i gęsie marzenia!

— Gę, gę, gę!... — zawołają chórem gąski młode  
Idźmy przez most kuzynku, górą ponad wodę...

Lada kaczka do wody dąży z minką chmurną,  
Lecz my, gęsi!... wolimy, zawsze chodzić górno!  
Zatem wchodzi na kładkę gąsior, potem gąski  
„Gęsiego” zamyślają isé, bo mostek wązki...

A wtem na tenże mostek lecz z przeciwnej strony  
Wszedł młody psiak i idzie mocno zamyślony...

— Usssstap!... bo ja tu idę! — zły gąsior zasyczy

— Wrrr!... — zawarczy cofając się pies ogrodniczy,  
Czego syczysz gadzino? Ja radbym żyć zgodnie:

Ty bokiem idź, ja drugim, a przejdziem wygodnie!  
Lecz psia skromność podnieca zuchwałstwo gąsiora,

Sądząc że to na popis przed gąskami pora

— Usssstap! — syknie raz jeszcze jak gad, jednocześnie  
Rzucając się na psiaka by zranić boleśnie...

Ale pies, chociaż młody, był dobrego rodu  
I we krwi miał tradycje kielkujące z młodu.

Jak ojce brali wilki broniąc wierni dwora,

Tak pies napastowany, pochwycił gąsiora,

Za głowę, aż chrupnęła... gęsi znikły w wodzie,

I tak się zakończyła podróż po ogrodzie...

## OPOWIADANIA ISLANDCZYKA.

(Dokończenie).

### III.

Zamiast do celu naszej podróży, burze zagnały nas na ląd stały północnej Ameryki, zład dostałem się w ponure, obszerne przestrzenie, gdzie ciśnie się czerwono-skóry dziki tuziemiec, w miarę jak zmuszony jest ustępować przed przemocą nowszych przybyszów, rozpościerających się coraz dalej w pięknych, żyznych, lesistych, obfitujących w zwierzyne okolicach, mniej północnych. Na ten raz byłem z towarzyszami podróży i wiedziałem gdzie jestem: znajdowaliśmy się w świeżo urządzonej Brytyjskiej Kolumbii, nad brzegami rzeki Kolumbii. Przybyliśmy tam wraz z łosiosami chociaż z innej strony. Znaczy to, że poznałem Indian Kolumbiijskich w miesiącu czerwcu, który jest dla nich chwilą żniwa, mającego zaopatrzyć ludność całą na cały rok w chleb, bez którego umrzećby z głodu potrzeba: chlebem tym jest łosoś. Z oceanu Spokojnego, w miesiącu czerwcu łosoś napływa na fale rzeki Kolumbii i jej przypływów, a z nich dostaje się bardzo daleko w górę mniej znacznych nawet strumieni, roznosząc w głąb obszarów pustynnych radość, szczęście, nadzieję.. co znaczy: żywność na cały rok. W okolicy, w której przebywałem w strumieniu dość obfitym i głębokim, który jednak był tylko dopływem dopływu Kolumbii, roiło się takie mnóstwo łososi, że łowił je kto żył, bez sieci, bez wędki po prostu za pomocą mocnego kija, na którego końcu przytwierdziło się duże gwóźdź w kształcie haczyka: haczykiem tym uderzywszy z góry zręcznie a silnie rybę, wyciągało się ją na brzeg jak swoją. Z przyrządzeniem na zachowanie także nie wiele jest troski, daleko mniej niż u nas z dorszem prawdziwym, po prostu suszy się rybę na wietrze rozplatawszy odpowiednio i koniec na tem. O takim zbytku i takiej skomplikowanej manipulacji jak sól i solenie, nikt tu ani pomyśli.

Łowiliśmy także inną rybę zwaną ryba-świeca. Jest ona podobna do gadziny, a łowi się tak niezmiernymi chmarami, że nawet ja, Islandczyk nie rozumiałem potrzeby takich zapasów. Zrozumiałem dopiero zimą, którą trzeba było przebyć w chacie, jaką pozwolono nam sklecić sobie. Zima jest tu długa jakby skończyć się nie miała, ciemna jakby słońce zakryło oczy nie chcąc patrzeć na nędzę ludz-

Wtedy wysuszona starannie ryba-świeca tłusta jak wszystkie ryby morskie, przewleczone pasmem sitowia od ogona aż do głowy, zapala się u głowy, stawia w lada czem i pali się jak najdoskonalsza świeca, dając możliwość zajęcia się pracą i przynosząc tę niewypowiedzianą ulgę, jaką daje światło ludziom pogrążonym w ciemnościach.

Ta sama ryba uwędzona jest także doskonałym, bardzo smacznym jedzeniem; a wyciskając ją silnie, otrzymuje się z niej wyborną oliwę. Żeby zaś przechować tę oliwę zebrałiśmy dziwny rodzaj porostów morskich, których korzenie dają się wydrążyć i stosownie rozciągnąć i wyciągnąć tak, że doskonale zastąpić mogą butelkę i służyć tak jak tykwy

i mróz ścisnął taki, że nie było co o tem myśleć; trzeba było więc zostać gdzie nas mróz zastał i przyjąć miejscowy sposób istnienia, aby wytrwać. Tymczasem w końcu października, kiedy mróz dochodził do 40 stopni przybyli jeszcze jacyś podróżni i udali się w dalszą drogę, ale zatrzymali się u nas, aby wziąć stosowne odzienie, że zaś byli to nielada podróżni, nie tacy jak ja nędzarze do gniazda tęskniący, lecz uczeni panowie znoszący trudy dla dobra nauki jedynie, zatem za duże pieniądze i za pomocą papierów nakazujących wszędzie wielkie dla nich wzwględy zostali zabawnie coprawda, ale istotnie ciepło ubrani. Jeden z nich miał na sobie np. mundur ciepły, a na ten mundur włożono mu rodzaj koszuli



Zuchwalstwo ukarane.

u innych ludów. O!... czerwone-skóry w Kolumbii przynajmniej przy łosiosiu i rybie-świecy nie mogą jeszcze skarżyć się na losy, a przecież prócz tego mają oni i drzewa jakich w Islandyi niema. Jednak ja wolę Islandyę.

Trudno się było z Kolumbii wydostać i trzeba było albo iść w stronę, w którą się nie wybierałem, albo pozostać. Że zaś pozostać nie chciałem, więc zamiast w prawo udałem się w lewo, gdy taka zdarzyła się sposobność i zamiast bliżej moich, znalazłem się jeszcze dalej choć cieszyłem się nadzieją, że dłuższą drogą przedźję do nich zawitać: po wielu przygodach stanąłem niedaleko ujścia rzeki Kołomy, wpadającej do morza Lodowatego w Syberyi wschodniej, gdzie żyją ludzie zwani Jakuci, ale sami siebie nazywają Sachaj.

#### IV.

Przybyliśmy do Jakutów w miesiącu sierpniu z zamiarem posunięcia się dalej na zachód, ale rzeki nagle zamarzły

z rękawami i coś podobnego do kirysu, jedno i drugie podbite lisami. Na nogi włożono mu wielkie kamasze zajęcze, a na stopy dwie pary najprzód giętkiego obuwia ze skóry renów, i bóty także z rena, sięgające powyżej kolan. Na to wszystko wpakowano mu jeszcze na całą jego postać dosyć wysoką, coś podobnego do worka z rękawami i z kapiszonem do zakładania głęboko na głowę, a całe to odzienie było zrobione z podwójnej skóry renów tak, że futro jedno szło włosem do ciała, a drugie na zewnątrz. Prócz tego jeszcze przypiecziano mu kawałki futra na czoło, na nos, na podbródek, na uszy. Wszystko to uwiecznione było olbrzymią czapą. Że ów dygnitarz mógł się jeszcze z tem wszystkim poruszać, przypisuję to jedynie temu, że skóra rena jest bardzo gruba i ciepła, ale mimo to bardzo i wyjątkowo lekka.

Przeżyłem tu zimę straszną, której nawet wspominać nie lubię, dość powiedzieć, że brakło pożywienia nawet dla psów, a przecież pies tutejszy mało podobny do pieszczo-

chów starego ładu, nie wiele potrzebuje, a żywionym być musi, bo bez niego trudnoby istnieć człowiekowi, a na wyżywienie psa najkonieczniej potrzeba mniej więcęć, dzieńnie dziesięć śledzi. Pies tutaj jest więcęć wart niż pociągowe i robocze bydło gdzieindziej; tu gdzie ziemia nie wydaje nic prócz brusznicy, krzaków porzeczkowych i kilku krzewów dzikich innych, przy której to wegetacyi ziemia rozmarza jedynie na powierzchni. Bydło przeto tam istnieć nie może. Zastępują je psy, posłuszne, dzielne potężne, a prztem przywiązane do człowieka jak żadne inne zwierzę nie bywa; one dźwigają ciężary, pod któremi wół by się ugiął, zaprzęgane bywają do sanek jak konie pocztowe, a pędzą z sankami jak wyścigowe konie. Bez psa cóżby upolował, i jakżeby przywiózł mieszkaniac tamtejszy swą zdobycz do siedliska?

Na polowaniu czasem, ale czasem tylko zdobywa się łosia, rena, lub niedźwiedzia, a wtedy wypadek taki jest faktem pamiętnym dla rodziny całej, gdyż nie zdarza się to dość często, aby spowszednieć mogło. Nigdy nie zapomnę z jakim utęsknieniem wyczekiwałem odwilży, która rozkuwając lody, daje konieczne pożywienie psom i ludziom, pozwalając łowić rybę. W maju nastaje lato i trwa około trzech miesięcy; w czerwcu, a potem we wrześniu są tutaj rybackie żniwa, w czasie których robi się zapasy dla ludzi i psów na cały rok; a tymczasem zjada się na codzienną strawę najpyśniejsze ryby, stanowiące przysmak smakoszków, żyjących w stolicach świata. Tylko, że ryby te przyrządzone po tutejszemu, co znaczy rozprażone w jakibądź najpierwotniejszy sposób, ani podobne są do przysmaków, jakie umieją z nich sporządzać ludzie, znający się na rzeczy gdzieindziej.

W czerwcu udam się w dalszą drogę... zawsze dalej dalej do... królestwa niebieskiego...

## UPIÓR.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Smutnem następstwem słyszanych w dzieciństwie od piastunek naszych bajek i innych wytworów, rozbudzałęć wyobraźni, jest skłonność do wierzenia w zjawiska fantastyczne, która się często w dzieciach rozwija i jeśli nie jest wykorzeniona późniejszym wychowaniem, wywiera wpływ na całe ich życie. Ja także miałem piastunkę, która niesfornego a pomimo to chętnie słuchającego jęć opowiadań chłopca, karmiła bajkami, zawierającemi w sobie prawdziwą truciznę dla młodego umysłu. Z tego powodu ślepo wierzyłem w rozmaite nedorzecznosci, w czarownice, o których, drząc cała, opowiadała mi stara Janowa, że w sobotę w nocy jeżdżą na miotle na Łysą Górę, że porywają małe niegrzeczne dzieci i unoszą je z sobą dla pożarcia w wesołem towarzystwie złych duchów. Wierzyłem, że upiory, powstając nocną porą z grobów, napastują przechodzących obok cmentarzy ludzi, których trupy później znajdowano porzucone na drodze. Wierzyłem jeszcze w inne zabobony, lecz wypadek, który zdarzył mi się w mojej młodości, na zawsze mnie z tej wiary uleczył. Opowiem go dla przestrogi młodych moich czytelników.

Kończyłem już czternasty rok, a mimo to bynajmniej nie wątpiłem o wiarogodności słów mojej piastunki: jak najtroskliwiej unikałem zbliżania się do cmentarzy, nie wychodziłem nigdy z domu po północy; jeżeli mi się zdarzyło nie spać o fatalnej tej godzinie, to leżąc w łóżku otulałem uszy kołdrą, żeby nie stać się mimowolnym świadkiem strasznych rzeczy, które wedle opowiadań Janowej, miały ozwać się wtedy w kominie. Co się wcale nie zgadza z powyższem postępowaniem, ponieważ podobna wiara w zabobony wprost przeciwną jest religii, byłem jednak nabożnym, umiałem służyć do mszy św., na której zawsze w niedzielę i święta byłem obecny, umiałem doskonale na pamięć katechizm i już odbyłem był pierwszą spowiedź. Nigdy jednak nie przyszła mi do głowy myśl, że wierząc tak ślepo w owe bajki, obrażam Boga Wszechmocnego i staję w sprzeczności z najprostszym zdrowym rozsądkiem.

Pewnego dnia, a było to przed świętem Narodzenia Najsw. Maryi Panny 8 września, obchodzonem z wielką uroczystością w parafialnym kościółku, wypadło mi jechać do pobliskiego miasteczka po zamówiony u krawca nowy garniturek, który miałem włożyć owego dnia do kościoła. Krawiec nie dotrzymał słowa; nie wykończył zamówionęć roboty na czas, a ja wyrósłszy z dawniejszego ubrania, wstydziłem się w niem pokazać w gronie zwykle na to święto licznie zjeżdżającęć się szlachty okolicznej. Uprosiłem więcęć sobie u ojca konika i bryczkę i wsiađłszy po obiedzie do nie wykwięćnego tego ekwipażu, pospieszyłem do miasteczka.

Żle jednak obrachowałem się czasem: już zaczynało szarzeć, gdy zaledwo ujechałem wiorst parę. Droga prowadziła koło cmentarza i ze strachem przypomniałem sobie, że wypadnie mi jechać obok niego prawie po ciemku. Jednak wstyd było wracać; krzepiać się na duchu, popędziłem dalej konika. Już nad samym wieczorem, ukazał się moim oczom głęboki wąwóz, przez który szła droga, spadziśto spuszczając się ku jezioru, wysokie góry otaczały ten wąwóz; na szczycie jednęć z nich białęć mury i czerniały krzyże cmentarza. Na ten widok krew we mnie zastygła; jednak jeszcze na tyle zachowałem przytomność umysłu, że mocno ująłem lejce, gdyż popuściwszy cugli młodemu koniowi, mógłbym był łatwo wraz z nim, dzięki znacznej pochyłości, wpaść do jeziora.

Jadąc już obok cmentarza, patrzyłem uparcie wprost przed siebie, spodziewając się, że tym razem szczęśliwie uniknę niebezpieczeństwa, gdy nagle uczułem lekkie uderzenie w ramię. Włosy mi na głowie powstały ze strachu; jednak nie ośmieliłem się obrócić głowy, pewny, że upior na to tylko czeka, aby mnie schwycić i unieść ze sobą. Wkrótce uderzenie się powtórzyło: byłem już w połowie góry, nie zważając więcęć na mogące mi jeszcze grozić niebezpieczeństwo wpadnięcia do wody, puściłem cugle koniowi, a ten korzystając ze swobody, galopem pobiegł na dół. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy razy, któremi mnie okładał upiór, zamiast ustać, przeciwnie coraz prędszęć i mocnięć spadały na me ramiona. Nie śmiałem się obejrzeć i pędziłem konia co tchu do pobliskiego wioski, gdzie widok ludzi wracających z pola, nieco mnie oprzytomnił.

Zatrzymawszy konia, wysiađłem dla odetchnięcia, wtedy ku wielkiemu memu zdziwieniu, zauważyłem, że w tylnem kole, skutkiem nie wiem jakiego wypadku zaplątała się spora gałąź i ona to, w miarę obracania się koła, spadała na me ramiona, to słabięć, to mocnięć, aż po wstrzymaniu ruchu zupełnie poruszać się przestała. Na widok tak niewinnego narzędzia moich strasznych, moralnych męczarni, parsknąłem śmiechem: wstyd mi się zrobiło przed sobą samym; przekonałem się, że strachy są tylko wytworem wyobraźni i że dzięki męć łatwości, ledwo nie straciłem życia. Niebezpieczeństwo bowiem utonięcia w jeziorze było rzeczywiście groźnem i prztem strach, pod wpływem którego się znajdowałem, mógł mnie nabawić niebezpiecznej gorączki.

Przyrzekłem sobie pokonać na zawsze nedorzeczną wiarę w zabobony i podziękowawszy Panu Bogu za otrzymaną przestroęć, zabrałem gotowy już garniturek u krawca i wróciłem tą samą drogą do domu tegoż wieczoru, a strach, powstający w skutek przyzwyczajenia, modliwą odzęćgnalem.

J. Ł.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

I.

Był to piękny dzień wrześniowy. W godzinach popołudniowych okręć handlowy Honduras, rozpoczął zwykle przygotowania, poprzedzające zarzucenie kotwicy, gdyż dnia następnego, korzystając z przypływu, miał zawinać do portu meksykańskiego Acapulco nad oceanem Spokojnym w prowincyi Guerrero. Port ten jest dogodnem miejscem wyp.

KRET ŻARŁOK.



DWA DUCHY.

Czy to zimą czy latem,  
 Po śnieżycy czy burzy,  
 Gdy słońeczko nad światem  
 Lice niebios rozchmurzy,  
     Wnet w słonecznym promieniu  
     Na wpół drogi do świata,  
     Lekka jakby w marzeniu  
     Mała parka ulata,  
 To duch ziemi niebogięj  
 Z posłem z nieba swym bratem,  
 Zlatują się wpół drogi  
 Między niebem i światem.  
     Ziemi bratu powiada  
     Co śnieżycy lub burza  
     Nabroiła, i biada,  
     Jaka troska ztąd duża.  
 Jest dla ludzi na świecie...  
 A niebieski wciąż słucha  
 Żalów na złe zamiecie  
 Wyszepowanych do ucha;  
     Rada w radę nakoniec  
     Jakby otrzeć te łezki,  
     Ziemi radzi tak goniec.  
     A tak radzi niebieski;  
 Aż uradzą coś w końcu  
 I na ludzką pociechę,  
 Ten mknie w niebo po słońcu,  
 Tamten wraca pod strzechę.  
     I wnet coś się odmienia  
     W łzawej ludzkiej niedoli,  
     Lżejsze jakoś westchnienia  
     Serce jakoś mniej boli.

Był sobie kret. Ot taki zwyczajny jak wiele innych kretów na świecie. Kształt miał podłużny, nogi takie krótkie, że zdawało się jakby się czołgał po ziemi; szczególnie dziwne miał przednie łapki, bo zupełnie wywrócone jakby był kaleką: Oczy też miał szczególnie, bo prawie tak maleńkie jak ziarenka maku. Nie bardzo wszakże na nie narzekał, widział co prawda mało, ale w ziemi i z najlepszymi oczami ciemno, więc z takimi jakie miał, było mu dobrze.

Szpeciła go tylko najwięcej ta brzydka wielka wada że był bardzo żarłoczny.

Wiedziały o tem wszystkie pędraki i dżdżowniki w ziemi ukryte, wiedziały polne myszy i żaby, a nawet jaszczurki i padalce, co nie zawsze przed nim umknąć mogły.

Pewnego razu zrobiło się pod ziemią wielkie zamieszanie między tamecznymi mieszkańcami: pędraki zagrzebywały się głębiej, myszy wybiegały z nor, zbierały się licznie i o czemś radziły.

O tak! straszne przerażenie ogarnęło wszystkich: kret budował sobie w pobliżu norę!

A nie była to nora zwyczajna, lecz duża komora pod starem drzewem, naokoło której szedł korytarz, a od niego znowu rozchodziło się mnóstwo korytarzy we wszystkie strony. Jeden z nich prowadził do ogrodu, drugi na pole, a był taki nawet co się kierował do pobliskiej sadzawki. Ileż pracy kret miał przy tej budowlu, bo trzeba było ziemię wszędzie mocno ubić a potem wstać mchem i liśćmi miękimi.

— I co mu potem? — mówiły do siebie myszy — czy to nie wszystko jedno, gdzie się przespać! Et, stary mantyka! Ale rzecz ciekawa, co on będzie robił w tym swoim gmachu?

Nareszcie mieszkanie skończone. Lecz jakież było zdziwienie, kiedy kret zamiast chodzić po niem powolnie jak zwykle zwierzęta pod ziemią, biegał i zwijał się żwawiej od sąsiadów.

Nie próżne też były ich obawy, kret po ukończeniu roboty ze straszną zajadłością rzucał się na każdego z nich, którego spotkał. Żarłok był nie lada i słygnął ztąd na całą okolicę. Czasem tak się najadł że ledwie do mieszkania swego mógł dociągnąć, a mimo to widziało jak za godzinę najdalej znowu ubił jaką żabę, którą miał pożreć.

Mała jaszczurka chcąc się raz przekonać ile przez dzień może zjeść ten potwór, biegała za nim i przyglądała mu się z daleka. Otóż naliczyła, że tego dnia zjadł 18 poczwarek, 9 robaków, dwie gąsienice i jedną mysz!

— I że też on wszystko zobaczy — mówiły do siebie pędraki — oczu prawie nie znać takie małe, a na zdobycz wprost leci.

Nie wiedziały biedne, że on węchem poznawał i odnajdywał wszystko.

Czego one nie próbowały! Gdzie się nie kryły! ale przebiegły kret zawsze je odnalazł.

Razu pewnego zdarzyło się, że drugi kret przyciągnął w te strony, spotkały się oba. Kret gospodarz zamiast uprzejmie przyjąć obcego, rzucił się na niego i rozpoczęła się okrutna walka. Jak długo trwała niewiadomo, tylko na drugi dzień leżały w korytarzu martwe zwłoki biednego przybysza.

Po tym wypadku przekonały się wszystkie podziemne stworzonka, że niema chyba na świecie silniejszego zwierzęcia, nad owego kreta-żarłoka.

Byłby je może drapieżnik z czasem zupełnie wytepił, gdyby nie wypadek szczęśliwy.

Pewnego poranku posłyszano jakiś pisk. Jęczało pod drzewem biedne ptaszę: skrzydło miało złamane i nie mogło fruwać. Kret-żarłok słysząc to pędzi co tchu na powierzchnię ziemi, rzuca się na biedną ofiarę, chwytając ją i już ją ciągnie do swych nor, gdy wtem nagle spada zuienacka kruk, porywa żarłoka, zatapia w nim swój dziób ostry i już po nim. Jak się radowano pod ziemią po tym wypadku to i opisać trudno. Porządek i cisza zapanowały tu jak dawniej.

Pędraki i dżdżowniki znowu grzebały w ziemi, gąsienice swobodnie objadały liście, a myszy zamieszkały dawny pałac kreta i tylko pamięć straszego żarłoka długo się jeszcze przechowywała.

*Marya Weryho.*

## ZABAWA W KONIKI,

przez BRONISŁAWĘ PORAWSKĄ.

— Mamusiul moja złota mamusiul! każ mi zawołać Antosia, będziemy się bawić w konie — prosił pięcioletni Leonek swą mamę, całując ją po rękę.

— Będzie to pewnie taki hałas, że nikt w domu nie wytrzyma — rzekła mama — a wiesz przecie że tego nie lubię ani ja, ani ojciec.

— O nie, przekona się mamusia — prosił dalej Leonek — my będziemy bardzo spokojnymi końmi, i pojedziemy sobie przez piaski, to będzie zupełnie cicho.

Mama posłała do kuchni po Antosia, był to sześcioletni synek kucharki, grzeczny i miły chłopczyk, i dla tego mama, pozwalając czasem bawić się z nim Leonkowi.

— Jesteś, jesteś — wykrzyknął Leonek radośnie — chodź, będziemy się bawić w konie i pojedziemy sobie do Warszawy. Będiesz bułanym, dobrze? a może wolisz być karym? no powiedz?

— Mnie wszystko jedno, jak Leonek chce to będę bułanym, a jak chce karym, to i tak dobrze — mówił Antoś grzecznie.

— A jakbyś ty wołał?

— Ja... ja... chciałbym być kasztankiem — rzekł Antoś nieśmiało trochę, bo mu jego mama zawsze przykazywała, żeby w pokoju był grzeczny i nigdy się z Leonkiem nie sprzeczał, bo Leonek młodszy.

— Ba, kiedy kasztanek strasznie swawolny — rzekł Leonek — ja już o tem myślałem, ale onby zaczął dokazywać, a ja przyrzekłem mamie, że konie będą spokojne.

— To dobrze, będę już bułanym — odrzekł Antoś.

— Ale wiesz co, bułany to podobno leniwy, słyszałem jak woźnica mówił do tatki — rzekł znów po chwili Leonek — jak wjedziemy na piaski, to onby ustał i potem co?

— No, to jak Leonek chce, to będę karym — powiedział zgodny Antoś — słyszałem że to dobry koń, będę karym.

I Antoś zaczął rozplątywać lejce, które porzucone leżały w kącie.

— Tylko nie wierzgaj — upominał Leonek — bo jak zaczniesz dokazywać, to będzie bat w robocie.

Antoś zaprzęzony, szedł tak zgrabnie i spokojnie, że niejedyn konik mógłby się od niego uczyć. Główną w górę wyrzucał, nóżkami pięknie przebierał, ale Leonek był bardzo wybredny, i wkrótce zaczął robić swoje uwagi.

— No, ty! hej! jak to idziesz — wołał coraz głośniej i naraz szarpnął tak silnie, że biedny konik przewrócił się na ziemię.

Ale to był mądry i dzielny konik, zamiast więc płakać, (bo takie koniki płaczą bardzo często) on prędko się podniósł, tylko się wstrząsnął i zaraz był gotów do dalszej drogi.

— Co to! będziesz się tu przewracał! — krzyknął woźnica — nie możesz to trzymać się dobrze na nogach, tylko mi jeszcze raz się przewróć, to ja cię nauczę.

I znów szarpnął lejce, ale konik mając sobie tak zagrożone, tylko się trochę pochylił, lecz się wstrzymał na nogach.

— Czekaj — rzekł po chwili takiego jeżdżenia Leonek — teraz cię zaprzęję inaczej, tak wpół lejce to nie dobrze, przywiążę ci je do rąk, czy dobrze?

— E, to ręce będą bolały — rzekł Antoś.

— Ale gdzietam, co cię to ma boleć, czyś ty taki delikatny — mówił Leonek chwytając Antosia za rękę — o, tu za łokciem ci przywiążę, to będzie dobrze.

Antoś nie chcąc się sprzeczać, pozwolił lejce zawiązać sobie na rękę, ale Leonek tak ścisnął mocno, że aż chłopczyni łzy w oczach stanęły.

— Leonku, nie tak mocno — rzekł łagodnie — to bardzo boli, niech Leonek poluźni.

— Co to za mocno — zawołał Leonek — możesz wytrzymać, przecie nie jesteś z masła.

— Ale też i nie z drzewa — odpowiedział Antoś — puść mnie zaraz, bo nie będę się bawił.

— Musisz się bawić! mamusia kazała żebyś się ze mną bawił — krzyknął Leonek, i jeszcze mocniej ścisnął sznurkami.

— Nie, nie będę się bawił — mówił Antoś ze łzami — mnie bardzo boli.

— Nieprawda, to nie może boleć — wołał Leonek, i wzięwszy bacik, chciał popędzić konika.

Konik jednak nie ruszył się z miejsca, tylko usiłował odplątać ścisnąjące lejce.

Leonek był bardzo prędko, i nie lubił się nad niczem zastanawiać, nie pomyślał więc ani chwilki, uderzył konika bacikiem.

Antoś krzyknął, a tu najniespodziewaniej mama weszła do pokoju.



Leonek zaczerwienił się okropnie, a Antoś prędko łyzy ocierał, żeby ich pani nie dojrzała. Ale wszystko naróżno, bo choć malcy wcale się tego nie spodziewali, mama była w drugim pokoju, i wszystko widziała i słyszała. Podeszła prędko, odwiązała ręce Antosia, a do Leonka rzekła surowo:

— Niedobry chłopcze, jak mogłeś taką przykrość zrobić Antosiowi?

— Mamusiu... — jękając się rzekł Leonek — ja... myślałem że to nie boli.

— A czy nie słyszałeś jak Antoś prosił, abys mu zwolnił sznurek? czy nie widziałeś też jego? — zapytała mama.

— Ja myślałem... że on żartuje — tłumaczył się Leonek, spoglądając z boku na Antosia.

Chłopczyk zrozumiał że trzeba ratować towarzysza zbliżył się więc i rzekł chcąc się uśmiechać:

— Proszę pani, myśmy się tak bawili tylko, Leonek pewnie nie chciał żeby mnie bolało, ale ja... ja taki mązga — dodał spuszczać głowę.

— Dobry z ciebie chłopczyk — rzekła pani, gładząc Antosia po jasnej głowce — i serce mocno mię boli, że mój synek, nie jest podobny do ciebie. Słyszałam jak Leonek mówił żeś ty nie taki delikatny, że nie jesteś z masła, dobrze, zobaczymy, jeżeli nie masz znaków na ręce, mniejsza będzie kara dla Leonka, ale jeżeli są...

To mówiąc, mama chciała zsunąć rękaw od ubrania Antosia, ale chłopczyk zsunął się do kolan pani i objawszy je prosił:

— Ach najdroższa pani, mnie już nic a nic nie boli, niech pani nie gniewa się na Leonka, on tego nie zrobił ze złego serca.

Leonek zawstydził się okropnie tą dobrocią Antosia, rzucił mu się na szyję i zaczął go całować.

— Przepraszam cię Antosiu — mówił serdecznie — ja byłem bardzo niedobry, ale już tego nigdy nie zrobię. Mamusiu... — dodał, zwracając się nieśmiało do matki — ja... wiedziałem że to Antosia... boli... że... że...

I Leonek się rozplakał.

— I dobrze robiłeś? — zapytała mama.

— O! nie, nie, ja teraz wiem że źle, ja już nigdy tak go mocno nie zwiążę, jak mamusię kocham! nigdy! — zawołał z mocą.

Leonek nie zaklinał się wcale, ale teraz tak mu z głębi serca wyrwało się to zaklęcie, że mamusia uwierzyła, iż nie popełni już takiej nierozwagi, i przy zabawie nie okaże się tak nieludzkim. Bo wyciskać łyzy komu, choćby nawet dla żartu, to zawsze okazuje złe serce. Teraz chłopczyki jak zaczęli we dwóch mamę przeproszać, tak przebaczyła Leonkowi i darowała mu winę.

Bawili się też potem bardzo długo, i teraz Leonek został koniem a Antoś woźnicą, ale ten woźnica taki był dobry dla konika, że nie szarpał lejcami, nie fukał, a co bacikiem, to tylko dla fantazyi, wywiął w powietrzu.

I odtąd tak już było zawsze, a Antoś powiada, że jak oba dorosną, to będzie naprawdę u Leonka woźnicą i nie rozłączą się nigdy! nigdy!

Leonek znów powiada, że jak mu Pan Bóg da kiedy, że będzie miał swoje koniki i gospodarstwo, to Antoś

będzie woźnicą, ale będzie miał pomocnika, żeby zbyt ciężko nie pracował.

A jak się postarzeją, będą tacy siwi jak gołąbki, to sobie będą razem mieszkać, w zimę przed kominkiem siedzieć, podobno nawet mają fajki palić, i ciepłe piwko popijać.

Może też Bóg da, że tak i będzie.

## ZAGADKA.

(ułożyła Kapłanka Znicza).

Biegnę szybko a nie mam nóg,  
Drogi wam dzieci, wskazuję czas  
Gdy idę koła zakreślam łuk,  
Zgadnijcie ktom ja — proszę was.

## Czarodziejska zgłoska.

(ułożył Myśliwiec).

Osy, soda, Ida, Katon, Korel, oko, owa, aga, wara,  
kot, wada, awa, boa, kora, Kogo, kra, kocha, bada, wala.

Do tych wyrazów pododawać pewną głoskę, a otrzymamy 20 nowych znaczeń.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

### Szarady:

M a s ł o.

### Łamigłówki kryształowej:

L
k u r
r o d a n
L u d m i ł a
g l i n a
z ł a
a

## Skrzynka do listów.

W imieniu całej naszej redakcyi przesyłamy podziękowanie wszystkim naszym kochanym korespondentom, którzy przysłali nam życzenia świąt wesołych i oddaleni od nas, a przecie sercu blizcy, przełamali się z nami opłatkami. Tobie więc, **Gospoziu z nad Warty**, która nas „Mateczką” nazywasz, i tobie **Niezapominajko z nad Warty**, której widać zabiegliwa sąsiadka Gospościa, zerwać nie potrzebowala, skoro jeszcze w jej okolicy kwitniesz, i tobie wdzięczny **Kwiatku polny**, i **Bajurce z ludwińskiego podwórka**, która „nie wiedziała, co robić z radości, otrzymawszy nagrodę” i **Jedlince**, która nie jest „za mało wymowną”, bo wymowę serca posiada, i ucieszonej także otrzymaną nagrodą **Świteziance** i biednemu, kaszlącemu **Kołowrotkowi** i **Góralce** w jego zarówno jak i w swoim imieniu piszącej i **Straszemu Mrozowi** i **Małemu Czytelnikowi**, którego całem sercem błogosławimy, zadość czyniąc życzeniu jego, a nawzajem mu życząc, aby powiódł mu się egzamin. Dziękujemy także **Królowej Elfów** tem pięknie, że nie przypuszczaliśmy nawet,

aby w królestwie tej pani myślano o tak prozaicznej rzeczy, jak sianie pszenicy, **Porankowi Majowemu**, który w samej rzeczy „czuć się szczęśliwym i Bogu wdzięcznym” powinien, **Horpynie**, która trafnie odgadła, czem za miłość dla całego waszego gronka „odwdzięczyć się nam zdoła”, **Barwinkowi**, który sił swoich niech próbuje, nie biorąc nam za złe, jeżeli mu powiemy, że prób takich z bardzo małemi wyjątkami, bliskim tylko udziałem należy. Do tych „blizkich” i my się także liczymy; przeczytamy je więc chętnie, nie zobowiązując się jednak bynajmniej do rozpowszechniania ich drukiem. W dalszym ciągu należą się jeszcze podziękowania **Złotej Tęczy**, która się chce „popieścić” jakby nie precudnem zjawiskiem, ale najzwyczajszą była dziewczynką i **Gałązce Heliotropu**, która dość długo nie odzywała się do nas i teraz dopiero dała znak życia serdecznem słówkiem życzeń; oraz **Mysliwcowi**. Straszny ów tępiciel wszelkiej „żywnizny”, jak dawniej mawiano, upolował zamiast odyńca lub niedźwiedzia, pomysł na dwie aż łamigłówki, na których umieszczenie raczy cierpliwie czekać swojej kolei.

O toż samo prosimy **Warszawiankę**.

**Wiochna z Podola** ślicznie zrobiła, że skorzystawszy ze świeżo nabytej umiejętności pisania „sama prosi” nas o „Wieczory”, które ją i braciszka Leszka zajmują. **Niezabudce z nad Chomoru** posłało numer żądany, a od Lucia des E. odebraliśmy rozwiązanie. Wszystko więc w porządku!

W imieniu nieobecnego Julka odpowiadamy **Lampucerowi**, że wieża Eiffel’a pozostanie nierozrebraną.

Dawnym przyjaciółkom w „Wieczorach” przy Nowym Roku pomyślności życzy i pamięci się poleca, **Brzydotka z nad Tamizy**.

Kochane czytelniczki „Wieczorów Rodzinych”! Już blisko rok prenumeruję nasze miłe piśmko, a jeszcze żadna z was do mnie nie napisała, ja więc za to piszę sama do wszystkich. Nazywam się Anielcia, zaliczam się do młodszych czytelniczek, mam cztery młodsze siostrzyczki J. Z. H. M. i braciszka T. Mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Przesyłam wam, drogie panienki życzenia noworoczne, pamiętajcie odpisać jaknajprędzej kochającej was, choć wam nieznamym, **Wesołej Krakowiance**.

Zdaje mi się droga Makolągwo, że jesteś dobrze mi znaną Anielcią M., jeżeli tak jest, przyjmij wraz z rodzeństwem serdeczne odemnie uściśnienia. Czy bywacie na odczytach pr. Sm.? Dla czego Marynia nie pisuje do „Wieczorów”? Mamie twój rączki całuje **Laureatka**.

Droga moja Brzydotko z nad Tamizy. Uczułam do ciebie wielką sympatyę, za twoje dobre serduszko, które tak o biednych pamięta. Donieś mi co o sobie miła Brzydotko, czy już dawno mieszkasz na obczyźnie? Czy dużo masz rodzeństwa? W jakim jesteś wieku? Ja mam lat 13-cie, mieszkam w gub. Podolskiej. Ścisła cię i prosi o odpowiedź **Gwiazda**.

Zdaje mi się kochana Gwiazdo Polarna, że jesteś naszą dawną sąsiadką z Wylezina. Już dawno nie widziałyśmy się nieprawdaz? Odpisz mi czy zgadłam kim jesteś i donieś mi co porabiasz i czy do Krakowa nie przyjedziesz? Ścisłam cię z całego serca. **Makolągwo**.

Kochane. Wiewióreczko inflantska, Gwiazdo i Bombo! Pragnę korespondować z wami. Nazywam się Wanda, mam 12 lat, piwne oczy i ciemne włosy. Lubię bardzo naukę, uczę się. Ciekawa jestem jak wyglądacie i jak się zowiecie? Proszę, odpiszcie was kochającej **Zwinnéj Wiewióreczce**.

Prosiłam mnie droga Niezabudko z nad Chomoru, ażeby mi co o sobie doniosła, mam lat 13, jestem w 4-tój klasie, nazywam się Andzia K. i mieszkam we Włocławku. Najlepiej mi się podobała powieść „Branki w Jasyrze,” a tobie która? Szczerze ci życziwa **Sasanka**.

Kochana Mimoso! Czy też zgadłam, że nazwisko twoje zaczyna się od litery P., że mieszkasz w Radomiu, że nawet szłaś koszulkę na konkurs, że twoja siostra gra na skrzypcach? Zgadnij od kogo wiem te wszystkie szczegóły, i kto jest: **Mgła**.

Wielką mi radość sprawiłaś twą odezwą, drogi Barwinku. Bardzo lubię rysunki i maluję trochę, na konną jazdę mam wielką

ochotę, ale jej jeszcze nie próbowałam. Niezmiernie lubię muzykę a z nauk historję i arytmetykę. Donieś mi proszę co o sob. **Gwiazdka nadziei**.

Kochana Śpiewna Liro! Doniosłam ci prawie wszystko, nie wiem więc, co bym jeszcze dodać mogła. Donieś, leżysz do konkursów? Ja pierwszy raz posłałam wypracowanie. Lubiś teatr? Ja za nim przepadam. Całuję cię, twoja **Artyst**

Drogi moje: Jaskółeczko z nad Sekwany i Śpiewna. Ty Jaskółeczko, daruj że ci nie odpisałam dla braku czasu, procię nie martw mię zerwaniem korespondencyi. Pseudonym i obrałam sobie przez upodobanie, jakie mam do tej królowej. Liścik Śpiewna Liro, tak mnie ucieszył, że z radości, biegnąc numerem „Wieczorów” o mało się nie przewróciłam, gdyż to pierwszy jaki w ten sposób odebrałam. Mam lat 13, na imię mi Anna i mieszkam na wsi, lecz wolę miasto. Muzykę lubię bardzo, lecz śpiew przekładałam. Ścisła was obie, kochająca **Semiramis**.

Niezapominajce z nad Warty przesyłam całuska i proszę, aby mi wybaczyła milczenie.

Drogi moje: Brzydotko z nad Tamizy, Pszeniczko i Niezapominajko z nad Warty! Ciebie Brzydotko bardzo przeprasza, że tak długo nie odpisała i zarazem dziękuje ci za miły twój liścik. Napisz mi czy lubisz muzykę i czy ci się podoba Anglia? Z tobą Pszeniczko pragnęłabym korespondować i dowiedzieć się jak ci na imię, i gdzie mieszkasz? Ty Niezapominajko z nad Warty, zgadłaś jak mi na imię. Donieś mi co ci się najwięcej podoba w „Wieczorach.” Całuję was serdecznie, **Pomadka różowa**.

Kochane: Niezapominajko z nad Warty, Kwiecie Lotosu i Poranku majowy! Donoszę wam, że Szwajcaryja bardzo mi się podobała, spędziłam tam całe wakacje. Kwiecie Lotosu, zdaje mi się że jesteś Janinką S. Czy zgadłam? Bardzo mi się podobał Poranku twój projekt niesienia pomocy uhogim, chętnie wezmę w nim udział. Ścisłam was serdecznie. **Gałązka Heliotropu**.

Mimosie i Lobelii erinie pozdrowienie przesyłam, a ostatnią zapytuje, czemu na mój list nie odpowiada?

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Dowiedziawszy się, że ci zrobi przyjemność pozdrowienie ze Słobódki, pospieszam uściśnić cię serdecznie. Podolski piateczek śniegu przesyła uściśnienia swemu wizerunkowi na obczyźnie, a ja proszę o osobny pocałunek dla **Piosnki ze Słobódki**.

Kochana Wiewióreczko Inflantska! Wielką przyjemność sprawił mi twój miły liścik. Mam lat 15, na imię mi Irena, resztę zaś szczegółów dowiesz się o mnie w numerze 13 Wieczorów. Bardzo je lubię czytywać, teraz z wielkiem zajęciem czytałam „Podziemia Barwałdzkiego zamku”, a tobie co się najlepiej podobało w naszych kochanych Wieczorach? Proszę cię o prędki odpis przesyłam ci milion uściśków i pozostaję kochającą cię **Książniczką z nad Wisły**.

Moja milutka Jaskółko z nad Sekwany! Zadziwił się zapewne, odbierając liścik od zupełnie nieznanego sobie kwiatka, ale powiedz mi ptaszyno, czem ty sobie tak serca zjednywać umiesz? czy że jesteś zwiastunką wiosny, czy też, że mieszkasz tak daleko od nas? Napisz dla czego bujasz nad Sekwaną i czy frunęłabyś kiedy do nas? O mnie dowiesz się z odezwy Hajduczka do Gałązki Bzu w numerze 19 Wieczorów. Ścisłam cię serdecznie, nieznana przyjaciółka **Biała Akacya**.

Droga Gwiazdka z Podola. Znamy się doskonale, a nawet jesteśmy spokrewnione. Mam imię królowej, którą bardzo kocham. Zgadnij kto jestem i donieś, czy chcesz do mnie pisywać. Całuję cię **Iskierka** wraz z braciszkiem **Kłosem Podolskim**

Drogi moje: Biała Perelko, Gosposiu z nad Warty i Bławatko z nad Horynia! Bardzo mi się podobacie, czemu nie pisujecie do mnie? Biała Perelko czy lubisz muzykę? Gosposiu, jak dużo wyhodowałaś kaczek? Bławatko czy w domu się uczysz? Na imię mi Marylka, mam rok 14-ty, mieszkam nad Niewiarzą w gub. kowieńskiej. Lubię tańczyć, śpiewać i ślizgać się na łyżwach. Odpiszcie mi koniecznie. **Kulka śniegowa**.

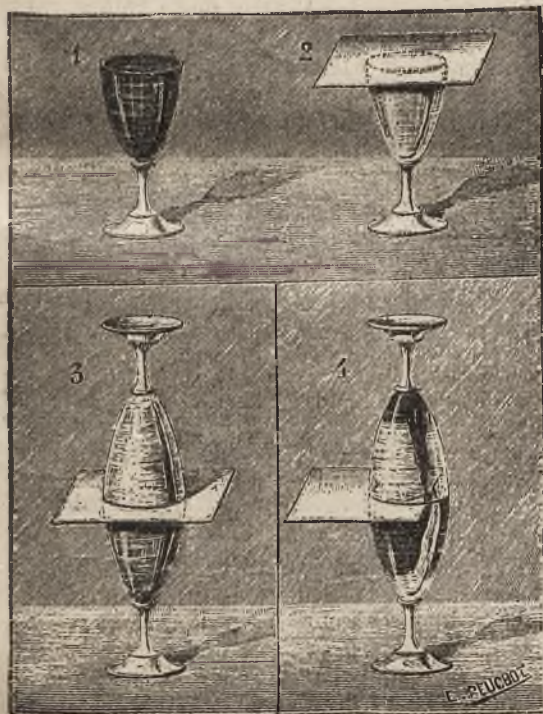


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Wino jest lżejsze od wody, łatwo się o tem przekonać urządzając doświadczenie, przedstawione na rycinie. W pierwszy kieliszek nalejemy wina, w drugi wody, ten ostatni przykryjemy ćwiartką papieru i potem zgrabnie przewróciwszy dnem do góry, ustawimy na pierwszym, jak wskazuje fig. 3-a.

Ze woda rozleje się przy pierwszej, a może i przy kilku następnych próbach, to rzecz bardzo prawdopodobna, radzimy więc przedsięwziąć różne środki ostrożności, ażeby to wielkiego nieporządku nie sprawiło.

Gdy już kieliszki stoją jeden na drugim, trzeba papier ostrożnie przesunąć, ażeby przy brzegach kieliszków z jednej strony utworzyć komunikacją pomiędzy niemi. Obaczmy, że papier wykreśli się w kształcie litery S, tworząc dwie rynienki, jedną zwróconą do góry, drugą na dół. Wnet rozpocznie się przelewanie obu cieczy z jednego kieliszka do drugiego, a to w taki sposób, że wino podnosić się będzie, a woda opadać. Obie cieczy nie mieszają się z sobą wcale i zabawne to przeciekanie trwać będzie póty, póki nie nastąpi zupełna przemiana zawartości obu kieliszków. I oto będziemy mieli dowód oczywisty, że woda jest gęstsza i cięższa od wina. Możliwe także samo doświadczenie urządzać z innych cieczy rozmaitej gęstości, najlepiej jednak brać wino czerwone, bo odróżnia się barwą jaskrawą od wody i ładny tworzy widok przy przeciekaniu.

### POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Ho!... Ho!... — rozlega się od przodu wołanie tak potężne, że się ponad burzą szalejących rumaków wybija. Kilkunastu jeźdźców, lecąc jakby ich wierzchowce miały skrzydła, zabiega drogę wyścigowcom, rozstępując się tylko przed pedzącym wozem. Błyszcza od guzików, jaskrawo

haftowane ich dolmany, pałą jak z ognistej broni biczyska niezmiernie długie, na bardzo krótkiej osadzone rękojeści, strojne i świecące w słońcu kapelusze powiewają uprzejmie wstęgami ku podróżnym. To *czikosy!*... Szandor kłania się także kapeluszem, ale jest tak zajęty czikosami, których dotąd tylko w gospodzie a nie na koniu widywał, że milknie i zapomina o stepowych rumakach, gdy te na widok swych pasterzy, posłuszne ich hasłu pierzchają w powrotną stronę i znikają szybko jak się pojawiły. Szandor z trochę rozwartymi ustami z wielkiego zajęcia, wykręciwszy się teraz jak fryga w rękach ojca, patrzy na czikosów pędzących za stadem, patrzy dopóki choć cię koni i czikosów majaczy w odali. Wóz pędzi tymczasem bezustannie, pędzi przez zielony step bez granic i bez drogi widocznej, choć ona dla wtajemniczonych istnieje.

Wtem miła acz wielce dziwna muzyka zwraca uwagę chłopca, który też żwawo wykręca się znowu frontem ku własnej lotnej czwórce. Step tu jak okiem zajrzeć nie jest zielony, bo pokrywają go ruchome jakieś masy rozległe. Trudno odgadnąć co to jest tam takiego. Tymczasem niezbyt donośne ale czyste i wielce harmonijne dźwięki słyszeć się dają coraz dokładniej i nawet wyrazy pieśni:

Nasze piękne trzody pasą się na łące,  
Skubią żwawo trawkę i zioła kwitnące.

— Be... e... e!... — rozlega się jako zwrotka po każdym takim dwuwierszu, chór potężny na cały step. — B... e... e!...

— Hap, hap! — odzywa się czasem miarowe szczekanie jako przyśpiewek.

— Ha ha ha! — zaśmiał się Szandor serdecznie — wszakże to owce, tam oto ich pasterz *juhas* siedzi ze psem u boku, wsparty na kijku i śpiewa, a cymbalista pali fajkę obok niego i gra na cymbałach, a pies poszczekuje jakby należał do pieśni. Ha ha! jaka śmieszna muzyka!

Mimo zajęcia swego, *juhas* i cymbalista cały błyszczący w słońcu od nabitego świecidlami dołmana, ukłonili się kapeluszami bardzo uprzejmie podróżnym, jak zwyczaj każe. Co ujrawszy, pies, który już był powstał z głuchym mrukiem w wojowniczej postawie, teraz usiadł na dawnym miejscu, szczenkawszy zlekka półgłosem, co miało znaczyć oczywiście:

— No, jeżeli tak... to co innego: niech swoi jadą swobodnie.

Szandor kłaniał się także po swojemu zamaszysto, żeby wstęgi powiewały. Wóz pędził tymczasem wśród rozpiezających się przed nim beczącej gromady.

— Ej!... tu już chyba wszystkie owce z całego świata przyszły na pastwisko! — zauważył chłopczyzna, gdy owczy ten step zdawał się bez granic.

— Gdzie zaś, dziecko, to stado ma ledwo 20,000 sztuk... daleko większe u nas bywają — odparł ojciec. W miarę jak wjeżdżano w centrum owczej armii, beczenie zwiększało się

— Szandor! dziecko! to jest las. Las Bakony. Co tobie Szandor? Las, to znaczy bardzo dużo drzew żywych, razem rosnących; a topole, drzewa żywe, widzisz rosnące koło naszej czardy, i widziałeś przecież, gdyś z matką jeździł na jarmark, drzewo przed kościołem, pamiętasz? To są też same drzewa które przywozimy do domu na paliwo, tylko tu w gromadzie inaczej wyglądają. Piękną jest puszcza i niema milszego życia jak wśród puszczy, ale i las jest piękna rzecz i bardzo potrzebna... — mówił gospodarz, a malec już stał znowu i słuchał i patrzył.

— Otóż to, że las jest bardzo potrzebny, bo gdyby lasu nie było to gdzieżby *szegeny legeny* mieli swój kąt spokojny?... — wtrącił naiwnie parobczak Janos. Snadź jako mieszkaniec puszczy, uważał także las jako niekoniecznie potrzebny... chyba dla ochrony złoczyńców, których butna fantazja ludowa madziarska pomieszana z litością, upoetyzowała sobie na „biednych chłopców”. Wóz zwolnił teraz trochę pędu po korzeniach potężnych dębów, mrokiem nakrywających leśną drożynę, i dla tego Janos dosłyszał co mówiono za nim. A wtem ozwał się głos ponury:

— I!... Szegeny legeny w ostatnim razie potrafiliby się

obejść i bez Bakony i bez twojej troskliwości, ale na coby się zdały świnki bez Bakony co je pasie żołędziami i bez takich jak ty dryblasów co je oprawiają?... to jest dopiero pytanie!... — Podróźni spojrzeli w stronę z której głos wychodził, wóz stanął. Na mchu pod dębem ogromnym, w pół leżał wysoki człowiek z fajką w zębach, w płóciennych spodniach z frendzlą u dołu, w skórzanym kaftanie, wysokich butach, w kapeluszu z szerokim brzegiem. W lewej ręce trzymał nieodstępny toporek na długim kijku czyli czekan i od niechcenia machając nim, przemawiał do Janosa.

— Szegeny legeny? — spytał Szandor pocichu.

— Może kanasz, pastuch hodujący świnki, w każdym razie: kanasze niekoniecznie już wszyscy rozboju próbują — odpowiedział pocichu a głośno dodał ojciec Szandora:

— Nie dostałbym u was mięsa na gulasz, bracie?

— A dużo wam potrzeba?

— Ze dwa kawałki, od pyszczka do ogona każdy.

— Masz pieniądze? odlicz. — Kupujący liczył siedząc na wozie, sprzedający palił fajkę, leżąc w zaroślach, po chwili rzucił kapelusz prosto w wóz:

— Włóż tam — rzecze — do samego strumienia nasze stado się pasie, jedź i wybierz twoje dwa kawałki, a jakby kto pytał, powiedz że pieniądze wziął Sebes.

Kupujący włożył już zwykłą cenę dwóch rosłych wieprzy w kapelusz, postawił go na drodze schyliwszy się z wozu, i ukłoniwszy się miał ruszać dalej, gdy na ostatni wyraz drgnął i powstrzymał skinienie na które czekał Janos.

— Sebes?... — powtórzył przeciągle bacznie się przypatrując. Kanasz się uśmiechnął.

— Tak jak ty jesteś Petöfi — odparł — nie poznałeś to mnie?

— A nie, i teraz nie poznaję, bo przecież gdybyś był ten sam Sebes co mi z domu znikł a jam go jak syna chował, tobyś mię też jak znajomego przywitał... — Nie domówił, olbrzymi kanasz siedział już przed nim na wozie, rzuciwszy się jak błyskawica, siedział ręce mu i kolana całował, mówiąc:

— Jak mogłem wiedzieć że małego Sebesa mile wspominasz, choć uciekł z twego domu niewdzięcznik, i że kanaszowi uściskać się jak ojciec pozwolił.

— Hm, jak chłopakowi na puszczie zapachnie las, to cóż robić; a cóż kanasz, nie taki dobry jak drugi? A ty Sebes choć w lesie siedzisz i świnki hodujesz, przecież ty znowu chyba nie wdajesz się w inną robotę?... — na *inną* Petöfi położył nacisk.

— Oj, jest dosyć kłopotu ze świnkami, jest!... — odrzecz na to Sebes zapalając fajkę. Petöfi uważnie patrzył na niego:

— Ja to wiem i nie o to pytam — rzecze — ja pytam czy prócz świnek, nie miewasz czasem z ludźmi roboty takiej ot, po której to im bywa lżej iść lub jechać bo ulżono odzieży i mienia, a niekiedy to i tańcować muszą... he?... — i objaśnił Petöfi mowę swą wymownym i wyrazistym gestem, wskazując na własne gardło a potem na pobliską gałąź.

— E... cóżby tam znów... tak zaraz... e... — mruczał kanasz naciśnięty pytaniami, spuszczać oczy, a krwawy rumieniec oblał mu białą twarz i czoło, którego słońce nie mogło opalić w gąszczu leśnej.

— I!... do licha!... — skrzywił się Petöfi.

— Ha ha ha! — śmiał się z zawstydenia kanasza Janos, w pół odwrócony od koni ku rozmawiającym.

— Hi hi hi! — zaśmiał się Szandor.

— A ty malcze! I ty będziesz się ze mnie śmiał! — zawołał Sebes chwytając chłopca — tyś pewno mały Szandor co ledwo oczy na świat otwierał, kiedym ja z waszej czardy na świat przysnął, a byłem wtedy ledwie kilka lat starszy jak jak ty dziś! Otóż jak to słońko świeci nad nami, tak prawdą jest że nigdy nie skrzywdził ubogiego, pytajcie wędrowną czeladź niemiecką, która często tędy przechodzi, pytajcie kogo chcecie. A zaś gdy jedzie wielki pan, kilka czwórek go wiezie, a pieniądze które on wywozi od swoich aby zagranicą

przejechać tylko dźwięczą i szeleszczą, albo gdy jedzie obcy wszystkim bogacz, który u nas pieniądze nabijał... to czemu on niema oddać nam trochę zbytku swego?... A jak nie chce oddać po dobrej woli, to trzeba go trochę nastraszyć żeby przedź oddał to czego ma zanadto! Prawda Szandor?

— Nieprawda! Czego się własną pracą nie zarobi, albo w szczyrim podarunku nie otrzyma, tego nie trzeba brać gwałtem ani podstępem! — odrzekło dziecko, nie rozumiawszy fatalnego znaczenia ostatnich wyrazów kanasza.

— Ależ prawda! Nie wierzysz? — upierał się pastuch — dla czego?

— Nie wierzę niczemu co mówisz, bo ty jesteś złodziej i rozbójnik! — ze szczerością dziecka odparł Szandor.

Dreszcz wstrząsnął Petöfim i jego parobkiem: któż to znów słyszał nazywać tak kategorycznie rzeczy po imieniu, i między kanaszami słyszącymi z dzikości istnieją przecież pewne względy towarzyskie, których celem jest oszczędzanie drażliwości wzajemnej; ostrzegając dziecko przeciw wpływowi przewrotnych pojęć, rodzice zapomnieli przykazać mu aby ich nauki schował dla samego siebie tylko. Na jedno ognienie oka ciemno-czerwona łuna oblała białe czoło Sebesa, czarne oczy zapłonęły i Petöfi już chciał wyrwać dziecko z rąk prawie dotykających jego gardziółka, gdy Sebes pocałował nagle malca w oba rumiane policzki z wybuchem niezbyt wesolego jakiegoś śmiechu:

— Powiedz twojej matce że nigdy nie skrzywdziłem swojego ani ubogiego — powtórzył, zgadując zkąd pochodzą głównie przekonania dziecka, i powiedział jęj że kanasz Sebes dziękuje za to, że go myła i czesała gdy był mały..

Petöfi odetchnął, poczuł że matka zachowała w tej chwili syna, dzięki temu, że kiedyś pielęgnowała rozbójnika.

— Ale nam czas po towar! — rzekł usiłując ukryć przerażenie i zakończyć sprawę — słonko już wysoko!

— To prawda — potwierdził kanasz — obcych zostawiłbym własnemu rozumowi, ale tobie Petöfi sam mięsa dobiore, tylko potem, pójdź do mojej budy na gulasz; nie odmówisz przecie gościny? — Wstał, kapelusz z ziemi podniósł, pieniądze zeń wrzucił do kieszeni, nakrywając głowę, płaszcz leżący na poprzednim legowisku zarzucił sobie na ramiona i uderzając w ziemię długim kijem od czekana, dodał:

— No, chodźmy. — Ruszyli. Szandor siedział na wozie, Petöfi szedł obok Sebesa. Za chwilę dał się słyszeć chrzęst potężny stłumiony, połączony z charakterystycznym odgłosem: zdawało się jakby cały las chrząkał chrupiąc żółędzie, cały las smakował: roch roch roch... W istocie nie było tu prawie widać ziemi pod dębami, nakrywała ją ruchoma falanga bezroznej trzody. Idąc Sebes wydawał od czasu do czasu przeciągle okrzyki i czekaniem jak kijem wymachiwał na trzodę, co powodowało pewien ruch w lesie. Wkrótce wyszli na otwarsze trochę miejsce, małą polaną na którą jednocześnie wchodziło ze wszystkich stron kilkanaście ogromnych kłapouchych potworów.

— Masz co najlepsze, wybieraj! — powiedział Sebes. Petöfi przyglądał się długo z daleka.

— Niby ten z czarną pręgą i tamten z urwanem uchem — rzekł wreszcie.

— Nie złe piechury — pochwalił wybór Sebes. — Czekaj zaraz ci ich dostawię... — odwinął z jednego ramienia płaszcz, zamachnął się, czekan wyfrunął mu z ręki, przeleciał ponad trzodą i utkwiał obuchem w czaszce jednej z dwóch sztuk wskazanych. Zwierzę upadło, inne cofnęły się odeń ale nie spłoszyły. Duży pies zjawił się natychmiast, podbiegł kłusem do obalonego, chwycił czekan zębami i odniósł Sebesowi. Manipulacja powtórzyła się natychmiast dla drugiej sztuki sprzedanej. Potem nowy okrzyk wywołał ruch wsteczny, w chwilę polana została opuszczoną, dwie tylko sztuki leżały na niej. Z kotliny w zaroślach buchała już parą woda z wrzącego kotła przygotowanego przez Janosa w zwykłym miejscu. Petöfi i jego parobek zabrali się do roboty, Szandor siedział przy nich na wzgórzu, konie jadły trawę na polanie. Prędko bardzo skończono przygotowawczą

część roboty; dwa starannie oporządzone egzemplarze leżały na wozie nakryte i związane, Janos popakował napowrót naczynia. Potem psy zbiegły się ze wszech stron na świńnięcie i zajęły uprzążaniem odpadków. Sebes, drugi kanasz nie wiadomo zkąd zjawiony i trzech goście zasiedli przed dymiącą się misą ogromną, pełną drobno pokrajaną wieprzowiny zaprawionąj mnostwem cebuli i papryki. O kilka kroków czerniła się chata z gałęzi pomiędzy dębami urządzona, zupełnie na taki sam sposób jak niedźwiedz swoją kryjówkę na zimę urządziła.

Scutura flasza drewniana obeszła wszystkich, każdy ją do ust przyłożył, przychylił, potrzymał chwilę i sąsiadowi oddawał, ocierając wąsy.

— A ty nie Madziar! — zawołał Sebes, gdy Szandor cofnął się od flaszki, więc i on ją do ust przyłożył ale natychmiast odsunął znowu, bardzo mocne tam wino było.

— Roch roch roch, chrup chrup chrup!... — chrzęściał las bukowy jak długi i szeroki.

— Stuk stuk, brzęk brzęk!... — odpowiadały mu łyżki trącające o miskę w rękach biesiadników. Po zaspokojeniu głodu zagryzono chlebem i pociągając z flaszki Petöfi mówił:

— Nieraz ja przed tą chatą i w niej jadałem, i dwie soboty temu również tu byłem, ale z dawien dawna Pal (Paweł) tutaj mieszkał przy stadzie, a zkądże się raptem Sebes wziął i co się stało z Palem? To dobry chłopak!

— Bardzo dobry, to też zamienił się ze mną na miejsce choć się tu już przyzwyczaił, ale mnie tam za strumieniem dokuczali okrutnie pandury...

— Pandury? (żandarmi) albo to już zbroiłeś co takiego że aż żandarmi chcą z tobą zawrzeć znajomość?

— Wcale nie; ja mam trzodę powierzoną sobie pod liczbą i gdy kto kupi jaki kawałek, to pieniądze wiernie oddaję właścicielowi trzody, tak jak oddam i twoje, Petöfi. Ale ktoś powiedział w mieście że Sobri jeden z kanaszów, sprzedawał tam potajemnie wieprzaki z powierzonej mu trzody, na własną korzyść, właściciel trzody nasłał na niego pandurów, ci go wsadzili do więzienia, już rok siedział, a na mnie powiedzieli że mu pomagał i mnie chcą uwięzić. Ale mój właściciel powiada „dajcie mu pokój, mnie mój kanasz Sebes nic nie ukradł”. Więc umówiłem się z Palem żeby się na miejsce pomieniać i pandurom w głowach pomścić, bo tam gdzieś pasał poprzednio, ciągle mi się koło nosa wóczyli... podpatrując co robię...

— Spożywajcie zdrowo! — zabrzmiał w tej chwili głos poza rozmawiającymi: wszyscy podnieśli głowy: dziesięciu żandarmów uzbrojonych od stóp do głów stało koło chaty, wyszedłszy z poza niej wyraźnie.

— Nie, nie mogli słyszeć — mruknął Sebes w odpowiedzi na przerażenie spojrzenie Petöfięgo, zmierzyszy wprawmem okiem odległość między sobą i nowoprzybyłymi. Wstał podnosząc i rozciągając swój płaszcz. W las! — szepnął jednocześnie do swego towarzysza kanasza.

— Dziękujemy! — odparli biesiadujący na powitanie żandarmów. Kanasz tymczasem zamaskowany płaszczem Sebesa padł na ziemię i na czworakach przemknąwszy się pomiędzy osłupiałym Szandorem i Janosem znikł w pobliskich zaroślach.

— Co wy za jedni, poczciwi ludzie — pytał uprzejmie starszy żandarm — wybaczenie że pełniąc swój obowiązek muszę się nieraz uprzykrzyć najporządniejszym ludziom ściągając nicponi.

— Ha, cóż począć gdy taki już jest porządek na świecie, ja jestem Pal, z dawien dawna pilnujący tutaj wiernie pańskiej trzody, a oto scutura pełna możebyście pociągęli z niej panowie? — I podawał Sebes flaszkę, która też poszła z rąk do rąk między żandarmami.

# KORKOWE DRZEWO,

(ze wspomnień młodości).



różno się ludzi, ta choroba jakaś przedłuża się; nieszczęście padło na mnie widocznie; zginę z pewnością w tej Hiszpanii; nie ujrzę więcęj rodziny i rodzinnego kraju — powiedziałem sam do siebie, siedząc skurczony na ziemi u stóp pomarańczy i trzęsąc się z chorobliwego zimna, pomimo że ogniste promienie słońca oblewały mię całego swym żarem. Rzęsiste łzy potoczyły mi się po twarzy i spadły aż na drżące ręce.

— A ty czego płaczesz? — zapytał Antonio, stając przedemną w dumnej postawie, jedną ręką podparty w bok, drugą zarzucając na ramię

w malowniczy sposób poję ojcowskiego płaszcza, podartego tak, że ledwo łachmany i strzępy trzymały się razem.

— Płacę, bo czuję że pewno nie ujrę już tych których kocham.

— Niejeden choruje i wyzdrowieje.

— Tak, jeżeli ma lekarstwa i jeżeli ma przytem cośkolwiek jeść i dach nad głową; ale ja resztę już pieniędzy oddałem twojej matce, a wy sami tacy biedni jesteście że nawet dziwił się nie będę, gdy mi odmówicie kąta i pożywienia.

Antonio podrapał się w głowę okrytą gęstą czarną jak smoła, nieczesaną chyba nigdy czupryną.

— Wiesz co — rzekł po namyśle — a gdybyś ty się zabrał do pracy?... dostałbyś za pracę pieniądze...

— Chętniebym pracował, ale widzisz że chory jestem, nie mam siły, a przytem tu u was niema roboty.

— Jakto niema?... dopiero co przed chwilą prosił mię dyrektor z korkowej fabryki do skrobienia kory, bo mu strasznie robotnika brak... Ale ja nie chcę, co mi za niewola pracować, kiedy matka jeszcze ma resztę twoich pieniędzy... — i to mówiąc brudny próżniak, jakich dużo jest wśród nieoświeconego i przeto pogrążonego w nędzy hiszpańskiego ludu, rozciągnął się koło mnie na ziemi, rozkoszując się w słońcu.

— Do skrobienia kory?... cóż to jest za roboty?... możebym ja mimo osłabienia mógł to robić? — zapytałem ożywo-

ny nadzieją, bo dotąd pewny byłem, że nędza ludności miejscowej pochodzi z braku zarobku. Zwlokłem się jak mogłem i wspierając się na pocziwym w gruncie, mimo wielu wad chłopcu, dowlokłem się z trudnością do domostwa w którym niepodobna było z pozorów domyślić się fabryki. Robotnika był taki brak, że przyjęto mię chętnie mimo choroby, która też od tej pory przechodzić zaczęła, może pod wpływem moralnego uspokojenia. Z początku siedziałem tylko, i stosownie do udzielonych mi wskazówek skrobałem kawały kory, wymoczonej wprzód ku temu odpowiednio. Celem takiego skrobienia jest zdjęcie grubszej powłoki z właściwego korka. Nie ciężka to była roboty i drżące moje ręce mogły jej poddać, zwłaszcza gdy konieczność i nadzieja przyszły im w pomoc. Następnie korę korkową zeskrabaną gotowano w dużych kotłach, a potem prasowano w prasach, dawnymi zaś czasy wędzono ją jeszcze w dymie. Przystosobiony tak towar rozdzielano na kilka gatunków, pakowano w beczki i wysyłano w drogę. Gdy wyzdrowiałem chodziłem z innymi do lasu obdzierać korę. Trzeba wiedzieć że drzewo korkowe czyli korkodąb (*Quercus suber*) rośnie prawie jedynie tylko w Algierze, Portugalii i Hiszpanii; w Europie środkowej już nie daje się przyswoić. Z drzew tych dopiero gdy mają około 30 lat istnienia, zdejmuje się pierwszy raz korę, ale używa jej się tylko na różne galanteryjne wyroby, bo na korki jest jeszcze niezdatna. Dopiero po zdjęciu tej pierwszej kory, wytwarza się prawdziwa biała kora korkowa a to z tak zwanego *cambium* znajdującego się pod tamtą pierwszą, którą z wielką ostrożnością zdejmować trzeba aby tego *cambium* nie psuć. Ta biała druga kora musi jeszcze wytwarzać się i dojrzewać na drzewie przez lat około czterysta w Hiszpanii i Algerze a od ośmiu do dziesięciu w Portugalii, i wtedy się ją dopiero obdziera. Na taką robotę posyłano nas kilka razy w miesiącach letnich od maja do września. Jak to widać na danej tu rycinie, robiliśmy podłużne nacięcia na metr blisko szerokie na pniach drzewnych, a potem odrywaliśmy z wolna te pasy kory długie pod miarę, pomagając sobie rękojeścią toporów. Pokazywano mi drzewa, które blisko od 150 lat bywają tak obdzierane, ale to już ich wiek najdłuższy. Wiek drzewa wpływa na wartość kory; po zdjęciu układaliśmy ją w wielkie stopy, wiązali i wieźli na mułach do fabryki. Najlepszy korkodąb rośnie w Katalonii, jest bardzo drogi i używa się tylko do wina szampańskiego; z Algeru przychodzą korki do wina i do wód mineralnych.

Uzbierawszy sobie trochę grosza w fabryce naszój, prosiłem aby mię posłano do Niemiec z jednym z wozów pełnych towaru zapakowanego w beczki i rozsyłanego na wszystkie strony świata. W Niemczech dużo jest fabryk korkowych. Dostawiwszy materyał nasz do fabryk niemieckich, pozostałem tam znowu jako robotnik, aby sobie więcęj grosza na drogę do domu zbierać, do którego już znacznie bliżej mi było. Robotnik każdy ma za jedyne narzędzia dwa ostre szerokie noże, jednym kraje deskę korkową w pasy i w kostki, drugim zaokrągla te kostki i kształt im właściwy nadaje. Cała sztuka na tem zależy aby z danej ilości kory wykrajać jak najwięcej korków, a jak najmniej zostawić odpadków. Niektórzy moi towarzysze wykrawali dziennie do 1,500 korków, ja najwyżej mogłem 1,000 wydołać. Wielu bierze robotę do domu, gdzie żona obrabia mniejsze korki a dzieci obrabiają maleńkie zgrabne koreczki do lekarstw, co trudno byłoby robić dorosłemu człowiekowi o grubych palcach. Próbowano używać maszyn do roboty korków, ale okazało się to niemożliwym, gdyż każdy kawałeczek trzeba koniecznie oglądać i obrabiać odpowiednio do jego jakości; jednakże, przy wyrobie na bardzo wielką skalę najprostszych korków butelkowych, używa się maszyn do krajania, ale tylko do krajania; obrobić każdy kawałek musi już koniecznie ręka ludzka. Następnie w fabryce przesiewaliśmy korki przez odpowiednie sita, aby dobrać jednakowej wielkości, potem wybierano się je trzykrotnie, dzieląc na gatunki. Tylko korków do szampańskiego wina nie robiliśmy wcale, bo te wyrabiają się w Hiszpanii i we Francji, a właściwy swój kształt nabywają przez przymocowanie do butelki. Drzewo korkowe potrzebne do najlepszego wina szampańskiego jest

bardzo rzadkie i drogie, i przeto we Francji bywa składane z kilku wyborowych kawałków sztucznie spajanych i korki z nich się dopiero wykrawają.

Wiadomo że z drzewa korkowego wyrabiają się także pasy ratunkowe, pływaki do sieci, podeszwy i t. p. Architekt August Rosa żyjący w Rzymie w zeszłym wieku, wynalazł także sposób używania korkowego materiału w zastosowaniu do swój sztuki. Jest to tak zwana *felloplastyka* i zasadza się na odtwarzaniu z korkowego drzewa, w pomniejszeniu

oczywiście, różnych pomników budownictwa starożytnego, greckiego i rzymskiego. W Monachium istnieje wielki zbiór takich właśnie modeli felloplastycznych.

Przemysł korkowy rozpowszechnia się i wzrasta, jest źródłem wielkiego bogactwa i prawdziwym ubłogosławieniem dla licznych robotników znajdujących chleb przy coraz liczniejszych fabrykach. I ja, korkom jedynie zawdzięczam że dotąd żyję i że żyję, tam gdzie się urodziłem.

*Aureliusz.*



Drzewo korkowe.

## PAMIĘCI MARYI JULII ZALESKIEJ,

Z dzienniczka **Janka sieroty** przepisała **Z. U.**

Odeszła od nas łagodna i cicha,  
Jak kosą żeńca skoszona roślina,  
Która bez skargi wędnie i usycha —  
Lub jak ptak długą podróżą znużony,  
Co za spoczynkiem tęsknić już poczyna,  
Tak ona w lepsze odleciała strony.

I dzieciom było, jak gdy gwiazdka zgaśnie  
Nagle na niebie, lub anioł odleci  
Co strzegł łóżecka — i dziecko gdy zaśnie,  
Sny miewa przykre, lęka się i płacze,  
A serce niby w pisklęciu, kołaczce,  
Kiedy mu gniazdo strąci dłoń psotnika,  
Albo schwyttane do klatki zamyka.

Rybka w strumieniach i kwiatki na łące  
Już nie tak barwne, ni takie pachnące  
Jak były dawniej — jak wtedy gdy ona  
Bożej nam ręki wskazując znamiona,  
Mówiła o nich, że kwiatek choć mały,  
Cudem jest równie wielkim, jak świat cały.  
Pan Bóg się musiał na dzieci pogniewać,  
Bo ptaszki nawet zapomniały śpiewać,  
A głązy niegdyś wymowne jak księgi,  
Gdy dłoń Jój ksiąg tych odwracała karty,  
Nieme dziś stoją, i nie chcą już z nikim  
Swoim kamiennym rozmawiać językiem.  
Ruchliwe polnych koników zaprzęgi,  
Wojska motyli, żabek nocne warty,

Wszystko posępne, łekliwe, spłoszone  
Jakby na słońce kto spuścił zasłonę.  
Odkąd ją w zimnym położono grobie,  
Wszystko jak gdyby chodziło w żałobie,  
Kwiaty, robaczki, kamienie, zwierzęta,  
Kaźde się smuci i o niej pamięta.

Siostrzyczki, bracia, chodźmy na zagony  
Gdzie po niej bujne zostało pokłosie;  
Gdzie był trud wielki, będą wielkie plony,  
Zbierajmy kłosa — kaźde zaś niech słuca,  
Co złoty kłosek powie mu do ucha,  
A wnet ją wszyscy poznamy po głosie.  
I choć odeszła, pozostanie z nami —  
I choć daleka, będzie zawsze bliska  
Sercom swych dzieci, kiedy z jej książkami  
U rodzinnego zasiędziem ogniska.

Nie trzeba płakać, ani w inne światy  
Posyłać tęsknot za tem co nie wróci:  
Kto ją tu kochał, niech na grób Jęj rzuci  
Dobrych uczynków niewiędnące kwiaty.

Dębowa Wola d. 31 Grudnia 1889 r.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czy też woda tęg rzeczki dobrą jest do picia? — spytał Tomek.

— Sądę że lepiej będzie poczekać, aż napotkamy zdroj jaki — odparł Melchior. — Daby Simon poszuka nam też równocześnie jakiego miejsca, gdziebyśmy się mogli zatrzymać na obiad.

— Nie wiem o żadnym zdroju w tęg okolicy — odpowiedział przewodnik — ale co się tyczy obiadu, to jest o jakie dwanaście mil ztąd pewien stary klasztor z dwoma ogromnymi salami i z pięknym ogrodem, gdzie doskonale nam będzie spocząć; nie mieszka tam nikt prócz duchów.

— Prócz kogo? — spytał Tomek.

— Duchów... no niby upiorów, takich nieszkodliwych, które pilnują skarbów, jakie tam mnichy niegdyś zakopali. Ale nic a nic złego nam się tam przez jedną noc nie stanie.

— Jest tam woda zdatna do picia przy tym klasztorze? — zapytał Melchior.

— Tak kapitanie, doskonale to miejsce do obozowania; tylko, nie wiem czy ci dwaj mali zajść tam zdołają.

— Proszę! doprawdy tak myślisz? — zawołał Tomek.

— Aj jakbym ja też chciał zobaczyć ducha! zarazbym go poprosił żeby mi pokazał gdzie jest skarb zakopany! — rzecze Menito.

— Kapitanie — szepnął Daby Simon — lękam się żeby ten trzpiot nie ściagnął na ciebie nieszczęścia. Trzeba czuwać nad nim gdy tam przyjedziemy, bo te widma nie lubią żeby z nich żartowano.

Śmiejąc się z obawy przewodnika, podróżni szli dalej. Droga ciągnęła się pod górę i była coraz trudniejsza do przebycia i bardziej kamienista. Nic już nie wskazywało bliskości oceanu, oprócz orłów morskich, unoszących się w powietrzu.

— Musi tu być dom mieszkalny w pobliżu — rzekł Tomek — czuję zapach pieczonego chleba.

— Nie, to obozowisko indyjskie — odpowiedział przewodnik. — Spójrz ot tam, a dym ogniska zobaczysz. Indyjanie tutejsi nie mają zwyczaju domów budować; sypiają w ha-

makach zawieszając je u drzew, które w ten sposób za dach im służą.

— A więc są to pomieszkania, do których wystawienia nie potrzeba, ani mularza ani budowniczego — zauważył Tomek.

Zbliżywszy się, ujrzeli dziecko w łachmanach a z głową kędzierzawą, biegnące ku nim.

— Dajcie miedziaka! dajcie pieniądz jeżeli łaska, jeżeli łaska, ja będę bardzo dobry!... — zaręczało żebrząc wyciągniętą ręką.

— Na masz pieniądz, a powiedz gdzie jest twój ojciec? — rzekł Tomek, dając mu miedziany pieniążek.

— Ojciec jest tam, za tem drzewem, obdziera wężyka na wieczerzę — rzecze malec oblizując się łakomie.

Ów „wężyk” był to najprawdziwszy wąż boa, zawieszony na potężnej gałęzi. Indyanin kończył go obdzierać; Tomkowi słabo się zrobiło na myśl o takiej wieczerzy.

— Jakimże sposobem potrafiłście zabić takie straszne okropne? Czy macie strzelbę? — zawołał Melchior zdumiony.

— Nie, senor, nie stać mię na strzelbę; ja go tem zabiłem — rzekł Indyanin, wskazując łuk zrobiony z drzewa. Całe urządzenie chaty zmieściłoby się w proste taczki. Hamak zrobiony był z materyału podobnego do worków na kawę, a sprzęty składały się z kociołka żelaznego i dwóch rozszczepionych kijów. Stara matka *skwawa*, jak zowią Indyanie piekła na wieczerzę słodkie żołędzie z pewnego rodzaju dębu, rosnącego obficie w lasach amerykańskich. Smakiem owoc ten zbliża się do kasztanów; probowano nieraz robić z niego mąkę, woń tych pieczonych żołędzi zwiodła właśnie Tomka.

Przy hamaku wisiało ze dwadzieścia szarych wiewiórek.

— Patrzaj kapitanie — rzekł Menito — oni mają także i małpkę bardzo ładną, czy nie możnaby jęj kupić? — dodał wskazując małe zwierzątko o czarnem futrze lśniącym, i z żywemi, dowcipnemi oczyma, które mały Indyanin pieścił i przycisnął do piersi.

— O mój wuju nie kupuj jęj — zawołał Tomek — patrz tylko jak ten malec kocha swą małpkę, on może niema innęj uciechy na świecie!

— No, a więc mu ją pozostawmy — rzekł Melchior z uśmiechem.

Słońce znikło już za pagórkami w południowo-zachodniej stronie, gdy podróżni ujrzeli zdaleka zwaliska starego klasztoru. Wznosiły się one na szczycie skał wapiennych, na które muł wstępował z pewną trudnością; ale Daby Simon słusznie powiedział, że miejscowość była doskonałą na obozowisko. Przed głównym budynkiem był taras szeroki i mały trawnik zarzucony potrzaskanemi kamieniami, na których doskonale było siedzieć. W ogrodzie zarosłym figami, cytrynami, były dwa śliczne zdroje, które w połączeniu trochę niżej tworzyły ładny strumień. Ponieważ wieczór był piękny, zatem kapitan postanowił nocować pod gołem niebem; a zamiast zwykłej herbaty, zadowolono się wyborną limonadą. Po długiej i spiesznej podróży, wędrowcy bardzo ucieszyli się z tych rozporządzeń i nie byłiby zamienili swego noclegu na nocleg w królewskim pałacu.

Limonada tak smakowała, że przewodnik musiał poraz drugi iść do zdroju po nowy zapas wody. Bawił jakoś długo, aż wtem usłyszano głos jego u stóp tarasu, zdawał się z kimś rozmawiać.

— Ah — krzyknie Menito — niegrzeczny jesteś panie Simon, jeżeli spotkałeś się z widmem, to powinienes nas o tem zawiadomić, abyśmy także mieli udział w skarbie.

— Będiesz ty cicho ty mały urwisie — odpowiedział przewodnik — ja się spotkałem tylko z panią Yegua, wdową mieszkającą w tamtym ot małym folwarczku. Spotkalimy się u zdroju. Wejdz na taras pani Yegua!



— A to co? jakaś „pani” w pustyni! zawołał Tomek.

A w tem osobistość, którą przewodnik „panią” nazywał, ukazała się na tarasie. Dziwna to była osobistość. Za całe ubranie miała koszulę bez rękawów, ale z rodzajem kaptura, której dowolnie naciągał się na głowę, lub z niej zsuwał. Była zaś tak chuda, że łatwo można było wziąć ją za oczekiwane widmo. Na jej widok kasztan zaczął głucho mrużyć. Ona zaś zbliżyła się do wędrowców i ścisnęła za rękę każdego, pytając jak się mają? jakby ich znała od dawna.

— Mój zdroj — dodała — wysechł tego roku, tak jak i przeszłego, przypominacie sobie zapewne, przychodzę więc po wodę do tutajszego. Bardzo się cieszę, że was w dobrym zdrowiu oglądam.

— Czy raczysz wieszczę z nami pani Yegua? — zapytał kapitan.

— Nie, dziękuję — ale jeżeli byłbyś tak grzeczny że chciałbyś mi przysłużyć wyrządzić, to prosiłabym cię o pożyczanie mi tego chłopca, jutro rano na dwie godziny — dodała wskazując na Menita.

— I owszem — odpowie Melchior — a cóż z nim zrobisz?

— Zaraz ci powiem: oto w lasku tuż przy mojem mieszkaniu jest cała gromada małąp, które mię rozumu pozbawiają. Wczoraj wdarły mi się do stodoły i dzisiaj także. Gdybym miała zwinnego chłopaka takiego jak ten, skryłyby się za drzwiami i moglibyśmy pochwycić te rozbójnice!

— A czy dasz mi pani te mały które złapię? — zapytał mały Meksykanin.

— Tak, ale czy ty im nic złego nie wyrządź?

— Nie, ale cóż to panią obchodzi?

— Widzisz, przecież to są jedyni sąsiedzi, więc nie chciałabym, żeby im dokuczano.

— A jeżeli pani sama ich schwytaasz, to cóż z niemi zrobisz?

— Zamknę i dam im jeść. Na swobodzie rabują dzie sięć razy więcej niż spotrzebować mogą. Nie mają one żadnych zasad i nie znają rzędności.

— Bardzo dobrze, pani Yegua — rzekł śmiejąc się kapitan — pożyczę ci jutro Menita na tak długo, jak ci będzie potrzeba.

— Tylko przyslij go pan wcześniej jeżeli laska, a już my we dwoje nauczymy rozumu moich sąsiadów.

Nazajutrz o świcie wyprawiono Menita, na folwark starą Meksykanki, a potem objuczwszy muła, kapitan i jego dwaj towarzysze udali się za nim w tę samą stronę, aby widzieć w jaki sposób rozstrzygnie się sprawa właścicielki, z jej sąsiadami.

— Menito jest tam.. za drzwiami — rzekła pani Yegua, pokazując palcem mały budynek w rogu zbożowego łąnu. Zamknie on je natychmiast jak tylko mały wejda, ale aby tam weszły, muszą widzieć mię tutaj.

Skierowała się, kulejąc ku drzewu, na którym gromada małąp zdawała się zajęta naradą wojenną, wrzeszcząc jedna przez drugą, gdy tymczasem kilka z nich mrużało i jęczało jakby niecierpliwie się tą zwłoką.

— Otóż zobaczyły mię już teraz — rzekła pani Yegua, doszedłszy do drzewa — na to one czekały. Co do mnie, poznaję ich obecność tylko po szczebiocie; bo wzrok mam bardzo słaby.

Mały zdawały się to rozumieć i wiedzieć, bo zachowały się względem starą kobiety jak gromada małych uliczników względem policyanta. Szły za nią w niejaki odległości, machając ogonami wzniesionymi jak szyszaki nad głową, wykrzywiając się i gesta najśmieszniejsze wyprawiając za jej plecami, aż nareszcie jedna z największych, z kiciastym ogonem skoczyła prosto do stodoły, jakby chciała rzec przez to do towarzyszek:

— Wchodźmy! ona już odeszła!

Siedm ich poszło za tem wezwaniem; ale pierwsza usiadła na progu, czuwając wyraźnie nad tem co działo się i wewnątrz i zewnątrz stodoły. Upłynęło pięć minut czasu

a mrużenie pełne zadowolenia, pochodzące z głębi stodoły dowodziło, że rabusie zajęci byli śniadaniem.

— Dla czegoż ten Menito nie zamyka drzwi? — spytał Tomek — przerachuje się i sposobność minie jeżeli będzie czekał aż i ten grubas wlezie do stodoły.

Ale gruba mała wcale nie zabierała się zejść ze stanowiska. Wsparta o drzwi i usiadłszy wygodnie, zaczynała się głaskać rozkosznie, zapewne z uciechy że tak dobrze poprowadziła wyprawę na stodołę, gdy nagle skutkiem gwałtownego uderzenia w plecy, wyleciała aż na środek drogi, jak kamień z procy, a drzwi zatrzasnęły się za nią z piorunującym hukiem.

— No, teraz Menito dobrze się sprawnia — rzekł Tomek gniewny na mały, dokuczające bezbronnej starą kobiecie.

Mała wyrzucona ze stodoły uciekła do pobliskiego lasku, wyjąc i jęcząc przeraźliwie. Tymczasem rozkoszne mrużenie śniadających w stodole, zamieniło się w pomieszane jęki, wśród których wyróżniały się piskliwe skargi małej mały z gatunku saki.

Kapitan i jego towarzysze przystąpili do stodoły idąc z pomocą młodemu chłopcu, walczącemu w niej z małpami. Ale on usłyszawszy ich, zawołał:

— Strzeżcie się drzwi otwierać! tylko prędko podajcie mi jakie widły, albo choć mocny kij rozszczepiony: trzeba je najprzód schwytać!

Tomek pobiegł do domostwa po widły, a kapitan przez szparę zajrząwszy do stodoły, ujrzał pięć małąp z gatunku sapażu, skupionych razem i usiłujących gwałtem wpakować się w dziurę wyrwaną w podłodze. Małutka zaś małpka saki biegała na około ścian stodoły, krzycząc przeraźliwie, aż zatrzymawszy się nagle porwała kłos zboża i jadła go z gorączkowym pośpiechem, jakby postanowiwszy się najeść porządnie przed zgonem; poczem znowu zaczynała biegać i krzyczeć.

Gdy podano widły, dopieroż rozpoczęła się ogólna galopada niesłychanie ożywiona; ale młody Meksykanin zanadto żwawym był chłopakiem, aby taka sprawa mogła trwać długo. W pięć minut, pięciu większych jegomościów schwytanym jeden po drugim widłami, dokończyli skocznej galopady w dobrze zawiązanych workach, a małutka saki leżała w kącie, udając, że omdlała z rozpaczy, uwiązana na długim sznurze. Małe to licho nie dało wszakże za wygraną i nie wyrzekło się wolności, i ledwo kapitan i wdowa weszli do stodoły, skoczyło w objęcia meksykańskiej damy, pieszcząc się z nią i twarz swoją do jej twarzy przytulając, a skomląc przytem rozpaczliwie i żałośnie, jakby najserdeczniej prosiło; ale wdowa podburzona przez kapitana nie dała się wzruszyć.

— Gdzież je zawieziecie? — spytała, gdy mały umieszczono już w mocnych kłatkach na mułe.

— Najprzód do Europy, potem do Londynu, gdzie ci więźniowie będą mieli zaszczyt być przedstawionymi władzom i publiczności miejscowej.

— Do Europy? Do Londynu? to musi być gdzieś bardzo daleko? — spytała biedna staruszka.

— W istocie niezbyt blisko! — odpowiedział śmiejąc się Tomek.

— W takim razie, zegnajcie mi moje chłopczątka — rzekła dobra kobieta ściskając po angielsku serdecznie długie ręce małąp, wyciągnięte do niej przez kratki. Bardzo mi przykro, że do tego przyszło, ale to nie moja wina, ostrzegałam was dosyć często.

W ten sposób rozstano się z panią Yegua. Mały nie zdawały się wcale tą rozłąką wzruszone. Zajęte były niezmiernie rozglądaniem się w klatce, sądząc podobno, że ponieważ los je w niej ulokował, zatem należało uważać ją za swoją własność, i osiedlić się jak u siebie. Pręty klatki były dosyć rzadkie, jedna z małąp zdołała więc ku ogólnemu rozweseleniu, wyciągnąwszy długą rękę i wychyliwszy się, pociągać muła za uszy raz po raz. Ale trudno było dostrzedz, która mianowicie dopuszczała się tej swawoli, bo za ledwo ktoś zwrócił na nie oczy, już wszystkie przybierały

takie skromne i potulne minki, że nie podobna było poznać winowajcy.

Kasztan był właśnie na jakimś polowaniu na własny rachunek, ale gdy powrócił, zaczął szczeekać i drażnić małpy. Mała saki zaraz odpowiedziała piskliwym wrzaskiem, a wszystkie sapażu, gwałtownym szczebiotem, jakby jakie najkłótlwsze kumoszki w wielkim gniewie. Potem widząc że nikt im tego nie broni rozpoczęły na dobre straszliwe właściwe sobie bezustanne paplanie, z nieopisaną szczebiotliwością, podnosząc ogromną wrzawę, zwłaszcza, gdy co nowego i nieznanego zobaczyły w podróży.

Po południu, gdy dochodzono do lesistej równiny wrzawa ta ustała nagle i wszystkie małpy zwróciły głowy w jednokowym kierunku. Musiało przybywać z tamtąd coś dziwnego. W istocie z doliny po lewej stronie dolatywało echo dziwnych jakichś dźwięków, jakby w wielkiem oddaleniu ze sto psów szczeekało na raz, albo też jęczało wspólnie przeciągłym jękiem.

Menito powstrzymał muła.

— Słuchajcie — rzekł — słyszycie te psy?

— Psy nie takby szczeekały — rzekł Tomek — to coś innego, może pantera?

— Nie, Menito ma słuszność — odpowiedział przewodnik. — To gromada psów dzikich poluje na daniela lub bawołu. Mamy przed sobą to polowanie, jak sądzę.

— Spieszmy a dowiemy się co to takiego — zawołał Menito.

— Nie—odpowie przewodnik--zatrzymajmy się wprzódy pod temi morwami; godzina obiadowa nadchodzi, a tam jest źródło jedyne z dobrą wodą w tej okolicy.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Żona prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej, pani Carnot, urządziła w wigilią Bożego Narodzenia w parku Elizejskim, gwiazdkę dla ubogich dzieci. Przywiezione omnibusami przez merów odpowiednich okręgów do pałacu, dzieci były najpierw na przedstawieniu teatru maryonetek w nowej sali zabaw. Następnie pani prezydentowa poczęstowała je czekoladą i ciastami, poczem nastąpiło rozdanie podarunków. Cztery choinki ubrane zabawkami i wstążkami trójkolorowemi stały w sali, sześć zaś w cieplarni; gdy je zapalono rozdano między dzieci upominki. Oprócz lalek, fuzyi, ubrania i łakoci, każde z nich otrzymało książeczkę z kasy oszczędności z wkładem 10 fr. i napisem: „Podarunek od p. Carnot, prezydenta rzeczypospolitej” tom dzieła *Bibliothèque d'éducation maternelle* i koszyczek do zabrania upominków.

Lalka fonograficzna, to jest mówiąca za pomocą odpowiedniego przyrządu, dar Edisona dla małej księżniczki Elżbiety, córki zmarłego następcy tronu austryackiego, o której już wspominaliśmy poprzednio, spóźniła się z przybyciem do Europy na gwiazdkę. Lalka ta według życzenia cesarza Franciszka Józefa za nakręceniem odpowiedniej ukrytej w niej sprężyny, ma powtarzać wierszyk wigilijny, napisany przez księżniczkę Maryą Waleryę, najmłodszą córkę cesarza.

## ZADANIE KONIKOWE.

dzba	nią	z ja	się	nie	wa	śnie	je	nie
mi	co	sie	drze	go	dzie	sie	o	wa
przed	nek	i	ma	sta	na	da	nek	kto
ga	da	przy	po	nic	pa	nie	i	mi
z ja	się	trzy	ło	*	brzo	nie	się	dzba
je	bo	go	więc	ma	dech	trzy	bo	las
ją	chym	kła	za	w ko	wa	zo	dzie	śmie
dla	śmie	sie	ci	mi	las	cze	śnie	rów
le	nia	a	się	dziew	wym	ka	je	i

## SZARADA.

(od Gołąbki pocztowej dla Sasanki).

*Pierwsze* na wspan — karta będzie  
*Drugie* płynie w naszej ziemi,  
*Drugie trzecie* znane wszędzie,  
 W pewnej porze jeździm niemi.  
 A *wszystko* wiosenne kwiatki,  
 Nie bławatki, ani bratki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

Szarady:

Kuropatwa.

Rebusa:

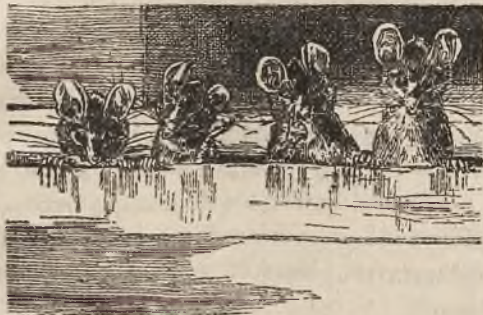
Łaska pańska często na pstrym koniu jedzie.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnym, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcye wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 1—3

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Korkowe drzewo, ze wspomnień młodości, (z drzew.) — Pamięci Maryi Julii Zaleskiej, wiersz p. Z. U. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Rozmaitości. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Nieposłuszne panny Myszowińskie (z drzew.) — Gdzie ptaszkom najlepiej, wiersz. — Uroczystość w Wieliczce, (list do Gołąbki pocztowej). — Łamigłówni i rozwiązania — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



wdrapały się na brzeg niecki i patrzą...



Kot skoczył...

### Nieposłuszne panny Myszowińskie.

W skromnej spiżarni pani Gertrudy, żyły sobie cztery panny Myszowińskie z babcią Myszowińską, pracując skrzętnie z dnia na dzień nad zbieraniem ziarenek kaszy, odrobinek chleba i t. p. okruszynek, jakie kucharka przypadkiem upuściła, wybierając zapasy na codzienny użytek.

Nie czyniąc nikomu krzywdy nie były też przez nikogo napastowane i żyły światu i kotom nieznane, dopóki nie odebrały wiadomości o chorobie krewniaczki, której pułapka ucięła kawał ogona. Ponieważ wszystkie nie mogły opuszczać codziennej pracy, zatem, najstarsza tylko podążyła chorą z pomocą. Była to pierwsza wycieczka panny Myszowińskiej w świat w jej cichem dotąd życiu. To też uczyniwszy co było można dla poratowania krewnej, powróciła pełna uwielbień dla niewidzianych dotąd dziwów. Opowiadaniom nie było końca.

— Czy myślicie — mówiła — że w zamożnej tamtej spiżarni żywią się myszy pojedynczo upuszczonymi okruszkami, tak jak my tutaj? O nie! tam stoją zupełnie nienakryte ogromnie głębokie niecki, w których suszy się mąka, kasza i różne specjały, wchodzi się tam i używa do syta a potem jeszcze mnóstwo zapasu niesie do domu na całym futerku!

— Ależ w takim razie, to szaleństwo jest siedzieć tutaj pracując w biedzie, kiedy tam można we wszystko opływać! Chodźmy tam natychmiast! — zawołały młodsze panny.

Nie pomogły odradzania babci i uwagi jej o spokoju i bezpieczeństwie przy pracy. Cztery chciwe dostatków siostry, natychmiast podążyły do owej sławnej z zamożności spiżarni, wdrapały się na brzeg niecki i patrzą: Cóż tu mąkil... Myszowińskim zawróciły się głowy od widoku tego bogactwa tak, że ani się obejrzały, ani pomyślały że przy takich skarbach, musi być przecież jakiś kot podskarbi... a przecież kocia głowa wyglądała tam z kąta... Dopiero gdy zapominając o ostrzeżeniach babki cztery siostry skoczyły na łebki w mąkę tak, że tylko

ogony były im z niecki widać, kot skoczył także!... Niestety! nieszczęsna babka nie ujrzała więcej nieposłusznym wnuczek, zginęły wszystkie!

### GDZIE PTASZKOM NAJLEPIEJ.



onad polem ponad borem.  
Ulatuje ptaszka para  
Skłopotana jakimś sporem  
Poswarzona parka szara.

Wciąż świegocą wraz  
[oboje,  
Arzecz idzie o gniazdeczko,  
Gdzie je słać? by niepokoję  
Nie przykrzyły się dziatki  
[czkom.

— W głębi lasu—woła jedno.  
— W szczerem polu—drugie  
[woła.

— Jastrząb porwie dziatwę biedną!  
— Lisów pełno dookoła!

Toż i wilk na ptaszę czyha  
I wiewiórka nawet mała...  
Choć ptaszyna taka licha  
Wrogiem jej dąbrowa cała.

Oj co czynić na tym świecie  
Gdzie tu kącik znaleźć taki,  
Byśmy spokój miały w lecie,  
My ptaszyny nieboraki!...

Tak biadała okruszynka  
A wtem dźwięknie dzwon z kościoła  
Idą ludzie i dziewczynka,  
Leci ptactwo dookoła

— Co to? Co to — spyta parka  
Za czym lecą te ptaszęta?  
Ach, dziewczynka sypie ziarnka  
Dobre duszki są dziewczęta.

Ol... polećmyż za dziewczeczką  
 Gdy iść będzie do swój chatki,  
 U jój okna wić gniazdeczko  
 Pod jój pieczęą chować dziatki.

Jak rzeczone, tak się stało,  
 I głos poszedł wśród ptaszątek,  
 Żeby każde gniazdko stało,  
 Nad okienkiem u dziewczątek.

## Uroczystość w Wieliczce,

(list do Gołąbki pocztowej).

Wieczory dawały niedawno w „Listach pensyonarki” opis Wieliczki, sądzę więc kochana Gołąbko że czytelnicy ich zechcą powziąć wiadomość uroczystościach jakie się tam odbywają niekiedy. Ta o której mówić zamierzam odbyła się w lecie z okazji urodzin cesarza Franciszka Józefa. Wybraliśmy się wtedy z rodzicami do Wieliczki, aby widzieć oświetlenie kopalni, która w blasku ogni sztucznych prawdziwie czarujący przedstawia widok. Przybywszy na miejsce weszliśmy do klatki w której nas zamknął górnik wołając: — gotów! — co miało znaczyć że już spuścić się można. Po chwili też uczuliśmy lekkie drżenie sprawiane tem, że spuszczaaliśmy się na dół. Klatka zrobiona z kraty żelaznej przebiega tak wązkim otworem jak jój objętość, jest w niej zupełnie ciemno, gdyż oświeca ją tylko lampka zawieszona u góry. Było nas pięć osób, bo więcej nie wolno naraz zabierać. Po kilku minutach stajemy, słysząc w ciemnościach głos wołający iż jesteśmy sześćdziesiąt i dwa metry pod powierzchnią ziemi. Wyszliśmy z klatki oddychając z przyjemnością świeżem chłodnem powietrzem. Na dole było już dość liczne zgromadzenie, nieustannie zaś przybywało coraz więcej osób, na które czekaliśmy, by razem iść dalej. Wyruszamy nareszcie, idziemy najpierw wązkim korytarzem do kaplicy św. Antoniego, wszystko co się tu znajduje to jest: figury, ołtarz, ambona, ławki, wyrobione z soli, ale nieszczególnie wygląda, bo sól już poczerniała.

W pewnych dniach roku odbywa się tu nabożeństwo. Idąc dalej ujrzelśmy posąg Augusta II naturalnej wielkości. Jakiś Niemiec sądził w prostocie ducha, że to był posąg Augusty cesarzowej niemieckiej! aż dopiero ktoś mu wytłómaczył omyłkę. Dalej powędrowaliśmy do komory św. Urszuli. Po dwudziestu stopniach weszliśmy następnie na galerię komory Michałowice. Schodzimy niżej, zdaje się niepodobieństwem wydostać ztąd na górę, bo schody są jakby przyklepione do prostopadłej ściany, podparte tylko ogromnemi belkami, tak że aż dreszcze przechodzą na myśl gdyby się zapadły... Ale na szczęście niema niebezpieczeństwa, bo doskonała i trwała ich budowa zabezpiecza od wypadku zwiedzających. Przechodzimy koło wydrążień z boku w których urządzono sztuczne groty, palą się w nich teraz czerwone qengalskie ognie i rozlewają dokoła światło, odbijające się we wszystkich załomach soli, brak tylko kilku fantastycznych postaci w bieli, ażeby złudzenie przeniosło nas w jakiś świat zaczarowany.

Zwiedzamy jeszcze komory Franciszka Józefa I-go, Leopolda, Karola Ludwika, Fryderyka Augusta, Karoliny i Maksymiliana. Muzyka przygrywa, wszędzie i wszędzie różnokolorowe ognie się palą. Wchodzimy nareszcie do komory zwanéj „Banhofem Gołuchowskiego” tutaj odpoczywamy. Są tu długie ławy i stoły oświecone lampami, można kupić piwa i bułek z szynką dla zaspokojenia głodu, który się nieraz odzywa po przechadzce w zimnem powietrzu. Siedząc spokojnie przypatrujemy się rozmaitym kostiumom, prawie większa część osób ubraną jest w płaszcze z szarego płótna nieodpowiednie do swego wzrostu, co bardzo zabawnie wygląda. Panowie pozdejmowali kapelusze i zawiązali je w końce płaszców, chustki zaś od nosa powiązali sobie na głowach.

Łatwo sobie wyobrazić jak to śmiesznie wyglądało, tem więcej że było zhyteczną ostrożnością, bo sól roztopiona nie kapała z góry, a o ściany nikt się nie opierał. My nie kładliśmy tych śmiesznych płaszczy a mimo to nie zniszczyliśmy sukien. Chłód jaki tu panował obok świateł lamp, sprawiał iż sądziliśmy że było już dobrze po północy, gdy właśnie tylko co minęła południowa godzina. Czekaliśmy znów na drugą partycję przybyszów, żeby się nie spotkać w wązkich korytarzach, nareszcie napływają jak fale, a górnicy dają znak umówiony ażeby iść dalej. Idziemy do „komory zielonéj” o uszy nasze odbija się znów język niemiecki i słyszymy co chwila jakieś dzikie okrzyki podziwu.

W „komorze zielonéj” ma być najgłówniejsza część całego obchodu; udało nam się dosyć szczęśliwie dostać na galerię z której wszystko najlepiej widać. Zapalają fajerwerki rozmaitych kształtów, spadające z szumem i sykiem, to jak deszcz ognisty, to znów jak gwiazdy, nareszcie ukazuje się olbrzymia zielona gwiazda z cyfrą cesarza i cesarzowej w pośrodku. Niemcy obecni nieludzkimi głosami krzyczą wiwat! pozdejmowali kapelusze wywijając niemi w górze, muzyka gra hymn austriacki. Naraz wszystko ucichło, bo nastąpiła najpiękniejsza i najwznioślejsza część uroczystości. Czterech górników wsiadłszy do kosza przywiązanego do grubéj liny trzymając pochodnie i śpiewając chórem pieśń do Najświętszej Panny: „Serdeczna Matko opiekunko ludzi”. Wznosili się coraz wyżej i wyżej ruszając pochodniami a słowa ich śpiewu odbijały się cudnie w podziemiach, gdy już prawie znikali w górze wystrzelono z miedzierza, a echo strzał ten powtórzyło tysiącem odgłosów. Choć była uprzedzona przez mamę o strzale, jednak złąkłam się niezmiernie słysząc tak blisko huk przeraźliwy, który w takich przestworach jeszcze się groźniejszym wydał. Z „komory zielonéj” dostaliśmy się do komory Majera i Rozette, gdzie znajduje się owo sławne jezioro podziemne. Tłum je okala, umieszczony tam posąg Matki Boskiej otaczają kolorowe lampki, odbijające się w ciemnych nurtach nieruchoméj wody.

Udajemy się potem przez chodnik Sielec do Łentowa, balowej sali podziemia. Na galerii odzywa się orkiestra, a zgromadzeni pomimo zmęczenia rozpoczynają tańce. Nie byliśmy naturalnie na balu i w godzinę potem winda niosła nas do góry. Z jakąż radością ujrzelśmy znowu światło dzienne! Co za zmiana we wszyst-

kiem! W podziemiach chłód przejmujący i ciemność rozświetlona sztucznymi ogniami, tu zaś upał i blask słońca.

Obok wejścia do salin kramarze rozłożyli swoje towary, to jest rozmaite zabawki z soli, kupiliśmy ich kilka, służą nam teraz za barometr, gdyż przed deszczem są tak mokre że woda z nich spływa, podczas pogody zaś zupełnie suche. Siedząc już w wagonie upatrywałam jednych państwa z Warszawy, z którymi jechaliśmy w tamtą stronę. Mieli oni panienkę w moim wieku z którą pragnęłam się zaznajomić bliżej, myśląc że może ona równie jak ja jest czytelniczką Wieczorów? A może i pisuje pod jakim pseudonimem? Tak od razu trudno było ją o to zapytać, teraz będąc obok niej powtórnie, ośmieliłabym się do tego prędnąć. Ale niestety! w jej miejsce wsiedli jacyś Niemcy, co mnie bardzo rozgniewało i zmartwiło.

Przed odejściem pociągu widzieliśmy na peronie całą arystokracją Wieliczki w odświętnych strojach, przybyła tam aby się przypatrywać gościom.

Odjechaliśmy wreszcie, zaczęłam sobie w myśli porządkować wrażenia dnia tego, aby ci je opisać droga Gołąbko. Niema co mówić, saliny oświetlone przy tej wroczyście wyglądały wspaniale i pięknie, jak jakieś duchów podziemnych siedlisko, a wrażenia jakie wtedy odniosłam zapamiętałam długo.

Żegnam cię tymczasem droga Gołąbko i pozostaje zawsze dla ciebie serdecznie życzliwa

*Cicha Woda.*

### SZARADA.

(od Jaskółki z nad Ussy dla Chmurki złocistej).

Pierwsze zaprzecza; drugie zaś płynie  
W niemieckiej krainie  
Wszystko piękna litewska rzeka  
Która do Bałtyku ucieka.

Łamigłówa w kwadraciku.  
(ułożył Kołowrotek).

1 R — 2 E — 2 J — 1 W — 2 A — 1 N — ułożyć kwadracik z 9-ciu podziałek aby odczytać w obu kierunkach:  
1. Nazwisko dawnego poety. 2. Imię żeńskie. 3. Imię męskie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

#### Zagadki:

#### Czarodziejskiej zgłoski:

Czarodziejską zgłoską jest litera N. wyrazy będą: nosy, sonda, Nida, kanton, Kornel, okno, nowa, naga, Warna, knot, Wanda, nawa, Bona, koran, Kongo, kran, kanwa, koncha, banda, walna.

**P. I. Jodka w Petersburgu.** Żądany Atlas wyprawiony i kosztuje wraz z przesyłką rs. 4 kop. 70. Półroczna prenumerata „Głosu” wynosi rs. 4 kop. 50, razem przeto z rs. 11-tu., wydano rs. 9. kop. 20, pozostaje więc do dalszego rozporządzenia rs. 1 kop. 80. **Zasady Socyologii** dodawane były bezpłatnie dawniejszym prenumeratorom, obecnie zaś są im dodawane: **Instytucje obrzędowe** również bezpłatnie.

Bardzo nam miło, że **Goryczka** kochana „odważyła się” wreszcie odezwać do nas. Na poprawienie kaligrafii jeszcze czas, a nie wątpimy, że przy usilnem staraniu nastąpi to niedługo.

Ad. Sid. przysłał nam łamigłówkę, na umieszczenie której o ile się okaże dobrą, czekać musi swojej kolei, również jak wszyscy i wszystkie, którzy nadsyłają nam liściki.

Numer żądany przez **Czarną Koteczkę** posłano; tak jej jak i wszystkim którzy pamiętali o biednych, załączamy serdeczne podziękowanie

**Kampanella, Równianka i Różyczka Jerychońska** obdarzyły nas serdecznem słówkiem życzeń, które wielką nam przyjemność sprawiają, jako dowód przychylności tych, dla których pożytku pracujemy.

**Kulce śniegowój** należy się podziękowanie i od nas i od biednych, także same przesyłamy **Córce Mazurów, Kalince, pracownicy Czarnookiej z Puszczy, Sokolikowi**, który z braterską uprzejmością wyręcza chorą siostrzyczkę, **Niezabudce z nad Chomoru**, oraz **Konwalijce z nad Wisły i Rumianemu Jabłuszku**, które własnoręczną robotą odziewają biedną dziatwę.

**Szczerości** kochana, twój pseudonim ręczy nam za to, że „chętnie” powiększasz ilość tych, którzy nas życzeniami obdarzają.

**Różyczko biała z Wołynia**, i nam „stare lata” twoje nie przeszkadzają kochać cię bardzo szczerze. Za serce sercem się zwykłe płaci.

Obawa **Mewy z nad Bałtyku** nieuzasadniona: błędów niema. Tęsknotę twoją pojmujemy i tem też chętniej zaliczamy cię do gronka tych naszych dzieweczek, z których utworzyła się nam, przybrana tylko wprawdzie, lecz szczerze miłościwa rodzinna.

**St. Roz.** pragnie zawiązać stosunki z innymi czytelniczkami „Wieczorów”. Nic przeciw temu nie mamy, liściki wszakże muszą czekać swojej kolei i dla tego nowa prenumeratorka potrzebuje uzbroić się w cierpliwość.

Rebusy **Ciernia** są dobre; rysunki tylko potrzebują być poprawione; chętnie zaliczamy go do grona stałych korespondentów.

**Orzeł biały** nadesłał nam bardzo dobre rozwiązanie łamigłówni sylabowej, zamieszczonej w 1-ym numerze.

**Niezapominajce z nad Warty** za życzenia w odmienniej formie wyrażone, osobno przesyłamy podziękowanie, wierząc, że wyjątkowość formy nie odejmuje im szczerości.

Kochany **Kwiecie Lotosu**, Gołąbka która teraz do każdego numeru dołączy odpowiedź na ostatnio odebrane liściki, sama ci się wytłomaczy. Od siebie przesyłamy ci tylko uścisk w zamian za życzenia. Numera żądane przesłać możemy. Zadanie w swoim czasie przejrzymy.

**Kuropatwie z nad Ikopetiu** należy się także od nas uścisk. Ptaszyno droga, wyrzucasz sobie opóźnienie: tu nie pociągnęło ono za sobą żadnych szkodliwych następstw; stało się tylko dla ciebie nauczką, jak niezmiernie jest ważną rzeczą rachować się z czasem. Powieść o którą pytasz pozostała nieskończona.

**Wiel. Bar. N. T.** Szczerze „Bóg zapłać” w imieniu biednych przesyłamy.

Kochany **Mazurze z nad Dunaju**. Niewiem co myślisz o mnie, żem ci dotąd na miłą twą odezwę do mnie nie odpowiedział. Najserdeczniej ci jednak wdzięczny za nią byłem, ale się nie odzywałem, bo od lata dotąd prawie ciężko byłem chory, groziła mi zupełna strata wzroku, potem przez czas długi życie było w niebezpieczeństwie, teraz mi lepiej znacznie i na wieś już wróciłem, ale mi na czas długi czytanie, pisanie i nauki zabroniono. Tyle numerów „Wieczorów” zostało dotąd nieprzeczytanych, że nie wiem o konkursach jakie były w tych czasach. Mieszkam

w gubernii Kowieńskiej, na imię mi Staś, mam lat 10; mam dwie siostrzyczki i dwóch młodszych odemnie braciśzków. Zacząłem się przygotowywać do 2-jej klasy realnego gimnazjum, a oto choroba wszystko powstrzymała. Na rok nowy życzenia serdeczne tobie i wszystkim czytelnikom „Wieczorów” przesyłam. Ściskam cię serdecznie; twój *Kłosek Litewski*.

Drogi moje: Gwiazdeczko i Niezapominajko z nad Mroźcy. Serdecznie wam dziękuję za miłutkie liściki. Tak mi przyjemnie czas zeszedł u was, że wspominając go, osładzam sobie chwile samotności. Napiszcie prędko do mnie, a zrobicie tem wielką przyjemność kochającej was aż do śmierci, *Cichéj Wodzie* N-r. II

Kochane: Cicioreczko i Różyczko Jerychońska! Jesteście w moim wieku, więc chciałabym do was pisywać i wiedzieć gdzie mieszkać? i jak się nazywacie? Mnie na imię Lucia, mieszkam w pobliżu Słucka. Trzy miesiące chorowałam ciężko. Niedawno zaczęłam wstawać, uczyć się na pamięć wzbraniają mi jeszcze doktorzy. Jak się poznamy, opiszę wam moje gospodarstwo. Ściskam was, *Czarnotka*.

Kochana biała Perelko! Z listu twego do Błyskawicy, dowiaduję się, że masz zamiar być w Żytomierzu, gdzie i ja mieszkam; może się poznamy, tymczasem czy nie zechcesz ze mną korespondować? Całuję cię serdecznie, *polna Róża*.

Czarnéj Perelce ukłony zasyłam.

Moje lube kochane: Błyskawico, Sosno polska, Zwinnia Wiewiórko i Śpiewna Liro! Przesyłam wam wszystkim razem serdeczne życzenia Nowego roku, oraz miliony uścisków, niezapominajcie o *białéj Perelce*.

Droga Bławatko z nad Horynia. Piszę do ciebie, dowiedziawszy się, że jesteś czytelniczką Wieczorów. Na imię mi Marya, uczę się w domu i chociaż osobiście cię nie znam, lecz z opowiadania Antosi M., wiem że nazywasz się M. P. Czy zgadłam? Życzliwa *Niezabudka z nad Chomoru*.

Kochane: Sasanko z Mazowieckich lasów i Stokrotko z nad Pilicy! Skończyłam dopiero siedem lat, lecz pragnęłabym z wami korespondować. Mam nadzieję, że zrobicie tę przyjemność *Trawce stepowej*.

Kochana Mołodyco Ukraińska! Skoro już wiem, że ci na imię Zosia, a siostrze twój Julcia, zdaje mi się, że pierwsza litera twego nazwiska jest Z? Jeżeli tak, to się znamy z widzenia u sąsiadki, Andzi K. Odpisz czy zgadłam i czy będziesz chciała ze mną korespondować. Szczęrze ci życzliwa, *Rusalka z Dżimitry*.

P. S. Wszystkim szanownym Staruszkom i kochanym młodszym siostrzyczkom posyłam powinszowanie Nowego Roku.

Dla czego nie napisałaś mi jak się nazywa miejsce zamieszkałe przez ciebie i jak wyglądasz droga Akacyo różowa? Zaspokój że prędko ciekawość kochającej cię *Złotéj Tęczy*.

Droga Stokrotko z nad Stochodu! Mamy jednakowe pseudonimy, chciałabym więc poznać się z tobą przez nasze kochane piśmko. Co ci się najlepiej podoba w Wieczorach? bo mnie „Goście Ciokti Klotyldy” i „Podziemia Barwałdzkiego zamku”, a „Sze-snastoletni wojewoda” mnie nie zachwyca. Oczekuję z niecierpliwością miłych dla nas świąt. Pisałam do Gosposi, z nad Warty i odpisała mi, spodziewam się że i ty mi odpiszesz kochana Stokrotko. Ściskam cię *Stokrotka polna*.

Czy przypominasz mnie sobie kochana Mimoso z nad Póru, przed dwoma laty byłam u was z moim bratem S. Uściskaj odeodemnie twoję siostrzyczkę A. i namów ją aby obrała sobie pseudonym i napisała do Wieczorów. A teraz zgadnij kto jestem? Ściska cię *Sarenka modrooka*.

Drogi moje: Niezabudko czeska i Gosposiu z nad Warty! Nie jestem ani bardzo wesoła, ani też smutna, kochana Niezabudko, ale co do piosenek, to wolę smutne i przeciągłe. Może kiedy spotkam się z tobą Gosposiu i z tobą Niezabudko, wtedy poznam was z pewnością instynktownie, bo czuję do was wielki pociąg, miłe siostrzyczki. Teraz bywajcie mi zdrowe, ściska was serdecznie, *Piosenka*.

Kochana Biedronko Warszawska. Choć cię nie znam, mam ochotę z tobą korespondować. Mieszkam na wsi na Litwie, mam

lat 12, jestem brunetką, drugą z rzędu, moje siostry, są: Żywe Srebro i Dzieweczka litewska, uczę się w domu, a w wolnych chwilach wyręczam mamę w gospodarstwie, mam nadzieję, że mi odpiszesz. Twa *Gosposia białodoleńska*.

Kochana Litwinko z nad Szczary. Znam cię dobrze, jestem także Litwinką, a chcąc cię zaciekawić, donoszę ci, że jesteś obecnie cierpiąca, bardzo cię żałuję. Donieś czy wiesz kto ja jestem? Całuję cię po milion razy, twoje *Żywe Srebro*.

Kochana Wiewióreczko Inflantska. Chcę się z tobą poznać, bo zdaje mi się że jesteśmy w jednym wieku. Na imię mi Maniusia, mieszkam na Litwie na wsi, jestem najmłodszą z czterech siostr. Czy nie mieszkasz w Rydze? Odpisz twój *Dzieweczce Litewskiej*.

Kochany Kwiecie Paproci! Zgadłam kto jesteś! nazywałeś się Fila S., a moja ciocia jest u was nauczycielką. Napisz jeszcze kiedy do mnie. Całuję ciebie i Pawła, *Kureczka z nad Ikwy*.

Drogi moje: Królowo Elfów, Boginko z nad Łydyni i Gazello z nad Nilu! Tak rzadko do nas przychodzisz Królowo Elfów wraz z Boginką twoją siostrzyczką, że przez Wieczory prosić cię muszę, byś nas częściej odwiedzać raczyła. Gazelko droga, twój pseudonym zaciekawił mię bardzo, donieś gdzie mieszkasz? I ile masz lat i jak ci na imię? Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. Wasz *Barwinek*.

Drogi moje: Śpiewna Liro, Niezapominajko z nad Warty, Boginko z nad Łydyni i Artystko! Dziękuję wam bardzo za wasze liściki. Nazywam się Marya, mam lat 8, mieszkam w gub. Lubelskiej i mam dwie siostry i jednego brata. Lirenko, jestem zupełnie podobną do ciebie, tylko mam oczy czarne. Pisujcie do mnie, bardzo was proszę o to i ściska. *Bajurka z Firlejskiego podwórka*.

Brzózce z nad Łydyni zasyłam pozdrowienia.

Kochana Kapłanko Znicza. Bardzo podobał mi się twój pseudonym, donieś na jakiéj mieszkasz ulicy, to może się spotkamy. Jak wyglądasz? O mnie wiesz chyba wszystko z listów do śpiewnéj Liry. Przyjmij milion uściśnień od *Artystki*.

Drogi moje: Czeska Niezabudko i Piszczalko z nad Ussy. Dziękuję ci Niezabudko za tak prędką odpowiedź i przesyłam najserdeczniejsze życzenia noworoczne. Czyś o mnie zapomniała, droga Piszczalko? chciałabym i nadal z tobą korespondować. Posyłam ci tymczasem noworoczne życzenia. Ściskam was serdecznie i pozostaję zawsze życzliwa *Jaskółka z nad Ussy*.

Droga Biała Akacyo i Cicha Wodo! Moja imienniczko, z kąd się tu wzięłaś? musi która z nas zmienić pseudonym, albo dodać do niego nazwę miejsca w którem mieszka, dla odróżnienia się. Białéj Akacyi donoszę, że Lucję Mie. widziałam cztery lata temu w Krynicy, jeżeli pisuje do „Wiecz.” powinna się do nas odezwać. Donieś mi gdzie miała być oddaną na pensję? *Cicha Woda*.

Droga Biała Ostróżko! Spieszę by wykonać twój zamiar i posyłam dar dla biednych na gwiazdkę. Widać, że masz dobre serduszek, skoro o biednych pamiętasz. Chciałabym cię poznać choć listownie, proszę więc donieś mi jak ci na imię i czy lubisz muzykę? Całuję cię po milion razy prosząc o odpis. Twoja *Kulka śniegowa*.

Drogim siostrzyczkom: Palmie, Dumce, Halce z Litwy, Różyczce białéj z Wołynia, Stokrotce z nad Stochodu, Topolce srebrnéj, Niezabudce z nad Chomoru, Kulce śniegowej, Dębince, Bzu Gałazce, Kuropatwie z nad Ikopetiu, Łątce, Polance, Polce Mazurce i wszystkim czytelniczkom, zasyłam serdeczne pozdrowienia na rok nowy. *Jedlinka*.

Miła Brzydotko z nad Tamizy. Dawno już czuję do ciebie niewypowiedzianą sympatyę, która się powiększyła, gdy przeczytała twą odezwę do przyjaciółki. Jak widzę, obie miałyśmy myśl jednakową. Tyś ją wyraziła w wierszyku twoim, ja w liście do drogich siostrzyczek. Odpisz mi, miła zamorska Brzydotko, czy zechcesz korespondować ze mną? Tobie Fiołeczku z nad Wisły donoszę, że się nazywam Marylka R. Chciałabym się także coś o tobie dowiedzieć. Niezapominajce z nad Warty za szaradę serdecznie dziękuję. Wasz *Poranek Majowy*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Widome a niewidzialne.

### Widome a niewidzialne.

Widzieć wszystko, samemu będąc niewidzialnym, musieli ludzie niegdyś uważać za coś bardzo pożądanego, skoro wytworzyli sobie piękną bajkę „o czapce niewidce” którą ka-

żdy z nas chyba słyszał w dzieciństwie. Kto tę czapkę posiadał, mógł wszystko widzieć, ale sam stawał się niewidzialnym. To co fantazya ludzka wytworzyła w bajce, istnieje w naturze naprawdę: motyle naprzykład i ich gąsienice, posiadają własności pozwalające im stawać się niewidzialnymi, gdy chcą uniknąć pogoni polujących na nie skrzydlatych nie-

przyjaciół. Może kto pomyśli, że każdy motyl posiada czapkę niewidkę? O nie! jestto coś jeszcze bardziej zdumiewającego, jeszcze cudowniejszego! Nic ich nie zasłania, a jednak bywają niewidzialne: instykt wie dzie je do poszukiwania przedmiotów zbliżonych barwą do barwy ich skóry, lub skrzydeł — i to podobieństwo je ocala.

Wiele jest gąsienic, czyli liszek barwy ciemno-brunatnej tak zbliżonej, do barwy kory drzewnej, że trudno je od niej odróżnić: to też wiecznie po niej pełzają. Między gąsienicami motyli nocnych, czyli ćmami, jest jedna zwana *miernikiem* z powodu swego szczególnego zachowania się; odbywa bowiem ciągle takie ruchy, jakby kto cyrklem mierzył powierzchnię. Przyczyną tego jest brak zupełny nóg środkowych: chcąc więc chodzić, musi tylne nogi przysuwać aż do przednich, przyczem całe ciało wygina łukowato. Ona, oraz kuzynka jej bliska, gąsienica *ćmy bzowej*, przedstawione na rycinie naszej \*), mają zwyczaj chwytania się gałęzi drzewa tylnymi nóżkami i utrzymują całe ciało w podniesionej, sztywniej postawie, co czyni je podobnymi do suchej gałązki. Wybieg ten naturalnie tylko ptaszki owadożerne w błąd wprowadza, ale nie omyli przyrodnika, badającego z zamiłowaniem zwyczaje owadów. Dość jest uderzyć czemś mocno w gałąź albo pień drzewa, a przestraszone liszki spuszcza się natychmiast w dół na swych nitkach jedwabistych — bo im się zdaje, że niebezpieczeństwo od samego drzewa pochodzi i że go unikną opuszczając je. Liszki zielone trudno jest odróżnić od liści na których siadają, zwłaszcza w gęstych lasach, gdzie odbicie światła zielonego pada na wszystkie przedmioty. Przyzwyczajiliśmy się uważać kolor zielony za właściwy jedynie roślinom i zapominamy o tem, że niektóre zwierzątka także zielone noszą szaty. Gąsienica motyla białego, *kapustnika*, leży nieruchoma i wyciągnięta w kierunku nerwów liścia kapusty, i tak się z nim upodabnia, że nawet domyśleć się tam jej obecności nie można.

Wiele liszek, a między niemi motylowe, mają na tyle głowy wyrostek, ściągający się i rozciągający w potrzebie. Jak tylko owad jest czemś przerażony, wyrostek wydziela natychmiast mocno woniejącą ciecz odstraszającą nieprzyjaciela.

Poczwarki równie jak gąsienice, umieją się troszczyć o swoje osobiste bezpieczeństwo. Gąsienica *pawika nocnego wielkiego* snuje sobie w miesiącu sierpniu oprzęd, czyli kokon brunatny bardzo twardy, w szparach drzew, na ruinach lub na krawędziach murów, gdzie barwa ich doskonale ją osłania. Domek ten, czyli namiot, w podziw wprawić może największej pomysłowych budowniczych rodu ludzkiego — nie przepychem budowy, ale roztropnem urządzeniem. Jest on podobny do węgierza używanego do łowienia ryb: owad może wyjść ztamtąd, ale nieprzyjaciel przedostać się tam nie może. Liszka *Siwica* przędąca swój kokon w szczelinach drzew, potrzebuje do budowy drobnutkich cząsteczek drzewa; ale ono jest zatwarde, a ona zasłaba żeby je kruszyć. Znajduje jednak na to sposób: skrapia je płynem gryzącym, i pod działaniem tego płynu drzewo mięknie, a ona może już z łatwością użyć cząsteczek jego do budowy domku, w którym zamknie się szczelnie dla spokojnego dokonania swój przemiany, zacierając wszelki ślad istnienia domku przed okiem

\*) Obok gąsienicy *ćmy bzowej*, jest motyl jej i poczwarka w oprzędzie.

ludzi i ptaków. Rozdrobnione cząsteczki kory, służą wybornie do zalepiania szczeliny i nadania jej barwy pnia w którym się mieści.

Najwięcej owadów ma podobieństwo do liści lub pni drzewnych: samica *cytrynka* koloru bladezielonego, podobna do liścia szakłaku, trzyma się spodniej strony tego liścia, jako bledszej i więczej do niej podobieństwem zbliżonej, niż strona wierzchnia. Motyle zimujące, podobne są prawie wszystkie do suchych liści: *prządka dębowa* nosi nawet charakterystyczną nazwę „martwego liścia”: ciało jej i skrzydła rudawe i ząbkowane, mają rzeczywiście uderzające do zeschłych liści podobieństwo. Inny znów motyl z powodu szarobłękitnego koloru skrzydeł, spoczywa często na zabarwionych niebiesko murach, a w braku ich usiłuje ukryć się na szarych spojeniach cementowych. Cegiel czerwonych starannie unika. Jeżeli kto z czytelników naszych miał kiedy w ręku motyla i przypatrywał mu się zblizka, musiał zauważyć, że jedna para skrzydeł jest zawsze świetniej zabarwiona niż druga, której skromne i zwykle ciemne barwy, naśladują często różne martwe przedmioty, dające im schronienie i przytułek. Pan Bóg obdarzywszy motyla strojem bogatym, dał mu także sposób ukrycia go w potrzebie. Zabierając się do spoczynku, motyl przykrywa swoje świetne szaty mogące obecność jego zdradzić, parą ciemnych, niepozornych skrzydeł, niby księżę przebierający się za wieśniaka i jest bezpieczny.

Ale nietylko motyle umieją stać się niewidzialnymi. W krajach podzwrotnikowych są tysiące gatunków owadów mających też same własności. Przyczepione do kory drzew uschniętych, tak się zlewają z jej barwą i chropowatością, że z blizkiej nawet odległości dojrzeć je trudno. Nasze krajowe chrząszcze, należące do grupy *wółków* i przebywające na różnych roślinach, biorą się znów na inny, niemniej dowcipny sposób. Gdy człowiek wstrząśnie gałęzią na której obrały sobie siedzibę, spadają na ziemię, chowają nogi i różki i leżąc nieruchomo wyglądają niby bryłki brunatne i szare, których odróżnić niepodobna od bryłek ziemi i drobnych, podobnie zabarwionych kamyczków.

Z. Urbanowska.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— A ja kupuję tutaj wieprzki, oto moje papiery — zaczął gospodarz z czardy, ale zaraz odezwało się kilku żandarmów:

— Ot, stary Petöfi z gospody na stepie, któż ciebie pyta, nie takich szukamy.

— Ale ten Pal którego ja tu pamiętam inaczej jakoś wyglądał?... — rzecze pandur.

— I!... to wy tamtego pamiętacie, co tu przed laty był? Tamten umarł.

— Gdzie zaś przed laty, niema i paru tygodni jak my tu byli!...

— I!... toż ja ten sam!... a ot papiery moje.

— Ojczy, ojczy, dla czego on prawdy nie powiada? wszak on jest Sebes nie zaś Pal? — pytał Szandor, szczęściem dosyć cicho, a Petöfi przyciskając do piersi zdumionego chłopczyne, szepnął mu do uszka ciszej jeszcze:

— Milcz dziecko! Ani piśnij!...

— Ten sam?... — żandarmi byli wielce niepewni; papiery



były w porządku, ale oczy przeczyły papierom; nie należało też niesłusznie zaczepiać niewinnych:

— Licho was wie, wszyscy kanasze podobni są do siebie, ale... a gdzież to jest ten drugi kanasz?

— Jaki drugi?

— Ten który jadł z wami gdyśmy przyszli? Przecież był drugi?

— Był był! — chórem potwierdzili żandarmi.

— A prawda!... — wielce zdziwiony rzeczce oglądając się Sebes — prawda że przechodzący jakiś przysiadł mi się do misy, jak się u nas często zdarza, a ja o nim zapomniałem. Ciekawość gdzie on się podział?...

— Ojcie, przecież Sebes sam kazał tamtemu w las iść?... — szeptał Szandor.

— Cicho dziecino, jeśli ci życie miłe — odpowiadał ojciec na ucho.

— Co? znikł? I ty nie wiesz co on za jeden? to pewno ten którego szukamy! Hejże za nim w tropy! To Sobri co wczoraj uciekł z więzienia! — zawoła żandarm.

— Sobri? który wieprzaki powierzone sobie do hodowania kradł i na targu sprzedawał? To on uciekł? — zakrzyknie Petöfi, pokombinowawszy na prędce w myśli nagle zjawienie się przy misie nieznanego kanasza, który podobno wprzód spał w budzie, z jego tajemniczem zniknięciem.

— Uciekł a dozorcę związanego i wpół nieżywego znalezione w jego miejscu w więzieniu. Dalej za nim, tam musiał pójść, nie mógł w inną stronę!... a tam stoi drugi nasz oddział, mamy rybę w sieci! — zawołał dowódca żandarmów i wszyscy skoczyli w stronę zarośli, ale jednocześnie świsnęło coś w powietrzu, i kilka arkanów na jakie czikosi łapią swe konie, spętało kilku żandarmów. Wszyscy nagle instynktowo zwrócili się do szerszej przestrzeni z której przybywali, gdyż arkan jako potrzebujący rozmachu, nie mógł wypaść z gestwiny, ale zaledwo odwrócono się od niej, wyskoczyło z niej kilku kanaszów chwytając wprost za gardło, każdy upatrzonego żandarma:

— Strzelać do tego który mię dusi, nie zważać na mnie, to Sobri! — komenderował zdławionym głosem dowódca żandarmów, a Szandor oburącz trzymający ojca za szyję, poznał w owym duszącym istotnie tego, który jadł z nimi przed chwilą z jednej misy.

— Sobri!.. ratujcie! pokradnie mi świnki moje! — zakrzyczał rozpaczliwie Sebes, mianujący się Palem, i jak nieprzytomny ze strachu, rzuciwszy się na zamierzających strzelać a ociągających się przez wzgląd na niebezpieczeństwo grożące koledze, żandarmów, wyrzucił z nich dwóch i sam padł na nich. To dokonało popłochu; w chwilę później, po krótkiej walce na pięście, nietylko żandarmi lecz i Sebes i Petöfi leżeli powiązani, a Szandor tulił się do ojca odurzony i bardziej odurzony niż wylekły, bo rozbójnicy głaskali go po główce, szepcząc: nie bój się. Żandarmi kłęli, dowódca jęczał leżąc koło Janosa i Petöfięgo:

— Dla Boga żywego — szeptał Janosowi — jeżeli nie macie broni, niech kto choć z bicza palnie, a wnet dziesięciu innych moich ludzi przyjdą nam z odsieczą, bo czekają na to hasło! Ale Janos związany był jak wszyscy, a bójka cała odbyła się właśnie bez wystrzału. Tedy żandarmi chcieli krzycheć pomocy, ale zaraz zatkało im usta. Następnie Sobri zapalił fajkę, jego banda zrobiła toż samo, potem przepatrzyli kieszenie żandarmów, zabrali wszystko co znaleźli, od broni zacząwszy, poczęstowali wszystkich winem, uściskali po bratersku i znikli. Żandarmi którzy drżeli ze strachu obawiając się najgorszych ostateczności, zaczęli spoglądać po sobie zdziwieni.

— Poczeiwe chłopaki, prawdziwe szegeny legeny! — powiedział ten i ów. — Ale pokąd my tu tak jak barany leżeć będziemy? — Wołano teraz ale nikt nie przychodził.

— Moje świnki porozbiegają się! Będę ja miał, będę, gdy pogina! ludzie powiedzą że je w mieście posprzedawałem! — rozpacział Sebes.

— Kiedyż ja do czardy z moim towarem powrócę? — jęczał Petöfi. A wtem Sebes zawoła:

— Szandor, dziecko, biegnij no do misy gdzieśmy jedli, toż tam przy chlebie nóż musi leżeć, jeżeli go szegeny legeny nie zabrali, rozetnij choć jednemu z nas więzy a wnet wszyscy będziemy wolni! — Nóż się znalazł i w kilka minut wszyscy wolni byli. Żandarmi popędzili copędzją do towarzyszywo. Mgło być gorzej... zawsze to pocziwi chłopcy ci szegeny legeny — szeptano. Wrócili natychmiast do Sebesa-Pala, prosząc go o chleb, bo okrutnie biedaczyska byli głodni, po niefortunnej wyprawie na zbiegłego więźnia. Sebes musiał się tego spodziewać, bo przyrządzał już wieprzowinę. Petöfi po serdecznem z towarzyszami przygodny pożegnaniu, siadł na wóz z synem i parobkiem, Janos palnął z bicza aż echo huknęło po lesie i wyczęte koniki dmuchnęły z powrotem przez pusztę jak stepowy wichur, pozostawiając żandarmów przy misach ściskających się po bratersku z Sebesem Palem.

— Ha ha ha hu ha!... — zanosił się ze śmiechu Janos lecąc przez stopy — a toż szegeny legeny udawali tylko że mnie wiążą, gdybym był palcem ruszył, byłbym więzów pozbył, ale nie głupim, jeszczeby żandarmi powiedzieli że my z tamtymi w porozumieniu! Leżałem i śmiałem się w duchu! Ha ha ha!

Petöfi kręcił węża w milczeniu, jemu też nie wypadało powiedzieć, że w zupełnie takim samym znajdował się położeniu. Szandor, gdy strach przeszedł, zachwycony był teraz obfitą w wypadki przejażdżką, czuł się znacznie starszym niż rano, wymachiwał rękami i wykrzykiwał jeszcze głośniej i co chwila rękę mimowoli do wąsów podnosił, z madziarską fantazyą.

Tak z szalonym pośpiechem zajechano przed czardę gdzie matka pochwyliła rozochoczonego jedynaka, słuchając opowiadań bez końca, a gospodarz z parobkami zajął się przyrządaniem świeżo przywiezionego zapasu, na jutrzejsze niedzielne zebranie w gospodzie.

(d. c. n.)

**Sprostowanie.** W ostatnim numerze Wieczorów na szpalcie pierwszej, stronicy 18-tój po wierszu 51, opuszczono przez omyłkę drukarską następujący ustęp z powyższej powieści:

„W miarę jak wjeżdżano w centrum owczej armii, beczenie zwiększało się przeraźliwie, a muzyki prawdziwej wcale już słyhać nie było. Szandor śmiejąc się zatykał sobie uszy przed „baranią pieśnią”, gdy wtem oczy jego biegnące po tem stadzie, które samo teraz zdawało się ze wszech stron być stepem bez granic, znieruchomiały nagle roztwierając się coraz szerzej pod wpływem przerażenia:

— Ojcie!... a tam co?... to wielkie czarne? Jeżeli także jakieś stado, to cóż to za ogromne jakieś zwierzęta? Większe chyba od naszego domu? Chłopczyk nie myśląc o tem zdawał sobie bardzo dobrze sprawę z odległości: w istocie, jeżeli to co na krańcu widnokregu ukazywało się jak czarny podłużny potwór było stadem, to każde ze zwierząt tych musiało być wyższem od czardy. Spojrzał ojcu w oczy, a widząc że się uśmiecha, uspokoił się w swęj obawie dziecinnę, ale nie w ciekawości i zdziwieniu. To też zwracał oczy na owo dziwo, tak że już nic więcej nie widział. A dziwo rosło i potężniało z każdą chwilą, za każdym kół obrotu, a wóz pędził jak szalony. Nareszcie dziwo było już blisko i Szandor zbladł pod wrażeniem: dotąd, wychowaniec pusztę widział zawsze tylko step bezbrzeżny, zielony lub biały zimą, jednoznaczny się z niebem ze wszystkich stron na krańcach widnokregu; a oto pierwszy raz stanęło coś pomiędzy niebem i ziemią, coś czarnego, okropnego!

Wrażenie było tak wielkie, że chłopiec zaniemówił, im bliżej tem bardziej pochylał się naprzód jak pociągany urokiem okropności, aż gdy z jasnego stepu rozpedzona czwórka z wozem wpadła w rozwartą ciemną paszczę potworu, Szandor upadł w tył jak uderzony tuląc się w objęcia ojca.”

## RYS.

URYWEK Z PODRÓŻY.



głośnie — trzeba natychmiast go ubić, bo inaczej porozszarpuje nam cały dobytek, byle tylko krew ciepłą wypijać; a jeżeli jeszcze potrafiłby się tu zagnieździć i młode wychowywać, zginęlibyśmy zupełnie!

Spiesznie wróciwszy do domu przygotowano wszystkie żelazta, samotrzaski do chwytania dzikich zwierząt, bo gospodarstwo w tej okolicy zaopatrzone było w środki obronne. Poroznosiliśmy i pozastawiali te pułapki w różnych miejscach, które doświadczenie wskazywało gospodarzom jako najwłaściwsze. Do każdego samotrzasku przywiązaliśmy żywą sztukę ptactwa lub domowego drobiu, poświęcając je dla uniknięcia strat innych, ważniejszych. Potem wróciliśmy do domu starając się jak najmniej śladów zostawić za sobą. Nie później jak w godzinę usłyszeliśmy jęk przeraźliwy zbliżony wielce do wycia psa, na który wszystkie psy odpowiedziały zajadłem ujadaniem. Natychmiast podążyliśmy za głosem i ujrzeli wkrótce rysia w rozpadlinie skalistej pod nawpół złamanem drzewem grzęznącym w śniegu; zprzedniemi łapami uwiecznionymi w żelazie, w pięknym futrze jasnorudej barwy z czarnobrunatnymi plamami i białawem podbrzuszem, szalał z gniewu usiłując się próżno wyrwać z samotrzasku, oczy jego ciskały błyskawice, gdy padły na nas. Gościnni gospodarze przez grzeczność ustąpili mi strzału. Zmierzyłem swobodnie i wypaliłem prosto w łeb... Krysta tymczasem stojąc koło mnie trzymała ze wszystkich sił psa ulubieńca, aby nie skoczył, narażając się bezpotrzebnie na straszliwe szpony wroga, który po chwili przestał być niebezpiecznym. Szczęściem pokazało się z czasem, że nie zostawił w okolicy potomstwa. Dobytek mieszkańców był znów na jakiś czas bezpieczny.

## LABIRYNTY.

Znane są czytelnikom naszym „nitezki Aryadny” umieszczane w „Wieczorach”, wiadomo też z mitologii z bajecznych dziejów Grecji, że Aryadna była to córka Minosa króla wyspy Krety. Królowna ta, zlitowawszy się nad Tezeuszem królewiczem ateńskim idącym zabić potwora Minotaura, karmionego ateńskimi młodzieńcami i dziewczętami, oddawanymi mu w wymuszonym po przegranej wojnie haraczu,

dała królewiczowi kłębek z niemi, za pomocą którego Tezeusz potrafił dostać się w głąb labiryntu, zabić strzeżonego tam Minotaura i wydostać się napowrót na świat. Labirynt ów zbudowany miał być na mieszkanie, a raczej więzienie dla potwora Minotaura, pół byka, pół człowieka; budowniczym był sławny *Dedal Daidalos*, co znaczy po grecku sztukmistrz, a właściwością labiryntu było to, że ktokolwiek weń wszedł, ten musiał zablądzić wśród niezliczonej ilości zakrętów, i nigdy już więcej na świat wyjść nie mógł. Tyle z dziejów bajecznych co zaś do prawdziwych, te nie wiadome nikomu. Pewnem jest tylko że labirynt istniał rzeczywiście, bo szczątki jego widzialne są dotąd na wyspie Krecie, przedstawiając zakręty, których wzór podaje rycina nasza. W starożytnych a później w średnich wiekach budowano podobne labirynty, w jakim wszakże celu? tego nikt nie wie. Być może, że przeznaczeniem ich było tworzyć kryjówki bezpieczne w czasie napadów nieprzyjaciół. Domniemanie to potwierdzać się zdaje i ta okoliczność, że za czasów chrześcijańskich budowano je zwykle przy kościołach. Kilka takich labiryntów, których wizerunki umieszczamy obok kreteńskiego, przechowało się przy kościołach francuzkich w Sens.

Siedzieliśmy wszyscy u ogniska w niedużem, a zaciśnżem skandynawskim domostwie, gdy krzyk rozpaczy rozległ się nagle u drzwi:

— Ren! Ren zamordowany! — krzyknęła wpadając Krysta najstarsza córka gospodarza: żalodne szczekanie psa podobne do jęku wtorowało jej krzykom. Wszyscy zerwali się na równe nogi przerażeni, i ja przecież pojmowałem już czem jest ren dla jego właściciela. Stał się gwar nie do opisania. Pokazało się, że ren nie był pierwszą ofiarą tajemniczego jakiegoś mordercy, ale ludzie zapracowani zaniedbali natychmiast przedsięwziąć środki celem zabezpieczenia się od większych szkód, a teraz gorzko wyrzucali sobie własne niedbalstwo. Jednocześnie starsi zbierali się spiesznie do wyjścia: szedłem i ja, Krysta biegła przed nami wskazując drogę. Wkrótce wśród skał ujrzelśmy szczątki rena. Ludzie stali chwilę z załamanemi rękami nad tym cennym dobytkiem swoim straconym, potem jeli bacznie oglądać szczątki. Krew była widocznie wyszana, wnętrzości wyżarte i część głowy wygrzyziona, reszta całkowita prawie, zwierze spaniałe rozszarpane było tylko, ale nie zjedzone.

— To ryś!... ryś, zbrojca przeklęty! — zawołano jedno-

w Saint Omer w Saint Quentin w Bayeux. W późniejszych czasach urządzano już tylko dla zabawy labirynty w ogrodach.

## MYSZY TAŃCUJĄ GDY KOTA NIE CZUJĄ.

Komedyjka w jednej odsłonie,  
OFIAROWANA GOSPOSI Z NAD PILICY I JĘJ BRACIOM.

### OSOBY.

AŃDZIA lat 14. — ZYGMUŚ lat 9. — STAŚ lat 8. — ZOSIA lat 6.

(Scena przedstawia pokój dziecinny, na środku stół z książkami w nieladzie, na przodzie sceny duże lustro, w głębi komoda lub szafa).

### Scena I.

AŃDZIA (siedzi i pisze po chwili rzuca pióro). Więc to już ostatni miesiąc spędzam w domu... ostatni... a potem zapako-

mama robi mi takie krótkie sukienki, nie rozumiem, przez to mnie wszyscy biorą za dziecko. Czternaście lat! Za dwa lata będę już dorosłą, włożę długą suknię. O radości! Niechno wtedy jaki kuzynek ośmieli się zapytać mnie o Lineusza, Herodota, lub coś podobnego, zmierzę go tak surowem spojrzaniem, (nastraja odpowiednio minę przed lustrem) że nie będzie wiedział co ma mówić dalej. Dopiero się wtedy uśmieję. (Po chwili). Ale ja tak gawędzę a tu czas uchodzi i ćwiczenie nieskończone. (Patrzy w okno). Słońce tak nęci i wabi do ogrodu, że nie mam siły zabrać się do pracy. Ech, co tam! korzystajmy z resztek swobody. Odpocznij sobie tutaj mój kajeciku do jutra, bo mamy niema w domu, a ja idę trochę pogonić za motylami i pobiegać z braćmi w ogrodzie. (Tańczy po pokoju i wybiega śpiewając).

Będziem się bawić, tańczyć, śpiewać,  
Do życia jest konieczny śmiech,  
To lepsze niż nad książką ziewać,  
Taniec nie zbrodnia — śpiew, nie grzech! (wybiega).  
(Wchodzi Zygmus za nim Staś).



Labirynt kościelny w Saint-Quentin.



Labirynt kościelny w Bayeux.



Labirynt kretański.



Labirynt kościelny w Saint Omerze.



Labirynt kościelny w Sens.

wawszy manatki na pensya... Zegnaj swobodo, swawolo! Zegnajcie pola, łąki, lasy!... (po chwili). Dziwnego doprawdy wrażenia doznaję na samą myśl pobytu na pensyi, nie wiem czy mam się cieszyć czy smucić; czasami lękam się, by mnie zanadto nie ujęto w karby, by nie kazano ślepczyć dzień cały nad książkami, to znów pragnę tam być coprędziej. Mieć tyle towarzyszek, z każdą wspólne tajemnice, ach jak to musi być przyjemnie! A jak przyjadę na wakacje przecież mnie nikt już nie będzie uważał za dziecko, będę już prawie dorosłą; nigdy, nigdy nie będę mówić o lekcjach ani o książkach jak teraz... naprzykład ten nieznośny kuzynek Józio zawsze mnie zapytuje (naśladuje głos) „Ańdziu, kto był pierwszym historykiem greckim”? lub: „Do jakiej rodziny podług Lineusza należy kapusta”? i t. p. Nieznośny! jakby nie mógł znaleźć dla mnie innego tematu do rozmowy, ot choćby opowiedzieć mi o ostatnim balu w ratuszu. Przecież to zabawniejsze. Dziecko... dobrze... przecież ja mam już lat 14 i na swój wiek nie małą jestem wcale. (Wstaje przygląda się sobie przed lustrem, obracając się na wszystkie strony i wspinając na pulce). Czemu to

ZYGMUŚ. Wiesz, wiesz, mamy w domu niema, pojechała do cici i nie wróci aż późno wieczorem; toż sobie użyjemy swobody i zabawimy się dobrze. Otóż Andzi już niema, pobiegła do ogrodu, nie skończyła nawet lekcji. Zabawna ta Ańdzia kiedy chce udawać dorosłą osobę; trzebaby jęj spletać jakiego figla. (Siada i pisze na otwartym jęj kajecie, mówiąc głośno).

Łaskawa panno Anno.  
Widać, żeś dorosłą panną,  
Boś ćwiczenia nie skończyła  
A kajety rozrzuciła.

STAŚ (odbierając mu kajet). Daj pokój kajetom Andzi, a powiedz lepiej jakby użyć tego czasu. Możeby się przejechać na kucach, albo poprosić Jaśka żeby nas przewiózł łódką po stawie. Ale trzebaby się wynknąć w sekrecie przed starą Barbarą, bo mama zapowiedziała jęj surowo, aby nas nie puszczała do stajni ani nad staw.

ZYGMUŚ. Zostawmy przejażdżkę na później jak będzie

chłodno, a teraz w czasie upału zabawmy się w pokoju. Żeby tylko wynaleźć co dobrego, zawsze ja muszę łamać sobie nad tem głowę, bo twoje pomysły na nic się nie zdadzą.

STAŚ. A twoje wywołują zwykle gniew i niezadowolenie mamy, bo zostawiają ślady swawoli w całym mieszkaniu.

ZYGMUŚ. Zabawny jesteś, jakże się bawić inaczej? To właśnie nazywa się korzystać ze swobody. Mamy dość czasu zachowywać się spokojnie, jak starsi na to patrzą.

STAŚ. Ale my się tak sprzeczmamy o nic, a tymczasem całe popołudnie zejdzie i nie użyjemy go.

ZYGMUŚ (*skacze*). Brawo! brawo! mam projekt, który wam się pewno podoba, będziemy prowadzić wojnę.

STAŚ. Wojnę, naprawdę? A zkadże broni weźmiemy i we dwóch przecież nie możemy stanowić całego wojska.

ZYGMUŚ. Nie lękaj się o nie, zwołaj tylko Zosię i Gucia i posłuchajcie co wam powiem.

STAŚ (*wysuwa się za drzwi i woła*). Zosiu, Guciu, chodźcie tylko prędko, zabawmy się razem. (*Wchodzą Zosia i mały Gucio*).

ZYGMUŚ. A teraz uważajcie: Ja będę Janem Sobieskim, będę bronił Wiednia, a wy jako Turcy chcecie miasto zdobyć.

STAŚ. Pewno zechcesz nasz bić jak zawsze, to ja będę Janem Sobieskim, a ty sobie bądź Turkiem.

ZYGMUŚ (*pogardliwie*). Co mi to za dowódca z ciebie taki mały i kusy, wcaleby się Turcy nie bali.

STAŚ. A ty to niby jesteś dużo większy odemnie, a gdzież to masz wąsy? czy nie czytałeś w „Guciu z czarowanym”. Oto bohater, co Wiedeń zbawił. Jakże mu pięknie z temi wąsami?”

ZYGMUŚ. A prawda (*zamyśla się*). Ale i na to jest rada. (*do Stasia*). Idź tylko przynieś łaskę ojca, to będzie mój miecz wy się uzbrojcie w linie i kije, a ja tymczasem zrobię sobie wąsy.

(*Dzieci wychodzą i wracają po chwili z kijami, a Zygmus wyjmując z pieca węgiel i rysuje sobie pod nosem ogromne wąsy*).

ZYGMUŚ. A co czy nie podobny teraz jestem do Jana Sobieskiego (*Wskakuje na krzesło i wywija kijem*). Wszak można teraz powiedzieć o mnie: „Wart berła, kto się mieczem berła dobił.”

STAŚ. Ale my wcale do Turków nie jesteśmy podobni, przecież widziałem na obrazku, że oni byli poubierani w jaszkrawe kolory i mieli turbany na głowie.

ZYGMUŚ. O, na to najłatwiej poradzić, zaraz będzie wszystko. (*Otwiera do szuflady, wyjmując ręczniki, którymi owija dzieciom głowy a na plecach zawieszają im kolorowe fartuszki siostr*). No, a teraz baczność! (*Wchodzi na krzesło i wywija łaskę, dzieci przypatrują się z podziwem*). No, zbliżcie się tu, wcale się was nie boję. Pobję wszystkich. (*Dzieci przyskakują z kijami, Zygmus zasłania się ciagle*).

STAŚ. Co mi to za bohater taki, nawet siebie obronić nie umie.

ZYGMUŚ (*woła z płaczem*). Aj, moja noga! Nie znasz się wcale na żartach, tak bijesz, że mnie boli. Nieznośne dzieciaki, nie będę się wcale z wami bawił, idźcie sobie!

STAŚ. Czyś ty widział, żeby jaki Turek żartował w bitwie z Janem Sobieskim zwłaszcza?

ZYGMUŚ. Ależ ja nie jestem prawdziwy Jan Sobieski. (*schodzi z krzesła ostrożnie, trzymając się za nogę*).

(*Andzia wbiega zmęczona, czerwona z rozrzuceniami włosami i oberwaną suknią*).

AŃDZIA. Stasiu, Zygmus! gdzież wy się kryjecie? Wicie, mama nie zastała cioci w domu i wróciła. Co ja zrobić, jeszcze nie napisałam ćwiczenia. (*Biegnie do kajetu, a spostrzeższy wiersz napisany przez Zygmunta, obraca się do niego z wymówką*). Niedobry chłopcze, jak mogłeś mi wyrządzić taką krzywdę, cała moja praca na nic, muszę wydrzeć dwie kartki, (*wydziera*),

(*W ciągu tego mniejsze dzieci rozbiegają się i wychodzą*)

ZYGMUŚ. Zostawiłaś kajet na stole, myślałem, że nie jest potrzebny; przecież ty, która za dwa lata (*z naciskiem*) będziesz dorosłą panną, stosujesz się chyba do woli mamy i chowasz książki i kajety po skończonej lekcyi.

AŃDZIA (*z gniewem*). Tylko zaprzestań tych niedorzecznych uwag (*ogłada się po pokoju*). Boże! co tu za nieporządek, któż to zrobił?

STAŚ. To Zygmus wymyślił taką zabawę w wojnę z Turkami i wszystko poprzewracał.

ZYGMUŚ. A ty to pewnie nie należałaś do tego, zawsze składasz winę na innych. Powiem mamie, że mi porobiłeś sińce na nogach.

AŃDZIA (*spozstrzega wąsy Zygmunta i turban Stasia*). No, moi braciszku, niedaremnie obawiamy się wzajemnie, bośmy, jak widzę, wszyscy chcieli nadmiernie użyć swobody. Nie wiem tylko, czy się to mamie podoba?

ZYGMUŚ I STAŚ (*razem*). Moja jedyna Ańdziu, pomóż nam poukładać i poustawiać to wszystko zanim tu kto przyjdzie.

AŃDZIA (*porządkując swoje ubranie*). Dobrze, moi drodzy, Zygmus niech się pozbędzie tych bohaterkich wąsów, z którymi mu wcale nieładnie, Staś tego tureckiego turbana i prędko zabierzmy się do przywrócenia ładu, żeby mama nie mogła powiedzieć jak zwykle: „Myszy tańczą, jak kota nie czują”. A od dziś pamiętajmy zawsze o tem, co mówi ojciec, że dobra jest swoboda, gdy jej się rozsądnie użyć potrafi.

STAŚ I ZYGMUŚ (*ścisnąc Andzię*). Wiwat nasza siostrzyczka! teraz to mówi tak rozumnie, jak dorosła panna.

(*zasłona spuda*).

Paola Zabokrzecka.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Istotnie woda była czysta i obfita. Czarnulo pił i pił bez końca tak, aż się grubszy zrobił i trzeba było mu rzemienie rozpuścić. Ale największy kłopot był z małpami: jak je tu napoić, żeby przytem nie uciekły? Menito ułatwił od razu tę trudność, wstawiając po prostu klatkę w wodę, w ten sposób więźniowie mogli się napić do syta z wszelkiem bezpieczeństwem. Podczas, gdy przewodnik przygotowywał posiłek, dwaj młodzi chłopcy poszli myszkować w okolicy, i wkrótce przynieśli morwy i smaczne winogrona. Po uczcie, obladowano muła na nowo i zabierano się w dalszą podróż, gdy przeraźliwy krzyk małej saki zwrócił ogólną uwagę. Ujrano zwierzę na długich nogach z kończatym pyszczkiem i takimiż uszami, podobne do wilka, sunące przez wysokie trawy, kierując się kryjomo ku źródłu. Spozstrzegłszy ludzi, zwierzę stanęło, zwinęło się niejako, a potem rzucając się w stronę łąki, zaczęło uciekać ze wszystkich sił.

— To jest pies dziki — zawołał przewodnik. — Szedł pić do źródła pod naszym nosem! Pewno jest z tój samej bandy, którą dopierośmy słyszeli. Ale cóż to tam widać dalej?... to jakby jacyś łowcy...

Istotnie w głębi doliny ukazało się dwóch jeźdźców zbliżając się lekkim kłusem. Ciągnęli za sobą wielkiego i niezgrabnego czworonoga podobnego do europejskiego wołu, ale który głowę i szyję miał obrosłe długą wełną czarniawą. Wyglądał dziko, a chwiał się za każdym krokiem, jakby ranny lub zmordowany. Jeden z jeźdźców ciągnął go, drugi popychał gdy się opierał. Między dwoma tymi doświadczonymi ludźmi i ich dzielnymi wierzchowcami, ogromne zwierze, pomimo wszelkich wysiłków było zupełnie bezbronem. Złowiono je za pomocą łąsu, to jest długiego sznura z surowej skóry, w ciskanu którego w pełnym galopie konia, wprawnych są niezmiernie jeźdźcy meksykańscy.

— Bawol! — krzyknął Tomek spostrzegłszy jeźdźców i ich zdobycz.

— Nie, to żubr — odrzekł Melchior. — Bawol nie istnieje w Ameryce i niewłaściwie żubr nosi tu jego nazwę. Należą oni wprawdzie oba do rzędu bydła i jeden, równie jak drugi jest gatunkiem dzikiego wołu.

Na widok gromadki Melchiora żubr stanął i bystro wpatrzył się w składających ją ludzi, ale trzaśnięcie z bicia jego pogromców, zmusiło go iść dalej i cała kawalkata spoczęła przy kępie drzew, u stóp których płynęło źródło z hukiem piorunowym.

— Oto dziczyzna która nas niewiele trudów kosztowała — rzekł człowiek z biczem do Melchiora, wpychając swego więźnia w głąb wody. — Złapaliśmy tego żubra bez wystrzału, tak go dzikie psy z mordowały

— Nieprzyjaciele biednego zwierzęcia w istocie pozostawili dość liczne ślady ostрых swych zębów na jego nogach — powiedział kapitan. — Ma nogi tak poszarpane jakby tańczył sarabandę w gęstwinie kaktusowej. Miał nie lada robotę chcąc się obronić.

— Opatrzmy je w domu — rzekł jeden z łowców. — Nasza *hacienda* \*) jest tylko o dwie mile ztąd.

— Przyjacielu — rzekł kapitan — potrzeba mi młodziutkiego żubra. Jak myślicie, czy nie moglibyście mi dostarczyć takiego, i dostawić go do Benyamo, dokąd przybędę w końcu tego tygodnia?

— Nie mogę za to ręczyć senior. Pora na młode żubry jest cokolwiek spóźniona; ale jeżeli udajesz się pan do Benyamo, dobrze zrobisz zatrzymując się w naszej haciendzie na noc; gospodarz nasz najlepiej cię w tym przedmiocie objaśni. Jest to bardzo zręczny myśliwiec. Wszystkie te grunta na okolice do jego *cercado* należą; pójdź pan z nami.

— On ma słuszność — rzekł przewodnik — znam to miejsce, jest to folwark nad rzeką. Leży nam prawie na drodze.

— Co on rozumie przez wyraz *cercado*? — spytał Tomek, gdy puszczono się w drogę w zwiększonej gromadzie.

— Jest to pewien rodzaj polowania uprzywilejowanego, zastrzeżonego. Gospodarz folwarku nad rzeką otrzymał pozwolenie, mocą którego on sam tylko ma prawo polować na pewnych oznaczonych gruntach. Ktokolwiek inny polując w tych okolicach, dopuszczałby się przekroczenia prawa.

Właściciel folwarku przyjął podróżnych z serdeczną gościnnością, ale gdy Melchior objawił mu cel swoich odwiedzin, rzekł:

— Żałuję nieskończenie, że nie mogę pana zadowolnić; moi pasterze chwyтали tuzinami dzikie cielęta tej wiosny, ale nie zatrzymałem ich u siebie. Posłałem dwa sąsiadowi do Czarnego domu, a on dał je swemu szaremu niedźwiedziowi.

— Szaremu niedźwiedziowi? On ma szarego niedźwiedzia? Nie wiesz pan ileby chciał za niego? — zapytał kapitan.

— Nie nazbyt drożyłby się, jak sądzę. Miał ich dwóch i zabił większego, ponieważ jadł bez miary. Ten który pozostał, jest w połowie swego wzrostu dopiero. Ale, możeby się panu przydała i pantera także?

— Tak; jeżeli nie jest okalawiona ani chora.

— A więc mój sąsiad ma od kilku dni panterę, na którą zamierzał *psa wypróbować!*

— Cóż to znaczy to wyrażenie?

— Jest to sposób przekonania się o wartości psa pasterskiego. Pies dotrzymujący placu panterze, jest dzielny i odważnym zwierzęciem.

— Daleko ztąd jest Czarny dom?

— Około siedm mil. Staniesz tam pan z łatwością jutro przed południem, a do Benyamo dojdiesz poprzeczną drogą przez góry.

Po wieczery, podróżni rozciągnęli kołdry podróżne na placu, zdjęli z Czarnuła kosze i klatki, i kto żyw na folwarku, wszyscy zbiegli się na oglądanie dziwów.

— Na miłość Boską, co pan myślisz robić z tyloma dzikimi zwierzętami? — zapytał jeden z pasterzy, przyglądając się im z podziwem.

— Ma odbyć się w Europie wielka walka zwierząt — rzekł Menito z największą powagą — a my przybyliśmy tutaj, aby wyszukiwać najdziksze jak można zwierzęta i tam je posłać.

— Jakto, alboż oni tam nie mają byków tak jak my? — Mają, ale walki byków zabronione są z tamtęj strony oceanu.

— O, jeżeli tak, to rozumiem; oczywiście w takim razie potrzeba im innych zwierząt. Szkoda, że nie mamy siodeł, bo moglibyśmy nałapać wam tyle dzikich psów ilebyście chcieli; oto je macie słuchajcie!...

Smutny przeciągły jęk rozległ się w przestrzeniach; psy dzikie zdawały się brać mocno do serca zawód, jaki je spotykał ze strony Europy.

— Nic dziwnego — rzekł śmiejąc się Tomek — jeżeli muszą iść spać bez wieczery, tyle się na nią napracowawszy.

— Przybywszy do Czarnego domu, Melchior kazał sobie pokazać zwierzęta jakie właściciel miał do sprzedania. Pantera była zdrowa, lekka, zwinna, jak łasica i w bogato centkowanej odzieży. Cenę ugodzono, dziesięć dolarów za oba zwierzęta.

— Najgorszy kłopot z tem — rzecze dozorca folwarczny, obecny przy ugodzie — że mamy jedną tylko klatkę na dwoje zwierząt.

— A więc odpowiedział właściciel — trzeba będzie nałożyć kaganiec na buzię jegomości niedźwiedziowi. Nasz woznica Piotr jedzie do Benyamo dziś w nocy, wsadź więc jegomości na tylne siedzenie swego wozu, bo to lichy lubi wygodę i woli jeździć niż chodzić.

— Ale jakże mu kaganiec założyć? — spytał Melchior. — Zobaczysz pan.

Niedźwiedź miał wygląd nie wzbudzający wcale zaufania. Stał w ogrodzie na łańcuchu przy małym wodotrysku, a ujrawszy zbliżających się ludzi, skierował się ku pewnemu rodzajowi budy, gdzie sypiał; idąc mrucał i wytrzeszczał straszliwe zęby, ale właściciel wyprzedził go wołając na słującego:

— Skrop no go a dobrze! — i jednocześnie pchnął budę, która odsunęła się tak, że niedźwiedź nie mógł jęj dosiądz.

Służący w gnieniu oka przytwierdził kauczukową rurę do kurka wodotrysku i skierował otwór rury na niedźwiedzia. Pomimo ciężkiego łańcucha, poczuwszy tę kaskadę, niedźwiedź zaczął rwać się i skakać z niesłychaną zręcznością w różne strony aby od nięj uciec; ale mocny i gęsty wodotrysk ścigał go wszędzie, przenikał go niejako na wskrós tak, że wkrótce uczuł się jakby w kąpieli:

— Zaczekaj — rzekł pan — zobaczymy czy kropienie jest dostateczne — i ująwszy spory kawał drewna, przysunął go jednym końcem do głowy niedźwiedzia, mówiąc:

— No, Jacusiu, przyjacielu mój, zobaczymy czy będziesz grzecznym chłopaczkem?...

Niedźwiedź spojrział na mówiącego, jakby go miał połknąć, schwycił w zęby pieńek drewniany i zmiażdżył go jak rzodkiewkę.

— Nie, jeszcze nie poskromiony, dalej Jaśku krop go jeszcze! — rzekł gospodarz.

Ulewa zaczęła się więc na nowo, bijąc silnym strumieniem prosto w niedźwiedzia, i dosięgając go ze wszechstron. Zwierzę wstawało co chwila na tylne nogi, wymachując groźnie przednimi, ociekającymi wodą, i usiłując niemi schwycić nieujętego nieprzyjaciela, wodę. Nareszcie sił mu zbrakło. Rozpościerając coraz szerzej przednie łapy, jakby dla równowagi, niedźwiedź powstał raz jeszcze, spróbował na próżno utrzymać się stojący, i padł na ziemię na wznak, wpół zduszony z głuchem i potężnem chrapaniem.

— Ostrożnie! zadusi się! — rzekł Melchior.

— Zaczekaj Jaśku! — rzekł gospodarz — jakkolwiek nie bardzo ufam mu jeszcze.

\*) Folwark po hiszpańsku.

Wziął znów drewno i kilka razy uderzył niem zlekka niedźwiedzia drażniąc go tylko. Ale zwierze pozostało już spokojne, oddychając hałaśliwie, prawie zduszone i pozbawione przytomności.

(d. c. n.)

## PYTANIE.

Pewne stare zamczysko słygnęło na kilka mil wokoło w całej okolicy, ale nie pięknoscą budowy, ani też historycznym znaczeniem; do omszałych murów jego nie przyległa żadna baśń starożytna, żadna poetyczna legenda, tylko lud okoliczny opowiadał, że w zamku pokutuje.

Często też u wrót zamczyska zjawiali się ciekawi, a usłużny stróż, prowadził ich do wielkiej sali, zbudowanej oryginalnie w kształcie elipsy. Sala ta ponury przedstawiała widok. Na szarych bezbarwnych ścianach widniały ślady pleśni, a słońce tylko bladymi, skąpymi promieniami wdzierało się do wnętrza przez małe, okrągłe okienka, umieszczone w grubym murze, wysoko, tuż u sufitu. Zresztą nic, żadnego sprzętu, żadnego starego portretu nawet, które to w podobnych opowiadaniach zwykle jakieś tajemnicze miałyby znaczenie.

To też zwiedzający ogólnie ze zdziwieniem patrzają wokoło szukając napróżno zapowiedzianych nadzwyczajności. Wtedy stróż staje w jednym wiadomym sobie punkcie sali i ruchem pełnym znaczenia i tajemniczości każe stanąć swym gościom w drugim, także oznaczonym miejscu.

Podróżni zdumieni, bo oto słyszą naraz jakieś tajemnicze szepty, słyszą w powietrzu głos jakiś cichy, ponury, pozagrobowy, który żąda litości, modlitwy, ku ulżeniu cierpieniom duszy. Podróżni nie wierzą uszom; nie, to być nie może to złudzenie chyba, a jednak słyszą wyraźnie jak ktoś mówi, prosi, skarży się i narzeka. Przecież sala pusta, ściana gruba, nikt więc poza nią ukryć się nie mógł; nie, to jednakże nie oszustwo, to nie głos istoty żyjącej, ale skarga pokutującej duszy. Do głębi przejęci opuszczają salę, a doznane wrażenie tego niezwykłego wypadku zakreśla się im głęboko w pamięci.

Długo jeszcze zamczysko ściągało na siebie uwagę ciekawego, a bezmyślnego tłumu, gdy u progu mieszkania stróża, ukazał się podróżny innego pokroju i objawił życzenie zobaczenia tajemniczej sali. Stróż szczęśliwy, że znów kilka złotych wpadnie mu do kalety, chętnie spełnił jego życzenie, a nasz podróżny miał sposobność usłyszenia owych tajemniczych głosów. Ale się nie przestraszył, nie przejął, nie zdziwił nawet; obejrzał tylko salę, potem zwrócił na swego „cicerone” uważne spojrzenie i ostro mu zapowiedział, że jeżeli nadal będzie ciągnął korzyści z zabobonnych ludzi, to go odda jako oszusta w ręce sprawiedliwości. Nasz stróż upadł mu do nóg, obiecał na przyszłość uczciwszą zająć się pracą, no i odtąd nikt już nie słyszał na zamkowej sali skarg pokutującej duszy.

Od tej pory stracił zamek urok tajemniczości, jaki go otaczał, jednakże ludzie zyskali na odkryciu, bo mieli naukę, że nie można dawać wiary podobnym opowiadaniom wymyślonym przez ludzi niesumiennych, ku obalamuceniu i wyzyskaniu łatwowiernych.

Ale skąd pochodziły te tajemnicze głosy?

## HOMONIM.

(od Gołąbki pocztowej dla Jaskółki z nad Sekwany).

Przez długie wieki, z licznem braci gronem.  
 Udziałem moim cześć bywała boża;  
 A i dziś wielu darzy nas pokłonem.  
 Przytem na przestrzeniach morza,  
 Potęgi mojej rozbrzmiewa chwała.  
 I z łona ziemi ludzka dłoń zuchwała  
 Codziennie mnie wydobywa,  
 A choć mnie nieba i ziemi zwał panem,  
 Niewdzięczny człowiek nieraz mojem mianem,  
 Wzgardliwie brata nazywa.

### Lamigłówka liczbowa.

(dla Makolągwy, Baniuty i Amazonki podlaskiej od Królowej wróżek).

Z czternastu liter ułożyć imię i nazwisko znanego poety pisarza polskiego XVIII-go wieku.

- 5, 6, 3, 4. — Metal.
- 5, 6, 8, 7. — Miejsce zabawy publicznej.
- 2, 8, 2. — Bryła lodu.
- 7, 9, 3, 4. — Miasto wsławione cudem.
- 8, 9, 7, 1. — Rodzaj skorupiaków.
- 9, 8, 4, 6. — Mocny napój.
- 10, 4, 3. — Rzeka w Galicyi.
- 10, 9, 8, 4. — Imię biblijne.
- 10, 9, 8, 3, 4. — Zwierz leśny.
- 10, 4. — Karta do gry.
- 10, 14, 9, 8, 7, 4. — Mineral.
- 11, 8, 1, 10. — Wiosenny kwiat.
- 13, 14, 8. — Oznaka żałoby.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

### Zadania konikowego:

Po brzozowym cichym lesie  
 Dziewczę idzie, dzbanek niesie,  
 Niesie dzbanek z jagodami,  
 Z jagodami borówkami.  
 A dla Boga, co się dzieje,  
 Kto się śmieje? las się śmieje —  
 Klaniają się przed nią drzewa,  
 Ona śpiewa i las śpiewa,  
 Więc przystanie, dech zatrzyma,  
 Patrzy w koło i nic niema.

(Jagoda).

### Szarady:

Sasanki.

**TREŚĆ:** Widome a niewidzialne p. Z. U. (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Ryś, urywek z podróży (z drzew.) — Labirynty (z drzew.) — Myszy tańczą, gdy kota nie czują, komedyjka w jednej odsłonie p. P. Zabokrzecką. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Pytanie. — Lamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przygoda Jaśka (z drzew.) — Jałmużna Teosi, wiersz p. Z. Morawską. — Powrót Amika. — W karnawale. — Lamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## Przygoda Jaśka.

Było to w Marcu gdy czarna wśród najpiękniejszej pogody zrywa się śnieżna zawieja. Mały Jasiek syn szynkarza powracał z blizkiego miasteczka, wlokąc za sobą sanki wyładowane dużym gąsiorem blaszanym i mnóstwem innych różnego rodzaju zakupów. Zaprężony w pas do owych sanek, oburącz trzymając nad głową duży parasol, dodany przez troskliwą matkę w podróż, dzieciak oblepiony śniegiem, zmarznięty widocznie, zaledwo mogąc poruszać nogami, płakał głośno idąc i wlokąc wózek za sobą. Poruszał się ostatkiem sił; aż wtem gwałtowniejszy podmuch wichru wyrzucił parasol na nice, tworząc z niego tak zwany „tulipan” i chłopiec doprowadzony tem do ostateczności, zmożony zupełnie walką a zawieją, spuścił „tulipan” ku ziemi, a oparłszy się na nim jak na miotle, zaczął przeraźliwie płakać i stanął, bezsilny. Nikt jednak nie przychodził mu w pomoc, więc uspokoił się powoli i pomyślał że nic tu nie wyplacze, a zimno dokucza coraz więcej. Trzeba sobie jakoś radzić samemu. Widział że nie rozprostuje sam parasola, a ten odwrócony nie ochroni go od śniegu, który sypał coraz gorzej, położył go więc na sankach ująwszy oburącz postronki nich, rozejrzał się dookoła odpocząwszy trochę, podążył ze swym ciężarem prosto do wsi. Stanął wkrótce w miejscu, rozgrzał się gorącą wieczszą i rodzice pochwalili go, że zamiast szlochać bezsilnie, przez co byłby pewno przed nocą nie dociągnął do domu, tak dobrze sobie poradził;

w każdym bowiem nieszczęśliwym wypadku nie należy rozpaczać, lecz myśleć raczej o sposobach ratunku.

## JALMUŻNA TEOSI.

„Poratuj mnie panienko, jam bardzo zgłodniała!”  
Mówiła do Teosi uboga dziewczyna.

Teosia w swój kieszonce i grosza nie miała,  
Lecz nagle, już odszedłszy, sobie przypomina  
Że ma w tece bułeczkę daną na śniadanie  
Którą matka włożyła dodając ze łzami:

„Ta bułeczka Teosiu za obiad ci stanie,  
„Bo nie mamy nic więcej, bieda tuż nad nami”,  
Teosia jednak swoją oddała bułeczkę  
Myśląc sobie: „To dziewczę głodniejsze jest może,  
„Cóż mi szkodzi, że dzisiaj pocierpię troszeczkę,  
„Wszak Bóg dobry jest w niebie, to nam dopomoże”.

Z. Morawska.

## POWRÓT AMIKA.

Siedmioletnia Frania miała pieska Amika, i bardzo go lubiła, bardziej niż wszystkie lalki i zabawki, których miała przecież dużo i ładnych, bo rodzice często kupowali cacka dla grzecznej i posłusznej córeczki, a ona znów nigdy ich nie niszczyła, chociaż bawiła się nimi. Amik dla tego droższy był Frani od wszelkich zabawek, że był żywy i umiał kochać Franię. Gdzie tylko poszła, on zawsze umiał ją odszukać, gdy tatko Frani powiedział mu:

— Amik! szukaj panienki!

Amik przykładał zaraz nos do ziemi, a ślad zwycięwszy, odwracał się do pana, poszcze kiwał, i na gwałt szukał panienki, dopóki jej nie znalazł: czy to wśród wiejskich dzieci, które wraz z mamą czytać uczyła, czy wśród stada ogromnego owiec, które sama trawką karmiła, gdy je do niej przypędził owczarz, wdzięczny za to, że Frania wraz z mamą pielęgnowała chore jego dziecko. Znalazłszy panienkę, Amik mądry zaraz zciśnął głos, pocichutku tylko naszczekując, jakby mówił:

— Słuchajcie panienki Frani, wy dziatki, i wy owieczki!... bo ona rozumna, słucha mamy swojej! hap! hap!

Tak mówił mądry Amik i wszyscy przyznawali mu słuszność. A wtem pewnego dnia Amik nie przyszedł na noc spać do pokoju. Frania okropnie się zmartwiła. Myślała, że mu się przytrafiło jakie nieszczęście, że utonął, albo go wilki porwały. Ze zmartwienia nie mogła Frania spać noc całą, ani jeść dnia następnego. Nad ranem drugiej nocy płakała także, aż tu coś drapie do drzwi od dworu: drap!... drap!... Frani serce mocniej zabiło, ale sądząc że jej się zdaje i nie chcąc robić hałasu, wyszła cicho z łóżeczka i obudziła bonę:

— Kochana bono, mnie się zdaje, że to Amik dra-  
pie tam do drzwi od dworu — rzekła nieśmiało.

— Zdaje się Frani, Amik, gdyby miał przyjść, toby  
wczoraj przyszedł — odpowiedziała bona, ale mimo to  
wiedząc, jak Frani drogim był Amik, wstała i poszła do  
drzwi, uchyliła je i aż krzyknęła, ujrzawszy istotnie  
Amika, ale Amik nie był sam, koło niego stał pies jakiś  
nieznany, duży, taki poszarpany, zraniony, smutny i ze  
spuszczoną głową, że nie wiadomo było co myśleć o tak-  
kim przybyszu. Zobaczywszy go, Frania zawołała:

— Amik przyprowadził jakiegoś biednego przyja-  
ciela swego, trzeba ich koniecznie pożywić, bo pewno  
oba są głodni!

Tak się też istotnie zdawało, bo obcy pies niezmi-  
ernie smutno spuszczał oczy, jakby się wstydził, jako nie  
przyzwyczajony do położenia nadzwyczajnego, w jakim  
się znajdował obecnie, a zaś Amik tkliwie patrzył na  
swą panienkę i po swojemu coś jęj skomląc opowiadał,  
co ona doskonale rozumiała:

— Amik opowiada jakieś okropne przygody swego  
przyjaciela, ach, moja bono, zlituj się, daj im jeść i pić  
co najprędzej i wykapać ich trzeba! — prosiła Frania.

Bona była w wielkiej obawie, bo psy niezajome,  
samotnie się włóczące, mogą być chore, zatem niebez-  
piecznie jest się z nimi zadawać, a i trudno też było ro-  
bić natychmiast w nocy letnią kąpiel. Szczęściem grze-  
czna i posłuszna Frania dała sobie to wszystko wytłoma-  
czyć, i wstrzymała się nawet od pieszczenia Amika, choć  
aż płakała z radości że wrócił, i ze smutku na widok jego  
wygłodzenia. Bona za to przygotowała dużą miskę ró-  
żnego jedzenia pozostałego z obiadu i postawiła ją przed  
dwoma zbiedzonemi psami, a potem, położywszy im dy-  
wanik do spania, zamknęła je w sieni, gdzie przecież  
w lecie nie było zimno. Frania byłaby serdecznie chcia-  
ła choć pogłaskać Amika, ale się przez rozsądek od tego  
wstrzymała, i tylko przez drzwi słysząc jak oba psy ja-  
dły „chłap, chłap”, z wielkim apetytem, bardzo się tem  
ucieszyła, wiedząc że dobry apetyt jest zdrowia oznaką.  
A gdy potem psy napiły się wody i na owym dywaniku  
ległszy głośno chrapać zaczęły, dopiero Frania z lek-  
kiem serduszkim pozwoliła bonie zaprowadzić się do  
łóżeczka i zasnęła, spokojna po długim o Amika zmar-  
twieniu.

Nazajutrz, gdy mamie wszystko opowiedziano, po-  
chwaliła mama bonę, że była z psami ostrożna i że jeść  
im i pić dała, a Franię pochwaliła, że słuchała bony.  
Potem przez kilka dni jeszcze obchodzono się ostrożnie  
z obcym psem przybłądą, ale gdy pokazało się że był  
zdrowy i przy dobrem pożywieniu doskonale zaczął wy-  
glądać, wykapano go razem z Amikiem, i oba ci przyja-  
ciele razem odtąd pozostali w służbie u Frani, chodząc  
za nią wszędzie, a w nocy domu pilnując. Frania nieraz  
rada była dowiedzieć się dziwniej Amika przygody, któ-  
ra mu przyjaciela zjednała, i pieski byłyby pewno na jęj  
pytania odpowiadały, gdyby to było możebnem, ale że  
rzecz się miała przeciwnie, więc dziwna przygoda Amika  
pozostała na zawsze tajemnicą. Domyślano się tylko,  
że pewno ktoś nieoświecony i niesumienny porwał pię-  
knego Amika aby go sprzedać, ale Amik uciekł i jeszcze

biednego przyjaciela do dawnych państwa przyprowa-  
dził.

## W KARNAWALE.

— Pączki świeże, pączki! — wołał ochryłym od  
ciągniętego krzyku głosem, dziesięcioletni chłopczyna, prze-  
biegając ulice miasta. Już się ściemnia, a biedny Tomek  
ma blisko do połowy zapełniony koszyczek, przytem  
głód mu mocno dokucza, a zęby dzwonią od zimna. Zo-  
baczył z daleka dwóch młodych chłopców, biegnie też  
do nich i zachwala swój towar: — Panoczku, gorące  
pączki! — Młodszy, pewnie w Tomka wieku, odwrócił  
się, zaśmiał i krzyknął szyderczo:

— Zjedz je sam, kiedy takie dobre!

Łzy potoczyły się biednemu dziecku po zmarzniętym  
policzku, bieży jednak dalej i zaczyna ciepło ubraną  
dziewczynkę, ta zagłąda do kieszeni i pyta:

— Dasz dwa za pięć groszy?

— Nie mogę, panienko — wyjąkał Tomek.

— To dawaj jeden, wzięła i pobiegła w swoją  
stronę.

Chłopiec wolniejszym już krokiem idzie dalej, wre-  
szcie prawie z rozpaczą woła: — pączki z parowej mączki  
nie drogo kosztują...

— Pokaż no je, trąca go w ramię jakaś porządnie  
ubrana jejmość, w fartuchu — kupię z dziesięć, to się  
dzieciaki ucieszą.

Uszczęśliwiony chłopiec nadstawia koszyk, a kupu-  
jąca wybiera prędko największe pączki, płaci należność  
i idzie dalej.

— Jeszcze dwanaście pączków — westchnął Tomek  
— jeśli tych nie sprzedam, mam tylko dziesięć groszy  
zarobku z całodzienniej lataniny, a tu trzeba najmniej  
złotówki na kupienie trochy mięsa i drewek dla matki.

— Biedna, biedna matka! — myślał, siadłszy na scho-  
dach zamkniętego sklepu.

Matka jego była w istocie bardzo biedną, póki ojciec  
żył, było jako tako, reperował stare obuwie, matka brała  
bieliznę do prania, było o czem żyć. Przytem izba była  
duża, jasna. Ojciec nieraz przyśpiewywał, a przed świę-  
tami, to nawet czeladnika brał do pomocy, nie mogąc  
nadażyć robocie, matka nie prała bo czyściła, porządko-  
wała, a potem piekła kołaczki na święta.

W każdą niedzielę wołał do siebie ojciec chłopca  
sadał go przy sobie i pokazywał mu duże litery na ele-  
mentarzu, a zawsze mówił: ucz się Tomek, to ci dobrze  
będzie na świecie. Cóż kiedy przyszła choroba, matka  
wszystek grosz zaoszczędzony wydała na lekarstwa; po-  
tem coraz to częściej znikaly lepsze sprzęty i rzeczy  
z izby, wreszcie prawie nic nie zostało a biedny ojciec  
umarł. A przed skonem mówił jeszcze do chłopca: „pa-  
miętaj Tomek, o matce”.

Inaczej już było po śmierci ojca, ale jednak żyło się  
jakoś, matka przeniosła niewyprzedanych przez czas  
choroby ojca sprzętów resztę, do ciasnej izdebki w sute-  
renach, wynajmowała się na cały dzień do prania, To-  
mek biegał sobie wtedy z towarzyszami po ulicach, do-  
kazywał a o jutro nie miał kłopotu.



Roznosił kurjery, w adwent obwarzanki, potem chodził z szopką, a zawsze parę groszy się zarobiło; było mniej, to się i na głodno nieraz spać poszło, a za to gdy więcej się zbierało, kupił sobie mleka, bułek, i znowu było dobrze.

Matka już nie troszczyła się nigdy o jego pożywienie, a wracał dopiero wieczorem. Wtedy matka brała jego ubranie i łatała późno w nocy, a on wyciągnięty na ławce i przykryty matczyną chustką, zasypiał do rana.

Nie pomyślał więc nigdy że biednej matce zabraknąć może roboty, a teraz wyrzucał to sobie.

Teraz umrze ona chyba z głodu, bo leży chora w łóżku już z tydzień, kazał ję doktor jeść mięso! a ja... I zakrył biedny chłopczyzna twarz rękami,—ale już latarnie zapalają — pomyślał — trzeba iść do piekarki oddać ję pieniądze za sprzedane pączki, matczyśko czeka głodne, bo niewiele chleba od wczoraj zostało. Tak mi ciężko się jakoś podnieść — szeptał — jeszcze chwilę posiedzę na tych schodkach. — I przymknął oczy, czuł szum w głowie, słyszał turkot powozów, ale myśli zebrać już nie mógł. Przechodnie dążyli śpiesznie, potrącając się wzajemnie, mało jednak zwracali uwagę na chłopca, skostniałego od zimna z koszykiem pączków przy boku. Niejeden uśmiechnął się z litością, ktoś nawet bezmyślnie mruknął:

— Cóż to za próżniak zasnął na schodach?

Dopiero w godzinę może, głosik jakiś srebrzysty dał się słyszeć wśród ogólnego gwaru:

— Stasiu — mówiła 8 letnia blondynka, do prowadzącego ją młodego studenta — ten chłopiec zaziębi się śpiąc tu na schodach.

— Ależ on chyba już zmarł — odparł młodzieniec, nachylając się nad zsiniałą twarzyczką Tomka; wziął śpiesznie śniegu leżącego na schodkach, wycierał mocno twarz i ręce chłopca, lecz nie udało mu się przywrócić na pół zmarznięte dziecko do przytomności.

— Braciszku, weźmy go do domu — prosiła dziewczeczka.

— A balik u cioci, na który się od tygodnia cieszyłaś?... do domu daleko — zanim zawieziemy i wytrzeźwimy tego biedaka, upłynie dobra godzina, tańce zaś już się rozpoczęły, a przyjść na koniec zabawy to nieprzyjemnie dla ciotki i zamieszanie wśród tańczących, trzeba więc wybierać: zabawić się lub ratować tego chłopca?

Zosi łyż stanęły w oczach; gdy pomyślała o sukience z niebieską szarfą, atlasowych pantofelkach, które miała włożyć przyszedłszy do ciotki, ale gdy jakiś przechodeń z latarką właśnie w tęg chwili oświecił całkowiecie naszego Tomka wraz z koszykiem pączków, gdy ujrziała jego twarzyczkę siną od zimna, otrząsnęła się z przykrego wrażenia i odrzekła:

— Jabym i tak się nie bawiła, myśląc o tym biednym chłopcu.

(d. n.)

## SZARADA.

Pierwsze wprost litera, drugie wśpak litera;  
Wszystko nieraz wiele słodczy zawiera.

## ZAGADKA.

Z pięciu liter się składam,  
Nic nie piję ni jadam,  
Wiecznie jestem w podróży,  
Żyję krócej lub dłużej,  
Dłużej w jaśni niż w mroku,  
Lecz najdłużej: pół roku!...  
Wygadałem się zdradnie,  
Teraz każdy mię zgadnie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 3-go.

Szarady: Niemen.

Łamigłówki w kwadraciku: Rej — Ewa — Jan.

## Skrzynka do listów.

Pochlebia nam niecierpliwosc z jaką **Niezapominajka z nad Warty** i inni nasi czytelnicy wyglądają „Wieczorów”, ale zwłoka w otrzymaniu ich nie z naszej pochodzi winy. Jeżeli nie zajdzie żadna nieprzewidziana przeszkoda, to „Wieczory” w piątek oddawane bywają na pocztę.

**P. I. Angelo w Rytwianach.** Atlas Wędrowca kosztuje rs. 2 kop. 70. Wędrowiec rs. 8., Gazeta Świąteczna rs. 3, razem rs. 13 kop. 70, z przysyłanych przeto rs. 17 pozostało rs. 3 kop. 30, należy się więc dopłaty do prenumeraty całorocznej rs. 1 kop. 70.

**P. Bychowcowej w Joalinie.** Żądany kwartał „Wieczorów” i książki posłane, ale nie rachowała Pani przesyłki pocztowej, należy nam się przeto za nią kop. 20. Prospektów na pisma francuzkie nie przysyłają nam wcale, nie możemy ich więc posyłać do wyboru, trzeba tylko wybrać sobie jedno z tych pism które się zna.

**Psoznico** kochana, mamy nadzieję, że nie jesteś tak straszna jak cię twój pseudonym maluje i miło nam zawiązać z tobą korespondencją, tem więcej, że jak sądzimy, siostra życzliwie usposobiła cię dla nas. Panienek w twoim wieku dużo bardzo pisuje do nas.

**Wiochnie z pod Lublina** w zamian za życzenia, składamy powinszowanie. Powiada o sobie: „nie należę do grona pesymistów” i jeszcze dodaje: „szczęściem”. Tak, dziewczeczko *szczęściem!* i my to za tobą powtarzamy. Brzydka to a groźna choroba: odejmuje moc do czynu, wierę w jego pożytek, czyni człowieka nicością moralną, tem zupełniejszą, że wysokie o sobie mniemanie mającą. Kto jednak tak otwarcie spowiada się z win swoich i błędów, ten widocznie nie grzeszy zarozumiałością. I dla tego też, może z czasem „pączki” dopełnią się dalszym ciągiem, który coś wart będzie. Pracy tylko i wytrwałości!

Zrobiliśmy nową znajomość, z której bardzo jesteśmy zadowoleni: zleciał do redakcyi (listownie) groźny ptak **Orzeł czubaty**, objawił, że ma ochotę „urwać łeb” Siostrze Agacie, z Barwałdzkiego zamku, ale dał nam przytem dowód, że pamięta o biednych dzieciach którym zimno. Więcej było z nim tedy strachu, niż złego bo przeciwie to jakiś drapieźnik! Byle tylko nie nawinęła mu się Siostra Agata, bo źleby z nią było!

**Czarny Gołąb** niech się nie lęka sąsiedztwa, w którym go umieszczamy i przyjmie zapewnienie, że nadesłał dobre rozwiązanie.

**Niezabudce czeskiej** dziękujemy za serdeczne słowa. Mołodyca ukraińska dawno się już nie odzywała.

Junonie podziękowanie zasylamy, również jak i Lilijce z nad

**Oslawy**, dołączając jeszcze dla tej ostatniej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

I my nie rozumiemy, co onieśmieliło **Pieszczotkę**. Rozpieszczone jedynaczki bywają zwykle śmiałe, do tych szczególnie, o których z góry wiada, że odpowiedź dadzą „zachęcającą”.

**Jaskółce z nad Sekwany** podziękowanie w naszym i biednych imieniu.

**Kapłance Znicza** życzymy przedewszystkiem zdrowia. Przykra to rzecz w łóżku leżeć i ołówkiem pisać. Może to dla tego, udzielona nam wiadomość, tycząca się p. H. jest zupełnie mylną? Dziewczątko drogie, trzeba być wierną obranemu pseudonymowi: nad Zniczem wewnętrznego pokoju czuwać trzeba jak prawdziwa kapłanka. Nie godzi się poddawać smutkom, rzeczywistym nawet a nie dopiero „bezzasadnym”; wesołość i pogoda myśli są swego rodzaju obowiązkiem, choćby dla tego, że nam ułatwiają spełnienie obowiązków.

Istotnie **Kalijo Per.** niema dla nas miłszego tytułu i miłszej obietnicy nad tę, że nie przestaniesz być czytelniczką pisemka naszego wtedy nawet, gdy już przejdziesz do grona staruszek.

**Białemu Orłowi z nad Dniepru** posłałiśmy żądane numerą; na pytanie tyżące się powieści odpowiemy, gdy czas nam pozwoli zajrzeć do roczników „Wieczorów”.

Redakcyja pozwoliła mi teraz w każdym numerze umieścić kilka słów odpowiedzi: zaczynam więc od podziękowania **wszystkim** siostrzyczkom, które mi przysłały życzenia. Wszak wierzyć, prawda, że i ja wam wszystkiego dobrego życzę? **Kwiecie Lotosu**, nie odebrałam listu, o którym wspominasz, a za słowa w obecnym zawarte, dziękuję.

Malutka **Tęczu z nad Jatrani**, tak jak tego żadasz „*przedziwko*” ci odpowiadam, że dobrze odgadłaś przyczynę powstania śniegu i serdecznie cię całuję, również jak i Szarą Kotkę, z którą miło mi zawrzeć znajomość, tembardziej, że to Kotka, która zamiast figlować lub drapać, głaszcze biednych...

**Biała Perełko** łamigłówni choćby najlepiej ułożone, zawsze muszą czekać swojej kolei. I ja przechodziłam niegdyś przez tę szkołę cierpliwości, wiem jak jest trudną, ale... nic już na to nie poradzimy.

Ty za to **Gwiazdko Jerolimaska**, nie wystawiasz na próbę mojej cierpliwości, choć zdajesz się obawiać tego. Owszem, list twój czytałam z zajęciem: dowodzi on, że myślisz poważnie, że kochasz swoich, że znasz ich położenie, oraz rozumiesz dla czego takim jest, nie innym. I ja z tobą się zgadzam, że zawsze i wszędzie lepszy zagorzały nawet zachowawca, niż odstępcą.

Nie, **Poranku Majowy**, dzięki Bogu nie przyjaźni i nie serc kochających mi braknie, ale że tego skarbu nigdy nie za wiele, więc też z wdzięcznością przyjmuję życzenie, aby wzrastał nieustannie.

Sprzyszyło ci się być gospożą, **Gospoziu z nad Warty** i Wróżbiarką szczęścia zostajesz? Z powodu słów towarzyszących wiadomieniu mnie o tej zmianie, za złe ci tego brać nie mogę... Ale jestże piękniejszy tytuł, jak być *gospożą*, to jest na małą skalę opatrnością domową?

Dawniej **Siekierki** nie zapomniano w redakcyi, dzisiejszej **Dzieweczce z wiejskiego dworku** serdeczne podziękowanie w imieniu biednej dziatwy. **Cichój Wodzie** w swoim własnym znowu imieniu dziękuję za opis Wieliczki.

„Nowej, lecz już kochającej czytelniczce”, jak o sobie powiada **Trawka stepowa**, odwdzięczam się uściskiem za to, że zaledwie się pisać nauczywszy, już mnie liścikiem obdarzyła.

**Symfonio** droga, na żądanie podobne twojemu, a tylokrotnie już powtarzane, zawsze bywała i bywać będzie odpowiedź — odmowna.

**Niezapominajka z nad Warty** wiedziała, jakie życzenia mi są najmiłsze. **Niezapominajko z Polesia**, za dowód pamięci o biednych dzieciach życzę ci, byś coraz błękitniejszym kwiatem rozkwitała. **Kapłanko Znicza** wszystkie twoje domysły są mylne; „żał” zaś do

redakcyi o tyle słuszny, że istotnie z winy zecera popełnione zostało opuszczenie. Liścik *musi* czekać swojej kolei, jak czekają wszystkie inne. O numer żądany proszę się zgłosić do redakcyi.

Biedny **Kłosku litewski**, więc i ty mogłeś „pójść za wrócone zdrowie podziękować Bogu” do świątyni tej, co w „Ostrój świeci bramie”? Z prawdziwym współczuciem czytałam o twojej chorobie. Przesyłka rubla dostateczna na kupno żądanej książeczki.

Stanie się podług życzenia **Zosi Z.** cieszę się także mocno, że nagrody przysądzone Gloksyi i Radomiance sprawiły im taką przyjemność.

**Rusałce Hr.** z przykrością donoszę, że odpowiedź na konkurs spóźniona. Nie przeszkadza to wszakże Rusałce być *istotnie* użytecznym członkiem rodziny, choć ma zaledwie lat 14. A ten braciez opieką jej otoczony, Stańczyk, już także jak widzimy użytecznym być potrafi, skoro bratu życie ocalił. Jedyny to chłopczyk, który nadesłał odpowiedź na konkurs. Nie chciałabym być złośliwą, ale bierze mnie chętką wyrazić przypuszczenie: może dla tego, że on jeden mógł się czemś podobnym pochwalić? Powiastka: „Gucio zaczarowany” kosztuje rs. 1 kop. 20.

Dziękuję ci serdecznie za sympatyę, oraz za gotowość położenia we mnie ufności, **D...** Dla czego tak odstręczający wybrałaś pseudonym? Dziwnie by jakoś wyglądał przy nim dodatek: „kochana”, chociaż ten ci się z prawa należy, jako nowej siostrzyczce. Prosimy więc o wybranie innej nazwy.

Jakaś ty pocziwa, **Czarnooka z Puszczy!** Przyczyną spóźnienia była choroba twoja, a ty jeszcze za spóźnienie przepaszasz! Czyż w obec tego potrzebujesz nawet prosić, abym cię tłumaczyła?

Nie, **Niezabudko czeska**, nie wątpię, o waszej przyjaźni: za wiele mam ciągłych jej dowodów.

Oto i **Cyganczka z nad Wisły** ufnie i szczerze jak siostrze rodzonej, opowiada mi czego pragnie, i co marzy, a wszystko co mówi, tak chlubnie świadczy o jej sercu, że rada nie rada, kochać ją musi; zawsze wszystkim wam drogie siostrzyczki sercem całam oddana

*Golubka.*

Ukochana Lipo z Pawłówka i Pieszczotko. Lipo droga myślałam, żeś już o mnie zapomniała. Ucieszyłam się więc bardzo twym listem. Przez Konin przejeżdżałam, może byłam blisko miejsca twego zamieszkania? Pieszczotko, imię me z pięciu liter, co do wieku, to niedługo wyłączoną zostanę z konkursów, co mię bardzo smuci. Ściskam was drogie siostrzyczki, życząc w nowym roku szczęścia i proszę nie zapominać, o dawniejszej *Gospozi z nad Warty*, a dzisiejszej *Wróżbiarce szczęścia*.

Wszystkim „korespondentkom *Wieczorów*” przesyła życzenia noworoczne, jak również donosi, iż pseudonym dawniejszy, *Gospoza z nad Warty* zmienia na *Wróżbiarkę szczęścia*.

Kochana Stokrotko polna i Wesoła Krakowianko. Bardzo mi się podobały wasze pseudonymy, to też pragnąc poznać was bliżej, proszę donieście mi gdzie mieszkacie, ile macie lat, jakie są wasze imiona, ile macie rodzeństwa? Ty, droga Krakowianko, sądząc z pseudonymu musisz być bardzo wesoła, czego i mnie nie brakuje. Czy dawno pisujecie do *Wieczorów*? Ja drugi rok koresponduję z tem drogiem pisemkiem i tak je polubiłam, że chyba nigdy z niem się nie rozstanę, a największą przyjemnością dla mnie jest odbieranie liścików od was, drogie siostrzyczki. Przesyłam wam milion pocałunków, *Bombie* i *Lilijce polskiej* załączam serdeczne pozdrowienia. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana Świtezianko. Ucieszyłam się niezmiernie twoim liścikiem i proszę cię bardzo, abyś mi doniosła, jak się nazywa twoje rodzeństwo i pod jakimi pseudonymami pisuje do *Wieczorów*. Co ci się tam najlepiej podoba? mnie „*Szesnastoletni wojewoda*”. Całuję cię serdecznie, *Świtezianka Mickiewicza*.

Droga *Niezapominajko z Polesia* i *Żabciu z nad Horynia!* Wiem *Niezapominajko* kim jesteś, nazywaś się *A. B.* masz lat jedenaście. *Żabciu* czy należysz do konkursu i gdzie mieszkasz? Co robicie wieczorami? Chciałabym z wami korespondować. Ściskam was; *Symfonia*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## ZEBRA.

Konie, owe piękne i poczciwe zwierzęta, tak pożyteczne dla człowieka, mają licznych, mniej lub więcej do siebie podobnych krewnych, w różnych stronach świata. Jednym z takich krewnych, zwracających uwagę szczególnem zabarwieniem skóry, jest zebra, żyjąca w górach południowej i zachodniej Afryki, w promieniu od przylądka Dobrej Nadziei aż do Abisynii. Odznacza się ona silną budową, cienkimi nogami, krótką lecz bardzo gęstą grzywą, ogonem rzadko i głównie na końcu pokrytym włosami. Najdziwniejszym jednak jest jej strój zewnętrzny, przypominający raczej drapieżnego tygrysa, niż szlachetny ród koński — i dla tego to może zebra właściwa nazywa się po łacinie *Hippotigris*, co znaczy po polsku: *koń tygrysi*. Wyobraźcie sobie białawe lub żółtawe tło skóry pokryte ciemnymi pręgami, a przy-



Zebra.

tem grzbiet i podbrzusze czarne.

Od napaści zwierząt drapieżnych, zebra broni się odważnie kopytami i zębami: w ogóle daje sobie z nimi radę, bo jest zręczna, przebiegła, i tylko lwa się obawia. Jest

jednak nieprzyjaciel niebezpieczniejszy dla niej od lwa, choć do zwierząt drapieżnych nie należy, człowiek — niebezpieczny tembardziej, że działa podstępnie, gdy lew przychodzi otwarcie. Afrykanie łowią zebra w doły umyślnie w tym celu wykopane, gdzie wpadłszy przypadkiem, daje się już z łatwo-

ścią zabić. Rżeniem zebra przypomina konia a ryczeniem osła.

Oprócz zebry właściwej, są jeszcze dwa jęj gatunki: zebra kwaga i zebra dauw. Zwierzę przedstawione na rycinie, należy właśnie do tego drugiego gatunku i nazywa się po łacinie *Hippotigris Burchellii*. Kwaga łatwiej się oswaja i na przykładu Dobręj Nadziei jest nawet zaprzęganą, dauw jest dzikszy, a najdzikszą zebra właściwa. Abisyńczyk jeden oswoił zebę do tego stopnia, że żyła w zgodzie ze zwierzętami domowemi; zdawało mu się więc że będzie mógł używać jęj do konnej jazdy, lecz zwierzę rozwścieczone wyrzuciło go z siodła i odgryzło mu ucho.

Zebry chodzą stadami po kilkanaście do trzydziestu sztuk, a w biegu odznaczają się niezwykłą chyżością.

Zofia Urbanowska.

## BAJKA.

Rzekł Jowisz do słowika:

„Praktyczność życia podstawą,

„Precz mi ze sławą,

„Niech ci się o laurach nie śni!

„Byś zapomniał staręj pieśni,

„Przemienię cię w kogucika”.

Na rozkaz z góry,

W jaskrawem pierzu, ostrogach, grzebieniu,

Z cichego lasów cieniu,

Spadł słowik pomiędzy kury.

Walna się właśnie toczyła narada,

Jakięj roboty jąć się dziś wypada,

A każda gdacze, im głośnieję, tem lepięj!...

Ciekaw zrozumieć choćby jedno zdanie,

Słowik sąsiadkę zaczepi:

„Jakież zajęcia pochwalacie panie”?

Zwrócono ku niemu czubki!...

„Odpowiem skoro pytasz”.

Rzecz kokosz znakomita.

„Tę tylko pracę zwiemy dziś nie marną,

„Za którą się bierze ziarno,

„Plon zaś obfity zdobędzie

„Kto się znajdzie w pierwszym rzędzie”.

— Musi mieć talent!—rzekł słowik z westchnieniem.

Roześmiano się dokoła,

Pomijając to milczeniem.

„Zasługę”? — ciągnął. — Ech! to stara szkoła!

„Wiem już!... tą dźwignią jest ducha potęga”!

— Kto dziś tych wyżyn dosięga!

Gdaknęły kury-przekupki!

„Ludzie mają kulaki

„A szpony — ptaki”!

Cofnął się słowik, rad tych nie usłucha,

Nie zerwie swych wspomnień wątku:

Z przemianą pierza nie odmienił ducha,

Nie chce niczego zdobywać przebojem...

Z filozoficznym spokojem

Na niskim zasiadł prątku,

Gdzie rzadko ziarno, częściej pada plewa,

Lecz i tam śpiewał

Zróślszy się sercem ze swą piosenką,

Śpiewa i śpiewa z ranną jutrzeńką.

N. S.

(Dalszy ciąg).

### III.

Nazajutrz jak zwykle w niedzielę, od wschodu słońca pędziły wózki i wierzchowce to na jarmark, to do kościoła, i tak miało być przez cały dzień. Każdy przejeżdżający stawał przed czardą wytchnąć koniom, przekąsić kawałek pieprznego mięsiwa, wypić łyk czegokolwiek i dalej w drogę. Gospodyni smażyła, przyrządzała, gospodarz częstował, Szandor jak co niedziela w świeżęj od stóp do głów bieleźnie i odzieży, z włosami wypomadowanymi świeżem sadłem, skakał to naokoło domostwa to w izbie, brzęcząc ostrogami i pośpiewując:

Wieje stepem wietrzyk świeży,  
Co powieje czwórka bieży,  
Co zaszumi jak w zamieci,  
Z hucznym wichrem konik leci,  
Za gulyasem ziemia tętni,  
Juhas śpiewa coraz smętnieję,  
Błyska czekan, to kanasz,  
Z bicza grzmią czikossy nasze!

— Co to on za piosenkę śpiewa ten wasz mały?

— Albo ja wiem, on sam nie wie, tak sobie śpiewa, on tak zawsze.

— No, musiał przecieję słyszeć to co śpiewa.

Od południa ludzie zaczęli wracać, jadąc w przeciwną stronę, zatrzymywali się także, niektórzy zostawali na resztę dnia, a każdy teraz chwytął Szandora, wypytywał, pieścił i śmiał się, bo przed kościołem i na jarmarku gęsto już latały powieści o wczorajszym przypadku jaki spotkał żandar-mów w lesie Bakony:

— Szandor, toś ty rozcinał więzy powięzanym pandurom?

— Szandor, toś ty w oczy powiedział Sebesowi że jest złodzieję i rozbójnik?

— Szandor, to ty z samym Sobrim z jednęj miski jadłeś? Z dzielnym Sobrim?

— Czy bardzo bałeś się, Szandor?

— I kiedy pandury pytali gdzie się podział drugi kanasz, to ty nic? ani słowa? Nie powiedziałeś, że koło ciebie na czworakach zemknął w gestwinę.

Zajścia pomiędzy pandurami i szegeny legeny podszrywającymi się pod kanaszów, są niewyczerpanem źródłem ludowej epopei puszt i lasów, z którego snują się opowieści bez końca, przystrajane mimowoli tysiączeni dodatkami, przechodząc przez setki i tysiące ust na jarmarkach i przed kościołami w święta; a że właśnie wzmiankowanej niedzieli przypadał jarmark w najbliższem miasteczku, tedy sława najświeższego zajścia z pandurami, rozleciała się jak na skrzydłach. Mały Szandor niechęący wyrastał wśród tych okoliczności na bohatera. Już on i wprzódy, dla tego tylko że poraz pierwszy ojcu towarzyszył, czuł się dorodniejszym niż wczoraj, cóż dopiero gdy ujrzał się przedmiotem ogólnego podziwu. Chęć nie chęć zaczynał chłopak wierzyć, że musiał przecieję coś niepospolitego zrobić, kiedy tak to wszystkich zajmowało. Szczęściem był niewątpliwie w nim jakiś grunt szlachetnej prostoty, zamiast tedy rozswawolić się i rozhulać wśród niezasłużonego podziwu, dzieciak poczuł jakoś niewyraźnie, że człowiekowi na którego spada sława, należy się okazać jęj godnym. A że lepszego wzoru rozumu i wszystkich cnót nad własnego ojca nie znał, przeto i teraz starał się go naśladować, uważając baczenie sam na siebie, o czem dawnieję ani pomyślał. Ze zaś Petófi cały dzień gości przyjmował uprzejmie, tedy i Szandor czynił toż samo, czem nowe wywołał mimowoli zdumienie.

— Patrzcie no, a toż teraz jest dwóch gospodarzy w tęg gospodarze, a to już chyba rozprzestrzenieć ją musicie, bo się w nięj i tak przy jednym ludzie ledwo mieścili. Hej gospo-

siu, naucz no inne matki twego sekretu, jak dziecko do wczesnego rozumu i uprzejmości nakłaniać!

Petőfiowa śmiała się rosnąc od tych pochwał, jak jęj drożdżowe przysmaki, które jednocześnie przyrządzała znakomicie, choć na pański stół, dla swoich gości.

Tymczasem: dzyń, dzyń... ledwo z południa, zadzwoniły zjawione zkądźsi skrzypki, to cyganie, cała banda, nigdy nie wołana i niewidzialna, a zawsze zjawiająca się w potrzebie: skrzypki, flet, basetla, cymbały. Natychmiast przed domem, bo w domu już miejsca nie było, postawiono im na ławie misę gulaszu i Szandor wyręczając ojca, wyniósł ogromną scutoreę, stanął przed bandą siedzącą naokoło misy na ziemi i rzekł jak gospodarzowi przystało:

— Na zdrowie wam!... flaszę do ust przyłożył i odjął zaraz, wiedząc dobrze od rodziców że parę łyków ognistego trunku, mogłoby go o ciężką przyprawić chorobę, ale tem gościnnem obejściem przypadł teraz znów cyganom do serca. Flaszka poszła z rąk do rąk, a stary skrzypek zawołał klaszcząc w dłonie:

— Ho! ho! hi! niema tam gdzie widzącej przyszłość? Ho ho, mądra czarownica przyleć na obłoku, przycewałuj na ożogu, przyjeźdź na stariej miotle! a chyżo, chyżo, wróżyć na szczęście młodemu gospodarzowi w Petőfiowej czardzie! Ho!... — Przerażliwe te wywołowania rozbrzmiewające daleko po stepie, w mgnieniu oka zwały tłum gości do cyganów, znanych z takich figlów przeróżnych, któremi w podobnych razach zabawiając wszystkich, usiłują przypodobać się gospodarzowi, w odwet za poczęstunek. Jakoż i teraz, za ledwo przebrzmiały donośne wywoływania, gdy w pośrodku samejże gromady dopiero co z chaty wyległej, znającej się doskonale między sobą i wśród której, nikogo obcego nie było... zrobił się ruch gwałtowny i coś zapiszczało:

— A puścież mię, puścież ludzie, nie słyszycież to że stary ojciec mię woła, ja lecę aż z Temeswaru, mało ducha z pośpiechu nie wzionę, a wy mię nie chcecie przepuścić! Puszczajcie!—Lud się rozstąpił zdumiony: wpośrodku, z ożogiem najprawdziwszym w rękę, jakby tylko co zeń zsiadła, z rozżarganemi kruczemi włosy od wichru w locie, zadyszana; ale z błyszczącemi jak żar oczyma, biegała stara cyganka do wołającego:

— A no jestem! — rzecze stając przed nim. Huczny wybuch śmiechu nastąpił po pierwszym zdziwieniu. Wszyscy wiedzieli że to figiel, a przecież niepodobna było pojąć jakim sposobem tak nagle zjawić się mogła cyganka w czardzie, leżącej na stepie jak na dloni, i do której przystęp ze wszech stron był widoczny jak okiem zajrzeć, na wiele mil.

— Wróż młodemu gospodarzowi na szczęście, bo nas po ludzku przyjął, tak jak jego ojciec zwykł! — rozkazał skrzypek cygan. Ludzie cofnęli się tworząc koło, wpośród którego został Szandor sam jeden. Chciał i on się cofnąć, ale zawołało ze wszystkich stron;

— Stój Szandor! Cóż to! Tuzina pandurów się nie boisz, szegeny legeny niedługo pieśni o tobie śpiewać będą, a przed jedną cyganką chcesz uciekać! Niech ci wróży na szczęście i owszem! Wróż Marcha! wróż!

Szandor stanął istotnie jak wryty, nie dla tego wołania jednakże, lecz pod wrażeniem ognistych oczu wróżki. Choćby chciał poruszyć się w tej chwili, nie mógł. Nawzajem i wróżka zdawała się także jakby zdziwiona, jakby pod wrażeniem jakimś.

— Co to takiego? Co to dziecko ma za płomyk w oczach?... — mruknęła przystępując doń bliżej. — Stary ojciec dajno mu twą skrzypkę, czy on umie się rozgadać z tą duszą co w skrzypce siedzi zakłeta?

— Nie, nie, on ze skrzypką nie zwykł się rozgadywać! — ozwały się głosy przyjaciół.

— Nie?... — przemówiła z namysłem cyganka — a jednak on ma płomyk w oczach od takiej iskry co ją nie ludzie skrzęsali. Dziecko! co ty umiesz takiego czego cię nikt nie uczył?

— On umie pieśni których nikt nie śpiewał! — ozwał się głos w tłumie.

— Tak?... a może! Śpiewaj chłopcze! — Szandor ze zmarszczonem czołem gwałtownie w tył się cofnął, instynktowo probując wyrwać się z pod opanowującego uroku.

— Otóż nie!... — z gniewem rzekła wróżka. — Komu dana iskra ten w płomień rozżarzyć ją musi, inaczej poniesie ją zagasła, na duszy na wieki, ja tobie ją rozellić pomogę: śpiewaj!.. — Jedną ręką chwyciła chłopca za ramię, końce trzech palcy drugiej przyłożyła mu do serca, patrząc w oczy tak płomiennemi oczyma, że w istocie iskra jeżeli tam była, zając się od tych płomieni musiała:

— Śpiewaj co widzisz tam! — rozkazała wróżka i dziecko ostatnim wysiłkiem odrywając oczy od jęj wzroku, potoczyło niemi po stepie i zaczęło śpiewać na najpospolitszą, przy ognisku najczęściej brzmiącą nutę, z początku blade i nieprzytomne, ale prędko ożywiając się od słów własnych:

Z pogwizdem wichru grzmia kopyt odgłosy,  
Zda się że niebo ryknęło piorunem,  
Tak palą z bicza wesołe czikosy,  
Oklep na źrebkach pędząc za tabunem.

A tam do wiosek przytulone łona  
Kłonią się płowe na zagonach kłosy,  
I świeża łąka jak stepu korona  
Na tle szmaragdu lśni perłami rosy.

Kiedy wieczorem mrok ciemny zapada,  
Gdy wiatr sitowiem głucho zaszeleści,  
W lot się zrywają dzikich kaczek stada,  
Z gniazd na jeziorze co ledwo je mieści.

Prastara czarda opodał od sioła  
Gościnne progi otwiera drużynie,  
W izbie pasterzy gromada wesoła  
Wraca z kiermaszu gwarzy przy kominie.

W koło ją wieńcem oplotły topole,  
A dalej dzięcioł kuje gniazdo w ziemi,  
Dla swoich piskląt, by ludzkie pachole  
Próżno się pastwić nie mogło nad niemi.

Jak step szeroki, niebo z ziemią społem  
W okrag się styka i nic ich nie dzieli,  
Gdzieniegdzie tylko, chmurnem czarnem czołem  
Odwieczna baszta w obłoki wystrzeli.

Stepie rodzony, o jakżeś uroczy!  
Tyś mię kołysał i sycił swą siłą,  
Kiedy na świat ten zamknę senne oczy,  
Ty przyjm me kości, ty bądź mi mogiłą!..

Rozpłomieniony przez chwilę chłopczyna zbladł nagle przy ostatnich wyrazach i w tył się pochylił..

(d. c. n.)

## LIST Z WARSZAWY.

Kochani koledzy i miłe czytelniczki Wieczorów!

Siostra moja, Gołąbka, napomknęła wam w ostatnim liście swoim przed świętami pisanym, że bratu jęj a najniższemu waszemu słudze, udzieliła redakcja pozwolenie odzywiania się kiedy niekiedy do was w łamach naszego Pisemka. Z nieśmiałością z pozwolenia tego korzystam, bo niełatwo to wstępować w ślady niezapomnianego Kazia, a nawet i bratu memu Julkowi dorównać! Co prawda, to prawda, jak przyjdzie na zły humor, poczubimy się czasem trochę, aż nas siostry rozbrajać muszą; ale mimo to uznaję nad sobą jego przewagę. Starszy jest... w VII-ój już klasie, kiedy ja dopiero do V-ój poszedłem, no i niema co mówić: Julek więcej umie odemnie! Przytem miał o czem pisać do was: widział cuda nad cudami! A ja? wakacye przebaraszkowałem na wsi, na koniu, na łódce, na wozie ze snopkami, a teraz w klasie siedzę i nad algabrą ślęczę ze strachem myśląc, że

mnie na przyszły rok czeka „wykreślna” dla tego zapewne tak zwana, że wielu realistów z listy promocyjnej *wykreśla*.

I święta całe także przesiedziałem w domu, nie używając ani ślizgawki, ani tańca, bo mi po influencji nie bardzo wychodzić było wolno, ale w błędzie jest ten, kto mniema, że i ja siedząc w domu nie widział cudów, nic a nic nieustępujących tym, które Julek na wystawie paryzkiej oglądał.

Źle jednak mówię, że cuda te *widział*: jam się tylko o nich *dowiedział* z książki, która przymusowe siedzenie w domu (ach jak ja lubię przewietrzenie się na mieście parę razy na dzień!) zamienia mi w najrozkoszniejszą z rozrywek, z takim ja czytałem zajęciem. Pewności tytułu jej ciekawi? Znać go już musicie ze słyszenia, bo wszystkie pisma donosiły już o ukazaniu się „Doktora Muchołapskiego”, którego autorem jest p. Erazm Majewski, opisujący fantastyczne przygody w świecie owadów, ciekawszym i dużo więcej zajmującym niż się tego spodziewają panienki, które wzdrągają się z obrzydzenia na widok gąsienicy lub „francuza”, a nawet i niektórzy z panów kolegów, przejeżdżając nieumiejętnym wstrętem do tych lub owych osobników świata owadowego. Jeżeli kto mógłby mieć do tych stworzonek pretensję, to właśnie dr. Muchołapski, bo *Łowikowi* zawdzięcza zerwanie małżeństwa w sam dzień ślubu, a jednak proszę zobaczyć z jakim sympatycznym uznaniem wyraża się o owadach, jak bezustannie ocenia zalety ich charakteru, jak całe życie poświęca badaniu ich obyczajów!

Entomologiem nie jestem i nie mogę przejąć się zapalem do tego mianowicie rodzaju studyów; owszem, dziwaczną nawet wydaje mi się myśl włożenia w ślubnym fraku na drzewo za jakimś marnym owadem, ale po przeczytaniu D-ra. Muchołapskiego zrozumiałem, że badacz przyrody żyje w świecie cudów, z jakimi w porównaniu cudowne awantury bajek wschodnich są najpospolitszymi z przygód. Ale przygody doktora zupełnie do pospolitych nie należą. Wiedziony popędem litościwego serca, śpieszy on na ratunek cudownym sposobem zmalłego Lorda Puckinsa i z narażeniem własnego życia sam zmalawszy do rozmiarów tak drobnych, że pajak krzyżak wydaje mu się olbrzymem, a kępa macierzanki gęstwina do nieprzebycia, podgląda okiem uczonego specjalisty niewidzialne dla ludzi tajemnicze życie owadów. Ach ci uczeni! jacy oni szczęśliwi! jak im świat rośnie i rozszerza się w oczach, dzięki nauce, która im pozwala rozumem dociec lub naocznie się przekonać o tem, co dla człowieka powierzchownie wykształconego jest zagadką, lub nawet wcale nie jest kwestyą badania godną. O mrówkach naprzykład wszyscy potrosze wiemy, że budują sobie one mrowiska, w których żyją gromadnie a zgodnie. Ale kto z nas wie, że tak zwany „podział pracy” mający dziś tak szerokie zastosowanie w przemyśle i uważany za nowy zupełnie wymysł ludzkiej, daleko posuniętej cywilizacji, oddawna znanym jest u mrówek? „Wszystkie czynności, od których zależy byt i pomyślny stan mrowiska, są podzielone między obywateli, którzy dobrowolnie i z wzorową dokładnością wypełniają obowiązki. Jedne kopią ziemię, drugie budują, inne rzeźbią, inne wychowują młode pokolenie, odgrywając przytem rolę nianiek i karmicielek, jeszcze inne zajmują się myślistwem, pasterstwem, gromadzeniem żywności, przyswajaniem mszyc, rzemiosłem wojskowym, a nawet zdobywaniem i ujarzmianiem niewolników... Krzątają się każda po swojemu około wspólnego dobra.”

Takie o nich świadectwo wydaje d-r. Muchołapski, który w zmalłej swjej postaci miał sposobność przypatrzeć się im zblizka a i bez tego wie o nich wszystko, co tylko wiedzieć można o całym rodzie mrówczym, począwszy od zwykłych u nas leśnych mrówek rudych, a skończywszy na amerykańskich *ognistych*, których ukąszenie sprawia taki ból, jakby kto człowieka oblał ukropem, a ukazanie się zmusza do rozsyпки oddział żołnierzy. Wszystko wie o nich wszystkich cudowny doktor: jak hodują poczwarki, jak żywią nowo-wylęglę *mrówczęta*, jak się umieją poświęcać dla dzieci, i zachwytem dla nich przejęty, wykrzykuje że prędzej nauczyć się czego mogliby ludzie od mrówek, niż mrówki od ludzi. Nie

moją rzeczą wdawać się w spory z uczonym, ale mi się to jakoś nie zdaje... Człowiek, choć i „nauczy się” czegoś od zwierzęcia, czyli z jego czynności pomysł weźmie do swoich, to przecież inaczej na *człowieczy* je sposób dokona: są one obmyślane, nie instynktowne. A swoją drogą ten instynkt zwierzęcy, to nie lada dar Boży! przeczytajcie tylko rozdział „*O Grzebiszach!*” Jak to podobny do osy *Nastecznik drogowy* kopie sobie dołeczek, jak żywcem grzebie w nim złowionego pajaka dla tego, żeby liszka wylęgła z jajeczka, które zabójczyni złożyła w ciele ofiary, miała gotowy dla siebie pokarm! Drapieżne to obyczaje ani słowa i słusznie też *osami drapieżnymi* zwią się członkowie tej rodziny, ale okrucieństwo to bezwiedne a mające na celu utrzymanie gatunku prawo, któremu i najdrobniejsze twory ulegają. Ustanowiła je sama przyroda: im gatunek wątlnością swoją na więcej niebezpieczeństw jest narażony, tem większa możność licznego rozradzania się ochrania go od zguby. Samiczka mrówki z rodzaju *termitów* złożyć może w ciągu dnia 86,400 jajeczek! cóż dziwnego, że tak ona jak jej podobne krzątają się koło zapewnienia warunków życia tak licznemu drobiazgowi! Wszystko niedłwie co żyje, od rośliny, aż do człowieka, czycha na owady, gdyby nie to, Doktor Muchołapski powiada, że świat by niebawem opanowały, a chmury wszelkich owadów, zasłoniłyby nam słońce. Tyle jednak spada na nie klęsk, tylu im grozi nieprzyjaciół, że czasem z kilkuset jajeczek ledwo się kilka wykształci owadów, niekiedy parka lub nawet jedno tylko. A nie uwierzycie, jakie to wytrzymałe! aż mi się przypomniało przysłowie o lichu, którego złe nie bierze, gdy czytając, że są między tem marnem maleństwem stworzenia, które po trzy miesiące i *dlużej* mogą żyć bez pokarmu. Słyszycie koledzy? gdyby tak nas puszczono z domu do szkoły bez śniadania na pauzę? ładniebyśmy wyglądali! Ja bo strasznie jestem na głód niewytrzymały i wcale zresztą nie mam sobie tego za złe, bo wszakże doktor Muchołapski objaśnia, że takowa wytrzymałość jest właściwą organizmowi „niższemu”. Zazwyczaj śmieją się w domu z nas chłopców, że za dużo jemy: macie teraz argument na swoją obronę! jesteście *organizmami wyższymi*. Nie wiem doprawdy do jak wysokich przyszedłoby zaliczyć gąsienicę, gdyby brać miarę z jej apetytu, to co wy czytałem o jej żarłoczności, przechodzi wszelkie pojęcie. Czy uwierzycie? to szesnastonogie szkaradzieństwo jest w stanie zjeść w ciągu jednego miesiąca 60,000 razy tyle pokarmu, ile sama pierwiastkowo waży! I to z tego wykluwa się eteryczny motyl sokiem kwiatów żyjący! czyż to nie zakrawa na bajkę?

Albo jeszcze opowiadanie o tych *Chróścikach*, co żyją sobie na dnie wody, schowane w futerałach? Tak, nie zmyślam i nie przesadzam, *w fu-te-ra-le*, to jest w rurce, gładkiej od wewnątrz ale pokrytej na zewnątrz stronie najrozmaitszymi materiałami. Niektóre chróściki przyklejają do tego ruchomego domku kawałeczki trawy dość symetrycznie układane, inne okręcają się wązkim liściem, inne jeszcze składają sobie pochewkę z ziarenek piasku tak dobranych, tak prawidłowo w symetryczną mozaikę ułożonych, jakby to była misterna robota ręki ludzkiej. A co jeszcze osobliwsze, to że chróścik, który przecie do szkół realnych nie chodzi i hydrostatyki się nie uczy, tak sobie jednak mądrze wykombinuje ciężkość materiałów jakich używa, że ten jego futerałik nie jest ani cięższym ani lżejszym od wody. Nie czuje więc mieszkanię jego ciężaru pełzając po dnie, ani też z powodu zbytniej jego lekkości nie idzie niepotrzebnie w górę. Czasem i jemu zdarzy się omylić (w sekrecie wam powiem, że i ja nie zawsze rozwiążę trafnie zadanie matematyczne) wtedy przylepia jaki kawałeczek, lub odrywa i równowagę przywróca.

Czytając te i tym podobne rzeczy, powiada sobie człowiek, że niegodziwie postępuje, niemiłosiernie, machinalnie tępiąc stworzenia, które tak przemyślnym trudem żywot swój zabezpieczają, a bądźco bądź, potrzebne są do utrzymania równowagi wszechświata. Pierwszy też raz przyszło mi na myśl, że takim samym barbarzyńcą jest ten, kto umyślnie rozdepce wędrującego po piasku robaczka, jak ta pani, która w przystępie złości wyrzuciła psa przez okno z drugiego pię-



Wan - li - czang - czing.

tra i — pociągnięta została za to do odpowiedzialności sądowej. Przyszło mi to zaś na myśl dla tego, że Muchołapski w chwili, gdy po wielkich poszukiwaniach znajduje nareszcie lorda Puckinsa (gustownie ustrojonego w marynarkę koloru morza, zdobną w szerokie, pomidorowe kraty) zaczyna od nazwania go „nikczemną istotą, niegodną nosić wzniosłego miana człowieka”. Czyni to zaś pod wpływem oburzenia, którem go przejmuje widok popełnionej przez lorda Puckinsa zbrodni. Podpalił on puszcę (jak się potem pokazało, zapalił tylko sygnał, a wiatr rozniecił pożar) i tam, gdzie była kwitnąca i szczęśliwa osada mrówek, gdzie kipiało pracowite w karnem stowarzyszeniu życie, tam widzi Muchołapski tyśiące zwłok straszniei męczarniami oszepeconych. Cóż za dziw, że wstręt czuje i pogardę do mordercy tyłu niewinnych istot? Zastanowiwszy się, zrozumiałem, że nic w tem niema dziwnego, ale... jakoś mi to pierwój nigdy na myśl nie przyszło. Wstyd się przyznać doprawdy, o ilu to rzeczach człowiek *nie myśli*, choć po to przecie uczy się i kształci, aby nauka dostarczyła mu materiału do myślenia.

Wybawca i ocalony porozumieli się niebawem i odtąd we dwóch już wędrują po tajemniczym tym świecie, dla zmalałych tylko istot dostępnym. Ponieważ głód im dokucza, żywią się tedy, jak mogą, jajkami owadów, rozprawiając przytem o różnych owadach jadalnych: pająkach, gąsienicach, mrówkach i tym podobnych specyałach, od których kosztowania strzeż mnie Boże łaskawie. Wprawdzie ostrygi, krewetki i raki także nie apetycznie wyglądają, ale zawsze to jednak nie to...

Widocznie jednak pokarm tego rodzaju wystarczał dwóm wędrowcom, skoro doktor Muchołapski ma zamiar pozostać na dłużej, na zawsze nawet może, takim mikroskopijnym człowiekiem. Tłómaczy on swoje postanowienie tem, że wbecnym stanie swoim zdolen jest poczynić odkrycia, nader dla nauki ważne, a dla zwyczajnego człowieka niedościgłe, z powodu niedoskonałości ludzkich zmysłów. Mikroskopy, mikrofony, teleskopy, barometry i t. p. wszystko to nazywa *sztuczniei zmysłami* wzmacniającemi ludzkie, niewystarczające. Teraz zaś w zmalałej swój postaci, doktor oczyma 120 razy zmniejszonemi, dostrzega szczegóły wtędy dopiero okiem ludzkim dojrzane, gdy się ono uzbroi w mikroskop 120 razy powiększający, a w dodatku zamiast pokrajanych i martwych komórek, widzi tkanki żywe. Ucho jego odczuwa dźwięki i szmery dla zwykłego ucha niepochwytne, a odczuwa je dla tego, że ma błonę bębenkową o 120 razy delikatniejszą. Rozumowanie to trafiać już zaczyna do przekonania Lorda Puckinsa, gdy wtęm okrutna katastrofa rozdziela przyjaciół i zmusza Muchołapskiego szukać schronienia w opuszczonym zamczysku pszczoły *Murarki*, o której obyczajach, i rozumnej przemyślności opowiada rzeczy wyglądające na taką samą bajkę, jak cała historia o zmaleniu skutkiem wypicia jakiegoś tajemniczego płynu. A jednak *Murarka* nie jest istotą bajeczną, ale przewidującą i zabiegliwą matką, tak dalece, że tutaj słuszną mi się wydała wątpliwość autora, gdy pyta: „Czyż podobna kłaść wszystkieuczynki owadów na karb *instynktu*, który niema nic wspólnego z tak zwany rozumem”.

Bóg to jeden wie! Ja tylko jednę rzecz nie rozumiem: jak mogą ludzie, zajęci badaniem przyrody — a mianowicie żywych tworów — nie uwielbiać Boga, którego opatrzna mądrość tak tu na każdym kroku widoczna, tak w dowodach swoich zdumiewająca? Jedno stworzenie drugiemu pozornie szkodzi, a w gruncie rzeczy dopomaga mu tylko do spełnienia jego przeznaczenia; jedno niby drugiemu zawadza, a istnieć by bez siebie nie mogły... Każde z nich zadanie swoje zna, do celu swego dąży, i pozorny dysonans wytwarza najpiękniejszą w świecie harmonią...

Nie dziwcie się, koledzy, tak poważnym myślom i nie przezwijcie mnie czasem *sensatem*, bo nie chciałbym na początek znajomości niekorzystną zyskać u was opinię. To ta książka wszystkiemu winna! ona to podsuwa myśli nigdy przedtem głowy nie nawiedzające: zupełnie, jakby mnie kto wziął za rękę i w inny świat wprowadził — drobnutki razem

i ogromny! Bo, proszę was, sami powiedzcie: czy „mur pełzający” gromada spojonych z sobą drobnych liszek *Pleniówek*, które tworzą zbitą na kilka łokci czasem długą, węzowatego kształtu masę, nie jest ogromem dziwniejszym nad ściany z głazów, ręką ludzką wznoszone? I co za dziw, że w wyobraźni ludu, skorój do wiary w nadzwyczajności, rzadkie to zjawisko urosło do fantastycznych rozmiarów bajki o Królu Wężu i tym podobnych gadach, których podstawą bywa najczęściej fakt jakiś ze świata rzeczywistości spostrzeżony a niezrozumiały i zagadkowością swoją podniecający wyobraźnię? Czy nauka, która dostarcza wytłómaczenia podobnych zagadek, nie jest w całym znaczeniu tego słowa nauką o cudach, i nie mamże racji mówić, że siedząc w domu i czytając, napatrzyłem się na cuda nie mniejsze od wystawowych, którym tak pilnie i szczegółowo przypatrywał się Julek? Opowiadanie doktora Muchołapskiego objaśniają jeszcze starannie wykonane rysunki, przedstawiające ciekawsze czy okazy, czy sceny z życia owadów.

Sami zapewne przeczytacie ciekawą tę i pouczającą książkę i zdaje mi się, że wywrze ona na was taki sam skutek, jaki na mnie wywarła. W miarę czytania, budziło się we mnie współczucie i... (nie śmiejęcie się ze mnie, proszę!) coś w rodzaju poważania dla tych niepoczesnych naszych współbraci, otoczonych również troskliwą, jak my, opieką wspólnego Ojca wszech stworzeń. A mówiąc tu o opiece mam na myśli maskowanie się owadów. „A to co — zawołacie — owady wyprawiają sobie maskaradę?” Tak, mili czytelnicy! ale nie dla zabawy, jeno dla utrzymania się przy życiu. I w tym to celu owad przesładowany przez nieprzyjacielski gatunek, przybiera postać podobną do postaci przesładowcy, jak to ma miejsce z całą rodziną *Szklonek*, które stają się podobne do czyhających na nie os i pszczoł; w tymże samym celu niektóre gąsieniczki i motyle przybierają barwę kwiatów i roślin służących im za siedlisko lub pokarm. A choć autor twierdzi, że nie należy upatrywać w tem zjawisku jakiejś opiekuńczej przeczności natury w ochranianiu dzieci swoich, to jednak mnie się zdaje, że samo to prawo naturalnego doboru na mocy którego ma miejsce podobne przebieranie się owadów, jest już dowodem opiekuńczej przeczności Tęgo, który łańcuchem życia zespolił wszystkie twory.

Zamiast jednak dłużej filozofować, z czem, czuję jak mi nie do twarzy, powtórzę wam raz jeszcze: przeczytajcie tę książkę. Przeczytajcie ją, panienci brzydzące się lada biedactwem, które zamiast nóg dwóch czy czterech, posiada ich sześć, ośm lub szesnaście — przeczytajcie, koledzy w granatowych mundurkach, którzy poza waszem *Supinum* i *Aorystami* świata Bożego nie widzicie — przeczytajcie wy, ciemno zieloni moi koledzy, choć trochę już obeznani z dziwami i zagadkami przyrody. Nie wątpię, że przy czytaniu przyjdzie wam do głowy pełno nowych myśli i uczuć i że polecając wam tę książkę, zasłużył sobie na względy czytelników brat ukochany przez wszystkich Gołabki.

Józio.

## WAN-LI-CZANG-CZING.

Tytuł powyższy jest nazwą chińską sławnego na 1,000 mil długiego muru, którego część jednę przedstawia nasza rycina. Zbudowano go przed wiekami dla obrony granic chińskich przed napadami ludów Turańskich. Miało to miejsce jak mówi niepewne podanie, za cesarza Hoang-ti w trzecim wieku przed Chrystusem. Wielki mur chiński obecnie jest już po części zniszczony, miejscami zaś dochował się w całości. Raz przedstawia się jak wysoki wał ziemny, to znów jako mur niezmiernie gruby, na podstawie granitowej zbudowany. Wysokie i niższe wieże czyli baszty wznoszą się w pewnych odstępach, w całym ciągu muru. Historycy chińscy zapewniają, że dawniej strzegło go liczne wojsko, umieszczone w namiotach stojących na wierzchu; w basztach zaś mieszkali wodzowie.



## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Zanim przyszedł do siebie, dozorca z Jaśkiem nałożyli mu kaganiec. Gdy jegomość niedźwiedź oprzytomniał, był już związany na wozie, wysłanym słomą, jadącym do Benyamo.

Tymczasem trzeba było poskromić panterę, co wcale nie było łatwiejszem.

Jest w Meksyku pewien rodzaj drzewa, które pęka tak jak bambus. Gdy zwierze próbuje je gryźć, rozdziera sobie paszczę. Pantera była zamknięta w skrzyni z tego drzewa, którą wstawiono do stodoły. Skrzynia wszakże za wielka była aby ją można wstawić na wóz; ale właściciel miał drugą mniejszą. Żeby zmusić zwierzę do prześcia w nią, dozorca wymyślił taki sposób:

W kącie stodoły wyjęto deskę ze ściany i umieszczono mniejszą skrzynię zewnątrz, przycisnąwszy ją otworem do otworu w ścianie stodoły. Ten otwór zamykany był na zasuwana okiennicę, którą można było podnosić i spuszczać za pomocą sznura. Jeżeliby pantera spróbowała wyjść ze stodoły przez dziurę w ścianie, napotkałaby jak raz otwór skrzyni, której drzwi zarazby za nią zapadły.

Pantera nie dosięgła jeszcze wieku zupełnego rozwoju, ale nie mniej było to straszliwe zwierzę i przed wypuszczeniem jej na środek stodoły, ludzie usunęli się wszyscy do drugiego jej przedziału, gdzie w ścianie z desek były szpary, przez które widać było wszystko.

Wypuścić panterę było rzeczą trudną, bo należało się spodziewać, że się rzuci na tego, który otworzy klatkę, stojącą do góry drzwiami. Dozorca uchylił je troszeczkę, poczekał chwilę i przymknął; uczynił to po trzy razy. Pantera zwinęta w kłębek w kącie klatki, śledziła bacznie okiem jego ruchy, gotowa do skoku, ale ruchy systematyczne drzwi, zbijały ją z tropu, nie wiedziała co o tem myśleć, bojąc się podstępny, to też gdy dozorca otworzył drzwi zupełnie, pozostała jeszcze nieruchoma przez parę sekund, co właśnie dało mu czas uciec. Zwolna potem podniosła głowę, przypatrzyła się rozwartej klatce i nagle jednym skokiem znalazła się w środku stodoły. Zatrzymała się chwilę, ciskając dokoła dzikie niespokojne spojrzenie, potem zaczęła sunąć żywo, schyłona i giętka, wzdłuż ścian, szukając otworu, aby uciec lub skryć się. Doszła tak do przygotowanego wyjścia w kącie, nieszczęściem uderzyła się tam o deskę niepotrzebnie pozostawioną, i przestraszona jednym skokiem rzuciła się w przeciwny koniec budynku, gdzie odkrywszy maleńką szparę między podłogą i ścianą, wsunęła się w nią jak kot i zaczęła rozrywać drzewo pazurami i zębami.

— Nieszczęście ona nam ucieknie! — zawołał dozorca — prędko niech kto biegnie do wioski i przyprowadzi Tomasza, który w zeszłym roku schwytał niedźwiedzia na łące! nie powinna z nas zażartować!

— Tomasz nie zdąży przyjść prędkiej jak za dziesięć minut i pantera będzie wolna, idźcie po psy! — wołał właściciel.

Jeden z parobków skoczył natychmiast i w chwilę wrócił prowadząc psy pasterskie, a chłopak stajenny równocześnie przybiegł z ogromnym chartem na smyczy.

— Pozwólcie im przystąpić do szpary we drzwiach — rzekł gospodarz folwarku. — Dobrze, teraz już ją zobaczymy. Dalej pieski moje pocziwie, śmiało naprzód! pokażcie co umiecie.

Drzwi uchylono na chwilę, gdy pantera ciągle zajęta była zajadłem rozszarpywaniem otworu w przeciwną stronę stodoły, pięciu psów olbrzymich wpadło do niej.

— Rozszarpia ją na sztuki! — rzecze Melchior.

— Bądź pan spokojny, potrafi ona bronić swój skóry — odpowiedział śmiejąc się gospodarz.

Miał słusność; gdy pięciu psów, każdy większy od pantery daleko, i daleko silniejszy, rzucili się razem na zwie-

rze, przyjęci zostali szesnastoma szponami jak sztylety nastawionemi ku nim w mgnieniu z czterech łap zwierzęcia nagle przewróconego na grzbiet. Psy odskoczyły w tył gwałtownie, jak człowiek, ujrawszy nagle przed sobą paszczę armatnią, a pantera na nowo zabrała się do przerwanej około rozszarpywania desek roboty.

— Puść Tygrysa! — zawołał gospodarz. Służący, który trzymał charta na smyczy, puścił go i pies należący do najpiękniejszego i najdzielniejszego gatunku pysznych tych przyjaciół myśliwca, skoczył z kolei na panterę; ale i on odpechnięty został jednym uderzeniem, gruba jego obróża ochronna pękła odrazu, a sierść rozlecia się na wszystkie strony.

Psy pasterskie, które w pierwszej chwili uciekły do przeciwnego kąta, powróciły wtedy odważnie do boju, ani jeden przeciwie nie śmiał rzucić się na panterę ilekroć nastąpiła swe szpony, a ona tymczasem w przerwach tych ataków, pracowała ciągle nad podkopem.

— Nie dadzą jej rady; przynieście kocioł wrzącej wody — rzecze gospodarz.

— Muszę zwrócić pańską uwagę, że nie będę mógł kupić zwierzęcia, jeżeli mu się futro uszkodzi. Czy niema innego sposobu ujęcia go? — spytał Melchior.

— Ja mam sposób — rzekł jeden z obecnych. Czy jest w domu pieprz czarny? senor?

— Bez wątpienia Maso, ale na co?

— A więc niech Jasiek przyniesie mi garść pieprzu i rozpaloną do czerwoności łopatkę żelazną.

— Dobrze — dodał gdy otrzymał co żądał — teraz pozostawmy panterę w spokoju na chwilę, a ja muszę wyjść z moją robotą na wolne powietrze, bo inaczej podusilibyśmy się wszyscy.

Maso, tak mówiąc, wyszedł i nasypał pieprzu na łopatkę, natychmiast podniosły się z niej tumany białawego dymu tak gęstego i gryzącego, że kto go zdaleka powąchał, kaszlał, kichał czy tarł co siły i płakał. Łopatkę z tem kadzidłem, umieszczono w szparze którą rozrywała pantera, a Maso zdjawszy z siebie szal służący mu jako pas, napędzał nim jak wachlarzem dym do wnętrza budynku. Wkrótce też białawe smugi przedarły się w głąb stodoły. Niema na świecie żadnego hałasu, do którego dałby się przyrównać dziki koncert, jaki zaczęła wyprawiać pantera, gdy silna woń pieprzu polechła jej nozdrza. Przyciskała paszczę do desek, tarła oczy łapami, wrzeszczała, wyła i kichała tak zabawnie, że młodzi chłopcy nie mogli się wstrzymać od śmiechu; ona jednakże mimo to wszystko pozostawała w miejscu przy swojej robocie, jak człowiek uparty, który woli cierpieć niż ustąpić.

— Niema pan przy sobie trochę prochu? senor? — zapytał Maso swego pana.

— Oto jest! — odpowiedział podając mu.

W chwilę później proch wybuchnął i dym jeszcze gęściejszy niż wprzód przedarł się do stodoły przez rozzerwaną szczelinę. Tego już było za dużo dla pantery, gdy wybuch nastąpił jej prawie pod nosem, odskoczyła na drugi koniec stodoły, a spoztrzęgłszy przygotowany otwór w ścianie, rzuciła się weń i była już w klatce, drzwi zapadły.

W chwilę później wpakowano klatkę na wóz obok drugiej z małpami i leżącego na słomie niedźwiedzia. Czarnulo jakiś czas miał dźwigać tylko zapasy żywności.

Małpy okropnie się przeległy tak, że mało nie poginęły ze strachu na widok niedźwiedzia i pantery, dwóch swoich najsroźszych nieprzyjaciół, drżały wszystkiemi członkami trzęsąc się jakby w paroksyzmie febry gwałtownej. Narzędzie trzeba było nakryć je z klatką, aby uchronić przed widokiem złowrogich sąsiadów; wtedy pokazało się że te małe licha dręczone były ciekawością jeszcze bardziej niż strachem, bo dopóty kręciły się i próbowały na wszystkie strony, aż udało im się podnieść różek płótna, którem klatkę ich nakryto i dopiero jedna po drugiej cisnęły się do owego kąta, żeby tą dziurką choć jednym okiem wyglądać na wrogów,

przyczem rozprawiały i umawiały się o coś z niezmiernemżywieniem.

— Podaruję ci ptaszka, chłopczyku — rzekł do Tomka senior gospodarz, w chwili gdy miano ruszyć w dalszą drogę. Zaprowadził dziecko do krzaku i pokazał mu pod jednym z liści maleńką ptaszynę wielkości chrabąszcza, jakby z promyka słonecznego ulaną, która podskakiwała, poruszając się z niewymownym wdziękiem.

— I to ma być ptak? to chyba mucha! — zawołał Tomek zdumiony.

— Tak, to jest „ptak-mucha” najmniejszego ale i najświetniej ubarwionego rodzaju — rzekł Melchior, i chętnie-bym go zabrał, ale lękam się czy nie za wiele będzie z nim kłopotu w podróży.

— To już ja, tylko ja sam będę miał o nim staranie! — żywo zawołał Tomek. — A cóż to maleństwo jada?

— Ptak-mucha żywi się tylko sokiem kwiatów, który z nich czerpie długim języczkiem jak pszczoła. Tak samo żywią się i kolibry należące do tegoż samego rodzaju ptaków, a różniące się jedynie dziobkiem zakrzywionym, gdy ptak-mucha ma prosty. Ale wszystkie te ptaszka błyszczą barwami drogich kamieni i mogą być uważane jako klejnoty królestwa zwierzęcego. Indianie zowią je *włosami słońca*. Jeżeli chcesz wiaść go zupełnie na swoją odpowiedzialność to chętnie pozwalam ci przyjąć podarek senora gospodarza, inaczej, przyznaj że szkoda byłoby pozbawiać swobody to przesłizne stworzonko.

Tomek skwapliwie przyrzekł dbać o ptaszka, i dozorca na znak gospodarza przeniósł mikroskopijne gniazdeczko wraz z gałązką do odpowiedniej klateczki, poczem, uściśnawszy się za ręce z dobrym właścicielem haciendy, Melchior i jego kawalkata ruszyli w dalszą podróż.

Wyruszone po południu, nie wiele więc drogi zrobiono dnia tego. Droga ta była też coraz gorsza; kamienista, nierówna, niebezpiecznie byłoby postępować nią w ciemnościach. Znajdowano się u stóp Kordylijerów.

Góry te były pełne dzikiego zwierza i tam to właśnie złowiono niedźwiedzia i panterę, które miały teraz przebywać jako więźniowie po raz ostatni góry swoje. Gromadka Melchiora jednakże była dobrze ubezpieczona: Właściciel haciendy pozostawił mu swego wielkiego charta i dwa najsilniejsze psy pasterskie, a to na wypadek jeżeliby niedźwiedź potrafił uwolnić się ze swych więzów. Prócz tego, woźnica miał z sobą trzy własne brytany; tworzyło to wraz z Kasztanem niezłą psiarnię; to tylko było nie dobrze, że psiarnia ta rozbiegała się co chwila na wszystkie strony, goniąc na ochotnika za zdobyczą.

— Gdzie są psy? — zapytał nagle Pedro, wstrzymując konia i nasłuchując — przekłete zwierzęta, nigdy ich niema gdy są potrzebne. Przygotujcie strzelby panowie towarzysze!

— Cały oddział jeźdźców pędzi za nami z pewnością! — rzekł Tomek oglądając się. — Słyszę tętent koni!

Odgłos który zwrócił uwagę woźnicy, stawał się coraz wyraźniejszym, ziemia drżała pod grzmiotem kopyt. Wędrowcy stanęli i nabili broń.

(d. c. n.)

Pierwsze rzeka, ztąd daleka.  
Drugie-trzecie strojne w kwiecie.  
Samo trzecie — w alfabecie.  
Trzecie czwarte, kary warte,  
Robią szkody, gdzie drób młody.  
Czwartej głoski przykre brzmienie,  
Gdy zmienim przez połączenie  
Z pierwszą na wspak obróconą,  
To siedzibę wymarzoną  
Złożym, i o której pono,  
Myśleć warto każdą dobą,  
Wszystko nieszczęściem, chorobą.

### Łamigłówka sylabowa.

Wyrazów 15. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu, złożą dla kogo i przez kogo jest ułożoną. Sylaby: o — le — po — E — ci — ki — Ba — ka — gia — Hus — O — Em — che — rie — Cook — ley — tians — sy — lep — choc — Nar — ab — Ja — Aę — wól — Ol — ho — Chris — lo — Lotr — Ga — Ka — o — gied — wał — Ar. — Znaczenie wyrazów: 1. Owoc służący do przyrządzenia czekolady. 2. Syn Giedymina. 3. Handlowa osada duńska w Grenlandyi. 4. Nazwa sekty. 5. Nauka o starożytnościach. 6. Słowo narwać w 3 ej osobie liczby pojedynczej. 7. Jezioro w Ameryce południowej. 8. Rzeźbiarz francuzki. 9. Szybki bieg konia. 10. Morze w Azji. 11. Wyrzutek społeczeństwa. 12. Dwie samogłoski. 13. Gatunek wołu. 14. Sławny żeglarz. 15. Miasto we Włoszech nad rzeką Arno.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

#### Homoni mu:

Bałwan (bożyszcze, morski, soli i t. d.)

#### Łamigłówki liczbowej:

Ignacy Krasicki.

Cyna — Cyrk — Gra — Kra — Kana — Raki — Arak — San — Sara — Sarna — As — Siarka — Iris — Kir.

### PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnem, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcye wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 2—3

**TREŚĆ:** Zebra p. Zofią Urbanowską (z drzew.) — Bajka, wiersz. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — List Józia z Warszawy. — Wan-li czang-czing (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przy jedzeniu, wiersz (z drzew.) — Wróbelek p. Maryą Weryho. — Zielone panienki, legenda z podań ludowych. — W karnawale. — Konkurs kaligrafii. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## PRZY JEDZENIU.

Po sumiennie spełnionym całonocnym trudzie  
Zjadłszy smaczno śniadanie, leżał Burek w budzie,  
Przed budą zaś stał szaflik z resztkami śniadania;  
Wtem nadszedł Bryś z folwarku i grzecznie się kłania,  
Ogonem, psim zwyczajem, machając układnie:  
— Na te resztki cię prosić nie byłoby ładnie  
Przyjacielu — rzekł Burek — lecz bardzo cię proszę  
Odpędź tam od szaflika natrętne kokosze,  
Sam zaś, jeżeliś łaskaw odpocząć troszeczkę,  
Skosztuj z mego deseru tę pyszną kosteczkę...  
— Z przyjemnością—odpowie grzecznie Bryś z folwarku—  
Bo dziesiąta dochodzi na moim zegarku.  
Tym niemylnym, co każdy z nas nosi w żołądku;  
Lecz proszę, pozwól także jeść temu kurczątku  
Co tak chciwie zagląda do twego szaflika,  
A choćby wraz z niem jadła kokosz dobrodzika,  
Czyżby ci to szkodziło... przyjacielu drogi?...  
— Masz słuszność, nie odpędzaj kokoszy ubogiej —  
Namyśliwszy się, Burek odrzecz Brysiowi —  
Niechaj nikt żeśmy skąpcy o nas psach nie powie.  
M. Z.

## WRÓBELEK.

Było to w zimie. Śniegu było dużo, dużo.

Wróbelek przyleciał z pola do miasta poszukać sobie pożywienia. Lecz w mieście na ulicach śniegu było także bardzo dużo. Ptaszek szukał ziarenek tu i owdzie, nigdzie ich wszakże znaleźć nie mógł.

Poleciał do ogrodu, myślał, że zoczy robaczka na drzewku. A na drzewkach nie było ani listka, ani robaczka, tylko śnieg i śnieg wszędzie.

Smutno zrobiło się wróbelkowi. Poleciał znowu do miasta, usiadł na dachu i myślał:

Biednyż ja biedny, co teraz pocznę, gdzie znajdę

jaki posiłek? ani ziarneczka, ani robaczka ani muszki, niema! Do tego tak zimno! Podniósł jedną nóżkę, ogrzał ją, potem postawił, podniósł drugą i główkę co chwila pod skrzydełka chował i drżał cały.

Wtem widzi że w oknie ktoś lufcik otwiera. Staje wróbelek na obie nóżki, podnosi główkę i patrzy.

To jakiś chłopczyk mały, wysunął rączkę przez lufcik i sypie przed okienkiem okruszynki chleba.

— A jej! cóż za radość! Przecie chlebek tak smakuje!

Wróbelek jednak bał się zaraz polecieć, bo chłopcyk czasami łapią ptaszęta i dokuczają im bardzo. Zaczekał więc chwilę; chłopczyk tymczasem zamknął lufcik i wtedy wróbelek zeskoczył i zaczął chleb dziobać. Dziobał, dziobał aż póki nie zjadł wszystkiego.

A tu i słonko pokazało się i ogrzało wróbelka.

Ptaszynie tak się zrobiło wesoło, że bezustannie świegotał: cir, cir, radośnie skakał i nareszcie pofrunął.

Drugiego dnia siedzi wróbelek na dachu i znowu myśli: czy też to chłopczyk posypie mu dziś kruszynek?

Ale chłopczyk nie zapomniał o głodnych ptaszkach, posypał jeszcze więcej kruszynek, był tam chleb i bułeczka.

O jaki dobry chłopczyk! czy też gdzie są jeszcze takie dobre dziatki! Odtąd wróbelkowi dobrze było w zimie, codzień dostawał od chłopczyka garstkę okruszynek. Był tłusty i wesół. A czasem dla zabawy sam pukał do okienka.

Maryja Weryho:

## ZIEŁONE PANIENKI.

BAJKA Z PODAŃ LUDOWYCH.

Wszystkim wiadomo że fantazyja ludowa upostaciowała sobie u nas szatana jako Niemca, ubrawszy go w kusy fraczek, harcap, kopytka, z nieodzownie z pod fraczka wyglądającym ogonem, i rogami wyglądającymi z pomiędzy włosów. Taki szatan czyli dyabeł jest częstokroć w bajkach ludowych bardzo komiczną postacią, bo namawiając poczciwego chłopka do złego uczynku, zostaje przezeń wywiedziony w pole i po prostu oszukany, tak samo, jak w sprawie z szlachcicem zostaje na szable pobitym, o czem dużo krąży zabawnych bajek. Tak jest u nas, ale u górali, a zwłaszcza na północy np. w Szkocyi, szatan nigdy nie przybiera komicznej postaci. Góral jest poważny a nawet smutny, jakby wielkość otaczających go wyżyn przygniatała go swą potęgą, a ten rys charakterystyczny jest szczególnie widocznym u górali szkockich. Tam, tak zwane u nas „złe licho” choć czasem udaje wesołość aby złudzić człowieka i nakłonić go do złego czynu, nigdy przecież nie jest komicznem naprawdę.

Pewnego razu — mówi jedna z podobnych bajek — w głębi bezdennych parowów, lasów, gór, jezior i urwisk górnej Szkocyi, zabłąkały się trzy dziewczynki goniące

uciekającą krowkę, dwie siostrzyczki i przyjaciółka. Gdy w daremnej pogoni za krowką, jedynym i całkowitym majątkiem ubogiej góralskiej rodziny, noc zapadła, dziewczynki schroniły się do małego załomu w skałach, który dla takiego jak one maleństwa, był jednak obszerną salą. Zjadły po kawałku chleba i sera w które ich matki zaopatrzyły, napiły się wody z blizkiego strumyka i postanowiły czekać dnia, gdyż po skałach niepodobna jest chodzić pociemku.

— Może jutro krowka się jeszcze odnajdzie — rzekła Kasia — tymczasem spać nam się nie chce, coby tu robić żeby przędź noc przeszła?

— W tej chwili u nas w chacie i we wszystkich chatach zapewne, zjadłszy wieczerzę wszyscy śpiewają wieczorną modlitwę, możebyśmy i my śpiewały? — powiedziała Basia.

— E, to nudno — odrzekła Frania — i owszem śpiewajmy, ale co wesołego; gdyby tak jeszcze było nas więcej, aby potańcować można, ot toby nam prędko noc zeszła!

— Czemu nie! i my rade potańcujemy! — zawołał na to wesoły głosik, skoczna piosenka zadźwięczała i trzy inne dziewczynki tak samo zapewne z kądęści tutaj nocą zagnane wbiegły tańcząc i śpiewając.

Frانيا, dla której modlitwa nudną bywała, skoczyła pierwsza do ślicznej a zwawej nowej przyjaciółki, która tańcząc i śpiewając, nagle wyskoczyła wraz z Franią i z głośnym chichotem z kryjówki na zewnątrz, utrzymując, że tańczyć było tu za ciasno. Wnet i Kasia skoczyła tańczyć z drugą dziewczynką, bo chociaż Kasia nie tak bardzo jak jej siostra przepadała za płochemi zabawami i chętnie śpiewała pieśni pobożne, przecież nieznaną panienką tak ochoczo przytupywała i tak skocznie śpiewała tańcząc przed nią, i tak ślicznie się uśmiechała do niej wabiąc sobie przyjaciółeczkę, że ją zwabiła nareszcie, chwyciły się za ręce i wybiegły tańcząc, tak samo jak pierwsza parka, przyczem nieznaną tanecznica zachichotała znowu przeraźliwie, a na ten chichot odpowiedział gdzieś tam w oddaleniu przeciągły jęk bolesny. Wprawdzie szum górskiego wichru zagłuszył to wszystko, ale jednak Basia zadrżała czegoś w tej chwili, bo teraz dopiero zauważyła że wszystkie trzy nieznanne tanecznice, miały na sobie prześliczne zielone sukienki, a Basia nieraz słyszała o „zielonych panienkach”, które wedle góralskiego przesądu, wabią i gubią ludzi nieostrożnych, nawet dorosłych. Tymczasem trzecia nieznaną dziewczynka tańczyła ciągle coraz zamasyściiej, śpiewała coraz śliczniej przed Basią, uśmiechając się serdecznie i wabiąc ją na różne sposoby, a namawiając do tańca tak ochoczo, że już już, i Basia miała do niej skoczyć i puścić się w taniec, chociaż była bardzo pobożna i modlitwy śpiewać lubiła. Ale w tem przyszło Basi na myśl, dla czego też to ta śliczna tanecznica nie bierze ją w taniec, tylko rączki z daleka podaje i kiwa i mruga i wabi żeby Basia sama do niej skoczyła?... tak właśnie jak robi „zła moc” która nie ma przystępu do dobrego człowieka, tylko go kusi, dopóki człowiek *sam jej* chociaż jednego palca nie poda... Ta myśl tak przeraziła Basie, że nagle ręce, które jej się same rwały już do wyciągniętych ku niej rączek tanecznicy, złożyła jak do modlitwy

i ze strachu zaczęła śpiewać hymn pobożny, codziennie w rodzicielskiej chacie śpiewany. I otóż włosy powstały na głowie biednej Basi, gdy spostrzegła wyraźnie, że w miarę jak śpiewała, postać ślicznej tanecznicy bladła, nikła, jak tuman na łące wobec słońca a skoczna jej piosenka cichła, jakby w wielkiej odległości ginęła... Wkrótce już ledwo że słychać było dźwięk jakiś i niewyraźne coś jak mgła migotało się w powietrzu. Basia drżąca ze strachu i zmęczona długim śpiewaniem, umilkła wtedy bo jej głosu nie stawało, ale zaledwo umilkła, gdy zjawisko zaczęło znowu nabierać barw, wyrazistości i siły, i śpiewać rozkoszniej jeszcze niż wprzód i za chwilę „zielona panienka”, prześliczna jak majowy ranek, przytupywała tuż, tuż przy Basi, uśmiechając się a wabiąc ją jeszcze pokusiłwiej niż dotąd. Zebrała więc nieszczęśliwa Basia wszystkie siły i już ciągle do dnia białego śpiewała nabożne pieśni, wobec wybladłego, ale wciąż nieodstępującego ją widziadła. Dopiero o wschodzie słońca „zła moc” znikła zupełnie i Basia trzęsąc się całą wyszła z kryjówki i powlokła się do domu. Po drodze spostrzegła w głębi jarów szczątki Frani i Kasi porozbijane na skałach... Gdy Basia doszła do rodzicielskiej chaty, upadła zemdlona na progu, a rodzice nie poznali jej w pierwszej chwili bo ciemne włosy dziewczynki zbieły zupełnie z całonocnego przerażenia i ze zgrozy, na widok nieżywych towarzyszek. Basia chorowała długo i ciężko potem, i ledwo że ją rodzice odratowali.

Taka bajka krąży pomiędzy szkockim ludem, ma ona wyrazić myśli, że lekkomyślność wiedzie do nieszczęścia i przeto każdy człowiek, dziecko czy dorosły, powinien się opierać wszystkiemu co do niej wabi, bo lekkomyślność, jest pierwszym stopniem do złego.

## W KARNAWALE.

(Dalszy ciąg).

Stas skinął na dorożkę, wziął chłopca na ręce i pojechali we troje do domu.

Właśnie pani S., ich matka, wyprawiwszy dzieci do siostry na zabawę, na której sama z powodu lekkiego bólu gardła być nie mogła, usiadła do fortepianu, gdy usłyszała nagły głos dzwonka. Pobiegła otworzyć, i przestraszyła się ujrawszy powracające dzieci:

— Co się wam stało? — zawołała.

— Nam nic, mam — odpowiedział, całując z poświęceniem jej rękę Staś — ale oto na drodze znaleźliśmy zmarzniętego chłopca, może się uda przywrócić go do życia, przywieźliśmy go tutaj, został w dorożce, a ja wbiegłem żeby przywołać służącą, przy pomocy której wniosę go na wschody.

W pięć minut leżał już Tomek na wygodnej sofce, a pani S. troskliwie nacierała go śniegiem; po kwadransie chłopiec otworzył oczy, a pani S. wlała mu w usta trochę wina.

— Mamusiu, on już oczy otwiera — wołała radośnie Zosia — żyje, żyje!

Rzeczywiście, Tomek przyszedł już prawie do przytomności, a pierwsze jego słowa były:

— Gdzie ja jestem?... już późno... matka głodna...

— Uspokój się — rzekła troskliwa opiekunka — powiedz tylko gdzie mieszkacie, a ja pošę twęj matce co trzeba.

— Ach, jęj trzeba mięsa, bo doktor jeść kazał... ale niema za co kupić... mieszkamy na Starem mieście.

— Ja tam pojedę — zawołał Staś.

— Weź mię z sobą — prosiła Zosia.

— A więc jedźcie, tylko ubierzcie się ciepło — rzekła matka.

Dzieweczka za chwilę przebraną już była w codzienne sukienki, okryta w ciepłą salopkę, wsiadła z bratem do dorożki, gdzie już umieszczono przygotowany przez panią S. koszyk z mięsem, chlebem i winem, potrzebnem dla przywrócenia sił osłabionęj kobiecie.

Upłynęło dobre pół godziny zanim Staś z siostrą dostali się pod numer wskazany przez Tomka, a następnie do małej izdebki w suterrenach.

Smutny teraz im się przedstawił widok:

Na lichem posłaniu, oświetlonem słabym płomieniem lampki, leżała młoda jeszcze kobieta z wychudłą twarzą, drżąc od zimna.

— Gdzie mój chłopiec... — jęczała — jak on jeszcze zginie, nic mi się już nie zostanie na świecie... dziecko, drogie dziecko!

— Jest wasz chłopiec, jest! — zawołał ktoś w progu, znaleźliśmy go prawie zmarznętego na ulicy, ale teraz jest u nas rozgrzany i nakarmiony; o was tylko myślał powróciwszy do życia, przynosimy więc wam pośitek, nie chcąc go narażać na nowe przeziębienie.

— Niech wam Pan Bóg nagrodi, dobry paniczu — wyszeptala kobieta; — ale gdzie mój Tomek, czy zdrów? Boże, Boże! jaka ja biedna że dziecka do rzemiosła oddać nie mogę, byłabym o niego spokojna. Zmarzło pewno biedactwo — powtarzała płacząc.

— Tomek zdrów, posilcie się, potem o nim pomówimy.

Kobieta wzmocniona posiłkiem uspokoiła się trochę, opowiadała ciągle o poczciwości Tomka, który za swój zarobek kupował dla nięj pożywienie, sam sobie od ust odejmując — dawnięj wesoły, nawet swawolny, teraz posmutniał i zpoważniał do niepoznania.

— Już późno — rzekł wreszcie — musimy powracać, jutro odwieziemy wam chłopca, a może i zaradzimy co na waszą niedolę.

— Niech wraca jak najranięj, paniczu — wołała za dziećmi chora.

O jedenastęj byli już oboje z powrotem, Zosia zapomniała zupełnie o straconym baliku, poszła też do łódeczka z myślą o biednęj kobiecie i jęj synku, który teraz zasypiał spokojnie.

Tylko Staś z matką długo jeszcze w nocy coś gwarzyli.

W tydzień potem szczęśliwy Tomek pracował u stolarza, gdzie go oddała dobroczynna pani S., gdyż do tego zawodu miał najwięcej zamiłowania. W każdą niedzielę odwiedzał matkę, która wyzdrowiawszy przyjęła obowiązek u swęj dobrodziejki. Staś poświęcał wszystkie

czas wolny uczeniu Tomka, wpał w niego zamiłowanie cnoty i pracy. W lecie Tomek dostał się za staraniem pani S. do jednęj z kolonii letnich, zkąd wrócił zdrów rumiany i wesoły. Kochał też serdecznie swych dobroczyńców, mając zawsze największą wdzięczność dla Zosi, która pierwsza dostrzegła go zmarznętego na schodkach sklepowych.

L.

## KONKURS KALIGRAFII.

Przed kilku laty dawaliśmy dla młodszycch naszych czytelników konkurs kaligrafii, w którym niejeden z nich zdobył zasłużoną nagrodę. Wnosząc że dziś współubiegać się będą o podobne odznaczenie, młodszy ich braciśkowie i siostrzyczki, ogłaszamy tenże konkurs powtórnie, z zastrzeżeniem, że brać w nim mogą udział jedyńie panienki i chłopczyki do lat dziewięciu, ostateczny zaś termin do nadsyłania próbek kaligrafii jest do 1 Marca.

### SZARADA.

(dla córki Mazurów od P. I.)

*Pierwsza druga, to barwa często nielubiana  
Druga trzecią gdy dobra, chętnie przyjmowana,  
Wszystko jeśli jasnymi ułożone słowy,  
Łatwa do odgadnięcia i nie męczy głowy.*

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od Białęj Ostróżki dla Kropelki Rosy).

Znajdziesz mię w kamelii, w koralu, w kobiecie,  
Napróžno się silisz nie bywam ja w lecie.  
Królowie mię znają, w koronie rój wodzę,  
Lecz rolę pogardzam i w pługu nie chodzę.  
I w kwietniu mnie spotkasz, lecz czerwca unikam  
W październiku bywam a w grudniu już znikam,  
W starych katakumbach siedlisko obrałam  
Z nauką, już się też dawno pobratałam  
Okręt biało-żagli zna mię doskonale,  
Lecz jeszcze nie noszą mię spienione fale.  
Wolę Ukrainę, choć Włochy cieplesze  
Wolę bładki księżyc, choć słońce piękniejsze  
Skończyłam. Odgaduj, Kropelko kochana,  
Wiedz, że i u ciebie jestem poważana.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady:

U l e.

Z a g a d k i:

D z i e ń.

## Skrzynka do listów.

**Panu Skibniewskiemu w Balicach.** Kupno książek wraz z przesyłką pocztową wynosi rs. 7 kop. 36 strąca się z tego pozostałe u nas w roku zeszłym kop. 60, a więc wypada rs. 6 kop. 76, przysłano na nie rs. 5, zatem dodaliśmy rs. 1 kop. 76.

Gdyby liścik **Romulusa i Remusa** był napisany do którego z ich kolegów, umieścilibyśmy go według życzenia.

**Cichéj Wodzie** Gołąbka za życzenia i pamięć dziękuje.

Bardzo radzibyśmy uczynić zadość życzeniu kochanej „**Stanowczości**” i probowaliśmy poszukać roboty dla téj którą się zajmujecie, ale nam się to nie udało. A gdyby też ta osoba sprobowała udać się do Bazaru robót kobiecych przy ulicy Wierzbowej?

Spełniono życzenie **Helenki O. i Niezapominajki z Polesia.**

**Pegazie Skrzydlaty!** Treść twego artykułiku dotycząca rzeczy nader poważnych, nie nadaje się do humorystycznego opowiadania w powiastce dla dzieci przeznaczonej. Przedmiot to raczej do rozprawy pisanéj dla starszych, a opartéj na tle historycznym. Często radzi nie radzi widzieć musimy błędy tych, których powinniśmy kochać i szanować; nie daje nam to jednak prawa namawiać się z tychże błędów.

**Bohdankowi,** oraz wszystkim, którzy nas pytają o początek „Szesnastoletniego wojewody” donosimy, że dostać go można w redakcyi nadesławszy kop. 30.

**Maniu i Jadwiniu Z. z D.** chętnie uczynilibyśmy zadość waszemu życzeniu, gdyby nie to że listy wasze odebraliśmy bardzo niedawno temu. Nie ręczymy więc, czy uda się zdążyć na czas.

Miła nasza przyjaciółeczka **Brzydotka z nad Tamizy** zakłada widać bibliotekę z **Wieczorów**, co bardzo nam pochwlebia, bo widzimy w tem dowód, że **Pisemko** nasze jest dla niej łącznikiem ze wszystkim co swojskie. Co do korespondencyi z **Gwiazdą** daliśmy listowną odpowiedź tu jednak powiemy jeszcze, że zawsze wolimy formę zwyczajną.

Więc już i **Krasnolica** do rzędu starszek przechodzi? Żegnaliśmy cię z żalem, dziewczeczko, z którą i my także „zspoliliśmy się duchem” gdyby nie zapewnienie twoje, że pisywać do nas będziesz.

**Vesta** dawna **Akacya Różowa,** oraz **Cyganecka z nad Wisły,** przesyłają nam świąteczne życzenia i miłsze nam nad wszystko słowa serdecznego uznania. P. Ur. oraz **Gołąbka** wraz z nami dziękują poczciwym dziewczątkom za to co na ich część przypada.

**Goralce** również jak i **Maryi Sz.** posłano to, czego żądały. Dla ostatniej dodajemy tu jeszcze, że opóźnienie nie z naszej nastąpiło winy.

**Orzeł biały** jak również **Lucio des E.** nadesłali dobre rozwiązania.

**Lobelii** kochanej posyłamy całusa w zamian za życzenia; miło nam się dawiedzieć, że nagroda „wielką radość” jej sprawiła. Tak to zresztą zawsze bywa, że zasługa sama sobie jest nagrodą, przez to zadowolenie jakim nas napawa.

**Sz. Pani M. Sok.** Pojmujemy wybornie niecierpliwosć Sz. Pani i z rozrzewnieniem prawdziwem dowiedzieliśmy się przyczyny, dla której Państwo pozostaliście czytelnikami naszego pisemka. Niechże Bóg zdrowo chowa pozostałą dziecinę, która musi być zdolną i bystrą, skoro młodziutka mamusia już zaczęła ją uczyć czytać. Numer żądany posłano.

Kochana **Czaplo z nad Pohanki!** Przesyłam ci życzenia na rok nowo rozpoczęty. Miałam cały miesiąc wakacyi na święta, ale czas ten nie przeszedł mi równie wesoło jak tobie, bo nie mam rodzeństwa! Twój chory paluszek już wyzdrowiał? Kwiat **Granatu** niecierpliwie czeka listu od ciebie. Twoja **Czarna Koteczka.**

Drogi **Światelko!** Czyżbyś o mnie zapomniała, że tak dawno nie miałam liściku od ciebie? Popraw się i napisz. Ucałuj odemnie rączki i nóżki swojej mamy i p. S. Rodzeństwu i mojemu pięciolatniemu narzeczonemu, serdecznie buziaki, dla ciebie zaś uściśnienia łączy *Szczerosć.*

Białą **Ostróżkę** pozdrawiam serdecznie. Gosposię z nad **Warty,** **Gwiazdkę** i **Białą Perelkę** zapytujecie, czy chce korespondować z nieznaną *Szczeroscią?*

Drogi moje: **Gwiazdko nadziei** i **Czeska Niezabudko.** Chcę **Gwiazdko Nadziei** korespondować z tobą przez nasze kochane **Pisemko.** Znamy się doskonale. Ja mam lat 11, oczy czarne, ciemne włosy, a noszę imię jednéj cesarzowej greckiej. Czy uczysz się po angielsku i czy lubisz ten język? Omyliłaś się **Niezabudko,** nie miałam innego pseudonimu, bo drugi raz dopiero piszę do „**Wieczorów**”. Znamy się mało, lecz twoja siostra objaśni cię kto jest osobką ukrywającą się pod pseudonimem *Gwiazdy polarnéj.*

O dzięki ci miła **Rosiczko** za twą odezwę, kończę w tym miesiącu lat 14, możesz się więcéj o mnie dowiedzieć, przeczytawszy odpowiedź daną **Akacyi różowej** w numerze 34. Opisz mi swoją osobkę i donieś gdzie mieszkasz? pragnęłabym z tobą korespondować. Całuję cię serdecznie; twoja *Złota Tęcza.*

Dziękuję wam za liściki, kochane korespondentki. Zgadłam kim jesteście miła **Symfonio,** **Minią Sar.** nieprawdaż? przypominam cię sobie, grywającą symfonie **Bethowena.** Którą z nauk najlepiej lubicie, droga **Sarneczko** i **Światelko.** Czyś już zdrowa **Niezapominajko z Polesia?** A ty **Rusalko** czy lubisz rysować? **Różyczkę** **Alpejską** i **Sroczkę** z za plotka i **Wodne** bączywie ścisłam serdecznie, donieście mi, gdzie mieszkacie? Czy znacie **Warszawę,** **Radziwianko,** **Stokrotko** z nad **Stochodu** i **Horpyno?** **Kuropatwo** droga napisz mi czy mieszkasz w okolicy **Łucka?** Czy lubisz muzykę **Cyganecko?** Całuję was; kochająca *Różyczka biała z Wołynia.*

Mój kary **Koniku** donieś mi jak się zowiesz, ile masz lat? Ja mam lat 6, na koniku bardzo lubię jeździć, a ty lubisz? odpisz, prosi cię o to *Rak z Kamionki.*

Droga **Wiochno** z pod **Lublina.** Dziękujemy ci serdecznie za miłuchny liścik, my także pragnęłybyśmy widzieć drogą **Celinke.** Na przyszłe wakacje może zobaczymy się w **Nałęczowie.** **Krokietka** znamy doskonale, możesz sobie wyobrazić jakie ma powodzenie, skoro w przeciągu dwóch wakacyi, zniszczyłyśmy dwie góry doszczętnie. Teraz znów ślizgamy się jeszcze z większym zapałem. Czy nie bywasz u naszej kuzynki **Wikci D.** w **Lublinie?** Całujemy cię obiedwie po milion razy, *Westalka i Cyganecka z nad Wisły.*

Kochana **biała Perelko!** Zdaje mi się, że cię znam, na imię ci **Józia.** Ja jestem blondynka, słusznego wzrostu, mam lat 13, nazywam się **Helenka,** zgadnij kto do ciebie pisze, i odpisz prędko zyczliwéj *Junonie.*

Kochane **Rajskie Jabłuszko!** Chciałabym korespondować z tobą. Mieszkam w tych samych okolicach, więc może się kiedy spotkamy. Jak się nazywa miejsce twego zamieszkania i jak ci na imię? Ścisłam cię, *Goryczka.*

Drogi **Światelko** i **Czarnooko z puszczy!** Piszę do was będąc w jednym z wami wieku. Na imię mi **Halinka** uczę się w domu z mamą i nauczycielką, którą bardzo kocham. Całuję was serdecznie i proszę o odpowiedź. *Różyczka Jerychońska.*

Kochana **Cyganecko z nad Wisły!** Podobasz mi się bardzo dla twego ślicznego pseudonimu. Donieś mi jak ci na imię? ile masz lat? i co ci się w „**Wieczorach**” najlepiej podoba? Całuję cię serdecznie *Kampunella.*

Droga moja **Stokrotko z nad Stochodu!** Zwichnęłam nogę na ślizgawce i leżę. Co ty porabiasz? *Kapłanka Znicza.*

Kochana **mała Laszko!** Z listu twego do **Kołowrotka** łatwo domyśliłam się kim jesteście. Na imię ci **Jadwiga,** mieszkasz na ulicy **Bannéj** w sąsiedztwie **Czarnéj Perelki.** Czy odgadłam? donieś o tem twéj *Trusi.*

**P. S.** **Czarnéj Perelce,** **Błyskawicy** i **Polnéj Róży** ukłony zasylam.

Kochana **Gwiazdko z Podola!** Znam cię z opowiadania i z fotografii; masz lat czternaście, jesteście szatynką i nazywasz się **Janisia B.** Jeżeli zgadniesz kto ja jestem, to może zechcesz pisywać do mnie przez „**Wieczory Rodzinne**”. *Kwiat Paproci.*



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Władysław Taczanowski.

Cichą pracą, nauką prawdziwą, i zasługą tem większą, że mało o sobie trzymającą, odznaczał się zmarły w zeszłym miesiącu w Warszawie w 70 roku życia s. p. Władysław Ta-

czanowski, od r. 1855 kustosz tutejszego gabinetu zoologicznego, niepospolity przyrodnik, głównie badaniu ptaków oddany. Od lat młodych zamiłowany tę właśnie gałęź zoologii (zwaną *ornitologią*) ciągle się nią zajmował, a wytrwałą i sumienną pracą doszedł do tego, że stał się chlubą kraju, zjednawszy sobie sławę uczoności nietylko u nas, ale i w Europie całej, gdzie nazwisko jego stoi w rzędzie najznakomitszych współczesnych przyrodników.

Młodzieńcem jeszcze będąc, ze strzelbą na ramieniu i torbą myśliwską przeznaczoną na zachowywanie znalezionych okazów, puścił się na wędrowkę po kraju w celu bliższego zbadania sposobu życia i obyczajów zwierząt. Potem dalekie podróże odbywał, a powróciwszy, i otrzymawszy posadę kustosza przy gabinecie zoologicznym, nie ruszał się ztąd prawie, porządkując coraz to liczniej gromadzące się okazy, dzięki ofiarności podróżników, jak hrabiowie Aleksander i Konstanty Branicy, którzy zwiedzając Algeryą, Egipt i Kaukaz, mieli sposobność nabywania rzadkich i cennych egzemplarzy, oraz profesor Dybowski słynny badacz fauny sybirskiej.

Taczanowski nawiązał stosunki z uczonymi całego świata, a zjednał sobie ich uznanie sprawozdaniami o ptakach różnych stref, które pomieszczał w specjalnych pismach zagranicznych, coraz więcej rozszerzał działalność swoją.

Prócz pracy, jakiej wymagało doprowadzenie do porządku coraz to częściej nadsyłanych darów, (gabinet warszawski liczy dziś około 5,000 gatunków ptaków, t. j. jak powiadają uczeni, blisko połowę gatunków całego świata), miał jeszcze czas na pracę autorską. *Ornitologia Peru*, po fran-

cuzku napisana, *Ornitologia Sybiru*, której druk jeszcze nie skończony, są dziełami niezmiernie ważnymi dla uczonych specjalistów, przedtem jeszcze Taczanowski ogłosił „Opis ptaków drapieżnych Królestwa Polskiego, oraz spis zwierząt ssących gubernii lubelskiej”, i wiele innych artykułów tejże treści zamieszczonych w pismach peryodycznych. Prowadził też obszerną korespondencję naukową, dużo czasu zabierającą, a mimo to czasu nie brakło mu nigdy, gdy trzeba było usługę komu wyświadczyć.

Uczony, w stosunku łatwy, szczerze ludziom życzliwy, skromny, sumienny, ogólnie kochanym był i poważanym. Zaszczytne odznaczenia jakie otrzymał za życia dowodzą też że oddano hołd przynależny jego nauce i wytrwałej pracy.

Był bowiem mianowany członkiem Towarzystw: Uczonych ornitologów w Nowym Yorku i Berlinie, Zoologicznego w Paryżu, Wiedniu i Londynie, akademii Hippony w Bonne (w Algerji) rzeczywistym członkiem Towarzystwa badaczy przyrody przy uniwersytecie charkowskim, Akademia nauk w Petersburgu przyznała mu nagrodę imienia Brandta, uniwersytet zaś krakowski dyplom doktora nauk przyrodniczych.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Oczarowała czarownica! Dziecko zachorowało! — zawołano w tłumie, przerywając głuchą chwilową ciszę. Na ten krzyk, nietylko ojciec który był blisko, ale i matka wybiegła z głębi chaty na ratunek jedynaka. Lecz Szandor stał już krzepko, tylko zdziwionym jakby ze snu zbudzonym wzrokiem spoglądał w okóło.

— Przeklęta czarownico! — krzyknie Petöfi pięść podnosząc — miałaś wróżyć na szczęście, to wróż!... co ty mi tu będziesz sztuki jakieś szatańskie z dzieckiem wyprawiać!...

Cyganka, która tymczasem ciekawie przyglądała się lewej dłoni Szandora, odskoczyła rozgniewana.

— Otóż nie będę — zawołała — on już sobie sam wróżył. „Jak step szeroki niebo z ziemią społem”, ujrzą płomień z tej iskry którą w nim rozdmuchałam w tej chwili, co innym świecić a jemu płonąć w piersi bolącym zarzewiem będzie, a ty bacz aby nie bez twego błogosławieństwa płonęła, bo bez cygańskiej wróżby łatwo się ostać, ale bez ojcowskiego błogosławieństwa biada!... — Dokończając tych słów z chyżością języka właściwą swemu pokoleniu, z ręką wzniesioną jakby do błogosławieństwa ale z gniewem w pałającym oku, cyganka cofnęła się nagle i znikła w tłumie. Naprózno ruszono się w tejsze chwili, chcąc ją lepiej o znaczenie tajemniczych słów wypytać, lecz Marcha jakbysię w ziemię zapadła, i nie ujrzano jej więcej owęj niedzieli.

— Tfy!... — energicznie po madziarsku zaklął Petöfi — żeby ta stara jęcza... — i kłął dalej, a wszyscy otaczający pomagali mu chórem. A wtem stary skrzypek cygan zły, że sprowadzeniem wróżki wywołał gniew zamiast zadowolenia, począł kłąć jeszcze gwałtowniej, aż przekrzyczawszy wszystkich obfitym potokiem złorzeczeń, mających spaść na Marchę, wyrzekł:

— Ale cóż to ona naprawdę przepowiedziała?... Jeżeli się nie mylę to sławę szeroką jak step i niebo z ziemią społem, sławę twemu synowi gospodarzu, taką, i większą może jaką rozbrzmiewa niejedna pieśń dla twórcy swego od wieków po czardach i stepach i lasach, ta pieśń która pali pieśniarza bolącym w piersi zarzewiem, dopóki nie wyśpiewa jej światu, a wtedy zaraz druga boleć zaczyna. Wszak to wróżyła Marcha dziecku, boć ono pieśni składa samo? Czy nie tak?

— Pieśni składa? Sławę wróżyła? A no... może i tak... — namyślał się ojciec.

— A tak! Tak ona doprawdy mówiła! — zapewniali przyjaciele.

— To chodźmy wypić szklanicę na cześć pieśni i nowego pieśniarza! — ze śmiechem już zawołał Petöfi, zapominając o wszystkim co we wróżbie złowróżbnem być mogło. I znowu skrzypka zadźwiękła. Skrzypiciel stanął przed czardą na drodze i niby smyczka i strun próbuje, a co pociągnie po nich, to pędzi wózek czwórka przez stopy, a za nim, przed nim lub z przeciwniej strony, jeździec lub kilku ich śmiga. Skrzypki najoczywiściej zaczarowane, jak pszczoły do miodowego zapachu, ciągną do nich ludzie. Co i to czikos, kanasz, juhas, gulyasz i pędzą. Pędzą i dziewczęta, z każdego wózka choć jedna wysiada. Spódniczki króciutkie szafirowe lub ciemne a fałdźiste i szerokie, że każdaby się dziewczyna z dziesięć razy we własną spódniczkę owinąć mogła; gorseciki wycięte aksamitne lub jedwabne; białe haftowane koszulki z bufiastemi rękawami; czerwona chusteczka na szyi, skrzyżowana na piersiach, zawiązana z tyłu; buciki czerwone lub czarne pukają wysokimi obcasami, pończochy białe w jaskrawe centki; włosy w jeden warkocz spuszczone na plecy, ciężki od łańcuszków srebrnych i złotych, przetykany gęsto różnobarwnymi wstążkami; na szyi błyszczy po kilka sznurków granatów. Każda zeskakując z wózka chwytają w uściski Szandora. Aż tu brzęczy i dźwięczy step, pała z batów na wszystkie strony, pędzą chmarą czikosa oklep na dzikich żrebcach, z drugiej strony błyska coś w słońcu, to kanasze pędzą wywijając czekanami. Kto wprzód do gospody przypędzi ten wygrał, będzie miał z kim tańczyć, bo dziewcząt nigdy niema tam do zbytku. Nikt się nie umawiał ale każdy rozumie że to wyścig. Wpadają czikosa, porywa ten i ów dziewczynę do tańca, ale i kanasze wpadają, niema dziewcząt?... więc w górę podnoszą czekany: brzęk szczęk!... ostrza krzyżują się jak błyskawica, kobza odzywa się niespodzianie. Kanasze sami tańczą przed domem. Okrzyk rozlega się w izbie, dziewczęta porzucają taniec, starzy z szklanicami w rękę, kto żyw bieży patrzeć na taniec kanaszów, taniec z czekanami. Kto tego nie widział nie wie co to jest prawdziwy taniec wojenny.

Przed dziesięciu wiekami tak Madziary tańcowali między jednym a drugim bojem przed wodzem swym Arpadem: Arpad sam, tak wielki Arpad tańcował! Niema drugiego takiego tańca w Europie, jak niema w niej ludu tak zupełnie pierwotnego, któryby w głębi lasów potrafił przechować się takim, jakim był u swego źródła. A kobza brzęczy na tę samą nutę co Arpadowi.

Ale oto jeszcze grzmi i huczy coś w dali, możnaby mniemać że to znowu jedzie czikos, bo pali z bata jak z armaty, ale czekan błyska jak kawałek słońca: śmiga jak błyskawica, już nadleciał, już porzuca rozhukanego konia, już wpada, to Sobri! Dzielnny Sobri, piękny, sprawiedliwy. Oto przed rokiem jeszcze zanim go pandury przychwycili, strzelił w łeb w obec całej bandy jednemu ze swych szegeny legeny za to, że zabrał wieśniacze towary wiezione do miasta na sprzedaż. Wszyscy ściskają Sobrego, piją do niego: źli ludzie tylko go się obawiają, ubodzy i ucziwi kochają go. On tańczy, śpiewa aż się gospoda trzęsie, a którą dziewczę do tańca wybierze, ta jest na cały tydzień dumna i szczęśliwa. Wszystkie ławy z izb wyniesiono, cyganie muzykanci siedzą na podwracanych beczkach i grzmia od ucha, Sobri tańczy.

— Ach matusiu, jakiż on śliczny! Jak ślicznie tańczy! Jakie ma śliczne wąsy! a jaki ma płaszcz wyszywany! jaki cudny dolman z barankami! Jaki kapeluszek ze wstęgami i z galonem! Ach matusiu jestże gdzie na świecie drugi taki prześliczny! Sobri—Tak szepcze z uwielbieniem w głosie i zapalem w oczach mały Szandor, przytulony do matki, przypatrując się wraz z nią tańcom ochoczym. Petöfiowa na chwilę spoczywająca wśród gospodarskiego zakrętu, przyciska synka do piersi i szepcze:

— Piękny jest Sobri to prawda, i prześlicznie jest wy-



strojony, drży przed nim jego banda, a uczciwi ludzie z nim się ściskają, a najpiękniejsze dziewczątka za zaszczyt sobie mają, gdy je do tańca wybierze; ale, choćby on dwa razy był piękniejszy i bardziej kochany i w pieśniach sławiony, to pamiętaj dziecko, ach pamiętaj że Sobri jest rozbójnik i złodziej!...

Szandor skrzywił się na te słowa okropnie: jeszcze wyraz rozbójnik, choć w rzeczywistości wcale od drugiego nie lepszy, przecież mniej wstrętnie brzmiał w uszach dziecka, może dla tego że był urokiem waleczności zamaskowany, ale złodziej!... fe!...

— Sobri — szeptała matka dalej — jest zacnego ojca synem, sam uczciwym był kanaszem, dopóki mu się gwałtem nie zachciało pysznego płaszcza w barwiste kwiaty, kapelusza z wstęgami i galonami, dolmanu z barankiem...

— Szandor! jak się masz Szandor! Odwiedziłeś nas w lesie Bakony, jadłeś z nami z jednej misy, pomagałeś pandurów w pole wywieść, tyś już dorosły człowiek, witaj bracie! — zawoła piękny Sobri w przerwie między tańcami spozstrzegłszy malca, który pod świeżem matki natchnieniem nie poczuł się wcale zaszczycony owem braterstwem.

Od wczoraj do dzisiaj dowiedział się już przecież że nie trzeba nikogo w oczy złodziejem i rozbójnikiem nazywać, ugryzł się więc w język, który tylko co nie wypowiedział iż jego właściciel nie chce braterstwa z rozbójnikiem. Ale ojciec Petöfi nie domyślając się że syn tyle już z doświadczenia skorzystał, pośpieszył mu coprędzej z pomocą, aby mniej właściwą odpowiedź uprzedzić:

— Ho ho — rzecze — daleko chłopcu do zostania dorosłym człowiekiem, jeszcze konia własnego niema! — „Niema” znaczyło że go sobie nie schwytał i nie ujeździł tak, jak zwykle robią dorastający, a raczej ledwo z dzieciństwa wychodzący chłopcy na puszta. Bo zresztą na domowych koniach jeździ każdy dzieciak odkał chodzić umie.

— Co? jeszcze niema? taki dzielny chłopiec? Jakże to być może? — spytał ten i ów zdziwiony.

— Jabym dał radę koniowi, tylko rodzice nie pozwalają! — powiedział Szandor zaczerwieniony i ze łzami w oczach.

— O! jedynaczek! Czy na piecucha wychować chcesz syna, Petöfi? Czy na niezdare?

— Co znawal! — obruszył się ojciec, a matkę aż się na tę przypuszczalną zniewagę zaczerwieniła. Na puszczy, gdzie jak wśród ludów pierwotnych, osobista dzielność o wartości człowieka i jego prawach istnienia stanowi, niema większego poniżenia jak być niezdara. To też i Szandor rozczarowany przed chwilą, aż zbladł teraz:

— Co znawal!... tylko dzieciak słaby jeszcze w rękę! — tłómaczył ojciec.

— Sprobujmy Pal (Pawle) — odparł Szandor, występując naprzód z zaciśniętymi pięściami, naprzeciw olbrzymiego czikosa, który pierwszy kwestyą zagaił.

— Sprobujmy! — odpowiedziano. W jednej chwili wszyscy mężczyźni byli na koniach, nie wyjmując gospodarza; matka tylko znacząco posłała mu spojrzenie, ale ani jednym słowem nie sprzeciwiła się zamiarowi, choć zadrżała w duszy o jedynaka, wiedząc dobrze co znaczą próby tego rodzaju. Wyzywający czikos Pal, z nieodstępną fajką w zębach, widząc że Szandor zabiera się także dosiąść jednego z domowych koni, schylił się lekko ze swego rumaka, pochwycił chłopczyńkę zniemacka, pódadził przed sobą i świsnąwszy na swego wierzchowca, wykreślił się z nim młynca za jednym zamachem trzy razy na zadnich nogach, a potem przy ogólnym okrzyku zachwyconych widzów, śmignął w step jak strzała. Długie bicze huknęły jak tyleż wystrzałów i wszyscy polecili za pierwszym.

Matka Szandora nie zmrzyła oczu patrząc na to, ale podniosła je potem w niebo, jakby ztamtąd wzywała opieki nad dzieckiem, które z ręką ję się wydzierało, mimo własnej wiedzy. Pozostawione w czardzie kobiety rzuciły się pomagać gospodyni w przygotowaniu jedzenia, na spodziewany długi powrót mężczyzn. Pomagano nie żartem, i nie

żartem też zapasów potrzeba było, aby nasycić cały ten różnorodny i różnobarwny tłum, huczący co niedziela w stepowej odosobnionej gospodzie.

(d. c. n.)

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

List Stefanka do młodszych braci.

Goryca dn. 15 Stycznia 1890 roku.

Kochani Miciu i Józku. Mówią ludzie że „niema tego złego coby na dobre nie wyszło” i doprawdy mają słusność: dzięki przebytej w Warszawie influencyi i połączonej z nią słabości piersiowej, zobaczyłem kawał świata i teraz oto siedzę w pięknym ciepłym kraju, wśród okrytych zielonością pól i ogrodów, podczas gdy wy tam marzniecie i widzicie na ulicach tylko śnieg lub błoto.

Przyjechaliśmy tu przedwczoraj o godzinie pół do jedenastej podług warszawskiego, a zaraz po dziesiątej podług tułtejszego zegara. Może myślicie, że mój zegarek się spóźnia? Otóż nie, ale jedna i ta sama godzina, nie może być na całym świecie o jednej i tej samej porze, ponieważ w miejscach wyciecznej na wschód posuniętych, a do takich w porównaniu do Gorycy, Warszawa należy, słońce wcześniej wschodzi. Drogę z Warszawy do Granicy przebyliśmy niezbyt wygodnie; nie mogliśmy dostać osobnego przedziału, więc było nam trochę ciasno. Rodzice wcale nie spali, ja cztery do pięciu godzin; Adaś tylko spał jak zabity, bo jak wiecie jest to śpioch zawołany. W Szczakowie nie wysiadaliśmy wcale; wysiadł tylko na krótki czas ojciec z rzeczami do rewizyi. Z Trzebini do Wiednia jechaliśmy przez cały dzień; śnieg wszędzie leżał na polach ogromny, a w samym Wiedniu gęsto zasłane nim były ulice. Przybywszy do tego miasta, przejechaliśmy z dworca północnego na południowy. Miasta prawie nie widziałem, bo wszystko zasłaniała gęsta mgła; na skrócie ulicy tylko zauważyłem rzecz ciekawą, a dla nas nową zupełnie: wózek ciągnięty przez człowieka i psa okrytego derką. Ojciec kupił mi tu kapelusz. Wyjeżdżając z Wiednia, dostaliśmy na noc osobny przedział, to też spaliliśmy wszyscy nieźle, tylko zimno nam było trochę w nocy, bo przejeżdżaliśmy przez wysokie góry. Obudziwszy się, włożyliśmy zaraz ciepłe paltoty, ale około godziny dziewiątej zrobiło się tak ciepło, że aż ojciec okno wagonu otworzył. Widziałem w przejeździe Adelsberg, gdzie jest sławna na cały świat grota stalaktytowa; miejscowość ta leży w ślicznej dolinie. Widziałem też zdaleka morze Adryatyckie.

Od godziny 7-jej to jest od Lublany do Gorycy, stolicy hrabstwa Gorycy, przejeżdżaliśmy dziesięć tuneli, a w nocy było ich jeszcze więcej, ale ich nie rachowałem, bom spał. Staaliśmy w hotelu pod Złotym aniołem. Miasto jest prawie zupełnie włoskie: wszystkie szyldy i napisy po włosku, służba, robotnicy, dorożkarze także Włosi. Wszyscy są tu bardzo grzeczni a miasto dosyć tanie.

Goryca po niemiecku Görtz, jest prawie tak duża jak Kraków, ale ludności ma tylko 21,000; leży nad rzeką Isonzo, w pięknej dolinie między wzgórzami. Zdaleka widać białe szczyty Alp Juliańskich. Na jednym ze wzgórz wznosi się klasztor Franciszkanów, w którego grobach pod kościołem spoczywają zwłoki wyganego z Francyi w r. 1830 Karola X i jego syna, a o pół godziny drogi za miastem jest tak zwana Święta góra, a na niej kościół z cudownym obrazem, nawiędzanym corocznie przez kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów. Goryca jest siedzibą arcybiskupa, posiada cztery czy pięć kościołów katolickich, jeden ewangelicki i zbór izraelski. Jest też tu poczta, telegraf, seminarjum, gimnazjum, ogród publiczny i stacya kolei za miastem.

List ten zaczęty w hotelu, kończę w mieszkaniu prywatnym, które ojciec wynalazł za 50 zlr. na miesiąc: mamy dwa pokoje umeblowane, z jednym tylko pięcym, i pozwolenie

spacerowania po ogrodzie właściciela domu. Zosi powiedzcie, że przywiezę jęj do zielnika liści cyprysu, cedru, a może i palmy, a dziś dołączam cztery listki laurowe. Klimat Gorycy jest południowy, i dla takich jak ja słabych na płuca, bardzo pożądany. Obfituje ten kraj w ryż, kukurydzę, wino i morwę. Chów bydła, jedwabników, jako też owoców południowych, jest głównym zajęciem mieszkańców. Rośnie tu teraz kapusta i sałata, a dziś na obiad mieliśmy szpinak; róże mają pączki, a fijołki których przysyłam wam jeden kwiateczek, kwitną pod szkłem w inspektach. Widziałem też wczoraj

około 200,000 ludności, z których trzy czwarte jest Słowian, a reszta Niemców i Włochów. Kraik ten powstał z dawnego księstwa Fryulskiego, mianowicie z Fryulu austriackiego. Po śmierci ostatniego udzielnego hrabi goryckiego Leonharda, w wieku XVI zapisany został przez niego testamentem cesarzowi Maksymilianowi I-mu zatem przeszedł do Austrii. W r. 1809 zdobyty przez Napoleona, przyłączony został do Illiryi, a w 1814 powrócił znów do Austrii. Więcej szczegółów o mieście i kraju przyślę wam w następnych listach.

Stefanek J.

## PRZEŚLADOWCY PSZCZOŁ.

Znacie wszyscy mały pracowity owad, któremu zawdzięczamy świece naszych ołtarzy i miód doskonały, jak utrzymywano dawniej, najlepszy w kielichu, bo zapomina się przy nim o kłopotach i opowiada chętnie dawne dzieje.

Ciekawą jest historia o srogich nieprzyjaciółkach i prześladowcach tęg biednej pszczołki, która nikomu nigdy nie zrobiła złego, broni tylko swęj własności.

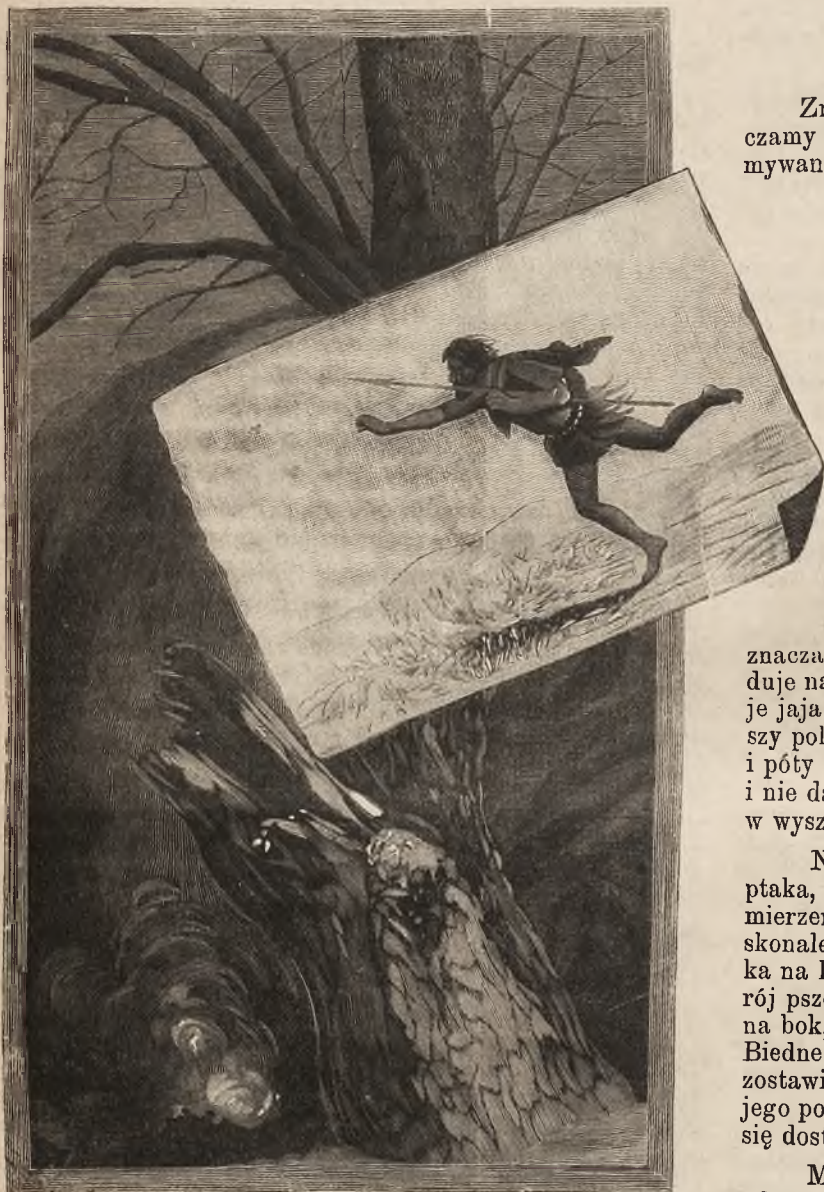
Do najgorszych z pomiędzy nich należy ptak, z którym ona wojuje zawzięcie w Afryce, bo na szczęście ten gatunek skrzydlatych jęj wrogów nie istnieje u nas. Ptak ten lubi niezmiernie miód, ale nauczony doświadczeniem, wie że żądła pszczoł kolą boleśnie, że nie jednego już psotnika pozbawiły oczu, cóż więc robi dowcipny ten ptaszek? Oto wpadł na pomysł, który go zabezpiecza, bo odkrywszy w lesie rój pszczoł osiadłych w drzewie, idzie szukać myśliwca, który żyjąc z polowania, rad się po drodze i w miód zaopatrzyć. Skrzydlaty rabuś, który zresztą nie odznacza się ani pięknem upierzeniem, ani śpiewem, i nie buduje nawet własnego gniazda, tylko jak nasza kukulka oddaje jaja pod cudzą opiekę, skrzydlaty ten rabuś więc odnalazszy polującego na pszczoły człowieka, krąży nad jego głową i póty ćwierka i piszczy, póki nie zwróci na siebie uwagi, i nie da poznać, że gotów jest być myśliwemu przewodnikiem w wyszukaniu pszczoł.

Na znak porozumienia polujący zaczyna gwizdać na ptaka, mniej więcęj tak jak na wyźła, bo ten nowy sprzymierzeniec oddaje mu tęg samą posługę. Rozumiejąc doskonale czego od niego żąda człowiek, przelatuje z krzaka na krzak i doprowadza go w końcu do drzewa, w którym rój pszczoł obrał sobie siedlisko, a potem ostrożnie usuwa się na bok, czekając spokojnie na należną sobie część zdobyczy. Biedne pszczoły podkurzone dymem z suchych liści, uciekają, zostawiając miód i воск, myśliwy wszystko zabiera, a mały jego pomocnik zajada spokojnie słodki przysmak, który mu się dostał w nagrodę za zrobione odkrycie.

Mieszkańcy Australii inaczej znów radzą sobie, chcąc odnaleźć pszczoły. Niema tam ptaka-przewodnika, więc obmyślono inny sposób, za pomocą którego, pszczoły same przyprowadzają rabusia do gniazda.

Piękny pąsowy kwiat kaktusa mieści w sobie wiele słodkiego pyłku, wychodzi z niego pracowita pszczoła, a obciążona zdobyczą, nawet skrzydełka ma okryte tym pyłkiem. Pracownica poczciwa chce właśnie frunąć i odnieść swą zdobycz do ula, kiedy nagle oblewa ją strumień zimnęg wody, odurzona traci prawie przytomność, a wtem... Zaczajony myśliwiec, polujący na miód i воск, uważał dobrze, że mała robotnica weszła do kaktusowego kielicha. Przygotował więc wodę, oblał pszczołkę złapał odurzoną i zmoczoną, przykleił jęj do skrzydełka odrobinę bawełny, a potem ostrożnie położył owad na kwiatku i usunął się na bok. Co ztąd widziecie na rycinie naszęg.

Pszczoła uspokoiwszy się i przyszedłs niespodziewanęg kąpieli, wraca do ula. B



Prześladowcy pszczoł.

w ogrodzie naszego gospodarza kwitnącą śniegułę. Przedwczoraj było 25 stopni w słońcu, a 15 w cieniu; wczoraj 20 w słońcu, a 13 w cieniu. Dziś w chwili gdy to piszę, a jest godzina 3 po południu, termometr pokazuje tylko 11, dzień pochmurny i słońce dopiero się ukazuje, ale powietrze zupełnie spokojne, bo miasto otoczone jest górami prócz od południa. Mimo tęg temperatury, mamy ślizgawkę; ojciec ją wczoraj oglądał. Gdzieś w cieniu pod górą jest trochę wody zamarżłęg; widocznie były tu już mrozy i w zaułku do którego słońce nie dochodzi, lód się dotąd utrzymał. Ślizga się tu kilkadziesiąt osób; będę i ja używał, gdy wy tam może w Saskim ogrodzie uciechy tęg mieć nie będziecie, jeżeli mróz nie dopisze.

Hrabstwo Gorycy obejmuje 87 mil kwadratowych, i liczy

my jak don Kiszot z wiatrakami, zabieramy się do walki ze spokojnymi zwierzętami.

— Baran dziki, a zwłaszcza baran górski nie jest wcale tak łagodnym jak baran domowy — rzekł Melchior. Nie następuje ludzi, bo nie jest mięsożernym i żywi się tylko roślinami; ale potężne uderzenie ogromnymi, wygiętymi jego rogami, lub silnym widłowatym kopytem nie jest wcale przyjemnym, tembardziej, że bieży zazwyczaj całem wielkiem stadem. To które bieży ku nam, zdaje mi się ogromne i rozpedzone szalenie Strzeżmy się stanąć mu na drodze.

— Cóż pomoga nasze strzelby przeciw takiemu mnóstwu? — spytał Tomek.

— Mogą postraszyć stado i zmusić je do skierowania się w inną stronę.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy przodownicy stada ukazali się na załamie drogi. Zwierzęta zatrzymały się na widok wędrowców i przypatrywały z podziwem przez chwilę. Baran przewodnik hałaśliwie wciągnął powietrze w płuca, uderzając nogą w ziemię gwałtownie, jakby tem nakazywał powstrzymać bieg pędzącemu za nim stadu, ale inne barany uniesione własnym rozpędem pędziły dalej zmuszając tem i wodza do biegu.

— O mój wuju! nie zabijaj tego biednego zwierzęcia! proszę cię! — wołał Tomek, gdy Melchior brał na cel.

Baran-wódz zbliżał się szybko, aż o jakie czterdzieści już kroków zwęszywszy zapewne dzikie zwierzęta uwięzione, panterę zwłaszcza, zwrócił się nagle w bok i znowu popędził galopem. Stado stanęło na chwilę, nie wiedząc co się dzieje, ale gdy następny baran z kolei odskoczył w tył, z jakimś chrapaniem pełen przerażenia, wtedy pędzące za nim, pojmując że straszny jakiś nieprzyjaciel jest przed niemi, zwróciły się w miejscu jak dwa pierwsze, i całe stado pognało z góry na dół na złamanie karku, z taką chyżością, że kamienie z pod kopyt rozlatywały się daleko, we wszystkich kierunkach. Jeden z największych baranów posliznął się i spadł w głęboką dolinę w pośród łąny zboża. Stado nie zwolniło szalonego rozpędu aż dosięgło koryta małej rzeczki, nienależącej wśród skał okolicznych.

— One rozum straciły — rzekł Tomek, śmiejąc się i patrząc za niemi.

— Chyba — odpowiedział Menito, śmiejąc się także — inaczej wiedziałyby że w Stanie Guerrero nie wolno jest cisnąć kamieni na pole sąsiednie.

— Szcześnie, że nam dały pokój — rzekł Melchior.

Psy już od godziny były niewidzialne, gdy wtem usłyszano ich szczekanie i wycie w głębokim lesistym parowie poniżej wędrowców. Właśnie rozmyślano co ich tam mogło zwabić, gdy ujrano je jak wypadły z tamtąd, skoczyły ku drodze, a potem stanęły nagle przed kępą drzew na brzegu parowu. Tak stojąc, szczekały chórem gwałtownie nie ruszając się krokiem z miejsca. Nareszcie chart skierował się ku kępie drzew, węsząc po ziemi i skoczył w gestwinę, ale równie chyżo wyskoczył z nię napowrót, cały zbroczony i pobiegł do myśliwych schowawszy ogon pod siebie, skomląc żałośnie.

— Tam jest puma!... a otóż go i macie!... — rzekł wóznica.

Zwierzę z rodzaju kota, a wielkości pantery wysunęło się z gestwiny i ostrożnie podeszło na brzeg jaru, tu położyło się, zbierając nogi pod siebie, a ogonem poruszając w lewo i w prawo, jak kot czający się do skoku na myszkę. Wędrowcy mogli mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Był to przepyszny exemplarz czworonoga, o futrze płowem z ciemniejszymi plamami, zwany *lwem amerykańskim*, bo prawdziwy lew nie istnieje w nowym świecie, a imię amerykańskiego właściwe jest *kuguar* lub *puma* jak go z hiszpańska nazwał wóznica Piotrek. Ciągłe machając ogonem, zwierzę pełzając zblżyło się do psów, które szczekając zajadłe, przecięż rozsądnie trzymały się zdala. Melchior sam nie wiedział co czynić, bo i pumę pragnąłby pojąć i lękał się, aby ten na psy nie skoczył; a wtem rozległ się wystrzał. Kuguar podskoczył a potem popędził z góry w dół po skałach, rycząc okropnie.

To wóznica wystrzelił.

Psy rzuciły się za lwem w pogoń z podwojonem szczekaniem, ale zawsze trzymając się w pewnej od niego odległości. Spadziłość kończyła się głęboką rozpadliną, niby paszcza armatnia, olbrzymia, jak też i nazywają takie rozpadliny w Meksyku; na dnie przepaści mrucał strumień. Dopadłszy brzegu przepaści, kuguar zebrał członki do skoku i jednym rzutem przesadził rozpadlinę na drugą stronę. Tu odwrócił się zwolna z tym wyrazem wzdurliwej powagi właściwej temu rodzajowi, i rozciągnął się na skale na brzegu przepaści, jakby chciał podrażnić swoją krwią zimną, rozszalałą a bezsilną pogoń.

Pięciu psów zdołało zatrzymać się nad przepaścią, szczekając zajadłe, ale szósty nie mógł zapanować nad siłą rozpędu, i stoczył się na dno rozpadliny, w której szum potoku zagłuszył rozpaczliwe jego szczekania.

Myśliwi chcieli koniecznie i próbowali przekonać się co się z nim stało, aby go poratować, ale przepaść była tak głęboka, stroma i ciemna, że nie pozostawało żadnej nadziei ocalenia biednego zwierzęcia.

Droga którą podróżni szli już od kilku godzin była niezmiernie kręta i zawrotna, to też Piotr ofiarował się wskazać inną daleko prostszą i krótszą.

— Tylko dodał — trzeba będzie żeby wasz przewodnik poprowadził mój wóz przez kilka godzin. Zmylić drogi nie może bo jest to jedyna droga wozowa przez te góry ścieżka dochodzi znów do nię z tamtej strony góry. Zabiorę jednak moję starą Korę, bo jest tak uparta, że Daby Simon nie dałby sobie z nią rady, gdyby została bezemnie.

Mówiąc to odprzegł starą klacz idącą obok drugiego konia u wozu, u którego pełniła takie same obowiązki jak piąte koło u karety.

Ścieżka wśród przepaści stała się wkrótce tak spadziłą, że bardzo trudno było wdzierać się na nią. Jednakże Kora szła ciągle za swoim panem, posłusznie jak pies. Gdy kopyta nie były dostateczną pomocą we wdzieraniu się na skaliste wyżyny, konisko radziło sobie dziwnym sposobem, czepiając się zębami krzaków i korzeni po drodze i wdzierając się tak coraz wyżej, co w najwyższym stopniu zdumiewało Tomka. Była to prawdziwa górską szkapka.

— To jest płaszczyna Tarifa — rzekł nowy przewodnik dosięgłszy małej przestrzeni utworzonej z płaskiego kamienia w pobliżu szczytów.

— Te góry pełne są jaskiń i szczelin, które doskonale dają pumom schronienie — zauważył Piotr. — To też już tylko tutaj istnieją one jeszcze, bo wszędzie zresztą poluje się na nie, liczba ich z każdym dniem się zmniejsza szybko; nie dziwiłbym się gdyby ich za kilka lat zabrakło.

Wędrowcy potrzebowali spocząć, postanowiono więc zatrzymać się pod drzewami w pobliżu, około których latały ptaki wielkości i barwy sójki, wyjąwszy tylko, że niebieska barwa na skrzydłach była ciemniejsza.

— Aha już wiem co to jest, tu się gnieźdzą „cornexy” — rzekł Menito przyglądając się ptakom.

— Już widzę czemu one tak latają — dodał Tomek — oto tam mają gniazdo na drugim drzewie, czekajcie pójdę po nie.

— Na miłość Bożką strzeż się pan, nie ruszaj je, jeżeli nie chcesz żeby na ciebie całe ich stado napadło w jednej chwili — zawołał Menito.

— To co? czy ty się boisz takich ptaków?

— Nie, nie boję się, ale wiem co to są te ptaki, a pan wcale nic o tem nie wiesz jak widzę.

— A więc się dowiem! — rzekł Tomek, wspinając się na drzewo. Gdy ojciec i matka właściciela gniazda ujrżeli Tomka, zaczęły wydawać straszne krzyki, które wnet sprawadziły mnóstwo siostr, braci, wujów, stryjów, ciotek, krewnych i krewniaczek, ci zaś chórem zaczęły przeraźliwie pomagać wrzeszcze zagrożonym rodzicom. Mimo tego ogłuszającego koncertu, Tomek wdierał się coraz wyżej na drzewo.

— Jest pięcioro małych w gnieździe — zawołał dostawszy się na poziom gniazda — czy mam je zabrać?

— Oczywiście, jeżeli są dostatecznie odchowane.

Zamiar ten łatwiej było powziąć niż wykonać. Tomek dobił chustkę, ale w chwili gdy sięgał do gniazda aby zabrać małe, wszystkie ptaki spadły na niego jak rój rozszalonych szerszeni, latając mu tuż koło twarzy, bijąc go skrzydłami i dziobem czepiając się sukien i nóg jego, pomimo że kopał co sił stało. Menito przypatrując się z dołu tej walce, wyrzekł śmiejąc się:

— Najlepiejbyś pan zrobił, gdybyś je grzecznie przeprosił i uciekł.

Tomek nie odpowiedział, lecz owinąwszy pisklęta jak mógł najlepiej zaczął złazić ostrożnie z drzewa, pomagając sobie kolanami i lewą ręką, a prawą zasłaniając twarz. Ptaki ciągle go prześladowały, aż zobaczywszy Melchiora i innych, zaczęły oddalać się jeden po drugim, z wyjątkiem matki piskląt, która ciągle ścigała porywcę, dobierając mu się gwałtem do oczu. Zniecierpliwiony Tomek zatrzymując się w odwrocie na dół, poczęstował ptaka takim kułakiem, że aż koziołka wyrzucił w powietrzu. Sprowadziło to nową napaść oburzonych krewnych i to tak zajadła, że po chwili Melchior wsadzając pisklęta do odpowiedniej klatki pomyślał, że o mało nie kosztowały go zbyt drogo.

Wędrowcy obozowali na noc przy małym strumyku, który dostarczył wicherzy daleko lepszej niż się spodziewano, gdyż obfitował w doskonałe pstrągi, zaś okoliczne jary dostarczały wyborynych wetów z ananasów i innych tym podobnych pysznych owoców; bo chociaż szczyty Andów pokryte są wiecznymi śniegami, przecież u stóp ich właśnie objawia się w całej swjej okazałości bujna roślinność podzwrotnikowa.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Róża i jej woń.** Wiadomo jest, że niejako za ojczyznę róż uważaną powszechnie była Persya, a w szczególności okolica znana pod nazwą: „Doliny róż”. Dziś jednak krzew ten, do tego stopnia tam wyniszczony, że dziwną koleją rzeczy, szach perski sprowadza do swych ogrodów naodwrot różę z Europy. Gatunki, które się tam jeszcze zachowały, są już niższej wartości, tak pod względem zewnętrznego piękna jak i zapachu. Największą ilość róż uprawiają obecnie Francya i Bułgarya, pierwsza szczególnie w okolicach Nicei, druga przy stokach gór Bałkańskich. Nie jest to jednak hodowla, do której zabiera się ktoś, szczególnie zamilowany w tym przepysznym kwiecie, zgromadzający do swych ogrodów okazy o przeróżnych barwach i woni, bo takich hodowców amatorów jest dużo w każdym zakątku Europy, i u nas ogrody nie rzadko są uposażone w najpiękniejsze okazy róż. Ale miejscowości, o których wyżej wspomnieliśmy, uprawiają tę roślinę w celach przemysłowych, to jest na wyrób olejku różanego, i dla tego dobierają gatunki posiadające najpiękniejszą i najdelikatniejszą woń, a wydające najwięcej olejku. Bułgarya hoduje przedewszystkiem różę czerwoną, znaną tam pod nazwą damasceny (*Rosa damascaena*) o zapachu nadzwyczaj delikatnym, we Francji zaś szczególniejsze pierwszeństwo oddają pod tym względem centyfollii (*Rosa centifolia*). Gatunek ten zdobył dawniej w wielkiej ilości i nasze ogrody, dziś jednak niesłusznie ustąpić musiał pierwszeństwa różom tak

zwanym sztamowym, które ogrodnicy umieją hodować w tyśiącznych niemal odmianach kształtu, barwy i zapachu. Co do tego ostatniego przymiotu zauważyć nam szczególniejszypada, że żadna roślina nie odznacza się takim bogactwem i rozmaitością jak właśnie ta królowa kwiatów. Są róże, które mają sobie tylko właściwy zapach, który nazwiemy różanym, inne wonią swą przypominają zapach fiołków, konwalii, rezedy, ananasów i herbaty. Co więc, jeżeli badać będziemy kwiat róży o rozmaitych porach dnia, to przekonamy się, że ten sam kwiat inny ma zapach, gdy jeszcze lśni na nim rosa poranna, gdy pod południowymi promieniami słońca pochyli się niejako wspaniałe jego kielich, a inny jeszcze nad wieczorem. Są to jednak subtelności, które wydolikaczone tylko, że tak nazwiemy powonienie, umie jedynie rozróżnić.

## SZARADA.

Pierwsze i drugie we włoskiej mowie,  
I wszędzie, tak się dom letni zowie.  
Gdy księżyc wężki jak sierp znajdziecie  
W górze, w dniach pierwszych miesiąca trzeciej;  
Wszystko, zaś pałac blisko Warszawy,  
Ustroń pamiętna, gdzie pełen sławy,  
Ale od szczęścia bardzo daleki,  
Król dobry oczy zamknął na wieki.

## LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożona przez Jadwigę Zaranek dla najdroższej mamy na dzień jej imienin.

Wyrazów 13. Początkowe i końcowe litery oznaczają życzenie. Sylaby: ~~U~~ — ~~kt~~ — ~~onem~~ — ~~Zo~~ — ~~li~~ — ~~nyż~~ — ~~sana~~ — ~~or~~ — ~~no~~ — ~~raw~~ — ~~Kró~~ — ~~dya~~ — ~~ki~~ — ~~lan~~ — ~~noc~~ — ~~wisz~~ — ~~na~~ — ~~—~~ Znaczenie wyrazów: 1. Osobistości mitologiczne w 1 p. l. m. 2. Roślina. 3. Inaczej polowanie w 1 p. l. m. 4. Czasownik w trybie bezokolicznym. 5. Bożek grecki. 6. Samogłoska i spółgłoska. 7. Tytuł oznaczający władzę. 8. Imię męzkie. 9. Samogłoska i spółgłoska. 10. Miasto należące do Prus. 11. Ptak brodzący. 12. Zwierzęta domowe. 13. Kraj w Europie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go

### Zagadki:

O b l a k a n i e.

### Lamigłównki sylabowej:

1. Kakao. 2. Olgierd. 3. Christianshaab. 4. Husyci.
5. Archeologia. 6. Narwał. 7. Erie. 8. Jaley. 9. Galop.
10. Ochockie. 11. Łotr. 12. Ae. 13. Bawół. 14. Cook.
15. Enysoli.

Kochanej Gołąbce od Białej Perelki.

**TREŚĆ:** Władysław Taczanowski (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa. (c. d.) — Korespondencya Wieczorów Rodziny, list Stefanka do młodszych braci. — Prześladowcy pszczoł (z drzew.) — Most przez kanał La Manche (z drzew.) — Obrazki z literatury p. Z. Morawską. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Lamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Suchy chleb (z drzew.) — Powiastka o Stasiu, który starszej siostry nie chciał słuchać, wiersz p. Gabryelę Jasieńską. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Lamigłównki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## SUCHY CHLEB.

+

Frania była chorowitem dzieckiem, pobłażano jęj zatem przez wzgląd na słabe zdrowie, a ona też skutkiem tego nabrała różnych wad nieznośnych. Między innemi, nie mając nigdy wielkiej ochoty do jedzenia, zwyczajnie jako niezdrowa, zaczęła okrutnie wybredzać, wszystko jęj było niedobre i niesmaczne, zawsze chciało się nie tego właśnie co dawano. Napróżno bona tłómaczyła że musi być dobrem to co mama daje, i że są dzieci nieszczęśliwe, które z suchego kawałka chleba byłyby rade.

— Co ty tam robisz, malutki? — spytała Frania, chociaż chłopak większy był od nięj.

— Chciałbym złowić jaką rybkę, tobym ją uprażył na węglach i zjadł, ale tu niema widać rybek, a mnie się jeść chce okropnie...

— Jaka szkoda że nie wzięłam z domu ciastka — zawołała Frania i szukając w kieszeni, dodała wyjmując zeń czarny i zeschnięty kawał razowego chleba. — Bo tego przecież byś nie jadł... Ale biedny chłopak ujrawszy chleb, rzucił się nań gryząc go tak chciwie, aż mu trzeszczała w zębach kromka w pół zeschnięta.

— Jakto?... Taki okropnie głodny jesteś? — zawo-



Suchy chleb.

Frania wzruszała tylko na to ramionami nie wierząc wcale. Pewnego popołudnia przy podwieczorku rozgrymasiła się tak okropnie, że bona rady sobie z nią dać nie mogła, a dziewczynka bardzo jeszcze niemądra, jak widać, oświadczyła że pójdzie sobie precz z domu, w którym nie dostaje tego co lubi.

— Jak ci się podoba, moja Franiu — odrzekła bona — włożę ci tylko w kieszonkę kawał czerstwego razowego chleba abyś nie umarła z głodu. Frania wzruszyła ramionami i poszła ani wiedząc gdzie i poco.

Szła, szła, aż ją nogi zabolaly, wtedy obejrzała się: była sama jedna koło jakiegoś ogrodzenia z kamieni, kilka drzew zieleniło się tu i owdzie a nad małą strugą siedział ubogi chłopak i trzymając kij ze sznurkiem coś tam w nięj upatrywał.

łała Frania, przerażona do najwyższego stopnia tym widokiem. Ale chłopak nie miał czasu nawet odpowiadać, tak gryzł zapamiętałe, a Frani patrząc na to z przestraszeniem, poraz pierwszy w życiu przyszło na myśl, że to co bona mówiła o głodnych nieszczęśliwych dzieciach, było prawdą, i ogarnął ją taki lęk okropny, że na raz wybuchnęła płaczem, wołając ze wszystkich sił:

— Mamo! Tatku! Bono ratuj! ratujcie! — Bona która ciągle szła z daleka za kapryśną dziewczynką, kryjąc się za ogrodzeniem kamiennem, przybiegła zaraz, i wzięła Franię na ręce, a ta łkając przytuliła się do nięj.

Odtąd nigdy już Frania nie wybredzała w jedzeniu, bo ilekroć kładła do ust przysmaczek, zawsze stawał jęj w oczach biedny głodny chłopak, gryzący twardą kromkę suchego chleba.

Powiatka o Stasiu, który starszej siostry nie chciał słuchać.

Na dworze mroźno i zawierucha,  
Sople się iskrzą na krzewów szczytce,  
Lecz nasz Jaś woła, udając zuchla,  
„Toż to się ślizgać dziś znakomicie!  
„Skończyłem lekcye, byłem w kościele,  
„Jużem niedzielne zrobił zadanie;  
„Dawaj Franusiu drugie śniadanie,  
„Przygotuj łyżwy, podaj szynele!

\* \* \*

„Nie idźże dzisiaj, siostra doń rzecze,  
„Takie tam straszne zimno na dworze,  
„Co się odwlecze, to nie uciecze.  
„Dzisiaj ci uszy zmarzną nieboże”.

\* \* \*

Lecz Jaś nie piecuch, bohater przecie.  
O! aby jego zimno nie straszy,  
Pójdzie chociażby odmroził uszy;  
Przecie ślizgawki nie będzie w lecie!

\* \* \*

„Przynajmniej proszę nie zdjąć szyneli,  
„Na ręce ciepłe włóż rękawiczki,  
„Choćby się z ciebie koledzy śmieli,  
„Nie zważaj na nich, słuchaj siostrzyczki”.

\* \* \*

Jaś sypnął w kieszeń garstkę pieniędzy  
Nowiutkie łyżwy pochwycił w dłonie,  
I do cyklistów pobiegł czempredź,  
Żeby się ślizgać w kolegów gronie.  
Tu w jednej chwili łyżwy przypina,  
Na lód się puszcza, objężdża w koło;  
Choć w ciepłym futrze jeździ chłopczyna,  
Trochę mu zimno — ale wesoło!

\* \* \*

Nagle! spotyka Lucia i Frania,  
Dwóch dużych chłopców, choć z jego klasy...  
Na jednej ławce robią zadania,  
Chociaż on mały, oni — dryblasy.

\* \* \*

„Hej, hej, wołają, panie kolego,  
„Któż to w szynelu jeździ po lodzie?  
„I w rękawiczkach jeszcze do tego!  
„To u cyklistów wcale nie w modzie.  
„Ściągnij kolega te fircyfuszki.  
Puszczaj się śmiało, miej tęgą minę!  
„A nie! to schowaj w kalosze nóżki  
„I nos zmarznięty włóż pod pierzynę!

\* \* \*

Jaś się zawstydzził „Cóż to myślicie,  
„Żem zmarzluch może! Szynel pod ławę  
Rzucił z pogardą, (niemądre dziecię!)  
I z kolegami zaczął zabawę.  
Minęła jedna, druga godzina;  
Mróz pod stopami istry jak gwiazda.  
Nasz chłopak marznie, lecz tęga mina,  
„Toż mi dopiero po lodzie jazda”!

\* \* \*

Lecz za to później? o! nie wesoło  
Się zakończyły Józia swawole;  
Na długi czas się pożegnał z szkołą;  
Dziś leży biedak, w gardle go kole,  
„Czemużeś wołał kolegów rady,  
„Niż słuchać przestróg twój starszej siostry?  
„O! teraz leżysz chory i blade,  
W piersiach ci kaszel dokucza ostro.  
I podczas kiedy inni się bawią,  
Ciebie wyrzuty sumienia dławią.

*Gabryela Jasieńska.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKĄ.

### I.

— Ot już i po wszystkim — mówił do siebie półgłosem dwunastoletni Wicus, spuściwszy nos na kwintę i dźwigając na szczupłych plecach duży pakunek z książkami; wakacje były ale ich już niema i znów trzeba maszerować do klasy, żeby ja!... tu urwał, bo przypomniał sobie połajanie mamy, gdy takiego wyrażenia użył do siostry swojej, Józi. Ej co tam! pomyślał po chwili wahanania, klasa to przecież nie Józia, za klasę nikt na mnie gniewać się nie będzie. Ach jak to nudno będzie teraz się uczyć. Poco ludzie naukę wymyślili, to zawracanie głowy tylko i kwita, jak mówi kucharka Marysia, i ona ma rację, choć przecie do gimnazjum nigdy nie chodziła. Gdybym ja był tatusiem, nigdybym synowi nie kazał się uczyć.

Te i tym podobne głębokie myśli, tak zajęły naszego młodzieńca, że szkoła zupełnie wyleciała mu z pamięci, rozmyślał tylko nad marnością tego świata, jakimi są książki, zadania i inne, równie niepożyteczne w jego przekonaniu, urzędzenia. Za to polowanie na wsi, huśtawka, lub kąpiel w sadzawce, to dopiero rozkosz; a tu w tej szkaradnej Warszawie nawet ptaszka złapać nie można...

Wtem dalsze rozmyślenia przerwał mu silny ból, nosa. Wicus leżał jak długi na ziemi, a przed nim stał obdarty i brudny ulicznik, trzymając się za nos, który z nosem Wicusowym tak raptowną zawarł znajomość.

— Aha! złapałeś zająca panie kawalerze — zawołał — w Warszawie na ulicy zająca, ho, ho! to mi dopiero myśliwy! i aż boki zrywał z serdecznego śmiechu.

Wicus w pierwszej chwili nie zrozumiał, co od niego chciano, o jakim zającu, o jakim myśliwym mówił ten chłopiec. Rozejrzył się w około i spostrzegł, że oprócz ulicznika, stały nad nim także dwie pensyonarki którym on swoją leżącą na trotuarze osobą, zastąpił drogę do szkoły. Dziewczynki śmiały się tak głośno, że zawstydzony Wicus zerwał się na równe nogi i z zarumienioną od gniewu twarzą, zwrócił się do ulicznika, by go ukarać za wyrządzoną sobie obelgę. Lecz ten był o tyle roztropny, że w słusznym przewidywaniu nieprzyjemnych dla siebie następstw, uciekł już i z daleka z drugiej strony ulicy, skrobał marchewkę na palcu.

— Fel jak on jest źle wychowany — rzekła jedna pensyonarka do drugiej, rzucając pogardliwe spojrzenie na swawolnego ulicznika — widziałeś Lolu, on umyślnie nogę temu miłemu chłopcu podstawił.

— A jakże, widziałam; ten kawaler może lekcyę sobie powtarzał i nie uważał wcale na niego; bardzo mi go żal.

— I mnie także — rzekła Zosia — tak mu ładnie w tym zielonym mundurku, i obie dziewczynki spojrzwały z wdzięcznym uśmiechem na Wicusia, który słysząc ich rozmowę, zaraz nabrał fantazyi, wyprostował się z zadowoleniem, rzadka przedtem mina znikła zupełnie, ustępując miejsca zwykłej pewności siebie, przestał myśleć o zemście, które uczucie uważał za niegodne drugoklasisty; zdjął z głowy czapeczkę i zrećnie ukłonił się panienkom, z podziękowaniem za życzliwe słowa.

Zosia i Lola, nie znajdując już przeszkody na swęj drodze, poszły dalej i wkrótce skrzyły w boczną ulicę. Wicusz westchnął i wprost przed siebie szedł powoli, bo o gimnazyum zupełnie zapomniał. Gdy wszedł na dziedziniec szkolny, panująca tam cisza przeraziła go trochę. Czy to jeszcze tak wcześniej? pomyślał, ale gwar, jaki usłyszał w gmachu gimnazyalnym upewnił go o smutnej rzeczywistości. Było już kwadrans po dziewiątej.

— A to śliczna awantura, spóźniłem się o całe piętnaście minut, — i nieciekawa była minka Wicusia, gdy wchodził do klasy i gdy trzydzieści dwie pary oczu ze zdziwieniem zwróciły się ku niemu. Ale jeszcze mniej ciekawa była mina pana profesora, to też Wicusz wołał na niego nie patrzeć; cicho, skromnie, ze spuszczonei w dół oczyma, prześliznął się przez rzędy ławek i w milczeniu zajął swoje miejsce.

Dnia tego matka Wicusia długo czekała na niego z obiadem; dawno minęła godzina czwarta, a synek nie wracał. Wszyscy byli bardzo głodni, więc pani Z. kazała podawać do stołu. Gdy koło godziny siódmej pan uczeń powrócił ze szkoły, już było w pokoju sprzątnięte i ani wzmianki o obiedzie. Chłopczykowi zrobiło się jakoś smutno, poszedł więc do pokoju mamy i opowiedział jęj cały swój nieszczęśliwy ranny wypadek. Pani Z. uśmiechała się przy tem opowiadaniu, i widząc, że całym powodem tęg sprawy, było tylko roztrzepanie jęg synka, za które i tak srogo upokorzeniem kozy został ukarany, kazała mu podać smaczny obiadek, grzejący się w piecu dla niego.

## II.

Przez cały następny tydzień Wicusz starał się dobrem sprawowaniem i pilnością zatrzeć niemile wrażenie, jakie sprawił na zarządzie szkolnym pierwszym swem przewinieniem, chodziło mu bowiem o opinię dobrego ucznia, nietyle z własnego przekonania, (bo w sekrecie dodajmy, że był z niego nawet porządny kawał próżniaka) ale przez miłość dla mamy, której marzeniem było, żeby Wicusz wyrósł na porządnego i rozsądnego człowieka.

-- A bo to ja jeszcze nie jestem porządnym człowiekiem — mawiał nieraz, przed dużym lustrem w salonie, przypatrując się swęj małej figurce, przyczem stawał

na palcach, ażeby być wyższym, ale wtedy ten trzpiot Józia wołała:

Aha! na palcach stoisz, na palcach! to mi dopiero sztuka; a gdybym ja stanęła na stole, tobym i od ciebie nawet była wyższa.

Wicusia odkrycie to wprawiło w zły humor.

— Et, zawsze niemądra jesteś, już ja ci to powiadam; i teraz także niemądrą rzecz powiedziałaś: stół przecie nie jest twój, a palce moje własne.

— Prawda — przyznawała Zosia z głębokiem przekonaniem, i zawstydzona przestawała dalszję sprzeciżki.

— A widzisz! nie mięszaj się nigdy do starszych, już ja ci to powiadam — kończył z miną zwyciężką Wicusz — a Józia milkła jak trusia.

Była to jedyna istota, której Wicusz umiał zaimponować swą wielkością, choć nieraz więcej od niego miała rozsądku; wszysey inni śmieli się z zarozumiałości chłopczyka, a pani Z. martwiła się nią naprawdę, starając się go wszelkiemi sposobami z tęg wady wyleczyć.

Pewnego dnia wrócił Wicusz z gimnazyum w różowym humorze, ale w tak różowym, że do nauki wcale mu się wziąć nie chciało.

(d. c. n.)

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(Ułożona przez Manię Zaranek dla najlepszję mamy na dzień jęg imienin).

Początkowe i końcowe litery stanowią życzenie. Sylaby: Za — Żup — I — CC — zi — Jed — I — dzi — Wit — jęc — be — do — O — Dach — E — Zam — le — helm — gi — e — Re — da — A — ze — Na — men — bęc. — Znaczenie wyrazów: 1. Odmiana wyrazu oznaczającego kopalnie soli w 2-im przyp. 1. m. 2. Miasto w Japonii. 3. Dwie spółgłoski. 4. Rzeka w Afryce. 5. Rodzaj poezyi w 1-ym p. 1. m. 6. Zwierzę jadalne. 7. Część domu. 8. Odmiana nazwy kwiatów. 9. Mieszkanie wojska. 10. Imię męzkie. 11. Imię żeńskie. 12. Wyraz zakończający modlitwę. 13. Imię męzkie.

## REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

S z a r a d a.

ŁamigłóWKi gŁoskowėj: Litera K.

## Skrzynka do listów.

**Czarnookiej z Puszczy** posyłamy chętnie żądane numera i liścik drukujemy, a za jej serdeczne dla nas wyrazy, serdeczne również żalążczamy uściśnienie.

**Żabka z Podola** nie tak znów brzydko pisze, zresztą zaradzi temu konkurs kaligrafii, tymczasem mile witamy w gronie korespondentek malutką tę Żabkę.

**Biała Akacyo**, więc zanim staruszką zostaniesz, chcesz nowymi tryumfami uwiecznić dni twój młodości? Pomyślimy może o tem...

**Blondynie**, cierpliwości więcęć, „tylko jak można najprędzej”!

Nie wiemy jeszcze, czy będzie mogło stać się zadość życzeniu **Czarnego Gołąbka**, ale *uprzejmą prośbę* zawsze staramy się uwzględnić.

**Pomarańczarka rzymska**, nowa i miła zresztą korespondentka, jest ciekawą! temu zaprzeczć niepodobna. Nie we wszystkim jednak potrafimy zadowolnić jej ciekawość. Na liściki odpisuje osoba, kochająca działwę serdecznie, Gołąbka jest... Gołąbką, lada chwila odrunąć gotową, szczególnie, gdy się ją pytaniami spłoszy. Zadanie konkursowe niedługo będzie ogłoszonem. Co do lamigłówek, szarad, zagadek, tych istotnie mamy stosy, na które się wcale nie „użalamy”, ale właśnie z powodu ich nawału, nowo-przysłane długo muszą czekać na swoje kolej. Liściki powinny być przysyłane na osobnych karteczkach i o stosowanie się do tego warunku bardzo prosimy, bo nam to roboty oszczędza.

**Marnotrawnemu synowi**, który jest córeczką, **Złotą Przędzą**, serdecznie dziękujemy za pełne serca słowa. Staną one za wszystkie życzenia...

Co nam bynajmniej nie przeszkadza **Litwince z nad Szczary** podziękować za te, jakie nam przysłała. Hojnie nam płacicie za pracę, poczciwe kochane dzieci... O konkursie przemysłowym już zwolna, zanim go ogłosimy dla starszych, musimy dać młodszemu naszym czytelnikom, dawno przez nich pożądane zadanie: konkursowe... kaligraficzne.

Kochana **Aka** już się milutkim swoim liścikiem najskuteczniej poleciła naszym „względom”.

Posłałiśmy już **Prawdzie** żądany początek powieści i cieszymy się, że postąpiła nareszcie zgodnie z „przekonaniem”. Nie zawiodło cię, dziewczeczko...

**Orła** chętnie także witamy, w nadziei, że król ptaków dobrotliwym się okaże dla tworów nie obdarzonych królewskością.

**Kampanella i Równianka** zgodne widać siostrzyczki, ucieszyły nas wiadomością, że odebrana od nas odpowiedź sprawiła im przyjemność.

**Sz. P. Hel. Poz. w K.** Dziękujemy za wyrazy uznania, nad które milsziej nie pragniemy nagrody. Pisma wyprawimy pod właściwym adresem. Przysłane nam z opłatkiem życzenia, streszczają w sobie wszystko, czego człowiek pragnąć powinien. Bóg zapłać za nie...

Miła **Niezapominajko z nad Warty**. Dzięki ci składam za twą odpowiedź; jakże się cieszę, że chcesz korespondować ze mną. Donoszę ci że mieszkam w gub. Grodzieński i uczę się w domu; dalsze szczegóły o mnie dowiesz się, czytając list do Litwinki w numerze 33 1889 roku. Napisz mi co o sobie, czy mieszkasz w ks. Poznańskim? gdzie się uczysz i co robisz w wolnych chwilach? Jaką dostałaś nagrodę na ostatnim konkursie? Ściskam cię serdecznie i posyłam szaradę. *Litwinka z nad Szczary*.

Droga **Sarenko z nad Morocz**! Za liścik serdecznie ci dziękuję, domyślałam się kim jesteś, nazwisko twoje od D. się zaczyna? **Gabryelcia** już nieźle pisze, lecz **Staś** i **Anulka** bawią się tylko dotąd. Mam nadzieję, że kiedyś się poznamy bliżej, tymczasem zaś przez nasze **Pisemko** możemy korespondować. Stokrotce z nad

Stochodu, **Niezapominajce z nad Warty**, **Gwiazdce Jeruzolimskiej**, **Jaskółce z nad Ussy** i **Królowej Wrózek** noworoczne życzenia przesyłam. *Czeska Niezapbudka*.

Miła **Liro Śpiewna!** Czemu tak długo na odpowiedź czekać mi dajesz? A wy staruszki **Niezapbudko Czeska**, **Westalko** i **Cyganecko z nad Wisły** czy chcecie zemną korespondować? **Gloksynio** pisałam do ciebie liścik w numerze 51, tylko redakcja nie zamieściła twego pseudonimu! **Stokrotko z nad Stochodu** czy czytałaś rzecz o „**Psiejdzie**”? Całuję was serdecznie mile siostrzyczki, *Kapłanka Znicza*.

Kochane: **Biała Chmurko**, **Wodne Bączywie z Warty** i **Brzózko srebrna!** **Biała Chmurko** nazywasz się **Zosia Ż.**, masz 11 lat. Nie łatwo się domyślałam. **Wodne Bączywie**, jeśli się chcesz czegoś o mnie dowiedzieć, to przeczytaj w numerze 42 mój list do **Firletki**. Bardzo mi się podobała twa powiastka **Brzózko**, ciewam ile masz lat? Całuję was drogie siostrzyczki, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Miła **Gwiazdo!** Zdaje mi się że jesteś **Jadwisią H.** wiem od kogo masz o mnie wiadomości. Dziękuję ci za liścik i proszę o pisywanie do mnie. Do przyszłego konkursu chciałabym także należeć, jeżeli zadanie nie będzie nad moje siły. **Hania** pewnie wkrótce do ciebie napisze. *Kwiat Paproci*.

Kochane **Mgło** i **Muszko** brzęcząca! Znam was z opowiadania; tobie **Mgło** na imię **Mania** i masz lat 12, a tobie **Muszko** **Emcia** i masz lat 9. Nazwisko wasze zaczyna się od **P.** Mieszkacie w **Hrubieszowie**. Zgadnijcie kto jest *Gloksynia*.

Dziękuję ci kochana **Falo Morska** za twoją odpowiedź i donoszę, że jestem w równym wieku z tobą, mieszkam w **Warcie** na imię **mi** **Wacława**. Droga **Wiochno z pod Lublina**, podobałaś mi się bardzo z „**Wieczorów**”, napisz więc do mnie co o sobie. Ściskam was serdecznie, *Niezapominajka z nad Warty*.

Drogi **Poranku majowy!** Jestem bardzo szczęśliwa, że chcesz korespondować ze mną, muszę ci się zatem przedstawić, mam lat 13, na imię **mi** **Janina** i mieszkam w mieście gubernialnem, położonem najbliżej pruskiej granicy, zgadnij w jakim? Donieś mi co o sobie. Posyłam ci zadanie konikowe, lecz nie wiem czy je redakcja uzna za dobre. Całuję cię serdecznie i proszę bardzo o pamięć dla *Kwiatu Lotosu*.

Drogi **Poranku majowy!** Ja miałabym cię zapomnieć? O! nie, nigdy! Przepraszam bardzo, że nie odpisałam na twój miły liścik, za który przesyłam ci milion całusów, ale temu wszystkiemu winno roztargnienie, gdyż jestem dosyć roztrzępaną i zdawało mi się, że ci już odpisałam, a może i tak było, tylko przez prędkość nie włożyłam kartki do koperty, jak to już nieraz uczyniłam, ale się spostrzegłam, chociaż po wysłaniu listu. Napisz do mnie czy ładnie jest tam na **Podolu**? Tymczasem ściskam cię serdecznie. **Gospośi z nad Warty** i **Różyccze białej** także przesyłam uściśnienia. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Czaplo z nad Pohanki!** Nie jestem „**Wiewióreczką** **Inflantską**” i nie pisuję do „**Wieczorów**”, Cieszę się nadzieją, że gdy zdrowie mojej mamusi się poprawi, przyjedziemy do was. Twoich braciszków **Tadzia** i **Ignasia** widziałam w **Holakach**, ale kiedy poznam ciebie, **Kasię**, **Marysunię**, **Mełę**, **Hermanka** i **Stasia**?! Ściskam was wszystkich, wasza *Pszczółka z Wiaźmy*.

Podobał mi się bardzo twój pseudonym miły **Fiołeczku z nad Warty**, i pragnąłbym z tobą korespondować, zdaje mi się że cię znam, mieszkasz w **Warszawie**, nazywasz się **Zosia W.** Napisz mi czy i tobie tak jak mnie najlepiej się podoba w **Wieczorach** „**Szesnaścieletni Wojewoda**”. *Cierń*.

Kochana **Gwiazdo!** Bardzo mi się uśmiecha myśl i pisywanie do ciebie i poznania cię kiedyś; niestety! prawie nie znam panienek w moim wieku. Jakie są początkowe litery twego imienia, i w jakich okolicach mieszkasz? Mnie na imię **Celina** mam lat 13. **Chorowałam** i dla tego długo ci nie odpisywałam. Żegnaj cię, *Myszka biała*.



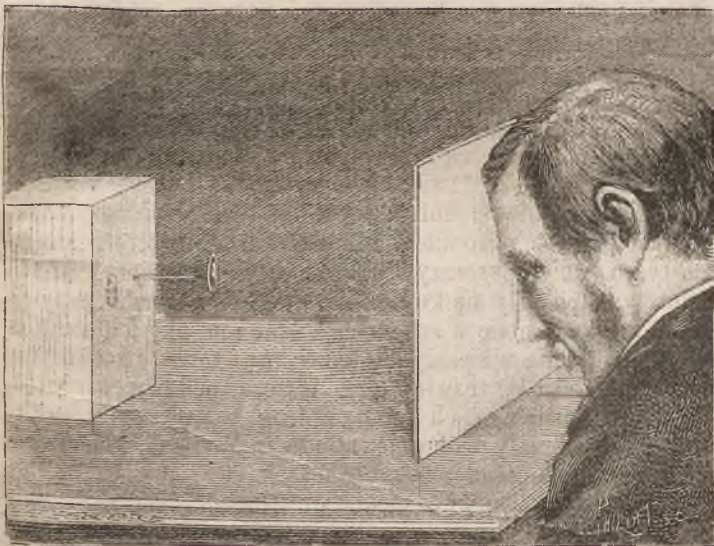


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Weźmy pudełko drewniane lub mocne tekturowe, i wtknąwszy weń gwoździe długości mniej więcej 8 centymetrów, umieścimy za pomocą wosku lub laku na główce gwoździa dużą monetę miedzianą, np. dziesięciogroszową. Obok zaś na pudełku, jak wskazuje rycina, przytwierdzimy tak samo drugą monetę znacznie mniejszą, np. sześciogroszową. Siedząc przy stoliku, na którym to pudełko będzie ustawione, rozłożymy przed sobą kawałek tektury, przekłówszy w nim małe otworki, około milimetra średnicy mający. A teraz, patrząc jednym okiem przez otworek, poprosimy drugie osoby, aby

powoli odsuwała pudełko, zrazu stojące blisko owego tekturowego ekranu. Zrazu oko będzie odróżniało dobrze rozmiary obu monet, lecz w pewnej opległości, od 15 do 25 centymetrów, zależy to od wzroku, obie monety wydadzą się nam zupełnie jednakowe.

Jest to złudzenie optyczne, ztąd pochodzące, że monety znajdują się w niejednakowej odległości od oka, większa jest bliżej, mniejsza dalej, a oko w tych warunkach, przez ten mały otworek przestaje tę różnicę odległości dokładnie oceniać. Przysuwając następnie powoli pudełko, można nawet natrafić na takie miejsce, z którego mniejszy pieniążek wydawać się będzie większy od drugiego.

### DO CZYTELNIKÓW.

Ulegając dochodzącym nas ciągle życzeniom młodych czytelników, ogłaszamy nowy konkurs:

Niech każdy opíše miejscowość w której mieszka, wieś lub miasto; określi w jakiej okolicy kraju się znajduje; jakie jest téj wsi czy tego miasta otoczenie, od wschodu, zachodu, południa i północy; gdzie jest dom mieszkalny piszącego, jak wygląda, jakie są w miejscowości téj wody, lasy i gleba; czy są w ziemi bogactwa mineralne i jakie mianowicie; jaka przeważa roślinność i jakich zwierząt spotyka się najwięcej. Jeżeli miejscowość ta była widownią ważnych zdarzeń historycznych, jeżeli posiada widome pamiątki przeszłości, jak ruiny zamków, pomniki lub kurhany, można je wymienić, jak również przywiązane do nich podania ludowe. Opisanie ubiorów ludu, jest także pożądané. Mieszkańcy miast niechaj wspomną jakie dane miasto posiada fabryki i jakimi wyrobami najwięcej się odznacza.

Nie wszystkie wymienione wyżej opisy są wymagane: kandydaci i kandydatki do konkursu mogą niektóre chociaż opracować, byle dokładnie i starannie.

Spodziewamy się że temat ten będzie miłym dla chcących stanąć do konkursu, miło jest bowiem mówić o tem co się kocha — a któżby nie kochał domu w którym się urodził lub wzrósł, lasu do którego biegał, łąki na której zbierał kwiaty i gonił motyle, i cmentarza którego mogiły kryją kości jego ojców i współbraci? Ktoby nie kochał tego wszystkiego?

Niech kandydaci do konkursu nie silą się na górnolotne wyrażenia i szumne okresy, ale niech opiszą poprostu to na co patrzą codziennie. Te domy, te drzewa, te lasy i wody, toż to ich dobrzy znajomi i przyjaciele—i jeżeli dotąd nie poznali ich dobrze lub mało zważali na nich, to niech teraz z niemi zapoznają się bliżej i opiszą ich zalety i wady. Niech piszą poprostu co myślą, a nadewszystko *bez pomocy starszych*, bo niesumiennie byłoby cudzą pracę podawać za własną — pisząc zaś niech pamiętają, że co jest szczere, niewymuszone i prosto z serca płynie, to drogą najkrótszą do serca czytelnika trafia.

Najlepsze wypracowanie otrzyma w nagrodę książkę p. t. „Doktor Muchołapski”; inne uznane za dobre, odznaczone zostaną pomniejszemi nagrodami lub wzmiankami zaszczytnemi.

Dzień 20-ty Marca oznacza się jako ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych.

Dla wiadomości nowo przybyłych prenumeratorów objaśniamy, że pseudonimy autorów wypracowań znajdować się mają w zamkniętych kopertach, a na każdej kopercie wypisany być ma znak, numer, lub wyraz, taki sam jak na wypracowaniu.

Redakcja.

## DO SIOSTRZYCZKI ZAKONNEJ.

Siostro moja, tyś szczęśliwa!

Twoja cicha łódź dopływa

Do przystani już;

Gdzie przyświeca łaski zorza,

Zkąd nie rzucą jej w bezdroża

Wichry ziemskich burz.

O! bezpiecznie w tej przystani,

Zkąd w pokoju ślą wybrani

Przed niebieski tron,

Świętych ofiar poczet długi,

Cichych modłów i zasługi,

Drogocenny plon.

Tam aniołów czyste grono,

Sieje w duszę wyzwoloną

Śnieżnej bieli kwiat,

Co gdy kwitnie u ołtarzy,

Już go tchnieniem nie znieważy,

Samolubny świat!

Tam w ponurą mgłę tęsknoty,

Wsnuje wątek szczerozłoty,

Cichy anioł twój;

A w żywota nowej dobie,

Duch światłości wzbudzi w tobie,

Nowy pociech zdroj.

Droga siostro, idź więc śmiało,

Nam się żalić nie przystało,

Gdy cię woła Bóg:

Łzą błagalną, cicho, święcie,

Za tych, którzy lgną w odmęcie,

Spłacaj Panu dług.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem mężczyźni pędzili jak wicher przez pusztę, pochyleni na karki końskie, aby łatwiej powietrze przecinać; to też świszczalo koło uszu, tak nieledwie jak kiedy je biczem gwałtownie przecinasz. Konie szalały w pół dzikie zawsze, nawet mimo tej sławnej tresury, jaką na wyścigach w Węgrzech czikosi zdumiewają i zwyciężają najlepszych dzokiejów angielskich. Z rozdętymi chrapami, rozplomionem okiem, ogonem i grzywą rozpuszczonemi na wichry, nietknięte w życiu biczem strzelającym im bezustannie nad głową, niosły tak niezmiernie chyżo i lekko, że jeźdźcom w rozkosznem złudzeniu zdało się, iż pusztą tylko pędzi i leci koło nich kędys w świat, a oni kołyszają się w miejscu, jak ptaki na falach powietrznych.

— A co? strach tobie? — spytał czikos Pal, zawsze z fajką w zębach, nachylony do ucha chłopca, trzymającego konia oburącz za szyję. Zamiast odpowiedzi malec obrócił głowę i spojrzał figlarnie w oczy pytającego.

— To z ciebie może będzie czikos?... — uśmiechnął się Pal. — Stój Wietrzyk! — ostatnie wyrazy odnosiły się do lotnego jak wiatr wierzchowca. Szandor zeskoczył prawie razem z czikosem; towarzysze pośpieszyli za ich przykładem — w odległości kilkudziesięciu kroków pasło się ogromne, niezliczone na pozór stado koni, rozrzuconych po niezmierzonej okiem przestrzeni. Najbliższe zaczęły strzydz uszami na widok gromadki nadbiegających jeźdźców, ale uspokoił je widok znanych im czikosów, stających teraz umyślnie na przedzie i okrzyk przewodniczącego czikosa Pala, okrzyk znaczący mniej więcej:

— Oto jestem! Jak się macie? Co tu słyhać — uspokoił je do reszty. Zaledwie okrzyk ten przebrzmiał, gdy drugi trzeci i dziesiąty takiż sam, odpowiedział nań z mniejszej i większej odległości, znacząc mniej więcej wedle tego umówionego telegrafu:

— Wszystko jak było...—Zwykły to sposób porozumiewania się tych pasterzy, którzy strzegą powierzone im stada, oddaleni wzajem bardzo od siebie, a przytem ciągle porozumiewać się muszą i nawoływać wzajem w razie potrzeby. To też znane te dźwięczne okrzyki, zarówno jak pieśni, rozbrzmiewają nieustannie prawie w rozległych pusztach, zajętych przez te ogromne stada dzikich stepowców, znających tylko swoich pasterzy. I teraz pod wpływem znanych odgłosów, uspokoiły się konie zupełnie, zwłaszcza że przybywający zatrzymali się w znacznem oddaleniu, aby ich nie płoszyć. Swobodnie też pasły się jedne, inne tarzały rozkosznie w miękkiej bujnej trawie, inne jeszcze pędziły w prostej linii pośród usuwających im się z drogi towarzyszy, jakby lotności swęj chciały próbować, młode źrebaki zaś, właściwym sobie zwyczajem biegały naokoło matek.

— Ej hej hej hej! swawolniku, dziecko moje, nie rozpedzaj się tak bez miary!... — ostrzegęła niby rozgłosnem rżeniem bezustannie ta i owa klacz, a rozswawolony wyrostek odpowiadał pędząc:

— I! hi hi hi hi!... co mi tam będzie, matusiu!

— Ej ho ho ho ho!... różgi! różgi na tych malcow, co się ciągle płaczą pod nogami poważnym osobom!... — rżały ze wszystkich stron dorosłe rumaki.

— I! hi hi hi hi!... a wyście to nie tak samo w kółko koło matek biegali będąc malcami? — odpowiadali malce.

Wesoły gwar napełniał pusztę. Czikos Pal zdjął uzdę ze swego wierzchowca i dał ją Szandorowi.

— Obierz sobie którego chcesz z tych koników — rzekł a jeżeli dosiędziesz i uzdę mu potrafisz założyć, będzie twój! Już ja z moim panem o to się ułożę, bo mię lubi.

— E, dziecko za słabe!... — mruknął ojciec do Pala, drżąc w duszy i pragnąc aby bez jego wpływu uwolniono chłopca od próby, spojrzał po otaczających.

— Za słabe!... — powtórzył ten i ów, jakby odczuwając niepokój ojca.

— A choćby i siłę miał, to chłopak za mały jest, nie wskoczy przecież na konia! — ktoś się odezwał z uważniejszych; Szandor był istotnie bardzo mały i szczupły nawet na wiek swój.

— Otóż to właśnie! — skwapliwie poparł ojciec a inni potwierdzili. Ale jak na biedę, uwagi te przeznaczone głównie dla Pala, dolatywały również do uszu Szandora, budząc w nim ten niezwykły rodzaj szlachetnego oporu, którego źródłem jest mężka duma:

— Wskoczę! dosiędę! — rzekł stanowczo ale cichym głosem, i wodząc rozgorzałemi nagle oczyma po koniach; uczepił na sobie uzdę i począł zwolna podchodzić ku nim. Widział on nieraz, jak dorośli czikosi biorą się do rzeczy, chcąc ujeździć rumaka, a z końmi domowemi swego ojca obznajmiony był oddawna, tak, że naprawdę nieledwie wprzódy umiał dobrze na koniu jeździć, niż chodzić; bo na koniu przywykł trzymać się rękami i nogami, gdy chodząc musiał jedynie nogom się powierzać. Wszyscy, nawet ojciec, czując w tej chwili że dziecko nie da się już powstrzymać od próby, znieruchomieli, wstrzymując oddech. Szandor tymczasem, czy to rzeczywiście upatrzywszy sobie jakiegoś konika, czy też zdając się na losy, podchodził zwolna i trochę kręto jak widział że to czynili czikosi.

— O! o! tego kasztanka sobie upatrzył!... zna się na koniu, ale czy skoczy mu na grzbiet! ho ho!... jakim sposobem, taki mały! — szeptał patrzący. Szandor istotnie zdawał się kierować do pięknego kasztanka, który z całą powagą dorosłego tylko co młodzieńca, skubał od niechcienia trawę, rozglądając się jednocześnie w zamyśleniu po bezgranicznym naokół krajobrazie. Nikt z obecnych, zapatrzonych na Szandora i na kasztanka, nie zważał na małego z natury, bardzo młodego lecz dorosłego już karego źrebca, który w napadzie młodzieńczej swawoli tarzał się w trawie, aż wtem nagle, Szandor, kierując się dotąd zwolna i ostrożnie ku kasztankowi, doszedłszy doń, zwrócił się do karego źrebca, podnosząc gwałtownie obie ręce w górę. Na ten nieznanym mu gest, kary przestraszony zerwał się z ziemi jak błyskawica, ale w chwili gdy się zrywał, Szandor znalazł się nagle na jego grzbiecie, ścisnął dzikiego konia nogami, rękami objął za szyję, i leżąc mu na karku, z twarzą utopioną w grzywie, zapomniał o reszcie świata. Wistocie można było zapomnieć, bo kary przelekniony nieznanym acz leciuchnym ciężarem, pomknął nagle tak chyżo w przestrzeń, że bez przesady nieledwie z ptakiem możnaby go porównać.

— Ho ho! doskoczył! trzyma się! dalejże za nim, żeby gdzie nie spadł bez ratunku!

— A no, jeżeli dosiedzi, czikos z niego gotowy! Ho ho! dalej za nim! — tak wołali czikosi pędząc za karym; a pierwszy pędził najdzielniejszy z nich, olbrzymi, niby dowódca nad pasterzami Pal, któremu dopiero teraz nagle wśród tej nawpół dzikiej zabawy przyszło na myśl, że narażał on jedyne dziecko kochających rodziców, którzy prócz tego skarbu nic więcej na świecie nie mieli. Gdy myśl ta przyszła do głowy człowiekowi wpół dzikiemu, a jednak w chrześcijańskich wyrosłemu wyobrażeniach, zadrzał i popędził za dzieckiem, myśląc już teraz tylko o tem, aby je od ciężkiego szwanku uchronić. Ale było to nazbyt już trudno. Rozszalały źrebiec unosił, a dzieciak, węgierski dzieciak co prawda, trzymał go się literalnie rękami i zębami za grzywę... i tak lecieli.

Latać, słowo właściwe jedynie odnośnie do ptaków, nadawało się tu jednak wybornie, ze względu na szaloną chyżość karego źrebca. Żrebiec leciał, dzieciak leżał na jego grzbiecie z twarzą zatopioną w bujnej grzywie. Wszyscy pędzili za nim, co prawdopodobnie podniecało wystraszonego karego. To też niezadługo przystali niektórzy, Pal tylko, a za nim prawdziwi czikosi i ojciec Petöfi na końcu, pędzili ciągle. Kary, czasem zniecierpliwiony wierzgał, skakał, stawał dęba, brakło tylko żeby tarzać się zechciał, i tego właśnie obawiał się ojciec Petöfi, ale koń niema zwyczaju tarza-

niem się pozbywać ciężaru, więc i kary po chwilowych najdzikszych wierzganiach i skokach, puszczał się zawsze na nowo w szalony galop, a dzieciak przyczepiony do jego grzywy, leżał zawsze nieruchomy.

— Eljen! Niech żyje! Urodzony czikos z chłopca! — wołali zdziwieni i zachwyceni pasterze, goniąc rozszalałego rumaka.

— Czy tylko dziecko żyje jeszcze? Może już dawno zmartwiało ze strachu i tylko kurczowo zaciśniętymi rękami trzyma się konia?... — myślał czasem ojciec wstrząsając się z przerażenia. Ale teraz nie było ani sposobu ani czasu radzić.

Pędzono wciąż od paru godzin za karym i szalą zawrotny ogarniał już w tym biegu biednego karczmarza, a koń jego acz także dzielny, ustawał na dobre, gdy kary wreszcie upadł zmordowany... Goniący, w mgnieniu oka, ale w milczeniu zeskoczyli z koni, śpiesząc cicho i ostrożnie do leżącego, ojciec chwając się zsiadł także, prawie już pewny niebezpieczeństwa, a wtem zerwał się dzieciak z grzbietu karego, i jedną rączyną trzymając go za grzywę, usiłował założyć mu uzdę... Widział jak to robią pasterze i wszystko robił tak samo.

— Eljen! Eljen! chwata chłopak! — huknęli w uniesieniu czikosi, i kilkanaście prawdziwych wystrzałów z biczków palnęło na wiwat. Pal trzymał już karego za grzywę i pomagał założyć mu uzdę, bo koń drżący ze znużenia wstał zwolna, z wysiłkiem, a dziecko poprostu dosięgnąć mu nie mogło do głowy. Rumak był już zupełnie ujarzmiony, jak to w podobnych razach zwykle bywa, i widocznie osobnym, właściwym sobie zmysłem poznając kto go ujarzmił, ocierał pieśczołtliwie głowę o głowę Szandora i jadł z jego ręki chleb, który Pal podał chłopcu. Zdjął potem siodło z własnego wierzchowca i przymocował je na karym, umyślnie każąc sobie pomagać Szandorowi, aby koń czuł ciągle zwyciężcę swego przy sobie. Odzyskawszy właściwą węgierskim gospodarzom powagę, wobec świetnych następstw ryzykownej próby, Petöfi przystąpił do syna.

(d. c. n.)



## CIEKAWA KRÓLOWA.

(LIST Z NEPALU).

— No... no!... tylko się nie podnoś! Jeszcze kilka dni odpoczynku w hamaku lub w lektyce, trochę cierpliwości, a będziesz zdrow i udamy się w dalszą podróż... mówiłem do młodszego chorego brata.

— Ale ja chcę wiedzieć, chcę wiedzieć gdzie jesteśmy!...

— „Chcę”?... mówisz jak trzyletnie dziecko! Czy nie wiesz jeszcze że „chcieć” nie wystarcza na przeprowadzenie naszych zamysłów?... że trzeba jeszcze *módz* i *umieć* ażeby dojść do zamierzonego celu?

— Ale... ależ ja właśnie mogę i umiem...

— A cóż możesz i umiesz?... bo chyba nie wstać i chodzić, po takiej straszliwej gorączce.

— No nie... ale mogę pytać gdzie jesteśmy?...

— Pytać? na to zgoda: otóż jesteśmy obecnie w hołdującemu Anglii królestwie Nepalu, Nepaulu lub Nipalu, położonem w Indyach północnych przedgangesowych, na południowo zachodniej pochyłości Himalajów. Góry tu i wszędzie góry, a wśród tych gór zimno! Południowe tylko i niżej leżące okolice przypominają że jesteśmy ciągle w owych Indyach, które od pierwszych wyobrażeń dziecinnych przywykliśmy uważać za naturalną cieplarnię. Wierz mi że nie masz czego żałować tych dwóch dni, przez które podróżowałeś chory. Nie było nic ciekawego do widzenia.

— A ludzie?

— Nie ciekawi także, jest ich tu podobno około trzech milionów, wyznają religią Buddy, pochodzą z plemion Nirwa-

risów i Parbatijasów. My obecnie znajdujemy się tutaj oto... Kazimierz wskazywał mi punkt na mapie:

— Tutaj!... a my tu po co?... i cóż my tu robimy? czy zbłądziliśmy i zeszedli z naszego kierunku?

— Co, co?... jakto? a więc ty nic nie wiesz? A przecież dwa dni temu zanim puściliśmy się w tę drogę na rozkaz jej królewskiej mości, rozmawialiśmy o tem i zdawałeś się zupełnie przytomny, sam zgadzałeś się na podróż, zaręczając że ją zniesiesz bez złych następstw, gdy tymczasem ja chciałem koniecznie zatrzymać się dla ciebie... a oto teraz pokazuje się że byłeś już wtedy nieprzytomny, ponieważ nie wiesz o niczem!

— Nic nie pamiętam w istocie!

— A więc słuchaj: Obecnie panująca pod opieką angielską królowa Nepalu, dowiedziawszy się że do królestwa

wysoko na jej dworze, przecież, znajdując się odkąd żyje pod protekcją Anglików, zna ona tylko Anglików... Zna wprawdzie i innych Europejczyków także, ale... w papierach naszych przetłumaczonych przez tutejszych tłumaczy zaplatało się, że do innej należymy narodowości i to zaciekało jej królewską mość, życzy sobie więc koniecznie nas widzieć, zatem, gdy będziesz mógł wstać, przedstawimy się.

— Idę! — rzekłem wstając.

— Cóż znowu. Chcesz sobie szaszkodzić. Jesteś jeszcze chory!

— Byłem; czy zapomniałeś że musimy naszą podróż przyspieszać?

Tak było w istocie, to też Kazimierz nie opierał się dłużej i w dniu następnym, po załatwieniu niezmiernie skrupulatnych formalności, mieliśmy zaszczyt i szczęście ujrzeć królo-



Ciekawa królowa.

jej przebywają dwaj Europejczycy, zapragnęła koniecznie ich widzieć, otrzymaliśmy przeto rozkaz zboczenia ogromny kawał z drogi, aż tu do jej stolicy, zwaną Katmandao słynną ze wspaniałych świątyń, ażeby jej się przedstawić i to natychmiast, pod karą uwięzienia, które mogłoby do nieskończoności przewlec podróż naszą. Ten to wzgląd zdecydował nas na zboczenie z drogi, pomimo twej choroby.

— I otóż zboczyliśmy i chorobę zgubili gdzieś po drodze. Ale cóż z tą królową? Czyś się już przedstawił? Mówisz że jesteśmy w Katmanda, dla czegoż nie idziemy dalej?

— Dla tego przedewszystkiem że w tej chwili przybywamy tu dopiero, a następnie że ty dotąd bezsilny jesteś i powstać nie możesz, a królowa żąda widzieć nas obu.

— Cóż znowu, czy nie widziała dotąd Europejczyków?

— Otóż widzisz w tem jest cała komedia i przyczyna naszego przymusowego zboczenia z wytkniętej drogi, które w dodatku mogło cię życie kosztować. Obecnie panująca królowa Nepalu ma być bardzo młoda panią, zatem, pomimo że oświata wedle tutejszych wyobrażeń stoi niezmiernie

wę. Była to istotnie bardzo młoda osoba i to tłumaczyło jej ciekawość widzenia nas. Zdawało się nam zresztą, że jej więcej o to chodziło żeby być podziwianą przez obcych ludzi, jak żeby ich widzieć samych.

Wprowadzono nas do paradnych apartamentów, pozwolono nam przystąpić do tego królewskiego majestatu, wedle wszelkich form wschodniej czołobitności. Po chwili rozmowy przez tłumacza, królowa wielce łaskawie, (a nawet z błyszczącymi radością oczkami) pozwoliła mi odrysować swą podobiznę w otoczeniu dworu, pod warunkiem, że zostawię jej taki jeden „obrazek”. Otóż drugi wam posyłam. Ale niestety nie uwydatni on tych dziwacznych i śmiesznych strojów na wpół wschodnich a na wpół europejskich pochodzenia równie jak cudnego blasku bezcennych klejnotów, któremi obsypana była królowa. Szeroka spódnica jej sukni podniesiona z tyłu i z boków, rozpostarta na poręczach przedstawiającej tron sofy, na której siedziała, odróżniała się od innych na wpół przewiązanych tak iż okręcały nóżki dam dworskich, które je nosiły, nóżki niekiedy bosa, jak to widzicie na obrazku;

kwiecista korona w kształcie wieńca, przyodzabiająca królewskie czoło, składała się także z drogich kamieni.

Rysunek który wam posyłam, przedstawiający prócz królowej „damy” trzymające „baldachim” „wachlarze” i inne niezliczone a nieodzowne w tym rodzaju przybory wscho-dniej wygody, jest zresztą drobiazgowo dokładny.

*Zdzisław M.*

nim, a pierwszego zaledwo dojrzeć już mogłem, nikańcego w przestrzeni zalanej złotem światłem, bez żadnej odmiany, żadnej różnicy jak okiem zajrzeć. Prócz tej jedynej krętej linii naszej karawany, poruszającej się jak wąż niezmierny w tej złoto-żółtej atmosferze, wytworzonej z blasków słonecznych, odbijających się w żółtych bezbrzeżnych rozpalonych piaskach Sahary, nie istniało więcej nic... Upał potężny nastąpił po chłodzie nocnym, chłodzie jakiego nie byłbym spo-



Fata-morgana.

## FATA-MORGANA.

(Urywek z podróży).

Bolesne jęki wielbłądów, właściwe tym zwierzętom przy ładowaniu, ucichły wreszcie tak jak i krzyki Arabów, prze-raźliwe i bezmierne, zwykłe u najemników, a których celem jest przekonanie płacącego o wielkich ich wysiłkach i okrut-niej pracy; ruszyliśmy wreszcie z noclegu i po szalonej wrza-wie, nieodłącznej od podobnej chwili, nastąpiła zwolna głęboka pustynna cisza. Wielbłądy w liczbie przeszło dwudziestu kilku, długim sznurem wyciągnęły się, idąc krętą smugą, przebywaną od wieków przez ich poprzedników, znaczoną tu i owdzie szkieletami zwierząt i ludzi. Ja jechałem na ostat-

dziewał się tutaj; i zwolna upał ten wzmagał się. Atmosfera rozpalonego pieca ogarniała mię, żółta barwa otaczająca, jednoczyła się ze mną niejako, przenikając mię, wkrótce wła-sny mój burnus biały, stał się najzupełniej żółty w moich oczach, jechałem trochę nieprzytomny ze znużenia, kiwając się między pakunkami. Wtedy to, wiodąc raz jeszcze sen-nem okiem po wydłużonej przedemną karawanie, ujrzałem że wszyscy Arabowie wpatrywali się w niebo, spojrzałem więc bezmyślnie w tym kierunku i spostrzegłem zjawisko, o którym wszyscy słyszymy tak wiele: fata-morgana, złudę. Na ten raz widok jakkolwiek dokładny i ludzający rzeczywi-stością zarysów, nie mógł nikogo złudzić ani na chwilę, gdyż był „odwrotny”, to jest ukazywał się nie na ziemi, lecz w po-wietrzu i odwrócony. Był to wyraźny widok jakiegoś mor-

skiego wybrzeża w podzwrotnikowej okolicy; palmy wierzchołkami na dół stroiły łąd, kilka okrętów, masztami i kominami w dół, płynęło spokojnie po szerokim wód przestworzu, miasto o płaskich dachach ukazywało się wyraziście w oddali, na tle wspaniałych gór...

Zjawisko, tak odwrotnie się ukazujące, miało tę dobrą stronę, że łatwiej dawało się wytłómaczyć, jako obraz odległej jakiejś krainy, odbijający się w wyższych przezręczystych warstwach tutejszego rozpalonego powietrza, tak jakby w zwierciadle... Gdy złuda ukazuje się „na ziemi” jakkolwiek dzieje się to na tejże samej zasadzie, trudniejszym jest przecieć do pojęcia. I teraz jednakże, zabobonni Arabowie, w milczeniu pełnym przestrachu patrzyli na te, jak mniemali „figle szatańskie”... Gdy nareszcie wszystko zbladło i znikło, dopiero szeptać zaczęli:

Nie udało im się! zepsuła im się sztuka! Chcieli udać taką śliczną wodę, żeby nas spragnionych sprowadzić z dobrej drogi i zbłąkać, a tymczasem „udanie” zrobiło im się w powietrzu i „odwrotnie”. Aha!...

Po raz pierwszy wtedy dowiedziałem się że fata-morgana „odwrotna” jest uważana przez Arabów jako figiel szatański nieudatny...

## MAJOR SERPA PINTO.

Pomiędzy dzielnymi ludźmi zanoszącymi w obecnych czasach oświatę do nieznanych krain środkowej Afryki, odznacza się także Portugalczyk, Aleksander de la Roche de Serpa Pinto. Urodzony w r. 1846, wychowany był w Ameryce, poczem kształcił się w szkole wojskowej w Portugalii, zkad, po kilku naukowych podróżach, wysłany został w roku 1877 w stopniu majora jako dowódca wyprawy do Afryki.

Wiadomo jest jaką sławą okryli się niegdyś przed wiekami podróżnicy portugalscy i jak znakomite czynili na morzach odkrycia i zdobycze. Obecnie jeszcze, między innemi, dosiadają Portugalczycy na wschodnich i na zachodnich wybrzeżach afrykańskich, dosyć rozciągnęte nadbrzeżne krainy, mianowicie w Niższej Gwinei prowincje Angola i Benguela na zachodnich wybrzeżach, i Mozambik z przyległemi ziemiami na wschodnich.

Sporzawszy na mapę, widzimy że miejscowości te z małą różnicą, leżą po obu stronach Afryki prawie naprzeciw siebie, pomiędzy 6 i 25 stopniami szerokości północnej geograficznej. Pomiędzy niemi jednakże, przedzielając je, znajduje się cały środek Afryki, nieznany dotąd. Otóż wyszukanie drogi przez te nieznane krainy, i urządzenie komunikacji łądem w poprzecz Afryki od Bengueli do Mozambiku, było celem wyprawy, powierzonej majorowi Serpa Pinto.

W roku 1877 wyruszył on zatem z Bengueli miasta portowego nad Atlantykem, zaopatrzony w obfite bagaże, z licznym zastępem dobranych odpowiednio ludzi. Potrzeba było iść na zachód, prosto przed siebie, a jeżeliby nie zbaczano wcale, to bądźco bądź musiano w końcu zejść do zamierzonego celu, to jest do współziomków osiedlonych w Mozambiku, na przeciwległej stronie Afryki. Cóż, kiedy nie zawsze jest możliwą ta prosta, droga uznana w każdym razie za najlepszą. Serpa Pinto wiedział już nawet z góry niektóre główne punkta, przez które lub koło których miał przechodzić, wiedział że wielka rzeka Zambezi może mu w części ułatwić drogę. Przebył więc Kwilenge, Ngola, Bihe, znalazł nieznane dotąd plemię Kassekwerów, ludzi białych i dosyć łagodnego temperamentu. Dalej, badając rzekę Zambezi i jej dopływy stanął nad górną jej częścią w Lialui. Nie był i to niby kraj zupełnie nieznany, gdyż już znakomity i sławny podróżnik Liwingstone, dziś nieżyjący, był tu w roku 1854. Mimo to dzikie i okrutne plemię Mambundów stanęło na drodze Serpa Pinty, nie chcąc puścić dalej podróżniczej karawany. Nastąpiła krwawa walka. Trudno bo i winię

Mambundów o takie niegościnnie przyjęcie, gdyż nie znając dobrodziejstw oświaty nie mogą ich pragnąć, a lekając się o własne rodziny nie chcą wpuścić do swoich siedzib ludzi nieznanych. Dzicy walczyli tak zajadle i ślepo, że padło ich bardzo dużo, co oczywiście rozżarzyło jeszcze bardziej ich zawziętość. Mimo to zostali zwyciężeni, ale prawie wszyscy najemnicy dźwigający bagaże karawany, przerażeni męztwem dzikich, uciekli, pozostawiając dowódcę w bardzo trudnym położeniu, z garstką towarzyszy wielce zmniejszoną. Wtedy to nie czując się już na siłach, aby iść dalej wedle pierwotnego planu, prosto przed siebie przebojem, musiał dowódzca zastosować się do okoliczności i zwrócić chwilowo ku południowi. Płynął zatem rzeką Zambezi, ponieważ zwraca się ona w tem miejscu na południe, a potem przez siedziby Matibelów i Transwaal stanął, r. 1879 nie na wschodnim wprawdzie, lecz na południowo-wschodnim wybrzeżu Afryki, i nie u ziomek swoich w posiadłościach portugalskich, lecz w Natalu, czyli kraju Bożego Narodzenia, osadzie angielskiej.

Tak skończyła się pierwsza podróż; Serpa Pinto przeszedł w istocie Afrykę w poprzecz, jakkolwiek nie w prostej linii, lecz zbczywszy trochę na południe, w przeciągu blisko trzech lat. Ile tam razy przez ten czas, sam dowódzca zapadał na straszliwe choroby, mianowicie febry miejscowe, ile razy musiał najgwałtowniejszemi wysiłkami energii pokonywać podstępny i zdrady, wyległe wśród własnego otoczenia, ile trudów kosztowało go przebywanie lasów wiecznie ciemnych, bo gestwina górna nie przepuszcza ani jednego promyka słonecznego, ile szalonych wysiłków kosztowały walki z przyrodą i ludźmi, z klimatem i miejscowemi wpływami, ze zwierzętami, płazami, wodą i suszą, ze straszliwemi przepaściami i rzutami wodnemi, spotykanemi najniespodziewaniej w chwili gdy podróżni płynęli spokojnie na falach potężnej Zambezi, wszystko to w dość prosty, godny bohaterów sposób opisane zostało w dziele p. t. „Podróż w poprzecz Afryki” r. 1880. Podróż ta nie doprowadziła jednakże, mimo dzielności dowódcy, do zamierzonego celu, to jest, nie utorowała drogi z zachodnich do wschodnich posiadłości portugalskich, przeto wkrótce urządzono drugą wyprawę w tychże samych warunkach i celach, roku 1885 i z tymże majorem Serpa Pinto na czele. Na ten raz major zaczął przecieć z inną beczką, to jest zamiast z zachodu na wschód, rozpoczął pochod w przeciwnym kierunku, ze wschodu na zachód. Wyruszył z Mozambiku i znowu, jak za pierwszym razem, usiłował iść wprost przed siebie ku zachodowi, pewny, że nie zabłądzi. Cóż, kiedy jest tam w tych właśnie okolicach fatalne jakieś dla Europejczyków miejsce. Przebywszy straszliwe męczarnie trudnego pochodu, aż do końca olbrzymiego jeziora Njassa, dowódzca uległ cięższej nad dotychczasowe chorobie, w temże samem właśnie miejscu, gdzie śmiercią przypieczętował chlubne swe życie Liwingstone r. 1873. Na tem skończyła się druga ta podróż, utorowawszy jednakże drogę przez Afrykę, ze wschodnich do zachodnich portugalskich dziedzin, aż do owego fatalnego dla podróżników punktu.

Następnie, rząd portugalski wysłał znów majora Serpa Pinto, do środka Afryki, w celu zbadania położenia i okoliczności różnych w okolicach rzeki Szyre, płynącej z jeziora Njassy do rzeki Zambezi. W tych to albowiem stronach, po zwiedzeniu ich przez Liwingstone'a, osiedlili się niezbyt dawno Anglicy, zarządzając tam wspólny interes handlowy, co zaniepokoiło Portugalczyków, twierdzących, że krainy owe z niemi raczej niż z Anglikami, stosunki zawierać powinny, ze względu na dawniejsze jeszcze okoliczności.

Poszedł więc po raz trzeci dzielny major Serpa Pinto do środka Afryki nad rzeką Szyre, pobudował tam różne budowle, forty i forteczki, i szukał miejscowości dogodnych do przeprowadzenia kolei żelaznej, potem wsiadłszy na statek parowy, popłynął rzeką Szyre w dół, pozostawiawszy część towarzyszy, w dotychczasowo zamieszkiwanej miejscowości, pod wodzą pana Castellres. Podczas gdy major zajmował się badaniami, plemię dzikich Makololów napadało na oddział pana Castellres i zmusiło go opuścić zajmowane stanowiska.

Tymczasem major Serpa Pinto, dostawszy się z biegiem rzeki Szyre na fale wielkiej rzeki Zambezi, płynął nią aż do Kwilimane, portu leżącego przy ujściu Zambezi do oceanu Indyjskiego. Tu, dowiedziawszy się co dzieje się z jego ludźmi pozostawionymi w obozie, zabrał trzy parowce i podążył na powrót w górę rzeki, co prędkiej na pomoc swoim, napadniętym przez Makololów, podmówionych ku temu podobno przez Anglików, zazdroszczących Portugalii jej zdobyczy...

Niewiadomo co się tam dalej dzieć będzie, w tej tajemniczej Afryce, która tak żywo jako nieznaną nęci ciekawych, ale to pewna, że major Serpa Pinto dzisiaj już, nie przesądając tego co jeszcze uczynić może, jest jednym z pierwszorzędných i najdzielniejszych bohaterów z pomiędzy europejskich podróżników.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Wędrowcy nie sami jedni też rozkoszowali się pstrągami. W bagnisku utworzonym z rozlewu strumyka na małej płaszczynie, czaple które tak jak nasze europejskie żywią się przeważnie rybami, zagłębiały długie dzioby na jeszcze dłuższych osadzone szyjach.

— No, już te ptaszyska chyba nie potrzebują troszczyć się aby ogonów w błocie nie powalać! — rzekł Tomek.

— Niewątpliwie; i dla tych to nóg długich zwane są szczudlakami.

— Ponieważ szczudeł użyzca im natura.

W pobliżu miejsca gdzie obozowano, znajdowała się pieczara którą Melchior zaprzagnął zwiedzić.

Była zupełnie ciemna i chłodna jak lodownia. Strumyk wytryskując z rozpadliny skalistej płynął w pośrodku.

— Przed laty—rzecze Piotr—jeden kopacz amerykański szukając złotego piasku, zapuścił się w głąb tej jaskini i zapewne spotkało go jakieś nieszczęście, gdyż nie powrócił nigdy. Powiadają ludzie, że przez długi czas syn jego przychodził tutaj codziennie i wołał ojca, ale odpowiadało mu tylko echo.

Zniknięcie kopacza wydało się bardzo naturalnem Melchiorowi, gdy ujrzał wielką przepaść w skale. Odgłos spadania rzuconego tam kamienia odzywał się przez kilka sekund zanim zginął w głębi bezdennej. Chmury nietoperzy latały naokół z przeraźliwym wrzaskiem.

— Osiedlił się tam straszny puma—rzekł woźnica—ale nikt nigdy nie mógł odkryć jego legowiska. Musi ono znajdować się chyba w którym z bocznych rozgałęzień jaskini.

Melchior miał wielką ochotę go poszukać, ale wążka ścieżka prowadząca w głąb była tak pokryta węzami i jaszczurkami, kłębiącymi się niespokojnie na widok światła pochodni, że bosonodzy Meksykanie nie chcieli iść dalej i uciekli copędzej.

— Patrz kapitanie — zawołał Menito, który znikł jakoś od chwili kilku, a teraz biegł do Melchiora, nosząc coś w pole odzienia. — Patrz!

I rozwierając połę, ukazał kilkoro młodych zwierzątek jeszcze ślepych, wielkości małych pieszków, ale podobnych do kociąt i kręcących się jak liszki.

— Ile wart jest puma? — zapytał woźnicy.

— Około trzech dolarów — odpowiedział Meksykanin.

— A więc kapitanie winien mi jesteś dwanaście dolarów, bo oto masz ich czterech! — wołał chłopczyzna.

— Czterech? jakich czterech?

— Ależ czterech pumów powiadam! Usłyszałem ich piski na uboczu w wąwozie skalnym i szukałem z kwadrans nim znalazłem. W najgorszym razie już dziesięć dolarów warte są z wszelką pewnością hurtem.

— Dziesięć dolarów? A ty, mały łotrze! — krzyknął Daby Simon — to ty zaczynasz oszukiwać tego zacnego se-

nora! Najprzód, gdyby to miały być pumy, toby chyba musiały być bardzo młode, i byłyby w takim razie warte ledwo dwa dolary; prócz tego, to nie są wcale pumy, tylko poprostu młode rysiatka, warte bardzo nie wiele.

— Rysiatka! — wykrzyknął Menito zmartwiony. Któżby zgadł że to nie pumy! Wszakże mają takie same futerka. Zdawało mi się że rys bywa centkowany jak pantera.

— Tak; ale centek dostaje z wiekiem dopiero, w rok we dwa. I pantera także nie jest centkowana w pierwszej młodości i w dzieciństwie, owszem przez kilka lat jest zupełnie szara jak mysz.

Po kilku godzinach pochodu, nazajutrz rano wędrowcy ujrzeni w głębi doliny u stóp ich rozciągniętej, miasto Benyamo otoczone pysznymi ogrodami i winnicami. Właśnie mieli schodzić z gór w dolinę gdy Piotr zaproponował kapitanowi zwiedzenie pewnego „kościółka” w pobliżu.

Jakolwiek główną sprawą Melchiora w podróży było poszukiwanie dzikich zwierząt, przecież nie opuszczał on sposobności, gdy mógł zwiedzić sam co nowego i obznać synowa z czemś godnem widzenia.

„Kościół” tak zwany, była to jaskinia wykuta w skale, która służyła jako świątynia ludom zamieszkującym Meksyk, gdy Hiszpanie pod wodzą Ferdynanda Korteza podbili go i wprowadzili doń chrześcijaństwo. Wejście do tej podziemnej świątyni stanowiła obszerna arkada, rzeźbiona jakby odrzwia jakiej katedry, a ściany jej wewnętrzne pokryte były rysunkami tajemniczymi, niemniej fantastycznymi jak chińskie. Jaskinia sama była już właściwie stosem gruzów, zdobywcy obrócili w proch nawet kamiennych bożków, jednakże pewien ogrodnik mieszkający w pobliżu, pokazał wędrowcom kilka posążków, które udało mu się wynaleźć pomiędzy gruzami. Jeden z tych bałwanków miał twarz a raczej usta jak pyszczek u mrówkojada, inny, małe dziwaczne lichy trzymające się pod boki, miał otwór od ucha do ucha wskroś głowy „jak jaki tunel” wedle porównania Tomka. Ogrodnik opowiadał o jeszcze jednym posążku, któremu niegdyś oddawano cześć boską w tejże świątyni: był on wyrobiony z jakiegoś białego kamienia, który we dnie zdawał się najpospolitszym, ale w nocy nabierał dziwnego blasku i uważany był jako wyobrażenie księżyca. Gdy Hiszpanie zburzyli świątynię, Indianie unieśli z niej ten posąg, który może dotąd odbiera cześć boską w jakiej tajemnej jaskini w górach.

Tomek nie mógł się nadziwić rzeźbom w szczątkach świątyni, gdyż sądził dotąd, że gdy Krysztob Kolumb wylądował w Świecie nowym, znalazł tam tylko dzikich ludzi, takich jak Czerwonoskórcy w Ameryce północnej, których widział kilka coraz rzadszych egzemplarzy w San-Francisko.

— Mylisz się — powiedział Melchior — przyrównyując starożytnych mieszkańców Meksyku do Czerwonoskórnych. Gdy Hiszpanie kraj tutejszy zdobyli, zastali w nim Azteków, którzy już na 200 lub 300 lat wprzód, zbudowali miasto Meksyk, a ostatnim ich królem był Montezuma.

— Ten który w niewoli u Hiszpanów, dobrowolnie się zagłodził?

— Właśnie ten sam. Guatimozin jego synowiec następcą przedsięwziął wylamać się z pod hiszpańskiego jarzma, i udało mu się nawet wypędzić Ferdynanda Korteza z Meksyku, ale następnie zwyciężony i wzięty został w niewolę...

— Wiem już wiem. Hiszpanie okrutnicy umieścili go wraz z jego pierwszym ministrem na rozpalonych węglach, aby z nich wydobyć tę torturą wyznanie, gdzie ukryli skarby. A gdy minister pod wpływem męczarni, zdawał się błagać swego pana o pozwolenie mówienia, ten mu odpowiedział: „A ja, czyliż na różach jestem?”

— Tak właśnie. Korteza zawstydziwszy się swego okrucieństwa, dał rozkaz zaprzestania męczarni; ale w dwa lata później kazał powiesić nieszczęśliwego księcia, pod pozorem że usiłował uciekać. Tytuł władców meksykańskich ostatnim Aztekom szczęścia nie przyniósł, a i za naszych młody książe austriacki, Maksymilian śmiercią tenże tytuł przeplacił.

Aztekowie byli następcami Tolteków, pod którymi kraj kwitnął wielką pomysłnością. Znano tu sztukę wyrabiania cienkich tkanin bawełnianych przeróżnych barw, innych z jedwabistej sierści królików, ślicznych wyrobów złotniczych i z szyldkretu, oraz pysznych wyrobów garncarskich. Były tu zbudowane drogi i mosty nad któremi umieli się Hiszpanie, przedarłszy się w głąb kraju. Posiadano też ważne wiadomości matematyczne i astronomiczne; umiano wydobywać metale z kopalń i złoto z rzek, które je unosiły; ale nie znano żelaza.

Najjawniejszym dowodem wysokiego rozwoju umysłowego dawnych Tolteków i Azteków, są gruzy i szczęty ich świątyń. Jest ich wielka obfitość w Meksyku, szczególnie w Stanie Oaksaka, na którego gruncie znajdujemy się właśnie w tej chwili; długo bardzo nie wiadano o nich, gdyż były ukryte w głębi nieprzebranych lasów, zagrzebane pod olbrzymią roślinnością leśną.

Wędrowcy nasi, udając się do Benyamo, przebywali następnie okolicę urozmaiconą mnóstwem jarów, lasków i kęp kolczastych. Pełno tam było dużych królików, za które psy puszczały się w pogoń zapalczywie, ale wkrótce musiały dać jęć za wygraną, gdyż ścigane zwierzęta kryły się w gestwiny kaktusów i fig indyjskich. Poza tą miejscowością, łąki niezmiernie rozciągały się lekko zniżając aż ku miastu. Tomka zdziwiły szczególniejsze młyny obracające się na wiatrze. Miały ledwo trzy stopy wysokości i połowa skrzydeł była zabarwiona na jaskrawo-czerwono. Patrząc na nie, zdawało się że ktoś macha to białą, to czerwoną chustką.

— Co to być może? — pytał Tomek.

To są sidła na antylopy — odrzekł Piotr. Antylopy są niezmiernie ciekawe, koniecznie chcą się dowiedzieć co to za nadzwyczajność tak się tam kręci, zbliżając się, aż wpadną w dół przygotowany.

— Jak u nas skowronki dają się chwycić za pomocą zwierciadła. Szkaradna to wada ciekawość! — wygłosił Tomek z przekonaniem.

— Zdałoby mi się z kilka tych antylop — rzekł Melchior — bo to zwierzę nie bardzo jest tu pospolite i musi różnić się trochę od gatunków znajdujących się w Europie Afryce i Azji.

W niejakić jeszcze odległości od Benyamo, myśliwcy zagwizdali na psów, ale dwa tylko odezwały się na zawołanie.

— Jeszcze gonią za królikami — rzekł woźnica, dajny im pokój, wkrótce się zmęczą i same wrócą do nas.

— To nie króliki tak ich zajmują — rzecze Daby Simon. — Słuchajcie to Kasztan szczeka.

— Czy jest tu gruby zwierz w okolicy? — spytał Melchior jakiegoś przechodnia.

— Nie wiele go, ale wasze psy wytropiły brunatnego niedźwiedzia, chociaż trafia się on dość rzadko w tej porze roku.

— Niedźwiedź powiadacie? a daleko?

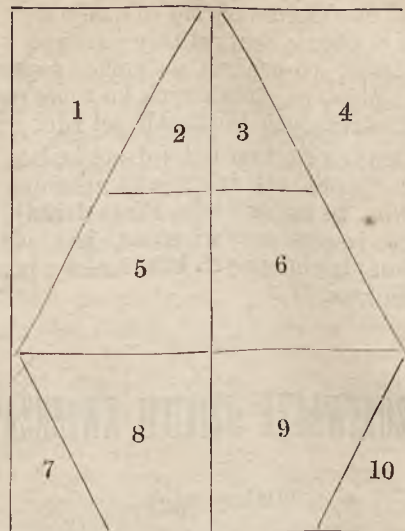
— A ot, tam na drzewie w wąwozie.

— Tak i mnie się zdawało — rzekł Daby Simon. — Niedźwiedź! to zdobycz warta pościgu, jakkolwiek już mamy jednego.

Kapitan był takiegoż samego zdania, skierowano się więc ku wskazanemu miejscu, idąc za głosem psów. Niedźwiedź o połowę mniejszy od uwięzionego na wozie, siedział na gałęzi woskowego drzewa, a psy biegały naokoło szczekając lub wyjąc.

(d. c. n.)

## ZADANIE GEOMETRYCZNE. (Ułożył Pegaz skrzydlaty).



Wykrajac z tekurki 10 części powyższego prostokątne go czworoboku i utworzyć z nich figurę w kształcie piramidy z podstawą.

## SZARADA.

Czytaj mię *wprost* jam zwierzę, w domowym dobytku  
Więcej wyrządzam szkody niż niosę pożytku;  
Czytaj mię *uspał* tom w izbie; choć z piasku lub gliny,  
Tańczą po mnie ochoczo chłopcy i dziewczyny.  
Przestaw moje litery, mieć będziesz pytanie,  
Lecz dalej już nie zmieniaj, bo sensu nie stanie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

### Szarady:

Wil — la — nów.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Cyklopi. 2. Anyż. 3. Łowczy. 4. Usiec. 5. Jowisz.  
6. Ać. 7. Cesarz. 8. Ryszard. 9. Aż. 10. Chełmno. 11. Żóraw.  
12. Króliki. 13. Irlandya.

Całując rączki życząc zdrowia.

## PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

zamieszcza praktyczne wskazówki o wychowaniu fizycznym i moralnym, sposoby bawienia i zajmowania dzieci, lekcje wzorowe z różnych działów nauki, wiadomości o nowych podręcznikach do nauki szkolnej i domowej etc.

Kosztuje kwartalnie w Warszawie rs. 1 kop. 50, na prowincyi rs. 1 kop. 75. Przedpłatę przyjmuje księgarnia Gebethnera i Wolffa, tudzież inne księgarnie miejscowe i na prowincyi. 3—3

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Od redakcyi. — Do siostrzyczki zakonnej, wiersz. — Pod wpływem błogosławieństwa. (c. d.) — Ciekawa królowna p. Zdzisława M. (z drzew.) — Fata-morgana (z drzew.) — Major Serpa Pinto. — Poszukiwacze dzi- kich zwierząt (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Poczciwy Antos (z drzew.) — Rozsądna Tecią wiersz p. Helenę Bojar- ską. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnasto- letni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## Pocziwy Antoś.

— Stój! albo zginesz! ani kroku dalej! Hej! — taki okrzyk dziecinnego głosu rozległ się pewnego poranku, w malowniczej okolicy północnych Włoch. Młody popróżny z teką pod pachą idący swobodnie wśród łąk zielonych, stanął i obejrzał się na to wołanie, a tymczasem przybiegł nieznany mały chłopczyna i odgarnawszy zarośla u stóp jego, ukazał mu przepaść głęboką; podróżny byłby zginął niechybnie, gdyby jeszcze krok dalej postąpił. Uściskał więc małego Antosia, obdarzył go jak mógł, a że był zdruzony i nigdzie w pobliżu nie było oberży, zatem poszedł z nim do jego rodziców, prosząc o gościnność, której udzielono mu chętnie. W nocy gdy wszyscy posnęli, szelest jakiś zbudził podróżnego: to gospodarz wstawał pocichu, szepcząc:

— Poczekaj swawolniku, będziesz mi świecę moją wypalał, dam ja tobie... — u niezamożnego tego wieśniaka świeca była wielkim zbytkiem, jakkolwiek szcątek jej tylko dopalał się w lichtarzu, przy którym to wątpliwem świetle, mały Antoś niezmiernie uważnie coś rysował. Podróżny wstał równie cicho jak gospodarz i wraz z nim zaszedłszy za plecy malca, osłupiał ujrawszy że ten rysował jego samego, stojącego nad przepaścią... a chociaż rysunek niezmiernie wiele pozostawiał do życzenia, jednak uczucie przerażenia tak doskonale było oddane

w twarzy i całej postawie, że znający się na rzeczy młodzieniec, zawołał po chwili:

— Dziecko, tyś chyba artystą i bodaj czy nie rzeźbiarzem raczej!...

— A ty swawolniku, będziesz mi świecę wypalał!... — krzyknął jednocześnie groźnie gospodarz nad uchem rysownikowi — ten nicpoń od rana do nocy bazgrze mi tak po wszystkich ścianach!...

Chłopczyna zerwał się przestraszony, zaczął przeproszać, a wtem młody podróżny z wesołą pustotą pochwyił go i przytuliwszy do siebie, owinął się wraz, z nim swoim płaszczem i legł napowrót na posłaniu, z którego wstał przed chwilą, broniąc w ten sposób winowajcę przed ojcowskim gniewem. Dusił się przytem od śmiechu a i gospodarzowi śmiać się trochę chciało bo rodzicom zawsze jest miło, gdy ktoś bierze obronę ich dzieci, choćby przeciw nim samym.

Antoś tylko wyrzucał sobie że znowu ojca rozgniewał i po cichu tłómaczył się z tego swemu obrońcy:

— Chciałem narysować to za pamięci, bo jutro pewno już zapomnę jak pan wtedy wyglądał, dla tego rysowałem przy świecy...

— Czekaj dziecko, śpij — odparł nieznajomy — jutro nauczę ja ciebie sztuki wyrażenia tego co cię silnie uderzy, nie mażąc ścian ojcu. Potrafisz nawet wtedy zarobić sobie na kupienie świecy, i przeto gniewać go przestaniesz — dodał jeszcze.

Zaciekawione dziecko nie mogło oka zmrzyć do rana, a nazajutrz podróżny pokazał mu, jak się lepi z odpowiednio przygotowanej gliny małe figurki. Antoś, który małym był jeszcze, a prócz własnej chaty wioski i otaczającej przyrody nic prawie nie widział, krzyknął z podziwienia, pojąwszy o co rzecz idzie i natychmiast zaczął lepić figurki, z których każda lepszą była od poprzedniej, i bardziej naznaczoną piętnem zdolności.

Anegdotkę tę między innymi opowiadają w stronach jego rodzinnych, o wielkim rzeźbiarzu Antonio Canova, który później po wielu innych jeszcze przygodach, i po sumiennej nauce i pracy pod kierunkiem owocnych mistrzów rzeźbiarstwa, sam sławnym został artystą.

## ROZSĄDNA TECIA.

— Jak też twa lalka, Teciu kochana,  
Zawsze czyściutko, ładnie ubrana,  
Masz dla niej tyle różnych sukienek...  
Nie wiem, czy która z naszych panienek •  
Stroi tak lalkę; i moja przecie  
Dosyć jest nowa, kupiona w lecie,  
A już zbrudzona, już się zniszczyła.  
— No, to ja przebiorz.

— O! moja miła!

Tak ci się zdaje, jakże to zrobić?  
Ona ma tylko to, co na sobie,  
W czym ją kupiono, w tem chodzi tylko.  
— To się postaraj, moja Marylko  
By miała jakie nowe ubrania.  
— To niepodobna! odpowie Mania  
Moi rodzice nie są bogaci,  
A za to pewnie dużo się płaci?  
— W sklepach te rzeczy kosztują drogo,  
Lecz czyż panienki same nie mogą  
Uszyć co trzeba, i moja mama  
Nie jest bogata, to też ja sama  
Dla méj lalczki szyję te stroje,  
Wszystko co widzisz, to dzieło moje.  
— Czyż to być może? Teciuniu miła!  
O! jabym tego nie potrafiła,  
Ja szyć nie umiem, — Mania dodała.  
— To się nauczysz, jak będziesz chciała,  
To rzecz nie trudna, gdy masz ochotę,  
Ja ci ułatwię troszkę robotę,  
Zrobisz lalczce i to i owo,  
Będiesz ją miała zawsze jak nową.  
Marylka ścisła rozsądną Tecię,  
Wdzięczna za radę, i teraz przecie  
Ma dla swéj lalki na każdą chwilę,  
Tyle sukienek... ubiorów tyle..  
Bawi się ładnie i jest szczęśliwa  
Że własną pracą już coś zdobywa.

*Helena Bojarska.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKĄ.

### II.

— Mój Wicusiu, możebyś się pouczył trochę — zaproponowała mama — czy nic nie masz zadanego na jutro?

— Tak jakby nic, bo nie myślę nic dziś robić — odrzekł Wicusz stanowczo.

— A dla czegoż to powzięłaś tak mądre postanowienie? Bardzo jestem ciekawa!

— Ej! mamó, co to warte. Człowiek mozoli się i mozoli nad temi lekcjami, a żadnego z nich pożytku niema.

— Jakto niema?

— Ależ naturalnie, że nie; bo i cóż mamy na jutro? Geografia, brrr... geografiał tyle mnie obchodzi co się dzieje gdzieś w głębokiej Afryce, jak to co na księżycu; podróżnikiem nie będę, a gdybym nawet i zapragnął wybrać się w daleką drogę, to teraz można kupić bilet wprost do miejsca przeznaczenia, i już lokomotywa sama człowieka dostawi; nie potrzeba wiedzieć czy na prawo, czy na lewo droga; tak Adaś mówi. Niemiecki, przecież tego uczyć się nie potrzebuję i nie chcę. Bogu dzięki nie jestem Niemcem, żeby ich językiem szwargotać. Kaligrafia... głupstwolaja i tak ładnie piszę. Historia... co mi tam ciekawego, co się kiedyś działo, żeby mi pan

profesor powiedział, co jutro będzie, to może bym i był ciekawy — także głupstwo. W końcu, no cóż?... arytmetyka, to już najmniej warte ze wszystkiego. Arytmetyka... na groch tyka! ha ha ha! — zaśmiał się z zadowoleniem Wicusz, kontent ze swych wywodów, których Józia słuchała z natężoną uwagą.

— Któż ci tyle niemądrych rzeczy powiedział? — zapytała pani Z.

— Kto, ja sam to sobie powiedziałem, i Kazio to mówił także, i Adaś, a Adaś jest bardzo mądry chłopiec, sam p. inspektor mu to powiedział. Wie mama? że to Adaś wymyślił ten wiersz: arytmetyka, na groch tyka. Pyszne!!...

Pani Z. nie podzielała tego przekonania, więc zaczęła synkowi tłómaczyć wartość pogardzanych przez niego nauk. Wicusz słuchał z początku z niezadowoleniem, później coraz uważniej, bo pomimo zaufania w to, co mówili Kazio i Adaś, czuł, że mama ma rację, to też w końcu przyznał prawo istnienia wszelkim innym naukom, ale z arytmetyką pogodzić się nie mógł. Była to jego słaba strona; więc mrucząc ciągle pod nosem dwuwiersz Adasiowej kompozycji, wziął się do odrabiania lekcyi. Gdy wszystkie, prócz jednej, wykończył, była już godzina dziesiąta, ale z zadaniami na ułamki zostawionymi na ostatek, rady sobie dać nie mógł; rzucił więc niecierpliwie brulion, napisawszy w nim wprzód, zamiast rozwiązania, znany nam dwuwiersz.

— Co mi tam — zawołał — choćbym i dostał zły stopień, mnie to wszystko jedno, niech sobie profesor głowę łamie nad zadaniem, ale ja oho! ho! -- i poszedł spać, myśląc, że w ostateczności, gdyby go pan profesor wyrwał, to mu tak zaimponuje owym wierszem, że już nie będzie śmiało go pytać dalej.

### III.

Od czasu owego pamiętnego obiadu, z którym o mało, że się Wicusz nie minął, budzono go wcześniej, żeby się nie spóźniał. Nazajutrz więc rano, nasz uczeń pierwszy znalazł się w klasie. Pusto było zupełnie, tylko ławki porządnie ustawione, zdawały się oczekiwać na przybycie młodzieży, a tablica doskonale wymyta, czarna, połyskująca, zachęcała do kreślenia. Wicusz rozejrzał się dokoła; oczy mu się figlarnie zaiskrzyły:

— Cudowna myśl — szepnął sobie — nikt się nie dowie, że ja to zrobiłem, a co spalę profesora, to spalę — i pochwycił za wiszącą kredeę i, zmieniając trochę charakter, napisał śmiało dwuwiersz o arytmetyce; poczem wymknął się z klasy — i udało mu się, bo nikogo nie spotkał na drodze.

W kilka minut później zaczęli się koledzy schodzić, rozmawiali przed drzwiami gimnazjalnymi i Wicusz między nich się wmieszał, a na pierwszy odgłos dzwonka, wtłoczyli się do klasy, każdy pośpiesznie miejsce swe zajmując, bo już i pan profesor wchodził na katedrę.

Pan profesor był to człowiek wielkiej nauki i powagi; wykladał cierpliwie i zrozumiale, dla uczniów był sprawiedliwy ale zarazem surowy i biada temu, który przekroczył rozmyślnie przeciw prawom gimnazjalnym. Wszedłszy, skłonił głowę uczniom na znak powitania

potem założył okulary i spojrzał w około, czy wszystko w porządku.

Nagle drgnął, zmarszczył brwi i głosem piorunującym zawołał:

— Co to za napis na tablicy, który z was śmiał to uczynić?

Wszystkich oczy zwróciły się z przerażeniem ku wskazanemu miejscu. Jeden tylko Wicus, z dziwnym pośpiechem, zaczął wyszukiwać czegoś w swych książkach i w tej pochylonej postawie tak długo wytrwał, że to zwróciło uwagę p. profesora.

— Panowie, który z was to napisał? radzę mi się przyznać, bo inaczej, będzie źle! Wincenty Z. czego tam szukasz pod ławką, podnieś się i powiedz, jeżeli wiesz, kto ten czyn popełnił?

Wicus blady i drżący oczu podnieść nie śmiał, możeby i najchętniej było się przyznać, pomyślał, ale nie! na tę odwagę nigdy się nie zdobędzie. Zginałbym ze wstydu, gdyby się wydało, że ten bezsensowny wiersz ja napisałem.

Tak myślał skruszony po niewczasie grzesznik, a profesor pytał dalej:

— Panowie, kto to uczynił? pytam po raz trzeci.

Cisza zaległa klasę; potrwożeni chłopcy spoglądali jedni na drugich, żaden nic nie wiedział, a bali się wszyscy. Adaś, którego talent poetyczny, został w ten sposób uwieczniony, czerwony jak burak czuł, że chociaż sam nie popełnił tego przestępstwa, wina jednak głównie na nim ciążyła.

Pan profesor usiadł w swem krześle, ale głęboka bruzda pozostała na czole jego dowodziła, że o wypadku nie zapomniał.

— Proszę mi oddać kajety z zadaniami — rzekł powoli, mierząc chłopców badawczo oczyma. Każdy z nich miał przygotowany kajet z arytmetyką; jeden Wicus nie zrobił wczorajszego zadania, nie mógł więc go oddać. Ale gdzież się podziała ta wesoła fantazyja, z którą żartował w duchu z profesorów? oho ho, mówił do siebie wczoraj, siedząc w domu przy swoim stoliku, a teraz całkiem stracił fantazyję.

— Wincenty Z. — rzekł profesor — nie oddałeś mi swego kajetu?

— Proszę pana profesora, ja nie mogłem zrobić tego zadania z ułamkami, próbowałem, próbowałem i nie wychodziło mi, nawet mnie aż głowa rozboleła; ze trzy razy przerobiłem je w brulionie.

— To mi daj brulion, zobaczę w czem była omyłka.

Wicus miał brulion przed sobą, nie było więc nic łatwiejszego, jak wziąć go do ręki i podać panu profesorowi. Czemu nie ruszył się z miejsca? nogi mu w ziemię wrosły, oczy słupem stanęły, a wszystkie dziesięć palców drgały, jakgdyby niemi tryle wygrywał. Profesor widząc te oznaki wielkiego strachu, zbliżył się do ławki. a wzięwszy brulion z pulpitu, zaczął go przeglądać i niestety! bardzo prędko spotkał się z owem fatalnem rozwiązaniem zadania, porównał z napisem na tablicy i rzekł:

— Kiedy nie zrobiłeś zadania z ułamkami, to pójdz i porachuj litery w napisie na tablicy.

Wicus poszedł, nogi się pod nim chwiały a duszę, miał na ramieniu, ale posłusznym być musiał.

— Dwadzieścia jeden, panie profesorze.

— Dobrze; podziel to teraz przez trzy.

To nic trudnego pomyślał Wicus i jeszcze śmielej rzekł:

— Trzy w dwudziestu jeden mieści się siedm razy.

— Bardzo dobrze — rzekł profesor. — Otóż liczba dwadzieścia jeden, to są dla ciebie godziny kozy, a siedm, to znaczą niedziele. Rozwiązanie tego zadania jest, że przez siedm niedziel będziesz tu po nabożeństwie zostawał i przez trzy godziny w kozie zajmiesz się czem zechcesz, chociażby pisaniem wierszy. Teraz możesz iść na miejsce.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

(od Barwinka dla Królowny Elfów).

Pierwsze zaimek, z dwóch liter się składa,  
Drugie stworzenie szkodliwe,  
W końcu litera wypada.  
Wszystko to razem tworzy gad złośliwy,  
Na śpiew, muzykę niezwykle wrażliwy.

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od Góralki dla Gołąbki pocztowej).

	K	A	
K	.	A	
A	.	K	
	A	R	

Zastąpić kropki literami tak, aby utworzyły 4 wyrazy: Znaczenie wyrazów: 1. Wymiar sprawiedliwości. 2. Bożek. 3. Rzeka w Rosyi. 4. Imię biblijne.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Żup. 2. Yeddo. 3. CC. 4. Zambezi. 5. Elegie. 6. Zając. 7. Dach. 8. Rezedy. 9. Obóz. 10. Wilhelm. 11. Idalia. 12. Amen. 13. Idzi.

Życzę zdrowia i pociechy z Mani.

### Rebusa:

Wyszły szydła z worka.

## Skrzynka do listów.

P. Kamiński w Wodzianej. Żądane książki posłano, kosztują wraz z przesyłką rs. 3 kop. 80. Razem z rublem przysłanym mieliśmy od Pani rs. 9, pozostało przeto od prenumeraty rocznej kop. 20.

Mieciowi z Sosnowej ulicy. Nie idzie wcale o treść tego co będzie napisane na konkurs kaligrafii, tylko o samą kaligrafię.

Trzeba przytem przysłać swój adres dokładny, oraz pseudonym i wiek oznaczyć.

**Kopciusku** drogi, nie wiemy jaką drogą wyprawiłaś posyłkę, bo nie odebraliśmy jęj wcale. Wieczory wysłane, a konkurs już postanowiony.

Z nowym rokiem powiał wiatr jakiś zachęcający do zmiany pseudonymów tak „**Kopciuska**” jak i „**Niebieskie oczki**”, które widać długi czas snem być musiały zamknięte, skoro dopiero teraz przypomniały sobie Kazia: skończył on już uniwersytet od dawna!

**Ułanka** wybornie zrobiła, że się „zachęcić” dała: z wielką przyjemnością witamy ją; nie wiemy tylko czy kwiatek to czy amazonka?

„**Iras**” zmienia także pseudonym? nie przeszkodzi jęj to należeć do konkursu, na „odwagę” do czego nie trudno się przecie zdobyć.

Pseudonym **Pojaty** jest bardzo dobry, a liścik tak serdeczny i miły, że prawdziwą nam sprawił radość. Jeszcze więc jedna miła korespondentka nam przybyła!

Stanie się, jak życzy kochana **Artystka**.

**Łyzwiarzowi** odeskiemu w imieniu biednych serdeczne podziękowanie przesyłamy.

**Cefusza** prosimy o cierpliwość. Nie wiemy jeszcze, czy łami-główka jest dobrą, a najlepsza nawet czekać musi swojej kolei.

Droga **Wróźbiarko szczęścia**, nie dziwimy się teraz zmianie pseudonimu: owszem, pochwalamy delikatność uczuć, która cię do tego skłoniła. Szczęśliwe masz prawdziwie życie, skoro dzień cały schodzi ci przy zajęciu, a zostawia przekonanie, że go użytecznie spędziłaś. Błędów krzyczących nie widzimy, tych które są, pozbędziesz się z łatwością przy coraz większem z czasem czytaniu. Do grona staruszek przechodzisz i latka to już są nie na żarty.

**Halutka S.** oraz **Jaskółka z Czerwonj Rusi** nadesłały dobre rozwiązania.

**Polce z nad Szczary** dziękujemy za obietnicę, której dotrzymanie oszczędzi nam kłopotu.

Nie wiem dla czego się tak stało, **Sarenko z Mazowieckich lasów**, że twoich listów nie umieszczono; ten który obecnie opiece mojej powierzasz, dojdzie osobki dla której przeznaczony, ale na swoje kolej poczekać musisz.

Nową korespondentkę **Rybkę z Hniłopiaty** witam serdecznie wraz z jęj rodzeństwem. Muszę jednak uprzedzić ją o porządkach, których zachowania przetrzeba nasza redakcyja: kto chce korespondować z panienkami, musi liścik do nich zamieszczać na zupełnie osobnej karteczce niż ta, na której pisze czy to do redakcyi, czy do mnie. Potrzebne to dla oszczędzenia czasu osób pracujących w redakcyi, a dla korespondenta łatwe chyba do spamiętania.

Droga **Malinko z Goworowa**, fotografii o którą pytasz, dostać możesz u Twardzickiego na Niecałej. Zadania konikowego wyszukiwać teraz nie można wśród tylu innych; musisz, jagódka poczekać na swoje kolej.

Jakże mi cię żal, biedna **Sosno Polska**, która przeszłaś tak ciężką chorobę! Ma się rozumieć, że skoro tak bardzo sobie życzyś należeć do konkursów, nie tracisz prawa do nich. Za życzenia serdecznie dziękuję tak tobie, jak i **Piszczalce z nad Ussy** nie tylko w swoim, ale i redakcyi imieniu, oraz wszystkich, którym serdeczne od was słowa najżywszą radość sprawiają.

Ach, **Ostrożko biała**, choć nie jesteś „sławną pisarką” jak ty przecież wybornie umiałaś określić to, co jest najżywszem mojem pragnieniem. Dyskretyja jest rzeczą bardzo chwalebnią, ale zdaje mi się, kwiatku miły, że jak na teraz ćwicząc się w tój cności dla wprawy to czynisz jedynie.

**Krasnolico** moja, jak ty umiesz chwytać za serce! Odczytała twe słowa z najgłębszem wzruszeniem zawsze was kochająca całym sercem wam oddana **Gołąbka**.

Moja ty **Lobelio** maleńka, więc tak cię ucieszyła nagroda, że aż nie chciałaś w szczęście swoje uwierzyć? Odbierzesz ją niedługo i bardzobym pragnęła, aby ci się podobała. Za życzenia ci dziękuję, a za serdecznego całusa także całusem ci płacę.

Drogi moje **Jutrzenko i Pszeniczko**, nie umiem wam wypowiedzieć, jak mnie rozrzewniły słowa ofierze waszej towarzyszące. Jakżeście cierpieć musieli! Liściki wasze jak wszystkie kolei swojej czekać będą.

**Wesoła Krakowianko** zasłużyłaś na to, aby ci „**Pani**” nie odpowiedziała wcale. Całuje cię tylko siostrzyczka wasza **Gołąbka**, która także i **Rajskiemu Jabłuszku** przesyła pocałunek, na przeprosiny. Liścik twój, kochanko moja, zarzucił się między inne papiery i dla tego jedynie nie wysyłano ci **Wieczorów**, dla tego także nie odebrałaś dotąd podziękowań, za serdeczne twoje słowa i życzenia, za które wzajemnie płacę.

Więc i tobie, **Poranku majowy** podobał się *Giermek książęcy*? jeden gust mamy... Mylisz się co do nazwiska dobrej pani, ale nie mylisz w przypuszczeniu, że i ona nie lubi ciekawych pytań. Cierpliwość zaś twoja co do zadania konkursowego już więcej na próbę wystawioną nie będzie.

Zawsze mnie ucieszy widok pisma twego, **Gwiazdko Jerozolimka** zawsze z zajęciem czytam te wyrazy, w których wypowiadasz mi myśli dowodzące, jak poważnie zastanawiasz się nad sobą i obowiązkami swemi. Doprawdy wzór by z ciebie brać można! I ja wiem o tem, że nauka sokratesowa jest jedną z najmądrszych; ale... ty ją widać lepiej i sumienieś stosujesz odemnie.

Mój „ośmioletni” **Stolarzu**, muszę ci się nietylko *szanowną* ale nawet i sędziwą wydawać, skoro z takim respektem do mnie przemawiasz! Odpowiedź nadesłałaś dobrą.

**Błękitna Kokardko**, gdybyś była **Gołąbką**, to nigdybyś się nie odważyła tyłu od razu liścików przysyłać do redakcyi. Ja się już nasłuchałam dosyć: „bądź zwięźlejszą, **Gołąbko!** niema miejsca na tak długie korespondencyje! nie można całego numeru wypełniać liścikami” A ty sobie, kochaneczko aż tyle od razu przysyłasz! Poczekaj dowiesz się, co to jest „czekać swojej kolei”! Wasza

*Gołąbka.*

Kochane **Żywe Srebro!** Wielką mi radość sprawiło swym listem; wiem że jesteś **Stefcia Pil.**, czemu twe siostry do mnie nie napisały? Czy czytałyście już książki, które wam posłałam? którą ci się najlepiej podobała **Stefciu** droga? Mam nadzieję, że nie porzestaniesz na jednym liście i często będziesz pisywać do mnie. Ściskam cię wraz z **Leonką i Manią.** *Litwinka z nad Szczary.*

Najdroższa **biała Chmurko!** Jak mam ci dziękować za twe miłą odezwę, która mię za serce chwyciła! Powieści, które ci się tak podobały i ja czytałam z wielkiem zajęciem, a obecnie wychodzący „**Szesnaścieletni wojewoda**”, pochłania całą mą uwagę. Mam tylko jednego braciszka o rok młodszego odemnie. Czy będziesz należeć do nowego konkursu? Ściskam cię najserdeczniej, twój: *Biała Ostróżka.*

Moja ty słodka **Pomadko różowa!** Twój liścik bardzo mnie ucieszył. Widać że nie zapominasz o dawnych przyjaciółkach. Na twe pytania odpowiadam szczerze, że ani muzyka, ani Londyn mię nie zachwyca szczególnie. Ściskam cię serdecznie, *Brzydotka z nad Tamizy.*

Droga **Wiochno z pod Lublina!** Ucieszyłaś nas bardzo wspominając o nas, bo zawsze mamy dla ciebie sympatyę, znając cię nie tylko z „**Wieczorów**”. Będziesz bardzo dobrą, jeżeli napiszesz do nas jako do staruszek. Tymczasem ściskamy cię serdecznie kochające, *Śnieżycy i Krasnolico.*

Drogi: **Halko z Litwy, Kotwico, Stokrotko z nad Stochodu.** Dziękujemy wam serdecznie za miłe liściki. Halko droga donieś nam w jakich stronach mieszkasz i czem się zajmujesz? Jak się bawisz obecnie **Kotwico** i czy pamiętasz nasze miłe wieczorki **Stokrotko z nad Stochodu** sympatyczną jesteś dla nas, lubo mało znamy, donieś nam coś o sobie. Odpiszcie nam drogie przyjacielczki i przyjmijcie serdeczne uściśnienia od kochających was *Śnieżycy i Krasnolicy.*

Jestem nową prenumeratorką i witam was moje kochane współczytelniczki; podobają mi się bardzo wasze koresponden- i proszę aby która z was do mnie napisała. Tymczasem pozdrawiam was i obieram sobie pseudonym „**Aki.**”



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### ALFONS XIII.

Opowiadanie prawdziwe o maleńkim królu,  
spisała Zofia Urbanowska.

letni król. Ma jak każdy dorosły monarcha swój dwór wojskowy i cywilny, składający się z jenerałów, adjutantów, paziów, burgrabów, guwernerów, lekarzy i wielu innych osób; ma mundur wojskowy, który czasem nosi, z malutką złotą szpadą zastosowaną do swego wzrostu — a jazda jego na otwarcie obrad senatu, przedstawia prawdziwie wspaniały widok. Ośm siwych rumaków okrytych czaprakami z czerwonego i niebieskiego aksamitu haftowanego złotem, prowadzonych przez ośmiu bogato przybranych koniuszych, ciągnie karecię z szyldkretu i złota. Karecia ta jednakże jest pusta i wówczas tylko król do niej przesiada, gdy inna w której jedzie, ulegnie w drodze jakiemu niespodzianemu wypadkowi. Ta druga jest z czarnego palisandru ze złotymi ozdobami, ma koła purpurowe i kształt baldachimu, po nad którym unosi się królewska korona. Zaprzężona jest w ośm angielskich rasowych koni, maści izabelowej: konie te strojne są w dyademy z białych strusich piór z kitami, a kity spięte białymi aksamitnymi przepaskami, na których błyszczą drogie kamienie. Szory są z purpurowej skóry, złotem nabijane. Z lewej strony karety jedzie konno minister wojny, z drugiej jenerał-kapitan miasta. W karecie siedzi królowa matka w czarnych wdowich szatach, których nie zdjęła od śmierci ukochanego męża, i trzyma na kolanach syna ubranego w biały płaszcz; naprzeciw siedzi w przepysznym bogatym stroju piastunka, a dawniej siadywała mamka, zabierana na wypadek, gdyby apetyt młodzietkiego władcy przeważył nad jego zajęciem się obradami senatu.

Kraj któremu ten maleńki król panuje, jest duży i piękny: na zachód graniczy z krajem bratniego plemienia, od północy strzegą go morskie bałwany i góry niebotyczne —

W pewnym bardzo dalekim kraju, gdzie słońce o wiele później niż u nas wschodzi i zachodzi, panuje maleńki cztero-

morze też od wschodu i od południa obmywa jego brzegi. A pomiędzy tem morzem i temi górami rosną soczyste pomarańcze i granaty, słodkie figi i daktyle, rosną wyborne migdały, oliwa, wino, trzcina cukrowa i bawełna, bo w kraju tym lato bywa bardzo gorące, gorętsze niż u nas, więc wszystkie owoce południowe dojrzewają. I nietylko na powierzchni ziemi znajdują się tam bogactwa, przynoszące w zamian za nie mieszkańcom pieniądze od obcych ludów; we wnętrzu ję są jeszcze większe i cenniejsze skarby: jest żelazo, miedź, złoto, srebro, jest sól węgiel i wiele innych cennych kruszców i minerałów; są marmury jaspisy, alabastry — są nawet drogie kamienie: rubiny, dyamenty, topazy, granaty, turkusy i inne. Lud tam mieszka rycerski, waleczny, pobożny, ale gwałtowny i zapalny jak siarka; o byle co porywa się zaraz do oręża, to też ziemia tego kraju obficie jest krwią przesiąknięta. Jeden z dawnych władców ję mawiał z dumą, że w jego państwie „słońce nigdy nie zachodzi”, posiadał bowiem rozległe kraje na drugiej półkuli świata, a wiadomo że gdy słońce zachodzi u nas, to tam dopiero wstaje. Tym sposobem król ów nie mijał się z prawdą.

Teraz już pewnie każdy zgadnie, że kraj o którym mowa, leży na zachodzie Europy, a jeografowie nazywają go Hiszpanią; że stolicą jego jest duże, wspaniałe miasto Madryt nad rzeką Manzanares. Tam stoi zamek maleńkiego króla, który przyszedł na świat w niezwykłych okolicznościach. Żeby zaś te okoliczności były dla czytelników naszych zrozumiałymi, musimy się nieco w przeszłość Hiszpanii cofnąć.

Jeden z przodków Alfonsa XIII-go który nosi rodzinne nazwisko Burbon, Filip V-ty, w pierwszych latach wieku ośmnastego, bo w r. 1713, wprowadził do Hiszpanii prawo tak zwane *salickie* \*), usuwające kobiety od dziedzictwa tronu. W sto lat potem Ferdynand VII-my, pradziad dzisiejszego króla skasował to prawo, bo nie miał męskiego potomka tylko córkę, i żał mu było że ona tronu po nim dziedziczyć nie będzie. Po śmierci więc jego, wstąpiła na tron córka Ferdynanda Izabela II, ale brat rodzony ję ojca don Karlos, który wedle dawnego prawa miał po nim panować, uznał się za pokrzywdzonego i zaczął praw swoich dobijać się orężem. Wszyscy co mu sprzyjali i skasowanie prawa salickiego uważali za czyn bezprawny, przyłączyli się do niego i tak powstało stronnictwo karlistów, które przez lat sześćdziesiąt było powodem ciągłych zamieszek i wojen domowych w Hiszpanii. Stronnictwo to istnieje dotąd, bo don Karlos nie rzekł się swoich praw, tylko je przelał na syna, a górale północnych prowincyi, Nowary, Biskoi i Guiposcoi, sprzyjają mu stale — tam też jest główne siedlisko spiskowych, gotowych zawsze do powstania.

Panowanie córki Ferdynanda Izabeli, babki Alfonsa XIII-go żyjącej jeszcze dotąd, nie było szczęśliwem. Kraj trapiiony ciągłemi buntami karlistów, potrzebował męskiej głowy i męskiej energicznej ręki do ich poskromienia, a delikatna dłoń niewieścia trzymająca wodze rządu, nie zawsze mogła sobie dać radę. Niezbyt szczęśliwa w wyborze najbliższych doradców królowa, zniechęciła ku sobie poddanych

tak dalece, że zrobiono rewolucyę i Izabela z mężem Franciszkiem i dziećmi, szukać musiała schronienia w gościnnęj Francyi.

Rzeczpospolita trwała w Hiszpanii dwa lata; przywódca rewolucyi generał Prim widząc, że kraj ma ochotę powrócić do monarchicznej formy rządu, a nie chcąc wzywać na tron don Karlosa, z obawy aby dzieci Izabeli nie utworzyły znowu nieprzyjaznego stronnictwa, ofiarował koronę Amadeuszowi, szlachetnemu księciu włoskiemu, synowi króla Wiktora Emanuela. Ale wybór źle był zrobiony ze względu na uprzedzenia narodowe hiszpanów. Nie cierpieli oni cudzoziemców i pierwszy objaw niechęci dla nowego króla, nastąpił w dniu jego wylądowania na ziemię hiszpańską — zamordowano bowiem generała Prima, który go tam powołał. Szlachetny i rozumny Amadeusz panował przez dwa lata i zrobił wiele dobrego dla kraju, ale widząc, że nie zdoła pokonać niechęci poddanych przeciwko sobie jako cudzoziemcowi, złożył koronę dobrowolnie. Hiszpania powróciła do republikańskiej formy rządu i po kilku miesiącach trwania rzezypospolitęj, powołała na tron syna Izabeli, Alfonsa XII-go, ojca dzisiejszego monarchy. Ten po dziesięciu latach panowania, umarł na suchoty w dwudziestym ósmym roku życia, zostawiając wdowę Maryę Krystynę, córkę Karola Ferdynanda arcyksięcia austriackiego i dwie córeczki: Maryę Mercedes i Maryę Teresę; pierwsza ma dziś lat dziesięć, druga ośm. Znowu więc widmo wojny domowej stanęło przed oczyma Hiszpanów, a karliści z zasady rządóm kobiecym przeciwni, podnieśli głowy — zwłaszcza że Krystyna jako cudzoziemka, miała wielu niechętnych: zwano ją pogardliwie „austriaczką”. Ale w sześć miesięcy po śmierci Alfonsa XII-go przyszedł na świat jego synek, ów maleńki król którego portret macie przed sobą, i natychmiast hasła buntu ucichły: kołyska nakazała im milczenie! Uniesienie radości przebiegło kraj cały, niby prąd elektryczny: król, to było zbawienie od wojen domowych, to był porządek i spokój. Dziecko przyniosło z nieba gałązkę oliwną!

Że jednak taki król malutki umie tylko płakać, gdy go co boli, i krzyżeć gdy mu się jeść chce, ale rządzić nie może, a rządzić ktoś musi koniecznie — powierzono rządy królowej Maryi Krystynie z tytułem rejentki, niewieście dzielnej i rozumnej, która zaufania narodu nie zawiodła ani na chwilę. Zrazu nienawidzona, stała się przedmiotem powszechnęj czci i miłości, nietylko dla tego że była matką króla, ale dla swoich osobistych przymiotów. Ona nie przystępna wszelkiej intrydze, nie protekcji ale zasługom ludzi oddawała pierwszeństwo; ona w obec ciężkich przejść dała dowody wyższego umysłu, charakteru, godności; ona w czasie zarazy odwiedzała chorych w szpitalach i nosiła im pociechę; ona spełniała swoje obowiązki matki nie jak królowa, ale jak zwyczajna kobieta; ona wreszcie zjednała sobie serca wszystkich, szlachetnym sposobem przejednywania nieprzyjaciół.

Literat hiszpański del Silvio skazany został na wygnanie przez rząd, za artykuł podniecający do buntu. Żona wygnańca udała się do królowej z prośbą o ułaskawienie i królowa prośbę tę uwzględniła; wrócony z wygnania del Silvio, przyszedł królowej dziękować, a ona wstrzymując się od wszelkich wyrzutów i napomnień, spytała go łagodnie:

— Ile pan masz dzieci?

— Sześcioro — odpowiedział.

— To za wiele, podzieli się pan ze mną!

\*) Prawo *salickie* istniało od najdawniejszych czasów u Germanów, którzy zawojowawszy Galję, tam je wprowadzili. Że zaś Galja podbita wprzód była przez Franków salickich, nazywających się tak od rzeki Saali, nad którą poprzednio mieszkali, zanim do Galji przyszli, więc ztąd poszła nazwa salickiego prawa, powszechnie w świecie przyjęta.

Odtąd troje dzieci del Silvia znalazło pomieszczenie w królewskim zakładzie naukowym.

Objazdy królowej po prowincjach, bywają prawdziwym pochodem tryumfalnym; nie nazywają jej już „austriaczką”, ale „matką Hiszpanii”.

Narodziny maleńkiego króla tak pożądanego przez naród, obchodzone były z wielką uroczystością. Zaledwie przyszedł na świat, wielka ochmistrzyni dworu wniosła go na srebrnym półmisku, spowiniętego w koronki, do sali gdzie znajdował się prezes ministrów w otoczeniu najwyższych dostojników państwa, i wszyscy powitali go okrzykiem: — Niech żyje król! — a działa twierdzy Madrytu dały dwadzieścia jeden wystrzałów, obwieszając tę radosną nowinę miastu. Gdyby się urodziła księżniczka, wystrzałów byłoby tylko dwadzieścia, taki jest zwyczaj. Stało się to dnia 17-go maja 1886 roku.

Od chwili urodzenia maleńki król zaliczony został do składu armii, obsypany zaszczytami i orderami przez zagraniczne dwory, i zamianowano dlań nadwornego dentystę, którego obowiązkiem jest dwa razy tygodniowo oglądać zęby Jego Królewskiej Mości. Z początku przynajmniej, urzędnik ten nie bardzo się utrudził. Do chrztu trzymał króla przez zastępstwo Papież, a imion na chrzcie dano mu tyle, że nie prędko jeszcze potrafi je wymówić wszystkie od razu, bo aż siedm: Alfons, Leon, Ferdynand, Marya, Santiago, Isideo, Pasqual. Z okazji chrztin nadsyłano mu zewsząd bogate dary, a damy madryckie ofiarowały kołyskę ze świeżych konwalii, arcydzieło sztuki ogrodniczej. Za baldachim służyły jej trzy liście palmy wachlarzowej, na końcach której zwieszały się niby frendzla biała, gałązki konwalii. Mateczka króla chciała małego władcę choć na chwilę położyć na tem wonnem łóżeczku, ale lekarze odradzili z obawy, aby silny zapach kwiatów nie zaszkodził jego delikatnym nerwom.

Maleńki król ma dzisiaj cztery lata, więc jest prawie dorosłą osobą, ale już jako paromiesięczne niemowlę, udzielał uroczystych audyencyi. Małżonka posła francuzkiego otrzymała raz od królowej żądane pozwolenie przedstawienia się królowi. Gdy wprowadzoną została przez ochmistrzynię do komnat Alfonsa, mamka zmuszona była zbudzić ze snu monarchę, który oburzony że zakłócają jego spokój, rozkrzyczał się na dobre. Ochmistrzyni dworu nie mogąc powstrzymać uśmiechu, rzekła do żony posła.

— Proszę, aby ekselencya nie zechciała przywiązywać żadnego znaczenia do niezbyt łaskawego przyjęcia Jego Królewskiej Mości. Dwór nasz żywi najprzyjaźniejsze usposobienie dla kraju, którego małżonek ekselencyi jest przedstawicielem!

(d. c. n.)

## POD WPLYWEM BLOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Jesteś człowiekiem!... — rzekł uroczyście kładąc mu rękę na głowie wedle zwyczaju. Rozpromieniony chłopak ledwo dotknąwszy strzemienia, skoczył na siodło, inni dosiedli także i grząc huczną pieśnią na całą pusztę ruszono z powrotem do domu.

— Eljen Szandor! — i znowu huknęły bicze na zawiadomienie matki i reszty pozostałych, gdy mały zwycięzca

wraz z wesołym orszakiem stanął przed gospodą. Matka do-  
tąd przy pracy mężnie ukrywając strach śmiertelny, teraz nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, pochwyliła malca prosto z konia w ramiona zalewając się łzami. Szandor serdecznie odwzajemniał jej pieśczoły, ale wnet coprędzej zawrócił do karego. Klepiąc konika, głaszcząc, całując, karmiąc chlebem, przemawiając doń najczulszemi słowy, Szandor umieścił go w zagrodzie bardzo wysokości ale bez dachu, aby pozbawiając widoku nieba, nie pozbawić fantazyi dzielnego żrebca. Zresztą na razie przynajmniej, kary miał dostatecznie liczne i godne siebie towarzystwo, z wierzchowców w gościnę z panami przybyłych, i zdaniem Szandora nie powinien był nudzić się i tęsknić, co nie przeszkadzało jednak że i młody jego pan, nie odstąpił go do późnej nocy. Całą noc następną stepowa gospoda huczała okrzykami, grzmiała pieśniami, trzęsła się od lomotu tańczących, szalała porywającą muzyką cygańską. Ho! Hop! Bywało tam codzień wesoło, a huczno i dźwięczno w każdą niedzielę, ale takich jak dzisiejsze godów, jak gospoda gospodą nie pamiętano znowu.

Nazajutrz rano przecież wszystko powróciło w zwykłe karby. Odtąd Szandor bujał od rana do nocy na swoim karym po szerokiej puszczy, odwiedzając bardzo często jego rodzinne stado, ze względu na przypuszczalną koniką tęsknotę, której zresztą wcale widać po nim nie było, a także ulegając sympatyi własnego serca, które go ciągnęło do czikosa Pala, serdecznego teraz przyjaciela. Pal i jego towarzysze ze swęj strony, uczuwali dla chłopca tę szczerą prawie ojcowską przychylność, jaką zazwyczaj ludzie dzielni żywią dla podobnych sobie młodszych, niby uczniów w ulubionym zawodzie.

Pomimo wielce drobnej postaci, okazało się że Szandor był wytrwałym, dosyć silnym na swój wiek, a zwłaszcza rzeczywście odważnym, z tą dozą zimnej krwi, która pozwala człowiekowi w jednej chwili oceniać właściwie najgroźniejsze niebezpieczeństwo i przeto stać się najczęściej panem położenia. Te ważne zalety zjednały malcowi poważanie dorosłych przyjaciół, spotęgowane jeszcze głębokiem uznaniem, dla jego daru składania pieśni. Pieśń ta nieodstępna towarzyszyła samotności pasterza, brzmiała bezustannie wśród puszczy, jest mu drogą, i nieledwie tak samo konieczną jak pożywienie i powietrze. Grube też tomy możnaby złożyć z tych skarbów starożytnych i nowszych, zapisanych wiernie w pamięci niepiśmiennych tych ludzi. Długie dnie, i noce nawet spędzał chłopczyzna w ich towarzystwie, rozciągnięty w bujnej trawie, śpiewając i lubując się w wywoływanych z głębi piersi dźwiękach, rozlegających się po szerokiej puszczy.

— A teraz ty Szandor zaśpiewaj! — zachęcali pasterze wyśpiewawszy co mieli na sercu. I chłopiec patrząc zadumany na otaczającą przyrodę, śpiewał także co miał na sercu.

Pasterze słuchali uważnie, a gdy Szandor umilkł, którykolwiek z nich, obdarzony tą pamięcią jaka się właśnie u niepiśmiennych ludzi częstokroć najsilniej rozwija, powtarzał natychmiast pieśń, której po jakimś czasie jużby powtórzyć nie umiał. Za pierwszym powtarzali wszyscy chórem i nowa pieśń przyjęta do zbioru siostrzyc starszych, stawała się odtąd własnością ogółu. Księgi pieśniami zadrukowane zniszczyć może ogień lub woda, ale to co zapisane w pamięci pasterza, wytrwa dopóki pasterza starczy. Tak pędzone dni były rozkoszne, i Szandor nigdy w życiu nie pożałowałby zmiany z pewnością, czując się najzupełniej szczęśliwym; to też jak grom z jasnego nieba spadała nań wieść niepodziewana, niweczająca z gruntu szczęście dotychczasowe.

Ojciec Petofi, już od pewnego czasu chodził mocno zamysłony, wodząc oczyma za synem szarpał węża, pociągał i znowu do góry podkręcał raz po raz. robota domowa nie trzymała go się, wyraźnie pod wpływem owładających nim tajemniczych, a ważnych jak widać myśli. Aż raz siedząc z żoną przed domem i patrząc na Szandora, jak przeróżne figle godne dzielnego jeźdźca z Karym swoim wyprawiał, ojciec pociągnął jeszcze raz węża stanowczo, snadź przetrąwszy już w sobie swe myśli, wyrzekł:

— Dostyc tego!... Wszyscy mi powtarzają, że chłopak jest dzielny, mądry z natury, i w dodatku doskonale pieśni składa, co przecież nie lada kto potrafi. Ma snadź wielkie zdolności. My zaś uczciwą pracą dorobiliśmy się trochę grosza. Nie wart byłbym mieć syna, gdybym nie kochał go bardziej niż samego siebie, nie pragnął dlań lepszej doli niż moja własna. Po co nasz Szandor ma przez całe życie wleprze zabijać, pasterzom w puszcze posługiwać, jeżeli jest zdolnym do czegoś lepszego? Niech jedzie do szkoły między pańskich synów, których uczeni ludzie uczą, niech się uczy, niech zostanie prawnikiem, albo inżynierem!... wielkim panem!

Matka w pierwszej chwili zaniemówiła ze wzruszenia. Groziło jej rozstanie z jedynakiem. Ale myśl o jego przeszłości, stanowisko inżyniera lub prawnika olśniło rozkochaną w synu. Zgodziła się odrazu na wszystko, uznając owszem największą słuszość zamiarów mężowskich.

### III.

— Raz, dwa... cell... pal!... Brzdęk!...

— Gdzie jest Michałowa z ciastkami?.. Gwiazdo słoneczna! i ty srebrno świątły księżycu! oto biorę was na świadków niebawale, w historii nieopiewanego dotąd wypadku: słuchaj niebo i ziemi! Słuchajcie ludzie! W znakomitem mieście węgierskiem Selmesz, w gmachu sławnego z uczoności swych uczniów liceum, najświetniejszego z liceów na świecie, z bocznych schodów tegoż gmachu, dnia dzisiejszego w czasie „dziesięciu minut” zginęła, znikła i przepadła „Michałowa z ciastkami” stojąca tamże od niepamiętnych czasów z upoważnienia władzy szkolnej, ku wygodzie uczniowskich żołądków!... Gwałtu ratujcie! Gdzie jest Michałowa?..

— Jestem, jestem już pieszczoszku, synku mój; czegoż bo krzyczysz tak, jakbyś odrazu w dziesięć trąb dał! Bierz, jedz!... potem będziesz płacił koteczku, tylko nie krzycz! Zawołali mię starsi, więc o dwa kroki od moich schodów odeszłam. Czegoż zaraz niebo i ziemię, słońce i księżyc wyzywasz o mnie! gwałtowniku!

— Pudło!... Raz... dwa... Pudło! Wall!... Rąb!

Takie i tym podobne głosy, urwane zdania i okrzyki tarzyszące grom różnym, perory żartownisiów, przepełniały straszliwą wrzawą ogromny dziedziniec liceum w Selmesz, na który wysypała się młodzież, w czasie krótkiego przedpołudniowego wypoczynku. Hałas był ogłuszający, wspinały. A przecież liceum w Selmesz, to zakład naukowy wyższy, po którego uczniach jakiej takiej powagi można by się już spodziewać. Ale to są wszystko Węgrzy, a każdy Węgier to trzaskająca bezustannie zapalka. Jednakże w jednym z odleglejszych kątów podwórza, panuje gwar cokolwiek mniej głośny, choć wcale nie mniej ruchliwy. Odbywa się tam owa maleńka manipulacja, zakazana przez zwierzchność szkolną, zdolniejszy uczeń zaopatruje mniej zdolnych, w żądane wypracowania, z koleżeńskiej życzliwości jedynie. To Szandor, tak mało zmieniony pomimo kilku lat ubiegłych, że odrazu poznać go można. Dziwne to nawet bardzo, że chłopaczek nie urósł, ani zmężniał w latach, w których najbardziej rósć by powinien. Zmienia go tylko chmura na czole i ten niemily wyraz twarzy, który pospolicie u dzieci „marsem” starsi nazywają. Z rękami w kieszeniach, smutnym wzrokiem gdzieś tam daleko w świat, na niebo z pomiędzy domów wyglądające wpatrzony, mały szczupły chłopiec choć ten sam z pozoru, dziwnie jednak różny jest od rozkosznego malca, bujającego niegdyś na karym tak wesoło po puszcze. Co chwila, śpiesznie załatwiając interes, przystępuje doń jakiś kolega coś szepcząc, nieraz daleko starszy odeń nawet. Czasem kartka już przygotowana, wychodzi z kieszeni zadumanego, czasem zadanie jakiego objaśnia się lub odrabia na poczekaniu, zawsze z tym samym wyrazem ponurzej znużonej obojętności. Na sekundę, w przeciwnym krańcu dziedzińca, zjawił się jeden z nauczycieli i znikł natychmiast, ale i ta sekunda wystarczyła bystremu oku doświadczonego pedagoga:

— Tylko spojrzysz kolega z daleka — rzekł w chwilę później, spotkawszy przyjaciela w korytarzach gmachu — spojrzysz co się tam dzieje koło akacy: mały Petöfi wszystkich leniuchów z całej szkoły zaopatruje tam w zadania, ale gdy jego samego „wyrwę” do lekcyi, nie będzie umiał z pewnością. Radbym wiedzieć jaki tam tajemniczy duch uporczywości, przekory czy nieposłuszeństwa siedzi w tem dziecku, i zataja się sam w sobie jak ślimak przedemną... a około niego tworzy się zwolna jakby jakaś milcząca opozycya z jego przyjaciół... A przecież nie pierwsze ono takie dziwne jest w moich rękach, i powinno by już poddać się hm... hm... mojemu systemowi... Albo drukować nie będę!

— Kochany kolego nie martw się! drukuj! Twój system wychowawczy, na długoletniem doświadczeniu oparty, jest z pewnością głęboko obmyślony, i zwycięży w tym razie jak zwyciężał w innych, tylko trzeba cierpliwości, bo chłopak snadź jest oporniejszy od innych.

— A tymczasem ojczysko, stary Petöfi, dorobiwszy się grosza ciężką pracą, rozkochany w jedynaku i o lepszej dlań marząc przyszłości, złożył jego losy w moje ręce ze szczególniejszym zaufaniem... któremu radbym odpowiedzieć godnie. Doprawdy szczerze pracuję i staram się zaglądać do duszyczki dziecka, i podchodzę na wszystkie sposoby, aby otworzyła się dla mnie: dotąd napróżno!

— A może to już chłopiec taki zimny, i mimo zdolności niedbały o postępy w naukach, na skutek przekonania o swym najętaku?..

— O nie! wszakże uczył się już w gimnazyum w Aszod i w Szend-Lorencz, i... co prawda, niema także ztamtąd zbyt świetnych świadectw... A zdolności są, i ojczysko pragnie mieć zeń prawnika albo inżyniera!

Głos dzwonka przerwał rozmowę. Każdy z dwóch nauczycieli podążył do właściwej sali, żegnając się wzajem przyjacielskiem skinieniem. Przechodząc koło okna w korytarzu, stary pedagog twórca „systematu” rzucił jeszcze raz okiem w stronę „akacy” na szkolnym dziedzińcu i westchnął... Szandor stał tam jeszcze „opozycya” otaczała go, jeden, i to ze starszych pisał coś gwałtownie na siniej jakiejś kartce, na kolanie... nagle rozprysnęli się wszyscy.

— Patrzcie państwo! dyktuje! — mruknął staruszek — dyktuje starszym, a sam nie będzie umiał ani w ząb! A ten duży strojniś Pakh, nie wstydzi się pisać na siniej kartce za jego dyktandem!..

W kilka sekund później lekcyje odbywały się w zwykłym porządku. Nauczyciel słuchał, poprawiał, wykladał, ale „sina kartka” migotała mu ciągle przed oczyma, niby wyrzut sumienia i dowód niespełnionych obowiązków. Aż wtem... Cóż to znowu? Złudzenie czy rzeczywistość, w wyobraźni czy w istocie sina kartka mignęła znowu wśród ławek, pod stołami z rąk do rąk.

— Co to jest? Czem zajmujecie się przy lekcyi? Pokaż tę kartkę, Falloky! — rzekł profesor, wyciągając rękę dyktatorskim gestem ku występnej ławie, zdecydowany pomścić srogo na nieszczęsnej kartce postępowanie Petöfięgo. Podano mu ją posłusznie: była tam notatka odnosząca się do tylko co objaśnianej właśnie lekcyi jutrzejszej!..

— Nie o tamtę, lecz o tę pytam którą masz ty Naghy!... — powiedział bystry staruszek, kładąc rękę na ramieniu trzeciego z rzędu ucznia, do którego tajemnicza kartka zdążyła już tymczasem zawędrować niewidzialną pocztą. Podstępny wojenne nieudały się, pozostawało się tylko poddać; Naghy spojrział po kolegach badając, czy wypadkiem nie zarzuci mu kto nieuczciwości... i oddał dokument.

(d. c. n.)

## OŚMIORNICA.

Dziwo przedstawione na rycinie naszój jest tymże samym potworem, o jakim starsi czytelnicy nasi czytali przerażające szczegóły i opowieści w zajmującej książce Juljusza





Osmiornica.

Verne'a. Ośmiornicą zwana w różnych swych gatunkach, mątwą sepią lub atramentnicą, jest z rodzaju mięczaków, należy do gromady głowonogich. Potworna jej głowa otoczona jest bezpośrednio ośmiu nogami, a te zaopatrzone są mnóstwem narośli, z których każda działać może jak pijawka; przyczepiwszy się do żywego stworzenia, trzyma je tak mocno, że aby je uwolnić trzeba jej oderwać nogę. Oczy ośmiornic ogromne, są zabezpieczone błoną przezroczystą, a otwór ustny jest poprostu zakończony dziobem z twardego rogu... Ciało miękkie, okrutnie niemiłe w dotknięciu, ma u spodu naczynie workowate, pełne czarnego lub ciemnego płynu, który mątwy wypuszczają dowolnie w razie niebezpieczeństwa, aby zmąciwszy nim wodę zamydląc niejako oczy nieprzyjacielowi i ująć przed nim bezpiecznie. Ośmiornice żyją we wszystkich morzach; najpospolitsze są długie na trzy ćwierci łokcia blisko, a jadane z ostatniej biedy przez ubogich nadmorskich mieszkańców. Mają one barwę sinawą, czerwawą kropkowaną, płyn zaś barwy ciemno brunatnej zwany „sepią”. Wewnątrz mają kość czyli skorupę, znajdującą zastosowanie w przemyśle, gdyż daje czarną barwę. Ośmiornice są bardzo żarłoczne, karwią się rybami i skorupiakami.

## WIECZOREK W ZALESIU.

— Jeśli nie włożę różowej sukienki, to nie pojedę! — przeciągając się w łóżeczku wołała trzynastoletnia Halinka.

— A jeśli ciocia życzy sobie, żebyś wzięła bronzową?

— To nie pojedę! — powtarzała potrząsając jasnowłosą głową.

Panna Anna nauczycielka, odwróciła się aby ukryć uśmiech zarysowujący się na jej ustach.

Halinka była bardzo dobrą, choć rozpieszczoną trochę przez ciotkę, majątną, bezdzietną osobę, u której chowała się wraz z Bronią, stryjecznią swoją siostrą. Uczyła się dobrze, nieźle grała na fortepianie, rysowała z zamiłowaniem, nie zaniedbywała przytem robót ręcznych, w których dość nawet była biegłą. Kochała też ciotkę z całej duszy, a do panny Anny przywiązała się serdecznie. Żywa, wesola, wyrastałaby na prawdziwą pociechę swych opiekunów, gdyby nie jedna wada. Od pewnego czasu zauważono, że rozwinęła się w niej wielka próżność. Widząc w zwierciadle kwitnącą swą twarzyczkę, błyszczące oczy i jedwabiste złotawe włosy, rozmiłowała się nazbyt w swój urodzie, a co idzie zatem i w stroju.

Po skończonych lekcjach, gdy Bronia z radością biegła do ogródka pleć grządkę, lub polewać kwiatki, ona szła do swej szafy, rozkładała sukienki, kapelusze, płaszczyki, rękawiczki, buciki, oglądając wszystko uważnie, każdy zaś grosz otrzymany na kolendę, czy imieniny obracała na zakup nowego jakiegoś przyboru stroju. Bacząc na inne jej zalety, ciotka nie zbyt energicznie brała się do wykorzenia upodobania, które w tak młodej panience stawało się wielką wadą i śmiesznością. Więcej żartem niż serjo ganiła wychowawce zbyt żywe zajmowanie się swą garderobą, mogące kiedyś przerodzić się w smutną wadę charakteru. Panna Anna także, kochając miłą i zdolną uczennicę, nie miała serca karcąc jej surowo i teraz też odwracała się, aby młoda strojniczka nie dostrzegła uśmiechu, wywołanego jej postanowieniem.

— Komuż tem dokuczysz? — zapytuje wreszcie z udaną powagą. — Zdaje mi się że najwięcej sobie?

— Wszystkim! — bez namysłu odpowiada Helcia. — Wiem że bezemnie nie pojechałaby ani ciocia, ani Bronia, ani nawet pani!

— Proszę, co za pewność siebie. Dla czegoż to bez ciebie nie mogłybyśmy pojechać?

— Bo mię kochacie i nie chciałybyście mię pewnie pozabawić przyjemnej zabawy — odparła przymilając się figlarnie.

— To nie racya! I ty jak sądzę kochasz nas troszeczkę? masz jednak ochotę kapryсами popsuć nam zabawę?!

— Ee — zająkała się trochę Halinka — bo dla czegoż ciocia nie pozwala mi wiaść sukienki różowej? — Wczoraj jeszcze była o niej mowa...

— Przez cały tydzień i wczoraj trwała odwilż, dziś zaś od północy mróz trzyma. Wstawajcie to zobaczycie jaka zadykma i jak dużo przez noc napadało śniegu. Na taką porę, zalekkiem jest strój z jasnego fularu, stosowniejsze sukienki z brązowego kaszmiru, które przecież są ładne i świeże.

— Brr! ciemna suknia, na tańczącą zabawę! — pogardliwie rzekła Halinka.

— A ty Bronisiu czy równie wstręt ten podzielasz? — rzekła panna Anna do drugiej dziewczynki.

— Ja... — odpowiedziała Bronia, naciągając pończochy — wolałabym także moją białą sukienkę i szarfę błękitną. Skoro przecież ciocia każe wiaść bronzową...

— Właśnie, że ciocia nic wam nie nakazuje. Jesteście już w tym wieku, że niepodobna obchodzić się z wami jak z dziećmi. Obie skończyłyście już lat trzynaście... Przedstawiamy wam, co jest odpowiedniejszym do stanu pogody i radzimy życzliwie, zresztą liczy się już na rozsądek, którego wam przybywać powinno z każdą godziną. Halince odkąd była na dzieciennym baliku u stryjeczki w Warszawie, zdaje się że jest zupełnie dorosłą panną, spodziewam się też po niej, że pomyślawszy, osądzi sama iż na słotę szkoda niszczyć tak ładnego ubrania, w którym prócz tego łatwo się można przeziębic. Jeśli jednakże zechcecie koniecznie wystąpić w nowych sukienkach, to ciocia na pewno nie wzbroni wam tej przyjemności, ani się pogniewa, choć nie posłuchacie jej rady. Róbcie więc jak chcecie.

Po tych słowach zapanowała cisza..

Bronia włożywszy już buciki zabiera się do mycia, Halinka w łóżku założywszy ręce pod głowę, duma spoglądając w sufit.

— Tak się cieszyłam na tę zabawę! a więcej jeszcze na suknię! — Wzdycha żałośnie.

— I ja także! — wtóruje jej Bronia. — Kiedy jednak cioteczka i panna Anna radzą inaczej, to wezmę bronzową suknię.

— Bronisia już zwyciężyła pokusę! — rzekła nauczycielka. — Jestem pewna, że przykro jej cokolwiek, ale rozsądek wziął górę!

— Ej... co tam Bronisia! — z lekkim skrzywieniem odpowiada Halinka.

— Jakoż? czy przypuszczasz, że nie żal jej ani trochę?

Halinka nic nie odpowiedziała, ale myśli sobie spoglądając z boku na śniadą twarzyczkę, zadarty nos i szerokie usta kuzynki. Jej wszystko jedno, czy ubierze się białą czarno lub czerwono... taka nieładna! Ja to co innego! Gdy ustroję się różowo, rozpuszczę włosy, włożę czarną aksamitkę ze złotym krzyżykiem, wyglądać będę prześlicznie! Wszyscy będą chwalić, uśmiechać się kłaniać, prosić do tańca... ale ja nie będę tańczyła z dziećmi, tylko ze starszymi uczniami, co chodzą w gimnazjalnych mundurkach! Sama przecież panna Anna mówiła że jestem już starszą.

— Kiedyby to cioci nic nie szkodziło, gdybym włożyła różową... — odzywa się głośno trochę nieśmiało.

— O! cioci napewno nic to nie szkodzi — rzekła panna Anna. — Idzie tylko o to żeby nie zaszkodziło tobie.

— Mnie? ciekawam jakim sposobem?

— Nie umiem ci na to odpowiedzieć w tej chwili. Obawiam się jednak iż kiedykolwiek próżność twoja na zle ci wyjdzie!

— Moja droga panno Anno, ubiorę się na wieczorek ciepło! włożę płaszczyk watowy, chustek co się zmieści, to cóż mi się stać może? W karecie zresztą nie będzie bardzo zimno.

— No wstawajże! wstawaj już prędkiej — woła nauczycielka. — Choć to niedziela, dzień przeznaczony na odpoczynek, nie przystoi młodej panience tak długo leżeć. Oto i Antosia wnosi herbatę! Nie zdążysz się ubrać do śniadania!

Rozmowę zakończy ukazanie się we drzwiach służącej z tacą i buchającym parą samowarem, następnie zaś pospieszne ubieranie Halinki, zrywającej się na gwałt z posłania.

Po śniadaniu panienki obie schodzą na dół, dzień dobry powiedzieć wujostwu.

W niebieskim gabinecie od ogrodu, zastają ciotkę przed kominkiem, na którym suty rozpalono ogień.

— Dzień dobry drogie dzieci — odpowiada na powitanie całujących jej ręce panienek. — Czyli raczej może niedobry?... Wiecie, taka zadymka na świecie, że przed chwilą oznajmił mi wujaszek iż o jeździe do kościoła nie podobna myśleć. Jeśli pogoda się nie zmieni, bardzo być może że i z wieczorku w Zalesiu nic nie będzie.

— O cioteczko! — zawołały płaczkliwie panienki.

— Cóż robić?! I mnie żal będzie cokolwiek, jeśli słota zatrzyma nas w domu, lecz jakżeż na to rada? Poczekajmy, może przed wieczorem wicher nieco sfolguje. Tymczasem popomódlcie się, a potem zajmijcie czemkolwiek. Ty Broniu nie przeczytałaś jeszcze tej pięknej książeczki, którą dostałaś na kolendę; Halinka może przegra gammy? Uzbrojcie się w cierpliwość, a może prędzej doczekacie się pogody.

Łatwo to ciotce zalecać cierpliwość! lecz nie łatwo wcale zdobyć się na nią dziewczętom! Halinka wprowadziła do fortepianu, lecz pasażę które zwykle grywa z wielką wprawą, idą dziś jak po grudzie, palce niby drewniane uderzają w klawisze, ani taktu, ani harmonii!

— Zle! źle Halusiu! — wołała z drugiego pokoju panna Anna, przeglądająca z ciotką dzienniki, ale i ta nagana nie wiele pomaga.

Bronisia smutna, wcisnęła się z książką w róg kanapki, ale nie bardzo wie co czyta. Oczy wprowadziła chodzą sumienie po drukowanych szeregach liter, lecz myśl buja gdzieś sobie daleko.

— Zdaje mi się, że się wypogadza? — odzywa się Halinka.

Pęc!... w jednej chwili książka spada na dywan, nuty z pulpitu zsuwają się na taboret i obie panienki pędzą do okna.

Ej, gdzie zaś! Śnieg sypie jak sypał! wiatr gwizdże, jęczy żałośnie, cisnąc się w okien szczeliny, szumi w gałęziach ogrodu, na świecie nawet nie zakracze wrona. Ciężko wdychając dziewczęta powracają do swych zajęć. Rozpoczynają się znowu przerwane gamy i porzucone czytanie.

— Teraz to widzę wyraźnie, że się wyjaśnia! — woła po chwili Bronisia.

— Gdzie? gdzie?

— O! tam zdawało mi się nad lasem!...

— To ci się tylko zdawało! O, patrz jak wieje zawiewucha!

Obie teraz klękają na krzesłach i przykładają twarze do szyby, spoglądając w niebo żałośnie. Nie mogą zgodzić się z myślą, wyrzeczenia się zabawy. Od tygodnia już zaproszono je na wieczorek, odbyć się mający w domu państwa Dębskich, sąsiadów, mieszkających o półtoręj mili. Tak tam będzie wesoło! tyle się miało nazjeżdżać młodzieży. Samych domowych sześcioro; dwie młodsze Kazia i Helunia uczące się jeszcze przy nauczycielce w domu, starsza Kocia na święta przybyła z pensji i trzech chłopców, uczniów z warszawskiego gimnazjum. Tak by się wybornie bawili! Na rozpoczęcie zabawy ułożono żywy obraz, śpiewy i deklamacje. Halinka w obrazie przedstawiać miała rusałkę, a Bronia doskonale wyuczyła się śpiewu, bo ma głos dobry. Potem pączki, kolacya i tańce... a tu ten śnieg nieznośny leci i leci jakby nigdy nie miał przestać! Boże, Boże aż się chce płakać doprawdy! Wujaszek z fajką przechodzi się po pokojach, i żartuje jeszcze z biedaczek.

— A co moście panny? nic z jazdy! nic z pączków i zabawy!

Figlarz wujaszek martwi swe faworytki, a ukradkiem

mruga na ciotkę i pannę Annę, bo barometr zmienia się na pogodę i wróble z pod strzech wyjrzały na gumna.

Około południa, rozdierają się wreszcie chmury, rozjaśnia horyzont i wichurą jakby zmęczona kilkogodzinną swawolą, ustaje powoli. Śnieżek drobniuchny polatuje wprawdzie jeszcze zrzadka, utrwała się przeciw nadzieja, że i on ustatkuje się potrochu.

Podano właśnie do stołu, gdy bladawy odbłask, przedarłszy się przez szarą mgławicę, padł na biały obrus i zagrawszy na chwilę na ostrzach noży, przejrzałszy się w kryształe szkianek, zagaśł nową przysłonięty chmurą

— Słońce słońce! — wydają okrzyk obie panienki.

Rozlewając z wazy zupe na talerze, ciotka spoglądała w okno, a potem na rozjaśnione twarze siostrzeniczek.

— Zdaje mi się Michale, że naprawdę można będzie wyjechać? — pyta z uśmiechem zwracając się do wuja.

Wujaszek wydał usta, zastrzygł wąsami i nic nie mówiąc zabiera się do talerza rosółu, który wypróżnia najspokojniej.

Boże miły! dobrze zajadać wujaszekowi! Halinka za to i Bronisia, udają tylko że jedzą. Nie idzie im w usta rosół ani nawet paszteciki, które tak lubią. Ustawicznie spoglądają za szyby, oczekując nowego promyka.

— Hm!... — odchrząkuje wreszcie wujaszek, odsuwając talerz. — Zaspy... zła droga... Zamordujemy kasztanki... po przeziębieniu się jeszcze panie... Czyż to warto? Może nam przeciw kucharz w domu pączków usmażyć! Wszak prawda dziewczęta?

Panienki milczą. Spuściwszy oczka, mrugają powiekami, noski na końcach poczynają im się czerwienić!... udają wprowadzić, że to od chrzanu podanego do sztuki mięsa, ale wujaszek uśmiecha się chytrze, jednej to drugiej, ofiarując swą chustkę od nosa.

— Nie sprzeciwiaj że im się mój drogi! — woła wreszcie ciotka. Wiemy dobrze, że na wypadek pogody, kazałeś już Wawrzyńcowi konie mieć gotowe. Jedźcie prędko panienki, a po obiedzie skoczcie się ubierać, gdyż trzeba nam wyjechać wcześniej, bacząc na złą drogę.

Nie potrzeba wspominać, z jakim pośpiechem spożyta zostaje reszta potraw. Zaledwie wujostwo odłożyli noże i widelce, panienki zrywają się z miejsc swych, i uściskawszy wszystkich z kolei, biegną do siebie na górę.

— Zawołajcie sobie Franciszki, żeby pomogła wam się ubrać, a panna Anna pozostanie tu ze mną na chwilę — rzekła ciotka. Rozumie pani o co mi chodzi? — dodała gdy dziewczęta znikły poza drzwiami.

— Wybornie! — odparła panna Anna. — Chce im pani zostawić zupełną swobodę.

— Naturalnie! Ciekawa jestem, czy w ubraniu zastosują się do naszej rady, i czy rozsądek przeważy nad próżnością?

Tak postanowiwszy, ciotka z panną Anną, udają się do siebie zmienić ubranie, wujaszek zaś wychodzi do sieni, wydać rozkaz żeby Wawrzyńcie, do powozu zakładał konie.

W godzinę potem, głośnie kłaśnięcie z bicza, oznajmia mieszkańcom doworu, że dzielna kasztanowata czwórka, z karetą, zatrzymała się przed gankiem.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Słynny podróżnik Stanley o którego spodziewanem przybyciu do Europy wspominaliśmy niedawno, tak opisuje przyrządzanie trucizny, którą dzicy w Afryce zatrują swe strzały.—Zaciekawieni byliśmy bardzo, mówi Stanley, jaką mogła być trucizna, która wywiera skutki tak zabójcze. Wra-

cając z Nyanza, aby dać pomoc postępującej za nami kolumnie majora Barttelota, zatrzymaliśmy się w Awizaba; tam, szperając wśród chat, napotkaliśmy stopy wysuszonej mrówek czerwonych. Dowiedzieliśmy się tam, że to właśnie ciała tych owadów, wysuszone i sproszkowane, a następnie wygotowane w oliwie palmowej, stanowią substancją, służącą do nacierania drewnianych ostrzy strzał; ciała te, powtarzam, tworzą truciznę, która nam zabrała, wśród strasznych cierpień, tylu ludzi w kwiecie wieku. Dziwić się przychodzi, żeśmy co do tej rzeczy tak długo w nieświadomości pozostawali; owady, któreśmy napotykali, mogłyby nam dostarczyć materiału do wielu podobnych trucizn.

Wszystkie te trucizny przygotowują się w lasach. Tam krajowiec rozpala ogień i tam przygotowuje swą straszną truciznę, która pokonywa nawet olbrzymiego słonia. Kuchni takiej niewolno rozkładać w sąsiedztwie wioski. Strzały pokryte trucizną obwijają dziki starannie świeżymi liśćmi, aby sam ofiarą jej nie padł i gotów jest do walki.

Stanley nadmienia też, że trucizna ta działa głównie w stanie świeżym; ranni umierają na tężec. Porucznik Stairs raniony został strzałą, na której trucizna była już wyschlą i przygotowaną zapewne przed kilku dniami — wyzdrowiał on po trzech tygodniach, ale rana zabiłżniła się dopiero po kilku miesiącach.

Często zdarza się słyszeć, a częściej jeszcze czytać wyrazy: *lary* i *penaty*: „W tem domostwie umieściłem moje *lary* i *penaty*” wyrażają się ludzie chcąc powiedzieć, że w tem a tem domostwie zamieszkali. Wyrażenie to jest bardzo starożytne. *Penus* zwano u starych Rzymian sprzęty domowe, ztąd *penates* były to bóstwa opiekujące się domowemi zapasami i sprzętami. Zaś *lares* były u Rzymian a raczej w ich przekonaniu dusze przodków dobrych i zaenych, a więc dusze uświętoblione i przeto jako życzliwe i dobre duchy, opiekujące się potomkami swymi żyjącymi jeszcze na świecie. Posążki *penatów* w staro rzymskim domu stawiano na ognisku, a w miesiącu styczniu składano im na tem ognisku ofiary. I *lary* stawiano na ognisku domowem albo w osobnej kaplicy zwanéj *lararium*, a dnia pierwszego maja na cześć ich odbywano w Rzymie wielką uroczystość *laralia* zwaną. Na zwykle mniejsze ofiary składano pierwociny owoców, mleka i oliwy, na większe oddawano barany, jagnięta i cielęta. *Penaty* i *lary* w wyobraźni ludu jednoczyły się prawie z sobą, tak jak wizerunki ich jednoczyły się stawając razem najczęściej, na domowem ognisku. Rzymianin zakładający dom własny, przedewszystkiem obierał miejsce na to ognisko i ustawiał na nim swoje *lary* i *penaty*. Ztąd to do dzisiaj wyrażenie „umieściłem tu moje *lary* i *penaty*” znaczy: tu zamieszkałem. Były też w Rzymie *lares* i *penates publici* opiekujące się całym państwem, tak jak domowe opiekowały się pojedynczem prywatnem domostwem.

Zastanawiając się nad znaczeniem bóstw owych, widzimy wyraźnie że były to ubóstwione *cnoty* owoczesne. To też gdy czytamy że Rzym był potężnem państwem, dopóki Rzymianie wiernie czcili starych swych bogów, twierdzenie to znaczy dosłownie że Rzym, był potężnym, dopóki Rzymianie silnie trzymali się starych cnót, przez które wzrosli.

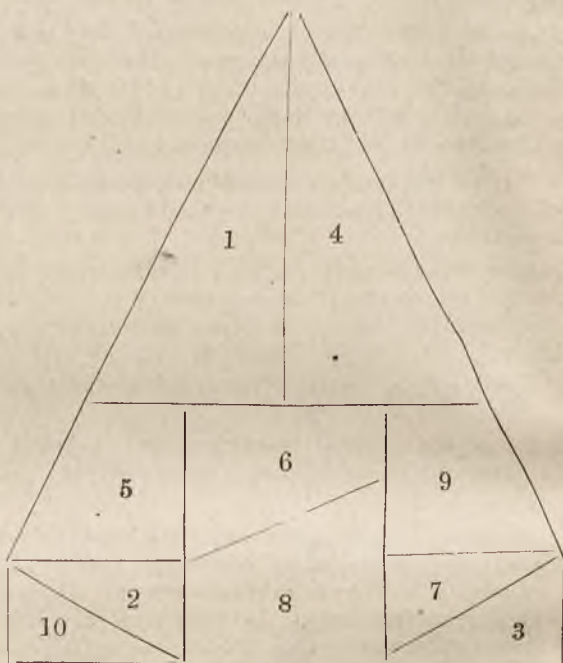
## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(dla Laureatki i Gwiazdy Polarnej od Królowej Wrózek).

Pierwsze w Paryżu, lecz nie w Warszawie,  
Drugie w boleści, nigdy w zabawie,  
Trzecie w krzeselku nie na stoliku,  
Warszawa czwartą ma też bez liku.  
Piąte w Kuryerze, niemasz go w Słowie,  
Znajdziesz w Japonii jak i w Janowie  
Wszystko zaś stary jest herb szlachecki,  
O którym dawno pisał Niesiecki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go

### Zadania geometrycznego:



### Szarady:

K o t.

Pierwszy zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnéj ilustrowanéj** wyszedł z druku. Wyszedeł również 4-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

**TREŚĆ:** Alfons XIII, opowiadanie prawdziwe o małym królu, p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa. (c. d.) — Ośmiornica (z drzew.) — Wieczorek w Zalesiu. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** W kożuchu i bez kożucha, wiersz (z drzew.) — Dobry Henryś p. Niezapominajkę z nad Warty. — Przygody Wicusia p. Annę Żaleńską. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



### W kożuchu i bez kożucha.

Pudel, kosztem przyrody dostatnio odziany,  
 Wstydził się że wyglądał jak proste barany;  
 Więc mu ludzie przystrzygli ów kożuch barani  
 Taki ciepły na zimę choć prosty i tani,  
 W którym mu tak do twarzy było, też i który  
 Tak wybornie przypadął mu do psiéj figury!  
 Ostrzyżono go, kitę zostawiając małą;  
 I choć się to pudlowi mniej wykwiintne zdało  
 To i głowa i piersi nietknięte zostały  
 W sposób znany pod nazwą „à la lew wspaniały”.  
 Zdumniał pies i po lwiemu jął wyginać szyję...  
 Wtem czuje że mu jakoś krew do głowy bije,  
 A dalej mu znów zimno wieje od ogona,  
 Gdyż cała skóra z wełny tam ogołocona,  
 A tylne nogi długie jak mają szaraki...  
 Szczeknął więc rozgniewany na rezultat taki,  
 Gdy zmieniwszy swój kożuch na wykwiint ozdobny,  
 Lwem nie został, a stał się do psa niepodobny!

### Dobry Henryś.

— Tatusiu! Czy ja będę miał choinkę na Boże Narodzenie? — zapytał siedmioletni chłopczyk, przystępując do mężczyzny siedzącego przy stole i zajętego składaniem różnych papierów.

— Nie wiem Henrysiu, ale zdaje mi się, że cię chyba gwiazdka nie ominie, bo byłeś przez cały rok bardzo

grzeczny i nauczyłeś się pisać — odpowiedział siedzący mężczyzna, który był ojcem chłopczyka.

— Tatusiu! powiedz mi prawdę — zawołał znów Henryś — czy to aniołek przynosi dla grzecznych dzieci choinkę tak ładnie ubraną, czy też tatuś lub mama ją kupują?

— Powiedz mi wpierrw Henrysiu, dla czego się o to pytasz — rzekł ojciec przerywając robotę i biorąc synka na kolana.

— Widzi tatuś — zaczął nieśmiało chłopczyk — wczoraj był u nas Kazio ze Stasią i spierali się o to, a ja chciałbym bardzo wiedzieć prawdę, bo jeżeli tatuś kupuje dla mnie choinkę, to ja mam wielką prośbę do tatusia.

— Jakaż to prośba mój synku — zapytał ojciec, gładząc jasne włoski chłopczyka.

— Taka prośba, że... ja wolałbym nie mieć choinki, wcale — mówił drżącym głosem Henryś.

— A to dlaczego? — zawołał ze zdziwieniem ojciec — przecież przed tygodniem słyszałem jak się cieszyłeś nadzieją dostania choinki.

— Tak, ale teraz wolałbym żeby tatuś zamiast choinki dał mi pieniądze na nią przeznaczone, a ja kupiłbym ubranie i książki dla Janka syna Antoniówój, bo on ma wielką ochotę chodzić do szkoły od Nowego Roku, a nie ma ciepłego ubrania i pieniędzy na książki — wypowiedział czerwieniąc się Henryś, a ojciec z rozrzewnieniem patrzył na synka, który wyrzekał się przyjemności dla uradowania Janka, syna biednej wdowy, wreszcie rzekł:

— Więc powiem ci teraz synku prawdę, że choinki aniołek nigdy nie przynosi, mówi się to tylko małym dzieciom, a żeby były grzeczniejsze, a zwykle rodzice im kupują choinki i ja też miałem ci ją tego roku kupić, ale jeżeli wolisz pieniądze, mogę ci je dać, tylko namyśl się synku, czy nie będzie ci żal ładnej choinki?

— O nie! nie! Ja już się dobrze namyśliłem. Och! Jakże się Janek ucieszył! — zawołał z radością Henryś, i zeskoczywszy z kolan ojca, ucałował mu ręce na podziękowanie. W tydzień potem była już Wigilia Bożego Narodzenia; Henryś bardzo był wesół, chociaż wiedział, że nie będzie mieć choinki, ale tę radość zastępowało mu zawiniątko leżące na krześle. Co chwila dobiegał do niego, oglądał książki, kajeta, grubą sukienkę i wołał cały drżący z radości:

— O! jakże się Janek ucieszył!

Wreszcie weszła mama i rzekła:

— Henrysiu, weź prędko paltocik, bo mam teraz czas, to pójdziemy do Antoniówój.

Chłopczyk ubrał się szybko, wziął chociaż z trudnością spore zawiniątko z krzeselka i poszedł z mamą do biednej wdowy. Nikt nie jest w stanie opisać radości Janka z nowego ubrania i z książek do nauki.

— O! mój kochany paniczu — wołał ze łzami obejmując za nogi rozpromienionego Henrysia — czemuż ja się za to odwdzięczę?

— Kochaj mnie Janku, a tem mi się zupełnie odwdzięczysz — rzekł wzruszony Henryś.

— Ach! mój Boże, ja miałbym cię nie kochać mój ty złoty, srebrny paniczyku — zawołał Janek i w głos się rozplakał.

— Nie nazywaj mnie paniczem tylko Henrysiem, mój drogi Janku — mówił Henryś, z trudnością od łez się wstrzymując, objął Janka za szyję i ucałował serdecznie. Przez resztę dnia Henryś był bardzo wesół, dziwnie mu było lekko na sercu a gdy się ojciec spytał, czy mu nie żal choinki, odpowiedział:

— O! nie, wcale mi nie żal, jestem dzisiaj najszczęśliwszy.

Gdy wszyscy wstawali od stołu, Henryś z wielkiem zdziwieniem usłyszał dzwonek w salonie. Naraz drzwi się otworzyły i oczom chłopczyka przedstawił się wspaniały widok. Na środku sali stała prześliczna choinka, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widział, opasana błękitną wstążką, na której złotymi literami były wypisane następujące słowa:

— Za dobre serduszeko, dla kochanego synka.

Pod choinką umieszczony był ładny koń drewniany, szabelka, fuzjka, mnóstwo porozstawianych żołnierzy i książek z obrazkami. Ujrawszy to wszystko Henryś sam nie wiedział co ma czynić, i stał tak parę minut, nie mogąc przemówić z radości; wreszcie przybiegł do rodziców ucałować ich ręce, a ojciec rzekł wtedy:

— Pamiętaj synku zawsze myśleć o potrzebach biednych a równie jak rodzice Bóg, i ludzie kochać cię będą.

— A czy tatuś i mamusia pozwolą mi jeszcze dać Jankowi i jego małej siostrzyczce Marysi część tych cukierków, pierników i zabawek?

— Z największą chęcią — zawołałi oboje rodzice i uściskali serdecznie dobrego synka. Jeszcze nie koniec było niespodzianek Henrysia na święta, gdyż nazajutrz przyjechała jego ciocia z trojgiem dzieci: Romciem, Stasiem i Helenką. Przyjechały także dzieci z sąsiedztwa: Stefcio, Zosia, Wańdzia i Tadzio, zabawili się więc w śmieniecie.

*Niezapominajka z nad Wartę.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNĘ ZALEŃSKĄ.

### III.

Wicusz ze spuszczoną głową odszedł, ale jakież było zdziwienie pana profesora, gdy ujrzał teraz przed sobą oblaną łzami twarz Adasia.

— To ja winien jestem — mówił łkając — ja te okropne wiersze wymyśliłem, on się ich odemnie nauczył.

Pan profesor chciał i dla Adasia okazać się surowym, ale uczciwy postępek roztrzępanego chłopca go wzruszył.

Tak, sprawiedliwie ci się należy, żebyś z Wicusiem karę podzielił, ale i jemu karę zmniejszą, bo nie starał się uniewinnić, ciebie oskarżając. Nie minie was jednak koza, żebyście na przyszłość nie byli tak lekko myślni; a teraz na miejsce i do porządku.

Tego dnia Wicusz, wracając do domu, minę miał rzadką, nos smutnie ku ziemi spuszczone, usta lekko z pogardą dla świata wykrzywione, uszy nawet przybrały postać niechęci i lekceważenia. Słowem, Wicusz całkowicie stracił uczniowską fantazyę.

— Co tobie — zapytała czule mama w czasie obiadu, widząc że jej synek prawie nic nie je; — nie smakuje ci dziś obiad?

— Owszem mam, smakuje, ale nie jestem głodny.

— Może chory jesteś, dziecko moje, może cię co boli?

— Nie, niech się mama nie boi, nic mi nie jest.

Ale pani Z. nie przestała się niepokoić, widząc ciągle coś niezwykłego w synku, który się rozruszać nie mógł, mało mówił, niczem się nie przechwalał, Józia nie dokuczał, a nawet po obiedzie zaraz się wziął do nauki bez napominania, co niestety nie było w jego zwyczaju. Wieczorem przy herbacie znów mama badać go zaczęła.

— Może w klasie się co stało i dlatego jesteś smutny?

Wicusz, widząc że już dłużej milczeć nie może, rzekł w końcu poważnie:

— No, zgadła mama; były w klasie różne nieprzyjemności, ale mówić o nich nie mogę.

— Czemu?

— Ach mam! — zawołał Wicusz z zapalem — bo mi honor nie pozwala. „Choćby cię smażyono w smole, nie mów, co się dzieje w szkole”.

— Ależ synku mój — rzekła pani Z. przerażona tragicznymi pozorami — matce wszystko powiedziec nie tylko można, ale nawet trzeba.

Wicusz się jeszcze wahał i ciągle mrucał: choćby cię smażyono... nareszcie, wzięwszy na odwagę. — Dobrze, już dobrze, rzekł stanowczo, już powiem wszystko, tylko niech Józia tego nie słyszy; ona jest jeszcze za młoda na to.

Na skinienie mamy, Józia choć niechętnie odeszła. Wicusz opowiedział całe zdarzenie, a mama bardzo się zmartwiła i winą Wicusia i karą, która go spotkała, a najbardziej jego nierozsądkiem.

### IV.

Na parę dni przed imieninami pani Z., Józia i Wicusz mieli walną naradę, jakaby niespodziankę dla mamy urządzić?

— Wiesz co, Wicusiu, możebyśmy się jakiej komejdjki nauczyli we dwoje i zagrilibyśmy ją potem mamie, — rzekła Józia, po długim rozmyślaniu.

— Zwaryowałaś! ja ci się będę komejdjki uczył? i tak tej nauki mam już wyżej uszu. Ucz się sama, kiedyś taka pilna, ja co innego wymyślę.

— No to zaśpiewajmy co mamie, jakie ładne powinszowanie naprzykład.

— Tere fere, ona się powinszowania chce uczyć, a to śmieszne, jakbyśmy mieli po trzy lata.

— Nie masz wcale z czego się śmiać — zawołała obrażona Józia — przecież przeszłego roku także trzech lat nie miałaś, a powinszowania dla mamy się nauczyłaś i napisałaś je nawet w takiej ładnej laurce.

— Przeszłego roku było co innego, a tego także co innego; ot zawiadłem się na tobie, Józiu, myślałem że masz więcej rozumu!

— No to wymyśl co lepszego.

— Ho, ho! gdybym to ja miał kogo innego do pomocy, tobym z pewnością coś wymyślił, ale ja i tak sobie poradzę, na przykład, zaproszę wszystkich moich kolegów, i owacyę mamie urządzimy.

— Jak to owacyę? — zapytała rozciekawiona Józia.

— No, trzeba tylko, żeby mama kupiła parę butelek wina; wypijemy mamy zdrowie i podniesiemy mamę w górę. Wiwat!

— A tobyś dopiero mamę uraczył, pewnieby was przez wdzięczność do kątów powstawiała. Wcale nieudatny projekt.

— Nieudatny? a czemu? mnie się on bardzo podoba. Ale zresztą można jeszcze co innego wymyślić. Przedewszystkiem ja nie pójdę tego dnia do klasy, boby mamie przykro było, a ty powinnaś pannie Teresie zapowiedzieć, że żadnej lekcyi nie będziesz z nią miała. Następnie będę sobie spać aż do południa.

— O! mama wcale z tego rada nie będzie, to byłaby przyjemność tylko dla ciebie. Nie, stanowczo to nic nie warte.

— Że też wy kobiety nigdy na nic zgodzić się nie chcecie — zawołał zniecierpliwiony Wicus; — zawsze nie i nie.

— A przecież to ty, chociaż jesteś mężczyzną, zawsze mi się sprzeciwiasz.

— Właśnie dla tego, żem mężczyzna, tyś powinna mnie słuchać.

— Otóż nie powinnam i nie będę.

— Nie, to nie — rzekł Wicus z gniewem — to i dobrze, już się nie znamy; pisuj do mnie na Berdyczów i rób co ci się podoba. Ja zrobię, co mnie się podoba i zobaczymy, kto na tem lepiej wyjdzie,—to mówiąc Wicus spojrział pogardliwie na siostrę i dzieci rozeszły się na dwie strony. Po chwili jednak Józia, która bardzo brata swego kochała, powróciła do niego i zbliżyła się nieśmiało.

— Mój Wicusiu—rzekła—nie gniewaj się na mnie—ale ten bardzo zamyślony, zajęty był właśnie bębnieniem palcami po szybie.

— Nie znam cię! — odburknął, nie przerywając sobie miłego zatrudnienia. — Józia posmutniała, ale wiedząc z doświadczenia, jaką stałością Wicus się odznaczał w podobnych okolicznościach, nie próbowała udobruchać go, lecz siadłszy na niskiej kanapce, oddała się rozmyślaniu.

— Szkoda; we dwoje zawsze łatwiej, czy to wymyśleć, czy wykonać jaką niespodziankę, bo co dwie głowy to nie jedna. Szkoda, że ten Wicus taki niezgodny; przecież ja mu nic złego nie powiedziałam, a on się zaraz rozgniewał. Teraz sama sobie radzić muszę; ale i tak wiem, co zrobię, poproszę panny Teresy o wzór i wyhaftuję mamie pantofle.— Oj! Wicus pewnie coś mądrzejszego wymyśli, coś, co mamę tak ucieszy, że na mój dar nawet nie spojrzy. Ta myśl tak zasmuciła Józję, że poszła do swojej lalki, żeby się przed nią pożalić i naradzić.

A Wicus? Wicus bynajmniej się nie martwił, ani przypuszczał, żeby go zakasowała Józia. On był pewny swego rozumu i przyszła mu widocznie do głowy, jakaś myśl genialna, bo aż podskoczył z radości, a pobiegłszy do swego pokoju, starannie drzwi zamknął za sobą.

Przez parę następnych dni, dzieci nie bawiły się z sobą, nawet mało do siebie mówiły. Józia najczęściej przesiadywała w sypialnym pokoju z panną Teresą; Wicus często i z dziwną uprzejmością bawił się z Muszką pieskiem, faworytem mamy, który miał długą, białą, kręconą sierść i świecącą obrózkę na szyi. Piesek poczciwy, prędko zapomniał Wicusowi różne dawniejsze dokuczliwe figle i nie uciekał już przed nim ze strachu jak to dawniej bywało.

Pani Z. może zauważyła te zmiany, ale żadnych ztąd wniosków nie wyciągała. Między dziećmi ani razu już o niespodziance nie było mowy.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

Obejmuje różne stany,  
A najlepszy ten skórzany,  
Gwoździkami nabijany,  
Mój strój ukochany!

Przy nim kółka i kóleczka,  
Z groszem własnym kaleteczka,  
Razem kozik przyczepiony  
Srodze wyostrzony!

Gdy w podkówki młodzi krzeszą,  
To się wszystkie serca cieszą,  
Lecą iskry, kółka brzęczą,  
A ten miga, jak obręczą,  
Gwoździkami nabijany,  
Mój strój ukochany!

Zgadnijcież mi, jacy tacy,  
I dziewczynki i chłopacy,  
Jak się zowie, dobrze znany,  
Co ozdabia różne stany,  
Ów prosty skórzany?

Kto zaraz odpowie,  
Wiwat mu! na zdrowie!

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 7-go

#### Z a g a d k i:

Ja — szczur — ka.

#### ŁamigłóWKi gŁoskowéj:

K A  
K A M A  
A R O N  
A R

## Skrzynka do listów.

**Doktorowi Gierszyńskiemu w Ouarville.** Za przysłane 10 franków zapłacono rs. 3 kop. 60 do prenumeraty zatem całorocznej brakuje rs. 1 kop. 40.

**Czarodziej z nad Ligówki** zrobił omyłkę w układaniu szarady i dla tego drukować jej nie możemy, niema bowiem wyrazu włońskiego ry, ten który miał zastępować jest **re**.

**Szaraj Koteczce** przesyłamy w zamian najserdeczniejszy uścisk, ale liścik czekać musi swojej kolei.

**M. W.**, siostrze Filaretki, która nam zostawiła tak miłe o sobie wspomnienie, serdecznie dziękujemy za wyrazy z pocziwego serduszka płynące. Numera zostaną wysłane.

Rozwiązania **Lucia des E.** są dobre, czego i on sam jest „pewny”. Chcąc korespondować z rówieśnikami, nadsyła się liściki do redakcyi, która je w *swoim czasie* wydrukuje, również jak liścik i szaradę przyslaną przez Kameleona. Powtarzamy w *swoim czasie*, co znaczy: nieprędko, bo korespondencyj i wszelkiego rodzaju łamigłówek, zagadek, szarad jest nawał ogromny.

**Pomarańczarce rzymskiej** odpowiedzieliśmy na jej liścik w parę dni po otrzymaniu go. Jeżeli odpowiedź nie została jeszcze wydrukowaną, wina to szczupłości piemka naszego, które nie zawsze może pomieścić w łamach przeznaczonych na korespondencye wszystkiego, co do jej działu należy. Tym sposobem odkłada się nieraz odpowiedzi z tygodnia na tydzień drugi, a czasem nawet i na następny. Bądź jednak spokojna, dziewczeczko, ani się na ciebie nie gniewamy, ani też nie pominęlibyśmy milczeniem liściku twego, bo *wszystkim* korespondentkom odpowiadamy.

**Książę Geniuszów** niech zastosuje do siebie odpowiedź daną Luciowi des E., oraz Kameleonowi. Ponawiamy prośbę tylokrotnie już do naszych czytelników zanoszoną, aby liściki przysyłał na *osobnej* karteczce, nie zaś na tej samej ćwiartce co list do redakcyi. Przysparza nam to tyle roboty, że zmuszeni będziemy uważać za niebyłe liściki korespondentów, nie stosujących się do tego przepisu. Prosimy przytem Księcia Geniuszów o wynotowanie dla nas numerów, które nabyć pragnie. Numer kosztuje kop. 10.

„**Szczerym młodzieńczym sercem**” które nam z tak daleka przysyłał pozdrowienie, ślemy podziękowanie za pamięć życzliwą. I tu nie zapominamy o was... Piemko nasze nadal wysyłamem będzie i postaramy się, aby szarady i łamigłówniki dostarczały materiału do „łamania głowy” nad niemi.

**Niezabudka z nad Chomoru** nadesłała dobre rozwiązanie szarady.

Drogi moje: Piosnko ze Słobódki i biała Akacyo! Tobie Piosneczko należy się odemnie uścisk i dzięki za obrazek. Posyłam ci także serdeczny pocałunek oddasz go drogiej i kochanej osobie, której powaga nie pozwala aby była wymienioną w naszym Piemku. Trudno odpowiedzieć na twoje pytanie, miła Akacyo. Może dla tego czujesz dla mnie sympatyę, że zdobyłaś przez całe lato mój kapełusz? Bujam obecnie nad Sekwaną, dla tego że się tu urodziłam i mieszkam, lecz wiesz, że gdybym była jaskółeczką, już od dawna do was bym pofrunęła! Życzliwa wam *Jaskółka z nad Sekwany*.

P. S. Orzełek ścisła Płateczek śniegu, a ja raz jeszcze ścisłkam moję kochaną M.

Barwinku! Śliczny kwiatku, jakże ładny sobie pseudonym obrałaś. Z listu twego do Gwiazdy nadziei wiem, że masz te same upodobania, co ja, gdyż i ja rysuję i jeżdżę konno od dwóch lat prawie, a ty od jak dawna? Mam nadzieję, że zechcesz korespondować ze mną i doniesiesz mi gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i ile masz lat? Czekam twęj odpowiedzi, *Litwinka z nad Szczary*.

Rumianemu Jabłuszkowi, Złotój Rybce i Gosposi z nad Warty posyłam serdeczne uściśnienia.

Moje drogie: Stokrotko z nad Stochodu i Jesieni! Ubolewam nad twym smutkiem droga Stokrotko, ja takie same mam

zmartwienie z powodu choroby mojej mamusi, dzięki Bogu twoja już wyzdrowiała, ale moja jeszcze słaba. Tobie miła Jesieni dziękuję serdecznie za życzenia świąteczne i nawzajem ci je posyłam, chociaż spóźnione. Co porabiacie moje złote, czy ślizgacie się tańczycie lub czytacie? Ja czytuję z wielkiem upodobaniem, najprzyjemniejszą moją rozrywką jest ładna i zajmująca książka. Nie dajcie tak długo czekać na wasze odpowiedzi i to do tego tak króciutkie, ledwie wzmianki. Niezapominajcie o waszój kochającej *Westalce*.

Droga Biała Ostróżko! Z wielką radością przeczytałam twój liścik, chwyciłaś mię nim za serce. Korespondencya z tobą sprawi mi największą przyjemność, donieś więc gdzie mieszkasz, jak ci na imię ile masz lat? a spodziewam się, że w ten sposób poznamy się lepiej i będziemy się porozumiewać swobodniej. Zdaje mi się, że kocham cię już, przejęta wdzięcznością, że pierwsza odezwałaś się do mnie. Co do pseudonymu, to powiem ci tylko, że przysłowie mówi prawdę. Ścisłkam cię milion razy, a nie daj długo czekać na odpowiedź. *Cicha Woda*.

Majukochańsze: Sarenko z nad Morocz, Topolko srebrna i Chmurko! Dla czego nie piszecie? Czyście zapomniały o tój, która was bardzo kocha? Niedobre dziewczątka odpiszcie prędzej, bo inaczej pogniewam się i... poproszę redakcyę o wasz adres i pocztą wam poszlę straszną burę. Co teraz porabiacie? Posyłam wam 3 miliony całusów, po jednym dla każdej. Kochająca was *Cyganecka z nad Wisły*.

Kochane, Wesola Krakowianko, Gałązko Heliotropu i Zwina Wiewióreczko! Bardzo mi się podobacie, więc piszę do was. Droga Krakowianko, czy mogłabyś mi donieść, czego się uczysz? i gdzie mieszkasz? bo ja mieszkam w Warszawie. Gałązko Heliotropu, proszę cię donieś mi co o Szwajcaryi i o sobie. Miluchna zwinna Wiewióreczko, odpisz mi czy chodzisz na pensyę? i gdzie mieszkasz? Pamiętajcie odpowiedzieć kochającej was już choć nieznajomój *Jutrzence*.

Najmilsze moje: Złota Wierzbo i Reginko! Bardzo wdzięczną wam jestem za liścik. Tęsknię za wsią, bo większą część mego „długiego” życia na wsi spędziłam. Od miesiąca jestem chorą, więc czas mi niezbyt mile upływa. Każdęj niedzieli mam ochotę z wami porozmawiać!! Ścisłkam was serdecznie, *Biała Akacya*.

Kochany Maksiu Z.! Zapewne zdziwisz się odebrawszy list przez „Wieczory”. Zgadnij kto jestem, ja cię znam bardzo dobrze, na dowód tego piszę, że chodzisz do szkoły Technicznej i masz jednę siostrę B. starszą od ciebie. Nadaj sobie jaki pseudonym, abyś mógł korespondować ze mną, a ja jako starszy chętnie ci rad udzielać będę. Życzliwy ci zawsze *Blondyn*.

Kochana Gwiazdka Podolska! Znamy się dobrze. Moja siostrzyczka zmienia pseudonym z Gwiazdy na „Złotą Przędę”. Odpisz prędko. Całuję cię twoja *Żabka Podolska*.

Kochana Biedronko Warszawska! Sądziłam że nie chcesz ze mną korespondować, nie mając tak długo odpowiedzi, to też przeczytawszy twój liścik ucieszyłam się bardzo. Donieś mi jak się zowiesz? Gdzie się uczysz? Ile masz rodzeństwa? Mnie na imię Hanna, uczę się w domu, mam młodszego brata i siostrzyczkę która zaczęła się teraz uczyć. Ścisłkam cię serdecznie i proszę o prędką odpowiedź. Twoja *Czarnooka z Puszczy*.

P. S. Porankowi Majowemu i Brzydoteo nie mogąc do nich napisać tym razem, zasyłam pozdrowienia, również jak Litwince, którą zapytuję czemu nie odpisuje?

Kochana Czarnooka z puszczy! Ponieważ wspomniałaś o mnie w liściku do Gałązki paproci, donoszę ci więc, że i ja mam czarne oczy, ale i włosy czarne i jak ty 11-ty rok. W lecie jeżdżę konno, a tój zimy ślizgam się z wielką przyjemnością. Lubię bardzo nasze kochane „Wieczory”, donieś mi co ci się w nich najwięcej podobają, bo mnie wszystko. Z listów twoich do innych panienek wiem, gdzie mieszkasz, i żałuję że tak daleko, bo chciałabym cię poznać, ja mieszkam na wsi w guberni Kieleckiej. Pozdrawia cię *Jutrzenka*.





## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
 Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### GNIAZDA PAJĘCZE.



Gniazda pajęcze.

Drobny pająk zwany w języku naukowym *thoridium*, napotykaný w miejscowościach pokrytych ubogą roślinnością, pod krzakami u których zawiesza swe gniazda; długi czas był prawie nieznaný przyrodnikom, zarówno z przyczyny małych rozmiarów, utrudniających czynione nad nim badanie, jak też i miejsc ustronnych w jakich przebywał. Niedawno dopiero pewien uczoney zbadał jego obyczaje i mieszkanie. Są to, jak przedstawia rycina nasza gniazda, w kształcie woreczka zwężonego i ściśle zamkniętego u góry, a otwartego u dołu, oplątanego mnóstwem nici pajęczyny, utrzymujących je zawieszono na gałązce, bardzo blisko ziemi. Za materiał budowlany służą tu grudki ziemi, z których każdą, pająk otoczywszy siecią wciąga do góry, gdzie je umocowuwa jedną obok drugiej, zwilżając lepkim płynem, który z siebie wydziela; przylepia je potem z boków do gałązek krzewu aby gniazdo było nieruchome. Wysnuwszy następnie kilka nitek zwiesza je do ziemi od brzegów gniazda. Są to sidła na zwierzynę którą upolować zamierza, to jest na mrówki będące jego ulubionem pożywieniem, jakkolwiek nie gardzi i innymi robaczkami, co wskazują martwe ich nóżki i skrzydełka, napotykanne dokoła gniazda. Nici pajęcze są pokryte również wspomnianym wyżej lepkiem, mrówka więc chodząca po ziemi, łatwo się w nie może oplątać, a z trudnością pozbyć. Gdy targając nitkę, daje wiedzieć o sobie czatującemu na nią pająkowi, ten wciąga ją do gniazda. Zdarza się nieraz że mrówka rozpacznie czepia się nóżkami ziemi, wtedy pająk spuszcza się, obrzuca ją swym płynem osnuwa nicią

i tak skrępowaną unosi w górę, gdzie jej śmierć zadaje. Gniazda służą zwykle za schronienie młodym pająkom, wylęglym z jaj, które w nie złożyli ich rodzice, pajęczki te, za ledwie cokolwiek podrosną, snują nici i chwytają mrówki, na które uderzają w kilku, gdy pojedynczo nie mogą im dać jeszcze rady.

## Z KRZYŻOWYCH WOJEN.

Jechał rycerz na wojnę,  
Za nim pułki szły zbrojne,  
A on żegnał tak żonę i dziecię:  
„Hej za łąny szerokie,  
„I za morza głębokie,  
„Idę walczyć po obcym, po świecie.  
Gdzie Chrystusa Grób święty,  
Dziś półksiężyc zatknęty,  
Mahometa wyznawców to znamię,  
Któż go strącić tam zdoła?  
Chyba skrzydło anioła,  
Lub rycerza pierś silna i ramię;  
Nie żegnajcie mnie łzami  
Wkrótce będę znów z wami,  
Dobréj wróżby obrzucicie mnie wzrokiem,  
Wszak gdy Bóg nam pomoże,  
To zwyciężym, i może  
Bohaterem zostanę przed rokiem.  
A gdy wrócę z tej wojny,  
Niech zastanę dom strojny  
W cały przepych mych skarbców i wiosny,  
Niech mi drogę uściela,  
Barwną kwiatów pościela,  
Niech mnie wita wasz uśmiech radosny.  
Hej! bywajcie mi zdrowe!  
Słyszę brzęki bojowe  
Czas mi w drogę z drużyną dobraną.  
I to mówiąc wspiał konia,  
I popędził przez błonia  
Z wiarą w piersiach, w krainę nieznaną.

\* \* \*

Przeszła jesień i zima,  
W mroźnych pętach świat trzyma,  
Aż wiosenne stopiło je słońce;  
Z poza morza, gdzieś w dali  
Po zielonej mkną fali  
O Krzyżowcach nowiny i gońce.  
Nie doznali tam klęski!  
Wraca pochód zwycięzki  
Rumak biały rej wiedzie do zamku.  
Zeszło dziewczę na błonie,  
Pełne kwiatów ma dłonie  
Pani stoi i czeka w krużganku.  
„Hej córeczko! hej dziecię!  
Posyp barwne twe kwiecie,  
Syp pod stopy rumaków, rycerzy,  
Spojrzyj w orszak ten zbrojny,  
Tam gdzie parska koń strojny,  
Tam twój ojciec wśród bratnich puklerzy.  
Snać zdobyty Grób Pański,  
Bo półksiężyc pogański,  
Lśni tęczkami w kurzawy obłoku,  
Kwiaty wonne i ziela  
Syp w dniu jasnym wesela  
I z uśmiechem powitaj ich w oku”.  
Staął orszak przed murem,  
Pieśń bojowa brzmi chórem,  
Wchodzą zwolna w zamkowe podwoje,

Przodem biały koń rwie się,  
Lecz na grzbiecie swym niesie  
Tylko puklerz, miecz krzywy i zbroje  
Pani patrzy, odgadła!  
Na głąz zimny upadła!  
Nie zawita już rycerz w te wrota.  
Broniąc wiary i Boga  
Legł bohater od wroga  
Ona wdową! a dziecię sierota!  
„Hej dziewczynko, syp kwiaty,  
Maki, róże, bławaty,  
Na mogiłę poległych w oddali.  
Może dojdą daleko  
Aż pod grobów ich wieko  
Wonie kwiatów i echa twych żali.

*Gabryela Jasińska.*

## POD WPLYWEM BLOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Wiersze?... poezya?... I to tem zajmujecie się podczas lekcji historii? Moje dzieci!... czas jest na wszystko jeżeli użytkowywać go umiemy, czyliż więc nie uważacie że studyując literaturę hadobną, na lekcji historii starożytniej, marnujecie go, nie ucząc się żadnej właściwie? A przecież rodzice nie jednego z was, z wysiłkiem tylko podolają utrzymywać w szkole: nie jesteście już dziećmi, widzę szesnastoletnich młodzieńców między wami, czyliż nie uważacie że należy wam lepiej korzystać z serdecznych wysiłków rodzicielskich?

Pomimo przydomku „nudziarza” staruszek był kochany, gdyż zasługiwał na to; młodzież stała pod zarzutami jego milcząca, widać było że je uznaje. I wszystko byłoby dobrze, gdyby się w porę skończyło, gdyby nie to, że uczony pedagog na zakończenie słów poprzednich, zgniół trzymaną w dłoni kartkę i rzucił ją na ziemię. Wtedy stłumiony okrzyk wybiegł niechcący ze wszystkich młodocianych piersi. Starzec obejrzał się zdziwiony; nie mylił się wcale na znaczeniu tej mimowolnej manifestacji, był to okrzyk oburzenia i zgrozy; on oburzyłby się tak samo, gdyby ktoś w jego oczach rzucił na ziemię cenny egzemplarz średniowiecznej księgi, cudną pracę benedyktyńską, ozdobę bibliotek.

— Co to jest?... — spytał nachylając się po wzgardzony świstek. Chłopcy skoczyli, kilkanaście rąk go uprzedziło, jeden z szesnastoletnich, Naghy dobry historyk, a więc ulubieniec profesora, podniósł w górę siną kartkę, rozprostowując ją i spojrzeniem poprosiwszy o pozwolenie, w odpowiedzi na zadane przed chwilą pytanie, czytać zaczął:

Nad Dunajem tam daleko  
Stoi dom mój ukochany,  
Łzy strumieniem z ócz mi cieką  
Gdy te drogie wspomnę ściany.

Czemuż złudne żądz mamidła  
Pchają człeka w obce strony,  
Moje, długie miały skrzydła,  
Jam też rzucił dach rodzony.

Boleść rwała matki łono  
Kiedym żegnał ciche progi,  
I z powieką łzą przyémioną  
Stała przy mnie drżąca z trwoigi.

— Zostań lepiej, drogie dziecię!  
Rzekła tuląc mnie z zapalem.  
Czemuż, czemu nie wiedziałem  
Jaki zawód spotkam w świecie!

Przyszłość, ogród to uroczy,  
Kwiat cudowny tam połyska,  
Idź niebaczny, poznasz z blizka  
Że ci tuman padł na oczy.

I mnie porwał wir złowrogi,  
Biegłem, pchany ślepym szałem,  
Wśród tej błędnej życia drogi  
Po ciernisku wciąż stapałem.

Oto bratnia chmur drużyna  
Spiesz w stepów mych obszary,  
Ach ponieścież w imię syna,  
Pozdrowienie matce stariej!

Niechaj z oczu łzy osuszy,  
Zem szczęśliwy mówcie śmiało:  
Gdyby znała ból mój duszy  
Czyżby serce jej wytrzymało?...

Naghy czytał z serdecznym przejęciem, tak jak otaczający słuchali; pamiętajmy że Węgier szczerze od dzieciństwa kocha pieśń; piosenki i poemaciki Szandora zjednywały mu też wziętość wszędzie między współuczniami; każdy z nich odczuwał szczerze każde drgnięcie stęsknionego serca małego poety, każdą łzę jego matki; a maleńki wierszyk acz dosyć pospolity w tłumaczeniu, przecież w rodzinnym wyśpiewany języku, był w istocie prawdziwym klejnocikiem poezyi. Urodził on się dopiero poprzedniego wieczora; wszyscy współuczniowie już o nim wiedzieli, niektórzy czytali, inni pragnęli czytać, i uwielbienie zabłysło we wszystkich oczach, gdy Naghy tak go uroczysto odczytał.

— Cudowny! śliczny! z uniesieniem szepnął ten i ów, spoglądając z uzanowaniem na poetę. Jeden profesor nie wiedział o niczem; i ani myśląc ukrywać wrażenia jakie i na nim wywarła dźwięczna poezyjka, drgającym ze wzruszenia głosem wypowiedziana, nie rozumiał przecież wcale jej stosunku do Szandora.

— Macie słusność, moje dzieci, to jest bardzo ładne — rzekł z uznaniem — ale powtarzam, obecnie mamy lekcję historyi. Nie ganię wam zresztą wcale upodobania w poezyi, jak dalece jednak ten jeden z wielu objawów żywotności ducha ludzkiego jest małoważnym, bierzcie miarę ztąd, że oto ja, należący do grona ludzi wykształconych, przeżyłem dość długie czas, nie znając poemaciku nad którym tak się unosicie, i nic na tem nie straciłem. Któż to napisał? Kisfaludi? Czy Vörösmarty?...

Aby zrozumieć pozorne lekceważenie, z jakim ostatnie wyrazy, zwłaszcza nazwiska dwóch mistrzów w poezyi wymówione były, trzeba wiedzieć że uczony staruszek, trochę dziwak, toczył wieczną wojnę ze wszystkimi naokoło, krusząc kopie na cześć starożytności, wynosząc wszystko co stare ponad nowe, mianowicie starożytną poezją i poetów. Dla tego to z udaniem lekceważeniem wymienił teraz dwa nazwiska poetów nowożytnych i żyjących jeszcze, dla których, wbrew głośnionym przekonaniom, sam najgłębszą cześć uczuwał w duszy. A na to uczniowie odrzekli chórem, z pewnym rodzajem tryumfu:

— Kisfaludi? Vörösmarty? Nie; to napisał Petöfi! — i kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się w kierunku Szandora.

Nauczyciel spojrział po uczniach i wzruszył ramionami wyraziście:

— Odpowiadacie jak małe dzieci — rzekł. — Nie pytam was kto nakreślił te głoski na kartce, lecz kto wysnuł z duszy swojej, kto wyprądl z serca, kto wytworzył ten wierszyk? Czyliż jeszcze nie rozumiecie?

Poezjka była taka śliczna, a Szandor taki niepozorny, że prawda nie mogła się w głowie pomieścić staruszkowi.

— Rozumiemy! Wybornie rozumiemy! Autorem tego poematu jest Petöfi! — odparto.

Staruszek potoczył okiem bacznie po uczniach i zaczerwienił się nagle. Widział teraz że go rozumieją, ale zarazem oburzył się na zniewagę poezyi i poetów.

— Co?... — zawołał gwałtownie, zapominając się w uniesieniu — Petöfi!... — żywo przystąpił sam z nieszczęsną siłą kartką w rękę do stojącego na swoim miejscu, zawsze chmurnego Szandora:

— Petöfi! — zawołał z uniesieniem, które tylko żywość ognista węgierska i uwielbienie dla poezyi, przy dziwactwie właściwym wiekowi i uczoności wytłómaczyć mogły. — Petöfi, czy słyszysz co oni mówią? Odezwiż się: czy ty napisałeś to?...

— Tak, to ja napisałem... — odparł spokojnie chłopak. Staruszek spojrział nań cofając się mimowoli; ale natychmiast przystąpił znowu jeszcze bliżej i powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem:

— Ty, Petöfi Szandor jesteś autorem tego klejnotu?...

— Tak, jam jego autorem.

— Ależ to być nie może — zawołał! — To jest nieprawda! Mówisz to chyba uniesiony pozorną próżnością, aby się przed towarzyszami pochwalić. W tej piosence jest iskra Bożego natchnienia, mistrz ją utworzył, jeden z kilku sławnych naszych, nie wiem kto, ale wiem że mistrz! Och!... i ja niegdyś próbowałem skrzydeł!... — Dzwonek rozległ się w tej chwili. Starzec zamilkł nagle, czy to spostrzegając że mniej właściwie dał się unieść zbytnej żywości, czy też wstrząśnięty jakimś młodzieńczym wspomnieniem, może połamanych skrzydeł o których wspominał.

Szybko pochwywszy papiery, laskę, kapelusz, wyszedł z sali z wielkim pośpiechem, przykładając chustkę do oczu. Któżby zaręczył że chustka nie skryła łzy ostatniej, łzy poświęconej młodzieńczym wspomnieniom, wywołanym niespodzianie poematem Szandora.

— Eljen!... Szandor! Niech żyje koronowany poeta! Oto dopiero oryginalna w swoim rodzaju owacya nad owacyami, bo profesor bądź co bądź zna się na rzeczy, a nie wie że Szandor pisze, odkąd żyje nieledwie — huknęli studenci, otaczając i ze śmiechem ściskając koronowanego koleżę.

I on się uśmiechnął nareszcie, odważemniąc uściski: owacya była niepospolita w istocie. Próżność jest nędzotą, ale uznanie bezstronnego znawcy, będzie zawsze rozkoszą wyższego ducha. A wtem, przypadkiem, wśród wesołych uścisków, padło oko Szandora na trzech chłopców, zajętych żywą rozmową. Na jedną sekundę oczy rozmawiających spotkały się z jego oczyma i Szandor wstrząsnął się: nie byłby poetą, to jest istotą wrażliwszą nad inne, gdyby nie poczuł że tam owało się i uwieźło echo zarzutów profesora... trzech towarzyszy uwierzyło profesorowi; posadzano jego, Szandora o kłamstwo! Gdyby cała rzesza świata uwieńczyła go, nie zmniejszyłoby to bólu jaki w tej chwili uczuł w głębi serca.

Drżący oburzeniem, z którego sam nie był wstanie zdać sobie sprawy, mały poeta z zaciśniętymi ustami, jakby idąc za przykładem profesora, szybko zebrał swe książki i zeszyty i wymknął się z sali.

— Oho!... trafiony w serce! Znam ja go! Uciekł, bo zarzut kłamstwa i plagiatu zranił go bardziej jeszcze niż ucieszyło mimowolne uznanie profesora! — zawołał jeden z uczniów.

— Zamknij się w mieszkaniu i będzie rozpaczał. A to źle bardzo, bo go tęsknota więcej jeszcze rozstroi.

— I co najgorsza odejmuje mu ochotę do nauki. Znowu nie będzie umiał przez kilka dni lekcji.

— Wiecie co, koledzy, nie powinniśmy pozwolić mu upadać tak pod niezasłużonem cierpieniem. Szandor niedawno jest między nami, profesorscy nie znają go jeszcze jak my, starsi uczniowie, którzy wraz z nim byliśmy w niższej szkole, my wiemy że on wprzódy tworzył śliczne piosenki, zanim pisać się nauczył, a piosenki te umieją już na pamięć wszyscy pasterze w pusztach, pójdźmy opowiedzieć to wszystko dyrektorowi!

— Słusznie! Albo lepiej pójdźmy wytłómaczyć to wszystko profesorowi! On pierwszy publicznie odda sprawiedliwość temu, kogo pierwszy niesłusznie posadził! Nudziarz jest, ale zacny człowiek!

— Tak, tak uczynmy! Iść do dyrektora wyglądałoby jakbyśmy szli na skargę!

— Tak, dalej do nudziarza!

Nowy dźwięk dzwonka szkolnego przeszkodził wykonaniu tego dosyć rozsądnego postanowienia. Inny nauczyciel wszedł do klasy.

Szandor tymczasem, wbiegłszy do swego mieszkania, bez żadnego namysłu, drżącymi ze wzburzenia i z pośpiechu rękami, nakreślił słów kilka na pierwszej z brzegu ćwiartce papieru; rozrzucając wszystko w nieładzie, zebrał najkonieczniejsze rzeczy i wybiegł z domu, śpiesząc najkrótszą drogą za miasto. Nie wiedział wcale co robi ani którędy idzie, Odkąd dom rodzicielski opuścił, nurtowała go bezwiednie tęsknota za pusztą, a dręczyła karność szkolna. Rozkosze nauki którą prawdziwie kochał, osładzały by wszystko, ależ i w nauce był przymus, gdy uczyć się kazano nie tych przedmiotów, do których najbardziej serce ciągnęło. To też za każdą przykrością, za każdym snem przedstawiającym ojca lub matkę złożonych chorobą, lub karego napadniętego przez wilki, albo Pała napastowanego przez pandurów, myśl ucieczki na pusztę, odzywała się w duszy chłopca, choć zdrowy rozum potępiał ją natychmiast. Przyszła jednak chwila tak gwałtownego wzruszenia, oburzenia na niesprawiedliwość ludzką, targnęło tak boleśnie wrażliwą duszę poety, tęsknota pociągnęła zboliałe serce tak potężnie, że rozum umilkł, i w pół nieprzytomny chłopak biegł...

(d. c. n.)

## ALFONS XIII.

Opowiadanie prawdziwe o maleńkim królu,

spisała Zofia Urbanowska.

(Dokończenie).

Już to obowiązki publiczne bywały Alfonsowi XIII-emu bardzo uciążliwe i pobudzały go zawsze do głośnych protestów. Gdy królowa zwiedzała raz z dziećmi sławne miasto Segovia, gdzie u wrót starożytnej kaplicy znajduje się cudowny obraz Matki Boskiej, na progu kaplicy powitał ją książę Medina uroczystą przemową. Zaledwie jednak wyrzekł pierwsze wyrazy, maleńki król trzymany przez matkę na rękę, zaczął tak przeraźliwie krzyczeć, że nie sposób było zrozumieć choćby jedno słowo i książę musiał mowę swoją przerwąć. Królowa zmieszana zaczęła go przeproszać, lecz ten odrzekł z uśmiechem.

— W obec głosu króla, każdy inny umilknąć musil!

Jak tylko król nauczył się chodzić, królowa pragnąc swojego syna z dziećmi rodzin hiszpańskich zapoznać, urządziła wielki bal dziecienny. Na rozesłanych zaproszeniach, Alfons XIII-ty podpisany był jako gospodarz, a dwie jego starsze siostrzyczki czynić miały honory domu. W programie przyjęcia ułożono, że król przybrany we wszystkie ordeiry, u wejścia do apartamentów przyjmować będzie swoich gości, i wręczyć im ma porządek tańców w kształcie książeczek atlasowych z obrazkami. Aby go do spełnienia tego obowiązku przyuczyć, odbywano z nim codzienną próbę, ale Jego Królewska Mość nader energicznie opierał się oddawaniu książeczek, i zawsze chciał wszystkie zatrzymać dla siebie.

Dwa lata temu mały król dopełnił pierwszego aktu państwowego: otworzył wystawę w Barcelonie. W niebieskiej sukience, w orderze złotego runa na szyi, wniesiony został do sali gdzie się odbywała uroczystość i powitany przez trzy tysiące osób pełnym zapału okrzykiem: — Niech żyje król! Posadzono go na tronie u stóp którego zajęły miejsca jego siostrzyczki, a królowa zasiadła w skromnym fotelu obok.

Teraz, przy wszystkich uroczystościach, jako nieodstępna towarzysząca króla występuje zwykle piastunka, ale przed

rokiem jeszcze występowała mamka. Od czasów Karola V-go prowincya baskijska ma przywilej dostarczania mamek dla następców tronu, bo monarcha ten szczególnie miał do basków zaufanie i wszystkie wyższe urzędy na dworze niemi obsadzał. Mamka Alfonsa XIII-go pochodziła także z tej prowincyi — i choć mały monarcha doszedł już do wieku, w którym się mami nie potrzebuje, choć królowa chciała ją oddalić, kobieta czy to przez interes, czy przez przywiązanie do małego króla, nie mogła się z nim rozstać. Ale że próśby zanoszone do królowej nic nie pomogły, więc wzięła się na dowcipny sposób i nauczyła króla mówić:

— Mamka musi zostać, chcę ją mieć przy sobie.

Dziecko powtórzyło te słowa kilkakrotnie w obec zgromadzonego dworu, a ponieważ wedle prawideł etykiety, nie można się sprzeciwiać bezpośrednio wyrażonemu życzeniu króla, przeto mamka pozostała jeszcze czas jakiś, uszczęśliwiona z wybiegu.

Czytelnicy nasi wyobrażają sobie pewnie, że maleńki król jest najszczęśliwszą w świecie istotą — ale ci co tak myślą, myślą się bardzo. Gdyby szczęście zależało od ilości posiadanych bogactw, bezwątpienia byłoby szczęśliwszym od innych dzieci, bo ma wszystkiego podostatkiem; ale wiadomo że ściany drewniane dają człowiekowi równie przyjemne i bezpieczne schronienie, jak ściany z marmuru, a płótno i wełna równie dobrze zabezpieczają ciało od zimna i upałów, jak jedwab i aksamit — co zaś do złota, to ono dla tego tylko taki dla nas blask posiada, że jest kosztowne. Gdyby żelazo było w cenie złota, nosilibyśmy z niego naszyjniki i pierścienie. Zjeść też król żaden nie może więcej niż wymaga jego apetyt — tak samo jak każdy wieśniak; a co do zabawek, to tak mu ich dają wiele, że sama ich obfitość go nudzi, gdy przeciwnie dziecko wieśniaka i wyrobniaka, byle czem się zabawi, a najskromniejszy, najnniej kosztowny dar sprawia mu wielką radość. Ubogi chłopiec zawsze wie jak rówieśnicy są dla niego usposobieni: kochają go jeżeli dobry, nie lubią jeżeli zły — i zawsze może wiedzieć co o nim myślą, bo nikt przed nim prawdy nie zatai. Mały król nigdy tego nawet nie zgadnie, bo żaden rówieśnik nie ośmielił się okazać mu niechęci. Ubogi chłopiec przyzwyczajony sam sobie usługiwać, poradzi sobie w każdej potrzebie, a mały król mający setki sług na rozkazy, gdyby nagle tron, bogactwa i służę utracił, gdyby znalazł się sam jeden i bez pomocy, uczułby się bardzo nieszczęśliwym i nie wiedziałby co z sobą począć. Wówczas każdy ubogi chłopiec w jego wieku, przyzwyczajony do głodu, chłodu, pracy i niewygód, miałby nad nim niezmierną wyższość. Największym panem jest naprawdę ten, kto bez służę obejść się potrafi, bo nie zależy od nikogo — najszczęśliwszym ten kto i sam sobie wystarczy i drugim jeszcze pomocy udzielić może, bo mu to daje siłę i swobodę. Człowieka któremu twarde łóżko sen odbiera, a czarny chleb w zęby kole, bardzo żałować trzeba. Alfons XIII-ty ma rozumną i kochającą matkę, która go pewnie od niedołęztwa właściwego wielu dzieciom bogatych rodziców, ustrzeże i przeciw zbyt niemu rozpieszczeniu młode ciało zahartuje. Jan Długosz nauczyciel synów Kazimierza Jagiellończyka, wychowywał ich nie jak królewiczą, ale jak zwyczajnych obywateli.

Król Alfons choć maleńki, bywa już często niewolnikiem etykiety, zmuszającej go do tego czego najbardziej nie lubi. Dziwny i jedyny w swoim rodzaju widok przedstawia się w Madrycie, w dniach przyjęcia w wielkiej sali zauku królewskiego. Na tronie zasiada jasnowłose dziecko i rozpoczyna się defilada wyższych przedstawicieli władz wojskowych i urzędników, a dziecku buzia krzywi się do płaczu przez czas trwania tej długiej a nudnej ceremonii. Wołałby poskakać, pobiegać, pobawić się z rówieśnikami, a tu każą mu siedzieć spokojnie i cierpliwie, choć go to męczy i nudzi. Może-li być szczęśliwym, gdy nie wolno mu jest używać tego czego dziecku ubogiego wyrobniaka nikt nie wzbrania, swobody? A nawet w chwilach wolnych od uroczystości, nie może bawić się z kim chce, bo etykieta dworu hiszpańskiego jest najuciążliwszą z etykiet dworów całego świata; każdy prawie krok monarchy, objęty jest odpowiedniami przepisami. Dziś



Hej dziewczynko hej dziecię!

Posyp barwne twe kwiecie...

przepisy te zostały już cokolwiek zmienione w duchu czasu, ale niegdyś dochodziły aż do śmieszności i barbarzyństwa.

Król Filip III umarł z powodu surowej etykiety. Siedział na krześle przed kominkiem w którym tak napalono, że upał był nie do zniesienia; według przepisów etykiety, przestrzeganych najściślej przez króla, monarcha nie mógł się podnieść sam, a służbie nie wolno było wejść do komnaty. Naraz wszedł margrabia Potat; gdy mu król kazał ogień zagasić, objaśnił że etykieta nie pozwala mu na to, a czynność ta należy do księcia Usseda, po którego niezwłocznie posłał. Margrabia odszedł, a żar stawał się coraz większym, ale król nie ruszał się, nie chcąc uchybić swęj powadze; nareszcie gdy książę się zjawił, zastał go leżącego na krześle w gwałtownej gorączce. Nazajutrz pokazała się róża w głowie, a w kilka dni potem, dwudziestoczteroletni król już nie żył. Umarł jak ostatni nędzarz, biedny niewolnik własnej wielkości! Król Filip V-ty w skutek długiej choroby postradał włosy i zdecydował się nosić perukę—minęły jednak miesiące zanim się jęj doczekał, bo kwestya ta była powodem długich obrad i sporów dostojników państwa. Nie wiedzano mianowicie, na co się zgodzić: czy peruka ma być zrobiona z włosów panny czy z włosów rycerza. O ważnej tęj sprawie aż poseł francuzki pisał do Paryża.

Alfons XIII-ty o mało raz także nie uległ wypadkowi podobnemu jak Filip III, z powodu etykiety. Ciotka ofiarowała mu huśtawkę, a dziecko zaplątawszy się w jęj sznury i nie mogąc wypłatać, zaczęło krzyczeć i płakać rozpaczliwie. Nikogo nie było w tym pokoju prócz lokaja i ten pospieszył małego króla z przykrego położenia oswobodzić, ratując go od rozbicia, a może od uduszenia. Ale wielki ochmistrz oddał natychmiast lokaja ze służby, ponieważ „ośmielił się dotknąć króla”—do czego niższa służba niema prawa. Królowa Krystyna, kobieta rozumna, postąpiła w tym razie bardzo dyplomatycznie: nie sprzeciwiła się rozporządzeniu ochmistrza, ale wydalonego przyjęła napowrót do służby—a tak i etykietcie i sprawiedliwości stało się zadość.

Kilka tygodni temu maleńki król zachorował nagle i tak niebezpiecznie, że rozeszła się nawet pogłoska o jego śmierci. Obiegająca całą Europę influenza, trafiła i na dwór królewski w Madrycie, bo królowie chorują i umierają tak samo jak zwykli śmiertelnicy. Choroba zmogła wątłe ciało, a wywołując ciągle przesilenia nerwowe i ataki konwulsyjne, wyczerpała zupełnie siły dziecka. Objawy choroby pierwsza spostrzegła królowa i wezwała natychmiast lekarzy, a ci uznali stan króla za tak niebezpieczny, że nie taili tego przed królową i zawiadomili p. Sagastę prezesa ministrów, który noc całą spędził w pałacu. Królowa sama podawała synowi przepisane przez lekarzy środki lecznicze i usunąwszy na bok wszelką etykietę, sama prześcielała jego łóżeczko, nie oddalając się ani na chwilę z jego pokoju, nie rozbierając się i nie śpiąc przez dni sześć. Napróżno usiłowała ukryć przed otoczeniem groźny rozwój choroby syna, zdradzały ją łzy obficie z oczu płynące. Słyszano jak powtarzała.

— Biedne dziecko! Boże, Boże, nie zabieraj mi syna!

Jednego rana król odzyskał na chwilę przytomność i zażądał zabawek, ale nad wieczorem znowu osłabł. Nazajutrz zrobiono konsylium i widząc że wszelkie środki są bezskuteczne, zarządzono ciepłą kąpiel i to dopiero pomogło. Król spał po niej, a obudzwszy się wyciągnął rączki do matki i obejmując ją za szyję, przemówił głosem już silniejszym:

— Ach, mamó, jakże cię kocham!

Od tęj chwili cała rodzina królewska nabrała otuchy, a choroba jak nagle się pojawiła, tak prędko przeszła. Królowa Krystyna która znajdowała siły przez wszystkie dni trwogi i rozpaczy, teraz gdy przekonała się że niebezpieczeństwo minęło, wybuchnęła płaczem spazmatycznym i dostała ataku nerwowego, z którym długo nie mogli sobie dać rady lekarze.

Święte jest i nigdy nie wyczerpane w ofiarności serce matki! Ono wszystko zniesie, wszystko wytrzyma, wszystko zrozumie, wszystko przebaczy i ukoi, na wszystko znajdzie

sposób i niebo nawet samo łzami swojemi poruszy. Szczęśliwe dzieci co mają matki, co mają w ogóle rodziców! Daj Boże, aby dalsze życie Alfonsa nie zawiodło nadziei jego matki, aby postępowaniem swoim nie dał jęj powodu do żalowania że wymodliła u Boga jego wyzdrowienie. Daj Boże, aby nie uważał kiedys korony za przywilęj do używania samych tylko przyjemności życia, ale za środek do czynienia dobrze drugim.

Gdy maleńki król chorował, ogólny głos współczucia przebiegał całą Europę. Tak się nim interesowano, jakby jego mała osobka obchodziła każdego potrosze. Chorowali i umierali nieraz dojrzały i posiwiiali nawet monarchowie, a przecież publiczność czytająca gazety, mniej to brała do serca niż wieści o tem dziecku. Czyżby czteroletni monarcha, nie mający żadnego jeszcze wyobrażenia o ważności własnego stanowiska i obowiązków panującego, mógł zrobić coś takiego co by mu zjednało miłość własnego ludu i sympatyę świata? Nie, byłoby to wprost niemożliwem. Europa i Hiszpania miały powody żałować Alfonsa XIII-go, bo z chwilą jego zgonu wybychłaby znów wojna domowa, co mogłoby stać się powodem niepokoju w innych krajach, interesa państw bowiem tak są z sobą powiązane, że co się stanie w jednym to wszystkie inne mniej lub więcej odczują — ale dla czego interesowali się nim ci wszyscy, których polityka nie obchodzi, czemu dopytywali tak troskliwie o jego zdrowie? Nie o Alfonsa tu chodziło, ale o jego matkę, a wiadomo czem jest dla matki strata dziecka. Więc ile jest matek na świecie, tyle serc odczuwało boleść królowej Krystyny, o której wiedziano że jest dobrą, kochającą matką.

Niejeden z czytelników naszych może powie: — Tyle matek co chwila płacze nad trumienkami dzieci, a nikt ich nie żałuje prócz najbliższych—czyż Krystyna godniejszą jest współczucia, dla tego że nosi koronę? Nie, królowa jest taką samą kobietą jak każda matka, ale my litujemy się zwykle nad tymi, których niedola jest nam wiadomą — a wiemy tylko o najbliższych. Stanowisko królów zaś jest tego rodzaju, że świat ma na nich ciągle zwrócone oczy a gazety najdrobniejsze wiadomości skrzętnie notują; dla tego więc choroba synka królowej Krystyny stała się wiadomą całemu światu i obudziła jego współczucie, dla tego Papież na intencyę jego wyzdrowienia codziennie Mszę świętą odprawiał.

Podczas gdy król maleńki przychodził do zdrowia, w mieście włoskiem Turynie umarł na tę samą chorobę szlachetny książę, który dwa lata panował w Hiszpanii pod imieniem Amadeusza I-go. I on odczuwał boleść królowej regentki, bo chorym już będąc, dowiadywał się o zdrowie Alfonsa i słał mu życzenie wyzdrowienia.

## WIECZOREK W ZALESIU.

(Dalszy ciąg).

— Dzieci! dzieci!—otwierając drzwi do sieni woła pana Anna już ubrana w futro.

Rozległo się szybkie stąpanie po schodach i zaraz obie panienki wbiegły do salonu.

Pierwsza ukazała się Bronisia. Ubrana w brązową w różnokolorowe grochy sukienkę, w skórzanym bucikach, ciepłych ciemnych kamaszkach na nóżkach, opięta szczelnie dostatnią watową salopką, w wełnianej chusteczce, owiniętej około głowy, mogła istotnie nie obawiać się mrozu. Za Bronisją na progu stanęła Halinka. W różowej wyciętej sukience, rozpuszczonych włosach i jasnych rękawiczkach ubrana lekko jak w maju! Narzuciła wprawdzie salopkę na ramiona, ale nie zapięła guzików z obawy, żeby się nie gniotły falbany, okręciła biały kaszmir koło szyi, lecz nie związała go porządnie, żeby nie stargał rozpuszczonych włosów... z pod krótkiej zaś spodniczki widać było nogi w żółtych pantofelkach i przezroczytych ażurowych pończoszczkach.

— Panna Halina postawiła na swoim! — rzekła z widocznym niezadowolaniem ciotka.

— Kochana cioteczko, przecież panna Anna powiedziała że możemy ubrać się jak chcemy! — odparła zarumieniona trochę Halinka.

— Ależ ty przeziębiesz — rzekła panna Anna.

— Droga, kochana, złota panno Anno! Tak mi ciepło! tak cieplutko! aż gorąco!...

— Wierzę bardzo, w pokoju! — Założę sobie dobrze salopkę bo się możesz przeziębici!

— Ale ot... widzi kochana pani... staniczek się pogniecie! — dodała nieśmiało!

— A co moje panie, jużście gotowe? siadajcie! — woła wuj z przedpokoju.

— Niechże przynajmniej Halinka włoży ciepłe kalosze! — rzekła p. Dębska. — Ej Halusiu! nie myślałam że taka jesteś dziecinna!

— No, prędko, nie marudźcie! Konie na mrozie niecierpliwą się przed gankiem! — nagli tymczasem wujaszek!

Ostatecznie opatrzone jako tako Halinkę, owinięto ciepłą ciociną chustką główkę jej i szyję, włożono na nogi kalosze i rozkazano biedz prędko do karety, żeby wiatr mroźny nie przewiał przez ażury pończoch. W powozie usadzono strojniczką między cicią i panną Anną, owinięto jej nogi zaściełającą karete wilczurą i kasztanki rażno ruszyły z przed domu.

Z początku podróż szła nieźle. Na drodze wprawdzie leżała masa śniegu i ogniste kasztanki dobrze ciągnąć musiały, żeby powóz z zasy wydobyc. W karecie za to panował dobry humor. Wuj żartował wesoło, Bronia chichotała się szczęśliwa, że nareszcie jedzie, Halinka tylko kręciła się między cicią i panną Anną, lekając się zmiąć sukienki. To jej się przygniotła falbana, to zawinęła wstążka, to kaszmirowy szalik targa włosy. Czuje się wielce nieszczęśliwą w swjej ciasnej uwięzi.

— Siedzże spokojnie moja Halusiu! — wołała co chwila nauczycielka.

— Ale bo widzi kochana pani, ta wilczura tak mi brudzi rękawiczki, a na pończochach pełno mam szarych, obrzydłych włosów!...

Powóz tymczasem posuwał się coraz wolniej. Pod lasem na granicy Zalesia, nocna zadymka nawiała takie głębokie zasy, że przejechać można z trudnością. Kasztanki mimo mrozu okryły się już potem, z wysiłkiem posuwając się naprzód.

— A czemuż tak wlecemy się powoli Wawrzyńcze? — wychylając głowę przez okno pytał wuj?

— Droga strasznie kopna, wielmożny panie! — odparł Wawrzyniec. — Ledwie się ciągną koniska.

— A przejedziemy tam aby w lesie?

— Przez las przejedziemy, bo trakt równiutki, ale nie wiadomo jak tam będzie w wąwozie, za lasem?

— Ej, wawóz już pod wsią, nie może być, żeby nie wyjeżdżono tam toru. Pal z bata i jazda!

Pałnął z bicia raz i drugi Wawrzyniec, kasztanki ruszyły żwawiej i kareta przez las sosnowy potoczyła się bez przeszkody.

Bronisia twarz przyłożyła do brzęczącej szyby i patrzy się na las cichy, śniegiem usłany, którego gałęzie posiwiwały od białego szronu. Halinka nie zajmuje się pięknnością natury, gdyż ambaras ma ciągle ze swą toaletą. To jej ciotka guzikiem zahaczyła o włosy, to panna Anna przysiadła szarfę... Boże jakże ona będzie wyglądała, gdy ukaże się z karety taka cała wygnieciona?! Ee... pociesza się po chwili, patrząc na rumianą od zimna twarzyczkę Broni, śmiejącą się z pomiędzy grubych fałd szarej chustki, obwijającej ciemną jej główkę: Wyglądać będę zawsze lepiej od niej! Dobra, kochana, złota ta Bronisia! ale jaka brzydka! jaka brzydka!...

— Prr! — rozlega się głos Wawrzyńca i kareta zatrzymuje się w miejscu.

— Co tam? — pyta wuj, spuszczać szybę.

— A to wawóz całkiem zawiany! Pod sam wierzch pełno śniegu. Tędy nie przejedzie!

— Niema żadnego toru?

— Znać koła... ktoś objeżdżał przed nami polem.

— To objeżdżmy i my polem!

— Insza rzecz tamte ślady, wielmożny panie! — przekłada woźnica. — Jechała tędy bryczka, czy całkiem wozik, bo kolój wążka... ale jak się tam wsadzi w rów nasza kareta, niewiadomo jak będzie!

— Jakoś przecie musimy się przeprawić. Zadaj się dobrze w lewo, potem skręć w prawo i będzie jak Bóg zdarzy! — komenderuje wujaszek.

— Wio! — skręcając w lewo huką Wawrzyniec.

Kareta z wolna porusza się z miejsca, zatacza duży krąg na trakcie, poczem zawraca wprawo... Naraz trzask!... rozlega się łoskot, brzęk i krzyk tłumny jadących. Następuje potem chwila, że nikt z obecnych nie wie co się stało. Po minucie dopiero ten i ów przychodzi do siebie z odurzenia, z położenia rzeczy, mogąc sobie zdać sprawę. Przewrócona na bok kareta leży w rowie, pasażerowie zaś wypadły leżąc na drodze. Na samym wierzchu spoczywa Bronia obok niej odsapując gramoli się wujaszek, dalej jęczy przytłoczona panna Anna, głębiej jeszcze piszczy w śniegu Halinka, a najgłębiej zakopana szamoce się zdyszana ciotka. Wuj podnosi się najpierwszy, trudno mu przecież wydobyć się ze śniegu. Z pomocą dopiero Wawrzyńca, który bez szwanku zsunął się z kozła, państwo z mozołem wydostają się na świat boży. Stoją wreszcie wszyscy na drodze, spoglądając po sobie marotnie.

— A co całe jesteście? — pyta wujaszek.

Na to pytanie wszyscy odpowiadają twierdząco. Okazuje się, że ciotka zgubiła broszkę, pannie Annie zgniótł się kapelusz, Bronia na ramieniu nabiła sobie guza, prócz tego przecież nikt nie poniósł ważniejszego szwanku. Najgorzej z przeprawy wyszła kareta. Dwa koła złamane, dyszel pęknięty, ani myśleć o dalszej jeździe! Co tu robić? Dwór Zaleski widać już ztąd wprawdzie dobrze jak na dłoni, ale zawsze jeszcze do niego kilka staj drogi, po śniegu i mrozie.

— Co tu począć?!... co począć?! — oglądając pogruchothane koła desperuje wujaszek. — A mówidem nie jeździć po śnieżycy! Chciało się wam wieczorku w Zalesiu macie wieczerek. Choćbym wsadził Wawrzyńca na konia i pchnął do Zalesia, żeby przysłano po nas sanki, to przemroziecie się tu stojąc w zaspach, Zdrowiej wam będzie ten kawałek przedwować piechotą.

— Naturalnie! pójdziemy! pójdziemy! — wołają panie.

Bez chwili zwłoki, gromadka cała wyrusza w pochód, pozostawiając przy koniach Wawrzyńca, któremu ze wsi nadesłać mają pomoc. Prowadząc ciotkę wujaszek, kopie się przez zasy przodem. Panna Anna ujawszy pod ręce obie panienki, odważnie rusza za nim utykając w głębokim śniegu.

— Halusiu, na Boga, a twoje nogi?! — zawołała nagle przerażona ciotka.

Halinka milczy. W pierwszej chwili zapomniała że ma ażurowe pończochy lecz teraz to czuje dobrze. Odkąd tylko wysiadła z powozu, dygocze z zimna, skostniała cała jak kawałek lodu. W kalosze wierzchem nasypało się śniegu, żółte zaś pantofelki nie chronią stóp od wilgoci! Ażurowe pończoszki przemokły do szcztętu, od spodu wiatr mroźny podwiewa lekkie spódniczki. Drżąca, skulona, przytula się do nauczycielki, w nadziei, że idąc może trochę się rozgrzeje. Płakałaby rzewnymi łzami gdyby się nie wstydziła, wiedząc, że sama sobie winna. Bronisia oto przez nasypy śniegu brnie z dobrą miną, jeszcze pannie Annie pomaga w przeprawie, a ją ciągnąć muszą! Próżno ciotka zdjętym z własnych ramion okręca ją szalem, nie wiele jej to pomaga, gdy u dołu cała jest mokra. Zdobywając się na energię, stąpa jak może nadrabiając miną.

— Mnie ciepło! cieplutko! — zapewnia głośno, gdy zeszytniałe z mrozu usta, zaledwie zdołają się poruszyć!

Ostatecznie, w cięższych przejściach, gdzie śnieg okazuje się zbyt głębokim, wuj bierze ją na ręce i w ten sposób z wysiłkiem, podróżni nasi dochodzą wrót Zalesia.

Ujrząwszy zmęczoną przybyłą piechotę gromadkę, gospodarze i zebrani goście wybiegają do sieni. Nie potrzebujemy opisywać, z jaką gościnnością podejmowani zostają strudzeni, zziębli, okryci śniegiem podróżni, tem więcej, że Halinka zziębnięta i drżąca w oplakany był stan. Pannienki domowe zabrały ją też zaraz do swego pokoju i posadziły w krzesło przed kominkiem. Zdawszy bawieniu innych gości na braci, całym sercem zajęły się biedaczką.

Najstarsza Kocia, przyniosłszy gorącej herbaty z winem, kłękła aby zdjąć z zlodowaciałych nóżek zniszczone pantofelki i brudne mokre pończochy, dając w zamian własne obuwie.

Halinka z początku była tak zziębnięta iż niepodobna jej prawie było mówić. Wypiwszy dopiero mocny ciepły napój, rozgrzała się potrochu, rumieńce powoli wystąpiły jej na twarz i poczęła rozmawiać wesoło,

Przed dworem tymczasem, rozlega się ustawicznie trzask z biczów i brzęk dzwonek, oznajmiając o przybyciu coraz to nowych gości. Mrok już zapadał, w pokojach służba rozpałała światła, w salonie panna Julia nauczycielka miejscowa urządziła estradę i dekoracye do nastąpić mającego przedstawienia. Panna Anna i panna Iza, guwernantka z sąsiedztwa, pomagają jej gorliwie, zastępując Kocię, zajętą obecnie Halinką, która występować ma przeciw w żywym obrazie. Skoro więc rozgrzała się już i wypoczęła, potrzeba na gwałt poprawić nieład jej ubioru. Różowa sukienka okazuje się tak zgniecioną, że służąca odświeża ją pospiesznie w garderobie, podczas gdy Kocia gorącym żelazkiem zapieka rozkręcone włosy.

(d. n.)

### Odpowiedź na pytanie w N-rze 4 Wieczorów Rodzinnych.

Jeżeli uderzymy w strunę, struna zadrga, a drżenie to rozchodzi się w skutek ruchu falistego ciała również sprężystego, jakim jest powietrze. To drżanie, wywołane następującem po sobie naprzemian zgęszczeniem i rozrzedzeniem powietrza, wywołuje głos. Gdy fale głosu napotkają powierzchnią przedstawiającą im opór, w takim razie zostaną odbite pod tym samym kątem, pod jakim padają. Wystawmy sobie teraz elipsę, podłużne koło które jak wiadomo ma dwa ogniska. Sala była bowiem w kształcie elipsy. Stróż stanął w jednym ognisku i cichym głosem powiedział kilka wyrazów. Następuje zatem drżanie powietrza i odbicie głosu o ścianę, która tamuje dalsze drżenie; głos odbija się pod tym samym kątem i przechodzi przez drugie ognisko, bo elipsa ma tę własność, że wszystkie promienie głosu wychodzącego z jednego ogniska uderzają o ścianę i zawsze przechodzą przez drugie ognisko (Zasada geometryczna). Tam stoją owe ofiary przebiegłości stróża i słyszą dobrze wypowiedziane przez niego wyrazy. Tymczasem osoby, które się znajdują pomiędzy jednym i drugim ogniskiem nic nie słyszą. Jest to znany objaw w akustyce, znał go i nasz podróżny, to też nie dał się uchwyć w sidła.

*Kuropatwa z nad Ikopetiu.*

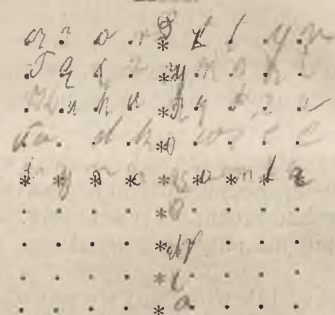
Zupełnie dobrą odpowiedź nadesłali także: Mamut i Grażyna.

### ZADANIE KONIKOWE. (ulozył Czarny Gołąbek).

			mi	bu	na	pi			
			bal	cha	i	nie			
			ja	ło	je	co			
měj	nie	lek	li	sam	wol	cza	śpiew	ma	w ga
ty	ta	Mysł	śni	kił	kie	roz	raz	i	u
prze	pie	ko	jak	go	chwi	cha	wi	ju	i
ja	mo	kwi	ka	nie	ża	róż	ta	ci	dzie
			ne	lek	wie	ce			
			ba	wio	z won	swie			
			i	cznie	ser	ana			

### Łamigłówka krzyżkowa.

(od Niezapominajki z nad Warty, dla Kwiatka polnego).



Kropki i gwiazdki zastąpić literami, ułożyć 9 wyrazów 9 głoskowych: 1. Zamek w Polsce. 2. Hetman polski. 3. Roślina. 4. Rodzaj nietoperza. 5. . . . . 6. Miejsce obfitujące w bursztyn. 7. Miary. 8. Imię żeńskie zdrobniałe. 9. Wyspy w Afryce. Gwiazdki w obu kierunkach powinny utworzyć pseudonym poety polskiego.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

#### Łamigłówki głoskowej:

P o r a j.

**TREŚĆ:** Gniazda pajęczce (z drzew.) — Z krzyżowych wojen, wiersz p. Gabryelę Jasięską (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Alfons XIII, opowiadanie prawdziwe o maleńkim królu, p. Zofię Urbanowską. — Wieczorek w Zalesiu. — Odpowiedź na pytanie w N-rze 4 Wieczorów Rodzinnych. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Zuchwała osa (z drzew.) — Jaś i koń, wiersz p. T. N. — Mała szwaczka. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





### ZUCHWAŁA OSA.

W ogrodach amerykańskich ku utrapieniu ich właścicieli znajduje się mnóstwo os, szkaradne te próżniaczki, nie chcąc się trudzić wychowaniem własnego potomstwa, składają jajka swoje w gniazda innych os lub pszczół, zwłaszcza z gatunków gnieźdzących się w ziemi; pszczoła znieważona takim wdarciem się do jój domostwa, wyrzuca coprędzej cudze jaja ze swego gniazda. Ale osa, upodobawszy sobie okolicę natychmiast znosi inne. Gdy się to kilka razy powtarza, pszczoła gospodyni domu wyrzuca ją ponownie przesywając żądłem gwałtownie. Ale gdy to nie pomaga, i uparta osa powraca zawsze, natenczas, jak to widzimy na rycinie naszej, pszczoła odrywa skrzydła napastniczój nieprzyjaciółce, a dopiero bezskrzydłą chwyciwszy swemi szponkami, z ciężkiem utrudzeniem odnosi daleko od swego gniazda, do którego zuchwała osa z pewnością już nie trafi!

### JAS I KOŃ.

Jaś dobry chłopiec ale ciekawy,  
Lubił rozrywki, zabawy.  
Jasia wszędzie pełno było,  
Gdy mu się uczyć sprzykrzyło,  
Rzucał w kąkajet i piórko,  
I wybiegał na podwórko,

Żeby biegać z dziećmiakami  
Drażnić się z obcemi psami;  
Raz w lecie w samo południe,  
Gdy czas chłopcu włókł się nudnie,  
On pokryjomu,  
Wybiegł z domu,  
Na gospodarskie podwórze,  
Gdzie koń w stajni stał przy murze.  
Koń dla Jasia ładna gratka;  
A choć nieraz jego matka,  
Dawała zdrowe przestrogi,  
Żeby koniom schodził z drogi,  
Otóż niebaczny chłopczyzna  
Drażnić z koniem się zaczyna.  
Koń zrazu znosił cierpliwie  
Gdy Jaś głąskał go po grzywie,  
Lecz gdy to zadługo trwało,  
Cierpliwości się przebrało,  
I w gniewie stare konisko,  
Widząc chłopca nazbyt blisko,  
Palnęło kopytem w ciemię.  
Jaś jak martwy padł na ziemię.  
Gdy go wodą ocucili,  
Mały psotnik od téj chwili,  
Słucha już matki przestrogi  
I konikom schodzi z drogi,  
Myśląc sobie w duchu skrycie:  
„Na włosku było me życie.  
„Porządnie w głowę dostałem  
„Bo rad matki nie słucałem”!

T. N.

### MAŁA SZWACZKA.

— Czy dałaś co dla ubogich?  
— A jakże! dałam prześliczne pudełko!  
— A ja dałam kubek kryształowy!  
— A ja dałam całą sztuczkę na suknią!  
— A ja sztuczkę płótna na sześć koszuli!  
— A ja książkę prześliczną! — Tak rozmawiało z sobą grono panienek zamożnych rodziców, a Frania córka kucharki, posługująca paniąkom w pokoju i obecna zawsze przy ich lekcyach, słuchała téj rozmowy:

— Szczęśliwe dzieci — myślała sobie — mogą dużo rozdawać ubogim, a ubodzy błogosławią ich za to, a ja nic nie mam, nic przeto dać nie mogę. — Myślała długo Frania nad biedą, która nie pozwalała jój być dobroczynną, aż poszła do gospodyni i spytała czy podarki dla ubogich już są odesłane? Dowiedziawszy się że jeszcze nie, spytała, czyby nie lepiej było posłać szytą już bieliznę, niż płótno? Gospodyni przyznała że byłoby lepiej, skroiła sama koszulki, a Frania pracując po nocach bo w dzień nie było czasu, uszyła porządnie wszystko i choć z trudem wydażyła przecież na czas.

Nikt o tem nie wiedział prócz gospodyni, a ta gładząc Franję po główce powiedziała:

— Naprawdę ty jedna z tych dzieci jesteś prawdziwie dobroczynną, bo ofiarowałaś im istotną własność twoją: pracę.

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNĘ ZAŁĘSKĄ.

### IV.

Gdy nadszedł uroczysty dzień imienin, pani Z. swoim zwyczajem nie wychodziła z pokoju, czekając, żeby dzieci przyszły powiedzieć jej dzień dobry. Pierwsza wbiegła Józia, rzuciła się mamie na szyję, i serdecznie uściskała, wypowiedziawszy parę słów prosto z serca płynących. Później wyciągając z pod fartuszka pakiecik:

— Przyjm mamó — rzecz — odemnie te skromne pantofelki i niech ci w nóżki ciepło będzie, bo to ja własnoręcznie je wyhaftowałam.

Pani Z. rozwinęła pakiecik i ucieszyła się na widok ślicznych włóczkowych pantofli; na czarnym tle wyhaftowane były czerwone cieniowane róże z zielonymi listkami.

— Och! jakież ładne i jakie mięciutkie — zawołała mama — ale kiedyżeś miała czas na taką dużą robotę i to jeszcze w tajemnicy, że się jej ani domyślałam?

Wtem z trzaskiem drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegł Wicus, niosąc w ręku duży koszek z przykrywą.

— Co on tam ma w tym koszyku — pomyślała Józia — okropnie jestem ciekawa.

Wicus z wielką powagą pocałował matkę w rękę, a wyrwawszy się jej uściskom, zaczął recytować wspinałą oracyę:

— Najdroższa mamó! W dniu tak uroczystym przagnąłem...—wtem coś w koszyku mocno się poruszyło, zaskomlało, uderzona od spodu pokrywa spadła na ziemię, a z koszyka wyskoczyło zwierzątko jakieś dziwne, pokryte krótką bardzo sterczącą sierścią, koloru wieży Eiffel, ogonek ze wstydem chowało pod siebie, a spostrzegłszy panią Z. i rzuciwszy jej żalosne spojrzenie, usiłowało się ukryć między fałdami jej sukni.

— Co to jest? — zawołała pani Z. — czy być może żeby to była Muszka?

— Tak, to Muszka — tryumfująco rzekł Wicus — i to ja zrobiłem, że tak wypiękniła.

— A ty niedobry chłopcze, jakżeś mógł tak męczyć, tak oszpecić tę biedną psinę? Kto ci pozwolił ją strzydż i farbować?

— Ja myślałem że to mamę ucieszysz.

— Piękna uciecha, a nie pomyślałeś o tem, że zima się zbliża. Tobie futerko kupiłam, a ty Muszce je właśnie odebrałeś. Sierść nie tak prędko odrośnie, a jeszcze farbą zaklejona! Jakąż przykrość, prawdziwą przykrość mi zrobiłeś!

— Ach przebac mi mamó — zawołał Wicus ze łzami — widzę już że źle zrobiłem! Czemuż to rad Józia słuchać nie chciałem! Nigdy, już nigdy nic podobnego nie uczynię.

Pani Z. widząc szczery żal chłopczyka, przebaczyła mu tym razem, a przez resztę dnia, korzystając z wolnego czasu, dzieci z radą mamy obmyślały sposoby, przyodziania Muszki, żeby ją od zimna zabezpieczyć.

### V.

Pani Z. dawała co miesiąc dzieciom po dwa ruble do rozporządzenia, pragnąc by się nauczyły oszczędzać pieniądze i ograniczać swoje wydatki. Józia, jako bardzo praktyczna osobka, nie wydawała wszystkiego, zwykle połowę tej sumy chowała do skarbonki; Wicus przeciwnie, choć miał zamiary wielkiej oszczędności, nigdy w nich nie wytrwał i zaraz we dwa dni po dostaniu miesięcznej pensyi, tracił ją na różne bagatelki.

Pewnego razu, a było to już przed samemi świętami Bożego Narodzenia, Wicus wszedłszy do klasy, zastał wszystkich kolegów już zgromadzonych i obradujących nad czemś burzliwie.

— Dzień dobry wam koledzy — zawołał, wbiegając wesoło pomiędzy nich, ale mu nikt nie odpowiedział; widocznie byli jakimś zdarzeniem bardzo zajęci. Cóż się tam nowego stało, czy lekcji nie umiecie? czy zma-wiacie się na pana profesora? — Ale widząc że i tym razem nikt nie zważa na jego pytania, wcisnął się w sam środek zbitęj gromadki, otaczającęj siedzącego na ławce ucznia.

Był to Janek B.; wytarty i wypełźnięty mundurek, z poczerniałemi guzikami, połatany starannie na łokciach, świadczył o wielkim jego ubóstwie. Twarz jego, choć teraz smutna i blada, miała wyraz inteligentny, a zapłakane duże, czarne oczy patrzyły rozumnie i poważnie. Cała zresztą postać, sympatyczne robiąca wrażenie, teraz przybrała wyraz niechęci i żalu, siedział milczący i nieporuszony, w około zaś niego wrzało i luczowało jak w ulu.

Jedni narzekali na niesprawiedliwość ludzką; inni ubolewali nad smutnym losem kolegi i opowiadali sobie o niedelikatności zwierchnika, który wobec całej klasy kazał Jankowi wynosić się z gimnazyum, gdzieindziej znów martwiono się że dobry, uczynny i kochany przez wszystkich kolega im ubędzie.

Wicus długo nic z tych pomieszanych rozmów nie mógł zrozumieć. — Co tu się stało! co się stało za nieszczęście, powiedzcież mi przecie — pytał na wszystkie strony.

— Nie wiesz? Janek nie ma czem wpisu zapłacić.

— Ach biedny — zawołał Wicus — jakże mi go żal serdecznie.

— Co mu tam z twego żalu, żal pieniędzy nie przynosi.

— On wiedział oddawna że jak wpisu nie zapłaci to i nauka przepadnie — rzekł ktoś drugi, ale wiedział także dobrze, że choćby głową tłukł o ścianę to i tak nic poradzi, bo ojciec jego nie żyje, a matka oprócz niego ma czworo drobnych dzieci i ledwie wystarczy na życie ich zapracować. Przychodził jednak, chcąc do ostatniej chwili z lekcji korzystać.

Wicusowi żal i wstyd się zrobiło. Ten biedny Janek tak gorąco pragnie nauki, tak pracuje choć mały

jeszcze i mizerny, byle się tylko uczyć, a on, Wicus, który ma wszystko, któremu wszystko z łatwością przychodzi, myślał, że wielką łaskę robi całemu światu, przychodząc do szkoły. — O! o ileż on niżej stał od tego ubożego, pracowitego chłopca, co tam siedzi zrozpaczony.

Wicusia żal ogarnął tak wielki, że aż łzy mu stanęły w oczach, a serce zabiło gorącym pragnieniem przyjscia cierpiącemu koledze z pomocą. — Wtem Janek powstał, siłą woli zwyciężywszy rozpacz swoją, przemówił smutnie lecz z energią.

— Dziękuję wam, bracia, za współczucie, dziękuję serdecznie. Rozejdźcie się do waszych ławek, bo zaraz lekcya się zacznie. Ja pójdę, z żalem was porzucę. Ha, trudno, pójdę w inny sposób pracować; nauczę się rzemiosła i tam chleb znajdę, a wiem przecie, że żadna praca nie hańbi. Was żegnam i... nie nie mógł dokończyć, łzy jak groch potoczyły się po wybladłej twarzy. Zerwał się z ławki i podając rękę kolegom, ścisnął ich po kolei. Wszyscy byli smutni i milczący.

— Nie! tak być nie może—rozległ się raptem wśród uczni głos dziecinny, lecz silny i stanowczy i Wicus wyskoczywszy na ławkę tak przemówił do towarzyszy:

— Bracia, czyż pozwolimy, aby on nas tak opuścił! czyż zrobiliśmy wszystko, aby go wśród nas zatrzymać. Nie my nic nie zrobiliśmy! Nie pomyśleliśmy o żadnym dla niego ratunku, choć go kochamy. A przecież jest środek!

— Jaki! jaki! — zawołali wszyscy chłopcy razem, patrząc jak w tęczę w niewielką postać Wicusia, górującą teraz nad nimi.

— Nic łatwiejszego! zapłaćmy wpis za niego, koledzy. Niech każdy z nas da to, co ma, a zaraz złożymy potrzebne pieniądze, a Janek przez miłość dla nas i dla nauki, nie odmówi nam łaski zgodzenia się na to.

Słowa te wywołały ogromny zapal między młodzieżą, nie spostrzegli nawet, że profesor od jakiegoś już czasu już stojąc za nimi, mimo wydzwonionej godziny, do lekcji ich nie wzywa, nie chcąc przeszkodzić spełnieniu pocziwej koleżeńskij przysięgi.

Wszyscy zaczęli poszukiwania w kieszeniach i pułgaresach; synowie bogatych ludzi, lecz takich było niewiele, znaleźli tam pieniądze przeznaczone na przyjemności i łakocie, których się chętnie wyrzekli; drudzy z dobrem sercem poświęcili kwotę, przeznaczoną na całotygodniowe drugie śniadanie; byli i tacy, co mieli bardzo mało i trochę się wstydząc, przygotowywali swój datek.

— Niech Wicus zaczyna! Niech Wicus zbiera! Wicus niech żyje! — ale nasz Wicus jakoś zaniemówił, a spostrzegłszy się jak wysokie stanowisko zajmuje, patrzył którędyby zejść z otoczonej zewsząd ławki. Bardzo był zaczerwieniony, a w ręku trzymał swą portmonetkę dużą, ale zupełnie pustą. Otworzywszy ją, dopiero przypomniał sobie, że wydał wczoraj całego ostatniego rubla na kupienie rozmaitych niepotrzebnych drobiazgów.

— Nic nie mam! nic dać nie mogę — wyjąknął narazie z wielkiem zawstydzaniem.

— Jakoż ty co pierwszy składkę zaproponowałeś? ty, co zwykle tyle masz pieniędzy, nic dać nie możesz? — zawołali z oburzeniem koledzy. To być nie może? Co to się stało? — i wszyscy odstąpili Wicusia, który upokorzony i zmartwiony pozostał na środku sali...

Dobra myśl jego jednak nie była rzucona daremnie, tylko chłopcy zwrócili się teraz do pana profesora i na jego ręce składali swe ofiary; brakowało jeszcze trochę do ogólnej sumy, ale tę resztę z własnej kieszeni dołożył pan profesor.

(d. c. n.)

## ZABAWA ARYTMETYCZNA.

W grze tej biorą udział dwie osoby, jedna ma pewną liczbę pomyśleć, druga zadaje jej niżej podane działania, w porządku przepisany, których rezultatem musi być koniecznie liczba pierwotnie pomyślana.

Pomnożyć pomyślaną liczbę przez 3, podzielić ją następnie przez 2, jeżeli liczba jest parzysta, jeżeli nieparzysta dodać 1 następnie pomnożyć przez 3 i podzielić przez 9, pomnożyć przez 2, (jeżeli liczba nieparzysta dodać jeszcze 1) a rezultatem mnożenia będzie właśnie liczba pomyślana.

I tak np. jeżeli się pomyśli 8 pomnożone przez 3 = 24

połowa tego 12 " " 3 = 36

36: 9 = 4 " " 2 = 8

Jeżeli się pomyśli liczbę nieparzystą 7 pomnożone przez 3 = 21 połowa tego 11

" " 3 = 33. 33: 9 = 3

" " 2 + 1 = 7

## HOMONIM.

(od Niezapominajki z nad Warty, dla Błyskawicy).

Przykrą wam chorobę zwiastuje,  
Która w łóżku przetrzymuje.  
Gdy w innym znaczeniu weźmiecie  
To znów rzekę mieć będziecie.

## Zagadka rebusowa.

Przyimek i dwie litery  
Budzi nieraz zapal szczery.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 8-go.

## Z a g a d k i:

P a s.

## Skrzynka do listów.

Bartka zwycięzco, i Janka Muzykanta, serdecznie witamy w gronie naszych korespondentów, i radzi bardzo jesteśmy że się nam przedstawili, bo wnosimy z ich listu, że miłą nam będzie bliższa

z nimi znajomość. Mamy też już Wołodyowskiego i Podbipiętę wśród naszych czytelników, to może szanowny Bartek i Janko zechcą z nimi korespondować.

Odpowiedź na swoje zapytanie znajdzie **Jemiołuszka** w ogłoszeniu o konkursie, jeżeli je powtórnie uważnie odczyta. Warszwianie korzystać mogą z materiałów drukowanych, których obfitość znajdują, zadanie ich przeto łatwiejszem jest do spełnienia, niż mieszkańców innych miejscowości, mniej w takie źródła zasobnych. Ostrzegamy jednak wszystkich zainteresowanych w konkursie, że wypisywanie ustępów z książek, nie jest dozwolone. Można, i pożytecznie jest posiłkować się źródłami drukowanymi, ale nie trzeba przeladowywać wypracowań datami i cyframi, bo przybrałyby nazbyt wielkie rozmiary. Dość będzie wybrać najważniejsze. To samo odnosi się i do wspomnień historycznych. Najwięcej znaczyć tu będzie pogląd osobisty piszącego, na opisywane przedmioty, jego uczucia i wrażenia jakie dana miejscowość w nim budzi, choć bowiem przedmioty o których mowa dla wszystkich są jedne i te same, ale każdy patrzy na nie z innego punktu, a więc w innym je widzi światło. To światło właśnie będące odbiciem duszy patrzącego, jest zadaniem naszego konkursu.

O sumiennosci czytelników „Wieczorów” Redakcja nie wątpi; są jednak tacy, którzy nie uważają sobie za grzech prosić starszych o poprawę lub uzupełnienie wypracowania, dla nich to właśnie dane było objaśnienie, tak żywo wzięte do serca przez **Jemiołuszkę**.

Podawania prawdziwych nazwisk i adresów przy nadsyłaniu wypracowań nie zastrzegaliśmy, bo to się samo przez się rozumie, że bez nich nie wiedzielibyśmy, komu posłać nagrodę.

Pogadanki ulubione przez **Jemiołuszkę**, dawać będziemy później, jakkolwiek oprócz **Zosi** mogą się znaleźć i inni, którzy poważniejszych rzeczy nie lubią. Cieszymy się bardzo z upodobania w nich **Jemiołuszki** i ściskamy ją serdecznie i za to i za liścik poufny i długi.

**P. E. Mrozowicki**ej. Biesiada Literacka daje dodatki tylko wraz z numerami pisma swego, nie możemy zatem spełnić jej życzenia.

Dary **Perełki**, **Fiołka Podolskiego**, **Władysia Popł.**, **Jula**, **Wańdzi** i **Władzia Saint Laurent** oddano według przeznaczenia, a obdarzeni gorące modły zasyłają do Boga za pocziwe serduszką.

**Szarotka alpejska** niema żadnych innych warunków do korespondencji z panienkami, nad uzbrojenie się w cierpliwość, nie-raz bowiem długo czekać trzeba na swoje kolęj. Przytem liściki muszą być krótkie. Żądany dodatek posłano.

**Chmurce wiosennej** wystaliśmy już „Wieczory” i bardzo uprzejmie zapraszamy do konkursów tak pilną czytelniczkę naszego **Pisemka**.

Widzisz **Królowo Elfów** co to jest dowierzać kotkowi! Nawet ty niezmiernymi istotami władająca, nie mogłaś powstrzymać swojej pieszczotki od psoty! Po wyjściu powieści całość będzie do nabycia w Redakcyi.

**Błada Różyczka** na swoje lat 8 wcale nie ma „niezgrabnego pisma”, a to co pisze, ujmuje nas za serce. Powieść posłana, należy się za nią kop. 30.

Chętnie zaliczamy do korespondentek **Kalinę z nad Dniepru** której już przesłaliśmy początek powieści. Co do liściku i łamiłgłówki niech przeczyta odpowiedź daną **Szarotce alpejskiej**.

**Kuropatwa z na Ikopetiu** przesłała dobrą odpowiedź na pytanie zawarte w numerze 4-tym. Sędziwy twój wiek ptaszyno nie wyłącza cię wcale od rozwiązywania tego rodzaju zadań.

**Horpyno droga** i owszem: serdeczne twoje liściki sprawiają nam zawsze wielką przyjemność, i odpowiadamy ci na nie jaknajchętniej. Nagroda dla ciebie już wysłana, otrzymasz jednak i to, czego pocziwem serduszkami tak gorąco pragniesz.

**Polce z nad Szczary** bynajmniej nie mamy za złe zmiany pseudonimu.

Milo nam powitać **Plug Poleski**, oby na zaoraną przezeń roli bujnie krzewiło się ziarno!

**Niezapominajkę z Polesia** prosimy o przeczytanie odpowiedzi jaką otrzymała **Szarotka alpejska**.

Odebraliśmy rozwiązania nadesłane nam przez **Szarego Kota**.

A ciebie, droga **Staszko z Podola** witamy serdecznym słowem i macierzyńskim uściskiem. Słuszną jest rzeczą, że nie przestrasza cię przyszłość, skoro wierzysz, że zadowolenie serca jest głównym warunkiem szczęścia i skoro się do obowiązków przyszłości tak sumiennie przygotowujesz. Niechże ci Bóg błogosławi, jak na to zasługujesz, dziewczę serdeczne. Każdą odezwę twoją witamy z radością, bo każda przynosi nam świadectwo szlachetnych uczuć, poważnych zapatrywań się twoich, każda nas zapewnia o życzliwości twojej dla nas, którzy w zjednaniu serc waszych szukamy najmiłszej nagrody.

Kochana **Czarnotko!** Liścik twój sprawił mi wielką przyjemność, gdyż to jest pierwszy, który przez „Wieczory” odebrałam. Żałuję cię bardzo, że tak długo chorowałaś i cieszę się że powracasz do zdrowia. Co do mnie na imię mi **Halinka** i mieszkam w pobliżu **Radomia**. Ściskam cię serdecznie, **Różyczka Jeryhońska**.

Kochana **Iskierko!** List twój sprawił mi wielką przyjemność i zaraz ci odpisuję. Wiem kim jesteś, nazywasz się **Jadzia**. Pseudonym twego braciszka bardzo ładny. U nas w domu i na wsi bardzo chorują na influencję, ale ja jej uniknęłam szczęśliwie. Prawie codzień jeżdżę sankami z bratem moim, **Słowikiem z nad Zbrucza**. Ściskam cię wraz z **Kłoskiem Podolskim** wasza **Gwiazdka z Podola**.

Kochane **Niebo Gwiazdziste**. Bardzo mnie twój liścik ucieszył, bo to pierwszy, który przez „Wieczory” odebrałam. Ja także mam lat 8, na imię mi **Hania**, mieszkam na wsi, nocę się przy mamusi. W lecie jeżdżę na kucyku, mam też mój ogródek, czarne owieczki i żółtą kurkę i bardzo lubię moje gospodarstwo. Lubię też i lalki, którym sama szyję sukienki. A ty kochane **Niebo** czy bawisz się lalkami? Napisz do mnie niedługo, ściskam cię serdecznie. **Pszeniczka**.

Kochana **Niezapominajko z nad Warty!** Bardzo się ucieszyłam twoim liścikiem. Mam lat czternaście; nie jestem ani zbyt wesołą, ani zbyt smutną. **Wieczory** prenumerujemy równie dawno jak ty. Więcej o mnie szczegółów dowiesz się z odezwy mojej do czytelniczek „Wieczorów” w numerze 2 r. b. Proszę cię donieść mi nawzajem coś o sobie. Przesyłam ci tryljon całusów i uścisków, **Wesoła Krakowianka**.

**Miła Bajurko z Firlejskiego podwórka**. Chciój pisywać do mnie i nadal, a będę bardzo szczęśliwą. Mieszkasz w gub. **Lubelskiej**, gdzie ja mam kuzynki, może znasz je przypadkiem? Donieść czyś daleko od **Lublina**? i czyś słyszała o wsi **Radlinie**? Podoba ci się powiastka „**Karnawał**”? bo mnie nadzwyczaj tem więcej, że autorka jest mi znaną i kochaną. O rychłą odpowiedź proszę, a teraz bywaj zdrowa! **Artystka**.

Kochana **Szumigłowo!** Znamy się doskonale i bez trudności odgadniesz kto ja jestem. Odpisz mi jaknajprędzej i przyjmij uściśnienia od twój **Pojaty**.

Kochana **Sarenko z nad Moroczu!** Czy chcesz zemną korespondować? Sądzę, że się poznamy kiedyś, mieszkasz bowiem niedaleko **Slucka** w Cz... Miałabym jeszcze wiele do napisania, ale wiem, że niema miejsca w **Wieczorach** na długie listy, więc ściskam cię i twoje siostry, odkładając resztę do następnej korespondencji, odpowiedzi niecierpliwie czekam, **Irás**.

Zdaje mi się kochane: **Niezapominajko z nad Warty** i **Wróźbiarko** szczęścia, że zgadłam kto jesteście; mieszkacie na wsi, której nazwa zaczyna się od litery **P**. Jeżeli tak jest to przypomnijcie sobie o waszój **Hakuce S**.

Kochana **Felo H!** Czy koniecznie musisz się liczyć z wizytami? Dla czego nie przychodzisz do mnie? Ja nie mogę, bo jestem teraz ciągle zajęta. Widujemy się często z **Jadwigą Sk.** która jest w **Warszawie**. Obierz sobie pseudonym i odpisz. Twoja **Gwiazdka Jerozolimska**.

**P. S.** **Niezabudce czeskiej**, **Gwiazdeczce** i **Litwince z nad Szczary**, przesyłam pozdrowienia i proszę żeby do mnie napisały.

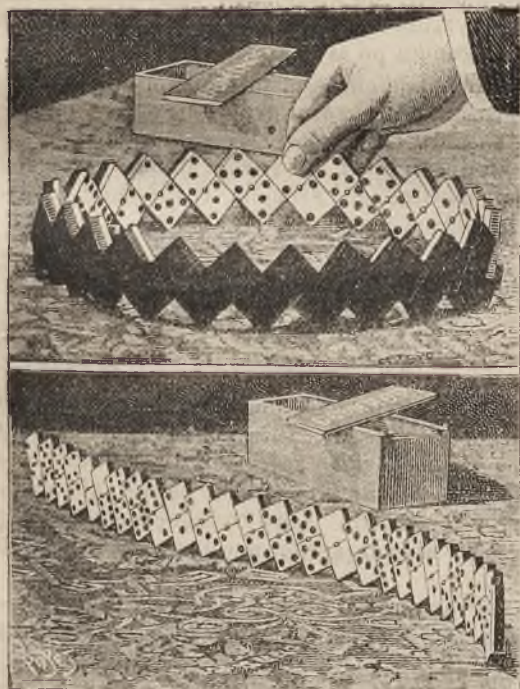


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Często bardzo bawimy się kostkami domina, próbując ustawić z nich przeróżne figury, z małym jednak powodzeniem, gdyż nie umiemy im nadać potrzebnej ku temu równowagi. Oto sposób ustawienia w krąg wszystkich kostek gry domina na ich kantach, jak to nam wskazuje rycina górna. Pierwsza kostka kładzie się na stole; służy ona za tymczasową

podporę tej, która się ustawia pochyło i która zaczyna szereg następnych; wszystkie zaś zachować powinny ten sam kierunek, zakreślając równocześnie koło. Uważać przytem należy, żeby w końcu pozostało tylko tyle miejsca, ile potrzeba na ostatnią kostkę. Gdy ją mamy położyć podtrzymuje się jedną ręką pierwszą kostkę, która rozpoczęła cały szereg, drugą zaś wsuwa się ostatnią na jej miejsce. Podobne temu zadanie przedstawia nam drugi oddział ryciny z tą tylko różnicą że nie zakreślamy koła ale linię prostą. Rzecz nie przedstawia się trudniej od poprzedniej i uda nam się niezawodnie, gdy pierwszą kostkę oprzemy tymczasowo o wieczko pudełka domina, nadając jej nieznaczną pochyłość; następne idą w tym samym kierunku. Gdy ostatnią kostkę ustawimy, usuwamy podporę i równocześnie chwytną lewą ręką pierwszą, prawą ostatnią i szukamy równowagi, podczas gdy z jednej strony lekko popychamy, a z drugiej stosownie dajemy opór. Po kilku takich próbach odejmujemy ręce, a szereg kostek powinien stać pochyło, bez żadnej podpory.

### POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Ho! ho! Szandor! Jak się masz mały bracie! Dawnośmy się nie widzieli! — zawołał głos znajomy. Dnia tego przypadał jeden z licznych jarmarków, i pomiędzy cziko-  
sami wiodącymi konie na sprzedaż, znalazł się także jeden, z niemniej licznych, dawnych przyjaciół Szandora.

— Dokąd tak śpieszysz, Szandorze? — wołał.

— Na pusztę, bo konam z tęsknicy... — szczerze odpowiedział chłopiec, a serce rozsadało mu piersi tak, że mówił z trudnością.

— O, a pieszo tak?... — spytał czikos wcale nie zdziwiony tęsknotą do pusztę, ale nie pojmujący podróży bez konia.

— Niema karego... — z westchnieniem odpowiedział Szandor.

— O, niema jednego, ale drugi jest!... Weź którego z moich... wszak wiesz gdzie my pasieme, dobiegłszy puścisz go do stada i koniec!

Szandor nie mógł teraz wcale odpowiedzieć, uściśnął tylko rękę przyjaciela, skoczył na konia i dalej w świat!

W szkole lekcyja następowała po lekcyi i dopiero po ukończeniu dziennych nauk, cała klasa *in gremio* udała się do domu nudziarza. Nawet trzej chłopcy stanowiący tajemną opozycyę, szli z drugimi.

Porozumienie było krótkie. Profesor ochłonął już z chwilowego wzruszenia, uczniowie wytlómaczyli się jasno, popierając słowa swoje powagą kilku nazwisk nauczycieli z gimnazjum w Szent-Lorencz, którzy już dawno uznali Szandora poetą.

— Dlaczegożeście mi tego nie powiedzieli odrazu, zanim posądziłem niesprawiedliwie o kłamstwo zacne dziecko, młodzieńca w którego piersiach płonie iskra Boża — zawołał żywo staruszek.

— Dla tego panie profeserze, że pan profesor nie dał nikomu czasu ust otworzyć, tylko wypadł z klasy jak piorun!

— Jak waryat! istny waryat! — zawołał staruszek chwytając się oburącz za głowę w napadzie szalonego gniewu na siebie samego tym razem, i bijąc się w piersi wołał:

— Dzieci! patrzcie do jakich bezprawi, do jakiej zgrozy porywość doprowadzić może uczciwego człowieka! Pójdźcie ze mną zaraz do Petofiego, niech wszystko się naprawi.

Pobiegli. Zaledwie jednak roztworzyli drzwi dużego pokoju, gdzie Petofii mieszkał wspólnie z kilkoma współuczniami, chłopcy wydali okrzyk przerażenia, bo uderzając nieład, niezwykły tutaj, zdradzał na pierwszy rzut oka gwałtowne wzruszenie nieobecnego mieszkańca. Na stole w najwidoczniejszym miejscu, leżało trochę pieniędzy na białej kartce, zapisanej ręką Szandora, drżącą widocznie: był to spis kilku maleńkich dłużków, i sumka dostateczna na ich zaspokojenie.

Stał się krzyk nie do opisania. W dziesięć minut władza szkolna i policyjna zostały zawiadomione o wypadku i wprowadzono w ruch wszelkie sposoby odnalezienia znikłego ucznia. Profesor nie posiadający rodziny, właściciel domu w którym mieszkał, natychmiast w biurze policyjnym oznajmił że wszelkie koszta poszukiwań sam poniesie. Przez trzy dni wrzało w szkole i w całym mieście, ale śladu nie znajdowano żadnego. Uczeń jak w wodę wpadł. Czwartego dnia dopiero stary Naghy ojciec, przybył za interesami ze wsi do Selmesz i odwiedzając syna w kolegium zapytał, co dzieje się z młodym Petofim?... którego spotkał przed kilku dniami na gościńcu?

#### IV.

Stary Naghy dawny przyjaciel ojca Petofiego, tak jak mały był przyjacielem Szandora, nie domyślał się wcale jak ważnem było owo chwilowe spotkanie w puszczie, na pół mili szerokim gościńcu.

Szandor w pół nieprzytomnie dosiadłszy konia, pozwalał mu nieść się, jak chciało dzielne zwierzę. Dopiero długi lotny bieg i znużenie fizyczne ukolysały o tyle cierpienie, że zaczęła swolna powracać chłopcu przytomność i myśli się rozjaśniły. I wtedy właśnie spotkał go Naghy. Gdyby przyjaciel ojca był go lepiej wypytał i prawdy się domyśliwszy poratował życzliwą radą, to bardzo być może iż Szandor, ochłonawszy i rozmyśliwszy się, byłby wraz z nim do Selmesz powrócił. Ale Naghy, acz zdziwiony, nie uważał za stosow-

wne uprzykrzać się pytaniami chłopcu. Minawszy się więc z nim, Szandor oprzytomniały do reszty, poraz pierwszy powstrzymał konia, obejrzał się po świecie, orientując gdzie się znajduje?... i zapytał sam siebie gdzie?i po co jedzie?

— Po błogosławieństwo!... Pewno po błogosławieństwo na dalszą drogę życia, do miłego ojczulka się jedzie!... — zapiszczał szyderczym niby sowim chichotem, najniespodziewaniej, głos jakiś, zupełnie jakby w odpowiedzi na wątpliwości młodego podróżnego. On zadrzał oglądając się w około, boć szeroka puszcza wraz ze swym niewidzialnym gościńcem, trawą jak wszystko zarosłym, pustą mu się w tem miejscu wydawała przed chwilą. Śmiech ów szyderczy przypomniawszy chłopcu w dziwnie dojmujący sposób surowość ojca, który, pod błogosławieństwem, odwożąc go do Selmesz, rozkazał kształcić się na inżyniera lub prawnika. Tymczasem serce ciągnęło go do literatury, i buntowało się przeciw ojca rozkazom, aż teraz przy sposobności wybuchnęło buntem ostatecznym...

O trzy kroki za koniem stała cyganka Marcha, swoim zwyczajem jak z pod ziemi wyrosła.

— A! to ty Marcha? Jak się masz? Zdrowia dobrze! — zawołał Szandor niby wesoło, i nagle zabobonnym przejęty strachem ponaglił konia, uciekając od chichoczącej. Zdawało mu się, że ona czyta w myśli jego. Jednocześnie stanęła mu w pamięci owa niezapomniana nigdy huczna niedziela w rodzicielskiej gospodzie, kiedy to Marcha rozniewana na jego ojca, w dziwny jakiś sposób przepowiadała mu przyszłość. Co to było? Mówiła coś wówczas o sile błogosławieństwa ojcowskiego i teraz jakby to przypomniawszy właśnie, gdy Szandor porzucając drogę życia na którą pobłogosławiony został, wyłamywał się z pod tego błogosławieństwa. Dreszcz śmiertelny wstrząsnął nieposłusznym synem. Poczul że stanąć teraz przed ojcem, nie będzie miał odwagi... Pomyślał o Selmesz i zadrzał nowem oburzeniem, na myśl o powrocie. Spojrzał smutno po niebie i ziemi, po tej bezbrzeżnej puszczy, do której tak tęsknił, a która teraz pod wpływem wyrzutów sumienia, straciła część swoich uroków... i poklepał konika po szyi:

— Idź gdzie chcesz... ja niemam dokąd... — poszepnął. Konik zrozumiał, rozwiął grzywę i ogon i puścił się z wiatrem w zawody.

Oczywiście biegł do swego stada. W godzinę później cały step powitał go rżeniem rozgłośnem, wśród którego brzmiała huczna pieśń:

Step podobny do starój  
Czaszki króla olbrzyma,  
Nad łysemi obszary  
Włos gdźmieniedzie się trzyma!...

— Niech żyje mały pieśniarz! — rumak i jeździec wpadli w grono przyjaciół. Przez chwilę jeden u misy gulaszu, drugi na zielonej łące zajęci byli gwałtownie, nie jedli od wczoraj rana; jednemu cierpienie zagłuszało głód, drugiemu pilno było do swoich. Gdy Szandor zasnął znużony, ujrzał we śnie ojca wskazującego mu dwie spiekle opustoszałe drożyny:

— Prawnictwo albo inżynieria! — mówił — albo inaczej, pójdziesz w świat bez mego błogosławieństwa!

Zapłakana matka otaczała ramionami pieszczocha, jakby broniąc przed tą groźbą okrutną. Chłopak zerwał się, zimnym obłany potem.

— O!... odpocząłeś pieśniarzu?... to może nam coś nowego zaśpiewasz?... Ale jeżeli nie możesz to się nie trudź daremnie! Może kogo innego duch pieśni w tej chwili ożywia; nie trzeba bliźnim przeszkadzać...

— Owszem, zdaje mi się że on mnie ożywia w tej chwili, a oto pieśń... słuchajcie!

Mówiłaś matko, że dłoń niebiosów  
Snuje marzenia prorocze,  
I że sny nasze są jak przezrocze  
Przyszłych kolei i losów.

Matko!... ja miałem sen zeszlój nocy,  
Rozświeć mi jego mamidła...  
Pędził mię wicher, zbrojnego w skrzydła  
Aż do stóp tronu Wszechmocy.

„Synu mój, nie drzyj wśród życia burzy  
Lecz ciesz się dziecię me drogie  
Bóg ci da życie długie i błogie,  
To sen twój wieści i wróży.”

I wyrósł młodzian, młodością wrzącą  
Zawrzał wśród równych najwcześnień,  
Spiewając ludziom ogrzewał pieśni  
Ciepłą krwią w żyłach drgającą.

Dłonią pieśniarskie ujął narzędzie,  
Przelał w nie uczuć swych dźwięki,  
I w świat płynęły jego piosenki  
Jak smutne białe łabędzie.

I wzbil się w górę w świetnych gwiazd koło,  
Co chwałą wieczystą płoną,  
Gwiazd tych promieniem niby koroną  
Geniusz przyobłókł mu czoło.

Ale tron pieśni to gładz rozbicia,  
Spiewak oddawał za chwałę  
Kwiaty swój duszy, serce swe całe  
I z każdą pieśnią część życia.

Płomień serca piekłem się stały,  
Kapłan padł pastwą ofiary,  
Ogień przepalił życia konary  
Prócz jednej gałązki małej.

I oto upadł na śmierci łożo  
Syn męki życie trawiając,  
A biednej matki głos bolejący  
Wolał do Ciebie o Boże.

„O, wstrzymaj, wstrzymaj nieszczęsne ramie  
Nie bierz go, śmierci aniele!  
Bóg mu obiecał życia tak wiele  
Wszak głos snów bożych nie kłamie?”

Matko, syn jego prawdą był Bożą  
Cóż ztąd że zamknie tu oczy,  
Gdy jego imię chwała otoczy  
Niezgasła na wieki zorzą!...

Gniewne odległe szczekanie psa przerwało tę pieśń po raz drugi chórem śpiewaną. Lekki popłoch pomiędzy kofmi oznajmiał także zbliżanie się kogoś obcego. Szandor zadrzął i zbladł jak chusta. Czokosy patrzyli na niego. Z tą szczególną bystrością właściwą ludziom dzikim, odgadywali podobno jego położenie, choć dotąd nie spytali go o nic, wedle prawidła najpospolitszej gościnności, która zakazuje pytać gościa o to, czego by sam nie powiedział.

(d. c. n.)

## KRÓLOWA RYKSA.

Obrazek z dawnych czasów,

p. Teresę Jadwigę.

Jak niema pomyślności, któraby się w nieszczęście zamienić nie mogła, tak też niema niedoli któraby nie mogła stać się szczęściem.

Smiles.

W Toledo, stolicy Nowej Kastylii, pod cieniem szerokich liści winnej latorośli, co bujnie rozrasta się koło balkonowi królewskiego, pnąc się po marmurowych kolumnach, wspierających sklepienie pałacu, spoczywa na miękkich, jedwabnych poduszkach królowa Ryksa w kwiecie wieku jeszcze i cudnej urody... Wszystko co natura wydała najpiękniejszego zebrało się koło niej, jakgdyby chcąc młodej pani życie uprzyjemnić; wszystko co sztuka ludzka ku ustrojaniu życia naszego zdziałała, otoczyło ją; wszystko, czego ludzie jedni drugim zazdroszczą, stało się jej własnością... Czyste, błęki-

tnie niebo rozpościerało się nad nią w górze, ani jedna chmurka nie budziła trwogi, by pogoda zmienić się miała; pomarańcze o liściach gładkich, świecących, mirty pokryte białym kwieciem, figi, co słodki owoc wydają, migdały z różowym kwiatem, smukłe palmy daktylowe, szerokoliste i kolczaste aloesy, wyniosłe dęby, utworzyły piękny ogród, który otoczył pałac królewski gajem zielonym; skryte wśród tych drzew ptaszęta dzwonią wesoło, motyle uwijają się rażno pomiędzy niemi, a wotryk łagodny roznosi słodką woń kwiatu pomarańczowego, która mięsza się z zapachem róż, co kwitną bliżej pałacu. Upał już nie dokucza, bo słońce zeszło z południa i ku zachodowi się posunęło, ostatnie jego blaski złocą zdaleka płynącą rzekę Tag, w której przegładają się wyniosłe skały, co niby murem obronnym otoczyły stolicę Nowej Kastylii... Naprzeciw pałacu wśród krzewów róż, tak bujnie kwiatem pokrytych, iż zielone liście giną pod niemi, szmerze fontanna, chłodząc powietrze, a szmer jej tworzy akompaniament do chóru ptasząt, co z gąszczy ogrodu dochodzi. Zdaleka stoi kilka służebnic i kilku dworzan, gotowych na skinienie pani, chętnych by spełnić rozkaz téj, która ich królową, którą otacza, również cześć całego narodu. Hiszpanie kochają Ryksę, bo dobrą jest panią, litościwą na niedolę poddanych, chętnie spieszącą z pociechą smutnym; szanują Ryksę jako żonę króla ich Alfonsa VII-go, który był jednym z największych królów, jacy dotychczas zasiadali na tronie kastylskim, a może nawet największym... I któż to pohamował wewnętrzne niezgody, jakie zakłócały Kastylię w chwili gdy Alfons wstąpił na tron, któż jak nie on sam, któż to walczył dzielnie z Maurami i rozgromił ich, któż jak nie on, kto wziął szturmem Kordubę, oraz wiele innych warowni, zajętych przez Arabów, kto Grenadę odważył się obledz, kto jak nie on mąż Ryksy... Kto szczęście i pokój zapewnił poddanym i zdobyć ich serca potrafił, kto jak nie on, kto założył w Kastylii rycerskie zakony, podniósł jej miasta, oświatę w nich rozszerzył, kto jak nie Alfons? Sława bohatera i mędrca go otaczała, sława ta spłynęła na żonę jego i blaskiem ją okryła. Hiszpanie czczą i kochają swoją królowę, a cześć tę i miłość nie tylko słowami, lecz i czynem wyrażają. Ryksę przepych otacza, bogate szaty ją stroją, w czarnych jej włosach świecą najrzadsze klejnoty, liczni dworzanie jej służą, wszystko co ludzie szczęściem zowią, czego jedni drugim zazdroszczą to posiada Ryksa... Tuż przy niej stoi kołyska złocista, w niej śpi dziecina maleńka, sliczna jak anioł: rumieńce, które zdobią jej twarzyczkę świadczą o jej zdrowiu, uśmiech jaki co chwila pojawia się na jej ustach uspokaja ducha. Ryksa jest matką téj dzieciny, więc i tego nie odmówiły jej nieba, los hojnym był dla niej... Ale jednak mimo tylu darów, mimo tylu warunków, będących podstawą szczęścia nie widać radości na jej twarzy i czarne jej oczy to ze smutkiem wpatrują się w śpiącą dziecinę w złocistej kołysce, to ze skargą niemą podnoszącą się ku jasnym błękitom nad nią rozpostartym, jakgdyby z wymówką.

Bo i cóż jest szczęściem, czy to co większość ludzi tem mianem nazywa, to co losy Ryksie szcudrze dały: piękność bogactwo, znaczenie sławę, o nie to z pewnością... Szczęście i w ubogiej lepiance gości, szczęścia złotem nie kupi, szczęście w sercu mieszka, ale w sercu czystem, niewinnem i spokojnem, w którym smutek, lub zgryzota się rozgospczą z tego szczęście ucieka, Ryksa zaś poniosła już dwie bolesne straty w życiu. Lat siedmnaście miała zaledwie, gdy król Alfons, jej duma, jej chluba, jej mąż ukochany umarł, lat dziewiętnaście miała nie więcej, gdy Fernando, przyszły król Kastylii, syn jej pierworodny nadzieja matki, za ojcem podążył, została jej na pociechę tylko córeczka maleńka Sancia lecz i téj los tak niepewny obecnie. I któż ręczyć może czy w dniu, w którym Hiszpanie nowego pana obiorą, nie odbiegnie ją ten tłum dworzan, by bić pokłony nowemu panu... Smutek zagościł w sercu Ryksy i szczęście zeń uciekło, smutek rozsiadł się na jej twarzy i uśmiech z niej uleciał, smutek zajrzał do jej oczu i zgasły jasne promienie, co w nich kiedyś świeciły. Póki żył jej mąż, nie znała go wcale, nie znała co niepokój, co tęsknota, lecz odkąd wdową została uczucia te

nawiedzają często jej serce, i dziś obległy ją znowu i ciężko jej bardzo ciężko Ryksie na duszy. W dali stoją służebne i dworzanie kilku, śledzą niespokojnie smutek na twarzy pani i radziby go rozproszyć, odegnąć, ale nie śmia się odezwać; lecz Ryksa sama pragnie się z niego otrząsnąć, więc myśl zwróciła gdzieindziej od niedawnej przeszłości do odleglejszej do lat dziecinnych, ku północnym stronom myślała pobięła, ku tym, z których do Kastylii przybyła, gdzie stała niegdyś jej kołyska, gdzie matka jej, ojciec, bracia mieszkają... I stanęły przed oczyma jej duszy wszystkie te drogie postacie i gorycz, co serce jej zalewała, złagodniała.

— Narzekać mi jeszcze nie wolno — szepnęła sama do siebie — mam rodziców, mam rodzeństwo, jeśli ztąd niewdzięczność mnie wygna, tam niezawodnie mnie przyjmą, przytulą przygarbą i spokój zapewnią...

W tem, gdy tak z sobą rozmawia, pod cieniem mirtów i pomarańcz w drodze z ogrodu ku gościńcowi wiodącej, ukazały się jakieś postacie. Ryksa dźwignęła się z poduszek i wzrok ku nim zwróciła; spostrzegli idących i dworzanie kró-

Henryka i Bolesława, pewny dalszego powodzenia obległ Poznania, już wody Warty krwią się zaczerwieniły, już czekaliśmy rychłoli i ten gród otworzy swe bramy przed nami, gdy naraz na dany znak z wieży świętego Mikołaja, obskoczyły nas zewsząd nieprzyjaciół siły i rozbiły księcia Władysława; pokonany, w ucieczce zmuszony był szukać ocalenia, rozstawnemi końmi udał się do Krakowa, a ztąd z żoną i synami uszedł do cesarza niemieckiego i tam znalazł schronienie.

Blada, jakgdyby wszystka krew z niej uciekła, słuchała Ryksa posłańca nieszczęsnej wieści, a gdy skończył mówić ukryła twarz w dłoniach i głowę na piersi zwiesiła.

— Więc ojciec mój tułaczem — rzekła po chwili głosem złamanym twarz odsłoniwszy, więc bracia moi i matka wygnana, gdy Hiszpanja miejsca dla mnie nie znajdzie, gdy wybierze nowego pana, a o mnie zapomni, nie będę miała gdzie się schronić, bo guiazdo moje rodzinne wydarte memu ojcu; i tę nadzieję los mi odebrał. Tu znowu twarz ukryła w dłoniach i stała złamana zgnębiona.

Widząc jej boleść, dworzanie ośmielili zbliżyć się do niej.



Wojownik jawański.



Wojownicy wysp Ombay i Guebu.

lowej, oni również ciekawie się nim przypatrują: „kto to?” pyta jeden drugiego.

Obcy to jacyś goście, długie poważne suknie jakie mają na sobie mówią o tem. Obcy, lecz idą tak śmiało, jakgdyby pewni byli, że tutaj nikt nie ma prawa zagrozić im drogi powiedzieć: „dalej iść wam nie wolno”. Szaty ich długie, poważne, twarze surowe, idą wolno, a kierują się wprost ku pałacowi... Na twarzy Ryksy widać zdumienie, lecz niknie ono stopniowo, a w miejsce jego uśmiech występuje na smutne jej lica, czyby w tych przybyszach dobrych znajomych poznała, nareszcie zrywa się z poduszek i zarumieniona, dąży ku wschodowi marmurowym, na balkon wiodącym, a goście już stanęli u ich stóp i korne ukłony przed nią składają.

— Zadałaś wieści o twoim ojcu królowo — rzekł jeden — książę Władysław przysłał ci przez nas odpowiedź, lecz bądź mężną, bo wieści smutne niesiemy... Dziad twój Bolesław Krzywousty państwo swe między czterech synów podzielił, książę Władysław uznając iż podział państwa jest zgubą jego, postanowił odebrać braciom ich dzielnice i połączyć je w jedną całość, lecz Jakób arcybiskup gnieźnieński i Wszebor wojewoda sandomierski, oparli się temu i wojna domowa wybuchła... Zrazu szczęście sprzyjało naszemu orężowi, książę Władysław zajął posiadłości dwóch braci:

— Jakże możesz pani tak mówić — odezwał się jeden. — Mogłoby kiedy miejsca u nas zbraknąć dla ciebie... Małżonka Alfonsa VII-go i córka jego, spokojnie jutra wyglądać powinny; nie zapomną Hiszpanie nigdy, co winni zmarłemu królowi; był on dla nas ojcem, bronił nas od wrogów, opieką otaczał, Hiszpanie odpłacą tem samem żonie jego i córce.

Ryksa odsłoniła twarz, westchnęła ciężko, jakgdyby zrzucając ciężar z piersi.

— Dzięki wam za te słowa — rzekła z uśmiechem — pokrzepiły one ducha mego, mniej gorzko płakać teraz będę nad moją sierotą. — Tu zwróciła się do przybyszy.

— A was panowie przepraszam za chwilową mą słabość — dodała uprzejmie. Przed Bogiem przystoi tylko wylewać łzy, przed ludźmi kryć je należy, bo życzliwym są przykre, obojętnym nudne... To powiedziawszy ręką wskazała gościom drzwi do pokoi królewskich wiodące.

\* \* \*  
Cóż to za uroczystość odbywa się na dworze króla Aragonii Rajmunda, tłok w sali godowej od panów i pań, a różnych tam widać przedstawicieli narodów. Tuż obok hiszpańskich, grandów grafiowie niemieccy stoją pod ścianami, lub przechadzają się wzdłuż i szerz sali, obok grafiów i baronów niemieckich, widać hrabiów francuzkich i włoskich panów... Wszyst-



kich romańskich narodów zebrali się dziś tutaj książęta, lecz na jakąż to uroczystość? W pośrodku sali stoi tron złocisty, obok niego kilka krzeseł paradnych, na tronie siedzi Rajmund król Aragonii, koło niego z jednej strony małżonka jego, dalej dwór cały; z drugiej strony widać Ryksę wdowę po Alfonsie VII-ym, a tuż przy niej Sancię jej córkę, dziś już kilkoletnią dziewczynkę, całą w bieli w wieńcu mirtowym na czole, jakby ona była główną osobą w tej uroczystości... Tuż obok niej stoi lat parę starszy od niej Alfons syn króla Rajmunda. I na nim strojne godowe szaty i on wygląda jakgdyby dla niego ci goście się tutaj zebrali i tak jest też chyba, bo trubadurowie nadworni śpiewacy pieją na ich cześć pieśni, bo wszystkie spojrzzenia ku nim się ciągle zwracają...

Na twarzy Ryksy dziś smutku niema, z uśmiechem szczęścia spogląda na córkę i na stojącego obok niej królewicza; dziś Ryksa nie boleje nad sierocym losem swęj jędynaczki, nie płacze nad jej sieroctwem, z trwogą w jej przyszłość nie patrzy, bo los jej dziecicy zapewniony. Sancia

godności powitał króla Rajmunda potem zwrócił się do Ryksy, wyciągnął do niej ramiona i uściskał ją.

— O Bóg jest wielkim — rzekł — smutnych pociesza, nad sierotami czuwa i was nie opuścił, mogę teraz umierać spokojny, przybyłem tu po to, by wnukę moję pobłogosławić, zanim przed ołtarzem jak młoda oblubienica stanie.

Tu zwrócił się do Sancier, ona ukłękła przed nim, obok niej królewicz, a książę Władysław podniósł dłonie i modlitwę błogosławieństwa odmówił, potem oboje do serc przycisnął i zasiadł obok króla Rajmunda, przy nim Ryksa, dalej narzeczeni, a trubadurowie przerwane pieśni nucić znowu poczęli, na cześć młodej pary.

## UZBROJENIA DZIKICH.

Sposób uzbrojenia pierwotnych ludów przechował się dotąd u dzikich. Główną broń ich stanowią spisy, które



Oficer króla wysp Sandwich.



Jeździec pancerny z Baghirmi.

ma zostać żoną królewicza Alfonsa, dotrzymali słowa królowej Hiszpanie, nie zapomnieli o córce Alfonsa VII-go, oddać ją postanowili, jako małżonkę przyszłemu swemu królowi, dziś zaręczyny obchodzą młodej pary. Ryksa szczęśliwa, bo o losy córki spokojna i gdyby nie jedna myśl, jedna troska, troska o losy ojca, zupełnie szczęśliwą byłaby. Niepokój o niego to kropla goryczy w jej czaszy, przyszedł on jej teraz właśnie na pamięć i uśmiech uleciał z jej ust, westchnienie z piersi się wydarło, przed oczyma jej duszy stanęli rodzice i bracia.

— O czemuż was tutaj niema — rzekła cicho — radość nasza rozwiłaby wam smutek z serca.

A w tem, jakby życzenie jej potęgę rozkazu miało, drzwi sali królewskiej rozwarły się i w progu ich stanął siwy starzec, kilku panami otoczony, długie ich szaty różnią ich od panów tutaj zebranych, obcy to goście jacyś.

Ryksa podniosła wzrok i z piersi jej krzyk radości się wyrwał:

— Ojciec!

— Książę krakowski, Władysław Piast szeptem obie-gło sale.

A starzec ów posunął się ku tronowi, ukłonem pełnym

aczkolwiek przetrwały aż do naszych czasów i w cywilizowanych krajach, były wszakże najpierwszą bronią człowieka, pochodząc od zastrzonych na końcach kijów, do których później dodano ostrze żelazne. Niektórzy dzicy wojownicy, jak np. wyobrażeni na naszych rysunkach mieszkańcy Jawy i wysp Sundzkich, oprócz spisy używają jeszcze krótkich nożów i krótszych lub dłuższych mieczów, które także były pierwotną bronią, inni znów jak przedstawiony w pełnym rynsztunku oficer wysp Sandwichskich, zadawalniają się samą tylko spisą. Wiadomo powszechnie że rycerze w wiekach średnich, bywali niejako zakuci w żelazną zbroję, nie wszyscy wszakże wiedzą, że państwo Bornu w środkowej Afryce i sąsiadujące z nim państewko Baghirmi posiada wojowników chroniących się przed uderzeniem ciosów nieprzyjacielskich w pancerz z waty — tak, z waty pokrytej jakąś kratkowaną bawełnianą tkaniną, która osłania zarówno konia jak jeźdźca, przedstawionego na rycinie naszej. Pomysł ten co najmniej oryginalny, a tem dziwniejszy, że klimat afrykański musi go czynić nieznośnym i że podobny sposób przyodziewania się, jest w zupełnym przeciwieństwie z aż nazbyt lekkim okryciem i bosemi nogami innych wojowników.

## WIECZOREK W ZALESIU.

(Dokończenie).

W pół godziny później, wszystko już było gotowe.

W salonie przegrodzonym szkarłatną pięknie udrapowaną firanką, jaśnieją zapalone światła, na ustawionych w szeregi krzesłach zasiadają goście, bliżej estrady dzieci, dalej dorośli. Ukryta za drzwiami muzyka poczyna grać. Odzywa się dzwonek i firanka odsłania się na dwie strony. Na estradzie wśród masy świerków i kwiatów w doniczkach, kilkanaście dziewczynek w bieli i kwiatkach na głowie, trzymając się za ręce, płasają w pośród zarośli. Obraz jest prześliczny! Wybrano panienki najładniejsze z całej okolicy, wyglądają więc prześlicznie! Najpiękniejszą jednak z wszystkich, jest Halinka. W leciutkiej gazie, w rozpuszczonych włosach, trzymając w ręku pęk wodnych traw i lilii, wygląda jak prawdziwa rusalka.

Wszyscy wokoło chwalą ją i unoszą się nad jej wdziękiem, siedząca przeciw w drugim rzędzie ciotka uważa, że zażywe trochę ma rumieńce i oczy nienaturalnym świecące blaskiem, czem się niemało niepokoi.

— Wszak prawda, że Halusia zanadto jest rozgrzana? — mówi zwracając się do panny Anny.

— Piła wino i gorąco jest w sali — odpowiada nauczycielka. — Pójdę do niej zresztą, gdy zapadnie kurtyna.

Po żywym obrazie idą deklamacje i śpiewy. Nie czekając popisów panna Anna wymyka się z sali, szukając Halinki. Zastaje ją w pokoju panienek, w gronie rusalek zrzucających pospiesznie kostiumy. Przebiera się znowu w różową, odprasowaną świeżo sukienkę, wesółą i rozpromienioną.

— A co najdroższa panno Anno, śliczny był nasz obraz! — woła ujrzawszy nauczycielkę.

— Bardzo ładny! udał się wybornie. Lecz co ty dziecko taka jesteś rozpalona? — dodaje przykładając dłoń do jej czoła.

— Ja? przeciwnie jest mi ciągle zimno! — odrzekła Halinka pokazując lodowate ręce.

— Czyś tylko nie chora?

— Ej nie! jak zacząć tańczyć, to się rozgrzeję.

W godzinę potem Halinka jak różowy motyl w takt muzyki płąsa po sali. Ona jedna w gronie tanecznie ubrana jest po balowemu, gdyż wszystkie panienki z powodu mrozu przyjechały w ciemnych, zimowych ubraniach. Najładniejsza z całego zebrania, lekka, zwinna, tańczy też bez wytchnienia. Dziwi ją to wprawdzie trochę, że tak prędko dziś czuje się zmęczoną, gdy dawniej skakać mogła przez kilka godzin, lecz tłumaczy sobie niezwykłą ociężałość trudami podróży. Kości ją trochę bolą i nie może się rozgrzać. Głowę ma rozpaloną jak głównia, w piersiach pali ją coś jak żarzący węgiel, a po ciele chodzą lodowate dreszcze. Póki jeszcze w ciągłym jest ruchu, to trzyma się jako tako, ale skoro usiedzie, trudno jej się podnieść.

Gdy około dziesiątej podano herbatę, Halinka w kole rozbawionych gości siedzi smutna i osowiała. Zdawało jej się, że taka jest głodna, a teraz nic jeść nie może! Skosztowała wprawdzie pączka, lecz zrobiło jej się po tem niedobrze a teraz głowa boli ją bardzo.

Po herbacie gdy muzyka na nowo zabrzmiała i dzieci z zapalem zabierają się do tańca, ona nie może prawie poruszyć się z krzesła. Bolą ją ręce, nogi, w piersiach, słowem wszystko. Powstawszy z wysiłkiem z krzesła, nieznacznie, wysuwa się z salonu i schroniwszy się w pokoiku panienek kładzie się na kanapie, by spocząć choć trochę.

Bronisia pierwsza spostrzegła jej nieobecność i szuka jej wszędzie.

— Haluniu, gdzie jesteś? Co tu robisz Haluniu? — woła wbiegając do sypialni. Wstań Haluniu, właśnie tańczyć będziemy mazurą!

Halinka nie odpowiada. Rozpalona, czerwona, śpi snem kamiennym, skulona w kąciku kanapki.

— Halusiu! Halusiu! — ciągnie ją za rękaw Bronia.

Dziewczynka podnosi trochę ociężałe powieki.

— Czy to już dzień? — pyta nieprzytomnie.

— Nie! ale tańczymy. Wstańże Halinko!

— Moja droga panno Anetko, umiem już lekcye... daj mi spać jeszcze choć chwilkę! — mówi przez sen...

Teraz już Bronisia przeleżała się okropnie i pędem biegnie do cioci.

W minutę później z salonu nadbiegają wujostwo, panna Anna, Kocia i państwo Dębsey. Wszyscy troskliwie otaczają kanapkę na której nieprzytomna, bredząc gorączkowo, drzemie nasza strojnicka.

Halinka okazuje się chorą, bardzo chorą! bez zwłoki też wujostwo wybierają się z powrotem do domu. Karetą państwa Dębskich, mimo spóźnionej pory, jechać mają inną, dalszą lecz lepszą drogą, własny powóz i Bronię, pozostawiając w Zalesiu.

Gdy późno w nocy, zmartwieni wujostwo stają przed gankiem domu, Halinkę z pojazdu wynoszą. W ciągu drogi ani na chwilę nie odzyskała przytomności, skoro zaś wreszcie położono ją do łóżka, z którego rano wstawała tak wesółą, powiększyła się jeszcze gorączka. Wuj nie czekając rana, sankami popędzić kazał do miasteczka po lekarza, ciocia zaś z panną Anną, zasiadły smutne u wezłowania chorą.

Wesoły promień zimowego słońca przedarłszy się przez zapuszczone firanki, pada na łóżko Halinki i zagląda jej w oczy tak długo, aż ją ze snu przebudza, otwiera z wolna powieki.

Zdaje jej się że spała, spała sama nie wie jak długo. Dzień już zupełny, słońce świeci w okna, musi już być chyba południe? Nie rozumie, dla czego nie rozbudzono jej dotąd, ani nie pamięta, kiedy się położyła. Chce się podnieść, ale jakoś jej trudno... podnosi rękę, ręka ciężka, niby z ołowiu... próbuje poruszyć głowę i ta nieswoja... obraca się więc na drugą stronę i oczami wodzi po pokoju. Dokoła cisza, zdala dochodzi gwar rozmowy i stuk łyżek o talerze, widocznie jedzą obiad... Przy jej łóżku na stoliku pełno flaszek, szklanek z lekarstwami, pudełeczek z proszkami...

Halinka zna to wszystko, pamięta od czasu, gdy przeszłego roku wujaszek był słabym i domyśla się potrochu, że chyba ona była teraz chorą. Przykro jej tak samutkiej, chciałaby zawołać na ciocię, czy pannę Annę, ale taką czuje się słabą, że trudno jej się na to zdobyć. Przymyka więc na nowo oczy i choć nie śpi, odpoczywa, jakby po najcięższej pracy. Czuje przy tem, że twarz ją boli i swędzi. Drzemiąc lecz raz po raz twarzy ręką dotyka, zdaje jej się, że odpędza uprzykrzonego komara. Szmer lekki obok, budzi ją na nowo. Otwiera oczy... Ciocia z panną Anną stoją nad nią schylone, uśmiechając się do niej.

— Nie dotykaj twarzy Halusiu! — szepce ciocia łagodnie przytrzymując jej rękę.

— Jakże się czujesz?

— Dobrze. Jeść mi się chce, bo nie daliście mi obiadu.

— Dzięki Bogu! Zaraz przyniosę ci rosół.

— Cioteczko, czy ja chora?

— Byłaś chorą.

— A czemu mię teraz twarz boli?

— Ej, nic wielkiego! miałaś jakieś wyrzuty... Zgoją się niedługo! Nie dotykaj tylko tej wysypki, bo pozostałyby po niej ślady.

— Kiedy to tak pali nieznośnie..

— Poczekaj, zaraz posmarujemy maścią, to nie będzie paliło.

Panna Anna siadła i wzięwszy ze stolika niewielki słoiczek, pędzelkiem ostrożnie twarz Halinki wysmarowała. Ciocia tymczasem poszła po rosół.

— Chciałabym się zobaczyć! Moja droga panno Anetko, podaj mi lusterko.

— Później, później kochanko. Teraz pójdę do kuchni zawołać by prędzej podano ci rosół. Mówiąc to panna Anna, spiesznie wybiegła z pokoju.

— Panno Anno! panno Anno! — woła za nią Halinka słabym głosem, nauczycielka już jej nie słyszała.

## Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

Drugi list Stefanka do młodszych braci.

Goryca d. 20 Lutego.

Kochani Mieciu i Józiu!

W dzisiejszym liście zamierzam wam opisać ostatni dzień tutejszego karnawału.

Jeżeli ktoś ma zamiar co kupić, musi wybrać się przed południem, gdyż około godziny 3-jej prawie wszystkie sklepy zamykają, aby się oddać zabawie.

Mama, ja i Adaś, znaleźliśmy się już o godzinie 2½ na placu głównym (Piazza Grande). Tłumy ludzi, a szczególnie młodych chłopców, zalegają go. Wszyscy wyglądają tak, jakby czegoś oczekiwali, a ulicznicy skracają sobie czas rzucaniem w siebie wzajemnie kamieniami. We właściwych Włoszech, jak czytałem, ostatnie dni karnawału obchodzone bywają także na ulicy; zamożniejsi mieszkańcy przejeżdżają się powozami, rzucając w siebie kwiatami i tak zwanymi *confetti*, niby cukierkami w tutkach, z których rozsypuje się proszek biały niekoniecznie cukrowy, od którego przejezdni stają się powoli podobni do młynarzy. Ale „co kraj to obyczaj”.

W Gorycy znalazłyby się też kwiaty, chociaż mniej okazałe niż we Florencji albo w Neapolu, a choćby i w Rzymie; ale kwiaty kosztują, a kamienie można mieć darmo i *dobitniej* niż kwiatami zwrócić na siebie uwagę. Jakby dla tem lepszego podobieństwa do prawdziwego włoskiego karnawału, naokoło placu rozsiadło się ze 40 babek, a przed każdą stolik z paczkami drobnych cukierków. Takie same cukierki roznoszą po placu chłopcy, wołając: „confetura”! Tu i owdzie słychać głos roznoszącego smażone owoce na słomkach: „caramel” tu znowu kobiety noszą ciastka mniej wykwintnego gatunku. Naraz z ulicy Arcivescovado (Arcybiskupiów) wychodzi trzech chłopców przebranych i w maskach. Bliżej stojący spostrzegają ich najpierw. Krzyk: „la maschera!” rozlega się na całym placu i zrazu kilku, a potem kilkadziesiąciu chłopaków pędzi na yszęgi do owych masek, aby im się przyjrzeć, a także by je zaczepić lub poczuć się z nimi.

Zamaskowani wcale nie są od tego, a nawet zawczasu uzbrowili się w kije lub w parasole, aby mieć czem zbyt śmiałych nastpników poskromić. Później pojawiają się inne maski, później jeszcze inne, a każdą rozigrani ulicznicy częstują kamieniami. Żadna jednak maska nie pozostaje im dłużną. Dochodzi ta niby zabawa do zbyt już grubych wybrków.

Oto z Via Arcivescovado wyszedł biało ubrany chłopak z maską na twarzy, z czerwoną czapką turecką z chwaścikiem na głowie; niby to od słońca osłaniał się połową starego parasola. Zgraja rzuciła się na niego: w jednej chwili parasol zniknął, a maska trzymała tylko jego szkielet; rozgniewana rzuciła się z owym kijem na jednego z chłopaków (nawet, o ile mi się zdaje, nie na winowajcę), i wiadomo czemu się to skończyło, gdyby zbyt zuchwałej maski nie okrążyli towarzysze napadniętego. W jednej chwili zdarto jej maskę i czapkę; poturbowany zniknął, jakby się w ziemię zapadł.

Inaczej przyjmowano maski z góry, z okien domów: rzucano ztamtąd drobne cukierki (*confeture*), które małe dzieciaki podnosiły.

Między owemi maskami zauważyłem kilku arlekinów, jednego francuza z harcapem z tyłu głowy i wiele, wiele nieokreślonych przebrań. Niektóre z tych ostatnich stanowiły tylko jakieś przyozdobienie lub oszpecenie twarzy, albo dziwny kształt kapelusza z fantazją włożonego. Prawie wszystkie te przebrania były bardzo niegustowne. Urozmaiciła tę igraszkę uliczną i najwięcej nas zajęła szeroka platforma w parę koni zaprzężona i przyozdobiona gałązkami, niby tryumfalny wóz Bachusa bożka wina, a raczej Gambrinusa, bożka piwa, bo stała na niej beczki, na których siedziały maski, wnosząc toasty i popijając piwo. Platforma ta zżwawo przejeżdżała przez Piazza Grande, Via Arcivescovado, Via dei Signori (ulica Pańska) i Piazza Corno (plac Rogowy) i znowu z powrotem. Kilku uczestników zabawy wołało uszanować pamięć starożytnego Bachusa, bo najęli sobie na jakiś

Wbiegła tymczasem pokojowa Marysia, która krzątała się w przyległym gabinecie.

— A! pannie Halusi już przecie lepij! Mój Jezu co to nakłopotala się pani i pan i my wszyscy!

— Więc byłam bardzo chora?

— Oj! i jak jeszcze! Myśleliśmy że panienka umrze.

— A widzisz, nie umrę! Jest mi lepij.

— A co się to napłakała ciocia!

— Kochana jedyna ciocia! Marysiu, przynieś mi tylko z cioci gotowalni to małe zwierciadelko... Wiesz które?

— Ej, miałabym nie wiedzieć? Przyniosę zarutko! — odparła dziewczyna wychodząca z sypialni.

W minutę Marysia była z powrotem i podała Halince lusterko.

— Odsłoń no trochę firanki, bo tu tak ciemno.

Unosząc się na poduszkach, Halinka ciekawie spojrziała w zwierciadło i nagle krzyk straszny wyrwał się z jej piersi.

— To nie ja! nie ja! nie ja! — wołała upadając na posciel. — Gdzie moja twarz? włosy?

Próżno jak umie uspokaja ją wylekła Marysia. Halinka odpycha dziewczynę, odrzuca zwierciadło, zanosząc się od płaczu.

Przestraszona Marysia, obawiając się gniewu pani, ucieka wreszcie z pokoju, Halinka zaś samotna lka i jęczy żałośnie.

Za nic w świecie nie spojrzalaby więcj w zwierciadło. I tak już stoi jej w oczach twarz zeszecona, którą ujrzała. I to miała być ona?! owa śliczna uśmiechnięta Halusia!

Zaczęła szlochać straszliwie, załamuje ręce, w końcu zmęczona płakała coraz ciszej.

Gdy w pół godziny, ciocia z filiżką ziólek, panna Anna zaś z talerzem rosółu wracają do pokoju, zastały ją leżącą spokojnie, jakgdyby spała. Skoro przecież na palcach zbliżyły się do łóżka, podniosła głowę.

— Ciociu, ja mam ospę? — pytała cichutko.

— Tak niestety! moje dziecko.

— Czy po ospie na zawsze pozostają takie ślady?

— Jak nie będziesz dotykać, pozwolisz cierpliwie smarować przepisaniem lekarstwem, to może nie zostaną.

— A jak zostaną?

— To trzeba się zgodzić z wolą Boga.

Dwie lzy wielkie spływają z wolna z oczu Halinki.

— Cioteczko — rzekła jeszcze ciszej — tem mi boleśniej, że sama jestem winna mój niedoli... Nie słuchałam waszej pocziwój rady! Gdybym nie była wybrała się tak lekko, nie byłabym się przeziębiła i nabawiła tój strasznej choroby, wszak prawda? Panna Anetka przepowiedziała dobrze, że próżność moja nie wyjdzie mi na dobre. Czy Bronisia chorowała także?

— Nie, Bronisia dotąd pozostaje w Zalesiu, gdyż lękalimy się jej tu sprowadzać.

— To Bronisia teraz będzie dużo ładniejszą odemnie?

— Jak Bóg da. Trzeba przygotować się na wszystko.

— Ale i ja teraz postaram się być taką dobrą, posłuszną jak ona! Widzi cioteczka, zawsze dotąd myślałam sobie że uroda przedewszystkiem każdą panienkę zdobi.

— Nie Halusiu, zdobi ją najwięcej rozsądek i dobroć gdyż te przymioty nigdy nie zaginą.

— Będę już teraz zawsze rozsądną dobrą i kochającą, żebyście kochali mnie, choć tak bardzo zbrzydłam!

Wyzdrowienie Halinki postępowało odtąd szybkim krokiem. Twarz jej pokrywają jeszcze brzydkie sine plamy, lecz doktor zapewnia, że z nadejściem lata i te ślady znikną zupełnie. Włosy ostrzyżone odrastają dość prędko, jest więc nadzieja, że będzie znów kiedyś ładną. Cieszy się tem lecz nie przygląda się już w lustrze, nie spędza godzin wolnych przy szafie z sukniemi, bo w długich chwilach samotnego rozmyślenia w czasie choroby, nabyła przekonania, że nie strój i uroda stanowią wartość osobistą, lecz jedynie zalety umysłu i serca. Wujostwo też, zastępujący jej miejsce rodziców, mają z niej niemalą pociechę, a panna Anna za wzór ją stawia innym młodym paniom.

czas karetkę i jadąc w niej, pili tanie (zresztą dosyć dobre) wino tutejsze i śpiewali.

Niech używają! wszak to już koniec: już jutro wszystkie te błazny pójdą do kościoła, a ksiądz, sypiąc im popiół na głowę, przypomni:

„Z prochu powstałeś, i w proch się obrócisz.

Stefan J.

### SZARADA.

ułożyła Ewa Marya.

Staś z Zosią po nauce przy babuni siada,  
Przyrzeczona im bowiem zawila szarada;  
Babunia uśmiechnęła się do wnuków mile  
I zaczęła w te słowa pomyślawszy chwilę:  
— Nasze *pierwsze* i *trzecie* dosięgało morza,  
Dziś z dala na brzeg morski odsyła część zboża.  
Rasą, wzrostem słynęły nasze *drugie*, *czwarte*,  
Kiedy rżały po stepach dzikie i uparte,  
Lub z hukiem, trąb odgłosem, rwąc z kopyta żywo,  
Parskały ogniem butnie potrząsając grzywą.  
Teraz, doli zrządzeniem, dla nich bardzo srogiem,  
Więcej niż z polem chwały, znają się z batogiem,  
Ciągną wozy, orzą nam pługami zagony,  
Tracą siły nim padną i... zawód skończony!

— Biedne! szkoda! Staś rzecze. Babuniu kochana,  
Czy zawsze po dniach szczęścia zła nadchodzi zmiana?  
Babcia smutniej spojrziała, potrząsnawszy głową,  
Poczem wątek szarady podjęła na nowo:  
— Los, czas, przynoszą codzien w życiu, w świecie zmiany,  
Zaledwo róże, lilie zakwitną nam w lecie,  
Już je burza rozmiata, a cierń *drugie*, *trzecie*.  
— Ach! wykrzyknęła Zosia, po co wiatry, burze?!  
Ja pragnę aby wiecznie kwitły lilie, róże!  
Babciu, na tę niestałość ziemską jestże rada?

— Jest, choć *czwarte* zaprzecza, rozum odpowiada:  
A z głosem jego serce pokrzepia otucha,  
„Wszystko moje, lecz wieczne to co płynie z ducha!  
Co zacne!... W *drugim*, *trzecim* szerokim ludzkości,  
Wielkie dzieła rąk długi trwają w potomości,  
Wielkie myśli jak gwiazdy świecą nad jej drogą;  
Dążący ku nim *pierwsze*, *czwarte* sięgać mogą.  
Dalej! dziś *pierwsze*, *trzecie* do pracy z pożytkiem!  
Niechętnych *trzecie*, *czwarte* nazwie mianem brzydkiem;  
Więc przy kwiatach ziarno siał potrzebą dokoła:  
Ziarno wiedzy, a kłosa ozdobią wam czoła.  
Kto lilie cnoty wplecie w swój pszeniczny wieniec,  
Temu Pan zawsze powie: „Oto dobry żeniec”!

### Łamigłówka trójkątna.

Ułożyła Biała Perełka dla Błyskawicy.

Pierwszy wyraz i początkowe litery następnych wyrazów utworzą imię i nazwisko powieściopisarza węgierskiego.  
2. Uczony grecki. 3. Zgromadzenie zakonu żeńskie założone w 1537 r. 4. Kardynał francuzki. 5. Miasto portowe w hrab-

stwie Norfolk. 6. Poeta sielski, oraz przyjaciel Mickiewicza. 7. Nazwa Amerykana. 8. Wódz biblijny. 9. Historyk włoski z XVII wieku. 10. Rzeka w gub. Jenisejskiej wpadająca do Jeniseju. 11. Wykrzyknik. 12. Samogłoska.

### REBUS.



### ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

#### Zadania konikowego:

Myśl mój pieśni nie przekwita,  
Jako niebo, serce, wiosna,  
Wiecznie świeża, rozmaita  
I dziewicza i miłosna.  
Coraz w gaju śpiew ucicha,  
Wolnie buja kilka chwilek,  
I z wonnego róż kielicha  
Pije balsam, jak motylek.

(Śpiew poety przez Bogd. Zaleskiego).

#### Łamigłówki krzyżkowe:

e z o r S z t y n  
t e c z Y ń s k i  
k u k u R y d z a  
p o d k O w i e c  
S Y R O K O M L A  
o s t r O l ę k a  
k i l o M e t r y  
k a r o L i n k a  
m a s k A r e n y

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Królowa Ryksa, obrazek z dawnych czasów p. Teresę Jadwigę. — Uzbrojenia dzikich (z drzew.) — Wieczorek w Zalesiu. — Korespondencya Wieczorów Rodziny. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Wdzięczne gąski (z drzew.) — Rozstanie, wiersz p. Romanię Kamińską. — Przygody Wicusia p. Annę Załęską. — Zabawa arytmetyczna. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Sześćnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## WDZIĘCZNE GĄSKI. ✕

— Wstawajcie! wstawajcie moje córeczki kochane — mówiła poważna pani Gęgasińska, do swoich trzech małych, acz wypierzonych już córeczek — wstawajcie, bo oto widzę przez szpary ściany że już świta, i czuję miły chłodek poranny; pewną też jestem że nasza kochana Magdusia zaraz tu przyjdzie i wypuści nas na poranną przechadzkę. Nie chciałam zaś żeby ta pocziwa dziew-

zaraz Magdusia wsadzała ją do dużego garnka z pierzem, gdzie mogłyście w ciepłe wypaść się wygodnie. Pielęgnowała nas też potem i mnie i was posilając często. Później gdyście podrosły, strzegła was pilnie i dotąd strzeże. Powiedzcież same czy za to wszystko nie jesteścieśmy jęj winne wdzięczności?

— Gę gę gę!... winne jesteśmy, winne, winne, winne! — zagęgały z wielkim zapamiętaniem panny Gęgasińskie, trzepocząc żwawo skrzydłami.

— Bardzo mię to cieszy że wdzięczne macie wąż-



Wdzięczne gąski.

czyna zastała was z niewstrząśniętymi i uczesanymi następnie dziobem piórkami, jak sąsiadki nasze Kaczyńskie, które dopiero za wejściem człowieka zrywają się ze snu, napelniając nieobyczajną wrzawą dziedziniec folwarczny. Nie dziwię się zresztą tamtym pospolitym istotom, gdyż nie odebrały one tak starannego jak my wychowania, około którego Magdusia nie szczędziła pracy. Dobra z nięj dziecinka. Mogę wam już dziś opowiedzieć, gdy doszłyście do rozumu, że w straszliwych dla mnie czasach owych, gdy nieboszczyk pan Gęgasiński zginął tragicznie w zębach tego rozbójnika Zaboja, a ja zrozpaczona uciekałam krzycząc nieprzytomnie, ta pocziwa Magdusia utuliła serce moje zdruzgotane, a następnie, gdy jak nieprzytomna automatycznie tylko siedziałam na jajach, ani wiedząc że wy, pociechy moje, wyglądać z nich macie już zamiar, ona zajęła się wami. Pilnowała baczenie; zaledwo która z was stłukła skorupkę,

trąbki—z powagą podjęła znów pani Gęgasińska, a wtem odezwała się jedna z panien:

— Wątróbki mam? Dla czego wątróbki a nie serca, jak ludzie?

— Bo wątróbki są najdeliktniejszą częścią gęsi córeczko—odparła pani Gęgasińska—studując raz dziobem książkę łacińską, która wypadła na gościńcu z bryczki jakiegoś przejeżdżającego ucznia, dowiedziałam się powyrwany wszystkie jęj kartki, że uczeni starożytni byli także tego zdania.

— Gę gę gę! aha aha! — zawołały gąski, a pani Gęgasińska mówiła dalej:

— Otóż, powiadam wam że cieszy mię, iż wdzięczne macie wątróbki, a to tem bardziej że chcę abyście, jako dorosłe, zaczęły mi pomagać w obronie dobrej Magdusi, której od paru tygodni dokucza straszliwie ten... ały panicz ze dworu, Jasieczek, który przybył niedawno

do dziadków... — wtem chórem zagęgały panny Gęgasińskie:

— Gę gę gę!... wiemy wiemy wiemy!... a wszakże ona ledwo i nas obronić przed tym swawolnikiem może, który dusi nas chwytając lejcamy pąsowemi za szyję, utrzymując, że przedstawia jazdę jakichś strusi w zaprzęgu.

— Otóż to! o tego właśnie swawolnika mi idzie — rzecze pani Gęgasińska — dokucza on dobrej Magdusi niemniej jak nam, wszak widziałyście same jak szczypcami od komina ściągnął jęj chustkę z głowy, otóż musicie mi pomódz aby go raz podobnych psot niegodziwych oduczyć.

— Gę gę gę! pomożemy! — zawołały gąski, a wtem drzwi komórki skrzypnęły i dobra Magdusia wypuściła swoje wychowanki na przechadzkę i śniadanie. Właśnie wszyskie w najlepsze były zajęte skubaniem trawy na dziedzińcu, gdy nagle zjawił się mały Janek pocichu z garnuszkiem wody i zaszedłszy za plecy Magdusi, wlał jęj wodę za kołnierz, na czystą białą koszulkę i świeżo wyprany gorsecik.

Magdusia przestraszona krzyknęła, na krzyk jęj porwały się wszystkie Gęgasińskie:

— Gę gę gę, tsssss... hejże na tego złośliwego malca! gryź, szczyj, kąsaj gdzie kto chwycił... — z tym przerażającym krzykiem, sycząc rzuciły się na Janka.

Zdziwiony i przerażony taką obroną biednej gęsiarki, chłopczyk zaczął uciekać skacząc ogromnymi susami, zasłaniając rękami okolice najbardziej zagrożone... ale na nic się to nie zdało, aksamitne ubranie porozrywane zostało w drobne kawałki silnemi dziobami gęsi, a za strzępkami czarnego aksamitu czerwona krew się pokazała... Okropność!!!

Janek długo leczył się potem, ale nauka jak to mówią w las nie poszła, bo nigdy w życiu już nie dokuczał nikomu.

## ROZSTANIE.

Władysław, mały chłopak, żegnał się z Wojciechem, Z którym się zaprzyjaźnił, na feryach u cioci, Oba żal wyrażali to płaczem, to śmiechem, Dzieląc się, na rozstanie, resztkami łakoci. Ileż chwil miłych, błogich łączyło ich z sobą! Razem codzień dla siebie siodłali kucyki, Razem figle płatali kapryśnemu bobo, Co wpadał, jak sęp na nich z głuszającemi krzyki, Razem w krzak się schowali przed siostrzyczką Franią, A ona ich szukała, o! całą godzinę. I razem w jar wlecieli w pogoni za kanią Co przyniosła im deszczu niemłą nowinę... A ileż gier ich wspólnych widział konik polny I te złote karaski, pluszczące się w stawie! Jeden chłopczyk był więcej, drugi mniej swawolny, Lecz godzili się z sobą w życiu i w zabawie. Już wjeżdża na dziedzińiec bryka zaprzężona, Z sieni wynosi podróżne pakunki, A chłopczyki trzymają splecione ramiona,

Kończą i znowu wiążą szczerze pocałunki

— O jakież to nieszczęście, że cię żegnać muszę!

Rzekł Wojtuś, co od żalu stał czas jakiś niemy;

— Jakież szczęście — rzekł Władysław — że my mamy duszę, Że myśleć i wspominać o sobie możemy.

*Romania Kamieńska.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKA.

### VI.

Dzień był śliczny; blade zimowe słońce lśniło tysiącami światła w szronie okrywającym drzewa, w soplach lodu, zwieszonych u dachów domostw, w kwiatach mrozu, pokrywających okna mieszkań. Mróz był silny, na ulicy ludzie ruszali się żwawo, prędko, z ust ich buchała para, jakby z samowarów; czasem dzieciak jaki zmarniętymi nóżkami tupał o ziemię, a dorożkarze i stróże, bijąc się skrzyżowanemi rękami o ramiona, rozgrzewali zmarnięte swe postacie.

Fomiędzy licznymi przechodniami dużymi i małymi, jednym z najmniejszych był Wicuş; głowę podniósł wysoko do góry, ręce w ciepłych wełnianych rękawiczkach zagłębił prawie po łokcie w kieszeniach olbrzymiego szynela, czerwone uszy schowały się prawie całkiem pod grubemi fałdami barankowego kołnierza, a zawieszzone na ręku łyżwy, prawdziwe „halifaksy”, dzwoniły do taktu z pompatycznym krokiem ucznia. Wielu starszych ludzi z uśmiechem oglądało się za chłopczykiem, ale Wicuş się temu wcale nie dziwił, bo wierzył że wygląda wspaniale.

— Ach! jaka to nieznośna ulica ta Marszałkowska, tak nieskończenie długa — westchnął Wicuş, któremu krótkie nogi, zaplątane w długim szynelu, nie pozwalały przyśpieszyć kroku — a ci cykliści także mądrzy, żeby tak daleko od naszego mieszkania ślizgawkę urządzać!

Rzeczywiście Wicuş, mieszkając na Mazowieckiej ulicy, miał spory kawałek drogi do klubu cyklistów, a choć mamie tłómaczył, że to będzie z wielkim szykiem, jak on na ślizgawkę zajedzie dorożką, mama tego zrozumieć nie mogła czy nie chciała i kazała mu iść piechotą. W końcu jednak przed oczyma Wicusia, chorągiewki, kołysane lekkim wiatrem, rozwinęły swe czerwone i niebieskie barwy, a z za niezbyt wysokiego parkanu, który jednak Wicusiowi zasłaniał całkowicie miejsce zimowych zabaw, dał się słyszeć chrzęst łyżew suwających się po lodzie, oraz wesole rozmowy.

Wicuş przyśpieszył kroku i w parę minut stanął u celu swęj wycieczki. Z niezmiernym pośpiechem założył sobie łyżwy, i wkrótce już sunął po zwierciadlanej powierzchni lodu, rozpatrując się wokoło za znajomymi.

W tęg chwili usłyszał donośne wołanie:

— Wisuś! Wisuś! dobrze żeś przyszedł; — obejrzał się i zobaczył kolegę Adasia, który zręcznie holendrując zbliżał się z wielkim impetem.

Wicuş chciał się obrazić za takie publiczne przekroczenie swego imienia, ale nie miał czasu, większy i silniej-

szy Adaś wpadł na jego małą figurkę, zakręcił go w koło siebie i połączeni braterskim uściskiem, wyciągnęli się na lodzie, Adaś jak długi, Wicus jak krótki. Ale to nic zerwali się jeszcze prędzej i ze śmiechem dalej się ślizgali. Obaj byli niezli łyżwiarze, choć Adaś wprawniej-szy po koleżeńsku uczył Wicusia cofania i holendra.

Już z pół godziny oddawali się tej miłej rozrywce, gdy wtem tuż przy nich popchnięta przez kogoś dziewczynka, upadła i pomimo wielkich wysiłków podnieść się nie mogła, bo łyżwa z prawej nogi zaplątała się w sukienkę. Oburzony Wicus rzucił piorunujące wejrzenie na sprawcę tego wypadku, który ze spokojnem sumieniem zbliżył się do niej.

— Niegrzeczny, źle wychowany—szepnął półgłosem, i w mgnieniu oka stanął przy dziewczynce z uprzejmością dorosłego mężczyzny. Ona podniosła [zarumienioną twarzyczkę. — Kto jesteś, kawalerze? — zapytała podając mu rękę.

— Wincenty Z., uczeń klasy drugiej, gotowy [każdej chwili na usługi panienki—odrzekł zapytany z miną wspaniałą.

— A ja Halinka! więc dobrze, kiedy już się znamy możemy się razem ślizgać — i umocniwszy z pomocą Wicusia odpadającą łyżwę, ślizgali się razem, opowiadając sobie różne ciekawe rzeczy... Mama Halinki rada była z tej znajomości, bo się ogromnie przestraszyła wypadkiem córeczki, i wdzięcznie Wicusowi za pomoc dziękowała. Wkrótce nadjechał i Adaś, a Wicus, jako uczynny kolega przedstawił go swjej małej towarzysze i odtąd ślizgali się razem we troje.

Po pewnym, czasie zmęczona Halinka siadła na ławce, a chłopcy bawili ją rozmową.

— Ciekawam bardzo — rzekła Halinka — czy też który z was potrafiby potańczyć na lodzie, wczoraj widziałam takiego dużego pana, który ślicznie tańczył walc, a wszyscy stali i przyglądali mu się.

Nim Halinka dokończyła już Adaś, podśpiewując sobie nutę jednego z bardziej znanych walców, w takt, wyraźnie zrobił parę obrotów, które się dziewczynce bardzo podobały.

— Ach jakże ty się ślicznie łyżwujesz — zawołała zachwycona.

Uradowany Adaś coraz nowe wymyślał sztuki, w końcu okręciwszy się kilka razy na jednej łyżwie, podskoczył do góry, zdjął z głowy czapeczkę i stanął na równe nogi nie tracąc równowagi. — Halinka klasnęła w ręce, a zwróciwszy się do Wicusia:

— A teraz ty! czy umiesz tak się ślizgać jak Adaś? — zapytała z lekkim odcieniem pogardy w głosie.

— O wielka mi sztuka! — rzekł Wicus lekceważąco, bo zajęcie okazywane Adasiowi gniewało go trochę — wielka mi sztuka! nie święci garnki lepia.

— Umiesz? to spróbuj! — zawołała Halinka — ale bardzo prędko pożałowała słów swoich; widząc, że Wicus choć mniej biegły w łyżwowaniu, puszcza się na najtrudniejsze sztuki Adasiowe, chciała go wstrzymać, ale już było zapóźno.

(d. n.)

## ZABAWA ARYTMETYCZNA.

Pomnóż pomyślaną liczbę przez 2, do tego dodaj 5 i pomnóż całość przez 5: Następnie dodaj do tego 10 i pomnóż przez 10, odejmij 350 i podziel przez 100, a to będzie ową pomyślaną liczbą.

Przykład. Ktoś pomyślał liczbę 7 pomnożone przez 2 = 14 + 5 = 19 × 5 = 95 + 10 = 105 × 10 = 1050  
1050—350 = 700 podzielone przez 100 = 7.

### Łamigłówka kryształowa. (dla Gamy C-dur).

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Owad.
4. Miasto w Belgii.
5. Ojciec króla który zburzył Jerozolimę.
6. . . . .
7. Hetman polski.
8. Rzeka we Francyi.
9. Drzewo.
10. Część twarzy.
11. Samogłoska.

### HOMONIM.

Nazwa łodzi czy ptaka?  
Spytaj o to kozaka!

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

H o m o n i m u:

O d r a.

### Zagadki rebusowej:

N a u k a.

### Skrzynka do listów.

**P. Hirszmanowi w Żanecinie.** Oprócz pierwszego, wszystkie żądane zeszlóroczne numera i dodatki posłać możemy, jako dla prenumeratora po cenie kwartalnej, to jest za rs. 1 kop. 25 nie zaś za opłatą każdego numeru osobno, co by dużo więcej wyniosło.

**P. Markiewiczowej w Żywocinie.** Dwóch pism pod jedną opaską posyłać nie możemy. Cztery ruble złożono do Przeglądu Pedagogicznego, którego prenumerata roczna kosztuje rs. 7.

**Pani hr. Platerowej w Liksnie.** Wysłaliśmy żądane dawne numera, które kosztują kop. 50, z przysłanych zatem zapewne przez omyłkę rs. trzech pozostaje do dalszego rozporządzenia rs. 2 kop. 50.

**P. A. Krolickiej.** Numer zaginął na poczcie nie z naszej winy, posyłamy go powtórnie, prosimy wszakże nadal o przesyłanie listów czy odkrytych kartek pocztowych frankowanych, gdyż wszelkie przesłane na koszt musimy opłacać podwójnie i przeto przyjmować ich nadal nie będziemy, tylko zwrócone zostaną na koszt tego kto je przysłał.

**Figlarzowi.** Ani pomysł ani wykonanie rebusów nie nadaje się do Wieczorów R.

**Maryni K.** Łamigłównki odebraliśmy, lecz muszą czekać swojej kolei, jeżeli są dobre.

**Zawadyaka z nad Dunaju,** oraz wszyscy którzy nam przysłali próby swęj kaligrafii, otrzymają odpowiedź we właściwej porze. Zawadyaka nie musi całego czasu obracać na zwady i kłótnie, skoro i na balach bywa i gra na skrzypcach i dróg w labiryntach wyszukuje i kaligrafią się zajmuje. Całą trójkę młodziutką pozdrawiamy serdecznie.

Myśleliśmy już że **Makolągwa** o nas zapomniała i z prawdziwym zadowoleniem wzięliśmy do ręki liścik miłej ptaszyny. Numer brakowały wyszły.

Uczynimy zadość żądaniu **Maryni i Feluni R.** Bardzo zresztą słuszną jest rzeczą, aby wyprawiać pismo pod adresem małych współwłaścicieli, które prenumerują je z oszczędzonych przez siebie pieniędzy.

Wydrukowaliśmy już odpowiedź na pytanie postawione w numerze 4-ym. Ani **Pszczółka** ani **Mała Pedrutka z nad Wisły** nie dały dobrej odpowiedzi: pierwsza niedokładną, a druga zupełnie mylną jak się o tem przekonają.

Jakże nam miło, **Złota Przedo** że słowa nasze tak zbawienny skutek wywarły na ciebie. Poczciwą masz widać naturę, skoro chętnie stosujesz się do danej rady i serce musisz mieć jak złoto szczerze, skoro wierzysz w serce u innych. Na naszym nie zawieszysz się dziewczeczko.

**Czarodziejko** droga, na początek znajomości i nas oczarowałeś wyraźnem i kaligraficznem pismem, ale mimo to, odpowiadamy na pytanie to samo, co wszystkim nie czarodziejkom, a miłym nam przecie dziewczeczkom. **Gołąbka** jest tylko *Gołąbką*, a pisze się do niej jak się do kochanej i kochającej starszej siostry pisać zwykło. Korespondencye nie są płatne, ale z powodu braku miejsca po jednym tylko na raz liściku przysyłać można.

Od **Lucia des E.** otrzymaliśmy rozwiązanie.

**Adamowi P.** posłaliśmy żądany dodatek.

**Westalce** serdecznie dziękujemy za okazane nam zaufanie i otwarte wypowiedzenie myśli swoich. To nigdy nie znudzi a zawsze się przyczyni do zadzierzgnięcia serdecznego węzła. Dziecko drogie, nie można niczem lepiej i skuteczniej dopomóc rodzicom, jak będąc dla nich tem wszystkim, czem być pragniesz. Bogu i ludziom stać się można przez to miłą, a szczególnie gdy się *nikogo* nie nazywa „*znienawidzonym*”. Chrześcijanką jesteś, z jednej ziemi chleb jecie i w tej samej spoczną wasze prochy... Złe zwyczaje, a złych poprawić można tylko miłością.

**Brzydotkę z nad Tamizy** przepraszamy za mimowolną pomyłkę. Tym razem spełniliśmy jej żądanie, będzie to jednak wyjątkiem tylko.

**Niezapominajka z nad Warty** spóźniła się z rozwiązaniem dobrem.

Żądany dodatek dla **p. M. K.** posłano, lecz należy się za to kop. 30.

**Kochana Maniu Z.** z przyjemnością uczyniliśmy raz zadość twęj prośbie, nie możemy jednak tak często umieszczać łamigłówek nadsyłanych nam przez jedną korespondentkę, skoro tyle ich czeka cierpliwie swęj kolei. Tę samą odpowiedź niech zastosuje do siebie **Jadwinia Z.**

**Kochana Pomarańczarko rzymska!** Przykro nam, że tak długo nadaremnie wyglądałaś odpowiedzi, którą zarzucono w drukarni. Teraz wynalazłszy pierwszy liścik, odpowiadamy na zawarte w nim pytania. Z wielką przyjemnością przyjmujemy cię do grona korespondentek i na liściki twoje chętnie odpowiadać będziemy, ale na umieszczenie łamigłównki lub zagadki długo ci czekać wypadnie, bo drukują się one kolejają, a zawsze spory ich zapas mamy. Liściki czytowane są przez osobę, która szczerze kocha młodych czytelników i szczerze też pragnie umieć przelać w swe odpowiedzi uczucia, jakie ma dla was wszystkich. Zadanie konkursowe zostało już ogłoszonym. Na pytanie dotyczące się **Gołąbki** odpowiadamy to samo, co odpowiedzieliśmy **Czarodziejce**. Liściki zamieszczamy w miarę możności, kolejają ich nadejścia, ale dla uniknięcia nieporozumień z pseudonymami, przyjmujemy tylko korespondencye panienek do panienek, chłopczyków do chłopczy-

ków i od tej reguły żadnego nie robimy wyjątku. W końcu prosimy o przysyłanie na raz po jednym tylko liściku.

Moja maleńka parko: **Iskierko i Kłosku Podolski**, dla czegożby wasza kaligrafia nie miała być *przyjętą* na konkurs? Znam dzieci starsze, a gorzej od was piszące! Redakcyja serdecznie wam dziękuje za słowa pamięci, a ja całusem odwiedzczęm się za całusy, tak wasze, jak i **Trawki** stepowej, która także jak na niespełna pół roku nauki wcale nieźle pisze. Za to też spotka ją przyjeźmość: liścik od **Stokrotki z nad Pilicy**, która przy tej sposobności i do mnie serdecznie się odezwała, za co jej bardzo wdzięczną jestem.

**Srebrna Kropelka** do mojej „łaski” się odwołuje, nadsyłając liścik i łamigłównkę. Muszę wszakże ją uprzedzić że tak liściki jak ławigłównki powinny być pisane na osobnych karteczkach.

**Zabkę z nad Rusi** witam serdecznie w gronie korespondentek i na początek znajomości przesyłam nowo-pozyskanęj siostrzyczce ucałowanie.

Coraz liczniejsze nasze kółko staruszek **Nocy księżycowa!** Niedługo będziemy się podpieraly laseczkami i główkami kiwając wspominać będziemy młodzieńcze nasze latka! Ale i wtedy zapewne nie wygaśnie nam w sercu to uczucie siostrzanęj przyjaźni, które w niem powstało?

**Horpyno** moja droga, dla czego uważasz swój pseudonym za brzydki? Tak technie Ukrainą, tak krasawicę tameczną na myśl przywodzi! Jeżeli chcesz koniecznie, to weź ten który porzuca mieszkanka nadwarciańska. Dobra pani nic o swoich imieninach wiedzieć nie chce. **Kazio** już jest od dawna poważnym p. **Kazimierzem** i nie myśli dzisiaj o swoim niegdyś współpracownictwie. Wspominałam o nim wprawdzie, jako o poprzedniku moim i wzorze, ale nawet dla mnie nie był on już nigdy „**Kazimierz**” poprostu.

Dobrze robisz **Jemiołuszek** droga, że pisząc do mnie po raz pierwszy, pewną jesteś dobrego przyjęcia. Serce moje do was należy, siostrzyczki, i wszystkie macie prawo do niego. Na uwagę tyczącą się milczenia młodych naszych czytelników, to tylko odpowiadam, że teraz gdy brat mój **Józio** pisywać zaczął w **Wieczorach**, chętniej może zawiązą stosunki z Redakcyą. Dobra pani i wymieniona przez ciebie osoba *nie* są jedną osobą.

**Rybka z Hnifopiaty** lubiąca podróżować, gdyby **Wiselką** do Warszawy zawędrowała, przekonałaby się że nikt mnie „czcigodną” nie nazywa. Pragnę nią zostać wistocie, nie dla tytułu w liście... Tymczasem serdecznie cię witam, siostrzyczko nowo-przybyła.

**Sasanko z Mazowieckich lasów** zrobię co będę mogła, ale ty wiesz jak idzie o *kolęj*, Redakcyja jej zmienić nie może.

**Błękitnej Kokardce** całusem płacę za całusa i dołączam prośbę: liściki przeznaczone do „skrzynki” niech będą pisane na osobnej zupełnie ćwiartce niż ta na której mieści się list do Redakcyi lub do mnie.

**Skanderbegowi** ślicznie dziękuję za wyznanie, że mnie kocha „oddawna”. I ja kocham szczerze takiego młodziutkiego braciśzka, który po raz pierwszy odzywa się do mnie. **Julek** nie pisuje teraz, bo bardzo nauką zajęty.

Dla czegożby opis Warszawy miał być nie na swoim miejscu **Królowo Elfów**? Małoż jest o niej do napisania. Każde moje słówko do ciebie jest zawsze „serdecznem”.

Z prawdziwym wzruszeniem czytałam list twój **Praco**, i z prawdziwą też wdzięcznością przyjmuję zaufanie jakim mnie darzysz. Trafnie obrałaś sobie pseudonym, dzielna siostrzyczko moja!

Nie, **Staszko z Podola** nie wyperswadujesz mi tego, że lepszą jesteś od wielu, a lepszą właśnie przez to, że wszystko pragnęłaś zrobić *jaknajlepiej*, że zadowoloną się czujesz z wyznaczonego ci działu pracy, że ci wystarcza ciche życie, że nie pragniesz nic nad to co masz, i to co masz przed sobą, jako wyznaczone ci życia zadanie miłujesz, jakby własnym towarzyszem było wyborem. Pisma czytujemy mniej więcej te same, mnie „**Bluszcz**” zastępuje „**Tygodnik Mód**”, zresztą w Redakcyi zawsze przerzucić można świeże pisma i nowe książki. Z książek najlepiej lubię historyczne, nie mówię już o poezyi, bo któżby jej nie lubił. Przepada więc za nią nawet tak licha ptaszyna, jak oddana wam całem sercem

*Gołąbka.*





## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### SZCZUR FARAONA.

Zdarza się nieraz, że ktoś używa niesłuzenie dobrej sławy: mają go naprzykład ludzie za pilnego, skromnego, łagodnego, a on tymczasem jest leniwy, zarozumiały i złośnik — ale że mu jest dobrze z pochwałami, więc rad ich słucha i nikogo nie wyprowadza z błędu. Bywa to zwykle tak długo, dopóki jakiś przypadek nie naprowadzi ludzi na ślad prawdziwy. Wtedy zasłona pokrywająca wady mniemanego bohatera nagle opada, a on sam okazuje się w swojej prawdziwej postaci i ci co go niedawno wynosili pod niebiosa, odwracają się od niego ze wstrętem.

Tak było z przedstawionym tu na rycinie szczurem Faraona, zwanym po łacinie *Herpestes Ichneumon*, co w tłumaczeniu dosłownem, znaczy po polsku: wytrapiacz zwierzyny. Egipcyanie czcili go jak świętego, a po zgonie balsamowali jego zwłoki i grzebali z wielką uroczystością. Opowiadano istne cuda o nadzwyczajnej zręczności tego zwierzątka, w napadaniu na rozmaite gady jadowite; wyobrażano sobie,

że się zapuszcza w gardło śpiącego krokodyla i rozdziera mu serce; że się karmi jajami tego szkodliwego potwora i przez to jest dobroczyńcą Egiptu, że wreszcie żadne ukąszenie mu nie szkodzi. Dziś jednak Egipcyanie nie wierzą już takim baśniom, przekonali się bowiem, że ten tak długo czczony dobroczyńca i bohater, jest prostym rozbójnikiem! Polują więc na niego i wy tępiają bez litości, poczytując to sobie nawet za zasługę.

Bo proszę tylko posłuchać, co się pokazało. Szczur Faraona chwytą i morduje wszystko co spotka na swém drodze, wszystko czego tylko zdoła dosięgnąć: zające, kury, szyszy, węże, jaszczurki, ptaszki, owady, robaki, nie gwałci nawet owocami roślinnymi i lubi bardzo jaja — ale nie tylko kurze i kaczki — żaden więc kurnik nie może być spokojny o swoją przyszłość, gdy ten rozbójnik jest blisko. Gdyby jeszcze zadawalał się mięsem, mniej by się go bał, ale on ze zwierząt ssących i ptaków krew i mózg wybiera, a mięsem gardzi — trzeba mu więc liczby ofiar dla zaspokojenia głodu.

Powierzchność jego wcale nie pociągają dość silna, łokieć przeszło wysokości mająca, ogon przy nasadzie gruby, zakończony puszystym kosmykiem. Oczy małe, błyszczące, źrenice okrągłe, uszy krótkie, chód pełzający. Futro składa się z długim, czarnym, tworzącym miejscami pierścionki żółte. Sposób zachowania się, oraz przymioty szczura, przypominają łasicę: jest bowiem bojaczny, przebiegły i żarłoczny — i równie jak łasica

przykrą woń. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że jest dobrym ojcem rodziny. Jeżeli się wybiera gdzie w podróż, zabiera z sobą wszystkich swoich, a pochodowi temu warto się przypatrzeć. Odbywa się on w następującym porządku: naprzód posuwa się ojciec, za nim matka, za rodzicami dopiero dzieci, a wszyscy członkowie rodziny trzymają się tak blisko jeden drugiego, że zdają się tworzyć jedną ruchliwą wstęgę. Gdy szelest jaki da się słyszeć w pobliżu, ojciec będący zawsze przewodnikiem, przystaje, słucha, węszy, a nie znajdując nic podejrzanego, posuwa się dalej. Dzieci naśladują każde jego poruszenie, baczne na wszystkie czynności swego opiekuna, dając tem bezgranicznem posłuszeństwem dla rodziców, piękny przykład ludziom do naśladowania. Wierzą one i ufają, że rodzice pragną ich dobra, co znowu dzieciom ludzi nie zawsze się zdarza.

Szczur Faraona posiada jeszcze jeden przymiot godny naśladowania: jest niesłuchanie cierpliwy. Gdy sobie zdobył jaką obmyśli i upatrzy, wyczekuje na nią całymi godzinami w jednym i tem samym miejscu; dla tego też w końcu zawsze prawie zdobędzie, czego pragnie. Szakalom i wilkom zwierzątko to dzielnie się opiera; razy zadawane ostremi narzędziami znosi cierpliwie, ale trafione kulą wydaje krzyk bolesny. Zamieszkuje tylko gorące kraje starego świata: północną Afrykę, zwłaszcza Egipt i Berberyę. Przebywa na mokrych nizinach, wśród trzciny i kopie sobie nory głębokie, ale niezbyt obszerne; lubi sąsiedztwo wody a pływa zręcznie i z łatwością. Należy do rodziny Wiwerr, która budową swoją i całym zachowaniem trzyma środek między kunami i kotami.

*Zofia Urbanowska.*

## DO MATKI.

Z dzienniczka Janka sieroty przepisała Z. U.

Mateczko moja, źle mi tu bez ciebie:  
Choć ludzie niczem nie krzywdzą sieroty,  
Choć dobrem słowem raz po raz obdarzą,  
Źle mi mateczko bez twojej pieczyoty.  
Tu mieć cię chciałbym, lub być z tobą w niebie  
gdzie teraz mieszkasz pod aniołów strażą!

na wiosnę widzę łąk kobierce  
ce, stojąc nad wonnem postaniem  
że kwiatki także mają serce:  
en zwiędnie, drugi tęskni za nim...  
zasem widzieć mi się zdarzy,  
e ptaszę w powietrzu się waży,  
ptaszyno! jesteś bliżej nieba,  
nim posłem — w błękitne przestrzenie  
nateczce mojej pozdrowienie,  
tż że mi odpowiedzi trzeba...  
mrok wejdzie, nim się do snu na noc  
atrzę w okno czy gwiazd niema,  
łbym przez nie posłać jęj dobranoc...  
da mi się, że matki oczyma  
ę na mnie, serce mi kołacze,  
mi się że jęj twarz zobaczę...

amiętam owe dni szczęśliwe  
óg twoich na stołeczku siadał,  
się moich, z mych marzeń spowiadał,  
miechem gładziłaś mi włosy...

Dotąd mi stoją w pamięci jak żywe,  
Oczy twe szare, rozumne, łagodne,  
Moje dzieciństwo szczęśliwe, swobodne,  
Domek nasz, łąka, las, rumianki, wrzosy,  
Głos sygnaturki i bezsenne noce,  
Po których przyszły dni smutne, sieroce...

Zgasły dla mnie dwa jasne promienie  
Matecznych oczu — Bóg potężnym technieniem  
Zgasił dwie lampki, w których się prawdziwa  
Świętej miłości paliła oliwa.  
I chociaż Bożej trzeba uleż woli,  
Źle mi mateczko i serce mnie boli,  
Że do swojego nie powrócisz syna...

Wiem, wiem co zrobię! Ból na bok odłożę,  
Samotne serce dla braci otworzę,  
Ludzkość mi będzie jak wielka rodzina  
Co do wspólnego codzień siada stołu,  
I wspólnym chlebem łamie się pospołu,  
I wspólnej pracy wysnuwa przedziwo...

Choć chatka nasza zawsze będzie pusta,  
Wiem już gdzie matkę znaleźć, matkę żywą:  
Kłękę na ziemi i przyłożę usta  
Do tęg co kryje drogie mi istoty,  
Do tęg co potem naszym przesiąknęta;  
Ona o dzieciach swych zawsze pamięta,  
Ona przygarnia bezdomne sieroty.  
Wszystkie me siły oddam, trud mój wszelki,  
Dla tęg kochanej i tęg rodzicielki.

*Dębowa Wola d. 4-go Lutego.*

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Błady jesteś pieśniarzu nasz, tyś zmęczony jeszcze, położyć no się i śpij!.. — powiedział najstarszy czikos Pał, i zdejmując z ramion płaszcz swój bogaty, barwisty, ogromny, nakrył nim z głową Szandora, który rzeczywiście chwając się na nogach, legł na miękkiej trawie, w pół bezwiednie posłuszny jego skinieniom.

Jak okiem zajrzeć nie było w tęg okolicy budy pasterskiej, ani zaułka żadnego, nic prócz zielonej płaszczyzny równej jak stół. A któż wie kto tam nadchodził...

Krwawy rumieniec wstydu oblał bladego przed chwilą chłopca, ukrytego pod płaszczem. Ach, onże to, który przed sześciu laty przylatywał tu na karym w gościnę, pieszczonej jedynak ukochanego szanowanego ojca, on który przed chwilą jeszcze marzył o tronie pieśniarskim i z gwiazd koronie, i chwale niezgasłej... on jako nędzny zbieg leży teraz drżąc, ukryty pod płaszczem pasterskim? Pędząc w świat pod wpływem gwałtownych wzruszeń, chłopiec ani pomyślał że koń go poniesie w pobliże stron rodzinnych, i że tak ojciec jak i władza szkolna, prawdopodobnie szukać go zechcą. Teraz dopiero stanął mu w oczach ojciec, a to tem bardziej że Marcha spotkana mogła go o synu powiadomić. A jeżeli to ojciec nadchodzi w istocie? Ten ojciec zawsze surowy acz kochający głęboko, ten ojciec który w przekonaniu że tylko na jednej drożynie syn jego znajdzie szczęście, zmuszał go iść tą drogą koniecznie?... Chłopiec nie rozumował, ale czuł że jeżeli usłyszy głos ojca, to niepotrafi wytrwać w ukryciu, pewno rzuci mu się do nóg, a wtedy, ten ojciec taki gwałtowny, czyliż nie wymówi w gniewnem uniesieniu strasznych jakich wyrazów... wyrazów, których sam pożałuje może później, on który już pod błogosławieństwem rozkazywał?... — Śmiertelny dreszcz wstrząsnął na tęg myśl nieszczęśliwym

zbiegiem i nagle, ściśnięte jakby zimną szponą serce, zamarło z bólu... ciężar jakiś przygniótł je jak głaz...

— Pysio tu!.. pilnuj!.. pilnuj! Nie daj ruszyć! — mówił jednocześnie Pal do nieodstępного, białego jak śnieg pieska, wskazując mu swój płaszcz bogaty, porzucony niedbale na trawie, pod którym maleńka zawsze drobna postać chłopca, zginęła jak pod stogiem siana. Pysio, zwany tak pieczołtliwie z racji pyszczka a raczej paszczy, zaopatrzonej w trzy całow straszliwe zęby i tak ogromny a silny że wszystkie wilki okoliczne drżały i uciekały przed nim, skinął głową mądrze jakby mówiąc:

— Rozumiem...—i położył się na płaszczu. Z pomiędzy uciekających koni, z pod kopyt nieledwie, wysunęła się nieduża chuda postać, o czarnych jak kruk, roztarganych włosach, czarnych ognistych oczach, ciemnej pomarszczonej twarzy, odziana w płachtę czerwona, bystro spoglądając dokoła:

— A!... to ta wiedźma cygańska tu leżesz; nie darmo tak się konie płoszą, jakby niedobrego ducha poczuły... ot jak uszami strzygą!... — mówili czikosi.

— Możesz ty głodna, Marcha?... W takim razie rozgrzej sobie na węglach gulasz i jedz: oto jest gulasz w kociołku... A co ty tu robisz?

— Życzliwym darem nigdy gardzić nie trzeba — odrzekła cyganka, żwawo zabierając się do grzania pożywniej potrawy. — Za gościnność powiem wam nowinę...

— Byle dobrą!... Ale gdzie tam takie jak ty lichy co dobrego przynieść może!

— A właśnie że na ten raz coś dobrego dowiecie się odemnie — zachichotała Marcha. — Oto Petofi ze stepowej czardy przy świadkach ogłosił, że da dwie pary wołów swoich temu, kto mu doniesie o synu ze szkół zbiegłym...

— Dwie pary wołów!...

— A! cóż myślicie? Co staremu ojcu po całym majątku, bez syna? A ten syn nie chce iść przez świat z błogosławieństwem ojcowskim, wyłamał się z pod niego! Uciekł ze szkół. No, ktoby co o nim wiedział, może zarobić dwie pary wołów!... Albo zła nowina? He? Hi hi hi!...

Nastąpiła chwila milczenia. A potem, nakończywszy świeżą fajkę wódz pasterzy czikos Pal, rzekł poważnym, stanowczym głosem:

— Nie, złośliwa Marcho, to nie jest dobra nowina, bo dzieci nie powinny spierać się z rodzicielską wolą, to zła nowina gdy jest na świecie inaczej. I dla tego gdybym ja, albo inny czikos spotkał zbiegłego Szandora przed chwilą, i wiedział że on przed spełnieniem woli ojcowskiej ucieka, tobym go był wziął pod pachę i odwiózł ojcu staremu do czardy. A no teraz już żaden z nas tego nie zrobi. Zrobić nie może.

— Nie może?... Czemu?...

— A to temu, że lichy ciebie tutaj z twoją nowiną przyniosło; nie próżno się konie płoszyły: czikos żaden na świecie nie będzie donosić i zdradzać za dwie pary, ani za dziesięć par wołów!

— Żaden póki czikosa stanie! — powtórzyli inni.

— Ej to głupstwo z przeproszeniem waszem, moi panowie; zaś co głupstwo to głupstwo, a co wół to wół!... — odparła żwawo jak zwykle cyganka, kręcąc się tu i ówdzie przy ustawianiu na boku naczynia, z którego smaczny gulasz jaśniał, a wtem ozwało się głucho warknięcie i cyganka krzyknęła przeraźliwie:

— Zgiń, przepadnij!...—i cała torba klątw szkaradnych sypała się z jej ust z czysto cygańską gadatliwością, a ona piszcząc tupiała przytem z bólu...

— Dobrze ci tak, złe lichy!... po co ruszasz mój płaszcz?... — rzekł na to Pal najspokojniej pykając z fajeczki i nie odwracając się nawet. Seb, bracie, idź tam poproś Pysia żeby czarownicę puścił i odpędź ją od mego płaszczu.

Kilku czikosów, śmiejąc się, podeszło do krzyczącej w niebogłoty cyganki, która z kawałkiem mięsa w jednej ręce, trzymała drugą skraj płaszczu Palowego, a Pysio zamiast za tamtą rękę z mięsem, chwyciwszy za tę z płaszczem, trzymał ją, wpijając w nią zęby ogromne z głuchem mručeniem.

— Dobry Pysio! Mądry Pysio! A czegoś to ty chciała od Palowego płaszczu, cyganko. Ha ha!... — śmieli się czikosi pieszcząc Pysia i odpędzając Marchę.

Pies zadowolony machał ogonem jak wachlarzem, poszczekując za uchodzącą:

— Hap hap!... a wynoście się ztąd prędkiej! — gdy zaś odeszła, brytan żywo zawrócił się do płaszczu i jednym szarpnięciem potężnej łapy odrzucił poję na bok:

— Hap hap!... spojrzycie na ludzie na dzieciaka!... — wszyscy spojrzeli i skoczyli ku niemu:

— Co to? Nieżywy? Nie, zasłabł tylko. Dawajcie wody i wina!

W chwilę później Szandor z ciężkiem westchnieniem wrócił do życia.

— Pal, to nie był mój ojciec?

— Nie; była Marcha, więc twój ojciec zaraz się dowie gdzie jesteś, bo obiecał dwie pary wołów za wieści o tobie, a Marcha szpieguje...

— Trzeba mi iść do Bakony, zostanę kanaszem, ale uczciwym, tam mię nikt nie znajdzie.

— Iść nie można boć jesteś słaby, jechać możemy choćby zaraz, już jak ja tam słówko powiem, będziesz miał tylu przyjaciół ilu kanaszów jest w lesie. Ale... nie lepiejby było z ojcowskim błogosławieństwem przez świat iść? Uczyc się?...

Szandor zalał się łzami:

— Pal, bracie!... gdyby ciebie bez żadnej winy porwano ztąd z puszczy i zamknięto w więzieniu na piętnaście lat?... pasterz koni zadrżał:

— Umarłbym albo uciek! — zawołał obrzucając wzrokiem step swój rodzinny.

— Tak i ja zrobiłem, przez pięć lat umierałem, a teraz uciekłem. Ukłękłem przed ojcem już nieraz i prosiłem żeby mi pozwolił tak żyć jak on sam żyje, matka prosiła za mną; on nie chciał.

— No, ale przebyłeś już pięć lat, może i te dziesięć przebędziesz jeszcze?

— A potem?... na puszczie nie potrzeba inżynierów ani prawników, gdy jednym lub drugim zostanę, muszę ciągle w wielkich miastach przebywać i pracować po to aby duże pieniądze zarabiać... nie zobaczę więc puszczy rdzonej. O, nie myśl że ja uczyc się nie chcę, uczyłbym się chętnie, ale nie na inżyniera ani na prawnika; w puszczie mi trzeba żyć i pieśni śpiewać, choćby dniem i nocą pracować przytem. A co ja winien że mi takie serce Pan Bóg dał?

— Otóż to!... To jest prawda. Bo i na co zresztą zdało się życie nie na puszczie! Słuchaj, ani wątpić że ojciec twój przyjedzie tu po ciebie za wskazówką Marchy, tylko go patrzeć, otóż wtedy poprosimy go jeszcze raz, aby ci pozwolił żyć wedle serca twego... przecież i u niego słowo moje coś znaczy!... upadniesz mu do nóg...

Szandor złożył ręce modlitewnie, blednąc jak chusta.

— Daj pokój bracie! — poszeptał — zmiłuj się daj pokój! Nie znasz ty mego ojca: gwałtowny jest jak ogień; matka zawsze ostrzega, żeby mu się w chwili gniewu nie nawijać na oczy; będzie potem sam żałował, będzie się gryzł, będzie rozpaczał, ale wprzódy w uniesieniu gniewu nie wstrzyma się... Już mi pod błogosławieństwem przykazywał posłuszeństwo, a nuż teraz ujrawszy nieposłusznego powie... złe słowo!...

Czikosi syknęli... „Złe słowo” rodzicielskie to straszna rzecz; niema odeń cięższej na świecie, i za światem podobno...

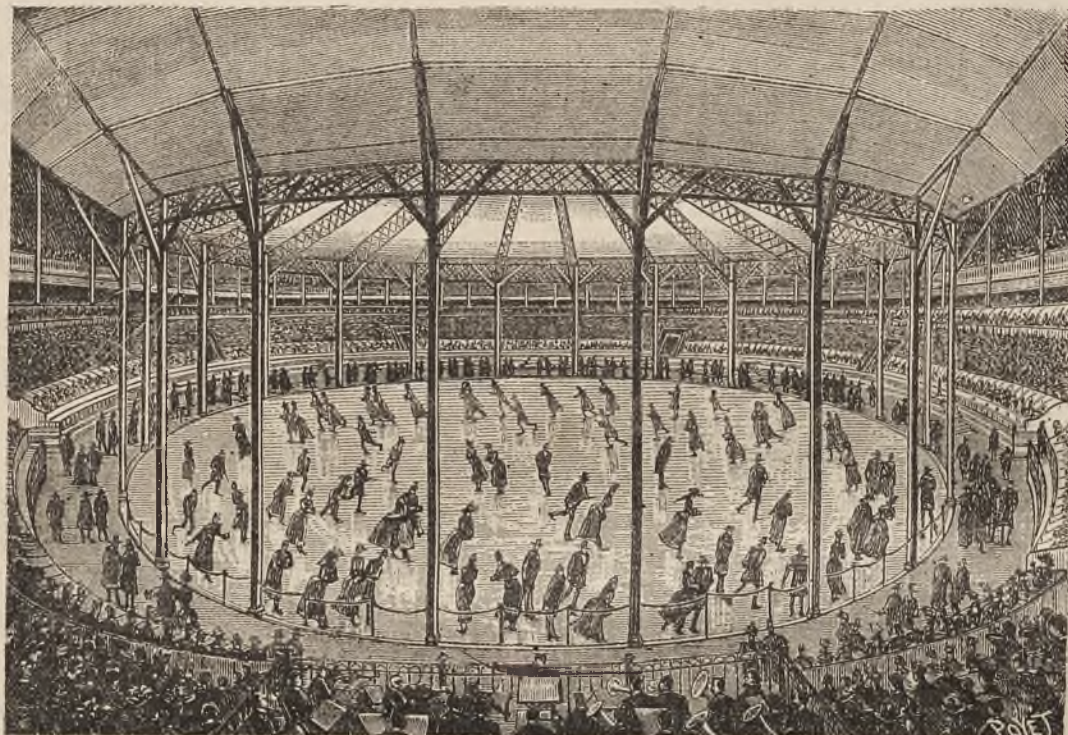
— Kiedy tak — rzecze Pal — lepiej nie pokazywać mu się na oczy, a tymczasem może jego zapalczliwość przeminie i matka go ułagodzi. Zatem do Bakony jechać trzeba.

## V.

W ogromnym jarze, rozpadlinie dwóch wzgórz, w gęstwinie dębowej, niby w sercu potężnego lasu, spoczywało naokoło wielkiego ogniska kilku strojnych i mocno uzbrojo-

nych kanaszów. Straszliwe wasy nierzadko pozakładane aż za uszy, aby na dół nie opadły, półłokciowe noże u pasa, piękna broń palna, oprócz błyszczących czekanów, odróżniały ich od pospolitych spokojnych ludzi. Jeden mieszał w kotle zawieszonym na żelaznych widelkach z boku ogniska. Wszyscy palili fajki. Wielka „skatora” fiasza drewniana z winem krążyła zwolna pomiędzy nimi. Jeden tylko cały błyszczący w blasku ognia ozdobami barankowego dolmana, z ogromnym pękiem powiewnych wstęg u kapelusza, spał opodal pod dębem, leżąc w malowniczej postawie, na przepysznym wyszywany bogatym płaszczu, para doskonałych pistoletów nabijanych srebrem, błyszcząca mu za kosztownym pasem. Inni spoglądając na niego pełnym uwielbienia wzrokiem, rozmawiali półgłosem.

konia, inni otoczyli ich i pojechano do miasta. Trzeba było jednak przystanąć w czardzie na popas. Tedy prosił Sobri żeby dano mu własnego wina, które miał w drewnianej fiaszy w kieszeni, równie jak tytuń, pił, palił i częstował jednem i drugim pandurów, aby wiedzieli co dobre. Jedno i drugie pyszne było. Konie jadły tymczasem. Ale gdy ruszono w drogę, ludziom świat się w oczach jał kręcić, a konie szaleć zaczęły, tak że aż kilka poniosło i z drogi okrutnie się zbito. Gdy zaś po jakimś czasie dziwne te czary minęły, i świat i konie wróciły do rozsądku, a pandury zaczęli oglądać się i zbierać, to pokazało się że brakło tego, który z Sobrim jechał, no i Sobrego i ich konia oczywiście. Rozbieżono się szukać i nie napróżno: leżał pandur w kałuży przydrożnej trochę senny niby, tylko Sobrego i konia nie było.



Ślizgawka w Paryżu.

— Onegdaj schwytyany i powieszony do miasta, sam jeden wśród dziesięciu pandurów uzbrojonych, a dziś już znowu jest z nami!... To już chyba na jeden na świecie, jeden tylko Sobri potrafi! I jak on tego dokazał! Podobno przed sześciu laty coś podobnego zrobił, od takiej sztuki zawód rozpoczął.

— Dziś rano byłem ze świnkami na jarmarku; o niczem nie mówili ludzie tylko o tem. Ale nikt nie wie prawdy. Powiadają że okropnie się pokochał Sobri z pandurem tym starszym Saghy, co tu jest niedawno i który wraz ze swym oddziałem go ujął. Pandur ciągle przeproszał Sobrego że z obowiązku swego musiał z nim walczyć i ująć go gdy się udało. A Sobri zaręczał że żadnego żalu doń niema, gdyż każdy obowiązki swe pełnić powinien; toż i Sobri nie byłby się dostał pandurom; gdyby z obowiązku wodza nie bronił i nie zasłaniał naszego odwrotu, sam przeciw dwudziestu. Potem związanego tego Sobrego wsadzono wraz z jednym pandurem na koń, przywiązano mocno do pandura i do

— Ha ha ha! — zaśmieli się słuchacze i opowiadający, a jednocześnie kędyś w gęstwinach boru w oddaleniu ozwała się sowa płacząc dziecięcym.

— Bacność!... — zawołał nagle śpiący dowódzca. Rozbójnicy zerwali się na równe nogi, gotowi do walki. Smutny głos puszczyka ozwał się w lesie po swojemu.

— Pandury! — mruknął Sobri.

Puszczyk ozwał się z przeciwnej strony.

— I tam pandury!...

Sowa zachichotała znowu w oddaleniu.

— Jeszcze pandury!... idą z trzech stron!

— A gdzie to więcej naszych?... — szepnął jeden z „chłopców”.

— Dowódzca musi wiedzieć...

W chwili gdy pierwszy płacz sowy rozlegał się w tej części lasu, dwóch jeźdźców wjeżdżało właśnie w ciemną gęstwinę, z jasno oświetlonej pełnią księżycową bezdenną

sce, zbudowany w zachwycającym położeniu. Góry niebieskie zarosłe kasztanami w niższych sferach, wznosiły się przed nim w oddaleniu. W głębi doliny, jezioro odzwierciedlało blaski niebios w pośród łąk bogatych. Na jednej z nich właśnie mieszkańcy zajęci byli koszeniem trawnika, ażeby urządzić go odpowiednio do wyścigów i różnych zabaw, które nazajutrz miały się tu odbywać. Nikt w miasteczku nie miał do sprzedania zwierząt, jakich potrzebował Melchior, ale dowiedział się że o kilka mil drogi ztamtąd, w górach, mieszkał obywatel pewien, wielki miłośnik zwierząt, który może mu ich dostarczyć.

Przed samym zachodem słońca, pułkownik ukazał się na gościńcu; jechał wolno, bo koń jego obciążony był zdobyczą. Sześciu dzikich indyków, antylopa i cały długi sznur nawiązanych pstrągów łososiowego smaku, wisały mu u siodła. Z tyłu za nim było coś jeszcze, coś nakształt wiązki królików lub wiewiórek; ale gdy jeździec dojechał do furtki ogrodowej, wiązka ta zeskoczyła na ziemię. Było to Dyabłątko czyli Dannito.

— Powiedziałem wam, że schwycę tę krowę! — zawołał, spostrzegłszy rządę — tak powiedziałem; przegoniłem ją dwa razy, ale to się na nic nie zdało, ją trzeba schwycić na *lasso*. Jest tam kawał surowca na drabinie, czekajcie ten będzie doskonały! — dodał i popędził do stajni.

— Ile ma lat ten chłopak? — spytał kapitan.

— Nie całe ośm — odpowiedział pułkownik, ale bardziej dowodzi w wiosce sam jeden, niż wszyscy indyjscy chłopcy razem, jeżeli to potrwa, wkrótce trzeba go będzie nazwać jeszcze gorzej niż teraz go zowią... nie Dyabłątkiem, ale już całym dyabłem...

Święta Bożego Narodzenia rozpoczynały się nazajutrz, tak wrzawliwie jak jeszcze nigdy nie zdarzyło się widzieć naszym wędrowcom. Przeciagały jedna za drugą muzyki, w których główną rolę odgrywały kociołki i rądle; tańczono na wszystkie strony; strzelano, huśtawki i różne zabawy roiły się wszędzie.

Tomka zajęła szczególniej gra jedna, której nigdy nie widział wprzód. Stawia się na ziemi spora skrzynka, z otworem okrągłym w wierzchu; wszyscy grający wkładają weń z kolei, ten ananas, ten banan, kto inny placek lub garść orzechów i t. p. wreszcie sam właściciel skrzynki wkłada tuzin pomarańcz, z których jedna naznaczona jest gwiazdką. Dzieci z oczami zawiązanymi, zanurzają po kolei ręce w skrzynię, chwytając co zdołają; kto schwyci pomarańczę znaczoną, zabiera wszystko. Można się domyśleć co tam jest wrzawy, śmiechu i krzyku przy takim poławie.

Następnego poranku po lekkim śniadaniu, kapitan puścił się w podróż do domku obywatela, którego mu wskazano z Indyaninem wioskowym za przewodnika i małym Dannito w charakterze dojeżdźacza.

Dziecko towarzyszyło wędrowcom, w szlachetnym rycerskim zamiarze bronienia ich przed niedźwiedziami w górach, a także z zamiarem chwytania wszystkich dzikich krów, jakże tylko napotka. Dannito zaopatrzył się aż w dwa *lassa* i pewien był, że żadna mu nie ujdzie.

— A to śmieszny kraj! — zawołał — zobaczyłem krokodyla, a gdy go chciałem złapać, wskoczył na drzewo jak strzała!

— Wskoczył na drzewo, krokodyl! To być nie może! — zawołał Melchior.

— Ale tak! doprawdy! jest blisko, zaraz go wam pokażę.

Zaprowadził kapitana do stóp wielkiej mimozy w pobliżu i palcem wskazując jedną z najwyższych gałęzi wołał:

— Otóż jest tam jeszcze, widzisz go?

— Alligator! — krzyknął Tomek.

— Alligator nie, ale najprostszy iguan — rzekł Menito. Tak było wistocie; iguan, rodzaj gadu podobnego do jaszczurki, ale do jaszczurki olbrzymiej, bo ma około metra i dwudziestu pięciu centymetrów długości; ogon niezmiernie długi i giętki wił się około gałęzi, a palce rozdzielone i opa-

trzone szponami czepiały się pnia, na który jaszczurka ta wdzieriała się chyżo.

Młody Meksykanin zaczął rzucać kamyczki na płaza, który wnet zeskoczył na ziemię i chciał uciekać ku łące a kasztan rzucił się go ścigać. Schwycił go, ale mu ułamał kawałek ogona; jednakże był to zawsze ładny okaz w swoim rodzaju, zamknięto go więc w klatce drucianej. W tejże chwili zwierzę podobne do czarnego lisa, ukazało się skacząc pomiędzy skałami. Spozrzęgszy wędrowców, skoczyło na jodłę w pół odartą na brzegu wąwozu.

— To czarna wiewiórka! największa jaką kiedykolwiek widziałem. Pożycz mi swój strzelby kapitanie! — zawołał przewodnik, zwracając się do Melchiora.

— Zabić ją? czyż nie ma sposobu dostać żywcem? — zapytał Tomek.

— Ja dostanę — rzekł Menito, wchodząc na drzewo. Czując się ściganą, wiewiórka skoczyła na gałąź wyciągniętą nad wąwozem stanowiącym przepaść na kilkaset stóp głęboką, doszedłszy do krańca tej gałęzi, zwierzątko zwróciło się ku ścigającemu jakby ciskając mu wyzwanie i poczęło gładzić sobie futerko. Dopiero ujrawszy małego Meksykanina tuż przy sobie i pewnego zdobyczy, przestało swój roboty i od niechcenia skoczyło w przepaść. Przeleciało wywracając koziolki tuż koło nosów osłupiałych widzów, którzy poskoczywszy na brzeg przepaści, ujrzeli w jej głębi zgrabne to stworzonko siedzące znów na skale i gładzące najspokojniej swe futerko.

— No i cóż? wymknęła ci się zwierzyna? — rzekł śmiejąc się Tomek, gdy Menito zszedł z drzewa.

— Bah, mam ja za to coś jeszcze lepszego! — odpowiedział chłopak. — Z tamtąd z wysoka wypatrzyłem gniazdo harpij, dostanę się doń łatwo, pójdź to ci je pokażę.

— Harpie? co to jest? — zapytał Tomek.

— Jest to rodzaj ptaków drapieżnych z rodziny orłów, ale jeszcze większe, mają dzioby i szpony jeszcze straszniejsze. Napastują częstokroć nawet spore zwierzęta, jak młode jelenie, barany...

W tej właśnie chwili jeden z ptaków, o których mówił Menito, z wysokości skały wznosił się w powietrze i zaczął krążyć nad głowami wędrowców, wydając dzikie wrzaski i opisując szerokie koła, już wznosząc się, już spuszczać, jakby dla czynienia tem dokładniejszych nad niemi spostrzeżeń. Oni po pierwszej chwili zdziwienia, schwycili za strzelby, a gdy straszny orzeł widocznie zamierzał ich napastować, dwa strzały huknęły. Ptak zatrzymał się w locie i bijąc skrzydłami, spadł pomiędzy skały. Kasztan już pędził ku niemu, ale kapitan odwołał psa, aby nie rozszarpał ptaka.

— Jest to przepyszny okaz harpii — rzekł — posłę to do Vera Cruz, i tam go wypchają.

Tymczasem Dannito zaglądał do głębi przepaści i zabierał się już spuszczać tam, gdzie orzeł gniazdo swe umieścił. Był to występ skalisty z boku potężnej skały, a dostać się doń można było jedynie po wązkim, niby gziemiu, wystającym nad przepaścią prawie. Na sam widok taki można dostać zawrotu głowy; ale dziecko ani pomyślało o tem, już zsuwało się po spadzistości, gdy Menito schwytał go za rękę.

— Ja chcę gniazda! — krzyczał Dannito. — Ja chcę! ja pójdę po gniazdo!

— Nie, ja sam pójdę! — odpowiedział młody Meksykanin, puszczając się w tę samą ptasią prawie drogę, której dopiero co zabronił dziecku. Kapitan wstrzymywał tymczasem gwałtem malca, a ten tupał obiema nogami z gniewu, szarpał się i usiłował rzucić się na Menita, jakkolwiek miejsce do bójki nie dobrze byłoby obranem na owych gziemach skalistych.

Reszta podróżnych ścigali niespokojnemi wejrzeniami niebezpieczne przedsięwzięcie małego towarzysza. Dostał się tuż ponad gniazdo bronione przez matkę orlicę. Pisklęta były już silne, i nie obeszło się bez kilku potężnych uderzeń dziobem, zanim chłopak cudem zręczności i zimnej krwi, zdołał dostawszy się do nich, schwycić dwoje. Przyniósł je Melchiorowi z słusznym tryumfem.

— A te czy warte choć dolara? — zapytał przypominając mu tem awanturę z rysiątkami, które wziął za małe pumy.

— Niewątpliwie — odpowiedział kapitan oglądając ptaki. — Są już prawie zupełnie dorosłe. Teraz idź zabierz zabitego orła, musimy go przygotować, aby się zachował dobrze aż do Vera Kruz.

Menito poszedł i ujął orła za szyję, ale zaledwie go podniósł, gdy ptak ożył, szarpnął się gwałtownie i zanim mógł kto podążyć z pomocą, rozwinął skrzydła i uderzył na chłopca.

Menito biedaczek nie miał nawet kawałka kija na swą obronę, tylko kapelusz wielki z palmowych liści, i tym zasłaniając się jak tarczą, cofał się krok za krokiem ustępując z placu. Nagle ptak rozpędziwszy się, rzucił się na niego z taką siłą, że byłby go niechybnie przewrócił, gdyby chłopiec nie ukląkł. Wtedy chcąc schwycić nieprzyjaciela za głowę, ptak zagłębił szpony na wskroś w kapeluszu i walka mogła się była skończyć bardzo nieszczęśliwie, gdyby Melchior nie nadbiegł z pomocą. Natenczas orzeł uleciał wraz z kapeluszem, unosząc go jako trofeum zwycięzkie, ale nie poleciał daleko, rany jego odezwały się; przez chwilę bijąc gwałtownie skrzydłami, spadł o jakie sto stóp niżej od wyżyny, z której podróznicy śledzili go wzrokiem. Zrywał się jeszcze i szarpał przez chwilę, nareszcie żyć przestał.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Mozaika z piór.** W Meksyku panuje zwyczaj rozsyłania na Nowy Rok kart z powinszowaniem zrobionych z mozaiki z piór, a przedstawiającej ptaki lub kwiaty z niezwykłą wiernością. Karty te są pozostałością uprawianej niegdyś z upodobaniem i rozwiniętej bardzo sztuki starych Meksykańczyków, Tolteków, Azteków i t. d. Artysci, którzy sztukę tę uprawiali, nazywali się Amanteka. Wówczas wyobrażano prawie wszystkie twory przyrody i nadawano im barwę za pomocą kolorowych piór takich ptaków, jak kolibry, papugi i t. d., które chwymano w siatki, lub za pomocą lepu, aby piór nie uszkodzić. Za podkładkę do obrazu służyła materyja z liści agawy, na którą naklejony był cienki arkusz lepkiej bawełny. Jeden artysta robił szkic do obrazu, a inni wykonywali go częściami. Pióra wybierano drobnymi szczytkami i nalepiano na podkładkę, jedno nad drugim, stosownie do koloru przez wzór oznaczonego. Gdy wszystkie części całości były skończone, porównywano je z wzorami, poprawiano błędy, przymocowywano na płycie z drzewa cyprysowego, lub miedzi, wygładzano i obraz był gotów. Te mozaiki z piór budziły w epoce podboju podziw Hiszpanów i innych europejczyków. Później uprawiano sztukę ową szczególnie w Patzenaro, w Stanie Michoacau, obecnie zaś jest już prawie całkiem zaniedbaną i wspomniane karty noworoczne są jedynemi jej śladami.

### ZADANIE ALCHEMICZNE.

ułożył Alchemik,

Mam ja tutaj trzy ciała: *krzem, potas, ołów*,  
Lecz że wszystkie niestety niewielkiej wartości,  
Więc musiałem je badać nie szczędząc mozołów  
I ot jakich w ich wnętrzu odnalazłem gości.

**TREŚĆ:** Szczer Faraona p. Z. U. (z drzew.) — Do matki, z dzienniczka Janka sieroty przepisała Z. U. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Ślizgawka (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Smutna przygoda Stasia (z drzew.) — Dwaj ślepcy, (bajka) p. Ewę Maryę. — Zajączki, p. Maryą Weryho. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską. — Zabawa arytmetyczna. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

Najprzód więc słodki przysmak, dały głoski cztery,  
Trzy cząstkę ubioru, zaimek dwie litery.  
Ale co najważniejsze, że dopiąłem celu,  
Do którego dążyło próżno mędrców wielu.

Pierwszy w takich to ciałach, jak krzem, potas, ołów  
Odkryłem najcenniejszy kruszec nad kruszcami.  
Toż to sława nielada i nielada połów —  
Ale dość już wyrzekłem, resztę znajdziecie sami.

### Łamigłówka kryształowa.

od Meduzy Sidonii dla Królowej Wrózek.

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Miasteczko w gub. kaliskiej.
4. Imię żeńskie zdrobniałe.
5. . . . .
6. Imię żeńskie.
7. Miasteczko w gub. mińskiej.
8. Organ wzroku.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i litery środkowe utworzą nazwisko znanego polskiego kompozytora.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go

#### Szarady:

Po — ko — le — nie.

#### Łamigłówki trójkątnej:

Maurycy Jokaj  
Arystoteles.  
Urszulanki  
Richelieu  
Yarmouth  
Czczot  
Yankes  
Jozue  
Olmo  
Kan  
Ah  
J

#### Rebusa:

Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota w domu nie mają.

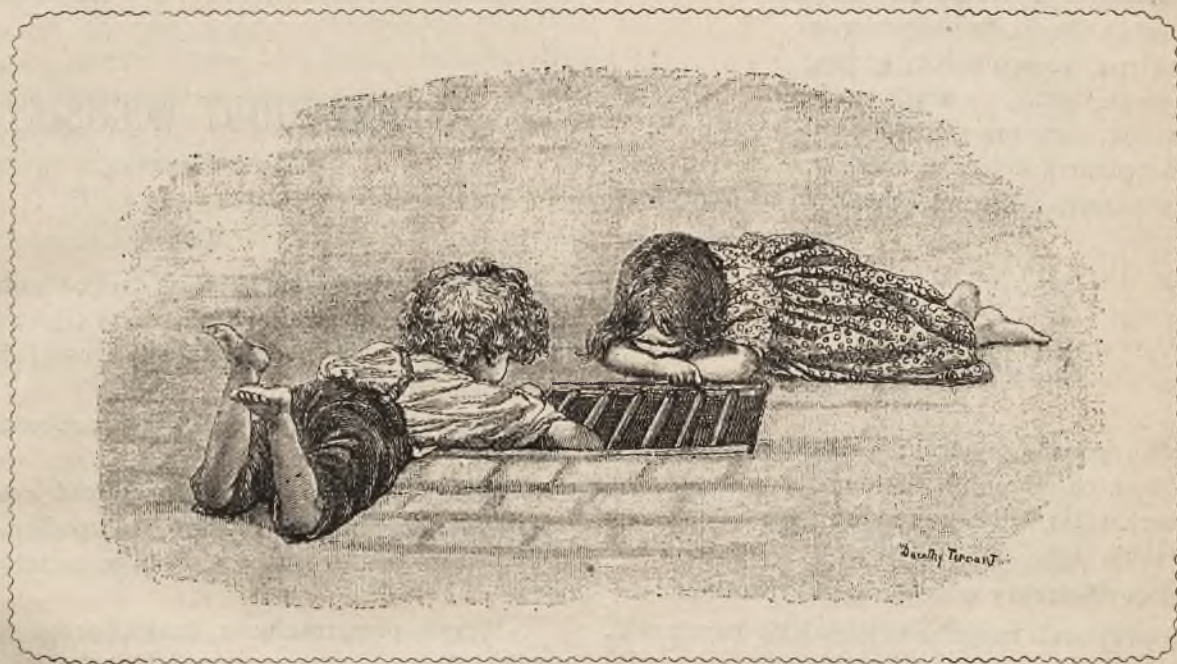
## Smutna przygoda Stasia. X

Mały Staś czuł się w istocie bardzo szczęśliwym. Pierwszy raz w życiu posiadał swoje własne pieniądze, aż całą, srebrną złotówkę!... Nie dalej jak przed godziną siedział smutny pod murem kamienicy, rozmyślając o swój chorą matkę, która leży tam na poddaszu, i nic dziś jeszcze od rana nie miała w ustach, gdy oto obok, otwierają się drzwi sklepu i jakaś bogato ubrana pani, wychodzi zeń, trzymając w ręku dość duże pudełko. — Widocznie zdecydowała się najpierw sama je zabrać

cał i łapał, wysliznął mu się z ręki i upadł z dźwiękiem na kamienny chodnik i potoczył się wprost ku otwartej kracie kanału. Jeszcze raz błysnął w słońcu i zniknął w ciemnym otworze.. Stasiowi pociemniało w oczach, ale wnet oprzytomniał i rzucił się ku kracie. Oboje z Marysią położyli się na ziemi, zagłędali, kładli ręce do środka, ale prócz ciemnego głębokiego otworu nic widać nie było...

— O mój Boże — zawołał z płaczem — nie kupię już nic dla mamy, ona taka głodna!..

Zdawało mu się pogrążonemu w rozpacz że nikt



Smutna przygoda Stasia.

ale wyszedłszy na ulicę zmieniła postanowienie, bo nagle przystępując do niego zapytała:

— Mój mały, nie mógłbyś zanieść za mną tę paczkę? mieszkam niedaleko.

Staś zerwał się gotów jej usłużyć, wziął pudełko, które zresztą nie było wcale ciężkie i w niedługim czasie stanęła przed drzwiami mieszkania.

Pani odebrała paczkę, zajrzała do portmonetki i dała mu „za fatygę” złotówkę. Chłopcu zaiskrzyły się oczy; wcale nie myślał o pieniądzech niosąc sprawunek za tą panią, ale teraz stanęła mu w myśli głodna i chora matka. Śpiesznie więc podziękował i wyszedłszy z bramy pobiegł pędem ku domowi. O mój Boże! co za radość, kupi za to matkę chleba i mleka, choć raz przyjdzie jej z pomocą! jakie szczęście!... W drodze spotkał siostrę Marysię. Opowiedział jej swoją przygodę i biegli razem dalej podrzucając w górę srebrną monetę, która w słońcu błyszczała jak nowa. Aż nagle chłopiec stanął osłupiały. Pieniądz który dotąd zrzęcznie podru-

go nie widzi i nie słyszy, to też zdziwiony podniósł oczy kiedy na swem ramieniu poczuł czyjąś rękę.

— A co ci to chłopcze, czego płaczesz? — zapytał równocześnie jakiś miły staruszek.

Staś ze łzami opowiedział mu wszystko i jakaż była jego radość, skoro ten dobry stary pan, po wysłuchaniu opowiadania, wydobył taką samą złotówkę i dając mu powiedział:

— Widzę że z ciebie dobry chłopiec, kiedy mając pieniądze chciałeś je użyć dla chorej matki, tylko źle bardzo żeś taki nieostrożny. Masz dobrą nauczkę na przyszłość i pamiętaj to sobie zawsze moje dziecko, że pieniędzmi bawić się nie należy.

Staś ucałował z wdzięcznością ręce starca, schował uważnie złotówkę do kieszonki i pobiegł uradowany ku domowi.

Odtąd wiedział jak ostrożnie trzeba obchodzić się z pieniędzmi.

## DWAJ ŚLEPCE.

BAJKA.

Raz, nawpół ociemniały,  
 Żebrek zgłodniały,  
 Smagany wiatrem z burzą, ulewą,  
 Ciężko włókł nogi,  
 A zszedłszy z drogi,  
 Napotkał drzewo;  
 Choć kijem mierzył,  
 Głową uderzył  
 I wraz podskoczył,  
 Aż się zatoczył.

Jaś, który stał przy oknie z daleka,  
 Śmiał się z potknięcia starego człeka:  
 Śmiać się w tym razie?... to wielka wina!  
 Za lekkomyślny był ów chłopczyzna.  
 Więc ojciec rzekł do niego surowo:  
 „Kto ślepy, często nałoży głowę;  
 Lecz gorzej temu, co zdąży prościęj,  
 Ma wzrok, a nie ma serca, litości!  
 Kogo nędzarza dola nie wruszy,  
 Ten większym ślepcem!... ciemnym na duszy”.

*Ewa Marya.*

## ZAJĄCZKI. X

Był sobie raz mały zajączek; miał tatusia, mamusię i był bardzo do nich podobny. Futerko miał szare, tak jak tatuś, cztery nóżki, dwie z przodu i dwie z tyłu, a na głowie uszki takie duże, duże stojące.

Zajączki te mieszkały w dołku pod krzaczkiem.

Rodzice przynosili zajączkowi kapustki, marchewki, trawki i dużo innych rzeczy, a on wszystko to zjadał i bardzo mu smakowało. Czasem wychodził na spacer na łąkę. Wtedy się cieszył, skakał, chował się pod krzaczkami, to znów biegł za tatusiem i szukał trawki soczystej.

Znudziło się raz zajączkowi biegać po tych samych miejscach; pomyślał sobie: pójdę na tę górkę, tam pewno jest ładniej i trawka smaczniejsza. I poszedł.

Skakał bardzo prędko, to też zaraz był już na pagórku. -- Nic tam jednak nie znalazł prócz zeszlęj trawy i piasku, pobiegł w jedną, w drugą stronę i postanowił wracać.

— Puszczę się z góry! — myślał sobie.

Skoczył raz, skoczył drugi — fyr! — przewrócił się, prędko łapkami otrząpał główkę i znów skoczył, i znów wywrócił koziółka.

— Co to jest? — myśli sobie — czemu zejść nie mogę z tej góry; tak dobrze umiem skakać po łące, a tu się ciągle przewracam. No, ale teraz to się utrzymam, a polecę co tchu!

Wyciągnął się jak długi i skoczył. Aż tu wywrócił takiego koziółka że stoczył się na sam dół pagórka. Biedaczek pokaleczył sobie główkę, nóżki i wstać nie mógł.

Tymczasem mamusia wszędzie synka szukała i nic nie wiedziała, co się z nim stało? Aż tu widzi, że leży pokaleczony. Zmartwiła się bardzo, zaczęła go lizać i pieścić.

Zajączek opowiedział jak pobiegł na górę i jak z góry w żaden sposób zejść nie mógł.

— To dla tego, synku — mówiła mamusia — że masz tylne nóżki bardzo długie, a przednie krótkie. Ani ja, ani twój tatuś nie biegamy na górę, bo nam tylne nogi zawadzają.

Mały zajączek wysunął jedną nóżkę, obejrzał, wysunął drugą i naprawdę przekonał się że są nierówne, przednie krótkie a tylne dłuższe.

— O,—pomyślał,—to już i ja nie będę nigdy biegał po górach, wolę po łące skakać.

I od tego czasu pozostał zawsze na równej łące, pod krzaczkami.

*Maryja Weryho.*

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNEŻ ZAŁĘSKĄ.

VI.

Zawsze pewny siebie nasz drugoklasista, wysunął się na środek sadzawki, a zwróciwszy się ku ławce, gdzie siedziała Halinka, pędził ku niej z całej siły, wołając: z drogi! z drogi!

Wiele osób stanęło półkolem, przypatrując się widowisku.

W największym rozpędzie, Wicusz z zachęcającym okrzykiem hop! hop! — skoczył — i upadł na ziemię prędej jeszcze niż wyrzucona w górę uczniowska czapczka.

Krzyk przestraszenia z ławki, przed którą Wicusz upadł, i długa szydercza gama śmiechu widzów, wybuchły razem. Adaś skoczył na pomoc, ale szło to z trudnością, bo Wicusz rozbił się silnie.

— Ach biedny Wicusiu! poco było tak skakać — mówiła Halinka ze łzami żalu w błękitnych oczach — ja temu wszystkiemu winna jestem, przez moje nierozważne słowa. Musiałeś się bardzo uderzyć. Usiądź no tu przy mnie.

Ale Wicusz w żaden sposób usiąść nie mógł, trzymał się ręką za stłuczone miejsce, a miną nadrabiał, nie chcąc, żeby się domyśliła jak bardzo go boli.

— Pójdziemy już chyba do domu — rzekł Adaś po chwili kłopotliwego milczenia — bo nawet nie wiem, czyby Wicusz mógł dziś jeszcze się ślizgać.

— Ciekawym, dla czego by nie? — zawołał Wicusz dzielnie, starając się ukryć bolesne wykrzywienie twarzy; — chyba że ty się czujesz zmęczony po twoich wspaniałych popisach — dodał złośliwie.

Dobra Halinka, spostrzegłszy początek sprzeczeki — powiedziała. — Wy róbcie co chcecie — ja już wracam do domu. Ale mam nadzieję, że się tu znów niezadługo spotkamy — rzekła do Wicusia z miłym uśmiechem, a odchodząc już z mamą: — Jak cię noga przestanie boleć — dodała ze zwykłą paniąkom delikatnością.



Uprzejme te słowa pogodziły, pokłóconego ze światem i samym sobą Wicusia; bo przez zazdrość narażić siebie na śmieszność, być wyśmianym przez wszystkich, żalowanym przez Halinkę i nie móżdż nawet powiedzieć, co go boli, to przykro, to bardzo przykro!

VII.

W parę dni po owęj nieszczęśliwój ślizgawce, Wicus zapomniał już o swem niepowodzeniu, bo całą uwagę jego zajęły zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

— Dopiero to będzie rozkosz — myślał sobie chłopczyzna — Józia będzie obierać rodzenki i migdały, ja będę jęj pomagać, mama upiecze baby i ciasta, późnięj wigilia, choinka, podarunki; ach co to za szczęście, że te kochane święta już tak blisko!

Ostatnie dni nauki traktował Wicus niedbale, mówiąc, że powinien już być „rozpuszczony”, tylko panom profesorom żal rozstawać się z uczniami tak wczesnie, i jeżeli uczy się jeszcze trochę, to z łaski, bo przecież na tydzień przed świętami można już nic nie robić. Zkąd Wicus przyszedł do tego przekonania, nie wiemy; ale on w swe słowa wierzył niezachwianie.

Nadszedł nareszcie szczęśliwy dzień rozdania cenzur i rozpuszczenia uczniów; Wicus wrócił do domu z miną tryumfującą, bo przeciw wszelkim przewidywaniom stopnie miał dość dobre.

— A co — mówił radośnie — już ja wiedziałem że tak będzie. A co!

Najbardziej jednak w zachwytyt wprawiało go zamięszanie, jakie zastał w domu, z powodu przygotowań świątecznych. W kuchni przesiewano mąkę i cukier, ustawiano niecki i dużą dzieżkę, w których ciasto miało się wyrabiać i rosnać, i z ryb pod okiem mamy przyrządzano różne potrawy. Ale najwspanialszy widok przedstawiał się oczom Wicusia w jadalnym pokoju. W jednym rogu stała na wpół ubrana choinka, na kredensie leżał stos jabłek, orzechów i różnych dobrych rzeczy, dopiero co przyniesionych ze sklepu, których Józia jeszcze nie zdążyła schować. Przy stole w olbrzymim białym fartuszk, Józia z minką poważną, wybierała rodzenki na jeden półmisek; obok stał drugi, pełny migdałów, już bez łupinek i donica z utartym makiem.

— Dzień dobry wam migdały, rodzynki i Józiu, jak się macie! — zawołał Wicus, zrzucając z siebie szynel i czapkę. — Tak ładnie wyglądacie, szczególnie migdały, że aż ślinka do ust idzie — to mówiąc bez ceremonii chwycił ich pełną garść.

— Tylko ostróźnie, mój Wicusiu — prosiła Józia, spoglądając na brata z trwogą i niezadowoleniem.

— O nie bój się, nic mi nie zaszkodzi; jakaś ty troskliwa! — zaśmiał się chłopczyk, zawierając bliższą znajomość ze wszystkiem, co mu się pod rękę nasuwało. — zobaczę tylko, co tu jest i zaraz ci pójdę pomagać.

Nie wiem, czy Józia była zadowolona z tēj obietnicy, ale może i tak, bo zmuadne obieranie lepiących się rodzenków znudziło ją już trochę. W każdym razie dość długo jeszcze czekała na pomoc Wicusia. Gdy w końcu usiadł przy nięj, usta miał zapełnione różnego gatunku

bakaliami, a z kieszeni wyglądały czerwone jabłka; Wicus był przezorny.

(d. c. n.)

### ZABAWA ARYTMETYCZNA.

Pomyślaną liczbę kazać pomnożyć przez 3, do tego dodać 1, następnie pomnożyć znowu przez 3 i dodać pomyślaną liczbę. Od tēj liczby ogólnęj odciągnąć 3 i podzielić przez 10.

Przykład:

Przypuśćmy, że ktoś pomyśli liczbę  $7 \times 3 = 21 + 1 = 22$   
 $\times 3 = 66 +$  pomyślaną liczbę  $7 = 73 - 3 = 70$   
 $70$  podzielić przez  $10 = 7$ .

#### ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożył Kameleon).

wiem	Pań	bo
gie	ro	zdro
jest	u	ska
cho	go	ba

*Paniśka  
choroba  
jest  
zrobowa  
wrog...*

Odczytać przysłowie.

#### HOMONIM.

Pierwsze stwierdza posiadanie  
Drugie-trzecie — na śniadanie  
Smaczne bardzo. W liter rządzie  
Trzeci-z pierwszym rzeka będzie,  
Któręj wody w Rosyi płyną.  
Wszystko: małą jest maszyną.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

ŁamigłóWKi kryształowęj:

K  
K O S  
M U C H A  
M E C H E L N  
W E S P A Z I A N  
K O C H A N O W S K I  
T A R N O W S K I  
S E K W A N A  
S O S N A  
O K O  
I

Homonimu:

C z a j k a.

## Skrzynka do listów.

Słowa Ukrainki na Mazowszu uradowały nas serdecznie i serdecznie za nie wdzięczni jesteśmy. Nie żal pracować dla tych, którzy tak cel pracy naszej pojmują. Pierwsza z wymienionych przez nią osób, jest korespondentką, o którą pyta kochana nasza Ukrainka.

**P. Annie Gor... w Selicach.** Wieczory wraz z dodatkami już posłano wedle życzenia pani pod zeszłorocznym adresem. Należność nie pilna, może być przysłana później.

Odezwa każdego z naszych czytelników jest nam bardzo miłą, czemu więc **Rycerz błękitny** czuł się tak onieśmielonym? Łamigłówa dobrze ułożona, będzie umieszczoną niezadługo.

Bardzo nas cieszy, droga **Kulko śniegowa**, że ci się tak podobają umieszczone w naszym piśmie powieści. Co do „Księżniczki” zgadzamy się z tobą, że charakter rodziny Radliców są niepospolicie zacne i szlachetne; ale dla czego powiadasz, że „prawie nigdy” nie trafiają się takie? Powieść jest obrazem życia, a zatem i wzory z życia brać sobie musi. Gołąbka wytłumaczy się zapewne w przyszłym numerze...

Ofiarę **Srebrnej Topolki** oddano na szpitalik. Dowodzi ona dobrego serduszka, tak jak pamięć o „zwyczajach Redakcyi” dowodzi delikatności uczuć którą cenić umiemy.

Omyliłaś się, kochana **Biała Akacyo**, Gołąbka nie była cicią L. J. i nie „odfrunęła do Monachium”. Dla czego cię sąd siostry zniechęcił? Jeżeli jest słuszny, cóż łatwiejszego jak zrobić wskazane poprawki i wypracowanie na konkurs nadesłać? Czyżby panienka nie znosiła krytyki?

**Zajączkowi z Wołynia** posłaliśmy żądany numer.

**Łezko z nad Lutyni**, chętnie zadość uczynimy twój prośbie, ale... musisz czekać na swoje kolęj.

Tę samą odpowiedź dajemy **Burzliwój Naturze**.

**Jad. Ger.** przysłała dobre rozwiązanie.

Nie ty tylko jedna, **Ir. Jar.** skarżysz się na „brak czasu” do czytania. Wieczory stanowią dla was tylko rozrywkę... miło nam wszakże się dowiedzieć, że takowa tak jest pożądana.

Kochany **Książę Geniuszów**, tak ujmująco prosisz o przebaczenie, że choćbyś się nawet gniewali za omyłkę, rozbroiłbyś nas zupełnie. Nie gniemy się wszakże, bo i niema też za co... Łamigłówek, szarad, zagadek mamy zapasy ogromne; najwłaściwszą dla tych ostatnich formą jest proza. Przysyłać je trzeba na osobnej karteczce.

**Stefusiowi M.** żądane numeru posłano.

**Braciszkom** Gosposi z nad Pilicy zasyłały serdeczne podziękowania w imieniu biednych dzieci.

Jakże nam miłą jest radość twoja **Złota Przędzo**, z powodu otrzymanej nagrody. Zachowaj jak najdłużej dziewczątko drogie, to pogodne usposobienie, które ci pozwala cieszyć się każdym promykiem słoneczka i nie naśladować... trzynastoletnich „powag”. Przyjdzie jeszcze czas na powagę!

Kochana wesoła Krakowianeczko! Ucieszyłam się bardzo, przeczytawszy w kochanych naszych „Wieczorach Rodziny”, że pragniesz mieć korespondentkę. Śpieszę też dać ci się poznać. Na imię mi Zosia, mam siostrzyczkę i dużego brata w Gdańsku, uczę się zemną razem kuzynka także Zosia. Mieszkam na wsi pod Włocławkiem. Mamusia na gwiazdkę zaprenumerowała nam „Wieczory” więc się ucieszyłam że mogę z kimś korespondować i niecierpliwie będę oczekiwała twój odpowiedzi. *Wesoła Krakowianka.*

Miluchny Poranku majowy, Biała Ostróżko, i cicha Wodo. Przepraszam cię stokrotnie śliczny Poraneczku, że tak długo nie odpisywałam. Oddawna już pokochałam wszystkie nasze siostrzyczki, pragnę tylko ich wzajemności. Proszę nie oddawaj wet za wet, i odpisz mi niedługo. Luba biała Ostróżko pokochałam cię za pamięć o biednych. Chciałabym pisywać także do ciebie, cicha Wo-

do, bo wiem jak przykro nie mieć odpowiedzi. Całuje was po tysiąc razy *Kopciuszek.*

Gwiazdziej i Gwiazdeczce posyłam uściśnienia.

Drogi Ben-ali-beju! Zaciekawia cię mój pseudonym, nazywam się „Wilkiem stepowym” po pierwsze, że jestem podobny do wilka z charakteru, powtóre że mieszkałem w stepach chersońskich. Chciałbym korespondować z tobą, ale przygotowuję się do III-jej klasy realnej szkoły, więc mało mam wolnego czasu. Dziś zmieniam mój pseudonym dla tego, że nie chcę być podobnym do dzikiego zwierza i że przenieśliśmy się do Odessy. Teraz zaś lubię bardzo jeździć na łyżwach i nieźle już się ślizgam piszę się więc: *Żyźwiarzem Odeskim.*

Witam was siostrzyczki drogie i wzywam do korespondencji. Pod pseudonymami waszemi poznaję kilka moich dobrych znajomych, może i mnie poznacie i zechcecie do mnie pisywać, n. p. ty biała Perelko. *Rybka z Hniliopaty.*

Najmilsza moja Jedlinko, jestem nową prenumeratorką „Wieczorów”, przeto pierwsza piszę liścik do ciebie, bo podobałaś mi się bardzo. Jestem w twoim wieku na imię mi Marya mieszkam pod Radomiem. Odpisz na mój list, o co cię bardzo prosi i oczekuje odpowiedzi *Kukuleczka.*

Kochana Wesoła Krakowianko. Przez sympatyę dla twój nazwy i że również pobierasz nauki w domu, chcę cię poznać i korespondować z tobą. Mieszkam w Proskirowie, na imię mi Kazia i uczę się w domu. *Blondynka podolska.*

Miła Trawko stepowa! Liścik twój wielką mi sprawił przyjemność. Gubię się w domysłach co to za Trawka odzywa się do mnie z dalekich stepów. Domes mi proszę jak ci na imię i dla czego do mnie i do Stokrotki najpierw napisałaś? Ścisza cię serdecznie *Sasanka z Mazowieckich lasów.*

Kochana zwinna Wiewióreczko! Podobasz mi się bardzo z opisu, również jak i twój pseudonym. Miałabym ochotę z tobą korespondować, w maju skończę lat 10, lecz zdaje mi się że mogę pisywać do ciebie. Wiem, że ci na imię Wanda, a gdzie mieszkasz? Ścisza cię serdecznie *Polka z nad Szczary.*

Drogi czytelniczki! Jestem nową prenumeratorką „Wieczorów”, które mi się bardzo podobały. Pragnę więc kochane, choć nieznanne panienki pisywać do was. Proszę której z was aby mi doniosła ile ma lat i gdzie mieszka? ja mam lat 13, należę więc do starszych i mieszkam w Warszawie. Mam nadzieję, że która z was zechce mi odpisać. *Cyganezka.*

Odebrawszy twą odezwę zbyt późno, nie mogłam wykonać zamiaru twego, miła Ostróżko biała. Gałązko Heliotropu ucieszyłaś mię bardzo twym liścikiem, więc będziemy do siebie pisywać? Wesoła Krakowianko, czy zechcesz być moją przyjaciółką? Jesteśmy jednolatki złota moja Gamo C-dur, nosimy imię Wereszczakówny, więc może będziemy z sobą korespondowały? Całuję was wszystkie, *Poranek majowy.*

Rusałkę z Dzimitry i Akacyę białą ścisza serdecznie.

Kochana Śnieżna Jagódka! Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Mnie na imię Olga, mam lat 11. Napisz mi czy zechcesz do mnie pisywać przez kochane „Wieczory”. Co ci się najłepiej w nich podoba? Ścisza cię nieznaną, lecz kochającą *Cyganezka z Dobrzelina.*

Droga Makolągwo! Daruj że ci tak późno odpisuję, bo trzeba ci wiedzieć że równie jak moje siostry chorowałam na influencję. Teraz uczymy się żeby nagrodzić czas stracony, ja z Tolą biorę przytem lekcye tańca, co także czas zabiera. Ścisza cię serdecznie, bo „Wieczory” nie chcą przyjąć dłuższej korespondencji. Twoja *Różyczka chińska.*

Tola was ścisza także.

Wielką przyjemność zrobiłaś mi swoim listem kochana Żabcu z nad Horynia. Nie nazywam się Andzia tylko Adzia, czyli Jadzia. Ucałuj odemnie twego braciszka Łobuza, a sama przyjm serdeczne uściśnienia od szarej Kotki, która zmienia pseudonym i będzie się nazywać *Wołyńska Pszeniczka.*



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



**Katarzyna z Lipińskich Lewocka.**

W ostatnich dniach zeszłego miesiąca, zmarła w Warszawie w 91 roku życia s. p. Katarzyna z Lipińskich Lewocka, rówieśnica i przyjaciółka Klementyny Hoffmanowej, w której wstępuje ślady, pisała piękne i pożyteczne rzeczy dla młodego wieku. Urodzona w Zelwie na Litwie, odebrała staranne wy-

chowanie w domu rodzicielskim wraz z braćmi, z których najstarszy Tymoteusz Lipiński zasłynął później jako historyk i starożytnik. Będąc już dorosłą, przebywała w sąsiednim domu księżny Sapieżyny i w Warszawie u stryja Józefa Lipińskiego światłego wizytatora zakładów naukowych, miała więc sposobność poznać zarówno wykwintne jak inteligentne społeczeństwo owoczesne. Wyszedłszy za mąż za Onufrego Lewockiego, uczonego matematyka, zamieszkała w Warszawie i dom jej stał się punktem zbornym ludzi ukształconych, w którym uprzejma dobroć zaenęj i rozumnej gospodyni uprzyjemniała pobyt każdemu. Było to w pierwszej połowie bieżącego stulecia, w czasach gdy nie zajmowano się jak dzisiaj piśmiennictwem ludowym, a Hoffmanowa zaczęła dopiero pisać dla dzieci, pani Lewocka więc zrozumiawszy potrzeby chwili wzięła pióro do ręki, aby wypełnić braki, które dotkliwie czuć się dawały. Wydała najpierw kilka książek ludowych jak: „Powieści starego sługi”, „Głos ubogiej matki do córki”, Żywot s-tėj Jadwigi i obrazek dramatyczny „Kacper Owczarek”, a potem dla starannie wychowanych własnych ukochanych dzieci, syna i córki, napisała śliczną książeczkę pod tytułem „Obrazki z prawdziwych wydarzeń” wyczerpaną obecnie z księgarskiego obiegu, która jednak i dziś obudziłaby żywe zajęcie w młodych czytelnikach. Matki właśnie przed sobą jeden jej egzemplarz wraz z własnoręcznym listem Hoffmanowej, w którym ta ostatnia oddaje zasłużone pochwały pracy przyjaciółki. Obrazki te mieszczą pełne życia i prawdy powiastki, a następnie zajmujące opisy podróży po kraju, listy małej dziewczynki i dzienniczek tejże, w którym zamieszczony opis Warszawy przed półwiekiem, daje wyobrażenie jak wówczas wyglądały znaczniejsze strony i okolice miasta. Oprócz tego wydała jeszcze pani L. dla star-

szę młodzieży jednotomową powieść: „Bal w resursie i dworek na Topielu”, pisywała do pism codziennych i przekładała na język polski obce utwory, co było także zasługą w owych czasach, bo obce języki nie były tak rozpowszechnione jak dzisiaj. Powodowana rzadką skromnością zaprzestała pisać później, mówiąc że przybyło już wielu piszących lepiej od niej, nie mniej przeto zajmowała się życiem umysłowym, i młodzi autorowie znajdowali u niej zawsze zachętę do pracy, wszystkim zaś potrzebującym pomocy wyjednywała poparcie wśród licznych koła swych znajomych, gdyż czynić dobrze było zawsze najmilszym jej zajęciem. W czasie letniego pobytu na wsi w swęj majętności zajmowała się pilnie dziaćwą wiejską w szkółce założonej przez jej syna i synową, która po śmierci męża osiadła przy niej, aby ją pielęgnować wraz z własną jej córką. Otoczona tklivem staraniem obu tych pań, poñmimo cierpieñ fizycznych, pozostała silną duchem; pełna wdzięku prawdziwej dobroci obok bystrego rozumu i podniosłych uczuć budziła cześć i uwielbienie wszystkich co mieli się do niej sposobność zbliżyć, a zgon jej pozostawił żal głęboki w sercach tych, których darzyła stałą zawsze przyjaźnią.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Jestem Pal, pasterz zwierzchnik nad całym stadem w tej okolicy, jadę do Pesztu do mego pana, właściciela stada, po rozkazy co do koni, jakie mam poprowadzić na jarmark. Ten chłopiec mi pomaga. Wszyscy mię tu znają od wielu lat.

— Hej! jest kto, kto by znał czikosa Pala zwierzchnika tutejszego? — zapytał zawsze zeicha głos poprzedni.

— O! to snadź pan Saghy, nowy dowódca żandarmów kiedy mię nie zna — rzekł Pal.

— Ja znam! I ja! I ja! Wszyscy znają! — odpowiedziano i kilku z żandarmów zbliżyło się przyglądając.

— Tak, to jest Pal, czikos prawy, ten pilnuje swoich koni i nic więcej! — zaręczono.

— To dobrze, związać obu i usta im związać i niech idą z nami. Nie tak prędko ja tu komu uwierzę — odparł głos poprzedni. Śpieszmy, żeby ptaszek nie unknął gdzie dalej. Zadrwił Sobri ze mnie wczoraj, dzisiaj ja z niego zadrwię, gdy nie spodziewa się tak prędko moich odwiedzin.

Po godzinnym blisko pochodzie i potracaniu się w ciemności o kłapouche bezrozne stworzenia, gęsto spoczywające pod dębami, żandarmi stanęli nad głębokim zielonym jarem, na dnie którego płonął ognisko, do koła niego spali mocno uzbrojeni ludzie. Próżny porzucony wraz z łyżkami kociołek i przewrócone puste flasze, zdradzały niedawną ucztę.

— Oto Sobri! — rzekł cicho starszy żandarm Saghy, wskazując w dół jaru na śpiącego tam pod dębem rozbójnika, błyszczącego strojem i bogato oprawną bronią. I wziął go na cel... Żandarmi syknęli, Saghy broń opuścił:

— Tak byłoby najlepiej — szepnął — skończyłoby się raz przecież z tym rozbójnikiem... ale hm... jakoś nie wypada. Ilu ich tam?... siedmiu... Niech siedmiu z was idzie ze mną do nich na dół, reszta naszych niech otoczy ten jar tu na górze naokoło: w ostatnim tylko razie strzelać; ani jeden z tych siedmiu zbójów, zwłaszcza Sobri nie powniem wyjść z tej pułapki! Cyganie! powiedziałaś że tylko jedna ścieżka wiedzie na dno tego jaru: prowadź nas tą ścieżką!

Ośmiu żandarmów z Saghym i cyganem na czele, znikli w gęstwinie schodząc w dół jaru; ośmiu pozostałych na górze rozstawiło się w odstępach na krawędzi jaru, z bronią skierowaną w jego głębię, gdzie spali rozbójnicy. Jeden z pilnują-

cych na górze pandurów obejrzawszy się, szepnął do towarzysza najbliższego:

— A jeżeli szegeny legeny napađną nas z tyłu?... —

— Wszak przychodzimy z trzech stron, zśliśmy przepatrzyć las i nie spotkaliśmy nikogo tu w okolicy, a z dalszej nim kto przyjdzie, załatwimy się z tymi wprzódy... — odparł zapytany.

Pal i Szandor z zawiązanymi ustami, pozostawieni na górze, o kilkadziesiąt kroków od krawędzi jaru, poza plecami otaczających go pandurów, mieli przed oczyma fantastycznie wśród ciemnej nocy ich postacie, oświetlone niewyraźnie odbłaskiem czerwonym ogniska, płonącego na dnie głęby. I nagle ujrzał Szandor że zamajaczyło coś pomiędzy nimi i żandarmami otaczającymi krawędź rozpadliny... coś jakby własne ich cienie... Jednocześnie Saghy ze swymi ludźmi i z cyganem zeszedłszy już na dół, ukazali się na dnie jaru przy ognisku, stając każdy z pistoletem w rękę, z palcem na cynglu, przed jednym ze śpiących rozbójników:

— Poddaj się lub zginiesz! — zawołał potężnym głosem Saghy: mniemani śpiący ani się ruszyli. Ale za to, jakby na komendę, ośmiu pandurów pozostałych na górnej jaru krawędzi, każdy pchnięty z tyłu znienacka przez owe cienie z nimi przed chwilą zjawione, stoczył się nagle na głowy towarzyszy w głąb jaru po zielenią obrosłych jego ścianach, i spoczęli bez wielkiej szkody na płaszcach z kapeluszami ułożonych naokoło ogniska, które przedstawiały śpiących ludzi.

Cisza zdumienia nastąpiła po pierwszych przeraźliwych krzykach, wywołanych niespodzianką, a wśród tej ciszy zagrzmiął donośny głos z góry z krawędzi jaru:

— Złóżcie broń i mundury, lub zginiecie!

Wtedy z siedmnastu ust pandurów gramolących się na dnie jaru, posypały się przekleństwa; kłęli po madziarsku, ogniście, aż huczało, aż się las trząsał.

— To Sobri! A bodajżeś... A bodajcie!... A niechajże cię!... — i każdy zadzierając głowę posyłał te kłątwy w górę, ku wyniosłej postaci rozbójnika, odznaczającego się blaskiem świecideł wśród gromadki podwładnych, a stojącego u szczytu jedynej ścieżki, wiodącej z głęby na świat.

— Sobri! Żebyś przepadł! zbroju nikczemny! za tę jednę twoją sprawkę będziesz już wisiał! — jęknął Saghy, starszy pandur podnosząc się z ziemi na którą obalił go spadający mu na głowę kolega. Ten zerwał się, zatoczywszy aż w ognisko prawie i podnosząc głowę i broń, wziął na cel błyszczącego rozbójnika w górze... Rozległy się dwa strzały... dwóch ludzi padło... jeden w górze, drugi w dole... Tylko że Sobri zdążył upaść przed hukiem wystrzałów i po nich stał już znów wyprostowany z dymiącą bronią w rękę, a pandur który do niego z dołu celował upadł po huk, i... nie powstał więcej. Bandyeci stojąc na krawędzi jaru około wodza, na szczycie jedynej ścieżki wiodącej w głąb, śmiali się patrząc co się działo na dnie, gdzie pandury klnąc ciągle, jak szaleni miotali się i kręcili próbując ścian, szukając wyjścia, napróżno.

— Nie gniewajcie się przyjaciele — perswadował Sobri uprzejmie. — Widzicie przecież że musicie wyginać jak rude myszy w tej dziurze, bo ani jeden nie wyjdzie z niej bez niej woli. Saghy, druhu kohany; uspokój się, a po przyjaźielsku zagodzimy wszystkich, chyba że chcesz koniecznie mieć na sumieniu piętnastu ludzi, tak jak masz już jednego. — Sobri miał słusność. Pandury znajdowali się teraz w takim właśnie samotrzasku, w jaki zamierzali złapać „biednych chłopców”. Naradzali się, kręcili, kłęli, tracili przytomność z gniewu, ale położenie było bez wyjścia. Przestali w końcu wymyślać.

— Sobri, szlachetny przyjacielu — rzekł nareszcie tklivym głosem i bardzo czule, zadzierając w górę głowę Saghy — dalibóg, znam cię ledwo od kilku dni, a już cię szanuję!... Wierz mi że to nie każdemu się zdarza. Oto przed chwilą, sądząc że ty śpisz tu pod płaszcem, wziąłem cię na cel, ale natychmiast zmieniłem zamiar, uczuwszy że to tak porządnego jak ty młodzieńca, nie godzi się strzelać jak do dzikiego zwierza. Daję ci słowo że gdy wieszac cię będziemy, postaram się o jaknajlepszy postronek, abyś się nie urwał i próżno nie męczył. Widzisz że ci jestem szczerze życzliwy, bądźże i ty ta-

kim dla mnie, pozwól nam odejść z honorem, kiedy nam się na ten raz nie poszczęściło.

— I owszem przyjacielu — odparł Sobri — wiesz że od pierwszego spotkania tkliwą przyjaźń uczulem dla ciebie: odejdziesz z honorem a nawet i z życiem w dodatku, które, przynajmniej że nie każdy w moim miejscu by wam darował, zostawicie tylko broń i mundury... no, i pieniądze, i zegarki jeżeli który je ma, dla miłej pamiątki jedynie.

— Ależ Sobri, druhu, bracie! zastanów się, co ty mówisz! jakże żandarmi mają wracać do miasta, bez mundurów i bez broni! Przestań na zegarkach i pieniądzach!

— To znaczy że ich nie macie? A no, zatem tembardziej, na pamiątkę muszę mieć mundury. Nie rozstaniemy się bez pamiątki, przyjacielu! Jedno mam słowo.

— Ha no, niechże będzie broń!

— Broń należy mi się jako zdobywcę, a mundury na pamiątkę. No, dalej!... tam w dole jest trochę wilgotno, śpiesz się albo kataru dostaniesz!

— Ależ szaleństwo! Wracając bez broni, o zmierzchu, możemy jeszcze brak jej ukryć, ale bez mundurów!...

— Lepiej sobie w łeb palnąć niż taki wstyd znosić! — zawołał żandarmi.

— Czy słyszysz przyjacielu?

— Słyszę, i jestem zgodny; broń oddajcie a mundury wykupcie już!

— Żaden z nas niema grosza przy duszy!

— Poślijcie waszego cygana do najbliższej czardy, gospodarz pożyczyci, da ci na podpis ile zechcesz, Saghy przyjacielu, tymczasem ugoszczę was. Namordowaliście się potykając o świnki po noc. No, dalej, oddawaj broń!

Nie było rady, cygan polecał jak wiatr z kartką od dowódcy żandarmów do najbliższej gospody. Rozbójnicy zabrali broń przekonawszy się, że żandarmi nic z niej nie ukryli, zastawiono pyszną pieczeń i wino w jarze. Zasiadł do wieczery z gośćmi tylko Sobri sam jeden, zszedłszy do nich z rewolwerem w jednej ręce, z faszka wina w drugiej. Cała jego banda pozostała na górze strzegąc przystępu, ponieważ Sobri lękał się niespodzianki, to jest nowego oddziału żandarmów. Po powrocie cygana dopiero i wypłaceniu umówionej sumki, jako okup za mundury, gdy goście wyszli nareszcie z głębi wąwozu, i przekonali się że całej owęj „bandy” było wszystkiego ośmiu ludzi wraz z Sobrin, wtedy zdwojony wstyd i prawdziwa rozpacz ogarnęła biednych pandurów.

— Siedmnastu ludzi przeciw ośmiu! I tak się dać odejść!... ależ to hańba!... — rozpacział Saghy łamiąc ręce i włosy rwąc z głowy.

— E, co tam, przypadki chodzą po ludziach — pocieszał ściskając go Sobri — zresztą niechaj to zostanie między nami i koniec.

(d. c. n.)

## URYWEK Z PODRÓŻY.

Ukończyłem chlubnie studia medycyny, zdałem rządowy egzamin i jako skończony już człowiek, obejrzałem się wokoło siebie, co teraz czynić wypada. Praktyczny rozum mówił: osiedlij się w jakim prowincjonalnym mieście i pracuj na chleb powszedni z pożytkiem dla bliźnich. Ale to tak trudno słuchać tylko głosu rozsądku, gdy się ma lat 23, gdy świat przedstawia nam się jeszcze w różowych barwach. Wówczas chce się rozejrzeć po szerszym horyzoncie, zobaczyć innych ludzi, inne kraje, zamknąć się w ciasnych murach prowincjonalnego miasteczka nie nęci nas wcale. Długo namyślałem się co zrobić, ale ostatecznie fantazja wzięła górę nad praktycznym rozumem, pożegnałem kraj rodzinny i wyjechałem zobaczyć ten świat, który mi się tak uśmiechał i zakosztować Robinsonady. W kilka dni potem byłem już w Londynie. Tutaj odszukałem wpływowe osobistości, do których mi dano polecające listy, i dzięki tym nowym znajomościom w krótkim czasie uzyskałem nominację na lekarza okrętowego, na statku „Unfeary”, który

w połowie tegoż miesiąca miał popłynąć do południowej Atryki. A że mieliśmy dopiero 8, zostało mi zatem jeszcze tydzień czasu na rozejrzenia się po tem olbrzymim mieście, co mi przyszło tem łatwiej, że dobrze znając język angielski, mogłem się porozumieć z synami Albionu w ich ojczystej mowie. W Londynie zrobiłem dużo przyjemnych i mniejszą więcej ciekawych znajomości i tak potrafiłem zjednać sobie sympatyę i zaufanie Anglików, że jeden z moich nowych znajomych powierzył na czas podróży mej specjalnej opiece swój skarb najdroższy to jest syna 14 letniego wyrostka, który oddawna marzył o tem, aby zostać marynarzem. Rodzice, chociaż z wielką obawą, ulegli wreszcie prośbom syna i czekali tylko korzystnej sposobności, aby go wysłać w świat. Otóż ta sposobność zdarzyła się; powzięli do mnie zaufanie, więc wśród próśb i zakleć oddano mi pod opiekę ukochanego Alfreda. Przyjęcie podobnych obowiązków bynajmniej mi nie odpowiadało, bo czułem się nie-mi poniekąd skrepowany, wtedy pragnąłem użyć swobody i niezależności, ale jakżeż było można odmówić prośbom ojca, serdecznym łzom kochającej matki, a wreszcie jak ulecz proszącym spojrzeniem sympatycznego chłopca, który wyglądał tój pierwszy morskiej podróży z takim utęsknieniem, z jakim się czeka urzeczywistnienia najgorętszych marzeń. Rodzice Alfreda odprowadzili nas na pokład „Unfeary”, pożegnali najczulszemi wyrazami, dało sygnał odjazdu, maszyna zagwizdała, komin wyrzucił z siebie kłęby czarnego dymu, jeszcze jedna salwa, jeden świst i olbrzymi gmach poruszył się. Spojrzeniem żegnaliśmy pozostałych na wybrzeżu, ale postacie ich mały coraz więcej, wkrótce znikło nam już z oczu wybrzeże, widzieliśmy tylko wieżycę ogromnego miasta, ale i te mały z wolna, z wolna, niebawem widzieliśmy tylko wązki pasek ładu na jasnym horyzoncie i ten znikł nam z oczu i ujrzelismy się na otwartem morzu. Dziwne nieokreślone ogarnęło mnie uczucie żalu, smutku i własnej małości. Czem był ten okręt, który mi się poprzednio tak wielkim wydawał, w obec niezmierniej wód przestrzeni? nędzną łupinką.

Pogoda była przesłonna, niebo jaśniało lazuruową barwą, morze ciche, spokojne, a okręt nasz z niezmierną szybkością prął przejrzyste fale i dumny, lekki, nieustraszony pędził naprzód w południowe krainy. Tak przeszły pierwsze dni naszej podróży; ale tylko niewiele osób korzystało z sprzyjającej pogody; na pokładzie niewiele spotykało się podróżnych, większość zmorzona morską chorobą, przebywała w kajutach. Mnie szczęśliwie nie szkodziło kołysanie okrętu, byłem zdrow jak nigdy, ale mój towarzysz przyplądził tę pierwszą próbę kilkudniową chorobą, to też nie tak prędko pozwoliłem mu rozpocząć służbę chłopca okrętowego.

Dziesiątego dnia naszej podróży nad wieczorem oziębilo się nagle powietrze; zerwał się straszliwy wiatr, wył, huczał, smagał nielitościwie spienione fale, zaszumiło morze, z niebieskiego zrobiło się czarne, straszne, a okręt nasz, kołysany w tę i owę stronę, to się zanurzał, to znów ukazywał na wierzchołku olbrzymich bałwanów, które piętrzyły się na tój okiem niezmierniej przestrzeni na kształt niebotycznych gór, pokrytych śnieżnym całunem.

Mój pupil był pod wrażeniem tego dla niego niezwykłego zjawiska; drżał na całym ciele i przerażony tulił się do mnie, pytając czy to burza morską, o której mu tyle naopowiadano?

Wyłomaczyłem mu, że to tylko silny wiatr, który co do istoty i przyczyny niczem się nie różni od wiatru na lądzie stałym. Jeszcze z godzin kilka wyprawiał wiatr swe dzikie harce, ale po północy uspokoiło się morze, a my znęczeniu kołysaniem okrętu, poszliśmy do kajuty odpocząć i snem się pokrzepić. Tymczasem szybko płynęliśmy ku południowi; im więcej zbliżaliśmy się do równika, tem cieplejsza była temperatura, lecz morze burzliwsze. Zaprzyjaźniłem się z starym marynarzem, zamiłowanym w swoim zawodzie, który już tę podróż odbył kilka razy; ten opowiadał mi, że w okolicach podrównikowych srożą się bardzo często szalone burze i straszliwe wiatry, zwane orkanami, które się zwykle zjawiają peryodycznie. Jedną z najgłówniejszych przyczyn, sprowadzających je jest różnica w temperaturach na biegunach i równiku. Powietrze ogrzane na równiku podnosi się w górę i rozpościera w kierunku biegunów. Na biegunach znowu zimne powietrze tłoczy się

na dół, rozpościera w kierunku równika, wytwarzając w ten sposób dwa stałe prądy. Jednakże te różnice w temperaturze nie są jedyną i wyłączną przyczyną powstania wiatrów morskich. Są jeszcze inne słabsze, ale za to stałe. Do takich należy mianowicie ruch obrotowy ziemi naokoło osi. Są też wiatry zwane *mossoną*, pojawiające się na niektórych tylko morzach o pewnych porach roku. Inny rodzaj wiatrów stałych nazywa się *passatem*. Jest on nieraz bardzo korzystnym dla żeglugi i tak *passat* (północno-wschodni) popędził Kolumba z wysp Kanaryjskich przez ocean Atlantycki na miejsce nieśmiertelnego odkrycia. Ale biada żeglarzowi, którego okręt burza wirowa, czyli cyklon napotka! Cyklon jest to szalony wichur, który w dzikim pędzie opisuje koło i zmiata, niszczy, druzgocze każdy statek, który się w obrębie tegoż znajduje; podczas gdy wpośrodku panuje zupełna cisza. Na oceanie Atlantyckim istnieje cały pas, po którym wędrują cyklony. Żeglarze znają dokładnie te miejscowości, to też na pełnym morzu nieraz umiają uniknąć grożącego niebezpieczeństwa.

Zdawało się, że i nam przejdzie podróż bez żadnej nie-

rami. Siła wiatru rosła z każdą chwilą. Kapitan dał rozkaz zdjęcia żagli, więc kilku majtków poskoczyło na drabiny, zawisło wysoko w niewidzialnej sieci sznurów, a niebo rozjaśnione nieustającymi błyskawicami, przyświecało im przy tej robocie. Morskie ptactwo, przebudzone początkiem burzy, zaczęło kwilić i jakby narzekać; setki mew unosiło się nad okrętem i bijąc skrzydłami podnosiły swój pisk żaloszny, który przejmował nas jakimś złowrogiem przecuciem. Morze zrazu czarne ponure, pokryło się białą pianą, fale rosły do olbrzymiej wielkości, przewracały się, a wichur już nie kołysał, ale rzucał okrętem w tę i ową stronę, to zanurzał go nagle w czarnej wodzie przepaści, to unosił na grzbiecie olbrzymiej fali. Podróżni wyczekiwali z trwogą, co im niedaleka przyszłość przynieść może.

Majtkowie uspokajali ich twierdząc, że „Unfeary” już nie z takich burz wychodził zwycięzko, ale ich przestraszone twarze, ich wzrok niepewny nie wróżył nic dobrego. Tymczasem orkan srożył się z coraz to większą wściekłością, na niebie krzyżowały się błyskawice, grom huczał za gromem, ryczały spienione fale; okręt przewracał się po niej jak lekka skorupka.



Siedzieliśmy już wtedy na dużej łodzi...

fortunnę przygody; szczęśliwie omijaliśmy podzwrotnikowe cyklony, a chociaż raz po raz było morze burzliwe i zrywały się dzikie wiatry, nieuniknione w tamtejszych okolicach, to jednakże nasz „Unfeary” zawsze zwycięzki wychodził z potyczek i liczyliśmy już niecierpliwie dni, które nas jeszcze oddzielały od celu naszej podróży. Oko przyzwyczało się wprawdzie do widoku morza, ale i tęsknota za lądem stałym, za widokiem ożywionych miast, wsi malowniczej, za cienistymi konarami drzew, różnobarwnymi polami i szmaragdową łąką zielenością.

W myśli uprzytomniałem już sobie obrazy kraju, znanego tylko z licznych opisów, i cieszyłem się, że za dni kilka poznam je naocznie. Chociaż już noc zapadła, siedziałem jeszcze na pokładzie okrętu, wsłuchiwałem się w monotony plusk wody, patrzyłem na pogodny, ciemno-niebieski firmament, rozjaśniony tysiącami gwiazd, chcąc się przekonać, czy to prawda, co słyszałem, że pod zwrotnikowem niebem są inne niż u nas konstelacje gwiazd.

Wśród tych myśli i marzeń przejął mnie chłód straszliwy; od północy zawiął ostry wiatr. Niedługo potem dostrzeżono dalekie błyskawice na północno-wschodniej i północno-zachodniej stronie horyzontu. Niebo pokryło się ciemnymi chmu-

Wszystko, co było na jego pokładzie, zostało wyrzucone w morze. W kajucie straszliwy panował chaos; wszystko co nie było przymocowane do podłogi, latało w powietrzu; z ludzi nikt na nogach utrzymać się nie mógł, jedni milczą z przerażenia, drudzy podnoszą płacz rozdzierający, łamiąc ręce w rozpacz i błagając zlitowania Tego, który jest panem grzmotu i piorunów, na którego rozkaz ucisza się rozhukane morze. Ale burza się nie zmniejsza, przeciwnie, coraz to gęstsze padają pioruny, wichur z coraz to większą wściekłością smaga spienione fale, rzuca statek jak elastyczną piłką, trzeszcza belki, trzeszczy maszt niebotyczny, coraz to straszniej wokoło i znikąd nadziei, pomocy. Naraz rozległ się taki trzask, jakby kto z kilku armat wystrzelił, a równocześnie z kilkudziesięciu piersi rozległ się krzyk bezmierniej rozpacz. Runął maszt olbrzymi, który się zdawał uragać najcięższym nawałnicom, a z nim i reszta nadziei. „Odczepiać łodzi”, zakomenderował kapitan okrętu; kilkumastu majtków spełniało jego rozkaz, a my biedne rozbitki, tłoczyliśmy się do tych łodzi, na los szczęścia! Był to już ostateczny czas, bo woda dostała się do wnętrza okrętu, przyspieszając zatonięcie. Siedzieliśmy już wtedy na dużej łodzi, ja, biedny Alfred, kilku towarzyszy podróży i dwóch majtków. W je-

dnym z nich poznałem przy blasku błyskawicy mego nowego przyjaciela i ucieszyłem się, że mi właśnie jego za towarzysza los przeznaczył. Majtkowie schwycili za wiosła, walcząc z całą siłą z rozszalałym żywiołem. Tymczasem burza, jakby tylko chciała ukarać zarozumiałość okrętu, który wobec jej potęgi śmiał się nazwać „Unfeary” t. j. „Nieustraszony”, uciszyła się zwołna. Huragan popędził hulać w inne strony, małały napiętrzone fale, ustały błyskawice, pogrążając nas w nieprzeniknio-

Wysłuchał Pan Bóg serdecznej modlitwy sług swoich, bo jeszcze tego samego wieczora zobaczyliśmy okręt w oddali. Nasi marynarze wystrzelili z rewolwerów, aby zwrócić uwagę. Zobaczono nas; niebawem nadpłynęła łódź ratunkowa, która nas zabrała na pokład okrętu i na nim w tydzień potem dobiliśmy do wybrzeża południowej Afryki, dziękując Panu, że nam tak cudownym sposobem życie ocalił.



Strój tancerki arabskiej.

nych ciemnościach. W pół godziny potem nie było już śladu nawałnicy; morze ucichło zupełnie; znikły chmury z niebios sklepienia i niebawem ukazał się na wschodniej stronie nieboskłonu różany pasek, jakby zapowiedź lepszej doli. Słońce to słońce! zakrzyknęliśmy radośnie; na jego widok znowu nadzieja zawitała do zwątpiałych serc naszych, zwróciliśmy do Boga błagalne spojrzenie z gorącą prośbą, aby ulitował się nad nami i wybawił nas z tej niedoli.

## LIST Z WARSZAWY.

Siadam pisać do was, siostrzyczki kochane, pod świeżem wrażeniem wczoraj zwiedzanej Wystawy Rzemiosł, mieszczącej się w tychże samych salach, w których przed dwoma miesiącami oglądałam zabytki sztuki starożytnej. Dziś niema tam nic starożytnego, niemniej przeto wystawa jest ciekawą, bo daje

nam wyobrażenie o obecnym rozwoju rękodzieł i rzemioł w kraju naszym, o czem w ogóle słabe mamy pojęcie: kupując bowiem, nigdy nie wiemy, czy kupujemy krajowy wyrób, czy zagraniczny. Nie wiem jak komu, ale Gołąbce waszkiej, swojskiej, na domowym podwórku wychowanej ptaszynie, miło jest wiedzieć, że to co nosi, czego używa, krajowym, swojskim jest wyrobem; miło się przekonać, że w tem, w owem i w tamtem możemy się obyć bez obcych, i dla tego właśnie Wystawa, choć żadnych osobliwości na niej niema, zrobiła na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Jest na niej wszystkiego potrosze: chodziłam też od jednej rzeczy do drugiej, wszystkiemu przyglądając się ciekawie, ale że niepodobna szczegółowo o wszystkim wam opowiadać, więc też o tem tylko wspomnę, co mi się wydało ciekawszem, lub więcej mi się podobało. Do najciekawszych okazało się zaliczyć muszę warsztacik tkacki, w oczach widza wyrabiający galon pasmanteryjny, żałowałam tylko, że ów ktoś który warsztacik w ruch wprawiał, nie umiał, czy może nie miał ochoty, objaśnić mi szczegółowo całego mechanizmu tego przyrządu, który się wydaje dość prosty a wygląda jak eleganckie cacko. Napatrzwszy się więc do woli wzorom pasmanteryi i jakimś bardzo misternym metalowym niby ósemkom, do ich fabrykacji potrzebny, poszłam tam, gdzie bez objaśnienia wszystko zrozumieć można i minąwszy pokoiik z wyrobami cukierniczemi, między którymi naczelnie miejsce zajmuje olbrzymi tort marcepanowy, oparłam się przy stoliku, który zajął wrobami swemi p. Alfons Starzyński, wychowaniec Instytutu Głuchoniemych. Śliczne są to wyroby rzeźbiarsko-snycerskie: ramy, ramki, talerze, noże do papieru, szkatulki, wieszadła do ręczników, tace, wszystko gustowne a niedrogie i z wielką uprzejmością pokazywane przez właściciela, którego wybornie się porozumiewa z kupującymi za pomocą pisma. Serce się raduje na myśl, że człowieka dotkniętego jednym z najstraszniejszych kalectw nauczono rękodzieła z artystycznym już prawie graniczącym: daje mu ono sposób zarobkowania i razem cel w życiu stwarza, bo z widocznym zamiłowaniem rozkłada i pokazuje wyroby swoje. Drewniane także i także artystyczną nacechowane prostotą wyroby, wystawiła istniejąca w Podzamczu tak zwana „Szkoła Parobków”, która po śmierci założyciela hr. Stanisława Zamoyskiego, dalej rozwija pożyteczną działalność. Wszystko to proste, swoje, z jaworu, gruszy lub żelaza, wszystko do codziennego użytku służące, mocne trwałe, grubemi spracowanemi rękami zrobione, ale także wdzięczne i kształtne, takiego szlachetnego smaku piętno noszące na sobie, że aż mi się oczy świeciły do tych żelaznych lichtarzy, drewnianych „book-stand’ów” na książki (rodzaj jakby stojącej półeczki z przegródkami w których ustawiać można książki) i tym podobnych cacek, niezmiernie waszkiej Gołąbce miłych. A kiedy już o szkołach mowa, na potem zostawiam opowiadanie o innych jeszcze przedmiotach, widzianych na pierwszym piętrze i przeskakuję na drugie, gdzie kobiecie i mężkie szkoły rzemioł wystawiły wyroby swoje. Są tam przeróżne rzeczy: i roboty włóczkowe i pasmanteryjne ozdoby, i malowidła rozmaite i suknie i czepeczki, ale z wyrobów szkół kobiecych najdłużej przypatrywałam się tym, które wystawiły uczennice p. Tokarzewskiej. Wyróżniają się one od innych szerszym zakresem, jaką działalność swą stawia szkoła, dążące widocznie do połączenia artysty z praktycznością. Dowodem tego są najpierw dwa manekiny, stojące na straży przed szafeczką zawierającą roboty uczennice p. T. jeden z nich strojny w draperye z blade-różowego surah, na którym przewijają się malowane kwiatów i liści gałęzie, drugi w domową, codzienną przyodziany sukienkę, zręcznie choć poprostu skrajaną i gustowną, choć niezmiernie skromną. Dalej widzimy tu zgrabnie zrobione kapelusze, czepeczki, muffki i t. p. Z artystycznych wyrobów widzimy śliczne chińskie ekrany, wachlarze z rysunkami naśladowującymi rysunki Bouchera i Watteau, oprawy do książek z rysunkami na kości słoniowej, wyroby z terracoty, barbotiny, i wiele innych pięknych rzeczy zalecających tę szkołę paniom pragnącym się uczyć tego wszystkiego. Dla mieszkanki wsi dodać tu muszę jeszcze, że p. T. przyjmuje do siebie na pomieszkanie panienki, które odebrawszy staranne wychowanie domowe, pragną je uzupełnić nauką jakiego pożytecznego zajęcia, i w tym celu przyjeżdżają do War-

szawy. Rodzice nieraz w prawdziwym są kłopotcie, gdzie taką pamienkę umieścić; otóż Redakcyja Wieczorów powagą swoją ręczy, że u p. T. najlepiej wychowane panienki znajdą właściwe dla siebie otoczenie. Uważając gospodarstwo domowe jako koniecznie potrzebne w zakresie wychowania młodych panien, szkoła p. T. wystawiła także wyroby tego rodzaju swych uczennic jako to: szynki, półgęski, konserwy, konfitury i pierniki w kilku gatunkach. Pomiędzy wyrobami szkół, uderzają mnie szlachetną prostotą kształtów i materiału, wyroby szkoły gminy Starozakonnych. Żelazne lichtarze, staluzki do obsadek w kształcie podkowy, przyciski do papieru, wszystko to bardzo ładne i taką jest dla Gołąbki waszkiej pokusą, że niecia od nich czempredziej przyglądać się... suszonym włóczczyznom. Marchew, pietruszka, kapusta włoska i zwyyczajna, wszystko to drobniutko pokrajane, ususzone, mało miejsca zabierające, jest podobno wybornem i w użyciu gospodarskiem okazuje się wielce praktycznem. Mówię „podobno”, bo choć po skończeniu nauk napędzają mnie już potrosze do zajmowania się domem, jednak zajęcie to ograniczało się dotąd jedynie robieniem herbaty i przyrządzaniem zastawy do niej; teraz dopiero mam rozpocząć praktykę w kuchni, gdzie z suszonymi włóczczyznami zawrę bliższą znajomość. Tymczasem z zajęciem oglądałam na pierwszym piętrze ładne i tanie skórzane wyroby: paski, portmonetki, torebki podróżne z gładkiej i wyciskanej skóry (z fabryki p. Modrzewia przy ulicy Rymskiej) i choć zawsze słyszałam że wiedeńskim tego rodzaju wyrobom trudno dorównać w piękności i te jednak ładnymi mi się wydają; nie przywykłam do zagranicznych wykwintów i doprawdy, gniewają mnie ci, którym lada fatalaszka, dla tego że zagraniczna więcej się podoba od krajowej. Podobają mi się też dywany i portyery z fabryki krajowej, wyroby z bursztynu (między innymi śliczny naszyjnik z medalionem, na którego przezroczystem tle odbija rzeźba z matowego, blade-żółtego bursztynu) ale więcej nad to wszystko podoba mi się szkolna ławeczka wyrobu p. Gostyńskiego. Jakby to na niej wygodnie było, nie mówię już *braciom* moim, bo dorastające to chłopaki, nad których niewygoda rozczulać się trudno, ale *braciszkom*, jeszcze małym, a już po kilka godzin przesiadującym na ławce szkolnej. Niedawno właśnie czytałam, że w szkołach szwedzkich każdy uczeń ma ławkę przez kompetentnego stolarza do swoich rozmiarów zastosowaną! Podziwiam dowcipny pomysł sprzętu, który rozłożony, stanowi unywalnię, a złożony taboretem się staje, śliczne wózekki dzieciinne, niezmierną ilość noży, nożyczek i wszelkich stalowych narzędzi, ze zdumieniem spoglądałam na grube i szerokie pasy rzemieńne, prawdopodobnie do maszyn jakichś potrzebne, rzucam zachwyczone spojrzenie na różne platerowane wyroby, artystycznych kształtów i nader misternego wykończenia, nieobojętnie przechodzę koło pierników (nieopodal od nich są pasztye, do pokosztowania których zapraszają, a na pierniki niikt nie prosi!) zatrzymuję się koło drogiej, pracowitej, a... brzydkiych wyrobów z korka, będących podobizną pałaców i fabryk przemysłowców z Łodzi, podziwiam spódnice i kapy z siatkowej gipiury i... wychodzę. Na schodach mam ochotę usiąść w stojącym tam fotelu ogrodowym. Ach! co to za fotel! zamiast siedzenia i pleców ma wyciągnięty pas płócienny, rozkłada się jak szeslong, buja jak huśtawka, a głowę siadającej na nim osoby osłania od słońca płócienną markizą. Jakby to było rozkosznie postawić go sobie w lecie pod jakim kasztanem czy lipą i zabawić się na nim w leniuszka! Troszeczkę tylko zabawić... boć przecie Gołąbka wasza rozumie, że leniuszkiem być się nie godzi — ale ten fotel, to istna pokusa! Pewna jestem, że gdyby takich bardzo dużo rozkupiono, toby nigdy już nie było Wystawy, która składa się przecie z dowodów że umieją przewyciężyć lenistwo ci, co okazami pracy swojej tyle sal zapełnić potrafili. Nie na wygodnym też fotelu beczynnie spędzają życie ci, których prace na innej znowu Wystawie oglądałam. W tak zwanym „Salonie Krywulta” ściną teraz licznych widzów obraz Gabriela Marxa „Spełniło się”. Blada, męcząskim bólem napiętnowana twarz Chrystusa, przejmujące robi wrażenie... Co to jednak za rzecz cudowna: talent! i i jak ogromną jest jego potęgą!... Tuż naprzeciwko obrazu owej Głowy, której widok odrywa się od ziemi, wisi przedziwny obraz: „Na



swojską nutę" całkiem już ziemski, powszednią przedstawiający scenę, ale tą swojskością właśnie i tą powszedniością swoją zajmujący. Dwóch grajków tnie sobie od ucha coś swojego: mazura zapewne, bo twarze słuchaczy aż się śmieją rozochoceniem serdecznym. Dalej trochę z przyjemnością spoczywa oko na popiersiu szanownego ś. p. A. E. Odyńca, którego niejedna z pomiędzy nas „staruszek” znać mogła i pamięta, a którego bajeczki „Rubelek Tesi i wierszy uczyliśmy się prawie wszystkie. Kto lubi konie i dzielnych, zamasztych jeźdźców, ten z przyjemnością się przypatrzy dwom obrazom Pillatego: „Na polowaniu” a te z pomiędzy nas, które już czytały Balladynę, utoną wzrokiem w ślicznej twarzyczce Aliny; pędziła T. Maleszewskiego. Artysta przedstawił ją w chwili, gdy mówi: „ja przysięgi nie łamię” i w istocie z tą anielsko-dziecięcą pogodą i czystością spojrzenia, kłamać chyba nie można... Takie szczerze i prawe a takie smutne te oczy ciemno-błękitne! widziałam je przed sobą dzień cały... A mimo to tak na jednej jak i na drugiej wystawie ciągle rzucalam okiem, czy gdzie nie ujrę jakiej panienki lub dziewczyneczki, a którą zobaczę: „może to jedna z moich korespondentek?” powiadam sobie... Co to jednak szkodzi, że się nie znamy, skoro kochamy się jak siostry, skoro ja dzielę się z wami każdym lepszym wrażeniem życia i nawzajem odczuwam wszystkie uciechy i smutki wasze? Zawsze więc siostrą, wam jestem i zawsze sercem całym wam oddaną.

*Goląbka.*

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg.)

Nad wieczorem ściągnęli do posiadłości hodowcy zwierząt.

— Jest w ogrodzie wilk przyswojony — oznajmił pocihu wujowi Tomek, szperający wszędzie po kątach. — Chciałbym wiedzieć co chcą za niego.

— Mam dwa wilki — rzekł Meksykanin, gdy mu o tem wspomniano — małego mogę wam dać darmo, bo na niewiele nam się przyda, ale z dużym rzecz jest inna, moja żona nie chce go zbyć, bo on nam masło robi.

— Masło robi! — krzyknął Tomek. — Słyszałeś kiedy coś podobnego wuju?

— Czy chcecie go zobaczyć u roboty? właśnie teraz pracuje — powiedział Meksykanin.

W kącie ogrodu w chłodzie stała wielka maślnica, a ogromne czarne wilczyisko obracał korbę z tak wielkim zapałem, że aż jęczał i stękał z wysilenia. Co prawda, może przyczyną tego była też jego zbytnia tusza. Zwierzę to słymne z okrucieństwa i dzikości, użyte tutaj do tak spokojnego gospodarskiego zajęcia rozśmieszyło Tomka tak bardzo, że się nacieszyć niemi nie mógł i trudno było chłopca ztamtąd oderwać.

Nazajutrz Melchior kupił małpki, które zajęły mieszkanie we wspólnej klatce z dawnymi znajomymi pani Yegua. Nowe przybysзки, ujrawszy małą saki, zarzuciły ją przeróżnymi grzecznościami w swoim rodzaju i uprzejmymi oznakami radości; ale saki przyjęła je niezmiernie zimno i odsunęła się od nich na sam szczyt klatki; natenczas i nowoprzybyłe przybrały minę obrażonych osób, względem których chybiono należnych względów i zbiły się w gromadkę w najdalszym kącie klatki powykrzywiawszy się szkaradnie, tak prawie jak to umieją źle wychowane dzieci.

— Jak się też to chwyta małpy? — spytał Tomek przewodnika, wracając do pułkownikowskiej siedziby.

— Zastawia się siidła na matki. To jedyny sposób. Małpki umieją z całą zręcznością wspinać się na drzewa prawie od chwili przyjscia na świat, a gdy się raz na drzewa dostaną, niema co już i gonić za nimi. Ale gdy schwytasz taką która ma małe, to te maleństwa przyjdą same do ciebie ze szczytów drzew i będą ci się czepiać u rąk i nóg widząc, że zabierasz im matkę. Doprawdy nie wszystkie dzieci są równie przywiązane

do rodziców jak te biedactwa, niejedno dziecko uciekło by ze strachu.

Pułkownik pragnął aby goście pozostali jeszcze u niego choć dni kilka, ale czas Melchiora był obrachowany. Musiał więc odmówić serdecznym zaprosinom i wyruszył w drogę natychmiast.

Pierwsze miasteczko jakie spotkali wędrowcy, nazywało się San Elizario; było dosyć zamieszkałe, Melchior mógł tam umieścić zakupione zwierzęta i ugodzić dozorcę, który miał je następnie dostawić do Vera-Kruz. Kapitan musiał pozbyć się koniecznie tego ładunku, gdyż chciał udać się na południe Yukatanu; opowiadano mu, że ta okolica obfituje w zwierzęta wszelkiego rodzaju, i że będzie można przebyć rzekę Belizę po moście sznurowym. Wnosząc z tej nazwy, Tomek sądził, że zastaną jakiś most wiszący w rodzaju mostów żelaznych. Zdziwił się tedy bardzo, gdy pewnego południa, stanawszy na brzegach tej rzeki, ujrzał zamiast mostu dwie liny, przymocowane do dwóch pni sterujących z ziemi po obu brzegach rzeki, płynącej w głębi ciasnego, lecz głębokiego koryta.

— Jakto, czyliż trzeba będzie przebywać rzekę, tak jak słynny Blondin przebywał wodospad Niagary? — spytał — co do mnie doprawdy nie czuję się na to dosyć wprawnym w ćwiczeniach gimnastycznych. A ty mój wuju?

— Ani ja.

— Jakże zatem będzie?

— Zaraz zobaczysz — rzekł Dabby Simon, patrząc ku przeciwnemu brzegowi. — Niema ich tam, trzeba będzie czekać aż powrócą — dodał, wydawszy przedłużone gwizdnięcie, które pozostało bez odpowiedzi.

— No, kiedy tak — powiedział Melchior do synowca — to idź z Menitem ułović pstrągów lub węgorzy na wieczere, bo nie obfitujemy w żywność.

Drożyna taka jakby dla kóz, prowadziła w dół zygakiem po skale na brzeg rzeki. Dwaj chłopcy zapuścili wędkę. Ryby tych okolic nie przywykły widać do takich podstępów i nie znały się na nich, bo chwytały za każdy raz.

Pracowano już czas niejaki tak pożytecznie, i Tomek właśnie miał wyciągnąć przepyszną sztukę, która tylko co połknęła przynętę, gdy głowa czarna i błyszcząca ukazała się na powierzchni wody i połykając rybę znikła.

— Wydra! — krzyknął Menito. Ah, oto ich więcej, cała gromada!

W istocie w jednej chwili cała okoliczna powierzchnia wody pokryła się okrągłymi czarnymi głowami, wydry pływały jak delfiny, ukazując się i znikając pomiędzy skałami nadbrzeżnemi. Rybołówstwo stało się niemożliwym; dwaj chłopcy porzucili wędkę.

— Ej, żeby tak ułović kilka młodych wydr, toby więcej znaczyło niż ryby — rzekł Menito.

Istotnie futro wydry jest bardzo cenne, zwłaszcza wydry morskiej najzadszej, sprzedaje się do 1,500 franków za skórę. Znaną jest jej sierść krótka, delikatna, gładka, bardzo gęsta, trochę podobna do aksamitu. Wydra jest zwierzęciem ziemnowodnym; żyje doskonale i na ziemi i w wodzie, ale lepiej pływa niż chodzi, ponieważ ma palce u nóg połączone błoną, jak u kaczek, które służą im niby wiosła. Zazwyczaj idzie się na wydry ze strzelbą i z psem. Menito i Tomek nie mieli w tej chwili ani jednego, ani drugiego; Kasztan pozostał przy kapitanie; napróżno też kusili się pochwycić zwierzęta, uwijające się koło nich, zyskali tylko takie porządne ukąszenia, że stracili ochotę do tych łowów.

Wkrótce też przywołał ich głos Melchiora.

Trzech czy czterech Meksykańczyków przybywało równocześnie nad przeciwny brzeg rzeki. Jeden z nich rzucił podróżnikom powróz, który Dabby Simon pochwycił i ciągnął ku sobie wraz kapitanem. Coś w rodzaju niby łódki uplecionej z łożyn poruszyło się wtedy na przeciwnym brzegu i zesłiznęło po linach ku naszym podróżnym: właściwie mówiąc, most nie był mostem, ale raczej promem napowietrznym, któremu nie każdy miałby odwagę powierzyć całość swoich kości. Nie zawahali się przeciw wędrowcy, i po dwóch transportach znaleźli się wszyscy cali i zdrowi na drugiej stronie rzeki Belizy. Rozumie

się, że do *całości* podróżnej gromadki wliczał się Kasztan i Czarnula.

Dwaj obcy podróżni przyłączyli się do towarzystwa Melchiora, bo to był jedyny środek komunikacyjny, łączący z sobą dwa brzegi rzeki w całej okolicy. Jeden z tych obcych był to młody Hiszpan, udający się do kopalni złota w San Christoval w Guatamala; drugi był Indianin dobrze uzbrojony w towarzystwie ogromnego psa pół-wilka na smyczy. Zwierzę to olbrzymie, dźwigało z obu boków na grzbiecie dwie duże torby skórzane, zamknięte na kłódki. Gdy przechodzono przez krzaki, pies przybliżył się ostrożnie do pana, aby smycz nie zaczepiła się o krzaki, lub żeby silne kolce krzaków nie rozdarły torby.

— Dla czego nie puścicie psa wolno? — spytał Tomek — pewnie mu przykro iść tak na uwięzi. Daleko byłoby mu lepiej biedz swobodnie.

— Wiem ja o tem i chętniebym go puścił — odpowie Indianin — ale nie mogę sprzeciwić się rozkazom. Ten pies niesie depeze rządowe, gdybym go puścił, straciłbym służbę.

— Otóż listonosz nowego rodzaju, i podobno głęboko przejęty ważnością swego posłannictwa — rzekł śmiejąc się Tomek.

Kontrabandziści w Pyrenejach umieją podobnie przyuczać psy do przemycania zakazanych towarów. Wybierają na to silne rasowe zwierzęta, przywiązują im pakunki na grzbiecie i puszczają psy tak obciążone na górskie strome ścieżki, po których celnicy nie odważają się ich ścigać, tembardziej, że ci czworonożni przemytnicy umieją bronić swych pakunków. Tymczasem właściciel idzie sobie najspokojniej z rękami w kieszeniach głównym gościńcem; jeżeli go zaczepią, nic przy nim nie znajdują. Przybywszy na wyznaczone miejsce, znajduje psa czekającego nań spokojnie, zdejmuje zeń pakunki, pożywia, odsyła na drugą stronę granicy i rozpoczyna na nową całą manipulacją, dopóki właściciel psanie zostanie poznany jak przemytniki i wpakowany do więzienia.

(d. c. n.)

#### ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Malinka z Goworowa dla Gołąbki pocztowej.

	czor	stru			
nym	ru	łał	wie	ny	
po	Pod	w	lu	szyl	pa
schy	zmar	mu	wny	dzian	nad
krzy	ką	mło	o	ku	dzi
ku	bo	gdy	w	dzian	i
re	żem	sie	ny	gień	o

#### Łamigłówka liczbowa.

Z dwudziestu liter ułożyć imię i nazwisko znanego u nas przyrodnika.

- 15, 16, 6. Część twarzy.  
 15, 16, 12. Część doby.  
 4, 5, 15, 20, 3. Owoc.  
 3, 6. Karta do gry.  
 6, 3, 15. Rzeka w Galicyi.  
 19, 16, 18. Ptak.  
 1, 20, 6, 7, 3. Rzeka w Polsce.  
 16, 18, 3. Owad.  
 12, 5, 15, 3. Metal.  
 3, 15, 15, 3. Imię żeńskie.  
 19, 16, 7, 16. Część wozu.  
 18, 16, 19. Płyn owocowy.  
 19, 3, 19, 3, 16. Owoc służący do wyrobu czekolady.  
 19, 3, 10. Wykonawca wyroku.  
 19, 16, 10. Zwierzę domowe.  
 19, 14, 9, 8. Produkt Arabii.  
 9, 16, 4, 8. Najzdrowszy napój.  
 6, 16, 9, 14. Ptak nocny.  
 19, 2, 1, 6, 4, 3. Duży kawał drzewa.  
 16, 19, 14. Rzeka wpadająca do Wołgi.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

##### Zadania alchemicznego:

Kr-Z-em. P-Ot-as i Ol-ów.

Złoto,

##### Łamigłówki kryształowej:

M  
 K o s  
 K o n i n  
 J a n i n k a  
 M o n i u s z k o  
 H a l s z k a  
 M o z y r  
 O k o  
 o

**Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Katarzyna z Lipińskich Lewocka (z drzew.). — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.). — Urywek z podróży (z drzew.). — List z Warszawy p. Gołąbkę. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Za radą matczki (z drzew.). — Pustelnik i Niedźwiedź (wiersz) p. T. N. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## ZA RADĄ MATECZKI. ✕

— Ach jak ten czas wolno się wlecze! — wołał z nadąsaną minką Kazio, rzucając się niecierpliwie na darniową ławeczkę pod drzewem. — Jeszcze całe pięć godzin zanim pojedziemy na imieniny Natalci — a tu gorąco, nudno, niema co robić! Ach jak ja się nudzę okropnie na tej wsi, w Warszawie to przynajmniej wesoło zawsze. Jak skończę rano swoje lekcje a mamusia ma czas, to idziemy do Saskiego ogrodu i tam bawimy się do wieczora, a tu!?... prawda Zosiu?...

Siedząca obok niego starsza nieco siostrzyczka widocznie była tego samego zdania, bo w tejże chwili złożyła do koszyczka robótkę, małą pończoszkę dla lalki, wyciągnęła leniwie rączki, ziewnęła i przymykając oczki, zmęczone jakby od blasku południowego słońca, rzekła: — Okropnie nudno!...

— I co tu robić — mówił dalej z rozpaczą Kazio — konik znudził mi się już dawno, piłka wpadła wczoraj w krzaki agrestu i musiała się w niej dziurka przekłóć, bo zmiękała i niechce odskakiwać, zabawki wszystkie już stare, pajaca podarł mi na kawałki ten niegodziwy Miluś...

— Masz moją lalkę przerwała mu Zosia — jest jeszcze cała; możebyśmy się z nią pobawili, bo i ja nudzę się strasznie.

— Lalka! — zawołał nawpół śmiejąc się i płacząc Kazio — czy to ja jestem dziewczyną, żebym się bawił lalką! a zresztą ciągle nią tylko się bawić, to i to się znudzi. Zawsze to samo, ty jesteś jej mamą, ona choruje, a ja przychodzę niby doktor ją leczyć. Nie, nie chcę mam już po uszy twojej lalki!

— Jak niechcesz to nie, nie będę cię o to prosiła — odparła obrażona trochę odmową dziewczynka — potem odwróciła się w inną stronę, spuściła główkę i zachmu-

rzoną twarzą ukrywając w dłoniach, zaczęła nucić obojętnie: „Chciało się Zosi jagódek”...

Kazio ucichł, ale widać że mu się zrobiło siostrzyczki i wstyd własnej porywczokości, bo po chwili milczenia zbliżył się do niej pocichutku, objął za szyję, pocałował i szepnął do uszka:

— Nie gniewaj się Zochno, byłem niegrzeczny, ale nieumyślnie, wiesz co, przyszła mi teraz do głowy dobra myśl. — Chodźmy do mateczki i poprośmy ją ładnie, ona nam powie jak się bawić, zobaczysz!

Zosia, która miała złote serduszek, w jednej chwili zapomniała o całym gniewie. Uśmiechnęli się do siebie, wzięli za ręce i pobiegli do pokoju.

Mateczka była bardzo zdziwiona.

— Jakto, nudzicie się na wsi? — mówiła. — A ktoś to tak gorąco pragnął, żeby już prędzej nadeszło lato i prosił tatusia żeby jaknajprędzej wyjechać z Warszawy na letnie mieszkanie?... To bardzo nieładnie tak popsuć wszystkie zabawki, żeby potem nie było co robić. Więc naprawdę nudzicie się tutaj?

— Okropnie, mateczko! — powiedz nam w co by się bawić — prosiły dzieci.

— No, to może założycie sobie sklep?...

— Sklep, tutaj na wsi? jakto mamusiu? — zawołali ciekawie.

— W ten sposób: pobierajcie swoje zabawki, dam wam trochę owoców, Kazio ułoży to wszystko na swoim stoliku i będzie kupcem, ty zaś Zosiu będziesz do niego chodziła po różne sprawunki, za które możesz płacić dajmy na to listeczkami róży lub jaśminu. Cóż, czy dobrze?...

— Doskonale, wybornie, mateczko! jak to ślicznie wszystko wymyśliłaś! — wołały ucieszone dzieci, klaszcząc w dłonie radośnie.

Mama wstała, otworzyła szafkę i wysypała w fartuszek Zosi kilka jabłek, gruszek i trochę orzechów. Kazio tymczasem pobiegł poznosić zabawki.

W godzinę potem zabawa szła w najlepsze. Na stoliku pod drzewem, starannie osobno poukładane leżały różne towary.

Była tam lalka i pajac poszarpany przez zbytnika Milusia, były świeżo zerwane kwiatki i owoce, cała rota ołowianych żołnierzy lśniła na słońcu jakby w odświeżonych mundurach, było domino, łamigłówa, wszystko czego dusza zapagnie.

I dziwna rzecz! te stare popsute zabawki, niemające przed chwilą najmniejszego powabu, teraz na tym stoliku wyglądały jakoś całkiem inaczej — jak nowiuteńkie w prawdziwym sklepie.

A nad tem wszystkim z powagą doświadczonego kupca, stał Kazio. Już mu się teraz nie nudziło! Trzeba było widzieć jak mu się oczy świeciły, kiedy na zakręcie uliczki ukazywała się w kapeluszu z parasolem i koszyczkiem w ręku Zosia, jak przystępowała do stoliczki i uprzejmie zapytywała o cenę którego przedmiotu. Wówczas on, zachwalał wszystko i ceniał drogo, a ona jako dobra i rozsądna gosposia, targowała się zawzięcie

i dopiero po długim namyśle i obustronnych ustępstwach, zrobiony sprawunek chowała ze stolika do koszyczka.

A godziny mijały tymczasem jedna po drugiej, i jakież było zdziwienie Kazia i Zochny, skoro niedługo usłyszeli z pokoju mateczkę wołającą, że już szósta i czas się ubierać na imieniny Natalci, która mieszkając blisko zaprosiła ich dziś na podwieczorek do lasu.

— Ach jaka szkoda! — zawołali zdziwieni. — Myśmy dopiero rozpoczęli tę śliczną zabawę. Jak to czas prędko leci!...

I odtąd nie nudzili się nigdy, bo w wolnej chwili Kazio urządzał zaraz sklepik i bawiono się w kupca i gospoście.

Cairo.

## PUSTELNIK I NIEDŹWIEDŹ.

Żyjąc na puszczy pustelnik siwy,  
Jadał korzonki i był szczęśliwy,  
W sąsiedztwie starca trochę za blisko,  
Niedźwiedź niezgrabny miał legowisko,  
Oba w najlepszej żyli przyjaźni.  
Żyć we dwóch razem jakoś to raźniej!  
Obadwa pomoc przyrzekli sobie,  
W każdej przygodzie i w każdej dobie.  
Raz, gdy starcowi, wśród słońca spieki,  
Sen słodki zwolna skleił powieki,  
Ni ztąd ni zowąd przylata mucha,  
I nuże brzęczeć mu koło ucha  
Niedźwiedź to widząc, na sojusz pomny,  
Podniósłszy z ziemi kamień ogromny  
Rzucił na muchę; ale cóż z tego?  
Miś, zamiast muchy — ranił śpiącego,  
Takie bywają skutki przymierza,  
Gdy kto niezręcznym nazbyt dowierza!...

T. N.

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKĄ.

VII.

— Jak to się robi z temi rodzenkami, moja Józiu, pokaż mi — prosił chłopczyk, trzymając dwoma palcami prawej ręki jedno ziarnko i przyglądając mu się z uwagą; ja tu nic złego w niem nie widzę.

— A ta szypułka — tłumaczyła siostra — ona niepotrzebna, trzeba ją wyrwać i wyrzucić.

— Taka mała — rzekł Wicusz z lekceważeniem — będzie więcej i chciał rodzenek położyć na półmisku wraz z nieoderwaną szypułką.

— Ależ nie można — mówiła Józia — nie kładź tam, szypułki trzeba koniecznie odrywać, o tak! widzisz?

— A prawda! już ją oderwała; jak to dobrze, — i wsadził rodzenek do ust. — Smaczny! — dodał.

Józia pogardliwie ruszyła ramionami. Wicusz obrał ze dwa jeszcze rodzenki.

— Wiesz co, Józiu — rzekł po chwili, przerywając milczenie — wiesz nad czem myślałem teraz, że najsmaczniejsze to już są migdały razem z rodzenkami. Sprobujuj! Już ja ci powiadam, że to doskonałe — i wprowadzając w czyn, co wygłosił w zasadzie, chwycił po garści z każdego półmiska i zapełnił nimi szeroką, prawdziwie uczniowską buzię.

— Łakomiec jesteś, straszny łakomiec — zawołała zgorzszona Józia, patrząc z przerażeniem na gwałtownie zmniejszającą się ilość migdałów. Już mi lepiej nie pomagaj; idź sobie.

— Nie miła księdzu ofiara, idź ciele do obory — rzekł Wicusz — dobrze, nie chcesz mnie to pójść na koniec świata; o! mak będę wiercić! — i chwyciwszy donicę, siadł na ziemi i zaczął z całych sił kręcić wałkiem.

— Ależ nie potrzeba, mak już dawno uwiercony.

Wicusz na nic nie zważając robił swoje dalej. Z całym zapałem młodej swjej wyćwiczonej gimnastyką pięści, tarł wałkiem o donicę, wkrótce znudzony podniósł się, chwyciwszy donicę za brzegi; ale o zgrozo! w ręku jego zostały same tylko boczne skorupy, dno zaś z całą masą szarego rozlanego maku leżało na ziemi.

W tej chwili nadeszła mama, a widząc co się dzieje, uratowała ile mogła smacznej przyprawy, potem zaczęła się rozpytywać w jaki się to sposób stało. Wicusz aż oniemiał ze zmartwienia, bo już pewnie strucli z makiem na święta nie będzie. Józia musiała sama o gorliwości brata do pomagania opowiedzieć. Mama widząc szczery żal chłopczyka nie gniewała się na niego, tylko prosiła, żeby innym w robocie nie przeszkadzał.

Jakiś czas Wicusz siedział spokojnie, ale to nie mogło trwać długo, niecierpliwość go wielka ogarniała, więc, gdy drzwi do kuchni otwarto, prześliznął się do jęj wnętrza.

Marysia kucharka miesiła właśnie ciasto w nieckach, a gdy Wicusz zapytał wiele też z tego ciasta może być placek?

— O niech mi też panicz głowy nie zawraca — odrzekła — bo jeszcze panicza pogłaskam... i wyjąwszy z niecek ciastem oblepione ręce, pogroziła niemi Wicusowi.

Wicusz odskoczył w bok, potknął się o leżące na ziemi drzewo i zatoczył pod piec, gdzie stała duża dzieża z ciastem na baby, które rosło przykryte obrusem, stracił równowagę i z krzykiem: gwałtu, co się dzieje! uczuł, że zagłębia się w coś miękkiego coraz bardziej. — Marysia od niecki, mama od ryby, Józia aż z jadalnego pokoju przybiegły i wszystkie w krzyk:

— O la Boga, a to skaranie boskie z tym paniczem! — lamentowała Marysia.

— Nieznośny, niepoprawny chłopiec z tego Wicusia — narzekała mama, biegnąc mu na ratunek.

— A nasze baby?! przepadły już baby — wołała praktyczna Józia.

Tymczasem z dzieżki po jednej stronie głowa, po drugiej nogi wystawały. Reszta postaci pogrążona była w cieście, które z przepełnionej dzieży na wszystkie strony uciekało.

Nareszcie wydobył się z tej niewygodnej pozycji, ale w jak oplakany stanie był jego nowy garnitur!

Na ten widok, mimo tragiczności wypadku, wszys-

cy głośnym wybuchnęli śmiechem, a nasz zuch zawstydzony pobiegł do sypialnego pokoju, aby się przebrać. Długo nie śmiał powrócić, niepewny, jakie będzie powitanie: czy porządna bura, na którą zasłużył, czy też tylko śmiech i żarty, które go wcale nie bawiły, gdy sam był ich przedmiotem. Smuciła go także i myśl, że nietylko placka z makiem, ale i bab już nie będzie, przez co naturalnie święta wiele stracą dla niego uroku.

### VIII.

Wszystko na tym świecie prędko mija; wakacje świąteczne skończyły się także i trzeba było znowu iść do szkoły. Dla starszych zaczął się karnawał, ale dzieciom każą się uczyć.

Jednakże Wicusz lubił zapusty; jest to pora pączków i faworków, a przytem mama obiecała, że jeżeli dzieci będą grzeczne to w ostatki im bal wyprawi.

— Co za szczęście! balik mieć będziemy, zupełnie jak ludzie dorośli. — Czy i muzyka będzie, mamó? — pytała Józia.

— Ale naturalnie, będziecie tańczyć do upadłego.

— A wino czy będzie? trzeba koniecznie, bo bez wina to i zabawa gorzej idzie — dodał Wicusz z miną wyższą, bo mu się zdawało, gdy mówił o winie, że jest już dorosłym mężczyzną.

— Wina się dzieciom nie daje — odpowiedziała mama — ale zrobię dla was doskonałą limonadkę, dla zaspokojenia pragnienia.

Wicusz udawał zmartwionego, ale tylko udawał, bo on bardzo lubił limonadę, a wino rzadko pijał i nie bardzo mu smakowało.

Długie były narady nad tem, kogo pani Z. zaprosi z przyjaciół córki i syna. Józia prosiła za swemi koleżankami Zosią i Lolą, a imiona te przypomniały Wicusowi dwie pensyonarki, które na początku tego roku na ulicy spotkał. Jak to będzie miło znów się z nimi zobaczyć i to na baliku u siebie — pomyślał z radością! — Pani Z. zaprosi także Halinkę i jej mamę, z którą znajomość zrobiła na ślizgawce, kilku kolegów Wicusia i jeszcze parę innych osób.

Par będzie sześć a Staś prowadzenia tańców z pewnością się podejmie. Słowem wszystko było ułożone i dzieci wyczekiwały niecierpliwie ostatniej karnawałowej niedzieli.

Nadszedł w końcu ten dzień tak upragniony, a że dzieci przez ten czas były posłuszne i dobrze się uczyły, więc pani Z. dotrzymała obietnicy, goście się zeszli i bal o siódmiej rozpoczął się wspaniale.

Adaś bardzo ładnie tańczył z Józją w pierwszej parze; wszystkie dziewczynki wdzięcznie wyglądały, ale najśliczniejsze w oczach Wicusia były Zosia i Halinka; to też wahał się między temi dwoma i choć mama mu tłumaczyła, że jako gospodarz z każdą panną powinien tańczyć, on do wszystkich tańców, te dwie tylko pozamawiał. Na szczęście było wielu innych chłopczyków, którzy nie mieli takich grymasów.

— Wicusiu — rzekła Halinka, w czasie kontredansa — czy pamiętasz jak ty niezgrabnie upadłeś wtedy na ślizgawce?

Wicusowi dotąd to przypomnienie nie było bardzo przyjemne, ale że Halinka mówiła bez cienia złośliwości, a tak się przytem serdecznie śmiała, więc i on w końcu zawołał wesoło:

— Prawda, musiało to wyglądać bardzo zabawnie, choć mnie nie bawiło, bo się mocno rozbiłem.

— A widzisz! a czemu udawałeś, że cię nic nie boli; ale ja się domyśliłam i żałowałam cię bardzo — i te dawne wspomnienia tak ich zajęły, że zapomniawszy o figurze kontredansa, zmylili ją.

— Cóż robicie — zawołał Adaś — już wszyscy skończyli, a wy jeszcze stoicie na środku sali, jakbyście byli nigdy nie brali lekcyi tańców i odprowadził ich na miejsce.

— Jak ten Adaś wszystko umie — rzekła Halinka do Wicusia po jego odejściu. — Czy na ślizgawce, czy w tańcu zawsze da sobie radę! Tym razem pochwała jej nie zmartwiła Wicusia, owszem rad był, że ulubiony jego kolega wszystkim się podoba.

(d. c. n.)

### SZARADA.

(ułożyła Sosenka).

Z czterech części ja się składam,  
I wam zaraz to powiadam,  
Moje pierwsze jest litera,  
Którój wszakże nie zawiera  
Abecadło polskiej mowy;  
Pierwsze z drugim ptak domowy  
Który strojne miewa głowy;  
Trzy ostatnie, objaśnienie  
Lub słuszności jest przyznanie;  
Wszystko chorym pożądanę,  
Lecz gdy bywa stosowane,  
To nie zawsze im dogodzi,  
Raz pomoże, raz zaszkodzi.

### ZAGADKA.

Drewniane naczynie  
A rzeka w niem płynie.

### ROZWIĄZANIE DO N-ru 11-go.

#### Zadania konikowego:

Pańska choroba jest zdrowiem ubogiego.

#### Homonimu:

M a s z y n k a.

### Skrzynka do listów.

Rozrzewniłeś nas miły Kłosku Litewski pamięcią, o téj, której już niema, a która tak serdecznie ukochała dziatwę. Żądaniu twe.

mu stanie się zadość, tymczasem zaś posyłamy numer wypisany i dodatek.

**P. M. K. w Krakowie.** Dziękujemy serdecznie za życzliwe dla nas wyrazy. Wierszyk umieścimy chętnie, należało go wszakże przysłać wcześniej, chcąc aby był w oznaczonym czasie. Z innych przesyłek skorzystamy również, prosimy o przysłanie nam swego adresu na otwartą kartce pocztowej.

A najpierw za uścisk milego **Jabłuszka** w Kaniach, serdecznym odpłacamy uściskiem, pseudonymem bardzo dobry, a próba przesłana śliczna i nie „wiele”, ale „mało” dzieci podobną pochwalić się może, zasługuje też... ale nie uprzedzamy wypadków. Prosimy tymczasem powiedzieć mamie, że warunki konkursu zupełnie dobrze zachowane i radziłybyśmy jej powinszować... czego? To tylko jej samej powiedziećby można.

Za uściśnienie **Wesolej Krakowianki** przesyłamy jej serdeczny pocałunek.

**Błyskawica** nieraz już czytać musiała, że liściki czy to do nas, czy inne, powinny być pisane osobno nie na jednej kartce z łamigłówkami lub szaradami.

**Serdeczna Dziewczynka** przesyła nam „za powiastki serdeczne uściski”. Płacimy jej tem samem. Łamigłówka będzie wydrukowana, ale przy tej sposobności uprzedzamy wszystkich naszych korespondentów, że łamigłówki w których znajdziemy błąd ortograficzny nie będą wcale przyjmowane.

**Ukraineczka z Kącika** lubi widać robótki, skoro cieszy się z obmyślanej dla niej przyszłości i dopytuje jak prędko będzie konkurs robótek. Pochwalamy niezmiernie to zamiłowanie, które nie wyklucza upodobania w czytaniu i w zajęciach umysłowych, a wychowaniu daje podstawę praktyczną. Konkurs robót jak zwykle będzie w czasie wakacji.

**Czarna Perełka** odbierze niedługo numer „Wieczorów”; życiorys O. Damiana znajdował się w „Wieczorach” w jednym z ostatnich numerów roku zeszłego.

**Złota Przedzo**, sądzimy że sama nie rozumiesz dobrze tego, co się w sercu twojem dzieje... Wszak najpierw kocha się ludzi bliźnich, a potem dopiero ziemię ich i twoją kolebkę? Nic cię z nimi nie łączy? Przedewszystkiem poczucie obowiązku, jaki względem nich mamy...

**Błyskawica** kochana wcale się nam nie „naprzykrzyła”. Uprzejmie jej dziękujemy za pamięć o naszej prośbie, aby nie przysłała kilka naraz liścików. Pamięć o podobnych drobnostkach bywa często dowodem delikatności i jako taki, niezmiernie też jest cenioną...

Prosimy, niech **Odważny Pływak** pofolguje ochocie i do konkursu należy. Musi to *odważny* być *pływak*, skoro się Straszego Mrozu nie lęka!

**Pocieszka Rodziców** śliczny obrała pseudonym, tem ładniejszy, że jak sama powiada, obrała go z myślą „żeby być zawsze dla rodziców prawdziwą pociechą”. I owszem, kochanko droga, pisuj do nas. Liściki sześciolletnich osób wielką nam sprawiają przyjemność.

**Chrobrego** oraz siostrzyczkę jego Minię, mile witamy w gronie korespondentów.

**Świąteczko** drogie, miło nam, że jednym słowem „ucieszyć” cię możemy. Liściki wydrukujemy w swoim czasie.

**Eks-Owieczka** zmienia pseudonym, ależ i *Przyjaciółki* powinny bywać łagodnego usposobienia, bo inaczej przyjaźń nie oprze się wybuchom porывowości. W każdym razie miło nam po długiej przerwie znowu liścik od ciebie otrzymać. Szaradę wydrukujemy, gdy przyjdzie na nią owa nieszczęsna *kolęj*, na którą wszystkie nasze kochane korespondentki czekać muszą.

Najtrudniej zapewne przyjdzie czekanie **Burzliwej Naturze?** A morze pseudonym jest tylko potwarzą? może dla sprzeczności wybrała go sobie cichutka, potulna dziewczynka?

Odebraliśmy rozwiązanie nadesłane przez **Jan. Kr. z Mł.**

**S. G., Sokół i Myśliwy z nad Niemna** dobre nadesłali rozwiązania szarad i łamigłówek.

**P. M. Kos.** Posłałiśmy żądane numeru i w imieniu biednych dzieci dziękujemy.

**Mała Pedantka z nad Nidy** nie uczyniła zadość warunkom konkursu, nie wymieniwszy dokładnie swego nazwiska lat i adresu.

**P. M. M.** Z przysłanych utworów wydrukujemy jeden, inne nie przypadają do założenia „Wieczorów”.

Uczyniliśmy zadość życzeniu **Brzydotki z nad Tamizy**, wierszyki wysłano, a małe opóźnienie nie z naszej pochodzi winy.

Dobra pani i Gołąbka pocztowa dziękują **Białej Perelce** za pamięć.

Kochana moja Muchołowko! Twój list choć tak spóźniony, sprawił mi jednak wielką radość. Dla tego nie odpisywałam tak długo, że będąc bardzo zajęta nauką, jakiś czas wcale nie czytałam „Wieczorów”. Donieś mi pod jakim pseudonymem pisuje Józia. Całuję was wszystkie serdecznie i posyłam zadanie konikowe. Szczerze życzliwa *Wiosna*.

Wszystkie współczelniczki pozdrawiam przyjaźnie.

Kochani: Pegazie Skrzydlaty, Biały Orle i Mazurze z nad Dunaju! Chciałbym z wami korespondować przez nasze kochane „Wieczory”. Mam lat trzynaście, zacząłem czternasty w Styczniu 1890 roku. Na imię mi Jan i jestem w czwartej klasie gimnazjum realnego. Proszę odpiszcie mi prędko. Zawsze życzliwy wasz *Książę Geniuszów*.

Drogim siostrzyczkom: Cyganeccze z nad Wisły, Jaskółce z nad Sekwany, Niezabudce Czeskiej i Różyczce białej Wołyńskiej w dowód mej pamięci o nich, przesyłam serdeczne uściśnienia. Cyganeccze za życzenia bardzo dziękuję. *Staszka z Podola*.

Pytasz kochany Raku z Kamionki o moje lata i nazwisko; na imię mi Ludwiś, pierwsza litera nazwiska P., mam lat 8 mieszkam w mieście, więc nie mogę jeździć konno, ale tatuś mój obiecał mi to gdy pojedę na wieś na wakacje. Taki mały i już umiesz pisać nie potrafiłem tego będąc w twoim wieku. Czy będziesz należała do konkursu? Ściskam cię i proszę odpisz prędko *karemu Konikou z Kalisza*.

Kochane moje: Jedlinko Sasanko i Stokrotko z nad Stochodu! Dziękuję wam za miłutkie liściki. Donoszę ci droga Wińcio że mieszkam w gub. Wołyńskiej w małym miasteczku, na imię m. Marya, mam lat 13, jestem jak ty jedynaczką. Jedlinko luba do noszę, że jestem szczupłą, blondynką i pytam czy grasz na forte pianie? Miłutka Sasanko podobały mi się „Podziemia Barwałdzkie go zamku” czy lubisz tańczyć? i czy masz rodzeństwo? Ściskam was serdecznie i czekam rychłej odpowiedzi. Szczerze życzliw *Niezabudka z nad Chomoru*.

Drogi moje Jedlinko, Sasanko, Stokrotko z nad Stochodu Jaskółko z nad Sekwany, Brzydotko z nad Tamizy, Bławatko z na Horynia. Przesyłam wam wszystkim razem serdeczne życzenia z nowo rozpoczętym rokiem. *Niezabudka z nad Chomoru*.

Chociaż ci jestem zupełnie nieznaną, droga Stokroteczko jednakże donoszę ci, że cię nader pokochała, i proszę bardzo donieś mi jak wyglądasz? Posyłam tysięczne uściski, które przyjdą od życzliwej *Kukułeczki*.

Kochana Czarnooka z puszczy! Dziękuję ci bardzo za liścik Szkoła, że nie dałaś mi o sobie obszerniejszych wiadomości. Do noszę ci nawzajem, że jestem szczupłą i wysoką na moje 14 lat a mam oczy czarne i także czarne, krótko obcięte duże włosy Królowno z nad Oslawy! Pseudonimu twego ani też siostrzyczce nigdy już znaleźć nie mogę w naszym piemku, a czemu to? może jednakże odpiszesz mi, nie wątpię iż wiesz (może oddawna) kto się ukrywa pod pseudonymem „Gałązki paproci”. A wy Powójko Gwiazdeczko i Halko z Warszawy, czemuście mi nie odpisały. Oczekując od was wszystkich, choć krótkiej odpowiedzi, przesyłam wam i kochanej Gołąbce szczerze i serdeczne uściśnienia równie jak i tym któreby może chciały ze mną korespondować. Całuję więc was wszystkie raz jeszcze, i pozostaję, kochającą *Gałązką Paproci*.

Kochana Kapłanko Znicza! Zdziwisz się zapewne odebrwszy list od nieznajomej. Bardzo mi się podobał twój pseudonym sądzę z niego, że jesteś Litwinką. Ja jestem Ukrainką, może s kiedy poznamy, a tymczasem pisujemy do siebie. Całuję cię, *Kalim z nad Dniepru*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### Z WYSPY ATLANTY. \*)

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska**

*List Abrakadabrusa do Redakcji Wieczorów Rodzinnych.*

*Marmurowa góra d. 22 Marca.*

zanowna Redakcyo! Myśl jakby najlepiej spełnić dane mi przez Was polecenie, zajmowała mnie niejednokrotnie, podczas méj długiej podróży. Przedstawiało ono trudności istotnie niemałe, ale ufając mojej szczęśliwej gwiazdzie, nie traciłem nadziei że uda mi się te trudności pokonać i byłem dobrej myśli, jak również i muł mój, stąpający rażno mimo zmęczenia; od kraju bowiem króla Dobromira, gdzie wypocząłem przez dni kilka, jechałem ciągle na nim. Przybywszy nad brzeg morza, wsiałem wraz z mułem na statek, należący do króla Bożydara i w kilka godzin potem przybiliśmy do brzegów wyspy Atlanty.

O jakże inny teraz oczom mo-

im przedstawił się widok, niż wówczas gdy po raz pierwszy jeździłem do tego kraju. Wtedy nigdzie nie napotykałem ludzi, wszyscy mieszkańcy bowiem z powodu niezgody królewiczów, powynosili się w inne strony, nie wiedząc którego z trzech panów słuchać mają. Woleli mieszkać tam, gdzie panował mądrze sędziwy król Bożydar. Pozostali tylko przy królewiczach przywiązani i wierni dworzanie, którzy ich opuścić nie chcieli, a ci przebywali wraz z nimi w obrębie siedzib; reszta wyspy była prawie wyludniona. Dziś co krok napotykałem liczne osady, a po drogach ruch idących pieszo, jadących konno i wozy ładowne kierujące się w stronę morza — a gdzie dawniej były wązkie, niewygodne drożyny, teraz prowadził bity szeroki gościniec. Znać było, że w tem państwie przez trzech władców rządzonem, jest ład, porządek i dobrobyt, że trzy serca ożywia jedna myśl i jedno uczucie: dbałość o dobro powierzonego przez ojca kraju.

— Mój Boże! — myślałem — jakie to cuda zgoda i mi-

nie czytali, przytaczamy pokrótce jej treść. Król Bożydar oddał w posiadanie trzem swoim synom wyspę Atlantę, a ci zamiast podzielić ją na równe części, inaczéj się urządzili, wybierając każdy to co cenil najwięcej: Kryszałek wziął minerały, Pióropuszek zwierzęta, Zielonko rośliny, postanowivszy tym działem się zadowolnić i nie nad to jeden od drugiego nie żądać. Ale układ okazał się niemożliwym w praktyce: królewicze tajemnie i gwałtem zabierali jeden drugiemu, co im było potrzebne, w skutek czego w ciągłej żyli z sobą niezgodzie. Gdy upodobawszy sobie trzy piękne córki króla Dobromira, Iskierkę, Perelkę i Jagódkę, zapragnęli je poślubić, król acz pragnął je wydać za synów serdecznego przyjaciela, nie chciał na to zezwolić, bo odstęczała go niezgoda braci. Wysłał tedy w dyplomatycznym poselstwie na Atlantę mistrza Abrakadabrusa, nauczyciela swoich córek, a ten wykazawszy królewiczom w jak ścisłym z sobą związku zostają trzy królestwa przyrody i jak jedno bez drugiego istnieć nie może, pogodził ich dowcipnym sposobem i powieść skończyła się trzema weselami. Ciekawych bliższych szczegółów, odsyłamy do téj przelicznej książki.

Przypisek Redakcyi.

\*) Cztery lata temu drukowaną była w piśmie naszym powieść ś. p. Maryi Julii Zaleskiej, p. t. *Niezgodni królewicze* i następnie wyszła w oddzielnej książce. Dla tych, którzy powieści tej



łość wzajemna czynić może: domy i ludzie wyrastają jak z pod ziemi, pustynie zamieniają się w złotodajne pola i kwitnące ogrody... Błogosławiony bądź Ty co stworzyłeś miłość i spraw aby copredziej zagarnęła świat cały pod swoje panowanie!

O drogę pytać przechodniów nie potrzebowałem, bom ją dobrze pamiętał, mój też muł zdawał się ją sobie przypominać, bo na rozdrożach nawet wybierał bez wahania tę, którą miał postępować. Tak przybyliśmy o zachodzie słońca przed pałac królewicza Kryszałka, otoczony wysokim murem a noszący nazwę Marmurowej góry, dla materyału z którego był wzniesiony. Spostrzeżono mnie już i poznano z wieży strażniczkiej; natychmiast otrąbiono powitalną fanfarę i wjechałem z wielką paradą główną bramą, która przedemną otworzyła się na oścież. Masztalerz odebrał odemnie muła, a marszałek dworu cenną szkatułkę którą z sobą przywoziłem. Upomniałem go, aby jęj strzegł jak oka w głowie.

Idąc przez dziedziniec wyłożony marmurowymi płytami i otoczony pięknymi posągami wyobrażającymi przodków królewicza, przypominałem sobie, jak przykre wrażenie zrobiła na mnie niegdyś ta wspaniała rezydencya. Wyglądała wówczas tak jakby na pustkowiu była zbudowaną. Zdaleka wiało od niej chłodem, nigdzie nie było ani jednego drzewa, ani odrobiny zieleności — a teraz pałac tonął w gaju drzew, niewielkich jeszcze wprawdzie, bo nie tak dawno posadzonych, ale gestych i bujnie rozrosłych. Wiosna pokrywała je właśnie pączkami, młodziutkimi listkami, a w powietrzu czuć było życie drgające w miejsce dawnej głuchej martwoty.

Paź zabiegł mi drogę z twarzą radosną, mówiąc że w pałacu wiedzą już o mojem przybyciu, że wszyscy trzej królewicze wraz z żonami są razem zebrani w czerwonej sali na dole i oczekują mego przybycia; żebym się nie przebierał tylko szedł prosto na pokoje. Jakkolwiek szaty moje pyłem podróży były okryte, usłuchałem wezwania i wszedłem na krużganek, gdzie na moje spotkanie wybiegła cała zarumieniona z pośpiechu, władczyni tego pałacu królewiczowa Iskierka, wołając:

— Witaj! drogi, kochany nasz mistrzu! Jak to dobrze że już wróciłeś: stęskniliśmy się bardzo za tobą! Nie było dnia żebyśmy o tobie nie wspominali!

I ściskając mi ręce serdecznie pociągnęła za sobą do czerwonej sali, gdzie znalazłem całe kółko rodzinne zgromadzone. Królewiczowa Perełka robiła złotą siatkę perłami przetykaną, której nauczyła się od matki, królowej Miłosałwy; królewiczowa Jagódka układała przepyszny bukiet z fiołków, gardenii i róż, a królewicze rozmawiali z ożywieniem, popijając rubinowy napój z kryształowych pucharów. Na stole stał srebrny dzban i koszyk napełniony przepyszny owocami.

Gdy wszedłem zerwali się wszyscy: królewicze przypadły do mnie wołając:

— Nasz mistrz! nasz mistrz kochany!

A królewicze ściskali mi ręce z nieklamana serdecznością, mówiąc:

— Więcej już nie odjedziesz od nas, kochany mistrzu! Czyż dla tego nas pogodziłeś i przyczyniłeś się do naszego szczęścia, żeby na nie nie patrzeć?

Chociaż nie lubię poddawać się wzruszeniom, bo to hart ducha osłabia, ale wyznaję, że widząc wszystkie twarze rozpromienione radością na mój widok, doznałem dziwnej jakiejś miękości koło serca, zwłaszcza gdy królewicze wzięły mnie pod ręce, jak dawniej gdy byłem ich nauczycielem i poprowadziły do krzesła z poręczami, mówiąc:

— Siadaj kochany mistrzu, tu przecież będzie ci wygodniej, niż na grzbiecie twego starego, pocziwego muła.

Nie bez pewnej obawy siadałem na przepysznym złoconym krześle, pamiętając mój pierwszy pobyt w tym pałacu, gdy od twardych siedzeń bolały kości, bo królewicz Kryszałek wlosia używać nie chciał do wyściełania mebli, jako produktu zwierzęcego. Moje zaś kości bardzo dziś były strudzone długą po świecie podróżą — ale o dziwy! wpadłem jak w puch: siedzenie było miękie, elastyczne, a pod stopami zamiast zimnego marmuru, czułem ciepły, puszysty kobierzec. Wielkie zmiany zaszły tu w czasie mojej nieobecności, zmiany polegające na stałym wzajemnym przymierzu trzech królestw przyrody.

Wszyscy otoczyli mnie zarzucając pytaniami, gdzie byłem przez te lata, com robił, co widziałem, a królewicze choć już niby poważne damy szczebiotały najgłośniej, jedna przez drugą, jak dawne dziewczynki, aż musiałem je po dawnemu także strofować.

— Powoli, powoli moje królewny kochane (dla mnie pozostały one zawsze królewnami): nie mogę wszystkim na wszystkie pytania odrazu odpowiedzieć. Pytajcie mnie po kolei.

— Pozwólcie najprzód mistrzowi odpocząć! — odezwał się królewicz Kryszałek, roztropny zawsze i uważny. Niech najprzód siły pokrzepi, a potem będzie wam opowiadał. Należcie mu miodu.

Królewiczowa Iskierka na te słowa sięgnęła do dzbana, napełniła po brzegi czarą kryształową i podała mi ją. Królewiczowa Jagódka włożyła mi w drugą rękę bukiet z wonnych gardenii i róż jeszcze wonniejszych, a królewiczowa Perełka zarzuciła mi na ramiona swoją siatkę złocistą, mówiąc że teraz już im nie ucieknę, bo jestem w sieć schwytyany jak ryba.

— No teraz już możemy pytać — odezwała się, gdy czarę do połowy wypróżnioną przed sobą postawił, bo była najniecierpliwsza ze wszystkich. — Powiedz nam najprzód kochany mistrzu, gdzie byłeś?

— Ja wiem — przemówiła Jagódka — mistrz był pewnie w swojej dawnej ojczyźnie, na Wschodzie, gdzie mieszka jego przyjaciel Chemik, o którym często nam opowiadał!

— Przyjaciel mój mieszkał na Wschodzie dopóki się nazywał Al-Chemikiem — odparłem — ale od czasu, gdy pierwsze dwie głoski nazwiska swego odrzucił, przebywa przeważnie na Zachodzie.

— A może mistrz był na Południu — wtrąciła Iskierka — gdzie jest słynne na cały świat miasto, zbudowane na siedmiu pagórkach, w pięknym kraju, o którym wielki poeta niemiecki Göthe śpiewa:

„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?

Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa”.

A Perełka zaprzeczyła:

— Eh, nie, zamiast tam mistrz chyba wołał przebywać na Zachodzie, gdzie biją źródła tegoczesnej cywilizacji i dokąd Wystawa powszechna cały świat niemal ściągnęła.

Królewicze ujawszy się pod ręce stali patrząc to na mnie, to na swoje żony i uśmiechali się z tęg ciekawości i szczebiotliwości niewieściej — ja zaś milczałem, bo nie mogłem dojść do słowa, dopiero gdy umilkły, odezwałem się:

— Zgadłyście wszystkie, moje miłościwe królewny: byłem na Wschodzie, na Zachodzie, na Północy i na Południu, jednym słowem odbyłem podróż wzdłuż i wszerz świata.

— Wzdłuż i wszerz świata! — wykrzyknęły wszystkie trzy z uniesieniem — dopiero to nasz mistrz kochany będzie



nam miał co opowiadać! Jakie widzieć musiał w podróży swój cuda!

— Jakie minerały! — odezwał się Kryształek.

— Jakie zwierzęta! — zawołał Pióropuszek.

— Jakie rośliny! — wykrzyknął Zielonko, i aż mu oczy zabłyśły, bo rośliny miłował nadewszystko.

— Jakich ludzi, jakie kraje, jaki przemysł! — wołały po kolei królewiczowe, a w oczach wszystkich błyszczała gorąca, pełna niepokoju i oczekiwania ciekawość.

Umoczyłem znowu usta w stojącym przedemną rubinowym napoju i odpowiedziałem:

— Tak jest, widziałem wiele, bardzo wiele rzeczy ciekawych, choć mało rzeczy nowych, bo jak wiecie: „nic nowego pod słońcem”. Niejeden wynalazek wprowadzający nas dzisiaj w podziw, roił się już w głowach Egipcyan lub Chińczyków, Greków lub Rzymian. Widziałem kraje bogate i ubogie, szczęśliwe i w głębokiej pograżone niedoli; widziałem swobodę i ucisk, zbrodnię i cnotę, ale to wszystko stare jest jak świat... Nie spotkałem ani jednego kraju, w którymby tego wszystkiego potrosze nie było, a wszędzie gdziekolwiek powiodły mnie kroki, przekonywałem się „że większe jest miłosierdzie Boskie, aniżeli złość ludzka”.

Słuchacze moi zamyślili się nieco nad znaczeniem tych słów, a ja poniosłem znowu do ust czarę z napojem i rzekłem:

— Miłościwi królewicze i królewiczowe, z podróży mój po świecie przyniosłem wam gościniec: zgadnijcie jaki!

Wyrazy te niezmiernie zaciekawiły wszystkich: milczeli chwilę spoglądając po sobie.

— Zdaje mi się — przemówiła Iskierka — że skoro mistrz wiozł dla nas coś z tak daleka, to musiał chyba przywieźć coś bardzo sobliwego.

— Naturalnie — potwierdziła Perełka — rzeczy zwyczajnych mistrzby nawet nie wiozł. Wie, że na wyspie naszej jest wszystko co tylko w życiu codziennem może być potrzebne.

— Mistrz pewno przywiózł nam *roślinę hypnotyzującą* — odezwał się królewicz Zielonko, który zawsze myślał o roślinach. — Czytałem w jednej amerykańskiej gazecie, że w Meksyku znajduje się roślina nazwana przez tamtejszych mieszkańców *proroczym ziele*m. Osoba spożywająca ją, popada w stan zupełnie podobny do hypnotycznego: utracą własną wolę, oczy jej zamykają się, czucie znika, staje się zdatną do dawania odpowiedzi na wszelkie zadawanie jej pytania, zupełnie jak to bywa w stanie hypnotycznym. Jest to jakby jasnowiedzenie! Po upływie pewnego czasu, powraca do zwykłego stanu z zupełną nieświadomością tego, co się odbywało w czasie snu, spowodowanego działaniem tej rośliny. Od czasu jak się o tem dowiedziałem, bezustannie myślę, jakby tę roślinę dostać i kogo by po nią do Meksyku wyprawić. Ach, mistrzu! jeżeli byłeś w ojczyźnie kaktusów, to niezawodnie nic innego, tylko prorocze ziele z tamtąd przywozłeś. Ty co znasz tajemnice mędrców starego Wschodu, ty dla którego nie jest obcą sztuka indyjskich fakirów \*), jak również najnowsze zdobycze nowoczesnej nauki, musiałeś chyba poznać tę roślinę! Jeżeli nie ją przywozłeś, to powiedz mi przynajmniej do jakiej należy rośliny, jak wygląda i czy wydaje woń?

\*) Fakir po arabsku znaczy w ogóle „ubogi” — ale fakirami nazywają derwiszów czyli duchownych mahometanów, oraz pokutników w Indyach, którzy prowadzą życie pokutnicze, poddają się wszelkiego rodzaju dobrowolnym udręczeniom, znają cudowne własności ziół i wprowadzają w podziw tłumy sztukami, które wydają się im nadprzyrodzonymi.

— Nie widziałem proroczego ziele, królewiczu — odpowiedziałem, a Zielonko widocznie się zasmucił.

— A mnie się zdaje — rzekł Kryształek — że mistrz przywiózł nam sztuczny dyament, który udało się wytworzyć sposobem chemicznym niejakiemu Parsonsowi. Otrzymał on podobno warstwę drobnych kryształków, które przedstawiają wszelkie cechy dyamentu i mogą być szlifowane w brylanty. Wyprawiłem umyślnego posła do tego uczonego, żeby za jakąkolwiek cenę nabył dla mnie choć jeden okruch tego sztucznego dyamentu, bo odkąd się o nim dowiedziałem, nie mam spokoju, i ciągle myślę jakby go dostać i do zbiorów moich przyłączyć. Posiadam wprawdzie wielką skrzynię pełną drogich kamieni i wielką ilość dyamentów, ale to są dyamenty wykopane z ziemi...! Wszystkie oddałbym za jeden drobny, maleńki okruch, wytworzony ręką człowieka, bo człowiek ten odgadł jedną z najskrytszych tajemnic natury, skoro potrafił ją naśladować! Mistrzu, jeżeli sztuczny dyament mi przywozłeś, oddam ci za niego wszystkie moje dyamenty prawdziwe!

— A mnie co po dyamentach! miłościwy królewiczu — odpowiedziałem śmiejąc się — miałbym z niemi tylko kłopot. Doświadczenie życia nauczyło mnie cenić tylko klejnoty serca i umysłu, których przed żadnym złodziejem zabezpieczać nie trzeba. Gdybym jako gościniec wiozł z sobą sztuczny dyament Parsonsa, ofiarowałbym go Waszjej Miłości darmo, ale go nie przywozłem, bo wynalazca nie łatwo by go oddał. Zresztą on wcale nie otrzymał dyamentu dającego się szlifować, jak mnie maliście miłościwy królewiczu, tylko szary, drobnutki, bardzo twardy proszek, rysujący sam dyament nawet, będący zapewne niczem innym, jak drobnymi kryształkami węgla, a trzeba ci wiedzieć królewiczu, że Parsons otrzymał ten proszek tylko przypadkiem.

— Co mówisz, mistrzu! — zawołał zdumiony Kryształek.

— Uczony ten nie miał wcale na celu otrzymania dyamentu, ale ścisłych węgli do lamp elektrycznych, węgli któreby były trwalsze od używanych dotychczas i dla tego poddawał węgiel działaniu rozmaitych ciał pod wielkim ciśnieniem, i wysokiej temperaturze. Byłem w pracowni Parsonsa i widziałem ten szary proszek, przylegający do pałeczki węgla; od proszku daleko jednak jeszcze do owych pięknych kryształów, jaśniejących barwami tęczy, łamiących światło i rzucających dokoła tysiączne blaski... Kiedyś zapewne uczeni i to potrafiały zrobić, a dyamenty sztuczne nie będą się niczem różniły od prawdziwych, chyba wielkością. Mój przyjaciel Chemik utrzymuje, że o ile skład chemiczny tego cennego minerału jest prostym, o tyle początek geologiczny ciemnym, chcąc zaś tworzyć sztuczne dyamenty, trzeba dobrze znać warunki w jakich je natura wytworzyła z węgla, żeby ją w tem naśladować. Geologowie i chemicy niemało już sobie nałamały głowy nad pochodzeniem dyamentu i pomimo najusilniejszych badań, nie umieją tego jeszcze objaśnić. Jedni z nich twierdzą, że kamień ten uformował się pod działaniem ognia, inni że pod działaniem wilgoci; w ostatnich czasach większość uczonych zgodziła się na to, że dyament powstał przy niskiej temperaturze, drogą krystalizowania się węgla z jakiegoś płynu — ale wtedy tylko możnaby w to napewno uwierzyć, gdyby komuś udało się roztworzyć w czemś węgiel, a następnie wykrytalizować go.

Kryształek westchnął.

# POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Wtedy dopiero odchodząc już i dźwigając ciężko ranne-  
go towarzysza, goście spostrzegli Pala i Szandora z rękami  
związanimi i zawiązanymi ustami, siedzących na wzgórkach pod  
dębem, rozwiązano ich pozwalając iść w swoje drogi.

— Otóż to zbytek mojej ostrożności — westchnął Saghy  
— gdybym był tych uczciwych ludzi nie wiązał, byłiby przecież  
ostrzegli moich kolegów gdy im zachodziliście z tyłu, aby ich  
w jar zepchnąć...

— Ech, drogi przyjacielu — ze współczuciem rzecze So-  
bri — wierz mi że wszystko co zaszło między nami, jest tylko  
skutkiem nieporozumienia, ponieważ świeżo do naszego komi-  
tatu przybyłeś: poczekaj trochę a przekonasz się, nabrawszy  
doświadczenia że zawsze wypadnie ci interes iść na zachód,  
gdy ja na wschodzie bawić będę, i przeto nie wejdzimy sobie  
w drogę wzajemnie.

— Wasza miłość niech też raczy pamiętać o przyobiecany-  
m mi zarobku!... — przypomniał się cygan, kłaniając się  
do nóg starszemu pandurowi. Ten aż się zatrząsał:

— Zarobek! — krzyknął zadowolony, że ma na kim skry-  
ty gniew wyrzucić. — Zarobek, za to żeś miał mię naprowadzić  
na legowisko szegeny legeny, gdziebym Sobrego i wszystkich jak  
szczurów mógł wziąć, a tyś mię  
naprowadził na wstyd i ciężką straż-  
tę! Na gałęź tego łotra, dzieci!

— A prawda, że on da-  
wno już na to zarobił, jeżeliby  
wam się urwał to moi go powieszają:  
nieraz on już na nas naprowadzał  
— rzekł Sobri. Kilku pandurów  
w mgnieniu oka, jakby wielce spragnieni  
takiego rozkazu, wyciągnęli  
postronki z kieszeni i zarzucili na  
szyję przewodnika.

— Łaski! wasza miłość! A co  
ja winien że Sobremu zła siła po-  
maga! Ja dobrze prowadziłem!  
— krzyknął cygan, rzucając się  
do nóg Saghego i szepcząc mu je-  
dnocześnie:

— Ej, bo powiem Sobremu że  
wasza miłość chmarę pieniędzy na piersiach nosisz!

I w tejsze chwili rzucając się tak samo do nóg Sobrego,  
krzyczał:

— Łaski! wielmożny panie! a co ja biedak mam robić,  
gdy mi panowie pandury rozkażą się prowadzić trzymając na  
postronku, jak teraz?... a pochicu dodał:

— Naprowadziłem bo musiałem, ale czy powiedziałem  
pandurów że tam z tego jaru jest drugie wyjście dołem, pod  
skałą?

— Niech go licho porwie! Czy taki cygan wart że-  
by go porządni żandarmi wieszali! Puścić go! — z wielkim  
pośpiechem zawołał pan Saghy, wrzucając jednocześnie cyga-  
nowi umówioną wpierw kwotę.

— I to prawda! Nie zabraknie nicponi na świecie choć-  
byśmy tego zeń wyprawili: jednym mniej, jednym więcej,  
wszystko jedno!... — machnął ręką Sobri. Cygan pochwy-  
ciwszy pieniądź znikł w lesie; żandarmi poszli w swoją stronę,  
śledzeni tajemnie aż do wyjścia z lasu przez szegeny legeny;  
Sobri zwrócił się do Pala i Szandora, zapraszając ich na nową  
wieczerzę. Nie można było odmówić nie obrażając. Uczto-  
wano wesoło, śpiewając pieśni, których treścią były drwiny  
z pandurów, wino i rozkosze leśnej swobody.

— A teraz — rzecze Sobri, poprawiając stroju — siadź-  
my na kości i polemy tańcować, bo w najbliższej wiosce wesele  
gospodarskiej cówki się odbywa.

— A jeżeli pandury tam będą? — spytał Szandor.

— O, to ich weselnicy ścisną, gdyby co złego względem

mnie zamysłali, a ja ujdę tymczasem; czy to już raz tak bywa-  
ło. A wy przecież nie potrzebujecie od pandurów stronić.

— Jedź sam — rzekł Pal — ja muszę tego chłopca do  
mego krewnego kanasza zaprowadzić, bo tak sobie umyśliłem,  
a potem co prędzej do stada wrócę.

Jak powiedział tak zrobił, a Szandor nad ranem już  
upadłszy na siano w szałasie kanasza, zasnął snem ciężkiego  
znużenia. Mimo to wstał rano i zaledwie mogąc trzymać się  
na nogach, podziękował kanaszowi za gościnność i poszedł da-  
lój. Był teraz zdecydowany opuścić copędzej las, w którym  
jeszcze wczoraj żyć zamierzał. Nie umiał sam sobie określić  
co się stało, ale czuł że noc wczorajsza zniszczyła ideały jego  
lat dziecięcych, od wczoraj jeszcze istniejące w całej pełni. Na-  
wet życie czikosów zdawało mu się teraz jakoś niemiłym,  
a już co las Bakony, ta arena bohaterskich popisów pięknego  
Sobrego i jemu podobnych, toż to było schronienie nie-  
szczęśliwych wyrzutków społeczeństwa, których cele i rozkosze  
opiewane wczoraj w pieśniach, nic a nic w sobie wzniosłego nie  
miały. Najdokładniej teraz odczuwał Szandor wstręt swojej  
matki do stosunków z szegeny legeny i uchodził z lasu copęd-  
dziej. Aby usunąć z myśli wspomnienia wczorajszych pieśni,  
zaczął głośno powtarzać z pamięci najpiękniejsze utwory Ho-  
racego i Schillera. Piętnastoletni poeta nie domyślał się wcale,  
że przyczyną niesmaku dzisiejszego do dawnych ideałów, by-  
ło rozszerzenie się jego własnych pojęć i uszlachetnienie  
ducha przez naukę. Idąc lasem kierował się wedle słońca  
i wiadomościami geograficznymi. Noc następną przespał w sza-  
łasie drugiego kanasza, do którego

miął polecenie od Pala, i nazajutrz  
stanął nareszcie na nieznanym  
skraju lasu Bakony, u wstępu do  
części puszczy, w której nigdy nie  
był w życiu. Daleko, daleko, na  
wschód od miejsca gdzie się znaj-  
dował, w pośrodku bezdennej prze-  
strzeni, błyszczał w słońcu jakiś  
gród wspaniały i wyniosły.

— Tak, to tutaj — powiedział  
sobie młody podróżny — ten gród  
to musi być Buda starożytna  
wzniesiona na skale, z Pesztem  
u stóp swoich, a ta ledwo dostrze-  
galna świetna srebrna niteczka  
przeź środek i dalej przez pusztę  
bieżąca, to Dunaj! Buda i Peszt,  
ogromne zbiorowisko ludzi, pomie-  
dzy którymi może znajdzie się miejsce dla nieposłusznego sy-  
na, co chce żyć z dala od ojcowskiego gniewu... O Boże, cóż  
się dzieje ze mną, dla czegoż zszedłem na bezdroża?

Z twarzą łzami zalaną i śmiertelnym smutkiem w duszy,  
chłopak ruszył ku błyszczącej Budzie, nie mając siły zawrócić,  
a czując doskonale że każdy krok na tej drodze usuwa go coraz  
dalej od ojcowskiego błogosławieństwa.

## VI.

Nie wiele miast pierwszorzędnych przedstawia się na  
wstępie tak wspaniale jak Buda-Peszt, zwłaszcza jeżeli podró-  
żny zbliża się doń jak Szandor, z całą świadomością staroży-  
tnych dziejów narodu, tak drogich dla Madziara. Nie dziw  
że z wrażliwego serca młodocianego poety, ustępował powoli  
ból, a tysiące myśli tłoczyło się na jego miejsce, w miarę jak  
wyraźniejszym stawało się miasto, zbudowane w większej czę-  
ści na wysokości górze, pełne gmachów odwiecznych, osiedlonych  
prawnukami wojowników różnych i licznych plemion, które nie-  
gdyś krwią swoją napoiły tę ziemię, wydzierając ją sobie wza-  
ajem. Mniejsza o Peszt poniżej leżący, miasto nowe, świeże,  
pełne sklepów bogatych, to wszystko nie obchodzi poe-  
tę, ale Buda!... W głębokiej starożytności, na długi czas zanim  
Rzymianie pojawili się i zapanowali tutaj, istnieli podobno na  
północy Karpat Budyni, którzy założyli Budę. Później, wojo-  
wnicy Augusta i Tyberyusza, drapieżni a dzielni Rzymianie,  
nazwali tę miejscowość *Aquincum*, to jest *Aquae quinquae*



Sylwetka Napoleona I-go.

czyli *pięć źródeł* i zbudowali kolonią tu właśnie gdzie leży O-Buda czyli Stara-Buda. Dowodem tego faktu są szczątki amfiteatru obszernego na dziesięć tysięcy ludzi, i mnogość niezliczona urn i przeróżnych zabytków rzymskich, wykopanych z ziemi, wraz z mozajkami, popiersiami i t. p. dziełami starożytnego arcyzmu. Ale znów w IV wieku, wśród nieszczęść spadłych na Rzymian, dawnych świata panów, przyszli Hunowie, a ich wódz Attyła, miał brata imieniem Bleda lub Buda i kto wie czy nie ten ostatni dał miastu Budzie początek. Tak przynajmniej mniemają Węgrzy po większej części. Szandor zastanawiał się nad tą historyczną wątpliwością, wstępując w bramy wspaniałego miasta, gdy po raz pierwszy przyszła mu na myśl dotycząca go wątpliwość, mianowicie co on w tem mieście robić będzie ażeby żyć?... Nie długo się namyślał i wszedł, pierwszym i najpilniejszym dlań celem było: utonąć w zbiorowisku ludzi, które mu się dość bezbrzeżnym i niezgłębiionem niby ocean zdawało, ażeby odnalezionym nie zostać. Pozostawało mu trochę grosza z kieszonkowych pieniędzy, w jakie od czasu

zajmowało żywo Szandora. A każdy pomnik, każdy fakt wiódł za sobą nieprzebraną ilość tradycyi i legend. Nawpół przytomny pod natłokiem wrażeń, mały poeta przez trzy dni biegał po mieście szukając śladów, domyślając się, kombinując, odgadując, pytając, lub zmęczony siedział jak skamieniały tu na głazie jakim, tam na urwistem wybrzeżu Dunaju, usiłując odbudować w sercu swem to, co straszliwe napaści tureckie obróciły niegdyś ostatecznie w stos gruzów. Wiedział przecież że w r. 1686 gdy rycerstwo węgierskie odebrało Turkom Budę zamienioną przez nich w drugi Stambuł, potem zburzoną przez wojnę, to z całego miasta pozostały tylko dwa kościoły i wieża Dominikańskiego klasztoru, którą nieświadomi miejscowi nawet, pokazują podróżnym jako sławną Czonka-Torony... wiedział o tem z książek, ale wyobraźnia wzbraniała się wierzyć książce i poeta gwałtem szukał dnia wczorajszego, dopatrywał to, czego nie było, dobudowując i dośpiewując w duchu czego dosłyszeć ani dopatrzeć nie mogły oczy i uszy. Ten szal chorebliwy niemal, który ogarnął młodego Węgra, przy pierwszym



Małpa z Grumois.



Sylwetka starego człowieka.

do czasu zaopatrywali go rodzice, przeliczył tę odrobinę siadłszy na ustroniu, obiecując sobie rozporządzać nią jak najdłużej, aby zabezpieczyć się od głodu. Trudno to jednak było, bo postanawiając żyć jedynie chlebem, musiał jednak nocować w jakiejś oberży a ceny noclegu nie wiedział. Pomimo tego wszystkiego i ciężkiej zgryzoty jaką przyniósł z sobą, zajęcie historycznymi zabytkami Budy unosiło go i górowało ponad troską. Posiłki wsiadłszy się wedle postanowienia chlebem jedynie, puścił się na oglądanie. Zabierało mu to dużo czasu, chociaż nie mając nigdzie wstępu, ani wiedząc jak go sobie wyjednać, oglądał tylko powierzchownie gmachy. Żywa niezmiernie wyobraźnia i pamięć bogata w historyczne wiadomości sprawiała, że zastanawiał się nad każdym z nich długo. Twierdza z czasów Beli IV-go zbudowana na wierzchołku skały, dająca początek rezydencji królewskiej od r. 1244; ślady dotąd istniejące pałac Wielkiego Ludwika Andegaweńskiego (d'Anjou) zbudowanego tamże następnie; przepyszny pałac cesarza Zygmunta, jeszcze wspanialszy od ludwikowego; warowna baszta zwana Czonka-Forony, rodzaj bastylli węgierskiej, obejmującej w swem strasznym wnętrzu sześć baszt innych, gdzie magnaci węgierscy często odpokutowywali winy swe przeciw majestatowi królewskiemu; katedra rozpoczęta przez Belę IV-go, dokończona przez Macieja Korwina... wszystko to

zatknięciu z pomnikami przeszłości dziejowej, rozwiął się jednak nagle w dniu, w którym sięgnąwszy do szamowanej kieszonki nie znalazł w niej ani grosza.

(d. c. n.)

## SKAŁY DZIWNYCH KSZTAŁTÓW.

Wielokrotnie już podawały „Wieczory” ryciny skał przedstawiających w grubych zarysach kształty ludzi i zwierząt, tak zupełnie jakby je wyrzeźbiło wprawne dłuto artysty. Praojcowie nasi poświęcali martwym tym formom szczególną uwagę, nadając im nazwy istot które przypominały. Każda okolica więc górzysta ma podobne osobliwości i zapewne nie jeden z naszych czytelników mógł je naocznie podziwiać. Nie wszystkie jednak u nas bywają uwiecznione ołówkiem lub pendzlem artysty, tak jak to ma miejsce zagranicą, gdzie wielka liczba turystów zwiedzając wszelkie osobliwości danego kraju nie szczędzi trudów i mozołu, by takowe choć w reprodukcji znane były szerszym kołom ludzi inteligentnych. A dodać tu musimy, że skała pod wpływem powietrza rozkładając się zmienia swe kształty. Długiego naturalnie potrzeba na

to czasu; zdarza się jednak, że młodsze pokolenie nie widzi już tego co podziwiali jego ojcowie. Takiemu właśnie losowi uległ odłam skały, który przedstawia pierwsza nasza rycina, zadziwiająco wyraźnie rysująca sylwetkę Napoleona I-go. Nie o każdej jednak porze dnia i nie z każdego punktu widzenia podobieństwo takie występuje równie wyraźnie, to też sylwetkę Napoleona podziwiać było można tylko o zachodzie słońca; a było ono wtenczas tak wyraźne, że ktoś zapytany znieścacka co widzi? odpowiedział bez namysłu: „Cesarza”. Skała ta znajduje się w łańcuchu Alp w bliskości góry Mont-Blanc, szczególny jej odłam jednak podziwiany jeszcze w roku 1842 dziś już nie istnieje.

Inny ciekawy rysunek podaje nam rycina druga przedstawiająca skałę, która się wznosi nad prześliczną doliną w Grumois, na pograniczu Francji i Szwajcaryi. Skała ta zwana jest ogólnie pod nazwą: „Małpy z Grumois” uderzająco bowiem przypomina to zwierzę, gdy promienie słońca padają na nią ukośnie.

Ameryka posiada również mnóstwo podobnie ciekawych okazów, ograniczamy się jednak na wzmiance o skale zwaną: „Stary człowiek” która się znajduje w Stanach Zjednoczonych, a której bok jeden zarysowuje kształty starca z długą brodą, jak to sprawdzić możemy na rycinie trzeciej.

## WIOSNA W DUSZY.

Wierszyk ofiarowany siostrzytce.

Wiosna nadchodzi... Patrzmy wesoło  
Na uśmiechnięte światy w około —  
Na księżyc, gwiazdy i ziemię:  
Srebrny przyjaciel świeci łagodnie,  
W szafirach gwiazdy błyszczą pogodnie,  
Po ziemi wiosenka drzemie.

\* \* \*

Cieszą się liście, kwiaty i drzewa  
I ptak, co w górze piosenki śpiewa,  
I motyl barwnie odziany;  
Cieszy się nawet robaczek mały,  
Co ma w nizinie przeżyć wiek cały,  
Lub zginać, nogą zdeptany.

\* \* \*

Jedenżby człowiek, pan wśród stworzenia,  
Nie miał ślać w niebo radości pienia  
I szczęścia w duszy czuć tyle?...  
Jedenżby człowiek z myślą ponurą,  
Z skargą na ustach, na czole z chmurą,  
Szemrać na los swój miał śmieje?

\* \* \*

Szemrać? że czeka go niebo?  
Chmurzyć się... o co?... może z przyczyny,  
Że niema samych róż wśród doliny,  
Którą nazwano łez glebą?...  
O nie! szczęśliwi są i być muszą  
Obdarowani sercem i duszą,  
Chyba, że w sercu ziąb gości...  
Kto kocha bliźnich choćby go wszyscy  
Odbiegli sercu najbardziej bliżcy,  
Odnajdzie szczęście w miłości.  
W tej nocy zawsze wielbionej...  
Bo choć mu zbraknie radości trocha,  
Nie zamknie serca, tylko ukocha  
Całe dusz bratnich miliony!  
I będzie ufał, kochał i wierzył  
I łzy ocierał i szczęście szerzył,

A w duszy jego radosnej,  
Choćby po ziemi przez świat ten cały  
Wichry i wściekłe burze szalały —  
Zostanie słodki czar wiosny.

Marya Kondracka.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czy idziecie aż do Vera-Paz? — spytał Dabby Simon nie znający dobrze dróg Yukatanu, właściciela psa.

— Nie; ale pokażę wam drogę aż do Kabellas. Z Kabellas, don Józef towarzysz mój i ja pójdziemy ku kopalniom, ale wy będziecie już tylko potrzebowali iść wybrzeżem rzeki Gordo.

— Chciałbym iść z wami — powiedział Hiszpan do Melchiora. — Patrzcie tylko jakie tam są przepyszne drzewa mango: doskonale byłoby obiadować pod ich cieniem.

Uwaga Hiszpana podobała się przewodnikowi i niezadługo wędrowcy dosięgli pięknej grupy drzew. Podczas gdy Menito zajmował się przygotowaniem uczy, don Józef i Tomek poszli po wety, i wkrótce wrócili, dźwigając najrozmaitsze owoce, a między innymi i mangi, których doskonały miękisz wychwalają wszyscy podróżni.

— Zaczekajcie no chwilę — rzekł Hiszpan, składając ciężar swój w cieniu — spostrzegłem właśnie pewne drzewo, musi to być kalebas, który ma ogromne owoce, chciałem strącić jeden, ale nie mogłem dosięgnąć go kijem: czy niema tu gdzie kamyczków?

Każdy był tak zajęty przygotowaniami do obiadu, że nie bardzo zważano na słowa Hiszpana. Nagle Dabby Simon zaczął uciekać, krzycząc jak opętany, a Tomek i Kasztan pędzili za nim. Menito, który właśnie kładł na patelnię ryby niedawno złowione, uciekał także, cisnąwszy w ogień patelnię na długim trzonku wraz z wszystkim co zawierała; a don Józef biegał tam i sam, wrzeszcząc jak szalony i wymachując rękami nad głową.

— Cóż to znaczy? — zawołał Indyanin z depezsami, niosący kociołek z wodą od źródła, ale prawie równocześnie upuścił kociołek i uciekał jak inni.

— Szerszenie! szerszenie! — krzyczał.

— Urowadzajcie muła! — krzyknął Melchior, który znajdował się w niejakięj odległości i z trudnością silił się aby zrozumieć co się stało, dopóki dwa ostre zakłucia nie wyjaśniły mu zagadki.

Oto co zaszło. To co Hiszpan wziął za wielki kalebas, było poprostu gniazdem szerszeni. Rzucając w gniazdo kamieniami, rozżościał te skrzydlate licha. Wypadek ten rozgniewał zrazu porządnie kapitana; gdy się jednakże przekonał, że rany nie były niebezpieczne i że wszyscy skłonni byli brać rzeczy ze strony komicznej, zastosował się i on do ogólnego usposobienia.

— To więc w Hiszpanii takie owoce kalebasami nazywają? a to doskonały owoc! — śmiał się Tomek.

— Wiecie co, nigdybym nie uwierzył, żeby stare nogi Dabby Simona potrafiły jeszcze tak żwawo uciekać! — przedrwiwał Menito.

— Moje stare warte są młodych, kiedy mają w tem swój interes — odparł Indyanin.

— Jednak mądre są te szerszenie, kiedy nas tak prędko znalazły — śmiał się towarzysz psa z depezsami, trzymając się za boki.

— Mądre — mrucał Dabby Simon — nie wiem co w tem mądrego, z pół tuzina ich wkradło mi się w odzienie, a drugie tyle w nos... niech ich licho porwie!

Biedny don Józef milczał, ale prawdopodobnie długo wspominał ten wypadek.

— Co on znów chciał robić z kalebasem? Czy to się je? — pytał Tomek swego wuja.

— Mięsiasta część tego owocu ma smak trochę cierpki, ale dość przyjemny; jednakże w ogóle nie dla jedzenia zbiera się kalebasy. Krajowcy robią z nich naczynia, miski, kubki, butelki. Wyrażają je za pomocą wrzącej wody, wygładzają i przyozdabiają malowidłami.

— W każdym razie takie naczynia przynajmniej nie łatwo ulegają rozbiciu.

— Z ósrodka zaś robią jeszcze syrop, bardzo dobry w dle ich zdania na niektóre choroby piersiowe i na gojenie ran.

U niektórych ludów Ameryki południowej napełniają te kalebasy kukurydzą lub małymi kamyczkami, i grzechocząc niemi, przekonani są ludzie ci, że rozmawiają z bogiem swoim Tufanem; przechowują te naczynia troskliwie i oddają im codziennie cześć religijną. Dziwny to zaprawdę pomysł, żeby bóstwo rozmawiało ze swymi czcicielami, za pomocą pewnego rodzaju grzechotek, podobnych wielce do zwykłych zabawek dziecińczych.

Tomek śmiał się z tego, ale prędko śmiać się przestał, gdy przystąpił do nich Menito wielce zakłopotany, zawiadamiając, że obiad w skutek wypadku z szerszeniami wiele ucierpiał. Woda się wylała, ogień zagasł, owoce zostały rozrzucone i zdeptane, nie mówiąc już o rybach spalonych. Jakiż teraz będzie obiad?

— Nie troszczcie się — rzekł towarzysz psa — widzicie tam dym za drzewami? to wioska indyjska, dostaniemy tam kupić coś do jedzenia. Jeżeliby zaś wypadkiem nie mieli nic do sprzedania to mam jeszcze suchary w torbie.

Dym wznosił się z pośrodku małej polanki w głębi lasu, ale nie widać było ani śladu wsi, dopóki przewodnik nie wskazał wędrowcom kilka gromad drzew w głębi. Gdzie tylko dwa lub trzy drzewa stały w pobliżu siebie, tam Indianie połączyli je lianami, tworząc w ten sposób podłogę dla chat swoich, wznieśli ją wtedy na jakie sześć stóp nad ziemię, gdy tymczasem wyżej, gałęzie ułożone stosami i splecione między sobą stanowiły dach doskonały.

— I dla czego oni siedzą tak jak kury na drzewach? — spytał Tomek zdziwiony — czy nie mają siekier żeby sobie drzew naćcinać i chaty zbudować jak wszyscy ludzie?

— Mieszkają tak z powodu wylewów — odpowiedział Indianin. — W pewnych porach roku, rzeka Beliza przybiera o 12 lub 15 stóp i zupełnie zalewa kraj cały.

Gdy podróżni przedarli się na polankę, ze dwunastu Indian brązowej barwy gotowało sobie jedzenie. Indianin postąpił ku nim i opowiedziawszy przypadek, który podróżnych pozabawił żywności, zapytał czy nie mógłby kupić u nich cokolwiek? Nie wiele było tam coprawda do jedzenia, jednakże jeden z tych myśliwców w pół nagich, powstał i z książeczką powagą zaprosił gości aby zasiedli na obaloną kłodzie i podzielili z nimi ucztę. Kobiety ich, poszły na orzechy, jak objaśnił i dla tego nie mógł gościom ofiarować chleba, gdyż one to go przyrządzają, ale zresztą wszystko było na usługi, podróżnych. Żywo odmówił przyjęcia pieniędzy za przysługę, którą uważał jako powinność.

— Nie mamy chleba — mówił — ale mamy wiewiórki! (wiewiórki są jadane w Ameryce, nie tylko przez Indian i mieszkańców Meksyku, lecz także przez mieszkańców Stanów Zjednoczonych). Są już prawie gotowe. Oprócz tego oto są piękne, tłuste, doskonałe węgorze!

Melchior wywzajemniając się grzecznością za grzeczność Indianina, odpowiedział że zbyt przykro byłoby mu, gdyby miał pozabawiać wieczery swych gościnnych gospodarzy, podziękować uprzejmie za węgorze nie chcąc ich ani dotknąć, i przyjął tylko kilka wiewiórek dla siebie i swoich towarzyszy.

Pieczenie były zatykane na rożny, to jest na długie kije i piekły się przed wielkim ogniskiem. Od czasu do czasu jeden z Indian, do którego to snadz należało, powstawał, przystępował do pieczeni i łyżką zrobioną z kawałka kale-

basa, skrapiał wiewiórki rumieniące się prześlicznie pod działaniem ognia.

Dzięki tej zwierzynie i kilku owocom, które Tomek i Menito znowu zerwali w miejsce podeptanych podczas napadu szerszeni, podróżni obiadowali doskonale jak tylko obiadować można w pustyni, gdzie przecież nie należy być zbyt wybrednym.

Biedny don Józef tylko nie brał udziału w uczcie, ponieważ mu nie dały jeść okrutne cierpienia, spowodowane pokłuciem przez szerszenie, bo na nim to owady wywarły cały gniew swój zapamiętały. Gdy już zdjęto zastawę obiadową, co nie długo trwało, poprosił on Indian o trochę tłuszczu, którym polewano wiewiórki, aby nim namaścić twarz spuchniętą.

— Szerszenie? — spytał z właściwym Indianom lakonizmem ten, do którego prośba była zwróconą.

— Tak, dziesięciu lub dwunastu najmniej.

— Macie wy zaklinaczów czarowników na węże w waszym kraju?

— Nie mamy.

— Ah, tak wszystko się wyjaśnia. Biedny człowieku! Nic w tem dziwnego. My tu mamy doskonałych czarowników.

— A do czego oni potrzebni?

— Do czego? oni nasmarują cię pewną oliwą, która ochroni cię od ukąszeń much, os, a nawet gdy ich dobrze zapłacić, potrafią tak cię natrzeć, że zabezpieczą cię nawet i od ukąszenia węża.

— Mie mógłbym ja dostać choć butelkę tej oliwy i sam jej używać? — zapytał Hiszpan.

— Tak do rąk przynajmniej najprzód — rzekł Indianin — bo co twarze to już koniecznie tylko sam zaklinacz umie nią pociągnąć bo ta oliwa bardzo jest niebezpieczna przy użyciu. Jest to gwałtowna trucizna, od której musielibyście kichać i kichać, ażbyście na śmierć się zakichali. Możecie przecież natrzeć zwyczajnym tłuszczem wasze rany, w braku tamtej oliwy.

— Dużo czarowników od węży jest w waszym kraju? — zapytał Hiszpan.

— Mamy kilku, którzy nieobecni są teraz. Nietylko zabezpieczają od ukąszeń węzów i innych zwierząt okropnych, ale jeszcze leczą choroby i odpędzają duchy.

— Co on tam wygaduje o węzłach, o zaklinaczach i o duchach? — zapytał Tomek wuja.

— Tak nazywają ludzi, którzy oswajają płazy i wyuczają ich sztuk różnych. Dochodzą do tego umiejętnością i zręcznością, ale Indianie upatrują w tem działanie sił nadnaturalnych i wyobrażają sobie, że zaklinacze są czarownikami. Trzeba dodać, że oni sami utrzymują ogół w tym błędzie, otaczając swe działania najdziwniejszymi tajemniczymi praktykami. Wyzyskują oni w ten sposób łatwo wierność prostodusznych ludzi. Znają oni jednak istotnie użycie niektórych lecarskich środków i posługują się niemi dość zręcznie, a tutaj niema innych lekarzy, ci więc są jedynymi. Ale nie lubią oni wyjawiać swych tajemnic i wolą wmawiać w ludzi, że leczą w skutek bezpośrednich stosunków z bóstwem. Dziwiłbym się, gdybyśmy tu nie poznałomili się z zaklinaczami.

— Czy dużo jest węzów w Ameryce?

— Dużo; a między niemi znajduje się *grzechotnik* najjadowitszy ze wszystkich, tak nazwany z przyczyny przyrzędu jaki nosi u ogona, a który składa się z kilku rogowych cząstek wzajem trącających się z pewnym odgłosem o siebie. Odgłos ten zdradza obecność płazu za każdym jego poruszeniem. Prócz tego jest się zawiadomionym o jego obecności także i przez wstrętą woń jemu właściwą. Na szczęście, grzechotnik nie napastuje człowieka gdy nie jest podrażniony; ale jego ukąszenie zabija w kilku minutach.

— Wąż boa jest chyba jeszcze straszniejszym?

— Wąż boa nie ma wcale jadu tak samo jak pospolity wąż; ale równie jak wszystkie węże, jest to zwierzę mięsożerne, a ponieważ obdarzony jest siłą i chyżosią nadzwyczajną, zatem rzuca się na zdobycz chwytając ją, dusi w swoich skrętach, gniecie, miażdży i połyka powoli, pochłaniając ją w głąb własnego ciała, częstokroć jeszcze w pół żyjącą.

— O jakiej on mówi oliwie? — spytał Melchior swego towarzysza, gdy oddalono się od napowietrznej wioski, udając się w drogę napowrót.

— Nie wiem z czego ją robią, ale z pewnością jest to jakaś silna trucizna.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Jedno z naukowych czasopism francuzkich na dowód że psy są zdolne rozpoznawać istoty lub rzeczy odtworzone na płótnie penslem artysty, przytacza następujące wydarzenia. Pewien malarz posiadał jamnika, który miał zwyczaj ścigania w polu owiec; oduczone go od tego z niemałym trudem, karząc niejednokrotnie. Zdarzyło się, że tenże sam artysta malował obraz przedstawiający trzodek owiec, strzeżoną przez dwa psy; w tymże czasie odwołany został na krótko z pracowni, w której sam pies pozostał. Jakież było zdziwienie malarza, gdy za powrotem zastał swego ulubieńca tuż przed samym obrazem mocno zirytowanego i jakby gotowego do napaści na malowane owieczki, które wszakże nie dochodziły 10-ciu cali długości. Później wiele razy pies zobaczył ten obraz, okazując dziwny niepokój, ale zarazem pewne zainteresowanie się i jakby poznał wreszcie, że to tylko odtworzenie żywych jego nieprzyjaciółek, siadał z daleka na stole i przypatrywał się dziełu sztuki.

Inny znów pies miał towarzysza, którego właścicielka każała odmalować. Gdy obraz był skończony, pies, poznał od razu przyjaciela, skoczył ku niemu i szcękając radośnie, obiegał płótno w około, tak zupełnie, jakby się cieszył widokiem towarzysza, z którym był czas jakiś rozłączony. Wypadek ten nasuwa myśl, że chcąc się przekonać czy portret jest trafiony, należałoby go postawić przed swojego psa ulubionego, gdyby zaś tenże zaczął się do niego łaścić, to portret musi być podobnym. Nieraz się też zdarza, że psy okazują wrażliwość na melodye smutne lub wesołe. Ten sam piesek, który był nieprzyjacielem owiec, nadzwyczaj lubił muzykę, lecz tony smutne były mu przykre. Gdy usłyszał „Marsza pogrzebowego Chopin’a” okazywał z początku żywe niezadowolenie, aż w końcu zaczynał wyć rozpaczliwie. Przeciwnie, jakaś pieska wesoła usposabiała go jaknajlepiej, skakał wtenczas, łaścił się, a nawet tonami dość czystymi zachowując miarę taktu próbował czasem akompaniować.

Od niedawna na wybrzeżu hiszpańskim w pobliżu Bilbao, istnieje kolej żelazna podwodna. Wybrzeże jest tam tak płytkie, że okręty nie mogą dobić do lądu dla zabierania z kopalni tamicznych, rudy żelaznej. Ułożono tedy w morzu szyny aż do miejsca, w którym głębokość jest dostateczną dla okrętów. Po szynach tych jedzie wagon wiozący wysokie rusztowanie, które służy za podstawę skrzyni, obejmującej 100,000 klgr. rudy; ta skrzynia zaś jest napełniana za pomocą rynny, z wysokości skały nadbrzeżnej. Następnie odczepia się od skały i toczy zwolna po szynach ku okrętom, gdzie bywa opróżniana. Do wagonu wiozącego skrzynię, przytwierdzona jest lina druciana, za pomocą której wciągany bywa do spadzistej kolei, wykutej w skałach po opróżnieniu skrzyni. Gdy zaś skrzynia napełniona jest rudą, ciężarem swoim popycha naprzód wagon, który nawet przy burzliwym morzu odbywa tę drogę 50 razy dziennie i ładuje 5 mil. klgr. rudy.

## ZAGADKA.

(Od Poranka majowego dla Kwiatka lotosu).

Wprost, jest rybą, pewno o tem wiecie;  
Wspak, był znany w starożytnym świecie,  
Imię to konsula dzielnych Romy synów,  
Który pokonał jej wrogów, Latynów;  
Ale to zwycięstwo okupił zbyt drogo,  
Bo wśród nieprzyjaciół zginął śmiercią srogą.

## KRZYŻ Z PODSTAWĄ.

(ułożył Lampucer dla Julka).

								21	
								23	
								21	
								22	
	1	25	17	19	20	25	21	23	15
	ar		o r		3		z		y n
								8	
								1	
								13	
								22	
								2	
								9	
								16	
								23	9
								20	13
								1	
								2	5
								20	11
								9	4
								24	
								23	9
								5	12
								9	3
								25	11
								1	

1. Linia pionowa, imię i nazwisko sławnego lekarza.
2. Ramiona krzyża — ruiny zamku w Karpatach nad Dunajem.
3. Pierwszy szereg podstawy — rzeka w Polsce.
4. Środkowy szereg — podgórze Karpat.
5. Dolny szereg — kopalnia soli.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

### Zadania konikowego:

Pod krzyżem młodzian w wieczornym znrroku  
Siedział nad lutnią schylony,  
I ogień dziwny pałał mu w oku,  
Gdy ręką poruszył struny.

(wiersz Mieczysława Romanowskiego).

### Łamigłówki liczbowej:

Nos, noc, dynia, as, San, kos, Wisła, osa, cyna, Anna,  
koło, sok, kakao, kat, kot, kawa, woda, sowa, kłoda, Oka.

Władysław Taczanowski.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.). — Skały dziwnych kształtów (z drzew.). — Wiosna w duszy, wierszyk ofiarowany siostrzyczce p. Maryą Kondracką. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Indyk w gniewie, wierszyk (z drzew.). — Prima aprilis p. Pegaza skrzydlatego. — Sprawozdanie z konkursu kaligrafii. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską (c. d.). — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



INDYK W GNIEWIE.

— Guldu, guldu!...-zakrzyknął indyk wśród podwórka I ogon swój roztoczył i napaścił piórka I zczerwieniał się strasznie jak mak, jak zarzewie, Jak najczerwieńsza wiśnia, no, jak indyk w gniewie, A Józia się wstydziła patrząc na to z sieni Bo gdy się rozgrymasi... też się tak czerwieni...

PRIMA APRILIS. X

chlżebyś wiedział mój Guciu, jakie zabawne sztuki pokazuje kataryniarz z pudlem na podwórzu — mówiła dwunastoletnia Helenka, wchodząc do pokoiku młodszego nieco od siebie brata: lecz cóż to już po ósmej, a ty jeszcze leżysz w łóżku? Wstawajże prędzej, jeśli chcesz go zobaczyć — dodała, i wybiegła śpiesznie z pokoju.

— Zaraz, zaraz idę — odparł chłopczyk, zrywając się na równe nogi z postanienia, poczem aby czasu nie tracić, zarzucił bluzkę owinął się szybko kołdrą i w kilku su-

sach już był w jadalni przed oknem obok siostry, która ciekawie niby wyglądała na dziedziniec.

— A „prima aprilis” nie patrz, bo się omylisz! — zawołała Helenka, śmiejąc się z zawiedzionej minki Gucia.

— Ciebie zawsze się tylko niemądre figle trzymają, aby mi przeszkadzać i zabierać czas niepotrzebnie.

— Nie wiedziałam, że spanie jest tak ważnym zajęciem.

-- O bardzo proszę! właśnie miałem wstać gdyś weszła — odrzekł Gucio i zagniewany nieco wrócił do swego pokoju, gdzie z niemałym znów zdziwieniem spostrzegł na zegarku, że była dopiero godzina szósta, a nie ósma, jak utrzymywała Helenka.

— Masz tobie, podwójnie się załapałem — pomyślał chłopczyk — gotowa teraz rozpowiadać, że to ona mię tak wcześnie obudziła, no ale już więcej nie dam się wywieść w pole.

Kiedy umyty i ubrany zasiadł do odrabiania lekcji weszła służąca z oznajmieniem, że śniadanie jest już na stole.

— Dobrze, dobrze — mruknął Gucio, nie podnosząc się nawet od stolika, na którym pisał. Po chwili przyszła służąca raz drugi i trzeci, lecz Gucio powtarzał wciąż: dobrze, dobrze i pisał dalej.

— Dla czego nie idziesz Guciu na śniadanie — zawołała wreszcie mama z jadalnego pokoju — już wszyscy herbatę wypili, a ciebie doczekać się nie można.

— Nie wiedziałem, iż dziś śniadanie tak wcześnie — tłumaczył się chłopczyk, witając rodziców.

— Wcale nie jest wcześnie — powiedział ojciec — już jest blisko dziewiąta...

— Tak, ale ja cofnęłam wczoraj wieczorem zegarek Gucia o całe dwie godziny — zauważyła Helenka z uśmiechem — przez co jak widzę, potrójnie udało mi się załapać mego roztrzępanego braciszka.

— A ja myślałem, że to Maryanna chce mię znów wziąć na „prima aprilis.”

— Gdziebym tam, proszę panicza — odezwała się służąca — miała myśleć o tem, kiedy mi się dziś w śpiżarce zbiło jajko z załgłym kurczątkiem: do południa bytby już wcale duży kogut, a teraz nie wiem sama, co gotować na obiad?

— Jajko z kurczątkiem, a to musi być zabawne — zawołały dzieci i cwałem pobiegły do kuchni oglądać owo dziwo.

— A „prima aprilis” — zachichotała Maryanna, uradowana ze swego dowcipu, nic bowiem podobnego się nie wydarzyło, a i dzieci nie mniej się śmiały ze swej nierozwagi i łatwowierności.

Po śniadaniu, gdy Helenka siedząc przy stole, zaś Gucio chodząc po pokoju uczyli się zadanych lekcji, przyszedł posłaniec z listem od nauczycielki, która donosiła, iż z powodu ważnego interesu na lekcję tegoż dnia nie przyjdzie.

— A to wybornie się stało — zawołała Helenka po przeczytaniu listu — nie czuję bowiem w sobie najmniejszej ochoty do nauki, przy tak pięknym dniu jak dzisiaj.

— Ja również — powiedział Gucio.

— Cóż będziemy tedy robić?

— Możebyśmy się przeszli do Saskiego ogrodu: od czasu ostatniej ślizgawki, ani razu tam nie byliśmy.

— Czy aby tylko wyjść nam mama pozwoli?

— To się zapytaj i powiedz, że dziś lekcji nie będzie.

Chociaż niechętnie, na przechadzkę dzieci mama ze-

zwoliła, pod warunkiem rychłego powrotu do domu. Ubrana w lekkie wiosenne płaszczyki już miały dzieci wychodzić, gdy w przedpokoju zabrzączał nagle dzwonek, a gdy Guccio drzwi otworzył, weszła niespodziewana zupełnie nauczycielka.

— Jak się macie, drogie dzieci — zapytała przybyła — czy wychodzicie gdzie z rodzicami?

— O, nie, chcieliśmy się tylko przejść do ogrodu, ponieważ pani nas zawiadomiła, iż lekcyi mieć nie będziemy, — odrzekła Helenka.

— A prima aprilis, czyście zapomnieli o dniu pierwszego kwietnia — powiedziała nauczycielka.

Rade nie rade, z zasmuconemi wielce minkami, zasiały tedy dzieci do lekcyi, nie dla tego jednak, aby im było żal ulubionój przechadzki, lecz że nie były przygotowane.

— Cóż to znaczy, iż dziś dzieci zupełnie lekcyi nie umieją — powiedział ojciec, który wszedł był właśnie do pokoju: — Helenka, słyszę, nie odrobiła arytmetycznych zadań, a Guccio nie nauczył się ani polskich wierszy, ani słówek francuzkich?

Gdy zaś nauczycielka powiedziała o wszystkim — rzekł ojciec dalej z uśmiechem:

— Widzicie moje dzieci, jak to nie można wam ufać ni też polegać na was, zamiast nauczyć się zadanój wam na dziś lekcyi, aby ją jutro tem lepiej umieć, woleliście się pierw przejść do ogrodu, a wszakże nie dla tego tylko się uczycie, że nauczycielka przyjdzie was słuchać, lecz abyście się stali mądrzejszemi i pożytecznemi jak dla siebie samych, tak i dla innych, nauka tedy nie jest wymyślonym jakimś przymusem, lecz powinnością każdego człowieka. No, ale dość już tego na dzisiaj — zakończył ojciec, zwracając się do nauczycielki — proszę uwolnić Guccia i Helenkę od lekcyi, niechaj dzień pierwszego kwietnia, bożkowi śmiechu przez Rzymian poświęcony, i oni spędzą wesoło.

Nauczycielka chętnie na to przystała, po obiedzie odrabiałały dzieci zadania, wieczorem zaś były z rodzicami w cyrku, i tak przeszedł dzień „prima aprilis” Guccia i Helenki.

*Pegaz Skrzydlaty.*

## Sprawozdanie z konkursu kaligrafii.

Z najżywszą przyjemnością przeglądaliśmy, drogie dzieci, przysłane przez was próbki kaligrafii. Są między niemi niektóre, zapowiadające na przyszłość śliczne pismo, są mniej ładne, ale wszystkie są tak starannie kreślane, tak w nich znać chęć napisania dobrze, *najlepiej jak które z was umie*, że wszystkie razem uścisknąć was tylko trzeba, pociechy najukochańsze i życzyć, abyście i w dalszem życiu starały się zawsze robić wszystko, co do was należyć będzie, *najlepiej jak które potrafi*. Tymczasem prace wasze rozgatunkować trzeba. Otóż, wybierając z pomiędzy dobrych bezwarunkowo najlepsze, przyznajemy nagrody 1-go stopnia: 8 letniemu Jabłuszku z Kani, które musi być najmilszem z jabłuszek. Dobruni, która mimo pobytu na obczyźnie jak sercem tak

i rączką udział bierze we wszystkim, do czego tutejsze dzieci powołujemy. 8 letniej Pliszce z nad Łybedi, która nietylko przysłała cały kajet kaligrafii, ale jeszcze oprócz podpisu zwyczajnego położyła drugi; wcale nieźle narysowaną pliszkę, coś niby w rodzaju pseudonymowego portretu. Z ośmioletnich należy się jeszcze nagroda Iskierce widocznie wprawną już rączką piszącą, Papierosowi opisującemu bardzo ładnem pismem żalowaną przygodę Stasia, który „na sukni zrobił plamę”. Na przejściu od lat 8-u do 7-u stoi Jaś z Żabna, od września zeszłego roku uczący się dopiero pisać. Powinnować trzeba „Cioci Zosi” tego ucznia, który dobrze już pisze przysadzamy, a mimo to, obiecuje pisać „jeszcze ładniej”. Ze starszych dziewięcioletnich panienek, odznacza się ślicznem pismem Janinka z Janowa Siedleckiego, przysłała nam dwie próbki kaligrafii, widocznie pracowita to panienska, która nie żałuje trudu gdy idzie o zrobienie czegoś porządnie. Srebrna Muszka prosi o zrobienie dla niej wyjątku: chętnie zadość czynimy jej życzeniu, i w jej osobie przywracamy cześć całemu rodowi much, na które rzucił ktoś potwarz, że gryzmoła. Nieprawda! ta Muszka srebrna warta nagrody! Zasługuje też na nią i Dusia K. pewnym, wyrobionym już, drobniejszym charakterem pisząca; ale dla czego lat swoich nie wymieniła? Sądząc po zaletach jej pisma, do dziewięcioletnich ją liczymy. Co do dwóch sześciocioletnich: Bohdanka i Kłoska podolskiego, to powiemy tylko! Jak tu nie dać nagrody, i serdecznego pocałunku w dodatku! *takim* kaligrafom?

W dalszym jeszcze ciągu zasługują też na nagrody: dziewięcioletnia Marya S. z P.; pismo widocznie z takim staraniem kreślone, że aż drzeć trochę musiała rączka. Ośmioletni znowu najliczniejszy zastęp stanowią: Hanka G. po polsku i po niemiecku wprawnie już stawia litery, Piotr S. z P. równie starannie pisze jak o rok starsza siostrzyczka, Kary konik zamiast nóżką grzebać, dobrze już wodzi piórem, a co zaś do Zawadyaki z nad Dunaju, to nikt nawet spodziewać się nie mógł aby tak burzliwe i czupurne stworzenie chciało fałdów przysiedzieć nad kaligrafią. Co to jednak może dobra wola! I ty coś wiesz o jej skuteczności, Trawko stepowa! masz lat 7<sup>1/2</sup>, a zeszyt, który nam przysłałaś, dowodzi że i ty na dobrój woli nic nie tracisz.

Należą się również nagrody sześciocioletnim: Stefanowi B. i Krokodylowi. Pierwszemu widocznie jeszcze mamusia nie powierza tak niebezpiecznego sprzętu, jak nalany atramentem kałamarz, bo ołówkiem tylko nakreślił króciutkie o swojej osobce opowiadanie. Krokodyl malutką rączką ładnie napisawszy, zasłużył także na nagrodę. A kiedyż zostaniesz naszym korespondentem jak to mieliśmy przyobiecane? 7 letni Wit: Wil: zasługuje na nią także, również jak i 9 letni Stańczyk. Leok: Mał. lat swoich nie wymieniła; po charakterze wnosimy jednak, że musi być rówieśniczką Stańczyka, i że praca jej „nie bywa daremną”. Do kaligrafii, jak do wszystkiego, trzeba mieć ów dar szczególny, talentem zwany; ale kto robi wszystko, co zrobić może, od tego już nic więcej żądać się nie ma prawa, a sumiennemu trudowi sprawiedliwość oddać zawsze się godzi. I my też, oddając ją wam, drogie, kończymy to sprawo-



zdanie życzeniem, abyście zawsze równie szczerze zadowolnić umiały tych, którym z kolei rzeczy, postęпки wasze sądzić wypadnie.

*Redakcyja.*

## PRZYGODY WICUSIA

P. ANNĘ ZALEŃSKĄ.

### VIII.

Po skończonym kontredansie wszyscy przeszli do jadalnego pokoju, obsiedli wielki stół, zastawiony różnemi przysmakami, a Józia z bratem gościom uprzejmie usługiwali.

Kiedy po rozmaitych daniach rozniesiono już lody i tort wspaniały, z salonu doszły biesiadników dźwięki skoczego mazura. Wszyscy jednomyślnie powstali i zaczęli się łączyć w pary. Tylko Józia niespokojnie oglądała się za swoim tancerzem Adasiem. Wicus, szukając go, wbiegł do męzkiego pokoju, od którego drzwi były przytknięte; tam niespodziany uderzył go widok. Adaś i dwóch nastarszych gości, znalazłszy na stole papierosy nie dla nich przygotowane, zapalili je i z wielkiem zadowoleniem wołali na wchodzącego: dobrze że przychodzisz do nas, zapal papierosika, to bardzo po kolacy smakuje.

Wicus osłupiał z podziwu; jak oni pięknie, jak po kawalersku wyglądają wśród tych kłębow dymu; ach! czemuż jemu wcześniej ta myśl nie przyszła! ale nie ma rady, teraz trzeba iść tańczyć mazura.

— Chodźcie — zawołał — bo panny czekają.

Adaś zawstydział się, że zapomniał o obowiązku tańczenia z domową panienką, ale za chwilę już, w zręcznych podskokach stanął w pierwszej parze, wymyślał coraz nowe figury i ogólne zjednywał sobie pochwały; naraz pobladł, uchwycił się za serce. — Przepraszam — szepnął do Józii i wybiegł z pokoju.

— Co się jemu stało — zawołali wszyscy — zasłabł nagle, Adaś nagle zasłabł!

Pani Z. niespokojna pośpieszyła za nim.

Adaś rzeczywiście był chory; różne nieprzyjemne objawy się przypadłości, jak zwykle po papierosach których nie nawykł palić, o tańcu już myśleć nie mógł.

Ta choroba najlepszego z tancerzy, tak dziwna i niespodziana, przyczyniła się do skrócenia zabawy. Wszyscy smutkiem przejęci zaczęli się zbierać do domów — mówiąc między sobą!

— Co się mogło stać Adasiowi, zdrowiuteńki przecież był przed kolacją?

— O co? naturalnie zaszkoziła mu limoniada — rzekł Wicus do zafrasowanej Józii; — my mężczyźni przy tańcu nie możemy się obejść bez wina, już ja ci to powiadam!

### IX.

Możnaby przypuszczać, że po tak mile spędzonym wieczorze, nasz Wicus z podwójną pilnością zabrał się do pracy, żeby wywdzięczyć się swój dobrej matce, za

trud i koszt podjęty dla niego. Ale niestety! inaczej się stało: lekkomyślny chłopiec rozbałamucił się bardziej jeszcze; jemu teraz w czasie poważnej lekcji w uszach szumiały dźwięki mazurka; okładki kajetów przypominały mu różowe i niebieskie sukienki tancerek, w mapach geograficznych zdawało ma się, że widzi coś podobnego do tortu przekładanego konfiturami; ale już najbardziej dręczące wrażenia sprawiał mu widok piór i ołówków; koniecznie mu się zdawało, że to są papierosy i chęć go zbierała wielka zapalić choć jednego.

Bezustannie więc nudził swoją zbyt dobrą mamę, by jeszcze jeden balik wyprawiła.

— Już zobaczysz, mameczko, jaki ja potem będę pilny; jak do samych wakacyi uczyć się będę doskonale. Ale raz jeden, tylko raz jeden pozwól mi gości zaprosić.

Mama opierała się długo, tłumaczyła mu, że teraz post nastął, że żadna panienska nie przyszłaby na wieczorek, że nawet dla dorosłych ludzi, tylko siedzące rauty teraz urządzają.

Wicus się zastanowił: — No prawda, teraz tańczyć nie można, ale czyż to bezmyślne skakanie ma być już najmilszą rozrywką — mówił pogardliwie — czyż konieczne są dla miłego spędzenia czasu owe hałaśliwe, podskakujące pensyonareczki. Poważna rozmowa o naukach i szkole, w dobranym gronie kolegów, byłaby mu jeszcze milszą.

— Tak, mamu najdroższa, w sobotę wypada św. Józef, imieniny mojej siostrzyczki, pozwól mi zaprosić kilku przyjaciół, zabawimy się doskonale.

I tak długo prosił i nudził, tyle przyrzekał za to pilności, że narecznie mama mu pozwoliła i wybór gości, których mu wolno było zaprosić, został postanowiony. Ustępowała mu nawet pani Z. na dzień ten saloniku, na własny użytek.

— Tylko ty Józiiu, pamiętaj, żebyś się tam wcale nie kręciła; będzie to zabawa chłopcom tylko właściwa a nie miejsce dla panien. Taki jest obyczaj na świecie przyjęty.

Józia ani myślała walczyć przeciw obyczajom światowym; dziwiła się tylko w duchu, dla czego w dzień swoich imienin miała się stanowczo bawić sama. Ale mówić o tem z Wicusiem już nie było sposobności; tak miał głowę zaprzątniętą przygotowaniami, coraz to coś nowego wymyślał, ku uczczeniu swych gości. Ze szkoły przychodził teraz później, a raz Józia spostrzegła, że przyniósł z miasta jakiś pakiecik i schował go prędko do szafki, a gdy zbliżyła się ciekawie, chcąc zobaczyć, co to być może:

— Poszłabyś — rzekł bardzo niegrzecznie — pilnować lepiej igły i naparstka.

Jak w sobotę poszła Wicusowi nauka w gimnazjum, nie wiemy; bo dyskretni jego koledzy nie zdradzili go; do domu zaś przybiegł zdyszany i bardzo się ucieszył, widząc, że w saloniku jakoś inaczej niż zwykle wygląda; światła przygotowano więcej — i obszerniej było, bo kilka kosztowniejszych i łatwiej psujących się przedmiotów usunięto.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Pierwsze, drugie i trzecie,  
Jest zawsze w alfabecie,  
Wszystko z gorących krain nam przychodzi,  
Zgotowane piją i starzy i młodzi.

## Zagadka homonim.

Ci co miastem mnie nie znają,  
W każdym tygodniu mnie mają.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

## Szarady:

Ku — ra — cy — a.

## Zagadki:

Koryto.

## Skrzynka do listów.

**P. Z. B. w gub. Wołyński.** Nie możemy uczynić zadość życzeniu Pani, gdyż wedle naszego przekonania podobne napomnienia mogą jedynie pochodzić od rodziców, o ile ci je uznają za odpowiedzialne.

Pytasz nas miła **Emilko O.**, czy ubogie dzieci, któremi się zajmujemy będą miały święcone? Niestety nie od naszej dobrej woli to zależy, ale od możliwości, a przed święconem jeszcze wypada pomyśleć, aby miały trzewiki na święta, bo inaczej do kościoła nie pójdą. Pamięci miłosiernej dobrych serduszek zawdzięczają już wiele, bo nie jednym podarowane znoszone ubrania, pozwoliły chodzić do szkółki, lub ochronki, gdy inaczej wyjść nie mogli z domu.

**Srebrna Strzała** nie powinna nas przeproszać za *ambaras*, bo wszelkie przysługi dla naszych kochanych czytelników, sprawiają nam tylko przyjemność. Literatura najodpowiedniejsza co do obszerności tej o której mowa jest Mecherzyńskiego, kosztuje rs. 2, przesyłka zaś pocztowa wyniesie kop. 30.

**Wróżbiarka szczęścia** nigdy nas nie znudzi swoją korespondencją, nic możemy przeto dać jej pseudonimu doradzonego przez mamę. Powiastka będzie umieszczoną jak się tylko znajdzie miejsce. Mając ochotę myśli swych udzielić drugim, uczyć się przedewszystkiem trzeba, dobrze więc Wróżbiareczko, że uczyć się lubisz. Żądane książki wysłano, wraz z przesyłką wynoszą rs. 7 kop. 30, pozostało przeto do dalszego rozporządzenia kop. 70 z przysłanych rs. osmiu.

Posłaliśmy żądany numer kochanej **Białośnieźce**, rocznik zaś *Wieczorów* zupełnie u nas wyczerpany.

Najtrudniejsze zawsze początki, **Czubała Kokoszko!** Mamy nadzieję, że raz przemógłszy nieśmiałość, będziesz już odtąd pisywała wypracowania na każdy konkurs, a **Gołąbka** nie zadziobie **Kokoszki**. Liścik w swoim czasie umieścimy.

**Wisienka** także do nowicyszek należy; razem parkę stanowicie bardzo mile witana.

Wcale nas nie znudziłaś **Szara Ptaszyno z Podola**. Że ci się podobały krewniaczki, kolibry, to nie dziw; ale pod szaremi piórkami odważnie mieć musisz serduszek, kiedy się tygrysem przypatrujesz z upodobaniem. Jakżebyśmy chcieli poznać tego młodszego braciszka, który się „zachwyca hipopotamami!” O dalsze wiado-

mości z Or. prosimy, niech Bóg wam błogosławi, dziateczki drogie, na nową, oddaloną siedzibie i pozwala wyrastać na pociechę rodzicom, a pożytek swoim!

Rozwiązania nadesłane przez **Lucia des E.** odebraliśmy, również jak i z dalekich kresów przybyłe rozwiązanie **J. Zar.**

**Gołąbka** sama ci odpowie, **Złota przedzo**, na wątpliwości tycające się trafego wyboru przedmiotu, o którym się w wypracowaniu rozpisalaś. Nie sądzimy, aby ci to miała za złe. ŁamigłóWKi? ma się rozumieć, że czekają „kolei”.

**Żabce z Podola** serdecznego całusa posyłamy. Wiosna nadchodzi, powinno więc to stworzonko częściej się teraz odzywać.

Nie, nie zapomniano cię w redakcyi **Halko z Litwy** i mile powitano twój liścik. Więc jesteś zdania, że dawne czytelniczki i korespondentki powinny mieć swoje przywileje? Ha, niech i tak będzie...

Chociaż do nich należy **Czarna Gondola**, nie możemy jednak wydrukować liściku tak prędko jakby sobie życzyła. Nawał ich mamy; z czasem jednak wydrukujemy.

Biedne **rajskie Jabłuszko**, serdecznie się cieszymy, żeś już do zdrowia wróciło! Dla czego jednak „niema nic ciekawego do powiedzenia” o miejscowości, w której mieszkasz?

**Lilijka z nad Osławy** prosi, aby ją „kochać choć troszkę”. Miło i łatwo zadość uczynić takiej prośbie. Co się liścików tyczy, przeczytaj dziewczeczko koniec odpowiedzi udzielonej czarnej Gondoli. Obie wraz z **Kaliną z Ukrainy** pierwszy raz przysyłacie wypracowania na konkurs? Cieszy nas to bardzo; to dowód, że temat przypadł do smaku naszym czytelnikom.

**Dąb Sosnowiecki** wcale dowcipnie omyslił zagadkę, którą użytkujemy, przedźj zapewne od łamigłówek, bo tych mamy zapas ogromny, nad potrzebę nawet większy.

Istotnie, **Oleńko droga** „jedenastoletnie życie” jest tak krótkie, że trudno się „gniewać” jeżeli nabyte w niem wiadomości nie są jeszcze zbyt obfite. Bądź więc spokojną: w ogóle nie jesteśmy skorzy do gniewu na ukochanych naszych korespondentów.

Wytrwaj w pięknych zamiarach, 12-to letnia **Rosiczko z nad Rowu**, przyklasnąć im tylko możemy i powiedzieć, że serdecznie kochamy i szanujemy dziewczynkę, która tak poważnie myśli o obowiązkach ją czekających.

Bardzo nam przyjemnie, **Oleńko** (z ulicy Marszałkowskiej, dla odróżnienia od tamtej z Litwy), że tym razem nabrałaś śmiałości należenia do konkursu.

**Pani M. W.** Życzeniu Szanownej Pani uczyniliśmy zadość; za życzliwe słowa uznania dziękujemy serdecznie.

W odpowiedzi na twe zapytanie, kochana **Złota Tęczo**, donoszę że jestem szatynką z czarnemi oczami, dość słusznego wzrostu i mieszkam w pięknej wiosce **Koziucach**. Ile masz lat? i gdzie się uczysz? Co ci się najwięcej podoba w naszych kochanych „Wieczorach”? bo mnie każda powieść poważniejszej treści. Odpisz kochającej cię byłej **Akacy** różowej, terażniejszej **Vescie**.

Kochane: **Pomadko różowa**, **Gałązko Heliotropu** i **Bajurko z Ludwińskiego podwórka!** Dziękuję wam za odpowiedzi; **Pomadce** donoszę, że mi się najwięcej podobają; „**Podziemia Barwałdzkiego zamku**”. Czy **Helcia** będzie pisywać do „**Wieczorów**”? Chciałabym się z wami poznać przez nasze **Pisemko droga Iskierko** i **śnieżna Jagódka**, zdaje mi się, że jeszcze wam daleko do wyłączenia z konkursów, ja się bardzo martwię, że jestem tak starą, gdyż mam już lat 14. Jakie są wasze imiona i gdzie mieszkacie? **Ścisłkam** was wszystkie serdecznie, oraz **Semiramis**. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Stokrotko z nad Prądnika**. Kiedy się zbierzesz na list do Redakcyi? bardzo jestem tego ciekawa. Nie spodziewałaś się pewno listu odemnie, nieprawda? Czyś jeszcze nie czytała początku „**Szesnaścieletniego wojewody**”? Odpisz mi na to pytanie proszę cię i ścisłkam serdecznie. *Makolągwa*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### NA ŚWIĘTA ZMARTWYCHWSTANIA.

Zwycięzco śmierci, Baranku Boży,  
 Chrystusie ukrzyżowany!  
 Drogo żywota, Światło bezdroży,  
 Prawdo stwierdzona krwią, rany...

Któryś obiecał nam zmartwychwstanie  
 Do życia przez Cię i w Tobie,  
 Wspomnij, gdy legniem kłosem na łanie  
 Kolebce jestestw i grobie,

Gdy wioną śmierci skrzydła olbrzymie  
 Wspomnij, że w Tobie otucha,  
 I zbudź nas wszystkich, ach! zbudź nas w Imię  
 Ojca, i Syna, i Ducha.

M—a.



### WIELKANOC.

Do uroczystych świąt kościoła katolickiego należą święta Wielkiejnocy, obchodzone na cześć zmartwychwstania Chrystusa, a nigdzie pono taksolemnie, tak radośnie je nie obchodzą, jak u nas. Cały tydzień poprzedzający owe święta, zwany wielkim tygodniem, mówi każdemu, że zbliża się jakaś wielka uroczystość.

„Już po dworach ruch nieznaną  
 Wszystkie twarze uwesela,  
 Czyszczaą domy, bielą ściany,  
 Na przyjęcie Zbawiciela;  
 Z nad kominów wałą dymy  
 Że aż poczuć je zdaleka,  
 To obyczaj nasz rodzimy,  
 To święcone się wypieka.”

Tak owe dni maluje poetycznym swem piórem Ludwik Kondratowicz. Zaiście wzruszająca to uroczystość, do której gotujemy się w wielki tydzień, obchodzimy nią dzień zmartwychwstania Chrystusa.

Niegdyś w czasach pogańskich, gdy imię Chrystusa, znanem jeszcze nie było ludom słowiańskim, w owej porze, to jest w dniach pierwszych wiosny, Słowianie obchodzili uroczystość na cześć słońca i ziemi, na nowo się odradzających z pod władzy bóztwa Ciemności, Zimna i Śmierci, w owe święto dzielili się oni zwykle jajkiem, które było u nich symbolem braterstwa, a słońce uważali za Boga pokoju i zgody, piekli ciasta i ofiarowywali je ziemi, czyli wszechmatce, Babą u nich zwaną, jedli też szczególnie w owe dni wieprzowinę.

Kiedy Chrześcijaństwo rozkrzewił się wśród słowiańszczyzny i święta pogańskie zniesione zostały, kiedy Polanie, Rusmi, Serby, Czesi, Mazurów, oraz inne ludy do tego samego plemienia należące, przed krzyżem się ukorzyły i oddały cześć Zbawicielowi świata, odtąd obchodzili oni zmartwychwstanie Chrystusa, lecz przy owej chrześcijańskiej uroczystości zachowywali niektóre z dawnych zwyczajów, jak dzielenie się jajkiem, pieczenie ciast, zastawianie stołów mięsiwem; święcone zatem zwyczaj tylko u nas obchodzony, jest czysto słowiańskim zwyczajem.

Kto nie zna pochodzenia tych zwyczajów, temu one śmieszne, niedorzeczne i niepotrzebne się wydają; lecz kto wie o tem, że to pamiątka przeszłości, zabytek tak bardzo odległych czasów, ten nie gardzi nimi, lecz je szanuje.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Cóż za niedorzeczność — zawołał uderzając się w czoło — dla czegoż od pierwszej chwili przybycia nie starałem się o jaką pracę! Ależ o jaką?... W każdym razie zmarnowałem dużo czasu. Wszedł po namyśle do kilku sklepów z kolei ofiarując swe usługi jako chłopiec sklepowy i wyszedł jeszcze prędzej, prawie zadowolony że go odprawiono z niczem, bo zajęcie o które prosił wstępnem mu było. Doznawał jednocześnie jakby zawrotu głowy, zastanawiając się nad tą niewątpliwą prawdą, że nie umie nic, czemby mógł na chleb zapracować, a tymczasem myśl uciekała mu ciągle do pytania, gdzie też to odkopywane były owe szczątki rzymskiego amfiteatru, których dotąd napotkać w Budzie nie mógł?...

Zamyśliwszy się o rzeczach, które zajmowały go daleko więcej niż najbliższe własne sprawy, głodny chłopak ani się spostrzegł gdy znowu stanął w odludnej trochę miejscowości, gdzie pod cieniem kilku pięknych drzew, grunt niegdyś trochę skopany a następnie bujną pokryty roślinnością, jakiś odłam muru starego i kilka głazów ogromnych przedstawiało jego wyobraźni szczątki amfiteatru rzymskiego.

— Tu? czy nie tu?... dziesięć tysięcy ludzi dawało przed wiekami grzmiący oklask arcydziełom ducha ludzkiego?... — spytał sam siebie po raz setny od trzech dni; i z rękami na piersiach skrzyżowanymi, zamyślony jak głównodowodzący generał w przeddzień walnej bitwy, stanął nieruchomy obejmując okiem zieloną przestrzeń usianą głazami, oblaną złotemi blaskami południowego słońca, pogrążoną w głębokiej ciszy osamotnienia. Wtedy to, wśród tej ciszy lekkim tylko, ciepłym wietrzykiem owianej, Szandor usłyszał dźwięczny głos mężczyzny, deklamującego z przejęciem do uniesienia dochodzącym, wzniosłą jakąś poezją. Jak małe igielka nagle pociągnięta zbliżonym do niej magnesem, chłopiec pomknął mimowoli w stronę głosu i okrążywszy węgiel starego muru, stanął nieruchomy, jakby oczarowany ujrzanym niespodzianie widokiem. O kilka kroków dalej, w miejscu które istotnie podwyższeniem swem nadawało się i przypominało niejako scenę, przypuściw-

szy że reszta otaczającej doliny, wzniesionej także na ostatnim planie w półkole, była amfiteatrem, stał średniego wieku mężczyzna z gołą głową, z wybitnymi rysami, w płaszczu, z jedną połą zarzuconą w malowniczej draperji na lewe ramię, i mówił:

Być?... albo nie być?... oto jest pytanie!  
Co lepiej dla nas: jestże lepiej znosić  
Ciosy i pchnięcia losem zadawane,  
Czy też broń schwycić także przeciw losom  
I siłą woli... zmódz je!...

Nieznamy mówił długo a każdy wyraz jego padał prosto w serce słuchacza; gesta wyraziste, silne, jakby wykowane, zarówno jak rysy twarzy i draperje togi, dopełniały złudzenia. Wsłuchany całą duszą w deklamację wspaniałą, nie mając czasu myśleć, młody chłopiec począł jednakże uczuć niepojęte wzruszenie. Nie był on zabobonnym w pospolity właściwy ciemnocie sposób, ale uniesiony własną potężną wyobraźnią, gotów był uwierzyć w tej chwili, że to duch jakiegoś artysty-aktora rzymskiego, wrócił po licznych wiekach, aby na arenie swoich tryumfów, powtórzyć brzmiące mu w piersi od tylu wieków słowa przepiękne, myśli przeobrzynie, jakimi tu w tem samym miejscu, oklask dwudziestu tysięcy rąk niegdyś zdobywał. Nagle, duch aktora zamilkł... zwrócił się w bok od jakiegoś niewidzialnego kolegi oczywiście i... znalazł się oko w oko o trzy kroki z rozplamionym, na wpół zaledwo przytomnym z uniesienia słuchaczem. Rzymianin nie byłby tem czem był, gdyby nie poznał się od jednego spojrzenia na uwielbieniu, z jakim nań patrzano, a to pochlebilo artyście, jakkolwiek przychodziło od tak młodzieńczego zapaleńca. Więc podejmując porzucony na głazie kapelusz i zeszyt, rzekł z lekkim uprzejmym pół ukłonem, uśmiechając się od niechcenia:

— Jesteś jak widzę wielbicielem Szekspira?... trudnoż bo nie podziwiać takiej potęgi!...

— Szekspira?... — cofnął się Szandor i oprzytomniał od razu. Niespodzianka musiała się uwyraźnić na jego twarzy, bo Rzymianin który jednym gestem zmieniający swą toż w płaszcz pospolity zamierzał odejść, zatrzymał się, patrząc nań z uśmiechem pytającym wzrokiem; chłopiec rozśmiał się:

— Ech niestety, Szekspira znam ledwo z nazwiska — rzekł — a pana wziąłem za...

— Za waryata rozprawiającego z głazami?

— Za rzymskiego aktora-artystę, który po wiekach zstąpił tu na scenę dawnych swych tryumfów, powtórzyć ulubioną za życia rolę. Nie mogłem tylko poznać czyja to poezja?

Nieznamy przypatrywał mu się bacznie.

— Nie zupełnie się rozumiem młody przyjacielu — rzekł w końcu. — Najprzód zgadłeś że jestem aktorem, zowie się Andrzej Losz! do usług twoich — dodał z lekkim ukłonem — ale nie wiem co mówisz o amfiteatrze?...

— Ja się zowie Szandor Petöfi... — odpowiedział chłopiec i wyjaśnił swe przypuszczenie co do rzymskiego amfiteatru. Losz wzruszył ramionami:

— O Rzymie w ogóle mało wiem — wyrzekł — co do tych gruzów wśród których stoimy, są to resztki starego browaru, dystylarni, czy czegoś podobnego. Przychodzę tutaj czasami uczyć się roli mojój, bo mam tu samotność i ciszę w pobliżu miejskiego gwaru, o co nie jest łatwo. Ale z zajęcia z jakim słuchałeś monologu Hamleta wnoszę, że mam do czynienia z przyszłym jeżeli nie teraźniejszym już nawet kolegą? Co? He?... — aktor zaglądał chłopcu w oczy sądząc, że się zarumieni zdradzając tajoną chętkę do zawodu, który nęci niejednego młodzieniaszka zwodniczymi pozorami arcyzmu, narażając na rozczarowanie następnie i żal spóźniony za zmarnowanym czasem. Ale Szandor nie zarumienił się, tylko podnosząc na pytającego oczy posmutniałe nagle, spytał półgłosem jakby mówiąc do siebie samego:

— A możebym ja mógł znaleźć jakie zatrudnienie w teatrze?... zanim na aktora się wykształcę?... — Przykre obecne położenie teraz dopiero przyszło mu na myśl,

ostatnimi pytaniami Losza wywołane. Nastąpiły wyjaśnienia; Szandor ani się zawahał zwierzyć ze swemi kłopotami.

— Hm, w każdym razie nie zaszkodzi pogadać z dyrektorem — postanowił Losz — tylko wprzód wstąpmy na obiad; dziś ja płacę, jak weźmiesz pierwszą gażę aktorską, to na ciebie przypadnie kolej.

— Gażę? Czy tylko ją wezmę kiedykolwiek? Czy dyrektor zechce?...

— Zechce... jeżeli nie będziesz wybredzał z początku i jeżeli następnie znajdą się zdolności. No chodźmy! — W pół godziny później dwaj nowi znajomi weszli na podwórze obszernego budynku.

— Jest dyrektor? — spytał Losz, zwracając mowę do kilku dosyć odartych ludzi zajętych na środku podwórza rozwijaniem olbrzymiej jakby rolety na której drzewa, lasy, góry, zamek jakiś na szczycie skały, pojawiały się z wolna.

— Dyrektor jest na scenie — odpowiedzieli.

— Pójdź, tylko ostrożnie, jeżeliś nigdy po takich dziurach nie chodził — rzekł Losz i poszedł pierwszy. Weszli w nawpół przymkniętą bramę i znaleźli się we wnętrzu budynku. Dziwny był jego wygląd. Gdzie stąpisz, przepaść, gdzie spojrzysz, lata, belka; czego dotkniesz wszystko chwieje się i rusza, nic dobrze zresztą nie widać, bo łaty, belki, deski, zasłaniają światło, wkradające się tylko z kądków; kurz zaciemniał resztę. Szandor szedł za towarzyszem pod górę po pewnego rodzaju pomoście z ruchomych desek. Na pewnej wysokości Losz zawrócił w prawo i znów pytał gdzie dyrektor?

— W dużej garderobie! — odpowiadały jakieś głosy. Losz zawrócił w prawo, Szandor szedł za nim, ale nogi uplątały mu się w grube sznury i płótna i o mało nie upadł.

— Panie dyrektorze, przyprowadzam nowego posługacza na miejsce generała Maćka zwerbowanego do wojska — rzekł Losz, gdy się znaleźli wreszcie na scenie.

— Kandydat na ducha raczej, gdyby był trochę wyższy, — odmruknął dyrektor, rzuciwszy jednym okiem na Szandora nie przestając pisać w jakimś zeszycie, który miał przed sobą.

— Tem lepiej, przyda się na ducha Banka \*) — odzywa się kilka głosów i wszyscy patrzą na wychudłego, jak cień wyglądającego chłopca.

— Eljen! masz już rolę, tylko wdziejesz koturny \*\*) bo przyzwoitemu duchowi nie wypada być tak małego wzrostu — rzekł Losz do swego protegowanego.

— Umie czytać? — spytał dyrektor, nie przerywając swego zajęcia.

— Lepiej niż my oba! — szepnął mu Losz do ucha. Dyrektor spojrział uważnie.

— Homera i Horacego umie na pamięć, toż samo Szylle-  
ra, tylko Szekspira ani w ząb, nawet monologu Hamleta dziś rano jeszcze nie znał, w każdym razie mojem zdaniem, może grywać odrazu choć nieme role w starożytnych tragediach, no, i tymczasem posługiwać na scenie!... — dodał. — To chłopak zamożny, mógłby żyć dostatnio, ale miłość dla sztuki uniosła go i sprawiła w nieporozumienia z rodziną.

— Zobaczmy — rzekł dyrektor.

— Chodź kolego, pokażę ci robotę dzisiejszą — dodał Losz.

Nazajutrz, zawsze za jego protekcją, Szandor otrzymał małą zaliczkę na *conto* przyszłej gaży i... natychmiast pobiętszy na miasto wyszukał gramatykę angielskiego języka, i każdą chwilę wolną na naukę upragnionej angielszczyzny oddał obracał. Na scenie ustawiał sprzęty w myśl reżysera, pojmując go lepiej niż zwykli posługacze, w tragediach starożytnych odgrywał nieme role, jako też i role duchów, o ile te poprzedzawały na mniej więcej niemem ukazywaniu się. Prawdziwej roli nie dostawał jeszcze, bo nie było odpowiedniej do tak drobnej postaci. Koledzy nazywali go pospolicie „duchem”

\*) Duch ukazujący się w jednym z utworów Szekspira.

\*\*) Obuwie starożytnych aktorów na niezmiernie wysokości podszewi

lub „cienkim duchem” a Losza „Rzymianinem” dowiedziawszy się szczegółów ich pierwszego spotkania.

(d. c. n.)

## PALMA WACHLARZOWA.

Ojczyzną ślicznego drzewa tego jest Madagaskar, lecz obfitują weń i inne podzwrotnikowe okolice. Olbrzymie liście wyrastające jeden nad drugim w półkole wprost z pnia, zupełnie w kształcie wachlarza, mają od dziesięciu do czterestu stóp długości. Nawet w czasie największej suszy, każdy liść taki zawiera przeszło kwartę, smacznej chłodnej wody, która obficie wylewa się zeń za przekłóciem. Aż smutno pomyśleć że krajowcy używają tych liści na pokrycie dachów... zdawałoby się że powinni mieć dla nich to przynajmniej poszanowanie, jakie mahometanin ma dla każdego źródła wody. Jeżeli palma jest w ogóle błogosławieństwem okolic w których wra-  
sta, to palma wachlarzowa jest niem stokrotnie.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



II.

a zaś myślę — odezwał się Pióropuszek — że mistrz przywiózł nam jakieś osobliwe zwierzątko niezname dotąd. Ej, czy to nie będzie czasem *żaba latająca*, *Rhacophorus Rheinwardti* jedno z najciekawszych ziemno-wodnych stworzeń — dodał patrząc mi bystro w oczy — to żaba, przyznaj się mistrzu kochany! Nie pokazałeś mi jej jeszcze, a powiem ci jak wygląda: zielona, czarno nakrapiana, z pomarańczowem podbrzuszem w ciemne plamy. Oczy ma wielkie i bardzo na wierzch wychodzące. Niebiesko zabarwione brodawki pokrywają jej nogi, na szczególną zasługującą uwagę: palce są bardzo długie, szczególnie u nóg tylnych, połączonych z sobą cienką błoną. Gdy palce te zupełnie rozpo-  
strze, powierzchnia błon jest większą, niż powierzchnia całego ciała, która może być jeszcze powiększoną przez wydęcie powietrzem skóry. Poduszeczki jakimi jej palce są zakończone, wskazują że to jest żabka drzewna, ale niezwykle szerokie jej pletwy nie do pływania służą; podczas gdy inne żaby drzewne skazane są tylko na łożenie, ona jest w stanie w powietrzu przelecieć pewną odległość, a pletwy używa jako spadochronu. Wprost z ziemi wprawdzie wznieść się nie może; musi zawsze swoją podróż powietrzną zaczynać z jakiegoś wysoko nad ziemią położonego punktu, ale bądźco bądź, jest to w żabim rodzaju wielka, nadzwyczajna osobliwość. A co mistrzu, nie zgadłem? Ach! gorąco mi się robi na samą myśl, że mogę posiadać to osobliwe zwierzątko, które odkrył w Borneo znakomity badacz i podróżnik, Russel Wallace, a którego egzemplarz posiada obecnie muzeum paryzkie. Od czasu jak się o tój żabie dowiedziałem, noszę ciągle jej portret przy sobie i przemyśliwam, kogo by tu w poselstwie po nią do Borneo wy-

prawić. Zobacz mistrzu kochany, i powiedz mi czy dobrze trafiony.

Wyjął z kieszeni niewielką książeczkę ze słoniowej kości, gdzie farbami wodnymi namalowana była latająca żaba i podał mi ją.

— Nie mogę ocenić podobieństwa — odrzekłem patrząc na portret — bo nie miałem przyjemności poznać oryginału.

Pióropuszek schował malowidło do kieszeni, i zachmurzył się.

— Widzę że nikt nie zgadnie jaki przywiozłem gościniec — powiedziałem. — Słyszę tu wymienione rzeczy bardzo rzadkie, bardzo osobliwe, ale to co przywiozłem jest jeszcze osobliwsze.

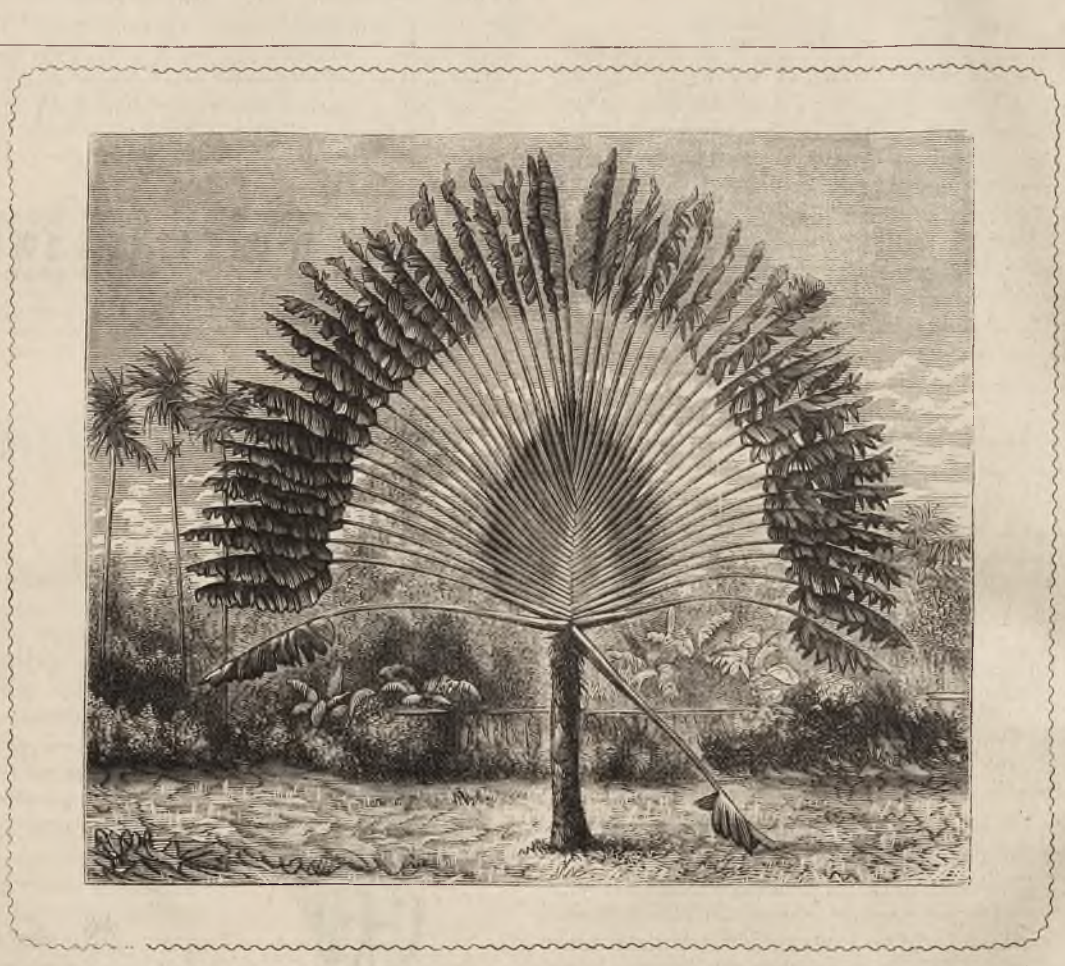
Wielkie zdumienie odmalowało się na wszystkich twa-

W szkatułce na purpurowym posłaniu leżały trzy przedmioty jednakowych rozmiarów, a każdy owinięty był starannie w białą jedwabną, złotem haftowaną tkaninę, wedle wschodniego zwyczaju, dla cennych podarków stosownego. Wymowałem te przedmioty kolejno: jeden wręczyłem królewiczowi Kryształkowi, drugi Pióropuszkowi, trzeci Zielonce.

Jęli je odwijać z gorączkową niecierpliwością i z wszystkich ust wyrwał się jednobrzmiący okrzyk zdziwienia, wszystkie bowiem były jednakowe: nie różniły się niczem.

— Książki! — wymówił tonem w którym brzmiało echo zawiedzioną nadziei — i to ma być owa osobliwość, którą nam obiecywałeś?

— Miłośnicy królewicze — rzekłem — osobliwość to wię-



Palma wachlarzowa.

rzach. Zawołałem na pazia żeby mi przyniósł od marszałka dworu szkatułkę, którą zsiadłszy z muła oddałem mu pod opiekę. Wszyscy oczekiwali w niecierpliwem milczeniu, a po oczach ich widziałem, że gubili się w tysiącnych domysłach.

Po chwili paż przyniósł czworokątną szkatułkę z drzewa sandałowego, kupioną przezemnie na Wschodzie i postawił na stole.

— O! — zawołała, ujrawszy ją królewiczowa Perełka — to nie może być w żaden sposób zwierzątko, bo by się uduśliło. Szkatułka nie ma otworów po bokach.

— Ani roślina — odezwała się Jagódka — bo rośliny potrzebują oddychać, więc uduśliłaby się także.

— To musi być minerał — zdecydował Kryształek, i nikt mu nie zaprzeczył, bo przypuszczenie jego wydawało się najprawdopodobniejsze.

Wyjąłem złoty klucz który miałem na szyi i otworzyłem szkatułkę: wszystkie sześć głów pochyliły się nad nią.

ksza, niż się możecie domyślać. Nie mówcie nic póki się nie przekonacie.

Zaledwie wymówiłem te wyrazy, gdy Kryształek, spojrzawszy na okładkę, zawołał:

— Patrzno Iskierko, jakie to podobne do naszego pałacu, gdy się nań patrzy od strony morza, przez mgłę oparów unoszących się nad wodą! Te same wieże, te same dachy złociste, to samo tło z sinych skał...

A Pióropuszek otworzywszy swoją książkę, rzekł ze zdumieniem:

— Co ja widzę! Szlachetny król Dobromir z królową Miłosławą siedzą na swoich tronach złocistych; u stóp ich trzy nadobne córki dziś nasze żony, a przy nich mistrz Abrakadabrus... Jak wybornie trafiony!

Zielonko zaś przewracający prędkiej od innych karty swojego egzemplarza, wykrzyknął.

— Ach, Jagódko! tu jest skarbiec Kryształka, komna-

ta w koralowym pałacu Pióropuszka i moje własne cieplarnie! Czy widzisz wspaniałe liście palm i kaktusy pokryte purpurowymi kwiatami? Mistrzu, co to wszystko znaczy?

Królewiczowe spoglądające razem z mężami w karty książek, wyrażały także głośno swoje zdziwienie. Kryszałek na którego czole zawisła jakaś chmura i który karty swojej z gorączkową przewracał niecierpliwością, rzekł:

— Tego nawet czytać nie można, bo jest drukowane w jakimś obcym, nieznanym dla nas języku.

Spojrzałem prosząco na Jagódkę, a ona zrozumiaławo mnie rzekła:

— Ja znam ten język! Nauczyłam go się od biednego wygnańca, którego burza zmiotła z rozbitego okrętu i wyrzuciła na nasze brzegi. Ja wam powiem co to jest.

I wzięwszy książkę z rąk męża, przeczytała tytuł tłumacząc go na język Atlantów:

„Niegodni królewicze, bajka prawdą przeplatana”.

Poczem odwróciła kartę i czytała dalej:

„W pewnym kraju bardzo oddalonym, którego na żadnej mapie nie znajdziecie, panował król Dobromir z królową Miłosławą. Mieli trzy córki, a wszystkie były cudnie piękne, dobre i roztropne. Najstarszej dano imię Iskierka, bo miała oczki śliczne, błyszczące, jak prawdziwe iskielki. Druga zwała się Perelka, bo białe delikatne jej liczko podobne było do perłowej muszli; trzecia Jagódka, zgadujecie pewnie, że była rumiana jak wisienka”. Urwała i wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

— Ach, mistrzu kochany! — zawołała — co za przesłiczna i ciekawa historia! A toż tu ktoś wyraźnie nasze własne dzieje opisał, i niezgodę naszych mężów, jak się domyślam. Przywiozłeś nam gościniec rzeczywiście niespodziewany, osobliwy i bardzo ciekawy: dziękujemy ci za niego serdecznie.

Iskierka i Perelka śmiały się także i cieszyły jak dzieci, że będą czytać swoją własną historię, ale królewiczom za to nie chcieli się śmiać wcale. Tytuł książki sprawił na nich piorunujące wrażenie. Kryszałek stał błądy z zaciśniętymi ustami, a oczy jego żarzyły się ogniem silniejszym niż diamenty i ametysty z jego skarbcza. W błękitnych jak habery, łagodnych zawsze oczach Zielonki, odmalowało się prawdziwe zmartwienie, wstyd i przygnębienie; Pióropuszek, najgwałtowniejszy ze wszystkich, cały czerwony z gniewu i oburzenia, wybuchnął.

— Zkąd nasza niezgoda doszła do wiadomości świata? Kto śmiał zdradzać nasze domowe tajemnice przed obcym autorem, i oddawać na pastwę szyderstwa cudzoziemskich czy-

telników? Kryszałku, tyś z nas najstarszy, ty w radzie nas trzech masz głos stanowczy i decydujący: zniesieszże spokojnie taką hańbę? Jeżeli zniesiesz, to ustąp prawo starszeństwa innemu, boś go niegodzien, albo pozwól abym wraz z żoną opuścił na zawsze wyspę Atlantę i zapomniał że jesteś moim bratem!

— Mężu! — zawołała przerażona Perelka — co mówisz!

Kryszałek wysłuchał słów brata spokojnie. I on był gwałtowny, bo ciemno szare jego oczy sypały nieraz iskry, gdy się gniewał, ale umiał się hamować, czego Pióropuszek nigdy nie potrafił — i ta właśnie umiejętność panowania nad sobą, dawała mu władzę nad umysłami drugich. On i Zielonko wpływali zawsze na gwałtownego królewicza; ale gdy starszy brat powściągał go niby rozluhanego konia w biegu, Zielonko łagodził i uspokajał. I teraz oto Kryszałek nie zaraz odpowiedział: Zatonął w gorejących oczach brata wzrok spokojny, chłodny, rozważny, i widziałem jak pod wpływem tego wzroku Pióropuszek powoli ochłodził.

— Ktokolwiek to uczynił, zostanie ukaranym — rzekł głosem ostrym i zimnym jak stal. Nie wątp bracie że nie mniej niż ciebie obchodzę mnie honor domu. Zarządze w tej sprawie tajne śledztwo i gdy winowajca zostanie odkryty, postąpi się z nim jak z przestępcą politycznym.

— Bracie! — zawołał z głębokim wzruszeniem Zielonko, umiejący tylko przebaczać — zapominasz że ojciec nasz, szlachetny i mądry król Bożydar, zniósł karę śmierci raz na zawsze na wyspie Atlantie.

— Ja ją przywrócę — odrzekł chłodno Kryszałek.

Zapanowało głuche milczenie.

— Nie, nie bracie, nie wierzę! Tyś nazbyt szlachetny, abyś potrafił być srogim.

— O tak, znasz go dobrze bracie Zielonko — rzekła słodko Iskierka, kładąc rękę na ramieniu męża. — On jest

nazbyt szlachetnym aby uniał być srogim: wyrok może podpisać, ale po wyroku natychmiast przestępcę ulaskawi, ja wiem!

I poszukała jego wzroku, ale Kryszałek patrzył pośpiech w ziemię.

— Ja zaś myślę — odezwała się Jagódka — że co się światu raz stało wiadomem, to się już niewiadomem nie stanie, czy winowajca zostanie odkryty i ukarany, czy nie. Poszukiwania czynione w tym celu, będą rzeczą chybioną i bezużyteczną.

— I ja tak myślę — potwierdziła Perelka — a ty kochany mistrzu jakiego jesteś zdania o tej sprawie? Dla czego milczysz?



Dom o 28-u piętrach.

— Smucę się że goście, którym was chciałem ucieszyć, o mało nie stał się zarzewiem nową niezgody między braćmi — odrzekłem — a widząc że te słowa sprawiły pewne wrażenie na królewiczach, mówiłem dalej: — Dziwię się mocno, miłośnicy królewicze, że mogliście przypuszczać iż niezgoda wasza pozostanie w tajemnicy. Nietylko wszyscy wasi poddani wiedzieli o niej, nietylko w kraju króla Dobromira szeroko o niej mówiono, gdy jeździliście tam do moich pięknych królewien w konkury, ale nawet wróble po lasach i ogrodach, a żaby po jeziorach o niej śpiewały. Jeżeli zatem chcecie ukarać śmiercią takiego co o niej kiedy słowo jakie do drugiego powiedział, to musicie chyba pozabijać wszystkich poddanych, i wytepić wszelkie żyjące stworzenie.

— To prawda — potwierdził prawie przekonany Kryształek i mocne rumieńce wystąpiły mu na twarz.

— Zapomnieliście — mówiłem dalej — że na królów oczy świata są ze szczególną bacnością zwrócone, i dla tego życie ich prywatne powinno być wzorem do naśladowania.

— Ach — szepnął zakrywając oczy rękami Pióropuszek — synowie najszlachetniejszego z monarchów byli w niezgodzie, żyli z sobą jak wrogowie, rabując nawet jeden drugiego potajemnie... i to jest wszystko szczegółowo opisane! Co za wstyd dla nas, co za zmartwienie dla naszego drogiego ojca, który chciałby żeby historia zapisała same świetne czyny jego synów...

Potrząsnął książką i odrzucił ją od siebie daleko.

— Poczescie się, miłośnicy królewicze — odezwał się na to — pod koniec jest napisane żeście się pogodzili i żyjecie w przykładnej miłości i zgodzie.

Spojrzałem znowu na Jagódkę, a ona zrozumiała w lot moje spojrzenie, zaczęła szybko kartki książki przewracać i odczytała a raczej przetłumaczyła ustęp następujący:

„Trzej bracia panowali zgodnie i opływali w dostatki, bo na wyspie Atlantyc brakowało chyba tylko ptasiego mleka.”

Słowa te rozpogodziły nieco zaspione twarze królewiczów, Jagódka zaś rzuciwszy okiem na kilka następnych wierszy, dodała z rozpromienioną twarzą:

— Ach mistrzu kochany, tu jest także coś co się jeszcze nie spełniło, ale co koniecznie spełnić się musi. Posłuchaj, tylko.

„Mistrz Abrakadabrus opuścił dwór króla Dobromira i przeniósł się także na wyspę Atlanty. Przesiadywał kolejno u swoich dawnych uczenników, a gdy w trzech rezydencjach pojawiła się liczna gromadka małych królewiczów i królewien, mistrz trudnił się ich wychowaniem”.

— Co za przesłiczna książka! Nie puścimy cię już więcej mistrzu kochany, i nie pozwolimy wędrować po świecie. Zostaniesz u nas na zawsze, bo tak każe wyczytane w tej książce proroctwo.

— Istotnie to piękna książka — potwierdził uśmiechając się po raz pierwszy Kryształek — proroctwo mądre, i oby się spełniło. Pijmy za zdrowie naszego mistrza, niech żyje!

Paź szybko pochwycił dzban, napełnił czary miodem, sześć rąk podniosło się w górę i z sześciu piersi zabrzmiał serdeczny okrzyk:

— Niech żyje!

Widmo nieporozumienia pierzchnęło, wszystkie twarze rozjaśniły się, tylko u Pióropuszki pozostał lekki ślad chmury na czole. Gdy zasiedli znowu u stołu, zapytałem:

— Gdzież są owe liczne gromadki małych królewiczów i królewien, chciałbym je widzieć.

Na to odpowiedziała Iskierka:

— Dzieci Perelki i Jagódki zobaczysz mistrzu, gdy je w ich siedzibach odwiedzisz. Synek mój położył się spać właśnie, gdy nam znać dano o twojem przybyciu, ale teraz każe go przywołać.

Dała znak paziowi: wkrótce potem otworzyły się drzwi i wbiegł w podskokach przesłiczny trzyletni chłopczyk, przyszedł następca tronu w królestwie minerałów, książę Szafir; a za nim poważnie kroczyła ochmistrzyń. Niebieską jedwa-

bną sukienkę księcia, obcisnął w pasie pasek z amiantu\*), owę tkaninę mineralną, którą dawniej wszystkie sprzęty w pałacu Kryształka były powleczone i w którą się ubierał król wraz z całym dworem. Jasna główka pokryta była złocistymi loczkami, spadającymi na ramiona, a wielkie ciemnoszafirowe oczy mające blask prawdziwych szafirów, zdobiły twarzyczkę różową i uśmiechniętą.

Książę z rozpostartymi rączkami pobiegł prosto do matki, a ta posadziła go na moich kolanach, mówiąc:

— To jest dziadzio Abrakadabrus. Uściskaj go!

Trochę się książę wzdrygał, bo się bał moich ciemnych okularów, więc zdjąłem je; jednocześnie sięgnąłem do koszyka po pomarańczę i podałem mu ją. Na warunkach tych przyjaźń została zawartą: chłopczyzna objął mnie rączkami za szyję, powtarzając:

— Abrakadabra, Abrakadabra! \*\*)

To rozśmieszyło wszystkich, a ja gdy poczułem tak blisko przy sobie tę jasną główkę, przypominałem sobie wasz kraj, gdzie dużo takich jasnowłosych dzieci widziałem, wasze pismo i poselstwo którego się podjąłem, a dla którego dotąd nic jeszcze nie zrobiłem. Przemyślałem właśnie od czegooby zacząć, gdy ułatwiła mi to bezwiednie Iskierka pytając:

— Mistrzu jak wygląda kraj z którego nam przywiozłeś goście?

— Piękny jest — odpowiedziałem. — Góry tam wysokie, od sławnych Alp piękniejsze i bogate w minerały; stepy rozległe i tak bujnemi trawami porośnięte, że człowiek w nie schować się może; łąki kwieciste, ziemie urodzajne, jeziora pełne ryb i lasy pełne zwierza. Niegdyś był śpichlerzem Europy, a drzewa z jego lasów brano na maszty okrętowe, dziś zboże jego ludy nie bardzo chcą kupować, bo mają z Ameryki tańsze, więc bierze się do ogrodnictwa, do przemysłu i do rzemiosł. Niegdyś był bogaty, ale szafował swem mieniem bez rachunku i zubożał, ale teraz dorabia się na nowo; niegdyś sprawiał wiele hałasu, dziś jest cichy, milczący, pracuje i oszczędza na kapitał przyszłości; niegdyś był potężny i dawał opiekę słabszym, dziś z tej potęgi pozostała tylko pamięć wielkiej sławy, a Bóg kazał mu zakosztować chleba niedoli. Słońce tam nie takie jaskrawe ani tak gorące jak na Południu, niebo nie takie ciemnym obłokami się szafirem; bledsze jest, a łagodny jego smętny kolor, wywiera wrażenie jakiejś wiekustej, nieczem niezaspokojonej tęsknoty. Nigdzie nie widziałem tyle krzyżów co tam: stoją one po drogach z wyciągniętymi ramionami, jakby wołały: Święty Boże! święty mocny! święty a nieśmiertelny...!

— To samo opowiadał mi ów człowiek uratowany z rozbitego okrętu — odezwała się Jagódka, z wielkim słuchającą zajęciem. — Za godło ma pięknego białego ptaka, zrywającego się do lotu.

— A jacy tam ludzie, mistrzu? — zapytała Perelka.

— Ludzie w jednych stronach śpiewają tak wesołe i radosne piosenki, że od nich same nogi bez wiedzy człowieka do tańca lecą, w innych dumki tak smętne, że znowu bez wiedzy człowieka łzy same z oczu przy nich płyną i serce żalnością się zalewa. Ludzie tam i źli i dobrzy, jak wszędzie na świecie, ale dłoń mają zawsze chętną do pomocy, a drzewi chat i dworów otwarte na oścież dla gości, tak jak mieli nigdy otwarte granice kraju dla wypędzanych z kąd inną tułaczy. Słyszają też w świecie z gościnności, a przysłowie ich narodowe mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”.

— Mistrzu — rzekła patrząc mi bystro w oczy Iskierka mówisz o tym kraju tak jakbyś go kochał... Może ty pokochałeś go więcej niż naszą wyspę Atlanty?

— Są uczucia które nie zamykają serc na żadne kochanie — odpowiedziałem — ale je jeszcze rozszerzają. Serce po-

\*) Amiant, czyli asbest, minerał dzielący się na długie igielki do włókien roślinnych podobne; można z nich wyrabiać tkaninę jak z lnu lub przedziwa.

\*\*) Abrakadabra, słowo czarodziejskie, które wypisane w kształcie trójkąta, na tabliczce, noszono niegdyś jako amulet, pomocny szczególnie od febr.



siada coraz więcej, w miarę tego im więcej daje: mnoży się ono jak ów chleb ewangeliczny, co to tysiączne rzesze nakarmił, choć go było tylko pięcioro i dwie ryby.

Książę Szafir któremu się sprzykrzyło już siedzieć spokojnie, zaczął się kręcić na moich kolanach, ale matka dała mu do zabawy swój szmaragdowy naszyjnik i uspokoił się.

(d. n.)

## Dom o 28-iu piętrach.

Wiele już najnowsze czasy przedstawiły nam dzieł rąk ludzkich, tak śmiałych w pomysle, a tak trudnych w wykonaniu, że wobec nich maleją owe bajeczne cuda świata starożytnego. Liczba takich nadzwyczajności wzrasta prawie z dniem każdym; duch ludzki szuka coraz nowych dróg, coraz trudniejszych zapórów do przewyciężenia. Pod tym względem na wyscigi o lepsze idzie Europa z Ameryką; więc gdy inżynierowie starego świata dokonali w roku zeszłym na wystawie paryskiej dzieł tak zadziwiających jak „Wieża Eifla i Pawilon centralny” budowniczy Buffinkson powziął zamiar wzniesienia, w Ameryce w mieście Mineapolis, domu o 28 piętrach. Gmach ten, w śmiałości i oryginalności pomysłu, dorównywać będzie z pewnością wzięj wspomnianym arcydziełom sztuki inżynierskiej. Rycina powyższa przedstawia nam plan tej budowli, obok innych kilku-piętrowych domów, abyśmy przez to porównanie mogli powziąć pewne wyobrażenie, o jej wysokości. Wzniesie się ona ma jak baszta olbrzymia na 350 stóp angielskich, a jako materyał do niej użyty będzie tylko żelazo i kamień. Naturalnie, ludziom zamieszkującym te niezliczone piętra, niemożliwym byłoby posługiwać się jedynie wschodami, dla tego, po dwóch tylko stronach budynku będą one wzniesione, a do zwykłego użytku urządzonych będzie 10 do 12 wind olbrzymich. Dom ten, o niepraktykowanych dotąd rozmiarach, posiadać będzie poważną liczbę 730 pokoi.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Czyliż może w istocie zaszkodzić za samem skóry potarciem?

— Zuam chłopaka, który zaledwie nie umarł, jedynie nawąchawszy się jej. Sąsiad mój w Tabasko, rąbał drzewo w pobliżu swego ogrodu. Wąż z rodzaju zwanego tutaj *żmija żelaziec piki* wpełzł do jego chaty, gdzie znajdował się synek najmłodszy, dziesięcioletni, ale nadzwyczajnie odważny na wiek swój. Malec ujrzał węża, gdy już był blisko, schwycił go za szyję obu rękami i wołał o pomoc, a zanim brat znajdujący się w pobliżu zdążył nadbieść, wąż okręcił się koło ręki dziecka i tak się szarpał, że trudno go było utrzymać.

— Siekiery! przynieś siekiery i utnij mu łeb! — wołał malec. Ale nie podobna było ciąć w żmiję nie uciawszy razem palców chłopcu.

— Mniejsza o to! — wołał malec. Starszy brat nie chciał użyć tego sposobu, skoczył po butelkę oliwy *guaraka*, którą ojciec miał w szafie i aby nie tracić czasu na odkorkowywanie, utarcił szyjkę i rozlał płyn na łeb węża i ręce brata. Wąż wił się przez chwilę, potem przestał się ruszać i leżał miękki jak szmatka; ale dwaj chłopcy zaczęli kichać gwałtownie. Starszy wybiegł z domu do ojca, a młodszy krzychał:

— Powietrza, powietrza! duszę się! — Gdy brat i ojciec przybiegli, nie znaleźli dziecka w chacie. Po długim szukaniu odnaleźli je dopiero o pół mili ztamtąd przy studni omdlałego. Z wielką trudnością zdołano go przywrócić do życia; trucizna zaschła i przestała działać szkodliwie.

Nazajutrz Melchior i jego gromadka rozstali się z pułko-

wnikiem. Wielkie liany przerzucone od drzewa do drzewa wiązały je z sobą nieprzerwaną olbrzymią siecią, wiły się po ziemi jak węże, lub wisały u drzew jak nieprzeliczone liny okrętowe. Poza takim murem lesistym, dzikie zwierzęta były prawdziwie jak w fortecy i mogły drwić sobie z myśliwca. Wiewiórki i zające same tylko przebiegały po tych szlakach, ale nawet Kasztan nie mógł już ich ścigać w nieprzebytych zaułkach leśnych gdzie się chroniły za najmniejszym szelestem. Zdawało się, że Kasztan po niefortunnych próbach stracił nawet ochotę do dalszego ścigania, gdy nagle Melchior ujrzał go rzucającego się jak strzała i zatrzymującego się przed jakimś zwierzęciem, które bruździło w krzakach. Kapitan zaraz rozpoznał olbrzymi ogon szarego mrówkojada, mającego kształt szyszaka i już miał strzelić, ale trudno było dosięgnąć potwora, nie narażając zarazem psa.

Zwierzę to, dziwnie wyglądało ze swą białą grzywą na ramionach, długowłostym szyszakiem niby i długą mordą zakończoną małym pyszczkiem, z którego wychodził język długi, kończaty, który zdawało się mógł wyciągać bez końca. Język ten służy mrówkojadowi do zdobywania pożywienia. Wsuwa on go w podziemne galerye mrówek, i wyciąga obległy mrówkami, przylepionemi śliną lepłą, jaką jest pokryty.

Spotkany egzemplarz był jeden z największych w swoim rodzaju. Nastawił przeciw Kasztanowi dwie przednie łapy zaopatrzone w ostre szpony, któremi machał w około. Długość jego wynosiła najmniej metr i trzydzieści centim. Pies w obec tak zbrojnego nieprzyjaciela zemknął co prędkiej. Mrówkojad natenczas zbliżył się do niego, ale ruszał się tak niezgrabnie i śmiesznie, że Tomek i Menito zanosili się ze śmiechu. Zwierzę to albowiem do chodzenia musi niejako związać i chować straszne swe pazury w pewien rodzaj kłębka na końcu łap, skutkiem czego rusza się dziwnie wolno i niezgrabnie. Czując zapewne swoją niższość w biegu nie śmiał on też mierzyć się z Kasztanem i po pierwszej nieudanej próbie, skierował się ku małemu wawozowi i znikł w krzakach. Tomek napróżno go szukał, uchylając wielkie liany; nic nie było widać ani o dzieśnięć kroków nawet, ale straszne mruczenie, na które Kasztan w tył odskoczył dowodziło, że mrówkojad był niedaleko.

— Spieszmy, Spieszmy — wołał Dabby Simon — patrzcie na te chmury nie dziwiłbym się gdybyśmy pływali przed nocą.

Było zaledwie trzy godziny po południu, a niebo zaciemniło się okropnie, i od czasu do czasu błyskawica przerzynała ciemności. Wędrowcy spieszyli w milczeniu, gdy Tomek chwycił wuja za rękę, mówiąc:

— Zdaje mi się, że słyszę dźwięk dzwonu. Słuchaj!... znowu go słyszę! Co to być może?

Melchior i jego towarzysze zatrzymali się, nasłuchując. Szczególniejszy dźwięk podobny do odgłosu dzwonu dawał się istotnie słyszeć w głębi lasu.

— To jest *campanero*, ptak dzwonnik — rzekł Dabby Simon. Dzwoni on swoim dzwonkiem; a wszak mówiłem przed chwilą, że tylko patrzeć burzy. Gdy tylko niepogoda grozi, ten ptak obwieszcza ją w ten sposób. To znak nieomylny.

— A to znaczny pewno, żeby zwierzęta leśne skrywały się przed burzą — rzekł Tomek. — Jest to więc barometr w swoim rodzaju.

W tejsze chwili trzy lub cztery nietoperze przeleciały nad głowami podróżnych ze zwykłym swoim świstem, gdy tymczasem kot dziki skoczył na drogę, spojrzął im w oczy i przerażony uciekł napowrót.

— Oni wzięli tę ciemność za zmierzch i zdają się dziwić co my tu robimy w lesie — rzekł Tomek nie mamy czasu bawić się słuchaniem ptasząt, lub ściganiem zwierząt podczas takiej niepogody.

— Czekajcie chwilę — krzyknął Menito wciskając się w gestwinę z narażeniem własnej skóry — tylko chwilę. Widzę w pniu tego drzewa otwór, musi to być schronieniem dzikiego kota, któregośm dopiero widzieli. Jest tam całe gniazdo małych kociaków, jestem pewny tego, słyszę jak miauczą. Żeby też mi kto dopomógł.

Tomek coprędkiej ofiarował się z tą usługą i w chwilę

później młody Meksykanin przyniósł Melchiorowi cztery ładne kociaki, zdumione widokiem ludzkich twarzy.

— Teraz niech sobie tam i deszcz pada, mniejsza o to — powiedział.

— Nie spadła jeszcze ani kropla deszczu, ale ciemność zalegała coraz większa i wiatr złowrogo jęczał w głębiach leśnych.

— Niestety! — krzyknął Dabby Simon — zblądziłyśmy. Oto chata jakaś o! widzicie ją?

— Jakimże u licha sposobem mogłeś zblądzić — mruknął Melchior. — Powinieneś być przecież uważać!

— Ha, cóż robić panie, piątek jest dniem feralnym. Wracajmy, tamta droga niedaleko być musi.

Wrócili więc kilkaset metrów i wistocie znaleźli właściwą drogę. Nie było dziwne, że jej przewodnik nie spostrzegł, bo podobną była do dróżki wydeptanej przez dzikie zwierzęta, chodzące tędy do wody. Mimo to wędrowcy już wchodzili na tę drogę, gdy podmuch wiatru nagle oziębił powietrze, o jakie osm lub dziesięć stopni. Małpy które jęchały z podróżnymi, bo Tomek nie chciał się z nimi rozstawać, zaczęły jęczyć i wykrzykiwać jakby umyślnie chciały zwrócić uwagę podróżnych na zbliżającą się burzę.



... gdzie namalowana była latająca żaba (str. 108).

— Oto masz! — rzekł Menito przytrzymując na głowie kapelusz, który tylko co z niej nie uciekł; — otóż i burza. Cóż teraz będziemy robić? Nie powrócimy nam do tej pustej chaty? Lepiej przecież schronić się tam niż stać na deszczu.

Była to istotnie najroztropniejsza rada, i popędziwszy muła przybyto do chaty w dziesięć minut. Gdy kapitan pomagał Dabby Simonowi w urządzeniu miejsca na spoczynek, chłopcy pobiegli szukać paliwa, ale zaledwo przynieśli dwa naręcza, gdy burza wybuchła z taką potęgą, aż małpy przelekły się i prawie jakby poszalały. Tuliły się jedna do drugiej z gestami tak dziwaczными, że mimo własnych kłopotów, Melchior i jego towarzysze nie mogli się wstrzymać od śmiechu. Ale burza tymczasem potężniała coraz okropniej. Olbrzymie drzewa leśne, gięły się i chwiały jak trzcina, i gdyby chata była zbudowana z mniej silnych materiałów, byłaby z pewnością porwana wraz z gałęzmi, które naokoło latały jak ptaki po powietrzu. Skoro tylko huragan począł się zmniejszać, zaraz deszcz zaczął padać z niesłychaną gwałtownością i na-

tychmiast las cały zabrzmiał tysiącami głosów, niby starożytna wieża Babel. Papugi piszczały, koty wrzeszczały, mruczały, a nad cały ten hałas, wybijało się rzegotanie pewnego zwierzęcia z rodzaju ssących nocnych, trochę podobnego do małpy. Meksykanie nazywają je *falszową małpą* albo *małpiem widmem*. Małe zwierzątko skakały po belkach dachu, ale było tak ciemno, że nie można było ich chwycić. Jednakże Menito potrafił dosięgnąć jednego za pomocą swego bata, i przekonał się, że to co brał za szczury, było gromadą wiewiórek, które dawno zamieszkały w opustoszonej chacie, zachowywały się tam jak u siebie. Prawdopodobnie uważały to za wielką niegrzeczność, iż im tam przeszkadzano, a wędrowców jako wdzierców i nieproszonych gości.

Kasztan stanął na progu i musiał spostrzedz coś, co mu się nie podobało, bo zaczął warczyć i mruczyć, a sierść najeżyła mu się na grzbiecie. Spojrzawszy uważnie naokoło chaty, Melchior ujrzał dwoje oczu złotych i błyszczących w grubiej ciemności nocnej, która zastąpiła zmierzch poprzedni. Menito już szedł ku drzwiom ze swoim biczem, gdy Dabby Simon pociągnął go w tył tak gwałtownie, że chłopak aż się potoczył i upadł w kącie chaty.

— Czyś rozum stracił do reszty? — zawołał — czy masz ochotę być pożartym? Tam musi być pantera lub jaguar i to nie lada jaki! nie wiesz to, że takie stworzenia nie zaglądają do kalendarza i potrafią nas zjeść tak dobrze w piątek, jak każdego innego dnia?

Nie dowiedziano się wcale jednak co to było naprawdę, bo błyszczące oczy wkrótce znikły, zwierzę musiało zleknać się ognia, jaki wędrowcy z wielkim trudem rozpalili i utrzymywali u drzwi chaty pomimo deszczu, który padał wciąż przez większą połowę nocy. Nazajutrz ustał, ale ziemia nasiąknięta była wodą jak gąbka. Jednakże, ponieważ Czarnula nie duży miała ładunek i nie było obawy, aby w błocie zagłębiała się zbyt mocno, przeto wędrowcy udali się w dalszą drogę.

(d. c. n.)

## LAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

19 wyrazów. Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, złożą dla kogo i od kogo jest ułożoną. Sylaby: Aj — ak — An — Biew — bat — Ce — Cal — Cmen — dy — E — Ei — I — ka — li — le — mie — nie — nie — non — ni — Or — ro — rość — szyl — sarz — Sa — Sze — to — tarz — ta — Wi — faj — Zy — Zie — za — ze — Ze.

Znaczenie wyrazów: 1. Trunek. 2. Nowoczesny bogacz. 3. Silna burza. 4. Gatunek zboża. 5. Ozdoba twarzy. 6. Dzikie naród. 7. Wykrzyknik. 8. Oznaka wstydu, radości lub znużenia. 9. Tytuł władcy. 10. Imię żeńskie w 2-im przypadku. 11. Święto u Izraelitów. 12. Inaczej roślina. 13. Część łokcia. 14. Imię męskie. 15. Dwie samogłoski. 16. Przymiot duszy. 17. Miejsce spoczynku. 18. Syn Abrahama. 19. Imię męskie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

### Zagadki:

S u m — M u s .

### Krzyża z podstawą:

1. Tytus Chałubiński.
2. Czorsztyn.
3. Wisła.
4. Beskidy.
5. Wieliczka.

**TREŚĆ:** Na święta Zmartwychwstania, wiersz p. M—a. (z drzew.). — Wielkanoc. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.). — Palma wachlarzowa (z drzew.) — Z wyspy Atlanty p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Dom o 28-iu piętrach (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Lamigłówa i rozwiązania. **Dodatek:** W Wielką Sobotę (z drzew.) — Wiosna, wierszyk p. Romanie Kmieńskiej. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską (d.). — Lamigłówa i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



### W WIELKĄ SOBOTĘ.

Było to w wigilię Wielkiej Nocy.

Ciepłe, kwietniowe słońce uśmiechać się zdawało do wszystkich i rzucając jasne promienie chciało niby osuszyć lepiej wilgotną ziemię i przybrać wszystko w uroczystą, świeżą sukienkę, na jutrzejszy wielki dzień Zmartwychwstania.

Na ulicach rojno było i gwarno a i w każdym też domu ostatnie przedświątne przygotowania zajmowały małych i dużych. Tutaj jeszcze skrzętne mamusie, przy pomocy córeczek, kończyły pieczenie ciast lub porządki w mieszkaniu, tam znów, po ukończeniu zajęcia, śpieszono pomodlić się przy ślicznie przystrojonych „grobach” w kościołach, wszędzie znać było niezwykły ruch, ten tak dobrze każdemu znany ruch przedświąteczny.

W malutkiej izdebce gdzieś na przedmieściu cicho tylko było i smutno. Wprawdzie i tutaj potrafiło zajrzeć wesołe słońce, przedstawiając się przez małe zapożniane okienko, ale nie napotkało widać nic takiego do czegooby śmiać się mogło. W izdebce ubogo było i pu-  
sto, w jednym tylko kąciku na stołeczku siedziała ośmio-  
letnia dziewczynka, naprawiając pilnie podartą niebieską  
bluzę robotnika.

Była sama jedna. Na wygasłym kominie stały  
jeszcze garnuszki, w których niedawno ugotowała skro-  
mny postny obiad, a starszy braciszek Antoś, zaniósł go  
właśnie ojcu do fabryki, w której pracował jako kowal,  
od rana do późnego wieczora.

Józia małą była jeszcze bardzo, ale umiała wszystko  
zrobić w domu. Matkę straciła już dawno, musiała więc  
nauczyć się i dać radę wszystkiemu. Brat pomagał jej  
zawsze w czem mógł i tak oboje razem potrafili usłużyć,  
i osłodzić życie ojcu, który powróciwszy do domu, zmę-  
czony całodzienną pracą, zastawał zawsze wzorowy por-  
ządek i oczekujące go niecierpliwie, kochające serdu-  
szka.

I teraz właśnie dziewczynka zajęta robotą myślała,  
jak mu tam smakowała czarna gryczana polewka, gdy  
wtem otwarły się z łoskotem drzwi ze dworu i do izdebki  
wbiegł z piosenką na ustach rumiany, dziesięcioletni  
może chłopak, a stawiając na stole garnuszki, zawołał  
wesoło:

— Józiu, a toż to jutro mamy wielkie święto! tatuś  
powiedział że Pan Jezus zmartwychwstanie. Na świecie  
tak ślicznie, słońce świeci aż się dusza raduje, ludzi peł-  
no, a wszyscy idą do kościoła. Przechodziłem i ja koło  
jednego, więc wstąpiłem. Ach, żebyś ty wiedziała co za  
śliczności widziałem!... W zieleni, oświecony kolorowe-  
mi lampkami leży niby Pan Jezus, tak tam pięknie  
w około Niego — cicho, zielono jak w lecie, i taki spokój  
jakby naprawdę On sam z nieba do nas zstąpił. Chodź  
Józiu, pójdziemy jeszcze raz, musisz zobaczyć jak tam  
ślicznie!...

Józia z zadziwienia aż zaprzestała roboty. Zachwy-  
cona opowiadaniem brata, podniosła ku niemu ciekawie  
oczy i już gotową była biedz z nim, kiedy nagle przypo-  
mniało jej się co innego. Była przecież jedyną gospo-  
dynią w tej izdebce. Przed każdym świętem robiła  
w niej porządki, a cóż dopiero przed takim uroczystem!  
Rozejrzała się dokoła. Brudno tu nigdy nie było, ale  
mogło być przecież jeszcze porządniej... przystąpiła do  
brata mówiąc łagodnie:

— Dobrze Antosiu, pójdziemy do kościoła ale wpi-  
erw trzeba umyć wszystko. Na taki dzień musi być ładnie  
u nas i tatuś się ucieszy, prawda?..

— Ach prawda — zawołał chłopiec. — Jak mogli-  
śmy zapomnieć o tem; zaraz przyniosę wody. Jak skoń-  
czymy sprzątać, to wtedy dopiero pójdziemy

Zdjął swoją kamizelkę, zakasał rękawy, ona pod-  
niosła i spięła z tyłu spódniczkę i ochotnie, śmiejąc się  
do siebie, zabrali się do roboty.

Przy dobrych chęciach wszystko idzie jak z płatka.

W parę godzin umyli podłogę, stół, parę prostych  
krzesel i półki, poustawiali na nich ładnie kuchenne na-  
czynia, na białym, starannie w zęby powycinanym pa-

pierze; potem Józia pobiegła do szafki, wydobyla z niej  
czyściutką jak śnieg serwetę i nakryła stolik, Antoś zaś  
w kąciku pod obrazem Matki Boskiej zapalił czerwoną  
lampkę.

Ukończywszy to wszystko spojrzeli po sobie z za-  
dowoleniem. Mała izdebka przeistoczyła się całkiem.  
Czysto tu było i dziwnie jakoś miło, choć ubogo.

— A teraz my się umyjmy, i my przecież musimy  
ładnie wyglądać, idąc do kościoła—zawołał chłopczyna,  
stając nad wiaderkiem z wodą; — Józiu, polój mię czystą  
wodą!

Dziewczynka podała mu mydło i stanawszy na sto-  
łeczku nabrała wody w kubek.

— Pojutrze będzie szmigus — mówiła — ale to  
święto będzie, weźmiemy więc czyste ubranie, którego  
szkoda wodą maczać. To za to teraz cię obleję.  
A masz!..

I chlusnęła zimną wodą na jasną czuprynę brata.

Oboje uśmieli się z tego serdecznie.

Potem szybko przebrali się w czystą odzież i jeszcze  
słońce jasno świeciło, jak wybiegli do kościoła. Tam  
przy ślicznie przystrojonym grobie, zachwyceni, modlili  
się długo i gorąco, a skoro nad wieczorem powrócili do  
domu, niespodziewanie zastali już w nim ojca, a stół  
przykryty serwetą, cały prawie zastawiony był „świę-  
conem”.

Ojciec w milczeniu przycisnął do szerokiej swęj  
piersi drobne główki dziecięce, na ciemne jego sumiaste  
wąsy spadła jakby łza czysta, i wskazując im stół zasta-  
wiony, szepnął rozczulony:

— O takich dobrych dzieciach, co o sobie nie my-  
ślą, tylko o drugich, Pan Bóg pamięta...

## WIOSNA.

Co tu woła, co tu śpiewa  
Z téj murawy, z tego drzewa,  
Z rozpienionych tych strumieni,  
Z tych lazarów, z tych przestrzeni?  
Wiosna woła: Działki, kwiaty,  
Ptaki, zdroje, gwiazdy, światy.  
Chodźcie, bierzcie każdy swoje,  
Ja wam niosę darów roje.  
Bierzcie życia siły, ruchy,  
Barwy, wonie, runa, puchy,

.....  
Chłopak siedzi na mogile,  
Jako białe łąk motyle,  
Taki cichy, taki bładny!..  
Patrzy w barwne te gromady,  
Wśród wiosennych gwarów, szumów,  
Patrzy w serca ludzi — tłumów.  
Tuląc w piersi lżę-tesknotę —  
Woła: Bierzcie mnie sierotę!

## PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNĘ ZALEŃSKĄ.

## IX.

Około siódmj godziny zeszli się już wszyscy.

Józia w sypialnym pokoju bawiła się wybornie piękną lalką, którą tego dnia dostała.

Pani Z. powitawszy Wicusiówych gości, odeszła mówiąc: — Bawcie się dobrze, moje dzieci, przyjdę znów do was w czasie herbaty.

Po odejściu jój zapanował gwar nie do opisania. Zaczęto opowiadać sobie różne szkolne anegdotki, naśladować profesorów, a nawet dwóch najmłodszych próbowało mocować się z sobą.

— Panowie — zawołał Wicus — mam tu dla was coś dobrego, nowalijkę, powiadam wam! bo to my przecież nie jesteśmy już takimi malcami jak przeszłego roku; już nas przecież nie pilnują i możemy się zabawić, jak na młodzież przystało — mówiąc to wydobyl z szuflady, ukrytą pod szkolnemi książkami paczkę papierosów i zaczął niemi wszystkich częstować.

Adaś, jako doświadczony, pierwszy puścił kłęb siniego dymu, za nim drugi i trzeci i w ciągu kwadransa w pokoju było aż ciemno, a w głowach chłopców kręcić się poczynano.

— Wiesz! coś mi niedobrze, tak jak wtedy w mazu-rzel u państwa jest widocznie jakieś niezdrowe powietrze; trzeba by okno otworzyć.

— Kiedy bo zaklejone.

— Zaklejone? no to odklejmy; przecież to już marzec, a w marcu, tak, od dwudziestego pierwszego wiosna się zaczyna.

— A prawda! — rzekł przekonany tym argumen-tem Wicus — pojutrze już będzie wiosna, no to możemy okno otworzyć! nawet lepiej to zrobić nim mama do nas powróci, niech trochę dymu wyjdzie; — i wspólnemi siłami zabrali się do roboty. Widocznie mieszkanie pani Z. starannie było na zimę opatrzone, kit trzymał mocno i nie łatwo się dał oderwać. Przy tych wysileniach pa-pieros wypadł z ust Wicusiówi, skrył się między fałdy miękkiej koronkowej firanki, ale nikt nie zważał na to, nikt nie czuł wśród ogólnego dymu zapachu spalenizny, który się w około rozchodzić zaczynał.

Nareszcie zbiorowe usiłowania zostały uwieńczone dobrym skutkiem; okno ustąpiło ciśnieniu kilkunastu par rąk i roztworzyło się z hałasem, a mroźny wiatr wpadł gwałtownie i zapalone światła pogasił.

Ale mimo to ciemności nie zapanowały w salonie; bo w tejsze chwili czerwony płomień ogarnął firanki i główki przestraszonych dzieci, cofających się z krzykiem do pokoju.

Silny był prąd powietrza; ogień udzielił się w mgnie-niu oka innym firankom, zaczęły płonąć drewniane kor-nisze; lampa, od gorąca czy też przewrócona, pękła i na-gle wybuchnęła jak straszny fajerwerk.

Na krzyk i dym wciskający się w głąb mieszkania, pani Z., służba, a za niemi płacząca Józia we drzwiach stanęły. Okropny przedstawił im się widok; pokój w pło-

mieniach; odważniejsi chłopcy zadeptywali ogień, Adaś przez potłuczone szyby wołał o ratunek; na ulicy już tłumy ludzi gromadzić się zaczęły. Ale któż zdoła wyraził przerażenie biednej matki, gdy z pod stosu goreją-cych firanek, ujrzała wyskakującego Wicusia. Jego cie-mne włosy były osmolone, rękami twarz i oczy zasła-niał.

## X.

Pozostawiwszy nadbiegającym sąsiadom i straży ratowanie sprzętów i gaszenie ognia, który dzięki ich pomocy nie rozszerzał się już dalej, pani Z. zajęła się Wicusiem, który najbardziej ucierpiał, i jego kolegami, bo każdy z nich mniej więcej nosił jakieś ślady wypadku. Ten miał poparzone ręce, tamtemu kawałek stłuczonej szyby twarz zranił; inny jeszcze uciekając w popłochu, przewrócony, rozbił się mocno, nie mówiąc już o mundurkach poniszczonych i o wielkiej stracie, którą pani Z. poniosła przez zupełne zniszczenie umeblowania w salonie.

Mniej niż w godzinę, rodzice, opiekunowie uczniów, należących do tego kawalerskiego rautu, dowiedziawszy się o pożarze, zjechali się zdjęci obawą. Uspokojeni trochę co do skutku wypadku, pytali, jaka mogła być jego przyczyna?

Tu Wicus z żalem i wstydem musiał się przyznać do popełnionej winy, w obec tylu zgromadzonych osób; ale żal jego był tak głęboki, boleść tak prawdziwa, że wszyscy obecni uczyli, że od tej chwili chłopczyna się poprawi, że stanie się rozważniejszym i przed każdą czynnością pomyśli, jakie może mieć ona następstwa. Przebaczyli mu więc z serca i odjechali życząc, by jak najprędzej wyleczył się z oparzenia.

Jednak inaczej się stało. Ból i przestrach sprowa-dziły na Wicusia ciężką chorobę, która go przez kilka tygodni w łóżku przetrzymała. Tymczasem w klasie jego zaczęto się przygotowywać do egzaminów. Wicus nie mógł ich zdawać tego roku.

Wielki był smutek, gdy rówieśnicy jego i przyja-ciele przeszli do trzeciej klasy, on zaś pozostał w drugiej na rok następny. Wprawdzie pilnością i postępowa-niem stał się przykładem dla swoich nowych towarzy-szy, wprawdzie Adaś i inni uczniowie klasy trzeciej bar-dzo serdecznie go zawsze witali i zapewniali o swój przy-jaźni, ale nie było to już to samo, co dawniejszy ich sto-sunek i Wicus zawsze głęboko żałował straconego roku.

## SZARADA.

Kto się w pracy ciężkiej trudzi,  
Ten *pierwsze* ze smakiem;  
*Drugie* idzie, zdaniem ludzi,  
Pod rękę z próżniakiem.

A *wszystko* wraz  
Przebiega las  
I wzdłuż i wszerz:  
Rogaty zwierz.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(od Serdecznej dziewczynki dla Rajskiego jabłuszka).

Początkowe i końcowe litery składają imiona dwóch miast. 1. Imię męskie. 2. Początek dnia. 3. Brat i Mojżesza. 4. Sprzęt domowy w 2 przypadku liczby mnogiej. 5. Dwie samogłoski. 6. Część ubrania ślubnego. Sylaby:

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

Szarady:

Ka — ka — o.

Zagadki homonimu:

Ś r o d a.

## Skrzynka do listów.

Mój ty luby Poranku majowy! Serdecznie ci dziękuję za serdeczne twe słowa! Zeszliśmy się myślą, ztąd widać że i serca nasze czują jednakowo. I jak możesz pytać, czy chcę korespondować z tobą, droga moja Marylko? Gdybyś była tak jak ja na obczyźnie i bez rodzeństwa, dopieroś wiedziała jak to miło odbierać listy, choćby od nieznananych siostrzyczek. Ściskam cię serdecznie *Brzydotka z nad Tamizy*.

Najdroższa Trawko stepowa! Z największą chęcią korespondować będę z tobą; nic ci o sobie nie donoszę, gdyż wiesz zapewne kto jestem, jak i ja również znam cię z opowiadania. Zrobisz mi wielką przyjemność, gdy nie długo każesz mi czekać na swą odpowiedź, a tymczasem całuję cię z całego serca *Stokrotka z nad Pilicy*.

Kochany Sobolu Irkucki. Tak bardzo podobało mi się podane przez ciebie opowiadanie Islandczyka, że chciałyby korespondować z tobą przez Wieczory. Donieś mi, czy wiesz co o dalszym losie Islandczyka, a także napisz ile masz lat, gdzie się uczysz i jak ci na imię? Moje imię Julek, mieszkam na Podolu, wkrótce skończę 9 lat. Czekam odpowiedzi. *Skanderbeg*.

Kochane: Staszko z Podola, Jaskółko z nad Sekwany, Jესieni i Cyganeczko z nad Wisły! Ponieważ od dwóch miesięcy jestem już staruszką, przeto was bardzo proszę, byście i mnie zechciały przyjąć do miłego grona starszych siostrzyczek w naszej, wielkiej wspólnej rodzinie. Przyjmijcie serdeczny pocałunek od kochającej was bardzo *Kuropatwy z nad Ikopetiu*.

Droga Królowo Wrózek i Barwinku, dziękuję wam za odezwę życzliwe. Królowo Wrózek czy się ślizgałaś i gdzie chodziłaś na ślizgawkę? Barwinku, dziękuję ci za szaradę, zgadłam ją. Pysalam ci serdecznego całusa, *Królowa Elfów*.

Pomarańczarka Rzymska przesyła ukłony Śpiwnej Lirze i Artystce i chociaż do nieznananych, wkrótce osobny liścik obiecuje napisać.

Zapytujesz mnie luba polna Rózo czy zechcę z tobą korespondować? Ależ czyż może być większa przyjemność jak miła rozmowa przez nasze ukochane „Wieczory”? Ja was wszystkie miłe siostrzyczki tak kocham, że radabym każdą osobiście uściskać. Napisz mi coś o sobie. Czy nie znasz Błyskawicy co mieszka także w Z. i pisuje do mnie. Serdecznie cię ściska *Biała Perelka*.

Kochana Ako! Przeczytawszy twą odezwę do czytelniczek, spieszam z odpowiedzią. Ale Ako droga nie donosiłaś nic o sobie. Co do mnie noszę imię królowej Serbii, mam lat 12, jestem

w IV klasie i mieszkam w Warszawie. Czy będziesz należała do nowego konkursu? Odpisz proszę, a zrobisz mi wielką przyjemność, gdyż do ciebie pierwszej piszę przez „Wieczory”. Twoja *Jemioluszka*.

Kochany Kameleonie! Zdziwisz się może, odbierając list od nieznajomego. Jestem starym prenumeratorem „Wieczorów Rodzinnych”. Mam lat 13 skończone, jestem w 4-jej klasie gimnazjum realnego. Nie piszę do ciebie nic więcej, dla braku miejsca w Wieczorach na dłuższą korespondencję. Proszę cię odpisz mi zaraz, twój *Księżę Geniuszów*.

Droga moja Maniu T.! Chciałabym korespondować z tobą i mieć choć tę osłodę, gdyż nie należę do konkursu i nie mam prawa do nagrody. Ucałuj odemnie Zosię, Julcię i Tola i pamiętaj o przyrzeczeniu przyjechania do mnie w lecie. Czekam niecierpliwie odpowiedzi, twoja *Noc Księżycowa*.

Drogi moje: Brzydotko z nad Tamizy, Halko z Litwy i Ako! Brzydotko! od razu cię polubiłam. Halko droga! czy zechcesz ze mną korespondować? Jeżeli tak, to napisz mi jak się nazywasz, ile masz lat i gdzie się uczysz. Lubię cię bardzo Ako za to że odpisujesz spieszniej odemnie, choć milczenie moje pochodziło ztąd, że chorowałam na odrę. Odpiszcie jaknajprędzej waszją *Psołnicę*.

Wesoła Krakowianko, Biała Chmurko i Biała Myszko. Gdzie mieszkasz i ile masz lat Krakowianko? Ja się nazywam Janina mam lat 13, mieszkam w Warszawie. Biała Chmurko, zdaje mi się że cię znam. Donieś mi więc czy jesteś córką doktora i czy masz trzy siostrzyczki, Manię, Jadzię i Helenkę? Droga Myszko Biała, może zechcesz ze mną korespondować? Żal mi cię bardzo że chorowałaś, bo sama chorowałam także. Odpiszcie kochającą choć nieznaną przyjaciółce *Czarodziejce*.

Miła Kapłanko Znicza. Bardzo mi się podobał twój pseudonym i pragnęłabym z tobą korespondować. Ciekawa jestem czy chodzisz na pensję? Cyganeczko z nad Wisły zapewne mieszkasz w Warszawie? Jeżeli zgadłam, to bądź tak dobrą, i donieś mi na jakiej mieszkasz ulicy? i czy znasz Grodzisk pod Warszawą? Całuję was i czekam odpowiedzi. *Czarodziejka*.

Bardzo mi jest przyjemnie rozmawiać z tobą choć listownie, przesyłam ci całusa i szaradę za szaradę. Ach! jakżebym chciała poznać cię osobiście! Uczę się także w domu, w wolnych chwilach zajmuję się różnymi ręcznymi robotkami, czytaniem i korespondacją. Czy pisujesz do Przyjaciela Dzieci? Na ostatnim konkursie robót dostałam w nagrodę od Redakcji Wieczorów bardzo ładną książeczkę do igieł. Jeżeli chcesz się dowiedzieć gdzie mieszkam, przeczytaj mój list do Fali morskiej w numerze 6-tym. Ściskam cię serdecznie i proszę byś o mnie pamiętała. Ako kochana przyjm też odemnie milion całusów i donieś co o sobie. *Niezapominajka z nad Warty*.

Dziękuję wam za listy, drogie: Kuropatwo z nad Ikopetiu i Biała Ostróżko! Donoszę ci, miłuchny kwiatku, że do konkursu należeć będę; a ty Kuropatwko, czy wesoło spędziłaś zimę? Lubo Ako, donieś mi co o sobie. Ja mieszkam na Wołyniu, uczę się w domu i mam młodszą siostrzyczkę, Helenkę. Czekam z niecierpliwością odpowiedzi, przesyłając wam tysiące całusów. *Biała Chmurka*.

Droga Laureatko! Ucieszyłam się bardzo z twego liściku. Na wykładach p. Smolki bywamy zawsze, jako też i na lekcjach lit. fran. Jest tu teraz Maryncia S. z Ossy, przyjechała na dwa miesiące. Ściskam cię wraz z siostrzyczkami. *Makolągwa*.

Przeczytawszy twoją odezwę „do wszystkich”, kochana Wesoła Krakowianko, postanowiłam napisać do ciebie i spytać dla czego taki obrałaś sobie pseudonym, mieszkając w Warszawie? jak wyglądasz i czyś czytała „Dwie Siostry”? mnie się bardzo podobały. Czy ci się podobał Kijów, droga Szara Koteczko? Śliczny masz pseudonym, miły Poranku majowy. Dla czego go obrałaś? Jaką naukę lubisz najlepiej? ja, historię. Dla czego nie pisujesz do „Wieczorów” Miodunko? Żegnaj was i proszę, odpiszcie przędko życzliwej *Białej Chmurce*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Chata w Jastarni.

### Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

LIST JÓZIA.

Kochani koledzy! Wiem, że wszyscy czytawaliście z zajęciem listy mego brata Julka, nisywane z wystawy paryzkiej.

Ani słowa, że taka wystawa to osobliwość nielada i było o czym pisać i czym was zaciekać, ale i ja choć nie byłem w Paryżu, widziałem także rzeczy na inny sposób ciekawe i spróbuję wam je opisać, skoro redakcyja pozwala mi na to. Julek widział wszystkie cuda, jakie wytworzyć może przemysł ludzki, ja tylko morze i nadmorska ziemia, wąskim pasem

w morze wchodzącą i ludzi, którzy w tym odludnym zakątku mieszkają, ale... nie zazdrozczę Julkowi Paryża!

To morze chłodne, zielonawo-sine, to „pieniący się burztykami” Bałtyk, a ta ziemia, to stara siedziba Kaszubów: półwysep Heli, a ci ludzie, to zamieszkali na niej „rybacy”, bo tak ich nazywają mieszkańcy nadbałtyckiego Pomorza. W Sobotach spędzając wakacje, miałem sposobność być na Heli i zwiedzić rybackie osady: Chałupy (leynowa) Kusfeld, Bór Hel i Jastarnię i dziwne na mnie robiło wrażenie to życie, pędzone w warunkach tak odmiennych od życia na stałym lądzie. Trochę lasu, dużo piasku, morze naokoło, pracy przy roli prawie żadnej, bo nie się tam prócz kartofli nie sadi, a jedynym zajęciem i jedynym sposobem zarobkowania rybołówstwo. Z „krajowymi” jak ich nazywają, to jest z mieszkańcami właściwego Pomorza, nie mają rybacy innych stosunków prócz sprzedaży połowu i zakupienia żywności; stąd też nabrali szczególniejszych cech i przymiotów, któremi się różnią od tamtych tak umysłowo, jak i fizycznie. Po mowie, po ubiorze, po jakiejś nadzwyczajnej u ludu pewności siebie wszędzie poznasz rybaka; nie zna uniżoności, bo pomiędzy sobą wszyscy są równi, a choć nie bogaci, to jednak każdy ma swoją chatę, krówkę, wieprza i dochód z połowu i... nie skarży się na swój los. Powierzchność ich wcale pokaźna: ciągły ruch na świeżym powietrzu rozwija ich siły i wzmacnia mięśnie tak, że wstyd mi doprawdy było patrzeć na rybackich chłopców w moim wieku będących. Oni jak dąbczaki, silni i krzepcy, a ja? Choć biorę lekcje gimnastyki i konia czasem dosiadam, choć w domu mam wszelkie wygody, a ruchu sporo, bo z pół mili codzien zrobię idąc do szkoły, a drugie tyle napowrót, choć na brak sił wcale narzekać nie mogę, gdzie mi tam jednak równać się z nimi? Może to mnie algebra i geometrya tak wycieńczają, i ten ciągły niepokój: a czy dwójki nie będzie w cenzurze, a czy promocją dostanę? W nich zaś, pewien jestem, wyrabia siłę ta ciągła walka z zawsze grożącym niebezpieczeństwem, to przekonanie że od ich dzielności i rozwagi życie ich częstokroć zależy. Nie mam ja nic przeciw nauce, której dużo chwil przyjemnych zawdzięczam, ale życie rybackie nie jest też bez powabu! Zauważyłem także, że im wcale nie brak zdolności umysłowych; roztropni są, bystrzy, pojętni, garną się do nauki bardzo chętnie i niema prawie dziecka, któreby czytać po polsku nie umiało. Dla nas znowu język kaszubski nie przedstawia prawie trudności. Znajomy mi ksiądz Polak, który długie lata przebył w Jastarni, opowiadał mi, że od razu prawie rozumiał swoich parafian lepiej, niż sąsiednich pomorzan. Pochodzi to zapewne stąd, że w każdej wiosce półwyspu znajduje się oddawna szkoła, w której aż do ostatnich czasów uczono języka polskiego, a że tam ludzie nie potrzebując dzieci do pasania bydła, posyłają je regularnie do szkoły, więc też mowa się wysztaleiła i nabrała cech polskości. Mają tylko rybacy odrębny akcent, bardzo dla naszego ucha zabawny, a w każdej wiosce inny, oraz pewne właściwości wymowy. W Kusfeldzie na przykład nie powiedzą ci: nauka tylko *nyka*. Wymawiają także; „kościółt, skowronk, połdnie”, wyrzucając samogłoskę i życzą ci „zostań z *Boga*”, częstują cię „*mleka*” i t. p. sobie właściwe mają wyrażenia.

Ale obok tych zachowują oni zwyczaje całemu plemieniu wspólne, jak np. palenie Sobótek. W wigilią Ś-go Jana nie byłem jeszcze w Sobotach (wazyły się własne losy mojej promocji!) ale opowiadali mi chłopcy rybacy, że każda wieś pali na brzegu morza jedną lub dwie beczek po smole, przybitych

do wysokiego drąga, żeby ogień widać było jak najdalej, śpiewając przytem pieśń o Ś-tym Janie, ale Nepomocenie, bo nie znają pieśni o Ś-tym Janie Chrzcicielu.

Chaty rybackie prawie wszystkie do siebie podobne, z belek zbite, z wejściem prosto do sieni, w której mieści się kuchnia. Na rycinie zobaczycie jak wygląda chata z wierzchu i w środku. Na prawo bywa zazwyczaj spora izba z trzema oknami, z porządną podłogą i sufitem z desek na niebiesko pomalowanych. W izbie stół, łóżka, skrzynia na rzeczy, półka na kuchenne naczynia, zegar, krzesła, pod piecem ławeczka, a na ścianie mnóstwo obrazów i pozawieszane na sznurkach wcale ładne angielskie talerze malowane, czasem chińskie lub japońskie szafeczki i pudełka (jedno takie odstąpiono mi dla Gołąbki, która przepada za gratami), a w starych chatach piec z kaflami bardzo dziwnie malowanymi, to już chyba wszystko, co w rybackiej chacie zobaczysz. Czysto tu, schludnie, wszędzie ślady rybackiego rzemiosła: to kołowrotek, na którym kobiety („białki”) len przędą na sieci, to sieć którą wiązać rozpoczęto, to inna do naprawy rozpostarta: to pęki świeżo skręconego sznurka... Nie próżnują tu ludzie, nawet wtedy, gdy ryb na morzu nie łowią. Poznałem się tu z równego wieku chłopcem, Waliszem (Walentym) i ten mnie zaprosił do chaty swoich rodziców, gdzie mnie bardzo gościnnie przyjęto i poczęstowano podwieczorkiem. Gospodyni, na którą mąż wołał „Maryka” postawiła przed nami świeży chleb, dała do niego na zakąskę wyborne solone rybki, *breillingami* tu zwane, potem świeże ryby, na „węgliszkach upieczone, z „krepą” (kaszą) i śliwkami, wszystko bardzo smaczne i czysto podane. Kłopotowała się, że niema w domu „bajesz” (piwa bawarskiego, które tu kobiety piją z „cukrą”), ale dała nam na popicie podwieczorku wyborną kawę i tak gościnnie zapraszała do jedzenia, że jadłem za czterech. Jaki bo to apetyt daje powietrze morskie! ja w ogóle niezłym się cieszę, ale przejechawszy się z Sobót na Helę, mogłem zjeść choćby wołu a wróciwszy do Sobót, drugim zakąsić! Pani Maryka patrzyła z prawdziwym zadowoleniem jak zajadałem jedno po drugim i chciała mnie jeszcze poczęstować słoniną i winem, ale od tego jużem się wymówił i posilony, uprzejmie podziękowawszy za gościnę, pobiegłem z Waliszem obejrzeć kościół, który na przyłączonym tu rysunku widzicie. W drodze opowiadał mi Walisz (zuch chłopak, aż miło!) że na przyszły rok skończy lat 18, rodzice sprawią mu wtedy długie po pas buty, dadzą niewody i sieci, poczem przyjęty zostanie do „maszopery” (związku rybackiego) i będzie miał swój udział w zyskach osiągniętych ze sprzedaży połowu. Potem służyć będzie w „marnie” (marnarce wojсковej), a potem wróci i ożeni się... Na weselu jego pewno będą tańczyć „dziuk-wiwat”! Nie wiecie co to jest? prawda? To taniec miejscowy, bardzo zabawny. Dwaj chłopcy, każdy ze szklanką piwa w ręce przyskakują do siebie, kręcą się, rozbiegają, potem stają na środku izby, a inni tancerzy obchodzą ich w koło: chłopcy podnoszą do góry szklankę piwa, a dziewczęta powiewają chustkami. Widziałem to na weselu stryjecznej siostry Walisza; ślub odbył się w kościółku w Jastarni, a wracającym od ślubu nowożeńcom podano na progu chaty kawałek chleba z życzeniem, aby im go niby nie zabrakło.

W kościółku tym, dla trzech wiosek parafialnym, byłem parę razy. Czarno osmolony na zewnątrz, z czerwonym dachem, czerwoną spiczastą wieżyczką, z „modremi” oknami i drzwiami, nieładnie wygląda po wierzchu, ale za to wewnątrz



jego miłe robi wrażenie. Ulubionym kolorem rybaków jest seno-niebieski, który im morze przypomina, więc też i w kościołku dwie widać barwy: modrą i białą. Ściany bielusienkie, presbyteryum ciemno-modre, a filary, okna, ławki tejsze samej barwy, tylko jaśniejsze, dwa ołtarze: na jednym figura Matki Boskiej Bolesnej, ot i wszystko, ale ta uroczysta prostota, usposabia do modlitwy, a piękny śpiew rybacki, rytmicznie wznoszący się i opadający, przypomina ci kołyszącym się rytmem swoim, morze, którego huk aż tu czasem dolatuje i gra pieśni pobożnej do wtoru. Pieśni to polskie i mnóstwo ich umieją rybacy, którzy ciągle narażeni na niebezpieczeństwa, czują potrzebę oddania się pod straż Temu, który tarczą jest wiernych Swoich. Śpiewają też ze szczególnem nabożeństwem „Kto się w opiekę” i „Gwiazdo morza”, a do suplikacyj dodają wezwania, które tu tylko słyszałem: „Abyś nam powietrza potrzebnego użyzyć raczył”, „żebyś nam na niewodach pobłogosławił raczył” i t. p.

(d. c. n.)

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Szandor, któremu dawniej jak wielu wyrostkom teatr i aktorskie życie zdawało się z daleka czemś bardzo pięknem i niezmiernie wesołym, teraz, przyjrawszy się zakulisowemu tajemnicom, to jest odwrotnej stronie medalu, pojął że jest ono wbrew pozorom, w gruncie ciężkie i duszne, zwłaszcza dla płuc przywykłych oddychać świeżą wioną pusztą. Pracował jednak gorliwie, tak fizycznie jak umysłowo, o ile tylko pozwalały siły piętnastoletniego chłopca, i przy bezustannem zajęciu życie znośnoby było, mając na osłodę upragnione książki, dostarczane przez kolegów, i pieśń pocieszycielkę, gdyby nie to, że zaledwo oczy do snu zamknął, spostrzegł groźną twarz ojca i zapłakaną matkę. Widzenie to, powtarzające się uporczywie noc w noc, zaczynało być niebezpiecznym dla umysłu znękanego chłopca.

— Cóżem winien! kiedy nie mogę uczyć się na prawnika ani na inżyniera, bo czuję że światło rozumu gaśnie we mnie przy tej nauce!... — mówił we śnie, rzucając się do nóg ojca, a ten z pałającymi oczyma, utkwionymi w nieposłusznym synu, podnosił zwolna rękę, otwierał usta, już, już miał wyrzec straszne słowo... gdy Szandor budził się obłąany zimnym potem.

Ten dzieciak jest chory! — mówili koledzy wtajemniczeni przez Rzymianina w halucynacje chłopca.

Tak, chory na rozrost serca i wyobraźni — odpowiadał Rzymianin. — Sam o tem nie wiedząc czuje on dotkliwiej winę swego nieposłuszeństwa i goręcej kocha rodziców, niżby kochał gdyby nie był zrodzon poetą.

Trzeba chłopca rozrywać! — postanowiono po naradzie i zaczęto prawie gwałtem odrywać go od książek i zatrzymywać na wspólnych wesołych wieczorach, urządzanych po przedstawieniu. Zawsze trochę dziki wychowaniec pusztą, teraz zgębiony smutkiem, mimo prawdziwej przykrości jakiej w takich razach doznawał, musiał jednak czasem należeć do grona biesiadników, mianowicie na zaproszenie i wyraźny rozkaz dyrektora. To co narzucono mu jako rozrywkę, było mu zdwojonej cierpieniem, gdy blady i znużony otaczającą wrzawą wesołą, musiał być jej przytomnym.

— Śpiewaj druchu! — wołali wtedy rozochoceni biesiadnicy, uderzono w strunę harfy lub skrzypiec i Szandor śpiewał:

Wśród gór stromych po dolinie  
Dwaj wędrowcy dążą wzajem,  
W swoim kraju rzeka płynie,  
Chłopiec idzie cudzym krajem.

Postać chłopca dziwnie blada,  
Ledwo stopy dźwiga z ziemi.  
Z skał na skały rzeka spada,  
Szumiąc nurty spienionemi.

Gdy tęsknoty chłód grobowy  
Pacholęciu zmroził usta,  
Czarownemi pieśni słowy  
Z lasem rzeka gwarzy pusta.

Przemkły góry, las daleko,  
Już w przestrzemi oko tonie,  
Dwaj wędrowcy chłopiec z rzeką  
Wciąż ku jednej dążą stronie.

Lecz zkąd nagle ta przemiana?  
Czemuż, czemu na dolinie  
Tak podąża krok młodziana,  
Tak leniwo rzeka płynie?

Czemu zmiłkły fale wody  
Co płasły tam na górze?  
Czemu śpiewa chłopiec młody  
Przy wietrzyków słodkim wtórze?

Tęskni rzeka za kołyską  
Za górami tęskni swemi,  
Śpiewa chłopiec bo mu blisko  
W poświęcaniej zasnąć ziemi...

— Eh, cóż za szkaradna piosenka! Nie takiej chcemy! Co ci za niedorzeczność przyszła do głowy, chłopcze niegodziwy! — wołali słuchacze.

— Tyś ani jednej czarki wina nie wypił dzisiaj... pij aby ci weselsza myśl przyszła, pij zaraz!

— Pij odemnie! Odemnie! Ja lekkie piję wino! Pij moje! — i z kieliszkiem złotego tokaju w rękach, weseli biesiadnicy zwracali się do smutnego śpiewaka. Ale nagle skamienieli na widok przerażenia wyrytego na jego twarzy. Mackbet wobec ducha Banka, nie bielsze musiał mieć usta, jak Szandor w tej chwili; biesiadnicy mimowoli spojrzeli w kierunku jego wzroku...

Ten w którego wlepił oczy Szandor, stał w pobliżu stołu, Był to średniego wzrostu, w odświętnej odzieży, z błyskawicą w czarnem oku i czekaniem na długim kijku zamiast laski w rękę, wieśniak, mieszkaniec pusztą zielonej.

— Spożywajcie zdrowi! Przychodzę po jedynaka mego! Szandor, chodź!... — wyrzekł dźwięcznym rytmicznym głosem, który rozbrzmiał po sali, jakby trzy przeciągłe uderzenia spiżowego dzwonu.

Nikt nie odpowiedział, nikt się nie poruszył, tylko Szandor wstał; błąd jak nieżywy, powoli jak senny przystąpił do ojca. Petofi wziął syna za rękę jak dziecko, kapeluszem ukłonił się zakłętemu na nieruchomość towarzystwu i wyszedł. U wyjścia ktoś zarzucił Szandorowi płaszcz na ramiona.

## VII.

Była to noc ciemna i późna, albo raczej wczesny bardzo poranek, przed świtem; chłód przejmował właściwy tej porze dnia w najgorętsze lato; miasto spało. Petofi z synem opuściwszy zdumionych aktorów, równym miarowym, jak wytresowany żołnierz krokiem, przeszedł jedną i drugą ulicę Buda-Pesztu, słabo rozświetloną latarniami i zlekka zastukał czekaniem w drzwi podrzędnej gospody. Janos dziś już żonaty i dzietny, ale wciąż w służbie u dawnego pana zostający, otworzył drzwi.

— W drogę! — rzekł zawsze miarowym głosem pan. I stanął nieruchomy u wrót, trzymając syna za rękę; snadź załatwiwszy poprzednio rachunek, bo miejscowy gospodarz stał także milcząc z daleka. Coś tajemniczego, coś niedobrego zdawało się wiać od tej sceny niemiej, skrywanej w łonie ciemnej nocy; takie też uczucie gnębiło wrażliwą duszę Szandora. Po najkrótszej możliwie chwili, wózek węgierski zaprzężony w czwórkę jak zwykle, wyjechał z bramy gospody; Petofi

zieniacka, jakby w obawie oporu, ująwszy wątlego chłopca z tyłu pod ramiona, wrzucił go do wózka, sam wskoczył za nim:

— To są rzeczy pana Szandora! — szepnęła jednocześnie postać jakaś, zamajaczywszy u koni i rzuciła węzełek Janosowi.

— W drogę!... — powtórzył pan; Janos cmoknął, wózek znikł w ciemności, tem gęstszej że właśnie powstawać zaczynały już na wschodzie brzaski poranne. Im bardziej świat się rozjaśniał, tem chyżej pędziły konie. Znikały wille, wioski, osady, bezdenne puszcza ogarnęła wkrótce podróżnych; dotąd żaden z nich nie przemówił ani słowa do drugiego i to właśnie przerażeniem napępiało Szandora. Znał on dobrze, prawdziwą madziarską gwałtowność ojca, wiedział że w razach wymożonego przez matkę i przyrzeczonego jej umiarkowania, ojciec miał zwyczaj używać miarowej a skąpjej mowy, lub zaciskać usta w milczeniu, usiłując gwałtem utrzymać gniew na wodzy, zadosyć uczynić przyrzeczeniom. Drżał więc chłopak przed

końmi na linii, którą biegły i czekającego stosownie chwili, aby wedle okoliczności, rzucić się na zdobycz lub uciec. Przez kilka sekund Petöfi był wilkiem jedynie zajęty. Nareszcie strzał zagrzmiał, wilk silnie podskoczył i odrazu padł na grzbiet czterema nogami w górę. Jednocześnie Petöfi pochwycił lejce przychyłając się w wózku, a parobek Janos powstał i z zamachem wywinąwszy arkanem ponad głowę, wyrzucił go na wilka, pętając nieżywego, poczem przyciągnął go do wózka i uczepiwszy doń, zajął się napowrót koźmi, które ani na chwilę nie zwolniły lotnego biegu. Wtedy to Petöfi, oddawszy lejce, wyprostował się ze zgiętej poprzednio pozycyi, którą przybrał, aby Janosowi w rozmachu nie przeszkadzać, poprawił płaszcza podrzuceniem ramion, i siadając napowrót na głównem siedzeniu poczuł, dotknąwszy bez myśli derek i małego płaszcza leżącego obok na wózku, że... pod niemi nie było Szandora...

— Janos stój przez Boga żywego, dziecka niema! — zakrzyknął z całą potęgą ojcowskiej rozpacz, zapominając



Wnętrze chaty w Jastarni.

tym gniewem tak strasznym, że aż sam rozum rozgniewanego lękał się wejść z nim w zapasy. Nie miał żadnego pojęcia, jak ośmielił się spojrzeć ojcu w oczy o dniu jasnym, od czego dotąd uwalniały go okoliczności, bo i deszczyk z chmurnego nieba padając, przedłużał świtanie i on sam wrzucony do wózka niewyspany, zawinięty w płaszcz własny, a nakryty potem jedną i drugą derką i połą szerokiego ojcowskiego płaszcza, mógł bezkarnie udawać dotąd że śpi. Ale dalekim był od snu, a pogrążanie się w ponurych myślach, podniecane jeszcze tem snu udawaniem, w nieruchomej postawie i w ciemności, działało tak dręcząco na chorobliwie wrażliwą wyobraźnię, że z każdą chwilą serce biło mu gwałtowniej i strach przed koniecznym porozumieniem z ojcem wzmagał się, do obłądki, do szaleństwa. Gdybyż można uciec?... ale jak?

— Janos! patrzaj! toż wilezysko stoi przed nami! nie pal z bicia bo go zestraszysz! — półgłosem rzecze Petöfi, i z wolna powstał w wózku ujmując w dłonie strzelbę, a oka nie spuszczać z ogromnego wilka, stojącego przed

w tej chwili o wszystkim co tem dzieckiem nie było, i wyskoczył z rozpedzonego wozu. Janos powstrzymał rozbukane rumaki, zeskoczył, zabiegł im od przodu i uderzywszy długą rękawicą czekana w miękki grunt, utkwili tę broń swą przed głowami koni, które wzywczajone snadź, stanęły przed tym znakiem spokojnie, jakby to był dąb, a one najmocniej doń przywiązane były. Janos pewny że nie ruszą z miejsca, wskoczył jeszcze raz na wóz i stanawszy na najwyższej krawędzi obejrzał się baczenie na okół... Płaszczyna to była bezbrzeżna, ani krzaka, ani drzewka, ani wzgórczka, zdawało się że zająca można było na niej w promieniu kilku mil zobaczyć, a jednak Szandora nie było... Petöfi ojciec biegał tylko tam i sam, jakby zupełnie rozum postradał; ze wszystkich sił wywoływał imię syna, rozpaczając przytem w niebogłosey że chłopca wilki porwały.

— Ho ho!... gospodarzu! — krzyknął parobek, biegnąc ku niemu — nie obrażajcie Pana Boga rozpaczą: wilki nie mogły porwać dziecka, bo nie chodzą w tej porze gromadnie,

to jeden tylko jakiś samotnik, stanął nam na drodze przed chwilą.

— Więc gdzież jest dziecko? — odparł ojciec — nie mogło przecież zostać daleko, bo pewny jestem że dopiero co znajdowało się u mego boku!

Janos, nie wiele niższy umysłowo od swego gospodarza, był w tej chwili owszem wyższym od niego o tyle przynajmniej, o ile rozważa wyższą jest od szalejącej rozpacz.

— Nie wiem — rzekł — ale to pewna że wilki go nie porwały, bo ich niema, że nie skryła go żadna gęstwina bo i tej niema, zatem musiał chyba upaść w jaki „dołek” gdyż i uciekać nie mógł daleko, bo musielibyśmy go widzieć. Wszelako nie wiemy gdzie on jest. Otóż zrobimy jak charty robią, kiedy trop stracą... bieżajmy w koło...

i cmoknął... poleciełi jak wiatr. Teraz, stary Petöfi trzymał syna poprostu w obu rękach, niby węgorza gotowego łada chwila się wysliznąć. Szandor, czując że niefortunną próbą ucieczki, pogorszył do ostateczności nieszczęsną swą sprawę, konał ze strachu. I niechybnie jeżeli nie on sam, to przynajmniej rozum jego byłby skonał, obłąkawszy się w tej chwili, gdyby chwila ta dłuższą była. Szczęściem, po kilkunastu minutach szalonego biegu, rumaki stanęły przed czardą, ryjąc kopytami murawę, i matka z jękiem i śmiechem pochwyciła w ramiona syna, teraz dopiero wybuchającego płaczem gwałtownym. Chwycił ją wzajem za szyję i zamilkł nagle; ręce zesztyniały mu w tym uścisku, ze mdłał.

Po otrzeźwieniu, matka przez kilka dni i nocy nie odstępowała od łóżka, na którym chłopiec leżał, wstrząsany od cza-



Mieszkańcy Heli.

— Bieżajmy! — powtórzył ojciec i natychmiast utkwwszy swój czekan w miejscu gdzie stał, zaczął biegać nokoł niego, kręgiem coraz większym. Janos naśladował go. Pierwotny to niezmiernie sposób wyszukiwania zguby na płaszczynie, ale dla tego właśnie dobry. Oba biegli umiarkowanym kłusem, czego nie dostrzegł jeden, musiał dostrzedz drugi, a kręgi przez nich zarysowywane powiększały się z każdą chwilą, acz nieznacznie. Zanim w taki sposób oddalono się o pół wiorsty od czekana stanowiącego punkt środkowy gonitwy, stary Petöfi wydał dziki okrzyk, zarówno boleścią jak i radością nabrzmiały. W dwóch skokach parobek był przy gospodarzu. W małym wykopanym prawdopodobnie przez zwierzę jakieś, leżał skurczony chłopiec. Ojciec pochwycił go jak piórko i pędził do wozu

— W konie! — zawołał wskoczywszy. Parobek przytomniejszy w tej chwili, zdążył wyrwać po drodze czekan pański, potem wyrwał z przed koni swój własny, wskoczył na wózek

su do czasu dreszczem bolesnym. Gdy nareszcie po kilku dniach, usłyszawszy że ojciec wyjechał, Szandor chciał wyjść, znalazł drzwi zamknięte, a okienko malutkie jak dwie dłonie, umieszczone było bardzo wysoko, w tej jego terazniejszej sypialni, izdebce szczytowej, przeznaczonej na zachowanie kosztowniejszych rzeczy... zrozumiał że był uwięziony. Pomocowawszy się napróżno z okutymi drzwiami, rzucił się na łóżko, udając że śpi, nawet gdy rodzice wrócili i matka przysłała do niego. Gdy odeszła znowu po cichu, zerwał się i wdrapawszy po sprzętach do owego okienka, usiłował choć odetchnąć świeżym powietrzem, bo rozpacz go ogarniała, dusił się. Ale obszar puszt, ujrzany z okna wzmógł tylko tęsknotę więźnia.

— Ojciec przestał mię kochać... — pomyślał.

Łzy strumieniem lały się po licu swobodnego niegdyś wychowanka puszt, gdy wtem tkliwy, drogi głos matki, doszedł do jego ucha:

— Oj panie mężu — mówiła smutno matka — niedobrze

robisz, raniąc zbytnią surowością serce własne i jedyne dziecko: toż on może stracić resztę sił i zdrowia, w takim zamknięciu!

Szandor przypomniał sobie że pod okienkiem, na dole, stała ławka, na której rodzice siadywali czasem gawędząc.

— A co mam czynić?... — ozwał się tymczasem głos ojca, nie gniewny wcale, lecz owszem smutny taki że Szandora aż serce od tego smutku zabolalo. — Co mam czynić? Wszak widzisz że chłopak o tem tylko myśli, żeby od starych rodziców uciec; a czyliż ty sama nie zamykasz co tylko masz najdroższego w tej izbie na górze?... gdybyś miała skarb drogi, zamknęłabyś go tam także, cóż dziwnego że i to dziecko, jedyny mój skarb drogi na świecie tam zamykam!

(d. c. n.)

## R A D A.

Jeżeli idąc przez życie  
Pomiędzy ludźmi dziewczka moja  
Spotka się z zdradą duszyczka twoja  
I zmrozi serce w rozkwiecie,  
Ty kochaj jednak! Jak lilia wodna  
Świeć niewinnością serduszka twego;  
Dalej z miłością pij kielich do dna,  
Kochaj dla Boga, bliźniego.  
Bo jak bez cierpienia niema radości,  
Bez przyczyn chwili nieszczęścia,  
Tak wyrzec można: że bez miłości,  
Niema zbawienia, ni szczęścia!!

Anna D.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Przechadzka pomoże nam otrząsnąć się z nośnej wilgoci — rzekł Menito. Mała małpeczka skoczyła bez ceremonii na ramię Tomka, który wcale się nie rozgniewał o taką jej fantazję w sposobie podróżowania.

— Tam są Indianie pod temi drzewami — rzekł Dabby Simon, gdy przechodzono koło gromadki dębów — będzie można zapytać o drogę.

Nie ufał snadź bardzo swoim topograficznym wiadomościom i chętnie korzystał ze sposobności nauczenia się czegoś. Indianie zbierali właśnie słodką żołądź.

Dabby Simon mający nadzieję, że wywie się o drodze od Indian obozujących pod dębami, zawiódł się w swem oczekiwaniu; ludzie owi nie umieli po hiszpańsku i na próżno usiłowano porozumieć się, gdy jeden z nich uderzył Melchiora po ramieniu i podnosząc palec w górę jakby dla nakazania mu uwagi, rzekł wskazując wążką drożynę.

— Blanco, blanco — i gestami zdawał się obiecywać, że tam idąc będzie można z kimś się porozumieć. Melchior zaczął przysłuchiwać się i dość wyraźnie usłyszał uderzenie siekiery drwali; zatem udał się we wskazanym kierunku. Niezadługo spotkał człowieka w sile wieku, z gołą głową, odzianego w coś nakształt kurtki strzeleckiej, który ociosywał belkę. Nie wyglądał na Hiszpana, i w istocie, gdy Melchior doń przemówił, porzucił siekiere, przystąpił do wędrowców wesoło i podał im rękę angielskim obyczajem.

— Jeżeli idziecie do Vera Paz — rzekł dowiedziawszy się o co im chodziło — jesteście na właściwej drodze; jednakże chętnie poprowadziłbym was do Lagunas, gdzie już będzie gościniec.

— Jesteś pan Anglikiem? — spytał Melchior.

— Jestem Szkotem, i należałem do załogi okrętu angielskiego, który rozbił się na wybrzeżach Yukatanu. Probowałem naprzód dostać się do Vera Kruz, ale tutejsza okolica podobala mi się i pozostałem tutaj.

— Dawno tu pan mieszkasz?

— Siedm lat.

— I czemże żyjesz?

— Tem co znajduję: zwierzyną i owocami.

— Musiałeś pan jednak doświadczać nadzwyczajnych przygód? — rzekł kapitan, spostrzegając głęboką szramę na twarzy Szkota.

— Zdarzało się różnie; raz wyzwalem panterę do śmiertelnej walki. Wyznaczono wielką nagrodę za panterę, która zamordowała wszystkich mieszkańców jednego wigwamu, sześcioro ludzi. Pozostawiałem pułapki ze wszystkich stron i złapałem rozbójnicę. Złapała się w pułapkę tak urządzoną, że uciec nie mogło, ale nie widziałem jeszcze stworzenia tak zapamiętałego w obronie. Zarzuciłem na nią lasso, które spętało ją kilkakrotnie, aby mi łatwiej było zawlec moją zdobycz. Wlokłem ją od kwadransa zaledwie, gdy udało się potworowi wyswobodzić jedną łapę i rzucił się na mnie. On to mi wtedy twarz tak przystroił. Wziąłem go przecież w końcu na łańcuch, dostawiłem władzom ofiarującym nagrodę, i nie wiem co tam dalej z nim zrobiono. Trudno jest teraz zarobić kilka dolarów. Nie tak było dawniej, w czasach gdy kopalnie odkryto. Widziałem jak dwadzieścia zarobiono od razu.

— A to jak? powiedz pan!

— Miałem oswojonego tapira. Pewnego wieczoru poprowadziłem go do folwarku, gdzie kopacze złota mieli zwyczaj się zbierać i założyłem się że mój tapir zje sam więcej ziarna niż trzy wieprze. Wsadzono trzech zgłodniałych wieprzów do małej zagrody, mojego tapira do drugiej i wrzucono po wielkim worku ziarna i tu i tam. Wieprze zjadły ledwo połowę swęj porcyi, gdy mój tapir już się z całą załatwił, co nie przeszkadzało mu wcale zjeść z przyjemnością snopak świeżego zboża, któren mu jedno z dzieci kopaczy przyniosło.

— Otóż prawdziwie amerykański zakład! — rzekł Tomek. Jakkolwiek rzeczpospolita Guatamala leży pod względem szerokości geograficznej daleko niżej niż Egipt, przecież jest tam daleko zimniej z powodu wysokich gór, których pasma ją przecinają. Biedne małpy cierpiały mocno z powodu tego zimna tak dla nich niewłaściwego i dopiero za pomocą wszystkich kołder, jakie były do rozporządzenia, zdołano zabezpieczyć je od złowrogięj dla nich temperatury. Podróźni szli pod wodzą Szkota, który sam im się ofiarował na przewodnika. Zdawał się on pewnym swęj drogi, ale Menito jakoś mniej niż on sam w sobie, miał w nim zaufania.

— Przed nocą ujrzyście dolinę Anbigua, gdzie znajdziecie co dusza zapagnie — powiedział Szkot do podróżnych.

— Nie zdaje mi się abyśmy przed wieczorem dosięgli najmniejszej chaty — mruzczał Menito, ale zamilkł nagle, ujrzawszy w pobliżu na pustej dotąd drożynie wśród skał się wijacęj, niedużą czerwoną skrzynkę, idącą na dwóch małych nogach.

— Ja wiem co to jest — powie Dabby Simon — to córka sierżanta ze swą skrzynką z towarami. Już ją dawniej spotykałem.

— Jakiego sierżanta? — spytał Melchior.

— Jest to stary wojskowy, który żyje tu kędyś w górach. Jego żona wyrabia chustki i t. p. rzeczy z wełny, a córka roznosi to i sprzedaje w okolicy. Tak, to ona w istocie — dodał gdy zrównano się ze skrzynką na dwóch nogach. Skrzynka odwróciła się i pod gromadą chusteczek, szalików, mitenek, czepków, czapeczek i t. p. ujrano właścicielkę małych nóżek. Była to dziecina od ośmiu do dziesięciu lat najwięcej, ale poważna jak dorosła kobieta.

— Piękny mamy wieczór — rzekła, odpowiedziawszy na uprzejme powitanie Melchiora i dodała: — Panowie podróżujecie?

— Tak, idziemy do Antigua. Czy nie znasz najlepszej drogi, panienko?

— Zaraz ją wam pokażę, gdy wyjdziemy na szczyt góry,

dalej pójdziecie prosto przed siebie. Panowie jesteście cudzoziemcy?

— Nie zupełnie — odpowiedział przewodnik — ale czy nie widziałem ja przypadkiem panienki przed dwoma laty, w San Mateo?

— Być może, bywam tam co rok na Boże Narodzenie.

— Sama?.. nie lęka się Indyan? — spytał Melchior.

— Doprawdy nie — odrzekła mała kupcowa — jeżeliby mnie zaczepili, mieliby do czynienia z moim ojcem. Ja jestem panna Cortina! — dodała dumnie podnosząc głowę.

Słońce już zaszło, gdy wędrowcy w towarzystwie panny Cortina zatrzymali się na noc, pod kępą wspaniałych modrzewiów. Daleko, w stronie południowej można było odróżnić w zapadającej ciemności chmurę różową.

— To wulkan Mezaya,\* znajdujący się prawie na waszej drodze prowadzącej do Antigua — rzekła dziewczynka — widzicie że dobrą idziecie. Jutro rano wskaże wam drożynę; teraz muszę was opuścić.

I zabrawszy swą paczkę, którą złożyła chwilowo na ziemi, miss Cortina wyszła z namiotu tylko co rozpiętego i poszła urządzić się na nocleg o pięćdziesiąt kroków dalej w gałęziach obalonego drzewa. Melchior nie mógł się nadziwić odważnej małej, która jedynie pod opieką Boską i własnej niewinności, przebiegała te dzikie okolice bez obawy.

— Ciekawy jestem, czy to biedactwo ma choć co do zjedzenia — rzekł i kazał Tomkowi zanieść jej owoców i placka. Ale młody chłopak natychmiast powrócił wraz z zapasami, mówiąc:

— Nawet przybliżyć mi się nie dała, powiedziała, że nie przyjmuje odwiedzin po ósmej godzinie w wieczór.

— To dobrze, pozostawmy ją w spokoju — powiedział kapitan.

Koło północy, podróżni zostali przebudzeni żywym czerwonym blaskiem, oblewającym namiot i drzewa.

— Może to księżyc — rzekł Tomek, otwierając jedno oko. — Ale nie, to las się pali! — zawołał obudzony zupełnie. Wybiegł z namiotu i zaraz Melchior usłyszał wołanie:

— Przychodź mój wuju, patrz, całe niebo płonie, jakże to pięknie!

Całe niebo w południowej stronie było w ogniu, a gdy podróżni na wołanie Tomka wyszli z namiotu i krzaków, ujrzeni wyraźne płomienie wychodzące z pomiędzy gór i oświecające te wszystkie okoliczne wyżyny. Wulkan Mezaya to wybuchał. Od czasu do czasu słyhać było potężny wystrzał niby i snop światła wspanialszy niż inne wylatywał w powietrze, spadając napowrót w postaci iskier i płomyków. Widok ten zdumiał i zachwycał Tomka, który dotąd nie widział wulkanu, prócz owych Hornitos'ów, a to było wcale co innego.

— Patrzaj wuju, pójdz tutaj tu jest dobre miejsce, wejdz na ten kamień, zjad dobrze zobaczysz. I co tu mówić w obec tego o ogniach sztucznych! Żadna sztuka na świecie nie potrafiłaby wynieść płomieni do takiej wysokości. A na około taki spokój panuje! Jak daleko jest ten wulkan?

— Około ośmdziesiąt mil — odpowiedział Dabby.

— Dwadzieścia mil francuzkich! a zdaje mi się, że go dotknąć można!

— Cóż to się stało, żeście się wszyscy zbudzili? — spytał delikatny głosik z poza Tomka:

— Ah, to miss Cortina! patrz co za precudowny widok!

— Co?... ten wulkan? to dla tego starego wulkanu, żeby mu się przypatrywać wstaliście ze snu! Ja myślałam, że się wam co złego stało. Możecie oglądać ten „precudowny widok” każdą noc w roku.

Podróżni nasi nie byli jeszcze przesyleni tym widokiem jednaki, tak jak miss Cortina, nie mogli więc ruszyć się z miejsca, podziwując go przez część nocy, dopóki mgła poranna nie przysłoniła go nareszcie.

Za ukazaniem się słońca znikły płomienie ponad wulkanem, i pozostał tylko duży słup dymu, który zdawał się w niebo wstępować. W powietrzu unosił się miałki pył z popiołu, a wiatr pędził go jak fale; mimo to widok był dosyć rozległy,

a nawet przez przerwę w górach ukazywał się w oddali świetny błękit oceanu Spokojnego.

Trudno teraz było zstępować z gór, przecież wędrowcy prowadzeni przez miss Cortinę, dostali się bez przypadku na rodzaj tarasu, utworzonego przez wyższą dolinę rzeki Klaro. Tegoż poranku rozstali się ze Szkotem.

Nareszcie zatrzymała się mała kupcowa i wskazując palcem domek kamienny, wyglądający jak latarnia morska na tem morzu zieleni, rzekła:

— Tam oto mieszkają moi rodzice. Panowie podróżni już dacie sobie radę w drodze bezemnie; spieszę do domu; dawno już go opuściłam. Nie możecie już teraz zabłądzić.

Kapitan serdecznie podziękował dobremu dziecku, za uprzejmość z jaką ich prowadziło.

— Coś mi się zdaje że nie bardzo ponyślnie musi tu iść handel, ale nic mi do tego — rzekł Tomek, spoglądając na towary z któremi wracała.

— I dla tego, lepij byłoby abyś się tem nie kłopotał — odpowiedziała wręcz miss Cortina. — Już pewno ja znajdę stu kupców na moje towary, nim pan znajdziesz jednego na swoją obrzydliwą małpę!

— A to panienka umiesz się odciąć ślicznie! — zaśmiał się Tomek — ale mylisz się, bo my nic nie sprzedajemy, owszem, czy nie znasz ktoby nam chciał sprzedać jakie zwierzęta? Kupujemy wszystko: koty, kotki, kocięta...

— Naprawdę? — spytała. — Cemuż nie mówiłeś tego wprzódy? Chcielibyście może parę niedźwiedzi? Mój ojciec mógłby wam dostarczyć parę młodych.

— A co za nie zażąda?

— To już nie do mnie należy — odpowiedziała filutka. — Idźcie drożyną koło rzeki, jeżeli mój ojciec jest w domu, przysię go do was, i spotkacie go zanim dojdziecie do mostu. Niedźwiedzie są tam w górach.

Rozstano się. Wędrowcy doszli wkrótce do mostu, o którym miss Cortina mówiła. Nie było tam ojca małej kupcowej, ale kapitan postanowił czekać na niego. W pół godziny, człowiek ze strzelbą w ręce ukazał się wśród gór.

— Otóż idzie stary sierżant — rzekł Dabby Simon — poznaję go po wielkiej strzelbie.

— Dzień dobry — rzekł stary żołnierz, zbliżając się i podając z kolei rękę obcym. — No, więc moja córka ma słuszność! A jej matka nie mogła uwierzyć, żebyście naprawdę chcieli niedźwiedzie kupować.

— Gdzież one są? — spytał Melchior.

— Tam wyżej! — odpowiedział sierżant, wskazując na łańcuch gór. Jeżeli idziecie do Antigna, to musicie po nie zejść trochę z drogi; ale możecie też dojść do Vera Paz przez San Minguel; spoczniecie w klasztorze.

— W jakim klasztorze?

— W tym, który zakonnicy urządzili, na schronienia podróżnych w górach.

— A więc idźmy! — zawołał kapitan.

Sierżant, piechur pierwszej klasy stanął na czele kolumny i poprowadził ją krętą ścieżką na około góry, już to w górę już na dół. Przeszedłszy spory kawał drogi, przybyto nad głęboki parów, gdy Czarnula stanowczo odmówiła zstępować dalej po zbyt trudnej drodze.

— To niech nie schodzi, wrócimy do niej — powiedział sierżant; i gdy Menito prowadził zwierzę w załom górski, gdzie mogło rozkoszować się pyszną trawą, oczekując skutku wyprawy, sierżant powiódł resztę wędrowców w głąb parowu. Zatrzymał się na małej skalistej płaszczynie z boków góry i wskazując w pobliżu stos głazów pochodzących z oberwania się skały.

— Tam jest jaskinia niedźwiedzicy — rzekł. — Ma ona dwoje małych jednomiesięcznych blisko; po nie to idziemy, ale aby je zabrać, musimy najprzód pozbyć się matki.

— Trzeba mieć strzelby w pogotowiu — zauważył Tomek.

— Nie potrzeba nam strzelby, teraz rzecz idzie tylko o małe; niedźwiedzicy niema w domu.

— Jakże to pan wiesz?

— Poszła polować na świszczce, gatunek psów łąkowych na stoku gór i powraca z polowania zawsze dopiero gdy słońce

jest już wysoko, to jest po południu mniej więcej. Teraz proszę mi potrzymać moją strzelbę...—podał ją kapitanowi, otworzył torbę u pasa, wyjął z niej parę rękawic skórzanych i obejrzawszy się bacznie naokoło po skałach w wąwozie, wśliznął się cicho w stos głazów i znikł pomiędzy niemi. Przez kwadrans nie dał żadnego znaku życia:

— Może niedźwiedzica nie wyszła z domu?... — szepnął Tomek wypowiadając w ten sposób swoje i wuja obawy.

— Ach wie on co czyni, bądźcie spokojni — mruknął Dabby Simon — to najlepszy myśliwy w okolicy. Ma on taki dowcip jak i jego córka. Otóż go macie.

(d. c. n.)

## PYTANIE.

Świąteczne wakacje zgromadziły w Wólce bardzo liczne towarzystwo. Była to przeważnie młodzież szkolna, wesoła, chciała wiejskich uciech i wiejskiej swobody. To też bawiono się znakomicie; przejażdżki konno, wycieczki w okolice, długie przechadzki a wieczorem wspólne czytanie lub ochocze tańce uprzyjemniały pobyt wesołej gromadce. Ale dotąd nie jeżdżono jeszcze łódką; nie, to rzecz niesłychana, żeby nie urządzić wycieczki łodzią, gdy się mieszka tuż nad śliczną Wartą i ma tak dobrą sposobność podziwiania jej malowniczych wybrzeży!

Przygotowano zatem piękną, obszerną łódź, przygotowano suty podwieczorek, bo apetyt zwykle młodym dopisywał, i całe towarzystwo wyruszyło w jak najweselszym usposobieniu. Starsi chłopcy przyjęli obowiązek wiosłowania, ale, że płynęli z prądem wody, nie mieli zaimprovizowani wiosłarze zbytnej pracy. Niebawem rozległy się w powietrzu tony ulubionej piosenki „Wesoło żeglujmy, wesoło”, po niej następowały inne i znowu inne; łódka płynęła szybko po przejrzystej toni, wioząc naszych podróżnych w kierunku malowniczych ruin klasztoru, położonego u stóp wyniosłego wzgórza, tuż nad brzegiem Warty. Niebawem stanęło towarzystwo u celu wycieczki, trzeba było tylko dobić do brzegu. Adaś zatem, 12 letni chłopczek, który stał u steru, skierował łódź ku wygodnej przystani, tymczasem łódka popłynęła kilka metrów dalej, a Adasia wysmiano, że nie potrafi sterować. Chłopczyk bronił się twierdząc, że sterował jak najdokładniej w kierunku przystani — ale czemuż w takim razie łódka popłynęła dalej?

## ZADANIE ARYTMETYCZNE.

(od Czarnego Gołąbka dla Mani Borowej).

Mając dany iloczyn i po dwie cyfry cząstkowych iloczynów, znaleźć mnożną A i mnożnik B?

$$\begin{array}{r}
 \phantom{2} \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5} \\
 \phantom{2} \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5} \\
 \phantom{2} \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5} \\
 \phantom{2} \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5} \\
 \phantom{2} \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5} \\
 \hline
 2 \phantom{9} \phantom{0} \phantom{5} \phantom{0} \phantom{0} \phantom{7} \phantom{5}
 \end{array}$$

## SZARADA.

(od Przyjaciółki dla Konwalijki).

Myśmy z fachu rzemieślniki  
Czynność naszą zna świat cały,  
Gdyż bez nas wozy i bryki  
Nie do użytku by stały.  
*Pierwsze drugie* u kolaski  
To rąk naszych *trzecie drugie*,  
Więc podróże z naszej łaski,  
Nie są bardzo zmudne, długie.

Kto historyi chce znać karty,  
Zgłębić przeszłość badaniami,  
Czytać stare *trzecie czwarte*,  
Ten się wśród nich spotka z nami,  
Z naszego to bowiem grona,  
Wyszedł ten, co siadł na tronie,  
A złota władzy korona  
Zwieńczyła mu chwałą skronie.

## REBUS.



## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Wino. 2. Rotszyl. 3. Orkan. 4. Żyto. 5. Brew. 6. Indyjanie. 7. Aj! aj!. 8. Rumieniec. 9. Cesarz. 10. Elizy. 11. Saba. 12. Ziele. 13. Cal. 14. Zenon. 15. Eji. 16. Szczerzość. 17. Cmentarz. 18. Izaak. 19. Antoni.

Wróżbiarce szczęścia od nowój czytelniczki.

**TREŚĆ:** Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzeworytami).—Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Rada, wiersz p. Annę D. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Pytanie. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Króliki, p. Maryę Weryho (z drzew.) — Niespodzianka dla mamy, obrazek sceniczny. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## KRÓLIKI.



W kotlinie królików było bardzo spokojnie, w kącie na mchu spały małe króliki, a opodal od nich siedział tatuś-królik z mamusią, zajadali koniczynę i rozmawiali pocichu.

— Tak się już stęskniłam do listków kapustki! zdaje mi się, że jeden listek wystarczyłby mi na dzień cały.

— Co prawda, moja kochana, tu i rzepa wcale nie zła, jakim się wczoraj do niej dobrałam, to mi się odejść nie chciało.

— E, co tu mówić! w lecie pełno rzeczy smacznych się znajduje, ale w zimie...

— No cóż! w zimie mamy znowu korę drzew owocowych.

— Co mi to za jedzenie!

— Ale możebyś poszła do swojej kapustki, tyleś dni przesiedziała w tej ciemnej norze, idź, a ja dzieci popilnuję.

— Gdzieżbym się mogła od tego maleństwa odwalić...

Wtem dał się słyszeć szelest. Króliki trzepotały niecierpliwie nóżkami.

— Zaraz, zaraz dzieciaczki moje drogie, zaraz was nakarmię.

I matusia poskoczyła do królików i zaczęła je karmić mlekiem swoim.

— Czy jeszcze nie przejrzały? — pyta ojciec, przysuwając się do gromadki.

— Jeszcze, ale za parę dni z pewnością już widzieć będą. Dobrze mi się dzieciaki chowają, tłusciuchne i ładniuchne. Patrzno jaki ten biały, ani plamki na futerku; a ten znów jak zabawnie srokaty.

— Ciekawym, czy który z nich będzie miał takie wąsy długie jak moje.

Po tej rozmowie przeszło dni kilka. Już króliki powyrastały; już przejrzały na oczki, nawet i wąsy rosnąć im zaczęły, takie same jak u tatusia.

Pewnego dnia, ojciec królik bardzo wczesnie obudził swoją rodzinę i oznajmił, że dziś wyprowadzi wszystkich na łąkę. Dzieci ogromnie się ucieszyły i już miały się rozbiegać po korytarzach, gdy ojciec je powstrzymał mówiąc surowo:

— Czekaćcie no dzieci, wam tylko bieżanie w głowie, musicie wysłuchać kilka bardzo ważnych przestroż.

Ładnie jest na świecie, lecz niebezpiecznie. Mamy pełno nieprzyjaciół, chociaż nikomu nic złego nie robimy. Lis, pies, sowa, orły, myśliwy, wszystko to na nas czatuje, a są i tacy, co się do naszej nory nielitościwie zakradają.

— E, to ja takich drapieżników pogryzę — wykrzyknął jeden śmielszy królik.

— Pogryziesz? a czym ciekawy jestem, czy masz takie zęby, jak oni?

— Nie — odparł króliczek — teraz mam zębów niewiele: na przodzie dwa u góry i dwa u dołu i trochę w głębi pyszczka, ale jak urosnę, to przecież mi i zęby urosną.

— Mylisz się, kochanku, mieć ich więcej nie będziesz, ani ja, ani twoja matka więcej nie mamy. Nawet nieboszczyk dziadus czternaście lat przeżył na świecie, a więcej nie miał.

— No to pazurami ich podrapię.

— I tem się nie obronisz, ho oni pazury mają mocniejsze. To właśnie bieda nasza, że nie mamy czem się bronić, ale za to mamy dobre uszy i dobre nogi, to nas tylko ratuje.

Króliki wzajemnie popatrzyły na siebie i naprawdę zobaczyły, że uszy mają bardzo długie.

A ojciec mówił dalej:

— Nastawiajcie uszy na wszystkie strony, gdzie tylko posłyszycie jaki szmer; i chcąc je nauczyć, jak to robić powinny, zaczął przechylać uszy to w tył, to w bok, to znowu ustawiał je jak różki prosto.

Dzieci też próbowały go naśladować, ale jeszcze nie bardzo im to się udawało.

— A jak posłyszycie jaki szelest, zmykajcie co siłą, macie na to dobre nogi.

— Ale ja tatusiu mam tylko dwie nogi dobre, a drugie dwie zupełnie małe, może mi jeszcze urosną.

— Jakżeście niemądry — odrzekł tatuś — czy nie widzisz, że my wszyscy mamy przednie nogi krótsze od tylnych?

Królik chciał się przekonać, zaczął oglądać nogi rodziców i teraz dopiero zobaczył, że wszystkie króliki miały jednakowe nogi.

Króliki myślały że ojciec już skończył mówić i porwały się z miejsca.

Ale ojciec groźnie zawołał — znowu uciekacie? — I ciekawy jestem gdzie pobiegniecie, kiedy drogi nie

znacie. Musicie przede wszystkim dobrze rozpatrzyć się w swoim mieszkaniu. Widzicie, że się ono składa z dołka — kotliny — a z niego rozchodzi się mnóstwo korytarzy. Każdy korytarz wychodzi na powierzchnię ziemi. Zmykając starajcie się trafić do jednego z korytarzy, a każdy przyprowadzi was do domu.

— A to ja tym korytarzem pobiegnę. A ja tym.

— Nie, to ja tym, to...

I zaczęły się spierać z sobą.

— Dosyć — zawołał ojciec. — Teraz wszystkie za mną.

I skoczyły małe króliki za tatusiem, lecz skakać jeszcze dobrze nie umiały, to też przewracały się często.

Nareszcie wyszły na dzienne światło i pierwszy raz ujrzaly łąkę.

Co to była za radość! co za dokazywanie! Prędko zapoznały się z całą łąką. Wiedziały gdzie smaczna jest trawka, gdzie dobry korzonek, gdzie kora słodka. Nauczyły się zręcznie skakać i dobrze się kryły przed nieprzyjaciółmi.

A były takie ostrożne, że nawet często zmykały przed szelestem liści.

Najczęściej wychodziły w nocy, a w dzień siedziały w norkach swoich.

Razu jednego, kiedy cała gromadka siedzi sobie spokojnie w kotlinie, wpada gość nieproszony tchórz.

W mgnieniu oka rozbiegły się króliki na wszystkie strony, po wszystkich korytarzach, a tchórz za nimi.

Biegną co siły mają i już, już są przy końcu korytarza, już mają na łąkę wypaść aż tu przy samem wyjściu wpadają do pułapki, siatki zastawionej na nich przez ludzi.

Smutny był koniec biednych królików, zabrali je ludzie do niewoli.

Jedne pozabijali, mięso wzięli na pieczone, a skórki posłali do fabryki kapeluszy filcowych. Inne wsadzili do klatki, ażeby mieć z nich po ostrzyżeniu wełnę miękką.

A chociaż dobrze się z nimi obchodzono, jednak tęskniły za rodzicami i braćmi, za norką swoją, za swobodą i zawsze myślały o ucieczce.

Marya Weryho.

## NIESPODZIANKA DLA MAMY,

OBRAZEK SCENICZNY.

### OSOBY.

GUCIO — 10 lat.

ZOSIA — 7 lat.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w końcu stycznia.

Scena przedstawia pokój dziecinny: wielki stół na środku, na nim książki, kajety i wszystkie przyrządy do pisania. Na prawo okno, na lewo drzwi, obok drzwi rozmaite zabawki, łóżeczko z lalką malutką, komoda, krzeselko dziecinne.

### SCENA I.

Gucio siedzi przy stole i pisze.

ZOSIA (wchodząc). Dzień dobry, Guciu.

GUCIO (pisząc). Dobry dzień, siostrzyczko.

ZOSIA. Jesteś zajęty?

GUCIO (pisząc ciągle). W tej chwili kończę zadanie. Chcesz żebyś się z tobą bawił?

ZOSIA. O nie! Mam ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

GUCIO (zamykając kajet). Cóż takiego?

ZOSIA (tajemniczo). Wszak wiesz że jutro mamy imieniny. Otóż dzisiaj zaraz po obudzeniu się dużo myślałam nad tem, jaką by miłą niespodzianką urządzić dla mamy.

GUCIO. I ja myślałem o tem, przygotowałem już nawet książkę z powinszowaniami, jak przyjdzie babcia, poprosimy ją aby nam wskazała, które wierszyki mamy się nauczyć.

ZOSIA. Ej co tam wiersze! To żadna niespodzianka, wszak na wszystkie uroczystości uczymy się wierszy dla rodziców. Mnie całkiem co innego przyszło do głowy. Przypomniałam sobie jak onegdaj mama mówiła do tatusia, że to prawdziwa rozkosz mieć bukiet świeżych kwiatów o tej porze roku. A zatem kupmy ładny bukiet i ofiarujmy go mamie.

GUCIO (kłaszcząc w dłonie). Doskonały pomysł. Wszak mamy własne pieniądze w skarbonkach. Ja mam 9 zł.

ZOSIA. A ja sześć.

GUCIO. Co czyni razem 15. Za tę sumę można mieć ładny bukiet.

ZOSIA. Jak przyjdzie babcia, poprosimy ją aby wyszła z nami do miasta i dopomogła nam wybrać kwiaty.

GUCIO. Napiszę na ładnym papierze: „Dla drogiej mamy od kochających dzieci”. Przypnę papier do bukietu i ofiarując go mamie, wypowiem stosowne do tego wiersze.

ZOSIA (zdziwiona). JAKO? ty masz ofiarować bukiet mamie?

GUCIO. No, ofiarujemy go razem! Wszak napiszę w liczbie mnogięj od „kochających dzieci”. Tylko ja będę miał bukiet w ręku i ja podam go mamie.

ZOSIA. Wcale nie! Ja chcę go sama podać.

GUCIO. Proszę, a to jakim prawem?

ZOSIA. Bo ja miałam ten pomysł doskonały, jak sam się wyraziłeś.

GUCIO. Ale ja jestem starszy, przytem mężczyzna, a mężczyźnie zawsze należy się pierwszeństwo.

ZOSIA. O przepraszam bardzo, jak jedziemy na spacer, tatuś nigdy nie siada pierwszy do powozu.

GUCIO (zakłopotany). To znowu co innego... Zresztą ja mam większe prawo do bukietu, bo daję więcej pieniędzy na kupienie go.

ZOSIA. Ale gdyby nie ja, nie pomyślałbyś wcale o bukietcie.

GUCIO. Pomyślałbym czy nie, to do ciebie nic nie należy. Ja chcę sam ofiarować go mamie i proszę mi się nie sprzeciwiać.

ZOSIA. Ciekawam, co cię upoważnia przemawiać do mnie takim tonem.

GUCIO. To, że więcej się uczę i że jestem o wiele rozumniejszy od ciebie.

ZOSIA (drwiąc). A może i to że wczoraj siedziałeś w kozie.



GUCIO (*zakłopotany*). To i cóż że siedziałem... ale jestem, byłem i będę mądrzejszy od ciebie.

ZOSIA. To jeszcze bardzo wątpliwe!

GUCIO. Nic a nic nie wątpliwe, bo mężczyzna zawsze mądrzejszy od kobiety.

ZOSIA. Chyba od téj która się uczyć nie chce. Jak pójdę do szkoły, to ja z pewnością na karę nie zasłużę.

GUCIO (*rozgniewany*). Kiedy mi tak ciągle dokuczysz tą kożą, to już nie chcę mieć nic wspólnego z tobą i kupię bukiet tylko za swoje pieniądze.

ZOSIA. A ja kupię drugi za swoje.

GUCIO (*drwiąc*). Ładny mi będzie bukiet za sześć złotych.

ZOSIA. Proszę cię nie troszcz się o to.

GUCIO (*idąc ku drzwiom*). Tak mi dokuczylaś że wychodzę, żeby ciebie nie widzieć.

ZOSIA. Wolę zostać samą, niż z takim niedobrym bratem. (*Gucio wychodzi rozdąsany*).

## SCENA II.

ZOSIA (*sama zbija się do łóżeczka, bierze lalkę*). Zresztą nie będę tak całkiem samą: mam lalkę. (*Tuż ją do siebie*). Ta mi się przynajmniej sprzeciwić nie będzie, (*siada na krzeselku i zaczyna ją ubierać, wyjmując ubrania z komódki*). A ten Gucio taki niedobry, tyle mi przykrych rzeczy nagadał. Niby to ja już nigdy nie będę taką rozumną jak on! zapewne teraz mniej umiem od niego, on się uczy i w szkole i z tatusiem, a ja to tylko te parę godzin co z nauczycielką... Ale zaraz od jutra poproszę mamy aby mi pozwoliła uczyć się tego wszystkiego co i on, a wtedy zobaczymy kto będzie miał lepsze stopnie... A tymczasem co będzie z bukietem?... Tak mi jakoś przykro, gdy pomyślę że będziemy każde z osobna mamie winszować... Mama zaraz się domyśli żeśmy się znowu pokłócili... A mama tak się za to gniewa... taką jęj to robi przykrość. Przytem mój bukiet będzie mniejszy od bukietu Gucia... Co tu robić? (*zakrywa twarz rękoma*). Mój Boże, mój Boże, jakie ja mam ciężkie zmartwienie (*placze, po chwili*) Może już lepiej ustąpić... naprawdę niech już tak będzie jak Gucio chce... Biegnę mu powiedzieć że zgadzam się aby on ofiarował mamie wspólny nasz bukiet. (*biegnie ku drzwiom i spotyka w nich Gucia*).

## SCENA III.

GUCIO i ZOSIA.

GUCIO. Gdzie tak biegiesz siostrzyczko?

ZOSIA. Do ciebie, chciałam ci powiedzieć że już nie będę ci się sprzeciwiać co do bukietu.

GUCIO. Ja z tem samem przyszedłem do ciebie. Bo widzisz... jak się zastanowiłem nad naszym postępowaniem, zrozumiałem, że zamiast przygotować mamie miłą niespodziankę, przygotowujemy jęj wielkie zmartwienie; wszak wiesz jak mama się martwi każdą naszą sprzeczką.

ZOSIA (*wzdychając*). Wiem aż nadto dobrze.

GUCIO. I mama i tatuś powtarzają nam ciągle że rodzeństwo powinno żyć z sobą w zgodzie, że niezgoda zawsze i wszędzie sprowadza nieszczęścia. Nie dalej jak wczoraj mówił mnie o tem tatuś podczas lekcji historii...

wykazywał zgubne skutki niezgody, zbawienne solidarności...

ZOSIA (*przerywając*). Co to jest solidarności?

GUCIO. Solidarność... Czeka (*zamyśla się*). Jakże mi to tatuś tłómaczył? (*zamyśla się*) Aha! wiem już... Solidarność to... to wtedy gdy wszyscy zgodnie dążą do jednego celu.

ZOSIA. Tak jak my do zrobienia przyjemności mamie. Będziemy więc solidarni... prawda? Ale któż mamie doręczy ten dowód naszej solidarności? Zgadzam się zawczasu na to co postanowisz.

GUCIO. Ponieważ tobie jako panience ładniej będzie z bukietem w ręku, postanowiłem więc, że ty go podasz mamie.

ZOSIA (*uszcześliwiona*). Mój Guciu, jakiś ty dobry (*całuje go*).

GUCIO. Ale wiesz co jeszcze zrobimy? Dajmy sobie słowo nigdy się więcej nie kłócić i na papierze, który mamy przypiąć do bukietu napiszemy tak: „Dla drogiej mamy od kochających dzieci, które obiecują nigdy już się nie kłócić”. A dotrzymanie téj obietnicy będzie najmiłą niespodzianką dla mamy.

ZOSIA (*zachwycona*). Mój Guciu, jakiś ty mądry!

GUCIO. A teraz chodźmy opowiedzieć to wszystko babci, która już zapewne przysła.

(*Wziąwszy się za ręce wybiegają z pokoju*).

## SZARADA.

(*ułożona dla jednej z czytelniczek Wieczorów*).

Żyję na drzewie, w wodzie, jak z losu wypadnie,  
A czasem jestem sobie panienką i kwita,  
Bardzo miłą, uprzejmą, co się uczy ładnie.  
Kto jednak chce mnie poznać niech z boku wyczyta  
A natychmiast kim jestem z łatwością odgadnie.

### Łamigłówka w kwadraciku.

(*ułożyła Szarotka alpejska*).

4 r — 2 n — 5 a — 3 o — 2 m — ułożyć w kwadraciku z 16 podziałek tak, aby odczytać w obu kierunkach:  
1. Nazwisko bożka. 2. Nazwę materyi. 3. Miasto w Algeryi  
4. Nazwę bólu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

### Szarady:

Je — leń.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Karol. 2. Rano. 3. Aron. 4. Komód. 5. ÓY. 6. Welon.

## Skrzynka do listów.

Odbierać liściki jak twój, kochana Grażyno jest wielką i bardzo wielką przyjemnością, więc pisuj jak tylko mieć będziesz czas

i ochotę potemu. Cieszę się, że ci się podobały dziewczynki, o których wspominasz, bo sympatya jest tu wzajemną. Co do zadania konkursowego nie wątpię ani chwili, że się z kosztem nie zapozna, i zanim z niego zdamy sprawę, wraz z innemi autorkę ściskamy serdecznie.

**Znakowi zapytania** powtarzamy to, co już mówiliśmy wielokrotnie, że drukujemy jedynie korespondencye panienek do panienek i chłopczyków do chłopczyków, niechże więc wybierze sobie kolegę, z którym chciałby korespondować.

**Kogut** znajdzie dla siebie odpowiedź w tem, co powiedzieliśmy „Znakowi zapytania”.

Serdecznie ci dziękuję, droga **Białonóżko z pod Karpat** za kwiatek na tamtejszej ziemi wyrosły. Choćby nawet nie był tak ślicznym okazem ulubionych mi bratków, zawsze bym go mile powitała, jako dowód pamięci od jednej z moich siostrzyczek.

**Carmen** droga, pisywać możesz, bo wypracowania twoje ja czytać będę, a ja myślą sercem i oczyma jestem na wasze usługi. Ale warunek lat uchylić się nie da, jak to sama już zresztą rozumiałaś.

**Lwowiance** obszerniej wkrótce odpiszę w sprawozdaniu z konkursu.

Masz słuszność, **Maryno z pod Garwolina**, twierdząc że w ciemnym życiu domowym najlepiej poznać się można. Nudnem jest ono dla tych tylko, którym brak wszelkiej treści wewnętrznej. Jakże cię musiała boleśnie dotknąć śmierć tego maleństwa, które matkę niepocieszoną zostawiło! Żle żyć nie kochając nikogo, a ciężko kochać i tracić!

Za „serdeczny pocałunek” takż sam przesyłam **Kopciuszkowi**.

**Bławatku z nad Horynia**, przykro nam wszystkim, że nie masz teraz „odwagi” pisywać do Wieczorów. Popraw się kwiatuszku polny, a ja w zamian wstawię się do redakcyi o umieszczenie liściku. Tylko ta „kolój” nieszczęśliwa!

Nie, **Stokrotko z nad Stochodu** twój domysł *nie* jest trafnym, ale za to bardzo jest zajmującym to, co mi piszesz o miejscowym kościele i żałuję, że już do konkursu nie należysz. Najżywszem przejął mnie współczuciem twój niepokój o „skarb najdroższy” da Bóg, że ta ukochana mateczka wprędce powróci do zdrowia.

Mówiono mi w redakcyi o bytności twojej, kochana **Niebieska Wstążeczko**, ja także żałowałam, żeśmy się rozmięły. Kto wie? może niespodzianie powetujemy to kiedy sobie...

Dziękuję ci, **Niezapominajko z nad Warty** za serdeczne słowa dla mnie i życzenia dla Józia. Niedługo napisze znowu list, o który od wakacyi nudzi redakcyą, aby mu go umieścić pozwoliła. (Mówię: „nudzi” sądzę jednak, że was list jego zajmie). Mam siostrę, z całej naszej rodziny, ona jedna nie pisuje w Wieczorach, ale za to dawniej, młodszą będąc, pisywała (pod pseudonymem) do mnie i ja odpowiadać jej musiałam, nie wiedząc kim jest moja korespondentka. A od lat 8-miu w jednym pokoju sypiamy! Józio tylko wiedział o tym figlu i pomagał do niego, bo ta młodsza para zawsze z sobą wiernie trzyma.

Nie choruj „z rozpacy”, **Dumko z nad Sobu**, bo zmartwiona chorobą twoją **Gołąbka**, gotowa by polecieć, dowiedzieć się o twoje zdrowie, a nużby jej skrzydełek nie starczyło na tak daleką podróż?

**Ach Lilijko z nad Osławy**, dużą już jestem i dorosłą! a tak mało jeszcze zrobiłam dobrego. Z listu mego do Niezapominajki z nad Warty dowiesz się, że mam rodzeństwo. Nie, nie „śmiej się” z tego co mi mówisz o rodzinnej ziemi swojej i czuję że ją kochasz i wiem, że jest piękna i malownicza. Tak jak ty kwiatki lubię, ptaszki, lasy i pieski, a szczególnie psy duże. Miałam przez lat 10 czworonożną przyjaciółkę, której dotąd nie zapomniałam, choć już nie żyje.

Tak najlepiej zaczynać **Brzózko i Śmieszko** „siostrzyczką” nazywając waszą **Gołąbkę**. Nawet wypracowanie konkursowe inaczej sądzi *siostra*, a inaczej osoba obca. Oj, przekupić mnie chyba chcecie! a co na to powie redakcyja?

**Różowa Jutrzenko** pisują do mnie nawet siedmioletnie, dla

czegoż więc miałabym się „obrażać, że pisze do mnie 10 letnia panienka, która „wolne chwile poświęca czytaniu”? Gotowam się obrazić, ale za to że mnie za *śmiałość* przepraszasz. Posyłam ci jednak całusa, również jak i młodszej od ciebie **Zorzy północnej**, która dobrze odgadła zadanie konikowe.

Droga **Malinko z Goworowa**, odebrałam już twoją odpowiedź na zadanie konkursowe, a jakkolwiek nie czytałam jej jeszcze, nie wiem dla czego z góry zapowiadasz, że „pochwały się nawet nie spodziewasz”? Po Świętach ogłoszone zostanie sprawozdanie z konkursu, a czy redakcyja powoła was przed wakacyami do nowego, czy nie, to już jej tajemnica, której nie wolno mi zdradzać przedwcześnie. „**Dr. Muchołapski**” w oprawie kosztuje rs. 2 kop. 25, bez oprawy rs. 2. Cieszę się bardzo, że list Józia, pierwszy raz próbującego pióra, potrafił cię natchnąć ochotą przeczytania tej książeczki, ze wszechmiar ciekawej.

Listu twego, **Zorzo** kochana nie odebrałam wcale, jaką go drogą wysłałaś?

„**Nowa prenumeratorka**” **Cyb**, wyraża nadzieję, że się niebawem pokochamy. Ma się rozumieć, moja droga, ja kocham wszystkie moje siostrzyczki i wszystkim radabym dogodzić. Tobie jednak nie mogę, boś mi adresu swego nie przysłała.

*Gołąbka.*

Kochana **Gołązko Heliotropu!** Zgadnij kto ja jestem? Znasz mnie doskonale. Ściskam cię serdecznie *Srebrna Kropelka*.

Drogie moje: **Jedlinko i Jagódko śnieżna!** Na imię mi **Marylka**, mam rok 15-ty, uczę się teraz w domu, za rok pojedę do Warszawy, jestem jedynaczką i przepadam za ślizgawką. Donieście mi mile moje czy lubicie ślizgać się i co porabiacie wieczorami? Całuję was po milion razy *Kulka śniegowa*.

Serdecznie pozdrawiam **Kampanellę i Cichą Wodę**.

Moja ty złota **Chmurko złocista!** Dopiero temi dniami szperając w przeszłorocznej Skrzynce do listów, trafiłam na pozdrowienie od ciebie, które się gdzieś między innemi ukryło. Odważę się cię serdecznym całuskiem, a na pytanie odpowiadam, że na wystawie nie była. A ciebie czy wietrzyk nie zawiął w tamte strony?... *Brzydotka z nad Tanizy*.

Kochana biała **Orliczko!** Dziękuję ci bardzo za liścik, którego się nie spodziewałam. Poznałam zaraz kim jesteś, pseudonym twój bardzo mi się podoba. Ściskam cię wraz z **Maliną, Łezką z nad Lutyni**.

Mam do ciebie wielką sympatyę, droga **Czeska Niezabudko** i chciałabym bardzo poznać się z tobą. Czy grywasz na fortepianie? Ja muzykę niezmiernie lubię i dużo jej czasu poświęcam. Ściskam cię i proszę odpisz koniecznie *Błękitnej Kokardce*.

Kochana **Ako!** Piszę do ciebie w nadziei, że zostaniesz moją stałą korespondentką. Donieś mi proszę, jak ci na imię, ile masz lat, czy masz rodzeństwo, gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? Ja mam lat 11, jestem jedynaczką, uczę się w domu przy nauczycielce. Inne szczegóły pozostawiam do dalszych liścików, a teraz przesyłam ci serdeczne uściśnienia, prosząc cię o prędką odpowiedź. *Życzliwa Maryna z pod Garwolina*.

Ślizgawkę i **Sarenkę z nad Sanu** pozdrawiam, czemu do mnie nie pisać? czy już nie należą do czytelniczek **Wieczorów**?

Serdecznie ci dziękuję moja złota **Kulko śniegowa** za twą do mnie odezwę, która mi wielką sprawiła uciechę. Czy bardzo lubisz **Wieczory**, które ja tak pokochałam, że nie chciałabym nigdy rozstawać się z niemi, bo i jakżeż ich nie kochać? kiedy tyle ślicznych rzeczy drukują i uczą. Zdaje mi się że lubisz muzykę i ja także bardzo lubię, a nie mniej rysunki. Oczekując odpowiedzi, ściska cię *Biała Perelka*.

Drogie moje: *błękitna Kokardko, słodka Pomadko różowa i biała Chmurko!* Donieście mi moje złote, gdzie uczycie się? co najlepiej lubicie z nauk? Ja geografję i historję nowożytną. Czy należycie do nowego konkursu? Ściskam was serdecznie *Niezabudka z nad Chomoru*.

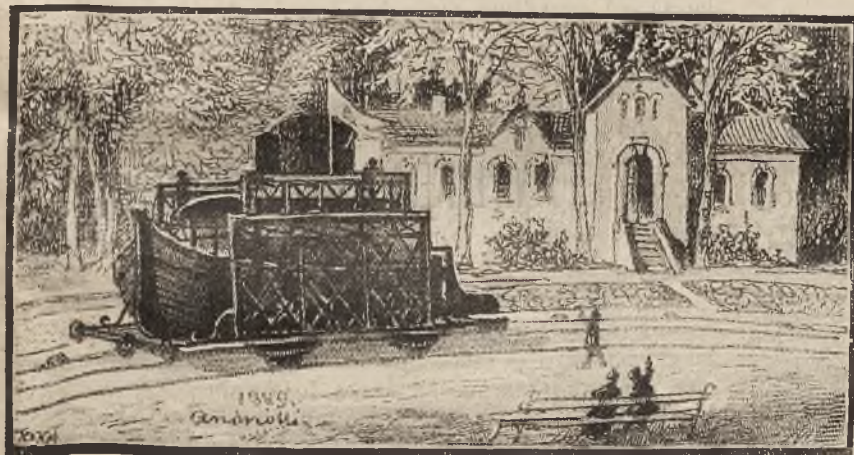


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Stacyjka kolei wodnej.

### Korespondencya Wieczorów Rodziny.

#### II.

Błogosławi też im widać Pan Bóg, bo wszyscy z rybołówstwa tylko żyją. Główne połowy są na łososie, stornie, czyli flondry i węgorze; zyskiem dzielą się wszyscy członkowie maszoperyi, odkładając pewną część na potrzeby kościelne, na wdowy i chorych. Z tego, co mi opowiadał Walisz, mocno żałuję że tu nie był na początku marca, kiedy „idą” łososie. (Szkoly tutejsze mają wtedy ferie, a ja się poczęz obawy, jaką będę miał cenzurę na Wielkanoc!) Każda maszoperya ma swoją „toń” czyli miejsce, gdzie ma prawo zapuszczać niewody i swój

niewód, a zdarza się czasem, że wyciągną od razu i ze dwie kopy łososi, które na piasku nadbrzeżnym dobijają uderzeniami kija po karku. Nie powiem, żeby ta ostatnia czynność była przyjemną, ale bez tego podobno obejść się nie można.

Stornie łowią od Zielonych Świąt, aż do końca lipca i jeżeli na przyszłe wakacje znowu pojedę do Sobót, to już obiecał mi ojciec Walisza, że mnie z sobą weźmie na morze. Tak stornie jak i węgorze łowią rybacy na sprzedaż, na swój zaś użytek obracają połów breitlingów, które u nas w Warszawie nazywają „sprotami”. Ile razy jem je teraz, tyle razy staje mi na oczach Jastarnia i chata rodzinna

Walisza i morze i ładne sieci, wszystko co z wykładami profesorów, nie ma żadnego związku!

W zimie pojawiają się tu podobno cieleta morskie, które lubią wychodzić na krawędź lodu i tam sobie leżą spokojnie, ale tak są płochliwe, że za najmniejszym hałasem zaraz uciekają do wody. Rybacy otaczają więc lód ścianami z sieci, w których płaczą się „zielinty” i duszą; mięso ich uważane jest za potrawę postną, a tran z nich wytapiany przysparza dochodu rybakom, którzy z gruntu nie wiele go mają. Rodzi się tu tylko trochę kartoffli, a wspólna łąka dostarcza siana, które współwłaściciele dzielą między siebie w bardzo zabawny sposób. Gdy już siano skoszone i suche, układają je w tyle kopie, ilu jest sąsiadów, poczem sołtys jastarnicki, trzymając w rękę spis współwłaścicieli, staje na łące obrócony, plecami

do kopic, a jeden z rybaków, zbliża się do którejkolwiek kopycy pytając: „Czyja ma być?” — „Józefa” — odpowiada sołtys i w ten sposób kopice rozdziela. Nie wystarcza jednak tego siana na wyżywienie dobytku (choć prócz łąki wspólnej i wspólnego pastwiska, każdy ma jeszcze kawałeczek własnej) i dla tego też pomorzanie żartując sobie z jastarnickich sianozbiórów, opowiadają iż na rybakach jest jedna tylko krowa, ale że jej niema czem żywić, więc też prowadząc ją na piaski, kładą jej zielone okulary, aby myślała, że ją na pastwisko wypędzono: inaczej zdechłaby z głodu!

Niewielka łąka pastwiska mile jednak łąki oko zielenią, a jeszcze miłszym od niej jest nieznaną lasek, który się ciągnie wzdłuż całego półwyspu. Tu, zewsząd poważnemi sosnami otoczony, leży cmentarz miejscowy, czarnemi sztachetami ogrodzony. Niema tu mogił, bo wiatry od morza wiejące rozwiałyby niebawem usypaną z piasku mogiłę, ale miejsce spoczynku zmarłego oznaczone krzyżem, na którym obok nazwiska i imienia stoi często „merk”, to jest znak, w rodzaju niby herbu szlacheckiego. Każdy rybak ma swój i znaczy nim wszystko co do niego należy, nawet krzyż swój grobowy! Niedaleko cmentarza stoi w lesie szopa z przyrządami potrzebnymi do ratowania ludzi w czasie rozbicia się okrętu i pokazywał mi Walisz grób, w którym leży stryj jego razem z uratowanym przez siebie rozbitkiem. Z narażeniem życia rzucił się po niego w rozhukane morze i szczęśliwie dopływali już obaj do brzegu, gdy belka fałd niesiona, spadła na nich z wysokości ogromnego bałwana i zatopiła obu... Ciała ich morze wyniosło i pochowano ich obok siebie pod jednym krzyżem, a Walisz opowiadając mi o tem, miał na twarzy wyraz uczciwej dumy i znać było po nim, że wspomnienie owego stryja ze czcią chowa w pamięci!

Rozpisałem się tak dużo o samej Heli, a tu jeszcze wspomnieć by warto o wycieczkach, jakie z Sobót robiliśmy w okolicy. Jedną z najmilszych była wycieczka do Buchwałdu, gdzie napatrzyłem się i nasłuchiłem rzeczy, o których byłoby dużo do mówienia... Tymczasem opiszę wam tylko rzecz bardzo ciekawą: kolój wodną. Starsi z panów kolegów (*moich* kolegów, bo filologowie nie ciekawi bywają tego rodzaju wiadomości) słyszeli zapewne o jeziorach Hłowskich? Są one połączone z sobą kanałem, który do Elbląga prowadzi na przestrzeni około 70 kilometrów. Część tego kanału wynosząca kil. ze 30, napotyka na swęj drodze kilka sporych pagórków, które potrzeba było rozkopać, by móżdż przez nie przeprowadzić kanał. Inżynier jednak inaczej to sobie obmyślił: zamiast je przekopywać, przewozi przez nie statki na żelaznych wozach poruszanych siłą turbin a biegnących po relsach. Dzieje się to tak: statek idąc sobie kanałem: u stóp wzgórza spotyka ogromny wóz żelazny (macie go na rysunku, zanurzony w wodzie, i umocowany na tymże wozie, jedzie na nim po relsach pod górę siłą motoru wodnego, poruszanego łańcuchem bez końca, który to łańcuch przyczepiony jest do wozu) i na szczycie wzgórza spotyka się z drugim, takimże samym wozem, ale pustym, który wyruszył na jego spotkanie w tej samej chwili, gdy ten pierwszy puścił się w górę. Wtedy statek przesuwają się po relsach z wozu pierwszego na wóz drugi i na nim po relsach zjeżdża w wodę.

Prawda, jak to dowcipnie obmyślane? Jam się tego napatrzyć nie mógł, takie to proste a pożyteczne i mądre! Niech sobie Julek gada co chce, niech wychwalał mądry mechanizm greckiej mowy i „matematycznie ścisły” (jak on mówi), rytm

homerowskiego wiersza, ja swoje powiadam, że matematyka i mechanika, to mi rzecz! Takich stacyjek kolejowych jest 5 na przestrzeni 30 kilometrów, jedna z nich w Buchwałdzie, gdzie prócz tej osobliwości, jest druga jeszcze: ogromna lipa prastara, niedaleko dworca stojąca. Milczy jednak, gęstym liściem szumi tylko, a choć w pustem jej wnętrzu schować się może pięć osób, mimo to rok rocznie osypuje się kwiatem i złote pszczołki ńęci. Jak wygląda prawdziwa matrona, to także rysunek wam pokaże, ja kończyć muszę, bo nie wiem, co powie redakcyja na to długie pisanie — a przyznaję, że z żalem kończę. O Sobotach, o Gdańsku, a szczególnie o Heli i o Kaszubach miałbym co opowiadać bez końca, tak mnie ten „ród pokrewny” wziął za serce swoją prostotą i szczerością, tak mi się podobał ten samotny półwysep, po którym się wichry morskie gonią i to życie monotonne niby, a przygód pełne, swobodne a jutra niepewne... Na pamiątkę pobytu „na Rybakach” nauczyłem się pieśni, którą nieraz śpiewałem z nimi na morzu. Znać je, bo ją w zeszłym roku drukowały nasze kochane Wieczory.

Panienci zapewne ciekaweby wiedzieć, jak się ubierają rybacy, a szczególnie rybaczki. Niestety! mało o tem objaśnić je mogę, bo nie bardzo się znam na szczegółach stroju białogłowskiego; o ubraniu mężczyzn dokładne da pojęcie rycina; w kobiecem uderzyły mnie głównie czepeczki „*mucami*” zwane, a noszone przeważnie przez starsze kobiety. Jest to coś w rodzaju czepka, czapki, kapturka, sam niewiem co... bramowane koronkami, bardzo jakoś „*antycznie*” (tak się u nas w szkole mówi) wygląda, tak, jakby właścicielka ze starego portretu zeszała.

A teraz polecając się łasce waszej, proszę, niech ci, którzy zajmie opis okolicy, kreślony z takim upodobaniem, wybaczą mi przydługi może list i w życzliwej pamięci zachowają.

Józio.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Szandor osłupiał usłyszawszy te słowa: on sądził że ojciec go znienawidził za nieposłuszeństwo, aż tu on go serdecznie kocha, tak jak o tem nieraz matka usiłowała przekonać jedynaka. Był taki wzruszony że ani mu przez myśl nie przeszło iż poniżającym jest czynem podsłuchiwać, matka tymczasem mówiła znowu:

— Ale bo widzisz, cóż dzieciak winien że mu serce do pusztzy przylgnęło, że pragnie koniecznie żyć takim życiem, jakie z nami tu w czardzie stepowej rozpoczął... A ty go przymuszasz żyć w mieście, śleńczy nad prawami książkami, łykać kurz ze starych zaplesniałych papierów: zamknijże młodego dzikiego źrebca w ciasnej stajni na całe życie, a zobaczysz czy wytrwa!

— Słuchaj-no Huska — zniżając głos, jakby w tajemnicy ojciec poszeptął — wesoło jest żyć tu w stepowej gospodzie, to prawda, i dorobić się nawet można i co niedziela huczno zabawić, ale... Czy ty pamiętasz jak przed laty broniłaś mi dziecko brać do lasu, aby się z szegeny legeny nie spotkało? jakby już samo to spotkanie ujmą i krzywdą było dla dziecka. A przecież my sami oboje, usługujemy co niedziela biednym chłopcom... Czy wiesz że mi czasem aż wstyd przed samym sobą że złodziejom posługuję? Czy wiesz, że bardzo często przyjmując od nich pieniądze, które mi się przecież rzetelnie za poczęstunek należą, aż mi ręka drży, bo...

— Och — jęknęła cicho wpadając mu w słowo kobieta — ileż ja nocy z niedzieli na poniedziałek na kolanach przemodłę gdy goście się rozjadą, i pieniędzy zarobionych przez niedzielę dotknąć się boje, bo zda mi się że widzę na nich krew!... toż szegeny legeny nietylko kraść umieją!...

— A widzisz!... a dziecku trudno to tłumaczyć, bo nie zrozumie aż poczuje, tak jak my. Więc co dziwnego, że rad bym jednemu innemu życiu zgotować?

— Słusznie mówisz mężu, słusznie — westchnęła kobieta — ale widzisz, dziecko nasze bardzo, ani wiem czemu delikatne jest i tkliwe, innego parobczaka w jego latach, choćby ojciec obił, toby mniej poczuł niż Szandor surowe słowo poczuje, a już złego słowa twego chyba wcaleby nie zniósł i życiem przypłacił, a tyś popędliwy...

— To prawda — mruknął gospodarz — ja to sam wiem do siebie i za nic na świecie nie chciałbym na dziecko moje złego słowa rzucić, ale...

— Otóż widzisz! oba się jednego boicie i unikacie się wzajemnie, a toż przecież można się i pogniewać na niemądre dziecko i przebaczyć a przeprosić się pozwolić, gdy poprawę przyrzecze...

— Oj, byleż się poprawił! A wszak o nic jeno o jego własną przyszłość mi idzie! — jęknął ojczysko.

Szandor już nie słuchał; zsunął się na ziemię, ukląkł i płakał. To co usłyszał oświeciło go; teraz dopiero otworzyły mu się oczy na postępowanie ojca. Zrozumiał miłość ojcowską, usiłującą gwałtem, choćby kosztem łez własnych i ukochanego dziecka, ocalić to dziecko od bolesnych a skrytych cierpień w przyszłości.

Odtąd rodzinne stosunki w Petöfiowej czardzie polepszać się zaczęły; syn i ojciec, jeden ośmielany, drugi łagodzony przez serdeczną matkę, zaczęli zbliżać się do siebie. Nigdy wszakże Szandor nie padł ojcu wprost do nóg, tak jak sam tego pragnął i przeprosiwszy nie otrzymał przebaczenia stanowczego i nowego błogosławieństwa, acz czuł doskonale że toby dłoń najlepszym było, że moc błogosławieństwa może uspokoiłaby mu duszę, dziwnie szarpaną sprzecznymi uczuciami, odkąd się z pod dawniejszego wyłamał... Ale cóż było czynić kiedy sama matka radziła chłopcu aby tego nie czynił... a on nie wiedząc przyczyny zakazu, bał się ojca po dawnemu i milczał, czyniąc to tylko co mu kazano. Przyczyną tego dziwnego postępowania matki, była wyraźna wola ojca, objawiona jej kiedyś pocichu na ucho:

— Tylko niech mi dzieciak do nóg nie pada i nie przeprasza ręce składając, jak to on lada czego miał zwyczaj robić gdy mały był, bo ty wiesz Iluska że ja tego znieść nie mogę, zarazbym tak jak dawniej chwycił go na ręce, łzami oblał i w końcu wszystkoby się stało tak, jak chce dziecko, nie zaś jak ja... a tak być nie powinno, bo dziecko nigdy mądrzejszem nie jest od rodziców. Wszak i dawniej posiłem cię zawsze, żebyś do takich przeprosin nie dopuszczała: pamiętaj że to zbyt dobry ojciec, który ciągle powodować się daje, traci w końcu powagę wszelką w oczach niemądrego dziecka, gdyż ono nie jest w stanie dziecięcym rozumem serca ojcowskiego ocenić... i z czasem szanować go przestaje.

Petöfiowa uznawała prawdę słów męża; jak sama do dzisiaj szanowała ojca swego, żyjącego swobodnie u syna na przedmieściu Temeswaru, tak i dziecku życzyła własnego ojca szanować. Prawdą też szczerą było że Petöfi zawsze od małych lat Szandora, usiłował wystrzegać się z nim gniewów i przeprosin, bo gwałtowna a szczerą naturą dziecka, rzucającego się odrazu do nóg ojcu, rozbijała go zawsze do łez i wszelki opór niweczyła. A Petöfiowa doskonale i to rozumiała, że co uchodziło z małym dzieckiem, to byłoby niewłaściwym zupełnie z chłopcem wyrostkiem.

Dla takich to dość głębokich przyczyn nie przychodziło między ojcem i synem do otwartego i szczerego pojednania, jakkolwiek powoli przyszło do tego, że Szandor za radą matki, ośmielił się pojawić w gospodarskiej izbie w ojca obecności, a ten udał że go nie widzi i zaraz wyszedł... Na drugi dzień chłopak zawsze namawiany i ośmielany przez matkę, poważał się pocałować rękę ojca, a ten zniósł to w milczeniu i sprawa-

mi gospodarskiemi z żoną zagadał... Odtąd szło już tak dalej samo z siebie, bez serdecznego pojednania, ale coraz przyjaźniej, aż znowu jak dawniej małeńka, z trojga ludzi złożona rodzina, zaczęła siadywać razem szarą godziną na ławie przed domem, lub przy ogniu, gdy zima nadeszła, i pracowała wspólnie. W tych to chwilach rodzinnej zgody, zarówno upragnionej przez wszystkich, zapowiedział ojciec Petöfi że ma zamiar odwieźć syna do lieum w Szoproniu na dalszą naukę. Szandor zmilczał; w głębi duszy gotów już był na wszystko dla spokojności domowej, jakkolwiek nauka w Szoproniu zapowiadała dalsze ślęczenie nad papierami, w celu zostania prawnikiem: ojciec uparcie obstawał przy swym zamiarze. Przygnębiony ciężarem tej myśli, Szandor siedział raz na ławie przed domem, w chwili gdy ojciec zajęty był robotą z parobkami, a matka domowem gospodarstwem... A wtem znajomy głos pisnął w pobliżu, dźwięcząc a raczej skrzecząc dziwnie dziką jakąś piosenką, przerywaną szyderczym sówim śmiechem.

— Hi hi!... jak się masz pieśniarzu! A kuku!

Dużo sławy uzbierałeś na bruku?...

Dużo pieśni wyśpiewałeś na strychu?

A robota była z grzbiem, pocichu?...

Oj wypisał ci pieśń tatuś na grzbiecie

Że aż sława chodzi o tem po świecie...

„Biedni chłopcy” kanasz, juhas, czikoso,

Cała pusztą wyśpiewuje twe losy! hi hi!...

Oslupiały zrazu chłopak zerwał się przy ostatnich wyrazach, i w uniesieniu gniewu rzucił się na podrygującą do taktu swęj piosenkę, małą i chudą postać w czerwonej płachcie... ale ta uskokczywszy za węgiel gospody, znikła. Trzęsąc się cały jak w febrze, pod wpływem nieznanego mu dotąd przykrego uczucia, Szandor obszukał wszystkie kąty, zajrzał nawet do wnętrza psiej budy i nie znalazłszy czerwonego licha, wrócił błady z zaciśniętymi ustami na ławkę, patrząc bacznie naokoło, w nadziei że cyganka ukaże się jeszcze. Tymczasem, z roztwartego tuż za węgiem okna od sypialni gospodarzy, wyskoczyła Marcha, skrywszy się tam w słusznem przekonaniu, że Szandor jej o podobne zuchwałstwo nie posądzi, a więc nie szukając gdzie nie spodziewa się znaleźć, nie znajdzie. Nie myliła się pod tym względem; nie Szandora też, lecz Janosa ciężka ręka chwyciła ją za kark niespodzianie:

— Czarownico przekłeta!... a ty czego dziecko przeciw ojcu podburzasz? — zawołał parobek-wychowaniec, drżąc z gniewu, tem bardziej że sam był już ojcem, doświadczonym człowiekiem i zamiar Marchy lepiej od Szandora rozumiał, posłyszawszy przypadkiem z za płotu jej sówią piosenkę.

— Czego?... on, on dowie się, gdy stanie się to co mu obiecałam... a ty, precz!... nie podnoś na mnie ręki!... na mnie przed którą lepsi niż wy tu wszyscy od morza do morza jesteście, proch zmiatać mają!... pamiętaj że i ty masz dzieci! — zawyła nie ludzkim głosem, rozgniewana tak, że iskry z czarnych oczu sypały jej się zdawały, i winnym jak hyena ruchem wyśliznąwszy się z rąk, niby obezwładnionych, wylekłego niewiedzieć czemu parobka, znikła znowu w najbliższym zaułku... wśród opłotków...

— Szatan chyba prawdziwy... — mruknął z przestrachu Janos, nie umiejąc inaczej wytłumaczyć sobie silnego wrażenia, jakie wywierały na wszystkich oczy wół dzikięj, a chytręj i złośliwęj kobiety.

Wiatr poniósł w przeciwną stronę odgłos tej rozmowy i Szandor o nię nie wiedział, siedząc nieruchomo na ławce przed domem. Szumiało mu w uszach, serce biło gwałtownie, jakby pierś rozbić miało, palący gorączkowy rumieniec wystąpił na lice i śmiertelna bladeść spędzała go znów po chwil.

Czy to zwierzęcym instynktem szkodzenia wiedziona, czy też głęboką znajomością serca ludzkiego, Marcha chcąc zburzyć spokój dziecka, aby zamiary ojca zniweczyć, doskonale cios swój wymierzyła i trafiła prosto w serce. Poraz pierwszy w życiu ogarnął Szandora wstyd szalony, bolesny, gryzący, zjadliwy. Cała pusztą więc już wyśmiewała się z niego, wyszydzała go. Zniewaga w szkole poniesiona, niezaradność w stolicy, śmieszna nieudolność w aktorskim rzemiośle, poni-

żające stanowisko posługacza teatralnego, dziecinna słamazar-  
ność z jaką pozwolił zabrać się ojcu, niby jagnię wrzucone do  
do wozu, niezdarna próba ucieczki, zamknięcie na strychu do-  
bre dla dzieciaka, ale znieważające piętnastoletniego poetę...  
i na koniec ta straszna nikczemna potwarz ostatnia, piętnująca  
go hańbą na wieki... wszystko to, zarówno prawda jak plotka  
złośliwa, rozniosło się już z wichrami po puszczie! O hańbo!  
o wstydzie! I to wszystko stało się przez ojca!...

Nie przyszło na myśl chłopcu, że stało się to przez niego  
samego przede wszystkim, rozbudzona próżność i wrodzona  
drażliwość potęgowały do nieskończoności w jego oczach fakta,  
i ich następstwa: czuł jakoby niebo się zapadało i ziemia usu-  
wała mu z pod stopy. Chłopiec zdumiewający niegdyś ludzi  
rozsądkiem, teraz, gdy nędzna próżność zawróciła mu głowę,  
stawał się na nowo dzieckiem prawie, i to śmiesznym dzieckiem.

Już dawniej trwożyła się, gdy Szandor nie chciał wcale bujać  
konno po puszczie, co przecież było dlań niegdyś rozkoszą.  
Jakże miał teraz bujać gdy pewien był że wszyscy pasterze  
czikosy, juhasy, kanasze, szegeny legeny, cała puszcza wyśmie-  
wają się z niego. I jak nie miał zalewać się łzami i łkać że-  
gnając matkę przy odjeździe, kiedy pewny był że więcej jej  
w życiu nie ujrzy: jechał z rozpaczliwym postanowieniem, żeby  
umiejętniej niż za pierwszym razem ukryć się, zaprzepaścić na  
szerokim świecie i wstyd swój w bezdniach zapomnienia po-  
grzebać

To też i z ojcem serdeczniejsze niż kiedykolwiek było po-  
żegnanie, gdy tenże odwiózłszy syna do Szopronia, rozstawał  
się z nim następnie.

Zaledwie odjechał z powrotem do domu, Szandor pobiegł  
do koszar i zaciągnął się do wojska...



Lipa prastara.

Biedna matka nie mogła pojąć co działo się z ukocha-  
nym jedynakiem od téj chwili, w której dobroduszny dzieciak  
połknął truciznę, dosyć niezręcznie w nieudolnej piosneczce  
podaną, o czem nigdy nikomu nie wspomniał. Była to pierw-  
sza w życiu tajemnica, jaką miał Szandor przed matką. Nie  
mógł się przecież zwierzyć, nie mógł powiedzieć że „ojciec go  
zgubił, że świat mu zawiązał”... Nie mógł, bo takie wyrazy  
nie przeszłyby mu przez usta; jednak odurzony chłopiec sam  
sobie w duchu je powtarzał i pewny był ich słuszności. Cho-  
dził odtąd koło domu przez czas pozostający do wyjazdu mi-  
lczący, pograżony w namysłach, ponury, istotnie jakby struty,  
kryjąc się przed obcymi do izby na strychu. Dopiero przy  
ruszaniu w drogę do Szopronia, siadając już na wózek, uści-  
skał matkę z takim serdecznym zapałem, jak dawniej niegdyś,  
tak gorąco, że aż wstrząsła się, zaniepokojona na nowo. Nie-  
dobre jakieś przecucie owładnęło sercem biednego matczyśka.

— Zginę w pierwszej bitwie uczciwą i zaszczytną śmier-  
cią — powiedział sobie. — Cóż mi więcej pozostaje na tym  
padole, gdzie zamiast sławy i laurowego wieńca, okryty zosta-  
łem śmiesznością... hańbą!... — Biedny wyrostek z właściwą  
młodości przesadą wyobrażał sobie, że ponieważ wyśpiewał czy  
napisał kilkaset wierszyków, które wszyscy pasterze i szegeny  
legeny w puszczie i w lasach powtarzali przy ogniskach, tedy  
i cały świat się nim zajmuje i... naśmiewa się teraz z niefor-  
tunnych jego przygód, jak mu to powiedziała cyganka.

(d. c. n.)

## CHRABĄSZCZE.

Gdy po długim zimowym śnie, ziemia poczyna zielenić się  
a drzewa okrywać liśćmi, wówczas można zauważyć osobliwie

zjawisko: drobne grudeczki piasku miejscami drgają, poruszają się, a z pomiędzy nich wychodzą powoli małe istotki w płwo kasztanowatych, twardych połyskujących pancierzach, z dwoma różkami na głowie. Każdy różek składa się z dziesięciu członków, czyli cząstek i daje się niby wachlarz damski składać i rozkładać. Oczy ich złożone z wielu sześciobocznych oczek, wyglądają jak siatka, jeżeli na nie przez mikroskop patrzeć będziemy, a gołemu oku przedstawiają się jak dwa nieruchome błyszczące punkciki, wielkości lepków od szpilek.

Istotki te, wychodzące niby duchy z pod ziemi, są to chrabąszcze, bardzo szkodliwe owady — a wróżką która

czynku. W locie, chrabąszcz temi właśnie przezroczystymi skrzydełkami porusza, pokrywę trzymając nad niemi wzniesione.

A warto jest obserwować to małe stworzonko, gdy się spობi do lotu: potrzebuje ono do tego niemniejszych przygotowań, jak marudny podróżny wybierający się w daleką drogę. Nadyma się, rozwija wachlarze, dysze bokami, macha wzniesionymi pokrywami, żeby nabrać w siebie, to jest w tchawki, świeżego powietrza—bo chrabąszcz nie oddycha płucami, ale małemi otworkami znajdującymi się między obrączkami jego ciała. Taki ładunek powietrza ułatwia mu podróż, bo ono zmniejsza podczas lotu jego ciężar gatunkowy. Skończywszy ła-



Chrabąszcze.

je z tamtąd na świat wywołuje; jest słońce wiosenne; ciepłe jego promienie ogrzewając ziemię, dają im znać że ucztą już dla nich zastawiona. Do tej ucztu chrabąszcz ma szczęki straszliwie uzbrojone: są one ostre, zagięte haczykowato, a poruszają się nakształt obcęgow—to też gdziekolwiek sięgną, tam liście zamieniają się w strzępki i nici. Skrzydeł chrabąszcz ma czworo: górne nazywane zwykle pokrywami, brunatne i twarde, służące nietyle do latania ile do osłony miękiego grzbietu, i dolne z błonki przezroczystej, porysowanej żyłkami; że zaś są dłuższe od górnych, więc siadając chrabąszcz układa je pod pokrywami starannie w fałdy, niby elegantka dbająca o niepogniecenie sukni — i tak trzyma przez cały czas spo-

dunek, rozpościera skrzydła i ulatuje; ale pomimo tych długich przygotowań, leci niezgrabnie, ociężale, w prostym kierunku, wskutek czego uderza często o przedmioty lub osoby napotkane na drodze. O zwinnych, szybkich obrotach, nie ma nawet wyobrażenia. Lecąc daje znać o sobie brzęczeniem — a przyczyną tej muzyki jest drganie jego skrzydeł. Nóg chrabąszcz ma sześć: każda kończy się haczykowatymi pazurkami, którymi czepia się drzewa jak wiewiórka. Sposób w jaki ten owad sypia, wydałby się nam, ludziom, bardzo niewygodnym; chrabąszcze bowiem sypiają do góry nogami, uczepione spodniej strony liścia — widocznie jednak inne mają wyobrażenie o wygodzie niż my, skoro się tak urządzają. My sy-

piamy w nocy a pracujemy w dzień, chrabąszcze odwrotnie: w dzień śpią a w nocy pracują, jeżeli obgryzanie liści z zieleni, może się nazwać pracą. Ciepło tak lubią, że w dniu dżdżyste i zimne tracą zupełnie humor i gnuśniejają — ale upału wielkiego nie znoszą, dla tego ukryte w zielonej zasłonie liści, przesywiają gorętszą porę dnia i dopiero gdy zmrok zapadnie, zaczynają żyć życiem ruchliwyszem, jak sowa lub nietoperz.

Chrabąszcze rodzą się sierotami: matka zagłębia się na kilka cali w pulehną ziemię, urabia tam sobie kotlinkę, niby wygodne i zaciszne od wszelkich trosk świata schronienie, składa w nią kilkadziesiąt jajek i umiera. Po czterech do sześciu tygodniach, grób zamienia się w kolebkę: z każdego jajka lęgnie się istotka wcale do matki niepodobna, gąsieniczka zwana także pędrakiem. Ciało jęj miękkie, jasno żółtawe, zgięte jest łukowato, głowa twarda, rogowa; tylko szczęki ostre i sześć nóg odpowiadających odnóżom chrabąszcza skrzydlatego, przypominają cechy rodowe. Gąsienica od chwili urodzenia myśleć musi sama o swoim losie — gorliwą też w tym kierunku rozwija energię: je prawie bez ustanku, a pokarmu jęj nigdy nie brakuje, podgryza bowiem korzonki roślin. Straszne to przejście w życiu tych ostatnich! Biedne roślinki nie widzą nawet swego wroga i nie mogą z nim walczyć, czują tylko że organa służące im do czepiania pożywnych cząstek z ziemi, coś pocięta, i że życie ucieka tą właśnie drogą, którą powinno przybywać... Zrazu zielone, świeże i kwitnące, opuszczają smutnie główki, żółkną i obumierają powoli. Choroba jest śmiertelna: trzej wielcy doktorowie: słońce, powietrze i wilgoć, nie mogą ich już uratować, bo najżywotniejsze siły organizmu zostały zniszczone! Tak marnieją miejscami niwy, łąki, zagajenia leśne i szkółki drzew owocowych, bo pędraki niejeden rok ale trzy lata w ziemi gospodarują, więc czego w jednym roku zniszczyć nie zdołają, to w drugim i trzecim dokończają. Przez te trzy lata podziemnego życia, pędrak zmienia naskórek kilkakrotnie, bo odzienie jego nie jest zrobione na wyrost, ani też może się rozciągać — więc stając się zaciasnem, pęka, a na ciele gąsieniczki nowe narasta okrycie, które znów pęknie i spadnie z niej, gdy okaże się niewystarczającym.

Gąsienice jednego gniazda trzymają się z początku razem, jak kurczęta, później rozchodzą się w różne strony, szukając każde pożywienia na własną rękę i dziurawią ziemię mnóstwem nor i chodników. Dorosły pędrak traci nagle apetyt, idzie głębiej w ziemię i chociaż nie ma rydla ani łopaty, urządza sobie gładką, zaciszną sypialnię, zrzuca po raz ostatni niewygodną suknię i przemienia się w poczwarkę, która ani je, ani chłodzi, tylko pozostaje nieruchoma, jakby odrętwiała. Zasypia na kilka tygodni, i dopiero gdy ciepłe promienie słońca przenikną ziemię, gąsieniczka odczuwa wezwanie wiosny i budzi się ze snu całkiem inna niż się spać położyła — bo już nie w swojej gąsienicznej postaci, ale w postaci skrzydlatego chrabąszcza. Jest on zrazu białawy i miękki, staje się jednak zwohna twardym i barwnym. Pozostaje jeszcze czas jakiś w ziemi i w miarę jak stopniowo w siły wzrasta, podnosi się coraz wyżej, aż narreszcie wychodzi na powierzchnię ziemi, niby duch wywołany zaklęciem. Wydobywanie się to z głębi, przychodzi mu z wielką trudnością, nie posiada bowiem ryjka ani nóg grzeblnych — a choć żył dotąd korzonkami, choć nikt mu nie powiedział że zielone liście na drzewach są dobre do jedzenia, choć mieszkając w głębi ziemi, świata wcale nie widział, sunie prosto w kierunku drzew, nie pytając o drogę, gramoli się na nie i jest jak u siebku w domu.

Jeżeli pogoda przez parę lat z rzędu sprzyjała rozwojowi liszek w ziemi, to chrabąszcze rzucają się na drzewa owocowe i leśne w takiej ilości, że te uginają się prawie pod ich ciężarem; a szczególnie z iglastych smakują im modrzewie, z liściastych dęby, kasztany, klony, brzozy i topole. Z owocowych lubią przedewszystkiem śliwy i wiśnie; w tydzień, ogołoczone z liści, drzewa przybierają postać zimową, a wtedy niema już co myśleć o owocach, bo cały zapas soków jakie przygotowały do wydania ich, zużytkować muszą na wytworzenie liści bez których żyć w lecie nie mogą. Gdyby chrabąszcze i ich pędraki nie stanowiły smacznej zwierzyny dla kretów i nietoperzy, oraz dla ptactwa, które nietylko chwyta je w locie, ale wykopuje z ziemi tłuste pędraki, ludzie nie daliby sobie z nie-

mi rady. O ogromnej ilości pędraków w gruncie, najłatwiej przekonać się, idąc za krajającym ziemię pługiem, który na wierzch je wydobywa. Pędraki są szkodliwsze wiele niż chrabąszcze wykształcone: W roku 1866, w W. Ks. Poznańskim w lasach Kórnickich, zaczęły niszczyć zagajenia sosnowe. Szły pasami pod ziemią i wycinały systematycznie jedną sadzonkę po drugiej, przegryzając korzenie nieraz na ósmą część cała grube. Litość brała patrzeć na pożółkłe sosenki z opuszczonymi ku dołowi iglicami. Dla ocalenia reszty zagajen, kopano rowy i tym sposobem wstrzymano dalszy pochod niszczyteli. W miejscowości tej znajdowało się po sto do stu sześćdziesięciu pędraków na jednym przecię kwadratowym gruntu, a zatem do dwudziestu kilku tysięcy sztuk na mordze. Co za straszliwa armia! We Francji w tymże roku, w samym tylko departamencie Niższej Sekwany obliczono szkody wyrządzone przez pędraka na dwadzieścia pięć milionów franków. W roku zeszłym, chrabąszcze w takiej massie nawiedziły Francję, że w wielu okolicach urządzono na nie formalne polowanie. W niektórych gminach schwymano i zniszczono po trzy i po cztery tysiące funtów tych owadów.

Potrzeba tępienia chrabąszczów nie upoważnia jednak dzieci do pastwienia się nad nimi: chrabąszcz ani jego pędrak nie są nic winne temu, że instynkt wiedzie je do wyrządzania ludziom szkody. Działają one w duchu swojej natury i swoich potrzeb, niesłusznie więc byłoby karać je za to. Można zabijać zwierzęta, gdy pożytek ludzi tego wymaga, ale nikiżemnością jest czynić to dla igraszki i pastwić się nad bezbronem stworzeniem. Woły zabijane są codzień na pożywienie nasze, a przecież ludzie przemysłiwają ciągle nad tem, jakby im cierpień przedśmiertnych oszczędzić, i wymyślili sposób zabijania iskrą elektryczną, sprowadzającą śmierć w okamgnieniu. Dziecko znoszące obojętnie widok cierpienia jakiegokolwiek bądź istoty, nosi w piersi serce nieludzkie, i zamiast być pożytecznem społeczeństwu, stanie mu się z czasem szkodliwsze niż pędrak i chrabąszcz — bo ma rozum, który mu złe lepiej obmyśleć pomoże, gdy chrabąszcz idzie tylko za ślepym instynktem.

Wiele jest na świecie stworzeń, których potrzeby istnienia nie rozumiemy — i dopiero przypadek jakiś uczy nas w jaki sposób możemy z nich skorzystać. Do takich należą i chrabąszcze. W dobrze prowadzonych gospodarstwach, otrząsają je co rano z drzew i obracają na dwojaki użytek: na nawóz użyzniąjący rolę, albo na pokarm dla drobiu, i trzody; na ten ostatni cel, daje się chrabąszcze wysuszone i zmielone na mączkę.

Tym sposobem straty jakie chrabąszcze nieujęte wyrządzają w gospodarstwie, w części nagradzają się korzyściami, ale należy zbieranie szkodników prowadzić corocznie, z wszelką systematycznością, niszcząc nietylko wykształcone już owady, lecz i pędraki. Powinno to być dokonywane wspólnymi siłami, bo żaden gospodarz nie uratuje od szkód swego pola lub ogrodu, jeżeli sąsiedzi w tem pomagać mu nie będą.

Chrabąszcz lęgnie się co cztery lata, a chociaż tak długiego czasu potrzebuje dla zupełnej dojrzałości, żyje bardzo krótko, zaledwie parę tygodni. Pojawia się zwykle w połowie kwietnia i w maju, należy do owadów tęgoskrzydłych, do rzędu chrząszczów. W języku naukowym nazywa się *Melolontha*. Ten którego widzicie na rycinie, zowie się *lipczak*, dla tego że nie w maju ale znacznie później, bo w lipcu dopiero się pojawia.

Zofia Urbanowska.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Coś podobnego do mruku jęklowego i do płaczu zarazem, dało się słyszeć z głębi rozpadliny i w chwilę później ukazał się myśliwiec, pełznąc po skałach i niosąc stworzenie wielce podobne do czarnego pudła.



— Większe są niż myślałem — rzekł do kapitana — i dały mi dosyć do roboty. Rękawiczki nie były wcale niepotrzebne ze względu na ich zęby i pazury. No, bierzcie tego... — dodał podając Melchiorowi to, co przyniósł, i wśliznął się na nowo w rozpadlinę.

— Niema czasu do stracenia — rzekł po chwili powracając z drugim pudłem — trzeba matce splecać figla, jeżeli chcemy żeby nas nie gonila.

— Co pan zamierzasz? — spytał kapitan.

— Zaraz zobaczycie — odrzekł, jednocześnie ujawszy dwa niedźwiedziatka, pograżył je w strumieniu płynącym na dnie parowu, potem trzymając je zawsze razem, udał się w inną stronę urwiska. wytarł dobrze w trawie ociekające wodą zwierzątko, włożył je potem w spory worek, który wraz z niemi zarzucił na plecy.

— Teraz dalej w drogę! najkrótsza, najlepsza! — rzekł, i wdzierając się po urwistej ścianie wąwozu, stanął wkrótce przy swych towarzyszach, nad jego brzegiem. Zaledwo się tam dostał gdy natychmiast padł jak długi twarzą do ziemi, skiniemieniem nakazując towarzyszom uczynić toż samo:

— Wiedziałem, że niema czasu do stracenia... stara idzie!... — mrucał

Z przeciwniej strony rozpadliny skalistej biegła niedźwiedzica kołyszając się z boku na bok. Szła brzegiem strumienia, wiodąc nosem przy samej ziemi, zapewne węsząc własny swój ślad na drodze, którą przebyła wychodząc z domu; ale przybywszy do miejsca, na którym myśliwy złożył chwilowo niedźwiedziatka, stanęła, zaczęła węszyć naokoło, potem powstawszy na tylnie łapy, zaczęła mocować się ze skałą, o którą myśliwy ocierał ich futra. Biedne zwierzę sądziło, że małe znajdujące się za tą skałą. Silnemi łapami niedźwiedzica rwała i odrywała kawały skał, które spadały w rzekę z hałasem roznoszonym przez górskie echo. Od czasu do czasu przestawała pracować, wydawała ryk straszny i bolesny zarazem, i znowu zabierała się do roboty. Wzruszającą była zaciekłość z jaką pracowała. Przywiązanie do małych zdwajało jej siły, rozrzuciła olbrzymie złomy skał.

— Jest zatrudniona — rzekł sierżant powstając cicho — korzystajmy z jej zajęcia i zmykajmy wzięwszy nogi za pas; nie widziała nas, a zanim skończy swe poszukiwania, zyskamy z milkę drogi: dalej w drogę!

Rozpoczęto się wdziierać na skały, z powrotem z wielką niechęcią Tomka, którego niezmiernie zajmowała niedźwiedzica.

— Szukaj stara, szukaj! — powiedział myśliwiec puszczać się w drogę.

— Czy sądzisz pan że niema niebezpieczeństwa aby nas ścigała? — zapytał Tomek.

— Nie; nie widziała nas.

— Ale może zwęszyć swoje dzieci.

— Nie, dzięki temu, że zmyłem je w wodzie.

Wkrótce przyłączono się do Menita i Dabby Simona, który równie jak Czarnulo nie pragnął próbować trudnych drożyn skalistych.

— Nigdy jeszcze nie byłem w tej stronie gór, nigdy nie potrafię odszukać drogi do Antigna — rzekł Dabby mocno zakłopotany.

— Czy pan Kortina nie byłby łaskaw wyprowadzić nas na drogę?

— I owszem, chętnie odprowadzę panów aż do San Miguel — rzekł sierżant śmiejąc się, bo wszyscy przybywający, bywają zawsze gościnnie przyjmowani w klasztorze, a porządna wieczerza przydałaby się po naszej wyprawie. To tylko bieda, że San Miguel jest jeszcze tak, daleko że nie staniemy tam dzisiaj. Tymczasem zaprowadzę was ot tam niedaleko, gdzie dostaniemy chleba i miodu. Będziemy śniadać, oczekując obiadu.

— Alboż tu jest domostwo jakie w tych skałach?

— Nie; ale jest siedziba starego myśliwca na dzikie pszczoły, czyli rozbójnika uli. Jest takich dużo w tych stronach.

Jakób Gomez dziwną był osobistością. Odziany w pe-

wien rodzaj spodni skórzanych i taką kurtkę, i nic więcej, od wierzchu czoła aż do końca stóp zdawał się pomalowany na żółto i pociągnięty werniksem. Gęste włosy i długa broda zlepione miodem, tworzyły po obu stronach twarzy dość dziwne zbite masy.

— Jak się masz! Jakóbie! — zawołał sierżant wchodząc i przyjacielsko uderzając po ramieniu rozbójnika pszczolnego, ale z trudnością przyszło mu odjąć rękę jakby ją do smoly przyłożył.

— Ty stary nieporządny potworze, czemu się nie myjesz? — zawołał.

— Myć się? a na cóżby się to zdało mój przyjacielu? — odpowie Jakób najspokojniej. Nazajutrz po umyciu byłbym znowu miodem pokryty, bo w tem jest rzecz, że codzień znajduję nowy rój! Chłopcy z Guatamala radziły wiedzieć jak się biorę do tego? ale nie domyśla się nigdy. Wprzódy ja zyskam beczkę miodu, niż oni filiżankę. Mógłbym się prędko zzbogacić, ale mój synowiec bierze dolara za każdą baryłkę którą do Antigua odstawia.

— Dla czegoż nie odstawiasz sam? — spytał sierżant.

— Do Antigua? Boże broń! muchy zjadłyby mię żywcem gdybym spróbował — rzekł wesoło. — Nie; ja jestem górski człowiek.

— Gdzie sypiasz w nocy panie Gomez? — spytał Tomek zajądając wyborny miód z chlebem, który pozostawiał wiele do życzenia pod względem wypieczenia i białości.

— Pod którym bądź drzewem gdy jest pogoda. Ale jeżeli ma padać, jestem przestrzeżony przez moich proroków, i chronię się do jaskini tej oto... w skałe.

— Przez jakich proroków? — pytał chłopak ciekawy, a ciekawość jego zdawała się bawić starca. Zaprowadził go okrążając drzewo olbrzymie, do skały wapiennej, prostej jak mur i blisko 50 metrów wysokości. Na szczycie tej naturalnej warowni, sępy założyły swoje fortece. Wielkie te czarne stworzenia o czerwonej głowie, usadowiwszy się na tej skałe, sprawowały się tak prawie jak ludzie, którzy wiedząc że ich warownia jest niezdobyta, czują się niezależnymi. Gniazda ich wydrążone w ścianach skały, były ścięśnione jak komórki w plastrze miodu. Sępy latały naokoło, a piskłeta ich wychylając gołe głowy z każdego otworu, zdawały się wołać obiadu.

— Gdy deszcz ma padać, sępy-rodzice wracają do domu, nie myśląc się nigdy — rzekł stary pszczolarz.

— To znaczy, że pan nie potrzebujesz barometru, to dobrze, ale czy pan się nie nudzisz w samotności? — spytał Tomek.

— W samotności? — powtórzył stary pustelnik — ja nie jestem samotny, mam psa, i z pół tuzina łasic, które żywią pozostałościami miodu.

— No, dosyć tego, trzeba nam ruszać w drogę — zawołał pan Kortina. — Nie przybędziemy do San Miguel jak jutro o południu, a może deszcz będzie padać w nocy, jeżeli wierzyć mamy sępom naszego przyjaciela pszczolarza. Poprowadzę was do obozowiska, w którym przepędzimy noc przepyszną.

Południowy stok Kordylierów, jest prawie zupełnie niezamieszkały; mnóstwo skał i górskie łąki rozciągając się nieprzeliczonemi milami, przedstawiają się tam jedynie oczom wędrowca. Nigdzie nie widać śladu ludzkich siedzib. Nad wieczorem wszakże, wędrowcy przybyli do opustoszałej chaty, która przypominała dostatecznie domki pasterskie w Alpach. Melchior sądził że to o tem schronieniu mówił im sierżant.

— Co? ta buda? — zawołał Kortina — nie bójcie się, nie ja was do niej zaproszę. Wprawdzie raz mi się to zdarzyło, ale nie zdarzy się więcej. Nie zmrzyłem oka przez całą noc. Tam pod dachem jest całe pokolenie papug osiedlone, które krzyczą od wieczora do rana bez przerwy, jak dzikie koty. Mam ja dla was co lepszego.

— Daj Boże — rzekł Melchior — bo oziębła się znacznie, i może mróz być tej nocy.

— Tylko nie tam gdzie was prowadzę; zaczekajcie, aż zobaczycie.

Tomek roztwierał oczy co najszerszej, aby zobaczyć hotel pierwszorzędny lub pałac, które zdawał się sierżant zapowia-

dać, gdy przewodnik zapuścił się z nimi w wąwoz, nad którym panował skalisty występ jak dach. Wichry nagromadziły w tem miejscu chmurę suchych liści. To był nocleg o którym mówił im sierżant.

Tomek nie mógł ukryć zawodu.

— No, to znajdźcież mi miłsze mieszkanie — rzekł Kortina; — próżnobyście szukali go i w Vera Paz, zgromadzimy tylko te liście i zobaczycie!

Każdy, zarówno zawiedziony jak i Tomek, posłuchał przecież rady sierżanta, potem rozpięto namiot nad gromadą liści. Było ich tam tyle, że można było napchać setki sieniników.

— Nakładziemy ich jeszcze na kołdry — rzekł Kortina a będzie nam cieplej niż przy najgorętszym ognisku. Zresztą ogień może wygasnąć, wtedy budzisz się zmarznięty. Tymczasem w takim puchu jak ten, niema tego niebezpieczeństwa.

Pogrążywszy się w tem zaimprovizowanym łożu, wędrowcy musieli przyznać że trudno było o miękniejszy i cieplejszy nocleg. Zasnęli też wkrótce głęboko.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Czy słyszeliście też kiedy, żeby żółw użytym był do zaprzęgu, ten żółw, którego nadzwyczaj powolne ruchy stały się przysłowiowe? Na jakie jednak pomysły nie wpadają ludzie, którzy lubią rzeczy oryginalne! Otóż pewien Anglik, dla zabicia nudów zapewne, powziął zamiar użycia żółwi morskich do ciągnięcia łodzi; stworzenia te bowiem przy swej wielkości mają też i dostateczną siłę, a w wodzie poruszają się znacznie szybciej jak na ziemi. Aby plan swój wykonać, pan ów, zakupił dwa piękne okazy żółwi i kazał sporządzić do ich miary cały piękny zaprząg z munsztukami, lejcami i t. d. i założył je tak do maleńkiej łodzi, jak się zakłada konie do pojazdu. Wsiadłszy sam do tego całkiem nowego ekwipażu, spuścił łódź na wodę i pokierował żółwiami na pełne morze. Podróż z początku nie zostawiała nic do życzenia: żółwie płynęły dość szybko, ciągnąc za sobą łódź z naszym podróżnym, który był zachwycony swym wynalazkiem. Trzeba było jednak powrócić do brzegu, bo słońce miało się już ku zachodowi. Tu dopiero jednak okazała się niedogodność nowego pomysłu; żółwiom bowiem podobało się widocznie bując na powierzchni wody i podążały coraz to dalej. Naprzód nasz woźnica ściągał lejce to w lewo to w prawo, noc zapadła wreszcie, a oryginalny zaprząg nieczuły był na wszelkie kierowanie. Przestraszony swem położeniem, zrozumiał amator rzeczy nadzwyczajnych, że pozostało mu jedynie odprządz żółwie i puścić je na wolność, a samemu za pomocą wiosła, w które się dość przezornie zaopatrzył, powrócić do brzegu. Tak też uczynił, przyrzekając sobie, że drugi raz nie popróbuje tego nowego systemu podróży po wodzie.

### ZAGADKA.

dla czytelniczek Wieczorów.

Na całym świecie jam potrzebną bardzo  
Bo żywią ludzi — leniwy mną gardzą.

Człowiek zaś co mnie polubił od młodu  
Nie zazna nigdy nędzy ani głodu.  
Jeżeli nikt dotąd odgadnąć nie może,  
To objaśnienie wam jeszcze dołożę:  
Bez pierwszej z początku litery  
Kiedy tylko mam głosek cztery,  
Wystrzelam w górę sypiąc iskry jasne,  
Ale po chwili wnet w ciemności gasnę.

### ZADANIE KONIKOWE.

něj	trzo	chy	chat	sna	szczu	dze	a
	19				17		
gma	ła	w sła	pła	cu	ka	ja	łę
	15		18				10
da	kwia	ca	py	sz	ni	le	u
	20						
ma	źli	to	o	ob	mie	chwa	da
		12	10	1	4	15	
tem	chat	gactw	dla	cha	mo	stóp	wła
	21	6	3	29	21		
ni	le	szat	cha	z bo	sna	wo	je
	9	11	8	5			20
ka	brzę	by	lep	mych	stru	je	gó
	22			12		14	
ca	sza	ci	czy	skar	ry	sto	dze
	2	23				13	

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

#### Szarady:

K o ł o d z i e j e .

#### Zadania arytmetycznego:

$$\begin{array}{r}
 A = 5435 \qquad \qquad \qquad 5435 \\
 B = 5345 \qquad \qquad \qquad 5345 \\
 \hline
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 27185 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 21740 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 16305 \\
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 27175 \\
 \hline
 \qquad \qquad \qquad \qquad \qquad 29050075
 \end{array}$$

#### Rebusa:

Słowo wróblem wyleci a wołem powraca.

**TREŚC:** Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzeworytami). — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Chrabąszcze, p. Zofię Urbanowską. (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kocia muzyka (z drzew.) — Pamiętnik ołówka. — Łamigłówki i rozwiązania. — Wróbel, gra. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## KOCIA MUZYKA.

Ośmioletnia Marynia zaczęła się uczyć na dobre; miała codziennie cztery godziny lekcji, a poza tem jeszcze odrabiała zadania i ćwiczyła się na fortepianie. Najpierw grała „pięciopalcówki”, potem gamy, a nakoniec uczyła się małego kawałeczka, którym miała zrobić mamie niespodziankę na imieniny. Ale ta nauka szła bardzo kulawo, bo leniwa dziewczynka zamiast zadanych

przeprosiła i przyrzekła, że odtąd staranniej się będzie ćwiczyła.

I dotrzymała słowa; odtąd grała codziennie tak, jak jej kazano, robiła wielkie postępy. Obecnie jest już dorosłą panną, udziela lekcje muzyki, a zapracowane pieniądze oddaje rodzicom, którzy w skutek rozmaitych nieszczęść stracili cały majątek.

Ale piękny duet z Burkiem zachowała w pamięci i śmieje się ilekroć go sobie przypomni.



Kocia muzyka.

ćwiczeń, wołała wygrywać melodyą krakowiaka, lub mazura, fałszywie że aż uszy bolały. Gdy pewnego razu jednym palcem bębniła po fortepianie i nuciła przytem ulubione „wlaź kotek”, zjawił się w pokoju szary kotek we własnej swój osobie, a zaciekawiony co o nim śpiewają, wskoczył na klawiaturę.

— Przynajmniej się Burek poznał na mój muzyce— pomyślała Marynia i zaprosiła faworyta do gry na cztery ręce. Burek uszczęśliwiony z tego zaczął wesoło wyśkakiwać po klawiszach basowych, Marynia tymczasem improwizowała z całym zapalem w violinie, no, i jak się pewno domyślicie, wytworzyła się z tego tak piękna prawdziwie kocia muzyka, że bębenki mogły w uszach popękać.

Wtem drzwi się otworzyły i weszła nauczycielka.

— Maryniu — powiedziała — czy to tak grzeczna panienska spełnia swój obowiązek?

-- Marynia zaczerwieniła się po uszy ze wstydu,

## PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

Byłem sobie kawałkiem grafitu...

Pewnego razu przebudziły mnie z uśpienia jakieś szmery, jakby lekkie pukanie, które stawało się coraz głośniejsze, coraz bliższe, potem dał się słyszeć szelest spadających odłamków skał i piasku, aż w końcu ostre ciało przesunęło się tuż koło mnie, i zniknęło, a na jego miejscu ukazał się jasny, błyszczący punkcik. Wkrótce jednak narzędzie znów się zaczęło zagłębiać, aż wreszcie duża bryła potoczyła się pod nogi górnika, który pracował nad jej odłamanem. On ją wziął w ręce i położył na wózku... ja to znajdowałem się teraz w towarzystwie wielu innych brył, i potoczyliśmy się po szynach, w górę. Niezmiernie byłem ciekawy gdzie nas wiozą, wreszcie zobaczyliśmy duży otwór, przez który wydostaliśmy się na zewnątrz, olśnieni światłem, któreśmy po raz

pierwszy oglądali. Pełno tam było takich samych wózków jak nasz, a w około nich kręciły się jakieś dziwaczne postacie, o których dowiedziałem się później, że byli to ludzie. Jeden z nich porządnie ubrany, rzekł wskazując na nas: dobra bryła, zaniesć ją do szlifierni — i zanie-siono nas do jakiegoś wielkiego budynku, gdzie nas rozłamywano na części, tarto, gładzono, szlifowano, aż stałem się pięknym, czworograniastym kawałkiem. Oprawiono mnie wtedy w okrągłe, żółte drzewo i z podobniuteńkimi towarzyszami włożono w pudełko; wiele takich pudełek opakowano, i wyruszyliśmy w nieznaną mi drogę... Czułem że mnie wiozą, że jadę, wreszcie zatrzymano się, ktoś rozpakował pakę i wyjął pierwsze z brzegu pudełko... w niem to właśnie ja się znajdowałem. Zacząłem rozglądać się w około, i zobaczyłem się w dużym pokoju, obstawionym szafami, w których było mnóstwo nieznanym mi przedmiotów; umieszczono nas za szybą okna, wychodzącego na ulicę. Ztąd przyglądałem się ludziom przechodzącym, widziałem biednych, bogaczy, starych i dzieci, przesuujące się pojazdy, dorozki... Mnóstwo osób sklep nasz odwiedzało, nikt się jednak o mnie nie zapytał... wreszcie usłyszałem świeży głosik chłopczyka:

— Proszę ołówków Fabera!

Kupiec podał paczkę w której się znajdowałem, chłopczyk zapłacił i zabrał nas do kieszeni, zaniósł do ładnego dziecinnego pokoju, zatemperował mię, usiadł przy stole i zaczął rysować. Rysował z wielką uwagą, w porządnym zeszycie, oczy, uszy, nosy, usta, których na każdej karcie wzory były już narysowane, przez nauczyciela, chłopczyk wedle tego wzoru rysował drugie. Wtem ktoś zawołał: „Stasiu” i mój właściciel Staś wybiegł, położywszy mię na stole, a rysunki ukrywszy starym pod innymi zeszytami i książkami. Ledwo wyszedł, usłyszałem szelest jakby ptasich skrzydeł, wbiegła dziewczynka ośmioletnia może, szeleszcząc jasnemi świeżemi u sukieneczki falbankami, przyskoczyła do stołu, popatrzyła i żywo zaczęła czegoś szukać, ostrożnie jednak bardzo, aby nieładu nie narobić. Szukała aż znalazła zeszyt z rysunkami, obejrzała je, potem chwyciwszy mnie, napisała na luźno leżącej ćwiartce papieru dużemi literami:

Tu mieszka pan Stanisław L.  
Wielki Artysta-malarz!

Chwyciła mię w ząbki, a ćwiartkę tę przyczepiła na zewnętrznej stronie drzwi pokoju, za pomocą szpilek, wyjmując je ze swego ubrania, a wciskając pocichutku z całej siły paluszkami w ćwiartkę i w drzwi, gdy wtem szybkie kroki dały się słyszeć i dziewczynka uciekła, mknąc jak ptak do innego pokoju. Ten, podobny był do pokoju Stasia, z tą różnicą że w nim prócz książek i zeszytów, pełno było lalek i ich sprzętów, szafeczek, komódek, a przytem na pierwszym miejscu stała mała maszynka do szycia, z rozpoczętą w niej lalczyną bieliną. Rzuciwszy mię pośpiesznie do ładnego pudełeczka, pomiędzy inne ołówki i pióra, dziewczynka zakłopotana się dopiero okropnie:

— Och — szepnęła — ależ to ja wzięłam z sobą ołówek Stasia!... i cóż to teraz będzie?... — Szybko usiadła do maszyny i szyc zaczęła śpiewając:

W sadzie chatka jest maleńka,  
A u okna ścieżka...

Puk, puk, ptaszek do okienka  
Pyta: „kto tam mieszka?”

Jeśli chłopiec zawadyka

To ucieknę w lasy,

Jeśli dziewczyneczka jaka

To po wszystkie czasy,

Uścielę tu swe gniazdeczko

Nad różami w górze,

Będę śpiewać ci dziewczeczko

Tak jak pachną róże.

Tak wyśpiewując głośno i szyjąc przy odgłosie donośnym turkoczącej maszyny, dziewczynka dusiła się jednocześnie ze śmiechu, a z innych pokoi, słychać było tymczasem głośną rozmowę:

— „Tu mieszka pan Stanisław L. Wielki artysta-malarz” — deklamował z przesadą głos mężki — patrzcie państwo! to my nie wiemy że mamy taką wielkość w rodzinie!

— Proszę wujka, jak wujka kocham tak to nie ja napisałem i nie widziałem nawet tego! Proszę mamy kto to napisał? kto sobie tak żartuje ze mnie? — wołał żałośnie głosik Stasia.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ulożona przez Pomarańczkę rzymską dla Gołąbki.

Pierwsze- drugie ptaszek będzie,  
Trzecie znajdziesz w liter rządzie.  
Wszystko ptaszek nasz kochany,  
Niewinności godłem zwany.

## Trójkąt geograficzny.

(od E. M. dla Janinki z Nowego dworu).

```
* * * * *
*
*
*
*
*
*
*
```

Zapełnić kropki literami aby odczytać w rzędzie pierwszym i poziomym nazwę gór w Afryce. Znaczenie wyrazów: 2. Kolonia w Hiszpanii. 3. Miasto we Francji. 4. Rzeka wpadająca do Dunaju. 5. Rzeka na Kaukazie. 6. Rzeka w Niemczech. 7. Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 15-go.

Szarady:

Ż a b k a.

## Łamigłówki w kwadraciku:

```
A m o r
m o r a
o r a n
r a n a
```



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Zwyczajną laskę lub kijek równy i lekki wtyka się końcem w duży, okrągły kartofel, i to dość mocno, ażeby się dobrze trzymał. Potem podniesioną laską wywija się w powietrzu szybko, kręcąc ją w kółko, i po chwili, wśród najszybszego obrotu, nagle się ją zatrzymuje. Laska powinna być

zwrócona prosto w górę, wyrzucony z niej kartofel leci też w górę bardzo wysoko. Jest to skutek siły odśrodkowej, która w przestworach niebieskich światy popycha w przestrzeń. W skutek szybkiego obrotu wirowego, ciało dąży do oderwania się od swego środka ciężkości i to się nazywa siłą odśrodkową. W systemacie słonecznym, słońce wszystkie planety przyciąga do siebie, pospadałyby więc na nie, gdyby nie ruch wirowy, ten wytwarza w planetach siłę odśrodkową, utrzymującą je w odległości od słońca. Toż samo prawo mechaniki rządzi i tym kartoflem, wypadającym z laski, jak z procy.

### POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

#### VIII.

Skały piaskowe słynne ze swoich kształtów dziwacznych, wznoszą się na wszystkie strony, jakby świat cały przeistoczył się nagle w te skały, najeżone złomami potrzaskanych gładzi, nakryte ciemnymi bukowymi lasy, pełne bezdennych jaskiń. Huczy szum wodospadów głuchy a potężny, konary drzew olbrzymich, wiekowym mchem obrosłych, szumią ponuro. Poniżej wieczna ciemność, cisza, stęchła woń zgnilizny i chłód przejmujący; tu i owdzie piorunem rozdarte lub wichrem strzaskane drzewo leży bez duszy, lub zawisło uplątane w bratnich konarach i wisi tak Bóg wie odkąd ponad przepaścią. W puszczech prócz wilków, dzików, sarni zajęcy i ptactwa, przebywa niedźwiedź, dopóki nie zaśnie na parę miesięcy w jednej z okolicznych głębokich jaskiń. W ogóle niedźwie-

dzie, a zwłaszcza niedźwiedzice, muszą lubić wygodę, czy też może chłód i półcień panujący w tem ustroniu, usposabia je do snu, dosyć że jedna z nich wypawszy się przecież dostatecznie w zimie, jeszcze i teraz spała snadź długo w dzień i dopiero co przebudziwszy się, wychodzi ziewając ze swęj sypialni. Stanąwszy w otworze jaskini rozgląda się, węszy, nareszcie pomrukuje zlekka; na to hasło wybiegają z głębi jaskini dwa małe niedźwiadki, targając się prztem wzajem za uszy, i jeden większy, tak zwany *piastun*. Wiadomo jest że niedźwiedzica zatrzymuje częstokroć przy swym boku starsze potomstwo, aby jęj pomagało wychowywać młodsze. Zatem i teraz, gdy matka zajęta jest wyraźnie kierunkiem i bezpieczeństwem drogi w jaką się udaje, dwaj mały czubią się bezustannie dając za nią, przewracają się, mocują, biorąc wzajem przednimi łapami za szyję lub ramiona, zupełnie jak swawolni chłopcy. Piastun znudzony, niewyspany, ziewający, pilnuje jednak obowiązku, przenosi malców przez napotkane strumyki, przepaście i powywracane kłody, tak troskliwie, że nietylko nie jedna piastunka prawdziwa wśród ludzi mogłaby w niego brać przykład, ale nawet braciszek lub siostrzyczka starsi, czuwający niekiedy nad młodszymi, mogliby cierpliwości od niego się nauczyć. Nadeszli nad sporą rozpadlinę, piastun przenosi w zębach jednego malca, a drugi tymczasem pozostawiony na krawędzi zaczyna ze strachu jęczyć mrukliwie, dopóki po niego nie wróca. To znowu ze swawoli jeden za drugim, wdrapują się na kark piastunowi i chcą tak konno podróżować, odgryzając mu jednocześnie uszy; teraz on biedak jęczy ale dźwiga, oni tymczasem zaczynają spychać się wzajem, bo dwom za ciasno, aż spadają oba na ziemię i znowu jęczą płaczkliwie; i piastun ciężko wdycha bo ma biedę z tymi swawolnikami. Ale pani matce braknie nareszcie cierpliwości, już ona nieraz odwracała się, pokazując zęby małym, dla ich poskromienia, teraz zawraca ku nim i bije, po prostu bije łapą raz, dwa, trzy... Musi nawet umieć rachować, bo jednakowo zupełnie rozdziela tę karę doraźną... Tak uważali przynajmniej kilku młodych ludzi, po większej części wojskowych, którzy siedząc i leżąc ukryci za skałą, biwakowali tam, przyglądając się ciekawie, przechodzącej mimo nich w pobliżu niedźwiedziej rodziny. Bo też powaga samęj niedźwiedzicy, znużenie i znudzenie obciążonego dziwnymi jak na zwierzę obowiązkami, piastuna i ruchy malców, najzupełniej podobnych do małych chłopaków, gdy mowiali się ujmując za ramiona, były istotnie zabawne.

— Dziesięć! wyliczyła każdemu po dziesięć! umie rachować! doprawdy umie! — szepotali pokładając się ze śmiechu panowie.

— A co? Albo nie powiadałem panom że nasz niedźwiedz, to nie ze wszystkim zwierzę?... — rzekł z wyraźnym tryumfem ośmnastoletni góral miejscowy.

— No, a tylko co, jeżeli nie zwierzę? — zapytał młody oficer.

— Hm... już ci chyba... sąsiad! — odpowiedziano. Panowie śmiali się do łez.

— Patrzcie, patrzcie! — szepnął ktoś nagle. W istocie było na co patrzeć. Niedźwiedzica węsząc naokoło, dopatrzyła barci z miodem w wypróchniałem drzewie wysoko, nastąpiło niewymownie dziwne porozumienie pomiędzy nią i jęj najstarszym potomkiem: wyraźnie chciała wyrećzyć się, i stało się według jęj woli. Piastun polazł w górę i wsunął łapę w wypróchniałe drzewo... Rój pszczół zahuczał gwałtownie i wyległ tłumem gęstym obsiadając napastnika: kłóły, huczały, a on najspokojniej, z zimną krwią wydierał ogromne plastry złotego miodu i rzucał nadół, gdzie pochłaniały je matusia i rodzeństwo jego. Straszliwe żądła pszczół rozżłoszczonych, bezsilne były wobec jego grubego futra i grubej pod niem skóry... Nakoniec najadł się sam i zsunął z drzewa, oblizując łapy z filozoficznym spokojem. Ukończono smaczne śniadanie. Ale w tejsze właśnie chwili niedźwiedzica, węsząc ciągle, lecz ludziona dotąd wiatrem przeciwnym, nagle za jednym tegoż wiatru w jęj stronę powiewem zadrzżała, wydając mruk głuchy, przeciągły do ryku podobny. W mgnieniu oka na to hasło, wszystko troje młodych zgromadziło się za nią, chroniąc się jakby za wał ochronny, ona jednocześnie jednym zamachem wyłamawszy młodą drzewinę i obróciwszy ją w górę ko-

rzaniem jak pałkę, wzięła na ramię jak karabin i stanęła na dwóch łapach, gotowa do boju...

— Oho!... zwęszyła nas! — szepnął góral — opatrzyć broń! — i opatrywał swój toporek...

— E... przecież nie będziemy strzelać do takich zabawnych mądrych stworzeń! — rzekł z żalem drugi oficer gdy niedźwiedzica postąpiła ku niemu.

— Hm, ja nie... bo mam toporek — mruknął góral nie rozumiejąc go — ale panowie...

— Ależ zrobmy lepiej na lewo zwrót, zamiast zabijać takie nieszkodliwe zwierzę — upierał się oficer. Niedźwiedzica postępowała ciągle, z oczu nie spuszczać ludzi.

— Baczność!... albo śmierć!... odwrót zamykają nam skały: stać w miejscu! opatrzyć broń! — zawołał bardzo młody, najmłodszy z całego towarzystwa prosty żołnierz, biorąc niedźwiedzica na cel.

— Co to ma znaczyć? komenda?... Czy żartujesz panie Petöfi?... — zapytał młodziutki lecc wyższej rangi oficer, z tym uśmiechem znaczącym i naciskiem, którym wyższość umie dać do zrozumienia niższemu do którego zniżać się raczy, iż się zapomniał...

Szandor Petöfi opuścił broń.

— Niedźwiedz nie napastowany nie rzuca się na ludzi... — objaśnił drugi oficer — spoglądając z uśmiechem na żołnierza.

— Gdyby się nie spodziewała, skończyłbym z nią odrazu toporkiem, ale kiedy nas już widzi, może być źle — mruczał góral podnosząc toporek do ciosu, ukryty za skałą, koło której szła niedźwiedzica. Niedźwiedzica postąpiła jeszcze krok jeden i w chwili gdy już zrównać się miała z węglem skały, z poza której miał spaść na nią toporek góralski, nagle, ruchem nie mającym nic wspólnego z instynktem, wystawiła przed się na wysokości własnej głowy, rosohatą korzeniami w górę obróconą swą zaimprovizowaną pałkę: toporek góralski spadł na nią:

— Ot mądra! — mruknął góral, ale nie dokończył wyrazu, uczuł cios olbrzymią pięścią w głowę i usłyszał huk wystrzału, a prawie jednocześnie młodszy z dwóch oficerów padł, w chwili gdy naciskał cyngiel, pod gradem szybkich jak bicie w bęben uderzeń w głowę, kilka wystrzałów zagrzmiało wtedy razem. Niedźwiedzica już leżała tarzając się z bólu.

— O!... szkoda! — zawołał oficer zrywając się z ziemi i wraz z towarzyszami chciał się zbliżyć do zwierzęcia, rwącego pazurami mech i krzewy naokoło siebie.

— Baczność! — zawołał jeszcze raz komenderując żołnierz Petöfi. Piastun, młody ale rosły niedźwiadek, szybko wyłamawszy także pałkę w gąszczach i młynkując nią z niepopolitą wprawą, szedł już na dwóch łapach, prosto przeciw ludziom. Nikt nie miał teraz broni nabitęj. Nie było ani chwili do stracenia.

— Nabijać broń! — zakomenderował żołnierz oficerom, postępując krokiem naprzód, tak, że znalazł się z długim jędnym nożem w ręce pomiędzy nimi i straszny w tej chwili piastunem: zwierzę wyraźnie rozumiało co stało się z jego matką, rozpacz pałała mu z dzikich oczu. Chwila jeszcze a młyńiec roztrzaskałby ludzką głowę, gdy Szandor zawsze drobny a zwinny padł jak długi na ziemię, unikając w ten sposób młyńca, a potem jednym sprężystym skokiem poderwawszy się z ziemi, znalazł się poza niedźwiedzkiem, i nagłym zwrotem wbił mu nóż w plecy aż po rękojeść. Nieszczęsny piastun zachwiał się, i szeroką łapę przednią do piersi z jękiem przycisnął, zaprzestając swojego młyńca; uderzenie toporkiem w czaszkę z rąk górala dokonało reszty. Rozciągnął się młody niedźwiedz zwolna na ziemi, chwytając próżnię łapami w około, jak drzewo nagle podcięte, chwytając konarami co dosięgnąć może.

Cała ta leśna tragedia, rozegrana w ciągu kilkunastu sekund, uszła w większej połowie uwagi małych niedźwiadków, które swawoląc, wydierały sobie plastry miodu; dopiero ostatni gromadny wystrzał zwrócił ich uwagę. Ale i ten zdziwił je raczej niż przestraszył, nigdy w życiu jeszcze nie słysz-

ły wystrzałów, nie widziały ludzi. Nagle spostrzegłszy matkę rozciągniętą na mechu, poskoczyły ku niej, szarpiać za łapy i kudły ze swawoli, ale w tejże chwili dwa jeden po drugim celne ciosy toporka z ręki górala, rozciągnęły je koło niej.

— No, ale wszystkie trzy nasze strzały musiały dostać biedaczka! — zawołał jeden z oficerów, którzy dopiero zdążywszy nabić broń, poskoczyli oglądać niedźwiedzicę.

— Pańskie strzały? — z filuterną ironią powtórzył góral — a oto jest jeden... a tam drugi... a tu trzeci — i wskazał własne ramię lekko draśnięte i dwie kule uwięzione w drzewach najbliższych.

(d. c. n.)

## Starożytny narodowy taniec indyjski.

Podróżnicy, opisujący zabawy dzikich ludów, wspominają najczęściej tylko o ich tańcu wojennym; są przecież i inne miłsze tańce, używane pomiędzy nimi. Tak np. w północnych krainach Peru, Indianie mają bardzo starożytny, narodowy swój taniec, któremu oddają się zapamiętale w dnie uroczyste zwłaszcza. Tancerz przystrojony w rodzaj wysokiej korony ze świetnych różnobarwnych piór papuzich, mając nogi pookręcane kwiecistemi i zielonemi gałązkami, z pałeczką lub długiem i barwnem piórem w ręce, którem znaczy takt jak jaki dyrektor orkiestry, tańczy przy odgłosie bębena i piszczałki, towarzysząc im śpiewem częstokroć. Poruszenia tańczącego nie są bez wdzięku, a melodia pieśni i wyraz twarzy zazwyczaj smętny trochę, mają pewien odcień poetycznej zadumy. Treścią pieśni bywa najczęściej idealizowanie swobody ptasiej i rozkoszy jakiej używają kwiaty, w blaskach słonecznych rozkwitające.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



powiedz nam co mistrzu o mieście w którym tę książkę wydrukowano — prosiła Jagódka — czy ładne?

— Nazywają je cudzoziemcy „miastem pałaców”.

— O, to piękne być musi! A czy widziałeś autorkę która to pisała?

Milczałem czas jakiś, zanim zdobyłem się na odpowiedź, chwila bowiem stanowcza nadeszła.

— Autorka tej książki już nie żyje — odpowiedziałem. — Umarła rok

temu o tej porze, gdy ciepłe technienie wiosny budziło wszystko do życia \*). Była wątła ciałem ale silna duchem; miała rozum mędrca a tak mało rozumiała o sobie, jak najskromniejszy prostaczek. Siłę woli posiadała mężką a serce prawdziwie niewieście, bardzo tkliwe i kochające... Była szlachetną, dzielną niewiastą, wiele wycierpiała, pracowała bez wytchnienia i umarła prawie z piórem w ręku, jak żołnierz na posterunku.

— Musiałeś ją chyba znać mistrzu, kiedy mówisz o niej z takim zapalem — rzekła szczególnym tonem Perelka.

Spostrzegłem że królewicze wiodący dotąd z sobą przyjacieloną rozmowę, zaczęli się bacznie przysłuchiwać. W oczach Pióropuszką dojrzałem cień podejrzenia, a Kryszałek wpatrywał się we mnie swemi szaremi oczyma ze szczególną bystrością, jakby mnie chciał na wskroś przeniknąć.

— Słyszałem o niej od takich co ją znali — odrzekłem, wytrzymując spokojnie to spojrzenie.

— Powiedz nam jeszcze co o niej mistrzu — prosiła Iskierka.

— Życie całe poświęcała rozwijaniu unysłów dziecinnych w swoim kraju — mówiłem dalej — pisała dla młodzieży książki, przewodniczyła pismu wyłącznie dla dzieci wydawanemu, pod tytułem Wieczory Rodzinne. Opowiadała dzieciom o Bogu, o enocie, o cudach przyrody, a że miała wiedzę gruntowną i kochała minerały jak królewicz Kryszałek, zwierzęta jak królewicz Pióropuszek, i rośliny jak królewicz Zielonko, więc pod wpływem jej czarodziejskiego słowa, cały ten świat żył, mówił, czuł, a dzieci słuchały zachwycone.

— Imię jej, imię! — zawołali razem wszyscy trzej królewicze, a na ich twarzach odmalował się podziw i uwielbienie.

— Jest na pierwszej stronie książki: nazywała się Marya Julia Zaleska, ale u tego małego świata dla którego żyła, znana była pod nazwą „kochanej”. Zgon jej okrył żałobą wszystkie dzieci tym samym co ona mówiące językiem, bo od chwili gdy jej zabrakło, nikt nie potrafił tak jak ona mówić o minerałach, roślinach i zwierzętach.

— Biedne dzieci! — westchnęła Iskierka, spoglądając z czułością na swego synka, który usnął na moich piersiach.

— Tak, biedne dzieci... to też Redakcyja Wieczorów Rodziny ciężko jest zmartwiona, bo chciałaby dogodzić dzieciom, do których przywiązały ją długoletnie z nimi stosunki.

Królewicze z prawdziwym słuchali zajęciem. Widziałem że współczują troskom Redakcyi, choć żadnego środka na to nie widzą — odchrząknawszy więc rzekłem.

— Znam jednak takich którzyby zmarła po części zastąpić mogli, o tyle przynajmniej, o ile to trzech królestw przyrody dotyczy, którzy tak jak ona mogliby opowiadać o ukochanych przez siebie przedmiotach: królewicz Kryszałek o minerałach, królewicz Pióropuszek o zwierzętach, królewicz Zielonko o roślinach i wyraziłem nawet myśl moją Redakcyi tego pisma. Więcej nawet, podjąłem się przedstawić wam Miłośniwi królewicze, prośbę osieroconej Redakcyi, abyście raczyli zostać korespondentami Wieczorów Rodziny, każdy ze swego królestwa.

Królewicze patrzyli na mnie jak na waryata.

— Co! — zawołał najwięcej porywczy ze wszystkich Pióropuszek — my korespondentami cudzoziemskiego pisma i to jeszcze pisma dla dzieci? Żartujesz chyba mistrzu!

I wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Kryszałkowi i Zielonce także propozycya ta wydała się zabawną, śmieli się oba, a nawet żony ich wszystkie trzy śmiały się także.

— Nie pozwoliłbym sobie nigdy takich żartów z wami, Miłośniwi królewicze — odpowiedziałem. — W propozycyi jaką wam tu w imieniu Redakcyi tego pisma przedstawiam, nie widzę nic śmiesznego ani ubliżającego waszej królewskiej godności. Władanie piórem jest równie zaszczytne jak władanie orężem, a sława na polu literatury zdobyta, bywa czasem trwalszą od zdobytej na polu bitwy.

— To prawda — potwierdziła Iskierka.

— Mógłbym wam wyliczyć długi szereg imion królewskich, zajmujących się literaturą w dawnych czasach, ale poprzestanę na współczesnych: Syn słońca, a brat księżycy \*), szach perski, napisał i wydał „Pamiętniki” swęj podróży po Europie. Pisała też „Pamiętniki” królowa Wiktoryja, choć do tytułu władczyni Wielkiej Brytanii, przyłączyła tytuł cesarzo-

\*) Dnia 9 Kwietnia r. z.

\*) Są to tytuły urzędowe władcy perskiego.

wój indyjski. Zmarły nagle w roku zeszłym dziedzic austriackiego tronu, pracował nad olbrzymim dziełem opisującym wszystkie kraje tej monarchii, a królowa rumuńska Eżbieta, pod imieniem Carmen Sylwy, pisze poezye, nowelle i powieści. Nieżyjący już cesarz francuzki Napoleon III-ci, napisał „Życie Juliusza Cezara”, a Karol XV-ty poprzednik panującego obecnie monarchy szwedzkiego, pisywał poezye mające wielką popularność w jego państwie.

— Mistrz ma słuszność — wtrąciła Perełka, spoglądając na braci.

— Monarchowie i książęta których imiona wymieniłeś mistrzu, pisali dla dorosłych — przemówił Kryształek — a ty nam każesz dzieci bawić, czyli poprostu chcesz porobić nas niańkami.

— Wieczory Rodzinne są pismem nietylko dla dzieci ale i dla młodzieży — odpowiedziałem, a czytają je nawet i starsi. Wymienieni przezemnie książęta pisali dla dojrzałych osób, bo nie umieliby może pisać dla dzieci. Być zrozumiiałym dla starszych, każdy potrafi kto wprawnie piórem włada, ale dać zrozumieć dzieciom rzeczy trudne do zrozumienia, nie jest tak łatwo. Niedosć jest umieć jak czarodziej, zdejmować gwiazdy z nieba, pokazywać je zblizka i tłumaczyć wieczne prawa jakim muszą być posłuszne; niedosć rozumieć mowę piorunów i błyskawic i zstępując w głębie ziemi, wydobywać z tamtąd na wierzch umiejętną ręką jej skarby; niedosć jest odkrywać niewidzialne światy, i znać tajemnice życia roślin i zwierząt. Żeby trafić do serc i umysłów dzieciennych, trzeba koniecznie kochać swój przedmiot, bo tylko miłość otwiera bez klucza zamknięte przybytki. Każdy z was Miłościami królewicze, kocha nade wszystko swoje królestwo, potrafi więc wpuszczać promienie światła do dzieciennych główek, jeżeli tylko zechce. Propozycję moją przeto, raczcie uważać jako hołd oddany waszemu rozumowi i waszemu sercu. Nie odrzucajcie jej, pomnijcie że sam król królów nie odpychał dzieci, ale przygarbiał, mówiąc: „Pozwólcie maluczkiemu przyjść do mnie”.

— Mówisz przekonywająco mistrzu, ale jakże tu pisać dla młodzieży której nie znamy, która nas nie zna wcale? — rzekł Kryształek.

— Wy ich nie znacie to prawda, ale one was znają. Powieść którą wam jako gościniec przywiozłem, była wprzód drukowaną w Wieczorach Rodzinnych, zanim wyszła w oddzielnej książce. Młodzi czytelnicy powitają was jako dawnych, dobrych znajomych.

Pióropuszek poczerwieniał.

— Tego tylko brakuje — zawołał — żebyśmy wystawiali się na pośmiewisko dzieci, które wiedziały o naszej niezgodzie! Nie, nigdy!

— Przytem — dodał chmurnie Kryształek — być korespondentem pisma niewidzianego nigdy na oczy, to także co najmniej dziwne.

— Jeżeli o to idzie — odpowiedziałem sięgając do kieszeni — to trudność usunięta.

I podałem najstarszemu królewiczowi kilka arkuszy, położywszy na wierzchu numer z portretem autorki *Niezgodnych królewiczów*. Kryształek długo mu się przyglądał, poczem oddał bratu: szlachetna, rozumna twarz, musiała zrobić na nich

pewne wrażenie, bo przyglądali jej się i podawali sobie kolejno milcząc. Zdało się jakby cień zmarłej przesunął się przez komnatę i zniknął, tak poważne i uroczyste jakieś opanowało wszystkich usposobienie. Przerwał je książę Szafir, który się w tej chwili obudził, i wyciągając rączki do obrazków, zawołał:

— Daj! daj!

— Syn twój królewiczu — powiedziałem — rwie się do tego pisma. Gdy podrośnie trochę, będzie mógł czytać co ojciec napisze.

— Ciocia Jagódka nauczy go tego języka, albo też mu będzie na atlantyjski tłumaczyć — rzekła uśmiechając się Iskierka, i podała synowi rycinę przedstawiającą cztery kotki przy misce mleka.

— Kizia, kizia, ci ci ci! — wołał książę, trzepocząc rączkami radośnie, ale ojciec jego rzekł dość chłodno.

— Będziemy mu mogli Wieczory zaprenumerować. Co do współpracownictwa, to nie mamy na nie czasu. Sprawy państwa całkowicie nas pochłaniają.

— Tak jest — powtórzył Pióropuszek — nic z tego projektu! Nie mamy czasu.

Jeden tylko Zielonko nic nie mówił, lecz milcząc zamyślony. Zwróciłem się do niego.

— Królewiczu prosiłem — ty przynajmniej mi nie odmawiaj. Wiosna wielkimi krokami zbliża się do kraju którego jestem posłem: wkrótce drzewa pokryją się pączkami, zakwitną łąki i ogrody, a gromady dzieci wysypią się aby je zbierać. Nie powieszże tej gromadce, jak się który nazywa, jak żyje i oddycha, dla czego takie a nie inne zdobią go barwy? Korespondencya z królestwa roślin jest pilniejszą obecnie, niż z królestwa zwierząt i minerałów.

— O tak! — zawołał Zielonko z zapalem — bo też rośliny są najcudowniejszymi tworamii Bożemi i najwierniejszymi przyjaciółmi człowieka! One mu towarzyszą od kolebki aż do grobu. Dziecko jeszcze mówić nie umie, a już wyciąga ręce do barwnych kwiatów; w miarę jak wzrasta, kwiaty zdobią go w najuroczystszych chwilach życia. Kwiaty rozweselają

mieszkanie człowieka, do kwiatów uśmiecha się starzec, tęskni za nimi więzień, a chory na ich widok zapomina na chwilę o cierpieniu. Kwiaty nakoniec zstępują z nami do grobu, gdy nas już wszyscy opuścili... I powiedz mi mistrzu, czy jest co na świecie cudowniejszego, jak roślina? Nikt jej nie uczył gospodarstwa, a delikatne korzonki umieją w ziemi wynaleźć pokarmy mineralne, potrzebne do utrzymania bytu i wyżywienia potomstwa. Pije tylko wilgoć i powietrze, a daje ludziom owoce i tysiączne pokarmy. Sama z małego rodzi się ziarneczka, a wyrasta w potężne drzewo i konarami swemi daje ludziom cień i ochłodę. Sama rośnie bez osłony, a daje ludziom drzewo na domostwa, sama grzeje się tylko w słońcu a rozpala ludziom potężne ogniska, topiące nawet metale.

Głos mówiącego drgał wzruszeniem gdy to mówił, a błękitne jego oczy lekko zwilgotniały; jaśniała w nich wdzięczność i cześć dla Stwórcy.

— Uważasz zatem bracie, że wiadomości z królestwa zwierząt są nie tak pilne — odezwał się podrażniony nieco Pióropuszek — dla czego? Alboż zwierzęta są mniej cudownym tworem Stwórcy, w potężnym państwie przyrody? Chwalisz piękność roślin, a jakaż roślina dorównać może wspaniało-



Starożytny narodowy taniec indyjski.



ści lwa, potężnego króla pustyni, od którego ryku drży puszcza, albo piękności czarnej, monarchy ptaków? Rośliny uwięzione w ziemi, muszą jak niewolnice stać wiecznie na jednym i tym samym miejscu, a rybka pruje wodne głębiny wesoło, a ptak swobodnie wzbija się w obłoki, i buja sobie, szczęśliwy! A motyle, te kwiaty latające, czy nie jaśnieją barwami tęczy, czy nie błyszczą blaskami drogich kamieni? Mówisz bracie o pożyteczności roślin... a co człowiek zrobiłby bez zwierząt? Ktoby mu w pracy pomagał, jak koń i wół? Ktoby mu był wiernym stróżem i przyjacielem, jak pies? Ktoby mu dał podstawę pożywienia? Na twoich roślinach i owocach, ludzieby pochudli i osłabli. Na nic się nie zdadzą rośliny, jeżeli nie będzie zwierząt!

— Dla czego chcecie koniecznie roślinom lub zwierzętom dać pierwszeństwo — przemówił głosem poważnym Kryształek? — Mojem zdaniem, nie ma nic ważniejszego nad

nych na dobrą jest drodze. Nie będę więc nalegał, tylko zostawię rzeczy własnemu ich biegowi, bo mógłbym zbyt pośpiechem wszystko popsuć. Rzuciłem ziarna: niech sobie powoli kielkują. Udając więc pozornie zrezygnowanego i zmartwionego, rzekłem:

— Smucę się, Miłościwi królewicze, że tak pięknie umiając mówić o roślinach, zwierzętach i minerałach, pisać jednak o nich nie chcecie. Ale trudno, skoro odmawiacie, nie śmiem nalegać więcej, choć przykro mi, że poselstwo którego się podjąłem i którego powodzenia prawie pewny byłem, spełzło na niczem.

Nikt nie odpowiedział. Zmrok zapadł tymczasem, książę Szafir przyciskając do serca obrazki, spał w najlepsze na moich kolanach. Nogi mi już ścierpły od siedzenia ciągle w jednej pozycji i potrzebowałem je wyprostować. Wstałem ostrożnie, złożyłem chłopca delikatnie na rękach matki i zbliżyłem



Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa.

minerały i dla tego od nich należy zaczynać naukę o prawach przyrody. Minerały są podstawą wszelkiej egzystencji na ziemi, bo drobne ziarneczka piasku nie są czem innym tylko maleńkimi kryształkami kwarcu. Zoologia i botanika budują cały świat żywy z jednakowych materii pierwotnych, ale mineralogia rozłupuje skały na cieńsze od papieru listki, stanowiące najstarsze kroniki naszej ziemi, w których kryształowemi literami z przed tysięcy lat zapisano wieści o stworzeniu świata i wzroście gór. Powiedz sam mistrzu, czy nawet w twojej ojczyźnie na Wschodzie słyssałeś kiedy baśń piękniejszą, więcej zadziwiającą, cudowniejszą, nad tę którą odczyta każdy kto pozna kryształowy alfabet?

Ogień, prawdziwy ogień szlachetnego zapалу błyszczał w oczach Kryształka, gdy to mówił, ja zaś zacierałem ręce z radości, myśląc:

— Skoro królewicze sprzeczną się z sobą, który pierwszy pisać powinien, to już sprawa Wieczorów Rodzin-

się do okna. Księżyc świecił: przy jego blasku widać było morze dalekie, nieskończone, i ciemne szeregi nadbrzeżnych skał; na horyzoncie wśród mnóstwa niezliczonego iskrzących gwiazd, jaśniała wspaniała droga mleczna. A choć ten obraz niczem nie był podobny do tego, co w waszym kraju widziałem, stanął mi jednak żywo przed oczyma duszy: błąd koloryt jego nieba, krzyże stojące po drogach i miasto pałaców rozciągające się na wzgórzu, po obu brzegach wielkiej, wspaniałej rzeki, przez którą wiedzie most żelazny.

— A ty kochany mistrzu o czem pisać będziesz? — spytała królewiczowa Iskierka, stając przy mnie z uspijonym synkiem na rękę, a idąc za kierunkiem mego wzroku, dodała. Wiem już wiem, będziesz pisał o gwiazdach.

— Mistrzu — szepnęła Jagódka dotykając mego ramienia i zaglądając mi w oczy ciekawie — ja widzę, że myśl twoja znajduje się w tej chwili zdaleka od naszej wyspy. Jest ona pewnie w kraju o którym nam opowiadałeś. Musi cię on bar-

dzo obchodzić, skoro tak gorąco przemawiałeś za jego dziećmi. Zostawiłeś tam cząstkę twego serca, nieprawdaż?

I nie czekając odpowiedzi zaśpiewała pieśń, której pewnie nauczyła ją ów człowiek wyrzucony przez burzę na brzegi wyspy.

Znaszli ten kraj, gdzie ziemia w plon bogata,  
Za wielki śpichrz służyła ludziom świata?  
Gdzie dęby puszczy przez morskich wód odmetry,  
Jak wodze szły braterskie wieść okręty?  
Znaszli ten kraj, gdzie bory pełne zwierza,  
Tę ziemię burz, gdzie grom na grom uderza?  
Znaszli ten kraj?

Znaszli ten kraj, gdzie słońce świeci blade,  
Lecz drzewa sadów owoc na ziemi kładą,  
Rumiane jabłka, grusze słodkie soczyste,  
A łany zbóż kokyszą się złociste?  
Gdzie pieśni ton, pracy osładza trud,  
Gdzie bohaterski i mężny mieszka lud?  
Znaszli ten kraj?

Kończę już ten list, żałując że nic stanowczego Szanownej Redakcyi donieść jeszcze nie mogę, ale nie będę go dłużej wstrzymywał, bo chcę was uspokoić, że sprawę Wieczorów Rodziny mam na sercu. Jak tylko zajdzie coś nowego, natychmiast wam doniosę.

Marszałek dworu w tej chwili przybył mnie zawiadomić, że nadszedł transport gołębi pocztowych, które z waszej Redakcyi zabrałem. To dobrze, list pójdzie prędkiej — że jednak jest trochę za ciężki, więc każę nadwornemu fotografowi zrobić z niego odbitkę w zmniejszonym formacie i na bardzo cienkim papierze. Tymczasem skrzydlaty nasz listonosz do jutra wypocznie; kazałem go obficie nakarmić. Będziecie mieli trochę kłopotu nie mogąc listu odczytać inaczej jak przez drobnowidz.

*Abrakadabrus.*

#### **Redakcyja Wieczorów Rodziny do Abrakadabrusa.**

Warszawa dn. 5-go Kwietnia 1890 r.

Dostojny Mistrzu. Nie mamy dość słów na wyrażenie wdzięczności za pamięć o nas i za życzliwość Dostojności Waszej dla naszych czytelników. Nie marzyliśmy nigdy o królewskich korespondentach, ale jeżeli się uda ich pozyskać, będzie to dla nas bardzo zaszczytne i korzystne. Prawdziwie jednak czuć się będziemy szczęśliwi, jeżeli Wasza Dostojność pozwoli nam siebie samego do grona korespondentów zaliczyć, i zechce czasem powiedzieć coś dzieciom naszym o gwiazdach. Prośbę tę zanosimy z nieśmiałością, ale i z nadzieją, że odrzuconą nie będzie.

*Redakcyja.*

## Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa.

Antwerpia jest głównym miastem belgijskiej prowincyi tegoż nazwiska, leżącej pomiędzy północnym i południowym Brabantem. Jest to doskonały port na prawym brzegu rzeki Skaldy umieszczony, główny skład broni i znakomita cytadela. Wiele wspaniałych budowli ozdabia to starożytne siedlisko handlu, sztuk i nauk. Między innymi sławną katedrą N. Panny z wieżą wysoką na 370 stóp, pełną wspaniałych rzeźb i malowideł: oraz pomnik Rubensowi wystawiony.

Antwerpia ma akademję nauk, akademję rzeźby i malarstwa; szkołę medyczno-chirurgiczną, szkołę morską, arsenał morski, muzeum, mnóstwo fabryk, zakładów przemysłowych, warsztaty okrętów i t. d.. Sławne, bogate, potężne to miasto istniało już w VIII wieku, a później prowadziło tak wielki handel że przewyższało pod tym względem nawet słynny Amsterdam. Wojny przeróżne, straszne oblężenia

i bombardowania przyprowadziły je do upadku, ale od r. 1815 odkąd Belgia z Holandją zjednoczone zostały, podnosi się szybko na nowo.

Piotr Paweł Rubens znakomity malarz niderlandzki, którego pomnik śpiżowy widzicie na rycinie naszej, jakkolwiek urodził się w Siegen w Nassauskiem r. 1577, był mieszkańcem Antwerpii. Z powodu wojny między Hiszpanią i Niderlandami, ojciec jego rajca miejski w Antwerpii, musiał schronić się do Kolonii, ale po jego śmierci wdowa z dziećmi wróciła do rodzinnego miasta. Tu, Rubens ukończywszy przedewszystkiem chlubnie szkoły, uczył się malarstwa, poświęcając przytem każdą chwilę odpoczynku, wśród studyów nad ulubioną sztuką, gruntownej dalszej nauce, zgłębianiu dzieł znakomitych. To też oprócz obrazów, których wiele jest rozproszonych po świecie, a w samej Antwerpii dużo się znajduje, dokonał on ważnych prac innych, mających dobro ogółu na celu. Uczony i zręczny dyplomata, z woli monarchów urządził stosunki państw, jeżdżąc w tych celach do Anglii i Hiszpanii, wszędzie zyskując powodzenie, osobistą przyjaźń królów i wdzięczność ogółu.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Przededniem jednakże zerwał się Tomek; gorąco było nieznośne, powietrze zdawało się płomieniem przejęte.

— Pewno będzie straszna burza! — pomyślał chłopiec i obudził wuja, udzielając mu swoich spostrzeżeń.

— Masz słuszność, trzeba jechać natychmiast — rzekł Melchior. Niebo zasłonięte było grubą mgłą szarą, która zdawała się pochodzić z wulkanicznych popiołów.

— Tak, ma się na burzę, tam na szczytach — rzekł sierżant, zbudziwszy się z kolei. Słyszałem pioruny w nocy. Odgłos pochodził z doliny tej, pomiędzy tym oto gór łańcuchem i tamtym, gdzie byliśmy dziś rano. Trzeba się śpieszyć, bo słota dogoni nas może.

W chwilę, zwinęto namiot, Czarnula obładowano, i ruszono w drogę. Nie widać było błyskawic; ale gdy schodzono z gór, pioruny zaczęły huczeć jak odległa artylerya, którą echa powtarzały bez końca. Chwilami, odgłosy te podobne były do potężnych jęków ludzkich, kiedy indziej znów do mnóstwa kręgli padających na podłogę. Szczęściem, droga była dosyć prosta i wędrowcy postępowali mniej więcej po pięć mil angielskich na godzinę. Niezadługo ujrzeli klasztor wznoszący się w dolinie pośród gromady topoli i platanów. Burza groziła coraz bliżej, schronienie stawało się coraz pożądanejszem. O milkę odległości od klasztoru spotkano potok. Melchior copędzając dał pić mułowi spragnionemu bardzo.

— Możeby tu dobrze było wykapać się? tak jest gorąco... — rzekł Menito.

— Lepiej będzie pośpieszać... zdaje mi się że widziałem błyskawicę — rzekł Tomek.

Ten chłopczyzna ma słuszność! prędkiej śpieszmy, burza nadchodzi! — zawołał sierżant. — W istocie, szczyty górskie odrazu przybrały barwę popielatą i równocześnie wiatr zahuczał.

— Naprzód! naprzód! w dziesięć minut dostaniemy się do klasztoru! — krzyczał sierżant. Czarnulo zdawał się go rozumieć, bo nagle uciał takiego kłusa, że trzeba było biec w cwał, aby mu kroku dotrzymać. Popiół i liście tumanami wlatywały w górę, ale mimo potężnego i coraz silniejszego huku burzy, słyszano wesołe okrzyki mnichów, którzy ujrawszy podróżnych w zapasach z poczynającą się burzą stanęli w drzwiach i witali ich serdecznie. Zanim burza dosięgła szczytu swęj potęgi, już wędrowcy przestępowali próg gościnnego klasztoru i przyjmowani byli otwartymi rękami przez dobrych ojców, którzy od razu zabrali w opiekę ludzi i muła, prowadząc wszystkich razem do niskiej sali.

W chwilę później deszcz lał potokiem, ale podróżni byli bezpieczni. Klasztor San Miguel był to potężny budynek z kamienia, uwieńczony dachem płaskim, który już nie jedną silniejszą burzę przetrwał od obecnej. Podczas gdy Melchior strzepywał kurzawę z odzienia, Dabby Simon z pomocą zakonnika okiełznywał muła, ale przy tej robocie klatka obejmująca małpki, roztworzyła się. Kupiona niedawno od pani Yegua mała *sapażu*, którą Tomek szczególnie się opiekował nawzawszy ją Bibisią, skorzystała ze sposobności i wyszła. Ledwo wyszła, gdy pies klasztorny skoczył na nią i byłby rozdarł biedactwo, gdyby jeden z zakonników zdobył mu nie odebrał. Bibisia oberwała tylko porządne zadrapanie, ale w każdym razie miała o czem szczebiotać po swojemu przez pół godziny.

Deszcz lał przez całą noc, lecz następny poranek za to był śliczny. Przed rozstaniem się z gośćmi, ksiądz opat zaprowadził ich do oddzielnego budynku, aby im pokazać jedną z osobliwości klasztornych. Był to zbiór broni indyjskiej i bóstw, które przypominały Tomkowi to, co widział już w tymże rodzaju w Stanie Guerrero.

Alco było najszczególniejszego pomiędzy osobliwościami, to wielka klatka z prętów żelaznych, ozdobiona wieżyczkami i chorągiewkami, przez co była podobną do twierdzy, w której mieszkało z tuzin przyswojonych sępów. Zbiegły się do dobrego księdza, gdy wszedł z gośćmi, siadały jemu i im na ramionach i jadły z rąk.

— Nie chciałyś mi sprzedać jednego z tych ptaków, ojczy? — spytał Melchior.

— To przeciw regule — odpowiedziano — jednakże sądzę, że mogę dać ci ich parę, jeżeli Kortina przyrzecze mi parę młodych w to miejsce.

Sierżant ochoczo przystał na to żądanie.

— Czemuż to reguła zabrania sprzedawać sępy?

— Zaraz zobaczysz.

Ksiądz poprowadził natenczas gości do refektarza i pokazał im obraz, przedstawiający niedźwiedzia niosącego w paszczy dziecko.

— Ten obraz wymalowano na pamiątkę zdarzenia, które zaszło przed 50 laty — rzekł. — Pewien szlachcic zwany Yegros, był posiadaczem znacznego folwarku w sąsiedztwie tego klasztoru. Raz, gdy dzieci bawiły się w ogrodzie, niedźwiedź przelazł przez płot i uniósł najmłodsze. Don Yegros pochwycił strzelbę i skoczył w pogoń, ale widząc, że nie dogoni, ukląkł i strzelił, wycelowawszy jak mógł najstarszemu, aby nie zranić dziecka. Strzał był celny, przynajmniej don Yegros tak sądził, bo zwierzę nagle skoczyło w bok, ale gdy on przyszedł w to miejsce znalazł ślady krwi, lecz niedźwiedzicy nie było; uciekła w góry.

Po długich poszukiwaniach, uznano dziecko za zginione i już je opłakano, gdy w tydzień później, dwaj z naszych mnichów powracając z odwiedzin w wiosce indyjskiej, spostrzegli mnóstwo sępów zgromadzonych i latających nad pewnym drzewem w lesie. Poszli więc w tę stronę, i znaleźli szkielet niedźwiedzicy, która raniona tam się przywlokła, a o kilka kroków dalej dziecię don Yegros'a. Małeństwo to przez owe kilka dni umiało wyżywić się poziomkami i malinami leśnymi. Z powodu tego cudownego wydarzenia, ojciec dziecięcia ofiarował klasztorowi San Miguel 50 włók ziemi z pewną sumą pieniędzy prócz tego, z warunkiem, że zakonnicy wychowywać będą dwunastkę sępów przez wdzięczność za to, że te ptaki, latając nad zwłokami niedźwiedzicy, wskazały zakonnikom miejsce, gdzie się znajdowało jego dziecko.

Od czasu swęj ostatniej awantury, Bibisia ulokowała się niby na zimowe leże w kuchni klasztornej, ale gdy wędrowcy zabierali się do drogi, małe złośliwe stworzenie znikło.

— Może jest w podwórzu — powiedział sierżant — nie dziwiłbym się gdyby jeszcze z owym psem miała na pieńku.

Pan Kortina miał słusność w swoich przypuszczeniach. Pies stał na łańcuchu przy starym murze ogrodowym, a Bibisia uniosła sobie zabawić się jego kosztem. Wskoczywszy na mur d głową psa, wykrzywiła mu się, skrzeczała po swojemu, czy-

niła co tylko mogła, aby go rozgniewać. On szczebał zajadle i skakał na mur, ale łańcuch był zakrótki, aby można było dosięgnąć nieprzyjaciela, a za każdym takim usiłowaniem Bibisia rzucała w psa kamieniem, lub kawałkiem wapna odebranym od muru. Kilkakrotne wołania młodego pana zwróciły uwagę Bibisi, która zrozumiawszy nareszcie, że na nią czekano z odjazdem, skoczyła na przeciwną stronę muru, spodziewając się, że będzie można dojść do pana tamtędy, nie przechodząc napowrót przez podwórze. Pomyliła się jednak, bo doszedłszy do końca muru, znalazła się właśnie w podwórzu, w obec buldoga. Ten ujrzawszy ją cofnął się, stanął poczem z całych sił zebrałszy się do skoku, zerwał łańcuch i rzucił się za małpką jak pantera. Bibisia nie spodziewając się niczego dreptała spokojnie, dopiero na dźwięk łańcucha, wlokącego się za psem, obejrzała się, i... żadne pióro nie potrafi opisać wrzasków przerażenia, z jakimi rzuciła się do ucieczki. Awantura mogła się skończyć tragicznie, bo Tomek podniósł już strzelbę z zamiarem bronięcia swęj Bibisi, ale szczęściem ciężar łańcucha jaki pies włożył za sobą, nie pozwalając mu biedz spiesznie, ocalił małe licho. Gdy buldog dopadł do gromadki wędrowców, małpka weszła już do swęj klatki i ztamtąd z nad grzbietu Czarnuli wykrzywiła mu się znów szkaradnie jak najgorzej wychowany ulicznik.

Melchiorowi tak się dobrze wiodło w Guatamala, że żał mu było opuszczać tę prowincję i jej góry, ale chciał koniecznie dostać niektórych, zwierząt znajdujących się tylko za Równikiem, musiał przeto jechać dalej. Postanowił tedy kapitan odprowadzić niedźwiedziątka i innych swęch więźniów, jakich zgromadził od ostatniej swęj wysyłki, nie do Vera Paz jak miał zamiar z początku, lecz do Saint-Thomas, portu morskiego w głębi zatoki Honduras. Ztamtąd okręt powiózł zwierzęta do Vera Kruz, gdy tymczasem pierwszy statek zawiózł Melchiora z jego gromadką do ujścia rzeki Orenoki, z kąć puścić się mieli znowu w podróż.

Żadna z rzek europejskich, nie może dać wyobrażenia o rzekach Ameryki Południowej, pod względem ich szerokości i niezmiernęj masy wody. Orenoka wpada do morza pięćdziesięcioma ujściami, z których siedm są spławne, a z tych głównie odkryte zostało przez Krzysztofa Kolumba.

Gdy on i inni pierwsi podróżnicy płynęli w górę tej rzeki, wspomagał ich w tej podróży wiatr, stale w tych stronach od morza wiejący ze wschodu na zachód. Tenże sam wiatr pomagał i naszym wędrowców także. Gdyby niziny otaczające rzekę nie były tak bardzo błotniste, niepodobnaby znaleźć lepszej miejscowości do polowania. Chmury wodnego ptactwa błędziły na około łąw piaszczystych; hipopotamy ryły ziemię w trzcinach nadbrzeżnych, albo wadziły się o kałuże: wydry pokazywały się tu i owdzie.

— Mój wuju! mój wuju! — zawołał raz Tomek, zawsze pilnie śledzący z pomostu okolicę — patrz! jakiś młody człowiek pływa tam w zieleńkach. Cóż za szczególna głowa. Ale nie, to nie mężczyzna, chociaż widzę jego ogromne wąsy, to kobieta, bo dziecko trzyma przed sobą, ona utonie, pewno utonie!

— Nie bój się — rzekł uśmiechając się Melchior — to ani mężczyzna, ani kobieta, to rodzaj wieloryba, zwierzę ssący, podobny istotnie niejako do człowieka, a to z powodu że ma zwyczaj trzymać się w wodzie prosto, i że głowa jego podobna jest zdaleka do ludzkiej. Te to może stworzenia dały niegdyś pochod do bajek o syrenie, w pół kobiecie w pół rybce. Niektóre z tych zwierząt mają do sześciu metrów długości. Znajdują się szczególnie w rzekach: Orenoce i Amazonce. Żywią się porostami morskimi na ich wybrzeżach. Gdyby woda była płytsza, ujrzałbyś ich więcej, bo wtedy płyną z falami gromadnie w dół rzeki, aby znaleźć żywność i wtedy też najłatwiej się poławiają. Spodziewam się, że i nam uda się ułowić ich parę.

— Och, dostaniecie tych zwierząt ile zechcecie w Venuezuela, i takich i innych, Europejczycy zwykle się niemi zdumiewają — rzekł sternik Indyanin krajowiec.

Sam ten sternik był także osobliwością. Włosy tworzyły mu nad czołem niby dyadem, i miał naokoło głowy mnóstwo

## ZAGADKA.

ułożył Dąb Sosnowiecki.

Pierwsza w Meksyku, Mińsku, Mohilowie,  
 Drugą ma prawda, nie masz jej w słowie,  
 A trzecią znajdziesz w Dniestrze, Dunaju,  
 Czwartą masz w kwietniu a nie ma jej w maju  
 Józef ma piątą, a niema jej Kraków,  
 Do sosu wchodzi szósta, nie wchodzi do raków.  
 A siódma zawsze w Kijowie przebywa  
 Ósmą ma Janas, u ary nie bywa.  
 Wszystko nazwisko stanowi moje,  
 Kto je odgadnie, niech napisze swoje.

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

Niezabudka z nad Chomoru.

Z następujących zgłosek: ~~Mo — ra — re — berg — na —~~  
~~chen — ger — a — la — re — dziadz — a — e — i — ru — gru — ro —~~  
~~zen — ty.~~ — Ułożyć wyrazy: 1. Owoc. 2. Imię biblijne.  
 3. Nabożeństwo adwentowe. 4. Miasto przy ujściu Ossy do  
 Wisły. 5. Imię żeńskie. 6. Warownia gdzie zginął Wallenstein.  
 7. Miasto w Austrii zamieszkałe przez sukienników. Począ-  
 tkowe litery z góry na dół a końcowe z dołu do góry tworzą  
 dwa poemata Syrokomli i Mickiewicza.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

## Zadania konikowego:

Obca dla mnie z bogactw pycha,  
 Ni o szat mych stoję chwałę;  
 Szczupła trzoda, chatka cicha,  
 To są moje skarby całe.  
 Mała chatka, ale własna,  
 Lepsza niżli gmachy cudze.  
 U stóp góry woda jasna,  
 W słońcu kwiatem brzęczy strudze.

A. E. Odyniec.

## Z a g a d k i:

Praca — raca.

Trzeci zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechniej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygańskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

(d. c. n.)

ozdób i cacek, jak lekarze w jego kraju. Waż przyswojony nie odstępował go zajmując na kwatery główną, jeden rękaw jego koszuli. Stworzenie to miało barwę czerwono-burą z pierścieniami i plamami pomarańczowemi; a czarna linia zygakiem przebiegała jego grzbiet w całej długości. Indyjanin zdawał się dbać bardzo o niego, bo za nic nie chciał go się pozbyć, jakkolwiek Melchior ofiarował mu zań ogromną sunę; a co do węża, ten zdawał się także mocno przywiązany do pana. Okrecał mu się na szyi ruchami tak zręcznymi i miękkimi, że można było mniemać iż go chciał popieścić w ten sposób. Łuska jego złotawej i brązowej barwy mieniła się wtedy w tak pyszne odbłaski, że Tomek, który z początku nie mógł patrzeć bez wstrętu na to zwierzę, potem spoglądał na nie z uwielbieniem.

W pobliżu Portu-Gabriel brzegi Orenoki wznoszą się i tworzą skały urwiste i grunt jest tam dostatecznie stały dla pieszych; roślinność wszędzie jest wspaniała. Najogromniejsze drzewa są tak całkowicie owite dzikim winem i lianami, że nie podobna jest oznaczyć dokładnie, które liście i które kwiaty do czego należą. Palmy tylko same jedne wznoszą się ponad sąsiadów, jak dzwonnice lub wieże wśród domostw, chwytając zlekka głowami przystrojonymi długim liściem, o delikatnych wycięciach.

Dzieci po większej części nosiły na głowie strój jakiś, którego Melchior brał za kapelusz słomiany pomalowany na zielono, rozpoznał jednak, że było to z jednej sztuki, zrobione w kształcie rogu z kwiatu drzewa tulipanowego, jednego z najpiękniejszych drzew amerykańskich i które pod tą szerokością przybiera nadzwyczajne rozmiary.

Jedyną oberżę w Port-Gabriel utrzymywał biały człowiek zamieszkujący w tem miejscu. Wiedząc cel podróży Melchiora, dostarczył mu przewodnika, którego był pewnym i który mógł go zaprowadzić aż do granicy zachodniej, Wenezueli.

Chłopak ten mieszał język hiszpański ze swym narodowym, jednakże łatwo można go było zrozumieć; zdawał się też znać doskonale na rzemiośle przewodnika, do czego się zobowiązał, a to była rzecz główna. Wskazując palcem lasy, a potem przybory myśliwskie podróżnych, dał im do zrozumienia, że pomoże im napełniać klatki ptakami i zwierzętami.

Nie zabrakło też psów. Pełno ich wałęsało się w Port-Gabriel, i gdy kapitan udał się w podróż nazajutrz rano, ze dwanaście ich biegło za nim, skacząc i naszczekując radośnie, ale Dabby Simon wszystkich odegnał, z wyjątkiem jednego charta długo-nogiego z gatunku który służy Indyjanom do polowania na pantery.

Przebiegłszy około sześciu mil, podróżni przybyli nad brzeg potoku, którego można było przebyć albo po moście z lianów, albo brodem utworzonym z pni drzew pogrążonych w wodzie, po których jednakże muł przejść potrafił bez niebezpieczeństwa. Psy tworzyły straż przednią. Co do charta, ten nie dbając ani o most, ani o bród przerzucił się jednym potężnym skokiem z jednego brzegu na drugi, ale Kasztan nie był równie lekkim i wprawnym, jednakże chcąc okazać koledze, że ma także talenta w swoim rodzaju, zabierał się przebyć potok wpływ; ale za ledwo wszedł w wodę, już odskoczył w tył jęcząc przeraźliwie i biegł wzdłuż rzeczki, szczekając a nie mogąc odważyć się na drugą próbę.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Starożytny narodowy taniec indyjski (z drzew.) — Z wyspy Atlanty p. Zofię Urbanowską. — Antwerpia, katedra i pomnik Rubensa. — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Czytanie, wierszyk (z drzew.) — Zegar z kukułką p. Annę Załęską (z drzew.) — Pamiętnik ołówka. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzyznka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

CZYTANIE.



daś dobrze się uczył, ale lubił  
[bardzo  
Pochwały, choć uczeni pochwa-  
[łami gardzą,  
Lubił kiedy mówiono: „Ten Adaś  
[choć mały  
Książki z rąk nie wypuszczał...  
[chłopczyk wart pochwały.  
Wtem raz, patrzy Adalek... aż  
[babci papuga

Trzyma książkę, odwraca w niej karty i mruga...  
Adaś się bardzo zdziwił, myślał nad tem długo,  
Aż pojął że czytanie nie jest dlań zasługą,  
Bo nie ten wart pochwały, rzecz jest oczywista,  
Kto czyta, lecz kto z książek czytanych korzysta.

ZEGAR Z KUKUŁKĄ.



Mamo, czy ta kukuł-  
ka w zegarze jest żywa  
— pytała sześćioletnia  
Józia, stojąc przed du-  
żym zegarem, wiszącym  
na ścianie w jadalnym  
pokoju.

— Tyle razy już ci  
mówiłam, córeczko, że  
nie. Ona jest zrobiona  
z blachy, a wysuwa się  
za pomocą maszynki,  
umieszczonej w dachu  
tego drewnianego dom-  
ku.

— To dla czego ona  
się rusza, kiedy nie jest  
żywa? Jakże ona może  
się ruszać?

— Znowu wszystko zapomniałaś, a już parę razy  
tłómaczyłam ci, w jaki sposób to zrobione.

— Bardzo to jest dziwny sposób — rzekła Józia  
trzęsąc główką z powątpiewaniem — i trudno mi uwie-  
rzyć, że mama się nie myli. Ona z pewnością żywa,  
przecież rusza się i kuka tak głośno i często. Mamo,  
kiedy kukułka wyjdzie znów ze swego domku?

— Jak duża wskazówka będzie u samej góry, a ma-  
ła z prawego boku kąt prosty utworzy. Szkoda Józiu,  
że jeszcze godzin rozpoznawać nie umiesz, choć tyle razy  
pokazywałam ci, jak na zegar patrzeć.

— Ach, kiedy to tak trudno. Wszystkie kreski są  
jednakowe, rozróżnić ich nie umiem, a wskazówki z pe-  
wnością się same nie ruszają. Już ja się tam nigdy czy-  
tać godzin nie nauczę.

— Nauczysz się, nawet niedługo, bo na tym dużym  
zegarze będzie ci łatwiej zrozumieć. Zresztą kukułka ci  
dopomoże.

— A widzisz mamo, że ona żywa, sama mi to po-  
wiedziałaś, bo kiedy mogła by mi do nauki pomóc, to  
chyba musi już być żywą.

— Uparta jesteś, Józiu, i niegrzeczna, kiedy nie  
chcesz wierzyć temu, co ci mama mówi. Lecz teraz uwa-  
żaj, bo za chwilę kukułka wyskoczy.

Józia przysunęła się do matki, objęła ją obiema  
rączkami, wzrok jej utkwiał w małych drzwiczkach, umie-  
szczonych nad zegarem, a w twarzączce malował się  
niepokój i wielkie zaciekawienie. Nagle drzwiczki się  
otwarły, wysunęła się przez nie drobna ptaszyna i rozle-  
gło się trzykrotnie: ku-ku, ku-ku, ku-ku.

Józia słuchała z otwartą buzią; choć ptaszek scho-  
wał się dawno, ona w milczeniu patrzyła jeszcze na zam-  
knięte drzwiczki i miała łzy w oczach. Po chwili rzekła:  
— Mamo, kukułka głodna, dajmy jej co jeść, moja ko-  
chana. Słyszałaś jak smutno kukała?

— Co za dzieciństwo. Przecież ci mówię że to  
maszynka bez życia, która naśladuje żywe stworzenie.  
Gdyby była żywa, dawno już umarłaby z głodu, bo od  
trzech dni jest tutaj, a nikt jej nie karmi.

— Ej mamo, bo mnie bardzo żal było biednej ku-  
kulki i co wieczór trochę siemienia i spodeczek mleka  
zostawiałam jej tu na stole.

— I myślisz, że ona to zjadała? — rzekła mama.

— Naturalnie, przecież rano nigdy już mleka na  
spodeczku nie było.

— Otóż mylisz się, moje dziecko, nawet żywe ku-  
kulki mleka nie piją. Myszki zjadały siemię, a mleko  
wypijał twój Burek, próżniak, który śpi przy piecu  
i wstaje tylko aby zjeść, co mu przygotujesz. Będę  
chciała córeczko, później cię przekonać, że to co mówię  
jest zawsze prawdą. Teraz muszę wyjść z domu, ty zo-  
stań i baw się tu spokojnie.— Józia siadła naprzeciw zega-  
ra; nie myślała o żadnej zabawie, tylko wpatrywała się  
w niego uważnie. W ciasnej jej główce pomieścić się  
nie mogło, żeby ta tak głośno odzywająca się ptaszyna,  
ze skrzydłami tak podobnymi do skrzydełek fruują-  
cych w ogrodzie ptaszków, mogła się obchodzić bez po-  
żywienia. Spokoju także nie dawała jej myśl, że to bie-  
dactwo uwięzione w ciemnym swem mieszkanku, smutne  
życie tam pędzi i nie używa swobody, każdemu stworze-  
niu do szczęścia potrzebnej.

Więc chociaż nieraz doświadczyła, że wszystko, co  
od mamy słyszała, było zupełną prawdą, teraz uparta  
dziewczynka nie wierzyła jej słowom i postanowiła bie-  
dnej kukułce przyjść z pomocą.

Przyniosła więc kawałeczek cukru, trochę okruszyn  
z chleba, i ustawiwszy te zapasy w miejscu bardzo wi-  
docznym, dech prawie wstrzymując, zaczęła się przypa-  
trywać wskazówkom zegara.

Spostrzegła teraz, że choć powoli i nieznacznie po-  
suwają się ciągle naprzód; zapamiętała też poraż pierw-  
szy uwagę matki, że zegar bije, gdy dłuższa wskazówka,

jest u samej góry, tam gdzie cyfra dwanaście stoi wypisana.

Wtem drzwiczki otworzyły się, kukułka czwartą godzinę wydzwoniła, lecz potem, nietylko że do jedzenia nie przyfrunęła, ale nawet nie spojrzawszy się w tę stronę, cofnęła się do swjej ponurj kryjówki.

— Ona się boi! ach, biedna ona! — pomyślała Józia — boi się, żebym ja jej krzywdy jakiej nie wyrządziła, bo nie wie, że ja ją bardzo kocham. Trzeba koniecznie wynaleźć inny sposób nakarmienia jej. Ach żeby się tam dostać — mówiła po chwili zamyślona — sama bym jej do dziobka włożyła kawałeczek cukru. Ale to tak wysoko!

Józia na stole postawiła krzeselko, wdrapała się na nie i wyciągnawszy rączkę z kawałeczkiem cukru, czekała jeszcze dość długo. Już nogi jej ścierpły i ręka zemdląła, gdy wtem lekkie skrzyknięcie oznajmiło jej o otworzeniu się drzwiczek; kukułka wysunęła się naprzód, a z równą szybkością ręka Józii wsunęła się z cukrem do ptaszka i potrafiła drzwiczki.

Widocznie mechanizm zegara nie był przygotowany do podobnego zdarzenia, bo kukułka, jakby spłoszona zniknąć zaczęła w swem mieszkaniu, a raptownie zaciskające się drzwiczki, przycisnęły wraz z cukrem paluszki Józii. Szczęście wielkie, że sprężyna nie była dość mocna, żeby go zmiażdżyć zupełnie, ale i przymknięcie sprawiło ból okropny. Józia chciała nadaremnie rękę wyswobodzić; szarpaniem wzmagala tylko cierpienie.

— Może już wcale ręki wyjąć nie będzie można, może trzeba będzie ją uciąć! to byłoby okropne! — myślała Józia modląc się, przeproszała Boga i mamę, obiecując poprawę, byleby się wszystko dobrze skończyło!

Na szczęście, mama niedługo wróciła. Zmartwiła się, zastawszy Józję w tak nieprzyjemnem położeniu i uwolniła natychmiast jej zsiniałą rękę. Mama nie gniewała się nawet bardzo, widząc żal i ból Józii, ale smutnym następstwem jej niedowiarstwa, była, zepsuta w zegarze sprężyna; kukułka odtąd wyskakiwać przestała, a Józia ku wielkiemu swemu zmartwieniu, mogła się jej teraz dobrze przypatrzeć i przekonać, że była tylko kawałkiem pomalowanej blachy.

A. Z.

## PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

(Dalszy ciąg.)

— Ale ja przekonany jestem że ty nie jesteś tak dziecinnie próżny, mój chłopcze — odpowiedział wuj pieszczotliwie.

— Ale kto to mógł napisać? to nikt tylko Zosia! — domyślał się Staś.

— Ale cóż znowu, czy nie słyszysz jak Zosia szyje i śpiewa! — odparła mama. — Zosia aż usta obu rączkami na chwilę zastłoniła, żeby głośny śmiech powstrzymać, ale natychmiast wyśpiewywała dalej, głośniej jeszcze, turkocząc maszyną do szycia:

Leci śliczny gołąbeczek  
Nad bory nad stawy,  
Zieleni się ogródeczek,  
W nim domek białawy.

Przyleć, przyleć gołąbeczku  
Do domku w ogródku,  
Przynies dla tych po listeczku  
Co tu tęsknią w smutku.

Wzleciał w piątek ponad Prosnę  
Nad Wisłę w niedzielę,  
Zmieniła się zima w wiosnę  
I smutek w wesele!

— Ho, ho, już my się znamy na Zosinych figielkach — ozwał się znowu głos wuja. — To żaden dowód że szyje i śpiewa.

— Proszę wuja, to trzeba koniecznie sprawdzić, kto sobie tak żartuje ze mnie! — prosił Staś.

— Dobrze chłopcze! — drzwi otworzyły się nagle i wuj ze Stasiem weszli do pokoju Zosi, mama stanęła w progu.

— Zosiu, czy to ty przylepiłaś na drzwiach Stasia pismo, wyszydające zdolności jego do rysunku? — spytał wuj zupełnie seryo.

— Co? jak? Co wujaszek mówi? — spytała nawzajem Zosia, pilnie coś poprawiając w maszynie.

— Ależ ona o niczem nie wie! — rzekł wuj.

— Zosiu, a gdzie mój ołówek? ołówek Fabera? — zawołał Staś, i przybiegłszy do niej i usiłując zajrzeć jej w oczy. Ale ona trzymała nosek tuż przy maszynie, coś naprawiając ciągle, bo wiedziała, że gdy spojrzysz Stasiowi w oczy, to wszystko się wyda, więc mówiła:

— Jaki ołówek?

— Ależ ona wyraźnie, nie chce odpowiadać wprost na pytania! W tem coś jest! — zauważył wuj. A Staś rzuciwszy okiem na stół, pochwycił pudełko z piórami i ołówkami, roztworzył i wyjmując mię, zawołał z tryumfem:

— Oto dowód kto to zrobił! Oto mój Faber!

— Panno Zosiu! Co to znaczy? — spytał wuj. — Ale Zosi już nie było, schowała się za mamę i śmiała się skrywszy w jej suknię. Mama śmiała się także, a Staś tymczasem odnosił mię do swego pokoju, głośno sobi przyrzekając, że ani jednego figla Zosi odtąd nie daruje, wszystko odda wet za wet, bo to już nadto tego i na cierpliwszemu cierpliwości zbraknie. Jakoż zaraz następnego dnia, gdy Zosia grała z nauczycielką na fortepianie w salonie, Staś, przestał rysować i niepuszczając mię z ręki pobiegł cicho do jej pokoju, schwycił dziennik w którym nauczyciele zapisywali postępy nauki i wszędzie gdzie były czwórki z krzyżem, powycierał gumą a ponapisywał jedyńki i uciekł. Potem rysując w naszym, to jest w Stasia pokoju, oba nasłuchywaliśm. Niezadługo też, w sąsiednim Zosinym pokoju, zabrzmiał głos zdziwiony którejs nauczycielki:

— Jaktó Zosiu, to ty takie fatalne wczoraj miałeś stopnie? Chwilę trwało milczenie, zapewne Zosia ogłodała dziennik, a potem rozległ się na wpół płacziwy głosik:

— To nikt tylko Staś musiał to zrobić! widzi pani że tu wszędzie znać wycieranie gumą... a potem dopiero napisano te pałki! Wuju! mamó! patrzcie jak mi Staś zepsuł dziennik! O! nie puszczę pani z takim o mnie wyobrażeniem, ta sprawa wyjaśnić się musi! Ja w życiu mojem nie miałam takiego dziennika!—Nagle otwarły się drzwi naszego pokoju, mama, wuj, nauczycielka, stali w nich, Zosia zarumieniona jak wiśnia przyskoczyła do nas z dziennikiem w ręku, ze łzami w oczach:

— Stasiu, jak mogłeś tak mi dziennik zepsuć? To już nie żart, to złośliwość! to okropność!

— Co? Co takiego? Co się stało? — spytał Staś.

— O! znam ja się na tem! Obiecałeś mi wczoraj wet za wet! Ale ja dowieść prawdy potrafię! — zawołała Zosia i pędem wybiegłszy, wróciła za chwilę ze swoim pudełkiem od piór i ołówków, i wskazując na takie samo stojące na stole Stasia, zawołała:

— Proszę państwa sprawdzić, którym z tych ołówków nakreślone są te pałki! Ja widzę że nakreślił je miękki ołówek od rysowania i to wysokiego numeru, tak zwany ołówek firmy Fabera, a takie są tylko u Stasia!

Zatem wszyscy starsi państwo próbowali różnych ołówków i mnie, a potem wyrzekli jednogłośnie.

— Tak, to napisał tylko ołówek firmy Fabera! Stasiu! Jak możesz tak dokuczać siostrze?... — Ale Stasia nie było, albo raczej on sam tylko pewien był że go nie było, bo skrywszy się w kącie za szafę, zakrył oczy czapką, myśląc że nie będzie widziany, ponieważ sam nikogo nie widzi. Natenczas się z niego głośno śmiać zaczęli, przypominając mu, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. A Zosia stanąwszy przed Stasiem i skrobiąc marchewkę na paluszku, mówiła mu:

— A gzy, gzy, gzy, panie Stanisławie, czyje na wierzchu?—Natenczas przyprowadzony do ostafeczności Staś, cisnął czapkę, schwycił mnie, i wołając:

— O ty! zdrajco!... któryś wydał tajemnicę moję i świadczył przeciwko mnie, precz z moich oczu! giń!... — rzucił mię w ogień kominkowy, wprzód zanim zrozumieć mogłem co się dzieje. Skwierknąłem boleśnie, bo mię sparzyło okrutnie, a mama rzekła:

— To nie dobrze Stasiu! Jeżeli masz żal do ołówka i chcesz aby poszedł precz z twoich oczu, to można go było darować któremu z dzieci na podwórzu. — Ledwo wymówiła te słowa, już Staś wydobył mię z ognia szczypcami, otarł starannie i otworzywszy lufcik zawołał:

— Kto chce ołówka?...

— Ja ja ja! — zakrzyczało mnóstwo cienkich głosików i cała gromadka dzieci podbiegła do okna, wyciągając do góry ręce i nadstawiając poły, kapelusze i fartuszki, spódniczki nawet. Staś zamierzał się kilka razy, niby rzucając mię, za każdym razem powstawał za oknem gwar nie do opisania, nareszcie rzucił naprawdę, i przemknąwszy chwilę przez powietrze, wśród ogłuszającej wrzawy, szarpany na wszystkie strony, znalazłem się w rękach mocniejszego od innych malca. Smutno mi się zrobiło okropnie, bo pokochałem bardzo Stasia i Zosię i polubiłem ich figielki, z moją wyprawianą pomocą, które zawsze kończyły się na śmiechu, bo naprawdę nie dokuczały nikomu. Lubiłem także lekcye, w których bywałem świadkiem. W czasie jednej z ta-

kich to lekcji dowiedziałem się nawet różnych szczegółów z mego własnego rodowodu, gdy Staś wypowiadał na żądanie nauczyciela:

— Grafit, tak zwany z greckiego, jest wykopywany z ziemi, ma barwę prawie szaro-czarną, po wypolerowaniu ma blask metaliczny; jeżeli jest czysty, nie zmieszany z innem ciałem kopalnem, daje się krajać a proszek jego delikatny czerni palce w dotknięciu. Pod względem składu chemicznego jest to węgiel, zmieszany z ciałami ziemistymi lub żelazistymi; znajduje się w tak zwanych formacjach pierwotnych, tworząc niekiedy znaczne pokłady i skały odosobnione, we Francyi, Morawii, Bawaryi, Piemontie, Austrii, Hiszpanii. Można też otrzymać grafit sztucznie, topiąc surowiec czyli żelazo lane, z wielką ilością węgla. Używa się do różnych celów, a także i na ołówki; zmieszany z tłustością tworzy smarowidło do kół zębatych i do ochrony żelaza od rdzy...

(d. c. n.)

### SZARADA.

Dla Niezapominajki z nad Warty i Brzydotki z nad Tamizy od Lit. z nad Sz.

Pierwsze jako wykrzyknik używacie,  
Na drugim i trzecim siadacie,  
Wszystko: miasto i rzeka która płynie,  
W naszej niegdyś krainie.

### Łamigłówka liczbowa.

#### Legendy.

Z 13 liter składa się imię i nazwisko poety już nieżyjącego. Przystawiając litery otrzymamy:

- 1, 2, 3. Rzeka. *nan Boh*  
3, 5, 6. Wódz tatarski. *nan*  
4, 2, 6. Rzeka. *don*  
6, 5, 4. Przyimek.  
9, 8, 11. Zbiór drzew.  
9, 10, 12, 13. Lekarstwa.  
1, 2, 9, 10. Cierpienia.  
7, 8. Przyimek.  
9, 8, 11, 12, 5. Podpora.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

#### Szarady:

G o ł ą b k a.

#### Trójkąta geograficznego:

K a p s k i e  
A n k o n a  
P a r y ż  
S a w a  
K u r  
I n  
E

## Skrzynka do listów.

**Do wszystkich** ponawiamy prośbę, aby w listach swych do nas wymieniali oprócz nazwiska i adres dokładny, bo bez tego mogą się obejść tylko liściki do druku przeznaczone, wszelkich zaś innych korespondencji podpisanych pseudonymem, uwzględnić nie możemy, a nawet czytać nie mamy czasu.

**Dziesięcioletniemu czytelnikowi L. A. R.** Niestety! korespondencje panienek z panienkami i chłopczyków z chłopczkami tyle już zabierają miejsca w Wieczorach, że je nam pomieścić coraz trudniej, cóżby było, gdyby dodać do nich jeszcze trzeci szereg listów od chłopczyków do panienek i odwrotnie! Wtedy już musielibyśmy chyba dawać więcej druku i papieru, co nam uczynić niepodobna i co zresztą uważamy za zbyt techniczne, gdyż korespondencje podobne nie byłyby wcale zajmujące, ponieważ inne są zupełnie usposobienia, zabawy, nauki i wszelkie nawet zajęcia chłopczyków jak dziewczynek, więc nie mieliby nic ciekawego do powiedzenia sobie wzajemnie.

**Malutką parkę kaligrafów: Iskierkę i Kłoska Podolskiego** całujemy serdecznie. Ta parka, co we dwoje szesnastu lat nie ma jeszcze, pisze tak starannie, że nie jednych szesnastoletnich zawstydzili by mogła, co jest dowodem (jak po staremu mniemano) uszanowanie dla osób, do których się pisze. A że to takie malutkie paluszki tak umiejętnie władają piórem, jakżeż tu nie miłować właścicieli tych paluszków?

**Filozofie** kochany, (eks Neptunie), dla czegożby ci sami „chłopcy”, w imieniu których dopominasz się o konkurs, nie mogli należeć do konkursów dotychczas ogłaszanych? Nigdy przecie nie zastrzegamy, że są one dla dziewczynek wyłącznie.

**Trawce z nad Tryby** żądany numer posłano, liścik w swoim czasie wydrukujemy. Bardzo nam miło, że ta Trawka z wiosną zazieleniła się dla nas.

I ciebie byłoby nam miło widzieć, droga **Cyganeczko z nad Wisły**; mamy nadzieję, że dotrzymasz obietnicy.

Na listy wasze, **Sikorko** nie odpowiada żadna z dwóch wymienionych przez ciebie osób, ale ta, która nigdy korespondentek swoich nie nazywa „dokuczliwemi”.

Liścik powierzony opiece **Gołąbki**, jeżeli tylko ją doszedł, nie zaginie, tego możesz być pewną, **Stokrotko z nad Stochodu**.

**Ottonowi B.** oraz **Henryce Izb.** żądany dodatek posłano.

**Sokół z Miceny** otrzymał już także żądany numer.

**Marynie z pod Garwolina** w zamian za życzenia świąt wesołych, przesyłamy życzenia zdrowia i uścisk na podziękowanie.

Takich sam należy się i **Burzliwej Naturze**, która jednak umie być, jak widzimy i serdeczną naturą.

**Rajskie Jabłuszko** przysłało nam kwiatek, który powiedział wszystko co mu kazano. Od siebie przesyłamy za to Jabłuszku prośbę, aby rozumieć chciało, że ramy naszego pisemka są szczupłe i że wiele innych rzeczy musi mieć pierwszeństwo przed Skrzynką do listów i tak już czasem za obszerną.

**Niezabudce z nad Chomoru** żyły, nie tylko Świąt wesołych, ale i błogosławieństwa Bożego, biedne dzieci, o których cichy ten kwiatek pamiętał.

**Rumianemu Jabłuszku** wszyscy obdarzeni fiołkami dziękują za kwiaty, a więcej jeszcze za pamięć serca, poczciwie pamiętającego o zrobieniu przyjemności drugim.

**Lucio des E.** nadesłał dobre rozwiązanie, **Gospodarz** łami-główkę, która (jeżeli się okaże dobrą) czekać musi na swoją kolej, a **Orzeł** także łami-główkę, której nie opatrzył rozwiązaniem i dla tego drukowaną być nie może.

**Pani Kons. Tur.** Adres do Kijowa został nam przysłany pocztą. Opłatę odbraliśmy tylko za kwartał I-szy na żądanie jednak posyłamy pismo bez żadnej przerwy podług ostatnio wskazanego adresu.

Kochana **Kapłanko Znicza!** Bardzo mi się podobasz i chciałabym z tobą korespondować. Zdaje mi się, że ci na imię Antosia K., czy zgadłam? Ja jestem jedynaczką, uczę się w domu, na imię mi Zosia. Całuję cię i proszę o rychłą odpowiedź. *Pieszczotka.*

Kochana **Cygancko z nad Wisły!** Czy dawno jak pisujesz do „Wieczorów”? Ja dopiero od kilku miesięcy. Bardzo mi się podobasz. Nazywam się Zosia i uczę się w domu. Donieś mi jak się nazywasz i ile masz lat, prosi o to *Pieszczotka.*

Kochana **Jutrzenko!** Mieszkam gdzie i ty, uczę się muzyki i różnych nauk, z których najlepiej lubię historię powszechną. Cieszę się, żeś do mnie napisała i proszę cię donieś mi co o sobie. Mieszkając w jednym mieście może z czasem poznamy się. Całuję cię serdecznie. *Wesoła Krakowianka.*

Dziękuję wam wszystkim, drogie siostrzyczki za wasze liściki. Najpierw tobie kochana **Jaskółeczko z nad Sekwany**, za uściśnienia przesyłam milion całusów. Trudne zadałaś mi pytanie, droga **Różyeczko z Wołynia**, wszystkie bowiem nauki lubię, ale najlepiej chyba... fizykę. Dziękuję ci miła **Różyeczko Jerychońska** za twój liścik. Proszę donieś mi co o sobie. Czy ci się podobała nowelka „Było ich trzy”? mnie bardzo. Oj! mój leniuszku Zosiu w Bis., czyż nie zbierzesz się napisać nigdy do „Wieczorów”? Obierz sobie jaki pseudonym i pisuj, gdyż jak się zobaczymy w Chotiaczewie, to będzie ci wstyd. Krynico droga, czy zapomniałaś o naszym pisemku, że się do niego nie odezwiesz? Ścisła was wszystkie i prosi o odpowiedź *Światelko.*

Serdeczna nasza **Ako!** Bardzo mi jest miłym twój pseudonym, bo mój ukochany, półtoraroczny braciszek tak nazywa starszą naszą siostrę **Hanię**. Ciekawą jestem czemu go sobie obrałaś? Czy **A. K.** nie są pierwszmi literami twego imienia i nazwiska? Pisujemy do siebie; mam lat 12, nazywam się **Fila (Filomena)** jestem blondynka i mam oczy czarne, mieszkam na Wołyniu. Ciebie o takie same wiadomości proszę. *Kwiat Paproci.*

Kochana **Mgło!** Szczegóły zamieszczone w twoim liściku odnoszą się do **Gloksyni**, którą znam dobrze, a ciebie troszkę z jej opowiadania. Siostra **Gloksyni** ma pseudonym „**Radomianka**”. Jestem twoją imienniczką, może będziemy z sobą korespondowały. Całuję cię; *Mmoza.*

Rad jestem, kochany **Skanderbegu**, czyli **Iskander Beju**, że cię zajęło moje opowiadanie. Jest ono tylko wiernem powtórzeniem tego, co słyszałem od naszego poczciwego **Islandczyka**. Niestety od czasu jak od nas odjechał, nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Powiedz mi co lubisz najwięcej? Ja jeździć z ojcem sankami na polowanie. Twój *Soból Irkucki.*

Kochana **Goryczko!** Z chęcią będę korespondować z tobą, bardzo mi się podobasz z opowiadania mojej nauczycielki. Mieszkam we **Skwirze** i bardzo bym chciała z tobą się zobaczyć. Nazywam się **Janinka** i mam troje rodzeństwa. Całuję cię serdecznie. Twoje *Rajskie Jabłuszko.*

Czarną **Perelkę** i **Polną różyczkę** pozdrawiam i proszę żebyś mi co o nich doniosła.

Kochana **Makolągwo!** Czy i tobie tak jak i mnie podoba się w **Wieczorach** życiorys **Alfonsa XIII-go**, bo ja zachwycona jestem jego historią. Czyś tańczyła w karnawale? Ja uczę się tańczyć, więc byłam na kilku wieczorkach dziecińczych. Zgadnij kto jestem i odpisz twój *Różyeczko Chińskięj.*

**P. S. Konwalijce z nad Warty** zasyłam uściśnienia i zapytuję czemu do mnie nie pisze?

Kochana **czarnooka z Puszczy!** Mam lat 12, dwie siostry i uczę się w domu. Donieś jak ci na imię? wiele masz lat i rodzeństwa? gdzie się uczysz? Jak ci się podoba „**Szesnastoletni wojewoda**”? bo mnie bardzo. Całuję cię serdecznie *Burzliwa Natura.*

Drogi moje: **Jedlinko, Westalko, Ciociu Figo, Gwiazdko** nadziei i **Jaskółko z nad Ussy!** Jedlinko kochana i ja cię polubiłam, pisujemy do siebie, czy zgoda? Nazywam się **Janinka**, mam lat 14. **Westalko** luba, mieszkamy na Litwie i rzadko bywamy w Warszawie, **Cyganeczko** i ciebie uważam za dobre dawne znajome. **Ciociu Figo**, młodsza moja siostra nosi pseudonym **Chmurki złocistęj**, ja też żałuję, że was nie poznałam. **Gwiazdko** nadziei moja milutka, pisałam już raz do ciebie, lecz ten list zaginął. Gdzie mieszkasz? **Straciłyśmy nadzieję** zobaczenia cię kiedy, moja droga **Jaskółko**, czy „**Strzała**” już nie wychodzi? Ścisłam was wszystkie serdecznie, życzliwa *Topolka srebrna.*





## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## SYON.

Nie tylko w ziemi św. napotkać można Syon, od niepamiętnych bowiem czasów, miejscowość tego nazwiska była stolicą szwajcarskiego kantonu Walii, siedliskiem biskupów, i niby małą Jerozolimą, do której kościołów pielgrzymowały nieustannie tłumy ludu. Jest to bardzo starożytne miasto oryginalnego wyglądu, znane już za czasów Juliusza Cezara, leży w malowniczej górskiej okolicy, w pobliżu ujścia Syony do Rodanu. Nieprzystępne już z powodu urwistej dokoła przyrody, jak to widzimy na rycinie naszej, otoczone jest nad to fosą, wałem i murem potężnym. W bramach są tu pomalowane obrazy, których treść poczerpnięto z Pisma św. Wązkie kręte uliczki, wspinające się po stokach przepaści- stych skał, mają bardzo stare domy obok nowych zupełnie. Wieńczą wszystko, na szczytach skalistych osiadłe dwa pyszne gotyckie zamczyska zwane: Tourbilon i Valeria, w ostatniem z nich zachowują się jeszcze szczątki obszernej kaplicy. Spustoszenie obok śladów dawniej potęgi i przepychu widne tu wszędzie, zewsząd też roztacza się przecudowny widok na Alpy, jakiemu trudno równie pięknego znaleźć. W mieście wśród innych starożytnych budynków, odznacza się kościół katedralny architektury bizantyjskiej, z piętnastu ołtarzami i mnóstwem pomników, oraz stara bardzo *Psia wieża*, o której ponure snują się



Syon.

legandy, dotyczące srogiej kary, wymierzonej tu niegdyś wielkiemu winowajcy, przez jednego z sabaudzkich książąt. Poniżej, przesłiczne drożyny wiodą do kilku klasztorów. Wszystko tonie w gajach morwowych, figowych i w winnicach o przewybornym owocu. Patrząc na to rozkoszne otoczenie, smutno jest pomyśleć, że miasto Syon ośm razy we krwi się skąpało, zdobywane straszliwym szturmem. W r. 888 zdobył je najpierwszy Rudolf I-szy Burgundzki, ostatecznie zaś w 1798 r.

Francuzi. Pomimo tak pięknej i zdrowiodawczej napozór przyrody, ludność kilkotysięczna smutny przedstawia widok, gdyż w znacznej części dotknięta jest kretynizmem, czyli niedołęztwem umysłowym.

## POD WPŁYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— To prawda! — przyznała szczerze młodzież zdziwiona, sprawdzwszy kule — a więc któż zabił niedźwiedź? bo co piastuna to Petöfi zabił nożem, a ty dobiłeś go tylko toporkiem. — Góral rozśmiał się:

— Jakto, czyliż nie zauważyliście panowie jeszcze jednego, najpierwszego strzału? — zapytał — czyliż sądzicie że ja i ten pan oto powstałibyśmy z pod łap niedźwiedzi, gdy nam swiom zwyczajem zabębniła po głowach, gdyby na mgnienie oka wprzód, nie otrzymała ona już śmiertelnego strzału, który obezwładnił jęj ciosy?... a przecież i tak upadliśmy pod nimi!...

I góral wskazał przesyta kulą czaszkę niedźwiedzi, i Szandora nabijającego broń z pośpiechem: panowie spojrzeli po sobie.

— Petöfi, czy pozwolisz się uściskać i o przebaczenie prosić za *tamte* moje słowa?... — spytał oficerek, który przed chwilą tak z pańska przemawiał do żołnierza.

— Teraz dopiero widzimy że winniśmy ci życie — mówił drugi i wszyscy ściskali go serdecznie.

— Panowie muszą być z miasta, a tamten z lasów lub puszt, lepiej zna się ze zwierzem wszelakiem — mówił góral z uśmiechem. — A teraz w drogę czas!

Przyłożył ręce do ust i przeciągłe wywoływał hasła, aż przyszło kilku górali, obładowanych skórami wilków, któremi właśnie byli niezbyt daleko zajęci.

— O!... i ta stara niedźwiedzica padła z potomstwem oprócz wilków!... no, z łaski panów będą mieć spokój nasze stada do czasu! — cieszyli się górale.

— E, przecież niedźwiedzica nie chwyciła wam stada?... niedźwiedź nie jest mięsożerny!

— Oj oj i jak jeszcze, zwłaszcza gdy mu głód dokuczy!

— Hm!... — dziwili się panowie znajdujący niedźwiedzia z książki — a co zrobisz z niedźwiedziami Petöfi? twoje są!

— Róbcie z niemi co chcecie; nie mam komu podarku z nich robić — westchnął.

— No to zabierzcie je i dostawcie do naszego gospodarza pana Vallosy, wiecie, tu w najbliższym dworcu, gdzie się to w okolicy winobranie odbywa, a nas aż z Szopronia na to winobranie gościnny gospodarz zaprosił, oddajcie mu niedźwiedzie w podarku od pana Petöfi. My tam podążymy zaraz, jeżeli jak mówicie, więcej wilków w okolicy niema. Tylko, możeby i parę kóz można gospodarzowi upolować na pieczeń?

— Ha, czemu nie; ale zapolujemy po pańsku nie po naszymu, kiedy jest panów kilku... chodźmy tedy! A wy z niedźwiedziami w swojej drogę w dół! — Rozdzielono się znowu, większa część górali poszła w dół, wlokąc na gałęziach niedźwiedzie, panowie zaś z trzema góralami ruszyli w górę.

— Jakże to poluje się po waszemu?

— E, to my tak najczęściej wychodzimy pojedynczo w góry, wzięwszy w torbę żywności na dni kilka. Przyczaić się trzeba na przesmyku gdzie zwierzęta chodzą i czekać; kto świadomy kozich zwyczajów nie czeka długo. Koza ukaże się gdziekolwiek, czasem w przepaści pod stopami, wtedy trzeba się położyć na skale, wychylić w przepaść, zmierzyć i strzelić... a już kulą, nieinaczej.

— To trochę trudno tak polować?

— Najgorzej jak mgła zaskoczy, a taka bywa gęsta że własnych nóg nie widzisz... wtedy to już koniecznie usiądź

w miejscu i siedź, kilkanaście godzin niekiedy, bo się ani ruszyć nie można, póki nie ustąpi.

Rozmawiając, strzelcy wyszli z lasu. Przedzierając się z trudem pośród skał, ponad samą przepaścią na tysiąc stóp głęboką, dosięgli wkrótce jednego ze szczytów. W oddali czerniały lesiste wzgórza, z przeciwniej strony jaśniał nierówny grzebień wierzchołków, w około szumiały bystre potoki, poniżej błyszczały jeziora wśród gór.

— Petöfi! smutniejszy jesteś niż kiedykolwiek, co tobie? Czyżby przypadkiem moja poprzednia niedorzeczność tak cię dotknęła, o wrażliwy i drażliwy poeto? Pomyśl, że podobne dowody wykwintnej uprzejmości, ubliżają tylko tym, którzy je składają, i zapomnij! — prosił młody oficer.

— Dzieciństwo; zapomniałem dawno — odparł żołnierz, ściskając podaną rękę. — Sam nie wiem co mi jest; przypuszczam że te góry potęgują we mnie wieczną tęsknotę za równiną.

— Tak, a my gwałtem namówiliśmy cię do tej wycieczki, aby cię rozerwać. Otóż wynaleźliśmy lekarstwo gorsze od choroby.

— Nie; bądź pewien że tylko wasza niezasłużona przyjaźń i względy dla niższego, powstrzymują mnie, od mimowolnej rozpacz.

— Niższego... stopniem!... Twoje ukształcenie i umysłowe zdolności wyżej cię daleko od nas wszystkich stawiają. Dla tego powiem ci że poprostu boli mnie gdy widzę, jak odmiatasz śnieg w koszarach i t. p. pełnisz posługi!

— E, to dzieciństwo!

— A zresztą — dodał inny oficer słysząc rozmowę — kto wie czy ten stan stałego przygnębienia w jakim się znajdujesz, nie jest prostym skutkiem zbytnej pracy, przepracowania się, jak lud nazywa. Bo też, przyznam się, dla obarczonego pracą żołnierza uczęszczać jeszcze w wolnych godzinach na kursa do liceum i odpowiednio odbywać studia... to trochę za wiele...

— Wcale nie; owszem, wszakże na tych kursach poznałem się z Wojciechem Pakhem redaktorem *Pesti hírap*, który teraz drukuje niektóre moje pieśni... Przeciwnie, pośród was jest mi tak dobrze, że z przestachem myślę o wysłaniu pułku do Kroacyi... tam nie znajdę ludzi takich jak wy...

— To my się postaramy, użyjemy wpływów i stosunków aby zostawiono cię z nami! Tylko nie poddawaj się tej jakiejś niepojętej rozpacz, jeżeli to tylko istotnie nie najprostsza tęsknota za rodzinnym stepem, gnębi cię wśród tych pysznych Karpat... jakkolwiek jeśli komu to właśnie tobie one serceby wzruszyć powinny: popatrz na nie! przemów do nich!

Wszyscy przystanęli, Petöfi potrząsnął głową i mówi zwolna:

— Pyszne Karpaty w koronie świerkowej,

Wasze uroki serca mi nie wzruszą,

W strome urwiska, w cieniste parowy,

Nigdy marzącą nie zabłąkam duszą.

Milsza mi stepu przestrzeń niezmiernona,

Step mi rodzicem nie oddan go za nic,

Jak orzeł z gniazda rwie się serce z łona

Patrząc w widnokrąg bez brzegu, bez granic.

Duch mój na skrzydłach leci ztąd w obłoki,

Obszar mu ziemski już starczyć nie może,

A step się do mnie uśmiecha szeroki,

Od brzegów Cisy po Dunaju łoże.

Tam Delibaba w rąbek tęcz spowita

Przepływa górą... tam na bujnej trawie

Olbrzymie woły pasą się do syta,

A nad studniami w krąg sterczą zórawie...

— Co znowu! — zawołał oficer chwytając w ramion żołnierza, któremu rzęsiście lzy po licu spływały — ty, którego dopiero co widzieliśmy w zapasach z niedźwiedziami, ty płaczesz? Wstydz się. Albo raczej nie, nie wstydz się, ty! zwierż się nam, musi tam być na dnie twój duszy ciężka jaka rana bezustannie krwawiąca, ale czyliż szczerza przyjaźń mi łaby wobec niej być bezsilną?...

— A więc tak — szepnął poeta wspierając czoło na ramieniu przyjaciela — ale nie teraz czas o tem mówić, bo oto...

— Teraz tedy, rozejdziecie się panowie na stanowiska — rzekł stary góral.

— Ale opowiesz przy pierwszym spoczynku, pamiętaj! — wołano.

— Dobrze, przy ognisku, o północy, bo to niezmiernie romantyczna historia z cygankami, z przepowiedniami... — uśmiechając się smutno mówił Petöfi.

— Och!... przepadam za tem! — westchnął najmłodszy z oficerów — pamiętaj!

— Panów porozstawiam na wiadomych mi przesmykach, u brzegu góry — objaśniał góral — a sam pójdę wierchami i spuszczać będę kamienie jeden za drugim; spadzisto tu bardzo, kamień każdy stoczy się aż do dna przepaści\* i popłoszy kozy; spłoszone uciekać będą, tedy ino patrzeć należy i strzelać!

Plan zdawał się niezmiernie pierwotny, niemniej okazał się skutecznym. O zmierzchu strzelcy siedzieli już w zaciśniętej dolinie, przy dobrem wesołym ognisku, a dwie przepyszne kozy wisały na najbliższej gałęzi.

— No, opowiadaj teraz tajemnice twoje — nalegali oficerowie — chyba że to odnowi twą boleść?... w takim razie przebacz że cię nudzimy...

— Nie mam właściwie tajemnicy, to, co opowiedzieć mogę o sobie, to jest raczej sam tylko ból, niezrozumiały dla mnie samego, i nic więcej — półgłosem smutno rzekł Petöfi. — Byłem jeszcze malcem i żyłem pełnią szczęścia, bo nie brakło mi nawet świadomości tego szczęścia, czego dzieciom zwykle brakuje, gdy wtem raz cyganka znajoma wróżył mi miała. Pamiętam że rozkazała mi improwizować i musiałem, choćbym był nie chciał, pod ognistym spojrzeniem jej czarnych oczu. Wzruszenie jakie opanowało mnie w owej chwili, odjęło mi częściowo przytomność... nie wiem czemu wtedy gniewem szalonym zapłonęły oczy cyganki, pamiętam tylko wzniesioną jej nademną jakby rzucającą przekleństwa rękę, chudą, niby że tajemniczy jakiś wpływ cięży nademną. Bóg widzi jak serdecznie kocham ojca i matkę, życie oddałbym za nich z pewnością, a jednak nie mogę się zdobyć na długoletnie ślęczenie w papierach w kierunku jaki mi narzucają; a przecież nauka w ogóle także jest mi pożądaną i miłą. Ile razy zaś w niedługim dotąd mem życiu ma nastąpić zwrot szczęśliwy, ile razy okoliczności usposobią mię do poddania się wymaganiom ojca, coby mi z pewnością przywróciło chwilę dawnego w dzieciństwie szczęścia, zawsze spotkać muszę na mojej drodze też samą chudą, w czerwonej płachcie cygankę, jakby przepowiednię niedoli. I natychmiast uległość moja znika, a los nieszczęsny, przeciw mej własnej woli, unosi mię dalej niż kiedykolwiek z prostej drogi życia, na której jedynie mógłbym szczęście znaleźć, dając niem wzajem starych rodziców. Opowiadałem wam już w jakich okolicznościach uciekleś ze szkół, otóż koń w rodzinnej mej wychowany puszczie i własne serce unosiły mię wówczas prosto w rodzinne strony. Wątpliwości nie ulega, że gdyby nie zaszyły postronne wpływy, byłbym wprzód padł ojcu do nóg, zanimbym oprzytomniał w szale mej ucieczki, a rodzice przytuliliby mię, bo właściwie nie było jeszcze winy we mnie. Ale cyganka w czerwonej płachcie zjawiała mi się przed koniem, jakby z ziemi wyrosła, obudziła we mnie rozważę, namysł i wspomnienie domowej karności, i... mimo własnej wiedzy i woli sama moja ręka, zwróciła mi konia w bok, z prostej ścieżki żywota. Jednakże chwiała się jeszcze losy moje; byłem w pobliżu chaty rodzinnej, czułem dym jej ogniska, w chwilę później znalazłem się wśród rozumnych starszych przyjaciół, dzielny pasterz pojmując doskonale moje położenie, byłby, jak sam to wyznał, uspokoiwszy chorego i wzburzonego dzieciaka, oddał go kochającym rodzicom, i znowu schroniłbym się przy ich sercu i szczęście odnalazł. Ale oto zjawia się natychmiast cyganka w czerwonej płachcie, oznajmiając że ojciec mój znaczną za odnalezienie mię ogłosił nagrodę... więc dumny pasterz sam coprędzej odprowadza mię z rodzinnych stron dalej w świat, aby ojciec choćby przypadkiem nie

znalazł mię u niego, a hańba zdrady za pieniądze nie zawisła nad mianem Pal'a czikosa... Natenczas stanąłem już na zupełnie fałszywej drodze, ale szedłem nią dalej, tak jak kamień ten puszczonej z wierchołka góry, toczy się w dół po jej pochylności. Miłość rodzicielska próbowała mię przeciw jeszcze raz ocalić, gwałtem zabierając pod własne skrzydła. Znalazłem się znowu w domu i wpływ rodzinnego ogniska, z trudnością a powoli, zaczął mi już naprawdę uspokajać wzburzonego i starganego ducha, rozgrzewać zziębłą wśród nędzy i przy cudzych ludziach krew. Jak na piętnastoletniego wątpliwego wyrostka, zniósłem już sporo zimna i głodu, wylałem dosyć łez; byłem stanowczo zdecydowany pójść nakazaną mi, troskliwie przygotowaną przez rodziców drogą, którą niechybnie mógłbym przejść życie wygodnie i użytecznie. Byłem tem uległy i posłuszny więcej, że lepij niż dawniej rozumiałem znaczne cele i powody narzucającej mi despotycznie na pozór woli. I oto w tej chwili przełomu, mającego stanowczo i ostatecznie postanowić o moim losie, staje jeszcze raz przedemną cyganka w czerwonej płachcie, i rzuca mi w oczy i w serce tak piekielne szyderstwo, że od niego jak koń od dotknięcia rozpalonem żelazem, nieledwie oszalałem odrazu... Były to wszystko w gruncie rzeczy dziecinstwa, ale też cyganka dobrze znała piętnastoletnie dziecinne serce. Gdybym był choć trochę starszy, choć tak jak dziś jestem, byłbym stosownie do chwilowego usposobienia rozśmiał się jej w oczy, albo powiedział: *retro satanas!* precz odemnie szatanie, który jad twój złości w serce niewinne zaszczepiasz. Niestety! byłem na to za młody i nazbyt po dziecinnemu a gorąco brałem rzeczy. I oto teraz jestem winniejszemu niż kiedykolwiek. Oddany do liceum w celu kształcenia się na prawnika, zaciągnąłem się do wojska... Bitwa w której postanowiłem od razu wyjść na bohatera lub zginąć śmiercią szlachetnych, nie nadechodzi, a ja teraz poprostu oszukuję rodziców, którzy mniemają że uczę się w liceum... To już jest nikczemne! Powiedziałem wam wszystko, a gdybyście nie chcieli podać mi ręki po *tem ostatnim* wyznaniu nie dziwiłbym się wcale.

— I może należałoby tak zrobić... gdybyś sam nie uznawał twój winy — rzekł po chwili milczenia najstarszy ze słuchaczy, ściskając mu rękę serdecznie. — Jak sądzisz... gdybym ja też obecnie poparty przez kolegów uczynił to, co niezbyt dawno zamierzał przeciwki czikos Pal uczynić... gdybym poprostu opowiedział twym rodzicom ten proces duchowy, skutkiem którego dopuściłeś się ostatniego i nigrubszego błędu, pod wpływem tej jakiejś tajemniczej cyganki, mającej może istotnie jakiś skryty cel i przyczynę działania, np. złość do twój rodziny, lub też... może wpływ jej jest wytworem bujnej wyobraźni... trzeba pamiętać że poetą rzeczywistym jesteś!

— Ależ ta cyganka także rzeczywiście istnieje! — zawołał najmłodszy oficer.

— Może istnieje wybornie, a mimo to nie mieć nic wspólnego z nieszczęsnymi kolizjami młodocianego życia, szarpanej i unoszonej z wytkniętej drogi, jedynie własnego ducha rozterką. Cyganka włóczy się bezustannie w rodzinnych stronach Petöfięgo, więc zjawia się przed nim niekiedy, że jest złośliwą, zjadliwą, i szyderczą, to właściwość jej plemienia; resztę wymarzyć już mogła bujna i rozigrana wyobraźnia. A zatem, Petöfi, czy upoważniasz mię do pomówienia z twym ojcem?

— Nie, drogi przyjacielu!... chociaż serdecznie poproszę cię o to, jeżeli kiedy stosownej doczekam chwili. Ojciec mój jest gwałtowny, jak tylko syn, stepu gwałtownym być może. Gniew każdy, dopóki on go sam w sobie siłą woli nie przetrawi, wzburza go do uniesienia. Matka sama nawet ostrzegała mię i usuwała mu z oczu w takich chwilach, lękając się wywołać słowa, którego może oba... nie przeżylibyśmy...

— A tymczasem?... nie zapominaj że rodzice nie znając pobudek twego postępowania, sądzą cię prawdopodobnie fałszywie.

## Zmarnowane bohaterstwo.



**D**o morza Czarnego od Bałtyku, od Wołgi do Elby i dalej jeszcze poza Bałtyk, bo aż do Szwecyi, po za Elbę, bo do państw zachodnich Europy, dobiegało imię Karola XII-go króla Szwecyi, bohatera *wojny północnej*, która r. 1699 zakłóciła pokój Szwedów, Rossyan, Sasów, Duńczyków i Polaków. Od Bałtyku do morza Czarnego, od Wołgi do Elby i dalej jeszcze za Bałtyk, za Elbę, dobiegła sława zwycięstw, jakie odniósł siedemnastoletni król i wódz pod Narwą, w Inflantach pod Kliszewem i w innych miejscach, nad sprzymierzonymi przeciw niemu mocarstwami.

Cuda rozpowiadano o waleczności młodego bohatera: jak wytrwale znosi trudy obozowe, jak je dzieli z żołnierzami swymi, jak sam idzie zawsze na czele zbrojnych zastępów na nieprzy-

jaciela. Wśród wrogów i wśród obojętnych w tej wojnie dla Szwecyi, imię Karola XII-go budziło uwielbienie, Lwem niezwalczonym go nazywano. Lecz szczęście bywa niestałym, niedarmo pogańscy Grecy fortunę pod postacią niewiasty na kole jadącej wyobrażali sobie, dziś do tego zawita ona, jutro do innego odbiegnie... Doświadczył Karol XII-ty zmienności szczęścia: po zwycięstwach, jakie odniósł nad wrogami, doznał następnie klęski: krwawa bitwa, jaką r. 1709 stoczył pod Połtawą, wieńca sławy mu nie powiększyła, lecz takie było dlań uwielbienie, że mimo przegranej, imię jego zawsze z szacunkiem wymawiane było. Zgromiony, rozbity przez Piotra Wielkiego, Karol XII-ty schronił się do Turcyi, gdzie sława zwycięstw poprzednich dawno już dobiegła. Achmet III-ci panował wówczas w Turcyi, on również przejęty był czią dla walecznego króla Szwedów, a klęska jaką poniósł pod Połtawą nie osłabiała w nim tego uczucia. Dowiedziawszy się iż król bohater pokonany, na jego ziemi przytułku szukał, wysłał naprzeciw niego baszów i janczarów i poprowadził go kazał wspinać do Benderu miasta wznoszącego się wśród stepów Besarabii; tam otoczony honorami jakie królowi się należały, miał czekać Karol XII-ty chwili sposobnej, by pomścić zniewagę doznałą pod Połtawą.

I ciche rozkoszne wiódł życie, pobity bohater wśród zielonych równin Besarabii, leczyl się powoli z ran, jakie otrzymał w ostatniej bitwie i snuł plany na przyszłość, nie wątpił bowiem, że imię jego znowu przeleci od morza Czarnego do Bałtyku, od Wołgi do Elby i dalej, o wiele dalej jeszcze usta ludzkie je poniosą, głosząc świeżą jego sławę. Turcy, przydani mu przez sułtana, by straż honorową pełnili, Szwedzi, co z nim razem uszli z życiem z pod Połtawy, służyli mu wiernie, spełniali każdy jego rozkaz, zabawiali go w samotności, jedni grali z nim w szachy, inni czytali mu głośno lub wspominali boje stoczone i dnie płynęły dobrze w Benderze Karolowi, rany powoli się zagoiły, mógł marzyć znowu o bojach. Lecz kiedy dnia jednego wezwawszy oficerów, począł układać z nimi plan bitew, jakie zamierzał stoczyć, dano mu znać, że trzech baszów od sułtana z Konstantynopola wysłanych, pragnie z nim mówić. Karol kazał ich przyprowadzić do siebie, baszowie stanęli przed nim pokorni, ręce na piersiach złożywszy, pokłonili mu się nisko.

— Czego chcecie? — zapytał ich Karol.

— Pan nasz, wielki sułtan Achmet, najpotężniejszy ze wszystkich władców, kazał ci rzec królu, abyś państwo jego opuścił, wrócił do Szwecyi i o bojach przestał myśleć, bo on ci pomocy nie będzie mógł dać i gościem nie może cię mieć dłużej — rzekli posłowie.

Poblądł z gniewu Karol.

— Wypędza mnie wasz sułtan — krzyknął — lecz ja wypędzić się nie dam, ustąpię z Turcyi, gdy mi się podoba...

Baszowie pokorny ukłon złożyli.

— Wielki sułtan Achmet najpotężniejszy ze wszystkich władców — poczęli — czi i szanuje walecznego króla Szwedów i tylko zmuszony koniecznością gościny mu wymawia; na dowód, że jego przyjaźń się nie zmieniła dla ciebie królu, przesyła ci dar hojny, na dziedzińcu twego domu pięć dzielnych rumaków rzy i bije kopytami w ziemię, na nich lśnią zasiane drogiem kamieniami czapraki, oby rumaki te szczęśliwie dowiodły cię do kraju twego.

— Wyjadę z Turcyi, gdy podobać mi się będzie — odparł Karol stanowczo — co do koni, powiedzcie sułtanowi, że dary tylko od przyjaciół przyjmuje, a sułtan przestał być mym przyjacielem.

— Zasmuci ta odpowiedź wielkiego sułtana, gdyż chciał zgody, nie wojny — rzekli baszowie i skłoniwszy głowę na znak pożegnania oddalili się.

Domyślił się Karol XII-ty po tej odpowiedzi, że sułtan który z carem Piotrem Wielkim zawarł przyjaźń, przemocą będzie chciał go wyprzeć ze swego państwa, postanowił przeto przygotować się do oporu i kazał dom, jaki zajmował, do obrony przygotować, otoczyć wałem, broń i działa zebrać, ustawić. Zaledwie skończył przygotowania, zjawili się Turcy uzbrojeni, otoczyli dom i szturm przypuścili, walka zawrzała, strzały zawarczały, krew płynąć poczęła. Dzielnie z garstką wiernych mu Szwedów opierał się Karol, widząc Turcy, iż nie tak łatwo obalą ściany domu, postanowili ogień podłożyć, rzucili na dach ogniste pociski i w jednej chwili płomień ogarnęły budynek, dłużej pozostawać w nim nie mógł Karol, dobył przeto szpadę z pochwy, zwrócił się do Szwedów otaczających go i rzekł:

— Rzuciny się na nich, zginiemy wszyscy, lecz nie poddamy się.

Obecny tej scenie kapelan Karola XII-go, siwy już starzec, zbliżył się do niego.

— Królu odezwał się błagalnym głosem, nie narażaj życia twego i tylu innych, nie do ciebie ono należy, ale do Boga. Bohaterstwo twe bohaterstwem nie jest w tej chwili, lecz uporem, bo śmierci dla sławy tylko dobrowolnie poniesionej bohaterstwem nazywać się nie godzi; zginiesz marnie, a gdy Bóg się zapyta, dla czegoś życie oddałeś, coż odpowiesz?

Lecz Karol XII-ty usunął starca.

— Kto tehrzem jest — rzekł, kto śmierci się boi, niech idzie do sułtana niechaj bije mu pokłony, ja wolnym chcę umierać.

To powiedziawszy, zbliżył się do jednego z okien, pechnął je silnie, okno z hałasem wypadło i wyskoczył przez nie, a za nim jego żołnierz, żaden nie pozostał.

Spostrzegłszy biegnącego ku nim Karola z garstką ludzi za sobą, Turcy zdumieli i w pierwszej chwili zawahali się, co czynić: ich było setki, Karol miał tylko 60 żołnierzy, walka z taką garstką śmieszna i nieuczciwa była; lecz Karol wyprowadził ich z wahania, bo pierwszy strzelił z pistoletu jaki trzymał w rękę i powalił na ziemię jednego z Turków; czyn ten pobudził mużulmanów do zemsty, zawrzała walka na miecze. Garstka była Szwedów lecz dzielnie się bronili, pięć razy odparli Turków, a coraz w szczuplejszej liczbie, nakoniec kilku ich tylko zaledwie zostało, wtedy Turcy odcięli ich od króla i ciasnym kołem otoczywszy Karola, wyciągnęli ku niemu dłonie, by go wiaść do niewoli. Widząc, co mu grozi, Karol bronić się chciał i wznosił szablę w górę, by nacierającym cios zadać, wtem potknął się o leżącego na ziemi zabitego towarzysza, stracił równowagę i padł.



Kuna czatująca na zdobycz.

— Ała! Ała! — wyrwało się z ust Turków na znak radości, cisnęli się na leżącego i pojмали go, a lękając się, by im nie uszedł, zanieśli go na własnych ramionach do namiotu baszy Benderu i postawiwszy przed nim, rzekli:

— Oddajemy ci wielki baszo Lwa północy, pojmalıśmy go żywcem.

— Niechaj Przedwieczny będzie pochwalony za to, że cię królu od śmierci ustrzegł — odparł powolnym tonem basza. — Heroiczna twoja obrona w młodych wzbudzi może podziwienie, ale nie w starcach... Życie to skarb wielki dany od Boga, marnować go nie wolno, bo na to danem nam ono zostało, byśmy je użytecznie pędzili, dla dobra bliźnich je poświęcali...

Zginać w obronie sprawiedliwości chwała; lecz zginać dla częściej sławy to grzech... Wracaj królu do Szwecyi, naród bez pana, to jak dzieci bez matki, potrzebny teraz jesteś, pożytecznym będziesz.

Tak dwóch starców, lubo wyznaniem się różniących, jeden sąd wydali o oporze Karola XII-go.

Król Szwedów wysłuchał w milczeniu baszę, nie pokazał, że go obraziły te słowa, a czynem dał dowód, iż uznał ich słusność, gdyż opuścił Turcyę i do Szwecyi pośpieszył.

*Teresa Jadwiga.*

## KUNA.

Kuna jest zwierzęciem naszych krajów. A chociaż nie każdemu zdarzyło się ją spotkać, bo się kryje przed ludźmi, to jednak każdy widział jej piękne futerko, tumakami zwane. Poznać kunę bardzo łatwo, po jej wydłużonym kształcie (półtory stopy) długim puszystym ogonie i krótkich nogach. Głowę i uszy ma zaokrąglone, a pyszczek także wydłużony. Futro jej ciemno brunatne bywa dwojakiego rodzaju. Ciemniejsze droższe i piękniejsze, podobne do futra soboli, pochodzi od kuny zwanej „borową” i jaśniejsze zaś od spodu białawe od drugiego rodzaju, nazwanego „kamionką”. Kuny przebywają zwykle w lasach, gnieźdzą się wszakże niekiedy i w pobliżu mieszkań ludzkich. Nie budują sobie schronienia jak inne zwierzęta, tylko szukają gniazd gotowych. Najczęściej zabierają je wiewiórkom w dziupli drzewa. Wypędzają wtedy właścicielkę i zamieszkują ją własną, jej siedzibę.

W ogóle można powiedzieć o kunie, że jest postrachem zarówno wsi jak i lasu.

Wytępia niezliczone mnóstwo ptaków, także myszy i szczury, nawet do drobiu się zakrada i dusi nielitościwie kury, geśi, kaczki, gołębie i t. p. Nie jest ona tyle żarłoczną ile krwi chciwą, tępi bowiem więcej niż zjeść może. Mięso zjada tylko wtedy, kiedy jest bardzo głodna, a zwykle ofiarom mózg wyjada i krew wysysa.

Przytem jest tak drapieżną, że rzuca się nawet na osobniki swego rodzaju słabsze od siebie i dusi je także.

Niebezpieczniejszą jest od innych zwierząt i dla tego że doskonale pnie się po drzewach, czepiając się ostremi pazurami i skradając pocichutku. Czasem parę godzin wyczekuje, nim przyjdzie właściwa chwila rzucenia się na zdobycz.

Najstraszniejszym nieprzyjacielem kuny jest myśliwy, polujący na jej piękne i lekkie, a przeto kosztowne futro.

Do pokrewieństwa kuny można zaliczyć, tchórza, sobola, wydrę, gronostaja i inne.

Wszystkie one należą do drapieżnych, mięsożernych zwierząt, znajdując się w krajach północnych i umiarkowanych.

*Marya Weryho.*

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

— Cóż tam takiego? on nie zwykł bać się wody! — mówił Tomek. Nowy przewodnik patrzył uważnie na psa, powtarzając wyraz, którego nikt nie rozumiał i wskazując palcem na potok.

— Czyby tam były kaimany? krokodyle? — spytał go kapitan.

— Nie, nie — odrzekł wstrząsając głową i powtórzył wyraz poprzednio wymawiany.

— Ruszajmy dalej — powiedział Melchior, wyrzekając się go zrozumieć i wchodząc na most z lianów, a Dabby prowadził muła brodem. — Gdy Kasztan zobaczy nas na drugiej stronie, zdecyduje się i on przebyć potok.

Wistocie, gdy Melchior miał już zniknąć za skałą na zakręcie drogi, pies się zdecydował. Wszedł w wodę i płynął dzielnie, ale wyjąc przytem boleśnie.

— Biedne zwierzę! — zawołał Tomek, pozostawszy trochę z tyłu, aby czuwać nad swym czworonożnym przyjacielem przy jego wyjściu z wody, nic dziwnego, że nie chciał wejść, patrz wuju jaki ma naszyjnik!

Wszystko się wtedy wyjaśniło: całe gardło Kasztana pokryte było pijawkami, bardzo krótkimi, ale grubymi jak palec. Tomek copędzając uwolnił od tej męczarni swego wiernego towarzysza.

We dwa tygodnie potem, wędrowcy dotarli do stóp An-

dów, które jak wiadomo przeryniają Amerykę Południową i łączą się z Kordylierami Ameryki północnej przez między morze Panama. Rozbili namiot na wybrzeżu małego jeziora górskiego. Noc była spokojna, nie było ani chmurki na niebie, a gdy księżyc zeszedł, zarysy małego jeziora odznaczyły się wyraźnie.

Gdy nazajutrz udano się w dalszą drogę, Melchior zwrócił uwagę wszystkich okrzykiem: Lamy! lamy!!

— Tak lamy dzikie — rzekł kapitan, może uda się nam złować kilka żywcem, bo te zwierzęta nie są zbyt dzikie i pozwalają łatwo zbliżyć się do siebie.

Rozpoczęto zatem polowanie, kryjąc się za każdym krzakiem, za każdą kępą drzew. Zwierzęta wyraźnie nie a nie się nie bały, jednakże Tomek źle stąpiwszy osunął kamień, który spadł na dół z hałasem stokroć powtórzonym przez echa. To starczyło aby przestraszyć całą trzodę. Lamy popatrzwszy chwilę naokoło uciekły o jakie pięćdziesiąt kroków i zatrzymały się znowu, spoglądając poza siebie.

— Pogonię za nimi — mówił Mathias.

— Chyba że kapitan ma bardzo dobrego konia! — rzekł Menito.

— Konia? czyś oszalał? — rzekł Dabby. Kiedyż to widziałeś konia, któryby w biegu dorównywał lamie?

— To prawda, że lamy mają dobre nogi — odparł Mathias — ale jest między nimi jedna młoda, a więc chcę spróbować...

Mówiąc to skoczył naprzód. Lamy znowu wzięły nogi za pas, ale młoda znajdująca się między nimi nie była w stanie dotrzymać im kroku, pozostała więc w tyle, zarówno jak jej matka, która nie chciała jej pozostawić. Zmieniła zamian jednakże, widząc że kapitan pędził do niej konno. Przerazona uciekła, pozostawiając małą jej przeznaczeniu.

Widząc że nie może uciec, młoda lama wśliznęła się w krzaki sąsiedne i ukryła w nich w przekonaniu, że myśliwy przejedzie i jej nie zobaczy. Jednakże nadzieja ją zawiodła, i w dziesięć minut później Indyanin powrócił do towarzyszy z ładną małą lamą, barwy daniela leżącą w poprzek siodła.

— Zupełnie jak mały wielbłąd bez garbu — rzekł Tomek, gdy postawiono zwierzę na nogach, wyjąwszy że jest lepiej zbudowane, ładniejsze i niema głupowatej miny wielbłąda.

W istocie są pewne podobieństwa między temi gatunkami zwierząt, i obydwaj oddają ważne przysługi człowiekowi. Jak pustynie afrykańskie byłyby nie do przebycia bez wielbłąda, tak samo Kordyliery w Andach byłyby niemieszkalne bez lamy. Krajowcy posługują się nimi jak domowemu zwierzętami. Używają ich mleka i strzygą wełnę. Podobnie jak wielbłąd, lama jest niezmiernie wstrzemięźliwa, zadawalnia się mehem i janowcem, którego szuka pod śniegiem. Zwierzę to przyswaja się łatwo i przywiązuje się do tych, którzy mają o niem staranie.

— Oj mój wuju zostaw mi tę lamę i pozwól ją wychować; będę miał o niej największe staranie, upewniam cię — rzekł Tomek.

— I owszem, jeżeli potrafisz.

W pobliżu południowej granicy Nowej Grenady, pagórki które nastąpiły po górach, wyrównały się i zmieniły w rozległe błonia zasiane kępami drzew i obfitujące w zwierzybę. Myśliwi zabili kilka bażantów i kilka królików na żywność i zdobyli ptaka, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli wprzód. Miał on długie nogi i krótkie skrzydła jak młody indyk, ale był dziesięć razy większy. Po uważnem obejrzeniu, Melchior poznał w nim kazoara. Ptak ten bywa nazywany strusiem amerykańskim, jakkolwiek niema jego postawy, ale zawsze jest po nim największym ptakiem z rzędu. Pióra jego, zamiast być jak u strusia długie, miękkie giętkie i oblamowane puchem delikatnym i jedwabistym, są twarde i tak mało pierzaste, że wedle uwagi Tomka, podobne są raczej do sierści, niż do piór; mimo to, są bardzo poszukiwane do stroju.

Melchior oglądał jeszcze kazoara, którego schwytał, gdy cała gromada tychże ptaków ukazała się w odległości. Menito

i Kasztan skoczyli w pogoń za nimi; ale schwytać kazoara w biegu jest prawie takim samym niepodobieństwem, jak strusia.

O południu zatrzmiano się na spoczynek pod ogromnym bananem, który zarazem dawał posiłek i schronienie przed upałem. Jego liście, niektóre długie na dwa łokcie tworzyły przepyszny baldachim zielony, z którego wyglądały grona lub gałęzie obciążone owocem. Banany najczęściej jedzą się pieczone, ale na ten raz wyglądały tak zachwycająco, że Tomek oświadczył iż muszą być i na surowo doskonałe, i po doświadczeniu, na które on pierwszy się ofiarował, wszyscy przystali na jego zdanie.

Podczas gdy wędrowcy zajęci byli kosztowaniem owocu bananów, jakieś stłumione szeptanie dało się słyszeć nad ich głowami, i Melchior spostrzegł, że drzewo zawierało całą kolonię małp, które założyły swą kwaterę główną u samego wierzchołka.

— O, mój wuju! — szepnął Tomek do ucha kapitana — czy przypominasz sobie, żeś mi mówił iż małpy chwyta się podstępem? Gdybyśmy też spróbowali teraz? Wszak te jeszcze nas nie widziały?

— Tak, ale jakiegoż możemy użyć podstępu?

— Bibisia może nam posłużyć tak jak to już raz uczyniła, gdy chodziło o małą zbiegłą małpkę.

— A więc poprobujmy.

Zatem Bibisię na długim sznurku uwiązaną puszczone na drzewo. Sznurek wkrótce się uplątał co było do przewidzenia; Bibisia czując, że dalej postąpić nie może zaczęła jęczeć i rozpaczać. Jej narzekania ściągnęły uwagę jej ziomków z góry drzewa. Jedna małpa zesłała niżej aż do miejsca z którego pochodziły skargi i zoczywszy nieznaną, rozpoczęła szczebiotać na gwałt po swojemu; natychmiast gromada towarzyszek przyłączyła się do niej, były to samce po większej części, bo samiczki, zwłaszcza mające małe, są bardzo ostrożne i nie łatwo się narażają, zaraz też wszystkie uciekły na sam szczyt drzewa, chroniąc się przed niebezpieczeństwem, jakie przeczuwały.

Nagle okrzyk przerażenia dał się słyszeć nad głowami podróżnych, i małpy otaczające Bibisię znikły w mgnieniu oka. Chcąc wiedzieć, co się dzieje, Melchior z towarzyszami wyszli ze swego schronienia, aby spojrzeć na drzewo. Ujrzeni wtedy orła, z gatunku tych samych, z jakim Menito miał już do czynienia, orła-harpie który, krążył nad drzewem, opisując wielkie koła. Nagle spadł na drzewo i porywając w szpony małpę, która nie zdążyła się sebronić, chciał ją unieść wraz z małpiątkiem które w rękach trzymała. Biedne stworzenie chwyciło się drzewa ze wszystkich sił, ale orzeł bił ją raz po raz skrzydłami i dziobem, aż musiała się puścić. Natenczas czując się zgubioną, ale chcąc przynajmniej ocalić swoje małe uczepione jej u szyi, zebrała wszystkie siły, oderwała je od siebie, rzuciła na drzewo, i dopiero poddała się swemu przeznaczeniu. Melchior rozczulony odwagą i poświęceniem biednego stworzenia, strzelił do orła, ale ten był już nazbyt daleko.

Miano nadzieję obiadować doskonale dnia tego, bo nie mówiąc już o owocach rosnących wszędzie w obfitości, Melchior upolował kilka bażantów i królików, a nadto znaleziono doskonale kartofle, które pozostawało tylko upiec. Postanowiono zatrzymać się przy źródle wytryskującym w głębi parowu.

W głębi tego rozdołu, była łączka, tak bujna i zielona, że Czarnulo zdaleka zarżał radośnie na ten widok. Wrzaski mnóstwa wron, zamieszkujących szczyty drzew odpowiedziały mu, a niektóre zleciawszy ku podróżnym krążyły jakiś czas koło nich przypatrując się, a potem uciekły, opowiadać drugim co widziały.

— Mój wuju, pozwól i mnie wystrzelić! — prosił Tomek.

— Idź ale spiesz się — odparł kapitan. — Obiad za chwilę będzie gotów.

Tymczasem Menito poprowadził muła pić, i tak wychwalał przejrzystość i chłód wody u źródła, że Melchior wzięwszy wiaderko powrócił tam z nim po wodę.

Szli rozdołem już od dziesięciu minut prawie, gdy nagle

Menito uchwycił rękę towarzysza. Instynktowo prawie, w tejże chwili oczy kapitana spotkały się z oczami zwierzęcia przy czajonego za drzewem, o piętnaście kroków mniej więcej od miejsca, w którym się znajdowali. Była to pantera.

Żywo położył rękę na ustach Menita, aby mu nakazać spokój i milczenie. Najmniejszy szmer lub poruszenie mogło rzeczywiście ich zgubić, bo pantera skoczyłaby na nich. Mały Meksykanin stał jak posąg kamienny.

Położenie było groźne: przez gałęzie i liście, pomimo cieni w wąwozie, łatwo było widzieć, że zwierzę gotowe było do czynu, cał za całem postępowalo, zbliżając się i spuszcżając głowę coraz bardziej aby łatwiej się rzucić. Melchior potrafił bez widocznego poruszenia wydobyć nóż i przygotowywał się drogo sprzedać życie.

Wtem odgłos wystrzału wstrząsnął powietrzem: jednym skokiem pantera przesadziła rzekę, a za drugim znikła im z oczu.

Wystrzał Tomka, skierowany ku wronom, sprawił ten niespodziany skutek, ocalił Melchiora i jego towarzysza z najgroźniejszego niebezpieczeństwa, w jakim znaleźli się kiedykolwiek od początku podróży. Kapitan odetchnął jakby mu ciężar spadł z piersi, a rzucając okiem na Menita, który go ciągle ścisnął za rękę, ujrzał lica chłopczyń zalane łzami. Biedne dziecko, jakkolwiek było uosobioną odwagą, nie mogło na ten raz zapanować nad swymi nerwami. Prędko wrócił do siebie, i uczył gwałtowne pragnienie zemsty nad zwierzęciem, które było przyczyną jego chwilowej słabości.

— Ta pantera ma prawdopodobnie legowisko swoje w wąwozie — rzekł do Melchiora — szukajmy, zabierzemy małe jeżeli są, a potem wrócimy zabić ją strzelbą pana.

Ale napróżno dla przyjemności dziecka i w nadziei powiększenia swych zbiorów Melchior uczynił o co go proszono. Nie znaleźli ani śladu pantery, i musieli wrócić do towarzyszy z próżnymi rękami.

— Mniejsza o to — rzekł Menito ze zwykłym wesołym niedbalstwem — ta mała przechadzka doda nam apetytu na obiad.

Nieszczęściem jednakże, był to dzień niespodzianek i to niespodzianek niemiłych. Gdy wrócili do swego tymczasowego obozowiska, Dabby Simon oznajmił im, zafrasowany okrutnie że obiad przepadł; króliki bażanty, kartofle, prócz tego kawał słoniny ośmioletowy, nic nie pozostało. Kradzież tę popełniono podczas gdy Dabby poszedł do źródła, aby poznywać talerze i półmiski cynowe, stanowiące cały zasób naczyń stołowych podróżnych. Podejrzenia mogły spaść tylko na nowo przyjętego przewodnika Józefa, ale ten odpierał je tak energicznie przekonując o swjej niewinności, że Melchior nie wiedział co o tem myśleć. Dabby Simon przecież nie wątpił wcale o jego winie, choć przyznawał że trzeba mieć apetyt nie do uwierzenia, apetyt dzikiego zwierzęcia, aby mózdz pochłonać taką znaczną ilość żywności w tak krótkim czasie.

— To pewno pantera pożarła — powiedział Józef, usłyszawszy o spotkaniu z panterą. — Pantery niezmiernie lubią króliki i bażanty, a co do słoniny to mogłyby zjeść jej całą beczkę nienasyciwszy się.

— Aha aha, pantera — mruczał stary Meksykanin. — No, ale cóż teraz jeść będziemy — dodał zwracając się do kapitana.

— Nic nam nie pomoże żałować tego co zostało skradzionem — odparł Melchior — szukajmy innych kartofli i upieczemy je. Nie pierwszy to ani ostatni raz będziemy mieć chudy obiad.

Była to wistocie najrozumniejsza rada, zabrano się więc do jej wypełnienia, ale zanim skończono skromny posiłek, było już późno. Zaledwie zdążono przed nocą zupełną dostać się do tego co Józef nazywał *castillo*, zamkiem. Była to mała stacya wojskowa, składająca się z opuszczonej chaty z modrzewiu, która mogła jeszcze na noc dać jaką taką ochronę wędrowcom. Dwaj przyjaciele, Tomek i Menito wyszukawszy i przyniósłszy kilka naręczy drzewa i suchych liści, rozpalili

w małym dziedzińcu ognisko, naokoło którego zasiedli wędrowcy.

Radziby byli po całym dniu podróży i trudów, spocząć spokojnie, ale całe niezliczone osady nietoperzy zamieszkałych w chacie nie pozwoliły im na to. Zaniepokojone ogniem i światłem, zaczęły latać nad głowami podróżnych, wrzeszcząc tak że mogłyby obudzić nawet twardo śpiących. Menito miał za to do nich żal tem większy, że go zbudziły ze snu najmilszego; śniło mu się że walczył na pięści z panterą i że jej nożem przebił gardło na wylot.

Inne głosy mieszając się przytem do wrzasków nietoperzy, mogły także wraz z wspomnieniami dnia ubiegłego, przyczynić się do wywołania w jego wyobraźni strasznych tych obrazów. Wilki czyli psy dzikie mające w długoletnim posiadaniu ten budynek, włóczyły się naokoło chaty wyjąc straszliwie, czem oczywiście wyrażały niezadowolenie i zdziwienie iż obcy przywłaszczyciele wtargnęli do ich posiadłości.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Oswojony puchacz.** Puchacze w ogóle należą do ptaków drapieżnych i dzikich, bywają wszakże pomiędzy nimi takie, które się dają oswoić. Profesor A. Wrześniowski przytacza w tym przedmiocie ciekawe szczegóły w czasopiśmie Wszechświat. Powiada że u p. K. leśniczego w Orawicach widział wychowanego przez jego córkę od pisklęcia puchacza samca, nazwanego Kubą, który, doskonale znał swe imię, bo na zawołanie odpowiadał głośnym sapaniem. Nadzwyczaj lubił towarzystwo ludzi i znajdując się razem z nimi oznajmiał swe zadowolenie ciąglem sapaniem, które się znacznie wzmagało, gdy go po imieniu zawołano. Chętnie się tulił do człowieka i bardzo był rad głośkaniu po głowie i grzbiecie; brał palec w dziób, żuł bardzo delikatnie, nigdy bólu nie sprawiając i świergotał przytem jak mały ptaszek. „Bardzo lubił siadywać na kolanach, mówi pr. W a przenocowawszy w hotelu, w jednym pokoju ze mną i z moim synem, spostrzegłszy, że już nie śpimy, sfrunął z pieca i po kolei odwiedzał nas, upominając się świergotaniem o pieszczoły. Wolno puszczony nigdy nie uciekał, lecz powracał prosto do domu, a w polu prosto do człowieka. Razem z tym samcem wyjęto z gniazda drugie piskle samice; był to ptak nadzwyczaj dziki, złośliwy, niczem nieugłaskany, zawsze nadstawiający się szponami, czego samiec nigdy nie czynił.

Zdawało mi się, że obserwowanie tak dalece towarzyskiego i oswojonego puchacza bardzo byłoby ciekawe i nauczające, nabyłem więc opisanego samca i pomimo trudności sprowadzenia go po bezdrożach z odległości 2½ mil, zabrałem go do Zakopanego, umieściłem na strychu domu, w którym mieszkałem i kilka tygodni tam trzymałem. Miałem tedy sposobność poznać jego łagodność i przywiązanie do ludzi, zwłaszcza do pewnych osób, które doskonale poznawał. Gdy po całonocnym jego pobyciu u mnie, odwiedziła go panna K., która go wychowała, rzucił się do niej z głośnym świergotaniem i począł się z przymleniem tulić.

Pragnąłem dokładniej tego ptaka wystudyować i przywiozłem do Warszawy, a nie posiadając odpowiedniego pomieszczenia u siebie w mieszkaniu, odstąpiłem go tutejszemu ogrodowi zoologicznemu. Ówczesny zarząd ogrodu, oczywiście

nie mając zamiłowania do hodowania i obserwowania zwierząt, sprzedał puchacza do Hamburga, podobno z dużym zyskiem pieniężnym.”

## SZARADA.

ulożona przez Ewę Maryą.

W *pierwszem* i *drugim* nad nami promienie  
Tryskają siejąc opatrności dary;  
W nich *druga*, *trzecia* ziemską, w nocne cienie  
Równie jak we dnie złoci swe obszary.

W tem *pierwszem*, *drugim* jest więcej opieki,  
Niżeli straży bóstw pogańskich owych,  
Co *trzecie*, *czwarte* nazwane przed wieki,  
Rzymianom strzegły wciąż ognisk domowych.

A lubo *wszystko*, przy trudach żywota,  
Rozjaśnia wzrok, to z górnego ogniska  
Ta lśniąca w *pierwszem*, *drugim* iskra złota  
Nawet po jego stracie w duszy błyska.

## ŁAMIGŁÓWKA.

przez Czarnego gołąbka dla Mani i Helenki Borowy.

Z następujących sylab: che — des — dom — e — el — gil — jef — jusz — nek — ni — of — pi — pio — ra — ra — ryb — ry — sen — te — u — wir — wi — ułożyć 8 wyrazów: 1. Figura w szachach. 2. Imię żeńskie hiszpańskie. 3. Miasto w król. polskim. 4. Następca Salmanasara. 5. Syn Helego. 6. Poeta rzymski. 7. Sędzia izraelski. 8. Tragik grecki, tak, ażeby początkowe litery utworzyły nazwę narodu, a końcowe imię jednego z starożytnych królów.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

### Zagadki:

M a d e j s k i.

### Łamigłównki zgłokowej:

1. Morela. 2. Aron. 3. Roraty. 4. Grudziądz. 5. Irena. 6. Eger. 7. Rachenberg.

Margier Grażyna.

Czwarty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechniej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

**TREŚĆ:** Syon (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Zmarnowane bohaterstwo, p. Teresę Jadwigę. — Kuna (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — W drodze do szkoły, wiersz. — Pamiętnik ołówka. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## Podróż młodych Szczuroskich.

W chwili gdy to piszemy, rodzina państwa Szczuroskich zamieszkała na wsi nad brzegiem Wisły składała się z rodziców w sile wieku, i dziesięciorga pełnych nadziei dzieci. Zajmowali wszyscy w zamożnym dworcu wspaniałą, rozległą norę, do której wejście zawsze go-

by też dziesięcioro dorastającej młodzieży, niesforniej jak to w innych domach bywa zaczęło samowolnie gospodarować w spiżarni?... Niechybnie ani jeden worek z le-guminą, ani jeden słój mniej szczelnie nakryty, ani jeden połącz słoniny, sadło i t. p. nie uchowałyby się nietknięte, gospodyni spostrzegłaby natychmiast ślady takiej swawoli i koty i pułapki zjawyłyby się w spiżarni. Obecnie przy mądrym starego Szczuroskiego zarządzie, nic podo-



W czasie uczyt pijąc zdrowie państwa młodych, wystąpił z przemową...

ścinnie na oścież otwarte, znajduje się pomiędzy podłogą i ścianą, obszerniej, z roku na rok obficie po staremu zaopatrzonej spiżarni. Rozsądek ojca Szczuroskiego i rządność pani Szczuroskiej pomimo fatalnych czasów, utrzymują znowu rodzinę przy jej posiadłościach, a interes są w tak kwitującym stanie, że jak świat światem i Szczuroscy Szczuroskimi, ani razu nie groził im niedostatek, ani jeden kot nie ukazał się niby widmo złowro-gie na jasnym horyzoncie ich żywota. Dzieci dobrze wychowane obiecywały w przyszłości nowy rozkwit rodziny i dalszą dla rodziców pociechę. Trzeba też dodać że niosuszeństwo rozkazom ojca stanowiło tu nie małą obrobę podstawę. Bo przypuścimy, niech-

bnego miejsca nie miało. Skromnie i przyzwoicie, napo-cząwszy nieznanie wędzonkę, kiszkę, ser, czy kiełbasę, na boku kędyś wiszące, cała rodzina gryzła z umiarko-waniem tę jedną zdobycz, dopóki nie zjadła jej do osta-tniej odrobiny; w ten sposób śladu prawie nie zostawało z tej biesiady i gospodyni wcale ubytku nie spostrzegła. Jakoś na wiosnę minionego roku, zdarzyła się wtedy wa-żna okoliczność w rodzinie państwa Szczuroskich; oto pan Szczurkiewicz blizki krewny, sąsiad z plebanii, szczur poważny i doskonale uposażony, zaszedł w gościnę z sio-strzeńcem, który tu przybył z pobliskiej Warszawy na galarze powracającym po splawionych jabłkach, wśród których jakoś przypadkowo się zawieruszył i odplynął

niechęcy. Nie martwił się tem wszakże bo korzystając z tej zrzeczności, zapragnął odwiedzić i poznać rodzinę swoją, zdarzyło się właśnie że wtedy wypadło wesele starszej pary Szczurowskiej, które po staremu suto odbyć chciało. Krewnych należało więc zaprosić, a jednym z najgłówniejszych był ów przybysz z Warszawy, wielkomięskim zwyczajem, pozwalający wieśniakom domyślać się niepospolitego swego w stolicy znaczenia. Cóż dopiero gdy przy uczcie weselną pijąc zdrowie państwa młodych wystąpił z mową, wzruszył nią wszystkich tak, że płakali jak bobry a pannie młodej aż zasłona od łez przemokła. Oczywiście przy takim wzruszeniu mało kto mógł jeść, szczęściem że samemu mówcy dopisywał przynajmniej apetyt. Jedząc zatem przysmaki za wszystkich, wielki kuzyn z Warszawy rozpowiadał jednocześnie cuda najrozmaitsze, jak to tam pysznie się żyje państetami strasburskimi, serem szwajcarskim i t. p. przysmakami, w jakich mieszka pałacach!

Starszym nie bardzo się ta gadanina podobała, podejrzewano nawet że chwając miejskie a ganiąc wiejskie potrawy, ów przybysz z miasta dziwnie łakomie z niemi się jednak zatatwiał. Ale dwoje najmłodszych Szczurowskich, niedoświadczone wyrostki, nie tak rozsądnie zapatrząc się na rzeczy, uwierzyli gawędom gościa i zachwyceni chciwie słuchali powieści o rozkoszach stołecznego życia, które poprostu głowy im zawróciły. Co chwila wzdychało jedno lub drugie.

-- Ach, gdybyż my to mogli jeść!

— Dla czegoż nie! — odparł gość — nic łatwiejszego. Powiadam wam że Warszawa leży także na Wiśle ale powyżej cokolwiek, zatem byleście szli tylko brzegiem rzeki w górę, to z pewnością do Warszawy traficie, a tam mnie, Szczurowieckiego każdy już zna!

Skończyły się gody, rozeszli się goście, dawna cisza i systematyczny porządek wróciły do wnętrza domu Szczurowskich. Ale nie wrócił dawny spokój i zadowolenie do umysłu dwojga najmłodszych wyrostków. Wyobraźnia ich rozbudzona spędzała sen z powiek. Napróżno starsi i rodzice tłómaczyli im że jeżeli wszędzie jest dobrze to w domu zawsze najlepiej, i że rzeczywistość nigdy nie wyrówna marzeniom. Dwie zawrócone głowy o niczem nie myślały tylko o podróży do Warszawy, jakby choroba jaka ogarnęła niedoświadczone stworzenia. Z początku persadowano im niepotrzebne zachcianki, gdy to nie pomagało, kilka surowych słów z ust ojca rodziny przyprowadziły wyrostków do rozsądku na pozór, ale na pozór tylko.

(d. c. n.)

## W DRODZE DO SZKOŁY.

CHŁOPCZYK.

Jakże szczęśliwą jesteś ty, pszczoło,  
Latając sobie w polu wesoło.  
Ja, codzień muszę chodzić do szkoły,  
Gdzie mnie czekają ciężkie mazoły!

PSZCZOŁA.

Patrz! słońce świeci z rana dokoła;  
Na polu rosną kwiatki i zioła,

A ja z nich zbieram zapasy miodu,  
By w czasie zimy nie cierpieć głodu.

CHŁOPCZYK.

To ty skowronku ptaszku maleńki,  
Naucz mnie twojej miłej piosenki.  
Zbliź się tu do mnie! Żeby czas skrócić  
Naucz mię latać i jak ty nucić.

SKOWRONEK.

Wybacz, chłopczyku, ja mały ptaszek,  
Nie mogę tracić chwil dla igraszek;  
Bo czas na świecie szybko upływa...  
Już wiosna kwieciami drzewa okrywa  
J nowe życie w przyrodzie budzi;  
A ja, skowronek, uprzedzam ludzi  
Piosenką moją, z brzaskiem jutrzeźni,  
O Bożych darach wszechmocnej ręki.  
Więc i ty, chłopcze, bierz przykład ze mnie,  
Ucz się i nie trać chwil nadaremnie!...

CHŁOPCZYK.

Otóż i Wiernuś, kundel sąsiada,  
Na progu domu sobie zasiada.  
Jaki szczęśliwy! jaki wesoły!

KUNDEL.

Pan mój raniutko udał się w pole,  
By wcześniej swoją uprawić rolę;  
Ja zaś tu muszę siedzieć przed drzwiami,  
Aby strzedz domu przed złodziejami.  
Później znów będę pilnować owce,  
By nie wchodziły gdzie na manowce.  
Więc i ty chłopcze, zdrowy, wesoły,  
Nie marnuj czasu i śpiesz do szkoły!

CHŁOPCZYK.

Ha, już rozumiem, że na tym świecie  
Każdy pracować powinien przecie.  
W własnym też sercu słyszę głos z nieba,  
Że kto próżnuje nie wart jeść chleba.  
Mimo więc ciężkie nauk mczowały  
Zaraz z ochotą pójdę do szkoły.

## PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

(Dalszy ciąg.)

Żałowałem bardzo że tak krótko pozostawałem w czystych zawsze rączkach Stasia i Zosi, lub w ich ładnych pudełeczkach, piórnkach, szufladkach. Teraz byłem w posiadaniu dzieci stróża, które brzydko wdzierały mię sobie, sprzecząc się o mnie w hałaśliwy i nieobyczajny sposób, popychając się nawet nieraz, co wszystko razem wcale nie było podobne do figielków Stasia i Zosi, i niezmiernie dla mnie przykre. Naprawdę nie umiano nawet używać mię stosownie, upuszczano co chwila na ziemię, nadeptywano, ułamywano i temperowano znowu, w najboleśniejszy dla mnie sposób. Ach, wtedy to smutnem doświadczeniem nauczony, dowiedziałem się, jak okropnie przykrą rzeczą jest żyć w towarzystwie niegrzecznych dzieci. Gdy tak wlokę ciężki mój żywot, wtem, raz na podwórzu przystępuje do nas

mały chłopak, terminator od szewca, mieszkającego w tymże domu i popatrzawszy na mnie, rzecze:

— Dziecil chcecie dwa grosze za ten kawałek ołówka?...—oddano mię chętnie. Odtąd doła moja zmieniała się, chociaż długo nie mogłem zrozumieć co się ze mną dzieje. I teraz znajdowałem się zawsze w zasmolonych rękach, ale byłem przytem szanowany i pielęgnowany bardzo i skrywany starannie w kieszeni. Bardzo często, o wszelkich porach dnia i nocy przy kaganku, mój właściciel pisał coś śpiesznie a nieudolnie, z moją pomocą, na dziwnie brudnych, najczęściej już zapisanych lub zadrukowanych kawałkach papieru i ukrywał mię znowu pośpiesznie. Ale ja ani raz zrozumieć nie mogłem sensu i celu tego pisania, wdychając tylko ciężko na wspomnienie ślicznych zeszycików Stasia i Zosi, gdy musiałem teraz dotykać brudnych świstków. Nareszcie, z czasem pojąłem tajemnicę. Oto mój właściciel, malutki terminator, uczył się za moją pomocą pisać sam, i pokryjmu!... Nie śmiał czynić tego otwarcie, gdyż miał chodzić do niedzielnej szkoły dopiero od wakacyi, a tymczasem majstrowa kazała mu kartofle skrobać, drewna rąbać, wodę nosić, i dzieci piastować. Odkrycie to sprawiło mi wielką ulgę w mem poniżeniu: wszak w każdym razie miłą jest i uczciwą rzeczą, pomagać ubogiemu pragnącemu nauki.

Pewnego południa malutki terminator trzymając dziecko na jednej ręce, pisał drugą z moją pomocą, między liniami na czyimś zużytym zupełnie zeszycie, usiłując naśladować znajdujące się już tam litery.

— Mały! hej! przynieś mi śniadanie! Dwie bułki, dwa serdelki! — zawołał czeladnik, podając pieniądze. Malec w mgnieniu oka jak zawsze skrywszy mię do kieszeni, pobiegł na ulicę; wtem poczułem przepaść roztwiera się podemną i wysuwając się z dziurawej biedaka kieszeni, upadłem w błoto...

Leżałem czas jakiś spokojnie, bo ulica niezbyt była ludna, nareszcie dwóch małych chłopców w mundurkach, uczniów widocznie, zbliżyło się ku mnie i jeden rzekł:

— Patrz-no, oto leży skrawek ołówka, nie wart już ani grosza, ręczę ci że jeżeli nasz stary profesor go spostrzeże, to go podniesie, i będzie nim robił swoje notatki, zużytkowując do ostatniej odrobiny, chociaż jednocześnie niejednemu ubogiemu dziecku kupi ołówek cały, i nie jeden grosik da ubogim starcom, tak on robi i ze skrawkami czystego papieru, gdy je kto w szkole porzuci, kupując jednocześnie papier całemi librami dla najbiedniejszych swych uczniów, choć sam też jest ubogi. Tak on zawsze robi, i dla tego my go nazywamy „Skrawkiem”. Powiadam ci tę tajemnicę jako nowicyuszowi.

— Ależ nie może być żeby profesor „Skrawek” zbierał takie znów małe skrawki! — zaśmiał się drugi uczeń przyglądając mi się.

— Nie wierzysz? To poczekajmy chwilę a przekonasz się! Przecież Skrawek codziennie tędy przechodzi.

— Dobrze! Wejdźmy do téj bramy, będziemy widzieć niewidziani...

— A to po co? Czy myślisz że będzie się wstydził podnieść przy nas? Bądź spokojny, ani mu do głowy

taki wstyd nie przyjdzie; dać jałmużnę ubogiemu przy nas, toby powstrzymał się pewno, bo dba aby nie wiedziała lewica co daje prawica, to jest aby nie szukać chwalby z dobroczynności; podnoszenia skrawków nie zwykł się wstydzić, owszem, uważa to jako lekcję oszczędności dla nas.

— Ależ to śmieszność!

— A przynajmniej dziwactwo; najśmieszniejsze jest to, że jeżeli napotka nie skrawek bezużyteczny, lecz jakiś większy kawałek ołówka, to go właśnie nie podniesie, tem mniej nie dotknie całego ołówka...

(d. n.)

## SZARADA.

ułożył Kameleon.

Pierwsze, drugie i trzecie  
W sklepie kupić możecie  
Gdy czwarte dołożysz,  
Nazwę wyspy złożysz,  
Gdzie dawniejszych Greków męstwo  
Odniosło słynne zwycięstwo.

Krzyż z podstawą.

od Niezapominajki z nad Warty, dla Bomby.

1
.
.
.
11 . . . 15
.
.
.
16 . 18
19 . . . 23
24 . . 10 . . 30

1—10 Poeta polski. 11—15 Rzeka w Azji. 16—18 Owad.  
19—23 Gatunek orzecha. 24—30 Tytuł powieści, którą się zachwycały czytelniczki Wieczorów Rodzinnych.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 17-go.

### Szarady:

O — la — wa. (Olawa Ohlaw) w Szląsku Pruskim.

### Łamigłówki liczbowej:

Bohdan Zaleski.

Boh.

Han.

Don.

Nad.

Las.

Leki.

Bole.

Za.

Laska.

## Skrzynka do listów.

Wszystkich którzy nie dali adresu swego, a otrzymali nagrody na konkursie kaligrafii, upraszamy aby się sami po nie zgłosili, donosimy też, że do numeru tego dajemy nadzwyczajny dodatek z korespondencją, chcąc aby nadal nie zalegała tak długo.

Za liścik twój i przesyłkę, luba **Pieszczotko** ściskamy cię po tysiąc razy, ubogie zaś dzieciętki obdarzone sukienkami w Szpitaliku dzieciennym serdecznie zasylają modlitwy do nieba za tę, która im ofiarowała swą pracę.

Chcąc pisać dla drugich, kochana **Macierzanko**, trzeba się przedewszystkiem uczyć, bo wtedy dopiero wrodzone zdolności mogą się wykształcić. W przysłanym wierszyku niema myśli żadnej, a brak także i rymów, bo n. p. *śpiewa* nie rymuje się: z *nieba*.

**Biała Ostróżko** serdecznie ci dziękuję, że piszesz do mnie poufale „jak do starszej siostrzyczki”, a to co piszesz o sobie, czyni mi twoją osobkę nader sympatyczną. I ja lubię konie, łódkę, krowkieta i w ogóle ruch na świeżem powietrzu, o który w Warszawie tak trudno, wyrosłam zaś już z tych lat szczęśliwych, w których się miewa wakacje. Niby to mam nieustające, a w istocie nie mam żadnych. Stale przebywając w mieście, nabrałam spokojnych zamiłowań, do jakich się przyznaje ta, nie bardzo straszna, Zawierucha, którą z chęcią do grona korespondentek przyjmuję. Lubię naukę, muzykę, kwiaty ptaki, najlepiej zaś lubię pisać do was, drogie moje! Żebyście wiedziały jak sobie wypraszam u Redakcyi więcej miejsca, o które zawsze w naszym piśmie trudno. A tu jeszcze **Zorza** wymówki mi robi, że niem długich „listów od Gołąbki”! Nie, **Zorza** droga, Janek sierota nie ma żadnego innego pseudonimu, a gdy przyślesz adres, odbierzesz żądany numer.

Więc już do grona naszego przechodzisz, **Piszczątko z nad Ussy?** coraz nas więcej staruszek.

Moja biedna **Sosno Polska**, a któż by ci miał za złe opóźnienie. Dzięki Bogu, że choroba twój babki minęła szczęśliwie; pojmuję, co przecierpieć musiałaś.

**Szarotka** prosi mnie, bym się za nią „wstawiła” do Redakcyi. Redakcyja nasza najukochańsza pod słońcem, jest nielitościwą gdy o kolęj chodzi, ale gdyby nie to, możebym nie otrzymała od ciebie tak milego liściku, **Szarotko**, a drugiego w takimże samym interesie od białej **Perelki**, której tę samą co **Szarotce** zmuszona jestem dać odpowiedź.

**Vesto**, wybornie zrobiłaś, że nie znalazłaś żadnej przeszkody do pisania do mnie: przesyłam ci za to serdeczne życzenie zdrowia, również jak i biednej **Przepiórce z nad Teterowa** na oczy chorują.

Nie, **Wróźbiarko szczęścia**, nie mnie widziałaś w Redakcyi. I znowu drugi raz „nie” ci powiem; nie gniewam się za twój list pocziwy a mądry, zaszczytnie o sercu twem i główce świadczący. Owszem, jak najczęściej o takie proszę.

**Szumigłówkę** przyjmuje za siostrzyczkę, ale nie żadna nieznaną jej, ani mnie „pani”, lecz wasza zwyczajnie domowa **Gołąbka**, którą nawet zasmuca szczerze pytanie zadane jej przez **Starą Pracę**: „czy może pisywać do mnie”. Ależ naturalnie, że może, jeżeli tylko chodzi jej choć trochę o to, by mi zrobić jak największą przyjemność.

Nie, **Jagódko Podolska** nie znasz tego, co nazywasz „moją tajemnicą”, ale to mi nie przeszkadza przesłać ci serdecznego całusa.

**Wiedenko z żywoplotu**, Dobra pani powiada, że najmiłszą dla niej nazwą jest właśnie ta, jaką jej dajecie. Dziękuję ci za udzielenie mi wiadomości, jak mi na imię; nie wiedziałam dotychczas, że takie noszę. Listy twoje czekają zapewne swojej kolei, a łamiągłównki będą drukowane wtedy, gdy na nie także „kolęj” przyjdzie.

Dla czego wątpisz, **Prawdo**, że ci na twój liścik odpiszę? Owszem, dla kandydatek na staruszki mam wielkie poważanie, skoro sama już sędziwa jestem, a młodszym siostrzyczkom tak serdecznie odzywającym się do mnie, jak **Złota Przędza**, wdzięczną jestem za przyjaźń ich i zaufanie.

**Jaskółko z nad Dunaju**, w obec twego listu o Wiedniu, wstyd mi moich „Listów z Warszawy”, i dobra Pani, gdy jej twoje pismo dałam do przeczytania, tak jakoś na mnie spojrziała... porówna-

wczo!... Moich listów całą zaletą jest, że kocham domowe kąty nasze i was, miłe siostrzyczki, i dla tej szczerzej siostrzaniej miłości wybaczenie mi wszystkie, że tak po prostu po domowemu, o domowych rzeczach piszę i że skromna wasza **Gołąbka** nie jest świetną **Jaskółką**, która oby jak najczęściej odzywała się do mnie.

Miło mi słyszeć od ciebie, kochana **Niezapominajko z nad Warty**, że cię list **Józia** zajmuje. Siostra moja tak często zmieniała pseudonimy, że nie wiem, czy potrafiłabyś ją wysledzić w korespondencyi **Wieczorów**, dziś dorastając, spoważniała i wstydy się wypłatanego mi figla

Na pytania **Różowej Jutrzenki**, odpowiedzi mogłaby tylko udzielić Redakcyja, która miewa swoje tajemnice.

Na pytania **Filaretki** kochanej, wtedy odpowiedzieć będę mogła, gdy wszystkie korespondentki nasze uczynią zadość prośbie, którą do nich na końcu listu zanoszę.

**Kulko śniegowa** nie roztajała jeszcze na swojej Litwie, z której nam donosi, że tam chłodno jeszcze i dżdżysto, a u nas wiosenne już upały i delikatna zieloność wiosenna. Na wsi jednak pięknie być musi, niż nawet w ślicznych Łazienkach, ale i ja tak jak ty kochana siostrzyczko, mam takich, których „nie chcę w domu zostawiać”.

Jak zwykle dla braku miejsca, spóźniłam się z odpowiedzią na pierwszy list twój kochana **Ostróżko biała**, dowodzący pocziwego twego serduszka, aż tu na zawstydzenie moje wielkie odbieram list drugi, na oba więc razem odpisuję. W tym roku jak i w poprzednich, kto pamiętać zechce o biednych dzieciach zamkniętych w murach miejskich, a pragnących się dostać do kolonii letnich, ten niech raczy ofiary nadsyłać, a choćby najdrobniejsze z wdzięcznością przyjęte będą. Zazdroszczę ci, że jesteś na wsi, bo my tu nie wiele wiemy o wiosnie i długo, długo jeszcze czekać musimy, zanim wędrownie ptaki, z kolei także pospieszymy odetchnąć powietrzem pól i lasów.

Na zakończenie, przesyłam ci parę całusów **Iskierce i Kłowskiemu podolskiemu**, odznaczonym na konkursie kaligrafii, odzywam się jeszcze do was w imieniu Redakcyi z prośbą, aby każda z naszych korespondentek, w pierwszym liściku jaki do nas pisać będzie, położyła obok swego pseudonimu i nazwisko wraz z wymienieniem dawnych pseudonimów. Tyle się namnożyło pseudonimów, tak się często zmieniają, że Redakcyja chce uformować nową listę, co jej zapewne ułatwicie z ochotą. Serduszkom waszym się poleca, szczerze was kochająca

Gołąbka.

Milutka **Głoksynio!** Donoszę ci, że zmieniłam pseudonim „**Marzenie**”. Ucałuj odemnie **Manię** i **Zosię** i sama przyjmij uściskienie od **Kaplanki Znicza**.

Droga **Jaskółko z nad Sekwany!** Nie wiem, czy zechcesz ze mną korespondować, ale ja bardzo ciebie kocham dla tego, żeś na obczyźnie nie zapomniała o swoich siostrzyczkach. Napisz mi co o sobie. Ja mam lat 15, na imię mi **Wikcia**, mieszkam na Ukrainie, uczę się w domu przy nauczycielce. Całuję cię, **Sikorcka**.

Szanowny **Książę Genjuszów!** Bardzo podobał mi się twój pseudonim. Napisz mi co o sobie, ja zaś obchodzę swoje imienniny 30 grudnia. Mieszkam na Ukrainie koło rzeczki **Rosi**. Jestem w 4-tęj klasie gimnazjum. *Filozof*.

P. S. Posyłam ci geometryczną łamiągłówkę.

Miluchna **Rosiczko z nad Rowu!** Znam cię z fotografii, pan-  
na **Anna** mi mówiła, że będziesz do mnie pisywać. Przesyłam więc pierwsza uściski dla ciebie i **Córy Mazurów**, a dla **Zygmunia** od **Kłoska**, który ciekawy, jaki on ma pseudonim? P. **Anna** wszystkich was serdecznie całuje. *Iskierka*.

Kochana **Jemioluszeko!** Z twego listu do **Aki**, widzę, że jesteśmy w jednym wieku, więc piszę do ciebie. Na imię mi **Marya**, mieszkam w Prusach Zachodnich. Która powieść w **Wieczorach** najbardziej ci się podoba? Proszę o prędką odpowiedź i ściskam cię, twoja **Trawka z nad Fryby**.

Drogie **Cyganecko z nad Wisły** i **Brzydoto!** Dziękuję ci **Cyganecko** za list, czekałam go bardzo od pół roku. Dla czego mi nie odpisywałaś? Zapewne że jestem młodszą od ciebie. Boję się z tobą korespondować, bo jako młodszą nie odpiszesz z przyjemnością. Napisz czy tak jest? Nie rozgniewam się o to,

Sarenka lato w Szczawnicy przepędziła. Brzydotko czy mego listu w numerze 44 nie zauważyłaś? Odpiszcie. Ścisłkam was, *Chmurka złocista*.

Jaskółkę z nad Sekwany pozdrawiam.

Kochana Aniu C. i Ułanko. Ciebie Aniu znam bardzo dobrze z opowiadań twój ciotki Heleny J. Wiem, że masz siostrę Józję i brata Stasia i że jesteś w moim wieku. Piszę do ciebie, bo czuję wielką dla ciebie sympatyę. Proszę cię bardzo Ułanko, byś mi co o sobie doniosła, a ja ci zaraz odpiszę. Ścisłkam was, *Łezka z nad Lutyni*.

Droga, kochana moja Brzydotko z nad Tamizy! Jakże ci mam dziękować, złota moja, za twój miły wierszyk! Nie wyobrażasz sobie nawet, jaką mi radość sprawiły te kilka wyrazów, które przysłałaś mi z obczyzny luba Brzydotko. Jeśli zechcesz to będziemy często do siebie pisywać, dla mnie liściki wszystkich korespondentek są bardzo pożądane. Raz jeszcze dziękuję ci kochana Brzydotko za twoją odpowiedź i całuję serdecznie. Kochająca *Złota przędza*, dawniej *Gwiazda*.

Najukochańsze: Westalko, Kapłanko Znicza, Stokrotko polna, Śnieżycy, Krasnolico, Jedlinko, Mazureczko z nad Narwi, i Różyczko biała z Wołynia. Dziękuję wam po sto razy, dziękuję za serdeczne liściki, które mi darzyście. Powiedźcie mi moje lube, czem zasłużyłam na waszą życzliwość, będąc wam nieznaną? Westaleczko miłuchna, i dla mnie czytanie jest najprzyjemniejszą rozrywką. Jak zdrowie twój mamy? Zapytujesz co porabiam Kapłaneczko? Uczę się, robię ręczne robotki i uczę dwie dziewczynki, 14 Anusię i 13 Marynię; teraz zaniechawszy to, doglądam moją mamusię od 3 miesięcy chorą; jak twoja nóżka boląca? Stokroteczko droga? w „Wieczorach” wszystko mi się podoba; gdzie mieszkasz? jak ci na imię? Milutkie, Śnieżycy i Krasnolico, czyście siostry? Jakie są wasze imiona? O mnie dowiecie się, w 1-ym numerze „Wieczorów”. Jedlineczko złota, za zrodzenia dziękuję serdecznie, przesyłam wzajemne; czy masz rodzeństwo? jak ci na imię? Mazureczko luba, jakie nosisz imię? Różyczko droga, żadnego z większych miast nie znam, na wiosnę dopiero pojedę z mamą do Kijowa; czy znasz to miasto? Odpiszcie prędko, moje najdroższe przyjaciółeczki. Całuję was, życzliwa *Stokrotka z nad Stochodu*.

Staszce z Podola Czeskiej Niezabudce, Ukraince na Mazowszu i Ace szlę pozdrowienia serdecz 16 letnia *Stokrotka z nad Stochodu*.

Kochany Promyczku ze Wspólnój! Pseudonym twój podoba mi się bardzo, chcę się więc przez „Wieczory Rodzinne” z tobą zapoznać. Ja mam imię króla, który pierwszy przyjął Chrystus, 5-ty, i lat 8. Twój *Rak morski*.

Drogi moje! Myszko biała i Kwiecie Paproci! Tobie Myszko donoszę, że mieszkam nad samą granicą, nazwisko moje zaczyna się od B. Kwiecie Paproci, nie jestem Jadwigą H. ale B.; pisałaś już do mnie, myśląc że mam pseudonym Gwiazdki z Podola, ale ja byłam Gwiazdką, a teraz jestem Złotą Przędzą. P. Helena T. która nam dała wzajemne o sobie wiadomości, musiała się pomylić co do mego pseudonymu. Jadzia H. nie pisuje do „Wieczorów”. Całuję was drogie moje, szczerze życzliwa *Złota Przędza*.

Droga Sarenko z nad Moroczu. Zdaje mi się, że jesteś równie jak ja staruszką, pisz do mnie i donieś czy Topolka srebrna i Chmurka są twymi siostrzyczkami? ja jestem jedynaczką. Ścisłkam was wszystkie trzy *Ukrainka na Mazowszu*.

Kochana Muszko brzęcząca! Masz lat 9, więc jesteś o rok młodszą odemnie, donieś mi co więcej o sobie; ja uczę się w domu, a na lekcje robót chodzę do specjalnej nauczycielki. Pozdrawiam cię serdecznie, życzliwa *Ukrainka z Kącika*.

Kochana Janino M.! Dawno już chciałam napisać do ciebie, lecz nie mogę mówić wiele o sobie, bo zgadłabyś zaraz kim jestem, powiem tylko, że obie nosimy jedno imię. A teraz zgadnij kto się ukrywa pod pseudonymem *Mgły*?

P. S. Różo polnej, Siwemu Konikowi, Błyskawicy, Trusi i małej Łaszce, serdeczne pozdrowienia łączę.

Kochana cicha Wodo! Mam szczerą ochotę z tobą korespondować. Opisz mi ile masz lat? Jak ci na imię? i czy podoba ci się „Wieczorek w Zalesiu”? Niezapominaj o *Burzliwej Naturze*.

Droga moja Konwalijko! Bardzo jestem ciekawa, czy po-

znasz mnie pod nowym pseudonymem? Ja ciebie znam bardzo dobrze, widujemy się dość często. Zgadnij kto jestem? Twoja *Przyjaciółka*.

Drogi moje: Jutrzenko i Różyczko Jerychońska! Dziękuję wam serdecznie za pamięć o mnie; z największą przyjemnością odczytuję wasze liściki, równie chciałabym was poznać i uściskać, ale taka przestrzeń nas dzieli, iż wątpię, czy się kiedy poznamy. Tyle już o sobie pisałam, iż znacnie mię zapewne dobrze. W „Wieczorach” najwięcej mi się podoba „Pod wpływem błogosławieństwa”. Ścisłkam was serdecznie i polecam się pamięci. *Czarnooka z Puszczy*.

P. S. Gałązkę Paproci pozdrawiam i proszę o prędką odpowiedź.

Droga Muszko brzęcząca! Choć masz siostrzyczkę bardziej zblizoną do mnie wiekiem, nie wiedząc czy pisuje do „Wieczorów” odywam się do ciebie. Nazywam się Emcia. A kto jestem odgadnij. *Pocieszka*.

Droga Biała Akacyo! Długo oczekiwana twoja odpowiedź zjawiała się nareszcie w Wieczorach, sprawiając nam prawdziwą radość. Zasmuciła nas tylko wiadomość o twojej chorobie, w lecie będziesz może potrzebowała, odetchnąć świeżym, wiejskim powietrzem i przyjedziesz w nasze strony? My teraz we wszystkich wolnych od nauk chwilach, rozkoszujemy się uroczą wiosną. Serdeczne życzenia zdrowia, przesyłamy ci wraz z tysiącami całusami. *Złota Wierzbica i Reginka*.

Jak ty możesz miła Niezapominajko z nad Warty, pytać Podolanek czy na Podolu ładnie! — Ależ cudownie, siostrzyczko, przesłicznie. I ty pewno tak myślisz, Czarnooka z puszczy! A kochany Kwiat lotosu mieszka w Kaliszu, prawda? — Kopciuszkę złotą, możesz ty Rusalkę z Dzimitry, czy zgadłam? Wasz, kochający *Poranek*.

Kochana Aksamitko! Zgadnij kim jestem i jak się nazywam? Znamy się doskonale, mieszkasz w jednym mieście ze mną, nazywałeś się Janina i masz 11-ty rok. Całuje cię *Leśna konwalia*.

P. S. Ucałuj Polną różę i Czarną perelkę.

Droga Żabko Podolska! Bardzo mnie zaciekawiłaś swoim pseudonymem. Mieszkam niedaleko Dniestru. Mam dwie siostry i jednego brata. Na imię mi Celina, nazywają mnie *Cisią*, mam lat 13, donieś mi co o sobie, Myszka Biała.

Kochana Cyganeczko! pierwsza piszę do ciebie i mam nadzieję że mi odpiszesz. Donieśmi co więcej o sobie, o mnie dowiesz się z listu do Żabki z Podola. *Myszka Biała*.

Kochani: Rezedo, Rybko i Raku z Kamionki! Dlaczego tak dawno nie miałam od Was wiadomości? Czybyście już opuścili góry Świętokrzyskie? Kalino z nad Węgierki! może Ty chociaż za pośrednictwem Wieczorów Rodzinych doniesiesz mi coś o nich i o sobie? Wszak nie zapomniawszy jeszcze *Stanisławy z Mazowsza*.

Droży Wyłodyowski i Podbipięto! Chociaż nie znam was, ale wasze pseudonymy bardzo mi się spodobały. Chciałabym bardzo wiedzieć gdzie mieszkacie, ile macie lat, gdzie się uczycie? Czy pan Wołodyowski ma żółte wąsiki i wielką zręczność w robieniu szabelki, a pan Podbipięta czy już usiekl trzy głowy tatarskie, jak Wołodyowski i Podbipięta Sienkiewicza? Jestem nowym prenumeratorem Wieczorów Rodzinych. Mieszkam na Kaukazie, w Tyflisie, jestem w 2 klasie Tyfliskiego gimnazjum. Mam 2 braci i dwie siostry. Zarekomendowałam się wam, proszę zatem odpisać na moje zapytania. Z bohaterów Sienkiewicza, bardzo mi się popoba Kmicic; jego to nazwisko obrałam dla pseudonymu. Wasz *Kmicic*.

Kochana Niezapominajko z nad Warty. Dziękuję ci bardzo żeś do mnie napisała. Donoszę ci, że się nazywam Gabryela, mam lat 12, siostrzyczkę i braciszka, mieszkam na wsi. Napisz mi co ci się najlepiej podoba w Wieczorach, bo mnie bardzo zajmuje „Szesnastoletni Wojewoda.” Odpisz mi i donieś czy lubisz muzykę, bo ja ogromnie. Pisałam do Stokrotki z nad Stochodu i nie odpisała mi, ale spodziewam się, że ty inaczej postąpisz. Całuję cię po tysiąc razy *Stokrotka polna*.

Wszystkim moim kochanym siostrzyczkom zasylam życzenia zdrowia i serdecznego całusa na dowód przyjaźni; *Złota T. ca.*

Drogi czytelniczki „Wieczorów.” Przesyłam wam wszystkim najlepsze życzenia z okazji świąt. Wśród wesołego Alleluja pamiętajcie zapewne o głodnych i wszelkiego rodzaju biednych. Przyjmijcie serdeczne ucałowania od kochającej was *Burzliwej Natury*

Kochana Pojato! Zdaje mi się żem odgadła, a właściwie wiem napewno, że jesteś Bibka K. Widujemy się codziennie, mieszcząc w jednym mieście, a teraz bywaj zdrowa i odpisz jak najprędzej twojej roztrzępanej, a szczerze cię kochającej *Szumigłównie*.

Droga Jaskółko z nad Sekwany, wybacz że tak długo milczałam, znam cię dobrze z naszego Pisemka. Jak ono nas zbliża mimo oddalenia, tysiączne mu za to dzięki! Tobie Różycko biała z Wołynia, dziękuję za pozdrowienie, które teraz dopiero zauważyłam. Jestem od ciebie starszą. Ściskam was obie, jeśli nie wiecie, zgadnijcie jakie jest imię kochającej was *Jaskółki z nad Dunaju*.

Kochana Wańdziu Ole... Mieszkamy naprzeciwko siebie i nie znamy się. Wybierz sobie jaki pseudonym i pisuj do „Wieczorów,” poznamy się w ten sposób i będzie to bardzo oryginalne. Twoje *Rajskie Jabłuszko*.

Słyszałam, Kochana Magdziu, że prenumerujesz „Wieczory.” Napisz do mnie i zgadnij kim jestem? Mieszkam w Skomorochach Wielkich, mam lat 7 na imię mi Zosia. Mam braciszka Stasia i siostrę Janię bardzo dobrą. Miałam złote rybki ale je zjadła kotka. Wybieramy się do was w lecie. całuję Ciebie z Elżą i Marysienką, *Zosia*.

Znam cię doskonale droga Rybko z Hniłopiaty! Po twym serdecznym odezwaniu się niepodobna mi było nie odgadnąć ukochanej osobki, z którą tyle miłych chwil spędziłam. Pewną jestem, że zostaniesz jak ja wielbicielek „Wieczorów,” obok słicznych artykułów podawanych, tak mi niezmiernie podoba się rozmowa z siostrzyczkami, że co tydzień pisaćbym chciała. Ale nie można być samolubną! Tysiąc razy cię ściskam. *Biała Perelka*.

Kochana Ako! W numerze 7 wzywasz współpracowniczkę do korespondencji; powiedz mi więc co oznacza twój pseudonym? w żaden sposób nie mogę znaczenia jego odgadnąć. Zaspokój mą ciekawość, a tymczasem przyjmij uściśnienia od *Białej Perelki*.

Błyskawicy i Sosnie polskiej serdeczne uściśnienia zasylam.

Droga Cyganecko! Czytałam twoją odezwę do czytelniczek naszego Pisemka, i chciałabym korespondować z tobą; czy się zgadzasz na to? Ja mam dwie siostrzyczki, które także pisują do „Wieczorów,” na imię mi Stasia, mieszkam w Ks. Poznańskim, na wsi. Przesyłam ci uściśnienia. *Szarotka*.

P. S. Gałązkę paproci i białą Orliczkę ściskam serdecznie.

Witam cię! witamy, droga Ako! Więc jeszcze jedna miła korespondentka do grona naszego przybyła. Chciałybyśmy wiedzieć, czy do młodszych? czy też do starszych siostrzyczek należysz? Gdzie mieszkasz? i czy się uczysz? W przyszłym liściku doniesiemy o sobie, a teraz ściskamy cię serdecznie: *Noc Księżycowa i Kopciuszek*.

Miła Krasnolico i Brzydotko z nad Tamizy! Krasnolico kochana, sądząc z pseudonymu że musisz być dobrą i miłą, pokochałam cię serdecznie. Brzydotko milutka! dla czegoś taki obrała sobie pseudonym? Donieś mi, czy tam, daleko nad Tamizą, ładnie? O sobie ci nic nie donoszę, gdyż tyle razy już to pisałam w „Wieczorach,” Odpiszcie, i kochajcie mnie zawsze, Krasnolico i ty tak oddalona od nas Brzydotko! Ścisła was po milion razy, kochająca was wszystkie drogie siostrzyczki, choć nieznaną *Wróżbiarką szczęścia*. Stokrotce z nad Stochodu, Wesolej Krakowiance, Niezapominajce z nad Warty i Jesieni posyłam miliony uściśków.

Droga Cyganecko! Odezwa twoja do czytelniczek „Wieczorów” natchnęła mnie chęcią pisania do ciebie, tem więcej, że mam lat 13-cie. Na imię mi Jadwiga, mieszkam w guberni Kieleckiej i mam 4 siostry, a jednego ualego braciszka; w Warszawie nigdy nie byłam. Jak ci na imię i czy masz rodzeństwo? Odpisz mi, proszę, droga Cyganecko, jesteś pierwszą, do której piszę przez „Wieczory” nasze. całuję cię serdecznie. Nieznana *Zorza*.

Kochana Cyganecko z nad Wisły! Z liścików twoich wnioskuję, że musisz być bardzo wesolą. Ja, również jak i ty, nie należę już do konkursów, jestem wysoka na swój wiek i bardzo lubię nauki, a przedewszystkiem muzykę. Przyjmij pozdrowienia serdeczne od *Szarotki*.

Kochana Cyganecko, piszę do ciebie wyczytawszy, że chcia-

łabyś otrzymać liścik. Donoszę ci, że nazywam się Jadwiga, mam lat 12. Donieś mi co ci się najlepiej w „Wieczorach” podoba? bo mnie „Szesnostoletni Wojewoda,” a także „Wieczorek w Zalesiu.” Ściskam cię serdecznie. *Sarenka modrooka*.

Kochany Siwy Koniku! Widziałem Cię raz jeden i bardzo mi się podobałeś. Przygalopuj do nas jak będziesz miał czas. Na jakiej ulicy mieszkasz? Donieś mi to; a tymczasem ściskam cię serdecznie. Twój *Marynarz*.

Kochane moje: Blondynko z pod Piotrkowa, Jesieni, Stokrotko z nad Stochodu, Wróżbiarko szczęścia, dawna Gosposiu, Jaskółko ukraińska, Poziomko kujawska i ty Lewkonijko, wybaczcie mi wszystkie! Wczoraj przeglądając „Wieczory” z ostatnich dwóch lat, zauważyłam mnóstwo liścików i pozdrowień, na które odpowiedziałem — milczeniem. Nie gniewajcie się, moje miłe; jako staruszka mam poważne obowiązki i mało czasu, ale choć niezbyt często, z każdą z was korespondowałabym z ochotą. Poziomeczko, tobie odpisywałem, ale list mój zaginął pewnie. Jaskółko, czy już nie czytujesz „Wieczorów”? nie spotykam twego imienia w Skrzynce, może zmieniłaś pseudonym? Jesieni, w odpowiedzi na pytanie, donoszę ci, że tak uwielbiam naszych wielkich poetów niedalekiej przeszłości, że dla teraźniejszych mało mi zostaje zachwyty. Zresztą przenoszę poezję życia, czynu, myśli i pracy, nad rymowaną. Żegnajcie mi wszystkie i piszcie do waszej *Wiochny z pod Lublina*.

Drogie: Cyganecko z nad Wisły! Smietanko, i Rybko z Niemenka! Jakże mogłaś Cyganecko myśleć żem o tobie zapomniała! gdy pokochałam cię od czasu jak czytać zaczęłam „Wieczory.” Czemu na mój pierwszy list tak długo nie odpowiadałaś? Rybko zgadnij kim jestem? Znam cię z opowiadania p. Stefani. Smietanko, donieś o sobie i opisz swoją osobkę. Ściskam was serdecznie wraz z Westalką. *Chmurka Złocista*.

Przepraszam cię Poranku majowy za długie milczenie, którego przyczyną brak czasu. Uczę się w domu, razem z dwiema innymi panienkami. A Ty Poranku, gdzie się uczysz? Napisz mi co o sobie, gdzie mieszkasz i ile masz lat? ja mam piętnaście skończonych. całuję cię serdecznie *Fioleczek z nad Wisły*.

Drogie moje: Westalko i Cyganecko z nad Wisły! Zdaje mi się, że jesteście Marylką i Jadzią D. czy tak? Powiedźcie to proszę. Kochana Ukrainko na Mazowszu! chorowałaś, co mi bardzo było przykro; modliłam się o twoje zdrowie; mnie też dotknął los podobny i chorobą uwieził w domu, niepokoiłam się prócz tego o chore także matusię i siostrzyczkę. Ściskam cię z całego serca. Wszystkim nieznanym koleżankom w przyjemnym czytaniu „Wieczorów” — pozdrowienia zasyla *Sosenka*.

Droga moja Szczeroci! Bardzo mi się podobałaś, tak z pseudonymu jak i z opowiadania Świątełka. Wiem że nazywaś się Wańdzia i masz lat 14, jesteś więc w równym wieku ze mną. Pośyłam ci szaradę, lecz nie wiem czy jest dobrą i czy Redakcyja ją wydrukuje. O sobie nic ci nie donoszę, bo liścik byłby za długi. Teraz tylko całuję cię serdecznie i prosi o odpowiedź nieznaną *Prawda*.

Kochane Wisienko z nad Sobu i Szczeroci! Wy już pewnie, drogie moje, narzekacie na Ostróżkę, iż tak długo milezy, o, wierzcie mi to nie jej wina; lekcy nie pozwalają na długą korespondencję. Co teraz czytasz, Wisienko? ja, „Odgłosy gór i dolin” jestto jeszcze jedna pamiątka po Kochanej Pani. Mnie się zdaje że ją już nie trzeba zwać „Kochaną” lecz „Nieodżałowaną, niezapomnianą” Muzykę, droga Szczeroci, lubię szalenie i mam też do tego zdolności. Na zakończenie jeszcze słówko. Wisienka już oddawna nosi w mem serduszku nazwę najserdeczniejszej przyjaciółki, a ty, Szczeroci, czy chcesz nią mi też zostać? Wasza *Biała Ostróżka*.

Jestem nową prenumeratorką i witam was moje kochane siostrzyczki; podobają mi się bardzo wasze korespondencje i proszę aby która z was do mnie napisała. *Niezapominajka z Zacisza*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

### II.

*Abrakadbrus do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.*

*Marmurowa góra dnia 10 Kwietnia 1890 r.*

Szanowna Redakcyo.

Dzień za dniem płynął, a ja nie miałem Wam co donosić, bo nic nowego nie zaszło. Królewicze unikali wszelkiej wzmianki o mojem poselstwie, ba! nawet o przywiezionym im przezemnie gościńcu; ja także nie mówiłem nic, jakbym o téj sprawie zwątpił zupełnie i czekałem.

— Ach! — myślałem sobie nieraz — gdybym mógł



*Abrakadbrus.*

dla Kryszałka dostać sztuczny dyament, dla Zielonki hypnotyzującą roślinę, a dla Pióropuszkę żabę latającą, mógłbym wszystko od nich otrzymać!

Posel wysłany do Parsonsa powrócił z niczem, i to zepsuło Kryszałkowi humor; z Meksyku i Borneo dokąd także wysłani zostali posłowie, żadnej nie było wiadomości o roślinie ani o żabie, czem najbardziej zmartwiony był Pióropuszek,

jakby się w owéj żabie zakochał. Nosił ciągle jéj portret przy sobie i wpatrywał się w niego często.

Mieszkam w pałacu, w narożnej wieży, której jedno okno wychodzi na ogród a drugie na morze: mam tu ciszę potrzebną do pracy i spokój zupełny. Siedziałem właśnie wczoraj nad wielką księgą przywiezioną ze Wschodu, gdy w przyległej komnacie dały się słyszeć znane kroki i wszedł Zielonko z twarzą rozjaśnioną.

— Dzień dobry, kochany mistrzu! — rzekł wyciągając do mnie rękę. — Odebrałem list z Meksyku: poseł mój donosi mi, że wpadł na ślad wieści o roślinie hypnotyzującej. Znalazł ludzi, którzy znali takich co słyszeli o niej od innych, którzy ją podobno widzieli, choć skutku jéj nie doświadczyli na sobie.

Uśmiechnąłem się mimowolnie w obec téj wielce niepełnej nadziei. Roślina hypnotyzująca utkwiała w głowie królewicza tak mocno, jak żaba latająca w głowie jego brata i wyrugować ją ztamtąd można było tylko czemś równie osobliwym.

— Miłościwy królewiczu — powiedziałem — zamiast ugniać się za rośliną hypnotyzującą, czy nie lepiej samemu hypnotyzować rośliny? Pomyśl tylko: uspić roślinę, to coś jeszcze dziwniejszego niż uspić człowieka. Człowiek jest istotą rozumną, widzi cię, słyszy twe słowa, jest więc poniekąd naturalnem że ulegnie twéj woli, ale roślina... wiemy że żyje, że oddycha, ale żadna nauka nie mówi że słyszy lub widzi, bo nie posiada odpowiednich organów.

— To też nikt nie hypnotyzuje roślin, bo byłaby to rzecz niemożliwa — odparł Zielonko, urażony cokolwiek temi słowy które wziął za żart. — Nie szukam rzeczy nieprawdopodobnych.

— A jednak był taki co tego próbował...  
Królewicz aż pobladł ze wzruszenia.

— Czy istotnie nie żartujesz mistrzu? — zapytał. — Co to za człowiek? gdzie on jest? jak się nazywa? Kiedy się to stało?

— O! to jest nawet rzecz nie tak bardzo nowa. Pięć lat temu profesor Phipson przedstawił Akademii francuskiej swe spostrzeżenia nad usypianiem akacyi z wyciecznej.

— Ach! wiem, wiem — przerwał Zielonko — *Robinia pseudoacacia!* Roślina ta przedstawia uderzający przykład roślin usypiających. Za nadejściem nocy, składa swe liście pierzaste jedne na drugie, co jej nawet daje bardzo charakterystyczny pozór.

— Promień sztucznego światła puszczoney wtedy na liście, budzi je z usypienia i sprawia że wracają do położenia w jakim się w ciągu dnia znajdowały. Phipson budził ją nieraz w nocy, a ponieważ mu się to zawsze udawało, zapragnął także w dzień ją usypiać. Wybrał do tego drzewo piękne, zdrowe, wystawione na działanie słońca; uderzał kilkanaście razy mocno w końcowe listki palcem, i po kilku minutach wszystkie listeczki na liściu pierzastym zamykały się i cały liść zasypiał. Co zaś jest najdziwniejsze, to że pomimo pozostawienia drzewka na słońcu, sen sztucznie wywołany trwał trzy godziny przeszło. Czytaj roczniki Akademii królewiczu, a sam się o tem przekonasz.

— Wolałbym widzieć na własne oczy — odrzekł Zielonko, słuchający z wielkiem zdziwieniem. — Mam u siebie przepyszne okazy akacyi: jedź ze mną mistrzu i pokaż mi jak się to robi. Słońce dziś świeci prześlicznie, roślina właśnie czuwa w najlepsze. Naucz mnie mistrzu jak ją trzeba usypiać!

— W Marmurowej górze mamy tu dość pięknych akacyi — odrzekłem, nie mając wielkiej ochoty odrywać się na czas dłuższy od ksiąg moich.

— Tak, ale widzisz mistrzu, chciałbym żeby Jagódka była przy tem. Ona tak kocha rośliny, tak się interesuje wszystkim co z niemi ma związek! Nie ociągaj się drogi mistrzu! Czyż to nie grzech doprawdy siedzieć nad księgami, gdy na świecie tak pięknie, gdy słońce świeci tak jasno, a wiosna woła pod gołe niebo wszystkimi głosami natury? Ty mistrzu czytasz księgi w zamarych pisane językach i wskrzeszasz w myśli dzieje ludów, których prochy od wieków już rozwiały się po świecie, a tam jest otwarta wielka księga natury, stara jak świat, a jednak wiecznie żywa i nieśmiertelna i gdy ją czytasz, wszystko na co spoglądasz żyje naprawdę. Chodź mistrzu! Ptaki, które były odleciały na zimę, powracają; owady wychodzą z ziemi; ślimak wychyla się ze swego domku żeby się przyjrzeć słońcu, a ty mistrzu, siedzisz tu między czterema ścianami zamurowany! Zaludniły się wody, łąki i lasy, orkiestra niewidzialna gra, a we wszystkich jej głosach słyhać okrzyk: niech żyje wiosna! Chodź mistrzu, drzewa owocowe kwitną, pola zielenią się; ożywcze zapachy fiołków, bzu i czeremchy, napełniają powietrze... Gdy ciepłe promienie słońca padną na twoją białą głowę, gdy tem powietrzem odetchniesz, powietrzem, które upaja jak wino, poczujesz się znowu młodym!

Wziął mnie za obie ręce, zmuszając prawie do powstania z krzesła, a cała jego twarz promieniała. Biły z niej wszystkie blaski młodości, wszystkie promienie téj wiosny którą sławił.

— Królewiczowa Jagódka ma w twojem sercu rywalkę, miłośnicy królewiczu — powiedziałem z uśmiechem. — Słyszac cię, sam nie umiałbym powiedzieć, która z nich pierwsze miejsce zajmuje: ona, czy królowa Wiosna.

— O! — zawołał — moja żona nie jest wcale o nią zazdrosna. Pootwierala wszystkie okna na jej przyjęcie i ciągle śpiewa hymny na jej cześć; bo jakże nie witać z radosnem sercem takiego gościa, który wskrzesza umarłe, pod którego stopami wyrastają kwiaty, gdziekolwiek dotknie ziemi. Niech żyje wiosna!

Czyniąc zadość życzeniu królewicza, kazałem osiodłać mego poczciwego muła, na którym od czasu powrotu z podróży nie jeździłem, Zielonko siadł na swego konia i puściliśmy się w drogę. Przypomniałam królewiczowi te czasy, kiedy to kazał nosić się w lektyce, żeby dać dowód, że bez zwierząt nawet tak pożytecznych jak konie, obejść się można, ale słowa te oblały go rumieńcem.

— Nie mów mi o téj epoce smutnej pamięci, mistrzu — szepnął — i potem jechał czas jakiś w milczeniu, aż mi się żal zrobiło, że mu popsułem humor.

Powietrze było cudowne. Zielonko w opowiadaniu swem nic nie przesadził; kraj cały zamienił się w ogród. Kwitła jarzębina, kwitły klony, kasztany, modrzewie i wilcze łyko. Rumaki nasze jakby odbywały pochód tryumfalny, wojaż stapały po kwiatkach, bo dla skrócenia drogi nie jechaliśmy głównym traktem, ale łąkami, które zasiane były sasankami, kaczyńcami, bratkami, pierwiosnkami, stokrociami, jakby kto umyślnie słał je nam pod nogi.

W lesie spotkaliśmy Pióropuszkę: jechał na przepysznym arabskim koniu, a w rękę trzymał jelenie rogi. W strzeleckim ubraniu i bobrowej czapeczce z piórem, wspaniale wyglądał. Ze wszystkich braci, miał on twarz najwięcej rycerską.

— Dzień dobry, królewiczu — zawołałem zdaleka. — Co słyhać w państwie Waszej królewiczowskiej Mości?

— Wiosna mistrzu! Jaskółki przyleciały i tylko patrzeć jak powrócą kukułki i gajówki; wiewiórki wychodzą z gniazd, niektóre nawet mają już młode, a kuropatwy wywodzą swoje kurczęta. Szaraki, kuny, lisy, wydry, lęgą się; ciepłymi nocami wyprowadza już borsuk młode przed jamę; odyniec ryje po gąszczach, warchlaki chodzą sobie stadami, i niedźwiedź przechadza się w ostępie\*). Jelenie zrzucają rogi: patrzcie jaki piękny okaz znalazłem!

Podniósł w górę wspaniały gałęzisty róg, którego piękność podziwialiśmy oba z Zielonką i mówił dalej.

— W kniejach panuje obecnie pokój niezmacony: nie wolno strzelać! Ej, mistrzu kochany, czy się to godzi tak ze mną postępować? Mieszkasz w Marmurowej górze, jeździsz do Różanego gaju, a do Koralewego grodu ani zajrzysz? Zapraszam cię mistrzu jutro na czajeczke jaja: wysłałem dziś ludzi nad jeziora, żeby je podebrali czajkom, a przysmak to nie lada!

Zielonko prosił brata, żeby z nami do jego pałacu jechał i był świadkiem usypiania akacyi, ale się Pióropuszek wymówił pilnemi sprawami państwa i odjechał.

Różanym gajem zwała się siedziba Zielonki, od wielkiej ilości róż będących ulubionemi kwiatami królewicza, tak ulubionemi, że nawet kwiat róży wybrał za herb swego państwa. Na wieży pałacowej powiewała szkarłatna chorągiew z wysztyką na niej białą różą. Gdy przybyliśmy na miejsce, królewicz zapytał zaraz o żonę.

— Jej królewiczowska Mość niedawno wyszła — objaśnił marszałek dworu. Wzięła ze sobą pazia z koszykiem, w który

\*) Ostęp, przestrzeń pewna lasu, w której zwierz się znajduje. (Przypisek Redakcyi).



kazała włożyć podróżną apteczkę i butelkę starego wina. Cudzoziemiec wyrzucony niegdyś burzą na brzegi naszej wyspy, zachorował na febrę; Jój Miłość niezawodnie do niego się udała, bo widziałem że szła w kierunku lasu, gdzie jest chata tego człowieka.

— A moja córka? — zapytał królewicz.

— Jój Wysokość następczyni tronu, towarzyszy Jój królewiczowskiej Mości.

— Febra, hm... — powtórzył Zielonko zamyślony — bardzo być może. Są tam moczary zapełnione stojącą wodą, z której ciągle wydobywające się wyziewy, bywają bardzo szkodliwe dla człowieka, zwłaszcza mającego zdrowie już podkopane. A jednak, czy wiesz mistrzu, ten dziwak nie chce się przenieść gdzieindziej, choć mu dawałem nierównie lepsze pomieszczenie. Utrzymuje, że mu to jego kraj przypomina. Gdyby klimat Atlanty był nieco cieplejszym, kazałbym tam posadzić rozdręby australskie. Musisz znać kochany mistrzu działanie tój dobroczynnej rośliny?

— Rozdręby czyli *Eucalyptusy*! znam je znam, i u ciebie już je widziałem, miłościwy królewiczu, gdy po raz pierwszy przed czterema laty oglądał twoje ogrody wiszące. Drzewa te posiadają w wysokim stopniu własność pochłaniania szkodliwych wyziewów. Podobno w krajach gdzie rosną rozdręby, mieszkańcy nigdy nie chorują na febrę. Rząd włoski założył wielkie plantacye tych drzew w okolicach bagien pontyjskich. \*)

— Mam je nietylko w ogrodach wiszących, ale i w moim ogrodzie zimowym tu na dole — rzekł królewicz i otworzył drzwi do przepysznej sali z dwóch stron oszklonej.

Po ścianach sali pięły się bluszcze, ze stropu niby żyrandole, spuszczały się rzadkie storczyki rosnące na niewielkich podkładkach z kory i mchu; fontanna stojąca na samym środku sali, wyrzucała w górę strumienie wody z głośnym szelestem, a między klombami ustawionymi z kwitnących w obecnej porze drzew i krzewów, były ścieżki wysypane zwirem. Królewicz dotknął ręką drzewa, którego wyniosły słupiec, do słupca palmowego podobny, gładki i prosty jak maszt, zakończony był u góry bogatą koroną, w potężne rozrastającą się konary.

— Oto rozdręb — rzekł spoglądając na drzewo z dumą prawdziwie ojcowską — sam go wyhodowałem.

Na długich ogonkach, zwieszały się drżące jak u topoli, liście ciemno zielone, podługne, twarde jak pargamin, bardzo podobne do liści laurowych, ale



Rozdręb australski czyli *Eucalyptus*.

znacznie większe. Wśród ciemnych liści, widziałem mnóstwo pączków jasno zielonych, a niektóre z nich już rozkwitłe. Płatki kwiatów były blade różowe, prawie białe, a liczne pyłniki purpurowe na długich nitkach, igrając z powiewem wietrzyka wciskającego się przez okno otwarte, migotały w blaskach słonecznych promieni.

— Piękny okaz — rzekłem, patrząc nań z przyjemnością — ale na wyspie Van Diemen widziałem drzewa zadziwiających rozmiarów. *Eucalyptus gigantea*, dochodzi tam często do trzystu stóp angielskich wysokości, a pień powyżej korzenia, miewa po trzydzieści stóp w obwodzie. Drzewo przejęte jest aromatyczną żywicą, więc daje wyborny materiał budowlany, szczególniej na okręty; jeden zaś gatunek zwany *Eucalyptus globulus*, zawiera w korze swój pierwiastki podobne do chinu. Gatunki: *Eucalyptus corynocalix* i *Eucalyptus gumi* posiadają liście pozbawione wybitnego smaku, i z tego powodu służyc mogą za paszę dla owiec.

— O tym szczególe nie wiedziałem — rzekł królewicz. — Co za szkoda że rozdrębu nie można u nas hodować: kazałbym zaraz utworzyć z nich lasek naokoło siedziby biednego dziwaka. Ha! może chociaż obecność jednego drzewka w mieszkaniu, pomoże mu cokolwiek!

— Niewątpliwie — odrzekłem — hodowla rozdrębów w mieszkaniach, bardzo się nawet upowszechniła w Europie.

Królewicz zawołał głównego ogrodnika i rzekł:

— Proszę wybrać piękny egzemplarz kwitnącego rozdrębu i zawieźć natychmiast choremu cudzoziemcowi do którego poszła moja żona, a także proszę powiedzieć Jój królewiczowskiej Mości, że mamy w gościnie mistrza.

Po wydaniu tego rozkazu zadumał się.

— Mistrzu — rzekł po chwili — chciałbym temu dziwakowi posłać coś takiego, coby mu sprawiło przyjemność, coś coby mu kraj jego przypomniało. Może wiesz mistrzu, jakie tam kwiaty kwitną teraz w największej ilości?

Myślałem chwilę nad pytaniem królewicza, nareszcie rzekłem.

— Poślij mu... niezapominajki.

Królewicz wybiegł z chłopięcą żywością przed pałac, gdzie w klombach kwitło mnóstwo niezapominajek jaśniejących zdalea turkusową barwą. Narwał ich sporo i zrobiwszy wiązanke, oddał ogrodnikowi zajętemu właśnie ładowaniem na wózek dwukołowy wspaniałego rozdrębu i rzekł:

— Oddaj to choremu cudzoziemcowi i zanieś mu moje królewskie... nie! moje braterskie pozdrowienie!

(d. c. n.)

## NA MOGILE.

Jestem mateczko! — W ten śliczny dzień wiosny, Widząc, że wszyscy zajęci we dworze, Czmychnęłam lekko, jak ptaszek radosny, Biegnąc do ciebie przez puste bezdroże.

\*) Pontyjskie bagna znajdują się na południe od Rzymu wzdłuż wybrzeża morskiego. Bagna te w starożytności pracą ludzi ciąglą osuszane, były zamieszkane, lecz miasta jakie się wśród nich znajdowały, upadły, gdy przestano dbać o bagna. Złe tak dalece wzięło górę, że trudno mu było podołać, mimo wysiłen ponawianych od czasu do czasu. Jeszcze na 312 lat przed Chrystusem probowano osuszyć te bagna.

Jestem mateczko! — klęcząc przy twym grobie,  
Chcę cię przywabić modlitwy zaklęciem...  
Przyjdź do mnie!... Znowu będziemy przy sobie,  
Tak się stęskniłam za twojem objęciem.

Myślę o tobie zawsze, w każdej chwili,  
Widzę cię we śnie: widuję na jawie  
Ponad kołyską Janka, gdy zakwili...  
Szłaś za mną, gdym się ślizgała po stawie.

Bo choć aniołki grzeczniejsze odemnie,  
Jam przecież twoją rodzoną córeczką,  
My się tak bardzo kochamy wzajemnie!...  
Sfruń do mnie z nieba, sfruń do mnie mateczko!

Chrystus nam wszystkim zapewnił to prawo,  
Ależ na szczęście zasłużyć potrzeba...  
Serce mi dziwną zadrzało obawą,  
Czyby zechciano wpuścić mię do nieba?...

Uczę się nieźle... piszę?... nie bez ale,  
Bo stawiam kleksy! gubię igły, druty,  
Gam nienawidzę, obrebiam niedbale,  
Niszczę sukienki, drę książki i nuty.

A posłuszeństwo? O Boże, mój Boże!  
Toż dziś przybiegłam tu bez pozwolenia...  
Biedna babunia głowę stracić może!  
Oto mi piękny rachunek sumienia!...



Bo ja wiem o tem, że jesteś aniołem!  
Mówił mi tatko, gdy leżałaś biała  
Jak posąg w trumnie, że ciało popiołem,  
Lecz dusza żywcem do nieba wleciała.

Mówił, że ciągle strzeżesz swoich dzieci,  
Ze cię tu wiąże miłości twój siła:  
Choć więc od śmierci minął miesiąc trzeci  
Ty wśród nas żyjesz, zawsze będziesz żyła!

Wierzy w to babcia, wierzą wszyscy moi,  
Wierzy ksiądz proboszcz!... och! wiaraz to słodka  
Co boleś dziecka tą nadzieją koi,  
Że się na wieczność z matką swoją spotka.

Wstyd mi, ach! wstyd mi!... Ależ w naszej wierze  
Jasno wytknięta dla grzeszników droga:  
Wracam natychmiast, wyznam winę szczerze,  
Przeproszę ojca, babunię i Boga.

Żegnaj mateczko!... Na twoję mogiłę  
Przyjdę z babunią z win mych rozgrzeszona,  
Czerpiąc w tej myśli do poprawy siłę,  
Że mię na wieczność przytulisz do łona.

Natalia Sokołowska.

# LWY UCZONE.

Sztuki lwów uczonych ściągają obecnie liczne zastępy widzów w paryzkim cyrku. Są one jak to widzimy na rycinie naszój w rodzaju tych, jakie przedstawiał podany przez nas niedawno lew używający konnej jazdy. Jak tam tak i tutaj psy odgrywają pewną wyznaczoną sobie rolę. Pies

czyną opóźnienia w rozstrzygnięciu konkursu. Przeczytać paręset wypracowań, to nie żarty! ale wszystkie one pisane z takim „staraniem, żeby dobrze było”, (jak powiada jedna z panielnek nadsyłających opis), że chociaż nie jednakowój są wartości literackiej, wszystkie czytaliśmy z przyjemnością. Godła wybrane przez młodziutkich autorów i autorki świadczą o czytaniu, o znajomości arcydzieł literatury, a szczegóły udzielone nam o miejscowościach będących przedmiotem opisu, o praco-



przeskakuje przez szarfę, której oba końce dwa lwy trzymają w zębach, równie jak przez deskę na końcach której siedzą. To znów lew jedzie na welocypedzie, który pies pomaga mu poruszać. Na zakończenie zaś całej tej lwiej i psiej gimnastyki, trzy lwy zaprzężone do starożytnego wozu, ciągną w pełnym galopie pogromcę swego, który tą jazdą kieruje.

## SPRAWOZDANIE Z KONKURSU.

Kochani czytelnicy tak liczne i tak obszerne nadesłali odpowiedzi na zadanie nasze, że to właśnie stało się przy-

witem zbieraniu wiadomości. Jednym słowem droga działwa nasza stawwszy się do apelu licznym hufcem, przekonała nas o czym zresztą z góry wiedzieliśmy, że to hufiec serc bardzo poczciwych i główek dość już bogatych w wiadomości, a przytem myślących. Redakcyja też w prawdziwym jest kłopotcie, komu tu pierwszą nagrodę przysądzić; po długim jednak namyśle uznaliśmy, że pierwszeństwo należy się bezwarunkowo 12 letniej *Oleńce ze Żmudzi* dla tego, że z nielicznego grona panielnek, których odpowiedzi uważamy za najlepsze, ona jest najmłodszą, a wypracowanie jej w niczem nie ustępuje tym, które nadesłały starsze od niej panielki. Treść starannie opracowana, wszechstronna znajomość opisywanej miejscowości, śliczne, staranne pismo, oto zalety, które czynią pracę *Oleńki ze Żmudzi* godną nagrody. 13-to letnie: Sosenka

pod godłem „*Wimień Boże*” *Złota Przędza i Grażyna* śmiało też o pierwszą mogą się ubiegać nagrodę. Grażyna zrozumiała dobrze jakie być winno zadanie konkursowe. Jój opis Lublina zaleca się dokładnością, świadcząca że nie żałowała trudu i zaglądała do nie jednej książki, aby zaczerpnąć gruntownych wiadomości o wszystkim o czem mówi. 14 letnia *Topolka srebrna* starała się opisać jak mogła najlepiej „dom, lasy i pola szerokie, to wszystko co ją otacza najbliżej, na co patrzy od urodzenia, wśród czego wzrosła, co jój jest drogie, swojskie i znane”; siły jój nie zawiodły. Szkoda, że „*Oleńka*” opisująca Kowel, nie dała nam bliższych szczegółów o sobie: ani lat, ani godła! Opis dokładny, styl poprawny, w wypracowaniu jest wszystko co trzeba, a nie więcej nad to, co trzeba. Z drobnego, wyrobionego już pisma wnosimy, że to jedna ze starszych czytelniczek naszych i dla tego stawiamy ją obok *Topolki i Wesolój Krakowianki*, także 14 letniej. Ta opisuje Warszawę, ale z tematu niewyczerpanie obszernego, tak zręcznie wybrała to, co najwłaściwiej było powiedzieć, tak roztropnie uniknęła zbytniego zapuszczania się w szczegóły, że za tę zręczność i roztropność odpowiedź jój należy policzyć do najlepszych, a za ten temat bezwarunkowo za najlepszą ją poczytać. Odpowiedzi młodych zupełnie dzieci nie mogą naturalnie różnić się, pod względem obrobienia i zasobu wiadomości, z opracowaniami dużo starszych panienek; ale to powiedziawszy, musimy oddać należną pochwałę 8 letniej *Gwiazdce z Podola*. Na wspólnę z braciszkiem opowiadając, wzięła na siebie opisanie nie miejscowości, ale jój flory i wywiązała się z tego ze znajomością przedmiotu zadziwiająca u takiego małego dziecka, które obok nagrody i na całus serdeczny zasługuje. 8 letnia także *Tęcza z nad Jatrani* nie powstydzi się swego opisu. A *Konradek Cz.* lat wprawdzie nie wymienił, ale nie musi to być dorosła osoba, skoro się „małym czytelnikiem” pisze. Jakżeż go tu nie pochwalić, kiedy w dodatku jeszcze ujął za serce Redakcyę, oświadczając, że ma chęć „ugościć ją rakami”. Raz jeszcze powtarzamy: wypracowania starszych są i z konieczności muszą być lepsze, ale usiłowaniom małych dzieci sprawiedliwość oddać należy i dla tego 9 letniemu *Jarosikowi z nad Bugu, Goryczce i Ludwisiowi z Zabłotni* oddajemy pochwały na jakie zasługują niemniej jak i 10 letniej *Mysze domowej*, która widocznie, nie na łasowaniu przysmaków czas trawi. Jedenastoletnie panienki nieledwie już do „starszych” liczyć mamy ochotę, tak dobrze piszą, tak poprawnie. *Czarnooka z Puszczy* przypuszcza, że „*Włochy* piękniejsze, ale rodzinny kątek ma dla niej najwięcej uroku”, czem dowodzi, że myśleć już i czuć umie! *Rybka z Hniliopiaty* dobrze włada piórem, ale z czasem dobrą też będzie gospośią, skoro dziś już własne jój gospodarstwo” (czworonożne) uprzyjemnia jój czas wolny od nauk. *Śmieszka* bardzo ładnie opisuje nam Salonikę, bo na tureckiej ziemi spędziła pierwsze lata życia, a choć pokochała kraj tutejszy, jednak „niczy jój do szczęścia nie brakowało, żeby miała morze i babcie!” *Warszawska Biedronka* żywą wyobraźnią malowniczo przedstawia moment z przeszłości. *Błądny Ognik* zadziwia nas ilością praktycznych wiadomości, jakie widać w nocnych wędrówkach zbierał, a *Jakóbinka, Muszka z nad Bystrzycy, Świąteczko, Gajówka modra i Wiedenka z Żywopłotu* idą na wyścigi, która lepiej zadaniu odpowie. Szereg 11 letnich zamyka *Jaskółka z nad Ussy*. Pisze ona: „możeby kto inny lepiej i więcej napisał, ale ja nie umiem dobrze wyrażać to, co czuję.” *Czuji* tylko, dziecko drogie... „Miej serce i patrzaj w serce”.

I 12 letnie o których już więcej się wymaga, nie mają się czego wstydzić przed starszymi nawet od siebie. *Brzózka* rozkoszuje się pięknymi widokami rodzinnego miejsca z prawdziwym zamiłowaniem piękności przyrody, *Czubała Kokoszka* zna stare podania, w których często tkwi niestarzejący się maraś, a *Maryja Led., T. N. 12, Jemiobuszka, Halutka S., Hajduczek z pod Zamościa i Wisienka z nad Sobu* dostarczają nam wielu a wielu ciekawych szczegółów, o miejscowościach, w których mieszkają.

O gromadce 13 letnich rówieśnic, mogłabym powiedzieć to, co o sobie mówi *Zorza*: „nie sadiłam się na wyrazy szumne i górnotłone, lecz piszę po prostu i zwyczajnie, ale z serca”. Wszystkie tak zrobiły i dobrze zrobiły: *Brzózka*

*z nad Łydny, Iwowianka, Malinka z Goworowa, Przepiórczka z nad Teterowa, Polska Dzieweczka z Polesia, Horpyna, Kwiat lotosu i Orso.*

14 letnie i jedyną 15 letnią *Kopciuszka* razem połączymy należną wszystkim pochwałą. *Mysł, Mazurka z nad Narwi, Cicha Woda*, przysłały nam wszystkie cztery (bo i *Kopciuszka* liczymy) opisy szczegółowe, ładne, w miarę obszernie, nie zbytnio treściwe. *Konwalijka z nad Bobrówki* dobrą robi na wstępie uwagę, że nawet miejscowość, „płaska, piaszczysta, nie jest przecie pozbawioną uroku dla tego, co się w niej urodził i chce piękna szukać koło siebie”. Tak! chcieć trzeba! sercem tętna otoczenia odczuwać! *Prawda* nie wie, czy dobrze napisała, ale że pisała swoje wypracowanie „z chęcią i staraniem, aby było dobrem”. Cóż więcej wymagać można? O to przecież chodzi przedewszystkiem, nietylko w wypracowaniu, ale i w życiu całym... *Jaskółce z Czerwonój Rusi, Różyczka białej z Wołynia, Turkawce z nad Prosn, Hel. Mak.* nie nie mamy do zarzucenia, prócz tego, że lat swoich nie wymieniły! Z pisma sądząc, bierzemy je za starsze panienki.

I znowu druga *Oleńka* żadnych bliższych szczegółów nie daje nam o sobie, choć tak ładnie opisuje Ojców, żeśmy opis jój z przyjemnością czytali. A dwie jeszcze mamy *Oleńki!* trzeba więc koniecznie, aby trzy właścicielki jednakowego pseudonimu rozróżniły się jedna od drugiej przybraniem jakiegoś określenia. Autorce opisu Ojcowa proponujemy: z pod *Ojcowa Oleńka*, wszak nieźle to brzmi, prawda? Nie wymieniła także lat swoich M. U. (godło: „*D-r Muchołapski*” opisująca nam bardzo ciekawe szczegóły o Besarabii.

W końcu mamy jeszcze do zaznaczenia dobre wypracowania nadesłane przez 9 letnich: *Lilijkę z nad Osławy, Wołyńską Pszeniczkę, Adzia z Rucowa*; odznaczają się one staranem pismem i dobrem *na ten wiek* obrobieniem przedmiotu, do czego jesteśmy pewni, nie dopomagał nikt ze starszych. Rówieśnik wyżej wymienionych, *Bratek*, także nadesłał wypracowanie, nie powiedział jednak, jaką mianowicie miejscowość opisuje.

Niezapominajka z Polesia, *Wisienka, Góralka*, są to 10 letnie panienki, z którymi chwilowo koleguje pod względem lat dwóch chłopczyków: *Olgię*, który z prawością zaszczyt mu przynosząca, przyznaje, że szczegóły, jakie o Kaliszu donosi, wyczytał w jakiejś książce i *Mazur z nad Dunaju*, którego opis *Wiednia* zawiera same rzeczy znane; pojmujemy to wszakże, że trudno w tej materji coś nowego powiedzieć, szczególniej, gdy się ma dopiero lat 10!

Do starszej, 11 letniej gromad<sup>1</sup>, należą *Dumka z nad Sobu*. *Odważny Pływak, Trawka amerykańska*, odznaczająca się wprawem już dosyć pismem, *Czarna Gondola, Lobelia, Vesta, Kamelia z nad Pilicy*, nad podziw ładnie formująca literki, *Symfonia, Dracena i Jagódka z Podola*, widocznie dobrze obeznana ze strojem miejscowym. *Piko-de-tejde* w samotnej chwale przedstawicielem jest 12 letnich!

13 letnich liczny zastęp stanął do konkursu. *Sasanka*, dobrze z rodziną miejscowością obeznana, *Niezabudka z nad Chomoru, Rybka z Berezyny*, świadoma przeszłości swoich okolic, *Legenda, Niezapominajka z nad Łydny, Zorza północna*, o której usposobieniu pięknie świadczy wybrane przez nią godło, *Słowik z nad Zbrucza, Niebieska Wstążeczka z nad Noteci, Białonóżka z pod Karpat*, której kaligrafia jest wyjątkowo piękna, *Rusalka i Gospośia z pod Lublina*, po gospodarstwu z „lochami” obeznana, *Halka z Litwy, Topolka z nad Kodemy*, i *Niezapominajka z nad Warty*, to już do pisania ćwiczeń nawykłe 14 letnie panienki, nie więc dziwnego, że w ich opisach znać już pewną wprawę. To saino da się powiedzieć i o pracach kandydatek na starszki. *Carmen, Nemofila i Benjaminka*, piętnastoletnie czytelniczki, które przy pracy w tym wieku dość uciążliwej, wzięły jednak udział w konkursie.

I znowu jedna znalazła się *Oleńka* litewska! Lat swoich nie podała, ale z przyłączonego adresu widzimy, że nie jest ona tą samą, co *Oleńka z Warszawy*, z ulicy A... *jako 16 letnia* do konkursu już nie należąca. Raz jeszcze prosimy, aby każda *Oleńka* dodała do swego pseudonimu jakieś określenie.

Lat swoich nie wymieniły: *Srebrna Muszka, Mała Pe-*

dantka z nad Nidy, Ben-ali-bei, Pług poleski, Róża herbaciana, Figlarna Koteczka, Wanda D., Miechowianka, Niezapominajka z nad Jabłoni, rodzeństwo: Słonecznik polny, Lilijka z nad Wołynia, Dora, Korona, N. III (niema ani pseudonimu, ani nazwiska, ani adresu), Sosna polska, Konwalijka różowa, Marysięna z Willanowa, Jadw. Zar. i Sokolica. Z pisma ich tylko wnosić możemy o latach, od których naturalnie ocena wypracowania w znacznej części zawisła. Niepewna to jednak wskazówka, bo niedawno rozstrzygnięty konkurs kaligrafii dostarczył nam dowodów, jak ślicznem i pewnem bywa czasem pismo małych zupełnie dzieci. Pamiętamy jednego Bogdanka, mającego zaledwie rok 6-ty, którego pisma nie powstydzilyby się żaden dwunastoletni Bogdan. Tak, zawsze... Bogdan! Zawsze *darem Bożym* jesteście drogie dzieci, a gdy chcecie być rodziców pociechą, jesteście największem z dobrodziejstw Bożych. Z wypracowań waszych mamy prawo wyprowadzić wniosek, że na drodze do tego jesteście: pilność, staranne wypełnienie dobrowolnie nawet zaciągniętego zobowiązania, pięknie o was świadczą, a te zalety charakteru są już gruntem, który miłością tego co swojskie ogrzany, dobre kiedyś wyda owoce. Ci, którzy pochwały nie otrzymali, niech nie sądzą, że wypracowania ich były *złe*; były one tylko *mniej dobre*mi od nagrodzonych i od pochwalonych, i dla tego jedynie tamtym należy się pierwszeństwo. Dwa się zaledwie znalazły niedbale pisane, podpisane nieczytelnie, pozbawione nazwiska, pseudonimu i ortografii, ale o tych nie wspominaamy wyraźniej, boć wszystkim zdarza się zbłądzić, a pole do poprawy zawsze otwarte, szczególnie gdy błąd to tak niewinny, któremu czas i dobra wola zaradzą.

Na zakończenie tyle tylko powiemy, że Redakcyja czuje się dumną i zadowoloną ze swojej rodziniki.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Tymczasem, jak widzicie, odbywam ćwiczenia wojskowe, spełniam służbę obywatelską, odbijam śnieg w koszarach, słucham kursów w liceum i mam zawsze książkę w kieszeni, aby czytać o każdej porze dnia i nocy w wolnej chwili. Nie wiem dotąd czy jestem świadomy jest mego błędu? i przeto nie wiedząc jak postąpić, ani odważyłbym się obecnie stanąć przed nim, ani wiem co począć mam dalej ze sobą! Jedną tylko słabą nadzieję mam w matce, że ta, dowiedziawszy się cudem jakim o mym błędzie i żalu zań, zechce znowu swoim zwyczajem, wpłynąć na rozniewianego teraz słuszniej, niż kiedykolwiek ojca. Codzienne życie moje przy takim niepokoju i poczuciu winy, przykre jest i wtem przyczyna wiecznego smutku z którego żartujecie niekiedy, lub, poczciwe dusze, usiłujecie go zwalczyć, następując mi rozrywki, jak oto i teraz, gdy sami wystarawszy mi się kilkudniowego urlopu, zabraliście z sobą na uroczystości winobrania i na polowanie w górach...

— A więc, należy mi się niezwłocznie, gdy tylko służba pozwoli, popędzić w twoję pusztę, i jako podróżny spoczywając w stepowej gospodzie, powiadomić dokładnie o wszystkim twą matkę... Bądź dobrej myśli Petöfi! — rzekł najstarszy ze słuchaczy po namyśle, podając rękę żołnierzowi, który ją serdecznie uściśnął.

— Ho hop!... błyskają już *wierchy* na wschodzie!... nie tracić czasu na gawędy! kto nie spał niech zdrzemnie a odpocznie, żeby trzeźwą miał głowę i pewne nogi! Za godzinę w drogę!... jeżeli mamy stanąć na południe u gospodarza Valössy! — tak wołał góral przewodnik.

— Spać dzieci! trzeba słuchać komendy, choćby góralskiej, jeżeli ta ma prawo dowództwa nad nami w danej chwili! — powiedział oficer służbista.

Cisza zapanowała przy ognisku wśród skał, ponad które-  
mi, najwyższe szczyty zaczynały tu i owdzie błyskać złotem i purpurą, odznaczając się wyraziście na ciemnem tle nocy.

„Podania miejscowe nie zgadzają się co do czasu kiedy pierwsze winnice założone zostały na wzgórzach Hegyalia. Jedni odnoszą je do czasów panowania Rzymian w Panonii, drudzy utrzymują że Bela IV sprowadziwszy winne szczepy z Włoch i Morei czyli Peloponezu, pierwszy zasadził je nad brzegami Cissy. Inne wszakże winnice węgierskie sięgają dawniejszych nierównie czasów, i pochodzą niewątpliwie od Rzymian, którzy najwięcej przyczynili się do rozpowszechnienia uprawy wina w Europie. Wiadomo że w Alzacyi w X-ym już wieku szczepiono latorośl węgierską.

Pasma Hegyalia rozciąga się szeroko, stanowiąc południowe podgórze Karpat wschodnich. Uprawiają tu wino w dwudziestu przeszło wiejskich osadach, zbierając corocznie około miliona wiader soku.

Na owem to podgórzu Karpackiem, złożonem ze skał porfirowych i wypalonych kraterów, na przestrzeni pięciu mil kwadratowych ciągną się owe najslawniejsze winnice, z których wino „Tokaj” rozchodzi się na wszystkie strony świata.

Samo miasteczko „Tokaj” położone przy ujściu Bodrogu do Cissy, małe, błotniste, ledwo kilkotysięczne, słynie po świecie jedynie nazwą okolicznego wina. W ogóle wino węgierskie stanowi główny przedmiot handlu w Węgrzech a zatem źródło bogactwa narodowego”.

To też winobranie w całych Węgrzech a mianowicie w okolicach Tokaju jest narodową uroczystością. Każdy właściciel winnicy, uboższy czy bogaty, kmieć czy mieszczanin, z końcem lata zabrawszy żonę i dzieci, przynosi się do winnicy gdzie zamieszkuje w chatce, dopóki nie skończy zbioru wina. Następuje to w końcu października dopiero, bo grona z których ma być otrzymany prawdziwy winny wyskok, muszą wprzód na pniu trochę zeschnąć i nabrać błękitnawej barwy. Gdy zeschną dostatecznie, wtedy dopiero obrywają się jagody, a z tych wybierają najpiękniejsze, z których wino zciekające samo bez żadnego ciśnienia, nazywa się esencją tokaju, w Polsce zwano je „kapką”, jest najwyżej cenione i bardzo drogie. Ale najpiękniejsze z najpiękniejszych kładą się przedewszystkiem w przeogromny biały jak śnieg worek, tłum winobranców otacza go tańcząc i śpiewając przy hucznej muzyce, a młodzież pędzi z drugą muzyką na umajonym wozie, z głośnymi okrzykami i śpiewem, szukać po świecie najpiękniejszej dziewczyny, która by rozpoczęła wytłaczanie wina, aby jagody wydajne były.

— Ho ho! gdzież jest najpiękniejsza dziewczyna? Ho ho ludzie! gdzież jest najpiękniejsza w świecie?... — tak wołając w takt muzyki, pędzą, ale zamiast w świat daleko, toż oni pędzą prosto przed dom własnego pana, właściciela winnicy, Michała Valössy:

— Hej, hej! panie Michale, dawaj nam tu twoją córkę, żeby najpiękniejsza dziewczyna utłoczyła nam wina! Co? Nie chcesz? Cóż to ty sobie myślisz panie Valössy? Czy dla tego że twoja dziewczyna jest hrabianką, i że ty jesteś jednym z najbogatszych w kraju, to my nie mamy cały rok wina pić, gdy jagody nie wydajne będą, ponieważ najpiękniejsza wgarodzi wytłaczać je białymi nóżkami? A któż wam winien: nie trzeba twojej córce najpiękniejszą być, tobyśmy ci jej nie zabierali, a kiedy jest, to dawaj!...

Nie nie pomogło; zabrali córkę pana Michała, ustroili ją całą w winne grona, posadzili na wozie i pędzą napowrót pokrzykując w takt muzyce. Okrzyk radosny przyjmuje ich u białego worka. Porywają najpiękniejszą, sama pani, jej matka podpina jej trochę białą spódniczkę, zdejmując obuwie z białych nóżek.

— Aha, panno hrabianko! dobrze ci tak! kiedyś najpiękniejsza to tańczuj teraz a skoczno po worku, dopóki wszystkiego soku z winnych gron białymi nóżkami nie wyciśniesz! Hej-że muzyko graj!

I musi tańczyć ochoczo panna hrabianka!... a tłum winobranców tańczy naokoło i pokrzykuje, a muzyka grzmi aż się anieli w niebie radują: hu ha!...

Po oberwaniu najpiękniejszych jagód, pozostałe grona ułożywszy w konopne worki, depczą nogami, a odpływający

sok zlewają w beczki w których fermentuje i wydaje inne gatunki wina. Na „wysok winny” sypią pewną miarę suchych winogron w niewielką kadź i depczą na masę, do której dolawszy soku przy ciągłym mieszaniu tyle, żeby pestki dały się wybrać sitem, osłaniają kadź pokrywą z trzciny, i zostawiają w spokoju na blisko 36 godzin. Gdy przez ten czas utworzy się skutkiem fermentacji warstwa gębczasta na wierzchu, a gaz węglowy wchodzi przezeń z lekkim szumem, miesza się znowu wszystko, zlewa w worek i lekko wyciska, a czyste wino zlewa w wielkie beczki i ustawia w piwnicy. Mu-si tak stać najmiej pół roku. Dobre wino stoi lat parę.

Gdy kończy się zbiór cały, rozpoczynają się słynne od wieków uczty zabawy i odbywające się w całych Węgrzech, gdzie tylko są winnice. Właściciele spraszają na nie przyjaciół swoich, z dalekich stron nieraz, a mnóstwo kupców i robotników wszelkiego rodzaju, nie tylko z całych Węgry, lecz i z Polski i z ościennych krajów przybywa, w celach zarobku i zabawy, tak samo jak na jarmarki i inne wielkie zgromadzenia ludowe. Na takie to gody zaprosił licznych przyjaciół swoich pan Michał Valossy., bogaty obywatel, którego winnica tłumy winobranców zatrudnia. To też do gości i winobranców ciągną tłumy ludu z daleka i zblizka, z interesem i bez żadnego nawet, dla ochoczej zabawy jak na bal, i z samej ciekawości jedynie. Jest się czemu przypatrzeć i czemu przysłuchać. Na ogromnym obszarze pod szafirowem uśmiechniętem niebem cygańska muzyka tu i owdzie, gra od ucha aż dusza skacze, aż nogi się rwą, aż podrywa człowieka: a wszystko swojskie, własne, stare jak Węgry same. Kto żyw śpiewa do wtoru śpiewającym przy pracy winobranców, pieśń za pieśnią, jedna dzielniejsza od drugiej, przysięgłbyś że słyszysz szcęk broni, brzęk ostróg, komendę wodzów, okrzyki pełne zapału wojowników, aż w szafirowe niebo echem bije zwycięzka pieśń, prawdziwa pieśń wojennego narodu. Aż tu jeden huczny okrzyk wesela, wstrząsa zda się niebios sklepieniem, wszystkie muzyki naraz grzmia marsza, to zakończenie dzienniej pracy, teraz będą tańczyć. Widzieliście jak Węgrzy tańczą? Jak okiem zajrzeć zapłonęły potężne ogniska, zabezpieczając lud od chłodu, lud roztasowany istnym obozem u stóp pagórków. Ani najbarwistsza, najkwiecistsza łąka pod słońcem, nie mieni się tak tysiącami barw, jak ten obszar ludem zasłany. Strojne, błyszczące, jaskrawe są kmieci węgierskich przybrania, bogate, kwieciste, świetne, są stroje szlachty węgierskiej: a wszystko od malca do dziadusia, od dziecinki do babuli, brzęczy, dźwięczy, świeci, ostrogami, ozdobami u pasa, u warkoczy, u czapczek, u szyi, u kapelusza, wszystko klaszcze, wykrzykuje, śpiewa, tańczy, a muzyka grzmi!... grzmi ognistego prastarego marsza, coraz bliżej wiejskiego domku pana Valössy. Już idą!... naprzód huczna cygańska muzyka, tuż za nią przodownice w winobranczej pracy, pysznie postrojone z buziakami ukrytymi pod maską, albo osłonięte w gesty rąbek, to tak na figle; naokoło przodownic cisną się dziewczęta białe ubrane w zielonych wieńcach z winogrodu, takiemiż wieńcami przepasane. Dwie białe dziewczyny dźwigają na błyszczącym ozdobami drażku, uginając się pod nim, chociaż najcięższe do tego wybrano, przeolbrzymi wieniec ułożony ozdobnie z największych gron i gałązek. Za niemi i w około tłumnie idzie winobranców rzesza z barwnymi chora-giewkami i z butelkami w rękach, powiewając, potrząsając niemi, tańcząc, przy głośnych okrzykach, a kogo spotkają każdy musi skosztować z podanej butelki. Liczni dozorczy w odmiennych a zawsze jaskrawych strojach, z trz-paczkami w rękę, uderzają niemi tego i owego lekko po plecach, pilnując porządku. Tak, ze śpiewem, tańcem, szcękaniem, szumem, muzyką, przybywają przed dom właściciela winnicy

i uroczycie przy odpowiedniej pieśni ofiarują mu wieniec. Właściciel z rodziną i gośćmi przed domem przyjmuje wieniec, odpowiada oracją na orację, zawiesza go na ścianie i... choćby miał sto lat, idzie w taniec z przodownicą. Cóż za wstyd gdyby nie mógł! Węgier do boju i do tańca zawsze powinien być gotów! To też najstarszy staruszek krzepi się, jak może, a hula, wykrzykuje i ostrogami dźwięczy, a za nim żona, dzieci, wnuki i prawnuczeta z serdecznymi gośćmi. Ale kto tam wie na pewno z kim tańczy w takim zamieszaniu i przy takiej szalonej ochocie. Toż nawet ten młodziutki żołnierzyk co z synem pańskim i z innymi oficerami przyjechał i dwa niedźwiedzie onegdaj zabił, a przy ochocie ciągle w ką-t za innych się kryje, aby wiecznie smętną twarzą nie psuć ogólnego wesela, i ten wreszcie ku ogólniej uciecie musiał ostrogami w tańcu brzęknąć ochoczo, i choć na chwilę dziwnego smutku zapomnieć. Ba, jakże nie miał, kiedy jedna z przodownic zamaskowanych, wynalazła go w ciżbie pańskich gości i zaprosiła do tańca. W codziennem życiu nie uszłoby to dziewczynie, ale w czasie winobrania wszystkie figle uchodzą, od tego winobrania. Chciał żołnierz odmówić, ale pocuł że wyśmiany będzie i gorzej, bo uznany za nieprzyzwoitego gościa który zabawę zatruwa: można nie przyjechać, ale kiedyś przyjechał to hulaj jak drudzy. Więc poszedł żołnierz tańczyć.

(d. c. n.)

### NITECZKA ARYADNY.

Ułożona przez Wiedenkę z żywoplotu, dla Białej Kotki z nad Chomoru i Białoszki.

<u>Już</u>	chroń	<u>bu</u>	dech	za	słu	ru	ma
czy	<u>gdy</u>	o	<u>rza</u>	ży	<u>wie</u>	ło	<u>cha</u>
już	są	pu	atr	deszcz	scia	plu	a
czy	przez	się	łap	ny	mi	przez	cha

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Dla Jedlinki, Stokrotki z nad Stochodu i Sasanki, od Niezabudki z nad Chomoru.

Wyrazów 5. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu, złożą nazwy dwóch rzek portugalsko-hiszańskich: Sy-laby: Mir—Niedź—go—Q—ród—dzie—wie—JU—Hurd—ko—war. — Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w gubernii poł-tawskiej. 2. Dwie samogłoski. 3. Jezioro w Ameryce. 4. Mia-steczko w prezydentwie Allahabadzkim. 5. Organ wzroku.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

#### Sz ar ady:

O — ku — la — ry.

#### Ł am ig ł ó w k i:

1. Pionek. 2. Elwira. 3. Radom. 4. Sennaheryb. 5. Ofni.
  6. Wirgiliusz. 7. Jefte. 8. Eurypides.
- Persowie — Kambizes.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Na mogile, wiersz p. Natalię Sokołowską (z drzew.) — Lwy uczone (z drzew.), — Sprawozdanie z konkursu. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — Rozstrzebanie, wiersz p. Helenę Bojarską, — Pamiętnik ołówka. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielńską.



Wdrapał się na grzędę i gryźć począł cukier...

## Podróż młodych Szczuroskich. ~~XXX~~

(Dalszy ciąg).

Dwoje upartych bezrozumnych stworzeń poczęło zniżać się po cichu i pewnego pięknego poranku, gdy cała rodzina w błogim śnie była jeszcze pogrążona, oni, cicho, na palcach wyszli z rodzinnej nory między podłogą i ścianą spiżarni, zbiegli na dół i rzucając obojętne spojrzenie rozkosznej wiosce rodzinnej, ruszyli w drogę wybrzeżem Wisły w górę rzeki.

Szli dopóki głód nie zmusił ich pomyśleć o śniadaniu. O tój to właśnie porze dnia w jadalni domu Szczuroskich zasiadano do śniadania, słoninka, chleb lub bułki, kasza, mąka, cukier, pogardzane w ostatnich czasach, stanęły teraz przed oczyma wyobraźni zgłodniałych podróżnych, ale przed ich oczyma cielesnemi, w rzeczywistości nie było tych przysmaków, tylko stary trzewik skórzany, niezdatny do użytku leżał na wybrzeżu Wisły.

— Ej co tam—rzecze z westchnieniem młoda panna Szczuroska, — warszawskie przysmaki wynagrodzą nam wszystkie przykrości, tymczasem w podróży trzeba się ograniczać. Zjedzmy po kawałku tego trzewika, aby głód opędzić i dalej w drogę. Jak powiedziano tak zrobiono. Trzewik był twardy, ach, prawdziwie twardy

jak podeszwa! ale nie było wyboru. Nad wieczorem w chwili gdy w podziemnej komnacie zasiadano do obiadu uwiecznionego świeżą kiełbaską i słodkim ciastem, dwoje podróżnych musiało się znów pożywić znalezionym kawałkiem ronda od pilśniowego kapelusza. A noc!... ach, noc przepędzaną tak wygodnie zazwyczaj w zacisznej sypialni starego dworca, trzeba było przebyć drżąc i szczękając zębami, w dołku pod krzakiem. I takich dni i nocy minęło kilka zanim strudzeni wędrowcy wychudli, wynędzniali, ujrzeni nareszcie Warszawę. Poznali ją odrazu po właściwej woni, którą im dokładnie opisał krewny, i puścili się wilgotnym trochę ściekiem w głąb miasta, ogłuszeni wrzawą, ale dopytując na prawo i na lewo u wszystkich spotykanych myszy i szczurów o pana Szczurowieckiego. Niestety, każdy wzruszał ramionami, nikt go tu nie znał, i wkrótce podróżni wspomnieli ostrzeżenie rodzicielskie, że wielkość i znakomitość owego pana musiała przedewszystkiem istnieć we własnym jego przekonaniu. Biegając i rozglądając się na wszystkie strony, aby rozdeptanemi nie zostać, panna Szczuroska sama niechcący nastąpiła na ogon bieżącego przed nią obcego szczura. Odwrócił się natychmiast i rzecze:

— Pani, jeżeli masz tak krótki wzrok że osób przed sobą idących nie widzisz, to kup sobie okulary.

— Ach panie, wolałabym jaką taką wieczerzę, ale i w tym interesie nie wiemy gdzie się ruszyć w Warszawie — odparła z westchnieniem. Jój wygląd wieśniaczy zajął nieznanego. Wypytawszy o wszystko wyrzekł:

— Moje kochane dzieci, widzicie że szczerze ufać rodzicom tylko można; wasz krewny jest samochwał, znam go przypadkiem, gdyż mieszka tuż koło mnie w tój oto dziurze koło rynsztoka, jakkolwiek o przysmakach wam rozповідаł, że nie zawsze ma nawet i podeszwę do gryzienia; jeżeli chcecie go uściskać to pójdźmy do niego, ale jeżeli wieczerzać pragniecie, w takim razie wejście ot tu do tego kupca tylko się cicho sprawiajcie, a ja jutro rano do was przyjdę.

Podróżni podziękowali serdecznie i weszli do kupca. Wieczerza była doskonała z samych przysmaków, bakalii, cukru, biszkoptów angielskich i t. p. Jedli, niepojmując czemu dziwny niesmak uczuwali jednocześnie, a wtem serca gwałtownie im podskoczyły w piersiach: ach to pożywna słoninka gardzona niegdyś w domu zapachniała teraz i przyprawiła biedaków o gwałtowne wzruszenie; oboje zalali się łzami:

— Gdyby choć odgadnąć z której strony zalatuje ten przysmak — westchnęły.

Wtem młodzi Szczuroscy spojrzą aż prześliczny domeczek stoi sobie na boku, a w nim przygotowany widocznie na wieczerzę, w oknie na samym śroku, spory kawał słoninki, więc młody szczurek zawołał:

— Patrz! jednak nie wszystko zmyślał nasz krewny! Otóż to pałac i wygoda warszawska! nic innego tylko to musi być hotel dla podróżnych szczurów! Pójdź na wieczerzę!

Weszli i zabrali się tak żwawo do słoninki, że za trzecim pociągnięciem zatrask spadł i pułapka się zamknęła. Któż opisze zdziwienie dwojga wieśniaków nieznających miejskich samotrzasków, a następnie rozpacz gdy się przekonali że są więźniami.

Okropna noc trwać się zdawała wiek cały; nieszczęsna para pociła się ze strachu, umierała i prawdopodobnie byłaby żyć przestała, gdyby ich wczorajszy przyjaciel nie przyszedł nad ranem, przed otworzeniem sklepu jeszcze. Zdaleka usłyszawszy gryzienie kraty, domyślił się co zaszło:

— Powiniennem był to przewidzieć — zawołał — bo wśród przysmaków warszawskich wszędzie jest pełno pułapek, to też zapowiedziałem wam że inne wyszukam schronienie. Tymczasem, oto leży na podłodze patyczek, ja będę nim podważał te drzwi waszego więzienia, wy pomagajcie z waszej strony... Pod rozumnym kierunkiem doświadczonemu szczura drzwiczki ustąpiły, on przytrzymał je głową i wieśniacy wymknęli się szczęśliwie

— Teraz obmyśliłem wam pewniejsze mieszkanie — rzecze nowy przyjaciel wiodąc ich przez ulicę — jest to dom pewnego uczonego, gdzie nigdy nie zamiatają, nie sprzątają i nie oczyszczają mieszkania, pająki umierają tam ze starości jedynie, zresztą niezbyt obfita tam żywność ale pewność wszelka.

Pocziwiec nie przesadzał; mieszkanie było znośne ale głód ciężki. Uczony właściciel zajmował się hodowlą ptaków i dobieranie się do ich żywności stanowiło jedyne źródło utrzymania dwojga wieśniaków. O wy, szynki, sadła i kiełbasy wiejskie, teraz pomszczone zostałyście za lekceważenie poprzednie. Gorzkimi łzami opłakując wspomnienia, wieśniacza para chudła i wiedła jak kwiaty w niewłaściwy grunt przesadzone, nie wiedząc jednak jak sobie radzić by wybrnąć z nieszczęsnej doli.

Pewnej nocy biedne szczuręta spostrzegły że ogromna papuga zasnęła na swój wysokości grzędzie, trzymając kawałek niedojedzonego cukru. Coprędzj wdrapał się do niej drżący słodką nadzieją szcurek, i gryźć począł cukier tak, aby okruszyny spadały na ziemię, gdzie je zjadała jego siostra.

(d. c. n.)

## ROZSTRZEPANIE.

Anielka miała różne, o! różne zalety, Lecz i wad także różnych miała dość, niestety! A straszne roztrzepanie górowało wszędzie. Ludzie nieraz mówili. Co to z tego będzie? Zdarzyło się raz oto, że Anielka mała Z mamusią w odwiedzinach na wieś pojechała. Pozostały tam na noc. Na drugi dzień rano, Gdy wszyscy powstawali i śniadanie dano, Anielka z pokoiku nie wychodzi przecie. — Anielciu! woła mama, śpiesz się moje dziecko, Starsi na cię czekają, a tak być nie może! Ubieraj się coprędzj!

— O! Boże, mój Boże!

Woła dziewczę ze łzami, co ja teraz zrobię? Ach! mamu, gdzieś pończoszkę zapodziałam sobie, Szukam wszędzie i szukam a znaleźć nie mogę. — Śpiesz się duszko, już późno, i już nam czas w drogę. — Kiedy nie wiem co robić? radź, mamu jedyna! — Widzisz, jaka to z ciebie niedobra dziewczyna! To twoje roztrzepanie przechodzi pojęcie, Pończoszka tu być musi, przysięgłabym święcie. — Wszak już wszędzie szukałam; może kto wziął? może... — Co komu po pończoszczę jednęj.

— Boże! Boże!

— Czas jechać!

— Więc co będzie?

— Ha! już trudna rada,

Choć to wstyd, lecz cóż robić? poprosić wypada O pożyczenie pończoch. I tak się też stało. Anielce to przykrości sprawiło niemało, Aż płakała biedaczka.

— Za tę grzeczność wielką

Podziękuj teraz grzecznie i śpiesz się Anielko, Rzekła matka, już późno! ale moja miła, Zdejmuj swoją pończoszkę, którąś już włożyła, Byś miała jednakowe.

— Dobrze, dobrze, mamu,

Tak właśnie miałam zrobić, myślałam to samo. I zdjęła już trzewiczek, za pończoszkę bierze, A tu naraz: cha, cha, cha... zaśmiała się szczerze, Co to znaczy? pytano. — Ach! com ja zrobiła? Dwie pończoszki na jedną nogę jam włożyła.

— Widzisz, co ci sprawiło twoje roztrzepanie, Tyleś wstydu użyła, nieprawdaż kochanie?

Wszyscy się też serdecznie uśmieli z Anielki Być nadto roztrzepaną doprawdy wstyd wielki!

Helena Bojarska.

## PAMIĘTNIK OŁÓWKA.

(Dokończenie).

— Nie?... a to znów czemu?...

— Temu, że taki będzie podniesiony przez kogo innego, a nieużytecznego skrawka nikt już brać nie zechce i dla tego on go bierze!

— Ha, ha, ha!... a to dziwak!

— Raz namówiliśmy się, i podrzuciliśmy mu na drodze całą paczkę ołówków... i schowaliśmy się dobrze, patrząc co to będzie... Spostrzegł, a że leżała jakoś z boku, więc ją nogą ostrożnie posunął na sam środek chodnika, aby była widoczna i nie została zdeptana... i odszedł nieruszywszy jej.

— Ha ha ha! patrz już idzie! Wszak to on?

— Tak, to on.

Mały chudy staruszek w czystym wytartym odzieniu, z dużą kraciatą chustką do nosa w ręku, zbliżył się żwawym drobnym krokiem. Uczniowie ukłonili się uprzejmie. Odkłonił się im, ale zawołał natychmiast wskazując na mnie:

— Dzień dobry! a toż tam ołówek leży...

— Taka małeńka resztką... na cóż to się zdało...



ktos rzucił, bo nie mógł już w palcach utrzymać — powiedział jeden z uczniów. Profesor Skrawek zaczerwi- nił się mocno:

— Nie mógł! — zawołał — to trzeba mu było mię- dzy dwa drewnienka osadzić i niteczką związać, toby mógł!... i nie popełniłby marnotrawstwa! — to rzekłszy podniósł mię, otarł papierkiem z kieszeni wyjętym i wło- żył do niej. W chwilę później wyjął mię znowu. Ujrza- łem się wtedy, w dużej sali pełnej uczniów siedzących w ławkach i zrozumiałem że jestem w szkole. Profesor, w czasie lekcji, z wielką wprawą i zręcznością, w jednej chwili osadził mię między dwa drewnienka, które snadź przygotowane ku temu w kieszeni nosił, obwiązał nitką, i robił z moją pomocą różne notatki i stopnie uczniom za- znaczał. W końcu lekcji opowiedział w kilku słowach zkąd mię wziął, opowiedział w skróceniu parę życiory- sów wielkich i sławnych bogaczy, którzy jedynie wiel- ką oszczędnością przy pracy do bogactw doszli, i wyszedł na odgłos dzwonka, włożywszy mię w kieszeń.

Już od miesiąca blisko pracowałem w szkole, a ży- cie moje, które sam już sądziłem na schyłku, przedłużało się na podziw, przy delikatnem obejściu i niezmiernie zrę- cznem temperowaniu, umiejętną ręką profesora. Ucznio- wie, którym także w pierwszej chwili wydawałem się do- gorywającym, zajmowali się mną i pytali o stan mego zdrowia. Profesor z tryumfem przedstawiał mię im co- dziennie przy pracy, zwracając ich uwagę na okoliczność, ile to już całkowitych ołówków mogłoby zostać zniszczo- nemi, w rozrzutnej i niedbałej ręce, przez czas tego mego dogorywania, przedłużanego umiejętnem obejściem.

— To prawda — dodał raz — że i własna wartość ołówka wpływa na jego trwałość; gdyby ten naprzy- kład nie był tak wybornego jak jest gatunku, gdyby laseczka grafitowa była potrzaskaną, niewidzialnie we- wnątrz swęj oprawy, jak się to często zdarza, to nie uda- ło by mi się temperować jęj tak oszczędnie, jak to czynię obecnie.

Usłyszawszy te słowa zdumniałem okropnie. Ach!... to więc ja trwałość moję zdumiewającą zawdzięczam wła- snym moim przymiotom, nie zaś mądrości profesora Skrawka, którego już za to kochać zaczynałem! O, jeżeli tak, to co innego!...

Tak sobie myśląc, w przystępie nędznej pychy za- częłem się tak nadymać, tak rozpierać ujmując w boki, że nareszcie niteczka związująca utrzymujące mię w swych objęciach dwa drewnienka pękła i ja wypadłem z nich w głąb kieszeni. Że zaś uboga ta profesorska kieszeń, acz w porządku utrzymywana i przeto nie dziu- rawa, była już niezmiernie wysłużona, a ja bardzo mały, zatem wsunąwszy się mimo wiedzy pomiędzy jęj szwy rozluźnione, spadłem nagle na dno straszliwej jakiejś czarnej bezdennęj otchłani... Oprzytomniawszy po gwałtownem wstrząśnieniu i długo gubiąc się wjdomy- ślach nad pytaniem, gdzie się też znajdować mogę?... pojąłem nakoniec, że tułam się potrząsany i podrzucany, lub leżę nieruchomy, stosownie do okoliczności, pomię- dzy wierzchem i podszewką, w głąbiach bezdni profes- orskiego ubrania. Ile czasu marnie tak przeżyłem, któż policzy? Serce mię bolało na samą myśl, jak ten poczciwy Skrawek staruszek musiał mię szukać, i jak

uczniowie żałować mię musieli, a ja mimo największję ochoty, nie mogłem dać im znać o sobie. Z czasem za- częłem jednakże oryentować się o tyle w mem położę- niu, że poznawałem kiedy profesor szedł ze mną do szko- ły, kiedy powracał i wieszał mię z ubraniem na kołku. Aż wtem, na raz wszystko się zmieniło: czy profesor sprzedał zniszczone ubranie, czy też je komuś biedniej- szemu od siebie darował, i ten je sprzedał dopiero, do- syć że zaczęto je gwałtownie rznąć na czapki, a ja wy- padłszy zeń, zatoczyłem się w dużą szparę nigdy nie za- miatanej krawieckięj izby... Tak leżąc, jęcżę obecnie, nie na losy, lecz na własną pychę moję przez którą ro- zerwałem nitkę, utrzymującą mię w objęciu drewnienek, w jakie mię profesor dla własnego mego bezpieczeństwa zaopatrzył. Nie lepiejże było mi zakończyć chwalebnie życie, pożyteczne do ostatniego okrucza, wśród przyja- ciół w szkolnej sali, niż próchnieć tak marnie i samotnie jak próchnięję teraz?...

J. T.

### ZAGADKA.

Od Poranka majowego dla Niezapominajki z nad Warty.

Czy *wprost*, czy *wspak* mię weźmiecie,  
Miasto w Azyi mieć będziecie.

### ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

(od E. M. dla J. Huszczo).

Dobrać sześć wyrazów czterogłoskowych ażeby pierwsze i ostatnie litery utworzyły nazwę dwóch gór na Kaukazie. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto portowe we Francji. 2. Imię biblijne. 3. Miejscowość przy rzece Zambezi. 4. Zwierzątko wodne. 5. Starożytne miasto nad Nilem. 6. Miasto na Kaukazie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady:

S a l a m i n a.

Krzyża z podstawą:

			B			
			R			
			O			
	A	L	D	A	N	
			Z			
			I			
			Ń			
			O	S	A	
	K	O	K	O	S	
R	E	G	I	N	K	A

## Skrzynka do listów.

Dar **Wróbliczki z pod Zamościa** włożony do puszeki ubogich dotkniętych najcięższą nędzą, którymi się opiekuje Towarzystwo Ś-go Wincentego. Modlą się oni za swych dobroczyńców, więc prosby ich za Wróbliczkę popłyną do Nieba.

Ucieszyłaś nas szczerze, **Jesieni** droga, i odezwaniam się swoim do nas i pomyślnymi wiadomościami o zdrowiu rodzeństwa. Janek ma jeszcze dość czasu przed sobą, aby zostać zwycięzcą na konkursie kaligrafii.

O, **Psołtnico**, ileż to na raz pytań! Gołębka, to wiadomo, jest sobie ptaszę tylko i chętnie zawsze odpowiada na listy przysyłane jej do Redakcyi. Przyjemnie nam, że was listy jej braci zajmują. Przyczyna naszego milczenia była taką, jakiej się domyślasz, **Psołtnico**. Nie znalazłszy podpisu, myśleliśmy na razie, że to pisze do nas... *Roztrzępanicka?*

Z radością, **Filaretko** droga przyjmujemy tytuł, jaki nam dajesz: dla kochających niema nadeń droższego. List twój miłą był niespodzianką, radzibyśmy takie miewać jak najczęściej.

**Orzeł biały** (z *Warszawy*, bo jest już jeden) chętnie będzie widziany w gronie korespondentów. Łamigłówka, jaką nam przysłał, jest niepodobną do rozwiązania: samo wyrzucenie samogłosek dość już przedstawia trudności, a cóż dopiero, gdy się wszystkie głoski kropkami zastąpi, zostawiając tylko początkowe. Można ją zgadnąć wtedy tylko, gdyby wymieniony był tytuł utworu i nazwisko autora. W ogóle łamigłówki tego rodzaju nie drukujemy, jeżeli niema przy nich nazwiska autora i rozwiązania.

**Bol. Niem.** Nie wymieniamy w dedykacyi nazwisk tylko pseudonimy. Łamigłówki muszą bardzo długo czekać na swoją kolej.

**J. D.** zasłały podziękowanie w imieniu biednych.

Serdecznie dziękujemy drogiej **Palmie** za przysłane nam wyrazy, a głównie za ów cudzysłów, który pomiędzy *kochających* i *czytelniczek* wstawiła. Zawsze powtarzamy, że to najśodsza dla nas nagroda. Po tem wszak nie potrzebujesz się już pytać, czy cię do grona czytelniczek zaliczymy?

Nie wątpimy, że **Kuropatewka z nad Wisły** jeszcze się pisać nauczy; ona zaś niech nie wątpi, że ją „troszeczkę lubimy”. Tylko nie wiemy dla czego prosi, aby *troszeczkę*, bo my zwykle takie malusieńkie korespondentki lubimy *bardzo*. Szan. mamie dziękujemy za wyrazy uznania; pozyskać je, to jedyny cel naszej pracy.

Kochane **Rajskie Jabłuszko**, liściki twoje do panienek czekają zapewne kolei, a na twój do nas odpowiadamy obecnie serdecznem słówkiem, które się takiej pociesze należy.

Jakże nam miło, **Zawadyako z nad Dunaju**, że cię tak ucieszyła nagroda!

**Pług poleski** skoro jest czytelnikiem naszym, wie już zapewne, co znaczy ta nieszczęsna „*kolej*?”

Wypracowanie **Rusalki** odebrane; sprawozdanie z konkursu ukaże się w jednym z przyszłych numerów.

**Niezabudka z nad Chomoru i Warszawiak** nadesłali nam dobre rozwiązania, od Wołodyowskiego zaś, od Cz. B. z Rad. od Orła i Sosenki z nad Wisły odebraliśmy łamigłówki, szarady, zagadki, o których wydrukowaniu nic jeszcze powiedzieć nie możemy. Trzeba pierwaj przejrzeć czy są dobre. Wyrazy przesłane przez Orła, nie nadają się do druku.

**Sosence z nad Wisły** uprzejmie dziękujemy, że zadość czyniąc naszemu wezwaniu, nadesłała swój adres i wszystkich naszych korespondentów o to samo prosimy.

**Sz. Pani J. K.** dziękujemy za ofiarę... Cóż mamy powiedzieć o tój z serca płynącej wdzięczności, jaka się od nas należy za przesłane nam słowa? Nie żal pracy i trudu, gdy się taką nagrodę odbiera...

Droga **Gwiazdko podolska!** Na zapytanie twe, czy nam się podobały „*Przygody Wicusia*”? odpowiadam że bardzo. Poszukiwacze dzikich zwierząt zajmują nas także niezmiernie. Całujemy cię serdecznie. *Kłosek podolski i Iskierka.*

Kochane **Światelko!** Dowiedziałam się, że pod tym pseudonimem, ukrywa się panienka, z którą poznałam się w Lublinie. Pragnąc się z tobą bliżej poznać, donoszę ci że wraz z moją kuzynką przygotowuję się, do 3-ciej klasy pensyi p. Sikorskiej, i za kilka tygodni przystąpię do pierwszej spowiedzi. Jeżeli chcesz się ze mną zaznajomić, odpisz wkrótce *Złotej Rybce*.

Kochana **Jutrzenko!** Mając jednakowy pseudonym, powinnyśmy z sobą korespondować. Jakie nauki najlepiej lubisz? Ja artymetykę i geografję. Odpowiedz życzliwej ci *Różowej Jutrzence*.

Dziękuję ci bardzo za homonim, droga moja **Niezapominajko** z nad Warty, odgadłam go natychmiast, w zamian posyłam ci łamigłówek sylabową, lecz nie wiem, czy Redakcyja zechce ją wydrukować. Pisuj do mnie, a sprawisz mi wielką przyjemność. Na imię mi **Marya** i liczę się do rzędu staruszek, a rodzeństwa młodszego mam troje. Proszę napisz coś o sobie i przyjmij serdeczny uścisk od *Błyskawicy*.

Drogie moje: **Wisienko**, **Niezapominajko** z Polesia i **Stokrotko** z nad Stochodu. Życzę ci **Wiosenka**, żebyś prędkiej wyzdrowiała i do nas przyjechała na lato. Wiem kim jesteś **Niezapominajko**, nazywasz się **Lunia**, oczekujemy twego przyjazdu. **Stokrotko** w jakim mieście mieszkasz? Jaką naukę najlepiej lubisz? chciałabym cię poznać, i proszę cię odpisz prędko twój imiennicze **Stokrotce wołyńskiej**.

Kochana **Jadziuniu P.!** Znasz mnie doskonale. Podczas wakacji widywałyśmy się codzień. Jesteś w moim wieku, teraz jesteś u twoich rodziców. Kto jestem? *Czubata Kokoszka*.

Kochana **Jakóbinko!** Wiem kto jesteś, nazywasz się **Jadwiga**, a nazwisko twoje zaczyna się od **R.** Zgadnij kto jestem. Odpowiedz życzliwej ci *Różowej Jutrzence*.

Droga **Wróźbiarko** szczęścia! Donieś mi czy często bywasz w **Kaliszu**? Czy będziesz należeć do konkursu? Ja już posłałam opis mego rodzinnego miasteczka. Ściskam cię serdecznie. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Boginko** z nad **Łydyni!** Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Donieś ile masz lat? Jak się nazywasz? Czy masz rodzeństwo? Ja mam lat 9, na imię mi **Dziunia** i mam starszą siostrę **Janinę**. Odpisz prędko, prosi cię o to i całuje *Żabka z Podola*.

Moja **Trusiu**, flut z ciebie wielki, żeby się tak ukrywać! żadna z nas nie może się domyślić kim jesteś. Prosimy cię odkryj tę tajemnicę, która nas wszystkie tak zaciekawia. Napisz cokolwiek o sobie i daj się poznać *Czarnej Perelce*.

Kochana **Niezapominajko** z nad **Chomoru!** Zgadłaś, nazywam się **Mańcia P.** A i tobie na imię **Marya**, nazwisko twoje zaczyna się od litery **K.** Mieszkaś w **Hrycowie** i zdaje mi się, że niedawno przejeżdżałam obok waszego domu. Jak zobaczysz **Antosię M.**, to uściskaj ją odemnie. A sama przyjm serdeczne uściśnienie od *Bławatki z nad Horynia*.

Kochana **Boginko** z nad **Łydyni!** Zaciekał mi twój pseudonym, wskazuje on, że mieszkamy obie nad **Łydynią**, donieś mi więc gdzie mieszkasz, ile masz lat, gdzie się uczysz i jak ci na imię? Ja mieszkam na wsi, ale teraz jestem dla nauki w **Warszawie**; mam lat 13, na imię mi **Helena**, nazwisko moje zaczyna się od litery **W.** Ściskam cię serdecznie, prosząc o jaknajprędszą odpowiedź, *Brzózka z nad Łydyni*.

Ponieważ nie znam prawie nikogo z prenumeratorów „*Wieczorów Rodzinnych*”, do ciebie kochana **Czarna Perelko** pisywać postanowiłam, czy pragniesz tego? Odpisz *Aksamitce*.

Kochana **Księżniczko** z nad **Wisły**. Chociaż się zupełnie nie znamy, gdyż poraz pierwszy piszę do „*Wieczorów*”, podobał mi się bardzo twój pseudonym i mam nadzieję, że mi odpowiesz tak miłym liścikiem, jak *Wiewióreczce Infantskiej*. I ja także nazywam się **Irena**, jak ty lubię bardzo czytać, a jeśli tylko zechcesz, znajdziesz we mnie stałą korespondentkę. W następnym liście udzielię ci bliższych szczegółów o sobie. Odpisz prędko twój kochającej *Lili Wodnej*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Własność magnetyczna żelaza tak ogólnie jest znana, że zapewne nieraz bawiliście się magnesem, czy to w kształcie podkowy, czy też prostej laseczki, które to formy nadają najczęściej magnesom sprzedawanym po sklepach żelaznych lub u optyków. Przy zabawie zrobiliście też może całkiem niechętnie doświadczenie, że jeżeli drobny stalowy przedmiot jak igielka lub piórko stalowe znajduje się dłuższy czas w bliższej styczności z magnesem, nabiera téj własności, albo raczej mówiąc językiem nauki, obudza się w nim siłę magnetyczną, która w każdym żelazie znajduje się uśpiona. Lecz pewnie

nigdy nie przyszło wam na myśl, aby i bez magnesu już czynnego, można w stali lub żelazie obudzić tę siłę, bo i sami uczeni w ostatnich dopiero czasach zrobili to odkrycie. A sposób do tego jest nadzwyczaj prosty. Kładziemy na stole jak nam to rycina wskazuje łopatkę żelazną, lub kawał takiejże blachy, na nią opieramy, podtrzymując lewą ręką przedmiot, w którym chcemy obudzić siłę magnetyczną; możemy użyć do tego nóż stołowy lub ostrze scyzoryka. Następnie zamkniętymi obcążkami, które trzymamy w ręce prawej, pocieramy silnie ostrze noża, zawsze tylko w kierunku z góry na dół, naprzemian po obu stronach. Po paru minutach zrobić możemy próbę zbliżając koniec ostrza do drobnego stalowego przedmiotu, a przekonamy się, że magnes już działa, tak zupełnie jak w owych podkawkach wyżej wspomnianych i tak jak w nich pozostaje w równej sile, a nawet wzmacnia się, gdy jest częściej używany.

### OJ! WESOŁAM JA DZIEWCZYNA!

Oj! wesołam ja dziewczyna,  
Wszystko mi się śmieje,  
Dla mnie kwitnie tu kalina  
Dla mnie wietrzyk wieje.  
Dla mnie rośnie kwiatów siła  
Na zielonej łące,  
Dla mnie światło swoje zsyła  
Słoneczko gorące.  
Nie mam wprawdzie srebra, złota  
A zawszem wesoła,  
Bo bogactwem mojem cnota  
Co szczęście dać zdoła.

Mam też siłę i wiek młody  
Pracy się nie boję,  
Nie zbraknie mi chleba, wody,  
O więcój nie stoję.  
Mam nad sobą Boga w niebie  
Ojca najlepszego,  
Toż w wszelakięj też potrzebie  
Udam się do Niego!  
Nie mam żalu do nikogo,  
Co serduszko gniecie,  
Więc wesoło mi i błogo  
Na tym Bożym świecie!

Helena Bojarska.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

A w tańcu, mniejsza że przodownica porywająco tańczyła, bo tam wszystkie tak tańczą, ale jak zaczęła coś tajemniczo, zlekka o jego przeszłości napomykać, tak Szandorowi gorąco i zimno robić się zaczęło i wszystka krew uderzyła do głowy. Toż ta wiejska dziewczyna, tu na drugim krańcu Węgier od chaty jego rodzinnej zrodzona, wyraźnie coś wie... coś o bólu serdecznym co mu wiecznie w piersi tęskni, o pieśniach co rodzą się w tej piersi i wyrwywają z niej w świat jak ptaszka, o stepie serdecznym co mu najdroższy jest po ojcu i po matce. Słuchając tego wszystkiego, zdumiony żołnierz chciwy tych rzeczy, zapomina się zupełnie, ani wie że tańczy, to nogi i nerwy wszystkie, to ostrogi i wszystkie fibry i atomy ciała jego pod wpływem szalonej muzyki same tańczą, ani się śni że tańczy, że na chwilę wszyscy w pańskim kole taniec przerwali, i kręgiem go otoczywszy z cudną tancerką, patrzą na tę parę lotną a dzielną, na ten popis, na te sztuki taneczne, niezwykle nawet wśród takich jak Węgrzy tancerzy, patrzą i grmią bezustannym oklaskiem, huczą okrzykiem:

— Oto tańczy! Oto dzielna dziewczyna, która ponurego niedźwiedziego pogromcę w taniec zaczarowała! Czary, istne czary dzieją się z żołnierzem!

Żołnierz nic nie słyszy, nic nie widzi, tylko tancerki swój pyta:

— Dziewczyno, przez Boga żywego zkad ty to wiesz? Czy widziałas matkę moją? kiedy? czy ona zdrowa? czy wie o mnie? nie gniewa się na mnie?

— Powiedziałam dosyć!—droży się zamaskowana dziewczyna.

— Powiedz jeszcze! Jeszcze choć słówko!

— Jak mię dogonisz to ci powiem! — obiecuje i ucieka mu z rąk, bokiem w koło bijąc hołupce, krzesząc iskry podkówkami czerwonych węgierskich bucików, tak jak zwykle ucieka się w czardaszu. Więc Szandor chcąc nie chcąc musi gonić żeby się czego więcój o domowych swych tajemnicach dowiedzieć, już dopędza, już ma schwycić:

— Powiedz że raz! powiedz ktoś jest? powiedz czy naprawdę znasz moich?

— Czikos Pal przesyła ci uściśnienie!

— Czikos Pal! najwierniejszy przyjaciel! O, teraz musisz powiedzieć ktoś ty!... Musisz!

— Zobaczmy! — i w wesołych podskokach ulatuje na drugi koniec tanecznego koła.

Huk kilkudziesięciu pistoletowych wystrzałów osadza dopiero w miejscu roztańczoną parę: to widzowie w najwyższym uwielbieniu wystrzelili na wiwat.

— Stój, stój! kto ty? Zdejmuj maskę — woła tancerz, schwyciwszy nareszcie tancerkę, gdy huk wystrzałów zniuruchomił ją na chwilę. Ona chce jeszcze uciekać.

— Stój, stój! czarodziejko, zdejmuj maskę, ty która niedźwiedziach pogromców czarujesz! — wołają wszyscy zacieka-

wieni i sami gospodarstwo, pan Valössy z żoną przystępują do przytrzymanej przez tancerza przodownicy i sama pani zdejmuje jej maskę...

— Ha ha ha!... Ha ha ha!... — zaśmieją się serdecznie sami państwo, a za nimi huczą śmiechem wszyscy goście, i winobranicy:

— Ha ha ha!... ta czarownica przodownica, toż hrabianka Valössy, rodzona gospodarstwa córka!... Co wie o Szandorze to od własnego brata, młodziutkiego oficerka, który tam ot w tej chwili za boki się trzyma ze śmiechu jak wszyscy... Szandor trochę się zawiódł, trochę zdziwił, trochę jakby nawet przykro mu czegoś było, ale wszyscy się śmiali, więc i on próbował się uśmiechnąć, bo to przecież winobranie! wszystkie figle uchodzą. Węgrzy, a zwłaszcza dziewczęta i chłopcy najmocniej są przekonani, że po to na świecie winne grona rosną, aby figle wyprawiane podczas winobrania bywały.

Ale oto już stoją stoły długie że krańca nie dojrzyysz, a na nich co Bóg dał a człowiek, las i strumień wyhodowały: dziki, sarny, woły, barany, pstrągi, ptactwo; wino wesołość podnieca, muzyka cygańska hucznym marszem wiedzie biesiadników do uczy. Nagle z pomiędzy muzykantów wyskakuje mała chuda postać, czerwoną okręconą płachtą i żołnierzowi w oczy zagłada sowim wybuchając chichotem:

— Hi hi hi! a tuś mi! witaj gołąbku! Hej hej gołębiu ty stary! ot!... kędy fruwa piskłę twoje! héj héj!... gołębiu stary!... — przeciągly ten okrzyk do nawoływania jakiegoś podobny, przepadł w powodzi innych brzmiających w około, ale Szandor odskoczył w tył z pośród przyjaciół, jakby nagle przepaść mu się u stóp rozwarła. Zda mu się że w blasku błyskawicy ujrzał samego siebie także przy uczcie wśród przyjaciół aktorów w Budzie, a oto surowy mieszkaniec puszt z czekaniem zamiast laski w ręku, staje przed uczującymi, z krótkim na ustach rozkazem:

— Szandor, chodź!

Cyganka nie próżno zjawia się jak widmo złowróźbne i nawołuje... nuż to co żołnierz widzi w tej chwili w błyskawicy, powtórzy się w rzeczywistości?... wobec tłumów, to mniejsza, ale wobec kolegów oficerów, gospodarstwa i ich gości i co najgorsza wobec owęj tancerki przodownicy?...

Żołnierzowi płomienny rumieniec na twarz wybił, zaszumiało w mózgu, poczerwieniało w oczach, korzystając z zamieszania tłumy, który unosi go z miejsca, usunął się dalej jeszcze od koła gości siadających do uczy, przemknął jak pstrąg przez fale ludu, dopadł zabudowań, dosiadł swego konia i jak szalony popędził sam jeden w powrotną drogę do Szopronia.

\* \* \*

— Sprawdziłem!... no, czy wiecie co stało się z naszym poetą?... — spytał w kilka dni później młody Valössy, wchodząc do kwatery kolegów w Szoproniu, w pół godziny po wspólnym powrocie z wycieczki do rodziców na winobranie. — Oto przyjechał tu i na własną prośbę został przyjęty do oddziału wysłanego do Styrii... onegdaj rano wyruszył w drogę.

— Sapristi!... Czyliżby... bez przenośni, miewał przystępy obłądów?

— Waryat!

— A może... poeta tylko... Czy pamiętacie co opowiadał nam przy ognisku w górach, o tajemniczym nań wpływie jakiejś cyganki?... której ukazanie się przepowiada mu nieszczęście?... Czy nikt z was panowie nie zauważył że, w chwili gdyśmy do uczy z winobranicami siadać mieli, istotnie czarna, w czerwonej płachtie chuda, mała cyganka, wyskoczyła z pomiędzy muzykantów, z sowim chichotem zwracając się do Petöfiego?...

— Doprawdy, zdaje mi się że przemknęło mi się przed oczyma coś podobnego...

— I ja to podobno widziałem...

— Otóż w owęj chwili zniknął Petöfi. Ja przynajmniej nie widziałem go więcój.

— Ani ja!

— Ani ja. Czy samo złowróźbne ukazanie się cyganki,

czy też to co powiedziała mu zapewne, przerazić go musiało tak, że uciekł, jakby od nieszczęścia uciekał.

— Ależ przez litość!... to człowiek oświecony przecież!... wykształcony!

— Ale poeta!...

Tym mianem zwano zwykle wrażliwego młodego, chłopca który rzeczywiście nie nadawał się do życia jakie wiódł obecnie, jakkolwiek nie zbywało mu na odwadze. Trapiła go zawsze nie pomału tęsknota do rodzinnych okolic a gdy go przeniesiono do Styryi przyłączyła się do niej choroba. Doktor pułkowy rzekł wtedy do dowódcy, który mu szczególnie polecił Szandora.

— Pułkowniku! — kazałeś mi gorliwie leczyć tego chłopaka, otóż dowiedz się że nie ja, lecz ty jedynie możesz go wyleczyć, a to dając mu urlop nieograniczony. To dzieciak niezdalny do wojska, z powodu nietylko wątłej budowy, lecz bardziej jeszcze z przyczyny wewnętrznych płomieni, które go trawią, a jednym z tych płomieni jest niechybnie tęsknota do rodzinnej pusztzy: on tutaj roku nie przeżyje!

— Hm... jeżeli tak, to trzeba mu dać urlop — postanowił pułkownik.

## XI.

— Elien!... niech żyje Towarzystwo Wiosny!... młodość, natchnienie, zapał!... — ściany podmiejskiej gospody zatrzęsły się od okrzyku kilkudziesięciu młodych piersi, szklance złotym płynem napełnione zadźwiękły.

— Jeszcze jeden toast panowie, wszak żegnamy towarzysza i Bóg wie czy kiedy spotkamy się z nim na świecie:

— Niech żyje przyjaźń!... i poezya: niech żyje Szandor Petöfi!...

— Elien Petöfi!

— Za pozwoleniem panowie — odezwał się po chwili jeden z najmłodszych studentów — ja dopiero obecnie mam zaszczyt być przyjętym do szóstej klasy gimnazjum w Peps, którą wy już kończycie, czy nie raczylibyście objaśnić mi bliżej o warunkach należenia do Towarzystwa Wiosny?

— O! kolego świeży jak wiosenny kwiatek, pytanie jeszcze zachodzi czy Towarzystwo Wiosny istnieć będzie na rok przyszedły pomiędzy studentami szóstej klasy w Peps. Oto trzej koledzy: Samuel Orlai, Maurycy Jokai i Szandor Petöfi z którym rozstajemy się obecnie, będący na kursie retoryki i poezyi, założyli komitet literacki pod przewodnictwem jednego z profesorów. Głównym przedmiotem posiedzeń tego komitetu, zwanego Towarzystwem Wiosny, było odczytywanie wierszy i rozpraw: utwory uznane za najlepsze wpisywano w *złotą księgę*, a dzienniki w Pepsie drukowały poezye Petöfięgo, członka Towarzystwa Wiosny, który oto po skończeniu szóstej klasy zateśkniwszy do rodzinnej pusztzy, porzucił nas dzisiaj. Taką jest geneza Towarzystwa! A co do warunków...

— Petöfi!... zostań z nami!

— Nie zdołam, koledzy, choćbym chciał nawet pomimo że czuję iż odżyłem pomiędzy wami po dwóch latach żołnierskich trudów. Wszakże dla tego urlop mi dano, że gorączka z tęsknoty mię już trawić zaczynała. Cóżem winien że kocham step? I byłbym też przed rokiem powędrował z wojska prosto do rodzinnej chaty, gdyby nie list od matki, z którego dowiedziałem się że rodzice przebaczą mi młodociane szaleństwo za wstawieniem się serdecznych moich przyjaciół, byłem tylko starał się powetować o ile potrafię czas dla nauki w wojsku stracony. Wtedy przybyłem tutaj, przebyłem kurs retoryki i poezyi, zyskałem dwóch serdecznych przyjaciół, a teraz spełniwszy wolę rodzicielską, wracam do stepowej czardy. Muszę odetchnąć stepów powietrzem, jeżeli żyć mam dłużej. Chociaż powtarzam że i tak odżyłem pomiędzy wami. Gorączka, widziadła i przesady jakie trapiły mię w szkołach i w wojsku, zniknęły pod tchnieniem zdrowego rozsądku nauki, i wesołej młodości. Dziękuję wam za to wszystko!... a teraz, bywajcie zdrowi; do widzenia!

Cudną bo cudną jest pusztza, zwłaszcza dla zrodzonego wśród niej serca; wszystko w niej cudne: i pustynny widnokrąg bezbrzeżny, i łąki bezdenne zielone, i chylące się lub powstające za wolą wiatru fale zboża, miejscami nawet czarne rozległe bagniska, przepełnione ptactwem dzikiem z poważnym gospodarzem bocianem, przechodzącym się w głębokiej zadumie nad tą dziedziną swoją. Rozkosz jest prawdziwa pędzić na lotnym rumaku przez ten obszar bezdenny, ale i piesza wędrowka ma swoje powaby, dla poety zwłaszcza. Szandor szedł wypowiadając głośno niebu i ziemi to, na co patrzył:

Słońce spędziło miesiąc z błękitnych sklepieni,  
Człowiek idzie a idzie i w koło dostrzeżga,  
Od wsodu do zachodu, falami zieleni  
Step płynący jak morze, step równy bez brzeżga;  
Nigdzie drzewa ni krzewu, gładka przetrzeń cała,  
Tylko perłami rosy strzępki trawy świecą,  
A jezioro na słońcu jak pochodnia pała  
Wśród brzegów szmaragdową tkanych soczewicą;  
A nad brzegiem jeziora czapla łupu chiwa  
Pożera biedne ryby złowione zuchwale,  
I stadem ptactwo wodne w powietrzu przepływa  
To wznosząc się w obłoki, to muskając fale...

Ale oto szarzeje w oddali jakiś punkt na tej bezbrzeżnej przestrzeni, to gospoda stepowa, nie rodzinna Szandora jeszcze, lecz i z tej rozlega się brzęk szklanic i wesoła pieśń czikosów, a wędrowiec znudzony potrzebuje spoczynku i posiłku. Wszedł, usiadł na ławie i czekając na pożywienie, słucha pieśni nieznamomych czikosów:

Step podobny do starój  
Czaszki króla olbrzyma,  
Nad łysemi obszary  
Włos gdzieniedzie się trzyma...

Ależ to dawna własna Szandora piosenka, wyśpiewana przed laty daleko ztąd, w gronie przyjaciół. Szandor rozśmiał się radośnie, miło mu było że jego piosenka brzmi w pusztach dalekich. Nieznani czikosy spojrzeli na niego... coś poszeptali, i jeden zbliżył się doń z dwoma szklankami wina w ręce, z filuternem jakimś spojrzeniem.

— Bracie — rzecze — my ot w kilku przypominamy sobie wszystkie piosenki jakie w puszczie dźwięczą, i nie możemy zapomnieć takiej, jakiej mi potrzeba, możebyś ty przypadkiem jaką jeszcze wiedział?

— A jakiej ci potrzeba?

— Takiej, żeby wypowiedziała, jak bardzo mi przypada do serca moja dziewczyna, gdyż mam się żenić i wypada mi zaśpiewać narzeczonej w tańcu...

— Oczywiście... zdaje mi się że coś w tym rodzaju pamiętam... ot taka może by ci się przydała:

Dziewczyno moja, znasz Dunaju wody  
I onę wyspę zieloną wśród rzeki?...  
Jak Dunaj wyspę tak ja czikos młody  
Wiernem cię sercem miłuję na wieki!

Więcem drzew wyspa zieleni się cała  
Po ich gałązkach fale wód się toczą,  
Dziewczyno, tyś mi tak się właśnie stała  
W zielonym wianku rozkoszą uroczą!

— Aha! to dobrze, teraz wiem!... — rzecze czikos, i zwracając się do towarzyszy dodał. — Tak, to jest Petöfi, pieśniarz! Elien Petöfi!

— Elien Petöfi!... — huknęli czikosy aż szyby zadźwięczały. Szandor osłupiał:

— Alboż nie znasz? — zapytał.

— Wcale nie! Ale widziałem żeś się uśmiechał do tamtej piosenki, którą śpiewaliśmy wrzody, a tamtą wyśpiewał pieśniarz Petöfi, który jeden jedyny jest w naszych pusztach. Więc wywabiłem cię na piosenkę, bo ja wszystkie jakie się w pusztach śpiewają umiem z pewnością, zatem kie-

dys potrafił zaśpiewać nową, jakiej ja nie znam, to ty już niechybnie jesteś Petöfim! Przynaj się! bo my cię bardzo kochamy!

— A więc tak jest: Eljen puszczy nasze! — zawołał młody poeta i drząc wzruszeniem, ramiona czikosom otworzył.

Nie było końca uściskom. Szandor doznał podobnie radosnego uczucia, jak kiedy poraz pierwszy z ojcem do lasu Bakony pojechał: wówczas poczuł się człowiekiem, teraz poczuł się pieśniarzem ludowym, śpiewakiem puszt rodzinnych. Uroczysta radość napelniła mu duszę, ogarnęło go poszanowanie dla iskry we własnej piersi tłącej i przez lud uznanęj. Poraz pierwszy od dzieciennych latek doznał pełni szczęścia, czując się kochanym i potrzebnym na świecie, tak jak niegdyś gdy był dziećciem jedynym skarbem u rodziców.

Pelen szczęścia siedł następnego dnia wędrowiec zieloną pusztą, śpiewając co mu z serca na usta wychodziło, zupełnie jak ptak.

— Hi hi hi!... jak się masz synku! A cóż to tak suto a pokaźnie, aż na dwóch rumakach własnego howu, oklep jedziesz do swoich? — zaskrzeczał nagle tuż koło niego głos znajomy, acz dawno niesłyszany: a trzeba wiedzieć że jechał na dwóch koniach oklep, znacząco iść pieszo.

Szyderstwo skrzypiało w tym zaczepnym głosie, który dawniej o dreszcze przyprowadził Szandora; ale teraz, w tej chwili zwłaszcza, nie był on dawnym łatwym do przestraszenia dzieckiem.

— Jak się masz Marcho! — zawołał wesoło — cieszę się że cię spotykam, gdyż powiesz mi jak się mają rodzice moi. Co do moich dwóch koni, to prawdopodobnie dla tego muszę niemi się obywać że nie stać mię na jednego. No, cóż porabiają moi rodzice? Czy dawno ich widziałas.

(d. c. n.)

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(Dalszy ciąg).

Siedzieliśmy pod werendą, z kądem na cały krajobraz szeroki rozciącał się widok, a gdy wózek z kwiecistym ładunkiem wyruszył, rzekłem do królewicza.

— Klimat Atlanty nie sprzyja wprawdzie hodowaniu rozdrębów w gruncie, ale wiem o innęj roślinie, nie tak delikatnéj, co znosi każdy klimat, każdy grunt, a wyborne dokonywa uzdrowotniania mokradeł. Mówiłeś miłościwy królewiczu, że blisko chaty tego człowieka są bagniska z wodą stojącą?

— Tak; olbrzymie, włokę może gruntu zajmujące moczary, w których rosną przepyszne okazy paproci, nenufarów i innych roślin wodnych — odrzekł królewicz, a w oczach jego żywa błyszczała ciekawość.

— Hm, to właśnie tam nadałaby się owa roślina wodna, o której mówię, *Elodea canadensis*, zwana inaczej jeszcze *Anacharsis alsinastrum*. Dostała się ona mniej więcej pięćdziesiąt lat temu z Kanady do Europy, a przede-

wszystkiem do Anglii i Szkocyi, z kądem rozszerzyła się po całej téj części świata. Niesłychanie szybki jęj rozrost w wodzie, wpłynął w wielu miejscach źle na żeglugę, tamując swobodny bieg statków, szczególnięj w rzekach i kanałach. Dla tego to nawet żeglarze i rybacy wymyślili dla nięj pogardliwą nazwę „zarazy wodnéj”.

— Po moczarach o których mówiłem, żaden statek nie pływa — przerwał Zielonko — nic to zatem nie szkodzi, jeżeli tylko *Elodea* ma własności oczyszczające powietrze.

— Własnie nowsze badania stwierdziły te własności. Silny rozrost téj rośliny, zależy od ilości pochłanianego przez nią pokarmu. Im więcęj w jakiej wodzie zawiera się gnijących materyi, tem silnięj rozrasta się ona, zabierając je na swój pożytek, a gdy jęj materyału odżywiającego zabraknie, znika. Znak to że dana miejscowość jest już dostatecznie oczyszczona, a roślina oczyszczająca niepotrzebna.

— Ależ to cudowne! — zawołał Zielonko zachwycony.

— Roślina ta ma gorących zwolenników i obrońców — mówiłem dalej, a niektórzy stawiają ją pod względem higienicznym na równi z rozdrębem. W niektórych okolicach królestwa hanowerskiego, przez trzy lata z rzędu panowały zimnice i biegunki, przechodzące nieraz w groźne epidemie. Odkąd wszakże *Elodea* tam rozpowszechniła się, choroby te coraz rzadszeni się stawały, a w końcu ustały zupełnie.

— Roślina prawdziwie dobroczynna — powiedział królewicz z zapalem — dziwię się tylko, że jest dotąd tak mało znana. \*)

— Z czasem nie będzie takiego kraju gdzieby jęj nie znano — mówiłem dalej — przekonasz się o tem miłościwy królewiczu. Ponieważ najgwałtowniejsze zimnice szerzyły się w miejscowościach bagnistych, przeto uczony higienista hanowerski d-r. Brandes przyczynę ich przypisuje gnicciu materyi roślinnych, w leniwie płynących wodach. Ze zaś *Elodea* z tych właśnie gnijących materyi czerpie pożywienie, przeto prosty z tąd wniosek, że dla północnych bagnistych okolic może być tem, czem rozdręb dla południowych. Oprócz tego, daje ona także niemały pożytek w gospodarstwie: skutkiem bujnego swego rozwoju, jest pożądaną siedzibą i pożywieniem dla wielu owadów, które z kolei służą za pożywienie rybom. Podwodne jęj gestwiny, są doskonałym schronieniem dla młodego zarybku, chowającego się w nich przed żarłocznością ryb większych.

— Ach! — zawołał, uderzając w ręce królewicz — jakże mój brat Pióropuszek wdzięcznym ci będzie mistrzu, za tę wiadomość, on taki zamiłowany w hodowli ryb!

— To jeszcze nie koniec pożyteczności *Elodei*. Wyciągnięta z wody świeża, dostarcza pokarmu chętnie pożywanego przez bydło i trzodę chlewną, a nawet drób wodny.

— To znowu radość dla Perelki, wielce zamiłowanéj w gospodarstwie!

— I posiada wysoką wartość dla roli, jako nawóz. Mój przyjaciel Chemik dowiódł swojemi badaniami, że można ją prawie na równi postawić ze świeżym obornikiem.

— Pierwszy okręt, który popłynię do Anglii, musi mi przywieść nasienie téj rośliny — rzekł stanowczo królewicz — a biedny dziwak będzie miał nareszcie zdrowsze dokoła swęj chaty powietrze. Mistrzu — mówił dalej, pomilezawszy chwilę



*Elodea kanadyjska*; gałązka, kwiat i owoc.



Godło Zielonki.

\*) Pożyteczna ta roślina znajduje się i u nas. Niewiadomym sposobem, prawdopodobnie drogą wodną, przywędrowała w okolice Saskiej Kępy pod Warszawę, gdzie się zakorzeniła. Można ją też znaleźć w parku Łazienkowskim, przy moście, za nową wielką oranżeryą. Kwitnie w czerwcu. (Przypisek Red.)



— zgaduję, że masz nas wszystkich za ludzi twardego serca, ponieważ nie spełniłeś twojej prośby; ale widzisz mistrzu, żądałeś rzeczy bardzo trudnych...

Przerwał, jakby czekał abym go zachęcił do dalszych słów, ale milczałem.

— Ja na przykład, najpierwszy z moich braci radbym spełnić twoje życzenie i bardzo nad niem rozmyślałem, ale trzy są przeszkody niepodobne do zwalczenia.

— Zobaczymy te przeszkody — powiedziałem zaciekawiony. — Jaka jest pierwsza? Słucham.

— Pierwszą i najważniejszą za wszystkich jest miejscowość, w której mistrzu Kochany upatrzyłeś sobie korespondentów dla Wieczorów Rodziny. Atlanta nabrała już smutnej sławy, zostawszy opisaną w książce, którą nam przywiozłeś; bo przynasz mistrzu, że choć pod koniec powieści młodzi czytelnicy dowiedzieli się, iż żyjemy z sobą w zgodzie, zawsze niezgoda nasza miniona jest kartą, którą chcielibyśmy, gdyby to było możliwe, na zawsze z kroniki rodzinnej wymazać. Nowe odgłosy z tej wyspy, przypomną czytelnikom echa niezgody i zamiast zatrzeć tę smutną sprawę, utrwała ją jeszcze.

— Nie zgadzam się z tobą miłoścy królewicu — powiedziałem — wspomnienie obłędu, gdy po nim nastąpiła poprawa, nie przynosi krzywdy błądzącemu, przeciwnie, przemawia nawet za nim; bo wiadomo, że trudniej jest grzesznikowi poprawić się, niżeli dobremu wytrwać w cnocie.

— Mówisz tak mistrzu, żeby uspokoić nasze skrupuły sumienia. Wiesz równie dobrze jak ja, że dyament ze skazą, mniej jest wart niż dyament bez skazy. Rozumowanie twoje zresztą, dobre jest dla nas samych: miniona niezgoda, uczyniła nam późniejszą zgodę jeszcze droższą, a naszą miłość braterską, jeszcze silniejszą, ale tu idzie o świat... Wyspy Atlanty wprawdzie niema na żadnej mapie: świat wie o niezgodzie władców wyspy, ale nie wie w jakim ona miejscu ziemi się znajduje, więc tak jakby nic nie wiedział. Moi bracia są tego samego zdania.

— A zatem?

— Zatem pierwsza korespondencya wysłana ztąd do Warszawy, zedrze całą zasłonę z tajemnicy. Stempel pocztowy zdradzi wszystko. Stopień szerokości i długości geograficznej naszej wyspy, nie będzie już dla nikogo tajemnicą. Utrzymujemy wprawdzie stosunki handlowe i polityczne z innymi krajami, ale one dla nas nie są tak niebezpieczne. Do innych krajów echa naszych waśni domowych mogły dojść tylko niejasne, niewyraźne, a tam zostało wszystko dokładnie opisane.

— Więc to jest owa pierwsza przeszkoda? — zapytałem z uśmiechem.

— Zdaje mi się, że dość poważna — odparł królewicz tonem lekkiej urazy — moi bracia nieinaczej myślą.

— Ja już wysłałem z Atlanty list obszerny do Warszawy, a nie drgnął nawet rąbek zasłony.

Zielonko poczerwieniał.

— A to jakim sposobem? — zapytał.

— Przez gołębia pocztowego. Zabrałem z Warszawy całe stado gołębi i obejdę się zupełnie bez usługi poczt.

— Że mi też to na myśl nie przyszło! — zawołał królewicz, a twarz jego rozjaśniła się. — Ale komunikacya taka ma wielką wadę, bo może być tylko jednostronną. Wysłałeś list mistrzu, ale nie możesz otrzymać odpowiedzi.

— I owszem, otrzymałem odpowiedź datowaną dnia 5-go Kwietnia.

Królewicz widocznie przeraził się tą wiadomością.

— Otrzymałeś odpowiedź mistrzu? A więc... wiedziano jak trzeba do ciebie adresować...

— Nie, tego nie wiedziano, bo odpowiedź przyniósł mi także gołąb.

— Gołąb z Atlanty?

— Tak. Nazajutrz po mojem tutaj przybyciu, wyprawiłem transport gołębi okrętem, który właśnie wybierał się w drogę i miał zawinąć do brzegów Bałtyku. Królewicz Pióropuszek dał mi na to pozwolenie, choć nie domyślał się nawet, w jakim celu zrabowałem oddział pocztowy jego ptaszarni!

— Ale ktoś musiał od brzegów Bałtyku dostawić do Warszawy te gołębie?

— Kapitan okrętu uproszony przezemnie, wyprawił z klatką starego majtka, człowieka bardzo roztropnego. Ten dostawił skrzydlatą przesyłkę wprost do Redakcyi Wieczorów.

— Wielki Boże! ten człowiek mógł wszystko wygadać!

— Nie mógł, bo umyślnie go wysłano jako niemowę. Zapadł on w to kalectwo, gdy spadłszy raz z okrętu w morze, ujrzał rekina z rozwartą już na siebie paszczą. W sam czas podano mu linę ratunkową, a choć rekin schwycił go jeszcze za obcas u buta, ściągnął go tylko, a człowiek uszedł cały. Ale oniemiał z przestraszu! Słyszysz, ale nie mówi, a w potrzebie umie być i głuchym — dodałem śmiejąc się.

Zdumiał królewicz.

— Jeżeli ów niemowa potrafił przeczytać adres w jaki go kapitan zaopatrzył i dotrzeć do samego miejsca, mógł umieć także piśmiennie określić położenie geograficzne Atlanty.

— Niemowa nie zna żadnego innego języka oprócz atlantyjskiego, a ten znów w owym kraju jest równie mało znany, jak język chiński; przesyłka więc była zupełnie bezpieczną. Porozumienie się zaś na migi za pośrednictwem innych głuchoniemych, było niemożliwe, bo ogólnie przyjęte między głuchoniemymi znaki, nie wyłomaczyłyby szczegółów geograficznych, a do szczegółowego porozumienia się, konieczną jest znajomość wzajemna jednego i tego samego języka.

Królewicz uspokoił się zupełnie.

— Ach mistrzu! — zawołał — jak rozumnie przewidziałeś wszystko. Jakiż wyborny byłby z ciebie dyplomata! Dowiedziałeś tego już raz, posłując do nas od szlachetnego króla Dobromira, naszego teścia; wtedy jednak nie potrzebowałeś zachowywać takich ostrożności i działałeś otwarcie. Ale obmyślona przez ciebie komunikacya wyspy nieznannej z Warszawą, jest szczytem przezorności!

— Pierwszą przeszkodę usunęliśmy już — powiedziałem rozweselony niezasłużoną pochwałą — jakaż jest druga?

— Drugą trudniej będzie usunąć: Atlanta ma swój właściwy klimat, mogący niezgodzić się z klimatem kraju, do którego pójda korespondencye. Rośliny Atlanty nie odpowiadają, może roślinom polskim. Tak samo będzie ze zwierzętami, a przynasz mistrzu, że dzieci każdego narodu, najprzód z przyrodą własnego kraju zapoznać się powinny, zanim poznają inne. My tamtego kraju nie znamy.

— Ale ja go znam królewicu, i nie trudno mi będzie odpowiedzieć Waszym Miłościom na każde dotyczące go pytanie. Klimat Polski nie wiele różni się od klimatu Atlanty, a przytem o wyspie tej powiedzić można, że na niej są różne klimaty, bo posiada równiny, zagłębia i góry wznoszące się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza; temperatura zaś zmienia się zawsze w miarę, jak się zmienia wysokość. Stosownie znów do wzniesienia, różne strefy roślinne, układają się jedne nad drugimi, jakby po stopniach: najprzód drzewa liściaste, potem iglaste, następnie krzewy karłowate, a w końcu mchy i porosty, zupełnie jak gdybyśmy posuwali się od równika do bieguna. Każda połowa kuli ziemskiej jest jakby olbrzymią górą, bo postępując wzdłuż południka, napotyka się w roślinności zmiany zupełnie takie same, jak gdy od podnóża góry wstępuje się ku wierzchołkowi. Ma więc Atlanta wszystkie prawie klimaty, a czego by z roślin, zwierząt, lub minerałów na niej nie było, to znajdzie się w szklarniach królewicza Zielonki, w ogrodzie zoologicznym królewicza Pióropuszka, i w nieprzebranych skarbach królewicza Kryszałka. Wyspa Atlanta, to olbrzymie muzeum nauk przyrodniczych, najbogatsze może ze wszystkich na kuli ziemskiej.

Pochwała ta mile pogłaskała królewicza.

— Zbiory nasze są istotnie bogate — powiedział. Mamy niektóre rzeczy bardzo rzadkie, ale — dodał z westchnieniem — brakuje mi hypnotyzującej rośliny, a Pióropuszkowi latającej żaby, bo co do sztucznego dyamentu, to wątpię, czy Kryszałek go kiedy zdobędzie, chyba by poświęcił się sam wielkiej nauce twego przyjaciela Chemika.



— Druga przeszkoda zatem została usunięta — rzekłem, obawiając się aby rozmowa tak dobrze zaczęta, nie odbiegła od przedmiotu. Jakaż jest trzecia?

— Trzecia jest największa: tkwi ona w mojej własnej naturze, a wiadomo ci mistrzu, że naturę najtrudniej jest przerobić. Ilekroć królowa Wiosna zawita do mego państwa, ogarnia mię nieprzewyciężony wstręt do pióra... Odkładam wówczas na bok koronę i staję się pierwszym jej niewolnikiem. Od rana do wieczora stąkam po jej śladach, szukając ich w ogrodach, w lasach, po łąkach, nad brzegami strumieni, i wszędzie słuchając jej odgłosów. Wymagać odemnie żebym zasiadł nad kałamarzem, między czterema ścianami gabinetu, byłoby doprawdy okrucieństwem. Ja żyję pod gołym niebem cały Boży dzień, bo tylko noc przepędzam w pałacu, i gdybyś mnie nawet zamknął mistrzu, wyskoczyłbym przez okno. Gdybym tak miał kogoś przy sobie, kto by ze mną chodził po polach i ogrodach, kto by mnie pytał o to i owo i spisywał czego by się odemnie dowiedział, to co innego.

Słowa królewicza zastanowiły mię.

— Mówiłeś raz mistrzu, że miłość otwiera zamknięte przybytki, ale mojem zdaniem, niedość jest kochać to o czem się mówi, trzeba jeszcze kochać tych, do których się ma o tem kochanem mówić, a jakże tu kochać nieznanych? Choćby słowa moje najgorętszą technęły dla młodości miłością, nie otworzy mi ona przybytku swego serca, dopóki nie nauczę się przemawiać do niej w jej rodzinnym języku. Bo jeżeli mowa stanowi człowieka, to język stanowi o narodzie, wynika z narodu, prawie jest obrazem jego sposobu pojmowania i podaje odrębne sposoby wypowiedziania pojęć. Dla tego to często niepodobna przetłumaczyć wyrażen jednego narodu na język innego, i dla tego także świętym jest obowiązkiem każdego narodu starać się o zachowanie czystości swego języka. Temu co się urodził na północy, prędzej trafi do serca świst wichru i wycie burzy, niż melodyjne szmery oliwnych gajów i wonie drzew pomarańczowych. O każdym narodzie możnaby powiedzieć coś podobnego. Kraj którego chcesz mnie zrobić korespondentem, znam z dziejów, z twego mistrzu opowiadania, i wyznaję, że mam dla niego sympatyę i cześć głęboką, że go nawet podziwiam... ale to nie dosyć. Żeby poznać jego naturę i naturę jego mieszkańców, musiałbym pojechać tam jak ty mistrzu i żyć czas jakiś tańszym życiem. Wówczas dopiero grałbym na młodziutkich duszach ręką wprawną i pewną, i śpiewał pieśni cudowne o swoim pięknym królestwie, a pieśni te wzruszałyby słuchaczy, bo w nich dźwięczałyby ich rodzinna nuta, niby czerwona nić przewijająca się po wzorzystej tkaninie.

## Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

### III.

List Stefanka J. do młodszych braci.

Goryca 20/IV 1890 r.

Kochani Mieciu i Józiu!

Jeżeli nie pod każdym względem, to nie pod jednym sprawdza się przysłowie: „Co kraj to obyczaj”. Oto naprzykład, jadąc omnibusem hotelowym z kolei i wyglądając przez szyby, zauważyłem już, że kobiety, a czasem mężczyźni noszą obyczajem włoskim wielkie okrągłe kosze, lub naczynia do wody, podobne do naszych szafflików, ale daleko czystsze od nich, a to wszystko noszą na... głowach. Trzeba przyznać, że robią to zrećznie, chodzą, zatrzymują się, kupują i wydają resztę z całą swobodą. Raz tylko jeden widziałem, jak jakiejś dziewczynie wypadł z kosza nad głowę tłoczeczek; ale bo też wysoko po nad kosz wystawał. Kosze te jednak nie stykają się bezpośrednio z głową, bo je od niej odgradza małe miękkie kółko, kosztujące 14 centów (22½ gr.). W każdym razie przyznać trzeba, że tutejsi mieszkańcy mocne mają głowy, ale czy w ich głowach jest moc umysłowa, za to ręczyć nie mogę.

Drugim, który uwagę moją zwrócił, obyczajem tutejszym jest to, że wszyscy nawet najbiedniejsi, którzy zdaje się nie mają czego oszczędzać przed deszczem, tak są ubogo i lichy

ubrani, noszą parasole podczas niepogody; zabawnie też to wygląda, gdy nad wysoko piętrzącym się koszem sterczy jeszcze parasol.

Inny obyczaj tutejszy zdaje mi się godnym naśladowania. U nas każda niemal służąca, jak tylko trochę grosza uzbiera, kupuje sobie kapelusz; tutaj wszystkie sklepowe i szwaczki (o służących już nawet nie mówię), mają eleganckie, a nawet gustowne suknie, ale kapelusze noszą tu tylko panie. Kunsztowna, wysoka fryzura zastępuje kapelusz u mniej zamożnych i jak się to zwykle mówi, niżej w społeczeństwie położonych.

Są tu jednak pewne braki, które należałoby zapełnić, biorąc przykład od nas. Czy uwierzycie, że nie znają tu wcale baniek felczerskich? Pewnego razu zaziębiłem się trochę; zwróciłem się więc do kilku tutejszych felczerów, a nawet do apteki, chcąc dostać owych baniek; ale wszędzie musieliśmy długo tłómaczyć, co to za maszyna, a słuchacze wytrzeszczali tylko oczy i zapewniali, że o takim stworzeniu nigdy nie słyszeli. Winka emetykowego także tu dostać nie można, chyba z przepisu doktora.

Wódki tu prawie nie znają, nie myślcie jednak, żeby nie było pijaków. Może jest ich jeszcze więcej niż u nas, i na pozor sami to niby możni panowie, bo upijają się winem. Nie bywa ono wytworne, bo zwykle jedno, lub dwuroczne, ale kwarta kosztuje 24 do 48 centów (37 — 74 gr.). Nasi miłośnicy zawrotu głowy, tanięj znacznie mogą się uraczyć. Wino to czerwone lub białe, jest wcale nie złe, dla mnie przynajmniej przy obiedzie. Nie lękajcie się, bym się rozpił, bo używam pod miarą i jako lekarstwa przepisane przez doktora.

Cukiernie tutejsze są to tylko miejsca do sprzedaży ciasta, cukierków i różnych cukierniczych łakoci, oraz różnych napojów, jak likiery, wódki, i t. d., ale kawy i herbaty można dostać tylko w kawiarniach, a właściwie przed kawiarniami, gdy pogoda potemu. Tylko że niema tu jak w Warszawie i innych wielkich miastach, altan przed takimi zakładami. Poprostu na chodniku załatwia się z tą sprawą tutejsza publiczność, pod ścianami, które wyglądają przez to zdaleka jak malowidła „al fresco”.

Jest to naturalną charakterystyką południowych krain, że mieszkańcy ich większą część dnia spędzają na otwartem, choćby nie konieczne świeżem powietrzu; nietylko raczą się kawą, herbatą lub piwem na ulicy, ale i sprawunki na nią załatwiają. Przed sklepami naprzykład z materyalami łokciowemi, leżą lub stoją całe ich stopy i niejedna kobieta z ogromnym koszem na głowie zatrzymuje się przed niemi, przygląda się towarowi, ima go i mnie w rękę, póki nie wybiegnie kupczyk ze sklepu, pytając czego żąda. I to także inny niż u nas obyczaj, że w handlu przyjęto tutaj system miar i wag francuzki: mierzą na metry, ważą na kilogramy (przez skrócenie kilo zwane) drogi mierzą na kilometry i t. d.

Dziwnem to jest dla nas, że w niedziele i święta, w czasie nabożeństwa targ idzie w najlepsze, a sklepy zamykają dopiero w południe, a nawet znacznie później, szczególnież takie, w których sprzedają materyały kolonijalne, a obok nich i wcale nie kolonijalną szynkę, bo osobnych sklepów z wędlinami niema; takie sklepy zamykane bywają dopiero około 4-tój po południu. Piekarze, cukiernicy, sprzedają swe wyroby przez cały dzień, bez względu na święto, a kawiarnie i winiarnie cały dzień są otwarte. To już bardzo naszym obyczajem pachnie.

Groby w ostatnie dni Wielkiego tygodnia urządzają tu także, jak pewnie na całym świecie chrześcijańskim; ale inaczej niż u nas. Tworzą coś jakby w rodzaju ołtarza, stawiają na nim cyboryum w kształcie trumienki, w której znajduje się Przenajświętszy Sakrament. Jednak w kościele Kapucynów ujrzelismy grób podobny do urządzanych u nas, i coś podobnego także w kościele Franciszkanów na Castagnavizza. Kwesty tu przy Grobach niema.

A teraz powiem wam kilka słów o święconem, téj ważnej dla nas sprawie dorocznój. Wyście już pewnie o waszem zapomnieli, a na moją wzmiankę o tutejszem, pewnie wam ślinka do ust popłynie, jak mnie płynęła na wspomnienie tego co bywa u nas. Ale wieszam, żeście w domu zostali, bo osądźcie sami czy było się tu czem zachwycać. Na Wielkanoc pieką

tu najwięcej tak zwane „pince”, t. j. słodkawe kwaśne bułki, które lepiej wyglądają, niż smakują. Cena ich zależy od bardzo rozmaitej wielkości. Największa, mająca pewnie ze 20 cali długości i tyleż szerokości, kosztuje 5 guldenów, co znaczy około 4-ch rubli; najmniejsza może 3 calowa na długość i szerokość, 10 centów (16 gr.). Wcale nam owa wychwalana przez wszystkich „pinca” nie smakowała i daleko lepsze było ciasto, podobne do baby, tylko znacznie gorsze „kuglow”. Robią też „gubane”, bardzo niestrawne ciasto, na które wychodzi mało mąki, a dużo czekolady, migdałów, orzechów, cukru, różnych konfitur i bardzo drogiego napoju „picolit”. O tem cieście powiedzieć można, że jest droższe, niż lepsze, a gdy ma wielkość dna od talerza, kosztuje 50 cent. czyli 40 kop. Księża tutaj nie chodzą święcić po domach, chcą więc mieć święcone, trzeba jajko, sól i t. d. zanieść do kościoła.

Ot, zdaje się, że już wszystko, co bym o tutejszych zwyczajach mógł powiedzieć. Co prawda, możnaby jeszcze mówić o tem i owem, ale ja się już do wielu rzeczy tak przyzwyczaiłem, że dziwić się pewno będę najprostszym rzeczom, gdy do Warszawy przyjadę. Może i wy będziecie się mnie dziwili, a już napewno Adalkowi naszemu, a może najwięcej jego niemczyźnie. Dam ję przykład: biegnąc po pewnym ogródku wkrótce po deszczu, zabłocił sobie buciki. Wracając do mieszkania, jako wielki porządnicki, wpadł najprzód do kuchni, wołając: die puce szue”. Zrozumiała go służąca i śmiejąc się, doprowadziła jego obuwie do czystości. Innym razem wbiegł z kwiatkiem w rękę i woła: „Herr dał mi die Blume”. A co? czy wam ta biegłość językowa nie imponuje? A on jeszcze więcej umie, jak się o tem wkrótce przekonacie. O sobie też mógłbym coś nadmienić, bo może niedługo stanę się podobny do sławnego Mezzofanti; nie dla tego bym przypuszczał, że będę kiedyś jak on, kardynałem, ale że będę mógł mówić jak on 60-ma językami. Już mi do tego niedaleko: umiem niby po polsku, uczyłem się po niemiecku, francuzku, po łacinie i mam na widoku grekę, a obecnie choć mam dopiero lat 13, męczę tutejszych Włochów moją włoszczyzną, nie wiele lepszą od niemczyzny naszego czteroletniego Adalka. Wybieramy się przed powrotem do Warszawy, w odwiedziny do Triestu, miasta portowego nad morzem Adryatykiem i do sławnego Miramare (co znaczy: podziwiał morze), niegdyś siedziby ulubionej arcyksięcia Maksymiliana, chwilowego cesarza meksykańskiego, rozstrzelanego przez tamtejszych zwolenników rzeczypospolitej. Otóż wybierając się w drogę, warto mieć z sobą nieco zapasów pożywienia, a że mama zajęta była przygotowaniem do podróży, więc wysłała mnie, niby ajenta handlowego, po wino. Wchodzę do sklepu i mówię: sprechen Sie deutsch? bo tu nie wszyscy mówią, albo chcą mówić po niemiecku. Dziewczyna sklepowa wytrzeszczyła oczy i milczy. „Parlate tedesco?” zawołałem z kolei po włosku; dziewczyna odpowiada krótko „no” to jest: nie. Ot, bieda będzie, myślę sobie, ale grzmie odważnie: „donate un litro di vino nero”, co miało znaczyć: proszę o litr wina czerwonego. Dziewczyna patrzy na mnie zdziwiona, ale bierze się do szklanki, myśląc, że ja pić będę na miejscu. Jak tu ję wytłómaczyć, że ja chcę zabrać wino do domu? Zacząłem coś bąkać, a ona znów oczy wytrzeszcza, widocznie nie rozumie. W rozpaczę zdobyłem się nareszcie na „donate nos ala casa la flache” i coś jeszcze dobełkotałem, dość, że mnie nareszcie zrozumiano. A co? jaki ze mnie Włoch! Ale proszę was braciszku, zachowajcie w tajemnicy moją włoszczyznę, tak jak ja schowałem pod paltot moją butelkę, nie chcąc, żeby przechodnie powiedzieli: „taki mały, a już tegi bibuła.”

Ale, ale! byłbym zapomniał! Jedliśmy żaby, powtarzam:

żaby, w wielkim tygodniu. Dano nam zamiast ryb coś osmażonego w cieście; smakowało to nam zrazu nie najgorzej, aleśmy wnet dostrzegli jakieś osobliwe kształty kawałków niby nie mięsa i niby mięsa. Pytamy służącą, co to jest, a ona odpowiada: „es sind ja Frösche” (są to żabki). Natychmiast odbiegł nas apetyt; tylko Adalek wołał: mamó! jeszcze tego... Nie mówcie i o tem nikomu, a szczególnież dziadzi, boby nas przywitał znaną wam piosenką:

„Kto robactwem żyje  
Tego we dwa kije i t. d.”.

Stefan J.

### Odpowiedź „Skorpiona” na zagadkę „Dębu sosnowieckiego”.

Pierwsze w Poznaniu, a nie w Meranie,  
Druga w Królewcu, lecz nie w Oranie;  
Trzecia w ołtarzu, a nigdy w szkole,  
Czwarta nie w twarzy, zawsze jednak w czole.  
Piątą pod dostatkiem znajdziesz w Zanzibarze,  
Szóstą też w Afryce, lecz nie w Madagaskarze.  
Siódmej radzę pilnie szukać w poświęceniu,  
Ósmęj w rzeczywistości, nigdy w marzeniu.  
Dziewiątą bezwątpienia znajdziesz w stoliku,  
Ostatnią szukaj w szafie kochany chłopczyku.  
Bez trudności odgadłem nazwisko twoje.  
Panie „Madejski” odszukaj moje.

### ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Tolwida dla Poziomki w Gaiku.

Z następujących zgłosek: a -- bis -- cław -- chal -- de -- deks -- e -- dasz -- gle -- i -- i -- ju -- kar -- ko -- ki -- ma -- nak -- rek -- wo -- wro -- zwło -- czer -- ułożyć dziesięć wyrazów: Znaczenie wyrazów. 1. Jeden z ewangelistów. 2. Człowiek latający. 3. Prowincya w Azji. 4. Zbiór praw. 5. Jeden z apostołów. 6. Imię żeńskie. 7. Miasto na Szląsku. 8. Ptak żyjący w gorących krajach. 9. Ptak z czerwonym upierzeniem. 10. Ciało człowieka po śmierci. Pierwsze i końcowe litery od góry do dołu, utworzą nazwisko znakomitego poety i nazwisko słynnego powieściopisarza.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

#### Niteczki Aryadny:

Już gdy burza zawierucha  
Mało służy dach ochrończy,  
Już przez pułap deszcz mi plucha  
A przez ścianę wiatr się sączy.

S y r o k o m l a.

#### Łamigłówniki sylabowej:

1. Mirgoród.
2. IU.
3. Niedźwiedzie.
4. Hurdwar.
5. Oko.
- Mincho.
- Duero.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew). — Oj! wesołam ja dziewczyna! wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Korespondencya Wieczorów Rodziny list Stefanka J. — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — Porządny kotek, wiersz. — Przyjaciółka mamy p. M. Z. — Przygoda w podróży. — Łamigłówniki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## Podróż młodych Szczuroskich.

(Dalszy ciąg).

Przez chwilę udawał się sposób, aż wtem przy silniejszym gryźnięciu cukier upadł na ziemię z łoskotem, i wszystkie ptaki zerwały się ze snu, z krzykiem okropnym:

przejmowały boleścią nieszczęsnych zbiegów. Nareszcie sen dobroczynny zamknął im strudzone powieki. Nie wiadomo jak długo spali, już to przerażającymi, już miłymi z dawniejszej przeszłości kołysani obrazami. Aż nareszcie budząc się zwolna uczuli naprawdę niewytłomaczony kołysanie jakieś. Zdumienie i przestrasz ogarnęły ich na nowo, ale po jakimś czasie gdy cisza panowała nieustanna a głód dokuczał, zbiegi odważyli się



Z wzniesionymi łapkami pozostali chwilę jakby skamieniali...

— Szczury! szczury porywają cukier! To oni, ci tajemniczy złoczyńcy dopuszczają się oddawna wśród nas rabunku! Hejże na nich! Bić, zabić! — Co tylko żyło a nie było zamknięte w klatce, rzuciło się na biedaków. Szczęściem okno było uchylone i rozpacz dodała szczurkom odwagi. Wymknęły się i wśród straszliwej burzy uciekły kędy ich oczy poniosły, dopóki woda nie stanęła im w poprzecz drogi. Nie wiedząc co czynić a spostrzegając stary drewniany trzewik, walający się na wybrzeżu, para wieśniaków skoczyła weń i wtuliła się w najdalszą głębię, chroniąc się przed ulewnym deszczem, drżąc, przemokła, głodna, zębami dzwoniąc z zimna i strachu. Siedziały tam szczurki same nie wiedząc jak długo, obawiając się wytknąć nosów, aby nieprzyjaciele nie pochwycili ich w ostre pazurki. I znowu smutne rozpamiętywania minionego szczęścia w wygodnym rodzicielskim domu, szczęścia którego się cenić nie umiało,

wyrzeć na świat z głębi trzewika i oto co ujrzeli: trzewik snadź wiatrem czy może swawolną nogą czyjąś pchnięty z wybrzeża na rzekę, płynął teraz spokojnie, oddalając się żwawo od mostu, unoszony biegiem fali w dół. Z wzniesionymi do góry łapkami pełni podziwu, zdumienia, przerażenia, a nawet i nadziei niewyraźnej jakieś pozostawali przez chwilę jak skamieniali.

(d. n.)

## PORZĄDNY KOTEK.

DZIECKO.

Kotku drogi, mój jedyny!  
Już się myjesz pół godziny.  
Jakie widzisz w tem rozkosze?  
Powiedz szczerze, bardzo proszę!

## KOTEK.

Brzydki każdy bez wyjątku,  
Kto nie myśli o porządku.  
Dla tego też często myję  
Moje łapki, pyszczek, szyję.

\* \* \*

Taki kotek czysty, biały,  
Od każdego wart pochwały,  
Do pokoju ma wstęp z rana,  
Pani siada na kolana,  
Nie żałują mu łakotek,  
Czemu? — bo porządny kotek!...

## PRZYJACIÓŁKA MAMY.

Nudno troszkę tę pończoszkę  
Robić wciąż i wciąż!..  
Siostry, bracia, Józio, Nacia,  
Wszyscy prawie przy zabawie,  
A ty z pracą dąż!..

Tak narzekała Aneczka robiąc ciepłą grubą węgłianą pończochę, i spoglądając jednocześnie przez okno, na bawiących się wesoło braci i siostry, którzy już roboty swe dnia tego pokonczyli; a gdy tak wzdychała i spoglądała, pończoszki nie przybywało jakoś wcale, a jednak trzeba było koniecznie zrobić wyznaczony kawałek, dopóki nie podadzą herbaty.

— Nad czym tak wzdycha córeczka? Czyżby nad tą biedną pończochą, która jakoś skończyć się nie chce? — spytała mama zasłyszawszy wchodząc biadanie dziewczynki.

— Ach, proszę mamy, już mi się tak sprzykrzyła ta robota że chyba ją porzucę.

— Tak mówisz i myślisz jak jedna moja serdeczna przyjaciółka, gdyśmy obie były w twoim wieku.

— Jaka to przyjaciółka? Opowiedz mamó! Ja tak lubię, gdy opowiadasz o twoich dawnych czasach!

— Moja przyjaciółka widziała często przez okno małego chłopczyka z sąsiedztwa biegającego do szkoły w samych trzewikach bez pończoch, postanowiła zatem zrobić mu na Boże Narodzenie parę ciepłych pończoszek. Jakoż pierwsza pończoszka zrobiła się bardzo prędko, ale przy drugiej zabrakło panience cierpliwości, skutkiem czego robiła się coraz to wolniej, tak, że choć moja przyjaciółka wciąż robiła, poruszając drutami, to pończochy nie przybywało prawie wcale! Sprzykrzyło się to panience nareszcie ostatecznie, co widząc matka jej powiedziała: „Daj już pokój kochanko tej pracy, bo choćbyś się zapracowała, sądzę że nie zdążysz ze swym podarkiem na Boże Narodzenie, i ów mały chłopczyka chodzić będzie boso w samych tylko trzewiczkach, a zatem idź bawić się z rodzeństwem a ja skończę tymczasem za ciebie tę biedną pończoszynek...”

— Mamusiu najdroższa — przerwała śmiejąc się Aneczka — musiałas już kiedyś opowiadać mi tę historię, bo ja doskonale pamiętam co twoja mała przyjaciółka odpowiedziała na to swęj matce...

— Doprawdy? No, jeżeli wiesz to powiedz — śmiejąc się także rzekła mama, a Aneczka dodała natenczas:

— Twoja mała przyjaciółka mamusiu powiedziała że nie porzuci swęj roboty, gdyż wstydyby jej było nieukończyć tego co rozpoczęła z własnej woli, ale prosiła bardzo pięknie mamusi, żeby jej wolno było odtąd zaw sze przy mamie siadywać z robotą, bo w takim razie dziwnie prędko robi się pończocha: o, patrz jaki duży kawał postąpiła odkąd rozmawiasz ze mną!... — I Aneczka pokazała mamie duży kawał świeżo zrobionej robótki.

— Dobrze niech i tak będzie — odpowiedziała mama, przyniosła swoją własną robotę i usiadła z nią przy córeczce. Anusi tak miło było z mamą razem pracować że ani spojrziała więcej na wesołą zabawę rodzeństwa w ogrodzie, i prosiła mamę żeby i nazajutrz razem pracować mogły, poświęcając na to wszystkim czas przeznaczony na zabawę. Mama zezwoliła, ale po dwóch czy trzech dniach wspólnej pracy, pończoszka skończyła się tak nagle, że Aneczka czempredziej rozpoczęła robić drugą parę, żeby dłużej jeszcze pracować razem z mamą rozmawiając, a robiąc tę drugą parę, mała panienka tak się przyzwyczaiła nareszcie do ręcznej pracy że robótka nigdy jej się już nie przykrzyła. Mały ubogi chłopczyka na chodząc w ciepłych pończoszkach do szkoły, jeszcze pilniej się uczył, a jego matka błogosławiła Aneczkę.

M. Z.

## PRZYGODA W PODRÓŻY.

Przy dużym stole zarzuconym książkami świeżo kupionemi, zasiadły dwie dziewczynki od lat dziesięciu do jedenastu, i ośmioletni chłopczyk o rozumnym wyrazie twarzy.

To ta poczciwa ciocia Kasia takie miłe zawsze urządza niespodzianki; a teraz siedzi z daleka z robótką i z uśmiechem zadowolenia śledzi radość na twarzach ukochanych siostrzeńców — „Wspomnienia wygnanki” — woła najstarsza Zosia, spojrzawszy na kartę tytułową książki.

— Wiesz Jadwiniu — dodała, zwracając się do młodszej siostry — że to napisała ta pani, u której mama była na pensyi.

Jadwinia tak jest zajęta oglądaniem wspaniałych rycin do bajek Lafontain'a, że nie odpowiadając siostrze, machinalnie podsuwa jej śliczną powieść „Małego lorda”. Boles utoął zupełnie w „Cudach Oceanu”, on tak lubi podróże i przygody śmiałych żeglarzy.

— Ciociu droga — zwraca się z zapytaniem do cioci Kasi — czy „Niebezpieczna przeprawa” to opowiadanie o rozbójnikach. Nic mię tak nie zaciekawia, jak opis niedostępnych puszczy, gdzie się gnieźdzą opryszki; te wycieczki nocne, te napaści na podróżnych, te walki!... Ignacowa, niańka Kostusia, takie ciekawe umie bajki o „trzech braciach zbójcach” o złotęj bani.

— W tem niema nic złego — dodaje pośpiesznie, widząc cień niezadowolenia na twarzy cioci.

— A właśnie nie podoba mi się to wcale — rzekła ciocia — powiem z jakiego względu. Ignacowa was nie

zgorszy, prędzej zachęci do dobrego, bo chociaż prosta kobieta, ma jednak wiele zdrowego rozsądku i dobre serce; wolę jednak niech wam opowiada legendy, bajeczki o Tomciu, o Paluszku, Czerwonym kapturku i t. p. Nadzwyczajne te jakieś wypadki, które nigdy nie miały miejsca, działają na waszą wyobraźnię i rozdrażniają niepotrzebnie nerwy, a w daną chwilę mogą napędzić niczem nieuzasadnionego strachu. Nie chciałabym nigdy abyście przepędzili kilka godzin pod takim wrażeniem, jak ja i moje kuzynki, a to wszystko dzięki opowiadaniom tych pocziwych nianiek.

— Cioteczko droga, jedyna — odezwała się Zosia — opowiedz nam jak to było. Weźmiemy robótki, Bolesław łamigłówkę, będziemy siedzieć cichutko i słuchać.

— Mama chora na głowę, biegać nie można, a cioteczka tak ślicznie opowiada — dodały trzy głosiki z przyzwyczajeniem.

To też panna Katarzyna, która nigdy niczego uie odmawiała ukochanym siostrzeńcom, zaczęła po chwili powieść w te słowa.

— Dawne to czasy, kiedy miałam lat 11, jak ty Zosieczko, powstał zamiar że pod opieką ciotki pojedę do Ciechocinka, aby tam brać kąpiele. Podróż uśmiechała mi się bardzo; najprzód dla tego że zobaczę miejscowość nieznaną, a potem że jechać będę w towarzystwie rówieśników.

Wprawdzie ciocia miała dzieci dwoje, syna i córkę, ale jej siostra wówczas chora, powierzała nadto jej opiece czworo dzieci swoich, dwie dziewczynki i dwóch chłopców, było więc nas razem siedmioro: trzy dziewczynki równego wieku, trzech chłopców od 7 do 8 lat i śliczna blondynka pięcioletnia Kazia. Co to było przygotowań, co rozkosznych marzeń przed tą podróżą! Dawniej dzieci choćby nawet zamożnych rodziców, nie wozono i nie bawiono jak dzisiaj, dla nas też ta niedaleka wycieczka, była jakąś wyprawą do środka ziemi lub podróżą naokoło świata.

Z jakąż radością patrzyłyśmy, jak szwaczka panna Kordula przywieziona do pomocy naszej pannie, wyszywała nam sukienki czarnym sutaszem w różne greki i arabeski. Jakże nam się to wydawało piękne! Ta panna Kordula imponowała nam bardzo swoim strojem, nosiła krynolinę jak balon, (choć już wszyscy zmniejszali te potworne obręcze), na głowie czub wypomadowany i olbrzymi kok, przypięty kolorowymi szpilkami; ten kok wielce przypominał sowie gniazdo, które nam wczoraj przyniósł Janek, chłopiec kredensowy. Potężne swe kształty ujmowała w bluzkę pąsową, suto wyszytą paciorkami i spiętą paskiem i klamrą, na której tkwiło oblicze Garibaldeggo. Spoglądając z zachwytem na tę wystrójoną postać, bo dzieci — mówiła z uśmiechem ciocia — lubią to co się świeci, pewne byłyśmy, że suknie nasze w dobre zostały powierzone ręce. Szczyt wszystkich osobliwości stanowiły sukienki białe pikowe z zakładkami, stebnowanymi na maszynie, co było wówczas rzadkością, bo maszyny do szycia nie rozpowszechniły się jeszcze jak dzisiaj.

Ta pika na sukienki przywieziona z Berlina, do tego kapelusze jak przewrócone salaterki z pękami aksamitnych kokard, buciki brązowe zapinane na guziczki,

były naszym marzeniem. Co to było radości, czułyśmy się nadzwyczaj szczęśliwe, rachując dni i godziny do wyjazdu. Zaczęło się pakowanie. Z przyjemnością widziałyśmy, jak te wszystkie wyszywane sukienki znikają w głębi olbrzymich kufrów, jak pozostały już tylko skromne szlafrociki, popielate paltociki i kapelusze na drogę. Nie podobało nam się tylko gdy panna Luiza nauczycielka kazała też zapakować kajety książki i ołówki. „To na przypadek niepogody” mówiła „abyście się nie nudziły, gdy będziemy siedzieć w domu”. To nas uspokoiło, bo przecie w Ciechocinku pewnie ciągle słońce świecić będzie, pomyślałyśmy sobie. Dzień tak upragniony nadszedł nareszcie. Rano przyjechały dzieci z S. z panną Bolesławą, po obiedzie mieliśmy wyruszyć w drogę, gdyż do Ciechocinka z majątku wujostwa było mil 5, swemi więc końmi mieliśmy się tam dostać. W wigilię wyjazdu wyprawiono olbrzymi wóz, wyładowany pościelą, naczyniami kuchennymi, rozmaitemi prowiantami. Ciechocinek wówczas pod względem wygód był bardzo zaniedbany; kto się udawał z liczniejszą rodziną, musiał prowadzić całe gospodarstwo..

Na szczycie wozu usadowił się kuchcik Jasiek, dumny, że na całe dwa miesiące wy dostał się z pod opieki surowego kucharza; pragnąc aby przez całą drogę do Ciechocinka nikt broń boże nie był w błędzie co do godności jego osoby, nałożył na siebie biały kaftan, i fartuch: na głowę olbrzymi wykrochmalony beret a za pasek zasadził nóż kuchenny.

(d. c. n.)

#### Zagadka rebusowa. ulożyła M. P.

Nie rzeka — jednak rzeka.  
Kto chce niechaj docieka —  
Lub rozwiązania czeka.

#### Łamigłówką kryształową. ulożył Książę Geniuszów.

1. Spółgłoska.
2. Rzecz potrzebna w obrazie.
3. Bogini księżycy u Greków i Rzymian.
4. Autor Pamiętników Kwestarza.
5. . . . .
6. Letnia rezydencya cesarzów niemieckich.
7. Skrócona nazwa łowienia ryb.
8. Wyraz potwierdzający.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą imię męzkie.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 19-go.

##### Zagadki:

A w a. 1

##### ŁamigłóWKI zgłokowej:

KalE — Abel — Zumb — Bobr — Edfu — Kars.

## Skrzynka do listów.

Dwie siostry „**Sikorki**”, witamy serdecznie w gronie naszych korespondentek, ciesząc się że czytują z zajęciem nasze piśmiśko. Piękna ich rodzinna legenda o sikorce przytoczona przez „**Sikorke młodszą**” podać może wątek do zajmującej powiastki. Skoro kochane nasze czytelniczki mieszkają niedaleko Warszawy, przyjechawszy kiedy, zechcą odwiedzić naszą redakcję. Tymczasem za pamięć o koloniach letnich dziękujemy; chętnie przyjmujemy i umieszczamy łamigłówniki. Co do zabawek naukowych, te wszystkie sprawdzamy sami przed umieszczeniem i jeżeli się nie udają, to zapewne opis ich nie był dość uważnie czytany.

Nie, **Skorpionie** kochany, nie lękamy się wcale potworów tak dobrze rozwiązujących zagadki.

**Orzeł** przysłał nam dobre rozwiązanie, oraz logogryf, nie wszystkie jednak łamigłówniki tego rodzaju drukować możemy, a na wybór nasz różne względy wpływać muszą.

Odebraliśmy również dobre rozwiązanie od **Konwalii z Panieńskich skał**.

Kochanej **Kuropatwie z nad Ikopetiu** żądany numer posłano, rozwiązanie zagadki w N-rze. 15, będzie w swoim czasie ogłoszone.

**Adelci W.** wysłaliśmy także żądane numera, również jak **Lilijce z nad Wisły**, której w imieniu Gołąbki odpowiadamy, że Gołąbka „przyjmuje liściki od takich małych dzieci” i nawet bardzo im rada.

**Down.** wysłaliśmy także o co prosili; numer kosztuje kop. 10; resztę wrzuciliśmy do puszek dla biednych.

**Hel. Budz.** przyjmujemy jak najchętniej do grona korespondentek i dziękujemy Szan. Nauczycielce, że jęj „dodała odwagi”. Istotnie, niema nic dla nas miłszego nad serdeczne odezwy młodych naszych czytelników. Liścik w swoim czasie zamieścimy.

Dla czegoż to prosta a wdzięczna „**Niebieska Wstążeczka**” stała się pretensjonalnem Marzeniem z nad noteckich dolin? Zawsze jednak pozdrawiamy ją serdecznie.

Kochana **Pasterko z Jarcowa**, korespondentki z tak dalekich stron serdecznie odzywające się do nas, zawsze mile witamy.

Moja ty **Czarnooka z Puszczy**, cóż ja na to poradzę? Liścik zapewne czeka swojej „kolei”, tej nieszczęsnej *kolei*, która się nam wszystkim daje we znaki, a jednak istnieć musi z powodu szczupłości piśmiśka, którego łamów niepodobna zapelniać samą korespondencyą, z ujmą rzeczy ważniejszych.

**Białej Orliczce** serdecznie dziękuję za jęj miły liścik i za szczegóły, jakich mi w nim o sobie udziela. Aż mi zapachniały fiołki i konwalie, gdy o tym parku przeczytałam!

Niecierpliwie już wyglądałam twego listu, **Jeżyńko Wersalska**. Cieszy mnie, że ci dobrze i wesoło w nowem otoczeniu. Na wakacje wracasz zapewne?

Kochane **Rajskie Jabłuszko**, istotnie wielkiej doznałam przyjemności, czytając przysłany mi przez ciebie opis, nigdy nie widziałam podobnego obrzędu, z książek wiem tylko, że przechował się on jeszcze z pogańskich czasów pomiędzy ludem tamecznym.

Nie, **Palmo**, nie zapomniałam o tobie, i ucieszyłam się zobaczywszy twe pismo. Wiem, że różne przeszkody nie pozwalają jednej z was na utrzymywanie częstej korespondencyi, ale wierzę w życzliwość serduszek waszych. Józio ucieszy się mocno, gdy się dowie, że listy jego budzą zajęcie wasze; teraz nawet mówić mu o tem trudno, tak biedak zajęty egzaminami.

Tak to się nam wszystkim zdaje, **Cyganeczko z nad Wisły**, że po skończeniu nauk będziemy miały czasu co niemiara. Tymczasem jedne się uczą z własnej woli, drugie się bawią, inne na chleb pracują i czasu niema! Zamiar twój pochwalam jak najmocniej... jeżeli go doprowadzisz do skutku, będziesz kiedyś miała miłą pamiętkę. O łamigłównice pamiętać będę, ale takie ich mnóstwo, a tak mało na nie miejsca, że długo trzeba czekać na ich ukazanie się w druku.

**Polko z nad Szczary** zobaczywszy w liście „**Szanowna Pani**” nie chciałam czytać; myślałam, że to do jakiejś poważnej matrony, ja tylko jestem Gołąbką, a jak kto doda „kochana” to mnie odrazu sobie kupi. Co się tyczy logogryfu, przeczytaj odpowiedź daną **Cyganeczce z nad Wisły**. W imię biednych dzieci Bóg zapłać tobie i Niezapominajce z nad Jabłoni, której osobno od siebie dziękuję, za umieszczone w liście opisy nieznanymi mi miejscowości. Sprawozdanie z konkursu już poszło do druku, dla czegożby twoje wypracowanie nie miało być przyjęte?

Kochany Kameleonie! Napisz mi jak ci na imię, wiele masz lat, gdzie mieszkasz, czy zechcesz ze mną korespondować i czy będziesz należał do konkursu? *Piko-de-tejde*.

Kochany Straszny Mrozie! Bardzo gniewam się na ciebie, że zamroziłeś rzekę i nie mogę używać ulubionej rozrywki pływania. Czy i ty ją lubisz? Pierwszy raz piszę do „**Wieczorów**” i chcę należeć do konkursu. Na imię mi Adam, mam lat 14, koresponduj z mną, sprawi mi to wielką przyjemność. Proszę cię nie zsyłać strasznych mrozów, i odpowiedz na mój list. Ścisła cię serdecznie *Odważny Pływak*.

Czyż możesz nawet przypuszczać najdroższa moja Szczeroci żebym o tobie zapomiała? Ja, która najbardziej cię kocham ze wszystkich znajomych mi dziewczynek! Nie odpisywałam ci tak długo jedynie dla braku czasu, bo ucząc się, nie mam prawie chwili wolnej. Podobno masz swoje fotografie, proszę cię droga moja zachowaj jedną dla mnie. Czy ci nie przykro bez mamusi i wujcia? sądzę że i tanta ciocia musi cię pieścić. Całujemy cię wszyscy serdecznie, a mamusia zapytuje się o zdrowie naszej kuzynki Zosi Tuk. Twoje *Światelko*.

Pięcioletni twój narzeczony całuje cię w rączki.

Kochane: Wesoła Krakowianko i Halutko S.! Przesyłam ci kopę całusów za odpowiedź, droga Krakowianeczko. Szczegółów o mnie możesz się dowiedzieć z numeru 6-go „**Wieczorów Rodziny**”. Nie mieszkam na wsi, luba Halutko, ale jeśli zechcesz z różną przyjemnością mogę z tobą korespondować. Dla czego nie obrałaś sobie żadnego pseudonimu? Donieś mi ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy masz rodzeństwo? Czy należałyście do terazniejszego konkursu? Załączą wam serdeczne uściśnienia kochająca *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochane: Śnieżycy i Krasnolico! Dziękuję wam bardzo za wasz liścik. Pytacie jak spędziłam karnawał? raz tylko tańczyłam, ale czas mi prędko przeszedł. Otrzymałam twój list kochana Krasnolico, i odpiszę ci wkrótce, Odpiszcie mi niedługo. Ścisłam was serdecznie *Kotwica*.

Kochana Wróżbiarko Szczęścia! Podoba mi się bardzo twój pseudonym i chciałabym bardzo z tobą korespondować. Napisz mi cokolwiek o sobie, ja ci nawzajem donoszę, że należę już do grona poważnych staruszek, chociaż ten rok jeszcze uczę się systematycznie. Całuję cię po milion razy, *Błękitna Kokardka*.

Stokrotce z nad Stochodu i Gammie C-dur zasyłam całusy.

Kochane moje: Czeska Niezabudko i Ako. Dziękuję ci droga Niezabudko za życzenia, które mi przesłałaś. Kochana Ako, prosiłaś żeby która z nas do ciebie napisała, może więc zechcesz ze mną korespondować? Donieś ile masz lat, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz? Ja mam lat 11, na imię mi Zosia mieszkam na wsi. Co znaczy twój pseudonym? Ścisłam was serdecznie, wasza *Jaskółka z nad Ussy*.

Kochana Ako! Wyczytawszy twą prośbę, aby która z czytelniczek została twą korespondentką, napisałam do ciebie dość długi liścik. Teraz piszę poraz drugi, prosząc cię o doniesienie mi bliższych o sobie szczegółów. Ja kończę rok 12-ty, mieszkam na wsi, jestem jedynaczką i uczę się w domu przy nauczycielce. Inne wiadomości pozostawiam do dalszej korespondencyi. Tymczasem przesyłam ci uściśnienia. Życzliwa *Maryna z pod Gurwolina*.

Ślizgawce wraz z siostrzyczką jęj Hanią i Sarence z nad Sanu załączam serdeczne ucałowania. Sarenkę zapytuję dla czego nie odpowiedziała dotąd na ostatni mój list, czyby już przestała być czytelniczką „**Wieczorów**”?



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

(c. d.)



Moczary.

wania, zasmuciłem się. Królówicz patrzył na mnie przez chwilę i rzekł wreszcie:

— Napisz mistrzu do Redakcyi Wieczorów rodzinnych, żeby nam tu przysłała jednego ze swoich młodziutkich czytelników. Niech pożyje czas jakiś na naszej wyspie, a będzie z niego najlepszy korespondent. Odsłonię mu ciekawe tajemnice mego królestwa, a on je swoim rówieśnikom powtórzy. Swoi swojego najlepiej zrozumieją. On od razu uchwyci poziom, jakiego w korespondencyi trzymać się trzeba, bo będzie go miał w sobie samym, a ja możebym tego poziomowi uchwycić nie potrafił, bo moje chłopięce lata dawno minęły, a moja córeczka ma dopiero trzy lata i umie tylko zrywać kwiaty. Życie ich jeszcze ją nie obchodzi, więc nie potrzebuję jej sam uczyć. Może znajdzie się jaki inteligentny a ubogi chłopczyk, potrzebujący świeżego powietrza, zmiany miejsca, cieplejszego klimatu, dla którego podróż taka i pobyt na wyspie stanie się nawet dobrodziejstwem. Znajdzie tu wszelkie wygody; żeby zaś miał sposobność ciągle być przy mnie, zamianuję go na cały ten czas moim paziem przybocznym. Niech Redakcyja wynajdzie takiego chłopczyka, bo ja nie mogę porzucić spraw państwa i jechać nad Wisłę.

— Wyborna myśl! — zawołałem uradowany — ale zdaniem mojem, zamiast robić kłopot Redakcyi z szukaniem odpowiedniego kandydata, najlepiej będzie ogłosić konkurs.

— Dobrze, niech będzie konkurs. Ach! ale tajemnica! Zapomniałem o niej zupełnie... Chłopiec musi z czasem powrócić do domu, a wtedy tajemnica Atlanty przestanie istnieć!

— O to nie potrzebujesz się obawiać, miłoścy królówiczu — odpowiedziałem — naród ten nie jest narodem zdrajców.

Trudno było odmówić słuszności rozumowaniu królówicza i dla tego właśnie, że uznawałem słuszność jego rozumu-

Gdy tak rozmawialiśmy, nadeszła z córeczką królewiczowa Jagódka mocno wzruszona i przywitawszy się ze mną, wbrew swemu zwyczajowi, z jakimś gorączkowym pośpiechem, rzuciła się mężowi na szyję.

— Mój drogi — szeptała — mój ukochany, dziękuję ci!

— Za co mi dziękujesz? — zapytał, obejmując ją tklawie jedną ręką, a drugą przesuwając po jej włosach.

— Za mego chorego. Jakiś ty dobry!

— A — a, dziękujesz mi, że mu posłałem Eucalyptus. Czy mu sprawił przyjemność?

— O, bardzo się ucieszył, ale więcej jeszcze radości sprawił mu te kwiaty.

— Niezapominajki... doprawdy! I cóż mówił?

— Nic, płakał. Kazał ci podziękować i dał nawzajem naszej Goryczce... Gori, gdzie jesteś? Chodź tu córeczko i pokaz ojcowi co ci dał chory cudzoziemiec.

Dziewczynka, która klękawszy na ziemi zajęła się wsadzaniem w piasek pozrywanych na łące kwiatów, urządzając z nich sobie ogródek, podniosła się posłusznie i zdjąwszy z szyi ciemny skórzany woreczek zawieszony na stalowym łańcuszku, podała go ojcowi. Królewicz rozwiązał rzemyczek i zobaczyliśmy na dnie woreczka kilka szczypt ziemi...

I gdy staliśmy zadumani nad tym szczególnym darem, Jagódka objaśniła.

— Powiedział, że wychodząc z kraju w którym się urodził, niepewny czy do niego wróci, zabrał z sobą woreczek rodzinnej ziemi, trzymając go na piersi, na sercu, żeby mu ono ciągle do uiej biło. Jestto jego skarb największy: rozdzielił go na połowę i jedną sobie zostawił, a drugą tobie przysłał, wdzięczny, żeś biedne serce odczuł i zrozumiał.

Łzy błysnęły w oczach dobrego królewicza. Zamknął starannie woreczek i rzekł wzruszony.

— Jagódko, schowaj to do naszego rodzinnego skarbcia. Jest w nim wiele kosztowności, ale ta będzie najcenniejsza, bo w niej zawarta jest niejako dusza człowieka.

Gori która z całej tej sceny to tylko zrozumiała, że wszyscy byli czegoś smutni, a chciała się bawić, bez ceremonii wgramoliła się na moje kolana i patrząc mi w oczy bystro, rzekła tonem nie dopuszczającym oporu:

— Dziadziu Abrakadabra, opowiedz mi bajeczkę!

Ale ojciec sprzeciwił się temu.

— Zejdź córeczko — powiedział — dziadzio nie ma czasu teraz się z tobą bawić.

I zwróciwszy się do żony, opowiedział jej, że obiecałem mu usnąć akacyę i że tylko czekał na jej powrót. Ucieszyła się bardzo Jagódka na tę wiadomość i ujawszy mnie pod rękę, zaprowadziła nieco dalej w głąb ogrodu, gdzie stała *Robinia pseudoacacia*, cała w tej chwili skapana w promieniach słońca.

Zastaliśmy tam już zgromadzony cały dwór, bo wiadomość że będę usypiał akacyę, posłyszana przez pазia, rozeszła się piorunem. Wszyscy chcieli być świadkami tego ciekawego zjawiska.

Pierzasty liść akacyi \*) jak wiadomo, składa się z kilku-

\*) *Robinia pseudoacacia* rozpowszechniona w naszych ogrodach, niewłaściwie zwana jest akacyą, bo są inne akacye prawdzi-

nastu jakby gałązek, z których każda ma do trzydziestu i więcej listków. Wybrałem jeden liść i uderzyłem mocno do dwudziestu razy w końcowe listki palcem. Listki, zaczawszy od tych, które były najbliżej uderzonego miejsca, jęły się stulać jak do snu i powoli, w przeciągu pięciu minut, wszystkie pozamykały się. Dwór patrzył na to ze zdumieniem, królewicz z milczącym podziwem, a królewiczowa przemówiła:

— Gdyby zasnęły to tylko listki, które otrzymały uderzenie, możnaby to sobie wytłomaczyć wstrząśnieniem wewnętrznych listka komórek. Ale jak zrozumieć że i inne na tej samej gałązce listki, w sen zapadły?

— Mnie się to zdaje bardzo jasne — odrzekłem — listki na jednej gałązce stanowią niejako jedną rodzinę wspólnem żyjącą życiem: a jak w kochającej się rodzinie ludzkiej, wszyscy cierpią, gdy jeden z jej członków smutną zostanie dotknięty dołą, tak i listki akacyi odczuwają wrażenia dotyczące jednego. Kto wie, bo dotąd nauka o tem nie mówi, czy całe drzewo wrażenia takiego nie odczuwa, w mniejszej lub większej mierze? Alboż człowiek cierpiący ból w jednym miejscu swego ciała, nie odczuwa go cały? Jak między częściami ciała ludzkiego, tak między częściami rośliny ścisły zachodzi związek. Każda spełnia to do czego jest przeznaczona, a gdy choć jedna tego nie czyni, całe już gospodarstwo roślinne odczuwać to musi.

Podczas gdym wypowiadał myśl moją, Gori trzymająca się ciągle mojej szaty, zaciekawiona tem co widziała i zdziwiona, że wszyscy przypatrują się także ciekawie, spytała.

— Co dziadzio robi?

— Usypia drzewko — odpowiedział królewicz.

— To drzewku chce się spać?

— Nie, ale dziadzio chce żeby spało.

— To dla czego mu nie śpiewa?

I nie czekając odpowiedzi, rzekła do mnie wspaniałomyślnie:

— Ja ci pomogę dziadziu, bo ty pewnie śpiewać nie umiesz.

I zanuciła swoim cienkim głosikiem:

„A — a, kotki dwa,  
Szare, bure, obydwaj!”

W tej chwili ostatnie dwa listki zamknęły się, a królewicz rzekł.

— Już śpi... Dziękuję ci mistrzu. Będę tego samego próbował na innych roślinach. Chodźmy teraz na ganek: będziemy mogli ztamtąd wygodnie badać, jak długo potrwa ten sztuczny sen.

A Goryczka posłyszawszy, że drzewko śpi, najpewniejsza że to ona sprawiła, wzięła mnie za rękę, mówiąc tonem przestrogi.

— Kiedy drzewko śpi, to nie trzeba mu przeszkadzać, boby się obudziło! Weź mnie teraz na kolana i powiedz mi bajeczkę.

Rozweselony tą naiwnością, postanowiłem zadość uczynić prośbom dziecka, jak tylko zasiedliśmy na ganku, gdzie też

we, znacznie się od niej różniące. Jakób Waga, nazwał ją *Grochodrzewem*. Nazwa naukowa *Robinii pseudoakacyi* pochodzi od nazwiska d-r. Robina, który ją sprowadził z Ameryki do Francji.

(Przypisek Red.)



wkrótce podano obiad; ale ona jako bardzo serdeczna dziewczynka, prosiła, abym trochę jadł i trochę opowiadał. Sama jednak wolała słuchać niż jeść.

Słodkie to dziecko nazwał królewicz Goryczką, co dziwną z nią całą stanowiło sprzeczność. Goryczki, *Gentiana* są jak wiadomo, roślinami górskimi; zawierają one w korzeniach pierwiastki gorzkie, używane w medycynie. Najwięcej w celach leczniczych poszukiwaną jest goryczka żółta, dochodząca do kilku stóp wysokości i mająca kwiaty skupione w bogate pęki. Ale królewicz przepadał za goryczkami szafirowymi, wyrastającymi przy samej ziemi, prawie bez łodygi, i dla tego zwanych bezłodygowymi. Rozrzucone wśród traw i mchów, mają one blask nieporównany i wyglądają niby błękitne źrenice jakiegoś dobroczynnego bóstwa. Gwoli upodobaniu ojca, mała następczyni tronu nosiła imię Goryczki. \*)

Chociaż akacja obudziła się w trzy godziny po uspieniu, zabawiłem w Różanym gaju do wieczora, bo w żaden sposób wcześniej nie chciało mnie puścić. Żegnając moich gościnnych gospodarzy, zapytałem królewicza.

— Jakże będzie z konkursem?

Pomyślał chwilę i odrzekł.

— Jutro mistrzu będziesz miał list odemnie.

Jakoż istotnie dzisiaj z rana paż królewicza przyniósł mi list, który tu w dosłownym przekładzie załączam.

*Abrakadabrus.*

#### *Królewicz Zielonko do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.*

Redakcyi Wieczorów rodzinnych pozdrowienie!

Dostojny mistrz Abrakadabrus przedstawił braciom moim i mnie, życzenie Wasze abyśmy przyjęli na siebie obowiązki korespondentów Waszego Pisma, z trzech królestw których jesteśmy władcami. Nie wiem co uczynią moi bracia, ale co do mnie, przykro mi niewymownie, że nie mogę zadość uczynić tak szacownemu wezwaniu; sprawy państwa któremu winien jestem cały mój czas poświęcić, nie pozwalają na to.

Niemniej wdzięczny za zaufanie jakim mnie Redakcja obdarza, pragnę choć w części spełnić to życzenie, poparte prośbą szlachetnego mistrza. Proponuję przeto, aby Redakcja przysłała mi tu jednego ze swoich młodych czytelników, w charakterze posła nadzwyczajnego przy moim dworze, posła, którego obowiązkiem będzie zdawać Wieczorom rodzinnym sprawę z tego, co o sprawach wewnętrznych królestwa roślin usłyszy. Kładę jednak warunek, aby wysłanemu nikt nie towarzyszył, to jest aby przybył na wyspę *sam jeden*. Kandydat musi być uważny, bystry, inteligentny, a co najgłówniejsza, musi kochać rośliny. Warunek ten jest nieodzowny. Dla uniknięcia omyłki w wyborze, ogłaszam następujący **KONKURS**:

*Opisać kwiat najwięcej sobie ulubiony i objaśnić, dla czego przenosi się go nad inne.*

Termin konkursu naznaczam jednomiesięczny, licząc od daty ogłoszenia go w Waszem Piśmie. Prace nadsyłane do Redakcyi Wieczorów, proszę zebrać wszystkie razem i opieczętować. Zjawi się po nie w terminie oznaczonym ten sam

człowiek, który dostawił gołębie z Atlanty. Język atlantyjski nie jest przy pisaniu prac konkursowych wymagany: szlachetny mistrz Abrakadabrus, posłuży mi przy czytaniu za tłumacza. Wiek kandydatów nie może przechodzić lat piętnastu.

*Autor najlepszego utworu, w nagrodę odbędzie podróż na wyspę Atlantę kosztem mojej prywatnej szkatuły.* Będzie miał tu zapewnione wszelkie wygody i przyjemności: może jeść najpyszniejsze owoce, wachać najwonnejsze kwiaty, sypiać choćby na różach! — i na cały ten czas, zamianowany zostanie moim paziem przybocznym, a to w celu ułatwienia mu dostępu do mojej osoby.

Po przyznaniu głównej nagrody, wszystkie inne rękopisma wraz z nierozpieczętowanymi kopertami, zawierającymi pseudonimy autorów, zwrócone zostaną Redakcyi, która zechce je od siebie nagrodzić, wedle własnego uznania.

Wam i czytelnikom Waszym życzliwy

*Zielonko.*

Różany gaj,

10-go Kwietnia 1890 roku.

#### **Redakcyi Wieczorów rodzinnych do królewicza Zielonki.**

Wasza Królewiczowska Mości.

Tylko dzięki zachęcie szlachetnego mistrza i jego gotowości do pośrednictwa w tej sprawie, ośmieliliśmy się przesłać przez jego usta prośbę do władców trzech królestw przyrody. Gdyby nie on, nigdybyśmy się na to nie odważyli. Powody odmowy wyrażone łaskawie, rozumiemy aż nadto i wdzięczni jesteśmy niewypowiedzianie Waszej Królewiczowskiej Mości, że raczy się mimo to Pismem naszym interesować. Jest to dowód, że opowieści dawne o książętach schodzących z wysokości tronów do prostych śmiertelników, bywają czasem prawdziwe.

Konkurs ogłosimy i składamy dzięki za niego Waszej Królewiczowskiej Mości, w imieniu naszych młodych czytelników, oraz za tak mądrze obmyślony sposób spełnienia dobrego czynu. Jesteśmy pewni że konkurs żywy obudzi między nimi interes, któż bowiem nie zechce ubiegać się o sposobność zwiedzenia dalekiego kraju i poznania szlachetnego monarchy!

Ale Wasza Królewiczowska Mość pozwoli zadać sobie jedno pytanie: Jak mamy postąpić jeżeli pierwsza nagroda przyznana zostanie dziewczynce? Dziewczynki nasze bywają wielkimi miłośniczkami kwiatów, bardzo żywo interesują się ogłaszanymi przez nas konkursami i stają do nich w liczbie znacznie przewyższającej liczbę chłopców. Wasza Królewiczowska Mość zrozumie, że dziewczynka nie może zajmować wielce szacownej posady pazia, ani *sama jedna* i bez opieki starszej kobiety, puszczać się w daleką podróż. Prosimy przeto o wskazówkę.

Waszej Królewiczowskiej Mości oddana i wdzięczna

*Redakcyja.*

Warszawa dnia 16-go Kwietnia 1890 r.

#### *Królewicz Zielonko do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.*

Redakcyi Wieczorów rodzinnych pozdrowienie!

Jeżeli nagroda przyznana zostanie dziewczynce, natenczas zamiast nominacyi na pazia, zostanie mianowana damą honorową następczyni tronu, mojej córki, Goryczki — pozostawać będzie pod kierunkiem mej żony, która jako uczennica mądrego Abrakadabrusa, równie dobrze jak ja, a może nawet

\*) Pliniusz starszy (bo było dwóch tego imienia za czasów starorzymskich), wywodzi nazwę *Gentiana* od Gencyusza króla ówczesnej Iliryi (dziś część jej należy do Austrii) który kwiatki tej rośliny bardzo lubił. Pliniusz był rzymskim pisarzem. Zginął on w r. 79 po narodzeniu Chrystusa, nie zdążywszy uciec przed wybuchem Wezuwiusza, któremu się przypatrywał jako przyrodnik.

lepiej, zna tajemnice królestwa roślin. Co do podróży, królewiczowa obmyśli w jaki sposób odbędzie ją nagrodzona, pod właściwą opieką i z zupełnym bezpieczeństwem.

Wam i czytelnikom Waszym życzliwy

Zielonko.

Różany gaj,

25-go Kwietnia 1890 roku.

## WIOSENNA ZIELONOŚĆ.

Już skowronek z dzionka brzaskiem  
Wdzięczną piosnką wiosnę wita;  
Ozłocona słońca blaskiem,  
Pierwsza trawka wraz wykwita.

Czy to wzgórek, czy dolina,  
Wszędzie się przyjmuje mile:  
Więc też zieleń przypomina  
Wiosnę nawet na mogile.

Witold Łaszczyński.



Fonograf.

## LIST Z WARSZAWY.

Drogie siostrzyczki moje i wszyscy kochani czytelnicy! Redakcyja nasza tak była zajęta odczytywaniem i sądzeniem wypracowań konkursowych, że na wszystkie moje napomknienia o umieszczeniu listu do was, odpowiadano mi zawsze: „Moja Gołąbko, dajże pokój! teraz o rozstrzygnięciu konkursu myśleć trzeba”. Ale rozstrzygnięto go wreszcie i to z wielkiem zadowoleniem Redakcyi, która więcej niż kiedy cieszy się swoją „rodzinką”, a ja też korzystam z tego, bo wczasam do praw swoich i wolno mi już przecie podzielić się z wami wrażeniami ostatnich tygodni. Złe mówię: wrażeniami; właściwie bowiem jedno tylko odniosłam wrażenie, o którym nagadać się z wami muszę: zawdzięczam je *fonografowi*. A wiecie wy, moi drodzy, że to istne чудо? Niepozorna niby skrzyneczka, walec, woskowe cylindry, dwie blaszki ze sztyfcikami, ot! i wszystko... ale jak walec zacnie się obracać wespół z cylindrami, blaszki drgać, a sztyfciki wosk nacinać, wynika z tego coś, co właśnie cudownem nazwać można: fonograf przenosi do naszego ucha dźwięki mowy lub śpiewu osób o dziesiątki, setki mil oddalonych! jednym słowem utrwała rzecz najniepochwytniejszą — głos ludzki, który dotąd bez śladu rozplątywał się w powietrzu.

Zdaje mi się, że z wielkiego zachwytu bezładnie trochę opisuję wam ów przyrząd, który w całej Warszawie budził żywe zaciekawienie; spróbuję więc zdobyć się na zimną krew

(o co najtrudniej waszój Gołąbce, zawsze się zapalającej do wielkich rozumu ludzkiego wynalazków) i wytłómaczyć wam budowę fonografu, którego wygląd zewnętrzny poznacie z przyłączonej tu ryciny.

Wynalazcą fonografu jest Edison, znacie już jego nazwisko, bo i w Pisemku naszym czytaliście niedawno jego życiorys. Wychodząc z tej zasady, że każdy dźwięk, a zatem i głos ludzki, wprawia w ruch powietrze, wyrozumował on sobie, że jeżeli przedmiot, o który odbijają się fale powietrza, głosem w ruch wprawione, będzie bardzo delikatny, to drgania fal powietrznych *utrwalić* na sobie zdoła i *powtórzyć*. Wziął więc cieniutką blaszkę, zaopatrzył ją w sztyft, a gdy ją głosem wprawił w drganie, sztyft wyślubił zaczął nacięcie na wosku odpowiednio przyrządzonym, czyli *utrwał* dźwięki głosowe. Gdy to już dokonaniem zostało, na miejsce ponacinane nastąpił Edison sztyfcik blaszki drugiej, i znów puścił w ruch, za pomocą małej maszyny elektro-dynamicznej, walec z cylindrem woskowym, a sztyfcik podskakując na wypukłościach, opadając na wgłębieniach nacięć, wprawił w ruch połączoną z nim blaszkę i pobudzał ją do takichże samych drgań, jakim ulegała pod działaniem głosu blaszka zapisująca, czyli *powtarzał* dźwięki głosowe. Ponieważ blaszka powtarzająca drga tak samo jak i zapisująca, więc i ton, brzmienie głosu powinny być jednakowe, tymczasem nie jest tak. Dźwięki, które fonograf powtarza, są tylko *podobne* do tych, które zostały wydane, ale nie są *takie same*; można naprzykład poznać melodyę, którą śpiewa p. Czosnowska lub inny artysta, ale nie można poznać że to głos tej lub owej osoby, a tony wyższe wychodzą daleko czystiej od niższych, co śpiewowi i mowie nadaje pewną nierówność i zmienia ich charakter.

Gdy pomimo powyżej wymienionych wad fonografu, zachwycona pomysłem tego przyrządu, a nawet rezultatami jakie daje, wróciłam do domu z Wystawy i zaczęłam rozwoździć się nad tym wynalazkiem, bądź co bądź, zdumiewajacem, wyrwało mi się: „jabym nawet własnego głosu nie poznała”. Na to Józio, który jako realista obznajomiony jest z wszelkimi kwestyami fizyki, a zatem i akustyki, lepiej od waszój Gołąbki (ach! nie uczona to ptaszyna!) objaśnił mi, że to rzecz bardzo naturalna, nikt bowiem własnego głosu poznać nie może. Głos — mówił Józio — z ust naszych wychodzący, ma dla *naszych* uszu dźwięk zupełnie inny, niż ten, którym się o uszy *śluchających* objaja. Nie przeczę temu, co Józio za profesorem swoim powtarza, sądzę jednak, że głos Mierzwinskigo, takim zachwytem przejmujący słuchaczy, i jemu samemu miły być musi?

Ach! gdyby on kiedy zaśpiewał na... kolonie letnie, naprzykład! Wyobrażam sobie, jakby to ludzie śpieszyli go słuchać, jakby sypnęli groszem, który tyłu wynędzniałym, duszącym się w miejskich murach dzieciom, pozwoliły odetchnąć świeżem powietrzem i siłą nabrać trochę pod tem niebem, tak wcześniej w tym roku złotem od słońca, że nawet i u nas przez tunau dynów i kurzu, świeci na głowami prześlicznie.

Żebyście wy wiedzieli, ile to biednych, zapłakanych nieraz matek przychodzi do nas z prośbą, by dzieciom ich do wyjazdu dopomóż, zapytaniem, czy więcej w tym roku dzieci pojedzie! Ach! pojechałyby one wszystkie, te wybladłe biedactwa z suterren i ciasnych zaułków, gdyby to od nas zależało! ale zwiększenie liczby jadących zależy od ofiarności ogółu i dla tego, znając pocziwe wasze serduszka, poruszyłam tę kwestyę w liście do *Was*. Więcej nic już nie powiem... „Mądrój głowie dość na słowie”, a pocziwym sercom czasem i pół słówka wystarczy. Mój Boże! jak pomyśle, że tyle dzieci rodziców zamożnych, (a nawet i nie zamożnych, ale troskliwych o przyjemność dzieci) przygląda się widowisku „Dzikiej Ameryki” na Mokotowskim polu, to aż mnie gniew i zazdrość bierze, że stosunkowo tak mało dzieci może się przyglądać stokroć piękniejszemu widowisku kwietnych łąk naszych i pół „wyzawadzanych pszenicą, wysrebrzanych żytem”!

Wiem, że wy, szczególnieji na prowincyi mieszkający, ciekawicie wiedzieć, czy to istotnie coś bardzo zajmującego, ci przybysze z Ameryki, na wymarcie skazane plemię? Otóż tak jest w istocie, ale powiem wam że na mnie najpierw ludzie



pokazujący się za pieniądze, zawsze przykre czynią wrażenie, a potem żal mi tego nieszczęsnego plemienia, bo staje mi zaraz w myśli okrutne z nim obchodzenie się cywilizatorów europejskich, więc jakkolwiek ci ludzie zarówno powierzchownością jak twarzą różnią się od nas i przeto ochota bierze im się przyjrzeć, wołałabym ich nie widzieć... Dodać też trzeba że

obrazy z życia amerykańskiego w stepach jakie przedstawiają, pewno różnią się bardzo od tego co na miejscu widzieć można... Aby wam dać o tem niejaki wyobrażenie, redakc a daje wam rycinę przedstawiającą te dziwy. Widzicie tu taniec dzikich w ich narodowych strojach, dalej napad na podróżnych w dyliżansie, ściganie dzikiego bawołu, łapanie koni na lasso,

ujeżdżanie dzikich żrebców i t. p. Dowódca tych dzikich Amerykanin doktor Karwer, popisuje się przytem rzeczywiście znakomitem strzelaniem z pistoletu, raz poraz bowiem rozbija kule szklane rzucając przed nim w powietrze... Ale na to wszystko zabawniej patrzeć aniżeli czytać opisy, więc mój już skrócę ściskając was po milion razy jako całym sercem wam oddana

Gołąbka.

## Korespondencya Wieczorów Rodziunych.

Z WIEDNIA.

6-go Maja

Droga Gołąbko! Czy pamiętasz mię jeszcze? Tak dawno się nie odzywałam, że zasługuję na zapomnienie. Ale czyż nie wart przebaczenia pokutujący grzesznik? Widzisz śmiała nie jestem, nie mam odwagi wprost do redakcyi po tak długiej przerwie się odzywać. Postanowiłam uczynić to za twem pośrednictwem, ty jako rówieśnica moja i ulubienica redakcyi, potrafisz się wstawić za mną i uzyskać przebaczenie. Zobaczysz, że się za to odwdzięczę: zasypię cię listami. Ty przecie lubisz otrzymywać listy (och i ja także).

To pierwsza przyczyna mej odezwy do ciebie. Druga zaś taka: Wiadomości z Warszawy, których jesteś autorką, tak są ciekawe i zajmujące, że nie mogę się oprzeć chęci podziękowania ci za nie. W myśli, zwiedzałam wraz z tobą wystawę, cieszyłam się postępami szkół, jednym słowem byłam na chwilę mieszkanką Warszawy, jak dawniej. Chcę ci wzamian za doznaną przyjemność to i owo z wiedeńskiego ruchu donieść, oby cię choć setną część tak zajęło, jak mię twe opisy.

U nas po zimie, pełnej najdziwniejszych kaprysów, nastąpiła wiosna, iście według przepisów kalendarza. Najpiękniejsza to w Wiedniu pora, ciepło, świeżo; kurz nie daje się jeszcze we znaki, wiatry już minęły. Kosy po ogrodach świdzą; na łąkach Prateru kwitną fiołki, ofiary polujących na nie spacerowiczów, dzwonki śnieżne, śnieżyce i błękitne gwiazdki cebulicy dwulistnej, których pęki całe braciszko wie moi z ostatniej swej wycieczki do domu przynieśli. Na wiosnę koloryt Wiednia dziwnie upiękaszony. Drzewa na Ringach zielone, powietrze tak czyste, niebo tak cudnie błękitne, że nigdy bardziej dokładnie nie rysują się na tle jego poważne kształty parlamentu, lub wysoko w górę strzelające wieże Votivkirche. A nowy gmach teatru jakże olśniewająco błyszczą fasadą, bogato w rzeźby przybraną!

W ogóle trzy te arcydzieła architektury najbardziej mię zachwycają z pomiędzy wszystkich monumentalnych gmachów, stanowiących dumę nowożytnego Wiednia. Każde z nich w odmiennym stylu, każde w swym rodzaju znakomite. Parlament o klasycznych liniach, o portyku, odpowiadającym wszelkim sztuki wymaganiom, owo państwo wolnego słowa, czyż mogło się przybrać w stosowniejszą szatę, jak tę, którą późniejszym wiekiem dyktowali Hellenowie, wolni obywatele?

Votivkirche, smukłemi wieżami ku niebu wzbijający się kościół Zbawiciela, to kwiat średniowiecznej gotyki, będącej wyrazem żarliwej pobożności epoki przedreformacyjnej. Jak misternie łączą się i płaczą delikatne tkanki łuków! Jak malowniczo rysują się na tle nieba filigranowe arabeski! Wierzyć się prawie nie chce, że ręka nowożytnego mistrza stworzyła ów pomnik architektury kościelnej wieków średnich; oko mimowoli szuka kilkusetletniej pleśni na płaskorzeźbach drzwi wchodowych i dziwi się świeżości kolorów na artystycznie malowanych oknach.

Trzeci gmach nakoniec, dworski teatr Burgu, to przedstawiciel renesansu, szlachetnego a pełnego wdzięku stylu Michała Anioła. Najłatwiej dają się doń przystosować owoce postępu sztuki nowożytnej i nowożytne wymagania; toż szeroko rozpostarte, we wzniosłym tonie trzymane kształty, przybrane są w cały legion ozdób plastycznych i malarskich, biustów, płaskorzeźb, złocień, fresków portretów. Miejscami ornamen-

tyka ta nadto bogata, ale tak pełna uroku, że nigdzie nie unży. Prawdziwy przybytek sztuki dramatycznej, kreślony w warsztatach odrodzenia sztuk pięknych.

Trzy te opisane gmachy stanowią w połączeniu z nowymi muzeami, nowym ratuszem i nowym uniwersytem, najpiękniejszy łuk wiedeńskiego Ringu; one to postawiły stolicę Austrii, dumną aż dotąd tylko ze swych wiekowych murów, w rzędzie pierwszych nowożytnych rezydencyj europejskich. A zarówno jak harmonijnie w całość się łączą monumentalne budowle różnych stylów i przeznaczeń, tak w jeden nierozłączny szereg niezapomnianych imion, grupują się przedstawiciele owych rozmaitych kierunków: Hansen, Ferstel, Semper Hasenauer, Schmidt. Wszyscy oni się zasłużyli, każdy z nich jest wskrzesicielem epoki.

Jakże architektoniczna treść mego listu, czy gniewasz się za nią, Gołąbko? Może nie, bo jako ptaszek gniewać się pewno nie umiesz, a potem, będąc gołębicą wypadnie ci może kiedy przez Wiedeń frunąć tam na południe, gdzie wśród lagun na placu św. Marka siostrzyczki twoje o minionej świetności dołów gruchają. Toż gdy w przelocie nad Dunajem spocznieś wśród labiryntu arabesek wotywnego kościoła, lub na jednej z kwadryg parlamentu, już ci się one obcemi nie wydadzą. Przypomnisz sobie wówczas co ci o nich daleka świegotąła Jaskółka, która takby chętnie nad brzegi Wisły poleciała, aby wam wszystkim wiosnę zwiastować. Może już w chwili, gdy to czytasz, u okna jaskółka skrzydłem trzepocze... Otwieraj że szybko; kto wie, gdy jaskółka wleci, czasem się może w równieśnięć twoją przemieni... Jaskółek zrażać nie trzeba, Kochaj więc i wspominaj daleką... może bliską

*Jaskółkę z nad Dunaju.*

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Niedawno; zaś co porabiają, to już ty sam najlepiej możesz wiedzieć. Cieszą się oczywiście, oczekując na przyjazd uzonego jedynaka, co zajędzie prosto przed starą czarę w cztery co najmniej konie, pałac z bicza jak z armaty, przywołując mnogość pienięży i w dodatku wielkie zaszczyty, a kto wie może żonę królową!... Dopieroż to tam będzie radosne powitanie, gdy się tak ślicznie ziszczą ich dumne pragnienia! Ho ho, pośpieszaj synku, bo pewno po uściski i błogosławieństwo jedziesz! Hi hi hi!

Podczas tej krótkiej przemowy, Szandor słuchając uważnie, bladł i czerwienił się na ukryte w niej szydercze drwinki, jednak w końcu roześmiał się, na wspomnienie strachów, jakich napędzało mu dawniej zjawienie się tej samej Marchy.

— Idź sobie swoją drogą ty czerwone złośliwe licho — rzekł ze śmiechem — moi rodzice bardzo dobrze wiedzą czego mają się po mnie spodziewać, bo sami przecie utrzymywali mię w szkole przez rok miniony...

— Oho, już to pewno matka nie ojciec! — rzekła drwiąco cyganka.

— Co tobie do tego! Idź precz! — zniecierpliwiony odparł.

— Hi hi hi!... zgadłam widać, kiedy się gniewasz!

— Czego chcesz odemnie! Pójdziesz ty precz! — zakrzyknął rozgniewany, zamierzając się aby ją odpędzić...

Czarne oczy cyganki rozgorzały nagle żółtym ogniem, jak oczy dzikiego kota:

— Oho! — zawołała zasłaniając się — tylko ręki na mnie nie podnoś! Szczęście z wami dawniej było, a teraz dziesięć lat już pokutujecie, że to że twój ojciec rękę na mnie podniósł! Strzeż się!

— Nędzna cyganko! zły duchu mojej młodości! — zawołał Szandor w uniesieniu zapominając się i chwytając ją za

ramiona. — Jadłaś chleb moich rodziców i piłaś wino nasze ilekroć zgłodniałej spodobało ci się przyjść do nas i za to złorzeczysz nam jeszcze!... Mógłbym cię zdeptać jak żłosiwego robaka, a przynajmniej zbić na leśne jabłko, a jeżeli tego nie zrobię, to wcale nie ze strachu przed twymi groźbami, tylko dla tego że chrześcianinem jestem! Znaj chrześcianina cygańska gadzino i precz mi z oczu, żebym mimowoli o tem nie zapomniał!

To powiedziawszy Szandor odepchnął cygankę i poszedł dalej.

Wkrótce, przyspieszone uderzenia serca dały mu znać że zbliża się do rodzinnéj chaty, i tegoż dnia jeszcze, ujrawszy zdaleka matkę w progu stojącą, zaczął biedz pędem, ile sił starczyło i padłszy przed nią na kolana, ucałował jęj nogi, a potem rzucił się na szyję.

— A ty tu zkąd? synku mój złoty, szczęście moje, a jakże ze szkołą?... — spytała, nieledwie dusząc go uściskami i łzami oblewając, zawsze więcej zajęta jego dobrem, niż własną z widzenia go rozkoszą. — Jak idą nauki? bo ojciec żąda koniecznie abyś je ukończył?...

— Ukończyłem też chlubnie szóstą klasę, matusiu droga, przeszedłem kurs retoryki i poezyi, uczyłem się szczerze bo kocham naukę, a teraz przychodzę upaść do nóg ojcu, bo mi serce bez was i puszy usycha!

— Kurs retoryki i poezyi?... czy to tego potrzeba aby zostać adwokatem lub inżynierem?... — spytał niespodzianie głos, na który syn i matka ściskający się, zadrżeli oboje. Szandor wstrząsł się cały:

— Ojciec... podobno już przecie nie wymagał koniecznie inżynierii i adwokatury — wyjąkał odnosząc te słowa do przeszlorocznego listu matki, stanowiącój pomiędzy ojcem i synem rodzaj łącznika, tłumacza, i pośrednika jednocześnie.

— To prawda; niechajbyś został z czasem chociaż na czelnikiem okręgu: czy tak pisała matka?

— Tak.

— A więc kurs retoryki i poezyi wystarczy na to aby zostać naczelnikiem okręgu.

Szlachetny chłopiec nie mógł skłamać.

— Nie ojcie — odpowiedział. — Retoryka i poezya nie ma nic wspólnego z prawem, ale usposabia do zawodu literata, pisarza, do czego ja jedynie mam zdolność i upodobanie, jeżeli już tem czem ty jesteś być nie mogę, więc błagam cię ojcie... —

— Co! — wybuchnął gniewnie ojciec — po tylu nieposłuszeństwach jeszcze raz mię zawiodłeś? Chcesz ginąć i nie pozwalasz się ratować? Ha, kiedy tak chcesz, to gińże, precz mi z oczu! ja nie mam syna, ja cię... — nie domówił reszty, bo z dzikim okrzykiem rozpaczycy rzuciła się ku niemu żona, ręką zatłumiając mu słowa. Stary Węgier stał chwilę jakby w słup zamieniony potęgą własnego gniewu, a potem zachwiał się i jak dąb podcięty, runął na ziemię.

Szandora tam nie było: zaledwo już widzialny pędził w pusztę ściskając głowę oburącz, uciekając przed złem słowem ojcowskiem, tak jak Kain przed gniewem Boskim uciekał, naprzód. Słowo niedomówione pędziło, leciało wraz z nim w nim i ponad nim, jak sęp krwiożerczy, szumiąc mu nad głową czarnymi skrzydłami.

\* \* \*

Gdy czarna noc, która zapadła na duszę nieszczęsnego chłopca rozjaśniać się zwolna zaczęła, słońce wspaniale płonęło na najwyższym szczycie dziwnéj swéj potęgi. Szandor leżał bezwładnie wśród stepu ze świadomością wszakże tego co zaszło, usiłując przekonać siebie samego:

— Nie domówił!...

— No nie, nie, a kiedy nie, to niemasz czego żalością się tak zabijać — ozwał się za nim głos, aż nadto dobrze znany. Chłopiec porwał się, upadł i znowu siląc się, usiadł naraz, rozglądając dokoła. O trzy kroki za nim siedziała cyganka.

Ujrawszy poczuł nagle gniew srogi, chciał się zerwać i rzucić na tę nienawistną istotę, pojawieniem swem zapowia-

dającą mu jak puszczyk nieszczęście, ale za pierwszym poruszeniem jęknął tylko i upadł znowu na ziemię, bezsilny. Cyganka zaczęła mówić mu:

— A widzisz co się stało? Ostrzegałam, nie podnoś ręki! To nie ja się mszczę, to duchy mszczą zniewagę każdą mnie zadaną! Duchy! Ja wam nie złorzeczę wcale za to żeście mię karmili i poili. Powiem ci czego nikomu tu nie powiadam, bo z ciebie uczony i mądry, a o wielkich rzeczach z byle kim rozmawiać się nie godzi, powiem ci dla czego duchy się mszczą. Czy wiesz gdzie święta rzeka Ganges płynie? Czy wiesz że w owéj słonecznéj krainie przed wiekami, orężem sławę swą roznosił wielki zdobywca, król Rama? To dobrze! Wieszże jeszcze, że jam jest wielkiego Ramy potomkiem! We mnie krew Ramy płynie i przeto duchy praocjów, może duch Ramy samego nie przepuszcza bezkarnie zniewagi mnie wyrażdzonej! Rozumiesz teraz?

Cyganka w łachman purpurowy swój owinięta, biła się czarnymi pięściami w pierś zapadła, powtarzając uporcezywie:

— We mnie we mnie!... krew wielkiego zdobywcy, wielkiego Ramy! Króla wszystkich krain słonecznych nad Gangesem, nad Indem, i wyspy Jawy, i wyspy Ceylon i wszystkich krain słonecznych, wszystkich!

Szandor ani się zdziwił, ani zaprzeczać myślał. Znał on lepiej niż kto inny, dziwny ten lud płaczący się po całym prawie świecie, a wśród Węgrów gęściej niż gdzieindziej. Wiedział że istnieją u cyganów niezmiernie starożytne i dokładne, acz cząstkowe tylko tradycye. Marcha mogła sobie bardzo dobrze być w prostéj linii córą wielkiego Ramy, potomkiem królów indyjskich, ale cóż to obchodziło nieszczęśliwego chłopca, wygnanego z ojcowskéj chaty, i z ojcowskiego serca co gorzej. Wzruszył ramionami:

— To dobrze — rzekł. — I owszem, wolę że się omyliłem, że ty nie złorzeczysz nam. Zatem i ja zawsze już tylko przychylnie mieć będę dla ciebie słowo, i przepraszam jeżeli trochę zbyt żywo potrząśłem tobą wczoraj. A teraz idź sobie już odemnie i zostaw mię samego.

— Dobrze, tylko wprzód wypij-no to co tu zgotowałam w garneczku... no, no, nie wzdragaj się. Widzisz że nie mam gniewu do ciebie. A tu oto masz pisanie od twojéj matki...

— Matki!... — jęknął chłopiec, mimo osłabienia rzucił się na ową kartkę jak głodny rzuca się na chleb, spragniony na wodę...

„Moje ty nieszczęśliwe jedyne dziecko — pisała matka — byłabym ja pogoniła za tobą, choćby niewiedzieć co potem stać się miało... ale ojciec twój w tejże chwili gdyś ty uciekał padł jak martwy na ziemię. Myślałam już że serce mu pękło. Kocha on ciebie, oj kocha, tak jak i ja, tylko przytem rozumny jest, a ty nie chcesz przez świat iść wedle ojca rozumu, lecz wedle swego własnego, i wtem nieszczęście. Gdy odratowałam ojca na tyle że oczy otworzył, ciebie już wcale nie było widać w polu, a Marcha przyszła, więc ją za tobą posyłam na ratunek; jak na to, nikogo więcej w domu niema. Jak tylko parobcy przyjdą, porozsyłam zaraz po znajomych czikoszach pieniędzy trochę jakie mam dla ciebie, znajdziesz je tam; przez cyganów by nie doszły. Co ty teraz poczniesz ze sobą? nieszczęśliwe ty szczęście moje! Niech cię Bóg ma w swéj opiece”.

Szandor nigdy się nie dowiedział jak długo czytał i odczytywał tę kartkę i płakał siedząc z nią w rękę na ziemi.

— No, trzeba to wypić... — powiedziała Marcha przykładając mu do ust garneczek nadtłuczony.

— Czego chcesz? Wszak już piłem?

— Piłeś dawno; trzeba znowu.

— Dawno? — Szandor obejrzał się po świecie: gdy wprzód tak spoglądał, słońce było u szczytu swéj drogi, a teraz wschodziło zaledwie. Tymczasem cyganka nawpół siłą jakiej trudnoby się w niéj domyślać, a bardzo zręcznie, zmusiła go do wypicia odwaru. Smak był gorzki, ale wstrząśnienie przypominające niby iskrę elektryczną przebiegło natychmiast prawie cały organizm młodego chłopca. Siedział jeszcze chwilę, zbierając myśli rozpieczęte, potem nagle jakby pod działaniem tajemniczej siły jakiejś, wstał.

— Dosyć tego! — rzekł głośno; zarzucił płaszcz na ramiona i ruszył gdzie oczy poniosą, prosto przed siebie, z początku chwiejnym, im dalej tem pewniejszym krokiem.

— Hm hm... ma prosek ze dwa wieki, a siła jaka w nim była, gdy go pra pra babka w krainie słońca, z korzenia lotusu przyrządzała, tak dziś jest!... Idzie!... coraz lepiej idzie... — mrucała indyjska królowa: siedziała na worku swoim wypchanym rupieciami i zastępującym na ten raz bardzo dobrze tron; siedziała w postawie jaką widzieć można u najstarożytniejszych rzeźb i posągów indyjskich i egipskich, wyprostowana, z głową lekko wzniesioną, łokciami przyciśniętymi do bioder, patrząc z dumą za niknącym w oddali chorym chłopcem, któremu tajemnicza siła jęj leków, wracała życie.

— Tak! Niechaj wiedzą że córka wielkiego Ramy nie darmo jadła ich chleb i piła ich wino!

\* \* \*

Szandor szedł, szedł dniem i nocą prawie bezmyślnie, ale instynktowo omijając znajome siedziby; do niezajomych wchodził nieraz, zapraszany wszędzie wedle zwyczaju gościnnych puszt mieszkańców, którzy za ujmę mieliby sobie przyjąć od pieszego podróżnego zapłatę, a tem bardziej jęj-żądać. Sztucznie tajemniczym lekiem wzbudzone i podtrzymane siły, gasły jednakże z czasu ubiegim, w pół błędny skutkiem ogarniającej go znowu niemocy, dowlókl się do bram jakiegoś miasta:

— To Dobreczyn! — opowiedziano mu na wstępie. Ach, wszak w Dobreczynie to podobno mieszka Wojciech Pack, dawny towarzysz szkolny z Szopronia...

Tegoż dnia wieczorem, młody profesor Wojciech Pack wracał do domu, dźwigając stos książek pod pachą i pogwizdując wesoło:

— Co to? Kto to? — zapytał potknąwszy się o coś u drzwi:

— To ja... proszę, każ mię pochować jak umrę... czikosz gdy się dowiedzą, zaraz zwrócą ci koszta... przebaczem tu przybył... — wyjąkał z trudnością, na w pół niezrozumiałym głosem w ciemności. Pack szybko zatlił zapałkę, bo zdało mu się że bądźco bądź głos ten nieznanym mu nie jest. Spojrzawszy przy tem słabem światełku w twarz wynędzniałą; poznał z niej jaką trudnością dawnego kolegę. Przestał pogwizdywać, złożył książki na boku, wyjął z głębi kieszeni klucz od mieszkania, i wzięwszy Szandora jak dziecko na ręce, poniosł go na górę i złożył na własnym łóżku.

Dwa dni minęło od owęj chwili, młody lekarz kolega leczył Szandora, młody profesor kolega ujął sobie trzy godziny snu na dobę ku załatwieniu koniecznej luki, w budzecie którego równowaga nadwyrężoną została przybyciem lokatora. Przyszli im w pomoc jeszcze aktorzy dobreczyńscy ci sami wśród których Szandor odgrywał czas jakiś role duchów. Pomoc to była nie wielka bo artyści nie mieli znacznych funduszów ale zawsze przy nięj Szandor powoli do sił przychodził, gły się zaś miał znacznie lepiej, zaczął naprawdę pracować w literackim zawodzie.

Zbierał najpierw rozpierzchłe swe piosenki, ukazujące się oddawna w Peszcie w Atheneum i innych pismach. Niejedno teraz przypominał sobie i spisywał z pamięci, ale wiele rzeczy i to niemylnie najlepszych przepadło, gdyż tułając się po rodzinnym stepie, zwykł był zawsze prawie śpiewać idąc, jak śpiewa skowronek ulatujący ku niebu. Umiał już dobrze po niemiecku, więc oddawna czytywał i teraz czytał Goethego i Schillera, ale nie znał wcale języka francuzkiego

i teraz zabrał się na raz gwałtownie do tęj nauki. Najtańszą jaka istniała podobiznę Voeroesmartego, węgierskiego poety zawiesił na ścianie izdebki.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ułożyła Ewa Marya.

Kędyż są owi co w Genezarecie  
Wiązali niewód rano w *pierwsze, trzecie?*  
Z łodzi, prującój odnęty jeziora,  
Za swym sternikiem, już w cieniach wieczora,  
Dobrzy rybacy, wierni prostaczkowie  
Uszli po wielkim dusz ludzkich połowie;  
Dziś z jasną siecią i blaskiem u skroni  
Płyną spokojnie po niebieskiej toni  
I zanurzają cudowne wężierze,  
Patrząc ile się serc, myśli zabierze.

Tu zaś, nad wałów morskich szumem, *cała*  
Pochodnią wiecznej strażnicy nam pała,  
Rozwidnia głębie, pośród burzy wycia  
Okręt miotany strzegąc od rozbicia.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

2I wyrazów. Początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, złożą dla kogo i od kogo jest ułożoną: Sylaby: Mar—land—kos—Ró—czyc.—Nor—Ur—tów—fr—zy—Drez—~~old~~—Augs—E—ma—Zi—mi—Ar—ja—Ros—ni—Czi—ro—mo—Kuc—wie—den—ku—De—An—~~o~~—no—Nga—buz—~~Oe—ny—O—Don—dek—tysz—za—ra—burg—ZŁ—sy—no.~~  
Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Saksonii. 2. Imię męzkie. 3. Pisarz polski. 4. Starożytne miasto w Sycylii. 5. Miasto w Niemczech. 6. Królowa kwiatów. 7. Nazwa miejsca rozkosznego. 8. Starożytny naród. 9. Gatunek konia. 10. Rzeka w Syberii. 11. Ptak. 12. Jezioro w Afryce. 13. Owoc. 14. Rzeka w Rosyi. 15. Imię żeńskie. 16. Wyspa na morzu Bałtyckim. 17. Miasto nad Donem. 18. Zaimek osobowy liczby mnogiej. 19. Pasterz koni węgierski. 20. Dwie spółgłoski. 21. Naczynia starożytne.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 20 go

### Łamigłówni zgłoskowej:

MareK—IkaR—ChaldeA—Kodeks—JudasZ—EglE—  
WrocłaW—IbiS—CzerwonaK—Zwłoki.  
Mickiewicz—Kraszewski.

Piąty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

### SPROSTOWANIE.

N-r 20-ty str. 160 ostatni wiersz powinno być *Minho* nie *Mincho*.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, p. Zofię Urbanowską. — Wiosenna zieloność, wiersz Witolda Łaszczyńskiego. — List z Warszawy (z drzew.) — Korespondencya Wieczorów z Wiednia Jaskółki z nad Dunaju. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Podróż młodych Szczuroskich (z drzew.) — Przygoda złośliwego Antosia, wiersz p. Gabriele Jasieńską. — Przygoda w podróży. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## Podróż młodych Szczuroskich.

(Dokończenie).

Uczucie głodu przywołało ich do rzeczywistości. Niestety nie było na to żadnej rady; nawet statku, na którym płynęli, chcieli jąć się z głodu, ale drzewo nie dawało pożywienia, grożąc w dodatku zatonięciem, w razie wygryzienia w niem dziury. A przecież płynęli w dół rzeki, wiedząc dobrze iż tam właśnie leży ich wio-

swą lekkomyślność, poczuli biedz teraz ku starożytnemu rodzinnemu domowi: znajdowali się w rodzinnej wiosce.

W chwilę później byli u nóg rodzicielskich, przeprasząc za swe błędy. Matka Szczurowska przyjęła ich łzami radości, ojciec chciał być surowym ale nie mógł i przycisnął także biedaków do stęsknionego serca.

Odtąd domowe szczęście i spokój zapanowały znowu w rodzinie Szczurowskich, gdyż najmłodsze jej latorośle nauczyły się je oceniać i szanować.



W chwilę później byli u nóg rodzicielskich przeprasając za swe błędy.

ska rodzinna. Serca drżały na tę myśl, a fale chyżo wciąż unosiły statek, a głód ścisnął coraz rozpaczliwiej żołądki. A wtem... zahuczalo, zaszumiało i straszny potwór ukazał się na rzece, pędząc prosto na wątły statek, unoszący nieszczęsnych zbiegów :

— Ratujcie! — krzyknęli nieszczęśliwi, tuląc się pod pokład drewnianego trzewika w głąb najdalszą, ale nikt ich krzyków nie słyszał, zawarczało i statek parowy wpadł na trzewik a koło obrotowym ruchem zakręciwszy nim, pchnęło go kędyś w przepaść bezdenną.

Szczury pewne były że już zginęły, a przecież po jakimś czasie poczuły że żyją jeszcze, a nawet że statek ich spoczywa nieruchomy jakby na kotwicy, ale odwrócony do góry dnem tak, że głębokie zalegały go ciemności. Na raz drgnął, a potem silnymi rzutami wznosząc się i opadając odwrócił nareszcie zupełnie: to kaczka na ranniej przechadzce nad brzegiem Wisły, znalazłszy wyrzucony przez fale tajemniczy dla niej przedmiot, odwróciła go oglądając. Szczury nie wierząc własnym oczom, zwolna wychyliły się na zewnątrz... a potem krzyk radości wyrwał się z serc uciśnionych, i zbiegi ukarani za

## Przygoda złośliwego Antosia.

Marcinek pasał świnki, niemiła to praca  
Świnka, brudne stworzenie, wśród błota się tarza,  
Wszystko zjada co spotka, w kałach się przewraca  
Wzrök nasz brzydkimi kształty i węch nasz obraża.

Antoś mały dzień cały tylko bąki zbijał,  
Łapie muchy, chrabąszcze, do sadu się skrada,  
I od lekcji codziennie jak mógł się wywijał  
Próżniak był z niego wielki i figlarz nielada.

Chociaż jednak tak mało był wart ten Antoni  
Widocznie i boleśnie pogardzał Marcinkiem,  
Ile razy go ujrzy zaraz za nim goni  
Zwąc go żartem ze wzgardą brudnym pasi-świnkiem.

Biedny, biedny Marcinek, jak też płakał długo,  
Ile razy się spotkał wśród pola z paniczem!..  
Lecz cóż, rady nie było, wszak był biednym sługą,  
Mógł więc słuchać i cierpieć, lecz zemścić się niczem.

Raz nasz Antoś kochany, a było to latem,  
Uciekł z domu przed lekcyą, zwykle to wybryki,  
I w przepysznym humorze, wytrząskując batem,  
Jadł strąki grochu, polne tratując koniki.

Wtem zdziwiony usłyszał jakieś liczne głosy  
Podniósł głowę i patrzy, tuż, tuż przy nim blisko  
Świnki też w grochu siedzą, a Marcinek bosy  
Próżno pragnie szkodników zegnać na ściernisko.

— Hejże, maluśkie — woła, i batem je zgania  
Zawracajta na ściernie i stare i młode  
W grochu siedzieć nie wolno, gospodarz zabrania  
Trzeba chyba być świnką, żeby włązić w szkodę.

Antoś widzi i słyszy, czyż ma wierzyć uchu?  
Czoło zmarszczył, zczerwienił jakby od gorączki  
— Jak ty śmiałeś—zawołał—tak mówić pastuchu  
Kiedy ja na tem polu także jadłem strączki?

— Panicz! — krzyknął udając zdziwienie Marcinek  
I z uśmiechem szyderskim pokłonił się nisko,  
Ta skądże wiedzieć mogłem, że wśród moich świnek,  
Będzie czasem i panicz chodził na pastwisko?

*Gabryela Jasińska.*

## PRZYGODA W PODRÓŻY.

(Dokończenie).

Przy nim jego podwładna Marysia, pomywaczka,  
w otoczeniu rondli; nic mu to nie psuło dobrego humo-  
ru, że dwie pokojówki ukryte wśród stosu poduszek, za-  
śmiewały się serdecznie z wielmożnego parzygnata.

Jasiek był wyższy ponad to wszystko i rzeczywiście  
ulołował się najwyżej, nie ustępując ze stanowiska, po-  
mimo że deszcz go trochę moczył w drodze i złośliwy  
fornal kilka razy zrzucił mu beret, świsnąwszy czterokon-  
nym batem; Jasiek z dumą opowiadał po przyjeździe, że  
w każdej wsi pokazywano go palcami, wołając: kucharz  
jedzie, kucharz jedzie.

Wprawdzie przekonaliśmy się później w Ciechocinku,  
że do gotowania był tylko nędznym kuchcikiem, ale honor  
jego na tem nie ucierpiał, gdyż musieliśmy jeść to, co  
ugotował. W końcu i dla nas wybiła godzina odjazdu,  
zajechały powozy, jeden zaprzężony czterema gniadem  
końmi w szorach, miał wieść ciocię i nas i małą Kasię;  
drugi ekwipaż z fernalskimi końmi, z ulubionym przez  
paniczów Rokowskim, zabrał panny Bolesławę i Luizę  
oraz trzech chłopców, którzy z tryumfującą miną rzucili  
wyzwanie naszemu furmanowi, że choć to fornalka,  
jednakże Rokowski pierwszy stanie u Wisły, gdzie mie-  
liśmy się przeprawiać. Sawicki mruknął pod nosem, że  
jego paradiery, to nie szkapy fernalskie i ruszył ostro  
naprzód. Jadąc przez wieś, wychylałyśmy się ciągle  
z powozu, aby chłopci, dzieci, a nawet gęsi i cieleta wie-  
działy że jedziemy do Ciechocinka.

Za miasteczkiem przypomina sobie ciocia, że zosta-  
wiła jakąś arcyważną paczkę, a było to już o trzy wior-  
sty od domu, rozkazuje więc fernalowi wrócić się po nią.

Trzeba było widzieć długie nosy chłopców, gdy zwrócili  
się w przeciwną stronę; wyścig stracony, ich furman nie  
będzie pierwszy. „Sawicki górą!” wołałyśmy za nimi.  
Sawicki pewny pierwszeństwa, że lubi oszczędzać swoich  
gniadoszów, wydostawszy się w las, jechał wolno po  
piaskach, drogą troszkę nudną, ale dla nas wesołą bo  
rozmawialiśmy o Ciechocinku, zresztą nie wypadało po-  
kazywać znudzonych twarzy, dla przykładu najmłodszej,  
Kazi.

— Cieszcie się dzieci — mówi dobra ciocia — już  
tylko wiorsta do Wisły; tam przystaniemy, zanim nam  
prom sprowadzą, i drugi powóz nadjedzie przez ten  
czas.

— A to co? — zawołała, wskazując ręką cztero-  
konny ekwipaż, śpiesznie wyjeżdżający przed nami z bo-  
cznej gęstwiny.

— A to ten waryat Rokowski! — mruczy rozgnie-  
wany Sawicki — gdzie on tę drogę wynalazł i lepsza  
musi być i twardsza, bo nawet koni tak nie zgrzał jak ja.

Ciocia się śmieje, a my, aby nie dać chłopcom pra-  
wa do tryumfu, zachowujemy pysznie obojętne miny.

Powozy zatrzymują się przed karczmą, na piasku,  
o kilkadziesiąt kroków płynie Wisła szerokim korytem,  
dalej widać miasteczko Nieszawę; przewoźnicy szykują  
prom, gdy nagle niebo pokrywa się czarnymi chmurami,  
grzmot huczy w oddali, wiatr się zrywa, syjąc takie tu-  
many piasku, że niepodobna jest dłużej pozostać pod  
odkrytem niebem.

— Chodźmy do karczmy — powiada Ciocia — mo-  
że ta burza prędko przeleci.

Weszliśmy do izby, istna zbójcka nora jak nam to  
nierzaz opowiadała stara Weberowa; ściany czarne, ni-  
gdy nie bielone, okienka maleńkie, nie przepuszczające  
światła, jakieś; kulawe stolki i twarde ławy dokoła.  
W głębi, za szynkwasem oświetlonym jedyną łożową  
świeczką, siedziała jak nam się wydało, matka zbójów,  
stara wiedźma, kulawa; przy niej olbrzymi kot czarny  
puszył się i parskał na przybyłych. Przy kominie wyso-  
ka kobieta, brudna, rozczochrana, gotowała kolację za-  
pewne dla całej zbójckiej bandy. Bosa dziewczyna  
wbiegła pośpiesznie, zaczęła coś szeptać do gospdny,  
ręką wskazując przyległy alkierz. Kobieta niecierpli-  
wie odpowiadała jej.

— Później! — Potem, patrząc uporczywie na nas,  
dziewczyna certowała się chwilkę jeszcze, aż wzięwszy  
duży *noż* z nad komina, zniknęła w ciemnej sionce. Nie-  
długo gdy stara wiedźma otworzyła drzwi do alkierza,  
ujrzałyśmy znacznie czystszej izbę, zasłane dwa łożka,  
obrazy świętych, ale cóż, kiedy tam połyskiwały z dale-  
ka mordercze narzędzia jak kosy i siekiery! a cóż dopie-  
ro, gdy owa dziewczyna z nożem, która się tam niewie-  
dzień zkąd znalazła, otworzyła klapę w podłodze i zeszła  
na dół. Włosy nam stanęły na głowie.

— To tędy zapewne spuszczają trupy pomordowa-  
nyc ofiar — zawyrokowałam trzęsąc się ze strachu.

A tu na dworze szaleje burza, deszcz spływa poto-  
kiem, uderzając o maleńkie szybki, grzmot wstrząsa nę-  
dznem domostwem, ani myśleć o wyjeździe, jesteśmy  
skazani na zagładę.



Przytulone w najciemniejszym kącie izdebki, blade, drżące, spoglądamy jedna na drugą, nie mogąc sobie wzajemnie dodać odwagi, wszystkie trzy słuchałyśmy nieraz z zajęciem owych baśni o zbójcach, w wyobraźni naszej ponura karczma jednakże wywołała wrażenie, z wyrzutem patrzyłyśmy w stronę ciotki, która najspokojniej rozmawiała z panną Luizą o niemiłym wypadku, co nas tu zatrzymał.

— Mój Boże! — szepcze Anielka — mama nie widzi, żeśmy wpadli w zbójckie ręce.

— Możeby można jeszcze uciec — odzywa się Zosia, która dotąd siedziała jak skamieniała.

— Gdzie? — pytam w rozpaczy — za nami lasy pełne zbójów, na dworze nawałnica, świata nie widać! Zresztą już oni nas dobrze pilnują, kiedyśmy wpadli w pułapkę. I jakby na potwierdzenie słów moich weszło kilku mężczyzn, pewno opryszków! Każdy wychylał sporą miarkę wódki, klnąc na czem świat stoi niepokogę, zasiedli na przeciwniej stronie izby „aby mieć ofiary na oku” pomyślałyśmy w duchu. „Długie ich brody, kręcone wąsiska, wzrok dziki, suknie plugawe” tańcowało mi po głowie.

Postacie tych ludzi stwierdzały potrosze słowa poety, byli wszyscy dużego wzrostu, silnie zbudowani, twarze ich ogorzałe od wiatru i słońca, a potężne dłonie trzymały wiosła, które wzięłyśmy za pałki zbójckie.

— Zginęliśmy — szepnęła Zosia zdławionym głosem; ja z Anielką nie miałyśmy już siły przytwierdzić.

W drugim rogu izdebki Kazia spała na rękach panny Bolesławy, chłopcy w najlepszym humorze zajadali zapasy podróżne, i nas namawiali do tego, zaledwie zdołałyśmy wybąknąć:

— Dziękuję.

— Jacy oni dziecinni — z goryczą mówiła Anielka — nie przeczuwają niebezpieczeństwa.

Ciocia sądziła że to burza nas tak przeraża, zresztą w tym półcieniu trudno było dojrzeć nasze wystraszone twarze, a gdy jeszcze przewoźnicy zapalili fajki zrobiło się zupełnie ciemno, co widząc owa mniemana zbójcka gospodyni, zaproponowała abyśmy wszyscy przeszli do sąsiedniej izby, utrzymując że tam czystiej i wygodniej. Ciocia powstała, aby się tam udać, nie widząc naszych rozpaczliwych gestów, gdy na szczęście weszli furmani oznajmić, że deszcz ustał, niebo się wyjaśniło i choć zapadła już noc, przewoźnicy decydują się nas przewieźć; już powozy wtaczają na prom.

Jak znalazłyśmy się na promie, wpakowane do jednego powozu, nic nie wiem. Dopiero odetchnęłyśmy swobodnie, gdy przebywszy Wisłę, ruszyliśmy prosto znowu do Ciechocinka.

— Jednakże kochana ciociu — odzywa się Bolesława, który słuchał całego opowiadania z pilną uwagą — to wszystko przerażająco wyglądało.

— Dla wyobraźni rozbudzonej na ten temat, przynajmniej, ale dla dziecka, spokojnie patrzącego na rzecz całą, była to biedna nędzna karczma; matka zbójców, zwyczajna stara kobieta, nieurodziwa; podobnie jak i ta która przy kominię gotowała wieszak, a dziewczyna pewnie, z nożem weszła do piwnicy żeby tam ukroić kawa

łek słoniny do kartofli. Przewoźnicy przyszli napić się wódki i uchronić się od deszczu: ot i wszystko! rozważając to później logicznie z kuzynkami, sameśmy sobie przyznały nadmiar wybujałej wyobraźni, która zrodziła nasze śmieszne obawy.

Marya z Grabowa.

## SZARADA.

Gołąbce pocztowej od Wiedenki z żywoplotu.

Pierwsze wśród liter się znajduje

Drugie — ogród opasuje,

Wszystko — rzeka co płynie

W syberyjskiej krainie.

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Od Legendy dla Złotej rybki i Rumianego jabłuszka.

Z rozrzuconych liter ułożyć znane przysłowie.

A a b e  
d d d e  
i n n o  
o o s s  
u w z z

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

### Zagadki rebusowej:

Nie Men *Niemen.*

### Łamigłówki kryształowej:

W  
T Ł O  
D I A N A  
C H O D Ź K O  
W Ł A D Y S Ł A W  
P O T S D A M  
P O Ł Ó W  
T A K  
W

## Skrzynka do listów.

Ułanko droga, nigdy „nie nudzą” nas odezwy miłych naszych korespondentek. Na żądanie twoje załączamy tu przepis zasuszania kwiatów, który przyda się może i innym. Wymyć, wysuszyć i przez średniej gęstości sito przesiał piasek; następnie raz jeszcze go wymyć, wysuszyć i przesiał przez sito gęściejsze; tak przysposobionego piasku nasypać w pudełeczko warstwą tak grubą, jak wysoką jest łodyga kwiatu przeznaczonego do zasuszenia; poczem, wetknięszy kwiat w piasek, ostrożnie i powoli póty sypać piasek na koronę, aż się cała pod nim schowa. Pudełko z tak zasypnym kwiatem trzymać dni parę na słońcu, poczem piasek wysypać, naj-

lepiej przez dziurki w tym celu w dniu pudełka porobione. Kwiaty bardzo delikatne zleka tylko przysypane być powinny; kwiaty o grubych, mięsistych płatkach potrzebują grubszej nad sobą warstwy piasku i dłużej schnąć powinny. Rebusy umieszczamy bardzo rzadko i dobre. Wiersze Janka sieroty nie były jeszcze nigdzie drukowane.

**Legenda** znajdzie odpowiedź na swoje pytanie w Wieczorach przed otrzymaniem naszego listu.

**Rycerzu błękitny**, teraz już na „kolej” poczekać musisz!

**Lilianne, Czarynę i Jaskółkę z Rusi** serdecznie pozdrawiamy w gronie korespondentek. Liściki przyjmujemy, uprzedzając, że z powodu wiecznie zalegającej ich ilości, czekać one muszą z wydrukowaniem swojej kolei.

**Promyczku ze Wspólnéj** i ty o „kolei” przeczytaj! Szarada nieźle ułożona; nie zamieścimy jej jednak z powodu, wyrażonych w niej myśli, którym odmawiamy słuszności. Ludzie dojrzały których wiek uczynił zgryźliwymi, mogą się z czemś podobnym odezwać, ale wy? Przypomnieć się wam godzi: „Młodości! ty nad poziomą wylatuj”...

Biedna **Różyczko biała**, jak też zbieleć musiałaś z powodu choroby! Słówka serdecznego nie skąpimy nigdy, liścik twój musiał uleść jakiemuś wypadkowi.

**Marylce N.** Otrzymały nagrody z ostatniego konkursu: Oleńka ze Zmudzi, Złota Przędza, Grażyna, Topolka srebrna, Wesola Krakowianka, Gwiazdka z Podola, Tęcza z nad Jatrani, Janosik z nad Bugu, Goryczka, Ludwis z Zabłotni, Myszka domowa, Rybka z Hniłopiaty, Śmieszka, Warszawska Biedronka, Błędny Ognik, Wiedenka z żywoplotu, Jaskółka z nad Ussy, Orso, Oleńka z pod Ojcowa, Adzio z Rzucowa Góralka, Odważny Pływak, Sasanka Sosenka i Zorza północna, reszta zaś wymienionych pseudonymów należy do tych, którzy zasłużyli na zaszczytną wzmiankę.

Kochana Czaplo z nad Pohanki. Cóż, podoba ci się mój nowy pseudonym? Chyba już mnie teraz za chłopca nie wezmą w redakcyi?! I mnie bardzo się podoba „Szesnaoletni wojewoda”. Ż prawdziwego bogactwa moją przyjaciółką jest Tosia, a ty którą z tych dziewczynek najwięcej lubisz? Nie zazdroszczę ci przerwy w nauce, to bardzo niemiłe, bo się wiele zapomina. I. K. kazała cię ucałować, zawsze cię bardzo kocha. Koteczka czarna oczekuje niecierpliwie odpowiedzi i ja również twoja *Srebrna Strzała*.

Droga Staszko z Podola! Czy czarodziejką jesteś, że cię pokochałam tak serdecznie? i choć młodsza, ale już także staruszka piszę do ciebie, uraduj mię odpisem! Na imię mi Marya, jestem wysoką blondynką, mieszkam nad Wartą w małym miasteczku, mającym przeszliczne położenie. Ja bardzo chciałabym się poznać. Czy to nastąpi kiedy? Takbym rada gawędziła z tobą dłużej; ale niema na to dość miejsca w Wieczorach; kończę więc serdecznym uściskiem i życzeniem na przyszłość szczęścia, szczęścia i szczęścia!! Nieznana *Wróżbiarka szczęścia*.

Drogi moje: Cyganecko z nad Wisły, Wisienko z nad Sobu i Noty księżycowa! Podobają mi się wasze pseudonymy, chciałabym z wami korespondować i wiedzieć, gdzie mieszkacie, jak się nazywacie i czy macie rodzeństwo? Bo ja jestem jedynaczką, szarynką z piwnemi oczami, mam rok jedenasty, uczę się w domu, na imię mi Mania. Odpiszcie mi jak najprędzej, wasza *Dumka z nad Sobu*.

Kochana Blondynko podolska! Niedawno czytuję „Wieczory” i bardzo bym chciała korespondować z panienkami; od ciebie zaczynam, miła Blondyneczko, gdyż z liściku twego do Wesolej Krakowianki, wiem, że mieszkasz w Pruszkowie, ja zaś w Latyczowie, a więc to bardzo blisko; może się kiedyś zobaczymy. Napisz mi jak wyglądasz, ile masz lat, czy się uczysz, i czy lubisz muzykę? bo ja bardzo. O sobie cośkolwiek więcej doniosę ci innym razem, bo i tak liścik za długi. Całuję cię serdecznie, *Niezapominajka z Zacisza*.

Droga Westalko! Pseudonym twój jest zachwycający, wno-

szę więc, że osoba musi mu odpowiadać. Odpowiedz mi proszę, ścisza cię po niezliczone razy: *Srebrna Lilija*.

Drogi moje: Cyganecko z nad Wisły, Topolko z nad Kode-my i Ako! O moja złota Cyganecko, jak możesz myśleć, że o tobie zapomnieliśmy? Pisałam niedawno siostrzyczko i może już list ten czytałaś obecnie. Nie przestawajmy pisywać, zanim się poznamy kiedyś. Siostrzyczko moja Topolko oddawna czuję do ciebie sympatyę, czy chcesz donieść mi co o sobie? Ako droga wiem jak to nieprzyjemnie liścików nie otrzymywać, a ponieważ żadna z siostrzyczek nie odpowiedziała na twą odezwę, piszę zapytując czy nie chcesz ze mną korespondować? Czy zgoda? Ściszam was wszystkie moje miłe. *Topolka srebrna*.

Czy otrzymałaś mój liścik Westalko?

Kochane: Wesola Krakowianko, Blondynko podolska i Poranku majowy! Od was trzech, kochane siostrzyczki odebrałam listy w jednym numerze, razem wam też odpisuję. Ciebie droga Krakowianko bardzo pokochałam, proszę cię donieść mi co więcej o sobie. Całuję cię serdecznie wraz z kuzynką. Blondynko podolska cóż więcej napisać ci mogę o sobie nad to co wiesz już z moich liścików. Donieść mi czy naprawdę jesteś blondynką? Poranku majowy, chętnie zostanę twoją przyjaciółką, gdyż przyjaźni cenię nade wszystko. A teraz ściszam was wszystkie, *Wesola Krakowianka*.

Drogi panienki! Do Wieczorów pisuję od Nowego Roku, ale żadna z was jeszcze nie napisała do mnie. Piszę więc do wszystkich, prosząc o napisanie do mnie liściku. Nie znam osobiście żadnej z was, lecz wszystkie kocham jako siostrzyczki. Mam lat 12, na imię mi Jadzia, mieszkam w Warszawie. Bądźcie łaskawe pisać do mnie liściki, na które chętnie odpowiadać będę. A teraz polecam się życzliwości waszej, nieznana, lecz już całym sercem kochająca was siostrzyczka, *Pomarańczarka rzymska*.

Drogi Niezabudko czeska, Trusię i Cyganecko z nad Wisły! Trafnie odgadłaś nazwisko moje, Niezabudko, domysłna z ciebie widać osóbka; czy chcesz korespondować ze mną? Trusię zaciekawiłaś mnie; czy nie zwałaś się dawniej „Bera słucka”? Cyganecko moja luba, nie wąż nigdy o mojej przyjaźni, tyś najstarsza i najmilsza dla mnie z korespondentek. Ach, gdyby to poznać można było ciebie i Westalkę? Rozumiałybyśmy się tak dobrze! Ściszam was siostrzyczki, *Sarenka z nad Moroczu*.

Droga moja Halko z Litwy! Serdecznie ci jestem wdzięczna za twą odpowiedź. Proszę cię pisuj dalej do mnie. Czytając dawną Skrzynkę do listów, dowiedziałem się że mieszkasz w Radziwiliszkach, które znam dobrze mieszkając w pobliżu. Czy znasz państwa Cz., którzy mają synków Witolda i Antosia? Ściszam cię serdecznie, twoja *Biała Olcha*.

Prenumeratory Wieczorów R. nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi następujące książki po zniżonej cenie. **Anczyc.** Biblioteka dla młodzieży:

Hoffmana. Bóg nie opuści.  
 „ „ Czas to pieniądz.  
 „ „ Kręte drogi.  
 „ „ Pierwszy błąd.  
 Heninga. Gabor Hunyad Berengi.  
 „ „ Dwie róże.

Broszurowane po kop. 40 zniżone 20. Kartonowane po kop. 50 zniżone 25 kop.

Leja. Fantazja i prawda karton. rs. 1, zniżone kop. 50.  
 Macé. Powiastki karton. rs. 1, zniż. kop. 50.  
 Mayne Reid. Przygody myśliwskie kart. rs. 1 k. 20, zniż. k. 60.  
 Sekrecik białego dworku karton. rs. 1 kop. 20, zniżone kop. 60.  
 Tissandier. Męczennicy w imię nauki karton. rs. 2, zniżone rs. 1.  
 Piast. O zmroku karton. rs. 1, zniżone kop. 50.  
 Przyborowski. Baśnie ludowe karton. rs. 1 k. 50, zniż. kop. 75.

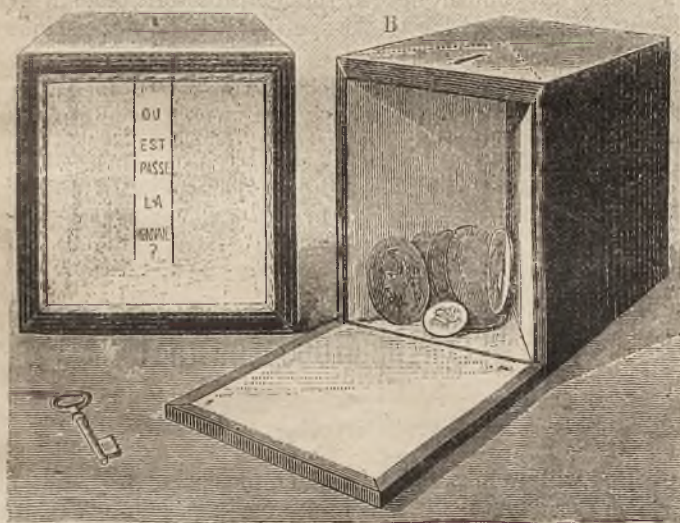


## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Z pomiędzy tak zwanych sztuczek opartych na prawach fizyki, jest jedna dość ciekawa, którą może niejednen z naszych czytelników widział na przedstawieniach magicznych. Mamy tu na myśli gadającą głowę ściętego człowieka, położoną na stole. Sztuczka ta sprawia rzeczywiście na widzach silne wrażenie, gdyż posądzić nawet trudno o jakieś obałamucenie, albo figiel zręczności, stolik bowiem, zazwyczaj na trzech nóżkach, nie przykryty serwetą, nie może, jak nam się zdaje ukrywać choćby najmniejszej postaci ludzkiej. Tymczasem głowa obraca się, jój oczy patrzą wzrokiem naturalnym i co więcej odpo-

wiada bardzo logicznie na zadawane jój pytania. Gotowiliśmy uwierzyć w jakąś siłę nadprzyrodzoną, o posiadaniu której, zwykli nas zapewniać panowie magicy.

A jednak, gdy poznamy prawo fizyki, które nas uczy dla czego nie widzimy przedmiotu jakiegoś na miejscu, gdzie się on rzeczywiście znajduje, zawołamy z pewnością, jakże to łatwo obałamucić kogoś nieświadomego rzeczy. Bo wyobraźcie sobie, że mimo iż stolik jest całkiem odsłonięty i że przekonani jesteście, iż pod nim nie masz nikogo, jednakże siedzi tam człowiek, który tylko przez otwór wycięty w blacie wysunął na wierzch jego, swą głowę. Jakże się jednak dzieje, że najlepsze oczy tego nie widzą? Otóż jest prawo fizyczne, które dowodzi, że gdy dwa zwierciadła stoją pochylone pod kątem  $45^\circ$  (stopni) od dwóch przeciwnych ścian z prawej i lewej strony, wtedy przedmiot znajdujący się w środku, odbiwszy się w obu zwierciadłach ginie dla wzroku naszego. Urządzenie jednak takiego przedstawienia jest dość trudnem, gdyż obok tój głównej zasady potrzeba dla zupełnego obałamucenia widzów, dużo jeszcze różnych przyborów. Prawo to zużytkował na małą skalę pewien przemysłny Francuz zbudowawszy tak zwaną cudowną skarbonkę, jedną z prawdziwie zaciekawiających zabawek. Jest to pudełeczko prostokątne, z wprawioną z boku szybą, pozwalającą zajrzeć do jego wnętrza, wyłożonego całkowicie białą watą. Gdy przez otworek, jaki zwyczajnie znajduje się w górnej ścianie skarbonki, wrzucimy drobną sztukę monety, wtedy jakkolwiek takowa wpadnie do środka, ginie jednak zupełnie z przed oczu naszych. „Gdzie jest pieniądz? (où est passé la monnaie?)” oto pytanie podane na małej kartce umieszczonej w skarbonce (rycina A); pytanie, które na razie dość byłoby trudne do

rozwiązania, jeżeli nie wiemy iż wewnątrz pudełka składa się z dwóch części jak nam to objaśnia rycina B. Przedział, do którego spada wrzucony pieniądz, jest ukryty przez dwa zwierciadła zestawione pod kątem 45°, przeto jest niewidzialny wraz z wrzuconą weń monetą na tej samej zasadzie, na jakiej nie widzieliście ciała owęj gadającej głowy.

## CO ON PISAŁ?



isał sielanki, t. j. pieśni opiewające wiejskie zwyczaje, przesady, prace i zabawy a zwał się Szymon Szymonowicz Bendoński.

I teraz dużo jest takich, co opiewają życie wiejskie i piękne na ten temat składają pieśni, ale teraz już nie trudno, jeżeli kto ma po temu zdolności, złożyć udany wierszyk. Teraz mamy język bogaty, mnóstwo wyrażań, bo przed nami był cały zastęp ludzi, którzy w rozmaitej formie wypowiadali myśli swe, torując

drogę i wskazując, jak się wziąć do tego.

Ale w XVI wieku, kiedy język dopiero się wyrabiał a o gramatyce i nauce ortografii nie było i mowy, trudno było wyrazić myśl swoją i trafić nią do przekonania innych.

Poeci owocześni okazali tego jednak, na ich czele stoi Jan Kochanowski, lecz prócz niego był cały zastęp poetów. Pisali oni psalmy i inne pieśni religijne, pisali fraszki, opisywali rzeki nasze jak np. Klonowicz, Szymon zaś Szymonowicz pisał sielanki.

Tak on jak i wszyscy jego współcześni brali sobie za wzór greckich i łacińskich pisarzy, Szymonowicz zaś od lat najmłodszych obeznany był ze światem starożytnym. Ojciec jego miał stosunki z uczonymi tak w kraju jak i zagranicą, każdy z nich przysyłał mu swoje utwory, nieraz i nawiedził, Szymonek więc od dziecka otoczony już był tą atmosferą nauki, z której prawie bezwiednie czerpie się rozmaite wiadomości i nabiera ochoty do pióra.

Lecz Szymonowicz nie poprzestał na tej dorywczej nauce, kształcił się bardzo pilnie w Krakowie, skończywszy akademię wyjechał do Francji a potem do Włoch, gdzie nie siedział próżno, bo oprócz zdobywania nauki po akademiach i bibliotekach, zaznajomił się z uczonymi, w towarzystwie których wiele korzystał. Po powrocie do kraju został sekretarzem kanclerza Jana Zamoyskiego i objął zupełnie kierunek wychowania jego syna Tomasza.

Szymonowicz z początku pisał po łacinie, a tak się wślawił swemi pieśniami, że Zygmunt III nadał mu miano nadwornego poety; papież zaś Klemens VIII, który będąc jeszcze legatem, bawił w Krakowie, poznał Szymonowicza; zostawszy głową Kościoła, przysłał mu wieniec poetycki. Za łacińskie wiersze został również uwiecznony, a wypowiedziane w swojskim języku, zjednały mu miano najpierwszego naszego liryka; bo też dziwnie wdzięcznie nam się przedstawiają, jak np. w sielance „Pastusi”, kędy każdy z chłopców pasących do ptaszków przemawia:

### SOBOŃ.

„Skowroneczku, już śniegi na polach nie leżą,  
Już do morza rzekami pienistymi bieżą,  
A tyś rad i ku niebu w górę polatujesz,  
I garłeczkiem krzykliwym wdzięcznie przyspiewujesz.

Bo skoro wiosna role rozległe ogrzeje,  
Skoro łąki kwiatami pięknymi odzieje,  
Wymkną i robaczki z ziemi rozmaite  
A ty potrawki będziesz z nich miał znamienite.

### SYMICH.

Jaskółeczko, już się na świat ukazała?  
Już się ożyła? już się z wody wyleciała? \*)  
Za tobą dni wesołe i wietrzyk powiewa,  
Za tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.  
Narodzi ono tobie muszek niezliczonych,  
Ty ich będziesz łapała, po polach przestronych,  
Będziesz łapała i do gniazodka nosiła:  
Boś je pod naszą strzechą ulepiła”.

Prześliczną jest także sielanka „Kołacze”. Osnuł ją na zwyczajnym znanym u nas i na Rusi i dotąd przechowywanym, że w dzień ślubu krewni i przyjaciele stawiają przed państwem młodemu kołacze pięknie ustrojony, życząc im wszelkiego dostatku. Bez kołacza więc uroczystość weselna nie byłaby zupełną, jak powiada poeta:

„Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,  
Niechaj win rozmaitych hojnie nalewają,  
Kołacze grunt wszystkimu; a może rzec śmieie,  
Bez kołaczy, jakoby nie było wesele.  
Laską w próg uderzono; już kołacze dają,  
A przed kołaczmi panie nadobne śpiewają,  
I taniec prędki wiodą, i kleszczą rękami,  
Zabawny oczy tańcem, a uszy pieśniami”.

Takich sielanek napisał przeszło dwadzieścia, a nietylko samą poezją zabawiał się Szymonowicz, boć na każdym kroku stawał się użytecznym społeczeństwu, uważając, iż jeżeli komu Bóg dał dużo zdolności, powinien je na korzyść innych obrócić. Dopomagał więc dzielnie Janowi Zamoyskiemu przy zakładaniu akademii w Zamościu, umierając zaś we Lwowie r. 1629, cały majątek zebrany własną pracą, zapisał na szlachetne cele, a między innymi na utrzymanie profesora teologii w Zamościu; bogatą zaś bibliotekę pozostawił również na korzyść tejże akademii.

Tak więc sidemdziesięcioletni swój żywot spędził z pożytkiem, a tak jak on dla jednego ze swoich bohaterów, tak my za nim, na jego cześć powtórzmy:

„Zawsze cześć, zawsze sława twoja będzie trwała”.

Zuzanna Morawska.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

Pod wpływem coraz ściślejszej przyjaźni z Wojciechem Packiem, studiując z coraz większym zapałem dostarczane mu przez tego przyjaciela książki, Petófi uczył się jednocześnie teraz pracować i żyć, i nawet zaczynałby zwolna i z własnym wielkim zdziwieniem, uczuwać się szczęśliwym przy bezustannem badaniu dzieł wielkich mistrzów, gdyby nie czarna chwila gniewu ojcowskiego leżąca na jego życiu jak przepaść, i gdyby nie uczucie upokorzenia iż był prawie na łasce przyjaciół.

W miarę, jak pracował jednakże, utwory jego nabierały większej wartości, a nawet i większego rozgłosu, co przecież jedno za drugim nie zawsze idzie. To co było drukowane mianowicie w piśmie *Elet Cepik* (sceny życia) zdobyło ogólne uznanie. Szandor coraz serdeczniejszą przyjaźnią z Packiem złączony, łamał głowę aby z pracy swęj jaki taki materialny

\*) Dawniej ogólne było mniemanie, że jaskółki podczas zimy kryją się pod wodę, lud w to dotąd wierzy.

odnieść pożytek o tyle przynajmniej, aby przyjacielowi i poczciwym aktorom nie być ciężarem. Im był zdrowszym, tem przykrzejszem było mu z tego względu jego położenie.

Nagle przyszła mu myśl aby nic nie mówiąc nikomu udać się do Pesztu i tam próbować wydawnictwa. Zabrawszy więc plikę papierów i pożegnawszy wszystkich, ruszył znów w podróż pieszo. Tym razem posłużyło mu szczęście, znalazł przyjaciół w gronie literackiej młodzieży, ci dopomogli mu do sprzedania wydawcy zebranych poprzednio pieśni. Najpierwsze wzięte za nie pieniądze odesłał do Dobreczyna tym, którzy się nim tam tak bezinteresownie opiekowali.

#### XIV.

Piękną jest puszcza latem, piękną bywa i w zimie, lecz jakże dzika, straszną prawie pięknoscia. Uleciał bocian, zamarły wody i znikł cały świat otaczających je gromadnie wrzawliwych istot. Bezbrzeżna biel, biel bez cienia, bez plamki, bez odmiany, bez najmniejszego punktu, na którym oko zatrzymałoby się mogło, nakryła wszystko, ziemię i niebo, tak że zdaje ci się, znalazłszy się natenczas wśród stepu, że stoisz wpośrodku wnętrza olbrzymiej kryształowo-białej bani.

W czardzie ogień niepoprawiany smutno płonie, bo popiół i węgle nakryły żar. Gospodarz w pół ubrany, wychudły i żółty na twarzy leży na łóżku. Gospodyni łuska groch siedząc na zydłu tak blisko że spojrzenia z chorym zamieniać może; inną też rozmowy nie było od kilku godzin między niemi. Wycie wichru wstrząsa czardą, jakkolwiek jest przysadzista i śniegiem zasypana do okien. Wśród ciszy bezdennej panującej w chacie, odzywa się nagle chrapliwy głos chorego:

— Niema nikogo w domu?

— Jest... Janosowa matka — odpowiada gospodyni, spoglądając na męża, zdziwiona iż mu się na mówienie zebrało.

— A inni? parobcy? dziewczki? odeszli?... wszyscy?...

— Nie można do nich mieć żalu za to: gdy roboty było mało i coraz mniej, nie chcieli darmo jeść chleba.

— Niemiec przybędą nową gospodę o pół mili od nas zbudował i lud przejezdny wszystkich do siebie przeciągnął, to zkaż ma u nas być robota, kiedy gość ani zajrzy — mruzczał gospodarz półgłosem, sam do siebie. — A co tam?

Ostatnie wyrazy odnosiły się do niespodzianego brzęku, który wprawne ucho pochwyliło od wrót:

— Tam ktoś zajechał!...

W tej gospodzie huczającej dawniej bezustannie gośćmi, życiem, pracą i weselem, dziwnem było teraz gdy kto zajechał. Petőfiowa zdziwiona też powstała, do izby wszedł ksiądz nieznamy, z chrześcijańskim powitaniem na ustach.

— Ależ tu się u was coś zmieniło — dodał — myślałem że zabłądził, a przecież byłem tu przed dwoma laty jadąc na odpust.

— Oj zmieniło; gospodarz chory a Niemiec przybędą zbudował w pobliżu drugą gospodę i wszystkich gości do siebie przeciągnął.

— A to dziwy! — rzekł ksiądz zabierając się do jadła podanego mu na prędcie przez gospodynię.

— Nawet służbę naszą przeciągnął do siebie, żyje się z dawnego zasobu, a gdy tego zbraknie, a podatków nie będzie czem zapłacić, to naszą starą czardę na step wyrzuca.

— Musi coś w tem być! Ale co? trzeba się nad tem zastanowić, przyczynę złego znaleźć, wygnać z chaty i biedę jej służę przydeptać, aby ona was nie zdeptała — wesoło odrzekł ksiądz. — Pomyślcie coby to mogło być? A no przedewszystkiem już choroba sama pewno gości nie przyciąga; wartoby się jej pozbyć; co to wam gospodarzu?

— Wszyscy mówią, lekarki i starzy i sam tak rozumiem, że morzy mię ucisk serdeczny, przez co ani jeść ani spać nie mogąc, opadam z sił coraz bardziej — pokiwał głową gospodarz.

— A z czego ten ucisk?

— To już dopuszczenie Boże czy kara za jakieś grzechy. Miałem jedynę dziecko, chowałem je w bojaźni bożkiej, złego przykładu nie dałem, kazałem uczyć, łożąc koszta ile było trzeba, myślałem, będzie z niego prawnik, inżynier, albo naczelnik powiatu, a my przy nim przytulimy się w starości... Ot, Pan Bóg nie pobłogosławił, a jam... w złej godzinie przeklął je prawie...

— O!... u!... — rzekł ksiądz, kładąc łyżkę, na ostatnie ciszej wymówione przez gospodarza wyrazy.

— Nie! nie domówił, proszę Ojca, nie domówił złego słowa, jakem żywa nie domówił!... — składając ręce z wielką żywością, zapewniła podbiegając gospodyni.

— Nie wymówiliście gospodarzu? — pytał ksiądz surowo.

— Niby nie, bo mi żona ręką usta zatuliła...

— No, to wasze szczęście, ale... — pokręcił głową zabierając się z wolna do jedzenia.

— Alem zaczął!... i w myśli miałem!... i oto teraz leżąc bezsilny dniem i nocą nad tem myślę, za co spada na nas kara: czy za nieposłuszeństwo dziecka? Czy za popędliwość moję?...

— Hm, któż może wiedzieć; każdy za własne grzechy odpowiadać będzie, ale wam ojcowie i matki przystoi raczej stokrotnie i surowo ukarać, niżeli raz złe słowo wyrzec. Z tem wszystkim dziecko krnąbrnie, nieposłuszeństwem swoim doprowadzając ojca aż do tak wielkiego gniewu, bodaj czy i jego i własnej winy dźwigać nie będzie musiało...

— Wielki Boże niedopusć! Wielki Boże przebac! Mój ja wina, niechajże ja raczej i za siebie i za niego ją poniosę! — rozpaczliwie uderzając się w piersi, krzyknął starzec, przeżony tem przypuszczeniem.

— Na mnie, na mnie za nich obu karanie twoje ojcowskie raczej spuść Panie Boże!... — szeptała kobieta, klękawszy u komina.

Ksiądz popatrzył na gospodarza:

— Tak więc kochasz serdecznie dziecko twoje, pomimo winy jego? Zatem z popędliwości kłąc chciałeś tylko?

— Z żalości, że swoją i naszą przyszłość zmarnował.

— A on nie upokorzył się? Nie błagał przebaczenia?

— Radby i jak! — wtrąciła żywo matka — ale przystąpić się obawia, bo dobrze wie że w panu ojcu jaki był żal do niego taki jest.

— Jakto? pomimo całej miłości dla dziecka, pomimo iż sami bolejecie nad popędliwością waszą, nie możecie mu przebaczyć jeżeli się upokorzy? — spytał ksiądz. Petőfi załamała kościste wychudłe ręce:

— Albo ja sam wiem jaka żmija serce mi kąsa — jęknął. — Sto razy powiadam sobie że chłopiec nie winien, bo już snadź taką ma naturę, że musi pieśni swoje wyśpiewać.

— Pieśni wyśpiewywać?... a cóż to on tak śpiewa? — spytał now ksiądz.

— Ot, niby pisanie w książkach przypada mu jedynie do serca — objaśniła Petőfiowa, wdychając — i teraz w Peszcie pisze, a co napisze, to ludzie wydrukują i niby jemu za to płacą.

— Ale przytem pewno głodem mrze? — rzekł Petőfi, jakby żony pytając. Wtem księdzu nagle łyżka wypadła z ręki:

— Petőfi!... w Peszcie?... Nie Szandor mu na imię?

— Rozumie się że Szandor...

— O!... to znówu co innego!... — przeciągłe rzekł ksiądz, patrząc z podziwieniem na gospodarzy jakby ich po raz pierwszy oglądał

Tu nastąpiło bliższe porozumienie... Ksiądz miał z sobą poezye Petőfięgo wydane niedawno w Peszcie... Przeczytał rodzicom niektóre z nich ustępy, wprost przemawiające do serca i nietylko matce, ale ojcu nawet łzy się z oczu polały.

— Teraz widzę — wyrzekł, że już czasem taka wola Boska jest aby synowskiemu powołaniu ojciec ustąpił...

— Tak... ale z warunkiem, że to będzie prawdziwe od Boga dane powołanie.

— A jak to poznać?

— Po pokorze!

— O!... on mi nigdy w oczy zuchwałym nie był. I matka mówi że ma pokorne listy od niego, alem ja nigdy słyszeć o nich nie chciała. Ojciec! niech wasza miłość napisze do Szandora, abym nie umarł nim go pobłogosławię.

— Napiszę do niego dziś jeszcze — rzekł ksiądz gdy powrócę do chaty mojej. Teraz żegnajcie.

W sieni Petofjowa: tłumiając łkanie padła do nóg księdzu:

— Niech Bóg błogosławi waszą miłość za waszą mowę i czytanie, któremi nawróciłeś ojca do dziecka!

— Cicho! sza!... Macie listy od syna to je ojcju czytacie!

— O... i jakie serdeczne!... — z nieopisanym radosnym wzruszeniem szepnęła matka sama do siebie, gdy ksiądz tymczasem znikł w tumanach zawiei.

— Wspomniałaś, że masz listy od chłopca: przeczytaj! — powiedział gospodarz gdy gospodyni, otarłszy oczy wróciła do izby. Bez namysłu rozwinęła tylko co otrzymany list i siadłszy przy łóżku czytała: „Matusiu moja serdeczna! Tyś mię wykarmiła mlekiem, wykołysała pieśnią: o matko, czemuż nadzieje twoje tak prędko powędowały: tyś je wysłała w świat, jak Noe białą gołębicę z arki, lecz żadna z nich nie wraca do serca twego z oliwną różką pokoju. Los mi się uśmiecha; Karady sekretarz klubu i Voeroesmarty „książę literatów” jak go w całych Węgrzech nazywają, zachwycają się memi pieśniami i przeto wszędzie znajdują przychylność. Drukują teraz chętnie księgarze moje poezye. Emeryck Vachot, założył teraz właśnie dziennik *Festi Divatlap* i mnie powołał na drugiego redaktora. Komu innemu byłoby to wielkim szczęściem, a mnie gdyby i korona niebieska spotkała, umierałbym wciąż ze smutku, pod ciężarem zamysłonego jeżeli nie wymówionego, dzięki niebu ojcowskiego przekleństwa. Dobrzy przyjaciele śmieją się też ze mnie, nie wiedząc prawdziwego niedoli mój powodu: mówią, że gdy niebo na chwilę się zaciemni to ja narzekam na chmury, a gdy zajaśnieje czystym błękitem, utyskuję, że słońce przyswieca zbyt jaskrawo, że widok zielonych drzew na wiosnę przejmuje mię tęsknotą, a widok świeżego śniegu tęsknicą bez granic. Zartują ze mnie.

Lecz ty matko zrozumiałabyś i zrozumiesz mię. Zyję ja tu i przyjaźnię się ze znakomitymi pisarzami: Josika, Eotvoes, Szatmary, Palfi, wszyscy oni badają obce dzieła i języki i na wzór je sobie biorą; ja jeden piszę i usiłuję coraz lepiej pisać w tym samym ludowym języku, którym stary nasz Arpad mówił i tyś mi matko pieśni śpiewała. Uczę się też ciągle, ile czasu starczy, umiem po angielsku, francuzku, włosku i czytam co tylko tamtych krajów pisarze najlepszego, najslawniejszego napisali, ale mi zawsze najmilsze co swoje, najpiękniejsze te stare jak świat i Węgry, pieśni, które z czikoszami w dzieciństwie mojem śpiewałem. Matusiu moja, pewny jestem, że gdybym za grzechy moje potępiony być miał, tybyś łzami u Boga potrafiła dla mnie prbaczenie uprosić: czyliżbyś u ojca uprosić go nie mogła?... — Łkanie nie dozwoliło biednym rodzicom listu tego dokończyć. Odtąd Petofi niespokojnie oczekiwał przybycia syna, wstawał jakby zdrowszy.

— Najlepiej byłoby żebyś sama napisała do niego — rzekł nazajutrz do żony.

— Napisałam i list poszedł wczoraj jeszcze.

— Któż go poniósł, kiedy czeladzi niema prócz staruszki Janosowej matki?

— Poniósł go któryś cygan na rozkaz ojca bandy, dojdzie pewnie niż przez pocztę.

— A zkadże starcy cygan zawiął się na zawołanie?

Petofjowa ciężko westchnęła:

— Odkąd zapasy wszystkie z izby na poddaszu wyszły... jest ona pusta i przeto cyganie włóczący się bezustannie po stepie często w niej nocują zimową porą; pytali czy pozwolę, więc pozwoiliłam, bo nie mogłam wzbronić, a bałam się ich... wreszcie posłużą za to czasem a ukraść po swojemu, niemają co.



## NA WSI.

Tam pod lasem, hen! daleko.

Ciche leży sioło;

Rzędem chaty ponad rzeką

Bieleją wesoło.

Szumia sady, woń ogrody

Balsamiczną zioną;

Gęsi stado wraca z wody,

Z szyją wyciągnioną

Jak gadziny syczą gąski...

Ulubionej wielce,

Dziewczę ziela daje wiązki

Krówce karmicielce.

— Oh Niemce! Niemce przybłądo!... — jęknął gospodarz — na jakież mię przywiódłeś zniewagi!

— Zmartwienie i choroba więcéj temu winne niż Niemiec, bo niemiło gościom gdy gospodarz chory, a i ten Niemiec nie zamierzyłby nowej gospody budować w sąsiedztwie, gdyby nie mówiono głośno że w naszój niema już ni ładu ni

wesołości, jak dawniej przy zdrowym gospodarzu. Wezwij Boga na pomoc abyś się mógł oprzeć smutkowi i chorobie, a wszystko jeszcze dobrze będzie; dobre czasy wraz ze zdrowiem powrócą.

— Tylko już nie w tój gospodzie. Obrzydła mi i gospoda i okolica odkąd dawni przyjaciele opuszczają nas zaczęli dla Niemca... dla tego że nieszczęście przyszło.

— Przecież nie czikosz!

— Gdyby też nie tych kilku czikosów, którzy jeszcze czasem do nas zachodzą i pomagają ci w niejednym, toby mi już ze wszystkim ludziami obrzydli; a i ci...

— Oj... gdybym ja ci panie mężu powiedziała coś o tych czikosach... otóż wiedz, że gdy owo nieszczęście stało się z naszym chłopcem, co-prędzej, jak tylko wrócili do roboty parobcy, zebrałam co tylko grosza miałam i rozesałam Palowi, Michałowi, Łukowi, który mi pierwszy z nich na myśl przyszedł, z prośbą żeby oddali to Szandorowi, gdy do nich przyjdzie... bo pewna byłam że się tam zgłosi.

— To dobrze Plusko, myślałem że tak zrobisz... choć pytać nie śmiałem.

— Cóż, kiedy chłopiec nie pokazał się wśród czikosów...

— Co? A gdzie się podział?... — zerwał się starzec blady jak ściana.

— Leżał, prawie bez duszy wśród stepu... chory... — płacząc szepnęła matka.

Ojciec stał nieruchomy z załamanymi rękoma jak posąg boleści.

— Rozesałam za nim cyganów, i ci go znaleźli i odratowali z choroby, ale pieniędzy nie mogłam przez nich przecież posyłać; myślałam że dziecko potem ozdrowiawszy pójdzie do czikosów, ale Szandor poszedł do Dobreczyna, unikając znajomych po drodze... Odtąd pozwałam cyganom przebywać w izbie na strychu... A czikosz odnieśli mi pieniądze co do grosza; czy myślisz panie mężu że każdy inny człowiek zrobiłby tak samo?

(d. c. n.)

## Korespondencya Wieczorów Rodziynych.

List Stefanka do młodszych braci.

Goryca 23/V 1890 r.

Kochani Mieciu i Józiu!

List, w którym ojciec pisze, żebyśmy już wracali do Warszawy, zagnął mamę do przyspieszenia wycieczek, które przed stanowczym ztąd odjazdem warto było odbyć. Pojechalimy najprzód do Monte Santo, czyli na Św. Górę. Od wsi Salcano leżącej u podnóża góry, szliśmy do wierzchołka aż 3 1/2 godzin. Może zaszlibyśmy i prędzej, ale wiecie dobrze, że jak się ma taką kulę u nogi, jak Adaś, jest to niemożliwe.

Wszedłszy na górę, ujrzelimy przed sobą Alpy Juliańskie wiecznym śniegiem pokryte; w głębi „Wielki Wierch”, na prawo malownicza dolina, a dalej góry „Tarnowański las” z nieprzeliczonemi

drózkami, a raczój drogami, wijącemi się, jak węże i to nie takimi, jak u nas w Karpatach, ale wygodnemi, bitemi gościńcami. Na lewo jest dzika i skalista góra S-go Walentego (gdzie podobno znajdują się węże), przedzielona od Świętej góry bardzo jeszcze w tem miejscu wąską rzeką Isonzo (Sdobba), nad którą leży Goryca. Rzeka ta przedstawia się ztąd w całej okazałości, i prawie w całej długości, gdyż tylko ujścia jej do morza, nie widać, choć morze

widać doskonale. Towarzyszący nam Włoch pokazywał mi nawet Tryest, ale my go dostrzedz nie mogliśmy. Kościół na tej S-tój Górze ma tylko 5 ołtarzy, z których jeden na środku, jak w Krakowie na Wawelu; za to konfesyjonałów aż siedem, bo wiele osób przychodzi z Gorycy by tu się spowiadać. W jednej z dwóch kawiarni mieszczących się przy kościele, jedliśmy obiad bardzo nieosobliwy, ale za to bardzo drogi. Pogoda nam dopisywała, tylko na przełęcz między Wielkim Wierchem, a św. Górą był duży wiatr.

Nazajutrz jako trochę jeszcze zmęczeni, nie byliśmy nigdzie i dopiero w dniu następnym, mimo wątpliwą pogodę, pojechaliśmy do Tryestu i prosto z kolei wsiedliśmy do tramwaju, który nas zawiózł do molo S-tój Teresy \*), na którym znajduje się latarnia morska. Przechodzi się do tej latarni przez arsenał artylerji. Na molo dał straszny wiatr od morza, ale przecież dostaliśmy się do wieży, w której się mieści latarnia. Wieża ta jest szersza u podstawy, na której wznosi się baszta. Po stu czterdziestu kilku schodach wchodzi się na ganek, okrążający samą latarnię. Śliczny ztąd widok: z jednej strony na morze z setkami okrętów, a z drugiej na Tryest, rozłożony w półkole w około portu. Weszliśmy po drabince jeszcze wyżej, by obejrzeć samą lampę. Jest ona urządzona do nafty, ale świeci jasno i daleko, bo klosz jej jest z bardzo grubych soczewek. Do budki tej na górze, która ma szklane ściany, dochodzi telegraf i telefon.

Po obiadku poszliśmy obejrzeć Canale grande, t. j. kanał wchodzący w środek miasta. Dziwnie to wygląda: wielkie okręty stoją sobie między domami, a gdy chcą na szersze morze wyjechać, trzeba sięgnąć do brzegu most łączący poprzeczne do kanału ulice. Kupiwszy pomarańcze (które mówiąc nawiasem, są tak drogie jak w Gorycy), poszliśmy na Molo S. Carlo, gdzie przesiadaliśmy godzinę, patrząc na morze, potem zwiedziliśmy okręt stojący przy Molo. Nazywa się on „Tryest”, (wszelkim większym statkom nadają się nazwiska), a miał odejść tego wieczora do Wenecji.

Z Tryestu, drogą żelazną w kwadrans przybyliśmy do sławnego Miramare. Jest to pałacyk ze wspaniale urządzonego parkiem, na stoku wzgórza nad samem morzem. Ze stacy do parku schodzi się wązkim przejściem po schodach, obok których płynie strumień; nie widać go, ale słycać. Ten park to istne чудо! na każdym niemal kroku jest coś nowego, niespodziewanego: grotty, tunele, posągi, klomby z osobliwych roślin, drożki i t. p. Przed pałacykiem jest balkon wysunięty nad otchłań morską, a w jego rogach drzewa. Wspaniały ztamtąd widok na morze i Tryest, a jeszcze ładniejszy z gloryetki stojącej na wzgórku. U stóp parku jest mała przystań dla małych parowców, którei także przybywają z Tryestu ciekawie, jeśli nie wolą dostać się tu drogą żelazną, albo wyborań na pbrzeżu morza drogą dla powozów. Mała ta przystań ma także swoje „molo” na którym zamiast latarni znajduje się sfinks kamienny. Zabierając się do odjazdu, udaliśmy się do stacy, przez coś jakby podziemną szklarnię. Tamtędy zdążył, arcyksiążę Maksymilian do wagonu kolejowego. Pilnujący tego przejścia drożnik, zwrócił naszą uwagę na jedno skrzydło tej szklarni, całe zajęte przez wysokie na dwa piętra może drzewo amerykańskie *Araucaria excelsa*.

O godzinie 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> byliśmy z powrotem w Tryeście, wzniesionym malowniczo w amfiteatr nad portem, ozdobionym pomnikami arcyksięcia Maksymiliana. Dzięki wspaniałemu wynalazkowi kolei żelaznej już o 11<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wieczorem byliśmy z powrotem w Gorycy.

Chciałbym wam jeszcze w tym liście powiedzieć coś o okolicach Gorycy, które zwiedzaliśmy często. Może już nigdy tu nie będę, to i zapomnielibym z czasem, że na północ leży wieś Salcano i góry: Święta, św. Walentego i św. Katarzyny; na wschód Rosental i Stara Góra, a także wieś S. Pe-

ter; na południe S. Andrea i Lucinico; nareszcie na zachód Strazig i Podgora.

W Strazigu znajdują się przedzalnie jedwabiu, bawełny i młyn; w Podgorze papiernia. Wszystkie te zakłady należą do bogatych Niemców, baronów Ritterów. Idąc w górę biegiem rzeki Isonzo, dochodzi się do wsi Peuma, leżącej na pagórkach. Wymieniam ją dla tego, że na tych pagórkach zasłoniętych wyższemi górami od wiatrów zachodnich i północnych, owoce dojrzewają znacznie wcześniej, niż w innych punktach doliny Goryckiej.

Dobrze, że niema więcej stron horyzontu, bobym was dłuższem opowiadaniem na śmierć zanudził. Ale i tak będę miał co mówić, gdy was zobaczę, jeśli będziecie chcieli słuchać wielkiego podróżnika. Na teraz posyłam wam uściski i wołam na całe gardło: „do widzenia”.

Stefan J.

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dalszy ciąg).

Niezadługo przecież wycia te, inny przybrały charakter zamieniając się na wściekle wrzaski. Wilki skupiły się w gromadę. Czyliż miały zamiar uderzyć wstępny bojem na chatę? Melchior sam siebie o to zapytał, a mówiąc sobie, że to nie było w obyczajach tych zwierząt, jednocześnie przygotowywał się do obrony wraz z towarzyszami nabijając strzelbę. Poznał przecież niezadługo, że wilki nie z niemi miały w tej chwili na pieńku. Musiał tam być jakiś nieprzyjaciel niewidzialny dla myśliwych. Kapitan z palcem na cynglu, ostrożnie podsunął się aż do drzwi, i przy świetle kilku gwiazd, ujrzał ściśniętą wyjąca gromadę wilków, stojącą w bojowej pozycji przeciw jakiemuś bezkształtnemu potworowi, który skulony na gałęzi, gotowy był skoczyć na nie. Dwoje żółtych oczu, błyszczących w ciemności musiały należeć niechybnie, do jakiegoś zwierzęcia z rasy kocięj, pantery, albo rysia. Szczęściem potwór ten pozostawał nieruchomy czekając sposobnej chwili aby rzucić się na nieprzyjaciół. Melchior zatem bardzo powoli podniósł strzelbę wycelował starannie i strzelił. Natychmiast dwa żółte punkta znikły, stała się wielka wrzawa w gęstwinie i w chwilę później spokój i milczenie zalegało naokoło chatę. Na odgłos wystrzału towarzysze Melchiora, zbudzeni oddawna, przybiegli. Kapitan zawiadomił ich kilku słowami o tem co zaszło.

— Moja pantera! — zawołał Menito — nasza pantera! jestem pewien, że to ona. Oh kapitanie, pójdziemy ją zabrać, musi być gdzie niedaleko!

— Nie jest to wcale pewnem mój chłopcze — odparł kapitan; nic nam nie dowodzi iż ją zabiłem lub zraniłem. Wystrzał mógł ją poprostu spłoszyć tylko, tak jak wilków spłoszył. Nic też nie zapewniam nas, żeby to była twoja lub choćby nasza pantera, do której strzeliłem. Jeżeli ją zabiłem, odnajdziemy ją jutro; a teraz idźmy spać.

— Nie, nie, jestem pewien, że ją pan trafiłeś, ale może jest tylko raniona i znajduje się w gęstwinie. Szukajmy jej aby ją dobić, zanim schroni się do legowiska, gdzie nie moglibyśmy się dostać.

Ponieważ było dużo rozsądku w żądaniu Menita, przeto Melchior go posłuchał. Uzbroiwszy się głównią z ogniska, wszyscy ruszyli ku drzewu, gdzie kapitan widział zwierzę. Zieleń zgniciona i skrwawiona, dowodziła że Melchior nie chybił, ale zresztą nic nie było. Naprózno myśliwi przeszukali okolicę w pobliżu; wilki uciekając pogniotły także zieleń w gęstwinie, a więc ślady pantery, jeżeli to ona była, mieższady się z ich śladami.

\*) Molo jest to tama, wchodząca w morze, dla dogodniejszego przystawania okrętów.

— Wracajmy — rzecze kapitan — nic nie znajdziemy tej nocy; czekajmy ranka.

Tylko Dabby Simon posłuszny był wezwaniu kapitana: Menito i Tomek zniknęli.

Gdy Melchior nawołałszy się ich napróżno, wrócił do chaty z Dabby Simonem, ujrzeli Józefa przewodnika który z nimi nie chodził na poszukiwania, jak klęcząc przed resztkami ogniska zdawał się czemś bardzo zajęty.

— Co on tam robi? — spytał Melchior półgłosem.

— Boże zmiłuj się! a toż on gotuje sobie wieszercę — odpowiedział Dabby Simon.

W tej właśnie chwili Józef nie spostrzegłszy powracających, wydobyl ostrożnie placuszki z pod czerwonego żaru, i gorące niósł do ust, bo łakomstwo nawet mu czekać nie dało aż ostygną.

— No, no, nie przeszkadzamy ci, posilaj się przyjacielu — krzyknął nagle Dabby Simon, uderzając go po ramieniu tak silnie, że placuszek upadł mu napowrót w ognisko. — Ach, to więc pantera zjadła nasz obiad! To pantera ma takie szczególniejsze upodobanie w słoninie, że zjadłaby beczkę! Trzymam ja tę panterę o dwóch nogach i dwóch żołądkach! Szkaradny poganinie.

— Dalej! wynos się prędzej! — krzyknął Dabby biorąc w rękę bicz do popędzania muła. Ale nie trzeba było używać tego ostatniego energicznego środka. W gnieniu oka Józef znikł, mimo to zdążył zawinąć w swoje kołdrę i porwać trzy czy cztery placki będące jeszcze w żarze, garnek z mąką, i pudło z cukrem stojące w pobliżu.

— Ha! złodzieju! — krzyczał Dabby w uniesieniu gniewu.

— Bardzo zadowolony jestem żeśmy się go pozbyli — powiedział Melchior — ale jakże teraz dostaniemy się do San Diego bez przewodnika?

— Ech, potrafię ja się pokierować. Będziemy dalej iść doliną Magdaleny, napotkamy siedziby ludzkie i wypytamy się o drogę.

Przestawszy nadal kłopotać się o los swoich zapasów, Dabby Simon owinął się w kołdrę i rozciągnął przy resztkach ogniska, starając się zasnąć na nowo, po tyłu i tak długich przerwach. Ale Melchior pozostał we drzwiach chaty oczekując niespokojnie powrotu synowca i Menita. Nie można powiedzieć żeby się o nich lękał na prosto, ale zgadywał, że dwaj chłopcy udali się w pogoń za panterą i troszczył się, czy w ciemności trafią napowrót do chaty. Przechadzał się więc u drzwi, wydając od czasu do czasu przeciągły okrzyk, aby naprowadzić na drogę szukających jej. Szczęściem zaczęło wkrótce świtać na niebie i przedmioty otaczające dawały się coraz lepiej odróżnić; cicho było i spokojnie około opuszczonego stanowiska, wilki znikły; nietoperze jeden po drugim powłaziły do swoich dziur; w miarę jak ciemności rozpraszaly się, ptaki się budziły szczebiocząc, krzycząc, lub śpiewając, ale młodych chłopców jeszcze widać nie było. Melchior już myślał ich poszukiwać nie wiedząc nawet w którą stronę się udać? ... gdy zaszeleściło w gęstwinie w bliskości i głos jakiś zawołał:

— Oto jest! kapitanie jest! mamy ją! A co czy nie mówiłem że to moja pantera! — I Menito ukazał się w towarzystwie Tomka, włokąc na rodzaju grubiej plecionki czy noszy naprędce zrobionych, zwierzę, które dnia poprzedniego przyprawiło go o łzy, przystęp niemięskiej słabości, za którą rumienił się na każde wspomnienie. Sen jego sprawdził się a raczej on sam sprawdził swój sen, pomścił się.

— Doścignęliśmy ją — opowiadał chłopaczek — gdy się włokła ranna, do legowiska i dobiliśmy ją. Teraz wiemy już drogę do jej mieszkania, trzeba nam powrócić i przekonać się czy nie została małych.

— Bo inaczej biedne sieroty pomarłyby z głodu — dodał Tomek.

Pokazało się istotnie, że pantera miała małe, nie większe od kociąt, które też zostały starannie pomieszczone w klatce o żelaznych prętach obok klatki z małpkami. Skóra zaś, prześliczny okaz w swoim rodzaju, została wyprawiona o tyle, aby mogła dojść do najbliższego miasta, gdzie ją miano wyprawić lepiej.

Stary Dabby miał słuszość, droga była dość łatwą; w pewnych tylko okolicznościach dawał się uczuć brak przewodnika, a mianowicie, żarłok ten znał doskonale własności wszystkich roślin jadalnych w krajach, które przebywano, tak że podróżni sami kazali mu zwykle, aby je kosztował najpierwszy. Szczęściem Dabby Simon odkrył niezadługo, że Bibisia także ten talent posiadała, gdy więc nie był pewnym jadalności jakiego owocu lub korzenia, podawał go Bibisi i wątpliwość bywała rozstrzygniętą wedle tego, czy małpka rzecz podaną jadła lub odrzuciła.

Gdy podróżni przebyli ostatni raz Andy, idąc wzdłuż Putamayo, stanęli nad rzeką Amazonką; zdawało im się prawie że przybyli nad wielkie jezioro. Brzegi przeciwległe ukazywały się w białawej mgie poza szeregiem wysp lesistych, pełnych wzgórz i dolin. Mewy latały na brzegach, w głębinach wód igrały ryby, którym za ciasno byłoby w rzekach europejskich, a także i potwory morskie, takie jak w falach Orenoki: rekiny, delfiny, alligatory i t. p.

Podróżni zatrzymali się zdumieni tym obszarem fal na rodzaju skalistego przylądka, który byłby doskonałym miejscem na obozowisko, gdyby wyczerpanie zupełne zapasów nie zmusiło ich dotrzeć copędzej do jakiego miasta, gdzieby można próżne worki znowu napełnić. Melchior miał zamiar nając statek aby popłynąć w dół rzeki. Udano się więc zaraz w dalszą drogę, aby stanąć przed nocą jeszcze w San Tomas, najbliższym mieście od punktu, w którym się znajdowano. Przewodnikiem w tej podróży był mały Indianin, który się przyplątał, gdy pomijano wioskę jego rodzinną.

Po kilku godzinach drogi przybyto wreszcie do San Tomas i małe indyjskie dostał obiecanie sobie dolary. Melchior ułożył się z jego ojcem przewodnikiem, którego tam spotkali o odwiezienie go z towarzyszami i bagażami statkiem do Tentemoa, odległego o trzydzieści mil. Kapitan postanowił teraz podróżować w ten sposób, ilekroć będzie ku temu sposobność. Trzy miesiące włości czyniły to prawie koniecznym, bo oprócz Menita, na którego trudy nie wpływały wcale, wszyscy zresztą, nie wyłączając Czarnula, wzdychali już do spoczynku. Chwila ta zbliżała się wreszcie, gdyż w Para, porcie morskim przy ujściu Amazonki położonym naprzeciw wyspy Marajo, spodziewano się zastać zwierzęta, które Melchior wysłał naprzód opuściwszy Nową Grenadę. Z Para mieli też wszyscy razem odpłynąć do Europy.

Lecz podróżni nasi płynąc nawet nie przepędzali całych dni na statku. Gdy okolica zdawała się obiecywać pomysne polowanie, przybijano do brzegu, wysiadali, i powracali zawsze obciążeni zdobyczą, niosąc rzadkie ptaki, małpy, antylopy, pekari, z których część przeznaczano na żywność; czasem przynosili także i płazy żywe lub martwe, a Melchior przygotowywał te ostatnie na zachowanie. Ponieważ trudno było płynąć w ciemności z powodu wysokich traw i porostów, przeto spędzano noce spoczywając w łodzi lub też pod palmami, orzechami i figami na brzegu niezmiernych lasów wieńczących wybrzeże rzeki.

(d. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Naród karłów.** Przybywszy obecnie do Europy, sławny podróżnik Stanley, którego życiorys wraz z wizerunkiem dawaliśmy naszym czytelnikom, ma zamiar wydać obszerny opis swój podróży, tymczasem wszakże ci, co się mogą do niego zbliżyć dowiadują się niektórych jej szczegółów, powtarzanych następnie przez zagraniczne dzienniki. Jeden z tychże przytacza obecnie następujące jego opowiadanie o napotkany w głębi Afryki narodzie karłów. „Zawiązawszy przyjaźń z karłami mówi, mogłem zbadać należycie ich obyczaje. Spora ich liczba spędziła cztery i pół miesiąca w naszym obozie, towarzysząc nam wszędzie, poddając się chętnie obserwacji. Pozyskałem niezbite dowody, że zamieszkują oni tę samą część kuli ziemskiej od pięćdziesięciu wieków. Charakter szlachetny i du-



mny tych plemion karłowatych nosi cechę ich starożytności. Mają oni królowę, kobietę zachwycającą, inteligentną i sprytną, która stała się łącznikiem między swoimi poddanymi a naszą wyprawą, w epoce kiedy porozumienie bynajmniej jeszcze między nami nieistniało. Ciekawe to bardzo, iż te karły, bardzo kształtne, o cerze oliwkowej, daleko mniej niedowierzali nam niż naszym przewodnikom afrykańskim. Zatrute ich strzały zabiły kolejno w lesie dwudziestu jeden Zanybarczyków, których wysłałem oddziałami z kraju jezior z listami do mojej straży tylniej. Kilku z nich chciałem zabrać z sobą, ale nie mogli się zaaklimatyzować na płaszczynach w krajach suchych. Skoro tylko opuszczali wilgotną okolicę lasów, zapadali na gorączkę, z której już nie powstawali. Żaden z nich nie dotarł do wybrzeża. Królowa, która gotowa była towarzyszyć nam do czarodziejskich krain ludzi białych, o których jęj opowiadałem, a jest bardzo ciekawa, zapadła na gorączkę jeszcze zanim doszliśmy do skraju lasu. Zatrzymała się w porę. Ta mała królowa zasługuje na swój tytuł; jest ona filuterna i dobra; przebiegła i łagodna. A jęj ręce i nogi mają śliczne kształty, małeńkość ich zaś wprawiłaby w rozpacz Chinki. Co do jęj kostiumu, jest on podobnie jak kostium całej tęg ludności gnomów, wielce zaniedbany. Niezaprzeczoną oznaką cywilizacji jest zręczność, z jaką karły robią siatki, służące za sidła dla zwierzyny i strzały z żelaza kutego, które tak boleśnie dawały się we znaki naszym Zanybarczykom.

W każdym razie niema nigdzie koszykarzy, tkaczy i kowali, posiadających więcej zręczności lub gustu od nich. Mają oni własne miechy, odpowiednie do ich wzrostu, młoty, kowadła, wszystkie narzędzia narodów cywilizowanych. Ich strzały to istotne arcydzieła, takie mają gustowne ozdoby”.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Srebrnej kropelki od Szarotki alpejskiej.

Wyrazów 15. Początkowe i końcowe litery od góry do dołu czytane, dadzą imię i nazwisko oraz nazwę dzieła jednego z poetów. Las—nik—li—Sa—no—on—Cy—ses—Ło—mlecz—Ja—żeł—ce—U—tą—um—że—Ar—ki—na—ko—bon—I—dy—prząż—Wy—no—cy—gi—U—błecz—Ser—bo—o—Ka—tro—me—Ig—bo—san—Za—ry—le—Os—Znaczenie wyrazów: 1. Ulubiony dawniej napój Normandczyków. 2. Bohater z wojny trojańskiej. 3. Przydomek jednego z królów. 4. Istota pozbawiona rozumu w 6 prz. licz. poj. 5. Rzecz niezbędna do jazdy. 6. Ważny organ ludzki. 7. Wiara w nieдорeczności. 8. Kwiatki wiosenne. 9. Miejsce spoczynku. 10. Roślina. 11. Gatunek psa. 12. Rzeka we Włoszech. 13. Część ołtarza. 14. Rodzaj jaszczurki. 15. Imię męzkie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

**Szarady:**

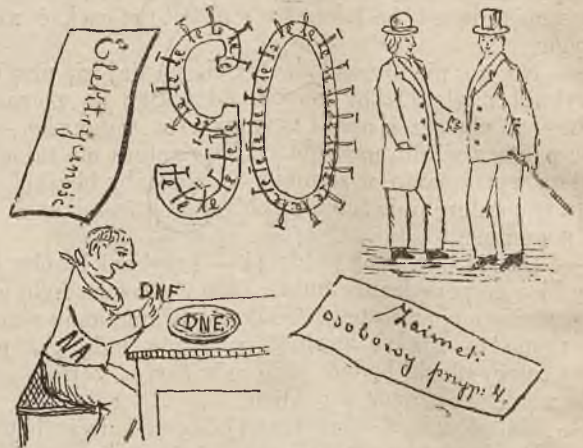
O — po — ka.

### Łamigłównki sylabowej:

1. Drezno. 2. Leopold. 3. AnczyC. 4. SyrakuzY.
5. Augsburg. 6. RóżA. 7. EdeN. 8. NormanowiE. 9. KuC.
10. IrtysZ. 11. Zimorodek. 12. NgamI. 13. ArbuZ. 14. DoN.
15. MaryA. 16. OclanD. 17. RostóW. 18. OnI. 19. CzikoS.
20. ZŁ. 21. Urny.

Dla Sarenki z nad Moroczcu od Cyganezki z nad Wisły.

### REBUS.



### OGŁOSZENIE.

Kolonje letnie dla biednych słabowitych dzieci, urządzone w roku ubiegłym staraniem i przy współudziale ludzi dobrej woli i pragnących przyczynić się do wszystkiego, co tylko dobro ogółu ma na celu, tak pod względem liczby dzieci wysyłanych, jak i pod względem rezultatów dla ich zdrowia przeszły wszelkie oczekiwania.

Dzieci biednych, schorzałych, skrofulicznych i na rozmaite sposoby niedomagających wysłano 417, czyli o 121 więcej niż lat poprzednich!

Do licznych protektorów i protektorek instytucji naszej, o których corocznie sprawozdanie wspomina, przybył w r. z. pan Karol Dittrich, który dwudziestu czterem chłopcom naszym udzielił w Żyrardowie gościnność wzięwszy na siebie całkowite utrzymanie.

Po czterotygodniowym pobycie powrócili oni z lepszym zdrowiem, wzmocnieni na siłach i odporniejsi na wszelkie przeciwności, jakie ich w życiu czekają.

Bliższe szczegóły zeszłorocznych kolonii letnich podane są, jak corocznie, w oddzielnie wydrukowanym sprawozdaniu.

Wobec jasnego słońca i pogodnego nieba jakie z nastaniem wiosny nam przyświecają, zbudziła się w sercach ubogich dzieci naszego miasta nadzieja, że i w tym roku dobrzy ludzie o nich nie zapomną i z hojniejszymi ofiarami podążą, żeby im tak jak corocznie od lat 9-ciu dać użyć świeżego powietrza, swobody wiejskiej i pokrzepić wątłe ich siły.

Nie wątpimy iż nadzieje te ziszczone będą, tembardziej, iż rok bieżący zapowiada się świetniej niż poprzedzające, pod względem miejscowości, które na rzecz naszych kolonii ofiarowane zostały.

*D-r. J. Fritsche.*

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Co on pisał p. Z. Morawską. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Na wsi, (drzew.) — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych. — Poszukiwacze dzikich zwierząt. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Złapana zięba p. Maryą Weryho (z drzew.) — Prawdziwa odwaga. — Dobry Ignasz, wiersz. — Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

ZŁAPANA ZIĘBA.



**D**obrze, wesoło i swobodnie było ziębce w lesie. Chwilki jednej na miejscu wysiedzieć nie mogła. To ziarnko na ziemi dojrzała, to za muszką poleciała, to komara gonila.

To znowu z jednej gałązki na drugą przeskakiwała z jednego drzewa na drugie, z jednej gałązki na drugą przefrunęła, gwizdząc (śpiewając) wesołą piosenkę.

Widzi raz zięba na ziemi mnóstwo ziarnek wysypanych.

Toż to radość dopiero!

Sfrunęła z drzewa, zaczęła prędko zajadać.

Wtem klap, coś stuknęło. Złękła się bardzo, chciała odlecieć, nie może.

Biedaczka wpadła w sidła.

Za krzaczkiem siedział chłopczyk, widział on jak zięba dała się złapać. Czemprowadź wyskoczył, zabrał ptaszka i zaniósł do domu.

Zięba jeszcze próbowała się ratować, rzucała się to w jedną, to w drugą stronę, ale wszędzie napotkała siatkę.

— Maniu, Edziu — wołał chłopczyk z daleka — chodźcie-no, chodźcie, zobaczcie co ja mam.

— Ptaszek, ptaszek — wołały dzieci razem — ach jaki ładniuchny.

— To zięba — zawołał Edzio — zięba, poznałem od razu po jej kasztanowatym grzbiecie i czerwonym spodzie.

— A czy ona śpiewa — pyta Mania.

— O, i jeszcze jak ładnie!

— Pysznie, wybornie — zawołała Mania, klaszcząc w dłonie. — Jasiu — mówiła potem do chłopczyka, biorąc ziębę — ja będę ją karmiła.

— Przepraszam, ty nie masz pojęcia, jak się wiać do tego, ja co innego, ja wiem, jak się karmi ptaki.

— No, to ja będę ją poiła, będę jej wody przynosiła — rzekła tuląc do siebie ptaszka i przyglądając mu się ciekawie.

Tak rozmawiały dzieci uradowane, a ptaszek tylko trzepotał skrzydełkami.

Przyszedłszy do domu, dzieci wsadziły ptaszka do pięknej klatki drucianej, nasypały mu do pudełka konopi, włożyły trawki, postawiły wody i co chwilę przybiegały patrzeć, co ptaszek robi.

Ale ptaszek siedział na pręciku w więzieniu swoim, i widocznie był bardzo smutny, bo niczego nie tknął.

— Kiwi, kiwi, wi — postyszały dzieci.

— Zięba śpiewać zaczyna, cicho bądźmy, teraz sza, słuchajmy, jak ładnie śpiewa.

Ptaszek naprawdę śpiewa, ale to nie była ta sama piosenka wesoła, która rozlegała się po lesie. Ptaszek śpiewał piosenkę bardzo smętną.

— Kiwi, kiwi — jakby mówił ptaszek — otwórzcie mi ludzie, pociście mię uwieźli. Tam miałem lasy, sad i ogrody, fruwałem gdzie mi się podobało, a tu siedzieć muszę w ciasnej klatce. Puśćcie znowu na swobodę.

— Kiwi, kiwi — skarżył się ptaszek. — Ludzie, tam w gniazdku pozostało moich czworo piskląt małych, któż je bezemnie nakarmi, kto je obroni, kto je wieczorem ogrzeje?...

— Kiwi, kiwi. Duszno mi jest tu w więzieniu ludzkie, wypuście mię. Słonka, powietrza mi dajcie, powietrza, kiwi, kiwi, wi...

Nareszcie przestał śpiewać. A kiedy Mania nad wieczorem przyniosła ptaszкови wody, leżał na ziemi, nóżki miał wyciągnięte i ciężko oddychał.

Mania zawołała natychmiast braci swoich. Wszyscy patrzyli na biedną ziębę, ale nikt nie wiedział, co jej jest. Ptaszek oddychał coraz wolniej, wolniej... Jeszcze chwila i żyć przestał.

Łzy zakręciły się dzieciom w oczach. Stały, nic do siebie nie mówiły. Nie rozumiały one, co śpiewała zięba, ale teraz wszystkiego się domyśliły.

Marya Weryho.

PRAWDZIWA ODWAGA.

— Jasiu, Bój się Boga, uważaj! bo mnie zatniesz tym szkaradnym batem; co za myśl, żeby po pokoju śmięgać, jak przed stajnią. Daj temu pokój, proszę cię braciszku.

— Zosiu, nie bądź nudna, jeszcze ani razu w ciebie nie trafiłem; zresztą — dodał ze złośliwym uśmiechem — choćbym cię i trafił, bat to nie armata, nie zabiłbym cię pewno; ale jeżeli ci tu źle, to się odsuń.

— Już trzeci raz przesiadam się z moją robotą, ustępując ci się z drogi. Mój Janku, ja się tak boję, ile razy koło mnie przebiegasz.

— Tchórz, niedołęga — zawołał Janek — wstydzilibyś się bać się tak wszystkiego. Właśnie dla twego dobra biegam i hałasuję i batem blisko uszu wywijam, żeby cię przyzwyczaić do niebezpieczeństwa. Będziesz mi później wdzięczną, jeżeli się poprawisz.

— Już zostaw mamie naszą troskę o moją poprawę — rzekła Zosia — mama nie uczyła mnie nigdy, żebym dla żartów na ból i przykrość się narażała. Zresztą mnie inne zabawy zajmują.

— Ale ja chcę mieć siostrę dzielną i odważną, a nie jakąś nerwową. Masz przykład ze mnie, jaki zuch jestem, nie boję się niczego, ani bata, ani konia, ani nawet... twoich grymasów.

— Mówiąc to, Janek podbiegł żywo i zapewne w najlepszym zamiarze, chcąc w Zosi tę przechwaloną dzielność wyrobić, wyciągnął z pod niej krzesło. Biedna dziewczynka, nie spodziewająca się takiego zamachu na swą równowagę, upadła na ziemię, a ratując się rękami w których trzymała pończochę, w dłoń wbiła sobie drut głęboko, krzyknąwszy z bólu i przerażenia.

— Czego krzyczysz — wołał Jaś gniewnie, podnosząc ją z ziemi. — A cóż tak straszego, żeś upadła; czy chcesz żeby ojciec, chory na głowę, usłyszał i gniewał się na mnie? A bo to ja raz upadłem, a dla tego nie krzychałem. No, cóż ci się stało, Zosiu, siostrzyczko, co ci się stało — wołał Jaś, zaniepokojony już, bo Zosia, choć głośno krzyżeć przestała, podniosła się ze łzami i cichym jękiem, rękę prawą wyciągnąwszy przed siebie. — Boże! jakżeż mnie boli! — szepotała z płaczem.

Jaś patrzył w osłupieniu na swoje dzieło, przebitą rękę.

W tej chwili z przyległego pokoju wbiegli rodzice. Matka przytuliła Zosię do siebie i unosząc zranioną rękę, zawyrokowała natychmiast, że bez doktora się nie obejdzie...

— Śpiesz się tylko, żebyś go zastał — mówiła do męża — bo drut trzeba wyjąć jaknajprędzej, nim ręka spuchnie.

— Jadę natychmiast, będę szukał wszędzie i zaraz ci go przywiozę.

— Ojciec — zawołała Zosia, widząc przerażenie rodziców, widząc że Jaś blady stoi jak w ziemię wrosnięty. — Ojciec, nie śpiesz się tak, mnie nie bardzo boli. Włóż ciepły szalik na szyję, dziś zimno, a ty ojciec nie zdrow jesteś. Mnie doprawdy nie tak bardzo boli — ale drżenie jęć głosu, łzy płynące po twarzy, zmuszającą się do uśmiechu, zdradzały wielkie cierpienie.

Rodzice się dobrze na tem poznali.

— Jakim sposobem Zosia to sobie zrobiła? — zapytał ojciec, a surowym wzrokiem spojrzął na Jasia, którego skruszona postać zdradzała winowajcę.

Zosi żal się zrobiło biednego braciszka.

— To przez moją nieuwagę i niezręczność, ojciec drogi, siedziałam na brzegu krzeselka i spadłam, ale mnie nie bardzo boli — dodała znowu.

Pan B. prędko powrócił z doktorem, który był przyjacielem rodziny i oddawna już polubił Zosię. Ze współczuciem ujął jęć biedną zboliałą rączkę.

Zosię cierpliwość i odwaga nie opuściły ani na

chwile. Chcąc rodzicom oszczędzić udręczeń, Bogu swe cierpienie ofiarowała.

Szybko i szczęśliwie drut został wyjęty i ranka w parę dni się zagoiła, a Jaś przyznawszy się rodzicom w jaki sposób stał się powodem nieszczęśliwego wypadku, zrozumiał, że hałaśliwy zawadyaka nie jest bohaterem, ale ten raczej, co wobec własnego cierpienia umie zachować spokój i pamiętać o drugich cierpieniu.

A. Z.

## DOBRY IGNAŚ.



gnaś pracował okropnie,  
Więc samo z siebie wynika  
Że w szkołach dobre miał  
[stopnie

A w domu zastał konika.  
Jakby miał skrzydła sokole  
Co to się nigdy nie nużą  
Konik z Ignasiem mkną  
[w pole

Na wyścig z wichrem i burzą.

Lubi to Ignas serdecznie,  
Jednak dla małej siostrzyczki,  
Gdy ona prosi go grzecznie,  
Konika wprzęga do bryczki.  
Małej dziecinną bryczeczki:  
Konik na żarty pozwoli,  
Z wielką uciechą dziewczeczki  
Nie skacze, idzie powoli.

Tak Ignas dobry chłopczyzna,  
Chętnie, z uśmiechem w potrzebie,  
Z młodu przywykać zaczyna:  
Jak żyć, nietylko dla siebie.

## Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy.

— Dałam dziadkowi grosz! dałam dziadkowi grosz!  
— wykrzykiwała Helenka, przeskakując w rozpędzie grządki kwiatów, aby jak najprędzej dobiec pod lipę, w której cieniu siedziała mama.

— Dałam dziadkowi grosz! dałam! — znów powtórzyła, nie wiedząc, że biedny starzec, przystanąwszy za ogrodzeniem, przysłuchiwał się z bardzo smutnym uśmiechem.

— Dałam dziadkowi...

— Fe! wstydz się, Helenko. Któż rozpowiada o tem co dał ubogiemu, a do tego z hałasem, krzykiem. To wielki nierozsądek i grzech zarazem.

— Grzech? czy być może? Prawda... mama się złąkla. A ja tu z taką radością biegłam, ażehy się pochwalić.

— Można się radować pocichu, zaś chwalić się nie było czem.

— Wszak dałam dziadkowi grosz.

— Dałaś!... aż słuchać przykro.

— Dla czego moja mamó.

— A dla czego Helenka się chwali?

— Bo... bo zrobiłam przecie dobry uczynek.

— Dobrze uczynki powinny być zawsze tajemnicą naszój duszy. „Niechaj nie wie lewica, co uczyni prawica”, brzmią słowa święte. Wykładałam to Helence wczoraj.

— Ale mi wcale nie powiedziała mama, że chwalić się nie trzeba.

— Chwalić się samój, to próżność, zatem grzech.

— Czy także wtedy, kiedy spełniamy chętnie dobre uczynki?

— Spełniać chętnie dobre uczynki, jest naszym obowiązkiem.

— Ja nie dokładnie jeszcze rozumiem, co znaczy obowiązek.

— Znaczy powinność czynienia dobrze, wedle sił i możliwości.

— Nauczała mnie jednak mama, że czynić dobrze jest zasługą wielką przed Bogiem.

— Bóg żąda zasług, bez marnój z czynów pychy.

— Wiem teraz, mamó, wiem! Zgrzeszyłam najokropniej! Uczylałam się niedawno w książce, że pycha jest najpierwszym, głównym, szkaradnym grzechem.

— Twoja zaś jest tem większą, im mniejszym był twój datek. Nie inaczej pomyślał starzec, który cię pewno słyszał.

— Ach, moja droga mamó, nigdy już, nigdy przechwalać się nie będę. Jakoś nie rozumiałam nauki. Mateczka się nie gniewa?

— Nie, tylko pragnę, abyś ją rozumiejąc, w duszy i w sercu czuć umiała co dobre a co złe.

— Wszystko zrozumie — odrzekła Helenka — zobaczy mama, zobaczy! — Potem nieco wolniej dodała, wskazując na swą lewą dłoń: — Ta lewa rączka z pewnością się nie dowie, co czynić będzie prawa.

— Nic nie powie o danym groszu?

— Mama słusznie ze mnie żartuje — rzekła po chwilowym namyśle Helenka. — Bo też jestem taka niedobra, taka roztrzepana, nieznośna! Dałam biednemu za ledwie grosz, i zaraz biegnę, rozpowiadam i krzyczę, jak o wielkiej, nadzwyczajnej rzeczy. Ale, mateczko, ja dziś nie miałam, doprawdy że nic nie miałam więcej. A może... może ten staruszek nie słyszał?

— Tam, w górze cię słyszano, kochane dziecko! Czy i o tem nic nie wiedziałaś?

— O, wiedziałam najdoskonalej.

— Lecz zapomniałaś, a moje słowa niesie kędyś lecący wiatr.

— Będę uważać lepiej, droga mateczko.

— By tego dowieść, opowiesz jasno o co nam głównie chodzi.

— O próżność brzydką i mój krzyk.

— I o zasługę. Oto są czyny: Wyliczam je dokładnie: Po pierwsze: dałaś dziadkowi grosz... Jakże dla nędzy mało! Zda się, że wczoraj w twojój kieszonce z niedojeżdżonem ciasteczkiem został. Po drugie: krzyząc odbiegłaś starca, który przy wrotach z goryczą się uśmiechał. Może pomyślał, że więcej cię kosztuje choćby jeden cukierek. Na szczęście, ja go znam, przeproszę

i wspomogę. Pamięta on szczęśliwszą dolę, bo sam przed laty wspierał także nędzarzy, bez chlubienia się ze swych czynów. Po trzecie... mamże zapytać, czy to ty sama zapracowałaś na dany dzisiaj grosz? Nie; masz go od rodziców, pragnących widzieć jaki zrobisz użytek z udzielanych ci pieniędzy. Bardzo zawiedli się na tobie, bo grosz za groszem wyrzucasz na łakocie, a chwalisz się dawszy komuś jeden. Cóż cię to kosztowało? z czegoż ta głośna chluba?

Nie ma zasług bez trudu, pracy. Najcenniejsze zasługi ciche. Pojmiesz to może lepiej, dokładniej z wiekiem.

— Boże, mój Boże! — wybuchnęła Helcia — kiedy ja mała i pracować nie umiem.

— Więc dziel się chętnie, wspomagaj tem co otrzymałaś dla siebie; lecz dziel się z przekonaniem, że dałaś nazbyt mało, kiedy cię niebo tak obficie, tak hojnie, nad zasługę twoję obdarza.

— Prawda, prawda! Czemuż mi to na myśl nigdy nie przyszło? Mama wszystko musi mi zawsze tłómaczyć. I teraz chcę się mamy zapytać...

— Słucham cię, moje dziecko.

— Mówiła mama, że czynić dobrze jest naszym obowiązkiem.

— Pamiętałaś wybornie. Dodam jeszcze po czwarte, że obowiązki źle pojął ten, kto ich z gorącem nie spełnia uczuciem, jedynie przez miłość Boga i bliźnich. Czyń ludziom dobrze, myśl, pracuj zacnie, lecz nigdy dla pochwały. Skończyłam Helciu.

(d. n.)

## SZARADA.

od Sosenki z nad Wisły dla Listka bzu.

Pierwsze — to połowa mamy,  
Drugie — zwierzę którego znamy,  
Wszystko imię twoje znaczy,  
Gdy zdrobniale się tłómaczy.

## Łamigłówka kryształowa.

od Białej Orliczki dla Gołąbki pocztowej.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę domowe. 3. Zwierzę gorących krajów. 4. . . . . 5. Ludowa nazwa rośliny łąkowej. 6. Szacowny organ. 7. Samogłoska. Środkowe litery utworzą pseudonym dobrze nam znanój korespondentki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

### Szarady:

A — mur.

### Łamigłówki głoskowej:

Do czasu dzban wodę nosi.

## Skrzynka do listów.

Kochane **Jabluszeko z Kani** może do nas pisywać, bez żadnego pośrednictwa, a zrobi nam zawsze liścikiem swoim przyjemność. Cieszymy się bardzo że zadowolnione z nagrody. Kwiateczki wymalowała jedna pani, co także pisuje do Wieczorów.

Nie dziwimy się wcale uczuciom twoim miła **Rusinko**, i przyklaskujemy im całym sercem. Radzi jesteśmy, że cię zajmuje czytanie Wieczorów, a przy pierwszym konkursie, czekać będziemy twego w nim współudziału.

Dziękujemy ci **Jaskółeczko z nad Dunaju** za uczynienie zażość naszej prośbie, co do wypisania nazwiska i pospieszamy do nieść, że odebraliśmy przesyłkę dla kolonii letnich. Przeczytaliśmy rękopis i widzimy w nim niezaprzeczone ślady zdolności. Aby je wszakże rozwinąć tak iżby pożytek przynieść mogły dla ogółu, należy przedewszystkiem uczyć się, bo same tylko pisanie może przynieść szkodę wrodzonym zdolnościom.

**Solenizantka**, o której imieninach pamiętała Niezabudka z nad Chomoru, serdeczny jej uścisk za tę pamięć przesyła.

Twój liścik kochany **Krokodylu** wielką i bardzo wielką zrobił nam przyjemność. Ściskamy cię za niego serdecznie, jakże bylibyśmy radzi mogąc dopełnić tego osobiście za bytnością twoją w Warszawie. Gdybyś tylko do nas przyszedł jak to obiecujesz, pokazalibyśmy ci najchętniej jak się to „robi gazeta”, tymczasem ściskamy cię raz jeszcze po tysiąc razy życząc polepszenia zdrowia taty i wesołej zabawy na wsi.

Prawda, kochana **Czeska Niezabudko**, że „od wieków” już nie pisałaś do mnie. Tem też serdeczniej dziękuję ci za miły liścik, za wiadomości jakie mi w nim o sobie przesyłasz i za te także, które *mnie* się tyczą. Kimkolwiek jestem, zawsze pewne serca mego być możecie siostrzyczki najdroższe, a o to tylko chodzi, nieprawdaż?

**Biała Ostróżko** i ja żałuję że polecieć na Ukrainę nie mogę. Bzy i konwalie mamy i tutaj, ale powietrza, przestrzeni, szerokiego oddechu pół nie znajdziemy w Warszawie. Listy, na które udzielono odpowiedź, czasem są tylko przechowywane, wtedy gdy w nich jest adres, lub coś ważniejszego. Szesnastoletni Wojewoda skończy się niezadługo.

**Jaskółko z nad Dunaju**, z najżywszym zachwytem czytałam opis w twym liście zawarty. Wyglądałoby to na cudowną bajkę, gdyby nie było jeszcze cudowniejszą prawdą! Szczęśliwaś ty staruszka, że takie osobliwości oglądasz i tak ślicznie opisywać umiesz!

Druga staruszka **Babuńcia**, tak serdecznie odzywa się do mnie, że siostrzanym jej odpowiadam uściskiem, oraz życzeniem: szczęść Boże w pracy!

O, **Główko cukrowa**, jak można nawet przypuszczać, że względem której z siostrzyczek niesprawiedliwą być „*zechęć?*”

A ty, **Nihil** nowa, sympatyczna siostrzyczko, możesz być pewną, że nie tylko się nie obrażę za poufałe „ty”, ale zawsze serdecznem ci słowem odpowiem. Na twoje określenie poety najzupełniej się godzę. Jak ty rozumiesz muzykę! jak ją kochasz. Na to co nazywasz „prośbą” a co dla mnie szczerą jest pokusą, nie mogę dać dziś jeszcze stanowczej odpowiedzi.

**Niebieska Wstążeczko**, Dobra pani, której twój list czytałam, powiada, żeś powinna się nazywać „Dobrym Czynem”. To od wszelkich „marzeń” piękniejsze...

**Zorzo jasna**, niecierpliwie czekam obiecanych szczegółów. Nie siedziałabym chyba nigdy przy pracy, gdybym na każde zaprosiny tu i owdzie latała! a ciągnie mnie na wieś, o! ciągnie...

**Niezapominajko z nad Warty**, termin ogłoszenia konkursu, jest tajemnicą Redakcyi. Od Czarnej Kotki i Muszki brzęczącej dawno już wieści nie było. Naturalnie bawić się już nie mogę lalkami, nie śmieję się jednak z ciebie i upodobanie to rozumiem.

Zdaje mi się, **Czarodziejko** droga, że ci dobrze radzą. Popłatne to zajęcie, coraz jednak trudniej je znaleźć z powodu mnożącej się liczby uzdolnionych kandydatek.

**Gałązka Jaśminu z Radomia** wie o mnie więcej, niż ja sama. Nic to jednak nie szkodzi; miło mi powitać taki miły i wonny kwiatek, i „*ośmielić*” go moją „*dobrocią*”.

**Wiedence** ślicznie dziękuję za szaradę; odgadłam ją i autorce przesyłam uścisk serdeczny, Kalince zaś z nad Dniepru i Kwaciarcie zapewnienie, że liściki ich wzięte są pod opiekę, również jak inne mnie powierzone.

**Polna różyczko** kochana, liściki *muszą* czekać swojej kolei, ja już na to nic nie poradzę! Książka, o którą pytasz, kosztuje z przesyłką rs. 1 kop. 40.

Najsłiczniej dziękuję ci **Skanderbegu** za bratek; czy sam go w ogródku swoim wypielegnowałeś? Liścik twój biorę w opiekę, nie przespiesz ona wszakże wydrukowania go, bo Redakcyja musi być w tym względzie ściśle sprawiedliwą. Inaczej zawsze komuś wyrządziłaby niesprawiedliwość.

**Jaskółko z nad Sekwany** i do ciebie się to stosuje, droga moja, najzgrzybiałsza ze staruszek. Obie powieści, o które pytasz, są jednej autorki. Imienniczka twoja z nad Dunaju, także już do staruszek należy, również jak i wasza

*Gołąbka.*

Jestem nową prenumeratorką i dosyć młodziutką; witam was, kochane współczytelniczki, bardzo miłutkie są liściki wasze, proszę aby która z was do mnie napisała. Tymczasem przesyłam wam serdeczne wyrazy i obieram sobie pseudonym. *Pieszczotka z małego ogródka.*

Kochane **Muchołówko** i **Ciecioreczko**! Znacie mnie doskonale, a szczególnie ty **Muchołówko**: byliśmy w jednej klasie, tylko ty siedziałas przy tablicy, a ja pod oknem. Bawiłyśmy się zawsze podczas pauzy. Jestem kuzynką **Wańdzi Mat.**, która siedziała za tobą. Pewno już zgadła. Ty **Ciecioreczko** nie możesz mię pamiętać. **Biedna Zosia** zajęta nauką w czwartej klasie, ale ty **Józiu** w trzeciej masz jeszcze czas odgadnąć łamigłówkę, którą ci posyłam. Odpiszcie mi prędko obiedwie. Całuję was *Grażyna*.

Kochane: **Różyczko biała z Wołynia** i **Blondynko podolska!** Donoszę ci **Różyczko**, że nie mieszkam w okolicy **Żuczka**, ale **Starego Konstantynowa** i zapytuję przy kim się uczysz, i czy masz siostry? Tylko cztery mile nas przedziela **Blondynko**. Oczekując odpowiedzi, całuję was obie serdecznie, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Witam was drogie moje: **Gałązko Paproci**, **Sarenko z nad Moroczu**, **Topolko srebrna**, **Chmurko** i **Jaskółko z nad Sekwany!**

Powiedz mi **Gałązeczko**, czy cieszysz się na przyjazd **Filaretki**? Czy często pisujesz do **P. Maryli**? **A Gruś** jak się miewa? Ty **Sarneczko** musisz lubić twoje leśne imienniczki? w zeszłym roku straciłam jedną, ach jak się napłakałam! Donieś mi gdzie mieszkasz? jak również i ty **Topolko srebrna**. **Chmurko**, co lubisz w **Wieczorach** kochanych? Ja wszystko. Prawda jaki był ładny opis życia małego króla **Hiszpanii**? **Jaskółeczko** droga przyslij nam prędko twoje skrzydlate siostrzyczki, bo ich tu wyglądamy z upragnieniem. Czy znasz **Józię Hajdukiewicz** z hotelu **Lambert**? Do widzenia, piszcie do waszej *Lilijki z nad Oslawy*.

Drogie moje: **Gałązko paproci**, **Serdeczna dziewczynko**, **Rybko z Hniliopiaty** i **Cyganeczko!** Podobały mi się bardzo wasze pseudonymy, piszę więc do was oczekując odpowiedzi, donoszę że mam lat 14-cie, mieszkam w małym miasteczku **Warcie**; pewnie i wy zrobicie mi tę przyjemność donosząc co o sobie. Sciskam was serdecznie, *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochanej **Niezabudce Czeskiej** dziękuję bardzo za życzenia i przesyłam milion całusów.

Kochana **Blondynko podolska!** Zdaje mi się, że jesteś córką **d-ra K.**, który był kiedyś u nas w **Kaźmirku**. Jeśli tak, to jesteśmy blizkiemi sąsiadkami. Nazywam się **Jadwisia** i bardzo chciałabym cię poznać. Odpisz mi proszę, *Jagódka podolska*.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Dawny pomnik w Meksyku.

Wiadomo zapewne czytelnikom naszym, że Meksyk był krajem cywilizowanym w czasie odkrycia Ameryki. Była to wprawdzie cywilizacja odrębna, połączona z barbarzyństwem w pojęciach religijnych i obyczajach, naród ten jednakże nie był pogrążony w takiej dzikości, jak plemiona czerwonoskórych, dotychczas koczujące po lasach amerykań-

skich. W Meksyku były miasta bogate, a w nich wspaniałe gmachy, na nieszczęście zupełnie zniszczone przez chciwych i nieludzkich zdobywców. Dawniejsze dzieje tego kraju z tego powodu bardzo mało są znane, gdyż wszelkie zabytki, mogące pod tym względem dostarczyć jakichś wyjaśnień, zaginęły prawie do szczytu.

W nowszych czasach dopiero zaczęto pilnie zbierać ślady, pozostałe z ogólnego zniszczenia i odtwarzać choć po części przeszłość zagadkową dawniejszych mieszkańców Meksyku. Ludność tam była mieszana, różne plemiona musiały kolejno przybywać i osiedlać się tam, co zapewne nie obeszło się bez starć i przewrotów gwałtownych. Wszystko to jednak utonęło w niepamięci i nigdy już do wiadomości naszej nie dojdzie. Dotychczas pomiędzy krajowcami meksykańskimi rozróżnić można dwa główne typy, mające odmienne cechy fizyognomii, mianowicie: Azteków i Folteków. Cera ich jest raczej żółta niż czerwona, czem różnią się znacznie od właściwych czerwonoskórych.

I pomiędzy zabytkami starożytnymi, pomnikami, wyrobami z gliny, odnaleźć można w figurach bóstw i różnych postaciach ludzkich, te dwa charakterystyczne typy. Rysunek nasz przedstawia dawny pomnik Folteków; niewiadomo, jakie było jego przeznaczenie. Jest to rzeźba kamienna, dobrze zachowana, przedstawia coś nakształt skrzyni, podstawa ma postać głowy ludzkiej. Widok takich zabytków drażni niezmiernie ciekawość uczonych, nie mogą z nich odgadnąć przeszłości, której świadkami były te nieme glazy. O, gdybyż potrafiły przemówić!

## BRATERSKA POMOC.



— Kto to dzwonił, mateczko? — pytał dwunastoletni chłopczyk, i czarne figlarne oczy szybko oderwał od książki, jakby rad z nadarzającej się ku temu sposobności.

— Listonosz, Janku. Przyniósł nam tak dawno oczekiwaną wiadomość o przyjeździe cioci z córeczkami. Przyjadą w sobotę i przez Zielone Świątki z nami zabawią.

— Niech żyje listonosz! niech żyje ciocia! niech żyją Zielone Świątki! — zawołał Janek, i wskoczywszy na krzesło, podrzucił w górę gramatykę łacińską, z której właśnie miał się jakiejś odmiany nauczyć. Trzeba oddać sprawiedliwość zręczności Janka, bo książka nie rozdarła się, nie spadła na ziemię, ale została zręcznie w powietrzu pochwycona.

— Toż to dopiero będą zabawy i uciechy! Będę kuzynki oprowadzać po Warszawie, będę im pokazywać osobliwości różne. Cieszcie się dorożkarze! będziemy się rozjeżdżać po wszystkich ulicach. Cieszcie się Lursy, Zawistowscy, bo wam lody nie zmarnieją, nie roztopią się. Wszyscy cieszcie się ze mną!

Pani Zawilska z uśmiechem przysłuchiwała się temu potokowi słów, lecz równocześnie patrzyła na starszego syna, Władzia, na którym wieść o przyjeździe miłych gości, także zrobiła wrażenie; porwał się za głowę z mieszananą radości i zakłopotania i zawołał:

— Otóż masz! Jak te panie nie w porę zrobić nie umieją! Któż widział przyjeżdżać do Warszawy przed same- mi egzaminami! Przecież nikt z nas teraz nie ma spokojnej głowy. Dwa dni po Zielonych Świątkach mam egzamin z trygonometrii a Janek z łaciny, i myślę tu o towarzyszeniu pannom i spacerach do Łazienek!

— No, nie gderaj, Władziu — rzekła matka, gładząc białą ręką jego najeżoną czarną czuprynę, którą desperackim ruchem zupełnie potargał, nie gderaj chłopcze na przyjazd kochanej ciotki. Sądzę, że kto przez lat sześć był zawsze pilnym i wzorowym uczniem, kto każdą lekcję uczył się porządnie, ten nie może mieć wielkiego strachu przed egzaminami.

— Ja też tak bardzo nie obawiam się, ale widzi mama, zawsze trzeba kurs powtórzyć, żeby być pewnym siebie.

— Et, co tam! — zawołał Janek. — Co egzamin to egzamin, a co ciocia, to ciocia. Jakoś trzeba te dwie rzeczy pogodzić. Przecież i ja nie najgorszym jestem uczniem, a z łaciny miałem „trójki” przez wszystkie kwartały; zresztą mylisz się mój braciszku, bo to nie z łaciny, ale z geometrii będą nas po świątach egzaminować.

— To jeszcze gorzej; możesz łatwo, jakiego dowodzenia zapomnieć. A potem co?

— Co potem?! nie wiem. Ale wiem co teraz jest. Oto... Władzio jest nudny i mantyka. Ciocia z Zosią i Helenką jest już w drodze do Warszawy, a maj widocznie przez samą Opatrzność stworzony jest na majówkę, czego sama nazwa dowodzi. Oprócz tego przecież jeszcze trzy dni mamy do nauki. Będziemy kuć porządnie, o, będziemy kuć!

— To też zostawiam was, synkowie moi, pracujcie pilnie, to może będziecie mogli bez straty kilka godzin dziennie przepędzić z kuzynkami.

Pani Zawilska odeszła, żeby w domu pewne zmiany dla pomieszczenia gości zarządzić, a chłopcy zabrali się napowrót do nauki.

Władzio po chwili o wszystkim zapomniał, utkwivszy uwagę w matematycznych obliczeniach. Ale Janek nie mógł jakoś myśli zebrać. Przed oczyma jego, zamiast odmian i su-

chych formuł gramatycznych, migwały się białe i czarne łabędzie, unoszone srebrnymi wodami łazienkowskiego parku, zielone trawniki i drzewa i zdziwione twarzyczki zachwyconych Warszawą kuzynek.

— Ciekawy jestem — myślał sobie — czy one mię poznają. Widziały mnie w bluzie z haftowaną kryzą, zwyczajnie chłopczyka. Dziś jestem uczniem klasy piątej, mam granatowy mundur i czapeczkę z palmą; one tam w Madyjce pewno takiego stroju nie widują. Szkoda tylko, że czapka moja jest już trochę spłowiała, ubranie na kolanach wytarte i rękawiczek nie mam. Pójdę do mateczki, żeby zawczasu temu wszystkiemu zaradziła.

Przez następne trzy dni Jankowi coraz to nowe do głowy przychodziły myśli, dotyczące różnych rozrywek przygotowywanych dla kuzynek, a bardziej jeszcze roli, jaką miał w nich odgrywać, tak że dużo mniej mógł się nauczyć przez te kilka dni, jak tego okoliczności wymagały. W sobotę poszli obaj bracia o godzinie szóstej wieczór na dworzec wiedeński; z biciem serca przysłuchywali się dzwonkowi, zapowiadającemu przybycie pociągu i trzymali się obaj najbliższej drzwi, prowadzących na peron. Nareszcie z wielkim hukiem, gwizdaniem i hałasem nadjechał pociąg, od granicy jadący; drzwi otwarto i ludzie, z których każdy oczekiwał na kogoś ze swoich, tłumnie wychodzić zaczęli z sali. Nasi znajomi biegli naprzód i uważnie przypatrywali się, z którego wagonu wyjdzie wyglądana ciocia. Nawet Janek w pośpiechu swym czule ucałował rękę jakiejś nie młodej, dość otyłej pani, która wydawała mu się do cioci podobna; ale była to fatalna pomyłka, bo owa pani powiedziała mu: „Omyliłeś się kawalerze” i wyciągnęła wyrwaną mu rękę do jakiegoś pana, który na nią oczekiwał. O mało co gorzej jeszcze nie było przy drugim wagonie, z którego wysiadła ładna blondyneczka w białej pikowej sukience. Jankowi zdawało się, że to kuzynka Zosia i już miał ją uściskać, ale na wielkie szczęście w tej chwili Władzio pociągnął go ku oknu, którem wyglądała jakaś poważna pani, mówiąca:

— Proszę o dwóch posłańców do zabrania rzeczy.

Z poza tej pani wyglądały dwie zaciekawione główki dziewczęce. Starsza z panienek, ujrzawszy chłopczyków, zawołała radośnie:

— To pewnie nasi braciszkwowie, poznaję ich po fotografii. Władziu, Janku! czy to wy?

— Tak to ja, w mój własnej osobie — zawołał Janek — i mój brat Władzio.

— Jak się macie Zosiu, Helenko. Jak to dobrze, żeście już nareszcie przyjechały, — i wszedłszy do wagonu, zaczęły się krzątać i pomagać paniom do wyjścia.

— Janku — rzekł Władzio, gdy już wszyscy byli w poczekalni — odwieź do domu ciocię i kuzynki, bo mama wygląda ich niecierpliwie; ja się tu zajmę odebraniem i odstawieniem rzeczy; niech mi w tem ciocia zaufa.

— O dziękuję ci mój chłopcze; wiem, że to zrobisz porządnie, a my tymczasem twoję matkę uściskamy.

\* \* \*

Nazajutrz słońce bardzo wczesnie promieniami swymi oświeciło pokój szkolny, w którym po dość długo przeciągniętym wieczorze, obaj chłopcy spali smacznie. Władzio jednak obudził się zaraz, a przetrząsłszy oczy, zaczął wołać na brata:

— Janku, wstawaj! dopiero czwarta. Śniadanie będzie o dziewiątej; mamy więc pięć godzin do nauki. W ten sposób niedospawszy trochę, rankami i wieczorami dużo możemy pracować, a tak i do spacerów należeć będziemy i egzamina nie przepadną.

— Piękna rada — oburknął rozespany Janek, jaby umarł do czwartku, gdybym miał codzień kłaść się o północy, a wstawać ze świtem. Któżby wtenczas za mnie egzamina zdawał; i odwrócił się do ściany, bo światło dzienne w oczy go raziło.

Władzio ubrał się prędko i pracował pilnie, od czasu do czasu nawołując brata do lekcji. Ale napróżno. Janek dopiero o ósmiej wstał z łóżka i powoli zaczął się stroić. O dziewiątej godzinie wszyscy się zeszli na śniadanie. Władzio rze-

żywy i zadowolony; Zosia i Helenka zachwycone katedrą, w której Mszy Świętej już przedtem wysłuchały, a Janek z rozspaniem oczyma i żalem, że parę cennych godzin przepała leniwie.

— Dzień zaczęłyśmy od modlitwy — rzekła wstając od śniadania pani Zawilska, teraz więc możemy robić dalsze plany.

— Władziu, ty jako najstarszy z dzieci, masz głos przeważający. Radz, co dziś ciekawego zobaczyć można.

Władzio namyślał się chwilkę: Przedewszystkiem dobrze było, żeby Zosia i Helenka zobaczyły gabinet zoologiczny w uniwersytecie. To nam zajmie dużo czasu i zmęczy dostatecznie. Jutro radziłbym pojechać do Łazienek.

— Doskonale! doskonale — zawołały panienki; dnie teraz takie ciepłe i pogodne, że spacer będzie rozkoszny.

— A jeszcze spacer do takich przepysznych Łazienek! — wtrącił Janek. Dobrze, zezwalam na projekt Wadzia; wydaje mi się dość dobry.

Mama i ciocia nie czekały wprowadzić na zezwolenie Janka, lecz widząc radość ogólną na wszystko przystały. Dobrze i szczegółowo oglądano okazy zoologiczne, przyczem Władzio był niezmiernie pożyteczny. Nazajutrz zaś cała gromadka udała się do Łazienek. Droga przez Krakowskie Przedmieście, Nowy-Swiat i Aleje Ujazdowskie przesłiznęła się dziewczynkom wydała. Te ogromne trzy piętrowe kamienice, a między niemi, wznoszące się wysoko kościoły, wspaniałe pałace, starannie utrzymywane skwery, tu mnóstwo wystrojonych ludzi; jednocześnie powozy i tramwaje; ta rozmaitość barw jaskrawych i coraz to nowych wrażeń, wszystko to było nowe dla dziewczynek, chowanych na wsi i oszołomiło je zupełnie.

W botanicznym ogrodzie towarzystwo podzieliło się na pary. Janek, podawszy ramię jasnowłosej Zosi, równiennicy swojej co do wieku i mało co mniejszej od niego, szedł dumny i wyprostowany, myśląc, że przy różowej sukience kuzynki ładnie musi wyglądać jego granatowy mundur.

— Jakież to przesłizne róże — rzekła nagle Zosia, wskazując na cały rząd krzewów, wspaniałymi kwiatami okrytych. Szkoda, że to nie u nas w Medyce jesteśmy.

— Dla czego szkoda? przecież Warszawa piękniejsza i nawet kwiatów tu więcej.

— Cóż, że tu są kwiaty, kiedy nie moje; za ledwie przechodząc spojrzeć mi na nie wolno. Gdyby te białe róże kwitły w naszym ogrodzie, jużbym je dawno zerwała — mówiła Zosia i troszkę pogardliwie spjrzała w koło siebie.

Janek się zmartwił; on pragnął żeby w Warszawie wszystko było najdoskonalszem dnia tego, i nie wiele się namyślając, zerwał upragnione róże i podał je z tryumfem dziewczynce.

Spacerujące wokoło osoby ze zgorzaniem spjrzały na takie zapomnienie się chłopczyka, który opamiętawszy się, czerwony jak piwonia, wokoło siebie spoglądał. W tej chwili jeden z ogrodników, zbliżył się grzecznie, ale stanowczo:

— Niech pan będzie łaskaw za mną do zarządu, bo tu kwiatów obrywać nie wolno.

Janka fantazyja opuściła, spuścił oczy i sam nie wiedział, co mu czynić wypada, widząc zawstydzenie Zosi i przykre uczucia malujące się w twarzach zbliżającej się do nich reszty towarzystwa. Udało się wprowadzić pani Zawilską uspokoić jakoś tę sprawę, ale wesołość Janka na długi czas przepadła i gdy stanęli w Łazienkach on trzymał się na uboczu.

— Jakżeż tu ślicznie — zawołała Helenka, stojąc na moście i z zachwytem przyglądając się pałacykowi.

— Tak, ta budowa jest arcydziełem lekkości i smaku, — mówił Władzio. Zdaje mi się, że jest to styl odrodzenia. Ale patrzcie siostrzyczki, jak ten pałacyk otoczony jest wodą.

— A więc jest to wysepka, mostami tylko połączona z lądem stałym. Jakaż to myśl oryginalna.

— A te drzewa wokoło, te wielkie pomarańcze na tarasie to wierzba płacząca, której zwieszona gałązki muskają zlekka falującą się wodę — wołała z zapałem Helenka, lubiąca przedewszystkiem naturę i umiejąca zawsze jej piękno oce-

nić, i posunęła się nad staw, a całe towarzystwo postąpiło za nią.

— Łabędzie! — wykrzyknęła Zosia, takie śliczne, białe i czarne. Jakie mają długie szyje i jak się nas nic nie boją.

— Te łabędzie są przyzwyczajone do ludzi, bo tutaj mnóstwo osób spaceruje i karmią je bułeczką lub piernikami.

— Szkoda, że my nie mamy im co dać. Patrzcie jak one blisko przypływają do samej mojej ręki. Ach, czemuż muszę zawieść ich zaufanie i puścić je z niczem? i Zosia posmutniała; Janek gdy to usłyszał, zniknął na chwilę, ale wkrótce powróciwszy, podał Zosi paczkę pierników.

— Teraz i ty możesz dawać jeść łabędom, bo ja ci w tem dopomogę, i z takim zapałem zaczął się popisywać swą znajomością z łabędziami, że strącił z głowy Zosi śliczny, biały kapelusz!

— Ach! — krzyknęła Zosia, wyciągając ręce i pochylając się naprzód, przyczem noga jej się poślizgnęła. Zosia zsunęła się na schodki i już już... miała wpaść w wodę, gdy przytomny Władzio, chwyciwszy ją za suknię, przytrzymał na czasie. Zosia przestraszyła się i zbladła, wkrótce jednak przysza do siebie. Za to kapelusz którego ratując o mało nieprzyjemnej kąpieli nie użyła, pływał sobie spokojnie zanurzony w wodzie po brzegu. Duży biały łabędź zaciekawiony tym nieznanym sobie przedmiotem, schwycił dziobem za wstążkę i majestatycznie ciągnął go za sobą, nie oddalając się jednak od brzoza, co bardzo zabawny przedstawiało widok. Janek pełen skruchy i zawstydzenia, ze zwykłą sobie żywością, już chciał się rzucić do wody, by nieszczesną ofiarę swego roztrzępania od ostatecznego zniszczenia uratować. Ale Władzio nie dopuścił do tego nierozważnego czynu i przywabiwszy piernikiem łabędzia, długą cioci parasolką zdołał kapelusz wyłowić. Otrzepano go i wysuszono na słońcu. Zosia nadrabiając minką, włożyła go na głowę, choć żal jej było niezmiernie, bo po przymusowej kąpieli wcale już ładnie nie wyglądał.

Następnie wsiedli wszyscy na dużą łódkę i parę razy staw wokoło objechali, przypatrując się jak z różnych stron pałacyk coraz inaczej, a zawsze ślicznie wygląda.

— A to co jest?! — zawołała nagle Helenka, pokazując na prawo, gdzie w pośród bujnej zieloności wyglądały kamienne ruiny.

— To teatr — tłumaczył Władzio, chodźmy tam, a przypatrzcie się mu lepiej. Na tej wyspie pokrytej drzewami, wśród umyślnie, na wzór starożytnych pozostałości Rzymu, ustawionych ruin, odbywa się przedstawienie. A tu na lądzie widzowie siedzą w tym wspaniałym amfiteatrze.

— Cóż to za przyjemność być musi, patrzeć na przedstawienie w tak ślicznej miejscowości — mówiły panienki i radość ich nie miała granic, kiedy p. Zawilska oznajmiła im, że bilety są już kupione na dzisiejszy balet, a one właśnie baletu jeszcze nigdy nie widziały.

Jeszcze słońce nie zupełnie zaszło, kiedy publiczność schodzić się zaczęła. Wszystkie miejsca, od najniższych nad wodą, aż do najwyżej wzniesionych rzędów zostały zapełnione. Na wysepce u stóp widzów zaczęto ogień zapalać i wśród drzew i światła odbijających się w wodzie, przy dźwiękach doskonałej muzyki, zabawny balecik odegrano.

Tymczasem księżyc wzblił nad ogrodami i niebo tysiącem gwiazd zajaśniało. W chwili skończonego widowiska od strony pałacyku zrobiło się jasno. Wszystcy oczy tam zwrócili.

Cały pałacyk, posągi na jego płaskim dachu, liczne rzeźby rozrzucone na tarasie ciemne wysmukłe cyprysy i kuliste pomarańcze stanęły w morzu elektrycznego światła. Był to widok czarowny. Panienki zdumione wlepiły w niego oczy, oniemiawszy z zachwyty.

Gdy światło zgasło i ciemność ogarnęła park cały, wszyscy tłumnie zaczęli pospieszać ku miastu. Zosi i Helence zdawało się, jakby powracały z cudownych krain, opisanych w tyśiącu i jednej nocy i nic nie czuły zmęczenia, choć dzień ten niezwykle był ruchliwy i pełen wrażeń.



# POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

XV.

Preszów, madziarskie Epéries, nad rzeką Torysą położone, stołeczne komitatu szaryskiego, ładne, dziesięcioletnie podówczas miasteczko, pogrążało się w cieniach wonnego lipcowego wieczoru, gdy przed jedną z najskromniejszych miejscowych oberży, zjechał żwawo jak zwykle w Węgrzech czwórka zaprzężony wózek, z którego wyskoczył młody podróżny. Wszedł do głównej sieni i zażądawszy osobnej izdebki natychmiast udał się doń za gospodarzem.

Pomimo skromnych pozorów i taniaści, czy też właśnie dla tych powodów może, oberża była dosyć uczęszczana przez miejscową inteligencję zwłaszcza, niezbyt obfitującą w bogactwa materialne jak to jój się zdarza częstokroć, nie tylko w skromnym acz historycznej pamięci Preszowie. Siedziało więc po kątach dużej wstępnej sali kilku mężczyzn, gawędzących spokojnie przy stolikach i lampeczkach z winem. Za wejściem podróżnego rozmowy ustały i kilka par oczu pogoniło za nim, póki nie zniknął w drzwiach przeciwnych:

— Wiesz ty kto to?... — rzekł wtedy półgłosem jeden z obecnych do towarzysza.  
— Nie wiem, ktoś obcy.  
— Nie zupełnie, ze sławy przynajmniej: to Petőfi!  
— Nie może być! — ozwało się kilka głosów z różnych stron sali.

— Z wszelką pewnością: wiecie przecież że i ja drę się gwałtem na Parnas, i wdarłbym się dawno, gdyby nie to że mi Pegaz szkaradnie jak najostatniejsza podbita szkapą kuleje... — rozmiano się, a poeta ciągnął dalej — pomimo to jednakże będąc niedawno w Peszcie, miałem zaszczyt poznać kilku starszych braci w Apollinie a między nimi i tego; zaręczam że to Petőfi. Jeżeli mię nie przywitał to dla tego że nie dostrzegł.

— Ależ jeżeli tak, to trzeba zawiadomić Tompę i Kereniego!

— A prawda! trzeba.  
— Co to? Co się stało? — spytał gospodarz, wracając od nowo-pryjezdznego i widząc nagły ruch pomiędzy dawniejszymi gośćmi.

— Ten podróżny, to jest Petőfi!  
— Co! ten co napisał *Witezia Janosa*?

— Ten sam! Trzeba copędzej dać znać Tompę i Kereniemu, niechże poeci przywitają poetę! — Obecni goście wybiegli śpiesznie.

— Hej, dziatwa! żonko! do roboty a żwawo, przyrządzać co dom ma najlepszego, a dużo! Wojciech bierz kosz, pójdziemy do piwnicy po wino! — zawołał gospodarz zacierając ręce ochoczo.

— Dla kogo? Dla jednego gościa? Czy nie widzisz że wszyscy się wynieśli? — zapytała zdziwiona gospodyni.

— No no, wróci ich tutaj więcej niż się wyniosło, zobaczysz! — rozśmiał się mąż doświadczniejszy — nie codzien sławny na całe Węgry poeta zajeżdża do naszej gospody, a choć Petőfi to nie Voeroesmarti...  
— Ej, ja tam wolę pieśni Petőfiego niż Veroesmartego — ozwała się młoda córka gospodarza — bo takie jakoś do spamiętania łatwe, i jakby dla mnie naumyślnie pisane! — i młoda Węgierka ani domyślając się, że powyższymi słowy scharakteryzowała bardzo wiernie w istocie główny rys cechujący prawdziwego ludowego śpiewaka, biorąc się żywo do siekania wyborowego mięsiva na guliasz dla spodziewanych gości, zaśpiewała jednocześnie z całej piersi, czystym jak dzwon głosem ulubione „Cztery woły”.

To nie było w starój Budzie,  
Tam nie jawią się te dziwy,  
Na wsi inni jakoś ludzie,  
Tu człek wesół i szczęśliwy.

Wóz kowany uprzężono  
I ochocze wsiadło grono,  
Cztery woły śródkiem drogi  
Ciągną zwolna wóz ubogi.  
I jam zasiadł pośród grona,  
Przy dzieweczce czarnobrewėj,

W zdrowiu, szczęściu, czy w chorobie  
Jedną gwiazdkę miejmy sobie,  
I niech woły śródkiem drogi  
Jaką chcą ciągną wóz ubogi.

Wieczera przygotowywała się żwawo, dziewczyna śpiewała pieśń po pieśni ochoczo, Szandor rzuciwszy się na sofę w bocznej izdebce, słuchał z rozkoszą tych myśli i uczuć własnych, a tymczasem ludzie zaczynali schodzić się do izby i otaczać oberżę, gdy Tompa i Kerenyi jeden za drugim wbiegli za innymi, wołając:

Tam nie jawią się te dziwy!...  
Zaśpiewała znowu mimowoli córka oberżysty, wysłuchawczy uważnie słów poprzednich.

— Na wsi inni jakoś ludzie,  
Tu człek wesół i szczęśliwy —  
Zawtórzyli jój zebrani w sali, a tłum na ulicy coraz gęściejszy przy zapadającym mroku zaczynał wtórzyć śpiewom brzmiałym w sali, bo wszyscy umieli na pamięć pieśni ludowe go śpiewaka.

— Pochodni! Serenada z pochodniami na cześć naszego pieśniarza Szandora Petőfiego! panowie — zawołał ktoś w tłumie, a sto głosów powtórzyło ten okrzyk, kilka pochodni zabłysło prawie natychmiast, mnożąc się następnie z każdą chwilą, i cała ludność miejska huknęła zgodnym chórem:

— Wóz kowany uprzężono  
I wesole wsiadło grono  
Cztery woły pośród drogi  
Ciągną zwolna wóz ubogi!...

Szandor zerwał się i rzucił do okna, potem do drzwi, drżał ze wzruszenia ale zrozumiał od razu o co chodzi, gdyż istotnie dziwne rzeczy spotykały go już w innych miejscowościach:

— Eljen Petőfi! pieśniarz nasz! — huknął tłum na widok bladego młodego chłopca, gdy go Tompa i Kerenyi znani poeci, wywiedli z domostwa na jaskrawymi blaski oświeconą przestrzeń.

— O jedno proszę Boga, abym życiem i śmiercią stwierdził ducha pieśni mej! — powiedział pieśniarz, otwierając ramiona najbliżej stojącym.

— Eljen Petőfi! — odpowiedziano, aż szyby w całym mieście zadzwoniły.

Rozpoczęła się ucza.  
W głównej izbie oberży zasiadła do długiego stołu cała inteligencja dziesięcioletniego miasteczka, z Petőfim na czele, bodaj czy nie najmłodszym wiekiem z obecnych, z Tompą i Kerenyim po obu jego stronach. Wkrótce przy toastach posypały się improwizacye, mniej więcej dowcipne a zawsze huczne, prozą i wierszem, a w tym ostatnim rodzaju przesadzali się oczywiście trzej przy sobie siedzący poeci, żartem ogłaszając konkurs na toasty.

— Ej, co mi tam improwizacya — ktoś nagle zawoła — jest to dar osobny prędkiego wierszowania, przyspieszony proces tworzenia, jeśli chcecie, ale zawsze tworzenia wierszy tylko!... Błyszczcie mi to, huczcie, dźwięczcie, olśniewajcie, otumaniajcie, ale czy to jest poezya? ja nie wiem! Nie wiem, bo nie mam czasu powściąć tego błyszczącego ptaka za skrzydła i przypatrzeć mu się gdyż ulata. Dla mnie poezya musi być koniecznie napisana, abym się nad nią mógł zastanowić: zamiast mówić, napiszcie o wy synowie Apolina improwizacye wasze, wtedy je ocenimy, przeczytawszy.

— Brawo! konkurs poetyczny będzie najważniejszym epizodem dzisiejszej uroczystości! — zawołano chórem.

— Ale dopuszczeni wszyscy kto kiedykolwiek choć raz dosiadał Pegaza! — zawoła Petőfi, przez uprzejmość dla popolitego ruszenia poetów miejscowych, w których Preszów obfitował. Ale na to nie chciano przystać, ograniczając konkurs do trzech głównych obecnych gwiazd, błyszczących na horyzoncie poetycznym.

— Jeżeli konkurs ma być seryo, niechże nie będzie toastem, dajmy temat na wskroś poetyczny, proponuję: przy księżycu... o majowym brzasku... chatka w lesie...

— Chatka w lesie!... — okrzyknięto większością głosów.  
— Zegarek kładzie się tu na środku stołu... poeci wychodzą z materyalami piśmiennymi każdy do osobnej izdebki... obszerność poematu; dziewięć strof, czterowersowych... czas



PAŁAC W ŁAZIENKACH.

Brzmi drużyna ozywiona,  
Dźwięczą śmiechy, dzwonią śpiewy:

— Patrz dzieweczko — rzeknę skrycie —  
Ile gwiazdek na błękiecie!  
Gdy na ziemi śródkiem drogi  
Ciągną woły wóz ubogi.

Ile gwiazdek na błękiecie!  
Ach, wybierzmy jedną jasną,  
I niech nigdy nam przez życie  
Jój promyki nie zagasną!

— Hej gospodarzu, gotuj wiecznę a paradną! i na tyle osób ile ich dom twój pomieści! Słyszał że w Koesmarku wspaniale uczy wyprawiano na cześć Petőfiego; w Borjad mnóstwo dziewczątek w bieli przywitało go wieńcem bluszczowym; urzędnicy komitatu Geomoer nadali mu honorową godność *Tablabiro*. Niby to nic, a w istocie wielka rzecz, przez taką godność nadaną w obcym komitacie na mocy głosowania powszechnego, Petőfi został szlachcicem jako wielki poeta, przypuszczonym do spraw komitatu. I my powinniśmy okazać się że umiemy go cenić!

— To nie było w starój Budzie,

jedna godzina... A przez tę godzinę my, tu, mamy ani słowa nie wyrzec, żeaby nie spłoszyć natchnienia!

(d. c. n.)

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Wiedeń 20 Maja 1890 r.

Kochana Gołąbko, wszak lubisz kwiaty? A któżby ich nie lubił, słyszac hymny królewicza Zielonki na cześć Wiosny? Królewicz Zielonko wprowadził Abrakadabrusa do swego ogrodu zimowego; pozwól, Gołąbko, bym ja ciebie do ogrodów i cieplarni nie wymarzonych, ale istniejących wprowadziła. A takich ogrodów wyśnić niepodobna prawie; rzeczywistość czarująca, olśniewająca jakież nam cuda odkryła! Mówię tu o ogrodach bar. Rotszylda, które tej wiosny dla publiczności otwarte zostały. Pieniądze otrzymane za bilety wejścia, przeznaczone są na zasilenie Towarzystwa: Dobrowolnej pomocy ratunkowej; jednej z najbardziej sympatycznych tutejszych instytucyj filantropijnych. Jest więc i cel szlachetny obok przyjemności. Ogrody bar. Rotszylda położone są za miastem w Ober-Döbling. Rozciągają się one na znacznej przestrzeni, zawierają w sobie inspekta, cieplarnie, szkółki, ozdobne domki w kształcie pałacyków i t. d. Po przekroczeniu bramy tego zazwyczaj niedostępnego Sezamu, wchodzimy w ulicę ogrodową, szeroką, usypaną zwirem, i... następuje maleńki rozczarowanie. Ogrodnicy w odświeżonych ubraniach, rozstawieni po rogach ulic i ścieżek, wciąż nam dalej iść każą. Niezadowolenie nas ogarnia, gdzie owe cuda, o których rozpowiadano? Jak długo ta nieznośna słoneczna droga ciągnąć się jeszcze będzie? A tu zakręt jeden, drugi, mijamy maleńki pawilon z czerwonej cegły, o dachu z kafli kolorowych, pokryty sztukateryjami, wreszcie droga się rozszerza, wступujemy na rodzaj platformy, i... okrzyk zdziwienia wyrwa się z piersi. Z jednej strony wśród klombów i wazonów stoi pałacyk jak cacko, taki błyszczący, pokryty ozdobami, tak misterny i zgrabny, mieniący się w słońcu, strzeżony przez dwa lwy na marmurowych schodkach stojące. Lwy te bronią wistocie wstępu, a jeden z nich, kamienną głowę swoją w przeciwną stronę zwracający, zdaje się mówić: „Patrzcie tam, zkrad widok nie na dzieła ręki ludzkiej się rozciąga, gdzie Stwórca wzgórze wznosił Wszzechmocną dłońią doliny i pola uniał.” Zbliżamy się ku balustradzie, spoglądamy w dal; oko sięga szczytów Kahlenberga... i Leopoldsberga o warownym dawniej zamku. Jakże szeroko pierś tu oddycha, dal niezmierną napełnia zadowoleniem, świat nie jest ciasny, ileż przestrzeni! ileż zieleni, o! świat nie jest bezbarwny! Nasyciwszy się widokiem, zwracamy się naprzód i jesteśmy u celu wędrowki. Rozpoczyna się szereg cieplarni, ciągnących się w głębi ogrodu, ale nie szereg jednolitych, nudnych.

Przeciwnie, cieplarnie te także rozrzucone wśród owocowych szpalerów, wśród cienistych gąszczy i kwiecistych trawników stojące, robią na zewnątrz wrażenie domków z cukru, takie czyściutkie, biało-zielone, eleganckie, a nie przeładowane. Cieplarni takich zwiedziliśmy cztery, są one ogromne, choć na pozór wydają się daleko mniejsze; raz, że są głęboko w ziemię wbudowane i do wnętrza schodzi się po schodach, po drugie, ściany frontowe są stosunkowo wąskie. Wszedłszy dopiero do wnętrza, gubiąc się w labiryncie korytarzy, sal, altan, można się przekonać o rozmiarach tych budynków. W pierwszej zaraz cieplarni, znajdujemy się w alei wrzosów, wszędzie gdzie spojrzysz, masy biało-różowych kwiatów cię witają. Niektóre z nich są to małe drzewka o smukłym pieńku, którego wierzchołek całkowicie pokryty fioletowem, białem lub różowem kwieciem. Z sali wrzosów przechodzimy do innych, róże w doniczkach, azalie i inne barwne kwiaty migają przed oczyma; u sufitu pną się zwoje męczennicy, wśród której liści tu i owdzie duży ów kwiat passyjny spoczywa, co zadziwia kształtem i zasmuca suchotniczą barwą. Tuż koło bladej męczennicy, strzela w górę wysoka, z Jawy pocho-

dząca roślina. Czerwoną jej kwiat, na samym szczycie się znajdujący, stanowi rodzaj dzwonu z podstawką. Świetna jego purpura z daleka w oczy bije. W sąsiedniej przedziałce ustawione liście ozdobne wszelkich odcieni, od białego do ciemnoczerwonego; gładkie, przegowane w zielone, czerwone, białe żyłki stanowią tem barwniejszy kalejdoskop, że w tej właśnie chwili słońce na nie przez szklany sufit spogląda. Jakież przepych. Podziwiamy białe gardenie wśród zielonych, błyszczących liści, zamorską roślinę o grubych brunatno czerwonych liściach, wśród których spoczywa kwiat w kształcie gwiazdy, a w tej gwieździe środek gdyby koral czerwony. Dochodzimy do oddziału kaktusów, zaglądamy doń przez szklane szyby. I oto powstają przed nami skały, a ze skał tych wyrastają lub przyczepione są do nich kaktusy wszelkiego rodzaju. Smukłe, pękate, gąbczaste, gładkie lub najeżone kolcami, rozgałęzione, powykrywane, nagie lub kwiatem ozdobione. Prawdziwie meksykański krajobraz! Czegoż to sztuka ogrodnicza nie dokona!

Dostajemy się na zewnątrz, do ogrodu. Wśród klombów, na kamienistych wzgórkach rosną skalnice, a tuż obok na grządce kołysze się poważnie papuga o czerwono-niebieskiem upierzeniu. W klatkach przymocowanych do drzew śpiewają ptaszki, bzy i wiśnie kwitną; jakże uroczym być musi spoczynek popołudniowy w tem zaciszu! I tu wznosi się pawilonik, ale mniejszy od poprzedniego; nie tak strojny, za to w pnącą się ziemię spowity. Ten zakątek to sielanka wielkopańskiej posiadłości. Ale dróżka wciąż dalej prowadzi; barwinkiem upstrzone trawniki rozszerzają się nagle, przed nami rozciąga się platforma, na niej pałacyk z tarasem. Nastrój idylliczny pierzcha, bo gdy w dal spojrzysz, ukazuje ci się Wiedeń w swęj wielkomięjskiej wspaniałości, poza nim wstęga Dunaju, wzgórze lasami pokryte. Mimowoli ulegniesz urokowi tej panoramy! ponad którą bezgranicznie lazuruwe niebo się zwiesza. A tuż przed tobą balustradą tarasu odgraniczony, wznosi się pałacyk, arcydziełko lekkiej architektury. Miemi się wszystkimi barwami, tysiączne promienie łamią się w kolorowych błyszczących dachówkach, niszce rzeźbami ozdobione i zielenią. Kunsztowne ławeczki, majolikowe wazon rozstawione tu i owdzie, a całość otoczona wieńcem tui i niezapominajek, zwyciężających błękitem swym wszystkie barwy, które tu o pierwszeństwo walczą. Aż trudno oderwać wzrok od owego niemego współzawodnictwa sztuki z naturą. Ale dyżurujący ogrodnik zaprasza do dalszej wędrowki, kierujemy się ku następnej szklarni, gościnnie otwierającej swe wrota. Jest ona największa z wszystkich, najwspanialej utrzymana, najdroższe też zawiera okazy. Czegoż tu niema? Jest lasek amerykański, gdzie rosną wielkie palmy o wieloszczepnych wachlarzowych liściach rozmiaru parasola, lub których liście powycinane nakształd paproci, nadzwyczaj długie a wąskie, ku ziemi się spuszczaają. W głębi wznosi się biała figura, niezupełnie może stosowna w tem otoczeniu, ale na tle pnących się egzotycznych roślin, kwiatów zwieszających się od stropu, fantazyjnych liści, wygląda ona bardzo poetycznie. Cały ten lasek wyłożony jest drobnutkiem wilgotnym mchem, prawdziwy kobierzec stanowiącym. W salach przybocznych znów wzgórki i klomby kwiatowe; olbrzymie, pełne maki, naparstnice, gwoździki, róże, lilie, fuksye, azalie, tak pełne kwieciami, że sprawiają wrażenie kul różowych, georginie odrębnego gatunku i tysiące innych kwiatów, że nazw ich niepodobna wyliczyć. Miły chłód wieje od fontanny, tryskającej w sztucznej grocie, w wodzie złote rybki pływają, tajemniczość nas otacza... Przechodzimy do oddziału storczyków, z których słyną tutejsze cieplarnie. Kroczymy wśród korytarzy, których ściany pokryte są całkowicie listkami „*ficus stipulata*” a od których stropu zwieszają się w kształcie lamp pęki kapryfolium. Miejskami w korytarzykach znajdują się zagłębienia, stanowią one kwieciste altany; ławeczki zachęcają do spoczynku. Z okien tych altanek spoglądać można na grządki storczyków, których barwy i kształty wszelkie marzenia wyobraźni przewyższają. Są tu skromniejsze łąkowe i pyszne zamorskie storczyki czerwone, żółte, zielone, nakrapiane, przypominające twarz ludzką, ptaszki, owady; na niektóre aż strach patrzeć, w takie są zaopatrzone wasy. Niektóre z nich rosną w doniczkach, inne znów wyrastają poprostu z deseczek pokrytych

stosowną warstwą kory. W cieplarni tej przymocowany jest cały szereg podobnych deszczulek kwiatowych, co stanowi bardzo oryginalny widok. Oglądamy jeszcze krzew wanilii o długich strąkach, i żegnamy nakoniec tę cieplarnię pełną cudów i uroków. Zagłębiając się dalej w ogród, wąską drożyną dostajemy się do trzeciej z kolei szklarni, stojącej na uboczu w cieniu krzewów i drzew. Kwitną tu rozrosłe potężnie kamelie, lśnią gładkie liście krzewów cytrynowych. Wspaniałe kolekcje gwoździaków i róż herbacianych, mają swe osobne pokoiki, zwracają też uwagę krzaki polnych stokroci. Zrobiwszy dokładny przegląd, wstępujemy znów do ogrodu. Mijamy inspekta, szpalery drzew owocowych, altany utworzone z gałęzi brzoskwińowych, pozginanych w kratę, wchodzimy do czwartej cieplarni. Zaraz na wstępie uderza nas niezwykle wysoka temperatura i zapach z obecną porą roku nie licujący. O dziwo! toż to truskawki w doniczkach, dojrzałe, purpurowe, wielkie jak pół pięści, a jak pachną, jak nęcą podniebienie! Ściany winną latoroślą porośnię, ze szpalerów sklepionych zwieszają się dojrzałe już fioletowe grona. Dalej melony i dynie, pomidory, wiśnie, brzoskwinie, maliny — wszystkie dojrzałe, soczyste; figi także już spore, choć zielone jeszcze. Bracia moi chcieliby tu dłużej pozostać, ale gorąco nie do wytrzymania; podziękowawszy więc ogrodnikowi, po którego wymowie nietrudno domyślić się Anglika, za objaśnienia, opuszczamy tę prawdziwie ciepłą cieplarnię i jesteśmy u kresu wędrówki. Jak cudny sen stają mi przed oczyma te oglądane wspaniałości, podróż wśród kwiatów nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. A gdy ją wspominam, przychodzi mi na myśl „Kochana pani”, która tak rośliny ukochała, tak potrafiła tajemnice ich życia młodemu czytelnikowi uprzystępnąć, tak swojskie kwiaty nad inne przerosła. Myślę o tem i marzę... o niezapominajkach A brakadabrusa.

*Jaskółka z nad Dunaju.*

## POSZUKIWACZE DZIKICH ZWIERZĄT.

(Dokończenie).

Pewnego wieczora podróżni rozłożyli się na noc pod wspaniałymi palmami na wzgórzach, w suchej miejscowości, co zapewniało im noc swobodną od szkaradnych mustyków, owadów trzymających się wilgotnych nizin. Zaledwie wszyscy posnęli, gdy świst przeraźliwy zbudził ich nagle.

— Maszyna parowa idzie! — krzyknął Tomek na wół przebudzony przecierając oczy. W tejże chwili nastąpił drugi, trzeci i setny, podobny świst z góry, z dołu nawet odezwały się gwizdania tak liczne i przeraźliwe, że młodzi chłopcy uszy zatykali mimowolnie. Równocześnie jakby na hasło jakie, wszystko co spało na ziemi i w powietrzu obudziło się i poruszyło, a co tylko głos wydać mogło, jęknęło, zawył i zaskrzeczało ze strachu.

— Co to jest? — pytał Tomek przerażony, acz nie zbywało mu zwykle na odwadze:

— To pewno burza! — odpowiedział Menito Meksykanin.

— Uciekajmy! — zawołali razem Tomek i Melchior.

— Gdzie?

— Na statek!

— Jeżeli to prawdziwa burza, to nie lepiej nam na rzece niż tutaj!... — rzekł nowy sternik i właściciel statku stary Kolema, wskazując wzburzone fale, jak to bywa zwykle w czasie trzęsienia ziemi. Podróżni pozostali tam jednak gdzie byli. Pomimo wycia i świstania, które jeżeli ustawały chwilo, to jeszcze gwałtowniej odzywały się natychmiast, jakaś dziwna bezwładność opanowała chłopców, że prawie ruszyć się nie mogli, Melchior zaś pytał sam siebie, czy przykra ta noc nigdy się nie skończy?

— Słuchaj pan — rzekł Kolema do Melchiora dotykając jego ramienia w chwili gdy piekielny hałas ustał na sekundę. — Czy słyszysz pan co wiatr wyprawia w wierzchołkach drzew? To trąba się zbliża! spodziewałem się tego!

— Mniejsza o to, noc przecież mija, dzień nadchodzi, a to coś znaczy — powiedział Melchior wskazując kilka smug białawych na niebie. Próżno się pocieszał jednakże; zdawało się że wrzaski złowieszcze i te głosy bez nazwy, od jakich drżała ziemia, po to tylko ustawały aby niebawem tem silniej wybuchnąć. Huragan o jakim my mieszkańcy stref umiarkowanych nie mamy pojęcia i coraz częstszy trzask piorunów powiększały grozę chwili. Deszcz nie padał, ale tumany suchych liści, gałęzi i piasku, wzbijały się w powietrze i spadając uderzały jak grad nieszczęśliwych podróżnych, którzy w obec tej strasznej burzy byli bezbronni, a w dodatku musieli walczyć z wezbranymi falami rzeki, która wylawszy, utworzyła ze wzgórz, obecnego schronienia podróżnych, maleńką wysepkę, gdzie chwytając się tylko mocno krzaków i drzew, zaledwie utrzymać się mogli. Przez ostrożność Czarnulo został przywiązany do drzewa, ale gdy woda i tam to biedne zwierze już miała zalać, wtedy przerażone, jęki swe przyłączyło, do jęków natury. To jednak otrzeźwiło chłopców z owego odętwienia, będącego może skutkiem wyziewów powietrznych, albo tylko nadmiaru trudów i grozy. Menito litując się nad biednym zwierzęciem, z narażeniem własnego życia dostał się ze swęj wysepki do drzewa, u którego Czarnulo był uwiązany a odwiązawszy, skoczył mu na grzbiet, lecz kierować i wstrzy, mywać je podczas tak strasznej burzy nie było łatwym zadaniem. Menito bezwzględnie narażał życie, ale oprócz istotnego współczucia dla zwierzęcia przychylnego ludziom, zdawało się że w meksykańskim chłopcu, ozwała się nagle jakaś nowa siła, jakaś dzika przyjemność w tej walce z burzą, gdyż i on począł wydawać dziwne okrzyki radości czy przerażenia jakby wtórując głosem szalejącej natury.

Gromada małych czerwonych ulokowana nad głowami podróżnych na olbrzymich palmach i głuszająca ich wrzaskiem od samego początku burzy, teraz nagle ucichła, zbierając się jakby na jakąś naradę. Zgromadziwszy się na potężnej palmie figowej zdawały się naradzać nad pytaniem czy drzewo to wytrzyma obłężenie jakie rzeka i burza mu wydały? Małpy szczebiotały gwarnie, tłumnie i niezgodnie, jak się to często w podobnym razie u ludzi zdarza.

Przeszło od czterdziestu minut trwał już ten piekielny chaos natury, gdy Kolema zdoławszy znów z trudem dostać się do Melchiora, krzyknął mu kilka słów do ucha, których jednakże kapitan w ogólnym hałasie nie dosłyszał, marynarz tymczasem mówił, że burza zbliża się ku końcowi, i wstocie w kilka minut nagle wiatr ustał. Zmiana na pogodę nastąpiła równie niespodzianie jak wprzód na burzę. W niecały kwadrans po najwyższym wzburzeniu, najzupełniejszy spokój zapanował w wysiloniej naturze. Słońce ukazało się w całym wspaniałym blasku i pozwoliło wędrowcom przemokłym do szpiku, osuszyć się i ogrzać w jego dobroczynnych promieniach; rzeka tylko była jeszcze tak wzburzona, że nie należało jej ufać i puszcząć się na fale. Noc następna wynagrodziła Melchiorowi i jego towarzyszom poprzednią, była to jedna z tych podzwrotnikowych nocy tak cichych, jasnych i rozkosznych, że urok ich starczy za dzień najpiękniejszy. Księżyc oblewał srebrzystym blaskiem pyszną, olbrzymią, bezbrzeżną rzekę, ukazując na niej tu i owdzie kępy zieleni, podobne do kwiecistych kosów, poza którymi znowu srebrzyła się woda. Pomimo poprzedniego utrudzenia, podróżni nie mogli wyrzec się tych precudnych widoków, tem więcej, że wędrówka ich zbliżając się już do końca, nie obiecywała więcej takich rozkoszy.

Ze wschodem słońca pomiędzy krzewami i trawami otaczającymi rzekę i wyspy, rozróżnić można było gromady alligatorów i kaimanów rozkoszujących się także precudnym porankiem.

— Jaka szkoda, że nie możemy pozostać tu na resztę życia! — rzekł Tomek w kilka dni potem, gdy pysznym wieczorem spoczywano pod wspaniałymi drzewami, których zwieszane gałęzie naokoło chwytały się gruntu, niby kolumny podtrzymujące gmach okazały.

— Jakże pozostać tutaj — zawołał z zapalem Menito, gdy możecie wracać do Europy! jakże byłbym szczęśliwy na waszem miejscu!...

— A więc pojechałbyś z nami — rzekł Tomek. Tu Menito wyraził gorącą chęć towarzyszenia swoim przyjaciółom...

Kapitan sprzeciwił się temu z powodu nieznanej mu przeszłości chłopca.

— Nigdy, wyrzekł nie mogłem dowiedzieć się od ciebie jak przepędziłeś dwa ostatnie lata życia zanim zobowiązałeś się do służby u mnie? podejrzewam że musiałeś uciec od rodziców; a jeżeli tak jest, to nie chciałbym zabierać cię na stary ład, z kądem trudniej jeszcze byłoby ci do nich powrócić, co przecież jest twoją powinnością, której dopełnisz jak się spodziewam.

— A więc kapitanie... kiedy tak... powiem ci prawdę. Tak, zgadłeś, uciekłem! ale nie od rodziców, bo tych utraciłem w maleńkości, tylko od pewnej starej kobiety, która wzięła mię z litości jak powiadała, ale o ile to rozumiem, wzięła mię po to tylko, aby wychować na żebraka i złodzieja. Gdy to zrozumiał tak się okropnie wstydiłem i moja opiekunka przemawiała mię takim wstrętem, nawet gdy już od niej uciekłem, że nigdy nie miałem odwagi tego wam powiedzieć. Ale teraz to co innego: sami widzicie, że nie mam żadnej szczególniejszej przyczyny jak Dabby powracać do Meksyku, a nawet... przeciwnie.

— On ma słusność mój wuju! — zawołał Tomek — on ma słusność, nie możemy go tu zostawić przecież, aby wpaść znowu w ręce tej okropnej kobiety! — Melchior uśmiechnął się patrząc w szczerą i otwartą twarz Menita.

— Ja bym się nie bał o Menita — rzekł — bo pewien jestem że potrafiłby w każdym razie wymknąć się z rąk niesprawiedliwych ludzi, jak to już raz uczynił; ale, jeżeli on chciałby popłynąć z nami...

— Otóż to... kapitanie — zawołał mały Meksykanin — wszakże ty sam powiedziałeś raz kiedyś niechcący, że podróż statkiem drogo kosztuje!...

— Tak jest wistocie — rzekł Melchior wesoło — ale co do tego punktu, to możeby się dało tak ułożyć, abyś przejechał w dodatku do licznych moich jak wiesz żywych i nieżywych bagaży, ale jest inna trudność: bo jakżebyś ty zarabiał na życie w Europie?

— No, a ci którzy tam w Europie mają ten jakiś ogród do którego zwierząt potrzebują, czy oni nie potrzebowaliby człowieka, któryby temi zwierzętami się zajmował, karmił je umiejętnie i pielęgnował wedle potrzeb ich natury? Czyby tam mię nie użyto do jakiej usługi?...

Dzień następny był ostatnim pobytu na Amazonce. Można było już i tak sądzić, że statek znajduje się na pełnym morzu, gdziebyś nie spojrział, rozciągał się tylko obszar wód bez końca, zasiany gdzieindziej błotnistymi wysepkami. Następnego dnia przybito do Para naprzeciw wyspy Maraja, tworzącej niezmierną deltę w ramionach rozdzielonej przez nią Amazonki, która po przebiegu sześciu tysięcy pięćset kilometrów, wpada do oceanu niezliczoną ilością ujść.

Tam, Melchior znalazł zwierzęta, które po kilka razy wysyłał, i wkrótce znakomite te osobliwości zostały starannie umieszczone na statku parowym płynącym do Europy.

Chwila pożegnania ziemi amerykańskiej nadeszła, nie bez żywego żalu, stary Dabby, Melchior i młodzi chłopcy ścisnęli sobie wzajem ręce po raz ostatni w życiu... prawdopodobnie. Dabby zęgnął się serdecznie ze wszystkimi, nie wyłączając Bibisi, a ściskając w objęciach Kasztana, rozplakał się serdecznie.

— Do widzenia! — wołali wszyscy, wzajem machając ku sobie chustkami i kapeluszami, w chwili odpłynięcia statku *Antylopy*...

Czy burze pozwolą *Antylopie* dobić ze swym ładunkiem do Europy?... któż to odgadnie?...

## KONKURS.

Na zapytanie jednej z czytelniczek odpowiadamy, że konkurs nasz obecny z zakresu botaniki za który wyznaczamy nagrody jest: *Opisać kwiat najwięcej sobie ulubiony i objaśnić dla czego przenosi się go nad inne.* Warunki pozostają te same jak przy dawniejszych konkursach.

*Redakcyja.*

## SZARADA.

ułożyła M. P. dla czytelników *Wieczorów*.

Pierwsze, stałe miejsce między literami.  
Drugie, łatwo odnaleźć między przyimkami,  
Pierwsze-drugie, pamiętne cudem Zbawiciela,  
Pierwsze-trzecie, w kościele, gdy przyjdzie niedziela.  
W życiu, lubo prędzej przy znaczniejszych świętach,  
(Choć widzieć ją możemy i na własnych sprzętach)  
Trzecie-pierwsze, zwyczajnie za schowanie służy,  
Dla różnych w domu gratów, a częściej w podróży.  
Wszystko sprzęt, co go raczej wynalazła moda,  
Niż ze smakiem wykwintnym złączona wygoda.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

### Łamigłówki sylabowej:

Juliusz Słowacki. Książę niezłomny.

1. Jabłecznik.
2. Ulises.
3. Laskonogi.
4. Idyotą.
5. Uprząż.
6. Serce.
7. Zabobon.
8. Sasanki.
9. Łoże.
10. Ostromlecz.
11. Wyżeł.
12. Arno.
13. Cymborium.
14. Kameleon.
15. Ignacy.

### Rebusa:

Siła zlego dwóch na jednego.

## OD REDAKCYI.

Przy kończącym się pierwszym półroczu r. b. przypominamy prenumeratorom półrocznym, wczesne odnowienie przedpłaty jeżeli nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce Pisma. Oprócz zapowiedzianych prac innych autorów, drukować będziemy w dalszym ciągu Zofii Urbanowskiej z **Wyspy Atlanty** w dodatku zaś po ukończeniu „Szesnastoletniego wojewody,” powieści Bronisławy Porawskiej dla starszej młodzieży pod tytułem: **Przybrana matka.**

Piąty zeszyt tomu I-go **Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej ilustrowanej** wyszedł z druku. Wyszedł również 5-ty zeszyt **Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach**, wydawanych pod kierunkiem A. Dygasińskiego, nakładem A. J. Wiśniakowskiego.

**TREŚĆ:** Dawny pomnik w Meksyku (z drzew.) — Bratnia pomoc (drzew.) — List Jaskółki z nad Dunaju. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (dokończenie). — Konkurs. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Sierotka (z drzew.) — Mała nauczycielka, wierszyk. — Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## SIEROTKA.

Mała Jadwisia, pojechawszy po świętach Bożego Narodzenia z miasta na wieś, do dziadunia i babuni, miała bardzo wiele zajęcia. Zawsze rano, po śniadaniu i dwóch godzinach lekcji z babunią, które jako siedmioletnia dziewczynka odbywała wzorowo, ubierała się ciepło w kapturek i futerko, i jeżeli dziadunio nie jechał gdzieś dalej, wychodziła z nim obejrzeć gospodarstwo. Wszystko tam zajmowało ją ogromnie. Wychowana w mieście, nie miała wyobrażenia jak to wieś wygląda nawet, i z początku bała się wszystkiego; niedługo przecież nietylko że bać się przestała, ale tak polubiła całe gospodarstwo że skoro dziadzio nie miał czasu, prosiła babci o pozwolenie towarzyszenia sobie pokojówce Rózi, i pod jej opieką szła obejrzeć cały inwentarz. Więc najpierw zwykle szły do obory, gdzie ślicznym cielątkom rozdawała chleb z solą zabrany z domu ze sobą; potem do stajni, zobaczyć jak się mają cugowe siwki i ulubiony „kasztanek” wierzchowiec dziadzi, który sam jeszcze doglądał na nim robót w polu, a nakoniec do owczarni. Tutaj Jadwisia najlepiej lubiła zaglądać i najwięcej czasu zawsze przebywała. Małe jagniątko, których z dniem każdym przybywało, zachwycały ją najwięcej. Śmiała się z całego serca patrząc na ich figlarne pierwsze skoki, naśladowała beczenie, i wchodząc do ich przegródki pieściła się z nimi, ciesząc się jak szczególniejszym jakimś sposobem nie bały się jej wcale.

Pewnego dnia, po takiej właśnie zabawie wychodziła już z owczarni skoro w jednej z klatek ujrzała za grzebane niemal w słomie jagniątko. Wyglądało jeszcze na bardzo małe i wątłe, a pomimo to matki z nim nie było, coby je karmić mogła. Dziewczynka zdziwiona

pobiegła do starego owczarza, pytając co to ma znaczyć że takie maleństwo zamknięte jest osobno, ale jakież było jej zmartwienie skoro dowiedziała się, iż wczoraj właśnie matka jego zdechła, a wszystkie inne owce do których to biedactwo przyłączono, poznawszy nie swoje dziecko, bodły i biły je niechcąc dać pokarmu.

— Biedna sierotka! — zawołała Jadwisia ze łzami w oczach, głaszcząc stworzonko, które osłabione głodem, nietylko że nie chciało od niej uciekać, lecz chwyciwszy za mały paluszek rączki, zaczęło ssać łakomie — i cóż z nią dalej będzie?!...

— Ha, nic panienczko — odparł owczarz — musi tak zmarnieć, kiedy go żadna owca przygarnąć i wykarmić nie chce, taka już jego dola.

— Co? zmarnieć!... — ona na to nigdy nie pozwoli żeby ta owieczka zdechnąć miała. O nie, nigdy!

Pobiegła szybko do domu, potem prosto do dziadzi pokoju, a skoro po kilku minutach ztamtąd wyszła smutna jej twarzyczka promieniała radością. Tak, prosiła właśnie dziadunia o pozwolenie wychowania małej owieczki, a prosiła tak serdecznie że otrzymała je. Dziadzio wprawdzie wątpliwie pokiwał głową jak mówiła o wykarmieniu maleństwa, ale ona wie co robi. Ma swoich własnych ubieranych pieniędzy parę złotych, kupi za nie taki gumowy smoczek z butelką, jakim w mieście karmią niektóre dzieci, i owieczka nie będzie głodną.

Już kiedy tak smacznie ssała jej paluszek, to niezawodnie ciepłe mleko z takiej buteleczki nierównie lepiej smakować jej będzie!...

Babunia pochwaliła zamiar wnuczki i tego samego dnia jeszcze, ponieważ była okazja do miasteczka i kupiono smoczek, „sierotka” jak ją odtąd nazywa którą babunia kazała przynieść i ulokować w oficynie, była nakarmioną do syta.

Mleko i nowy sposób żywienia podobał jej się widocznie, czy też może nie miała czasu przywyknąć do pokarmu matki, bo sporą buteleczkę wysączyła ze smakiem do dna.

I odtąd kilka razy na dzień troskliwa dziewczynka biegła do oficyny, by tam z pomocą Rózi zaspokoić głód wychowanki, lub zajrzeć co tam sama porabia.

A Sierotka nie okazywała się niewdzięczną. Skoro tylko ujrzała z daleka swą opiekunkę, biegła ku niej becząc radośnie, lizała jej rączki, ocierała jak kotek białą kręconą swą wełnę, a z łagodnych niewinnych jej oczu, można było wyczytać przywiązanie, jakie miała do dziewczynki. Zwolna mijały miesiące zimy i nastąpiła ciepła wiosna.

W ogrodzie zazieleniła się świeża trawka i powychylały z niej ciekawie na świat główki różnobarwne kwiateczki. Wówczas to Jadwisia pierwszy raz wyprowadziła na dwór sierotkę.

Owieczka z czerwoną wstążeczką i dzwonkiem u szyi, wśród zieleni ślicznie wyglądała.

Dopieroż to była zabawa na trawniku! Gdzie tylko Jadzia się ruszyła, biegła w ślad za nią jej wychowanka. Goniły się, chowały i odszukiwały, pieściły do woli, a skoro już później latem poszła do owczarni by razem z drugimi chodzić na paszę, tęskniła z początku bardzo, becząc żałośnie za swą panią, a ile razy zobaczyła ją z daleka choćby na polu, biegła ku niej i lizała po rękach, jakby dziękując za uratowane niegdyś życie...



### MAŁA NAUCZYCIELKA.

— ały dzień się uczę sama,  
Tylko mi pomaga mama,  
W wieczór piszę na papierze  
I wycinam po literze  
A rdzeństwo wnet się spiera  
Jaka to jest ta litera...  
Rzędem będę głoski kładła  
Niech się uczą abecadła!...

### Jak zrozumiała Helenka napomnienie mamy. X

(Dokończenie).

Powiedziawszy to, mama wzięła robótkę. Cisza panowała przez chwilę.

— Co ja pocznę! — nagle krzyknęła Helenka, załamując ze smutkiem rączki.

— Zkądże rozpacz i te łzy? — pytała mama, z widocznym niepokojem.

— O najlepsza, droga moja mateczko! jakże smutno nie mieć nic swego, bo i zasług żadnych się niema!

— Niepoprawna dziewczynko! także to rozumiałaś? Trzebaż koniecznie zyskiwać obdarzając? Niedosćże tej słodkiej w duszy pociechy, żeśmy podali zgłodniałemu kęs chleba, wspomogli nędzę, otarli łzę sieroty? Lecz jeśli Helcia koniecznie pragnie zysków, niechaj się czasem pozbawi przyjemności, jakichby za swe pieniądze użyć mogła, a wtedy każdy spełniony obowiązek stanie się dla niej miłszym, nawet bez głośno wyjawianej zasługi. Gdy ta jest czystą, wielką, sama przez się zyska uznanie.

Helcia zadumała się głęboko.

— O czym? — weseliej spytała mama, patrząc jej prosto w oczy.

— Myślę, że... gdyby można, że... gdyby wypadło...

— Cóż takiego? powiedz otwarcie.

— Mamo! — i żywo skoczyła Helenka, ściskając mamę za szyję — myślę, jedyna, złota!...

— Prędzej! wypowiedz te myśli, Helciu — rzekła z wielkiem zajęciem mama.

— Czy prawda, że w dniu moich urodzin dostałam od babuni dukata?

— Najoczywistsza, stwierdzona prawda.

— I że mateczka pozwoliła go wydać?

— I to jest święta prawda.

— Wydać, lecz na co zechcę?

— Raz ostatni mówię, że prawda.

— Och, dobrze, dobrze! — klaszcząc w ręce i skacząc wołała Helenka. Teraz dopiero najlepiej zrozumiałam!

Nazajutrz rano zapytała jej mama, przed rozpoczęciem lekcji:

— Gdzież to schowałaś ów dukat? Jestem ciekawa czy nie zginął przypadkiem.

Helenka stanęła strasznie zakłopotana.

— Ej, pewno się dukacik spotkał z ciastkami, albo roztopił jak cukierek? Milczysz?... źle, bardzo źle, bo dzieci nigdy nie powinny kupować nic bez wiedzy rodziców.

— Ja... ja też nic nie kupiłam.

— Ani nawet zabawek?

— Nic, nic doprawdy, kochana mamo.

— Nic?... tajemnice jakieś przed matką? Nie spodziwiałam się tego po Helence.

— Mama — odrzekła nieśmiało Helenka — pozwoliła go przecie wydać.

— Zatem wydałaś?

— Podobno... jakoś... wczoraj.

— Powiedz szczerze, wyraźnie na co.

Helenka milczała skubiąc różek fartuszka.

— Nic nie powiesz? — głośniej odezwała się mama. Żadnej nie było odpowiedzi.

— Pytam gdzie dukat. Nie słyszy Helenka?

— Nie wiem — z pokorą wybąknęła córeczka.

— Tego zanadto! Nie wolno kłamać! Zasłużyłaś na karę. Proszę pójść za mną! Nie wyjdiesz z domu, póki się nie znajdzie twój dukat. I mama idąc poważnie zwolna, zmierzała ku domowi.

Łzy się polały z oczów Helenki. Szła z pochyloną głową, gdy wtem jej błysła w drodze myśl nowa, bo podniósłszy do ust swą lewą dłoń, szeptała ciche słówka:

— Co to jest? — rzekła stanawszy mama.

Zamiast żądanej odpowiedzi, Helenka przyłożyła rączkę do ucha, jakgdyby nadstuchując.

— Dość tego! idźmy! Helenka ma dziś gorączkę! rozmawia z własną ręką.

— Mamo — odparła z żywością Helenka — mateczka mi przebaczy! Ja pytałam się lewej rączki, co zrobiła z dukatem prawa.

Mama spojrzała badawczo i zrozumiała.

— Nie wie twoja lewica, co uczyniła z nim prawica? Czy nie zgadłam?

— Tak, tak, najdroższa moja mateczko! bo prawica chciała dobrze zrozumieć.

— I o dobrych czynkach nie powiedzieć nikomu?

— Tak! i nie chwalić się, bo to grzech.

Długi serdeczny uścisk utulił małą główkę na silnie bijącym sercu.

— Dałaś swój dukat pewno kobiecie, której dziecko jest bardzo chore?

— A! mamó — rzekła jakby z wyrzutem Helenka.

— Nie, już nie pytam! — ciągnęła mama, gładząc jej lekko włoski. — Ta kobieta jest rzeczywiście ubogą, dobrą i godną współczucia matką. Ja także ją wspomogłam, ale im więcej rąk pomocnych, tem lepiej. Niezmiernie się ucieszy babcia, żeś tak dobrze rozporządziła otrzymanym od niej pieniążkiem.

Nakoniec jedno jeszcze pamiętaj, że dziecko matce wszystko wyznać powinno, a nawet i to co prawa ręka Helci chce ukryć przed jej lewą. Jest to wyjątek w zasadzie tej nauki.

— Nie zapomnę go, moja mamó.

— A teraz idź i włóż kapelusik. Trzeba odwiedzić babcie.

— Biegnę! zaraz będę gotowa!

*Ewa Marya.*

### Łamigłówka kryształowa.

ułożył Rycerz błękitny dla Komara przedpotopowego.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Galicyi.
3. Część ręki.
4. . . . .
5. Rzeka w Polsce.
6. Dopływ Wołgi.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy liter utworzy nazwisko autorki wielu książek dla młodzieży.

### ZAGADKA.

ułożyła Ewa Marya.

Głośny rycerz, ma hełm czerwony,  
 Pancierz lśniący różnie barwiony,  
 W żółtym bócie z twardą ostrogą,  
 Stąpa dumnie i patrzy srogo,  
 Kiedy na straży stojąc u płotu,  
 Krzyknie: Kto to tu?!  
 A widząc że to cichy kolega,  
 Zaraz mu chyżo drogę zabiega.  
 Przystawa hardo,  
 Czeka z pogardą;  
 W końcu, chociaż mu nie grozi zdrada,  
 Raptem nań wpada,  
 Szarpie, drze, bije  
 W łeb, w kark, w pierś, w szyję;  
 W boju zażarty,  
 Strasznie uparty,  
 W prochu go tarza,  
 Na nic nie zważał  
 Lecz ten, co słabszych, w okrutnym szale,  
 Bez krwi rozlewu nie puszcza wcale,  
 Przed chwytającą ręką człowieka  
 Jak tchórz ucieka!

Ów rycerz, z sercem do zwady skorem,  
 Staje się butnym junaka wzorem,  
 Co gardząc mocą szlachetną, prawą,  
 Gotów każdego napadać z wrzawą,  
 Zanim odparty nie pierzchnie w złości:  
 Jego potęgą w drugich słabości.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

#### Zagadki:

Ma — ryś.

#### Łamigłówki kryształowej:

G  
 K O t  
 M a Ł p a  
 G O Ł A B K A  
 B a B k a  
 O K o  
 A

### Skrzynka do listów.

Omyłkę co do nazwiska „Pomarańczarki rzymskiej”, prostujemy obecną korespondencją, odpowiedź na pierwsze jej zapytanie dajemy w ogłoszeniu o konkursie.

**P. Sokulski** w Zarajsku. Żądana książeczka wysłana, kosztuje wraz z przesyłką tylko kop. 70, pozostało przeto kop. 30 do dalszego rozporządzenia.

**Adelci W.** posłaliśmy zgubiony numer, aby jej oszczędzić „zmartwienia”.

Posłaliśmy także **Oleńce** żądane numera; pierwszego listu nie odebraliśmy wcale. Za korespondowanie z współczycielniczkami nie pobiera się oddzielnej opłaty.

**Złota Przędzo**, marzenia nie są grzechem; trzeba tylko snuć z nich „złotą przędzę” postanowień szlachetnych i postanowienia te w czyn zamieniać. Na takie marzenia dana jest człowiekowi młodość co nad poziomy” wlatuje... Za przysłane kwiaty dziękujemy serdecznie, również jak i za pobudkę, która cię skłoniła do niepoprawienia listu siostrzyczki. Z prawdziwym współczuciem czytaliśmy opis strasznej kłęski.

**Żabko z Podola**, z największą ciekawością czytaliśmy „oznajmienie” o kotku, piesku i lalkach. Zosię koniecznie upomnieć trzeba, aby się lepiej obchodziła z Helcią, cóż ta biedaczka pocznie teraz bez główki? Mamy nadzieję, że przynajmniej piesek nie postąpi tak niegodziwie z kotkiem.

**Kłósku** drogi, przestańże już być malutkim, skoro ci o to chodzi i na pełny, ziarnisty, chlebobajny kłós wyrastaj czempredziej.

**Iskierce** całusa przesyłamy; zrobi się z liścikiem według jej życzenia.

**Oleńkę „z Kowla”** oraz **Oleńkę „z pod Ojcowa”** z przyjemnością zapisujemy pod tym pseudonimem do grona korespondentek.

**Stokrotce z nad Stochodu** dziękujemy, że tak się do życzeń naszych stosuje i wymagania uwzględnia. Jednorazowe przystanie adresu jest zupełnie wystarczające.

**Komecie** żądany numer pošemy. Rebusy tylko poprawnie rysowane umieszczamy.

**Niezabudce z nad Chomoru** dziękujemy za życzenia, które wszakże nie należą nam się teraz.

Najlepszym podziękowaniem za nagrodę, otrzymaną na konkursie kalligrafii jest liścik tak kaligraficznie napisany. Tego Janosika zecer ma na swoim sumieniu, myśmy o Janosiku pisali.

**Żabce z suchej wody i Srebrnej rosie** nic „do wybaczenia” nie mamy; owszem za życzliwą o nas pamięć dziękujemy serdecznie. Liściki wydrukujemy.

**Wierzbo płacząca ze Żmudzi**, chętnie przystajemy na nowy pseudonym, życzymy jednak więcej wytrwałości w upodobaniach. Mówiąc zaś to, niekoniecznie same pseudonimy mamy na myśli.

O, **Biały Bzie**, jak ci pilno! cierpliwości, kwiatku kochany! Skrzynka do listów zawsze pełna...

Serdecznie nas cieszy, że tak **Zorza**, jak i tyle innych korespondentek z zajęciem czytają listy Abrakadabrusa. Numera żądane posłemy.

**Dobremu czynowi** (czy w darze od nas przyjmiesz ten pseudonym, ex-Niebieska wstążeczko?) serdecznie dziękują za konwaliaę, a jeszcze serdeczniej za pamięć, obdarzone nią osoby. Solelizantka osobno dziękuje za przysłane jej życzenia.

**Pani J. Krz.** dziękujemy za słowa uznania.

**Błyskawicy** zasylamy szczerze życzenia powodzenia w egzaminach. Kto tak uprzejmie przeprasza za mało znaczące roztrzępanie, na tego gniewać się niepodobna, tembardziej, że i u nas zakradła się pomyłka, z powodu której możnaby nas o roztrzępanie posądzić: dodaliśmy odważnemu Pływakowi lat; ma on dopiero lat 11.

Pseudonimy obrane przez **Muszelkę z nad Bohu i Obłoczka z nad Tepliku** bardzo są dobre, a ich właściciele miło nam powitać w gronie korespondentów.

O, **Psotnico** prawdziwą jesteś psotnicą, skoro takie figle płatasz przyjaciółkom.

**Wesoła Pieszczołka** bardzo dobrze zrobiła, dodając określenie do swego pseudonimu.

Miło nam słyszeć, **Góralko** droga, że z zajęciem czytasz pracę tej, która tak was kochała i tyle dla was pracowała.

I u nas **Kulko śniegowa** pogoda śliczna, a wiosna nawet i w wielkim mieście ma sobie właściwe uroki. Ach! gdyby to od nas zależało, ani jedno maleństwo ubogie nie spędzałoby lata w Warszawie. Poczciwi ludzie dużo dają na ten cel i z każdym rokiem więcej dzieci korzysta ze świeżego powietrza.

**Brzydotko z nad Tamizy** za pamięć o biednych, niech ci Bóg wynagrodzi i drugi dziesiątek lat pozwoli tak przepędzić, abyś kończąc go, gotową już była do podjęcia wszystkich obowiązków życia.

Kochany **Łobuzie!** Chciałbym zobaczyć się z tobą. Czytam z zajęciem nasze kochane **Wieczory**, podoba mi się najlepiej powieść: „Pod wpływem błogosławieństwa”. Co porabiasz? Czy zdrów już jesteś? Odpisz mi. *Plug poleski.*

Kochana **Jaskółko z nad Sekwany**. Czy zgadniesz kto do ciebie pisze? Czy zechcesz ze mną korespondować? Nie znasz mnie wprawdzie, bom nową prenumeratorką **Wieczorów**, ale ja ciebie znam doskonale z opisu. Wszak ci na imię **Julcia**? Kocham cię. Dla czego? spytasz. Może dla tego, że równa nasza dola; obie na obecnej ziemi znamy kraj nasz rodzinny tylko z opowiadania. Ścisłkam cię serdecznie, a ktoś co mi dużo o tobie opowiada, całusa ci posyła. Odpisz wnet *Szarotce alpejskiej*.

Drogi moje: **Litwinko z nad Szczary i Złota wierzbo!** Niezmiernie mnie ucieszył twój liścik i chętnie będę z tobą korespondowała. **Złota Wierzbo**, bardzo mi się twój pseudonym podobał. Donieś mi jak ci na imię ile masz lat, i jaka powieść w **Wieczorach** najwięcej ci się podoba. Donoszę wam, że na imię mi **Zosia**, skończyłam niedawno lat 13 i zimą mieszkam w Warszawie, **Ścisłska was Barwinek**.

Kochana **Cyganecko z nad Wisły!** Nie wiem, czy sobie przypominasz, że pisywałam do ciebie pod pseudonimem „**Kamelii różowej**”, przerwałam korespondencję z powodu różnych sprzeciwiających się temu okoliczności. Donieś mi droga **Cyganko** ile masz lat? gdzie mieszkasz i gdzie się uczysz? Która ci się powieść w **Wieczorach** najbardziej podoba? co do mnie to „**Szesnastoletni wojewoda**”. A teraz na zakończenie całuje cię serdecznie. Twoja stara *Praca*.

Zasylam serdeczne uściśnienia: **Brzydotce z nad Tamizy**, **Jadzi Sicińskiej**, **Jadzi Kozankiewiczównie**, **Krynicy**, **Maryli Krupczyńskiej** i **Makolągwie**.

Mości księżę **Genjuszów!** Będąc już młodzieńcem dorastającym, pisuję teraz do **Wieczorów** (równie jak i do kilku innych pism) przeważnie wierszyki i opowiadania. Kształcę się zaś w domu: tłómaczę klasyków, gram na fortepianie i t. d. Na imię mi **Witold**, mieszkam również w Warszawie. *Pegaz skrzydlaty*.

**P. S. Kameleon** jest uczniem V-tęj klasy szkoły realnej i nosi imię **Janusz**.

**Droga Kuropatewko z nad Ikopetiu**. Dziękuję ci bardzo za odpowiedź. Teraz dopiero ją przeczytałam. Jestem na pensji w Krakowie w klasztorze, gdzie mi jest bardzo dobrze, lecz na Święta do domu przyjeżdżam i wtenczas dopiero dokazuję! Czy chcesz ze mną korespondować? Napisz jeszcze do mnie, a wdzięczną ci będę bardzo. Donieś mi co porabiasz w czasie wolnym od nauki. *Filaretka*.

Innym korespondentkom uściśnienia przesyłam.

Kochana **Galążko Wrzosu z Polesia!** Podoba mi się bardzo twój pseudonym, odpisz mi jaknajprędzej jeżeli zechcesz ze mną korespondować i donieś co o sobie. Tymczasem przyjm szczerze uściśnienia, również jak i **Gwiazdeczka Jerolimaska**, z którą chciałabym choć listownie zawrzeć znajomość. Wasza *Galążka paproci*.

Kochane: **Staszko z Podola**, **Biała Różyczko z Wołynia**, **Kampanello**, **Czarodziejko**, i **Kuropatwo z nad Ikopetiu!** Dziękuję ci droga **Staszko** za pamięć i pytam czy będziesz nadal czytywać **Wieczory**? Tobie **Różyczko** miła donoszę, że muzyka jest głównym moim zajęciem. **Kampanello** kochana ślicznie ci dziękuję za liścik, na imię mi **Marta** mam lat 16. **Czarodziejko złota** mieszkam w Warszawie na **Senatorskiej**. **Grodzisk** znam dobrze. Ciebie najmilsza **Kuropatewko** z radością przyjmuję do naszego gronka. Przesyłam wam wszystkim drogą siostrzyczki miliony całusów, *Cyganecka z nad Wisły*.

Prenumeratorki **Wieczorów R.** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi następujące książki po zniżonej cenie.

Anczyc. Biblioteka dla młodzieży:

Hoffmana. Bóg nie opuści.  
 „ „ Czas to pieniądz.  
 „ „ Kręte drogi.  
 „ „ Pierwszy błąd.  
 Heninga. Gabor Hunyad Berengi.  
 „ „ Dwie róże.

Broszurowane po kop. 40 zniżone 20. Kartonowane po kop. 50 zniżone 25 kop.

Leja. Fantazyja i prawda karton. rs. 1, zniżone kop. 50.

Macé. Powiastki karton. rs. 1, zniż. kop. 50.

Mayne Reid. Przygody myśliwskie kart. rs. 1 k. 20, zniż. k. 60.

Sekrecik białego dworku karton. rs. 1 kop. 20, zniżone kop. 60.

Tissandier. Męczennicy w imię nauki karton. rs. 2, zniżone rs. 1.

Piast. O zmroku karton. rs. 1, zniżone kop. 50.

Przyborowski. Baśnie ludowe karton. rs. 1 k. 50, zniż. kop. 75.





## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## SZAROTKA.

Czytelnicy nasi słyszeli zapewne nieraz o pięknych kwiatach górskich, a ci co byli w Tatrach, znają dobrze jeden z najciekawszych, zwany szarotką. Rośnie on na wysokości dwóch tysięcy metrów \*) w miejscach często niedostępnych dla zwykłych podróżników, w szczelinach skał, na szczytach i urwiskach. Uczępiony korzonkami do garstki naniesionej wiatrem ziemi, nie boi się ani skwarnych słońca promieni, ani wiatrów szalejących po szczytach, ani sąsiedztwa śniegów. Wątku jego łodyżka opiera się wszystkiemu wytrwale, a on sam w otoczeniu ciemnozielonych mechów i porostów, na szarem tle skał, wygląda niby gwiazdeczka wychodząca z ziemi, i przyciąga oczy szlachetną, nie rażącą jednak białością. Niema ani świetnej barwy ani okazałego kształtu, a jednak posiada jakiś wdzięk nieokreślony, sprawiający że wszyscy ubiegają się za nim. Nazwa jego naukowa jest *Gnaphalium leontopodium*, co znaczy: lwia łapka, chociaż niesłusznie doprawdy, upatrzono w nim podobieństwo do takiego drapieżnego zwierzęcia! Szarotka ma w sobie raczej coś gołębiego. Płatki jej ułożone w kształcie gwiazdki o nieregularnych promieniach, pokryte są białym puszystym włosem, przypominającym sukno lub watę. Mieszkańcy wiosek górskich w Alpach i Pyrenejach, używają szarotek do ozdoby stroju ślubnego, zamiast pomarańczowego kwiatu.

Górale przybierający chętnie szarotkami kapelusze, wspólnie z podróżnikami i botanikami, tak piękne te kwiaty wyni-

Szarotka.

\*) Wysokość liczy się od poziomu morza.

szczyli w Alpach, że niektóre odmiany trudno już jest odnaleźć. Dla ocalenia pozostałych, zawiązało się w Genewie Towarzystwo opieki nad roślinami alpejskimi i przedsięwzięło energiczne środki ochronne. W naszych Tatrach niszczenie szarotek odbywa się na wielką skalę: mali pasterze chodzący za bydłem po stokach górskich, polują po skałach na te kwiaty, tak pożądane przez gości przebywających w Zakopanem, i znoszą co dnia pęki olbrzymie. Zamiast zrywać ostrożnie same tylko kwiaty, wyrrywają roślinki z korzeniami, bo to idzie daleko prędzej, a gdzie się ręka takiego barbarzyńcy przesunie, tam białe gwiazdeczki nie pojawiają się już na rok przyszedły. Jeżeli takie postępowanie potrwa dłużej, to rzadsze odmiany szarotek wyginą w Tatrach tak, jak wyginęły w Alpach i Pirenejach — chyba że Towarzystwo tatrzańskie za przykładem genewskiego, obmyśli jakieś środki ochronne, jak je obmyśliło dla ochrony górskich zwierząt, świstaków i kozic, zawzięcie poprzednio tępionych przez myśliwych. Nie małych pastuszków jednak potępiać tu należy, za grzech ogoławania gór z ich pięknej ozdoby, bo oni nie zdają sobie sprawy z tego co czynią, a powoduje nimi tylko chęć dogodzenia gościom i nadzieja zarobku — ale winni są bardzo ci, którzy ich do tego zachęcają i kupują kwiaty wyrwane z korzeniami.

Szarotka niełatwo więdnie, daje się doskonale zasuszyć, i przez długie lata zachowuje pozór świeżego kwiatu — dla tego też panie wywożą z gór spore ich zapasy i używają do ozdoby sukien balowych. W Niemczech wzięto się na dowcipny sposób wyrabiania szarotek z bawełny; istnieją tam wyłącznie do tego fabryki, bo szarotki mają wielki odbyt u amatorów. Prawdziwi miłośnicy tych pięknych kwiatów, wołają że to profanacja, ale jeżeli sztuczny wyrób może ocalić tysiące żywych szarotek w górach, powinni się z niego tylko cieszyć.

Niemcy nazwali ten kwiat *Edelweis*, co znaczy: szlachetna białość — górale zaś tatrzańscy zwą je powszechnie: kocimi łąpkami, choć nazwa ta innej należy się roślinie. Chodząc po łąkach, zauważyliście może nieraz drobny, trwały, dziko rosnący kwiateczek. Kielich kwiatogłówki tej roślinki, jest jakby papierowy, a drobne kwiateczki delikatnym białym puszkciem otulone. Jest to także szarotka, (*Gnaphalium*), zwana *kocią łąpką*, spokrewniona z szarotką tatrzańską, bo należąca do tej samej rodziny złożonych. Różnica między niemi jest tylko taka, jaka bywa często między ubogimi a bogatymi krewnymi. Szarotka łąkowa skromnie jest ubrana, kryje się w trawie, przestaje z wróblami, skowronkami i pospolitem, równie jak ona skromne szaty noszącem ptactwem naszych pól — a szarotka górską nosi przepyszną białą szatę, zamieszkuje wspanialsze od wyniosłych zamków skały, i widuje przelatujące nad sobą orły. Ale na szarotki łąkowe nikt się nie łąkomi, a szarotka górską pomimo miejsc niedostępnych w jakich żyje, narażona jest na napaść polujących na nią zawzięcie pastuszków.

Wszelkie próby hodowania szarotki górskiej w niższej położonych miejscowościach, długo się nie udawały. Nawet wyjęte ostrożnie ze skały z ziemią i hodowane w doniczce, w dolinie Zakopanego, po jakimś czasie zmieniły trochę powierzchowność. Roślina wyglądała zdrowo, świeżo, ale białość jej przybierała szarawo zieloną barwę, a puszek pokrywających płatki poczynął niknąć, jak gdyby nie potrzebując już ochrony od zimna, roślina sama usiłowała pozbyć się swego futerka. Stwierdza to dawno już znane spostrzeżenie, że tak rośliny, jak zwierzęta, usiłują przystosować się do warunków

w jakich żyć im przychodzi — i odpowiednio do nich, jednych narządów pozbywają się, inne nabywają. Pełz to roślin ogrodowych lub doniczkowych, znanych nam jako niewielkie krzewy, są wspaniałemi drzewami w swęj ojczyźnie!

Ludzie umieją jednak czasem sztucznie stworzyć roślinie warunki potrzebne do jej istnienia i rozwoju, podobne do tych jakie miała w ojczyźnie. Towarzystwo opieki nad roślinami alpejskimi, urządziło w Genewie ogród, w którym hoduje wszystkie odmiany szarotek na sprzedaż.

Inny ogród w celach wyłącznie naukowych, założono w roku zeszłym w Bourg Saint Pierre, w dolinie Entremont, kantonie Wallis — o kilka godzin drogi od klasztoru Ś-go Bernarda, będącego przytułkiem dla zbłąkanych wśród śniegu podróżnych. Ogród ten położony na starym placu zamkowym du Quart, na wysokości 1,800 metrów, przeznaczony jest do hodowli europejskich roślin alpejskich, i ma się przyczynić do ułatwienia studyów naukowych i spostrzeżeń nad roślinnością stref śniegowych, nad wpływem owadów, zmianami gatunków i t. p. Otwarto go uroczyste w Lipeu i nazwano Alpejskim ogrodem botanicznym.

Zofia Urbanowska.

## Przedstawienia w Oberammergau.

Przedstawienia z historii świętej zwane „*misteria*” były w wiekach średnich tem, czem przedstawienia teatralne są za dni naszych. Widowiskom tego rodzaju dali początek „*piątnicy*”, czyli pielgrzymi. Wracając z Jerozolimy, z Rzymu, Loretu, Kompostelli opowiadali o Ziemi Świętej i o różnych cudami wstawionych miejscach, które były celem ich pobożnych wędrówek. Niekiedy opowiadania swoje przeplatali pieśniami o męce Zbawiciela, o życiu Najświętszej Panny, o świętobliwych czynach Męczenników i Wyznawców.

Tłumy ludu otaczały zwykle piątników, a zwłaszcza na rynkach miast i przed kościołami: Aby ich lepiej było można widzieć i wyraźniej słyszeć ich śpiewy i opowieści, urządzano z desek rodzaj estrady, czyli podwyższenia, na którym ubrani w fałdziste szaty, w długie płaszcze, w ogromne kapelusze obwieszone muszelkami i wizerunkami Świętych, zasiadali piątnicy, opowiadając i naprzemian śpiewając pieśni przy dźwiękach kobzy albo liry.

Z biegiem czasu zaczęto estrady osłaniać dachami, później dodano jeszcze ściany, na których tu i ówdzie rozwieszono białe i różnobarwne draperye, opowiadanie urozmaicano gestami, a w ten sposób we Francji, w Niemczech, w Hiszpanii, we Włoszech powstały bardzo od 13-go wieku upowszechnione i ulubione „*misteria*”.

Wielu ówczesnych pisarzy układało misteria na uczczenie dorocznych uroczystości: Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek i t. p. Słynny dramatyczny autor hiszpański Lopez de Vega w siedemnastym wieku żyjący jest twórcą wielu pięknych misterjów. W jednym, którego treścią żywot św. Izydora Oracza, niektóre sceny przypominają legendę o kruszwickim kołodziejcu Piaście, który przyjmował i ugościł nawiedzających jego chatę aniołów.

Misteria początkowo odgrywano po kościołach w refektarzach klasztornych, na cmentarzach przykościelnych, a duchowieństwo przyczyniało się do uświetnienia tych przedstawień, uważając, że one wywierają zbawienny wpływ na umysły i serca widzów. „*Misteria*” u nas zwano *dyalogami pobożnemi*. Sławny był dyalog tak zwany *Dominikański* poraz pierwszy odegrany w Krakowie w r. 1533. Przedstawienie tego dyalogu trwało przez cztery dni, rozpoczęte w Kwietnią niedzielę sceną wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, kończyło się w Wielką środę

sceną złożenia Zbawiciela do grobu. W stu ośmiu scenach tego dyalogu występowało sto osób, pomiędzy nimi upostaciowane różne cnoty i uczucia chrześcijańskie jako to: *Miłość, Miłosierdzie, Smutek, Pokuta i t. p. Dyalogi pobożne* rozpow szechniały się za pośrednictwem młodzieży szkolnej, czyli tak zwanych *żaków*.

Zazwyczaj przed Wielkanocą, gromady takich okolicznościowych aktorów, z przyborami upakowanymi na wozach, puszczaly się w różne strony kraju. Zbliżając się do wsi, żacy wyprawiali jednego z pomiędzy siebie, aby ich przybycie oznajmił. Wówczas proboszcz z organistą, dziedzic z rodziną i domownikami, wszyscy mieszkańcy wioski wychodzili na spotkanie upragnionych gości. Proboszcz odmawiając krótką modlitwę, święconą wodą kropił nowoprzybyłych, których witano radośnie, a we dworze lub na plebanii przyjmowano gościnnie i suto.

Z chwilą przybycia żaków, cała wieś zawrzała ruchem i życiem. Kmiecie z lasu zwozili ścięte chojaki, świerki, cisy, jałowce; dziatwa plotła wieniec z leśnych bluszczów, przylaszczek i sasanek; znoszono białe rańtuchy i różnobarwne chusty, żacy rozpakowywali przywiezione z miasta przybory, a następnie urządzano scenę do odegrania dyalogu.

W starym rękopisie, znajdujemy dla użytku występujących w dyalogach rozmaite przestrogi co do stroju i dekoracji. Naprzykład „peruki mogą być z konopi, albo ze lnu, jeno przy ogniu z niemi ostrożnie...” Marchew krajać okrągło i mieć zamiast pieniędzy złotych, rzepę mieć jako srebrne talary jeno liczyć ostrożnie, aby publice nie dać powodu do śmiechu, gdy scena smutna... „Przyjść do Pilata pokoju zrobionego z namiotu, albo z płótna zgotowanego. Pilat będzie siedział jeno w sukience spodniej, jako do spania gotując się...” „Święty Jan Chrzciciel, miasto skóry wielbłądziej ma mieć kozuch barani, welną na wierzch obrócony...” i t. p.

Przedstawiciel Chrystusa zmarłychwstałego na scenie ukazywał się zawsze przybrany w albę i kapę przepasaną stułą, z chorągiewką w ręce. W odzieniu ogrodnika na scenie objawił się świętym niewiastom, w stroju pielgrzyma stawał pomiędzy uczniami swoimi. Lud pełen szczerzej i gorącej wiary przedstawieniom *pobożnych dyalogów* z wielkiem przypatrywał się wzruszeniem. Okrzykami radości prostaczkowie witali zmarłychwstanie Zbawiciela, z drżeniem przestrachu patrzyli na Lucypera i dyabłów, zlorzeczyli im i śmiali się kiedy przedstawiciele złych duchów pierzchali przed znakiem krzyża św. lub pokropieniem święconą wodą.

Oddawna już przedstawienia teatralne zastąpiły *misteria* i *pobożne dyalogi*, a jedynym w Europie miejscem, gdzie co lat dziesięć odgrywają misterium o Męce Pańskiej, jest wieś Oberammergau w Bawaryi. Właśnie teraz niezwykle te za naszych czasów widowisko się rozpoczęło; sądzimy więc że czytelnicy nasi chętnie odczytają list, który odebraliśmy z tamtąd od jednej z przyjaciółek naszego pisma.

„Podróż z Peisenberga do Oberammergau bez żadnych szczególniejszych przygód odbyliśmy drogą zapełnioną karetami, omnibusami bryczkami i niezliczonym tłumem pieszych podróżnych, którzy śpieszyli niby na jaką świętą pielgrzymkę. Nareszcie ujrzelismy kościół i klasztor na szczycie góry i wjechalismy w dolinę ze wzgórzami po obu stronach.

Domy składające wieś górnej Bawaryi są prawie wszystkie do siebie podobne; małe ogródki je rozdzielają. Wewnątrz długi korytarz prowadzi do kuchni. Przy wejściu drzwi na lewo i na prawo. Jedne z nich zwykle wiodą do dużego bawialnego pokoju z ławkami naokoło, z doniczkami kwiatów w oknach. Naprzeciw wejścia stoi duży jaśniejący czystością stół, na który pada światło ze wszystkich okien.

Grunta Oberammergau są nieurodzajne; mieszkańcy wioski przeto zajmują się w większej części rzeźbieniem różnych cacek z drzewa, co niby stawia ich wyżej od zwykłych rolników, ale byt ich materialny wcale nie jest świetny. Główne korzyści ze sprzedaży tych misterynych wyrobów, zbierają kupcy zagraniczni. Nawet dzieci pracują tu ciężko i pomagają starszym w kolorowaniu i lakierowaniu pospolitych zabawek dziecińczych.

„Zatrzymalismy się przed jednym z domków, gdzie znajomy nam malarz z Monachium przed paru miesiącami jeszcze, zamówił dla nas pokoik. Wsiadamy z olbrzymiej landary, która nas przywiozła i wchodzimy. Pokoik nasz jest widny i wesoly. Na ścianach mnóstwo porozwieszanych sztychów; na szerokiemi, w jaskrawe arabski malowanym łożu piętrzą się stopy czysteitkich poduszek i pierzyn, olbrzymia, żółta, oszklona szafa pełna fajansowych kubków, talerzy, rzeźb z drzewa. Gospodyni młoda i przystojna Bawarka wita nas z poufałą serdeczną gościnnością, utyskując zarazem na szczupłość pokoiku gdzie „tacy państwo przyzwyczajeni do zbytków nie znajdą wygody”. Ale, dodaje zarazem, że teraz nikt w Oberammergau na brak wygody nie może narzekać, ponieważ wszystkie stodoły, spichrze i strychy są przez podróżnych zajęte, nietylko w tej lecz i w sąsiednich wioskach. Wszystko to prawi z nie-tajoną dumą i z dalszej rozmowy dowiedzieliśmy się, że mieszkańcy tych wiosek uważają za obowiązek ponosić największe ofiary i niewygody, byle tylko przyjąć jaknajwięcej podróżnych i przyczynić się tym sposobem do świetności wielkiego religijnego przedstawienia.

O zmierzchu głos dzwonka wiejskiego kościoła zabrzmiał donośnie. Liczba podróżnych zwiększała się ciągle; karety ciągnęły za karetami; ulice napełniały się pieszymi. W chwili gdyśmy kończyli obiad w oberży, huk dział i dźwięki odległej muzyki zwiększyły zamęt w izbie przepelnionej gośćmi. Wybiegliśmy na ulicę w chwili gdy procesyonalnie przechodzili grajkowie, aby muzyką swą przypomnieć zgromadzonym tłumom, że już wigilia uroczystości. Grali dobrze i na większość słuchaczyw muzyka ich wielkie wywarła wrażenie.

Nazajutrz wstalismy bardzo rano, bo jest tu zwyczaj, że przed rozpoczęciem przedstawienia widzowie i aktorzy którymi są właściciele z Oberammergau, udają się do kościoła na mszę świętą.

Teatr jest obszerny z łożami i galeryami dla widzów. Przestrzeń przeznaczona dla aktorów przedstawia ulice Jerolimy. Prawie od świtu, ku teatrowi ulicami wioski płynęły niezliczone tłumy i wcześniej przed rozpoczęciem widowiska teatr był przepelniony. Wszystkie narodowości Europy miały tu swoich przedstawicieli; pośród ubrań wyróżniały się stroje wschodnie, a także stroje mieszkańców Tyrolu i Bawaryi jaśniały swoją malowniczością. Widzowie cicho i z powagą zajmowali swe miejsca, nie śmiejąc głośno przesyłać powitań znajomym, lecz niby w kościele skłaniając tylko głowy.

Wystrzały z dział dały sygnał rozpoczęcia widowiska. Gdy echa tych wystrzałów przebrzmiały pośród otaczających wioskę wzgórzy, chór tysiąca głosów starannie dobranych, rozpoczął śpiew, zachęcający widzów do skruchy i pobożności. Śpiewacy fantastycznie przybrani w białe tuniki, kolorowe sandały, pasy i zawoje przepysznie wyglądali przy świetle dziennem, pod sklepieniami niebios, pośród dekoracyj wyobrażających dolinę Palestyny.

Trudno byłoby mi opisać uczucie jakiegom doznała na widok przedstawiciela Chrystusa, ukazującego się na scenie. Była to postać szlachetna, z twarzą bladą o delikatnych rysach, z powiewającymi włosami rozdzielonemi nad czołem. Tę postać goniłam wzrokiem i wyznaje, że jeszcze nigdy może nie odczułam tak silnie żalu za grzechy, któremi codziennie przybijamy powtórnie do krzyża naszego zbawcę, my świadomi tajemnicy odkupienia nieznaną krzyżownikom...

Przesyłanie Chrystusa od sądu, do sądu, zaparcie się Go w chwili niebezpieczeństwa przez uczniów, jednym słowem wszystko, o czem dotąd czytałam w Ewangelii, stanęło mi żywo przed oczami, jakgdybym Męki naszego Zbawcy żywym była świadkiem...

Zapomniałam o sobie, o miejscu, o czasie i widzach, o wszystkim co mnie otaczało... Odczułam tylko ból i żal niezmierny, gdy zaś wszystko się skończyło, dreszcz zimny nie przestał mi wstrząsać, a łzy płynęły z oczu strumieniem... Podniosłam wzrok na ostaczających, gdy towarzyska moja pociągnęła mnie do wyjścia i na wszystkich twarzach ujrzałam tenże sam wyraz bólu i grozy... Przedstawienia passyjne w Oberammergau odbywają się za zezwoleniem papieża na

pamiętkę morowej zarazy, której mieszkańcy wioski uprosili w pobożnych modlitwach rychły koniec. I dziś ludność tej ubogiej wioski słynie z pobożności, przedstawiając więc święte postacie stara się naśladować ich życie, a uczucia te odbijają się na twarzach aktorów przyoblekając je w odpowiednie idealne wyrazy.

H. T.

## BRATERSKA POMOC.



rawie w ten sam sposób spędzono, dzień następnym, tylko z przeciwnej strony Warszawy statkiem pojechało na Bielany, zwiedzono klastor kamedułów i spożyto podwieczorek w lasku. Późno już było kiedy całe towarzy-

stwo powróciło do domu i bracia powiedziawszy dobranoc paniom poszli do swego pokoju.

— Bardzo jestem zmęczony — rzekł Władzio i cieszył się, że już położyć się może, bo przez te parę nocy bardzo mało spałem, a całe dni były w ruchu i gwarze. A tu jutro trzeba mieć umysł świeży i przytomny, żeby dobrze egzamin poszedł.

— Ja bo się wcale kłaść nie myślę — odrzekł Janek — jeszcze kilkunastu pytań z geometrii nie przeszedłem. Zadzroszczę ci, że możesz usnąć, że nie masz już nic do roboty.

— A tak, ja już wszystko powtórzyłem, umiem kurs doskonale; mam nadzieję, że zdam dobrze. Dobranoc ci bracie — i Władzio odwrócił się ku ścianie, a Janek, zdjąwszy mundur, żeby mu chłodniej było, zabrał się do pracy.

Jakoś mu nieszło. Co chwila napotykał niespodziewane trudności, co chwila czegoś nie rozumiał. Zaczął coraz niecierpliwiej od jednego do drugiego pytania przechodzić.

— Idyota — mówił do siebie — co za pytania nam zadał; no oczywiście, jeżeli takie wyciągnę, to się obetnę; dopieroż to będzie. Co ja nieszczęśliwy pocznę? Kogo się tu w ostatniej chwili poradzić? Żebym był wiedział, że te pytania takie trudne, byłbym się wcześniej do nich zabrał. Tak... straciłem trochę czasu... Szkoda... niespodziewałem się. I znów Janek zabierał się do roboty, ale coraz mu szło trudniej, coraz bardziej się zniechęcał.

Tymczasem Władzia, który usnął szybko i smacznie, po paru godzinach światło lampy obudziło. Zrazu nie mógł sobie zdać sprawy, dla czego tak późno w nocy się świeci; po chwili dopiero przypomniał sobie, że Janek przygotowuje się do egzaminu. Biedny Janek, pomyślał, jak jemu muszą się oczy kleić — i spojrzął w stronę brata, który bardzo zafrasowany, podparłszy ręką głowę, dumiał nad jakimś trudnym doświadczeniem.

— Janku, czemu spać jeszcze nie idziesz — zagadnął wreszcie uczącego się.

— Daj mi pokój ze spaniem — odmruknął zagadnięty —

wolałbym tydzień nie spać, a być pewnym, że się jutro nie obetnę. Ale przepadło, przepadło! jeszcze dziesięciu pytań nie umiem, pewnie jedno z nich wyciągnę, takie to już moje szczęście! Pięknie wyszedłem na spacerach i przyjeździe cioci!

Władzio myślał, że to nie koniecznie przyjazd cioci był winien, że Janek przygotowania do egzaminu na ostatnią chwilę odłożył, ale nie odpowiedział nic, żeby bratu nie przeszkadzać i także dla tego, że był bardzo zmęczony. Zamknął oczy, po chwili jednak znów powieki podniósł, Janek coś pisał na tablicy, ale widać mu nie szło, bo wyrysowane figury z cyframi, zinażał gąbką ruchem gwałtownym.

— Ha, przepadło! nie już nie dojdę — mówił półgłosem z wielkim żalem.

— Och! jakżem zmęczony! — myślał Władzio, i wyciągnął się w łóżku, na którym od dni kilku tak krótko oddawał się spoczynkowi. Jeszcze chwilę walczył z sobą, ciężkiej głowy od poduszki oderwać mu się nie chciało, ale czuł, że spać nie powinien, kiedy brat jest w wielkim kłopotcie. — Któż Janekowi pomoże, któż go poratuje, jeżeli nie ja — pomyślał, i prędko wyskoczywszy z łóżka, zbliżył się do zafrasowanego brata.

— Nie martw się braciszku — rzekł wesoło i łagodnie. — Jakoś to będzie. Pokaż co ci się tak trudnym wydaje, może potrafię ci wytłumaczyć.

Janek z wdzięcznością spojrzął na brata.

— Mój Władziu! Jakiś ty dobry, że chcesz mi pomóc. Ale ty sam masz jutro egzamin, potrzebujesz przedtem wypocząć, a narzekałeś już wieczorem na ból głowy, i wielkie zmęczenie. Dziękuję ci bardzo, ale nie chcę, żebyś się dla mnie jeszcze mordował. Nie jestem wart tego. Idź, połóż się i śpij spokojnie, a mnie pozostaw memu nieszczęsnemu losowi.

— A cóż ty sobie myślisz o mnie! — zawołał żywo Władzio. — Czy ja mógłbym spać, czy mógłbym mieć jutro myśl świeżą i przytomną, gdybym czuł, że mogłem cię wybawić z kłopotu, a nie uczyniłem tego. O nigdy! ot nie traćmy lepiej czasu na takie „austriackie gadanie” a raczej weźmy się do roboty — i chwyciwszy za arkusz z pytaniami, Władzio zaczął je z bratem przerabiać i tłumaczyć trudniejsze twierdzenia. Słońce już dawno zeszło i pogodny ranek zwiastował dzień ciepły i miły, gdy chłopcy mozolną swą pracę skończyli. Spojrzeli sobie w oczy.

— Ach! jakiś ty mizerny, Władziu — zawołał Janek — i jakie masz oczy podsińnię. Pewnie cię głowa boli bardzo; a to wszystko przez moje próżniactwo a twoją poczciwość.

— Nie, nie boli mnie głowa, sam się nawet jej dziwię — odpowiedział Władzio — a mizerni jesteśmy obydwaj, choć to być nie powinno, kiedy jesteśmy zadowoleni. Trzeba też na to co poradzić, bo gotowe nas panny posądzić, że się egzaminów boimy.

— Prędko chodźmy pod prysznic braciszku, zimna woda nas odświeży. Niech przy śniadaniu nikt nie pozna, żeśmy całą noc nad książką spędzili.

Gdy odświeżeni i weseli przyszedli do śniadania, kuzynki dziwiły się, że tak nic na nich nie znać przed egzaminem wrzucenia i pomięszania.

Dziwiąta godzina się zbliżała, chłopcy zaczęli się zbierać do szkoły. Starsze panie przeżegnały ich na drogę, a panienki obiecały pomodlić się na ich intencję. Następnie wszystkie wyglądały niecierpliwie ich powrotu, przypominając sobie, jak bardzo w ciągu kilku ostatnich dni przyczyniły się do odrywania ich od pracy.

Pierwszy do domu powrócił Władzio. Helenka i Zosia wybiegły ku niemu na schody. — I cóż, cóż — wołały z daleka. — Jakże egzamin poszedł! co dostałeś?

— Nie wiem jeszcze, ale w każdym razie nieźle zdałem. Mam nadzieję, że dostanę piątkę.

— A wy coście przez ten czas porabiały? — i niby to słuchał żywego opowiadania panienek, ale ciągle ukradkiem spoglądał na zegarek, albo oknem wyglądał na ulicę.

Panienki spostrzegły jego roztargnienie.



TEATR W ŁAZIENKACH.

— Co tobie Władziu? O czym myślisz? Słyszałyśmy zawsze, że po skończonym egzaminie każdy jest wesół, jakby odrodzony, a ciebie jakiś niepokój dręczy. Co tobie?

— O! bo ja dopiero połowę dzisiejszego egzaminu zdałem, przecież wicie, że Janek jeszcze się tam smaży w szkole. W tej chwili dały się słyszeć szybkie kroki na ulicy. Wszyscy troje wybiegli na balkon. Janek, który właśnie szybkim kro-

kiem powracał do domu, uklonił im się z daleka, potem z tryumfującą miną podniósł cztery palce do góry. Władzio zarumienił się z radości.

— Zdał, zdał! i czwórkę dostał. To bardzo dobrze mieć czwórkę z tak trudnego przedmiotu — i wszyscy troje pobiegli do starszych pań z tą przyjemną wiadomością.

Panie rozmawiały właśnie o projektach na wakacje.

Zaraz po akcie uroczystym pani Zawilska, nie wątpiąc że jęj synowie dostaną promocye, obiecywała przyjechać z nimi do Madyjki, a ztamtąd konno i wózkami ma się odbyć duża wycieczka brzegami Wisły, w Sandomierskie, okolicy znanęj z malowniczości i aż do Ojcowa.

— Bo — dodała pani Zawilska — moi synowie zasługują na przyjemne wakacje; tacy są pracowici i obowiązkowi. Nigdy, od lat kilku nie potrzebuję przypominać im o nauce. Czują sami, jak ważną dla nich jest każda chwila, jakaby była szkoda stracić rok z przyczyny choćby najmilszęj zabawy.

— Uważałam to — rzekła ciocia z uznaniem — umieli nawet pogodzić uprzejmą gościnność dla nas, z egzaminami.

— Przyznaję co prawda, że mam była trochę niespokojna. Władzio, Bogu dzięki, już zdał, a Janek nie wracał, bałam się, jak on z tego wybrnie...

— Oj nie byłbym ja z tego bardzo świetnie wybrnął, gdyby... — zaczął Janek, ale Władzio mu przerwał, mówiąc półgłosem:

— Nie masz co opowiadać, nie nadzwyczajnego się nie stało. Tybyś to samo był dla mnie uczynił. Od tego jesteście braćmi, żeby wzajemnie sobie pomagać. Mam nadzieję, że nieraz w życiu, w ważniejszych od tęj sprawach ty mnie, ja tobie rękę podam. Ta wspólność dążeń, popieranie się wzajemne, stanowią siłę rodziny, jak mówi nasza droga matka. Jednemu łatwo upaść, a trudno się oprzeć. Razem dużo uczynić można.

— Janek rozczulony rzucił się w objęcia brata i uściłskął go serdecznie, a pani Zawilska, która się wszystkiego po trochu domyśliwała, patrzyła na nich wzruszona radością.

Anna Załęska.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Tam do licha! Najtrudniejszy to warunek, pokosztowaliśmy już wina cokolwiek, nuż sędziowie dostojni i znakomici konkurenci do lauru, zasną?

Wybuch śmiechu przyjął to przypuszczenie nie pozbawione pewnej podstawy, ale nikomu na myśl nie przyszło aby mała ta okoliczność miała konkursowi przeszkadzać:

— Zwycięzca otrzyma w nagrodę uścisk bratni!

— I laurowy wieniec!

— Rączką jedynęj obecnej węgierskiej dziewczyny włożony! — ostatnią tę poprawkę zrobił Szandor, patrząc na gospodarzkę, pomagającą żwawo rodzicom w przyjmowaniu licznych gości, a które tak ochoczo zaczęło pierwsze wyśpiewywać „Cztery woły” za jego przybyciem do oberży, i tak stanowczo przekładało jego pieśni nad piękniejsze formę, kunsztowne, lecz dla tego właśnie mniej zrozumiałe dla ogółu utwory „Księcia poetów” Voeroesmartego. Jako syn także oberżysty z gospody na stepie, Petöfi czuł się w bliższem jeszcze niż z innymi pobratymstwie z tą żwawą dziewczyną, której gościnni rodzice krzątając się około uczyty przypominali mu jego własnych.

Ogólny poklask przyjął jego słowa, a Węgierka uśmiechnęła się radośnie.

— A zatem, konkurs otwiera się... oto kładę ua stole zegarek...

— Za pozwoleniem, proszę o głos, jeszcze jedna poprawka!

— Obywatel z góry Parnasu, Tompa, ma głos! słuchajmy!

— Godzina, jest to sześćdziesiąt minut, panowie, szkoda czasu, świat nie traci go ani chwili wirując pędem w przestworach, zamiast godziny poświęconęj dziesięciu strofom, proponuję trzy! kwadrans, będzie to symetryczniej, trzy strofy na kwadrans!...

— A ja proponuję pół godziny!... po ośmnaście wierszy na kwadrans... będzie to jeszcze symetryczniej!

— Brawo Kerenyi!... licytacja *in minus*!...

— A więc proponuję jeden kwadrans!... całość na kwadrans... to najsymetryczniej:

— Eljen Petöfi!... Czy zgoda na poprawkę Petöfięgo, panowie?

— Jednomyślna zgoda!

— A więc... oto za dwie minuty wybije godzina jedenasta!... panie gospodarzu!... w trzech twoich gościnnych izdebkach przygotuj co żywo materyały do pisania!...

— Wszystko gotowe!... i wieniec laurowy też!... — pośpieszyła z odpowiedzią córka gospodarska, dygając tak nisko, że aż niezmiernie szerokie a kuse jęj spódniczki zaszeleściwały dotykając ziemi. I szybko pootwieraa drzwi trzech pokoików gościnnych: na środku każdęj z tych izdebek stał teraz stół z żądaniami przyborami i krzesło, widoczne z głównej sali przyniesione. Zaśmiano się.

— Ha ha ha! — zaśmiał się najgłośniej ojciec oberżysta, stukając się palcem w czoło i wskazując na córkę, w podziwie nad jęj rozumem.

— Panowie współubiegający się o laur, prosiny na miejsca!... Arena otwarta zawołano. Trzjęj poeci udali się każdy do jednęj z trzech izdebek a w tejże chwili zaczęła bić godzina jedenasta... drzwi zamknięto cicho za nimi i kłasztorna niby w czasie *silentium* cisza zapanowała w oberży i za oberżą, bo wszystko co działo się w sali wylatywało natychmiast jak na skrzydłach przez otwarte drzwi i okna na zewnątrz, i tłum biesiadujący przy długich, z prostych desek improwizowanych stółach, rozumiał i odczuwał co działo się u głównego stołu. Po krótkięj chwili wstał przecięj bez szelestu ten i ów szepnąwszy cicho towarzyszom, że trzeba przygotować wieniec... A wtem weszła cicho „jedyna węgierska dziewczyna” niosąc go, świeżo z doniczkowięj wypielęgnowanęj przez się rośliny uwity i na jedwabnem złożony wezglowiu. Natenczas, położono go z wezglowiem na stole koło zegarka, dziewczeczkę posadzono przed nim na pierwszym miejscu i zasiadłszy znowu jak wprzódy, czekano z powagą, przypominającą rzymskich senatorów. Chwile mijały jak fale rzeczne brzeg zielony mijają: błyskawicą!... i huknął pistoletowy wystrzał z nad stołu głównego, gdy kwadrans upłynął.

Drzwi trzech izdebek rozwarły się, na progu każdęj stał poeta z kartką zapisaną w rękę.

— Panowie! połóżcie kartki na tamtym oto bocznym stole jedna na drugięj, a jeden z nas niechaj czyta je głośno, abyśmy dając zdanie, dali je bezinteresownie, prawdziwie jedynie świadcząc — odezwał się głos z za stołu. I stało się jak żądał. Poemat, któremu wówczas przysądzono wieniec laurowy, nietylko jako najlepszemu z trzech, lecz jako bezwarunkowo doskonałemu, okazał się następnie dziełem Petöfięgo, i brzmiał tak:

### CHATKA W LESIE.

Jak serce pierwszy urok słoni tajemnicą  
Tak lasy skryły cieniem tę ubogą chatę,  
Jęj strzecha jest bezpieczna, choć grom z błyskawicą  
Roznosi po dolinie trwogę i zaturę.

Listki na drzew konarach wciąż gwarzą, uroczę,  
Choć w koło rozpostarty mrok i cisza głucha,  
I zięba pieśń wesołą porankiem świegocze,  
A gołąbka pod strzechą tajemniczo grucha.

Jak bystry jelen ścigan łowiecką pogonią  
Z hukiem potok w dolinę stacza się po skale,  
Tu kwiaty, niby druchny, jasne główki kłonią,  
Przeglądając się w wody przejrzystym kryształem.

A pszczoły koło kwiatów barwistego łona  
Krają brzęczącym rojem z chciwą żądzą w oku,  
I niejedna rozkosznie miodem obciążona  
Spada i wraz z zdobyczą nurza się w potoku.

Słonko patrzy litośnie przez modre sklepienia,  
A gdy wietrzyk im spuszcza suchy liść w obronie,  
Gdy rój pszczołek się czepia tój deski zbawienia,  
Słonko suszy promieniem ich skrzydła zroszone.

Na górze pośród wrzosów owca skubie trawę,  
Przy niej płasza jagniątko, pieszczota swój matki,  
Ta owca i ta pszczoła, to są dwie łaskawe  
Karmicielki ubogich mieszkańców tój chatki.

Ni żaloszna gołąbka, ni zięba wesola  
Nie boją się tam sideł w cieniu tój zagrody,  
Bo kmiotek pracujący w krwawym pocie czoła  
Wie jak mile ptaszęciu są chwile swobody.

Lud tam żyje w jedności i zgodzie od wieka,  
Nikt nie mąci spokoju ni ciszy u progu,  
Tylko burza gdy gromem zahuczy z daleka,  
Myśl prostaczków od ziemi odrywa ku Bogu.

Ach, Bóg dobry, nie zawsze grom jego uderza,  
Dnie trwogi umie ciszą odplacać sownice,  
Uśmiechnął się z za chmury i na znak przymierza  
Jego uśmiech nam błyska tęczą na błękitcie!...

Uczta, śpiewy, uściski, okrzyki, trwały noc całą.

## XVI.

O brzasku nie spocząwszy ani na chwilę, Szandor śpiesznie i prawie skrycie wyjechał z Preszowa, aby uniknąć dalszych objawów uwielbienia dla jego talentu, które kłopotowały skromnego poetę, aż do przestrachu nieledwie. Ciężki od lat kilku oddany umysłowej pracy, a przytem ciągle nękany tęsknotą i smutkiem, zaczął na mizernie i gasnąc niejako fizycznie, podczas gdy natchnienie rozplomieniać właśnie w nim się zdawało. Czując słabnące siły, posłuchał rady lekarzy i wyjechał na parę tygodni, aby odpocząć odwiedzając tu i owdzie dawnych przyjaciół. Nikt nie mógł przewidzieć, co go w tój podróży na każdym prawie kroku spotykać miało.

Znużony i odurzony, przejęty tęsknotą i wzruszeniem, owinięty w płaszcz od porannego chłodu, jechał teraz o szarym jeszcze świetle minąwszy już ostatnie zabudowania miejskie.

— Ha! ho! Stój! Czekaj! hi hi hi! A widzisz synku jak to ci się teraz szczęści na świecie odkąd pożałowałeś dawnych występków i poprzysiągłość szanować krew wielkiego Ramy! — zaskrzeczał mu nagle w uszach głos znany i gdy woźnica na poprzednie wołanie powściągnął trochę konie, mała czarniawa postać w czerwonej płachcie wskoczyła jak dziki kot do bryczki:

— Wszelki duch!... A pójdziesz złe lichu!... — zakrzyknął woźnica przestraszony nie żartem i bez namysłu ciął biecem na krzyż w indyjską królową. Ale ona wbrew jego przekonaniu nie rozlała się w smole, tylko zaświeciwszy roziskrzonymi oczyma, wyzionęła mnóstwo klątw i obelg.

— Ej panie, lepiej od razu wygnać, bo jak się lichu gdzie zasiedzi, to z niem potem jeszcze trudniej... — mówił ostrzegając woźnica, bał znowu podnosząc, ale Szandor skinieniem dał mu do zrozumienia aby jechał dalej i dał pokój cygance, ciągle tymczasem z niezmierną języka chyżością obrzucającej go gniewnymi wyrazy. Gdy wreszcie stosując się do rozkazu, woźnica ruszywszy z niezadowolaniem ramionami, jechał dalej, cyganka ani na sekundę nie dając spokoju własnemu językowi, zwróciła się do Szandora:

— Hi hi hi! A widzisz synku — rzekła jak to ci się szczęści teraz gdy szanujesz krew wielkiego Ramy i odprzysiągłeś się dawnych grzechów! A ha! Teraz duchy cię nie męczą, widzisz!

— Słuchajno Marcho — powiedział Szandor bardzo spokojnie lecz dobitnie — twój Rama i jego krew, zemsta twoich duchów nie mię nie obchodzi; nieprawda też abym ci coby przysięgał lub się odprzysięgał, gdyż u nas byłoby to grzechem; obiecałem ci tylko, że nie będę cię więcej za kark potrzasał, jeżeli mi w drogę wchodzić przestaniesz. Powiedzia-

łem tak przez wdzięczność gdyś mi list od matki przyniosła, zemdlonemu w stepie. Idźże więc sobie raz precz odemnie i przestań w drogę mi wchodzić, jeżeli chcesz abym obietnicy dotrzymał. Ale może ty chcesz, abym cię podwiózł kawałek drogi? W takim razie możesz siedzieć na wózku, tylko nie papłaj tak, bo tego nie cierpię...

— Co! — zawołała w najwyższym gniewie cyganka — ty nie szanujesz krwi Ramy! Bezbożniku, nieczemniku, zbrojco! i znów jąła sypać klątwami i obelgami na niewdzięcznika, któremu za pomocą cudownego proszku z korzenia lotosu przyniesionego z Indyj przez jej prababkę przed setkami lat jakoby... życie wróciła, znalazłszy go już nieżywego w stepie.

— Och!... — rzecze Szandor, prawda, przypominam teraz, żeś mi wiała w usta jakiś odwar wówczas w stepie, poczem od razu lżej mi się zrobiło, lecz później w Debreczynie chorowałem ciężko i w dziwny sposób... Kto cię wie, możeś mię uczęstowała jakąś podniecającą chwilowo obrzydliwą trucizną? Doktor coś podobnego mówił:

— Obrzydliwą trucizną!... ty bezbożny, bluźnierco, ty święty nasz proszek obrzydliwą trucizną nazywasz!... — zasycała cyganka i rzuciła się Szandorowi do oczu, nastawiając paznogie jak szpony...

— E... dosyć tego, doprawdy zanadto cierpliwy jestem z waryatką — rzekł Szandor, i bez gniewu, ujawszy za purpurę na grzbiecie, podniósł małą, suchą jak wiór jej królewską mość z bryczki i wysadził na ziemię, lekko i ostrożnie. Wtedy, Marcha zaprzestała nagle swych wrzaskliwych krzyków, w mgnieniu oka wyjawszy papier złożony z zanadtra podniosła go w górę, w dwóch palcach, i ukazując Szandorowi siedzącemu na pędzącej bryczce, wymówiła trzy wyrazy:

— List, od twej matki!...

— Stój! — zawołał młody poeta i wyskoczył nie czekając aby rozpedzone konie stanęły, ale nim dobiegł, Marcha włożyła list w usta... i połknęła.

— Odczytasz go w piekle!... — rzekła. Nagle, roziskrzone jej oczy osłupiały, twarz steżała jak spiz stygnący, wychudłe czarne ręce wzniosły się ku niebu, białawe usta zadrgały:

— Zemsto znieważonych duchów przybywasz!... ogień, ogień!... krew!... — i nieprzytomna padła na ziemię.

Poeta chwilę stał wpatrzony w bezwładną postać leżącą, potem nagle skoczył na bryczkę:

— Pędź co konie wyskoczą, w stronę Bakony, do mojej chaty rodzinnej! — Rozległo się świstucie, długi bicz luknął w powietrzu, dzielna czwórka pomknęła jak wichur.

— Otóż to tak!... a mówiłem: ej panie lepiej od razu wygnać, żeby się lichu nie zasiedziało!... — mrucał woźnica.

Owinięty płaszczem, drżący pod grozą niewymownego przerażenia, poeta oczami i sercem usiłował wybiedz przed konie: wszystkie strachy i widma jego lat dziecińczych powstały przeciw niemu w tój chwili. Był tak pewnym nieszczęścia jak pewnym był, że cierpiał.

— Do czardy! Do Petöfiowej czardy najbliższej lasu Bakony, chłopcze! Jeżeli koń który padnie, w łada gospodzie przy drodze kupimy drugiego! Spiesz!

\* \* \*

Hu hu hu skwir skwir!... luczcy i skwierczy katarynka; mała wykrzywia się cudacznie, przedrzeźnia szkaradnie ruchy ludzkie, jeździ na pudlu, zdziera czepek z głowy gospodyni i sobie go wkłada; papuga siedząc na drążku, krzyczy przeraźliwie:

— Dzień dobry mili goście! Dobry wieczór! Dobre południe! Dobra sperka przysmażana! Jak się macie panie bracie, winszuję dziury na łacie!

— Hap hap hap! — odszczekuje pudel.

— Pipipi tartartar! atchi! au! hau hau aj jaj!... — paple mała donośnym głosem, w którym można dopatrzeć podobieństwo i do ożywionej ludzkiej gawędy, i do kichania, kaszlu, śmiechu lub dzikiego ryku. A katarynka dudli wciąż swoje:

— Hu hu hu!... — ludzie pokładają się od śmiechu a przytem jedzą piją i tańczą. A pełno ich u Niemca w no-

**ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.**

ułożył Wołodyowski.

Wyrazów 9. Początkowe i końcowe litery tworzą nazwy dwóch miast. Pierwsze w Niderlandach, drugie w Belgii.

Sylaby: An — an — Di — E — gu — ta — le — ti — ma — Mal — ne — Or — per — ep — Ra — Rur — szów — ri — Trent — To — za — wa. Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Dalmacji. 2. Miasto we Francji. 3. Rzeka w Anglii. 4. Miasto w Polsce. 5. Miasto w Szampanii. 6. Rzeka w Niemczech. 7. Miasto we Francji. 8. Port w Czarnogórze. 9. Wyspa na morzu Śródziemnym.

**Odpowiedź na pytanie w N-rze 15 Wieczorów Rodziny.**

Łódź sterowana przez chłopca nie przybiła do upatrzonej przystani z następującej przyczyny: Młodzież używająca przejażdżki po rzece, płynęła z jej prądem, gdy zaś chciano wylądować, pchnięto łódkę w bok do przystani; prąd rzeki jednak pędził ją dalej, gdy znowu siła ludzka kierowała ją w inną stronę. Obie te siły przeciw sobie działające, wytworzyły trzecią tak zwaną wypadkową, która sprawiła przybicie łódki do innego niż sobie życzone miejsca.

*Kuropatwa z nud Ikopetiu.*

**KRONIKA RODZINNA.**

Pismo poświęcone sprawom społecznym i domowym wychodzi w następnym kwartale w tychże samych warunkach i kierunku. Znajdując czytelników swoich z ruchem naukowym i pismienym w kraju i zagranicą; zamieszczać będzie jak dotąd artykuły dotyczące kwestyi społecznych, pogadanki pedagogiczne i naukowe, wieści polityczne, podróże i powieści oraz niewydane listy i pamiętniki znakomitych osobistości udzielane sobie z prywatnych archiwów i zbiorów. Z działu tego zamieszczono w roku bieżącym studium Michała Wiszniewskiego o Bohdanie Zaleskim oraz rozpocznie się druk niewydanej również rozprawy Józefa Gołuchowskiego i Z teki autografów d-ra Antoniego J. korespondencji ks. St. Chołoniewskiego. Jako dodatek bezpłatny dla prenumeratorów w roku b. daje się **PAMIĘTNIK Z 1778 ROKU HR. FELIKSA ŁUBIENSKIEGO**. Prócz tego dla prenumeratorów nowych, również **bezpłatnie** do wyboru jeden z dodatków z lat przeszłych, to jest: **Pamiętniki Sabiny z Gostkowskich Grzegorzewskiej, Pamiętnik Marii Wessłówny lub Przygody księcia Marcina Lubomirskiego**. Dla wszystkich zaś po cenach niższych wymienione na okładce książki pożądanę w bibliotekach domowych.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

Rocznie w Warszawie rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — t. j. w Galicyi reń. 6, w Poznańskim marek 10; stosownie do tej ceny opłata półrocznie i kwartalnie.

Przesyłki pieniężne adresować należy wprost do Redakcyi, **Warszawa ulica Mazowiecka N-r. 10.**

wój gospodzie i za gospodą u okien i drzwi, otwartych tak jak za najlepszych czasów w stariej Petöfiowej czardzie bywało.

O, bo też wesoło i wygodnie u Niemca, zarówno jak niegdyś u Petöfich, a nawet daleko lepiej. Tamten bo dał trochę w swoją powagę i ludzie chcąc nie chcąc trochę poskrzamiłi u niego zbytnią do swawoli ochotę. Zaś tutaj u Niemca wszystko wolno, choćby kto i na głowie chciał tańcować. Ba, a wszakże i sam pan gospodarz staje na głowie, pokazując różne sztuki i tańce ku uciesze rozbawionych gości. A panią gospodynię szczypie się tutaj zlekka w policzki, co ona przyjmuje jako dowody uprzejmości i uznania dla jej gospodarskich talentów i uśmiecha się za to wdzięcznie. No! no, ciekawa rzecz doprawdy coby też to pani Petöfiowa powiedziała, na podobny objaw zadowolenia gościa?...

Można też przy zabawie i różne interesa robić u Niemca jakie u Petöfich nie były we zwyczajach. Nawet Sebes ich dawny wychowaniec woli tu być, bo nie jeden wieprzek z powierzonego mu stada spienięża się tu cichuteńko i łatwo i nie ma potrzeby pieniędzy oddawać właścicielowi, ani wieprzaka pędzić do miasta, narażając się na plotki ludzkie.

Oto i dzisiaj podczas gdy katarzynka huczy, a ludzie dokazują, gospodarz raz po raz to z tym to z owym wymyka się do bocznej izdebki, załatwiając tam przeróżne sprawy i sprawki, które huczna zabawa maskuje tylko.

Właśnie Niemiec, tylko co skończywszy jedną z takich tajemnych narad, liczył żywo jakieś pieniądze, gdy mocno skrzyknęły drzwi, i stary cygan wsunął się do izdebki. Wszedł z fajką w zębach, usiadł i palił dalej.

(d. c. n.)

**NITECZKA ARYADNY.**

Od Tolwida dla Jaskółki z nad Dunaju.

		tro	wa	mi	na	nie	ła		
Ma	tk	skli	i	ła	ło	nia	swe	dzie	cię
wa	śpie	za	księ	tno	smu	tak	ny	za	nu
ją	nie	bój	się	mój	u	dzwo	gie	sną	cać
u	ktoś	ny	bio	lu	te	dłu	bę	on	mu
marł	cho	wać	go	go	na	nie	dzie	spa	mi
jak	ją	ma	cze	mo	mo	nie	mo	nie	le
to	u	dla	ma	sa	cha	ko	je	bę	tu
on	tko	marł	o	toż	mną	ze	i	dzież	li
ma	cie	świe	na	by	skar	ne	dy	je	ła

**TREŚĆ:** Szarotka p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Przedstawienia w Oberammergau. — Bratnia pomoc (drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Odpowiedź na pytanie w N-rze 15 Wieczorów Rodziny. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Kraby czyli pająki morskie (z drzew.) — Wisienka, wiersz p. Heleny Bojarską. — Szczególne rośliny p. Z. Morawską. — Naśladownictwo. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.





## Kraby czyli pająki morskie.

Któż z was, kochani czytelnicy, nie widział raka? słyszę już, jak mi odpowiadacie jednogłośnie: „O! widzieliśmy! widzieliśmy go nieraz! Czarny, brzydki, pełza niezgrabnie a przytem strach go się dotknąć, bo tak uszczypnie, że nieraz aż łzy w oczach staną z bólu! No i cóż więcej o nim powiecie? Nic? Oj! dużo jeszcze możnaby powiedzieć tylko wy, mając dobre oczki, nie umiecie jeszcze patrzeć. Jak kiedy przyniosą raki do kuchni, poproście mamy aby wam pozwoliła przyjrzeć się im uważnie. Tymczasem wam powiem, że rak należy do gromady skorupiaków, bo jest pokryty twardym pancerzem i ma 10 par odnoży, z których trzy przednie zakończone są kleszczami. A warto też przyjrzeć się jego oczkom osadzonym na ruchomych słupkach, które mogą się wciągać lub wysuwać dowoli. Corocznie przy końcu wiosny rak zmienia skorupę i wtedy znacznie podrasta. Do utworzenia nowej skorupy służą mu t. zw. *racze oczy*; są to dwa półkuliste kamyki wapienne znajdujące się w ściankach jego żołądka.

Kiedyś ucząc się zoologii, dowiedziecie się wielu ciekawych szczegółów o różnych gatunkach raków, teraz powiem wam tylko, że istnieją t. zw. kraby podobne do raków, tylko znacznie większe. Nazywają je też *pająkami morskimi*, bo długie ich nogi rozchodzą się promienisto na wszystkie strony jak u pajaków. Niektóre kraby bawią ustawicznie w wodzie i umieją pływać wybornie; inne znów mieszkają na lądzie i bardzo zwinnie biegają ale tylko w bok, nie naprzód lub w tył.

Jeden z największych krabów przebywa w wodach Oceanu Spokojnego w pobliżu brzegów Japonii i stanowi ulubiony przysmak Japończyków. Nogi jego dochodzą do 12 stóp długości; ciało jest prawie trójkątne, stosunkowo nieduże. Kraby te mają zwyczaj wychodzenia w nocy i wdrapywania się na wybrzeża i wtedy padają często ofiarą czatujących na nich ludzi. Pewnego razu rybacy, wybraawszy się na połów tych zwierząt, usnęli na wybrzeżu. Nagle rozbudził ich przeraźliwy krzyk jednego z towarzyszy. Przybiegłszy co tchu zobaczyli takiego olbrzymiego potwora pełzającego po ciele rybaka i z wielkim trudem udało im się nareszcie wyplątać go z tej sieci.

Z krabów lądowych zasługuje na uwagę gatunek żyjący na wyspach Samos a zwany przez krajowców *Ou-Ou*. Przebywa w lasach palm kokosowych i żywi się owocami. Silnymi nogami odrywa orzech z gałęzi i następnie rzuca go o ziemię ażeby rozbić łupinę i wydostać jądro.

*Leż*, krab lądowy, mieszkający we Florydzie na skałach wznoszących się nad brzegami morza, toczy zaciętą walkę z ptakami, które gnieźdzą się na niskich cedrach, pokrywających wybrzeże, gdyż wdrapuje się na drzewo i pożera jaja w gniazdach.

(d. c. n.)

## WISIENKI.

— Mamo, mówiła Anielka mała,  
Jużem wisiенki w sklepach widziała,  
Takie prześliczne, świeże czereśnie...  
Jakto w tym roku dojrzały wcześniej.  
— To nie tutejsze, kochane dziecię,  
To z zagranicy, gdzie cieplej przecie,  
Tu sprowadzone kosztują drogo,  
To też nie wszyscy jadać je mogą.  
— A jabyм na nie miała chęć wielką,  
Kup mi, mateczko!

— O! nie, Anielko!  
Na takie zbytki nie mam pieniędzy.  
Dzisiaj na świecie tyle jest nędzy,  
Raczejby o tem pomyśleć trzeba  
Że tylu biednych niema i chleba.  
— Ha! więc wisienek już nie dostanę?  
— Dostaniesz później, dziecię kochane,  
Gdy będą tańsze, wiesz o tem sama  
Że to rzecz zdrowa — odpowie mama.

— A więc mateczko, źle robi taki,  
Kto chce kupować drogie przysmaki?  
— Nie zawsze duszko, nie zawsze dziecię,  
Bywają przecież chorzy na świecie,  
Tym często trzeba, bo tym się godzi,  
Dać to co zdrowe, co im nie szkodzi;  
Czasem gust jakiś przyjdzie w chorobie,  
Niech więc, gdy mogą, dogodzą sobie.  
To znów przysmakiem jakimś nielada  
Rzadkiego gościa przyjąć wypada,  
Albo też owoc smaczny a świeży,  
Na podarunek posłać należy.  
Kto w tój, Anielko, nie jest potrzebie,  
A chce przysmaków tylko dla siebie,  
Swemu dogodzić chce podniebieniu,  
Robiąc grymasy, zbytki w jedzeniu,  
I gdy jest w średnio-zamożnym stanie  
Oj, źle ten robi, wierz mi, kochanie!

*Helena Bojarska.*

## SZCZEGÓLNE ROŚLINY.

Adaś i Zosia mieli wspólny ogródek, skopali go bardzo porządnie, mama dała im nasienia rezedy, bratków i innych kwiatów, które każde z nich bardzo starannie zasiało. Zosia prócz tego zasiała trochę rzodkiewki, sałaty i ogórków, ale Adaś śmiał się z niej, że takie pospolite sieje rośliny, za to poprosił mamy żeby mu dała nasienia melonów i arbużów i bardzo szczególnych kwiatów, które z wielkiem staraniem trzeba było hodować. Mama mówiła mu, że te rośliny, są bardzo trudne do hodowania, ale Adaś tak ją ciągle swemi prośbami nudził, że dla odczepienia się, dała mu po parę ziarenek owych nasion.

Uszczęśliwiony Adaś posiał je zaraz i z dumą powtarzał:

— Zobaczysz Zosiu, jak przyjedzie Henryś i Micia z Warszawy, będę ich mógł poczęstować prawdziwymi przysmakami, i dam kwiaty bardzo szczególne.

— Przecież i ja będę miała rzodkiewkę, sałatę i ogórki, a i rezedą już powszodziła — odrzekła Zosia, przyglądając się wyrastającym z ziemi listeczkom.

— Ech, co tam, tego wszędzie pełno, sałaty już i krowy jeść nie chcą, tak jej jest dużo! — odpowiedział Adaś i spojrzał na plac czarny w swoim ogródku, bo nasiona wschodźć nie chciały.

— Moje melony później wschodzą — dodał sobie na pociechę — ale za to będę miał piękniejsze owoce.

Wiosna była ciepła, słońce pięknie w dzień świeciło, w nocy prawie zawsze deszcz padał, ale oprócz posianych roślin urosło dużo i chwastu. Zosia codziennie pilnie wszystkie zielsko wyrwała, ogródek jej też prześlicznie wyglądał i wkrótce się doczekała, że mogła urwać pęczek prześlicznych rzodkiewek, a kwiatki już miała pączki.

Tymczasem ogródek Adasia zielenił się wprawdzie ale się tylko wyrosłym bujnie chwastem. Przyjechał

Henryś i Micia; dzieci zaprowadziły gości do ogródka, Zosia zaraz zerwała kilka kwiatków i ofiarowała je przybyłym, prócz tego Micia i Henryś mogli sami sobie urwać kilka rzodkiewek. Wielką im to zrobiło przyjemność bo Henryś i Micia, mieszkając w Warszawie, nigdy nie widzieli rosnącej rzodkiewki, która jest najsmaczniejsza, gdy ją się samemu wyrwie, obetrze z ziemi i zaraz zje w ogródku.

— A ty Adasiu nie masz nic w swoim ogródku? — zapytał Henryś.

— Ależ mam, będą prześliczne melony i arbuzy, tylko teraz jeszcze zawczasie — odparł chłopiec.

— Czy i na kwiatki jeszcze zawczasie? — zapytała Micia.

— Naturalnie! — odrzekł Staś nieco zarumieniony — dodał jednak z dobrą miną:

— Moje kwiatki są bardzo szczególne, nie takie pospolite jak Zosi, później kwitną, ale za to będą piękniejsze.

Dzieci pobiegły dalej i czem innem się zajęły.

W jakiś czas Zosia do podwieczorku urwała sałaty ze swego ogródka, same ją z Micią opłókały, przyprawiły solą i świeżą śmietaną i poczęstowały Adasia i Henrysia. Bardzo im ta sałata smakowała, a Henryś lubiący przysmaki zapytał znowu.

— Adasiu, a może już są i melony w twoim ogródku?

— Ale gdzież tam, jeszcze zawczasie — odparł Adaś z niechęcią, bo coraz więcej przekonywał się, że jego szczególne, a opuszczone rośliny, nie tylko nie dają owoców, ale coraz są brzydsze.

— Czy i na kwiatki zawczasie? — zapytała Micia. Adaś udał że nie słyszy i poszedł z obrażoną miną. I tak było przez całe lato.

Wreszcie Henryś i Micia odjeżdżali już w jesieni, a Adaś nie mógł ich niczem poczęstować ze swego ogródka.

Henryś też, żegnając się, rzekł poważnie:

— No, a na przyszły rok nie sięj takich szczególnych roślin w swoim ogrodzie, co chyba zimą trzeba z nich zbierać owoce.

Adaś zaczerwienił się, ale wiedział że Henryś nie przez złośliwość to powiedział, tylko rzeczywiście pragnął widzieć taki ładny ogródek jak Zosi i zjeść owe obiecwane przysmaczki.

— A dla mnie zasięj rezedy i bratków — zawołała Micia — co mi tam po takich kwiatkach, co ich się doczekać nie można!

Adaś jeszcze bardziej się zawstydził, ale w duszy rzekł sobie:

— Nie powinno się bardzo trudnych robót rozpoczynać, a gdy się rozpocznie, pilnie koło tego trzeba pracować, bo inaczej będę zawsze się tylko wstydził.

I odtąd nie rozpoczynał nic zbyt trudnego, a co rozpoczął pilnie się tem zajmował, bo mu zawsze stały na pamięci szczególne rośliny i owoce w jego ogródku.

*Z. Morawska.*

## NAŚLADOWNICTWO.

— Panna Róża poszła, a nam przykazała grzecznie się bawić przez chwilkę, ciekawam jak się tu bawić? — powiedziała Zosia.

— Wychodźmy sobie niby także — odrzekła Natalka.

Wzięła chustkę, owinęła się nią, zatykając brzegi za fartuszek w pasie, i zaraz zrobiła się z chustki doskonała długa suknia, z trenem nawet. Natalka włożyła na głowę płaski, okrągły koszyk od owoców, przewracając go do góry dnem, i zrobił się wyborny kapelusz, potem rzekła do brata i siostry:

— Moje drogie dzieci, pobawcie się tu same grzecznie, przez chwilę tylko, ja pójdę za sprawunkiem i wrócę niedługo.

To powiedziawszy wyszła do salonu i śpiesznie w około chodzić zaczęła.

— Otóż masz, ona poszła, a my jak się bawić mamy tymczasem? — powiedziała Zosia — kiedy tak, to i ja wyjdę.

Wzięła letnią kołderkę z łóžeczka Józia, i drewnianą przezroczystą doniczkę od kwiatków, w którą się inną glinianą wstawia, i zaczęła sobie z tego urządzać długą suknię i kapelusz a następnie chodzić po pokoju.

— Ha, kiedy tak, to i ja wyjdę, bo trudno przecież żebym sam jeden został i grzecznie się bawił — rzecze, widząc to Józio, i ubrał się w letnie palto ojca, włożył na głowę jego kapelusz i w rękę wziął laskę; kapelusz zakrył mu głowę aż po ramiona, palto z pół łokcia wlokło się po podłodze, a Józio nic nie widząc jakby grał w ślepą babkę, szedł prosto przed siebie, potykając się, stukał laską i wołał:

— Idę za sprawunkami, bawcie się grzecznie dzieci.

— Ależ Józiu, ty nie możesz tak chodzić — woła Zosia.

— E, co mi tam, idę za sprawunkami, proszę mi się tu grzecznie bawić. Wtem uderzył się o ścianę i zaczął płakać.

— A to co się już stało? — zawołała panna Róża, wpadając zadyszana.

— Nic, my tylko idziemy za sprawunkami — objaśniły dzieci.

— No, jeżeli tak lubicie mię naśladować gdy wychodzę — rzecze panna Róża zdejmując Józiovi paletot, — to bardzo dobrze; oto przyniosłam nici, których mi zabrakło, będę teraz szyła wasze sukienki, proszę usiąść tu koło mnie i szyć także.

— Cóż znowu, przecież ja chłopczyk jestem!

— E, przecież ja już dziś obrąbiłam jedną stronę chusteczki!

— Ja się przecież jeszcze szyć nie uczę, to nudno — zawołały chórem dzieci.

— Aha! — rzekła panna Róża — to gdy ja wychodzę, i proszę abyście byli grzeczni, wy chcecie mię naśladować i także wychodzicie, a z przykładów innych korzystać nie macie ochoty? Otóż przyrzekam sobie więcęć nigdy was nie zostawić samych, a za karę żem to raz uczyniła, nie pójdę dzisiaj spać dopóki szyć nie skoń-

czę, ale i wy musicie mi pomagać chociaż przez pół godziny, abyście zapamiętali, jak dobry przykład należy naśladować. Proszę Józia do igielki, bo i chłopcy bywają krawcami.

## SZARADA.

od Poranka majowego dla Iskierki.

*Pierwsze wspan,* drugie wprost znajdziesz w alfabecie,  
*Trzecie* nazwisko poety polskiego;  
*A całe,* nazwa miasta włoskiego,  
Więcęć nie powiem, bo wszystko zgadniecicie.

## ŁAMIGŁÓWKA.

ułożona przez Bol. Niem. dla Jadzi Heinrich.

. . . . . Kropki zastąpić literami tak, aby wyraży czytane poziomo i pionowo były też same. Litery: 8 A—1 C—1 D—z M—1 N—1 P—1 R. Znaczenie wyrazów: 1. dwa jakiegokolwiek przedmioty. 2. Imię męzkie. 3. Fajerwerk inaczej rakietka. 4. Imię męzkie znane z historii biblijnej.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

### Zagadki:

K o g u t.

### Łamigłównki kryształowej:

Z  
S A N  
P A L E C  
Z A L E S K A  
W I S Ł A  
O K A  
A

## Skrzynka do listów.

**Orzeł** źle ułożył zadanie konikowe. Zato Orzeł biały dobrze „słyszał”. Redakcja czasem musi bywać nieubłagana, co jęć nie przeszkadza życzyć ptakowi swobodnego po wsi bujania.

**Poranek majowy** nadesłał dobrą i ładną szaradę; nie może jednak być drukowaną, co zapewne sam Poranek zastanowiwszy się, zrozumie.

**Niezapominajka z nad Warty** prawdziwą nam radość sprawia tem, co pisze o swoim przywiązaniu do naszego Pisemka. Powiastkę w swoim czasie przejrzymy. Taka poważna staruszka sama już pewno rozumie, co jest bajką, a co prawdą?

**Droga Sosenko** tak za słowa, któremi się do nas odzywasz, jak i za zamiary, które tworzysz na przyszłość, należy ci się od nas serdeczne uczucie i prosić nie potrzebujesz o nie. Początek powieści wysłałiśmy powtórnie.

**Sikorka z nad Utraty** nadesłała nam łamigłówkę dla Gołąbki; przyjmujemy ją chętnie, ale czy ta maleńka ptaszyna słyszała o naszej „kolei”?

Jakże nam miło, drogi **Orso** żeśmy ci tak dogodzili! Co prawda, tak się nam jakoś zdawało, że tem a nie czem innym, największą ci przyjemność sprawimy.

**Nasturcyę** w tak dalekich krajach kwitnącą, chętnie przyjmujemy do grona korespondentek.

Najmilsza Jemioluszek! Sądzę z pseudonymu że miłą być musisz i dla tego pisząc do ciebie, ufam że nie zostawisz mego liściku bez odpowiedzi i że się na tobie nie zawiodę, jak na innych panienkach co mi nie odpisały, choć same pierw do mnie pisały, i że się pokochamy jak siostry. Wszak tak być winno w naszym kochanym Pisemku, wszystkie musimy się kochać jak siostrzyczki pod opieką „Dobrej pani” i Gołąbki pocztowej, także tylko starszej nieco od nas siostry. Ściskam cię po bilmiljon razy, raz jeszcze prosząc o odpowiedź. Kochająca cię choć nieznaną, *Cicha Woda*.

Kochana Wandziu K.! Dowiedziawszy się, że prenumerujesz „Wieczory”, radzę byś sobie obrała pseudonym i korespondowała z panienkami. Ileż to radości sprawia sercu miła odezwa drogiej Gołąbki pocztowej i kochanych siostrzyczek!! Ja pomimo tego, że jestem staruszką, jednak każdego numeru W. R. oczekuję niecierpliwie, a witam z radością. Donieś mi jak ci idzie muzyka? Serdecznego całuska przesyłam tobie i siostrzyczkom Stasi i Maryni, *Biała Perelka*.

Dziękuję wam wszystkim drogie siostrzyczki za wasze liściki. Najpierw tobie kochana Jaskółeczko z nad Sekwany za uściśnienia i przesyłam milion całusów. Trudne zadałaś mi pytanie, droga Różyczko z Wołynia, wszystkie bowiem nauki lubię, ale najlepiej chyba... fizykę. Dziękuję ci miła Różyczko Jerychońska za twój liścik. Proszę donieś mi co o sobie. Czy ci się podobała nowelka „Było ich trzy”? mnie bardzo. Oj! mój leniuszku Zosiu w Bis. czyż nie zbierzesz się napisać nigdy do „Wieczorów”. Obierz sobie jaki pseudonym i pisuj, gdyż jak się zobaczymy w Chotiaczewie, to będzie ci wstyd. Krynico droga czy zapomniałaś o naszym pisemku, że się do niego nie odezwiesz? Ścisza was wszystkie i prosi o odpowiedź *Światelko*.

Serdeczna nasza Ako! Bardzo mi jest miłym twój pseudonym, bo mój ukochany, półtoraroczny braciszek tak nazywa starszą naszą siostrę Hanię. Ciekawą jestem czemu go sobie obrałaś? Czy A. K. nie są pierwszymi literami twego imienia i nazwiska? Pisujemy do siebie, mam lat 12, nazywam się Fila (Filomena) jestem blondynką i mam oczy czarne; mieszkam na Wołyniu. Ciebie o takie same wiadomości proszę. *Kwiat paproci*.

Drogi moje: Topolko srebrna, Wisienko z nad Sobu, Biała Chmurko, Jedlinko, Śnieżycy, Krasnolico i Jesieni! Piszę do wszystkich razem, bym żadnej dłużną odpowiedzi nie została. Słyszałam, droga Topolko, żeś miała z Sasanką do Krakowa jechać? Co porabiacie? a Chmureczka? uściśnij ją odemnie. Rada jestem, miła Wisienko, że mój pseudonym ci się podobał; dziękuję ci żeś do mnie napisała. Śnieżycy i Krasnolicy donoszę, że mieszkam na Litwie w Kowieńskiej gub.; obecnie uczę się w domu, a za rok mam pojechać do szkoły. Jedlinie dziękuję za powinszowanie i życzenia wzajem przesyłam. Białą Chmurkę i Jesień ściskam serdecznie. Jak wam się podoba „Szesnastoletni wojewoda”? mnie bardzo. Odpiszcie mi proszę w prędkim czasie; liściki wasze sprawiają mi zawsze wielką przyjemność. Całuję was stokrotnie. Wasza *Halka z Litwy*.

Kochana Wiochno z pod Lublina! Chcę z tobą korespondować. Mam lat 9, na imię mi Maryla, mam troje starszego rodzeństwa, uczę się w domu. Daj mi też same wiadomości o sobie. Czy ci się podoba „Szesnastoletni wojewoda”? bo mnie bardzo. Niezapominaj o *Małej pedantce z nad Nidy*.

Kochana Ako! Mam wielką ochotę pisywać do ciebie. Proszę cię donieś to wszystko o sobie o co prosiłam Wiochny, oraz czy ci się podoba „Pod wpływem błogosławieństwa”? Ścisza cię *Mała Pedantka z nad Nidy*.

Kochane: Niezapominajko, Sarneczko modrooka, Jaskółko z nad Dunaju, Symfonio, Stokrotko z nad Stochodu i Światelko! Odpisuję wam wszystkim odrazu aby odpowiedzieć prędkiej. Droga Niezapominajko pozdrów odemnie braciszczków. Do ciebie, kochana Sarneczko, pisałam w numerze 4, Jaskółko miła jakże ja nie mogę odgadnąć twego imienia? Czemu mi nie odpisujesz Symfonio? Stokrotko kochana niestety, oprócz Warszawy i Lublina żadnych miast większych nie znam, a więc i Kijowa. Piszesz milutkie Światelko, że lubisz nauki, a najwięcej fizykę, i ja ją lubię, ale prawdę powiedziawszy, wolę matematykę i literaturę. Donieście mi jakie macie projekta na lato? Dziękuję wam moje drogie, że pamiętacie o mnie i polecam się nadal waszemu sercu i pamięci. *Różyczka biała z Wołynia*.

Dziękuję wam, dobra Westalko i Kuropatwo z nad Ikopetiu za liściki. Tobie Westalko donoszę, że się nie ślizgam, a tańczyć też nie mogłam, bo dwoje z rodzeństwa przechodziło tyfus. Czytać bardzo lubię, niedawno czytałam „Nad Wartą”; ta książeczka bardzo mi się podobała, a obecnie czytam Jak ziarno piasku włożę się i przemienia, z biblioteki przyrodniczych nauk Bernsztejn. Donieś mi czyś to moja droga czytała? To takie zajmujące! Ciebie Kuropatwo witam serdecznie i donoszę że najlepiej lubię czytać i grać. Czy także grywasz? donieś mi proszę. *Jesień*.

P. S. Miłym przyjaciółkom: Cyganeczce, Stokrotce, Kwiatkowi polnemu, Kropelce wody, Sarence z nad Moroczku, Brzydotce, Jaskółce z nad Sekwany, Halce z Litwy i Czeskiej Niezabudce serdeczne uściśnienia posyłam.

Kochane moje: Śnieżycy i Krasnolico, Westalko i Cyganeczko. Piszę do was wszystkich razem, bo czytałam w ostatnim numerze, że mnóstwo liścików czeka na swą koleję, więc musimy się ograniczać w korespondencji. Śnieżycy jestem teraz w Warszawie i postaram się powziąć jaknajwięcej szczegółów o was; z dawnych roczników wiem, żeśmy obie staruszki w równym wieku. Westalko i Cyganeczko donieście mi co pewnego o waszym przyjeździe do Nałęczowa, a postaram się zobaczyć z wami. Tej zimy w teatrze widziałam waszą starszą siostrę w loży pani W. D. Całuję was wszystkie serdecznie. *Wiochna z pod Lublina*.

Kochana Kaplauko Znicza! Bardzo mi się podobasz i chciałabym z tobą korespondować. Zdaje mi się, że ci na imię Antosia K., czy zgadłam? Ja jestem jedynaczką, uczę się w domu, na imię mi Zosia. Całuję cię i proszę o rychłą odpowiedź. Kochana Cyganeczko z nad Wisły czyś dawno pisujesz do Wieczorów? Ja dopiero od kilku miesięcy. Bardzo mi się podobasz, donieś mi jak się nazywasz i ile masz lat. Prosi o to *Pieszczotku*.

Kochana Jutrzenko! Mieszkam gdzie i ty, uczę się muzyki i różnych nauk, z których najlepiej lubię historię powszechną. Cieszę się, żeś do mnie napisała i proszę cię donieś mi co o sobie. Mieszkając w jednym mieście, może się z czasem poznamy. Całuję cię serdecznie, *Wesoła Krakowianka*.

Droga Jaskółko! Przykro mi, żeś mię posądziła o brak chęci korespondowania z tobą. Na pierwszy list nie odpisałam będąc chora, a na ostatni dla innej przeszkody. Nie gniewaj się na mnie droga Jaskółko i proszę cię pisuj do mnie. Zazdroszczę ci, że będziesz mogła należeć do konkursu, bo ja należałam do niego już po raz ostatni, ponieważ kończę lat 15. Czyś napisała na konkurs? Bądź lepszą odemnie i odpisz prądko. Całuję cię, *Pieszczotka z nad Ussy*.

Najdroższe moje: Jemioluszek, Maryno z pod Garwolina, Niezapominajko z nad Warty i Biała Chmurko! Dziękuję wam bardzo za liściki, które mnie niezmiernie ucieszyły. Biała Chmurko donoszę ci, że mieszkam także na Wołyniu w Kowlu, a ty gdzie? może się kiedy spotkamy. Jemioluszek droga! nazywam się Anna W., mam lat 13 uczę się w domu, do konkursu nie należę. Maryno kochana do ciebie osobny liścik napiszę. Niezapominajce z nad Warty oddaję całusy za całusy. Najdroższe siostrzyczki ściskam was po miljon razy i proszę o odpowiedź dla szczerze was kochającej „Aki”.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Podawaliśmy już niezmierną ilość sztuczek, polegających na prawie bezwładności i tłómaczyliśmy to prawo niejednokrotnie. Oto jeszcze jedno doświadczenie podobnego rodzaju. Stos pieniążków miedzianych ustawia się na ramieniu podniesionem, jak wskazuje rycina. Jeżeli ramię osunie się bardzo

prędko i zręcznie, aby nie wstrząsnąć pieniędzy, stos cały utrzyma się przez jedno mgnienie oka w powietrzu w całości, a kto jest niezwykle zręczny, może go ręką opuszczoną pochwycić.

### POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— A! to ty stary! Jesteś przecie!... — z zadowoleniem zauważył gospodarz, wpatrzywszy się weń przysłaniając oczy ręką od światła, mówił z niemiecka po węgiersku, często powtarzając ja! ja! — No, to dobrze, bierz się do roboty, a nie pożałujesz, że ze mną sprawę mieć będziesz. Zobaczysz! No, wołaj twoich.

— Do roboty?... ja!... Cygan! miałbym się brać do roboty! Wprzódę prochu z ciebie i wszystkich twoich nie stanie na świecie, nim się Cygan tak zhańbi żeby się miał do roboty brać! — odparł z nieopisaną w swoim rodzaju dumą, i ze wzgardą czysto cygańską dla pracy i pracujących. Wstał i poprawiając fajkę zabierał się do odejścia. — Wołasz, wołasz, prosisz do siebie, zapraszasz mię przez każdego Cygana, jakiego spotkasz, a gdy przychodzę, to mi gadasz o robocie...

— A u Petöfiego grywaliście przecież zawsze, całą bandą? A u mnie nie chcecie? Czemu? Ludzie chwala, że wszystko byłoby u mnie dobrze, gdyby tylko jeszcze Cyganie zagrali: no gadaj czemu nie chcesz grać? Mnie koniecznie muzyki twój trzeba.

— To o granie tobie rzecz idzie? Po to wołałeś?

— Oczywiście, po cóżby innego? Tutejszy lud głupi, nie dość mu katarynki, chce was.

— To cóż o robocie znów teraz mówisz: granie to nie robota przecież, i owszem będziemy grać byleś dobrze płacił, czemu nie, tylko katarynkę z domu wyrzucić, sprzedaj albo spal.

— Katarynkę?

— No? albo co? Czy ci już tego nie mówiłem?

— Mówiłeś, ale ja myślałem, że to żarty: co tobie katarynka przeszkadza? Toż jakby kilku muzykantów więcej; chyba tobie miłej było u Petöfięgo?

— Głupi jesteś! Wszystko mi jedno ty czy Petöfi, choć co prawda tyś nie wart i za parobka u niego służyć, bo on jest porządny gospodarz; mnie kto płaci u tego gram, a teraz u niego gości niema to i nie płaci: ale wprzód własną ręką moją skrzypkę rozbiję, niż ona się ozwie pod takim dachem, kędy katarynka gra!..

Z otwartemi ze zdumienia ustami wysłuchał Niemiec tej mowy nic z niej nie zrozumiał, chciał coś mówić, wcale nie urażony wzgardliwym obejściem cygana, ale ten nałożywszy sobie tymczasem fajkę z jego kapciucha leżącego na stole, zapalił ją dmuchnął mu dymem w oczy i wyszedł. Skoczył za nim Niemiec po chwili coś sobie nowego obmyśliwszy, ale już i w głównej izbie nie było cygana. Gryząc fajkę ze złości, szedł karczmarz napowrót do małej izdebki, podrażniony tylko po drodze w dużej izbie małą, która mu za to zerwała z głowy czapkę i fajkę zręcznie pochwyliła, włożyła sobie jedną na głowę, drugą w zęby i szybko kufle jeła między gośćmi roznosić, kłaniając się nisko i wyszczerzając zęby uprzejmie:

— Gospodarz! gospodarz! gospodarz! — zakrzyczała papuga skacząc po sprzętach na około tak krzającą się przyjaciółki.

— Hap hap! — poszcze kiwał pudel tańcząc na dwóch nogach koło mały.

— Gospodarz! istny gospodarz z tej mały! — wołali goście zanosząc się śmiechu.

— Héj héj gospodarzu, a toż wy chyba krewni z sobą być musicie, boście podobni do siebie jak brat z siostrą!

— Potańczujcie ze sobą gospodarstwo! — i karczmarz wziął małą w taniec ku uciesze swych rozbawionych gości, którzy tłumnie poszli za przykładem tej pierwszej pary tak ochoczo, że aż huczącą zagłuszał katarynkę.

Tak ożywiwszy zabawę, karczmarz po niejakić chwili, spostrzegł wsuwającą się do izby starą cygankę i copędzć skinął na nią: nieznacznie oboje wemknęli się do bocznej kryjówki:

— A co? Namysłił się wasz stary? Przyjdzie grać z bandą? Niechże prędko przychodzi. Tym głupim tutejszym ludziom niedość już doskonałej drogię katarynki, dowcipnej papugi, zgrabnej mały i marzejszego od tych wszystkich moich gości pudła, chcą gwałtem cygańskiej muzyki, niechże stary z bandą przychodzi, niech powie przynajmniej ile chce za granie? Widać strasznie chce mię obedrzeć, kiedy się tak targuje?

— On się wcale nie targuje, nie rozumiesz tego on jest artysta, skrzypkę swoje kocha jakby siostrę, albo matkę, albo córkę, nie będzie grał tu, gdzie grywa katarynka, bo serce by go bolało iż się skrzypka jego z katarynką brata... Nie będzie grał choćbyś mu najwięcej zapłacił.

— A to waryat Cygan! — zawołał Niemiec i ręce rozpaczliwie załamał — i cóż ja tu pocznę teraz? Lud z początku bawił się u mnie wybornie, ale teraz już mu się mądre sztuki sprzykrzyły i zaczyna wdychać za cygańską muzyką. Przebakują coś że Petöfi wychorował się i znów do gospodarstwa się bierze. Jeżeli to prawda, gotowi napowrót wszyscy do starej czardy powrócić i moje ze szczeniem opuścić! Zginę! zginę! przypadnie tyle pieniędzy! pracę całego życia, wszystko co do grosza na tę karczę, jak na jedną kartę postawiłem! — jęczał karczmarz.

— A jak tu jeszcze jego syn powróci, taki co pieśni układa, ot to dopiero rzucą się ludzie do czardy bo wszyscy tego chłopca znają i bardzo lubią.

— Ależ ten chłopiec gdzieś tam przepadł, i z tego rozchorował się stary?

— Tak; a teraz się chłopiec odnalazł, stary wyzdrowiał

i dobra dola powróci lada dzień do Petöfiowej zagrody! — Karczmarz jął biegać po izdebce:

— A niechże tę Petöfiową czarę woda zaleje, wilec rozniosą, ogień spali! — zakrzyczał z roziskrzonymi złością oczyma, zacisnięte pięści do góry podnosząc, jakby nieszczęsnej czardzie wygrażał. — Niech ona zginie nie zaś moja ciężka praca!

— Praca... jaka tam praca... u Petöfich jeżeli co jest, to z pracy, ale u ciebie wszystko idzie z oszukaństwa i z kradzieży, tyś nie głupi pracować i tak jak my cyganie, wolisz kupić za grosz, co my ukradniemy, i odprzedać za dziesięć. To znaczy mieć rozum; jest zysk bez niemilej pracy. To też ja mam braterskie serce dla ciebie i chętnie chciałabym ci dopomóc... — Cyganka wypowiadała tę szczególną teorię dobitnie i z tak dziwnie zimną krwią, że Niemiec przystanął i wpatrzył się w mówiącą, nie wiedząc czy drwi z niego, czy też naprawdę w zaufaniu wypowiada naiwnie cygańskie swe przekonania. Ostatnie wyrazy zajęły nagle jego uwagę:

— Ale co? czy jak ci zapłacę to namówisz starego waszego żeby przyszedł z bandą grać u mnie? Ile chcesz? mów! dam!

— I... co tam granie, to nie pomoże, stary ojciec nie posłucha, a choćby, to i tak gdy tylko chłopak Petöfiowy przyjedzie, wrócą wszyscy do niego: ale gdyby tak starą czarę woda zalała, albo ogień spalił jakieś to mądrze przed chwilą powiedział, ot toby pomogło!..

Cyganka i karczmarz popatrzyli sobie prosto w oczy.

Z wykrzywionemi gniewem ustami, Niemiec stał chwilę jak skamieniały, bez oddechu prawie... nareszcie odetchnął głęboko, zdjął z półki chleb, ser, masło, butelkę, całą kureg upieczoną, postawił to wszystko na stole przed cyganką, sięgnął do kieszeni i położył koło chleba garstkę pieniędzy, potem usiadł na ławie przy cygance, nalał szklanek wina i podając jej szepnął, patrząc na tę szklanek:

— Marcha, ty masz braterskie serce dla mnie, poradź ty jakby to zrobić?...

Marcha najprzód obejrzała pieniądze i schowała; wzruszając wzgardliwie ramionami.

— Będzie więcej, czemu nie, tylko poradź! — pośpiesznie na ten gest odpowiedział gospodarz. Za pieniędzmi poczęło znikać jedno po drugim co tylko było na stole, nie wyjmując nawet noża, poczem cyganka wypila wino i rzekła:

— Jakiś też ty głupi gospodarzu, przecież takie nieszczęścia stają się zawsze tylko przypadkiem.

Karczmarz podrapał się gwałtownie za ucho:

— Och — mruknął przez zęby — gdyby taki przypadek miał uszy do słuchania i ręce do brania pieniędzy, tobym z nim zaraz pogadał...

— Coby mu tam z tego przyszło!... — wzruszyła ramionami z właściwym cyganom wzgardliwym gestem.

— Pięć guldenów!... — szepnął. Ona parsknęła śmiechem.

— Dziesięć!... — podwoił. Wzruszyła ramionami znowu.

— Piętnaście!... — Przychyliła sobie butelkę, wypila resztę i zabierała się do odejścia, poprawiając płachtę na grzbiecie.

— Dwadzieścia!...

— Idźcie, idźcie... chybaby też przypadek rozumu nie miał gdyby tego słuchał.

— Czterdzieści! Tak? czy nie? — chrapliwym głosem jęknął Niemiec.

— Sto! Tak? czy nie? — z dumą powstając i owijając się w purpurę, spytała indyjska królowna.

— Sto!... Sto!... Sto!... — chwytając się za głowę dyszał karczmarz, jakby go wyraz ten dławiał, i znowu jął biegać po izdebce potykając się o sprzęty, nie mogąc z wielkiego wzruszenia utrzymać się w spokoju. Marcha tymczasem postąpiwszy już ku drzwiom, zatrzymała się jeszcze i przymrużając oczy, jakby pograżona w trudnym rachunku, mrucała półgłosem niby do siebie:

— Młody wprawdzie listu matczynego nie przeczytał...

ale to wszystko jedno, tem bardziej niespokojny jest i pędzi do domu, wie że ojciec chory... to było w poniedziałek... wtorek, dzisiaj jest środa... tak! i zwracając się do rozpaczającego karczmarza, dodała:

— Dzisiejszej nocy chłopak wróci z dobrą dolą i pełną kieszenią, bo się dorobił, stary Petöfi już zdrowy, jutro święto i jarmark, kto żyw pędzić będzie do stariej czardy, cyganie już tam idą ze skrzypcami, tu u ciebie od jutra psa nie będzie... prócz twojego pudła! No: sto! Tak? czy nie?

— Niech będzie! — jęknął karczmarz i upadł na ławę.

— Daj zadatek!... nie uwierzę ci inaczej.

Krótką chwilę trwał jeszcze ten targ ohydny, dotyczący już tylko wysokości żadanego zadatku, poczem Cyganka schowała pieniądze i przemknawszy jak cień pomiędzy tańczącymi w dużej izbie, znikła za drzwiami w czarnych przepaściach nocy.

## XVII.

Noc letnia ciemną była w istocie, bo chmury zasnuły blask gwiazd, ale wonną, rzeźwą i rozkoszną była mimo to, zwyczajnie jak noc w puszczy.

U wielkiego dębu, strzaskanego przed wiekiem może cięsem piorunu, i sterzącego od niepamiętnych czasów uschłemi konary pojedynczo nad zielonym stepem, Cyganie założyli chwilowo swój obóz. Stanowi go para szałasów urządzonych z wozu, rupieci różnych i płacht, co wszystko pozawieszano i poopierano na konarach uschłego dębu. Cyganka gotuje coś w kociołku zawieszonym nad nędznym ogniskiem, podsycając je od czasu do czasu kawałkiem ułamanego dębowego konaru. Nie jest to wieczerza, lecz może tajemniczy odwar jaki; banda dawno już jest po wieczerzy i śpi pod szałasami, na wozie i pod wozem. Koń podskakując z głuchym odgłosem na spętanych nogach, pasie się w pobliżu na bujnej trawie. W małym oddaleniu, na tle chmurnej nocy, rysuje się ciemniejsza od niej postać ludzka i dziwny czar melodyi rozchodzi się od niej po stepie: to stary Cygan gra tam na skrzypce swojej ukochanej, tuląc ją do siebie tem serdeczniej im rozkoszniejsze tony z niej płyną w świat. Ale chociaż rozkoszne, jednak dziwnie też i smutne one dzisiaj; takie smutne aż się sam Cygan zdumiewa: skarży się skrzypka, czy co? Czyżby się na zniewagi od ludzi doznane skarżyła?...

— Nie lękaj się, bądź spokojna duszo moja, nie doczekają oni żebyś ty śpiewała pod jednym dachem z katarzynką!... — pociesza ją Cygan rozkochany w swjej skrzypce artysta, oburzony propozycją karczmarza. Gra on już tak od godziny wśród ciemnej nocy, usiłując wygrać na zewnątrz piersi tę zniewagę która go boli, ale to próżno, skrzypka skarży się i skarży żałośnie, cygan nie może karczmarzowi urazy wybaczyć.

— Pomszczona ty już jesteś, skrzypko srebrnostronna, pomszczona!... — mruczy daleko, daleko w głębiach nocy wędrująca Cyganka, gdy pierwszy żalony ton przeciągły doleciał na skrzydłach wietrzyka do jej uszu: nietylko poznała odrazu skrzypkę starego ojca bandy, ale nawet zrozumiała ich skargę. Przystanąła, posłuchała chwilę i poszła prosto za głosem do niewidzialnego jeszcze cygańskiego obozu. Doszedłszy, usiadła na ziemi o kilka kroków od grajki i pozostała nieruchoma jak głaz. Spała lub słuchała zakazarowana śpiewem skrzypek. Gdy nareszcie grać przestał i z głuchym westchnieniem zawrócił ku obozowi, Marcha stanęła przed nim:

— Masz za to... musiał dać katarzyniarz! — powiedziała dając mu pieniądze i używając nazwy, jaką Cyganie muzykanci-artyci dawali karczmarzowi, przez wzgardę dla jego instrumentu i z gniewu że się dotąd bez nich obywat. Stary Cygan pomimo wysoce artystycznego ducha, był przede wszystkim Cyganem, to też najprzód schował pieniądze a potem dopiero spytał:

— Z dobrej woli nie dał przecież?

— Rozumie się!... Chce katarzyniarz raz skończyć z Petöfiową czardą a sam się boi — tu Marcha dmuchnęła

sobie na dłoń, wyrażając w ten ludowy sposób spłonięcie ogniem.

— Aha, ty masz mu kartofle z ognia wyciągać.

— Chciałam całe sto, i przyrzekł dać potem, ale już ja tam tylko tego jestem pewna co weźnę przedtem.

— Oczywiście. Co wzięłaś to nasze a teraz idź spać, bo jutro ruszamy na jarmark.

— Dagonię was; teraz muszę skończyć z Petöfiową czardą...

— Co? chcesz dogodzić katarzyniarzowi? A to po co? Żeby potem ja z całą bandą za to odpowiadał? Ani się waż! Taka rzecz się nie ukryje, będą nas włóczyć po sądach i więzić w ciemnych dusznych więzieniach. I po co? Wszak sama powiadasz że *potem* karczmarz nie zechce dodać już więcej do tego coś zeń *przedtem* wyłudziła: pocóż mu pomagać!

Dwoje tych ludzi z tajemniczego, indyjskiego podobno wedle własnych przekonań pokolenia, pozbawieni jak wszyscy Cyganie najzupełniej chrześcijańskich pojęć i zasad, odpowiednio rozmawiali z sobą. Stary ojciec bandy zakazywał Cygance podpalić Petöfiową czardą, nie dla tego że to byłoby zbrodnią okropną, lecz ponieważ nie można było nic na tem zyskać, a można było zostać ukaranym. Ale Marcha potrząsała głową:

— Muszę! W razie biedy złożę wszystko na katarzyniarza, który mię podmówił.

— Musisz?... gdy ja zakazuję!...

— Tyś ojciec i pan bandy naszej, ale tak chcą jeszcze potężniejsi od ciebie: duchy!...

— A!... — mruknął stary, wpatrując się badawczo w jej oczy, o ile księżyc wyblaskujący z za chmur chwilami, pozwalał. — I dla czegoż to?

— Petöfi syn ściągnął rękę na królewską krew Ramy!... pomsta duchów musi spaść na ród jego cały! — zawołała nagle wyciągając ręce ku niebu, a oczy rozplłomieniły się jej jaskrawo-żółtym blaskiem.

— Zrobisz to przyszłej nocy zatem.

— Nie! duchy chcą natychmiast, bo tej nocy przyjedzie Petöfi syn do stariej czardy i kara dotknie cały ród razem, jutro nie nasze; jutro syn może zabrać rodziców z czardy, gdyż słyhać w mieście, że i tak za długi wziąć ją mają wierzyciele. Dla tego to dziś poszłam do katarzyniarza, który o tem jeszcze nie wie i wyłudziłam z niego pieniądze ile się dało: gdy się dowie że wierzyciele zabierają starą czardę, będzie wołał sam ją za bezcen kupić niż zniszczyć.

— Idź więc naprzód do skrzyni i przygotuj nam i wyczyść odzienię bogate na jutro na jarmark, tylko wprzódby zbudź Sewa i przyslij go tu do mnie po rozkazy! Potem czyń co kazały ci duchy!

Starzec pozostał w miejscu zapatrzony w ukazujące się z pomiędzy chmur gwiazdy, Marcha odeszła ku szałasom z których prawie natychmiast wybiegł cień wysmukły i podążył do ojca bandy.

(d. c. n.)

## ZGODNA RODZINA.

Tulą się do matki  
Rozkoszne jej dziatki:  
Kotki bure, czarne,  
Wesołe, figlarne,  
Wszystkie życia chwile  
Spływają im mile,  
Dzieciństwa wiek złoty  
To figle, pieszczoły!  
Nie znają koteczki  
Co waśnie, co sprzeczeki,  
Tam zgoda trwa święta...  
Sześcielwe kociecia!

Helena Bojarska.



## NIEBIESKA POŃCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSŁONIE

przez **Bronisławę Porawską.**

### OSOBY.

P. ANIELA, nauczycielka.

NIUNIA  
WŁODZIO. } rodzeństwo.

MARTUSIA, stara piastunka Włodzia i Niuni.

*Rzecz dzieje się na wsi u rodziców Włodzia i Niuni.*

(Pokój szkolny, na środku stół zarzucony książkami, kasetami i t. p. Przy stole z głową opartą na jednej ręce. siedzi Włodzio, nogę założoną jedna na drugą, buja jak tylko można najwyżej. Przed nim książka otwarta w którą nie patrzy. Po drugiej stronie Niunia, rozparta na krzeselku, z książką na kolanach, przygląda się palcom u rąk. Na boku przy stole siedzi na fotelu Martusia, w okularach, stołeczek pod nogami, robi pończochę. Przy niej na stolczku koszyczek z kluczykami, i drugi z bawełną, w którym leży cała niebieska pończoszka już zrobiona).

### Scena I-a.

MARTUSIA, NIUNIA, WŁODZIO.

MARTUSIA (*nie podnosząc oczu od roboty*). Uczyć się dzieci, uczyć, p. Aniela przyjdzie jutro, a tu pewnie ani jedna lekcya nie wykończona.

WŁODZIO (*cicho*). Nie Martusi kłopot.

NIUNIA. A na Martusię to nikt nie woła, żeby się z pończochą śpieszyła.

MARTUSIA. Bo ja nie potrzebuję żeby na mnie wołać, wiem sama że co do mnie należy, to zrobić trzeba, nikt za mnie tego nie zrobi.

WŁODZIO. Wielka mi rzecz robić pończochę (*pokazuje na palcach jakby robił pończochę*) fik, fik, i już pończocha zrobiona.

MARTUSIA. O tak, u ciebie to wszystko fik, fik, aby nie nauka, a ja znów powiem, co to trudnego patrzeć w książkę i powtarzać co tam napisane, na to nawet nie trzeba fik, fik, palcami.

NIUNIA. Tak, ale spamiętać wszystko, to niby łatwo.

MARTUSIA. Szczególniej jak kto siedzi godzinę nad książką i nie spojrzysz w nią ani razu.

WŁODZIO. Martusia myśli że to bardzo zabawne patrzeć ciągle w książkę.

MARTUSIA. A nie wiem czy to zabawne nie umieć lekcyi? mama się martwi, p. Aniela gniewa i pałki stawia w dzieniczku, to, to pewnie zabawne, co?

NIUNIA (*obrażona*). Martusia to aby gderać, już wołę nie wiem co, jak żeby Martusia siedziała mi nad głową.

MARTUSIA. Ja też nie siedzę nad głową Niuni, tylko na krzeselku, a kiedy mi mama kazała tu posiedzieć i dzieci pilnować, to siedzę i pilnuję, choćbym też wołała iść do gospodarstwa.

WŁODZIO. Bo lepiej, tam kury i kaczki tęsknią za Martusią.

MARTUSIA. Wołę sto razy mieć do czynienia z kurami i kaczkami, ba, nawet z gąskami, choć to niby nie mądre mają być ptaki, aniżeli z niegrzeczniemi dziećmi. Proszę się uczyć, a nie marudzić, bo powiem przed mamą i kwita.

NIUNIA (*biorąc książkę*). (*Przedrzeźniając*). Powiem mamie i kwita.

WŁODZIO (*zabierając się także do książki*). Ach, żebym ja jak najprędzej był już dorosłym, oho, dopiero będę używał. (*Trzyma książkę przed oczyma patrząc na sufit, powtarza*) po odkryciu Ameryki przez Kopernika w roku... w roku... (*patrzy ciągle w sufit*) w roku...

NIUNIA (*spojrzawszy w książkę kładzie ją znów na kolanach*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy... duchy... (*ogładając swe ręce*) atramentem zawsze umorusane, ale czy ja temu winna jestem? a po co tyle tego bazgrania.

WŁODZIO (*zwracając się do Niuni*). Umiesz już swoje lekcye?

NIUNIA (*rzucając książkę na stół*). Tam z temi lekcyami, człowiekowi życie się przykrzy.

WŁODZIO. Dużo mię to obchodzi kto odkrył Amerykę, A niech tam sobie będzie kto chce.

NIUNIA. Żebyś to ty co wynalazł, to jeszcze.

WŁODZIO (*kręcąc głową*). Fiu! żebym chciał tobym zaraz co wynalazł.

NIUNIA (*z zajęciem*). Wynaleź, mój kochany.

WŁODZIO (*z pewnością siebie*). No, a co chcesz żebym wynalazł?

NIUNIA (*po chwili namysłu*). Wynaleź taką maszynkę, żeby za przytknięciem do głowy, wszystko z książki w nią weszło. A co? to byłoby paradne?

WŁODZIO. Ba, to byłoby dobre, ale to trudne.

NIUNIA. Przecież łatwych rzeczy się nie wynajduje, tylko właśnie trudne.

MARTUSIA (*która przez ten czas zdrzemnęła się, i ręce z pończochą opuściła na kolana*). (*przez sen*). A nie rusz!





ZGODNA RODZINA.

WŁODZIO (*ogładając się*). Ho, ho, Martusia sobie zasnęła, i śni jęj się pewnie, że Lubuś łapie kurczęta.

NIUNIA (*śmiejąc się*). A prawda, śpi sobie w najlepsze, dobrze nas pilnuje.

WŁODZIO. E, czy my to potrzebujemy pilnowania.

NIUNIA. A umiesz swoje lekcję?

WŁODZIO. Wielka mi rzecz, a ty umiesz swoją?

NIUNIA. Jeszcze coprawda nie, ale taka łatwa to się nauczę w moment. A twoja?

WŁODZIO. O! moja bardzo trudna, tam coś o odkryciu Ameryki.

NIUNIA. Mów ciszej, to się Martusia nie obudzi, i nie będzie terkotać nad głową.

WŁODZIO. Nie bój się, nie obudzi się tak łatwo. Aj, żeby jęj jakiego figielka wyplatać.

NIUNIA (*machnąwszy ręką*). Tobo potem poskarzyła, i mamaby się gniewała na nas.

WŁODZIO. Coby się miała gniewać, Martusia nie będzie wiedziała kto to i co powie? (*namyślając się*). Aha, wiem, wymyśliłem coś zabawnego, to będzie właśnie mój wynalazek.

NIUNIA (*ciekawie*). A co wymyśliłeś?

WŁODZIO (*podchodząc do Martusi*). Czy tylko śpi aby?

NIUNIA (*podchodząc na palcach*). Śpi, śpi, można teraz strzelać. No, powiedz co wymyśliłeś?

WŁODZIO (*wyjmuje pończochę z rąk Martusi i odchodzi z nią cicho na palcach*). Teraz widzisz, tę pończochę sprujemy...

NIUNIA (*przerzuwając*). Ach! nie, nie, to tyle pracy, ja wiem, jak to się trzeba namęczyć, żeby taki kawał zrobić.

WŁODZIO. E, co tam, Martusia tylko fik, fik, palcami i już zrobiona (*wyciąga druty i pruje*).

NIUNIA (*zalamując ręce*). Ach Boże! co ty Włodziu robisz najlepszego!

WŁODZIO. Cicho! jak zaczniesz krzyczeć, to cały mój wynalazek za nic.

NIUNIA (*krzywiąc się*). Takie wynalazki to do niczego.

WŁODZIO. Czekaj, to dopiero początek (*pruje ciągle*) widzisz, potem te druty włożę w kłębek z bawełną, ja widziałem nieraz że Martusia tak robi, potem tę pończoszkę co tam jest w koszyczku położę Martusi na kolanach, a ona będzie myślała, że zrobiła już całą. To będzie zabawne, prawda?

NIUNIA. Nie bardzo, mnie żal, żeś spruł tyle pończochy

WŁODZIO. Masz czego żałować, dopiero to wielka rzecz.

NIUNIA. Alebyś jednak nie potrafił tego zrobić?

WŁODZIO. A gdzieżeś to widziała, żeby mężczyźni robili pończochy? No, nie miej takiej miny, bo mi się zaraz nie szykuje, o, patrz, już i koniec roboty.

NIUNIA (*patrzy chwilę potem mówi z determinacją*). No, kiedy koniec, to i koniec zmartwienia, bo już teraz na to nie poradę (*zbierając z ziemi bawełnę*). A z tem co zrobimy?

WŁODZIO. Wrzuc gdzie chcesz, możesz włożyć do szuflady.

NIUNIA. To zobacz, i wyda się twój wynalazek.

WŁODZIO. Nie tylko mój ale i twój przypuszczam cię do spółki. No, to wrzuc do pieca, teraz lato to tam nikt nie zagląda, a później to i zapomną.

NIUNIA. Lepiej wezmę w kieszeń, a jak wyjdziemy, to wrzucę do sadzawki i koniec.

WŁODZIO (*wtykając druty w kłębek bawełny*). O widzisz, to zupełnie tak jak kiedy Martusia skończy pończochę, a drugiej zaraz nie zaczyna.

NIUNIA. Połóż prędko tę skończoną, bo się przebudzi i wszystko się wyda.

WŁODZIO. Nie obawiaj się, zdąży, słyszysz jak zasypia, (*idzie na palcach, bierze pończoszkę z koszyczka, i rozkłada ją na kolanach Martusi, jako też i kłębek z bawełną, a potem odchodzi po cichu, bierze książkę siada na swem miejscu i zaczyna się uczyć głośno*). Po

odkryciu Ameryki przez Mikołaja Kolumba w roku tysiąc czterysta...

NIUNIA. Mnie się zdaje Włodziu, że ty się mylisz, Mikołaj to był Kopernik, a Kolumb to Krzysztof.

WŁODZIO (*przerzuwając*). To czyste utrapienie z temi imionami, zawsze mi się poplączą i nie mogę z nimi dojść do ładu.

NIUNIA. To tak jak mnie z katechizmem, bo powiedz tylko, czy to potrzebne pisanie książek o tem, co każdy wie. Co to są aniołowie? a co to człowiek? a na co Pan Bóg stworzył człowieka? Niby ja i bez książki tego nie wiem.

WŁODZIO. To takie wymysły na utrapienie nas biedaków.

NIUNIA. Jabym napisała książkę z pytaniami, to proszę, byłoby zupełnie coś innego, bo tego nikt jeszcze nie drukował.

WŁODZIO. A jakie?

NIUNIA (*namyśla się*). Najpierw, byłoby, co to są nauczycielki?

WŁODZIO. A jaka byłaby odpowiedź.

NIUNIA. Zaraz, przecież książka pisze się z namysłem. (*po chwili*). Nauczycielki są to... są to... duchy...

WŁODZIO (*przerzuwając*). A widzisz że nie, bo duchy nie mają ciała, to pamiętam dobrze, a p. Aniela przecie nie bardzo chuda.

NIUNIA. Prawda, myślałam że to łatwiej. No, ale drugie pytanie. Na co Pan Bóg stworzył nauczycielki?

WŁODZIO. Oj, oj! to nietrudno odpowiedzieć! Na to żeby dzieci trażyły lekcjami i dokuczwały im ciągłemi moralami: tego nie można, to nie wypada, to niegrzecznie, a siedź przyzwoicie, a nóg nie wyciągaj, a nie podpieraj się na stole, tej odpowiedzi toby i na wołowej skórze nie spisał.

NIUNIA. To, to prawda, a potem jeszcze w dzienniczku stawiają złe stopnie, za które rodzice się gniewają.

WŁODZIO. Mybyśmy dobrą napisali książkę, odpowiedź np. na to pytanie. Co to jest niebo?

NIUNIA. Rekreacya spędzona w ogrodzie, kiedy nas nikt nie pilnuje.

WŁODZIO. A czyściec?

NIUNIA. Pokój szkolny, kiedy nie umiemy ani jednej lekcji.

WŁODZIO (*kivając głową*). Oj to, to też prawda, ty wtenczas jesteś czerwona jak w ogniu, ciągniesz palce że aż trzeszczą...

NIUNIA. Ty także wtenczas nie bład, mrugasz oczami, i szarpiesz guziki przy ubranku, ledwie ich nie poobrywasz.

WŁODZIO. A i bo też to męki, męki, a p. Aniela żeby się chociaż ulitowała, ale gdzie tam, ja się krztuszę, dławię, a ona patrzy tak, żeby się rad pod ziemię schował.

NIUNIA. Wiesz, że ja to nie mogę znieść jęj wzroku, tak mi się jakoś robi na sercu nie miło. Bo i do czego to podobne tak patrzeć gwałtem na kogo, to nawet niegrzecznie, bo przecie p. Aniela widzi dobrze, że ja się wtenczas czerwienię i jękam.

WŁODZIO. Ba, podobno my się zawsze jękamy (*odwracając się w stronę Martusi*). Ale też ta Martusia śpi, a takbym chciał żeby się już obudziła.

NIUNIA. Zróbmy trochę hałasu.

WŁODZIO (*zaczynając głośno*). Po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kopernika...

NIUNIA (*równie głośno*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy nauczycielki... e, nie tak... poplątało mi się z tem układaniem książek, i teraz będzie gorzej.

(d. c. n.)

# W INDYACH.

Podróźni, którzy przed dwudziestu kilku laty zwiedzali Indyje Wschodnie, a mianowicie przebywali czas jakiś w wielkorządztwie Bengalskiem, czyli Kalkuty, pamiętają zapewne dziś jeszcze przeszliczną choć nie wielką posiadłość w pobliżu miasteczka Tungara leżąca, z ozdobnym w miejscowym stylu zbudowanym pałacem, na którego frontonie widniał zdaleka błyszcząc olbrzymimi złoconymi literami napis: „Mac’Ulm, Thorn and Comp.”

Zabudowania odpowiednie wykwintem, otaczały główny budynek, a wszystko tonęło w kwiecistym sadzie, zamieniającym się w odleglejszych krańcach w park rozległy, przepysznie i umiejętnie urządzone, budzący podziw ogólny nawet tu, w tym kraju tak bogatym w olbrzymią i wspaniałą roślinność, że cały prawie sam przez się, bez pomocy sztuki, jest jednym rozkośnym rajskim sadem.

Mieszkańcy Tungary i okoliczni sąsiedzi pamiętali bardzo dobrze istniejący na tem samym miejscu przed dziesięciu laty nędzny domek w lesie; pan Mac’Ulm, przybywszy wtedy właśnie do Indyj z żoną, trojgiem dzieci i bardzo małymi zasobami, kupił za bezcen tę chatę i umieściwszy w niej rodzinę, rozpoczął handel szalami indyjskimi, kobiercami, złotogłowem i t. p. wyrobami. Z początku był to handelek na bardzo pierwotnych zasadach oparty; za poręczeniem pana Thorn bogatego tutejszego kupca z Anglii rodem, zamieszkałego w Tungary, dostawał Mac’Ulm towar od hurtowych składników i wyprzedawał go z pewnym dla siebie procentem, rozwożąc po okolicznościach odleglejszych, a mimo to zamieszkałych przez siebie, lubiące stroić się panie angielskie i postępowe Indyanki.

Wkrótce przeciw niezrównana czynność Szkota, zarówno w sferach kupieckich i nieposzlakowana rzetelność, zjednały mu wielu kupujących jak i dostawców; wkrótce rozpoznał większą skalę, rozsyłając okrętami do Europy i Ameryki towar, dostarczany z pierwszej ręki z głębin Azji. Chata Mac’Ulm’a musiała wtedy przybrać odpowiednie pozory, i otoczona budynkami jako główny skład pierwszorzędnych bogactw indyjskich, w postaci różnorodnych tkanin niezmiernie cennych, dowożonych ze wszystkich stron przed i zagangesowej krainy.

W owym to właśnie czasie, to jest w chwili początkowego rozwoju przedsiębiorstwa Mac’Ulm’a interesa pana Thorn zachwiały się mocno, a Mac’Ulm wdzięczny za poprzednio doznaną pomoc, ofiarował ją teraz nawzajem przyjacielowi, przyjmując go jako współnika swęj firmy, skutkiem czego dom handlowy „Mac’Ulm, Thorn, and Comp.” nagle rozszerzywszy swą działalność, stanął niezadługo na tych silnych podstawach kupieckiej potęgi, na jakich znajdujemy go na początku 1857 roku, 27 lutego.

Około południa, dnia tego w chwili w której zazwyczaj kantor domu „Mac’Ulm Thorn and Comp.”, wrzał przyspieszoną czynnością, drzwi gabinetu naczelnika firmy otworzyły się i Mac’Ulm stanął w nich, przebiegając bystrem spojrzeniem pracujących w obszernej sali przy biurkach, urzędników swoich.

— Panowie — rzekł z uprzejmym głosem odcieniem — najpilniejsze czynności są już załatwione na dzisiaj, jak sądzę?... a zatem, przywykły uważyć podwładnych moich za należących do rodziny, oznajmiam wam, że w dniu dzisiejszym chcę zapomnieć skrzętności kupieckiej, pamiętając tylko że ojcem jestem: córka moja kończy dzisiaj lat siedmnaście, pragnę uświęcić dzień ten zamknięciem kantoru i wypłaceniem panom gratyfikacyi w wysokości pobieranej całorocznej pensyi... co kasyer ma polecenie natychmiast załatwić.

Posypały się gorące podziękowania i serdeczne życzenia na rzecz córki ojcu składane; p. Mac’Ulm odpowiedział uprzejmym ukłonem i wyszedł z kantoru. Za nim wyszli dwaj bardzo jeszcze młodzi ludzie, tak młodzi że w starłej Europie uważanoby ich za dzieci, ale w Indjach zarówno jak w Ameryce prawie niema dzieci wśród napływowej ludności zwłaszcza, są tylko ludzie mali i ludzie młodzi, imający się większymi

i mniejszymi interesami. Wszak słyszymy o dwunastoletnich redaktorach w Ameryce, reporterach, przedsiębiorcach i t. p. Podobnie bywa i w Indjach. Dzieci nawet pod opieką rodziców, jeżeli są zmuszone przykimi okolicznościami opuścić kraj rodzinny i długą a niebezpieczną odbywać podróż, i następnie pod obcym niebem dorabiać się chleba w ciężkich i nowych zupełnie warunkach, pomagając rodzicom dojrzewają wcześniej zazwyczaj i prędej dają sobie radę w życiu, niż pieszczochy, pozostające wygodnie w domowym zaciszu. Tak właśnie stało się z synami p. Mac’Ulma. Jerzy miał lat piętnaście, Edward trzynaście dopiero, oba przecież pracowali już dawno w kantorze ojca jako płatni urzędnicy i osobiście nieraz zastępowali go w dość ważnych interesach, a nawet od roku Jerzy wszedł w czynną spółkę z panem Thorn, jakby dorosły człowiek, jako dostawca żywności dla wojsk wielko-brytańskich miejscowych. Obecnie dwaj bracia rozstawszy się z ojcem u drzwi kantoru, podążyli do swych skromnych, ale zupełnie oddzielnych kawalerskich apartamentów. Tam zmieniawszy suknie codzienne na wykwinie modne garnitury, ze świeżym wpeł rozwiniętym kwiatkiem w dziurce od guzika, udali się następnie do ojca a z nim razem do głównego salonu.

Był to pokój nie uderzający rozległością, bo p. Mac’Ulm straciwszy żonę przed sześciu laty, żył w bardzo nielicznem kółku najbliższych przyjaciół tylko, ale wygodą, wykwin i dobry gust przewodniczył w urządzeniu salonu, a przepyszne kwiaty właściwie podzwrotnikowej strefie były główną i najwspanialszą jego ozdobą. W pośród tego przepychu barw i woni, przed olbrzymiem zwierciadłem stanowiącem jedną bocznią ścianę salonu, stała w tej chwili niby najpiękniejszy z kwiatów Klara Mac’Ulm, cała w bieli indyjskiego muszlinu, i niebieskim kwiatem w jasnych warkoczach i drugim u piersi, jakby dobranymi barwą do barwy jej oczu.

— Pójdź gosposiu moja maleńka — rzekł ojciec roztwierając ramiona stanawszy przed nią — obyś w siedmnaście rocznicę twych urodzin i w każdy dzień twoego życia doznała tyle szczęścia, ile ja go codziennie przez ciebie i od ciebie doznaję!

Dziewczyna skoczyła ojcu na szyję, a potem usunawszy się z oczyma pełnemi łez podobnemi do bławatków rosą zwilżonych, zawołała z uśmiechem.

— A moja suknia, twój podarek ojczulku, przypatrz się jak leży: a co?... ledwo z nią wydażono na dzisiaj, ależ śliczna! — i wykręcała się przed ojcem przedstawiając suknię ze wszystkich stron, składając niskie ukłony, aby uwydatnić zalety tej jak obłoczkami owiewającej ją tkaniny, o tyle skromnej i pięknej z pozoru, o ile kosztownej nawet w Indjach na miejscu, jeżeli jest właśnie prawdziwym miejscowym wyrobem. I uściskawszy jeszcze raz ojca, Klara zarzuciła nagle obie ręce na szyję braciom, na prawo i na lewo rozdając pocałunki.

Pomimo różnicy wieku i wbrew temu, co zazwyczaj widzieć się daje w Europie, panią była swawolniejszą i wogóle o wiele mniej z pozoru dojrzałą umysłowo od młodszych od niej chłopców. Bracia z mimowolną powagą i serdecznym uśmiechem, spoglądali na nią tak samo prawie, jak patrzył ojciec. Przyczyną ich powagi było zapewne wczesne zajęcie się pracą właściwą ludziom dojrzałym, i przeto wyrabiającą w mężczyznach dojrzałość umysłową przed zwykłym czasem.

— Podejrzewam, was — szczebiotała całując na prawo i na lewo śmiejąc się Klara — podejrzewam że i wy macie zamiar złożyć mi życzenia tak jak ojcuś zrobił, tylko przy zwykłej waszej powadze nie zdążyliście uczynić tego dotąd, a więc przyjmuję zamiar jakby fakt spełniony, dziękuję wam, o serdecznie dziękuję!... A teraz pójdźcie na śniadanie, bo panowie Thorn’y podobno już jadą z Tungary — i nagle opuściwszy braci, chciała znów skoczyć do ojca, mówiąc z minką przesadną, po francuzku:

— Podaj mi ramię mój ojciec! — Ten rozśmiał się z jej figlarnych minek, chłopcy zatrzymali pierzechającą, a Jerzy rzekł:

— Ależ bo trudno z czemkolwiek zdążyć, mając do czynienia ze stworzeniem kręcącym się bezustannie jak fryga... Otóż życzę ci swawolnicie maleńka, abyś na zawsze pozostała,

czem jesteś, rozweselając nam dom, a na pamiątkę siedemnastej rocznicy urodzin, proszę abyś nosiła te paciorki... — i zarzucił jej naszyjnik na szyjkę.

— I te... dodał — Edwar, okręcając jej rączkę bransoletką.

— Puste, lekkomyślne dzieci! — zawołała z naturalną zupełnie acz niespodzianie zjawioną powagą — kupować mi perły! prawdziwe i to tak duże perły!... Czyliż sądzicie, że istotnie lada szklane paciorki nie byłyby mi zarówno miłe jako dowód braterskiej pamięci, zamiast kosztowności, których cena, rozpoczynającym zawód kupiecki mogła stanowić podstawę koniecznego zapasowego kapitału! Patrz ojcze! Nie powinienem im nawet dziękować, bo krzywdzą sami siebie!... — dodała ze łzami w oczach zwracając się do p. Mac'Ulm.

— Ho, ho, ho... patrzcie państwo jakie „maleńka” przybiera tony!... — mruknął Edward półgłosem i z wolna, przypatrując się siostrze z podziwem, przymrużając oczy a głowę podnosząc przytem do góry, z rubaszną trochę a właściwą mu powagą.

— Osobiste interesa wielmożnego pana Jerzego Mac'Ulm jakkolwiek mego współnika, a także jednego z głównych dostawców potrzeb dla armii Jej królewskiej mości w Indyach — odparł ojciec z udaną obojętnością na odezwe Klary — nie podlegają zupełnie mojej kontroli; co zaś do młodszego pana Edwarda Mac'Ulm głównego kontrolera w moim kantorze, za tego ręczyć mogę, że kasa jego nie poniesie uszczerbku przez zakupienie kilku sznurków pereł dla rodzonej siostry, nawet, pomimo iż obarczonym jest obecnie tak liczną rodziną...

— Obarczony?... liczną rodziną?... — powtórzyli ctwierając szeroko oczy brat i siostra.

— Jakto? Czyliż telegrafy nie rozniosły jeszcze na wszystkie strony wielkiej nowiny? i wy nie wiecie, że pani Edwardowa została dziś rano matką sześciorga potomstwa?...

Chwilowe milczenie zdumienia, a potem wybuch śmiechu nastąpiły po tym żarcie: Edwardowa kotka, przez skrócenie „Edwardowa” tak przyzwyczajono się zwać przepyszny egzemplarz kociego rodu z prawdziwego gatunku *angora*, nabyty zeszłego roku przez Edwarda przyjaciela kotów i pielęgnowany starannie; tak samo jak mówiono „Edwardowa” klaczka.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

przez Ewę Maryę.

Wspaniała królowa na zielonym tronie;  
 Jój szatą jest piękność, jój mową są wonie;  
 Jój ozdobą świecą krople czystej rosy,  
 Jój pałacem wielkie, błękitne niebiosy,  
 Jój lampami gwiazdy, księżyc, jasne słońce;  
 Jój dworem jest kwiecie w ogrodach, na łące;  
 Jój ludem są bujne trawy, zioła, drzewa;  
 Jój pieśniarzem słowik, co hymn dźwięcznie śpiewa;  
 Jój obroną kolce, choć słodycz jój cnotą;  
 Jój biesiadą, gościć hojnie pszczółkę złotą;  
 Jój szczęściem — poranne, ciche wiosny chwile,  
 Nim wzleca natrętni pochlebcy motyle,  
 Nim się z drzewin liście posypią wokoło,  
 Nim od skwaru, chłodu, poblednie jój czoło;  
 Zanim jój korona, tak świetna od rana,  
 Nie opadnie burzy podmuchem zerwana...  
 I cóż dalej?... Mrozy jesienne, niestety!  
 Z jój gałązek czarne zostawia szkielety;

Nad niemi wiatr nuci tonami smutnemi,  
 Że piękność i wiosna nietrwałe na ziemi;  
 Lecz maj wraca, kwitnie znów gałązka sucha;  
 Nad wdzięk lica przetrwa jedno piękno ducha!

### Łamigłówka liczbowa.

od Grażyny dla Cieciorczki.

Z imienia i nazwiska polskiej autorki, zamieniając liczby literami utworzyć 20 wyrazów:

- 1) 9, 2, 5, 4, 14, krajowy owoc.
- 2) 5, 10, 11, 12, czynność.
- 3) 16, 8, 3, 17, napój.
- 4) 15, 13, 3, 8, bożek indusów.
- 5) 9, 10, 11, 12, istota bez ciała.
- 6) 7, 4, 5, 16, 8, część ludzkiego organizmu
- 7) 11, 12, 7, 17, kora mająca własności lecznicze.
- 8) 15, 8, 7, 16, 13, pojazd zimowy.
- 9) 9, 5, 10, 15, 16, 13, 4, 7, 7, 13, 16, 13, źródła lecznicze.
- 10) 12, 4, 15, 10, 15, jeden z centaurów.
- 11) 8, 16, 5, francuzka miara ziemi.
- 12) 13, 7, 9, 10, 15, mieszkanie azyatyckiego kraju.
- 13) 3, 13, 4, 14, dziennik polski.
- 14) 12, 16, 7, 7, 6, naród średniowieczny.
- 15) 15, 17, 3, 8, rzeka w Europie.
- 16) 5, 6, 7, 16, 17, naczynie kuchenne.
- 17) 10, 7, 11, 6, 8, miara aptekarska.
- 18) 17, 9, przyimek.
- 19) 16, 5, 17, 15, 13, 14, 15, 16, 13, poeta polski.
- 20) 7, 13, 2, Przysłówek.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go

#### Szarady:

K a n a p a.

### OD REDAKCYI.

Przy kończącym się pierwszym półroczu r. b. przypominamy prenumeratorom półrocznym, wczesne odnowienie przedpłaty jeżeli nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce Pisma. Oprócz zapowiedzianych prac innych autorów, drukować będziemy w dalszym ciągu **Listy z Wyspy Atlanty** odczytywane przez drobnowidz i przepisywane przez Zofię Urbanowską w dodatku zaś po ukończeniu „Szesnastoletniego wojewody,” powieść Bronisławy Porawskiej dla starszej młodzieży pod tytułem: **Przybrana matka.**

### ZAKŁAD NAUKOWY ŻEŃSKI LEONII RUDZKIEJ

(ZIELNA N-r. 13. WIELKA N-r. 42)

PRZYJMUJE UCZENNICE STAŁE I PRZYCHODNIE.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Zgoda rodzinna, wiersz p. Helenę Bojarską (drzew.) — Niebieska pończoszka, komedyjka w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską. — W Indyach. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Kraby czyli pająki morskie (z drzew.) — Obietnice Czesia, wiersz p. Maryę Leonę. — Wyścigi p. Pegaza Skrzydłatego. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.



## Kraby czyli pająki morskie.

### II.

Czerwony pątnik lądowy pospolity na Antyllach spędza większą część roku w dziurach o kilka mil od morza odległych, ale co rok w maju lub w czerwcu t. j. w porze składania jajek wędruje ku morzu gromadą, która zajmuje nieraz trzy mile długości. Nic nie zdoła powstrzymać tego pochodu! pątniki idą ciągle w prostym kierunku, nie zrażając się nawet wysokimi wzgórzami lub innymi przeszkodami. Gdy młode wylęgną się z jajek, cała gromada powraca znów do dawnych mieszkań aby rzucić skorupy.

Inny krab żyjący w morzu Śródziemnym ma dwie ostatnie pary nóg skręcone i skierowane ku grzbietowi. Uczeni nazywają go *Nasiegióra* bo za pomocą tych nóg grzbietowych trzyma nad sobą muszle aby łatwiej chwycić drobne żyjątka wodne.

Niektóre kraby morskie nie posiadają pancerza, są tak przezroczyście, że przez ich ciało możnaby czytać jak przez szkło. Jak to cudnie Pan Bóg wszystko urządził! Domyślcie się, że takiego przezroczyściego kraba trudno

dostrzedz w wodzie i łatwiej mu ujść oczu zgłodniałej ryby, szukającej zdobyczy. Kraby lądowe mieszkające na skałach są szare jak kamienie; inne znów posiadają pancerze zielone, nie różniące się prawie barwą od traw morskich.

Z krabów morskich jedne są ślepe, inne mają silnie błyszczące oczy, które świecą jak lampy w tym świecie podwodnym.

(d. n.)

## OBIETNICE CZESIA.

„Znów przy stole mam szkodnika?”  
„Już nie będę!...” Chwila mija,  
Cześ u lampy szkło rozbija,  
„Niech Cześ ognia nie dotyka”...  
— „Już nie będę”... W pół godziny  
Przysmalone brwi chłopczyny.

— „Niech zostanę tu przy mamie,  
Będę milczał, nie przeszkodzę;  
Ja wachlarza nie połamię;  
Taki grzeczny będę w drodze,  
Niech mnie papa z sobą bierze!”  
— „Ej mój Czesiu! ja nie wierzę!”

Smutno synku, i wstyd wielki,  
Ale na cóż zastruguje  
Ten, co ciągle obiecuje,  
A przez słabość lub figielki,  
Obietnicy nie dochowa?  
Któż uwierzy w jego słowa?

Smutno Czesiu! Dzień nastanie,  
Kiedy pójdziesz między ludzi...  
Czemże wzbudzisz zaufanie,  
Gdy się czyn twój kłamstwem zbrudzi?  
A jak może być sądzona  
Obietnica niespełniona?

Marya Leona.

## WYŚCIGI.

— Otóż i miesiąc czerwiec — mówił dwunastoletni Bolesław do młodszego brata, siedząc w ogrodzie — czas mamy wprowadzić bardzo piękny, wolałbym jednak teraz być w Warszawie.

— Dziwne masz życzenie! Siedzieć w mieście w czasie, kiedy wszyscy ztamtąd uciekają! — odpowiedział Lucio.

— O mylisz się bardzo, bo w czerwcu jeszcze nikt z Warszawy nie wyjeżdża, przeciwnie obywatele więcej zjeżdżają dla sprzedaży wełny, kupna potrzebnych narzędzi rolniczych, a także, aby zabawić się nieco. Jest to najbardziej ożywiony karnawał letni, czas wyścigów konnych.

— A cóż tak ciekawego widzisz w wyścigach?...

— Zabawny jesteś mój Luciu! to samo co widzi w nich ów tłum kilkotysięczny, zalegający wtedy Mokotowskie pole. Z jakąż niecierpliwością wszyscy oczekują pierwszego dzwonka, nie słysząc zda się przygrywającą wesoło orkiestry! Z jakim rozgorączkowaniem śledzą bieg koni!

— Być może, słysząc cię jednak zdawałoby się że jesteś dorosłym i masz własne konie wyścigowe. Co do mnie, gdyby tak było nawet, nie myślałbym wcale o wyścigach, skoro wiem że rodzice nie mają zamiaru jechać do Warszawy. A teraz, — ciągnął dalej Lucio — cieszę się iż mieszkamy na wsi, gdzie możemy sobie sami wyścigi urządzić.

— A prawda, wszak mamy dwa własne kucyki — zawołał Bolesław.

— I do tego wcale nieźle konno jeździmy.

— Znakomity pomysł, zaprosimy sobie jeszcze Tadzia z jego bułankiem i urządzimy tu wspólne wielkie wyścigi!

— Miałem to właśnie na myśli — zauważył Lucio — niewiem tylko czy ojciec zezwoli na wyścigową trochę może niebezpieczną dla nas jazdę.

— O co do tego możesz być spokojnym, wszak nieraz już galopowaliśmy dzięki Bogu bez wypadku. Będziemy się przytem ścigać na równej i prostej półwiosnowej drodze, wzdłuż ogrodu. Jest to miejsce najodpowiedniejsze dla naszych gonitw. Ale otóż i dzwonek wołający na obiad — dodał, zrywając się z ławki.

Bolesław wraz z Luciem przeszli następnie do jadalnego pokoju, gdzie przy stole wszyscy domowi byli już zgromadzeni.

Po obiedzie, który przeszedł na zwykłych rozprawach gospodarskich, ojciec rzekł do dzieci:

— Przebierzcie się teraz moi chłopcy w ubiory wizytowe, gdyż za godzinę pojedziecie z mamą do Zacisza, i zabawicie tam pewno do wieczora.

— Ach! jakże się cieszę że dziś zobaczymy się z Fredziem — zawołał Bolesław — bo właśnie chcieliśmy ojczulka prosić o pozwolenie zaproszenia go do nas na przyszłą niedzielę.

— Aby wspólnie z nim urządzić wielkie wyścigi konne — dodał Lucio.

— Jakto? — zapytał ojciec.

— Wszak mamy dwa własne kucyki — rzekł Bolesław — a i Fredzio ma także bardzo ładnego bułanka, a ojczulek przecież może być pewny, że potrafimy się utrzymać na koniach.

— O tak — odrzekł ojciec z uśmiechem — wszyscy trzej jeździcie dobrze, nie mam więc nic przeciw tej zabawie, i owszem chętnie wam nawet dopomogę w jej urządzeniu. W przyszłą właśnie niedzielę oprócz rodziców Fredzia, będą u nas państwo T. z dwiema córkami, pani N. z synem i poproszę jeszcze sąsiadów z Wólki z ich młodzieżą, żebyście mieli dużo widzów, no ale mamy jeszcze tydzień czasu przed sobą a teraz wybierajcie się śpiesznie, bo już blisko czwarta.

Obaj chłopcy ucałowali najpierw serdecznie ręce ojca, dziękując za przyjemność jaką im zamierzał zrobić, a potem w wesołych podskokach pobiegli spełnić jego polecenie i za chwilę siedzieli już z matką w powozie, który żwawo pomknął do Zacisza. Wioska ta była odległa milę od Leśniczówki, majątności rodziców Bolesia i Lucia, niezadługo więc stanęli w miejscu. Fredzio L. był rówieśnikiem Bolesia i jak to już wiemy miał własnego bułanka, na którym bardzo dobrze jeździł, z ochotą więc przyjął zaprosiny sąsiadów.

— Wyborny pomysł — zawołał — czyście już wybrali imiona dla waszych biegunów?

— Nie jeszcze — odpowiedział Lucio — czy to konieczne potrzebne?

— A naturalnie, na wyścigach w Warszawie wszystkie konie mają nazwy.

— Cóż więc proponujesz dla mego kasztanka? — zapytał Bolesław.

— Nazwij go Rosynantem.

— Dziękuję uniżenie, mój kucyk nie jest wcale podobnym do oślawionej szkapy tego waryata Don Kiszota.

— Może wolisz Babię lub Orellę?

— A cóż to były za konie? — odezwał się Lucio — jeszcze nigdy o nich nie słyszałem.

— Babięka był rumakiem walecznego rycerza hiszpańskiego Cyda Ruy Dziaza z przydomkiem „el Campeador” t. j. wojujący, który żył w końcu XI wieku za panowania Ferdynanda I króla Kastylji; Orella zaś piękny wierzchowiec Roderyka, króla Wizygotów, słynny iż w bitwie z Maurami pod Heres-della-Frontera, uniósł swego pana z pola walki na dalekie wzgórze Andaluzji i tem go ocalił od niechybnej śmierci.

— Fiu, fiu — zawołał Bolesław — nie wiedziałem mój Fredziu, że z ciebie taki historyk, lecz mam już dla mego kuczka nazwę Bucefala.

— A mój dla oryginalności będzie Rosynantem.

— Mój zaś bułanek zwie się odtąd Orellą — rzekł Fredzio, poczem wszyscy trzej poszli do ogrodu, gdzie do wieczora zabawiali się grą w krokiet.

Nadeszła wreszcie tak niecierpliwie oczekiwana przez chłopców niedziela. Pogoda była prześliczna, słońce od samego rana świeciło jasno; ani jedna chmurka nie ukazała się na niebie.

Wróciwszy z kościoła, gdzie jeździli jak zwykle z rodzicami, Bolesław i Lucio przy pomocy Janka, kredensowego chłopca, zajęli się przygotowaniami do wyścigów, zapowiedzianych na 5-tą godzinę po południu. Na drodze przeznaczonej do gonitwy, ustawiona w jednym końcu baryera, oznaczała początek wyścigów; w drugim zaś umieszczony słupek z dzwonkiem oznaczał metę. Wprost słupka z lewej strony drogi ustawiono rzędem krzesła, przeznaczone dla widzów. Za radą ojca dla urozmaicenia programu dodano jeszcze wyścig pieszy, program zaś ów według pomysłu Bolesia brzmiał jak następuje:

Niedziela dnia 8 Czerwca 1890 r.

## Wielkie wyścigi w Leśniczówce.

### PROGRAM.

1. Wyścig pieszy: pp. Alfred, Bolesław i Lucyan.
2. „ konny, pp. Alfred na Orelli i Bolesława na Bucefale,
3. „ „ „ Bolesław na Bucefale i Lucyan na Rosynancie.
4. „ „ „ Lucyan na Rosynancie i Alfred na Orelli.
5. „ „ „ Alfred na Orelli, Bolesław na Bucefale, Lucyan na Rosynancie.

Początek o godzinie 5-tój po południu.

Program ten, rozpisany w kilkunastu egzemplarzach, pięknym kaligraficznym pismem Lucia, miał być sprzedawany pomiędzy widzami i z przeznaczeniem do chodu na odnawiający się kościół parafialny.

Wybiła czwarta, wszyscy zaproszeni poczęli się zjeżdżać, a pierwszymi byli oczywiście państwo L. z Fredziem (bułanek został przyprowadzony wczesnym rankiem, aby miał czas wypocząć). O godzinie 5 wszystko już było gotowe. Publiczność, złożona z przybyłych gości, rodziców, ciotki, oraz nauczyciela Bolesia i Lucia, zajęła krzesła; w pobliżu stanęła gromadka ciekawych, wyległych z chat wieśniaków, u słupka z dzwonkiem zasiadł ojciec Bolesia i Lucia, uproszony na sędzię wyścigów. Janek, chłopiec kredensowy i stangret Makary trzymali konie gotowe do biegu. Niepodobna nam przedstawić dokładnego obrazu gonitwy, powiemy więc tylko że nasi bohaterowie w wyścigu pieszym równie jak konnym z wiatrem szli w zawody i wszyscy zdobyli nagrody, które im nie wspominając o tem poprzednio przygotowała matka Fredzia.

Lucio przegoniwszy wszystkich w wyścigu pierwszym, dostał przycisk do papieru z wyobrażeniem charta, Fredzio wysunął się najpierw poza słupek w wyścigu konnym i dostał pugilaresik z koniem wymalowanym na okładce, a Bolesz zwyciężywszy w dwóch ostatnich biegach, otrzymał wielką nagrodę, bardzo ładną szpicrutę. Zgromadzeni młodzi goście bawili się doskonale tak w czasie wyścigu jak i przez resztę wieczora uprzyjemnionego różnemi gramami w ogrodzie, poczem nastąpiła herbata i suta wieczerza w dużej altanie przy oświetleniu papierowych latarni chińskich. Rozjechano się też późno, a na następną niedzielę rodzice Fredzia zaprosili wszystkich do siebie. Mówiono że oprócz konnych i pieszych będą tam jeszcze wyścigi łodziami na wielkim stawie, w których udział wezmą i panienki umiejące wiosłować, ale to było jeszcze wątpliwe, gdyż pani F. była przeciwną wodnym przejażdżkom młodzieży, słusznie obawiając się zawsze wypadku, o który wtedy nie trudno.

Pegaz Skrzydlaty.

## ZAGADKA.

(ulożyła Góralka).

Czy to wprost czy wspak,  
Zawsze jestem ptak.

Czarodziejska sztuczka.

Od Łapki gołębięj dla Dobrej pani.

Od wyrazów: Baryłka, Kura, Grusza, Druga, Sucho Kurta, odjąć wyrazy oznaczające: Odrobinę ziemi, bryłę lodu, dwa słowa w 3-ciej osobie licz. poj. czasu teraz. organ słuchu i ptaka domowego a zostanie imię męzkie.

## Skrzynka do listów.

Dobre i wdzięczne masz serduszek **Jodełko z nad Noteci** i pamięć twoja o tej, której już nie ma, wielce na nas miłe uczyniła wrażenie, ale tu *zamawiań naprzód* żadnych nie trzeba, bo każdy co chce miał i mieć może fotografię „Kochanej pani” i niejednemu i niejednej na żądanie była już posłana, więc odezwa twoja byłaby zbyteczną i dla tego jej nie umieszczamy. Gołąbka uściśnienia ci przesyła.

Niech Bóg cię błogosławi i wspiera na noworozpoczynającej się drodze, **Staszko z Podola**. Zachowaj uczucia, które masz dla nas podobnie jak my pamięć o tobie, a jeżeli przyjedziesz tu kiedy, o czem przecież wątpić trudno, to niezapomnij o naszej redakcyi.

**Grażynie**, która z takim zamiłowaniem, a często bez powodzenia oddaje się zasuszaniu kwiatów, podajemy przepis następujący przez doktora Szyszylowicza ogłoszony w Wszechświecie: W naczyniu o szerokim otworze rozpuszcza się naftalina w benzynie aż do jej nasycenia, i w tę ciecz wrzuca się na kilka sekund świeże kwiaty, które się pokrywają drobnemi kryształkami naftaliny. Po wyjęciu z benzyny, stosownie do budowy kwiatów, kładzie się je na papierze lub wieszka na nitce, uważając aby się z nimi obchodzić bardzo delikatnie. Kwiaty o płatkach grubych muszą pozostawać w płynie dłużej. Najlepiej zasuszają się kwiaty niebieskie, czerwone i żółte, białe wyglądają brudno. Przy użyciu benzyny należy wystrzegać się sąsiedztwa ognia z powodu wielkiej jej zapalności. W imieniu innych korespondentek prosimy o wiadomość, jak się uda doświadczenie.

**Wesoła Krakowianko**, i nam twoja „wielka radość” sprawiła wielką radość.

**Różowej Jutrzence** oraz **Mar. Scz.** dziękujemy za pamięć o kolonjach letnich. Datki takie są bardzo pożądane, bo tak wiele ubogich dzieci oczekuje dobrodziejstwa oddychania choć raz w życiu świeżem wiejskim powietrzem. O rezultacie konkursu doniesiemy, tymczasem cieszymy się bardzo, żeśmy nową zyskali korespondentkę.

**Ciekawemu** posłaliśmy żądane numera, aby mu jak najspieszniej oszczędzić zmartwienia.

**W Ant. Nat.** mile witamy nową korespondentkę. Liścik tak jej jak i Niezapominajki z Polesia bierzemy w opiekę.

Kochana **Niezapominajka z nad Jabłoni** przysłała nam rzeczy, których przeznaczenia się nie domyślamy, czy mamy je już uważać za robotę konkursową?

Moja ty sympatyczna **Wróżbiarko** szczęścia! Za liścik twój miły a serdeczny, z całego serca ci dziękuję, a także za dołączone życzenia szczęścia. Wiesz, najmilsza **Wróżbiareczko**, że w samą porę mi takie życzenie przysłałaś i może to mi służyć rzeczywiście za dobrą wróżbę na przyszłość, bo gdy będziesz czytać ten liścik,

wasza dawna Staszka przeistoczy się już w poważną osobę i przystroi w czepeczek. Żałuję tylko mocno, że pozbawioną będę od-tąd przyjemności pisywania do was, tracę wszelkie ku temu prawo, trzeba miejsca ustąpić młodszym; lecz „Wieczory” czytać będę i nadal, gdy spotkam wśród liścików imię twoje, lub której z lepiej mi znanych panienek, serdecznie każdą wspomnę. Zachowaj mię w pamięci, może kiedyś spotkamy się w życiu, miło będzie listowną, przyjaźń odnowić w rzeczywistości. Żegnam cię, żegnaj wszystkie me przyjaciółeczki, Kuropatwę z nad Ikopetiu i Stokrotkę z nad Stochodu serdecznie całuję. *Staszka z Podola.*

Kochana polna Rózo! Czy chcesz do mnie pisywać? Co ci się najwięcej podobało w Wieczorach przeszłorocznych, bo mnie „Podziemia Barwałdzkiego zamku”. Odpisz spiesznie. Całuje cię *Kwiat Jabłoni.*

W odpowiedzi na twe pytanie, miła Złota Tęczo donoszę ci, że jestem ciemną szatynką o szafirowych oczach, wysokiego wzrostu, z natury bardzo żywą, lubię huśtawkę, konną jazdę i tańce. Czy grasz na fortepianie? bo ja mam ogromne do muzyki zamiłowanie. Ściskam cię serdecznie i proszę o pamięć. *Rosiczka z nad Rowu.*

Kochana Kukulczko! Podobne mamy pseudonimy, donieś mi więc jak ci na imię, ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy masz rodzeństwo? Nazywam się Zosia mam lat 12, mieszkam na wsi i mam liczne rodzeństwo, pięcioletnią siostrznicę Zosię i dwóch siostrzeńców, trzyletniego Jasia i półrocznego Adasia. Całuję cię serdecznie i proszę odpisz prędko, *Kukulce z pod Lublina.*

Kochane: Kulko Śniegowa, Kopciuszku i Cicha Wodo! Jakżeż nieodpowiedni pseudonym obrałaś, Kuleczko. Śnieg jest za-zwyczaj zimny, a ty tak ciepłym słówkiem odezwałaś się do mnie. Gdzie mieszkasz? Dziękuję ci Kopciuszku, żeś się do mnie odezwała. Jak ci na imię, ile masz lat, i czy lubisz rysunki? Noszę imię młodej rumuńskiej poetki, której życiorys Wieczory podawały w przeszłym roku, droga Wodo. Mieszkam na Ukrainie; z balkonu mamy bardzo ładny widok na wieś i wodę. Całuję was wszystkcie; nie róbcie jak ja i odpiszcie prędko *Białej Ostróżce.*

Kochana Ako! Mam do ciebie wielką sympatyę i chcia-labym z tobą korespondować przez drogie Wieczory. Donieś mi gdzie mieszkasz, jak się zowiesz? O mnie dowiesz się z listu mego do Bławatki z nad Horynia w numerze 3 Wieczorów R. Oczekuję niecierpliwie odpowiedzi. *Życzliwa Niezabudka z nad Chomoru.*

Kochana Gałazeczko Heliotropu. Jeżeli się nie mylę miesz-kasz w Kaliszu, a ja nad Prosną. Zechciej mi odpisać, gdy się w ten sposób bliżej poznamy, domyślił się może kto jest: *Jarzębina*, która serdecznym uściskiem wita wszystkie towarzyszyki.

Droga Cyganeczko! Według tego co mówisz w ostatnim nu-merze Wieczorów R., chętnie piszę do ciebie, i proszę abyś mi co o sobie doniosła. O mnie dowiesz się z listu do Niezabudki z nad Chomoru w numerze 2. Szczerze ci życzliwa *Sasanka.*

Kochany Poranku majowy! Wybacz mi tak długie milcze-nie z powodu braku czasu. „Podziemia Barwałdzkiego zamku” po-dobały mi się, lecz ze wszystkich powieści, jakie dotąd w „Wieczorach”, czytałam najlepiej mi się podobała „Najnowsza powieść Deo-tymy”. Co obecnie czytujesz? Ja czytałam niedawno „Starą Baśń” i „Lubonie” Kraszewskiego, któremi jestem zachwyconą. Jeżeli nie potrzebujesz moich Wieczorów, to proszę odesłaj je do Gródka do do cici O. Przyjmij wraz z rodzeństwem serdeczne uściski od *Rosiczki.*

P. S. Ucałuj odemnie rączki mamy.

Kochany Józiku K.! Nie znam cię, ale wiem że mieszkasz w Cumanice i że masz brata Stasia. Co porabiasz? Ile masz lat? Odpisz mi jaknajprędzej. *Plug Poleski.*

Kochana Białonóżko z Karpat i Biała Orliczko! Jakie są wa-sze imiona, ile macie lat i gdzie mieszkacie? Czy należycie do konkursów? Odpiszcie kochającą was *Niezapominajce z nad Warty.*

Droga Aksamitko! Czemu do téj pory nie odpisujesz? cze-kam dotąd napróżno. Jak myślisz spędzić tegoroczne wakacje?

Zapewnę czytasz „Pod wpływem błogosławieństwa”, prawda że to ładne? Ściska cię *Leśna Konwalia.*

Kochany Raku Morski! Mam lat 13, uczęszczam do 3-ój klasy gimnazyum, na imię mi Władysław. Donieś mi co o sobie. Twój *Promyżek ze Wspólniej.*

P. S. Posyłam ci szaradę, którą może ujrzyysz w druku je-żeli będzie dobra.

Kochany Komarze przedpotopowy! Bardzo mi się podoba twój pseudonym i chciałbym korespondować z tobą. Jaka ci się powieść najwięcej podoba w Wieczorach? bo mnie „Pod wpływem błogosławieństwa”. Odpisz *Rycerzowi błękitnemu.*

Jestem nową prenumeratorką, więc chciałabym z wami ko-respondować miłe siostrzyczki. A ponieważ wasze pseudonimy kochana Cyganeczko i droga Zorzo podobały mi się, sądzę więc że i osóbkę wasze podobać mi się będą. Zatem proszę bądźcie tak do-bre i napiszcie do mnie kilka słów. *Biały Bez.*

Witamy cię Niezapominajko z Zacisza! Jesteśmy również nowemi prenumeratorkami. Bądź łaskawa donieś gdzie mieszkasz? ile masz lat? Co cię najwięcej zajmuje w Wieczorach? Do widze-nia odpisz prędko siostrzyczkom. *Kalinie z nad Dniepru i Kwia-ciarce.*

Mylisz się, Czarodziejko droga, nie jestem córką lekarza i mam tylko jedną siostrzyczkę, jednak chętnie z tobą korespondo-wać będę jeżeli się na to zgodzisz. Donieś mi proszę, gdzie się uczysz i czy należysz do konkursu? Kwiecie paproci, chociaż cię nie znam, wiem że mieszkasz niedaleko od nas w S. i masz cztery siostry M., J., A. i P., oraz braciszka Władzia. Zgadnij kto ja jestem? Ściskam was wraz z Kureczką z nad Ikwy. Wasza przy-jaciółka *Wiedenka z żywoplotu*, dawniej biała Chmurka.

Droga błękitna Kokardko! Bardzo lubię kolor błękitny, bo przypomina mi on niebo, więc chciałabym pisywać do panienki ma-jącej tak ładny pseudonym, Mam lat ośm, może nie zechcesz mi odpowiedzieć będąc starszą. Ale jeżeli zechcesz, to donieś ile masz lat, gdzie mieszkasz i uczysz się. Mnie na imię Maryla, mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Całuję cię serdecznie, *Boginka z nad Ejdyni.*

Kochane panienki! Pragnę z wami się poznać przez nasze kochane Wieczory. Na imię mi Marylka, mam 6 lat, mieszkam na wsi nad rzeką Wartą, uczę się przy mamusi. Mam młodszego bra-ciszka Genia, żółtą kurkę, dużo małych kurczątek i mały ogródek. Proszę aby która z panienek do mnie napisała. Całuję wszystkie serdecznie, *Kuropatewka z nad Warty.*

Drogie moje: Stokrotko z nad Stochodu, Wróżbiarko szczę-ścia i Trawko z nad Fryby! I ja od razu sympatyę do ciebie po-wzięłam, droga Stokroteczko, ale dziś dopiero pisać się odważyłam. Pseudonym, którym wzgardziłaś luba Wróżbiarko, ja teraz przy-jęłam. Traweczko moja, wiedz że się znamy doskonale. mam lat 13, znasz jedną z moich przyjaciółek, która Niną mnie zowie. A teraz zgadnij kto się ukrywa pod pseudonymem *Jodelki z nad Noteci.*

Kochana Brzydotko z nad Tamizy. Pewnie nie jesteś zaro-zumiała, skoro obrałaś sobie pseudonym „Brzydotki” donieś mi jak ci na imię, gdzie się uczysz i jaką naukę lubisz najlepiej? Ja uczę się w domu z Kukulką, przy starszej siostrze Wiochnie z pod Lu-blina i najlepiej lubię historię powszechną. Kochana Iskierko Lu-belska! Obie nazywamy się Iskierkami i obie mieszkamy w Lu-belskiem. Donieś mi czy jesteś żywa jak prawdziwa iskierka, czy mieszkasz w mieście czy na wsi, jak ci na imię i ile masz lat? Ja jestem dosyć poważna, mieszkam na wsi, między Chodlem Urzędo-wem, a Bełzycami, mam lat dziesięć, na imię mi Jania, nazwisko moje zaczyna się od litery G. Całuję was serdecznie Brzydotko i Iskierko, proszę odpiszcie mi prędko. Wasza *Iskierka z pod Lublina.*





## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## DO CZYTELNIKÓW.

téj porze ogłaszamy corocznie **DWA KONKURSA** wakacyjne dla naszych czytelników: **konkurs robót ręcznych dla dziewcząt** i **opisanie wakacji dla chłopców**. Obecnie ponawiamy niniejszem oba z tą różnicą, że o ile to chłopców dotyczy, żądamy od nich, aby opisując jak spędzili wakacje, powiedzieli zarazem, co im przez czas ich trwania do głowy przybyło.

Wakacje obmyślane zostały przez starszych dla młodzieży niewątpliwie dla tego, żeby umysł strudzony

i zarosłego chwastami — traci sprężystość, czujność, i gdy przyjdzie pora wracać do pracy, zamiast być odświeżonym i wzmocnionym, będzie zleniwiła i osłabła.

Trzeba zatem starać się koniecznie, aby z wakacyjnej nawet swobody korzyść umysłową odnieść. Nie idzie o to aby nie rozstawać się z książkami, ale by szukać nauki wszędzie gdziekolwiek się obracamy; aby nie patrzeć bezmyślnie na to, cokolwiek wzrok nasz uderzy, lecz ze wszystkiego zdawać sobie sprawę. Ci co pojedą na wieś, będą mieli tysiączne ku temu sposobności: z otwartej książki natury wyczytają niemal tyle, ile wyczytali z podręczników szkolnych. Szumiący las powie im, jak z nim gospodarują ludzie; to samo powiedzą im złociście łąny zboża, kwieciste łąki, modre jeziora i rzeki.

Żeby więc młodych czytelników naszych do zastanawiania się pobudzić, ogłaszamy konkurs następujący:

**Opisać w jaki sposób kto spędził wakacje i czego się podczas nich nauczył.**

Przy sądzeniu wypracowań, kierować się będziemy inną niż dotąd zasadą. Nie ten otrzyma nagrodę kto *najlepiej napisze* wypracowanie, ale z czyjzego utworu zrozumiemy, że *najpożyteczniej czas swój przepędził*.

Pierwszą nagrodę stanowić będzie książka p. t. **Atlas przyrodniczo geograficzny** wydany pod kierunkiem A. Ślósarskiego zawierający 15 dużych tablic, na których obok wyobrażenia wszystkich części świata, mieszczą się wizerunki i nazwy zamieszkujących je ludów, oraz znajdujących się tamże zwierząt i roślin.



całoroczną nauką, mógł znaleźć pożądaną wypoczynek, a odświeżony nowymi wrażeniami na powietrzu i swobodzie, z podwójną energią i zapałem zabrał się do dalszej pracy. Żle jednak rozumiałby potrzebę wypoczynku ten, ktoby mniemał że on polega na bezczynności. Umysł zaniedbany choćby na czas krótki, staje się podobnym do gruntu puszczzonego odłogiem

Dla nowych prenumeratorów, powtarzamy warunki konkursowe, znane już dawniejszym czytelnikom: Wiek kandydatów nie może przechodzić lat 15-tu. Każde wypracowanie oznaczyć trzeba nietylko pseudonym autora lecz dodać imię jego i nazwisko oraz adres dokładny.

Te same prawidła stosują się także do *konkursu robót rącznych*.

Jedźcie więc na wakacje młodzi czytelnicy z dobrą myślą i dobrą wolą: bawcie się wesoło, używajcie swobody, ale to wszystko niech wam nie przeszkadza także uczyć się. Każdy otaczający was przedmiot, niech będzie dla was kartą, którą przeczytać uważajcie za swój obowiązek. Słowa te stosujemy do wszystkich czytelników, tak do chłopców jak i do panienek. Termin nadsyłania zarówno wypracowań jak robót, które następnie rozdawane bywają ubogim dzieciom, oznacza się *do połowy września*. Upraszamy panienki, aby na sukienki wybierały najprostsze materyały, jak barchan kolorowy, perkale i t. p.; pożądane jest też bardzo i szycie koszulek, choćby z grubszego płótna.

Redakcja.

## SOBÓTKA.

Ot i zapadł mrok dokoła  
Od gór aż do wód;  
Głuchy puszczyk z lasu woła  
Na kupałę lud.

Wzniósł się smutnie pod niebiosy,  
Już gęślarza śpiew;  
Na kurhanach płoną stopy  
Poświęconych drew.

Młódz znów paproć strzeże w borze:  
Dziś zakwitnie kwiat,  
A kto go pochwycić może,  
Ten posiędzie świat!

*Witold Kaszczyński.*

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Sewe! — rzekł pocichu starzec do młodego chłopca, który zazwyczaj grywał drugie skrzypce — ta waryatka Marcha znowu nam chce biedy napytać jak to już nieraz bywało; trzeba dać na nią baczność. Wczoraj czy onegdaj odnosiła list Petöfiowej do syna, ja sam jęj odnieść kazałem; nie wiem gdzie go tak prędko znalazła i czem mu dokuczyła, dosyć że zamiast za list podziękować i dać co za drogę, jeszcze ją obił czy coś podobnego. Marcha obrażona w swojej królewskiej krwi wielkiego Ramy, chce się mścić i własne uniesienie gniewu, bierze za natchnienia duchów, jak to ona ma zwyczaj, i dzisiejszj nocy idzie ogień pod starą czarę podłożyć. oto między ty Marchę na oku, a ja pójdę prosto do Petöfich i czardy pilnować będę. Byłe do jutra. Jutro starzy gospodarze muszą dom swój opuścić a i Marcha tyczasem ochłonie. Widzę po jęj oczach że niezupełnie jest przytomna. Z pewnością wybierając się na tę wyprawę, musiała połknąć szczyptę swego proszku, przez prababki z Indyi przeniesionego, który jęj zdaniem życie w człowieku zdwaja i do wielkich czynów pobudza.

— Ech — machnął ręką młody Cygan — mnie się zdaje że ten cudowny niby proszek, tylko chwilowo podnieca siły, oduurzając człowieka jednocześnie!

— To bardzo być może Sewe, bo Marcha powiada że jest to ten sam, który używają wdowy indyjskie w chwili gdy na stos wstąpić mają, aby spłonąć wraz ze zwłokami mężów: Otóż pilnujże jęj, a ja do Petöfich pośpieszę.

— No no, bądź spokojny ojczu, postaram się upilnować: ach bieda to z tym naszym cygańskim motłochem, choćby z królewskiej krwi znikczemniałej pochodził, gdy raz upadnie umysłowo nie chce uznawać światła rozumu!

Słowa te dziwne były bardzo w ustach cygana, młody Sewe wymówił je zupełnie w dobrej wierze, był on albowiem blizkim krewnym starca i oba należeli do tęg warstwy królów wodzów i zwierchników, która rzeczywiście wśród cyganów istnieje, i nad tłumem ludu ma władzę i wyższość prawdziwą rozumu i oświaty.

Stary znikł natychmiast w cieniach nocy, dążąc do Petöfiowej gospody, młody poszedł do Marchy wydostającej ze skrzyni drżącemi z pośpiechu rękami bogate węgierskie stroje, w których główni przedstawiciele bandy mieli na jutrzejszym jarmarku wystąpić, a nad któremi dozór należał do obowiązków indyjskiej królowny. Dopóki tem była zajęta, Sewe drzemiąc na wozie, patrzył tylko na nią nieznacznie zdaleka ale gdy skończyła i zabrawszy jakiś tajemniczy zwitek i kij w rękę, miała ruszyć w drogę, przewracając się przez sen spadł z wozu i krzyknął z bólu, snadź się zraniwszy, Marcha przyskoczyła do niego natychmiast; trzymał się za bok i za głowę i jęczał; więc go obejrzała, opatrzyła, trzęsąc się przytem z pośpiechu i na niebo spoglądając co chwila. Narzeczcie ułożyła go spać i znowu zabierała się do odejścia; ale gdy chłopak płacząc schwyił ją za płachtę udając że cierpi okrutnie, Marcha, czy to w istocie zdwojoną w tęg chwili bystrością przeniknęła udanie, czy też w dobrej wierze chcąc ułagodzić ból, zaczęła chłopca ziołami jakimś okadzać, przy czem biedak usnął nagle, zaledwie kilka razy odetchnąwszy tajemniczym dymem. Tak pozbywszy się kłopotu, królowna indyjska co żywo chwyciła przygotowany poprzednio pakunek, owinęła się w swą podartą purpurę i pomknęła chyżo co siły w ciemną noc, śpiesząc spełnić wolę duchów.

W tejszj samęj chwili, gdy Marcha wybiegała z cygańskiego obozowiska pod suchym dębem, dwóch podróżnych zajeżdżało do niemieckiej gospody i wszedłszy do izby zażądało wina i chleba.

— Oho, łaskawy pan, znajdzie się tu przecież coś więcj nietylko wino i chleb! — odparł gospodarz usługując im ochoczo.

— Bardzo wątpię — westchnął jeden z panów — odkąd starą Petöfiową czarę nieszczęście dotknęło, przygotowany jestem na głód jadąc tędy.

— Biedni ludziska! Tacy rządni, tacy pracowici i uczciwi, i oto już im koniec ma być jutro!

— Dla czego jutro? — spytał gospodarz mocno zaciękwiony.

— O! nie udawaj Niemcze! Niby to ty nie wiesz że jutro ostateczny termin dla Petöfich, zapłacić i wynosić się z gospody z dobrej woli albo i ruchomości i gospoda zlicytowane będą! — objaśnił go szczerzy Petöfich przyjaciel. Niemiec zarządził.

— Ależ oni w żaden sposób nie mogą zapłacić — mruknął sam do siebie.

— To też gospoda pójdzie z pewnością na licytację, będziesz miał nowego sąsiada!... — odpowiedział gość obojętnie i wszczął z towarzyszem rozmowę o własnych interesach.

— Gretchen! Gretchen! mnie słabo! ja zemdleję!... — jęknął gospodarz wpadając do kuchni, gdzie gospodyni przysmażała gulasz ani raz nie kucnąc pojąć tajemnicy sporządzenia tęg czysto węgierskiej potrawy.—Cyganka przed chwilą wyludziła odemnie pięćdziesiąt papierków na zadatek, że sama załatwi się ze starą gospodą, a wiedziała dobrze że i bez niej

koniec jutro będzie! Niema tu wielu takich, którzyby do licytacji stawiali, a choćby i był kto, już jabym wołał przepłacić i przy obu karczmach się utrzymać, bo wtedy pewny byłby wielki majątek! Gretchen, Gretchen, po cóż ja dałem pięćdziesiąt tej cygance.

— Siadaj na koń, pogoń za nią, niepodobna żeby daleko odeszła! odbierz pieniądze! — poradziła Gretchen. Fritz skoczył na koń i popędził. Gdzie? Oczywiście w stronę stariej czardy, bo Marcha miała tam prosto iść w celu załatwienia interesu.

\* \* \*

Na widzialnym z dala, półmilowej szerokości gościńcu w puszczy pokrytej miękką bujną murawą, panował ruch znaczny owego wieczoru i nocy, a to z powodu jarmarku mającego się odbywać dnia następnego w mieście najbliższem. Pomiędzy dążącymi ludźmi i wozami, przemyczał z szczególniejszym pośpiechem mały wózek, zaprzężony czwórka, która dla pośpiechu kilka razy w drodze zmieniono. To też nawet w puszczy, gdzie wszyscy jeżdżą jakby się ścigali, szalona jazda tego wózka ogólną zwracała uwagę. Woznica zajęty końmi nie zważał na nic więcej, i był podobno nie tujejszy; podróżny w płaszcz owinięty zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć, zajęty ponuremi myślami. Dopiero wpadłszy w okolice bliższe dwóch gospód sąsiadujących teraz z sobą na stepie, ożywił się i nasłuchiwać jął rozmów i gwarów odbywających się na gościńcu, a nawet wywoływać je w przełocie:

— Dobry wieczór! A daleko ztąd do gospody? — spytał tak raz, mijając jakiś mniej lotny wóz.

— Do nowój pół mili, do stariej mila.

— A co tam słyhać?... nowego?... — tu głos pytający zadrżał...

— At jarmark mamy jutro! — odpowiedziano i lotniejszy wózek poleciał dalej.

Podróżny zaczepiał w ten sposób kilka razy nieznanomych, widocznie chcąc się dowiedzieć czegoś, o co jednak wprost wyraźnie nie chciał czy też nie miał odwagi zapytać, zanim wreszcie ktoś z zapytanych odpowiedział:

— Ot licytować mają jutro starą gospodę, Niemiec pewno kupi czardę i sprzęty — Pytający aż płaszczem usta zatulił, tłumiąc okrzyk przerażenia, a tamten dodał:

— Szkoda tych Petöfich, choroba wszystkiemu winna, a teraz choć i na zdrowiu lepiej, to już długi nazbyt cisną.

Szandor, gdyż to on pędził na owym tak szalenie śpieszącym wózku, odetchnął trochę na te ostatnie słowa: przybywał na czas kiedy rodzice żyli jeszcze przynajmniej i byle przebaczyli mu, wszystko jeszcze da się naprawić. Nie pytał już więcej nikogo, bo w obec okropnych przeczuć jakimi natęchnęło go ostatnie spotkanie z Marchą, jej groźby i przepowiednie, to, co prawdopodobnie zastać miał w rodzicielskiej chacie nie było jeszcze najgorszem.

Wieczorne cienie zupełnie już zapadły, a chmury przysłoniły światło gwiazd i księżyca, gdy kazał stanąć ujrzawszy nareszcie starą czardę, raczej oczyma ducha niż ciała. Zeskoczył z wózka i szedł ku domostwu, tam wolniej im bliżej. Serce na przemiany szalało to znów zamierało mu w piersi na wspomnienie okoliczności w jakich poraz ostatni przestępował te progi... Przepadły list matki donosił zapewne o ważnych jakichś wypadkach, bo Petöfiowa nie miała ani czasu ani zwyczaju pisania listów bez koniecznych powodów; cóż więc było w tym ostatnim?... Co teraz powie ojciec?... W szalonym strachu o rodziców, o ich życie przedewszystkiem, pędząc od onegajszego poranku, Szandor ani pomyślał o tem wszystkiem co jego samego dotyczyło, a co obecnie napełniało go takim wzruszeniem, że dowlóklszy się do progu musiał wesprzeć się o drzwi, prawie bezsilny. W jednym tylko okienku migotało czerwone światelko w tej gospodzie, niegdyś tak ludnej, gwarnej i wesolej, tak opuszczonej i osamotnionej teraz.

— A więc to ja, nieszczęsny, mojem dziwnem nieposłuszeństwem despotycznej lecz z miłości powstałej woli ojca, ściągnąłem niebłogosławieństwo, chorobę i nieszczęście na tę

rozkoszną chatę?... — spytał sam siebie Szandor półgłosem, chciał spojrzeć przez okno, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, nogi ugięły się pod nim, ukląkł na progu uderzając się w pierś z rzewnem łkaniem:

— Moja wina!... moja jest ciężka wina!...

— I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy!... — odpowiedział mu w ciemności głos ukochany — bo i ja podobno zgrzeszyłem zbytnią surowością, nie wiedząc że to, co sądziłem w tobie uporem, było natchnieniem z wysokości w najszlachetniejszym z ziemskich celów... a jednak powinienem był poznać ducha twego po pokorze... Oto na tym progu na którym o mało cię nie przekląłem, cofam uroczyście złą myśl moję i odrzekam jej się, a natomiast: w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, błogosławię cię synu na spełnienie natchnień twoich zacnych... amen...

Srebrny blask księżyca wypłynąwszy nareszcie z pośród chmur, oblał jasnym światłem Szandora objętego ramionami ojca, tak jak to przed długimi laty cierpień, za szczęśliwych chwil dzieciństwa bywało.

— Chwała Panu na wysokościach a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!... — szeptała stojąca za ojcem i synem matka ze łzami w oczach i wzniesionymi w niebo rękami.

W pół godziny później, mała rodzina siedziała przy wspólnej wieczerzy, bo mimo całego wzruszenia, gospodyni, starym jak świat, wszystkich prawdziwych gospodyń zwyczajem, wyobrażała sobie że upragniony gość, głodnym być musi, i zajęła się przedewszystkiem nakarmieniem go, ocierając przytem starannie lzy szczęścia, aby w przyrządzony przepyszny gulasz nie padały, jako weale niepotrzebna doń przyprawa. Mówiąc wszyscy troje na przemiany, zdążyli już opowiedzieć sobie wzajemnie wszystko, czego jeszcze nie wiedzieli. O polkniętym liście, o polepszeniu bytu Szandora i o przyjęciach jakimi lud gościł swego pieśniarza przed kilku dniami w wakacyjnej podróży, a które były tak gracie, że biedak aż obawiał się, aby uczucia zazdrości nie wzbudziły wśród mniej szczerych przyjaciół; o długach rodziców, o chorobie ojca przyczynie niepowodzenia zarówno ważnej jak Niemiec sąsiad; wreszcie o licytacji jutrzejszej.

(d. c. n.)

## LIST Z WARSZAWY.

Czerwiec już dobiega końca drodzy czytelnicy każdy z nas cieszy się nadzieją wakacyj, wyjazdu za miasto, to też zanim się z wami na czas dłuższy pożegniam, chcę jeszcze sercu waszemu i pamięci polecić te biedne dzieci, które przychodzą na świat w dusznych izbach suterren, wstającą w ciasnych i ciemnych jak studnia podwórkach, a nieba i pola o tyle tylko zobaczą o ile ofiarność ludzka pozwoli im korzystać z kolonij letnich, corocznie za staraniem d-ra Fritschego urządzanych dla ubogiej dziatwy miejskiej. Co może wytrwale w jednym kierunku działanie to się najlepiej pokazuje ze sprawozdania jakie z ubiegłych lat 9-ciu ogłosił d-r Fritsche. W pierwszym roku istnienia kolonij letnich 1882-im, wysłanych dzieci było tylko 52, w roku zeszyłem z dobrodziejstwa tego korzystało już 417! Rozumiecie łatwo, że na to niemałych środków potrzeba i wpływają też w samej rzeczy znaczne składki tak pieniężne, jak i w naturze, pochodzące od biednych i od bogatych, od dorosłych i od dzieci. Uczennice jednej z pierwszorzędných pensyj złożyły bardzo poważną sumę rs. 90; każda z nich ujęła sobie łakotki, odmówiła jakiejś przyjemności, aby zadość uczynić obowiązkowi bratniej dla biedniejszych pomocy, a nawet jeden chłopak z drukarni, znający już istotną wartość pieniędzy, bo sam na nie zarabia, ofiarował kop. 15 i przyznaje że mnie to niewymownie rozrzewnia, bo sama znam takiego chłopczyka boso chodzącego po mieście i wiem, jakim skarbem byłaby dla niego złotówka! i tamten może nie starszy, a pewno nie wiele bogatszy.

Do ofiarodawców słusznie i tych sprawozdanie zalicza,

kórtzy bądź to całkiem na swój koszt wzięli dzieci kilkoro, bądź też udzieli im tylko u siebie mieszkania, co już bardzo wielkiem jest dobrodziejstwem. Pieniędzy z roku zeszłego bardzo niewiele na ten rok zostało. Dla tego też odzywam się do was z serdeczną i gorącą prośbą aby pamiętać, kogo na to stać, o koloniach letnich, instytucji tej w całym znaczeniu tego wyrazu dobroczynnej.

Wysłanie ubogich dzieci miejskich na wieś wszędzie zostało uznane za zbawienne, bo w Szwajcaryi, w Niemczech, w Danii, niema prawie miasteczka, żeby nie składano ofiar na rzecz biednych dzieci, które z nastaniem letnich miesięcy rozpraszają się po całym kraju. Tam bowiem takie wycieczki inaczej są urządzone; zamiast wyprawiać po kilkanaścioro dzieci razem pod opieką nadzorcy lub nadzorczyni, umieszcza się ich po dwoje lub troje u pojedynczych wieśniaków, co znacznie umniejsza kosztów. Poznań wysła w ten sposób parę tysięcy dzieci, a Kopenhaga do 7,000. Ach! gdybym ja miała rodziców, gdzieś blisko pod Warszawą mieszkających, nie dałabym im spokoju, dopóki by mi nie wydzielili jakiejś izdebki, gdzie na świeżem sianem wysłanych tapczanikach nocowałoby parę białych buziaków, opalając się cały dzień na tem słonku, co złoci pszenicę i jabłuszka rumieni tak ślicznie! A ja wtedy, ja, panienska ze dworu, rzuciłabym okiem od czasu do czasu na rozbawionych gości moich i pewno znalazłabym też we wsi jakąś pocierwą kobiecinę, coby się za niewielkie wynagrodzenie nad tymi gośćmi nadzoru podjęła... Tak mi się czasem to wszystko roi w głowie, tak mi się łatwym do wykonania wydaje, że wam ten projekt podsuwam, nieopodal od miast mieszkającym... Może kto spróbuje w czyn go wprowadzić? może mu się to uda pomyślnie?

Nietylko ale ja nawet d-r Fritsche, ma także swoje marzenia, których ziszczenie zależy w znacznej części od dobrej woli ogółu. Kolonie letnie wtedy tylko rozwinąć się mogą należycie, gdy będą posiadały dom własny, w miejscowości niedalekiej od lasu i od kąpielii rzecznej, niezbyt też oddalony od Warszawy, dom z ogrodem, z niezbędnymi potrzebami sprzętami, na początek mieszczący w sobie 25 łózek, potem zaś, potem... O tem marzy d-r Fritsche, a że grunt pod dom i ogród ofiarowują mu darmo, marzenie zacnego opiekuna biednych dzieci zdaje się blizkiem spełnienia, a budowa domu w tym już roku się rozpocznie. Trzeba jednak, aby do niego każde z nas cegielkę swoją dołożyło, tak cegielka po cegielce, stanąłby dom i nikt już nie miałby prawa pytać z zalem:

„Któż dziecku temu da trochę słońca,  
„Pokaże lasy i pola?”

Bo każda z was odpowie: ja! ja w miarę możliwości mojej przyczyniłam się do wywiezienia na jasne słonko, pod czyste niebo letnie tej gromadki, co nic dotąd prócz murów kamienia nie zna...

A gdybyście widzieli z jaką radością wyjeżdżają, to i śmiać się chce i płakać... Rycina tu załączona wskaże wam jak się wyjazd odbywa, ale najslabszego nawet nie da wyobrażenia o wdzięczności, jaka napęlnia serca matek, o ciekawości z jaką rwie się „na wieś” ta dziatwa, dla której wieś nieznaną jest krainą, nie tak jak u nas szczęśliwszych, co rok prawie swobody i wypoczynku używających.

Muszę też podzielić się jeszcze z wami wrażeniami z jednolitej wystawy roślin, owoców i kwiatów w Muzeum przemysłu i handlu. Urządziło ją Towarzystwo ogrodnicze zamieniając wielką salę Muzeum w pyszny ogród, pełen takich barw i woni, że mi się przypomniały wszystkie ogrody z bajek w dzieciństwie słyszanych zapamiętane. Na trzech stołach ustawiono kłomby z bratków ciętych, wyludowanych w ogrodzie p. Hosera

z róż, truskawek, czereśni, pelargonij i begonij, a wszystko tak z sobą harmonizowało, tak wzajem piękność swoją podnosiło, że nie wiedziałam na co patrzeć i tylko biegałam oczyma po stołach po całej sali ustrojonej w ozdobne rośliny żałując że niema tu „Niezapominajki z nad Warty”, której plantacye zamorskich roślin marnieją. Tu nic nie zmarniało: wszystko było bujne, świeże wspaniale rozkwitłe. Róże pp. Kaczyńskich przechodziły

wziąć po jednej tylko, żeby złożyć sobie olbrzymi bukiet, ale niewypada! prawda? Miałam też ochotę na czereśnie „Ogrodnika Polskiego”, na truskawki, jednym słowem, gdzie się obróćę, wszędzie pokusa! Wasza Gołąbka w okrutnym była kłopotcie! Lubię róże: nie mogę się zdecydować, u którego z naszych panów ogrodników są piękniejsze; lubię bratki: taż sama trudność powzięcia decyzji (pp. Smólski i Kamiński z Woli przy-

parę miesięcy, które poza murami Warszawy przepędzi. Nie zapomnicie o niej prawda? O tej, która się z wami wiernie każdym wrażeniem dzieliła, każdego z was kochała serdecznie, i dziś, na dłużej was żegnając, ma nadzieję że z łaski waszej spełni się choć troszkę marzeń i projektów, całym sercem wam oddanej

Gołąbki.



WYJAZD NA KOLONIE LETNIE.

przez wszystkie różowości i szkarłatu odcienie od mleczno-białych do czarnej prawie aksamitnej purpury. P. Szanior, kierownik Saskiego ogrodu, wystawił obok róż bogaty zbiór najróżnorodniejszych begonij o plamistych, aksamitnych liściach. P. Jankowski olbrzymiej wielkości maki, ogromne liście lewkonij i bratki aksamitne jak zwykle, czarne, i kremowe, a jakie tam odcienie liliowe i fioletowe, to już nawet opisać trudno.

Róże pp. Hoserów Dechl'a i Bardet'a niemniej od tamtych piękne ślicznie ułożone były, miałam ochotę z każdego sętku

czynili mi jęj niemało swemi bratkami) lubię owoce: jedne piękniejsze od drugich! Raj powiadam wam nie wystawa! (A dodać tu jeszcze muszę, że p. Jankowski, autor znanego wam zapewne dziełka: „Kwiaty mieszkań naszych” jest też specjalistą pomologiem i że kto mieszka na wsi, a ogrodem zajmować się lubi, dużo z jego wskazówek skorzystać może. Co do mnie wolałabym sadzić jabłonie niż pomarańcze i wołę szkarłat róży lub nawet maku od szkarłatów tureckiego pieprzu).

A teraz Gołąbka wasza już odlatuje na czas dłuższy na

## NIEBIESKA POŃCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSEŃNIE  
przez Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

MARTUSIA (*budząc się*). Magdusia, a dajno posładu! (*sposzregając się*). A, dobrze, dobrze, dzieci się uczą, tak to lubię.

WŁODZIO (*z przymileniem*). Martusia spała?

MARTUSIA (*oburzona*). Oj o, spała, co to Włodziovi przychodzi do głowy, ani się nawet zdrzemnęłam.

NIUNIA. Bo tak Martusia sapała.

MARTUSIA. To tak z gorąca (*ziewa i przeciera oczy*). Ani mi w głowie spanie, śpieszę się oto z pończoszką dla Niuni, bo mama prosiła żeby na niedzielę skończyć, do tej niebieskiej sukienki.

NIUNIA (*pomięszana*). A prawda, ja do tej nowej sukienki nie mam niebieskich pończoszek, mam tylko same czerwone i jakieś tam bure. A Martusia tak ślicznie robi pończoszki.

MARTUSIA (*biorąc kłębek, spostrzega na kolanach zrobioną pończoszkę*). A to co? bierze w ręce to pończochę, to kłębek, oglądając ze zdziwieniem). No, nie myślałam dziś jeszcze skończyć (*kręci głowę*). Patrzcie moi państwo, jak to jakoś prędko poszło.

WŁODZIO. Co Martusia mówi? Czy przez sen?

MARTUSIA (*z gniewem*). Co mi tu Włodzio będzie o spaniu mówił, ja oto prawie całą pończochę zrobiłam, a Włodzio już umie swoją lekcję, co?

WŁODZIO. Kiedy taka trudna, nie mogę spać na żaden sposób.

MARTUSIA. Nie mogę, nie mogę, co to znaczy nie mogę, ale jak komu zbytki w głowie, to nauka nie idzie. Wszystko człowiek może.

WŁODZIO. Toż Martusia przecie siedzi, to słyszy że się ciągle uczymy z Niunią, no niech Martusia powie czy nie? Co?

MARTUSIA (*szukając kolo siebie i w koszyczku*). Zdaje mi się że miałam tu tę pończoszkę co już skończona, i nie mogę jęj znaleźć. Dzieci, nie widzieliście pończoszki niebieskiej?

NIUNIA. A leży u Martusi na kolanach.

MARTUSIA. No to ta co skończyłam teraz, ale tamta co była pierw zrobiona.

WŁODZIO. Ja tę tylko widziałem.

NIUNIA. Może Martusia nie przyniosła?

MARTUSIA (*szuka ciągle zsunawszy okulary na czoło*). Jak mogłam nie przynieść kiedy mi ciągle potrzebna była na miarę, dzieci! możeście gdzie schowały (*n. s.*). Jeszcze mi się to jak żyje nie przytrafiło, żebym kiedy przez sen pończochę robiła, no, to dziwne i tak ślicznie robiłam, ani oczko zgubione, ani pomyłone, to proszę państwa osobliwość, niech to kto potrafi (*głośno*). Może ja i zostawiłam tamtę pończochę w swojej stancyi, ale mi się zdaje że ją tu miałam.

WŁODZIO. Może Martusia i zostawiła.

NIUNIA. Najprędzej u Martusi została.

MARTUSIA (*zabierając koszyczek z kluczami*). Moje dzieci, bądźcie tu grzeczne, ja pójdę poszukam tej pończoszki, i wydam podwieczorek, wrócę zaraz, tylko tu nie dokazujcie i uczcie się, aby się nauczyć. Włodzio niech tam sobie powtarza ciągle o tój Ameryce, a Niunia o aniołach, bo p. Aniela może jeszcze i dziś wróci, i znów będzie wstyd.

WŁODZIO. No, no, niech się Martusia nie boi, już my tu będziemy się uczyć, będziemy.

MARTUSIA (*szukając*). Nie wiem gdzie mi się okulary podziały. Niuniu, nie widziałaś ich?

NIUNIA. U Martusi na czole.

MARTUSIA (*zdejmując*). A prawda, są, no to dobrze, uczcie się tu dzieci, uczcie, to powiem mamie, żeście byli grzeczni a i przed p. Aniela pochwałę.

WŁODZIO. Dobrze, dobrze, niech Martusia będzie pewna, że się tu będziemy dobrze sprawować.

MARTUSIA (*wychodząc*). A nie dokazujcie tu, moje dzieci, bo to u Włodzia to zbytków nie kupić, a i Niuni nie brakuje. (*wychodzi*).

## Scena II-ga.

WŁODZIO, NIUNIA.

WŁODZIO. Poszła ta marudziarka, już co my się nasłuchamy tych moralów, to chyba już nikt więcej.

NIUNIA (*wzruszając ramionami*). I żeby choć było o co!

WŁODZIO. Najwięcej o te marne lekcye.

NIUNIA. Albo o jakieś tam grzeczności!

WŁODZIO. Człowiek nigdy niema wolnej chwili, albo i ta p. Aniela, ledwie pojechała już wraca, na trzy dni jechać to się i opłaciło!

NIUNIA. A lekcji to mamy zadane tyle, jakby na jakie trzy tygodnie!

WŁODZIO (*przypominając sobie nagle*). A wypracowanie napisałaś?

NIUNIA (*zalamując ręce*). Ach Boże! jeszcze nawet nie zaczęłam.

WŁODZIO. I ja jeszcze nie zacząłem, ale bo też tój geografii to się uczyć i uczyć i uczyć i nie mogę się nauczyć. Nie wiem co mi tam po tój Ameryce, ja tam przecież nie pojadę.

NIUNIA. A ta p. Aniela to wcale nie dobra, bo jak prosiłam jęj tak że aż kękałam przed nią, jak mamę kocham, bo chciałam żeby mi napisała to wypracowanie na konkurs do Wieczorów, to nie, i nie, tylko ciągle mówiła: (*przetrzeźniając*) „Napisz Niuniu sama, a ja ci poprawię”, poprawić to i jabyim potrafiła, wielka mi rzecz, ale napisać to grunt, a tu ani rusz.

WŁODZIO. A Zizio mi mówił, że p. Stanisława napisała całuteńkie wypracowanie, za które dostała nagrodę w szkole.

NIUNIA. I Ania dostała też nagrodę na pensyi, i też mi się przyznała w sekrecie, tylko prosiła żeby nikomu nie powiadać, że i jęj p. Stanisława napisała. Oni to mają nauczycielkę dobrą, ale nasza (*wzruszając ramionami*) Boże zmiłuj się, zaraz ci powie moral, o obłudzie, o kłamstwie, e, ktoby tam nawet to wszystko spaamiętał.

WŁODZIO. Ja też jeszcze nie dostałem nagrody ani je-dnej, a kto temu winien?

NIUNIA. Naturalnie że p. Aniela.

WŁODZIO. To nawet dla p. Anieli byłby honor, gdybyśmy dostawali nagrody, a tak to nawet nie wiem, co i myślą o nas.

NIUNIA. Myślą że mamy nauczycielkę, która nas niczego nie nauczyła.

WŁODZIO. Ale my rozmawiamy i rozmawiamy, a tu lekcji nic, wypracowania nic, a w dodatku urządziliśmy psotę Martusi, i jakoś mi się zdaje, że to się źle skończy.

NIUNIA. Nam się zawsze źle kończy, to już na jedno.

WŁODZIO. O czym masz wypracowanie?

NIUNIA. Jakieś cudaczne, nawet nie pamiętam o czym, mam tam zapisane w kajecie. A twoje?

WŁODZIO. Ja? a morduje jeszcze to samo co było zadane, co napiszę, źle! p. Aniela powiada: tu niema myśli, tu, sam nie wiem czego chcesz, to niema sensu, dopiero mówi i mówi dla czego tu niema sensu i myśli, mnie naturalnie znudzisz się słuchać, no i koniec.

NIUNIA. I znów to samo na następną lekcję.

WŁODZIO (*z westchnieniem*). A znów, bo p. Aniela powiada, że trzeba się porządnie zastanowić, aby się nauczyć myśleć...

NIUNIA (*wzruszając ramionami*). Wielka mi rzecz myśleć, niby to my nie umiemy. A któż za nas wymyślił żeby Martusi spruć pończochę? Może p. Aniela, co?

WŁODZIO. Żeby się p. Anieli nie zechciało dziś wrócić, byłaby dopiero radość, ani jednej lekcji nie umiemy. A na dziś kazała się nauczyć.

NIUNIA. A pocóż mówiła że jutro wróci?

WŁODZIO. Tak było niby mówione, ale nam p. Aniela powiedziała wyraźnie: proszę was bardzo, ażebyście na czwartek umieli wszystkie lekcye, do południa, i żeby wypracowania były napisane.

NIUNIA. No to się zabierajmy do pisania, dopiero... (*spogląda na zegar*) dopiero trzy kwadranse na piątą, jak też to ten czas szybko leci.

WŁODZIO (*nasłuchując*). Jakiś turkot! ktoś jedzie! (*biegnie do okna*) Boże! to p. Aniela!

NIUNIA (*zalamując ręce*). O! ja nieszczęśliwa!

WŁODZIO (*chwytając książkę i czytając drżącym głosem jękając się*). Po odkryciu Ameryki... przez... przez... Krzysztofa Kolumba (*biorąc się za czuprynę*). Ach! ten Kolumb i Kopernik zawsze mi się w głowie pląca.

NIUNIA (*jednocześnie z Włodziem bierze się także do książki*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy czyste, nie mające ciała. Na co Pan Bóg stworzył nauczycielki? (*z przerażeniem*). Ach! znów mi się teraz będzie plątało, aniołowie i nauczycielki, to także para! Ale co ja zrobię... o! już idzie! Włodziu!

(*wchodzi p. Aniela*).

## Scena III-a.

P. ANIELA, NIUNIA, WŁODZIO.

P. ANIELA. Ach, teraz widzę, dla czego nie wyszłście gdy zajeżdżałam, przy książeczkach, to bardzo pięknie, i cieszy mię to że was tak zastaje.

NIUNIA (*idzie ze spuszczoną głową i chce p. Aniela całować w rękę*). Witam panią, myśleliśmy że pani dopiero jutro przyjeżdżie.

P. ANIELA (*cofając rękę pochyla się ku Niuni*). Uściskajże mię Niuniu serdecznie, masz taką minkę, jakbyś nie była rada żeś już wróciła, a mnie tęskno było do was.

WŁODZIO (*całuje p. Aniela w rękę*). Ach i nam, tylko że pani miała jutro przyjechać.

P. ANIELA. Skończyły się te nieznośne interesa wczesniej aniżeli myślałam, wróciłam z p. Lidzką, i uprosiłam ją aby mię dziś odesłała, chociaż koniecznie chciała to odłożyć do jutra. Ale szkoda czasu: czy prawda.

WŁODZIO. O! tak (*n. s.*) to także oszczędność.

NIUNIA (*zagadując*). A mamusi niema w domu, pojechała do Wronowa, bo p. Zatorska przysłała list prosząc mamusię koniecznie.

P. ANIELA. Wiem, tembardziej mnie to cieszy, że was zastaje przy nauce. Ale kochane dzieci, nie traćmy czasu, jeszcze parę godzin uczyć się można, przesłucham zadanych lekcji i pomyślimy o jutrze. (*siada przy stole*). Najpierw, proszę was o wypracowania. Niuniu, jako panience należy się pierwszeństwo, daj mi więc twoje.

NIJUNA. (zakłopotana kręci palce u rąk). Proszę pani, ja właśnie miałam teraz zacząć pisać... bo... bo... pani miała jutro przyjechać.

P. ANIELA (z przyciskiem). Prosiłam jednak, aby wypracowania były napisane na dziś i to przed południem. Czy tak?

WŁODZIO (pomieszany). Tak proszę pani... ale... ale... myśmy się uczyli, a wypracowanie... chcieliśmy dziś napisać... i... i bylibyśmy napisali.

(d. c. n.)

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Mały nawet na wiek swój, ale barczysty już teraz Edward, nie zdawał się wcale, ani na chwilę zakłopotany żartami ojca i śmiechem rodzeństwa, wiedząc dobrze, że właśnie tylko śmiała a rozsądną przytomnością umysłu może sobie zjednać ich uznanie, jednocześnie oczy błyszczały mu tajoną zaledwo, a niepoohamowaną radością gdy rzekł:

— Jakto? a więc tylko tyle świata jest wiadomo? Czyliż telegrafy nie rozniosły po świecie że i Edwarda N-r. 2 obdarzyła mi także ślicznym żrebiątkiem?

— Co? Jakto? A więc i twoja klaczka? — zawołano z niesieniem zdumienia. Edward zaś powiódł zwyciężkiem okiem po otaczających i rzekł:

— Tak!... i mam nadzieję, że panna Klara pozwoli mi wyhodować i ułożyć to żrebię na wierzchówkę dla niej jedynie, tak, aby nikt inny prócz niej nie miał zaszczytu go osiąść?...

Klarze nie pozostawało nic innego jak tylko uściskać braci raz jeszcze.

— A śniadanie dla nas i dla domowników? gosposiu małeńka? Czyś go dopilnowała? Bo bez twego oka, cóż z nami się stanie? — spytał ojciec.

— Pomyślałam o wszystkim — zaręczyła żywo — dwa stoły w wielkiej sali przy kuchni dla domowników, jeden na ośm osób dla nas w zwykłej jadalni: po mojej prawej stronie sam pan Thorn, po lewej najstarszy z jego synów Wiliam... Robert i Franek siedzieć będą obok Jerzego i Edwarda, ty ojcusiu z panem Thorn'em na pierwszym miejscu musicie być obok siebie koniecznie, jak zawsze, pójdźcie zobaczyć czy dobrze tak, i czy dobrze kwiaty ustawiłam w jadalni... Ach, oto Thorn'y już są!...

Wistocie p. Thorn z trzema synami zajechawszy nieopstrzeżenie małeńkim powozikiem o dwóch dzielnych koniach, wszedł teraz do salonu.

I w tej rodzinie, acz daleko dawniej osiedloniej w Indjach, matka znękana prócz osobistych trudów, troską o wszystkich ukochanych, uległa pierwszej zabójczym dla świeżo przybyłych cudzoziemców warunkom klimatu i otoczenia. Kto wie czy nie ta właśnie wspólność jednakięj złej doli, wywołała w obu rodzinach uczucia ściślejszych niż pospolite stosunków przyjaźni, wspólność interesów i bliższe poznanie pozwalając ocenić się wzajemnie, dokonały reszty.

Thorn ojciec, starzec białowłosy i trochę już pochylony, raczej skutkiem pracy i trudów niż wieku, miał twarz mocno pociemniałą pod działaniem promieni zwrotnikowego słońca; uściskał Klarę i złożył jej życzenia, prawie w tychże słowach co rodzony ojciec przed chwilą. Wiliam dwudziestodwuletni jasnowłosy i niebieskooki mrukił trochę o potężnych rozmiarach Anglik z krwi i kości, był już dziś poniekąd bez poprzedniej umowy zastępcą ojca w obec firmy i innych spraw ważniejszych, i wszyscy bez szemrania uchylali się przed władzą o której prawach rozum stanowił.

Pani podano do stołu! — rzekł wkrótce służący Mahorra, Indyjanin, roztwierając drzwi wiodące do dalszych pokoi. Wiliam podał rękę Klarze i wszyscy poszli do sali jadalnej, przechodząc przez wielką salę stojący u dwóch stołów bie-

siadnicy przywitali Klarę huczynym toastem. Odpowiedziała im kilku serdecznemi słowy podzięk. Oprócz urzędników z kantoru, wszyscy słudzy otrzymali także w tym dniu podarki. Ogromne okna przepelnionej kwiatami jadalni, rozwarte były szeroko na kwiciste, ozłocone słońcem trawniki ogrodowe, ocienione olbrzymami świata roślinnego, ozdobione smukłemi palmami, ożywione tysiącami śpiewającego na zabój, barwnego ptactwa. Uczta była zarówno wykwintna jak obfita i wesół. A jednak, pomimo wszelkich pozorów odświętniej radości, p. Thorn zaledwo usunęła się służba, z głuchem westchnieniem, zniżając głos wspomniął o rozruchach miejscowych, o buncie sipahów to jest żołnierzy krajowców, skierowanym przeciw Europejczykom w Indjach osiadłym, przeciw Angielsko-Indyjskiej kompanii mianowicie.

— Czyliż odniesione nad sipahami zwycięstwa będą dostateczne do ich pokosromienia? Czy można nie lękać się już wznowienia buntu?...

— Wątpię, i nie wstydzę się wyznać, że drzę... — szepnął Mac'Ulm, spoglądając na młodzież zajętą żywą gawędą, do której Wiliam udawał że należy, słuchając jednocześnie pilnie rozmowy dwóch starych przyjaciół.

— O!... — odparł Thorn wpół żartem — może też indyjskie czaszki wyburzą się, wykipią gniewem i uspokoją wreszcie; w ostatnim razie ty nie masz czego lękać się dla twoich dzieci gdyż sipahowie poprzysięgają zemstę tylko nam, Anglikom.

— Przeczę temu najmocniej, pewny jestem, że Indianie wcale nas nie rozróżniają, albo raczej że uznają wrogiem każdego, kto nie jest z ich własnej krwi i kości. Mylisz się jeżeli wistocie sądzisz że o swą narodowość się upominają; wcale nie, nam grozi coś daleko gorszego, zaciekle wojna religijna natchniona przez zapaleńców fakirów i braminów, wojna na śmierć!

— Przesadzasz bracie...

— Czy pamiętasz przeszłoroczne wzburzenie krajowców, przy zajęciu królestwa Oude, przez wojska Jój królewskiej mości, królowej Wielkobrytańskiej? Wszak ty sam wówczas utrzymywałeś że to nieprzelewki...

— Ależ to już wszystko minęło.

— Okoliczności tylko niektóre minęły, ustępując miejsca innym, ogólne wzburzenie trwa ciągle.

— Umysły są może nawet bardziej podniecone niż kiedy — rzekł Wiliam — a to z powodu, że stara jakaś przepowiednia naznacza ostateczną zagładę panowania angielskiego na rok „setny” jego trwania, a ten właśnie teraz przypada.

— Ah, a więc ty Wiljamie zapatrujesz się tak samo jak i ja na tę sprawę?... — rzekł p. Mac'Ulm.

— Na nieszczęście nie mogę inaczej; i bądź pan pewnym, że mój ojciec zapatruje się na nią tak samo. Udaje on wprawdzie iż jest pełen otuchy, ale udaje tak tylko z zasady, że rozsiewać popłoch dookoła nie pomoże sprawie, i że wszelka przedczesna troska zatruwa obecną chwilę! Kompanja Wschodnio-Indyjska popelniała przez sto lat różne nadużycia względem krajowców, a teraz oby nie nadeszła chwila odwetu, który jak zwykle w podobnych dziejowych przewrotach, spaść może, za winy poprzedników, na ich mniej winnych następców i prawników.

— Ależ moje dziecko nie przypisuj mi tak smutnych poglądów!

— Przepraszam cię mój ojczy, wiem że doskonale oceniasz ważność obecnej chwili. Wiesz i ty dobrze jakie wzburzenie panuje między krajowcami, zwłaszcza od nieszczęsnej chwili rozdania wojsku nowych ładunków, posmarowanych tłustością wieprzową...

— No tak... nieszczęśliwy też pomysł miał zarząd z tem zaprowadzeniem karabinów nowego systemu, w wojsku złożonym z sipahów...

— Ładunki do tych karabinów muszą być smarowane tłuszczem wieprzowym, które to zwierzę uważane jest przez Hindusów jako nieczyste. Tymczasem pułkownik Besch, gardząc wyobrażeniami religijnymi swych podwładnych, rozdał im owe

## SZARADA.

ułożyła M. P. dla czytelników Wieczorów.

Pierwsze, między literami  
 Drugie, tu jest między nami.  
 Trzecie wzywa do milczenia,  
 Niekorzystnie postać zmienia,  
 Druga trzecia, gdy zbyteczna,  
 Pierwsza trzecia, pożyteczna,  
 Służę bowiem do jedzenia,  
 Wszystko nadmiar jest cierpienia.

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Gospodarz dla Skowronka.

Wyrazów 14-cie: wa—ton—ko—tlik—bo—łów—ce—el  
 —ir—po—e—ba—o—ri—li—oj—nie—wój—pah—bes—ryk  
 —tu—i—ja—no—nan—świe—lan—le—me—sem—o—dy—  
 Znaczenie wyrazów: 1. Roślina. 2. Wyspa w Europie. 3. Je-  
 zioro w poł. Rosyi. 4. Owad. 5. Jedna z rzeczy ostatecznych.  
 6. Głowa rodziny. 7. Miasto w Szwajcaryi. 8. Miasto i kla-  
 sztor pamiętne traktatem historycznym. 9. Owoc. 10. Rzeka  
 w Ameryce. 11. Część ciała. 12. Wyspa w Azji. 13. Imię  
 mężkie. 14. Spójnik.

Końcowe i początkowe litery czytane od góry do dołu  
 utworzą imię i nazwisko poety i tytuł jego utworu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

## Niteczki Aryadny:

Matka troskliwa i miła  
 Na łonie miała swe dziecię  
 Nucąc mu mile, tuliła  
 Jedyne skarby na świecie.

\* \* \*

„Matko dla czego te dzwony?  
 Tak smutno księża śpiewają...”  
 — „Nie bój się mój ulubiony,  
 Ktoś umarł chować go mają.”

\* \* \*

„Jak to, on umarł, o mamó?”  
 — „Na długie zasnął on spanie”.  
 „Będzie i ze mną toż samo?  
 — „Nie będzie moje kochanie”.

K. Brodziński.

## Łamigłówniki geograficznój:

1. Raguza. 2. Orlean. 3. Trent. 4. Tomaszów. 5. Epernay  
 (Eperne). 6. Wezer. 7. Dieppe (Diepp). 8. Antiwari. 9. Malta.  
 Rotterdam — Antwerpia.

ładunki nie wspominając nic o wieprzowym tłuszczu... W tym  
 błędzie jest przyczyna nieszczęścia, gdyż to właśnie służy dzi-  
 siaj za pozór przywódzcom buntu, do podburzania tłumów  
 w imię znieważonej religii, przeciw angielskiemu zarządowi,  
 który ich zdaniem zmusza lud do popełniania zbrodni święto-  
 kradztwa.

— Tak, to wszystko prawda; z początku jednakże cicho  
 było przez czas niejaki, i właśnie w moich oczach rozpoczęły się  
 rozruchy. Używając chwili wytchnienia siedziałem w cieniu  
 drzew w pobliżu arsenału, spoglądając obojętnie na oddział  
 żołnierzy jedzących wieczerzę o kilka kroków odemnie: nagle  
 powstała między nimi głośna kłótnia, żołnierz należący z rodu  
 do kasty braminów łajał gwałtownie, z dumą właściwą tej  
 kście kolegę swego, należącego snadź do niższej, iż śmiał pić  
 z jego kubka. Na co, napastowany odparł:

— Wielka mi rzecz że pożyczyłem na chwilę twego  
 kubka: wieprz jest chyba jeszcze bardziej nieczystem niż ja  
 stworzeniem, a ty i wy wszyscy codziennie przecież macie do  
 czynienia z wieprzowym tłuszczem na ładunkach...

Bramin zerwał się z miejsca na te słowa i pobiegł do  
 arsenału... w kwadrans wypadł napowrót z głośnym krzykiem  
 i z rozpaczą potwierdził towarzyszom straszliwe odkrycie. Na-  
 tychmiast wszczął się rozruch, żołnierze ze wszystkich stron  
 zbiegli się do spokojnie przed chwilą wieczerzających towa-  
 rzyszy. Wśród dzikich okrzyków przeciw Anglikom, chwycono  
 za broń, tak że coprędzej uchodzić z tamtąd musiałem. Taki  
 był początek obecnego stanu rzeczy.

— No, ależ przecie rząd zobowiązał się następnie usu-  
 nąć ładunki nieszczęsne i nie używać więcej podobnych, co za-  
 gładziło sprawę.

— Z pozorów; nie ufajmy temu. Tajemnicze jakieś oso-  
 bistości zjawiają się nieledwie codziennie po miastach, wsiach  
 i willach, niby żebrząc czy pytając o kogoś, a w rzeczywistości,  
 pewien jestem, porozumiewając się z otaczającymi nas krajo-  
 wcami, z naszą własną służbą może. Ci ludzie powiadam wam,  
 te posły tajemne, to są fakiry!... to są ci wespół święci fanatycy  
 tutejsi, pustelnicy indyjscy, widzę to wypisane na ich wychu-  
 dzonych postami twarzach, na wyschłych od dzikich dobro-  
 wolnych męczeństw ciałach, widzę w płonących religijnym za-  
 pałem żrenicach, zapałem objawiającym się obecnie jako nie-  
 nawiść dla wszystkiego co obce, zapałem którego hasłem jest:  
 śmierć Anglikom!... Wyznaję, że patrząc na to czego inni  
 zdają się nie widzieć... i drżę!

— Ależ to są ostatecznie jedynie tylko domysły i po-  
 dejrzenia pańskie! — rzekła Klara, zauważywszy mimo we-  
 sołego udziału w rozmowie młodszych biesiadników, półgło-  
 sną rozmowę starszych.

— Tak pani sądzisz?... Oby tak było. Ale wypytaj zre-  
 cznie a ostrożnie służących twoich, najzyczliwszych tobie, takie-  
 go Mahorry, lub Solimana może... wypytaj, a dowiesz się, jeżeli  
 Mahorra jest szczerze wiernym, dowiesz się tego, czego ja wła-  
 snemi dopatruję oczami. Niekiedy, widzę że sipah jakis obcy  
 zjawia się pod lada pozorem w miejscowości, w której kwate-  
 ruje wojsko, i oddaje najstarszemu z oficerów krajowców...  
 kwiatek lotosu. Oficer przypatrzwszy się kwiatkowi, w mil-  
 czeniu oddaje go najbliższemu stopniem koledze; ten tak samo  
 podaje go trzeciemu i tak z ręki do ręki prosty ten kwiatek,  
 a wistocie tajemnicze godło przejdzie przez wszystkie ręce, aż  
 do ostatniego sipaha prostego żołnierza w oddziale. Ale nie  
 wiesz pani może czem jest lotos u tutejszych Indyan?... mo-  
 gę zapewnić że jest to kwiat poświęcony bóstwom pomsty...

(d. c. n.)

**TREŚĆ:** Do czytelników (od Redakcyi). — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — List z Warszawy (z drzew.) — Niebieska poń-  
 czoszka, komedyjka w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską. — W Indyach. — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Kraby  
 czyli pająki morskie (z drzew.) — Zawstydzona Zosia (z drzew.) — Różia i Różyczka, wiersz. — Noc świętojańska. — Łami-  
 główniki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

## Kraby czyli pająki morskie.



Dziwaczną powierzchownością odznacza się pewien gatunek krabów, mających na pancerzu plamy i centki, które przedstawiają podobieństwo do rysunku twarzy ludzkiej.

Kierując się instynktem, kraby umieją za-

bezpieczyć swe mieszkanie przed napadem wroga. Pewien gatunek krabów lądowych urządza sobie w piasku kryjówkę, zatykając wejście do niej kleszczami; tym sposobem tworzą się jakby żyjące drzwi, które chwytają i wciągają do środka każdego nieproszonego gościa.

A nietylko umieją one urządzić sobie mieszkanie, ale przywiązują się doń tak jak wiele zwierząt wyższych i rozumniejszych. W Szkocyi gdzie połów krabów jest bardzo rozpowszechniony, rybacy znaczą je kreskami na pancerzach i wysyłają do większych miast. Zdarzyło się raz, że łódź wioząca kraby ze Szkocyi do Londynu rozbiła się, z czego naturalnie biedni więźniowie nieomieszkali skorzystać aby uciec do wody. Ale w kilka dni potem na brzegach Szkocyi złowiono znowu część tych znaczonych krabów, które przebywszy przestrzeń wynoszącą kilkanaście mil angielskich, powróciły do dawnych mieszkań.

Kraby przyczyniają się do oczyszczania wód morskich, pożerając drobne żyjątka żywe lub martwe, ale nawzajem same padają często ofiarą żarłocznych ryb.

## ZAWSTYDZONA ZOSIA.

Była raz jedna bardzo dobra ciocia; opiekowała się trojgiem dzieci, których matka na kilka miesięcy za granicę wyjechała. Ta ciocia nie tylko dni całe spędzała z Pawełkiem, Rózią i Zosią, nietylko chodziła z niemi na spacer, opowiadała im różne ciekawe rzeczy i uczyła ich parę godzin dziennie, ale nawet często w nocy nie dospała, gdy które z dzieci kaszlało trochę lub sen miało niespokojny.



Otóż raz właśnie zdarzyło się, że Pawełek, który zapewne na podwieczorek zjadł za dużo owoców, w nocy

użalał się na boleści i kochana ta cioteczka nie spała wcale, tylko ciepłe mu kładła kompresy.

Nazajutrz Pawełek czuł się lepiej; mógł ubrać się i bawić z siostrami, ale za to ciocia czuła się bardzo zmęczona i poleciwszy dzieciom, żeby się grzecznie i cicho bawiły, położyła się w drugim pokoju.

— Pamiętajcie, dzieci kochane, że ja mam sen lekki i zaraz się budzę, gdyby tu które, broń Boże, upadło lub sprzeczać się zaczęło.

— Śpij spokojnie ciociu! zobaczysz, jak się cicho zachowywać będziemy — zapewniały dzieci i wzięły się do zabawy.

Pawełek układał w jedną całość, rozrzucone po stole, powycinane w różne kształty części Europy. Rózia ubierała swoją lalkę, Zosi zaś dano ulubioną jej książeczkę z dużemi obrazkami, z życia zwierzęcego; dostawała ją rzadko, bo książka to była kosztowna, a Zosia nie bardzo starannie obchodzić się z nią umiała. Ale dziś dzieciom szło głównie o to, żeby małą siostrzyczkę zabawić bez hałasu. Nie na długo się to jednak przydało.

— Róziu — zawołała nagle Zosia, swoim piskliwym głosikiem — czy ta małpka nie spadnie z wysokiego drzewa; patrz! ogonkiem tylko okręciła się wokół gałęzi!

— Cicho, cicho Zosiu! Ciocię obudzisz, później co zechcesz, wytłomaczę ci, ale teraz bądź cicho.

— Ach prawda — szepnęła Zosia i znowu cichutko i spokojnie przewracać kartki zaczęła. Nagle spojrzawszy w okno:

— Patrzcie, jak Burek biegnie do stajni — krzyknęła — jak szczeka na źrebiątko. Ach biedne! Pawełku! on je w nogę ugryzie!

— Ależ Zosiu, siedź cicho — wołała na wpół już z płaczem Rózia. — Niedobra jesteś; ztąd widzę, jak się ciocia na łóżku gwałtownie poruszyła.

I znów przez parę minut trwało milczenie, wtem Zosia spostrzegła, że kawałek łamigłówki, którą Pawełek układał, leży pod stołem. Chcąc go podnieść, odsunęła szybko o d stołu krzesło, na którym siedziała; krzesło przewróciło się z wielkim hałasem, a że przytem mocno Zosię w główkę uderzyło, zaczęła głośno płakać. Ale nie wiele na płacz miała czasu, bo nim zmiarkowała co się dzieje, Pawełek chwycił ją rączką i wyprowadził za drzwi, do małego zamkniętego ogródka. Stało się to tak szybko, że zaledwie Rózia miała czas włożyć jej mały kapelusik na głowę.

Zosia zawstydzona, widząc się samą i słysząc, że drzwi przed nią od pokoju zamknięto, spuściła smutnie główkę i z paluszkami w buzi rozmyślać zaczęła nad tem, jak to brzydko nie umieć ani na chwilę wstrzymać się od hałaśliwej zabawy i jak to przykro pokutować za to w samotności.



## RÓZIA I RÓZYCZKA.

### RÓZIA.

Prześliczna różyczko biała,  
Chętniebym cię posiadała;  
Ale czuję jakąś trwogę,  
Czy cię z krzaka zerwać mogę,  
Czy twój kolec nie ukole?  
Więc cię spytać o to wolę...

### RÓZYCZKA.

Tego ja nie mogę wiedzieć;  
Jednak muszę ci powiedzieć.  
Dziewczyneczko moja droga,  
Że wszystkim zda się przestroga,  
Którą anioł daje z nieba:  
Ostrożność zachować trzeba!...

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

— Stasiu, nie śpisz?

— Nie, albo co? Czy już czas?

— Już wpół do dwunastej wybiło w pokoju tatusia.

— Oo, to wstawajmy, trzeba się nawet pośpieszyć,  
żeby nie było zapóźno...

Te zdania wymówione szeptem zamieniono w ciemnym pokoiku chłopców, małym pokoiku wychodzącym na ogród, przez którego niedomknięte okno wpadało wilgotne, pachnące powietrze nocy czerwcowej i zaglądał ciekawy księżyc.

Potem głosy ucichły, natomiast dał się słyszeć szmer i szelest jaki słychać przy wstawaniu i ubieraniu, pomimo usiłowania sprawiać się jak można najciszej, aż wreszcie zabrzmiał znów szept jeden.

— Ciekawym czy też Hela przyjdzie?

— Ee, może zaśni i zapomni... — odparł drugi.

— Wątpię, choć coprawda lepiejby było, będzie nam tylko przeszkadzała...

— No tak, ale przynajmniej jak ją zabierzemy to potem nie wypaple i nikt się o niczem nie dowie...

Znów nastąpiła cisza przerywana tylko szelestem wciąganego ubrania, kiedy cichutko drzwi poruszyły się w głębi, i do pokoju, ostrożnie, wsunęła się mała postać.

— Aa, Hela — odezwały się oba szepty — jesteś? Nikt cię nie widział!

— Nikt a nikt, panna Berta śpi, i sapie jak miech kowalski, a przez pokój mamy przesłam boso. — Nikt nie słyszał. Czy już idziemy?...

— Zaraz, zaraz, jeszcze tylko rewolwer znajdę... Aa, już go mam. No, ruszajmy, tylko baczność! Ja idę naprzód, za mną, i jaknajciszej!...

Niedomknięte okno rozтворzyło się całkiem i przy świetle księżycy widać było trzy cienie, które po niskim murze zsunęły się na drugą stronę, do ogrodu. Skoro stanęły obok siebie na jasnej ścieżce, można już było rozpoznać w nich z łatwością dwóch chłopców i dziewczyn-

kę. Postali chwilę, szepcząc coś do siebie, poczem na paluszkach ruszyli ku alei i za chwilę znikli w głębokich ciemnościach.

Te trzy cienie byli to Staś, Zygmus i Helenka, którzy w wigilią św. Jana szli do lasu szukać kwiatu paproci, owego cudownego kwiatu, który, jak opiewają dawne polskie baśni, prócz niezliczonych skarbów, ma przynosić ludziom długie życie, szczęście i bogactwo... Ach Boże! Wiele oni nocy już przemarzyli o tym kwiecie, wiele planów naukładali, jak cieszyli się samą myślą wynalezienia i osiągnięcia wraz z tem małym świetlanem ziarenkiem, wszystkich swych pragnień!... Staś i Zygmus, dwaj stryjeczni bracia, którzy będąc kolegami najczęściej wszystkie chwile wolne od nauk szkolnych razem spędzali, pielęgnowali bowiem jedną upartą myśl w swych dwunastoletnich główkach drugoklasistów. Myśl ta, od roku była powodem że w dzienniczkach były same piątki, a na półkach między szkolnymi książkami plątało się mnóstwo opisów, podróży po Ameryce i jej cudach. Ameryka była ich marzeniem, w planach zatem układanych na przyszłość, było jak najprędzej kończyć szkoły, poczem obaj mieli wyruszyć do tej krajiny złota szukać tam bogactwa i wrażeń w roli europejskich squarterów \*).

— Ach! co to za szczęście — opowiadali sobie nieraz, marząc wspólnie o tych rozkosznych planach, takie plantacye, naprzykład w Luizjanie! Posiadać tam całe obszary ziemi, w nich lasy dziewicze pełne dzikich zwierząt, owadów, i podzwrotnikowych zarośli, wody, stepy... Co za szczęście! Tam od świtu będziemy już na koniach objeżdżając swoje posiadłości... A obławy i polowania na węże i drapieżne zwierzęta! a błędzenie wśród ljanów dziewiczego lasu! a pożar stepu lub wylew rzeki, jakież to cudne a zarazem pełne grozy widoki!... O! tam to życie, przygody, szczęście!...

I myślą przebiegali te wszystkie opisy, które sprostawały zawrót w ich młodych główkach a jakich nie brak w Robinsonie meksykańskim, Dzieciach kapitana Granta, i całym zbiorku ich małej „biblioteczki dla młodocianego wieku” którą co rok z własnych oszczędności wzbogacali kilkoma tomami ulubionych podróży.

Ale pomimo to, na podróż do Ameryki i zakupienie tam plantacyi potrzeba pieniędzy, i właśnie wiedząc o tem Staś i Zygmus, łamali sobie głowy zkądby ich tu wydestać. Rodzice, nie byli w stanie zaopatrzyć ich na drogę takim majątkiem, nie będąc dość bogatymi, zresztą niema nic gorszego jak liczyć na czyjąś pomoc, sami zapracować nie mogli tyle w tak krótkim czasie. Co tu robić? co robić?... powtarzali z rozpaczą.

Aż jednemu pewnego razu przyszła myśl, świetna, niezrównana.

— A noc świętojańska, a kwiat paproci! — wykrzyknął.

Prawda! że też dotąd nie pomyśleli o tem! Wprawdzie kwiatu paproci dostać niełatwo. Rośnie on w najgłębszym lesie wśród największych zarośli i idąc go szukać trzeba być bardzo odważnym, bo przez drogę „nieczysta siła” straszy okropnie, jak mówi stary owczarz,

\*) Squarter, osadnik,

który się zna na tem dobrze i nieraz będąc młodym chodził już na paproć. Ale cóż to wszystko znaczy wobec tych skarbów które tam można znaleźć!... I odtąd z niespokojnością oczekiwali nadejścia wakacyi, czerwca i wigilii św. Jana, by coprędzej wyruszyć na tę bajeczną wyprawę po szczęście i złoto, które podobnie jak plantacye w Luizjanie zaciekawiała ich swoją tajemniczością, wabiła obietnicą i wystawiała na pierwszą próbę ich męstwo tak niezbędne w dalekich podróżach i przy zajęciu osadnika.

Długo czekali, aż wreszcie nadszedł ów dzień upragniony.

Trzeba było wielkiej ostrożności żeby się nie wydać z sekretu, to też nawet z obawy żeby czasem nie zdradziła ich planów, obiecali zabrać ze sobą dziesięcioletnią siostrzyczkę Stasia, Helę, która również niezmiernie była ciekawą cudownego kwiatu paproci.

Okoliczności układały się jakoś przyjaźnie. Ojciec Stasia wyjechał za interesami na parę dni do miasta, a z mamą i nauczycielką panną Bertą, nie było oczywiście nic trudnego, skoro nawet Hela załatwiła się tak zręcznie, że niepostrzeżona dostała się do pokoju chłopców. Wszystko zdawało się iść jak z płatka. Staś z łatwością wynalazł w pokoju tatusia jego rewolwer, który na wszelki wypadek zabrali ze sobą, szczęśliwie wydostali się przez okno do ogrodu i z bijącym sercem znikli w lipowej alei.

Droga do lasu była niedługa i prowadziła zrazu pośród krzewów ogrodu, potem gościńcem wśród zboża aż nakoniec niķła krętą ścieżyną między dębami, brzozami i choiną starą dąbrowy.

Noc była ciepła, wonna. Jaśminy i akacye w ogrodzie zlewające się z zapachem macierzanki i skoszonej świeżo trawy na łąkach, napełniały spokojne powietrze duszącym mdłym zapachem, i w tej uroczystej ciszy czerwcowej nocy słychać było prócz skrzypienia kroków na żwirowej uliczce, przyspieszone niespokojne bicie trzech serduszek. Ukryte w krzakach bzowych, śpiewały słowiki, zielone żabki skrzeczały zawzięcie z pomocą krzykliwych świerszczów w trawie, a na horyzoncie rozdierała od czasu do czasu ciemno-szafirowe niebo jasność złocistej błyskawicy.

Nasza trójka posuwała się szybko naprzód. Znaniemi ścieżkami skracali sobie drogę przez ogród i niedługo stanęli przy furtce, była zamknięta, przeszli więc przez płot i znaleźli się na drodze.

Dotychczas nic do siebie nie powiedzieli. Jakaś niewytłómaczona trwoga ich przejmowała i teraz dopiero na szerokim, jasnym od blasku księżycy gościńcu, Helenka tuląc się do Stasia szepnęła:

— Stasiu, jak tu strasznie i pustol...

— Otóż macie włóczyć się z dziewczętami — zawołał Zygmusł niecierpliwie, choć i jemu na widok tej pustej białej drogi zrobiło się jakoś przykro, — przeczuwaliśmy ze Stasiem że się będziesz bała. Lepiejby było gdybyś zamiast chodzić z nami, siedziała w domu...

— O nie, nie — przerwała dziewczynka, w obawie by jej jeszcze nie zostawiono. Już się nic nie boję... chodźmy.

Ruszyli. Droga wila się pomiędzy łanami zboża po których lekki wiatr przechodził falą szeleszczącą, z odalanej wsi w dolinie dochodziło psów szczekanie, w powietrzu robiło się dziwnie ponuro, a niebo na zachodzie przybierało złowrogą stalową barwę.

(d. c. n.)

### Zagadka rebusowa.

Po jakiej literze, litera  
Oslodę w strapieniu zawiera?

### Łamigłówa geograficzna.

ułożyła Polna róża dla Trusi.

Zastąpić kropki literami aby czytane od góry do dołu utworzyły: 1. Nazwa kraju. 2. Miasto we Włoszech 3. i 4. Mniejsza i większa rzeka u nas. 5. Państwo w Azji. Stolica kraju w Europie.

. . . . .  
. . . . .  
T R U S I A  
. . . . .  
. . . . .

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

#### Szarady:

N e a p o l .

#### Łamigłówa:

P A R A  
A D A M  
R A C A  
A M A N

### Skrzynka do listów.

Droga **Srebrna Muszko**, mogliśmy się pomylić w sądzie o twoim liście; musiały być wszakże jakieś do tego powody. Miła nam jest i radość twoja i obietnica korespondowania z nami. Wypracowanie nie było złe, ale nie dopełniłaś warunków konkursu, nie wymieniwszy lat, i dla tego uczyniliśmy tylko wzmiankę, że wypracowanie nadeszło.

Za taką samą obietnicę dziękujemy **Balladynie**. Bardzo to dobrze, że „nikt nie chciał pomóc” i w podobnych razach zawsze tak być powinno. Nie żądamy i nie spodziewamy się arcydzieł; najmiłsza jest nam zawsze rzecz samoistnie wypracowana.

9-cio letni **Biały Królik** zamiast jak to czynią podobne mu stworzonka, ogryzać młode pędy, dobrze rozwiązał nitczkę Aryadny.

Droga **Wiewióreczko inflantska** jaknajchętniej zawsze odpowiadamy, ale nie wszystko powiedzieć mogą. Redakcyja ma swoje plany, których się trzyma, zarówno jak i *kolei*. Temu przypisać zapewne należy niewydrukowanie liściku do G. z P. Szkoda, żeś

się spóźniła z odpowiedzią na zadanie konkursowe! nigdy chyba nie nadeszło ich tyle...

Odpowiadam, odpowiadam, **Psołtenco** i zawsze bardzo jestem rada, gdy się od której z was, siostrzyczki dowiem, że już mnie pokochała. Dorobek to mój, którym się pysznię i cieszę.

**Gwiazdko Jerozolimska** tak rzadko odzywasz się teraz, a taką mi zawsze przyjemność sprawiają twoje listy myśli i uczucia pełne. Projekt twój i mnie się podoba; pomówię z redakcją, ale... nie wiem!

**Różowa Jutrzenko** o konkursie dowiesz się od Redakcyi, której zamiarów uprzedzać mi nie przystoi. Zresztą, o cóż ci chodzi: masz już ogłoszony konkurs nowy! Możesz zostać laureatką.

Droga **Stokrotko z nad Pilicy**, przysłany mi przez ciebie opis złym nie jest, ale „dobra pani” słusznie powiada, że pierwiej trzeba dużo pisać dla siebie nim się zacznie pisać dla innych.

**Wiedenko z żywoptotu**, przeczytaj to, co piszę do Różowej Jutrzenki. Dla czegożby konkurs nie miał być „prawdziwym”? Wszystkie przecie lubimy kwiaty, każda może więc opisać swój ulubiony.

**Cicha Wodo** jakże jestem szczęśliwą, że list mój, zachęcający do składek na kolonje letnie, wpłynął na twoją decyzję. Ale nie tyle to list mój sprawił, ile własne twoje poczciwe serduszko przemówiło za biedną dziatwą, w imieniu której dziękuję.

W swoim zaś własnem dziękuję tobie, **Topolko z nad Kode-my** za pochwały, któremi może zbyt hojnie dla mnie szafujesz. Nie położyłam jeszcze zasług; całą moją zasługą jest to, że was kocham gorąco!

Dla tego też, **Niezapominajko z nad Warty** „nie nudzą” mnie listy wasze *nigdy!* Po co ci moja fotografia, lub wiadomość, jak mi na imię, skoro i tak wiesz, że przyjaciółkę masz we mnie? Mamy nawet wspólne upodobania i zabawy, bo ja także hodować i zasuszać kwiaty lubię. Spróbuj drugiego sposobu zasuszania, o którym się dowiesz z naszego Pisemka. Dla czego ci usechł chleb świętojański? widziałam trzyletni ślicznie rosnący, a „klimat nasz” nic temu winien, że kanarki lubią zawsze skubać każdą zieleń.

Czyniąc zadość życzeniu **Jutrzenki**, pierwszej, która ten pseudonym przybrała, proszę wszystkie jej imienniczki, aby dla uniknienia pomyłek zechciały dodać do „Jutrzenki” jakieś określenie. **Różową** już mamy. Przypominam też tym, które jeszcze nie nadesłały nazwisk swoich obok pseudonimów, że je o to usilnie prosimy, dla tego właśnie by wszelkiego zamieszania uniknąć.

**Biedna Mgłto**, ile też przeszłaś zmartwienia! dziwiłam się że od tak dawna listu od ciebie niebyło. **Muszkę brzęcząca** pozdrawiam serdecznie i zadość jej życzeniu uczynię. Czy często zdarza jej się brzęczeć nad owym pysznym orzechem włoskim, co w ogrodzie apteki rośnie?

**Niezajoma**, miło mi zabrać z tobą znajomość; tem miliej, że choć niedługo zostaniesz staruszką, nie chorujesz jednak na powagę. Od razu dobrej o tobie nabrałam opinii, wiedząc, że się powstrzymałaś od wyjawienia pseudonimu. Przykro mi było dowiedzieć się co złego, o której z siostrzyczek moich.

Bardzo to dobrze, żeś się poprawiła **Wesoła Krakowianko**. Polecenie twoje, by „dobrą panią ucałować”, spełnię z jak największą przyjemnością.

**Polce z nad Szczary** uściskiem płacę za uścisk, z wami zaś drogie, **Brzózko** i **Śmieszko**, podzielałam uroczystą radość, jakiej pełne musiały być serce wasze. Wielkie to święto życia!

Moja droga **Maryno z pod Garwolina** tybys się widzę „babuńcią” powinna nazywać; list twój wielką mi sprawił przyjemność, a opisałaś mi siebie tak, że cię prawie mam przed oczyma. Możesz wątpić o tem, że kochającą i wierną siostrę znajdziesz we mnie? Nie wiem czy nią jestem, lecz wiem, że szczerze nią być pragnie dla was wszystkich drogie czytelniczki **Wieczorów**, sercem wam oddana

*Goląbka.*

Kochany Sobolu **Irkutski!** List twój sprawił mi wielką przyjemność. Jeżeli chcesz będziemy często pisywać do siebie. Ja najwięcej lubię słuchać czytania i opowiadania; lubię także jeździć konno. Donieś ile masz lat, gdzie się uczysz, jak ci na imię i czy masz rodzeństwo? Proszę cię odpowiedz mi jaknajrychlej, bo chciałbym cię poznać bliżej. Twój *Skanderberg.*

Kochana **Błyskawico!** Dziękuję ci nawzajem za list i łami-główkę, donoszę zarazem, że mam lat 14, na imię mi **Wacława**, mieszkam w **Warcie**, mam tylko starszą siostrę, uczę się w domu. Donieś mi gdzie się uczysz i mieszkasz? **Topolka z nad Kode-my** czemu do mnie nie pisze? miljon całusów od *Niezapominajki z nad Warty.*

Kochana **Myszko biała!** Nazywam się **Dziunia** mieszkam nad **Zbruczem**, mam lat dziewięć i starszą o cztery lata siostrę **Złotą Przędę**. Pseudonym mój, obrałam sobie dla tego, że skrzeczeć umiem jak żaba. Całuję cię *Żabka z Podola.*

Kochana **Jaskółko z nad Sekwany!** Chciałabym do ciebie pisywać przez **Wieczory**. Czy przystajesz na to? odpisz *Leśnej Konwalii.*

Drogie: **Mgłto** i **leśna Konwalijo!** Zdaje mi się **Mgłto**, że dawniej miałaś pseudonym **Czarniej Perełki?** Napisz proszę cię **leśna Konwaljo**, jak się nazywasz i wiele masz lat? Czy ci się podobał jak mnie „**Wieczorek w Zalesiu?**” Całuję was serdecznie, wasza *Aksamitka.*

Droga **Łezko z nad Łydyń!** Mam lat 12-cie, nazywam się **Marya** i mieszkam o 3 mile od **Warszawy**, uczę się w domu razem z siostrą. A ty gdzie mieszkasz i jak się nazywasz? Odpisz proszę cię, kochającą *Ułance.*

Sympatyczna **Iskierko!** Rada jestem bardzo z twego liściku, gdyż znam cię już z opowiadania p. **Anny**. Przesyłam ci wraz z **Córą Mazurów** serdeczne uściśnienia. Nie omieszka do **Kłoska** się odezwać, tymczasem zaś prosi, aby go ucałować. **P. Annę** pozdrów od nas serdecznie. *Rosiczka z nad Rowu.*

Drogie korespondentki! Już blisko rok jak pisuję do **Wieczorów**, a do mnie nikt nie pisał. Mam tyle lat co **wesoła Krakowianka**, której odezwa do was otrzymała pożądaną skutek, na imię mi także **Anielcia** i mam też 4 starsze siostrzyczki **M. J. Z. W.** i tyluż braciszków. Mieszkam we wsi, którą dawniej nawiedzali **Tatarzy** i gdzie często znajduje się broń starodawna lub kości ludzkie. Niedawno odkopali całego kościotrupa z piką żelazną. Całuję was wszystkie z kolei, *Wierzba płacząca ze Żmudzi.*

Kochana **Biedronko Warszawska!** Znam cię, nazywasz się **Zosia**, nazwisko twoje zaczyna się od litery **L.**, masz jedną siostrę, a dwóch braci. Zgadnij, kto jestem. *Oleńka z pod Ojcowa.*

Kochana **Sosno poleska!** Pierwsza odzywam się do ciebie. Wiem że mieszkasz na **Polesiu** w mieście **O.** przy babci i ciociach; uczysz się z **Piszczalką** z nad **Ussy**, której pseudonym pochodzi od cieniokiego głosiku. Nazywasz się **Ew. O.**, a **Piszczalka Klar. B.** Nieprawdaż? Ściskam cię serdecznie wraz z **Piszczalką** i proszę odpisz *Komecie.*

Kochana **Mimozo!** Dziękuję ci za objaśnienie kto jest **Radomianka** i **Gloksynia**, ale kto ty jesteś? **Mamusia** myśli, że twoje nazwisko zaczyna się od litery **S.** mieszkasz w **N.** Czy zgadłyśmy? Tobie kochana **Radomianko** i **Gloksynio** załączam uściśnienia, wiem coś o was np. o zniknięciu gruszek z **koszyczka...** A tobie kochana **Malinko z nad Poru** dziękuję za pamięć bardzo dla mnie miłą i ściskam cię serdecznie. *Mgła.*

## NA KOLONJE LETNIE ZŁOZYLI:

Dwie siostry **Sikorki** rs. 1. — **Jaskółka z nad Dunaju** 2 mark. pr. — **Różowa Jutrzenka** kop. 25. — **Stefanja D.** kop. 50. — **Maryna z pod Garwolina** kop. 50. — **Cicha Woda** rs. 1. — **Marya Szcz.** 1 mark. pr. — **Biruta** rs. 1. — **Prawda** kop. 50.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



**Anastazyja Dzieduszycka.**

Imię téj, która po życiu pełnem trosk położyła się wreszcie na spoczynek wiekuisty, w mogile otoczonej czią mogi-  
łom zasłużonych należną, mało znanem jest zapewne dzisiaj-  
szym czytelnikom *Wieczorów*. Od kilku już lat chorobą zło-  
żona św. p. Anastazyja Dzieduszycka nie brała pióra do ręki,  
ale w pierwszych latach istnienia naszego *Pisemka* zasilala je

utworami swemi, przejętemi zawsze szczerą miłością dla mło-  
dzieży, którą żywym, barwnym opowiadaniem pouczającą tre-  
ści zająć i zabawić umiała. Starsze pokolenie czytelników  
naszych przypomina sobie zapewne *Kilka Obrazów z podróży*  
po Egipcie, *Złote igły* powieść wschodnia, drobniejsze powia-  
stki jak „*Leos*” „*Mały a pożyteczny*” i t. p. przedewszystkiem  
zaś „*Czytania wieczorne*” (r. 1880-81) prawdziwy wybór poezyi,  
w którym teoria poparta umiejętnie dobranymi wzorami  
tak jest przystępnie objaśniona, że nawet młodsze dzieci  
z łatwością i korzyścią czytać je mogą. Z innych jej prac,  
u p. M. Orgelbranda wyszłych, ogólnie znane i zawsze czyty-  
wane chętnie: „*Szary dom*”, powieść tłóm. z ang. „*Olimp*”  
z niem. przerobiona mitologia dla młodego wieku, oraz z dzie-  
dziny przyrody „*Życiorysy węgla, Ziarnka soli, Kropli wody,*  
*Ułamka zardzewiałego żelaza, i Bryłki krzemienia*”. Z ory-  
ginalnych jej prac: „*Jak sobie dziatwa radziła*” jest nieporó-  
wnaną nauką praktyczności i szczerze radzimy to przeczytać  
tym, co w łatwym nawet położeniu nie zawsze radzić sobie  
umieją. Wszystko, co wyszło z pod pióra ś. p. Dzieduszyckiej  
dowodzi, że była to osoba nietylko wysoko wykształcona, ale  
jeszcze macierzyńskiem prawdziwie sercem kochająca młode  
to pokolenie, któremu tyle prac poświęciła i pragnąca wpoić  
w nie te wysokie i szlachetne zasady, jakim w ciągu całego  
życia hołdowała. Życie to nie lekkim było, ale w dźwiganiu  
jego ciężaru dopomogła św. p. Anastazyi gorąca pobożność  
i równie też gorące pragnienie pożytecznej pracy dla społe-  
czeństwa. Do tego obowiązku od dziecka się poczuwała.

Dotknięta nieuleczalną chorobą skutkiem przebytych  
cierpień, dostała się pod opiekę Sióstr Miłosierdzia w Pozna-  
niu, w których szpitalu zakończyła życie w pierwszych dniach

maja roku bieżącego. Cześć ogólna, serdeczny żal podległych jej kierunkowi wychowanek otacza jej mogiłę, nad którą czuwa ten Anioł, co życie zmordowanych wędrowców w wyłącznej ma opiece.

## POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dokończenie).

— I cóż zamierzaliście począć z sobą? — pytał syn zalamując ręce.

— A cóż... wiedzą ludzie że nie było w tem winy naszej, więc siadłszy na wóz pojedziemy jutro do miasta, i tam w najtańszym sklepiku zacznie się na nowo dawne rzemiosło tak, jak gdybyśmy dopiero co się pobrali i zaczęli pracować i dorabiać się.

— Ależ ja wziąłem świeżo dwanaście tysięcy reńskich za trzecie wydanie moich poezyi u Gustawa Emicha!... jesteście bogaci znowu! Zapłaćcie długi i pozostaniecie w starym ulubionym domu!

— Nie; dom tyle jest wart ile warci ludzie w nim i naokoło niego: odkąd dawni znajomi opuścili mię dla małpy, papugi, katarynki, pudła i pary Niemców w dodatku, obrzydł mi dom i puszta obrzydła. Zresztą, jakbyś tu za nas zapłacił to sam nie siedziałbyś tu przecież z nami lecz tam znowu w mieście będę cierpiał, ciężko pracując, gdy dziennikarzem jesteś. Otóż dajmy pokój starłej czardzie; niechaj cheiwy Niemiec nią się ucieszy, bo on to zapewne utrzyma się przy licytacji, niech się tu dzieje co chce. Matka Janosowa mądra doświadczona kobieta, zostanie tu przez jutro, my i patrzeć na to co dziać się będzie nie chcemy, niebędne rzeczy nasze już spakowane, skoro świt wsiadamy na wóz i jedziemy do miasta, jak ci to już powiedziałem.

— Ha, jeżeli tak, jeżeli dobrowolnie nie chcecie w starłej czardzie pozostać, to nie jedźcie przynajmniej do tój miejsciny, lecz do mnie do Pesztu, gdzie mam utrzymanie. Żyjmy przynajmniej w mieście razem, jeżeli w puszczy razem żyć już nie możemy.

Stary Petöfi spojrział na żonę i machnął ręką z uśmiechem:

— Otóżes matce dogodził!... Już choëbym ja teraz chciał inaczej, to ona nie rozstanie się z tobą póki życia.

Jakby na potwierdzenie tych słów, matka pochwyciła jedynaka w ramiona, nie wiadomo który raz od godziny.

— Tak nam pilno rozpocząć to nowe życie, w którem nie będziemy musieli obsługiwać poczciwych naszych szegeny legeny, że jak widzisz jesteśmy już w podróżnym ubraniu. Mielismy jechać równo ze świtem, nie patrząc na to jak tu obcy ludzie gospodarować będą, ale teraz wstrzymamy się dopóki będzie można, a ty pójdź połóż się i prześpij po śpiesznej i długiej podróży, oto posłanie gotowe.

— Ani myślę matusiu, anibym nawet mógł zasnąć z radości że was w zdrowiu oglądam i że się tak rzeczy ułożyły iż opuszczenie starłej czardy nie jest dla was ciężką boleścią, jak się tego najmocniej lękałem. O świecie wedle waszego postanowienia siadziemy razem na wóz, mój wózek z pakunkami będzie za nami szedł, i... żegnaj stara czardo kochana kiedy ludzkie dokuczanie potrafiło nawet od ciebie serca twych mieszkańców odwrócić!

Tak postanowiwszy, zaczęto natychmiast ostatnie robić przygotowania; wóz był już upakowany prawie, Matka kładła zapasy w koszyki tak ochoczo, jak chyba nigdy jeszcze nie zdarzyło się to gospodyni, mającej dom własny zabierany przez dłużników opuszczać.

Wesoło, z lekkim sercem, zupełnie jakby dziewięcioletni chłopczyzna nosił Szandor do wózka pakunki i koszyki podawane mu przez matkę, słowo w słowo jak wówczas, gdy oboje ze służbą na jarmarki i do kościoła jeździli, nim jeszcze z ojcem do lasu Bakony poraz pierwszy pojechał. Nagle cień ludzkiej postaci przewinał się wśród pierzających nocnych ciemności koło węgła:

— Kto tam? — wesoło spytał Szandor trochę zdziwiony i rad owszem ujrzeć kogoś znajomego, wiedząc że w czardzie prócz Janosowej matki niema nikogo więcej.

— To ja!... ale wy mię pewno nie poznacie, młody panie?... — odpowiedział cień przystępując bliżej; lecz „młody pan” poznał od razu po głosie.

— O!... stary ojciec artysta! Witaj! A zkadże się tu wziąłeś? I sam jeden? A jarmark jutrzejszy? Przecież się nie obejdzie bez ciebie? — żartował serdecznie, bo tak był usposobiony że chciałby cały świat do piersi przycisnąć.

— Oczywiście że jarmark tak samo jak wesele na nic bezemnie. To też pojedę tam, ale na koniu, wystrojony jak wielki pan z masztalerzem tylko, nie zaś z całą bandą, w której między nami mówią, dużo jest szubrawstwa. Zeby się zatem wypaść wprzódby należycie, wstąpiłem po drodze do pańskiej gospody: może pan nie wiesz że poczciwa matka pańska, od roku już mając próżną komorę na strychu, pozwala nam w niej nocować i odpoczywać a wysypiać się ile chcemy?

— Ze poczciwa, o tem dobrze wiedziałem, a cieszy mię że i wy wiecie, gdy wielu dawnych znajomych podobno o tem zapomniało. Spijcie zatem spokojnie staruszku i bywajcie zdrowi, my oto zaraz wyjeżdżamy, bo już się rozwidnia.

— Szczęśliwej podróży z serca życzę! — gorąco jakoś rzekł starzec, i znikł za domem, obchodząc go już od godziny w ten sposób, jakby strażnik jaki. Zachodząc na przeciwną stronę domu zkad wózków stojących u drzwi głównych wcale widać nie było, zdawało mu się że postać ludzka niewyraźna jak widziadło, wleciała na strych po drabinie, którą dla własnej wygody przystawili tam cyganie. Wszedł więc także do tój cygańskiej sypialni, obejrzał starannie wszystkie kąty, groźnym głosem rozkazując aby Marcha stanęła przed nim i narzeczcie powiedział sobie, że stare jego oczy mylić się mogą i zeszedł na dół dalej stróżować. Przez cały ten czas Marcha, gdyż ona to była w istocie, siedziała nieruchomo skulona za kominem na dachu i dopiero gdy on zeszedł na dół, ona wsunęła się ostróżnie na strych, powtarzając sobie z wielką skruchą, jakby na obronę przeciw rozkazom ojca bandy, które dobrze słyszała:

— Święte są rozkazy twoje stary ojczy, ale są jeszcze potężniejsi od ciebie, których rozkazów słuchać muszę: duchy!...

Po niejakięj chwili Cyganka schodzić zaczęła po drabinie i już stała na ostatnim stopniu, gdy pochwyciono ją za kark i głos zdyszany zasyczał jej do ucha:

— Nie trzeba już... nie trzeba! Oddawaj moje pieniądze! — Królowna indyjska szarpnęła się gwałtownie, i w mgnieniu oka zostawiając purpurę swą w ręku napastnika, skoczyła napowrót w górę, jak kot; ale Niemiec nie dał za wygranę i pogonił za nią jak akrobata, jakim podobno był istotnie, nim karczmarzem został, próbując z bogacenia się na różne sposoby. Oboje znikli na strychu, gdzie rozpoczęła się między nimi zajadła gonitwa. Karczmarz pewien był że Cyganka ma pieniądze przy sobie i gonił jakby o życie chodziło, ale nie znał zakątów poddasza, które roztwarze na cztery wiatry odkąd pustką stało, znane znów było doskonale Cygance, to też po chwili zapadł nogą w jakiś otwór w deskach, czy też w samotrzask stary na wilki, porzucony tutaj, i szamocząc się rozpaczliwie z tym niespodzianym wrogiem, tracił prawie przytomność, i nie słyszał nawet głośnych jakby z palnej broni wystrzałów z biczów, jakie nagle huknęły przed czardą.

Cały zastęp czikosów świetnie strojnych jak na wesele, hasał na dzikich źrebkach około wozów u wejścia gospody, pa-

lą z biczów na pożegnanie staremu gospodarzowi, któremu oni jedni dochowali wierną przyjaźni. Słońce wschodziło w całej potędze swego majestatu.

— Spodziewałem się tego! — zawołał tryumfująco stary Petöfi, stając w progu z ogromnym koszem pełnym butelek — Wypijemy strzeziennego! — i stawiając kosz roztworzył ramiona czikosom:

— Szandor! Szandor pieśniarz nasz! — wołali tymczasem w uniesieniu radości dzielni pasterze, bo zjawienie się tu Szandora było dla nich niespodzianką. On zaś leżał już w ramionach zacnego Pala. Jednocześnie wózki i jeźdźcy ukazywali się ze wszystkich stron, bo wszyscy zarówno jak czikosi wiedzieli że Petöfiowie wyjeżdżają o świcie, i serca dobre choć lekkomyślne, odezwały się w chwili rozstania szczerą sympatją, dla starego poczciwego gospodarza. Jadący na jarmark stawali także żegnając Petöfich: wszyscy, nacieszywszy się małpą, papugą i Niemcami, pomstowali teraz na nich, jako na główną złą doli Petöfich przyczynę. Jak gospoda gospodą nie było w niej jeszcze tak liczno grona serdecznych przyjaciół, jakie teraz otaczało wozy stojące już na gościńcu, zaprzężone dwoma parskającymi czwórkami. Nigdy nie ścisłano się serdeczniej, nie strzelano z biczów głośniej, nie wykrzykiwano z większym zapałem „Eljen” na cześć Petöfich.

Nagle przeraźliwy krzyk rozpaczy przebił się przez tę wrzawę rozgłośną: wszystkie oczy zwróciły się tam z kąd pochodził, i tłum osłupiał, ujrawszy że cały dach starej gospody stoi w płomieniach, a wśród nich wije się człowiek jakby przyrosły do zgłiszczów, krzycząc ratunku. Mógł przecież zeskoczyć z niezbyt wysokiego dachu: dla czegoż nie skoczył? A sam ogień z kąd się tam wziął?

Zdziwienie ogólne było tak wielkie że w pierwszej chwili cały tłum oniemiał, skamieniał, a wśród tej ciszy i nieruchomości, mała czarna postać przedzierając się wśród ludzi obojętnie, ale gwałtem jak fatum, stanęła przed siedzącą już na wozie rodziną Petöfich i nieprzytomnie wpatrywała się w nich oczyma. Musiała być w jej wzroku siła jakaś, bo po niejakięj chwili oczy Szandora jak pociągnięte czarem spotkały się z jej oczami i zadrżał:

— Ach, ach, płomienie, krew!... pomsta!... — szepnął sam do siebie przecierając oczy i przypominając groźby Cyganki.

— Tak! płomienie! płomienie! krew!... — powtórzyła Cyganka zwolna jak senna, nieprzytomna widocznie — duchy mszczą krew wielkiego Ramy znieważoną!... Jakimże sposobem wy... wy troje którzy powinniście ginąć w tej chwili w płomieniach tam!... jesteście żywi tutaj?...

Biedna waryatka od tygodnia nieobecna w okolicy, gdyż poszła z listem do Szandora, wróciwszy mimo szalonego pośpiechu tegoż wieczora dopiero, nie wiedziała nic wcale o ogólnym zwrocie sąsiedzkiej sympatii ku Petöfim, skutkiem czego był zjazd dzisiejszy przed czardą, o wschodzie słońca, i podpalenia śpiących jak sądziła w czardzie; odurzona nie tylko niespodzianym zjazdem, ale może jeszcze i tajemniczym działaniem indyjskiej jakiejś trucizny, jak to myślał stary artysta, nie pojmowała zupełnie co się stało.

— Ach!... to pewno nieszczęsny stary cygan ojciec bandy, artysta, bo on spał dzisiaj na strychu! — krzyknęła nagle Petöfiowa, patrząc wciąż na nieszczęśliwego na dachu, za ledwo zdoławszy przemówić z przerażenia. Jej okrzyk jakby odczarował zdumienie ogólne, wszyscy rzucili się na ratunek. Ale przed wszystkimi, jak nietoperz unosząc się niby na wiatrem rozrzuconych łachmanach, leciała Marcha:

— Ojciec! stary nasz ojciec! — przeraźliwie wołała leżąca. — Ojciec czekaj! To ja! ja podpaliłam Petöfich, ale ciebie wyratuję! Czekaj!...

Nie czekał jednak: w chwili gdy inni dobiegali za ledwie do płonącej gospody, Cyganka szalona wdarła się już po zgłiszczach aż do wijącego się w płomieniach człowieka i wraz z nim stanawszy na przepalonych krokwiach, runęła z traskiem w przepaść ognistą.

Nieprzewidziany ten wypadek powstrzymał wyjazd Petöfich. W chwilę później stali nad zwłokami Niemca karczmarza i Marchy, napróżno usiłując ich ratować. Z kąd tu Niemiec? Gdzie stary Cygan?

— Matko! — szepnął młody poeta, ściskając rękę Petöfiowej — mnie się zdaje że ta kobieta mszcząca się na nas za najpierwszą zniewagę od ojca mego doznaną, jak mówiła, była jakby moim złym duchem i walczyła z tobą dobrym duchem moim o błogosławieństwo ojcowskie dla mnie, bez którego niema dobrej doli... tyś zwyciężyła: pod wpływem błogosławieństwa nie podlegam więcej jej potędze i przeto z rozpaczy przegrawszy sprawę ona przepadła...

— Ech, co ci się marzy, pieśniarzu synku mój — odparła żywo Petöfiowa — oto nieszczęście padło na tych ludzi, my nie im nie możemy dopomóc, i nic sobie nie mamy do wyrzucenia, zatem odjeżdżajmy ztąd copędzej i nie myśl o tem więcej: Żegnajcie raz ostatni, przyjaciele!

— Żegnajcie! — odpowiedział głos znajomy wśród wielu znajomych.

— Ach! to ty stary artysto cygański! ty żyjesz! Dziękuję niebu, z lżejszym sercem opuścimy przeto stare domostwo.

— Tak to ja, tylko Marcha, Marcha nieszczęsna padła, ofiarą na ołtarzu pychy, starożytnego wroga ludzkości... — szepnął.

\* \* \*

W kilka dni potem rodzice słynnego poety osiedlili się z nim razem w Peszcie.

Pod wpływem błogosławieństwa pierzchły wszystkie mary jego zbyt bujnej wyobraźni z lat pierwszjej młodości.

Wtedy to odwiedził go raz w domu stary żołnierz:

— Czy mię pan pamiętasz? — spytał przykładając rękę do czoła.

Petöfi poznał dobrego kaprała, który nieraz w czasie służby wojskowej, patrzył przez szpary na jego drobne błędy i z uśmiechem słuchał poezji recytowanych z pamięci podczas warty. Przyjął go też serdecznie poeta, okazując uszanowanie winne starszemu stopniem.

— Ależ siadasz! czemu nie siadasz — wołał uściskawszy starego, który spełnił czarę wina, ale stał ciągle.

— O nie — odparł sierżant — wiem że nie jesteś pan ani generałem, ani kapitanem, ale jesteś wielkim człowiekiem i zasługujesz na cześć narodu!

Dalsze życie Szandora Petöfi należy do historii, w której chlubną zajmuje kartę, gdyż to cośmy dotąd opowiedzieli, było w istocie tylko wstępem do bardzo czynnego jego zawodu. Poślubiwszy Julję Szendrei, żył na łonie ukochanej rodziny, walcząc zarówno piórem jak szablą za swe przekonania w razie potrzeby i za nie też życie położył na polu chwały.

## Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa.

Najdawniejszym zabytkiem mongolskiego budownictwa są w Narszywanie mieście armeńskim, pełnym wspaniałych szczątków starożytności, na głównym placu, zwaliska meczetu, sięgające XIV wieku. Wszystkie ściany pokrywa tu przeszliczna mozaika emalowana na kolor turkosowy, wytwarzająca przepyszne rysunki. Brama ostrołukowa ma napisy z emalii niebieskiej na różowej cegle; po bokach jej dwa smukłe minarety strzelają wysoko ku niebu. Na szczytach tych starożytnych zwalisk gnieźdzą się bociany zwane tu długonogimi pielgrzymami. Uważane także za zwiastuny szczęścia, przechadzają się swobodnie po mieście w zupełnej zgodzie z ludźmi i w poufałych z dziećmi stosunkach. Tylko z orłami i sępami staczają zawzięte walki, spotkawszy się z nimi na wycieczkach poza miastem, gdzie zdobywają węże na żer dla siebie i swęj rodziny.

Okolica tutejsza oddalona o półtora dnia drogi od Erywanu jest niejako progiem dawnęj Persyi i język perski tu zaczyna dopiero swe panowanie. To też i zwyczaj i ubiór

mieszają się potrosze. W okolo Erywanu kraj jest kwitnący, żywny i dobrze uprawny, kobiety wieśniaczki pracują w polu, poubierane najczęściej w krótkie koszule i spodnice z czerwonej bawełnicy. Sady owocowe, zboże, ryż, bawełna, wino, udają się przewybornie. Ale bliżej Narszywanu rozpoczyna się kamienista i pozbawiona roślinności okolica; zaprzęglszy niekiedy po sześć par koni do jednego powozu, jedzie na nich szczęściu pocztylionów, zwłaszcza gdy rzeki się wzburzą w skutek śnieżnych roztopów. Ćwicząc konie co siły, a pędząc jak szaleni przejeżdżają stojąc w siodłach przez rzeki i przewożą

wę, do tego są jeszcze kołdry mniejsze do nakrycia, co wszystko układa się wprost na podłodze, zabierając się do spania, albo i na gołej ziemi, jeżeli w podróży w workach niema kobierców do podłożenia pod pościel. W innych mniejszych workach wożą z sobą kociołki do gotowania narodowego *pilo* z drobiu, baraniny, ryżu i z kwaśnem mlekiem co wszystko zarówno jak cukier, świece, jarzyny, trzeba mieć także z sobą równie jak i naczynie do gotowania *nimru* t. j. jaj sadzonych i mnóstwo innych rzeczy, bo w tak zwanych *karawanserajach* niby hotelach tamecznych, dostępnych dla wszystkich wiatrów, niema najczęściej nic, prócz gołej ziemi.

## NIEBIESKA PÓNCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSZCIE

przez **Bronisławę Porawską.**

(Dokończenie).

P. ANIELA (*patrzac na Włodzia*). Więc przyjechałam za-wcześnie, a jednak, wyraźnie, po razy kilka powtarzałam, na kiedy nauczyć się macie, więc to was obowięzywało, a nie dzień mego powrotu (*po chwili namysłu*). To smutne, to bardzo smutne, żeby chłopiec w tym wieku, tak nie rozumiał, co to jest obowiązek.

WŁODZIO (*zawstydzony*). Proszę pani...

P. ANIELA (*nie spuszczać z niego oczu*). Cóż powiesz na swoje usprawiedliwienie?

WŁODZIO. A to... proszę pani, (*n. s.*) nie mogę znieść tego przypatrywania mi się, patrzy i patrzy, (*nachnąwszy ręką*) jakbym był Chińczykiem.

P. ANIELA (*patrzac ciągle na niego*). Co mówisz?

WŁODZIO (*kręci się niespokojnie i co spojrzy na p. Anielę odwraca oczy*). Nic proszę pani... ja mówię... że byłbym napisał dziś z pewnością, gdyby pani nie była wróciła.

P. ANIELA. Ciągłe jedno i to samo, ale mnie nie o to chodzi, że byłbyś napisał, tylko, dla czegoś nie napisał. Ha, to to się już nie odstanie, a więc zacznijmy lekcye, a o wypracowaniu będziemy mówić jutro, gdy mi je oddacie. Bo na jutro mają być napisane? czy tak?

DZIECI (*spoglądając po sobie*). A tak, na jutro.

P. ANIELA. Włodziu, proszę o geografję.

WŁODZIO (*bierze książkę prędko i patrzy w nią pilnie*). Zaraz proszę pani.

P. ANIELA. Czy jeszcze nie umiesz?

WŁODZIO (*oddając książkę w którą p. Anielą spojrzawszy kładzie na stole*). Miałem proszę pani o granicach Ameryki.

P. ANIELA. Wiem, mów.

NIUNIA. P. Anielą zawsze wszystko wie, ani spojrzy w książkę, mówi i mówi, zawsze na pamięć, ja nie wiem jak to można tyle umieć.

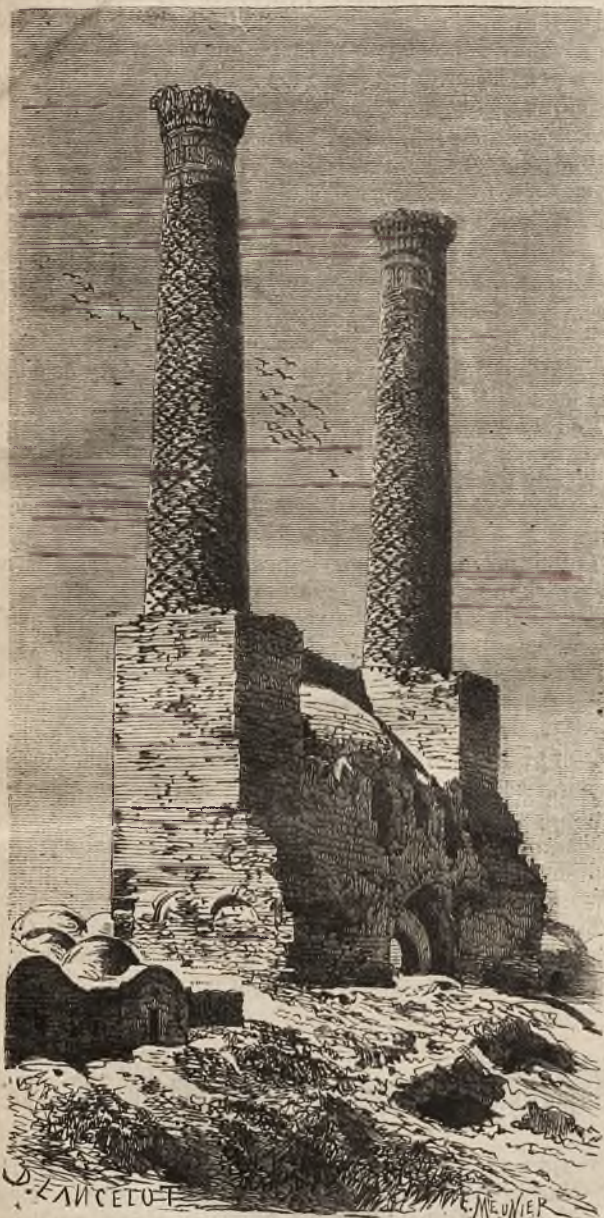
WŁODZIO (*krzaka, mruga prędko oczyma, gładzi czuprynę, wyciąga z kieszeni chustkę do nosa i używa jej*). Po odkryciu Ameryki przez (*przełyka*) przez... Krzysztofa... Krzysztofa... Kopernika...

P. ANIELA (*obojętnie*). Dosyć, już wydałeś.

WŁODZIO (*ocierając chustką pot z czoła*). Przepraszam panią, ja się omyliłem, wiem przecie, że przez Mikołaja Kolumba.

P. ANIELA. Dosyć, widzę że nauczyłeś się dobrze, to jest naturalnie wszystko jedno, czy Mikołaj Kolumb, czy Krzysztof Kopernik, i jeden i drugi żyli, a co do imion, bagatela, które do którego należało (*zwracając się do Niuni*). Niuniu, zacznijmy od religii, proszę o książkę.

NIUNIA (*która podczas powyższej rozmowy uczyła się pilnie, kiwając głową*). Zaraz proszę pani (*podając książkę*) oto jest, miałam ten rozdział z powtórzeniem.



Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa.

w ten sposób podróży zamaczanych po szyję którzy trzymają się oburącz w powozie, skaczącym w górę jak piłka, lub zalewanym wodą chwilowo. Nie zbyt daleko za Narszywanem jest wieś Dżulfa nad rzeką Arahim, i tu jest stacya linii angielskiego telegrafu łączącego Londyn z Indyami. Kto ztąd puszcza się dalej w podróż po Persyi musi przygotować się na wszelkie niewygody. To też mieszkańcy podróżując wożą z sobą w ogromnych workach zwanych *mafresz* zrobionych z dywanów, swoje *przybory nocne kharte-khab*, które im służą za łóżka. Właściwie są to kołdry bardzo wielkich rozmiarów grubo watomane, z perkalu kolorowego, składają je w kilokoro, z pewną umiejętnością w swoim rodzaju, wyżej pod gło-

P. ANIELA. Na co Pan Bóg stworzył aniołów?

NIUNIA (*prędko*). Są to duchy czyste nie mające ciała.

P. ANIELA (*przeciągle*). Tak, ale ja się pytam: na co Pan Bóg stworzył aniołów?

NIUNIA (*jąkając się*). Proszę pani... bo... bo pani nie pyta po kolei.

P. ANIELA. Może trzeba było zacząć od początku?

MARTUSIA (*ciągle zakłopotana*). Ach to pończocha dzięki Bogu zginęła... bodajże cię... chciałam mówić wróciła, ale bo tak człowiek zakłopotany, to i nie wie co mówi (*szuka pod stolikiem, na stoliku, kręci się po pokoju*).

WŁODZIO (*po cichu do Niuni*). Będzie nowa historia, a jeszcze się jedna nie skończyła!



Uczone króliki.

Więc powiedziawszy prawdę nie umiecie ani jednej lekcji? nie napisaliście nic, coż zatem robiliście przez te dwa dni méj nieobecności? (*wbiega Martusia*).

#### Scena IV-ta.

Ciż SAMI MARTUSIA.

MARTUSIA (*bardzo zakłopotana*). A! mój Jezu kochany, przewróciłam wszystko i nigdzie znaleźć nie mogę.

P. ANIELA. A co to Martusi zginęło? Jak się Martusia ma.

NIUNIA (*również cicho*). A widzisz? mówiłam, szkoda pończochy, radziłam, daj pokój, teraz masz...

WŁODZIO. O tak, ty do rady jedyna.

P. ANIELA. I coż to zginęło Martusi? igła? szpilka?

MARTUSIA. Żebyż to igła albo szpilka, ale caluteńka pończoszka Niuni, wie paniuchna, ta niebieska, co to pani tak prosiła żeby na niedzielę skończyć, rozstąpi się ziemia, niema i niema.

P. ANIELA. A może Martusia poszła z nią do piwnicy, bo to się nieraz tak zdarza, i tam może została?

MARTUSIA (*machnąwszy ręką*). Gdzie ja nie byłam, i w pi-



wnicy i na górze, i w kurnikach nawet, a u siebie to wyrzuciłam wszystką pościel z łóżka, no, i niema.

P. ANIELA (*spoglądając na dzieci*). Niuniu, nie widziałaś czasem tej pończoszki? możebyś poszukała, wiem że ty masz dużo zdolności do odszukania zgubionych rzeczy.

NIUNIA (*patrząc na Włodzia*). Proszę... pani...

P. ANIELA. Włodziu, może ty wiesz co o tej pończoszce?

WŁODZIO (*jąkając się*). Ja proszę... pani... ja...

MARTUSIA. Widzi paniuchna kochana, siedziałam tu przy dzieciach, bo pani wypadło jechać do Wronowa, więc powiedziała: moja Martusiu, siedź przy dzieciach i pilnuj żeby się uczyły. Ja też usiadłam, i robiłam sobie pończochę, a dzieci się uczyły, niema co mówić słyszałam że się uczyły.

P. ANIELA. O tak, są tego dowody.

MARTUSIA. Spieszyłam się okrutnie, a nie chwając się robię pończochę prędko i ładnie (*pokazuje w rękę trzymaną niebieską pończochkę*), o, widzi paniuchna, w taką kosteczkę, to nawet trudno, bo trzeba okrutnie uważać.

NIUNIA (*do Włodzia*). A ja ci mówiłam że to duża praca.

WŁODZIO. Tak, ty wszystko mówiłaś, po czasie.

MARTUSIA. Robię tedy, robię, dzieci się uczą, tego, to nie pamiętam jak było, czy ja się zdrzemnęłam trochę przed skończeniem pończoszki, czy po skończeniu, ale drzemałam tylko sekundę, muszę się już przyznać.

NIUNIA. Aha, Martusia spała z godzinę.

P. ANIELA. Cóż dalej, zdaje mi się, że tę pończoszkę znajdujemy zaraz.

WŁODZIO (*do Niuni*). Oj źle będzie z nami.

MARTUSIA. A no, jak się przebudziłam, tak obaczyłam, że pończoszkę skończoną miałam na kolanach, druty w kłębku jak się należy, ale pończoszki wpierv zrobionej ani oko.

P. ANIELA (*biorąc Niunię za rękę*). Niuniu, wiem że masz wiele wad swego wieku, ale się jeszcze na tobie nie zawiodłam, żądając prawdy, szczerzej, bezwzględniej. Niuniu, proszę cię o odpowiedź szczerą, prawdziwą, gdzie jest pończoszka, którą robiła Martusia?

NIUNIA (*kładąc rękę do kieszonki w którą schowała bawełnę*). Ja pani powiem prawdę, jabym nie mogła skłamać, jak pani tak pyta.

WŁODZIO (*chwytając p. Anielę za rękę*). Ja pani sam powiem, nie chcę być gorszym od Niuni, pani wie że i ja nie kłamię.

MARTUSIA (*składając ręce*). Dzięki Bogu, to się i pończoszka znajdzie.

WŁODZIO (*z niejakim zakłopotaniem*). Ja pończoszkę spróblem... przez... figle...

NIUNIA (*wyjmując bawełnę*). Oto jest bawełna... myśmy chcieli... żeby się Martusia zadziwiła...

WŁODZIO. Nie, Niunia nie chciała, jój żal było tyle pracy, to ja, ja sam...

MARTUSIA (*zalamując ręce nad głową*). A mój Boże! tyle pończoszki, tyle pracy, o niedobre dzieci, ja już teraz nie zdążę na niedzielę drugiej zrobić, a przyrzekłam pani że skończę.

NIUNIA (*nieśmiało idąc do Martusi*). Niech się Martusia nie martwi, ja sama najgorzej na tem wyjdę.

MARTUSIA. A moje słowo, to nic nie znaczy? co? o nie, moja Niuniu, nocy nie dośpię, a drugą zrobić muszę, Martusia choć biedna, nie uczona, ale jak słowo powie, to dotrzyma. A co człowiek wart, który obiecuje, a nie dotrzymuje?

P. ANIELA. Martusia ma zupełną słuszność, kto raz słowa nie dotrzyma, nie wart, aby mu drugi raz wierzono

WŁODZIO. Pani to do nas mówi, ja rozumiem, bo my nieraz przyrzekaliśmy poprawę, a... a nie dotrzymaliśmy dotąd...

NIUNIA. To pani nie uwierzyłaby już, gdybym przyrzekła poprawę?

P. ANIELA. Trudno byłoby uwierzyć, przyrzeczenie to słyszałam najmniej sto razy.

WŁODZIO (*z westchnieniem*). Tak, to trochę za wiele.

MARTUSIA (*prostując bawełnę*). Oj te figle, te figle, a co to też temu Włodzowi nie przyszło do głowy, a ja oto myślałam że przez sen skończyłam pończoszkę. Tfu, Boże odpuść, człowiek stary, a pstro w głowie, a co tu się młodym dziwić.

NIUNIA (*biegnie do Martusi i obejmuje ją za szyję*). Moja Martusiu, moja złota, nie gniewaj się, to już ostatnia psota, do prawdy ostatnia.

WŁODZIO (*chwytając ją także za szyję*). Martusiu, Martusieńku, nie gniewaj się.

MARTUSIA (*poprapiając czepek*). Aj, aj, dzieci co robicie, no, no, już dobrze, dobrze, a toż mi głowę urwiecie.

NIUNIA. A nie gniewa się Martusia?

WŁODZIO. A przebaczy nam Martusia?

MARTUSIA. No, no, swawolniki, a czym to was nie wypiaśtowała, małym to z wami użyła, żebym się gniewać miała długo. Dobrze wy dzieciaki, tylko jeszcze wróble w głowie.

WŁODZIO. To i z Martusią dzięki Bogu dobrze poszło, ale pani czy da się przebłagać?

NIUNIA. I pani da się przebłagać, ale ja muszę powiedzieć wszystko, wszystko, cośmy tu na panią mówili.

P. ANIELA. Tak? a więc obmawialiście mnie, zamiast się uczyć lekyi, i pisać wypracowania?

WŁODZIO (*prędko*). Myśmy na panią ułożyli katechizm.

NIUNIA (*również prędko*). I na wszystkie nauczycielki.

WŁODZIO (*j. w.*). Mówiliśmy że to pani winna żeśmy dotąd nie dostali nigdy nagrody za wypracowania do Wieczorów.

NIUNIA (*j. w.*). I powiedzieliśmy, że w redakcyi pomysła że pani nie umie uczyć.

P. ANIELA (*z uśmiechem*). Czy już wszystko?

WŁODZIO (*ocierając czoło*). Zdaje mi się że już.

NIUNIA (*odetchnąwszy*). Już nie pamiętam.

P. ANIELA. Wypowiedzieliście wszystko szczerze, a ja przebaczam wam z serca. Wiem że to są słowa czcze, bez myśli głębszej, bo wierzę, wierzę w to zupełnie, że mnie kochacie.

NIUNIA (*kładąc rękę na sercu*). Jaka pani dobra, że w to wierzy, o! mówię prawdę (*z uniesieniem*) taką prawdę jak nigdy jeszcze, że... że ja panią bardzo kocham.

P. ANIELA (*wyciągając ręce*). W przywiązanie twe wierzę, gdybym jeszcze uwierzyć mogła, że będziesz pilną i pracowitą?

NIUNIA (*rzucając się w objęcia p. Anieli*). Już nie przyrzekam, ale przekonam panią.

P. ANIELA. Teraz wierzę, że się poprawisz zupełnie.

WŁODZIO. Proszę pani a ja?...

P. ANIELA (*wyciąga do niego rękę*). Myślę że podzielasz uczucie Niuni i jój postanowienia.

WŁODZIO. O tak, tak (*całując p. Anielę w rękę, a ona go w głowę*).

MARTUSIA (*która przez cały czas powyższej rozmowy, rozplątywała bawełnę*). Pocziwe dzieci, dobre, ba, albow to ich tego nie uczyła od maleńkości.

NIUNIA. Ach jak mi lekko na sercu.

WŁODZIO. A mnie, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

NIUNIA. Proszę pani, zabieram się zaraz do lekyi, a jeżeli mi się poplącze, i powiem że anioły kryją się w postaci nauczycielek, to doprawdy nie zgrzeszę.

WŁODZIO. A ja zabieram się do wypracowania, a jeżeli na następne zadanie, nie dostanę nagrody w klasie, to... to... powiem że to niesprawiedliwość.

NIUNIA. I ja napiszę, a tak dołożę starania, że jeżeli ktoś je przeczyta to powie dopiero, ta dziewczynka ma nauczycielkę, kiedy tak pisać umie.

P. ANTELA. Wasze postanowienia uszczęśliwiają mnie, abyście tylko wytrwali.

WZODZIO, NIUNIA (razem). Wytrwamy! wytrwamy, przekona się pani.

WZODZIO. Dość swaowoli i próżnowania.

NIUNIA (składając ręce). Ach Boże! dopomóż mi, żebym napróżno nie przyrzekała.

(zasłona spada).

## UCZONE KRÓLIKI.

Podobnie jak lwy wspomiane przez nas poprzednio, dają obecnie przedstawienia w Paryżu uczone króliki. Dowodzi nimi młoda dziewczynka, ubrana, czyli raczej przebrana za królika, jak to widzimy na rycinie naszej. Czarna lub biała pluszowa sukienka z przykryciem głowy, na którym sterczą charakterystyczne uszy, ma naśladować futerko, laseczką zaś trzymaną w rękę pani królikowa kieruje poruszeniami posłusznego jęj króliczego narodu. To też na jęj skinienie jedne króliki suną przez miedzianą rurę, drugie przeskakują przez zaklejone papierem obręcze, inne znów luస్తая się na huస్తawce i na desce lub przeskakują w pośród gałęzi zapalonych świeczników, a na ostatek jeden z najodważniejszych zapewne, strzela z pistoletu... pociągając za sznurek uwiązany u kurka.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Oh!... czy nie zawiele się pan domyślasz?

— Nie dosyć na tem; kiedyindziej przychodzi znów żebrak o jakich wspominałem, tuła się po domach i chatach danej miejscowości, rozdając urzędnikom krajowcom, maleńkie placuszki, poczem sam zostawszy nawzajem obdarzony innemi, znika jak się pojawił. Placuszki owe zwykle tutaj, są to ze strony żebraka przybywającego z miejsc świętych, niby talizmany, za które dom obdarowany odwdzięcza mu się prawdziwemi, na zjedzenie przeznaczonemi i daleko większemi placakami. Otóż jestem najmocniej przekonany, że w owych talizmanach ukryte są najprawdziwsze rozkazy tajemniczych władz indyjskich, że w ten sposób w naszych oczach poprostu korespondują z sobą i umawiają się na naszą zgubę wrogowie nasi! A podobnych sposobów porozumiewania się mają oni bardzo wiele.

— A więc, jeżeli tak, to my jesteśmy bezbronnymi zupełnie w obec tak wyrafinowanej chytrłości, gdyż choćby się nawet wiedziało napewno, że taki talizman zawiera najzupełniejszy dowód zdrady i buntu, przecież nie wiem, czy można by się odważyć sprawdzać...

— Co? przełamać placek naprzykład? lub choćby dotknąć go nawet? W żadnym razie! Byłoby to niechybnie uważane jako nowa zniewaga religii i przyspieszyłoby tylko to czego możemy się lękać niestety... byłoby dolaniem oliwy do ognia.

— Ależ moi państwo, przez litość, czyliż po to zebraliśmy się przy tym stole, aby tak straszliwemi przypuszczeniami opartemi na domysłach jedynie, obchodzić rocznicę dzisiejszą? — zawołał Jerzy nagle, gdy rozmowa starszych coraz bardziej stawała się ogólną, zachmurzając wszystkie czoła. Napelniono więc coprędziej kieliszki i wśród serdecznych życzeń, właśnie wedle zwyczaju trącano niemi o kieliszek Klary, gdy wtem drzwi rozwarły się gwałtownie i wpadł Soliman służący, błądy jak chusta ze stłumionym okrzykiem:

— Uciekajcie państwo! — dla Boga!... Pali się! kantor już cały w ogniu!

— Uciekać?... przeciwnie, ratować trzeba! — odpowiedziano; i po przejściu pierwszej chwili zdziwienia, wszyscy rzucili się do drzwi, zadając jednocześnie mnóstwo pytań:

— Czy w wielkiej jadalni są jeszcze wszyscy u stołu?

— Czy kantor był zamknięty w chwili powstania pożaru?

— Czy niewiadomo z czego wszczął się pożar?

— Czy jest kto w stajniach?... żeby konie nie wybiegły do ognia?...

Soliman z rozkrzyżowanemi rękoma zastąpił panom drogę:

— Dla Boga to pożar niezwykle... dom jest otoczony...

— Otoczony?...

— Więcej niż trzystu!...

— Ah... to Indusi! Zgubieni jesteśmy!... — szepnęła Klara sama do siebie, wspierając się o stół.

— Nie jeszcze, panienko! Oni mają tylko włócznie, łuki i noże, a my mamy doskonałe karabiny, chociaż tylko za sześciu służących pańskich ręczyć mogę... szczęściem ośmiu służących przyjechało z panami Thornem i na tych wszystkich można, uciekajcie państwo, my zasłaniać was będziemy!

Panowie zamienili spojrzenia: odgłos tłumów, podobny do szumu fal morskich, dolatywał z zewnątrz, gorzki dym przeciskał się oknami, trzask lekki dawał się słyszeć od strony ognia... zabudowania w większej części były drewniane.

— Gdzie są ci czternastu, których pewny jesteś? — zapytał Mac'Ulm. Soliman w odpowiedzi otworzył drzwi wiodące do bocznych galeryi, czternastu ludzi już tam stało.

— Zabierać broń i amunicyj ile unieść zdołamy!... idziemy za radą Solimana! — rzekł Mac'Ulm, roztwierając żelazną kosztowną szafę, w której trzymał te skarby zarówno konieczne dla osadnika wśród lasów, jak niebezpieczne w drewnianych pałacykach.

— My i nasi słudzy uzbrojeni jesteśmy od stóp do głów; od początku zaburzeń nie wyjeżdżam z domu inaczej — powiedział p. Thorn.

— Panie, wysokie kapelusze należy porzucić — odparł jeden ze służących jego — po tych kapeluszach zbójcy poznają panów, a właśnie przeciw wam jest na ten raz ta wyprawa i przeciw panu Jerzemu, dla tego że jesteście dostawcami dla armii...

— Tak, ależ dostawcami żywności, nie zaś nabojów smarowanych tłuszczem, o co im właściwie idzie: o!... osły! — rzekł Jerzy.

— Obawiali się napaść panów Thornów w mieście i skorzystali z dzisiejszej sposobności przyjazdu tu do willi...

— Zkąd o tem wszystkim wiecie?

— Przed pół godziną jeden z czających się napastników, znajomy naszego Roba spotkał go i tłómaczył mu to wszystko, celem namówienia abyśmy im poroztwierali bramy i wpuścili ich aż do tej sali.

Podczas tej krótkiej rozmowy dopełniono uzbrojenia, panowie Mac'Ulm zabierali pieniądze i kosztowności o ile można było i wnet dwudziestu i jeden ludzi z Klarą w pośrodku ruszyli galeryami w głąb ogrodów. Przez galerye szli spieszenie i spokojnie:

— A teraz, puśćmy się biegiem... — rzekł spokojnym stanowczym głosem pan Thorn wyjrawszy ostrożnie z galeryi na prawo i na lewo i widząc wszędzie poza wykwintnemi ogrodowemi sztachetami, tłumy złowróżbnych wpół nagich postaci.— A oto deski przygotowane na podłogę do nowej altany, weźcie do zasłaniania się od strzał! Klaro trzymaj się w pośrodku nas! i... w drogę!...

Puszczono się szybko ustawiwszy w formę prostokąta, ale zaledwo gromadka uciekających ukazała się w ogrodzie, dzikie wrzaski powitały ją z lewego i prawego boku, chmura strzał zaświszczała przeraźliwie w powietrzu, a za strzałami tłumy potworów ziejących bezrozumna żądzą zemsty na niewinnych, burząc lub przeskakując sztachety i inne przeszkody, poczęły dążyć z podniesionemi włóczniami w rękę ku uciekającym.

Pierwsze strzały nie trafiły nikogo, bo znaczna ich część

utkwiła w deskach, któremi jakby tarczami uciekający osłaniał siebie i Klarę, biegnącą w pośrodku. Ale goniący zbliżali się szybko:

— Ognia! nie zwalnając kroku — rozkazał pan Thorn. Dwadzieścia jeden strzałów huknęło.

Dzikie, zwierzęce ryki szalonego gniewu napelniły powietrze: broń była doskonałą, strzelający umieli jej używać, a strzelali w zbite tłumy, ani jeden strzał przeto nie chybił. Dwudziestu i jeden napastników padło nieżywych lub ciężko rannych; tłumy zachwiały się i zatrzymały na chwilę; były tak pewne bezspornego prawie zwycięstwa, że to co zaszło, zdziwiło je mocno.

— Nabijać! nabijać co tchu, nie zwalnając biegu! — wołał do swoich pan Thorn, pragnąc korzystać z chwili wahania się wrogów. Jednakże niezadługo zmuszony był znowu zakomenderować:

— Ognia!... — strzały były niemniej celne, zakotłowało się wśród napastników, ale pierwsze wrażenie już minęło; gonili teraz tem zajadłej że tylko co doznane straty podniecały ich gniew i mściwość. Zbliżyli się w mgnieniu oka, nie było czasu nabić karabinów.

— Rewolwery w rękę! — rozkazał pan Thorn. I w chwili gdy dzika tłuszcza ostatnim skokiem tygrysim miała spaść na swe ofiary i zgnieść je, ozwała się salwa z rewolwerów i pierwszy szereg tygrysów w ludzkiej postaci zachwiał się i padł w tył na towarzyszy, ziejąc gradem piekielnych złorzeczeń.

— Prędzaj, prędzaj, spieszy do lasku, tam łatwiej będzie można się obronić — wołał pan Thorn.

Lasek odległy był o jakie sto pięćdziesiąt metrów; wśród ciągłego ryku i wojennego wycia napastników, strzały ich padały bezustannie chmarą na garstkę uciekających pod ochroną desek jedynie; trzeba było dobiec lasku lub zginąć na miejscu; nie było wyboru. Wyteżano więc wszystkie siły. Ale wzruszenie i bieg gwałtowny wyczerpywały Klarę, przystawiała przeto mimo wszelkich wysiłków, prostokąt zatem pierwotny, w jaki ustawili się uciekający, wydłużał się, bo dla niej przystawiał Wiliam z lewej strony, pan Mac'Ulm z prawej i Soliman z tyłu, zasłaniając ją deskami i ciałem własnem. W takich warunkach każda ubiegająca sekunda musiała z konieczności pogorszać stan rzeczy. To też gdy Indyanie, tylekroć odparci, rzucili się raz jeszcze na nieszczęsnych zbiegów, trzej owi ludzie stanowiący *arrière garde* zmieniając front w mgnieniu oka musieli wypalić z rewolwerów prosto w piersi zbójców zamierzających się na nich włóczyniami. Dym osłepił na chwilę wszystkich. Wtedy korzystając z chwilowego zamieszania wśród nieprzyjaciół, uciekający przyspieszyli ostatnim wysiłkiem biegu tak, że gdy dym się rozperszył ujrzeli wrogów o jakie pięćdziesiąt kroków za sobą, ale w tejsze chwili:

— Gdzie jest Klara? — jęknął Mac'Ulm.

— Klara! Gdzie Klara?...

Klara bez sił i przytomości leżała o kilkanaście kroków w tyle na ziemi, a Wiliam i Soliman stali nad nią broniąc ją od chmary otaczających zbójców.

— Na pomoc, wracajmy im na pomoc! — zawołano. Ale nie było to w ludzkiej możliwości. Jednocześnie gdy jedna gromada zbójców walczyła z Wiliamem, druga z Solimanem, inni podsunawszy się im pod ręce unieśli Klarę.

Wyrывая się otaczającym, przeskakując przez nich, Wiliam rzucił się za tamtymi i ostatnią jaką rozporządzał kulę, wpakował w piersi porywcy; Soliman z nożem w ręku pędził jak lew za drugim, z rozgorzałym okiem z pogardą

śmierci wyrwał na licu, i padł przebity mnóstwem włóczni swoich ziomek, wierny wyjątkowo sługa-Indyanin.

Tłum wyjących, wstrząsających włóczniami, napinających łuki postaci, zasłonił tę grupę nieszczęsną przed oczyma reszty uciekających, goniąc ich dalej zapamiętale: słudzy czerpiąc siły w rozpaczy powlekli gwałtem z sobą dwóch bezradnych teraz i bezprzytomnych z boleści ojców.

(d. c. n.)

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(ulożył Orzeł biały).

Sylaby: A—a—an — bel — gal — ha — Jo — Job — Kap — la — Ly — na — re — Or — San — sy — Wal — wid. — Z powyższych sylab ułożyć 9 wyrazów. Początkowe litery, czytane z góry na dół utworzą pierwszą literę imienia i nazwisko znakomitego naszego poety, końcowe zaś, czytane z dołu do góry, tytuł jego arcydzieła.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię francuzkiej bohaterki. 2. Rzeka w Polsce. 3. Człowiek pozbawiony włosów. 4. Nazwisko żmudzkiej rodziny. 5. Miejsce pośmiertnego pobytu bohaterów germańskich. 6. Imię biblijne. 7. Miara. 8. Wyspa w Europie. 9. Prorok.

### REBUS.

CIE



ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

#### Zagadki:

R ó ż a.

#### Łamigłównki liczbowej:

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17.  
S e w e r y n a D u c h i ń s k a.

1. Dereń. 2. Ruch. 3. Kawa. 4. Siwa. 5. Duch. 6. Nerka. 7. China. 8. Sanki. 9. Druskenniki. 10. Nesus. 11. Ak. 12. Indus. 13. Wiek. 14. Hunny. 15. Sawa. 16. Rynka. 17. Uncya. 18. Nad. 19. Krasiński. 20. Nie.

**TREŚĆ:** Anastazyja Dzieduszycka (z drzew.) — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Najdawniejszy zabytek mongolskiego budownictwa (z drzew.) — Niebieska pończoszka, komedyjka w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską (dok.) — Uczone króliki (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Nad morzem (z drzew.) — Zbyt mądre kurczę, wiersz p. T. N. Noc świętojańska. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

## NAD MORZEM.

Oddawna już Zdziś i Helenka niczego goręcej nie pragnęli, jak zobaczyć morze. Morze! to prawdziwe wielkie morze o którym tyle się naczytali w przygodach Robinsona Kruzoe i Szwajcarskiego, takie piękne, spokojne i majestatyczne podczas pogody, a tak groźne, w czasie burzy!...

— Jakież ono ciekawe być musi, jak tam ślicznie nad brzegiem!... W ziemie, skoro nadchodziła szara godzina, najmilsza zawsze do słuchania ciekawych opowia-

rym jej donosiła iż będąc osłabioną, usłucha rady doktorów, wysyłających ją dla wzmocnienia nad morze, wiedząc zaś jak marzą o tem Zdziś i Helenka, chce zabrać ich ze sobą na jakie kilka tygodni.

Szczęście dzieci nie miało granic! Zwiększyło się zaś jeszcze jak dowiedziały się że babunia wraz z niemi zabiera i troje ciotecznych rodzeństwa, dwie dziewczynki w wieku Helenki i małego chłopczyka, z którymi kochali się bardzo.

W miesiąc potem, wszyscy pod opieką babuni znajdowali się już w Zopot nad morzem Bałtyckiem.



Nad morzem.

dań, a wiedzieli że mateczka nie jest zajęta pilną robotą, natychmiast biegli ją prosić aby im opowiedziała cośkolwiek o morzu. Niezawsze było można, lecz czasami gdy lekcye dobrze poszły i na poparcie prośby mogli pokazać dobry stopień w dzienniczku od nauczycielki, mama, która przed pójściem zamąż mieszkała jakiś czas w Neapolu, dawała się uprosić, a wówczas cóż to była za radość!

Dzieci prowadziły ją do fotelu, siadały potem na stołeczku u jej nóg i z całą uwagą słuchały jak mówiła im o wielkich, jak całe piętrowe domy okrętach, o połowach ryb, burzach, prześlicznych pstrych kamyczkach i muszulkach które przyplływ morza wyrzuca na brzegi. i tysiące ciekawych rzeczy.

Na podobnych marzeniach minęło im lat parę.

Helenka miała już lat dziesięć, Zdziś liczył mniej o rok jeden, gdy oto niespodziewanie jednej wiosny mama odebrała list od mieszkającej na wsi babuni, w któ-

Jakże przyjemnie płynął im czas razem!

Co rano, jak tylko wstali, biegli zaraz po śniadaniu na piaszczyste wybrzeże morza, usiane różnobarwnymi muszulkami i żwirem, zdejmowali buciki, i boso biegali po płytkiej wodzie i lśniącem ciepłym od słońca, białym piasku. Od strony morza dolatywał zdrowy, przesycony wonią wód słonych wiaterek, lub krzyk mew i szybującej rybitwy, a jak okiem sięgnąć nie widać nic prócz spokojnych zielonawych fal, co gdzieś w oddali, na krańcu horyzontu zdają się zlewać z lazurem nieba!

Z czasem, dzieci zapoznawały się z morzem coraz lepiej. Wiedziały, kiedy rybacy jadą na połów śledzi i innych ryb, a chłopcy poznali się nawet z małymi ich synkami, którzy towarzysząc nieraz swym ojcom w ich wyprawach, mieli im wiele ciekawych przygód do opowiadania.

Często też skoro wiedzieli że który z nich, wyjechałszy wieczorem ma nazajutrz powrócić, biegli rano nad

brzeg, i usiadłszy gromadką na piasku, śledzili bacznie czy w dali na wodach nie ujrzą małej ciemnej łupinki, lub białego punkciku, czem z odległości wydaje się łódka i żagiel rybaka. A kiedy po długim wyglądaniu ujrzeli ją nakoniec, to cierpliwie oczekiwali dopóki nie przyplynie do brzegu. Jedna z dziewczynek czytała wówczas głośno, jaką zajmującą powiastkę z przyniesionej ze sobą książeczki, aby czas oczekiwania prędej ubiegł, a potem radosnymi okrzykami witano wysiadających rybaków, i oglądano uważnie owoce wyprawy: ryby, jakich niema w naszych wodach łądowych.

I przytem zawsze z głębi serca każde z dzieci postąpiło do Boga krótką modlitwę, dziękując iż pozwolił tym pracowitym ludziom szczęśliwie powrócić do domu i rodziny, i cieszyć się jeszcze życiem, którego tak łatwo jedna burza mogłaby ich pozbawić.

Cairo.

## ZBYT MĄDRE KURCZĘ.

Prawdą jest niezawodną, a nie żadną bajką,  
 Że częstokroć od kury mędrszem chce być jajko.  
 By codziennęj tój prawdy przykładem tu dowieść,  
 Przytoczę dla was, dzieci, o kurczątku powieść.  
 U wiejskiej gospodyni piękna kura biała  
 Zniósłszy jajko, troskliwie je wysiadywała,  
 Wkrótce ze swęj skorupki kurczę się wykluło.  
 Dobra kura dla niego bardzo była czuła...  
 Na nieszczęście, pomimo macierzyńskie cnoty,  
 Matka psuła swe dziecko wielkimi pieszczoty.  
 Nic dziwnego, iż kurczę, jeszcze bardzo małe,  
 Stało się i uparte i zarozumiałe.  
 I podobnie jak wszystkie zbyt pieszczone dziatki,  
 Nie miało chęci słuchać rad i przestróg matki.  
 Żle bardzo gdy kto przestróg matki nie pamięta.  
 Raz, wieczorem, kurczątko spostrzegłszy kaczęta,  
 Które pływały sobie spokojnie po stawie,  
 Chciało także mieć udział w nieznanęj zabawie,  
 I razem z kaczętar kąpieli używać.  
 Niestety to biedactwo nie umiało pływać,  
 Weszło jednak do stawu — i cóż się zrobiło?  
 Oto, kurczę zbytnie mądre w nim się utopiło.

T. N.

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dalszy ciąg).

Skoro stanęli na skraju lasu w chmurach zagrzmiało głucho. Z głębi lasu doszło ich wołanie puszczyka a nad głowami z szelestem skrzydeł przefruwały nietoperze. Ta czarna głębia cieniów przejmowała ich jakimś zimnym dreszczem pociągając jednocześnie magnetycznym wpływem otchłani.

Chłopcy stanęli. Drzewa odwieczne, przybierające w cieniach nocy postaci olbrzymów, zdawały się patrzeć

na nich smutnie kiwać głowami, poruszane wiatrem, jak gdyby się litowały nad ciemnotą zabobonu.

Helenka przymknęła oczy. Konwulsyjnie w obydwóch dłoniach ścisnęła rękę Stasia drżąc całym ciałem nie mogąc nad sobą zapanować.

— Cicho bądź! — zawołał Zygmunt odzyskując najpierw odwagę. — Czegoż tu się bać? las i koniec. Stasiu trzymaj ją za rękę i za mną! Musi już być dwunasta, kwiat paproci rozkwita, dalej!...

Te ostatnie słowa wywarły wrażenie. Obawy pierzchły w jednej chwili i śmiało zagłębiono się w las ciemny.

— O kwiecie, cudowne ziele, ukaż się, ukaż! — szepotali wszyscy, przedzierając się z zapałem przez zarośla.

I zatapiając wzrok w ciemnościach czekali gorączkowo rychło z tój płataniny gąszczu błysnie im świetlane ziarneczko, a szukając szli coraz dalej a dalej.

W głowach jakiś zamęt nie do opisania sprawiał im zawrót. Słyszeli wyraźnie uderzenia pulsów w skroniach. Silny aromat ziół i traw leśnych odurzył ich całkowicie, idąc wciąż przed siebie zapominając się zdawali o strachu i świecie całym.

Chłopcy myśleli tylko o skarbie i... Luizyannie.

A tymczasem czas mijał, za nimi drzewa zasłaniały coraz więcej przeglądającą jasność księżycy a drogę, zarośla stawały się gęściejsze, zapach odurzał coraz bardziej.

Pajęczyny z krzaków osiadały im na twarzy, gałęzie szarpały ubranie, na czoła występowały krople potu ze znużenia i podniecenia myśli, nie zważali nic na to, przedzierając się wciąż naprzód. Aż nagle stanęli jak w ziemię wryci. Ciemności dokoła nich rozjaśniła błyskawica i silny huk piorunu wstrząsnął lasem.

— Uciekajmy! — krzyknęła Helenka przerażona — burza idzie!...

— Burza — potwierdził Zygmunt — trzeba chyba wracać...

— A kwiat paproci? — zapytał Staś — czy mamy wracać bez niego. Nie, nigdy! Wolę burzę, pioruny niż go się wyrzec. A zresztą czyż nie wiecie że to „złe” tak straszy, burzy wcale niema na dworze.

— Niema burzy? — powtórzyła Helenka zdziwiona.

— Naturalnie że niema! — Mówił przecie owczarz że złe będzie różnemi sposobami straszyło, ale właśnie trzeba je zwalczyć odwagą...

— Kwiat paproci musi być zatem gdzieś blisko nas — przerwał przekonany tem dowodzeniem Zygmunt. — A więc baczność!...

I znów rzucili się gorączkowo do szukania.

Ale pomimo tych słów, któremi chcieli napróżno już, zagłuszyć w sobie obawę i wzbudzić nową energią, oszukując się nawzajem, trwoga opanowywała ich coraz większa. Drżąca ze strachu Helenka odejmowała im jeszcze bardziej odwagę i choć się do tego nie przyznawali, nadzieja wynalezienia kwiatu a z nim rozlicznych skarbów, opuszczała ich z wolna.

W lesie powstawał gwar coraz większy.

Wiatr miotał wierchołkami drzew, z każdą chwilą gwałtowniej, świszcząc przeraźliwie prześlizgiwał się po-

śródn, a skrzywienie gałęzi i szelest suchych liści zdawały się wołać ponuro:

— Uciekajcie!... uciekajcie!...

Wreszcie nie mogli już dłużej udawać. Hela płakała trzymając się obydwóch chłopców za ubranie, więc niby przez wzgląd na nią:

— Staś — odezwał się po chwili. — No, trudno coś znaleźć jak się idzie z trwożliwemi kobietami co tylko przeszkadzać umieją. Musimy już wracać do domu...

— Niepotrzebnieśmy ją tylko brali — dorzucił Zygmus — ha, więc wracajmy...

W tój samój chwili nowa błyskawica zakreśliła zyg-zakiem niebo i pioruny jeden po drugim uderzyły nokoło.

Parne powietrze dusiło prawie, drzewa trzeszczały od wichru i niby wołały natarczywiej: Uciekajcie, uciekajcie...

Teraz już obaj chłopcy wzięwszy Helę za ręce zaczęli biedz szybko.

— Boże, Boże, ratuj nas, ratuj! — wołała łkając głośno dziewczynka.

— Cicho Helo! — uspokajali ją drżącym głosem — za chwilę będziemy już na drodze; las się kończy, za kwadrans będziemy w domu...

Ale jakoś niestety, końca lasu nie było jeszcze widać, choć biegli prędko, tak prędko, że tchu zaczynało im braknąć.

Szlochanie Heli zlewało się w jeden chaos z odgłosem burzy, a za każdym błysnięciem widzieli się otoczeni niby zwartym szanćcem wojska olbrzymów, wieńcem starych drzew rozłożystych. Nagle z ust jój wydarł się okrzyk głośniejszy jeszcze od echa grzmotów w lesie...

— Wilki, wilki!... — zawołała rozdzierającym głosem.

Chłopcom, których i tak od pewnego czasu przerażała straszna prawda że zabłądzili w zaroślach, te słowa ścięły krew w żyłach. Staś uchwycił ręką w kieszeni rękojeść rewolweru, Zygmus instynktownie pociągnął ich do grubego pnia brzozy, bielejącego w ciemności. Obaj spojrzawszy przed siebie zadrżeli. O parę zaledwie kroków między krzakami świeciło kilka par oczu nieruchomie w nich utkwionych. O tych błyszczących jak światełka oczach nasłuchali się wiele od ojca, który niejednokrotnie zimą, miał z nimi w drodze do czynienia, więc choć nie widzieli nigdy sami poznali teraz od razu. Tak, Hela miała rację, musieli gdzieś w lesie zbłądzić daleko i poczuły ich wilki!...

(d. c. n.)

### OBIETNICA.

„Kiedy urosnę — Jadzia mówiła,  
To będę grzeczna, dobra i miła;  
Wszystko ułożę i zrobię sama,  
Nigdy mnie łajac nie będzie mama”.

A ta z uśmiechem łagodnie rzecze:  
„Co się odwlecze, pewno uciecze!  
Odkładać, czy to jest rzecz konieczna?  
Nie! lepij zaraz bądź dobra, grzeczna!”

Ewa Marya.

### SZARADA.

ulożona przez Ewę Maryę.

*Piarwsza* woła raz po raz: „Cicho! cicho! dziatki.  
*Druga z trzecią* najlepszą jest od zancj matki.  
*Trzecia* w pracy śle na chleb i oświatę grosze,  
*Cała* pyta: „Czem jestem?... odpowiedzieć proszę.

### Łamigłówka kryształowa.

1. Litera.
2. Płyn owocowy.
3. . . . .
4. Przynęta na muchy.
5. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę młodego swawolnego zwierzątka.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

#### Zagadki:

A r a.

#### Czarodziejskiej sztuczki:

Bryłka, Kra, Rusza, Drga, Ucho, Kura, August.

### Skrzynka do listów.

Na liścik twój kochana **Sosenko** spieszymy odpowiedzieć, że projekt podany innym paniom byłby, choć z jednej strony do bry, nie wykonanym w miejscu gdzie ciągle spotykamy się z podobnym rodzajem kwesty dla biednych, liściku przeto nie ogłaszamy, przyjmując twoją chęć dobrą za uczynk, ściskamy cię serdecznie.

Całem sercem odczuwamy boleść twoją, biedna **Stokrotko z nad Stochodu**, pamiętaj, że Bóg jest ojcem sierot, módl się i pracuj a i w tem wielkiem nieszczęściu spłynie ci z nieba pociecha. Wieczory pod wskazanym adresem poselamy.

**Helenie Bitnerowej w Wierchówce.** Żadaną historję posłałimy, kosztuje wraz z przesyłką rs. 1 kop. 20, prosimy przeto o zwrot dodanych 20 kop.

Kochana **Niezapominajko z nad Jabłoni** z serdecznem współczuciem przyjęliśmy wiadomość o twój chorobie. Ciężka to rzecz w twoim wieku leżeć w łóżku tak długo, ale wszelka jest nadzieja, że przy troskliwej opiece „*Maci*”, która kuracyi twojej pilnuje, szczególniej zaś przy pomocy Bożej, wyzdrowienie rychło nastąpi. Wiadomości o zdrowiu twojem z upragnieniem wygladać będziemy, tymczasem szczerze się cieszymy, że Pisemko nasze przyczynia się do skracania ci chwil choroby. Dobrj bądź myśli dziewczeczko droga, bo i to niepomału przyczynia się do zwalenia choroby.

**Całazka Paproci** przysłała nam wyrazy, które najmilszą nagrodę starań naszych stanowią. „Prostem i własnemi słowy” ujęła nasze serce pocziwa ta zieleń leśna.

**Prawda** bez trudności nas przekonała o przyczynach, dla których nagrody pragnie. Przyznaje się też do winy (co z pseudonymem jój jest zgodne), oto w liściku swoim do Szczeroci „zamiast *Zosia* napisała *Wandzia*”.

**Odwaznemu Pływakowi** serdecznie wieszujemy promocyi z nagrodą; a teraz prawo, jeżeli nie pływać to bujać swobodnie po górach, z kąd zapewne przywiezie zapas zdrowia i zwiększoną jeszcze ochotą do nauki.

Tęj, która dla tak szlachetnych powodów „nie pragnie odpowiedzieć” mówimy tylko „Boże dopomóż!”

**Westalko droga**, nigdy nam się korespondentki nasze „nie naprzykrzają”. Nie dziwimy się, że tak lubisz wieś...

**Jaskółka z nad Wilii** korespondencyą z nami rozpoczęła dobrym uczynkiem jakżeż tu nie powitać serdecznie takiej korespondentki?

**Ukrainka z Mazowsza** obawia się być „natrętną”, dla czego? O ile to w naszej możności, zawsze chętnie odpowiadamy na pytanie. Autorka chce jeszcze pozostać nieznaną; wierszyki tłómaczone są z oryginału.

Nie **Dziewanno z pól Mazowieckich** nie zapomnieliśmy kandydatki na staruszkę.

„Z własnej pracy”, **Czarnooka z Puszczy** to więcej niż datek to ofiara najlepsza i najprawdziwsza. Tak tobie, jak i wszystkim, którzy na kolonje letnie nadsyłają, składamy serdeczne: Bóg zapłać!

**Błądny Ognik** zachęcony jedną nagrodą, ma także ochotę przejechać się na Atlantę? Zobaczmy już niedługo, kto tę podróż odbędzie!

**Błada Różyczka** z gub. Mińskiej powołując się na dawniejsze posiadanie swego pseudonimu, prosi swą imienniczkę by ta dobrała inne jakies określenie. My zaś ponawiamy prośbę, aby korespondentki nasze zechciały obok pseudonimu wymieniać imię swoje, nazwisko i wiek. Nie tyczy się to tych, które w ostatnich kilku miesiącach zadość uczyniły naszej prośbie. 5 tomów Zdanowicza kosztuje rs. 5; „Wzory rysunków dla początkujących” Adlera, zeszytów 18, cena pojedynczego kop. 15. Zastosowana tam metoda rozpoczynania rysunku od kresek, wydaje nam się dobra.

Cieszy mnie to niewymownie, **Niezapominajko z Zacisza**, że listy moje podobały ci się i zjednały mi w tobie korespondentkę. Zazdrościsz mi pobytu w Warszawie? istotnie wiele tu jest ciekawych rzeczy do widzenia; ja jednak zawsze z przyjemnością wyjeżdżam na wieś, gdzie także niemało nauczyć się można. Zarówno lubiąc wieś i miasto, sama też nie wiem, którą naukę nad inne przekładam; te których przedmiotem są dzieje lub prace ducha ludzkości, nie mogą nie zajmować mnie żywo; te w których znajduję tłómaczenie otaczających mnie zjawisk mają też dla mnie powab wielki... Branki w Jassyrze wyszły już z druku w osobnej książce; nie dziwię się, że pragniesz tę powieść przeczytać.

**Szarotce alpejskiej** uściskiem płacę za uścisk, a nadesłane mi łamigłówni oddaję do uznania Redakcyi.

**Biała Ostróżko**, nie posiadam w Redakcyi takiego przywileju, któryby mi pozwalał porywać się na powagę „kolei”. Liściki „treści ogólnej” jak powiadasz „wyjątkowo się tylko drukuje; zależy to od treści i od obrobienia.

**Gwiazdce z Podola** posłane już „Baśnie”, które wraz z przesyłką kosztują rs. 1 kop. 80, resztę oddałam Redakcyi, jak tego żądałaś Gwiazdka. Ja także podzielim twoje zdanie, że nagroda ładniejsza, czy mniej ładna, zawsze jest miła, gdy się na nią zasłużyło.

**Muszka brzęcząca** zadowolona ze swojej wszak prawda? a i mnie też niewymownie, miło gdy której z was można zrobić przyjemność przyznaniem nagrodny.

Goląbka.

Kochana Biała Chmurko! Obralam sobie dla tego mój pseudonim, że mi się bardzo podobał. Dwie Siostry czytałam kilka razy, szczególniej podobała mi się Janka. Jestem szatynką, i na swój wiek dosyć wysokiego wzrostu, mam ciemne oczy. Zdaje mi się droga Chmurko, że jesteś Helunia Sz. i masz dwie młodsze siostrzyczki Klimusię i Maniusię. Napisz mi czy tak jest? Całuję cię serdecznie. *Wesoła Krakowianka.*

Kochana Sikorko! Czy nie jesteś Wiktusią N? i czy masz 4 siostry i dwóch braci? Jeżeli zgadłam to domyśl się kto jest Ostróżką. Powiem ci tylko iż mam lat 12 i jednego brata. Ścisłkam cię wraz z młodszą siostrzyczką: *Biała Ostróżka.*

Serdecznie pozdrawiam Białą Chmurkę, Cichą Wodę i Czaplę z nad Pohanki z rodzeństwem.

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Byłam bardzo rada poznać ciebie z bliska; będę więc teraz do ciebia pisywać często, jeżeli zechcesz. Odpisz mi niedługo. A tymczasem ścisłkam cię serdecznie. *Goląbka Wersalska.*

Kochana Lilijko z nad Wisły! Zdaje mi się, że jesteś Natalią Sz., czy tak? Widziałyśmy się dwa razy. Ja się nazywam Maryla. Zgadnij kto jestem. *Różowa Jutrzenka.*

Miła Grażyno! Nazywasz się Teresa W., wszak zgadłam? Dopiero teraz ci odpisuję, ponieważ miałam wiele zajęcia podczas egzaminów. Nie wątpisz zapewne, że mi się powiodły. Dawno już opuściłaś pensję, a jednak nie odzwyczaiłam się od ciebie i brak mi często twego towarzystwa. Dziękuję ci bardzo za współczucie, którego jednak nie potrzebuję, gdyż nie zapracowywałam się wcale. Ścisłkam cię serdecznie *Muchołówka.*

Najchętniej piszę się z twego korespondenta, kochany Skanderbegu, donoszę ci tymczasem, że mam lat 14, chodzę do szkół i mam dwóch młodszych braci, na imię mi Waclaw, czytać lubię bardzo. Oddany ci *Soból Irukcki.*

Kochana Mimoso z Kępna. Do napisania listu skłonił mnie twój śliczny wiersz p. t. „Powiastka konkursowa”, który teraz dopiero spostrzegłam. Donieś mi przez nasze kochane Pisemko, czy nie byłaś na pensyi w Chelmanie z dwiema starszemi siostrzyczkami? Odpisz niezadługo życziwemu *Marzeniu z nad noteckich dolin.*

Kochana Cyganecko z nad Wisły! Czy zechcesz ze mną korespondować? Mieszkałam na Rusi na imię mi Maryla, mam lat 14, jestem ciemną blondynką o ciemnych oczach, najmłodszą z rodzeństwa. Lilianna i Cezaryna są mojami siostrami. Donieś mi co o sobie. Ścisłkam cię *Jaskółka z Rusi.*

Pierwszy raz do ciebie piszę, kochana Jaskóteczko z nad Sekwany. Jeżeli zechcesz do mnie pisywać donieś mi co o sobie. Ja mam lat 17, jestem bardzo wysoką szatynką o niebieskich oczach. Mam siostrzyczki Liliannę i Jaskółkę z Rusi. Całuję cię po tysiąc razy, kochająca cię *Cezaryna.*

Bardzo mi się spodobałaś kochana Stokrotko z listów twoich do innych panienek i pragnę się z tobą zapoznać, jako nowa korespondentka Wieczorów, które bardzo lubię. Na imię mi Wanda, mam lat 16, jestem szatynką o niebieskich oczach i mieszkam na Rusi. Oczekuję listu: kochająca *Lilianna.*

Kochana Jakóbinko! List Różowej Jutrzenki bardzo mię zaciekał, bo znam panienkę tego imienia, której nazwisko także od R się zaczyna. Donieś mi więc czy mieszkasz na Nowogrodzkiej ulicy? i czy to ty odebrałaś nagrodę na konkursie gimnastycznym u p. Olszewskiego? Miła Złota Rybko i Topolko srebrna chciałabym z wami korespondować. Jak się nazywacie, i gdzie mieszkacie? Zaspokójcie ciekawość kochającej was *Czarodziejki.*

Milutka Niezapominajko z Zacisza! Przeczytawszy w Wieczorach twą odezwę do wszystkich korespondentek, postanowiłam pierwsza się do ciebie odezwać, wiedząc dobrze jak to miło odbierać liściki przez nasze kochane Pisemko, które już czwarty rok czytamy. Donieś mi coś o sobie. Mnie na imię Teresa, kończę lat 13, mieszkam na Podolu w powiecie lityńskim. Czeka rychléj odpowiedzi i prosi o pamięć twoja *Rosiczka z nad Rowu.*

#### NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Gwiazdka z Podola rs. 1 kop. 20. — Niezapominajka z Zacisza rs. 1. — Ukrainka na Mazowszu rs. 2. — Perełka i Fjolek rs. 6. E. 4. — Jaskółka z nad Willii z rodzeństwem rs. 1. — Czarnooka z puszczy rs. 1. — Sosenska rs. 1. — Sroczyka z Ukrainy kop. 90. — Horpyna rs. 1. — Gospoia z nad Pilicy: ubranie. Dla ubogich matek złożyli: Perełka i Fjolek rs. 2. E. rs. 4.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



**Oskar Kolberg.**

Zmarły w początku z. m. w Krakowie pisarz Oskar Kolberg, urodził się w Przysusze pod Opoczmem. Syn profesora

b. Uniwersytetu warszawskiego, z domu rodzicielskiego wyniósł to zamiłowanie rzeczy i ludzi najbliżej go otaczających, których badaniu całe życie poświęcił.

Pobierał nauki w Warszawie, był czas jakiś urzędnikiem, potem nauczycielem prywatnym; w przerwie zaś pomiędzy jednym a drugim z tych zajęć pracował w Berlinie nad muzyką, do której miał nie tylko zamiłowanie, ale i talent istotny. Świadczą o tem różne jego utwory na motyw pieśni ludowych, oraz opery, z których jedną przedstawiano w Warszawie; ale prawdziwym jego powołaniem było badanie ludu i dlatego też porzuciwszy muzykę oddał się wyłącznie zbieraniu wiadomości o ludzie wiejskim. Jego zwyczaje, obrzędy, tańce, śpiewy, zabobony, przysłowia, sprzęty, ubiory, wszystko jednym słowem, co się ludu tyczy, a razem wzięte, nazywa się *etnografią*, stało się przedmiotem poszukiwań, których owoc zawarł Kolberg w 25 tomach wielkiego formatu; do niektórych podorabiał obrazy Wojciech Gerson, do wszystkich zaś sam Kolberg dołączał nuty.

Pisząca te słowa zachowała z dziecińczych lat swoich wspomnienie wysokiej i chudej postaci gościa, który przez jakiś czas bawił w domu jej ojca, dla zapoznania się z ludem miejscowym. Pamięta, jak natarczywie proponowałże opowiadać będzie łaskawemu na dzieci słuchaczowi bajki, których się nauczyła od niańki-wieśniaczki, jak jej wzbraniano nudzić go dziecienną gadaniną, jak mimo to nieraz przecie przywoływał ją do siebie i drażniąc się z dziewczynką przekręcał najlepiej znane jej piosenki, lub bajkom niespodziewane dorabiał zakończenia, co ją przejmowało oburzeniem tem większem, że zaprzeczyć mu,



ani poprawić go nie śmiała... Dziś jeszcze, przerzucając dwa tomy z gub. lubelskiej zebrane, mogłaby na ich stronnicach odnaleźć sporne owe ustępy!

Ostatnie lat 16 przepędził Kolberg w Krakowie, gdzie Akademia umiejętności udzieliła mu pomoc tak na prowadzenie dalszych poszukiwań jak i na wydawnictwo, nad którym do ostatniej chwili pracował tak, że nad korektą prawie zamknął oczy. „*Lud, jego zwyczaje* i t. d.” pozostanie w naszym piśmiennictwie pomnikiem i niemającym równego sobie dzieła, którego autorowi słusznie należy się miano zasłużonego.

T. P.

## ROZMOWA Z PTASZKIEM.

— Komu uroczę ślesz ptaszku tony,  
Komu miłe szczebioty?  
Co wietrzyk w różne roznosi strony,  
O! powiedz mi, mój złoty!  
— Komu? Gdy rankiem błysnie słoneczko  
I spija krople rosy,  
Najpierwsze dźwięki luba dziewczeczko,  
Ślę Bogu tam w niebiosy.  
Skromna piosenka, co w niebo wzlata,  
To modły me, pacierze,  
To hołd dziękczynny dla Stwórcy świata,  
Składany codziem szczerze.  
A potem... potem... śpiewam dzień cały  
Dla dobrych ludzi w świecie,  
Bo na to nieba piosnkę mi dały,  
Na tom stworzony przecie.  
Przez całą wiosnę, przez całe lato,  
Na różne siadam drzewa,  
Ptak przed pałacem, czy też przed chatą,  
Zawsze jednako śpiewa.  
A czasem także lecę z piosnecką,  
By ją wyśpiewać mile,  
Wśród bram cmentarza, luba dziewczeczko,  
Tym, co leżą w mogile.  
Czy mi wesoło, czy serce boli,  
Piosenka ciągle wraca,  
Czyli to w dobrą, czy też w złą doli  
Śpiewam, to moja praca.  
Czynić coś każde musi stworzenie,  
Modlitwa, trud, to życie!  
Śpiewam też póki słońca promienie  
Nie znikną mi w błękanie.

*Helena Bojarska.*

## BYŁO ICH CZTERECH.

Niema zapewne nikogo z pomiędzy naszych czytelników, kto by o Janie Kochanowskim nie słyszał. Każdy wie, że to był znakomity poeta XVI wieku, że pisał pieśni pobożne na wzór króla Dawida, hebrajskiego poety, że psalmy tegoż Da-

wida przetłómaczył i że miał córkę Urszulkę, po śmierci której napisał bardzo piękne treny czyli pieśni, w których przywołuje sobie wszystkie zalety ukochanej najmłodszej córeczki i skarży się, że mu śmierć zabrała takie rozkoszne a miłe dziewczętko.

Przeczytawszy który z tych trenów, żałujemy sami tej małej Urszulki, która mając zaledwie rok trzeci, umiała rodzicom się przypodobać a każdemu dać trafną odpowiedź, najczęściej wierszami, jak to Kochanowski w jednym ze swych trenów wspomina:

„Ochędźne, posłuszne, karne, niepieszczone,  
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone  
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewliwe (niepłacliwe),  
Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive,  
Nigdy o porannej karmie nie wspomniała,  
Aż pierwój Bogu swoje modlitwy oddała;  
Nie poszła spać, aż pierwój matkę pozdrowiła  
I zdrowie rodziców swych Bogu poleciała.  
A to tak w małym wieku sobie poczyniała,  
Że więcj nad trzydzieści miesięcy nie miała”.

Piękne są treny Kochanowskiego, lecz nieraz słyszymy na podwórzu pieśń, śpiewaną nosowym głosem przez jakąś biedną babinę, kulawego lub ślepego dziadka np.

„Wszehmocny Panie, Wiekuisty Boże,  
Któż się Twym dobrodziejstwem wydziwować może”?

Lub:

„Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary,  
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary  
Kościół Cię nie ogarnie pełno wszędy Ciebie  
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie”.

Albo też jeszcze częściej słyszymy:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu:  
A całym sercem szczerze ufa Jemu”!...

Słowem, gdy usłyszymy pieśń tak w ogóle znaną „Kto się w opiekę” na myśl nam nawet nie przyjdzie, że tak powyższe dwa psalmy, jako też i tę pieśń ostatnią napisał Kochanowski.

Czy kto umie czytać, czy nie umie, czy słyszał lub nie słyszał o Kochanowskim, pieśni te z całym przejęciem powtarza, bo one przypadają każdemu do serca i każdy w nich znajdzie jakieś słówko, co jest tłumaczem jego uczuć ku Stwórcy, każdy w nich znajdzie prośbę, którąby chciał zanieść ku niemu, a którą Kochanowski w swej pieśni zamieścił. Temi właśnie pieśniami stał on się wielkim poetą; pieśni te przeszły z ust do ust, nigdy wśród nas nie zaginę, bo zarówno je powtarzać będzie bogacz jak żebrak, uczony, który dużo rzeczy unie i wiele nauk zgłębił, jak prostaczek, któremu za całą puściznę naukową, pozostały proste słowa pieśni, nuconej przy kądzieni przez matkę, lub ojca prowadzącego pług na rolę w mglisty, jesienny poranek.

Pieśni te dla Kochanowskiego stały się najpiękniejszym i najtrwalszym pomnikiem, którego czas nie obali, słońca i burze nie zniszczą.

Zapytamy się jednak jakim sposobem doszły one do tych, którzy czytać nie umieją? Dawno, dawno, w długie zimowe wieczory, pani zwykle zasiadała wraz ze swymi domownikami do pracy. Nic kądzieni lub wełny wywijała się z pod palców pracowitej matrony lub jej córek, a z nią płynęła pieśń, którą powtarzały wszystkie zgromadzone niewiasty. I potem każda, gdy osiadła na swoim gospodarstwie, w wiejskiej chacie, uczyła jej dzieci swe, a pieśń z pokolenia na pokolenie przechodząc, wnikała w serca prostaczków i rozpowszechniła się między nimi.

Oprócz tych znanych ogółowi pieśni, Kochanowski napisał jeszcze wiele innych, które mniej są znane jak np. „Sobótka”, w których opisując rozkosze życia wiejskiego tak mówi:

„Oracz pługiem zarznie w ziemię,  
 Stąd i siebie i swe plemie,  
 Stąd roczną czeladź i *wszytek*  
 Opatruje swój dobytek.  
 Jemu sady obradzają  
 Jemu pszczoły miód dawają  
 Nań przychodzi z owiec wlna,  
 I zagroda jagniąt pełna,  
 On łąki, on pola kosi,  
 A do gumna wszystko nosi.  
 Skoro też siew doprawimy,  
 W koło komin obsiadziemy  
 Tam już pieśni rozinaite  
 Tam będą gadki (powiastki) odkryte  
 Tam *cenar* tam i *goniony* (tańce).

W przystępie dobrego humoru, na biesiadzie, gdy albo do Kochanowskiego zjechali sąsiedzi, albo on do nich pojechał, tworzył na prędce wesołe zwrotki, które nazwał fraszkami. Umiał on więc nie tylko modlić się i płakać i przedstawiać życie spokojne ziemianina, ale śmiać się i wesozić; dla tego też tak był lubiony przez współczesnych, tak ceniony przez wieki całe.

Królowie zapraszali go na dwór swój i chcieli obdarzyć urzędem. Podziękował jednak za ten zaszczyt, wołał w ciszy pracować, niż wśród zgiewu i zabaw dworskich dobijać się wyższych dostojenstw. Gdy jednak Jan Zamoyski żenił się z drugą żoną Anną Herburtówną, nietylko napisał dla uczczenia tych godów dramat, p. t. „Odprawa posłów greckich” lecz był osobiście na ich przedstawieniu w Ujazdowie. Zrobił ten wyjątek dla Zamoyskiego i towarzyszył wszelkim uroczystościom, bo go z nim łączyła dawna zażyłość z lat młodzieńczych, byli bowiem razem na uniwersytecie w Padwie.

Nietylko zaś sam Jan Kochanowski, o którym dotąd mówiliśmy jaśniał wśród literatury XVI w.; stał on na czele swego rodu, jak stoi na czele piśmiennictwa pracami swemi, a w XVI w. nazwisko jego kilkakrotnie powtarzane jest w literaturze.

Oprócz Jana był jeszcze stryjeczny jego brat Mikołaj Kochanowski, który tłómaczył dużo z greckiego i łacińskiego, a dla swych synów zostawił „Rotuły” czyli napomnienia, wśród których pisze:

„Nie zajrzę (nie zazdroszczę) bogactw nikomu  
 Ani kosztownego domu;  
 Nie dbam o wsie, gumna wielkie,  
 Ani o urzędy wszelkie.  
 Mając dziatki, wyżywienie,  
 Macie wszelkie dobro, mienie,  
 A kto nad to więcej żąda,  
 W niebie Boga nie ogląda.”

Piotr Kochanowski, synowiec Jana odznaczył się przetłómaczeniem „Jerozolimy wyzwolonej” napisanej przez Tassa, współczesnego sobie włoskiego poeę, żyjącego w XVI w. Jędrzej podobno brat rodzony Jana, ale na pewno o tem nie wiemy. Tłómaczył bardzo dużo z łacińskiego, a mianowicie z utworów poety rzymskiego Wirgiliusza, żyjącego w ostatnim wieku przed Narodzeniem Chrystusa.

Było ich więc rzeczywiście czterech, wśród których imię Jana zawsze jaśnieć będzie.

Z. Morawska.

## WYSPA HELGOLAND.

Na morzu Północnem, o 6 mil na północo-zachód od ujść Wezery i Elby leży skalista wysepka Helgoland  $\frac{1}{4}$  mili kw. powierzchni mająca. Składa się ona z dwóch niejako piętr, połączonych z sobą wschodami, których jest spora liczba, bo aż 195, prowadzących z części dolnej piaszczystej, na górę wy-

niesioną na 200 stóp nad poziom morza. Ta część górna właściwe miasteczko stanowiąca, to skała łupkowa, na której dla osłabiwości rośnie trochę kartofli, w ziemi naniesionej tu głównie przez ręce ludzkie, poczęści zaś powstałej z wietrzenia skały zjawiska, zapewne wam już z nauki geografii znajomego. Tu pojawia się ono z taką siłą, skała tak się rozszczała i kruszy pod działaniem deszczu, który jej warstwy rozszcza i drobne prazu szczeliny pogłębia, że jak twierdzą uczeni, czas istnienia jej jest już policzony: za sto lat, ubyc jej ma część jedna trzecia, z piaszczystej zaś ławicy stanowiącej część dolną, nie już wówczas nie pozostanie. Już teraz woda wartka przerwała ją i oddzieliła od wyspy górnej, a fala z dniem każdym unosi trochę piasku i uszczupla grunt, na którym stoi ze sześćdziesiąt chat rybackich oraz zakład kąpielowy. Łozina zasażona na brzegach dla zabezpieczenia ich, okazuje się bezsilną wobec rwącego prądu morza, które nawet podnoże skały podmywa. Dla przekonania się o przyszłości, która grozi wysepce, dość spojrzeć na mapę sporządzoną w XV w. a przedstawiającą Helgoland takim, jakim był w VIII w. za czasów św. Willibrada, który ludności tutejszej, pochodzenia fryzjskiego, opowiadał wiarę św. Wyspa przewyższała wtedy obszarem drugą leżącą na Bałtyku, której powierzchnia wynosi 967 kilom. □. Na początku IX w. wały morskie urwały więcej niż połowę Helgolandu, powtórzyło się to raz drugi i trzeci, i prawdopodobnie powtórzy jeszcze, aż wreszcie z mieszkalnej dziś wyspy zostanie może tylko to, co Niemcy z gniewem „kamieniem w morzu” nazywali. Wyspa pozostająca w ręku Anglików, broniona przez 4 baterye, przeszkadzała Niemcom w czasie wojny do operacji wojennych; teraz, kiedy ją skutkiem układów z Anglią nabyli, zaczęła tam zapewne wznosić silne warownie, a jednocześnie zakładać morzu tamy, dla powstrzymania niszczącej jego potęgi.

Dziś Helgoland posiada dwa porty; mieszkańców z górą 2000, trudnią się oni przeważnie rybołówstwem i żeglarstwem tudzież usługą cudzoziemcom, dość licznie tu przybywającym podczas letniej pory. Na brzegach Helgolandu wznosi się kilka latarni morskich, oddających ważne przysługi okrętom, które bez nich mogłyby się rozbić o helgolańskie skały lub zaryć w tamtejsze mielizny, szerokimi ławami zalegające dno morza.

Wyspa należała pierwotnie do Szleswigu; w r. 1807 została zajęta przez Anglików a w r. 1814 odstąpiła ją Dania na rzecz Anglii, pod władzą której aż do chwili obecnej pozostawał Helgoland.

## SIOSTRY MIŁOSIERDZIA.

Te świątobliwe sługi Chrystusowe, pocieszycielki cborych, ubogich, opiekunki sierot, zanadto dobrze są znane, zanadto powszechnie wielbione, abyśmy potrzebowali pochwały ich głosić. Paganie nawet szanują Siostry Miłosierdzia. Gdzie tylko cierpienie, nędza, smutek czuć się daje, tam migają białe kapelusze, jak skrzydła anielskie otaczające skronie tych prawdziwych aniołów Bożych. Każda Siostra Miłosierdzia pełni obowiązki swe z prawdziwego powołania i z dobrej woli, gdyż one nie są związane wieczystymi ślubami, jak inne zakonnice. W każdej chwili mogą wystąpić ze zgromadzenia i zdjąć zakonne szaty. A jednak wypadki podobne zdarzają bardzo rzadko, kto raz zakosztował słodczy służby Bożej, nie tęskni do światowej swobody. Słodkie jest jarzmo Chrystusowe.

A jednak służba dobrowolna, podjęta przez te świątobliwe niewiasty, ciężka jest i trudy niemałe pociąga za sobą. Siostry mieszkające np. w szpitalach, muszą wstawać o godz. 4-tój z rana, aby wydołać wszystkim obowiązkom nabożeństwa i służby szpitalnej. Pokarm ich jest nadzwyczaj skromny, bo fundusze na to wyznaczone są bardzo oszczędne, przytem zachowują ściśle posty. Dopełniwszy modłów porannych i wysłuchawszy Mszy św. w kaplicy szpitalnej, Siostry Miłosierdzia rozchodzą się po salach, gdzie każda ma wyznaczone miejsce.

Przez cały dzień nie odstępują chorych, tylko na chwilę oddalają się dla odmówienia modlitw.

Sam widok chorych, i to z klas najuboższej ludności, jęczących, często wstrętami cierpieniami dotkniętych, nadzwyczaj jest przykry. Cóż dopiero, gdy ludziom tym potrzeba oddawać różne usługi, opatrywać rany, obmywać ich, czesać, paznogie obcinać, przebierać. Pomyślcie tylko, jakie to ciężkie, niemiłe zajęcia. Wielkiego poświęcenia, wielkiej siły ducha potrzeba, ażeby z dobrej woli, bez przymusu, bez zapłaty, podjąć się czegoś podobnego. A jednak pomiędzy Siostrami Miłosierdzia, które dni całe spędzają po salach szpitalnych, rzadko napotkać można twarze posępne, zasmucone. Zazwyczaj z pod skrzydeł białych kapeluszy wyzierają oblicza pogodne, wesołe nawet, uśmiechnięte, opromienione dziwnym jakimś światłem, jakby odbłaskiem nieba. Trudno powiedzieć, ażeby strój ten zakonny był piękny i mógł dodawać wdzięku, a jednak nigdy nam się nie zdarzyło widzieć Siostry Miłosier-

jedynie za opłatą. Na miejsce jednej Siostry Miłosierdzia dano dwie dozorcynie świeckie, gdy te nie zdołały sobie dać rady, dodano im trzecią do pomocy, każdej płacono dwa lub trzy razy tyle, ile na skromne utrzymanie swe pobierają Siostry, wszystko na nie się nie zdało. Chorzy nie mają opieki, niedbalstwo daje się we znaki na każdym kroku. zdarzają się liczne wypadki pogorszenia choroby a nawet śmierci w skutek niedozoru, jednym słowem skutki są najokropniejsze.

Rząd upiera się przy swoim jedynie przez pychę, lecz lekarze, nawet nie katolicy przerażeni takim stanem rzeczy, raz po raz podają petycje, błagając o przywrócenie Sióstr Miłosierdzia, oraz Sióstr Augustyanek, które we Francji także poświęcają się pielęgnowaniu chorych po szpitalach. Najwymowniej jednak powstają przeciw zgubnej zmianie sami chorzy; ci tłumnie cisną się do kilku szpitali, gdzie jeszcze pozostawiono Siostry Miłosierdzia, jeśli tylko mogą, przenoszą



Wyspa Helgoland.

dzia szpetnej. Po większej części wyglądają na kobiety piękne, taki urok nadaje twarzy wyraz piękności ducha.

Często bardzo Siostry Miłosierdzia mają sposobność spełniania czynów prawdziwie bohaterskich, chociaż nie uważają tego wcale za coś nadzwyczajnego. Nikt ich nie wysławia, nie rozgłasza ich poświęcenia, mało kto nawet wie o tem. Jeli np. wybuchnie gdzie zaraza, cholera, ospa, lub inna choroba podobna, nikt nie naraża się tak, jak one. Lekarz przyjdzie, obejrzy chorego, może przytem zachować wszelkie ostrożności; lecz Siostra Miłosierdzia ani myśli o jakichkolwiek środkach bezpieczeństwa, opatruje tych chorych, dogląda ich, dotyka, tak samo, jak innych. To też bardzo często przypłacają to zdrowiem, a nawet i życiem. Nigdy nie widziało, ażeby która okazała choćby cień obawy.

Terażniejszy rząd francuzki republikański, nieprzychylny religii, pousuwał ze szpitali w Paryżu Siostry Miłosierdzia i zastąpił je posługaczkami świeckimi. Tu dopiero okazało się jawnie i w całej pełni, że te służki Chrystusowe nie mogą być zastąpione przez kobiety, pełniące obowiązki przy chorych

się tam z innych, wykwintniejszych, przenosząc opiekę aniółów swoich nad wszelkie wygody i najdoskonalsze leki.

Rysunek nasz przedstawia ochronę parzyką, Siostry rozdają działwie jedzenie. Każdy zapewne spostrzeżę, że kapelusze mają skrzydła cokolwiek dłuższe od tych, które noszą nasze polskie Siostry Miłosierdzia. W rzeczy samej zmiana ta nastąpiła niezbyt dawno. Przełożona zgromadzenia, zamieszkała w Warszawie, uważała te skrzydła za niewygodne z powodu zbytnej długości. Wydała więc rozkaz, aby je nieco skrócono. Ponieważ zmiana była dobra, więc się utrzymała i Siostry nasze tutejsze wyróżniają się od wszystkich zagranicznych tym drobnym szczegółem swego stroju.

Strój to niezmiernie starożytny, pozostał bowiem bez zmiany od czasów Ś-go Wincentego a Paulo, założyciela zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, zwanych też czasem z francuzkiego Szarytkami. Suknie z grubego sukna latem są nadzwyczaj ciężkie i gorące, nie wolno jednak Siostrom nawet podczas upałów używać na nie innego, lżejszego materiału.

# W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

## II.

Wiadomo że myśliwi, niekiedy, w niedogodnych wyjątkowo znajdując się warunkach, ścigani przez krwiożercze zwierzęta,

uciekających, zdobycz sama wpadła w ręce dzikich napastników. A oni... czy to iż byli tak dzicy, że europejska kobieta w wykwintnym stroju dziwem dla nich była, czy też może zajęła ich niezwykła piękność białej jak marmur kararyjski, z pozoru nieżywej zupełnie w omdleniu swem dziewczyny; czy też co najprawdopodobniejsze nareszcie, nie będąc może tak bardzo jak się zdawali dzikimi, domyślili się kogo mają w swjej mocy i zrozumieli jak ważną zdobyczą, jak znakomitą za-



Siostry Miłosierdzia.

poświęcają część własnej zdobyczy dla ocalenia siebie samych. Nie zdarza się to nigdy wprawdzie z szlachetniejszymi nieprzyjaciółmi, bo lew rozdrażniony np. zwróci się zawsze wprost na wroga, najponętniejszą gardząc zdobyczą, dla rozkoszy zwycięstwa; lecz zdarza się to zawsze z nikczemnymi szakalami. Coś podobnego właśnie miało miejsce, z ważną wszelako różnicą w obecnym pościgu mściwych Indyan, za garstką niewinnych Europejczyków. Nikt wprawdzie nie miał zamiaru oddawać im cokolwiek na pastwę, ale mimo to na ciężkie nieszczęście

kładnikiem w ich rękę może się stać córka znanego z bogactw i rozległych stosunków Mac'Ulma... dosyć że zatrzymali się przy niej, walcząc z jej obrońcami tak długo, iż to ocaliło główną gromadkę uciekających. Zanim porwano Klarę, zanim Wiliam wystrzelił ostatnią kulę, a Soliman upadł pod ciosami, uciekający słudzy wlokąc swych panów, zniknęli w lasku pobliskim.

— A teraz, niechaj na mnie spadnie każda kropla krwi waszej, jeżeli nie potrafie was i siebie ocalić — rzekł Mahora.

Ażeby zrozumieć te wyrazy, trzeba wiedzieć, że pomiędzy służącymi cudzoziemców takich jak Thorn i Mac'Ulm, znajdowało się wielu Indyan, a z tych niektórzy ujęci sprawiedliwym i ludzkim panów swych obejściem, a także snadź uczciwsi od towarzyszków i więcej oświeceni, pozostali wiernymi obowiązkom, nie dając się wciągnąć w tajemniczy a straszny spiszek, którego tak słusznie obawiał się William, a także ojciec jego i pan Mac'Ulm. Otóż wyjątkowi tacy uczciwi słudzy, często-kroć pociągali swym przykładem innych chwiejnych kolegów, biorąc w takim razie niejako na siebie moralną za nich odpowiedzialność, gdyż nie ulegało wątpliwości, że fanatyczni spiskowcy okrutnie mścić się będą na tych współziomkach, którzy nie zechcą przystąpić do okropnego stowarzyszenia, mającego za hasło: śmierć cudzoziemcom!

Dla tego to Mahora odetchnął dostawszy się z towarzyszami do zbawczego lasku i powiedział im: A teraz niechaj każda kropla krwi waszej spadnie na mnie, jeżeli nie potrafię was ocalić.

Świadomy miejscowości, zбочzył on nagle w prawo, przedzierając się przez gęstwiny kolczatych roślin, niedostępne na pozór:

— Pana na plecy! — szepnął widząc że stary Thorn zropaczony stratą najstarszego syna, traci przytomność i siły i przeto opóźnia ucieczkę. Natychmiast jeden z silniejszych pochwycił starca na plecy i uciekano dalej:

— Nie pojmuję czemu nie zrobiło się tak z panną Klarą! — ktoś szepnął.

— W gwałtownym pośpiechu nie przyszło to na myśl nikomu!

— A gdyby przyszło bylibyśmy z pewnością zginęli wszyscy, śmierć tamtych trojga ocaliła dziewiętnastu ludzi... — Dziś okrzyki rozległy się już w lesie.

— Wchodźcie tu!... po jednym! — rozkazał Mahora usuwając nogą gęste zarośla i wskazując otwór u stóp małego wzgóreczka, otwór tak ciasny jakby go lisy na jamę sobie wykopały. Wkładając tam głowę, człowiek przykrego doznawał uczucia, które jednak prędko mijało, gdyż wązkie owo wejście rozszerzało się prawie natychmiast w obszerną jaskinię. Najtrudniej było wciągnąć deski, a jednak musiano je wciągnąć koniecznie, aby nie zdradziły ukrycia zbiegów.

— No... niechże tamci spróbują teraz nas znaleźć, a choćby i znaleźli, wejście do jaskini, niech spróbują do niej zajrzeć!... — powiedział znacząco Mahora, stając wewnątrz groty z siekierą w ręku tuż u niskiego wejścia...

W istocie, jeden człowiek mógł bardzo wielu pokonać na miejscu, ponieważ wchodzący, a raczej wsuwający się, musiał zawsze wsuwać się pojedynczo... i głową naprzód. Zbiegowie poupadali na wilgotny grunt jaskini, odpoczywając po nadmiernym wysiłku. Mahora zasłoniwszy starannie wejście zaświecił na chwilę zapalną, aby obecni rozpatrzyli się w jaskini.

— A jeżeli znalazłszy wejście atakują je?... czy jest tu inne wyjście? — mruknął ktoś niewyraźnie: wielu zadrżało. Ale inni nie słyszeli tych słów.

— Klaro! Klaro dziecko moje! — łkał po cichu Mac'Ulm skulony w kącie.

Stary Thorn z załamaniem rozpacznie rękoma i błędnem okiem, leżał dziwnie sztywny i nieruchomy jak go położono. Czterej młodzi ich synowie z zaczerwienionymi oczyma, jedni zalani łzami, drudzy z suchą źrenicą i wypalonym na licu rumieńcem, gwałtownie nabijali i opatrywali broń swoją i ojców. Zapalka zgasła. Mahora i jego towarzysze w milczeniu nasłuchiwali u wejścia gotowi do rozpaczliwej walki. Zwierzęce nieledwie wycia i przeraźliwe okrzyki wrogów zbliżały się chwilami tak bardzo, że słuchający pewni już byli iż odkryci być muszą, a jednak straszna wrzawa oddalała się znowu kilkakrotnie, aż nareszcie oddaliła zupełnie. Głuche i milczenie zajęło lasy odległe od wszelkich siedzib ludzkich. Noc zapadała. Służący pokurczywszy się na ziemi, gdzie który stał nokoło wejścia, drzemali. Głuche tłumione łkania i westchnienia odzywały się z kąta, zajętego przez panów.

Wtedy po raz pierwszy od chwili schronienia się do jaskini, Mahorra postąpił kilka kroków w głąb:

— Nie należy nam tracić zupełnie nadziei o młodem państwie — szepnął — wiem z pewnością, że pomiędzy tymi tam szaleńcami jest wielka karność, i prawie pewien jestem, że mają rozkaz oddawać znakomitszych jeńców żywcem, wodzom swoim...

— Tak, a to dla powolnego zamordowania ich na cześć bóstw, na uroczystym zgromadzeniu... — szepnął głos drżący. — I to jeżeli przypadkiem nie zabiją ich na miejscu.

— Chwała Bogu pan wraca do przytomności, tem prędzej ocaleni być możemy — szepnął do siebie Mahora. I dodał półgłosem, ale gorąco:

— Wszystko jest w mocy Bożej... i ani włos nie spada z głowy ludzkiej bez woli Boga!

Mahora niedawnym był chrześcijaninem, i jak to często zdarza się z nawróconymi bałwochwalcami, odznaczał się żarliwą, szczerą pobożnością.

— Trzeba pomyśleć, co pocniemy dalej? Czy mamy umrzeć z głodu w tej kryjówce? — spytał po chwili Mac'Ulm. — Sprężyste umysły nieszczęśliwych ludzi zaczynają już ocalać się z pierwszego osłupienia, sprawionego ciosem okrutnym.

— Niema wyboru, jeden jest tylko sposób: musimy bądź co bądź dostać się na wybrzeże morskie; angielskie statki krążą tam w pobliżu niewątpliwie, którykolwiek da nam schronienie na swym pokładzie.

— Prawda, pan Thorn słusznie mówi jak zawsze, to jedyny sposób, ale jak się dostać na wybrzeże, kiedy to jest daleko, a po drodze spotykać będziemy ciągle buntowników, gdyż napaść na mój dom nie jest z pewnością faktem odosobionym, cała okolica musi być w ogniu prawdopodobnie... Bunt tak długo i chytrze przygotowywany, wybuchnął niechybnie wszędzie odrazu, aby rozdzielić i udaremnić siły władzy angielskiej. Zatem zginiemy przy pierwszym spotkaniu z krajowcami. Jeżeli zaś, aby uniknąć takiego spotkania, zechcemy przekradać się zdaleka od miast, wiosek i wszelkich zbiorowisk ludzkich, zkadźże weźmiemy w takim razie żywności, i gdzie będziemy nocę przepędzać, nie będąc wcale przygotowanymi do obozowania?

— Ponieważ niema wyboru, zatem prosto przed siebie najkrótszą do wybrzeża drogą! Co będzie to będzie! — mruknął Edward.

— Rozpaczliwą odwagą nie zyskamy nic — odparł Jerzy — przeciwnie unikajmy wszelkiego stosunku z ludźmi, śpijmy na drzewach, żyjmy dzikimi owocami idąc lasem o ile można; tak prędzej może wyjdziemy z matni i będziemy mogli przedsięwziąć cokolwiek dla ratunku Klary i Williama!...

— Jeżeli jeszcze żyć będą... — załkał Robert.

— Z dwóch ostateczności najrozsądniej będzie wybrać pośredek: idźmy unikając ludzi o ile można, ale nie oddalajmy się zbyt daleko od ich siedlisk, aby Mahora dobrawszy sobie odpowiednich towarzyszy z obecnych tutaj Indyan, mógł od czasu do czasu pod zasłoną swej narodowości, udając stronnika wrogów, znieść się z okoliczną ludnością, dostarczać nam żywności i dopytywać o drogę...

— Masz słuszność znowu przyjacielu Thorn! — rzekł Mac'Ulm. — W taki sposób, nadkładając zręcznością tam, gdzie nie wystarcza odwaga, moglibyśmy może dostać się na brzeg morza, zachodzi tu przecież jedna jeszcze trudność i wątpliwość.

— Jaka?

— Ta mianowicie, że Mahora i jego towarzysze prowadząc nas niejako, żywiąc i osłaniając, byliby w takim razie narażeni w dwójnasób na niebezpieczeństwo. A przecież, odkąd my nie możemy zapewnić im dobrobytu, i umówionej zapłaty, oni nie są naszymi służebnikami i nie mamy prawa nic od nich wymagać!... Wolną mają wolę i swobodnymi są!

— Może!... ale za to my... ja przynajmniej mam prawo wdzięcznym być panom! — gorąco zawołał Mahorra — za ich sprawą zostałem chrześcijaninem i nauczyłem się kochać

wszystkich ludzi, zamiast nienawidzić wielu. Panna Klara też nauczyła nas razem czytać, mnie, Solimana i kilku innych. Nie wiem czego chcą moi towarzysze lecz zapewniam ich, że teraz jeszcze nawet mają czas porzucić panów, jeżeli ci na to pozwalają, co do mnie, ja zostanę z panem do śmierci jak Soliman. Pamiętam dobrze jak pan Wiliam leczył mnie i moich braci, którzy są teraz na północy, a panna Klara pielęgnowała umierającą matkę moją, gdy właśnie współziomkowie nasi poranili nas w kłótni o żywność.

— Pozostaję z tobą — rzekł Rahib. — Nie po to szedłem naprzód, abym się teraz cofał.

— Ani ja — dodał Wilko — wszak wszyscy my trzej jesteśmy z rodu Bilsy pogardzani przez dumnych naszych współziomków z kast uprzywilejowanych! tułacze pomiędzy swoimi, znaleźliśmy współczucie u naszych panów, pozostanie my zatem z nimi.

Inni słudzy nie mówili nic; byli to wszystko cudzoziemcy w Indyjach, dola ich więc była zespolona z losem ich panów, zagrożeni tak samo zginęliby bez nich niechybnie, gdy razem, mieli jeszcze jaką taką nadzieję wyjścia z trudnego położenia.

— Dziękujemy wam bracia! — z chrześcijańską prostotą powiedział stary Thorn do Indyan. — Teraz niechaj dwóch najmniej zmęczonych strażuje u wejścia, my zaś starajmy się spać lub odpoczywać przynajmniej: jutro o brzasku puścimy się do Piuktu, o cztery mile ztąd, w kierunku brzegów morskich.

Thorn, tak ze względu na doświadczenie i obycie się z miejscowością, jak z powodu znanej bystrości i rozumu, mimo własnej wiedzy i bez poprzedniej narady między towarzyszami niedoli, był ciągle stawiany na ich czele, i uważany jako przywódca, ku czemu pan Mac'Ulm dawał pierwszy przykład. I teraz więc posłuchano starca w milczeniu. Ten i ów zasnął nawet wkrótce. Wśród sennych oddechów, łkania czterech młodych chłopców przez sen słyszeć się dawały. Ale stary Thorn ciężko zraniony stratą najstarszego syna, nazbyt cierpiał aby mógł zasnąć. Poczul też wkrótce raczej niż ujrzał w ciemności i głuchem milczeniu nocy iż Mahora wstaje i dosłyszał szept tak cichy, że tylko bystre ucho dosłyszeć go mogło:

— Rahib! Wilko! nim panowie odpoczną skoczmy do kantoru pana Mac'Ulma i do Tungary, zobaczyć co tam się dzieje z domami pańskimi... może tam będzie można zabrać cośkolwiek, coby nam się w drodze przydało, jeżeli tamci nie wszystko zniszczyli ze szczeniem...

— Thorn!... — a jeżeli oni nas opuszczają aby nie wrócić więcej? — szepnął nie śpiący również Mac'Ulm, poruszając starca za rękę. Ale zanim wymówił te wyrazy, już mały otwór stanowiący wejście po trzykroć został zasłonięty zupełnie i znowu bladawe światło księżycowej nocy zabłysło w nim... trzej Indyanie wymknęli się jeden po drugim. Stróżujący nie mogli przecież bronić im wyjścia.

— Wątpię... zresztą mogę uczynić w tej chwili jedno tylko, wyręczyć straż, która drzemie, gdy sam wcale spać nie jestem w stanie. — To mówiąc Thorn rozkazał dwom stróżującym spać, a sam zajął ich miejsce u otworu.

— Rozumiem — mruknął Mac'Ulm sam do siebie — on wątpi... a więc sam kładzie się u progu, poza którym śpią dwaj jeszcze jego synowie... Ha, zresztą, jeżeli nie Mahora, to Rahib lub Wilko... gdyby tak zostali schwytani a dano im do wyboru, wydać nas lub samym zginąć w męczarniach... hm...

Trzej Indyanie wypętlszy z jaskini, pełzali dalej wśród gąszczu, nie podnosząc się wcale. Noc była głęboka i cicha; księżyc pieścił tak łagodnie bujną zielen srebrnymi blaski, cała przyroda tak rozkosznie uśmiechać się zdawała w sennym spokoju, jakby nigdy bratobójcza krwiożerca wojna nie miała skazić ślicznego uśmiechniętego świata, stworzonego na przybytek szczęścia i radości. Dostawszy się na skraj lasu zatrzymano się rozpatrując; ani jedno światelko nie błyszczało nigdzie, żaden odgłos nie mącił nocnej ciszy, spokój w powietrzu był tak wielki, że nawet swąd spalenizny czuć się dotąd dawał nie rozwiany wiatrem. Mahora z ostrożnością właściwą swemu

plemieniu przyłożył ucho do ziemi... potem węszył przez chwilę na wszystkie strony jak wyżeł:

— Niema nikogo: w drogę! rzekł wstając. I tamci dwaj powstali: spiesznie a ostrożnie, pomimo przekonania że niema nikogo, dążyli wszyscy trzej napowrót tą samą drogą, którą rano uciekali wraz z panami. Przebiegłszy zniszczone sady stanęli wkrótce przed obszarem zarzuconym czarnymi zgłiszczami, rysującymi się w dziwaczne, fantastyczne, a olbrzymie postacie, na ciemnym tle nocy, srebrzystem tajemniczem światłem oblane:

— Wszystko zrabowane lub zniszczone, niby łan zboża, po którymby przeszło stado dzikich zwierząt...

— Trzeba jednak przeszukać zgłiszcz — szukano skrętnie, ale tylko w budzie ogrodniczej nie znaleziono nic prócz ogrodniczych narzędzi, haczyki do węgdek, maty i to zabrano. Potem pobieżano do Tungary do posiadłości pana Thorn'a. Tu, dom mieszkalny spalony także został ze szczeniem, ale zabudowaniom dano spokój, zapewne z obawy aby nie spłonęło od nich całe miasto, osiedlone krajowcami, spustoszone i zrabowane jednak wszystko, pozostawiając tylko puste beczulki po winie wypitem na miejscu.

— Niema nic!... paw tylko jeden jedyny straciwszy widać rodzinę, drzemie na zgłiszczach swojej dawnej chaty!..

— Paw? gdzie? A prawda! Trzeba go wziąć; mięso ze starych niedobre, ale przyda się w ostatnim razie. — Indyanin ścisnął dziób ptakowi, wziął go pod pachę i ruszono spiesznie z powrotem. Przebiegając teraz przez zniszczone sady i park tąż samą znowu drogą, którą uciekano rankiem przed pościgiem złoczyńców, Mahora zatrzymał się:

— Pewny jestem, że ani jeden z naszych strażów nie chybił, a jednak niema tu nigdzie ani jednego z ubitych! Patrzącie ich, jakto jednakże dbają o swoich!... — szepnął z uznaniem.

— A Soliman i pan Wiliam?... — trzej Indyanie spojrzeli po sobie:

— Swoich zabrali, ale nieprzyjaciół zwłoki porzucili z pewnością bez pogrzebu... — nie kończąc zaczętej myśli Wilko pierwszy rzucił się jak długi w trawę a dwaj towarzysze za nim i poczęli szukać: ogarnął ich pewien rodzaj dojmującego wstydu, iżby mieli i oni „dla swoich” nie uczynić tego co „tamci”. Wkrótce znaleźli i dokładnie rozpoznali miejsce, gdzie padł Soliman i gdzie znikł Wiliam jakby zatopiony w tłumie wrogów, ślady straszliwej walki były widoczne, ale więcej nic... Przeszukano całą najbliższą okolicę tak samo nie więcej nie znajdując:

— Ha, kto wie, Solimana zabitego mogli jeszcze unieść, dla tego, że bądźco bądź zawsze to „swój”, ale pan Wiliam?..

— O, nie!... zwłoki pana Wiliama zostawiłoby z pewnością na pastwę dzikim zwierzętom!..

— A więc chyba nie było tych zwłok?...

— A więc unieśli go żywego!...

— Trudno temu uwierzyć, bo bronił się z pewnością do ostatniej kropli krwi; znam ja go!...

— I ja go znam; a jednak zwłok niema, a tych oni nie zabrali.

— Mógł omdleć z ciężkich ran i z ujęcia krwi?...

— To ja Mahora! — poszepnął w kilka minut później Indyanin wsuwając się głową naprzód do znajomej jaskini i poczuwszy tuż przy skroni luźną rewolweru pana Thorn'a leżącego bezsensownie u wejścia.

— Gdzieście chodzili?

— Na zwiady: chcąc krok naprzód postąpić, należy wprzódy widzieć drogę przed sobą. U nas w Tungary i kantorze Mac'Ulmów zniweczone wszystko, stary paw tylko siedział na zgłiszczach, ale obszukaliśmy okolicę, zarośla i... niema żadnych zwłok...

Thorn ciężko westchnął... zrozumiał nacisk z jakim słuchający wymówił wyraz „żadnych”. Głuche westchnienia odpowiedziały mu echem; zaświecił zapalną: wszyscy panowie stali już naokół, słudzy podnosili się, sen zbiegów lekkim jest. Zaczzerwienione źrenice Thorn'a i Mac'Ulma zdawały się porozu-

miewać poczem ten ostatni rzucił okiem na ośmnastu otaczających ludzi i rzekł:

— Co bądź jest, zawsze w znikomem życiu doczesnem obowiązek musi być nam gwiazdą przewodnią; bezeń przyjdzie błąkać się w rozpacz jak w lesie: przedewszystkiem uczynimy to, co już jest postanowieniem; gdy zabezpieczymy tych otaczających nas przyjaciół na pokładzie angielskiego okrętu, wtedy dopiero ztamtąd będzie nam wolno czynić wycieczki i starania za straconemi dziećmi naszymi, jakkolwiek niemożliwem prawie jest w tym razie powodzenie.

— Wszystko jest w mocy boskiej — rzekł Machora. Spokojny na pozór Thorn i dumny jak wszyscy Anglicy zwyczaj, po raz pierwszy w życiu wyciągnął ramiona i uściśkał sługę Indyanina... grube łzy spadały po twarzy Mac'Ulma, chłopcy łkali... zapalka zgasła.

(d. c. u.)

## PYTANIE.

Witajże Stasiu, braciszku kochany, dobrze, że już wróciłeś do domu; będzie nam z tobą weseliej, bo już obiedwie nie wiemy, coby nowego wymyśleć. Sprzykrzyło się nam czytanie; krokiet także już nas nie bawi, przechadzek mamy po same uszy — no, jednym słowem znudziło się nam wszystko!

Tak Zosia i Kazia powitały braciszka, który po dłuższej nieobecności powracał ze szkół do domu na wakacje. Chwili tej dziewczynki zwykle z wielką wyczekiwałą niecierpliwością, bo wiedziały, że Staś zawsze powie im coś nowego, zawsze je jakiejś nowej zabawy nauczy, a panienki miały tę bardzo brzydką wadę, że jedną rzeczą nigdy się dłużej bawić nie lubiły, że czas zawsze im wydawał się za długi, bo go pożytecznie spędzać nie umiały.

„Słuchajcie siostrzyczki, pyszną wam nowość przywiozłem! będziemy mieli zaimprovizowany koncert, ale to koncert nie lada”, zawołał Staś, uściśkawszy siostry na powitanie.

— Jaki to koncert? — jednogłośnie zapytały dziewczynki.

— A na jakim instrumencie? — dodała Kazia.

— No, chyba na fortepianie — zdecydowała Zosia — bo przecież niema u nas innego instrumentu muzycznego.

— Otóż ani na fortepianie, ani na skrzypcach, ani na dudach, ani basach, tylko poprostu na szklankach!

— Co?!... na szklankach? ej, nie żartuj z nas sobie, mój Stasiu; nie jesteśmy znów takie dziecinne, abyśmy w podobną niedorzeczność uwierzyć mogły — powiedziała Zosia z obrażoną miną.

— Jaka ona paradna! sądzi, że z niej żartuję. Otóż widzisz, Zosiu, że jesteś rzeczywiście jeszcze dzieckiem i umiesz nie wiele, bo gdybyś była starszą, tak np. w moim wieku i gdybyś znała chociaż niektóre zasady fizyki, tobyś wiedziała, że nie żartuję wcale, bo koncert taki jest rzeczywiście możliwy; ja sam zresztą w zeszłym tygodniu słyszałem muzykę na szklankach, a chociaż nie brzmiała ona tak pięknie, jak np. gra na skrzypcach lub fortepianie, to jednakże wcale była przyjemną dla ucha. Otóż koncertant ów ustawił przed sobą cały szereg szklanek, z których każda inny dźwięk wydawała, jedna wyższy drugą niższy. Wtedy uderzał w nie pałeczką bardzo szybko, z nadzwyczajną wprawą, a że wiedział dokładnie jaki, która szklanka ton wydawała, więc wygrał na nich jak na klawiszach jakie tylko chciał melodye.

Ale czemu można przypisać, że nie wszystkie szklanki równe brzmienie wydawały. Co sądzicie, siostrzyczki?

## ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

dzi	mu	by	się	sce	nie	wnet	A
cza	nie	Ot	nas	J	wnich	gdzieś	tak
no	wcho	ry	człek	cik	miej	ca	sze
świe	sem	U	i	cias	rzył	tru	się
gość	lud	nie	ką	wo	do	roz	ni
wie	ca	wtem	no	do	gra	ro	duo
nie	wiel	o	Dom	kie	Led	my	się
A	rzył	choć	ki	za	mek	Wiel	dzi

S Z A R A D A.

Ułożyła M. P.

Pierwsze, właściwe miejsce ma zwykle u spodu,  
Drugie-trzecie, królują wśród kwiatów ogrodu.  
O wszystkim wszyscy marzyć lubimy za młodu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go

S z a r a d y:

K a t u s z a.

## Łamigłówni głoskowej:

PowóJ—IrlandyA—EltoN—ŚwietliK—NiebO—OjcieC  
— SempacH—OliwA—BanaN—OrinokO—TuóW—CelebeS  
— EmeryK — I.

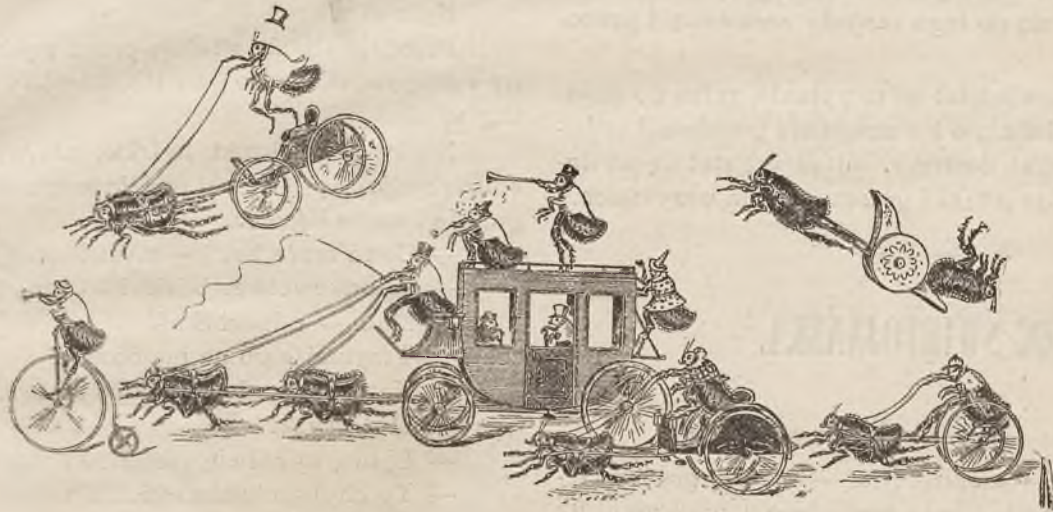
Jan Kochanowski i Pieśń o Sobótce.

**NAUCZYCIELKA WYŻSZA**, posiadająca język francuzki z dobrą konwersacją, niemiecki teoretycznie, muzykę, rysunki i malarstwo, poszukuje miejsca w Królestwie lub Cesarstwie. *Miodowa N-r. 3 m. 12.*

**TREŚĆ:** Oskar Kolberg (z drzew.) — Rozmowa z ptaszkiem, wiersz p. Helenę Bojarską. — Było ich czterech p. Z. Morawską. — Wyspa Helgoland (z drzew.) — Siostry Miłosierdzia (z drzew.) — W Indyach. — Pytanie. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Szczególna jazda (z drzew.) — Dwie jagódki, wiersz p. Helenę Bojarską. — Odmiana Jasia. — Noc świętojańska. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

## SZCZEGÓLNA JAZDA.

Nie odgadnicie może patrząc na rycinę naszą jaki rodzaj owadów przedstawia, w uprzęży, na koźle i w karcie lub na wózkach, w charakterze panów lub woźnicy. A więc musimy wam powiedzieć że wszystko to są powiększone wielokrotnie przez mikroskop pospolite... pchły. Tak brzydki ten i utrapiony owad przybrany tutaj odpowiednio jedzie, ciągnie i sam powozi. Do czego to dojść można cierpliwością! Są psy i inne zwierzęta uczone, więc zachciało się jakiemuś przedsiębiorcy mieć pchły uczone, które występowały nawet w Warszawie przed kilkunastu laty, tak jak tu widoczne w roli koni i ludzi. Ci, którzy widzieli podobne przedstawienie opowiadali nam, że cały zaprzęg równie jak powozy był



Szczególna jazda.

— Niebaczna! powie druga, dziwne słowa twoje,  
Ty chcesz każdemu służyć; ja właśnie się boję  
Na myśl, że tak niepewne moje własne życie,  
Obmyśliłam też sobie bezpieczne ukrycie:  
Z pośród listków zielonych nikt mnie nie zobaczy,  
Gdy główki nie wychylę, o tak! nieinaczéj!...  
Upłynął dzień i drugi; aż trzeciego ranka  
Wchodzi dziewczę i zbiera jagody do dzbanka.  
Schyla się wciąż nieboga, wtem spojrzy radośnie.  
Ku miejscu gdzie usłużna jagódeczka rośnie.  
— Jaka śliczna, zawoła, czerwona jagódka!  
O! pewnie też być musi wyborna i słodka,  
Zerwę ją, ale nie zjem, na wierzchu położę,  
To i więcej za wszystko zapłacą mi może.  
A zdadzą się pieniążki, bo matuchna chora,  
I w domu ani grosza niema na doktora

wyrobiony nadzwyczaj delikatnie ze złota, wymagało to niemięjszej cierpliwości i zręczności jak wyuczenie owadów sztuki kierowania zaprzęgiem. Szkoda że przymiotów tych, obdarzeni nimi ludzie, nie wyzyskali na lepszy i szlachetniejszy użytek.

## DWIE JAGÓDKI.

Wyrośli dwie jagódki niedaleko siebie,  
A patrząc na słońeczko świecące na niebie,  
Dojrzewały nabrawszy i barwy i woni,  
I stały się przynętą w lesistej ustroni.  
— Jakto dobrze, że jużem dorosła, dojrzała,  
Takbym się teraz komu przydać na co chciała;  
Rzekła jedna jagódka — kto tu przyjdzie po to,  
Każdemu się przysłużę z serdeczną ochotą:  
Czy ubogie pacholę zwróci na mnie oczy,  
Czy też, patrząc z wysoka, ptaszek jaki zoczy,  
Zawołam: — O! weźcie mnie, jeśli tylko chcecie;  
Bom ja na to stworzona, by wam służyć przecie.

Dobrze, żem cię znalazła, bo teraz też sobie  
Wszystkie inne jagódki tobą przyozdobię.  
O! moja ty śliczniuchna! Dzięki Ci o Panie!  
Za wszystkie jagódeczki, które mam we dzbanie,  
One z wielką pomocą przyjsć mi dzisiaj mogą!  
I poszło dziewczę dalej, nastąpiwszy nogą  
Na tę drugą jagódkę, co w listkach się kryła:  
Jakże marnie nieszczęsna żywot swój skończyła.

Helena Bojarska.

## Odmiana Jasia.

— Jasiu! pójdz się bawić, pójdz braciszku! pogramy  
w piłkę w ogrodzie — prosiła z uprzejmą minką Anielka  
zaglądając przez otwarte okno do salonu.

— Nie nudź mnie! Nie mam czasu — mruknął Jasiu  
i ani się ruszył od czytania, zagłębiając się w książkę, wsparł  
szy głowę obu rękami.

— Jak się to stało, odkąd od tygodnia mię w domu nie



było — spytał ojciec zajęty opodał pracą — że Jaś nauczył się niegrzeczności dla siostrzyczki? Dla czego także ani na chwilę nie porzuca książki w godzinach przeznaczonych na zabawę?

— Ot tak — odpowie z westchnieniem mama — Chciałam być, jak wiesz, na odczycie naszego afrykańskiego podróżnika, i sądziłam że i dzieci usłyszą z korzyścią, to co powie. Nie omyliłam się w tem co do Anielki, gdyż ciekawe opowiadania o dalekich krajach, zachęciły ją do nauki geografii. Ale Jaś zrobił mi zawód; zajął się przygodami wędrowca tak dalece, że opanowała go podróżomania, czyta bezustannie same podróże a zapomina o nauce właściwej... i w dodatku staje się niegrzecznym, zapominając przy wielkiem swem zajęciu o innych obowiązkach!

— Jaktó? — rzekł zdziwiony ojciec. — Nie dziwię się już jego niegrzeczności, bo przypuszczam że czytając ciągle o dzikich ludziach, naśladuje ich sposób obejścia, ale... czyliż podobna aby był tak dalece niedorzeczny iżby sądził, że można być podróżnikiem pożytecznym nie przysposobiwszy się do tego zawodu sumienną i pracowitą nauką?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie, tylko po chwili Jaś zbliżył się nieśmiało i w milczeniu pocałował rodziców w rękę i uściskał siostrę... odtąd już stał się po dawnemu gorliwym do nauki i grzecznym dla wszystkich.

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dałszy ciąg).

— Zygusiu — szepnął Staś — wsadź prędko Helę na drzewo i sam włącz, a ja będę bronił przystępu do was rewolwerem, tylko prędko!...

Strach dodaje drugie tyle sił i odwagi. W okamgnieniu Hela znalazła się na gałęzi i Zygmus zawołał z góry:

— Już jesteście, podaj mnie teraz rewolwer i włącz ty...

W takiej chwili na dysputy niema czasu, w chwilę więc potem Staś znalazł się również na drzewie obok nich.

Niespokojnym wzrokiem śledzili tymczasem wilki i co dziwiło ich najwięcej to, że przez cały czas wdrapywania się na drzewo, żaden się ani poruszył, by przerwać im ucieczkę. Na gałęzi nie było im bardzo wygodnie, bo wicher miotał pnem w różne strony, lecz przynajmniej czuli się bezpieczniejszymi. Ale jakież było zdziwienie wszystkich trojga, skoro po pewnym czasie owe światła wzniosły się ku nim i pojedynczo rozpierzchły w różne strony...

— Ach Boże! jacyśmy niemądry... — zawołali — toż to świętojańskie robaczki!...

Zsunęli się z pnia i uradzili że Hela zostanie sama na drzewie dopóki oni nie odnajdą drogi do domu i nie powrócą ją zabrać. Helenka płakała ze strachu, ale wolała już pozostać, niż błądzić dażej wśród krzaków

i nocy, więc jak tylko się oddalili dla dodania sobie odwagi postanowiła odmówić pacierz. Ale słowa modlitwy nie przychodziły jej na pamięć. Za każdym nowym piorunem zapominała na czem stanęła i musiała zaczynać od początku. Wreszcie deszcz lunął z obciążonego chmurami nieba, liście zasłaniały ją trochę z początku, ale wkrótce lekka jej kretonowa sukienka przemokła do nitki. Wilgoć i chłód nocy przejmował ją dotkliwie, zaczęła drzeć, a w palającej od rozlicznych wrażeń główce, myśli plątały się coraz więcej, więcej, aż w końcu wsparła o gruby pień brzozy, usnęła.

I dobrze dla niej że usnęła, bo wiele trwogi przejśćby znowu musiała oczekując chłopców, którychby się w końcu niedoczekala!... Lecz i im tej nocy los nie oszczędził niepokoju i trudów jak gdyby karząc za niedorzeczne zachcenia...

Opuściwszy siostrę, długo błakali się po lesie i byliby może do rana nie odnaleźli drogi, gdyby nie wypadek, który choć ich wybawił, przecież kosztował odwagi niemało.

Było to tak:

Przedzierali się właśnie przez gęste krzaki leszczyzny i głógów, skoro do uszu ich doleciały wyraźne ciężkie stapania!

Nie były to kroki ludzkie, ale wyraźne stapania zbliżającego się zwierza, pod którego śladami trzeszczą gałęzie i suche liście...

— Co to może być? — myśleli obaj nad słuchując.

— Masz rewolwer blisko? — zapytał Zygmus.

— Mam — odparł Staś.

— Trzymajże go na pogotowiu.

— Naturalnie, ale co to być może?...

— Może wilk...

— Ej nie, to coś cięższego od wilka...

— To chyba niedźwiedź...

— Chyba...

Nie zastanowili się, że minęły te czasy kiedy w naszych lasach bywały niedźwiedzie, to jednak pewna że gdyby który był powiedział w tej chwili, że to lew lub pantera, uwierzyliby temu natychmiast, tak bardzo w ich głowach pomieślały się marzenia o polowaniu w Luzyanie z grozą terażniejszej chwili.

Stapania tymczasem zbliżały się tak bardzo że kiedy potwór ze złości czy też niecierpliwości, stanąwszy zaczął wydierać ziemię, badyle i suche gałęzie sypały im się tuż, pod nogi. Nagle poruszył się i w paru sekundach rzucił ku nim...

— Pal! — krzyknął Zygmus do brata.

Ale zamiast wystrzału dało się słyszeć kłapanie kurka, potem drugie i trzecie wraz z rezygnacją która opanowywa człowieka, gdy mu gaśnie wobec niebezpieczeństwa ostatnia nadzieja ocalenia... rewolwer nie był nabyty o czem Staś zapomniał się w pierw przekonać przez nieuwagę...

— Żegnaj świecie wraz z marzeniami o Ameryce!... Za chwilę w szponach dzikiego zwierza trzeba będzie wyzionąć ducha! — pomyślał. — Już, już, poczuł ciężkie łapy potwora na swych ramionach, już przyryka oczy, coś to, zamiast duszenia, czuje na twarzy ciepły język i komałą głowę wycierającą się o niego z radością...

— To Karo, Karo! — woła oddychając swobodniej — pocziwy pies! kochany Karuś!..

W istocie, tym potworem nie był kto inny jak tylko olbrzymi kundel, który za śladami swych panów przybiegł do lasu. Teraz wszelkie obawy pierzchły. Z Karrem było bezpiecznie i chłopcy mieli nadzieję że on wyprowadzi ich najprędzej na drogę dobrą. Jakoż sprawdziły się te przewidywania, bo zaraz po serdecznym przywitaniu, pies pobiegł naprzód, oglądając się co chwila czy ma za sobą swych przyjaciół, a oni też podążając za nim, niezadługo spostrzegli rzadziejące drzewa i blask słaby skrytego za chmury księżyca. Byli na drodze do domu.

Wówczas to spotkała ich ulewa i, przywiodła na myśl pozostawioną Helę.

— Boże, Boże! — wołał z rozpaczą Staś — co ona tam robi? Już tak dawno jak pozostawiliśmy ją samą. Chodźmy po nią zaraz...

— Ale czy znajdziemy teraz to drzewo? — odparł Zygmunt — pomyśl tylko jakimi to krętymi drogami prowadził nas Karo, nim wyszliśmy na dobrą!...

— Tak, to prawda. A więc co robić! co robić! — wołał płacząc biedny chłopiec, poczuwając się do odpowiedzialności starszego brata.

— Wiesz co — przerwał mu pomysłowy Zygmunt — biegnijmy chyba prędko do Macieja, gajowego, i poprosimy by nam dopomógł szukać Helenki, to ztąd niedaleko, i przed świtem zdołamy może jeszcze ją odnaleźć i powrócić do domu, tak żeby nikt się o niczem nie dowiedział...

— Doskonale, biegnijmy...

Deszcz lał jak z cebra, mimo to chłopcy biegli co sił starczyło drogą ku chacie gajowego, z drugiej strony lasu stojącej. Stary Maciej aż się uchwycił za głowę, wysłuchawszy o tem co zaszło.

— Moja biedna panienska! — mrucał przez drogę idąc prosto ku owój brzozie, której z opowiadania paniczów domyślił się odrazu, jak to się musiało wylęknąć tam same biedactwo!...

— Tylko nic nikomu nie mówcie, mój złoty, drogi Macieju! — prosili idący przy nim ze smutnie spuszczo-nemi głowami chłopcy.

O świcie deszcz ustał i nasi winowajcy doszli do drzewa, na którym z dala dostrzegli sukienkę Helenki. Lecz pokazało się iż obawy Macieja nie były płonne... Dziewczynka spała jeszcze i choć ręce miała zimne jak lód, na policzkach czerwieniły się gorączkowe wypieki. Skoro ją obudzili otworzyła ze zdziwieniem oczy zaszle mgłą i jakby nie przypominając sobie niczego, podniosła tylko rękę ku głowie:

— O jak tu boli! — szepnęła, i opuszczając ją bezwładnie znów przymknęła powieki do snu, jak gdyby jęj ciężyły.

Chłopcy przełękli się niezmiernie tym jęj stanem, zdjęli ją ostróżnie i pokazało się, że nawet nie miała siły ustać na nogach. Maciej wziął ją z atem na ręce, otulił własną kapotą i ruszyli do domu.

(d. n.)

## Szarada rebusowa.

Przyimek w literze,  
Dostarcza nam zwierzę.

## ŁAMIGŁÓWKA.

Namiot, wieś, nazwa, rycina, barka. Znaleźć pięć innych wyrazów, stanowiących synonimy tych, to jest mających to samo znaczenie przy odmiennem brzmieniu. Początkowe litery tych wyrazów powinny utworzyć nazwę zwierzęcia czworonożnego.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 26-go.

### Zagadki rebusowej:

Po Ć H. Pociecha.

### Łamigłównki geograficznej:

L	T	B	W	C	P
I	U	Z	I	H	R
T	R	U	S	I	A
W	Y	R	Ł	N	G
A	N	A	A	Y	A

## Skrzynka do listów.

**Myśliwcowi** spieszmy donieść, że d-r. Muchołapski kartonowany kosztuje bez przesyłki rs. dwa kop. 25. Numizmaty z tak bliżkiej epoki sprzedają się tylko za wartość kruszcu gdy je kto ma do zbycia.

**Lilia z nad Brzeźnicy, Dobre Serduszko, Psotnica, Cyganka z nad Nidy, Cioteczka i Leniuszek czarnooki** nadesłały wypracowania na konkurs dawno już rozsądzony. Wszystkie na jeden temat, jakby się zmówiły! Nie pojmujemy przyczyny, dla czego pisma wasze teraz dopiero nas doszły? Psotnicę prosimy, żeby do pseudonimu swego dobrała jakie określenie: mamy już bowiem drugą Psotnicę.

**Halka z Litwy** niepotrzebnie się obawia, wypracowania jeszcze nie odesłane na Atlantę. Autorka sama myśl swoją najlepiej wytłómaczy.

Pismo, o które pyta **Wiedenka z żywoportu** przestało już wychodzić. Jak to się dobrze złożyło, że i myśmy się przyczynili do uswięcenia tych imienin!

**Mimozie** wieszujemy wakacyjnej wycieczki. Spotkasz tam delikatny kwiatku jednę z przyjaciółek młodzieży, współpracowniczkę naszego **Pisemka**, która także wakacyj używa. Odpowiedź na swoje pytanie masz już w ostatnim numerze.

Milą nam jest niezmiernie twoja obietnica, **Królowo wróżek**, z przyjemnością bowiem powitaliśmy pismo twoje. Dla czego nie pisałaś od tak dawna?

Masz rację, **Wróżbiarko szczęścia!** Rozkwit młodości na to wam dany, by pełnią sił waszych ujmować ciężaru tym, dla których już południe życia minęło. Zrozumienie tego obowiązku zaszczepił przynosi twemu sercu, sposób zaś w jaki go wypełnisz zależy od miejscowych warunków, których nie znając, trudno radzić... Mo-

żemy tylko powiedzieć to, co starym obyczajem mówi się robotnikom przy pracy: „Boże dopomóż!”

**Jodełko z nad Noteci**, powiemy ci w sekrecie, że Trawka z nad Fryby nic a nic się nie omyliła. Fotografia wraz z przesyłką kosztować będzie 50 kop.

Nie myli się też i **Filaretka** w przypuszczeniach co do kierujących nami pobudek. Dziękujemy ci, dziewczeczko, że tak nas potrafiła zrozumieć, dziękujemy za serdeczne słowa jakimi do nas przemawiasz.

Szarady przysłane przez **Maniusię D. i Tosię Prz.** nie kwalifikują się do druku.

**P. I. Rozwadowskiej.** Branki w Jasyrze kosztują bez przesyłki rs. 6, dzieło to nie było i nie będzie do nabycia po niższej cenie.

Droga Biała Akacyo! Bardzo ci dziękujemy za twój miły liścik. Wieczory bardzo mi się podobały, a szczególnie powieść „Pod wpływem błogosławieństwa”. Jakże się miewasz i kiedy przyjedziesz w te strony? Zapewne zgadniesz kto jesteśmy? prosimy odpisz *Żabce z Suchej Wody i Srebrnej Rosie*.

Kochana Niezapominajko z nad Warty! Mam lat 11, na imię mi Zosia mieszkam w Warszawie. Jestem rodzoną siostrą Wesolej Krakowianki. Otrzymałyśmy obie najpierwsze liściki w Wieczorach od ciebie, więc całujemy cię serdecznie, prosząc abys jeszcze do nas pisała. *Serdeczna Dziewczynka*.

Kochany Kłosku podolski! Od razu cię pokochałem i chciałbym z tobą korespondować. Mieszkam w Żytomierzu, noszę imię pierwszego człowieka, mam lat 11, jestem uczniem 2-jej klasy. Lubię bardzo: pływać, jeździć konno, strzelać. Czy i ty wszystkie te rozrywki lubisz? Donieś mi co o sobie, a będę ci bardzo wdzięczny, tymczasem całuję cię tysiąc razy. Twój *Odwagi Pływak*.

Kochane: Cicha Wodo, Jesieni i Różyczko Chińska! Cicha Wodo zachwycałam się twym liścikiem do Jemiołuszki, taki jest miły i serdeczny. Czy zechcesz ze mną korespondować przez nasze kochane Pisemko? Posyłam ci łamigłówkę na początek znajomości. Jesieni wiem żeś staruszka, ale bardzo sympatyczna. Nie pogardzaj mną, bo i ja za rok do gronka waszego się przeniosę widząc, że choć już poważne, serdecznie młodsze traktujecie. Różyczko chińska, znamy się trochę, widuję cię nieraz u Ś-go Krzyża. Czy pamiętasz nasze soboty w poście? Spytał się Celinki, objaśni cię ona kim jest gorąca wielbicielka Wiecz. Rodz., przesyłająca wam serdeczne uściśnienia i prośbę o odpowiedź do was wszystkie trzy Cicha Wodo, Jesieni i Różyczko. *Królowa Wrózek*.

Kochane moje: Jaskółko z nad Ussy, Błękitna Kokardko, Gwiazdo Polarna, Staszko z Podola i Piosenko! Przyjm droga Jaskółeczko serdeczne życzenia w dniu imienin. Błękitna Kokardko jak ty muzykę, lubię ogromnie, a mając do ciebie sympatyę i choć nieznaną kocham cię serdecznie. Gwiazdo Polarna wyjeżdżam na wieś na całe lato do starszej siostry. Was zaś miłe Staszko z Podola i Piosenko pozdrawiam mile. *Wasza Czeska Niezabudka*.

Stokrotkę z nad Stochodu, Jaskółkę z nad Sekwany, Gwiazdę Jerozolimską, Niezabudkę z nad Warty, pozdrawiam i za pamięć dziękuję.

Jednocześnie z twoim liścikiem masz na niego odemnie odpowiedź, kochana Królowo wrózek bo... czytałam go zanim był wydrukowany... Celinka mile wspomina soboty. Jedziemy wszystkie z mamusią na całe lato do Krynicy, a ztamtąd już blisko Węgry, więc może będziemy w Szmeksie i w Peszcie... a tymczasem ściska cię serdecznie, *Różyczku chińska*.

Milutkie moje: Niezabudko z nad Chomoru, Stokrotko wołyńska i polna, Kukułeczko, Wiochno z pod Lublina i Wróżbiarko szczęścia! Maniusiu droga najserdeczniej dziękuję ci za łamigłówkę, zanim ci się odwetuję, donieś mi gdzie mieszkasz? Stokroteczko luba, dziękuję ci za listek, donieś mi co o sobie; o mnie dowiesz się z 1 numeru „Wieczorów”. Stokroteczko polna niestety mię obmawiałaś przed Niezapominajką. Odpisałam w lutym a list dla braku miejsca wydrukowano w kwietniu. Kukułeczko

miła, czy to do mnie pisałaś w 12 numerze? Moje drogie, listy wasze sprawiają mi wielką przyjemność, a więc piszcie często, choć nie zaraz wam odpowiadać będę dla braku miejsca. Przyjmijcie wszystkie uścisk serdeczny od nieznaniej przyjaciółki, *Stokrotki z nad Stochodu*.

Złotą tęczę i Burzliwą naturę pozdrawiam.

Moje najmilsze: Artystko i Śpiewna Liro! Piszę do was jak obiecałam, pseudonimy wasze podobały mi się bardzo, czy mój lubicie także? Artystko kochana, jak się zowiesz? ile masz lat, gdzie się uczysz? Lirenko miła, jak wyglądasz i co lubisz? Od piszcie mi moje drogie. O mnie wiecie z odezwy do panienek, lecz na wasze żądanie mogłabym siebie opisać, na ten raz wszakże przyjmijcie tylko serdeczne uściśnienia, oraz bywajcie zdrowe! *Pomarańczarka Rzymska*.

Nie gniewaj się na mnie, słodka, fluterna Psotnico, ani ty, miła czarodziejska Wróżbiarko szczęścia, że wam tak późno odpisuję, ale miałam odrę. Tem miłej mi było, żeście się do mnie tak serdecznie odezwały. Nie wiem, czem sobie zasłużyłam na tyle współczucia moich siostrzyczek w „Wieczorach”? *Brzydotka z nad Tamizy*.

P. S. Innym lubym korespondentkoma moim zasyłam serdeczne pozdrowienia!

Kochana Pomarańczarko rzymska! Miałam już dawno zamiar pisać do ciebie, twoja odezwa do wszystkich przyspieszyła moją korespondencyę. Dla czego obrałaś sobie taki pseudonym? czy lubisz pomarańcze? Ja bardzo je lubię, ale wolę wasze liściki. Czy masz rodzeństwo? I gdzie się uczysz? Ściskam cię serdecznie. *Niezapominajka z nad Warty*.

Litwince z nad Szczary i Porankowi majowemu dziękuję za szarady i przy tej sposobności załączam milion całusów.

Kochana Stokrotko wołyńska! Gubię się w domysłach kim jesteś? czy nie masz dwóch siostr i czy nie mieszkasz we wsi W. a nazwisko twoje czy nie zaczyna się od M? Odpisz mi proszę. Może niedaleko mieszkamy od siebie i kiedyś się zobaczymy. Serdeczne uściśnienia posyłam ci, kochana Stokrotko, jak również i Symfonii, do której dawniej już pisałam. Różyczkę białą z Wołynia całuję serdecznie. *Niezapominajka z Polesia*.

Kochane: Myszko biała, Nieznana Zorzo, Sarenko modrooka i Szarotko. Donoszę wam wszystkim razem, że nazywam się Stefcia D... uczę się w domu. Mam dwie siostry. Pragnę i nadal z wami korespondować. Donieście mi, gdzie lato przepędzicie, ja na wsi. Spodziewam się, że mi odpisiecie. W Wieczorach najlepiej mi się podoba: „Szesnastoletni wojewoda”. Choć was nie znam, ale już was pokochałam. *Wasza Cyganeczka*.

Miła Brzydotko z nad Tamizy, Biała Chmurko i Fioleczku z nad Wisły! Ty Brzydotko droga ucieszyłaś mię bardzo liścikiem swoim. Chmurko, pseudonym mój obrałam dla tego, że maj lubię; co do nauk, jedno mamy upodobanie. Fioleczku luby! Jestem sobie 14-nią Marylka, wesoła, może nadto. Uczę się w domu, lecz sama niestety! Żegnajcie mi drogie moje! *Poranek*.

Zkądże taka, Burzliwa Naturka odezwała się do takiej Cichęj jak ja jestem? Donieś mi dużo szczegółów o sobie, a ja ci dłużną nie zostanę. Pytasz czy mi się „Wieczorek w Zalesiu” podobał, ależ mnie bez wyjątku wszystko się podoba co tylko się znajduje w naszym drogiem Pisemku, a ty czyś czytała „Dwie siostry”? jak ci się podobały, bo mnie bardzo, ale nie zdaje mi się żeby to pisała 15-to letnia panienka, któraby tak rozsądnie myśleć nie potrafiła jak nasza „nieoceniona i nieodżałowana Kochana pani” jak się wyraziła Biała Ostróżka. Szczegóły o mnie znajdziesz w poprzednich numerach. Tymczasem ściskam cię i proszę o odpowiedź. *Cicka Woda*.

## NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Niezapominajka z nad Warty, Melancholia, Marynia K. i Wiktorya P. rs. 11. — Kureczka z nad Ikwy rs. 3.



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

VII.

Redakcyja Wieczorów rodzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa dn. 18-go Czerwca 1890 r.

Dostojny mistrzu!

Dzięki serdecznemu pośrednictwu Waszój Dostożności, królewicz Zielonko zaszczycił nas dwoma wielce łaskawemi listami, i ogłosił w Piśmie naszym konkurs wielkiej doniosłości dla naszych czytelników. W tych

ostatnich, obudził on zdziwienie i niedowierzanie: zasypało nas pytaniami „czy konkurs ogłoszony jest naprawdę, czy na żarty” i „czy drukowane w Wieczorach listy z Wyspy

Atlanty są rzeczywiste, czy też to tylko powieść, ku zabawie czytelników wymyślona — bo choć wyspy tego nazwiska niema na mapie, cała korespondencja ma wszelkie cechy wiarygodności...” Pojmuje Wasza Dostożność, że nie mogliśmy dać w tym przedmiocie żadnych bliższych wyjaśnień i musieliśmy pozostawić każdemu swobodę tworzenia domysłów — ale dla

wym, ponowiliśmy ogłoszenie w szpaltach naszego Pisma. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwania: żaden konkurs jeszcze nie wywołał takiego ruchu między czytelnikami, jak ten — bo też nagroda nigdy jeszcze nie była tak niezwykłą i zachęcającą. Literalnie zarzuceni jesteście pracami konkursowemi: do tój chwili otrzymaliśmy ich dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, i jeżeli tak dalej pójdzie, to majątek niemowa, który z woli Jego Królewiczowskiej Mości ma w dniu oznaczonym stawić się w naszej redakcyi, dla zabrania przesyłki, będzie musiał przybyć z wielką skrzynią i przyprowadzić z sobą kilku tragarzy, bo sam jeden ciężarowi takiemu nie podoła. Wiedząc zaś jak bardzo władcóm Atlanty idzie o zachowanie tajemnicy co do sposobu komunikowania się z wyspą, uznaliśmy za właściwe zawiadomić Jego Królewiczowską Mość, za pośrednictwem Dostożności Waszój, o rozmiarach jakie przybiera konkurs, dla dania Mu czasu do obmyślenia środków ostrożności, potrzebnych może przy tak dużej przesyłce.

Redakcyja.

Abrakadabrus do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Marmurowa góra dn. 22-go Czerwca 1890 r.

Szanowna Redakcyjo.

Majątek niemowa jest tak wielki siłacz, że jak niegdyś sławny w świecie król August Sas, łamie w rękach podkowy, sztaby żelaza zwiija niby wstęgi, więc i takiemu ciężarowi jak myśli czytelników Wieczorów rodzinnych, da chyba radę sam jeden, chociażby nawet cyfra wypracowań 999, powiększyła się o jedno zero na końcu. Jest on już w drodze do Warszawy — i w dniu oznaczonym, to jest 24-ym bieżącego mie-

siąca, we Wtorek, o godzinie 12-jej w południe, stawi się w Redakeyi. Niech przesyłka będzie gotowa.

Wczoraj jeździłem do Koralowego grodu, zwanego tak od materyału z którego pałac został zbudowany, a materyałem tym był produkt czysto zwierzęcy, piękny czerwony koral. Nie byłem tam od czasu jak Pióropuszek zaprosił mnie na czajeze jaja, a ciągnęła mnie tam obok przyjemności odwiedzenia mojej kochanej królowny Perelki, nadzieja zainteresowania królewicza dla waszego Pisma tak, jak udało mi się zainteresować Zielonkę.

Gdy poczciwy mój muł wstępował na dziedziniec Koralowego grodu, dwaj maleńcy książęta bawiący się piłkami pod dozorem ochmistrzyni, przerwali zabawę i biegli do mnie z wyciągniętymi rączkami, wołając:

— Dziadziu Abrakadabra, chodź z nami bawić się w piłkę. Mama powiedziała że jesteśmy bardzo grzeczni!

Obaj synowie Pióropuszka, Daniel i Pstrąg są bliźniętami, i jak zwykle bliźnięta, podobni do siebie niby dwie krople wody. Ciemnymi włosami i oliwkową cerą, przypominają ojca, wdziękiem postaci i słodyczą obejścia, matkę. Gdym slične te dzieci po raz pierwszy zobaczył, spytałem królewicza jak między nich w przyszłości królestwo swoje podzieli. Odpowiedział mi wówczas, że jeden będzie panował na lądzie a drugi na wodzie — i bardzo pochwaliłem ten pomysł. Podział rozgraniczający stanowczo posiadłości obu braci, zapobiegał w przyszłości wszelkiej pomiędzy nimi niezgodzie. Ciekaw jestem jednak, coby zrobił, gdyby go Pan Bóg trzecim synem, lub córką obdarzył.

Marszałek dworu wyszedł na moje powitanie i oznajmił, że królewiczostwo uwiadomieni już o mojem przybyciu, czekają mnie na pałacowym tarasie, gdzie królewicz na uroczystem posłuchaniu przyjmuje posła cesarza chińskiego, margrabiego Si-ano-y-si-ecz-ka. Poszedłem więc za nim, uspokoiwszy małych książąt obietnicą rychłego powrotu i ujrzałem wkrótce Pióropuszka w otoczeniu całego dworu, w gronostajowym płaszczu i koronie z ogromnych pereł, siedzącego pod wspianiałym portykiem, mającym kształt baldachimu. Perelka siedziała obok niego w koronie także i w purpurze. Chciałem stanąć niepostrzeżenie pomiędzy dworanami i pozostać tak do końca ceremonii, ale królewiczostwo dostrzegli mnie zaraz i nie pomni na przepisy etykiety, zaprosili abym zajął miejsce obok nich.

Margrabia Si-ano-y-si-ecz-ka, poważny mandaryn z długim warkoczem i skośnymi oczyma, strojny w żółte atłasy, miał długą w języku chińskim przemowę, w której słał potęgę swojego pana, prawil szeroko o jego przyjaźni dla władców Atlanty, a w szczególności dla królewicza Pióropuszka — i jako widomy dowód tej przyjaźni, składał mu w jego imieniu dar w srebrnej kunsztownie ozdobionej puszcze. Gdy królewicz dar z rąk mandaryna przyjął i puszkę otworzył, cały dwór wbrew wszelkiej etykietce wydał okrzyk zdziwienia i wstępu. W puszcze znajdowało się kilkanaście pęczków grubości palca, długich na kilka cali, składających się z pewnej liczby gąsienic i grzybów, które choć były wysuszone i pomarszczone, jednakże kształty ich przedstawiały wyraźnie cechy gąsienicy i rośliny. Obok tych pęczków, znajdowały się jeszcze w puszcze jakieś brunatne przedmioty, przypominające do złudzenia formą uszy ludzkie.

Podczas gdy wszyscy przpatrywali się temu szczególnemu i niezbyt ponętnie wyglądającemu darowi, a królewicz obracał puszkę w ręku z pewnem zakłopotaniem, poseł przemówił.

— Są to, o potężny Monarcho, najkosztowniejsze przysmaki naszego kraju, z rodzaju grzybów. Pierwszy — mówił wskazując na pęczki — nosi pięknie brzmiącą nazwę *Hia-ts'au ung-ch'ung*, co w języku łacińskim zwie się *Cordyceps sinensis*. Wyrasta na głowie gąsienicy pewnego gatunku čmy, i podobny jest, jak to Wasza Królewiczowska Mość widzi, do dużego rogu. Gąsienica dotknięta grzybem wkrótce umiera, a ususzona wraz z owym grzybem, jest wielce cenionym u nas artykułem handlu. Za wagę jego, daje się poczworną wagę srebra. Ten zaś drugi brunatny grzyb podobny do ucha ludzkiego, nie-

ma w języku chińskim nazwy, bo nie rośnie u nas, ale po łacinie zowie się *Hyrneola polytricha*. Sprowadzamy go, ususzony już, za drogie pieniądze z Nowej Zelandyi, gdzie wyrasta na gnijących drzewach, w lesistych okolicach tego kraju.

— Wdzięczny jestem niewymownie Jego Cesarskiej Mości, za dary tak kosztowne — przemówił królewicz — ale zechciej mnie objaśnić panie margrabio, do czego one mają służyć?

— Przysmaki te używają się w naszym kraju, jako dodatki do zup. Obok rozkoszy jakie sprawiają podniebieniu, posiadają własności lecznicze, czyszczące krew.

Królewicz nachylił się ku mnie i szeptem filuternie.

— Mistrzu! tak rzadkiego i dostojnego jak ty gościa, chciałbym należycie uczcić. Może pozwolisz żebym kazał kucharzowi przyrządzić dla ciebie te chińskie przysmaki na wieczere?

— Dziękuję ci, miłościwy królewiczu — odrzekłem skromnie — prosty jestem człowiek i proste lubię potrawy; wolę zjeść kawałek upolowanej przez ciebie zwierzyny, lub kurczę domowe ze zwyczajnemi przyprawami.

Pióropuszek uśmiechnął się, a zwróciwszy się do posła, dziękował za dar kosztowny i prosił margrabiego w nader miłych i ujmujących wyrazach, aby wybrał z jego stadniny dwa najpiękniejsze wierzchowce i zawiózł w zamian swojemu panu w imieniu królewicza. Dar to był prawdziwie królewski, bo wierzchowce przybrano w rzędy sadzone perłami najczystszej wody.

Po odejściu mandaryna, królewicz odprawił dwór, zrzucił gronostajowy płaszcz i pozbywając się z nim razem swego urzędowego charakteru, rzekł z komicznem zakłopotaniem, wskazując na srebrną puszkę.

— Mistrzu kochany, poradź mi co mam z tym fantem zrobić!

— Powinieneś, miłościwy królewiczu, odesłać go Zielonce — rzekłem pomyslawszy chwilę — grzyby należą do królestwa roślin... Zobaczymy co on z tem zrobi...

— Wyborna myśl! — zawołał rozweselony, i zamknąwszy napowrót puszkę, wystosował do Zielonki list następujący:

„Panie i Bracie mój! Otrzymałszy dziś w darze kosztowne przysmaki chińskie zwane *Hia-ts'au ung ch'ung* i *Hyrneola polytricha*, a nie chcąc rozkoszować się niemi samolubnie, zwłaszcza że jeden wyrósł jako grzyb na gąsienicy, a drugi jako grzyb także na gnijących drzewach, należą zatem więcej do królestwa roślinnego niż zwierzęcego. Posyłam je w podarunku wielce mi miłemu Panu a Bratu, życząc Mu, jak również całej Jego rodzinie smaczno apetytu.

Sercem miłujący brat

*Pióropuszek.*

Ciekawi byliśmy jak też z przysłanym podarunkiem postąpi obdarowany, ale nie mogliśmy nie wnosić z dziękoczynni odpowiedzi, z jaką wysłany paż wkrótce powrócił, przynosząc w zamian koszyk przesłicznych poziomek dla królewicza i bukieć róż herbacianych dla jego małżonki. Jedliśmy poziomki ze smakiem, napawaliśmy się wonią kwiatów, a Pióropuszek będący w wybornym humorze z powodu figla wyplatanego Zielonce, rzekł do mnie.

— Jestem pewny, mistrzu, że nie opuścisz już naszej wyspy dla żadnej po świecie podróży, bo będą się tu dziać rzeczy bardzo ciekawe. Czy uwierzysz, że jestem na drodze zbadania mowy zwierząt?

Spojrzałem na niego uważnie.

— Czy nie za pomocą fonografu? — spytałem.

— Ej, mistrzu kochany, że też niczem zadziwić cię nie można — powiedział żałośnie królewicz — wiesz wszystko, lub wszystkiego się domyślasz. Tak jest, za pomocą fonografu, ale sam powiedz do czego to ludzie dziś dochodzą! Nieraz słuchając śpiewu ptaków, ciekawy byłem jakie też słowa składają się na ich pieśni; a widząc sejmy wróbla na płotach, na-

rady zórawi przed odlotem, mówiłem sobie, że wiele dalbym za to żeby je zrozumieć, ale uważałem zawsze marzenie moje za niedosięgniome. Dziś jednak, co było niedosięgnięciem staje się prawdopodobnem. W niedalekiej przyszłości dowiemy się może nie tylko o czem zwierzęta radzą, ale co myślą o nas, o ludziach.

-- Pytanie, czy to czego się dowiemy, będzie korzystne dla nas — wtrąciła śmiejąc się Perelka — i czy wiedząc nareszcie to co wiedzieć dziś pragniemy, nie będziemy żalowali dawniejszej nieświadomości!

— W naszym pysze człowieczeńz, nazywamy często zwierzęta istotami bezrozumnymi — mówił dalej królewicz — chociaż doświadczenie życia, powinno już nas było tego brzydkiego przyzwyczajenia oduczyć: zwierzęta mają instynkt wybornie zastępujący im rozum, a inteligencją, czujnością, rozwagą, nie raz wprawiają w zdumienie człowieka! Niema prawie takiego zwierzęcia, od którego nie moglibyśmy się czegoś nauczyć, a pszczoły i mrówki poszły nawet w przysłowie. Gdy jednak z czasem fonograf pomoże nam rozumieć mowę zwierząt, zdobyć ta odda wielkie usługi światu naukowemu. Znajomość ziół które zwierzęta poszukują lub omijają, przyda się medycynie, a wiadomości geograficzne ptaków, częste odbywających podróże, przewyższą odkrycia poczynione przez najśmielszych podróżników; bo ptak przebywa takie przestrzenie, których nie dotknie noga podróżnika.

— Zanim do tego przyjdzie, miłościwy królewiczu — odrzekłem chłodząc trochę zapał Pióropuszką — wiele czasu upłynie. Dotąd nikt jeszcze fonografu do badania zwierząt zastosować nie próbował; jestto dopiero pomysł jakiegoś niemieckiego uczonego.

— Ja będę próbował — powiedział stanowczo królewicz. — Pisałem do Edisona żeby mi przysłał fonograf najwięcej nadający się do tego celu. Ty, mistrzu kochany, wątpisz żeby się to na co zdało, ale mojem zdaniem, pierwszym warunkiem udania się każdego przedsięwzięcia, jest aby o niem nie wątpić. Nikt nie zaprzeczy, że zwierzęta jednego gatunku, rozumieją dźwięki przez siebie wydawane, człowiek nie miał dotąd możności zbadania tych dźwięków, bo trudno je było uchwycić za pomocą alfabetu lub nut. Wszelkie porównanie przeto było niemożliwe, i żaden uczony badacz nie jest w stanie napewno orzec, czy psy szczekają: hau, hau, jak nam się zdaje, czy: wau, wau, jak chcą francuzi, czy: bau, bau, jak utrzymują niemcy. Fonograf zaś przechowujący z wszelką dokładnością dźwięki, wydaje mi się bardzo podatnym do czynienia w tój mierze porównań, mogących dać podstawę do dalszych badań. A któż wie mistrzu, czy badania te nie doprowadzą nas z czasem naprawdę do porozumiewania się ze zwierzętami.

— Ha! kto wie — potwierdziłem — bywają rzeczy o jakich się nie sniło filozofom. Gdyby przed kilkunastu laty powiedział kto, że głos można przesyłać na wielkie odległości, nazwanoby go waryatem, a jednak telefony i fonografy dziś to czynią. Telegrafy i drogi żelazne, należały niegdyś także do niepodobieństw.

— Mówiłem z braćmi o moich przypuszczeniach i nadziejach — ciągnął dalej królewicz — ale w duszach ich nie znalazłem odgłosu; przyjęli to do wiadomości dość chłodno. I nic dziwnego: to tylko zwykle u innych odgłos znajduje, co co ich bezpośrednio obchodzi. Kwiaty i drzewa nie wydają dźwięków, a Zielonko utrzymuje, że bez nich są aż nadto wymowne i że on je wybornie rozumie; gdy zaś wicher przychodzi grać na gałęziach drzew smętną lub dziką melodyę, mówi ona sama za siebie i nie trzeba do niej żadnych objaśnień. Co zaś do Krysztalka, to wiadomo, że jego minerały są wiecznie głuche i nieme; niedarmo też powstało przysłowie: „milczy jak skała”.

— Śniem temu zaprzeczyć, miłościwy królewiczu — odparłem: skały nie są głuche, bo wydają echa potężne, a w metale dosyć uderzyć aby przemówiły najczarowniejszymi dźwiękami. Ale jak wicher gra na gałęziach drzew Zielonki, żyjącą niemal ożywiając je duszą, tak w metale Krysztalka du-

szą swą przelewa człowiek i porusza przez to dusze innych. Nie jestże to gra szlachetna i wzniosła?

— Bezwątpienia — odpowiedział królewicz — choć zdaniem mojem, metale nigdy tak delikatnych i przenikających nie wydają dźwięków, jak produkt czysto zwierzęcy, kiszki baranie z których wyrabiają się struny do skrzypiec.

— Nie będziemy się o to sprzeczali — odrzekłem — bo to rzecz upodobania, ale muszę ci powiedzieć miłościwy królewiczu, że wiem też coś o minerałach wydających dźwięki. Podczas mej ostatniej podróży po świecie, widziałem na południu Nowej Walii, w okolicach miejscowości zwanęj Botany Bay, piasek brzmienny. Piasek ten wydaje ton gdy na niego stąpić lub laską go poruszyć, a siła tonu zdaje się być zależna od stopnia wilgoci w piasku.

Zastanowił się mocno królewicz nad tem co słyszał, a po chwili rzekł.

— Mam nadzieję mistrzu, że choć wiesz wszystko, znajędę w mojem królestwie coś czem cię przecież potrafię zadziwić. Zapraszam cię po wieczery na koncert jakiego pewnie nie słyszałeś nigdy w życiu.

Podano wieczery, którą jedliśmy w kółku wyłącznie rodzinnem, bez uczestnictwa dworu. Mali książęta domagali się koniecznie żeby ich posadzono przy mnie, a gdy zadość uczyniono ich woli, jeden znalazł się wkrótce na jednym z moich kolan, a drugi na drugim i prosili żeby im dziadzio pokazał jak się jedzie na mule. W obec dzieciunych próśb zawsze bywałem słaby, wada to moja, której się nie umiałem oduczyć. Zacząłem więc naprzemian podrzucać w górę to jednego to drugiego chłopca, powtarzając po atlantyjsku słowa, których się w waszym kraju przy podobnej zabawie nauczyłem:

„Tak pan jedzie po obiedzie;  
Sługa za nim, ze śniadaniem”.

Widok ten ubawił rodziców, zwłaszcza Pióropuszką, zanoszącego się od śmiechu z dziełnych jeźdźców, a ja korzystając z jego dobrego usposobienia, opowiedziałem o konkursie wymyślonym przez Zielonkę dla czytelników Wieczorów rodzinnych, i o nagrodzie jaką za najlepszą pracę wyznaczył. Wreszcie nawiasowo wyraziłem nadzieję, że z czasem i starsi bracia zdecydują się może naśladować młodszego, który w swęj gotowości przysłużenia się dalekiemu krajowi, dał im tak piękny przykład. Perelka zapaliła się bardzo do tego projektu i prosiła męża żeby także ogłosił konkurs; Pióropuszek ani jednym słowem nie zaprotestował, co obudziło w nas nadzieję, że da się nakłonić łatwiej niż się z początku zdawało. Słuchał nas zadumany, rysując końcem laski na piasku jakieś hieroglify, poczem wstał, spojrzął na mnie i na swoją żonę i oddalił się, mówiąc że idzie wydać rozporządzenie dotyczące koncertu.

— Ciekawa rzecz co on też tam popisał — odezwała się Perelka, spoglądając zdaleka na rysunki męża — może zadanie konkursowe dla Wieczorów, z dziedziny zoologii!

Ale ja tak znów bardzo różowo nie zapatrywałem się na tę sprawę; wystarczało mi na teraz, że królewicz nie protestował — natychmiastowego postanowienia bynajmniej nie wymagałem od niego. Powodowani jednakże ciekawością, podnieśliśmy się oboje i pochyleni usiłowaliśmy odczytać na piasku pismo Pióropuszką. Stały tam następujące wyrazy:

*Rhacophorus Rheinwardti.*

Było to imię tój, która od kilku miesięcy zawładnęła jego myślami, tój której portret ciągle nosił przy sobie, żaby latającej!

Więc cała moja i Perelki odezwa skierowana do tego człowieka, przepadła... bo podczas gdy my wysilaliśmy się aby go przekonać, on nie słuchał nas nawet tylko myślał o swojej żabie... Spojrzeliśmy na siebie srodze zawiedzeni, i rozśmieliśmy się, a Perelka odezwała się wesoło.

— Siostry przepowiadają mi, że gdy mój małżonek znajędzie nareszcie swoją żabę, to weźmie ze mną rozwód a z nią się ożeni!

W tój chwili nadszedł królewicz i nie domyślając się by-

najmiej naszych uczuć, ani treści naszej rozmowy, wezwał nas na koncert. Miał on widocznie odbyć się w ogrodzie, bo Pióropuszek prowadził nas między drzewa, w stronę przylegającą do brzegu morza. Tam wśród zielonych kobierców trawy były trzy olbrzymie baseny, niby stawy, wyłożone marmurem, w których trzymano osobliwsze okazy ryb, a fontanny bijące w nich wysoko, sprawiały ruch dający złudzenie wody biejącej. W miarę naszego zbliżania się do basenów, dochodziły mnie coraz wyraźniej jakieś dziwne, nigdy przedtem niesłyszane dzięki, na których określenie trudno mi się zdobyć — powiem tylko, że nie były one bynajmniej harmonijne: jakieś tony piskliwe, jakieś mrużenia i szmery, jakieś odgłosy pod-

uzbrojony trzema ruchomymi kolcami; złowiono ją około wysp Zielonego przyładka. Ta druga sumowata, ma instrument muzyczny w zębach, wydających metaliczne dźwięki, a ta trzecia *Synodontis*, wydaje ostre szmery przez ruch cierni pletwy piersiowej; czwarta poruszając mięśniami pasa łopatkowego, mruczy, które to tony bywają jeszcze wzmocnione przez odbicie się w wielkiej jamie gębowej. Tamta co płynie na prawo, *Balistes vetula* trzyma w całej tej orkiestrze pierwsze skrzypce, wydając skrzypliwe dźwięki, przez poruszanie cierni przedniej pletwy grzbietowej, a gdy uderzy ściankami pęcherza o części szkieletu, które zaczynają drgać, bębni tak wyraźnie, że mogłaby prowadzić pułk do ataku. Trzymając raz w ręku takie-



Artysta bez rąk.

zne do uderzenia w bęben... Królewicz zatrzymał się przy jednym z basenów i zwracając się do mnie zapytał.

— Słyszałeś kiedy mistrzu o rybach śpiewających?

— Nie — odpowiedziałem, ale niema w tem nic niepodobnego. Jeżeli istnieje piasek brzęczący, może istnieć także i ryba śpiewająca, chociaż o ile wiem, ryby nie posiadają właściwego organu głosu i z tego względu słusznie je nazwać można niemymi zwierzętami.

Pióropuszek spojrział na mnie tryumfująco.

— Konik polny nie ma także odpowiedniego organu, a przecież wydaje głos za pomocą tarcia nóg tylnych o skrzydła rogowe, jak również świerszcz wtórujący koncertom koników po polach. Podobnie bywa i z rybami: istnieją takie, które wydają pewne szmery i dźwięki za pomocą najrozmaitszych organów, zwłaszcza *Rogatnice*, zwane po łacinie *Balistes* należące do rzędu zrosłoszczękieł. Czy widzisz mistrzu tę oto, co się rzuca w pośrodku? skórę ma pokrytą łuskami, a grzbiet

go dobosza, przyszedłem do przekonania, że to szybkie kurczenie i rozkurczanie się ciała, wprawiające w ruch kość podobojczykową, a przez nią ścianki przylegające do niej pęcherza pławnego i zawartego wewnątrz powietrza, sprawia ten odgłos.

— Do czego też może służyć rybom ta muzyka — spytała Perelka — czyżby miały upodobania artystyczne?

— Niezawodnie do odstraszenia nieprzyjaciela, a także do wzajemnego wabienia się — odpowiedział królewicz. — Jakże mistrzu, czy byłeś kiedy na podobnym koncercie?

— Nie byłem i dziękuję ci miłościwy królewiczu, żeś mi go usłyszeć pozwolił — odrzekłem. A że już było po zachodzie słońca, więc pożegnałem wkrótce królewiczowstwo i podążyłem do domu.

(d. c. n.)

## ARTYSTA BEZ RĄK.

Uderzcie się w piersi, kochani czytelnicy, ile to razy, gdy was starsi upominają, że to lub owo źle zrobione, odpowiecie im: „Ja już lepiej nie umiem... Ja już nie potrafię inaczej!” Co można *umieć* i *potrafić*, przy dobrych chęciach, ma się rozumieć, tego jest dowodem artysta muzyk p. Unthan, człowiek

W szesnastym roku życia, sam sobie obmyśliwszy sposób trzymania smyczka i skrzypiec, zaczął się uczyć grać na skrzypcach, i niebawem doszedł do tego, że dawać mógł koncerty, na które licznie uczęszczano, nie dla zobaczenia osobliwego artysty, ale dla posłuchania prawdziwie artystycznej gry jego. Jest to zresztą człowiek bardzo wykształcony, posiada siedm języków, pisze pięknem i wprawnem pismem i utrzymuje, że brak rąk nigdy mu się uczuć nie dał. Istotnie, uwierzyć mo-



Półw krokodyla.

dziś już czterdziestoletni, który się urodził bez rąk, wyraźnie: *bez rąk* – powiadam. Jakim sposobem nauczył się pisać, malować, grać na skrzypcach, strzelać, pływać, powozić, to już jest jego tajemnicą, a raczej tajemnicą tej niezłomnej kamiennej wytrwałej woli, którą Bóg łaskawy obdarzyć go musiał, jakby chciał powetować biednemu dziecięciu kalectwo, z jakim go na świat zesłał. W pierwszym już roku życia chłopczyna z dziwną zręcznością posługiwał się nóżkami, jakby kończynami przeznaczonymi do chwytania; w piątym zaś roku tak je miał wykształcone, że umiał brać pomiędzy palce u nóg tabliczkę, żeby razem z innymi kolegami uczyć się pisać.

zna temu, patrząc na niego: umie on odkorkować butelkę, zapalić cygaro, ukroić kawałek chleba, stasować i rozdać karty i w ogóle usługuje sam sobie równie zręcznie, jak każdy ręk swoich używać umiejący.

Odbywszy dużo podróży artystycznych tak po Europie, jak i po Ameryce, doszedł do zamożności i sławy, ożenił się z kobietą, która go uszczęśliwia, i nie tylko na los swój nie narzeka, lecz owszem twierdzi, że ręce nieraz ludziom zawadzają i stają się przyczyną, że zaniedbujemy zdolności, któremi Bóg nogi obdarzył. Uczeń zaś naturaliści, którzy badali p. Unthana dowodzą, że zdolności te wykształcił on sobie *ciągłą*,



niezmordowanie wytrwałą pracą, do czego mu dopomogła istotnie wrodzona a zadziwiająca giętkość kości biodrowej. Bądź jakbądź, p. Unthan jest niepospolitem zjawiskiem, a jak wybornie posługuje się nogami o tem przekonać się możecie z przyłączonego tu rysunku. Na stołeczku, pod nogą artysty leżą skrzypce i smyczek; na stoliku obok niego stoi instrument, którym również dobrze władać umie: *cornet à piston*, a twarz jego nosi wyraz rozbudzonej myśli i szczerego z losu zadowolenia.

## ANIELSKA ROBOTA.

Idąc, myślałam o dziewczeczce bladej,  
Co tam w piętnastej wiosnie dogorywa,  
Śmierć ją zabierze, niema na to rady!  
Wie o tem dawno matka nieszczęśliwa.

Stając w ich progu, na końcu ogrodu  
Jasnowłosego spostrzegłam chłopczyka,  
Dziecię sinemi rączkami od chłodu  
Zbiera coś z ziemi i do drzew przytyka.

Zbliżam się, spojrział: „a dzień dobry pani”,  
— Lubisz mnie? — „Lubię” — Wróc ze mną do domu.  
„Nie mogę”. — Czemu? — „Pracuję dla Mani”.  
— Jakto? — „Opowiem, lecz nie mów nikomu.

„Zowią mię Jankiem, w dzień mego patrona  
Sześć lat skończyłem, a było to w lato...  
Zdaje się pani bardzo tem zdziwiona,  
Lecz wszyscy mówią, że wyglądam na to.

Sam się tu bawić muszę w chowanego,  
Odkąd siostrzyczka bardzo, bardzo chora,  
Oddawna leży!... Mateczka dlatego  
Cczaz to częściej przyzywa doktora.

Pan ten poważny o surowej twarzy  
Choć nie wygląda na złego człowieka,  
Ilekróć razy z mateczką pogwarzy,  
Ta gorzko płacze: — widzę to zdaleka.

Podśluhać wtedy wzięła mię ochota,  
Co on jej mówi — nie marszcz pani czoła!  
Wiem, że ciekawość szkaradna brzydota,  
Lecz co się stało, odstać się nie zdoła.

Gdy zatem do nas przybył wczoraj z rana,  
Jam się za szafę ukrył w rogu sali;  
Nadeszli wkrótce, mateczka splakana  
A za nią doktor i tak rozmawiali:

Dokąd to potrwa, nie wiem rzeczywiście,  
Lecz nie przeżyje końca listopada...  
Gdy z drzew ostatnie opadną już liście,  
Odejdzie z niemi ta dziewczeczka blada.

Co więc liść spadnie, to ja go przywiążę,  
Lecz choć od wczoraj pracuję wytrwale,  
Nie wiem, czy na czas z robotą wydadzę,  
Trudu mojego nie znać tutaj wcale:

Widzisz więc pani, że pozostać muszę,  
Bo jeśli ręce leniwie założę,  
Liście uniosą siostrzyczki méj duszę...  
Może mi pani w robocie pomoże?”

N. Sokolowska.

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Ponieważ niemamy czasu do stracenia, i spoczęliśmy chwilę, idźmy dalej w drogę Thorn? — pytając rzekł Mac'Ulma po chwili.

— A... a, śniadanie?... — szepnął nieśmiało i pocichu chłopięcy jakiś głosik...

Odezwał się tak John szesnastoletni Anglik, niedawno znajdujący się w służbie Mac'Ulma i nie pojmujący istnienia na tym świecie bez bifsztjku, o którym mówiąc, płakał jednocześnie szczerze za panem Wiliamem. Odezwanie się jego w tej chwili byłoby wielce komicznem nawet, gdyby nie okoliczności:

— W istocie, jest już po północy, a od rana, od przetrwanej uczty nikt nie jadł, jeżeli wyjdziemy z tej jaskini bezsilni, cóż pocniemy? — powiedział Thorn.

— Jest tylko stary paw.

— Nie wielka z niego pociecha...

— Proszę mi tego pawia darować, to dostarczę żywności dla wszystkich i zapas na drogę jeszcze...

— Jakim sposobem?

— Ułowię w rzece tu o dwadzieścia kroków; mam haczyki, jeden nawet porządny hak: paw posłuży za robaczka na przynętę...

— Ależ w naszej tutejszej rzece niema nic... prócz krokodyli!...

— Właśnie; bardzo smaczne; delikatne mięso, smakuje zupełnie jak tłusta pularda... — Indyjanin Rahib mlaśniał głośno ustami z rozkosznym akcentem wytrawnego smakosza.

— Pularda?...

— No tak maleńka, tuczona przyrządzana jakoś tam, jak nasz kucharz nieraz piekł dla państwa, a i my kosztowaliśmy...

— Zupełnie tak samo smakuje krokodyl...

— Mniejsza z tem jak smakuje; w każdym razie jeżeli możesz, dostarcz towarzyszącej żywności. Czy mamy iść z tobą?

— A tak, sam nie dam rady krokodyla przynieść tutaj...

— Co teraz robisz?

— Rozplatam matę... posłuży za sznur...

— A jak Indyjanie wypatrzą nas łowiących nad rzeką?

— Nie; księżyc jest ostatnią noc w pełni, muszą tej nocy koniecznie skończyć ze zwłokami swoich zabitych: dla tego to niema nikogo w okolicy, wszyscy muszą być tam, przy ostatniem pożegnaniu... Wszyscy, którzy wespół z nimi walczyli po raz ostatni. Nie będzie ich nad rzeką.

— I dosyć gdy my dwaj pójdziemy z Rahibem aby przynieść krokodyla...

— Nie! Niech wszyscy idą, kto nie wie jak się to robi nauczy się; zresztą możecie potrzebować pomocy — ciszej dodał Thorn do Mac'Ulma. — Nikt nie śpi... dzieci Ikały przez sen za bratem i siostrą... rozpacz w bezczynności, jest dwakroć rozpaczą... niech idą!...

W kwadrans później Rahib ustawił towarzyszy u stóp grupy drzew na najwyższym w tem miejscu wybrzeżu rzeczki zarosłej sitowiem. Lasek dość gęsty w ogóle, tu tylko rozarty był trochę po obu stronach strumienia, a wspomniana grupa drzew ogromnych z jednym jeszcze pomniejszem schylonem niżej tuż nad wodą podrywającą jego korzenie, stała odosobniona.

— Krokodyle nie mogą wydostać się na tutejszy brzeg nazbyt stromy dla nich — rzekł Rahib — wychodzą tylko na przeciwny; powstańcy nie przyjdą również; jednakże nie w ludzkiej jest mocy odgadnąć i przewidzieć wszystko, co zdarzyć się może, otóż, jeżeliby się co nieprzewidzianego zdarzyło od zwierząt, trzeba schronić się na drzewa, a jeżeli od ludzi, to wracać do jaskini tym samym przemykiem w gęstwinie, jakeśmy tu przyszli. Ja będę stróżował, bo widzę w nocy jak w dzień, jeżelibym dostrzegł ludzi, zakrzyczę pawim głosem, jeżeli zwierzę jakie, zawyję jak tutejsze małpy.

Tak ubezpieczając towarzyszy, trzej Indyjanie przywiązali jednocześnie pawia za nogę, na jednym końcu zaimprovizowanego długiego sznura z rozkręconej maty, a drugi jego koniec przymocowali do owego drzewa, stojącego osobno poniżej innych nad wodą. Prócz tego przymocowano także pawiowi na piersi duży, ostry i zakrzywiony hak, następnie pu-

szczono ptaka z rąk i wszyscy trzej zniknęli w zaroślach. Księżyc w pełni oblewał rzeczkę i okolice tak jasnym światłem, że nie tylko krajowcy obdarzeni jak w ogóle ludzie w pół dzicy doskonałym wzrokiem, lecz i Europejczycy mogli wszystko widzieć dokładnie.

Ptak najprzód w górę uleciał, ale wnet pociągnięty sznurkiem, ciężarem haka i skrepowany trochę, opadł na sitowia zarastające przeciwny brzeg strumienia, usiłując oddalić się jak najbardziej od miejsca, w którym czuł się uwięzionym. W tej chwili Thorn tracił zlekka i nieznacznie Mac'Ulma, stojącego przy nim i wskazał czterech młodych ich synów. Chłopcy nie dawniej jak przed półgodziną zrozpaczeni tak, że łkali przez sen, teraz zajęci byli polowaniem aż im oczy błyszczały w księżycowym świetle. Dwaj ojcowie tłumiąc westchnienie uściskali sobie ręce w milczeniu. W tem dał się słyszeć lekki szelest, pewien rodzaj świszczącego sapania, przykra dla wielu woń piżma rozeszła się w powietrzu, i ogromny krokodyl wyszedł z wody... Dążył prosto do pawia, sitowie i gałęzie zarośli, gięły się i kładły pod jego cielskiem, pokrytem grubą dużą łuską w zielonawo-oliwkowe i czarne odcienia, o podwójnym, strasznym jak zębata piła grzebieniu łączącym się w końcu z ogonem. Okropne szczęki wyszczerzone, jeżyły się ostreimi potężnymi zębami, łapy o szponach olbrzymich poruszały się wstrętnym ruchem płazów, dzikie przerażające oczy błyszczały jak zarzewie... Na widok potworu, paw przestraszony zerwał się do lotu.

Ale po chwili darennego szamotania się, biedne stworzenie upadło znowu na wodę, uderzając rozpezwliwie skrzydłami. Tego tylko oczekiwało straszdyło, paszcza niby wiecznie śmiejąca się okropnym uśmiechem, rozwarła się szeroko jak otchłań i zamunęła, pochłaniając ptaka wraz z ogromnym zakrzywionym hakiem...

— Nasz!... — szepnął Rahib.

— Gdyby mu też kulkę wpakować w dodatku?... — zaproponował Edward przestępując bezwiednie z nogi na nogę jak ochoczy tancerz na odgłos różnej muzyki.

— Po co budzić licha wystrzałem gdy ono śpi?... A zresztą szkoda kuli, ześliznie się po łusce nie dotknąwszy zwierzęcia. Poczekajmy chwilę a i tak naszem będzie; oto już się szarpie... im bardziej szarpać się będzie tem głębiej w gardło zagrzezać mu będzie hak rozszczępiony... niezadługo straci siły i wyciągniemy go jak kłodę drzewa, ciągnąc po prostu za sznur...

— O! o, o!... proszę patrzeć jak potwór tańcuje!...

Istotnie straszdyło tak szalało, rwąc się z bólu i rozpacz, że gdyby to nie był okropny krokodyl, możnaby patrząc na jego męki, uczuć dlań współczucie. Nikt z patrzących nie uczuwał go przecież. Wkrótce wyciągnięto na brzeg połączonemi siłami zdobycz wstrętną z pozoru, i Wilko w jednej sekundzie odciął jej głowę.

— Nigdybym też w życiu nie odgadł, co mam jeść dzisiaj na śniadanie... — zrobił filozoficzną uwagę Robert Thorn, patrząc z podziwem i wstrętem na rozciągniętego u stóp potwora.

— Tsst!... Co to jest?... — szepnął ten i ów nagle: wszyscy od razu spostrzegli w oddaleniu, wychodzący powoli z głębi lasu, dziwny jakiś orszak, wiedziony jakoby przez dwie pochodnie, pomiędzy którymi na czele szła kobieta... Nie było potrzeby ostrzegać głosem małpy ani pawia:

— Powstań!... Spiesznie cofać się do groty naszej! — szepnął Mahora.

— Wielki Boże!... ta kobieta nie jestże to Klara?... — jęknął Mac'Ulm.

Wszyscy stali chwilę jak skamieniali pod wrażeniem tego przypuszczenia, a potem Wilko pierwszy nie mówiąc ani słowa wdrapał się na drzewo, pod którym stał...

Tajemniczy orszak zbliżał się ciągle... Wszystkie prawie lufy, niechący skierowały się ku postaciom otaczającym kobietę...

— To nie nasza panienka! To tutaj!... — szepnął Wilko, cicho jak wietrzyk.

— To nie jest panna Klara!... Prędko chrońmy się do jaskini zanim drogę nam przetną!... — powtórzył równie cicho Mahora. Ale trzej Szkoci i trzej Anglicy stali jak wręci, z oczyma wlepionymi w kobietę zbliżającą się ciągle ze swym orszakiem.

Panowie, to nie panienka! Do jaskini, lub wszyscy zginiemy!... — nalegał Rahib.

— Już zapóźno!... zajęli naszą ścieżkę!... — westchnął Mahora. — Na drzewa! Niema innego ratunku; lecz i to na nic... zobaczą lub dosłyszą nas.

— To nie Klara! Nie ona! — jęknęła wreszcie gromadka Europejczyków, których wzrok mniej bystry, teraz dopiero stwierdził to, o czem Indyanie od kilku minut już wiedzieli.

W mgnieniu oka zrozumiawszy położenie, wdarto się na drzewa, o ile można było najciszej, przy czem jednak panu Thornowi pomagać było trzeba. Dziwny orszak był już tak blisko, że musiałby być cośkolwiek dosłyszeć, gdyby nie głużył go szelest własnych kroków. Wkrótce można już było spostrzedz niezwykłą piękność dziewczyny, wiedzionej między pochodniami. Przybywszy na błotnistą małą równinę, nad brzegiem rzeki u stóp stromej wzgórza, uwieńczonego odosobnioną drzew gromadką, niosący pochodnie zatrzymali się. Starcy zasiedli w okrąg na ziemi, tłum otoczył śliczną dziewczynę postawioną w pośrodku, koło niej stanął olbrzym w pół nagi i z niebywałą u Indyan gadatliwością rozpoczął jakąś mowę, zwracając się to do dziewczyny to do otaczających ją starców. Zdawał się mieć niby rolę tłumacza, albo adwokata czy też oskarżyciela raczej, gdyż z uniesieniem, do szału dochodzącym wyraźnie przekonywać usiłował o czemś i ją i słuchaczy. Ona odpowiadała czasem ponuro pojedynczemi wyrazami, oni głosami kiwali w milczeniu:

— To boże-sądy!... nie mamy się czego obawiać byleśmy zachowali się cicho, bo nie myślą o nas i nazbyt są własną sprawą zajęci... — szepnął znów pocichu Mahora. — Nie poruszaj się panie Jerzy, aby nie trzeszczała gałąź, na której obadwaj siedzimy, i strzeżmy się aby broń czyja przypadkiem nie wypadła...

— Boże-sądy?... było coś podobnie zwanego niegdyś u nas w Europie, coż to ma znaczyć tu w Indyach?

— Jest tu jedno pokolenie, którego praojcowie mieli wedle stariej opowieści przypląć tutaj z wyspy Madagaskaru, ono to w trudnych razach krokodylom pozostawia sądy swoje...

— Krokodylom?...

— Tak. I oby nie zobaczyli tego zabitego, który tu leży w zaroślach pod drzewami: nie jedzą oni mięsa krokodyli, ponieważ mają dla nich wielką cześć. Patrzcie!... Patrzcie!... Sąd skazuje dziewczynę!... a oto kat i lekarz ich, jednocześnie bierze ją za rękę i prowadzi do rzeki!... Ale jaka ona spokojna!...

Wistocie piękna dziewczyna, acz łzami zalana, szła jednak spokojnie. Stanąwszy tuż ponad falami, niezbyt szerokiemi lecz dosyć głębokimi i rojącej się krokodylami wody, ów prowadzący dziewczynę puścił ją i wzniosłszy obie ręce w górę, w gwałtownej przemowie wzywał widać krokodylowej mądrości. Dziewczyna wtedy odwróciła się ku tłumowi i głośno coś powiedziała. Na to wezwanie, wybiegło natychmiast z gromady kilka łzami zalanych dziewcząt, podając owę obwinioną różne wiązadła, sznurki, taśmy, a nawet prawdziwą wstążkę, co wszystko zrywały ze swego odzienia, snadź na prośbę nieszczęsnej towarzyski. Ona wzięła to od nich i związała tem mocno na głowie długie niepospolicie, rozpuszczone swe włosy, potem przy głośnym okrzyku tłumowi skooczyła w wodę...

Gdyby okrzyk ów i zajęcie ogólne nie były tak wielkie, usłyszaliby okrzyk pełen oburzenia, pochodzący z wierzchołków drzew, górzących ponad małą równiną tego sądu. Nie dosłyszano go przecież, a poprzczepiani na drzewach Europejczycy zamilkli, wstrzymując mimowiedzy oddech na widok niesłychanej zrzeczności, z jaką dziewczyna płynęła, wymykając się jakby sama najzwinniejszą rybą była, chcącym ją pochłoniąć potworom, odpędzając je jednocześnie dwoma olbrzymimi nożami w kształcie pugałówek, które w obu trzymała

rękach. Młodzi Anglicy nie mogąc patrzeć na ten okropny widok, zakrywali oczy powodowani uczuciem ludzkości, ale odsłaniaли je znów natychmiast powodowani ciekawością. Tymczasem dziewczyna dopłynęła do maleńkiej wysepki znajdując się w pośrodku rzeczki i wyskoczyła na ląd.

— Niewinna! z pewnością niewinna zarzucanego jej występku — szeptał Rahib — inaczej nie odważyłaby się płynąć tam, gdzie jest największe rojowisko krokodyli! To ich gniazdo i stolica. A gdyby dziewczyna nie chciała dobrowolnie płynąć, to uznanoby ją winną i wrzucono gwałtem w fale i zginęłaby niemylnie...

Tymczasem obwiniona zaczęła biegać jak szalona w kółko po maleńkiej wysepce, a za nią goniła gromada potwornych wyszczerzonych strasydeł, wyskakując z wody gwałtownymi rzutami, zwęszywszy zdobycz, aż ona zniechęciwszy ich w ten sposób ku sobie, nagle jednym szalonym tygrysim skokiem, przerzuciła się wprost na przeciwległy brzeg wysepki i z pluskiem skoczyła w wodę, tam właśnie gdzie rozłakomionych na nią potworów nie było. I wyskoczyła napowrót przy nowym patrzących tłumów okrzyku. Mnóstwo strasznych paszczy, ukazało się w tem miejscu natychmiast, ale dziewczyny już tam nie było: biegała znowu z szaloną chyżością po wysepce, goniona ciągle przez potwory. Po trzykroć powtórzyła manewr poprzedni, skacząc i wyskakując z wody, siedliska potworów. Za każdym razem po chwilowej śmiertelnej ciszy rozlegał się luczny okrzyk tłumu, gdy ten ujrzał znowu na wysepce tę, której nie spodziewał się widzieć więcej. I za każdym razem trzej Indyjanie uczepieni wraz z Europejczykami na drzewach, szeptali pomimo że chrześcijanami już byli:

— Niewinna! niewinna! niewinna! — i mieli słusność: tylko w głębokiem poczuciu niewinności swojej, mogła dziewczyna zaczerpnąć tyle sily, odwagi i bystrości. Nagle wyskoczywszy na wysepkę po raz trzeci, odwróciła się i dzikim skokiem przerzucając się ponad wyszczerzone i porozwierane ku niej paszcze skoczyła aż na środek rzeczki, i zanim strasydła zdołały zorientować się i pogonić ją w tym nowym niespodziewanym kierunku, przebyła wodę i wyskoczyła na brzeg z którego pierwotnie wypłynęła, i upadła bezprzytomna z wysilenia u stóp tłumu. Wielka wrzawa napełniła wtedy lasek. Jedni pochwycili dziewczynę na ręce, i podniosłszy wysoko, ponieśli w tryumfie wśród radosnych okrzyków skaczących w około jej towarzyszek. Inni tymczasem przywlekli owego już widzianego poprzednio gadatliwego oskarżyciela, postawili na tem samem miejscu, na którym niewinną oskarżał, sto rąk nagich uzbrojonych w błyszczące żelaza wzniosło się nad nim przy dzikich pomsty okrzykach, i... Europejczycy z prawdziwym wstrętem musieli znowu zakryć oczy.

(d. c. n.)

## GRY TOWARZYSKIE.

### Ziemia, Woda, Powietrze i Ogień.

W grę tę zarówno w pokoju jak i w ogrodzie bawić się można.

Całe towarzystwo siada w koło, powinno być o jedno krzesło mniej niż jest zebranych osób.

Rozpoczynający grę wchodzi w środek koła, staje przed wybraną przez siebie osobą i woła:—Woda,—a potem jaknajszybciej liczy do dziesięciu.

Zagadnięty powinien w tej chwili wymienić jakieś stworzenie w wodzie żyjące, np. ryba, rak, żaba i t. p.

Jeśli się pomyli i powie, wróbel lub kret, w takim razie daje fant, a na jego miejscu siada rozpoczynający grę.

Daje także fant jeśli myślał tak długo że pytający doliczył do dziesięciu. W tenże sam sposób należy odpowiadać gdy wymienione zostało powietrze lub ziemia to jest wymieniając istoty latające po powietrzu lub żyjące na ziemi.

W grze tej bywa mnóstwo fantów, chodzi tylko aby ją prowadzono pośpiesznie, kiedy chodzący w kole napróżno po kilka razy próbował schwycić na nieuwadze towarzyszy i to mu się nie udało, wtedy staje w środku i woła ogień.

Na to hasło zrywają się wszyscy i zamieniają miejsca, kto nie zdążył dopaść krzesła prowadzi grę dalej i z kolei stając przed jednym z uczestników zapytuje wedle upodobania: Woda, ziemia lub powietrze, rachując do dziesięciu.

## SZARADA.

od Niezapominajki z nad Warty, dla Litwinki z nad Szczyry.

Pierwsze gdy zechcecie  
W rzędzie rzek znajdziecie,  
Wspak drugie jest litera,  
Trzecie alfabet zawiera,  
Czwarte znów jest rzeka  
Ztąd dosyć daleka.  
Całość będzie  
W bożków rzędzie.

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

od Złotej rybki dla Rezedki.

Wyrazów 10. Z następujących zgłosek: ral—me—man—mo—e—ka—ma—tim—al—a—se—ryt—da—ter—la—re—zor—mo—la—tyl—ha—sor—pi—tu—ri—yacht—buk—le, ułożyć: 1. Owoc. 2. Bohater znanej balady. 3. Miasto w Afryce. 4. Były urzędnik. 5. Imię żeńskie. 6. Urzędnik. 7. Miejscowość w Grecyi sławna bitwą. 8. Statek spacerowy. 9. Pustyna. 10. Jezioro w Azji. Początkowe litery od góry do dołu utworzą nazwę nauki, a końcowe od dołu do góry także nazwę nauki.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 27-go.

### Łamigłówni sylabowej:

1. Joanna. 2. San. 3. Łysy. 4. Orwid. 5. Walhala. 6. Abel. 7. Cal. 8. Kaprea. 9. Job.

J. Słowacki — Balladyna.

### Rebusu:

Jak cię widzą tak cię piszą.

**TREŚĆ:** W wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Artysta bez rąk (z drzew.) — Anielska robotka, wiersz p. N. Sokołowską. — W Indyach (z drzew.) — Gry towarzyskie — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Pierwszy siostrzeniec, (z drzew.) — Wędrowiec i skowronek, wiersz — Potwory p. Maryą Weryho. — Noc świętojańska p. Cairo (dokonczenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



Pierwszy siostrzeniec.

## PIERWSZY SIOSTRZENIEC.

Jakaż to radość była dla Leonka, Tadzia i Stefy, skoro z nastaniem wakacji przyjechała do nich na wieś, do Lubonia, po czterech latach niewidzenia, ukochana siostra Marynia. Mery, jak ją nazywali, starsza bowiem o wiele od młodszego rodzeństwa, przed kilkoma laty wyszła za mąż i wyjechała bardzo daleko, teraz więc nie tylko że zrobiła niespodziankę swoim nieoczekiwanym przyjazdem, ale ku ogólnej radości w Luboniu, przywiozła z sobą trzyletniego synka Lulusia, którego nikt tu jeszcze nie znał. Luluś, był ślicznym grzecznym chłopczykiem o jasnych kręconych włoskach i czarnych oczkach, i tak sobie potrafił ująć każdego, że po kilku dniach pobytu w Luboniu, stał się pieśczołką całego domu.

Wszyscy pokochali go odrazu, a już najwięcej Leonek, Tadzio i Stefa, którzy nie mogli się dość nacieszyć swoim siostrzeńcem, roszcząc sobie do niego słuszne prawo wujów i ciotki.

Z początku Mery, troskliwa o swego jedynaka, bała się powierzać go tej niby poważnej opiece, która w tym razie mogła być trochę jeszcze za mało bezpieczną, ale wkrótce, widząc z jaką ostrożnością i miłością obchodziła się z nim nasza trójka, przestała się obawiać i pozostawiła go z dziećmi, które tak dobrze umiały go zabawić, że skoro tylko zesunął się z kolan mateczki, biegł natychmiast wprost do nich klaszcząc drobnymi rączkami i śmiejąc się wesoło, co miało oznaczać że Luluś chce się bawić. Dzieci znów, a nawet trzynastoletniego Leonka, wbijało niezmiernie w pychę że mógł mówić o nim: „to mój siostrzeniec!” a wszyscy, starając się jaknajczęściej używać tego wyrazu przed towarzyszami, wyma-

wiali go z taką poważną dumą że rodzice i Mery słysząc to zanosili się od śmiechu.

W dnie chłodne Lulusz bawił się w pokoju. Warto było widzieć wówczas jak królował siedząc na dywanie wśród stosu zabawek, których liczbę codziennie przemysłni chłopcy powiększali własnoręcznie arcydzielniami z drzewa, lub innych zdatnych na ten cel materiałów.

Wtedy on wyglądał na małego paszę, oni zaś, na trzech wezyrów, którzy oczekując tylko na skinienie swego władcy, gotowi są na jego rozkaz skoczyć choćby w ogień.

W ciepłe znów dnie, zabawa szła w najlepsze w ogrodzie, gdzie w cieniu drzew i na powietrzu było o wiele weselęj i swobodniej.

Lolusia wychowanego w wielkim mieście cieszyła niezmiernie ta różnorodność, Zachwycał się zielonością, przysłuchiwał ciekawie szczebiotowi ptaszków ukrytych wśród gałęzi, wydawał okrzyki radości na widok jaskrawych kwiatków i sprawiał okropne spustoszenia w ogródku Stefy, która chociaż dawniej tak pilnie strzegła by zeń czasem czego nie wyrwano, teraz z uśmiechem patrzyła jak mały despota rwał pękami maki, róże i goździki, garnąc chciwie do siebie obiema rączkami, jak gdyby w obawie by mu nie zabrano tych wonnych, radujących wzrok bogatemi barwami, skarbów przyrody. Chłopcy przywieźli mu własnymi kucykami piasku i usypawszy zeń kopiec w klombie lipowym, jak zaczęli pokazywać jak się to buduje piwnice i w przeciagu kwadransu zakłada piękne ogrody, tak zapomnieli przytem, pierwszy, że miał po wakacjach zostać uczniem trzeciej klasy, drugi zaś, o całej powadze dziesięcioletniego wujaszka.

Innym znów razem przysła im nowa myśl. Wyślawszy starannie liśćmi i łąkowemi kwiatkami ogrodowe taczki, zajechali przed Stefę i Lulusia bawiących się piłką, zapraszając ich do przejażdżki po alejach. Zaproszenie zostało przyjęte z wielką radością i wkrótce cały orszak puścił się w podróż urządziwszy przedtem pochód tryumfalny przed gankiem, na którym siedzieli starsi. Lulusiowi bardzo się podobał ten rodzaj zabawy, więc położył się wygodnie na zielonem miękkim posłaniu podczas gdy Stefa z przecznością i niepokojem troskliwej cioteczki wyglądała przed siebie czy droga jest równa a tem samem czy nie zagraża niebezpieczeństwo wywrócenia, temu improwizowanemu ekwipażowi.

Zajęci podróżą nie zauważyli że pewnego dnia, młody tatuś Lulusia swoim rewolwerowym aparatem fotograficznym zdjął z nich fotografię i zrobił im niespodziankę stawiając ją na stole podczas podwieczorku. Cała grupa wyszła na nią tak doskonale że poznali się natychmiast, ale jakież było ich zdziwienie, skoro Mery oświadczyła im że jeden taki egzenplarz posłała w upominku od nich Redakcyi Wieczorów rodzinnych, którego to pisemka byli żarliwymi czytelnikami.

— Ach Boże! Jak mogłaś to zrobić siostrzyczko! — zawołali wszystko troje z wyrzutem — będą się w Redakcyi z nas śmieli, że choć tacy duzi tak się jeszcze bawimy.

— A toż dla czego? — odparła Mery — przeciwnie,

posyłając waszą fotografię opisałam, jak bardzo kochacie swego malutkiego siostrzeńca, i staracie się uprzyjemnić mu pobyt między wami, a nic chyba nie zasługuje na większe uznanie jak taka opieka, miłość i troskliwość między rodzeństwem”, bo czyż mój synek nie jest jakby młodszym waszym braciszkiem?...

## WĘDROWIEC I SKOWRONEK.

SKOWRONEK.

Czemu tak wczesnie ptaszku maleńki,  
Wzbijasz się w niebo z brzaskiem jutrenki?

WĘDROWIEC.

Ze wschodem słońca nocę od rana,  
By chwalić niebios i ziemi Pana...  
I ty, wędrowcze, dziś bezwątpienia,  
Wzniesiesz do Stwórcy swe dziękczynienia!...

\* \* \*

Oba, wędrowiec i ptaszek mały,  
Śpiewali razem dla Bożej chwały.  
Wędrowiec idąc dalej swą drogą,  
Czuł w sercu własnem pociechę błogą...  
Bóg w niebie słysząc dziękczynne głosy,  
Dźwięki ich zmienił w perełki rosy!

## POTWORY.

I.

Tak nazywała Jania świnki.

— Brzydszych zwierząt to chyba niema na świecie — mówiła. — Prawdziwe potwory! Tułów gruby, jak beczulka, nogi krótkie, ryj ogromny, wydłużone uszy wiszą jak liście łopuchy, a ogon wcale niepodobny do ogona, jakby supetek ze sznurka. A cóż za brudasy i obzartuchy! Marcinowa naleje im bardzo porządnie jadła w koryto, a one wejdą w nie nogami. Czasem który się spóźni, leci co sił, wpada, zaczyna się przedzierać i koryto wywróci, a świnki dojadają resztki z ziemi.

I poco to rodzice trzymają takich brzydalów, jak urosną, nigdy żadnej świnki w mojem podwórzu nie będzie.

Przeszedł rok, jeden, drugi i jeszcze kilka lat. Jania była już dużą panną, i sama gospodarowała, ale świnek nie wyrzucała ze dworu.

A wiecie dla czego?

Dowiedziała się że z tych świnek mamy dobre kiełbasy, serdelki, szynki i wiele innych smacznych rzeczy.

Nawet pokrywająca je gruba szczecina bardzo się przydaje. Szczotkarz robi z niej szczotki do zębów, do włosów, do czyszczenia podłogi i ubrania.

Marya Weryho.

## NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

(Dokończenie).

Można sobie wyobrazić przestרח i zamieszanie, kiedy tak wczesnym rankiem, chłodnym jeszcze po burzy, przyprowadzono do domu trzech winowajców i do tego jeszcze chorą, w gorączce dziewczynkę.

Helę położono natychmiast do łóżka i wezwany doktor zawyrokował że ma silne zapalenie płuc ze znużenia i przeziębienia.

Chorowała potem parę miesięcy bez nadziei życia... W gorączce zrywała się z łóżka wołając głośno z otwartymi szeroko oczami. „O, jak tu strasznie, zimno w tym lesie!” lub znowu chciała uciekać niby przed goniącymi ją wilkami...

A przez cały czas choroby chłopcy nie odstępowali prawie jej łóżeczka. Staś zalewał się łzami i całemi nocami prosił Boga o uratowanie siostrzyczki, to też trzeba było widzieć co za radość była za każdym razem, kiedy po kilku tygodniach niepewności, doktor wychodząc z jej pokoju mówił „że ma się lepiej”.

Rodzice nie zganili nawet jednym słowem chłopcom tej nieszczęsnej wycieczki, uważając że ciężką chorobą Heli dostatecznie ukarani i nauczeni na przyszłość zostaną. I mieli rację. To nieme cierpienie rodziców bolało ich jeszcze bardziej. To też wiara w cudowny kwiat paproci uleciała już z ich myśli na zawsze, a wraz z nią nawet owe uroczyste marzenia i projekta o przyszłości squarterów.

Gdzie im tam już było myśleć o Luizyanie teraz, kiedy jeden uśmiech przychodzącej pomału do zdrowia siostrzyczki, przynosił im tyle szczęścia!... Zabawiali ją obaj czem mogli i umieli, nie odstępując po całych dniach wystawionego na słońce fotelu w którym siedziała powracająca do zdrowia dziewczynka.

I od tego czasu gdy tylko nadchodziła wigilia św. Jana, wszyscy troje wspominali ową nedorzeczną wycieczkę do dąbrowy, wyśmiewając się ze swego pomysłu i wiary w baśni i powtarzali z deklamacją ten wierszyk nieznanego poety:

„Noc czerwco wa pełna czarów  
Tajemniczą wabi ciszą,  
Wśród kwiecia i drzew konarów  
Dziwożony się kołyszą...  
— A tam, w głuchym starym lesie  
Kwiat paproci już się budzi  
Kwiat co wszystkim szczęście niesie  
Choć go nikt nie widział z ludzi...  
— Och, szczęśliwi którym złuda  
Troski życia baśnią złoci,  
Im się jednym tylko uda  
Uszczknąć może kwiat paproci...”

A z czasem dowiedzieli się jeszcze, że skarby częstokroć droższe nad złoto i dyamenty, znaleźć można bez bajecznego kwiatu, w jednym ludzkim sercu, zdo-

bnem tylko w cnoty które najwięcej wzbogacają człowieka, oraz że te pieniądze, zdobyte własną pracą są najmiłsze w świecie...

Cairo.

### SZARADA.

Od Poranka majowego dla Filaretki i Fiołeczka  
z nad Wisły.

*Pierwsze* zaimek; a *drugie* płynie  
W prześlicznej Włochów krainie,  
Nakoniec *trzecie*,  
W nutach znajdziecie;  
*Wszystko* drzewo dobrze znane,  
U nas często widywane.

### Łamigłówka kryształowa.

ułożyła Grażyna dla Rumianego jabłuszka.

1. Spółgłoska.
2. Owad.
3. Stos papieru.
4. . . . .
5. Zaimek.
6. Szacowny organ.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą miano przyjaciółki dzieci, którą kochać i szanować powinny.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

#### Szarady:

Sza — ra — da.

#### Łamigłówki kryształowej:

K  
s o k  
K o t e k  
l e p  
k

### Skrzynka do listów.

Chętnie spełniamy życzenia naszych kochanych czytelniczek więc i żądaniu „Wysepki na Rojściu” stanie się zadość.

Bardzo nas cieszy obietnica, że **Tęcza z nad Jatrani** należy być do każdego konkursu. Zapewne uda jej się kiedy wziąć pierwszą, lub jedną z pierwszych nagrodę, którą bywa upragniona przez nią książeczka.

**M. Dus. z Chm.** posłaliśmy numerą, począwszy od tego, na którym stanęła. Łamigłówki, o ile będą dobrymi, doczekają swojej kolei.

**Niezapominajka z nad Warty** śliczny i szczęśliwy w skutkach miała pomysł! Dziękujemy szczerze w imieniu biednych dzieci

tak jęj, jak i towarzyszkom, z których jedna tak posępny pseudonym przybiera. Łamigłówka poczeka, niestety!

To już jak widać, wszystkie **Niezapominajki** tak są pocziwe, bo i ta druga z nad Jabłoni, uprzedzając konkurs, pamiętała o biednych dzieciach. Łamigłówek nie odebraliśmy wcale.

**Jaskółka z nad Bohu** obiecuje nam „długo nie rozstawać się z nami, gdyż dzięki Bogu ma 4-ro rodzeństwa młodszego” a sama jeszcze nie prędko staruszką zostanie. Miła to dla nas obietnica, Jaskółeczko i chętnie też witamy cię w gronie naszych korespondentek. Liścik wydrukujemy, gdy kolej przyjdzie na niego.

Ciekawość **Czubatęj Kokoszki** co do konkursu robót jest już w obecnej chwili zaspokojoną. Szczerze życzymy aby „stara babcia” pozbyła się dokuczliwej choroby. Właścicielkę wdzięcznego serduszka ściskamy serdecznie, dziękując starszej jej siostrze za miłe nam wyrazy uczucia, które najlepszą dla nas stawiła nagrodę.

**Jesieni kochana** nie „starość” to twoja nadaje ci prawo do naszego serca, ale wierne twoje do nas przywiązanie, za które też wzajemnością ci płacimy.

**W. M. Sul.** Postąpiliśmy wedle życzenia szan. Pani. Sami tegoż jesteśmy przekonania, że ofiara dziecka nabiera wartości, gdy prawdziwą jest „ofiara”.

**W. M. Mark.** Listu szan. Pani, nie odebraliśmy wcale żądany numer posłano.

**Filaretko droga**, nie robiłabyś mi wymówek, gdybyś wiedziała jak mało miejsca pozostaje do mego rozporządzenia w lamach naszego kochanego Pisemka. Nieraz proszę o więcej, na co Dobra pani zawsze odpowiada, że jestem nienasycony! Korespondentki, o które pytasz, od dawna nie odzywały się do Redakcyi; na tamte zaś pytania, (których treści sama zapomniałaś, roztrzępaniczko!) odpowiem chyba, jak wróć do Warszawy i list twój wyszukam. Teraz listy wasze odsyłane mi bywają na wieś; dla tego też nie miejcie mi za złe, jeżeli się kiedy trochę spóźnię z odpowiedzią.

Kto ci pozwolił, **Jodełko z nad Noteci**, twierdzić, że mnie „nudzisz”? otóż właśnie, że nie! Bardzo mnie list twój zajął: ztąd widzę „błyszczące oczy Marysi i Sewerki” i doprawdy serdecznie cieszę się z niemi.

A tego **Placuszka** i tę **Babkę**, zjadłabym chętnie, tak mi się apetycznymi wydają! Dobra pani także, jak sądzę, nie krzywiłaby się na takie ciasteczka! Nie bierz ze mną „rozbratu” póki nie przeczytarz tego, co piszę do Filaretki.

**Srocze z Ukrainy** żądany numer posłano, za resztę na kolonie letnie przeznaczoną, Bóg zapłać!

**Horpyno droga**, jak ty się nawet pytać o to możesz, czy ja ci życzliwość płacę za życzliwość? Wszystkie was za siostry, za blizkie sercu uważam, nawet i tę „najmniej znaną”. Zawieruchę, którą także proszę niech w serce moje dla niej wierzy.

Wyobrażam sobie, **Poranku majowy**, jak ci za mamusią najdroższą tęskno być musi, ale dzielę z tobą przekonanie, że skarga nigdy nic nie pomoże. W chwili w której piszę tę spóźnioną odpowiedź, już się powrotem matki i rodzeństwa cieszyć musisz? Cieszy mnie to bardzo, że ci się „Pod wpływem błogosławieństwa” podoba, a listy Abrakadabrusa tyle dają do myślenia...

Drogie moje: **Cyganeczko z nad Wisły**, **Wiochno z pod Lublina**, **Wróżbiarko szczęścia**, **Różycko biała z Wołynia** i **Fijofeczku z nad Wisły**! Podobacie mi się bardzo i chciałabym korespondować z wami. Czy zgoda? **Cyganeczko z nad Wisły**, dla czego obrałaś taki pseudonym? Gdzie spędzisz wakacje? Ja w Szczawnicy. Co ci się najwięcej podoba z powieści w „Wieczorach”, **Wiochno z pod Lublina**? Śliczny masz pseudonym, **Wróżbiarko szczęścia**. Czy jesteś staruszką i gdzie mieszkasz? **Różycko biała z Wołynia**, mieszkamy w jednej gubernii; może się kiedy spotkamy; tymczasem będziemy korespondować; dobrze? **Miluchny Fijofeczku z nad Wisły**, donieś mi co o sobie. Na imię mi Marya, jestem już staruszką. Mam teraz egzamina w gimnazjum, Odpiszcie mi proszę,

drogie siostrzyczki i przyjmijcie serdeczne uściśnienie od *Błyśkawicy*.

P. S. Białej Perelce, Róży polnej, Topolce z Żytomierza i Czarnej Perelce, zasylam miliony całusów.

Kochana Maniusiu St. w Stamirowie! Znam ciebie doskonale jak również i ty mnie, a wiedząc że jesteś czytelniczką naszych kochanych „Wieczorów”, postanowiłam napisać do ciebie, wiem, że twoja siostra K. pisuje pod pseudonymem Cichęj Wody i że byłaś zeszłego roku w Rabce, że jesteś bardzo żywa i wesola, teraz z kolei na ciebie wypada wymienić szczegóły mnie dotyczące. Ściskam cię i całuję, a nie zwlekaj z odpowiedzią, do *Czarnobrewki*.

Kochana Trawko z nad Czarnej Hańczy! Wiem z opowiadania pewnej osoby (zgadnij od kogo) że na imię ci Mania, nazwisko Olsz... masz 8 lat, cztery siostry: Wacł. Zof. Lucia Karol. i brata Włod. Pierwszy raz piszę do Wieczorów, choć je mam dawno. Posylam ci serdecznego całusa, prosząc o prędki odpis. *Gałązka Jaśminu z Radomia*.

Kochana Pomarańczarko rzymska! Przeczytawszy list twój do wszystkich ucieszyłam się, że i ja będę miała korespondentkę. Jestem twoją imienniczką, ale mię w domu nazywają Pusia, za kilka dni skończę lat 10, mieszkam na wsi na Litwie. Uczę się w domu i niedługo mam przystąpić do pierwszej spowiedzi i komunii. Mam dwie siostry Maryę i Wandę i brata Janka. Odpisz prędko życzliwiej ci *Polce z nad Szczary*.

Kochana Gałązko Jaśminu z Radomia, *Pieszczotko z małego ogródka* i *Filaretko*! Donieście mi co o sobie, mnie na imię Wacława, możecie się dowiedzieć więcej z numeru 22. Czy znasz droga Gałązko Madzię D., która także mieszka w Radomiu? Miła *Pieszczotko* w którym klasztorze jesteś? czy czasami nie u *Urszulanek*? Przyjmijcie milion całusów od kochającej was *Niezapominajki z nad Warty*.

Różyccze białej i Litwince z nad Szczary przesyłam uściśnienia, prosząc zarazem tę ostatnią o prędszą odpowiedź na mój liścik.

Kochana Ukrainko z kącika! Nie możemy się domyśleć kto jesteś, napisz swoje imię. A ty *Pocieszko* jesteś moją imienniczką, nie znam drugiej *Emci*. Tobie także *Gazello z gór Świętokrzyskich*, należy się odpisać. *Janinko z Potoka* czemu mi nie odpiszesz? Wszystkim zasylam serdeczne pocałunki. *Muszka brzęcząca*.

Drogie moje: *Kapłanko Znicza*, *Śpiewna Liro* i *Rzymska Pomarańczarko*! Wy *Kapłanko* i *Liro* długo każecie mi czekać na odpowiedź; piszę jednak do was w nadziei, że odpiszeecie. *Kapłanko* gdzie jedziesz na lato? A ty *Liro* czy prędko porzucisz *Petersburg*? *Pomarańczarko* napisz mi coś o sobie i nie gniewaj się że ci narzucam moję korespondencyę. Może tak jak ja lubisz pomarańcze i dla tego obrałaś sobie tę nazwę? Całuję was wszystkie moje drogie. Wasza *Artystka*.

Drogie moje: *Jaskółko z nad Dunaju*, *Światelko*, *Sikorko*, *Niezapominajko z Zacisza*, *Brzydotko* i wszystkie, które nie zapomniałyście o mnie! Doprawdy, wstydzę się takiego długiego milczenia, ale wszak wiecie wszystkie żem staruszką, a starość nie radość, szczególniej gdy się dojdzie do ostatecznego końca nauk, a chce się by ten „koniec” jakoś pomyślnie wypadł. Miła *Jaskółeczko*, błagam donieś mi kto jesteś, lub powiedz choć jak ci na imię? Wszak ty droga *Sikorko* jesteś *Wikcią*? Mam nadzieję, miła *Brzydotko*, że pamiętasz o twęj sędziwej i 1-ęj korespondentce, która zawsze z przyjemnością przeczyta twoje liściki. *Niezapominajko* moja, witając cię serdecznie w naszym gronie, załączam serdeczne uściśnienia dla: *Wiochny z pod Lublina*, *Staszki z Podola*, *Czeskiej Niezabudki* i wszystkich staruszek. Wasza zawsze życzliwa *Nadsekwanska Jaskółka*.

Kochana Pomarańczarko Rzymska! Przeczytawszy twą odezwę, donoszę ci, iż się nazywam *Maryla* mam lat 10, mieszkam w Warszawie i uczę się w domu. Najlepiej lubię arytmetykę i geografję, a ty jakie nauki lubisz najlepiej? Proszę o prędką odpowiedź. *Różowa Jutrzenka*.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

### VIII.



m dłużej mieszkałem na wyspie Atlantie, tem więcej przywiązywałem się do niej. Dobrze mi było w otoczeniu moich kochanych królewien i ich dzieci garnących się do mnie tak serdecznie; dobrze w towarzystwie szlachetnych królewiczów — i choć król Dobromił prosił mnie kilkakrotnie żebym na dwór jego powrócił, nie mogłem się na to zdecydować.

Wstępując na stopnie pałacu Kryształka, spotkałem paza w barwie królewicza Zielonki, wychodzącego właśnie ztamtąd. Niósł jakieś wielce misterne pudełko, podobne tym jakie zwykle używają się do klejnotów. Widocznie Kryształek posyłał podarunek swojej pięknej bratowej, ale dla czego nie użył do téj przesyłki swego własnego paza? Zaciekawiony wstąpiłem do komnaty królewicza i zastałem go stojącego na

środku, ze znaną mi już srebrną puszką w jednej ręce, a listem w drugiej.

— Kochany mistrzu — rzekł zaraz ujrawszy mnie — otrzymałem od Zielonki dar z którym nie wiem co robić. Poradź mi proszę!

I rozpieczętowany list przeczytał głośno.

„Panie i Bracie mój. Pióropuszek obdarował mnie bardzo kosztownym chińskim przysmakiem. Nie chcąc samolubnie dogadzać własnemu podniebieniu, a pragnąc tą niebywałą dotąd u nas osobliwością, uczcić wielce miłego Pana a Brata, posyłam Ci go, życząc Tobie i całej Twój rodzinie smacznego apetytu.

Pióropuszek utrzymuje że grzyby należą do królestwa roślin, i dla tego chińskie przysmaki dla mnie są właściwsze niż dla niego. Ale wedle mego widzenia, jakkolwiek przysmaki te składają się z części zwierzęcych i roślinnych, Tobie one najszlachetniej należą się miły Bracie, bo tak rośliny, jak zwierzęta, żywią się minerałami: pierwsze, pochłaniając je rozpuszczone w wodzie, lub unoszące się w postaci gazów w powietrzu, a drugie używając roślin na pokarm.

Sercem miłujący brat

Zielonko.”

Przeczytawszy do końca, Kryształek spojrzął na mnie wzrokiem proszącym i zapytał:

— Co z tym fantem robić?



— Skosztować — odrzekłem zaledwie wstrzymując uśmiech — ma to być wyborna i posilna do zup przyprawa!

— O! za nic w świecie! Proponowałem już Iskierce, ale ani chce słyszeć o tem, i nie dziwię się jej. Chyba że ty, mistrzu kochany, coś cały świat kilkakrotnie objechał i musiałeś poznać sposoby żywienia się wszystkich narodów, zdecydujesz się jeść, to każę te grzyby kucharzowi przyprawić po dług chińskiej recepty. Posiada on znakomite dzieło chińskie *Pents'au* w trzydziestu ośmiu tomach, poświęcone wyłącznie tego rodzaju produktom.

— Bardzo Waszój królewiczowskiej mości dziękuję — odrzekłem skromnie — nie jestem ja smakoszem ubiegającym się za wytwornościami.

— A więc posłę je posłowi chińskiemu, który jak słyszę, miał dziś posłuchanie u mojego brata. On może spożyje ze smakiem te narodowe obrzydliwości.

— Mandarynowi Si-ano-y-Si-ecz-ka? Niepodobna! bo on to właśnie przywiózł w darze od władcy państwa niebieskiego tę puszkę twemu miłościwemu bratu. Odsyłać mu ten dar, byłoby wyrządzić jego monarsze obelgę, mogącą dwa sympatyzujące dotąd z sobą państwa, doprowadzić do ważnych nieporozumień i zakłóceń. Ale wiesz co, miłościwy królewiczu! zrób jak ci radzi Zielonko: uważaj ten przedmiot jako należącego do królestwa minerałów i postąp z nim w myśl tego pojęcia. Oddaj go ziemi; w niej jego części składowe rozłożą się na pierwiastki, z których powstały i odżyją w innej postaci, częścią unosząc się gazami w powietrzu, częścią pozostając w niej jako węgiel, wapno, żelazo... bo jak wiesz, nie w naturze nie ginie, tylko się przetwarza.

— Masz słusność mistrzu — odrzekł zadowolony Kryształek — ale jeżeli oddam je morzu, to na jedno wyjdzie; w wodzie przemiany odbywają się tak samo, jak w ziemi. Niechże ryby morza otaczającego Atlantę, zakosztują wytworności stołu cesarza chińskiego!

I przystąpiwszy do okna wychodzącego na morze, otworzył puszkę i całą jej zawartość wysypał.

Chińskie przysmaki przywiodły mi na pamięć wielkiego Konfucjusza. Wróciwszy do swej wieży, zapaliłem trójramienny świecznik, rozłożyłem jego księgi filozoficzne i zacząłem czytać, bo znam język chiński, ale nie mogłem długo na miejscu wysiedzieć. Po dniu upalnym, parno było, i powietrze przesycone elektrycznością, zapowiadało w nocy burzę. Wyszedłem na balkon zwieszony nad morską otchłanią, i oddychałem z rozkoszą chłodem wiejącym od wody. Noc była piękna, prawdziwa noc czerwcowa, gwiazd pełna, blasków i świateł, a lekkie, miarowe uderzenia fal o mury pałacu, sprawiały cichy, melodyjny szmer usposabiający do marzeń i rozmyślań. Wsłuchując się w tę łagodną melodię, usłyszałem jakieś dźwięki oddalone, niepochwytny i gdy myślałem że to może złudzenie wyobraźni, dźwięki te przybliżające się widocznie, stały się wyraźniejsze i mogłem je już nie tylko uchem pochwycić, ale i rozróżnić. Była to znana mi pieśń śpiewana głosem pięknym, silnym jeszcze, ale starganym; słyszałem ją już raz od Jagódki.

„Znasz-li ten kraj, gdzie możny dwór i chata,  
W podróznym gościu bliźniego widzi brata;  
Gościnnie go u swego sadza stołu,  
Chlebem i słowem dzieląc się z nim pospołu?  
Gdzie nawet domu odwieczny stary wróg,  
Bezpiecznym jest, kiedy przestąpi próg?  
Znasz-li ten kraj?”

Wychyliłem się z balkonu chcąc dojrzeć niewidzialnego śpiewaka, i zobaczyłem zdala sylwetkę łodzi rysującej się jasno przy świetle księżycy i posłyszałem plusk wiosł kierujących łódź w stronę balkonu. Człowiek znajdujący się w łodzi zatrzymał ją, wyprostował się i zobaczyłem teraz że był wysokiego wzrostu i bardzo szczupły, ale twarzy jego dojrzeć nie mogłem.

— Mistrzu — przemówił głosem smutnym i przenikającym, który miał akcent cudzoziemski — powiadają że nie przed tobą nie jest skryte; że znasz rzeczy przeszłe i przyszłe... a są nawet co mówią, żeś człowiek nie dzisiejszy, i że byłeś

obecny narodzinom i upadkom narodów, które oddawna już zniknęły z powierzchni ziemi... Nie wiem ile w tem jest prawdy a ile legendy, ale przecucie mi mówi, że masz serce głęboko czujące i współczucie dla tych co cierpią... Czy zechcesz odpowiedzieć mi na dwa pytania?

— Nie omyliłeś się dobry człowieku — odrzekłem — pytaj mnie o co chcesz, a jeżeli tylko odpowiedź będzie w mej mocy, odpowiem ci.

— A więc mistrzu, powiedz mi najprzód, czy sprawiedliwość zawsze dosięga tych, którzy krzywdzą niewinnych?

— Zawsze, tylko czasem długo czekać na nią trzeba. Bóg w swej mądrości ustanowił prawa niezmiennie: losy ludzi i ludów są jak owo słońce, które naprzemian wschodzi i zachodzi. W życiu jednych i drugich bywają długie noce i zorze świtania. Zeschłe drzewo upada i rozsypuje się w proch, ale z korzenia jego nowe strzelają pędy i wyrastają znowu w drzewa wysokie, piękne i rozłożyste.

— Mistrzu, a czy człowiek tak nieszczęśliwy, że utracił wszystko co kochał, a tak nędzny że z bólu odrętwiał i zapomniał się nawet modlić, może mieć nadzieję że dla niego jeszcze kiedyś nowy dzień zaświta, że ujrzy nareszcie to za czem tęskni, i czego złudne obrazy widuje we śnie i na jawie? Czy Bóg, którego przestał nazywać ojcem, nie zapomniał o nim, i widzi go jeszcze z wysokości niebios? Ale ty mistrzu może nie wiesz co tęsknota!

— Przyjacielu — odrzekłem głęboko poruszony — gdy byłem w Indyach wschodnich, wyczytałem raz na liściu palmowym następujące wyrazy:

„Gdyby w najciemniejszą noc, najczarniejsza mrówka chodziła po czarnym marmurze, Bógby ją dojrzał i posłyszał szmer jej łapek”.

— Dziękuję ci mistrzu — odpowiedział głosem, w którym zdawało mi się że słyszę tłumione łkanie, ale to może było tylko złudzenie.

Potem nastąpiła chwila ciszy i posłyszałem znowu plusk wiosł oddalającej się łodzi i dźwięki pieśni ginącej w oddalaniu. Słowa tego człowieka, jego głos, ciągle mi brzmiały w uszach. Jakie były koleje jego życia? kto on jest? Może przyszłość rozjaśni tę zagadkę!

*Abrakadabrus.*

**Redakcyja Wieczorów Rodzinnych do królewicza Zielonki.**

Wasza Królewiczowska Mości!

W myśl wysokiego pozwolenia, posyłamy skrzynię z wypracowaniami konkursowemi, oczekując wyroku oraz dalszych co do nagrodzonego autora lub autorki rozporządzeń o sposobie otrzymania nagrody, to jest dostania się na wyspę Atlantę.

Waszój Królewiczowskiej Mości oddana i wdzięczna  
*Redakcyja.*

Warszawa dnia 24 Czerwca 1890 r.

**Abrakadabrus do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.**

Różany gaj dnia 1 Lipca 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Skrzynię z wypracowaniami konkursowemi przywiezioną do Różanego gaju, królewicz do Marmurowej góry odesłał, prosząc abym ją otworzył, przejrzał i rozsortował, oddzielając te, które ubiegać się o nagrodę nie mogą, z powodu braku sensu lub zupełnej nieznamomości ortografii, od lepszych, oznaczających się jakimikolwiek bądź zaletami.

Już sam widok skrzyni wzbudził we mnie obawę, że na dni kilka będę musiał pożegnać się z memi ulubionymi księgami, tak wielka zawiera się w niej dla mnie praca. Jakoż nie omyliłem się: spędziłem nad rozpatrywaniem wypracowań trzy dni i trzy noce, bo taką mam naturę, że nie lubię nic na później odkładać, zwłaszcza gdy rzecz jest pilna, a rozsądzenie konkursu uważałem właśnie za taką. Kwiaty wiosenne już przekwitły, trzeba się spieszyć zanim letnie pójdą w ich ślady. Im prędzej nagrodzony korespondent czy korespondentka przybędzie na Atlantę, tem lepiej dla czytelników *Wieczorów* w *rodziny*ch. Spieszyłem się więc ile mogłem, i czwartego dnia rano, odrzuciwszy po pracowitem rozpatrzeniu dzieł pięćdziesiątych części, resztę włożyłem w duży worek skórzany,

i zarzuciwszy na mego starego muła, ruszyłem do Różanego gaju.

Tam w sali powojów, używanej do wszystkich uroczystych posiedzeń, odbył się sąd konkursowy. Przy stole okrytym purpurą, zasiadło nas troje: królewicz, królewiczowa i ja; z woli królewicza głos mój miał być rozstrzygającym, na wypadek sprzeczności zdań. Rozpoczęło się czytanie, a raczej tłumaczenie przezemnie nadesłanych utworów na język atlantyjski. Królewicz słuchał cierpliwie, nareszcie po kilku godzinach rzekł z widocznym znużeniem.

— Kochany mistrzu, zdaje mi się że moje dobre chęci dla Wieczorów rodzinnych skończą się na niczem. Wypracowania które przeczytałeś są dobre, są nawet bardzo dobre, pisane i obmyślane starannie, ale to nie to czego chciałem: ani jedno nie jest godne wysokiej nagrody jaką przeznaczyłem. Ja chciałem miłości dla świata roślinnego, a tój nigdzie nie widzę! Niech je Redakcyja nagrodzi od siebie, bo niewątpliwie wiele z nich zasługuje na odznaczenie, ale ja nie mogę... Ile tam jeszcze pozostało?

— Jedno tylko, z godłem Czarnego sokoła.

— Czytaj mistrzu.

Rozwinałem arkusik i zaledwie przeczytałem kilka początkowych wierszy, zauważyłem że królewicz słucha z wyraźnymi oznakami zadowolenia. Niewiadomy autor czy autorka, opisywał zwykle polne stokrotki, zwane także margerytkami, krótko, treściwie, po prostu, bez wszelkiej deklamacyi i sztucznego zapału, opisywał w sposób który dowodził, że piszący umie patrzeć na kwiaty, że rozumie ich naturę, że je kocha. chociaż tego nie mówi. Przebijało to w każdej myśli, w każdym niemal wyrazie. Opis zakończony był następującymi słowami:

„Jednym z warunków konkursu było, aby stający do niego objaśnił „dla czego kwiat opisany przenosi nad inne”. Wolalbym o tem zamilczeć, ale skoro to jest koniecznie wymagane, muszę powiedzieć, czemu niepozorne, bezwonne stokrotki przynoszę nad najwspanialsze kwiaty. Mateczka moja lubiła je bardzo, więc zbierałem je dla niej często, póki żyła, a teraz noszę je na jej grób. Jak te kwiatki blade i niepozorne, nie miała i ona w sobie nic bijącego w oczy, ale miała serce bardzo szlachetne i bardzo kochające. Cicha była, łagodna, blada i wiele cierpiała. Zanim odemnie odeszła, mówiła mi że duch jej czuwać będzie nademną, i myśl ta nie odstępuje mię nigdy. Cokolwiekbądź czynię, pytam się zawsze swego sumienia, czyby się to podobało méj mateczce, a gdy widzę wychylające się z trawy stokrotki, zdaje mi się że to ona spogląda na mnie swemi smutnymi, łagodnymi oczyma, i mówi: Jestem synku, jestem!”

W tem miejscu były na papierze dwie małe, okrągłe plamki.

Królewicz, który wcześniej stracił matkę, wzruszony był tem prostym wyznaniem i odezwał się.

— Ten chłopiec ma serce i kocha kwiaty. Czy nikt z was niema nic przeciwko temu, żeby mu przysądzić nagrodę?

— Ja nie — odrzekła Jagódka z wilgotnymi oczyma.

— Ani ja — dodałem także. — Oto jest koperta z godłem Czarnego sokoła.

Królewicz otworzył ją i przeczytał głośno

*Janek sierota z Dębowej Woli.*

I zwracając się do mnie, rzekł:

— Napisz mistrzu do Redakcyi Wieczorów rodzinnych o rezultacie sądu konkursowego. Niechaj nam przysła Janka sierotę.

Spełniając życzenie królewicza, zwracam zarazem pozostałe rękopisma z nierozpieczętowanymi kopertami zawierającymi nazwiska autorów, do dalszego postąpienia z nimi, wedle uznania Redakcyi. Za tydzień, licząc od daty ogłoszenia rezultatu konkursu, majtek niemowa przybędzie do Redakcyi

dla zabrania z sobą nagrodzonego młodzieńca, któremu cały skład sądu konkursowego przesyła niniejszem powinszowanie. W jednym z najbliższych portów morskich, którego nazwiska nie wolno mi wymienić, stoi na kotwicy okręt atlantyjski, Narcyz — a królewicz przesłał mu już rozkaz zabrania na pokład młodego podróżnika i traktowania go z odpowiedniemi godności posła względami.

*Abrahadabrus.*

## Sprawozdanie z konkursu botanicznego.

Skoro królewicz Zielonko Jankowi sierocie przed wszystkimi przyznał pierwszeństwo i jego osądził godnym podróży na wyspę Atlanty, imy także czujemy się w prawie zabrać głos by oddać należne pochwały tym z pomiędzy naszych czytelników, których wypracowania nadesłane na konkurs wyróżniają się od innych bogatszą treścią, lub staranniejszem jej obrobieniem. Przedmiot za temat do wypracowań służący, tak blisko z jednej strony graniczy z poezją, że lotniejszym wyobraźniom nastęrczał sposobność wkroczenia w granice świata fantazyi, z drugiej znow tyle ma styczności z nauką, że trudno go obrobić nie posiadając pewnych wiadomości z zakresu botaniki. Zadanie więc było niełatwe, choć wdzięczne, a z pomiędzy wszystkich najlepiej mu sprostała *Carmen*, która jeżeli nie jest już „starsuszką”, to bezwarunkowo na pierwszą nagrodę zasługuje. O ulubionym kwiecie swoim, o róży, wie *Carmen* tyle pięknych podań i bajek tak swoich, jak obcych, tak zna budowę, naturę, użyteczność, wdzięki, oraz znaczenie jej w symbolice, że powtarzamy, po Janku sierocie praca jej za najlepszą uznana być może. Tegoż samego rodzaju zaletami odznacza się wypracowanie 13 letniej *Białonóżki z pod Karpat*, miłośniczki niezapominajek. *Sosenka* słuszną zrobiwszy uwagę, że kwiaty umiliwszy życie człowieka, czystokroć i do mogiły z nim idą, ślicznie opisała stokrotkę, przytaczając poetyczne o niej ludu podanie. *Halka z Litwy* nad inne kwiaty przynosi bratek, którego widok do bujania pobudza jej fantazyą i tyle pięknych, szlachetnych nasuwa jej myśli, tyle wzniosłych uczuć budzi w jej młodem serduszk... Dwie 14 letnie: *Dziewanna* i *Królowa Wrózek* jeden mają powód do wyłącznego umiłowania, ta konwalii, tamta dziewanny, od której pseudonim sobie wzięła. Powód to zaszczyt im przynoszący, a serdeczny Janek sierota pierwszy bezwzrostka przykłaśnie wiadomości, że tym jego siostrzyczkom, miłującym kwiaty przez pamięć dla matek swoich, nagroda się słusnie należy.

Należy się także 14 letniej *Grażynie*, która dała bardzo dokładny i niepozobawiony poczucia poezyi opis lilii białej. 14 letni *Poranek majowy* nie wiele się zajmuje budową bławatka, ale widoczną jest rzeczą, że go „przekłada nad kaktusy agawy, datury, bo wyrósł wśród kłosów, co od dawna zdoabia nasze łąny”. Inny jeszcze skromny kwiatek: powój polny, znalazł weale wymowną chwalczynię w 12 letniej *Białej Ostróżce*. Pochwały też godne są bławatka i powoju rzeźniczki. Pierwiosnek i w ogóle świat roślinny pięknie został opisany przez *Tolwidę*. *Niebieska Wstążeczka z nad Noteci* dała dokładny i bardzo wdzięczny opis konwalii. Pochwalić także musimy *Wołodujowskiego*, który wdzięcznie opisał różę, *Alacyonistę* opisującego wonną akację, *Cichą wodę*, *Lobelie*, *Trawkę z nad Fryby Zorzę*, *Niezapominajkę z nad Warty*, *Jaskółkę z czerwonej Rusi*, *Rybkę z Hniłopiaty*, *Horpynę Legendę*, *Iskierkę z pod Lublina*, oraz *Gwiazdkę podolską*, dwóch ostatnich ulubiony jest fiołek; *Kukułka* przynosi nad niego stokrotkę. W innych konkursowych pracach czuń szczerą i gorącą miłość dla opisanych roślin, które mniej dobrym wypracowaniom dodają wartości i czyni je prawdziwego uczucia wyrazem, zasługując przeto na pochwalną wzmiankę. Do takich zaliczamy także wypracowania: *Pamfila*, *Zoroastra*, *Błędnego Ognika*, *Orla tatrzańkiego*, *Baladyny*, *Zawieruchy*, *Cichęj Fali*, *Tęczy z nad Jatrani*, *Jagódki podolskiej*, *Mimozy*, *Pracy*, *Oleńki z pod Ojcowa*, *Niezapominajki z nad Łydyni*, *Wiewioreczki*

inflantskiej. Wreszcie dawna nasza korespondentka Filaretka biała, jakkolwiek pracę swą zapóźno przysłała, należy jej się przecież słusznie zaszczytna także wzmianka.

## ELLAM.

Legenda arabska.



o a to co?— rzekłem do mego przewodnika, ukazując mu głąz mchem porosły mający niezgrabne kształty konia.

— To „Ellam”.

— Ellam?! co to ma znaczyć?...

— O! to cała legenda — odparł stary beduin.— Chcecie to ja wam opowiem — niedługa jest. Tymczasem odpoczną nieco wierzchowce.

Przystalem z chęcią na tę propozycję; i ja z przyjemnością myślałem o spoczynku po całym dniu spędzonym na siodle, przy zwiędzaniu ciekawych a nieznanym mi jeszcze stron. To też za chwilę obaj już byliśmy na ziemi. Konie,

wolno puszczone rżały radośnie, grzebiąc piasek, a zachodzące krwawo słońce grało gorącymi tonami w żółtogniadęj ich maści. Byłem w Arabii.

Rozległa jak złote morze piasku pustynia, rozciągała się przed nami, złączona gdzieś w dali, na horyzoncie, z jaskrawą purpurą zachodu, i gdzieniegdzie tylko wzdymała pierś ławicami pooranymi jak fale oceanu, zachodnim wiatrem. Za mną na jasnym tle piasku rysowały się uroczo kontury malowniczej Bejki, i gorzały od słońca szczyty wysmukłych wieżyczek meczetów. Upał dzienny ustawał zwolna. Czasami cichy wschodni podmuch, przynosił od strony oazy, woń róż i nocnej rosy. Ustały nawet wycia szakali i cisza niczem niezamącona, przedwieczorna cisza, znana tylko mieszkańcom pustyni, zalegała zda się cały przestwór...

W milczeniu podziwiałem dziki i cudowny zarazem krajobraz jaki miałem przed oczami, a tymczasem towarzysz mój krzyżował już nogi, sadowiac się wygodnie, gdy doszły nas od strony miasta słabe płacliwe dźwięki. W pierwszej chwili nie wiedziałem co one mają znaczyć, wymowny jednak ruch mego przewodnika objaśnił mnie dostatecznie.

Beduin rozesał spiesznie na ziemi swą chustkę, zrzucił z nóg obuwie, ukląkł, wznosił w górę ogorzałe dłonie, a utkwivszy ciemne oczy w lazurowe niebo, zaczął się kiwać nabożnie szepcząc:

Allah il Ullah en Mohamet nessel Ullah!...

To z wież minaretów muezzin nawołuje do modlitwy pobożnych wyznawców proroka.

Potem biała postać starca nachyliła się ku ziemi i cicho ale napiętnie powtarzał: Alla, Alla il Ulla... I znów słaby głos ten niki w obszarze pustyni i nastała cisza. Słońce tylko coraz więcej kryło swą krwawą tarczę za widnokrąg, a wiatr wschodni dolatywał coraz świeższy... wonniejszy.

W chwilę potem obaj już siedzieliśmy pod gładem; mój przewodnik zapaliwszy nieodstępne swe nargile, przebierając paciorki bursztynowego różańca, tak zaczął:

— Dawno, bo już ze sto lat temu, żył tu w okolicach Bejko, beduin Selim. Selim był młodym i pięknym synem pustyni, ale mimo to nie miał szczęścia, był mściwym i gwałtownym, stroniono więc od niego bojąc się mu narazić. Mówiono że ma w sobie złego ducha, nigdzie też nie miał własnego domu, żył z dnia na dzień. Dziś rozpiął namiot w oazie, inne-

go dnia w samej głębi suchej puszczy, tam gdzie i struś nie wytrzyma dla skwaru i pustkowi. A trudnił się ot, jakby niczem, przez długi czas przynajmniej póki był sam jeden. Ciałym, jedynym jego majątkiem, i najwierniejszym przyjacielem był koń Ellam. Ale też nie jeden Arab patrzył na niego pożądlivem okiem.

Drugiego takiego konia nie było w całej Arabii. Mówiono że zrodziły go wiatry wschodnie, tak był delikatnie zbudowany i rączy, a wzrok miał, że niczem strusie. Był biały jak szata proroka, zaróżowiona w faldach jutrenką, tak że każda żyłka odznaczała się siną nitką na tój cudownej białości. W biegu, cieniutkimi nogami niedotykał prawie ziemi, a małą głowę skoro czuł na grzbiecie pana, nosił tak dumnie jakby ten co najmniej był zastępcą emira. Gdy wyciągnął ciało w galopie, ptakby go niedoścignął, nic też dziwnego że ludzie widząc jak czasem nocą Selim pędził przez puszcę na swym Ellamie, z rozwianym kruczym włosiem i iskrzącymi oczyma odwracali odeń twarze, czując nieczystą siłę w koniu i tym człowieku i rzucali za nim trwożliwe: Ur Allah!...

A Selim kochał swego wierzchowca nad życie. Umieli porozumieć się jednym spojrzeniem, tak już do siebie przywykli, skinieniem ręki nawet. Koń roztwierał szeroko czarne rozumne oczy pojmując wszystkie myśli swego pana. Nie odstępowali się też nigdy ani na chwilę. Lecz przyszedł czas że i Selimowi znudziła się samotność. Postanowił poszukać sobie towarzyski życia i nie zwlekał zbyt długo z urzeczywistnieniem swych zamiarów. Pewnej nocy, skoro Samum wraz z huraganem szalał na pustyni, a błyskawice zaćmiewały światło gwiazd i księżycy, uwiózł na swym Ellamie do namiotu wśród puszczy, cudnej urody Zairę, córkę bogatego Fellaha z pod Bejki. Próżne były pościgi i próżne szukania, Selim wiedział jak głęboko kryć trzeba swą gołębicę aby jej nie znalaziono.

Ale teraz ze szczęściem przyszła i nowa troska. Dotąd nie starał się nigdy dla siebie o pożywienie, żył byle czem zresztą. Teraz zaś w namiocie czekała nań żona, przywykła w domu do wygod i dostatków. Zabrał więc kilkunastu towarzyszy i zaczął napadać karawany. Szło mu to zręcznie i korzystnie. Znał doskonale pustynię, łatwo przeto wprowadzał tabor na złe drogi, łupił towary i sprzedawał je potem.

I w ten sposób żył długo.

Skoro wracał wieczorem do namiotu, witała go piękna Zaira i mały synek Bejram ulubieniec ojca, a w głębi za kotarą odzywała się najmłodsza dziecina.

Wówczas dawał im bogate podarunki, pieścił się z nimi i był tak szczęśliwy jakgdyby nie pamiętał i nieprzeżył tych czasów kiedy głucha pustynia zastępowała mu domowe ognisko, a blizkie sąsiedztwo lwów i tygrysów całą rodzinę.

A Ellam jakby pojmując szczęście pana, poruszał radośnie nozdrzami i cieszył się z nim razem. Było tak dopóki nie spotkało Selima nieszczęście.

Od dawna już okoliczny szeik, dowiedziawszy się o rabunkach i napadach na karawany, czynił gorliwe poszukiwania rozbójników.

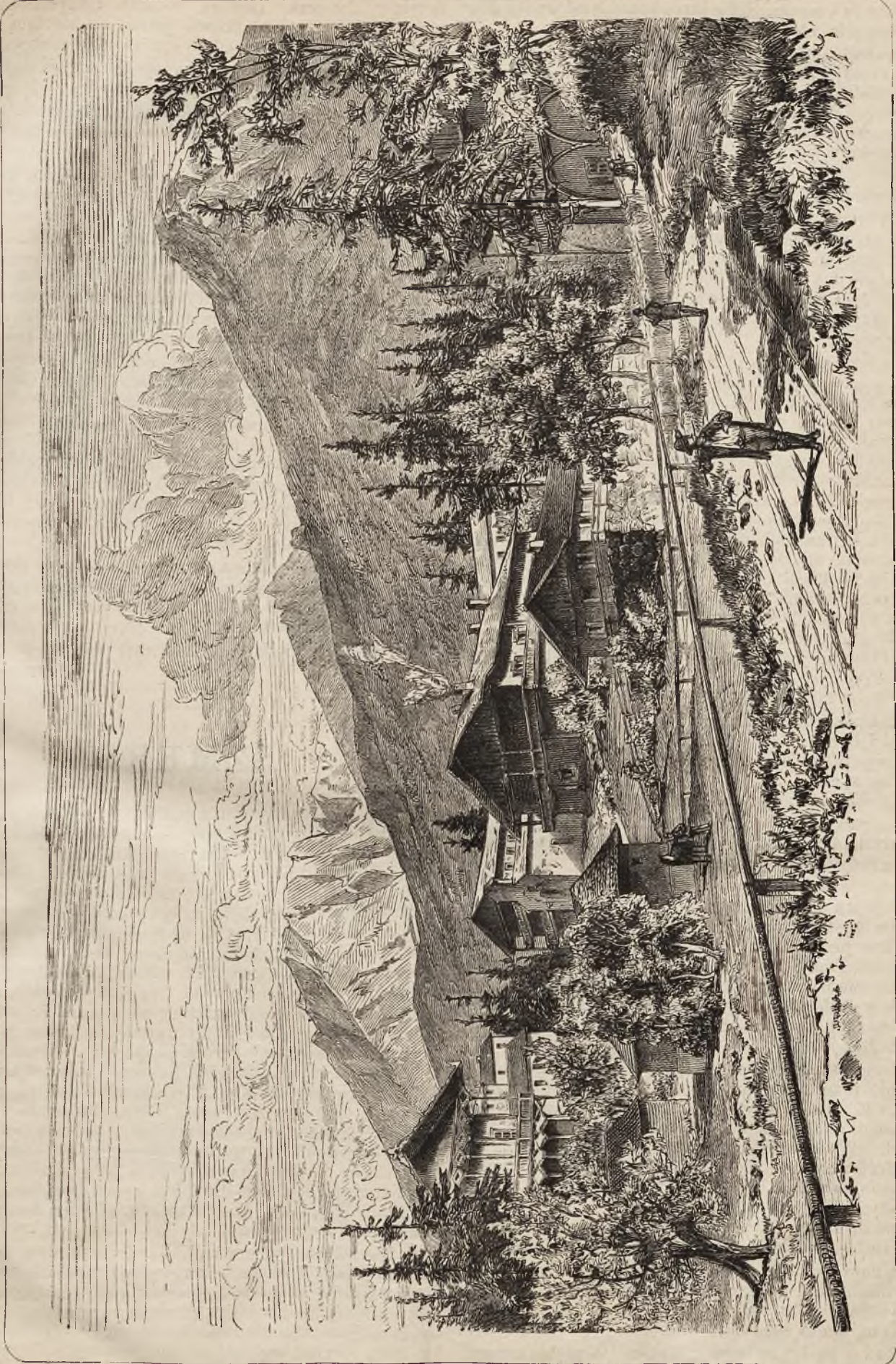
Chwilami był już na tropie, zawsze przecież, dzięki swemu sprytowi i rącości konia, Selim potrafił wydobyć się z zasadki. Ale jednego razu wieczorem, gdy powracał z łupami do domu, oddział żołnierzy wysunął się z za wydmy zniemacka, i pochwyił wszystkich. Myśleć o ucieczce było zapóźno. W chwilę więc potem niepokonany beduin, skrupowany, postępowal pieszo ku miastu, otoczony w około czujną strażą.

Do miasta jednak było dość daleko, a że noc zapadała iman wydał rozkaz rozłożenia się na nocleg w pustyni.

Ustawiono namioty w dwóch punktach. W jednym, umieszczono pod dozorem towarzyszy Selima, oraz w zagrodzie naprędcie postawioniej wszystkie zabrane konie; nieco dalej zaś, pośród namiotów czującej straży i obok imana, jego samego, jako głównego naczelnika szajki. Przedtem nie zapomniano oświadczyć im wszystkim, iż jutro o świcie już żyć nie będą.

Zwolna nadeszła noc.

Rozpalone ogniska gasły jedne po drugich, długi czas



SZMEKS.

warta czuwała, będąc jednak strudzoną, po kilkodniowych poszukiwaniach na skwarze pustyni, pokładła się dla pewności naokoło namiotów i usnęła. Selim skrępowany leżał w pośrodku twarzą zwrócony ku niebu, myślał i cierpiał.

Cisza zaległa obóz, nad nim tylko jakby litując się mrugały złote gwiazdy i lśnił jasny sierp miesiąca, patrzył też na nie swym ognistym wzrokiem, jakby szukając ratunku, lecz nadaremnie!... Wyteżył wszystkie siły, aż żyły nabrały mu krwi na skroniach, chcąc zerwać krępujące go więzy, próżno! Węzły pozaciskały się mocniej jeszcze, liny wżarły w ciało i nic więcej.

Niema ratunku! myślał beduin — ostatnią noc już oglądam bladej miesiąc i gwiazdy. O Allah! litości!...

Potem przyszedł mu na myśl ten duży w czarne pasy namiot w głębi pustyni, co jak ciemna sylwetka rysuje się zdala na tle piasku, gdy doń w wieczór powraca, i przyszła mu na myśl urocza postać żony, co z czarwonym uśmiechem zarzuca mu na szyję ręce przy powitaniu... a potem dzieci i nieodstępny wierny przyjaciel...

— O wierny towarzyszu! gdzie jesteś, że cię przy mnie nie widzę?... Ale i ty Ellamie nie powrócisz już do domu i nie zobaczą cię więcej dzieci moje, z którymi tak lubiłeś się bawić, a mały Bejram nie wyciągnie jak dawniej do ciebie swych ciemnych rączek, kiedy przez otwór w namiocie wsuwał się doń łabędzią szyję i różowemi nozdrzami, ostrożnie, pieczołotliwie muskał ciemną jego główkę... Teraz, mię oczekują tam pewnie. Zona przygotowuje wieczernię i co chwila odchyła płótno patrząc, czy nie nadjeżdżam. Dzieci bawią się na lwiej skórze, a Bejram zadziwia matkę coraz to nowym dowcipem... Tak, zdaje mi się że widzę to wszystko, że patrzę na to... I Selim błędnie oczyma patrzy w niebo i chwilami wspomina „przeznaczenie”. Jako wierny wyznawca proroka szuka ulgi w hymnie koranu ale nie całkiem ją znajduje, nie może prawdy nieprzyznać, i szepcze z boleścią: O ciężkie przeznaczenie! O świecie już ma umierać, a do świtu tak już niedaleko!... Przy tych myślach czas szybko ulatuje. Tylko patrzeć jak niebo zaróżowi jutrzienka...

Machinalnie usta mu drgają: Allah il Ullach en Mohamet ressul Ullach! Ale cóż to? Zdala dochodzi go głos jakiś, słaby wprawdzie bardzo, ale jakby rżenie konia, zda się zbliżać, rżenie wyraźne...

— O, to Ellam! Doskonale przecież go poznaję — Ellam...

Arab z rozkoszą słuch wyteża, jakby zapomniał teraz o świecie całym, drży na głos ulubionego konia. Lecz znów cicho, rżenie rozwiało się w przestworzu.

Leży chwilę nadśluchując jeszcze, aż nagle znów jakiś szmer dolatuje mu do uszu, zdaje się nawet iż widzi coś w ciemności swym bystrym wzrokiem, cień jakiś. Cień zwolna, jakby ostrożnie przysuwa się, powiększa, wreszcie można go już rozpoznać. Tamuje oddech. To Ellam skrada się ku niemu. Cienkie swe nogi zaledwie że stawia na piasku. Jest już blisko. Ale w około niego leży straż śpiąca. O! gdyby mógł jeszcze po raz ostatni pogłaskać przyjaciela i spojrzeć mu w rozumne oczy. Raz jeden!...

Koń tymczasem zbliża się do śpiących i zwolna, jak najlżej postępuje przez żywy ten łańcuch. Teraz jest już przy swym panu. Z radością obwąchuje mu twarz, ubranie, a potem nozdrzami delikatnie dotyka więzów. Na piersi jest wielki węzeł. W oka mgnieniu chwyta go silnie zębami przemyka się wśród warty i namiotów i cwałem z drogim ciężarem nikt nie w cieniu nocy...

Na horyzoncie poczyna się rozwidniać.

Różowe brzaski padają na żółte piaski i zdziwione spoglądają na ruch jaki panuje pośród rozstawionych namiotów.

Gwar, nawoływania i groźby nie ustają, a na wszystkie strony na dzielnych rumakach rozbiegają się pościgi. Ale darmo! Nieczyste duchy wyrwały im z rąk swego sprzymierzeńca, a z nimi walki niema...

Dzień za to patrzy na smutną chwilę. W głębi puszczy, przed duży namiot w czarne pasy, Ellam składa wybawionego pana...

Jednocześnie siły go widać opuszczają, bo wyciąga swe drobne członki i od czasu do czasu wstrząsają nim przedśmiertne dreszcze. Różowe nozdrza rozdyma gwałtownie a czarnemi oczyma tak tkliwie patrzy na klęczącą przy nim całą rodzinę Selima, jak gdyby chciał im powiedzieć:

— Nie smućcie się że was opuszczam, uratowałem mu za to życie!...

Selim w swój rozpacz nie wiedział co czynić. Rwał sobie włosy z głowy i mówił iż Allah niesłusznie go skarał, zabierając takiego przyjaciela!...

To też pochował go potem sam, na miejscu, gdzie stały namioty, z pośród których przez niego wybawionym został, a głazowi temu nadał kształt konia...

Za bluźnierstwo wszakże skarał go Allah, dzuma zabrała mu żonę i dzieci... To też mszcząc się na przeznaczeniu dobrał sobie aż stu Beduinów i robili dalej napady na karawany. Dopiero po trzydziestu latach został schwyty i strzała przeszła mu pierś, oto przy tym głazie, gdzie zwykł był co co wieczór siadywać i rozmyślać nad straconym towarzyszem.

Skończywszy swe opowiadanie, mój towarzysz zagasił nargile, wsunął do kieszeni różaniec, powstał i zwrócony ku wschodowi znów począł szeptać nabożnie pacierze.

Niedługo potem siedzieliśmy na koniach, które choć niedorównywały Ellamowi, mogły przeciw zachwycić niejednego znawcę i amatora swą przepyszną budową. Wracaliśmy w stronę Bejki. Noc tymczasem zaległa pustynię. Gwiazdy zapalały na pogodnym lazurze nieba swe światelka, a blade sierp księżycy odbijał się w lśniących złotych miesiącach na smukłych wieżach minaretów.

Ożywcze wschodnie podmuchy, chłodziły mi skronie przywodząc na myśl swą wionią, moje ojczyste ogrody w miesiącu czerwcu, a po falach piasku od czasu do czasu rozlegał się płaczący głos Muezzina:

Allah jest wielki!... a Mahomet jest jego prorokiem.

Cairo.

## SZMEKS.

Niejedna i niejeden z czytelników naszych pozna zapewne z dzisiejszej rycinki i przypomni sobie miejscowość, w której tak mile a chyżo zbiega część krótkich chwil wakacyjnych, wśród wspaniałej okolicy górskiej, po węgierskiej stronie Tatr. Jest to Szmeks wraz z częstką wyżyn, wśród których się on usadowił, niby dziki zajac w kotlinie. Miasteczko to leżące w ziemi Spiskiej stało się niezmiernie licznie odwiedzanem, jako główny punkt, z którego można najwygodniej przedsiębrać wycieczki do wszystkich najbardziej zajmujących miejscowości, w okolicznych górach. Wziętość Szmeksu, datuje się jednakże dopiero odkąd założone na ten cel stowarzyszenie, zajęło się ułatwieniem podróży i uprzyjemnieniem pobytu ciekawym podróżującym w górach Karpackich. W pobliżu Szmeksu znajduje się słynna grota lodowa, i tędy też idzie droga do ślicznych i wspaniałych Pięciostawów; tuż za Szmeksem pod górą Grzebiec jest szałas Róży, doskonałe schronisko i wyborny punkt do rozglądania się w pięknościach okolicy. Ponad huczącymi wodospadami widać ztamtąd Łomnicę, Średni Wirch, Szczyty Sławkowskie, i całą prześliczną dolinę Spizkiej ziemi. Gdy zaś dzień jest bardzo pogodny, widać nawet Białą Węgierkę, Mały Sławków, Wielką Łomnicę, Kezmark, wraz z otoczeniem.

Nie mówiąc już o tem, ile zyskuje zdrowie przy zwiedzaniu górskich okolic, sam wpływ wspaniałych tego rodzaju widoków na uszlachetnienie ducha, usiłującego zawsze mimo własnej wiedzy dostrajać się do swego otoczenia, dostatecznym jest magnesem pociągającym na wyżyny każdego, kto tylko oderwać się może chwilowo bodaj, od zwykłych warunków codziennego życia.

# W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

W dziesięć minut później cisza bezdenna panowała w lasu, księżyc uśmiechał się srebrzystym uśmiechem do cudnie strojnej przyrody, prócz zdeptanych lekko bosemi stopami zarośli, nie było innych śladów okropnych scen ponad rzeczką: krokodyle po dość skąpem śniadaniu, wracały do swoich kryjówek...

— Spieszmy, póki księżyc w pełni jest na niebie — powiedział Mahora.

Z cbyżością o jakiej europejscy kucharze żadnego nie mają wyobrażenia, trzej Indyanie zaimprovizowali w mgnieniu oka kuchnię i rożen, a w chwilę później każdy z obecnych miał przed sobą, bez stołu i nakrycia co prawda, ogromny kawał mięsna, bardzo delikatego istotnie, acz mocno przejętego wonią piżma. Jedzono z głodu, wzdychając przytem ciężko.

— Nie grymas! Nie wybredzaj! — wołali jedni na drugich. — Cóż to, czy ci źle jeszcze że się napawasz drogim i modnym w eleganckim świetle zapachem...

— Ach, to prawda; wołałbym jednakże kawałek najpospolitszej niczem wcale woniącej wołowiny — odpowiadali skarceni.

— A teraz w drogę!... co prędnij. Może w lasach znajdziemy cośkolwiek na wety.

## III.

Ruszono w drogę, kierując się ku południowi, oglądając się za każdym krokiem i śledząc okolice, zanim postawiono krok następny; z bronią nabitą, z palcami na cynglach, w ustawicznej gotowości do obrony. A przecież niekiedy trzeba było z konieczności, zamiast strzelby ujmować w rękę kordelas, aby tnąć gęstwiny, torować sobie w niej przejście, niemożliwe bez tego. Po całym dniu drogi wydstawczy się z lasu, ujrano przed sobą rozległą płaszczynę zarośniętą tylko wysoką trawą i krzakami. Na lewo na jasnym tle niebios rysowało się bardzo wyraźnie miasteczko Piuktu.

— Ukryjmy się i zatrzymajmy tutaj — rzekł Thorn. — Niech Mahora, Wilko, i Rahib idą do Piuktu po zapasy i wiadomości, i wracają do nas coperdnij.

— Zostawmy broń, a wyglądać będziemy na tulających się bez naszch panów — poradził Mahora i otrzymawszy pieniądze na zakupy, wszyscy trzej zniknęli w wysokich trawach. Thorn milczał chwilę po ich odejściu, dopiero gdy towarzysze usunęli się trochę, pokładłszy do chwilowego spoczynku, rzekł w odpowiedzi na zdziwione spojrzenia Mac'Ulma:

— Sam tak radziłem, ale któż wie, czy nie omyliłem się, czy nie za pospiesznie postanowiliśmy udać się na wybrzeże morskie... Przypomnij sobie co mówił jeden ze służących w chwili pierwszego popłochu, że napaść jest głównie skierowana przeciw mnie jako dostawcy armii, a nuż powstanie jest tylko miejscowem i my niepotrzebnie puszczaemy się w podróż?... a ja pociągam was...

— Niesłusznie wahasz się przyjacielu. Jeżeliby nawet powstanie było wczoraj miejscowem, i zaczęło się w naszej okolicy od ciebie, to niemylnie ogólnem jest w zasadzie i dzisiaj już rozprzestrzeniło się dalej, jak pożar. Zresztą mieszkania i posiadłości nasze są zniszczone, nie mamy tu nigdzie bezpiecznego schronienia. O prowadzeniu dalszem mego handlu i twojej dostawy, niema co myśleć w takich okolicznościach. Nakoniec, głównym celem naszym obecnie jest, dowiedzieć się o losie naszch porwanych dzieci i starać się o ich odebranie złoczyńcom, jakkolwiekbydaj najmniejszą mielibyśmy ku temu nadzieję. A przecież tutaj, nie możemy sami nic działać przeciw powstańcom, nie mając żadnej ku temu możliwości; musimy zatem szukać pomocy i po to właśnie idziemy na wybrzeża. Wszak sam tak powiedziałeś, i słusznie: tak czy nie?

— No... tak; ale jakoś nie pomyślałem w pierwsz

chwili, o tem że napad mógł być istotnie skierowany głównie przeciw mnie, a was tylko stosunek ze mną w przepaść pociąga...

— Bądź spokojny stary przyjacielu: jeżeli nawet banda, która nas napadła miała na celu tylko ciebie, to nie ulega wątpliwości, że powstanie jest skierowane przeciw wszystkim Anglikom, do których i ja tutaj się przecież zaliczam... John! Harry! A wy co tam robicie? Dla czego wychodzicie z lasu! Po co tam się wspinacie? Czy chcecie aby was zbójcy spstrzegli?...

Ale próżne było wołanie, dosyć przyciszone zresztą przez obawę, aby go ktoś obcy nie słyszał: dwaj najmłodszy służący podsadzając jeden drugiego wspinali się na przepyszne drzewo mangowe, i John wdarłszy się na najniższe gałęzie i zasiadłszy wygodnie wśród gęstwiny wspaniałych owoców, nasycał się niemi tak żarłocznie, że prawdopodobnie i strzelania nie słyszałby w tej chwili. Najadłszy się, dopiero począł je rwać i rzucać towarzyszom. Jeszcze wszyscy mocno byli zajęci bardzo smaczniemi owocami, gdy ciche: „Bacność” rozległo się niespodzianie, i wszyscy chwycili za broń, przygotowaną i leżącą pod ręką. To Robert Thorn stojący na straży w danej chwili, ostrzegał towarzyszy, sam bystro wpatrzony i z lufą wycelowaną w stronę mocno poruszającej się ogromnej trawy. Niemiły krzyk pawia ozwał się jednocześnie:

— To Mahora! — rzekł Thorn i w chwilę później Mahora, Wilko i Rahib, wybiegli z trawy i zarośli, wpadli do lasu, obladowani żywnością, z szalonymi oznakami radości, ale zawsze zcicha i ostrożnie szepejąc:

— Żyją, żyją, żyją!...

— Zkąd wiecie? kto ich widział? kiedy? kto mówił? Widzieliście ich?

— Pan Wiliam i panna Klara! Żyją żyją!.. żyją!..

— Jesteście tego pewni? Widzieliście ich?

— Nie; ale w mieście przyjęto nas jak swoich, nikt nas nie podejrzewał, nie miano powodu w błąd nas wprowadzać, a opowiadano szeroko że banda, która zniszczyła posiadłości i domy Mac'Ulma i Thorna, chociaż chybiła głównego celu, bo nie wymordowała obu tych rodzin, przecież wzbogaciła się znacznie rabunkiem. Wzbogaci się zaś jeszcze bardziej, gdyż pochwycawszy żywcem dwoje dorosłej młodzieży z tych rodzin, po namyśle, zamiast ich zabić bez pożytku, postanowiła sprzedać handlarzom niewolników, których okręta zjawiają się często w kryjówek morskich na wybrzeżu. A zatem oni żyją! I żyć będą, bo chciwi rabusie, raz wpadłszy na myśl tak złotodajną, nie łatwo jej się wyrzekną i oszczędzać będą swych niewolników, aby jak najlepiej wyglądali przy sprzedaży! — trzej Indyanie nagłe, jakby za znową, porzucając na ziemię przyniesione zapasy żywności, rozpoczęli radosny więcęć niż na wpół dziki taniec, wywijając nożami jakby nie byli chrześcijanami, i wykrzykując rozgłośnie, ku czemu dopomagał trzask wojenny noża o nóż.

— Żyją, żyją, żyją! Niech żyją!... — Dwaj ojcowie porwanych, spoglądali wzajem na siebie, naokół i na tańczących, byli mocno zakłopotani, wcale nie wiedząc jak przerwać tę zbyt głośną radość, która mogła stać się dla nich niebezpieczną. Słudzy Anglicy z wpół roztwartymi ustami zapomniawszy nawet o smacznych wetach, patrzyli na dziki taniec niedawnych chrześcijan. A wtem najprzód Jerzy Mac'Ulm rozwiązał niespodzianie dziwne położenie, rzucając się na szyję Mahory z okrzykiem:

— Klara żyje!... Niech ci Bóg zapłaci! — prawie jednocześnie, raczej jego ruchem niż słowy popchnięci, skoczyli trzej inni bracia porwanych, na szyję Indyan, ściskając ich serdecznie.

— Przyjacielu, ja strażuję tymczasem, nim ty ich uspokoisz — rzekł stary Thorn ocierając oczy i poszedł stanąć na wzgórk, na którym przed chwilą stał Jerzy Mac'Ulm. Thorn na sekundę nigdy nie pozwalał swym towarzyszom pozostawać na miejscu bez straży. Miał to za zasadę. Gdy szli, strażowali wszyscy, ponieważ każdy nie mając innego zajęcia powinien był patrzeć wszędzie naokoło siebie.

— Och, to była dobra nowina, ale my przynosimy także

## Homonim szaradowy.

Niejeden pierwszy, ciemny, w drugie, trzecie wierzy,  
Choć mu tylko nagana za to się należy.  
Wszystko: podziw i postrach mężstwem wśród walk budzi,  
Albo dźwiękiem i brzękiem, rozwesela ludzi.

## ZAGADKA.

Kalinie z nad Dniepru i Kwiaciarce od Niezapominajki  
z Zacisza.

Pierwszą w rozkoszy, ale nie w nędzy,  
Drugą w niteczce, ale nie w przędzy;  
Możecie znaleźć trzecią w zegarku, nie może być w drzewie,  
Czwartą w Konicopolu, także w Sochaczewie,  
Piątą przebywa niezmiennie w Nankinie,  
Szóstą szukajcie śmiało w korze i w kotlinie;  
Siódmą możecie mieć na zawołanie,  
W Stasi, Mani, Karolci, a także i w Janie,  
Wszystko jest to tytuł ślicznej powiasteczki  
Którą zapewne czytałyście, drogie panienczki.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

## Zadania konikowego:

Wielkie domy za granicą  
A w nich ciasno choć nie ludno.  
U nas mury się nie świecą  
A o kącik nie tak trudno.  
Ledwo człekby czasem wierzył:  
Dom nie wielki, wtem gość wchodzi  
Ot i domek się rozszerzył  
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.

W. Pol.

## Szarady:

P o d r ó ż e.

## REBUS.



## ROZMAITOŚCI.

(d. c. n.)

**Lalki mówiące.** Fonograf Edisona, o którym mówiliśmy obszerniej, znalazł obecnie zastosowanie, do wyrobu „lalek mówiących”, urzeczywistniających dawne marzenie dzieci. W zakładach sławnego wynalazcy wyrabiają się lalki cynowe, wewnątrz których ukryte są małe fonografy; na każdym zaś takim fonografie utrwalone są wyrazy, wypowiedziane przez młodą dziewczynkę, aby głos posiadał charakter dziecienny. W ten sposób lalki Edisona pozostawiają daleko poza sobą dawne lalki, które wymawiały zaledwie wyrazy tata i mama. opowiadają bowiem całe powiastki, lub nuca piosenki, które na fonografie wypisane zostały. Fonograf wprawia się w ruch urządzeniem mechanicznym, a za pomocą klucza można go na nowo nastawić, to jest sprowadzić rylec na początek wypisanych na nim ryłów.

**TREŚĆ:** W wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Sprawozdanie z konkursu botanicznego. — Ellam, legenda arabska p. Cairo. — Szmeks (z drzew.). — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Dozwólcie dziatkom przyjść do mnie, wiersz (z drzew.) — Przygoda nieposłusznej Wańdzy, p. Niezapominajkę z nad Warty. — Zaćmienie słońca. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



Dozwólcie dziećcom przyjść do mnie...

Dozwólcie dziećcom przyjść do mnie...

Usiadłszy pod figą, co cień rzuca w koło,  
W głębokiej zadumie pochylił Mistrz czoło.  
O ludziach znać duma, za których da życie,  
O Krzyżu, co stanie na Kalwaryi szczyt...  
Wtem gwar się podnosi i dzieci gromada  
Z pieśczęcią serdeczną do Mistrza przypada.  
„Odejdźcie!” wołają uczniowie.

Wszak trzeba  
By wytchnął choć chwilę ów tułacz, Pan nieba,  
Co w Ojca królestwie o wszystkim ma pieczę?  
„Odejdźcie!” — Lecz Chrystus łagodnie im rzecze:  
„Pozwólcie przyjść do mnie dziećcom!”

Zaiste  
Przyjść wolno każdemu do Niego, kto czyste,  
Dziecięce ma serce, kto prosty i cichy,  
Praw strzegąc Chrystusa, grzesznój nie zna pychy,  
„Pozwólcie przyjść do mnie dziećcom!”

O mili!  
Wy dobrym uczynkiem doń idźcie co chwili,  
By kiedyś, gdy ziemskie przeminą już troski  
„Tu przyjdźcie” Gospodarz zawołał was Boski.

T. P.

Przygoda nieposłusznej Wandzi.

W dużym ogrodzie pod rozłożystym kasztanem  
spora gromadka panienek i chłopczyków siedziała na  
miękiej murawie, zabawiając się ożywioną rozmową.

— Czy odpoczęliście już? — zawołała po chwili zry-  
wając się wesoło Wańdzia, której właśnie obchodzono  
imieniny w gronie mnóstwa dzieci przybyłych z sąsie-  
dztwa.

— Już dawno — zawołały dzieci i wszystkie na raz  
zwawo powstały z siedzenia.

— Więc się bawmy — rzekła Wańdzia — ale w co-  
by się tu bawić — szeptała zamyśliwszy się — a może  
w chowanego?

Zgodzono się chętnie na tę propozycję; Wańdzia  
jako gospodyni domu pierwsza ofiarowała się szukać  
wszystkich, później wyręczyła ją w tem inna panienka.  
Zeszło tak wesoło przeszło godzina.

— A teraz ja się schowam — rzekła Wańdzia —  
ale tak żebyście mnie nie prędko mogli znaleźć i szybko  
pobiegła w głąb ogrodu; tutaj stanęła i poczęła myśleć,  
gdzie można się w istocie tak dobrze schować, wreszcie  
klasnęła w rączki i pędem pobiegła pod parkan na któ-  
ry się wdrapała, nie zważając że gniecie i brudzi nową  
sukienkę, a co gorzej przestępuje zakaz mamy, która



z ogrodu nie pozwalala wychodzić. Przedostała się na drugą stronę i usiadła na zielonej łące. Słońce już zniżało się ku zachodowi, oświetlając gasnącymi promieniami mnóstwo rosnących tu niezapominajek.

— Ach! żeby tak można narwać tych kwiatków — pomyślała Wańdzia — ale mama niepozwala chodzić po łące, bo tam wilgoć, a szkoda, takie ładne kwiatki i tak ich dużo!

— Ech, wielka rzecz że mama nie pozwala — pomyślała znowu — i po płotach niewolno mi chodzić, a przeszłam i nic mi się nie stało, i pobiegła zrywać kwiatki. Grunt był bagnisty, nóżki Wańdzi lgnęły po kostki.

— „Ach jaka szkaradna żaba!” krzyknęła z przestraszeniem nieposłuszna dziewczynka i zaczęła uciekać, stanęła przy płocie, spojrzała na zabłocone nóżki i zawołała z przestraszeniem:

— Mój Boże pantofelek zgubiłam, co ja pocznę nieszczęśliwa? Muszę go znaleźć koniecznie, i zmartwiona udała się znowu na łąkę, szukając zguby, ale nie tak łatwo było ją znaleźć, bo pantofelek niewiadomo gdzie uwiązł w błocie. Już ciemno się zrobiło, a biedna Wańdzia płacząc i odgarniając wysoką trawę, która ją kaleczyła w nóżkę, szukała jeszcze pantofelka.

— Ach ja nieszczęśliwa jakże wrócę do domu — zawołała wybuchając głośnym płaczem; lecz widząc że płacz nic nie pomoże, uspokoiła się wkrótce.

— Ale jaka ja niemądra — pomyślała — szukam pantofelka, jakgdyby podobna go było znaleźć w tej trawie. Już też prawdziwie sama nie wiem co robię!... I biedna Wańdzia nie wiedząc co począć dalej przytuliła się do wysokiej wierzby, ukryła twarz w dłonie i płakała znowu nad swą niedolą.

Tymczasem w domu panowało wielkie zamieszanie. Wszystka służba porożsyłana szukała dziewczynki w każdym zakątku wioski i ogrodu, lecz nikomu na myśl nie przyszło poszukać jej na łące; biedaczka siedziała też długo skulona, drżąc z zimna i ze strachu, gdy wtem usłyszała jakiś szmer niedaleko, poruszyła się szybko trawa i ukazała się jakaś szara postać. Wańdzi włosy stanęły na głowie, zdawało jej się że to rozbójnik idzie ją zamordować. Z krzykiem skoczyła w bok i wpadła w błoto, z którego już wydobyć się nie mogła sama. Szczęściem wieśniak powracający z pola, którego się tak przełękała wydobył ją i zaniósł do domu.

Wszyscy z krzykiem radości skoczyli witać odnalezioną dziewczynkę, lecz nowy niepokój zapanował gdy ją ujrzano tak zziębniętą, splakaną i zamoczoną. Zaraz posłano do miasta po lekarza, który przepisał odpowiednie środki, bo odchorować musiała strach i przeziębienie. Gdy przysła do zdrowia, nie gniewano się na nią za nieposłuszeństwo, bo była już dosyć ukarana, lecz sama raz na zawsze postanowiła słuchać mamy.

*Niezapominajka z nad Warty.*

## ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

Kilka tygodni temu gromadka dzieci bawiła się wesoło w ogrodzie, otaczającym parterowy, wiejski dwo-

rek. Najstarsza, dziesięcioletnia Helcia huśtała się wysoko popychana przez młodszą o rok siostrzyczkę Jadzię, sześciolletni, ciemnowłosy Staś siedział napuszony na samym szczycie drabinki, a mały Janek wyrabiał z pomocą swjej niani Marynki smakowite babki z piasku.

— Dosyć, dosyć, w głowie mi się kręci -- zawołała Helcia, zeskakując z huśtawki — siadź ty teraz Jadwiniu.

W tej chwili za parkanem dał się słyszeć tętent konia i przed furtką, prowadzącą na drogę stanął posłaniec, powracający z poczty.

— „Wieczory jadą” — zawołali równocześnie Helcia, Jadzia i Staś, poczem porzucając natychmiast zabawę, pobiegli szybko w stronę ganku gdzie rodzice i nauczycielka używali w cieniu miłego wypoczynku po dniu spędzonym pracowicie. Tylko Janek z Marynką piekli wciąż szare babki, przekładając je w braku rodzenków drobnymi kamyczkami i strojąc na wierzchu różową strotką.

Wszyscy na ganku zajęci byli świeżo nadeszłą pocztą, ojciec czytał jedną gazetę, mama drugą, panna Waleria list z domu od rodziców, a na stole leżała koperta w szarym papierze, znana dobrze wszystkim czytelnikom „Wieczorów”. Do tej właśnie zwróciły się dzieci. Helcia ciekawa losów Jadwigi i Elży chwyciła dodatek książkowy z „Szesnastoletnim wojewodą”. Jadzia pogrzyła się w czytaniu dziejów „Szandora”, a Staś zabrał na swą wyłączną własność „Dodatek dla małych dzieci.”

Dokoła zapanowała cisza przerywana tylko szelestem przerzucanych kartek, nagle ojciec zawołał:

— Proszę słuchać, ciekawa wiadomość, we wtorek przypada częściowe zaćmienie słońca, widziane od godziny 9-tjej minut 58 do 12-tjej minut 32. Zdaje mi się, że dzieci nigdy jeszcze nie widziały podobnego zjawiska?

Na słowa ojca pięć par zaciekawionych oczu podniosło się od czytania, a Staś szeroko roztworzył z podziwu duże ciemne źrenice, tłómacząc sobie po swojemu zapowiadane zdarzenie. Słońce się zaćmi, to znaczy zaćmi się, i we wtorek zamiast złotego, promieniejącego krążka, pojawi się na niebie wielka, czarna kula, w którą będzie można wpatrywać się bezkarnie, bez zmrużenia oczu.

Nadzieja tak ciekawego widowiska do tego stopnia zachwyciła Stasia, że pobiegł natychmiast do ogrodu dla udzielenia nowiny Jankowi, Marynce i wszystkim po drodze napotkanym wróblom.

Marynka jednakże inaczej zupełnie przyjęła niespodziewaną wiadomość, gdyż była bardzo bojaźliwego usposobienia i chociaż dziewczynka trzynastoletnia już, lękała się wszystkiego.

— Matko Bosko! — krzyknęła załamując ręce z przestraszeniem — słońce się zaćmi, to będzie ciemno niby w nocy! Ja tam nie pójdę z Jankiem do ogrodu we wtorek, zbłądziłabym jeszcze gdzie między drzewami, w tej ciemnicy.

Uwagi Marynki rzuciły zupełnie nowe światło na myśli Stasia. A więc, ze dnia robi się noc! Sześciolletniego bohatera, który nie lękał się nawet lwa w „Zoologicznym ogrodzie”, gdy raz z ojcem pojechał do Warszawy, nie trwożyła bynajmniej zapowiedziana ciemność, owszem ucieszyła go nawet bardzo, a wiecie dla-

czego? Oto nasz Staś był trochę leniuszkiem i układał sobie zawczasu, że we wtorek lekcji nie będzie, bo nikt przecie nie uczy się pociemku. Zachwycała go nadzieja całodziennych gonitw po ogrodzie, usnuł nawet w pomyślowej główce wyśmienity plan wyprawy na groszek. Pociemku ogrodnik nie dojrzy go i nie zaskarzy przed mamą.

Ale przedostanie się do ulubionych strączków w ciemności, przedstawiało pewną trudność. Przy tej więc sposobności Staś uczynił filozoficzną uwagę, że nie masz prawdziwego szczęścia na świecie, zawsze znajdzie się jakieś ale; nie popsuło mu to jednakże dobrego humoru i biegał po całym domu, oznajmiając wszystkim o zaćmieniu słońca. Przez kilka następnych dni w ciągłym był poruszeniu i zamęczał pannę Waleryę pytaniami, czy słońce, które niema pewnie kalendarza, jak ten co wisi w mamy pokoju, nie zapomni czasem, którego dnia przypada wtorek.

Panna Walerya ręczyła za dobrą pamięć słońca, a uspokojony chłopczyk bawił się wesoło przez cały poniedziałek, usuwając natrętne myśli o zadanym wierszyku i stronce kaligrafii. Sumienie swoje, drażliwe jeszcze trochę, uspokajał uwagą, że noc we dnie to rzecz niezwykła, rzadko się zdarzająca, on sam nic podobnego nie pamiętał i przypuszczał, że wobec tak ważnego i nadzwyczajnego wypadku, panna Walerya zapomni o lekcji, co zresztą nie będzie wielkiem nieszczęściem.

We wtorek rano pokojówka Kasia napróżno kilkakrotnie budziła małego śpiocha, który nie zważając na jej prośby i groźby, odwracał się spokojnie do ściany i zasypiał znów smacznie.

— Stasiu proszę wstać, ja muszę pospieszyć się ze sprzątaniami i iść do ogrodu zbierać truskawek na konfiturę — przekładała Kasia, stojąc przed łóżeczkiem — Staś może myśli, że dziś niedziela? Panienci dawno na lekcji.

— Dziś nie niedziela ale zaćmienie słońca, to wszystko jedno — odrzekł zaspany głos z głębi poduszki.

Dla Stasia rzeczywiście było to wszystko jedno, ponieważ spodziewał się nie mieć lekcji, ale Kasia napróżno usiłowała zrozumieć, jaki związek zachodzi między niedzielą, a zaćmieniem słońca. Przyszła mu jednak we śnie rozsądna uwaga, że nie warto przespać całego zaćmienia, wstał więc i nie marudząc długo z ubraniem, jak to jest zwyczajem wielu dziewczynek, poszedł na śniadanie.

Jadalny pokój zwrócony jest ku wschodowi. Staś więc najpierw spojrzął na słońce przez otwarte okno; świeciło jasno jak zwykle, a gorące promienie, muskające chłopczyka po rumianej twarzyczce, zdawały się wyśmiewać jego zdziwioną minę. Zatrwożony trochę zabrał się do śniadania, które niezbyt zachęcająco przedstawiało się jego oczom, mleko wystygło i pływały w nim dwie muchy, a na chlebie z masłem widać było wyraźne ślady pazurków Burasa. Chłopczyk zmarszczył czoło i wykrzywił usta, ale nie narzekał, wiedząc że na to niema rady. „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”, mówi przysłowie i słusznie, Staś uważał się za szczęśliwego, że obeszło się bez gorszych następstw

w rodzaju połajania od ojca, lub mamy. Przełknął też prędko parę łyżeczek zimnego mleka i skórę od chleba, a resztę wspaniałomyślnie ofiarował Burasowi z dodaniem kilku nauk moralnych o poszanowaniu cudzej własności. Następnie raz jeszcze spojrzął badawczo na słońce i pobiegł do pokoju panny Waleryi.

(d. n.)

### Zagadka homonim.

Lub w salonie pięknie świeci  
Albo brzydkie snuje sieci.

### Łamigłówka liczbowa.

od Lilijki z nad Wisły dla Sasanki z Włocławka.

Z 8 liter składający się pseudonym poetki polskiej.  
Przestawić litery aby otrzymać:

- 1, 2, 5, lasek.
- 3, 2, 7, zabawa.
- 3, 2, 7, 5, 2, narzędzie gospodarskie.
- 3, 2, 4, 5, 6, 4, 2, ogrodzenie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

#### Szarady rebusowej:

W Ł — na. Welna.

#### Łamigłówki:

Obóz — sioło — imię — obraz — łódka.

O s i o ł.

### Skrzynka do listów.

Wiedziałam już dawniej o śmierci tej kochanej, a dziś już pewno bezmiernie szczęśliwej Makolągwy i byłam na nabożeństwie, o którym wspominał **Wróźbiareczko szczęścia**. Te z czytelniczek Wieczorów, które się dowiedzą dopiero z okazji tej korespondencji o zgonie tej najpiękniejszych nadziei dziewczynki, zgasłej tak przedwcześnie, niech westchną aby Bóg pocieszył jej matkę.

Chętnie zadość uczynimy życzeniu **Sikorki**, gdy na jej liścik kolej przyjdzie, tymczasem zaś prosimy nową korespondentkę aby liściki *mające iść do druku* pisywała na osobnej ćwiartce niż te, które do nas pisze.

Droga **Niezapominajko z nad Warty** nie ty jedna doznałaś niepowodzenia, któremu zaradzi może dodatkowy przepis w „Ogrodniku polskim” umieszczony. Autor zaleca mianowicie, aby nie dłużej nad kilka lub kilkanaście sekund trzymać świeże kwiaty w benzynie nasyconej naftaliną. Dłużej trzymać zato należy kwiaty o płatkach grubszych, np. lilie białe, które wszakże wiele tracą na piękności, bo ciemnieją i brudnieją, stając się na wpół przezroczystymi. Po wyjęciu z cieczy, kładzie się kwiaty na papierze, albo wieszają na nitce, stosownie do ich budowy. Obchodzić się z nimi trzeba bardzo delikatnie, a płatki, które się pod działaniem cieczy pozlepiły, ostrożnie porozdzielać i nadać im naturalną

formę. Kwiaty niebieskie, czerwone i żółte najlepiej kolor zachowują. Raz jeszcze zalecamy wielką ostrożność z ogniem. Listy wasze idą do Gołąbki na wieś; niedługo napisze ona do was.

**Wysepce na Rojście** dziękujemy, że odgadnąć w nas umiała tę szczerą, macierzyńską dla młodocianej rzeszy życzliwość, która każdym słowem naszym powoduje.

**Ewelinkę D.** miło nam powitać w gronie korespondentek. Łamigłówkę z poprawkami wydrukujemy, lecz z powodu nawału tego rodzaju prac, musi ona czekać swojej kolei, z którą dawniejsze nasze czytelniczki dobrze są obeznane.

**W. Em. Mroz.** Adres zmieniliśmy według żądania. Adres Tyg. Ilust.: Krakowskie-Przedmieście, N-r. 15, księgarnia Gebethnera i Wolffa.

**Konst. Kam.** Wypracowanie odebraliśmy i kochanej Firlece serdecznie dziękujemy za nie, bo radzi jesteśmy aby największa liczba naszych czytelników należała do konkursu.

Miła **Pekata Baryłeczko**, a któżby odmówił przyjęcia takiego sprzętu! Liścik będzie wydrukowany w swojej porze, choć nie nasze to ręce tyle pracowitemi być umieją.

**Kuropatwie z nad Ikopetiu** posłaliśmy numer żądany. Za fotografię należy się będzie kop. 45 z przesyłką.

**Niezapominajka z Zacisza** nie przejrzała widać uważnie 27 numeru naszego Pisemka, w którym ofiara jej była ogłoszoną. Wieczory dochodzić będą pod załączonym adresem.

**Oleńce ze Żmudzi i Przyłaszczce** dziękujemy za przyslaną ofiarę z żalem donosimy, że konkurs już rozsządzony.

Osobne pozdrowienia Gołąbce Wersalskiej i Jarzyncy! Ścisłkam cię serdecznie, Piosnko ze Słobódki, i proszę o dalsze liściki! Orlatko z nad Sekwany zasyła pozdrowienie Plateczkowi śniegu. Czemu milczysz, Palermitanko? Czy masz jakie wieści od p. O. i p. Anieli P.? Konwalijko różowa! Czemu nie odpisujesz Marylce z Krakowa i mnie, Kulko śniegowa? Litwinko ty moja, czy zechcesz odemnie Litwę pozdrowić, nim do was pofrunę? Filaretko wreszcie dowiedziałam się kim jesteś! Ścisłkam cię od siebie i od twój krewnej Zofii G. *Jaskółka z nad Sekwany.*

Jakaś ty dobra, moja kochana Brzydotko z nad Tamizy, że przesłałaś mi kilka słówek przez Wieczory. Chciałabym serdecznie poznać cię osobiście. Chociaż nie widziałam obcych krajów, o których wiem z opisu, wołę moją puszczyć. Wierzę że ci tęskno za krajem Różyczko Jerychońska i Jutrzenko. Odpowiedziałam wam dawno, ale na mój liścik widać nie przyszła jeszcze kolej dziękuję wam w nim za pamięć, prosząc o względy nadal. Mnie w Wiezorach wszystko się podoba, a najwięcej powieść: „Pod wpływem błogosławieństwa”. Kochana Gałązko Paproci posyłam ci uściśnienia za liścik; cieszę się że choć starsza, chcesz ze mną korespondować! Czy należysz do konkursu? Odpisz mi prędko. Ścisłkam was wszystkie serdecznie. Kochająca *Czarnooka z Puszczy.*

Kochana Brzózko Srebrna. Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Gdzie mieszkasz i jak ci na imię? Już przeszło rok, jak czytam „Wieczory”, a dopiero teraz do korespondentek należę. Nie daj długo czekać na odpowiedź życzliwej ci *Jarzębinie.*

Od dawna chciałam cię poznać, droga Wiochno z pod Lublina, nie mając przecież innej sposobności jak przez „Wieczory” których od kilku miesięcy zostałam korespondentką, chociaż równie jak ty liczę się do rzędu starszek, postanowiłam tą drogą zapukać do twój pamięci. Niegdyś sąsiadowaliśmy z sobą, byłyśmy jednak za małe by móżdż z tego korzystać, dziś, znamy się z opowiadania wspólnych naszych znajomych. 1-go czerwca miałam nadzieję poznać cię w Nałęczowie, ale to mię zawiodło. Pomimo to, jakieś przecucie mi mówi, iż spotkamy się jeszcze kiedyś. Tymczasem przyjm serdeczne uściśnienia i zgadnij kogo kryje owe tajemnicze: *Cairo.*

Kochana Psotnico. Bardzo mię twój pseudonym zaintrygował, gdyż zdaje mi się, że mamy jednakowy charakter wesoły. Napisz mi jak się nazywasz i kto jesteś, gdyż chciałabym się bardzo z tobą zapoznać. Posyłam ci tysiąc całusów twoja *Wesoła Pieszczołka.*

Kochana Pomarańczarko rzymska! Jestem jedną ze starych czytelniczek Wieczorów, lecz dopiero dwa liściki pisałam na które nie mam odpowiedzi. Domyślam się, iż musisz być bardzo sympatyczną i wesołą panią. Mnie na imię Olga mam lat 11, i jestem dosyć na swój wiek wysoką szatynką, również bardzo wesołą. Przysyłam ci łamigłówkę, lecz nie wiem, czy będzie wydrukowaną. Napisz mi czy uczysz się grać na fortepianie, bo ja bardzo dużo i nieźle już grywam. Oczekuję z upragnieniem odpowiedzi, nieznana, lecz kochająca cię *Cyganczka z Dobrzelina.*

Chcąc z tobą zawiązać korespondencję drogi Pegazie skrzydlaty, posyłam ci łamigłówkę. Imiona mamy: Jerzy i Zygmunt, mieszkamy w Warszawie, kształcimy się w domu. Odpisz koniecznie przez Wieczory życzliwym *Ikarowi i Gapeuszowi.*

Najserdeczniejsze uściśnienia przesyła Palma: Jedlince, Królewnie salin, a Herkulesowi ukłony.

Wielką sprawił mi przyjemność twój liścik, kochana Zwiuna Wiewióreczko. Mnie także Wanda na imię, mam lat 9 i uczę się w domu. Co ci się najwięcej podobało w naszych kochanych Wiezorach? bo ja z największym zajęciem czytałam Podziemia Barwałdskiego zamku i Branki w Jasyrze. Ścisłkam cię serdecznie *Wiewióreczka infantka.*

Kochana śnieżna Jagódka! Miło mi z tobą korespondować. Czyś należała do konkursu? Gdzie mieszkasz? Ja w Pilźnie w Galicyi, mam cztery siostry. Która powieść w „Wiezorach” najbardziej ci się podobała? Mnie „Branka litewska”. Nie dajże długo czekać na odpowiedź twój nieznanej przyjaciółce *Góralce.*

Kochane siostrzyczki. Już od Nowego Roku pisuję do Wieczorów, a jeszcze żadnego liściku od was nie odebrałam. Chociaż pseudonym mój nie jest zachwycający, ale zdaje mi się, że jego właścicielkę pokochałybyście trochę. Posyłam wam tymczasem tysiąc całusów i proszę o pamięć. *Psotnica.*

Kochana Topolko Srebrna! Wiesz kto jestem, gdyż raz już pisałam do ciebie, lecz widocznie nie zauważyłaś tego, bo nie otrzymałam odpowiedzi. Jeżeli chcesz, a rodzice twój pozwolą, to oprócz korespondencji w Wiezorach mogłybyśmy pisywać do siebie przez pocztę dłuższe listy. Przysłałabym ci wtedy adres mój przez Redakcję. Całuję cię po tysiąc razy: *Topolka z nad Kodemny.*

Kochana Ukrainko na Mazowszu! Z nieśmiałością piszę do ciebie, bojąc się czy mi aby odpiszesz, gdyż jesteś o wiele starszą odemnie. Wiem, że ci na imię Anna, nazywają cię Nućcia, czy tak? Książd S. z D. przesyła ci ukłony. Przyjmij też milion całusów od nieznanej *Niezapominajki z nad Warty.*

Kochana biała Perelko! Dziękuję ci bardzo za odpowiedź. O mnie wiesz wszystko z liścików, jakie pisałam do innych panienek. Donieś mi moja luba, gdzie mieszkasz? ile masz lat? i czy korespondujesz z jaką panią? może zechcesz i do mnie pisywać? Całuję cię serdecznie oczekując rychłej odpowiedzi. *Kulka śniegowa.*

Prawdziwą niespodzianką sprawiłaś mi swym liścikiem, miła Niezabudko z nad Chomoru. Nigdyś pewno o mnie nie słyszała, a ja wiem, że się nazywasz M. K. i że mieszkasz w H. W numerze 14 znajdziesz odpowiedź na wszystkie swe pytania, dodam tylko, że geografję także dość lubię. Czy dawno miewasz „Wieczory”? Ciebie, droga Niezapominajko z Zacisza, ścisłkam serdecznie, donieś mi jak ci na imię? gdzie mieszkasz i ile masz lat? *Wiedenka z żywoplotu*

Jaskółkę z nad Sekwany i Brzydotkę z nad Tamizy pozdrawiam serdecznie.

Kochana błękitna Kokardko i biała Perelko! Nazywacie się Helcia i Józia, mieszkacie w Chodorkowie, grywacie pięknie na fortepianie i śliczne robótki wasze widziałam. Ja też pracuję i choć złotwim krokiem, naprzód jednak dążę, a teraz zgadnijcie kim jestem? Wszystkim czytelniczkom Wieczorów serdecznie pozdrawieniam załączam. *Babuńcia.*

#### NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Czubata Kokozka z siostrzyczką rs. 1 kop. 45. — Oleńka ze Żmudzi i Przyłaszczka rs. 2. — Gospoia z Podola rs. 1. — Siostry Sikorki rs. 2, nie jak to mylnie wydrukowano rs. 1.

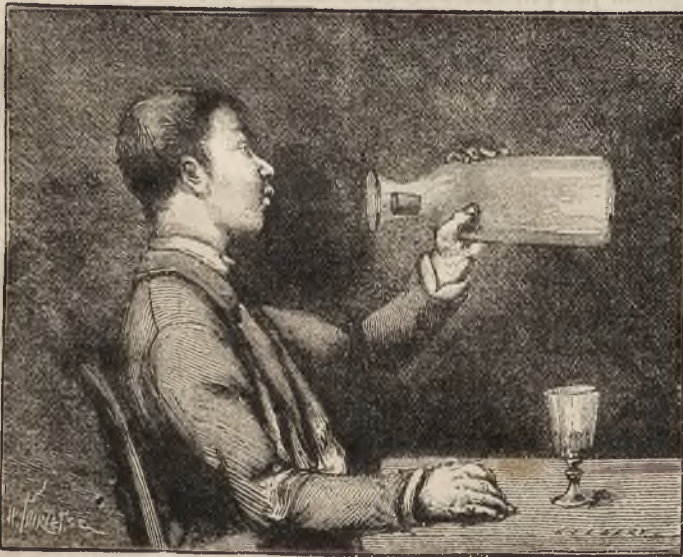


## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowineyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### Doświadczenie fizyczne.

Weźmy butelkę z szeroką szyjką, zazwyczaj do przechowania kompotów używaną, włóżmy do niej korek w taki sposób, jak na rycinie, ażeby się znajdował niedaleko otworu. A teraz poprośmy kogo, żeby dmuchając w butelkę, korek popchnął do środka. Niejednemu wyda się to rzeczą bardzo prostą i łatwą, zacznie dmuchać z całej siły, i spotka go zabawna niespodzianka. Korek wcale nie będzie wepchnięty na dno butelki, lecz wyleci z niej, jakby siłą jakąś wewnętrzną wysadzony i może uderzyć w twarz dmuchającego.

Przyczyna zjawiska łatwa do wyjaśnienia. Dmuchiwanie wypycha do butelki większą ilość powietrza, które staje się gęstsze i ściśnięte będąc w téj ciasnej przestrzeni, zaczyna się rozprężyć coraz gwałtowniej, usiłuje wydobyć się z więzienia. Tym sposobem wypycha korek, stojący mu na zawadzie. Zabawne to doświadczenie wykazuje doskonale prawo rozprężliwości gazów, którego objawem najpospoliciej znanym jest para i wszelkie parowe przyrządy!

## KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

*Obrazek sceniczny w 1-ym akcie,*

PRZEZ

H. Chr.

### OSOBY.

PANI K.

PANNA ANNA, nauczycielka.

ZOSIA, lat 14 $\frac{1}{2}$  } córki pani K.

STEFICIA, lat 13 }

EMILKA, lat 14 siostrzenica pani K.

JAGUSIA, dziewczyna do posług.

*Rzecz dzieje się na wsi.*

(Scena przedstawia pokój obszerny, jedne drzwi w głębi, drugie na prawo, z lewej strony okno, przy niem sofa z poduszkami; dalej mały stolik z dużym wazonem na kwiaty. Po prawej stronie komoda, na niej drugi taki sam wazon, szkatułka

i drobne sprząciki. Na środku pokoju stół, na nim kilka książek, kajetów i przyrządów do pisania. Koło stołu cztery krzeselka wsunięte).

### Scena I-a.

ZOSIA (*siada na sofie oparta o poduszkę z książką na kolanach*). Jak jestem śpiąc... lekcyi dziś nie będzie, a tak mnie wcześniej zbudzili. Żeby choć Emilka i Stefcia ze mną były, ale od śniadania gdzieś znikły, ani tu zajrzą. Ciekawam, czy na te dzisiejsze imieniny mają już wszystko gotowe... (*po chwili*). Wstyd mi trochę, że przed panną Anną z pustemi stanę rękami... lecz cóż mogłam zrobić? (*przymyka oczy*).

### Scena II-ga.

ZOSIA, EMILKA (*wchodzi z półarkuszem papieru w ręku*).

EMILKA. Cóżto, dosypiasz jeszcze siostrzyczko?

ZOSIA (*prostując się*). Ej nie, ale nudzi mnie to długie oczekiwanie; panna Anna z kościoła nie wraca, a dopiero po skończonej ceremonii życzeń, czuć się będą swobodną.

EMILKA. O! niech nie wraca nasza kochana pani, mam jeszcze coś dopełnić w mojem powinszowaniu.

ZOSIA. Jakto? nie napisałaś jeszcze? ty zawsze tak pośpieszna, cóż ci się stało?

EMILKA (*siada przy stole, piór próbuje*). Pomagałam Stefcii wykończyć dla panny Anny pantofelek do zegarka, z którym nie mogła sobie biedaczka dać rady (*pisze*). Ale i mnie już niewiele brakuje; idzie tylko o podpis i datę.

ZOSIA. Ja nie miałam czasu nic zrobić; musiałam spieszyć się z odrysowaniem widoku Ojcowa dla stryjcia, który mi za to obiecał przywieźć album.

EMILKA. Otóż i moje powinszowanie wykończone (*przygląda się*). Mam nadzieję że mój widoczek zdjęty z natury, sprawi przyjemność pannie Annie.

ZOSIA (*ponstawszy z sofki przypatruje się*). Prawda, ślicznie odrysowałaś tę kapliczkę a i drzewka ją otaczające doskonale odrobione.

EMILKA (*ruszając ramionami*). Szkoda Zosiu, że i ty nie przygotowałaś czego dla panny Anny.

ZOSIA. Żałuję teraz... lecz wiem, że moja robota zawsze zganioną bywa, gdy przeciwnie co ty zrobisz, wszyscy chwalą.

EMILKA. Co też ty mówisz Zosiu!

ZOSIA. Tak jest, tylko nie wiem, czem się to dzieje, bo kiedy jestem starsza od ciebie, to mnie się przecie należą pochwały, a tymczasem słyszę ciągle strofowanie.

EMILKA. Jeżeli cię twoja mama i panna Anna częściej napominają, to dlatego, że chcą żebyś była doskonałą.

ZOSIA (*ruszając ramionami*). Dobra mi tam doskonałość, od której aż uszy puchną!

EMILKA (*wesoło*). Jesteś dziś Zosiu nie w humorze.

ZOSIA (*odsuwając się*). Tak, wszystko mnie dziś gniewa. Na siebie zła jestem, że nic nie daję pannie Annie i na ciebie, że jeszcze oglądasz swój widoczek.

EMILKA. Bo chciałabym, żeby choć ten rysunek zadowolnił pannę Annę, gdyż co do uczuć, tych nie potrafiłam tak wypisać i wyrazić, jakbym tego pragnęła.

ZOSIA. O! panna Anna nie potrzebuje wczytywać się w twoje pismo, a i tak uzna je za arcydzieło.

EMILKA. Jakto Zosiu? czyż nie uważasz, że ona zawsze najdłużej przegląda moje wypracowania?

ZOSIA. Tak, tak, żeby je potem jeszcze więcej chwalić.

EMILKA. Nie mów tego Zosiu, bo mi tem sprawiasz wielką przykrość.

ZOSIA. O! mnieby wcale nie było przykro, gdyby mnie wszyscy chwalili.

EMILKA (*podnosi się z powinszowaniem*). Ej, powiedz mi lepiej siostrzyczko, gdzie schować to mniemane arcydzieło.

ZOSIA. Włóż je do szkatułki naszej.

EMILKA (*przymierzając*). Nie można, za duży arkusz.

ZOSIA. To wsuń pod ten kajet.

EMILKA (*próbując*). Nie da się, brzegi wystają. Panna Anna spostrzeże wpraw, nim jęj podam i przestanie to być niespodzianką.

ZOSIA. Tyle ambarasu sobie robisz z tym papierem. zwiń w trąbkę i włóż do którego wazonu.

EMILKA. Wyborny pomysł, dziękuję ci Zosiu (*kładzie w rulon zwinięty arkusz do wazonu stojącego na stoliczku*). Tu mu będzie dobrze. Ani go widać. A teraz pójdźmy do ogrodu po kwiaty, panna Anna tak je lubi!

### Scena III-cia.

TEŻ SAME, JAGUSIA (*ubrana po wiejsku ze ściereczką w ręku*).

JAGUSIA. Pani prosi, żeby starsza panienka przyszła do kuchni, i pomogła Katarzynie upiec jakieś tam ciastka i coś tam jeszcze na dzisiejszy bal przygotować, bo się goście zjadą, a pani pisze listy do Warszawy.

ZOSIA, EMILKA (*razem*). Alboż to Ludwika niema, żeby piekł ciasto?

JAGUSIA (*rozkładając rękani*). Ha! Ludwik jak raz się dziś rozchorowali, nie będą mogli przyjść do dworu, a Katarzyna nie da sama rady, bo nie wie jak się wziąć do tego i panna Zofia musi iść do kuchni.

ZOSIA (*niechętnie*). Nie mógł też jutro, ten nieznośny Ludwik zachorować, nie dziś kiedy się gości spodziewamy.

EMILKA (*wesoło*). O! gdyby mógł chorobę odkładać, to by ją pewnie odłożył na zawsze.

ZOSIA. No tak, ale będę się musiała piec w kuchni i potem jak piwonია wyglądać. Jak na przekor to mój tydzień gospodarstwa.

EMILKA. To ja cię Zosiu wyręcę, a ty idź do ogrodu, przynieś ładnych kwiatów na bukiet dla panny Anny. Biegne do cioci dowiedzieć się, co to trzeba przyrządzić.

### Scena IV-ta.

ZOSIA, JAGUSIA.

(*Zosia wzięwszy książkę ze stołu, siada na sofie i czyta; Jagusia ściera kurze*).

JAGUSIA (*do siebie*). O, to istny janiol ta panna Emilia, cota za złote serce!... każdemu pomoże, każdego wyręczy. Niema też człowieka we dworze, coby za nią w ogień nie wskoczył; do rany przyłoż takie to dobre... żebyć ino więcej takich było.

ZOSIA. Co tam gadasz?... wiesz, żeś nie powinna się odzywać kiedy cię nie pytają. Idź do ogrodu i przynieś kwiatów.

JAGUSIA. Kiedy panna Emilia prosiła, żeby panienka sama poszła.

ZOSIA. Zapewne (*spogląda na swoje obuwie i sukienkę obciąga*). Żebym nowe buciki zarosiła a i suknię musiałabym podnosić, bo przecież nie mam takiej krótkiej jak Stefcia.

JAGUSIA. Ale mnie ogrodnik Józef nie dadzą zrywać ze klombu gdzie są ładne kwiatki, ani do oranżeryi nie puszczą, a tam kole sadzawki wedle ścieżki, same ino wybirki.

ZOSIA. Przynieś, kiedy ci każe i włóż do tego wazonu, rozumiesz, do tego wazonu? (*wskazuje wazon na komodzie*). Tylko nie zapomnij wody nalać jak w niedzielę, co wszystkie kwiaty do wieczora powiędły.

JAGUSIA. Ale to pannie Emilii będzie przykro, jak będą brzydkie kwiaty.

Scena IX-ta.

JAGUSIA, P. ANNA.

P. ANNA (*zdejmuje kapelusz i kładzie razem z książką od nabożeństwa i parasolką na komodzie*). A! jaki piękny bukiet!

JAGUSIA. To panna Emilia kazała najpiękniejszych kwiatów dla pani przynieść.

P. ANNA. Dobrze, nieocenione serce! (*zdejmuje rękawiczki*).

JAGUSIA (*obejmuje za kolana p. Annę*). I ja też proszę pani... (*chrząka i kręci fartuszek w rękach*). O... jak to się zaczynało?... a, wiem już, wiem... ja pani życzę zdrowia, szczęścia, fortuny, a w niebie koruny! (*na stronie*). Ślicznie mi się udało.

P. ANNA (*wesoło*). Dziękuję ci moja Jagusiu, żeś się takiego powinszowania dla mnie nauczyła.

JAGUSIA (*klaniając się ręką do ziemi*). Ja jeszcze pani dziękuję, że mnie pani czytania i katechizmu uczy... bo dotąd żyłam na świecie, nie wiedząc na co mnie Pan Bóg stworzył; aż strach pomyśleć...

P. ANNA. Dobrze że widzisz w tem swój pożytek, ale trzeba być coraz więcej rozgarniętą i uważną jak ci każą co robić...

JAGUSIA. Już ja się tak staram, żeby wszystko ino dobrze było, żeby bezemnie nie było gdzie szkody trafunkiem.

P. ANNA. Tak, trzeba wszystko robić uważnie.

Scena X-ta i ostatnia.

TEŻ SAME, PANI K., STEFCIA, EMILKA, ZOSIA (*staje na uboczu*).

PANI K. Dzień dobry, kochana pani! przychodzę z moimi dziewczętami złożyć pani najserdeczniejsze życzenia (*całuje pannę Annę*) i wynurzyć wdzięczność, jaką...

EMILKA (*która wszedłszy do pokoju, zaraz zajrzała do próżnego wazonu na stolyczku, potem pobiegła do komody i podniósłszy bukiet woła*). Ach! mój Boże!

PANI K., P. ANNA (*razem*). Co ci jest Emilko? co ci się stało?

EMILKA (*łamiąc ręce*). Na nic moje powinszowanie, na nic mój rysunek!

JAGUSIA. O Boże! cóż to pannie Emilii?

STEF CIA (*która też pobiegła do wazonu*). To prawdziwe nieszczęście! jedno i drugie zniszczone.

ZOSIA (*na stronie*). Ach! mój mój Boże, cóż ja zrobiłam.

PANI K. Cóż się stało? powiedzcie co to znaczy?

STEF CIA. To proszę mamy... (*wahając się*) to widać Jagusia wody nalala, tu gdzie był rysunek Emilki i gdzie ja...

PANI K. (*do Jagusi*). Któż tu kwiaty i wodę przyniósł?

JAGUSIA (*przerażona*). Ja proszę pani... ale to mnie...

PANI K. (*z powagą*). Zawsześ nieuważna, jużes tyle razy szkodę zrobiła; dłużej nie mogę cię przy dworze zostawić, pójdziesz na folwark do pomocy stariej Franciszce.

EMILKA. Niech ciocia Jagusi nie odprawia, to moja вина, że sama kwiatów nie przyniosłam. Ale jak się to stało, bo ja chyba do tamtego wazonu swój rysunek włożyłam... Zosiu, czy ty nie pamiętasz?

ZOSIA (*pośpiesznie*). Powinnaś sama najlepiej pamiętać.

EMILKA. Doprawdy! przypomnieć sobie nie mogę, tak jestem tą stratą zmartwiona. Tak chciałam zrobić pani przyjemność (*całuje w rękę pannę Annę*).

P. ANNA. Znam twoje serce Emilko, to mi wystarczy, innych dowodów nie potrzebuję; zresztą może ten rysunek nie bardzo się uszkodził. (*wyjmuje z wazonu obydwu rysunki, Zosi widoczek był wewnątrz, więc arkuusz Emilki pokazuje się mniej zmoczonym*). A to znów czyje?

ZOSIA (*podbiegając*). A! to mój widoczek!... zkąd się tu wziął... Przepadnie moje album...

ZOSIA. Powiedziałam ci raz, żebyś poszła to dosyć, tu niema panny Emilii; ja ci każę i koniec.

JAGUSIA (*ruszając ramionami*). Panna Emilia nigdy tak nie krzyczy, a każdy ją słucha (*odchodzi*).

Scena V-ta.

ZOSIA (*sama*).

ZOSIA (*chodzi po pokoju*). A to dopiero!... Doprawdy, gdybym nie kochała Emilki, mogłabym ją znieawidzieć... od rana do wieczora nie nie słyszę tylko: panna Emilia dobra, panna Emilia kochana, Emilka się dobrze uczy... Zaczawszy od mamy wszyscy jakby się zmówili... A najwięcej mnie gniewa ta dziewczyna... Z litości przez mamę wzięta i śmie mi przyganiać. Znosić jej już nie mogę (*zatrzymuje się przed stolikiem*). Wiem co zrobić, przełożę tu rysunek Emilki, niech go Jagusia wodą obleje, połaje ją mama za to choć raz dobrze (*bierze rysunek i przechodzi z nim do komody*). Nie, to szkaradnie byłoby z mojej strony (*cofa się*)... Szkoda pracy Emilki jej przykrośbym tem sprawiła... nie, tego nie zrobię... (*waha się*). Tak, ale ją znów dziś wszyscy chwalić będą, i mój rysunek straci przy jej robocie... niech raz przecie mój widoczek będzie lepszy, moja robota pochwalona. (*zwinęty rulon przykłada do wazonu i cofa*). Nie... żal mi Emilki, nie mam odwagi... Jednakby i Jagusię trzeba ukarać (*słychać kroki za sceną*). Ach! ktoś idzie... może panna Anna (*wpuszcza rulon do wazonu*). Stało się... uciekam.

Scena VI-ta.

STEF CIA (*wbiega drzwiami przeciwnymi, trzymając półarkuszek brystolu w ręku*).

STEF CIA. Gdzież się podziała?... ani wie, w jakim nie porządku był jej rysunek Ojcowa... jaki był zakurzony! (*przygląda się*). Ale go Emilka wydmuchała starannie, ani znać teraz... Gdzież go schowam? (*przysuwa się do komody*). A! powinszowanie Emilki; to i ten włożę, tu będzie bezpieczny (*zwinęta i wsuwa do wazonu*). Szczęściem, mój pantofelek skończony, wisi już nad łóżkiem panny Anny, na pięknym dywanie, który mama od siebie ofiarowała. Wprawdzie mojej roboty Emilka większą połowę zrobiła, ale ona mnie nie wyda, a ja później sama się pani przyznam, bo to nieładnie cudzą pracą się chwalić.

Scena VII-a.

STEF CIA, JAGUSIA.

JAGUSIA (*z garnuszkami wody w jednej ręce, z bukietem w drugiej wchodzi drzwiami na prawo*). Panienko, panienko, panna Anna z kościoła już idzie...

STEF CIA. Panna Anna idzie! dobrze, dobrze, nie mam czasu, biegnę po mamę i po siostry.

Scena VIII-a.

JAGUSIA SAMA.

JAGUSIA (*patrząc za odchodzącą, wlewa wodę do wazonu na komodzie stojącego, poczem bukiet weń kładzie*). I to dobre paniątko, ale nie to co panna Emilia... Chwała Bogu, Józef mi zaraz dali samych ślicznych kwiatów kiedy powiedziałam, że to panna Emilia kazała przynieść... (*poprawia bukiet*). O, czegoś się nie chce trzymać prosto... No, i ja się przecie na te jemienniny wyuczylam wieszowania, bez trzy dni Katarzyna mi przepowiadała ciągle... żebym ino jakiego wyraziku nie zabaczyła (*bierze się za głowę*), bo to człowiek chował się nie przymierzając jak w lesie, to uczenie ciężko idzie.

PANI K. JAKTO? Co za album? Wytlómacz Zosiu co to znaczy?

ZOSIA (*zmięszana*). Ja nie... nie... chciałam powiedzieć, że może... że to ktoś... że pewnie Jagusia mój tu włożyła...

PANI K. Mów Zosiu wyraźnie, bo cię nikt nie rozumie; samo się to nie zrobiło, ktoś winien być musi; jeżeli Jagusia, to zasłużoną odniesie karę.

JAGUSIA (*zasłaniając oczy fartuszkciem szłocha*). Ja nie... do prawdy... bo to panna...

STEFCIA. Proszę mamy, to nie Jagusi winna.

ZOSIA (*niespokojnie*). Jakże wiesz, że to nie ona?

STEFCIA. Wiem, bo po części to się przezemnie stało.

PANI K. To powiedz coś zrobiła, bo końca tej sprawie dziś nie będzie.

STEFCIA. A to proszę mamy, Emilka idąc do spiżarni spostrzegła w garderobie za walizką, Zosi rysunek całkiem zapyłony...

ZOSIA. Skąd się tam mógł wziąć kiedy ja go...

PANI K. Nie przerywaj Stefci, niech mówi dalej.

STEFCIA. Skąd się wziął ja nie wiem; pewnie, zamiast go schować, zostawiłaś na wierzchu i spadł za walizkę, dość, że go Emilka ztamtąd wydożyła, wydmuchała z kurzu i kazała mi odnieść do naszego pokoju. Przyszędłszy, zobaczyłam tu w wazonie powinszowanie Emilki i sądząc, że miejsce bezpieczne wsunęłam tu i rysunek Zosi. Potem dopiero wbiegła Jagusia z wodą i bukietem, i mnie wcale nie przyszło do głowy ostrzedz ją, żeby tu nie nalewała, więc to nie jej wina.

ZOSIA (*na stronie*). Zawstydz mnie przypisując to sobie, kiedy ja sprawczynią wszystkiego.

PANI K. Zawsze Jagusi wina, bo szkodę zrobiła, i dopóki nie przyuczysz się być uważniejszą, dopóty zostanie na folwarku.

ZOSIA (*na stronie*). Trzebaby się przyznać a nie mam odwagi.

P. ANNA (*do płaczącej Jagusi*). Jakże też mogłaś Jagusiu nie zajrzeć do wazonu?

JAGUSIA (*przerzywanym głosem*). Nie zaglądałam proszę pani, bo panna Zofia sama, że trzy razy tu mi kazała wsadzić kwiaty, więc mi bez głowę nie przeszło, żeby tam co było (*placze*).

PANI K. (*do Zosi stojącej ze spuszczoną głową*). Zosiu, tyś kazała tu kwiaty włożyć, tyś kazała to zrobić? Któż tedy winien?

ZOSIA (*na stronie*). Boże mój! mam na com zasłużyła.

PANI K. Zosiu, cała twoja powierzchowność pokazuje że cię jakaś nieszczęsna myśl, do tego nieszlachetnego popchnęła czynu. Czyż nie wiesz, że zatajenie winy i spędzanie jej na drugich, w dwójnasób ją powiększa?

ZOSIA (*po chwili wahania składając ręce*). Tak, to ja mam... ja to zrobiłam... przyznaję się i aż nadto jestem ukarana, nie tylko własną szkodą lecz i przykrością wyrządzoną Emilce. Przyrzekam droga mamę poprawę... obiecuję odtąd najusilniej korzystać z twoich i panny Anny rad i napomnień... Czy mi tylko Emilka daruje?

EMILKA (*obejmując ją w pól*). O! z całego serca, ja cię tak Kocham Zosiu.

PANI K. A teraz przeproś pannę Annę, że zamiast uprzyjemnić dzień jej imienin, wywołałaś swoim postępkim tak niemiłe zajście.

ZOSIA (*całując ręce panny Anny*). Niech mi pani przebaczy, obiecuję od dnia dzisiejszego dokładać wszelkich starań, żeby pani ze mnie, tak jak z Emilki była zadowolona.

P. ANNA (*całuje Zosię w czoło*). Chętnie ci przebaczam moja Zosiu i cieszyć się będę, jeżeli ten dzień, będzie istotnie dniem twojej poprawy.

ZOSIA (*wahająco zwraca się do Jagusi*). I ciebie przepraszam Jagusiu, boś przezemnie płakała, czy nie będziesz mi tego pamiętać?



Skodsberg.

JAGUSIA. Niech ta Bóg broni, żebym miała pamiętać, kiedy panny Emilii suche rysowanie.

STEFCIA (*wesoło do Zosi*). A cóż znaczyło Zosiu album, które ci przypadło?

PANI K. Prawda Zosiu, cóż to za album?

ZOSIA (*nieśmiało*). To proszę mamy, za ten widoczek Ojcowo stryjcio obiecał mi kupić czego sobie najwięcej życzę; a że ja, że ja pragnęłam albumu wilanowskiego, więc mi przyrzekł, że... To też jeżeli panna Anna będzie łaskawą znów mi dopomóż, odrysuję drugi raz to samo, ale poproszę stryja o album Wilanowa dla Emilki, bo bardzo także mieć je pragnęła...

EMILKA. Jakaś ty dobra Zosiu!

ZOSIA. Nie nazywaj mnie dobrą; jeszcze nie zasługuję na tę nazwę, lecz postaram się poprawić, pamiętając na dzisiejszą moją przygodę...

STEFCIA. A teraz, kiedy się wszystko skończyło, nie wypada jak tylko dobrze pamiętać że:

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Zachęcony łaskawem przyjęciem mego opowiadania Islandczyka, przysyłam znów Redakcyi Wieczorów Rodzin-

nych opis miejscowości, w której obecnie przebywam chwilowo w gościnie u krewnego, zamieszkałego w Danii.

Skodsberg, którego widoczek załączam, jest bardzo pięknym miejscem kąpiel morskich, przepelnionem letnią porą mieszkańcami pobliskiej Kopenhagi, stolicy duńskiego państwa, leżącej jak wiadomo na wyspie Zelandyi, znajdującej się pomiędzy cieśniną Zundem i Wielkim Bełtem. Kopenhaga, piękne i warowne miasto nad Zundem, oddzielona jest od wy-

mnień wesoło, a daleko hałaśliwiej biegają po całych dniach w lecie, tłumy dzieci na wyścigi ze starszymi, gdyż odbywają się tu zabawy ludowe. Kuglarze, huśtawki, młyny, karuzele, dodają wesołości, a liczne stragany, namiociki, sklepiki przenośne, zaopatrzone obficie w przeróżne przysmaki, posilają rozbawionych gości stołecznych. Niektórzy nie poprzestając na tych ziemskich uciechach wsiadają w łódki i próbują morskich przyjemności. Minąwszy Taarbäck dopływają do Skod-



Zwierzę ukazało się i spadło...

spy Amager wązką cieśniną tworzącą port doskonały, i otoczona zewsząd przesłicznymi okolicami pełnymi wiosek, willi i zamków wspaniałych, bujną ozdobionych zielenią. Jest tego tak wiele i tak się to wszystko z sobą jednoczy, jakby w jeden wianek splecione, że cudzoziemiec niełatwo rozpozna, oddalwszy się już znacznie od miasta, iż stolicę opuścił. Jadąc wybrzeżem Zundu, znajdziemy się w kąpielach morskich Klampenborg, przesłiczna także miejscowość z przepysznym ogromnym parkiem, urządzonym w tarasach na stoku wzgórze z pięknym zamkiem na szczycie. Jest tam zwierzyńiec pełen skaczących wesoło zwierząt, ale w oddzielnej części parku nie

borga, który przedstawia rycina. W tem ustroniu mniej jest wrzawy; to też wesoły ludek niedługo tam bawi., przyjrzawszy się tonącym w bogatej roślinności dworcom zamożnych mieszkańców stolicy, szukających tu w lecie pożądanego sił pokrzepienia, przy niemniej miłych choć mniej głośniejszych rozrywkach.

Niedaleko ztamtąd znajduje się miasto portowe Helsingör z zamkiem Kronsborg, u stóp którego leży płyta kamienna uznana ogólnie za grobowiec Hamleta, królewicza duńskiego, bohatera tragedii sławnego angielskiego poety Szekspira. Podanie o tym nieszczęsnym królewiczu tak się zrosło z wierzenia-



mi ludu, że strażnicy na tarasach zamkowych mówią, iż widują ukazującego się ducha zamordowanego niegdyś księcia i nikt o tem nie wątpi, jakkolwiek niema takiego ktoby miał zaszczyt osobiście mu spojrzeć w oczy. W podziemiach niezmiernie głębokich tegoż zamku, podanie ludowe umieściło również *Holer Danské*, dobrego ducha Danii. W piękne dni letnie przejażdżki łodziami do Kronsborga po spokojnych wodach Sundu, wśród uroczych kwitnących wybrzeży, należą do najmiłszych rozrywek letnich mieszkańców, a raczej *kapielników* w Skodsborg'u.

Dostarczycielem innego rodzaju przyjemności ulubionój Duńczykom jest przedstawiony na tejże rycinie poławiacz raków... Chwyta on je w urządzony potemu worek siatkowy i na połowie tym, dnie nieraz całe pędza. Zresztą wszyscy tutaj bawią się jak chcą, jedni odbywają długie spacery na lądzie, inni w wielkich łodziach wyjeżdżają na pełne morze. Co do mnie to najmiłszymi są morskie wycieczki. Nie mogę się dość nacieszyć widokiem morza. Może też będę mógł używać dłużej jeszcze tej przyjemności, bo rodzice moi, którzy pozwolili mijechać do Danii z kochanym wujem, może zezwolą jeszcze na dalszą z nim podróż, a wtedy znów przysłałbym Redakcyi Wieszczorów opis tego, coby mię najwięcej zajęło, tymczasem zaś pozostaje z winnem dla niej uszanowaniem, a serdeczną życzliwością dla kolegów moich, czytelników miłego dla mnie pisma.

*Soból Irkucki.*

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

-- Co to być może?

— Najgroźniejsze zwierze mniej jest dla nas w tej chwili niebezpieczne niż człowiek: wszyscy stać w miejscu w gotowości do obrony! trzech niech idzie przetrząść zarośla natychmiast, zanim podpatrujący nas ztamtąd nieprzyjaciel nie sprowadzi nam na kark kilkuset swoich ziomków! — Thorn nie dokończył jeszcze słów powyższych, a już trzej żądani przez niego ochotnicy szli ku podejrzanemu miejscu. Byli to: Rahib, Mahora i Robert. Jerzy ruszył także, ale spostrzegłszy, że „trzech” już poszło stanął w miejscu, pełniąc skrupulatnie rozkaz dowódcy, bez opieszałości i bez zbytniej, tak często szkodliwej gorliwości.

Uderzającą jest rzeczą, jak szybko w wielu młodych ludziach rozwija się najniespodziewaniej zmysł bojowy, gdy tylko stawia ich losy w obec niebezpieczeństwa. Oto i teraz czterej młodzi Europejczycy wyćwiczeni wprawdzie w robieniu bronią i użyciu broni palnej jak również karności domowej, stawali się nagle i od razu żołnierzami, pojmując z gruntu zasadę i podstawę strategii wojennej, to jest posłuszeństwo rozkazom wodza.

Widząc że trzej wyznaczeni do przetrząśnienia zarośli już idą, Jerzy stanął. Tamci trzej szli tym elastycznym właściwym Indianom krokiem, który podobny jest bardzo do tak zwanego „kroku gimnastycznego”. W zaroślach do których zmierzali, dał się słyszeć nagle lekki trzask łamanych suchych gałęzi:

— Indyanie!... — wionęło jak wiatr w gromadce Europejczyków. Rahib w tej chwili odgarnął kolbą gestwinę młodocianych gestych pędów, patrząc prosto przed siebie w przekonaniu, że ujrzy swego ziomka... ale na wysokość jego oczu nikogo nie było. U nóg tylko, na stosie zmiętej trawy, liści i gałązek leżały dwa nieduże stworzenia w kocięj postawie, przypominającej także trochę zwykłą postawę wpeł leżącego z podwinętymi pod siebie nóżkami baranka, oba jasno żółtej barwy z ciemnymi na grzbiecie pierścionkami.

— Baczność!... to legowisko pantery!... — szepnął Rahib.

— To niemowlęta... matka musi być blisko... — dodał

Mahora śledząc błyszczącymi oczami gestwinę. Jedno z dwojga „niemowląt” powstało równocześnie, wydając krótki ostry krzyk, niepodobny do żadnego ze znanych na starym świecie odgłosów.

— Baczność! — zawołał obadwaj Indianie, a w tejże chwili dał się słyszeć szelest nad głowami trzech ludzi i na jedną sekundę, żółtawe zwierze z rozpostartymi szponami i cienkim odsadzonym ogonem, a paszczą rozwartą i ziejącą, ukazało się jak ptak ogromny, zawisłe w powietrzu, skutkiem potężnego skoku z jakiegoś sąsiedniego drzewa, ukazało się i spadło... ale spadło ciężko jak głaz, już przy odgłosie podwójnego wystrzału, bo dobry strzelec zawsze do strzału jest gotowy.

— Stój! Robert!

— Stój!... to pantera! — zawołało jednocześnie dwóch Indian obok Roberta, chwytających za pistolety i kilka głosów z dalszej grupy w oddaleniu kilkudziesięciu kroków przyglądającej się ze drzeniem temu niespodzianemu zajściu. Ale już było zapóźno, już Robert rzuciwszy strzelbę, z rewolwerem w ręce, ufnym w trafność swego poprzedniego strzału i w kamienny ciężar upadku zwierzęcia, dowodzący że było śmiertelnie trafionem, skoczył ku panterze tak szybko, że ruchem tym uprzedził także samo poruszenie Mahory, obadwaj bowiem mieli jedną myśl: korzystać z czasu zanim ranione zwierzę podnieść się zdała. I to właśnie o mało ich nie zgubiło, bo jedno mgnienie oka stracone zostało na starciu się ramion dwóch przeszkadzających sobie wzajem strzelców, pantera zerwała się i skoczyła wszystkimi czterema szponami i zębami wpijając się w piersi i twarz nazbyt młodego, a więc niedoświadczonego strzelca, Roberta. Teraz nikt nie krzyknął, kilku ludzi z oddalszej grupy, pędem biegli już na miejsce wypadku. Ale tymczasem, w tejże sekundzie właśnie gdy potworny kot zatapiał ostre zęby w czole Roberta, ponad którego głową zabyły kocie, okrągłe, dzikie, krwią zasłże oczy, Mahora tylko co potrącony ramieniem Roberta, a więc teraz znajdujący się tuż bezpośrednio za nim z podniesionym rewolwerem w ręce, przyłożył go nieledwie do jednego z dwóch tych kocich oczu i wypalił... Głowa drapieźnika cofnęła się natychmiast w tył z rozwartą paszczą od głowy chłopca, potem dzikie zwierze drgając padło na wznak pociągając już tylko własnym ciężarem za sobą swą ofiarę, w której piersi zakrzywione szpony trzymały się jeszcze same przez się, lecz już beznamiętnie...

Była chwila, w której stary Thorn pewien był, że w przeciągu dwudziestu czterech godzin traci drugiego syna.

Ale chwila ta, groźna dla starca, krótko trwała na szczęście, Robert uwolniony za pomocą przyjaciół od strasznych pazurów drapieźnika, zerwał się zalany całą krwią, ale na pierwszy rzut oka widać było że ma oczy obadwa i twarz całą, rozśmiały się nawet... Ale nikt nie śmiał się więcej:

— Bezrozumny zuchwalcze, jak mogłeś się porywać! nie wiesz jeszcze że pantery chybiać nie można!... pod karą śmierci! — zawołał ojciec, którego rozpacz w jednej chwili przemieniła się w gniew.

— Co robicie! szkoda naboju!... — mówił jednocześnie Wilko do swoich dwóch ziomków, którzy bez namysłu, z instynktową nienawiścią, jaka istnieje pomiędzy człowiekiem a kocim rodem w stanie dzikim, zamierzali załatwić się z panterkami-niemowlętami, tak małeńkimi jeszcze, że nie myśląc uciekać kryły się w kącie legowiska, cofając się z dzikiem wejrzeniem, i wcale zresztą nie tuląc się do matki, jakby to z pewnością uczyniły lwiąta. I z temi słowy Wilko z niepojętą zręcznością, dwoma lekkimi poruszeniami ręki uzbrojonej w sznurek, zarzucił pętlę na szyję panterek... ściągnął go jednym szarpnięciem niby od niechcenia... Mahora cofnął się na ten widok, zamieniając z Rahibem pełne zdumienia spojrzenie. Wilko rzucił w krzaki uduszone zwierzątka, odwracając się od współziomków umyślnie... mocno zaczerwieniony...

— Chybiać?... — powtórzył z uśmiechem Robert podając trochę niecierpliwie czoło bratu i Jerzemu opatrującym je mokrą chustką. — Chybiać? a któż ją chybił? Przecież ona upadła, nie skoczyła!... wprzód!

— Jakto! zajęty własnem zuchwalstwem nie zauważyłeś nawet zatem że strzał padł podwójny! Patrz więc, zaraz się dowiesz kto chybił... — to mówiąc, Thorn szybko i wprawnie obejrzał nieżywą panterę przy pomocy Ralfa, jednego ze swych ludzi, strzelca z powołania niegdyś w jego lasach w Anglii, i za chwilę w oczach Roberta i wszystkich, wydobyto najprzód z rany zadanej prosto w serce kulkę, na której widok Robert splonął zdziwiony, spoglądając na karabin Mahory, a gdy potem ojciec sam wydobywszy drugą kulę z dosyć nieznaczącej acz głębokiej rany pod prawą łopatką, podał ten dowód na dłoni niefortunnemu strzelcowi... ten spuścił głowę mocno zawstydzony... Wiedział dobrze, że do pantery strzelając, nie trafić jej *śmiertelnie*, znaczy *chybić*, co na jedno zupełnie wynosi.

— Baczność!... — odezwał się niespodzianie, przeciągły, niski i umyślnie teraz tłumiony głos Edwarda. Chłopak rówieśnik Roberta, i serdecznym z nim związanym przyjaźnią nie pobiegł jednak w chwili zajścia z panterą tam gdzie biegli wszyscy, lecz pozostał na wzgórkę wyznaczonym do strażowania. Wszyscy to poczuli, chociaż nie było czasu podnosić faktu w tej chwili, tylko Ralf stary mrukał:

— Otóż młodość rozumna... — Wszyscy stali już pod bronią, cofając się zwolna w gęstwinę z oczyma skierowanymi tam, gdzie patrzył Edward. Wysokie na parę metrów trawy, poruszały się tam żwawo, podłużną bruzdą w kierunku od miasta do lasu, gdzie ukrywali się zbiegowie; ruchoma bruzda zbliżała się chyżo, Edward przykląkł za krzakiem, ukrywając się w ten sposób na swoim stanowisku. Z trawy wybiegł małe indyjski, jak małpka wdrapał się na to samo drzewo mangowe, pysznymi odznaczające się owocami, które wetów dostarczyło Europejczykom, usiadł sobie wygodnie i machając nogami, począł jeść, rozglądając się po okolicy ze swęj wyżyny, zadowolony wyraźnie z samego siebie i z całego świata.

— Widział to kto?... i pókądże to małe żarłoczne licho trzymać nas tu będzie na uwiezi nieruchomych — mruzczeni ukryci w gęstwinie — niepodobna wyjść, bo doniosłby o nas swoim rodzicom i ziomkom... Co tu robić? — Dziwna trochę przygoda przeciągała się, czas mijał, jeden żarłoczny małe bezwiednie, trzymał w szachu dziewiętnastu ludzi uzbrojonych. I ani myślał kończyć ucztę ze smacznych owoców.

— Ależ żarłoczny dzieciak!.. to już jabym chyba się najadał — mruzczał John naiwnie. Naraz rozległ się przykry krzyk pawia...

— Mahora!... — pomyślał ten i ów pojmując słusznie ten głos jako ostrzeżenie. Mały łakomiec na drzewie, wcale nie zauważył pospolitego głosu w lasach indyjskich. Jadł dalej, machał głowami nogami i nawet od czasu do czasu wydawał jakieś piskliwe głosy; podśpiewywał sobie podobno, zadowolony. Wtem rozległ się inny słaby krzyk, niepodobny do żadnego ze znanych w europejskim świecie, a jednak wszyscy zadrżeli, bo tak właśnie krzyczało niedawno „niemowlę” pantery wołając matkę do siebie. Ale na nikim głos ten nie wywarł tak piorunującego wrażenia jak na małym indyjskim żarłoku, spadł z drzewa jak kamień, albo jakby spiorunowany i możnaby sądzić że spadł martwy istotnie, gdyby wcale nie zatrzymawszy się po spadnięciu nie popędził jak kula do Piu-ktu, wśród traw wysokich, których tylko chwianie się w odwrotnym teraz kierunku wskazywało, jak chyżo do rodzinnej chaty z wyprawy swęj na mangową ucztę uciekał, przed mniemaną panterą.

— Mahora!... to ty tak ślicznie udajesz niemowlę pantery? — zapytano śmiejąc się i wybiegając ze wszech stron z gęstwiny.

— Wcale nie, to Wilko ma ten talent, ale stał koło mnie, więc ja tylko „pawim” głosem ostrzegłem was wprzód...

— A więc w drogę co prędzej, kiedy to małe licho uwolniło nas z pod swęj straży.

— A, no tak, tylko... Czy nie lepiej byłoby pozostać tutaj już na nocleg, kiedy się tyle czasu straciło?... Noc zapadnie wkrótce, nagle. A spocząć w każdym razie gdzieś musimy.

— Ale tutaj... jestże bezpiecznie? A nuż mały wróci? Albo kto inny w takiej bliskości od miasta?

— Teraz?... gdy mały w tęg chwili wykrzykuje tam ze wszystkich sił, że widział tutaj panterę ogromną jak koń?... Oho!... teraz nikt tu z miasta przez trzy doby nie przyjdzie, ponieważ pantera, włóczęga z rodu i charakteru, najdłużej tyle czasu w jednej okolicy gościć zwykła. W dodatku, z legowiska starannie jak na nią usłanego i z wielkiej młodości małych, widzę że tutaj to przysły one na świat... a więc możemy być pewni że w całej najbliższej okolicy, niema zwierząt niebezpiecznych, gdyż stara pantera najprzód wypłoszyła je przez troskliwość o swoje małe.

— A więc czyń co uważasz za właściwe, nie po raz pierwszy będziemy ci winni zapewne noc spokojną bez nowego w sercu cierpienia — rzekł Thorn spoglądając na skaleczone czoło Roberta, z którym inaczej byłoby w tęg chwili, gdyby kulka Mahory nie trafiła tak na czas w oko pantery.

— Jakkolwiek Mahora mówi, że dzięki zwierząt tu niema pewno obecnie, przecież mogą one przyjść, więc należy ogień niezniecić jeżeli nocować tu mamy?

— Czy masz ochotę upiec przy nim pieczeń z pantery, John? Wyperswaduj sobie ten apetyt, rozpalać ognisko byłoby to zdradzić się i wydać nieprzyjaciółom naszym.

— No więc jakże?... czyliż porzuci się beużytecznie taką sporą sztukę mięsiwa?... bo zabierać z sobą nie warto... zepsułyby się...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem:

— Jakto? Więc naprawdę o bifsztuku z pantery myślisz? O żarłoku szkaradny!... Tego mięsiwa nikt nie chce jeść, słyssałem tylko że Hotentoci jadają. O, ty!... Hotentocie!.. układaj maty, tu oto i kładź się spać, nie myśląc o panterze na jutro, bo dosyć ma każdy dzień swęj nędzy. Jutro jeżeli go doczekamy prawdopodobnie nie umrzesz jeszcze z głodu, jak dotąd nie umarłeś. Spać dzieci! Ja jeszcze straże rozstawię.

W chwilę później kilkunastu ludzi znużonych daleko bardziej niż się zdawało, bo służący nieśli dosyć ciężkie maty i zapasy, spali smaczno, oprócz Mahory i Roberta, którzy leżeli obok siebie, Robert miał trochę gorączki, a Mahora dumny znów ważnością swą, nieledwie przywódczy w obecnej podróży, ledwo zdrzemnął się czasami, zanadto był zajęty, aby mógł spać twardo; łączyła ich też stara przyjaźń dosyć częsta pomiędzy piastunami i wychowawcami i dla tego to położyli się przy sobie. Zresztą któż wie czy spali i dwaj rozżaleni starzy ludzie... osieroceni po najstarszych dzieciach, podporach starości.

— Mahora... czy śpisz? — spytał Robert szeptem tak wymiarkowanym, aby nie obudzić śpiącego.

— Nie, a co?... czy bardziej boli to co ta poczwara wypisała szponami panu Robertowi na piersi?... trzeba opatrzyć jeszcze, może się zsunęły obowiązki...

— Leż stary nudziarzu!... ani mi się rusz! Małoś się jeszcze przez cały dzień nakołatał?... nic mię wcale nie boli, tylko trochę jest gorąca noc, więc spać nie mogę...

— Aha!... znam ja się na tem... wcale nie jest zbyt gorąco tylko pan masz gorączkę z ran...

— Powiadam ci że mię nic nie boli, drwię ja z takich ran, byłyby one lepsze, gdybyś wprzód kulki w serce owemu lichu nie wpakował: ledwo już dyszała poczwara gdy ostatkiem sił na mnie skoczyła. Ale słuchajno, czy to prawda co Wilko opowiadał tam przed chwilą przy rozścielaniu mat, Johnowi, o żrenicach pantery? Czy to być może?

— Prawda panie Robercie, widać to przecież w oczach naszęj, i u innych zabitych widziałem, bo co żywęg, to prawdopodobnie nikt się tak dalece zbliżka nie przypatrywał. W południe żrenica jęg jest wydłużona, a cienka jak ostrze noża i stoi pionowo, tak jak wskazówki zegara na cyferblacie, wskazujące godzinę zstają, i zwierzę bardzo mało natenczas widzi, potem żrenica obraca się zwolna za słońcem zwiększając się jednocześnie, o szóstęj wieczorem ma postać owalną i leży zupełnie

cią; o północy dopiero żrenica jest najzupełniej okrągła i zwierzę widzi wtedy doskonale.

— Czy to być może? Ja o tem w żadnej książce nie czytałem...

— Nie wiem panie Robercie, powtarzam to tylko co wszyscy u nas mówią i co na własne oczy widziałem u niejednej ubitej pantery.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

Sierpień jest miesiącem, w którym po wszyskich polach naszych rozlega się wesoły śpiew żniwiarzy. Przepióreczka oddawna wzywała pracowitych robotników na niwę, w lipcu już rozpoczęto zbiór zboża, ale sierpień samą nazwą swą przypomina nam sierp, a z nim wesołą przodownicę, która, zatknąwszy to godło żniw we włosy, idzie na czele pracowitej gromady po poczęstunek do dworu i śpiewa:

Nasza dziedziczka kieby kwiat róży,  
A w naszym dworze kieliszek duży,  
Nasz pan chleba, ni sera nie pożałuje,  
I żniwiareczki wnet poczęstuje.

Nie wszędzie jednak sierpień jest czasem żniw. Czas ten zmienia się, jak łatwo to zrozumiecie, kochani czytelnicy, stosownie do położenia geograficznego kraju. Otóż obliczono że na naszej kuli żniwa trwają prawie nieustannie, bo zboże dojrzewa w różnych porach. W Australii, Nowozelandyi i w Rzeczypospolitej argentyńskiej, żniwa przypadają na początek naszego roku, to jest w styczniu. Wschodnie Indye rozpoczynają żniwo w lutym a kończą je w marcu. Meksyk, Egipt, Persya, Syrya, sprząta swe zboże w kwietniu. Maj jest miesiącem zbiorów dla Chin, południowej Japonii, Tunisu, Algeru i południowych stanów Ameryki. W Kalifornii w Hiszpanii, Portugalii, we Włoszech, w Grecyi i w południowej Francyi miesiącem żniw jest czerwiec, a w północnej Francyi, w Węgrzech, Austrii i w środkowych stanach Ameryki, lipiec. Kanada, Szwecya, Szkocya, sprząta swe zboża we wrześniu, a w październiku dopiero nadchodzi czas żniw dla północnej Rosyi.

Z tego więc łatwo wyliczycie, kochani czytelnicy, że dwa tylko miesiące w roku wolne są od żniw. W listopadzie i w grudniu nigdzie nie dojrzewa zboże, a tem samem nigdzie pracowity robotnik nie cieszy się zbieraniem swego plonu, przez pozostałe dziesięć miesięcy jest zawsze gdzieś na naszej ziemi jakaś okolica, w której wesoła pieśń żniwiarzy świadczy o radości, z jaką rolnik sprząta owoce swój pracy.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożona przez Ewelinę Dow. dla najdroższej p. Heleny  
Dasz. w dowód uznania jój pracy.

Wyrazów 17. Początkowe i końcowe litery składają przysławie. Sylaby: Kor—sen—In—mel—Ao—Tyf—ty—Me—nie—Ły—Oi—Za—E—Zmrok—In—ko—ty—wiec—pał—Ga—a—Pe—lis—di—Xu—ri—wiec—re—ja—O—Cna—waż—zon—flan—Es—bal—fez—sła—dro—se—sko.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto należące do Prus. 2. Nazwa pierwotnych mieszkańców Ameryki. 3. Zwierzę ssące z rzędu bezzębnych. 4. Miasto w Azji Mniejszej. 5. Chwila przejściowa. 6. Wewnętrzna warstwa kory. 7. Miasto w okolicach którego znajdują się gisernie Kruppa. 8. Słynny wódz włoski. 9. Dopływ Sekwany. 10. Miasto w pobliżu Dunaju w Bułgarii. 11. Jezioro w ks. Poznańskim w pow. Szubińskim. 12. Rzeka w gub. Twerskiej. 13. Szlachetne uczucie. 14. Dwie samogłoski. 15. Miasto na Kaukazie. 16. Współczesny historyk polski. 17. Nazwa prowincyi nad morzem Bałtyckiem.

### NITECZKA ARYADNY.

od Szarotki alpejskiej dla Cyganeczki.

By	waj	kra	ju	niesz	po	ny	i
mi	wy	ko	nik	wło	wa	mor	na
zdro	cha	stój	ce	bał	skie	jas	gło
ny	wmgli	świs	mią	pta	gdzie	wę	sem
już	nę	szu	stwo	cem	w za	cza	słoń
ły	try	swie	słoń	chod	tym	ce	waj
wia	go	za	nie	ny	by	by	zdrów
ce	lój	po	pia	waj	we	kra	cha
da	grą	za	mi	zdro	ju	ko	ny

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Zagadki:

Poseidon.

### Łamigłównki zgłoszkowej:

Morela — Almanzor — Timbaktu — Emeryt — Matylda —  
Asesor — Termopile — Yacht — Kalahari — Aral.  
Matematyka — Literatura.

### PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA H. WERNICA.

Wyszła z druku nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkółkach początkowych, cena kop. 25.

TREŚĆ: Doświadczenia fizyczne (z drzew.). — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, obrazek sceniczny w jednym akcie p. Chr. — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych (z drzew.) — W Indyach (z drzew.) — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. Dodatek: Bohater (z drzew.) — Piosnka o wilku, śpiew. — Zaśmienie słońca (dokończenie). — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

## BOHATER.



— Żeby mama wiedziała, jaki też to śmieszny tchórz jest z tego Edzia! Wszak on, idąc na przechadzkę w góry, trzyma ciągle mamę swoją za rękę, bo zdaje mu się że, jak tylko ją puści, zaraz sam w przepaść wpadnie

— Tak, ale gardzić niem wtedy gdy należy spełnić obowiązek, nie zaś dla próżnej igraszki.

— Ale gdzie tam, przede wszystkim trzeba być dzielnym, pogardzać niebezpieczeństwem — zawołał zwycięzko Stefek podskakując naprzód aby w bohaterskiej pozie stanąć przed mamą.

— Nie chodź tam! — zawołała, lecz było już zapóźno, zie-



Bohater.

i zabije się!... Taki duży chłopiec! Czy też to nie wstyd, moja mamó? — Tak mówił Stefek, stojąc obok mamy na szczycie wysokiej góry, u stóp której bystra płynęła rzeka.

— Nie — rzecze mama — jeżeli ktoś nie jest pełen sił własnych lub rozumu, lepiej czyni, poddając się kierownictwu mądrzejszych i silniejszych, niż gdyby przez zarozumiałość upierał się na samym sobie polegać.

— Ależ, proszę mamy, przecież gardzić wszelkimi niebezpieczeństwem jest główną cechą każdego bohatera!

mia usunęła się z pod nóg Stefka i już spadał w przepaść, gdy mama zdołała pochwycić go za ramię i szarpnąć w tył, tak gwałtownie, że aż upadł na ziemię i ona sama upadła na kolana przy nim. Oboje pozostali tak przez czas niejaki, nie mogąc przyjść do siebie, bo przerażenie siły im odjęło. Dopiero po chwili, powstawszy, mama zdołała, drżącym jeszcze wyrzec głosem:

— Pamiętaj że pierwszym obowiązkiem dziecka, które chce wyrosnąć na znakomitego człowieka, jest odwaga i posłuszeństwo dla starszych.

# Biosnka o Wilku.

Héj, héj, héj, héj! ow - ce w po - le. Je - dzą traw - kę ska - czą w ko - le

A - spo - koj - ne są o wil - ka Choć mu na - nie i - dzie ślin - ka

Wil - ku, Wil - ku strzel - ca się - bój I - na dro - dze tu - nam nie - stój

O - wie - czek też nie po - że - raj W las ich z so - bą nie za - bie - raj.

Héj, héj, héj, héj! owce w pole,  
Jedzą trawkę, skaczą w kole,  
A spokojne są o wilka  
Choć mu na nie idzie ślinka.

Wilku, wilku, strzelca się bój  
I na drodze tu nam nie stój.  
Owiczek też nie pożeraj  
W las ich z sobą nie zabieraj.

Mee — bee — bee — bee.

Biedny owczarz co ja zrobię  
Z wilkiem nie dam rady sobie,  
Żeby też to strzelcy przyszli  
I na wilka z fuzyą wyszli.

Słuchać trąbkę...

Chłopcy patrzcie co się dzieje  
Owce zaszyły aż tam w knieje,  
Patrzcie, wilk już owcę dusi  
Pif-paf! pif-paf! upaść musi.

## Sposób prowadzenia gry.

Wybieramy 5-o dzieci, troje z nich na myśliwych, owczarza i wilka, reszta zaś dzieci tworzy koło i są owcami.

Przy pierwszej strofke dzieci tworzące koło galopują, owczarz chodzi w kole, udając ręką od czasu do

czasu strzelanie z bata, wilk poza kołem skrada się do stada. Przy drugiej strofke dzieci (owce) zatrzymują się i śpiewają wykonywując ruch głową w tył i naprzód udający skubanie trawy. W końcu téj strofki owieczki zaczynają beczeć, gdyż spostrzegłszy wilka, spłoszone galopują dwa (3) razy wkoło, następnie owczarz chodząc wolno śpiewa trzecią strofkę, a wilk tymczasem goniąc owce (galopując w koło za nimi) porywa jedną z nich; koło się zatrzymuje. Po skończeniu śpiewu owczarza słysząc trąbkę, myśliwi wychodzą z ukrycia i śpiewają ostatnią strofkę, na pif-paf strzelają, wilk puszcza owieczkę i pada.

## Urozmaicenie gry.

Do wybranych dzieci dobieramy jeszcze pięcioro innych, jedno z nich jest psem, który razem z myśliwymi wpada udając szczekanie psa (ham, ham); czworo zaś stawiamy w środku jako owce, te skaczą, jedzą (ruch głową), owczarz zaś chodzi między nimi. Reszta zaś dzieci tworzy duże koło, śpiewają, galopują, jak wyżej broniąc wilkowi dostępu do owiec, które wcale nie śpiewają, a tylko od czasu do czasu beczą.

## ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

(Dokończenie).

— Proszę pani — zawołał — pani mówiła że słońce pamięta, a ono zapomniało!

— Nie bój się — odparła śmiejąc się nauczycielka — słońce dobrą ma pamięć, ale zaćmi się dopiero o dziesiątej.

Stasio powrócił do jadalnego pokoju i stanawszy przed zegarem badał pilnie każde poruszenie wskazówek, wmawiając w siebie, że zna się na ich ruchu. Ale wreszcie i dziesiąta wybiła, o czym wątpić nie mógł licząc uważnie każde uderzenie, a słońce ciągle, równie jasno przyświecało, rzucając na stół, ściany i na Stasia samego, całe snopy złocistych promieni.

— Cóż to znaczy? — zawołał wreszcie zniecierpliwiony. Wtem we drzwiach od ogrodu stanęła Marynka z Jasiem na ręku.

— Stasiu — zawołała — proszę wyjść na dziedziniec, popatrzeć jak się zaćmiło słońce. Chłopiec jednej chwili stanął przed domem.

— Nic nie widzę — rzekł płacząc, mrużąc oczy przed rażącym blaskiem.

— Ale bo gołemi oczyma nie dojrzy — tłumaczyła Marynka, a wtem i Staś dostrzegł już gromadkę służących, bacznie patrzących w niebo przez zakopcone kawałki szkła.

Staś spojrział także, przytykając twarz do zasmolonej strony szkła, i z radością ujrzał dużą ciemną plamę na słońcu.

— Oho, niedługo już całe będzie czarne! — zawołał, i pobiegł z nowiną do siostrzyczek.

Dziewczynki kończyły właśnie pisać dyktando polskie. Na widok uczernionego nosa Stasia wybuchły śmiechem, nie wyłączając panny Waleryi.

— Proszę pani — zawołała Helcia, dlaczego to w gazetach nie było, że we wtorek przypada także zaćmienie nosa Stasia.

— To nic — przerwał chłopczyk, stanowczym ruchem rozmazując sadze po całej twarzy. — Wiecie, już zginęło kawał słońca.

Na te słowa dziewczynki zarumieniły się i pytająco spojrzały na nauczycielkę, czy mogą wstać od lekcji? Zaćmienia słońca oczekiwały równie niecierpliwie jak braciшек, chociaż nie dla jednakowych przyczyn, i chciałyby natychmiast pobiedz ku oknu dla przyjrzenia się nieznanemu dotąd widowisku.

Ale panna Walerya zatrzymała je lekkim ruchem ręki.

— Skończmy najpierw dyktando — rzekła z uśmiechem — będzie to mała próba cierpliwości.

W parę minut później Helcia i Jadzia zamknęły zeszyty, a panna Walerya podała im zawczasu przygotowane, zakopcone szkiełko. — Spojrzcie dzieci — rzekła podchodząc do okna.

Patrzyły obydwie, później nauczycielka, wszystkie widziały doskonale dużą ciemną plamę i zauważyły, iż słońce wygląda podobnie jak księżyc na nowiu.

— Przypuszczam, że rozumiecie przyczynę tego zjawiska? — zapytała panna Walerya.

— Rozumiem — odparła Jadzia żywo — ziemia zasłania słońce...

— Nie — przerwała Helcia — to księżyc zasłania ziemię, ale nie, zaraz, wiem, tylko pomyliło mi się jakoś, proszę pani — dodała zawstydzona trochę.

— Widocznie macie pewne pojęcie o tem, ale nie dość jasne, ażeby umieć je wyrazić własnymi słowami, uważam, że nie zawadzi małe objaśnienie w tym względzie. Wiecie, że ziemia nasza ma postać kulistą i pozostaje w ciągłym ruchu. W przeciągu doby, czyli dwudziestu czterech godzin, obraca się raz koło siebie, a w przeciągu jednego roku obchodzi słońce dokoła. W podróży około słońca towarzyszy ziemi księżyc, który podobnie jak ziemia jest ciemnym i świeci tylko światłem pożyczanem od słońca, czyli że jest oświetlonym przez nie. Ziemia i księżyc podróżują więc razem zgodnie, a zapewniam was, że żadne nie zatrzyma się w drodze, nie zostanie w tyle, ani wybiegnie naprzód i nie trzeba ich nawoływać bezustannie, jak to się zdarza na przechadzkach z pewnemi osobkami znanemi dobrze mnie i wam. W czasie tej wspólnej wędrówki zdarza się czasami, że księżyc staje między ziemią a słońcem i zasłania je przed naszymi oczami częściowo, lub zupełnie i wtedy mamy częściowe lub całkowite zaćmienie słońca. Ostatnie całkowite zaćmienie słońca było 1887 roku w sierpniu, ale ponieważ przypadało o piątej rano przepadło zupełnie dla znacznej liczby śpioszków. Astronomowie badający gwiazdy i wszystkie ciała niebieskie, umiają jaknajdokładniej obliczyć czas każdego zaćmienia i bywamy o tem uprzedzani w gazetach, ażeby korzystając z objaśnienia każdy mógł zauważyć ciekawy zawsze widok.

— Proszę pani — spytała Helcia — czemu tylko przez zakopcone szkiełko widać plamę na słońcu?

— Czarny kolor nadzwyczaj chciwie pochłania promienie słońca, wiesz z własnego doświadczenia, że w lecie ciemne suknie grzeją więcej od jasnych; otóż czarna sadza pokrywająca szkło zatrzymuje w sobie promienie zbyt olśniewające nasze oczy i możemy bezpieczniejsz przyglądać się słońcu, bez obawy zbytowego nadwyreżenia wzroku. Tylko nie należy za przykładem Stasia przykładać nosa do zakopconej strony szkiełka.

Dziewczynki śmiejąc się spojrzały na uczernioną twarz brata, ale ten nie śmiał się wcale, stał przy drzwiach ze spuszczoną głową dziwnie jakoś zafrasowany.

— Stasiu, co się stało żeś tak posmutniał — zagadnęła panna Walerya. Czy cię gniewają nasze żarty? Ale kiedyż bo rzeczywiście śmiesznie wyglądasz z nosem jakby umaczanym w atramencie. Przejrzyj się w zwierciadle, a rozśmieszysz się sam z siebie.

Ale Staś kręcił główką przecząco, jakby chciał powiedzieć, że nos nie obchodzi go wcale.

— Proszę pani — szepnął wreszcie — czy słońce nie będzie dzisiaj całe czarne?

— Nie, moje dziecko — tłumaczyłam właśnie, że dzisiaj jest tylko częściowe zaćmienie, całkowite zdarza się bardzo rzadko, ale cóż ci tak na tem zależy?

## Skrzynka do listów.

— Bo... Marynka mówiła, że będzie ciemno jak w nocy, a że w nocy lekcji niema, więc...

— Pewnie się jej nie nauczyłeś! — przerwała panna Walerya. — Ach, wstyd być takim leniuszkiem, żeby chcieć korzystać z każdej sposobności opuszczenia lekcji. Brzydka to wada mój Stasiu, niedługo skończysz już lat siedm, a tak trudno jeszcze napędzić cię do nauki. No, nauczysz się za to na jutro drugie tyle wierszy, a tymczasem zabierz się zaraz do książki.

I hiedny Staś obmywszy twarz z sadzy zaczął pisać, rzucając od czasu do czasu spojrzenie pełne wyrzutu na słońce, jako na sprawcę swego upokorzenia. Mnie się zdaje jednak, że to nie słońce winno. A wy jak myślicie czytelnicy?

Wiochna z pod Lublina.

### ZAGADKA.

I najtępszego nie zdziwi człowieka,  
Że z rzeki może być ryba.  
Lecz że na odwrot z ryby będzie rzeka,  
Nie każdy to pojmie chyba.

### LAMIGŁÓWKA.

ułożyła Grażyna.

6 8 8 12 6 8 8 17 12 3 7  
7 17 9 9 14 7 17 19 14 9 4  
8 7 10 13 19 1 19 12 19 1 14  
15 18 11 19 1 14 3 14 1 2 5  
16 19 8 17 7 2 19 17 19 4 12

Zastąpić liczby literami i w pionowym kierunku ułożyć 10 wyrazów oznaczających: 1. Ptak drapieżny. 2. Zwierzę domowe. 3. Mały konik. 4. Naczynie do picia. 5. Pasza. 6. Zwierzęta domowe. 7. Zabezpieczenie okien. 8. Broń. 9. Znajdziesz na skłóconem piwie. 10. Przekopanie gór. 11. Mieszkanie bogów. Środkowe litery tych wyrazów czytane w kierunku poziomym utworzą przydomek téj, która niedawno nas opuściwszy, kochała i była kochaną.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 29-go.

Szarady:

T o p o l a.

Lamigłówki kryształowej:

k  
o s a  
p l i k a  
k s i ą ż k a  
k a ż d y  
o k o  
a

Odpowiedź dla siebie kochana **Zorzo** znajdziesz w liście do Królowej Wrózek, który odebraliśmy pierwój od twogo. Znamy zasną matkę naszej drogiój Makolągwy i ją samą widywaliśmy maleńką jeszcze, a już wielce miłą dziewczynkę. Podzielamy też całem sercem boleś wszystkie co oplakują jej stratę. Książki żądane posłaliśmy, ale zdaje się, że nie dotrzymają obietnic tytułu bo jest to po większej części tylko, szereg wzmianek o wielu rzeczach.

Miła nam **Jodełka z nad Noteci** odbierze żądany numer wraz z fotografią. Gołąbka niedługo się do was odezwie i zapewne znajdzie coś zajmującego do doniesienia, bo pojechała z zamiarem zbierania wiadomości, któreby was obchodzić mogły. „*Obrazy z życia roślinnego*” kosztują bez przesyłki rs. 1 kop. 50. Odpowiedzią na to pytanie zaspokajamy, o ile to w naszej mocy ciekawość twoją, Jodełko.

Odpowiedź konkursową **Muszelki z nad Bałtyku** otrzymaliśmy już po oddaniu do druku rozstrzygnięcia ogłoszonego konkursu. A szkoda! widoczne w niej bowiem staranie pisania „jak mogłaś najlepší”. Że zaś zawsze o to nam przedewszystkiem chodzi, więc choć tutaj udzielamy ci słusznie należną pochwałę.

Zawsze o nas pamiętająca **Czeska Niezabudka** skarży się, że dla wieku „wydziedziczona już z konkursów”. Ale zato z serca naszego nigdy nie będzie wydziedziczoną ta, która tak szczerem przywiązaniem płaci nam za usiłowanie przygarńnięcia młodych serduszek.

**Kameleon** wpadł na bardzo oryginalny pomysł; ale łami-główka w takiej postaci zawsze pozostanie nieodgadnioną, podobna jest bowiem do zadania arytmetycznego, w któremby *wszystkie* cyfry pozostawiono niewiadome. Trzeba koniecznie wymienić w każdym razie choć jedną literę, mniejsza o to, którą: początkową, ze środka lub z końca.

W samój rzeczy, **Goryczko** zdziwiło nas to, że od tak dawna niema wiadomości od ciebie; teraz jednak po przeczytaniu twego liściku widzimy, że jesteś zawsze tą samą, poczciwą, serdecznie *słodką* Goryczką.

**Jaskółce z Czerwonój Rusi** polecić możemy „Teatr amatorski” przez M...a, oraz odznaczone na lwowskim konkursie komedijki p. Grabowskiój.

Z przyjemnością witamy tego **Szarego Wróbla**, który znajomość z nami rozpoczyna od dobrego uczynku, również jak i **Konik z nad morza Czarnego**. Poczciwie to jakieś stworzonka! niech rzną szczęśliwie i zdrowo...

Tego samego życzymy **Kotkowi z Podola**, który zamiast dra-pać, głaszcze łapką... kolonie letnie. Ciekawimy, czy to bardzo figlarny kotek?

Najwłaściwiej byłoby zapytać o zdanie o nim **Kropelki rosy** i téj malutkiój Miki. Obie umieją się już litować nad cudzą niedolą!

Umie to także i **Kuropatewka z nad Warty**, która tak niedawno widać nauczyła się pisać. Nie wiemy, ptaszyno, czy doktor Fritsche skorzysta z zaproszenia dla „dwojga dzieci”, ale to wiemy, że ucałowałyby cię serdecznie, co też od siebie z przyjemnością czynimy.

**Sz. P. M. Kr.** Żądany numer wysłano dla serdecznój dziecinki, w której tak wczesnie zbudzone ręką matki szlachetne uczucia.

Liścik twój wydrukujemy kochana **Sikorko**, lecz prosimy o cierpliwość, bo mamy ogromny nawał czekającej od dawna korespondencyi.

**P. Włodz. Kr. w Poniew.** Żadaną książeczkę posłaliśmy, lecz na przesyłkę dopłaciliśmy kop. 25; ceny bowiem podane były bez opłaty pocztowej.

**P. A. Pileck. w Białod.** Opłata Przegl. Pedagogicznego półrocznie wynosi rs. 3 kop. 50, Pamiętniki chłopca, Amicis'a wraz z przesyłką rs. 1 kop. 50, pozostaje zatem z przysłanych rs. 7 na opłatę Wieczorów rodz. rs. 2, a że na rok bieżący złożono u nas za Sz. Panią rs. 1 kop. 25, zatem do końca roku należy nam się jeszcze rs. 1 kop. 75.



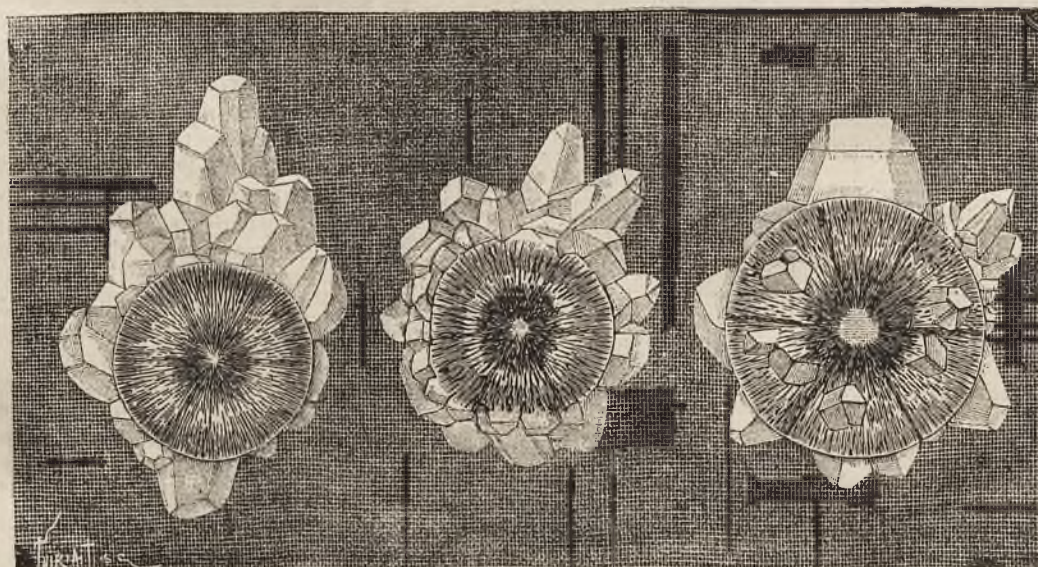
## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## KRYSZTAŁY GRADOWE.



Czas upałów, to czas, w którym niestety częste grady niszczą w jednej chwili rezultat całorocznych prac robotnika. Przed klęską tą nie go uchronić nie zdoła, to też śledzi z obawą w czasie burzy czerwono brunatne chmury, kryjące najczęściej w swem łonie odłamki lodu czyli gradowe kryształy. Czyniono już różne przypuszczenia co do warunków w jakich się grad w górnych sferach wytwarza, dotąd jeszcze jednak

pozostało to nierozwiązaną zagadką, gdyż gradowe odłamki lodu bywają tak różne co do swego kształtu, wielkości, a nawet formy krysztalicznej, że uchylają się od wszelkich pewnych reguł i podobno nic zupełnie dotąd nie wiemy o przyczynach, które wywołują to zjawisko. Prawdopodobnie jest to tylko przypuszczenie, że grad tworzy się *gwałtownie*, wśród chmur burzliwych, idących często nawet poniżej linii śnieżnej.



Rycina powyższa przedstawia w wielkości naturalnej kryształki gradowe spadłe w r. 1867 w Tyflisie, a zasługują one na uwagę tak dla swych rozmiarów jak i pięknych a rzadko się pojawiających form krystalicznych, a zaś niezwykłej wielkości grad spadł także w Warszawie w r. 1887, zrządziwszy w samem mieście i jego okolicy nieobliczone straty.

## NAUCZYCIELKA.

Promień słoneczny, chłodny, bo to była zima, lecz jasny, złocisty, muskał jej główkę i ciemne włosy miały kolor kasztanu; krzątała się żwawo po skromnym pokoiku: to zbierała książki tu i owdzie porozrzucane i składając je w porządku na stoliku, co stał pod oknem, to przewracała w niektórych kartki zatrzymywała się nad jednymi i czytała cicho. Spuszczone powieki nie dozwalały widzieć jej oczu; lecz rumiana twarzyczka świadczyła o jej zdrowiu fizycznym, wąskie wargi o energii charakteru, wyniosłe czoło o zdolności umysłowej. Z wyrazem smutku na zwiedłych ustach przypatrywała się jej bieluchna, jak gołąbek babka, zagłębiona w safianowym fotelu, to głową znacząco wstrząsała, to wdychała czegoś cicho, a wzrok jej mgłą powleczonej wciąż chodził za nią.

— Inną młodość miała twoja matka — odezwała się naraz i głośniejszem westchnieniem, zakończyła to zdanie.

Młoda dziewczyna podniosła żywo wzrok od książki i czarne rozumne oczy zwróciła na babkę.

— Takim smutnym tonem mówi to babunia — rzekła z uśmiechem — jakby uważała mnie za bardzo nieszczęśliwą istotę, protestuję przeciw temu mniemaniu, mnie dobrze na świecie, niechaj babcią mi wierzy, że mówię szczerze.!. Gdy czasem rozmyślam o doli tych nieszczęśliwych ulubienic losu, które od rana do wieczora i od wieczora do rana nic nie robią, to im wcale nie zazdrozczę... Takie życie bez celu, bez obowiązku musi być nieznośne: budzę się rano i pytam siebie, co tu robić z tym dniem, z temi długimi godzinami, jak je zabić, czem zapełnić, by prędzej minęły. Doprawdy babuniu, jam od nich szczęśliwsza.

— Bo jeszcze nie wiesz, co to praca na chleb, co to przymusowy obowiązek: czyś słaba, czy skwar, czy mróz, wszystko to jedno, ty musisz śpieszyć na lekcye.

Jakgdyby na potwierdzenie słów staruszki w tej chwili za oknami skromnego pokoiku zawył wicher lutowy; wstrząsnął szybami, które aż zadzwoniły ze strachu i rzucił na nie białymi płatami śniegu.

Regina, takie było imię młodej nauczycielki, uśmiechnęła się.

— Alboż to nie zasługa walczyć z przeciwnościami, nie zadowolenie wewnętrzne ze zwycięstwa odniesionego nad niemi?

To mówiąc wróciła do książki, znowu coś w niej szperać poczęła, nakoniec znalazła widocznie to, czego szukała, bo zatopiła się w czytaniu. Babka umilkła, przypatrywała się jej dalej w milczeniu, głową kiwała i wdychała. Regina zamknęła wreszcie książkę, sięgnęła po leżący na stoliku kapelusz, włożyła go na głowę, potem dobytej z kieszeni czarne rękawiczki i włożywszy je na ręce zbliżyła się do babki, klękła u nóg staruszki i trochę z uśmiechem pustego dziecka, trochę ze wzruszeniem rzekła, podnosząc jej rękę do ust:

Prababki twoje, babuniu, kładły krzyż na czoła synów, gdy ci poraz pierwszy szli walczyć z dzikimi o płaskich twarzach i krzywych oczach Tatarami, lub z Turkami, zaciętymi nieprzyjaciółmi Chrystusa, i ty nakreśl mi krzyż, babuniu, na czoło, bo będę walczyć z mrozem, wichrem, błotem, by światło wiedzy rozszerzać w ciemnych umysłach, by prawdę krzewić w serduszkach dzieci.

Babka pochyliła się do niej i na białem jej czołe pocałunek złożyła, a potem drżącą ręką krzyż na niem nakreśliła.

— Niech cię Bóg błogosławi — rzekła głosem wzruszonym.

Regina ujęła powtórnie jej rękę i do ust przycisnęła, poczem wstała śpiesznie i ubrawszy się w ciepłe okrycie, podążyła na ulicę, żwawym krokiem z Marszałkowskiej skierowała się na Świętokrzyżką, patrzyła wyzywająco na przesuwające się nad jej głową chmury, a chmury zagniewane białemi płatami sypały na nią, wicher je chwycił i rzucał niemi w twarz młodej nauczycielki, lecz ona nie zważała na nie, czasami tylko otrząsnęła je energicznym ruchem głowy z kapelusza i szła wciąż śpiesznym krokiem, nie zatrzymawszy się ani razu.

Z Świętokrzyżkiej skierowała się na Włodzimierską, tutaj weszła do jednej z piękniejszych kamienic i zatrzymawszy się na sekundę przed listą lokatorów, zwróciła się następnie do sieni, znajdującą się po lewej stronie bramy.

— Sezam, otwórz się — szepnęła z uśmiechem do siebie, przyciskając elektryczny dzwonek. I Sezam usłuchał, rozwarły się drzwi, Regina wbiegła na pierwsze piętro, tutaj trzeba było powtórnie zadzwonić i znowu za przyciśnięciem tajemniczej sprężyny rozwarły się przed nią podwoje. Regina weszła do mieszkania pani hrabiny Suskiej i naraz uśmiech uleciał z jej twarzy, ogarnęła ją nieznana jej dotychczas nieśmiałość... Dziwne wrażenie wywarł na niej ten przedpokój, bo też nigdy jeszcze w takim nie była: panował w nim półcień. Weneckie okno, które mogło dosyć światła dawać, zasłonięte było wpół przezroczystą firanką, przez którą nie mogły się przedzierać swobodne promienie słońca, miękki kobierzec, zasłaniający posadzkę, głuszył ciche kroki lokaja, który na odgłos dzwonka przyszedł drzwi otworzyć, cisza uroczysta panowała tutaj.

— Czy pani jest w domu? — zapytała Regina.

Lokaj zmierzzył badawczo od stóp do głów młodą dziewczynę.

— Co za interes? — rzucił pytanie w miejsce odpowiedzi.

— Przyszedłam tu na wezwanie pani hrabiny, rozmówić się o lekcye — odparła Regina.

— Nie wiem, czy pani przyjmuje, pójdę się zapytać.

To mówiąc oddalił się, Regina została sama... Ta cisza tu panująca, ten półcień ją otaczający, dziwnie na nią działały, stawała się coraz bardziej nieśmiałą; naraz z przyległego pokoju doleciał ją bezdzwięczny, krzykliwy głos: „Ktoś ty” usłyszała pytanie wyraźnie... Zmieszana, a więcej jeszcze zdumiona zwróciła spojrzenie ku drzwiom, z poza których ów głos dochodził, lecz nikogo w pokoju nie zobaczyła, natomiast w drzwiach przeciwnych ukazał się lokaj.

— Pani prosi — rzekł zniżonym głosem.

Regina skierowała się w tę stronę cicho bez szelestu i weszła do salonu. Wspaniały był to salon, cały zasłany miękkim jak puch kobiercem, strojny w bogate sprzęty, które go zapełniały. Coraz bardziej zmieszana przepychem, z którym poraz pierwszy w życiu się spotykała, śmiała zwykle dziewczyna szła lekliwie i niezgrabnie wymijała meble, pokryte drogiemi jedwabiami. W salonie także półcień panował: story przysłaśniały niedyskretnie promienie słońca, co próbowały wedrzeć się tu nieproszone. Pod jednym z okien siedziała kobieta lat średnich, w jednej ręce lornetkę trzymała, w drugiej książkę, w tej chwili jedną i drugą miała opuszczone ku ziemi, badawczym wzrokiem przypatrywała się zbliżającej ku niej nauczycielce.

Regina skłoniła się w milczeniu.

— Czy z panną Natolską mam przyjemność mówić? — odezwała się pierwsza pani domu.

— Tak jest — odparła młoda nauczycielka.

Pani S. wskazała jej uprzejmie taboret obok niej stojący.

— Pani udzielasz nauk przyrodniczych? — rzuciła znowu pytanie.

Skinieniem głowy odparła Regina, siadając na taborecie.

— Dawniej młode dziewczyny nie uczyły się tego — ciągnęła dalej hrabina — dziś inny zwyczaj, skłaniam jednak przed nim głowę, bo uznaję, że dzisiejsi pedagodzy mają słuszność, obznajmiając kobiety ze światem je otaczającym: pókiśmy młode, póty ludzie nas interesują i my ludzi, to nam wystarcza, ale gdy młodość odbiegnie, wówczas ludzie nas męczą, a my ludzi nudzimy, wówczas najlepszą dla nas towarzyszką, najstosowniejszą przyjaciółką natura, a gdy ta natura nam obca, to wśród niej nudno nam, smutno, tęskno, dla tego chcę, by córka moja obznajmiła się z naukami przyrodzonymi. Od której z nauk rozpoczniesz pani? pewno od botaniki, dziewczęta lubią kwiaty, najłatwiej zapewne jest zachęcić pani uczennice do tej nauki.

— Zwykle zaczynam od mineralogii — odparła Regina — nie chciałabym zmienić mego systemu.

— Od mineralogii? — ze zdumieniem powtórzyła hrabina — ta najmniej kobiecie według mnie potrzebna, lecz spierać się z panią nie będę, wolną wolę w tej mierze jej zostawiam; księga przyrody, to księga obca dla mnie, ucz pani jak chcesz, byle Lila korzystała z lekcji. Przedstawię pani jej uczennicę.

To mówiąc przechyliła się na poręcz fotelu i zwróciwszy się w stronę, gdzie widać było bogatą portyerę jedwabną, kryjącą zapewne drzwi, zawołała głosem miękkim, dźwięcznym:

— Lilo!

Portyera się rozchyliła i ukazała się w fałdach kosztownej firanki prawdziwa lilijka, smukłe białe, jasnowłose dziewczę, lat 13 liczące, w białej kaszmirowej sukni.

Ujrawszy obcą, Lila dygnęła, poczem lekko, tak iż zdawało się, że nie dotyka stopami puchowego kobierca, lecz unosi się nad nim, przesunęła się zrećnie wśród foteli, kozetek, stolików i stanęła wyprostowana przy matce.

Regina spojrzała uważnie na swą uczennicę. Smukła, biała, wiotka Lila inne wywarła teraz na nią wrażenie: z błękitnych oczu dziewczynki figle patrzyły, na karminowych usteczkach błąkał się pusty uśmiech, ciekawie przypatrywała się przyszlęj nauczycielce.

— Oto pani uczennica -- odezwała się hrabina.

Lila dygnęła powtórnie, Regina wyciągnęła rękę do dziewczęcia, uściśnęły sobie lekko dłonie.

— Panna Natolska ma zamiar rozpocząć z tobą lekcje od mineralogii, nie od botaniki, jak się tego spodziewałaś — odezwała się znowu hrabina.

Pusty uśmiech uleciał z różanych usteczek Lili, wyraz niezadowolonia je skrzywił.

— Od mineralogii — rzekła — a co to jest mineralogia? o czem pani będzie mnie uczyć na tej lekcji?

— O rozmaitych kamieniach, o minerałach, znajdujących się w łonie naszej ziemi, o bardzo ciekawych rzeczach.

— Więc i o brylantach? — z zajęciem zapytała Lila.

Regina się uśmiechnęła.

— Naturalna rzecz.

— Mateczko, jabym chciała już dzisiaj mieć lekcję — prosić poczęła Lila.

— Zapytaj panny Natolskiej, czy się na to zgodzi — odparła hrabina.

— Dlaczegożby nie, mam wolną godzinę, mogę w tej porze zawsze tutaj na lekcję przychodzić.

— A zatem poprowadź Lilo pannę Natolską do buduaru — rzekła hrabina.

Lila skierowała się ku jedwabnej portyerze. Regina podażyła za nią. Szła teraz śmiałym, pewnym siebie krokiem, wspaniały salon nie istniał już dla niej, dążyła na lekcję, widziała w swęj wyobraźni tylko stolik różnemi minerałami założony, tylko uczennicę słuchającą jej wykładu.

Weszły obie do buduaru, jedwabna, ciężka opona zapadła za niemi, hrabina rozparła się w fotelu, złocistą lornetkę do oczu przyłożyła, podniosła książkę i zatopiła się w czytaniu. Cisza zaległa napowrót wspaniały salon, tylko chód wahał się nad marmurowego zegara, nad którym biała Kalipso czuwała, słycać było. Mijały minuty, sekundy, hrabina nie ruszała

się z fotelu, czasami głos papugi doleciał tutaj z przyległego pokoju, czasami zegar wydzwonił, mijając kwadrans i znowu cicho tu było. Nareszcie godzina upłynęła, jedwabna draperya rozchyliła się i w progu drzwi do salonu wiodących stanęły Lilia i Regina, obie były zarumienione, na obu twarzach malowało się zadowolenie.

— Mateczko! jestem zachwycona mineralogią! — wykrzyknęła Lila — i podbiegła do hrabiny z pocałunkiem.

Regina zbliżyła się tuż za nią.

— Kiedyż pani przyjdzie znów na lekcję? — spytała hrabina, uśmiechając się łaskawie do młodej nauczycielki.

— We czwartek — odparła Regina, czy będzie to dogodnym dla Lili?

— Jak najzupełniej.

Regina pożegnała panią S., poczem zwróciła się do Lili. Była z niej zadowolona, z zajęciem słuchała jej wykładu, umiała powtórzyć to, co jej opowiedziała, miała nadzieję, iż pilną i pojętną będzie z nią miała uczennicę, uściśnęła też maleńką rączkę, ku sobie wyciągniętą serdecznie, a potem pochyliła się do niej, by ją pocałować, lecz Lila nie rozumiała jej widocznie, gdyż uściśnąwszy dłoń Reginy etykietałnie ukłoniła się jej tylko i rzekła „do widzenia”. W tej samej chwili z przyległego pokoju doleciał znowu ten bezwzględny, nie akcentowany głos: „Ktoś ty”.

Regina dziwnie przykrego doznała wrażenia, zdawało się jej, iż ktoś niewidzialny przypomina jej różnicę położenia, które dzieli ją z mieszkańcami tego pysznego salonu, cofnęła się i ceremonialnym ukłonem pożegnała Lilę.

Lila widziała jej zmieszanie, sądząc, że się przestraszyła, rozśmiała się wesoło.

— To papuga mówi — rzekła, ani domyślając się uczuć, jakie obudził w sercu Reginy ten krzykliwy ptak.

Nie zawiodła się młoda nauczycielka na swęj uczennicy. Lila pilną i pojętną była słuchaczką, z całą przyjemnością śpieszyła Regina dwa razy na tydzień na lekcje mineralogii, a Lila z utęsknieniem jej przybycia wyglądała; obie bywały ożywione podczas lekcji, obie z żalem ją kończyły, mimo to stosunek między uczennicą a nauczycielką zawsze był etykietałny: ograniczał się na wykładzie lekcji i na chłodnem uściśnieniu wzajemnem sobie dłoni przy powitaniu i pożegnaniu, poza lekcją obcemi były sobie zupełnie, jedna o drugiej nic nie wiedziały.

\* \* \*

Minęło pół roku od dnia pierwszej bytności Reginy w mieszkaniu hrabiny Suskiej, śniegi dawno już stopniały, pola i łąki mały się świeżą zielonością, pąki na drzewach porozwijały się, wiosna kwitła w całej pełni, z okien wspaniałego salonu hrabiny widać było w ogrodzie, rozciągającym się u stóp kamienicy, białym kwieciami pokryte wiśnie, grusze i jabłonie, święgot ptaszat, co słały sobie gniazda pod cieniem liści, dolatywał do salonu, jasno i gwarno w nim było dzisiaj, bo wielkie okna o szybach lagrowych roztwarte były, a złociste gryfy, rozpierające się na koronkowych storach nie przestraszyły wiosennego słońca, wdarło się ono przemocą do mieszkania i rozjaśniło je, a ze słońcem wleciał tu wietrzyk wiosenny, a z wietrzykiem woń kwiatów jabłoni, grusz i śliw; jasno, wesoło i pięknie było w salonie pani Suskiej, więc czemu jej jedynaczka zaszępiła?... Na białem czole dziewczęcia jakaś chmura zawisła, karminowe usteczka ma gniewem zaciśnięte, w oczach smutek, siedzi rozparta niedbale na jednym z miękkich foteli i bawi się jedwabnym chwastem, strojącym go; naprzeciw niej hrabina wyszywa pilnie na krosienkach ornat do kościoła białymi perłami, obie milczą, tylko marmurowy zegar coś gada, coś szepcze, tylko wrzaskliwa papuga odzywa się czasami z drugiego pokoju: „Ktoś ty”. Nareszcie Lila wyprostowała się, westchnęła ciężko i spojrzała na zegar.

— Już wpół do dwunastej — odezwała się głośno — nie przyjdzie z pewnością, mniejsza o to, takie nudne te lekcje, iż z ochotą rzuciłabym je całkiem.

(d. n.)

## W POLU.

Ej! swoboda to i rozkosz w polu!  
 Siedzi oto brat z siostrą i gwarzą:  
 — Czy w pszenicze nie będzie kąkolu?  
 Czy kartofle na półku się zdarzą?  
 Och! bo na tem zależy im wiele!  
 Chłopak buty dostanie jesienią,  
 A dziewczyna koszulę zaścielę  
 Paciorkami, co w tęczę się mięnią,  
 Jeśli Pan Bóg dostatek da chleba,  
 Jeśli ojcom wróci się krwawica...  
 Ponad niemi bezchmurny strop nieba,  
 W koło kwiaty: krasne wznoszą lica  
 Polne maki, żrenicą błękitną  
 Z pośród kłosów błyska chaber cichy,  
 Tuż nad ziemią wonnym śniegiem kwitną  
 Wątle, blade powoju kielichy.  
 Kędyś w dali piosnki dźwięki płyną  
 Niby skoczne, niby się skarżące,  
 A nad kłosów szumiącą równiną  
 Nieruchomo złote pała słońce...

T. P.

## WIEK POETÓW.



wieku XVI-m i od połowy XVII-go nie tylko wśród rodziny Kochanowskich kwitnął talent poetycki i czterech jednego nazwiska zasłużyło się na polu literatury \*). I więcej rodzin może się tem poszczycić, a chociaż nie doszli tak wielkiej jak Jan Kochanowski sławy, wzorując się na nim, pozostawili niemało prac po sobie.

Było więc dwóch Zbylitowskich, Andrzej i Piotr, niewiadomo, bracia czy tylko krewniacy, obadwaj jednak rymy składali. O Andrzeju wiemy, że był dworzaninem królewskim, jeździł do Szwecyi i podróż tę wierszem opisał. Ze zaś wzorował się na poetach greckich i łacińskich często bóstwa przez nich wspomniane wprowadza, każąc im po naszych przechadzać się polach i na naszych mieszkań górach, co czasami dosyć jest śmieszne a nawet niezrozumiałe.

Nie gniewajmy się jednak za to na niego, bo wtedy taki był zwyczaj, że w jakimkolwiek języku pisał, zawsze bóstwa greckie przyzywał. Zbylitowski jednak umiał powoływać się i na swoją przeszłość, bo w tejże samej podróży do Szwecyi, gdy zaraz na Wiśle spotkała ich burza, w ten sposób przemawia:

„Wando, śliczna bogini wiślniej bystrzej wody,  
 Coś swój wiek wiecznym bogom poświęciła młody,  
 Któraś nigdy rządziła to królestwo dawne,  
 W którym cnoty twe i dziś wspominają sławne,  
 Ucisz Wisłę, ucisz wiatr, daj szczęśliwą drogę,  
 Ty sprawuj nasze łodzie, a odpędź tę trwogę.”

Wkrótce jednak sprzykrzyło się pocie życie dworskie, osiadł w wsi w górach nad Sanem, a innym odradzał czepiać się dworów możnych, zachęcając, ażeby z młodu *postanowiw-*

szy t. j. ożeniwszy się, pilnowali zagona, sposobili się do gospodarstwa i przez to kął sobie na stare lata przysposabiali.

Na owe czasy, kiedy ziemi było dużo, a ludności niezbyt wiele, doskonała to była rada, bo każdemu było wśród własnego zagona najlepiej; a chociaż trzeba się nie tylko roli lecz i innej pracy chwycić, aby mieć uczciwy kawałek chleba, z przyjemnością jednak ze Zbylitowskim powtarzamy.

„Ja mam swoje uczciwe zabawy przystojne,  
 Ja wolną myśl od troski i życie spokojne.  
 Zasiadłszy z przyjacielem w pachnącym ogrodzie,  
 W chłodniku (altanie) przeplatanym, przy strumiennej wodzie.”

Daliej zaś tak zachwala przyjemności wiejskiego życia:

„Ano bydlę do domu bieży wielkim skokiem,  
 Czując, że noc już bliska, bo wieczorna zorza  
 Znięgała postępuje z głębokiego morza;  
 Pasterze za nim idą, po lekku śpiewając,  
 A w wierzbową piszczałkę pięknie przygrywając.  
 I młode pasteczki w płótnie biało tkanem,  
 Każda coś z lasa niesie w wieńcu przewijanym.  
 Ta orzechy, ta rydze, ta słodkie maliny,  
 Ta dojrzałe poziomki, ta czarne jeżyny,  
 Ta w koszyku plecionym wieniec kadzidłowy,  
 Owa wiązań, bukwię, ta kwiat kalinowy.”

O Piotrze Zbylitowskim współcześni jemu pisarze wyrażają się, iż był to mąż niepośledniej nauki a prędkiej rady. Pozostawił: „Rozmowę z cudzoziemcem”, w której przygania, iż zanadto za jego czasów myślano o strojach i dobrem jadł; w całym zaś utworze dowcip i dobry humor tryska z każdego wiersza. Dostało się też od niego i niewiastom, które zaczęły się z cudzoziemską ubierać. Raz został zaproszony do sąsiada na obiad, spotkał cały zastęp kobiet ustrojonych, powiada, iż zupełnie nie wiedział w jakim kraju się znajduje, tak były wszystkie cudacznie ubrane.

A więc pyta:

„Cóż się to ze mną dzieje, gdzie jest zamieszony?  
 Do Francyi, czy do Włoch, gdzie li w innsze strony?  
 Witam, sam nie wiem kogo, nie wiem kogo raczę!.  
 Oto ta siedzi, widzę, z weneckiej dziedziny,  
 A ta zasię, w tej szacie z hiszpańskiej krainy,  
 To podobno Francuzka, ta zaś niderlandzki  
 Ubiór na sobie nosi, czyli to florencki.”

Jednocześnie ze Zbylitowskim żyło dwóch braci Zimorowiczów, urodzonych we Lwowie.

Starszy z nich Józef Bartłomiej pozostawił bardzo piękne: „Sielanki ruskie”, młodszy Szymon wielkie rukował nadzieje, lecz umarł bardzo młodo. Jest on poetą lirycznym tak jak Szymon Szymonowicz Bendoński, z którego brał wzór a którego wielce miłował i cenił.

Utworki Szymona Zimorowicza odznaczają się wielką prostotą a zarazem pięknnością porównań, jak to w hymnie do słońca widzimy:

„Niebieskie oko, klejnocie jedyny,  
 Lampa gorąca niebieskiej krainy!  
 Ojcie gwiazd jasnych! ty skoro świt mglisty  
 Natychmiast z łoża ramiona perłowe  
 Podniósłszy, oczy szczerzo szafirowe,  
 Na świat obracasz, a potem wraz z góry  
 Poczniesz rozpuszczać zarzyste kędziory.”

Dużo jeszcze pięknych rzeczy moglibyśmy podać naszym czytelnikom, na tem się jednak ograniczamy, dodając, że słusznie położyliśmy tytuł: „Wiek poetów” bo wszyscy owocześni autorowie rozpoczynali swoje utworki wstępem wierszowanym i kończyli je zwykle rymami. A chociaż w wierszach nie zawsze jest poezya, tutaj jednak utworki te poezyą nazwać

\*) Patrz N-r. 28 „Było ich czterech”.



W P O L U .

możemy, bo każdy z piszących pragnął prowadzić społeczeństwo do piękna i cnoty, a rozpoczynając swój utwór wierszem, składał go na cześć Najwyższego, prosząc aby mu oświecił umysł i doprowadził do zamierzonego celu.

Z. Morawska.

## NASI GOŚCIE.

Mimowoli nieraz zadajemy sobie pytanie, dla czego, chociaż ród ptasi z natury swój jest płochliwy, niektóre jednak ptaki szukać się zdają sąsiedztwa człowieka i obok jego mieszkania zakładają gniazda swoje? Czynią to zaś nie tylko na wsi, gdzie panuje względny spokój, ale nawet w mieście, w wielkim mieście, pełnym wrzawy, hałasu, turkotu, światła gazu i dymów, które się nad dachami unoszą. Dla czegoż skrzydlaci goście nawiedzają nas aż tutaj mimo nieprzychylnych na pozór warunków, jakie im życie wielkomiejskie przedstawia? Badacze przyrody nieraz już zajmowali się tą ciekawą kwestyą, na którą to chyba najwłaściwszą będzie odpowiedź, że ptaki uważają człowieka za obrońcę przed grożącymi im niebezpieczeństwami, a jego zabudowania i ogrody za dogodną dla siebie siedzibę, której w miejscach niezamieszkałych znaleźć nie mogą. Kto wie? w tych ptasich sejmach, które każdy prawie na własne oczy widział, taka może zapadła uchwała? Dowodziłaby ona zaufania ptasząt do człowieka, zaufania, którego zdradzać się nie godzi, ale owszem podtrzymywać je i wzmacniać, gościnnie podejmując ten drobiazgi, co się do nas garnie z własnej woli.

Najwięcej pośród niego wróbla. Śmiały, zarłoczny, namiętny prawie, a ruchliwy, swawolny i świątliwy, podobne są one do tych ubogich dzieci, co się hałaśliwie bawią po naszych podwórzach, albo na chodnikach mniej uczęszczanych ulic. Drobiazgowi temu ludzkiemu zacni ludzie otwierają ochronki, w których znajduje tyle mu potrzebną ochronę od czyhających nań pokus do złego — ale i skrzydlatym maleństwom coś się od nas należy. Trochę okrucichów, trochę niedojedzonej kaszy lub kartofli, to bał prawdziwy dla wróblego narodu, który zwiedziawszy się o miejscu, gdzie pewny posiłek znaleźć można, natoczywie się o niego upomina, pukając nieraz dziobkami w szyby, co bardzo zabawnie wygląda. Obok wróbla żyją także i gnieźdzą się w środku miasta grzeźółki, jaskółki, kawki, nawet kobuzy. Wszystkie te gatunki potrafią się obejść bez ogrodów i obsadzonych drzewami skwerów; wystarczają im mury i dachy domostw naszych.

A gołębie? kto z nas nie widział jak stadami całymi obsiadają place, unoszą się tuż nad brukiem ulic, lub w powietrzu wyprawiają harce dowodzące nieporównanej wprawy gimnastycznej? Niektóre z nich mają właścicieli i gołębniki, do których po skończonej zabawie wracają; inne znowu, bezpańskie i bezdome, gnieźdzą się w murach śpiczrzów, dworców, pod dachami dzwonnicy i wież kościelnych, żyją tam, co sobie znajdują na ulicy, a często padają ofiarą tych rozbójników, o których w pierzastym rodzie nie trudno.

Należą do nich szulaki, kanie, jastrzębie, które to ostatnie, jakkowiek przez człowieka prześladowane i na wsi przed nim uciekające, w mieście jednak czują się bezpieczniejszemi i bezkarnie chwytają bezbronne gołębie. Wygląda to zupełnie tak, jakby sobie wyrozumowały jastrzębie, że w mieście broić mogą swobodnie, bo człowiek nie ma czasu polować na nie! Często też zdarza się widzieć, że jastrzęb najspokojniej w świecie pożera sobie gołębia, siedząc na wierzchołku jakiej wieży lub fabrycznego komina, choć tuż pod nim uwijają się ludzie i turkoczą powozy.

Ogrody miejskie mają także swoich mieszkańców, tem mniej licznych, im w większym ścisku domów położony jest ogród. Rzecz to bardzo naturalna: ptaki bowiem żywiące się owadami, nie znajdują tu dla siebie dostatecznego pożywienia dla tego, że atmosfera miasta, przejęta wyziewami dymów i swędów, nie sprzyja rozmnażaniu owadów. Żyją więc głó-

wnie po ogródkach w środku miasta położonych. szpaki, którym nadzwyczaj szybki lot pozwala przynosić młodym pożywienie z bardzo wielkiej nieraz odległości i sikory razem z wróblami żyjące pokarmem, ręką ludzką rzuconym.

Wydziera im go nieraz niezgrabna złośliwa wrona, która gnieździ się na pierwszym lepszym wysokim drzewie, choćby nawet w samym środku miasta, czasem na dachu wysokich kilkopiętrowych kamienic i z tamąd spada w podwórka chwile łapiąc wszystko, co znajdzie. Sami raz widzieliśmy jak schwytawszy skórkę od serdelka, usiadła na krawędzi niziutkiego dachu i zbójcekiem spojrzeniem trzymała na wodzy wróble, które widocznie miały ochotę odebrać jej ten przysmak i z właściwym sobie zuchwalstwem przyskakiwały do niej nadaremnie.

Bociany osiadają najczęściej na przedmieściach, na tym ich krańcu, który do pól lub łąk przytyka; ale zato po ogrodach i parkach spotkać można kosa, który dawniej był płochliwym ptakiem leśnym, a teraz gdy coraz mniej lasów, poszedłszy po rozum do głowy, uznał za właściwe zmienić obyczaj i został ptakiem ogrodowym. Grzywacze czyli dzikie gołębie zrobiły także to samo; w Paryżu latają sobie po ogrodzie w Tuileries a w Berlinie gnieździła się jakaś para na jednym z olbrzymich drzew otaczających plac pod lipami.

W berlińskim zwierzyńcu pojawiły się od lat kilku dzikie kaczkę, które gnieźdzą się wśród zarośli tamtejszych stawów, wyławiając chleb i bułkę, które im rzucają zwiedzający: zroszczyły widocznie że mogą pogodzić bezpieczeństwo z wygodą i odpowiednio się urządziły. Za ich przykładem poszły mewy, które z nad Bałtyku przelatując nad Sprowę, szukają tu żeru obficie im dostarczanego przez przechodniów.

Wszystkie tym podobne objawy zmian zaprowadzonych przez ptaki w dotychczasowym trybie życia, dowodzą spostrzegawczości i namysłu. Zamiast bezwiednie ulegać instynktowi, ptak zdaje się rozumowaniem dochodzić do pojęcia, że człowiek nie tylko nie będzie mu wrogiem, ale jeszcze przyjdzie mu z pomocą; szuka więc siedzib ludzkich i zbliża się do nich bez obawy, a pochlebne to zaufanie najlepszym jest dowodem, że węzłami braterstwa połączył Bóg przyrodę całą. W nieprzerwanym łańcuchu tworów człowiekowi naczelną przypada miejsce, lecz wraz z *prawami* starszeństwa ma on także starszeństwa *obowiązki*, do których niezaprzeczenie należy troskliwa opieka nad wszystkim, co „nie sieje, ani orze”.

T. P.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Mahora!... szeptał z drugiej strony leżący koło Mahory Rahib — czy uważałeś jak to zgrabnie zrobił Wilko tę rzecz z kociętami tej obrzydłej kocicy?

— To jeszcze nic że zgrabnie zrobił, ale czy widziałeś jak się okropnie zawstydził i aż odwrócił, spostrzegłszy, że patrzymy na niego?

— O!... brzydki!... cóżby to miało znaczyć?

— Coś bardzo brzydkiego podobno...

— Ależ w takim razie to strach!... okropność!...

— E!... przecież Wilko jest teraz chrześcijaninem, cóż znowu!

— Bo powiadają ludzie że *taki*, nigdy z serca się nie nawróci i wśród zwykłych ludzi nie przyswoi... będzie z niego zawsze niby to panterzątko wzięte z gniazda i chowane troskliwe wśród domowych zwierząt, a gotowe zdusić co mu się niebądź żywego nawinie, byle sposobność była po temu... Uh!... u!... aż się człowiekowi dusza wstrząsa na takiego kolegę... I pomyśleć, że oto blisko pięć lat żyjemy z nim w blizkich stosunkach w służbie i nikt się niczego nie domyśla!...

— Mój drogi Rahib... przyznam ci się szczerze że

i mnie dusza zadrżała w owęj chwili, gdy owo nagłe zapłonienie się Wilka, naprowadziło mię na ten okropny domysł... ale teraz... myślę że chrześcijanami jesteśmy przedewszystkiem, a z nawrócenia największych grzeszników, najwięcej się też niebo raduje, zatem i my czyliż zamiast obawy i wstrętu lub wzgardy, nie powinniżbyśmy okazywać mu raczej serdeczną uciechę i przyjaźń, aby go na dobręj drodze utrzymać i utwierdzić?...

— Hm... no, tak to niby należy... ale ludzie mówią się że to na nic...

— O czym wy tak tajemniczo rozmawiacie? Co to znaczy co mówicie o Wilku? Cóż to on zrobił tak okropnego?... — zapytał Robert dosłyszawszy piąte przez dziesiąte, tłumioną dwóch Indyan rozmowę:

— Oh, panie Robercie, to bo znów... hm... trudno panu będzie opowiedzieć...

— Co?... trudno ci będzie mnie tę tajemnicę opowiedzieć? Ciekawym dla czego? Cóż to! czy dziecko jestem, któremu nie opowiada się tego i owego a aby nie płakało po nocy gdy mu się strachy przysnią? Mów zaraz!

— Ale nie o to idzie... Pamięta pan jak się to pan okropnie na mnie rozgniewał, gdyś coś na Anglię powiedział i nie chciał pan tego przyznać mówiąc, że żaden uczciwy ptak na własne gniazdo nie nastaje tylko je owszem broni?... Aha!... a ja teraz miałbym niby mówić coś, co wcale zaszczytu naszym Indynom nie przynosi, hm?...

— Wcale co innego, mój kochany! Tu u was jest wiele złego, a raczej wszystko złe ma źródło swe w fałszywych religijnych pojęciach! Nie wy winni, tylko nierozum ludzki, który się uplatwał w fałszach i obłąkał!

— A to pan Robert mądrze powiedział! I zresztą, naprawdę brzydka ta rzecz nie tu u nas wyległa się nawet, podobno tylko w Jawie... pan Robert wie co to Jawa?

— Słyszałem!... — ironicznie i wyniośle odpowiedział młody Anglik, który mając wszystkie najlepsze naukowe podręczniki, starannie sprowadzane z Europy, pracował gorliwie wraz z braćmi i z Mac'Ulmami nad przyswojeniem sobie wszelkich zdobyczy naukowych, jakie powinny być w dzisiejszych czasach własnością ogółu wykształconych ludzi.

— Otóż — zaczął mu szeptać od samego ucha Mahora — otóż na Jawie od niepamiętnych czasów istnieje tajemnicza potworna, okropna, straszna, niby banda, niby sekta rozbójników morderców, znana ogólnie pod nazwą „dusicieli”...

— A... a!... o!... słyszałem coś o tych zbrodniarzach...

— Aha... otóż z Jawy rozlażą się te potwory po sąsiedztwie i tu u nas także istnieją w tajemnicy... a po niezmiernęj wprawie z jaką Wilko załatwił się z niemowlętami pantery, i po zawstydzeniu jego gdy spostrzegł że jest obserwowany, domyślamy się ja i Rahib, że i Wilko...

— Cóż znowu!... Wilko! taki poczciwy człowiek! Nie uwierzę temu! — gorąco i głośniej niż należało — zawołał Robert w uniesieniu.

— Cyt!... ciszej panie Robercie!... jeżeli sami nie śpiemy to nie potrzebujemy jeszcze budzić zmęczonych naszych towarzyszy... no i Wilko także słyszeć tego co mówimy nie potrzebuje...! Zresztą, wszak ja sam przed chwilą powiedziałem że Wilko czembadź był, to zostawszy chrześcijaninem nabył prawa do naszej bratniej miłości... A przecież mógł nie on sam, tylko jego rodzice lub dziady do tych strasznych sekciarzy należeć, a on, jeżeli losu zrządzeniem dostawszy się wśród chrześcijan szczerze się nawrócił, to nawet jest w bardzo przykrem położeniu...

— W przykrem położeniu?...

— Hm... no tak... bo podobno ci zbójcy nigdy nie przebacząją swoim odstępcom, gdziebądź, choćby na koniec świata taki człowiek uciekł, oni póty śledzą tajemniczymi swymi sposobami, aż go wynajdą, odkrywają, choćby się pod ziemię schował i śmiercią w okrutnych męczarniach ukarzą...

— Brrr!... biedny Wilko, będę go jeszcze bardziej kochał, jeżeli to wszystko prawda — mruknął Robert.

— Tak, ale znów ludzie powiadają, że taki nigdy się prawdziwie nie nawróci, choćby i w dziesiątem pokoleniu, pantera panterą, wąż wężem i taki tём, czém jego naddziady byli, pozostanie i ową dyabelską zřęczność w odejmowaniu życia stworzeniom boskim w pewien właściwy sposób, zachowa, niby talent wrodzony, całemu pokoleniu.

— Ależ to są wszystko tylko niepewne gawędy ludzkie?

— Tak jest, panie Robercie, to są plotki, bo sekta owa jest tak tajemnicza, tak się ukrywa przed wszelkiem okiem ludzkim i żywem, zasłużwszy na wielkich stworzeń nienawiść... że niepodobna jest nawet wiedzieć o niej cośkolwiek pewnego.

— A więc proszę mi więcej takich rzeczy na poczciwego Wilka nie wygadywać!... bo się to wam z pewnością tylko przywidziało!

— I owszem, dobrze mówi pan Robert i mądrze jak zawsze, i wcale niepotrzebnie gawędzimy o takiej rzeczy i to jeszcze w nocy gdy pan Robert ranny i zgorączkowany, powinienby spać spokojnie. Spać więc proszę! A ja pójdę zluzować pana Jerzego i Ralfa, bo jakoś spać nie mogę, a już od początku leżąc, gdy oni ciągle stoją na straży...

— To i ja pójdę, bo także spać nie mogę!... ty zluzujesz Ralfa, a ja Jerzego!

— Ależ panie Robercie, ranny jesteś!... — próżne były uwagi i prośby Mahory, Robert uparł się. Wilko spał już jak zabity i wszyscy spali, gdy Mahora i Robert stanęli na dwóch przeciwnych krańcach małego zaimprovizowanego obozu, zajmując stanowiska Jerzego i Ralfa, którzy też natychmiast pokładłszy się na swoich matach zasnęli zmęczeni. Głucha cisza ogarnęła miejscowość niezamieszkałą chwilowo przez dzikie hałaśliwe zwierzęta, wypłoszone macierzyńską troskliwością pantery.

Robert wsparty o drzewo i przytulony doń umyślnie, aby mniej być widocznym, bacznie okiem śledząc bezustannie okolicę, strażował pilnie już od dłuższego czasu, pewien był, że nic nie poruszyło się w pobliżu, jak tylko okiem i uchem mógł zasięgnąć, a jedno i drugie miał bystre i baczne. To też zdziwił się, osłupiał ze zdziwienia prawie, uczuwszy że coś lekko ale wyraźnie pociąga go za nogę, spojrzął ku własnym stopom i zdziwił się jeszcze bardziej, widząc rozciągniętego u nich Wilka... Nie będzie to żadnem ubliżeniem dla młodego Anglika, jeżeli sumienność zmusi nas do wyznania, że na ten widok, pod wpływem niedawnej o dusicielach gawędy, włosy powstały mu dębem na głowie: zaledwo nie krzyknął w głos z przestachu, bo jeżeli pomimo pilnego strażowania, Wilko mógł przypelznąć aż do jego stóp, to mógł tem łatwiej gospodarować wśród śpiących, i Robertowi w mgnieniu oka przeleciało przez myśl, że wszyscy byli już poduszni... A w tejże chwili uczył że Indyanin całuje mu stopy, mówiąc cichym i drżącym jak szelest listka głosem:

— Niechaj Bóg chrześcijan, Bóg twój i mój, błogosławi cię panie Robercie za to, żeś powiedział „biedny Wilko, będę go teraz jeszcze bardziej kochał”... naumyślnie przypelzłem tak... byś widział, że jeźlibym chciał dusić tobym mógł... ale to nie zawsze prawda co mówią: pantera przyswojona pozostanie panterą, lecz potomek dusicieli, z czasem, niekiedy, wśród uczciwych ludzi, może się w uczciwego człowieka przemienić. — I z temi słowy znikł Indyanin, rozplaszczając się niejako na ziemi i poruszając tak nieznacznie, że Robert ze zdumienia w zdumienie wpadając, chociaż nań patrzył, nie był przecież pewnym kiedy i gdzie tajemnicza istota znikła mu z oczu. Z mocno bijącym sercem postąpił ku śpiącym, drżącą ręką zbudził Franka, powołując go niby do strażowania z kolei, a wistocie aby przekonać się czy żyje... Gdy Franek wstał natychmiast, a senne spokojne oddechy innych przekonały strwożonego chłopca że wszyscy żyją, dopiero cały drżący jak w febrze, pod wpływem minionego przerażenia, położył się na swęj macie i opowiedział kładącemu się także Mahorze, co się wydarzyło.

— A co?... — szepnął z lekkim dreszczem tenże — a więc dobrześmy się domyślali i nie wszystko co ludzie mówią jest prózną gawędą... chociaż w niejednym się mylą podobno.

— Bo ja teraz tembardziej wierzę że i zbójca odmienić się może... Uspokój się panie Robercie, możemy być zupełnie co do Wilka spokojni, gdyż prawdę ci powiedział, że gdyby chciał wszystkich wyduścić, mógłby być już to uczynić, a że nie byłby tego zaniedbał gdyby sam był tem, czem jak widać byli jego przodkowie, to jest rzecz pewna. Ręczę za to!

Po niejakięj chwili znużenie zwyciężyło niepokój i dwaj przyjaciele zasnęli.

## IV.

Błyszczący potężny acz leniwy Ganges w blaskach płomien- nego podrównikowego słońca, jak dyamentowa przepaska ko- ronująca czoło Indyi; iskrzy się milionami błysków Benares na lewym brzegu Gangesu, święte miasto Brahmy zwane niegdyś *Kasi* lub *Varnasi* co znaczy: Świetne. Świetne istotnie, z wła- szcza zdaleka jak zwykle ziemskie świetności, świetne 333 me- czetami, tysiącem pagód, kilkudziesięciu tysiącami domów-pa- łaców w swoim rodzaju, z krociami mieszkańców i krociami pielgrzymów nawiedzających bezustannie święte miejsca. Tu nauka i świętość do jednego sprowadzone mianownika, błyszczą promieniami mądrości, tu jest sławna wyższa szkoła indyjska, mieszcząca blisko sześć tysięcy mędrców, tu staroży- tne obserwatorium astronomiczne, tu targowisko drogich ka- mieni, brylantów zwłaszcza; ztąd rozchodzą się na całe Indye tajemniczymi drogami tu przybywszy, owe szczególnych wła- sności i dziwnych przymiotów i nieocenionej wartości dya- menty, które niewytłómaczoną dotąd odgrywają rolę w historii i religii tamecznej brahmińskiej. Mnóstwo panujących książ- ątek złożonych z tronu mieszka w Świętem tem mieście.

Pod słońcem promienistym, miasto Benares ma z pewnej odległości pozory tak świetne, że odpowiadają zupełnie tej jego historyczno-religijno-rzeczywistej wartości. Wspaniałe jest na podziw, wewnątrz dopiero odmienne sprawia wrażenie, ulice kręte, wąskie, ciemne, zaduch i brudny tłum, nie są przyjemne.

Takimi to ulicami dążył w ogniste południe bramin „syn Brahmy” albo „boski” tak zowią się w indyjskiem prawie bo- żem, uczeni, których społeczność stanowi najwyższą z czterech kast dziedzicznych, odrębnych, niedostępnych i nienaruszal- nych, odkąd religia Brahmy istnieje. Bramini, jakkolwiek nie są panującymi książętami, przecieź właściwie panują w Indyach, gdyż jako mędrzy i doradcy książąt i królów, i ka- płani stróże religii, a przytem lekarze, są szanowani przez wszystkich i w każdym zdarzeniu. Szedł tedy bramin, postać tajemnicza, nie często widzialna nawet w Benares, niby w do- mu swoim. Ludzie niezbyt licznie przechodzący o tej upal- nej porze dnia, skłaniali nisko głowy przyklekując przed wy- soką postacią, ubraną w charakterystyczne obszerne szaty, którą prawie odgadrywać trzeba było pod niemi, zawsze i w ka- żdym razie świętą i nietykalną.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ułożona przez Ewę Maryę.

Leć mój *drugi* i *trzeci* daleko! daleko!  
Zaszum w ciemnej dąbrowie, w zaroślach nad rzeką,  
Bieź po kłosach na niwie, po trawach na łące.  
Nieś po rosie odgłosy fujarek cichnące

I zawiśnij, jak chwiejne znikłe w końcu echo,  
Nad kościołkiem, nad białym dworem, niską strzechą;  
Zabierz głosy, woń kwiecica, brzoź, lip, sosen w lesie,  
Pędź znów! niech je twe skrzydło szeroko roznieś!  
Może ktoś je chwytając w locie *pierwsze*, *drugie*,  
Choć w krainach cieplejszych spędzał chwile długie,  
Ze tam klimat łagodny, dla tęskniących przecie  
W rodzinnych stronach wszystko najmiłsze na świecie!...

## Gwiazdka geograficzna.

(od Wiosny dla Dobręj pani).

R

Ułożyć w kształcie gwiazdy 8 wyrazów 5-cio głoskowych, zaczynających się od litery R. Końcowe litery powinny utwo- rzyć nazwę W. księstwa na półwyspie Apenińskim. Znacze- nie wyrazów: 1. Miasto w Persyi. 2. Miasto pow. w gub. wo- łyńskiej. 3. Wyspa na morzu Śródziemnem należąca do Turcyi Azyat. 4. Miasto pow. w gub. Kurskiej. 5. Wyspa na morzu Bałtyckiem. 6. Rzeka we Francyi. 7. Rzeka w kraju Zakaukaskim. 8. Miasto w prow. hiszpańskiej Malaga.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go

## Homonimu szarady:

J a n c z a r y .

## Z a g a d k i :

R e g i n k a .

## R e b u s u :

Tonący brzytwy się chwyta.

## SZKOŁA

## Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przy- jmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnych dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

TREŚĆ: Kryształ gadowe (z drzew.). — Nauczycielka. — W polu, wiersz p. T. Praż. (z drzew.) — Wiek poetów, p. Z. Morawską. — Nasi goście p. T. P. — W Indyach — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Zawstydzona Zosia (z drzew.) — Ziunia, wierszyk p. Z. Morawską. — Lekarstwo. — Połów śledzi, p. H. Wernica. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



Zawstydzona Zosia.

## Zawstydzona Zosia.

— Ja nie chcę się uczyć, nie lubię się uczyć, wolę biegać — płakała leniwa Zosia nad książką. — Jakie szczęśliwe dzieci ze wsi, które nikt do nauki nie napędza; wolałabym tak jak one iść paść nawet gęsi, aniżeli siedzieć kilka godzin dziennie nad czytaniem.

Takie narzekania powtarzały się prawie codziennie, bo leniwa Zosia nie chciała tego zrozumieć, że nauka jest koniecznie potrzebna, praca obowiązkiem każdego człowieka, a próżniactwo początkiem wszystkiego złego.

W jej główce powstawały najrozmaitsze, najniedorzeczniejsze myśli, a wszystkie zmierzały do jednego tylko celu, to jest uwolnienia się od książki.

Napróżno anioł stróż napominał Zosię, aby się pilnie uczyła, nie martwiła mamy i taty; dziewczynka by-

ła głucha na głos swego dobrego opiekuna, i wołała słuchać podszeptów złego ducha, który ją do bardzo niedobrej namówił rzeczy.

— Pójdę daleko w świat i zgodzę się za gęsiarkę; będę sobie mogła przynajmniej cały dzień bujać po polach i łąkach, a nikt mi się uczyć nie każe.

Myśl ta bardzo się jej spodobała i dalejże ją wykonać!

Dziewczynka wzięła koszyczek, włożyła do niego cały swój majątek, to jest lalkę, oraz wszystkie jej sukienki, bo lalka była wielką strojnisią, i kilka groszy, które kiedyś dostała od mamy. Cichaczem wyszła z domu, niepostrzeżenie przeszła przez ogród i niebawem ujrzała się na polu, wśród traw i kwiatów. „Ach, jak tu pięknie, jak wesoło” zawołała dziewczynka, a oczy jej rozjaśniły się radośnie na samą myśl, że odtąd będzie mogła ciągle przebywać na świeżem powietrzu. Zosia



szła dalej i dalej, ale im więcej oddalała się od domu, tem ją większy niepokój ogarniał.

„Co to będzie, gdy nadejdzie noc”, pomyślała ze strachem, a ja będę sama w polu, może nawet w lesie; a nuż mnie zjedzą wilki, porwą cyganie, albo zabiją rozbójnicy i wezmą mi lalkę, pieniądze...” na to samo przypuszczenie włosy stawały jej na głowie. Zdawało się jej, że już uszła bardzo, bardzo daleko, gdy najniespodziewaniej w świecie ujrzała zdaleka na łące Marysię, gęsiarkę. Marysia siedziała na stronie i czytała z wielkiem zajęciem jakąś książkę, a gąski chodziły po łące, skubiąc trawę. Zosia nie chciała wierzyć oczom, bo nie mogła pojąć, z kąd się wzięła Marysia w tak dalekich stronach, a i gęsiarka niemniej była zdziwiona, ujrawszy panienkę samą jedną w polu.

— Cóż ty tu robisz, Marysiu? — zapytała dziewczynka.

— A cóżby, panienko, pasę pańskie gęsi jak zawdy.

— A czyjaż to łąka?

— Czyjażby jak nie dziedzica; pan dziedzic bardzo bogaty.

Zosia była już tak zmęczona, że się jej nie mogło pomieścić w głowie, iż dotąd nie wyszła jeszcze poza granice wioski rodziców, w każdym razie ucieszyła się bardzo, ujrawszy znajomą sobie twarz, bo już zaczynała na dobre tęsknić za domem.

Widząc, że gęsiarka nie ma wielkiej ochoty zapuszczać się z nią w rozmowę a tylko z ciekawością ciągle spogląda na książkę, zapytała:

— Cóż ty masz, Marysiu za książkę?

— Ach, panienczko, taką śliczną książkę, tyle w niej pięknych rzeczy, jeno szkoda że nie wszystko rozumiem, bo jeno zimą chodzę do szkoły, to ta nie wiele co umiem.

— Czybyś ty chciała chodzić do szkoły? — zapytała zdziwiona do żywego leniwa Zosia.

— A jużci, panienko—zaśmiała się Marysia—przećież tam uczą takich ślicznych rzeczy, ale matuś powiedzieli, że trza latem gęsi pasać; niema czasu na szkołę.

Słowa gęsiarki wielkie wywarły na Zosi wrażenie. —Więc ta Marysia, wiejska dziewczyna żałuje, że do szkoły chodzić nie może, czyta z taką ochotą, a ja, uciekam od nauki — pomyślała. Ogarnął ją wielki wstyd i żal za swe lenistwo; szybko powróciła do domu, wzięła się natychmiast do książki, i jest odtąd bardzo pilną, pracowitą i sprawia tem wielką radość rodzicom.

## ZIUNIA.

— Idź, Ziuniu do ogrodu, ale nie jedz gruszek, Choćby spadły na ziemię; nie jedz i jabłuszek. Rzekła mama do córki, a Ziunia przyrzekła, Uściskała mateczkę i w ogród uciekła. Siadła sobie pod drzewem, wtem gruszka upadła, Ziunia ją zjadła. Spadła druga i trzecia; a wkrótce na trawie Z dojrzałego owocu żółciło się prawie. Ziunia poczęła zbierać, gdy pełen fartuszek Miała już gruszek:

— Schowam gruszki pod krzaczek, to zjem sobie potem,

Nie dowie się nikt o tem —

I to mówiąc, dziewczynka szybko dalej bieży,

Nie widząc, że kamień leży,

Zawadziła o niego, brzdęk, pada jak długa.

Chciała płakać, lecz tylko oczętami mruga,

A wciąż gruszki po trawie rozsypane zbiera

I czasem tylko nosek rozbity ociera.

Wtem pszczoła zabręczała, siadła na jej czole

I Ziunię żądłem ukole.

Ziunia w krzyk; matka zaraz na pomoc przybiegła,

Spojrzała i spostrzegła,

Że Ziunia nie posłuchała, tak więc do niej rzecze:

— Zawsze karę otrzyma, kiedy kto przyrzecze,

A słowa nie dotrzyma. — I żądło wyjęła.

A Ziunia tak do serca tę przygodę wzięła,

Że już nigdy bez wiedzy kochanej mateczki

Nie zjadła ani jabłka, ani też gruszcзки.

Z. Morawska.

## POŁÓW ŚLEDZI.

Śledź częściej niż inne ryby ukazuje się na naszych stołach; dla mniej zamożnych, szczególniej podczas postu stanowi on nieraz główną przyprawę posiłku. Jest to jedna z najtańszych ryb a do tego nie tak łatwo jak inne podlega zepsuciu.

W pobliżu nadbrzeży morskich północnej Europy wylawiają corocznie z głębi morza miliardy śledzi. Miliardy ich łowią ludzie, miliardy pochłaniają drapieżne morskie stworzenia, a pomimo tego ilość ich się nie zmniejsza. Nie wiemy z kąd przybywają i dokąd odchodzą, lecz zawsze z jedną, podziwienią godną punktualnością jawią się i znikają na morzach północnej Europy. Korzystając z tej punktualności rybacy norwescy, mogą się należycie przygotować na ich przyjęcie.

Główny połów śledzi odbywa się w lutym. Już więc pod koniec stycznia rybacy otrzymawszy od kupców pewne zaliczenie i zaopatrzeni w niezbędne zapasy, udają się na niezaludnione wysepki otaczające Norwęgją. Zamieszkują tam czasowo nędzne chaty, w których jak można najwygodniej się urządzają, oczekując przyływu śledzi. Nieraz dokucza im silny mróz połączony z przenikliwym wiatrem, ale wytrwały ten lud niewiele sobie robi z tej przykrości, przywykły do niej za młodu. Zarzucają sieci w najdogodniejszych miejscach, spoglądając na morze, czy nie ujrzą z dała dwóch błyszczących w powietrzu niewielkich strumieni wody. Rybak, który je dostrzeże, udziela z radością tę wiadomość towarzyszom. Niezawodny to znak obecności wieloryba, który oddychając nozdrzami, wyrzuca w górę dwa strumienie morskiej wody. Jest on zwiastunem zbliżenia się niezliczonych szeregów śledzi. Za jego ukazaniem się wszystkie osady mają się na baczności, wiedząc z doświadczenia, że niebawem na powierzchni morza śledzie pojawić się muszą. Nieraz wszakże przychodzi rybakom dłużej czekać na przybycie tych pożądaných gości; wówczas kilku najdzielniejszych ludzi puszcza się w łodzi na otwarte morze, a skoro ujrzy zdaleka właściwy srebrzy-

sty połysk na jego powierzchni, powraca na wysepki zawiadamiając drugich podniesieniem wioseł o zbliżaniu się śledzi.

Srebrzysty bowiem połysk na powierzchni morza pochodzi od niezliczonych grzbietów śledzi, które zwartym ciągną szeregiem. Znika teraz wieloryb, odpływa na otwarte morze i łączy się z towarzyszymi, aby wspólnie pędzić śledzie do brzegów Norwegii. Uciekając przed straszonymi nieprzyjaciółmi śledzie wpływają pomiędzy wysepki, nie wiedząc że wpadają z deszczu pod rynnę, to jest do zastawionych sieci. Podczas pomyślnego połowu śmiało rzec można, iż ile oczek w siatce tyle znajdzie się w niej śledzi. Niekiedy śledzie do cieśnin zbitą wpływają ławą, sięgającą dna morskiego. Parcie jakie te miliony małych ryb wywierają, jest tak silne, że na kilka cali podnosi łodzie rybackie krążące w cieśninie.

Obładowani zdobyczą, rybacy płyną do najbliższego miasta Bergen w Norwegii, aby ją tam złożyć i czemprędzej powrócić na miejsce połowu. Jakiż tu ruch, jakie życie! W przystani setki ludzi ładuje śledzie na taczki i przewozi do miasta. Przybywszy na miejsce przeznaczenia, przewraca taczki i wysypuje na ziemię śledzie. Powstają ztąd wysokie jakoby góry śledziowe, pomiędzy którymi zdała widać tylko głowy robotników, zajętych ich wyprawianiem. W mgnieniu oka wyrzynają oni gardło śledziom i wyciągają wnętrzności, a tak sprawione wrzucają do obok stojących kadzi. Przez ręce jednego człowieka przejdzie codziennie kilka tysięcy śledzi. Inni robotnicy ładują napełnione kadzie na taczki i przewożą do miejsca w którym odbywa się soleńie. Śledzie wyjęte z kadzi wrzucają w beczki, polewają mocnym roztworem soli, poczem szczelnie je zamknąwszy, wnoszą do obszernych magazynów. Z samego miasta Bergen wywozi się corocznie przeszło 300,000 beczek śledzi, to jest więcej niż 3 miliardy sztuk.

Nieraz śledzie gnane przez wieloryby, zbliżają się do samych brzegów Norwegii, szukając schronienia w płytkich zatokach, których tu jest bardzo wiele. Rybacy wielkimi sieciami zamykają im odwrót i wyławiają wszystkie co do jednego. Jedna zatoka dostarcza ośm do dziesięciu tysięcy beczek, a dostarczyłaby znacznie więcej, gdyby skupione w małej przystani śledzie nie dusiły się wzajemnie.

Główny połów trwa od początku lutego do połowy marca, poczem śledzie znikają w głębi morza. Nie sądzicie wszakże, iżby w innych porach roku śledzie się nie ukazywały, owszem, przebywają one niemal w każdej porze, zarówno w lecie jak w jesieni, ale już w znacznie mniejszej ilości i gorszego gatunku; nie przynoszą więc takiej korzyści jak łowione na początku roku.

*Henryk Wernic.*

## LEKARSTWO.

— Ach, mój Boże! jakże mi przykro odjeżdżać biednego Stasia! Chłopczyna tak silnie kaszle... trzebaby mu regularnie dawać lekarstwo... a tego nieszczęsnego interesu nie mogę odłożyć do jutra...

Tak wyrzekła w obecności dziesięcioletniej córe-

czki Andzi, pani Z. która wdową będąc i sama się zajmując interesami, zmuszona była koniecznie wyjechać z domu przed obiadem i nad wieczorem dopiero wrócić mogła. Wprawdzie zostawiała przy dzieciach nauczycielkę, p. Zofię, ale ta dziś właśnie leżała z gwałtowną migreną, która jej się podnieść nie pozwalała. Jedyną więc opiekunką chorego Stasia mogła być dość od niego starsza Andzia, dziewczynka z najlepszym w świecie sercem, ale roztrzępana i zapominalska.

— Pójdę chyba do p. Zofii, powiem jej że muszę wyjechać i że niema komu dojrzeć Stasia. Choć sama chora, wiem, że zapomni o sobie i zajmie się dzieckiem. Przykro mi jednak, że nie mogę jej zostawić spokoju, którego tak potrzebuje...

— O mateczko, nie mów nic p. Zofii, czyż ja naprawdę tak jestem roztrzępaną, iż nie możesz mi zaufać? W południe i wieczorem łyżkę mikstury biednemu Stasiowi, co tak bardzo kaszle. Czyżbym naprawdę nie mogła spamiętać tego?

— I owszem, chciałabym, byś mi wyręczyła niekiedy, lepiej jednak, by p. Zofia zechciała ci przypomnieć, w razie gdybyś...

— O mateczko! — z wyrzutem przerwała dziewczynka — niech mi tylko pani nie przypomina, moja droga, jedyna mamusiu.

Mama wyjechała. Andzia w południe, w czasie rekreacji przegrała partycję krokieta. Wieczorem, odrobiwszy zadane na jutro lekcye, pracowała w ogródku. Usłyszawszy zajeżdżający przed ganek powóz, poskoczyła na przywitanie mamy.

— Jak się masz, córeczko, jak się masz! A Staszek?

Andzia, jak piorunem rażona, zatrzymała się na wschodach i zarumieniona, całując matkę w rękę, nic nie odrzekła.

Biedne maleństwo leżało cichutko w łóżeczku niebieską kołderką po buzię nakryte i spoglądało żałośnie na schyloną nad nim mateczkę.

— Mamusia wio... koniki wio... powóz wio... pojechali... a Taś kaszłał, bardzo kaszłał... — gwarzył ochryplym głosiakiem pieszczoszek.

A czy był grzeczny synecek? wypił lekarstwo?

— Taś grzeczny, nie pił lekarstwa, jadł losól, bulkę...

— Moźnaby mu dać trzecią łyżkę na noc. Andziu, przynieś fiaskę.

Zwolna ruszyła się z kąta pokoju, gdzie była stanęła, skubiąc bez litości fartuszek.

— Flaszeczka pełna... — rzekła mama, spoglądając z wyrzutem na roztrzępaną córeczkę.

— Biedny Taś, biedny, kaszelek go dusi... — potarzał jak srocza chłopczyna ze smutną minką.

Zawstydzona Andzia stała z pełnemi łez oczyma.

Przez parę dni Staszek kaszłał okropnie. Andzia ni chwili spokojnej nie miała, tak ją dręczyła myśl, że przyczyniła się do zwiększenia choroby braciszka. Całe dni spędzała przy nim, zabawiając go, gdyż biedne dziecko tak było męczone kaszlem, iż nieraz płakało a i Zosia wtedy częściej używała chusteczki.

**Homonim szaradowy.**  
ulożyła M. P.

Pierwsze jest spójnik, drugie: niedostatek.  
Wszystko z pokorą uprasza o datek.

### ŁAMIGŁÓWKA.

Z liter składających wyraz **Stolik** ułożyć następujące wyrazy: 1. Nazwę domowego zwierzęcia. 2. Ładnie śpiewającego ptaka. 3. Płynu z owoców. 4. Liczby. 5. Masy używanej przez szklarzy. 6. Ruchu ptaka. 7. Pisma.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

**Zagadki homonimu:**

P a j ą k.

**Łamigłówni liczbowej:**

Gaj — — bal — balja — barjera.

Gabrjela.

### Skrzynka do listów.

Dobrze robisz, **Trawko z nad Tryby**, że od razu, jak do siostry do mnie przemawiasz i serdecznie dziękuję ci za to. Konkurs terazniejszy nie do mnie należał! Liścik biorę pod opiekę.

**Białonóżko z pod Karpat**, nim moją odpowiedź otrzymasz, już **Wieczory** twoją ciekawość zaspokoją.

**Gospośię z Podola** witam serdecznie. Bardzo lubię takie młodziutki siostrzyczki, bo takimi dłużej się cieszyć będę.

**Droga Biała Ostróżko**, w tem co piszesz, takie się pocziwe serduszko maluje, że pokochałabym cię za list twój ostatni nawet, gdybym cię już nie kochała pierwej. Nie potrafię ci wytłómaczyć, co znaczy ów pseudonym, musi on być skróceniem jakimś, lub zestawieniem początkowych głosek. Staszke z Podola żegnano i błogosławiono, bo idzie za mąż i w bardzo serdecznych wyrazach doniosła o tem Redakeyi.

**Gamie C dur**, serdecznie dziękuję za przysłane mi zajmujące szczegóły. Na imię mi nie-Zofia i sen twój się nie sprawdził, kochana ty moja ciekawska.

Na zawsze **Kwiecie Lotusu**, pozostaną tajemnicą, okryta. Na pytanie twoje co do Jul. Ol. trudno ci odpowiedzieć, bo jeszcze nie wszystkie panienki dołączyły do pseudonimu nazwiska, o co je od paru miesięcy ciągle prosimy. Zagadki odebrałam, ale ty wiesz, co to *kolej!* Nacierpiałam ja się przez nią niemało, ale ostatecznie doszedłszy do rozumu, pojmuję, że ją szanować trzeba, bo inaczej panował by nieład nieopisany. Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy przysłania fotografii? O ile pamiętam, M. K. nie pisuje do **Wieczorów**; dopiero po powrocie do Warszawy mogłabym ci stanowczo na to odpowiedzieć.

Nie, **Podolanko** droga, żadna ofiara nie jest „mała” gdy z serca pochodzi, a wiadoma to rzecz, że „ziarnko do ziarnka”...

Parę słów tylko, na samem wyjeździe, piszę do ciebie **Niezapominajko z nad Warty**. Może zanim je wydrukują, czytać będziesz list, który pozwoliła mi Redakcyja napisać do was z podróży.

W ten tylko sposób będę mogła zność się z wami, bo z powodu wyjazdu przerwać się musi cotygodniowa nasza korespondencyja. Nie zapomnijcie jednak o mnie, jak i o was nie zapomni także sercem wam oddana

Gołąbka.

**Droga Kapłanko Znicza**. Przyczyną mego długiego milczenia jest to, że list mój gdzieś zginął. Miła **Stokroteczko** z nad **Stochodu**, jak się ma twoja mama? Czy już zdrowa? pokochałam cię bardzo, radabym cię poznać. **Topolko srebrna**, list twój ucieszył mię bardzo. **Sosenko** droga, mylisz się nie jesteśmy **Jadzią** i **Marylką D.** tylko **Cesią** i **Martą M.** **Srebrna lilijko**, twój pseudonym zachwyił mnie, czy dawno czytasz **Wieczory**? bo my już od 5 lat i zamyślamy nigdy z niemi się nierozstawać. Donieś mi co o sobie. Nie jestem taką doskonałością jak myślisz. Ścisłam was po miljon razy drogic siostrzyczki. **Sarence** z nad **Moroczu** i **Chmurce** złościstęj posyłam serdeczne uściśnienie. Wasza **Westalka**.

**Kochane moje**: **Czeska Niezabudko**, **Topolko srebrna**, i **Niezapominajko z Zacisza**. Pisałam do ciebie niedawno **Czeska Niezabudko**, ale list ten gdzieś zaginął. **Ucieszyła** mię twoja odezwa kochana moja **Topolko srebrna**. Wiesz już zapewne z mego listu do **Chmurki Złocistęj** kiedy się zobaczymy. „**Strzała**” już nie wychodzi. **Uściskaj** odemnie siostry. Prosiłaś, kochana **Niezapominajko z Zacisza**, żeby która z nas do ciebie napisała, możebyś więc chciała ze mną korespondować? Donieś proszę cię jak się nazywasz? ile masz lat? i gdzie mieszkasz? Ścisła was serdecznie **Jaśkółka z nad Ussy**.

**Moje drogic**: **Biała Perełko** i **Błękitna Kokardko**. Poznajecie mię zapewne po moim pseudonymie. Odpiszcie mi czempędzję! Kiedy wyjedziesz uzyć się we **Lwowie**, **miluchna Rybko** z **Hniłopiaty**? Może się tam kiedy spotkamy. Tymczasem zgadnij kim jestem? **Całuję** cię i proszę o odpowiedź. **Zwinnęj Wiewióreczce** donoszę, że jestem jęj imienniczką i rówieśnicą. Gdzie mieszkasz? **Kochana Jadwisiu K.** w **Mohylowie**! Czemu nie piszesz do „**Wieczorów**”? Wiem że je lubisz czytać, i ślicznie się uczysz i jesteś **jędynaczką**; jak ci idzie muzyka? **Całuję** was wszystkie serdecznie **Główna cukrowa**.

**Kochane korespondentki „Wieczorów”**. Zmieniłam pseudonym **Pieszczotki** na **Wesołą Pieszczotkę** dowiedziawszy się z korespondencyi, że jest jeszcze i druga **Pieszczotka**. **Całuję** was serdecznie i proszę o listy, Wasza **Wesoła Pieszczotka**.

**Drogie współczytelniczki Wieczorów!** Nie wątpię że po przeczytaniu listu naszęj kochanęj **Gołąbki**, serduszka wasze przejęło współczucie dla słabowitych biednych dzieci, wzdychających w wilgotnych, dusznych izdebkach do wyjazdu. Co też ich biedne matki muszą cierpieć, nie mogąc ich ratować, a widząc, że choroba w tych warunkach bywa częstokroć przyczyną śmierci! Ale nie dosyć jest współczuć, tu trzeba także działać, ażeby im dopomódz; drogic siostrzyczki, dajcie dowód, że pragniecie tego i niech każda z nas pospieszy choć z najmniejszym datkiem, z tych małych datków coś pożądana się złoży i cieszyć się będziemy, że potrafiłiśmy drugich uszczęśliwić. Redakcyja podwójnie będzie ze swojęj „rodzinki” zadowolniona. **Pragnęca** tego, bardzo was kochająca **Cicha woda**.

Przepraszam cię serdecznie, kochana **Mała Laszko**, zem już tak dawno nie pisała do ciebie. Gdzie jedziesz na wakacye? My do **Żegestowa**. Donieś mi jak wyglądasz? Ja jestem blondynką, dość jak na wiek mój niską, mam oczy siwe. Napisz jak się nazywasz gdzie mieszkasz i ile masz rodzeństwa? Który z przedmiotów najbardziej lubisz? bo ja rachunki. Odpowiedz prędko kochającęj cię przyjaciółce. **Kołowrotek**.

### NA KOLONJE LETNIE ZŁOZYLI:

Bezimiennie od dwóch prenumeratorek rs. 2. **Goryczka** rs. 1. **Szary wróbel** rs. 1. **Konik z nad morza Czarnego** rs. 1. **Kotek z Podola** rs. 1. **Kropelka rosy** rs. 1. **Podolanka** rs. 1. **Dzieci z Helenówka** rs. 1 kop. 25. **Kuropatewka z nad Warty** rs. 1.

**SPROSTOWANIE.** N.30 Skrzynka do listów. List pierwszy. Powinno być: **Królowo Wrózek** nie **Wróżbiarko** szczęścia.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Redakcyja Wieczorów ro-  
dzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa  
dnia 27 Lipca 1890 r.

ostojny mistrzu.

Dzięki serdeczne składowy Waszój Dostojuości za trudy poniesione przy czytaniu wypracowań konkursowych. Tylko prawdziwa miłość dzieci i głęboka życzliwość dla dalekiego kraju, mogła się zdobyć na takie poświęcenie z czasu i ulubionych zajęć. Rezultat konkursu

wypadł zupełnie w myśl Redakcyi, czytaliśmy bowiem te wypracowania, w miarę jak nadchodziły i pragnęliśmy aby autor Stokrotki otrzymała pierwszą nagrodę. W oznaczonym dniu Janek sierota oczekiwać będzie w Redakcyi naszej, na mającego po niego przybyć majtka niemowę; depeszę donoszącą o tem, odebraliśmy dziś właśnie z Dębowej Woli od

jego wuja, będącego zarazem opiekunem chłopca. Janek jest bardzo wątły, cierpi na piersi, a lekarze oddawna już zalecali mu zmianę klimatu, ale brak środków materialnych dotąd temu przeszkadzał. Pobyt na Atlantycie poprawi może jego zdrowie. Dla usunięcia wszelkich wątpliwości, co do tożsamości nagrodzonego, zaopatrzymy naszego młodzietkiego posła w list wierzytelny.

Redakcyja.

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

Różany gaj dnia 30 Lipca 1890 r.

Szanowna Redakcyjo.

Jestem już od kilku godzin na wyspie Atlantycie, a zdaje mi się że i ona i wszystko co mnie otacza, jest tylko snem który rozwieje się i zniknie gdy się obudzę — albo że czytam powieść, której sam jestem bohaterem. Bo też istotnie to co się ze mną dzieje od kilkunastu dni, jest tak dziwne, tak bardzo dziwne, że gdyby mi to kto opowiadał, nie wierzyłbym chyba... być może że i czytelnicy Wieczorów rodzinnych nie będą chcieli opowiadaniom moim wierzyć! Od chwili gdy Wieczory zaczęły drukować listy „Z wyspy Atlantycy”, wszyscy, ile nas było osób w Dębowej Woli, sprzeczyliśmy się o nie czy to powieść czy nie powieść. Stryj utrzymywał że powieść, stryjenka że to są listy prawdziwe, jak przekonywały o tem daty. Ja także tego samego byłem zdania, chociaż chwilami budziły się we mnie pewne wątpliwości — ale moi bracia stryjeczni utrzymywali stanowczo, że to tylko wymysł fantazyi autora i żartowali z méj łatwowierności. Gdy jednakże Redakcyja ogłosiła konkurs królewicza Zielonki, nie tylko bracia ale i stryj nawet zachwiał się w swoim mniemaniu. Zabra-

liśmy się wszyscy do pisania wypracowań, a bracia choć jeszcze czasem probowali żartować, mówili często o podróży na Atlantę i o morzu, o którym tyle się naczytali, a którego nie widzieli nigdy. Wszyscy trzej pragnęliśmy doznać nadzwyczajnych przygód. Moim ideałem był zawsze Robinson Kruzo, bo najmilsze mi jest to, co własnym trudem zdobęde — ale Tadzio zachodził dalej w swych marzeniach; on nie odkrywać pragnął, ani zdobywać, ale korzystać z gotowego. Miał nadzieję, że skoro tylko dostanie się na Atlantę, wkrótce uda mu się dokonać jakiego wielkiego czynu i ożenić z księżniczką Gori, z którą następnie zasiądzie na tronie. Adaś decydował się w braku córek u Kryształka i Pióropuszką, poprzestać na jakiejś damie honorowej, byle nie bardzo starej i tytule księcia — ja zaś, jeżeli kiedy puściłem wodze mej fantazyi, to nie małżeństwo z królowną ani tytuły i zaszczyty, ale kwiaty miałem na myśli. Marzyłem o ich nieprzebranem bogactwie, o barwach cudownych, o kształtach przeróżnych, o misternej budowie zdumiewającej mędrców... wreszcie o ogrodach wiszących, których opis czytałem już w *Niezgodnych królewiczach*, i o których niejedną noc prześniłem. Wszystko to, wszystko mogłem widzieć, gdyby na mnie padł los szczęśliwy, ale wyznać że nie miałem nadziei otrzymania nagrody, bo opisałem kwiatek tak skromny, iż prawie pewny byłem, że sam jego wybór nie spodoba się królewiczowi, posiadającemu najwspanialsze kwiaty wszystkich stref i umięjącemu oceniać ich piękność.

Rozwiązanie konkursu wprawiło wszystkich w zdumienie, ale najwięcej zdumionym byłem ja sam. Spełnienie moich skrytych marzeń nappełniło mię radością, ale nie okazywałem jej zbyt jawnie, przez wzgląd na braci, srodze doznany zawodem dotkniętych — dla Tadzia zwłaszcza utrata żony, tronu i sposobności do wielkiego czynu, była ciosem przewidywanym. Nie wiedziałem też czy stryj będący moim opiekunem od śmierci matki, pozwoli mi na tę podróż — ale się nie sprzeciwiał, tylko gdy pakowałem moje rzeczy, powiedział mi z uśmiechem, że pewnie przywiezę napowrót mój tłumoczek z Warszawy, bo Atlanta istnieje tylko w wyobraźni autora, któremu Redakcja kazała taką powieść napisać. Bracia też gorąco przedtem pragnący odbyć tę podróż, wyznali mi każdy z osobna, że żaden z nich nie zdecydowałby się za nic w świecie jechać na wyspę, której niema na mapie. Przy pożegnaniu Tadzio mi szepnął, że on uważa małżeństwo za głupstwo, radzi mi przeto abym się nie żenił z księżniczką Gori, ale jeżeli zostanę jakim wielkim panem atlantyjskim, żebym przysłał po niego okręt do Dębowej Woli — a Adaś dodał, że on znów tak bardzo małżeństwu przeciwny nie jest, zwłaszcza z damą honorową, i że w ostateczności przyjąłby tytuł hrabiego. Prosił też abym mu napisał, czy król naprawdę jest taki sam człowiek jak inni ludzie.

Jadąc do Warszawy, myślałem chwilami że stryj ma słuszną, i że cała ta historia jest tylko wymysłem autora, a wówczas serce biło mi mocno z niepokoju i obawy zawodu — ale gdy przybyłem do bióra Redakcyi, gdzie wysoki kościasty mężczyzna w ubraniu marynarza czekał już na mnie, wszystkie moje wątpliwości zniknęły.

Ponieważ Szanowna Redakcja żądała, abym nietylko po- byt mój na wyspie i podróż opisał, zacząłem więc od samego początku. Wychodząc z domu w którym się mieści Redakcja, zobaczyłem duży tłum ludzi przed bramą i na ulicy. Były tam osoby różnego wieku, a najwięcej takich jak ja chłopców, dziewczynek i dzieci. Zapytywałem stróża co znaczy to zbiegowisko, i czy co nadzwyczajnego stało się w tym domu. Przeszło mi przez głowę, że może kogo zamordowano, lub okradziono, ale on odpowiedział mi, że chcą zobaczyć jakiegoś Janka sierotę, którego podobno jakiś niemowa czy karzeł ma zabrać do zaczerowanego kraju. Zmieszkało mnie to objaśnienie i spojrziałem na mego towarzysza, a choć nie rozumiał po polsku, zdawało mi się że pojął o co idzie — bo wzięwszy odemnie mój worek podróżny, ujął mnie za rękę i zaczął się przeciskać przez tłum, który zamiast nas przepuścić, ścisnął się jeszcze bardziej dokoła nas, wołając:

— To oni! patrzcie, to oni!

— Czy ty jesteś Janek sierota?

— Czy to twoje wiersze były drukowane w *Wieczorach*?

— Czy to ten niemowa, co cię ma zawieść na wyspę Atlantę?

— Janku, Janku, powiedz nam czy ty tam jedziesz na prawdę?

— Więc to nie jest powieść? A wszyscy mówili, że to powieść!

— Biedny chłopczyzna, jaki blady! — odezwała się jakas kobieta tonem współczucia. — Ten czarny dyabeł co go za biera, jeszcze go tam gdzie uduśi; bardzo mu jakoś niedobrze patrzy z oczu! Jaby tak mego dziecka nie puściła.

— On nie ma matki — przemówił jakiś staruszek — słyszeliście przecież że sierota.

„Nie ma matki...” słowo to bolesnym dźwiękiem odbiło się w mej duszy. Ach, gdyby moja mateczka żyła, nie odjechałbym od niej tak daleko, choćby król królewicz Zielonko darował mi całe swoje królestwo! Chciałem coś odpowiedzieć, ale mój towarzysz machnął ręką na prawo i na lewo, i wnet zrobiło się dokoła nas wolne miejsce; potem otworzył drzwiczki czekającego przed domem zamkniętego powozu, wrzucił mój worek podróżny, podniósł mnie jak piórko, posadził, zatrzasnął drzwiczki i sam szybko wskoczył na kozioł. Woźnica zaciął konie i ruszyliśmy.

Nie znałem wcale Warszawy, bo do szkoły chodziłem na prowincyi, nie mogłem więc zniarkować w jakim kierunku jedziemy. Wyglądałem przez okno, ale nie wiele mogłem zobaczyć, bo było to wieczorem i już robiło się mroczno. Po długim krążeniu po różnych ulicach miasta, zajechaliśmy nareszcie przed jakiś dworzec kolei żelaznej. Mój towarzysz zaprowadził mnie do sali poczekalnej pierwszej klasy i pokazał mi na migi żebym się ztąd nie ruszał, oddalił się zapewne dla kupna biletów.

Myśl że nie wiem gdzie się znajduję, niepokoila mnie i drażniła. Uchyliłem drzwi i przekonawszy się że niemowy nigdzie blisko niema, skinąłem na posługacza niosącego w rękę niewielką walizkę i zapytałem go jak się nazywa banhof, ale spojrział na mnie jak na waryata i odszedł wzruszywszy ramionami. Zobaczyłem chłopca w moim wieku i powtórzyłem mu to samo pytanie, ale parsknął mi w oczy śmiechem, mówiąc:

— Mój kochany, pytaj się takich jakim sam jesteś!

I pokazał palcem na czoło. Cofnąłem się zniechęcony do dalszych informacyj, gdy wtem do sali klasy pierwszej, gdzie się znajdowałem, weszła poważna dama w okularach, z kanarkiem w klatce i tuzinem co najmniej drobnych pakunków. Dobroduszną jej twarz wzbudziła we mnie zaufanie. Skłoniłem się jak umiałem najgrzeczniej i przemówiłem.

— Przepraszam szanowną panią za moją śmiałość, ale czy nie mógłbym dowiedzieć się od pani co to jest za dworzec?

Dama zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, a na twarzy jej odmalowała się zgroza.

— Wstydź się kawalerze — rzekła ostro — tak sobie drwić ze starszych. Mój Boże, co to dziś za młodzież! mleko ma jeszcze pod nosem, a już nie szanuje siwych włosów...!

To powiedziawszy odwróciła się do mnie plecami, pokazując mi w całej okazałości przedpotopowe okrycie w duże tureckie palmy na jasnym tle. Umilkłem zawstydzony i nie usiłowałem nawet się tłumaczyć — cóż bowiem mogłem powiedzieć na swoje obronę? Kto mi uwierzy iż niewiem dokąd jadę?

Zadzwoniono raz i drugi, wszyscy wychodzili na platformę, ale ja nie ruszyłem się z miejsca, czekając na marynarza. Poważna dama także już wyszła i zacząłem przypuszczać że stałem się ofiarą jakiegoś żartu, gdy zjawił się niemowa z moim workiem podróżnym w rękę i skinąwszy na mnie, zaprowadził do wagonu pierwszej klasy, co mnie niezmiernie zdziwiło...

— Nie jestem przecież żadną znakomitością — myślałem — chyba że chciano w mej osobie uczyć *Wieczory rodzinne*!

Zadzwoniono po raz trzeci i pociąg ruszył: teraz dopiero

sposzrzegłem, że nie jesteŝmy sami. W kąt wagonu wsunięta, siedziała owa powaźna dama w przedpotopowym okryciu i od czasu do czasu obrzucała mnie pogardliwym spojrzeniem. Jechaliśmy w milczeniu, a ja rozmyślałem o mej dziwnej przygodzie i o tajemniczej wyspie, a najwięcej nad kierunkiem drogi, w jakim mnie wiozą. Postanowiłem sobie przy pierwszym zatrzymaniu się pociągu odczytać koniecznie nazwisko stacyi, i z niego coś wnosić o kierunku. Zciemniło się zupełnie, ale w wagonie naszym wkrótce zabłysło światło. Siedząc naprzeciw niemowcy, mógłem teraz dobrze mu się przypatrzeć, bo dotąd jakoś nie było na to czasu. Człowiek to już niemłody, szpakowaty, z cerą ciemno-oliwkową, wysuszoną i ogorzalą na słońcu, prawdopodobnie od upałów południowych i wiatrów morskich. Oczy małe, siwe, patrzyły przed siebie obojętnie, prawie bezmysłnie; wazkie, zwiędłe wargi zaciśnięte były z pewną zaciętością, a przez otwarty kołnierz na piersiach, wyglądała szyja chuda i muskularna. Miał na sobie ubiór marynarski, a złote kotwice na kołnierzu i czapce, krzyżowały się z białymi różami, godłem królewicza Zielonki. Podczas gdy mu się przypatrywałem, on zdawał się nie zwracać na mnie żadnej uwagi.

Poważna dama sięgnęła po koszyczek i zaczęła się posilać — a widok ten przypomniał mi że jestem głodny, bo z wrażenia że jadę na Atlantę, zapomniałem zupełnie o jedzeniu; paczka w jaką mnie stryjenka w Dębowej woli zaopatrzyła, była wcale nieruszona. Otworzyłem worek podróżny, wyjąłem swoje zapasy składające się z zimnego mięsa, pasztetu, chleba wiejskiego, i dobywszy z kieszeni nożyk składany, podałem memu towarzyszkowi, zapraszając gestem do jedzenia. Nie odmówił: ukroiwszy sobie spory kawał chleba i mięsa, oddał mi nóż i jedząc patrzył przez okno na księżyc, zdając się znowu nie zwracać na mnie uwagi. Ale gdy i ja już posiliwszy się zamknąłem napowrót worek, on z kolei wyciągnął z kieszeni flaszkę oplatana i podał mi ją. Wyznaję że bardzo mi się pić chciało, więc pociągnąłem kilka sporych łyków. Było to wino jakiego nigdy jeszcze w życiu nie piłem: jakieś niby łagodne a mocne, jakieś niby słodkie a gorzkawe, przypominające wino nalewane na ziola alpejskie, zwane jeżeli się nie myli *Wermuth*, a przepisywane chorym przez lekarzy dla pobudzenia apetytu. Rozeszło mi się ono po żyłach wzbudzając błogie ciepło, a potem przeszło w nogi odejmując im władzę. Uczulem w sobie dziwne znużenie; powieki zaciężyły mi jak ołów i ogarnęła mię niepowściągnięta chęć snu. Zamykałem je kilkakrotnie i otwierałem, broniąc się instynktownie przed zaśnięciem, a gdy oczy moje napół już tylko przytomne, padły przypadkiem na mego towarzysza, dojrzałem że apatyczny wyraz jego twarzy gdzieś zniknął, a on sam wpatrywał się we mnie z jakąś złośliwą, szyderską radością. Nagły mnie przestрах ogarnął i przypomniały mi się słowa owęj kobiety na Mazowieckiej ulicy, przed domem Redakcyi: „Ten czarny dyabeł jeszcze go tam gdzie zdusi”. Chciałem krzyknąć ale nie mogłem wydobyć głosu, poruszyłem rękami jakby szukając ratunku i straciłem zupełnie świadomość o sobie.

Nie wiem jak długo spałem, ale pierwszym wrażeniem doznaniem po obudzeniu się, było jakieś dziwne kołysanie. Myślałem, że się wagon wykoleił i zerwałem się przestraszony. Sposzrzegłem wówczas, że nie jestem w wagonie, ale w jakimś małym pokoiku, którego dwa okrągłe okienka z grubego szkła taflowego, opatrzone kratą żelazną od zewnątrz, wychodziły na morze, a ja sam śpię na łóżku mającym kształt hamaka. Jednem słowem znajdowałem się w kajucie okrętowej; na podłodze leżał mój worek podróżny, na krześle zwierzchnie ubranie i kapelusze. Zdziwionym wzrokiem wzdziłem po ścianach, nie wierząc własnym oczom i nie mogąc pojąć jakim sposobem się tu dostałem. Przypomniałem sobie że zasnąłem wkrótce po wypiciu wina, którem mnie poczęstował niemowa: pamiętałem dokładnie jego smak gorzkawy — ale co potem stało się ze mną, nie wiedziałem i pytałem się siebie, czy obecne wrażenie nie jest tylko dalszym ciągiem snu?

Tak bijąc się z myślami dotykałem kolejno rękami posłania, drewnianych ścian kajuty powleczonych pokostem, bo chciałem się koniecznie obudzić, ale sen trwał ciągle. Na-

reszcie wyskoczyłem z łóżka i upadłem na jedno kolano, a ból doznany z uderzenia był wrażeniem tak rzeczywistym, że nie mogłem już dłużej o niem wątpić. Ale jeżeli to nie sen, jakaż zatem siła czarodziejska przeniosła mnie z wagonu na okręt, bez wiedzy mojej? Jak dawno tak podróżowałem, dzień jeden tydzień, czy miesiąc?

Kajuta miała nader szczupłe rozmiary, tak szczupłe, że zaledwie można się było w niej obrócić — a jednak zaopatrzona była we wszystkie wygody, naturalnie dla niebardzo wymagających osób. Znajdowała się tam kanapka, stolik, szafka, nawet umywalnik, wszystko przymocowane do podłogi. W umywalniku znalazłem wodę, ręcznik i mydło. Ubierając się, myślałem że gdybym podróżował miesiąc, a choćby tydzień, to będąc przez ten czas bez jedzenia, musiałbym koniecznie schudnąć, a tego jakoś po swoim ubraniu nie uważałem. Wkrótce byłem gotów i otworzywszy drzwiczki, wyszedłem małemi wazkami schodkami prowadzącymi w górę na pokład.

Ujrzałem morze...! Wszędzie gdzie sięgnąć okiem, nie widać było nic prócz wody. Morze zlewało się dokoła z widnokretem, a przy zupełnej ciszy w powietrzu, spokojne i nieruchome jak zwierciadło, odbijało w sobie niebo jasne, błękitne, wraz ze słońcem posuwającym się coraz wyżej. Miałem je nad głową i u stóp, co sprawiało takie złudzenie, jakby okręt zawieszony w powietrzu płynął na obłokach między dwoma słońcami i doznałem dziwnego upojenia. Sam okręt powiększony odbiciem w wodzie swego odwrotnego obrazu, wyglądał niby jakiś olbrzymi fantastyczny ptak — na skrzydłach ptaka więc leciałem do zaczarowanego kraju! Nie widziałem nigdy morza innego jak malowane, a teraz gdy ujrzałem prawdziwe w całym majestacie, ogarnął mnie dreszcz zachwytu, podziwienia i grozy. Wszędzie miałem przed sobą nieskończoność. Jakże wielkim jak potężnym jest Bóg, który je stworzył! Dotąd widywałem Boga w kościele, w blasku jarzących świec; widywałem Go na każdym krzyżu stojącym przy drodze, i znajdowałem ślady Jego ręki w roślinie, w drobnym robaczku, w promieniach słońca ożywiających ziemię — teraz ujrzałem Go w oceanie! Jakież On wielki, a jak ja jestem mały... A jednak wiem, że słyszy uderzenia mego serca, tak jak słyszy ryk oceanu podczas burzy; wiem, że czyta najskrytsze moje myśli tak wyraźnie, jak zygzaki błyskawic, któremi pioruny piszą po niebie.

Kolana ugięły się podemną i wyszeptalem.

— O Boże, który jesteś tak potężny, że wszystko możesz, ulituj się nad tymi wszystkimi którzy cierpią!

Tajemnicza otchłań morska ciągnęła mnie ku sobie. Oparszy się o burt, przypatrywałem się obrazowi odbitego w wodzie okrętu i wyczytałem na jego boku odwrócony napis wielkimi literami: *Narcyz*. Na maszcie powiewała flaga szkarłatna z wymalowaną na niej białą różą. Nie miałem już żadnej wątpliwości, że znajdowałem się na pokładzie *Narcyza*; dostałem się nań czarodziejskim sposobem, a wczarach tych pewnie rolę nieposlednią grało owo wino, którego smak gorzkawy dokładnie sobie przypominałem. Użyto względem mnie podstępny, żebym nie wiedział z jakiego portu okręt wypłynął, gdzie dąży — nie ufano mi, chociaż szlachetny *Abrakadabrus* zapewnił królewicza, że naród do którego należę „nie jest narodem zdrajców...!” Jeżeli powątpiewano o mojej uczciwości, dla czego dopuszczono do tej podróży?

Te i tym podobne myśli, napełniały mi serce gniewem i goryczą. Odwróciłem się i zobaczywszy przy rudlu siedzącego sternika, zapytałem go po niemiecku, gdzie jesteŝmy, ale nie odpowiedział mi wcale, choć na mnie patrzył i widocznie słyszał moje pytanie. Powtórzyłem zapytanie po francuzku, ale także nie otrzymałem odpowiedzi. Rozumiałem trochę język angielski i nauczyłem się przypadkiem kilku włoskich wyrazów. Użyłem obu tych języków: milczenie. Zwróciłem się z tem samem do trzech majtków, z których jeden palił fajkę na krótkim cybuszku, a dwaj drudzy łatali sobie odzienie, żując w ustach tytoń, i powtórzyłem próbę zrobioną ze sternikiem, ale spotkało mnie to samo. Milczeli wzruszając tylko ramionami.

— Wielki Boże! — pomyślałem — albo cała załoga zło-

żona jest z głuchoniemych, albo też ci ludzie nie rozumieją innego języka oprócz atlantyjskiego, co chyba jest niepodobieństwem. Marynarze odbywający ciągle po świecie podróże, znają podobno potrosze wszystkie języki, bo inaczej jakżeby się porozumiewali z ludźmi?

Odwrociłem się zniechęcony, i spotkałem się oko w oko z niemową, który stał z rękami w tył założonemi i złośliwie się uśmiechał. Minałem go, jakbym go wcale nie spostrzegł, ale w tejże chwili powiedziałem sobie, że niesłusznie mam do niego urazę, bo on przecież pełnił tylko wyższe rozkazy — i wróciwszy się podałem mu rękę i powiedziałem „dzień dobry”. Spojrzał na mnie z pewnem zdziwieniem i zobaczyłem na jego twarzy odcień życzliwości.

Nowa myśl przebiegła mi przez głowę: powróciłem do sternika i zadałem mu inne pytanie, mianowicie ile węzłów płynie okręt na godzinę.

— Pięć węzłów — odpowiedział.



Dr. Creveaux.

Zrozumiałem teraz że ludzie ci są głusi na niektóre tylko pytania, i prowadziłem dalej ze sternikiem rozmowę. Dowiedziałem się że Narcyz jest małym statkiem żaglowym, dwumasztowym; że może pomieścić siedemdziesiąt pięć beczek ładunku na spodzie okrętu i dwadzieścia pięć beczek balastu z kilkunastoma beczkami wody; że balast wystarcza dla zapewnienia okrętowi równowagi, gdy jedzie bez ładunku. Dowiedziałem się też że załoga była bardzo szczupła, bo prócz sternika i niemowy, złożona tylko z trzech majtków i kucharza okrętowego.

Rozmawiając tak ze mną, sternik raz po raz dobywał z kieszeni jakiś owoc jagodowy podobny do ziarn winogrona, nieznanego mi olbrzymiego gatunku i kładł go do ust, przyczem rzucał bystre poza siebie spojrzenie. Uderzyło mnie to i chciałem go właśnie zapytać o gatunek tych winogron, których wielkość mnie zastanowiła, gdy spostrzegłem zmierzającego ku mnie niemłodego barczystego mężczyznę średniego wzrostu. Włosy miał szpakowate, krótko przystrzyżone, spojrzenie bystre, brwi gęste, twarz ogorzalą, czerwonawą trochę i dobroduszną.

— Zapewne mam przed sobą pana posła — przemówił po francuzku, kłaniając się — które to słowa czczą były formalnością, wiedział bowiem doskonale kogo miał na pokładzie.

— Tak jest — odrzekłem kłaniając się także.

— Jestem Tamarix, kapitan Narcyza, mającego przewieźć pana na wyspę Atlantę. Czy pan rozumiesz po atlantyjsku?

— Nie, panie kapitanie, nie znam wcale tego języka.

— Spodziewałem się tego. W jakimże więc języku pan wolisz abyśmy się porozumiewali: we francuzkim czy w nie mieckim?

— Wolałbym we francuzkim.

— I tego się spodziewałem. Słyszałem że naród wasz nazywają „francuzami północy” i że w waszym kraju język francuzki jest tak lubiony, iż władacie nim prawie lepiej niż ojczystym, którym podobno zamożniejsza młodzież wstydzi się nawet rozmawiać w tak zwanem, lepszem towarzystwie. Anglik jeden opowiadał mi, że będąc w tym roku w Warszawie na wyścigach, słyszał dokoła tylko francuzką rozmowę i byłby przyśiągł, że się znajduje nad Sekwaną.

Krew uderzyła mi do głowy.

— Panie kapitanie — odpowiedziałem, powściągając się — Anglik źle pana poinformował. Jeżeli choroba o jakiej pan słyszałeś, grasowała u nas dawniej, to wyleczył nas z niej wielki doktor, nieszczęście. Wyzdrowieliśmy prawie zupełnie, a jeżeli są jeszcze tu i owdzie chore wyjątki, cały naród odpowiadać za nie nie może. Gdyby pański Anglik zamieszkał na czas jakiś między nami i pochodził z nami do szkół, powiedziałby inaczej. W słowach pańskich, panie kapitanie, przebija się niechęć do mojego kraju: ubliżyłeś mu pan w mojej obecności. Nie powinienem pozostawać dłużej na pańskim okręcie, bo ubliżyłbym sobie. Każ pan spuścić na morze łódź i odwieźć mnie do najbliższego brzegu. Zrzekam się wszystkich cudów wyspy Atlanty i zaszczytnej godności królewskiego paza. Nie chcę ich zdobywać takim kosztem!

(d. c. n.)

## OFIARA NAUKI.

Znakomity podróżnik francuzki, doktor Creveaux, którego dajemy dziś wizerunek, urodził się w Lotaryngii, a od dzieciństwa marzył o dalekich wędrówkach. W tym celu obrawszy sobie zawód doktora medycyny, objął służbę jako lekarz okrętowy i w 1868 r. zwiedził Senegal, Antyllę i Guyanę.

Pierwsza podróż zachęciła go do nowych wypraw, a sława, o nieustraszonej jego odwadze rosła z dniem każdym.

W osiem lat po pierwszej, wybrał się doktor Creveaux na nową wyprawę, w głąb Guyany, a powróciwszy z niej wysłanym został przez Ministerjum marynarki i oświecenia publicznego dla zbadania kraju Paragway.

Wiadomo że kraj ten, położony w Ameryce południowej, przetrzymany jest rzeką tego samego nazwiska.

Pora nie sprzyjała pieszej wędrówce, nie chcąc czekać beczynnym, młody doktor przedsięwziął tymczasową wyprawę w górę Pilcomayo, rzeki wpadającej do Paragwayu.

Bieg jej nie był jeszcze oznaczonym przez żadnego uczonego. Rządy Boliwii, Paragwayu i Rzeczypospolitej Argentyńskiej zachęcały, chciwego wiedzy młodzieńca, do nieznaniej i niebezpiecznej wyprawy.

Creveaux przedsięwziął ją wraz z astronomem Binet'em i rysownikiem Ringera'em. Czternastu ludzi stanowiło eskortę uczonych.

19 Kwietnia 1882 r. trzy łodzie, oddane przez rząd do rozporządzenia podróżników, wypłynęły w górę Pilcomayo.

Pokładano niezachwianą ufność w dzielności i rozumie naczelnika wyprawy, a wiadomości, odbierane od niego z drogi, potwierdziły to przekonanie. Oczekiwano więc ze spoko-

jem powrotu wyprawy, gdy nagle, jak piorun rozeszła się w Paragayu wiadomość, że doktor Creveaux, wraz z wszystkimi towarzyszami, zamordowany został przez Indyan, z pokolenia Tobas.

Rodak nieszczęśliwego uczonego, pan Thouar, chciał dotrzeć do miejsca gdzie zginęło tyle niewinnych ofiar.

Udało mu się dojść aż do Teyo, stolicy pokolenia Tobas, i tu dowiedział się od mieszkańców, zwykle łagodnych i ludzkich, że śmierć doktora Creveaux była zemstą za krzywdę, uczynioną im w tym samym czasie przez białych mieszkańców Boliwii.

— Bo też co za różnica, nie masz pojęcia mamó — odparła Lila — panna Regina dziwnie się zmieniła, taka poważna teraz zawsze, taka smutna, nigdy się nie rozśmieję, żartu nie powie. Zaledwie przyjdzie, powiada wydaj lekcya, gdy wydam, wyklada dalej tonem surowym, monotonnym, potem wstaje, podaje mi rękę i odchodzi, a niechaj ja rzucę jakie pytanie podczas wykładu, mówi zaraz: „nie przerywaj Lilo”, albo udaje że nie słyszy pytania... Dawniej różnemi opowiadaniemi naturalnie, mającemi związek z mineralogią urozmaicała mi lekcye, teraz nigdy tego nie robi, spóźnia się przytem zawsze, co chwila spogląda na zegarek, jakgdyby się bała zo-



Łódź papierowa.

Tubylcy wspominali nawet z wdzięcznością o podarkach otrzymanych od nieszczęśliwych, oddali panu Thouar papiery doktora i jego łódź, ale najstaranniejsze poszukiwania nie doprowadziły do odnalezienia ciała zamordowanego, któremu rząd Paragваю, należną cześć oddać pragnął.

## NAUCZYCIELKA.

(Dokończenie).

Hrabina oderwała wzrok od roboty i zwróciła go na córkę.

— Tak, byłaś niemi zrazu zachwyconą?

stać trochę dłużej, widocznie nudzi ją lekcya, pragnie się jej pozbyć jaknajprędzej, by pójść może na spacer, zaczyna opuszczać lekcye, w przeszły wtorek nie była i dziś znowu nie przychodzi, lecz mniejsza o to, skorzystam na tem, wyjdę wcześniej na spacer, nie będę już czekać, czy pozwolisz mamó?

— Jeśli panna Józefina jest niezajętą wyjdź, zrobicie dłuższy, niż zazwyczaj spacer, to ci na zdrowie pójdzie — odparła hrabina — a do panny Reginy napiszę z zapytaniem, może słabą jest.

Lila podniosła się z fotelu, pocałowała matkę w rękę na pożegnanie i wyszła z salonu. W pół godziny potem z francuzką nauczycielką miejscową, dążyła Włodzimirską na Marszałkowską, gdzie, jak mówiła, chciała kupić sobie parę rękawiczek. Zadałwiwszy sprawunki wyszły ze sklepu, francuzka zwróciła się w stronę ogrodu Saskiego, lecz Lila nie podążyła za nią.



— Pójdźmy dzisiaj ku alejom Ujazdowskim — rzekła.

Panna Józefina snadź lubiła dogadzać dziewczęciu, bo słowa nie odpowiedziawszy skierowała się ku alejom, uszły kilka kroków zaledwie, gdy Lila zatrzymała się.

— Pani taka dobra, pani mi zrobi jedną rzecz — rzekła — w tym domu mieszka panna Regina, wstąpmy do niej i dowiedzmy się dlaczego nie była dziś na lekcji, mamie się zdaje, że jest słabą.

Tyle było pokory i prośby w głosie tój pieściuchy, iż francuzka uśmiechnęła się przychylnie i weszła do bramy; wiążąca tutaj lista lokatorów, wskazała im, gdzie szukać mieszkania nauczycielki. Przez podwórze skierowały się do wązkiej sieni, a z niej na również wązkie wschody, wiodące do mieszkania, znajdujących się w oficynie.

Regina mieszkała z babką na trzecim piętrze, Lila odpoczywała parę razy i z widoczną ciekawością rozglądała się w około; nie dziw, przywykła do szerokich wschodów kamiennych, lub froterowanych, wysłanych dywanami, nie zastanawiała się nigdy nad tem, jak też mieszka jej nauczycielka. Dotarwszy na trzecie piętro, znalazły drzwi mieszkania pani Natolskiej otwarte, zapominając o tem, że to nie wypada, ciekawa jak każdy podłotek, Lila weszła nie dzwoniąc i stanęła bardziej jeszcze zdumiona; weszła do kuchni, przedpokoju nie było tutaj zatem, na kominie palił się ogień, coś się w garnczkach gotowało, lecz nikogo tutaj nie było, snadź służąca dopiero co wyszła i wrócić niebawem zamierzała, świadczyły o tem roztrwarte drzwi. Zmieszana tem otoczeniem obcem jej, dziewczynka posunęła się żywo do drzwi, wiodących w głąb mieszkania, za nią francuzka, weszły teraz do niewielkiego pokoju, którego umeblowanie stanowiła jesionowa kanapka, włósiem kryta, kilka takich krzesełek, okrągły stół, wólczkową serwetą kryty i pianino politurowane. Lila obejrzała się w około i tutaj nikogo nie było, lecz naprzeciw spostrzegła drzwi, wiodące do drugiego pokoju, skierowała się prosto ku nim, naraz zatrzymała się, obraz, jaki przedstawiał się jej oczom przykuł ją do miejsca, naprzeciw drzwi widać było łóżko, na niem leżała kobieta z białemi, jak mleko włosami, jak wosk żółta, leżała cicho, spokojnie, obok niej stała Regina, twarzy jej Lila dojrzeć nie mogła, gdyż zwróconą była do chorój, tuż przy łóżku siedział poważny mężczyzna, badał puls stariej kobiety, był to zapewne lekarz.

— Lepiej jest znacznie — odezwał się po chwili — za parę tygodni mam wszelką nadzieję, iż pani wstanie.

— Dopiero za parę tygodni — z cichem westchnieniem odparła chora — o panie doktorze, jabym jutro rada wstać — biedna moja Regina, spojrz pan, jak wygląda, toż to cień dawniej. Już od tygodnia nie kładła się do łóżka, chwili nie wypoczywa, albo mnie służy, albo śpieszy na lekcje, wraca z nich niespokojna, zmęczona, biedna, biedna dziewczyna. Ztąd pędzi, by się nie spóźnić na lekcje, z lekcji bieży jeszcze prędzej, by do mnie wrócić.

Na białą twarzą Lili wybiegł rumieniec, przypomniała sobie zarzuty, jakie czyniła dziś Reginie i zawstydzila się sama przed sobą, a w sercu jej, jakiś głos przemówił:

— Ona łamała się z boleścią, ona troszczyła się o swoje babkę, a tyś ją obmówiła, że zaniedbuje swe obowiązki; ona niespokojnie odbiegała myślą od stolika nauczycielskiego do łóżka chorój, patrzyła troskliwie na zegarek za ile sekund będzie mogła być znowu przy niej, a tyś posądziła ją, że dla przyjemności skraca i opuszcza lekcje.

Lekarz podniósł tymczasem wzrok na Reginę i uśmiechnął się do dziewczęcia.

— W istocie zmizerniała panna Regina — rzekł — lecz młodość prędko wraca do sił, mamy teraz wiosnę, lato niebawem nadejdzie, pojedzie na wieś i będzie lepiej jeszcze wyglądać, niż wyglądała.

— Na wieś — powtórzyła chora z goryczą — nie mamy znajomych na wsi, męczyć się będzie teraz usługą przy mnie i bieganiem za lekcjami, a latem męczyć się będzie skutkiem upadłó, taka już jej dola.

Lila poruszyła się niespokojnie i bliżej drzwi podeszła, szelest jej kroków zwrócił uwagę otaczających łóżko chorój,

Regina obejrzała się, spostrzegła Lile, śpiesznie ku niej podeszła, zamykając drzwi sypialni za sobą. Lila spojrzała na nią i serce jej bardziej się jeszcze ścisnęło: rumiana zwykle twarzyczka dziewczęcia, białą dziś była, jak kreda, pełne życia oczy powleczone były mgłą smutku, silna postać ślaniała się od zmęczenia.

— Panno Regino, jak pani zmizerniała! — wykrzyknęła Lila i podbiegła do niej, rzuciła się na szyję swój nauczycielce i ucałowała ją poraz pierwszy serdecznie, tym pocałunkiem chciała wynagrodzić krzywdę, jaką wyrządziła jej dzisiaj, oskarżając przed matką; głośno wyznać swój winy nie śmiała, lecz żal jej był szczery, serdeczny.

— Byłam niespokojną, co się z panią dzieje — mówiła dalej — przyszedłam się dowiedzieć, czy pani niesłaba.

— Ja zdrowa jestem zupełnie, lecz babunia chora, dlatego nie byłam na lekcji — odparła Regina, pocałunek, pocałunkiem oddając. — We czwartek przyjdę zapewne, doktor powiada, że babuni znacznie lepiej.

— Niechaj pani nie odchodzi od babci, póki chora — rzekła Lila — proszę bardzo o to i podała rękę Reginie i uściśnęła jej dłoń cieplej, serdeczniej, jak zwykle. — Ja będę tutaj przychodzić na lekcje, póki pani Natolska całkiem do siebie nie przyjdzie — ciągnęła dalej — uproszę o to mamę, bo lekcji pani nie chcę opuszczać, czy dobrze, czy zgodzi się pani na tę propozycję? a na lato pani z babcią do nas na wieś pojedzie.

— Nie wiem czy pani S. będzie rada tój propozycji — odparła Regina..

— To już moja sprawa, niechaj pani powie mi tylko teraz, czy to możliwe, abym z nią miewała lekcje w sąsiednim chorój pokoju.

— Czy to możliwe — powtórzyła z uśmiechem Regina — ależ dla mnie byłoby to szczęściem najwyższem, mogłabym znowu spełniać sumiennie moje obowiązki, nie opuszczać i nieskracać lekcji, całą myśl w nich zatapiać, bo troska o babkę nie gnębiłaby mnie, bo miałabym ją tuż przy sobie, bo nie pytałabym siebie niespokojnie podczas lekcji, co ona porabia, czy jej nie gorzej, czy nie potrzebuje mnie przy sobie.

— Zatem we czwartek niechaj pani czeka na mnie w domu — rzekła Lila i podała znowu rękę Reginie i pocałowała się raz jeszcze serdecznie.

Regina nie chciała wierzyć, by pani S. zgodziła się na podobny układ; jakaż była jej radość, gdy nazajutrz otrzymała od niej bardzo grzeczny bilecik, w którym uwiadamiła ją, iż póki babka nie wyzdrowieje, Lila będzie do niej przychodzić na lekcje. „Nic a nic nie wiedziałam o chorobie pani Natolskiej” pisała „gdyby była nam pani powiedziała o swem zmartwieniu, byłabym już dawniej tak urządziła lekcje, aby pani mogła święte obowiązki wnuczki z obowiązkami nauczycielki godzić”. Regina byłaby może powiedziała o swój trosce Lili, ale stosunek z nią był dawniej tak etykietalny: zmienił się on jednak od tój pory, a gdy latem zaproszona przez panią S. pani Natolska z wnuczką do niej na wieś przyjechała, Regina i Lila zawiązały z sobą stosunek szczerzej przyjaźni; młoda nauczycielka prócz lekcji botaniki, których udzielała, teraz młodej panience, rozjaśniała w serdecznych pogawędkach, jej uśpione dotychczas serduszko i prócz przyrody nauczyła ją ludzi kochać.

*Teresa Jadwiga.*

## LÓDZ PAPIEROWA.

Zdaje się to z pozoru niepodobieństwem ażeby z materiału tak wåtłego jak papier, można zrobić łódz zanurzającą się w wodzie, a jednak przemysł ludzki dokazał tego. Najpierwszym Amerykanom przyszło na myśl że z masy papierowej zwanój papką, możnaby wyrobić różne przedmioty twar-

de i trwałe. Jakoż okazało się że masa ta, poddana odpowiednim działaniom chemicznym, otrzymuje elastyczność i wytrzymałość większą od najtrwalszego drzewa. Doszedłszy do takich rezultatów, zaczęto w Ameryce wyrabiać z niej mnóstwo przedmiotów, nawet koła do lokomotyw i wagonów, które gdy są nawet ze stali, pękają nieraz przy nagłych zmianach powietrza. Z tej masy więc tak trwałej, w Stanie New-York budować zaczęto również łodzie. Po wielu próbach Amerykanin Bishop na papierowym statku przepłynął pomyślnie 2,500 mil morskich. Potem Francuz Tanneguy de Vogan już tu w Europie wybudował sobie łódź, którą właśnie przedstawia rycina nasza. Papierowy ten statek zowie się: „Qui vive” *Bacność*. Jest dość długi i szeroki, a waży ledwo 25 kilogramów, ma zaś do użytku jednego podróżnika aż dwa wiosła. Pan Wogan dużo już i dosyć odległych podróży odbył pomyślnie na swojej łodzi i dopiero gdy przyplłynął Renem do Kolonii, Niemcy nie mogąc znieść widoku trójkolorowej chorągwi, podstępnie w nocy łódź przedziurawili. Pan Wogan, raniony statek sprowadził koleją do Paryża i wystawił go na widok publiczny w sali audyencyonalnej dziennika „France”. Tłumnie schodzono się podziwiać wytrzymałość łodzi i brzydką złośliwość niemiecką. Naprawiwszy, ją Wogan na dowód że się nie lęka udał się napowrót do Kolonii, i z tamtąd pilnując tylko łódź ściślej i wsiadłszy w nią, Renem i Mozą popłynął do Rotterdamu, a następnie morzem do Francji powrócił.

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

Szedł, aż wyszedł za miasto, przeszedł wspaniale przedmieścia i pola gęsto zbożem zarosłe, i zagłębiwszy się w las palmowy, a skręciwszy w najustronniejsze jego zakątki stanął przed dziwną ludzką postacią, w której każdy choć trochę obznajmiony z rzeczą, poznałby na pierwszy rzut oka fakira. *Fakir* znaczy to po arabsku w ogóle „ubogi” mniej więcej to samo co *derwisz* po persku, ubogi ale zarazem uczony, prowadzący życie pustelnicze, poddający się wszelkiego rodzaju udręczeniom cielesnym, w celu wzmocnienia i wydoskonalenia ducha, skutkiem czego samo z siebie idzie, że fakir jest pełnym zapału sługą tych, którzy są w przekonaniu Hindów najdoskonalszymi duchami na ziemi, sługą braminów.

Fakir, przed którym obecnie stanął nasz bramin wędrowny, był to człowiek wychudły, wysoki, zczerniały od słońca, głodu i niewygód, z brodą, włosami, brwią gęsto i prawie całkowicie zarastającymi oblicze, a przytem cały zasypyany kurzem, liśćmi spadającymi, pajęczyną nawet; łachman bezbarwny jakiś wół przerzucony, nie zakrywał jego kości powleczonej zczerniałą skórą. Stał oparty plecami o drzewo a ręce podniesione wysoko nad głowę i splecione mocno jak do modlitwy, zarzucił na przyległą gałąź, oczy utkwil w niebo; mniej podobny w tej postawie do człowieka niż do jakiegoś dziwnego pnia drzewnego, z igraszki przyrody udającej kształty ludzkie.

— Byłem tego pewny!... — mruknął z gniewem bramin sam do siebie i zawołał:

— Mahal!... Mahal!... — ale po trzykroć napróżno powtórzywszy wołanie, gdy wołany ani drgnął, zniecierpliwiony bramin podniósł łaskę i ze wszystkich sił, uderzył nią z góry przez głowę i wzniesione ręce, zatopionego w zachwycie fakira. Wzniesione ręce opadły pod tym ciosem, fakir wsparł się plecami o drzewo wyprostował się i spojrzawszy nieprzytomnie oczyma:

— Co to jest? — rzekł sennym głosem — czy to błyskawica Brahmy wstrząsnęła jestestwem mojem?

— Tak jest — potwierdził bramin spokojnie — błyskawica wstrząsnęła tobą sługo i przywołała ducha twego z zaświatowego zachwyty, aby odpowiedział na pytania moje. Posłałem cię do miasta Tungary z rozkazem, iżbyś tam mocą

rozumu twego, nakłonił współziomków i natchnął ich odwagą ku pozbawieniu życia, wszystkich cudzoziemców tamże zamieszkałych i zniszczenia wszelkich śladów ich pobytu na ziemi naszej, z woli Brahmy, za zniewagę religii naszej wyrządzoną, jakżeś wypełnił rozkaz mój?

— Chodziłem naokoło miasta Tungary nie jeden ani dziesięć razy, aż wytłómaczyłem ciemnemu ludowi co powinien zrobić i dla czego, i stało się co było powinno. A potem powróciłem tutaj aby się modlić i pokutować, a w niebiańskim zachwycie zapomniałem o ziemskim życiu.

Bramin wzruszył ramionami z zaledwie tajonem niezadowolaniem.

— Dobrze, możesz się pograżać w rozmyślanii i świętobliwym zachwycie, ale wprzód dopelnisz obowiązku, gdyż to, po co cię posłałem do Tungary i co jak powiadasz tam się stało, źle się stało; a raczej nie stało się wcale!

Fakir wziął w rękę laseczkę, zamię swęj godności, którą miał za pas zatkniętą i już gotów był do drogi.

— Co mam czynić? — zapytał.

— Ludzie w Tungara i w okolicy, zniszczywszy parę domostw obcych ludzi i ukarawszy ich właścicieli, nie czynią nic więcej; idź zatem do nich znowu i rozkaż w imieniu Brahmy, aby powstawszy, zniweczyli wszystkich i wszystko co nie jest krwią z krwi i kością z kości jego wyznawców, idź i działaj!

Mahal poszedł, szedł nie spoczywając, nie jedząc i nie pijąc, wszedł do Tungara a spojrzawszy na kilka zburzonych domów Europejczyków i przyjrząwszy się ludności oddającej się zwykłemu zatrudnieniu, zamiast klęknąć przed nim jak to zdarzało się po drodze, spoglądali zdaleka nań ponuro; począł więc wołać wielkim głosem i wyciągać na cztery strony świata czarne wychudłe ręce, trzymając w jednej tajemniczą laseczkę:

— Ludzie, ludzie co czynicie? na co czekacie? Bogowie wołają pomsty! Bierzcie w dłonie nóż i zarzewie, w zęby bierzcie miecz!... idźcie zabijać i niszczyć cokolwiek obcem lub z obcych jest, cokolwiek nie jest krwią z krwi, kością z kości waszej!

Wszystko to samo wypowiadał fakir przed kilku dniami, lecz chociaż z wielkim zapałem, pocichu jednak, gdyż Europejczycy znajdowali się wówczas w Tungarze, dziś ich nie było, fakir więc nie przychodził tajemnie, przebrany, z świętymi płackami, lecz jawnie i krzyczał na cały głos. A jednak poprzednie jego podżegania w okolicy wywołały pożądane braminom powstanie, teraz zaś mniej jakoś, potężny głos i zapalczywe gesta zdawały się mieć wpływ. Lud przyglądał mu się z daleka gromadząc, ale nie chwytając za broń i nie biegł mordować Europejczyków z dzikim wyciem, jak banda rozszalałych tygrysów, czego właśnie żądał szalony fakir. Podwoił tedy siłę wymowy i rozpaczliwe gesta, nareszcie tu i owdzie kobieta Indyanka ukłękła i wołać zaczęła ponuro:

— Tak samo mówiłeś dawniej, uwierzyliśmy ci i odeszliśmy na tem zyskali? Mówiłeś że bogowie dadzą nam zwycięstwo, bogactwa, że wytraciwszy obcych, będziemy znów panami kraju naddziadów naszych, a gdzież to wszystko jest?

— Zabili synów moich biali cudzoziemcy, zabili! Niech bogowie oddadzą mi synów!

— Zabili i moich!... i męża i ojca!... oddaj mi synów, męża i ojca, sługo bogów.

— Skłamałeś! obiecywałeś nam zwycięstwo a zyskaliśmy zabitych!

Fakir Mahal osłupiał w pierwszej chwili na taką zniewagę swęj powagi, a tymczasem przed gromadę rozpaczających kobiet i ponurych mężczyzn wystąpił jeden i rzekł:

— Czego chcecie od nas, ty który się sługą bogów mianujesz? Buntu przeciw Anglikom? Ależ! nie jesteśmy na to dosyć silni, ani uzbrojeni odpowiednio. Może w innych miejscowościach lepiej przygotowaliście lud do walki, niechże więc tam walczą. Tu w naszej okolicy dwie rodziny angielskie okazały się mocniejsze od nas, uciekły wystrzelawszy mnóstwo naszych współbraci, a jeżeli kiedy powrócą, to mścić się będą na dzieciach naszych za nasz bunt niesłuszny,

**ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.**

od Polnej Róży dla Niezapominajki z nad Teterowa.

Z następujących zgłosek: bu—bo—cho—dan—dzi—do—na—no—e—gi—i—jąc—kez—ly—łów—o—ro—ra—stry—te—wi—za—zor — ułożyć wyrazy: 1. Komora celna w Rosyi. 2. Mięczaki jadalne. 3. Pisarz włoski. 4. Zwierzę z rodziny gryzów. 5. Mieszkaniec Ameryki. 6. Góra. 7. Król w starożytności. 8. Poeta współczesny. Końcowe i początkowe litery odczytane z góry do dołu, utworzą tytuł miłego nam wszystkim pisma tygodniowego.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.**

**Niteczki Aryadny:**

Bywaj mi zdrowy kraju kochany,  
Już w mglistej niktujesz pomroce,  
Świsnęły wichry, szumią bałwany,  
I morskie ptactwo święgoce.  
Dalej za słońcem, gdzie jasną głowę  
W zachodnie pogrąża piany.  
Tymczasem słońce bywaj mi zdrowe,  
Bywaj zdrów kraju kochany.  
(Pożegnanie Child Harolda lorda Byrona).

**Łamigłówni sylabowej:**

1. Memel. 2. Inkasowie. 3. Łuskawiec. 4. Efez. 5. Zmrok.
6. Łyko. 7. Essen. 8. Garibaldi. 9. Oise. 10. Perejasławiec.
11. Odrowąż. 12. Cna. 13. Zapał. 14. Ajo. 15. Tyflis. 16. Korzon.
17. Inflanty.

Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny.

**MARYA MATUSZEWSKA**

PRZEŁOŻONA PENSJI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadamia, że codziennie od godz. 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic: przychodnich, pensyonarek i pół-pensyonarek. Lekcje rozpoczną się 21 Sierpnia (2 Września). 4—1

**PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA**

**H. WERNICA.**

Wyszła z druku nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołkach początkowych, **cena kop. 25.**

bo oni nigdy nie czynili nam krzywdy. Ty masz do zguby wiedzieć, nie spełnia się to co obiecujesz, nie wierzymy tobie, nie jesteś prawdziwym sługą bóstwa!

— Co!... nie jestem prawdziwym sługą bóstwa!... — powtórzył z piorunującym okrzykiem fakir, którego ten ostatni zarzut ocucił z poprzedniego osłupienia, doprowadzając go do gniewnego szału. — Jak śmiecie wymawiać bluźnierstwa tak okropne! Nie tailem wam przecież że zwycięztwo musicie krwią opłacić!

— Nie wierzymy tobie — głucho odparł zebrany tłum, zdziętkowany strzałami Mac Ulmów i Thornów, które tem większe wrażenie zrobiły, że się wcale tak dzielnej obrony nie spodziewano. idąc na pewne jakoby zwycięztwo.

— Nie wierzycie? Jakto nie wierzycie? Czyliż nie wiecie, że jestem przysłany do was z rozkazami od świętych braminów z Benares? — zapytał fakir po chwili, sam odchodząc prawie od przytomności ze zdziwienia, nad krnąbrnym ludu oporem, świętym rozkazom. I w istocie, głuche milczenie zapanowało po tych wyrazach, bo tajemnicze rozkazy ukryte dawniej w poświęcanych placuszkach, a teraz święta laseczka tkwiąca w ręku Mahala, przekonywały dowodnie o jego wiarygodności: tak, on był niemylnie wysłańcem świętych kapłanów z Benares, przed których powagą wszystko ustąpić musiało. A jednak groza wywołana dzielną obroną Anglików poddała wystraszonemu hindusom, wybieg odpowiedni, jeden z mężczyzn rzekł:

— Tak, widzimy godność twą, ale czem nas przekonasz żeś nie splamił ciężkim grzechem duszy twojej i że przeto bóstwo nie odwróciło się od ciebie?

— Tak! tak musi być z pewnością, kłamliwe są słowa twoje, nie przekonasz nas! — zawołał lud.

— A jeżeli przekonam? — dziko zawołał fakir, czarne ramiona z laseczką podnosząc w górę gwałtownie.

— Jak?... w tem jednym słówku brzmiało prawie urąganie. Fakir zwinął się jak wąż raniiony.

— Niema tu gdzie tygrysa w lasach? Nie słyszeliście jego głosu? Powiedzcie gdzie? Pójdziemy tam w nocy, jeżeli na zawołanie moje przyjdzie mi lizać stopy jak pies, czy uwierzycie mi?

Hindusi spojrzeli po sobie: tygrys to najsroższy nieprzyjaciel w Indyach i pogromca człowieka, bo go wyrugował z niektórych jego posiadłości; lew najpotężniejszy, jest barankiem w porównaniu z tygrysem; angielskie kule igraszka. To też groza otoczyła go tajemniczym wiele znaczącym zabobnem:

(d. c. n.)

**ZAGADKA.**

ułożyła Ewa Marya.

Z ziemi ku niebu, gorąca, szczerą,  
Na białych skrzydłach aniołów leci;  
Prośbą tęczowe bramy otwiera,  
Grzechem zamknięte dla ludzkich dzieci.

A kiedy leżąc przed Ojca tronem,  
Pokorą, skrucną, łzami Go wzruszy,  
Wraca, nad sercem łaską wzmocnionem  
Wiarą, nadzieją, przyświeca duszy

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Ofiara nauki (z portretem). — Nauczycielka. p. Teresę Jadwigę. — Łódź papierowa (z drzew.). — W Indyach. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Zadzrosny, wierszyk (z drzew.)—Dobry przykład p. Cairo (z drzew.). — Krowa p. M. W. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

ZAZDROSNY.



szczęśliwy kuzynku! —  
[rzekł dzik do wie-  
[przaka  
Ucztować wciąż w kar-  
[mniku, miła dola taka,  
Gdy ja o moję żywność  
[sam się starać muszę  
A jeśli chcę próżnować,  
[to poszczę i suszę.  
— Och—odpowie ów—  
[prawda, o mnie się  
[kłopotac...  
Lecz nie zazdrościłbyś  
[mi, gdybyś wiedział po  
[co...

DOBRY PRZYKŁAD.



— Marysiu, zapnij  
mi buciki! Marysiu  
daj mi wody! przy-  
nieś mi z drugiego po-  
koju książkę! — wo-  
łała po całych dniach  
na służącą ośmiole-  
tnia Felcia, której się  
zdawało iż będąc có-  
reczką dość zamoż-  
nych rodziców, nic  
sobie sama zrobić nie

powinna, bo na to jest w domu pokojówka.

— Felciu — napominała nieraz mama — jesteś młoda i do biegania masz dobre nóżki, dla czego sama nie przyniesiesz sobie potrzebnych ci rzeczy. Wszak ja jestem starsza i jako pani domu mam większe prawo do rozkazywania służbie, a przecież widzisz jak rzadko go używam, starając się o ile możliwości w takich małych rzeczach sama sobie usłużyć...

Dziewczynka na razie usłuchała napomnienia, lecz nie upłynął kwadrans a już słychać było z drugiego pokoju:

— Marysiu, czemu mnie nie ubierasz kiedy wiesz, że mam iść na spacer! Podaj mi kalosze!... a skoro Marysi nie było w domu:

— Kucharko, podaj mi to lub owo, chodźże prędzej!...

— Zresztą — tłumaczyła mama — pomyśl wiele ty czasu zabierasz téj biednej Marysi, której i tak, ciężko podolać -obocie.

Ale niestety wszystkie te słowa i rady dobrej ma-

my odbijały się jak groch rzucony na ścianę, o uszy córki.

To też i służba nie lubiła jęj za to, że odrywała je dla bylejakiego powodu od ważnego zajęcia, wyrzekały na panienkę i ona sama niewiele ztąd odnosiła korzyści, bo obsługiwanej w najdrobniejszej rzeczy nie pozostawało tak już nic do zrobienia, że nudziła się śmiertelnie.

— Ach Boże! co tu robić — wołała nieraz zdruzona książką, lalką i siedzeniem na oknie, zkąd godzinami całemi patrzyła na ruch uliczny, co przecież po pewnym czasie znudziło ją jeszcze więcej.

— Zajmij się czem moje dziecko — mówił słysząc te narzekania tatuś — a zobaczysz jak czas ci szybko będzie upływał.

— A czemże ja się mam zająć?! — odpowiedziała dość niegrzecznie.

— Proś mamy, ona ci da zajęcie odpowiednie.

Ale mama próbowała już nieraz sama dać jęj czy to jakąś robótkę, czy naprawę podartęj rękawiczki lub wypranie zbrudzonej wstążeczki. — Felcia zawsze robiła nadąsaną minkę mówiąc:

— Od tego są przecież służące.

Raz, była właśnie sama w mieszkaniu, bo mama z tatusiem wyszli gdzieś za interesami na miasto, na dworze zaś było pochmurno i od obiadu deszcz padał. Znudzona beczynnością i niepogodą, chodziła od jednego okna do drugiego, kiedy naprzeciwko od podwórza w dużem kuchennem oknie zobaczyła siedzącą dziewczynkę.

Znała ją dobrze. Była to Zosia, najstarsza córka rzadcy, jęj rówieczka, która będąc młodszą przychodziła nieraz z nią się pobawić, skoro jednak podrosła musiały się przerwać te odwiedziny, bo Zosia będąc pomocą swęj mateczce, nie mogła tracić tyle czasu poza domem.

Felcia lubiła ją zawsze dosyć, to też teraz usiadłszy przy oknie przypatrywała jęj się pilnie. Oddalenie nie było bardzo znaczne, więc z łatwością dostrzegła jak dawna jęj towarzyszka nasunawszy na rękę dziecinną pończoszkę, cerowała starannie olbrzymią dziurę nucąc przytem półgłosem jakąś piosenkę. Przed nią leżała już skończona robota, a ona przecież, pomimo tak nudnego zajęcia, miała minkę wcale wesołą. Zdziwiło to bardzo Felcię, więc skoro deszcz ustał otworzyła okno i zawołała:

— Dobry wieczór Zosiu, nad czem tak pilnie pracujesz?

Dziewczynka usłyszała wołanie, podniosła głowę od roboty, otworzyła lufcik i położywszy palce na ustach.

— Csss! — odparła. — Nie mów tak głośno żeby czasem nie usłyszała nasza Józia, która pierze w suterenie. Wiesz, nie jesteśmy bogaci, i choć tak liczną mamy rodzinę trzymać możemy zaledwie jedną służącą. Ma ona więc roboty bardzo wiele, a ponieważ ja skończyłam już swoją, chcę jęj trochę dopomódz w naprawianiu

bielizny mego młodszego braciszka, który wszystko drze niemiłosiernie.

Ale sza! Nie mów głośno żeby Józia się nie dowiedziała o tem, bo najprzyjemniej zrobić komuś potajemnie coś dobrego, żeby nie potrzebował okazywać swęj wdzięczności... wszak prawda?...

Felcia miała zamiar rozmawiać jeszcze dłużej, ale potem co usłyszała tak uczuła się zawstydzoną że umilkła. Zamknęła okno i zamyśliła się nad słowami swęj towarzyszeki.

— Jak ta Józia musi ją lubić kiedy ona taka dobra —myślała, i mimowolnie jakaś zazdrość obudziła się w jęj serduszku. Prawda że to tylko służąca, ale przecież i służąca jest naszym bliźnim, a codziennie w pacierzu powtarzam prośbę do Bogu o „przyjaźń ludzką”. Zawsze to miło być lubioną przez wszystkich... I pod wpływem tych myśli, w dobrem w gruncie serduszku dziewczynki powstało w tęg chwili postanowienie poprawy. Od tego też czasu Marysia nie była tak ciągle odrywana od zajęcia, a Felcia nie nudziła się nigdy, bo zawsze znalazła jakąś robotę, oszczędzając trudu mamusi i służącym.

Cairo.

## KROWA.

— Mu-u-u; mu-u-u — tak wołała krowa na podwórzu.

Jania to posłyszała, bo była tuż niedaleko, zbierała kwiatki.

— Mu-u-u — jeszcze głośniej zawołała krowka.

Wtedy Jania poszła do krowki, leżała ona na trawie tuż niedaleko obory.

— Dobry wieczór, króweczko, dobry wieczór, czegoś się tak rozkrzyczała? Czyś głodna? Możebyś kwiateczków skosztowała? wiem że ci smakować będą.

Bliżej podejść bała się Jania. Krowka bowiem miała duży pysk, jak chwyci kwiatki, może i rączkę pochwycić.

Tymczasem przyszła Marcinowa i przyniosła ceber napełniony wodą z mąką i sołą, to była kolacya krowki.

Krowka wiedziała co to jest, wstała i tym razem już po cichu zawołała mu-u-u i zaczęła pić.

A Marcinowa wzięła się do dojenia krowki.

— Co Marcinowa zrobi z tego mleka? — pytała Jania.

— Wezmę trochę i ugotuję kaszy na kolacyę dla Jani, a resztę wstawię do piwnicy.

— A później co będzie z tem mlekiem?

— Później zbiorę śmietankę do osobnego garnuszka, a z mleka zrobię ser.

— A z tęg śmietanki będzie później śmietana, a z nięg masło, prawda Marcinowo?

— Panienska sama wie o tem. Takich stworzeń pożytecznych jak krowa, mało chyba na świecie. Nawet gdy ją zabiją jest nam potrzebną — mówiła dalej Marcinowa.

Jania zdziwiła się, bo cóż nam może dać krowka, jak ją zabiją.

A Marcinowa ciągnęła dalej:

— Mięso z nięg jemy wszyscy na obiad, a ze skóry robią trzewiki i buty. Kości, rogi, kopyta, wszystko ludziom potrzebne.

— Moja Marcinowo, a czy to wszystkie krowki są takie pożyteczne?

— Wszystkie, panienko droga.

— Teraz wiem dla czego każdy wieśniak ma krowkę u siebie.

Jania jeszcze chciała o coś pytać Marcinowęj, ale Marcinowa już nie miała czasu. Skończyła doić krowkę, nadoiła pełen ceberek i zaniiosła do piwnicy.

Jania też poszła do domu, ale w drodze ciągle myślała, że niema chyba pożyteczniejszego zwierzęcia nad krowkę.

Marya Weryho.

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

— Co to znaczy motylku? nad czem tak rozmyślaś? Czy chcesz kłam zadać lekkomyślności ogólnie przypisywanej motylemu rodowi? Mówią że wy, niestałe istoty, przelatujecie ciągle z kwiatka na kwiatek, z kielicha na kielich, ażeby najśodsze soki wyssać i wesolo dalej pofrunąć, a ty już od długiej chwili spoczywasz na listkach tęg czerwonej różyczki.

Słowa te, żywe i niecierpliwe, pochodziły od podługowatej, czarnej, bardzo pięknej i ruchliwej szczypawki, a odnosily się do dużego, białego motyla, który rzeczywiście dosyć dawno usiadł na różanym krzaku i siedział tam ciągle nieporuszony, z wzniesionemi skrzydełkami, a zdawał się tak smutny, czy zamyślony, że wcale nie słyszał co do niego mówiono.

— Co jeszcze dumasz? — zawołała po chwili niecierpliwiona już trochę: — doprawdy, zaczynam przypuszczać, że z imienia tylko jesteś motylem. Czy zamierzasz wstąpić w ślady nadzwyczaj rozsądnęj, ale też nader nudnej pszczołki? Daj pokój, przyjacielu, i motyle potrzebni na świecie, a zresztą czyń co ci się podoba, ale odpowiedz mi przecie, bo stajesz się niegrzecznym.

Wtedy dopiero motylek obudził się z głębokiej zadumy, westchnął ciężko i spojrzawszy ze zdziwieniem na szczypawkę, jakgdyby teraz zaledwie zauważył jęj obecność, skinął jęj przyjaźnie na powitanie. Znali się od dawna i byli szczerymi przyjaciółmi.

— Jak się masz szczypaweczko — rzekł uprzejmie — przepaszam za moje roztargnienie, ale doprawdy tyle mam różnych kłopotów i zmartwień, że prawdziwie jestem nieszczęśliwym; cieszę się bardzo, że cię widzę, chciałbym cię prosić o radę, bo choć masz często ostry języczek, ale...

— Ostry języczek — przerwała szczypawka zaperzona — kiedy tak, żegnaj... i furknąwszy gniewnie skrzydełkami, odfrunęła daleko ku krzakowi białego bzu-gdyż zwyczajem wszystkich ludzi i owadów obrażała się zawsze o prawdę. Motylek podążył za nią.

— Nie gniewaj się przyjaciółko — wołał z daleka — nie chciałem cię przecież obrazić, zatrzymaj się chwilę, poczekaj, och, nie mogę cię dogonić.

Dopędził ją nareszcie na gałązkach bżowego krzaku.

— No cóż tam — mruknęła gniewnie. Motylek usiadł obok oddychając ciężko ze znużenia.

— A to się zmęczyłem, jeżeli dostanę zapalenia płuc lub tyfusu i zgasnę przedwcześnie, będziesz mnie miała na sumieniu, szczypaweczko, prawda, że „starość nie radość”, ale ja chciałbym tak żyć jeszcze trochę, w każdym razie przekonałem się, że masz dobry charakter w skrzydłach.

— Cóż dziwnego, uciekałam co sił starczyło od tak niegrzecznego owadu — mruknęła znowu obrażona szczypawka.

— Wybacz droga przyjaciółko, ale rzeczywiście nie przypuszczałem ani na chwilę, że się o to pogniwasz — mówił motylek najprzyjemniejszym głosem; wszak znamy się dawno, wiem, że masz złote serduszek, a że lubisz być czasem, jak to powiedzieć... troszkę złośliwą, albo raczej dowcipną i żywą, to przecież nic złego. Co do mnie przepadam właśnie za takimi osóbkami.

— No, dobrze już, nie gniewam się — rzekła zupełnie udobruchana — powiedz mi lepiej nad czem tak rozmyślałeś na pączku róży?

— Ach, smutne to rzeczy, droga przyjaciółko; widzisz, stary jestem, koniec mój niedaleki, przeżyłem wiele ciężkich chwil w moim życiu, ucierpiałem wiele i chciałbym te śliczne jajeczka, dzieci moje kochane złożone w liściu kapusty, ustrzedz od podobnych nieszczęść; niechaj one chociaż skorzystają z mego gorzkiego doświadczenia.

— Cóż znowu motylku, co za ponure myśli? założyłabym się, żeś zdrowszy odemnie — pocieszała szczypawka.

— Nie, ja się nie mylę — odparł smutno motylek — wiesz przecie, że życie nasze barwne jest i wesołe, ale krótkotrwałe niestety. Myśląc więc o tem, postanowiłem dzieje moje, a zapewniam cię, że są bardzo ciekawe, opisać dla przestrogi wszystkich młodych gąsieniczek, bo wiesz pewnie, że my nie odrazu jesteśmy motylami?

— Zdaje się, któżby nie wiedział? Dawno już słyszałam o tem, chociaż... przyznam ci się, nie mogę uwierzyć i o ile kocham lekkie, powiewne motylki, o tyle nienawidzę szkaradnych, pełzających liszek.

— Mam nadzieję, szczypaweczko, że dla moich biednych dzieciaków zrobisz wyjątek i będziesz im życzliwą przyjaciółką — rzekł motyl. — Ale wracając do moich dziejów, przed chwilą trapiiony smutnemi przeczuciami, umaczałem łapkę w błyszczącej kropelce rosy i postanowiłem na listku róży opisać historję mego życia, ku wiecznej pamięci potomnych pokoleń. Z tego powodu właśnie zastałaś mię tak zamyślonym.

— Przypuszczam, że nie wprowadziłeś w wykonanie tak niedorzecznego zamiaru — zagadnęła szczypawka.

— Nie jeszcze, ale czemuż zowiesz go niedorzecznym?

— Twoje szczęście, żeś się spóźnił, inaczej cała praca poszłaby na marne.

Doprawdy!... Dla czego?

— Ach biedny marzycielu — zaśmiała się — ty bujasz po obłokach, a ja uważam co się dzieje dokoła dla mego, a jak dzisiaj i dla twego pożytku.

— Co się stało? — zawołał zaniepokojony motylek.

— Posłuchaj: niedawno przechodziły tu dwie istoty z tego rodu, który ludźmi zowią; były to, jak się z rozmowy dowiedziałam, matka z córką, mówiły, jak to szczęśliwie, że śliczna róża rozkwitła właśnie, gdyż panienka ustroi się w nią na jakieś zebranie, jutro. Widzisz więc, że na nic nie zdałyby się twoje trudy.

— Okropni są ci ludzie! — wykrzyknął motyl rozpaczliwie; — szkaradne samoluby wszystko chcą sobie przywłaszczyć, jakby nie wiedzieli, że kwiaty są wyłączną własnością owadów, a róże motylów. Czy aby tylko przyjaciółko, nie przesłyszałaś się, czy jesteś tego pewną?

— Najzupełniej, osoby te stały tu długą chwilę, śmiejąc się i rozmawiając, a ja tymczasem sfrunęłam na kapeluszek panienki; spostrzegła mię zaraz, zrzuciła istraszyła okropnie; dziwnie piskliwy głos mają ci ludzie, rozstroiła mi nerwy swym przeraźliwym krzykiem.

— Cóż tu teraz poradzić? — mówił zakłopotany motylek.

— Możeby się znalazła rada — zauważyła szczypawka z dziwnie złośliwą minką, jak gdyby uśmiechając się do własnych myśli.

— Ach przyjaciółko najdroższa, życie mi powracasz, powiedz proszę!

— Jeślibym tylko mogła — mówiła szczypawka — dostać się w nocy do pokoju owęj panienki i dotknąć leciutko jej ust mojami szczypczykami, zaręczam ci, że odechciałoby jej się wszelkiego zebrania i miałbyś twoją różę.

— Cudowna myśl! — zawołał motylek uradowany.

— Żeby tylko wiedzieć gdzie ta panienka mieszka...

— Och to drobnostka, ja wiem — przerwał motylek uszczęśliwiony, że przecie i jego zdanie na coś się przyda — mieszka gdzieś bardzo wysoko, pod samemi obłokami.

— W takim razie nie podejmuję się wykonania mego zamiaru — powiedziała szczypawka zniechęcona — pierwsza miłość od siebie, a ja zanadto cenię moje życie, ażeby się dobrowolnie narażać na tak wielkie niebezpieczeństwo.

Motylek tak nagle przerzucony z nadziei w rozpacz zdawał się ostatecznie zgębnionym.

— Teraz już naprawdę niema rady — rzekł smutnie — róża stracona, innym kwiatkom nie ufam, rosną nisko, mają małe wązkie płateczki, a zresztą któż mi zaręczy, że lada chwila nie padną one także ofiarą nienasyconej chciwości tych straszliwych ludzi. Trudno — dodał po chwili z poddaniem — muszę się wyrzec myśli przekazania potomnym wiekom, dziejów mego pełnego osobliwych przygód żywota.

**SZARADA.**  
od Prawdy dla Szczerości.

Do drugiej, trzeciej kto się stosuje  
Lecz dobrej tylko, ten zwykle wygrywa,  
A cała zawsze łamigłówką bywa.

**Łamigłówka literowa.**

Z początkowych liter następujących imion: Wańdzia, Wicusz, Adaś, Antoś, Anielcia, Romek, Staś, Zuzia, ułożyć nazwę miasta.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go.**

**Zagadki:**

Lin — Nil.

**Łamigłówki:**

s k k p s k k r p t o  
o r u u i o r a i u l  
K O C H A N A P A N I  
ó w y a n i t i n e m  
ł a k r o e a r a l p

**Skrzynka do listów.**

**Tęsknocie za Wisłą** szczerze winszujemy powodzenia, które zawsze towarzyszy sumiennej pracy. Dobrze to powiedziała jedna z poetek naszych, że „praca powinna być szczerem utrudzeniem.” Tylko taka owoc przynosi...

**Lilijka z nad Wisły i Jeździec z nad Dunaju** przysłali nam liściki, które chętnie pomieścimy, skoro tylko pozwoli na to „kolej.”

**Sz. P. Wyl**, Prenumerata całoroczna zapłacona.

**Promyczku** drogi, aż się jaśniej zrobiło w Redakcyi, gdyż błysnął takim słowem serdecznem, nad które miłszej nagrody nie znamy. Istotnie „brzydka to wada” wyobrażać sobie, że napisanie listu jest rzeczą trudną, gdy się pisze tak ciepło, tak prosto z serca i tak... (czemużby prawdy, choć pochwalnej nie powiedzie?) poprawnie. Promyczek biedny kłopot ma wielki ze sztuczką z kart, której wykonać nie może; przypatrz się tylko uważnie, a zobaczysz, że zrozumiesz, o co chodzi. Innego objaśnienia nad to dać nie możemy; a wszystkie tego rodzaju zabawki należycie zostaną wypróbowane, zanim się je poda w *Wieczorów*.

**Niezapominajko z nad Nesterówki**, wybornie pojmujemy przyczynę, dla której nie mogłaś należeć do konkursu, z boleścią twoją współczujemy serdecznie. Powtórne podawanie wskazówek ci potrzebnych, zabrałoby za wiele czasu i miejsca, możemy tylko polecić ci książeczkę: Zbieranie roślin i urządzenie zielnika *Wienieczysława Łosia*, cena wraz z przesyłką kop. 20, którą ci też bezzwłocznie posłaliśmy, abyś z niej korzystać mogła jeszcze w ciągu tegorocznego lata. Przesyłka roboty pociągnęłaby za sobą, za wiele kłopotu i kosztów, trzebaby się tylko postarać o okazyje.

**Hel. Bütner**. Żądanego słownika niema w księgarniach zaopatrzonych w nowsze wydania, trzebaby go poszukać u anty-

kwaryuszy, radzilibyśmy jednak słowniki nowsze w dwóch językach t. j. fran. pol. i odwrotnie tom I i takiż sam pol. niem. również tom I, co kosztować będzie z przesyłką rs. 3 kop. 60.

**Niedotęga**, którego pierwszy liścik wielką nam sprawił przyjemność, przysłał szaradę, którą w swoim czasie wydrukujemy... z poprawkami.

Postaramy się zadość uczynić żądaniu miłej nam korespondentki, **Wiochny z pod Lublina**.

Witamy z przyjemnością korespondentkę w **Figlarce**, prosząc ją o dokładne wymienienie lat, nazwiska, oraz adresu.

Nie, **Brzydotko z nad Tamizy**, „gniewać się” z pewnością nie będziemy, poczekać tylko musisz na swoją kolej. Poczekają także trzy siostrzyczki, z których jedna, **Gospośnia z nad Whog**. nie podała nam lat swoich.

Biedne ty, **Rajskie Jabłuszko** co aż zbladło ze wstydu! bardzo dobrze że się nareszcie poprawiasz i piszesz do nas. Widocznie jednak pomimo milczenia, nie zapomniałaś o nas, skoro robisz na konkurs robótkę.

Mile i kochane, ale wcale nie tajemnicze Cairo! Mylisz się, przypuszczając, że pseudonym twój jest mi nieznanym, owszem, znam go oddawna i dlatego z podwójnem zajęciem odczytuję powiastki opatrzone twym podpisem. Słyszałam tak wiele o tobie, że zdaje mi się iż cię znam trochę, osobiście poznamy się za parę tygodni może. Mam nadzieję że nie zdziwisz się wcale, gdy w należczowskim parku, nieznanoma osoba powita cię bez ceremonii; spodziewam się że i ty uczynisz to samo, jeżeli rozpoznasz a raczej odgadniesz, prędjiej niż ja ciebie. Dłuższą pogadankę odkładam do osobistego widzenia, a tymczasem żegnaj cię sympatyczna mi oddawna Anulko. Twoja *Wiochna z pod Lublina*.

Luba Iskierko z pod Lublina! Dziękuję ci serdecznie, żeś się do mnie odezwała. W wieku jestem twą rówieczniczką, a imię twoje bardzo mi się podoba. Moje także niebrzydkie, bo mam imię naszój księżniczki co nie chciała Niemca. Z nauk lubię najlepiej nowożytnę języki i rysunki. Całuję cię serdecznie *Brzydotka z nad Tamizy*.

Kochany Promyczku ze Wspólnój! Przeszedłeś do 4-tój kl. Jesteś w 5 gimnazjum, nazywasz się W. St. i masz 2-ch braci. Ja nazywam się W. znam ciebie dobrze, zgadnij kto jestem. Twój *Niedotęga*.

Drodzy moi: Filozofie, Komarze przedpotopowy, Skanderbegu, Sobolu Irkutski i Straszny Mrozie. Mnie bardzo podobały się wasze pseudonimy i dlatego chcę z wami korespondować. Jeżeli zgoda, to napiszcie ile macie lat, gdzie uczycie się i mieszkać i jakie są wasze imiona. Czekam jak najrychlejszej odpowiedzi. *Jeździec z nad Dniepru*.

Drogi moje Biała Akacyo, Kopciuszkule i Kulko śniegowo! Nie uwierzysz Biała Akacyo jaką sprawiłaś mi radość doniesieniem, że Lucia miała być oddaną do Krakowa, gdyż mogłabym się z nią często widywać mieszkając o dwie mile. Donieś mi proszę na jakiej masz być pensyi? Tobie drogi Kopciuszkule dziękuję za liścik i za dobre serduszko, miłuchnej Kulce śniegowej za jej pozdrowienie; gdzież się ukrywasz Kulko, kiedy cię jeszcze promienie słońca nie roztopiły? Jestem zachwycona wierszykami Janka sieroty, zostanie on pewno sławnym poetą! ma wzniesłego ducha, jego słowa wprost do serca trafiają. Ściska was po milion razy i prosi o prędką odpowiedź *Cicha Woda*.

Kochana Wróźbiarko szczęścia. Podoba mi się bardzo twój pseudonym, to też gorąco pragnę z tobą korespondować. Czy zechcesz? Błękitna Kokardko, w równym może jesteśmy wieku, bo i ja do rzędu staruszek należyc będę. Szarotko, kochana moja imieniczko, czy wzrosłaś może jak ja wśród Alp, czy też Tatry są twoją ojczyzną? Siostrzyczki drogie, kocham was wszystkie bez wyjątku i o każdej coś bliższego wiedzieć bym chciała. Czy kiedy z którą z Was się poznam? Ściska was z serca całego *Szarotka Alpejska*.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

— Brawo, młodzieńcze! — zawołał wesoło kapitan — widzę że masz w żyłach krew a nie wodę i że mocarstwo, które cię wysyła na dwór naszego miłościwego pana, dobry zrobiło wybór. Dziecinną masz twarz, ale mówi przez ciebie mężczyzna. Nie chciałem wcale zrobić przykrości dostojnemu podróżnemu, którego mam zaszczyt wieść. Uwagę jaką odemnie słyszałeś, natchnęła nie chęć ubliżenia twemu narodowi, bo nie była ona wyrazem moich

wiezenia pana na pokładzie Narcyza, polecił mi traktować go z wszelkimi względami odpowiedniami godności posła. Narcyz woził już nieraz osoby znakomite, a między nimi posłów zagranicznych i wie co się komu należy, chociaż co prawda nigdy jeszcze nie miał na swoim pokładzie posła czternastoletniego; ale wiek nie tu nie ma do rzeczy, skoro godność istnieje. Jednym z najpierwszych przywilejów poselskiej godności, jest tytuł ekscelencyi.

To powiedziawszy, popatrzył na mnie z pewną wesołością i zapytał.

— Tytuł bardzo ładnie brzmiący, nieprawdaż?

Zaczerwieniłem się cokolwiek, że tak mnie odgadł, bo właśnie to samo sobie myślałem. Tytuły są wprawdzie rzeczą cczą, ale jeżeli należą się posłom, czy mam prawo, czy powinienem należny mi tytuł odrzucić? Honory wszelkie jakie mnie spotkać mogą, nie mojej osobie przecież, ale Wieczorom rodzinnym, które reprezentuję, są oddawane, zatem zrzekając się ich, postąpiłbym tak jakbym chciał godność Wieczorów obniżyć. Milczałem więc, co kapitan widocznie wziął za potwierdzenie, bo rzekł.

— Jego ekscelencya musi być bardzo głodny, bo już półna godzina. Proszę do mojej kajuty na śniadanie.

Poszedłem za nim i wkrótce przyniesiono obfitą zastawę. Kapitan czynił mi honory z nadzwyczajną uprzejmością, jakby chciał tem zatrzeć wrażenie pierwszego naszego nieporozumienia.

— Czy ekscelencya zwykł pijać kawę czy herbatę? Poseł hiszpański, który niedawno woził od Alfonsa XIII-go lalkę mówiącą, systemu Edisona, dla następczyni tronu, księżniczki



osobistych przekonań, ale streszczeniem posłyszanych wieści. Skoro zaś im przeczysz, wierzę ci najzupełniej. Cofam moje wyrazy i proszę abyś o nich zapomniał.

Wyciągnął do mnie szeroką, żyłastą dłoń.

— Z całego serca, panie kapitanie — odpowiedziałem, położywszy na niej moją rękę, a gdy zniknęła całkowicie w jego uścisku, potrząsnął nią i rzekł:

— Jego Królewiczowska Mość przesyłając mi rozkaz prze-



Gori, pijał czekoladę. Jeżeli ekscelencya ma gust hiszpański, kucharz okrętowy ugotuje ją natychmiast.

Za każdym razem gdy kapitan wymawiał wyraz „ekscelencya” a czynił to zawsze z przyciskiem, występował na twarz moją rumieniec i nie mogłem jakoś przełknąć ani szynki ani jaj, choć głód mi dokuczał, do czego dopomagała i ta okoliczność, że nie wiedziałem czy jadłem tydzień temu czy wczoraj. Zaprzeczyłem jakoby miał gust hiszpański i rzekłem wręcz.

— Panie kapitanie, przestań pan nazywać mnie ekscelencyą. Za młody jestem na ten tytuł i niczem sobie na niego nie zarobiłem. Godność posła dostała mi się tylko szczęśliwym trafem losu. Sądzę że Wieczory rodzinne nie wezmą mi za złe, że się tytułu tego dobrowolnie zrzekam; głosiły one niejednokrotnie zasady, że nie tytuły, ale osobista zasługa stanowi wartość człowieka. Pan, panie kapitanie, doczekałeś się siwizny w służbie publicznej i mógłbyś być moim ojcem, a ja jeszcze nic nie zrobiłem. Nazywaj mnie pan, proszę, po prostu Jankiem.

— Daj mi chłopcze rękę, niech ją uścisknę za te poczciwe wyrazy — powiedział serdecznie Tamarix. — Znam cię dopiero od godziny, a już cię muszę szanować. Anglik o którym ci wspomniałem, zapewniał mnie także, że Polacy są próżni i żądni tytułów, ale widzę że i w tem źle mnie objaśnił.

O jakżem sobie dziękował, usłyszawszy te słowa kapita-  
na, że posłuchałem głosu mego sumienia, inaczej dałbym mu zachowaniem się swoim niekorzystne wyobrażenie o całym narodzie. Widzę że człowiek nie powinien nigdy zapominać że jest częścią większej całości i że należy czuć ustawicznie nad sobą, aby postępowaniem swem nie rzucać cienia na tę całość. Tamarix mówił dalej.

— Chciuję mnie objaśnić Janku, co to za kraj te Wieczory rodzinne, które masz na dworze naszego monarchy przedstawiać. Jestże to mocarstwo lądowe czy morskie, bo na żadnej mapie nie spotkałem jeszcze kraju tego nazwiska?

— Nie jest to państwo natury materialnej — odpowiedziałem — nie używa ono ani wojska ani floty dla czynienia podbojów. Rozsyła pułki białych kartek, porysowanych w drobne czarne paseczki, i te bez rozlewu krwi, bez wystrzału, zdobywają młodociane serca, używając w miejsce dział, prozy, poezji, zagadek, konkursów...

— Ach, to jest zatem dziennik?

— Tygodnik ilustrowany — poprawiłem!

— Tygodnik, hm; dziennikarstwo nabrało dziś takiego znaczenia, że moi tego świata rachować się z niem muszą. Stanley niegdyś korespondent nowojorskiego Herald'a, napisał świat cały swoją sławą, i oto monarchowie przyjmują go po królewsku.

— Ja nie zostałem wysłany w celach politycznych ani handlowych — odrzekłem. — Wczoraj idzie o korespondencję z królestwa roślin.

— I Stanley od skromnej roli korespondenta rozpoczął swoją karierę — powiedział żartując kapitan.

Wspomniałem mu jaką przykrość sprawił mi podstęp, którego użyto względem mnie, dla przewiezienia mię na okręt bez mej świadomości, ale Tamarix rozśmiał się tylko.

— Taki był rozkaz — rzekł.

— Panie kapitanie — odezwałem się po chwili — wiem że jeżeli pana zapytam gdzie obecnie jesteście, nie otrzymam odpowiedzi, ale może pan powie mi chociaż, jak się nazywa państwo króla Bożydara?

Tamarix popatrzył na mnie.

— Królestwo Fantazji.

— Pan kapitan ze mnie żartuje — odrzekłem urażony — geografowie nic nie wiedzą o takim kraju. Gdzież on leży?

— Wszędzie, zagarnął bowiem świat cały pod swoje panowanie.

Widziałem że rozmawiać z nim o tem dłużej byłoby zupełnie bezpożytecznym, wróciłem więc do poprzedniego przedmiotu i zapytałem jak dawno znajduję się na pokładzie Narcyza.

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć — rzekł Tamarix.

— A czy możesz mi pan chociaż powiedzieć, kiedy Narcyz w porcie Atlanty zarzuci kotwicę?

— Jutro wieczorem.

— Jestże to okręt handlowy, czy pasażerski?

— Ani jedno, ani drugie. Narcyz przeznaczony jest wyłącznie do przewozu roślin. O szybkość żeglugi nie chodzi nam wcale; żeglujemy po wszystkich morzach, opływamy wszystkie kraje i gdzie tylko posłyszemy o czemś osobliwem, zabieramy to z sobą natychmiast. Każdy z trzech królewiczów posiada własną flotę, czynną wyłącznie w usługach jego królestwa. Obecnie spodziewana jest z powrotem Mewa królewicza Pióropuszką ze zwierzętami, i Ametyst Krysztalką z minerałami.

— Czy wolno wiedzieć jaki ładunek wiezie Narcyz?

— O, co do tego, tajemnica jest zbyteczną. Wieziemy różne osobliwości świata roślinnego, a między niemi prześlizgnął się sycylijski goździk Małgorzata, przechodzący pięknosciami wszystkie goździki dotąd znane.

— A więc płyniemy na południe — pomyślałem i przypomniałem sobie słowa królewicza Zielonki, wyczytane w liście Abrakadabrusa: „może jaki wąty, niezamożny chłopczyzna będzie potrzebował zmiany miejsca, cieplejszego klimatu”.

— I bardzo rzadką odmianę storczyka, z gatunku *Cathleya parvivaliana*. Kosztuje dwa tysiące pięćset franków. Złoto zapłacone za niego, ważyło więcej niż roślina. Czy znasz storczyki, Janku?

— Skoro kapitan oblicza na franki, to znak że znajdujemy się gdzieś około brzegów Francji, pomyślałem i odrzekłem. Zbierałem nieraz po łąkach ładne kwiatki różowe, wznoszące się w kształcie kłosa na niskiej łodydze. Liście ich bywają śpiczaste, często ciemnymi plamkami upstrzone. Mówiono mi że to są storczyki.

— Ale czy kiedy przypatrywałeś się im bliżej? Czy zastanawiałeś się nad wewnętrzną budową kwiatów z których taki kłos się składa? Storczyki, po łacinie *Orchidee*, jest to wielka w królestwie kwiatów arystokracja, ród szlachetny, rycerski. Każdy nosi helm i ostrogi, a ci co ostrog nie mają, noszą oddzielne nazwisko *Ophris*. Rycerze wieków średnich, przybierali nieraz swe zbroje w skóry dzikich zwierząt, nosili wilcze głowy na helmach, ptaki, pawie ogony, nieinaczej jest ze storczykami. Wypowiedzieć ci nie potrafię, jak wspaniałe, jak dziwaczne, jak różnorodne są ich kształty! Patrząc nieraz na nie, nie domyśliłbyś się nawet, że są spokrewnione ze skromnymi kwiatkami, które zbierałeś po łąkach, choć gdybyś zbadał wewnątrz kwiatu, wszędzie znalazłbyś cechy jedne i te same. U królewicza Zielonki znajdziesz prawie wszystkie główne gatunki storczyków: są między niemi podobne do ptaków, do owadów, do głów zwierzęcych a nawet głowy ludzkiej, do dzbanuszków porcelanowych, słowem do wszystkiego co tylko bujna nieraz wyobraźnia wymyślić zdoła — i temi szczególnymi podobieństwami, wprowadzają często w błąd ludzi i zwierzęta.

Kapitan widocznie znał się na kwiatkach i miał do nich zamiłowanie, widziałem to z jego słów. O, jakże mi pilno było ujrzeć cuda o których opowiadał!

— Czy podobna jednakże, aby ten jeden storczyk tylko stanowił ładunek Narcyza? — spytałem.

Samo to przypuszczenie rozśmieszyło Tamarixa.

— O, naturalnie że nie — odpowiedział. — Narcyz wiezie do Atlanty wiele innych rzeczy, a przedewszystkiem wielkie skrzynie rozsadek *Elodei kanadyjskiej*, rośliny mającej własność oczyszczania wód stojących, z części gnilnych szerszających miazmaty.

Przed oczyma memi stanął obraz chorego cudzoziemca, któremu, jak pisał Abrakadabrus, królewicz chciał uzdrowić moczary. Ale rozsadek *Elodei* w takiej ilości jaką wiozł, Narcyz, można było zabrać tylko z krajów, gdzie znajdowała się w wielkiej ilości — a więc z Anglii lub północnego Hanoweru. Czyżbyśmy zatem znajdowali się na morzu Północnem? Ale jeżeli jesteśmy koło brzegów Francji, to chyba na Oceanie Atlantyckim? Atlantyck, Atlanta, są to nazwy do siebie

zbliżone; bardzo być może że tajemnicza wyspa, od oceanu wzięła swoje nazwisko.

— Nie te osobliwości jednak były głównym celem naszej wyprawy — mówił dalej Tamarix. — Przedsięwzięliśmy ją dla pewnej lichéj trawki, o którą bardzo chodziło królewiczowej Jagódce. Rośnie ona w twoim kraju młodzieńcze, w puszczy białowiezkiej i nazywa się żubrówką, czyli turówką, po łacinie *Hierochloa borealis*, dla tego że stanowi ulubioną paszę żubrów, tego starożytnego, wygasającego już dziś w Europie rodu zwierząt. Królewiczowa słyszała od jakiegoś cudzoziemca o tej trawie, że wydaje woń nader przyjemną, tak przyjemną, iż mogłaby nawet służyć do wyrobu pachnidel. Aromatyczniejsza jest od znanej tomki; nie tylko części kwiatowe, ale i liście pachną. Po zapachu odróżnić można żubrówkę od innych traw do niej podobnych, że zaś nasienia jęj nigdzie w handlu niema, więc musieliśmy nakopać z ziemią bardzo dużo tej trawy. Rzecz dziwna! Królewiczowa posiadająca wszystkie wonności Wschodu, ona, której na każde skinienie dowożą fiołki z Parmy, róże z Nicei i wszystkie woniejące kwiaty ze wszystkich części świata, zapragnęła koniecznie lichéj, niepozornej trawy z dalekiego kraju! Ale kobiety czasem dziwne mają fantazyje!

— A więc Narcyz wypłynął z jednego z portów bałtyckich — myślałem — ale tym sposobem przy powolnem posuwaniu się statku, po pięć węzłów na godzinę, podróżuję już z nim razem conajmniej miesiąc... Jestże to możliwe? Miesiąc w stanie snu, bez jedzenia i nie schudłem nawet. Dziwne, dziwne rzeczy!

Podniosłem oczy i spotkałem się ze wzrokiem kapitana. Patrzył na mnie z uśmiechem, jakby w duszy mój czytał i bawiło go moje szukanie w myśli tropów Narcyza. Jakby dla wprowadzenia mnie w większą jeszcze matnię, dodał.

— Oprócz tego wieziemy jeszcze rośliny amerykańskie i indyjskie — i przeprosiwszy mię, wyszedł na chwilę.

— A więc gdzie ja jestem, w jakiej stronie świata? — rozważałem poraz setny może. — Czy podobna abym odbył podróż naokoło ziemi, nic o tem nie wiedząc? Ciekawość, której zaspościć nie mogłem, zaczęła mnie dręczyć straszliwie. Zobaczyłem na stoliku pod oknem mapy zwinięte w rulon i nie mogłem się oprzeć chęci rzucenia na nie okiem. Ta co leżała na wierzchu, była mapą Europy. W tej chwili wszedł kapitan i rzekł.

— Barometr spada. Czy nie chcesz, Janku, wyjść trochę na pokład, dopóki mamy jaką taką pogodę?

— I owszem — odpowiedziałem — nie mogąc oprzeć się podejrzeniu że idzie mu o oddalenie mnie z kajuty — i wyszliśmy na pokład.

— Patrzaj — rzekł Tamarix, pokazując mi drobny ciemny punkt na zachodzie. — Czy widzisz tę chmurkę?

— Widzę, ale cóż to znaczy wobec tak pięknej pogody?

— Z tej chmurki może przyjść dziś do nas burza. Czy nie lękasz się?

— Nie — odrzekłem — przeciwnie, rad jęj będę. Jeżeli morze jest tak cudowne w czasie spokoju, jakże wspaniałe być musi w czasie burzy!

— Jest ono wspaniałe — rzekł potrząsając głową kapitan — ale nikt wtedy nie ma ochoty przyglądać się jego wspaniałości.

Podczas gdy tak rozmawialiśmy, zauważyłem, że sternik obejrzał się na nas, i upewniwszy się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wydobyl z kieszeni jedną jagodę winogronową i włożył w usta. Postępowanie to wydało mi się co najmniej dziwnem. Dla czego sternik ukrywał się z rzeczą tak niewinną przed kapitanem, który nie wydawał się bynajmniej srogim człowiekiem? Zauważyłem też że nos jego czerwony już z rana, teraz był jeszcze czerwieńszy. Kapitan zwrócił się do niego z jakimś zapytaniem, na co sternik odpowiedział jakaką się. Tamarix popatrzył na niego uważnie i coś mu mówił, czemu tamten energicznie zaprzeczał, ale nie wiedziałem o co idzie, bo po atlantyjsku mówili — poczem kapitan rzekł do mnie.

— Pasternak jest dobrym człowiekiem i dzielnym marynarzem, ale lubi zalewać sobie głowę. Na okręcie trzeźwość jest koniecznie potrzebna, a racye wódki wydawane majtkom, muszą im wystarczyć. Po nad to, żadnych trunków ukrywać przy sobie nie wolno. Pasternak dostał racyę zbyt szczupłą, aby mogła zawrócić mu głowę, a jednak, przysięgłbym że jest pijany.

Dostrzegł jakiś czarny punkt na widnokregu i kazał podać sobie lunetę, a popatrzawszy przez nią, rzekł do mnie:

— Okręt!

Spojrzałem we wskazanym kierunku i dojrzałem także punkt wielkości łebka od szpilki, powiększający się bardzo powoli, wkrótce jednakże był już tak duży jak orzech. Po niejakiem czasie mogliśmy rozróżnić kształty statku. Tamarix patrzący ciągle przez lunetę, rzekł.

— Zdaje mi się że to jest Ametyst, okręt królewicza Kryształka.

Okręt tamten musiał także spostrzedz i poznać Narcyza, bo sterował wprost na niego. Był to trzymasztowiec nieco większy od naszego statku. Gdy się nieco przybliżył, zamieniono oznaki powitalne, przyczem zauważyłem że na maszcie powiewał złoty kilof górniczy, utkwiony w bryłę węgla. Następnie oba statki tak się do siebie zbliżyły, że można było rozmawiać przez tubę. Kapitan Ametysta, człowiek znacznie młodszy od Tawarixa, wysoki jak tyka, pierwszy przemówił.

— Barometr spada!

— Leci na łeb na szyję — odparł Tamarix — będziemy mieli burzę.

— Tak, ale jeszcze nie zaraz. Co tam osobliwego wieziecie?

— Storczyk za tysiąc pięćset franków i posła. A wy?

— Posła? jakiego? gdzie on jest?

— Tu oto — odparł wskazując na mnie.

— Taki mały! a to doprawdy osobliwość. Czy to z krainy Liliputów?

— Z bardzo potężnego państwa, które używa tylko papierowej anunicyi i bierze twierdze bez wystrzału — odrzekł Tamarix.

— Ho, ho!

Rozmowa ta toczyła się w języku atlantyjskim, ale Tamarix mi ją w całości powtórzył. Gniew mnie ogarnął.

— Panie kapitanie — zawołałem po francuzku — nie mam przyjemności pana znać, ale widzę że pochodzisz z krainy Wielkoludów.

Tamarix parsknął śmiechem.

— Mały jestem, ale potrafię dźwignąć miecz w razie potrzeby. Dawid był także mały, a jednak zabił Goliata! W moim kraju panie kapitanie, nie brakuje Goliatów, a jednak dajemy sobie z niemi radę.

Dowódca Ametysta spoważniał.

— Poseł jest mały — powiedział — ale widzę że rycerskiego ducha w sobie nosi. Poważam stan rycerski i chcę z nim żyć w zgodzie. Bądźmy przyjaciółmi, panie pośle!

To mówiąc skłonił mi się po wojskowemu, na co ja z równą odpowiedziąm uprzejmością. Tamarix rozweselony tą przygodą, zawołał.

— Niechże się dowiem u licha, co wieziecie?

— Osobliwość nad osobliwości — odrzekł tamten.

— To już chyba ów sztuczny dyament Parsonsa, którego monarcha wasz tak bardzo pragnie.

— Nie, ale coś równie rzadkiego. Wiozę roślinę, do której jednakże królewicz Zielonko nie ma żadnego prawa, bo stała się minerałem.

— Roślinę, która stała się minerałem! — zawołał zdziwiony — cóż to takiego być może? Chyba węgiel!

— Nie, drzewo skrzemieniałe.

— Skrzemieniałe, chyba chcesz pan powiedzieć.

— Nie. Kamień i krzemień to różnica. W północnej Ameryce, na terytoryum Arizony odkryto niedawno, pod grubą warstwą piaszkowca, pokład skrzemieniałych pni drzewnych.

Zjechali na miejsce uczeni badacze i orzekli, że w dawnych, bardzo dawnych czasach, istniał tam wspaniały las dziewiczy, o roślinności stref południowych. Drzewa w nim były z rodzaju *Araucaria*, i inne podobne do cedru. Las ten uległ losowi Herkulanum i Pompei, to jest przez wybuchający wulkan został nagle powalony i zasypany popiołem i lawą, a z biegiem czasu powleczony wytworzoną warstwą piaskowca. Grubość pokrywającej go owęj troistej warstwy, to jest lawy, popiołu i piaskowca, dochodzi miejscami do dziesięciu

przeobrażenie drzewa z wiernem zachowaniem pierwotnych kształtów, w niektórych bowiem wyraźnie odróżnić się daje warstwa kory, słoje przyrostów rocznych, a nawet budowa naczyń. W skamieniałości następuje zawsze przemiana substancji: woda nasycona jest materiami wapiennymi, które składa na powierzchni ciał organicznych, roślin czy zwierząt, trwałą w ten sposób pokrywając je powłoką kamienną węglanu wapna, tu zaś nastąpiła zamiana, a to wielka różnica.

— Czy pan oglądałeś ten las? — zapytał Tamarix.



Kobiety perskie.

i piętnastu łokci. Pod jęj to osłoną, dokonało się skrzemienie pni drzewnych.

— Jakie przyczyny jednakże spowodowały to skrzemienie? — zapytałem za pośrednictwem tuby.

— W tym względzie niema pomiędzy uczonymi zgody. W ogóle jednak twierdzą, że wody mineralne, przesączające się przez pokrywającą pnie, lawę i popiół, wciskały się w tkankę komórek drzewnych i osadzając swe mineralne cząstki, wywołały zwolna ich skamienienie. Spowodowało to zupełne

— Ach, kapitanie, brak mi wyrazów na opisanie jego piękności, bo pomyślcie tylko: las drzew, przemieniony w agat! Przypomniały mi się bajki słyszane w dzieciństwie, w których to pałace bywały złote, okna dyamentowe, a dachy z rubinów lub korali... Wielkość niektórych pni jest prawdziwie zdumiewająca, a wiele odłamów wskazuje, że należały do pni mających po sto i więcej łokci wysokości, przy odpowiedniej średnicy. Skupiają się tam wszystkie barwy znane w przyrodzie: onyksów, jaspisów, marmurów, malachitów, oraz gra światła

ametystów i topazów, cała gamma kolorów tęczy! Jedną z największych ciekawości tego lasu, jest most naturalny, utworzony z całego drzewa a dochodzący dwunastu łokci długości. Odrysowałem go sobie na ręce. Według opinii uczonych amerykańskich, *las Arizona*, zwany także *Chalcedony park*, jest cudem świata mineralogicznego, a jubilerowie utrzymują, że dostarcza jaspisu i agatu w najlepszym gatunku. Królewicz Kryształek niewątpliwie bardzo rad będzie temu nabytkowi: rozmyślał on nieraz, z jakiegoby materiału

dowierzanie w zwiedzającej publiczności, która znając amerykańską blagę, podejrzewała że to jest tylko zręczne naśladownictwo. Gdyby pień, który wiozę dla królewicza nie był zapakowany, pokazałbym go wam chętnie.

— Zobaczmy go w Marmurowej górze — rzekł Tamarix, który podczas ostatnich słów swego kolegi, zbliżył się nieznacznie do sternika i pochwycił go za rękę w chwili, gdy tenże myśląc, że nikt na niego nie patrzy, wyjął z kieszeni niewielkie blaszane pudełeczko. Pasternak miał bardzo skruszoną



na trzy stopy przed fakirem stanął tygrys.

zbudować pałac dla następcy tronu, księcia Szafira, a marmuru, granitu, ani metali użyć nie chciał. Pragnął czegoś piękniejszego. Drzewa skrzemieniałego lasu, dadzą się wybornie użyć na tę budowlę, chociaż z powodu twardości będzie niełatwym do obrobienia! Oporność na wpływy atmosferyczne, czyni ten materiał nieocenionym, niemal wiecznym.

— Zdaje mi się — przemówił Tamarix — że ja niektóre przedmioty z tego agatu widziałem na Wystawie paryżkiej w zeszłym roku, jak naprzykład stoliki.

— A tak! Amerykanie je tam posłali, ale budziły nie-

minę a *corpus delicti* pozostał w ręku kapitana. Otworzył on pudełeczko i wyjąwszy jedną jagodę, rzekł pokazując mi ją.

— Patrz młodzieńcze, to jest nieznanany wcale botanikom gatunek winogron, zwany *Vinous Rubber Grapes*. Sprobuj tylko. Wziąłem jedną jagodę, zgmiotłem w ustach i poczułem smak tego araku. Nie przyzwyczajony do mocnych trunków, zaczerwieniłem się i oczy mi nabiegły łzami. Kapitan rozśmiał się i rzekł.

— Jestto dowcipny amerykański wynalazek. W północnych stanach, wyrabiają sztuczne owoce jagodowe, złożone

z cienkiej błonki kauczukowej i wypełnione winem lub napojami spirytualnemi. Objętość jagody równa się zwyczajnemu kieliszкови średniej wielkości i jak każdy owoc jagodowy, spożywać się daje gniotąc w ustach i odrzucając łupinę. Jestto bardzo bogodne dla strzelców, dla podróżnych, wreszcie dla każdego, bo w każdej chwili użyć się pozwala bez zachodu, co szczególnie cenione jest w Ameryce, z powodu rozszerzającego się tam coraz więcej prawa o wstrzemięźliwości, utrudniającego dostanie napojów spirytusowych. Sprzedają je w eleganckich pudełeczkach po piętnaście sztuk. Pasternaka widocznie ktoś tem w porcie obdarzył, bo na kupienie sztucznych winogron żałowałby pewnie pieniędzy. Zadrogie są na jego kieszeń.

Chmury tymczasem powiększyły się trochę. Spojrzałem na morze; lekki wiatr marszczył chwilami jego powierzchnię w złotą łuskę jaśniejącą tysiącami barw.

Załoga Ametysta spostrzegła znowu okręt na widnokręgu. Zwrócono nań lunety i zdecydowano że to jest Mewa królewicza Pióropuszką. Mewa też widocznie dojrzała już Ametysta i Narcyza, bo dała kilka salw działowych na powitanie.

— Hm, hm — mruknął Tamarix — Tygrys musi być z czegoś bardzo rad, skoro tak proch marnuje. Widocznie wiezie dobrą zdobycz.

Tygrys, było to nazwisko kapitana Mewy, kapitan Ametysta zwał się Granit. Mewa, piękny trzymasztowy statek, zbliżała się szybko do nas, a kapitan stojący na pokładzie, wołał z daleka przez tubę.

— Co za szczęśliwe spotkanie! Narcyz, Ametyst i Mewa razem, choć każde z innych stron świata przybywa; to nam się już dawno nie zdarzyło! Cóż to wiezicie?

Dwaj dowódcy wymienili mu rodzaj swoich ładunków, pytając nawzajem co on takiego wiezie, że aż strzela na wiat. Tygrys był to człowiek bardzo jeszcze młody, widocznie pełen zapału i mający jak to mówią serce na dłoni, bo rzekł tryumfująco:

— Wiozę 1 a t a j ą c ą ż a b ę, *Rhacophorus Rheinwardti!*

— Winszujemy! — zawołali oba jednocześnie — otrzymasz pan z pewnością order.

— I ja się tak spodziewam.

— Czy można tę znakomitość zobaczyć?

— I owszem, zaraz ją panom pokażę. Zapraszam was do siebie na obiad; wypijemy za jej zdrowie.

Zahamowano okręt, co się osiąga przez umiejętne rozpięcie żagli. Jedne ciągną okręt naprzód, drugie w tył, przez co zapewnia się równowaga; rzucono pomosty i wszyscy przeszliśmy na pokład Mewy, gdzie Tamarix zapoznał mnie z kapitanem. Tygrys wyniósł ze swjej kajuty dużą kryształową czarę napełnioną do połowy wodą, w której na posłaniu z wodorostów i mchów, spoczywała ta o której Pióropuszek tak dawno marzył, której wyglądał z takim utęsknieniem, cała zielona, czarno nakrapiana. Patrzyła na nas czujkami, wypukłemi oczyma i chciała skoczyć, ale kapitan czujny na każdy jej ruch, nie chcąc utracić skarbu zdobytego z takim trudem, przykrył czarę natychmiast kryształowym dzwonem w którym u wierzchu był otwór dla przystępu powietrza, a choć żaba podskoczyła jeszcze dwa razy, przyczem miałem sposobność przypatrzeć się jej długim pletwom połączonym cienką błoną, jednakże uciec nie mogła.

— Posłałem już depezę do królewicza, jakiego szacownego pasażera mam na okręcie — dodał rozpromieniony Tygrys.

— Dla takiego ładunku, wystarczyłaby łupina orzecha kokosowego — odezwał się Tamarix — czy to cała pańska zdobycz?

Tygrys uśmiechnął się.

— Mam jeszcze coś więcej — powiedział — j a s z c z u r k ę r o g a t ą i z a k o n n i c ę.

— Co! — zawołali razem Tamarix i Granit. — Czyż królewicz Pióropuszek myśli w Koralowym grodzie klasztor zakładać? Gdzież ona jest? Spodziewam się, żeś ją pan pomieścił w wygodnej kajucie, a nie jako prosty ładunek na spodzie okrętu.

— Ma pomieszczenie zupełnie wygodne.

— Jakiejże reguły jest ta zakonnica i z kąd pochodzi? — pytał Tamarix, który widocznie bardzo był pobożny.

— Z Bawaryi. Co do reguły, to nie umiem panom powiedzieć. Zobaczcie sami i osądźcie.

— Ależ... my nie powinniśmy się naprzykrzać tak świątobliwej osobie, prawdopodobnie spędzającej czas na modlitwie.

— Biorę odpowiedzialność na siebie — odrzekł śmiejąc się Tygrys — zaczekajcie tu na mnie chwilę.

I odszedł zabierając z sobą żabę. Tamarix i Granit spojrzeli po sobie: pierwszy przybrał minę poważną i skupioną; drugi zapiął starannie mundur na wszystkie guziki. Tygrys powrócił z małym drewnianem pudełeczkiem w ręku, opatrzonem licznymi otworkami po bokach i zbliżywszy się do nas, otworzył je ostrożnie. W pudełku, na gałązkach jodłowych siedział białawy motyl z czarnymi na skrzydłach zygzakami i czerwonym tułowiem. Popatrzyliśmy zdziwieni na zawartość pudełka i na kapitana, a Tamarix zapytał.

— Ładny jakiś motylek, ale gdzie zakonnica?

— To ona właśnie, w białym habicie. Motyl ten zakonnica się nazywa. Pojawiła się w tym roku w Bawarii, gdzie niszczy niemiłosiernie drzewa. Jest ona mała, ale potężna w masie; lasy jodłowe przez nią spustoszone obliczają się na tysiące hektarów. Wszelkie środki obronne użyte przeciwko niej, okazały się dotąd bezskuteczne, bo mnoży się w niesłychanej ilości. Człowiek jest od niej większy i mądrzejszy, a przy całym swoim rozumie, rady dać sobie z nią nie może.

Dostała się już do Monachium gdzie spadła tak niespodzianie, że w tych dniach goście zgromadzeni w jednym z publicznych ogrodów, musieli przed nią uciekać, bo w jednej chwili całe chmury tego owadu pokryły nie tylko drzewa, ale krzesła, stoły i ubrania obecnych! Bawarowie obawiają się, aby pięknemu ich lesistemu krajowi, nie przyszło to samo co Prusom Wschodnim w roku 1752, gdzie cicha ta zakonnica w białym habicie, spustoszyła lasy ze szczeniem.

— I pan wieziesz ten owad szkodliwy na Atlantę, żeby wspaniałe, bujne lasy królewicza Zielonki zamienić w pustynię! Ja nie mogę na to pozwolić. Aresztuję tę świątobliwą damę. Sprawię jej przyzwoity pogrzeb w łałach morskich, razem z pudełkiem, do którego przywiąże się kamień

— Bądź pan spokojny — odrzekł Tygrys — królewicz nie pozwolił jej szerzyć swojej reguły na wyspie. Potrzyma ją czas jakiś w zamknięciu, a potem sprawi jej śmierć lekką, bezbolesną, we fłaszeczce napełnionej wonią eteru. Gdy następnie ztamtąd dostanie się do jego muzeum, przestanie już być niebezpieczną. Wiozę ją właśnie królewiczowi jako osobliwy okaz.

(d. c. n.)

## KOBIETY PERSKIE.

Kobiety na Wschodzie, t. j. w Turcyi, Persyi i t. d. wychodząc z domów, zasłaniają twarze różnorodnego kształtu zasłonami; stosuje się to jednak głównie do osób wyższego stanu: wieśniaczki i uboższe, a więc pracujące w ogóle, chcąc niechcąc, muszą przy pracy obywać się bez zasłon, choćby się najbardziej tego wstydziły, gdyż inaczej byłoby to nazbyt kłopotliwem. W Marandzie w Persyi chodzą prawie z zupełnie odsłoniętymi twarzami, w odzieniu tylko podobnem do płaszcza przysyłającego je od wzroku obcych. I nie może być inaczej. Bo jakże tu myśleć i pamiętać o zasłanianiu się n. p. w dzień targowy, gdy trzeba się na wszystkie strony oglądać, targować, bronić niejako, nawiózłszy na rynek różnego towaru na sprzedaż; i mułów pilnować, dźwigających zboże w wielkich worach z sierści koziej, i kur przywiązanych za nogi parami na grzbiecie osłom; i sprzedawać zachwalając po kupiecku jagnięta, kozy, i przesłiczne osłątka siwe, malutkie, w czarnej pregi, niezmiernie ruchliwe, zabawne i potulne stworzonka. Inne znów gospodynie perskie na targu, częstują przechodniów zawzięcie ogórkami, melonami, brzoskwiniami, śliwkami, czereśniami, morwami, jajami i t. d.

Wszystko to jak widzimy wielce jest podobne do tego, co się i na targach naszych odbywa, a przy gwałtownem zajęciu takim trudno byłoby oczywiście myśleć o zasłanianiu twarzy. A i tak pomimo całej bacności i uwagi, zdarzają się rozmaite zajścia i przypadki. Raz n. p. wieśniak jeden oskarżył przed Ket-ktoda naczelnikiem miejscowym, miejscowego szewca o... pochwycenie bez pieniędzy kury, z pod rąk gospodyni, jego żony. Szewc zaprzeczał, zrzucając winę na dwóch innych kupujących jednocześnie kury i jaja u wieśniaczki. Ket-ktoda wysłuchawszy kłótni uważnie, zapytał pokrzywdzonego czy niema czegokolwiek od zginionej kury... jaj, pierza, sznurka, którym nogi miała przez dłuższy czas związane jadąc na osle?...

— Mam tylko pietnaście jęj kurczątek, bo doskonała była do *siedzenia* — westchnął skrzywdzony.

— Dawaj kurczęta!... — Ket-ktota wybrał troje kurcząt, rozdał je pomiędzy trzech obwinionych i rozkazał im zgłosić się po wyrok nazajutrz, po nocy przespanej razem z powierzonym każdemu z nich kurczątkiem...

— A pilnujcie ich dobrze — dodał — niechaj żadne życia do jutra nie straci, gdyż byłoby to jawnym dowodem że winny obawia się, aby niewinne kurczątko nie pociemniało od jego czarnego sumienia...

Wszyscy obecni rozeszli się, głęboko zamyśleni nad tajemniczymi słowy sędziego. Następnego dnia stawiono się w komplecie wraz z kurczętami, wedle rozkazu. Sędzia obejrzał bacznie kurczęta:

— Szewcze! — rzekł stanowczo — ty skradłeś kurę, bo oto podstawileś kurczę jasniejszego pierza, z obawy aby to, które ci dałem, nie pociemniało od twego sumienia! Oddaj wieśniakowi jego kurę, albo dwie inne jeżeli tamtej już nie masz, i wracaj tutaj natychmiast po pietnaście kijów! Zandarmie!... idź z szewcem i dopilnuj wyroku!

Wyrok spełniony został dosłownie.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Uwierzymy! — odpowiedziano. — Tak, jest tygrys w tym oto lesie, słyszymy go co noc... i boimy się z chat wychodzić...

— Jutro gdy noc zapadać będzie czekajcie mię na drodze do lasu.

Nazajutrz po przytoczonej przez nas rozmowie fakira z krajowcami, krążyło pomiędzy ludem następujące opowiadanie: Gdy wszyscy zgromadzili się w oznaczonym miejscu, fakir podniósł obie ręce i oczy ku niebu, stał tak długą chwilę jak ciemny posąg, odrysowany wyraźnie na jasnym tle nocy, potem piersi podniosły mu się, usta wół rozwarły, i wyszedł z nich okrzyk przenikliwy, przeciągły, który rozbrzmiał daleko po wszystkich krańcach i głębiach lasu.

Hindusi oczekiwali bacznie słuchając, z ręką na puginałach lub palcem na cynglach, w ciszy tak głębokiej że słyhać było własne ich acz tłumione oddechy. Ale parę minut przeszło, nic nie przerwało głuchęj ciszy.

Poraz drugi fakir wydał tenże sam okrzyk, i skrzyżował ręce na piersi, nieruchomy, zatopił dziwne spojrzenie w czarną głąb lasu... Znowu nastąpiła chwila głuchęj ciszy, aż nagle, drgnienie przebiegło tłum... z czarnych gęstw leśnych doleciał głos tygrysi:

— Odpowiedział! Odpowiedział, idzie!...

Istotnie, szedł. Po niejakiem czasie ukazał się wśród odgłosu szeleszczących zarośli, w głębiach przesmyka leśnego, tam właśnie gdzie oczy fakira były zwrócone i w zrenicach tygrysa utkwione; zdawało się że musieli patrzeć sobie w oczy wzajem wprzód jeszcze, zanim dostrzedz się mogli w odległości. Zbliżał się, postępując powoli krok za krokiem, na trzy kroki przed fakirem stanął. Był taki ogromny, ruchy i członki jego zapowiadały tak straszną siłę i zwinność że tylko głę-

bokie przeświadczenie, iż poruszyć się byłoby to zerwać czar i zginać, wstrzymywało tłum zbrojny od ucieczki, przerażeniem natchnionej. Niezwyczajnie rozszerzone źrenice tygrysa błyszczały fosforycznym blaskiem, znieruchomione pod spojrzeniem fakira, wół rozwarta paszcza ociekająca pianą, ukazywała kły okropne... Fakir nie wydawał najlżejszego tchnienia, najmniejszy ruch nie zdradzał życia w tym skamieniałym na chwilę posągu z ciała ludzkiego, pod wpływem woli potężnej. Zwolna straszna postać tygrysa zaczęła prawie niedostrzegalnie ulegać zmianie; okropne spojrzenie łagodniało... paszcza przymykała się... aż, ciągle pod wpływem spojrzenia fakira, potwór leśny, pokonany, drżąc prawie, postąpił jeszcze krok naprzód, legł automatycznym ruchem u stóp pogromcy, i lizać je począł pokornie...

Krótką chwilą, długa jak wieczność dla tłumu widzów minęła, fakir dotrzymał słowa. Natenczas nieruchomy ciągle fakir, poruszył ustami, wymawiając kilka słów pocichu, tygrys wstał, z głową spuszczoną i skulonym ogonem, jak pies zgromiony, któremu pan rozkazał wracać z przechadzki „do domu”, zawrócił potulnie w gęstwinę leśną, tym samym przesmykiem jakim z niej wyszedł.

Po kwadransie głuchęj ciszy, w którą tłum zdawał się być zaczarowany, Mahal fakir obrócił się do niego:

— Czy wierzycie mi teraz? — zapytał.

— Wierzymy!... tyś jest prawdziwy poseł bóstwa, wychowaniec świętych braminów, którzy wśród postów długich i umartwień cielesnych, w tajemnicy świętych pagód w Benares wtajemniczyli ciebie w nadprzyrodzoną potęgę!... Rozkazu!... święte są twoje rozkazy!...

— A więc... macie w dłoniach ostre żelazo, idźcie mściwie znieważone świętości nasze, tępiąc życie, które nie pochodzi z was, rozlewając krew, która nie jest z krwi waszej: pomsta! pomsta!

— Pomsta! — zawyły tłumy i potrząsając nożami rzucano się w stronę, gdzie najbliższe znajdowały się europejskie siedziby.

Zwrócić należy uwagę że cała powyższa opowieść, zarówno jak setki jęj podobnych, żyjąca do dzisiaj w ustach wszystkich Hindów, nie jest przecież zapisana nigdzie, nikt wiarogodny jęj nie potwierdza i z pomiędzy licznych wzmiankowanego tłumu w opowieści, nie istnieje, a co ważniejsza nie istniał podobno nigdy nikt, ktoby mógł rzec: „Ja tam byłem, ja widziałem”. Blizki krewny piszącego te słowa, znajdował się osobiście w Indjach w czasie strasznych wspomnianych wyżej wypadków, walcząc w szeregach angielskich, przebywał czas jakiś właśnie w okolicach Tungary, w chwili gdy świeżo zaszły ów fakt z ujarzmieniem tygrysa, przelatując z ust do ust, elektryzując ciemne tłumy, mające zawsze dziwne dla tygrysów względy. Otóż krewny ów, młody, bardzo światły żołnierz, dokładał wszelkich starań aby fakt stwierdzić na miejscu, tembardziej że sam niejednokrotnie już widział sztuki fakirskie. Na ten raz jednak niczego się nie dowiedział, nie nie stwierdził, bo już wówczas w czasie srożącego się rozboju nie mógł odnaleźć ani jednego świadka wzmiankowanego faktu.

— Ha, snadź wszyscy, którzy to widzieli zginęli w walce — odpowiadano na pytania, lecz nigdy nikt nie przypuszczał nawet, że tak cudowna bajka o tygrysie i fakirze Mahalu, jak mnóstwo innych mogła być zmyśloną zęcnie, i w obieg spuszczoną dla podburzenia fanatycznych tłumów.

Nietylko ciemnemu ludowi, ale nawet i zapalczywym fakirrom, fanatykom pustelnikom i ascetom indyjskim ani przez myśl nie przeszło, że wszyscy oni razem byli tylko ślepem narzędziem w rękach braminów, którzy tajemniczych swoich sposobów i religijnych pozorów używali, nie w celu pomszczenia świętości znieważonych, jak to ludziom wmawiali, lecz w najzupełniej ziemskim celu zniszczenia rządów angielskich zarówno jak i własnych książąt i pochwylenia władzy najwyższej nad całym krajem, bezpośrednio we własne ręce, gdy miejscowi książęta dawno już przez Anglików obezsilnieni, żyli po większej części w Benares, ściśle acz nieznacznie pilnowani.

ułożyła Zabka z Gudulina.

Podczas gdy mieszkańcy Tungara poduszczani przez fakira Mahala, po chwilowym wahaniu rzucili się ostatecznie na oślep w otwartą przed nimi krwawą arenę, zarówno jak i inni ich współziomkowie tak samo pobudzeni do działania przez innych wysłańców bramińskich, dwie zbiegłe przed napaścią rodziny, dążyły razem ze służącymi w raz powziętym kierunku, ku brzegom morskim, i wkrótce, po kilku dniach mniej więcej trudnej podróży, ujrzały pożądane morze.

— Jakaż tu cisza! Jak spokojnie! Może tu ludzie nie wiedzą nawet, że dalej w głębi kraju wojna okropna się sroży i krew się leje! — przemówił ktoś z uciekającą gromadki.

— Przedewszystkiem, o jakich ludziach mówisz? Toż to jest pustynia! żywego ducha niema. A nawet i morze puste, nigdzie ani śladu statku żadnego... Gdzieżeśmy to tu zaszedli?

— Nie zbyt daleko, bo nie mieliśmy na to czasu, bądź pewien; jakkolwiek prowincya Bengalu czyli Kalkuty jest istotnie rozległa, ale nie nazbyt zaludniona w teraźniejszych czasach, u brzegów zwłaszcza; zresztą nie jest tu znów taka zupełna pustynia jak się wam zdaje, czyliż nie widzicie tam oto ryżowego pola?... a nie wiecież jak staranną uprawy ryż potrzebuje? Oto tamy i całkowite urządzenie do zalewania wodą pola po zasianiu, a tam widzę i łódkę, która wnosząc z wątlęj budowy nie do bujania po morskich głębinach, ale przy ryżowym żniwie bywa raczej potrzebną... Ho ho, nietylko są tu ludzie, ale nawet muszą to być bardzo staranni i pracowici rolnicy.

— Prawda, ale gdzież oni są w takim razie? Muszą przecież mieć jaką taką chatę?...

— Istotnie dziwna rzecz, że chaty nie widać. Zróbmy jak nieraz robiliśmy w czasie tej podróży, pozostawmy tu ukryci w zaroślach, a Mahora niech idzie na zwiady.

Poszedł Mahora i nadspodziewanie bawił prawie dzień cały, wrócił dopiero pod wieczór powiadając, że chata, której szukano, a nawet dwie i to dosyć obszerne znajdują się nie-daliej jak o pięćset kroków, ukryte wśród skał bardzo blisko brzegu morskiego, a mieszkańcy bardzo gościnni nietylko pozwalają za wynagrodzeniem odpowiedniemi, gdyż biedni są, spocząć i zagościć na dłużej w chatach podróżnym, ale nawet żywności mogą trochę sprzedać i wszelką pomoc w razie potrzeby dać są gotowi, tembardziej, że mają nawet trochę broni ukrytej w kryjówce w skale pod chatą.

(d. c. n.)

### Odpowiedź na pytanie z N-ru 28 Wieczorów Rodzinnych.

Dlaczego nie wszystkie szklanki toż samo brzmienie wydawały, gdy w nie uderzano? Przyczyną tego jest:

Młody chłopiec, który wykonał to doświadczenie wybrał szklanki, z których każda miała grubość odmienną. Otóż ponieważ wysokość tonu zależy od ilości drgań, któremu ulegają cząsteczki danego ciała pod wpływem uderzenia, a ilość tych drgań od jego długości i grubości, więc cały szereg szklanek różnych wymiarów różne tony wydawać musiał. Ten szereg porównać można do jakiego instrumentu muzycznego, np. skrzypiec: szklanki miejsce strun zajmowały, wydając raz wyższe, to znów niższe tony.

*Kuropatwa z nad Ikopetiu*

Równie dobre odpowiedzi nadesłali: Czarny gołąb i Jaskółka z Czerwonej Rusi.

tła	szu	ne	ni	co	ko	ni	by
czna	więc	świa	by	ste	Co	ni	zga
dzie	cje	ce	sło	bez	by	by	mie
taj	dzia	lu	pła	ło	pro	dnąć	mie
ry	ma	wi	e	ła	pro	wśród	tło
two	wi	któ	cha	wał	lek	two	cznych
gnc	mno	czy	su	i	mno	swia	za
ste	na	su	zi	os	kre	try	cie

### S Z A R A D A.

dla Chmurki złocistej od Jaskółki z nad Ussy.

Mego pierwszego z trzeciem wypilaś już niemało; Oby ci się nigdy pierwsze z drugim nie dostało. Drugie i czwarte zdobi rycerza Któremu kraj losy powierza. Drugie trzecie miasto małe I nielicznie zamieszkałe. Pierwsze i czwarte znasz z Historji świętej, Stał się tam cud niepojęty. A wszystko przechodzi pustynie I nieraz w nich ginie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

#### S z a r a d y:

Po — wie — trze.

#### Gwiazdki geograficznój:

Reszt — Równo — Rodos — Ryłsk — Rugia — Rodan — Rion — Ronda.

Toskania.

Przy inteligentnej rodzinie **pomieszczenie dla panienek** uczęszczających do jakichbądź zakładów, na żądanie przedstawić można rekomendacye osób znanych, zapewnia się troskliwą opiekę. Wiadomość w redakcyi.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (c. d.) — Kobiety perskie (z drzew.) — W Indyac. (z drzew.) — Odpowiedź na pytanie z N-ru 28-go Wieczorów Rodzinnych. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Kotki (z drzew.) M. W. — Komar, wiersz p. T. N. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówni i rozwiązania. — Przrynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodyż p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).

Miauczy i mruczy  
Ostre ma pazury,  
Łapie on myszy  
I zagryza szczury.

## I.

Jaką niespodziankę miała Jania.

Była sobie mała dziewczynka, nazywała się Jania. Mieszkała z rodzicami na wsi. Chowala się zupełnie sama, nie miała ani siostrzyczki ani braciszka i często jój było bardzo tęskno, bo nie miała się z kim bawić.

Aż raz jednego przychodzi do pokoju niańka i trzyma coś w fartuchu.

Jania zobaczyła w fartuchu niańki jeszcze trzy małe kotki. Jeden z nich był szary, drugi biały, a trzeci bury.

Małe kotki były zupełnie do siebie podobne, wszystkie miały jednakowe uszki sterczące, wąsiki na pyszczku, u łapek długie pazurki i sierść gładką i mięciuchną.

— Nianiu moja droga, czy to moje będą te kotki?

— A tak, twoje, będziesz się miała czym bawić.

Jania z radości skakać zaczęła i wołała na kotki: „kici, kici”, a potem objęła rączkami nianię i mocno ją pocałowała.

## II.

Jak kocięta dzień spędzały.

Nazajutrz Jania obudziła się bardzo wczesnie, wszyscy jeszcze w domu spali, niania tylko sprzątała pokój.



Kotki.

-- Zgadnij Janeczko, co ci przyniosłam?

— No, a co?—spytała Jania, i podbiegła do niańki.

— Piękny podarek, co żyje i rusza się.

Jania była bardzo ciekawa, ale nie mogła zgadnąć.

— Może kura? — pytała. — Nie.

— No to wróbel?

— Nie—powiada niańka—to jest zwierzę o czterech łapach.

— No to pies?

— Nie, to zwierzątko jest mniejsze od psa, ma główkę okrągłą prawie, uszy stojące, na pyszczku długie wąsy, sierść gładziuchną, u nóg długie pazurki.

— A! to kot, kot! — zawołała Jania — widzę go widzę!

Jania może by i nie zgadła, ale kotowi znudziło się tak długo siedzieć w ciemności, wysunął więc główkę z fartuszka i dziewczynka go ujrzała.

— Patrzno, co ja tu mam jeszcze dla ciebie!

— Nianiu — spytała Jania pocichu — czy kotki moje śpią jeszcze?

— E, gdzie tam, dawno już wstały — mówiła niania — ot widzisz jak mi się kręcą pod nogami.

Jania prędko podniosła główkę i zobaczyła kocięta. Stara kotka mruczała kr-miau-kr-miau, a młode biegały za nią.

Jania wyskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać, a ubierała się zupełnie sama, tylko niania jój staniczek zapinała z tyłu. Za chwilę już była przy śniadaniu.

— Nianiu, a co mam dać na śniadanie moim kotkom?

— Mleka z bułeczką: naleję ci tu na spodek, a ty wrzuc parę kawałeczków bułki i postawisz w kąciku.

Jania posłuchała rady niani, postawiła na ziemi spodeczek z mlekiem, a potem zawołała „kici, kici, kici,” i kotki zaraz przybiegły do jedzenia.



## K O M A R.

Ale jak dziwnie jadły! Wcale nie tak, jak Jania — wysuwały języczek i lykały prędko.

Jania usiadła na ziemi, nachyliła główkę i przyglądała im się uważnie. Kotki zjadły wszystko, co było, a nawet wylizały spodeczek.

Wtedy stara kotka usiadła na dywanie, a małe zaczęły się z nią bawić.

Co też one nie dokazywały! to za ogon ciągnęły. Stara kotka czasem szarpnie ogon i kocięta przewrócą kocielka.

Jania z zachwytem przyglądała się ich figielkom i zapragnęła pobawić się z niemi.

Przysiadła się do nich, zaczęła je głaskać, a kotki nie uciekały, stara kotka nawet piosenkę swoją kocią jęj zamruczała.

Później Jania wzięła kawałek papieru, przywiązała sznurek i biegła po pokoju, a kotki ją gonity, bo chciały koniecznie papier pochwycić. Czasem chowały się małe kotki pod stół i zaczajały, to znowu rzucały się na papierki, a Jania wciąż uciekała.

## III.

## Co robiła stara kotka.

Bardzo wesoło było teraz Jani, bawiła się aż do obiadu. Po obiedzie znowu karmiła kotki, ale stariej nie było. Szukała ją Jania w drugim pokoju, pod łóżkiem i stołem, lecz znaleźć nie mogła.

Kocięta same jadły obiad.

Nadszedł wieczór, a kotki jak niema tak niema.

— Nianiu, moja kochana, czy nie wiesz, gdzie teraz może być stara kotka? Nigdzie jęj niema i kocięta się zatęsknią.

— A wiem, kochanko, bom ją sama do śpiżarki zamknęła.

— A dlaczego niania ją zamknęła? — spytała Jania — czy ona co złego zrobiła?

— Nie, dziecinko — powiedziała niania — zamknęłam ją aby myszy wytępiła.

— A co robi kotek z myszami? — znów Jania spytała.

— Łapie je i zjada, a czasem tylko dusi.

— Czy to dobrze, nianiu, kot robi?

— Bardzo dobrze, bo przecie wiesz jakie szkody myszki wyrządzają.

I Jania przypomniała sobie, że naprawdę myszy zjadają sery i szynki w śpiżarce, iż są bardzo szkodliwe zwierzęta.

Potem Jania poszła do swoich kociątek na dobranoc i zastała już przy nich starą kotkę.

Niania już ją wypuściła ze śpiżarki, Jania popieściła wszystkie i poszła spać, a zasypiając jeszcze myślała, jak ona jutro kolorowy papierki przywiąże do sznurka i ubawi się z kociętami.

— A stara pójdzie myszy łapać — przemówiła Jania zupełnie pocichu... i... usnęła.

Marya Werylo.

„Wróg zawzięty na tym świecie  
To jaskółka dla mnie w lecie.  
Ach! prawdziwa ta poczwara  
Wciąż poluje na komara!”  
Komar z żalem tak powiada  
I do bliżkiej stajni wpada,  
A latając ciągle w kóiko,  
Rad, że skrył się przed jaskółką.  
„Ach! mój Boże!” — komar wdycha...  
„I tu na mnie pająk czyha;  
Wszędzie rozpiął pajęczynę —  
Gdy w nią wpadnę, pewno zginię!...  
Oj, ten pająk, łotr bez serca,  
To owadów zbój, morderca!”  
By uniknąć jego sieci,  
Do pałacu komar leci.  
Pałac, własność to książęca.  
Już tu pająk się nie znęca  
Nad komarem i nad muchą;  
To nie uszłoby na sucho...  
Wszak w książęcój obecności  
Nie dopuszczą takich gości!  
Zawitała już noc szara,  
Ucieszyło to komara.  
Dlań otworem pałac cały:  
Okna światłem zajaśniały.  
Przez okno, bez czasu straty,  
Wleciał komar do komnaty,  
W której światło gorejące  
Dla komara tak jak słońce.  
Komar, blaskiem świec olśniony,  
Wpada w świecę jak szalony.  
Biedny komar w jęj płomieniu  
Stracił życie w oka mgnieniu.

\* \* \*  
Drogie dzieci! czy wy wiecie,  
Że tak bywa i na świecie.  
Jak ów komar tak i człowiek  
Do zawarcia swoich powiek  
Na cierniowej świata drodze  
Bez ustanku żyje w trwodze:  
Czy to zblizka czy z daleka  
Zawsze jedno z nieszczęść czeka.  
Choć przed jednym się uchroni,  
To już drugie za nim goni;  
Niech więc każdy człowiek wszędzie  
W życiu swem ostrożnym będzie!...

T. N.

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Szczypawka zdawała się głęboko przejęta niedolą bliźniego owadu, lzy jęj nawet błysnęły w oczach, co nam pozwala sądzić, że uszczypliwy języczek nie zawsze

jest dowodem złego serca, a nawet często z najlepszym w parze chodzi, chociaż zwykle wskazuje niezbyt staranne wychowanie.

Otóż nasza szczy pawka csuszywszy łyzy na słońcu, po głębokim namyśle zwróciła się z nową radą do stroskanego przyjaciela.

— Jest jeszcze jeden sposób — rzekła — możesz historię twą opowiedzieć jakiemu zacnemu owadowi, któryby się zobowiązał przekazać ją wiernie twym dzieciom.

Motylek, jak zwykle motylek, niestały i zmienny w swych uczuciach, ożywił się i rozjaśnił na chwilę, a potem posmutniał i zachmurzył się znowu.

— Gdzież szukać istoty zdolnej do takiego poświęcenia — zauważył zupełnie już zniechęcony, i spuścił skrzydełka na wzór ludzi, którzy w wątpliwych okolicznościach życia spuszczaają nos na kwintę.

— Przepraszam cię mój motylku, ale prawdziwie niedołęga z ciebie — zawołała szczy pawka zniecierpliwiona, pomimo całego współczucia nieradnością i niedomyślnością przyjaciela. Wszak ogród nie jest pustynią, dosyć tu gwarno, a przypuszczam, że nie zbrakło jeszcze szlachetnie myślących owadów na świecie; w ostatecznym razie — dodała skromnie — nie chcę się narzucać, ale jeśliś mię uważał za godną zaufania, z przyjemnością ci służę...

— Dzięki przyjaciółko — przerwał motyl z zapalem — wracasz szczęście i spokój memu stroskanemu sercu. Jakże ci się zdołam odwdziaczyć, jak podziękować...

— Nie, nie, obejdzie się bez podziękowań — mówiła szczy pawka z zachwycającą godnością: — każdy porządny owad postąpiłby tak samo na moim miejscu. Ale teraz pomówmy rozsądnie: straciliśmy dużo czasu na przyjemnej pogawędce, patrz, słońce wysoko, głodna jestem i muszę się spieszyć na obiad; do widzenia więc, gdy zadzwonią po południu zejdziemy się tutaj i wtedy, opowiesz mi swoje dzieje.

Pożegnali się uprzejmie i pofrunęli każde w swoją stronę, oboje zadowoleni: motyl, że znalazł tak usłużną powierniczkę, szczy pawka, iż będzie miała sposobność usłyszenia czegoś nowego, a zaspakajając własną ciekawość, uczyni przysługę stroskanemu przyjacielowi. Rozeszli się więc w różowym usposobieniu i zapewne obiadek smakował im jak nigdy. Nie przebrzmiały jeszcze w powietrzu ostatnie dźwięki dzwonka, zwołującego wiejskich robotników do pracy, a nasz motylek czekał już na stanowisku. Wkrótce nadfrunęła szczy pawka muskając wesoło w przelocie skrzydełkami liście drzew i wysokie trawy.

— Słowny jesteś, motylku — wołała z daleka — co do mnie spóźniłam się trochę, ale ciepłe promienie słoneczka tak mię ukołysały, że urządziłam sobie pyszną poobiednią drzemkę w kielichu różowego gwoździka, i zasnęłam dłużej niżby należało.

— Ja także w tój chwili przybyłem — odparł motylek — zresztą obowiązkiem moim jest czekać na taką miłą i zachwycającą przyjaciółkę; z twojej strony dosyć łąski, że raczyłaś stawić się na oznaczonym miejscu.

Szczy pawce pochlebity trochę uprzejmie te słówka, ale wiedząc, że pochlebcy motyle chętnie i bezmyślnie

z przyzwyczajenia tylko, prawią czasem grzeczności, a jako rozsądny owad nie chcąc być pomówioną o próżność, udała zupełną obojętność i usadowiwszy się wygodnie na rozłożystym listku. — Opowiadaj motylku, jestem gotowa — rzekła uprzejmie.

— Na początku zaraz przepraszam, jeżeli okażę się rozwlekłym w opowiadaniu, zwykła to wada poważnego wieku, starość lubuje się wspomnieniami minionych, chociażby niezbyt szczęśliwych, ale zawsze owianych urokiem młodości, chwil przeszłej doli.

— Nic nie szkodzi — zawołała szczy pawka — ja bardzo lubię ciekawe opowiadania, zaczynaj, proszę.

Motylek złożył skrzydełka pionowo we właściwy sobie sposób, spojrział w niebo jakgdyby szukając natchnienia w przejrzystych błękitach i po chwili namysłu opowiadać zaczął w te słowa:

— Najdawniej jak sięgają moje wspomnienia, pamiętam się śliczną, pulchniutką, kosmatą liszką, żyłem szczęśliwie bez cienia smutku lub troski na zagonie kapusty, a jedyne moje zmartwienia stanowiły w tym czasie zagadnienia i trudności odnoszące się do sztuki jedzenia. Smakoszem byłem wielkim, a i apetyt przyznać trzeba, miałem wtedy niezwykły.

— Ach wiem, wiem, znane jest wszystkim szkaradne łakomstwo liszek — przerwała szczy pawka pogardliwie.

— Niestety, niepodobna sprzeczać się o prawdę, masz zupełną siusznosc przyjaciółko — zauważył motyl; — rzeczywiście, — mówił dalej, — nie odznaczałem się wówczas wielką wstrzeźliwością: nieraz zdarzyło mi się nadużyć śniadania lub obiadu, wtedy ze względu na zdrowie wychodziłem zwykle na daleką przechadzkę. Pewnego poranku znalazłem wyśmienity listek kapusty, świeży, zielony, błyszczący kropelkami rosy, jednym słowem przedziwny przysmaczek; spożyłem część z prawdziwą przyjemnością, zostawiając resztę na później i swoim zwyczajem wyszedłem przejść się trochę po ciepłym piasku uliczki. Słońce mile przygrzewało, a ja czołgałem się wolniutko, szczęśliwy, zadowolony z siebie i ze światła. W około wszystko się weseliło: owady brzęczały, kwiatki rozchylały swe barwne kielichy i chciwie spijały orzeźwiająca rosę poranku, a konik polny w trawie wesołym śpiewem objawiał swą radość.

— Co za cudny dzień, cóż za uroczyste życie! — wołał wyskakując ochoczo. Chociaż to znany trzpiot i różniliśmy się wówczas w wielu poglądach, ale to jego zdanie podzielałem w zupełności: dziwnie mi było lekko, swobodnie, życie się uśmiechało, a soczyste liście obiecywały smaczny obiadek. Któż mógł przewidzieć, że za chwilę... ach jakże niestałem jest szczęście liszek!... Ale nie uprzedzajmy wypadków:

Przechadzałem się dosyć długo i zamyślałem już o powrocie do domu, gdyż głód dający się coraz dotkliwiej uczuwać przypominał mi, że zdałaby się jakaś przekąska przed obiadem, wtem usłyszałem przeraźliwe głosy ludzi. Zbliźali się, to nie ulegało wątpliwości. Zadrżałem z trwogi i zabierałem się do ucieczki, ale jak wiesz liszki nie odznaczają się zbytnią ruchliwością, zmuszony, w braku motyli skrzydełek, zadawałniać się mojami sześcioma parami łąpek, nie mogłem bardzo pośpieszyć.

Wkrótce ujrzałem obok siebie na ziemi dwa cienie, niemyłne zwiastuny grożącego mi niebezpieczeństwa; wystraszony przyciłem się do trawy, ale nic nie pomogło. Mała dziewczynka z różową buzią i krótkimi włoskami spostrzegła mię zaraz i ucieszyła się bardzo mym widokiem.

(d. c. n.)

## S Z A R A D A.

od Niedolegi dla Promyczka ze Wspólnej.

Pierwszego dziecię zamiast ukłonu używa,  
Drugie na stół podawanem bywa  
A gdy całość odgadnięcie  
Nazwę stolicy mieć będziecie.

## Łamigłówka literowa.

Z liter podkreślonych w następującem zdaniu:  
**ryś** srogi czyha na jelenie z **rogami** i **inne** dzikie **zwie-**  
**rzęta**. wybrać tytuł znanego Pisemka.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go

Homonimu szaradowego:

Ż e b r a k.

Łamigłówki:

1. Kot. 2. Kos. 3. Sok. 4. Sto. 5. Kit. 6. Lot. 7. List.

## Skrzynka do listów.

Droga **Złota Rybko**, istotnie dziwiło nas to dla czego od tak dawna wcale się do nas nie odzywasz. Przypuszczaliśmy, że ci do tego przeskadzają zajęcia naukowe lub zabawa, a tymczasem ty, biedactwo kochane, takie ciężkie masz kłopoty i taką troskę bolesną! Serdecznie współczujemy z tobą, serdecznem słowem radziłyśmy ci ująć ciężaru... aleś ty już sama najlepszy środek ulgi znalazła. Wierzaj, dziecko, kto się całą siłą woli broni zniechęceniu, temu nigdy sił nie zabraknie, bo w życiu ten górą, kto wytrwały i mężny. I dla tego też z radością widząc cię taką, przesyłamy ci nie słowa współubolewania i pociechy, ale słowa radosnego powinszowania, że się poczuwasz do obowiązku być taką, jaką z listu twego widzimy, że jesteś. Jeden z tych poetów naszych, co tak umieją pieśnią wtorować każdemu nastrojowi duszy, ślicznie to powiedział, co mybyśmy wyrazić chcieli:

„Odważnie, dziecko! dzień życia nie wieczność,  
„Przez cierni do palmy — to życia konieczność!...”

**Bluszcz** i **Złota Różeczka** zapóźno przysłały nam wypracowania konkursowe. Dobrze i starannie są napisane, ale... Jego Królewiczowska Mość już sobie wybrała podróżnika na Atlantę!

**Filaretko** miła, wiecie z doświadczenia, że wszelkie pytania dotyczące się **Golałki**, puszczamy mimo uszu. Ta, która pragnie być zwana przez was, **Dobrą panią** czytuje listy wasze i odpowiada na nie, a jeżeli się kiedy kim wyręcza, to osobą, zarówno jak ona, po macierzyńsku was kochającą. Zgadłaś... liściki czekają „kolei”.

Nowy pseudonym **Kukuleczki z Wołynia** wpisaliśmy do księgi pseudonimów; **Wieczory** wyprawiać będziemy.

**Gwiazdkę na zachodzie** dołączyliśmy także do innych **Gwiazdek**; ofiarę dla biednych przyjmujemy z wdzięcznością; numer żądany wysłamy, list w swoim czasie umieścimy; serduszko tój **Gwiazdki** zdobyć pragniemy...

**Kuropatwo z nad Ikopetiu**, minęła już młodość tój, którą zwiecie **Dobrą panią**, ale tem serdeczniejsza miłość jój dla was, którym znowu z kolei śnić się zacznie ów „sen na kwiatach...”

**Głoksynio** kochana, więc i ty już do staruszek przechodzisz? **Liściki** twoje pójdą do druku we właściwym czasie.

**Prawda** śliczny miała pomysł, pocziwego serduszka dowodzący. Winszujemy go jój z całego serca... Zanim odbierzesz nasze odpowiedź, ciekawość twoja zaspokojoną już będzie — my tylko zapewniamy, że „nie naprzykrzusz” nam się listami.

Pracę **Niezapominajki z nad Warty** przejrzymy przy sposobności; dla wiadomości innych ogłaszamy że **Niez.** wypróbowa-  
wszy obu sposobów zasuszania kwiatów, uznała suszenie w piasku za lepsze.

Dla czegożby list twój, **Semitko**, miał zostać bez odpowiedzi? Wszystkie nasze czytelniczki składają miłą nam rodzinę, a jakże tu nie powitać serdecznie takiej korespondentki, która mając lat 11, do trzeciej klasy już idzie?

**Stokrotko z nad Stochodu** są osoby i rzeczy, których zapomnieć się nie godzi, a jednak z cierpieniem i żalem żyć się trzeba... Wiesz, kochanko, z jak serdecznem współczuciem ci to mówimy, dla tego uwierzysz, że to nasze „trzeba” jest z dobrem twym... Pismo, którego żądasz, opłacone; prenumerata roczna wynosi rs. 5; reszta zachowana do dalszego rozporządzenia.

Milutkie moje i ukochane **Cicha Wodo** i **Kopciuszku**! Zapewne myślicie iżem o was już zapomniała, lecz ja wam już oddawna odpisałam równie jak i **Kulce śniegowej**. **Liściki** mój zapewne tylko z powodu braku miejsca tak długo nie jest drukowany. Czy masz rodzeństwo, **Cicha Wodo**? Czy znasz „**Pamiętnik chłopca**” **Amicis’a**. Co porabiasz **Kopciuszku**? Ja prawie codzień zaprzęgam do dwuosobowego powozika myszatą klaczkę i sama powożąc odbywam z mym bratem kilkowieśnowe wycieczki. Przygotowuję się do egzaminów, więc żegnajcie drogie siostrzyczki. **Biała Ostróżka**.

Kochana **Sosenko z nad Wisły**! Bardzo ci dziękuję za zagadkę, która mi się podobała. Co porabiasz? ty, i twoje rodzeństwo? Cieszę się, że jadę do **Kołobrzega**. Odpisz kochającemu cię **Listkowi Bzu**.

Kochane: **Wesoła Krakowianko** **Niezapominajko z Zucisza**, **Kuropatwo z nad Ikopetiu** i **Jagódka podolska**! Wiesz, że jestem blondynką, donieś mi więc o sobie. Czy znasz p. **Domicelę D.**? Cieszę się że chcesz się bliżej ze mną poznać, bo musisz być miłą jak śliczne niezabudki, które lubię bardzo. W **Latyczowie** nie byłam, w **Proskurowie** mieszkam nie dawno, mam lat 11-cie, uczę się w domu przy cioci. Kochana **Kuropatwo** mam trzy siostrzyczki młodsze odemnie i jednego brata swawolnika. Mylisz się, droga **Jagódka** jestem córką oficera. Napisz mi ile masz rodzeństwa? Ścisła was **Blondynka podolska**.

Kochany **Rowrze z krocketu**! Witam cię pierwsza w naszym dzienniku. Donieś mi moja droga czy siostrzyczka zgodziła się już na pseudonym „**Żmudzkiej perełki**”? Jeśli tak, to natychmiast do niej napiszę. Oczekuję odpowiedzi w przyszłym numerze **Wysepka na Rojście**.

**Pomarańczarko Rzymska**! Wielki czuję do ciebie pociąg, i bardzo bym chciała zapoznać się z tobą chociaż listownie. Przedstawiam ci się jako 12 letnia blondynka o krótkich kręjących się włosach i niebieskich oczach. Jestem najczystszej krwi **Ukrainką**, żywą i wesołą. Co lubisz? Ja gospodarstwo, spacer, konie. Czy cię zajmuje „**Pod wpływem błogosławieństwa**”? Mnie najwięcej się podoba „**Branka litewska**” ze swemi opisami zwyczajów starożytnej Litwy. Chętnie bym z tobą jeszcze gawędziła, lecz na to niema miejsca, żegnaj cię więc. **Biała Ostróżka**.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

nie udałoby się także z wodą sodową lub jakąkolwiek gazową, bo i tu przecież gaz ciągle unosi się w górę.



### Doświadczenie fizyczne.

Rysunek przedstawia sztuczkę, która już wymaga przyborów wykwintniejszych, a głównie wina szampańskiego. Wi-no to musuje, bo ma w sobie dużo gazu, gdy więc wrzucimy w nie odrobinę winogron, do powierzchni ziarenek owocu przylegają bulki gazowe i nakształt malutkich baloników unoszą je w górę. Na powierzchni pękają, gronko opada głębiej, tu powtarza się znowu toż samo, i tak owo gronko, ku uciesze patrzących podnosi się raz po raz zwolna i potem znów opada. Nie zawadzi jednak spróbować, czy doświadczenie to

### ŻNIWA.

Już na łanach kłos dojrzewa  
Już przepiórka nagli żąć,  
Owoc już rumieni drzewa,  
Świat pod plonem zda się giąć.

Wnet nadejdzie czas dożynek  
Skrzypka rażno dźwięknie nam,  
Raj dla chłopców i dziewczynek  
Raj jedyny jaki znam!

Niczem wszelkich zabaw blaski,  
I widowisk, balów czar,  
I mdlęj sławy czcze oklaski  
Wśród światowych dziwactw chmar...

Niczem, w obec tej radości  
Jaką żniwa rozkosz technie,  
Gdy wśród swoich i wśród gości  
Sierp i kosa zboże tną.

Niczem... bo ten sierp i kosa  
Przygotują ludziom chleb  
Drogi nam jak ziemi rosa  
I jak światło jasných nieb.

Świeć się złota żniwa poro  
Brzmiąca pieśnią w niebios strop,  
Gdy radością ludzie gorą  
Wiążąc chlebo-dajny snop!

# RYGI-KULM

Wspomnienie z podróży.

Przejeżdżając przez Lucernę, zwiedziliśmy górę Rygi, która znajduje się na przeciwnej stronie jeziora Czterech Kantonów, (Vierwaldstättersee). Chcąc się dostać do jej podnóża, trzeba wpraw parostatkiem dopłynąć do Witznau, z kądem dopiero odchodzi stroma kolej, prowadząca aż do hotelu Rigi-Kulm, który znajduje się na samym szczycie góry. Sam pociąg jest też od zwykłych zupełnie odrębny, wagon jeden zawsze, otwarty ze wszystkich stron, a opatrzone tylko lekkim daszkiem u góry, przypominał mi nasz letni tramwaj warszawski; lokomotywa zaś pod górę nie ciągnie lecz popycha jadących. Trzeci, środkowy rząd kół jest zębaty, i ma odpowiednie szyny, w celu zabezpieczenia od nagłego cofnięcia się pociągu w dół, z powrotem zaś aby umiarkować zbyt silny rozpęd. Pochyłość drogi po której jedziemy, jest nie do uwierzenia ogromna, i na podróżnym sprawia zrazu niemałe wrażenie, zwłaszcza iż z jednej strony, rozciąga się majestatycznie całe jezioro, i ma zda się ochotę pochłonąć nas wszystkich. Jednocześnie jednak jest to tak piękny widok, iż trudno oczu oderwać, od tej masy wód ciemno seledynowego koloru. Tymczasem mijamy stacje jedną po drugiej, aż nareszcie zatrzymujemy się na połowie drogi do szczytu, w Rigi-Kaltbad. Jeden z towarzyszy podróży, objaśnia nas, iż jest to także prześliczny zakątek, gdzie zwykle mnóstwo osób przyjeżdża dla leczenia się zimną wodą. Niechcąc stracić tej sposobności, wysiadamy poznać się z tą miejscowością, aby pojechać dalej następnym pociągiem, który ma iść za godzinę. Na wstępie uderza nas duży Kurhaus, (główny punkt, w którym się urządzają zebrania i zabawy dla gości kąpielowych) z obszernym tarasem zapełnionym, spacerującymi. My jednakże nie tam zdążamy, nęci nas zieloność drzew wychylających się z poza domów, i wypytawszy się o drogę do parku, udajemy się w tę stronę. Jesteśmy zupełnie zadowoleni z wyboru, drzewa są piękne, starannie utrzymane, altanki, grupy krzewów malowniczo rozrzuconych, wszystko składa się na przyjemny widok spacerującym; co jednak najwięcej przyciąga się do ozdoby ogrodu, poczęści swą oryginalnością, to dosyć duże skaliste, czarne odłamy, przypominające trochę węgiel kamienny. Tworzą liczne grotty lub miniaturowe góry, mienia się one prześlicznie w słońcu, gdyż woda się z nich sączy, i gdzieś tam tworzy nawet małe strumyki. Sliczna to miejscowość, to też godzina upłynęła nam jak chwila i nie chciało się jechać dalej. Zatrzymawszy się już tylko w Rigi-Staffel, stanęliśmy nakoniec na samym szczycie. Stacja jest cokolwiek niżej umieszczona niż hotel, chcąc więc ujrzeć całą panoramę w około, trzeba iść jeszcze pod górę kilkadziesiąt kroków. Tu z jednej strony widać całe jezioro spokojne, ciche, możnaby myśleć iż to jedna olbrzymia tafla szklana, gdyby nie lekki wietrzyk, który je marszczy w zaledwo dostrzegalne fale. Zdaleka widać mały punkcik czarny, nad którym po chwili dostrzegamy lekką chmurkę, coraz to wyraźniej rysującą się kształty parowca, aż nareszcie kiedy się zbliża do Witznau, które jest teraz u stóp naszych, można już dokładnie rozróżnić namiot na pokładzie, i pasażerów mierzących okiem z niecierpliwością przestrzeń, jaka, ich dzieli od upragnionego celu wycieczki. Z drugiej strony dwa jeszcze jeziora otaczają pierścieniem łańcuch Rygi; są to: Lowersee i Zugersee, są one o wiele mniejsze od poprzedniego, szczególniej pierwsze... Dalej widzimy olbrzymią przestrzeń zasianą masą gór większych; są one zupełnie odmienne od Alp tyrolskich, o ile tamte są nagie, po większej części wapienne, a więc białe, te pokryte zielonością stanowią przyjemny dla oka widok, szczególniej gdy słońce wynurzy się w całej pełni z poza obłoków, i ożłoci swymi promieniami ich szczyty. Zabawnym jest mieć tuż blisko nad głową chmury, właśnie gdyśmy się już zabierali do odwrotu, jedna z nich zniżyła się jeszcze bardziej, i w postaci nadzwyczaj gęstej mgły, okryła cały szczyt góry taką ciemnością, iż o kilka kroków nie można było nic rozpoznać. Wyobrażam sobie iż owe sławne mgły na

ulicach Londynu, muszą być podobnymi do tej. Hotel jest ogromny, o dwóch skrzydłach, zapewne jednak nigdy nie brakuje tu lokatorów, gdyż niema dnia w którymby nie przybywał na Rigi-Kulm tłum gości, podziwiających wschód słońca. Przeważnie można tu spotykać Anglików, poowijanych w grube pledy, i z takim przejęciem wpatrujących się w obraz jaki mają przed oczyma, iż pewno żadna ludzka siła, nie zdołała by oderwać choć na chwilę ich wzroku, od podziwiania tych arcydzieł natury. Trochę wyżej jeszcze od hotelu, handlarze rozstawili swoje stolice z rozmaitemi przedmiotami tutejszego wyrobu, jak np. obsadki do pisania z widocznym hotelu Kulm, lub fotografii całej drogi spadzistej, sprzedają także wiązanki górskich szarotek, (Edelweiss) że zaś każdemu przyjemnie mieć jakąś pamiątkę z odbytej wycieczki, zręczni kupcy korzystają z tego i ceną podwójnie każdy drobiazg. Tak się tu przyjemnie czas spędza, coraz to nowe odkrywając cuda, iż ze smutkiem żegnałem tę miejscowość, aby w dalszą się puścić wędrówkę.

Z. P.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

— Wspomniałeś pan jeszcze trzecią osobliwość, którą wiesz, cóż to jest takiego?

— Jaszczurka rogata, *Metopoceros cornuta*, rodem z San Domingo.

— Do licha! nie wiedziałem że są jaszczurki rogate. Pokażże ją pan!

— Bardzo chętnie— odrzekł Tygrys i zawołał na majtkę, który wkrótce przyniósł w klateczce napelnionej ziemią wilgotną i trawą, to oryginalne stworzenie.

Przypomniało mi ono staroświeckie malowidło widywane w korytarzu kościoła Dębowej Woli. Malarz mający widocznie fantazję bardzo bujną, a znajomość zoologii bardzo małą, przedstawił na niem piekło — a w tem piekle, wśród potężnych wyglądających z czerwonych płomieni, uwijały się krety z koguciami głowami, ryby ze skrzydłami i nietoperze z ludzkimi twarzami. Nieraz gdy przypatrywałem się temu obrazowi, włosy stawały mi na głowie. Owa jaszczurka, małe stworzenie, potwornie wyglądało. Na przodzie głowy, sterczał jej wyrostek w kształcie rogu, a od dolnej szczęki opuszczała się fałda ze skóry, podobna do sztywnej brody wykutej z kamienia. Oprócz tego, po obu stronach pyska zwisały się obszerne torby, przeznaczone prawdopodobnie do przechowywania pokarmów. Spłaszczony ogon służy jej pewnie do obrony. Wrażenie jakie uczyniła na mnie ta jaszczurka, było zarazem potworne i śmieszne.

— Czem ona żyje? — zapytałem Tygrysa.

— Owadami podobno, chociaż całą drogę częstowałem ją surowem mięsem, listkami kapusty i nie pogardała nimi. W ojczyźnie swęj mieszka w norach podziemnych. Strasznie wygląda, nieprawdaż? Ale nie sądzicie jej z pozorów; jest to stworzenie niewinne i łagodne. Napadnięte najczęściej ucieka, a gdy widzi że ucieczka jest niemożliwą, stara się przynajmniej swoją powierzchownością odstraszyć napastnika, co też w niektórych razach skutkuje.

Ponieważ wiem trochę rysować, więc zdjąłem naprędce wizerunek jaszczurki i posyłam go Szanownej Redakcyi. Może się na co przyda.

Słońce, acz coraz częściej chowające się za chmury, odbyło już połowę swęj drogi dziennęj; zbliżała się godzina obiadowa. Zastawiono stół na pokładzie, i wszystko na co tylko spiżarnia okrętowa zdobyć się mogła, umieszczono na nim — a więc ryby morskie zimne i gorące, jaja mew, konserwy owocowe w puszkach, homary, crewety, szynkę wędzoną,



Jaszczurka rogata.

i gotowaną, obfitość wina i porteru. Wznoszono toasty za pomyślność trzech monarchów, a przy każdym Mewa najobficiej zaopatrzona w amunicję, dawała ognia. Po obiedzie pożegnaliśmy gościnnego gospodarza, i każdy powrócił na swój okręt. Płynęliśmy odąd razem: najprzód Mewa, potem Ametyst, a na ostatku Narcyz.

Ale dzień nie miał się skończyć tak wesoło, jak się był zaczął. Na widnokręgu zebrały się chmury czarne i groźne, zerwał się wiatr, a na powierzchni morza dotąd tylko w drobną marszczącego się łuskę, pojawiły się większe fale. Po chwili wiatr ustał i statek posuwał się zwolna, kapitan jednakże stał ciągle na pokładzie, badając stan nieba, a na twarzy jego widziałem niepokój. Jakoż wkrótce wiatr zerwał się znowu i silniejszy tą razą niż poprzednio, od wschodu, my zaś płynęliśmy w kierunku zachodnim. Pierwszy raz wtedy zobaczyłem jak wygląda morze wzburzone i zaczęło mnie ogarniać poczucie grozy położenia. Okręt może zatonać i wszyscy zginemy!

Statek zaczął się gwałtownie kołysać, a kołysanie to sprawiło mi ból głowy, mdłości i dziwne osłabienie. Obawiając się ataku choroby morskiej, której dotąd szczęśliwie uniknąłem, a słysząc niejednokrotnie że ruch i praca na świeżem powietrzu, są najlepszymi do zwalczania jej środkami, prosiłem kapitana aby mnie użył do obsługi okrętu. Jakoż po jakimś czasie zrobiło mi się lepiej.

Kapitan kazał zwinąć wszystkie żagle, i kołki ich ściągnąć pod żagiel bocianiego gniazda — tak zowie się siedzenie z desek i sznurów na głównym maszcie. Bałwany co chwila uderzały o pokład. W pół godziny potem na niebie zrobiło się tak czarno, że nic nie było widać prócz pasów świetlnych, ukazujących się tu i owdzie na falach, a wywołanych przez fosforescencję morza. Oslepiające błyskawice przesywały co chwila ciemności, huk gromów i ryk oceanu, nie pozwalały często słyszeć rozkazów kapitana, nareszcie otworzyły się upusty niebieskie i lunął deszcz. Przy świetle tych błyskawic, widzieliśmy czasami Ametysta, ale Mewa nie było jakoś widać. Tamarix stał przy busoli, ale rażące światło błyskawic bez przerwy następujących po sobie, przeszkadzało mu ją obserwować. Zbliżyłem się do niego, usiłując także coś zobaczyć, ale padłem jak długi na ziemię. Gwałtowne uderzenie fali zalało pomost i przechyliło statek na bok. Kapitan sam stanął przy sterze a majtków posłał na maszt, rozkazując zwinąć wielki żagiel. Wspólnymi siłami zdołali go opanować, poczem okręt powoli zwrócił się pod wpływem steru, którego drąg pod

wiatr obrócono. Teraz statek pędził jak szalony, uciekając przed burzą, ciągle jednak jeszcze zostawał cokolwiek na bok przechylony.

Gdy pierwsze niebezpieczeństwo zostało zażegnane, kapitan zawołał.

— Chodźmy teraz zobaczyć co się dzieje z ładunkiem. Zbiegliśmy ze światłem po schodkach na spód okrętu, a tam wszystko znajdowało się w okropnym stanie. Ziemia ze skrzyży powysypywana, wspaniałe rośliny poprzewracane, niektóre nawet połamane, tylko drogocenny storczyk, zapakowany w kozkowy futerał, ściśle do swego kształtu i wzrostu zastosowany, nic nie ucierpiał. Parę godzin pracowano nad przywróceniem wszystkiego do porządku.

Późno już było i kapitan namówił mnie żebym poszedł spać. Potłuczony, zmoczony do nitki, usłuchałem go chętnie, i zmówiłem psalm:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu,  
A całym sercem szczerze ufa Jemu,  
Śmiało rzec może, mam obrońcę Boga  
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”.

Uspokoilem się potem zupełnie, ale długo zasnąć nie mogłem, i słyszałem jak burza na zewnątrz huczała z całą gwałtownością.

Nazajutrz wstałem bardzo rano i wyszedłem na pokład. Wiatr dał jeszcze chwilami, ale morze stopniowo zaczęło się wygładzać, a kapitan oświadczył, że barometr idzie w górę i że będziemy mieli pogodę. W godzinę potem uspokoiło się zupełnie; Narcyz rozwinął znowu wszystkie żagle. W czasie burzy zboczyliśmy trochę z drogi, ale teraz płynęliśmy już we właściwym kierunku. Patrzyłem zadumany w głębinę oceanu, żałując że nie jestem kapitanem Nemo, o którym czytałem w powieści Juliusza Verne'a p. t. „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi” — i nie mam na swoje rozkazy Nautylusa, przez którego szklaną ścianę można było, siedząc wygodnie w salonie, przypatrywać się podmorskim krajobrazom i śledzić zamieszkujące je istoty. Myślałem o fantastycznych i barwnych wodorostach, o rybach dziwacznych kształtów, o olbrzymich potworach z paszczą szeroką ostremi uzbudzoną zębami, o zwierzętach podobnych do roślin, o ich cudownej organizacji pozwalającej im żyć w głębokościach kilku tysięcy stóp i znosić olbrzymie ciśnienie wody. Wyobrażałem sobie że spuszczonej w ubiorze nurka na dno, chodzę po wyspach koralowych, po lasach wspaniałych wodorostów, pośród zwierząt dziwacznych i upatruję muszli wytwarzających perły, wśród łagodnego zmroku rozjaśnionego blaskiem fosforycznym, którym świecą różne odmiany wycieczek i inne organiczne istoty wydzielające światło, tych zaś podobno odkryto około stu gatunków. Najwięcej zaś myślałem o pewnym gatunku krynoidów, czyli lilij morskich, o których czytałem, że umocowane do dna morskiego, na delikatnej ruchomej sypulce, rozwijają rodzaj kielicha ze ściągłych macków, rozmieszczonych naokoło jamy ciała, a przedstawiających zarazem gębę, żołądek i wnętrzności.

Gdy tak rozmyślałem usiłując przeniknąć wzrokiem tajemnicze głębie oceanu, ciekawe widowisko uderzyło mnie. Musieliśmy być nie tak znów bardzo oddaleni od lądu, bo ptactwo wodne, mewy, rybitwy, albatrosy, których wczoraj nie widziałem, pojawiły się w wielkiej ilości. Niektóre z nich dotykały wody piersią tak blisko, jakby szły po niej, a skrzydła ich lśniące, błyszczały jak srebro w promieniach słońca. Lećąc, wydawały chwilami głos twardy i niemidy. Nie to jednakże mnie dziwiło, ale wygodny sposób odbywania podróży jaki sobie obmyśliły. Siadały poprostu na grzbiecie większych ryb niby na statek i tak podróżowały bez trudu. Jeden taki statek przepłynął koło nas: było to oryginalne zwierzę, mające na grzbiecie i głowie szereg najeżonych kolców. Ptak siedział na jego głowie i grzebał dziobem między temi kolcami, jakby tam czegoś szukając. Wyjąłem z kieszeni małą, kieszonkową lunetę, którą mnie stryj obdarzył i zwróciwszy szkło, na ten punkt, spostrzegłem że była tam szpiżarnia nielada. Slimaki, kraby, krewetki, nawet małe rybki powięzły w kolcach, po-

przyczepiały się do chropowatej skóry, jak się przyczepiają do boków okrętu lub skał, żyjąc tam jakby u siebie.

Zapytałem kapitana o nazwę zwierzęcia i dowiedziałem się że to jest wielka jaszczurka morska *Amblyrhinctus cristatus*, żyjąca w podwodnych krainach, gdzie żywi się roślinami. Jak wieloryb, musi ona wypływać na powierzchnię dla oddychania, choć mozędluziej pozostawać w wodzie, niż on.

— A mewy i albatrosy, panie kapitanie, czem się żywią?

— Poszukują w rozpadlinach skał ślimaków, grzebiąc w piasku, szukają robaków i krabów, nawet muszli, dobywając ich mieszkańców haczykowatymi dziobami. Biada ostrzydze, która dość wcześnie nie zamknęła swoich drzwi, lub ślimakowi wyzierającemu ciekawie dla zobaczenia co się dzieje! Ptaki te tak są żarłoczne, że aby je schwytać, dość jest zbliżyć ku nim przynętę. Polykają chciwie wszystko i lecą zwykle za okrętami, żeby pochwycić resztki jedzenia.

— Jakież one podobne do naszych kaczek!

— Podobne, ale mięso ich nie jest tak smaczne, jak mięso kaczki; twarde, łykowate, tylko w wielkiej ostateczności może być użyte, ale jaja za to są wyborne, jak sam dziś miałem sposobność się przekonać. Dzięki żarłoczności tych ptaków, wybrzeża morskie są oczyszczone z ryb, mięczaków, muszli i skorupiaków wyrzucanych przez burzę, które, gnijąc, zarażałyby powietrze. Pełnią one swoje zadanie lepiej niż najtroskliwszy komitet sanitarny; tak już Bóg urządził, że każde stworzenie może się czemś przyczynić do ogólnego dobra.

— Co to jest? — zawołałem zdumiony, spostrzegłszy okrągłą błyszczącą masę, podobną do tarczy księżycy — księżyc odbija się w wodzie, i to teraz, w samo południe!

— A gdzie? — zapytał.

— Tam — odrzekłem wskazując ręką.

Kapitan rozśmiał się.

— Przypatrz-że się temu księżycowi, bo płynie prosto na nas.

Księżyc rzeczywiście podpłynął ku okrętowi, i zobaczyłem że jak na ciała niebieskie od wieków wystygłe, zachowuje się bardzo lekkomyślnie. Wywraçał poprostu koziołki. Nadto miał dwie pletwy po bokach, i płynąc obracał się w koło siebie tak, że raz jedna pletwa, raz druga była na górze. Jechał na nim także skrzydlaty pasażer i ten zmuszony był ciągle podskakiwać, gdy ekwipaż uważał za potrzebne zanurzyć się. Nie mogłem się wstrzymać od śmiechu patrząc na to. Jazda taka, co prawda, nie musiała być wygodna.

— Ryba ta nazywa się Samogłów, *Orthogoriscus mola*, a także zowią ją, *rybą księżycem*, z powodu jej kształtu i blasku fosforycznego, wydobywającego się w nocy — rzekł kapitan, pochodzi on od nasycającego ją tłuszczu.

— Szczęśliwe ptaki — zauważyłem — gdy przyjdzie im ochota do podróży, wybierają się bez bagaży, bez innego przewodnika prócz Pana na Niebiosach i w każdym kraju do którego przybędą, znajdują gościnność. A choć w gościnie mają niebo piękniejsze, przyrodę bogatszą i pożywienia obfitość, wracają jednak do ojczyzny, jak naprzykład mewy i albatrosy żyjące w lodowatych krainach Północy.

— Bo każde stworzenie żyjące ciągnie zawsze do miej-

sca w którym zaczęło żyć, i ptak nawet czuje co jest ojczyzna, choć tego może nie rozumie.

Gdy kapitan to mówił, stanął mi przed oczyma kraj rodzinny, a w nim Dębowa Wola, cmentarz i mogiła, na której teraz nie miał kto kłaść stokrotek... Wtem sternik wielkim głosem zawołał.

— Wieloryb!

Wszyscy skupili się przy burcie i wlepili wzrok w morze: mnie samego zelektryzowała ta wiadomość. Po chwili spostrzeżliśmy ogromne czarne cielsko. Nie będę go opisywał szczegółowo, bo któż go nie zna z opisów? powiem tylko że siedziała na nim cała gromada pasażerów i wyglądał jak olbrzymi omnibus. Był to właściwie delfin.

— Ciekawy jestem gdzie też teraz obraca się Mewa i Ametyst — odezwał się kapitan — w czasie burzy straciłem ich z oczu.

Jakby w odpowiedzi na to zapytanie, majtek siedzący na bocianiem gnieździe zawołał.

— Okręt!

Kapitan popatrzył przez lunetę i rzekł.

— To jest Mewa, poznaję ją, Mewa płynąca w odwrotnym kierunku. Dziwna rzecz! Musiało się stać coś złego z Ametystem... Czyżby się rozbił o skały? Niedaleko ztąd są tak zwane...

Wyteżyłem uwagę w nadziei że teraz właśnie dowiem się czegoś, ale kapitan nie dokończył. Dnia poprzedniego zauważyłem też, że mapy które poprzednio widziałem w kajucie kapitana, zniknęły. Mewa płynęła prosto na nas. Gdy już zbliżyła się na taką odległość, że można było nawzajem widzieć się i słyszeć, zobaczyliśmy Tygrysa stojącego na pokładzie w postawie zropaczonój. Błady był, ponury, a długie jego włosy wczoraj starannie ułożone, rozsypały się dokoła twarzy w nieładzie.

— Niestety! — jęknął załamując ręce.

— Na Boga, kapitanie — zawołał Tamarix — co się stało? Czy Ametyst zatonął?

— Ametyst dobija już pewnie w tej chwili do brzegów Atlanty — odparł ponuro — jest cały i zdrow.

— A więc co się stało? Dla czego zawróciliście z drogi? Mówże pan, do kroćset!

— Żaba latająca... — wyjąknął.

— Zemdląła, czy dostała morskiej choroby?

— Ach, gorzej, stokroć gorzej! W czasie burzy zniknęła. Strzegłem jej jak oka w głowie, a mimo to niema jej. Znalazłem czarę przewróconą, wieko od niej stłuczone, wodorostry i mech leżące na ziemi, ale żaby nie znalazłem. Przeszukałem cały okręt, każdy zakątek... ani śladu!

— No, przepadł order — mruknął Tamarix — ależ to jeszcze nie nieszczęście. Zab dzięki Bogu jest więcej na świecie. Każ pan zawrócić statek i popłyniemy razem.

— Nie, za nic w świecie! Nie odważyłbym się pokazać królewiczowi na oczy. Chcę pana prosić kapitanie o koleżeńską przysługę: zabierz pan na swój okręt jaszczurkę rogatą i zakonnice, bo ja powracam do Afryki po drugą żabę.

Tamarix próbował nakłonić Tygrysa do zmiany posta-



Samogłów.

nowienia, nazywał je nierozsądnym, śmiesznym nawet, ale tamten był nieugięty. Przyjęliśmy więc jego ładunek i rozstaliśmy się.

Jechaliśmy tak dzień cały wśród najpiękniejszej pogody; ja prawie nie opuszczałem pokładu, nie mogąc się nacieszyć majestatycznym widokiem spokojnego morza. Nareszcie nad wieczorem kapitan śledzący coś od kwadransa przez lunetę, spojrział na mnie i rzekł:

— Atlanta!

Serce mi zaczęło bić gwałtownie. Postacie wszystkich trzech królewiczów i ich małżonek znane z listów Abrakadabrusa, stały mi przed oczyma jak żywe, zwłaszcza królewicz Zielonko, który był dla mnie najsympatyczniejszym ze wszystkich i Jagódka. Obawiałem się tylko czy nie sprawię na nich niekorzystnego wrażenia. W Dębowej Woli często nazywano mnie mrukiem, dla tego że nie umiałem być wesółym jak Tadzio i Adaś. Była chwila, że cała ta podróż i los jaki mi wypadł, wydały mi się czemś nieprawdopodobnym. Jakto, ja, taki sobie zwyczajny Janek, mam być posłem i paziem królewskim? Czyż to być może! Prosiłem kapitana żeby mi

dabrusa i zobaczyłem wieżę wraz z balkonem zwieszonym nad morską otehlanią, a na balkonie jakąś postać wysoką, szlachetną, w szatach wschodnich, z białą brodą spadającą na piersi. Promienie zachodzącego słońca, padały z góry na tę postać, która też wydała mi się niezmiernym zjawiskiem.

Widząc że Narcyz opuszcza flagę do połowy, spytałem kapitana co to znaczy, na co odpowiedział mi, że szlachetnemu mistrzowi, który był nauczycielem królewien, z woli królewiczów oddają się królewskie honory.

Minąwszy pałac i górzyste krainy królewicza Kryształka, jechaliśmy wzdłuż łąk cudownej zieloności, wśród których błyszczały zwierciadła jezior i stawów. Na łąkach pasły się liczne trzody i stada koni: domyśliłem się że to jest państwo Pióropuszką. Nieopodal, nad morzem także, wznosił się gmach niesłychanej okazałości, istny klejnot, koralowy pałac tego monarchy. Trudno opisać fantastyczne kształty tego pałacu, wyglądającego jak obraz z bajki czarodziejskiej. Podobne to było do grotty, do ruin zamku średniowiecznego, i już nie wiem do czego. Myślałem że kapitan każe tu zarzucić kotwicę, żeby złożyć ładunek powierzony mu przez Tygrysa,



Wieloryb.

pozwoił wejść na bocianie gniazdo, tak gorąca paliła mnie ciekawość ujrzania tajemniczej wyspy. Nie opierał się temu, bez względu więc na moją godność poselską i prawo do tytułu ekselencyi, wywindowałem się na maszt, bo niezłym byłym gimnastykiem, ale nie zaraz spostrzegłem ziemię. Widziałem wielkie ławy wodorostów, które okręt omijał, wiedząc że są oznaką skał podwodnych, widziałem chmary ptactwa siadające na nich i goniące za nami z wielkim krzykiem i wrzaskiem, nareszcie wzrok mój rozróżnił niewielką zielonawą plamkę na widnokregu, która powoli zwiększała się coraz więcej, więcej i więcej.

W miarę jak przybliżaliśmy się do niej, coraz silniejszy ogarniał mnie zachwyt. Zdala już przykuwała wzrok malowniczymi zarysami swoich gór, których ostre szczyty, pokryte tu i owdzie śniegiem, miały stoki ciemno zielone, lasem iglastym porośłe. Nad samym brzegiem morza, na skale, widniał wspaniały pałac z białego marmuru, którego dach złocisty odbijający się w promieniach słońca, sam wyglądał jak słońce. W zatoce na kotwicy, stał dobry nasz znajomy, Ametyst. Ale Narcyz ominął tę zatokę, żeglując dalej wzdłuż wybrzeża. Gdy mijaliśmy pałac królewicza Kryształka, szukałem wzrokiem owę wieżę narożną, gdzie ma być mieszkanie Abraka-

ale powiedział mi, że obowiązkiem jego jest stawić się najprzód w Różanym gaju.

Jeżeli dotąd brzegi Atlanty, wprawiały mię w zachwyt, to widok królestwa Zielonki takie sprawił na mnie wrażenie, że słowa wymówić nie mógł. Całe wybrzeże, cały kraj, jak daleko okiem zasięgnąć, jest jednym wielkim ogrodem. Zdaleka widać było wspaniałą zatokę, i z pośród drzew różanych wyglądający pałac królewicza Zielonki, cały zbudowany z drzewa, w stylu nawpół szwajcarskim, pół norweskim, lekkim i wdzięcznym, z wysmukłymi wieżyczkami, gankami otoczonymi delikatną koronkową rzeźbą, ze ścianami gładkimi, błyszczącymi jak atlas, tu i owdzie pokrytymi wijącymi się roślinami. Tu Narcyz zarzucił kotwicę.

Jestem więc już w Różanym gaju, zupełnie usprawiedliwiający swoją nazwę obfitością róż dokoła niego rosnących. Pomieszczono mnie w bocznym pawilonie, przeznaczonym dla posłów zagranicznych, gdzie także podobno zamieszkał poseł indyjski. Pokoik mój ma okno wychodzące na przeszliczny kwiatnik kobiercowy i grupę świerków. Ściany są ozdobione malowaniami przedstawiającymi płataninę kwiatów, między którymi dziwnym trafem najwięcej jest stokrotek; meble wszystkie z różanego drzewa, spełniają jedną z obietnic



królewicza Zielonki wyrażoną w liście do Redakcyi Wieczorów: będę sypiał na różach. Na stole stoi przepyszny bukiet złożony z róż herbatnich, rezedy i heliotropu — to znów spełnienie drugiej obietnicy królewicza: będę wachał najwonniesze kwiaty.

Zaledwie się rozgościłem, przyniesiono mi obfitą wieczere, w którą składało się także królestwo Pióropuszką, bo oprócz owoców, jadłem ryby i zwierzynę. Pod koniec wieczery, odwiedził mnie marszałek dworu, hrabia Lilium Martagon, bardzo miły staruszek, siwy już zupełnie. Wyraził nadzieję, że mi tu będzie wygodnie i oznajmił, że jutro rano będę miał u królewicza posłuchanie. Dodał też, że jeżeli zechcę wysłać list do Warszawy, abym go o tem zawiadomił, bo przysłał mi nadwornego fotografa dla zdjęcia z listu odbitki w zmniejszonym formacie, na bardzo cienkim papierze, żeby gołębia pocztowego za bardzo nie obciążał. Podziękowałem mu uprzejmie i oświadczyłem że dzisiaj jeszcze mam zamiar pisać.

Gdy odszedł, zabrałem się zaraz do listu; znalazłem na biurku bogato inkrustowanem, wszelkie przybory do pisania. Pierwszym jednak przedmiotem jaki tu oczy moje uderzył, była duża koperta zaadresowana do mnie i opatrzona królewską pieczęcią. Otworzyłem ją z ciekawości: zawierała ona moją nominację na przybocznego paza królewskiego, spisaną po łacinie. Śnać królewicz ze względu na moją nieznaną języczka atlantyjskiego, użył języka naukowego, znanego w całym świecie. Co jednak najwięcej na tym papierze przykuło mój wzrok, to znajdująca się u dołu data 30-go lipca; że zaś wyjechałem z Warszawy dnia 26-go, przeto podróż moja trwała dni cztery. Tylko cztery! Znajduję się zatem w Europie, gdzieś bardzo blisko stałego lądu.

*Janek sierota.*

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Jako — z przerażeniem zawołał pan Thorn — czyliżbyś im powiedział istotny cel naszego tu przybycia?... że ci się tak z pomocą ofiarowali?

— Nie; o buncie wewnątrz kraju i o porwaniu młodych naszych państwa, ani słówkiem nie wspominałem...

— Dla czegoż więc ów spokojny pracowity rolnik pokazywał ci broń ukrytą w skałach, i czemu tak długo bawiłeś, jeżeli chaty są tylko o pięćset kroków od nas odległe, i nade wszystko, dla czego tak jakoś dziwnie opowiadasz, wahasz się i namyślasz jak to wcale nie jest twoim zwyczajem?

— Oto dla tego, panie mój, że jest w tem wszystkim coś skrytego, czego sam nie rozumiem i przeto boję się panów i towarzyszy narazić albo nawet zgubić, a tymczasem jak tylko sam tam byłem i powiedziałem że mam towarzyszy to już po części was naraziłem; a z drugiej znowu strony, nuż to wszystko tylko tak mi się wydaje, a właściciel chaty jest istotnie poczciwy krajowiec, znający świat i jego sprawy, tylko nie dalej jak koniec własnego nosa i krańce swego ryżowego pola?... Toż to niedorzeczność w takim razie będzie, jeżeli tu się nie osiedlimy tymczasowo, bo właśnie stary hindus coś niewyraźnie napomyka, że tu właśnie gdzieś w pobliżu jest mała nieznaczna zatoka, stale uczęszczana przez handlarzy niewolników...

— Jako!... a więc tu także dostarczanoby niewolników na sprzedaż z okolicy?...

— Tak on daje do zrozumienia...

— Ależ w takim razie rzecz skończona! Nie mamy wyboru, tu musimy się zatrzymać i ztąd działać: handlarze niewolnikami tak na morzu, jak na lądzie zanadto są tropieni i ścigani, aby mogli swobodnie handel swój prowadzić, mało mają miejscowości ku temu dogodnych, a jeżeli gdzie taką

znajdą, to z bardzo daleka do niej dążą. Ta pusta okolica bardzo nawet wygląda na takie straszne dzikie targowisko. Wszystkie szanse są za tem że jeżeli gdzie, to tu właśnie hindusi przyprowadzą Klarę i Wilhelma. Tu musimy pozostać. Prowadź nas do chaty! — mówiono.

— Panie, a jak tam jest co niedobrego?

— Co takiego?

— Otóż to bieda że nie wiem. Dla tego właśnie tak długo tam siedziałem, pozwalając się zatrzymywać, bo on mię zatrzymywał i częstował daleko hojniej, niżby z pozorów jego gospodarstwa wnosić należało. Chciałem go nieznacznie wybadać, a teraz zdaje mi się że i on o toż samo się kusił; tańcowaliśmy oba tak około siebie, i ostatecznie ja nic pewnego nie wiem, tylko mam przecucie i podejrzenie czegoś niedobrego.

— Cobądź jest — rzekł pan Mac'Ulm — musimy tu spocząć, bo stare nasze kości po tylu trudach i nocach pod gołębniem domagają się tego koniecznie, zresztą jeżeli tylko podejrzanym człowiekiem wie, że tu jesteśmy, nie wiele ryzykujemy wchodząc do jego chaty. Nakoniec przypuszczenie mnię więcej prawdopodobne, że tu właśnie spotkamy nasze dzieci, przeważa ostatecznie wszelkie wahanie.

— A więc nabij broń na nowo, opatrzwszy ją starannie i idźmy w imię Boże do chaty, bo nie zyskamy nic ukrywając się w tych zaroślach, a w tej okolicy pozostać musimy. Owszem, nawet łatwiej nam będzie tam na miejscu przypilnować jęj mieszkańców i dopatrzeć co nam od nich grozić może.

W pół godziny później, mała gromadka podróżna dążąc ciągle pod górę ku dzikim, skalistym złomom, wznoszącym się tu i owdzie na wybrzeżu zwieszonem prawie nad falami, roztrącającymi się o ich stopy, weszła w zaułki skalne, gdzie nikt nie spodziewałby się ludzkiego siedliska, ujrano w zakątku dwie nędzne, ale rozległe budy, jaskółczym nieledwie sposobem ulepione z błota, zalegającego miejscami u stóp skał, i z przeróżnych szczątków okrętowych przez morze zapewnione niekiedy wyrzucanych. W obu chatach było tylko dwoje mieszkańców, ani jednego dziecka, co odrazu uderzyło podróżnych; oprócz tego uderzającym było, na co prostoduszny Mahora wcale nie zwrócił uwagi, że oboje, mąż i żona nie byli właśnie bardzo pospolitymi krajowcami jak to jemu się zdawało, przywykłem do towarzystwa wykształconych ludzi. Hindus miejscowy na widok gości swoich, bacznie się im przypatrując, zdawał się trochę zdziwiony; mimo to przyjął ich chętnie, oddając, do użytku jedną chatę, prawie pustą. Anglicy potrzebowali spoczynku i gotowanego pożywienia, którego od kilku dni i nocy nie używali; jedno i drugie dostarczono im w warunkach daleko lepszych niż można się było spodziewać; hinduska brudna jak murzynka, okazała się niepospolitą kucharką jakimi zwykle bywają murzynki, zapasy zjawyły się na zawołanie z głębi schówków jakichś tajemniczych. Po obfitym obiedzie wszyscy legli do snu pokotem, sam tylko pan Thorn pozostał pod powiewającą łachmanami werendą, z kądem przepyszny widok otwierał się na cały niezmierny obszar morza. Hindus-gospodarz usługujący ciągle gościom jakby najpospolitszy francuzki, lub niemiecki oberżysta, zjawił się natychmiast z butelką portweinu tak dalece prawdziwego i czystego, że Thorn osłupiał z podziwu kosztując tęgą doskonałości, której był znawcą, i obiecał sobie mieć się podwójnie na ostrożności z gospodarzem tak bystrym w ocenianiu gości swoich.

Przyjacielska ale istotna uległość, jaką wszyscy podróżni okazywali Thornowi nie uszła oczom Indyanina, uważał starca za przywódcę i wyraźnie teraz okazywał chęć do gawędki na osobności, przygotowując z ręcznic sposobność ku temu.

Te manewra zauważył pierwszy Mac'Ulm i zwrócił uwagę, radząc korzystać z chwili i copędzj starać się dowiedzieć co ma na myśli dziwny gospodarz:

— Kładźmy się spać copędzj kiedy on nas tak na to namawia, a ty przyjacielu sam na sam staraj się go wyciągnąć na słówko.

— Dobrze, ale ty połóż się tuż u wejścia, abyś mógł słyszeć co mówić będziemy, dwa rozumy i cztery uszy nie zdają mi się za wiele na tego chytrego poganina... — kręcąc głową od-

parł Thorn, który również jak Mahora podejrywał gospodarza coraz bardziej, nie wiedząc wszakże o co; skosztowawszy portwina zjawiającego się dla niego jedynie, machnął już tylko ręką znacząco:

— Gruby tu jest jakiś interes, w którym łotr ten spodziewa się we mnie współnika.

— Niezłe wino? he?... — spytał Indyanin przymrużając jedno oko figlarnie, gdy ujrzał się sam na sam ze starym Anglikiem, a nieudane chrapanie Johna i jego towarzyszy dowodziło, że znużeni podróżni wewnątrz chaty nie tracą czasu.

— Dobre!... patrzaj!... tamci już śpią!... ot to się pomęczyli chłopaki! — odparł Thorn, nie żartem zdziwiony talentem Johna, który jeść i spać mógł bezwarunkowo na zawołanie, w każdej porze dnia i nocy. Gospodarz wsparty o stół jedną ręką, stojąc naprzeciw siedzącego gościa, spojrział w tej chwili znaczącem na niego wejrzeniem z pod oka, i pochylając się doń przez stół spytał szeptem:

— Czy oni... wszyscy?... — zapytany, z pewnością nie wiedziałby co odpowiedzieć na niepojęte pytanie, gdyby nie przesyłał mu na myśl wiadomości, otrzymane przez Mahorę od tego oberżysty, a dotyczące handlu niewolnikami na pustem otaczającym wybrzeżu: błyskawiczne światło oświeciło nagle umysł doświadczonego człowieka.

— Oprócz dwóch — odpowiedział stanowczo, i spojrział w oczy pytającemu. To spojrzenie zapewniło go, że odpowiedział trafnie: oczy Indyanina błysnęły zadowoleniem, wyprostował się, tajemnicze pytanie, które zapuścił niby sondę, objaśniło śnadź wątpliwości jego i porozumienie nastąpiło:

— Aha!... ten który tu był pierwszy i ten stary?... — zapytał poufnie.

— Tak.

— Szesnastu!... prawie sami młodzieńcy!... dobry towar!... — uśmiechnął się tygrysim uśmiechem.

— Czy długo trzeba będzie czekać?... — spytał Thorn zaledwo hamując wstrząsający nim dreszcz wstrętu i oburzenia.

— Ależ tu tydzień jeden nie mija, żeby który nie zawinął do zatoczki!... Onegdaj już był jeden, ale wywiesiłem znak że niema tu *nic*, a że *on* miał widać dostatek wody i żywności, więc minął nas, nie przybijając wcale do lądu. Ale wkrótce będzie inny, albo ten sam powróci, a ja byłem gdzie w dolinie dostrzegł trzy ogniska lub usłyszał trzy wystrzały... dam ze swjej strony właściwy zwykły znak. Pan nie zna tylko okolicy? Czy też i w handlu jeszcze nie ma wprawy?

— Czyliż mają po co tak ciągle tutaj krażyć?... ja... rozpoczynam dopiero, szukam punktu...

— A panie!... toż najlepsze targowisko z całego wybrzeża! Jeżeli nasi nie pochwycać cudzoziemca, to sami między sobą, pokolenie z pokoleniem walcząc bezustannie, biorą niewolników i tu ich wiodą!...

— A ci... co tam po to niby krażą po morzach, aby przeszkadzali w *robocie* czyliż ich tu niema?... — spytał Anglik usiłując nastroić się do tonu w jakim oberżysta prowadził rozmowę. Ten roześmiał się dziko:

— Ech, panie, nie brakuje i tutaj angielskich i francuzkich statków mających obowiązek przeszkadzać handlowi, włóczą się zarówno gęsto jak tamci, ale co oni mogą upilnować, gdy my tu z tej oto wyżyny wszystko widzimy wprzód niż oni, i wedle potrzeby dajemy rozmaite niezbyt widoczne znaczki, których oni nie rozumieją albo i nie widzą wcale, a nasi kupcy widzą wszystko doskonale jak pantera o północy! Przytem, jest też tu niezbyt daleko przepyszna zatoczka, kryjóweczka jakich mało, cztery godziny drogi ztąd, aby nie było najmniejszego na mnie podejrzenia: tam najłatwiejsze porozumienie...

— I nigdy nie przychodzi do starcia?...

— Prawie nigdy; bo też jeżeli się zdarzy nadzwyczajnym jakimś sposobem, kupiec zawsze przepadł.

— Zawsze?... — wykrzyknął Thorn nie mogąc zapamiętać nad wzruszeniem.

— O!.. a i cóż to *dostarczających towaru* obchodzi, gdy

zań już wzięli pieniądze! — roześmiał się krokodylowym uśmiechem gospodarz, najzupełniej fałszywie pojmując wzruszenie Thorna. — Nasi *kupcy* mają zazwyczaj umyślnie stare i ędzne okręciki tanio nabyte i całej załogi najwięcej dziesięciu do piętnastu ludzi, i udają spokojnych handlarzy drobiu, zwierząt domowych, owoców i zboża, kobierców, muslinu, ot, zвычайnie, wszelkiego towaru, jakiego dostać można na wybrzeżach. *Towar prawdziwy* ze spletanemi rękami i nogami i zatkanemi ustami leży na dnie okrętu spokojnie, gdy tamten zapewnia cały górny pokład. Trzeba szczególnego wypadku albo zdrady ze strony owych *piętnastu* aby okręt ścigający *handlarzy niewolników*, a przepływający spokojnie koło takiego poczciwego bezbronnego kupieckiego okręciku, domyślił się co tam jest na dnie... Niepodobna bo znowu rewidować każdy statek spotkany. I tak sobie idzie handelek, o! idzie! No, ale to noc zapada; życzę panu dobrego wypoczynku, bo trzeba będzie nielada sił do pańskiej roboty, gdy przyjdzie do czego.. hm, szesnastu, a pan masz tylko dwóch do pomocy... no i ja jestem tu przecież. Ale wszyscy mają broń!... no, usunie się ją zgrabnie ostatniej nocy. I nie domyślają się? Otóż to, tak: jeden mądry pasterz, całe stado baranów prowadzi!... Zyczę dobrego wypoczynku!

W pół godziny później Thorn, postawiwszy dwóch ludzi na straży we drzwiach chaty, drżący febrycznie ze wzruszenia, legł zmordowany koło przyjaciela.

— Słyszałeś?

— Co do słowa. Bierze cię za złochnięcę, który podstępem wiedzie szesnastu ludzi nieświadomych swego losu, na sprzedaż handlarzom niewolników. To prosty szpieg tych zbrodniarzy.

— Najoczywiściej. Co począć?

— To, co odrazu postanowionem było: szukać pomocy u okrętów tropiących handlarzy niewolników, ponieważ sam ten łotr zapewnia, że tak jedni jak drudzy snują się często koło tutejszych wybrzeży.

— Ale jak się porozumieć?

— Niema chyba trudności, bo niema wyboru: musimy dawać znaki, jak rozbitki na skale wzywający pomocy.

— Wtedy nasz gospodarz pozna omyłkę swoją co do naszych zamiarów...

— Tak, ale na to niema rady...

— Trzeba go bezustannie mieć na oku, aby nie dopuścił się jakiej okropności...

— Wątpię aby dopuścić się miał jęj czynnie, bo chociaż ma broń, ale zdaje się być istotnie sam jeden z kobietą...

— Ręczysz za to?... Czy wiesz jakie tu mogą być kryjówki w skałach?...

— I to prawda! okropność!

— Znajdujemy się niby na gorejącym wulkanie, i to bez przenośni, bo przy takiej ilości broni jaką dostrzegł Mahora musi tu być i porządna doza prochu, którą najłatwiej podpalić...

— Możeby ludzie nasi chociaż nocowali na dole... w lesie?

— Niepodobna, za najmniejszym podejrzeniem łotr mógłby ostrzedz zbrodniarzy, którzy prawdopodobnie wiodą tu nasze nieszczęśliwe dzieci, tak jak ostrzega tych, którzy krażą aby je kupić. Cała nadzieja w tem że od *onedaj* nie było tu żadnego targu, a więc nie zdążono jeszcze przyprowadzić naszych, lecz lada chwila... Słyszałeś: trzy wystrzały lub trzy ogniska, te w nocy, tamte w dzień oczywiście, znaczą że przybywa jakaś partya niewolników... O Boże, Boże!...

— Odwagi, przyjacielu!

— Jeżeli jaki okręt z pomocą zjawi się wprzód i łotr ten zobaczy nasze z nim porozumienie się...

— Wtedy interesem naszym będzie przeszkodzić choćby gwałtem jemu i jego żonie, aby nie dali żadnych znaków ostrzegających, inaczej, porywcy naszych dzieci cofną się z niemi i wszystko przepadnie.

— A jeżeli nasze dzieci przywiezione będą wcześniej, zanim pomoc sobie zapewnimy, i jeżeli statek handlarski po nich przybije...

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożona przez Manię Zar. dla Rafaeli Kryn.

— Pozostaje nam tylko walka na śmierć. Jest najwięcej piętnastu ludzi na takim statku, ale ilu zbrodniarzy przyjdzie z nieszczęsnymi niewolnikami?

— Wtem pytanie; w każdym razie nas jest dziewiętnastu...

— I Bóg przecież z nami... a wyboru niema.

Cisza na przerywana chrapaniem służących, otaczała tę szeptaną naradę dwóch ojców, której milczącym słuchaczem był Mahora przytulony do nich, aby ani słówka z niej nie stracić i dopiero ostatnie słowa on wymówił.

— Okręt! parowiec! dym! — zawołał Wilko, nazajutrz rano gdy wszyscy siedzieli przy śniadaniu, prócz dwóch strażujących na zmianę we dnie i w nocy. Zbiegowie zadrżeli, nie okazując wszakże wzruszenia, aby nie zdradzać się przed-gospodarzem bez koniecznej potrzeby. Jednak patrzano na morze z pośród skał i on sam patrzył także. Istotnie coś tam majaczyło w oddali, widoczne dopiero dla bystrych oczu w pół dzikiego Wilka. Ale i gospodarz miał wzrok niepospolity, a owo coś majające zbliżało się:

— Nie!... — rzekł tajemniczo, z porozumiewającym wejrzeniem ku Thornowi — to parowiec istotnie, francuzki, jeżeli się nie mylę.

— Nie było od wczoraj ani trzech ogni w głębi ładu, ani wystrzałów... a pomoc przybywa, co czynić? — szepnięto przy stole.

— Jeżeli się zbliży, wezwać ją; niema rady.

— A gospodarza i jego żonę nie spuszczać od tej chwili z oka, albo co lepij związać odrazu.

— Niepodobna... nuż ma skrytych tu gdzie towarzyszy... i rzuca się na nas nim zdążymy zawezwać pomocy...

Wszystkie oczy z wyteżeniem spoczywały na parowcu. Zbliżał się szybko, wkrótce nie było wątpliwości że był francuzkim.

— Ha... w imie Boże trzeba wołać pomocy: Rahib wdrzyj się na tą skałę i powiewaj białem płótnem, my wszyscy razem na komendę wypalmy w powietrze, razem aby huk spotęgować, i natychmiast za pierwszym podejrzanym ruchem, rzućmy się na gospodarza i kobietę aby ich związać... Oto za minutę parowiec będzie przepływał najbliżej nas...

— Co to? Po co to?... — spytał oberżysta zdumiony, spostrzegłszy tuż nad własną głową, Rahiba powiewającego białem płótnem na szczycie skały.

— Cel... pal! — komenderował jednocześnie Thorn. Ośmnaście wystrzałów huknęło jak jeden armatni... Kilka sekund następnych zbiegło w głuchem milczeniu, Anglicy drżeli nadsłuchując, w obawie czy ich sygnały zostały usłyszane i zrozumiane... Gospodarz patrzył na nich drżąc także podobno z innych przyczyn, jakby nie zdecydowany, czy też nie mogąc pojąć położenia.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Pierwsze, jeśli nie płynie, to się w rzeczownika Towarzystwie, wśród mowy zazwyczaj spotyka, Drugie, trzecie, konieczne są dla dobra ludzi.

Wszystko winnoby celem być dążeń grzesznika, Lecz zbyt rzadko jest szczere; pozorami ludzi, Częściej przeto nieufność niż uznanie budzi.

**TREŚĆ:** Doświadczenie fizyczne (z drzew.). — Żniwa, wiersz. — Rygi-Kulm, Wspomnienie z podróży. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Bawią się dzieci, wiersz p. Helenę Bojarską. — Przyjaciele Jani. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Forawską (autorkę „Reginki”).

Wyrazów 11. Początkowe litery utworzą nazwisko poety polskiego, a końcowe nazwisko króla. Sylaby: I—Ka—Cej—On—bi—Na—A—ka—o—lon—do—ma—skop—zon—ret—On—za—ri—Wi—ta—o—nów—So—la—tes—Ka—kra—dzi—lej—hi—Ho—cyk. — Znaczenie wyrazów: 1. Narzędzie zbudowane na prawach odbijania się światła. 2. Dopływ Missisipi. 3. Wyspa na oceanie Indyjskim. 4. Pustynia w Azji. 5. Rzeka w północnej Ameryce. 6. Miasto w Palestynie. 7. Jezioro w północnej Ameryce. 8. Pałac zbudowany przez Jana III. 9. Filozof grecki. 10. Naczelnik pokolenia u dzikich. 11. Imię mężkie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go.

## Zadania konikowego:

Coby było wśród zakresu,  
Na który ludzie rzuceni,  
Bez światła, ciepła, magnesu  
I elektrycznych promieni?

Coby było? Zgadnąć łatwo:  
Ciemno, zimno, chaos czyste.  
Witaj więc, słoneczna dziatwo,  
Wiwat światło promieniste!

Toasty Mickiewicza.

## Szarady:

K a r a w a n a.

## MARYA MATUSZEWSKA

PRZEŁOŻONA PENSYI WYŻSZEJ ŻEŃSKIEJ

W WARSZAWIE

przy ulicy LESZNO Nr. 28.

zawiadania, że codziennie od godz. 10 do 6, na warunkach bardzo przystępnych, odbywa się zapis uczennic: przychodnich, pensyonarek i pół-pensyonarek. Lekcyje rozpoczną się 21 Sierpnia (2 Września). 4—2

## SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnicy dla kobiet. Lekcyje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.



Bawią się dzieci.

### BAWIĄ SIĘ DZIECI.

Noga w nogę! dalej żwawo!  
Raz, dwa! raz, dwa! w lewo, w prawo  
Maszerują sobie dzieci  
I wesoło czas im leci.  
Maszerują tak po łące,  
Gdzie kwiateczki woniejące,  
Gdzie tęczowe lśnią motyle,  
Gdzie uciechy tyle... tyle...  
Oj! zabawni to żołnierze,  
Spójrzeć na nich aż śmiech bierze;  
Uzbrojeni w wielkie kije,  
Marysieńka w bęben bije,

Jaś ma minę napuszoną,  
Idzie z głową podniesioną,  
Frania nóżki w takt przekłada,  
Ze swęj roli bardzo rada.  
Wtem na drodze trójka śmiała  
Ze znajomym się spotkała  
— Jak się macie moi mili!  
Będziem razem się bawili,  
Przyjmijcie mnie, proszę bardzo!  
Dzieci prośbą nie pogardzą,  
Wszak i im weselej będzie,  
Adaś zaraz staje w rzędzie,  
Maszerują dalej żwawo,  
Raz, dwa! raz, dwa! w lewo, w prawo.

Grzecznie bawią się dziecięcki,  
Ani słyhać żadnej sprzeczeki  
Między niemi zgoda stała,  
Na chwilę się nie zerwała,  
Za to czuwa Bóg nad niemi  
Znajdą szczęście tu na ziemi.

*Helena Bojarska.*

Na wiosnę owce strzygli, wełnę brały kobiety ze dworu, -przędły, a z przędzy miały ciepłe pończochy, spódnice, kaftaniki, rękawiczki, szaliki i wiele innych rzeczy. Jeden tylko pastuch stary Maciej, nie nazywał inaczej owcy jak „głupiém stworzeniem”.

Ale na cóż jój wiele rozumu?

*Marya Weryho.*

## Przyjaciele Jani.

Czy wiecie kto był przyjacielem Jani?

Myślicie może, że Julcia albo Lucia, albo jaka inna dziewczynka?

Nie, wcale nie, nie zgadnicie zapewne.

Przyjaciółkami Jani były dwie owieczki: jedna duża owca, a druga mała jój córeczka-jagniątko.

Obie owieczki były bardzo do siebie podobne. Owca miała małą główkę i jagniątko małą; owca na głowie miała duże uszy i jagniątko także. Owca miała długą szyję, gruby tułów i 4 nóżki i mała to samo. Nawet ogony miały obie króciutkie, jakby im kto odciął. Jedna tylko była różnica: stara owca miała bardzo grubą i długą wełnę, a jagnię miało jeszcze króciutką.

### Czem się żywiły owieczki?

Przyjaciółki Jani były wybrednemi smakoszami. Starsza owca nie jadła byle jakiej trawy, wybierała na łące smaczne ziółka, piła wodę zaprawioną mąką i bardzo lubiła sól lizać. Jagniątko jeszcze tego nie jadło. Mamusia owieczka karmiła je swoim mleczkiem.

### Za co Jania lubiła owieczki?

Jania bardzo lubiła owieczki, bo też nie było łagodniejszych zwierzątek. Skoro Jania wyjdzie na spacer, owieczka zobaczy ją zdaleka i przybiegnie do niej. Jania ją obejmie, położy przy sobie, długo się pieści z nią, a owieczka nie ucieka.

To znowu jak Jania daje jej chleb z solą, owieczka bierze ostrożnie, nie dotyka rączki Jani.

Z jagniątkiem to się Jania ścigała i śmiała się bardzo, jak jagniątko fikało czasem nóżkami.

Owieczki dla wszystkich były bardzo dobre, niktogo nie krzywdziły, nikomu nie dokuczały. Raz przychodzi Jania i widzi, że na stariej owcy siedzą ptaki. Jeden wybiera robaki z jój wełny, drugi chodzi spokojnie po grzbiecie, a trzeci wyrwał parę włosków i niesie do swego gniazdko. Owca ani się poruszy, stoi spokojnie i trawę skubie.

— A hysz! wy okrutnicy! — zawołała Jania i co prędzej spędziła ptaki.

Ptaszki widać też się nie bały Jani, bo usiadły jedno na płocie, drugie na drzewie i przyglądały się owieczce.

### Za co inni ludzie lubili owieczki?

Nie sama Jania, ale wszyscy we dworze dbali o owieczki, były one bowiem ludziom bardzo potrzebne.

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

— Mamusiu — zawołała podskakując na jednej nodze — proszę zobaczyć jaka śliczna liszka.

Śliczna liszka, pomyślałam, a więc nie ja tylko mam o sobie tak pochlebne mniemanie i inni mię podziwiają; słowa te natchnęły mię nadzieją, że może nie spotka mię nic bardzo złego. Nadeszła też druga osoba, pani z parasolką w ręku, zdająca się nie zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

— Mamusiu, liszka — powtórzyła znowu dziewczynka.

— To dobrze, moja Stefcu — odparła obojętnie pani, zapatrzona na rosnące w bliskości cukrowe buraki.

— Niech się mamusia spojrzy — nalegała Stefka — mamusia myśli ciągle o tych nieznośnych burakach.

— Nic dziwnego, buraki mię bardzo obchodzą, bo będą za nie pieniądze na sukienki i trzewiczki dla was.

— Ale mamusiu liszka. Taki ładny okaz, zanieśmy ją Celince i dzieciom.

Wtedy dopiero pani raczyła spojrzeć na mnie.

— Masz słusność — rzekła — zawiniemy ją w liście i zabierzemy z sobą.

— Zaniosę ją na górę, będą myślały że to coś smacznego, coś do jedzenia z ogrodu, odwiną, a liszka wyskoczy. — To mówiąc swawolna Stefka śmiała się serdecznie, jakby miała z czego, bo proszę powiedzieć tylko czy jest cień rozsądku w przypuszczeniu, że tak poważna istota, jaką ja byłem wtenczas, poniżałaby się do jakichś nierozumnych skoków: Tymczasem dziewczynka uszczęśliwiona swym pomysłem, zabrała się z pomocą mamy do dzieła; podjęła mię z ziemi z pomocą dwóch patyków, któremi mię ścisnęła dotkliwie i zawinęła ściśle w liście łopianu tak, że oddychałem z trudnością i drżałem z obawy czy się nie uduszę w tak ciasnym więzieniu. Nie mogę ci opisać, droga przyjaciółko, jak uciążliwą była ta droga, odbyta gdzieś bardzo daleko w ręku nielitościwej dziewczynki, która zamiast iść spokojnie i zwolna, jak wszystkie rozsądne istoty, biegła, skakała i trzęsła mną niemiłosiernie, niema słów w moim języku na określenie podobnych cierpień. Na domiar złego, Stefcia widocznie gadatliwa bardzo, rozmawiała ciągle, jęczeczek jój był w nieustannym ruchu, a ja przy tylu innych dolegliwościach zmuszony byłem słyszeć bezustannie niemiłe brzęczenie jój piskliwego głosu. O czem mówiono? nie wiem, zanadto zajmowały mię własne smutne myśli, ażebym mógł uważać na czczą pa-

planinę ludzi, zresztą nie grzeszę zbytnią ciekawością. Nareszcie skończyły się moje utrapienia, wszystko na świecie koniec mieć musi, prawda to wesoła i zatrważająca zarazem: w chwilach szczęścia jest nam postrachem, w godzinach smutku, osłoda i ukojeniem.

Dziewczynka zatrzymała się i jednocześnie prawie usłyszałem głos pani:

— Stefcu, zanieś tę lizskę Celi na górę.

Ach dowiem się ostatecznie jaki los będzie moim udziałem, pomyślałem wzruszony; ale cóż to za góra? kto Cela, o której mowa? Wątpliwości moje rozstrzygnęły się niedługo. Uczulem się unoszonym z jeszcze straszliwszemi wstrząśnieniami, zdawało mi się, że Stefcia rzeczywiście wchodzi na ogromną górę, podskakując za każdym krokiem. Ach! jeszcze jeden skok, jakieś przeraźliwe skrzypnięcie i Stefcia zatrzymała się znowu.

— Czego chcesz Stefcu? wiesz, że ci nie wolno przeszkadzać w czasie lekcji — odezwał się straszny, surowy głos przypominający grzmoty, jakimi natura rozbrzmiewa w czasie letnich upałów. Przejął mię dreszcz śmiertelnej trwogi, ale Stefcia śmielszej natury widocznie, nie zatrwożyła się wcale a nawet roześmiała.

— Przyniosłam coś — rzekła tajemniczo.

— Co takiego? — powtórzył groźny głos, ale znacznie łagodniejszym tonem.

— Proszę zobaczyć — zapiszczała Stefcia z nowym wybuchem śmiechu.

W tej chwili zostałem mocno podrzuconym w górę i z jękiem spocząłem na czemś niezwykle twardem, a przeraźliwe skrzypnięcie i odgłos charakterystycznych podskoków oznajmiły mi, że pierwsza moja prześladowczyni odeszła tą samą drogą, którą przed chwilą przebyliśmy wspólnie.

Uczulem się znowu podnoszonym, ściskanym, trzęsionym, wreszcie ujrzałem światło dzienne, ale jakże odmienne od tego, którem się rozkoszowałem na wolności! Przyćmione jakieś, blade i niepewne światło, a i powietrze zdawało mi się tak dziwnie duszne, jakby ściśnione, jakby go było za mało w tej zamkniętej zewsząd przestrzeni.

Obok mnie stały trzy panienki różnego wieku z wejrzeniem zwróconem w tej chwili na mnie z natrączywą ciekawością.

— Cóż to? robak jakiś? — zawołała najmłodsza dosyć pogardliwie.

Zawrzałem gniewem i z oburzeniem odwróciłem się od tak nierozgarniętej istoty. Robak!... nazywa mię robakiem!... Co za nieświadomość, jak można nieuznać różnicy istniejącej między gatunkiem robaków, tych nędzarzy zwierzęcego świata, a szlachetnym rodem owadów? To oburzające rzeczywiście.

Na mój gniewny ruch obrażonej godności własnej powstały głośne krzyki i wołania: — Ach jaka zła lizska.

— Jak się skręca! Ale wcale ładny okaz, bardzo ładny.

— Tak prędko idzie, zabawne stworzenie.

Za to „zabawne stworzenie” miałem ochotę znowu się obrazić, gdyż przyznasz sama, szcypawko, że to niezbyt miło być uważanym za przedmiot śmiechu, ale

szczęśliwie przyszła mi na myśl bardzo rozsądna uwaga, że w niewoli rozumnie jest przyjmować wszelkie obelgi z filozoficznym spokojem; jeślibym chciał gniewać się o wszystko, nie zyskałbym nic, a stracił zdrowie z pewnością, tak więc postanowiłem uzbroić się w lodowatą obojętność i nie zważać wcale na wszelkie ubliżające mi słowa.

Przejęty tem roztropnem postanowieniem chodziłem sobie najspokojniej po równej, twardej i nader nie miłej w dotknięciu płaszczyźnie, podczas gdy trzy głosy łączyły się i krzyżowały ciągle wzajemnie, tworząc chór nadzwyczaj żywej, prędkiej i nieprzyjemnie brzmiącej rozmowy, aż wreszcie ten przypominający grzmoty zapanaował nad dwoma innymi donośnie:

— Dzieci, dosyć zabawy, nie można tracić czasu, bo nie skończymy lekcji. Zosiu idź po liście, Janiu, przynieś jakie pudełko, urządzimy naszej lizsce mieszkancko.

Wkrótce wszystko się znalazło i panienki zabrały się do dzieła z pośpiechem, na którym ja znowu nie najlepiej wyszedłem: złożono mię do jakiejś czarnej, zapchanej liśćmi jaskini przysłoniętej z góry olbrzymim głazem, odbierając mi tym sposobem ostatnie promienie światła. Ach! w tej ciemnicy dopiero przekonałem się, jak nieocenionym skarbem jest wolność i rozpacz moja nie miała granic.

Nie wiem jak długo przeleżałem w mojem ponurem więzieniu, głód mi dokuczał, ale zepsuty przysmaczkami jakimi się dotychczas żywiłem, odrzuciłem z pogardą wykwintnego smakosza twarde, skórkowate listki bzu, wreszcie znużony wzruszeniem i doznaniami przygodami, zapadłem w spoczynek przerywany ciągle niepokojącymi snami. Zdawało mi się, że powtórnie przebywam straszną drogę w ręku swawolnej Stefci, że podrzucają mnie nielitościwie z góry na dół i przyciskają głazem zakrywającym moje ciemne mieszkanie. Wkrótce jednakże niemiłe te mary zastąpiły słodkie obrazy minionego szczęścia. Widziałem się znowu na wolności, w ogrodzie, wśród miękkich, kwiecistych trawników, owady brzęczały, ptaszki świegotały, a konik polny śpiewał i wyskakiwał wesoło jak na początku mego opowiadania, wtem... ziemia się zatrzęsła i usłyszałem ponury, oddalony huk grzmotów. Zerwałem się wylękły, a to sroga panienka stała nademną.

— Trzeba wypuścić lizskę, niech trochę pochodzi — rzekła, odsuwając ciężki głaz z nad mego więzienia.

(d. c. n.)

## ZAGADKI.

Znajdziesz mnie zarówno w ubraniu kobiety  
U bryczki, powozu, lecz nie u karety.

Mam trzy części: to czarny bywam, to czerwony,  
Na sos dobry, na zupę, na potrawy.  
Zmień mi głowę: czy czarny będę, czy czerwony,  
Nigdy nie kładź mnie w ogień dla zabawy.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

## Szarady:

## S z a r a d a.

## Łamigłówki literowój

## W a r s z a w a.

## Skrzynka do listów.

Jak najchętniej przekonywam świat cały, **Biała Ostróżko**, że serdeczna zgoda panuje między nami i na dowód jój daję żądane całusa. Lubię jak kto, tak jak ty, czyta: z przeczytanych rzeczy wyciągając sens, który się da w moralném lub w praktyczném życiu zastosować. Ach, moja droga, „rozsądni i doświadczeni” rodzice, to łaska Boża za którą nie dzieci już, ale dorośli ludzie co dzień Bogu na kolanach dziękować powinni! Nagrodę dostałaś, kochana moja, oby ei przyjemność sprawiła. Piszę na wsiadaniu już prawie; wyobraź sobie, biorą mnie za granicę nad morze! Anim się tego spodziewała. Na listy, które przyjdą podczas mojej nieobecności, Dobra Pani odpisywać przyrzekła; ja z drogi pisywać do was będę o różnych ciekawych rzeczach, jakich tak wiele zobaczę. Ciebie, a z Tobą i was wszystkich żegnam na czas jakiś serdecznym uściskiem *Wędrowna* ale nie zapominająca o was *Gołąbka*.

W imieniu nieobecnej *Gołąbki* odpowiadamy jój korespondentkom **Jodełce z nad Noteci, Trawce z nad Tryby, Jaskółce z nad Sekwany i Czeskiej Niezabudce**. *Jodełko* droga, wszelkie rozstanie jest bolesnem, ale męstwo chrześcijańskie wszędzie żyć uczy i każe: Pracą i zajęciem utulisz tęsknotę. *Trawka* odbyła śliczną wycieczkę ale i *Gołąbka* pochwali się wam swoją. Pierwszy raz wyjechała w dalszą podróż i lada dzień czekamy listu od niej. Adres do *J. G.* sprostujemy; powodzenia w naukach winszujemy serdecznie ciesząc się zadowoleniem, jakie sprawić ono musiało medalistce aż trzema medalami ozdobionej w Sorbonie. Żądany numer pošlemy. **Czeska Niezabudka** tak barwnie opisuje równiny nad - dniprzańskie, że nam się je widzieć zdaje. Że ma przytem i najpoczeiwsze w świecie serduszko, to oddawna już wiemy i za to serce złote kochamy dawną i wierną przyjaciółkę naszego *Pisemka*.

**Jaskółce** z Czerwonój Rusi żądany „Teatr amatorski” przez *M...* a pošaliśmy, na który wraz z przesyłką wyłożyliśmy rs. 1 kop. 20.

*P. Malinow. Ekaterinod.* Historję Zdanowicza pošaliśmy, która wraz z przesyłką kosztuje rs. 2, początek zaś 16-letniego *Wojewody* kop. 30.

**Topolce z nad Kodemy** oraz **An: Kr.** żądane numera pošlane.

**Niezabudka z nad Chomoru** nadesłała dobre rozwiązanie, za to **Julcia Ł.** przysłała nam łamigłówkę bez rozwiązania, o które prosimy, bo nie mamy czasu na sprawdzanie przysyłanych nam zagadnień.

Dziwimy się trochę, że kochany **Filozof** tak stanowczo oświadcza się przeciw kwiatom. **Królewicz Zielonko** ma wszakże i drzewa w państwie swoim...

Kochanej **Trawce z nad Fryby** serdecznie dziękujemy za ofiarę dowodzącą współczucia dla biedych dzieci, zmuszonych dusić się całe lato w miéjskim upale. **Dr. Fritsche** pragnie wysłać na wieś jeszcze jednę partyę dzieci i w tym celu znova się odwołuje do ofiarności publicznej.

Nie wątp o tem, **Jodełko z nad Noteci**, że „kącik” dla ciebie zawsze w sercu znajdziemy. Miło nam zawsze dowiedzieć się, że otrzymana nagroda przyjemność wam sprawia.

**Marszałkowa** nietylko poważną, ale i pocziwego serduszka jest osobą, gdy nie szcędząc pracy, do konkursu robót stanęła. Serdecznie witamy ją w gronie korespondentek naszych.

**Wiel: Dr: Ad: Bar.** Pierwszego żądania nie odebraliśmy wcale; numer potrzebny wysłany.

**Droga Jaskółko z nad Sekwany!** Dowiedziałam się że dość często bywasz w rozmawialni, i mam obiecanę od pierwszej mistrzyni, że zapozna mnie z tobą, z czego się niezmiernie cieszę. Zawsze ci życzliwa choć nieznaną *Jeżynka Wersalska*.

Kochane moje: **Kulko śniegowa i Ako.** Piszę do was pierwsza po długim milczeniu. Ciebie **Kuleczko** zapytuję wiele masz lat, gdzie się uczysz i gdzie mieszkasz? A ty **Ako** donieś mi proszę co ma znaczyć twój pseudonym i dla czego go sobie obrałaś? Przesłałam wam szczere uściśnienia życzliwa *Radomianka*.

**Miła Cyganecko z nad Wisły!** Zdaje mi się żeśmy się znały proszę cię więc o bliższe szczegóły. Czy twoje nazwisko od **P.** się zaczyna? Gdzie mieszkałaś, w Grodzisku? Czy znasz moich krewnych, to jest dzieci d-ra B. **Droga Wiedenko** z żywoplotu, dla czego zmieniałaś twój dawniejszy śliczny pseudonym? Co do mnie uczę się w domu a do konkursu nie wiem jeszcze czy należyc będę. Całuję was serdecznie i oczekuję odpowiedzi, *Czarodziejka*.

**Droga Pedantko z nad Nidy!** Donieś mi co porabiasz i jak ci idą nauki? Czy zawsze z równym zapalem czytujesz „Wieczory”? Moje upodobanie do nich ciągle wzrasta. Czy będziesz należała do tego konkursu? Jeżeli pojedziesz do Żegestowa, może się spotkam w Krakowie. Będę tam w przejeździe do **Zakopanego**. *Muchołówka*.

**Drogi moje: Psotnico, Jesieni i Biała Ocho!** Dzięki serdeczne zasylałam wam za liściki. Mieszkam doprawdy w **R. Biała Olcho** ale nie mogę zgadnąć kim jesteś ani kto są ci państwo, czekam bliższych o tobie wiadomości. Jak wam się podoba miłe przyjaciółki „Z wyspy Atlanty”? mnie nadzwyczaj; czy należycie do konkursu? Wasza oddana *Halka z Litwy*.

**Kochana Ako!** Proszę abyś nadal chciała do mnie pisywać. Czy znasz którą korespondentkę **Wieczorów**? Ja znam trzy. Czy dużo masz rodzeństwa? gdzie się uczysz? jaką naukę lubisz najwięcej? Ja literaturę i teorię poezyi, chociaż lubię też i fizykę. Przyjm serdeczne uściśnienia od kochającej *Niezapominajki z nad Warty*.

**Droga Piszczalko z nad Ussy.** Twój list sprawił mi niezmierną radość. Żałuję cię bardzo, że do konkursów należyc nie możesz, jest to wielka przyjemność. Na ostatnim otrzymałam na grodzie. Ściskam cię i proszę o prędką odpowiedź. Twoja *Jaskółka z nad Ussy*.

Moja droga **Czarnuszko z Mroczkowa!** Zapomniałaś, że już dwa lata temu donosiłam ci że mam lat 15, na imię mi **Anie** mieszkam w **Mińskiej gubernii**. Odpisz mi i donieś cośkolwiek o sobie. Ściskam cię serdecznie. *Błada Różyczka*.

**Białej Różyczce z Wołynia** przesyłam uprzejme pozdrowienia. **Kochana Kuropatewko z nad Warty?** Chociaż jestem o wie starszą, bo mam już lat 12, ale pisywać do ciebie będę z największą przyjemnością. Na imię mi **Janisia**, mieszkam w **Żytomier** mam dwóch młodszych braciszków. Szczosio i Romcio uczą w domu, ja wolne chwile od nauki i roboty poświęcam na pielęgnowanie własnego ogródka. Również jak ty mam małe kacuszki dwa pieski: **Wilcię i Sirka**, a także małego faworyta kotez **Kończę** mój list posyłając ci serdecznego całuska. *Czarna Peretka*

**Kochana Pieszczotko z małego ogródka!** Chociaż już dawna czytam **Wieczory**, jednak jak i ty jestem ich nową korespondentką, dla tego też piszę do ciebie. Na imię mi **Marya**, mam jedenasty, lubię bardzo kwiatki i ptaszki. Mam kanarka wielki śpiewaka. Proszę cię odpisz mi prędko. *Jaskółka z nad Wilii*.

## NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Złota rybka kop. 50. — Gwiazdka na zachodzie złr. 1.  
**Trawka z nad Tryby** w prus. mon. mark. 1.



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

SŁYNNY ROZBÓJNIK.



Gdy między ludźmi zdarzy się ktoś z charakterem chytym, przebiegłym, podstępnym, ktoś tak zręczny, że z każdego trudnego położenia umie się gładko wywinąć i jeszcze innych przy tem oszuka, nazywają go „lisem”. Nazwa ta każdego dotknąć musi, ktokolwiek ma choć trochę poczucia godności osobistej — znaczy tyle co chytry, zdrajca, odstępca. Nie na-

leży jednak brać za złe lisowi tego, co świadczyłoby ujawnić o wartości człowieka obdarzonego rozumem i uczuciem, obowiązującego dbać o innych ludzi tyle przynajmniej, ile o siebie samego. Lisowi, jako zwierzęciu, dała natura pewne uzdolnienie, z którego ciągnie on korzyść dla siebie samego tylko — czem różni się od niektórych zwierząt, naprzykład psa i konia,



umiejących się poświęcać, jak tego liczne widziano przykłady, nietylko dla swych psich i końskich towarzyszy, ale i dla człowieka. Lis nie winien temu, że jest, jakim go Pan Bóg stworzył, i innym jak jest, być nie może — a ludzie jeśli go ścigają i chwytają, jak i gdzie mogą, nie czynią tego, żeby go przesładować za jego chytry charakter, ale dla tego, żeby posiadać jego ciepłe i nieraz piękne futro. Lis się broni, jak może, a gdy czuje, że jego siła i szybkość nie mogą go ocalić, szuka pomocy w podstępnie.

Nietylko początkującego, ale wytrawnego nawet myśliwca, często w błąd wprowadza; a tak bywa niewyczerpany w pomysłach, że aż stał się powodem wielu anegdot myśliwskich i opowiadań, nawet bajek. Potrafi naprzykład wybornie udać nieżywego, i dopiero gdy złudzony tem człowiek pozbędzie się gotowości do strzału, lis zmartwychwstaje i umyka. W miarę okoliczności nabiera doświadczenia i coraz staje się mądrzejszym. Wprawdzie z każdym żywym stworzeniem a nie człowiekiem tylko dzieje się to samo; ale zdaje się że lis najlepiej z doświadczenia korzysta, popierany wrodzonym sprytem. Uznają to ludzie nawet, i ztąd wyrażenie: „szczwany lis” — to jest taki, na którego czyniono nieraz zamach. Wyrażenie to, i drugie: „chytry jak lis” — stosowane bywa do człowieka, nie bardzo korzystnie świadcząc o nim.

Bo też charakter lisa wydaje się ludziom bardzo brzydki: jeżeli znajdzie kryjówkę jakiego innego zwierzęcia, naprzykład borsuka i miarkuje, że byłaby dla niego dogodną, to go bez ceremonii wypędza i sam się w niej sadowi. Mogłoby się здаwać, że lis nie przez złość to czyni, ale pro prostu z potrzeby, i dla tego zabiera cudze schronienie, że sam sobie urządzić go nie umie. A przecież umie on doskonale wykopać sobie jamę głęboką i wygodną i zawsze tak robi, gdy niema cudzej do zabrania w bliskości — ale woli przyjść do gotowego, niż mozo- lić się dopiero nad urządzaniem własnego legowiska.

Obyczaje lisa są wybornym obrazem jego charakteru: dzień cały przepędza w ukryciu i dopiero wieczorem wyrusza na łowy. Wówczas brodzi po bagnach szukając ptaków wodnych, czatuje nad strumieniami dla pochwycenia ryby lub raka, wyjada połów z sieci rybackich, kradnie myśliwcom zwierzynę i pszczołom miód wybiera, w czem pomaga mu bardzo pysk ostro zakończony. Niektóre z tych czynności skuteczna i w dzień, jeżeli czuje się bezpieczny — wychodzi bowiem z nory od czasu do czasu, żeby się wygrzać na słońcu, bo do słońca wdycha każde stworzenie boskie: człowiek czy zwierzę, czy roślina; używając tej rozkoszy, lis nie poprzestaje na niej, ale i czyha na zdobycz. Na rycinie naszej widać go czatującego na zajęczka, który nie domyśla się bynajmniej grożącego mu niebezpieczeństwa i sunie sobie spokojnie z góry na dół.

Czy lis sypia spokojnie, nie wiemy, bo się z tem nikomu nie zwierzył; sądząc po ludzku, byłoby trudno przypuścić, aby taki łotr zasypiał snem sprawiedliwego. Musi to być sen przerywany strasliwymi widmami pomordowanych ofiar: gęsi, kury, ptaszęta drobne, króliki, zające — wszystko to pewnie z kolei staje przed nim z zakrwawioną piersią, i spędza mu sen z powiek, wołając o pomstę nad zbójcem... a jeżeli i zaśnie na chwilę, widzi pewnie we śnie mogiły, i czyta na nich napisy podobne do tego, o jakim wspomina wielki poeta niemiecki Göthe, w swoim poemacie *Reineke-lis*, który językowi naszemu przyswoił pięknym wierszem białym, czyli nierymowanym, pan Ludwik Jenike. Jest tam mowa o kurze:

„Grzebka tutaj spoczywa, z koguta Pieja zrodzona;  
Dużo jaj naznosiła i grzebać umiała wybornie.

Padła, biedna, ofiarą mordercy Reineke-lisa.

Niech świat cały wie o tem i wzgardą zbrodniarza okryje!”

Ala jak zakamieniały zbrodzień nie czuje zgryzot sumienia i rad się jadłem opycha, tak i lisowi grzechy jego nie odbierają apetytu — a wiadomo, że jest strawnego żołądka. Jeść potrzebuje sporo i w braku większej zwierzyny, nie gardzi szczurami, myszami, owadami, ślimakami, robakami, nawet konikami polnemi. Jest też smakoszem i znawcą owoców, zwłaszcza winogron, wie które słodsze i takie spożywa gdy się zakradnie do sadów.

Blisko z psem spokrewniony, nie posiada żadnego z cennych psa przymiotów, a oswoić się daje tylko z wielką trudnością i nigdy nie można go być pewnym. Futro jego, jako bardzo ciepłe i puszyste, bywa używane na podszycie wierzchniego okrycia w zimie, ogon zaś do bramowania czapek. Lis żyje w Europie, Azji i Afryce, a nie wszędzie jest jednakowy. Nasz lis zwyczajny, zwany po łacinie *Vulpes vulgaris*, ma futro rude, ale bywają też i odmienne gatunki lisów, różnej barwy i wielkości, z których barwa zbliżona do popielatęj, spowadowała że je nazywają niebieskimi, i białe mieszkające bliżej bieguna północnego. Mięso lisa jest nieprzyjemne w jedzeniu dla człowieka, ale futro jego każe się za nim uganiać, a jest też pewne zadowolenie myśliwskie w pochwyceniu mądrego zwierzęcia.

W Anglii odbywają się na lisy słynne polowania z chartami. Obyczaje angielskie wymagają, aby lis nie był wzięty inaczej, tylko uszczuty przez psa. Strzał do lisa, uważa się tam za czyn hańbiący: człowiekowi, któryby się tego dopuścił, żaden Anglik ręki nie poda. Dziwne zaprawdę obyczaje, i dziwnie wyrozumowana moralność! strzał bowiem, kładący często od razu zwierzę na miejscu, jest czynem więcej ludzkim niż skazanie biedaka na powolne konanie pod psim zębem. Irlandczycy zwłaszcza bardzo sobie w tych polowaniach podobają i urządzają je zwykle bardzo wystawnie. Cesarzowa austriacka Elżbieta, dzielnie jeżdżąca na koniu, udała się raz umyślnie do Irlandyi dla wzięcia udziału w polowaniach na lisy.

Z tego cośmy tu powiedzieli, czytelnicy widzą że lis jest wielkim grzesznikiem. A jednak grzesznik ten ma pewne przymioty godne naśladowania: jest wytrzymały, roztropny, ogleśny, cierpliwy, a co najważniejsze, wytrzymały na ból. Gdy wpadnie w zastawione na niego żelazo jedną nogą, odgryza ją sobie i na trzech pozostałych ucieka. To samo czyni z ogonem, woląc stracić tę swoją zdobycz raczej, niż wolność i życie: boleć go przecież musi to dobrowolne odcięcie sobie jednego członka. Każdy przyzna że jest w tem dużo męstwa, mogącego służyć za przykład tym wszystkim, którzy nie umieją wstrzymać się od płaczu gdy ich palec zabolą, choć są ludźmi i powinni mieć więcej rozumu i rezygnacji niż zwierzęta.

Z. U.

## PIOSNKA PRZAŚNICZKI.

Kręć się wrzeczono, kręć się od rana  
Snujże się równo niteczko lniana!  
Jak to przy pracy czas szybko płynie,  
Przejdzie dzień cały w jednej godzinie.

Wij się, wij ciągle, niteczko biała,  
Co z ciebie będzie wiedziećbym chciała,  
Na co się przydasz na Bożym świecie?  
Bo, że się przydasz, wiadomo przecie.  
Narobią z ciebie płótna... oj, wiele...  
Czy z niego będzie obrus w kościele,  
Czyli też komża, którą to włoży  
Czcigodny kapłan, służebnik Boży.  
Wij się, niteczko! może dziecina,  
Która zaledwie życie zaczyna,  
Włoży koszulkę z płótna twojego  
W dzień uroczysty, w dzień chrztu świętego.  
Albo... któż zgadnie?... przydasz się może  
Dla panny młodej w weselnj porze?  
Kręć się więc żwawo, kręć się od rana  
Snuj się równo, niteczko lniana  
Niech tam, gdzie pójdziesz, serce nie boli,  
Służ, nitko ludziom w szczęśliwej doli!

*Helena Bojarska.*

## GOŚĆ NIESPODZIEWANY.

Mieszkańcy miasta Metz zaledwie przetarli oczy z nocnego spoczynku, nikt jeszcze ze swj siedziby nie wyjrzał, a mgła poranna walczyła z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, gdy stojący dla bezpieczeństwa na murach pacholek, zatrąbił po trzykroć, krótkim urywanym głosem.

Nie był to odgłos trwogi, owszem, witał on gości znakomitych i radość miastu oznajmiał. Zbudzeni jednak co tylko mieszkańcy, nie mogli sobie na razie zdać z tego sprawy. Każdy zaciekawiony wybiegał jak stał, jedni drugich pytali, co za gość do miasta przybywa. Trąby tymczasem z murów dęły coraz głośniej, oznajmiając zbliżanie się jakiegoś niepospolitego dostojnika. Burmistrz na to hasło kazał zwoływać rajców, ławników i całą starszyzną miejską; odziewał się też sam przystojniej i klucze od bram miasta przygotował, aby wyjść naprzeciw przybywającego!

— A zaś nie zdrada jaka? — spytała go nieśmiało żona.

— Prawdziwie niewieście gadanie! — odrzekł niechętnie pan burmistrz. — Czy nie wiesz, że za rządów naszego pana, Karola Wielkiego, możemy być spokojni o wszelki napad. — I wzruszył ramionami, śpiesząc się z przygotowaniem na przyjęcie przybywających.

— A może to sam miłościwy cesarz przybywa? — ozwała się pani burmistrzowa, podając łośiowy kaftan małżonkowi.

— Co? — spytał z wielkiem zdziwieniem przedstawiciel władzy miejskiej i wpatrzywszy się ciekawie w mówiącą, stał z włożonym na jedną rękę rękawem, a drugą podniósł do góry.

— No, no! co tobie do głowy, niewiasto, przychodzi! to nieprzyjaciel... to cesarz... — powtarzał. — U niewiasty długi rozum, a krótkie włosy... tfu! długie włosy a krótki rozum chciałem powiedzieć... Hm! hm!... a może... i niewieście uda się coś mądrego przeczuć i powiedzieć.

— Zwłaszcza, gdy idzie o dobre przedstawienie się i godność pana mego a małżonka — odrzekła kobieta.

Burmistrz poglądził żonę po twarzy a wciągnawszy szybko kaftan zawołał:

— Prawda, prawda, więc przygotuj prędko chleb i sól; Erko niech również będzie gotów, klucze od bram za mną przyniesie.

— Chleb i sól już dałam pacholekowi, Erko na wasze rozkazy czeka w przedsionku, a oto klucze — dodała, zdejmując je z kołka będącego tuż u wezłowania pana burmistrza. Dostojnik miasta uśmiechnął się z zadowoleniem, a odebrawszy klucze z rąk żony, na którą przed chwilą jeszcze chciał spędzić swoje niezadowolenie, wyszedł prędko, a za nim gotowa na rozkazy drużyna.

Ulice też roily się już od ludu; straż przybozna pana burmistrza torowała mu drogę, a odgłos bębnów rozlegał się po najdalszych zakątkach miasta, któremu z murów wtórowały trąby, oznajmiające zbliżanie się liczego a znakomitego orszaku.

— Cesarz, niewątpliwie cesarz! — mówił w duchu burmistrz, spoglądając na wspaniałe orszak biskupi, ciągnący od strzelającej w górę wspaniałemi wieżycami katedry.

Nagle z murów zadźwięczała trąba raz, krótko, potem po dwakroć w pewnych odstępach ten sam odgłos słyszeć się dawał. Uciły bębny i szmer zbierających się tłumów, każdy podniósł głowę do góry i słuch wyteżył, bo straż z murów dawała znak krótkim trąbieniem, iż chce oznajmić, kto zacz przybywa.

Wkrótce też rzucono z góry:

— Cesarz Karol!

— Cesarz Karol — podawano sobie z ust do ust, a radość malowała się na wszystkich twarzach, znać, że przybycie monarchy zwiastowało im nową jego opiekę i nowe nadania. Na ten odgłos dzwony z katedry się ozwały radosnem brzmieniem, trąby z murów odpowiadały przeciągłym graniem, a huk bębnów zagłuszał dzwony, trąby i okrzyki radosne ludu.

I miano się czego radować, przybywał bowiem Karol Wielki, król Franków, a przez papieża Leona III koronowany r. 800 na cesarza rzymsko-zachodniego.

Potęga cesarza była wielka ale i opieka jego sięgała w najdalsze zakątki obszernego państwa. Po niedawno odbytej koronacyi wjeżdżał poraz pierwszy do Metzu, dla którego hojną ręką sypał zawsze swe łaski.

Skrzypnęły bramy na ciężkich wrzeczadkach, burmistrz, obłany potem z wielkiego wzruszenia i pośpiechu, przykląkł na jedno kolano, podając mu na wzorzysto utkanęj poduszce klucze od miasta, kiedy tymczasem dwaj najstarsi rajcowie, na kutęj ze srebra tacy, składali chleb i sól na znak, iż gotowi całym swoim mieniem przyjmować dostojnego gościa, a słońce wyjrzwawszy z za mgły porannej, rzucało pełne blasku promienie. Karol dotknął kluczy, uszczknął okruszynę chleba i zsiadłszy z konia, pieszo przekroczył bramę.

Teraz przedstawiła się jego wyniosła postać w całej okazałości. Głową przenosił najwyższych wzrostem ludzi, nikt zaś nie mógł się pochwalić dłonią tak silnie rozrosłą.

Ubranie monarchy było bardzo skromne: niższa część odzienia i kaftan bawoli, nogi w prostych ciźmach, na wierzchu zaś zarzucony płaszcz biały, zielonem bramowany dokoła, na głowie czapka dosyć wysoka, zdobna pióropuszem przypiętym drogim kamieniem. Lecz na prostym skórzanym pasie zwiesział się miecz wielki, ciężki, żelazny, który tylko dłoń Karola W-go udźwignąć mogła, robiąc go strasznym dla nieprzyjaciół.

Obok cesarza postępował Piotr z Pizy i Paweł Wirnefryd z Pawii, uczeni, których podczas wyprawy na Longobardów na dwór swój zabrał. Obadwaj nieodstępowali w żadnej podróży Karola W-go, jako też zakonnik Alkuin, sprowadzony z Anglii i Frank Angilbert. Mieli oni obowiązek spisywać wszelkie wypadki, w wolnych zaś chwilach Karol prowadził z nimi rozmowy, kształcąc się tym sposobem na każdym kroku.

Gdy cesarz wraz ze swoim otoczeniem przeszedł bramę miejską, biskup Metzu wraz z duchownymi zastąpił mu drogę. Biskup podniósł ku górze dłoń, na znak błogosławieństwa, Karol zaś schylił kornie głowę, mówiąc:

— Błogosław nam słuگو Boży, a dostojniku kościoła, aby Wszechmocny wszelkim zamiarom naszym łaski swj udzielił.

I zaraz dodał:

— No, a jak tam młódz pod waszym kierunkiem się sprawuje?

Biskup na razie nie zrozumiał o co idzie, zwrócił więc wzrok pytający na Karola.

— Pytam o szkołę, wszak od lat czterech w Metzu już założona?

Biskup skłonił głowę na znak potwierdzenia.

— Prowadźcie mnie do niej, ona to głównie mnie tutaj sprowadza. Ci co się teraz uczą, sprawować będą później urzędy duchowne i świeckie, idźcie mi więc o to, co tam przybyło w ich głowie.

Nikt się takiego zwrotu nie spodziewał, zrobiło się więc pewne zamieszanie wśród tłumu. Młodzież bowiem ucząca się, skorzystała z zamieszania i zamiast do szkoły, rozpierzchła się po ulicach, gapiąc się na przybywających.

Słowo jednak rzucone przez monarchę rozbiegło się lotem ptaka po najdalszych zakątkach. Usłyszał je najpierwszy dwumastoletni Denis i rozniósł między towarzyszy. Przechodząc więc padł na całą młodą rzeszę.

— Karol, cesarz będzie nas egzaminował!

— Co my jemu powiemy? — wołano na wszystkie strony.

— Co, co! to samo co nauczycielowi — ozwał się jakiś chłopiec śmielesz natury.

— Dobry sobie! — zakrzyczano go zaraz — to samo, co nauczycielom! a przecież to nie nauczyciel, jeno cesarz! oho!

— Spojrz tylko na niego, taki wielki, aż strach!

— Możeby się skryć gdzie? — poddano myśl zbawienną.

Chłopcy młodszy i starszy zaczęli się nad tem naradzać. Ochota ich brała umknąć poza mury miasta, w najciaśniejszy zaułek ulicy lub na strych ojcowskiego domu, ciekawość jednak przemogła. Widok wspaniałej postawy Karola Wielkiego, liczny jego orszak zajmował ich umysł młodzieńczy. Ociągano się więc z ucieczką.

— Co tam kryć się, nic nie pomoże; taki wielki, to jeno okiem błysnie a wszystko dojrzy — ozwał się znów któryś.

— I jeszcze potem ze skórą będzie robota! — dodał inny.

— Ja tam ani myślę kryć się; — rzekł wesoło Denis, ten sam, co pierwszy wieść przyniósł o egzaminie.

— Ba, ty!

— Taki mądrała!

— Taki śmiałek!

— On i przed cesarzem nie zapomni języka!

— Powiem, co umiem, a czego nie będę umiał, to się przyznam, żem zapomniał i koniec! — rzekł rezolutnie Denis.

— Hm, hm! — pomrukiwano — to też to sęk żeby umieć.

Ech, lepiej się schować — zawołał znów któryś, wracając do pierwszej myśli.

Lecz nie było już na to czasu, bo nauczyciel wielbny Klemens Szkot zwoływał młodź, a pacholkiwie miejscy dopomagali mu do zebrania rozpierzchniętych.

Groźne a poważne oblicze Klemensa przywoływało młodzież do porządku, pacholkiwie zgarniali mniej chętnych i opierających się w stanowczej chwili. Każdy drżał na samą myśl egzaminu przy cesarzu, nawet Denis stracił trochę odwagę i szedł teraz mniej rezolutnie niż poprzednio. Gdy jednak zasiadł na ławie szkolnej i spojrzął na nakreślone wyrazy nad drzwiami: „Bóg na ciebie patrzy”, westchnął i jakoś nabrał otuchy.

Cesarz na krótką chwilę wszedł do kościoła; ta chwila była dobrodziejstwem tak dla Klemensa Szkota i jego pomocników, jako też i dla uczniów. Chłopcy w obszernym przy katedrze budynku siedzieli na ławach, przed każdym na pulpicie leżały tabliczki drewniane, delikatnie pociągnięte woskiem i styl, to jest paterczek dobrze zaostrzony, którym na żądanie mieli kreślić litery. Przed starszymi leżały arkusze pergaminu, nadzwyczaj delikatne style i we fłaszczkach płyn czarny lub czerwony, którego zamiast dzisiejszego atramentu używano! Takich jednak, którzyby już na pergaminie pisali, było zaledwie kilku wybranych, na arkuszu przed nimi leżącym znać było ślady ich pracowitości, błyszczało po kilka wierszy gotyckimi literami nakreślonych, każdy zaś wiersz kolorową ozdobną literę miał na początku. Przed nimi na wielkim pulpicie stojącym na środku izby, leżała olbrzymia księga przytwierdzona ciężkimi na klucz zamykaniami kłódkami. Były to prawa nadane przez Karola Wielkiego, które

zdołniejsi uczniowie obowiązani byli przepisać, aby je po wszystkim państwie dla rozpowszechnienia rozესlano.

Cisza zalegała teraz izbę całą, każdemu serce biło dziwnym niepokojem, spoglądano na drzwi wchodowe, niektórzy wpatrywali się w Opatrzność Boską, niekształtnie nadedrzwiami nakreślona, gdy nagle ukazała się olbrzymia głowa monarchy.

Nie mógł on się w dość niskie drzwi zmieścić, najpierw więc ukazała się jego głowa, a bystre oczy objęły siedzących malców, jak gdyby chciał zajrzeć do wnętrza ich serca. Wreszcie całą swą wyprostowaną postacią stanął, sięgając głową do sufitu prawie.

— Witaj nam monarcho, cesarzu Karolu! — zabrzmiały głosy młodzieży na dany znak przez Klemensa Szkota.

— Witajcie mi dzieci! — odrzekł Karol, uśmiechając się łagodnie.

— A co umiecie? — zagadnął.

Cisza zaległa przez chwilę, wstrzymywano nawet oddech, zdawało się, że te wyrazy całą młodzież w kamień zakłęły.

— No, Klemensie Szkocie, co umieją wasi uczniowie? — zwrócił się Karol do nauczyciela.

— Miłościwy monarcho, oto są prace najstarszych — odrzekł tenże cichym lecz dźwięcznym głosem, wskazując na rozpoczęte przepisywanie praw.

Karol przypatrzył się ich pracy.

— A wiecie, co przepisujecie? — zapytał.

— *Capitularii Caroli Magni* \*) — odrzekł zagadniony nieśmiało.

— A co one znaczą?

— Nakazują spełnianie woli monarszej.

— Co ta wola nakazuje? — pytał dalej Karol.

— Sprawiedliwość każdemu, a naród broni od wszelkiego ucisku.

Pogładził się monarcha z zadowoleniem po brodzie, znać mu się odpowiedź podobała.

— Umiesz ty pisać — zwrócił się do znanego nam już Denisa.

Chłopiec nieśmiało podał mu swoją tabliczkę, z dość zgrabnie nakreślonymi gotyckimi literami.

Karol popatrzył ciekawie na litery i na drobną rękę chłopięcia, a potem przeniósł wzrok na swą dłoń olbrzymią.

— Masz jeszcze dłoń małą, nie dźwigałeś miecza, łączno ci ją do stylu nagiąć — rzekł jakby do siebie. A potem dodał:

— Napisz co zaraz. I usiadł tuż na ławie, aż ta ugięła się pod jego ciężarem.

Denis drżąc z początku, ośmielał się jednak powoli i pisał gotyckimi literami po łacinnie:

„Karol monarcha wielki, łaską swoją nas obdarza”.

— Ba i obdarzy! jeżeli się będziesz uczył dobrze, zrobię cię biskupem!

Potem zwrócił się do Piotra, towarzyszącego mu Pizańczyka i rzekł:

— Zapytajcie ich tam, co wiedzą o dawnych ludach.

Paweł zadawał pytania, nie wszyscy jednak na nie umieli odpowiadać! nie każdy też mógł się swoim piśmem jak Denis pochwalić.

Karol zwrócił się do opieszalych i rzekł surowo.

— Przysięgam na Boga, zapamiętajcie to sobie, że nie będę zwracał na nic uwagi, choćbyście byli synami najznakomitszych ojców, jeżeli się nie poprawicie ze swego lenistwa, żaden z was od Karola nie otrzyma”.

Potem zwrócił się do pilnych i roztropnych:

„Pochwalam waszą gorliwość, kochane dzieci, ucicie się, a was obdarzę znacznymi urzędami, zawsze o was pamiętać będę i uszanuję jako ludzi znakomitych \*\*).

I rzeczywiście dotrzymał przyrzeczenia, ci co odznaczyli się przy owym egzaminie, zajęli potem wysokie urzędy na dworze Karola W-go, a ów Denis otrzymał bogate opactwo i był biskupem w St. Denis.

Z. Morawska.

\*) Kapitularze Karola Wielkiego.

\*\*\*) Historyczne.



Huta Bankowa w Dąbrowie Górniczej.

Z. SWIETLIKOWSKI

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Najniespodziewaniej w świecie, drodzy moi, Gołąbka wasza w podróż rusza. Gdzie? za granicę, nad morze!.. Anim się tego spodziewała, anim marzyła o tój przyjemności, tём żywszej że nie jedziemy nad morze z konieczności poratowania zdrowia, ale dla zjechania się tam z przebywającymi za granicą krewnymi, których wcale nie znam jeszcze, choć słyszę o nich, odkąd żyję.

Oddawna już mi się zdawało, że coś się w domu knuje, widziałam jakieś przygotowania, jakieś krzątanie się, aż tu powiadają mi pewnego dnia: — „Gołąbko, kiedy pisać będziesz do Redakcyi?”

— List mam gotowy; czeka okazji na pocztę. — Będzie jutro raniutko. Nie zapomnij oznajmić, Dobrą Pani, że wyjeżdżamy za tydzień. — Jaktó... wyjeżdżamy? gdzie... wyjeżdżamy? Myślałam że nie wracamy do Warszawy przed końcem sierpnia? — I mówiąc to, czułam że mi się prawie na płacz zbiera, bo choć lubię Warszawę, choć tyle tam drogie mam osób, ale tak mi tu na wsi rozkosznie... — To też my nie do Warszawy wracamy. — A gdzież jedziemy? — pytam zdumiona. — Tam, gdzie pannę powiozą! — dogmatycznie wygląda Julek, na co ja... wstyd się przyznać! z lekceważeniem ruszam tylko ramionami. Ale matka z uśmiechem mówi: — O! niedomyślny dzieciaku! więc nie zgadujesz, że jedziesz z nami za granicę? — Ja? ja za granicę? za-gra-ni-cę? powtarzam, własnym uszom nie wierząc, bo ani mi przez myśl nie przeszło, aby i mnie dopuszczono do tój wycieczki, o której wspomiano, jako o dalekim jeszcze projekcie. Pokazało się jednak, że wszystkie przygotowania poczyniono już dla mnie bez méj wiedzy; nawet Dobra Pani uprzedzoną już była o tём i posłaniec, który list mój odniósł na pocztę, przyniósł mi od niéj polecenie, abym w podróży pamiętała o was i pilnie uważała na wszystko, co widzenia i opisania warte. Zawsze ja sercem o was pamiętam i myślą z wami jestem, teraz zaś tembardziej, gdy tak czyniąc, zadość czynię woli tój, która dobro nasze ma zawsze na celu.

Co wyprawiałam z radości przed wyjazdem, tego wam już wolę nie mówić, boć to ze mnie przecie sędziwa „staruska”, nie dzieciak, ani nie podlotek nawet. Uspokoiliam się dopiero, wsiadłszy do powozu, i rozmyślając, o czem by tu do was napisać z drogi jeszcze, z kraju, którego nie wszystkie okolice wszystkim z was są znane. A ponieważ w program naszej podróży wchodziło zwiedzenie Dąbrowy, umyśliłam więc opisać wam kopalnię węgla, tego czarnego węgla który jest niezbędną podporą przemysłu, a którego wydobycie połączone jest z takim trudem i tyloma niebezpieczeństwami.

Zaledwie się minie Częstochowę, już pociąg zwalniać zaczyna biegu i omijać wyniosłości, zastępujące miejsce równin, a tu i owdzie ukazują się ruiny starożytnych zamków, oraz piece wapienne i kominy fabryczne. Zdaleka jeszcze będąc od Dąbrowy, widzieć już można chmury dymu, wznoszącego się z tamecznych kominów a na pół jeszcze przesłonięte górą Gołonóg, na szczycie której wznosi się stary kościółek. Dawniej był on jedynym w tój okolicy; dziś Dąbrowa posiada swój własny, wzniesiony ze składek, mogący zmieścić około tysiąca ludzi.

Zbliżka wygląda Dąbrowa jak miejscowość, którą, niedawno trzęsienie ziemi nawiedziło. Cała powierzchnia poryta w doły, czeluście, rozpadliny, a po obu stronach szosy z Dąbrowy do Będzina stoją walące się domki, których nikt już podnosić nie ma zamiaru, bo się pod niemi zapada ziemia, nie mogąca utrzymać żadnego ciężaru na zbyt cienkiej warstwie gruntu, pozostawionego nad próżnią, nieużytecznej już dziś kopalni. Takich próżni bezdennych zwanych *zawaliskami* jest tu pełno i miejsca to bardzo niebezpieczne dla przechodniów. To też, jako znak ostrzegający, stoi co kilkadziesiąt kroków słup z tablicą, na której wymalowano trupią głowę i dwie kości na krzyż złożone, zupełnie jak na fłaszce z trucizną, na muchy. Ale i to nie pomaga ludzie są nieuważni i wypadki zdarzają się często, a każdy prawie jest śmiertelny.

Dąbrowa składa się z kilku kolonij, w których znajdują się kopalnie różnej głębokości, do różnych należące właścicieli i zatrudniające nie jednakową ilość robotników. Najwięcej ich pracuje w kopalni, należącój do Towarzystwa francuzko-włoskiego; największą jest kopalnia Warszawskiego Towarzystwa hutniczego i górniczego, ma bowiem 112 sążni głębokości. Najstarszą zaś jest kopalnia „Reden”, otwarta w r. 1805 przez Prusaków, dziś z powodu powstałego w niéj pożaru zasypana. Prócz kopalni znajdują się też w Dąbrowie i różne zakłady przemysłowe, między któremi trzymają pierwszeństwo należące do Huty-Bankowój. Są tu stalownie, odlewnie, walcownie i t. p. zakłady z żelazem i jego przetworami mające do czynienia; są prócz tego fabryki wyrobów garncarskich, majolik, cegły ogniotrwałej. Nigdy w życiu nie widziałam tyle pracy ludzkiej na jedném miejscu nagromadzonej i widok ten tak mi zaimponował, że w obec niego na drugi plan zeszyły w mojej uwadze okolice Dąbrowy.

Opis właściwej kopalni zacząć należy od tak zwanéj *odkrywki*, czyli miejsca, gdzie robota odbywa się jeszcze na powierzchni ziemi. Ztąd to pokład węgla zaczyna się spuszczać w głąb ziemi ukośnie; (bo takie zwykle miewa położenie) wykuty w nim chodnik zwany *pochylnią* prowadzi do najniższego punktu pokładu, skąd znowu idzie do góry pionowy otwór, t. j. *szyb*. Ten punkt najniższy jest razem punktem zbornym, dokąd licznymi chodnikami, połączonemi z główną pochylnią, spuszczają z całej kopalni węgiel, który winda parowa wyciąga przez szyb na powierzchnię ziemi, do *sortowni*. Ztamtąd rozgatkowany, idzie na pociągi kolei żelaznej miejscowój, umyślnie na ten cel zbudowanój.

Trudno wyobrazić sobie tę głuchą, *zupelną* ciszę, jaka w głębi kopalni panuje. Przerywa ją tylko czasem wołanie: „Pozór!” (czyli: baczność) rzucane przez chłopca, który pogania konia, ciągnącego szereg wózków z bocznego chodnika do głównej pochylni, albo huk prochu, używanego do rozsadzania pokładu węgla, którego bryły górnicy kilofami rozbijają. Nie słychać tu śpiewu ani gwizdania, bo zabobonni górnicy mniemają, że wywołać tём można złego ducha, który sprowadza nieszczęśliwe wypadki bardzo w kopalniach częste, a pochodzące zwykle z nieostrożności górników.

Trudno też sobie wyobrazić pracę w uciążliwszych warunkach dokonywaną: pod ziemią, na dnie otchłani, w ciemności, którą tylko rozprasza światło lampki górniczej (urządzeniem różnej od zwykłych), stojąc, klęcząc, półleżąc, niebezpieczeństwem zewsząd otoczony, wyłamuje górnik bryłę po bryle one „czarne dyamenty” słusznie tak nazwane, bo i dyament jest nie czem innym, jak jedną z postaci węgla, i dzięki to węglowi, bez którego nie istniałby przemysł, stać niejednego przemysłowca na dyamenty.

I dla tego też może, że życie górnika ciągle wisi na włosku, jest on tak szczerze, tak prawdziwie religijnym i na pocięch w niepewnej jutra doli, utworzył sobie poetyczne podanie o św. Barbarze, która do górników, nagłą śmiercią zaskoczonych, przybywa z Komunią św. i rozgrzeszeniem.

W miarę jak się kopalnia rozszerza i pogłębia, cieśle budują podpory i drewniane sufity, czyli *stemplują*, a od dokładnego wykonania tój roboty zależy bezpieczeństwo górników, czasami jednak, gdy pokład węgla jest wyjątkowo ściśły, a chodnik wązki i niski, obyć się można bez tych wiązań drewnianych, podtrzymujących sklepienie podziemia.

Gdy węgiel w danéj miejscowości zupełnie zostanie wybrany, a *szlepry* i *szleperki* (pomocnicy i pomocniczki górników) wszystko już wywożą na wózkach, wtedy próżnie wyzerpanéj komory zasypują piaskiem i kamieniami, lub podminowawszy stemple, zawałają i stąd to powstały owe „zawaliska” które tak dziwny wygląd nadają powierzchni Dąbrowy. Wśród tych urwisk i rozpadlin wznoszą się tu i owdzie domy uboższej ludności; inne stoją jak wszędzie, wzdłuż ulic, w jednych i w drugich mieści się ludność dość znaczna, bo wynosząca do 12,000.

Nie umiem wam wypowiedzieć, jak silne wrażenie zrobił na mnie widok wnętrza kopalni, gdzie tak dla górników jak

...a zwiedzających gości, jest jeszcze druga pochylnia, nie ta, po której toczą się wózki. Ci czarni, osmoleni ludzie, w milczeniu snują się przejściami, w których tak trudno się zorientować a tak łatwo zgubiwszy się, śmierć znaleźć, ta ciemność, ta cisza, ta straszliwa odległość od pól i łąk, od słońca i kwiatów, to wszystko przejęło mnie do głębi. Ach! jak szczerze podziękowałam w duszy Bogu, gdy wydobywszy się na wierzch, zobaczyłam nad sobą jasne niebo!

Ale prócz podziemi i nieba, dużo ciekawych rzeczy widzieć można *na ziemi* w Dąbrowie. A najfantastyczniej wygląda ona w nocy i taką właśnie ukazuje wam przyłączony tu rysunek. W dali, nad Hutą-Bankową ukazują się łuna ogromna, z wielkich pieców wyskakują i zapalają się płomienie gazu, a wszystko razem odbija się w odkrywce „Cieszkowski” w r. 1873 zalanej wodą z powodu pożaru. Cudowny widok, powiadam wam!... A komu uprzejma zwierzchność pozwoli zajrzeć do wnętrza fabryk, ten się także napatrzy cudów, o jakich trudno mieć pojęcie. Tu blask bije od wylewanej stali, tu migoce przesuwana pod walcami szyna, którą ze zgrzytem krają piły, parowym motorem poruszane, tam znowu jak nić złota przewija się i płacze drut rozpalony, który póty przechodzi przez walce rozmaitego kalibru, aż nabierze żądanej cienkości. Łoskot młotów, szum pary, ogłusza: głosu ludzi nie słyhać przy nim prawie. A jednak rozum to ludzki kieruje niezamordowanymi tych maszyn działalnością, praca ludzka aż do wnętrza ziemi sięgnąwszy, ztamtąd do nowych prac bierze materyał!... A ten pan inżynier, który wraz ze *sztygarem* (starszym górnikiem) oprowadza nas po kopalni, a potem sam już jeden towarzyszy nam w wędrówce do fabryk i wszystko objaśnia, pokazuje, tłumaczy, taki jakiś prosty i skromny, jak najpospolitszy śmiertelnik! Aż się wasza Gołąbka zawstydzila, bo... bo... zdarza jej się czasem za wyśokić się o sobie rozumienie. Ale za to nigdy, *nigdy*, nie zdarza jej się zapomnieć o przywiązaniu swém dla was i dlatego z całą ufnością sercom waszym się poleca.

Wierna wam zawsze

Gołąbka

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

A w tem zagrzmiał drugi huk, w oddaleniu, prawdziwy armatni na ten raz, odpowiedź ze strony parowca, który też natychmiast zmienił kierunek, dążąc teraz wprost do stóp skał, na których szczycie powiewał biały sygnał w ręku Rahiba, a koło których miano przed chwilą wyraźny zamiar przepłynąć mimo, w pewnej odległości.

Wszyscy zbiegowie, na skale będący, podskoczyli, wstrząśnieni mimowolnym radosnym wzruszeniem, poderwał się i gospodarz z miejsca, jakby go piorun uderzył, i zamieniając tajemniczy gest jakiś z kobietą obserwującą wszystko z progu swjej chaty, puścił się biegiem w dół, skacząc po skałach, gdy równie nagle żona jego w głąb swjej nory się cofnęła. Ale pilnowano ich bacznie, i równocześnie prawie z podejrzaniami ewolucjami godnych małżonków, rzucono się na nich. Kobieta schwytano i skrupowano natychmiast, w chwili gdy jak gadzina jaka, usiłowała wślizgnąć się w nieznaczną jakby szczelinę w kacie, wiodącą niemylnie kędyś na zewnątrz, jako drugie tajemne wyjście z chaty. Ale z oberżystą inna była sprawa. Przywykły do skakania po tutejszych skałach, a przytem oczywiście obznajmiony z ich krętymi załomami, miał z konieczności niezmierną wyższość nad ścigającymi go, w tej bezdrożnej ucieczce. Przekonanie wszakże iż od schwytania go zależy ocalenie Klary, Wiliama i samych siebie, wszystkiego jednym słowem, dodawało nadludzki siłę nietylko młodemu Anglikom i trzem ich wiernym sługom krajowcom, ale nawet i resztę służby pobudzało do niezwykłych wysiłków. Jeżeli zdawało się, że oberżysta mógłby pójść w zawody z tygrysem,

dziką kozą, lub małpą, w skokach i rzutach szalonych, to można by przyrównać ścigających, do gromady nie już myśliwców, lecz psów myśliwskich oszalałych w namiętnej pogoni za zdobyczą. Krew broczyła ręce i nogi, poranione o kanty skał ostrych jak noże, piersi dyszały i rzerządy, ochryple od wzajemnych nawoływań celem oryentowania się i porozumienia, rozum mieszał się pod wpływem ognistych snopów słonecznych, padających nieledwie jak roztopiony ołów na czaszki, pozbawione okrycia w zajadłej gonitwie. A tymczasem ścigany złoczyńca ukazywał się tu i tam najniespodziewaniej i nikł znowu, jak ciemne szatańskie jakie zjawisko, aż raz gdy tak zaczętniał chwilowo na szczycie skały, zabrzmiał wystrzał... oberżysta zachwiał się wyraźnie i znikł... Przeciągly okrzyk tryumfu przeszył powietrze i wszyscy, a przede wszystkim John, żarłoczny John z dymiącą w tej chwili bronią w ręku, zbiegli się na miejsce wypadku, gdzie spodziewali się zastać niekzennika leżącego bez duszy... zastali tylko krew... oberżysta znikł, i nie ukazał się więcej. Przeszukano całą najbliższą okolicę, zbadano, jak się zdawało, każdy zaułek skalny, każdy błotnisty dołek nawet, wszystko napróżno. I przyszła chwila, gdy uznawszy, że chyba ziemia rozwarła się pod zbieganiem, nieszczęśni Anglicy pozbawieni z rozpaczysię ostatka, poupadali, gdzie który stał, na ziemię, zalewając się łzami jak dzieci bezsilne; pewni, że, z niemylnym porozumieniem się oberżysty z dzikimi uprowadzającymi Klarę i Wiljama, ostatnia nadzieja powodzenia znikła. Teraz każdy wyrzucał sobie, że nie jemu to przyszła myśl wpierw jeszcze postrzelić go tak, żeby nie mógł uciec czy skryć się...

Do gonitwy w tak ciężkich prowadzonej warunkach nie należeli jedynie Thorn i Mac-Ulm, z łzami zalaniem oczyma śledząc tylko jej przebieg i bieg zbliżającego się jednocześnie parowca.

W pół godziny później, dowodzący nim kapitan Lory wylądował, siedział na głazie, otoczony Anglikami i ich służbą, powiadomiony już treściwie lecz dokładnie o wszystkim, co zaszło. Nie było potrzeby żadnych rozmów na osobności, ponieważ niebezpieczeństwo jednocy ludzi; ani też nie było potrzeby ukrywania się z naradą, gdy wszyscy czuli że są, lub mogą być widziani i co gorsza podsłuchywani bez swjej wiedzy przez wrogów, w nieznanem sobie zupełnie otoczeniu. Owszem, zamiast skrywać się w niezliczone zaułki skał nadbrzeżnych, usiedli na głazach, których wszędzie było pełno, w pośrodku małej przestrzeni na względnej płaszczyźnie, gdzie nie mogli być podsłuchanymi, ponieważ będąc widzialnymi zewsząd, i sami nawzajem widzieć musieli każdego, kto by chciał do nich się zbliżyć.

— Szkoda!... och, wielka na ten raz szkoda!... — westchnął serdecznie pan Lory...

— Szkoda! — westchnęła jak echo, otaczająca go część załogi.

— Czego? — spytał zwracając się ku niemu kapitan.

— Że my nie jesteśmy Anglikami, i że nasz mały parowiec nie jest wielkim angielskim okrętem, bo wtedy mielibyśmy wszelkie prawo pogospodarować na tych wybrzeżach i przywrócić na nich sprawiedliwość i miłosierdzie. O ile byśmy mogli przynajmniej! — odpowiedział bez wahania stary majtek.

— Tak jest! — zawołał z zapalem pan Lory — moi przyjaciele zgadują myśli moje! Szkoda że nie jestem Anglikiem, poraz pierwszy i bodaj ostatni w życiu mojem to uczuwam... szkoda że nie jesteśmy Anglikami, przeciw którym wrzekomo lud ciemny tutejszy występuje, gdyż jako Anglicy mielibyśmy prawo wystąpić czynnie w obronie waszjej, drodzy nowi przyjaciele, gdy obecnie tylko na morzu pomagać wam możemy, wedle praw zobowiązujących, jako obcy. Nie wiem jeszcze wcale co da się zrobić, ale w każdym razie zapewniam was, że uczynię wszystko co tylko nie będzie sprzeciwiać się obowiązkom moim, aby ocalić wasze porwane dzieci. Pewną jest wszakże rzeczą, że dopóki parowiec stać tutaj będzie, nie zbliżą się ani statki handlarzy niewolnikami, ani bandy rozbójnicze z głębi kraju niewolników tamtym wiodące, dla tego sądzę, że najpilniejszą rzeczą, jaka pozostaje mi do zrobienia, jest, stąd się oddalić...

— Oddalić się!... A cóż poczniemy bez ciebie, kapitanie?

— Będziecie czekać i uważać na okoliczności, tak samo jak i my, ukryci tymczasem wraz z parowcem w maleńkim skalistym zaułku, ślicznej zatoczce bardzo wygodnej, jakich pełno jest na tych wybrzeżach, ale z których ciężkie i stare statki handlarskie nie zawsze dla zbyt płytkiej wody użytkować mogą. Nie bójcie się, mają oni swoje sposoby na nas, ale i my mamy nasze: ani się spostrzegą, gdy zniknąwszy im z oczu na pełnym morzu, schowamy się do zatoczki i tam czekać będziemy, jak w jaskini jakiej, na ukazanie się niegodziwców, prowadzących wasze dzieci, aby za danym przez was znakiem przyjść wam z czynną pomocą. Dalej na wodę zatem, niema czasu do stracenia!

— Ależ ten szpieg handlarski, bo nie czém innym jest człowiek, który nam uciekł, zawiadomi niemylnie swych współników handlarzy i dzikich łotrów o naszej i waszej obecności, gdy na nieszczęście wymkną się nam z rąk zdołał! Prawdopodobnie już oni nie przyprowadzą tu swych więźniów!

— Tylko co z nimi zrobią? Wątpię aby przywiódłszy ich tutaj, mieli ze strachu przed wami wyrzec się spodziewanego zysku, kończąc z jeńcami, gorszym jeszcze jakim sposobem. Prawdopodobnie gdy nas nie będzie widać, targ zacznie się odbywać nie zważając na was, albo raczej może z zamiarem pomnożenia waszemi osobami ilości towaru. Ani wątpię, że dzicy z głębi kraju, jeżeli istotnie dążą tutaj, a dowiedzą się o was wcześniej, to przywołają tylko współplemienników na pomoc ze względu na was, ale zamiarów nie zmienią. Zresztą, skądże macie pewność, że mieszkaniec tutejszych skał uciekł po to, aby ich powiadomić o waszych zamiarach, jeżeli ich sam nie wiedział?...

— To prawda!... mógł zanieść im jedynie wiadomość, że zastaną tu jakichś ludzi i parowiec francuzki, ale nie to, że ci ludzie na nich czekają... — przyznał Mac-Ulm, zdziwiony trochę, że ta prosta uwaga nie przyszła jemu i jego towarzyszom na myśl.

— Możeby jednakże nie było od rzeczy szukać jeszcze tego człowieka, właśnie dla tego aby powiadomieniem o naszej obecności, nie sprowadził nam zbyt wielkiej liczby nieprzyjaciół?... A wszakże jeżeli jest ranny i to dosyć mocno, jak tego krwawy ślad dowodzi, to nie mógł uciec daleko...

— Tak, prawdopodobnie ukrył się tylko w niedostrzeżonej jakiejś kryjówce, i niemylnie lepiejby było, gdyby nie mógł z nadchodzącymi się porozumieć, szukajcie go zatem, ale wierzcie mi, że obecność mego parowca wcale dla waszych planów nie jest korzystną. Jeżeli chcecie, mogę zostawić z wami mego jednego zucha znającego okolicę, aby pośredniczył między nami w miarę, jak wypadki będą wymagały porozumienia lub doprowadził was do mojej zatoki. Ho! Carré!...

— Słucham, kapitanie!

— Pozostaniesz z panami!... aby pełnić funkcyę telegrafu, gołębia pocztowego lub maszyny do młócenia łotrów, do czego masz wrodzone zdolności!

— Wedle rozkazu, kapitanie!

— Do widzenia!... przyjaciele!

— Oby w lepszych okolicznościach!

— No, no, odwagi; nie jesteście przecież obecnie w gorszych niż w chwili opuszczenia Tungary.

Zamieniono serdeczne uściśnienia dłoni i Anglicy mimo własnej wiedzy ożywieni trochę i pocieszeni żwawością pełnego otuchy młodego Francuza, pozostali znów sami na wybrzeżu, ścigając wzrokiem unoszącą go łódkę a później parowiec.

(d. c. n.)

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Dla Pegaza skrzydlatego, od Ikara i Gapeusza.

Początkowe litery odczytane od góry do dołu, utworzą nazwisko poety polskiego, a końcowe odczytane w tym samym kierunku, tytuł jednego z jego utworów. Sylaby. O—u—na—mer—so—o—mon—sta—li—kro—bol—ro—las—ne—nyx—zem—chi—ich—war—ne. — Wyrazów 9. Znaczenie wyrazów. 1. Historyk polski. 2. Przyrząd do łapania koni. 3. Kamień. 4. Imię psa. 5. Pieniądz używany w starożytności. 6. Miasto sławne bitwą. 7. Zwierzątko czczone przez Egipcyan. 8. Miasto w Ameryce. 9. Tytuł komedyi Fredry.

### REBUS.



### ROZWIĄZANIA DO N-ru 33-go.

#### Z a g a d k i:

M o d l i t w a.

#### Łamigłównki sylabowej:

1. Radziwiłów. 2. Ostrygi. 3. Dante. 4. Zajac. 5. Irokez.
  6. Nebo. 7. Nabuchodonozor. 8. Ely.
- Wieczory rodzinne.

**Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Słynny rozbójnik p. Z. U. (z drzew.) — Piosnka prząśniczki, wiersz p. Helenę Bojarską. — Gość niespodziewany p. Z. Morawską. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — W Indyach. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Dobra siostrzyczka (z drzew.) — Dzieteczki przy śniadaniu, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Dobre serduszko Lucia i Zosi. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



## DOBRA SIOSTRZYCZKA.

— Wandeczko—mówiła mama, kładąc okrycie, do ośmioletniej córeczki—muszę koniecznie wyjść teraz na miasto za pilnym interesem, pozostaniesz więc sama w domu i będziesz musiała pamiętać o Stefanie, który się niedługo obudzi. Jesteś już w tym wieku że potrafisz przecież wyręczyć mamusię i zabawić małego braciszka. Ja powrócę niedługo, a tymczasem pamiętaj nie otwierać drzwi nikomu i nie pozwól Stefciovi płakać za mną. Słyszysz, córeczko?...

Wandeczka złożyła książkę z powiastkami, którą czytała, nadstawiła mamusi na pożegnanie rumianą swą buzię i zamykając drzwi za wychodzącą, zawołała pewna siebie:

— Bądź spokojną mateczko, zrobię wszystko co każesz...

I została w domu sama jedna. Inna dziewczynka może bałaby się trochę, ale ona czuła się dumną, że pod jej opieką pozostawiono dom cały i śpiącego w drugim pokoju braciszka. Zresztą i czegoż bałaby się miała?... Wiedziała, że duchów niema na świecie i tylko niegrzeczne dzieci niemi straszą...

Wzięła więc napowrót książeczkę i na paluszkach poszła z nią usiąść przy łóżeczku Stefcia, aby przypadkiem skoro się obudzi i nie zobaczy nikogo przy sobie, nie zaczął płakać. Ale Stefcio był grymaśnikiem nielada. Wprawdzie miał zaledwie trzy lata i czasami mógł sobie jeszcze pozwolić, ale nieraz pozwalał też sobie za wiele, sprawiając tem niemały kłopot mamie i siostrzytce. Tak też na nieszczęście było i teraz. Zaledwie Wańdzia rozpoczęła ciekawą jakąś historyjkę z „Wieczorów” a już mały śpieszek poruszył się na łóżeczku i nim jeszcze zdołał otworzyć oczy, zaczął przywoływać mamy!

— Cicho Stefciu, mamusi niema ale zaraz powróci—uspokajała siostrzytka pochylając się i całując grymaśnika.—Tymczasem będziemy się bawili konikiem. No wstań, patrz, tam konik czeka na ciebie, widzisz go?...

Ale Stefcio nic nie słuchał. W tej chwili gwałtem zachciało mu się mamy, wołał więc na cały głos:

— Ja nie chcę konika, ja chcę mamy!... mammo, mammo!...—I ani myślał przestać krzyżeć.

— O mój Boże, co ja z nim zrobię — zawołała prawie ze łzami dziewczynka. — Niedługo może nadejść mateczka a obiecałam jej, że potrafię go zabawić. Co robić!

Poznosiła mu wszystkie zabawki, całowała, uspokajała, próbowała opowiadać bajeczki, wszystko bezskutecznie. Była zrozpaczoną!... Aż naraz przyszła jej myśl. W swojej szufladce miała na spodzie w starannie zawiniętem pudełeczku śmiesznego arlekina, którego niedawno otrzymała w podarunku od ukochanego wujaszka. Wujaszek przywiózł jej z zagranicy ten dowcipny figiel, to też szanowała go bardzo i rzadko kiedy sama się nim bawiła. Teraz przecież nie wahała się ani chwili. Otworzyła szufladkę i wydobywszy zabawkę, pobięła do rozgrymaszonego chłopczyka. Pod spodem kwadratowego pudełeczka znajdowała się mała sprężynka, za pociśnięciem której nagle otwierało się wieczko i ze środka wyskakiwał pociesznie przystrojony arlekin.

Figiel był bardzo śmieszny, to też dziewczynka uszczęśliwiona była, że tem może zdoła uspokoić Stefcia.

Z uradowaną więc minką posadziła go na krzeselku i wysuwając ku niemu zabawkę, pociśnęła sprężynkę.

W jednej chwili Stefcio zapomniał o całym świecie i zaczął śmiać się serdecznie. Łzy jeszcze spływały mu po buzi a już wyciągał rączki wołając:

— Daj mi to, daj!—Mały kolorowy człowieczek z najeżoną czuprynką i rozkrzyżowanemi rękami podobał mu się niezmiernie. Chciał koniecznie wziąć go w rączkę i przypatrzeć mu się z bliska. Wańdzia zaważała się chwilę, bojąc się powierzyć psotnikowi swój ulubiony podarunek, ale widząc, że powtórnie zbiera mu się na płacz, zamknęła pudełeczko, a naciskając paluszkami jego denko zaczęła go uczyć, jak się otwiera. Nauka poszła szybko. Pajac wyskakiwał raz poraz i uradowany chłopczyk bawił się wybornie.

W tej chwili ktoś zadzwonił. Wańdzia zostawiwszy braciszka z zabawką, pobięła otworzyć, była to mama.

Mateczka ucieszyła się bardzo, widząc synka bawiącego się wesoło, i uściskała za to córeczkę, ale jakież było zmartwienie Wańdzi, skoro powróciwszy po chwili, zastała zabawkę porzuconą na podłodze. Podniosła ją i ze strachem zaczęła oglądać. Potem próbowała otworzyć, ale zepsuta sprężynka nie można już było nacisnąć. Po długich usiłowaniach otworzyła się wreszcie, człowieczek już jednak nie wyskoczył jak dawniej, tylko skurczony pozostał na spodzie. Wańdzi łzy zakreśliły się w oczach. Jej ulubiona zabawka była zepsuta!... Miała ochotę płakać, ale się powstrzymała i nic nie mówiąc, schowała do szufladki zepsutego arlekina.

Wołała widzieć zadowolenie mateczki, jak martwić ją swemi drobnymi kłopotami. I potem też nie wspomniała o tem nigdy...



## Dziateczki przy śniadaniu.

Dano śniadanie, wnet też do stołu  
Małe dziateczki siadły pospołu.  
O! jeść by rade, śniadanko nęci,  
Lecz one zawsze mają w pamięci:  
Że przed jedzeniem najpierw potrzeba,  
Szczerą modlitwę przesłać do nieba,  
Aby z wysoka Stwórca łaskawy  
Pobłogosławił wszelkie potrawy.  
Więc się żegnają, potem w pokorze,  
Złożywszy rączki, mówią: O! Boże!  
Błogosław wszystko, co tu w tój chwili,  
Będziemy jedli, będziemy pili,  
I przyjmij od nas serdeczne dzięki  
Za dary, które mamy z Twój ręki!  
Po modlitewce smakuje lepij,  
Pokarm też pewnie siły pokrzepi,  
Pójdzie na zdrowie, bo z krzyża znakiem.  
O! jedzcie dziateczki, jedzcie ze smakiem!

*Helena Bojarska.*



Dziateczki przy śniadaniu.

## Dobre serduska Lucia i Zosi.

Lucio i Zosia młodsza jego siostrzyczka, dostali mnóstwo podarunków od ciotki, która przyjechała z daleka. Oboje więc usiedli na miękkim dywanie, porozkładali naokoło siebie skarby swoje i bawili się uszczęśliwieni, śmiejąc się ze wszystkich sił z zabawnych skoków pajaca, układając laleczkę w przepysznej pościeli, przerzucając wzajem do siebie piękną piłką. Wtem przyszła ulubiona ich kotka Lizusia, usiadła, ale zamiast figlować po swojemu, zamyśliła się jakoś. Dzieci spostrzegłszy smutną minę Lizusi, zasmuciły się także i pytały babuni:

— Czy Lizusia nie chora? Czy babunia pogniewała się na nią? Czy może jój przykro, że niema zabawek dla swych dzieci?

Babunia wytłómaczyła, że kotce obojętne są zabawki, a jeżeli smutno wygląda, to dla tego, że jój śniadania dać zapomniano. Dzieci, usłyszawszy to, zaczęły myśleć jakby prędzej Lizusie nakarmić, aż stanęło na tem, że jój udzielią różnych przysmaczków z własnego drugiego śniadania. Lucio przyniósł zaraz kilka

plasterków szynki, Zosia bułeczkę i wszystko włożyli do koszyka okrągłego, gdzie spały kocięta około Lizusi, która spała już także z niemi.

— Jak się Lizusia obudzi i zobaczy te przysmaki to się dopiero ucieszy — szeptali sobie.

Ale kotka spała twardo.

— Trzeba ją przebudzić, żeby się prędzej ucieszyła — rzekł wreszcie Lucio, wziął sztuczną myszkę wybornie zrobioną, uwiązał ją na długiej cieniutkiej niteczce, i zaczął ją ciągnąć po posadzce tuż koło kosza, zupełnie tak, jakby chodziła.

Na szelest ten Lizusia otworzyła jedno a potem drugie oko i w tejże chwili rzuciła się na myszkę, myśląc że jest żywą, wyskakując przewróciła koszyk. Przebudzone kocięta zabrały się do leżących naokoło bułeczek i szynki. Lizusia spostrzegłszy to, niezmiernie się ucieszyła. Z radości najprzód pomogła jeść dzieciom swoim, a potem tak się prześlicznie zaczęła bawić ze sztuczną myszką wraz z niemi, że nietylko dzieci, ale nawet i starsi aż się pokładali od śmiechu.

Tak to dobre serduska dziatek, wszystkim sprawiły uciechę.

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Ach ta przechadzka, cóż za porównanie z dawnemi spacerami po miękkich, piaszczystych uliczkach ogrodu! Chodziłem jednakże dla zabicia czasu, nie mając nic lepszego do roboty, gdy nagle... stanąłem zdumiony: słońce świeciło prosto na moje puszyste futerko zupełnie jak w mojej drogiej ojczyźnie, na rozkosznym zagonie kapusty, a przed moim zdziwionym wzrokiem zamajaczyło w oddali pogodne, błękitne niebo z całym zastępem przejrzystych obłoczków i szumiące wierzchołki ogrodowych drzew. Spoglądałem pełen zachwytu; chmurki, swobodnie pływające w przestrzeni, zdawały mi się tak bliskie, tak bliskie, przytem tak lekkie i ponętne, że przyszła mi śmiała myśl wycieczki w tę czarowną krainę. Posunąłem się naprzód raz i drugi; jeden krok jeszcze, a spełnię moje życzenie; ale nie, nagle zatrzymała mię dziwna jakaś przeszkoda, cienka, delikatna, prze-

zroczyta, a jednak nieprzebyta. Z początku zdawało mi się, że to proste złudzenie wywołane brakiem sił, że z pewnym trudem pokonam przecie tę zaporę, ale wszystkie moje usiłowania okazały się daremnymi.

— Patrz, Zosiu, liszka chce się wydostać oknem — zawołała najmłodsza dziewczynka. — Oho, nic z tego kochaneczko, musisz zostać, albo ci tu źle? masz wodę, liście, mieszkanie, przechadzki...

Tak, mam wszystko prócz jednej rzeczy, prócz swobody, bez której niema szczęścia na świecie, pomyślałem z goryczą. Dałem pokój dalszym próbom i zadumałem się głęboko, jak to nieraz w życiu pragnienia nasze zdają się jednym krokiem przedzielone od wymarzonego celu, krokiem małym, nieznacznym, a jednak nieprzebytym...

Z nudów, a potrochu dla zagłuszenia dokuczliwego głođu, zacząłem się bacznie przyglądać mieszkankom tej ponurzej miejscowości. Trzy ich było: najstarsza duża, właścicielka surowego głosu, dwie drugie, małe dzieci jeszcze; z tych starsza miała jasny warkocz i jasne oczy, młodsza ciemniejsze włosy i oczy, obie siedziały naprzeciwko siebie przy długim, czarnym stole i ciągle coś mówiły, mówiły, mówiły... dziwię się, że ich to nie męczyło. Czasami przerywały mowę i śmiały się serdecznie, kilka razy panienska z groźnym głosem uśmiechnęła się lekko, ale w tej chwili przybierała surową postawę.

— Dosyć dzieci, dosyć — wołała — można pożartować byle niedługo, czasu szkoda; dalej, opowiadaj Janiu, albo, mów Zosiu.

Dowiedziałem się tym sposobem, że właścicielka jasnego warkocza nazywa się Zosia, ciemnego Jania, co do najstarszej, młodsze zwały ją Celą. Przyznać muszę, że osoba ta od pierwszej chwili zrobiła na mnie bardzo niemiłe wrażenie i wzbudziła szczególniejszy postrach; nie żeby jej postawa była wielce zatrważająca, owszem, wyglądała nawet dosyć przychylnie i zdawała się żywić nader przyjazne uczucia względem mnie, ale znasz nasze przysłowie: „pozory często mylą”, a ja odczuwałem wilka w tej owczej skórce, gdyż dziwnie przerażały mię jej krótkie, stanowcze słowa, surowe zmarszczenie brwi i niecierpliwe wykrzykniki. Przytem w ciągłym była ruchu: z książką w ręku ustawicznie krążyła koło stołu, zatrzymując się od czasu do czasu przed jedną lub drugą małą rozpowiadała im coś prędko. Dziewczynki słuchały uważnie, potem znowu mówiły. Widok ten, tak dziwny i niezrozumiały, nadzwyczaj mię zaciekawił; w skutek wielkiego zajęcia zapomniałem nawet chwilowo o największej trosce mego żywota, o pustym żołądku i skupiłem wszystkie moje umysłowe zasoby, ażeby zrozumieć o co rzecz idzie. Zauważyłem przytem, że ludzie są większemi gadułami od naszych odwiecznych nieprzyjaciół, zawsze krzykliwych ptaków. Nareszcie, z właściwą mi domyślnością odgadłem, że tu nie idzie o czcze zadowolenie nagannego gadulstwa, ale o rzecz stokroć ważniejszą, o naukę. Nauka, wiadomo, że nikt jej nie ceni więcej od nas owadów, z innym też zaraz uczuciem spoglądałem na szczebiocące dziewczynki, wiedząc, że nie czynią tego dla płochłej zabawki, ale z poważniejszą myślą.

Zacząłem się przysłuchiwać uważnie w nadziei skorzystania czegoś, gdyż choć już dawno ukończyłem edukację i należałem do liczby starannie kształconych liszek, ale jestem zdania, że całe życie uczyć się należy, jeżeli ktoś pragnie mieć uznanie i znaczyć cośkolwiek w owadziem społeczeństwie. Rzeczywiście, wiele ciekawych rzeczy dowiedziałem się dnia tego, a szczególnieję podobały mi się wiersze, które dziewczynki stojąc wypowiadały kolejno. Pomawiają biedne gąsienice o brak wszelkiego poczucia piękna, poetycznego nastroju; jednakże ta słodka harmonia artystycznie dobranych dźwięków zlewając się w dziwnie miłą całość, nadzwyczaj przyjemne zrobiła na mnie wrażenie i... nie wiem czy ja tylko stanowiłem wyjątek w ogólnej regule, ale czułem się wzruszonym i przejętym do głębi serca. Widocznie tylko bogato uposażone istoty mogą pojąć i przeniknąć ducha prawdziwej poezji.

Naturalnie w wierszach tych głównie była mowa o ludziach, ale wspomniano także o kotach, zającach, niedźwiedziach, a nawet, wyobraź sobie w jednym była wzmianka o muchach, a w żadnym o motylach. Teraz kiedy się nad tem uważnie zastanawiam, czuję się trochę obrażonym, wszak bezwątpienia my jesteśmy pierwszymi pośród owadów.

— No tak, zapewne, jeżeli się sądzi tylko z pozorów, z powierzchowności — zauważyła szczypanka widocznie niezadowolona z zarzumiałości motyla — podług mnie jednakże przymioty umysłu i serca na większą zasługują uwagę.

(d. c. n.)

## ZAGADKA NA ŚNIADANIE.

— Dzieci, poszukajcie mi jaj — prosiła Grabska, gospodyni domku, w którym mama Bogdanka, Julisia i Wańdzi bawiła z niemi przez lato. — Szkaradne kury, niosą się gdzieś po łąkach! Bogdanku, tyś najstarszy, weź koszyczek i rachuj, ile które z was znajdzie. Z połowy jaj, które przyniesiecie, zrobię wam na śniadanie jajecznicę.

Dzieci pobiegły chętnie i zaledwie pół godziny upłynęło, wracały już z pełnym jaj koszykiem, Bogdank znalazł siedm, Juliś ośm, Wańdzia tylko trzy; nie chciała ich oddać braciszкови i niosła je w fartuszk, ale potknęła się, upadła i... zrobiła się jajecznica! Bogdank, jako troskliwy braciszek, pośpieszył jej na pomoc, ale koszyczek mu się przechylił, wypadło z niego pięć jaj, które się także potłukły. Ze smutną minką wracały dzieci, bo i przykro im było, że Grabskiej zrobiły szkodę i tak mało im jaj zostało... a z tych pozostałych połowa tylko pójdzie na jajecznicę! Na szczęście Juliś znalazł jeszcze sześć jaj i włożył je do koszyczka. Grabska dowiedziawszy się o wszystkim, skrzywiła się trochę, ale że dobra była dla dzieci, więc nic nie mówiąc, zrobiła jajecznicę z połowy przyniesionych jaj. Pytanie: ile dzieci jaj znalazły? ile stłukły? ile ich było z temi, które znalazł Julek? ile jaj użyła Grabska na jajecznicę?

**ZADANIE KONIKOWE.**

ułożył Pegaz.

mu	blą	zuj
dro	*	ce
dzą	wska	gę

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 34-go**

**Szarady:**

**P a r y ż.**

**Łamigłówki literowej:**

Wieczory rodzinne.

**Skrzynka do listów.**

Nowemu prenumeratorowi, **Warszawiakowi**, śpieszymy odpowiedzieć, że łamigłówkę przez niego przyslaną (o ile takowa po przejrzeniu okaże się dobrą) wydrukujemy nie pierwszej, aż gdy przyjdzie na nią znana naszym czytelnikom „kolej”. Nie cieszy się ona niczyją sympatją, jest jednak konieczną w obec nawału szarad, zagadek, łamigłówek i t. p., nadsyłanych nam, a po większej części dobrze ułożonych drobnostek. Warszawiak, jako nowo przybyły nie zna jeszcze naszych porządków: oto prosimy zawsze, aby liściki, łamigłówki i t. p., przysyłać nam na osobnej kartce niż ta, na której się mieści list do nas. Prosimy także o wymienienie obok pseudonimu, imienia, nazwiska, lat i adresu.

Bardzo nam miło, że **Irys i Mimoza „z Lublina”** (tak ją nazywać będziemy dla odróżnienia od dawniejszej: **z Radomia**) „przełamały pierwsze lody”. Tak; gronko nasze, choć rozproszone, zwar-te jest jednak tą miłością, która łączyć powinna rodzeństwo... O liściku pamiętać będziemy.

**Cyganecko, Figlarko**, przeczytajcie, co Warszawiakowi odpisu-jemy w kwestyi liścików i łamigłówek. Ma się rozumieć, że li-scik niewydrukowany w jednym numerze, odkłada się na później. Czasem na te „później” czeka się dość długo! Każda z was, naj-milsze korespondentki, chciałyby pisywać przez Wieczory do swych rówieśnic, a miejsca mamy tak mało!

**Biała Ostróżko**, prosimy o nadesłanie rozwiązania łamigłówki.

W imieniu nieobecnej Gołąbki odpowiadamy **Wiewióreczce Inflantskiej**, że prawdziwą nam przyjemność sprawia wiadomość o radości, jakiej doznała, otrzymawszy nagrodę. Dostała ci się ona „naprawdę” za wypracowanie konkursowe. Żałujemy szczerze, że wiek i odległość nie pozwala nam należyć do chóru piosenki „O wilku”.

**Filaretka** mnóstwo pytań zadaje... Na jedno odpowiedzieć nie możemy, dla tego, że sama Gołąbka odpowiadać nie chce na nie, jako na tyjące się jej osoby. Na inne zaś po prostu **nie może-my** dać odpowiedzi. Brak czasu nie pozwala na przerzucanie księgi pseudonimów; zresztą... na to są pseudonimy, aby strzegły tajemnicy nazwiska.

Po części to samo odpowiadamy **Gałązce paproci**. Tajemni-

cą kwiat swój otaczająca, powinnaś pojmować całą ważność tajem-nic... redakcyjnych.

Kochana **Biała Ostróżko!** Nie jestem Wiktusią N., ale Zo-sią K. Mam 3 siostry i 2 braci, mam lat 12 i mieszkam na wsi. Pisuję do Wieczorów Rodziny pod pseudonimem „Sikorka”, a moja starsza siostra — pod pseudonimem „Sikorka z nad Utra-ty. Ścisła cię serdecznie *Sikorka*.

Jestem uczniem 4 klasy, mam lat 14; z twego listu, kochany odważny Pływaku, widzę, że lubisz rozrywki, które i mnie wiele sprawiają przyjemności, nad nie jednak przenoszę czytanie histo-rycznych powieści. Odpisz mi, proszę, gdzie spędziłeś wakacje?... Ja nazywam się Eugeniusz P. i mieszkam na wsi, chodzę zaś do gimnazjum w Białej Cerkwi. Twój *Filozof*.

Kochani Ikarze i Gapeuszu! Dziękuję wam za ofiarowaną mi łamigłówkę i ofiaruję wzamian swoją. Bliższych o mnie szcze-gółów udzieli wam list mój, drukowany niedawno do Księcia Ge-njuszów. Ścisłam wasze prawice, *Pegaz skrzydlaty*.

Droga Jaskółeczko z nad Sekwany! Czy o tobie pamiętam, moja ty sędziwa, pierwsza, a dodaj do tego tak miła koresponden-tko? Jakżeż mnie o to pytać możesz! Nietylko pamiętam, ale nawet dotąd odżałować nie mogę tego, żeśmy się bliżej nie zapo-znały. Kto wie, może to jeszcze nastąpi wkrótce, a wtedy opo-wiem Ci ustnie, że mimo twego sędziwego wieku kocham Cię tak, jak prawdziwą siostrzyczkę. *Brzydotka z nad Tamizy*.

Mile moje: Blondynko z pod Piotrkowa, Sosenko, Stokrotko z nad Stochodu, Bławatko z nad Horynia i Wiochno z pod Lu-blina! Blondyneczko, i ja, rok temu jeszcze, pod Piotrkowem mie-szkałam, sąsadowałyśmy więc ze sobą, czy nie zechcesz napisać mi choć pierwsze litery swojego imienia i nazwiska? Drogie: Sosen-ko, Stokroteczko i Bławatko, ścisłam was serdecznie. Wiochno lu-ba, niemiernie mi się podobało to, co napisałaś do Jesieni o poezya, i wyobrażam sobie, że musisz mieć wiele hartu duszy. Polecam się waszjej pamięci. *Ukrainka na Mazowszu*.

Kochana Gałązko Heliotropu! Poznałam cię z opowiadań naszej wspólnej znajomój i rozpoczynam z tobą korespondencyą. Donieś mi, jak długo pozostaniesz w Kaliszu i gdzie będziesz na pensyi? Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienie. Zgadnij kto je-stem? *Sarenka z nad morza Bałtyckiego*.

Kochana Kuropatewko z nad Warty. Zaczynam dopiero pi-sywać do Wieczorów i pierwszy mój liścik jest do ciebie. Miesz-kam także na wsi, uczę się w domu, mam lat 12, na imię mi Zofja, mam trzy siostrzyczki i dwóch braciszków. Jedna z moich sio-strzyczek jest w równym wieku z tobą, przeczytałam jęj, coś napi-sała, i bardzo jęj się podobała wzmianka o żółtej kurce tak samo jak i mnie. Bądź tak grzeczna, kochana Kuropatewko i odpisz mi jaknajprędzej. Całuję cię serdecznie *Sikorka*.

Dziękuję ci za miły liścik, kochana Księżniczko z nad Wisły, czuję się prawie z tego dumną, że odpisałaś tak wiele młodszej korespondentce. Odpowiadam ci krótko, bo nauki zajmują mi wiele czasu, a potem ten nieszczesny brak miejsca... U nas w ogrodzie wszy-stkie kwiaty pięknie kwitną, chciałabym aby zawsze było lato, bo tak wesoło, swobodnie, jak motylek bujać po dworze. Ścisła cię serdecznie *Wiewióreczka Inflantska*.

Oj! Ty figlarko, droga Jodelko z nad Noteci! Zdaje mi się że jesteś moją drogą Niunią R. z L.? A tą Niną czy nie ja jestem? Ciekawą jestem losów naszych wypracowań konkursowych. Może ty nagrodę dostaniesz! Twoja *Trawka z nad Fryby*.

Kochana Niezapominajko z Zacisza i Niezapominajko z nad Jabłoni! Podobne mamy pseudonimy, dla czego więc nie mamy pisywać do siebie przez ulubione pisemko? Donieście mi, gdzie miesz-kacie, jakie są wasze imiona, ile macie lat i czy dawno pisuje-cie do Wieczorów? Przesyła wam uściśnienia *Niezapominajka z nad Warty*.



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Grajek,

## GRAJEK.

Na skrzypczkach gra pacholę,  
 Piosnka głosi smutną dołę,  
 Smutnie dźwięczą skrzypek tony,  
 Niby jakiś żal tłumiony,  
 Niby tęskna skarga płynie...  
 Snać na świecie źle chłopczynię;  
 Ciemno - lice, ciemno - włosy,  
 Opalone, biedne, bose,  
 Cygańskiego rodu dziecię,  
 Wiecznie tuła się po świecie.  
 Gdybyż jeszcze matka żyła?...  
 Ach! ją kryje już mogiła,  
 Już syneczka nie popieści.  
 Ojciec przepadł gdzieś bez wieści...  
 Serce boli, łza się kręci...  
 Po co sięgać tam w pamięci?  
 Niech brzmi lepiej pieśń radosna,  
 Wszak na świecie kwitnie wiosna,  
 Najpiękniejsze teraz chwile:  
 Pełno kwiecica, woni tyle!  
 I skrzypczki zadźwięczały,  
 Śląc pieśń w świat po rosie białej!...

Helena Bojarska.

## Z podań o Kijowie.

Był to poranek, słońce dopiero wschodziło, różowe obłoki przesuwały się cicho po niebie niektóre w złote rąbki przystrojone, ptaszęta zbudziły się i głośnym rozhoworem witały wschodzący dzień, kwiaty łąk rozchylały swe kielichy i balsamiczną woń rozlewały w powietrzu, a wiatr łagodny kołysał wiotkimi łodygami. Z długiej drzemki natura się otrząsała, życie budziło się na ziemi, liczne owady: motyle, pszczoły, muchy rozpostarły leciuchne skrzydełka, unosiły się w górę i kapały się w ciepłych promieniach słońca, świercze wesoło skakały wśród traw, pola szumiały zbożem, jasno wesoło było na ziemi. Brzegiem tych łąk kwiecistych i pól srebrzystych płynął cicho Dniepr, fale jego coś gwarzyły ze sobą niezrozumiale, słońce przeglądało się w nich; zdala patrząc na nie, sądziło było można, że złota struga toczy się zwolna koło tych łąk i pól. Cicho, spokojnie, dobrze było na ziemi, tylko gwar ptasząt i brzęczenie owadów rozlegały się nad nią, tylko szmer fal, płynącego Dniepru, słychać było na niej. Nad brzegiem rzeki tu i owdzie widać było siedzących ludzi w postawach nieruchomych, niby kamienne posągi, wpatrzni w toczące się fale wody, trzymali oni w ręku wędki, których długie sznurki tonęły w Dnieprze, wabiąc mięsem, zawieszonym na końcu, biedne rybki, byli to rybacy miejscowi, Polanie osiedli nad brzegami Dniepru, łagodni, spokojni, zajmowali się rybołówstwem lub rolnictwem, kochali swą ziemię, swych braci, wojną się brzydili; życie płynęło im podobnie do poranku pogodnego: jasno spokojnie, bez silnych wrażeń, bez pragnień niespokojnych; to co ziemia im dawała, co Dniepr im dostarczał to ich zadawałniało. Słońce ich zbudziło, opuścili drewniane swe chaty rozsiadane tu nie licznie, jedni z sierpami na pola podążyli, inni z wędkami nad rzekę. Ptaszęta nucą nad ich głowami, skowronki przyspiewują im w pracy, owady szumią koło nich, wiatr coś gada do nich, wody Dniepru coś im opowiadają, oni słuchają, lecz milczą, sami nic nie mówią, dobrze im z tym spokojem natury... W tem jakiś plusk rozległ się na Dnieprze, zagadały głośniej jego fale, rybacy podnieśli opuszczone ku ręce powieki i zwrócili je w stronę z kąd hałas ich doleciał i ujrzeni zdala na Dnieprze tratwę nie wielką, na niej stał pielgrzym w sukni zakonnej, sznurem białym przepasaną z różańcem u boku... Siwa broda do pasa mu spadała, siwe włosy ramion sięgały, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i modlił się widocznie, gdyż wzrok miał w niebo wzniesiony, a usta jego poruszały się, jakby pacierze mówił; obok niego dwaj chłopcy kilkunastoletni, ubrani zupełnie tak samo jak rybacy co nad rzeką siedzieli, w białych płóciennych sukniach, wiosłami torowali drogę tratwie. Fale Dniepru niezadowolone, iż ktoś odważył się zmącić im spokój, mruzczały groźnie, pienily się z gniewu i srebrne krople w górę ciskały. Ale wiosłarze, gniewu się ich nie bali, odważnie odpychali je wiosłami od tratwy i tratwa płynęła równo, spokojnie, a pielgrzym modlił się na niej, a rybacy przypatrywali się im.

Gdy z jednej strony Dniepru rozciągały się zielone łąki i srebrzyste pola, z drugiej widać było góry większe i mniejsze, jodłami porośłe, lub piaszczyste; ciągnęły one brzegiem rzeki długim pasmem, tu rybaków widać nie było, ztąd tylko rybitwy wylatywały czasami, unosiły się nad rzeką, krążyły chwilę nad nią, pilnie śledząc toń przejrzystą, pod nimi rozpostartą, poczem raptem spadały na wodę, zanurzały się w falach Dniepru, na jedną sekundę w nich ginęły, potem znowu ukazywały się, ale teraz ze zdobyczą w dziobie unosiły się pod obłoki i spieszyły ze złowioną rybką ku górom, ku gniazdom swoim, gdzie ich piskłeta żeru oczekiwały. Pielgrzym płynący na tratwie skończywszy się modlić, uważnie rozglądał się po okolicy, jak gdyby pierwszy raz był tutaj, poczem skinął na chłopców i kazał dobić im do brzegu tego, na którym ciągnął się łańcuch gór, a gdy wiosłarze spełnili jego rozkaz, pielgrzym wznosił rękę w górę i krzyż w powietrzu nad górami nakreślił.

— Komu błogosławisz ojcze tym znakiem? zapytał je-

den z wiosłarzy — na tych górach ludzie nie mieszkają, pta-ctwo tylko dzikie gnieździ się na nich i dzika zwierzyna mieszka wśród leśnej ich gąszczy, ptakom i łaniom miałżebyś błogosławić?

Pielgrzym wznosił wzrok w górę.

— Boża łaska spłynie wkrótce na te góry, odparł uroczystym głosem, dziś pusto i głucho na nich, lecz za lat kilka wielkie miasto się tam wzniesie, i lud potężny się rozgości. a książęta tego ludu daleko poza te góry panowanie swe rozciągną, wy Polanie władzę ich nad sobą uznacie, ja błogosławię temu ludowi.

To rzekłszy skierował się ku owym górom wstąpił na jedną, a dotarłszy szczytu, krzyż na niej zatknął, poczem ukląkł i modlił się długo.

Chłopcy ze czcią patrzali na pielgrzyma, słowem jego uwierzyli, bo pielgrzym ów za świętego uchodził, był to Andrzej Apostoł, który wracał z Chersonu, gdzie wśród mieszkańców tej krainy wiarę Chrystusa szerzył i dążył teraz do Rzymu. Proroctwa były jego słowa: Nad brzegami Dniepru na górach, które pobłogosławił, podniósł się z czasem gród potężny, Kijowem zwany... Podanie mówi, że pewnego razu przypłynęło tu trzech braci Kij, Szczek i Chorew i każdy z nich na inną górę zamieszkał: Kij na Boryczewie, Szczek na Szczekowej, Chorew na Chorewicy i wybudowali oni wspólnymi siłami na trzech górach gród wielki, potężny, który od imienia najstarszego Kijowem nazwali. Polanie mieszkający wśród pól, rozciągających się nad brzegiem Dniepru, uznali Kija swym kniazem, długo on panował nad nimi, długo, szczęśliwie i spokojnie, a gdy umarł i bracia jego pomarli, najstarszy z ich rodu objął władzę nad Kijowem. I stał się Kijów jednym z potężnych grodów słowiańskich, kniazowie jego weszli w stosunki z cesarzami Carogrodu, brali z ich kraju różne towary, płacili za nie płodami swęj ziemi, Dniepr nie płynął już teraz tak spokojnie, jak dawniej, ładowne tratwy, wiozące z Konstantynopola różne ozdoby i przysmaki, nieznane Polanom, przesuwały się po nim ustawicznie, Dniepr stał się teraz drogą handlową między Kijowem i Carogrodem, a Kijów targowiskiem pełnym życia...

Krytyka historyczna uważa to podanie za bajkę, wierzyć w nie nie każe, jak nie pozwala wierzyć w podanie o Krakusie i Wandzie; wielu jednakże badaczy przeszłości uznaje, że w każdym podaniu jest jakiś wątek prawdy, a co w niem prawdą, co wytworem fantazji ludu, to dziś trudno orzec; to tylko powiedzieć można, że taka powieść o założeniu tego miasta krąży wśród ludu nad Dnieprem mieszkającego.

*Teresa Jadwiga.*

## Korespondencya Wieczorów Rodziennych.

Kochana Gołąbko!

Posyłam ci obiecany dawniej opis Wenecyi; téj Wenecyi, której artystycznych i historycznych pomników, mogliśmy przez trzy tygodnie pobytu ledwo trzecią część obejrzeć, bo wyobraź sobie tylko! posiada ona 148 kościołów i niewiem ile pałaców, z których prawie każdy, jeżeli nie jest przedstawicielem jakiego architektonicznego stylu, to zawiera w swych obrazach i ozdobach arcydzieła sztuki, które godziłoby się dokładnie oglądać. Z drugiej znowu strony nie można się bardzo spieszyć z temi odwiedzinami, bo aby z jednego pałacu Dożów coś na przyszłość w pamięci zostało, trzeba się cztery dni przynajmniej zapoznawać z jego wnętrzem.

Zwykle przybywszy do wielkiego miasta, widzimy najpierw jego dodatnie strony, podziwiamy piękne gmachy, pyszne wystawy sklepowe, potem dopiero odkrywamy wszystkie braki; w Wenecyi przeciwnie, wszedłszy z dworca kolei na gondole, chociaż to było w najpiękniejszą porę dnia, bo w samo południe, gdy „Królowa mórz” ozięcona promieniami wloskiego słońca, w najozdobniejszej mogła się szacie przedsta-

wie, nie chciało się nam wierzyć że jesteśmy w jej obrębie. Przeciskaliśmy się przez wązkie uliczki o mętnej wodzie, otoczone brudnymi domami o odrywających się okiennicach, lub po pod niskie podmurowania, którym wdzięku nie dodawały bawiące się zamorusane włoskie cyganiatka, pilnowane przez stare Włoszki, dziwnie uosabiające portrety suchych, zgarbionych czarownic opisywanych w bajkach. Dalej mijaliśmy ogromne barki, kierowane przez krzykliwych przewoźników, wiozących ładunek solonych ryb, które powietrze napełniały strasznie niemłą wonią. Barki w małych kanalikach zupełnie ruch tamowały, bo jak rekiny za okrętem, tak gondole za barkami płyną, nie mogąc ich minąć. Zdołaliśmy dopiero pojąć, czem Wenecya zasłużyła na przydomek „la bella”, gdy wydobywszy się z labiryntu kanalików, wjechaliśmy na szersze uliczki, upiększone już kościołami i ozdobniejszymi gmachami, a potem na Grande Canale; gdy ujrzelśmy „palazzo Foscarini” najcudniejszy wzór arabsko-gotyckiego stylu, „Wendramin”, „Calergi” architektury wczesnego renesansu, „Grimani,” który ugościł w swych murach królewicza Władysława IV-go podczas jego pobytu w Wenecyi, „palazzo Cornaro” „Casa d'oro” i mnóstwo innych ozdabiających tę główną linię komunikacji weneckiej i najszerszą żyłą wodną, przerywającą miasto, lub gdy przejechaliśmy pod olbrzymim „ponte di Rialto” który robi wrażenie jakby przez tytańskie a nie ludzkie ręce był wzniesionym. Jest on cały z marmurowych łomów, dźwiga dwa rzędy sklepów i przez podwójne schodki łączy się z ulicami miasta. Później nabraliśmy nawet więcej uszanowania dla wyżej wspomnianych brudnych domów, okalających wązkie kanaliki, gdyśmy się dowiedzieli że one także prawie wszystkie z marmuru zbudowane. Trzeba ci wiedzieć, że chociaż Wenecya ma tak ustaloną opinię wodnego grodu, można ją całą przejść pieszo, gdyż przy rzeczywistym charakterze morskiego miasta i ogromnej ilości uliczek wodnych, jest ona przetrnięta niemniej gęstą siecią ulic stałego ładu, po największej części wysokich i niezmiernie wązkich, tak że w niektórych trzy osoby ledwo minąć się mogą, z drugiej jednak strony bardzo wygodnych, bo można bezpiecznie po nich kroczyć, nieobawiając się przejechania lub potratowania przez kopyta konskie. W całej Wenecyi nie pozostała prawie nigdy noga żywego konia, mówię żywego, bo w sztucznie naśladowane, Wenecya obfituje może więcej niż każde inne miasto.

W kościołach nawet nieraz z rzeźbionemi lub ciosanemi końmi spotkać się można, nad wszystkimi zaś króluje sławna czwórka z kościoła św. Marka! Zdobiła już ona trzy łuki tryumfalne, wzniesione na cześć mocarzy, wracających z wieńcami laurowymi z wojennych potyczek, teraz odpoczywa po burzliwych losu kolejach na szczycie bazyliki weneckiej. Podziwiałam ją z bliska, gdyż za stosowną opłatą można się dostać na galerje kościoła, z kąd króluje nad miastem. Śliczny też ztamtąd widok na plac św. Marka i „piazetę”.

Plac św. Marka jest otoczony z trzech stron nowemi i starymi prokuratorjami, łączącemi się małą hallą o pysznych ogromnej grubości marmurowych słupach. Nowe mieszczą terazniejszy pałac królewski, można go zwiedzić do najdrobniejszych szczegółów, nie przedstawia on jednak nic godnego widzenia, prócz niedojrzanego okiem szeregu pokojów, bogato urządzonych.

Sklepy błyszczą tu przepysznyimi wystawami sławnych szklanych, jubilerskich i koronkowych wyrobów weneckich, których najwięcej wszakże napotkać można przy ulicy „Mercuria” oddzielającej Stare Prokuratorje od pysznej wieży zegarowej, plac zdobiącej. Zwiedziliśmy też fabrykę koronek weneckich, jest to zakład na wielką skalę; ze sto dziewcząt pracuje w jednej sali klockami wśród szeregu szpulek; podziwialiśmy ich zręczność przy tak trudnej i mozolnej pracy, ale też wyroby zadziwiające swą delikatnością i pięknnością z rąk ich, na świat wychodzą. Mnóstwo sal i pokoi następujących po pracowni dziewcząt, zawiera wystawę tych prawdziwych arcydziełek koronkowych; najwięcej utkwiły mi w pamięci różne widoki Wenecyi, jedwabiem w kolorowych cieniach, ślicznie wykonane. Myśleliśmy zwiedzając tę fabrykę, jaki ona niezmierny dochód Wenecyi przynosić musi, i jak równą korzyść mógłby dać naszemu krajowi, początkujący prze-

mysł koronczarski, gdyby doszedł do podobnego stopnia rozwoju i doskonałości, zyskując porządkiem i wzorowem urządzeniem, taką samą wziętość jak wenecki, a podobny mu popyt w kraju, mówię podobny, gdyż o równy byłoby trudno, bo koronka jest prawie narodowym strojem Włoszek. Chcieliśmy również obejrzeć fabrykę szklanych i mozaikowych wyrobów, jest ich dwie: jedna znaczniejsza na wysepce Murano, druga mniejsza w samej Wenecyi na Canale Grande, ale jak na wiele innych ciekawości tak i na tę czasu nam nie stało; mieliśmy jednak dostateczne wyobrażenie o ich wspaniałości, napatrzwszy się szkieł kosztownych w magazynach Starych Prokuratorji; lustra szczególnie są pyszne. Ramy miewają przesliczne, samemi np. niezapominajkami z mozaiki wysadzane, lub różnemi deseniami o najżywszych barwach i cieniach; bransoletki, broszki i inne tualetowe jak i salonowe ozdoby z mozaiki, nęcą także wzrok swą pięknnością.

Lecz czas mi już wrócić do placu św. Marka, od którego mnie chwilowo odwiodły, błyszczące cacka weneckie. Z czwartej strony naprzeciwko halli marmurowych słupów, a obok modrawo złotą zegarową wieżę, ogranicza plac sławna bazylika weneckiego patrona, o bizantyjskim stylu, rozsiadła się ona szeroko pod swymi pięciu cudnymi kopułami, jakby odzierganemi w oko, koronkową lekkości gzymosowemi rzeźbami; kopuły te jednak robią wrażenie, jakby stosunkowo do swej i placu, któremu górują rozległości, za skąpo wystrzełyły w górę; ale nie myślę i nie śmiem wcale rozwozić się nad niemi, bo je już nieraz lepiej opisano, wspomnę ci tylko kochana Gołąbko, o kilku innych ozdobaach i historycznych pamiątkach kościoła. Przed kościołem np. stoją rzędem trzy maszty na brązowych podnóżach, artystycznie wypracowanych przez Aleksandra Leopardo; dawniej powiewały na nich sztandary Cypru, Morei i Kandyi, na pamiątkę pobicia tych państw, teraz służą tylko do wywieszania podczas świąt i roczystości weneckiej chorągwi. Pod portykami kościelnego przedsienia, są wkute w podłogę trzy płyty z czerwonego marmuru, oznaczające miejsce, na którym niegdyś papież Aleksander III-ci przyjmował hołd od cesarza Fryderyka Barbarossy, powiększając, według podania, upokorzenie tego księcia, postawieniem mu nogi na głowie. Przepyszne srebrne drzwi wchodowe kościoła, są zupełnie ciemne, gdyż podczas najazdu Francuzów, Włosi pokryli je czernidłem chcąc uchronić je od rabunku jakiemu uległo wiele innych skarbów i pamiątek; dwie tylko z umysłu niepoczerwione główki świadczą o prawdziwym materiale, z którego odrzwia te były wykute. W wielkiej liczbie kościołów weneckich stoi wielki ołtarz na środku głównej nawy; św. Marek nie czyni w tej regule wyjątku, ołtarz wznosi się na podwyższeniu, jest otoczony rzeźbionemi słupami cudnej roboty, za nim znajduje się drugi ołtarz ozdobiony czterema przejrzystymi alabastrowemi kolumnami, pochodzącymi ze świątyni Salomona. Kiedy już jestem przy wielkim ołtarzu, nie mogę się wstrzymać od wspomnienia obrazu, a raczej wielkiej złotą płaskorzeźby, zwaną „Palla d'oro”, zamówioną przez Wenecyan w Konstantynopolu w XII wieku; jest ona nad ołtarzem umieszczona i w szkło oprawna, aby uchronić złoto od uszkodzenia, jest ono tak czyste że zgina się za dotknięciem; odsłaniają płaskorzeźbę tylko podczas wielkich uroczystości, wartość jej podnosi niezliczona ilość pereł i drogich kamieni, któremi jest wysadzona, olśniewają one prawdziwie swą pięknnością, a zdumiewają bajeczną wielkością. Lecz nietylko patrząc na „Palla d'oro” zdaje się być przeniesionym do bajecznych pałaców wrótek i czarowników, całe sklepienie kościoła św. Marka jest pokryte kolorową mozaiką, na złotem tle przedstawiającą różne sceny z historii św., można je doskonale z bliska oglądać, wyszedłszy na ganki okrążające górne sklepienie, zdaje się wtedy patrząc na te złote przestrzenie i olbrzymie malownicze postacie, że nowy świat kruszców i pereł utworzył się przed nami. Posadzka kościelna odpowiada sklepieniu, jest cała utkana we wzorzyste mozaikowe desenie i chociażby kościół św. Marka, już nie więcej godnego podziwu nie zawierał, to dla niej samej warto by go zwiedzić.

# POŁÓW BURSZTYNU.

przez HENRYKA WERNICA.



Zmieniają się zamiłowania, gusta i usposobienia ludzkie. Były czasy kiedy ogromne sumy wydawano na szkła kryształowe, tulipanowe cebulki, zwierciadła weneckie; wreszcie przyszła kolej i na bursztyń.

Znano go wprawdzie od dawna, bo już kupcy Fenicy przybywali nad morze Bałtyckie dla kupna poławianego tu bursztyń; wszakże cena jego wzrosła dopiero od połowy zeszłego wieku i utrzymywała się mniej więcej do połowy wieku bieżącego, to jest do chwili kiedy fajki będące poprzednio

w powszechnym użyciu, zastąpiono cygarami i papierosami. W epoce upowszechnienia się fajek każdy zamożniejszy człowiek posiadał fajczarnię, rodzaj stolika z wyżłobieniami, w której stało nieraz przeszło dwadzieścia fajek. Prawdziwą słabością każdego palacza, był osadzony na fajce bursztyń: tego cena dochodziła nieraz do dziesięciu i więcej dukatów. Najbardziej ceniono bursztyń żółte z odcieniem pomarańczowym, oraz białawo brunatne, zbliżone nieraz do ciemnej kawy ze śmietanką. Z mniejszych kawałków bursztyń wyrabiano różańce, paciorki i inne ozdoby służące do stroju kobiecego.

Jak dawniej tak i obecnie prawie wyłącznie poławia się bursztyń na morzu Bałtyckim, szczególnie w tej jego okolicy, w której wazki pas ziemi oddziela morze Bałtyckie od zatoki Fryzkiej zwaną. Piaszczysta ta ławica na kilkanaście mil ciągnąca się, góruje nad powierzchnią morza. Nie znajdziesz tu nie oprócz piasku i gdzieniegdzie widniejących bardzo skąpo rozrzuconych karłowatych świerków, krzewów jałowcowych i trochę owsa. Jeszcze uboższym w roślinność jest sam brzeg morski; brudnawa, zamulona woda uderza o sitowie tu i owdzie w pobliżu jego rosnące.

Mieszkańcy zaludniający to nadmorskie ustronie, przeważnie zajmują się połowem i handlem ryb. Głównem ich zajęciem jest połów flonder, łososi węgorzy i jesiotrów. Z ikry jesiotrów przygotowują w niewielkiej ilości kawior. Oprócz tego wszakże, podczas burzliwej pory morskiej na wiosnę i pod jesień zajmują się połowem bursztyń, który szczególnie bywa pomyślny po gwałtownych burzach północno zachodnich. Wówczas wszyscy rybacy przybrani w szczególny ku temu celowi przeznaczony ubiór, spieszą nad brzeg morza. Każdy przywdziewa grube, długie, nieprzemakalne buty dochodzące do pasa, skórzany kaftan przewiązany takimże fartuchem i kładzie na głowę zwyczajny rybacki kapelusz o dwóch dużych skrzydłach z przodu i tyłu głowy; w rękę niesie sieć kaszorkiem zwaną. W tym ubiorze pomimo wichru i silnych fal uderzających o brzeg, śmiało wchodzi w morze, gdyż połów bursztyń udaje się tylko podczas burzy. Nie zważa na żadne przeszkody, coraz głębiej zanurza się w wodę, tak, iż zdaje się jakby głowa jego pływała na powierzchni morza. Nieraz kiedy silniejsza uderzy fala zupełnie znika, lecz po chwili znów się ukazuje. Walcząc ze strasznym żywiołem, rybak dąży do miejsca w którym sitowie dochodzi do powierzchni morza, tu bowiem najbardziej obfitego spodziewać się można połowu. Zapuszcza kaszorki, a gdy ujrzy że są pełne piasku, wiru i roślin morskich, spieszy na ląd aby się przyjrzeć swojej zdobyczy. Znalazszy większe kawały bursztyń, starannie ukrywa je w kaftanie, aby się nie dowiedzano o jego zdobyczy i nie dopatrzono miejsca, w którym sieć zanurzał. Dla tego też nie powraca wprost do tego samego miejsca, lecz dla zmylenia towarzyszy zapuszcza po drodze kaszorki w wodę i nieznacznie zbliża się do bursztyńodajnego sitowia. Większe sztuki sprzedaje w Pilawie lub El-

blągu, mniejsze miejscowym kupcom w najbliższych miasteczkach.

W naszym kraju pod Ostrołęką w okolicy Myszyńca znajdują się w ziemi mniejsze kawałki bursztyń, którymi miejscowi mieszkańcy dosyć znaczny prowadzą handel. Wiadoczny to dowód, że tę część lądu przed wiekami zalewały wody morza Bałtyckiego

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

VI.

— Kto to? — spytał po chwili pan Thorn, gdy z westchnieniem odwracając nareszcie oczy od parowca, spostrzegł stojącego tuż obcego człowieka, w pełnej służbistości żołnierskiej postawie.

— *Carré!* majtek z parostatku „Almaviva” oczekuję rozkazów komendanta — odrzekł tenże.

Pomimo całego strapienia, Thorn o mało się nie rozśmiał, tak z tej godności dostąpionej nagle i niespodzianie, jak i z komicznej powagi majtka!

— Zdaje mi się — rzekł spoglądając na Mac-Ulma — iż stało na tem, abyśmy poszukując w dalszym ciągu naszego oberżysty, zbadali jednocześnie miejscowość, i oswoili się z okolicą, wśród której prawdopodobnie walczyć nam wkrótce przyjdzie?

— Tak jest, komendancie, nie wiem co moglibyśmy mieć ważniejszego i pilniejszego do czynienia — potwierdził Mac-Ulm. I odtąd tytuł ten przrósł jakoś przypadkiem i w pół żartem do Thorn'a, choć on wzruszał nań z początku ramionami, nie uważając prawie aby warto było zwracać uwagę na to dzieciństwo.

— A więc idźmy na zwiady wszyscy. Wszak jesteśmy po wygodnym wypoczynku, dobrem śniadaniu?... A zapominał, panie Carré czy jesteś po śniadaniu?

— W razie wymagań koniecznego dobra służby, *tak!* komendancie, i to na całe *trzy dni*, bo jestem wytrzymały jak wielbłąd. Za to w wyjątkowych chwilach dobrobytu, mogę także jak wielbłąd zaopatrzyć się na zapas: szklanka wina nigdy mi nie jest zanadto, owszem, wielce pomaga do zastrzeżenia bystrości umysłu...

Jeszcze nie domówił, a już na skinienie komendanta połowa zmordowanych niedawno ludzi, skoczyła w górę po skałach do chat gdzie Ralf jako już ociężały, gospodarował sam jeden z rozkazem pilnowania związanej kobiety, i wołania o pomoc wystrzałami w razie jakiego skrytego napadu.

— Wrócić się macie wszyscy oprócz Rahiba!... który was i tak wyprzedza! Nie nużyć się bez potrzeby i spoczywać — zawołał Thorn, natychmiast powstrzymali się wszyscy, a Rahib lotny Indyanin w kilka minut wrócił niosąc tykwę i butelkę:

— Oto wino, oto ryż!

Schowaj przyjacielu ryż, dla dobra służby, nie należy nigdy zbytkować; wino zaś mogłoby zepsuć się na upale, zatem przez oszczędność... — przyłożył do ust otwór butelki i trzymał przez przeciąg dłuższej chwili, a potem oddał ją próżną, mówiąc:

— Dziękuję! Dobrze to na upał; chłodzi. A teraz, jestem jak zawsze na rozkazy, komendancie!

— Ponieważ znasz tutejszą okolicę i słyszałeś o czem rozmawialiśmy z kapitanem, powiedz mi w jakim kierunku idąc moglibyśmy najprawdopodobniej i najprędzej obeznać się z topografią miejscową i zrozumieć mniej więcej gdzie możemy spodziewać się spotkania zbójców, widzących nasze dzieci



Targ owoców w Wenecyi.



jako też i handlarzy niewolników? A także któregoś ten raniomy niepoń z chaty biedz może na ich spotkanie?

— Jest o cztery godziny drogi ztąd pewna ukryta między skałami zatoka, zwana Rangunską lub Rangorską, mała ale dogodna; z którejkolwiek strony widzialną jest partya niewolników, zawsze tam dąży przedewszystkiem, jeżeli tylko niepojętym jakimś sposobem odgadnie wprzód, że znajdzie okręt handlarski... inaczéj, czeka ukryta w okolicy.

— A więc prowadź nas do téj zatoki! Dalej w drogę! A za to powiem ci ten „niepojęty” ich sposób panie Carré. Oto Hindowie wiodący niewolników dostawczy się w tutejsze pustki skaliste, rozpalają trzy ognie w nocy, lub dają trzy wystrzały w dzień, czem powiadamiają o swéj obecności oberżystę z chaty, tam na skałach, a on już ze swéj wyżyny, wiadomemi sobie sygnałami zawiadamia znów handlarzy snujących się z daleka po morzu o obecności towaru, i... tak dalej zapewne pośredniczy pomiędzy jednymi i drugimi, dopóki nie zdołają zejść się w owéj zatoce bez wiedzy krążących wokoło dla przeszkadzania ich ohydnemu handlowi okrętów, takich jak „Almaviva”.

— To oni tak robią? To ten oberżysta jak go zwiecie panowie, po to tam siedzi jak drapieźny sęp na skale w budach swoich?

— I przechowuje w nich nieraz „żywy towar” gdy tacy jak wy przeszkadzają handlowi; tak, pewny tego jestem. A teraz dajmy pokój rozmowie i idąc badajmy te skaliste zaułki, któż wie czy za lada głazem nie siedzi gdzie jeszcze nasz oberżysta...

— A więc rozproszmy się, ale tylko na odległość głosu, abyśmy mogli śpieszyć sobie wzajem z pomocą na każde zawołanie; wystrzałem nie możemy dawać sobie sygnałów, gdyż i nieprzyjaciel przybywający może strzelać także. Badajmy wszystko po drodze a kierujmy się za Carrém! Naprzód! panie Carré.

— Wedle rozkazu, komendancie! — Carré ruszył nie miarowym wcale, bo dziwnie kołyszącym się krokiem, i wszyscy za nim, rozeszli się jednak na dosyć szerokiej przestrzeni.

— A jeżeli oberżysta zaczął się z przeciwnéj strony skał swoich?... i czeka naszego odejścia aby puścić się w drogę za nami?

— Jeżeliście tylko widzieli go zbiegającego ze skał tu na południe, to już musi on pozostawać w okolicy lub dążyć dalej w tymże kierunku, gdyż niedostępne błota lub nieprzebyte wyrwy skaliste odgraniczają wybrzeże ze wszystkich innych stron i to właśnie stanowi o bezpieczeństwie odbywających się tu okropnych handłów: handlarze nie potrzebują nikąd obawiać się przeszkody, jak tylko z téj strony, z której sami przychodzą, albo od morza. Dla tego się tu rozpanoszyli.

Pomimo tych zapewnień, Anglicy i ich służba myszkując bezustannie i skwapliwie po drodze dosięgli wreszcie zatoki Rangorskiej po uciążliwej wśród upału podróży, nie znalazłszy oberżysty.

— Nie dziwi mię to wcale—wzdychał ten i ów—owszem dziwnemby było gdybyśmy znaleźli go tu wśród tylu kryjówek, my obcy, gdy on jest tu u siebie.

Zwiedzono i obejrzano dokładnie całą zatokę. Miejsce, w którym handlarze ładowali nieszczęsny swój towar na okręty było widoczne, jakby zorane ludzkimi stopami; tu i owdzie czarne plamy zdradzały krew rozlaną i uschłą. Któż pojmie ile rozpaczliwych walk odbyło się na tym kawałku ziemi, ile łez go oblało w ostatnich chwilach pakowania na okręt... Anglicy patrząc na tę arenę okrucieństwa, unikali wzajem spojrzeć sobie w oczy, i zacinali usta aby nie wybuchnąć łkaniem: oprócz przypuszczeń opartych na prawdopodobieństwie, nic ich nie zapewniano że ży Klary i Wilhelma nie upadły także na tę ziemię... W istocie, czyliś śpiesząc gwałtowniej, porywcy nie mogli ubiedz starych ojców?... Czyliś straszny targ nie mógł odbyć się przez tę noc, gdy oni spoczywali w chacie na skałach?... Że trzymający straż nie widzieli trzech ognisk ani słyszeli trzech wystrzałów, nie dowodziło niczego,

bo człowiekowi takiemu jak hindus oberżysta trudno było wierzyć w czemkolwiek. Jakby dla zwiększenia grozy widoku, o kilkanaście kroków dalej, leżały liczne szczątki butelek i puszek po okrętowych przysmakach, wyraźne ślady obfitych biesiad jakimi dostawcy i handlarze, uprzyjemniali sobie haniebne swe targi.

Młodzi chłopcy patrzyli na to w rozpaczem milczeniu, dopóki wzbierający ból nie wydarł się z serca na usta stłumionym okrzykiem Jerzego:

— Tu!... tu czekajmy i walczy my ostatniéj kropli krwi, jeżeli naszych tu przyprowadzą.

— Niechaj ani jeden z nas nie odejdzie ztąd żywy jeżeli by bez nich miał odejść!

— Po naszych trupach chyba zawloką ich na okręt!

— Moje dzieci, mówicie jakbyście daleko młodszymi byli dziećmi, niżeli jesteście nawet!... — rzekł drżącym głosem ale wzruszając ramionami Mac-Ulm, gdy Thorn drżał na całym ciele, nie mogąc słowa wyrzec.

— Hm... ale jak dzieci z niezłym sercem... — wtrącił Carré.

— Czyliż nie rozumiecie że przedewszystkiem należy nam się ukryć, aby wprzód widzieć niż widzianymi będziemy; jest to w każdym razie pewna przewaga, nawet w spotkaniu z wężami podobno i nie należy nam się jéj wyrzekać.

— Czyliż tu właśnie nie jesteśmy ukryci?... — szepnął Jerzy.

— Tak, ale rozbójnicy wchodząc w ten zakątek skalisty, zamknęliby nam wyjście i bez wystrzału mogliby nas weprzeć do morza — pomruknął Franek niemniej zakłopotany, teraz dopiero spostrzegając tę ważną okoliczność.

— Tak jest, i dla tego wychodźmy ztąd coprędzej — rzekł Mac-Ulm i łącząc czyn ze słowem, wszyscy wymknęli się ze skalistéj pułapki, gdy u wyjścia Mahora z Wilkiem i Rahibem zatrzymał się schylony, wskazując na ziemię pod stopami. Wszyscy spojrzeli, nie widząc nic zasługującego na uwagę, po baczniejszym jednak przyjrzeniu, dostrzeżono i zrozumiane to, co od razu zajęło trzech hindów krajowców, bystrzejszemi obdarzonych zmysłami: oto od wejścia między skały otaczające zatokę, liczne ślady stóp ludzkich wiodły dalej w głąb wybrzeża... Ślady te były mocno zatarte i rozwiane, czy zmyte wpływami atmosferycznymi zapewne, ale aż nadto dostateczne dla wół dzikich indyan, którzy zarówno jak wiele także dzikich lecz inteligentnych innych plemion, umieją spostrzedz ślady nawet tam, gdzie europejczyk najbystrzejszy, wcale ich nie widzi.

— Mają słusność nasi towarzysze — uznał po bliższem rozpatrzeniu Carré — tu jest jakby gościniec, zdawna wydeptany bosami stopami krajowców, który kędyś musi przecież prowadzić...

Trzój indyjanie z Wilkiem na czele szli ciągle tym śladem, bez trudu, choć anglikom a jeszcze bardziej ich służbie zdawało się, że tamci muszą chyba weszyc go tylko. Tak doszli wszyscy do tegoż samego lasu właśnie, przez który przybyli wczoraj, i z którego krańca ujrzawszy poraz pierwszy wybrzeże tutejsze, zatrzymali się w cieniu drzew mangowych, wysyłając Mahorę na zwiady. Ale Mahora dawszy towarzyszom znak mileczenia przypadł jak długi, ucho przykładając do ziemi... Po dłuższéj chwili powstał, a Wilko poszedł dalej, kierując się w niedostępną na pozór gęstwinę lianów, oplatających odwieczne uschłe lub żywe drzewa, uwięzione, powywracane lub powykoszlawiane, pod przemocą całego labiryntu spiętrzonych złomów skalistych. Wyraźnie przed licznymi wiekami miał tu miejsce wybuch wulkaniczny; albo może jakiś kataklizm miejscowy spowodował to spiętrzenie głazów, nianiesionych siłą potężną, na bystry zapewne niegdyś potok, którego głębokie łożysko odznaczało się dotąd, pomimo wysiłków potężnéj roślinności, królującej w pełni sił na tem rumowisku przyrody podrównikowéj. Wilko, najmniej ucywilizowany, a więc najbliższy jéj tajemnic, szedł pierwszy, bo dwaj towarzysze instynktowo może, ustępowali mu zawsze pierwszeństwa w takich rzeczach. Inni postępowali za nimi, przesłizgując się przez tak

trudne przejścia, że niekiedy musieli iść pojedynczo i to nieledwie na czworakach. Głuche milczenie zalegało ciemną tę puszcę skalistą.

— Gdzie on nas prowadzi w głąb tej gęstwiny? i po co? Toż tam nie może już być śladu. Nie możemy się tu zgromadzić ani nawet porozumieć wszyscy, dla Boga wracajmy, albo dzicy jeśli nadejdą, mogą nas tu wydusić jak myszy w jamie!... — szeptał do ucha Mahorze Thorn, postępujący tuż za nim. Szeptał, bo jest coś tak przejmującego grozą w tych gęstwinach, że człowiek mimo wiedzy cicho się tam sprawuje, wśród bezdennej otaczającej go ciszy. To też i Mahora odpowiedział również cicho:

— Ślad jest!... my go widzimy w tych złamanych gałązkach, w tym mchu przydeptanym, a tam oto kawałek głązu ukruszył się świeżo pod czyjąś stopą... Wilko wie gdzie idzie, tu jest coś, czego nie rozumiemy i dla tego powinniśmy zrozumieć, a dzikich zbójców tu niema w tej chwili, bo u wejścia do lasu słuchałem kroków, leżąc uchem na ziemi i nic nie słyszałem, za chwilę posłucham znowu.

Thorn zamilkł, czując raczej niż pojmując że indyanie wiedzeni właściwą im bystrością, muszą mieć słuszość. Wtem Wilko zsunął się nagle w głębokie a wyschłe łożysko potoku i wszyscy poszli za nim. Najniespodzianie tu, gdzie rumowisko głązów spiętrzonych zdawało się tamować przejście nawet wodzie, przeszli kręto, lecz łatwo pomiędzy głązami i próżno tłumiony okrzyk zdziwienia wyrwał się z ucisnionych piersi. Stali teraz na krańcu małej podłużnej kotliny, wytworzonej z rozszerzonego w tem miejscu łożyska potoku, a kotlina ta znacznie pogłębiona i otoczona wysokimi gromadami skał i jeszcze wyższym obrastającym je lasem, zawierała tak widoczne i dotykalne ślady ognisk i uczt przy nich odbywanych niedawno, że od razu, najmniej domyślni nawet, zrozumieli znaczenie owego tajemniczego gościńca śladów, wiodących do niej, od rangorskiej zatoki:

— Ach!... tu więc dostarczyciele „żywego towaru” mają niedostępną prawie kryjówkę swoją, tu przyprowadzają nieszczęsne ofiary i porozumiewając się umówionymi sygnałami z oberżystą z dwóch chat na skałach, oczekują sposobnej chwili dobiecia targu, gdy okręty śledzące ich znikną na chwilę z horyzontu a „handlarz” jednocześnie jak wąż wśliznie się w Rangorską zatokę!

— Tak, to tu! — Nawet francuzki majtek znajdujący istotnie okolicę, nie znał przecież tej kryjówki, ale za to zrozumiał tem lepiej teraz jej ważność:

— Ach, ach — zawołał — gdybyśmy tak wiedzieli że niezbyt wielu przyjdzie, albo gdyby nas było więcej, toż byłaby gratka!

Jeżeli gdzie, to tu właśnie trzeba nam zacząć się, jeżeli chcemy spotkać dzikich wrogów waszych na pewno, zanim osiągną zatoki. Bo, czyliż rozumiecie panowie dla czego muszą oni tędy przechodzić, zarówno jak i wy sami przechodziliście tuż koło kryjówki, niedomyślając się jęj a dążąc do morza?... oto ponieważ *niema* tu innego przejścia! Błota bezdenne dyszące zarażliwymi wziwami, i skały poroższarpwane przedwiecznymi kataklizmami snują się naokoło ze wszystkich stron, tak, że obchodząc i wymijając te przeszkody, podróżny musi chcąc nie chcąc, natrafić na ten przesmyk lesisty i przejść przezeń, jeżeli ma dostać się na wybrzeże.

— Jeżeli tak jest, jeżeli istotnie znajdujemy się na drodze indyan, mających lada chwila przybyć, ponieważ dotąd nie przybyli, to trzeba nam coprędzej powziąć jakikolwiek plan działania i porozumieć się z kapitanem — rzekł Mac-Ulm. — Czyliżby nie należało ukryć się nam tutaj?

— Nie ze wszystkim!... trzeba ażeby był ktoś, ktoby mógł przyjść z pomocą tym, którzy tu pozostaną!... — dodał Thorn i wszyscy umilkli nagle, bo Wilko znów leżał na ziemi, przykładając do niej ucho.

— Nie, zbójcy nie idą... — rzekł wstając. Mahora spojrział nań badawczo.

— Tylko kto idzie?... — szeptem zapytał i sam przy padł do ziemi.

— Ktoś idzie... ale to dziwny jakiś chód... nierówny i...

— O trzech nogach!... czyby jaka stara mała skakała o kiju?... — mruknął Rahib posłuchawszy także. Trzej Indyanie porozumiewali się zdziwionym wzrokiem, a tymczasem na skinienie Thorna, każdy starał się ukryć jak mógł, przyklękając lub przypadając do ziemi w gęstwinie i poza urwiskami, a broń jednocześnie przygotowując. W mgnieniu oka mała dzika kotlina, prawdziwie godne zbójców legowisko opustoszało; czekano, przez parę minut nic nie zjawiało się nowego; cisza i samotność, odległym tylko a niemylm krzykiem pawia macone, zdawały się bezpodzielnie panować w przybytku swoim. Już oczekujący niepokoić się zaczęli, tracąc napróżno drogie chwile, gdyż przypuszczano że Indyanie pomylili się, gdy nareszcie dał się słyszeć szelest coraz wyraźniejszy. Istotnie można było odróżnić uchem coś podobnego do ciężkich kroków, którym towarzyszyło głucho sapanie, jęk przypominające. W najwyższym zdziwieniu nie mogąc sobie w żaden sposób zdać sprawy z tych odgłosów, ten i ów wychylał głowę z ukrycia wpatrując się w stronę, z której szelest dochodził, gdy pomniejsze zarośla rozchyliły się i... wsparty oburącz na dwóch kijach wyskoczył z nich... oberżysta! Wy skoczył i padł na ziemię zmordowany śmiertelnie. Jedną nogę miał grubo owiniętą, kawałem tkaniny oderwanej gwałtownie w widocznym pośpiechu z własnego odzienia, któremu teraz brakowało całej jednej poły, a dwa kije i jedna noga dostatecznie tłómaczyły ów chód na „trzech nogach” którego odgłosy zdumiewały Indyan. Ale teraz nie tracono czasu na dziwienie się. Zaledwie ranny usiadł, gdy za jego plecami bez najmniejszego na ten raz szelestu i bez pośpiechu, jak cień, zjawił się Wilko odwiązując rodzaj dużego szala, który stosownie udrapowany stanowił całe jego ubranie, lekko, jakby igrając zarzucił ten szal na twarz oberżysty, kneblując mu niejako w ten sposób odrazu usta i wiążąc potem ręce z tak niesłychaną łatwością, że patrzący oniemieli ze zgrozy wobec tej okropnej zręczności... Złoczyńca nie zdołał wydać nie tylko krzyku, ale nawet najłżejszego westchnienia.

— A teraz, komendancie?... — spytał Carré, gdy zdołał przemówić ze zdziwienia, tem większego, że nie mógł zrozumieć tajemniczego źródła, plemiennego talentu Wilka.

— Teraz, panie Carré zabierz więźnia z pomocą naszych synów i towarzyszy, odprowadź go a następnie jego żonę pilnowaną w chacie przez mego Ralfa, do zatoki, w której kapitan czeka ze swym parowcem. Opowiecie kapitanowi gdzie jesteście z Wilkiem, Rahibem i Mahorą, i jak ważną jest dla nas ta miejscowość, w której prawdopodobnie musi przyjść do spotkania z porywcami naszych dzieci; następnie postąpicie wedle rozkazów kapitana. Jabym pragnął wziąć zbójców we dwa ognie, to jest uderzyć na nich tu w pośrodku ich samych nieledwie, gdy wy nacierać będziecie z zewnątrz.

— Ależ ojcie!... ty! chcesz pozostać tutaj bez nas. Chcesz nas usunąć od niebezpieczeństwa!

— Mój przyjacielu!... zdaje mi się że miłość rodzicielska, nadzieja i pragnienie ujrzenia Wiliama odwraca twą uwagę od wszelkich innych względów: zważaj że nie wiemy ilu wrogów możemy mieć przeciw sobie!

— I że pozostawszy tu, napróżno panowie chcieliby się ukryć aby uderzyć we właściwej chwili; nie jesteśmy w naszym lesie tuż za domem, gdzie ja przynajmniej znałem każde drzewo i każdą skrytkę. Tu, my dwaj Wilko i ja możemy tylko pozostać i to tylko po to aby wypatrzeć i policzyć zbójców i zobaczyć czy prowadzą pana Wiliama i pannę Klarę i o tem wszystkim panom donieść. Wtedy dopiero będziemy mogli postanowić co czynić należy. My dwaj w razie potrzeby udamy żeśmy tacy jak i oni!

— Idą!... — szepnął a raczej syknął Wilko, zrywając się gwałtownie z ziemi, którą badał uchem co chwila.

— Uchodźcie panowie!... uchodźcie wszyscy dla Boga bo wielki tłum idzie! — nalegał Rahib posłuchawszy także.

— Rahib! prowadź napowrót przez las tak jakieśmy tu przyszli, bo to nie łatwo; panie Carré pomagaj Rahibowi! panowie proszę iść i wszystkich z sobą zabierać, zaklinam was.

śpieszcie, jeżeli chcecie oglądać jeszcze porwane dzieci wasze! Ostatnie te słowa wyrzeczone tonem poważnego rozkazu jaki Mahora nauczył się przybierać w razach wyjątkowego niebezpieczeństwa w czasie ucieczki. zdecydowały wreszcie Mac-Ulma, który pochwylił pod ramię drżącego Thorna i pociągnął go za sobą, oglądającego się czy nie widać już Wiliama wśród nadchodzących wrogów. Słudzy szli za nimi, pojedynczo przeslizgując się wśród głazów.

— Ale ja przecież mogę pozostać z wami, Mahora?

— Ja pozostanę!... prawda!... — szeptali tymczasem młodzi Anglicy.

Frank nic nie mówił tylko szybko wdrapywał się na wielkie mangowe drzewo, słysząc jednocześnie ojca wołającego pógłosem:

— Chłopcy! Dzieci! iść z nami! wszyscy z nami! Gdzie dzieci? Bystre oko Mahory dostrzegło w tej chwili Franka:

— Panie Frank — rzekł głosem zimnym jak stal — zastanów się, czy chcesz wziąć na sumienie życie twego brata?... Bo zaręczam ci że lotry, jeżeli tylko odkryją nas i nasze zamiary, z pewnością zamordują przedewszystkiem więźniów swoich!... powodowani złością piekielną, zwłaszcza gdy spostrzegą że mogliśmy mieć nadzieję powodzenia! — Frank zsunął się z drzewa jak liść opadający i wszyscy czterej młodzi podążyli za ojcami. W pół godziny później trzy potężne zbiorowe wystrzały dały się słyszeć w głębi jedyne w okolicy lasu.

— Nie pojmuję tego i nigdy nie pojme! — z cicha zaczął łamiąc ręce w parę godzin później Edward — gonimy, naradzamy się, doganiamy nareszcie po długich trudach, a gdy już pozostaje tylko zmierzyć się z tymi których gonimy... uciekamy! Ha ha ha!...

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

W bardzo ciekawy sposób, jak donosi francuz. pismo „la Nature” zaopatrują się w wodę słodką mieszkańcy wyspy Bekrein, położonej w zatoce Perskiej. Na wyspie niema studni, deszcz nigdy tam nie pada; czerpie się więc wodę z dna morza, gdzie wytryska obfite źródło wody słodkiej. Dobywają ją ztamtąd nurkowie. Ze statku stojącego tuż ponad miejscem z kąd tryska źródło, rzuca się nurek w wodę, trzymając w lewej ręce wór ze skóry koźziej, ze starannie zatkanym otworem. W prawej ręce trzyma kamień uwiązany u sznura, którego drugi koniec pozostaje na statku. Pociągany przez ów kamień szybko idzie na dno, wtedy kamień rzuca a otworzywszy zręcznie wór skórzany, napelnia go słodką wodą ze źródła, zamyka silnie otwór i wypychany parciem bijącego pod wodą źródła, wraca na statek, gdzie towarzysze odbierają mu worek i wylewają wodę do beczki: Kamień wyciągnięty z wody za pomocą sznuru, służy znowu dla drugiego nurka. Łatwo pojąć, jakiej przytomności umysłu i zręczności potrzeba nurkowi, aby we właściwej chwili otworzyć worek i napelnąć go wodą słodką zamiast morskiej, któraby w razie popełnienia niezręczności napłynęła do worka.

## Homonim szaradowy.

Bez pierwszej, drugiej zwykle nam nic nie smakuje;  
Pisma bez drugich, trzecich, nikt z nas nie pojmuje;  
Pierwsze, trzecie, mniej znanem, męskim jest imieniem.  
Wszystko zaś, drogocennym i pięknym kamieniem,  
Albo zwierząt i ludzi bywa udrećzeniem.

## KRYPTOGRAM.

ułożył Pegaz skrzydlaty.

9	10	4	6	1	11	12	13	11
3	2	6	8	2	14	6	8	4
11	4	15	11	3	2	12	1	11
8	5	12	16	4	17	6	8	4
1	2	3	4	5	6	7	8	2
18	12	2	6	6	1	11	3	3
15	2	3	4	7	19	13	13	4
11	9	12	20	8	11	3	8	11
21	7	11	12	2	1	20	6	22

Powyższe liczby zastąpić literami tak, aby środkowe słupy utworzyły nazwisko pols. kompozytora. 1. Tytuły 2 oper. 2. Muzyk polski tegoczesny. 3. Tytuły 2 oper. 4. Kompozytor polski. 5. .... 6. Kompozytor polski tegoczesny. 7. Kompozytor włoski. 8. Tytuł opery. 9. Tytuł opery polskiej.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

### Zagadki:

Poprawa.

### Łamigłówki sylabowej:

1. Kalejdoskop. 2. Ohio. 3. Ceylon. 4. Hobi. 5. Amazonka. 6. Nazaret. 7. Ontario. 8. Wilanów. 9. Sokrates. 10. Kacyk. 11. Idzi.

Kochanowski — Poniatowski.

## SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemiosł korzystnych dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TRESC: Grajek, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Z podań o Kijowie p. Teresę Jadwigę. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — Połów bursztynu p. Henryka Wernica. — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Przygoda państwa Psińskich (z drzew.) — Chłopczyk i wiewiórka, wiersz. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie p. Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

## Przygoda państwa Psińskich.

### I.

Pewnego letniego poranku pani Psińska dumna z jedynaka swego Trezorka, postanowiła wraz z nim zrobić wycieczkę poza mury miejskie.

— Ale jakże sobie poradzimy — rzekł pan Psiński — Trezorek jest zbyt młody ażeby za nami nadążył, cóż pocniemy gdy ustanie w drodze?

— Ja też nie myślę aby szedł pieszo. Czyż nie widzisz jak dzieci wożą w wózkach?

z zazdrości, ale bo też daleko ich prostym kubrakom do naszych eleganckich ubiorów, równie jak ich Burkom i Kruczkom do naszego Trezorka.

— Nie wynośmy się nigdy jedni nad drugich moja droga Bibisiu, bo to nikomu na dobre nie wyszło — rzekł wzdychając roztropny Psiński, uległ wszakże namowom żony i niezadługo potem cała rodzina udała się za miasto. Spadający na oczy czepek zasłaniał nieraz wzrok biednemu Psińskiemu i potykał się popychając wózek, ale żona jego w małym kapelusiku, z parasolką w rękę i binoklem na nosie tak się czuła zadowolona, Trezorek zaś odzywał się tak rozkosznie: au, au, ham, ham, niby to dmąc w trąbkę, którą mu włożyła w łapki matka, że



— Ale wózki takie popychają zwykle niańki, a przecież my niańki nie mamy, bo nasze dzieci mądrze od dzieci ludzkich wychowują się same.

— O, wielka mi rzecz niańka! Ufryzuję ci włosy, włożę spódniczkę i czepek z kwiatami i wstążkami, to będziesz tak wyglądał popychając wózek, jak niańka w wiejskim ubraniu.

— Ależ moja Bibisiu — obruszył się pan Psiński — to wcale nie wypada abym ja, twój mąż, ojciec Trezorka, użyty był do podobnej posługi, to mię ośmieszysz tylko.

— Zaręczam ci mój drogi Fidelku, że dobra twoja sława jest mi równie drogą jak tobie samemu i dla tego nie chciałabym cię narazić na śmieszność. Już ja tak wszystko urządzę, że nikt cię nie pozna, a wspólna ta przechadzka bardzo nam będzie przyjemną, zwłaszcza że słusznie możemy się pochwalić Trezorkiem, bo rzadko tak miłego i mądrego pieska. Sama ubiorę się w kaftanik, spódniczkę i czepeczek, a potem wyruszymy poza miasto i powiadam ci, że nas wszyscy będą podziwiał, a co Burkowscy i Kruczkowscy, to pochorują się chyba

pocziwy ojciec, jakkolwiek przeciwny przechadzce urzędzonej niejako na popis, czuł się zadowolonym przyjemnością, którą sprawił swym ukochanym.

Gdy mijali budę Kruczkowskich, małemu ich Kruczkowi o mało oczy nie wyszły, tak się przyglądał Trezorkowi, sama zaś Kruczkowska, jak zauważyła pani Psińska, skrzywiła się brzydko. Na innych sąsiadach i znajomych niepospolite też uczynili wrażenie. Niektórzy z nich głośno objawiali swe niezadowolenie, odpowiadając na delikatne ham, ham Trezorka, basowem hu, hu, wrrrrr... i t. p.

Te objawy niechęci, niemiłe były pocziwemu Psińskiemu, który rad był ze wszystkimi żyć w zgodzie, uszczęśliwiały wszakże nieroztropną i prózną jego małżonkę.

— Zazdrozczą nam! zazdrozczą! — wołała uradowana.

Gdy się znaleźli poza miastem, przykro jój się zrobiło że już nie było przed kim się popisować, bo napotykali tylko muszki i motyle krążące w powietrzu, postano-

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

wiła więc skrócić przechadzkę, a następnie uczynić wycieczkę do środka miasta, to jest wystąpić w publicznym spacerowym ogrodzie, ale Psiński oparł się temu i daremnie żona dręczyła go przez kilka miesięcy. Dopiero gdy już kończyło się lato, a zrozpaczona Bibisia postanowiła bądźco bądź wystąpić w ogrodzie, gdzie Trezorek już starszy mógł iść pieszo z rodzicami, uległ jej namowom. Dzień był prześliczny, Psiński więc choć niechętnie przystał na zamierzony od tak dawna spacer, niechcąc się dłużej narażać na dotkliwe nieraz domowe przykrości.

Uczynił tylko przedstawienie, że spotkać mogą Burkowskiego lub Kruczkowskiego, a ci rozgniewani jeszcze za spacer pozamiejski z wózkiem, zobaczywszy że się znów nad nich chcą wywyższać strojem, gotowi szukać zaczepki, która w publicznym miejscu zbyt hałaśliwie skończyć się może...

Ale pani Psińska śmiała się z téj obawy, pewna że zobaczywszy ich w całym blasku paradnych strojów, biedni sąsiedzi olśnieni tym widokiem, umkną z drogi na najłżejsze warknięcie.

(d. c. n.)

## CHŁOPCZYK I WIEWIÓRKA.

„Wiewióreczko zwinna, zgrabna,  
Taka dzika, a powabna,  
Bądź nam gościem w naszej chatce,  
Umieścim cię w pięknej klatce.  
Za sprawiane nam uciechy,  
Będziesz sobie gryźć orzechy.”  
A wiewiórka rzecze na to:  
„Dajcie pokój z waszą chatą.  
Przysmaków mi nie potrzeba:  
Wolę patrzeć w błękit nieba;  
Wolę bujać sobie w lesie,  
Gdzie mi słowik piosnkę niesie  
Z pierwszym tchnieniem lubej wiosny.  
Lubię jodły, świerki, sosny,  
Co i latem i jesienią  
Tak uroczno się zielenią.  
Życie płynie mi wesoło,  
Gdy obiegam las w około,  
Skacząc sobie w prawo, w lewo,  
Z jednego na drugie drzewo.  
A choć często się przedrzemie,  
Wcześniej myślę już o zimie,  
Rozmawiając czasem z gwiazdką,  
Ściele sobie własne gniazdko,  
I na trudne w zimie czasy  
Orzechów robię zapasy.  
To, co sama zapracuję,  
Jaknajlepiej mi smakuje.  
W lesie miło czas upływa;  
W nim też czuję się szczęśliwa!”

Kiedyindziej motyl pokornie potwierdziłby zdanie przyjaciółki, która nim zawsze trochę dowodziła, ale teraz zdawało mu się, że opowiadając od kilku godzin ciągle o sobie, urósł do znaczenia jakiejś nadzwyczaj ważnej istoty i przybierał dumne postawy.

— Zdaje mi się, że mnie i tych zalet odmówić nie zdołasz — odparł też z wielką godnością i powrócił do dalszego opowiadania. Szczypawka miała nieprzewyciężoną chętkę wysprzeczać się z nim porządnie i upokorzyć go wreszcie jak należało, ale chęć słyszenia ciekawego opowiadania przemogła, więc dała pokój nieporozumieniom, a motylek mówił dalej:

— Właśnie Zosia kończyła śliczną legendę o skowronkach, gdy we drzwiach ukazał się jakiś chłopak, który zawołał: Proszę panienek na obiad. — Obiad!... ach jakże smutnem echem wyraz ten ozwał się w mym żołądku!

Panienki wyszły, przyczem najstarsza złościła się trochę, że przez nieznośną lizzkę nie można było porządnie lekcyi ukończyć, gdyż zabrała tyle czasu, a wtedy ja zabrałem się do skromnego posiłku: skubnąłem trochę jedzenia, wypilem kropelkę wody i westchnąłem ciężko. Niestety! rozkoszne kapuściane listki, należały już do krainy wspomnień tylko.

Kilka godzin przebyłem w zupełnej samotności, rozmyślając nad mym smutnym losem i roniąc łzy obfite, potem z hałasem i trzaskiem wpadły trzy panienki i rozpoczęła się znowu lekcyja. Następnie dwie małe uczyły się same głośno, rozprawiając jeszcze prędzej jak zwykle z rękami na uszach, wreszcie wszystko umilkło, głęboka cisza zaległa pokój, słońce zaszło, w około zrobiło się ciemno, mroczno, a ja wciśnięty w ciepły kącik między liśćmi, usnąłem głęboko. Blask światła rozbudził mię nagle; powstałem radośnie, myśląc że to ranek, a ja cudownie oswobodzony z niewoli, oglądam znowu lube słońeczko, wkrótce jednak rozwiął się mój zachwył: światło to było sztuczne jakieś, nie rzucało promieni i nie dawało ożywczego ciepła. Znowu rozczarowanie! Przy mnie ze schylonemi głowami i ciekawem wejrzeniem stały najstarsza panienka i pulchna, rumiana, wiejska dziewczyna.

— Śpi nasza lizska, patrz Magdusiu jak się skręciła — zauważyła panna Cela.

— A co panienka robi z tą lizską? — zagadnęła Magdusia.

— Wychowam sobie na motylka.

— Albo to będzie motyl z robaka? — zapytała znowu Magdusia z jakimś niedowierzającym uśmiechem.

— Naturalnie, czy nie wiesz o tem? przecież wszystkie motyle są z liszek.

— Musi to nie może być prawda.

— Zobaczysz niedługo.

— A czyż się co zrobiło z téj lizski, co panienka trzymała zaraz z wiosny?

— Z pewnością — rzekła panna Cela — tylko ja zapomniałam codzień zaglądać do słoika, więc motyl wyfrunął i została sama zeschnięta skórka. Dziewczyna rozśmiała się szczerze, po wiejsku.

— Mnie się widzi — rzekła — że się biedne robaczysko namęczyło i pokruszyło wreszcie.

Panienka nic już nie mówiła tylko spojrziała na mnie z groźną miną, a w wejrzeniu jej czytałem wyraźnie rozkaz: — Musisz zostać motylem!

Zadrżałem i zwinąłem się w kółko.

Ach moja panienko, myślałem, gdyby to odemnie zależało, spełniłbym twe życzenie z wielką przyjemnością, ale podzielałam w zupełności powątpiewanie Magdusi i zastrasza mnie bardzo los mój nieszczęsnej poprzedniczki, tej biednej liszki, co to zeschnięta, z głodu zapewne.

Zastanowiłem się potem głęboko nad możliwością, zamiany w motyla: słyszałem już o tem nieraz i uważałem ze strony znajomych z kapuścianego zagonu za niezbyt dowcipne żarty, tembardziej więc zadziwiło mnie podobne zdanie ze strony ludzi, osób obcych, obojętnych, przekonanych że nie rozumiem ich mowy. W każdej bajce jest choć cień prawdy, rozumowałem, może więc rzeczywiście nie zostaną do końca życia tem, czem jestem, ale wkrótce przyszło mi na myśl, że prędzej spotka mnie dola uschniętej liszki i nie wiedziałem czy mam się cieszyć pierwszym, czy smucić drugim przypuszczeniem. Całą tę noc dręczony byłem niepokojącymi widziadłami i wstałem nazajutrz zmęczony, smutny i zgnębiony.

Życie moje w niewoli przechodziło bardzo jednostajnie, co rano wstające słońce budziło mnie ze snu, potem przychodziły panienki, rozpoczynała się nauka i wszystko szło zwykłym widać w tym domu trybem.

Tak upłynęło dni kilka. Pewnego ranku lekcya była nadzwyczaj ciekawa: rozmawiano o wojnach, królach, bohaterach, dziewczynki zachwycaly się jakimś Fabrycyuszem, z podziwem mówiły o dzielnym Hani-balu, a najstarsza czytała coś z dużej książki, tłumaczyła i złościła się potrochu, jak to już było w jej zwyczaju. W chwili największego zapału, gdy Zosia strofowana ciągle o „poprawny styl” opowiadała historję jakiejś bitwy, dało się słyszeć lekkie stukanie.

— Kto? — zawołała krótko, sroga nauczycielka.

— Anusia — odparł cienki, pieszczotliwy głosik.

— Oj moja Anusiu, kto ty tam jesteś — pomyślałem sobie — nie wpuszczaj cię tutaj; ale stało się przeciwnie: panna Cela ostrożnie otworzyła drzwi przed ma-lutką, uśmiechniętą dziewczeczką, która prędko dreptała po ziemi drobnymi nóżkami. Panienki ucieszyły się widocznie przybyciem tej miniaturowej osóbkki, a najstarsza całując pulchną buzię zamorusaną od jabłka trzymanego w zaciśniętej rączce, zapytała z uśmiechem:

— Czego Anusia chce? nie można przeszkadzać w czasie lekcji.

— Anusia cie głądać brązki — zaszczebiotał dziecinny głosik.

— Niema tu książek z „brązkami”, ale ci pokażę „bobaka.” — To mówiąc podniosła ją do stołu i wskazała mi palcem. Spojrzałem w górę i ujrzałem nad sobą parę błyszczących oczek, modrych jak niezabudki, któ-

rych tyle rośnie nad wodą, osadzonych w różowej, okrągłej twarzyczce.

— To „bobak” Anusiu, nie trzeba go ruszać, bo cię zje, schrupie jak ciasteczko — mówiły siostry, ale dziewczynka nie zdawała się wcale przerażoną temi groźbami i śmiało wyciągnęła paluszek, chcąc mię chwycić; ale Zosia przeszkodziła temu.

— Anusia nie boi bobaka — mówiła maleńka — bobak ładny.

Pochwała ta z dziecięcych ustek, sprawiła mi prawdziwą przyjemność; wkrótce Anusię zabrano, a ja pomyślałem sobie, że i między ludźmi znajdują się czasami niezłe okazy. Później raz jeszcze widziałem tę samą Anusię, ale była brzydka, zapłakana, gniewała się i grymasiła, nie mogłem jej poznać prawie. Jak więc bardzo powierzchowność zależy od usposobienia; sądząc po tem wyobrażałem sobie, że muszę wyglądać straszliwie. Nie było wprawdzie dostatecznej ilości kropelek rosy, ażebym mógł się w nich przejrzeć, umyć i uporządkować strój mój zaniedbany bardzo w tych smutnych czasach niewoli, ale po kilku dniach we wszystkich oczach czytałem wyraźnie, że nie uważają mię już za „śliczną liszkę.”

Nic też dziwnego: zmartwienie nie służy urodzie, a ja oddawałem się ciągle ponuręj rozpaczycy zwłaszcza w długich godzinach samotności, gdyż wystaw sobie szcypaweczko, nie miałem tam żadnego towarzystwa. Była wprawdzie spora gromadka much swarliwych i wścibskich jak zwykle, ale nigdy nie poniżyłbym się do tego stopnia, ażebym zechciał wdawać się z niemi w bliższe stosunki znajomości. Trudno uwierzyć, jak te istoty pozbawione są zupełnie godności osobistej: mnie otaczano szacunkiem i pewnemi względami, a jednak niezbyt chętnie przyjmowałem tę natrętą gościnność a one bezustannie wypędzane, za chwilę powracały znowu. Podobne postępowanie bardzo mię oburzyło, tak więc, pomimo że codzień zamęczały mię ciekawemi pytaniami i ubolewaniem nad moim losem, zbywałem je uporczywym milczeniem. Drugą dręczącą mię plagą było złe jedzenie. Miałem trochę liści niesmacznych i twardych, ale ponieważ „głód najlepszym jest kucharzem”, przekonałbym się może do nich gdyby nie to, że po kilku dniach zeschnęły zupełnie; w tym niedostatku skubałem tylko trochę, ile było koniecznie potrzeba do utrzymania życia i wspominałem dawne przysmaki. Moje opiekunki codziennie ubolewały nademną, że chudnę, że nic nie jem, że coraz gorzej wyglądam, i uważałem że są rzeczywiście zmartwione, ceniąc widocznie wysoko moje zdrowie, ale ich próżne żale nie mogły mi dodać ochoty do spożywania starych, suchych liści, wolałbym, żeby zamiast ciągłych narzekañ dostarczyły mi świeżego zapasu żywności.

(d. c. n.)

#### Zagadka rebusowa.

Z litery kije,  
Całość nie bije,  
Lecz spalić może;  
Uchowaj Boże.

ZAGADKI.

Jakie trzy ściany z pięciu kwadratów należy usunąć, aby pozostałe złożyły trzy kwadraty.

1	2	3
4	5	6 7
8	9	
11	12 13	
14	15	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Zagadki:

F a r t u c h.

Zagadki:

R a k — L a k.

Skrzynka do listów.

**Droga Niezapominajko z nad Jabłoni** w imieniu nieobecnej Gołąbki nietylko odpowiadamy, ale serdecznie dziękujemy za złożone w naszej Redakcyi dowody poczciwego serca oraz pracowitości twojej. Cały ów zapas oddany został, jak sobie tego życzyłaś, do szpitalika dzieciniego, gdzie prosiliśmy o modlitwy dla ciebie. W chorobie odwagi i cierpliwości przedewszystkiem potrzeba, i o nie jako łaskę, prosić tam, zkąd wszystko dobre nam płynie... Łamigłównki wydrukujemy o ile będą dobre; biednej chorągłej życzymy najszybszego powrotu do zdrowia.

**Barwinku z Chmielnój** miło nam zawsze się dowiedzieć, że po dłuższej nieobecności czytelnicy nasi z radością wracają do Warszawy. Dlaczego swój dawny taki ładny pseudonym Macierzanki zmieniałaś, i to na męzki?

**Cichój wodzie** słów tylko parę odpowiadamy, aby w nich zaznaczyć że korespondencya jój doszła rąk naszych. Za to, co zawiera niech sama Gołąbka podziękuje, bo wiemy, jak ją to serdecznie ucieszy.

**Porankowi** majowemu i wszystkim, którzy z powodu odebrania nagród wyrażają nam zadowolenie swoje, odpowiadamy, że tém zadowoleniem my pierwsi najwięcej się cieszymy.

Kochana Gosposiu z nad Warty! Podobał mi się bardzo twój pseudonym i chciałabym z tobą korespondować. Ja mam lat 10 na imię mi Kasia, mieszkam na Podolu i mam dwóch młodszych braciszków. Donieś mi co o sobie. Twoja: *Gospośia Taty*.

Kochana Heleno Hup... Znam cię z opowiadania wiem że lubisz się stroić; czytać nasze kochane „Wieczory” i „Drugą Matkę” że masz nauczycielkę Polkę; ale ty mnie nie znasz; nie piszesz do Wieczorów; spodziewając się Twojój odpowiedzi całuję cię *Gwiazdka na zachodzie*.

Kochany Poranku majowy! z odpowiedzi twoich wiem tylko że ci na imię Marylka. Chciałabym jednak dowiedzieć się, czy ty zaliczasz się do grona staruszek i czy mieszkasz w Warszawie?

Serdeczne uściśnienie wraz z podziękowaniem za szaradę przesyła *Fijołeczek z nad Wisły*”.

Tajemnicza Cairo! Donieś nam czyś już zdrowa, bo słysze-

liśmy żeś się bardzo nacierpiała. Czy Jadzia S. dobrze się bawiła? Odpowiedz nam i zgadnij kim są: *Iris i Mimosza*?

Kochana Złota rybko! Napisz choć parę słówek, donieś co o sobie. Może żyjesz w rzece, nad której brzegiem ja rosnę, to przypłyni i poznaj się osobiście z twoją *Niezapominajką z nad Warty*.

Droga Marszałkowo! Cieszę się bardzo że czytasz „Wieczory Rodzinne” i że będziemy mogły do siebie pisywać. Donieś mi czy już pisałaś do „Gwiazdki nadziei” czy dopiero napiszesz? Czekam niecierpliwie twój odpowiedzi a tymczasem ściskam cię serdecznie. *Błądny Ognik*.

Droga Jaskółko z Czerwonój Rusi! Mieszkam na prowincyi, mam wielu krewnych i dwóch braci w szkołach w Chyrowie. Jak ci na imię? w jakim jesteś wieku? Prosi o odpowiedź na wszystkie pytania *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Kochane Rajskie Jabłuszko! Zaciekawiałaś nas bardzo przesyłając pozdrowienie w liściku do Goryczki, bo nie mam nikogo ze znajomych w Skwirze. Bądź tak dobrą i napisz mi ile masz lat, jak się nazywasz i ile masz rodzeństwa? Proszę zechciej nadal zemną korespondować. Czekam niecierpliwie odpowiedzi. *Czarna Perelka*.

Kochane: Biała Perelko, Kwiecie Jabłoni i Tońciu! Tobie kochana Perelko dziękuję za odpowiedź i donoszę że Błyskawicę znam z lekcyi tańców, które brałyśmy jednocześnie tój zimy. Kwiecie Jabłoni, korespondując ze mną zrobisz mi wielką przyjemność. W przeszlorocznych Wieczorach najbardziej mi się podoba: Najnowsza powieść Deotymy. Czemu nie napiszesz do mnie kochana Toniu obiecałaś mi to przecież gdym była u ciebie? Całuję was serdecznie. *Polna Róża*.

Drogie moje Cyganecko i Szarotko alpejska! Dziękuję wam za liściki, które mi sprawiły wielką przyjemność. Tobie Cyganecko donoszę, że mieszkam na wsi, tam więc lato przepędziłam ale za to teraz cały rok będę w mieście, bo jadę na pensję do Krakowa razem z moją siostrą Kropelką rosy. Nie, kochana Szarotko alpejska, ani Alpy, ani Tatry nie są moją ojczyzną, przeciwnie, wzrosłam wśród równin, bo w ks. Poznańskim, gdzie czasem tylko małe pagórki się trafiają. Obralam sobie ten kwiatek za pseudonym dla tego, że go bardzo lubię. Jak wam się podoba: „Druga Matka?” bo mnie bardzo zajmuje. *Wasza Szarotka*.

Droga Kapłanko Znicza! Nie mogę się domyślić kto jesteś. Powtarzam jednak moje przypuszczenie, że jesteś Antolka K. i mieszkasz w Warszawie. Odpowiedz czy zgadłam, jeżeli nie, to donieś mi choć pierwsze litery imienia i nazwiska. A teraz ściskam cię serdecznie. *Głoksynia*.

Drogie moje: Pieszczotko, Szarotko, Dumko z nad Sobu i Praco! Pieszczotko moja droga, jestem już wielką siedemnastoletnią staruszką, imię moje Marta. Szarotko kochana, wesoła jestem ale czasem i smutną. Ile masz lat? Dumko luba czy lubisz dumać? Mieszkam pod Warszawą i mam czworo rodzeństwa. Ciebie droga Praco doskonale pamiętam. Nauki już skończyłam, tylko biorę lekcyje muzyki w Warszawie. Dziękuję wam moje najukochańsze za liściki, przyjmijcie więc serdeczne pocałunki i piszcie do kochającej was z całego serca *Cyganecki z nad Wisły*.

Droga Gosposiu z nad Warty. Podobał mi się twój pseudonym i chcę z tobą korespondować. Mam lat 15, mieszkamy stale w Warszawie, lecz uczę się teraz w Wersalu wraz z siostrami Aleksandrą starszą odemnie i Manią młodszą, która pisuje do Wieczorów pod pseudonymem „Jerzynki Wersalskiej”. Napisz mi gdzie mieszkasz? Mnie na imię Janina, jestem niską, szatynką. Żegnaj cię. *Twoja gołąbka Wersalska*.

Kochana Artystko. Posyłamy ci wszystkie na dzień imienia serdeczne życzenia. Czy dobrze się bawisz w Grodzisku i czy gniewają cię bardzo ciągle deszcze. Czy należałaś do zadania konkursowego królewicza Zielonki? Ja wysłałam opis fiołka. Co ci się najwięcej podoba w „Wieczorach”? Mnie „Pod wpływem błogosławieństwa”. Namów Artystkę Stefcie G., żeby sobie obrała jaki pseudonym i pisywała do „Wieczorów”. Proszę cię bardzo odpisz mi niedługo, a teraz przyjmij od nas serdeczne uściśnienia. *Twoja Iskierka z pod Lublina*.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
 Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### ZJAWISKA POWIETRZNE.

Mamy innóstwo opisów zjawisk powietrznych, budzących nieraz trwogę w ludziach nieświadomych ich przyczyny, a które nie są niczem innym, jak odbiciem w gęstych warstwach chmur, promieni światła, oświetlającego bardzo silnie niektóre przedmioty na ziemi. Do zjawisk takich należał tak nazwany „duch góry”, widziany w Hartzu ponad górą Brocken, a będący odbiciem kamiennego pomnika wzniesionego na jej szczycie. Najświeższe zjawiska powietrzne oglądano w roku zeszłym w Paryżu, gdy w piękny i słoneczny dzień grudniowy, ujrano ponad wieżą Eiffla jakby jej sobowtór w powietrzu. Ta druga wieża odtwarzająca pierwszą w obłokach, tem tylko się z nią różniła, że położenie jej było odwrotne, to jest że wierzchołkiem skłaniała się ku ziemi a podstawą wznosiła do nieba, jak to widać na rycinie naszej. Odbicie było bardzo dokładne, całe zaś zjawisko widziane przez wiele osób trwało zaledwie kilka minut, poczem rozwiało się niejako w powietrzu i znikło w jednej chwili.

### W ŻŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

Dla chłopców była to przyjemność nielada.

Do pobliskiego miasteczka zjechał od kilku dni cyrk wędrowny na kilkanaście gościnnych występów, a rodzice chcąc podczas wakacji sprawić przyjemność dobrym swym chłopa-



Duch na górze Brocken.



kom, pozwolili im pod opieką wujaszka pojechać na przedstawienie.

Starszy z nich Władzio, uczeń drugiej klasy gimnazjum, zarówno jak młodszy dziesięcioletni Józio cieszyli się zatem niezmiernie, tembardziej, że wycieczka miała się odbyć wraz z wujkiem Kaziem, ukochanym dwudziestoletnim wujkiem, który będąc na politechnice w Rydze, przyjechał jak zwykle, na wieś, spędzać u starszej swej siostry wakacyjne ferie. Trzeba dodać, że obaj chłopcy przepadali za nim, bo też nie było chyba na świecie lepszego wujaszka. Zawsze wesoly, dowcipny i pełen najrozmaitszych pomysłów, rozweselał i pobudzał do ruchu dom cały. Chodzili razem na polowanie, do kąpieli, jeździli konno, podczas żniwa pomagali w polu robotnikom, a skoro mu przyszła ochota opowiadał im nieraz szeroko o swoim życiu studenckim, pełnem przygód i anegdotek, o kolegach, profesorach, wreszcie tysiące rzeczy nader ciekawych, które chłopców bawiły i zajmowały niezmiernie.

Cyrku żaden nie widział jeszcze nigdy w życiu, słyszeli tylko o nim wiele i najgorętszem ich życzeniem było zawsze, ujrzeć raz na własne oczy te wszystkie cuda. To też tak pilno było im w drogę, że skoro przyjechawszy do miasteczka, zajęli zakupione miejsca, w naprędce postawionym wielkim namiocie, nie było jeszcze prawie nikogo.

Wujcio Kazio drwił tymczasem z ich ciekawości i takie dowcipne robił spostrzeżenia nad tym „wspaniałym przybytkiem sztuki kuglarskiej”, jak nazywał szumnie tę budę pokrytą brudnym, obdartem płótnem, iż chłopcy śmiejąc się serdecznie, ani spostrzegli, jak czas zleciał, wewnątrz cyrku zapełniła małomiasteczkowa publiczność i rozpoczęto przedstawienie.

Przez cały czas nie spuszczała wzroku z areny. W milczącym zachwycie przyglądali się tresowanemu bardzo nędżnym koniom, ćwiczeniom akrobatów, oraz od czasu do czasu wybuchali głośnym śmiechem, słuchając niezręcznych dowcipów kłownów. Oczy błyszczały im z radości, wszystko zachwycało ich tu bez wyjątku, nie mogli też wyjść z podziwu skoro zwróciwszy się z jakąś uwagą do wujka, ujrzeli go drzemiącego.

— Ach, wujaszku! — zawołał z oburzeniem Józio — takie śliczne rzeczy pokazują, a ty nie patrzysz!...

— Mój kochany — odparł śmiejąc się student, który choć przymknął oczy, jednak nie myślał wcale drzemać — nie takie ja już cudu widywałem...

— Czy może być co piękniejszego! — pomyśleli obaj chłopcy z niedowierzaniem. Nie mieli jednak czasu na wyrażenie głośno swej wątpliwości, bo w tejże chwili na arenę wysunął się na kucyku dziesięcioletni może chłopczyk, ubrany po krakowsku i zajął znów całą ich uwagę. Muzyka, złożona ze skrzypiec, katarynki i bębna, zagrała niby krakowiaka, on stanął na koniu, ujął się pod boki i zaczął tańczyć.

Tańczył dość zręcznie, od czasu do czasu naglił do biegu kuczka i przyspieszał tempo tańca. Wkrótce koń zaczął biec galopa, on podrzucał w górę czapeczkę i nieprzestawał tańczyć. Ani razu nie zachwiał się nawet. Policzki mu pałały, oczy świeciły uśmiechem, wiatr w pędzie rozwiewał mu cienne długie włosy — i nie ustał aż dopóki zmęczony wierzchowiec nie zwolnił biegu. Wówczas, katarynka, skrzypce i bęben przycichły, on lekko zeskoczył na ziemię i za oklaski widzów, kłaniał się czerwoną czapeczką.

Jego występ miał być zakończeniem przedstawienia, ale zachwycona publiczność ani chciała na to przystać. Oklaski nieustawały, a krakowiak, który zniknął już za firanką, za każdym nowem ukazaniem się by podziękować za uznanie, ręką przesłanym całusem, zostawał zasypywany coraz głośniejszemi: bis! bis! bis!

Powstała taka wrzawa, że dopiero powtórny występ zdołał ją uciszyć.

Tym razem malec wyjechał na dwóch kucykach, przebrany w kostium dżokeja. Kuczki były jednakowej maści, bez żadnej uprząży, pomimo to stał każdą nogą na innym i poganiał ich ustawicznie. Po kilku minutach galopowania

konie rozdzieliły się i pobiegły w różne strony; za każdym razem skoro miały się minąć, chłopiec szybko przeskakiwał przez podaną mu obręcz osłoniętą bibułką, którą przedzierał w skoku, i znajdował się na grzbiecie drugiego.

Chociaż robił to zręcznie, przecież po pewnym czasie wiadać było na nim zmęczenie. Musiała to zauważyć publiczność, bo skoro leżąc na dwóch grzbietach zbliżonych do siebie koni, malec zniknął za zasłoną, choć nie szczędzono oklasków, nie wywoływano go więcej.

Teraz był już koniec. Ponieważ zaczęto się rozchodzić i nasi więc znajomi znaleźli się wkrótce na dworze, gdzie odnalazłszy furmana z końmi wsiedli na bryczkę i ruszyli ku domowi.

Noc była ciepła i księżycowa. Długi czas zachwyceni chłopcy nic nie mówili, przechodząc jeszcze myślą tylko co widziane sztuki, ale gdy zjechawszy już z miasteczkowego bruku ucichł nieprzyjemny turkot i znaleźli się w lesie, wujcio Kazio zwrócił się do nich.

— No, jakże chłopcy — podobało się wam w cyrku?...

— Och bardzo! — zawołał równocześnie z uniesieniem, poczem obaj westchnęli.

— Aż tak! no to dobrze — zaśmiał się wujek, ale dlaczego tak melancholijnie wdychacie, skoro jesteście zadowoleni? Ach, wiem już, to pewnie ta pełnia tak was czule nastroja, dodał.

Nic nie odpowiedzieli. Po chwili dopiero Józio, jakgdyby niemogąc wytrzymać, westchnął jeszcze głębiej i rzekł jakby do siebie, w zadumie:

— Jaki on szczęśliwy!...

— O tak — dorzucił Władzio, który widocznie o tem samem myślał. Ja mu zazdroścę....

— Ach i ja także chciałbym być na jego miejscu.

— I komuż to tak zazdrościcie szczęścia — zapytał zdziwiony tą rozmową wujcio, który teraz zaczął drzemać naprawdę, kiwając się na bryczce. Czy mnie? A, wiem już, to pewno mnie, że sobie spokojnie zasypiam, ale niemacie czego i nad czem wdychać, oprzyjcie się dobrze o mnie i śpijcie, Szymek nas obudzi skoro stanjemy przed domem....

— Ależ nie — przerwali chłopcy — my myślimy o nim, o tym małym dżokeju. Bo czyż to nie przyjemnie być musi wujaszku, tak harcować na koniu co wieczór jak on! Tyle ma ubrań prześlicznych, takie doskonałe koniki, i przytem sam taki elastyczny, lekki, jak piłka. Musi to lubić bardzo bo uważaliśmy jak jeździł i skakał, to aż mu się oczy „śmiały” — mówili jeden przez drugiego.

— Ach, a jak on zręcznie skakał!... tak lekko jakoś, uważałeś wujku? Albo jak tańczył prześlicznie na tym koniu, stojąc! Och, chciałbym być na jego miejscu, doprawdy!...”

Wujek tymczasem rozbudził się zupełnie i słuchał z uśmiechem z takim zapałem wypowiedzianych słów, potem ten uśmiech zastąpił ironicznem spojrzeniem, pokiwał głową i rzekł poważnie:

— Oj dzieci z was jeszcze wielkie moje chłopaki.... Zazdrościcie zatem takiemu chłopcu cyrkowemu? Tak, bo wy niewiecie ile takie dziecko przecierpieć musiało, nim doszło do tej wprawy w gimnastyce, i lez ile wylało przytem, niewiecie ile batów znieść cierpliwie musiało i obelg wysłuchać.... O, niezawodnie nie macie nawet pojęcia, bo gdybyście je mieli nie zazdrościlibyście losu tym małym męczennikom. Wierciec mi, ja także wiem coś o tem....

Było tyle wzruszenia i prawdy w poważnym głosie wesołego zazwyczaj wujka, że zadziwiło to aż chłopców. Zapomnieli już o tym, któremu przed chwilą zazdrościli, bo przyszło im na myśl, zkad wujcio może tak dobrze znać życie cyrkowe i dlaczego tak nad niem ubolewa. Już mieli go o to zapytać, kiedy po chwili sam zaczął dalej:

— Kiedy, kiedy, jeżeli będziecie chcieli posłuchać i będziemy mieli trochę spokojnego czasu, opowiem wam niedługą historię takiego małego bohatera, którą znam dobrze, bo patrzyłem na nią własnymi oczyma. A wtedy osądzicie sami,

czy lepiej mu zazdrościć mniemanego szczęścia, czy też, zapłakać nad nim....

— Och dobrze! Opowiedz nam tę historję wujaszku teraz, zaraz — zawołał żywo Władzio.

— Opowiedz, mój drogi wujaszku! — zawtórował Józio.

— Dziś już zapóźno — tłómaczył student broniąc się od uścisków proszących chłopców — a zresztą patrzcie, już dojeżdżamy do domu, ale opowiem wam za to jutro, kiedy już tak chcecie.

— Nie, nie — wołali obaj — dziś koniecznie. Nie jest jeszcze tak późno, mój złoty kochany Kazieczku, zrób nam tę przyjemność!

— Ale dajcież pokój, jest już jedenasta godzina i w domu wszyscy spać muszą. Pójdziemy po cichutku prosto na górę do naszego pokoju i położymy się spać natychmiast. Jutro za to, jutro.

— Mnie się jeszcze ani marzy o spaniu, doprawdy! — zaręczał proszącym głosem Władzio — chodźmy do ogrodu, w altance nam wujcio opowie....

— Tak, doskonale, w altance; nikt się nawet nie dowie jutro żeśmy tam byli — przekonywał Józio.

Wujkowi żal się zrobiło ciekawych chłopaków.

— No, a wstaniecie jutro rano? — zapytał po chwili.

— Choćby o piątej! — zawołali z radością.

— Słowo?

— Jak ojca kocham! — zawołał Józio.

— Słowo honoru! — wygłosił Władzio, rad że mu na myśl przyszło tak poważnie brzmiące przyrzeczenie, które jak mu się zdawało bardzo przystawało drugoklasiście.

— Ty się jeszcze chłopcze z honorem nie wyrwij — napomniał żartobliwie student — bo nie wiesz co to słowo znaczy, No, ale kiedy już tak obiecujecie, to położycie się zaraz spać a ja wam do poduszki opowiem. A teraz marsz na górę i prosto do łóżek! — zakomenderował, bo właśnie bryczka zatrzymała się przed bocznym gankiem.

Władzia uraziły mocno upakarczające słowa wujka i żeby to był powiedział kto inny, niezawodnie niedarowałby tego — na niego jednak, jak tu się nawet gniewać? Udał więc, że nie słyszy, zsunął się z bryczki, i pocichutko żeby nie obudzić rodziców, pobiegł za Józkiem na górę do swego pokoju.

Odmówiwszy pacierz w okamgnieniu byli już w łózkach. Student otworzył okno wychodzące na ogród, przez które wpadło wonne powietrze nocy letniej i uszał wnet blaskiem podłogę ciekawy księżyc; wuj usiadł w nim, i puszczać kłęby dymu z papierosa, tak zaczął:

— Byłem wówczas od niedawna dopiero na politechnice rygskiej, kiedy zdarzyło mi się, że niemając co robić w domu z długim zimowym wieczorem, wyszedłem bez celu na ulicę. Szedłem przed siebie, gdzie mnie oczy poniosą i niewiem jak daleko byłbym zaszedł, gdyby mi drogi nie zastąpił, kolega. Był to Stach, wesoly radomiak, jakeśmy go zwali, poczciwy chłopak, z którym żyliśmy bardzo dobrze — to też zaraz mnie zapytał:

— Gdzież tak leziesz krecie ziemny?

— Gdzie mnie mój instynkt zawiedzie — odparłem. Nie wiem co robić z całym dzisiejszym wieczorem.

— Ach otóż to szczęśliwe usposobienie! — zaczął trze-pać po swojemu, nudzisz się! Żeby to ja kiedy mógł się nudzić! ale gdzie tam, człowiek zawsze goni za czasem. Czeka-jak dam ci radę. Niech cię kreci instynkt poniesie zatem do nowego cyrku, kiedy nie masz nic lepszego do roboty. Warto, na honor warto! Byłem tam wczoraj i dziś chętnie bym poszedł, tylko obiecałem być u Julka i towarzyszyć mu na jakiś tam wieczorek „pod blachą”. Ale grzmij sam, zobaczysz tam niezrównanego malca, któremu naprawdę warto dać złoty medal za odwagę i zręczność.... Dla niego jednego warto iść. Ale ja tu miele, a tam na mnie czekają. Do widzenia kolego, do jutra....

Spieszył się widocznie, bo zwykle mówił jeszcze więcej, i za chwilę znikł mi z oczu. Spojrzałem na zegarek, ... była właśnie pora na przedstawienie. Co prawda wielkiej ochoty

nie miałem, ale ponieważ perspektywa samotnego błędzenia po pustych prawie ulicach nie nęciła mnie bynajmniej, zwróciłem się tedy w stronę, gdzie od kilku dni przybyły podobno z Hamburga ogromny cyrk ulokował się na zimowy sezon. Dochodząc do gmachu, uderzył mnie przyklepiony na kiosku olbrzymi czerwony afisz. Chciałem go przeczytać, ale migotliwe światło latarni przeszkadzało mi bardzo. Wiem tylko, że było w kilku językach i dużemi literami wypisane: „Występ Harrego, ośmioletniego pogromcy dzikich zwierząt”, co też rzuciło mi się w oczy od razu. Kupiłem ostatni bilet i za chwilę znalazłem się w murowanym wielkim budynku zapełnionym po brzegi publicznością. Przedstawienie tylko co rozpoczęto. Cyrk był rzeczywiście pierwszorzędny. Nie można się było dość napatrzeć wybornie tresowanym koniom, zachwycającym powierzchnością i rasą, zręczności akrobatów, prawdziwemu dowcipowi kłownów.... Słonie, te zdaje się do niczego niezdatne, ociężałe zwierzęta, chodziły po linie, małpy, przebrane za hufiec zbrojnego wojska pod wodzą orangutana, dokazywały cudów waleczności w potyczce z oddziałem psów, z olbrzymim terre-neuve'em na czele, ale wszystko to nie sprawiało tak miłego wrażenia, jak ukazanie się niewielkiego chłopczyzny, który na sześciu grubych łańcuchach wprowadził, jak pieski na wstążeczkach, sześć prześlicznych okazów lwa afrykańskiego.

(d. c. n.)

## ŁABĘDZI ŚPIEW.

W noc letnią, na stawie, wód mącąc kryształy,  
Śród łożin raz łabędź kołysał się biały  
I śpiewał. A nie był to zwykły krzyk dziki,  
Śpiew jego brzmiał nakształt niebiańskiej muzyki,  
Więc cisza dokoła zaległa grobowa,  
Sicichł szelest owadów i ptasząt rozmowa  
Umilkła, jakgdyby przyroda wraz cała  
Tym śpiewem łabędzia zdumiona, słuchała.  
Zmilkł nawet słowiczek w zielonym gaiku,  
Wtem zięba doń szepnie: Cóż mości słowiku,  
Śpiewamy wszak pięknie, lecz mówiąc otwarciiej,  
Tożeśmy łabędzia oboje nie warci.  
Cóż to za głos cudny, pierw przykry i dziki,  
A dzisiaj brzmi nakształt niebiańskiej muzyki,  
To raczej Orfeusz łabędzia wziął postać,  
O jakżebym chętnie pragnęła nim zostać!  
— Co do mnie, rzekł słowik, zachwycam się głosem,  
Lecz zgadzam zupełnie z przeznaczeń mych losem:  
Gdyż łabędź tak śpiewa u życia swęj mety,  
I śpiew ten niebiański ostatnim niestety!  
Nim słońce zablęysło i mgły się rozwiały,  
Już łabędź legł martwy na wodne kryształy.

Witold Jaszczyński.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

(Dokończenie).

Pałac Dożów wznosi się tuż obok bazyliki św. Marka, dawniej nawet drzwi, dzisiaj zamurowane, łączyły go z nią; nie zdobi on już jednak wielkiego placu, ale piazzetę, którą ogranicza z drugiej strony front Nowych Prokuratorji i „Giardino Reale” (ogród królewski) a z trzeciej, ciepłe fale Adryatyku.

Pałac Dożów jest tego samego stylu co „palazzo Foscarini” wznosi się na podwójnej kolumnadzie słupów dźwigających mur wysoki, przerywany tylko ostrołukowymi oknami, pałaców, a cały ułożony we wschodni deseń, z łamów białego i czerwonego marmuru, u góry otoczony ślicznymi freskami i lotnymi wieżyczkami; słupy wszystkie z białego marmuru, prócz dwóch, ciosanych w czerwonym, a oznaczających miejsce, w którym skazani za polityczne, często niedowiedzione, przestępstwa, śmierć ponosili. „Scala dei Giganti” (schody Olbrzymów) prowadzą na podwórze i pierwsze piętro pałacu Dożów, zostały one tak nazwane dla olbrzymich zdobiących je posągów Neptuna i Marsa, oraz Adama i Ewy. Na tych schodach odbywała się zawsze koronacja Dożów.

Przez zdumiewające swym przepychem „scala d'oro” (złote schody) wchodzi się do sal pierwszego piętra, następnie przez „scala dei Censori” (schody cenzorów) do sal drugiego piętra i muzeum archeologicznego. Sal wszystkich



Sobowtór wieży Eiffla.

ty, o tyle straszny i ponury, chociaż okazały, jest ze strony kanału, ponad którym łączy się Mostem Westchnień z Plombami.

Pałac Dożów jest oddzielony pobrażem od morza; ciągnie się ono poczynając od piazzety wzdłuż całej Wenecji, przeskakując mostkami przez kanaliki (takich mostków liczy Wenecja 378), dalej przechodzi ono w szerokie „Riva dei Schiavoni” (wybrzeże niewolników), ulubione miejsce spacerowe Wenecyan i zakończy się dopiero publicznymi ogrodami. Piazzeta leży przy ujściu Grande Canale, ozdobiona jest dwoma granitowymi kolumnami: jedna z nich dźwiga na szczycie skrzydlatego lwa Wenecji, druga pierwotnego jej patrona św. Teodora. Każdy z dożów obowiązany był ze swych wojennych wypraw przywieźć coś do zdobyci Wenecji, zawdzięcza ona wiele swęj wspaniałości, temu zwyczajowi; kolumny wyżej wspomniane są także podobnym wojennym łupem. Wspaniały widok morski otwiera się już przed piazzetą: zdaleka na wysepkach błyszczą kopuły kościołów, San Redentore i San Giorgio Maggiore; ogromne parostatki angielskie i austriackie



Most westchnień.

jest z osiemnaście, są one ogromne, ozdobione pysznie rzeźbionymi sufitami, drogocennymi malowidłami; w sali Wielkiej Rady, znajduje się największy obraz olejny na świecie, wykonany przez Tintoretta, przedstawiający „chwałę niebieską”, na pierwszy rzut oka nie można nic w nim rozróżnić prócz głów i rąk bez miary i bez końca. Jedna z sal utkwiała mi w pamięci, mieszcząc pięć ogromnych globusów, w tej samej zdaje mi się, zaczynają sufity się stroić w portrety wszystkich dożów po kolei, między nimi dłużej wzrok zatrzymuje żalobna przestrzeń z napisem złotym, zastępująca portret doży Falierego.

Ciemne i ponure krużganki pałacu Dożów prowadzą do straszliwych więzień, do „Ponte dei Sospiri” (mostu westchnień) i do Plomb; niemożna pojąć zwiedziwszy te okropne, kaźnie, jak więźniowie tam nieraz po dwadzieścia i trzydzieści lat żywi spędzić mogli. Wzniesienie kamienne niczem nie pokryte, służyło im do spoczynku, ręce i nogi mieli skute tak grubymi łańcuchami, że je teraz z trudnością dźwignąć można; to też o ile piękny i wesoły jest pałac Dożów ze strony piazzet-

kie Lloydys zarzucają tu kotwice; za budynkami Dogany di Mare i wspaniałą Santa Maria della Salute leżącymi na przeciwnym końcu Grande Canale, widać kołyszące się wierzchołki masztów mniejszych okrętów, które mogły stanąć w samym weneckim porcie.

Włoskie „vaporetta” kursują ciągle od swęj stacyi, znajdującej się niedaleko wybrzeża niewolników, do dworca kolei żelaznej i do wysepek otaczających Wenecję; między niemi uwijają się barki, łódki, gondole, te ostatnie czarno pomalowane, na przodzie upiękzone złotymi fantazyjnymi deseniami skrzydlatych lwów weneckich, św. Jerzego walczącego ze smokiem i t. d., prują one śmiało wodę cechującami je żelazniami dziobami, wysoko zakrzywionymi w górę. Nie pojmuję, jak ten port wenecki, który swą gładką i spokojną powierzchnią, przypominał nam staw ogrodowy, mógł się tak rozhułać, żeby aż w swych nurtach wielki statek angielski zatopić, jak to niedawno miało miejsce, cała załoga przynajmniej uratowana została.

Przypuściłabym już prędzej, aby taki wypadek mógł

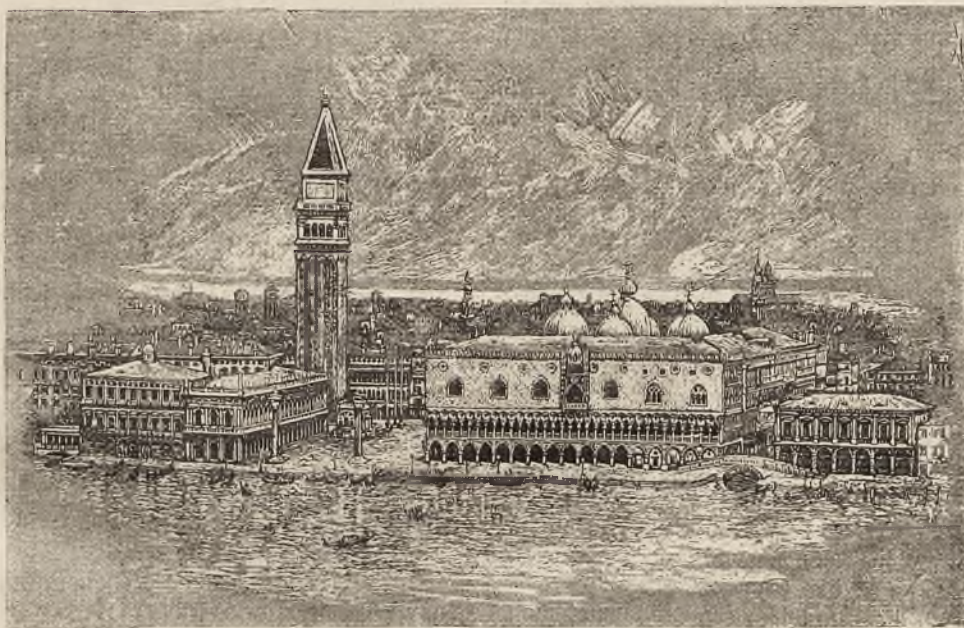
mieć miejsce na wodach, otaczających wyspę Lido, do której vaporetto przywozi co dzień osoby, chcące użyć kąpieli w falach Adryatyku, tramwaj przenosi je następnie na drugą stronę wyspy, gdzie się znajduje długi szereg łaźni, zbudowanych jak pierwotne mieszkania ludzkie na palach. Po kąpieli udają się zwykle wszyscy na glorię, przybudowaną do łaźni, na której można się pokrzepić posiłkiem, słyszeć muzykę i wzrok napawać rozległym morską widokiem, ograniczonym na linii horyzontu, rybackimi statkami, zarzucającymi w wodę swe sieci.

Morze było spokojne i ciche, ale później poczęło się burzyć i pienie, fale z taką siłą o brzeg uderzały, że łaźnie całe się trzęsły; zdaleka przychodząc, słycać już było szum morza i widać spiętrzone wały fal.

W kąpielu należało się całą siłą trzymać sznurów, aby się oprzeć tym kolosom wodnym.

mu krajobrazowi, oblanemu promieniami księżyca, kościołom i pałacom wodnego grodu, odbijającym białością swych marmurów, na tle szafrowem nieba, aniżeli przysłuchiwać się tym monotonnym ludowym pieniom.

Naprzeciwko naszego hotelu stał wspaniały kościół „Santa Maria della Salute” po św. Marku najpiękniejszy przybytek boży w Wenecyi, architektura jego zdaje się już owiana lekkim duchem barocco, co nie przeszkadza wcale, że zdumiewa majestatyczną okazałością swych kształtów i zlanem pojedynczych części w pyszną a zgrabną całość. Prócz niego i pałaców, o których już wspomniałam na początku mego opisu, zdobi jeszcze „Grande Canale”, kościół „Santa Maria dei Frari”, kościół „San Rocco” ze swoją scuolą (szkołą) tego samego imienia, akademiami sztuk pięknych zawierająca 23 sal wypełnionych arcydziełami malarstwa i rzeźbiarstwa, nad którymi króluje „Wniebostąpienie Matki Boskiej” Tycyana, głośne na świat całe.



Pałac królewski, Piazzetta, Pałac dożów.

Wyspa Lido przypomina trochę stały ląd, bo pokryta jest obszarami pól, na których uprawiają kukurydzę, morwowe drzewka, połączone festonami winnej latorośli.

Od granicy Włoch aż do samej Wenecyi jedzie się ciągle takimi polami, widok ich nudny i monotony, przerywany tylko gdzieniegdzie mieszkaniem ludzkim, o dachach z okrągłej cegły właściwych południowym krajom.

Jedną z cech weneckiego życia są serenady wieczorne; odbywają się one czasami na placu św. Marka, który roi się wtedy od ludu, krążącego pod arkadami Prokuratorji, lub przysłuchującego się muzycznym dźwiękom, popijając kawę przy rozstawionych dokoła stolczkach. Częściej jednak — szczególnie podczas pełni księżyca — łódka ozdobiona czerwonymi lampami, kierowana przez całe towarzystwo śpiewaków, płynie wieczorem przez Grande Canale, zajeżdża przed każdy hotel, śpiewając różne pieśni, jak: Santa Lucia, Rialto i t. d., a za nią ciągnie cały szereg gondol wypełnionych cudzoziemcami, szczególnie anglikami, których w Wenecyi na każdym kroku spotkać można. W końcu jednakże znudzą codzień powtarzane pieśni i podróżni wolą przypatrywać się morskie-

Wenecya ma dwa teatry, na placu przed większym stoi pyszny pomnik Manina, prezydenta republiki weneckiej, który pierwszy pobudził Wenecyan do chwycenia za oręż w obronie wolności, nosił on dziwnym zbiegiem okoliczności, nazwisko ostatniego weneckiego doży, grobowiec jego znajduje się w jednej z nisz zewnętrznych kościoła św. Marka, jest wielki i okazały, podtrzymywany przez dwa lwy. W mniejszym ludowym teatrze byliśmy na dramacie Otello, gra i dekoracja były bardzo piękne.

„Grande Canale” przerywa Wenecję w kształcie olbrzymiego S; prędko jadąc, przebyć go można w pół godziny, myśmy jednak nie mogli dotrzeć na przeciwległy jego koniec, gdyż zwykle zwiedzaliśmy jaki pałac lub kościół po drodze, albo mimowoli dłużej zatrzymywali gondolę, przypatrując się gmachom otaczającym go, omszonym tyłu różnemi kolejami losu, przez które przechodziła ta „Królowa Adryatyku”, a które i na nich znaczne pozostawiły ślady. Większa część tych pałaców, kolebek potężnych rodów weneckich, dziś na czysto praktyczne obrócona została cele; jedne wzięły w posiadanie główny urząd poczt, drugie służą za skład wielkiemu

zakładowi fabrycznemu, inne zupełnie niezamieszkałe w okropny stan opustoszenia i zniszczenia popadły; większej ich liczby wcale nawet zwiedzać niewolno.

Zwiedzając raz kościoły „Santa Maria del Orte” i „S-ta Giovanni e Paulo”, położone za placem św. Marka, wywiózł nas gondolier na pełne morze, z kąd zdaleka widać było czerwonym murem otoczony cmentarz wenecki, którego jednak zbliżająca się chwila wyjazdu na Lido, zwiedzić nam niedozwolila.

Czas już wielki kochana Gołąbko, bym cię pożegnała, gdy jednak chcę to uczynić, nowy niewspomniany szczegół przychodzi mi na myśl i żal mi niepodzielić się nim z tobą, oraz z innymi czytelniczkami Wieczorów; otóż nie wspomniałam jeszcze o Campanilli czyli wieży św. Marka, wznoszącej się z placu weneckiego patrona ponad wszelkie najwyższe szczyty miasta. Przepyszny widok ma się przedstawiać z jej wierzchołka, nie tylko na Wenecję, ale aż na łąd włoski i dal morską, wchodzi się na nią nie schodami lecz równią pochyłą. Podnoże wieży zdobi rodzaj wysokiej terassy, lodzieta zwanej, w różowym marmurze wykutej przez Sansowina, odznaczającej się lekkością i wdziękiem, w około zaś zalegają zwykłe bruk, pożywienia szukając, gołąbki św. Marka, o których muszę wspomnieć szczegółowiej, bo byś mi przecież nieprzebaczyła milczenia, dotyczącego twych współbraciszków; nie różnią się one niczem od naszych pospolitych domowych gołębi, mają takiej samej szaro-burej barwy piórka, odznaczają się coby ogromną mnogością i zadziwiającem oswojeniem, posuwając się aż do siadania każdemu obcemu sypiącemu im ziarno, na ręce i ramiona.

Dowcipni włosi ofiarują dla nich przechodniom torebki z pożywieniem, ale nie darmo. Włoch nigdy nie bez zapłaty nie robi, a tembardziej nie da; dla własnych więc gołębi, na utrzymanie, których mają raz na zawsze przeznaczony żelazny kapitał, każą przybyszom ziarno kupować, podwójnie zarabiając tym sposobem.

Już to żaden chyba naród nie posunął chciwości i przebiegłości w wyzyskiwaniu przyjezdnych, do tego stopnia co włosi; plac św. Marka zalegają zwykłe ciceronowie, ofiarujący swe przewodnictwo po kościołach i pałacach, każąc sobie potem niesłychane sumy płacić. Podczas Mszy św. kościelni modlić się nie dają, kołacząc nieustannie skrzyneczkami przeznaczonymi do składek. Gdyśmy weszli do kościoła San Salvatore, położonego przy placu tego samego imienia, spostrześliśmy że kościelny zakrywa szybko wszystkie obrazy i rzeźby, gdyż kazał sobie potem płacić osobno za każde odsunięcie firanki, utrzymując że nie byłibyśmy ujrzeli tych arcydzieł, żeby je nam nie był podkrywał.

To małe zdarzenie może posłużyć za rys charakteru wszystkich włochów prawie, którzyby niewiem jaki sposób zarobku wymyślili, aby tylko dostać „piccola moneta”.

Gołąbki św. Marka pociągnęły mimowoli za sobą charakterystykę swych panów, lecz teraz całują cię czempredzej, miła imienniczko skrzydlatych mieszkańców Wenecyi, bojąc się, aby nowy jaki szczegół nie przydłużył jeszcze mego opowiadania.

Szczerze ci życzliwa

*Sarneczka z nad Sanu.*

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

Gorzki ten śmiech szyderyczy odbił się o ściany groty nadmorskiej, w której zakątku znajdowali się wszyscy czterej młodzi anglicy; po krótkim na prędce spożytym posiłku, kapitan Lory rozmawiał w pobliżu z panami Thornem i Mac-Ulmem, słudzy siedzieli gromadką na ziemi u wejścia groty, John nie tracąc czasu spał już. Kilku majtków stało obok, piękny mały pa-

rowiec kołysał się wdzięcznie, prawie tuż u wybrzeża, niezmiernie tutaj dogodnego do wylądowania. Niezbyt wysokie, ale strone skały otaczały zębatym wieńcem maleńką zatokę zamykając ją, a raczej maskując prawie zupełnie od strony morza i łądu. Potrzeba było koniecznie tak zwinnego statku jak Almagiva i tak doskonałego sternika jakim osobiście był młodzieńki, a rzutny kapitan Lory, ulubieniec swych podkomendnych, po większej części starych wilków morskich, ażeby wynaleźć tajemnicze kręte przejście, rodzaj tunelu, i umieć przemknąć się niem do wnętrza niewidzialnej ani od strony łądu ani od morza, zatoki. Noc zapadała.

— Prawdziwie, nasze postępowanie godne jest Anglików! — syknął Robert zjadliwie w odpowiedzi na gorzkie słowa Edwarda.

— Nigdy sobie nie daruję że ja, najstarszy z was wszystkich — mruknął Jerzy — jestem tak nieprzytomny w ważnej danej chwili, tak niezdolny do inicjatywy, gdy od chwilowego natchnienia i odrobiny silnej woli zależy udanie się sprawy najważniejszej: dla czegoż przed dwoma godzinami, gdy pan Thorn tracił prawie przytomność na myśl widzenia Wiliama w więzach, a mój ojciec wahał się chwilowo, Mahora zaś z dziwnym zuchwałstwem rozkazywał nam uchodzić?... Dla czegoż wtedy ja nie ująłem steru całej sprawy? Czemu nie powiedziałem głośno i stanowczo:

— Towarzysze!... mnie słuchajcie jak przywykliście słuchać w domu i w kantorze naszym w Tangary, jako zastępcy mego ojca: pozostawmy tu wszyscy! Skryjmy się nie w samej dolinie, lecz przeciwie w najwyższe otaczające ją szczyty skał gęstwiną obrosłe i gdy nieprzyjaciel wejdzie w tę kotlinkę, palny w całą gromadę, zwolna i uważnie, niby rotowym ogniem, a wydusimy ich jak dzikie zwierzęta w legowisku, choćby ich było trzy razy tyle co nas!... Niespodzianka i rozważne, a zgodne działanie są także siłą!

— Prawda! tak trzeba było zrobić! Co za prosta jasna myśl!

— A jednak nie wypowiedziałem i nie zamieniłem w czyn tej prostej myśli na razie! Prawdziwie zazdroścę Frankowi, który zamiast myśleć, działał przynajmniej!...

— A!... to prawda!... Franek jeden!...

— Ja?... a cóż ja uczyniłem?...

— Wchodziłeś milcząc na drzewo rozłożyste, z którego gęstwi mógłbyś niewątpliwie poprowadzić stosownie do okoliczności dalsze działanie!...

— A tak, i zeskoczyłem zeń, a raczej spadłem przerażony kilkoma słowy Mahory!...

— Zawsze ta małoduszna nieufność w siebie!... To bezsilne poddawanie się cudzemu kierunkowi! To wstyd panowie!...

— I żal w dodatku i wyrzuty sumienia... bo oto siedzimy tu beczynnym w tej norze, czekając nie wiedząc na co, gdy każda chwila jest nam drogą, Mahory i Wilka ani śladu; a tymczasem Wiliam i Klara może, już sprzedani, jęczą gdzie na pełnym morzu w głębi handlarskiego okrętu!

— Zgroza! okropność! Czyliż nie mamy własnej woli?

— Co tu robić? Czas stosowny do działania przechodzi a my czekamy!... na co?

Coraz gwałtowniejszą tę rozmowę czterech wzburzonych żalem chłopaków, przerwały nagle słowa kapitana Lory, wpadające do ich uszu pomimo że nie dla nich wypowiedziane były w tej chwili:

— Wilko i Mahora, jak panowie sami utrzymujecie zdolni są upilnować dzikich, ręczę zaś za mego Carré że potrafi nam tu do jaskini donieść natychmiast, gdyby tamci dwaj zażądali pomocy, bo układał się z waszym Rahibem co do całego systemu telegraficznych okrzyków, w mojej obecności, wyruszając ztąd napowrót przed godziną. A oto tu przed nami widzicie usadowionego wysoko wśród skał, jednego z moich zuchów, który za pomocą doskonałej lumety, widzi ztamtąd całe wybrzeże i morze okoliczne. I otóż raporta, które odbieram tak od niego wprost, jak i od mego Carré, za pomocą pawich wrzasków, upewniają mnie dotąd stanowczo, że dzicy spo-

czywają w lesie w swój kryjówce i że żaden okręt nie pojawia się na morzu. Znaczący to, że handlarz czeka na zapadnięcie cieniów nocy a dzieci czekają prawdopodobnie na odpowiedź ze strony tego lotra *oberżysty*, jak go nazywacie, powiadomianego o ich przybyciu trzema zbiorowemi wystrzałami. O znaczeniu tych wystrzałów dowiedziałem się od was dopiero i mocno żałuję że nie wiemy jako berżysta zwykły odpowiadać na nie, gdyż wtedy wyręczylibyśmy go, a to w celu podejsia i zdemaskowania tego Chińczyka, który kraży tu obecnie i zbliży się, byle tylko noc zapadła. Pewny jestem że to niecy handlarz niewolnikami i pragnąłbym bardzo schwytać go na uczynku. Jeżeli się nie mylę to bawimy się w tej chwili w „chowanego”. On z całym pokładem zapchanym klatkami pełnemi krzyczącego na najrozmaitsze tony drobiu, przepłynął wczoraj koło mnie podrażniając uprzejmie, pytając przez tubę czy nie kupię drobiu, i zniknąwszy mi z oczu w dzień, wrócił potem w nocy i skrywając się w pobliżu w zaułkach wysp tutejszych oczekuje, aż ja się oddalę, aby mógł wpaść do Rangorskiej zatoki po nieszczęsnych niewolników. Nie mogłem nigdy odgadnąć jakim sposobem to mu się udaje, a przekonany jestem że udaje się często; teraz dopiero objaśniony przez was rozumiem, że wasz „oberżysta” trzymający straż na wysokiej skale, kierował, za pomocą znaków umówionych, jego ruchami, uwiadamiając go o moich. Otóż dzisiaj wyjątkowo, dzięki wam, nie mógł on mu żadnych dać ostrzeżeń, Chińczyk nie wie że i ja się w pobliżu schowałem i prawdopodobnie nadchodzącej nocy zechce zakraść się na swoje targowisko, a wtedy... Kto wie czy z waszjej łaski nie pochwyć lotra na gorącym uczynku!

Kapitanowi oczy się śmiały z radości na samą myśl zakończenia owiej gry w „chowanego”, w którą już nazbyt długo bawił się z podejrzanym, wręcznym Chińczykiem. Spostrzegł snadź jednak, że goście z niewielkim jakoś zajęciem słuchają jego planów, bo nagle dodał:

— Tylko nie myślcie panowie, proszę, że dla moich interesów zapominam o waszych: niech tylko noc zapadnie, natychmiast rozpocznie się komedia, a może i wodewil i nie zaręczam czy na zakończenie nie będziemy podziwiać ogni bengalskich, lub coś w tym rodzaju, gdy Chińczyk wyleci w powietrze, straciwszy nadzieję wyśliznięcia się innym sposobem. Tymczasem zaś, lada chwila otrzymacie wieści od waszych służących Indyan, którzy z pewnością czekali tylko ciemności aby łatwiej przemknąć się niepostrzeżenie.

Jeszcze kapitan Lory tych słów nie domówił, gdy przy nagle prawie zapadającej nocy, jak to zazwyczaj bywa pod równikiem, dały się słyszeć odgłosy nocnych ptaków.

— A przecież to już noc! — zauważył z westchnieniem pan Thorn.

— To też słyszycie już zamieniane hasła. Zapalić kaganiec tu, dla nas! Ognisk nie rozniecać wcale, aby nas nie zdradziły!

Właśnie gruby knot bawełniany zabłysnął płomieniem, umieszczony w napełnionem oliwą, przypadkowo wielce nieestetycznych kształtów małym wydrążeniu w skale, wewnątrz jaskini, i oblał drżącym fantastycznym półświatłem zgromadzone w różnorodnych pozycjach postacie, gdy po kilku nowych odgłosach nocnych drapieźników, wysmudy cień Indyanina zjawiał się w otworze.

— Indyanin Wilko, kapitanie! — zawiadomił stojący u wejścia majtek.

Wszyscy skoczyli ku przybyłemu:

— Wiliam? Klara? Klara? Wiliam?... — pytano tłumnie nie umiejąc ze wzruszenia sformułować inaczey zapytań.

— Pan Wiliam jest! Zbiedzony ciężko i poraniony, ale żyje i dosyć nawet silny. Panny Klary niema...

— Niema! Wielki Boże!...

— Ale żyje!... tylko chora była, i dla tego niektórzy rozbójnicy uważali że należy pozwolić jej odpocząć w Tungara, gdyż inaczey umrze w drodze i wartość jej przepadnie. Inni nie zgadzali się na to, utrzymując, że należy sprzedać ją czemprędzej zanim umrze właśnie; przyszło z tego powodu do

kłótni i bójki pomiędzy dwoma pokoleniami rozbójników. Zwyciężyli pierwsi, pozostawili pannę Klarę u swoich w Tungara, a sami wiodą tu nietylko pana Wiliama ale i jedenastu swoich własnych ziomków na sprzedaż, wziętych w niewolę w ostatniej bójce. Zwycięzców jest cała chmara, dziewięćdziesięciu przeszło, a nieulega wątpliwości że w razie walki z białymi, niewolnicy, prócz jednego pana Wiliama, stanęliby po stronie ciemniejszych swoich. Niema zatem sposobu zwalczania ich w otwartej walce, jak chcieli młodzi panowie, tembardziej, że teraz już są wszyscy doskonale uzbrojeni zbrojowaną na białych bronią. Zresztą byłby w takim razie pan Wiliam z pewnością w wielkiem niebezpieczeństwie. I z tem mię Mahora przysła, że trzeba koniecznie obmyśleć jaki podstęp. On sam został tam nieruchomy na drzewie, aby wiedzieć co lotry zamierzają nadal zrobić. Dotąd, dawszy znać o swem przybyciu naszemu oberżystcie, którego oni zwą Sihal, dziwią się że on im nie odpowiada, uczują, śpią, odpoczywają i czekają czy za nadejściem ciemności, nie odpowie im trzykrotnym wężowym ogniem, gdyż toby znaczyło, że handel może odbyć się tej nocy, bo przystęp do zatoki jest swobodny.

— Dzieci!... na honor marynarski!... czy nie domyśla się kto, co znaczy „wężowy ogień”— zawołał kapitan do swoich „wilków” z których niejednego mógł być wnukiem. Niestety, żaden z nich nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

— Ja wiem, to najprostsza rzecz — odparł Wilko — bierze się lada głównię płonąca i macha się nią szybko w powietrzu tak, aby wytworzony przez to zygzak ognisty, naśladował zwykle wężowe zakręty...

— A więc jeśli kochasz pana Wiliama i chcesz go uratować, chłopcze drogi, pędź co siły do opuszczonej chaty Sihala, masz oto pudełko zapalek abyś nie szukał ognia, i zrób tam coprędzej „wężowy ogień”, bo niemylnie, jeżeli dla zbójców znaczy on, że ich „rynek” jest dostępny, to i dla handlarzy znaczy toż samo, mój Chińczyk zatem powinien coprędzej wyleżeć z poza swoich parawanów. Spiesz synku, nie traćmy czasu!

Ale Wilka nie było już przed kapitanem; pochwycając z rąk jego nietylko zapalki ale i sporą papierosnicę wraz z zapalkami wyjętą w pośpiechu, znikł.

— Ejże!... — zaszeptano — do chaty na skale jest kawałek drogi i to pod górę po skałach, ale Indyanie dziwne są lotni, a Wilko będzie chciał pokazać co umie, ciekawa rzecz jak prędko ujrzymy „wężowy ogień”...

I wszyscy wylegli z jaskini czepiając się skał pod zasłoną ich i nocy patrząc, w górę w stronę chat Sihala; wiele serc rwało się w piersiach w trwożnym oczekiwaniu, czując dobrze że od pośpiechu Wilka, kto wie czy nie cała sprawa zawisła. I dla tego też właśnie trzeba było całej przytomności umysłu obecnych, aby stłumić gwałtowny okrzyk zdziwienia, wyrzuwający się ze wszystkich piersi, na widok ognistej krętej smugi zaledwie w kilka minut zarysowującej się raz, drugi i trzeci silnym blaskiem, wysoko kędyś w powietrzu, na tle ciemnego nieba.

— Ależ to prawie niepodobna!... on jeszcze nie mógł tam zabiedz!... — wątpili jedni.

— Ho ho, Indyanie mają skrzydlate nogi, a Wilko ma i serce w dodatku, gdy o pana Wiliama albo pannę Klarę chodzi — odpowiadali drudzy.

— A teraz czy są jakie rozkazy? Bo ja wracam do Mahory, może mię potrzebować — odezwał się głos znajomy i Wilko wręczył kapitanowi skrupulatnie resztę zapalek i garść papierosów do połowy wypalonych.

— A to co? Ty już z powrotem?... a to... co jest?... — pytał kapitan zdziwiony szaloną chyżością wpół dzikiego człowieka.

— To pańskie papierosy, ślicznie się niemi robi wężowy ogień i nawet nie ze wszystkiem się wypaliły, jeszcze można je użyć... — odparł Wilko.

— Ach, to więc z kilku tuzinów papierosów zapalonych ścisnąwszy je w rękę w snopek, zrobiłeś wężowy ogień?... A to przepyszna rzecz!

— Doskonała panie kapitanie!

— Dziękuję ci, wracaj teraz do generała Mahory, bo jak sądzę należy mu się wśród waszego sztabu ten tytuł, i utrzymuj stosunki dalej pomiędzy nami!

— Baczość! okręt na pełnym morzu!... — ozwało się w tej chwili tłumione a przeciągłe wołanie od czatowni wśród skał otaczających, zatokę a wysuniętych bardziej niż inne na morze. Wszyscy skoczyli ku czatownikowi:

— Okręt? to dobrze, ale Chińczyk, czy nie Chińczyk? — Przez mnóstwo szpar i szczelin w skałach nagromadzonych bezładnie, przypatrywano się odległemu widmu okrętowemu, rysującemu się bardzo niewyraźnie na ciemnym tle morza, ale coraz wyraźniejszych, nabierającym kształtów w miarę zbliżania się.

— Niezgrabny jak żółw, ale mimo to szybko płynie, to właśnie na handlarza wygląda — mrucał kapitan usiłujący przebić oczyma ciemności. — I płynie od małych wysepek co także na handlarza patrzy... poczekajmy, jeżeli za dwie minuty skieruje ku Rangorskiej zatoce, to on z pewnością!...

Przestano rozmawiać, oczekując z najwyższym napięciem... nareszcie okręt skierował się wyraźnie ku pożądanej stronie:

— Chińczyk! — cień ludzki wymawiający, hasło zamajaczył nagle i Rahib zeskoczył z głazów.

— Panowie, czy Sihal nie zemknął? — zapytał. Wszyscy pobiegli do jaskini, ale tam niezbyt rączy lecz wierny, czujny i rozumny Ralf siedział nieodstępnie między oberżystą i jego żoną i pilnował ich z pistoletem nabitym w rękę.

— Nie, Sihal nie zemknął. Cóż się stało?

— Nie wiemy co, lecz strażujący na zewnątrz lasu Indianie przybiegli do bandy, wołając, że Sihal dał nareszcie znak oczekiwany, że można iść do zatoki, zerwano się żwawo, zbudzono pana Wiliama i wszyscy ruszają już w stronę zatoki Rangorskiej.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI

Powiadają, że pająki bardzo lubią muzykę i jest to rzeczą dowiedzioną, że chętnie zbliżają się do instrumentu, jeżeli ten wydaje dźwięki łagodne i ciche; od zbyt głośnych zaś uciekają.

Angielski przyrodnik Boyos wykazał wszakże, iż przyczyną tego pozornego zamiłowania do muzyki jest omyłka, jaką pająk popełnia, biorąc brzęczenie narzędzia muzycznego za brzęczenie muchy, stanowiącej jak wiadomo naturalny pokarm pająka. Boyos robił takie próby, że dotykał naprzykład kamertonem liścia podtrzymującego przedzę pająków ogrodowych; wtedy pająk siedząc w pośrodku pajęczyny zaczynał szybko obracać się w koło i dotykać przednimi nogami nici pajęczyny, aby przekonać się, która z nich się kołysze i z tego kierunek dźwięku odgadnąć. Dowiedziawszy się tym sposobem, w którą stronę ma biedz, pająk szybko zbiegał aż do samego kamertonu rzucał się na niego ogarniając go swemi nóżkami i póty po nim biegał dopóki amerton brzęczał. Nie dźwięki więc nęcą pająka lecz wrażenie, spowodowane dźwię-

kami na niciach pajęczyny i pozwalające pająkowi mniemać, że idąc w kierunku dźwięku, znajdzie pokarm, dla takiego jak on łakomca, zawsze pożądany.

## ZADANIE LICZBOWE.

13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13
13	13	13	13	13

Kratki powyższe zapełni liczbami tak, ażeby z dołu do góry, z prawej i lewej strony oraz na krzyż zawsze wypadła liczba 65.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Kwiatu Lotosu dla Poranka Majowego.

Sylaby: An—buk—ói—Du—dy—dy—E—e—Fa—glik—I—je—ka—ka—kło—li—li—mir—mo—Na—na—naj—miec—ny—Or—Öa—Pe—Ry—La—to—Tim—tyzm—Zło—tu—zra:  
Z tych sylab ułożyć 13 wyrazów. Początkowe litery czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko węgierskiego poety, a końcowe z dołu do góry, imię i nazwisko węgierskiego powieściopisarza, połączone ze sobą spójnikiem. Znaczenie wyrazów: 1. Naród północny. 2. Metal. 3. Mieszkaniec Europy. 4. Miasteczko w ks. Poznańskim. 5. Rzeka w Austrii. 6. Gromada wysp na Atlantyku. 7. Jezioro w Sejneńskim. 8. Ptaki z rządu pływających. 9. Tytuł turecki. 10. Miasto w środkowej Afryce. 11. Dwie samogłoski. 12. Przesadne wyobrażenie. 13. Naród starożytny.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go

### Łamigłówek sylabowej:

1. Kremer. 2. Lasso. 3. Onyx. 4. Nero. 5. Obol. 6. War-na. 7. Ichneumon. 8. Chili. 9. Zemsta.

Klonowicz — Roxolania.

### Rebusu:

Pająk szuka jadu a zaś pszczoła miodu.

**Prenumeratom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Zjawiska powietrzne (z drzew.) — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Śpiew łabędzi, wiersz p. Witolda Łaszczyńskiego. — Korespondencya Wieczorów Rodziny (z drzew.) — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Przygoda państwa Psińskich (z drzew.) — Kłamstwo, komedyjka w jednej odsłonie p. Pegaza Skrzydlatego. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

## Przygoda państwa Psińskich.

(Dokończenie).

Ustroiła się też paradnie i kazała podobnie ustroić się mężowi (choć co prawda były to kostiumy z końca zeszłego wieku, nabyte na jakiejś tandecie, jako rzeczy najświeższej mody). Za rodzicami szedł Trezorek w nowym także kubraczku, trzymając w łapkach ptaszka, którego

oni nie ustąpią nam z drogi i trzeba się będzie rozprawić w publicznem miejscu...

— Ależ oni nigdyby się nie ośmielili... kiedy ty nie chcesz to ja idę naprzód — i podniósłszy głowę do góry zawołała: — Z drogi mości panowie, czyż nie widzicie że my chcemy tędy iść dalej...

Odpowiedziało jej tylko głucho warczenie, mające niby znaczyć: Ani myślimy ci ustępować, wybierz sobie inną drogę mościa Psińska.

Tego już było zanadto, w porywie gniewu pani



mu dano do zabawy. Gdy weszli do ogrodu zwrócili na siebie wszystkie oczy. Pińczerkowscy, Mopsińscy i inni znajomi ustępowali im śpiesznie z drogi i pani Psińska nie posiadała się z radości, krocząc wspaniale środkiem ulicy, dopóki przy bramie przeciwniej téj, którą weszli, po pod murem poblizkiego domu, nie dostrzegła Burkowskiego i Kruczkowskiego. Stali oni tam spoglądając przed siebie ponuro, i zagradzali dalsze przejście. Dostrzegł ich także sam Psiński i tknięty niemilem przecuciem, które mu nie dawało spokoju od rana, chciał zawrócić z drogi. Ale nie pozwoliła na to pani Psińska.

— Jakto — zawołała — chcesz przed nimi uciekać? A to ślicznie!

— Powiadam ci że lubię żyć w pokoju z drugimi,

Psińska uderzyła wachlarzem prosto w nos Kruczkowskiego...

Co zaszło wtedy to opowiedzieć trudno... dość, że kapelusz pani Psińskiej spadł na ziemię i wiatr uniósł go gdzieś daleko a z uszu jej krew się połała... Psiński pomimo wrodzonej łagodności, rzucił się w obronę małżonki, która też mimo poturbowania nie ustąpiła z placu, i słycać było tylko głucho i zajadłe warczenie przeciwników, zbitych w jedną ruchomą masę tarzającą się po ziemi, z której raz po raz odlatywały na bok strzępy, szarpanych ostremi zębami ubiorów. Trezorek porzucając ptaszka, który uradowany frunął na drzewo, skrył się pomiędzy krzaki. Mopsińscy, Pińczerkowscy, Wyżelkowscy i inni obecni znajomi Psińskich, trzymali się



na uboczu, i nie wiadomo na czym byłoby się skończyło, gdyby nie konewka wody, którą dozorca ogrodu wylał na głowy zapaśników... Ochłonęli dopiero wtedy... Kruczkowski i Burkowski pomknęli zaraz żwawo do swych domów a i Psińskim skoro tylko dźwignęli się z pobjowiska, nie pozostawało nic innego do czynienia... Ale jakże powrót ten różnym był od tryumfalnego wejścia do ogrodu! Odarci, zabłoceni, a co gorsze pokaleczeni, ledwo się zawlekli do swój budy, a za niemi szedł Trezorek nie już w żwawych podskokach, ale skomląc żałośnie nad smutną przygodą rodziców.

Psiński nie czynił teraz żadnych wymówek małżonce, wiedząc że została ukarana dostatecznie za swą próżność. Pani Psińska też rozczulona jego dobrocią uczyniła postanowienie poprawienia się z téj brzydkiej wady i słuchała nadal we wszystkim roztropnych rad męża, a że odrazu się poprawić trudno, więc nieraz brała ją ochota popisać się czy to ubiorem, czy jakimi innemi powierzchownemi zaletami, ale zawsze wtedy przypominała sobie smutną przygodę w ogrodzie, stwierdzającą prawdę przysłowia że: „Kto się wywyższa poniżonym będzie” i zaraz odchodziła jęj ochota do zadowolenia swój próżności.

## KŁAMSTWO.

KOMEDYJKA W JEDNÉJ ODSEONIE,  
napisał Pegaz skrzydlaty.

### OSOBY.

FRANIA }  
LEON } rodzeństwo.  
LUDWIK krewny i kolega Leona.  
ANNA, służąca.

(Scena przedstawia pokój jadalny, w głębi drzwi do przedpokoju, z prawej kredens lub szafa, z lewej etażerka z kwiatami, na środku stół i kilka krzesel; rzecz dzieje się pod wieczór).

### SCENA I-a.

FRANIA I LEON.

FRANIA. (spoglądając na zegar ścienny). Już i po siódmém, a tu nikogo jeszcze nie widać, wątpię nawet, czy na taką słotę przyjdzie kto dziś do nas, deszcz leje jak z cebra, stracona zabawa (siada).

LEON (siada z książką przy stole). Na Ludwika liczę śmiało, on nigdy nie zawodzi.

FRANIA (zrywając się z krzesła). Co, tego nudziarza prosiłeś znowu do nas, aby mię dręczył przestarzałemi swemi dowcipami? Nie, wolę już raczej sama cały ten wieczór przepędzić, niżli się choć na chwilę znajdować w jego towarzystwie (chodzi wzdłuż sceny).

LEON. Cóż więc chcesz uczynić?

FRANIA. Nie przyjmę go dzisiaj i rzecz skończona: Anna powie mu, iż nie spodziewając się już gości, wyszliśmy się przejść...

LEON (kończąc). Po błocie: nieszczególna to wy-

mówka, a jeszcze bardziej niegrzeczna, bo kiedym go już prosił...

FRANIA. Ja zaś sądzę, że lepiej nie przyjmę kogoś, niżli poziewać w jego towarzystwie (ziewa).

LEON. Nie, nie mogę się na to zgodzić.

FRANIA. Mój drogi Leonku, proszę cię, zrób to dla mnie.

LEON. Czyń jak chcesz, od wszystkiego ręce umywam.

FRANIA. Dobrze (dzwoni).

### SCENA II-ga.

CIŻ I ANNA.

ANNA (wchodzi drzwiami z lewej strony). Panienska na mnie dzwoniła?

FRANIA. Tak; jak przyjdzie pan Ludwik, powiesz mu, że... nie spodziewając się już nikogo u siebie na taką słotę, wyszliśmy się przejść...

LEON (na stronie kończąc). Po błocie.

ANNA. Jakżeż ja mam tak powiedzieć, kiedy panienska siedzi z paniczem w domu?

LEON (do siebie). Jakaż ona niemądra!

FRANIA (niecierpliwie). Więc dla tego, że jesteśmy, nie można powiedzieć iż nas niema?

ANNA. Oczywiście, bo toby było kłamstwem.

FRANIA. No, no, tylko bez uwag! Powtórzysz com powiedziała (siada naprzeciw brata).

ANNA (z uśmiechem). Jak panienska każe, lecz coby pani powiedziała, gdyby się dowiedziała o tem!... (odchodzi).

FRANIA. Nieznośna z temi swojemi uwagami. Czy tylko jeszcze Ludwik przyjdzie?... (za sceną słychać dzwonek).

LEON. O wilku mowa...

(Leon i Frania zrywają się pośpiesznie od stołu i chowają się, pierwszy za kredens, druga za etażerkę, tak jednak, iż są przez widzów widziani. Anna wprowadza drzwiami w głębi na scenę Ludwika, szepcząc mu coś na ucho).

### SCENA III-cia.

FRANIA I LEON, (schowani) LUDWIK, ANNA.

LUDWIK (udając zdziwienie). Cóż to, niema nikogo?

ANNA. Panienska i panicz, nie spodziewając się już gości wyszli na przechadzkę.

LUDWK. Ach, co za szkoda, wiedziałem że na taką słotę nikt z zaproszonych nie przyjdzie, idąc więc do teatru z moją matką, wzięłem bilety dla panienski i panicza, dwa więc bilety stracone!

(Leon i Frania słysząc to załamują ręce i czynią komicznie rozpaczliwe gesta).

ANNA (z udanym żalem). A szkoda, wielka szkoda, że poszli na przechadzkę, bo lubią teatr (uśmiechając się złośliwie) a pewno nieprędko wrócą.

LUDWIK. Proszę powiedzieć paniensce i paniczowi o mojej bytności (z naciskiem) i chęci zaprowadzenia ich do teatru (wychodzi).

ANNA (idąc za nim). Dobrze, proszę pana.

(Leon i Frania z kwaśnemi minami wychodzą na środek sceny z ukrycia).

**SCENA IV-ta:**  
LEON I FRANIA.

LEON. Przepadł teatr!

FRANIA. A dziś taka śliczna opera.

LEON. Masz, coś chciała.

FRANIA. Przecież ja temu nie jestem winną.

LEON. Więc może ja?

FRANIA. Tak; ty i nasza arcy dowcipna Anna...

LEON (*wzruszając ramionami*). Ja? Anna? Przecież tyś to kazała zamknąć mu drzwi przed nosem!

FRANIA (*przeciągłe*). Taaak, alem ja tego sama nie wykonała (*chodzi wzdłuż sceny*).

LEON (*przedrżniając ją*). Taaak, wiedz więc o tem, że wina spada na autora nie na aktorów, więc czegoż chcesz od nas?

FRANIA. Ty, jako mężczyzna i głowa rodzeństwa i dobry kolega nie powinienes się był na to zgodzić; a Anna żeby była mądrzejsza, to słysząc, iż Ludwik chce nas zabrać do teatru powinna go była zatrzymać, a nie dodawać jeszcze, że nieprędko wrócimy.

(*w czasie tej rozmowy Ludwik staje niepostrzeżony we drzwiach w głębi sceny*).

LEON. Mądraś, ale po szkodzie. Tyś winna wszystkiemu!

FRANIA (*klóćąc się*). Nie, ty!

LEON (*j. w.*). Ty, ty.

(*Leon i Frania odwracając się spostrzegają teraz Ludwika, patrzą na niego zdziwieni i zawstyżeni, poczem biegną ku niemu*).

**SCENA V-ta.**  
CIŻ I LUDWIK.

FRANIA. Ludwik!

LEON. Przebacz przyjacielu, wstydzę się sam za siebie.

FRANIA. Mnie tylko przebacz Ludwiku, jam jedna winna tu wszystkiemu.

LEON. O nie, i ja niemniej zawiniłem, nie powinienem był na to pozwolić!

LUDWIK (*idąc naprzód sceny*). Sami przyznajecie się do winy, chętnie więc wam ją wybaczam, bo żal łagodzi karę.

FRANIA (*ze smutkiem*). Lecz nie zmniejsza winy.

LUDWIK. Zapomnijmy już o tem (*całują się*).

LEON. Zgoda, Ludwiku, nie zapominaj jednak, że to już 8-ma dochodzi: spóźnisz się do teatru, zaraz cię odprowadzimy (*sięga po palto*).

FRANIA. A pozostałe dwa bilety oddaj komu innemu, zastąpi to nam należną za kłamstwo karę.

LUDWIK (*z uśmiechem*). Niestety i ja dopuściłem się dziś kłamstwa, mówiąc o kupieniu biletów do teatru przed wami tu ukrytemi, bo służąca powiedziała mi prawdę...

LEON. Poczcziwa Anna, lecz jakżeż ona nas zawstydzła!

FRANIA. To prawda!

LEON. Ale wiesz Ludwiku, że tym teatrem wzbudziłeś w nas żal za popełnione kłamstwo, wyborny miałeś pomysł.

LUDWIK (*z uśmiechem*). Klin klinem został tedy wysadzony, lecz zawsze lepiej unikać téj ostateczności nawet w dobrym celu, nie kłamać, choć tu co prawda zwieść was tylko chciałem (*we drzwiach ukazuje się Anna*).

FRANIA. Będę się odtąd strzegła kłamstwa w najdrobniejszej rzeczy.

LEON. I ja także!

LUDWIK. A więc nich żyje prawda!

WSZYSCY. Niech żyje!

(*kurtyna zapada*).

**ZADANIE KONIKOWE.**  
ułożyła Grażyna.

	mu	dła	twy
szy	nie	dne	lą
gie	go	brzy	chcą
	mu	dru	Je

**ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.**

dła Steli w Ż. od Niezapominajki z nad Jabłoni.

Z następujących sylab: no — Laj — An — Sa — pol — bach — bi — Tar — na — E — ti — wa — zi — rie. — Ułożyć pięć wyrazów, których początkowe litery utworzą imię dla kogo zagadka jest ułożoną, a końcowe w kierunku przeciwnym imię tego kto ją ułożył. Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Miasto w Galicyi. 3. Jezioro w Ameryce. 4. Miasto w Illiryi. 5. Port czarnogórski.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 36-go.**

**Zagadki na śniadanie:**

Dzieci znalazły jaj 18; stłukły 8; było razem 16, użyto na jajecznicę 8.

**Zadania konikowego:**

Wskazuj drogę błędzącemu

*Solon.*

**Skrzynka do listów.**

Brzydotce z nad Tamizy za przyslaną śliczną fotografię serdecznie dziękujemy, zachowamy ją wśród najmiłszych naszych pamiątek. Zaginione numera posyłamy najchętniej.

**Balladynie.** Zgadnij sama, miła czytelniczko, czy „Listy z Atlanty” są powieścią, czy też listami prawdziwymi. Nie jeden kraj oprócz nazwy, pod którą znany jest w geografii i w stosunkach dyplomatycznych z innymi krajami, posiada jeszcze nazwę drugą, mniej rozpowszechnioną, jak na przykład Irlandya, nazywająca się u siebie „Zielonym Erynem”, a Hiszpania z Portugalią „Półwyspem iberyjskim”. Autorka *Niezgodnych królewiczów*, opisująca ich przygody dla pożytku młodych czytelników, mogła użyć właśnie, drugiej, mniej znanej nazwy wyspy, aby oszczędzić miłość własną królewiczów, boć niezgoda, czy należy do przeszłości, czy nie, nie przynosi nikomu zaszczytu. Wszakże na świecie wiele prawd uchodzi za bajkę, a niejedno co się bajką być zdaje, jest najprawdziwszą prawdą! Nie ty jedna zapytywałaś się o to: jest więcej takich ciekawych, odbieramy od nich ciągle listy. Niech więc ta odpowiedź zarazem i dla innych posłuży. Co do Janka sieroty, to nie pisał on w roku zesłanym korespondency z Ojcową, bo tam nie był, ale opowiadał „o Pieczarach białskich” znajdujących się w Tatrach, które zwiedził.

Nic w tem niema dziwnego, że **Wołodjowski** pisze do Kmicica, ale że tamci poematy pisali... szablonami, więc poezyi niewprawnym jeszcze piórem skreślonej, drukować nie będziemy, czekając na lepszą od tej, poezję czynu, którą niewątpliwie utworzyć kiedyś potrafi ten, kto się w młodocianych latach do obowiązków swoich poczuwa.

Jak to miło mieć tak nie wymagające, tak zgodne, tak delikatne korespondentki, jak ty nasza kochana **Szarotko!**

**Droga Złota Przędzo**, miło nam dowiedzieć się od ciebie, że słowa nasze zawsze ci są pożądane, a tym razem użytecznymi były. Widzisz sama, jak to przy dobrej woli i wprawie łatwem się wydaje to, co nas z początku przerażało swoim ciężarem? Pytaniami tyczącymi się Atlanty zarzuceni prawdziwie jesteśmy i cieszymy się, że autorka wpadła na szczęśliwy pomysł, który tak swą oryginalnością zaciekawia miłych naszych czytelników. Ostatnie z twoich przypuszczeń jest trafne.

**Lobellii** ślicznie dziękujemy za przyslaną dla biednych dzieci robótkę. Jako rozrywkę po ręcznej pracy lubisz widocznie powieści, skoro tak cię same ich tytuły zajmują. „Druga matka” również jak i „Z wyspy Atlanty” mają ogólne powodzenie, jak zresztą wszystko, co wychodzi z pod pióra naszych współpracowników.

**Liścik Prawdy** bierzemy pod opiekę; lamigłównki i szarady potrzebują być przejrane, zanim o nich coś stanowczego powiemy. Z książek polecamy następujące: Geografię Czarkowskiego (jeżeli dla młodszych dzieci) kop. 60. z przesyłką kop. 85, jeżeli dla starszych Nałkowskiego, z przesyłką rs. 2 kop. 85. Historię powszechną Zdanowicza z dopełnieniem aż do r. 1875 M. Dubieckiego, z przesyłką rs. 5. kop. 20. Literaturę Dubieckiego rs. 6 z przesyłką rs. 6 kop. 60.

**Ant: Gr:** wie zapewne, że przysłane nam liściki, których zawsze jest mnóstwo, czekać muszą z wydrukowaniem, aż kolój na nie nadejdzie, czyli że te, które już leżą od niejakiego czasu w Redakcyi, muszą iść do druku wcześniej od świeżo nadesłanych.

**Puhacz z nad Dniepru** nadesłał nam rebusy, które pewnych poprawek potrzebują. Żądany numer posłano.

**Kuropatewko z nad Warty**, jakżeż nie wydrukowne liściku, co go takie maleńkie rączki takimi dużymi literami pisały!

Jak robotnikowi na łanie tak tobie, **Przyjaciółko** droga, mówimy: „Boże dopomóż” w zamiarach, które na początku szkolnego roku tworzysz. Wakacje „przeleciały” ci prędko, bo czas miałaś tak wybornie rozłożony, że i na rozrywkę i na zajęcia znalazła się pora sposobna. *Poobiednie* zajęcia twoje szczególnie nam do smaku przypada... Między poezjami Syrokomli zwróć uwagę na wierszyk A. B. C. przed kilkoma laty w naszym piśmie przedrukowany.

**Kuropatwa z nad Ikopetiu** mylnie tworzy domysły... Fotografję „Kochanej pani” wysłaliśmy; na kolonje letnie pozostaje kop. 55. Prosimy o powtórzenie podanego nam adresu.

Niema „mizernej pracy”, **Cicha falo**, gdy jest praca prawdziwa! A przypowieść o wdowim groszu zapewne ci znana od dawna?

**Sosenki** praca także była taką, jaką najwyborniej określiła znana poetka Gabryela, mówiąc „praca powinna być utrudzeniem szczerem”. Wyrećcałaś ojca, dopomagałaś matce, byłaś więc prawdziwie użyteczną! A że nie znalazłaś na mapie Atlanty, to już nie twoja wina, ani nawet autorów „Atlasu powszechnego”. Autorka powieści tak bardzo was zaciekawiającej ma wiadomości o sobie tylko znanych krajach, do których, jak wiecie jeden tylko Janek sierota wstęp znalazł... Za serdeczne słowa płacimy odpowiedź, że nigdzie chyba nie ma gromadki tak poczciwych i serdecznych czytelników, jak ci, którzy rodzinę Wieczorów składają. Niech rosną Bogu na chwałę a ludziom na pożytek. Tobie szczególnie, Sosenko, należy się gorące błogosławieństwo od matki tego dziecięcia, któremu, szyjąc dlań ubranie, życzyłaś „by rosło zdrowe i szczęśliwe”.

Za pamięć o nieobecnej Gołąbce dziękujemy Wołodjowskiemu, Lobelli, Prawdzie i Złotej Przędzy. Pomocnica nasza bawi w tej chwili za granicą, gdzie wysyłamy jej nasze Piemko, ale nie możemy przysyłać listów, jakimi ją obdarzają życzliwi. Powinaby się niedługo do was odezwać...

Kochany Pływaku! Twój pseudonym bardzo mnie się podobał, postanowiłem więc napisać ci coś o sobie. Mieszkam latem w Nieświeżu, a zimą w Berlinie, wolę wieś niż miasto. Na imię mi Stanisław, mam 10 lat. Lubię bardzo czytać, najlepiej podobała mi się Gwiazda Sudanu. Donieś mi coś o sobie. Ścisza ciębie *Zos*.

Kochana mała Pedantko z nad Nidy! Wybrałaś sobie pseudonym dosyć osobliwy, zwłaszcza dla tak młodej osótki. Co do mnie chociaż w porównaniu z tobą jestem sędziwą staruszką (bez siwych włosów i zmarszczek wprawdzie) wcale jednak nie jestem pedantką, moralistką przedź. Imię moje przypomina klasztorne pomieszkania zakonników, odgadnij je więc i donieś mi, czy ci się podoba. Uczę się ciągle, czytając poważne książki i uczę znowu moje młodsze siostry. Szesnastoletniego wojewodę przeczytam dopiero gdy się skończy, bo nie lubię wystawiać mej ciekawości na próbę. Zegnaj mi, Pedantko, i odpisz niedługo, jeżeli cię nie znudzi istota tak zgrzybiała jak życzliwa ci *Wiochna z pod Lublina*.

**Kuropatewko z nad Ikopetiu!** Dziękuję ci za dołączone dla mnie pozdrowienie, do mnie nigdy jeszcze nie pisałaś, korespondowałaś tylko z Filaretką, moją siostrzyczką. Donieś mi proszę jak ci na imię, ile masz lat. Lilijko z nad Oslawy, zgadłaś iż przyjazd Filaretki do domu ucieszył mię bardzo, po pracy odpoczynek miły, szczególnie jednakże widzenie siostrzyczki, z którą rok cały rozłączoną się było. Przyjmijcie serdecznego buziaka od waszej, *Galazki paproci*.

**P. S.** Przesyłam serdeczne pozdrowienie: Brzydotce z nad Tamizy, Szarotce alpejskiej zapytując, który kraj jest miejscem jej pobytu: Pieszczotce prosząc o doniesienie czy jest nową korespondentką i o wyjaśnienie powodu pseudonymu.

**Droga Kuropatewko z nad Ikopetiu.** Mam teraz wakacje. Czy będziesz ze mną korespondować? Mam lat 14 skończonych, jestem więc starszą od ciebie. Mieszkam także na wsi. Jaskółko z nad Dunaju, ogromnie mi się podobały twe listy; nie zazdroszczę ci jednak, wolę ja ciche ustronie rodzinne w ojczystej ziemi, aniżeli szumne stolice obczyzny. Przyjmijcie obiedwie uściśnienie i odpiszcie Filaretce.

**Drogi moje Czarodziejko, Halko z Litwy i Ako!** Tobie Czarodziejko już raz odpisywałam; myślę jednak, że mój liścik nie będzie zamieszczony, bo go już bardzo dawno posłałam. Nie jestem córką lekarza i mam tylko jedną siostrzyczkę; chętnie pisywać będę do ciebie jeżeli zechcesz Halko droga; ucieszyłam się bardzo twą odezwą. „Szesnastoletni wojewoda” zachwyca mię także. Donoszę ci, Ako, że mieszkam w pow. Zasławskim na wsi. Donieście mi proszę, coś więcej o sobie i nie zwlekajcie z odpowiedzią. Ścisza was po milion razy *Wiedenka z żywopłotu* dawna Biała Chmurka.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### ZŁUDZENIE OPTYCZNE.

Jegomość, stojący w kapeluszu z papierosem w ustach, zapytuje drugiego, czy potrafiłby od oka oznaczyć na ścianie wysokość jego kapelusza. Tamten odpowiada z uśmiechem, że to rzecz bardzo łatwa, oznaczy z pewnością dokładnie, a je-

śli się pomylił to chyba najwyżej o jakich parę milimetrów. Przykłęka tedy, jak widzicie, na podłodze, no i... zaznacza na ścianie wysokość, przenoszącą rozmiary kapelusza bardzo znacznie, wysokość podwójną prawie. Sprawdzają to następnie i ów jegomość w kapeluszu śmieje się z towarzysza i pewności jego oka, a jeżeli się założyli, wygrywa zakład.

Dlaczegoż to? zapytacie zapewne. Jest to zwykłe złudzenie wzroku. Przedmioty widziane wprost, w kierunku poziomym, wydają się nam większe od tych, które widzimy niżej. I tak: gdy staniemy na szczycie wysokiej wieży, osoby i przedmioty, widziane w dole, u stóp tój wieży, wydadzą się nam znacznie mniejsze od tych, które obaczmy w tejże samej odległości, ale w zwyczajnych warunkach, znajdując się na równinie. Wzrok nasz nie zawsze wierne wrażenia nam podaje, gdyż różnym złudzeniom ulega.

### W ZŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Orszak ten wkroczył poważnie na arenę, lwy mruczały głucho, uderzone nagle jasnością światła; niektórym jeżyły się grzywy i o piasek były niecierpliwie ogonami. Między widzami powstał szmer jakby niepokoju. Rzeczywiście, można było doznać wzruszenia na widok szczęściu tych najniebezpieczniejszych mieszkańców pustyni, puszczonych wolno niemal wśród tłumy, bo cóż znaczyło, że przytrzymało ich takie dziecko?

A ten chłopczyk, może ósmioletni, drobny, szczupły, z niewinnym wyrazem wielkich ciemnych ocząt i bladym uśmiechem na ustach, miał w sobie dziwny czar jakiś, który chwycił za serce. Jasne blond włosy spadały mu w puklach do ramion; miał na sobie obcisłe ubranie białe ze złotem, które odkrywało mu całe ręce i nogi powyżej kolan. Wyszedł na środek, złożył dziecienny wdzięczny ukłon i zbliżywszy się do białego w ziemię żelaznego pala założył nań trzymane w rękę, kółka od łańcuchów. Publiczność uspokojona tem widocznie, zaczęła sypać oklaski i z niektórych stron usłyszałem głosy: Harry! Harry! Chłopczyzna kłaniał się, słał ręką całusy, a skoro wrzawa ustała zwrócił się ku lwom, które rozłożywszy się na piasku okazywały większą ochotę do drzemki niż do popisów. Trzeba mu było widocznie rozbudzić ich z tego stanu, bo podchodząc cicho do każdego począł ich łechtać spicrutą po nosie i uszach. Zwierzęta zrazu strzygły uszami, wstrząsały skórą, potem, zaczęły mruzczyć z wzrastającym zniecierpliwieniem aż wreszcie podniosły się z ziemi i wyciągnawszy ociężałe członki, poczęły biegając zakreślać koło, tak wielkie na jakie im pozwalała długość łańcuchów. Były podrażnione, bo chrapały dziko i zatrzymując się czasem wydawały ryk, który wstrząsał całym gmachem.

Ale Harry nie ustępował jeszcze. Wciąż biegł za niemi i zręcznie to podcinał spicrutą, to szarpał obrożami lub ciągnął za uszy; widocznie nie dość mu było na tem. Lecz wkrótce dopiął swego, lwy zostały doprowadzone do gniewu... Trzeba było ich widzieć wtedy własnymi oczami by mieć pojęcie całej grozy. Sześć rozwścieczonych bestyi, ryczało rwąc się z łańcuchów i czaiło kocim ruchem do skoku ku temu, który doprowadziwszy ich do tego stanu stał teraz spokojnie, a od naprzężonych kajdan dzieliło go zaledwie parę kroków. Stał, z założonemi po napoleońsku rękami i baczenie śledził każdy ruch zwierząt. Widać było jakąś dumę czy wyższość w tej postawie, to też można sobie wyobrazić wrażenie, skoro nagle nachylił się gotując do skoku, zrobił krok naprzód i jednym susem znalazł się w samym środku... Publiczność wydała okrzyk przerażenia.

Z sześciu paszczy wyszedł również ryk jakby radosny i bestye rzuciwszy się w skokach ku środkowi, wzniosły ciężkie cielska ponad główką dziecka. Kilkanaście łap uzbrojonych w ostre pazury gotowało się do pochwycenia ofiary, kiedy stała się rzecz dziwna. Ryk ucichł nagle i jakby za dotknięciem czarodziejskiej różeczki, lwy, w pokornej warującej postawie znalazły się dokoła stojącego w środku chłopięcia.

A on z podniesionemi w górę nagiemi rączkami, z oczami błyszczącymi jak gwiazdy i biało ubrany wyglądał na anioła so skinieniem uśmierza rozwścieczone dzikie zwierzęta... W sali rozległ się szmer uwielbienia połączone z radością. Oklaski zagłuszyły na chwilę grającą orkiestrę, Harry! Harry! krzyczano zewsząd hurraaa! brawo! hoch kleiner Harry! wołali zachwyceni niemcy.

Dziękował, rozdając rękami ukłony i pocałunki, uśmiechał się dumnie i niedługo ujawszy znów sześć łańcuchów spokojnych już zwierząt, znikł za zasłoną. Wywoływano go jeszcze, jakby nie mogąc się dość napatrzeć odważnemu dziecku, i skoro raz jeszcze wyszedł by się ukłonić dziękując za okazywane tak żywo wrażenie, przystąpił do niego sam dyrektor cyrku i szepnął mu coś do ucha.

Chłopcu, zniknęły naraz z twarzy ciemne rumieńce, zawahał się jakby i kiedy ucichło w sali.

— Y thank you! — zawołał dzieciennym swym głosem drżącym jakby od wzruszenia, poczem wybiegł spiesznie.

— Aa, ten odważny dzieciak, jest zatém anglikiem! — usłyszałem za sobą rozmowę dwóch niemców, skoro na arenie zrobiło się już pusto. — No tak to zaraz znać. Ani Francuz, ani Włoch, ani Polak, ani nawet Niemiec nie byłby takim odważnym. Tylko ci wypiarze angielscy mogą mieć tak dzielnych synów... Nie wiem dlaczego ale zrobiło mi się tak dziwnie przykro, usłyszawszy te słowa. Uczułem coś niby żal do tego chłopca za to że był Anglikiem. Zaraz potem skończyło się przedstawienie. Wyszedłem z cyrku zadowolony ze spędzonego wieczoru, tak dalece nawet, iż nazajutrz o tej sa-

mój porze z kilkoma kolegami znów znalazłem się w tej sali. Mimowolnie, z pewną niecierpliwością nawet wyglądałem pojawienia się tego „nieustraszonego” jak go zwały dzienniki, i doznałem przyjemnego wrażenia gdy z poza odchyłonej portyery wypadło nagle pięć swawolnych, nieosiodłanych, karych runaków, a na środkowym, trzymając lejce od uzdeczek wszystkich pięciu stojący Harry. Ubiór węgierskiego czikosa podnosił jeszcze jego wdzięczną urodę, kłaniał się małą czapeczką i pokrzykując na konie hep! hep! naglił je do coraz szybszego galopowania.

Wierzchowce nie potrzebowały wielkiej podniety, same rwąc się do biegu, niezadługo więc rąca piątka rozrzucając piasek kopytami, zakreślała koło tak szybkie iż trudno było rozróżnić wyraźnie, postać stojącego nań chłopca. Pochylił się tylko cokolwiek i dla dodania odwagi sobie czy też koniom wydawał niezrozumiałe okrzyki. Naraz, wyprostował się, szarpnął lejcami, krzyknął głośniejsz, i w jednej chwili rozpedzone ogiery, zaryły w piasku tylnemi kopytami i przysiadły na zadzie zatrzymując się w miejscu.

Biała piana toczyła im się z pysków, całe pokryły się potem, on jeden tylko nie okazywał zmęczenia i usiadłszy na jednym, objeżdżając stępem arenę obojętnie poprawiał na sobie ubranie i dumnym ruchem głowy odrzucał z czoła rozsypane w pędzie bujne włosy. Odpoczynek trwał krótko. Ze strony widzów nie przebrzmiały jeszcze oklaski, kiedy Harry znów w stojącej postawie przebiegał koło coraz szybciej. Można było sądzić że nastąpi powtórzenie poprzedniego dowodu zręczności i siły ale stało się inaczej. Po pewnym czasie kiedy konie galopowały w całym rozpędzie, puścił lejce związawszy je poprzednio w jeden węzeł i przebiegłszy parę torów z założonemi na piersi rękami, lekko zeskoczył na środek areny. Następnie skłoniwszy się za brawo czapeczką, zatarł spocone dłonie i gdy niezwalniająca piątka nadbiegała w całym szale, poskoczył rzucając się wprost pod jej kopyta. Widzowie zatamowali oddech, lecz po chwili trwogi zabrzmiał wnet okrzyk zdumienia. Harry, rzuciwszy się pod konie uchwycił zręcznie razem związany węzeł z lejce, został zrazu szarpnięty i podniesiony w górę, przez ogiery, co nagle zaskoczone stanęły dęba, parę kroków dał im się unieść poczem ściągnął tak silnie że stanęły jak wryte w ziemię. Podobne ćwiczenie powtórzył parę razy po chwilowym odpoczynku, a zawsze z równą zręcznością. Doprowadziło to do takiego zachwytu widzów, że bębni ki w uszach pękały od wrzawy oklasków, a kiedy mały bohater miał już zejść z areny poczęto z łóż rzucać mu bukiety. Na ten widok poczerwieniał cały, puścił trzymane w ręku konie, które też zaraz wybiegły za kulisy, i z dzieciennym pośpiechem zaczął je zbierać uśmiechając się smętnie skoro na pochylonego przy zbieraniu, padały jeszcze kwiaty i trafiały go w twarz lub plecy.

Wyszedł z rękami pełnemi i dumną miną jak gdyby był przekonany że tak dzisiaj jak zwykle był bohaterem przedstawienia. I tak też było w istocie. Wzbudził tak sympatyczne uczucie, że wątpię czy w całym cyrku znalazł by się ktoś nie ujęty odwagą i samą postawą chłopczyka. My, studenci podziwialiśmy go nawet, nikomu jednak prócz tego zachwycania się z areny nie przyszło na myśl poznać bliżej historię jego życia. Mówię to z prawdziwym żalem, i mnie przecież nie byłoby się to udało gdyby nie zrzadzenie prostego przypadku. Zdawało się pewnie wszystkim że temu chłopcu zasypywanemu po każdym występie kwiatami, braknąć mogło jeżeli czego, to gwiazdki z nieba. Codziennie stroili go inaczej, by tylko wieczorem kilku bohaterskimi czynami, które nie zdawały się zresztą nic go kosztować, ściągnął na siebie grzmot oklasków i krzyki podziwu roznamiętzonego tłumu.

Czy jednak dawało mu to szczęście, osądzić niebawem sami... Pewnego wieczoru, (gdyż stale niemal zaglądałem do cyrku), przedstawienie było już w połowie, skoro opuściwszy swoje miejsce na galerji, które tanim sposobem udało mi się zakupić na cały czas występów, zbiegłem na dół i wsunąłem się przez odchyłone drzwi stajni, chcąc tam bliżej przyjrzyć się przepyszemu tarantowi, mającemu dziś właśnie służyć za pole popisu Harremu. W stajni było prawie pusto;

na drugim końcu długiego budynku, przy tylko co sprowadzonych z areny koniach, kręciło się zaledwie kilku posługaczy, usiłujących je rozebrać. Nie mając się nawet kogo zapytać puściłem się instyktownie w jedną stronę i o kilka kroków ujrzałem mego taranta. Szybko zbliżyłem się do niego i podziwiając jakby dłutem rzeźbione kształty stepowca, nie mogłem się powstrzymać od głośnego zachwytu.

— Pyszny koń — zawołałem do siebie półgłosem, jak zwykli czynić ludzie czujący się sanymi i niemając przeto z kim podzielić przyjemnego wrażenia — budowa jak u araba, szyja, nogi, zachwycające!...

Stałem jeszcze w zachwycie, skoro nagle poza sobą usłyszałem szelest jakiś. Obejrzałem się i w półcieniu kąta stajni obok stosu siodeł, i przygotowanych na noc wiązek siana ujrzałem coś małego wysuwającego się na światło wiszącej u góry latarni. Zwolna, to coś, przybierało coraz wyraźniejsze kształty i wkrótce poznałem chłopczyka, który z przeznaczeniem pośpiechem przystąpił do mnie. Światło latarni padło nań jedną smugą, i ujrzałem przed sobą bohatera chwili. Mały Harry na cielistym trykotowym ubranku, pełnem ozdób i świecideł miał zarzucony zniszczony bardzo sukienki płaszcz, który naciągał jak mógł na ramiona drżąc cały, bo choć w stajni było dość ciepło dla koni, nie mogło ochronić od zimna nagiego prawie dziecka.

Popielate pukle w nieładzie spadały mu na czoło i plecy, twarzyczkę powlekała przezroczyta bladłość a obwódki w około oczu świadczyły iż musiał płakać. Stanąwszy przy mnie podniósł szybko głowę, inteligentnym rzutem oczu w około siebie przekonał się że jesteśmy sami, poczem tłumiąc głos z jakąś gorączkową radością i pośpiechem zawołał.

— O Boże! Pan jesteś Polakiem — nieprawdaż?...

Zostałem zdumiony. — Zkąd ten mały Anglik może umieć po polsku? stanęło mi pierwsze w myśli pytanie.

— A ty, wszak jesteś Harrym? — zapytałem w zamian odpowiedzi.

— Ja, ach tak panie! — tak mnie przewano w istocie, ale ja nie byłem nigdy Anglikiem... Co za szczęście. Więc tak? pan jesteś Polakiem?... O, bo i ja nim jestem!...

Wyprostował dumnie swą drobną postać, płaszcz zesuwał mu się z ramion, wystawiając na zimno gołe rączyny, a on z palającymi oczyma i drżącym tłumionym głosem ciągnął:

— I ja jestem Polakiem. Coż robić jednak? Musiałem się tego zaprzec i muszę milczyć by się nieczem nie zdradzić i nie zasłużyć na baty... O bo pan nie wie! Chociaż niczego w świecie się nie lękam i zdaje mi się, że nie uląkł bym się śmierci nawet wcale, ale bicie tak trudno znosić cierpliwie... Pan nie wie jak to boli... jak to okropnie boli!...

Zakrył sobie twarz rękami i zaczął łkać.

Ja stałem zdziwiony. Z pomiędzy tych bezładnych, gorączkowych słów dziecka zaczęła mi przeświecać smutna, ciemna rzeczywistość. Sercem odgadywałem jego doleg, przyznając że zaciekawiała mnie potrochu, i wreszcie uczulem ochotę przyjść mu z pomocą o ile to będzie możliwe, a ku czemu nakłaniały mnie dwie rzeczy: obowiązek rodaka i dziwna jakaś sympatya, którą uczulem od pierwszego ujrzenia go w roli pogromcy strasznych zwierząt. W stajni zrobiło się tymczasem całkiem pusto, ludzie, jedni wyszli na arenę popatrzeć na przedstawienie, inni zmęczeni, pokładli się między końmi na sianie, byliśmy prawie sami. Malec uspokoił się zwolna i jakby przypomniawszy sobie o mojej obecności:

— Przepraszam — zaczął niepewnym jeszcze od płaczu głosem — że pana zaczepiłem, ale ja tak dawno czekam na to żebyś mógł powiedzieć jakiemu Polakowi, tak aby nikt z tutejszych nie słyszał że nie jestem Anglikiem!...

— Pan jest studentem — ciągnął spojrzawszy na moją czapkę arkonii, to niech pan powie o tem wszystkim swoim kolegom. Ja niechcę żeby mnie mieli za Anglika, niechcę... niechcę — powtarzał z uporem dziecka.

— A dla czegoż tak ci o to chodzi? — zapytałem.

— Dlaczego? — powtórzył patrząc mi poważnie w oczy

— dlaczego? pan wie o tem... oczy mu błysnęły, uśmiechnął się...

Po tych słowach poznałem jego charakter. Dzieci chowane w niedoli dojrzewają i hartują się przedwcześnie.

— Ale ja zatrzymuje pana — rzekł cofając się w głąb ciemnego kąta — i przezemnie nie będzie pan widział przedstawienia... Tam teraz słońce pokazuje sztuki. Niech pan nie zapomni tylko o co prosiłem!... — szepnął błagalnie myśląc że już odchodzi. Ja przecież nie byłem ciekawy tych sztuk, powiedziałem mu to otwarcie, biorąc go przyjaźnie za rękę, jak również, skoro za chwilę usiedliśmy na sianie, to iż radbym mu przyjść z pomocą w czem tylko będzie można i potrzebna. Zdawał się z tego tak szczęśliwy, że niechciał z początku wierzyć moim słowom. Czas jakiś badawco patrzył mi w oczy z tym wyrazem, z jakim patrzą dzieci chcąc odgadnąć po nich człowieka, i nakoniec uwierzył widocznie, bo trzymając moją rękę w swych zziębłych dłoniach, powtarzał z radością: — O jaki pan dobry! jaki dobry! żeby tylko „on” nie zastał nas tu razem, bobym już pana nie zobaczył więcej nigdy... „On” znaczyło dyrektor, niemiec, bez odrobiny serca, który za najmniejszą rzecz bił go szpicrutą bez miłosierdzia. Właśnie przed chwilą, nim tu przyszedł Harry dostał dziesięć bolesnych batów za to, iż zeskakując z konia noga mu się powinęła i zamiast stanąć na równych nogach ukląkł na kolanie, czego nawet publiczność nie miała czasu zauważyć. Zaraz potem przyszedł tu schronić się w ciemnym kącie, gdzie mógł się wyplakać do woli. Czuł jeszcze uderzenia na plecach i nogach, które przez cienkie trykoty znaczyły mu sine pręgi, ale mówił że go już teraz, od kiedy mnie zobaczył, przestało całkiem boleć.

Powoli zaczął mi opowiadać o życiu jakie tu prowadzą, a opowiadał bez ładu, nie umiejąc sobie zdać sprawy z wielu rzeczy, drżąc ze wzruszenia na samo wspomnienie tego wszystkiego co widocznie było mu nienawistne; a gdy się zapytał co robi z temi kwiatami, któremi tak często go zasypują, uśmiechnął się smutnie.

— Ach te kwiaty! ja je tak lubię! to największa nagroda moja, ale pan myśli że to dla mnie? Należą do mnie dopóki nie zejść z areny, potem za kulisami wydzierają mi je wszyscy i wracam z próżnymi rękami.

— A ty, czy ich tu „wszystkich” tak nie lubisz, żebyś im sam nie dał? zapytałem.

— O tak! Ja ich tu wszystkich nie nawidzę! — odparł z przyciskiem.

Rozmawialiśmy tak długo — aż do stajni wbiegły z areny pomoczone konie, na których amazonki zamykały swym występem dzisiejsze przedstawienie. Wówczas Harry zerwał się.

— Muszę iść — szepnął trwożliwie — mogliby zauważyć moją nieobecność, a wtedy... — niedokończył, bojąc się wypowiedzieć w złą godzinę.

— A więc do widzenia — odparłem, podając mu rękę — Będziemy zatem przyjaciółmi. Coż, dobrze?...

— Jaki pan dobry! Kiedyż się znów zobaczymy? — pytał przytrzymując mnie jeszcze — bo przyjaciele powinni się często widywać, prawda?

— Przyjdę tu jutro — ale pod warunkiem...

Zwrócił na mnie ciekawe spojrzenie ciemnych oczu.

— Że — mi opowiesz swoją historję — dokończyłem.

— Moją historję... — zamyslił się smutnie. — A zresztą, komu innemu bym nie powiedział, ale panu — którego już kochocham jak przyjaciela, opowiem, dobrze...

— A więc jutro, może na tem samym miejscu?...

— Tak, najpierw ja będę z dwoma tygrysami, ach, jak to męczy!.. — dodał, rozbiegając w myśli rozkład jutrzejszego przedstawienia, — potem, po pierwszym antrakcie, aż do drugiego, będzie dyrektor pokazywał swoje tresowane z wolnej ręki konie. Tak, to wtedy niech pan przyjdzie, między pierwszym a drugim antraktem będę tu czekał będziemy bezpieczni. A teraz do widzenia! — Kiwnął mi główką z uśmiechem. — Do widzenia Harry!

— O nie nazywaj mnie pan tak przynajmniej! — zawołał porywco, powstrzymując się z odejściem — nazywaj mnie

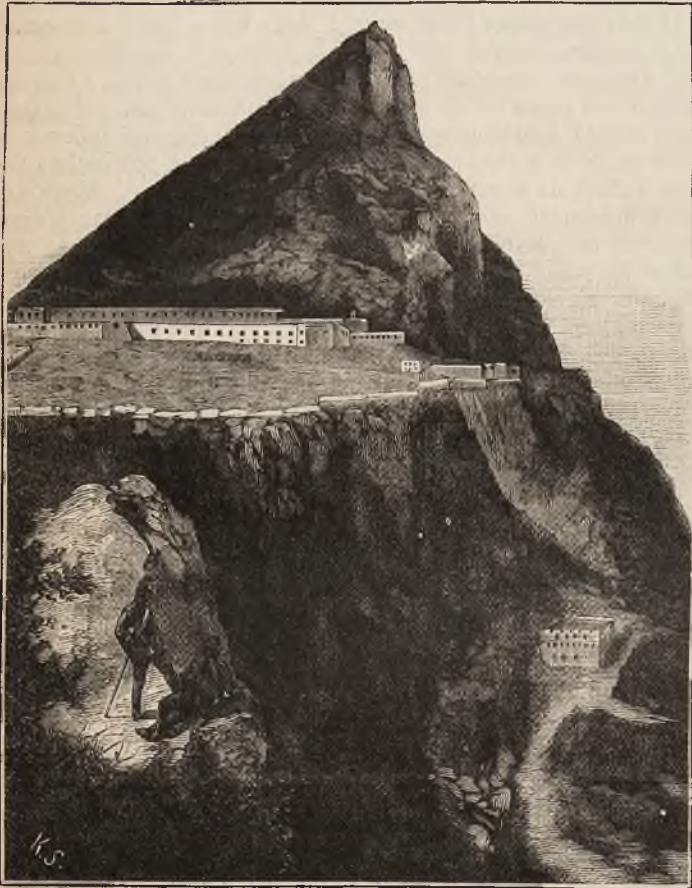
tak, jak kiedyś wołano na mnie, gdy był jeszcze w domu: Jerzym.

— A więc, do widzenia Jerzy! — Uśmiechnął się słodko, z odległości paru kroków przesłał mi pocałunek końcem paluszków, jak zwykł był dawać z areny, nasunął na ramiona płaszczyk i zniknął wśród koni.

Zaraz po nim i ja wyszedłem.

Nazajutrz, pilno mi było, i zaledwie rozpoczęto pierwszy antrakt pośpieszyłem za kulisy. Dyrektor zajęty przygotowaniem swoich koni do występu nie zauważył mnie wcale; zresztą trudno byłoby nawet zauważyć kogo na taką liczbę osób, codziennie zwiedzających stajnie. On, był to barczysty wysoki niemiec z piętnem okrucieństwa i zastygłej surowości na starannie wygolonej twarzy, do którego czarny frak,

rozszerzyli dawne arabskie szańce i pysznili się z posiadania twierdzy, której równiej nie było na świecie, część bowiem zwykłych murów zastępowały tu galerye wykute w skale. Wszystkie jednakże dzieła ludzkie nie mogą być wiecznotrwałe; warownia Gibraltarska opanowana przez Anglików w 1704 r. utraciła swą sławę niezdobytą. Tem więcej też wobec postępu dzisiejszej wojennej sztuki, zdobycie jej nie przedstawiałoby niepodobnych do pokonania trudności. Ze szczytu nagięty skąły, na której zbudowana rozciąga się niezrównanej piękności widok na łańcuchy pobliskich gór, błękitne wody morza, a wreszcie starożytne miasto Tariffa leżące nad zatoką. Wspaniały też i zarazem pełen grozy jest wygląd Gibraltaru od strony morza, ponad którym wznosi się niby amfiteatr wykuty w skale, jak to przedstawia rycina nasza.



Gibraltar.

w jaki był przybrany, nie pasował bynajmniej. Trzeba było tylko zamiast tej eleganckiej szpicruty dać mu w rękę topór, a byłby wybournym typem na kata. Przechodząc doszło mi głośno przez niego wymówione imię Harrego. Obejrzałem się ostrożnie i ujrzałem chłopca, który w jednej chwili jakby wyrosłszy z pod ziemi stanął przed nim w postawie żołnierza, oczekującego rozkazu wyższej władzy.

(d. c. n.)

## GIBRALTAR.

Warownia Gibraltarska na pograniczu hiszpańskiej prowincji Andaluzji i długo uważana za niezdobytą, zbudowaną została przez Arabów w 711 r. na skalnym przylądku po nad cieśniną łączącą morze Śródziemne z oceanem. Królowie hiszpańscy objawszy następnie Gibraltar pod swe panowanie

## JESIEŃ.

Jesień piękną czy wy znacie  
 Jak wygląda, kiedy stanie  
 W swym wspaniałym majestacie,  
 W cudne zdobna malowanie?  
 Gdy szumiące stroi bory  
 W purpurowe, złote płaszcze,  
 I ściemniałe już ugory  
 Ciepłym wiatrem lekko głaszcze,  
 Nim rozpuści je wichurą,  
 Co po polu gna ze świstem,  
 Jęczy, wyje, łka ponuro  
 I w powietrzu huczy mglistem?  
 A czy znacie sady owe,  
 Kędy stoi rząd jabłoni?  
 Pachną gruszki bursztynowe,  
 Śliwa modry owoc kłoni,  
 Drzewo z darem się napiera!...  
 Jesień piękna jak matrona,  
 Czerstwa, cicha, hojna, szczerza,  
 I pogodą rozjaśniona.

T. P.

## POWÓDŹ.

Węgry i górna Austria, Szląsk, Czechy i Saksonia straszną w ostatnim czasie zostały dotknięte klęską: Ren, Elba, i Dunaj wystąpiły ze swych łożysk, zalewając bogate miasta, pustosząc prowincye z wybourną uprawy ziemi słynące, porywając ludzi, ich dobytek, owoce pól i sadów.

Linz stolica górnej Austrii w połowie zalana; Opawa (Troppa) stolica austriackiego Szląska z okolicami, zamieniona w jedno, nieprzejrane jezioro, niektóre dzielnice Wiednia, przystań parowców, olbrzymie nadrzeczne składy i magazyny, stoją pod spiętrzonemi falami Dunaju. Po ulicach Drezna zamienionych w głębokie kanały, komunikacya była możliwa tylko na łodziach. W Sehandau, miejscowości leczniczej, w najbardziej malowniczym punkcie Saskiej Szwajcaryi, rozszalała Elba ze szczętem zniszczyła prześliczne wille, hotele, kurhaus, jak również zatopiła wspaniały królewski zamek w Pillnitz, w Saksonii. Lecz najbardziej od powodzi ucierpiał prowincye „korony św. Wacława”, Czechy i stolica ich Praga. Praga, której założenie w połowie VIII wieku przypisują legendowej księżniczce Libuszy składa się właściwie z trzech miast, rozdzielonych rzeką Weltawą, to jest Hradczyna, Starego i Nowego Miasta. Stare Miasto posiada ratusz, piękny zabytek średniowiecznego budownictwa i rynek, gdzie niegdyś odbywały się turnieje. Ratuszową wieżę ozdabia olbrzymi zegar. W pewnych godzinach szluczny mechanizm otwiera ponad jego tarczą dwa okienka, w których dwukrotnie ukazują się figury o ruchach poważnych i pełnych dostojnej godności,

przedstawiające Chrystusa i apostołów. Jednocześnie zegar wydzwania godzinę i staroświecki kurant; następnie słycać trzykrotne pianie koguta, apostołowie nikną, i okienka zamykają się z trzaskiem, widowisko skończone; liczne zwykle gromady widzów opuszczają rynek, podziwiając wyrób średniowiecznego sztukmistrza.

W dzielnicy Josephstadtskiej na Starem Mieście mieści się synagoga przed tysiącem lat zbudowana i równie stary ementarz zniesiony przez cesarza Józefa II-go i dziś już tylko przez turystów zwiedzany, jako jedna z osobliwości stolicy Czech. W Nowem Mieście zwraca głównie uwagę plac św. Wacława, jeden z największych w Europie, ulubione miejsce przechadzek Prażan; plac Karola ze słynnym z szacownych zbiorów muzeum narodowym. Na lewym brzegu Węławy, nizinę zajęła dzielnica Mała Strona; wzgórze, to Hradczyn, czyli miasto królewskie pełne starych, ogromem i wspaniałością imponu-

wania Władysława Jagiellończyka ukończono. Sławni budowniczy: Maciej Arras, następnie Piotr Arler i syn jego Jan, kierowali robotami, które olbrzymie pochłoneły sumy. Ztąd niewątpliwie powstało ludowe podanie, iż kamieniarze dla trwałości winem i jajami zaprawiali wapno do spajania kolosalnych płyt ciosowego kamienia, użytych na potężne arkady i łuki mostu. 497 metrów długi, a 10 metrów szeroki most Karolowy, na dwóch przeciwnych swoich krańcach, posiadał wysmukłe, gotyckie wieżeczki z posągami Karola IV i syna jego Wacława IV i z herbami krajów niegdyś należących do Czech. Obie poręcze mostu zdobiło 30 posągów. Posąg św. Jana Nepomucena, patrona Czech odlany z brązu w Norymbardze przez Rauchmüllera w r. 1683. W pobliżu tej figury, tablica ze złożonym krzyżem oznacza miejsce, z kąd król Wacław, do rzeki, św. Jana strącić rozkazał. Dotknięcie tego krzyża, ma leczyc choroby oczów.



Na jeścieu.

jących gmachów i nowych, wytwornych dzieł współczesnego budownictwa. Mieszczą się tu komendy wojskowe, sejm, urzędy, rezydencje magnackich rodzin; pałac cesarski i arcybiskupi, pałac Sternberga z galerją obrazów, dom Kanoniczek, zgromadzenia panien ze szlacheckich rodzin, fundowany przez cesarzową Maryę Teresę, należą do największych i najpiękniejszych budowli na Hradczynie. Lecz najwspanialszą tej dzielnicy ozdobą jest katedra św. Wita, z bajecznie kosztownym, ogromnym, srebrnym grobowcem św. Jana Nepomucena, z kaplicą św. Wacława, o mozaikowych ścianach z drogocennych kamieni i grobem Karola IV, założyciela tej świątyni, cesarza niemieckiego i króla czeskiego.

Monarsze temu, oprócz katedry, którą według planów z XIV wieku wykończają obecnie, Praga zawdzięczała budującą zachwyty najwybredniejszych znawców, najpiękniejszą swoją ozdobę, most na Węławie, *Karolowy* most zwany, łączący Stare i Nowe miasto z Nową Stroną i Hradczynem. Dziewiątego lipca roku 1357 Karol IV-go osobiście położył kamień węgielny do budowy, którą w ciągu czternastego wieku, za pano-

Tym, z czytelników naszych, którzy się uczą historii wiadomo, ilu ważnych w dziejach Czech wypadków, Karolowy most był widownią, od XIV wieku, do r. 1848. I ten pyszny średniowieczny monument, ta chluba i duma Prażan, strasznej teraz uległa katastrofie!...

3-go Września, o świcie wystrzały armatnie budząc ze snu mieszkańców Pragi oznajmiły im o wezbraniu Węławy, przez cały dzień i noc następną z zachmurzonego nieba lały się potoki deszczu, wiatr dął, Węława przybierała z nieopisaną szybkością, gwałtowny prąd rwał brzegi szumiąc i hucząc przeraźliwie. 4-go września rano o godzinie wpół do szóstej, runął olbrzym, który przez pięćset lat nieraz jeden zwycięzko, nawały fal szalejącej rzeki odpierał... Wieść o katastrofie z błyskawiczną szybkością obiegła miasto... wnet nad Węławą zebrały się tłumy, w obec utraty cennej, narodowej pamiątki zapominając o stratach i nieszczęściach osobistych. Runęło siedm arkad mostu i kolosalny posąg św. Ignacego Lójoli z otaczającymi go grupami turków, indyan i murzynów, tylko figura św. Jana Nepomucena ocalała. Ta okoliczność



wlala w serca zrozpaczonych pociechę i nadzieję, że Bóg kłeski dalsze odwróci, że most dźwignąć z gruzów i straty powetować dozwoli...

Czesi zawsze z miłością poglądają na posąg patrona swojej ojczyzny i dzień 16 maja, dzień św. Jana Nepomucena jest uroczystym świętem kościelnym i narodowym.

Przed kilku laty w tym czasie byłam w Pradze. Już w wigilię święta do starego grodu Libuszy ciągnęły niezliczone zastępy pątników zdaleka i zbliska i z ciemnych borów Śląska, z gór Bawaryi, z chatynek, niby gniazda jaskółcze przylepionych do skał Szwajcaryi Saskiej, z szałasów moldawskich węglarzy, z czeskich zagród ukrytych wśród wiśniowych i orzechowych sadów.

Wieczór zapadał. Gwiazdy jedna po drugiej ukazywały się na ciemnym błękitcie, rosa wieczorna pokrywała gąszcze Lorenzburgu, winnice i parków otaczających miasto pasem świeżej zieleni. Płomienie latarni gazowych, jak miryady wirujących iskier lub jaskrawych światełek odbijały się w spokojnych, niby zwierciadlana tafla gładkich nurtach Wełtawy, pod arkadami mostu płynącej. Na Karolowym moście, przed posągiem św. Jana gorzały setki świeatek, piętrzyły się tysiące wieńców z barwnych kwiatów, wiązanek ziół wonnych, a tłumy pielgrzymów kłęwały z głowami schylnymi niby kłosa, które łagodny powiew letniego wietrzyka, w jedną pochyła stronę. W przeddzień tej uroczystości wszelki ruch kołowy na Karolowym moście i w pobliżu tegoż bywa wzbudzony; więc wśród ciszy nie zmaconej żadnym turkotem, gwarem i zwykłą wrzawą miast wielkich, wśród ciszy pogodnej, ciepłej, gwiazdzistej nocy majowej, pielgrzymi śpiewali hymny pobożne i litanije. Skończywszy śpiewy i modlitwy, jedne tłumy ustępowały coraz nowym, coraz innym. Odchodzący, w ulicach witali spotykanych znajomych, a nawet obcych zupełnie pozdrawiali serdecznym słowem, bo wspólna modlitwa zbratała tutaj ludzi różnego pochodzenia i stanu.

— Wy, zdaleka, pani? — poznając we mnie obcą, zagadnęła mnie hoża przystojna Czeszka, trzymająca za rękę niedużą dziewczyninę z oczkami koloru habru, z buzią rumianą i czerwoną chustką na jasnych warkoczykach.

Odrzekłam że pochodzę z dalekiej lecz pobratymczej Czechom krainy i unyślnie na szesnasty maja przybyłam do Złotéj Pragi. \*)

— Toście pani dobrze zrobili! — pochwaliła mnie dziewczynka. — Pani wiedzą jaką śmierć poniósł nasz święty Jan?

— Nie wiem — odpowiedziałam unyślnie.

— A to źle! to brzydko! — rezolutnie i z oburzeniem ganiła mnie mała. — To ja wam zaraz opowiem jak było. Nasz święty Jan z Nepomuku był kanonikiem przy katedralnym kościele, tam na Hradczanach i był też spowiednikiem królowej Joanny. Aż raz król Waclaw chciał wiedzieć, jakie grzechy ma jego żona, więc spytał o to Jana z Nepomuku. Ale przeciw ksiądz nie może mówić nikomu co słyszał w konfesyjale przy spowiedzi. Więc Jan nie chciał królowej zdradzić, a król Waclaw okrutnie się rozgniewał i kazał go wziąć do więzienia, później utopił w Wełtawie. I tak Jan z Nepomuku został męczennikiem. Ciało wydobyli z wody i pochowane jest w kościele katedralnym, a nad Wełtawą, nad miejscem gdzie święty utonął, zaraz na niebie weszło pięć gwiazd. I te gwiazdy nad miejscem onem co noc świecą już pół tysiąca lat i do końca świata już świecić będą... Rozumie panienka? No już wszystkim opowiedziała, co mnie opowiadał mój pan tata i moja pani mama \*\*). Nie zapomnicie pani?

— Nie zapomnę! nie zapomnę! — upewniałam, czule całując bystrą i rozgarniętą dziewczyninę. Rozmawiałyśmy potem długo i poufale; mała opowiadała mi dużo rozmaitych legend i podań; opowiadała, widocznie czując się dumną że naucza starszą od siebie i z dalekiego kraju kobietę. Oddałam dziewczynce cały zapas ciastek i owoców, jakie mieliśmy

przy sobie. Moje nowe przyjaciółki odprowadziły nas do hotelu „pod czarnym koniem”, pożegnałyśmy się bardzo serdecznie, przyrzekając sobie spotkanie nazajutrz, w umówionem miejscu. Późno już było. Z ulicy dolatywały urywki w różnych językach i dyalektach prowadzonych rozmów i rytyny pobożnych pieśni rozplywały się w powietrzu, błękit niebios ciemniał coraz bardziej; w półmroku zapadającej nocy tonęły wieże i pałace, rzeka i wyspa św. Zofii, parki i groźna warownia Wyszehradu... Stopniowo głosy i szmery wszelkie i echa cichły i milkły, a ja wciąż myślałam o rezolutnej, jasnowłosej wiejskiej dziewczynce, o dziesięcioletniej Czeszce, która tak dobrze znała legendy o świętych patronach swojej ojczyzny.

*Halina Tokarzewska.*

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Nie bójcie się dziateczki, to Wilko z mego rozkazu dał znak pożądany, a oto mój plan, który Mahora wiedzieć powinien: w chwili gdy targ będzie się w najlepsze odbywał, a przeto okręt jako bezpieczny w zatoce mniej będzie strzeżony, trzeba nam morzem dostać się do niego, a jednocześnie czuwać od strony lądu i zrobiwszy jakikolwiek alarm z jednej strony, porwać Wiliama z drugiej, to jest z lądu jeszcze albo już z okrętu. Bardzo być może że dopiero gdy jako już sprzedany, zostanie zaprowadzony na okręt, będzie możliwem dostać chłopca i to jeżeli upatrzemy chwilę zanim zdążą go ukryć pod pokładem...

— A jeżeli nie zdoła się tej chwili upatrzeć?

— Albo jeżeli odrazu uwiężą go pod pokładem?

— A jeżeli wysadzą okręt w powietrze, jak powiadasz mają niekiedy zwyczaj czynić handlarze niewolników?...

— Drodzy moi przyjaciele, możemy robić to tylko co od nas zależy, resztę musimy zostawić chwilowemu natchnieniu i Temu, bez którego nic się nie dzieje, bo, gdyby przyszło uwzględnić wszystkie przypuszczalne „jeżeli” to należałoby może spytać także co będzie, jeżeli trzęsienie ziemi lub burza morska nastąpi w tej chwili?... i uniesie nas wszystkich w morskie otchłanie. Tymczasem spuszczaście małą łódź na wodę, dzieci! Wiosła poowijając płótnem w całej długości, aby nie było słyhać skrzypienia i tarcia o boki statku i zbyt wyraźnego plusku...

— Baczność! kapitanie! — szepnął w tej chwili majtek Carré, ukryty wśród skał i strażujący od strony lądu. Kapitan Lory poskoczył ku niemu:

— Widziałem trzech krajowców, jeden za drugim pędzących jak wichry koło nas: czyliżby dzicy z lasu biegli na skały do chaty Sihala...

— Tam do licha!... czyliżby chcieli osobiście się z nim porozumieć? Panie Thorn, panie Mac-Ulm?... słyszeliście?

— Choćby i tak było, nie znajdą Sihala ale też i nie domyślą się co się z nim stało, bo niema tam żadnych śladów jego porwania, ani naszego pobytu.

— Patrzcie, patrzcie, znowu pędzą!... — istotnie pędzili, lecieli nawet z dziką prawdziwie chyżością i znikli w mgnieniu oka dążąc widocznie na skały do chat, a było tego dziesięciu. Biegli sznurem jeden za drugim.

— Co ty tam mruyczysz synku Carré?

— A to coś, czego nie jestem dosyć pewny aby ci powiedzieć wyraźnie, ojcze kapitanie.

— Mniejsza o to, przyjmę z zastrzeżeniem, mów pieśczocho!

— A to najpierwszy z tamtych trzech zdawał mi się jakby do Mahory podobny...

— Pierwszy z trzech dzikich pędzących do chat?... a jeżeli to rzeczywiście Mahora? Jeżeli dzicy go ścigają? Trzeba mu iść z pomocą! — zawołali Anglicy,

\*) Tak Czesi zowią swoją stolicę.

\*\*\*) Tak Czesi nazywają matkę.

— Nie, to nie; dzicy nigdy nie ścigają bez wycia nieludzkiego i dzikich okrzyków; stanowczo nie.

— A może się pomylił panie Carré... po nocy wszystkie tygrysy są szare, a w dodatku Mahora, który u nas w domu ubierał się jak przyzwoity człowiek, przyjął teraz w czasie podróży dla bezpieczeństwa ubiór dzikich, zarówno jak Rahib i Wilko, więc...

— Tak właśnie, wszyscy oni ci obywatele tutejsi, mniej więcej mają ubiór tureckich świętych, i właśnie dla tego oczom własnym nie dowierzam. Patrzcie patrzcie! A to co?

— A to znów co?...—patrzcie oniemieli, dech zaparł im się w piersiach na widok dziwnego orszaku, ukazującego się z powrotem po niejakię chwili od strony chat i zupełnie niezrozumiałego z początku. Najprzód ujrano tylko gorejącą głownie, która wysoko podniesiona szła żwawo, oświecając wyraźnie tego, który niósł ją ponad głową wydając dzikie okrzyki radości; trudno go było nie poznać teraz, tak, to był Mahora. Za nim, Wilko, Rahib i dziesięciu krajowców szli po dwóch, niosąc beczułki, i kosze pełne butelek, napełniając powietrze uciążliwymi wykrzykami.

— Ach ach!... Mahora wiedział gdzie Sihal przecho-wuje znaczne zapasy wina i usłyszawszy twój plan kapitanie, chce spoić rozbójników i handlarzy!...

— A głownie niesie umyślnie niby dla oświecania drogi czego nie potrzebują, a w istocie abyśmy go poznali i domyślili się zamiaru.

— Hm, moi drodzy nowi przyjaciele, jeżeli tak, to przyznać trzeba że ten wasz generał Mahora, wart jest być generałem... doskonała myśl mu przyszła.

Orszak z winem przeszedł szybko w pobliżu skał, za któremi ukryci byli patrzący i znikł w ciemnościach, dążąc ku zatoce rangorskiej.

— Ale jakim sposobem Mahora i jego towarzysze wy-patrujący skrycie zbójców, zdołali wejść z nimi w stosunki?

— Łódź gotowa kapitanie!

— Dobrze; niech płynie jak najciszej i zatrzyma się jak można najbliżej Chińczyka, ukrywając się za skały, uważać trzeba baczenie ażeby za najmniejszym znakiem podpłynąć z pomocą młodemu Anglikowi. A teraz spuszczać drugą, zaopatrzyć tak samo i czekać na rozkazy dalsze.

Godzina czasu przeszła następnie w trudnym do opisa-nia niepokoju, zwiększonym tem właśnie, że nie nadchodziły żadne wiadomości i najzupełniejsza cisza panowała w okolicy. Tylko zwykły szum morza i odległe z lasu dochodzące odgłosy zwierząt i ptaków nocnych, zamęcały spokój pozorny. Na myśl co się w tej chwili dzieć może z Wiliamem, krew uderzała do głowy Anglikom i rozpaczliwy szła ich ogarniał, tak, że nareszcie potrzeba było całej powagi pana Lory, aby powstrzymać ich od pójścia na zwiady i to nie tylko młodych, ale nawet ojców i służbę.

— Kapitanie! pomyśl że nie słyszemy ztąd nic co się dzieje w rangorskiej zatoce, a tam dzieć się mogą okropności!... ta noc, ta chwila stanowi o życiu Wiliama!... a może i trzech naszych wiernych sług Indyan, jeżeli zbójcy odkrywają ich rzeczywiste zamiary!

— Panowie, pomyślcie że wystrzały słyszelibyśmy tu jednakże, a niepodobna ażeby wasi trzej słudzy tak chytrzy, jak zwykle Indyanie, dali się podejść bez wystrzału; pamiętajcie że gdyby was odkryto, zbudziłibyście czujność i zgubili wszystko, nie wyjmując Wiliama. Wszak ja, odkąd jestem sumiennie przekonany iż podejrzany przezemnie Chińczyk to jest stary okręt nazwiskiem Sumatra, własność Chińczyka handlarza drobiu, baranów i t. p. jest handlarzem ludzi, mam nie tylko prawo, ale i obowiązek posłać mu przy wyjściu z jego zatoki kilka kul armatnich, które wystarczyłyby dlań z pewnością. Jeżeli próbuje wprzód czego innego, to jedynie tylko w interesie panów!...

— Wilko!... — rozległo się szeptem w tej chwili i rzucano się do nadbiegającego: — Gdzie jest Wiliam? Gdzie Mahora?

— Wszyscy u rangorskiej zatoki. Powiedzieliśmy Ma-

horze co panowie zamierzają, a on przypatrzawszy się zbójcom i przekonawszy że niema między nimi naszych znajomych, podszedł do nich prosto zawiadamiając że wraz ze mną i Rahibem należał do rabunku okrętu „Heloisa” napadniętego przez rabusiów w tutejszych okolicach przed tygodniem i że dowieźliśmy we trzech sporo zrabanowanego wina Sihalowi, któremu obiecał za nie zapłacić, ale schowawszy wino do piwnicy zbył dostawców lada czem i udaje że wraz z żoną na morze popłynął, aby się nas pozbyć, gdy tymczasem siedzi pewno gdzie skryty koło swęj chaty. Skarżyliśmy się i prosili o pomoc przeciw Sihalowi, który wraz z żoną mając palną broń i strzelając ze szczytu swoich skał, mocniejszy jest od nas. Usłyszawszy o winie zbójcy, zaraz poradzili aby zagodzić zatarę wypijając je wspólnie, na co zgodziliśmy się chętnie. Pobiegliśmy do chaty i nie zastawszy gospodarza, zabraliśmy wino, ale Mahora dobiegłszy pierwszy, podolewał w beczułki sen-wody...

— Sen-wody?... Co to? trucizna? Zkąd jęj wziął Mahora?

— Nie trucizna, tylko sen-woda, albo ja wiem jak się to w panów mowie nazywa? Od tego napoju się śpi, a robi się on nalewając wódką pewne zioła. Sihal miał go dużo i pokazywał Mahorze, mówiąc że trzeba go będzie wlać do wina lub wódki naszym ludziom, tęg nocy gdy się broń im odbierze... Mahora więc dzisiaj.

— A!... aha!... — mruknał Thorn przypomniawszy pomoc obiecaną mu przez Sihala, przy sprzedaży mniemanych jego żywych towarów.

— Teraz wszyscy już i załoga okrętowa pili z beczulek dokończył Wilko — i uczują w najlepsze na wybrzeżu zatoki i targ się przy winie dobija, za chwilę zaprowadzą pana Wiliama na okręt. Na nieszczęście, na taką dużą ilość ludzi za mało było sen-wody, odurzają się, ale nie zasną twardo. Co teraz robić?

— Niech pan Wiliam w chwili gdy wejdzie na okręt da nam jakikolwiek znak abyśmy go mogli oswobodzić, albo niech który z was stara się wraz z nim tam dostać, przeciąć jego więzy poczem spuszczać się obadwaj do łodzi: główna rzecz porozumieć się teraz z panem Wiliamem!

— Ciekawa rzecz byłaby porachować ile ten człowiek mil angielskich oczywiście, przebieży dzisiajjszej nocy — rzekł kapitan Lory, patrząc za znikającym Wilkiem. — A teraz wchodźmy do łodzi i śpieszmy na pomoc pierwszej.

— Kapitanie — błagalnie szepnął Jerzy — jestem gimnastyk pierwszego rzędu, wedrę się na okręt lepiej niż nie-jeden majtek, a zaręczam ci że z zawiązanemi oczyma i po nocy, poznam mego brata wśród tłumu i odnajdę wśród za-łuków i rupieci okrętowego pokładu, weź mię z sobą!

Kapitan Lory się zawahał i spojrział na pana Thornę:

— Niech idzie!... i serce ma swój rozum i siłę swoje — szepnął tenże.

— Strzeż się pan!... nie narażaj dwóch!... — odparł surowo Lory. Thorn odwrócił się załamując ręce, ale nie rzekł nic więcej. Jerzy wskoczył do łodzi z kapitanem i kilku majtkami i odpłynęli wolno, cicho, ostrożnie, prawie bez żadnego szelestu, bo szum morski głużył ostrożne poruszenia wiosel. Zabrawszy po drodze pierwszą łódź i dowiedziawszy się od niej, że na Sumatrze panuje nieprzerwana cisza, podpłynęli pod sam okręt, ciężką, dużą budowę pogrążoną w zupełnych ciemnościach, bo przez ostrożność handlarz nie pozapalał tam nawet zwykłych nocnych świateł. Tylko z głębi zatoki od strony lądu, gdzie uczowano, z poza Sumatry błyskały ognisk odbłaski pogrążając przeciwną stronę ciężkiego statku w tem większych jeszcze cieniach.

— Kapitanie! wejdę i ukryję się zawczasu, a wtedy najłatwiej mi będzie korzystać z chwili gdy nadejdzie Wiliam — szepnął Jerzy, wskazując łańcuch ogromny zwieszony z boku i mnóstwo rzeźbionych w drzewie potworów, smoków, krokodyli, pawi, jakimi Chińczyk, handlarz jakoby drobiu, uważał za stosowne ozdobić tanio nabytą rudere, o której bezpieczeństwie i bezkarności stanowić miała i stanowiła jęj naiwna, niewinna bezbronność.

— Czyliż zdołasz?... a broń nabitą, nóż ostry do przecięcia więzów Wiliama, maszże?... — zapytał Lory, z wątpiewaniem spoglądając w górę, na bądźcobądź ogromny statek. Ale Jerzy, cicho i zręcznie jak kot już wdzierał się pod górę, chwytając rękoma za łańcuch tak olbrzymi i tak wyprężony, że ani zadzwieczał pod lekkim ciężarem smukłego chłopca, laureata na wszystkich gimnastycznych popisach w pierwszorzędnym szkołach angielskich; nogami zaś wspierając się na tych właśnie rzeźbach cudacznych, ozdabiających statek. Przy téj ostatniej pomocy, zadanie było bardzo łatwym w istocie, dla wprawnego gimnastyka. W kilka sekund, bez szelestu Jerzy zrównał się głową z parapetem; ludziom patrzącym z dwóch łodzi obawa zaparła oddech w piersiach, bo na dwudziestu, siedmnastoletnich chłopców w takim położeniu, z pewnością dziewiętnastu w téj chwili jednym skokiem siadłoby konno na parapiecie, zyskując w ten sposób chwilowy odpoczynek po trudnej przeprawie, i zgubę niechybną, gdyż trzeba by zupełnie już śpiącój załogi, aby cień tak siedzącego człowieka, mimo nocy nie zwrócił uwagi. To też gdy Jerzy dosięgnąwszy głową parapetu stanął nieruchomy, utrzymując się w téj pozycji blisko przez całą minutę, wsparty jakimś cudem ekwilibrystyki na łańcuchu i rzeźbach i rozpatrując się uważnie we wnętrzu Sumatry, wtedy odetchnęli na łodziach i cicho jak powiew zefiru szepnięto:

— Da sobie radę, patrzajcie!...

Istotnie, było na co patrzeć. Jerzy rozpatrzywszy się dokładnie i widząc zapewne że niema niebezpieczeństwa bezpośredniego na pomoście, chwycił się rękami za parapet i siłą rąk unosząc resztę ciała, przesadził się prawie niewidzialnie w jednej chwili, nie konno wcale ani na jedno mgnienie oka, lecz w położeniu horyzontalnym... Wobec takiego zrozumienia okoliczności i takiej gimnastycznej wprawy, wszyscy zamilkli z uwielbienia.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Przyimek i zaimek; trzecie, czwarte: zwierzę,  
Złożą to, co istnieje tylko na papierze.  
Prawdziwych bowiem w życiu, nie znajdziemy prawie,  
Chociaż wielu tem mianem darzymy łaskawie.

### Zagadka kwadracikowa.

A	1
B	2
C	3
D	4
E	5
F	6
G	7

W 7-miu rzędach oznaczonych literami A, B, C, D, E, F, G, ułożyć w każdym po wyrazie 7-io zgłoskowym, w których by litery wskazane przez cyfry od 1 — 7 włącznie, składały nazwę pseudonimu jednej z pisarek polskich. Sylaby: gosz — po — Pe — da — ma — E — la — Dłu — li — A — te — Gos — kan — For — na — ca — zy — ba — Gra — pe — po — ja. Znaczenie

wyrazów: 1. Historyk polski z XV-go wieku. 2. Ptak z rodziny wioślarzy. 3. Nazwa poematu bohaterskiego. 4. Zamek obronny. 5. Utwór Mickiewicza. 6. Stan niewolniczy nad zatoką meksykańską. 7. Dom zajezdny.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

### Homonimu szaradowego:

Soliter.

### Kryptogramu:

F l i s M a r t a  
N o s k O w s k i  
A i d a N o r m a  
K u r p I Ń s k i  
M O N I U S Z K O  
G r o s S m a n n  
D o n i Z e t t i  
A f r y K a n k a  
C z a r O m y s ł

## METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kaligrafję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdź. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela porady we wszelkich kwestyach wychowawczych. Pośredniczy między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. Prenumerata „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — Adres Redakcyi: Warszawa, Widok Nr. 14.

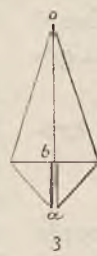
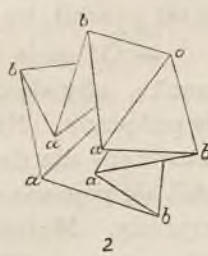
## PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA

### H. WERNICA.

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkółkach początkowych, cena kop. 25.

Poszukuje się panienci do wspólnej nauki na prowincyą i w mieście. Wiadomość bliższa w Redakcyi.

TRESC: Złudzenie optyczne (z drzew.) — W złotój klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Gibraltar (z drzew.) — Jesień, wiersz (drzew.) — Powódź p. Halinę Tokarzewską. — W Indyach. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Żaba papierowa (z drzew.) — Dziwne deszcze p. Helenę Bojarską. — Opowiadanie motylka, powiastka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina. — Zagadnienie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



Żaba papierowa.

Wziąć trzeba większy, kawałek papieru najlepiej cienki i nie glansowany, jako mocniejszy. Dla ułatwienia roboty, potrzeba koniecznie oznaczyć we właściwych miejscach litery, po obu stronach kwadratu załączonego, jak to wskazuje *fig. 1*.

Poczem, delikatnie jedną ręką ujawszy punkt *O*, drugą załamywać papier, jak wskazuje *fig. 2*.

Otrzymawszy ją, wykonywać *fig. 3*, przykładając linie proste *b, o*, do przekątnej *a, o*, co wymaga pewnej zręczności palców.

Jeszcze większej zręczności wymaga *fig. 4*, zasadzająca się na odwróceniu punktu *b* w kierunku *o* i załamaniu w sposób wskazany przez *fig. 5*, powstających wtedy linii *s, a*. Powtórzywszy tę operację razy 4, załamać należy do środka punkta *s*, będzie to już *fig. 6*, poczem wykończenie żaby, jak wskazuje *fig. 7*, będzie rzeczą łatwą.

W miejscu gdzie się cztery linie *a* rozchodzą, pozostawić mały otworek, przez który wsunąć można trochę waty i drucikową szpileczkę. Końce jej nakierować trzeba tak, aby dotykały załomu łapek tylnych. Dmucha-jąc na tak urządzoną żabę, przekonamy się, że doskonale podskakuje.

Najlepiej wykonać ją z bibułki, która choć wiotka, ale tylokrotnie złożona, nada łapkom potrzebną sprężystość.

## DZIWNE DESZCZE.

— Zosiu, Zosiu — zawołał Adaś, wbiegając do pokoju, w którym siedziała jego siostrzyczka, zajęta robotką przy boku matki — czy ty słyszała kiedy o krwawym deszczu?

— Co? o krwawym deszczu? — odrzekła dziewczynka — alboż to bywają jakie krwawe deszcze?

— Widać że bywają, skoro o nich w poważnych książkach piszą, właśnie w tej chwili o tem czytałem.

— Czyż to, krople krwi spadają na ziemię? — pytała zaciekawiona Zosia.

— Pewnie, skoro ten deszcz krwawym się nazywa.

— I zkąd ta krew bierze się tam w górze?

— Zkąd?... albo ja wiem, dość że się bierze, ty bo zaraz jesteś zanadto ciekawą: A zkąd? A na co? A poco?

— To właśnie bardzo dobrze, mój synku — odparła mama — że Zosia myśli i zastanawia się nad wszystkim, tym tylko sposobem może coś dobrze pojąć i zrozumieć. Ciekawość w tym razie jest bardzo chwalebna.

— Bardzo to pięknie, ale jakże jęj mogą odpowiedzieć na to, czego sam nie wiem!

— Tak, ale jeśli byś był tak jak i ona zastanawiającym się i pragnącym lepiej rzecz poznać, to tak na te pytania, jak i na wiele innych znalazłbyś odpowiedź dla młodszej siostrzyczki. Sądzę też że i o krwawym deszczu mógłbyś jęj dać pewne objaśnienie.

— Moja mateczko, tam w książce nic więcej nie było, jak tylko że tu i tu w tym i w tym czasie spadł krwawy deszcz.

— I nie zaciekawilo cię to?

— Owszem, ale cóż miałem zrobić, aby się dowiedzieć?

— Udać się do kogoś ze starszych i zapytać o to.

— Przecież i starsi nie mogą zawsze o wszystkim wiedzieć.

— W każdym razie posiadają wiadomości więcej od ciebie, moje dziecię, a gdyby, jak przypuszczasz, nie wiedzieli czegoś, to z pewnością postaraliby się objaśnić cię, czy to przy pomocy książek, czy zwracając się z tem do osób, które łatwiej i dokładniej wytłómaczyłyby rzecz niezrozumiałą.

— Więc o krwawym deszczu możnaby się czegoś dowiedzieć? — zapytała Zosia.

— Naturalnie, sama wam nawet opowiem nietylko o tem, ale i o innych dziwnych deszczach.

— A czyż są jeszcze inne dziwne deszcze?

— Są, moja duszko, deszcze ryb, żab, siarczane, a starożytni wspominali jeszcze i o wielu innych.

— Czyż to być może? — zawołała zadziwiona Zosia — ale wracając do deszczu krwawego, jak się on tworzy? z czego powstaje? czyż tam bój jaki odbywa się na górze? Zkąd ta krew?

— To nie jest krew, a tylko nazwyczajniejsze krople deszczu zabarwione na kolor czerwony.

Zabarwione?... nie rozumiem tego, mateczko.

— Widzisz, uczeni rozpatrywali ten deszcz, krople jego poddawali rozbiorowi chemicznemu i przekonali się, że oto pierwiastki mineralne są przyczyną tego zjawiska.

— Jakże to być może?

— Zrozumieć łatwo: obłoki, z których miał powstać deszcz spotkały się w górnych warstwach atmosfery z silnym wiatrem, unoszącym pył z ziemi zawierającej w sobie mieszaninę żelaza, miki i feldspatu; mieszanina ta zabarwiła tam w górze krople deszczu, ot! i rzecz cała wyjaśniona.

— To pewnie deszcz żab i rybek, powstaje w podobny sposób? — zapytały znów dzieci.

— Istotnie, i tu wiatry odgrywają główną rolę: trąby powietrzne, tak zwane cyklony, szaleją niekiedy ponad jeziorami, bagnami i mokreimi łąkami, wzburzają wodę, która wyrzuca na powierzchnię ryby i żaby i te siłą wiatru unoszone bywają w górę, a po pewnym czasie spadają znów na ziemię gdy ta siła słabnąć pocznie. W Europie zjawisko to jest bardzo rzadkiem, ale w krajach podzwrotnikowych przytrafia się częściej. Do mniej rzadkich należą deszcze pyłu i piasku, które przed swem spadnięciem odbywały dalekie podróże. Naprzykład w południowych Włoszech i w Sycylii spadają niekiedy deszcze piaszczyste, przynosząc tu pył aż z pustyni Sahary w Afryce.

— No, no, to o tem to nigdy jeszcze nie słyszałem — powiedział Adaś — a to jest dość ciekawe. Takie deszcze to doprawdy osobliwość.

— W krajach podzwrotnikowych bywają nieraz tak silne trąby powietrzne — mówiła dalej mama — iż wyrzucają z ziemi całe drzewa i unoszą je daleko, z tem większą więc łatwością żabki i ryby mogą być w górę uniesione. A są także i deszcze siarki...

— Tak, tak, wspomniała już mateczka o tem — odezwała się Zosia.

— Wspominałam, ale nie wytłómaczyłam wam ich tworzenia się, niewiele wprawdzie mam o tem do powiedzenia, gdyż zjawisko to zupełnie podobne jest do poprzednich.

— Czy to siarka spada z góry? — wtrącił Adaś.

— To co biorą za siarkę, nie jest nią właściwie, jest to poprostu pyłek różnych roślin a przedewszystkiem sosny.

— Więc może i teraz padają jeszcze gdzie takie deszcze? — zapytała Zosia.

— Mówiłam wam, że się to zdarza bardzo rzadko, jednakże przed niedawnym czasem, kilka tygodni temu, spadł deszcz żab podczas silnej burzy w Neuilly-Plaisance pod Paryżem.

— Pod Paryżem? Pod Paryżem?! — dziwiły się dzieci.

— Ach! jak to dobrze że wiem o tem — rzekł Adaś — zaraz się pochwalę przed moimi kolegami; oho! będę się też pysznił, bo oni pewnie o tem nie wiedzą.

— O! moje dziecko, nie na to zdobywamy wiedzę i naukę, aby się chwalić i pysznić, byłby to cel wcale nie pożądaný. Nauka umysł nasz zadawalnia i niejako pokarmem dla ducha być powinna. Jakże to jest miło, jeżeli się pojmuje różne zjawiska i umie badać tajemnice przyrody. Można też a nawet trzeba nauczyć innych tego, co sami wiemy i rozumiemy, nie dlatego jednak, aby się pochwalić i swą wyższość okazać, ale aby i oni doznali równej nam przyjemności i wspólnie z nami zastanawiali się nad dziełami Tego, który rządzi i kieruje tem obszernem państwem, które się „światem” zowie.

*Helena Bojarska.*

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia udały się po radę do jakiejś dużej książki.

— Trzeba zobaczyć jaki z téj liszki będzie motyl, to się dowiemy czem się żywi — zawyrokowała najstarsza panienka.

— W téj książce było dużo rycin wyobrażających piękne motyle, a ja przypatrywałem się im ciekawie, starając się odgadnąć jakim zostanę w przyszłości, gdyż wychodząc z zasady, że nie należy nigdy wątpić o tem czego się nie pojmuje, uwierzyłem nareszcie, że nie zawsze pozostanę liszką.

— Przepraszam że przerwę — zawołała szczypawka — ale czy w téj książce nie zauważyłeś czasem motylku, wizerunków szczypawek?

Motylek zdawał się trochę zmieszany i nie odpowiedział zaraz na pytanie.

— Wiesz przyjaciółko — rzekł wreszcie po chwilo-wym namyśle — jak bardzo szanuję szlachetny twój ród, ale zawsze zdaje mi się, że w oczach ludzi nie masz tego znaczenia co piękne motylki.

— Doprawdy! — przerwała oburzona — wiesz mój kochany, stałeś się tak zarozumiałym, że niepodobna z tobą żyć w zgodzie. Cóż to ty lepszego odemnie?

— Droga przyjaciółko — tłómaczył się motyl — nie potrzebuję ci chyba powtarzać, jak cię cenię i ile dbam o twoją życzliwość, ale żadne względy nie skłonią mię do mijania się z prawdą, w książce téj nie widziałem szczypawek.

— Nie widziałeś!... to jeszcze niczego nie dowodzi, że ty nie widziałeś... mogły być swoją drogą. Zapytam o to rozumniejszych!

— I owszem; z przyjemnością zgodzę się na sąd polubowny — rzekł motylek z grzecznością dobrze wychowanego owadu.

Szczypawka zamyśliła się głęboko.

— Nie wiem kogo o zdanie zapytać? — mówiła z namysłem — zdaje się niby, że ogród jest zaludniony, a jak przyjdzie wybierać, kłopot prawdziwy. Osa złośliwa, konik polny trzpiot i pustak, bąk zawadyaka, mrówka nudziarka wiecznie zajęta, a nieuczynna dla drugich, o muchach i wspominać nie warto... Kogoż wybrać? Ot, chyba nie szukając dalej zwróćmy się do pszczoły, która właśnie zmierza w naszą stronę.

— Nie wiem czy zechce odpowiedzieć — zauważył motylek nieśmiało, przypominając sobie liczne morały odbierane od téj czynnej istoty, która cierpieć nie mogła lekkomyślnego wietrznika, jak go nazywała.

— Cóż robić — odparła szczypawka — wiem że ta szanowna osoba nie należy do zbyt uprzejmych, ale słyszę, że coś sobie wyśpiewuje, widać w dobrem dziś usposobieniu, korzystajmy więc z niego.

W téj chwili pilna pracownica obciążona bogatym plonem, wesoło brzęcząc wracała do swego mieszkania, gdy zatrzymało ją wołanie szczypawki:

— Pani pszczołko, proszę zaczekać chwilkę.

— No, cóż tam? — odparła niezadowolona, że ją nudzą, zatrzymując się na łądzyce słonecznika.

— Powstał tu spór między mną, a przyjacielem moim motylkiem, znając więc doświadczenie i głęboki rozum szanownej pani, postanowiliśmy obrać ją sobie za rozjemcę w téj sprawie.

— Dobrze, dobrze, mówcie już tylko prędko, bo ja nie mam czasu na próżne gadaniny.

— Nie mogłaby nas też pani objaśnić, czy ludzie w książkach piszą tylko o motylach, czy także o szczypawkach?

Pszczoła zaśmiała się niemiłym, szyderym śmiechem.

— Próżniaki, darmozjady! — zawołała — nic nie robią, toż im niemądre pomysły przychodzą, nic dziwnego! Ale co wam się zdaje, nierozsądni, mieliby też ludzie kim się zajmować! to tylko o mnie piszą całe, wielkie książki. — To mówiąc z dumą spojrzała na naszych przyjaciół i szybko pofrunęła w swoją stronę.

— Niesmaczna i zarozumiała! Cóż za niemiłe stworzenie! — zawołała szczypawka z gniewem.

— Ostrzegalem cię — rzekł motylek — znam ją dobrze, nudne to i nieuczynne, staram się też zawsze być od niej zdaleka. Ale w takim razie — dodał — spór nasz nie został rozstrzygniętym.

— Mniejsza o to, opowiadaj dalej przyjacielu, bo już słońce skłania się ku zachodowi — powiedziała poczciwa szczypawka, która należała do istot łatwych do gniewu, ale jeszcze łatwiejszych do zgody i nie miała już urazy do motylka za jego zarozumiałość.

(d. n.)

## ZAGADNIENIE.

Ojciec Buni odjechał, zostawiając ją malutką, a gdy wrócił miała już lat czternaście. Przez ten czas posiwał od trosk i tęsknoty, zgarbił się od przygnębienia, pierś mu zapadła od choroby wywołanej przez surowy klimat. Dzień jego powrotu był najszczęśliwszym w życiu Buni.

Wybuchy wesela przeplatały się łzami rozczulenia: żyli wyłącznie radością odzyskania ojca. Wszelkie usiłowania zwrócone były ku sprawieniu mu przyjemności, ku wywołaniu miłych wrażeń, zacierających ból i gorycz, co przez tyle czasu poity jego duszę. Dzieci nie odstępowały go, prześcigając się w usługiwaniu mu, słuchając opowiadań, starając się zasłużyć na pieszczoty.

Nazajutrz zaczęła dręczyć Bunię myśl: — Jakie też tatko przywiózł podarki? A może żadnych?

Gnana ciekawością pobiegła do pokoju ojca. Nie było tu nikogo: Rozejrzała się swobodnie. Na środku stał otwarty tłumok a wszędzie pełno było porozrzucanych rzeczy. Nagle uwagę jej ściągnęło na siebie pudełko stojące na skraju komody.

Podbiegła, podniosła je i... osłupiała z przestachu, upuściła je. Było puste, przewrócone dnem do góry, a pod niem siedziała żaba. Ta, wdzięczna Buni za oswo-bodzenie z ciemnicy, skoczyła wprost przed siebie, z komody na posadzkę i zaczęła łązić, szukając drogi do ucieczki.

Bunia pół martwa z przestachu stała nieruchoma. Ona tak bała się żaby, że nie wstąpiła na trawnik, by nie nadeptać tego obrzydliwego stworzenia, tylko ostróżnie chodziła po drózkach, wypatrując ich uważnie, a gdy szła do kąpieli przez łąkę ku rzece, braci i siostry puszczała naprzód, by wystraszyli żaby z drogi, kędy przejść miała. Z uczuciem obrzydzenia łączyło się niezadowolnienie ze złego postępku, strach nadejścia ojca i obawa zasmucenia go.

Wtem dały się słyszeć głosy dzieci i poważne kroki. Zbliźali się. Bunia zadrżała, pytając siebie, jak oszczędzić ojcu przykrości.

Jakże mili czytelnicy postąpilibyście w podobnym wypadku?

## S Z A R A D A.

Wprost pierwsze, a wspaniałe drugie, wśród liter znajdziecie, Częścią mowy, przyimkiem zwaną, będzie trzecie; Wszystko, imię kobiety dosyć znane w świecie.

### Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Miara.
3. Gatunek drzewa.
4. . . . .
5. Narzędzie stolarskie.
6. Ryba.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery powinny utworzyć nazwę broni, używanej przez wojsko.

## ROZWIAZANIA DO N-ru 37-go.

### Z a g a d k i:

Należy usunąć ściany oznaczone numerami 2, 11 i 14.

### Zagadki rebusowej:

Z A - pałki. Zapałki.

## Skrzynka do listów.

Nie wątpisz chyba, **Niezapominajko z nad Warty**, że z chęcią zawsze zadość czynimy żądaniom miłych naszych czytelników. Numer kosztuje kop. 10. Mamy już list od Gołąbki i niedługo drukować go będziemy; tymczasem zaś na wszystkie do niej listki choć słówkiem odpowiadamy w jej imieniu, a listki chowamy, aby się niemi ucieszyła za powrotem.

**Horpyno** droga, nie znaleźliśmy w słowach twoich nic, coby było „bez sensu” a dołączony pakiecik jest dowodem, że i w serduszkach wszystko w porządku.

**Mięta z nad Doru** jest w tym samym szczęśliwym położeniu: „chodzi jej o to, aby skromny datek dołączyć do darów dla biednych dzieci”. Wiemy dobrze, dzieci drogie, że żadnej z was nie chodzi o nagrodę, nam jednak serdeczną sprawia to radość, gdy możemy nagrodzić poczciwe wasze usiłowania, dowodzące że w dzieciennym już wieku poczuwacie się do obowiązku czynienia dobrze.

**Kopciuszk**u, postaramy się by się z tobą obejść, nie jak z Kopciuszkiem, lecz jak z Benjaminskiem, ale nie posądź nas że „zarzucamy” listki.

Tego samego niech także pewnym będzie **Stan: Radz**: którego listki wzięliśmy pod opiekę.

**Kulko śniegowa**, wszyscy o mało nie stopnieliśmy podczas straszliwych upałów tegorocznych; żyjemy jednak, pozdrawiamy cię serdecznie; wyrażamy całe nasze współczucie dla choroby, która ci przeszkodziła używać wakacji, słusznie należnych uczennicy tak miłującej naukę. Pilne spełnianie *najbliższych* obowiązków jest najprostszą drogą do celu, który osiągnąć pragniesz...

**Góralce** posłałiśmy żądane numera. Mama wielką miała słusność, że cały dzień kazała siedzieć na świeżym górskim powietrzu, w którym się nabiera sił i rumieńców na cały rok nauki.

**Goryczko** droga, robótka przyszła w porę. Oby na twojej bladej buzi jak najczęściej zakwitwały rumieńce wywołane radością ze spełnienia dobrego uczynku.

Słówek od **Wiochny z pod Lublina** zawsze mile jest witane w Redakcyi, ale czemu to pracowite siostrzyczki nie napisały same?

**Świąteczko** roztropnym jest wcale ognikiem, który niedługo otrzyma odpowiedź na wszystkie zapytania i wątpliwości, wyraźnie przez tak wiele czytelników naszych, że rozstrzyga je i wyjaśnia sama autorka.

I fartuszek z chusteczką przyda się, **Pocieszko Rodziców**, biedactwom tym które tego nie mają, a ówieré nawet chusteczki chętnie obrąbiona i ofiarowana szczerem sercem, już ci zastęgu skarbi u Tego, który *widowim grosikiem* nie pogardził...

Dlatego też bądź spokojna, **Miła Laszko malutka**, nie „osądzimy surowo” twój pracy, ale mamy ochotę uściśkać cię za nią.

Kochane moje: Jesieni, Cicha Wodo, Wróźbiarko szczęścia, Sarenko z nad Morocz, Królowo Wrózek i Wierzbo ze Żmudzi! Przyjm uściśnienia miła Jesieni, ucieszyło mnie bardzo twoje pozdrowienie, oddawna bowiem z tobą listowną znajomością zawrzeć pragnęłam. Cicha Wodo czy usposobienie twoje zgodne jest z pseudonymem? Wróźbiarko szczęścia milutkie twe odezwy, dały mi wielką chętkę uściśnić cię choć listownie, czy już należysz do poważnego naszego grona staruszek? Królowo Wrózek, często myślę o tobie, i modłę się za zdrowie twojej babci, ucałuj odemnie Laureatkę i Gwiazdę. Czemuś się tak długo do mnie nie odzywała. Sarenko z nad Morocz? Serdecznym uściśnieniem przypominam się znowu twój pamięci. Wierzbo ze Żmudzi, odezwa twoja, zachęca mnie, do napisania ci kilku słówek, z chęcią z tobą korespondować będę, tylko z powodu braku miejsca, listki nieraz długo czekać muszą. Ściskam was wszystkie, *Czeska Niezabudka*.

Poranku majowy! kocham cię serdecznie. Odkąd pierwszy raz napisałaś do W. R. ogromnie cię polubiłam, boś mi przypomniała mój pierwszy wiersz p. t. „Poranek majowy”, sympatya moja się zwiększyła, gdyż pierwsza się odezwała. Z największą

chęcią będę z tobą korespondowała. Gdzie mieszkasz Poranku? Ile masz lat? Czy chodzisz do szkoły, czy też uczysz się w domu? Ja mieszkam w Krakowie, mam lat 13, i chodzę na pensję, właśnie skończyłam VI klasę, z nauk najbardziej lubię religiję, literaturę historyę i geografję. Twoja *Gama C-dur*.

Kochany Poranku majowy! Z największą chęcią będę do ciebie pisywać, gdyż bardzo cię pokochałam. Jestem na pensyi od roku zeszłego. Donieś mi co więcej o sobie, a ucieszysz tem bardzo twą *Filaretkę*.

Czarnooka droga! Pomimo iż nie miałam odezwy od ciebie, po ostatnim moim listku, piszę jednakże, donosząc ci, iż przerzucając skrzynkę dawniejszych numerów dowiedziałam się że Horpyna ta domyślna osóбка, jest twoją siostrzyczką; przesyłam jej serdecznego buziaka, a w zamian chciałabym dowiedzieć się od niej kto jest, kochana, lecz tajemnicza „Gołąbka”. Zauważyłam także że wiesz mój wiek i jak wyglądam, lecz nie wymieniałam ci miejsca mego pobytu. Oto zamieszkuje jedną z mniej ładnych dzielnic naszego kraju, w W. Ks. Poznańskim, kocham ją jednakże bardzo, również jak i rodzinną wioskę, bo któżby nie kochał swój ziemi!... Pragnieniem mojem było zawsze zwiedzić Ukrainę, Podole i Litwę, którą to tylko znam z opowiadania i z czytania, donieś mi więc proszę coś o twych stronach; czy użyłaś wakacji? Czy tak jak mnie „Pod wpływem błogosławieństwa” podobala ci się najwięcej? Przyjmij szczerze uściśnienia od twój *Galązki Paproci*.

Przebac mi droga Dzieweczko litewska, że teraz dopiero odpisuję na twój śliczny listek, za który dziękuję serdecznie. Nie mieszkam w Rydze, ale na wsi, w gub. Witebskiej. Zdaje mi się że jesteś nową korespondentką Wieczorów, twój pseudonym podobna mi się bardzo. Pozdrawiam twoje siostry: Gosposię białodolińską i Żywe srebro. A jak na imię twojej najstarszej siostrze? Moja nauczycielka, p. Marya, pyta się, czy jesteś jak ona Litwinką, i kłaniać ci się każe. Odpisz prędko, twojej, kochającej cię, *Wiewióreczce Inflantskiej*.

Droga Kukułko z pod Lublina! Niezmiernie się ucieszyłam, odebrawszy twój listek. Dowiesz się o mnie dalszych szczegółów w numerze 11. Ja mam lat 15, jestem jedynaczką i mieszkam także na wsi; nazwisko moje zaczyna się od litery H. Kończę listek ucałowaniem cię serdecznie, bo dłuższych korespondencyi Wieczory R. nie pozwalają. Twoja *Kukułeczka*.

Kochane: Wesola Krakowianko i Serdeczna Dziewczynko! Donieście mi czy wasze siostry pisują do Wieczorów i pod jakimi pseudonymami? Dziękuję ci Serdeczna Dziewczynko za tak miłutką odpowiedź, widzę, że bardzo stosownie obrałaś sobie pseudonym. Gdzie przepędziłyście wakacje? ja w domu. Załączam wam serdeczne uściśnienia, prosząc o odpowiedź. Kochająca was *Niezapominajka z nad Warty*

Nikt mi jeszcze nie odpisał na moje listy, drukowane w naszych kochanych „W. R.”, zwracam się więc do ciebie Jaskółko z nad Sekwany. Mam 13 lat i nazywam się Felicya M. Może ty zechcesz mi odpisać, czekać będę na odpowiedź. *Tęsknota z Wisłą*.

Przebaczcie mi najdroższe siostrzyczki: Trawko z nad Fryby i Cicha Wodo, że teraz dopiero na listki wasze odpowiadam, nie mogłam uczynić tego wcześniej z powodu egzaminów. Tyś najdłużej na odpowiedź czekała, Trawko z nad Fryby, ale bo też i pierwsza napisałaś do mnie. O nie zawiedzisz się na mnie Cicha Wodo! niewypowiedzianą przyjemność zrobił mi twój listek, taki miły i serdeczny. Chciałabym jednak bliżej poznać tę, którą już pokochałam, donieś mi więc proszę jak się nazywasz, ile masz lat, czy uczysz się w domu? Prosi o odpowiedź wasza *Jemiołuszka*.

### NA KOLONJE LETNIE ZŁOŻYLI:

Niezabudka z nad Chomoru rs. 2. — Kuropatwa z nad Iko-petiu kop. 50. — Mazur z nad Dunaju złr. 1.

Dla najbiedniejszych: Stanisław z Koziatyn rs. 10.

Dla biednych dzieci: Mania i Brońcia rs. 2.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidzi i przepisała

Zofia Urbanowska.

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.

Różany gaj dnia 1-go Sierpnia 1880 r.

Szanowna Redakcyo.

Wczoraj wysłałem obszerny list do Warszawy, a dziś oto czuję znowu potrzebę wyprawienia drugiego, tak wiele rzeczy widziałem i słyszałem. Pierwszą noc na Atlantycie spędziłem prawie bezsenność—nie wiem, ze zbytku wrażeń, czy z powodu kaszlu uparcie mnie trapiącego; widocznie przeziębilem się trochę podczas burzy na okręcie. Nad ranem za to zasnąłem tak twardo, że gdy nareszcie otworzyłem oczy, słońce już było bardzo wysoko. Spojrzałem na zegarek, obawiając się, czy czasem nie przespałem godziny naznaczonej na posłuchanie, ale wskazywał dopiero dziewiątą. Kładąc go napowrót, zobaczyłem leżący na stoliku przy łóżku list. Marszałek dworu zawiadamiał mnie, że nie o dziewiątej, ale o jedenastej dopiero będę miał posłuchanie, bo przedemną musi być przyjęty poseł indyjski, który wcześniej przyjechał — oraz że o naznaczonej godzinie mam się stawić na dziedzińcu pałacowym przy zegarze Flory, gdzie znajdujący się oficer gwardyi królewicza, Astragalus, wskaże mi drogę do sali tronowej. Miałem więc przed sobą dwie godziny.

Czytałem i odczytywałem tę kartkę, a wyrazy skakały mi przed oczyma: „poseł indyjski... gwardya... sala tronowa...” więc ja naprawdę jestem na wyspie Atlantycie, a właśnie śniło mi się że wracałem do Dębowej Woli z moim workiem podróżnym w rękę, piechotą, boso i bez czapki, a bracia śmiali się ze mnie!... Zacząłem uczuć trochę głodu i mimowoli rzuciłem okiem w kierunku stołu, gdzie wczoraj tak obfita znajdowała się





zastawa do wieczerzy — patrzę, a tam już wszystko przygotowane do śniadania; ze srebrnych i porcelanowych naczyń unosi się leciutka, delikatna para. Kiedy przyniesiono to wszystko i jak ja mogłem tego nie słyszeć, ja, co w Dębowej Woli budzę się zawsze na każdy szelest — trudne mi to było do pojęcia! Chyba ludzie w królestwie roślin ukazują się i znikają jak duchy, nie czyniąc więc szmeru niż kwiaty poruszane wiatrem.

Ubrałem się prędko i zmówiwszy pacierz zasiadłem do stołu, nie mogąc się opędzić grzesznemu żalowi, że królewicze pogodzili się z sobą, bo gdyby niezgoda trwała jeszcze, to zamiast srebra i porcelany, miałbym teraz przed sobą naczynia z białych twardych ziarn słońciorośli, których królewicz Zielonko poprzednio używał, jak to w *Niezgodnych królewiczach* czytałem, i z masy papierowej, błyszczącym powleczonęj pokostem; zamiast mleka krowiego, piłbym mleko aromatyczne, utoczone za nacięciem kory, z mleczu drzewu amerykańskiego, a zamiast pięknie wypieczonych przez piekarza bułeczek, krajałbym chleb pochodzący z drzewa chlebowego, które podobno rośnie na wyspach oceanu Spokojnego i smarowałbym go masłem wytłoczonym z ziarn owoców afrykańskiego maślacza senegalskiego. Możeby mi to wszystko mniej smakowało, ale byłoby osobliwsze w tym kraju pełnym osobliwości. Widocznie jednak te potrawy roślinne nie musiały być najlepsze, skoro po dokonanej zgodzie królewicz wyrugował je z codziennego użycia, i powrócił do dawnego sposobu żywienia się, polegającego na łączeniu pokarmów roślinnych ze zwierzęcymi i mineralnymi.

Po śniadaniu zeszedłem na dziedziniec szukając zegara Flory wymienionego w liście hrabiego Lilium Martagon; bo chociaż miałem jeszcze dużo czasu przed sobą, nie mogłem usiedzieć między czterema ścianami mego pokoju, party chęcią ujrzenia posła indyjskiego, gwardyi i wszystkich cudowności. Zegara nie dojrzałem nigdzie, ale zobaczyłem dziwne drzewa rozstawione na dziedzińcu i wzdłuż pałacu, drzewa z ludzkimi twarzami.

— Wielki Boże! — pomyślałem — albo się ze mną dzieją jakieś czary, albo też to na co patrzę, jest tylko złudnym widmem wyobraźni. Dotąd wierzyłem w istnienie Atlanty, ale teraz zaczynam wątpić...

Bo też takich drzew jak te, nie widziałem na żadnej rycinie, ani o nich w żadnej książce nie czytałem. Łodyga była u wszystkich podwójna, jakby z dwóch oddzielnych części złożona; wyżej nieco drzewo w stosunku dolnych rozmiarów rozszerzało się nadmiernie, co czyniłoby je podobnym do kaktusa, gdyby nie korona składająca się z liści palmy wachlarzowatej i nie kwiat takiego kształtu, o jakim chyba żaden botanik nie słyszał. Kielich składał się z dwóch liści tejże palmy, niby z dwóch części oddzielnych, a ze środka jego wystrzelał wspaniały srebrzysty pióropusz.

W dzieciństwie mojem, lubiłem bardzo, gdy mateczka grała balladę Schuberta do słów Goethego, pod tytułem: „Król olch” i pamiętam że szczególnie zajmował mnie rysunek na okładce nut: wpatrywałem się w niego całymi godzinami. Przedstawiał on tego króla fantastycznego i jego orszak w postaci drzew olbrzymich, a wszystkie drzewa miały ludzkie twarze. Pękroć potem zdarzyło mi się jechać przez las, upatrywałem sędziwego króla olch z długą białą brodą, choć włosy ze strachu jeżyły mi się na głowie, bo zdawało mi się że go widzę i że wyciąga ku mnie długie konary gałęzi zamiast rąk.

Stałem jak skamieniały i patrzyłem nie mając siły się poruszyć, ale wkrótce siłą woli otrząsnąłem się z wrażenia wywołanego wspomnieniem ballady.

— Jestem mężczyzną — mówiłem do siebie — jeżeli się będę bał, powiedzą że jestem z kraju, gdzie się rodzą tchórze... Naprzód!

Postąpiłem kilkanaście kroków i przemówiłem do jednego drzewa po łacinie, pytając o zegar Flory — i o dziwy! drzewo odpowiedziało, co więcej, wyciągnęło nie gałęź, ale rękę, rękę ludzką ku środkowi dziedzińca, tam mi go każąc szukać. Wówczas rozśmiałem się głośno z moich dziecinnych

przypuszczeń: To co brałem z daleka za drzewa, to byli ludzie: ciemnozielone mundury gwardyi wprowadziły mnie w błąd. Podwójna łodyga drzewa tak wiele dająca mi do myślenia, to były poprostu nogi gwardzistów, przybrane w barwę zbliżoną do barwy kory. Liście palmowe stanowiące koronę, był to wspaniały strój koło szyi nasładowujący do złudzenia wachlarze palmy, z których dwa leżały niby epolety na ramionach, a jeden z tyłu był lekko, jakby kołnierz lub peleryna, podniesiony. To zaś, co wzięłem za kwiat osobliwej budowy, było hełmem, którego dwa boczne skrzydła podniesione, miały także kształt dwóch liści palmowych, wygębnieniami obróconych do góry, w pióropuszu zaś do hełmu przymocowanym, poznałem trawy pampasowe *Gynerium argenteum*, dobrze mi znane, bo w Dębowej Woli przed frontem dworu, na środku trawnika znajdował się krzak takiej trawy, używanej także, jak słyszałem, dla swjej ozdobności, do bukietów, zwanych bukietami Makarta. Pióra te jedwabiste wyglądały wspaniale. Wyobrazić sobie królewicza Zielonkę w otoczeniu gwardyi, wśród żywego lasu, który na jego rozkaz rusza się, chodzi i mówi jak w bajce czarodziejskiej, gdy to drzewa a nawet kamienie rozmawiały z ludźmi, a góry spacerowały po świecie, skoro się którejś na jednym miejscu naprzykrzyło siedzieć. Jaki to piękny widok być musi! Prawdziwy król olch! Wyobrazić sobie tę gwardyę siadającą na konie, idącą do ataku i przestrach nieprzyjaciela na widok góry zieloności zbliżającej się ku niemu. A jak łatwo takiemu wojsku stać się niewidzialnym w czasie wojny! W prawdziwym lesie nikt go nie znajdzie, a na równinie nikt go szukać nie będzie, chyba jeżeli kto pozorem, tak jak ja w błąd wprowadzony, zechce pod cieniem jego odpocząć. A wtedy biada nieprzyjacielowi szukającemu w takim lesie schronienia! Co za wyborny pomysł! Dziwię się tylko, że nie wpadli na niego dawniej Grecy lub Rzymianie.

Żołnierze gwardyi stali z gołymi mieczami, ale musiało to być więcej dla parady, niż z potrzeby, bo na ostrzu każdego miecza, biała róża była zatknięta. W dawnych, bardzo dawnych czasach, gałązka oliwna bywała znamię pokoju — i trudno, prawie niepodobna łączyć obrazu kwiatów z obrazem mordu. Gdzie są kwiaty, tam powinna być miłość, zgoda i wesele, hymny dziękczynne i pieśni pokoju, bo tęcze ich barwy przypominają na ziemi tęczę, której łuk od czasu do czasu kładzie Pan na niebiosach, dla przypomnienia ziemi swego z nią przymierza. Jakiż wreszcie przeciwnik na widok pułku białych róż mierzających sercem kwiatu w serce nieprzyjaciela, zamiast: „ognia”! nie zakomenderowałby: „wody”!

Zacząłem we wskazanym mi przez żołnierza kierunku szukać na środku dziedzińca owego zegara Flory, ale go nie znalazłem; zobaczyłem tylko kłab, a raczej zestawnik z różnych roślin polnych i ogrodowych, rzadkich i pospolitych, cieplarnianych i łąkowych. Zdziwiony trochę taką mieszaniną, zacząłem się w niej uważniej rozpatrywać. Doniczki były tak ustawione, że każdy gatunek tworzył liczbę rzymską, a wszystkie razem regularne koło. Liczb było dwanaście, a tło pomiędzy niemi, inne znów wypełniały kwiaty; część była rozkwitłych, ale większość miała kielichy kwiatów pozamykane. Stałem przez chwilę przypatrując się temu kłabowi i dziwiąc się smakowi ogrodnika, któremu widocznie brakło już pomysłów do rysunku, skoro zapożyczył ich aż z arytmetyki. A że w tem nie było nic szczególnie pięknego, więc zobaczywszy już wszystko, jak mi się zdawało, zacząłem znowu upatrywać owego zegara; ale ani w bliższej ani w dalszej odległości, nic podobnego nie dostrzegłem, bo przecież owego oryginalnego, i niezbyt pięknego konceptu ogrodnika, za zegar uważać nie mogłem. Wyobrażałem sobie, że musi się on mieścić na którejś z pałacowych ścian lub wieżyczek, albo w oddzielnym kiosku, a żołnierz wskazujący mi ten kłab, widocznie zapytania mego nie rozumiał.

Gdy tak rozmyślałem, na środek kłabu padł długi cień. Odwróciłem się i zobaczyłem przy sobie młodego dorodnego mężczyznę, którego mundur gwardyi tem się tylko różnił od innych, że był z delikatniejszego sporządzony materiału, a jedwabisty pióropusz powiewający u hełmu, wpadał w prześli-

czny odcień blado-różowy. Domyśliłem się że mam przed sobą oficera *Astragalusa*, o którym w liście wspomniał mi hrabia *Lilium Martagon*. Skłoniliśmy się sobie wzajemnie, a on zgadzając się że nie rozumiem po atlantyjsku, przemówił do mnie wszechświatowym językiem botaniki, to jest po łacinie. W szkołach uważano mnie za biegłego łacinnika, z powodu przykładania się do tego języka; ale co innego jest deklamować wzniosłe strofy klasyków, a co innego używać języka w mowie potocznej. To też jękałem się okropnie i namęczyłem wykrztusiwszy nareszcie frazes. Oficer wysłuchał mój łaciny z taką powagą, jakby słyszał conajmniej samego Cycerona, ale natychmiast zmienił łacinę na język francuzki. Zaczął od tego że mnie nazwał ekscelencyą, ale na moją prośbę zanichał tego tytułu.

— Czego pan szukasz? — spytał uprzejmie.

— Zegara Flory — odpowiedziałem.

— Jesteś pan przy nim.

— Jakto! gdzie? nie widzę go. Chyba ten zegar widoczny dla wszystkich, dla mnie jednego jest niewidzialnym.

— Nie widzisz pan tych kwiatów?

— Więc to nazywacie zegarem?

— Jakiż pan chcesz żeby był zegar w królestwie roślin?

Kwiatowy jest zdaje się najwłaściwszy.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Ależ to jest tylko taka sobie zabawka, mająca kształt tarczy zegarowej, zegar który nie idzie, a ja się pytam o zegar prawdziwy!

— To jest zegar prawdziwy, wskazujący czas bardzo dokładnie — odrzekł z powagą — nie jest on bynajmniej conceptem ogrodnika dla zabawy patrzących, ale pomysłem znakomitego botanika szwedzkiego, Linneusza. Ułożył on listę roślin wedle godzin, w których kwiaty ich rozwijają się i nazwał ją „zegarem Flory”. Czy widzisz pan te białe pączki otwierające się w tej chwili?

— Czy te, co na liściach mają pęcherzyki wodą wypełnione i błyszczące jak bryłki lodu?

— Tak, to jest przypołudnik kryształkowy, roślina pochodzenia afrykańskiego, hodowana jednak często w Europie: wskazuje ona w tej chwili, że godzina dziesiąta się zbliża; a gdy te kwiatki ścielące się po ziemi i do różyczek polnych podobne, rozwiną się, będzie to znak, że godzina, w której pan masz się stawić przed obliczem monarchy, nadeszła, bo regularnie otwierają się o jedenastą. Jestto roślina bardzo pospolita w ogrodach, *portulaca*.

Zdziwienie moje wzrastało.

— Ależ — odezwał się — życie niektórych kwiatów, jak posłonki, lny, wszystkie bardzo jest krótkie, bo trwa kilka lub kilkanaście godzin zaledwie! Na nic się więc nie zdało uważać na godzinę ich kwitnienia.

— To też takich nie bierze się wcale do zegara Flory, ale kwiaty które po kilka lub kilkanaście dni żyjąc, codziennie o tej samej godzinie otwierają się lub zamykają. Ze zaś w państwie królewicza Zielonki, kwiatów przeróżnych nie brakuje, przeto ogrodnicy czyniący ciągle nad niemi sposobienia, ustawicznie zastępują jedne drugimi, i tym sposobem tarcza zegara Flory zawsze jest w porządku. Rzecz prosta że zegar taki nie może we wszystkich krajach jednakowo funkcjonować, bo pory kwitnienia roślin różnią się, stosownie do położenia geograficznego krajów i do pór roku jednego i tego samego kraju. Zegar Flory Linneusza w Upsali w Szwecyi, spóźnia się w porównaniu z zegarem de Candolle'a w Paryżu.

— Zadziwiająca, cudowna rzecz! — zawołałem. — Wiedziałem że ludzie zaprzęgają do pracy wiatry, wodę, elektryczność, używając ich do poruszania machin przy fabrykach — ale żeby kazali pracować roślinom, tego nie przypuszczałem. Zdawało mi się, że pożytki rozliczne jakie ciągną z roślin, powinny im wystarczyć, a kwiaty są głównie po to żeby cieszyły ludzi swoim widokiem i zapachem.

— Umieją one także wskazywać deszcz i pogodę — mówił dalej uśmiechając się *Astragalus*. — Chodź pan, skoro cię zegar zainteresował, pokażę ci jeszcze coś równie ciekawego:

*Hygrometr Flory*. Jest pewna liczba kwiatów, na których rozwijanie się wpływa stan atmosfery i które królewicz nazwał dla tego „meteorycznymi”. Mlecz syberyjski czyli modrzyk, *Sonchus sibiricus*, nie zamyka kwiatów, gdy nazajutrz słońca ma nastąpić. Wiele cykoryowatych nie otwiera się wcale gdy deszcz ma padać. Deszczownik nogietkowaty, *Dimorphotheca pluvialis*, stula swe kwiaty ilekroć na słońce się zanosi, lecz ma je otwarte, gdy nagła, gwałtowna ulewa nastąpi, jak gdyby został przez nią niespodzianie zaskoczony.

Mówiąc to rzucił okiem w stronę pawilonu posłów zagranicznych, w którym mnie pomieszczono i rzekł:

— Gdyby nie to, że muszę czekać tu na poselstwo indyjskie, pokazałbym panu kalendarz Flory znajdujący się z tamtej strony pałacu, ale nie mogę się ztąd oddalić.

— Kalendarz! — powtórzyłem dziwiąc się coraz więcej temu wszystkiemu co słyszałem.

— Tak, ale możesz go pan później zobaczyć: bardzo dokładny kalendarz, obmyślany i ułożony także przez Linneusza, stosownie do pory kwitnienia różnych roślin. Na ten wzór, królewicz ułożył podobny kalendarz zastosowany do klimatu Atlanty, z kwiatów kolejno następujących po sobie.

— Chyba tylko na lato — zauważyłem — w późnej jesieni i w zimie, kalendarz musi być nieczynny, o tyle przynajmniej, o ile się składa z kwiatów gruntowych. Chyba że królewicz zastępuje go kalendarzem z roślin cieplarnianych.

— Kalendarz gruntowy nie próżnuje nigdy — odrzekł *Astragalus*: — są rośliny kwitnące w późnej jesieni i w zimie. Mokrzyca naprzykład *Stellaria media*, kwitnie od kwietnia do listopada, jak również i *Tasznik*, *Capsella bursa pastoris*, a *Ciemniernik* zimowy, *Helleborus hymecalis*, okryty jest kwiatem przez całą zimę. Kto posiada dokładną znajomość kwitnienia roślin, ten z łatwością przez cały rok może mieć kwiaty.

Przerwał, bo z pawilonu posłów wychodzili właśnie Indyanie w białych zawojach, od których odbijały brązowe ich twarze. Spoglądali dumnie, a ręce ich spoczywały na rękojeściach szabel. Na przodzie kroczył poważnie poseł, a bogaty jego kaftan błyszczał jak słońce od dyamentów, szmaragdów i rubinów. Czterech ludzi niosło za nim na noszach, wschodnią makatą okrytych jakieś drzewo posadzone w złoty wazon, ozdobiony drogiemi kamieniami. *Astragalus* przeprosił mię, że mnie musi na chwilę samego zostawić, i pośpieszywszy naprzeciw Indyan, powiódł ich ku ogrodom wiszącym, których wspaniałe arkady stąd było widać.

— Czyżby tam znajdowała się sala tronowa, a nie tutaj w pałacu? — myślałem — i zdjęty ciekawością, szedłem powoli w ślad za orszakami.

W *Niezdolnych królewiczach* czytałem, że ogrody wiszące królewicza Zielonki „urządzone były wysoko ponad ziemią na olbrzymich rusztowaniach z desek, podpartych drewnianymi słupami” — i tak być musiało dopóki trwała niezgoda, a Zielonko musiał obywać się bez cegły i kamienia, jako należącego do państwa mineralnego — ale ja już ujrzałem zamiast nietrwałej budowy z drzewa, wspaniałe granitowe sklepienie na olbrzymich wsparte arkadach, między rzędami których, jak między drzewami lasu kamiennego, można było dojść nad brzeg morza. Jeszcze nie ochłonałem ze zdziwienia na ten widok, gdy zobaczyłem przepyszne marmurowe schody, piękną po bokach ozdobioną balustradą, a tak szerokie, że mógł na nie konno szóstkami wjechać cały pułk wojska. Morze nie pociągało mnie w tej chwili; ciekawość przypatrzenia się ogrodom wiszącym, o których myślałem tyle razy i które tak bardzo widzieć pragnąłem, powiodła mnie pod górę. Wstąpiłem na schody myśląc z przyjemnością, że to kolosalne arcydzieło sztuki budowlanej stworzyła miłość i zgoda braterska, a także głębsza znajomość praw przyrody, której trzech królestw bezkarnie rozłączać nikt nie może.

## Jan Kanty Gregorowicz.

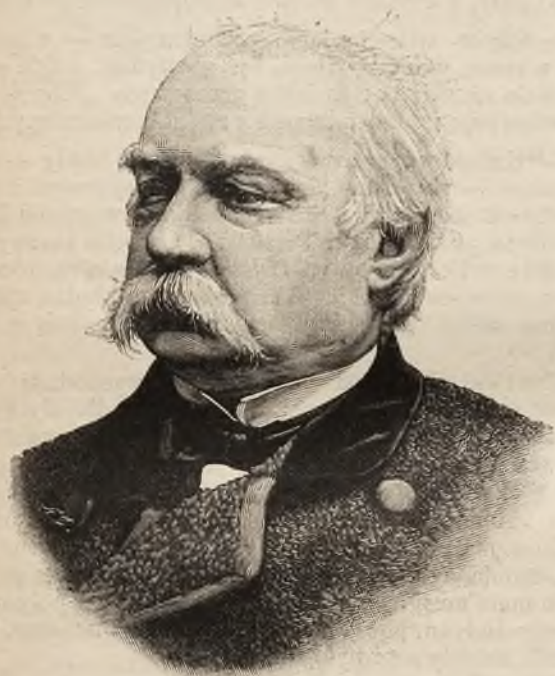
## W ZŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Dnia 16-go Września zakończył życie Jan Kanty Gregorowicz, pod pseudonimem Janka z Bielca znany jako pisarz ludowy, a od lat blisko 30-tu zrazu współpracownik, potem redaktor „Przyjaciela Dzieci”.

Urodzony w r. 1818 z ojca małorusina, w młodzieńczych latach zamieszkał na wsi, miał sposobność zbliżyć się do ludu, ukochać go, wniknąć w jego życie, które też poznał doskonale i odtwarzać umiał tak wiernie, że pierwszy utwór jego pióra w tym duchu napisany, a jeszcze w r. 1850 drukowany w „Bibliotece Warszawskiej” zwrócił ogólną uwagę na początkującego autora. W dziennikach ówczesnych pomieszczał on wiele prac, bądź-to powieści, bądź rozpraw treści poważniejszej, był pierwszym redaktorem pisma ludowego „Kmiotek”, przez pewien czas redagował „Zorzę”, „Gazetę Rolniczą”



Jan Kanty Gregorowicz.

przez lat kilka prowadził „Gazetę Codzienną” aż wreszcie podjąwszy się wydawnictwa „Tygodnika Mód” oraz „Przyjaciela Dzieci” do końca życia pozostał ich redaktorem.

W ostatnich latach zajęty pracą redaktorską niewiele się już poświęcał większym utworom literackim, ale dawniejsze jego powieści dla ludu i dzieci, tchnące prostotą i serdecznością zapewniają Jankowi z Bielca dobre imię w szeregu naszych pisarzy. Długoletnia usilna praca literacka zapewniła mu obok niezależności materyjalnej, co w naszych stosunkach dość rzadkiem jest zjawiskiem, uznanie u braci po piórze, którzy lat temu parę uroczystie obchodzić chcieli jego jubileusz pisarski. Wyprosił się od tej owacyi, a skromność takowa jest pięknym rysem charakteru tak autora, jak człowieka, który do końca życia wytrwał w pracy i „poczciwej sprawie” służyć chciał piórem, jak rozumiał. Lud nasz miał w nim gorliwego o swoje dobro miłośnika, dzieci szczerze kochającego je przyjaciela, rodzina opiekuna serdecznego, z uczuciem też prawdziwego żalu żegnali go koledzy w literackim zawodzie, oraz znajomi i przyjaciele, licznie nad grobem jego zebrani.

— Rozbieraj się! — krzyknął po niemiecku, ostrym głosem na niego, który zbiegłszy przed chwilą z areny, nie miał czasu na zdjęcie z siebie białego ubranka. Mały nie ruszył się z miejsca, gdzie jak wryty stał oczekując jeszcze dalszych poleceń, skoro w powietrzu rozległo się smagnięcie eleganckiej szpicruty. Było to dobitne podkreślenie słów: *Możesz iść!* na jego plecach. Nie pisnął nawet; uczynił wojskowy zwrót ku garderobie, gdzie zniknął. W chwilę potem dyrektor wraz ze swemi końmi wyszedł na arenę, gdzie go powitano gradem oklasków.

Niedługo czekałem na wczoraj umówionem miejscu przyjścia mego małego przyjaciela. Zrobił mi tylko niespodziankę, bo kiedy ja oczekiwałem go od strony garderoby, ten ze zwinnością akrobata zawisł mi nad głową w otworze, wiódącym na stryszek z sianem dla koni, zeskoczył i znalazł się obok mnie.

— Csss! — zawołał, kładąc palec na ustach, kiedy otworzyłem już usta, chcąc głośno wyrazić zdziwienie. — Dobry wieczór panu! przychodzę tędy żeby nie zauważono, że często tu bywam. Teraz będą myśleli, że śpię w garderobie, skąd po sznurku wdrapałem się na strych i tamtędy przyszedłem. Myślałem, że już nie trafię do tego otworu z pomiędzy stogów siana, ale trafiłem!..

Usiadł przy mnie i jakby dla pewności, że mu nie ucieknę, wziął w swe dłonie moją rękę.

— Widziałem, jak dyrektor powoływał cię do siebie, musiał być w złym humorze, nieprawdaż? zapytałem.

— Dlaczego? O przeciwnie! zawsze kiedy sam ma przedstawiać swoje konie jest w humorze najlepszym.

— Za cóż cię więc uderzył?

Machnął ręką lekceważąco i uśmiechnął się.

— O panie! co to znaczy takie uderzenie cienką spirytą? Zawsze jak cós mówi, musi potem uderzyć tem, co trzymał w rękę. Ale czasami ma bat, to boli daleko więcej...

Mówiliśmy jeszcze o różnych rzeczach, aż mu przypomniałem wczorajszą obietnicę.

— Prawda! przyrzekłem panu opowiedzieć moją historię. Mój Boże, nie opowiadałem jej jeszcze nikomu, bo nikt nie był jęj ciekawy. Zresztą to nic wesołego, ale jeżeli pan chce... — Łzy stanęły mu w oczach, twarzyczka zadrgała nerwowo wzruszeniem, ale ją obtarł szybko aksamitnym rękawem wytartej kurteczki, która kiedyś musiała mu służyć do występów, a uspokoiwszy się nieco tak zaczął półgłosem:

— „Najpierw, niech pan nie wierzy że mam dopiero ośm lat, tak jak to zawsze drukują i „on” mówi, wcale nie. Miałem siódmy rok, jak mnie zabrali z domu, rok chodziłem po świecie z trupą kuglarzy, a piąty rok jak jestem tutaj. Mam już dwanaście lat, tylko, że jestem mały, drobny i nie wyglądam na tyle, a „on” chciałby żebym całe życie takim pozostał bo to więcej zadziwia publiczność.

Jest już więc sześć lat, jak byłem w domu i miałem rodziców, swoich własnych rodziców! — powtórzył z odbłaśkiem radości patrząc mi w oczy. — A pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj... Byłem wtedy taki szczęśliwy!... Mama, moja ukochana dobra mateczka nazywała mnie „swoim Jurkiem” i nieraz, jak zasypiałem w łóżeczku obok niej, opowiadała mi do snu o pięknym kraju i jego bohaterach, mówiąc zawsze przytem: Rośnij mój synku, rośnij i bądź takim, jak byli oni!..

Mieszkałszy na wsi i musieliśmy być bogatymi, bo pamiętam ślicznie było tam u nas i zawsze pełno gości. Tatusz kupił mi ślicznego konika i uczył na nim jeździć, a ja bardzo to lubiłem i nauczyłem się tak prędko, że jak tylko dużo gości przyjechało, wsadzano mnie na kucyka i popisywałem się

w około gazonu przed gankiem. Rodzice cieszyli się moim męstwem, a ja, który nie bałem się nigdy niczego, nauczyłem się sam różnych sztuk na gimnastyce i moim kucyku, przyrzekając w duszy, że muszę kiedyś zostać takim bohaterem, o jakich mateczka opowiadała mi nieraz tyle, tyle pięknych rzeczy.

Tak mi szczęśliwie czas upływał; aż pewnego dnia mama zachorowała nagle. Musiała być bardzo chora, bo przy-

Rozpłakałem się głośno na jej widok, więc wynieśli mnie z pokoju. W parę dni potem byłem na wsi u mej babci.

Nie było mi tam gorzej jak w domu, bo babunia kochała mnie i pieściła, tylko tęskniłem za mamą. I tam miałem swego kucyka i gimnastykę, myślałem więc często o tem co mi powiedziała przy pożegnaniu i uczyłem się być mężczyzną.

Od tatusia przychodziły czasami listy do babci, która



Przeciął mu więzy prawej ręki a potem...

jeżdżało wielu doktorów, a tatus, biorąc mnie nieraz na kolana, mówił mi, bym prosił za nią Bozi i sam płakał przytem. Nie pozwalano mi pójść do jej pokoju, aż dopiero jednego dnia, skoro tatus powiedział mi, że mnie odeśle do babci, bo sam zabiera mamę za granicę, pozwolono mi iść ją pożegnać. Leżała na łóżku bardzo blada i kiedy podszedłem pocałować ją w rękę, schyliła się do mego ucha i bardzo cicho powiedziała:

— Do widzenia Jerzy, nie zapominaj twej mamy i.. bądź mężczyzną w życiu, synku!..

mi mówiła co w nich było napisano o mateczce, ale kiedy raz zapytałem jej co znaczy ta czarna obwódka na ostatnim z listów, babunia wybuchła płaczem.

— Bądź odważnym Jurku i znieś cierpliwie boleść, jaką ci Bóg zsyła — rzekła tuląc mnie do siebie — zostałeś sierotą, nie masz już matki!

Nie zrozumiałem jeszcze dobrze tej bolesnej nowiny, tembardziej, iż zmiany, zaszele w domu, nie dały mi się dłużej nad nią zastanawiać. Babunia musiała wyjechać do tatusia, zostawiając mnie pod opieką starej służby, a na drugi dzień po

jej wyjeździe zajęły mnie całkowicie przedstawienia wędrownych kuglarzy, których trupa przybyła gdzieś z daleka, rozłożona się taborem pod sztachetami ogrodu.

Byli to jak mówiono Cyganie, to przecież mnie nie odstraszało wcale od przyglądania im się całymi godzinami przez sztachety i podziwiania sztuk jakie pokazywało w psami trójce dzieci, dwie dziewczynki i chłopiec. Pamiętam, że dziewczynki, tańczące z bębenkami na rozrzuconych po ziemi kulcach drewnianych, podobały mi się bardzo, ale ujrawszy chłopca, pokazującego łamane sztuki z jedną z nich, powiedziałem, że ja umiem bez porównania ładniejsze i na dowód zacząłem się popisywać przed starym Cyganem na blisko stojącej gimnastyce. To dało początek rozmowie. Potem pokazałem im jeszcze moje sztuki na kucu; cała rodzina wybiegła podziwiać mnie i chwalić, z czego naturalnie niezmiernie byłem dumny. Zapraszali mnie do swej budy, obiecując pokazać wszystkie zabawki, ale bałem się by kto nie zobaczył, bo niewolno mi było wyjść z ogrodu. Wieczorem dopiero wymknąłem się z domu i kiedy nikt nie zwracał uwagi wybiegłem za furtkę. Dziewczynki wzięwszy za ręce zaprowadziły mnie pod płócienny namiot i długo pokazywały różne ubranka, świecące kółka i bębenki, których tam miały mnóstwo. To zabrało nam tyle czasu, że gdy pomyślałem o powrocie do domu, była już noc. Przełakłem się trochę, ale wnet uspokoiłem się słowami i przysmakami, a stary Cygan zawoławszy swej żony czy też matki pomówił z nią czas jakiś, a potem zwrócił się do mnie.

— Nie bój się nic panie — ona cię odprowadzi do domu tylko inną drogą, żeby kto czasem nie zobaczył, a ty nic nie mów i idź z nią cicho...

Nie przyszło mi nawet na myśl, że to był podstęp. Stara kobieta ujęła mnie silnie za rękę i poprowadziła nieznanymi drogami. Chciałem się zapytać gdzie idziemy tak długo, ale bałem się, by, jak mówił kuglarz, kto nie usłyszał. Szliśmy ciągle i w końcu znaleźliśmy się w lesie. Nogi już zaczęły mnie boleć, zapomniałem więc o nakazie i zacząłem wołać, że chcę do domu, do którego ta droga wcale nie prowadzi, bo nie potrzeba było tylko przejść furtkę, podwórze i ogród. Płacz również nie nie pomógł; wzięła mnie na rękę, strach, szum lasu i ciemności utuliły mnie do snu. Skoro rano otworzyłem oczy byliśmy w głębi zarośli, gdzie pozostaliśmy do wieczora. Przed nocą dopiero nadjechała buda, a w niej te same dzieci i stary Cygan, którzy byli pod naszym ogrodem. Stary pogładził mnie po głowie, dał cukierków i nie zważając na mój płacz, zwrócił się do kobiety.

— „Cóż — zapytała ona — bardzo tam szukają?”

— „O, szukają! — odpowiedział — przetrześli mi cały wóz, ale nic nie znaleźli i jeszcze przepaszali za posądzenie. Wrzawa tam straszna. Teraz szukają w stawie, myślą że utonął, poczekałem do południa i ruszyłem w las”.

Dziwnym sposobem domyśliłem się, że mowa była o mnie, i że zostałem poprostu wykradzonym z domu, dokąd nie miałem wrócić już nigdy. Chciałem uciekać, darmo! pilnowali mnie dobrze, a przytem za parę dni przeszliśmy granicę kraju, co poznałem po tem, że mówiono tam innym językiem.

Tak więc drogo opłacić musiałem nieposłuszeństwo!

Odtąd zacząłem wieść inne życie. Codziennie stary kuglarz uczył mnie nowych sztuk. Wyłamywał mi kości bez miłosierdzia, tak, że po każdej takiej lekcji leżałem na wozie nie mogąc ruszyć ani ręką ani nogą, aż po kilku miesiącach dostawałem po jego dzieciach stare trykoty i zacząłem wraz z nimi występować w przedstawieniach, dawanych po wsiach i małych miasteczkach. Zwolna przywykłem do tego życia tułaczego i codziennego wyłamywania kości. Było mi może nawet lepiej, jak moim małym towarzyszom, których nieraz, gdy się nie mogli czego nauczyć, stary bił kijem. Mnie wszystko szło jakoś łatwo; a może pomagała mi w tem owa odwaga, do której zachęcała mnie dawniej moja mateczka. Mój Boże! już nigdy jej nie zobaczę, myślałem sobie, ani ojca, ani babci, ani domu... nigdy... bo całe życie będę się tułać i pokazywać sztuki... I coraz droższymi stawały się dla mnie te wspomnienia z domu, coraz obojętniej patrzyłem na

swoje życie, bo mi już wszystko jedno, skacząc po linie lub na wysoko zawieszonym trapezie, czy spadnę i zabiję się, czy żyć dalej tak będę. Coraz bardziej cierpiałem i coraz więcej bolało mnie... serce.

Raz, było to jakoś rok już od czasu kiedy rozpocząłem to nowe życie, gdy stary Cygan, powróciwszy zły jakiś z pobliskiego miasteczka, wszedł pod budę i zaczął z cicha, lecz wzburzonym głosem prowadzić z kobietą rozmowę. Ciekawość mnie zdjęła, podsunąłem się cicho pod wóz i wysłuchiwałem co mówili.

— Złe z nami, policya go poszukuje — szeptał, ukazując oczyma mój łoloczek wiszący na kółku — Trzeba go schować lub wywieźć, jednym słowem pozbyć się jak najprędzej.

— Wiedziałem, że tak będzie, — odparła stara, — najlepiej wywieźć, ale gdzie?

— O wiem już gdzie, nawet zrobimy jeszcze na nim interes.

Dalej już nie mogłem słyszeć, bo zniżyli głos bardziej. W głowie szuniało mi od samych myśli że jeszcze mógłbym powrócić do domu, gdyby mnie ta policya, której się obawiali, odnalazła. Chciałem natychmiast biedz, uciekać, ale gdzie?... nie wiedziałem!.. Tego samego dnia jeszcze przebrano mnie w chłopskie ubranie, jakie stary kupił we wsi, ostrzyżono krótko włosy i kuglarz zabrawszy ze sobą ruszył w drogę. Długo szliśmy piechotą, potem jechali koleją, której wpiery nie widziałem nigdy w życiu, aż wreszcie zobaczyłem ogromne jakieś miasto i rzekę, wielką jak morze. Był to Hamburg, jak się potem dowiedziałem. Tam zaprowadził mnie do tego oto cyrku, gdzie dotąd jestem i po wielu próbach bardzo ciężkich i pokazaniu wszystkiego, co umiałem, przed tym dyrektorem, którego pan tu widział, zostałem mu sprzedany za dwieście talarów. Dwieście talarów! Jak dziś pamiętam; stary kuglarz z uśmiechem je przeliczył, wsunął do kieszeni, pogładził mnie na pożegnanie ostrą swą dłonią po twarzy, i jak wyszedł, nie spotkałem go nigdy więcej.

(d. c. n.)

## BOCIAN-OJCIEC.

— Nad siodem z wieczora i rano  
Chłodnawy wiaterek powiewa,  
Z pół wszystko już prawie zebrano  
Już spadać zaczyna liść z drzewa.

O dziatki wy moje, bociany,  
Nad chatą wieśniaczą zjawione,  
Już zżęte opuścim wnet łany,  
W cieplejszą podążyc nam stronę.

Słyszycie jak wróble świegoczą,  
Chichocząc z naszego odlotu?...  
Z słabości to niby chichoczą  
I z podróznego kłopotu;

Że niby my siły nie mamy  
Pozostać jak one tu w śniegu,  
I dworskiej pilnując się bramy  
Mróz przetrwać w dorocznym przebiegu.

Bocianki, wy wróblom dowiedzcie,  
Że wiemy my po co lecimy;  
Gdy wrócim, wy wszystko powiedzcie  
Co kędy dobrego widzimy:

Niech wiedzą, że po to lecimy  
Daleko za morza i góry,  
By zbierać plon nawet wśród zimy,  
Plon, nawet wśród zimy ponuręj!

# W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Dopiero po kilku następnych sekundach głębokiego spokoju dowodzących, że Jerzy nie został spostrzeżony, szepnięto w łodziach:

— Dzielnym chłopiec!... uda mu się!

Tymczasem Jerzy w zwykłym odzieniu majtków leżał jak długi tuż przy parapecie, wewnątrz okrętu na pomoście, nieruchomy, udając śpiącego. Nie leżał długo, wkrótce usłyszał zbliżające się dzikie okrzyki i ujrzał orszak widocznie na wpół tylko przytomny. Indyjanie prowadzili na pokład okrętu gromadę jeńców, wśród których znajdował się Wiliam, pokrepowali ich przywiązując do masztów; niektórych nie wiedzieć czemu prowadzili od razu na dół. Ale jakkolwiek Wiliam niepodobny był do siebie z dawniejszych czasów, Jerzy widział go dokładnie, przywiązanego do masztu w pochyłonej zgnętej postawie, i usłyszał zanucaną i po chwili powtórzoną zwrotkę ludowej angielskiej piosenki:

Wyszła poza dom sierota  
Szukając swęj matki...

— Och... aż nazbyt łatwo byłoby ci znaleźć tę matkę, która jest w niebie — pomruknął Jerzy — ale wprzód musisz ty jeszcze odnaleźć ojca i braci... — I widząc, że zbójcy unieściwszy bezpiecznie towar sprzedany, odeszli napowrót wesoło ku ładowi, podpełził na czworakach ku bratu, rozplaszczony jak żaba. Któż zliczy, ile razy zatrzymywał się za najinniejszym szelestem, zanim stanąwszy u stóp Wiliama, nieznanym, powolnym, kilkukrotnym ruchem, najprzód przeciął mu więzy prawej ręki, potem włożył w nią ostry jak brzytwa nóż. To było dosyć. Wiliam uprzedzony widocznie, przyjął to wszystko z zimną krwią; nożem włożonym w prawą rękę dokończył przecięcia jakiegoś węzła lewej, a potem wolna osunął się jakby osłabły i rozciągnął na ziemi. Oczywiście, jeżeli wśród ciemności i mnóstwa okrętowych rupieci i kilkunastu niewolników, ktokolwiek patrzył na te ruchy, to wziął je za konieczne skutki znużenia i ani pomyślał o tem więcej. Tymczasem dwaj bracia pełzali jeden za drugim przez pokład, aż przesadziwszy w horyzontalnej pozycji parapet, zsunęli się po łańcuchach i rzeźbach do oczekujących ich łodzi, co było w istocie daleko łatwiejszą rzeczą niż wejście na okręt.

— Odbijaj!... — szepnął kapitan, i obie łodzie pomknęły na pełne morze wysuwając się z rangorskiej zatoki. A jednak, pomimo całej ostrożności i pomimo skutków wina spotęgowanego sen-wodą, coś tam spostrzeżono na Sumatrze, bo nagle stał się hałas piekielny, i prawie natychmiast, chybź niżby się można spodziewać, kilka kul z hukiem potężnym pluśnięto tuż koło uciekających łodzi:

— Do brzegu!... — zabrzniał w tej chwili głos jakiś przez tubę, i marynarze instynktowo rozumiejąc własny interes, w kilka minut przybili do brzegu, tuż poza skałami otaczającymi rangorską zatokę, i podczas gdy upatrywano ich na morzu i ścigano, wszyscy wyskoczyli w wodę, dążąc do ładu. Osłabiony więzami Wiliam zachwiał się w tej chwili i byłby pogrążył się od razu, gdyby z obu stron nie podtrzymały go, jeżeli niezbyt silne, to za to wysileniem nieznużone ramiona:

— Edward!... Franek!... — szepnął Wiliam zdziwiony, wspierając się na swych wybawcach. Robert ujął go oburącz, gdy nie mógł wyskoczyć na brzeg i wnet chwycony silnie pod ramiona, uniesiony został następnie gwałtownym ruchem, dopóki nie schroniono się w zaulku skalistym, nad zatoką zajęętą przez Almawię. Zmordowany fizycznie i moralnie, wyczerpany Wiliam upadł w objęcia ojca i został w nich nieruchomy, trzeba było obydwoh cucić i trzeźwić...

### III.

— A Klara? Gdzie Klara?

— Czy nie wiesz co się stało z Klarą? — zapytywano

gdy tylko mógł mówić, podając mu jednocześnie napój i posiłek i zmuszając pieścotami do ich użycia. Ale Wiliam wiedział tylko, że razem zamknięci przebywali czas jakiś w ciemnej piwnicy, gdzie nawet dnia od nocy odróżnić nie byli w stanie. Wiliam utrzymywał zrazu siły Klary nadzieją, że wydrapie otwór w ścianie, którym uciekną. Próżno jednak drapał spętanymi silnie rękami, pokrwawił ręce, pozdzierał paznogie, ściana jakkolwiek z ziemi i kamieni nią spajanych tylko zbudowana, nie ustępowała, albo raczej ustępowała bardzo powoli. Tymczasem za każdym dotknięciem rąk Klary, czując pożerającą ją gorączkę, on sam zwrócił uwagę złoczyńców przynoszących im wodę i pożywienie na stan jej zdrowia.

— Jeżeli nie umieścicie tej pani w lepszych warunkach, straciecie okup, bo go nie doczeka — powiedział.

— Nie ma komu was wykupić, kupić chyba kto się znajdzie — odpowiedziano. I wtedy dopiero poraz pierwszy zrozumieli oboje, że sprzedanymi być mają. Rozpacz Klary, że niema komu już ich wykupić, odebrała jej resztę sił i nieprzytomną wynieśli ją rozbójnicy z podziemnej lepianki, a Wiliam sam nie wiedział, czy miał się cieszyć, że opuściła okropne to miejsce, czy też rozpaczać, gdy ją unoszono.

Tymczasem bezustannie, wyjąwszy chwilę spoczynku, drapiąc ziemię i trąc o nią swe więzy, Wiljam zużył je i rozdarł a wydarłszy z ziemi małe kamyki, pomagał sobie nimi kopać dalej, siadając koło otworu aby go zasłonić, gdy wchodzono do jego ziemnego więzienia. Wreszcie napotkał w ścianie większy kamień, wzruszył go, wyjął, ujrzał światło, rozszerzył otwór, wysliznął się nim i dzień cały przebył na wolności, może byłby mógł nawet uciec w pierwszej chwili, gdyby myśl o Klarze, nie przykuwała go do miejsca. Chciał koniecznie dowiedzieć się, co się z nią stało. Jednocześnie zbójcy, spostrzegłszy jego ucieczkę, rozpuścili swoje pogonie, którym jak wiadomo nic nie dorówna, gdyż umieją wysledzić białego jakby za pomocą właściwego im jakiegoś zmysłu, węchem nieledwie. Schwyciwszy go na nowo pilnowali już teraz ściślej, nie spuszczając z oka, a po kłótni i walce jaka wybuchła pomiędzy nimi, zwycięzcy puścili się w drogę do rangorskiej zatoki, pędząc niewolników na sprzedaż.

— Baczność! panowie! wybrzeże przebiegają tłumnie rozbójnicy, Sumatra spiesznie opuszcza Rangorską zatokę! — zawołał Mahora wpadając zdyszany i poraniony — gdzie jest Wilko? Oby nie dostał się w ich ręce!

— Na pokład parowca, panowie, wchodźcie wszyscy! Nie zareczam za nikogo, kto się spóźni! — wołał kapitan.

— Wilko! Rahib! Gdzie Wilko? Szukać Wilka! — wołali młodzi Anglicy. — Nie możemy odpływać bez Wilka!

— Do łodzi! do łodzi! Na parowiec! Dzicy tropią, już jaskinię! Wilko jest tu! — dał się słyszeć głos Rahiba z wody: płynął z trudnością podtrzymując rannego Wilka, nagły świt zwykły w tych stronach ukazał ich oczom patrzących. Ścigani skoczyli w morze i tędy dążyli do swoich, nie chcąc zdradzić wejścia do jaskini od strony ładu. W jednej chwili młodzi panowie rzucili się w morze na ratunek bezwładnego od ran Wilka.

Dzikie wycia Indyan biegających naokoło skał, poza któremi domyślali się białych, rozlegały się już wyraźnie. Thorn, silnie przyciskając do piersi ramię Wiljama, uprowadził go do łodzi; Mac-Uhm z ciężkim sercem, myśląc o córce, podtrzymywał z drugiej strony młodego chłopca, który zgnęany poprzednimi ranami, wycieńczony podróżą i do reszty wyczerpany nadludzkimi wysiłkami przy ostatecznej ucieczce, bredził w gorączce, wymawiając co chwila imię Klary i wyrzucając sobie, że jej nie umiał wyratować. Wśród gwałtownego acz pozornego tylko zamieszania, i krzyżujących się ponad hałasem spokojnych a grzmiących rozkazów kapitana, majtkowie pomagali Anglikom i ich służbie dostać się na pokład i wreszcie piękny, zwinny Almawiwa wymknął się z pomiędzy skał na pełne morze w chwili, gdy tłum dzikich z tryumfalnym wyciem wypadł od strony ładu na brzeg zatoki. W gniewu oka tryumf zamienił się w uniesienia gniewu, na widok znikającego parowca, którego się tu zastać nie spodziewano, w prze-

konaniu że mają do czynienia jedynie z jakąś bezbronną garstką zbiegów. W bezsilnej złości krwiożercze istoty wypuściły chmurę strzał za znikającym parowcem, na co w odpowiedzi tenże posłał im od niechcienia jeden tylko pocisk armatni, który padając w zbitą gromadę ciał, okrutnie sprawił w nich spustoszenie.

— Kapitanie jak mogłeś!... — z oburzeniem zawolali Anglicy.

— Musiałem — odparł z zimną krwią — niestety, istnieje niekiedy między ludźmi tak niski poziom umysłowy i moralny, że jedynie tylko siła brutalna może na nim czynić wrażenie: gdyby ci nieszczęśliwi nie poczuli dzisiaj co może Almagiva, nie umieliby go przy następnym spotkaniu uszanować.

— A teraz, baczność, dziecieczki!... oto Chińczyk nikczemny wynurza się w biały dzień w naszych oczach z zatoki. Nie powinien nam ujść tym razem.

— Czyliż nie łatwiej było zejść go jeszcze w zatoce? — spytał Mahora ciekawie.

— Na cóż by to się zdało, generale, wszak wtedy zniszczył bym tylko okręt a łotry uciekliby na łąd w lasy.

— To prawda! Jakże głupi jestem, kapitanie!

— Nic nie szkodzi, zmądrzejesz z wiekiem synku. Dodawać pary dziecieczki! Ho!...

Tak uprzejmie pocieszony Mahora podszedł do swoich panów, rozmawiających o Klarze i usiłujących wmówić w Wiljama nadzieję, której sami nie mieli. Ale Indyjanin miał ją istotnie. Słyszał od dzikich że, współplemiennicy ich przywiodą Klarę, już zdrowszą teraz, na wybrzeża rangorskiej zatoki najdalej za kilka dni, słyszał nawet, jak umawiali się z Chińczykiem zawczasu o cenę za pannę Mac-Ulm, gdy on wymawiał im, że nie przywiódłszy jej od razu, narażają go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, przy częstem odwiedzaniu podejrzanych wybrzeży. Stańło wreszcie na tem że Klara będzie przechowana przez pewien czas jeszcze w chacie Sihal na skałach, zanim Chińczyk będzie mógł po nią się zgłosić bez zwracania na siebie zbyt uwagi krążących z zamiarem podpatrywania go statków, a w najgorszym razie przysłać tylko łódź z trzema zaufanymi ludźmi, którzy dostawią mu pannę Mac-Ulm związaną, leżącą na dnie, z zawiązanymi ustami i nakrytą drobiem, jakim Sihal pozornie handlował.

— Otóż — mówił Mahora — czyliżby nie udało nam się za jaki tydzień w postaci takich wysłańców Chińczyka, lekką łódką, wybrawszy czas spokojny przybić do rangorskiej zatoki i, wiedząc wszystkie okoliczności jako też umówioną cenę, kupić poprostu pannę Klarę dla Chińczyka niby, a odwieźć ją do krążącego w pobliżu Almagivy?

— Zapominasz że Sihal płynie w tej chwili z nami, nie ma go więc na skałach w chacie i Klara nie będzie mu oddaną do przechowania.

— Tak, ale ci którzy ją prowadzą, nie wiedzą, co tutaj zaszło, przyprowadzą więc pannę Klarę w każdym razie i byle wzięli umówioną zapłatę, gdy zjawimy się w owęj chwili, nie będą z pewnością ociągać się ze sprzedażą.

— Mój ojcie!... a jeżeli Mahora dobrze radzi?

— Mahora zawsze ma słuszość!

— Oby ją miał i na ten raz. Jednakże jeżeli nasz kapitan doprowadzi do skutku zamiary swe względem Chińczyka, zbójcy będą widzieć to z wybrzeża swego, a przykład wystraszy ztąd na jakiś czas przynajmniej innych handlarzy,

to kto wie, czy złoczyńcy nie uwiadomią towarzyszy zawczasu że niema pogo przyprowadzać tu niewolników...

— Och, Ralfie, czemuż usiłujesz odbierać nam nadzieję!...

(d. n.)

**Zagadka homonim.**

W postaci owocu, kwiatka lub kamienia,  
Służyć do posiłku mogę lub ozdoby;  
A także brać udział i w dziele zniszczenia,  
Być narzędziem śmierci, zwiastunem żałoby.

**Kwadrat magiczny.**

Podane litery w kwadraciku, tak ułożyć, aby odczytać można jeden i ten sam wyraz z góry na dół i z lewej strony do prawej.

```

a a a a
a a d d
k l m o
o s s w
    
```

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 38 go.**

**Zadania liczbowego:**

25	24	8	5	3
4	10	17	12	22
6	15	13	11	20
7	14	9	16	19
23	2	18	21	1

**Łamigłówki sylabowej:**

Samojedy — złota — Anglik — Nakło — Dunaj — Orkady — Rymiec — pelikany — emir — Timbuktu — Oa — fanatyzm — Izraelici.

Szandor Petöfi i Maurycy Jokay.

**SZKOŁA**

**Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,**

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIEŁONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnych dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

**Sprostowanie.** W Nrze 38 w Łamigłówce sylabowej należy czytać: 2 metal w 2-m przypadku.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Jan Kanty Gregorowicz (z portretem) — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Bocian-ojciec, wiersz. — W Indyach (z drzew.). — Łamigłówki i rozwiązania **Dodatek:** Najmilszy podarek p. Cairo (z drzew. — Myszką, wiersz p. Helenę Bojarską. — Bobry p. Maryę Weryho. — Opowiadanie motylka, powieść podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



### NAJMIŁSZY PODAREK.

Co też to za radość była dla Janinki, skoro w dzień swoich urodzin otworzywszy z rana oczki, ujrzała się otoczoną podarkami.

W jej małym pokoiku nie było nikogo: Ja sne wiosenne słońce tylko, ciekawie zaglądało przez okno, i jakby chcąc obudzić śpioszkę, padało wprost na łóżeczko, a na stoliku pozłociło wszystkie poskładane niespodzianki. A jakież tam śliczne były rzeczy!...

Tuż nad poduszką, zwieszała wonne białe kwiaty róża w doniczce, obok leżały „malowanki”, dalej, wyciągając rączki do swjej przyszłej właścicielki, rozsiadła się na krzeselku lalka, przybrana w balową sukienkę, potem pomarańcze, piłka... czegóż bo tam nie było!...

Janinka jednym spojrzeniem objęła to wszystko, usiadła na łóżku i z radości rozśmiała się głośno. „Kwiatki i książka to od tatusia, myślała potem, lalka od mateczki, pomarańcze od braciszka Władzia, a piłka od..."

Ale nie dokończyła jeszcze zgadywać, kto mógł jej to wszystko ofiarować, kiedy otworzyły się drzwi, i do pokoiku weszła babcia z koszyczkiem w ręku.

Babcię Janinka niezmiernie kochała, to też była bardzo wzruszona skoro ta ucałowawszy ją serdecznie, podała jej zamknięty koszyk, mówiąc: To dla ciebie, otwórz i zobacz!

Z biciem serca uchyliła wieczko i krzyknęła z radości. Na dnie miękko wysłanem spał zwinięty w kłębuszek, śliczny, maleńki piesek,

Piesek!... O własnym piesku marzyła przecież oddawna!...

Babunia uśmiechnęła się na widok radości wnuczki. Potem wyjęła śpiące stworzonko i kładąc je na kółdrze rzekła:

— To dla ciebie Janusiu, będzie on twoim tylko i nazwiesz go jak zechcesz, ale pod jednym warunkiem.

Dziewczynka spojrzała w oczy babki.

— Pod warunkiem że sama będziesz myślała o jego potrzebach i nie będziesz go męczyła pieśczoćkami — kończyła babunia. — Możesz się z nim bawić parę razy na dzień, ale pierwój myśl o tem aby był nakarmiony o swojej porze. Jest jeszcze bardzo malutki i trzeba też bardzo dbać o niego, ażeby się wychował. Cóż, czy przyrzekasz obchodzić się z nim troskliwie?

— Przyrzekam, przyrzekam babuniu — zawołała ucieszona Janinka, całując jej ręce.

W tej samej chwili piesek się obudził i zaczął biegać po łóżeczku. Był to delikatny charcik cielistego koloru z różowym noskiem i rozumnymi oczkami.

— Babuniu, wiem już, nazwę go: Ami. Mamusia mnie uczyła, że to po francuzku znaczy przyjaciel, a on będzie naprawdę moim przyjacielem.

— Jak chcesz moje dziecko. Niech będzie Ami — odparła wychodząc babcia.

Janusia zerwała się z łóżeczka; dziękowała potem wszystkim za podarki, ale choć tego nie mówiła, podarunek babuni cieszył ją najwięcej.

Odtąd w wolnych od zajęcia chwilach oddawała się wychowaniu ulubionego pieska. Pomnąc na przestrogę babuni, obchodziła się z nim jaknajostrożniej i myślała o wszystkich potrzebach wychowanka, to też ku wielkiej jej radości Ami z czasem rósł, coraz nowe zabawniejsze figielki przychodziły mu do główki, a co najważniejsze tak się przywiązał do swjej młodej pani, że na krok nie chciał jej odstąpić.

Na spacerze zawsze biegł przy niej, skacząc radośnie, a trzeba było widzieć jak wybornie umieli się razem bawić latem w ogrodzie! Janusia uciekała co sił starczyło, Ami zaś ją gonił. Póki był jeszcze mały udało jej się nieraz uciec, później jednak zawsze wygrywał, i dogoniwszy, chwycił lekko zębami za sukienkę, warcząc figlarnie.

W zimie również nie nudzili się nigdy. Po skończonej lekcji z mateczką, podczas której Ami leżał cichutko u nóg swjej pani, rozpoczynano zabawę w „chowanki”. Dziewczynka chowała najpierw pieska pod stół przykryty długą serwetą, tak aby nie widział gdzie ona pójdzie, poczem sama cichutko kryła się gdzie w kącik lub za parawanem w innym pokoju, a kiedy z kryjówki zawołała ciekawym głosem: Ami, tu! wówczas on, który znał już taką zabawę, wydostawał się z pod stołu i obiegał całe mieszkanie, zaglądając ciekawie w każdą szparkę. Naturalnie, po pewnym czasie zawsze ją odszukał a wtedy rozpoczynano grę na nowo.

Janusia pamiętała, iż całą tę przyjemność zawdzięczała babuni, to też często ścisnęła ją i dziękowała wołając: — Ach babuniu, jakaś ty dobra że dałaś mi nie żadną zabawkę tylko taki podarek. Ami, to najmilsza moja rozrywka i najlepszy przyjaciel!...



Ale babcia odpowiadała jej na to: Moje dziecko, to tylko twoja zasługa, bo nie męcząc pieska zbyt dużą czułością, jak to robią inne dzieci, potrafiłaś go sama wychować i przywiązać do siebie.

Cairo.

## MYSZKA.

Wyszła z nory myszka mała,  
I po domu plądrowała:  
W każdy kącik zajrzeć musi,  
Tak ją wszystko wabi, kusi,  
Tu się wsunie, tam się wkradnie,  
— Myszko, myszko, tak nie ładnie!  
Zobaczy cię kotek bury,  
I pochwyci w swe pazury.  
Wróć do nory, póki pora!  
Ale myszka niezbyt skora,  
Nie ma przestróg na pamięci  
Po pokojach wciąż się kręci.  
Cóż się jednak w końcu stało?  
Kot pochwycił myszkę małą,  
Już kosteczki z niej zajada.  
— Nie słuchała — trudna rada!

Helena Bojarska.

## BOBRY.



**B**ył dzień zimny, chociaż słońce świeciło. Śnieg błyszczał srebrzysto i skrzypiał pod nogami. Dwóch chłopców Staś i Adaś stali przy oknie i przyglądali się z zajęciem, jak ludzie otuleni w futra biegli pośpiesznie ulicą. — Tęj pani to ciepło, bo ma lisy na sobie — mówił Adaś.

— Ale zawsze nie tak ciepło, jak temu panu, co z nią idzie, bo ma bobry na sobie — odpowiadał Staś.

— Alboż bobry ciepłejsze?

— Ma się rozumieć, bóbr w zimie nawet w wodzie nie marznie.

— W wodzie? Co też ty mówisz! Zwierzęta takie miałyby nory w wodzie.

— O, jakie! z daleka wyglądają, jakby się stogi siana z wody wynurzały; ja się też dziwiłem, gdy mi ojciec opowiadał o ich życiu.

Bobry budują domy pośrodku stawu lub rzeki na

mielźnie, robią je z kawałków drzewa i drobnych gałązek, a wszystkie szpary zatykają gliną i szlamem.

Wewnątrz urządzą budynek bardzo porządnie. Jest w nim jeden pokój duży, gdzie siedzi sam bóbr i parę mniejszych pokojów przeznaczonych na spiżarki. W nich nagromadzone są zapasy. Mieszkania całe wysypane są piaskiem lub drobnymi kamyczkami.

Z budynku wychodzi długie przejście podziemne, otwór tego przejścia jest dobrze ukryty pod wodą.

— Mój kochany — pyta zdziwiony Adaś — z kądzle one biorą drzewo i gałęzie na budowę?

— Wychodzą na brzeg i obłamują gałęzie z krzaków, a czasem przegryzają pień u spodu dopóty, dopóki ten się nie powali. Wtedy obłamują części drzewa, ciągną zębami do wody, rzucają je i sprowadzają tam gdzie potrzeba.

— To one nam szkody wyrządzają — mówi Staś.

— O, toby jeszcze małe były szkody, gdyby psuły tylko tyle drzewa ile do budynków potrzebują. Ale lubią bardzo ogryzać korę drzew młodych, obcinać pędy roślin, pąki drzew; wszystko to bowiem stanowi ich pożywienie. Szczególnie dużo szkody wyrządzają w jesieni, kiedy zbierają zapasy na zimę.

Wtedy nielitościwie obdzierają z kory ulubione przez siebie drzewa, jak: wierzyby, topole i jesiony i ściągają je do mieszkania swego.

— A dlaczego bobry stawiają domy nie w lesie, tylko na wodzie? — pyta Staś.

— Bo są bardzo lękliwe, najwięcej boją się o swoje dzieci, żeby im kto nie porwał. W wodzie zaś są nierównie bezpieczniejsze. Chociaż i tu mają swoich strażników bobrów, dających im znać o niebezpieczeństwie.

— A czy dobrze pływają?

— Wybornie, bo palce tylnych nóg mają spięte błoną.

— Ludzie powinnyby tępić tych szkodników.

— To też i tępią. Chociaż o ile bobry za życia szkodzą lasom naszym, o tyle po śmierci są ludziom bardzo pożyteczne.

Dają nam najlepsze i najcieplejsze futro ciemnobrunatne.

— Czy to ładne zwierzę?

— O nie; brzydkie i niezgrabne; głowę ma dużą, tułów szeroki, szyję krótką i grubą; a co ogon to niesłychanie dziwny: bo jest długi i pokryty nie siercią, jak całe ciało, tylko łuskami.

Bóbr pływając posługuje się ogonem niby sterem.

Zresztą dość opowiadania, wolę ci pokazać obrazek.

Staś z ciekawością chwycił obrazek i zaczął się przyglądać bobrom.

Marya Weryho.

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiastrka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dokończenie).

— Skończyłem — zaczął znowu swe opowiadanie — na tem, że opiekunki moje w książce jakiejś szukały

wskazówek co do mego żywienia, wyczytały tam coś widocznie o listkach kapusty, bo wkrótce przyniosły mi kilka świeżych, zielonych, soczystych, jednym słowem doskonałych, ale mnie już nic nie smakowało; straciłem zupełnie ochotę do jedzenia, co było najlepszym dowodem choroby. Rzeczywiście czułem się słabym, smutnym, znękanym i po całych dniach leżałem w kącie mego więzienia, którego już nie zamykano, bo panienki przestały się obawiać ucieczki, widząc że poruszam się z trudem. Z każdą chwilą było mi gorzej i gorzej, a ludzie kręcący się przy mnie i rozmawiający bez względu na moje zdrowie, drażnili mnie niewymownie. Dziwił mnie ich gwar i zajęcie się różnemi drobnostkami życia, które tak błahemi wydawały mi się teraz. Przecierpiałem wiele, ale nie mogę powiedzieć, że to były chwile zupełnie stracone dla mnie: nauczyłem się i korzystałem bardzo dużo, pojąłem że dobre uczynki zawsze niosą z sobą szczęście i zadowolenie, złe — smutek i niesmak.

Przekonał mnie o tem przykład mych małych opiekunek: jeżeli wstały rano, wcześniej przyszły na lekcję i uczyły się pilnie, z ochotą, radość błyszczała na ich twarzyczkach, a zadowolenie przebijało z oczek, wtedy i nauczycielka była mniej surowa i nieraz wybuchy śmiechu rozbrzmiewały wesoło. Przeciwnie gdy czasami—choć trzeba przyznać, że to się rzadko zdarzało—napadła je chętka próżnowania, cała lekcya szła jakoś leniwo, nieswojo, miny były kwaśne, a humory złe. Pewnego dnia, te dwie siostrzyczki posprzeczały się o coś bardzo i cały czas siedziały skrzywione i nadąsane, nie patrząc wcale na siebie. Trwało to dosyć długo, ale przy końcu lekcyi, gdy już chowały książki do szafki, żal im się widać zrobiło zaciemniać sobie życie własną niezgodą, spojrzały więc na siebie raz i drugi pojednawczo, uśmiechnęły się i pocałunkiem przypieczętowały ugodę świeżo zawartego pokoju. Twarzyczki ich rozjaśniły się w jednej chwili, a ja pomyślałem, jak piękną jest zgoda i uznanie popełnionych win. Zauważyłem także, że ludzie zawsze są czemś zajęci i każdy czem innem, a uwaga ta przydała mi się bardzo w późniejszym życiu.

Pewnego razu, gdy zostawiono mnie samym, zauważyłem że drzwi roztwarte są szeroko. Nadzieja ocalenia, ucieczki zaświtała mi w myśli, zebrałem resztę sił i podążyłem w tę stronę. Szedłem długo, bardzo długo, nagle owiało mnie świeższe, chłodniejsze powietrze, a potem... nie wiem co się ze mną stało: wpadłem w rodzaj głębokiego snu czy odrętwienia, z którego dotąd nie mogę sobie zdać sprawy. Trudno mi powiedzieć jak długo trwał ten szczególny stan, wiem tylko, że gdy wreszcie odzyskałem przytomność, uczułem się zupełnie inną istotą: wszystkie bóle i cierpienia ustały jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, byłem zdrow, swobodny, wesoły.

Ucieszony tą niespodziewaną zmianą chciałem popęznąć dalej, rozejrzeć się trochę w koło siebie, aż tu lekkie skrzydełko uniosło mnie w górę.

Byłem więc motylem! Z niewypowiedzianą radością próbowałem wytrwałości mych skrzydełek unosząc się ciągle po szerokiej przestrzeni napełnionej skrzyniami, ubraniami i sprzętami ustawionemi bez ładu i składu. Wtem strumień ożywczego, balsamicznego powietrza

tchnął na mnie ze dworu, ujrzałem jasne obłoki i zielone wierzchołki drzew, teraz nie zatrzymała mię tajemnicza, niepojęta przeszkoda: w kilku poruszeniach skrzydełek ujrzałem się na wolności. Skończyła się więc moja niedola! Usiadłem na kwiecistej gałązce akacyi i rozkoszowałem się tem dawno pożądanem szczęściem. Wolność! cudny, uroczy brzmiący wyraz, ten tylko zdoła pojąć całe jego znaczenie, kto długo przebywał w niewoli. Po pierwszych chwilach zachwyty i uniesienia nastąpiła rozważa i zastanowienie: przypomniałem sobie życie ludzi, że każdy tam ma zajęcie, każdy ma swoje obowiązki, jakiś cel starań i zabiegów; czyżby owady miały być wyłączone od pracy, do jakiej przeznaczony jest świat cały? Zwróciłem się z tem pytaniem do jakiegoś starego, szanownego motyla. Ten popatrzał na mnie z uwagą i rzekł poważnie:

— Patrz ile tu kwiecica rośnie wśród zieleni, naszym zadaniem jest roznosić na lotnych skrzydełkach delikatny pyłek ich pręcików, służyć im za przyjaciela, gońca i powiernika.

Słowa te wyryły się w mój pamięci: w czasie krótkiego motylego istnienia krzątałem się ciągle między kwiatami, przelatując z kielicha na kielich, spełniłem obowiązki do jakich mię powołało przeznaczenie i umieram spokojnie, tobie powierzając los moich dzieci.

Zadumał się motylek, zamyśliła się nawet ruchliwa szczypanka, a wtem natrętny wróbelek zaświergotał na pobliskiej gałązce i nasi przyjaciele rozbiegli się szybko każde w swoją stronę.

SZARADA.

Przyimek albo rzeka  
Do tego polowanie...  
Złożą to, czego para  
Za jedną całość stanie.

Łamigłówka kryształowa.  
ulożył Papieros.

1. Spółgłoska.
2. Bryła lodu.
3. Sprzęt domowy.
4. Nazwa okrycia.
5. . . . .
6. Rzeka w Irlandyi.
7. Rzeka.
8. Organ wzroku.
9. Samogłoska I.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko słynnego poety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go

Zadania konikowego:

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

## Łamigłówni sylabowój:

Sabina — Tarnopol — Erie — Lajbach — Antiwari.  
Stela i Hela.

## Skrzynka do listów.

Dziwiło nas to, że **Mgła** kochana od tak dawna nie odzywała się do nas. Czyby ją rozproszyło skwarne słońce, wakacyom dopiekające? myśleliśmy sobie. Aż oto odzywa się do nas wyreczycielka Mamusi i dołącza nam dowód, że, chociaż **Mgła** jest, w paluszkach jednak igłę utrzymać umie.

**Wiel. Jul. M.** Uczynimy zadość życzeniom Szanownej Pani, pamiętając o tem, aby **Andzia** nie doznała przykrości z powodu przerwy w otrzymywaniu naszego pisma. Szczera radość sprawia nam zawsze wiadomość, że ukochane dzieciny czytają je z zajęciem.

**Wiel. Mar. Sok.** Uczucia Szan. Pani podzielimy w zupełności, pojmując, jak dotychczasowe położenie musiało jej ciężać. Oby tę cieszącą się **Anulkę** szczęśliwie i zdrowo **Bóg** wychować dozwolił razem z jej młodszą siostrzyczką!

**Polka z nad Szczary** pisząc do **Gołąbki** i nam przesyła serdeczne słowo, za które jej odpłacamy uściskiem. Na **Gołąbkę**, nad morzem kędys bujającą, czekają świeżo nadeszłe liściki od **Gałązki Osiny** i **Zorzy Północnej**. Pracowite to i miłutkie istoty, którym nietylko od „kochanej” **Gołąbki** należy się uścisk.

Szarady tak **Niezapominajki z nad Jabłoni**, jak i **Prawdy** musiały uleść zupełnemu przerobieniu.

**Zorzo** droga, za słowa twego liściku... „byłabym wolała wrócić do domu, bo dużo tam było weselej, ale obowiązek przedewszystkiem”, uściśnić cię tylko możemy. Tak, dziewczeczko, obowiązek *zawsze* przedewszystkiem! a im surowiej pojęty, im miłośniej pełniony, tem jaśniejszą zorzą dobrego przykładu i czynu zacnego przyswieca. I ty sama, jak zorza, promieniejesz cała pogodą i weselem spełnionych chętnie obowiązków... Wielka to umiejętność z drobnych zdarzeń życia radość serdeczną wyciągać, a téj, jak widzimy, powinszować ci można...

Na lat ośm, **Kozak Sawa** wcale nie pisze „nieładnie” i na konkursie kaligrafii nie należałby do ostatnich.

**Królowa Elfów** musiała już czytać w naszym Pisemku odpowiedź, udzieloną przez autorkę na nader liczne dochodzące nas w tym przedmiocie zapytania? Użytecznego przepędzenia wakacyj wieszujemy.

**Pszeniczko**, tak ładnie pisząca pomimo bólu oczów, z serca życzymy, aby kuracja jaknajprędzej przyniosła ulgę tym biednym oczętom. Praca dla ubogich dzieci w ostatnich warunkach wykonana, daje nam miarę poczciwości twego serduszka. Jutrzenko, krajać *samój* nie jest rzeczą konieczną, chociaż umiejętność to pożądana i nie wątpimy, że nabędziesz jej z czasem.

Dwie **Marynie z Chr.** uprzejmie prosimy, by zaczekały na swoją kolej, o której wiedzą, jak jest niewruszoną i nieubłaganą. Dla nas samych rzecz to nieraz przykra, ale koniecznie musimy pilnować porządku. Inaczej krzywdaby się działa jednym na korzyść drugich.

**Jaskółko z nad Bohu**, „zapomnienie” które nam wyrzucasz, jest także tylko pilnowaniem się porządku. Wartoby też posadzić w Redakcyi takiego jak ty ptaszka, żeby zobaczyć, czy sobie da radę z natłokiem korespondencyi, w obec szczupłego miejsca jakie dla niej przeznaczyć możemy.

Z każdym rokiem, **Królowo Wrózek**, powiększa się grono naszych staruszek; może przy sposobności pomyślimy o tem, by nową nicią wzmocnić ów węzeł, który nas z niemi łączy.

**Błyskawicy** aż zazdrościmy miłego spędzenia wakacyj. Podróż, jaką odbyłaś, to, co w niej widziałaś, mogło w samą rzecz nasunąć ci wiele myśli i nowemi przejąć cię wrażeniami...

**Ukrainka na Mazowszu** na czas przyszła robotę siostrzyczki

Terosi, ale na robocie niema żadnej kartki, nawet liścik do nas nie podpisany. Czyżby „wiek” zrywać miał węzły serdeczne, że wąż pisz dziewczeczko, o prawie pisywania do nas?

**Wiel. Mar. Jak.** Zaginione numera wysłałiśmy powtórnie; dla **Mani** i **Brońci** dołączamy „**Bóg zapłać**” w imieniu biednych dzieci.

Drogi **Kmicicu!** Przepraszam cię, iż tak długo nie odpisywałem, ale mi brakowało czasu. Donoszę waści, iż wąsików jeszcze nie posiadam ale być może, że później wszystko będzie. Za parę miesięcy kończę lat 15; jestem w IV ej klasie i mieszkam w **Warszawie**. Jeśli jesteś zeszlórocznym prenumeratorem „**Wieczorów**” to znajdziesz list do siebie w Nr. 38, a lamigłównę w Nr. 44 rocznika zeszlórocznego. Co lubisz najlepiej? ja poezye. Napisałer już dużo wierszy, jako to „**Zawisza Czarny**”, „**Bolesław Śmiały**”, „**Epaminondas**”, „**Egzamina**” i wiele innych.

Bywaj, zdrów mój ty, **Kmicicu!**  
I odpisz-żeż, ty z **Tyflisu**. Twój *Wolodyjowski*.

Kochane: **Biała Chmurko**, **Jesieni** i **Filaretko!** Wieszuję o **Białej Chmurko**, żeś družką była, ja też raz w życiu mając lat 1 dostąpiłam tego zaszczytu na weselu mojej ciotki. Chciałabym się z tobą kiedy zobaczyć; może w **Rosolowcach?** **Filaretko!** W czasie wolnym od nauki przechadzam się, gram w piłkę, robię robotę i czytam. Donoszę ci, **Jesieni**, że wielkiego upodobania do muzyki nie mam. Prosząc bardzo, abyście jeszcze kiedy do mnie napisały całuję was, drogie siostrzyczki, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Luby poranku i ty, droga **Czarnooka z Puszczy!** Ucieszyłam się, że nie zapomniacie o mnie. Ty, **Poranku**, przyslij mi kiedy także jaki osobny liścik, a tobie, **Czarnooka** powiem, że cię pokochała jeszcze więcej za to, że przenosisz swoją puszcę nad obce krainy. Całuję was serdecznie. **Brzydotka z nad Tałmizy**. **Lubą Wiedenkę z żywoplotu** i wzajemnie serdecznie pozdrawiam.

**Miluchna Pomarańczarko**. Bardzo się cieszę że chcesz ze mną korespondować. Niezadługo kończę 14 lat. Lubię bardzo konny jazdę, łódkę i inne przyjemności wiejskie i jeszcze mnóstwo rzeczy o których ci potem napiszę. Jestem wysoką ciemną blondynką z ciemnymi oczami i białą cerą. Opisz siebie kochana **Pomarańczarko**. Posyła ci uściśnienie. *Śpiewna Lira*.

Droga moja **Cezaryno!** Chętnie zaczynam z tobą korespondencję, tem bardziej że teraz wolniejszą jestem, bo skończyła nauki, odebrawszy na kursach dla panien w **Sorbonie** 3 medale. Chcesz, bym ci o sobie doniosła? Otóż wiedz, że okropnie starze mi na imię **Julia** i że czuję wiele sympatyi dla czytelniczek **Wieczorów**. Twoja życzliwa *Jaskółka z nad Sekwany*. **Jerzynkę Węsałką** i **Gołąbkę W.** ściskam serdecznie.

Kochana **Psotnico!** I mnie twój pseudonym podoba się i chciałabym z tobą korespondować. Mam lat 12, uczę się w domu, jestem wesoła, a z twego pseudonymu pokochałam cię. Odpisz mi tylko napewno, bo z wielką niecierpliwością będę oczekiwała twjej odpowiedzi. Całuję cię serdecznie. *Figlarka*.

**Miła Wiochno z pod Lublina!** Obie jesteśmy staruszkami i obie dawnymi korespondentkami, a dotąd żadnego liściku nie zmieniłyśmy ze sobą! Na początek naszej znajomości uścisk serdeczny ci przesyłam. **Psotnico** kochana! twój pseudonym zachwył mnie; wesoła z ciebie widać osobka, co do mnie choć jestem prastarą staruszką, to figle płatać umiem jeszcze doskonale! **Kapła** ko **Znicza!** teraz dopiero znalazłam twój liścik miłutki, wybacz mi proszę, i przyjm uściśnienia od roztrzepanej i kochającej *Czeską Niezabudki*. Serdeczne pozdrowienia **Jaskółce Nadsekwanijskiej**.

Drogi korespondentki. Jeżeli która z was pisała do mnie w przeciągu ostatnich trzech miesięcy, a odpowiedzi nie otrzymała, niech mi tego za złe nie bierze. W tym właśnie czasie spotkałam się cios okropny: straciłam moją najlepszą mateczkę! Nic mi dziwnego iż na listy wasze nie odpisywałam; sądzę że nie weźmiecie mi tego za złe. Czekając waszych liścików, zostaję kochającą was. *Stokrotka z nad Stochodu*.



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

STUDNIE ARTEZYJSKIE.



Często słyszymy, a częściej jeszcze czytamy w pismach i podróżach wzmiankę o tak zwanych studniach artezyjskich, które oddawać mają ludziom nieocenione usługi. Jak jednak wyglądają te studnie i na jakich prawach fizycznych są one zbudowane, nieraz jasnego nie mamy pojęcia. A jednak

rzecz to bardzo ciekawa, z kąd bierze się to bogactwo wody, w miejscach gdzie na powierzchni ziemi brak jej zupełny, i dla czego woda, wydobywszy się raz z łona ziemi, nie rozlewa się szeroko, lecz jak to widzimy na powyższej rycinie, wytryskuje w górę, tak zupełnie jak nasze sztuczne wodotryski.

## PROCH BEZ DYMU.

Pogadanka naukowa.

Nad powstaniem źródełek podziemnych zastanawiali się od najdawniejszych czasów ludzie myślący, tworząc różne teorie; dziś doszli do tój pewności, że źródła powstają i zasilane są stale wilgocią atmosferyczną. Deszcze, śniegi, rosy, to niewyczerpany skarbiec wilgoci, z którego ziemia nasza czerpie bezprzestannie, że zaś na górach i wyniosłościach wilgoć ta obficiejsiada, większy jest też tam zasób wody, wsiąkającej w ziemię, i tam też najczęściej początek swój biorą źródła podziemne. Przez porowatość gruntu woda przenika do głębin większych lub mniejszych, dopóki nie napotka warstwy ziemi tak zbitój i nieprzenikliwój, że w nią wsiąkać nie może. Wtedy to skupia się w tem miejscu i uchodzi bokiem, aż zależnie od ukształtowania powierzchni ziemi znajdzie sposobność do wydobywania się na zewnątrz, tworząc strumienie i rzeki. Gdy kopiemy głęboko grunt, tworzymy sobie sztuczny dostęp do wody podziemnej i możemy mieć studnię. Nieraz bardzo głęboko kopać trzeba, zanim się na źródło natrafi. Najtrudniejszy dostęp do wody przedstawiają kraje piaszczyste i skaliste, tam też brak jej dotkliwie czuć się daje. Gdy okolica, w której się studnia mieści, przypada na poziomie znacznie niższym od zasilających ją zbiorników górskich, wtedy woda wytryskiwać będzie w górę tem wyżej, z im większych pochodzi wyżyn. Dzieje się to na mocy tego samego prawa, na mocy którego w rurce zgiętej w kształcie litery U, czyli jak ją fizyka nazywa *rurce komunikacyjnej*, woda w nią wlewana w *obu jej ramionach* wzniesie się do *równego poziomu*. Źródło górskie porównać można do jednego ramienia rurki, słup w górę bijącej wody do drugiego ramienia; jednak poziom wody wytryskującej niższym będzie niż w źródle, w skutek tarcia słupa wody o powietrze. Źródeł też bijących w górę nie widzimy w krajach płaskich, więc choć i u nas wiercą nieraz studnie dość głębokie, żadna z nich nie jest studnią artezyjską, gdyż właśnie to wyrzucanie wody w górę jest ich cechą charakterystyczną. Dla łatwiejszego wydobywania wody z głębin ziemi, zaprowadzają przy budowie studzien artezyjskich od powierzchni ziemi aż do samych źródeł, rury żelazne, a obfitość dobywającej się wody jest zazwyczaj bardzo wielką. Nazwa artezyjskich nadaną została studniom z powodu pierwszój w tym rodzaju studni wywierconój w 1124 r. w hrabstwie *Artois*, w klasztorze Lilles. Odtąd, studnie te coraz więcej się rozpowszechniają i dla wielu miejscowości są istotnem dobrodziejstwem, sprowadzając życie i bogactwo w okolicach tak nieurodzajnych, jak Sahara algierska i niektóre części Australii. Niejedne dochodzą głębokości 600 metrów, a jeszcze woda wzbija się nad ziemię do 50-ciu metrów, a jeżeli zastosujemy tutaj fizyczne prawo owój rurki komunikacyjnej, będziemy mieli wyobrażenie, na jakich wyżynach źródła ich biorą swój początek. Rycina powyższa przedstawia nam jedną z licznych studzien, jakie wywiercono w mieście Riverside w Kalifornii, gdzie panował zupełny brak wody; dziś, dzięki tym studniom, miasto szybko się rozwija, a nadto użyźni ona okolica sprowadzoną kanałami wodą, jest jedną z najbogatszych miejscowości tego kraju. Niekiedy woda w tych studniach wytryska w postaci olbrzymiego dzwona, tak, że pod tą powłoką wodną człowiek wygodnie pomieścić się może, co mamy również przedstawione na naszej rycinie, a ciekawa to musi być rzecz, znaleźć się pod takim wodnym kloszem.

M.

Gdy piętnastoletni Kazio dostał od ojca dubeltówkę, nie posiadał się z radości. Strzelbę swoją czyścił co rano, przewieszał ją przez ramię, to znów zawieszał na ścianie, gładził jej wypolituowaną kolbę i zazdrosnie spoglądał na każdego, kto ją dotknął. Codziennie też wychodził ze strzelbą w pole lub do lasu ćwicząc się w strzelaniu do celu. Ojciec dając mu ową dubeltówkę ucieszył go też słowami, które później Kazio z niejaką dumą powtarzał rodzeństwu:

— Daję ci tę broń, bo wiem, że potrafisz rozważnie z nią postępować i na złe jej nie użyjesz.

— Widzicie — wołał Kazio — ojciec uważa mnie za dorosłego.

— Już ja postaram się być także rozważnym — zaręczał o rok od Kazia młodszy Witold. — A czy w twoich nabojach jest proch bez dymu?

— O nie!... — odparł Kazio — proch bez dymu to świeży zupełnie wynalazek, który jeszcze nie znalazł ogólnego rozpowszechnienia.

— I dlaczegóż to zwykły proch dymi? — zapytała siostra Andzia.

— Zaraz ci to wytłomaczę — odparł Kazio. — Czy wiesz z czego proch się składa?

— Z siarki, węgla i saletry, czyli azotanu potasu — wtrącił Witold.

— Tak jest. Otóż wiesz, Andziu, że uderzenie wywołać może ciepło.

— Wiem, wiem — przerwała dziewczynka — wiem i to że proch w broni palnej rozgrzewa się właśnie za pomocą uderzenia wywołanego poruszeniem cyngla... — tu urwała.

— A dalej? — zagadnął Kazio.

— Przyznam ci się, że nie wiem. Kula wylatuje z lufy wyparta siłą gazu. Skąd się jednak wziął ten gaz, z tego nie zdaję sobie jasno sprawy.

— Właśnie proch w gazy zamienia się pod wpływem podwyższonej temperatury. Wszak uczy nas chemia, że jeśli chcemy połączyć dwa pierwiastki z sobą, by utworzyć z nich ciało złożone, musimy najczęściej ogrzać je, otóż w prochu widzimy cztery pierwiastki: siarkę, węgiel, azot i potas, gdy mieszaninę tę ogrzejemy, czy wiecie jakie procesy chemiczne powstają w lufie mojej dubeltówki? Oto tworzy się siarczan potasu i węglan potasu, oraz azot i tlenek węgla. Dwa ostatnie ulatują jako gazy z lufy, siłą swoją wyrzucając kulę, dwa pierwsze zaś są ciałami stałymi, których część pozostaje w lufie, część zaś w postaci drobniutkich pyłków tworzy właśnie ów dym, który widzimy po każdym strzale.

— Ach rozumiem — zawołała Andzia. — A ten proch bez dymu, o którym wspominał Witold, z czegóż się składa? Przecież nie z samego azotu i tlenu węgla.

— O nie. Nowy proch we Francji wynaleziony, jest związkiem chemicznym kwasu azotowego z celulosą. Wybuchając, związek ten całkowicie prawie przechodzi w stan gazowy, a raczej rozkłada się na kilka gazów i parę wodną, jednak pozostaje lekki i przezroczysty obłoczek dymu, który pochodzi poprostu z pyłków węgla, gdyż celuloza, jak każdy organiczny związek, węgiel w sobie zawiera.

— Rozumiem teraz różnicę, między nowym a starym prochem — rzekła Andzia. — Więc dym zawsze składa się z drobnych stałych cząsteczek ciała palonego. A czemuż on unoszą się w górę?

— Bo cząstki te są tak drobne i lekkie, że z łatwością unoszą je z sobą gazy wywołane paleniem.

Wynalazek nowego prochu podobał się Andzi.

— Ten nieznośny obłoczek dymu zasłania ci zawsze tarczę do której strzelasz — mówiła do Kazia.

— Drobnostka! — odparł. Dym prędko opada. Ja bardzo jestem zadowolony z mojej dubeltówki, chociaż nabijam ją dymnym prochem. Zobaczysz, że jeszcze w tym roku

nie jednego upoluje zająca. Wreszcie wynaleziono nowy sposób wyrzucania kuli.

— No jakiż to?

— Siłę prochu zastępuje siła skroplonego gazu węglanego. Widziałem rysunek, przedstawiający nowego systemu fuzję. Gaz skroplony, za pomocą silnego bardzo ciśnienia, zamknięty jest szczelnie w rurce cylindrycznej, umieszczonej pod lufą. Cyngiel od strzelby połączony jest z tą rurką, gdy go naciśniemy, usuwamy zarazem klapkę, zamykającą zbiornik skroplonego gazu, i w tej chwili kropla tego płynu, w zetknięciu z powietrzem, w gaz się zamienia i kulę wyrzuca. Tutaj niema już wcale dymu.

— Więc po jednym wystrzale, znowu trzeba skroplony kwas węglowy wprowadzać do rurki...

— Nie. To byłby sposób bardzo niepraktyczny. Rurka nabożowa zawiera tyle gazu że można pięćset razy wystrzelić. Wewnętrzna klapka za poruszeniem cyngla otwiera się bowiem na jedno mgnienie oka i wnet powraca do pierwotnego swego położenia, zamykając gaz do dalszego użytku. No, a teraz chodźmy spróbować mojej dubeltówki.

*Młody Przyjaciel.*

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

U schyłku schodów, na środku obszernego trawnika, na odłame skały, stał konny posąg rycerza z białego marmuru. Przedstawiał starca z długą brodą na wiatr rozwianą, w hełmie uwieńczonym koroną; koń był w galopie, a grzywa jego i szyja wyciągnięta, i płaszcz pokrywający zbroję, wskazywały, że prześciga wicher. Starzec puści mu cugle; twarz jego piękna dziwnym promieniła blaskiem, a oczy lekko przymrużone, jakby dla lepszego zmierzenia odległości, którą miał przebyć, patrzyły tak daleko, że zdaje się nic bystrości jego wzroku nie mogło doścignąć — tak daleko, jak gdyby wieki przyszele widział przed sobą.

Stałem przed tym posągiem, nie mogąc zgadnąć, kogoby przedstawiał.

— Gdyby młodzieńca wyobrażono tak pędzącego — myślałem — byłoby to naturalne, ale starzec w galopie!

Na wystającym odłame skały zauważyłem następujący napis złotemi literami:

### BOŻYDAR

Król Fantazyi i Wyobraźni.

— A więc to jest posąg ojca trzech królewiczów! Król Fantazyi i Wyobraźni!...! więc Tamarix powiedział prawdę, a ja wziąłem to za żart i obraziłem się nawet na niego.

Poniżej na marmurze zobaczyłem kilka wierszy nakreślonych ołówkiem i zaciekawiony przeczytałem:

„Urodził się jednocześnie z pierwszym człowiekiem na ziemi; umrze, gdy ziemia zostanie zupełnie wyludnioną.

Berłu jego podlegają wszystkie narody.

On nędzarzy cieszy nadzieją dostatku, cierpiącym i zmęczonym ukazuje spokojne wezglowie, a sierotom powraca chwilami tych, których utracili! On zwyczajnym daje uczuwać radość zwycięstwa, a wygnańcowi ukazuje zdala obraz ojczyzny, potężny i dobroczynny, prawdziwy

Boży dar.

Błogosławią go wszystkie ludy.”

Dziwne wzruszenie mnie ogarnęło, gdy przeczytałem ten napis, był bowiem skreślony nie po łacinie ani po atlantyjsku, ale w moim dobrze mi znanym języku. Czuć było, że ten co to pisał, musiał cierpieć... Poczulem odrazu wielkie współczucie dla tego człowieka, pragnienie ujrzenia go i mówienia

z nim. Kto on jest? Jak się tutaj dostał? Jakie były koleje jego życia?

Dwa wodotryski bijące z dwóch stron posągu, zbudziły mnie z zamyślenia. Podniosłem oczy i ujrzałem szereg wspinających tarasów, wznoszących się stopniowo coraz wyżej, tarasów przepięknych bogatą roślinnością, wśród których zdala widać było sztuczne grotty, wodotryski i baseny, a których ściany zastępowały szeregi kolumn marmurowych, połączonych festonami zieleni. Słynne ogrody królowej Semiramidy, zaliczane niegdyś do siedmiu cudów świata, nie mogły być chyba piękniejsze! Perspektywa rozwijająca się stąd, — i ukazująca z jednej strony owe tarasy, a z drugiej cały kraj tonący w powodzi kwiatów i zieleni, kraj istnie jak zaczarowany — była tak cudowna, że zapomniawszy iż jestem sam, zawołałem:

— O jakże królestwo Zielonki jest piękne!

Z obszernego placu Bożydara, pięknymi zasadzonego drzewami, i ozdobionego kobiercowymi kłębami, dwie bramy żelazne, przezroczyste, wytworną ozdobione ślusarszczyzną, przedstawiającą płataninę liści i kwiatów, wiodły w dwie różne strony, a żołnierze gwardyi trzymali przy nich straż. Nad górnymi łukami bram były jakieś napisy z wielkich złożonych ułożone liter. Spojrzałem na lewo i wyczytałem: **Cryptogamae**. Odwróciłem się na prawo i wyczytałem znów **Phanerogamae**. „Cryptogamae”, „Phanerogamae”, co znaczą te tajemnicze wyrazy? Czy to są może słowa jakiego tajemniczego zaklęcia? A jednak, były mi one skądś znane, gdzieś je słyszałem, czy czytałem, choć nie mogłem sobie przypomnieć gdzie. Stałem tak chwilę, pracując myślą i usiłując koniecznie coś z pamięci wydobyć, jakieś wspomnienie mogące mi być wskazówką, ale myśl pracowała nadaremnie. Nareszcie zmęczony dałem pokój. Dawniej było podobno zwyczajem różne napisy umieszczać nad drzwiami domów, i zwyczaj ten utrzymuje się jeszcze gdziegdzie na Wschodzie. Może jeden lub drugi wyraz, znaczy po atlantyjsku: „Witajcie!”

Zadawałem sobie pytanie, w którą stronę iść teraz, na prawo czy na lewo i gdy się nad tem namyślałem, brama z lewej strony uchyliła się i wyszedł przez nią *Astragalus*.

— Panie — przemówiłem do niego — wszystko tu u was jest bardzo piękne, ale tak dziwne i niezwykłe, że chwilami przestaję wierzyć w rzeczywistość moich przygód, i myślę, że chyba marzę. Usiłowałem właśnie odgadnąć, co znaczą te napisy które czytałem nad bramami. Czy to są jakie czarodziejskie słowa, znane tylko wtajemniczonym?

Oficer popatrzył na mnie z uśmiechem i rzekł:

— Wyrazy te nie mają żadnego tajemniczego znaczenia: są one znane wszystkim botanikom. *Cryptogamae* znaczy *Skrytokwiatowe*; *Phanerogamae*, *Jawnokwiatowe*. Wszystkie rośliny kuli ziemskiej dzielą się na dwie części: na takie, które nie mają widocznych kwiatów i nasion, ale rozmnażają się z drobniutkich zarodników, i dla tego nazwano je skrytokwiatowymi — i na takie, które mają widoczne kwiaty i nasiona, i dla tego zowią je jawnokwiatowymi.

Teraz gdy mi to powiedział, przypomniałem sobie odrazu z kąd te wyrazy były mi znane i dziwiłem się, że sam na to nie wpadłem.

— Stosunek jednych do drugich na świecie jest taki — mówił dalej — że jawnokwiatowe zajmują aż trzy czwarte przestrzeni ziemi, a skrytokwiatowe tylko jedną, dla tego dwa główne działy roślin, co do jakości — pod względem ilości, bardzo są nierówne. Zostawmy *Cryptogamae* na boku, jako stanowiące odrębną całość: łączy się ona z prywatnymi komnatami królewicza, który najwięcej przebywać tu lubi. Wrócimy do nich później. Idźmy na prawo: mamy przed sobą przeszło pół godziny czasu; mogę panu choć powierzchownie pokazać nasze ogrody wiszące.

Rozwarł podwoje bramy *Phanerogamae*, i znaleźliśmy się znowu na wspinającym tarasie, będącym jak się przekonałem, tylko przedsiönkiem innych, bo tam ujrzałem znowu trzy bramy, choć nieco mniejsze od poprzednich, i zacząłem czytać nad nimi napisy: **Monocotyledonae**, **Dicotyledonae**, i **Gymnospermae**, co jak mnie objaśnił *Astragalus*, znaczyło: **Jednoliścienne**, **Dwuliścienne** i **Nagonasienne** czyli **Wieloliścienne**.

— Królewicz swoje ogrody wiszące urządził podług najlepszej i najnowszej klasyfikacji roślin — mówił dalej. — Zapoznaj się pan dobrze z ich rozkładem, a nigdy w nich nie zabłądzisz. Nie będę ci ich teraz pokazywał szczegółowo, bo nie mamy na to czasu, ale warto żebyś chociaż zdaleka rzucił na nie okiem, i tem łatwiej mógł się tu później orientować.

To mówiąc postąpił ku bramie dwuliściennych i ukazał mi troje drzwi, ponad którymi przeczytałem: *Apetalae, Monopetalae, Polypetalae*; to znaczy *Bezpłatkowe, Jednopłatkowe, Wielopłatkowe*. Nie puszczając mnie dalej, zamknął ją, i wskazał na bramy Jednoliściennych i Nagonasiennych, mówiąc: — Tych obu tymczasem otwierać panu nie będę, poza niemi bowiem żadnych większych bram niema. Rośliny te same w sobie stanowią odrębne całości i wielkich działów nie mają. Zrozumiałeś już pan teraz główny plan ogrodów królewicza Zielonki, nieprawdaż!

Skinałem głową pomyślawszy że go muszę narysować dla czytelników *Wieczorów* rodzinnych, z polskimi napisami, zamiast łacińskich, bo po łacinie, nie każdy umie i odpowiedziałem.

— Plan bardzo dobry, ale grzeszący, jak mi się zdaje, zbytnią jednostajnością, bo gromadzi za każdą z tych bram tylko podobne sobie rośliny, a czyż nie wiele piękniejszą byłaby różnorodność? Wszakże w naturze nie istnieje taka indyjska kastowość! Rośliny nie rosną gatunkami oddzielnie, ale łączą się w towarzystwo. Trawy, mchy, grzyby, kwiatki tulą się u stóp drzew; bluszcz owija zarówno pnie róż jak i dębów; a lilie, astry, stokrotki rade żyją w sąsiedztwie akacyj, bżów i jaśminów, zasłaniających je od zbyt skwarnych promieni słońca. Dla czego królewicz tak je rozdzielił żelaznymi bramami, jakby chciał między niemi mur chiński postawić?

na jednym miejscu zgromadzać? Toż cała wyspa jest jednym wielkim ogrodem!

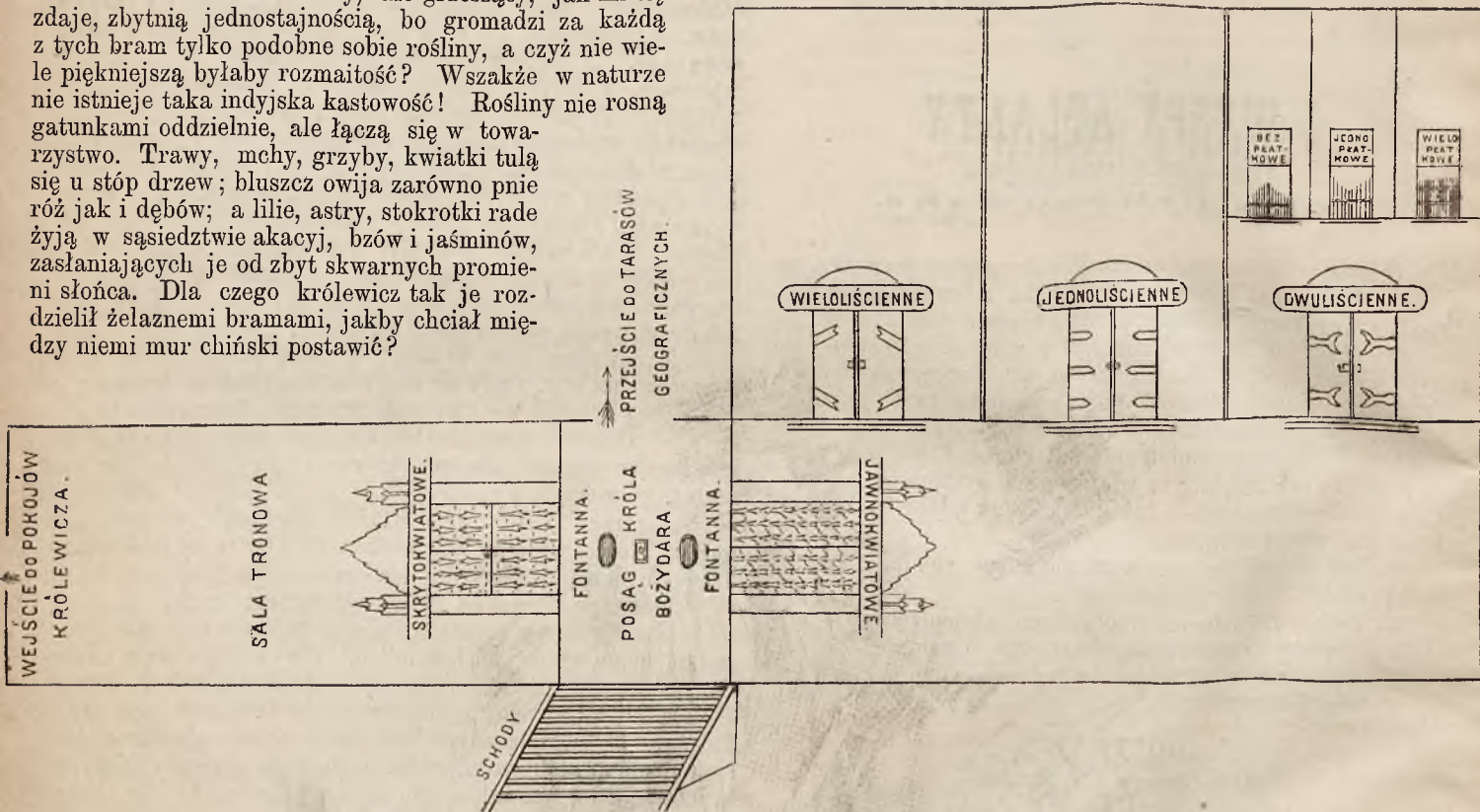
— Tak, ale tutaj królewicz ma je wszystkie pod ręką, nie potrzebując szukać ich daleko. Lubi on badać życie roślin i podpatrywać je z bliska. Jestto jego wielka, wszechświatowa pracownia, uzupełniana codziennie, przez coraz nowe zdobycze,

— Nad obszernem i potężnym państwem, panuje Zielonko — powiedziałem — chciałbym wiedzieć ile też mniei więcej może mieć poddanych?

— Według ostatnich obliczeń, jest ich sto dwadzieścia tysięcy gatunków, tyle przynajmniej zawierają nasze książki i zielniki; ale królewicz utrzymuje, że to jest tylko liczba poznanych dotąd i że musi ich być około pięciuset tysięcy.

— Olbrzymia cyfra! Pomiędzy tak znaczną ludnością, są pewnie rody więcej znane?

— O tak. Pod tym względem chlubię królestwu przynależną, cnie i nader popularne rody: z Jednoliściennych:



Plan części ogrodów wiszących królewicza Zielonki.

— Królewicz zachował w tej części swoich ogrodów porządek naukowy, żeby gdy księżniczka Gentiana podrośnie i zacznie się uczyć botaniki, łatwiej układ świata roślinnego pojęła.

— Gentiana? Któż to taki?

— Nie wiesz pan? Następczyni tronu, Goryczka; Goryczka po łacinie zwie się *Gentiana*. W drugiej części ogrodów, gdzie pan ztąd widzisz tarasy, stopniowo jedne nad drugimi wzniesione, niby schody, zachowany jest inny układ: hodowane tam są rośliny różnych klimatów, na różnych wysokościach. Znajdziesz tam rośliny Południa i Północy, Wschodu i Zachodu. Z nich księżniczka nauczy się z czasem geografii roślin, a ma też królewicz rozległe ogrody, gdzie bez względu na geografję i podział naukowy, nagromadzono wszystko co najwięcej oko zachwyca.

— Sprowadzanie rzadkich, osobliwych roślin z daleka, rozumiem — odpowiedziałem — ale jeżeli królewicz jest władcą wszystkich roślin Atlanty, czy potrzebował je tu wszystkie

*Liliowate, trawowate, storczykowate*; z Dwuliściennych: *Makowate, Jaskrowate, Różowate, Złożone, Krzyżowe, Pierwiosnkowate, Wargowe, Maskowe, Motylkowate, Rdestowate, Psiankowate, Baldaszekowate*. Znają je wszyscy, dzieci nawet.

Dziwne nazwiska — zauważyłem, zapomniawszy na chwilę, że to mowa o roślinach. — Ród Krzyżowych pochodzi zapewne od tych, którzy szli na zdobycie Jerozolimy?

— O nie — odrzekł z uśmiechem — przeznaczeniem kwiatów jest raczej słać drogę zwycięzcom i wieńczyć ich, a nie walczyć i zdobywać, choć wiele nasionek zawędrowało z walczącymi rycerzami, czy to w żołądkach koni zaniesione, czy w faldach szat pielgrzymich, jako pył przydrożny i na dalekim Wschodzie zakwitło woniami i barwami Zachodu. Po powrocie Krzyżowców naodwrot w Europie niejedna roślina Wschodu wyrosła i zakwitła. Wędrowni ludów, powodują często wędrowni roślin.

— Jakiej też barwy roślin najwięcej jest na świecie?

— Białych; po nich idą żółte, potem ponsowe, dalej

błękitne i fiołkowe. Są jeszcze kwiaty różnobarwne, ale tych jest najmniej.

— A jaki jest stosunek pachnących do niepachnących?

— Pachnących które żyją w Europie i hodowane są także na Atlantycie, jest cztery tysiące dwieście gatunków. Znacznie większa jest liczba kwiatów wydających przy potarciu, lub nawet bez potarcia, niemiły zapach.

— Myślałem, że pachnących jest daleko więcej! Czy-

potrzebą ciepła i okazalszego stroju; ale żeby pachnęli jak kwiaty, i dla tego zanieczyszczali sobie krew aromatycznymi płynami, to jest poprostu śmieszne i bezużyteczne, bo mogą przecież bez tego napuszczać swoje szaty wyciąganą z kwiatów wonną treścią. Do czego to próżność nie dochodzi! Lepiejby zrobili ludzie, żeby naśladowali rośliny w wytrwałości i uczyli się od nich, jakim sposobem małymi środkami można wielkie cele osiągać.



Rozpoczęła się walka śmiertelna...

tałem w gazetach niedawno, że jakiś lekarz francuzki nazwiskiem Russel, wymyślił sposób nadawania ludziom zapachu kwiatów, przez wstrzykiwanie płynów aromatycznych w krew, co jest niejako balsamowaniem za życia. Osoby, które się temu poddały, oddychały podobno przez kilka dni woniami i po ciły się wonnie.

— Czytałem i ja o tem — odrzekł Astragalus — i powiedziałem sobie, że to jest dziwactwo. Jeżeli ludzie ubierają się w skóry zwierząt i pióra ptaków, to się da wytłomaczyć

Otworzyłem oczy szeroko na te słowa.

— Małymi środkami wielkie cele — powtórzyłem — żartujesz pan chyba!

— Nie żartuję. Człowiek gdy mu się coś nie wie, zniechęca się łatwo, choć ma rozum i rozwagę, choć uważa się za coś lepszego od innych tworów Bożych; a wątła roślinka przyczepiona do skały, wpija się w nią powoli a wytrwale drobniemi, cienkimi jak włosy korzonkami i kruszy je. Używa do tego różnych sposobów, wypuszcza z korzonków sok kwa-



śny rozpuszczający kamień, i zamienia go w pożywną dla siebie ziemię. Nauka to dla ludzi i dla ludów. Człowiek żali się i narzeka, roślina milczy i robi swoje.

Słowa te dały mi wiele do myślenia.

— Szczęśliwy monarcha z takimi tylko poddanymi mający do czynienia — odezwałem się — nie utrudniają mu oni sztuki rządzenia. Rewolucyi chyba nie bywa tu żadnych, ani są znane zaborcze dążenia możnowładców.

— O, mylisz się młodzieńcze. Sztuka rządzenia jest tutaj równie trudną, jak we wszystkich państwach ludzkich; potrzebuje czujności, rozwoju i rozumu. Posłuchaj tylko: Królewiczowa Jagódka, wielka lubownicza fiołków, otrzymała zeszłego lata w darze od pewnego zagranicznego księcia, kilka krzaków kwitnących biało. Kazała je posadzić w sąsiedztwie szafirowych i w ciągu lata tak się rozmnożyły, że wyparły tamte z ich stanowisk. Téj wiosny królewiczowa na próżno szukała w trawie swoich ulubieńców: znalazła tylko kilka krzaczków. Wszystkie miejsca na których rosły, zajęli biali przybysze.

— To dziwne!

— Są rośliny, posiadające większą od innych siłę rozrzedzania się i tym trzeba niekiedy stawiać przeszkody, a inne słabsze, odpowiednią otaczać opieką. Perzu gdyby nie tępić, wyparłyby wszystkie rośliny i zajął całą ziemię. Między korzeniami roślin w głębi ziemi, toczy się taka sama głucha, zacięta walka o piędź ziemi, o okrusz skały, o soki pożywne, jak między ludźmi o byt, tylko ta jest różnica że krwi nie widać. O, młodzieńcze, gdy poznasz tajemnice tego świata, dowiesz się wielu ciekawych rzeczy, wielu rzeczy takich, wobec których zadrzysz i włosy od grozy powstaną ci na głowie. Między temi pięknymi, delikatnymi, niewinnymi istotami, których sam widok raduje serce, są mordercy, złodzieje, nawet kannibale, są pasożyty, którym nie chce się pracować na własne utrzymanie, więc żyją na innych roślinach, wypijając z nich żywcem soki pożywne!

— Co pan mówi!

— Tak jest, sam się o tem przekonasz. Czemże owe białe fiołki zagranicznego księcia, były lepsze od najazdu Hunnów na Europę, od Turków lub Mongołów? Jedne z nich wytepiają drugie, a wszystkie mają wspólnych nieprzyjaciół pod ziemią, w postaci gąsienic i owadów. Tym jednak tylko sposobem utrzymuje się na świecie równowaga.

— Dziwne, dziwne rzeczy — szepnąłem. — Chodząc po ogrodzie i zachwycając się barwnymi kwiatami, nie przypuszczałem nigdy, że między nimi dzieją się tak straszne tragedye...

Tak rozmawiając, wróciliśmy powoli na plac Bożydara, a ja rzuciwszy okiem na posąg, spytałem:

— Czy to jest postać alegoryczna, czy też pomnik istotnie żyjącego monarchy, lub bohatera słynnego w dziejach? Istnieje-ż naprawdę królestwo Fantazyi?

Astragalus uśmiechnął się.

— Istnieje — odrzekł — ale nie w świecie materialnym. Królewicz Zielonko życzył sobie mieć tu rzeźbę alegoryczną wyobrażającą fantazyę i rzeźbiarz nadworny, prawdziwy artysta, przedstawił ją w postaci pędzącego rycerza, któremu nadał rysy ojca królewiczów, Bożydara, bardzo pięknego, szlachetnego starca.

— Stworzył prawdziwe arcydzieło — odrzekłem — pomysławszy, że Tamarix jednak zażartował ze mnie.

Astragalus zatrzymując się przed bramą z napisem *Cryptogamae*, rzekł wyciągając rękę:

— Tam znajdują się wszystkie skrytokwiatowe, a więc *porosty, mchy, grzyby, widłaki, skrzypy, paprocie*. Łączy się ten taras z prywatnymi pokojami królewicza i przez lato zamieniony bywa na salę tronową. Skrytokwiatowe, jako najwięcej mające tajemnic do zbadania, najwięcej zajmują królewicza: tu on najczęściej przebywa i tutaj daje posłuchania. Utrzymuje, że paprocie, będące praojcami wszystkich drzew kuli ziemskiej, są najodpowiedniejsze powadze królewskiego majestatu. Chodźmy! zanim poseł indyjski opuści tę salę, przypatrzysz się pan z daleka naszemu władcy.

Gdy przekraczaliśmy bramę, odezwałem się, spoglądając

na róże, zatknięte na ostrzach mieczów żołnierzy trzymających straż przy niej.

— Mundur tutejszej gwardyi jest bardzo piękny, ale jakże ogromna ilość róż musi wychodzić dla całego pułku! Kwiat bez wody więdnie bardzo prędko, więc żeby żołnierz miał zawsze świeży, musi go kilka razy na dzień odmienić. Jak się to dzieje, że królewicz, który kocha kwiaty, zezwala jednak na taką rzeź?

— Dla tego właśnie że je królewicz kocha, każe obcinać rozwinięte, żeby nie odbierały soków pożywnych pozostałym pączkom i pozwoliły im się także rozwinąć. Jeden kwiat wystarcza na cały dzień, a czasem i na dłużej, bo każdy jest zaopatrzonej w wodę.

Zbliżył się do żołnierza i ujmując za miecz pokazał mi założony w maleńki, umyślnie w tym celu zrobiony otwór, cienki drucik do którego przymocowano rurkę szklaną, napełnioną wodą; w wodzie zanurzona była łodyżka róży.

— Jakże, jesteś pan zadowolony? — zapytał śmiejąc się.

Miejsce, w którym znajdowaliśmy się teraz, było jakby wielkim przedsionkiem olbrzymiej sali, oddzielonej od niego zasłoną zieloności. Po drucie, przeciągniętym u góry od jednej kolumny do drugiej, przewieszaly się wijące paprocie, i w delikatnych do ziemi spadających splotach, tworzyły żywą zasłonę, niby ręką biegłego artysty zawieszoną. Ziemię wyścielał miękki kobierzec mchu, jaśniejącego wszystkimi odcieniami zieloności i tłumiący szelest naszych kroków. Astragalus odgarnął nieco festony zieleni i trzymając je tak, rzekł do mnie:

— Przypatrz się pan teraz majestatowi naszego monarchy.

Zbliżyłem się do otworu i ujrzałem salę tronową niesłychanej wspaniałości. Tak samo jak te, które dotąd widziałem, miała rzędy kolumn marmurowych zamiast ścian, a zamiast czystego błękitu przezroczyście sklepienie z pnących roślin, podnoszące się w samym środku, w kształcie olbrzymiej kopuły. Rośliny te, nie należące do działu skrytokwiatowych i użyte tu tylko jako materiał budowlany, rozpięte były na złotych drutach. Pozwalając widzieć miejscami całe smugi błękitu i wpuszczając dostateczną ilość światła, utrzymywały jednak w sali pożądany półcień dla paproci, nie lubiących skwarnych promieni słońca. Ale co salę tronową czyniło szczególnie piękną, to prawdziwa otchłań zieleni, najwytworniejszych kształtów. Paprocie tam były przeróżne: jakie widziałem w naszym kraju i jakie widywałem tylko na rycinach. Jedne zdobne i lekkie wspinały się na drzewa i wdzięcznie zwieszały pęki liści powyrzynanych dziwacznie, nakształt rogów jelenich lub piór postrzępionych; inne wyrastały z pośród niewielkich skał, sztucznie z kamieni ułożonych, drobnemi zieleniąc się listkami — inne jeszcze rozpościerały nakształt wachlarzy swoje koronkowe liście. Nakoniec w głębi sali widać było gaj wspaniałych drzew, których pierzaste liście, podobne zupełnie do liści naszej leśnej paproci, tylko ogromnie powiększone, wyrastające z wierzchołka pnia prostego jak kolumna, zwieszały się z niego w kształcie parasola.

— Ach! — zawołałem zachwycony — cóż to za przepyszne drzewa! Zupełnie podobne są do palm, ale wiele od nich piękniejsze.

— Są to paprocie drzewiaste brazylijskie — odpowiedział — rosną one także i w Australii. Były to najpierwotniejsze drzewa naszych lasów i pokrywały większą część kuli ziemskiej przed potopem; dziś zachowują się już tylko w niektórych miejscach. Skrzypy, widłaki, były także niegdyś potężnymi drzewami, a dziś oto są z nich tylko krzewy i drobne zioła. Patrz pan, jak skromnie wyglądają wśród sztucznego mokradła! Czy widzisz siedzącego tam w gaju królewicza i piękną jego małżonkę z następczynią tronu na kolanach?

Wychyliłem się bardziej i ujrzałem nareszcie władców królestwa roślin. W głębi paprociowego gaju, pod drzewem największy rozpościerającym parasol, na kilkostopniowym wzniesieniu siedzieli królewiczostwo na tronach, nie ze złota ani srebra, ani z kunsztownie rzeźbionego drzewa zbudowanych, ale z olbrzymich korzeni drzew w fantastyczne powygi-

nanych kształty, świetnym i licznym otoczeni dworem. Królewicz w białej lnianej szacie, w miękkich fałdach spływającej do kolan, wyglądał raczej na jakiegoś starożytnego arcykapłana niż na monarchę, gdyby z pojęciem o postaci arcykapłana nie łączył się zaraz obraz białych włosów i siwej brody. Twarz królewicza świeża, młodzieńcza, miała w sobie coś z barw złotych wschodzącego słońca, bo była lekko ogorzaląi gdyby porównanie nie wydało się komu dziecinne, powiedziałbym że władca kwiatów sam wyglądał jak kwiat. Szkarłatny płaszcz posiany białymi różami, zarzucony miał lekko na ramiona, a na jasnych bujnych włosach, koronę z róż białych. W rękę trzymał berło w kształcie złocistej lilii, znanęj powszechnie w ogrodach, pod nazwą cesarskiej korony.

— Jakich też tu macie wybornych jubilerów na Atlancie — przemówiłem — to prawdziwi artyści! Kwiaty w koronie królewicza i jego berło, tak są mistrzowsko naśladowane, że można by wziąć za prawdziwe.

— Bo też są prawdziwe — odpowiedział.

— Jakto! nie ze złota?

— Nie. Po co nasz władca ma te przedmioty kazać robić ze złota, kiedy naturalne są piękniejsze? Sztuka nigdy nie zdoła sprostać naturze. Nasze klejnoty koronne nie potrzebują być zamykane w skarbcu i pilnowane przez strażę. Rosną one na polach, łąkach, w ogrodach, wszyscy chodzą koło nich i nikt ich sobie nie przywłaszczony.

— Ależ takim klejnotom brak trwałości!

— O trwałość nikomu tu nie idzie: jedne zastępują się drugimi. Jubilerowi, nadwornie mają ciągle robotę, a niepospolitej trzeba zręczności, żeby na cienkich, delikatnych drucikach tak wszystko umocnić, aby spojenia nie były widoczne. Klejnoty z kwiatów można dowolnie zmieniać, a klejnoty ze złota i drogich kamieni, zawsze te same, łatwo się więc mogą sprzykrzyć posiadaczom swoją jednostajnością. Jubilerowie nasi celują w swym kunszcie i często wprawiają w podziw cudzoziemców świetnością, bogactwem, nawet poetycznością pomysłów. Przypatrz się pan tylko klejnotom naszej monarchii!

(d. c. n.)

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Temu, że stary jestem paniczku i zamiast się ludzi nadzieją, chciałbym aby pan Wiljam zasnął spokojnie, a panowie pomyśleli o jakim poważniejszym sposobie wydostania panienki z rąk złoczyńców.

— A ja powiadam — wtrącił przechodzący w tej chwili Carré — że ten łotr Chińczyk zmyka tak porządnie, iż wkrótce, gdy go dopędzimy, to zbójcy już ani jego ani nas widzieć nie będą mogli...

— I plan Mahory udać się może!... obyś był prawdziwym prorokiem panie Carré!...

Istotnie Sumatra pędziła z chyżością jakiej trudno by się spodziewać po jej ciężkiej budowie i nielotnych wcale porozach.

— Ależ ona ci ujdzie kapitanie!

— Niema obawy, odległość między nami nie zwiększa się przecież.

— Ale jest wielką już bez tego.

— Zaledwie półtoręj milki naszej, a na tę odległość niosą już moje armaty; wolę przecież pozwolić łotrowi ubiedz jeszcze dalej, aby zejść z oczu dzikim z okolic Rangorskiej zatoki, bo plan generała Mahory nie jest do pogardzenia.

— Jakto!... myślisz więc o wydarciu im mojej córki!... o, kapitanie, jakiś ty pocziwy!...

— Obowiązek tylko pełnię, drogi panie; wszak Almaviwa krąży po tych morzach jedynie w celu tępienia handlu ludźmi. No! dodać pary! dzieci!...

Wkrótce wybrzeże znikło zupełnie w oddaleniu i odległość pomiędzy dwoma statkami ściganym i ścigającym, zaczęła się zmniejszać raptownie...

— Dzieteczki!... posłać im cukierek.

— Hm, jeden tylko? Ależ nie poczują smaku — zauważyła załoga z całą serdeczną swobodą, na jaką pozwalała dobrodusznemu wesołości młodego dowódcy, auro spełniwszy już wprzódy rozkaz jego z całą karnością, tak surowo przestrzeganą na morzu. Pocisk dzielnie wycelowany wyrwał kawał boku Sumatrze. Przez perspektywę widać było szalony popłoch, na pokładzie roilo się od ludzi.

— Czekać dziesięć minut, dzieci, może łotr poddać się namysli... — Ale dziesięć minut upłynęło napróżno.

— Podwoić dozę!... — rozległa się komenda; pociski nie chybiały, ale napróżno dawano czas do namysłu ściganym. Chińczyk zawsze uciekał co siły, ani myśląc o poddaniu. I znowu zdwojono dozę; na ten raz krzyk i trzask potężny doszedł aż do Almavivy, wielki maszt Sumatry padł, przygniatając jęj załogę, napełniającą pokład. Przez perspektywę widać już było dokładnie przeróżną mieszaninę strojów tureckich, chińskich, indyjskich. Wiło się to wszystko, jak rój gadzin polany ukropem; wśród mnóstwa rannych lub nieżywych na pokładzie krwią zbrozczonym, usiłowano uprzątnąć zeń maszt strzaskany, wrzucając go do morza. Kapitan Lory, trzęsąc się z gniewu, rozkazał znowu czekać dziesięć minut, załoga, widząc ten gniew, nie śmiała już pytać, ale patrzyła zdumiona nie pojmując gniewu ani zwłóczenia bo rozkazy jak zawsze pełniono skrupulatnie, celowano doskonale, a że Chińczyk nie wywieszał sygnału poddania, to bierz go lichy! A wtem za jedną jeszcze salwą Sumatra zachwiała się, rozległ się znowu trzask i stary gruchot zakręcił się na wodzie...

— Przekleństwo! — wybuchnął młodziutki kapitan Lory i dwie grube łyzy stoczyły mu się na wąsy — białych wiem, że niema tam ani jednego, ale kto mi zaręczy czy tych kilkunastu Hindusów, których Mahora widział przyprowadzonych na sprzedaż, nie leży tam na dnie związanych! A przecież ja tu na to jestem, żebym niewolników ocalał, nie zaś topił!... Chwytać zbrodniarza i za mną na pokład!... może uda się kogo ocalić!...

— Aha!... to jemu rozbójników Hindusów tak żal!... to dla tego zwłóczył! O, pocziwy tatko!... — domyślali się starzy majtkowie z pół uśmiechem spoglądając na kapitana, który wzruszenie maskując szalonym gniewem, kłął teraz Chińczyka za to, że się nie poddał.

— Aha, miała się poddać taka zbieranina wyrzutków społeczeństwa — mruzcili marynarze — niema tam ani jednego z pewnością, któryby kędyś na świecie nie był nieodwołalnie skazany za jakieś ciężkie przestępstwo... tacy wolą zginać niż się poddać... wiedząc, na co zasłużyli u ludzi. — Ale takie objawiając przekonanie, jednocześnie zarzucano żelazne haki na bok Sumatry, przerzucono pomost i kapitan Lory z bronią w rękę, pierwszy wskoczył na czele swych marynarzy na nieprzyjacielski pokład. Rozpoczęła się walka śmiertelna, bo cała załoga Sumatry złożona właściwie z rozbójników morskich, bitnych choć okrutnych i występnych, zdecydowaną była drogą sprzedać życie.

Anglicy, goszczący na pokładzie Almavivy, przypatrywali się temu wszystkiemu z zimną krwią, z trochę zdziwienia tylko, ani myśląc mieszać się do walki w celu ocalenia kilkunastu złoczyńców; ale gdy kapitan Lory, uniesiony zapalem bitwy, został nagle odcięty od swoich i kilkanaście szabel zbójcekich zabłysło nad jego głową, wszyscy czterej młodzi Anglicy z pałaszami w rękach rzucili się z pomocą, a za nimi skoczyli ich słudzy. Wiljam zerwał się wraz z innymi i upadł zemdlony na ręce ojca. Niespodziana pomoc w stanowczej chwili, rozstrzygnęła walkę. Dwóch tylko z załogi Sumatry ujęto żywcem. Natenczas z szalonym pośpiechem zbiegłszy w głąb statku wprowadzono zeń na pokład Almavivy niewolników, przerznawszy sznury wiążące ich do żelaznych pierścieni, umocowanych w ścianach Sumatry. Kapitan Lory jak błyskawica tu i owdzie się jawiac i przypominając konieczność pośpiechu, przekonawszy się wreszcie, że żywa dusza nie została na pokła-

dzie rozbójniczego statku, wskoczył ostatni z powrotem na pokład swego Almavivy, komenderując jednocześnie do apelu; dopiero gdy, jakkolwiek po większej części rannych lecz wszystkich swoich i gości ujrzał koło siebie, dał rozkaz odczepienia parowca od Chińczyka. W mgnieniu oka, jak dzielny rumak puszczony z uwięzi, odskoczył parowiec i chyżo oddalać się począł.

Tymczasem Sumatra pogrążyła się z wolna w miarę jak woda zalewała rozbite wnętrze, aż nagle rozległ się huk ogłuszający i rozerwane siłą wybuchu szczątki wyleciały w powietrze, aby po chwili spaść gradem na powierzchnię fal morskich.

W ponurem milczeniu patrzano z pokładu Almavivy na smutne dzieło zniszczenia.

### VIII.

— Wszak teraz możemy w stronę rangorskiej zatoki powracać, kapitanie? Byle tylko dzicy nie poznali Mahory Wilka i Rahiba!...

— Wszak pozwolił jednę z twoich łodzi do wyprawy po Klarę, kapitanie?

— Drodzy młodzi przyjaciele, wszystkie moje łodzie i sam parostatek, o ile do mnie należą, są na wasze rozkazy, tem bardziej ja sam, który życie wam zawdzięczam w potyczce z Chińczykiem; na wyprawę po pannę Mac-Ulm sam popłynąłbym z rozkoszą, a jednak, mimo to wszystko nie mogę w tej chwili zadosyć uczynić życzeniom waszym. Obowiązek, honor, nakazuje mi przedewszystkiem dostawić do Kalkuty, jako stolicy prezydencji, dwóch więźniów moich i niewolników z Sumatry, jako też sumę w złocie i srebrze, którą w waszej obecności zabrałem z kajuty Chińczyka. Błagam, postawcie się w mojem położeniu i powiedzcie sami, czy mogę uczynić inaczej?

Młodzi Anglicy zamilkli; i parowiec podążył w drogę do Kalkuty.

(d. c. n.)

### ZAGADKA.

przez Ewę Maryę.

Istny potwór! jakich wiele;  
Niema duszy w twardem cieles,  
Niema serca, więc nie czuje,  
Ale z czasem nie żartuje!  
Bo wiadoma nam rzecz taka,  
Że postrachem jest próżniaka;  
Zawsze mruczy, zrzędzi, chodzi,  
Niby groźnym palcem wodzi,  
A gdy zwisną ręce czyje.

Raptem bije!

Kto oszuka tego mruka!  
Zwieść go, to nie mała sztuka!  
On, zacząwszy o świtanie,  
W ustawicznem swem gderaniu,  
Budzi, myć się, ubrać każe;  
Widząc że zwłóczą nudziarze,  
Mentor, zrzęda, dziad ponury  
Ostro młotkiem raz i wtóry  
Grzmota z góry!

Do rodziców idźcie! woła,  
Do pacierza! chylcie czoła!

Do śniadania! prędkiej dzieci!  
Do nauki! bo czas leci;  
Do obiadu! krzepcie zdrowie;  
Do roboty, wy śmieszkwie!  
Do lasu! tam wśród zabawy  
Nóćcie, skaczcie!... dość tej wrzawy!  
Do domu! dla ojca, matki  
Uzbierane nieście kwiatki!  
Do wieczery! do pacierza!  
I spać!... potwór znów uderza.  
Już noc!... dzieci w miękkim łóżku;  
Darmo wołasz, mój staruszkule!  
Stukaj, pukaj! w senniej ciszy  
Nikt nie słyszy.

Mniejsza o to! śpijcie sobie!  
A ty w nocnej, w ranniej dobie,  
Czuwaj, zrzędz, uparty dziadku!...  
Szczęsny komu na ostatku  
Powie głos twojego bicia,  
Że nie tracił czasu życia  
I że, po wielu godzinach,  
Mknących w trudzie, w dobrych czynach,  
Ujrzy, tam w górze zbudzony,  
Dzień bez godzin, chmur zasłony,  
Nieskończony!

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Z następujących sylab: E — na — ski — A — a — O — kac —  
— Ri — di — Na — wiec — A — szczyń — nam — Rzym — we — Der —  
dy — O — nal — brzyń — ni — cho — Nor — ta — Kal — klend — Le —  
niec — rew — rak — Do — gi — Wierz — ski — ku:

Złożyć wyrazy: 1. Miasto w Indyach. 2. Miasto na wyspie Nowej Zelandyi. 3. Państwo w Europie. 4. Stolica papieża. 5. Wolne państwo w Indyach. 6. Szlachcic z poematu „Pan Tadeusz”. 7. Koń przeznaczony do wyjazdu wierzchem. 8. Trunek. 9. Nazwisko ojca królowej francuzkiej. 10. Samogłoska. 11. Rzeka. 12. Sławny bandyta włoski. 13. Poeta polski. 14. Ptak przebywający na błotach. Których początkowe litery składają tytuł poematu, a końcowe imię i nazwisko jego twórcy.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

#### Sz ar a d y:

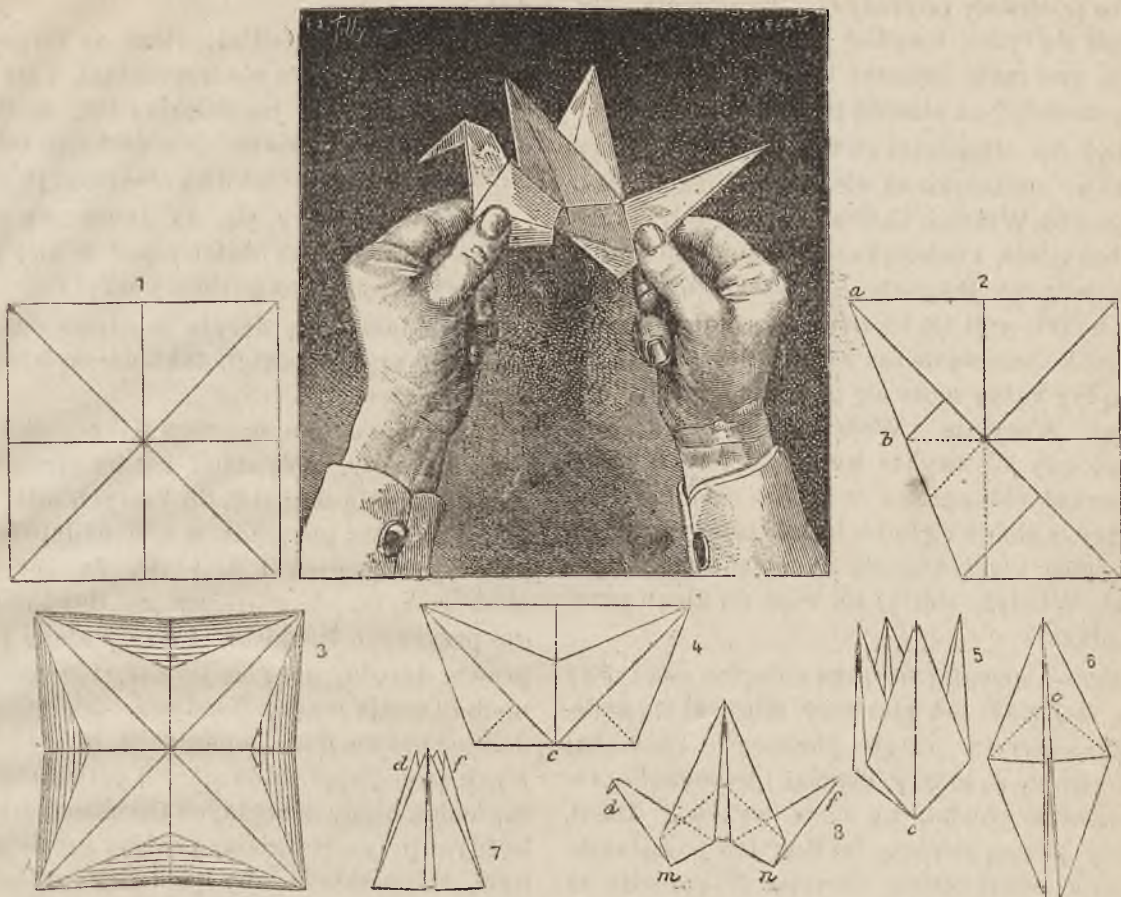
P r z y j a c i e l e.

#### Zagadki kwadracikowej:

##### Deotyma.

D ł u g o s z  
P e l i k a n  
E p o p e y a  
F o r t e c a  
G r a ż y n a  
A l a b a m a  
G o s p o d a

**TREŚĆ:** Studnie artezyjskie p. M. (z drzew.) — Proch bez dymu, pogadanka naukowa p. Młodego przyjaciela. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — W Indyach (z drzew.). — Łamigłównki i rozwiązania **Dodatek:** Ptaszek (z drzew. — Ptaki wędrowne, wiersz. — Litościwy chłopczyk p. Wróżbiarkę szczęścia. — Naparstek Janinki p. Annę Załęską. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



Ptaszek z papieru.

## PTASZEK Z PAPIERU.

Chcąc go wykonać, wziąć należy kwadratowy ćwierć łokcia z każdego boku mający kawałek papieru, złożyć go wzdłuż, wszerz i dwa razy na ukos, jak to wskazuje *fig. 1*. Potem wykonać należy załom wskazany na *fig. 2*, mocno naciskając w punkcie od *a* do *b*. Załomów takich powinno być 8, po dwa na każdym z czterech rogów.

Po wykonaniu ich *fig. 3* łatwo będzie odznaczyć na kwadracie ołówkiem, a trzymając się odznaczonych linii wykonać *fig. 4*.

Zalaminując papier na składach pozostałych wewnątrz linii zakreślonych ołówkiem, wykonamy *fig. 5*, którą trzeba ułożyć w ten sposób, aby z wierzchu i ze spodu znajdował się róg *nieprzedzielony*; a wewnątrz dwa końce.

Przewróciwszy do góry nogami złożoną *fig. 5*, podnieśmy z obu stron do góry rogi *nieprzedzielone*, jak to wskazuje *fig. 6*, a złożywszy ją znowu we dwoje, ale w przeciwnym kierunku, otrzymamy *fig. 7*. Wtedy szpice *d* i *f* załamać należy, jak to wskazuje *fig. 8* i ptak już gotowy.

Chcąc skrzydełka w ruch wprawić, trzeba ująć ptaka w dwa palce każdej ręki i lekko pociągać w punktach *m* i *n*.

## PTAKI WĘDROWNE.

CHŁOPCZYK.

Gdzie wy leccie, ptaszki drogie, ukochane?

PTAK.

Za morza, w kraje ciepłe a dobrze już znane.

CHŁOPCZYK.

Czy wy się nie lękacie tak latać po świecie?

W wędrówce zbyt dalekiej zabłądzić możecie!...

PTAK.

Nie bój się o nas wcale, mały przyjacielu!

Bóg mając nas w opiece, przywiedzie do celu...

\* \* \*

Chłopczyk śledząc lot ptaków jasnym swoim okiem,  
Woła mocno wzruszony z westchnieniem głębokim:  
„Gdy z czasem powędruję także w świat szeroki,  
Boże! czuwaj nademną, kieruj memi kroki!”...

A Bóg słysząc w niebiosach westchnienie chłopczyny,  
Ochronił go w życiu od niedoli i winy!

## LITOŚCIWY CHŁOPCZYK.

Mały Władysław był bardzo grzecznym chłopczykiem; kochali go też wszyscy domownicy i chętnie starali mu się przysłużyć; a on zaś chcąc od nich czegoś zawsze

prosił grzecznie, a potem uprzejmie dziękował za jakiś przysmaczek, ciasteczka, cukierki lub owoce, i dzielił się zawsze z drugimi. Nie nazywali go za to wszyscy inaczej, jak dobrym i grzecznym chłopczykiem. Myślicie może, że go te pochwały popsują?... bynajmniej, słysząc je, rumienił się tylko i myślał: Nie zasłużyłem na nie! ileż to ja wad mam jeszcze! będę się starał z nich poprawić, aby zasłużyć na słuszną pochwałę.

Takim był ów ośmioletni chłopczyk, a miał przymiotem bardzo tkliwe serduszko na niedolę bliźniego. Raz idąc do szkoły... bo Władzio chociaż jeszcze tak młody, już się uczył, i to pilnie, z ochotą! czemby podobno mógł zawstydić niejednego leniuszka, starszego od siebie, który zamiast nauki, woli się bawić, a od szkoły ze łzami się wyprasza; na wspomnienie zaś książki... ale dajmy już pokój temu, gdyż każdy może się poprawić i uczyć pilnie, naśladowując Władysia. Wróćmy do niego; otóż jednym razem, gdy jak zwykle wesoło, śpiesznie dążył do szkoły, spotkał chłopczyka w swoim wieku, który obdarty, drżący z zimna i głodu, łzami zalany, tulił się do muru, nie śmiać i wstydząc się wyciągać rękę. Spozstrzegł to nasz Władys, zbliżył się więc do niego pytając: czegooby płakał?

— Paniczu! — zawołał ze łzami chłopiec — czyś ty anioł z nieba zesłany? żeś pierwszy ulitował się nade mną, pierwszy zapytał: „czego płaczesz”? Posłuchaj więc: miałem rodziców, którzy chociaż nie bogaci, pracowali na kawałek chleba, by mój wyżywić dzieci, a teraz niestety jestem sierotą, bo Bóg ich powołał do siebie. Najpierw umarł ojciec, chorując długo, więc na lekarstwa wszystko się wyprzedano.

Matka mawiała: niech tylko ojciec do zdrowia powróci, wszystko się wynagrodzi! lecz inaczej się stało, ojciec nie wyzdrowiał, a w kilka dni po jego pogrzebie, wynieśli z domu i matkę; która umierając oddała mój opiece maleńką siostrzyczkę.

— Opiekuj się nią Janku—mówiła słabym głosem— bądź dobrym bratem dla tego aniołka, a ja z góry patrzeć na was i błogosławić wam będę! A ta siostrzyczka—mówił dalej chłopak,—śpi teraz w łóżeczku spokojnie, nie domyślając się, że ja już jeść jej dać nie mogę; nad nią to, a nie nad sobą płaczę że nie mogę spełnić przyrzeczenia, danego umierającej matce. Dopomóż nam, o Boże!—zawołał w końcu chłopczyzna, wznosząc oczy do nieba i nowemi zalewając się łzami.

Opowiadanie to wzruszyło głęboko Władysia; spytawszy go o miejsce zamieszkania, wsunął biednemu chłopcu w rękę swoje śniadanie i oddał mu je śpiesznie, nie chcąc słyszeć podziękowań. Ze łzami w oczach biegł prędko do szkoły, aby się ani o minutę nie spóźnić.

Za powrotem do domu opowiedział rodzicom całe zdarzenie, prosił ich o pomoc dla biednego chłopczyka. Państwo Kalińscy wzruszeni prośbami syna, poszli razem z nim do wskazanego im mieszkania, gdzie na poddaszu, w ubogiej izdebce przy małym łóżeczku klęczał znajomy nam już Janek, i podając oddane mu przez Władysia śniadanie pięcioletniej, bladziej siostrzyczce, sam głodny, patrzył z uśmiechem radości, jak mała jadła chciwie. Przekonawszy się o rzeczywistej nędzy tych dwojga dzieci

państwo K. rozmyślali, jakby im przyjść w pomoc, gdy Janek, który poznał Władysia, zawołał:

— A toć to panicz dał mi tę bułeczkę z masłem dla mojej małej siostrzyczki; oby Bóg to paniczowi nagrodził.

Rodzice spojrzeli zdziwieni na zarumienionego synka, bo nic im o tem nie wspominał, i łza rozczulenia zabłysła w ich oku, łza dziękczynna, że Bóg tak dobrem obdarzył ich dzieckiem. Nie czekając też dłużej, zabrali do siebie sieroty, troskliwą otaczając je opieką.

Przekonawszy się, że Janek ma wielką chęć do nauki, i prawie tak daleko jest w niej posunięty jak Władys, zapytali go gdzie się uczył?

— Mama mię uczyła — odpowiedział — a że bardzo lubię czytać książki, dokładałem więc starań aby się dobrze uczyć.

Ucieszeni tem państwo K. posyłałi go razem z synem do szkoły. Wypłacił się im szczerem przywiązaniem, pilnością do nauk, do których miał wielkie zdolności; a Władys pozyskał w nim najlepszego przyjaciela. Mawia on zawsze i słusznie, że spełnił tylko swój obowiązek, bo obowiązkiem jest dopomagać bliźnim wedle przykazań Boskich. I teraz, kiedy już oba chłopcy prawie dorośli, uczą się jeszcze, i jednakiem przywiązaniem otaczają matkę Władysia. Maleńka siostra Janka, dziś już prawie dorosła panienka, kocha również państwa K., a pamiętając, że ją sierotą przygarnęli do siebie, nie zapomina nigdy o biednych dzieciach, dzieląc się z nimi każdym przysmaczkiem, każdym grosikiem zaoszczędzonym, które składa aby posłać do „Wieczorów Rodziny”, dla biednych sierotek. I tak wszyscy są szczęśliwi, a matka Władysia patrząc na zgromadzone koło siebie swoje przybrane dzieci, ze łzami w oczach dziękuje Bogu za chwilę szczęścia, których jej udzielił. A Władys? zapytacie może; o! tego zawsze nazywają „dobrym paniczem” a wiele biednych dzieci zanoszą za niego modły. Prawda? jak to przyjemnie zasłużyć na taką miłość? a do tego potrzeba tylko, być za młodu pilnym, grzecznym, litościwym dla biednych, jakim był mały Władys.

*Wróżbiarka szczęścia.*

## NAPARSTEK JANINKI.

p. *Annę Załęską.*

Janinka była miłą dziewczynką, którą wszyscy kochali, i życie jej mogłoby płynąć szczęśliwie, gdyby nie jedna brzydka wada, która nieraz stawała się powodem gorzkich jej łez i zmartwienia mamy.

Janinka była niedbała i nieporządna: nigdy rzeczy swych i zabawek nie schowała we właściwe im miejsce, to też bywały one rozrzucone wszędzie, tylko nie było ich tam, gdzie powinny leżeć.

Nieraz, w najładniejszą swą suknię wystrojona, lalka spędzała noc pod łóżkiem w nieprzyjemnym towarzystwie, kajet znajdował się pod komodą lub na fortepianie, a pióro czasem aż w jadalnym pokoju pod kredens się chowało. Janinka, bardzo zmartwiona, z zafrasowaną

minką szukała po wszystkich kątach, a przed dobrą swą ciocią lub starszą siostrzyczką żaliła się, że ta niegodziwa lalka znów jęj uciekła, nieznośny kajet się przed nią schował; a już najgorszą biedę miewała z naparstkiem. Ten, chociaż mały, stawał się nieraz przyczyną dużej przykreści, bo, choć Janinka w sekrecie przyznawała się Zosi że „to nic nie szkodzi, że naparstka nie ma, za to chusteczka, którą miała właśnie obrębiać, wypocznie sobie trochę” jęj mama bywała całkiem innego zdania.

Jednego pięknego zimowego poranka Janinka, siedząc przy swoim stoliku, bardzo pilnie odrabiała zadane lekcye. Czasem tylko podnosiła oczy ku oknu, zkąd ją dochodził wesoły odgłos dzwonek. Śliczny biały śnieg pokrywał dachy domów i ulice miasta, a gałęzie drzew sąsiedniego ogrodu błyszcząły w promieniach słońca tysiącami iskier.

— Ach ciociu, co to dziś będzie za ślizgawka wspaniała. Nie zapominasz ciociu kochana, że ze mną pójść obiecałaś?

— O nie — rzekła ciocia — nie zapominam moich przyrzeczeń, pójdziemy, ale jak wszystko skończysz, co ci mama zrobić kazała.

— Oczywiście — odparła Janinka — już niewiele mam do roboty, i schyliwszy główkę nad kajetem, bez przerwy jakiś czas pisała. Nareszcie wstała z krzesła z hałasem, klasnęła w dłonie radośnie, a całując kochaną ciocię, chciała jęj delikatnie wyjąć z rąk robotę, z którą ta jeszcze nie chciała się rozstać.

— Cioteczko — mówiła błagalnym głosem — zbierajmy się już; teraz dnie takie krótkie. Cóż to, czy ciocia nie pamięta?

— Pamiętam Janinko, pamiętam lepiej niż ty nawet. Przypomnij sobie przecie, czy jeszcze czego nie masz do roboty.

Janinka dla przywołania pamięci, stuknęła się palcem w czoło i ten sposób okazał się bardzo skutecznym, choć widocznie nie wesołe wywołał następstwa.

— Ach, prawda, mama kazała chusteczkę obrębiać. Tak ich mam dużo, aż dwanaście nowych. Czy to koniecznie ciociu trzeba dziś zrobić?

— Koniecznie — rzekła ciocia. — Trzeba, żeby każda panienska ładnie szyć umiała. A zresztą to niewielka robota. Za pół godziny ją skończysz. Masz pewnie wszystko, co ci potrzeba, złożone w szufladce; usiądź więc przy mnie, skończysz prędko i pójdziemy na ślizgawkę.

Janinka otworzyła szufladę, wyjęła z nięj chusteczkę złożoną, kłębek z nićmi i nożyczki; ale widocznie czegoś jeszcze brakowało, bo zaczęła coraz szybciej z wrastającym niepokojem przerzucać rozmaite graciki.

Była tam stara popsuta piłka, był kajet z arytmetyką, szcotecka do zębów, niedogryzione jabłko, słowem rozmaite przedmioty, które gdyby miały oczy, byłyby z zadziwieniem na siebie patrzyły, nie rozumiejąc, na jakiej zasadzie sąsiadują z sobą.

Nasza dziewczynka, spostrzegłszy bezskuteczność swych poszukiwań, zamknęła szufladę, a usiadłszy przy cioci z zawstydzoną i zafrasowaną minką, zaczęła robotę rozwijać.

— Zdaje mi się, Janinko, że nie masz jeszcze naparstka — rzekła ciocia — bez naparstka szyć nie możesz.

— Możebym potrafiła ciociu kochana, choćbym sobie palce miała nakłuć. Mnie to nic nie szkodzi!

— Ale twoja mama tego nie lubi i nie pozwala. Trzeba więc go znaleźć Janinko.

Niechętnie wstała, zaczęła przerzucać szuflady i tę, w której chowała kajety i tę, gdzie rękawiczki, kapelusze miała schowane; potem biegnąc po pokoju, szukała pod łóżkiem i szafami; wszystko nadaremnie.

W tem strapieniu, nie wiedząc jak poradzić sobie, zapytywała służących, siostry małej, ale nikt nie wiedział, co się z jęj zgubą stało. A tu czas upływał z niesłychaną szybkością.

(d. n.)

## NOWY REBUS.

Ułożył Pegaz skrzydlaty.

NI.. EGO.. ŚĆ.. DŁUG  
OWIED.. NY.. M.. DOM  
UN... IENA... PR.. ZY



SI.. E,.. NIK... O.. MU.,

Z pozostałych liter powyższego zatartego napisu, nie dodając nic ani ujmując, odczytać przysłowie skandynawskie.

## SZARADA.

(Dla Ukrainki na Mazowszu, od Niezapominajki z nad Warty).

Pierwszego, jako samogłoski się używa  
Drugie, na wiosnę niebezpiecznym bywa,  
Trzecie, nazwę rzeki zawiera  
A czwarte, znów jest litera.  
Teraz łatwo zgadniesz, Ukrainko miła  
Co Niezapominajka z tych sylab złożyła.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 39-go.

## Szarady:

I r e n a.

## Łamigłówki kryształowej:

K  
c a l  
k o r e k  
k a r a b i n  
h e b e l  
l i n  
n

## Skrzynka do listów.

**Droga Kropelko rosy**, kto ma lat 7, temu wolno nie umieć przyfastrygować kołnierzyka i mankietów, a miłość prawdy zasługuje na szacunek, tak samo w małym dziecku, jak i w dorosłej osobie. Nim jednak dorosnie, szacunek nasz dla ciebie wyrażamy uściśnieniem. Ta „pierwsza koszulka” która ściągnie na ciebie błogosławieństwo ubogiej jakiejś matki, oby się stała początkiem całego szeregu znacznych czynów...

**Podolanko**, arcydzieła nawet jeszcze coś pozostawiają do życzenia. Byle nie brakło dobrej woli w spełnieniu pocziwego zamiaru, byle się poczuwać do obowiązku względem maluczkich, nieszczęśliwych, biedniejszych od siebie, to wszystko, czego się od was żąda.

I my też myślimy, malutka **Kuropatewko z nad Warty**, że na drugi rok razem z gromadką szyc umiejących staniesz już do konkursu. Serduszek już, jak widzimy, dorosło do miary, a rączki... dorosną jeszcze. Liścik twój oddany w opiekę.

**Różycze alpejskiej** pošemy zagubiony numer, wiemy z doświadczenia jaką przykrością dla mieszkających na prowincyi jest zagubienie wiezionych z poczty numerów. Na mnóstwo pytań, jakie nas dochodzą w kwestyi owęj podróży na Atlantę, odczytaj odpowiedź daną Balladynie. Uważamy jednak, że każda z was pojechały tam chętnie na miejscu Janka sieroty.

Jeżeli, jak twierdzisz, **Horpyno**, liścik twój nie był drukowany, postaramy się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Wyobrażamy sobie, jakim szczęściem w domu jest ten malutki braciszek, który już grucha i zna mamę. *Braciszkwie* wtedy dopiero przestają budzić zachwyt w siostrach, gdy poczynają się z niemi przekomarzać; ale tobie długo jeszcze na to czekać trzeba, a zresztą, będziesz już „staruszką” gdy to maleństwo dorosnie. Bóg łaskaw, dziewczeczko droga, że ci ocalił matkę, i gorąco też zapewne dziękujesz Mu za to. Sukienka na konkurs już nadeszła. Dowód serdecznej pamięci o Kochanej Pani odebraliśmy.

**Niezapominajko z nad Warty**, a któżby się gniewał na kwiatek tem wdzięczniejszy, że o tak spóźnionej porze kwitnący. Nikt o tobie nie zapomniał i niedawno była do ciebie odpowiedź. Powiastka przysłana nie może być drukowaną.

I my się szczerze cieszymy nadzieją ujrzenia w Redakcyi **Tęczy z nad Jatrani**; nie wiemy tylko, czy Gołąbka powróci tak szybko. W samej rzeczy, ładnie jest tam, gdzie przebywa nasza ptaszyna, ale choć się cieszy widokiem tylu nieznanych rzeczy, wiemy, że nie zapomina ani o Warszawie, ani o przybranych siostrzyczkach. Naturalnie, że obrazek jest nagrodą! O nowym konkursie myślimy; musimy jednak przedtem ogłosić sprawozdanie z wakacyjnego, czego i **Tęcza** zapewne wygląda niecierpliwie?

**Jodełce z nad Noteci** wraz z serdecznym uściśkiem posyłały Wieczory w dalszym ciągu. Miło nam słyszeć, że są „świecącym punktem”; wolelibyśmy jednak dowiedzieć się, że w tak młodym życiu niema wcale „bardzo, bardzo smutnych tygodni.”

Każdą nową korespondentkę nietylko „z uprzejmością” ale bardzo, bardzo serdecznie witamy, bo swoim odezwanieniem się do nas sprawia nam prawdziwą przyjemność. Dobrze więc zrobiła **Mała Rybka** że zdecydowała się należeć do gronka, które brata z sobą i jednoczy Skrzynka do listów, a które dla nas najmiłszą rodzinę stanowi. Numer z odpowiedzią dotyczącą wyspy Atlanty, musiał już dojść rąk twoich.

**Trawko z nad Fryby**, dłączegóż wątpisz, że twoje wypracowanie liczyło się do dobrych? Utworów bez zarzutu nie wymagamy od was, dzieci drogie; wystarcza nam, gdy widzimy, że wypracowanie pisane z całą starannością, na jaką stać młodych pisarzy. Gołąbka napisze niedługo.

**Ismeno**, Redakcyja nie taka „straszna”, jak się zdaleka wydaje i bardzo lubi takie energiczne i pełne życia panienki, które z równą ochotą przechodzą od rozmaitych przyjemności, do książki, lekcji i czytania Wieczorów. Z tą samą żywością rozglą-

dając się koło siebie w swoich podróżach, musiałas z nich niemało skorzystać?

Biedna **Gwiazdko z Podola**, całem sercem dzielimy smutek twój po stracie ojca. Bóg matce twojej na pociechę w nieszczęściu dał córeczkę z dobrem serduszkim, która żałuje, że nie może „mamie pomagać”. Przywiązanie i pieśczoćta dobrego dziecka, to także pomoc nie lada. A przy chorym bracie nawet i taka dziecinka użyteczną być może, gdy tak jak ty, być nią pragnie.

**Wróżbiarko Szczęścia**, jest was dwie, jak to księga pseudonymów wykazuje; dziś też z P. odpowiadamy, że zawsze chętnie uwzględniamy takie życzenia i Wieczory nadal będziemy wysyłać. Ujmujecie nas, dzieci drogie, swoim przywiązaniem i do nas, i do Pisemka, którego jedyną zasługą jest to, że pragnęłyby widzieć was wszystkich w przyszłości zacytowanymi i użytecznymi ludźmi. Do tego też celu dążąc, spełniamy polecenie poety: „*Czyż każdy w swoim kółku, co każe duch Boży*” z głęboką wiarą iż ziści się nam proroctwo: „*A całość sama się złoży*”. O Gołąbkę zapytuje wiele korespondentek; obdarzyła ją długim i serdecznym listem Horpyna.

Drogi Biały Bzie! Bardzo się ucieszyłam twym liścikiem, bo jeszcze żadna panienska do mnie nie pisała, dobrze że drugą twą korespondentką jest Cyganeczka, bo i ja do niej pisuję. Będziemy razem tworzyć nowy tryumwirat! Szczegółów o mnie szukaj w Nr. 18 Wieczorów w liściku do Cyganeczki. Sama donieś mi ile masz lat, gdzie mieszkasz i czy masz rodzeństwo? Musisz lubić biały bez kiedy go za pseudonym obrałaś. Całuję cię serdecznie wraz z Cyganeczką. Oczekująca odpowiedzi *Zorza*.

Kochana Burzliwa Naturo i Poranku! Dziękuję wam za liściki. Gdzie mieszkasz kochana Naturo? Przyznaję ci kompletną słuszność, Drogi Poranku, iż trudno się podolanek o piękność Podola pytać, a zdaje mi się że Szwajcarja nie może być ładniejszą, niż miejsce w którym mieszkam. Gdzie ty mieszkasz Drogi Poranku? czy nazwisko twe nie zaczyna się czasem na Szysz?... Ja mieszkałam dwa lata temu w powiecie lityńskim, a teraz w lityczowskim. Ściskam was obie serdecznie i proszę o nowe liściki. Kochająca was *Czarnooka z Puszczy*.

Kochana Śmietaneczko i Kuropatewko z nad Warty! Ciesze Śmietaneczko, znam trochę z opowiadania mojej siostry Wiochny, która znowu słyszała o tobie od Westalki i Cyganeczki. Jeżeli chcesz się dowiedzieć czego o mnie, to przeczytaj liścik do Kukulki drukowany w Nr. 25. Musisz bardzo dobrze się uczyć, kiedy mając lat 6 umiesz już pisać. Całuję was obydwie. *Kukulka z pod Lublina*.

Kochana Wiochno z pod Lublina, Wróżbiarko szczęścia i Halko z Litwy! Dziękuję ci za odpowiedź Wiochno, a ponieważ nie odmawiasz korespondencyi ze mną, zapytuję się gdzie spędziłaś wakacje? Halce z Litwy donoszę iż najwięcej mi się podoba Pod wpływem błogosławieństwa, a Wróżbiarkę Szczęścia ściskam i zapytuję co najchętniej lubi robić? *Jesień*.

Kochana Wierzbo płacząca ze Żmudzi. Pierwsza odzywam się do ciebie, jestem nową prenumeratorką, mam tyle lat co i ty; noszę imię Elżbiety. Mieszkam nad Wartą w gub. kaliskiej. Donieś mi co o sobie i przyjm uściśnienia od *Niezapominajki*.

Kochana Wesoła Krakowianko! Dawno już jak do nas pisałaś; ale nie mając od początku roku Wieczorów nie mogłam ci odpowiedzieć. Z młodszą moją siostrą Andzią czytamy Wieczory już od lat pięciu. Mieszkam na wsi, jestem najstarszą z rodzeństwa, uczę się w domu, a teraz mamy wakacje. Odpisz jak najprędzej *Gwiazdce na zachodzie*.

Kochana Kuropatewko z nad Warty! Bardzo lubię panienki w twoim wieku, proszę cię więc, żebyś korespondowała ze mną. Gdzie mieszkasz? czego się najwięcej lubisz uczyć i co ci się w Wieczorach najwięcej podoba? Ściskam cię serdecznie. *Niezapominajka z nad Warty*.

## W ZŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Wtedy nazawsze już straciłem nadzieję powrotu do domu. Nie miałem nawet czasu myśleć o tem, bo życie jakie zacząłem nie zostawiało mi jednej swobodnej chwili. Wtedy poznałem, że ten rok który przebyłem jako syn cygana był rajem w porównaniu z nowym tem życiem. Moją nauką zajął się sam dyrektor, a ile wycierpiałem od niego, Bóg wiezieć tylko może. W nocy męczyłem się nie mogąc się do snu ułożyć bo za najmniejszą rzecz dostawałem od niego batem! Koni nie bałem się wcale, przywykłem do mego kucyka, ale najtrudniej mi było oswoić się z innymi zwierzętami. Na sam ryk przeraźliwy lwów, dostawałem dreszczu, a cóż dopiero kiedy musiałem rzucić się między nich! Z początku, dopóki nienawykły uspokajać się na mój widok, nosiły kagańce, ale pomimo to nieraz byłem podrapany do krwi. Raz, pamiętam, kiedy nie mogłem się odważyć wejść między nich, „on” kazał mnie zamknąć do klatki na kilka godzin. Usiadłem drżący w kąci i myśląc że już mnie pewnie rozszarpia, przymknąłem oczy i zacząłem się modlić do mojej mateczki by mnie obroniła od śmierci. Wysłuchiwała mnie widocznie, bo lwy, kolejno obwahały mnie w około i odeszły drzemać spokojnie.

Prócz tego, dla wyrobienia siły musiałem podnosić ciężary co tydzień większe, co robię do dziś dnia ciągle. Teraz podniosę już z łatwością dwieście funtów, a byłbym jeszcze daleko silniejszy gdyby dawano nam jeść więcej. Jemy tu wszyscy dwa razy dziennie tylko, rano i po przedstawieniu, i to bardzo niewiele, nieraz więc jestem bardzo głodny, a szczególnie wtedy gdy on się rozgniewa i zamknie mię na noc bez jedzenia w ciemnym składzie. Ale widać ludzie wiele sił mieć muszą, skoro tak żyć mogą długo. Już piąty rok jak tu jestem, i żyję... dodał smutnie poruszając głową. Żyję, choć nieraz pragnąłbym umrzeć i nie dbając o niebezpieczeństwo rzucam się bez pamięci pomiędzy lwy lub konie. Podziwiają moją odwagę!... bo nie wiedzą że to jest odwaga rozpacz... I żeby choć wiedzieli kim jestem naprawdę, żeby mnie nie brali za Anglika, którym mnie tylko „on” zrobił dla większego efektu!... Ale i temu nie wolno mi jest zaprzeczyć, bo skoro raz zobaczył mnie rozmawiającego z posługaczem który przypadkiem był Polakiem, to jego wypędził natychmiast, a ja odebrałem plagi i raz na zawsze zabronił mi odzywać się mym językiem. Kazał mi go zapomnieć... łatwo to mówić! to to samo co żądać odemnie bym zapomniał że miałem matkę... Ja mojej matki nie zapomnę nigdy... nigdy... Mój Boże! na takiego więc wyrosłem bohatera. Czy też spodziewała się tego mateczka, usypiając mnie niegdyś pieśnią!...

Zamilkł. Ukrył twarz w dłoniach i łkał cicho. Płacz tego dziecka co czuło i wypowiedzieć umiało więcej może od niejednego dorosłego człowieka, miał za wtór huczną wesołą muzykę, której takt wybijał tętent kopyt końskich i klaskanie bicza...

Chciałem go pocieszyć, lecz zabrakło mi na to słów. Patrzyłem na te łzy czyste co toczyły się po drobnych wychudzonych rękach, myśląc, że o wiele droższe, szlachetniejsze są one od najczystszych pereł Ophiru, i od tej szarej doli cyrkowego bohatera. Siedziałem tak czas jakiś zadumany, a gdy się ocknął Jerzy wciąż jeszcze płakał. Postanowiłem nie powstrzymywać tego wylewu łez, który mógł mi przynieść ulgę większą niż moje słowa współczucia, ucisnąłem mu dłoń w milczeniu i szepnąwszy: do jutra, wybiegłem na ulicę. Szybko jak błyskawica przebiegła mi myśl uwolnienia nieszczęśliwego dziecka, Uprowadzić go z cyrku w swobodnej chwili a potem copędzej wysłać gdzieś daleko... a następnie odnaleźć jego rodziców... wszystko to wydało mi się łatwym do wykonania przy pomocy kolegów.

Poczcivi chłopcy przyobiecali mi dopomódz, właśnie jeden

z nich miał wyjeżdżać na parę dni do rodziców... należało tylko uprzedzić mego małego przyjaciela... Następnego więc dnia wszedłem przez niedomknięte drzwi do wnętrza cyrku, ponieważ jednak inną drogą poszedłem jak zwykle, znalazłem się niebawem pośród łóż krzesel, szukając oczyma przejścia wiodącego poza arenę. Ja właśnie je dojrzałem i skierowałem się ku niemu, gdy widk jaki mnie uderzył powstrzymał moje kroki. Gruby filar zasłaniał mnie przed oczami innych, podczas kiedy ja mogłem wszystko widzieć dokładnie, pozostałem więc na tem stanowisku, i oto co ujrzałem. Jednocześnie, gdy wszedłem do amfiteatru, z przeciwnej strony, z za portyery wychyliła się barczysta postać dyrektora. W rękę trzymał nahajkę, i wszedłszy podobnie jak ja, jednym spojrzeniem ogarnął wnętrze. Czynił to przecież w innym niż ja celu, bo spostrzegłszy osiodłanego konia stojącego spokojnie przy baryerze, i grzebiącego nogami w piasku, zachmurzone czoło podniósł wyżej i groźny wzrok zatopił w rzędzie numerowanych krzesel. Jakby domyślając się czegoś złego, spojrzałem w tymże kierunku i dostrzegłem smutną, niemą scenkę mogącą być dobrym tematem do obrazka. Przez okna umieszczone w szczycie dachu wpadały jasne promienie kwietniowego słońca. Łamały się w mosiężnych kółkach i trapezach zawieszonych wysoko na kolorowych taśmach, potem spadały niżej i zdawały się ślizgać po aksamitnych łóż poręczach i muskać żółty piasek areny. Złotemi snopami światła oblewały gniadą maść stojącego konia, i nieśmiałe czy też przerażone powstrzymywały się nagle, zostawiając w pół cieniu kąty tego budynku, z których choć dla widzów starano się napróżno ukryć, tchnęła atmosfera, biedy, głodu, i cierpień ludzkich. W jednej tu z takich zamroczonych stron sali, na jednym z krzesel, ujrzałem Jerzego. Miał łokcie oparte o kolana, twarz w dłoniach; spał czy też pogrążony był tak w myślach, dość że kroki dyrektora nie zdołały go nawet oprzytomnić.

Przed nim, w następnym rzędzie krzesel, leżały rozrzucone koła do przeskakowania, sznury, i mała kepi którą zdjąć musiał dla gorąca, bo jasne pukle co mu spadały na czoło widocznie były wilgotne. Olbrzymia piłka gumowa leżała sobie spokojnie na środku areny, zaczerwieniona od blasku słońca, zdawała się tylko przypatrywać tej smutnej scenie i szepcząc coś do porzuconej obok siebie szpicruty, śmiać z ironią, czy też próżnością.

Jednym rzutem oka „on” objął to wszystko; zmarszczył brwi gniewnie i głosem powstrzymującym w sobie wybuch, krzyknął:

— Harry!

Chłopiec drgnął — ręce opadły mu bezwładnie, zwolna podniósł głowę i powiększone trwogą, oczy zwrócił ku niemu z wyrazem przestachu. Przerazenie pozbawiło go na chwilę sił, bo na wołanie nie ruszył się z miejsca. Ponowne dopiero wołanie rzuciło go ku niemu. Wtedy nagle znów siły opuściły go widocznie, bo zachwiał się, kolana mu się zgięły, i ukląkł na szmacie piasku lśniącym od promieni słońca. Te same złote blaski zagrały mu tonami na pochylonej jasnej główce... Wyglądał wtedy jakby opromieniony aureolą świętości i niewinności, ale „jego” ta oznaka skruchy i dziecinnej obawy nie rozbroiła bynajmniej. Trzęsąc się ze złości wskazał mu batem odsłonięte wejście do składów, syknąwszy tylko przez zęby: Ruszaj!... Lecz Jerzemu brakło tym razem siły. Łzy jak grad toczyły mu się po wybladłej twarzy.

Niemcowi fala krwi oblała twarz szkarłatem; muskularną dłoń porwał za ramię chłopczyne, i odrzuciwszy go ku portyerze poszedł za nim. Uczułem ściśnienie serca, chciałem biec i ratować go, lecz na cóżby się to zdało? Lękałem się jeszcze zwracając uwagę ohydneho Niemca na moje współczucie, popsuć zamierzoną sprawę. Zdała natomiast dochodziły mnie uderzenia dyrektorskiej nahajki, która ze świstem spadała na grzbiet chłopięcia... Bądźco bądź postanowiłem doczekać się na tem miejscu końca tej barbarzyńskiej egzekucji i zobaczyć się z nim choć na krótko. Wreszcie zasłona się podniosła, i najpierw wybiegł z za niej Jerzy z twarzą rozognioną, a za nim herkulesowa postać. Malec wskoczył na oczekującego konia, ujął lejce i głosem w którym drgało łka-



nie pokrzykując: Hep! Hep! puścił go galopa w koło areny. Niemiec postąpił chwilę śledząc jeżdżącego, pogroził mu jeszcze batem i skrył się w głębi. Wtedy koń przebiegał właśnie obok miejsca gdzie stałem, wysunąłem się na światło i półgłosem, by mnie nie usłyszano rzuciłem za nim:

— Jak się masz Jerzy!

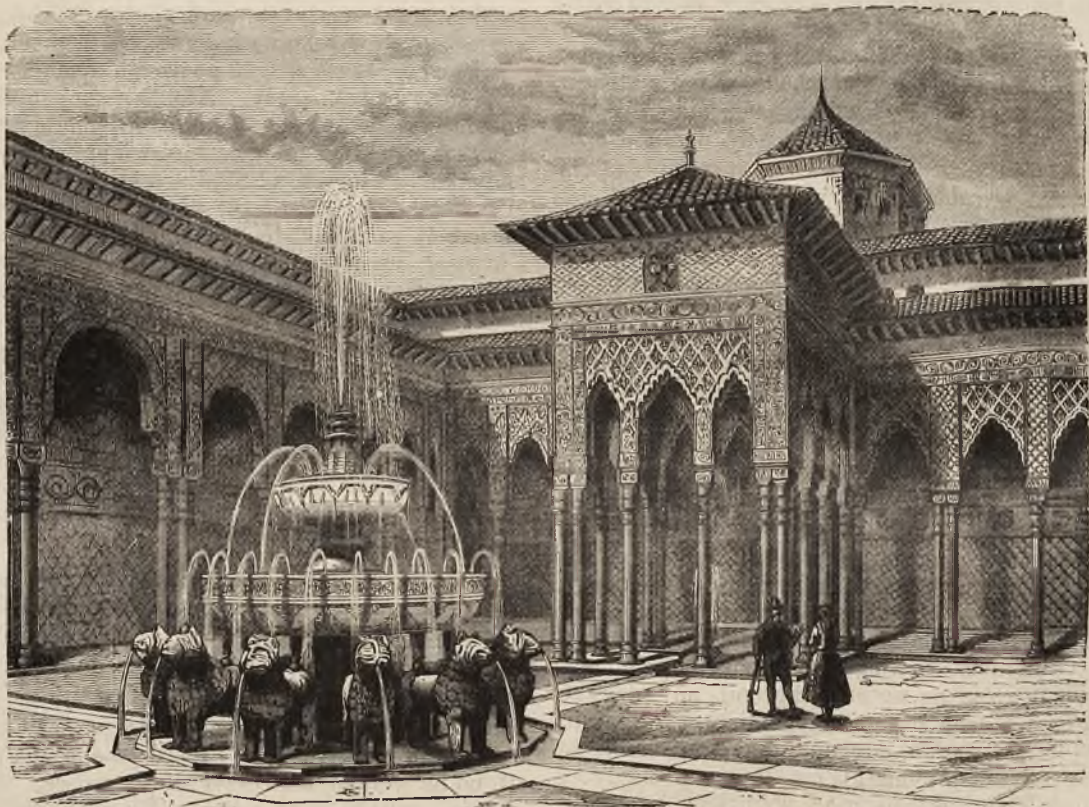
Zdziwiony odwrócił głowę, lzy pociekły mu na mój widok, ale konia nie zatrzymał. Potem znów przejeżdżając obok mnie, uśmiechnął się smutnie, lecz jakby przełękły w tej chwili własną odwagą, zaczął wołać jeszcze głośniej: Hep! hep! hej! hep! hep!...

Daléj wykonywał szereg różnych ćwiczeń wiecej lub mniej trudnych, i dopiero gdy koń pokrył się cały białą pianą zmęczenia, zeskoczył zeń i przyszedł do mnie. Podniosłem go do góry jak dziecko, tak był lekki, i pocałowałem w czoło.

mi. Żeby pan wiedział jak mi się smutno zrobiło kiedy spojrział na tyle główek dziecinnych, które obok rodziców wyglądały wesoło, ciekawe i uśmiechnięte zewsząd. Myślałem że mi serce pęknie, mój Boże, wszystkie dzieci mają rodziców co o nich myślą i kochają, a ja?!...

— Nad tobą za to Bóg czuwa! — przerwałem jego bolesną zadumę, a potem opowiedziałem mu szybko co dla niego zamyślam uczynić. Nie mam słów na opisanie radości biednego dziecka. Rozmawialibyśmy dłużej, gdyby nie ciężkie kroki za kulisami, na odgłos których Jerzy zerwał się i w jednej chwili wskoczywszy na konia, rozpoczął przerwane ćwiczenia.

Wyszedłem śpiesznie bocznymi drzwiami. Żał mi było tylko że przedtem, błaganiami chłopca musiałem dać odmowną odpowiedź. Prosił mnie bowiem z niezwykłym wzruszeniem, żeby nie opuścić dzisiejszego przedstawienia, a tego



Dziedziniec Lwów w Alhambrze.

— Oj — syknął, gdy go stawił na ziemi, dotykając się ramion i pleców — jak tu boli!

— Usiądź — rzekłem, prowadząc go do krzesła — będzie ci wygodniej, i powiedz mi teraz za co cię tak strasznie karano. Byłem tu i widziałem wszystko. Chciałem nawet biedz ci na pomoc, ale coby to pomogło?...

— Dziękuję panu! — odparł drżącymi od płaczu ustami — chwileczkę mogę tylko odpocząć, bo i koń zmęczony. Dobrze że pan nie przyszedł; nicby to nie pomogło; to moja wina tylko. Moja wina, bo zamiast odbywać ćwiczenia chciałem trochę wypocząć po zmęczeniu i usiadłem w cieniu. Potem sen i żał mnie jakiś ogarnął, sen, bo wczoraj bardzo późno usnąłem a dziś mnie rano zbudzili; a żał, to tak jak zwykle!

Pana dawno już nie widziałem, myślałem że pan o mnie już zapomniał, a do tego wczoraj po południu było przedstawienie dla dzieci, w którym występowałem z ośmioma kucyka-

dnia właśnie wieczorem miałem na zgromadzeniu Arkonii naradzić się ostatecznie z moimi przyjaciółmi, kiedy mianowicie uprowadzić chłopca. Kolega mój zdecydował się ostatecznie zabrać go w ostatniej chwili wyjazdu. Miałem, w odpowiednim przebraniu, które dla niego przygotowałem, uprowadzić go najpierw do mego mieszkania późno wieczorem po skończonym przedstawieniu, a następnie dostawić na kolej w oznaczonej godzinie. Wszystko to nam młodym zdawało się nadzwyczaj łatwe do wykonania, nie przychodziło na myśl że zajęć mogą jakie przeszkody i obmyślane w ten sposób wyzwolenie chłopca nie da się wykonać... a gdy jeden ze starszych uczynił uwagę, że może bezpieczniej byłoby szukać dla niego opieki prawa, powiedzieliśmy wszyscy że tak będzie prędzej i lepiej. Wyszedłem właśnie po ostatniej naradzie, z chaosem w głowie i myślą zajęta nieszczęśliwym moim małym przyjacielem, gdy mi drogę zastąpił ten sam wesoły radomiak

pierwszy z wielbicieli Harrego, który mnie niegdyś namówił do cyrku. Tym razem miał nie wesołą minę i natychmiast po przywitaniu zapytał smutnie:

— Cóż, byłeś wczoraj na przedstawieniu?

— Tobie tylko w głowie przedstawienia jak widzę — odparłem śmiejąc się — nie byłem, nie mogłem wczoraj.

— Aa, biedny malec... — ciągnął jakby nie słysząc mej gadaniny.

— Jaki malec? — zapytałem przeczuwając jakieś nieszczęście.

Było to tak. Występował w najniebezpieczniejszej swej roli, pogromcy lwów. Skoro w swym białym, jak zwykle ubraniu, z sześcioma olbrzymami, wyszedł na arenę, wyglądał jak prawdziwy aniołek. Nie uśmiechał się tylko jak zwykle miał smutne łzawe oczy, co zwróciło nawet uwagę niektórych. Skoro rozwścieczone zwierzęta rwały się doń z łańcuchów, patrzył na nie czas jakiś a potem wyraźnie uczył jakiś niepokój, bo cofnął się jakby wahając pośród nich skoczyć...

W sali powstał szmer zdziwienia; z za kulis wychyliła się groźna twarz dyrektora, lecz zaledwie przebrzmiał ten



Potężny słon spoglądał po rozbawionym tłumie...

— A no, nasz dzielny chłopak, nic nie wiesz?

— Harry?... Co mu się stało? nie żyje?

Nogi się podemną zachwiały... Oparłem się o ścianę.

Oczami wyobraźni ujrzałem go takim, jakiego pożegnałem poraz ostatni: splakany, drżący, i ogarniętego tym jakimś żalem, z którego nie umiał zdać sobie sprawy.

— Pewnie że już musiał umrzeć, ale że też nic nie wiesz, całe miasto o tem tylko mówi...

Pociągnąłem go do pobliskiej kawiarni, usiedliśmy przy ubocznym stoliku i tam wysłuchałem szczegółów o wczorajszej katastrofie. Biedny Jerzy! Czemuż nie byłem przy nim. Czemuż nie pospieszyłem się go uwolnić!

szmer, gdy rozległ się ze wszystkich stron krzyk przerażenia. Chłopiec wskoczył między zwierzęta, a te rzuciły się na niego. Nadbiegła służba, ale zanim zdołała lwy poskromić, wydobyło już martwe ciało. Gdy go wynoszono z areny, otworzył jeszcze wprawdzie mgłą zasłane oczy, odetchnął ciężko, otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa zamarły mu na stygnących wargach, i skończył.

— A może on nie umarł, może żyje jeszcze! — zawołałem w końcu, i pobiegłem szybko do stajni cyrkowej. Spytałem o Harrego, lokaj milcząc wskazał mi ręką przejście, i skoro stanąłem na progu składu, smutny widok przykuł mnie do miejsca. Prócz martwych zwłok dziecka nie było tu niko-

go. Wśród stosów różnych cyrkowych rupieci, na ławce zarzuconej dywanami pod ścianą, leżał w tem samym białym ubraniu, podartem i krwią zbryzganem.

Zbielała twarzyczka uśmiechała się jakąś nadziemską radością, czarne rzęsy niezupełnie przysłaniały mu przymknięte oczy, i odbijały od jasnych pukli włosów, rozrzuconych jak aureola naokoło małej główki. Nie wyglądał na więcej jak na lat dziesięć i niktby nie powiedział że to drobne dziecko, miało tyle fizycznej siły i moralnych przymiotów duszy. Cicho tu było i ciepło. Świerszcz skrzeczał gdzieś w ścianie za rupieciami, i zdala czasem doleciała gamma śmiechu członków cyrkowych, zebranych na ranną próbę.

Nachyliłem się, z białego czoła martwego usunąłem miękie włosy, i złożyłem na niem ostatni pocałunek.

— Żegnaj mi Jerzy, tam, będziesz wiele szczęśliwszy! — szepnąłem.

I wtedy, poraz ostatni widziałem mego przyjaciela. Nie byłem nawet na jego pogrzebie, bo nikt objaśnić mnie nie mógł jak, gdzie i kiedy go pochowają. Tak zresztą mało obchodziło to ich wszystkich!...

... Wujcio Kazio zamilkł. Przez otwarte okno wlatywał zapach kwiatów, i dochodziły trele słowików. Księżyc oświecał jasno jego profil i chłopcy, którzy opowiadania słuchali z całą uwagą, dostrzegli na twarzy tego wesołego zawsze wujaszka, ślady wielkiego wzruszenia.

— Biedny Jerzy! — szepnął smutnie Włodzio.

Józio chciał również coś powiedzieć, ale łkanie ścisnęło mu głos w gardle, schował więc głowę w poduszkę i milczał.

— A teraz osądźcie sami — zapytał po chwili ciszy, ocknąwszy się ze smutnej zadumy wujcio — czy można zazdrościć losu takim cyrkowym bohaterom?

— O nie — zawołali obaj z zapałem.

— Nie, bo życie ich, to owa szara dola, która ludziom każe zapominać, iż są stworzonymi na obraz i podobieństwo Boga, i zapominać iż mają w piersi serce i myśli, wyższe, wznioślejsze nad poziom potrzeb codziennych, bo to duch ludzki uwięziony: w złotej klatce...

To też jak kiedy spotkacie chłopcy takiego małego bohatera, nie zazdroście mu, lecz pomyślcie, że dzieci podobne, niestety, to męczennicy w imię — zabawy...

V. Cairo.

## KWIATEK.

Ozemu kwiatku, liście twoje tak powędły szybko,  
Czyż ci mało tu powietrza za tą szklaną szybką?  
Czyż ci mało ciepła, wody i mego starania,  
Ze się każdy twój listeczek tak ku ziemi skłania?

Kwiatek na to: „Mam ja ciepło i starań do syta,  
Woda także na mnie splywa strumieniem obfita.  
Lecz mi tęskno do słońeczka, co skryte za chmury,  
Nie darzy nas swoim wzrokiem tam od niebios z góry.

Tęskno także do powietrza, do niebios błękitu,  
I do jasnej rannej zorzy wschodzącej od świtu...  
I wyszeptał kwiatek mały, wszystkie swe tęsknoty,  
A dziewczę je zrozumiało. I gdy promień złoty

Wpadł przez okno do pokoju złocistemi smugi,  
Dziewczę kwiatek wystawiło raz jeden i drugi,  
Wnet się kwiatka smutne listki rozśmiały do słońca,  
Okrywając barwnym kwiatem od końca do końca.

Z. Morawska.

## KAKAO.

Kiedy w r. 1500 Hiszpanie przybyli do Meksyku, bardzo polubili napój, powszechnie przez krajowców używany, znany w języku meksykańskim pod nazwą czekolady.

W r. 1520 przywieźli Hiszpanie ziarną kakaową do Hiszpanii, z kąd kakao wkrótce przeszło do Włoch i Francji. W tych też krajach do dni obecnych najwięcej go spożywają.

Ładne niewielkie drzewko kakaowe o połyskujących ciemno-zielonych liściach, rośnie prawie wyłącznie w środkowej Afryce i w północnych częściach Ameryki południowej, a w niektórych okolicach jak Demarara tworzy całe lasy. Owoc jego podobny do dużego ogórka, mieści w gąbczastym miększu 6—30 znanych ziarn kakaowych. Z wyluskanemi ziarnami w dwójaki postępują sposób, albo je bezpośrednio po wysuszeniu sprzedają, lub składają na stopy, aby lekko fermentować poczęły; poczem dopiero je suszą wysypują w beczki i wywożą do Europy. W ten sposób przygotowane ziarna są mniej gorzkie i cierpkie.

Ziarno kakaowe posiada wewnątrz barwę ciemno-brunatną, smak podobny do smaku starego orzecha i stanowi bardzo pożyteczne; wszakże nadmiar olejnych tłustych pierwiastków sprawia iż bez pewnych domieszek używanem być nie może. W rozmaity też sposób bywa przyrządzane, nigdy prawie nie używają go na surowo. Prażą je jak kawę, dopóki nie pocznie wydawać miłego aromatu. Wypalone ziarno, po ostudzeniu staje się bardziej kruche, jest koloru jasno-brunatnego, mniej gorzkie i mniej cierpkie niż ziarno surowe. Można teraz łatwo oczyścić je z łupinek, poczem albo bywa mielone i sprzedawane w proszku, albo po dodaniu mączki krochmalnej, cukru i wanilii, przerobione na tabliczki czekolady.

Odwad z łupinek kakaowych jest napojem przyjemnym i lekkostrawnym, przeważnie więc go używają osoby słabe i delikatne.

Henryk Wernic.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce wpłynął na rzekę Hugly, będącą właściwie zachodnią odnogą Gangesu, i minawszy „Diamond-harbour” port odpowiedni dla wielkich okrętów, zręczny nieduży parowiec, jak wszystkie mniejsze statki, dotarł aż do samej Kalkuty. Uroczę lub pyszne i wspaniałe wille, pałacyki, ogrody rozsiane gęsto na obu brzegach rzeki, wcale nie zajmowały Anglików, zakłopotanych własnymi sprawami, sama zaś rzeka budziła tylko bardzo usprawiedliwiony wstręt, gdyż wody jej szkaradnie zanieczyszczone, zarówno jak cały Ganges, unosiły zwłoki wiernych, które Hindusi mają zwyczaj wrzucać w nurty świętej rzeki, dla zapewnienia im szczęścia wiecznego. W obrzydliwej tej wodzie tu i owdzie gromadnie kąpali się krajowcy, ku oczyszczeniu, jeżeli nie ciała, co mogło podlegać wątpliwości, to niewątpliwie duszy... wedle ich mniemania.

— Kto wie, może oni mają słusność; istotnie, za wykąpanie się w takiej wodzie, możnaby jak za największą pokutę, dostąpić odpuszczenia grzechów — mruzczeni Anglicy, zatykając nosy i chroniąc się mimo straszliwego upału do głębi kajut o szczelnie pozamykanych otworach, dla nie dopuszczenia owego *świeżego* miejscowego powietrza.

— Jakim cudem ludzie nie wymarli tu oddawna, co do jednego? — pytali się wzajemnie Anglicy.

— Olbrzymio żarłoczne ryby i ptaki czynią, co mogą, a mogą wiele w tym względzie — rozwiązał kwestyę kapitan.

Milionowa dwulicowa stolica, spokojna mimo zaburzeń w całym kraju, z Czarnem miastem o glinianych i bambusowych chatach krajowców, i Białem miastem o przepysznych gmachach, godnych pierwszorzędných stolic europejskich, ze

sławna cytadela, zwaną „fortem William”, i wszystkie „et cetera” wspaniale wielkomięskie, nie więcej obchodziły Anglików, jak rzeka Hugly. Będąc już tutaj jednakże, próbowali jakkolwiek bez nadziei powodzenia, zanieść prośbę do władzy, o wysłanie oddziału wojska do Tungary. Odpowiedziano im że niepodobna rozpraszać sił wojennych, rozsyłając je po mało znaczących mieścinach; dobrze zrozumiany interes ogółu nie pozwala na to. Działac należało w głównych centrach, za których przykładem mieściny i wioski same z siebie iść zwykły. Zatem podniósłszy tylko część sum, jakie mieli złożone w miejscowym banku, panowie Thorn i Mac-Ulm wrócili na pokład swego parowca, przekonani jeszcze mocniej że w odzyskaniu córki i urzędzeniu interesu, na własne tylko siły liczyć mogą. Kapitan Lory oddawszy więźniów i niewolników, i summy zabrane na Sumatrze, złożony odpowiedni raport, nie miał tu także nic więcej do czynienia. John i Harry jedynie zachwycali się Kalkutą, godzinami stojąc z otwartymi z podziwu ustami na placu przed jakąś świątynią w indyjskiej dzielnicy, gdzie lud posilał się śpiewając i przypatrując widowisku. Bajadera, czyli tancerka tańczyła tu przy dźwiękach bębenków, czarownik jakiś postawiwszy ogromny kosz na ziemi, wywoływał z niego straszliwe węże, igrając z nimi w najrozmaitszy sposób, a potężny słoń, dźwigając na grzbiecie mienie i sprzęty całej trupy skoczków kuglarzy, wyprawiających u jego stóp przeróżne sztuki, spoglądał po rozbawionym tłumie swemi mądrymi, pobłażliwymi oczami.

W chwili wsiadania napowrót na parowiec, Mac-Ulm położył rękę na ramieniu Thorn, mówiąc:

— Dwa szczerze słowa, przyjacielu!...

— Czy kiedy inne zamieniane bywają między nami? — zdziwił się Thorn.

— A więc... ty który przypadkiem czy wyjątkową łaską losu masz w tej chwili wszystko, co najdroższego posiadasz, to jest twych synów, i znajdujesz się z nimi w miejscowości bezpiecznej, pozostań tutaj!... umiej ocenić twe szczęście, pozostań w Kalkucie dopóki Indye nie wrócą do poprzedniej równowagi. Zegnaj mi!

— Co?... a ty rzucisz się napowrót na drogę, na której wspierałeś mię dotąd i dopomagałeś do odzyskania mego dziecka, będąc pozbawiony własnego? — Thorn nie dokończył, odwróciwszy się, pierwszy wszedł na pokład Almavivy.

Przy wygodnym życiu jakie prowadzono na statku, William, zarówno jak ludzie poranieni podczas zdobywania Sumatry, przychodzili do zdrowia, otoczeni umiejętnym staraniem lekarza okrętowego. Gdy ciemna linia ukazująca się w oddaleniu zapowiedziała zbliżenie się do rangorskiej zatoki, Mahora, Rahib i Wilko najciężej ranny i najprędzej uzdrowiony skutkiem potężnej sprężystości dzikiej swej organizacyi, zajęli się zmianą ubioru. Przebrania tego celem było złudzenie ich współziomków, przypuściwszy, że ci mogli pamiętać i poznać dostarczycieli wina z piwnicy Sihala, na których już wówczas w daną chwilę pragnęli się zemścić. Gdy William znikł z pokładu Sumatry, poznali oni działanie owego wina i ze zwykłą sobie bystrością odgadli źródło złego. Przebranie zasadało się na podmalowaniu twarzy i ciała odmiennym odcieniem, jako też na innym układzie włosów i odmiennych ozdobach, co wszystko razem nadawało trzem naszym Indyanom, charakter synów jednego z najodleglejszych plemion półwyspu. Następnie wraz ze wschodem słońca wsiadli oni do małej łodzi, zaopatrzeni w umówioną sumę, i wkrótce jako drobny punkcik zniknęli w stronie wybrzeża. Almaviva krążył w jednakowym zawsze oddaleniu, pozwalając się dostrzedz z wybrzeża, ale nie poznać. Któż potrafiłby rozstrześć całą tkankę marzeń i nadziei, jaką kilka niespokojnie bijących serc usnuło przez dzień ten na pokładzie parowca, podczas gdy oczy zachodziły łzami z wytężeniem wpatrując się w stronę, w której zniknęła łódka... któż wypowie szal niepokoju, jaki ogarnął ich, gdy ujrzeni powracającą ją pod wieczór... Gdy dopływała zdołano zaledwie powstrzymać młodych Anglików, aby nie rzucili się w morze na spotkanie łodzi. Niestety, wszystkie nadzieje zawiodły; Klary nie znaleziono. Trzej wierni słudzy przebiegli wybrzeże we wszyst-

kich kierunkach, zwiedzili chaty Sihala i kryjówkę w lesie, wywoływali umówione pomiędzy Chińczykiem i Hindusami hasło... wszystko napróżno, nie było nikogo na wybrzeżu, ani nawet śladów, na których poszukujący znali się doskonale. Snadź dotąd jeszcze nie przyprowadzono tu Klary, lub może zamiar ten zmieniono.

Zawód ten wkląjący wszystkie nadzieje, w pierwszej chwili zupełnie zbląkał Anglików, na razie nie wiedzieli wcale co im czynić pozostaje. Dopiero gdy Mahora zaproponował: „dowiedzieć się w Tungary”... zawołano:

— Wracajmy do Tungary, tam bądźco bądź dowiemy się czegoś przynajmniej.

Almaviva w nocy przybił do lądu, ukrył się w pewnym oddaleniu od zatoki rangorskiej, z kąd jednak można ją było widzieć dokładnie, o czem wiedział kapitan Lory, który nieraz już obserwował ową podejrzaną miejscowość z tego punktu. Anglicy chcieli natychmiast dostać się na ląd i puścić w drogę, korzystając z chłodu nocnego, licząc na swoich trzech Indyan, że i w nocy potrafią odnaleźć właściwy kierunek. Kapitan Lory nie pozwolił przecież na to, z powodu, że wylądowanie bardzo dogodne tam w dzień, niebezpiecznym było w nocy, dla skał podwodnych. Wstrzymano się zatem. W chwili gdy ognista słoneczna kula, jak zwykle w tych stronach, prawie bez poprzedniego świtania, zalała nagle jaskrawym blaskiem świat pogrążony przed chwilą w ciemnościach, kapitan otoczony przyjaciółmi stał już z lunetą w rękę na pokładzie, przypatrując się bacznie wybrzeżu. Nagle wydał okrzyk radości:

— A wszak to Indyanie!... jeden, dwóch, trzech... tam oto dwóch znowu! wyraźnie śledzą coś na morzu, Chińczyka prawdopodobnie, zapewne pannę Mac-Ulm przyprowadzają złoczyńcy teraz właśnie; jeżeli nie puszcza się wybrzeżem ku nam i nie odkryją Almavivy, poprzedni plan jest do wykonania!

— A więc korzystajmy z chwili, zanim zdołają go odkryć, dalej do łodzi, towarzysze! — zawołał Mahora, i znów wszyscy trzej siadali do niej jak wczoraj, gdy kapitan powstrzymał ich zakłopotany, bo serdecznie polubił trzech Indyan i rzekł:

— A jeżeli, co bardzo być może, są między nimi i ci, których częstowaliście zaprawionem winem, a oni za to, gdy was poznają mimo przebrania, poczęstują was nożami lub maczugą?

Było to ważne pytanie. Pytanie bez odpowiedzi. Młodzi Anglicy stanęli pomiędzy swymi Indyanami i łodzią, spoglądając na kapitana, a ten po chwili namysłu odrzekł, zrozumiawszy tę niemą prośbę o radę:

— A gdybym też pozostawiwszy tylko najkonieczniejszą obsługę na parowcu, poszedł wraz z całą załogą i z wami przyjaciele na ląd?... Poszlibyśmy poza temi ot zaroślami, a dostawszy się wąwozem do lasu, otoczmy pocichu znaną nam teraz kryjówkę Hindusów, i upatrzwszy chwilę uczyty lub spoczynku, gdy wszyscy będą zgromadzeni, strzelać będziemy w gromadę, aż wymordujemy ich jak szczurów w norze!... choćby ich było dwa razy więcej niż nas.

Stłumiony przez ostrożność, ale pełen gorącego zapału okrzyk odpowiedział na te słowa. Młodym Anglikiem zabyły sęgły oczy, bo wszakże to był ich własny plan, plan Jerzego przy pierwszym z dzikimi w leśnej kryjówce spotkaniu, z tą tylko różnicą, że teraz napastujący będą mieli siły zdwojone, załogą Almavivy. Zapał i pewność zwycięstwa tak dalece ogarnęły wszystkich, że nie słyszano nawet uwag Thorn, przekładającego niepewność walki z niewiadomym liczebnie nieprzyjacielem, i bezwarunkową wyższość podstępny nad bój otwarty, w sprawie z dzikimi.

Plan wypełniono doraźnie. Pozostawiwszy tylko konieczną obsługę parowca i umówiwszy się z pozostałymi co do sygnałów, młody kapitan przebył z towarzyszami na łodziach, małą przestrzeń dzielącą ich od lądu, i uzbrojeni od stóp do głów, ruszyli wszyscy sznurem, milejąc i przychyłając się wśród zarośli, potem zaś weszli w wąwóz a raczej łożysko wyschłego potoku, który ukazywał się dalej. Doszedłszy do lasu trzeba było wydostać się z wąwozu i przedierać z największym tru-

dem przez gęstwinę. Co chwila stawano nieruchomie, wstrzymując oddech nawet, a Mahora, Wilko i Rahib śledzili obroty nieprzyjaciół, przykładając ucho do ziemi. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że znaczna ich liczba znajdowała się zgromadzona w zwykłej kryjówce, inni zaś wybiegali często pojedynczo na brzeg lasu, prawdopodobnie nie wiedząc dotąd co się stało z Sihalem i nie podejrzewając prawdy, tembardziej że chaty na skałach nie okazywały śladów walki ani rabunku. Dzicy, zdziwieni brakiem wygodnego pośrednika, sami usiłowali wypatrzeć na morzu kupców, na nieszczęsny towar. Anglicy postępowali dalej, mocno zakłopotani, bo gdy pierwszy zapadł wniecony junackim planem młodzieńczego kapitana, ochłodził trochę podczas długiej, trudnej a milczącej przeprawy do lasu, wszystkim teraz przyszło na myśl to, o czem od początku myśleli i wspominali dwaj ojcowie, mianowicie, że jeżeli Klara znajduje się istotnie pomiędzy dzikimi, to „paląc w gromadę” można łatwo zamordować i biedne dziewczętko... Oczywiście sama myśl ta dostateczną była, aby sparaliżować najbardziej ochoczy zapal wojenny. Już tylko jedna ściana gęstwiny przedzielała przybywających, od miejsca, w którym zasypane złomami skał łóżysko wyschłego potoku, stanowiło przejście do wnętrza ukrytej doliny, legowiska dzikich, gdy Wilko słuchający znowu uchem przy ziemi, zerwał się szepcząc z oznakami przerażenia:

— Idą!... wychodzą! idą! już tu są!... — Na znak kapitana, który jedni dawali drugim, wszyscy stanęli jak wryci w gęstwinie, nie można też było zrobić inaczej, bo dzicy ukazali się już, jeden za drugim wychodząc z pomiędzy skał, zasłaniających wejście do legowiska. Wychodzili rozprawiając żywo i gromadząc się w zbity tłum na małej przestrzeni, naradzając się przed zapuszczeniem w gęstwinę leśną. Wilko znajdował się tuż za kapitanem, dotknął się jego ręki szepcząc:

— Oni mówią, że na nic się nie przyda czekać tu dłużej, ponieważ Sihal gdzieś się zapodział, może po zapasy poszedł z żoną do miasta i coś ich tam zatrzymało, trzeba zatem iść samym na brzeg morski do zatoki rangorskiej i obozować tam wygodnie, upatrując okrętu handlarskiego; gdyby inny się zbliżał, dość będzie czasu wtedy cofnąć się do „doliny w skałach”. Inaczej, okręt handlarski nie ośmieli się przybić do lądu bez sygnałów Sihala, nie widząc na brzegu gromady swoich znajomych.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

W stanach zjednoczonych Ameryki północnej, w mieście Ottamawa, którego okolice obfitują w kopalnie węgla, powzięto myśl wybudowania zamku z węgla. Budynek ten stanie w dawnym korycie rzeki, na olbrzymich słupach, również z węgla wzniesionych. Zajmie on przestrzeń 230 stóp długą i 130 szeroką i pomimo swych wielkich rozmiarów będzie kosztował tylko 30,000 dol. Zamek zawierać będzie liczny szereg pokojów, a między innemi salę teatralną dla 6,000 widzów, nadto zaś wiernie skopiowane kopalnie węgla, ogród i wodospad. Do kopalni prowadzić będą dwie windy z główniej, 150 stóp wysokiej wieży zamku. Niezwykły gmach ma być niezadługo gotowy.

Foki uważane są za najszkodliwsze zwierzęta dla ryb morskich, duńskie więc stowarzyszenie rybołówstwa wspólnie

z ministeryum spraw wewnętrznych od października roku zeszłego urządziło systematyczne ich tępienie. Za każdą zabita fokę na morskiem terytorium duńskim, towarzystwo płaci trzy korony nagrody, a dla ludzi, którzy położą na polu tępienia fok specjalne zasługi, przeznaczone są osobne nagrody. Głowy zabitych zwierząt muszą być składane, jako dowody, w muzeum zoologicznem w Kopehadze,

## ZADANIE KONIKOWE.

w	z	ie	mi	pas	w	tem	ply	się	pl	ug	we
o	a	nie	ślad	cza	so	ko	za				
czne	mi	gdy	jak	dłu	tak	tak	łem				
niol	gni	gi	pa	łem	tę	nim	łek				
w	gó	wdzię	chło	sty	a	mi	czo	kiem			
sty	pro	gle	łza	da	z	o	ci	świe			
się	rę	ni	pek	zle	ta	i	je				
mie	na	wa	wzła	da	bi	ci	le				

## HOMONIM SZARADOWY.

Tego, co naprzykład, wiatr z łatwością zmiecie Przymiotnikiem żeńskim będzie, pierwsze, trzecie, Pierwsze znowu leczy; drugie, trzecie, wspiera, Drugie jest zaimek, a trzecie litera. Wszystko, ku wygodzie niegdyś używane, Dziś, prawie już tylko dla chorych jest znane.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

### Zagadki homonimu:

G r a n a t y.

### Kwadratu magicznego:

k	o	s	a
o	w	a	d
s	a	l	a
a	d	a	m

## PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA

### H. WERNICA.

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkółkach początkowych, **cena kop. 25.**

TREŚĆ: Pożar Alhamby p. H. T. (z drzeworytami). — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia p. Cairo. — Kwiatek, wiersz p. Z. Morawską. — Kakao p. Henryka Wernica. — W Indyach (z drzew.). — Rozmaitości — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Rozmowa z Trezorem, wiersz (z drzew.)—Zalóżmy się i jak mamę kocham p. H. Chr.—Naparstek Janinki p. Annę Załęską. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

Rozmowa z Trezorem.

— Co za wycie? Czy być może?  
To ty, szkaradny Trezorze,  
Szczekasz, wyjesz i przed czasem  
Ze snu mnie budzisz hałasem?”  
— To ja, Kaziu... Ja myślałem,  
Że kto nie jest dzieckiem małym,  
Musi wstawać z łóżka rano  
By leniuszkiem go nie zwano...  
— No... zapewne... Lecz skąd, proszę,  
Trezor wściabiać swe trzy grosze  
Nabrał prawa? Mnie, morały  
Prawić? Trezor nazbyt śmiały!

Założmy się i jak mamę Kocham. X

Janek, dziesięcioletni chłopczyk, chętnie się brał do książki, pilnie się uczył i widoczne w naukach czynił postępy; przytem posłuszny, grzeczny, prawdziwą był rodziców pociechą.

Ale (jedno było *ale*), od pewnego czasu nieznośnego nabył przyzwyczajenia i od takowego, mimo ostróg rodziców i napomnień nauczyciela, nie starał się odzwyczaić, to jest że, nie zważając nawet do kogo zwracał swoją mowę, co chwila powtarzał! „założmy się”.

Gdy naprzykład, matka mówiła: Janku, powtórz jeszcze lekcję, bo może nie umiesz. — Janek natychmiast



— Może, Kaziu... Lecz wiem o tem,  
Że mnie lubisz. Czy to z kotem  
Czy mam zatarg z pokojową,  
Zawsze za mną rzekniesz słowo;  
W każdej trosce czy potrzebie  
Wierną pomoc mam u ciebie,  
Więc wywdzięczam się, czem mogę,  
Dobrą daję ci przestrozę:  
Wstawaj, Kaziu, wielka pora!  
— Ha, cóż robić! I Trezora  
Słuchać trzeba, kiedy radę  
Dobrą daje. Zaraz kładę  
Już ubranie, i po chwili  
Będziem obaj się bawili.  
Biedz po rosie tak przyjemnie!  
Cóż? czy kontent Trezor ze mnie?

się odzywał: Założmy się, że umiem. Skoro ojciec wychodząc z nim na spacer powiedział: Janku weź paltocik bo może deszcz będzie, — Janek swoje: Założmy się, że będzie pogoda, bez namysłu powtarzał. Kiedy nauczyciel zwracał mu uwagę, żeby się pilnował, bo zadanie arytmetyczne źle wypadnie, on swoim: Założmy się, że dobrze, zaręczał. Kiedy babcia lub ciocia czego szukała, Janek gotów do usługi, znów swoje: Założmy się, że ja znajdę, powtarzał. Słowem, tak częste powtarzanie jednych wyrazów, stało się w końcu nieznośnym dla wszystkich. Zakazywał ojciec, ganiła matka, przestrzegał nauczyciel, wyśmiewali go koledzy, gdy się w ciągu zabawy ze swoim: „założmy się” wyrwał, nic to nie pomagało, bo Janek przyrzekał, że się powstrzyma będzie, ale przez nieuwagę, za godzinę do swego złego nawyknięcia powracał.

Raz, w czasie lekcji, nauczyciel po jego wykrzy-

kniku: „założmy się” powiedział mu: — Dobrze Janku i owszem, założmy się.

— Jakto? — zdziwiony Janek zawołał — pan profesor naprawdę założyłyby się ze mną? A o co?

— O to — odrzekł nauczyciel — że ze dwadzieścia razy jeszcze do wieczora użyjesz tych wyrazów.

— A co dostanę jak pan przegra? — spytał wesoło Janek, któremu nadzieja jakiejś wygranej uśmiechała się z góry.

— Nic nie dostaniesz — odparł z uśmiechem nauczyciel — tylko, jeżeli powstrzymasz się przez cały dzień i ani raz tego nie powtórzysz, powiem ci, że jesteś rozumnym chłopcem.

— Alboż to ma być już mądrym, kto tych wyrazów nie używa? — zawołał Janek.

— Nie jest jeszcze mądrością samo ich unikanie — odrzekł nauczyciel — lecz to stanowi prawdziwą mądrość człowieka, gdy tenże umie zapanować nad złem nawykniem, stara się zwyciężyć w sobie choćby najmniejszą wadę i pracuje usilnie nad wykorzeniem każdego, nieopatrznie nabytego nałogu. I cóż, czy przystajesz na moją propozycję, chcesz być nazwany mądrym?

Janek podumał trochę, nieco się zawahał, lecz obietnica zyskania tak pięknego przydomka przeważała i wykrzyknął wesoło:

— Dobrze, dobrze, przystaję, ale niech pan profesor przy wszystkich, dziś wieczorem nazwie mnie: mądrym człowiekiem.

Nauczyciel przyrzekł i lekcya ciągnęła się dalej. Raz tylko Janek zaczął: „założ”... lecz spojrzawszy na nauczyciela urwał, nie dokończywszy wyrazu. W ciągu dnia, przy obiedzie, w czasie zabawy z siostrzyczką wysunęło mu się owo: „założ”... nie domówione na szczęście. Dziwiła ta baczność mamę Janka i wielce się tą poprawą cieszyła, nie wiedząc czemu ją przypisać; zwróciło to uwagę jego siostry Marychny o rok tylko od niego młodziej, przeto zapytała brata, dla czego tak się dziś pilnuje, że nawet nie dokończy całego wyrazu? Na to Janek tajemniczo jej odpowiedział: — To mój sekret, dowiesz się o tem później.

Skoro wieczór nadszedł, i wszyscy domowi po całodziennych zatrudnieniach zasiedli koło stołu do herbaty, nauczyciel zapytał swego ucznia:

— No, Janku, a cóż nasz zakład?

— Ja wygrałem — zawołał z tryumfem chłopczyzna — ja wygrałem! niech mama zaświadczy, że ani razu tak nie powiedziałem.

Zwróciła ta rozmowa uwagę wszystkich, a rodzice zapytali coby to znaczyło. Nauczyciel opowiedział o zrobionym układzie z Jankiem i na zakończenie wskazawszy nań ręką, rzekł uroczystym tonem:

— Przedstawiam państwu: rozumnego chłopca.

Wszyscy zebrani radośnie przyklasnęli powtarzając:

— Witamy, witamy roznmnego chłopca!

Po chwili, matka spojrzawszy na siedzącą obok niej córeczkę, rzekła z uśmiechem: — Bardzo się tem cieszę, lecz chciałabym również, abyśmy mieli przyjemność mieć i rozumną panienkę. Marychna spuściła oczy

i zarumieniła się cokolwiek. Zrozumiała bowiem do czego mama stosuje te wyrazy, gdyż miała naganny zwyczaj powtarzać: „jak mamę Kocham”. Wprawdzie, nie tak często jak Janek wymawiała swoje przysłowie, lecz jej nieraz mama, babunia i ciocia zwracały uwagę, że nie powinno się bez potrzeby takimi wyrazami szafować, gdyż miłość ku rodzicom nie zasadza się na gołosłownem wypowiedaniu, że nawet może to być lekceważeniem i brakiem poszanowania. A co więcćj: powinny się dzieci strzedz bardzo, aby ta przysięga nie posłużyła im kiedy do potwierdzenia kłamstwa i nie obróciła się na fałszywe świadectwo, czemby właśnie wykazały, jak mało mają w sercu ku rodzicom tej rzeczywistej miłości, która nie ogranicza się na próżnym słów dźwięku.

— Jakże tedy Marychno — spytała babunia, spojrzawszy na zafrasowaną minę wnuczki — czy masz ochotę, żeby cię jutro mama nazwała: rozumną panienką?

— I owszem — zawołała Marychna, całując matkę w rękę — proszę niech mateczka jutro przy wszystkich tak powie; będę się starała na to zasłużyć.

Skoro następnego dnia znów cała rodzina o tej samej godzinie zgromadziła się do jadalnego pokoju, ojciec spoglądając się na Marychnę zapytał:

— A cóż, czy możemy się cieszyć, że mamy pośród nas rozumną panienkę?

Matka z uśmiechem zadowolenia położyła rękę na głowie córeczki, zaświadczać że tak jest istotnie, mimo następczących się ku temu okoliczności, Marychna ani raz nie powiedziała: „jak mamę Kocham”, co też babcia wraz z ciocią potwierdziły.

Ojciec przyciągnął do siebie i ucałował rozradowaną córeczkę, i przez cały wieczór na wyścigi Janek nazywał Marychnę: mądrą panienką, a ona jego: mądrym chłopczykiem. Odtąd oboje odzwyczaili się zupełnie od używania swoich wykrzykników. Wprawdzie w pierwszym tygodniu wymykało się jeszcze niekiedy z ich ust: *założ*... i *jak ma*... jednak w końcu i to zupełnie ustało i przekonali się na sobie samych dowodnie, że niema tak zadawnionego przyzwyczajenia, od któregooby przy dobrej woli i pilnej uwadze, nie można odwyknąć, nawet w bardzo krótkim przeciągu czasu.

H. Chr.

## NAPARSTEK JANINKI.

p. Annę Załęską.

(Dokończenie).

Janinka patrząc w okno, spostrzegła, że słońce, choć jeszcze jaskrawe, już zupełnie się obniżyło.

— Czy to się już wieczór zbliża — pomyślała z żalem. Wtem zegar wydzwonił czwartą.

— O biednaż ja — zawołała Janinka — teraz, choćby się już i znalazł ten niegodziwy naparstek, nie zdążyłabym tak prędko obrąbek wykończyć, żeby był jeszcze czas pójść na ślizgawkę. Już wszystko stracone.

I usiadłszy w kącie, ukrywając w drobnych rączkach rozpaloną twarzyczkę, gorzko płakała.

Dobrej cioci bardzo żal było, że taka przykrość spotkała powierzoną jej na dzień ten dziewczynkę. Ale matka Janinki nie miała powrócić aż w wieczór, a wolę jej i przekonania znała doskonale. Nie mogła więc nic poradzić.

Janinka długo płakała, aż dostała bólu głowy, co widząc ciocia przyniosła jej poduszkę, namówiła do położenia się na kanapce, a gdy splakane oczy mrużyć się zaczęły, wyszła pocichu z pokoju i drzwi zamknęła.

Jak długo spała Janina, niewiadomo; lecz gdy otworzyła oczy, dzień jasny już dawno ustąpił miejsca nocnym ciemnościom. Mrok zupełny panował w dużym pokoju, a kąty odznaczały się przerażającą czarnością. Janinka nie mogła zrozumieć, gdzie jest i co się z nią stało. Czowała tylko, że jej głowa ciężka, że twarzyczkę ma gorącą, i że nie jest ani w swoim pokoju, ani w swoim łóżku. Tam, gdy się w nocy obudzi, nigdy nie jest ani tak ciemno, ani tak samotnie. Nocna lampa pali się na stoliku, a mała siostrzyczka śpi niedaleko.

— Więc gdzież to ja jestem — pomyślała Janinka i choć była odważną, przebiegł ją dreszcz jakiś, przymknęła oczy, a naciągnąwszy na głowę szal, którym była okryta, zaczęła sobie przypominać różne straszne historie, o duchach i strachach, które opowiadała piastunka Zosi.

Nagle, o dziwo! w tym pustym pokoju dało się słyszeć lekkie, lecz wyraźne pukanie, potem jakby turkot jakiś.

Janinka podniosła głowę i odważyła się spojrzeć. Ale noc straszna nic jej widzieć nie dała, a hałas nie tylko że nie ustawał, lecz wzrastał się i przybliżał ku niej. Przytem mrużenie jakieś, ciche stąpanie do najwyższego stopnia doprowadziły trwogę biednej samotnicy.

— Boże, ratuj — pomyślała — to niezawodnie północ i jakaś okropna rzecz tu się stanie. Nie, nie mogę widzieć i słyszeć dłużej — i napowrót, zamknąwszy oczy, uszy zatkała rękami i nawet głośniej odetchnąć nie śmiała.

Wtedy zaczęła się spokojniej zastanawiać.

Przypomniała sobie, że mama jej nieraz mówiła, że strachów żadnych niema, więc bać się ich nie trzeba, że bajkami są wszystkie o nich opowiadania i że wstyd być tchórzem, a najlepiej starać się zbadać, gdy czegoś nie rozumiemy. Przez tę chwilę rozważania, przypomniała sobie także Janinka całą historię zmartwienia swego i oprzytomniała zupełnie.

— Tak, będę odważną — rzekła półgłosem, i przy tych słowach stanowczym wysiłkiem woli, zrzuciła z siebie szal, i pomimo że serce młotem biło od strachu, postanowiła stawić czoło wszelkiemu niebezpieczeństwu.

Zerwała się z sofy i w stronę drzwi pobiegła.

Okropność! Turkot toczącego się przedmiotu wyraźnie za sobą usłyszała. Ale cofać się było za późno i nawet nie chciała.

Otworzyła drzwi szybko, ale nie sama przez próg przebiegła. Wtoczył się wraz z nią, jakby najniewinniejszy, jej tak poszukiwany, tak opłakiwany naparstek, a za nim w zręcznych podskokach jej ulubiony kotek

Burek, który w braku myszki obrał go sobie za zabawkę.

Janinka rozśmiała się ze swojej obawy, ale nim jeszcze nadchodzącej cioci opowiedziała całe zdarzenie, podniosła z ziemi i dobrze zamknęła w szufladce naparstek.

Ciocia i mama po powrocie do domu, ucieszyły się, gdy im Janinka opowiedziała, że naparstek jest już, że go Burek znalazł i że odtąd będzie o nim dobrze pamiętała. Pochwaliły ją także za rozsądek i przytomność umysłu, których dała dowód, opierając się dziecinnym strachom, gdy sobie przypominała rady i nauki matki.

### SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Jabłoni.

*Pierwsze* w alfabecie litera,  
*Trzecie* w cyfrach się zawiera  
*Pierwsze trzecie*, dobrze wiecie,  
 Wielu nędz w Indyi przyczyna;  
*Drugą trzecią* główka mała  
 Co nauki nie poznała;  
*Wszystko* wyborna jaryzyna.

### ŁAMIGŁÓWKA.

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie jadalne w skorupie.
3. . . . .
4. Narzędzie wzroku.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy w szerz i środkowe litery w poprzek, utworzą imię tej, do której wcześniej trzeba się zabierać, żeby jej dużo nabyć.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go.

#### Szarady:

P o ł o w y.

#### Łamigłówniki kryształowej:

			K						
			K	R	A				
			S	Z	A	F	A		
			P	Ł	A	S	Z	C	Z
K	R	A	S	I	Ń	S	K	I	
			S	H	A	N	N	O	N
			W	I	S	Ł	A		
			O	K	O				
			I						



## Skrzynka do listów.

**W. An. Gor.** Najchętniej uczynimy zadość życzeniu Szanownej Pani i Wieczory wysyłać będziemy bez przerwy.

**Cyganeczkę** jak najmiliej witamy w gronie korespondentek zarówno jak i w gronie **Cyganeczek**, których kilka przygarnęło się do nas. Liściki chętnie drukować będziemy, gdy koić na nie przyjdzie, (na co, uprzedzamy, że nieraz długo czekać trzeba) prosimy jednak aby liściki zawsze były pisane na osobnej karteczce, gdyż przepisywanie za dużo zabiera czasu. Niteczka Aryadny wadliwie ułożona nie może być drukowaną, niech Cyganaczka przyjrzy się tej, na którą chciała odpowiedzieć.

**Niezapominajko z nad Warty**, nie ty jedna dopytujesz się tak serdecznie o naszą Gołąbkę. Przypuszczamy, że w tym miesiącu wrócić powinna. Józio rzadko pisuje, bo młodzieniaszek, w jego wieku tyle ma obowiązkowej pracy, że nie łatwo mu przychodzi znaleźć czas na amatorską. Nie zaniedbywał się w nauce, promocją dostał, wakacje spędzał na wsi, teraz już znowu zabrał się do nauki.

Dlaczegoż to ten Łabędź z nad Żywu nie pisał od tak dawna? dopiero siostrzyczka, **Kampenella Nr.2**, przyłączając się do grona korespondentek wspomniała o nim.

Tak **Zorza Północna** jak **Gałązka Osiny** i **Jaskółka z Czerwonéj Rusi**, trafią dały odpowiedź. Tak dziewczeczki drogie, zawsze i wszędzie „trzeba się przezwyćżyć” bo na umiejętności panowania nad sobą polega wartość człowieka. Poczekamy jeszcze na odpowiedzi innych naszych czytelników; tymczasem zaś **Zorzy Pół.** odpowiadamy za Gołąbkę, że konkurs robót niedługo rozstrzygniętym zostanie. Nie dziwny się, że kto tak ładnie małemi jeszcze paluszkami szyje, temu pilno dowiedzieć się, co tam o nim myślą; ale... „przezwyćżyć się *trzeba*”. Tę większą potem przyjemność sprawi upragniona wiadomość.

Miłe nam było niezmiernie odezwanie się „*niegdys*” **Induktora Ruhmkorffa**, który zapewne teraz uznał słuszność słów, które mu dawniej sprawiły trochę przykrości. Podziwiamy pamięć, która przez kilka lat przechowała wspomnienie takiej drobnostki.

Jakkolwiek odpowiadamy na listy przychodzące do Gołąbki podczas jej nieobecności, chowamy je jednak dla niej, aby ją nie pozbawiać przyjemności czytania tak zajmujących opisów, jak ten, który jej **Gama C-dur** przysłała. Tę wdzięczniejszą będzie Gołąbka, że na list do niejżytkowałaś ostatnie chwile przedłużonego odpoczynku wakacyjnego. Wyobrażamy sobie z jaką przyjemnością zabierzesz się teraz do pracy!

Nie potrzebujesz pytać o to **Czarodziejko**, czy **Złotą pszczołką** zostać możesz. Od czegoż jesteś „Czarodziejką”?

**Adela T.** i **Stefan Jur.** nadesłali dobre rozwiązanie łamigłówek i szarady.

Kochany Rycerz Błękitny! Przeglądając dawne numera **Wieczorów**, spostrzegłem twój pseudonym i tak mi się spodobał, że postanowiłem do ciebie napisać. Imię moje Jerzy mam lat 15, mieszkam w Warszawie, uczę się w domu. Lato zwykle przepędzam na wsi. Napisz także coś o sobie. Twój *Ikar*.

Powiedzcie mi drogie moje przyjaciółeczki, dlaczego między wami niektóre panienki otrzymują tyle miłych liścików, choć nie zawsze odpowiadają na nie, gdy znowu inne nadaremnie ich oczekują? Od pół roku zaczęłam pisywać do **Wieczorów**; a każdy numer z gorączkową niecierpliwością oczekuję, a otrzymawszy szukam w „skrzynce do listów” choć jednego słowa do siebie zwróconego, i zawsze napróżno! Pisujcie do mnie miłe moje a z pewnością żadna nie zawiedzie się, z największą przyjemnością zawsze wam odpowiem. Żegnaj was uściskiem polecając się pamięci waszój. Westalkę całuję serdecznie i dziękuję za odpowiedź. Życzliwa *Sosenka*.

**Milutka Córo Mazurów!** Dowiedziawszy się, że trzymasz **Wieczory**, postanowiłam odezwać się do ciebie; wprawdzie widziałam cię tylko dwa razy, ale czuję wielką do ciebie sympatyę i ra-

dabym częściej cię widywał. Co robi twój śliczny braciszek **Zygmus**, któryby mi się bardzo podobał gdyby nie był takim mazgajem. Zgadnij kim jest szczerze ci życzliwa *Genialna Marzycielka*.

Drogi moje: **Halko z Litwy** i **Czarodziejko!** Bardzo mi się wasze pseudonimy podobają; **Halko** droga z twojego pseudonimu widzę, że twoją ojczyzną jest Litwa. Ty **Czarodziejko** donieś mi dlaczego taki obrałaś sobie pseudonym? Może miło wam będzie wiedzieć, że jestem wysoką 12-letnią **Maryą**. Mieszkam na wsi w Prusach zachodnich. W październiku pójdę na pensję do Urzulanek do Berlina. Bardzo lubię psy. Już trzeci rok mam **Wieczory** i jestem ich bardzo pilną czytelniczką. Jak wam się podoba **Druga Matka**? Ja jestem zachwycona tą powieścią. Donieście mi czy uczycie się w domu? ile macie lat? Chciałabym także dowiedzieć się jakie są wasze imiona? Może zechcecie odpisać *Trawce z nad Tryby*.

Kochana **Kuropatewko z nad Warty!** Jestem od ciebie prawie dwa razy starszą, ale mimo to będziemy się kochać i rozmawiać przez nasze pocztowe **Wieczory**. Podobałaś mi się właśnie za to że jesteś mała, bo mam braciszka **Kazia** i cztery siostrzyczki młodsze od ciebie. Na imię mi **Jadzia**, uczę się przy nauczycielce. Co do posiadania kury, kurczątek i ogródka, to jednakowo jesteśmy szczęśliwe. W ogródku moim wszystko ładnie rośnie. **Kurczęta** wyrosły na duże czubate kurki, a mię bardzo cieszę. Miałam stratę, bo moja krówka zaginęła. *Jaskółka z nad Bohu*.

Kochana **Filaretko!** Ty jesteś pierwszą, kochana siostrzyczko, do której list posyłam przez **Wieczory**, naprzód przedstawiam ci się. Jestem bardzo wysoką, dość szczupłą, jasną blondynką i mam szaro-bure oczy, w październiku skończę lat 12. Mieszkam na wsi ale już byłam parę razy w Warszawie, i dwa razy w Krakowie gdzie oglądaliśmy z mamą groby na Wawelu. Zdaje mi się miła **Filaretko** że jesteś stałą mieszkanką Warszawy, czy tak? Napisz mi proszę jak wyglądasz, gdzie mieszkasz, ile masz lat i czy ci się podoba powieść w dodatku: **Druga Matka**? bo mnie podobają się najwięcej powieści dodatkowe, jakże zajmujący był **Szesnaoletni Wojewoda!** czyż czytałaś w imię koleżeństwa. **Brat** i **siostra**, **Prześladowanie** (powieści dawniej wydawane) bo my prenumerując od paru lat **Wieczory** mamy te wszystkie powiastki. Napisz mi także czy czytałaś początek **Wyspy Atlanty**, jeżeli nie, to cię objaśnię w następującym liście jakiego sposobu użył **Abrakadabrus** dla pogodzenia tych trzech półgłówków (tak ich niegrzecznie nazwał) a teraz kończę z obawy aby **Redakcja** listu nie obciąła. Kochająca *Balladyna*.

Kochany **Filozofie**. Na imię mi **Adam**, mam lat 12, chodzę do drugiej klasy **żytomirskiego gimnazjum**. Wakacje przepędziłam za granicą. Bardzo lubię historyczne powieści, a tobie jaka powieść najlepiej podoba się w „**Wieczorach**”? Bo mnie „**Z wyspy Atlanty**”. Kończę oczekując z niecierpliwością odpowiedzi. Całuję cię serdecznie. *Odważny Pływak*.

**P. S.** Dlaczego **Straszny Mróz** i **Kłosek Podolski** nie odpowiadają mi? Odpiszcie prędko, bo się pogniewam.

**Najdroższa Niezapominajko z nad Warty!** Liścik twój wielką zrobił mi przyjemność i szczerze ci dziękuję. Na imię mi **Ana**, mieszkam o cztery mile od **Lwowa**, w miejscu kąpielowym; w lipcu kończę lat 14. Od dwóch lat należę do konkursów. Kwiatkiem moim ulubionym jest „**Niezapominajka**”, dla tego też i ciebie polubiłam od razu. Proszę cię opisz mi siebie. Przesyłam ci trylion całusków. *Białonóżka z pod Karpac*.

**P. S.** Wszystkim czytelnikom „**Wieczorów**” przesyłam serdeczne uściśnienia.

**Droga Czarna Perelko.** Jestem ci bardzo wdzięczną za twój miły liścik i odpisuję natychmiast. Miałam także siostrzyczkę **Janię**, którą bardzo kochałam i którą straciłam. W ogródku moim wychodowałam piękne kwiatki i warzywka. Kończę i posyłam ci dziesięć całusków. *Kuropatewka z nad Warty*. Pracę **Adelci** **N.** ściskam serdecznie.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



### DOŚWIADCZENIE CHEMICZNE.

Urządzenie za pomocą łatwych środków filtru tak często potrzebnego do usunięcia osadu, jaki się wytwarza w płynach, niejednokrotnie przydać się może, podajemy więc najprostszy do tego sposób. Na kubeczek większych rozmiarów, jaki widzimy na rycinie, kładzie się grubą bibulę, złożoną we dwoje, wciska ją się mocno w głąb kubeczka, tak, aby po bokach pozostały dość duże brzegi i następnie nalewa potrochu płyn, który mamy zamiar przefiltrować. Płyn będzie ściekał do kubeczka czystymi kroplami, zupełnie wolnymi od

osadu, który bibuła zatrzyma. Na próbę filtrowania takiego wziąć możemy rozpuszczony chlorek potasu, który przedstawia płyn przezroczysty, jasno-żółtego koloru. Jeżeli dolejemy do niego drobną ilość octanu ołowiu również rozpuszczonego, wtedy natychmiast prawie otrzymamy w płynie osad ciemno-żółty, gęsty, ziarnisty chlorku ołowiu nierozpuszczonego. Filtr nasz wystarczy by takowy oddzielić z płynu całkowicie.

### Sprawozdanie z konkursu robót.

Dzieweczki drogie, prawdziwie i wam i sobie powinszować możemy téj gotowości, z jaką zawsze zadość czynicie wezwaniom konkursowym. Leży oto przed nami stos paczek różnej wielkości i różnego kształtu: kaftaniczki, koszulki, sukienki, fartuszki, wszystko dzieło pracowitych rączek, którym poczciwe serca dodały wytrwałości, wszystko przeznaczone dla ubogiej dziatwy, której matki błogosławić was będą.

Rodzicielską opieką troskliwą strzeżone od cierpień, jakie pociąga za sobą niedostatek, często ani wiecie, ani wyobrazić sobie zdołacie czém jest nędza, ta miejska, ta z sutereny i poddasza, która w nieopalonej izbie zamyka bosc i nieokryte dziecięcy, ta, która do szkoły, lub na zarobek chodzić nie pozwala dla braku odzieży stosownej, ta, która serce matek rozdziera bólem bezmiernym, a w sercach ojców budzi tak często zawiść przeciwko możniejszemu, szczęśliwsiemu, łaskawiej przez los traktowanemu. Natę zawiść, która razem nieszczęściem

jest i grzechem, niema skuteczniejszego lekarstwa nad miłosierdzie chrześcijańskie. Starsze z pomiędzy was, pracownice kochane, rozumieją już całą doniosłość tej prawdy, młodsze zrozumieją ją z czasem; dziś zaś wszystkim, które czynem dały dowód, że obowiązek miłosierdzia wykonywać umieją, dziękujemy serdeczném: *Bóg zapłać!* Mowa nasza, o której słuszenie powiada poeta: „*Z Boga w niej idzie takie rzeczy mnóstwo... Istnym różańcem ku niebu się niże*” gotowym już zwrotem modlitewnym błogosławi tych, którym się coś więcej nad zwyczajne podziękowanie należy. Raz więc jeszcze powtarzamy: „*Bóg zapłać*”.

Ale tymczasem i my się poczuwamy do obowiązku odpłacenia drogim i dobrym dziewczętom za przyjemność, jaką nam pracowitością swoją sprawiły. Nagroda zawsze się należy zasłudze, a zasługą, bez względu nawet na przeznaczenie roboty, jest sama robota, starannie i porządnie wykonana. Za taką więc otrzymują nagrody z odznaczeniem:

*Blondynka podlaska, Cicha Fala, Goryczka, Gałązka Osiny, Horpyna, Jutrzenka, Królowa Wrózek, Kukutka z pod Lublina, Marszałkowa, Mgła, Mięta z nad Poru, Polka z nad Szczary, Pociuszka rodziców, Pieszczocha, Pszeniczka, Różyczka chińska, Sosenka, Światelko, Zorza północna.*

Nagrody 1-go stopnia:

*Andzia B., Czarnotka, Eugenia H., Gospoia taty, Gospoia z pod Lublina, Gospoia z Podola, Halka z Litwy, Jadzia B., Jaskółka z nad Hańczy, Julcia H., Iskierka pod Lublina, Kukuleczka z Wołynia, Lobelia, Malinka z Goworowa, Mała Laszka, Niezapominajka z nad Jabłoni, Oleńka ze Żmudzi, Przyłaszczka, Rumiane Jabłuszko, Rajskie Jabłuszko, Sikorka, Sarenka lubelska, Złota Rybka, Zręczna Gospoia.*

Nagrody 2-go stopnia:

*Biała Firletka, Jaskółka z nad Ussy, Myszka domowa, Macierzanka, Niezabudka z nad Chomoru, Prawda, Radomianka, Śpiewna Lira, Tęcza z nad Jatrani, Terenia, Utanka, Zorza.*

Upraszamy nagrodzone panienki, zarówno miejskie jak i wiejskie o zgłaszanie się po odbiór nagród do redakcyi, o ile to dla ostatnich jest możebnem przy okazjach do Warszawy.

## KARŁY AFRYKAŃSKIE.

Mówiliśmy już że głośny podróżnik angielski Stanley, dotarł w Afryce do plemion murzyńskich niezwykle drobnego wzrostu: najwyższy z tych człowieczków osiąga 138 cent. a minimum wzrostu wynosi centymetrów 92.

Inteligencyą karzelki te równają się z innemi plemionami murzynów zwykłego ludziom wzrostu, a co do chytróści, przeważają ich o wiele.

Stanley dzieli karle plemiona na dwa typy, które przedstawia nam załączona rycina. Widzimy na niej w głębi czterech ludzi, dwóch murzynów i dwóch europejskich podróżników, a na przodzie czterech karzelków; karzelki o okrągłej twarzy dużych szczerych oczach, należą do plemienia Uambutti, skóra ich ma barwę żółtawą. Obok nich stoją przedstawiciele plemienia Batua. Kształt głowy podłużny, twarz wązka, wydłużone, małe czerwone oczka, blisko siebie głęboko ob-

sadzone nadają im wyraz skryty i nieufny. Skórę mają ciemniejszą od pokrewnych im Uambutti.

Te dwa główne plemiona afrykańskich pigmejów żyją z sobą w dobrej zgodzie. Przebywają w wielkich lasach i żywią się upolowaną zwierzyną. Za pomocą strzał zatrutych zabijają też i nieprzyjaznych im ludzi. Kopią głębokie rowy i przykrywają gałęziami i trawą a w te pułapki wpadają słonie, bawoły, antylopy, i stają się łatwą zdobyczą pigmejów. Rozpościerają też między lianami siatki, w które chwytają drobniejsze zwierzęta, łasiczki, ichneumony, szczury, wreszcie łowią małpy za pomocą bardzo dowcipnego sposobu. Pod rozłożystem drzewem rozsypują banany, orzechy, a nad temi ponętnemi dla małp przysmakami, zawieszają u gałęzi drzewa rodzaj dachu silnie splecionego z lian i gałęzi, gdy pigmetyczek usadowiony na dachu widzi, że zwabiony jedzeniem młody babuin lub szympanz zasiada do uczty, szybko odczepia dach od gałęzi i spuszcza na swoją ofiarę, którą następnie zabija, by futro jój zamienić z innemi murzyńskimi plemionami na różne przedmioty służące do ubrania lub stroju, a także na noże, włócznie lub tytuń wreszcie. Karły są bardzo niebezpiecznemi wrogami; zwinność, lekkość, niski wzrost wreszcie, pozwala im wcisnąć się lub ukryć w miejscach zbyt szczupłych a więc niedostępnych dla ludzi zwykłego wzrostu. Przytem strzelają bardzo celnie z łuku. Żyją w chatkach splecionych z gałęzi, które ścinają za pomocą siekier, mężczyźni trudnią się polowaniem a kobiety przyrządzają mięso i skóry. Uambutti i Batua wiodą życie koczujące, skoro w jednej części lasu wytrzebią zwierzynę przenoszą się dalej, zabierając z sobą cały swój dobytek łuki, strzały, i skóry. Celują przytem w wyrabianiu trucizn, któreni strzały pokrywają.

A. M.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Nie mogłem dotąd przyjrzeć się dobrze królewiczów Jagódce, bo stojący przed tronem Indyanie zupełnie mi ją zasłonili; teraz gdy się nieco usunęli na stronę, zobaczyłem że była nadzwyczajnej piękności, pociągającej nie tyle regularnością rysów ile wyrazem niewypowiedzianej, anielskiej niemal dobroci. Okrywała ją szata z przepysznych koronek, a szyć zdołał naszyjnik z turkusów, między któremi w przerwach były ogromne szafiry. Takie same miała naramienniki, bransolety i przepaskę, ale prawdziwem arcydziełem jubilerskiej pracy, była korona, w której turkusy i szafiry dwoma rzędami obejmowały obręcz z gwiazd; matowa ich białość zdawała się być wyborańską emalią.

— Nie znam się na klejnotach — odrzekłem — ale widzę że są przesliczne. Niemały pewnie kryje się w nich majątek. Musi to być dar królewicza Kryształka.

— Jestto — odrzekł śmiejąc się Astragalus — tylko zręczna kombinacya niezapominajek które królewiczowa szczególnie polubiła od jakiegoś czasu, goryczek górskich bezłodygowych i szarotek, tego pięknego, wdzięcznego kwiatu, na wysokich tylko rosnącego szczytach. Królewiczowa ma dostatek cennych klejnotów od brata Kryształka, ale ubiera się w nie tylko wtedy, gdy chce mu zrobić przyjemność. Mają one dla niej tę wielką wadę, że nie pachną, a ona przepada za wonnościami, więc chętniej nosi kwiaty niż dyamenty.

— Ależ te kwiaty mają nawet blask prawdziwych klejnotów!

— A, to dla tego że tu jest powietrze przesycone wilgocią, bo paprocie i w ogóle skrytokwiatowe, tylko w wilgotnej atmosferze żyć mogą. Wilgoć osiada drobnemi kropelkami rosy na tych klejnotach, a słońce przedzierające się przez

sklepienie, odbija się w nich wszystkimi barwami tęczy i nadaje im blask prawdziwych dyamentów.

Zauważyłem że cały dwór postrojony był w klejnoty z kwiatów, a damy dworu w koronki podobne tym, jakie miała królewiczowa, choć nie tak wytworne.

— Przemysł koronkarski kwitnie widocznie na Atlantycie — zauważałem — bo widzę tu wielką obfitość koronek, choć wyglądają jakoś zupełnie inaczej, niż te jakie widziałem u nas w górach tatrzańskich, w Zakopanem.

— Bo też to jest koronka roślinna.

— Nie może być!

— Tak jest, roślinna. Pochodzi z drzewka zwanego *Daphne Lagetto*, należącego do rodziny *Daphnoideae*. Wyrasta na cztery do pięciu metrów wysoko, rozpowszechnione w Ameryce południowej, na Antyllach, Jamajce, San Domingo i wielu innych jeszcze miejscowościach. Dostarcza ono drzewa koronkowego, a raczej kory koronkowej. Kora bowiem zewnętrzna tego drzewa jest białawą, a warstwy pod nią znajdujące się, zupełnie białe, dają się z łatwością oddzielać, tworząc jedną siatkę, podobną na pierwszy rzut oka do tkaniny tiulowej lub koronkowej. Na Antyllach wyrabiają z niej wstążki i lekkie ozdoby toaletowe, a na dworze naszym używają jej na suknie, firanki i kotary.

— Koronki to jednak wielce niepraktyczne: co z niemi zrobić gdy się pobrudzą?

— Piorą się.

— Co? to się pierze?

— Doskonale.

— Czyż jednak królewicz Zielonko potrzebuje ubierać się w materiały wyłącznie roślinne, skoro między braćmi niema już niezgody?

— Sza! — szepnął oglądając się niespokojnie — nie wymawiaj pan głośno tego słowa. Nie wolno tu wspominać o epoce smutnej pamięci, rzucającej cień na życie rodzinne i panowanie trzech monarchów.

— A więc wyrażę się inaczej: od czasu gdy między trzema braćmi panuje przykładowa zgoda i miłość.

— Tak to co innego. Na dworze naszym używa się o ile potrzeba wszelkich produktów zwierzęcych i mineralnych, ale do przyjęć uroczystych służy przeważnie roślinność; pochlebia to Zielonce, gdy ma sposobność okazania światu, że rośliny wszystko zastąpić mogą.

— Z jakiego to materiału następczyni tronu ma sukienkę, czy także pochodzenia roślinnego?

— Tak jest, z rośliny *Pitta* rosnącej dziko w Meksyku. Należy ona do rodziny kaktusów i posiada włókna przydatne do wyrobu materii. Włókna te mocne, jedwabiste, bywają od czterech do pięciu metrów długie. W Anglii zaczęto je najprzód przerabiać i zdaje się że będą mogły współzawodniczyć z innemi, bo są piękne i bardzo trwałe. Królowa angielska Wiktorya, przysłała właśnie tę sukienkę w darze dla księżniczki Gori. Posel angielski wczoraj dopiero odjechał.

— Jaki to dar niósł orszak posła indyjskiego? Zdaje mi się że to był krzew czy drzewo.

— Drzewo płaczące.

— Sądziłem że królewiczowi posiadającemu wszystkie niemal rośliny świata, same tylko osobliwości mogą być ofiarowywane, a drzewa płaczące przecież nie są żadną osobliwością. Na każdym niemal kroku spotkać je można. Płaczą długimi gałęziami wierzby, jesiony, brzozy i wiele innych.

— Tak, ale drzewa które pan wspomniałeś, mają tę nazwę jedynie w znaczeniu przenośnym. Wierzba płacze, powiadają, a czy widział kto żeby choć jedną łzę uroniła?

Spojrzałem na mówiącego ze zdumieniem.

— Nie powiesz pan przecież że jakiegokolwiek drzewo może płakać naprawdę — odezwał się. — Wiem że rośliny są istotami żyjącymi, że są wrażliwe, jak tego dowodem jest mimozę; że mają jakiś nieświadomy instykt, bo wiedzą gdzie szukać pożywienia, choć nikt ich tego nie uczył. Ale żeby

miały uczucia rozwinięte, żeby jak człowiek lub zwierzę, zdolne były przejąć się żalem lub boleścią, tego pan we mnie wmówić nie zdołasz. Nie posiadają przecież odpowiednich organów łzawych.

— Czy żal lub boleść odczuwać mogą, tego nie wiem — odrzekł uśmiechając się *Astragalus* — ale to pewna, że mają czem płakać, skoro płaczą. Drzewo które posel indyjski przyniósł dla królewicza, jest gatunkiem *Dereunia* czyli *Świdwy*, *Cornus*. Rozmawiałem o niem z posłem: opowiadał mi że w Indyach dostrzeżono pod niem kałużę, której pochodzenia nie umiano sobie wytłomaczyć, dopóki nie zauważono że ze złamanej gałęzi tego drzewa, spływały do kałuży obfite krople. Osobliwy ten deszcz padał od dziesięciu dni przeszło, nie zrzadzając żadnej szkody drzewu, które w tym czasie rozwijało swe pąki, choć zdaniem mojem, jest to niemożliwe; bo jak dla człowieka utrata krwi, tak dla drzewa utrata odżywczego soku, bez szkody nie przechodzi. Płaczą wprawdzie krzewy winne, gdy je ogrodnik przycina na wiosnę, płaczą brzozy, klony, osiczyny w podobnych okolicznościach, ale żadne drzewo nie płacze tak obficie, tak rzęsiście jak dereń indyjski. Dlatego też królewicz w którego państwie nikt naprawdę nie płakał, zapragnął drzewa płaczącego prawdziwymi łzami.

— Szczęśliwe państwo, w którym nikt nie płacze — wtrąciłem — ale jeśli tak jest, to chyba nikt tu nie cierpi i nikt nie umiera. Ach, czemuż moja mateczka nie mogła przyjechać na Atlantę, żyłaby może dotąd!

— Takie królestwo nie istnieje wcale na ziemi — zabrzmiał tuż za mną głos jakiś poważny i uroczysty. — Ludzie cierpią tu i umierają jak wszędzie, bo wszędzie gdzie żyje człowiek, żyje także cierpienie i śmierć.

Odwrociłem się szybko: przedemną stał starzec we wschodnich szatach, z długą białą brodą spadającą na piersi. Był to *Abrakadabrus*, nie myliłem się. Nikt inny nie może mieć oczu patrzących w duszę tak głęboko, że minowolnym przenikają dreszczem, a mimo to rozbudzają ufność nieograniczoną; nikt inny nie może mieć postawy tak wspaniałej, ani twarzy tak szlachetnej, z której bije blask rozumu i pogody wyższej nad wszystkie ziemskie burze. Wczoraj widziałem go z wysokości masztu w blasku zachodzącego słońca, dziś patrzyłem na niego w świetle słońca południowego, w którym biała jego broda i włosy wysuwające się z pod wysokiego śpiczastego nakrycia głowy, połyskiwały jak srebro.

— Nie byłoby nawet rzecz pożądaną, aby łzy nigdy nie płynęły — mówił dalej — bo one bywają nieraz jako rosa ożywcza, zwilżająca spiekłą od skwaru ziemię. Człowiek nie znający smutku, nie znałby także radości. Ludzie zawsze niezmiennie szczęśliwi, staliby się powoli nieczułymi głazami, a szczęście ich przestałoby dla nich mieć wartość, bo oni przestaliby je odczuwać. Jedno ocenia się przy drugim. W cierpieniu serca oczyszczają się, hartują i nabierają trwałości. Bóg dobry stworzył je na pożytek ludzi, tak samo jak szczęście i powinniśmy Mu być wdzięczni za oboje.

Spojrzałem na niego z przestrachem: jakiś bowiem pożytek może być dla mnie z tego żem stracił matkę! Ale widać on wyczytał tę myśl w moich oczach, bo położył mi rękę na głowie i rzekł:

— Chłopcze, twoja matka nie umarła dla ciebie, bo wspomnienie jej żyje w twojem sercu i chodzi za tobą jak anioł stróż strzegący cię od wejścia na manowce. I nie zostawiła cię zupełnym sierotą: jest druga matka która żyje, która cię potrzebuje. Szczęśliwy jesteś że jej służyć możesz: są tacy co i tej pociechy nie mają...

Tu wzrok jego przeniknął rzędy kolumn i utonął w dalekim krajobrazie. Widziałem jak przesuwał się po nim i zatrzymał na otaczających lasy moczarach, a twarz przybrała wyraz głębokiej zadumy i szepnął z cicha:

„... ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię utracił...”

Ogarnęło mnie takie samo wzruszenie, jak przy posągu Bożydara. Niewiem, czy dla tego że mówił o mej matce, czy że on pierwszy przemówił tu do mnie moim rodzinnym językiem, czy że czytał w mej duszy jak w otwartej księdze, dość że nie mogłem wymówić ani słowa, a gdy chciałem odpowiedzieć, mistrza już nie było. Znikł za zasłoną zieloności, która wkrótce znów rosnęła się i ukazał się marszałek dworu, wzywając mnie bym przystąpił przed oblicze królewiczowstwa.

— Poselstwo indyjskie przecież nie odeszło jeszcze — zauważyłem — pragnąc teraz gdy oczekiwana przezemnie chwila nadeszła, oddalić ją choć trochę.

Nie myśl, że mam się znaleźć w obec tronu, onieśmielała mnie, ale poczucie ważności obowiązku jaki godność posła na mnie wkładała i obawa czy potrafię jak należy reprezentować Pismo, które wysyłając mnie tu, położyło we mnie zaufanie.

— Indyjanie zaproszeni zostali przez królewicza, aby asystowali następnej audyencji — odrzekł.

Dotknąłem machinalnie ręką kieszeni dla upewnienia się czy mam przy sobie list wiarytelny, choć nie było wątpliwości że go tam włożyłem i myśląc nie bez żalu że inaczej tam ide niż poselstwo indyjski, bo bez orszaku i bez darów, przekroczyłem próg. Przy wejściu straż salutowała mnie, a raczej nie mnie ale Wieczory w mej osobie, a hrabia Lilium Martagon uroczyście wygłosił:

— Jego ekscelecyja, poseł nadzwyczajny Wieczorów rodzinnych!

Zaczerwieniłem się mocno posłyszawszy ten tytuł na tem miejscu, tytuł tak nie licujący z moim wiekiem i moim wzrostem, wreszcie z mojem skromnem ubraniem. Zabrzmiiał mi w uszach jak ironia, i wydało mi się że widzę uśmiechy na twarzach panów i dam dworskich. Indyjanie mierzyli mnie od stóp do głów zdziwionemi oczyma.

Postąpiłem ku tronowi czekając aż monarcha pierwszy przemówi do mnie, bo choć na dworach monarszych nie bywałem, i nie miałem wyobrażenia o prawidłach etykiety, wiedziałem że królowie zawsze pierwsi przemawiają. Jakoż z wysokości tronu zabrzmiał głos łaskawy.

— Witaj młodzieńcy pośle! Spodziewamy się że przybywasz w dobrym zdrowiu, pomimo burzy jaka cię zaskoczyła na pokładzie Narcyza?

— Tak jest — odpowiedziałem, drżącym trochę głosem — przynoszę Waszój Królewiczowskiój Mości pozdrowienie od Redakcyi Wieczorów rodzinnych i od wszystkich czytelników tego Pisma.

— Dziękuję. Pozdrów ich nawzajem od nas gdy pisać będziesz. Jakże ci się podoba na wyspie Atlancie?

— Jestem zachwycony i oczarowany, i dzięki składam Waszój Królewiczowskiój Mości za pozwolenie korzystania z jej łagodnego klimatu i orzeźwiającego powietrza, a najwięcej za sposobność przypatrzenia się z bliska sprawom królestwa roślin.

— Stało się to za przyczyną szlachetnego mistrza, który ma wielką dla was sympatyę — odrzekł królewicz spoglą-

dając z uśmiechem na siedzącego obok tronu Abrakadabrusa. Podobno masz dla nas listy wiarytelne?

Podałem kopertę zawierającą pismo Redakcyi, królewiczowi, który złamawszy pieczęć, wręczył papier Abrakadabrusowi. Mistrz czytał głośno przekładając odrazu na język atlantyjski, ja zaś podczas tego czytania rozmyślałem jakie też następne pytanie zada mi królewicz. Z tego co w gazetach i książkach o przyjęciach posłów czytałem, wynikało, że monarcha udzielający posłuchania pyta zawsze o zdrowie tego który posła przysyła. Jest to zwykła formalność — ale tutaj zapytanie takie byłoby conajmniej dziwnem. Królewicz słuchał czytania uważnie, a gdy mistrz skończył, zwrócił się do mnie, mówiąc:

— Redakcyja bardzo korzystnie wyraża się o tobie młodzieńcze i zdaje mi się że się nie myli, bo widzę że ci dobrze z oczu patrzy. Jak się mają Wieczory rodzinne, czy zdrowe?

Nie byłem przygotowany na to pytanie, ale odpowiedziałem.

— Dziękuję Waszój Królewiczowskiój Mości w ich imieniu, za troskliwość: zdrowe o tyle o ile zdrowemi być mogą. Klimat u nas jest teraz ostrzejszy, bo lasów wiele wycięto; wiatr często wieje w oczy.

— Tak — rzekł królewicz — klimat na globie naszym, ciągłym chociaż powolnym podlega zmianom. Zmieniają się nawet kształty lądów i mórz. Co kilka tysięcy lat wody przelewają się od bieguna do bieguna; odsłaniają się dna oceanów, a lądy znikają pod powierzechnią wód. Kraje wspaniałą pokryte roślinnością, zmieniają się w pustynie, a na miejscu pustyni powstają wspaniałe lasy i kwitnące doliny. Niezmierną przestrzeń czasu, nie pozwala ludziom na razie spostrzeżać tych zmian dokonywających się powoli choć nieustannie, zmiany klimatyczne jednak dają im się odczuwać. Stare księgi nasze podają, że klimat naszego kraju był niegdyś tak łago-

dyni, iż cierpiący szukali w nim lekarstwa na swoje dolegliwości. Od tego czasu wiele się zmieniło. Słyszę że jesteście jako owe rośliny żyjące na skałach, którym nie brak tylko powietrza, a jednak żyją i kwitną. Szlachetnego jesteście szczepu, to też witam cię z całego serca młodzieńcy pośle: rozgość się w Różanym gaju jak u siebie i używaj wszystkich przyjemności jakich może dostarczyć nasza wyspa.

Dobro przebijająca się w tych słowach królewicza, jego chęci serdeczne dla mnie, wzruszyły mnie do głębi i zabolalo mnie serce że nie posiadam nic, co bym mu mógł w dowód wdzięczności ofiarować. Wszyscy posłowie nieśli jakieś dary, jakieś osobliwości swoich krajów, ja zaś przyszedłem z gołemi rękami! Co jednakże poseł Wieczorów rodzinnych mógł ofiarować? Chyba roczniki tego Pisma, a ja ani jednego nawet numeru nie przywiozłem. Nie miałem nic, nic zupełnie!

Uczucia moje musiały się odmalować na mej twarzy, bo królewicz domyślił się czegoś i zapytał mnie o przyczynę smutku. Odpowiedziałem z całą szczerością. Uśmiechnął się i rzekł:

— Nie smuć się młodzieńcze: jeżeli to tylko jest przyczyną twój troski, zaradzimy temu jakoś. Kraina wasza



Karły afrykańskie.

słynie z pieśni, a ja pieśni bardzo lubię, bo one są kwiatami ludzkich uczuć. Zaśpiewaj mi cokolwiek, coś takiego, co rozbrzmiewa wzdłuż i wszerz kraju, i ukaże mi zdaleka obraz narodu.

Zamyśliłem się bardzo nad tem żądaniem. Co mam śpiewać? Czy pieśń weselną lub taneczną? Naród nie tańczy. Czy pieśń wojenną? Naród nie walczy orężem. Pracuje i modli się; zawiedziony wielekroć przez ludzi, szuka opie-

Cisza była w sali taka, że szelest krzewów można było słyszeć: wszyscy mieli oczy na mnie zwrócone. Zaśpiewałem:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny,  
Zmiłuj się nad nami!

Zaledwie skończyłem pierwszą strofę, królewiczowa milcząca dotąd ciągle, zawołała:

— Ja znam, znam tę pieśń bijącą ku niebiosom, niby



Bazylika.

ki u Boga. Zaśpiewam pieśń religijną... ale jaką? Może „Boga rodzica”? Nie, przestano ją śpiewać od czasu gdy miecze wypadły z dłoni śpiewaków. Zaśpiewam pieśń inną, bardzo, bardzo starą, bo kilkaset lat mającą, śpiewaną dotąd po kościołach w każdą niedzielę, pieśń znaną zarówno przez bogacza, jak przez nędzarza, przez starca i przez dziecko. Zdecydowałem się. Wprawdzie żeby śpiewać w obec całego dworu, śpiewać nie ucząc się nigdy, głosem słabym i niewyrobionym, trzeba było niemałej odwagi; ale nie wahałem się, wiedząc że jest to jedyna rzecz jaką mogę ofiarować.

jedno wielkie, potężne westchnienie ludzkości; znam jej melodyę starożytną, wspaniałą i przejmującą, umiem jej słowa nawet. Przynieście mi harfę!

Zanim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, paziowie przynieśli złotą harfę przybraną kwiatami i postawili przy tronie. Królewiczowa oparła na niej z obu stron ręce, uderzyła kilka akordów i zaczęła śpiewać. Choć pieśń ta jest wszystkim u nas znaną, ale przysyłam ją dla czytelników *Wieczorów* tak jak ją grała królewiczowa i jak znajdujący się podówczas w sali kapelmistrz nadworny spisał na moją prośbę.

Świe - ty Bo - że

Świe - ty mo - cny

O

Grave.

Świe - ty a - nie śmier - te - l - ny, Zmi - łuj się - nad na - mi

Od po - wie - trza, gło - du, o - gnia i woj -

ny Wy - baw nas Pa - nie

Od - na - głej a nie - spo - dzie - wa - nej śmier - ci Za - cho - waj - nas Pa

nie. My - grze - szni Cie - bie Bo - ga pro - si - my Wy - słu - chaj nas - Pa - nie.

Głos jęj piękny czysty, przepel-  
niony uczuciem, wydał mi się aniel-  
ską muzyką. Tyle razy slyszalem  
tę pieśń w kościele, a nigdy jeszcze  
nie sprawiła na mnie takiego wra-  
żenia. Słuchałem jak oczarowany  
i sam niewiem jak dalej głos mój  
łączył się z jęj głosem. Zapomnia-  
łem o Atlancie, o sali tronowej, a

ujrzałem mały drewniany kościółek w Dębowej Woli, siwe  
włosy kłęczącego przed oltarzem kapłana, i pochylone kornie  
głowy wieśniaków... Mgła jakaś zasłoniła mi oczy. Pod-  
niosłem rękę żeby ją usunąć i spostrzegłem że mam twarz  
lżami zalaną. Zkąd królewiczowa znała tę pieśń? Kto ją  
jęj nauczył?

Wydało mi się że twarz indyjskiego posła obojętna  
i nieruchoma dotąd jak twarz sfinksa, drgnęła lekko. Po-  
slyszalem jak nachyliwszy się w stronę Abrakadabrusa,  
szepnął:

— Pieśń bardzo piękna: ten mały poseł, musi być sy-  
nem wielkiego narodu.

*Janki sierota.*

Założona w IV w. przez Rzymian, w V w. Bazylea zniszczo-  
ną została przez barbarzyńskie plemiona germańskie, jakie  
wyparte najściem Hunnów z dotychczasowych swych siedzib,  
załazy południową i zachodnią Europę, lecz po osiedleniu się  
stałem tych barbarzyńców w nowych siedzibach, gdy plemiona  
germańskie poczęły się cywilizować, Bazylea dźwignęła się  
z upadku i z czasem liczyć się poczęła do pierwszorzędných  
miast Europy. Do r. 1830 była ona stolicą kantonu szwaj-  
carskiego, noszącego toż samo nazwisko, obecnie odłączyła się  
od kantonu i utworzyła wolne niezależne miasto, które jest  
najzamożniejszym miastem w Szwajcaryi i na górnym Renie.

Malownicze jego położenie, pamiątki z przeszłości, wspo-  
mnienia historyczne, wszystko to razem sprawia iż Bazylea  
godną jest poznania, znajduje się w niej stara bardzo katedra,  
wzniesiona jeszcze w XI wieku.

W arsenale miejscowym pokazują szablę i zbroję Karo-  
ła śmiałego, księcia Burgundyi, nieposłusznego wasala, który  
wiódł ustawiczne wojny z królem Francyi.

Bazylea rozsiadła się bowiem po obu brzegach Renu,  
most, długi na 280 stóp łączy te dwie części miasta. Prze-  
mysł i handel bardzo są rozwinięte, z wyrobów miejscowych  
najwięcej slyną jedwabne. Bazylea pamiętna jest soborem  
jaki się tam odbył r. 1431.

*Teresa Jadwiga.*

## BAZYLEA.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Nad brzegiem Renu, w północno zachodnim cyplu Szwaj-  
caryi, leży stare bardzo miasto Bazylea, założona jeszcze  
przez Rzymian. Dzięki korzystnemu położeniu geograficze-  
mu mógł się rozwijać handel, mieszkańcy więc są w ogóle bo-  
gaci.

W tęg chwili gwar naradzających się dzikich, stał się  
tak głośnym, że kapitan obracając się do swoich, powiedział  
półgłosem, czując że nieprzyjaciel nie usłyszy:

— Panowie!... mamy ich tu jak na dłoni, zapartych między gęstwiną leśną i skałami, wszyscy są uzbrojeni, ale niema między nimi ani jednego niewolnika, panna Mac-Ulm i inni jeżeli są, muszą być powiązani w kryjówce za skalistą ścianą. Gdy zniweczmy ten tłum nikczemny, który mamy przed oczyma, niewolnicy będą oswobodzeni, znając bowiem obyczaj tych krwiożerczych istot, wiem że narady swe zwykli odbywać zawsze wszyscy razem, tam przy więźniach niema nikogo chwilowo, lub są tylko kobiety, a zatem... — spojrział jeszcze raz na dzikich i na swoich, podniósł broń i zakomenderował:

— Ognia!... — sześćdziesiąt strzałów huknęło. Wycie i dzikie krzyki wstrząsnęły lasem i ścianą skał. Dzicy napaźdźci niespodzianie, szaleli w bezrozumnym zamieszaniu, usiłując uciekać na wszystkie strony:

— Naprzód! — zawołał znów kapitan, rzucając się na Indyan z szablą w ręku na czele swych towarzyszy. Rozpoczęła się straszliwa, śmiertelna walka, bo dzicy odcieci od lasu i przyparci do skał wysokich, nie mogąc uciekać zaczęli się bronić rozpaczliwie, zapamiętale, nie już jak ludzie, ani też tem mniej jak bohaterzy, ale raczej jak tygrysy, gdyby tygrysy mogły być atakowane w gromadzie. Czysto zwierzęcym zwyczajem gryźli, i dusili w dodatku do okropnych ciosów zbójceckich maczug, długich i ostrych jak sztylety, a przewyższali liczbą kilkakrotnie Europejczyków... Szczerściem, bywają ludzie, których siły zdławiają się w niebezpieczeństwie, a zimna krew właściwa dzielnym, jest także ważną potęgą. To też las jęczał walki odgłosem, a zwycięstwo nie przechylało się na żadną stronę, gdy wtem... Mac-Ulm krzyknął i opuścił pałasz bezwładnie, dziesięć noży i maczug świsnęło natychmiast nad jego głową, lecz kilka pałaszów odbiło tamte razy i kilka głosów zawołało:

— Czyś ranny?

— Co to przyjacielu?

— Ojcie co tobie? — Zamiast odpowiedzi, Mac-Ulm jak nieprzytomny palcem wskazał w górę na skały, każdy spojrzął tam, i krzyk wydarł się ze wszystkich piersi: wysoko na skałach otaczających kryjówkę dzikich, potworny, straszny Indyanin, lamparciem rzuty przeskakując po skalistych złamach uciekał, unosząc wyrwijające mu się dziewczętko...

— Moja córka!

— Klara!... — i zapominając o walce wszyscy rzucili się za porwanem dziewczęciem, z początku słyszeli jej wołanie o ratunek, ale mimo całej i dosyć ogólnej wprawy w gimnastykę, nikt tu nie mógł równać się z Indyanami w sztuce biegania po skałach. To też wołanie nikło, cień porywcy malał, aż znikł, pomimo wszelkich wysiłków goniących. Niedobitki z walczącej gromady dzikich znikły już dawno, korzystając z zamieszania wśród atakujących, sprawionego widokiem unoszonej Klary.

W pierwszej chwili była jeszcze tak blisko, że ten i ów ścigający, podnosił broń i brał na cel jej prześladowcę, ale wnet broń opadała bezsilnie, na myśl że zamiast rozbójnika trafić może biedną Klarę.

— Stój! dla Boga chory jeszcze jesteś! czy chcesz że-bym cię znowu utracił?... — wołał pan Thorn z Wiliamem pędzącym rozpaczliwie na czele ścigających, pomimo że nie widzieli już tych, których ścigali. Ale Wiliam nie słuchał, dopiero na krzyk:

— Ratujcie!... — odwrócił głowę i ujrzał starego ojca odosobnionego od swoich chwilowo wśród pogoni i otoczonego przez trzech rannych dzikich, którzy snadź ukryci i zaczajeni wyskoczyli nagle z za skał, aby przy zdarzonej sposobności pomóc się na starcu bezkarnie. W mgnieniu oka, mimo niedawnej choroby Wiliam znalazł się przy ojcu, odbijając wprawą bo od lat najmłodszych ćwiczoną ręką, ciosy dlań przeznaczone, gdy ośmiu innych nieprzyjaciół ziejących pomstą rzuciło się na nich, ale już i sprzymierzeńcy zdołali przybieść z pomocą i zajadła walka rozpoczęła się na nowo. Niedługo trwała tym razem. Indyanie prawie wszyscy padli po uporczywej obronie, gdyż byli już ranni i dla tego też zapewne nie mogąc uciekać jak zdrowi ukryli się, a potem napadli zdradziecko na ścigających porywcę Klary.

A Klara?... Gdy minęło gwałtowne podniecenie wywołane napaścią i drugą tą bitwą i obejrzano się uważnie dokoła, młody kapitan dzielny i zacny ale niedoświadczony trochę, a może i lekkomyślny cokolwiek, zadrżał i załamał ręce wobec następstw własnego swego planu. Prawda, że kilkudziesięciu dzikich padło na placu boju a i rannych musiało być niechybnie wielu, ale też jeden majtek i jeden ze służących Thorną przypłacili sprawę tę życiem, ośmiu było ciężko rannych, a nikt prawie nie wyszedł z boju bezkarnie. Nakoniec nietylko Klara zniknęła znowu, ale i Edwarda napróżno wołano i szukano... Wszyscy widzieli go pędzącego wraz z bratem i towarzyszami za siostrą w chwili, gdy Thorn zawołał o pomoc, ale później nie ujrzano go więcej. Niektórzy utrzymywali że Edward w pościgu wyprzedzał innych, że przeto nie mógł dosłyszeć Thorną i pobiegłszy sam jeden dalej, musiał zostać pochwycony przez dzikich, zaczajonych za każdym niedłwie głazem, jak się teraz pokazywało.

— Otóż goniąc za jednym dzieckiem straciłem i drugie! — jęknął Mac-Ulm.

— Panowie!... — zawołał kapitan — co się stało mogą jest winą, dlatego też honor i sumienie nie pozwala mi poprzestać na tem co uczyniłem nie starając się nierozwagi mój naprawić, i proponuję: oddajmy ostatnią usługę poległym towarzyszom, odnieśmy ciężko rannych na pokład parowca pod opiekę doktora, a sami śpieszmy dalej śladami nieprzyjaciół, dążących oczywiście zwyczajem dzikich, do swoich siedzib, a zatem do Tungary, jeżeli tylko nie zatrzymają się gdzie po drodze. Są oni teraz słabsi liczebnie, wystraszeni nadto, wielu musi być rannych, nie mogą zbyt chyżo uciekać zatem, zwłaszcza jeżeli niewolników swych wloką wraz z sobą, a więc nie byłoby nic dziwnego gdybyśmy przed Tungarą jeszcze dogoniwszy ich, mogli odebrać pannę Mac-Ulm i jej brata. Ale może nie mam prawa podawać nowych planów po pierwszej tak fatalnej omyłce?

— Panie kapitanie, omyłka jest rzeczą ludzką — odparł Mac-Ulm — ja nie mam innego środka odzyskania moich dzieci, jak tylko dążyć obecnie ich śladem, dopóki pozostanie mi choć promyk nadziei, a ty najszlachetniejszy z ludzi, chcesz więcej uczynić dla Anglika, niż własna jego władza opiekunicza, która mi odmówiła pomocy! — Zadałwiono się copędzej z poległymi i ciężiej rannymi i ruszono w pochód śladem bardzo wyraźnym z początku, bo krwią tu i owdzie znaczoną. Tegoż dnia dotarto jeszcze do miejsca, w którym uciekający dotąd pojedynczo, zgromadzili się i spoczywali widocznie; otąd ustały ślady krwawe, wyraźnie spoczęto aby opatrzyć rany. Thorn pokręcił głową, gdy kapitan nakazał także spoczynek.

— Czyliż jest możliwem dla nas, mierzyć się z Indyaninem w pościgu? Wszak dziś rano mieliśmy tego zbyt bolesne dowody. Przygotujmy się na wejście do Tungary i pomysłmy zawczasu jak sobie tam pocznemy...

Kapitan chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał wyrazy na ustach; najoczywiściej dotknięty w miłości własnej, nie śmiał odzywać się ze swem zdaniem, które nie miałyby teraz może dostatecznej powagi. Spojrzął tylko na Mahorę, o którego rozumnie miał wysokie pojęcie i zacerwienił się silnie, spotkawszy filuterne spojrzeenie bystrego Indyanina. Mahora odczuwając widocznie przykre położenie człowieka, który raz się omyliwszy, nie śmie następnie z najsłuszniejszym wystąpić zdaniem, rzekł do Thorną:

— Panie mój, masz słusność że w chwilowym wyścigu, wy Europejczycy nie możecie iść w zawody z dzikimi Indyanami, bo wychowanie, tu Mahora podniósł dumnie głowę — odzwyczajają was z czasem od wielu rzeczy; ale inaczej dzieje się, gdy rzecz idzie o dłuższy i systematyczny pościg, szczególnie gdy krajowcy nie czują się zagrożonymi gwałtownie, gdy lufy lub noża nie czują tuż za plecami. W takich razach czysto zwierzęcy instynkt samozachowawczy, znika u nich natychmiast, a wrodzone lenistwo i niedbalstwo bierze górę. Nie mają też oni nigdy zwyczaju rozstawiać czat, gdy się bezpośrednio nie czują zagrożonymi, a wszelkie chwilowe nadzwyczajne wysiłki, zwykli w trójnasób sobie wetować przy pierwszej sposobności, śpiąc i uczując obficie! Myślę zatem, że



idąc ich śladem ostrożnie, nasłuchując bezustannie i trzymając się z daleka nawet gdybyśmy ich doścignąć już mogli, zdołamy dogonić i upatrzeć chwilę stosowną do nowego ataku, przed dojściem do Tungary jeszcze.

— Ależ mogą łatwo domyślić się że ich ścigamy!...

— Nieościecznie; właśnie dla tego że napadnięci z tyłu zaprzestaliśmy na razie ścigania. Prawie pewny też jestem, że widziałem przemykające się później jeszcze wśród skał dwa cienie, w chwili gdyśmy ostatnią posługę oddawali poległym; cienie te pogoniły za swoimi i doniosły im niemylnie, że zajęci jesteśmy naszymi obrzadkami, ani myśląc o dalszej pogoni. To ich uspokoi z pewnością, tembardziej iż nie będziemy gonić ich natarczywie; gdy się ubezpieczą, wpadniemy nagle.

— Masz słuszność... znasz przecież krajowców lepij niż my, a zresztą nie lepszego nie pozostaje nam do czynienia.

Na tem skończyła się krótka ta narada wojenna. Kilku zdrowych ludzi rozstawiono na straży, starsi i ranni spoczywali przez trzy godziny, gdyż dla nich to w rzeczywistości kapitan żądał tego przystanku, lękając się rozognienia ran i usiłując zachować i zebrać siły dostateczne, aby w potrzebie pośpieszyć. Nie rozpalono ognisk, aby się nie zdradzać, zachodziła więc obawa dzikich zwierząt, ale wszyscy obznajmieni z okolicą, zaręczyli że w miejscach podobnych, jedynie tylko tygrysy włóczyć się zwykły, tych zaś chwilowo snadź tam nie było, jeżeli dzicy Indianie, dopiero co ośmielili się tamtędy przechodzić; albowiem tygrys napełnia ich tak zabobonnym strachem, że nigdy nie odważają się narażać z nim na spotkanie. Istotnie noc przeszła spokojnie, posilono się skoncentrowanymi pożywnymi zapasami wziętymi z parowca, drzewa leśne dostarczyły przepysznych owoców i puszczono się w dalszą drogę, ze świeżymi siłami. Idąc, rozpatrywano się ciągle po otaczających gęstwinach, grotach i bagniskach, wywołując półgłosem imię Edwarda, w przypuszczeniu że może leży gdzie raniony. Wołano i szukano naprzód. Bardzo często, nieledwie co kilkanaście kroków, jeden z trzech Indian paadał na ziemię, elastyczny i zwinny jak wąż, przykładając ucho do ziemi, podskakiwał po chwili z gestem uspokojenia i szli dalej. Niekiedy pomiędzy lasami trzeba było i pustynie skaliste przebywać. W każdym razie postępowano coraz dalej na pewno, bo świeży zupełnie ślad stóp indyjskiej gromady, czytelny jak otwarta książka dla ich trzech współbraci, nie dopuszczał wahania. Mahora, a jeszcze bardziej Wilko byli tak wprawni w tych badaniach i mieli słuch tak wrażliwy, że stanowczo wkrótce oznaczyć mogli odległość, w jakiej podążano za dzikimi, i od tej chwili już wystrzegano się pośpiechu, aby ich nieprzyjaciel nie ujrzał lub nie posłyszał, zastosowując starannie chód swój do jego chodu. Bywały przytem chwile dziwnie smutnej pociechy dla nieszczęśliwego ojca i jego przyjaciół, gdy Wilko lub Mahora idący zawsze z oczyma śledzącymi ziemię, wskazywali na niej ślad stopy odmiennj zupełnie od innych otaczających, szepejąc:

— Panna Klara!... bucik ma podarty!...

A więc Klara żyła przynajmniej i znajdowała się wśród uprowadzającej ją bandy rozbójniczej. Jednocześnie z tą smutną pociechą, ciężki ból ścisnął serca, bo żaden z przewodników ani razu dotąd nie znalazł i nie wskazał towarzyszącemu śladu małej, zgrabnej nogi w męzki gruby, podkuty bót obutej, śladu Edwarda... Czyliżby pomyłono się w domysłach i przypuszczeniach, albo, czyliż trzeba było oczekiwać z tej strony ostatecznego nieszczęścia?... A może biedny chłopak nieodszukany, pozostał gdzie wśród skał i bagien poza swoimi ranny, bezsilny, dogorywający... Rozpacz szarpała serca

na tę myśl, którą każdy tłumił, aby nie przyczyniać zmartwienia drugim, bo niepodobna było porzucać Klary, aby wracać na poszukiwanie Edwarda. Postępowali przeto machinalnie naprzód w raz obranym kierunku, za przykładem trzech wiernych Indian, którzy sami tylko zdawali się nie wahać.

(d. c. n.)

## SZARADA.

dla Małej Laszki od Prawdy.

*Pierwsze, drugie, trzecie,  
Czwarte, trzecie, z serca dane  
Z wdzięcznością są przyjmowane  
Drugie zaimkiem, czasownikiem czwarte  
Wszystko, szkodniki nie wiele warte.*

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

ulożyła Gama C-dur.

Z następujących zgłosek: ar — a — el — ja — ka — kol — war — kaj — jo — me — na — no — o — ber — ra — ran — feld — jan — wa — te — mar — woc — ułożyć wyrazy: 1. Powieściopisarz węgierski. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Prowicya w Hiszpanii. 4. Miejscowość lecznicza w Tyrolu. 5. Port w Syberii. 6. Schowanie na papiery. 7. Miasto w prowincyi nadreńskiej. 8. Wyspa azyatycka. 9. Miasto w Alzacyi. 10. Produkt drzew.

Pierwsze litery czytane od góry do dołu utworzą imię i nazwisko sławnego malarza, a końcowe w tym samym kierunku tytuł jego obrazu.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

### Zagadki:

Z e g a r.

### Łamigłównki sylabowej:

1. Kalkuta. 2. Oklend. 3. Norwegia. 4. Rzym. 5. Anam. 6. Dobrzyński. 7. Wierzchowiec. 8. Arak. 9. Leszczyński. 10. E. 11. Narew. 12. Rinaldini. 13. Odyniec. 14. Derkacz.

Konrad Walenrod — Adam Mickiewicz.

## METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kaligrafję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdz. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela porady we wszelkich kwestyach wychowawczych. Pośredniczy między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. Prenumerata „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — Adres Redakcyi: Warszawa, Widok Nr. 14.

**TREŚĆ:** Doświadczenie chemiczne (z drzew.) — Sprawozdanie z konkursu robót, — Karły afrykańskie (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Bazylea p. Teresę Jadwigę (z drzew.) — W Indyach — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Pies i Małpa, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Bajeczki, p. Maryę Brühlową. — Łakome szczury. — Odpowiedź na pytanie w N-rze 39. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



## PIES I MAŁPA.

W pewnym domu małpa żyła,  
Co jój dano jadła, piła,  
Ale wiecznie na łańcuchu,  
Miała biedna mało ruchu.

Brak powietrza, brak swobody,  
Dał się uczuć małpce młoděj,  
Spowaźniała, posmutniała,  
O figielkach nie myślała.

Raz gdy sobie jadła rano,  
Co łaskawie jój podano,  
Pies się wsunął niespodzianie  
I biedaczce zjadł śniadanie.

Ona wnet ku niemu skoczy  
Błyszczały jój gniewem oczy,  
Chwyta miotłę, co też leży,  
W łakomczucha zaraz mierzy:

— Ha! czyż nie wstyd ci niecnoto,  
Mnie zamkniętą krzywdzić oto!  
Tyś swobodnym jest na świecie  
Wszędzie żywność znajdziesz przecie,

A ja mam to tylko w budzie,  
Co mi z łaski dadzą ludzie.

Wstydź się! — A pies dalej w nogi,  
Pełen wstydu, czy też trwogi,  
Zrobił źle, lecz żał mu szczerze,  
Że pokrzywdził inne zwierzę.

*Helena Bojarska.*

## BAJECZKI.

Wieczorem w jesieni, kiedy wiatr ostrym świstem dmie na dworze, kiedy deszcz leje bezprzestannie, a ciemność, roztaczająca swe cienie na zachmurzonym niebie, jednej gwiazdeczki nawet nie ukaże, jakże to miło zasiąść przed kominkiem jasnym płonącym ogniskiem, w kółku rodzinnem, i z robótką w ręku słuchać opowiadań wymownymi usty głoszonych. U państwa Mirskich było kilkoro dzieci. Najstarsza Wanda, szesnastoletnia panienka, ukształcona, i posiadająca dar opowiadania, prawdziwą była ozdobą tych zebrań rodzinnych. Bawił też u nich brat pana Mirskiego, ukochany stryjasek, który się chętnie z dziećmi zabawiał. Wańdzia zajęła się szydełkową robótką, Julisia i Ańdzia szyły bieliznę dla lalek, Edzio i Zdziś ustawiali zabawki na stolyczku.

Chwilkę trwało milczenie bo rodzice, i stryjasek czytali dzienniki, a skończywszy, odłożyli je na bok mówiąc, że niema w nich nic ciekawego, Ańdzia zawołała:

— Wandeczko, już teraz mówić można, opowiedz nam jaką bajeczkę.

— Dobrze — odrzekła Wańdzia — jeżeli rodzice pozwolą.

— A mnie nie pytasz o pozwolenie, czy słuchać zechcę? — śmiejąc się rzekł stryjasek.

— A jakże, a jakże, stryjasek taki dobry, że potem nam sam co opowie.

— Owszem, nie wiem tylko czy tobia w tem wyrównam.

— A więc proszę posłuchać — zaczęła Wańdzia. — Była jedna młoda dziewczyna, piękna jak anioł, pracowała jak pszczołka. Nazywała się Basia. Celowała nade wszystko w robieniu kwiatów. Otaczały ją zawsze kwiaty naturalne, z których wzór brała, naśladowując tak delikatnie, tak starannie, że zrobione przez nią róże zupełnie wyglądały jak prawdziwe. Czasami mieszała je z temi, które kwitnęły w doniczkach na oknie, i trudno było jedno od drugich rozróżnić.

Nawet pszczołki i złotawe muszki, przybywały brzęczeć naokoło, i siadać na ich kielichach.

Pewnego dnia Basia zrobiła śliczną gałązkę różaną, z dużym na wpeł roztwartym pączkiem, w około listki młodziutkie zwinięte, dalej zieleńsze i szersze. Nic nie brakowało, ani mszystego pyłku, ani szypulek cienkich jak niteczki. A gdy skończyła swe maleńkie arcydzieło, ażeby go nie zmiąć, zatknęła gałązkę różaną w ziemię doniczki, która stała na oknie. Sąsiad jój ogrodnik przechodził w tój chwili.

— Co to za śliczna gałązka wyrosła — powiedział. — Ależ ziemia zbyt sucha. Aż serce boli patrzeć na ro-

ślinkę tak łaknącą wody. — Wziął polewaczkę, i podlał kwiatek w około.

Mała gałązka pokrzepiona wodą była tak doskonałą, że wypuściła korzenie. W kilka dni, pączek rozkwitł zupełnie, roztworzył listki, i wielka wspaniała róża napelniła zapachem powietrze.

— Och! och! siostrzyczko — zawołano zewsząd. I wesoły, dziecinny śmieszek rozległ się po pokoju.

— Jakto, nikt temu nie chce wierzyć?

— Nie, nie. — I śmiechy odezwały się na nowo.

— Tylko ja wierzę — rzekł z powagą stryjasek — sami się o tem przekonacie.

— Chętnie, słuchamy — prosiły dzieci.

— A więc zaczynam. Był pewnego razu stary malarz, posiadający wielki talent do tworzenia owoców, kwiatów i owadów. Postacie ich, kolory, miękkość, odcienia błyszczące, do złudzenia naśladowały naturę. Czasami, wymalował na talerzu porcelanowym brzoskwinie i jabłka, które ofiarował swym przyjaciółom. Oni wyciągali po nie rękę, i złudzeni nic skosztować nie mogli. Albo też malował na murze od domu, duże, błyszczące, czerwone wiśnie, winogrona złotawe i przezroczyście; a ptaszki z ogrodu zlatywały się, aby je dziobać, i pożywić się niemi.

Pewnego dnia, artysta wymalował pięknego motyla ze skrzydłami rozłożystymi, srebrzysto i czerwono nakrapianymi, na tle białego papieru ślicznie odbijającego. Leciuchne ciało jego z delikatnym pyłkiem, wątle cieniutkie nóżki, pyszcek jak trąbka z nici uwinęta, podziw wzbudzały, zdawało się, iż drżą skrzydełka, i maleńkie różki na głowie.

Gdy ukończył swą pracę, położył papier na oknie, aby kolory uschły na słońcu.

Jakiś uczony naturalista przechodził w tej chwili.

— Ach! jakież śliczny motyl — zawołał — i z jak osobliwszego gatunku. Gdybym mógł go złapać, i wzbogacić moją kolekcję.

I biorąc lekką siatkę jedwabną, zbliża się ostróżnie.

Nagle zarzuca ją szybkim poruszeniem... Fiut...

Piękny motyl ucieka, kręci się chwilę w promieniu słońca i znika....

Tu przerwały ze śmiechem dzieci:

— Ech! stryjasku. Och! nie, nie, nie wierzymy.

— Dla czego? — odpowie wstając stryjasek — nie dajecie mi skończyć opowiadania. Śliczny motyl uciekł, ale co się z nim stało? On właśnie poleciał usiąść na rózę Basi!

Wesołe śmiechy na nowo powstały.

Poproszono na herbatę, i całe rozbawione towarzystwo powstało zadowolone z opowiedzianych sobie bajeczek, dziękując serdecznie za mile przepędzoną chwilę, Wańdzi i stryjaskowi.

*Marya Brühlowa.*

## NAUCZ SIĘ CZEKAĆ.

Koza umiała czekać, ale koziołek tego nie umiał.

Pewnego razu koza z koziołkiem weszła do ogrodu, w którym było wiele niedojrzałych porzeczek. Koza powiedziała:

— Zaczekaj koziołku dopóki porzeczeki nie dojrzeją, wtedy nasycisz się dowoli.

Ale koziołek nie posłuchał rady matki, spożył tyle kwaśnych porzeczek, że aż zachorował. Chory zawlókł się do domu, matka, ugotowała mu lekarstwo i położyła na sianie.

Innym znowu razem podczas letniego upału, koziołek ze swą matką udał się na pole. Tak było gorąco, że ciężko było oddychać. W pobliżu pola wytryskało źródółko czystej, świeżej wody. Koziołek chciał się zaraz napić wody.

— Mój kochany — rzekła mateczka — jesteś jeszcze zbyt rozgrzany, poczekaj chwilę, wszak widzisz, że ja jeszcze nie piję. Uparty koziołek nie zważał na przestrogi matki, napił się i znowu zachorował.

Musiano wracać do domu, w drodze koziołek tak zasnął, iż upadł na polu jak nieżywy. Zmartwiona matka pobiegła do domu i sprowadziła lekarza.

Koziołek wyzdrowiał, lecz musiał długo leżeć w stajence, zażywać bardzo gorzkie lekarstwo i nic nie jeść, cierpiał on bardzo wiele.

Stara koza myślała, że teraz koziołek nauczy się już czekać; lecz kiedy nadeszła zima, a wodę lód pokrył, koziołek chciał się ślizgać, chociaż lód był jeszcze bardzo cienki. Znowu stara koza go przestrzegająca:

— Zaczekaj dni parę dopóki grubszy lód nie pokryje sadzawki, wtedy razem pójdziemy na ślizgawkę.

Koziołek i teraz nie chciał posłuchać matki, wszedł na lód, ale zaledwie postąpił parę kroków, lód się pod nim załamał i koziołek utonął!

Nieszczęśliwa stara koza wołała o ratunek, ale na próżno! nikogo nie było w pobliżu. Wreszcie kiedy przybył rybak, wyciągnął koziołka z wody, ten już nie żył! Stroskana matka wyrzekła: Ach, koziołku! koziołku! nie zginąłbyś tak marnie, gdybyś choć trochę czekać się nauczył!

*Henryk Wernic.*

## ŁAKOME SZCZURY.

— Wiesz co Florciu — rzekł dziesięcioletni Karolek do młodszej siostrzyczki — myślę że chyba niema nic lepszego na świecie, jak ciastka, czy prawda?

— O, nie — odpowiedziała Florcia — ja wolę mamusię jak ciastka.

— No, przecież mamusia to co innego — rzekł Karolek — ja mówię o rzeczach do jedzenia. Ach, gdybym miał dużo pieniędzy, kupiłbym sobie tyle ciastek, żebym jadł od rana do wieczora!

— I jabym sobie kupiła ciast za sto rubli, gdybym je miała — odrzekła Florcia wzdychając — poszłabym z Franciszką do cukierni, wzięłabym swój koszyczek, wiesz, ten, co dostałam od cioci na imieniny i kupiłabym za całe sto rubli ciastek. Dopierobyśmy to jedli, prawda?

— O, prawda — odrzekł Karolek, a mówiąc to wyglądał na łakomca, który nie myśli aby jeść dla zaspokojenia głodu, tylko dla dogodzenia swemu podniebieniu,

co brzydką jest wadą zarówno dla dziewczynki, jak dla chłopca.

Mama siedziała przy stoliku i szyła dla Florci sukienkę, nie wtrącała się jednak do rozmowy dzieci, tylko westchnęła smutnie, od czasu do czasu.

— Proszę pani — rzekła kucharka, wchodząc do pokoju — jak wracałam z miasta, spotkała mnie p. Marlicka i powiedziała, że przyjdzie dziś do nas ze swoją siostrą, która przyjechała ze wsi.

— Bardzo się z tego cieszę — mówiła mama, składając robotę — moja Franciszko, ponieważ te panie zostaną u nas pewnie na cały wieczór, to do herbaty przyniesiesz ciastek.

— Ach! ciastka będą! ciastka będą! — wykrzyknęły dzieci radośnie, i zaczęły skakać po pokoju.

— Myślałby kto, że jak żyje ciastek nie widziałyście — rzekła Franciszka wzruszając ramionami — dopiero mi to uciecha. Boże zmiłuj się.

— A Franciszka niech się do nas nie wtrąca — rzekł Karolek.

— Franciszko nic do nas — dodała Florcia.

— Żebyś was nie była piastowała na ręku, żebyście nie były dziećmi takiej dobrej matki, u której już służę piętnaście lat, tobym o was nie dbała, i byłoby mi wszystko jedno, czyście złe czy dobre — mówiła Franciszka — i byłoby mi nic do was, ale tak to muszę się wtrącać, i będę.

— Ja się mogę bez Franciszki obejść — rzekł Karolek, odwracając się od stariej służącej.

— I ja tak samo — dodała Florcia, która we wszystkim naśladowała braciszka.

— No, no, nie wiem kto kogo pierw będzie potrzebował — rzekła Franciszka uśmiechając się pobłażliwie — oj, pstro w główkach, pstro.

Mama dała pieniądze Franciszce na różne rzeczy, które miała przynieść do herbaty, a na ciastka dwa złote.

— Niech Franciszka przyniesie samych kremowych — rzekł Karolek — ja tylko kremowe lubię.

— A ja najlepiej lubię migdałowe, niech Franciszka samych migdałowych przyniesie — dodała Florcia.

— A czy to ja dla Karolka i dla Florci idę po ciastka — rzekła Franciszka — a zresztą, ja mam o was nie myśleć i nie wtrącać się, to i waszych poleceń nie mam potrzeby słuchać.

Dzieci spojrzwały znacząco po sobie, na wspomnienie kupienia ciastek, ale mama tego nie uważała, i dobrze się stało, bo byłoby serce zabolalo tę dobrą mamusię, którą wszyscy kochali, prócz jej własnych dzieci.

— Cóż znowu! — zawołają pewnie niektórzy czytelnicy — a czy to można mamy nie kochać?

Ja na to odpowiem, że takie dzieci które martwią rodziców, i nie starają się ze swych wad poprawić, nie mają chyba w sercu ani odrobiny miłości.

Goście nareszcie przyszli, i rodzice siedzieli w sali, a Franciszka, przyrządzała do herbaty w stołowym pokoju. Wiedziała o wszystkim czego było potrzeba, bo przecież tyle lat była w jednym miejscu, wiedziała więc dobrze jak dogodzić pani.

Stały na stole i ciastka, (było ich sześć tylko ale

wszystkie wyborne) na samym wierzchu leżało śliczne kremowe, a obok zaraz migdałowe.

Karolek z Florcią chodzili naokoło stołu, a języczki ich w bezustannym były ruchu.

— Franciszko — rzekł Karolek — ja pójdę poproszę gości na herbatę.

— Jeszcze nie można — odpowiedziała Franciszka — zapomniałam, że niema cytryny w domu, muszę iść kupić. A niech dzieci uważają, żeby co nie stłuc, a od samowara z daleka chodzić.

I poszła, a Karolek stanął przy stole, Florcia weszła na krzeselko, i zaczęli się przyglądać ciastkom.

— Wiesz co — rzekł nareszcie Karolek — pewnie by mama nie zauważyła, gdybyśmy zjedli po jednym ciastku, jak myślisz?

— Mamusia by myślała że to goście zjedli — odpowiedziała Florcia — cóż tam po jednym ciastku!

— To weźmy sobie — rzekł Karolek wyciągając rękę, i podał Florci migdałowe, a sobie wziął ulubione kremowe.

Bardzo im smakowały.

Zjedli i jeszcze się oblizywali, spoglądając na kuszyczek, na którym jakieś różowe ciastko, i drugie z konfiturą, ślicznie wyglądały.

— To musi być dobre — rzekł Karolek — prawda?

— Sprobujmy — odrzekła Florcia — weźmy jeszcze to jedno, mama nie pozna.

(d. n.)

## Odpowiedź na pytanie w N-rze 39.

Skoczyła, porwała żabę, wsadziła ją w pudełko przewrócone, postawiła na komodzie tak, jak stało i cała czerwona od przymusu, jaki zadała sobie, by żabę wziąć w ręce, oczekiwała ojca. Spostrzegł natychmiast, że coś niezwykłego jej się przytrafiło i spytał ją o to. Wyznała prawdę. Uściskał ją i rzekł:

— Zawiniłaś, lecz wina zmazana, masz nawet zastrugę, boś dokonała najtrudniejszej rzeczy: pokonałaś siebie. Brawo! tyś naszą bohaterką na dzień dzisiejszy.

K. J.

## S Z A R A D A.

Dla Heli, Henia i Hanki w Wolicy od cioci Adelci.

Me *pierwsze* wykrzyknik w gramatyce się zowie,  
Moje *drugie* napotkasz w muzycznej mowie.  
A *wszystko* zdrobniła nazwa dzieweczki  
Wesołej, pilnej, miłej blondyneczki.

## S Z A R A D A 2-ga.

Strzeż się! *pierwsze* nie jest chłodne,  
Gotuje się, bucha parą,  
A *drugiego* gdy jest modne  
Nikt nie zechce zwać landarą;  
*Wszystko* ozdoba kobiety,  
Bywa fałszywą niestety.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

## Nowego rebusa:

Nie gość długo w jednym domu,  
Nie uprzykrzysz się nikomu.

## Zagadki:

Ukrainka.

## Skrzynka do listów.

**Jesieni droga**, oba twoje listy nie doszły rąk naszych, obecnie odpowiadamy na ten, który nosi datę 25-go września i żalujemy bardzo, że korespondencją twoją z nami spotykają tak smutne wypadki, jakim jest zaginięcie listu.

**Lilka z nad Osławy** prosi, aby jej nie kazać „długo czekać” na wydrukowanie listu. Kwiatku najmiłszy, a *kolój*? Chciałażbyś mieć przyjemność kosztem innych, którzy dawniej może od ciebie czekają na wydrukowanie swojej korespondencji? Nie przypuszczamy nawet tak egoistycznej zachcianki w panienczce, która sobie tak szlachetny kwiat obrała za pseudonym.

**Niezapominajka z Zacisza M. Lig.** (musimy dodać litery początkowe imienia i nazwiska, bo mamy dwa pseudonimy zupełnie do siebie podobne) nie podaje nam swego adresu; nie wiemy więc gdzie posłać żądany numer. Strata kochanej korespondentki, Makolągwy, i dla nas była bardzo bolesną, współczucie dowodzące poczciwego serduszka, czyni nam cię miłą, nie mniej od najdawniejszych czytelników. Przed wyjazdem Gołąbki za granicę posyłałmy jej przez kilka tygodni listki na wieś; mógł więc który zaginać; po powrocie Gołąbka znowu akuratnie odpisywać zacznie.

Bardzo wdzięczny jesteś **Prawdzie**, za jej serdeczne przywiązanie do Pisemka, które w samej rzeczy nic innego niema na celu jak wspólnie z rodzicami działając, wszczepiać w wasze serduszka zarody najszlachetniejszych uczuć! Adres zmieniliśmy podług żądania; łamigłówni były ułożone wadliwie.

Aż się weselę zrobiło w Redakcyi, kiedy do niej zawitał **Kotek Mruczek**. Pewno figlarny być musi i swawolny? bo to taka już kotków natura... Bardzo bylibyśmy ciekawi widzieć ową książeczkę, w której starszy brat cioteczny wyrysował przygody Kotka Mruczka i jego klaczki. Byle się tylko te przygody zawsze kończyły szczęśliwie!

Nie, **Rajskie Jabłuszko z pod Skwiry**. (Mamy dwa) nie przypuszczamy, abyś „pragnęła pochwały”; masz ją już we własnym sumieniu. Za to zaufanie, które skłania was dzieci drogie do dzielenia się z nami „każdą myślą” serdecznie wam dziękujemy. Stanowi ono najmiłszą naszą nagrodę i największą chlubę.

Prenumeratę od **Tosi Pre.** odebraliśmy; za wyrazy uznania dziękujemy.

Pojmujemy, **Złota Przedzo**, jak smutno ci być musi porzucać okolice, z którą się zżyłaś ale... czego nie można zmienić, to znieść potrzeba, i co największa znieść mężnie i z pogodnym czołem. Zobaczysz, że przy takim usposobieniu łatwiej się oswoisz z nowym miejscem pobytu, prędzej do nowych ludzi przywykniesz. Adres zmieniliśmy podług żądania.

Od **Gołąbki heliotropu** odebraliśmy prenumeratę wraz z wodem pamięci o biednych dzieciach. Bóg zapłać, powiadamy w ich imieniu. Nieprawdaż, dziewczeczko droga, że zabawa lepij idzie, gdy jej cel szlachetny wytkniemy?

**Jaskółka z nad Ussy** i **Muszka** przysłały łamigłównę, która nie może być drukowaną.

**Prawda, Kwiecie Lotosu**, że od dawna już wieści o tobie nie

było. Jeżeli przyjdzie do skutku zamiar przeprowadzenia się do Warszawy, sądzimy, że częściej będziesz się do nas odzywała? „Księżniczka” jest w istocie śliczną i nanczącą powieścią, którą z prawdziwym pożytkiem przeczytać możesz powtórnie teraz, gdy, trochę podrosłszy, inaczej zapatrujesz się na życie i jego obowiązki. Z książek o które pytasz, polecamy: Reusnera Metodę języka niemieckiego rs. 2, dwa kursa. Fizyką Kramsztyka rs. 1 dwa kursa.

Ciekawe to musi być widowisko: skacząca... **Sosenka!** A skoro skakała z radości, i to z radości przez nas sprawionej. Tém więc żalujemy, że nas tam nie było. Dziękujemy przynajmniej, że nam o tém doniosła ta uradowana „wzdychająca za długą sukienką”. Nanosisz się jej jeszcze, dziewczeczko, i zobojętnieje ci ona bardzo niedługo, a wspomnienia lat dziecińczych zawsze ci miłymi pozostaną.

Drogie moje: **Biała Perelko** i **Niezapominajko** z nad Warty! Dziękuję wam serdecznie za wasze miłe listki. Mam nadzieję **Biała Perelko**, że się wkrótce zobaczymy; a tobie **Niezapominajko** donoszę, że jesteście w równym wieku, mieszkam na wsi na Ukrainie, jestem blondynką a na imię mi **Zosia**, mam jedną siostrzyczkę i dwóch braciszków. Niedługo już pisywać do was będę, gdyż za parę miesięcy opuściwszy śliczną moją rzeczulkę przeniosę się do **Peltwy**. Smutno będzie biednej rybce i ciężko zamienić swobodę bujania między skalistymi brzegami pod błękitnym niebem, na zamurwane koryto niezbyt aromatycznej rzeki! Za to dobiegłszy do celu, przy pomocy **Boga**, wrócę do was mądrzejszą i lepszą, a kochać wszędzie będę. Wasza **Rybka z Inilopiaty**.

**Kochane**: **Różyczko** **Jerychońska** i **Ciecioreczko!** Mieszkam na wsi z mamą i siostrami, mam brata starszego w Petersburgu, młodszego w Słucku. Trzy lata już jak straciliśmy ukochanego ojca. W moim gospodarstwie mam kurę, cztery owce, białą kozę, i dwoje zwinnych koźląt, których z wielkim moim żalem, będę się musiała pozbyć, bo są ogromne szkodniki. Mam szkółkę drzewek owocowych, a teraz uczę się szczerzenia i oczkowania, żeby móz samą pracować. Uczy mnie babcia i mamusia; od wakacy będę miała nauczycielkę. Powiedźcie mi coś o sobie, może się kiedy zobaczymy. Ścisła was mocno kochane panienki **Czarnotka**.

Drogie moje **Jaskółki** z nad Sekwany i Dunaju, **Staszko** z Podola, **Różyczko** biała, **Brzydotko** z nad Tamizy, **Poranku** majowy, **Światelko**, **Śnieżycu** i **Krasnolico!** Chociaż od 6-ciu lat czytam „**Wieczory**” nasze, wiem, że nieznaną wam jestem. Muszę się wam najpierw przedstawić, drogie moje. Wystawcie sobie wysoką 13-to letnią blondynkę, lubiącą bardzo kwiaty, muzykę i korespondowanie z wami, ukochane ptaszki, kwiatki, poranki i światelka nasze! Pisałam już do kilku ale... nie odpisywały: myślę, a raczej liczę napewno, że nie zawiedziecie mnie i odpiszcie niedługo waszej, kochającej **Jodelce z nad Noteci**. Wszystkim innym uściśnienia.

Drogie siostrzyczki moje! **Ukrainko** z kącika, **Kulko** śniegowa i **Szczeroci!** I ja też jestem **Ukrainką**, dlatego chciałabym z tobą korespondować **Ukraineczko** z kącika, opisz mi twą osobkę i donieś ile masz lat, a ja ci z chęcią szczegółów o sobie udzię. **Kuleczko** miluchna jak się bawiłaś przez wakacje? bo ja doskonale. Czyś stopniała od letniego słońca, że tak milczysz? **Podoba** ci się „**Druga matka**” **Szczeroci** ty moja? **Mnie** ona zachwyca; szczególnie charakter **Poli**. Czy masz rodzeństwo? ja mam młodszego braciszka. Czyście nie zapomnieli o mnie przez tak długi czas? Jako kwiatek mam bardzo małe serduszko, lecz umie ono kochać i znajdzie dla każdej z was kilka słów przyjaźni. **Biała Ostróżka**.

**Kochane**: **Jutrzenko**, **Poranku** majowy i **Kropelko** srebrzysta! Przepraszam was żem tak długo nie odpowiadała, a szczególnie ciebie **Jutrzenko**. Donoszę ci że **Szwajcaryja** jest przesliczną. **Zwiedzałam** cudowny wodospad **Reński** w **Szafuzie**. Uczę się w domu mam lat 12; jestem obecnie na wsi. **Miły Poranku** pisujemy do siebie jak najczęściej. **Kropelko** jesteś **Helenką B.** czy zgadłam? **Donieście** mi coś wszystkie o sobie. **Oczekując** odpowiedzi ścisłam was serdecznie. **Gołąbka Heliotropu**. **Złotój Wierzbie**, **Regince** i **Staszce** z Podola przesyłam milion całusów.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

Janek sierota do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.

*Różany gaj, dnia 5 Sierpnia 1890 r.*

Szanowna Redakcyo.

Noszę już ubiór pazia, bardzo ładny ubiór, całkiem roślinny, z ciemno czerwonej materyi, wyrobionej z włókna azyatyckich pokrzyw. Nasze krajowe pokrzywy dają także włókna, z których możnaby wyrabiać tkaniny; ale azyatyckie są o wiele mocniejsze, mają połysk jedwabiu, piękną białosc, dają się farbować na różne kolory, a rosną tak bujnie, że dochodzą do pięciu łokci wysokości. Wyroby z nich znane są w handlu europejskim, a w Anglii bardzo nawet używane. Podobno tam gdzie te pokrzywy pożyteczne rosną, ludzie lękają się ich dotknięcia jak ukąszenia węża, a wyziewy z nich, choć roślina nie zawiera w sobie trucizny, są tak silne, tak drażniaco działają na oczy, że kto wśród nich parę godzin przebywa, temu potem łzy płyną przez kilka dni.

Tych wszystkich szczegółów dowiedziałem się od mego przyjaciela — bo mam już przyjaciela, który się nazywa bardzo ładnie: Viola Tricolor. Jestto paź królewiczowej. Co też powiedzą moi bracia stryjeczni, gdy się dowiedzą że chodzę w pokrzywach! Materya ta haftowana jest bogato z przodu i na rękawach w białe róże. Duży koronkowy kołnierz i mankiety z kory drzewa Daphne Lagetto, oraz czapeczka ozdobiona zamiast pióra gałązką białej, świeżo rozkwitłej róży, dopełniają tego oryginalnego, wielce malowniczego stroju, przypominającego formą stroje średnio-wieczne, jakie widywałem na obrazach historycznych. Paziowie królewiczowej noszą takie samo ubranie naodwrot, to jest z białej materyi haftowanej w róże szkarłatne.

Gdy po takim przebraniu przejrzałem się w lustrze, długo patrzyłem na siebie, nie dowierzając, czy to ja jestem naprawdę, czy nie ja. Tak przyglądającego się sobie, wezwał dworzanin do królewicza, objaśniwszy że znajduje go w dolnych ogrodach, na lewo od pałacu. Szybko zbiegłem ze schodów i podążyłem we wskazanym kierunku.

Z lewej strony pałacu rozciągał się wspaniały park angielski, którego drogi wysypane były zwiem. W nocy deszcz padał i teraz wszystkie drzewa, wszystkie trawy błyszczały kroplami rosy. Gdziekolwiek rzuciłem okiem, wszę-

dzie słońce, niby wielki czarodziej, przemieniało je w dyamenty, zapalając tysiącami blaski, a dyamentów tych było takie mnóstwo, jak gdyby cały ten park był skarbcem królewicza Krysztalka. I rozmyślałem sobie nad dziwactwem ludzi, którzy tak uganiają się za błyskotkami i wydają na nie wielkie sumy pieniędzy, za które dużo chleba możnaby kupić dla nędzarzy; którzy trzymają je zamknięte w pudełku, czasem tylko na nie spoglądając — gdy mogliby za darmo co rano do syta się na nie napatrzeć!

Na zakręcie drogi spotkałem kwiat leżący na ziemi; ślady kół przy nim wskazywały że wózek po nim przejechał, bo liście wciśnięte były w błoto. Nie mogłem nigdy patrzeć obojętnie na kwiaty konające pod nogami koni lub przechodniów, a gdy bracia moi zrywali kwiaty bez potrzeby i rzucali je potem lekkomyślnie na ziemię, doznawałem zawsze uczucia żalu i oburzenia, i mówiłem im że są barbarzyńcami. Zapomniawszy o królewiczu, podniosłem roślinkę, otrząsałem z pyłu i błota, i skropiłem kilkakrotnie wodą u bijącej w pobliżu fontanny; zdawało mi się że pod wpływem moich starań, a głównie cienia i wilgoci, roślinka powoli odżyła. Wydawała nawet piękny, silny zapach: była to *lewkonia*.

Posłyszałem szelest kroków na ścieżce i ujrzałem przed sobą królewicza. W lekkim, skromnym ubraniu z surowego płótna i kapeluszu ze słomy panamskiej, wydał mi się równie pięknym i sympatycznym jak w blasku królewskiego majestatu. Popatrzył na mnie uważnie i zapytał:

— Widziałem że podniosłeś kwiat zdeptyany i skropiłeś go wodą: dla czego to zrobiłeś?

— Bo żal mi było że ma umrzeć w skwarze słońca i pyle.

— I zapragnąłeś ocalić mu życie... Jesteś w krainie kwiatów: nie setki już, ale tysiące rośnie ich dokoła piękniejszych, wspanialszych niż ten niepozorny kwiatek. Możesz je zrywać dowoli. Co znaczy śmierć jednej roślinki wobec tak liczego i barwnego tłumu?

— Może nie wiele... ale roślina jest istotą żyjącą. Nie mogę nigdy opędzić się myśli, że odczuwa krzywdę wyrządzoną jej przez człowieka... a przytem, kwiat okazały czy niepozorny, jest dziełem Bożem, i zdaje mi się że nie godzi się nim poniewierać.



Lewkonia kwitnąca.

— Cóż zatem chcesz zrobić z tą roślinką?

— Korzonki ma nienaruszone: posadzę ją tu gdzie w dobrej ziemi. Niech sobie żyje i cieszy się powietrzem i słońcem.

Wydało mi się że lekkie wzruszenie przebiegło po twarzy królewicza. Popatrzył na mnie w milczeniu i rzekł:

— Z tego co napisałeś o stokrotce, a co ci zdobyło nagrodę konkursową, dowiedziałem się że bardzo lubisz kwiaty, a dziś się przekonałem że je kochasz. Ale Janku, wiesz-że ty co kochasz? Wszelkie uczucie ślepe i nieświadome, nie wiele bywa warte.

Zmięszały mnie te wyrazy: nie zgadywałem co królewicz chciał przez nie powiedzieć.

— Czy znasz kwiat który ocaliłeś?

— Lewkonia — odpowiedziałem.

— Tak, to jej imię chrzestne, ale jakie jest jej nazwisko rodzinne?

Tego nie wiedziałem.

— A czy wiesz z jakich części kwiat się składa i umiałbyś je kolejno nazwać?

Wiedziałem coś o tem, ale niedokładnie — a nie chcąc dać błędnej odpowiedzi, wołałem otwarcie przyznać się do nieświadomości. Królewicz wyciągnął rękę po roślinkę, a ja podając mu ją, spojrzałem na nią uważniej: na trzech zielonych łodyżkach, umocowane były naprzemian żółtawe kwiatki.

— Patrz — mówił królewicz — widzisz tu korzeń, łodyżkę, listki, nakoniec kwiaty i owoce.

— Owoce — powtórzyłem ze zdziwieniem — nie wiedziałem że lewkonie są roślinami owocowemi!

— No, nie są to owoce do jedzenia — powiedział uśmiechając się Zielonko. — Ludzie przyzwyczaili się za owoc uważać tylko część rośliny przyjemną dla podniebienia, ale botanicy zupełnie inaczej się na to zapatrują. Owoc, według nich, jest to każde ziarno zdatne na nasienie, często wysiewające się same przez się, dla wydania rośliny podobnej do tej z której samo powstało. Widziałeś kiedy główki maku napełnione brunatnymi ziarneczkami?

— Znam je doskonale! Kwitną one obficie wśród naszych łąnów zbożowych, a ponsowe ich kwiaty, wyglądają jak korale wśród złota.

— Dla botaników, są one owocami równie dobrze jak gruszka zawierająca kilka pesteczek i brzoskwinia mająca jedną tylko pestkę.

Zdziwiony byłem tem odkryciem. Królewicz oderwał dwa kwiatki od łodyżki, a roślinę położył na marmurowym gzemisie zbiornika wody wypływającej z fontanny. Jeden z kwiatków które był oderwał, zatrzymał, a drugi mi oddał, mówiąc:

— Co tu najwięcej uderza twoje oczy?

Te barwne płatki, prawda? Oberwij je kolejno, jeden po drugim i policz wiele ich jest.

Spełniłem jego rozkaz, rachując:

— Jeden, dwa, trzy, cztery...

— Dobrze. Cóż widzisz teraz?

— Cztery maleńkie listeczki zielone, które były poniżej żółtych.

— Oderwij je także i zobacz co pozostanie.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

sześć jęczyczków z których dwa są krótsze od czterech innych. Wszystkie mają na końcach coś jakby malutkie woreczki przeszyte przez środek.

— Jeżeli dotkniesz końcem palca tych małych woreczków, pozostanie na nim ślad maćzki żółtawej. Oberwij je tak jak tamte oberwałeś.

Gdy odpadły, pozostał tylko rodzaj małej kolumny zwężonej u góry i zakończonej niewielkiem zgrubieniem, niby wypukłą poduszczką.

— Widzisz Janku — rzekł królewicz — ile to rozmaitych drobnych przedmiotów było w jednym kwiatku; tak samo bywa i z innymi kwiatami. Ale pojmujesz, że każdy z tych przedmiotów trzeba było jakoś nazwać dla odróżnienia od drugich. Wszystkich



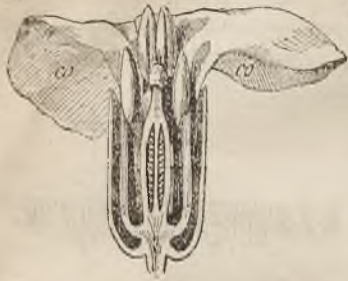
Oderwany kwiatek lewkonii.



Pręciki, jajecznik i słupek.

nawz mówić ci nie będę, tylko kilka, byś je mógł łatwiej za-  
trzymać w pamięci. Tamten kwiatek już nie istnieje, weźmy  
drugi.

Wyjął z kieszeni złoty nożyk i przeciął kwiat przez  
sam środek.

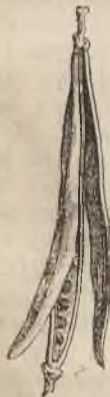


Przecięcie kwiatu połowiczne.

Małe jajeczki z zawieszono-  
mi na nich u góry woreczkami, otrzymały nazwę *pręcików*;  
a ta kolumna w pośrodku ma aż dwa nazwiska. Część dolna,  
grubsza, gdzie znajdują się jak widzisz, małe punkciki, mają-  
ce stać się ziarneczkami, nazwiemy *jajecznikiem*, bo ziarnka,  
to są jajeczka rośliny, prawdziwe jajka które ziemia wysiedzi,  
niby troskliwa kokosz. Jak małe pisklęta wykluwają się z ja-  
jek, tak żywe roślinki z czasem się z nich wyklują. Ta zaś  
część wyższa kolumny ze swem końcowem zgrubieniem, zwie  
się *słupkiem*. Kielich, korona, pręciki, jajecznik, słupek, pięć  
nazw... to nie jest chyba za wiele dla jego ekscelencji pana  
posła, ani dla czytelników *Wieczorów rodzinnych*, któ-  
rym pewnie powtórzysz naszą rozmowę.

Tytuł ekscelencji wywoływał zawsze na twarz moją ru-  
mieniec — i teraz także czułem żem się zaczerwienił.

— Jest dużo jeszcze innych nazw nadanym różnym czę-  
ściom kielicha, korony, małym woreczkom na pręcikach, ich  
pyłkowi, jak również zgrubiałości na słupku; ale możemy  
obejść się bez nich: zapamiętaj te tylko które ci powiedział-  
łem. Ale nie na tem koniec; z kwiatem dzieją się dziwne  
rzeczy. Skoro korona okwitnie, pręciki upadną, słupek się  
wydłuży i przemieni w wązki strączek, który gdy dojrzeje,



Strączek długi krzy-  
żowych.

otworzy się z obu stron, dla wypuszczenia ni-  
by ptaszków z klatki, ziarneczek umieszczo-  
nych na ścianie środkowej. Te wszystkie czę-  
ści kwiatu, które ci pokazałem i których po-  
znałeś nazwy, są szczególnymi cechami jego  
rodziny. Przeszło sto gatunków roślin naszych  
pół nosi te same cechy: kielich i korona mają  
po cztery części, a w kwiecie jest sześć pręc-  
ików, z których dwa zawsze są krótsze od in-  
nych, jak tu oto w lewkonii. Strączki bywają  
długie lub krótkie, jak możesz zobaczyć na  
lewkoniach rosnących po tamtej stronie wo-  
dotrysku. To jest świadectwo rodowe krzy-  
żowych, tak nazwanych dla tego, że płatki  
korony tworzą krzyż. Odtąd, gdy spotkasz

na drodze roślinkę której kwiaty będą tak ułożone, nie przejd-  
dziesz już koło niej, jak koło obcej, ale zawołasz: Jak się  
masz! niewiem wprawdzie jak ci na imię, ale znam twoją ro-  
dzinę. Należysz do krzyżowych, *Cruciferae*.

Sięgnąłem po roślinkę leżącą na marmurowym gziem-  
sie zbiornika i patrzyłem na nią teraz wzrokiem zupełnie innym.  
Znałem ję życie domowe, ję gospodarstwo i obyczaj. Pod-  
czas gdy ja przypatrywałem się lewkonii, królewicz przypatry-  
wał się mnie i powiedział:

— Strój pazia nie źle ci przypada do  
twarzy, młodzieńcze. Wiedźże iż od chwili  
gdy go włożyłeś, jesteś posłem tylko *incog-  
nito*, a jawnie będziesz pełnił przy mnie  
służbę pazia.

Ten wyraz „*incognito*” czarodziejsko  
na mnie podziałał. Czytałam nieraz w ga-  
zetach, że monarchowie, księżęta, wielcy  
dostojnicy, gdy chcą uniknąć męczących  
ich honorów, odbywają podróże „*incognito*”  
niby „*nieznani*” — a ta tajemniczość, jak  
wszystko co tajemnicze i niezwykle, podo-  
bała mi się bardzo. Poseł przemieniony  
w pazia, to niewiem czemu przypomniało  
mi bajkę o księżniczce zaklętej w kaczkę.  
Ale kaczka i paż, co za porównanie! Czem-  
że jest mój świetny, błyszczący ubiór,  
w obec szarych piór tego brzydkiego  
ptaka?

— Niech Wasza Królewiczowska  
Mość pozwoli, aby mię tu nie nazywano  
więcej ekscelencją — odezwałem się nie-  
śmiało.

— I owszem, paziom nikt nie daje takich tytułów: jako  
paż będziesz nazywany po imieniu, tylko w razach gdy ci wy-  
padnie potrzeba zrzucić twoje *incognito* i wystąpić w charakte-  
rze urzędowym, będziesz znów małą ekscelencją.

Małą ekscelencją! ten wyraz „*mały*” nigdy mi się nie po-  
dobał. Wolę już być *dużym* paziem. Rozumiałem doskona-  
le uczucia Cezara gdy mówił, że woli być pierwszym w lichęj  
chacie niżli drugim w Rzymie.

— Jako paż, pójdziesz zaraz do *Koralowego* grodu —  
mówił dalej królewicz — i zaniesiesz królewiczowej *Perełce*,  
mój bratowej, klejnoty odemnie w darze. Dla tego kazałem  
cię wezwać; że zaś nie byłeś tam jeszcze i nie znasz drogi,  
więc dam ci przewodnika mówiącego dobrze po francuzku.  
Trzeba jednakże Janku, żebyś nauczył się po atlantyjsku, bo  
bez znajomości tego języka, trudno ci będzie porozumiewać  
się z mieszkańcami wyspy. *Viola* może ci w tém dopomóc;  
jestto bardzo dobry chłopiec i w twoim wieku. Gdy go po-  
znasz, pokochasz go niezawodnie.

Przyłożył do ust srebrną świstawkę i w tójże chwili wy-  
biegł z poza drzew ładny jasnowłosy chłopiec w barwie króle-  
wiczowej; twarz jego pogodna podobała mi się od pierwszego  
rzutu oka. Niósł hebanową szkatułkę ozdobioną bogatą in-  
krustacją; w zamku tkwił złoty kluczyk. Królewicz otworzył  
szkatułkę i spojrzawszy uśmiechnął się z zadowoleniem. Spoj-  
rzałem i ja, i o mało nie krzyknąłem z zachwytu. Na posła-  
niu z mchów puszystych jak aksamit, leżał wspaniały dyadem  
naszyjnik i zausznicze z konwalii, czerwonych pojedynczych  
kwiatków werbeny, i delikatnych listków paproci. Naślado-  
wało to do złudzenia, mieszaninę pereł i koralu. Królewicz  
zamknął szkatułkę i oddał mi ją wraz z kluczykiem, poczem  
przemówił coś do pazia po atlantyjsku wskazując na mnie  
i oddalił się.

Zostaliśmy sami, a choć widzieliśmy się po raz pierwszy  
dopiero, zaznajomiliśmy się prędko. *Viola* przystąpił do  
mnie z uśmiechem i podał mi rękę przyjaźnie, mówiąc z całą  
szczerością, że rad jest bardzo iż królewicz polecił mu być  
moim nauczycielem języka atlantyjskiego, bo mu się podoba-



Małeńkie strączki krzy-  
żowych.



łem od chwili gdy w sali tronowej śpiewałem pieśń, której poważna a wspaniała melodya, dotąd brzmi mu jeszcze w uszach. Bardzo mnie tem chwycił za serce i zaczęliśmy mówić sobie po imieniu. Posadziłem ocaloną roślinkę w pobliżu wodotrysku i ruszyliśmy w stronę Koralewego grodu. Viola zarzucił mnie pytaniami o moją rodzinę, kraj, powód przybycia, a ja opowiadałem mu szczerze wszystko, nie tając nawet rojeń moich braci stryjecznych, biorących wraz ze mną udział w konkursie, że jeden pragnął dokonać na Atlantycie jakiego wielkiego czynu i ożenić się z księżniczką Gentianą, a drugi gotów był poprzestać na tytule hrabiego i jakiej damie honorowej, byle nie bardzo starzej. Viola słuchając śmiał się do łez.

— Dama dla Adasia, możeby się znalazła — powiedział — ale co do księżniczki, to sprawa stracona. Wszystko mi się zdaje, że ona z czasem zostanie królową hiszpańską.

— Jakto? — zapytałem zdziwiony — czyżby na wyspie Atlantycie wznowiono średniowieczne, a zdaniem mojem barbarzyńskie zwyczaje zaślubiania dzieci wbrew ich wiedzy i woli?

— O, nie, ale zanosi się na to małżeństwo. Alfons XIII-ty młodociany król Hiszpanii, przysłał księżniczce lalkę mówiącą według pomysłu Edisona, czem serce jej podbił odrazu. Jak tylko poseł hiszpański lalkę wydobyl, wyciągnęła zaraz do niej rączki, i zaczęła ścisnąć ją gorąco; a gdy jej pokazano portret Alfonsa przedstawiający tego monarchę na koniu z biegunami, zawołała: caca! Był to, zdaje się, dość wymowny objaw uczuć księżniczki, okazujący że się jej spodobał rycerz na drewnianym rumaku. Poseł hiszpański odjechał uszczęśliwiony, złożywszy jeszcze w darze duże pudełko czekoladek, narodowego przysmaku Hiszpanów, bo choćby nawet małżeństwo nie przyszło do skutku, była to zawsze wróżba przyjaznych między dwoma krajami stosunków.

Rozweselony domysłami politycznymi Violi, rzuciłem pytanie.

— Co też mówi lalka księżniczki?

— Umie różne ładne bajeczki i powiastki, a pierwsze słowa jakimi przemówiła do księżniczki, były: „Alfons XIII pozdrawia swoją przyjaciółkę Gentianę i prosi, aby pamięć o nim zachowała w swem malutkiem serduszkum.” Prośba pełna głębokiego znaczenia, nieprawdaż? Gazetom atlantyjskim podłużyła ona na długo za temat do artykułów wstępnych.

Z takim zajęciem słuchałem mego towarzysza, że nie bardzo uważałem jak idę, a szliśmy właśnie przez lasek świerkowy — i zawadzwszy nogą o wystający korzeń, padłem jak długi upuszczając szkatułkę.

— Ach! — jęknąłem podnosząc się — po co też to drzewa mają korzenie!

— Jakto, po co? — zawołał Viola, który żart mój wziął za prawdę — chyba nie wiesz jakie znaczenie mają korzenie dla roślin. One służą do utwierdzenia drzewa do ziemi i dostarczają jej pożywienia, a spełniają swe zadanie w ciemności tak dobrze, jak gdyby były zaopatrzone w latarnie! Korzeń i łodyga przyjacielu, są najważniejszymi częściami rośliny: on zaopatruje szpizarnię, a ona jest szafarką rozdawającą soki pożywcze gałęziom i liściom.

(d. c. n.)

## Sprawozdanie z konkursu wakacyjnego dla chłopców.

I młodzi czytelnicy Wieczorów nie zawiedli tym razem oczekiwania naszego. Odpowiedzi na konkurs: „Opis wakacji i jaką się z nich korzyść odniosło” nadeszły dobrze napisane i po większej części dowodzące, że każdy z młodych korespondentów rozumie to dobrze, iż świat cały, wszystko co nas otacza, nauką dla nas być może, i powinno przynosić nam korzyść, bądź to umysłową, bądź moralną. Taką też przyniosły niezawodnie *Bartkowi Zwycięzcy* wakacje, które „dobre były”, jak z zadowoleniem przyznaje Bartek Zwycięzca. Ale *lepszym* od dobrze spędzonych wakacji jest to, że „bez smutku do roboty się zabieramy, bo czy czas roboczy, czy święto, zawsze nam dobrze i wesoło w naszym drogim domu”. Myślmy więc, że to właśnie uczucie miłości i zadowolenia jest największą z korzyści, jakie z wakacji i z życia odnieść można, a że przeto i sam opis na pochwałę zasługuje ze względu na logiczny układ i poprawny język, więc też Bartek niech będzie *Zwycięzcą* prawdziwym i nagrodę konkursową otrzyma. *Kozak Sawa* także nie małą korzyść odniósł



Rycina do powiastki konkursowej.

z wakacji: zwiedził ogromny kawał kraju, a że „rodzice każą mu zwracać pilną uwagę na wszystko, co go otacza”, więc też „patrzył i słuchał chętnie” i opisać potrafił, jak na swoje lata wybornie. 14-to letni *Słowik z nad Zbrucza* ojcu zawdzięcza że odniósł korzyść z przypatrywania się robotom gospodarskim, których znaczenie ojciec mu objaśnił; nie rozumie tylko, dlaczego *zabijać trzeba było ptaszki*, aby naocznie się przekonać „do jakiej rodziny należą i jakie mają obyczaje”? *Mazur z nad Dunaju* opisuje nam wycieczkę do kopalni soli w Ischler Salzberg, zdaje się jednak więcej mieć na celu opisywanie widzianych osobliwości, niż korzyść jaką z oglądania ich mógł odnieść.

W ogóle jednak, tak te, jak i inne wypracowania konkursowe, pisane są po większej części starannie i z widocznym zamiłowaniem... tematu, czemu zresztą nie dziwimy się wcale, bo któżby nie lubił wakacji?

Ponieważ młodzi czytelnicy nasi znowu się upominają o konkurs, czyniąc przeto zadość ich życzeniu, podajemy *obrazek, którego trzęść rozwinięta w powiastce*, stanowiąc będzie zadanie konkursowe.

Obrazek przedstawia rodzeństwo, wesoło wybierające się „Na majówkę”. Najstarsza siostra pakuje w koszu przysma-



U PRZEWOZU.

ki, z których składać się będzie śniadanie, czy podwieczorek młodsze rodzeństwo ciekawie się przygląda jój robocie, lub dopomaga, znosząc przysposobione zapasy i potrzebne do spożycia ich przybory.

Jak się majówka uda, czy wszystko dojedzie w całości, kogo jaka spotka przygoda, kto będzie samolubnie używał przyjemności, jakie nastęrczy wycieczka, a kto znajdzie sposobność złożenia dowodu, że zawsze o drugich pamięta, czy w ogóle zdarzy się, lub nie taka sposobność, to już fantazyi waszój zostawiamy.

Piszących podzielimy podług wieku na trzy oddziały: *pierwszy*, dzieci do lat 10-ciu: najlepsza powiastka otrzyma w nagrodę, książkę p. t. „Podróż naukowa po pokoju odbyta z młodymi przyjaciółmi.

Oddział *drugi*: dzieci od lat 10-ciu do 13-tu; nagrodę najlepszej powiastki stanowiąc będzie: książka p. t. Cztery miesiące pobytu wśród dzikich.”

Oddział *trzeci* czytelnicy od lat 13-tu do 15-tu dla których jako nagrodę przeznaczamy: „Sielankę Brodzińskiego z ilustracyami Andriolego p. t. Wiesław”.

Spodziewamy się, że to zadanie wszystkich czytelników naszych zajmie, a młodszym istotną korzyść przynieść potrafi. Wypracowania przyjmować będziemy do dnia 15 grudnia *włącznie*; prosimy o szczegółowe wymienienie imienia, nazwiska, lat, oraz adresu — i kończymy, wyrażając nadzieję, że obmyślane przez nas zadanie konkursowe przypadnie wam do smaku nie mniej od wszystkich poprzednich, na które nadszły odpowiedzi tak liczne, tak nieraz dobrze a zawsze tak starannie napisane.

## U PRZEWOZU.

— Do méj łodzi proszę bardzo,  
 Nichaj państwo nie pogardzą,  
 Toć przewiozę doskonale  
 Przez téj rzeki modre fale.  
 Hej! panowie, grzeczne panie!  
 Nic nikomu się nie stanie.  
 Do przewozu jam jedyny,  
 Nie próżnuję i godziny,  
 Jadę tu, tam, gdzie wypadnie,  
 I zapraszam wszystkich ładnie.  
 Czy to jakie strojne pany,  
 Czy to biednie człek ubrany,  
 Czy to stary, czy to młody,  
 Kto chce jechać przez te wody  
 Rad mu jestem z całej duszy,  
 I wnet wiosło łódź poruszy,  
 Grosz za groszem wpada za to  
 Wesole mi spływa lato  
 Spiewam sobie też od rana  
 Oj ta dana, oj ta dana!  
 Płynże łódźko dalej, dalej...  
 Przewoż ludzi po téj fali,  
 Od nieszczęścia Bóg ustrzeże,  
 Bo się codzień modłę szczerze.

Helena Bojarska.

## Korespondencya Wieczorów Rodziny.

Daleko, daleko od was odleciała wasza Gołąbka: nie jój własne, lecz pary skrzydła uniosły ją... aż nad morze Północne! Czy tam jednak na obczyźnie, czy nad szarą Wisłą, czy nawet nad tak marną rzeczulką, jak ta Łapia, w której letnich kąpielu używała, Gołąbka zawsze o was pamięta, za-

wsze myślą do was powraca, zawsze kąty swoje miłuje... zawsze wreszcie brak jój téj przybranej rodzinie, z którą tak żyła się sercem, jakby od najmniejszego dzieciństwa razem z wami wszystkiemi wzrosła. Jaka szkoda, że was tu niema: ciebie, Biała Ostróżko, lub Czeska Niezabudko, Filaretko, Złota Przędzo, Jodelko z nad Noteci, wy wszystkie, pocziwie moje i drogie, coście przywykły wtajemniczać mnie w myśli i wrażenia wasze, jak siostrę, jak przyjaciółkę wypróbowaną. Patrzyłybyśmy razem na sino-zielone tonie morza, nieustannym kołyszące się ruchem, razem słuchały rytmicznych jego westchnień, a gdyby, zamiast mnie, nadleciała tu Jaskółka z nad Dunaju, jakby to ona słicznie opisać wam potrafiła morze, niebo, ludzi i piaski, wszystko, co się tu widzi, a co całkiem jest odmienne od widywanych w kraju obrazów! Pióro waszój Gołąbki mniej dobrze wywiąże się z zadania, to pewna tylko, że pragnęłabym aby „język prędko... Powiedział wszystko co pomyśli głowa...”

Nie mam wszakże zamiaru opisywać wam piękności morza, ani wrażenia, jakie ono na mnie wywarło. Kto morze widział, a wrażeń tych nie doznał, temu słowa moje wydadzą się słabe; kto go nie zna, temu nie dadzą innego o niem pojęcia nad to, które każdy mniej więcej utworzył już sobie z tylokrrotnie czytanych opisów. Ja więc mam tylko zamiar opisać miejscowości nadmorskie, w których ludzie wszelkiej narodowości zbierają się dla odetchnienia świeżem powietrzem lub wzmocnienia sił kąpielami morskimi. Zamieszkawszy w Heyst, które odznacza się wielką taniością, oraz zupełną swobodą jakiej się tam używa, zwiedzaliśmy wszystkie zakłady kąpielowe, w sąsiedztwie położone, począwszy od świetnej Ostendy, gdzie się elegancki świat zbiera, a skończywszy na skromniutkiem Middelkerke, lub Nieuport-les-Bains, które robi wrażenie odludnego pustkowie, zasypanego piaskami, niesionemi przez ciągle dmące tu wichry.

Zaczęliśmy wycieczkę naszą od Blankenberghu, odległego o 10 kilometrów (blisko półtory mili) od naszego Heystu, który jest sobie poprostu rybacką osadą. Przy starowieckich, wieśniaczych domostwach dziwnie odbijają nowomodne niedawno wzniesione zakłady kąpielowe, wygodne i zadość czyniące wymaganiom publiczności, która tu przybywa dla kąpeli, nie zaś dla zabawy lub pokazania się, jak goście nawiedzający Ostendę. W Blankenberghu mnóstwo też osób, a właściwie *osóbek*, bo odkąd żyję, nie widziałam tyle dzieci na jednym miejscu nagromadzonych. Liczna, jak wiece, gromadka uczęszczająca do Saskiego ogrodu, jest nie nie znaczącą garstką w porównaniu z tym tłumem „milusińskich” który się tu wysypuje na wybrzeże z chwilą odpływu morza i obejmuje w posiadanie wilgotny jeszcze piasek. Bose, opalone, poubierane skromnie i o tyle czysto, o ile się nie powalają piaskiem, który ma tę szczęśliwą własność, że nie plami, bawią się tak swobodnie, tak ochoczo, że doprawdy gdyby nie wzgląd na to, że dorosła już jestem panną i jabym się z tą dzieciarnią chętnie bawiła w piasku, z którego sypią wały, urządzają sztuczne jeziora, przekopy, fortyfikacje, kopią kanały, fosy i na obwarowanych niemi wzgórzach zatykają chorągiewki. Sprzedają tych ostatnich trudnią się specjalnie przekupki, u których dostać można sztandarów jaśniejących barwami wszystkich narodowości: dzieci umieją rozpoznawać swoje i każde z nich zatyka na usypanej przez siebie warowni właściwą chorągiewkę, co bardzo ładnie wygląda, szczególnie gdy wiatr niemi porusza a cały las chorągiewek furka i jak barwne motyle miga w słońcu. Czasem się zdarza, że posadzą na wzgórzach trzyletnie jakie bobo i każą mu piastować urząd chorążego: maleństwo siedzi poważnie i dumnie, w tem nadchodzi pierwsza fala przypływu i napelniwszy fosę wodą, zamienia wzgórze w wysepkę! Dzieci w strachu, robi się krzyk i wrzawa dużo większa od niebezpieczeństwa, ktoś starszy bieży na ratunek i wszystko się kończy szczęśliwie. Najgorzej wychodzi na tem ubranie, bo przy takich zabawach nie bardzo się o niem pamięta; ale rozważne mamusie dobierają materiałów trwałych, na którychby woda morska nie pozostawiała zbyt widocznych śladów — więc też toaletowe troski nie psują humoru dziatwie, która zbrojna w taczki, łopatki,

wiaderka, myśli tylko o zabawie, nie zaś o tém jak się wydadzą jej stroje.

W Ostendzie już co innego: i tu roi się od dzieci, i tu bawią się one w piasku, ale strojniesze, wykrygowane, i, nie chciałabym ich obmawiać, głównie zajęte wrażeniem, jakie na widzach sprawiają. Mówię to naturalnie o starszych, bo ma-lutkie wszędzie znaleźć potrafią swobodę.

Z Blankenberghu pojechaliśmy do Ostendy. Komunikacja łatwa, bo godzina jazdy koleją wzdłuż morza, którego jednak nie widać wcale. Zastłaniają je wydmy piaszczyste, droga więc nudzi jednostajnością, ale zato Ostenda sama wspaniała. Szereg przepysznych hoteli i eleganckich willi ciągnie się po nad samym morzem, broniony od przypływu przez tak zwaną z francuzka „dyggę” (*digue*) czyli wał cembrowany na 30 metrów (około 50-ciu) łokci szeroki. Jest to rodzaj platformy, podobnej do tych, jakie ułatwiają wsiadanie do wagonu; ma ona 1½ kilometra długości, wyłożona jest cała płytkami z *terracotty* (palonej gliny) co bardzo ładnie i bardzo czysto wygląda, i stanowi ulubione miejsce przechadzki, rodzaj wspólnego salonu, zład po szerokich, wygodnych schodach, oddzielonych od morza niezbyt szerokim pasmem piaszczystego wybrzeża, zejść można prosto do wody.

Podczas przypływu zalewa je woda, ale z chwilą odpływu rozpoczyna się tu ruch, który widzieć potrzeba, aby mieć o nim pojęcie. Zaledwie cofnie się morze, zaledwie z pod odpływających fal jego wynurzać się pocznie wążutka zrazu, potem coraz szersza wstęga piasku, wnet ukazują się na wybrzeżu budki kąpielowe chwila bowiem odpływu jest hasłem rozpoczęcia dziwnej kąpieli. Budek jest z górą 500, ale czasem ich zabraknie i trzeba czekać swojej „kolei”, (zupełnie jak w naszym Pisemku!) a tymczasem zdarzają się tu bardzo komiczne sceny. Budka, ciągniona przez konia, wjeżdża wprawdzie na pełne morze, ale morze cofa się tak szybko, że nieraz wychodząc z wody trzeba przebieść kilkaset kroków w kostiumie bardzo zazwyczaj wytwornym, ale... kąpielowym.

Prócz tego pełno dzieci, pełno osób dla przyjemności brodzących w mokrym piasku, a na „dydze” to już tłum prawdziwy. Jedni przechadzają się, drudzy siedzą, inni przez lunety w dal patrzą na morze, czy nie widać okrętu lub łodzi, a każdy chciwie łąwi świeże, solą przesycone wyziewy morza, które osadzają na ustach smak słony i przytem podniecają apetyt w sposób prawdziwie zdumiewający. Ja, naprzykład, co nigdy rosą kwiatów nie żyłam, teraz pośmiwiskiem jestem domowych, gdy po przechadze nad morzem co chwila spoglądam na zegarek, niecierpliwie czekając godziny posiłku który nam tu smacznie i obficie podają.

(d. n.)

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Pies!... — poszeptał Rahib, zrywając się pewnego razu z ziemi, w którą się wsłuchiwał.

— Pies!... — powtórzyli wędrowcy z najwyższym zdumieniem, stając w pochodzie.

Było się czemu dziwić istotnie: pies nie mógł w tych stronach istnieć bez człowieka; tygrysy, odstraszone ogniskami i wystrzałami dzikich, gdy ci mimo największych ostrożności, podejrzawali że spotkałby się z niemi mogli, udusiłyby psa w mgnieniu oka, gdyby przypadkiem tu się zabłąkał. Z drugiej znowu strony, ponieważ dżicy nie mają zwyczaju wodzić z sobą psów na tajemne wyprawy, bojąc się niedyskretnego czasem szczekania, przypuścić zatem należało, że człowiek jakiś ucywilizowany znajduje się w pobliżu i że idzie jakby na spotkanie wędrowców. Rzecz dziwna, to szczekanie nieznanego psa, dodało nagle otuchy Europejczykom. Dla czego? napróżno sami siebie zapytywali.

## IX.

Mahora jednak zaniepokojony, słucał raz po raz, zamieniając z ziomkami zakłopotane wejrzenia, dotąd szli oni bez wahania bo rozumieli, odczuwali niejako wszystkie ruchy poprzedzającej ich rozbójniczej bandy; teraz odgłosy skomplikowały się i skrzyżowały w sposób trudny do zrozumienia.

— Ktoś nieruchomy jęczy... i pies szczeka — mówił jeden z badających ziemię.

— Ktoś idzie ku nam — mówił drugi.

— Jakies wielkie zwierzę idzie ku nam... to słoń!... — mówił trzeci.

— Radziłbym postępować za głosem psa — rzekł kapitan Lory — prawdopodobnie nie dzikich spotkamy... co w naszym położeniu jest pożądane.

— Idźmyż więc za głosem psa! — I znowu ruszono w podróż, ale po kwadransie zatrzymał podróżnych bystry choć nie głęboki ani szeroki strumień, nad którego przebyciem zawahano się na chwilę.

— Ot, wielka rzecz! — lekceważąco rzekł Carré, zwracając się plecami do pana Thorny. — Proszę oto, chwyć mię komendancie oburącz za szyję, a przeniosę cię łatwo przez ten rynsztozek. A moi towarzysze tak samo zrobią z twoimi przyjaciółmi!

— No, siadajcie panowie! — rzekli inni marynarze przedstawiając plecy... tak, że daleko więcej znalazło się środków lokomocyi przez ów strumień, niż domniemanych pasażerów. Ale na to odpowiedział z prostotą pan Thorn:

— Dziękuję wam, moje dzieci; zaćny wasz kapitan i wy dajecie nam braterską pomoc, za którą niechaj Bóg wam płaci, ale to nie jest przyczyną, abyśmy mieli nadużywać waszych dobrych chęci — i pierwszy wszedł w wodę, nie sięgającą mu zresztą wyżej pasa. Szczekanie psa stawało się coraz wyraźniejszym.

— Zatrzymajcie się tu panowie na chwilę u stóp wzgórza, a ja obejdę je ostrożnie i zobaczę, co dzieje się z tamtej strony, bo ztamtąd dochodzi nas to szczekanie — rzekł Mahora, i rozciągnąwszy się na ziemi popęzła na zwiady. Rodzaj pisku właściwego bardzo młodym tygrysiętom, rozległ się po chwili w umówiony raz na zawsze sposób i wszyscy pośpieszyli do wołającego: Klęczał on przy młodym Indyaninie rozciągniętym na ziemi, trzymając go za gardło jedną ręką, drugą wskazywał nadbiegającym zegarek z łańcuszkiem wiszący na żółtawo czarnej brudnej szyi dzikiego.

— Zkąd to masz? — zawołał Mac-Ulm.

— Zegarek Klary!... — szepnęło kilka głosów.

— Daruj życie! puść! — błagał dziki ranny kilkakrotnie i bardzo osłabiony. Przed nim stał z najeżoną sierścią pies najpospolitszego gatunku, ale niezmiernie rozumnej fizjonomii i czekał nań z taką miną, że widocznem było iż łąjał go w swoim psim języku. Na widok Anglików dopiero zaczął gwałtownie łasić się, machając ogonem jak wachlarzem i znowu zaszczekał na dzikiego, najwyraźniej wskazując go wzrokiem nowoprzybyłym, poczem oddawszy go niejako tym sposobem pod ich straż czy opiekę, kiwnął im raz jeszcze pośpiesznie ogonem na pożegnanie i wyciągniętym galopem popędził w świat.

— Znalazłem — odpowiedział tymczasem dziki na natarczywe pytania Mahory, który mu tłómaczył co doń mówiono.

— Gdzie?

— Tu... w trawie...

— Mów prawdę, nie zmyślaj! — zawołał pan Mac-Ulm gwałtownym ruchem przykładając mu lufę pistoletu do piersi — to należało do mojej córki, tyś obdarł moją córkę!...

— Nie ja, to starsi odebrali białej dziewczynie, potem wszyscy grali o to w kości i ja wygrałem... — mrucał dziki pod grozą rewolweru.

— Więc ty jesteś z okolic Tungary; a cóż tu robisz? Odpowiadaj albo strzelam!

— Nie mogłem zdążyć za innymi, bo rany osłabiły mię.

— Słuchaj, poraniony jesteś w walce nad zatoką ran-

gorską, dokąd chodziłeś z innymi aby sprzedać młodą dziewczynę, której wzięliście zegarek?

Dziki milczał.

— Odpowiadaj!... albo strzelę!

— Strzelaj!... wszystko mi jedno, bo i tak niedożyję jutra, umieram — stanowczo odrzekł i rozciągnął się obojętnie na trawie.

— Otóż nie umrzesz!... opatrzmy cię po naszymu i zabierzemy z sobą, leczyc cię będziemy i nieść na własnych ramionach do twojej chaty, ale za to przyrzeczesz jedną rzecz i wypełnisz co przyrzeczesz!

— Co przyrzec? Co wypełnić? — powtarzał dziki.

— Że przybywszy do Tungara, dowiesz się i wskażesz nam miejsce gdzie biała dziewczyna uwięzioną będzie i dopomożesz nam ją odebrać.

— Nie; co brat to brat, a co biały to biały, nie będę wrogiem braciom.

— Nie; wszyscy, biali, czarni i wszelkiej barwy ludzie są sobie braćmi, a więc nie bądź wrogiem białej dziewczynie. Jeżeli uczynisz co żądamy, pozostawię ci ten piękny naszyjnik a nawet nauczę cię jak z nim postąpić, aby przesliczną wydał muzykę... inaczej, odbiorę ci go natychmiast!...

Czego nie dokazała groźba śmierci, ani tak pochlebne zawsze dla kolorowych uznanie ich braterstwa z białymi, to zrobiła chciwość na błyskotki, właściwa dzikim: umierający zerwał się i usiadł, oburącz przyciskając do piersi zegarek z łańcuszkiem.

— Muzykę?... naszyjnik z muzyką?... — zapytał gającym głosem ale z płonąciami ciekawością i gorączką oczyma.

— Pomożesz nam odebrać białą dziewczynę?...

— Pomogę!... oni nie zabrali mię z sobą, choć widzieli że siły z krwią mi uciekły; chcą abym umarł... ażeby oni mogli wziąć mój wygrany naszyjnik!... — mruczał usprawiedliwiając w ten sposób sam przed sobą, że zwierzęcą dziką logiką, własne przewierstwo, okrucieństwem swych ziomków.

— Dobrze, my więc opatrzmy cię po naszymu, zabierzemy z sobą do twój rodzinnej chaty, naszyjnik pozostanie twoim... — mówiąc tak, Mahora przy pomocy towarzyszy z niezmierną szybkością opatrywał już rannego, imi tymczasem zawiesiwszy kawał wziętego na namioty płótna, na dwóch kijach wzięli je na ramiona i położywszy chudego, lekkiego jak wiór chłopaka, w tej zaimprovizowanej lektyce ponieśli go dalej.

— Ale muzyka! muzyka! — zapytał goniąc oczyma za Mahorą.

(d. c. n.)

## ZWIERZYNIĘC WARSZAWSKI.

Smutnym bardzo losom uległ obcennie zwierzyniec warszawski; z powodu braku właściwego dozoru nad pokarmami zwierząt mięsożernych, lwy, tygrysy, pantera i hyena, najpiękniejsze jego okazy padły, zjadłszy podane im mięso, dotkniętych zaraźliwą chorobą koni. Straty to bardzo dotkliwe dla niedawno istniejącego zoologicznego ogrodu, niewiadomo

też jeszcze czy się dalej utrzyma. Jest mowa o założeniu natomiast Towarzystwa aklimatyzacyjnego, w celu przyswajania i rozmnażania pożytecznych zwierząt.

## SZARADA.

Sarenka z nad Moroczku dla Jaskółki z nad Ussy.

Pierwsze — moc tajemnicza w wyobraźni ludu.

Drugi — wykrzyknik; zachęcasz nim konia, gdy wiezie wśród [trudu.

Drugie-czwarte — miejsce gdzie myszki mieszkają,  
Czwarte-drugie — to pora, o której pracownicy wstają,  
Trzecie-czwarte — gruntu podniesienie,  
Wszystko zaś górzystego kraiku znaczenie.  
Leży na południu Europy, a w tej krainie,  
Lud z piękności swęj i dzielności słynie.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Chrobrego dla Kopciuszka.

Z następujących sylab: O—ko—o za—Za—I—I—ni  
—sing—ri—Je—zium—us—Lo—fors—ti—A—Hel—zere—  
di—Bób—szan—Na—E—no—Kra—wiek—le—lia—snyj—  
Głóg—a—rie—ta—Człó—ka—złożyć wyrazy oznaczające:  
1. Miasto w gub. Smoleńskięj. 2. Miejsce odpoczynku na pustyni. 3. Najdoskonalsze stworzenie Boskie. 4. Miasto w Finlandyi. 5. Państwo murzyńskie. 6. Cieśnina morza Czarnego. 7. Roślina strączkowa. 8. Miasto nad rzeką Addą. 9. Dopływ Rodanu. 10. Najpotężniejszy bożek Olimpu. 11. Imię żony króla Serbskiego. 12. Miasto w gub. Charkowskięj. 13. Jezioro w Ameryce północnej. 14. Nazwa dzikięj róży. 16. Rzeka w południowej Ameryce. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, utworzą jedną z najpiękniejszych zasad nauki Chrystusowęj.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go.

### Zadania konikowego:

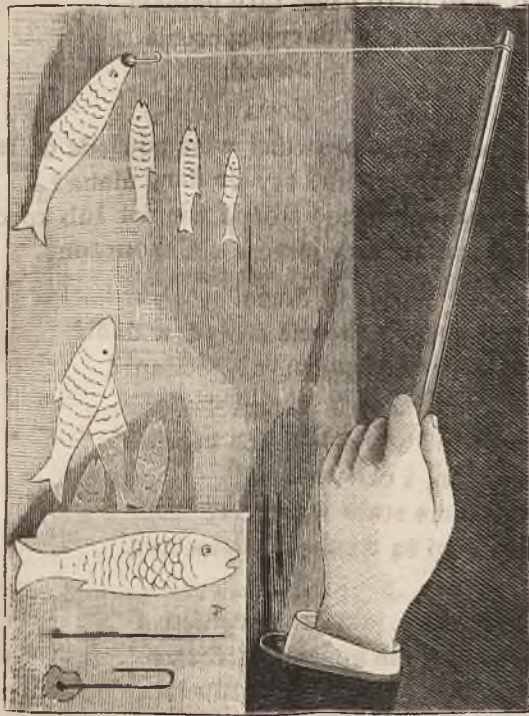
Idą z okiem tak wesołem,  
Pług tak lekko płynie w ziemi,  
Pada chłopiek, bije czołem,  
Łzami zlewa się wdzięcznemi,  
Gdy wtem anioł promienisty  
Nagle w górę wzłata, leci,  
A jak tęcza pas ognisty  
Długi ślad się za nim świeci.

Z poematu: „Święty Łzydor” Franc. Morawskiego.

### Homonimu szaradowego:

L e k t y k a.

**TRESC:** Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Sprawozdanie z konkursu wakacyjnego dla chłopców. — U przewozu, wiersz p. H. B. (z drzew.) — Korespondencya Wieczorów rodzinnych. — W Indyach. — Zwierzyniec warszawski. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Łowienie rybek na wędkę (z drzew.) — Łakome szczury. — Wieniec, przedstawienie w przeddzień imienin ojca. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



### ŁOWIENIE RYBEK NA WĘDKĘ.

Bardzo zajmującą zabawkę, przedstawia nam powyższa rycina, jako doświadczenie oparte na sile elektrycznej. Jest to: łowienie rybek na wędkę; tylko, bez wody, bo rybki z papieru, leżą spokojnie na stole; przynęta zaś na nie, to nie ostry haczyk, na który się zaczepiają gdy są żywe, lecz niewina kulka laku. Ażeby zrobić taką wędkę bierze się zwyczajną szpileczkę i ostry jej koniec zagina się w haczyk, a główkę oblepia zwyczajnym czerwonym lakiem. Następnie przywiązuje się do patyczka kawałek nitki, długości około 25 centymetrów, na końcu której zawieszają się poprzednio przygotowana szpilka. I oto wędka gotowa; prawda, że trud nie wielki? a z rybkami rzecz jeszcze łatwiejsza, bo te wycinamy z cienkiego papieru, najlepiej z angielskiej bibułki. Kształt nadać im możemy, jaki nam się podoba, czy karpia, czy szczupaków, i wielkość ich może być także różna, o tyle wszakże, by je nasza wędka unieść mogła. Ażeby zaś podobniejsze były do rybek, wyrusujemy ołówkiem na każdej, oczy, odznaczmy skrzydele i łuski, a tak wykończone rozrzućmy po stole w niewielkiej od siebie odległości. Osoby nieobeznane z tym rybołówstwem, nie ułowią ani jednej rybki, my jednak, którzy wiemy, że w laku potartym mocno o sukno, lub flanelę, budzi się siła elektryczna, która przyciąga lekkie przedmioty, od razu dokonamy sztuki i przeniesiemy wszystkie rybki ze stołu na przygotowaną miseczkę.

### ŁAKOME SZCZURY.

(Dokończenie).

I wzięli, a różowe ciasteczko podzielone na dwoje, znikło w jednej chwili.

Dzieci rozłakomione, zapomniały w końcu o wszystkim, sprzątały ciastka jedno po drugim, aż spostrzegły, że tylko dwa zostały na koszyczku. Przełękły się, ale jak to zwykle bywa, że jedno złe, pociąga za sobą drugie, tak i teraz, z obawy aby mama nie spostrzegła że tak mało ciastek, po krótkiej naradzie, wzięli i te dwa, a koszyczek postawili na małym stolyczku za szafą. Ledwie że to zrobili, Franciszka wróciła z cytrynami, i powiedziała, że teraz Karolek może powiedzieć mamusi, że wszystko już gotowe, i poszła do kuchni.

Dzieci spojrzwały na siebie niespokojnie, jakoś serduszką im bić zaczęły, ale trudna rada, trzeba iść do mamusi, Karolek poszedł, a Florcia stanęła skromnie w kąci.

Mama wprowadziła gości do stołowego pokoju, a obrzuciwszy wzrokiem stół cały wyszła śpiesznie do kuchni, a wróciwszy, spojrziała na dzieci, które stały przy sobie, z mocnymi rumieńcami na buziach.

Nie powiedziała do nich jednak ani słowa, tylko zaczęła nalewać herbatę, i częstować gości,

Jedna z tych pań, była to bardzo serdeczna przyjaciółka mamy, uczyły się razem za młodu, ale z tą drugą, widywały się rzadziej, bo pani ta mieszkała na wsi, i nie często mogła przyjeżdżać do miasta.

— Jak mi też przykro — rzekła mama, gdy wszyscy zasiedli przy stole — że nie mogę cię kochana Kaziu poczęstować ciastkami, które wiem że lubisz, ale...

I mama przestała mówić, a Karolek i Florcia, aż oddech zatrzymali w piersiach z trwogi, co też mama dalej powie!

— Ale co? — zapytała przyjaciółka mamy — zapomniałaś kazać przynieść, czy tak?

— O, nie — rzekła mama zakłopotana — kazałam przynieść, ale mam w mieszkaniu takie łakome szczury, że wszystkie przysmaczki zawsze wyjedzą same.

— Czy być może? — zapytała ta pani ze wsi — nie wiedziałam żeby w mieszkaniu na piętrze, i to w mieście mogły być szczury, to rzecz osobliwa. Czy nie można by zastawić na nie pułapki?

— To bardzo byłoby trudno — rzekła mama z westchnieniem — bo trzeba pani wiedzieć, że ja te szczury bardzo lubię, i zawsze pamiętam, aby nigdy nie były głodne, wolałabym sama nawet nie jeść aby im nie zbywało na niczem, ale szczury, zwyczajnie jak zwierzątka, nie umieją tego ocenić, i takie psoty często mi płatają. I dziś właśnie tak samo się stało przed samą herbatą, tak że nie było czasu iść po inne.

— Ach, to nic nie szkodzi — rzekła ta pani ze wsi — bez ciastek żyć można, ale ja ciągle myślę o tych osobliwych szczurach. U mnie na wsi niema szczurów, ale są koty psotne, lecz ja gdy wychodzę z pokoju, jeżeli stół zastawiony łakociami, to zostawię w zastępstwie moje dzieci, które dobrze pilnują, aby kotek nie ściągnął ciasteczka. Ale przecież i pani ma dwoje dzieci — dodała pani obracając się do Karolka i Florci.

— A tak, mam — odrzekła mama cicho.

— Moja córeczka jest w wieku Florci—mówiła pani dalej—a chłopczyk ma dopiero cztery lata, ale mogą przy nich wszystko zostawić, nie pozwolą kotkowi ani ruszyć!

Mama zawołała dzieci do stołu, dała im herbaty i bułeczki z szynką, ale im jeść się nic a nic nie chciało, były smutne, i ciągle oczy miały spuszczone w filiżanki.

Gdy po herbacie wychodzili do sali, mama przechodząc koło dzieci, rzekła:

— Ach niedobre, łakome szczury.

Karolek się rozplakał, Florcia która mu zawsze we wszystkim pomagała, także w płacz uderzyła, i biedne dzieci z bólem głowy spać poszły. Ale czy uwierzycie, od tego wieczoru, już nigdy o szczurach ani słyhać, a gdy znów w czas jakiś było dużo gości, Florcia w białym fartuszkuku układała na srebrnym koszyczku ciastka, pomagając Franciszce.

Karolek jako chłopczyk, nie brał się naturalnie do tego, siedział sobie spokojnie na krzeselku i czytał książkę.

Gdy goście przyszedli na herbatę, zauważyli zaraz Florcię, która z uśmiechniętą buzią kłaniała się wszystkim, a mama wesółła i szczęśliwa, zaprezentowała córeczkę, mówiąc:

— To moja kochana gosposia i pomocnica.

A na te słowa mamy, serduszko Florci biło taką radością, jakiej nigdy przedtem nie doznawała, i przy stole powiedziała cicho do braciszka:

— Wiesz, Karolku, że ja wcale teraz ciastek nie lubię tak bardzo jak dawniej, a co na migdałowe, to parzyć nie mogę.

— I ja tak samo—odrzekł Karolek również cicho—wyrzekłbym się wszystkich ciastek, aby tylko mamusia zawsze tak wesółła na mnie spoglądała.

Kremowych ciastek, nigdy w życiu do ust nie wezmę, zbrzydły mi.

I dzieci prawdę mówiły, od tej pory nic sobie nie robiły z najlepszych przysmaczków, ale za to jak się też ślicznie uczyły, jakie były grzeczne i rozumne, przestawszy myśleć o tem, aby zjeść jak najwięcej czego smacznego.

*Bronisława Porawska.*

## WIENIEC.

Przedstawienie w przeddzień imienin ojca.

### OSOBY.

AŃDZIA, najstarsza córka solenizanta,

ZOSIA }  
RÓZIA } młodsze córki.

JÓZIO, najstarszy syn.

KAZIO, najmłodszy.

BRONISIA, synowica.

IGNAŚ }  
WŁADZIO } synowcy.

STASIA, córka chrzestna.

ADELICJA, współtowarzyszka dzieci.

(Dzieci tańczą w salonie. Ańdzia wchodzi zamysłona, a idąc między niemi, mówi do siebie przerywanym głosem).

AŃDZIA.

Co tu począć? jak? kiedy? gdzie? i w jakim gronie?

Ach! jak mi serce bije! jak pałają skronie!

Chciałabym świetnie uczcić ojczulka rocznicę.

*(obudziwszy się z zamyslenia mówi).*

Lecz co to? u was widzę jakieś wieczornice, Gdy ja w głowę zachodzę dziś, od pytań wielu! To wy sobie tańczycie, jakby na weselu! Niepomni że to jutro dzień taty imienia, Że wypada nam złożyć dary i życzenia.

*(Narady).*

ZOSIA.

Ach prawda! wielka prawda! więc powiedz co trzeba, Sięgnąć po skarby ziemi? czy po dary nieba? Czy z wdzięcznych uczuć złożyć wieniec lub koronę Bo nasze skromne dary jeszcze nie skończone.

JÓZIO.

Jakto? koronę chcecie złożyć w dani? A gdzie tron? berło? purpura? poddani?

AŃDZIA.

Myśmy poddani, a w szkole ich krocie! I tron nie jeden, i oznaki inne; Korony tylko nie stało w istocie; Więc twe uwagi są trochę... dziecinne.

ZOSIA.

Widzisz braciszku, jakieś roztargniony; Bo czy nasz tata nie godzien korony? Choćby ze złota, pereł i klejnotów?...

JÓZIO.

Ależ jam na to z całej duszy gotów! Tylko nie mogę pojąć należycie, Jak z wdzięcznych uczuć koronę złożyć?

ZOSIA.

I ja też nie wiem, jeśli wyznać szczerze, Jaką dziś postać nasza myśl przybierze; Lecz jest nas tyle, radźmy więc mój drogi, A może komu błysnie pomysł błogi.

ADELICJA.

Możeby nasze osobne życzenia Ułożyć w jedno, jakby od niechcenia, Ty wiersz, ja drugi, Ańdzia trzeci powie, Ta czwarty, piąty, wciąż w jednej osnowie Niechaj się życzeń coraz więcej mnoży, Aż się i wieniec do końca ułoży.

STASIA.

Myśl nie zła; lecz jej w mowie wykonać nie sposób, Bo skądże tyle życzeń wziąć na dziesięć osób? Tobyśmy się powtarzać musieli, i nieraz.

BRONISIA.

A możeby za ręce ująwszy się teraz, Solenizanta wdzięcznem objąć naraz kołem, I uczucia serdeczne wyśpiewać mu społem.

IGNAŚ.

Ja sędzę . . . . .

AŃDZIA.

Ach, słuchajcie! mam już myśl gotową, Wyśmienitą! niezwykłą! choć może nie nową! Oto z ręką na sercu niech każde rozważy, Jaka wada go szpeci, co mu nie do twarzy, I tej się wyrzekając, jak sumienie każe, Zaletę odpowiednią złoży tacie w darze.

WSZYSCY.

Wybornie! zgoda!...

ZOSIA.

To ci się udało!...  
Lecz jak tu wady swe wyjawić śmiało!  
Toby mię wszyscy nie mieli już za nic!

AŃDZIA.

Poświęcenie dla taty być winno bez granic.

ZOSIA.

Pięknie i słusznie! lecz ci powiem szczerze,  
Iż wad swych nie znam, a więc ich nie zmierzę.

JÓZIO.

Ani ja z Kaziem.

IGNAŚ I BRONISIA.

Ani my oboje.

STASIA.

Ani ja.

WŁADZIO Z RÓZJĄ.

I my.

ADELICIA.

Ach! jak ja się boję!

AŃDZIA.

A jednak wszyscy wiecie doskonale.  
Że na tym świecie nikt nie jest bez *wady*;  
Lecz, gdyście tacy nieświadomi siebie,  
To was wyręczą inni w tej potrzebie.  
Każde z nas po kolei siędzie w środku koła,  
Inne zaś zbierze głosy, i wady obwoła,  
A coby sądanego najwięcej ubodło,  
Na to sobie obierze wręcz przeciwne godło,  
Ażeby w jego imię wadę swą obalić,  
A cnotę lub zaletę wszczepić i utrwalić.

IGNAŚ.

Więc się zabawim w cenzurowanego?

STASIA.

A cóż to szkodzi? czy wtem co dziwnego?

Alboż to czasu strata lub ubytek,  
Że połączymy z zabawą pożytek?...

IGNAŚ.

No! zgoda, zgoda! zróbmyż koło duże.

ADELICIA.

Lecz kto najpierw podda się cenzurze?

AŃDZIA.

Ja pierwsza się poświęcam na sądów ofiarę,  
Ale proszę o względy, sumiennosc i miarę.

*(Zosia obchodzi towarzystwo i sekretnie zbiera głosy, a Ańdzia tymczasem siada na środku i mówi do siebie).*

AŃDZIA.

Co oni złego o mnie wyrzec mogą?  
Przecież ja zawsze chodzę prostą drogą;  
Jestem otwarta, szczerza i niezmienna,  
Więcbym przygana była niesumienna.

ZOSIA *(do Ańdzi)*.

Mówią że jesteś miła, wdzięczna i serdeczna,  
Lecz strojniasia, grymaśna i czasem niegrzeczna.

AŃDZIA.

Kto moje winy tak bardzo przecenia,  
Ja niechcę wiedzieć w dniu taty imienia,  
Lecz odtąd wady swoje w cnoty zmienię,  
I za me godło biorę poświęcenie.

*(Poczem zwraca się do babci po stosowne godło i otrzymuje opaskę srebrną na głowę ze złotym na niej krzyżem. Teraz Ańdzia zbiera głosy towarzystwa, a Zosia siada na środku i mówi do siebie).*

ZOSIA.

Ciekawam jakie mi zarzucą wady?  
Wszakżem spokojna, skromna bez przesady;  
Może powiedzą, że oziębła, śpieszka,  
Żem wygodniasia... ach! w tem prawdy troszka.

AŃDZIA *(do Zosi)*.

Powiadają żeś zdolna, skromna i łagodna  
Lecz śpieszka, nieporządna, oziębła i chłodna.

ZOSIA.

A więc się oziębłości wyrzekam na wieczność,  
I odtąd za me godło przyjmuję serdeczność.

*(Otrzymuje od babci opaskę z sercem, potem Bronisia zbiera głosy, a Józio siada na środku i mówi do siebie).*

JÓZIO.

Bardzo tych cenzur i głosów ciekawy,  
Bo któż dziś może ganić moje sprawy,  
Rysuję, czytam i piszę usilnie,  
A zwad i sporów unikam też pilnie.

BRONISIA *(do Józia)*.

Słyszałam wiele rzeczy dla niego przyjemnych,  
Pochlebnych i życzliwych, lecz dość i ujemnych,  
Żeś pilny, wdzięczny, uważny i grzeczny,  
Lecz zawadyjak, drażliwy i spreczny.

JÓZIO.

Aby zapewnić wam spokój i zgodność  
Obieram sobie za cnotę łagodność.

*(Poczem otrzymuje opaskę z półksiężycem. Następnie Józio zbiera głosy, a Bronisia siada na środku i mówi do siebie).*

BRONISIA.

Gdzie oni na mnie dopatrzą się plamy?  
Kiedy ja słucham i taty i mamy,  
Uczę się jakoś, i bawię się zgodnie,  
A śpiewam sobie cicho i łagodnie.

JÓZIO *(do Bronisi)*.

Mówią, żeś zwinna, wesoła i słodka;  
Lecz nieopatrzna, wykrętna i trzpiotka.

*(d. n.)*

### SZARADA.

Dla Niezabudki czeskiej, od Niezapominajki z nad Warty.

Pierwsze z trzecim, imię będzie,  
Drugie, spotkasz w liter rządzie,  
Całość, gdy zechcecie  
W Afryce znajdziecie.

### Łamigłówka kwadratowa.

. . \* . .  
. . \* . .  
\* \* \* \* \*  
. . \* . .  
. . \* . .

Zastąpić kropki literami tak, aby rząd środkowy wzdłuż i środkowe litery w poprzek utworzyły wyraz . . . . . 1, drzewo. 2, jarzyna. 3, . . . . . 4, stowarzyszenia rzemieślników. 5, zbiorowisko wody płynącej.



## ROZWIĄZANIA DO N-ru 42-go

## Szarady:

Ka — pu — sta.

## Łamigłówki:

N  
r a k  
N a u k a  
o k o  
a

## Skrzynka do listów.

**Sarence z nad Bałtyku** pospieszamy donieść że losy warszawskiego zwierzyńca po stratach jakie poniósł obecnie jeszcze nie zostały ustalone. Nie wiadomo więc czy istnieć będzie i w jakiej formie, wszystkie zatem datki na ten cel uważamy za przedwczesne. Przesyłka więc pozostaje dla dalszego twego rozporządzenia Sarenko.

Z ubolewań twoich nad stratą numerów Pisemka widzimy, **Biała Perełko**, jak bardzo porządna być musisz i dbała o całość rzeczy, które posiadasz, a specjalnie nam to pochlebia, że stratą numerów „niezmiernie” jesteś zmartwiona. Żeby jednak oszczędzić ci zmartwienia posłaliśmy żądane numeru; dla biednych pozostało kop. 70, które z wdzięcznością przyjmujemy, bo zaglądnąca w oczy zima straszniejszą przynosi z sobą nędzę.

W Redakcyi zjawiała się dziw nad dziwy: **Czteroooczka**, która dla zawarcia bliższej znajomości z dwuocznymi czytelniczkami, liścik do jednej z nich nadesłała. Witamy cię serdecznie i razem dziękujemy za udzielone nam objaśnienie dotyczące się żmudzkiej nazwy. Istotnie, brzmi ona nader dziwnie, jak zresztą cały język żmudzki, z którym nieobyte są uszy nasze.

Jakże ci zazdrościmy **Wróżbiarko szczęścia**, tych róż na które jeszcze patrzysz. Z listu twego wnosimy, że kwiaty nie mniej lubisz od powieści, i nie dziwimy się, że tak ci się „Druga matka” podoba. Autorka z wielką prawdą i z wielkim razem talentem przedstawiła postać tej idealnej *Drugiej matki*, która umie być matką prawdziwą.

Prośbie **Stokrotki z nad Stochodu** chętnie zadość czynimy. Na „Tygodnik Mód” wydano rs. 5, Arytmetyka z przesyłką kosztuje rs. 1 kop. 25, pozostaje więc na dalszy rachunek rs. 3 kop. 75.

**Polka z nad Szczary** niecierpliwie wygląda rozstrzygnięcia konkursu. Nie dziw, kto ma lat 10 a tak dobrze na swój wiek szyje...

Gołąbka powinna już niedługo przyjechać; mamy do niej listy od **Kulki Śniegowój**, od **Niezapominajki z nad Warty**, która ją obdarzyła swoją fotografią i od **Wróżbiarki szczęścia**. Wyobrażamy sobie z jaką radością pochwyli cały stos czekających na nią korespondency!

Nie, **Niezapominajko z nad Warty**, Kazio nie był „panienką”.

**W-ny Tar. w Sw.** Pismo nasze wysyłamy bez przerwy, numeru zalegać muszą na ostatniej poczcie.

Panu **W. K. R.** Wierszyk, w tej formie jest nie do druku. Jedna to z form najtrudniejszych do naśladowania dla tego właśnie, że ma tak świetne wzory.

Drogi Michalku! List twój bardzo mię ucieszył. Czy nie znasz pana Longina Podbiپیęty? Pisałem do was obydwoh, lecz ten ostatni nie odpisał mi. Jestem w 3-ciej klasie i w końcu stycznia kończę 14 lat. Wiecz. Rodz. czytam dopiero w tym roku. Ulubioném mém zajęciem jest czytanie i rysunki. Marzeniem mojem jest, po ukończeniu gimnazjum skończyć akademię sztuk pięk-

nych, a tymczasem biorę lekcye u nauczyciela rysunków. Dotychczas nie brałem udziału w żadnym konkursie, ale gdyby Redakcyja ogłosiła konkurs rysunków, to chętnie należałbym do niego. Wierszy nie piszę, ale lubię je czytać; zatem proszę cię przyslij mi które z twoich. Adres mój znajdziesz w Redakcyi pod nazwiskiem „Wilkomirskiego”. Żegnaj cię i czekam rychłej odpowiedzi. Twój *Kmicic*.

Drogi: **Horpyno**, **Piosenko**, **Kulko śniegowia**, **Wiochno z pod Lublina** i **Niezapominajko z nad Warty**! **Horpyno** kochana gospodarstwo lubię, **Piosenko** milutka! i wy wszystkie szanowne staruszki czy przyjmiecie mnie do waszego miłego gronka? **Kulko śniegowia**! miejsce gdzie mieszkasz znam z opowiadań méj mateczki, która tam spędziła dziecinne lata. **Kaczek** wychowałam dość sporą gromadkę. **Wiochno z pod Lublina**! ucieszyłaś mnie bardzo twym listem, **Niezapominajko**! w Kaliszu nie bywam często. Ściskam was prosząc o pamięć dla kochającej was wszystkie *Wróżbiarki szczęścia*.

Nie uwierzysz **Rosiczko** miła jakbym cię chciała zobaczyć! Mówiła mi **Hela P.**, żeś bardzo urosła, bo co do mnie, to wysoka nie będę. Czy wiesz? że wyjeżdżamy na stałe mieszkanie do **Kamieńca**? Czytałam teraz „Dwie siostry”; tak mi się bardzo podobały, że **Kazia** stała się moim ideałem. „Wieczorów” twoich nie odesłałam, w nadziei, że sama po nie przyjedzie. *Poranek*.

Drogi moje: **Cicha Wodo**, **Radomianko**, **Jaskółko z nad Sekwany** i **Brzydotko z nad Tamizy**! **Milutka Cicha Wodo** podczas upałów o mało nie stopniałam z gorącą, lecz **Cicha Woda** mnie ochłodziła. Czy naprawdę jesteś cichą? **Radomianko** złota mieszkam na prowincyi, uczę się w domu, rok mam 15-ty, na imię mi **Marylka**; którą z nauk najlepiej lubisz? **Droga Brzydotko** czy w Londynie spędziłaś wakacje? **Jaskółeczko** nie gniewaj się, będę do ciebie pisywać; jak spędziłaś wakacje? Posyłam wam siostrzyczki drogim miliony całusów, pisujecie do mnie często, a sprawicie wielką przyjemność *Kulce Śniegowiej*.

**Kochana Brzydotko z nad Tamizy**! Bardzo ci dziękuję, za tak prędką odpowiedź. Gdzie teraz mieszkasz i co porabiasz? **Wakacje** przeszły nam bardzo przyjemnie, uczyłyśmy się mniej, za to czytałyśmy dużo i szyłyśmy na konkurs. Po kolacyi chodziliśmy przed domem, przypatrując się gwiazdom, do północy spać. Czy ci się podoba „**Druga Matka**”? bo mnie bardzo. Całuję cię serdecznie i proszę odpisz mi. Twoja *Iskierka z pod Lublina*.

**Kochana mała Laszko**! Dlaczego mi nie odpisałaś? Czy byś się na mnie gniewała? Jeżeli tak nie jest to odpisz mi przez **Wieczory**. **Liliano** droga jestem także nową prenumeratorką, może będziemy do siebie pisywać? **Milutka Gloksynio**! Zostałam niedawno staruszką. Czy przyjmiesz mnie do grona twych korespondentek? Czekam waszej odpowiedzi i ściskam was wszystkie tysiące razy oraz **Światelko** i **Pocieszkę**. *Prawda*.

**Kochana Niuro**! Czy **Arkadek** pójdzie do szkół? Bo ja już chodzę na pensję i bardzo się cieszę że się ucę. Napisz mi czy **swawolnik** sprzedany, i czy **kucyk** żyje. Żegnaj ciebie i **Arkadka**. *Dzika Róża*.

**Kochane Rajskie Jabłuszko**, **Rosiczko** i **Światelko**! Przepraszam cię, **Jabłuszko**, że nie odpowiedziałam na twój liścik, pilnie się ucę. Podobał mi się twój pseudonym **Rosiczko**, i pragnę z tobą korespondować. Napisz jak ci na imię, wiele masz lat, gdzie mieszkasz? Znam cię, **Światelko**, z opowiadania. Czy zechcesz z mną korespondować? Na imię mi **Ludmiła**. Mam 9 lat. Jestem jedynaczką. Uczę się w domu. Mieszkam niedaleko **Kijowa**, w miejscowości gdzie znajduje się fabryka cukru. Ściskam was serdecznie i proszę o odpowiedź. *Goryczka*.

**Najmilsza Sikoreczko**! Liścik twój sprawił mi wielką radość; mam już dwie przyjaciółeczki, **Czarną Perełkę** i ciebie i kocham was bardzo. Czy należałaś do konkursu robót? Ja jeszcze żyć nie umiem. Kurki moje już duże, a oprócz żółtej, mam jeszcze i białą. Czy lubisz się uczyć? Ja bardzo, a bardziej jeszcze lubię czytać nasze kochane, **Wieczory**. Całuję ciebie i twoją małą siostrzyczkę po sto razy. *Kuropatewka z nad Warty*. P. S. Pracy zasylałam uściśnienie.



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

## RUMAK PUSTYNI.



Morza i lądy człowiek przebywać może szybko i wygodnie przy pomocy środków, których mu wynalazczość ludzka dostarcza, pod postacią parowców i kolei żelaznych. Inaczej rzecz się ma, gdy śmiały podróżnik pragnie zwiedzić pustynie owe oceany piaszczyste Afryki i Arabii. Tutaj kilkanaście dni spędzić może, sunąc po jednostajnej przestrzeni pod palą-

mi promieniami słońca, nie znajdzie ani źródła orzeźwiającej wody, ani ochłody drzew cienistych. Kto pustynię zbłądzi, pragnie, ten musi dobrać sobie do pomocy garbatego wielbłąda, obdarzonego wyjątkową wytrzymałością na głód i pragnienie. Wielbłądy przystosowane do przebywania w tej przestrzeni dziennie. Lewe i prawe zwierzęta posiadają odmia-

ny, odznaczające się mniejszą lub większą wytrzymałością. Pierwsze między niemi miejsce zajmuje odmiana dromadera, zwana przez Arabów *mehari*, którego szeroka, cienkiem kopytem obdarzona stopa, wybornie nadaje się do przebywania miękkiego piaszczystego gruntu Sahary.

Lecz niedość mieć rumaka, trzeba jeszcze pomyśleć o wygodnem siodle, na którem podróżnik dnie całe spędzać będzie. Rycina nasza przedstawia nam właśnie najlepiej celowi odpowiadające drewniane siodło przez Tuaregów używane. Nieco wklęsłe siedzenie, kończy z tyłu wysokie oparcie, z przodu krzyżak, a między jego ramiona jeździec wsuwa jedną nogę i przez to ani w tył ani naprzód zbytnio przechylić się nie może. Poza siodłem umieszczony worek skórzany z wodą i kosz z jedzeniem pozwala odbyć kilkodniową podróż bezpiecznie.

W Algerze odbywają się też wyścigi dromaderów *mehari*. Konie wprawdzie szybciej od nich biegają, różnica jednak nie jest tak wielką, jakby o tem na pierwszy rzut oka sądzić było można. I tak: tysiąc ośmset metrów koń przebył w dwie i pół minuty, nieprzyzwyczajony zaś do podobnych biegów *mehari* tę samą przestrzeń przebył w trzy minuty i trzydzieści sześć sekund. Słusznie więc wielbłądy przeważają rumakami pustyni.

A. M.

## Zwycięztwo Pawelka.

Za najpilniejszych uczniów, najweselszych zuchów, najuczynniejszych i najlepszych kolegów uważali w gimnazyum „Grabkowiczów”.

„Grabkowiczami” nazywano uczniów mieszkających u profesora Grabki. Ta nazwa, czyli właściwie to przezwisko, powstało i przez długi szereg lat utrzymywało się, zapewne z tej przyczyny, że zacny ten pedagog, nie mając własnych dzieci, prawdziwie ojcowską miłością kochał swoich wychowanców. Na żadnej „stancyi” nie mogło być wygodniej, miłej jak w pensyonacie profesora Grabki, mieszczącym się przy jednej z ulic odległych od środka miasta. Profesorski domek o czerwonym dachu i ścianach koloru cegły, ocieniony kilku starymi drzewami, wyglądał malowniczo i wdzięcznie.

Pokoje, w których mieszcili się pensjonarze obszerne były, wysokie, słoneczne; a wielki dziedzińec, przewybornie się nadawał do fechtunku i wszelkich zabaw ruchliwych: krowkieta, gry w serso, w palanta i piłkę. To też o pewnych porach dnia, bywało tutaj hałaśliwie i gwaro. A ponad gwarem rozmowy, ponad wybuchami serdecznie wesołego śmiechu, najczęściej górowała jaka dziarska piosnka, np.

Wesoły, szczęśliwy  
Parobeczek ci ja,  
A mój konik siwy  
Rażno się uwija.  
Uwijaj się rażno! bież!  
Kopytkami ognia krzesz!  
Krzesz!... krze-sz! krz-e-sz!

Ostatnie wyrazy każdej strofki dźwięczny i miły głos chłopięcy zwykle, w całej gamie tonów powtarzał. Chłopiec śpiewający ku wielkiej uciechu towarzyszy i dziatwy sąsiadów profesorskiego dworku, nazywał się Adaś Żylski. Od kolegów otrzymał on żartobliwy przydomek „króla tenorów”. Pan Grabka znów dał mu przydomek Chochlika, bo rzeczywiście do figłów, rozumie się przywoitych, dowcipnych, a nie złośliwych, Adaś najpierwszy dawał pomysły i był ich najlepszym i naj-egzeczniejszym wykonawcą.

Wprost przeciwnego usposobienia był Bogdan Marski. Poważny, zamyślony, smutny zawsze, do zabaw nie należał nigdy, na pięknej jego twarzy o ślicznych, czarnych, dużych oczach i bladej cerze, nigdy nie zagościł uśmiech. Uprzejmy w obejściu, zgodny, wzorowo pilny i uważny podczas lekcyi, Bogdan Marski chwalony był przez wszystkich, ale nikt go nie kochał.

— To odludek! — mawiali o nim koledzy, — skoro nawet Adaś Żylski nie mógł go rozruszać, to już na całe życie soptem lodu i piękną lalą bez serca pozostanie! — Koledzy przecież za surowo sądzili Bogdana. Zdolny, urodziwy, bogaty, miał wszystko, czem los ulubieńców swoich obdarzyć może, tylko od najmłodszych lat był sierotą. Nie pamiętał nawet swoich rodziców, nie zaznał nigdy słodczyi pocałunków macierzyńskich, ani pieszczoł ojcowskich; w domu dalekich krewnych opiekowano się nim troskliwie, dbano o jego zdrowie i wygody, troszczono się o jego postępy w naukach i majątek, ale rzeczywistości nikomu na myśl nie przyszło, że to blade, czarno-okie, smutne chłopię pragnie serdeczności, jak roślina pragnie słonecznych promieni, bez których cierpi, schnie, zamiera. Czem starszy był Bogdan Marski, tem większy żal i większa gorzoc rosła w jego sercu.

— Nikt mię nie kocha, i ja też nie pokocham nikogo! — powtarzał sobie ciągle i, z zaciętym uporem stronił i usuwał się od kolegów, skryty, ponury, małomówny.

Odkąd Bogdan przebywał w pensyonacie pana Grabki, tylko dwie osoby spoglądały na niego z życzliwością i współczuciem: zacny pedagog i trzynastoletni syn stróża profesorskiego domu, Pawelek który też niedawno stracił swoją ukochaną „matusię” i gorzko jej śmierć opłakiwał. Pawelek był nad stan i wiek swój bystry i rozgarnięty. Ojcu, którego był jedynem szczęściem, dzielnie pomagał w pracy, wyręczając go we wszystkich lżejszych zajęciach. Umiał czytać i pisać nie najgorzej; znał główne zasady katechizmu, i pragnał uczyć się długo i umieć dużo, „ogromnie dużo, a dobrze”. Do spełnienia tych życzeń byłby mu jaknajchętniej dopomógł poczciwy profesor Grabek, ale Pawelkowi brakowało odwagi, aby swoje pragnienia wynurzył.

— Jeszczeby też! — myślał chłopiec — a nużby mnie wyśmiali!... a nużby kto powiedział: A czego mu się zachciewa?!... książki, nauka to dla paniczów, a nie dla takiego jak ty chudziny!... ty pilnuj rydla i miotły! to twoja rzecz!

Więc ze swoich gorących chęci nie zwierzał się nikomu, a tymczasem mijały dnie i tygodnie; upłynęła słoneczna wiosna, upalne lato, nadeszła jesień, a z nią smętny i uroczysty dzień poświęcony pamięci zmarłych.

Zwykle w Zadzuszki Bogdan Marski już wczesnym rankiem jeździł na Powązki i tam, grób rodziców swoich wspaniale przystrajał. Jednego roku w wigilię Wszystkich świętych uczuł się dziwnie osłabionym i sennym.

Nazajutrz, staroświecki zegar z kukułką wygłosił godzinę siódmą. W pensyonacie był to apel do wstawania. Chopcy jak na komendę zerwali się z łóżek i żwawo na wyścigi zaczęli się ubierać. O wpół do ósmej, w przyległym pokoju, donośnym, silnym basem profesor Grabek zaśpiewał:

Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, tobie morze,  
Tobie śpiewa żywioł wszelki  
Bądź pochwalon Boże wielki!

Było to wezwanie na pacierz poranny, na który nie było wolno spóźnić się ani minuty, ani sekundy! Przeto z niepokojem wielkim profesor Grabek zauważył, że Bogdana skiego niema ani przy pacierzu, ani na śniadaniu.

Pobiegł do sypialni. Bogdan leżał uspiiony snem t dym. Wezwany natychmiast doktor, znalazł lekką katai gorączkę, która po użyciu lekarstwa ustąpiła zupełnie.

Wszak pojedziemy na Powązki? pojedziemy, niepraważ panie profesorze? — w dzień zaduszny pytał Bogdan.

Jego oczy miały wyraz gorącej prośby, głos brzmiał akcentem prawie błagalnym.

— Jeśli czujesz się zupełnie zdrow... zresztą co prawda, powietrze bardzo jest dzisiaj łagodne i ciepłe — rzekł pan Grabek, nie mając serca odmówić proszącemu chłopcu.

Pojechali.

Skończył się krótki dzień listopadowy. Na bładem, lecz wypogodzonym niebie gasły ostatnie zorze zachodu, kiedy profesor Grabek i Bodan wchodzili w obręb „miasta umarłych”.

Miliony różnobarwnych lampek płonęły, tysiące wieńców, nieśmiertelników, wstęg piętrzyło się na grobach, a ponad niemi, odbłyśki światła utworzyły, jakgdyby olbrzymią oponę z mgły powiewnej, przejrzystej, lekkiej purpurowo-złocistej. Szum drzew łączył się i ku niebiosom płynął z modlitwą, z westchnieniami i cichym płaczem tych, których ukochani już odeszli do tej krainy, gdzie wedle słów poety: „już niema ani łez, ani cierpień, ani rozstania!”

Bogdan Marski ulicami cmentarza przeciskał się przez tłumy i dojmujący ból czuł w sercu. Chory był przez dwa dni minione, i poraz pierwszy, odkąd mógł pamięcią zasięgnąć, grób jego rodziców w Zaduszki będzie nieoświetlony i nie przybrany.

— O! jakże smutnem wyda mi się dzisiaj to miejsce, gdzie spoczywają moi najdrożsi — myślał, lecz u kresu swojej pielgrzymki stanął zdumiony — na płycie grobowca paliło się sześć lampek, a wpośrodku stała doniczka z rośliną o delikatnych, blade-zielonych listkach, o purpurowych kwiatach, na wiotkich gałązkach zwieszonych.

Był to przystrojony mogiły skromny, nawet ubogi, niemniej przecież o czyjeś, życzliwej pamięci świadczący.

— Kto postawił te lampki?... i gdzie ja widział te kwiaty?... — myślał Bogdan. Nagle przypomniał sobie, że też samą fuksję zauważył w oknie izdebki stróża, i zwrócił uwagę na staranność, z jaką hodował ją Pawełek.

— Pawełek!!.. Czyżby więc on?... czyżby ten mały czuł dla mnie życzliwość, sympatyę?!

Tak, to Pawełek niezawodnie postawił te lampki i fuksję, bo oto ukryty poza filarem kolumny katakumby, zdawała czuwa nad grobem. Stary, wyszarzany za krótki piaszczyk źle go od chłodu ochrania, a blade usteczka szepczą: „świątłość wiekuistą racz im dać Panie!”

Bogdan zbliżył się żywo, pochwyił spracowane dłonie chłopca i głowę jego jasną do swęj piersi przycisnął.

— Dziękuję ci, Pawełku! — szeptał ze łzami — dziękuję!

— A za co paniczu? — odpowiedziało zdziwione dziecko! — Ot przygotowałem dwanaście lampek i dwie fuksye sześć lampek i jedną doniczkę postawiłem na matusiniej mogiłce, a resztę ofiarowałem waszym rodzicom, paniczu. Bo myślisz sobie: Paniczek chory, na Powązki pewno nie przyjdzie. Więc chociaż ja na grobie jego ojca i matki się pomodłę, przecież my oba sieroty, to niby bracia jesteśmy paniczu!

— Tak, bratem moim, ukochanym moim bratem będziesz odtąd! — zawołał Bogdan — przyrzekam ci to, wobec duchów rodziców, które nas słyszą w niebiosach.

I dotrzymał przyrzeczenia.

Bogdan Marski był dość majętnym, aby łożyć na wykształcenie Pawełka, który był najświetniejszym uczniem w tem samym gimnazjum, które poprzednio skończył Bogdan.

Odtąd nikt, nigdy Bogdana nie nazywał „odludkiem” ani „lalką bez serca”. Pod wpływem przywiązania Pawełka, stopniał lód jego charakteru, jak lody i śniegi topnieją pod tchnieniem ciepłych promieni słonecznych.

Ilekróć chwalono uczynność, serdeczność Bogdana Marskiego, profesor Grabek uśmiechał się z dumą i zadowoleniem i mawiał: *to zwycięstwo Pawełka.*

*Halina Tokarzewska.*

## WYBUCH ETNY.

Przed kilku zaledwie laty, bo 1886 roku w piękny majowy poranek o godzinie 11-jej rano krótkie ale silne wstrząśnienia ziemi dały się uczuć na wschodnim brzegu Sycylii. Wiedzano już, że poprzedzają one zwykle wybuch wulkaniczny. Jakoż następnej nocy ukazał się płomień na Etnie i ognisty strumień lawy rzucił się z góry na piękne włoskie gaje i rozkoszne wille, wioski i miasteczka. Catania, Giarre, Pedara, Biancavilla, Aderno, Paterno, Nicolossi, Belpasso, najbliżej wieńcem otaczające górę ognistą, zawrzały rozpaczą i jękami mieszkańców. We dwa dni po powyższym wybuchu, 20-go maja wśród ciągłych wstrząśnień utworzyło się 11 nowych zięjących płomieniem kraterów, pomiędzy Monte-Grosso i Monte-Nero. Rycina przedstawia jeden z tych kraterów, mianowicie pod Monte-Nocilla.

W dniu 1 czerwca ustał dopiero wylew lawy równie jak i straszliwy bezustanny huk i wstrząśnienia.

Najbardziej ucierpiał miasteczko Nicolosi, poprzednio już kilkakrotnie takimi wybuchami wulkanu niszczone.

W chwili obecnej Etna jest spokojna, ale burzy się natomiast pokrewny jej Wezuwiusz. Mieszkańcy jego okolic nawiedzeni już tak ciężko w podobnych okolicznościach, wyczekują trwożnie dalszych wybuchów, które mogą groźne za sobą pociągnąć skutki. Gdyby nie to, w Neapolu zachwycanoby się widokiem góry ognistej, która w nocy zwłaszcza malowniczo przedstawia widok.

## Korespondencya Wieczorów Rodziennych.

(Dokończenie).

Napatrzywszy się strojów, ruchu i świetności wielkoświatowych, wracamy do Heystu na obiad. Po obiedzie, ponieważ wieczór przesliczny, idziemy nad morze, bo to widok, którego się nigdy dość napatrzeć nie można i tu uderza nas niezwykle ruch jakiś. Krzątanie się rybackiej ludności, zwykle już o tej porze zabierającej się do spoczynku. Co to takiego? — pytamy. Statki odpływają jutro, powiada nam znajoma dziewczyna, której ojciec jest właścicielem jednej z największych łodzi i wraz z trzema synami trudni się połowem ryb, a w wolnych chwilach wozi na morze amatorów wodnych wycieczek. Z początku myślimy więc, że liczniejsze, niż zwykle grono urzęda zbiorową przejażdżkę, ale dziewczyna powiedziała to jakimś szczególnym tonem, w którym brzmi niby niepokój, więc nie poprzestając na udzielonym już przez nią objaśnieniu, zaczynam dopytywać się: a jakie łodzie, a gdzie płyną, a po co, i t. d.? Dowiedziałam się też od mojej znajomej, że nie jest to zwykła kilkogodzinna, dla przyjemności przedsięwzięta wyprawa, ale podróż prawdziwa, na pełne morze, pod brzegi Anglii lub Szkocyi, dość długo więc trwać mająca, z której nie zawsze wszyscy wracają. Celem jej naturalnie połów ryb, stanowiący główne źródło utrzymania niezamożnej ludności tutejszej i udział w niej biorą wszyscy mężczyźni. Zaciekawiona tem wszystkiem, nazajutrz od samego rana pobiegłam na brzeg, żeby być obecną odpływowi łodzi. Wielkie, jedno, i dwu masztowe, zwane *goëlettes*, grubo z wewnątrz i zewnątrz smołą pociągnięte, kołyszą się o kilka staj od brzegu, gdzie wyległa cała ludność rybacka. Brnąc w wodzie po pas czasem, dostają się rybacy do swych łodzi, układają w nich liny, naciągają grube płótno na żagle, znoszą zapasy żywności, jednym słowem przygotowują się do drogi razem ze swoją załogą, złożoną z 5 do 8 ludzi. W tem pracowitem krzątaniu dopomaga im cała rodzina, wszyscy ciągle tam i napowrót z chaty na brzeg biegają, ciągle coś nowego przynosząc. Wreszcie nie już nie brak, krótkim, miłym uściskiem żegnają rybacy najbliższych, których ten lub ów nigdy

już może nie zobaczy i wsiałszy do łodzi, kończą jeszcze przygotowania do podróży.

Wtem jedna z żon przypomina sobie, że ma coś do powiedzenia mężowi, porywa ją rybak, na barana, jak to się u nas mówi i przenosi do łodzi, a po niejakić chwili, tym samym sposobem znowu na brzeg odnosi. Już są niedaleko, gdy nadbiegająca fala o mało co z nóg nie ścięła obojga, kobieta z pierwszćj chwili krzyknęła, potem roześmiała się głośno, a za nią wszyscy widzowie z brzegu asystujący tym oryginalnym przenoszeniem i wesołe wybuchy śmiechu rozległy się wśród kobiecćj gromadki, a wtórował im z łodzi niemniej wesoły śmiech rybaków. Gdy jednak dano ostatni sygnał i łodzie wysuwać się zaczęły na morze, zrobiło się odrazu cicho... cichuteńko! Kobiety posiadały na brzegu i patrzyły, póki nie znikły im z oczu wółte te statki, na pokładzie swoim, najdroższych sercu unoszące, a potem powoli, w milczeniu zaczęły powracać do opustoszałych domów. I ja też smutnie się zadumałam nad niepewnością rybackićj doli, ale wiem, że dla wierzących jest zawsze przystań bezpieczna i że czuwa nad nimi Gwiazda, od wszystkich latar ni jaśniejsza...

Cały dzień spędziłam spokojnie przy robótce, na rozmowie w rodzinnem kółku, w którem zebrani jesteśmy dość licznie, bo, jak wam donosiłam, przybyliśmy tu głównie dla spotkania się z krewnymi, od lat dwudziestu osiedlonymi we Francyi. Nie mam wśród nich żadnćj młodej, w moim wieku towarzyszkii, ale mimo to czas przyjemnie mi schodzi, bo obie ciotce, wuj, mąż jednćj z nich, a brat drugićj, mają dużo ciekawych rzeczy do opowiadania o Francuzach, o ich oszczędnym trybie życia, o niezmordowanćj pracowitości klas średnich, w których kobieta najczęściej obywa się bez służącćj. Opowiadają więc, a ja słucham, zastanawiam się, porównywan, często myślę do was zabiegnę i czas mi schodzi przewybornie.

Nad wieczorem odwiedza nas polska rodzina, z W. Ks. Poznańskiego przybyła, z którą świeżo zawarliśmy znajomość. Jest tam panienska odemnie młodsz, dawna czytelniczka Wieczorów, które bardzo serdecznie wspomina, żałując, że odkąd doszła lat „staruszek” przestała je czytywać. Ja naturalnie nie zdradzam się przed nią z tem, że jestem „Gołąbką” i uchodzę za zyczajnã czytelniczkę, ale i tego już dość, abyśmy szczerze z sobą sympatyzowały.

Prócz odwiedzenia nas mają jeszcze te panie cel inny: oto zapytują nas, czybyśmy nie przyjęli jutro udziału w zamierzonćj przez nich wycieczce wzdłuż wybrzeża. Pojedziemy do Blankenberghe, gdzie matka mojęj rówieśniczki potrzebuje zobaczyć się z lekarzem, a ztamtąd udamy się na zwiedzenie nieznanym mi jeszcze miejscowości, do których dostaniemy się kursującym na linii pobrzeża tramwajem parowym, *chemin de fer vicinal*.

Mama chętnie się zgadza, ciotce i wuj przystają, mnie nikt o zdanie nie pyta, ale nikt też o zgodzie mojęj na projekt nie wątpi i staje na tem, że nazajutrz rano jedziemy.

Budź się, pogoda przesliczna, morze mieni się w słońcu lazurem i szmaragdami, ruszamy więc w najlepszym humorze do Blankenberghe, gdzie parada u lekarza trwa bardzo długo tak, że zostaje nam cały pogodny dzień wrzesniowy do rozporządzenia. Po niejakiem wahaniu staje na tem, że ponieważ wszyscy lubimy ruch i możemy dużo chodzić bez zmęczenia, pójdziemy więc do Middelkerke piechotã, co nam zabierze parę godzin. Śliczny projekt. Wesoło ruszamy w drogę, mijamy szereg hoteli, *parc aux huitres*, miejsce gdzie się poławiają ostrzygi) potem letni pałac króla Leopolda i i-

steśmy już na wsi nad samem morzem. Po jednćj stronie płaszczynę lądu zasłania nam wał jasno-żółtego piasku, który ciągnie się w dal aż do granicy Francyi i stanowi to, co Francuzi „*les dunes*” nazywają, z drugićj strony mamy morze, ponad którem idziemy wążiutką, piaszczystã ścieżynã. Gdy morze odpłynię, zamieni się ona w szerokã, dla powozów dostępnã drogę, po którćj goście kąpielowi paradują czasem i na osiólkach, męczącćch się mniej łatwo od koni. Po drodze mamy Mariakerke; cały szumnie zwany „zakład” stanowi



WYBUCH ETNY.

jeden jedyny hotel, pod którego werendã spożywają śniadanie wszyscy razem lokatorowie, niby zgodna gromadka rodzinna. Mijamy hotel i znowu ta sama monotonna droga: piaski i piaski, wałem szerokim leżące, ani drzew, ani domów, ani nawet ludzi nie widać...

Znudzony, wdrapujemy się ze „staruszkã” na wał i... wydajemy okrzyk radosnego zdziwienia, bo z wału śliczny widok roztacza się przed oczyma naszymi na ogromnã, żyznã równinę „malowanã zbożem rozmaitem”, na rozrzucone na nićj schłodne, malownicze wioski, na miasteczka ze strzelaja-

centami w niebo wieżyczkami kościołów, na linię parowych tramwayów, na mieszkanie straży, która z tego miejsca dozoruje, telegrafu podwodnego, łączącćgo ląd stały z Angliã. Zachęcione naszym przykładem, starsze panie wchodzą na wał przy pomocy wuja oraz parasolek i na ogólne żądanie zasiadamy wszyscy na wale dla wypoczynku. Jeść mi się chce ogromnie, czego wuj się domyśla, i jak zawsze żartuje z mego apetytu, wdycha: „Jaka też to szkoda, że krajobrazy nie są jadalne! znam pewnã panienkę, która chętnie schrupałaby kawałeczek

ce!” ja skorzystałam ze sposobności i mszcząc się za żarty ze mnie, zaproponowałam: „Możeby wuj schrupał kawałeczek pejzażu?” Ciotce i pani M. w śmiech, mama także nie mogła utrzymać powagi, bo ostatecznie wuj, choć go *wujem* nazywam, nie jest znowu tak bardzo odemnie starszy, ani tak poważny i stateczny, żeby niewinny żarcik miał być uchybieniem dla niego. Nie obraził się też na mnie, bo sam się także śmiać zaczął i przekomarzał ze mnã, dowodząc, że chociaż bardzo jest głodny, zachowa jednak pejzaż „dla nienasyconych panienek”. Tak żartując, doszliśmy w najlepszych humorach do Middlekerku, a stamtąd pojechaliśmy do Nieuport-les Bains, o którem już wam mówiłam, że mi się zupełnie niepodobało. Koleją już powróciliśmy do Heystu, pomęczeni ale mimo to zadowoleni z wycieczki, z dnia spędzonego na świeżem powietrzu, który tak miłe pozostawił mi wspomnienie, że jak wszystkim, co mile, czempredź się spieszę podzielić się niem z wami.

Nie wiem jeszcze, kiedy wracamy do Warszawy; tymczasem tu odbieram nasze Pisemko i w każdym numerze widzę, że Redakcyja „w imieniu nieobecnej Gołąbki” odpowiada tćj lub owćj z kochanych moich siostrzyczek. Nie zapominacie więc o mnie, najdroższe? List mój niech wam będzie dowodem, że wszędzie i zawsze pamięta o was sercem wam oddana.

Gołąbka.

## Święty, nauczyciel młodzieży.

Przyjacielem był i mistrzem uczącćj się młodzi, a wzorem jćj i patronem pozostał na zawsze święty Jan Kanty, którego uroczystość Kościół katolicki obchodzi dnia 19-go października. Urodził się on w roku 1397 zmarł w 1427, a w końcu zeszłego wieku przez Papieża Klemensa XIII w poczet świętych został zaliczony.

Galicyskie miasto Kęty jest miejscem rodzinnym św. Jana, który jako mąż niezwykłych cnót i świętobliwości, jako uczonego profesora, sławnego mówca i kaznodzieja w całym świecie chrześcijańskim znany był pod imieniem Jana z Kent.

Z domu bogobojnych rodziców, młodym chłopięciem św. Jan przeszedł do Akademii krakowskiej, gdzie najpierw pośród rówieśników swoich pilnością i najlepszymi obyczajami zajaśniał, a później został profesorem. Otrzymawszy święcenia kapłańskie, odbył pieszo z dwoma towarzyszami pielgrzymkę do Ziemi Świętćj i do Rzymu, później był proboszczem w Olkuszu. Lecz wnet prosił biskupa o pozwolenie powrotu na katedrę profesorskã, gdyż praca przy kształceniu młodzieńszych serc i umysłów była mu najmilszą.

Do czynów swoich św. Jan Kanty stosował zawsze te zasady chrześcijańskie, które wygłaszał. Miewając ówczesnym zwyczajem naukowe, publiczne dysputy, częstokroć wiedzą przewyższał, a pięknosciã i siłą przekonywającćj słuchaczów wymo-

wy, przyćmiwał innych mówców. Nie pysznił się jednak nigdy z wyższości swego umysłu, ani z daru słowa: uczonego profesor, sławnego teolog i kaznodzieja cichy był i pokorny, jak prostaczek.

Miłosierdzie, ofiarność Jana z Kent nie znała granic. Raz, w zimie spotkał ubożego bosa; bez wahania zdjąwszy z nóg obuwie, oddał je biedakowi, a płaszcz spuścił do samćj ziemi, aby swój miłosierny uczynek skryć przed oczyma przechodniów. Kiedyyndziej, gdy św. Jan z uczniami swojami siedział u stołu, żebrak przez otwarte okno prosił go o ja-

„pejzażu”. Udaję, że nie wiem o kim mowa i nic nie odpowiadam na wujowskie docinki. Ciotce uśmiechają się nieznamcznie, wtém ku wielkiemu mojemu zdziwieniu wuj rozwija jakąś paczkę, o którćj myślałam, że jest pudełkiem cygar i częstuje nas wybornymi tartinkami, poczem starsze panie wydobywają każdã jakąś paczuskę i niespodzianie składa się wcale sute śniadanko. Wszyscy zajadają z apetytem, a wuj z nie mniejszym od innych, aż wreszcie, gdy wyciągnãwszy rękę po biszkopt angielski, którego już nie znalazł w torbie, skrzywił się bardzo komicznie, mówiac: „O! szkoda! zjadłbym jesz-

mużnę. Święty Jan oddał mu swoją porcyę. W tój chwili stał się cud: przed świętobliwym kapłanem pojawiła się inna porcyca, teje samej potrawy, którą on, odmówiszdy dzięczynną modlitwę, spożył. Na pamiątkę tego cudu, przy stole profesorów akademii, codzien zasiadał ubogi. Służący oznajmiał jego przybycie, mówiąc: „ubogi przyszedł”. A najstarszy z obecnych odpowiadał: „Chrystus przyszedł”. Ten piękny, chrześcijański obyczaj utrzymał się bardzo długo.

Nietylko nędza, lub niedostatek, ale każdy kłopot, każdy frasunek bliźniego, obudzał w świętym Janie współczucie i chęć zaradzenia złemu.

W pewien pogodny, słoneczny poranek czerwcowy, spotkał na rynku młodą, płaczącą wieśniaczkę; upuściwszy dzban z mlekiem stłukła go i bała się gniewu swój pani, która ją na targ wysłała. Święty Jan zebrał rozrzucone po ziemi skorupy i pomodliwszy się, uradowanej i zdziwionej dziewczynie, oddał cały dzban, a gdy za jego rozkazem w naczynie naczepała wody z rzeczki Rudawy, znakien krzyża św. tę wodę w mleko przemienił.

Niepodobna przytaczać wszystkich cudów i świętobliwych czynów Jana z Kent, które ksiądz Piotr Skarga w żywotach świętych szczegółowo opisał, powiemy tylko jeszcze parę słów o zasadach, które w serca uczniów swoich usiłował wszczepiać.

„Prawdę miłujcie nadewszystko!” — zalecał on, który o ile całą mocą swęj duszy kochał prawdę i sprawiedliwość, o tyle znów brzydził się obmową i fałszem! Na ścianach komnaty, gdzie odwiedzających przyjmował, kazał umieścić łaciński napis: „Strzeż się czernić bliźniego, gdyż pod ciękiem grzechem musiałbyś to odwołać”.

I rzeczywiście, cóż jest piękniejsze, godniejsze czci nad prawdę?... Co nędzniejsze nad obłudę i obmowę?... O bliźnich, w ich nieobecności powinniśmy zawsze tak mówić, jakbyśmy pragnęli, aby o nas mówiono; a dobre imię, ten najcenniejszy skarb człowieka, równie łatwo plami obmowa, jak błoto i pył szybko brudzą cudny kwiat lilii śnieżystej białości. A więc: kochajmy prawdę, a wystrzegajmy się obmowy!

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— A prawda! — Mahora wziął do ręki zegarek, nie zdejmując łańcuszka z szyi dzikiego, na co tenże nie byłby pozwolił, nakreślił wiszącym kluczykiem, i przykładając Indianinowi do ucha zapytał:

— A co!... — najwyższe radosne zdziwienie odmalowało się na twarzy dzikiego:

— Prawda! Jest muzyka! naszymnik z muzyką! — zawołał... wtem nagle błysk pewnej inteligencji rozjaśnił jego rysy zdumieniem napiętnowane:

— Aha!... już wiem — rzekł — ten naszymnik to jest fortepian!...

— Ciekawa rzecz, gdzie on zasłyszał o fortepianie? — odezwał się Carré.

— O! wielka mi rzecz; mało to fortepianów przywożą tu ludzie okrętami, dla żon i córek nababów lub panów europejskich, rozwożą je potem z końca w koniec półwyspu i każdy prawie dziki może słyszeć o nich — rzekł Mahora.

Tymczasem postępowano dalej, przekonawszy się że oddalenie dzikich pozwalało na to, nie było ich teraz wcale słyszeć, tylko „wielkie zwierzę” słoń jak się domyślano na pewno, zbliżał się wraz z kilku ludźmi i psem:

— Aha!... pies należy do tych ludzi, a oni nie są dzikimi, bo pies szczeka na dzikich a panom się łasił — domyślali się Indianie, wiedący ciągle wyprawę w rzeczywistości, mimo że nie brakowało ani kapitana, ani komendanta.

— Słuchaj — spytano znów dzikiego — w czasie bitwy przy rangorskiej zatoce, gdy twój ziomek unosił białą dziewczynę, jej brat chłopak biały, taki młody jak ty, gonił za nią i goniąc wyprzedził nas wszystkich, bo przypadkiem najbliższy się znajdował gdyśmy ją spostrzegli; znikł nam potem z oczu wtedy gdy i ona znikła porwana: czyś ty go później nie widział?

— Widziałem, ci, którzy porwali białą dziewczynę, wzięli w niewolę i białego jej brata.

— A potem?... co się z nim stało?...

— Nic; idzie tam przed nami, związany wśród moich braci do Tungara.

— Dlaczegoż nie widać po drodze śladów jego, jeżeli idzie? Może go niosą? Może ranny?

— Nie ranny, nie niosą go, idzie.

— Dlaczegoż więc nogi jego nie zostawiają śladów? — dziki, daleko rozmowniejszy teraz, milczał jednakże przez chwilę, gdyż mocno był zajęty uczepianiem zegarka u włosów i ozdób swęj głowy, w taki sposób, aby mimo pozostającego łańcuszka na szyi, zegarek sam wisiał tuż przy lewem uchu. Nareszcie dokonawszy tēj sztuki, zwrócił na pytającego błyszczące jak węgle oczy:

— Czy biały chłopak odmiennie ma nogi od tutejszych chłopców, że chcecie je poznać po śladach? Jest tam wielu takich chłopców jak ja!

— Nie; on ma nogi podobne do twoich, ale ma stopy obute grubem i odmiennem od bardzo wielu obuwiem, którego ślady łatwo poznać można.

— Prawda, miał coś pięknego na stopach, ale teraz nie ma — objaśnił dziki — odebrano mu to obuwanie natychmiast, gdy go schwytano, na pierwszym przystanku; chciał je włożyć każdy, i włożyło wielu, ale chodzić w tem nikt nie mógł, danó, więc pokój, i dwóch naszych niesie je zawieszzone na długim, kiju, tak właśnie jak wy mnie niesiecie.

— Ach... Edward boso idzie... przeto trudno rozpoznać ślady stóp jego, wśród mnóstwa innych! — domyślono się wreszcie i rozpaczliwy ból w sercach kochających, ukołł się trochę przynajmniej.

— No, a więc teraz, gdy pewni jesteście że mamy przed sobą złoźniców wraz z obojgiem pochwyconych jeńców, wart będę dostać kulę w łeb, jeżeli w ciągu dwudziestu czterech godzin, nie naprawię tego co sam zepsułem i dzieci panu nie oddam! — rzekł stanowczo i głośno kapitan Lory do Mac-Ulma.

Jakby w odpowiedzi na tę przechwałkę, Wilko, który jej słyszeć nie mógł, znajdując się w pewnej odległości na czele pochodu, stanął, przywołując do siebie dwóch towarzyszy i żywa rozpoczęła się między nimi narada, do której natychmiast przyłączyli się panowie. Zachodziła okoliczność, że nagle zmieniło się położenie okolicy i subtelne echa podsłuchiwane indyjskimi uszami u ziemi, ustały odrazu, co niesłychanie utrudniało po-goń. Zamiast zwykłych lasów lub zarośli poprzeryzanych strumieniami, znajdowano się teraz w pustyni spiekkłej, bez wody, bez ożywych leśnych owoców. Dotąd, podróżni szli mniej więcej z powrotem temi samemi szlakami, któremi niezbyt dawno przybyli na wybrzeże morskie, ale teraz, w punkcie w jakim się znajdowano obecnie, dzicy za którymi dążono zmienili nagle kierunek. Prawdopodobnie, nie potrzebując ukrywać się w lasach jak to czynić musieli obawiający się ich Anglicy, krajowcy skracali sobie drogę przecinając piaszczystą pustynię.

— My tędy zawsze chodzimy do morza, a w tēj chwili moi bracia śpią i dla tego ich stąpania nie słyszeć — objaśnił młody dziki z „fortepianem” zawieszonym przy lewem uchu. Tłómaczenie to było bardzo godnem wiary. Indianie dzicy, tak niesłychanie wytrzymali na ból i trudy, i szybkobiegacze niestrudzeni w razie gwałtownej potrzeby, lubią jednakże, jak to już wspomniano wyżej, wynagradzać sobie dziesięćkrotnie wszelkie wysiłki; jeżeli zaś skracają drogę, to nigdy w celu zyskania na czasie, jakby to z pewnością Europejczyk uczynił, tylko dla oszczędzenia sobie trudu, zatem, im droga krótsza, „tem dłużej idą, ponieważ śpią i spoczywają bez miary, byle tylko nie gnał ich postrach śmiertelny. Jestto mniej

cięcej zawsze też sama stara bajka o wyścigach żółwia z żąbkiem, który podróż swą w drodze zasypia. Mimo te, wszystkie rozsądne względy, podróżni pragnący na ten raz koniecznie wyjść ze sprawy zwycięzko i stanowczo, drżeli w niepewności co do obrotów nieprzyjaciół. Zapewnienia „fortepianisty” jak go wnet służba i majtkowie przewali, jakkolwiek zdawały się wiarogodne, przecież nikogo ufnością natchnąć nie mogły. To też, choć wcale pod tym względem nie porównywano się z sobą wzajemnie, jednak niezmiernie miłe były wszystkim coraz bliższe wesołe naszczekiwanie psa, ku czemu oddawna już nie potrzeba było u ziemi podsłuchiwać, i tylko skaliste wyrwy i wzgórze nie pozwalały widzieć go dotąd. Po głosie szczekania, łatwo można było poznać, że pies towarzyszył panu, któremu ufał i że usiłuje prowadzić go do ludzi, których uznał również za godnych zaufania. Szczekał bowiem wcale inaczej jak wtedy, gdy z najeżoną sierścią stał obok wstrętnego sobie dzikiego wyrostka. I oto z poza nagiętej rozpalonej skały wyskoczył wreszcie z bujnym kiciastym ogonem podniesionym wesoło w górę, z czerwonym językiem wywieszonym od niechęci, wyglądał niebardzo strudzony, ale mocno przejęty obowiązkami swemi. Poskoczył gwałtownie Anglików machając ogonem, otarł się o Thornę, drapnął przyjacielsko łapą po rękę Mac-Ulma, wspiął się i grube łapy wsparłszy mu na ramionach liczną serdecznie w policzek Franka i pognał napowrót: i oto panowie jego ukazali się już także z za skały, byli to muzułmanie widocznie, w jaskrawych turbanach, w białych długich sukniach, jeden mały, drugi wysoki, obaj w sile wieku, tuż za nimi zarówno mądry lecz o wiele poważniejszy od psa przyjaciel, szedł swobodnie choć objuczony ciężko, z rozumem wejrzeniem i łagodnymi ruchami, drugi przyjaciel ludzi, słoń. Pies biegając bezustannie ze znaczącym naszczekiwaniem, od swych panów do nowych znajomych, zdawał się mówić, a raczej mówił wyraźnie w psim języku:

— A no prędzej-że, ach prędzej, ludzie porozumiejeć się mają i pomóżcie sobie, bo czuję, że potrzebujecie się wzajemnie, a ja przecież ku temu robię wszystko co mogę.—I nagle wypadł do ziemi, śledząc bystrym wzrokiem poruszenia panów swoich z lewej i obcych snadź miłych mu ludzi z prawej strony. Nie zawiódł się na ten raz w pragnieniach swoich. Anglicy, Francuzi i kupcy tureccy porozumieli się bardzo prędko.

— Przychodzicie z Tungara? — spytał kapitan.

— Przychodzimy z dalszych stron, ale przebywaliśmy istotnie Tungara, i teraz idziemy ztamtąd najkrótszą drogą.

— Najkrótszą?... A więc musieliście chyba spotkać gromadę dzikich tuziemców?...—Dwaj kupcy spojrzeli na się wzajemnie, potem na psa łaszącego się nowo-spotkanym ludziom, potem na słoń, który na to pytające spojrzenie lekkiem skinieniem głowy odpowiedział, patrząc bystro a łagodnie na Anglików. Po takim milczącym lecz wyrazistym porozumieniu się czterech starych przyjaciół, wyższy z dwóch Turków rzekł.

— Czujemy że jesteście uczciwi ludzie, nie pragniemy krzywdy niczyjej i dla tego odpowiadać wam szczerze będziemy. Tak jest, spotkaliśmy sporo uzbrojonych krajowców o ćwierć mili ztąd. Gdy przechodziliśmy koło nich zabierali się właśnie do wiecezry.

— Nie byłoż między nimi dziewczęcia i chłopca, Europejczyków?

— Dziewczęcia?... nie widziałem; chłopca... chłopiec był; młody bardzo chłopiec odarty z sukien i przywiązany do roztrzaskanego pnia.

Indyanie zamienili z sobą szybkie jak błyskawica wejście.

— Skoro widzieliście i spotkaliście ich, a zatem czy nie chcielibyście zaprowadzić nas do nich?

— I owszem; tylko że idziemy w przeciwnym kierunku, przychodzimy właśnie ztamtąd, i oczekują nas znajomi w najbliższym mieście.

— Lecz my was prosimy, podprowadźcie nas do obozowiska spoczywającej dzikiej gromady, gdyż składa się ona z rozbójników, którzy ukradli nam chłopca i dziewczynę w ce-

lu sprzedaży, i gonimy ich oto od trzech dni, napróżno wypatrując takiej chwili i takich okoliczności abyśmy mogli rzucić się na nich, z jaką taką nadzieją zwycięstwa!...

— Hm, hm... — mruzczeni kupcy spoglądając na psa i słoń.

— Nie prosimy was zresztą wcale o tę przysługę za darmo — podchwycił Thorn — czy doprowadzicie nas do nich ostrożnie tak, abyśmy mogli widzieć a nie być widzianymi, za cenę trzydziestu rupii?

Dwaj ludzie najprostszy wędrowni pod słońcem kramarze, aż się cofnęli na takie pytanie, wszystko co posiadali, skupując w przebywanych miasteczkach a sprzedając w wioskach, niewarte było trzydziestu rupii, chyba wraz ze słońciem, który znów chociaż ze starości prawie niewidomy, był przecież nieoszacowany jako przyjaciel, zarówno jak pies.

— Będziemy się starali służyć wam jak tylko potrafimy — powiedzieli kupcy. Niechaj będzie wszystko tak, jakżeście wyrzekli.

## X.

— Idźmy tedy, jeżeli chcecie, wiemy z pewnością gdzie oni obozują, zatem tą oto skalistą rozpadliną potrafimy was doprowadzić do nich tak, że nie będziecie widziani — powiedział kramarz.

— Może, ale stąpanie waszego słońca niechybnie usłyszane będzie.

— Nie; ponieważ nikt się tam nie zajmuje nadśłuchiwaniem, gdy nie spodziewa się zasadzki lub napaści, a właśnie ci, którzy idą przed nami, nie spodziewają się jej wcale, co łatwo poznać z ich swobodnego zachowania się. Zresztą, jeżeli chcecie, jest jeszcze inny sposób, rozbójnicy ułożyli się w tej chwili na spoczynek i ani myślą o walce, my zaś znając całą okolicę jak własne pakunki, doprowadzimy was do nich w ciągu pięciu minut, jeżeli zechcecie pospieszyć w biegu; słońca pozostawimy tu pod strażą psa, a psa pod opieką słońca, który nie mógłby przejść tak, jak my potrafimy.

— A więc idźmy!... druga podobna chwila może się nie nadarzyć, przed dośściem do Tungara! — zawołano i puszczono się szybko za jednym z kupców, licząc głównie na nieopatrzność, a raczej na niedbalstwo nieprzyjaciół.

— Towarzysze!... bacność! lecz strzeżmy się strzelać aby nie ugodzić niewinnych, na bagnety!... — zawołał młody kapitan, i nagle wypadli wszyscy z pośródka olbrzymich wawozów i skał, rzucając się na Indyan, którzy, słysząc już wyraźnie nadbiegających, zerwali się w najwyższym poplocu, gotując się do ucieczki, nie myśląc nawet walczyć na widok zbrojnych. Rozproszyli się na wszystkie strony i zniknęli w mgnieniu oka. U jednego z niewielu drzew, osłaniających maleńkie źródło, przy którym obozowano, stał przykrępowany doń ljanami, odarty z odzieży Edward... Ani on sam, ani nikt nigdy nie wiedział, kto mianowicie przeciął jego więzy, bo w uniesieniu radości wszyscy razem ku niemu się rzucili: brat, młodzi przyjaciele, ojciec i słudzy, Tylko kapitan i pan Thorn, widząc że tutaj ich pomoc jest już nie potrzebna, wołali na swoich:

— Naprzód! naprzód!... ściągajmy zwycięzców, szukajmy porwanej panny Mac-Um!... — i rozprasząc się, ścigali zapamiętałe.

— Edwardzie, bracie, braciszku drogi! Mój synu! Ojcie!... — takie urywane wyrazy dawały się słyszeć tymczasem, wśród otaczających Edwarda, odzianego w jedną chwilę, może niezbyt wykwintnie, ale zupełnie przyzwoicie, gdyż każdy bez poprzedniego porozumienia podawał mu zdjętą z siebie jakąś część odzienia. On ścisnął wszystkich, ubierając się spieszenie wołał:

— A broń?... broni!...

— A Klara? Nie widziałeś Klary? — pytano.

— Widziałem, mówiłem z nią nawet, ale gdy tylko zwycięzcy spostrzegli że rozmawiamy, rozdzielili się, przybiegając do drzew na dwóch krańcach swego obozu.

chwilą jeszcze tam była, lecz za pierwszym popłochem na wasz widok, pochwycił ją znowu ów okropny stary dziki i uniósł jak dziecko.

Jakkolwiek Edward wskazywał kierunek i wszyscy ścigali usilnie, przecież dzicy i na ten raz dowiedli, że w chwilo-  
wej pogoni mają zawsze przewagę, zwłaszcza w znajomej  
sobie a nieznaną ścigającym okolicy, gdzie każda wydrą-  
żona skała, mogła się dla nich zamienić w niedostępną kry-  
jówkę. To też po niejakiem czasie wszyscy wracali do punktu,  
z którego się rozbiegli, ale bez Klary, nie ujrawszy jęj na-  
wet, lubo dali się dzikim porządnie we znaki.

Na ten raz młody kapitan rozgrzany bojem, nie czuł się  
przygnębnym tak, jak po poprzedzającej walce.

— Niema ani chwili do stracenia! — zawołał do groma-  
dzących się, około niego towarzyszy i podwładnych — droga  
przed nami wytknięta, spieszymy do Tungara!... bezzwłocz-  
nie!... zanim złoczyńcy zdążą, dobiegłszy tam, wzmocnić się  
lub uciec w lasy wraz z rodzinami.

— Ależ w takim razie niech tylko najsilniejsi pędzą na-  
tychmiast... — zauważył Mahora.

(d. c. n.)

## ROZMAITOŚCI.

**Nowy alfabet.** Słyszeliśmy wszyscy o pół bajecznych  
Kadmusach, Thotach i t. p. wynalazcach alfabetu, o św. Cy-  
rylu, wynalazcy alfabetu, zwanego *kirylicą* wiemy także, ale  
jedynym przykładem alfabetu w naszych czasach ułożonego,  
jest ten, który Cherokeezi, plemię indyjskie, zamieszkujące  
północną Amerykę, zawdzięcza swemu współplemiennikowi  
*Sequoyah*. Urodzony z matki Indyjanki, a ojca Anglika  
i przez Anglików zwany Jerzy Guess, widywał może książki,  
ale czytać nie umiał wcale i bez niczyjej zupełnie pomocy  
wpadł na pomysł oznaczenia odrębnym kształtem każdego  
z dźwięków składających mowę rodzinną, co, jak wiecie, sta-  
nowi istotę alfabetu. Ubogi bardzo i w pokoleniu swoim  
wszelkiego znaczenia pozbawiony, gdy udał się do wodzów  
plemienia z oświadczeniem, że „książki robić nauczy” ci wy-  
śmieli go i nazwali szaleńcem, takie samo mniemanie miała  
o nim żona, która niszczyła zapisane znakami kartki papieru,  
szmatki tkaniny, oraz tym podobne materiały piśmienne, ja-  
kiem mógł rozporządzać Indyanin, żyjący w stanie pół dzikim.  
Niezrażony niepomyślnością, pracował dalej nad udoskonalen-  
iem swego pomysłu, aż gdy wszystkie dźwięki mowy ujął  
w odrębne kształty i utworzył zupełny alfabet, złożony z *sześ-  
dziesięciu* znaków głosok, znowu udał się do starszych plemie-  
nia, i chcąc przekonać ich o skuteczności swego wynalazku,  
przyrzekł im spisać i odczytać słowa przez każdego z nich  
z osobna wypowiedziane. Zdziwiła się bardzo starszyzna,  
gdy *Sequoyah* każdemu z nich po kolei powtórzył wiernie wy-  
razy, które z ust ich posłyszał i wtedy dopiero uwierzyli, że  
jest on w stanie „robić książki” takie same, jakie u Anglików  
widywali. Dzięki więc pomysłowości Jerzego Guess, Cherokeezi  
jedyni z plemion Ameryki północnej, mają swój własny alfa-  
bet, najpiękniejszy powstał z wszystkich na kuli ziemskiej istnie-  
jących.

## SZARADA.

(przez Ewę Maryę).

Już ja sobie *drugi, czwarty,*  
Jako dziarskie chłopię,  
Macham kosą nie na żarty,  
Ziemie orzę, kopię.

Pracą zajrzę w oczy nędzy;  
Mam ja trzosik spory!  
*Czwarty* niech mi da pieniędzy,  
Choćby ze trzy wory!

Ale gdzież tam! za ten świstek,  
Com wziął za robotę,  
Sprawdziwszy rachunek wszystek,  
Dostanę trzy złote!

Bogdajże cię! aż mi smutno!  
Pójdę więc do ludzi;  
Gdy tam grajki w skrzypkę utną,  
Radość się obudzi.

Będę tańczył, będę śpiewał,  
I raz mnie, raz tobie  
Z *trzech, czwartych* miód nalewał,  
Bom ja *wszystek* sobie!...

### Zadanie liczbowe.

Zapełnić kratki liczbami w ten sposób, ażeby po zlicze-  
niu w każdym trzech kratkach tak z góry na dół, jak w po-  
przek wypadała summa 33.


### ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

#### Szarady:

Kan — ta — ry — da.

#### Łamigłówki zgłoskowe:

1. JokaJ. 2. ArnO. 3. NawarrA. 4. MeraN. 5. AjaN.
6. TekA. 7. Elberfeld. 8. JawA. 9. Kolmar. 10. Owoc.

Jan Matejko — Joanna d'Arc.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE ra. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRZECI: Romanek postym (z drzew.) — Zwycięstwo Pawelka p. Halię Tokarzewską. — Wybuch Etny (z drzew.) — Korespondencya  
Wielceńskich rodzinnych. — Święty, nauczyciel młodzieży. — W Indyach. — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek:  
Młodych (z drzew.) — Wnec, przedstawienie w przeddzień imienin ojca. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.  
Dodatek kolejowy. Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



## MIŁOSIERNIE.

Karolek małym był jeszcze chłopczyką kiedy go z domu oddano na naukę, a w pierw jeszcze do pomocy i obsługi pewnemu stolarzowi do miasta. Ojciec jego będąc gajowym w lesie o kilka wiorst oddalonym, stracił bowiem niedawno żonę, a mając kilkoro drobnych dzieci i bardzo małe wynagrodzenie za swą pracę, znalazł się nagle w wielkiej nędzy. Matka staruszka dopomagała mu wprawdzie do wychowywania wnucząt, ale nadto, słaba już i w podeszłym wieku, nie mogła się niczem przyczynić do zmniejszenia niedostatku. Skoro

Karolek nie posiadał się z radości. Tego dnia którego miał iść, wyruszył w drogę o świcie, i przykro mu tylko było niezmiernie, że będąc tak małym niepotrafił jeszcze zarobić nawet kilku groszy i nie mógł zanieść do domu, bodaj najmniejszego upominku.

Właśnie zajęty był cały smutkiem i myślą o tem, gdy oto wychodząc już prawie z miasta spostrzegł, jak jakimś człowiekowi pędzącemu stado owiec, zakupionych na zabicie, jedna nagle zasłabła i nie mogąc iść dalej położyła się na środku drogi. Sądząc iż może się przydać w czem nieznanemu, podbiegł do niego, wtedy gdy tenże nachylony nad zwierzęciem, oglądał je uważnie.



zatem najstarszy Karolek skończył lat dziewięć, chociaż wątlły i mały jeszcze, za poradą jednego z sąsiadów został wysłany do terminu, by zawczasu wkładać się i przypatrywać owęj pracy, która choć ciężka i mozolna wywalcza ludziom niezależność w świecie, i tę pewność życia, jaką daje tylko chleb w ręku. Z początku wprawdzie serce rwało mu się gwałtem do domu, z trudnością powstrzymywał łzy na wspomnienie tój ciasnej izdebki pod lasem, gdzie choć nieraz o chłódzie i głodzie, miliej mu było i więcej swojsko niż u obcych w dostatku, ale chłopczyka dobrą miał naturę; z tęsknotą swą nie wydał się przed ludźmi, którzy często ocenić jój nie umieją, a doszedłszy do przekonania, iż nic tak bólu nie ukoi jak zajęcie, oddał się pracy z całym zapałem.

Upłynęło tak kilka miesięcy, aż majster zauważywszy tę gorliwość w pracy chłopca, pozwolił mu w nagrodę pójść odwiedzić dom ojca.

— Co jój się mogło stać, proszę pana? — zapytał grzecznie uchylając kapelusza.

— A Bóg ją tam wie — odparł nieznajomy — idzie kawał drogi, to się musiała zmęczyć, a może też jaka choroba jój się czepiła, owce teraz zdychają...

To powiedziawszy poruszył ją jeszcze nogą i gotował się do odejścia.

— Jako, pan myśli odejść i zostawić ją tutaj? — zawołał, widząc to Karolek.

— A cóż, mam ją może nieść na ręku — odburknął nieludzki ten człowiek — pewnie że jój nie wezmę dalej, jeszcze inne gotoweby od niej zasłabnąć, zresztą niewiele już jój się należy...

— A mój Boże! biedne stworzenie! — żałował chłopczyka, nie mając jeszcze serca porzucić je, za przykładem nieznajomego, który za chwilę był już ze swem stadem daleko.

## WIENIEC.

Przedstawienie w przeddzień imienin ojca.

(Dokończenie).

BRONISIA.

Więc porzucając wady moje dawne,  
Biorę oględność za godło swe jawne.

*(Otrzymuje na opasce trójkąt, poczem Ignas siada na środku, a Stasia tymczasem zbiera głosy innych).*

IGNAŚ (do siebie).

Niechaj co chcą, mówią o mnie,  
Ja się bawię cicho, skromnie,  
Śpiewam zgodnie, piszę składnie,  
A uczę się, jak wypadnie.

STASIA (do Ignasia).

Na poufne do wszystkich o panu pytania  
Przynoszę mu życliwe i niechętnie zdania,  
Żeś potulny, usłużny, skromny i serdeczny;  
Ale przytem leniuszek, niestały i spreczny.

IGNAŚ.

A więc rzucając na zawsze niestałość,  
Biorę sobie za godło niezłomną wytrwałość.

*(Otrzymuje na opasce kwadrat. Teraz Ignas zbiera głosy, a Stasia siada na środku i mówi do siebie:)*

STASIA.

Bojaźń mię dziś ogarnia na ten sąd zbiorowy,  
Doznaje bicia serca i zawrotu głowy,  
Czyż mi zarzucą chwiejność, obojętność, trwogę?  
To nieprawda! ja na to zgodzić się nie mogę!

IGNAŚ. (do Stasi).

Mówią, żeś pani skromna, staranna i tkliwa,  
Lecz trochę obojętna, chwiejna i trwożliwa.

STASIA.

Choć w tych zarzutach jest błąd lub niezręczność  
Ulegam, bo mem godłem, jest gorąca wdzięczność!

*(Otrzymuje na opasce słonce. Następnie Bronia zbiera głosy, a Adalcia siada na środku i mówi do siebie).*

ADELCIA.

Jak oni wady moje sądzić mogą,  
Kiedy ja chodzę inną od nich drogą?  
Bo żem zazdrosna, niespokojna, płocha,  
Chyba ten powie, co mię nic nie kocha!

BRONIA (do Adelci).

O tobie krążą wiadomości dwie:  
Pierwsza, że cicha woda brzegi rwie,  
Druga, żeś korna, bogobojna, rzewna,  
Ale psotnica, skryta i niepewna.

ADELCIA.

Uledez tym sądom zmusza mię konieczność,  
Więc odtąd godłem będzie mi stateczność.

*(Otrzymuje na opasce koło. Dalej Adalcia zbiera głosy, a Różia siada na środku i mówi do siebie).*

RÓZIA.

Kto mię zgani w kole — za jakie swawole,  
Lub za puste słowa, — To niech się w kącie schowa.

ADELCIA (do Rózi).

Wszyscy mówią o Rózi, że jest bardzo grzeczna  
Dobra, miła, wesoła, słodka, i serdeczna,

Długo tak medytował aż przyszło mu na myśl, czyby nie przynieść jej czasem wody. Studnia była bliżuchno, poskoczył więc ku niej i zaczerpnąwszy świeżej wody w kapelusz, przyniósł ją swęj pacyentce. Wprawdzie kłopotu miał niemało, bo zanim doniósł, prawie wszystko wyciekało przez liczne otwory starego kapelusiny, ale jakoś po kilku razach, kiedy napiła się do woli, z radością spostrzegł jak zwolna otworzyła najpierw powieki, potem podniosła się z ziemi, a oglądając się widocznie za resztą towarzyszek, poczęła beczyc żałośnie. Oczywiście całą przyczyną osłabienia nie było nic więcej, jak tylko wielkie utrudzenie i pragnienie. Skoro chłopczyna ujrzał, iż mogłaby już o własnych siłach pójść się w drogę, podszedł do kilku pracujących przed domem stróżów rozpytał się czy nie widzieli czasami, w którą stronę udał się ów człowiek pędzący stado. Lecz ku wielkiemu jego zmartwieniu, nikt nie był w stanie dać mu dobrej wskazówki, bo nikt tego nie zauważył. A tymczasem owca jakby czując wdzięczność dla swego dobroczyńcy, biegła wciąż na nim jak piesek.

— Ha, chłopcze — odezwał się w końcu jeden z ludzi którym opowiedział całe zdarzenie — kiedy już tak się stało, to zabierz sobie tę owcę, widać było sądzono aby ona była dla ciebie...

— Boć i pewnie! — odparli inni.

— A zkąd ty jesteś, ze wsi? — zagadnął któryś.

— A ze wsi — odparł Karolek.

— A no, to ją bierz jak własną i ruszaj do domu, kiedyś ją sam wykurował, toć już nie czyja tylko twoja, widać już tak Pan Bóg chciał, i koniec — zakończył filozoficznie ostatni.

Na te słowa nasz chłopczyna aż poczerwieniał. Więc wszyscy mówią że ta owca należy już do niego, że ją może zabrać bez obawy przed własnem sumieniem, któreby mu wymawiało, że czyn taki jest niegodnym! Co za szczęście! Prawdziwie Matka Boska musiała wysłuchać jego żalu nad tem iż przyjdzie z próżnemi rękoma pod ubogą rodzinną strzechę, choćby jej rad nieba przychylić, i zesłała mu taki cudny dar w nagrodę za jego pocziwe miłosierne serduszko!... I ruszył ku domowi uradowany, oglądając się co chwila za swoim skarbem, co nawet było zbyt cenne, bo owca jakby wiedzona przecuciem iż zostanie tam przyjętą z otwartemi rękami, biegła szybko tuż przy nim. Skoro przyszedłszy do domu opowiedział wszystkim w jaki sposób doszedł do takiego drogiego nabytku, radość była wielka. Młodsze dzieci pieściły się z owieczką, która wcale nie stroniła nawet od nich, a kiedy zaprowadziwszy do stajenki, gdzie miała odtąd zamieszkać, postawiły ją przy samotnym do tego czasu koniku, oboje byli tak zadowoleni ze swego towarzystwa, że ona zabeczała radośnie, a on zarżał na przywitanie miłej sąsiadki. Wszyscy zatem radzi byli nowemu przybyszowi i odtąd zawsze na Nowy Rok, Karolek dostawał od babci ciepłutki kaftanik z wełny, którą ta sprzedłszy i utkawszy własnemi jeszcze rękami, dawała mu mówiąc:

— To przez wdzięczność za uratowanie niegdyś życia, ofiarowuje ci twoja owieczka, miłosierny chłopczyno!

Lecz się czasem niegrzecznie kładzie na dywanie;  
A bywa też uparta, maruda, kochanie.

RÓZIA.

Więcej dywan mię nie skusi:  
Proszę o grzeczność babusi.

*(Otrzymuje na opasce gwiazdę. Poczem Władzio siada na cenzurze, a Zosia zbiera zdania towarzysztwa).*

WŁADZIO *(do obecnych).*

Mówcie, jak chcecie, ja nie mam wad,  
Bom jeszcze dziecię, ledwie pięć lat.

ZOSIA *(do Władzia).*

Mówią, że Władzio jest miły i zgodny,  
Ale gość rzadki, i braciszek chłodny.

WŁADZIO.

Odtąd dewizę mam inną:  
Za hasło miłość rodzinną.

*(Otrzymuje na opasce dwa ogniw).*

IGNAŚ.

A co też państwo o Kaziu powiecie?

ZOSIA.

Że sądu nie ma na tak małe dziecię,  
Zresztą jest gładki, pulchny, urodziwy,  
Lecz śpioszek wielki, i słodczy chciwy.

*(Poczem Józio biegnie ze sprawozdaniem do Kazia, ale za chwilę powraca.)*

IGNAŚ.

A teraz, co zrobimy z naszymi godłami?  
Czyż my sobie naprawdę poradzimy sami?

ADELICIA.

Ja nie wiem.

STASIA, BRONISIA, WŁADZIO *(po kolei).*

I ja — i ja — i ja.

ZOSIA.

To będzie bardzo trudna historyja!

JÓZIO *(wróciwszy od Kazia).*

A Kazio popadł w śmiech,  
Myśli że nie grzech,  
Spać lub jeść i pić,  
Aby rość i żyć.  
Lecz nadzieja w Bogu,  
Że wyjdzie z nałogu.

*(Poczem Zosia zanosi Kaziowi godło nadziei, to jest kotwicę złotą na opasce srebrnej, ale sama powraca zaraz.)*

ANDZIA *(zakłopotana).*

Nie wiecie tedy, co począć z godłami?  
I podanemi w miejsce wad cnotami?  
A mianowicie, jak w czyn zmienić słowa?  
Ach! i ja nie wiem!

JÓZIO.

Lecz od czegoż głowa?  
Oto pośpieszmy niezwłocznie do dziadzi,  
On zna się na tem, a więc nam poradzi!

*(Wszyscy śpiewają).*

Złote słowa! to mi głowa!

Dzielny brat i syn!

bis { Więc do dziadzi! Niech nam radzi,  
Jak myśl zmienić w czyn!

*(Z tym śpiewem wszyscy wybiegają na korytarz).*

### ZAKOŃCZENIE.

*(W stołowym pokoju dzieci stają w następującym porządku: Stasia, Józia, Rózia, Andzia, Adelia, Bronia, Władzio, Ignas i Zosia, a wzięwszy się za ręce, zostają opleceni podwójną szarfą, karmazynową i niebieską, tak, że ich końce Zosia trzyma w lewej ręce zagiętej poziomo, a Stasia tak samo w prawej. Wszyscy zwróceni twarzą ku salonowi, po otwarciu drzwi do salonu śpiewają).*

Najdroższy ojcze, w przededniu imienia,  
Racz przyjąć nasze serdeczne życzenia  
Pełnego zdrowia i życia wiek cały,  
Wśród pomyślności, szczęścia, czci i chwały!

bis { Które Ci niesiem we wdzięcznej ofercie,  
Z głębi uczucia, gorąco i szczerze!

*(Przy rozpoczęciu drugiej zwrotki, wieniec z godłami i wypisanymi w miejsce wad cnotami, dotąd ukryty nadedrzwiami, a wewnątrz oświetlony, spuszcza się powoli, a dzieci tymczasem śpiewają drugą zwrotkę:)*

A na wiązanie przyjmij dań powinna  
Nadzieję, skromność, łagodność, serdeczność,  
I poświęcenie, . . . . .

*(Tu się wieniec odwraca drugą stroną a dzieci śpiewają).* Oględność,  
stateczność, wytrwałość, wdzięczność, i miłość rodzinną.

bis { Które Ci niesiem w najmilszej ofercie,  
W miejsce wad naszych porzuconych szczerze.

*(Ze śpiewem dwóch ostatnich wierszy, dzieci wchodzą do salonu i tu skończywszy śpiew, rozwijają się w kóło, a otoczywszy wieńcem solenizanta, tańczą kóło niego w lewo i w prawo, i jeszcze raz śpiewają razem:)*

Przyjm życzenia, i te pienia,  
Drogi tato nasz,

bis { A nie zgrzeszysz, gdy ucieszysz,  
I poklask nam dasz!

Dziadzio.

### SZARADA.

ułożyła Niezapominajka z nad Jabłoni.

Pierwszego w alfabecie  
Szukajcie a znajdziecie,  
Dużo muszą mieć starań i pracy  
Kóło drugiej i trzeciej wieśniacy.  
Każdemu zaś jest wiadomem,  
Że kto przeprawia się promem,  
Trzeciej, czwartej użyć musi  
Kto się całość odgadnąć pokusi?

### Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Kwiat pachnący.
3. Owoc ogromny i soczysty.
4. . . . .
5. To, czego zabraniają przy zabawie.
6. Spód beczi.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę zamorskiej rośliny, z której wyrabiają tkaniny służące do ubrania.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Szarady:

H e l a.

Szarady 2-ój:

W a r k o c z.

Skrzynka do listów.

**Wiochnie z pod Lublina** serdecznie dziękujemy za przesyłkę. Oceniamy tem więcej zadość uczynienie naszej prośbie że wiemy jak czas Wiochny pożytecznie i pięknie zajęty nauczaniem młodszych siostrzyczek. Czekamy z upragnieniem sposobności uściśnienia jój w Warszawie. O dalszą pamięć o nas prosimy gdy się znajdą jakie wolne chwile.

**Rosicze z nad rowu i Córze Mazurów.** Przysłany opis „prawdziwego wydarzenia” nie może być drukowany.

**Łezka warszawska** uradowała nas bardzo swą pamięcią i liścikiem. Niechże o nas i nadal nie zapomina, a obiecany opis podróży przyśle.

**Niezabudka z nad Chomoru** przysłała dobre rozwiązanie zagadek. Dobrze również rozwiązała zagadkę Ewy-Maryi **Zorza północna**, której niecierpliwść zaspokojoną już została.

**Tęcza z nad Jatrani** wybrała sobie odpowiednią dla siebie korespondentkę; liścik niedługo będzie wydrukowany. Spódniczka już się *przydała*; odzianemu nią biedactwu mniej dokucza zimno, które tak wcześniej w tym roku nadeszło.

**P. Marya Sok.** Wieczory wysyłamy pod nowym adresem. Wrażenia z rodzaju tych, jakich córeczki Pani doznały, pozostają w pamięci na całe życie, i dobrze to może mieć we wspomnieniach, taką jasną chwilę zachwyty, szczęścia i szlachetnego uniesienia... Żałujemy bardzo, że z zabawki przez nas podanej, córeczka Pani, do tój pory nie korzysta; zdaje nam się jednak, że nie jest to rzeczą trudną; trzeba tylko brać do pierwszych prób duży kawałek bibułki, na małym bowiem trudniej wykonać potrzebne załomy.

Na list do nas, **Sosno polska**, nie trzeba się „odważać”, bo każde słowo od naszych korespondentów jest dla nas największą przyjemnością. Gołąbka zapewne niedługo powróci; natrzyła się cudów natury, sztuki i przemysłu, ale pomimo to, stęskniona za rodzinnymi kątami. Listy z wyspy Atlanty zajmują wszystkich naszych czytelników i nie może być inaczej: prawda w nich tak misternie spleciona z wytworem wyobraźni, tyle skarbów uczucia i tyle tam zasobów wiedzy, że choćby koniecznie wybiedz musiały nad miarę popolitości. — Rymotwórstwo jest nauką trudną, obok wrodzonych zdolności trzeba jeszcze dużo pracować, czytać wzorowych poetów, myśleć głęboko i poważnie, bo inaczej wierszyk, nawet zgrabny formą, będzie tylko czczą, choć misterną zabawką z wyrazów skleconą. Ani cię zachęcamy ani odwozimy od próbowania sił, które może czujesz w sobie; zanim jednak z plonem ich wystąpisz, trzeba się przekonać czy istotnie są one *siłami*: siłą myśli, siłą uczucia, bo z tych dopiero składa się talent prawdziwy. Na drukowanie „zawczasie, kwiatku, zawczasie”...

Liściki **Czarnookiój z Puszczy** będą umieszczone, skoro kolęj na nie nadejdzie. Ale czy nie zawiele to: trzy na raz!

Droga Józiu Ł. w Gł.! Czemu nie piesz do Wieczorów choć je tak lubisz?... gdyż Ukrainka na Mazowszu pokazywała mi listy twoje. Poznałam cię z jój opowiadania, i zyskałaś sympatyję moję w zupełności. Zapragnęłam korespondować z tobą, czy dobrze? Odpisz mi proszę przez Wieczory, które i ja z wielkiem

zajęciem i upodobaniem czytuję, i zgadnij kto ci przesyła serdeczne uściśnienia. Śmieszkę pozdrawiam życzliwie, i proszę o za wiadomienie, czy nie znała w Salonice Margarety M.? Powiedz także jak się sama nazywasz, jak wyglądasz, i w której części miasta mieszkałaś? Bo nauczycielka Mar. jest obecnie w naszym domu, i chce wiedzieć czy w tym samym czasie bawiłyście obie na tureckiej ziemi? Odpisz prędko, niecierpliwie będziemy oczekiwać listu twego. *Sosenka.*

Droga Złota Rybko i Szczeroci! Zaciekawiłaś mię kto jesteś? Bo ja żadnej panienki w Lub. nie poznałam. I ja zdałam egzamin do III kl. na pensję p. S. powiódł mi się dosyć dobrze, ale cóż kiedy p. S. nie chciała mię przyjąć mówiąc, że jestem za małą do III kl. więc jeszcze zostanę w domu. Napisz mi co o sobie. Szczeroci najdroższa co porabiasz w War.? czy bierzesz lekcyę u p. M. czy p. Marya jest już w Ł.? Odpisz choć kilka słówek i nie zapominaj o zawsze cię kochającym *Światelku.*

Kochana Wierzbo płacząca ze Żmudzi! Ponieważ chcesz korespondować z nami, ośmieliłam się pisać do ciebie choć jestem młodszą, bo mam 10 lat. Mieszkam na wsi, lubię bardzo wieś i wszystkie zwierzęta a szczególnie owce, bo są łagodne i spokojne. Mam brata i siostrę młodszych odemnie. Całuję cię. *Gospośia z Podola.*

Droga Cieciorczko! Ponieważ nie mogę się doczekać od ciebie listu obiecanego, zapytuję cię przez Wieczory, co znaczy twoje milczenie? Czy wesoło przepędziłaś tegoroczne wakacje i czy dużo czasu poświęcałaś nauce? Ja próżnowałam w całym znaczeniu tego wyrazu. Odpisuj koniecznie twój *Przyjaciółce.*

Kochana Podolanko! Mam lat 12, mieszkam w Kamieńcu pod., nazywam się Marya P. Ciebie o takież szczegóły proszę. W obawie aby mój list nie był zadługi, całuję cię serdecznie. *Lobelia.*

Droga Mgło wieczorna! Znam cię, choć cię nigdy nie widziałam, bo Barwinek i Boginka z nad Łydyni dużo mi o tobie opowiadały. Pewno i ty znasz mnie z ich opowiadania. Może się kiedy zobaczymy; tymczasem zaś może zechcesz do mnie pisywać. Wiem żeś się wesoło w Zoppot bawiła. Pozdrawia cię serdecznie *Królowa Elfów.* Gołąbce kochanej i wszystkim korespondentkom posyłam uściśnienie.

Droga Tęsknoto za Wisłą! Spodobał mi się bardzo twój pseudonym, to też postanowiłam napisać do ciebie aby się bliżej zapoznać. Napisz mi proszę cię gdzie mieszkasz, jak się nazywasz i ile masz lat? ja ci wzajemnie na to odpowiem. *Perelka.*

Kochana Pszeniczko. Na imię mi Adelcia, mam tyle lat, co ty, mieszkam na wsi, na Ukrainie. Lubię bardzo czytać, robić szydełkiem i pływać łódką. Odpisz jaknajprędzej. *Lewkonka.*

Kochana Muchołówko. Ucieszyłam się odebrawszy twój liścik, za który ci serdecznie dziękuję. Bardzo żałuję żeśmy się w Kr. nie spotkały. Wiem że się nazywasz Zosia S. i masz trzy siostry młodsze od siebie. Całuję cię serdecznie. *Mała Pedantka z nad Nidy.* P. S. Cichą Wodę i Brzydotkę z nad Tamizy serdecznie pozdrawiam.

Droga Szarotko Tatrzańska! Obiecałyśmy sobie wzajemnie, że będziemy do siebie pisywały przez Wieczory a ja pierwsza obietnicę zamieniam w czyn. Co porabiacie? Czy grywacie jeszcze w krokiet? My grywamy, ale bardzo rzadko. Jaka szkoda że nie byłaś na okrężnym w Ł. Anielcia zawsze o was mówi i ma wielką ochotę pojechać do War. Całuje cię i oczekuje niecierpliwie odpowiedzi znajoma ci *Kukulka z pod Lublina.*

Miła Westalko! Zapytujesz jak zdrowie mój mamy? Niestety od czterech już miesięcy spoczywa ona snem wiecznym; została więc zupełną sierotą, gdyż ojciec mój umarł przed czterema laty. Pisuj do mnie, czuję do ciebie ogromną sympatyję, niezmierznie byłabym rada gdybym cię mogła zobaczyć. Żegnaj cię. Kochająca cię *Stokrotka z nad Stochodu.* Staszkę z Podola, Ukrainkę na Mazowszu, Niezabudkę Czeską i Jodelkę z nad Noteci ścisłkam serdecznie.

**Uboga uczennica**, która już nieraz za naszym pośrednictwem pukała do litościwych serduszek, prosi o literaturę polską Kulickowskiego jeżeliby takowa nie była potrzebną tym, którzy ją posiadają.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### Doświadczenie fizyczne.

Zabawka, którą nam powyższa podaje rycina, polega na sile fizycznej znaną w nauce pod nazwą „bezwładności ciała”, której wielokrotnie podawaliśmy już opisy. Zależy tu przede wszystkim na tem, aby trzymając w jednym ręku trąbkę ze sztywnego papieru i dwie kostki od gry, jak to na obrazku widzimy, podrzucić je w górę, jedną po drugiej i następnie obiedwie z kolei do środka trąbki pochwycić. Z pierwszą kostką rzecz będzie dość łatwa, lecz drugą, rzadko kiedy uda nam się tak uchwycić, aby ta, która się już wewnątrz trąbki znajdowała, przez silne wstrząśnienie ręki, nie wyskoczyła znowu na zewnątrz, i tak zawsze będziemy mieli tylko

jedną kostkę w trąbce. Lecz jest na to sposób, i proszę go tylko zastosować, a przekonacie się, jak znakomicie jest obmyślony. Gdy już pierwszą kostkę podrzuconą do góry, pochwycimy do trąbki, nie podrzucą się drugiej, lecz szybko opuszczając rękę wraz z trąbką na dół, wypuszczając jednocześnie z palcy kostkę trzymaną, tak, aby ta która jest w trąbce, niż się znajdowała od tej, którąśmy co dopiero z palcy wypuścili. Kostki spadają *wolniej* niż zdolni jesteśmy poruszyć ręką, z tego powodu, trąbka, na jedną chwilę niż się znajduje od kostek, które też łatwo wtenczas pochwycić można.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska



ie usiłowałem tłumaczyć Violi żem tylko żartował, żeby nie tamować jego ochoty do mówienia o przedmiocie który mnie bardzo zajmował, a który on widocznie lepiej znał odemnie.

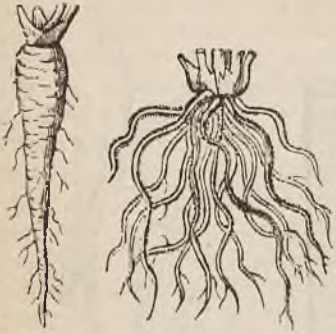
— Gdy ziarnko posadzone w ziemię napełnieje i wykiełkuje — mówił dalej — pokazują się natychmiast dwie części wydające; jedna zagłębia się w ziemię, druga kieruje się w górę: korzeń i łodyga. Załuję że nie mam nie takiego pod ręką bobym ci pokazał.

— Przypatrywałem się nieraz kiełkującym ziarnkom fasoli — wtrąciłem.

— Jakie to ciekawe, nieprawdaż? Ale może nie wiesz że korzenie bywają dwojakie.

-- Dwojakię, jakto?

— Przedłuża się korzeń i grubieje, wypuszczając z boku małe, krótkie włókienka, zwane korzonkami, jak naprzykład najpospolitsze nasze warzywa: buraki, marchew, rzepa, oraz drzewa naszych lasów i wtedy zwie się  *pionowym* ; albo też korzeń składa się z licznych odnóg, prawie jednakowej grubości i takie, zwą się  *wiązkowemi*  czyli włókni-  
 stemi, jak korzenie melonów zbóż, lilii, i palm. Ale może ty buraków i marchwi nie widziałeś inaczej jak na półmisku, a korzeniom lilii i zbóż nie przyszło ci się ni gdy na myśl przyglądać?



Korzeń pionowy i korzeń wiązkowy.

Uraziło mnie to przypuszczenie. Chciałem sprostować jego mniemanie, ale Viola

nie czekając odpowiedzi, mówił dalej.

— Sosna silnie utwierdzona w ziemi przez zakorzenienie głębokie, stawia czoło najgwałtowniejszym uraganom, a palmę której korzenie wiązkowe płytko i poziomo rozkładają się w piasku, z łatwością wiatr obala.

— Ze korzeniom przypatrywałem się nietylko na półmisku — odezwałem się korzystając z chwilowej przerwy — niech cię to przekona, że wiem iż między nimi są takie, które nie służą do utwierdzenia rośliny w ziemi, ale pływają po wodzie, jak naprzykład korzenie rzęsy wodnej, którym miałem sposobność do syta się napatrzeć, mieszkając na wsi.

I przypomniawszy sobie niektóre rzeczy zasłyszane od Astragalusa, mianowicie co mówił o pasożytach, powiedziałem chcąc zaimponować Violi memi wiadomościami.

— Wiem też o takich, które ciągną żywność w tkance innych roślin.

— Ach, mówisz pewnie o korzeniach jemioly tworzącej ładne zielone krzaczkę kępiaste, na jabłoniach, topolach, sosnach i innych drzewach — zawołał nie zgadując mojej intencji — To także zadziwiający i bardzo ciekawy.

Wyraz zamyslenia i powagi rozlał się po jego twarzy, czyniąc go starszym niż był naprawdę.

— Zastanawiam się nieraz nad tēm, jak to z każdego krzaczka, z każdego źdźbła trawy, mądrość Boża wygląda. Części składowe gruntu są różne w różnych stronach naszego globu: aby więc wszystkie miejsca mogły być roślinnością pokryte, Bóg dobry dla każdego gruntu inne stworzył rośliny i nadał korzeniom rozmaity formę. Dla roślin mających żyć na wyniosłych górach, pośród skał lub między głazami, dał korzenie twarde, drzewiaste, rozgałęzione na silne i kręte odnogi, rozdzielone na liczne gałązki i włókienka; a dla gruntów miękkich i przepuszczalnych, korzenie proste, pionowe, idące w ziemię głęboko. A jakim ten dobry Bóg cudownym instyktym, opatrzył owe brunatne, niepozorne ślepe korzonki! Powstrzymywane w swym pochodzie, rozwijają nieraz zadziwiający siłę mechaniczną i przewyciężają wszelkie przeszkody. Umieją one radzić sobie w każdym położeniu, i stosują kierunek odpowiednio do tego czy natrafiły na ziemię wilgotną, czy suchą, ścisłą czy lekką, piaszczystą czy kamienistą. Jeśli im jest dobrze, to roztropnie skupiają swe włókna w kępy; ale zgadnij co robią, jeżeli miejsce na którym roślina zamieszkała, jest dla niej niedogodne, jeżeli grunt zbyt jałowy a wody niema w blizkości.

— Hm, cóż one zrobić mogą — wyszeptalem — chorują zapewne i umierają.

— Ale gdzież tam! zanim do tego przyjdzie, próbują wprzód wszelkich środków zaradczych i zwykle skutecznie. Korzeń wydłuża się do niesłychanych rozmiarów, szukając pożywniejszego dla rośliny gruntu, lub idąc za biegiem strumyka!

Słuchałem słów Violi z przejęciem, myśląc że podobnie

dzieje się z ludźmi: gdy im się nie powodzi w jednym miejscu, szukają polepszenia losu gdzieindziej.

— Coby też to było — spytałem — gdyby kto roślinie chciał się sprzeciwić i odwrócić ją do góry nogami? Chciałbym wiedzieć jakby sobie poradziła w tym razie!

— Królewicz tego próbował: korzonek i łodyżka odwróciły się także i jedno zagłębiło się w ziemię, a drugie skierowało ku niebu. Dowód to jak silna jest w korzeniu dążność do zagłębiania się w ziemię.

— Wiedziałem ja zawsze, że życie rośliny, bardzo jest zależne od korzenia — odezwałem się znowu — ale sądzę że niemniej od niego znaczy łodyga, bo ona wzięta razem z gałęziami i liśćmi, daleko więcej miejsca zajmuje w powietrzu, niż korzenie w ziemi.

— O tak, łodyga ma wielkie znaczenie — odrzekł Viola. — Czy uważałeś, że każda w pewnych odstępach posiada tak zwane „węzły życia”, czyli oczka z których wyrastają liście i wypustki; ona dźwiga na sobie konary, gałęzie, liście i kwiaty; przez jej tkankę soki wysane z ziemi drobnymi włókienkami korzeniowemi, przenikają do wnętrza rośliny.

— Węzły życia... — powtórzyłem zamyślony — bardzo słusznie tak nazwano miejsca z których życie wytryska.

— A gdybyś wiedział jaka jest różnaitość między łodygami! Jedne wnoszą się prosto i sztywno, inne wężle, nie mają dość siły aby się utrzymać w pionowym kierunku; rozpościerają się na ziemi, pogięte i rozwleczone, podnosząc tylko część przednią, podobne tem do robaka który pełzając podnosi głowę. Inne jeszcze, leżąc przyczepiają się do ziemi za pomocą korzeni przybyszowych, a jeszcze inne czepiają się różnych przedmiotów, wpijają w nie brodawki lub haczykowate korzonki, jak bluszcz, i albo bójają w powietrzu, albo szukając podpory, okręcają się około drzew jak chmiel lub powój. Wijące, wiją się zawsze w jedną stronę, i jeżeli chcieć im się sprzeciwić, stawiają opór. Powoje i fasole idą zawsze od prawej ku lewej stronie, chmiel przeciwnie, od lewej ku prawej. Przyszła mi raz ochota zrobić im figla. Odkręciłem z tyczki fasole i owinąłem ją na odwrót, ale wróciła do poprzedniego kierunku. Powtórzyłem próbę kilka razy na innych, i zawsze skutek był jednakowy.

— Biedna roślina — odezwałem się — jak ona się musiała zmęczyć, ile wysień zrobić, żeby twój figiel naprawić! Jabym się ję nie sprzeciwił.

— Nie zrobiłem tego przez złośliwą chęć dokuczania — odrzekł Viola — ale chciałem się przekonać do jakiego też stopnia dochodzi jej wytrwałość. Królewicz Zielonko ma w swych ogrodach wiszących, na tarasach geograficznych, przepyszne płatorośle amerykańskie: Jedne z nich zwieszają się w festonach, drugie kołyszą się niby wstęgi, inne wiją się jak węże między drzewami, przerzucając się z jednego na drugie i tworzą taką płatanię liści i kwiatów, że gdy patrzysz na nie, trudno rozpoznać co do której rośliny należy. W naszych klimatach, bluszcz, powojnik i wiciokrzew, zastępują na małą miarę te płatorośle amerykańskie. W objętości i wysokości łodygi, jest też różnaitość ogromna: pnie drzew niektórych dochodzą do potwornych rozmiarów, a łodyżki niektórych roślinek wiosennych, zaledwie w grubości nitce wyrównywają. W trwałości ich też jest różnica: jedne z tkanką mocną, ścisłą, trwają lata całe, te królewicz zowie  *drzewiastemi* ; inne, miękkie, żyjące po roku, dwa i więcej,  *zielnemi* ; a jeszcze inne mające tkankę rzadką, obfitym wodnistym sokiem napełnioną,  *mięsistemi* .

— Słyszałem o łodygach podziemnych, ale nie wiem jak to rozumieć. Co się znajduje pod ziemią, to jest już korzeniem.

— Tak myślałeś? ach, mój drogi, myliłeś się bardzo! Kosańce, turzyca i wiele innych roślin, mają łodygi podziemne, mylnie przez nieświadomych uważane za korzenie. Czółgają się one pod ziemią jak złoczyńcy, jak duchy, w kierunku ukośnym lub poziomym, i wegetują końcem przednim, podczas gdy część tylna, niszczyje zwolna skutkiem wieku.

— Czemże jest cebula? — spytałem.

— Cebula? Cebula jest także łodyżką podziemną.

— Jakto! nie jest korzeniem?

— Broń Boże! Włókna korzonkowe wychodzą właśnie z jęj części dolnej.

— W takim razie każdy gatunek łodygi powinienby się inaczej nazywać.

— Tak też jest: łodyga drzew naszych lasów, nazywa się *pnieniem*; łodyga palm i paproci drzewiastych, podobna do kolumny uwieńczonej liściastym nadglówkiem, nazywa się *stłupcem*; łodyga traw walcowata, prawie zawsze wydrążona i mająca w odstępach kolanka z których wyrastają liście, zowie się *żdźbłem*; wreszcie łodyga grzybów, *trzonem*.

— Pień, słupiec, źdźbło i trzon — powtarzałem sobie w myśli — będę pamiętał; dziękuję ci.

— Królewicz Pióropuszek utrzymuje, że człowiek bardzo wiele może nauczyć się od zwierząt; królewicz Zielonko mówi to samo o roślinach, a twoje zdanie Janku, jakie? Który z nich ma rację?

— Oba — odpowiedziałem. — Rośliny i zwierzęta w wielu razach mogą być dla nas przykładem, a nie wątpię że i z minerałów możnaby nie jedną naukę wyciągnąć. Z tego co tu słyszałem od ciebie o korzeniu i łodydze, wnoszę, że człowiek nie powinien ani jak rześa wodna pływać na powierzchni życia; ani żyć pasożytnie jak jemiola na innych drzewach, ani rozkładać płytko korzeni jak palma, ale jak sosna silnie utwierdzona w ziemi, stać prosto, mocno, sięgać ku niebu wysoko i jak ona stawiać czoło najgwałtowniejszym wichrom i burzom.

Oczy Violi błysnęły wzruszeniem: łagodne i głębokie, przypominały bratki.

— Ja to sobie nieraz myślałem — powiedział — tylko nie umiałem tak gładko i jasno wypowiedzieć. Wyjąłeś mi je z głowy, a raczej z serca... a ponieważ myśli nasze zgadzają się z sobą, bądźmy przyjaciółmi!

Podaliśmy sobie ręce i uścisnęli się serdecznie. Tak rozmawiając nie zauważyliśmy nawet, że przestrzeń dzieląca Różany gaj od Koralowego grodu skracala się coraz bardziej. Przestrzeń to była jednak znaczna, czułem ją po moich nogach, dobrze już zmordowanych, ale opowiadanie Violi i tysiączne przedmioty pociągające mój wzrok, tak mnie zajmowały, że prawie nie wiedział jak czas przeszedł. Gdy pałac Pióropuszka, ten klejnot prawdziwy, zabłysnął czerwonymi ścianami, Viola pożegnał mnie, mówiąc:

— Teraz już trafisz z łatwością; ja muszę wracać, bo przed południem jeszcze mam towarzyszyć królewiczowej do chorego cudzoziemca, którym się ze szczególną troskliwością opiekuje i którego leczy.

Słowa te zbudziły we mnie znowu cały szereg myśli i wspomnień, i jak niedawno przy posągu Bożydara, przypomniło mi się wszystko co pisał o tym obcym człowieku Abrokadabrus: Eucalyptus posłany mu przez królewicza, Elodea kanadyjska mająca oczyścić jego moczary, podarunek przysłany przez niego Zielonce... Zobaczyłem go oczyma duszy płynącego łodzią pod balkon mistrza i posłyszałem pieśń którą śpiewał, a pragnienie ujrzania go wzrastało w mój piersi ciągle. Jakaś tajemnicza siła z której nie umiałem zdać sobie sprawy, ciągnęła mnie ku niemu.

Od chwili rozstania się z Violą, szedłem ciągle wybrzeżem morskiem, pod cieniem kończącego się tutaj świerkowego lasu. Widać stąd było wspaniałą zatokę: stały w niej na kotwicy dwa okręty z powiewającymi na nich flagami Pióropuszka, czarnym sokołem w zielonym polu i jeden z banderą cudzoziemską, a dalej kołysało się kilka łodzi rybackich. Słońce południowe rzucało wprost na morze swe blaski, a woda fałdująca się w drobną łuskę błyszczała tak olśniewająco, że trudno było na nią patrzeć. Zmęczenie czułem nie tylko w nogach ale i w piersiach; siadłem więc w cieniu drzew na murawie żeby odpocząć, a szkatułkę z wonnemi klejnotami postawiłem przy sobie. Oczy moje utonęły z rozkoszą w cudownym krajobrazie i znowu na myśli stanęła mi owa noc

ciepła, gwiazdzista wśród której płynęła po falach pieśń cudzoziemca i serce mi uderzyło.

— Co to jest? Co to znaczy? Dla czego serce rzuca mi się w piersiach na samą myśl o nim? Co mnie może obchodzić ten człowiek? Czemu on jest dla mnie?

Ile razy się zmęczę, zaraz kaszlę, teraz też porwał mnie kaszel i trzymał kilka minut. Widząc poza sobą małą wyniosłość, zdjąłem swoje średniowieczne nakrycie głowy i wyciągnąłem się jak długi. Teraz oczy moje błądziły po mchach różnobarwnych, po trawce której łodygę Viola nazywał źdźbłem, po ciemnych porostach okrywających kamienie i po delikatnych liściach paproci, aż natrafiły na przedmiot od których już oderwać się nie chciały. Przedmiot ten pochłonął całą moją uwagę, wyrugowawszy inne myśli, a była nim żywa istota. Zielona, czarno nakrapiana, siedziała nieruchoma na liściu podbiału, o trzy kroki odemnie, i patrzyła na mnie dużymi wypukłymi oczyma. O trzy kroki tylko, ona dla której Tygrys z rozpaczą w sercu pojechał napowrót do Afryki, wyrzekając się powitania rodzinnej ziemi — ona, za którą tęsknił i o której miesiące całe marzył Pióropuszek! I jaż byłbym tym szczęśliwcem znajdującym ją na swój drodze, gdy inni szukali jej na krańcach świata? Nie, to nie może być, to chyba omyłka! Gdyby żaby latające mieszkaly na wyspie Atlancie, królewicz wiedziałby coś o tem. To nie może być ona, chyba jaka blizka jej krewna, bardzo do niej podobna. Ach, gdyby chciała się poruszyć, gdybym mógł sprawdzić czy niebieskawe brodawki pokrywają jej nogi, i czy tylne połączone są błoną! Widziałem ją raz tylko na pokładzie Mewy, ale jej powierzchowność utkwiała mi dokładnie w pamięci...

Ona się nie poruszała, ja także byłem nieruchomy jak głaz, obawiając się ją spłoszyć. I widocznie wzięła mnie za martwy przedmiot różniący się tylko formą od głazów, a moje ubranie za pokrywający mnie ciemny porost, bo przeskoczyła na inny liść, bliższy mnie jeszcze. O radości! to była ona, nie omyliłem się! Dowodziło tego niebieskawe zabarwienie nóg i błony łączącej jej palce. Ale jak ją pochwyć? Uda wałem dalej nieruchomego i żaba podskoczyła jeszcze raz, tak blisko że mogłem ją ręką dosięgnąć. Wówczas szybkim, nagłym jak błyskawica ruchem, nakryłem ją moją czapeczką. Pod ręką ucułem drgnienie schwytanęj, miałem ją! Podniosłem się teraz na kolana, zebrałem ostrożnie aksamit czapeczki, niby woreczek i trzymając ją tak prawą ręką, lewą otworzyłem szkatułkę z klejnotami i wpuściłem tam żabę — poczem zamknąłem natychmiast i kluczyk włożyłem do kieszeni. Nie bałem się jej udusić, bo w szkatułce były po bokach małe otwory dla przewiewu powietrza — kwiaty bowiem potrzebu ją także oddychać.

— No — pomyślałem, odetchnawszy — nie spodziewałaś się nigdy dostojna żabo, że spoczywać będziesz na tak wspaniałej i wonnej pościeli! W swojej ojczyźnie nie widziałas pewnie nic podobnego.

Zapomniałem o mojem zmęczeniu i zerwawszy się, szedłem szybszym niż dotąd krokiem ku pałacowi, niosąc podwójnie teraz cenną szkatułkę, z której leciutki szmer mię dochodził. Zachodziłem w głowę, jakim sposobem ta znakomita żaba znalazła się w miejscu gdzie odpoczywałem, skoro zginęła w czasie burzy morskiej i jakim to cudem się działo, iż Pióropuszek nic nie wiedział, że ona znajduje się tak blisko niego — w końcu doszedłem do wniosków następujących. Żaba w czasie burzy nie zginęła z kajuty Tygrysa, tylko gdy wskutek gwałtownego kołysania się okrętu, przewróciła się czara będąca jej mieszkaniem, uwolniona tak niespodziewanie z więzienia, ukryła się chwilowo w jakim kącie — a ponieważ żaby ciągną zawsze do wilgoci, więc szukając tej wilgoci trafiła do klatki jaszczurki rogatej i tam się ukryła, wśród ziemi mokrej i trawy, bo szczeble klatki były rzadkie i łatwe dla niej do przebycia. Rzecz naturalna że Tygrys szukający jej wszędzie i nie domyślający się schronienia tej damy, nigdzie jej nie znalazł. Potem dostała się wraz z jaszczurką na pokład Narcyza i gdy Tamarix zarzuciwszy kotwicę w zatoce Koralowego grodu, zdawał powierzony sobie ładunek, żaba albo wyskoczyła przy przenoszeniu klatki, albo też wyrzucona

została z trawą i innym nieużytecznym zielskim spód klatki wyściełającym, i zawędrowała do świerkowego gaju, gdzie między wilgotnymi, porośniętymi mchem kamieniami i w sąsiedztwie strumieni, było jęj bardzo dobrze. Tak być musiało, nie inaczej.

Na stopniach pałacu stał Pióropuszek; poznałem go po rycerskiej postawie i twarzy marsowej, jak go opisywał w listach swych Abrakadabrus. Patrzył przez lunetę na morze. Czego on tam upatrywał? Może chciał się przekonać, czy Mewa nie powraca, wioząc mu upragnionego gościa? Pewnie tak było, bo stojąca obok niego królewiczowa Perelka, spoglądała nań z jakimś wesołym, żartobliwym uśmiechem.

Wszedłem na stopnie i złożywszy głęboki ukłon, podałem królewiczowej szkatułkę wraz z kluczykiem. Perelka przyjęła ją z wdzięcznym uśmiechem, otworzyła zaraz, zapuściła w nią swoje białe ręce i cofnęła je natychmiast z okrzykiem. Królewicz odwrócił się z żywością, spojrział i oniemiał. Patrzył, patrzył, patrzył nie dowierzając własnym oczom, nareszcie zawołał tonem radosnego tryumfu:

— Rhacophorus Rheinwardti!

Żaba siedziała nieruchoma, bądź to odurzona wonią kwiatów w szkatułce, bądź przerażona nagłym jęj uwieszeniem albo widokiem kilku naraz osób. Klejnoty, owe prawdziwe arcydzieła sztuki jubilerskiej, zostały zapomniane, żaba zajęła wszystkich! Zbiegł się cały dwór, dziwiąc się, przypatrując, chwalać. Żaba stała się nagle na tym dworze „persona gratissima”, której względy wszyscy pragnęli sobie zjednać. Przyniesiono na noszach jedwabną makatę okrytych, dużą złotą klatkę i posadziwszy w niej z szacunkiem żabę na zielonym aksamicie, przeniesiono uroczyście do stawów w których miała zająć mieszkanie. Stojąc na najwyższym stopniu schodów, patrzyłem zdala na ten pochód, któremu dziwić się musiała także sama żaba, siedząca niby w palankinie i niesiona na czele pochodu, jak królowa idąca w tryumfie na objęcie królestwa. Sam marszałek dworu trzymał nad nią parasol.

Zostałem sam, rozmyślając nad tem dziwnem zdarzeniem i mówiłem sobie, że gdyby w królestwie zwierząt wybuchło nagle powstanie i Pióropuszek zrzucony został z tronu, to ci co się dziś żabie kłaniają, wyrzucili by ją pewnie z palankinu, a „persona gratissima” poznałaby co to jest zmienność losu... Spoglądałem z żalem na szkatułkę z zapomnianymi klejnotami i nie chciałem aby zwiędły na słońcu, przymknąłem ją. Upłynęło pół godziny, a nikt nie przychodził, nareszcie zjawił się paź po szkatułkę i mówił do mnie coś po atlantyjsku, ale pokazałem mu na migi że nie rozumiem, więc powiedział po francuzku że mam oświadczyć królewiczowi Zielonce, iż królewicz Pióropuszek przybędzie dziś sam do Różanego gaju, dla podziękowania królewskiemu bratu.

(d. c. n.)

## OBRAZKI Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

### I.

#### Dolina Nazaretu.

Wśród rozległej, wzgórzystej, pokrytej bujną roślinnością okolicy, widzimy kościół i miasteczko w malowniczym położeniu na stoku góry. Jeden rzut oka przekonywa, że patrzymy na krajobraz wschodni, bo wielbłądy użyte tu są do pracy rolnej, jako zwierzęta domowe, a kaktusy olbrzymie lubo tegoż samego gatunku jak nasze doniczkowe, rosną dziko i gęsto, tworząc żywopłoty. Kobiety w miejscowych obszer-nych szatach obyczajem wschodnim, niosą na głowach naczy-nia gospodarskie. W tej to zacisznej kwiecistej dolinie Naza-retu zamieszkał Jezus dziecięcim, po powrocie z Egiptu, „wzrastając w lata i mądrość Bożą”. Dziś jest to miasteczko schludne i zaciszne, mające około 6,000 mieszkańców po więk-szej części mahometańskiego wyznania, niewielką zaś liczbę

chrześcijan. Trzeba wszakże oddać tę sprawiedliwość Turkom że szanują tradycje chrześcijańskie i miejsca niemi uświęcone. Katolicy mają tu kościół pod wezwaniem Nawiedzenia.

## NA ZAMKU WIESZCZKI.

Jeden ze znakomych współczesnych obcych powieściopisarzy opowiadał, iż pewnego razu otrzymał miłościwe zaproszenie wieszczki, aby ją odwiedził w jęj zamku.

U stóp gór niebotycznych — mówi — pośród gęstej kniei, kędy dźwięki wojskowych tręb i myśliwskich rogów mieszają się z szumem odwiecznych sosen, znajduje się ten zamek wieszczki, zamek pełen cudnych malowideł i rzeźb, starych wiezo i rzadkich pamiątek, drogocennych gobelinów i kosztownych kobierców, mebli przepysznych i wspaniałych zwierciadeł weneckich. Do rezydencji tej przybyłem jesienią, popołudniu. W blaskach zachodzącego słońca, okna zamku wydawały się, jakgdyby ze szkła różnokolorowych, a mury niby wysadzone złotem i rubinami. Przechodząc przez długi szereg olbrzymich sal, spotykałem poważne damy i wojskowych, młodzieńkie dziewice i paziów zajętych wesołą rozmową. Wreszcie otwarto przedemną rzeźbione podwoje, uchylono ciężką adamaszkową portyę i wprowadzony zostałem do pokoju, który wieszczka swoją pracownią nazywa. Pokój to duży, z widokiem na piętrzące się w oddali szczyty gór. Przez otwarte okna gałęzie starych sosen zagładają, a woń żywicy i pachnących leśnych ziół napływa do wnętrza pokoju. Na jednę ścianie wisi portret króla, męża wieszczki; drugą zajmuje wielki obraz francuzkiego malarza Delacroix, przedstawiający złożenie do grobu Chrystusa.

Zastałem wieszczkę przy stalugach. Na pergaminie złotem i kolorami malowała karty wspaniałego mszału. Obok niej młode, piękne, ciemnowłose panny na materji, o płowych, staroświeckich barwach, haftowały jedwabiami wieńce, z fantastycznych kwiatów i liści, piękne panny były w jasnych, od złota lśniących strojach. Wieszczka miała długą, białą, srebrną haftowaną suknię. Biały przezroczysty, w srebrne gwiazdki usiany welon, w miękkich fałdach spadał od czoła do drobnych jęj stópek.

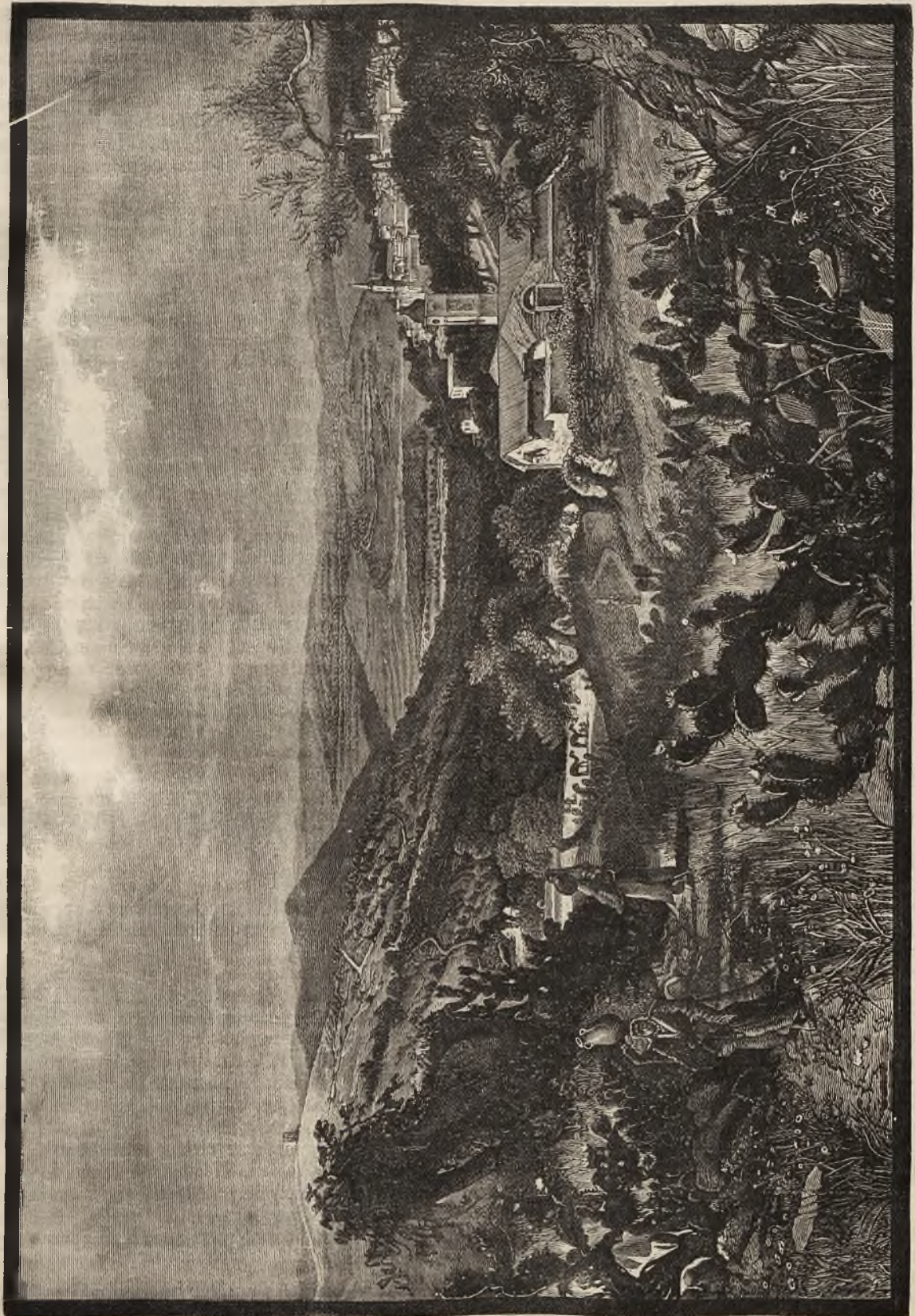
Gdy wszedłem, powitała mnie bardzo łaskawie, wyrażając życzenie, abym dłużej w gościnie u niej pozostał. Nigdy w życiu nie otrzymałem dotąd miłszego nad ten rozkaz! przez cały czas pobytu mego w królestwie wieszczki, w jęj zamku, ciągle mi się zdawało, że przebywam w lepszym, doskonalszym świecie.

Wieszczkę otaczało zawsze kilka młodych panien, zmieniających się co parę godzin. Gdy jedna z tych panienek wyszła, natychmiast z poza portyery wysuwała się inna. Złożywszy dworski, głęboki ukłon, zbliżała się cichutko po miękkim jak puch, barwistym kobiercu i całowała ręce królowej. Niektóre kękały u jęj stóp i opierały głowę na jęj kolanach, a wieszczka tuląc je do siebie z macierzyńską troskliwością, mawiała: „to są moje córki”. Nieopisaną dobrocią, a razem niewymownym smutkiem brzmiał głos wieszczki wymawiającej te słowa: „moje córki”...

Do najmilszych wspomnień z mego pobytu na zamku wieszczki, zaliczam wycieczki do lasu. Zwykle o godzinie dziewiątej z rana do drzwi mego pokoju pukał marszałek pałacowy, oznajmiając że wieszczka już wychodzi na przechadzkę. Co tchu zbiegałem po wspaniałych wschodach zaślanych perskimi dywanami. Zastawałem zazwyczaj wieszczkę na tarasie zamkowym. Ubraną zwykle była w białą korcikową suknię. Towarzyszące jęj damy i panienci, zamiast wschodnich strojów, które nosiły w pałacu, miały na sobie ubrania tegoczesne bardzo skromne.

Wrześniowe poranki bywały przepysznie pogodne, lecz chłodne. Ten przejmujący chłód i kropelki zamarznętej rosy, błyszczące wśród zieleni liści i trawników, dziwną stanowi-





DOLINA NAZARETU.

ły sprzeczność, z cudnym błękitem nieba, właściwym krainom Wschodu. Słońce świeciło jaśniej i weseliej niż u nas, a cały orszak wieszczki ścieżkami wysypanemi zwirem, podążał w gestwinę olbrzymich sosen.

Daleko od zamku, gdzie las zaczyna się przerzedzać, znajduje się pałacyk strzelecki, pełen skór niedźwiedzi, rogów bawolich i łosich, wypchanych głów jeleni i dzików. Tam odpoczywaliśmy i tam wieszczka czytywała nam swoje piękne, do druku przeznaczone utwory. Stuletnie drzewa otaczające dokoła pałacyk, rzucały cienie na rzeźbione ściany sali, w której siedzieliśmy; z głosem wieszczki mieszał się szmer spływającego z gór strumyka. Często w tych spacerach towarzyszył nam król, mąż wieszczki, mężczyzna o rysach szlachealnych i regularnych, nadzwyczaj łatwy, ujmujący w obejściu z otaczającymi. I obejście panierek z wieszczką nie ma w sobie nic ze sztywniej etykiety dworskiej: jest serdeczne, tkliwe, poufale, jakgdyby istotnie były jej córkami. Pewnego razu wieszczka rozłożywszy rękopis, sięgnęła po lornetkę zatknętą za pasek i przytwierdzoną agrafą z brylantów przepysznych, jakie tylko monarchowie posiadać mogą. W tej chwili paniarki otoczyły wieszczkę: „nie pozwalamy — wołały chórem — aby wasza królewska mość zakrywała oczy! W tych szklach bardzo nieładnie najjaśniejszej pani!” — Jedna figlarka ze śmiałością rozpieszczonej córeczki odpięła lornetkę. Przeczytawszy parę stronic, wieszczka spojrzała smutno na figlarną paniarkę.

— Moje dziecię — rzekła słodkim głosem — naprawdę nie mogę czytać bez szkieł; oddaj mi je, proszę!

Przedpołudniowe godziny wieszczka zwykle poświęca literackiej pracy. Resztę dnia w towarzystwie dostojnych i znakomych gości i ze swemi „córkami” przepędza, podczas rozmowy zajmując się malowaniem, lub haftem. Wieczorem cały dwór i goście zbierają się w koncertowej sali. Olbrzymie żyrandole rzucają światło na cudnie malowane okna i plafony sali, gdzie wieszczka gra na organach. Gra przepiękne melodie, uroczyste, poważne, wspaniałe, dziwne smutne! Oczy grającej nierządno wówczas zamglą się łzami; na jej obliczu beżmierny smutek osiada... Bo wieszczka obsypana wszystkimi darami jakimi los wybranych swoich zwykł obdarzać, przecież nie jest szczęśliwą... Ciężką boleść przed ludźmi, w głębi serca swego ukrywa, lecz o nią zapomnieć nie może. Matka, nie może zapomnieć że Bogu podobało się zabrać do Siebie, jej śliczną, jedyną, ukochaną córeczkę. W parku otaczającym rezydencję wieszczki znajduje się mauzoleum, czyli nagrobek maleńkiej księżniczki. Rzeźba z białego marmuru przedstawia uśpioną dziecinę, z cudną, anielską twarzą. Główka dzieciny spoczywa na marmurowym wezgłowiu, na którym wyryte są słowa: „Nie płaczcie, ona nie umarła, lecz zasnęła”. — „Nie płaczcie! a jednak... nie przestaje łez ronić matka dzieciny uśpionej snem, z którego już nie obudzi się na tej ziemi”. „Dom bez dzieci, jest pusty, ni by dzwon bez serca”, mawia często wieszczka do swoich przyjaciół. A więc wspaniałe rezydencje wydają się jej pustkami! więc pośród królów, poetów, artystów żyjąca, licznym orszakiem dworzan otoczona, czuje się smutną i samotną, odkąd jej córeczka odeszła do nieba... Biedna wieszczka! jej boleść ukrytą zdradza uśmiech pełen rezygnacji i włosy bujne, ubielone szronem przedwczesnej siwizny: Biedna wieszczka!

Ale komuż to ów pisarz miano *wieszczki* nadaje?... Jakie jest rzeczywiste nazwisko tej królowej i pisarki razem?... tej wszechstronnie uzdolnionej niewiasty, która jednak potrafi zniżyć się do umysłów maluczki i przez kilka tygodni w Sylt \*) drobną dziawę zabawiać opowiadaniem ślicznych bajeczek i powiastek?... Urodzona w środkowej Europie, a monarchini na Wschodzie, prawie wszystkie europejskie języki zna i włada niemi biegle ustnie i piórem, jej starania powołały do życia literaturę narodu, nad którym panuje. Więc jej szczegółów o tej niezwykłej kobiecie nie dodaję, bo i z tego co już powiedziałam można

odgadnąć że jest to Elżbieta królowa Rumunii, pisząca pod pseudonimem „Carmen Sylwa.”

A teraz kiedy już wiadome wam imię wieszczki, możemy jeszcze o niej samą i o ziemi nad którą panuje, pogawędzić trochę. Księżniczka Elżbieta Wied \*) otrzymała bardzo staranne wychowanie. Umysłowe jej wykształcenie uzupełniły podróże po Europie, pobyt w Paryżu, w Londynie, w Sztokholmie, na dworze ciotki królowej szwedzkiej. W każdej z tych stolic najznakomitsi mężowie nauki, rozwijali wrodzone zdolności księżniczki Elżbiety, w rozmaitych kierunkach. Z tej przyczyny Carmen Sylwa równie dobrą jest pisarką jak malarzką i muzyką, a przytem nie gardzi zajęciami właściwymi swjej płci: żadna z robót niewieściich nie jest jej obcą. W r. 1869 poślubiła Karola Hohenzollerna, który od r. 1866 powołany został na tron Rumunii i tam najpierw panował jako książę; obecnie nosi tytuł króla.

Młodzianka księżna przybywszy do Rumunii niezupełnie jeszcze spokojnej, po strasznych wstrząśnieniach politycznych, patrzyła na wiele nieszczęść, łez, smutków. Zrozpaczone wdowy, strapione matki, opuszczone sieroty garnęły się pod opiekę Elżbiety, a ona nie odrzuciła nikogo, pocieszała cierpiących, godziła zwaśnionych, przebaczała występny; wyrozumiała i pełna współczucia dla nędzy wszelkiej, nie zraża się niewdzięcznością, co właśnie stanowi najpiękniejszą stronę jej charakteru.

Panny z orszaku Elżbiety rumuńskiej z małym wyjątkiem wszystkie są sierotami. Królowa usiłuje zatrzeć w ich sercu gorzkie i bolesne uczucie sieroctwa. Dając im słodkie miano „córek“ nie szczędzi macierzyńskich pieczy. Wszystkie też kochają królowę jak matkę. Opuszczając dwór po wyjściu zamąż, nie przestają kochać swojej opiekunki.

Zimę w Bukareszcie przepędzają królestwo rumuńscy, lato na zamku w Sinaia. Tam zdale od zgiełku stolicy i etykiety dworskiej, Carmen Sylwa, oddaje się przeważnie ulubionym swoim pracom literackim. Do Sinaia ukoronowana autorka zaprasza znakomych pisarzy i artystów. Niedawno pożar, wielkie spustoszenie zrobił w Sinaia; lecz zapewne królowa Elżbieta, ulubioną swą letnią rezydencję odrestaurować każe i na nowo arcydziełami sztuki ją ozdobi.

Rumunowie pochodzą od starożytnych Daków. Pierwotnie potężne i niepodległe państwo, następnie stanowiło prowincję rzymską, później bułgarską i bizantyjską.

Dzieje teraźniejszej Rumunii utworzonej z Wołoszczyzny, Multan i Mołdawii zaczynają się w r. 1859 od wyboru na księcia pułkownika Cousa, który w r. 1866 abdykował, a po nim objął koronę i rządy Karol Hohenzollern, do dziś dnia panujący.

Powierzchnia Rumunii po większej części dość płaska. grunt urodzajny, zajęty przeważnie pod uprawę zboża, kukurydzy i t. p. Są w Rumunii kopalnie soli kamienniej, saletry, oleju skalnego.

Język rumuński należy do tak zwanych języków *romaińskich*, to jest tych, które pomiędzy X a XIII wiekiem powstały z pomieszania się łaciny z narzeczeniami miejscowemi. Używany jest również w niektórych okolicach Węgier, Siedmiogrodu, Besarabii. W ostatnich czasach na rozbudzenie ruchu literackiego w Rumunii, przeważnie nawet głównie wpłynęła królowa Elżbieta. Ona to zajęła się zebraniem podań, legend ludowych, pieśni rumuńskich.

Z pomiędzy nielicznych pracowników na literackiej niwie w Rumunii, Assaki, Negri, Sion, poeci liryczni, Aleksandresen poeta dydaktyczny, Aleksandri satyryk zasługują na wzmiankę. Rodziny talentów pisarskich niewiele jeszcze w Rumunii, natomiast pojawiają się liczne przekłady z literatury zagranicznej.

*Halina Tokarczewska.*

\*) Wied niegdyś udzielił hrabstwo w Westfalii. Od roku 1462 rozdzielone na dwa hrabstwa. Wied-Rundel nad rzeką Lahn 4 mile kw. i Newied 11 mil kw. w r. 1824 znów połączone. Maksymilian Aleksander, Filip książę von Wied w pierwszej połowie naszego stulecia wydał bardzo ciekawe wspomnienia z podróży swoich po Ameryce.

\*) Sylt wyspa na morzu Północnym, w bliskości brzegów Szleswigu, 4 mile długa 2 mile szeroka, poławiają tu ostrygi a pod wioską Westerland są kąpiele morskie.

## BRYŁA MARMURU.

Fidyasz, grecki rzeźbiarz, z geniuszu znany,  
 Czerpiąc boskie natchnienie z niebiosów lazuru,  
 Siedział w pracowni swojej w myślach pogrążony  
 I wpatrywał się w bryłę białego marmuru.  
 W pracowni mistrza było cicho jak w świątyni  
 Bo mistrz marzył o sławnej mądrości bogini  
 Trzymając cyrkiel w dłoni, mierzył bryłę całą,  
 By niebawem swą pracę rozpocząć już śmiało.  
 A gdy długo i pilnie cały marmur zbadał,  
 Porwawszy w rękę młotek, pierwszy nim cios zadał  
 I nie ustał w swój pracy mistrz pełen zapału,  
 By nadać bryle kształty swego ideału.  
 Za każdym nowym ciosem, marmurowa bryła  
 Na nieczułość człowieka gorzko się skarżyła,  
 Aż mistrz z bryły kamienia niezbyt miłej oku,  
 Wykończył wreszcie posąg tak pełen uroku,  
 Iż wzruszony i marmur pytał: z kąd się wzięło  
 Ze mistrz z bezkształtnej bryły stworzył arcydzieło?  
 Podziwiali je znawcy w najwyższym zachwycie,  
 Wielbiąc mistrza, co w kamień tchnął Minerwy życie.  
 Nie narzekał już marmur na swe dawne losy,  
 Pojął iż mu na dobre wyszły mistrza ciosy!...

Otóż dziecko, syn sercu ojca drogi, miły,  
 Podobnym często bywa do marmuru bryły,  
 Gdy ojciec dobrze syna wychować się stara,  
 Wykorzeniać się musi nie jedna przywara,  
 Zali się syn, że ojciec nieraz mu dokuczy,  
 Choć ojciec karząc syna, rozum go uczy;  
 Lecz z czasem gdy syn wieku starszego doczeka,  
 Rad że ojciec surowy zrobił zeń człowieka!...

T. N.

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— To już mila tylko panowie i zbłądzić trudno, idąc prosto przed siebie, a nam czas udać się w dalszą drogę... — skromnie przypomniał kupiec. Wręczono mu natychmiast sumkę obiecaną, a słoń, pies i dwóch ludzi ruszyli dalej spokojnie.

— Panie kapitanie, czy możemy biedz? powinniśmy być już daleko... — nalegał Wilko.

— Ach, ach, bodaj czy nie zaczynam rzeczy rozumieć — mruknął kapitan, patrząc za kupcami — słyszałem przed chwilą kilkakrotnie wyrazy dzikich, odnoszące się do córki sułtańskiej; nie pojmowałem tego, a teraz mam prawie pewność, że ci biedni kupcy turecy mimowoli obecnością swą między nami potwierdzili tę pogłoskę. A może ktoś dowcipniejszy od innych rozpuścił umyślnie wśród dzikich pogłoskę, że panna Mac-Ulm jest córką jakiegoś sułtana, co znaczy u nich wielce bogatego władcy, przeto tak ją ściśle pilnują, licząc na niezmiernie z jęj sprzedaży lub okupu sumy. Cokolwiek jest, dziatki!... idziemy dalej!

Ruszono więc niezmiernie przyspieszonym marszem, wy pytując jednocześnie „fortepianistę”, który po kilku dniach wygody i posilnego żywienia, szedł już teraz o własnej sile z głową dumnie wzniesioną, z zegarkiem na uchu. Trzój słudzy indyjscy zniechęceni, wlekli się ostatni.

— Hm, generał Mahora i jego sztab coś na seryo chcą brać generalstwo... — mruzczał młodziutki kapitan, patrząc na nich z pod oka.

— Co to jest za chata w Tungara, ciemna i o grubych bardzo ścianach z gliny i kamienia, daleko mocniejszych niż

macie zwyczaj budować, ta chata w której więziliście białą dziewczynę i białego chłopca? — zapytał, zwracając się do fortepianisty.

— To chata starego Kumasy; to mądry wódz; cała Tungara go słucha. Ma on w północnej stronie za miastem gdzie panowie mieszkają w końcu wsi waszój, dwie chaty, dużą i małą; w dużej sam mieszka z rodziną, a w małej trzyma w zamknięciu gdy kogo uwięzić należy i pilnuje go, bo on jest wódz!

— Aha, a więc ta mała chata służy zawsze za więzienie; zatem i białą dziewczynę doprowadziwszy teraz do Tungara, zamkną tam?

— Tak, bo z każdej innej łatwiej byłoby uciec.

— Plan nasz jasny jest w takim razie: trzeba zajść cicho do wsi od strony północnej, otoczyć chaty Kumasego i uwolnić pannę Mac-Ulm. Jeżeliby zaś nie udało się to zrobić cicho i niepostrzeżenie, jeżeli złościny zechcą jej bronić, będziemy walczyć.

W pół godziny po tój rozmowie, idąc ciągle mocno przyspieszonym krokiem, mimo straszego upału, ale na szczęście lesistszą już okolicą, ujrano z daleka coś podobnego do gromady kretowin, rozpierchniętych na dosyć rozległej przestrzeni. Dalej jeszcze wśród ogromnych kęp zieleni widniało kilka pałacyków, willi, a raczej ich szczątki, pozostałe po ostatnich wypadkach. Mahora, Wilko i Rahib dziwnie skrzywieni i milczący, wypełniali komendę zaledwie powstrzymując oznaki niechęci.

— To siedziby Europejczyków, a tamto wieś tuziemców, fortepianisto prowadź ostrożnie; tak, abyśmy o ile można zbliżyli się nie widziani do mieszkania Kumasego! — mówił kapitan — orientując się z łatwością, pomimo że nigdy tu nie był.

— Za pozwoleniem — rzekł Carré — jeden okrzyk tego fortepianisty, któremu ufać nie mamy żadnej przyczyny, może nas zdradzić i całą sprawę zgubić, dziwię się, że Mahora na to nie zważa — mówiąc to, zawiązał fortepianista usta chustką, aby nietylko krzyzczeć ale i pisać nie mógł, lecz zmuszony powiódł ten mały zastęp, znanemi sobie wśród skał, urwisk, zarośli i rozpadlin, ścieżynami. Wyszędłszy wreszcie z tych zakątów, ujrzeni przed sobą tuż jak na dłoni, dwie chaty, dużą i małą, a dalej całą indyjską wieś, z kilku europejskimi budowlami w głębi krajobrazu.

Mahora spojrział na Wilka, Wilko na Rahiba i każdy podrapał się w ucho albo ramionami wrzuszyl.

— Tak, to taż sama chata, z której uciekłem, wydrapawszy dziurę w ścianie — powiedział Wiliam.

Pozostawało teraz otoczyć tylko chatę i zabrać Klarę. Ale... gdzież pewność, że Klara tam się znajduje?... Prócz tego w całej wsi i okolicy panowała taka głucha cisza, taki uderzający spokój, jakby wcale tam ludzi nie było. Zdziwieni wędrowcy spoglądali to na milczącą wieś, to wzajemnie na siebie, to znów na indyjskiego chłopca, na którego twarzy malowało się nie mniejsze niż na innych zdumienie. Trzej tylko słuźący Indyanie gniewni i zmartwieni nie dziwili się wcale.

— Czy podobna przypuścić aby ci dzicy nie zdążyli jeszcze tu powrócić, gdy my już zdołaliśmy przybyć?... — myślał każdy, ocierając pot, strumieniem spływający po twarzy — co prawda pędziliśmy jak zające, ale przecież oni to jeszcze lepiej biegać umieją.

— Ha, bądźcobądź nie możemy stać bezczynnie; jedyne możliwe przypuszczenie jest, że Indyanie, wróciwszy zwyczajem swoim, zdążyli się już uspić. Cicho więc i zwolna otoczyć trzeba dwie chaty Kumasego! — zakomenderował kapitan.

W ciągu trzech minut spełniono rozkaz przy ciągłem niepojętem ze strony nieprzyjaciół milczeniu, następnie wyparto drzwi małej chaty, potem dużej, a dalej wszystkie inne zwiedzono dowolnie, gdyż wszędzie zastano pustkę, w całej Tungara i okolicy nie spotkano żywego ducha, ani najmniejszych zapasów żywności, ani żadnej rzeczy, któraby komukol-

wiek na cośkolwiek przydać się mogła; nawet na ognisko, lepianki te ziemne i kamienne, nie dostarczyły materyału. Pomimo całego pozornego niepodobieństwa, trudno było nie zrozumieć teraz, że Indianie nietylko zdążyli już tu przybiedz, ale zdążyli także zabrać dzieci i całe rodziny, zwierzęta domowe, zapasy i całe swe niezbyt obficie co prawda zaopatrzone gospodarstwo i uciec z tem wszystkim w niedostępne kryjówki. A wszystko to zdążyli uczynić podczas gdy Europejczycy pędzili wedle własnego mniemania „jak zające”, mając też samą co i tamci do przebieżenia przestrzeń. Strach, który im skrzydeł dodawał musiał być wielki, a skrzydła te lotne, kiedy nawet młody Indianin zdumiony był. Dowodziło to, że poprzednie dwa z Europejczykami spotkania ciężko dały się złoczyńcom we znaki, jeżeli tak stanowczo unikali trzeciego. Pochlebne to było dla małego oddziału improwizowanych wojsaków; ale pominąwszy tę chlubną stronę rzeczy, sprawa cała komplikowała się straszliwie.

Zachodziło pytanie, co teraz począć?... Z pytaniem tem na ustach i załamaniem rękami stanęli wszyscy bezradnie, wśród bezludnej Tungary, spoglądając na się wzajemnie z rozpaczą prawie. Trudne w istocie było położenie. Mac-Ulm tracił córkę z oczu zupełnie tym razem, bo dzicy wynosząc się tak ze wszystkim z siedzib swoich, dawali tem poznać, że wracać do nich nie myślą, gdzie więc teraz szukać należało nieszczęsnego dziewczęcia, któremu jeżeli oszczędzała życie mniemana godność sułtanka, czyli nadzieja ogromnego za nią okupu, to z drugiej strony, taż sama nadzieja okupu, czyniła ją zbyt pożądanym dla Indian łupem, aby nie mieli tak jak i dotąd strzedz jęj dalej usilnie przed poszukującą ją rodziną. Szukać wiatru w polu na jednoby wyszło co szukać Klary, uniesionej teraz przez dzikich w głąb lasów i przepaści, tak właśnie jak okrutny tygrys unosi porwane od stada jagniątko. Niemniej straszem było położenie kapitana Lory, który z zaciętymi ustami i błędnym wzrokiem, prawie niepodobny był w tej chwili do trzpiotowatego troszczkę choć zawsze dzielnego „ojca“ starych wilków morskich z parowca „Almaviva.” Zdolny, odważny, pracowity i zacny chłopak, niezmiernie młodo skończywszy nauki, potem odznaczając się temiż przymiotami na każdym stopniu, został troszczkę zawczasie może dowódcą okrętu. Czyniło go to wprawdzie ulubieńcem jego starych „dziątek” ale narażało czasem na straszne chwile, takie właśnie jak obecna, gdy rozum przejrawszy nagle potępił to, co uczyniła płochość młodociana, przebrana w maskę zacnej waleczności, bohaterstwa nie ledwie. Opuszczając pokład swego parowca, kapitan Lory sądził że nieobecność jego chwilową tylko będzie, a powróci szczęście dwom rodzinom, dzieci, dwom zrozpaczonemu starcom. Potem, okoliczności pociągnęły go dalej niż zamierzył, a oto teraz stawał przed sądem własnego sumienia i honoru, pod grozą ostatecznej hańby jako żołnierz opuszczający samowolnie szeregi, dowódca sprzeniewierzający się obowiązkom, kapitan opuszczający pokład, którego żywemu opuszczać nie wolno. Czyliż teraz powinien porzucić wszystko i wracać ze swoimi na okręt?... wracać, pogorszywszy o wiele butną nierozwagą sprawę dwóch rodzin, którym ofiarował się z pomocą. Poczucie honoru wojskowego, obowiązku, i próżność, a także uczciwa ludzkość, szarpały w tej chwili okrutnie sercem biednego kapitańka, przypominającego sobie ze wstydem, jak

przed godziną czy dwoma posadzał o takąż najędzniejszą próżność Mahorę i Wilka, gdy ci usiłowali nagle go do śpieszniejszego pochodu, znając Indian lepiej niż on, a on sądził że Mahora chce przywłaszczając sobie prawa dowódcy.

— Przyjacielu — rzekł Mac-Ulm do Thorna — proszę cię, rozdzielmy losy nasze dopóki czas... dopóki nieszczęście które mię ściga, nie upłaje i ciebie w zdradne swe sieci: oto posiadłości twe, dom i budynki, zniszczone lecz dające się jeszcze odbudować, oczekują na właściciela, masz twoje dzieci i wiernych służących; złoczyńcy uciekli i podobno nieporządki nie powtórzą się już w tych stronach, bo ruchy wojsk zasłonią je natychmiast, wedle wiadomości z Kalkuty, przed kilku dniami nas doszłych na parowcu, zostaną tu w zdrowiu i rozpoczynaj na nowo życie przerwane!...

— A ty?

— Ja?... przecież muszę szukać mego dziecka...

— A widzisz!... jakże więc mam w domu zostać, kiedy wiesz dobrze że oddawna przestaliśmy robić różnicę pomiędzy naszymi dziećmi: Klara moją także jest córką, będziemy szukać jęj obadwaj.

(d. c. n.)

### Zagadka homonim.

Trzykrotnie w postaci męża uczonego,  
Słyszałem wśród ziomeków z tego i z owego,  
Znajdzie mnie na niebie, znajdzie i na ziemi,  
Między przedmiotami w handlu niezbędnymi,  
Wreszcie z kształcie rzeki,  
Niechże mi kto powie,  
Kim, czem byłem, jestem, słowem jak się zowie?

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

#### Szarady:

Czarnogóra.

#### Łamigłówki sylabowej:

1. Krasnyj. 2. Oaza. 3. Człowiek. 4. Helsingfors.
5. Aszanti. 6. Jenikale. 7. Bób. 8. Lodi. 9. Izere. 10. Zeus.
11. Natalia. 12. Izium. 13. Erie. 14. Głóg. 15. Orinoko.

Kochaj bliźniego jak siebie samego.

Zakład gimnastyczno-wychowawczy H. M. Kaplińskiej. — Wilcza N. 6. Zapis całodziennie.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Obrazki z Ziemi Świętej (z drzew.) — Na zamku wieszczki p. Halię Tokarzewską. — Bryła marmuru, wiersz p. T. N. — W Indyach. Dodatek: Modlitwa wieczorna, wiersz, p. T. N. (z drzew.) — Grzeczny Julek p. Henryka Wernica. — Granaty. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



## MODLITWA WIECZORNA.

Jezu Chryste, Pasterzu łaskawy,  
Do paciorka idziem od zabawy;  
Choć oczyma nie widzimy Ciebie,  
Wiemy przecież, że jesteś na niebie.

Twoje kwiaty są, pola i góry,  
Twoje morza, i gwiazdy i chmury,  
Lecz choć Królem Ty jesteś wszech rzeczy,  
Drobną dźwiatwę racz w Swojej mieć pieczy.

Królem dzieci Jesteś, Dziecię Boże!  
Więc nad nami w każdej czuwaj porze.  
W jasny dzionek, czyli też w noc ciemną,  
Jak brat dobry, straż trzymaj nademną.

Ty nas naucz, jak miłować cnotę,  
Ty do złego powściągnij ochotę,  
Ty od strachu tarczą bądź jedyną,  
Królu świata, wszechmocna Dziecino!

T. P.

## Grzeczny Julek.

Julek otrzymał na imieniny latawca, piłkę i wolanta. Była to prawdziwa dla niego niespodzianka! Bawił się temi zabawkami ilekroć mu pozwalano, ale najbardziej się z nich cieszył dla tego, że będzie miał czem się bawić z innymi chłopcami.

Pewnego dnia dowiedział się, że w niedzielę odwiedzi go kilku towarzyszy.

Kiedy przybyli, Julek udał się z nimi do ogrodu, gdzie przez niejaki czas wszyscy wspólnie bawili się wybornie w żółnierzy.

Wtem powstał wiatr.

— Julku — zawołali towarzysze — przynieś latawca, przy tym wietrze, latawiec wzniesie się ponad domy!

— Ach prawda! — zawołał Julek i czemprowadź pobiegnął na schody.

Wkrótce wszakże wrócił bez latawca, mówiąc: — Nie przyniosłem latawca, bo leży w pokoju, w którym ojciec drzemie, a przecież nie wypada żebym go obudził.

— To przynieś piłkę — zawołali chłopcy. — Piłka to doskonała zabawka!

— Ach prawda! — zawołał znów Julek — możemy się bawić w mety lub inne gry. To mówiąc pobiegnął do domu, lecz niebawem powrócił nic nie przynosząc.

— Nie mogę przynieść piłki — zawołał Julek — mama schowała ją do komody a teraz ma gości.

— To przynieś przynajmniej wolanta — zawołali chłopcy z niezadowoleniem.

— Macie słusność, wolanta, dobrze się zabawimy zaraz go przyniosę.

Poraz trzeci Julek pobiegnął po zabawkę i poraz trzeci powrócił z pustymi rękami.

— Nie mogłem przynieść wolanta — zawołał z daleka — siostrzyczka moja nim się bawi, gdybym go chciał jęj odebrać, płakałby zaczęła.

Na te słowa rozgniewali się jego towarzysze i zawołali:

— Wstydź się Julku! w niczem nie umiesz sobie poradzić.

Ale Julek odpowiedział spokojnie:

— Czemu się na mnie gniewacie? wszak nie mogłem budzić ojca, przeszkadzać matce i pobudzić do płaczu małą siostrę moję.

Henryk Wernic.

## GRANATY.

— Mamo, mamó — wołała Jadzia — Staś mówi, że granaty to są kule armatnie.

— Albo co? — pytała mama.

— Przecież granaty, to owoce — śmiała się Jadzia — Staś o rok odemnie starszy i nie wie o tem.

— To też dla tego, że jestem starszy, wiem lepiej od ciebie co znaczy granat — bronił się Staś.

— Mama nas rozsądzi — dodała Jadzia.

— Otóż nie spierajcie się, bo oboje macie słusność — zawyrokowała mama.

— Jaktó? Jaktó? — zapytały razem dzieci.

— Bo kule armatnie nazawają się granatami — odparła mama — a przytem w południowych, ciepłych krajach rośnie drzewo, które też granatem nazywają. Wreszcie pokażę wam kamień przezroczysty, ciemno ponsowy, który także nosi nazwę granatu.

— Ach prawda! — zawołała Jadzia — widziałam ten granat u mamy w broszce, myślałam z początku, że to czerwone szkieleko oprawne w złoto, a wtedy mamusia odpięła od stanika broszkę i dała mi ją do ręki, mówiąc: to nie jest czerwone szkieleko, ale kamień, którego głęboko w ziemi szukać trzeba i który nazywamy granatem.

— A gdzież ty ten owoc granat widziała? — spytał Staś.

— U babci w Warszawie. Raz poszłam z babcią na spacer i zobaczyłam w jakimś sklepie z owocami, duże, bardzo duże żółte jabłko. Tak mi się podobało, że babcia weszła do sklepu i kupiła je. A gdy wróciliśmy do domu, służąca babci rozkładała je na pół, i wyobraź sobie Stasiu, że w środku były same spore ziarnka jakby oblepione czerwoną galaretą z sokiem. To co wzięłam za jabłko było granatem. Babcia powiedziała mi, że należy odrzucać ziarnka i zjadać tylko galaretę i sok. Pyszne, mówię ci, trochę kwaskowate, bardzo smaczne. A skóra granatów twarda, no tak twarda jak naprzykład... — Tu Jadzia zastanowiła się chwilę... — jak skóra na bucikach, — dokończyła. — Ale teraz ty mi powiedz, gdzie widziałeś twoje kule armatnie?

— Na obrazku, ojciec mi je pokazał.

— A czy wiesz, Jadziu, jak wygląda drzewo które daje te smaczne owoce? — zapytała mama.

— Nie wiem, mamusiu.

Mama opowiedziała dzieciom, że granaty, są to spore drzewa, o drobnych ciemno-zielonych liściach; kwiaty kształtem przypominają gwoździki ogrodowe, i zabarwione są ślicznym czerwonym kolorem.

— A więc oboje mamy słusność — zawołała Jadzia. — Jak to dobrze Stasiu, bo już zanosilo się na sprzeczkę między nami.

A. M.

## MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. A. DO.

Była sobie jedna mama... lepiej przyznam się od razu: jest sobie jedna mama, która ma czworo dzieci. Najstarszy Jerzy trapi się nad matematyką i łaciną w pierwszej klasie gimnazyalnej. To też na wszystkich jego zeszytach, książkach, a nawet o zgrozo! na ścianach i drzwiach dziecinnego pokoju roją się najrozmaitsze łacińskie wzniosłe sentencje, przypominające mamie, że syn jęj zaczyna kroczyć po drodze mądrości i cnoty.

Siedmioletni Staś pełen uwielbienia dla brata i wiary w jego wyższość umysłową (co nie przeszkadza do zapalczywych utarczek codziennych) uprawia niwę ojczytstęj mowy, ucząc się polskich wierszyków i pisząc zadania nader głębokiej treści. Helenka trzecia z rzędu, wesola i swobodna jak ptaszek, pędzi dotąd życie bez-

czynne; łatwo odgadnąć wiek młodej osoby... Helenka nie ma jeszcze lat pięciu. Od kilku dni jednak jakieś czarne chmury zaczynają się ukazywać na horyzoncie: Mama kupiła duży kawał kanwy, grubą igłę i kilka pasek włóczki niebieskiej i różowej. Z tych danych i z kilku słów mamy do cioci, Helenka ucuwa pewne podejrzenia. Bawiąc się w szkołę z Jerzym, Stasiem i dziećmi cioci, Helenka sama nie wie kiedy nauczyła się wszystkich literek; otóż wczoraj rano, na toalecie mamy zjawiała się niespodziewanie ślicznie oprawna książka. Gdy ją dzieci spostrzegły, mamy właśnie nie było w pokoju, Staś jako w sztuce biegły, przeczytał tytuł: „Arka Noego!” i z małym biciem serca (gdyż w pokoju mamy nic ruszać nie wolno), zajrzał ostrożnie do środka.

— Helenko! Abecadło z obrazkami!—Mama w tej chwili wróciła z kuchni... wszystko w porządku, książka leży na swoim miejscu, dzieci się bawią spokojnie... tylko Helenka coś posmutniała: Arka Noego, to druga chmurka na jej pogodnym niebie. Życie pracy rozpocząć trzeba.

Mówiłam na początku, że ta mama, ma czworo dzieci. Gdzież czwarte?

Oto jest: Marynia, tłusty, czerwony klocek, od kilku dni skończywszy pół roku, rozpoczęła męczącą naukę jedzenia kaszki łyżeczką i siedzenia na kanapie, bez wyraźnej pomocy swój nieodstępnej Hanusi.

Dzieci te prawdopodobnie niczem się nie różnią od tysiąca dzieci w ich wieku i położeniu; mama jednak wyobraża sobie, że Bóg wyjątkowo je uposażył pod względem zdolności i przymiotów. Że są nieładne, to niestety biedna mama przyznaje pocichu; ale... nim wyrosną, ileż razy odmienić się mogą na korzyść! Wszak mają śliczne oczy, płeć delikatną, i miły wyraz twarzy. Ach wyładnieją, wyładnieją! A tymczasem tak są zabawne, tak nieraz uśmieć się można słuchając ich konceptów i dowcipów! Właśnie te codzienne ich rozmowy, śmieszne uwagi nad tem co słyszały, a czego nie rozu mają, zabawy przerywane kłótnią a nawet pojedynki zawzięte, wszystko jedným słowem co mówią, robią, czém się bawią, będzie treścią opowiadania mamy.

## ROZDZIAŁ I.

Poranek. — Korsarze. — Dobry król. — Obiad.

Ogólne wstawanie. Jerzy kończy się ubierać, bo przed ósmą ma być w szkole, Staś, wielki czciciel Morfeusza otwiera jedno oko: Ach Boże! całą noc takie mi się okropne, przedpotopowe zwierzęta śniły, ledwie nad ranem trochę się te mamuty porozchodziły, a tu Wiktusia już budzi... Wy chyba chcecie żebym ja umarł!

— Helenko! — woła Wiktusia (ex niańka Jerzego, a teraz mentorka młodszych dzieci przy ubieraniu) — czego tak nudzisz, wiesz jak mama lubi, raz, dwa, trzy i uciekać z łóżka nie medytować.

— Aha — dobrze Wiktusi mówić, a mnie się pończochy pomieszały i teraz nie wiem, która na prawą nogę.

— Ależ to wszystko jedno — tłumaczy Wiktusia.

— A dla czego Jerzy mówił wczoraj, że Henryś mądry jak but z lewej nogi? a widzi Wiktusia! Aha!

— Widzę z boleścią moja miła siostró, że śmiało

możesz być parą dla Henrysia. Moje uszanowanie panie prawej pończosze! Idę już do szkoły!

— Ty Jerzy szkaradniku! Zawsze mi dokuczasz, ja doskonale zrozumiałam coś teraz powiedział, poczekaj! jak się mama dowie, że ty takie głupstwa pleciesz... to zobaczysz!

Jerzy jednak wykręciwszy się na pięcie dał dwa susy i już go niema.

— Stasiu, Stasiu, bo doprawdy pójde mamę poprosić! Tyle razy budzę, a ty ani myślisz wstawać. Szkaradny leniwiec!

— O Boże mój!—lamentuje Staś—taki jestem niešťęśliwy, wszyscy mi dokuczają, hi hi, na złość robią, hi hi hi.

— Płacz bekasie, jeszcze z łóżka nie wyszedł, a już ry-czysz, a wczoraj mówiłeś, że chciałbyś być królem...

— No to co? Albo to królowi nie chce się spać? A jak jest mały, gdy go budzą to płacze...

— Co dzieci chcą na śniadanie? — zapytała Wikcia idąc do samowara, który od kwadransa głośnem mru-czeniem dawał znać, że jest gotów na usługi. — Kakao kawę czy herbatę?

— Mnie wszystko jedno — odpowiedział Staś; — I mnie także — zawtórowała Helenka.

(d. c. n.)

## SZARADA 2-ga.

Dla Cyganecki z nad Wisły, od Sarenki z nad Moroczu.

Pierwsze wspan, wśród kart znajdziecie  
Drugie, najwytrwalsze w świecie,  
Zwierzę, łagodne z rogami  
Jest między Lapończykami;  
Trzecie się wśród liter znajduje  
A więc niech Cyganecka zgaduje.

## Łamigłówka zegarkowa.

Od Niezapominajki z nad Warty dla Stasia P... z Turku.

M

Ułożyć dwanaście wyrazów pięciogłoskowych w kształcie zegarka, zaczynających się od lit. M.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Jezioro w Afryce południowej. 3. Stopień wojskowy. 4. Rodzaj broni 5. Wielki obszar wód. 6. Owoc. 7. Ludzie nieznośni. 8. Napój. 9. Miasto w gub. Łomżyńskiej. 10. Rzeka wpadająca do Cisy. 11. Człowiek pokazujący sztuki. 12. Przymiot poznawany zmysłem czucia. Końcowe litery utworzą nazwisko powieściopisarza i dramatyka polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Szarady:

S a h a r a .

Łamigłówki kwadratowej:

s o S n a  
r z E p a  
S E R C E  
c e C h y  
r z E k a

Skrzynka do listów.

**P. Sobes...** mu we Friedebiegu. Numera żądane posłaliśmy wraz z dodatkiem gratisowo; prosimy tylko przy okazji o zwrot kosztu przesyłki, który wynosi kop. 20.

**Gazeli Tatrzańskiej w Jegorowicach.** Kronika Rodzina będzie pismem zupełnie odpowiednim dla *dorosłej* siostry, która już Wieczory czytywać przestaje.

Korespondencję naszą z tego tygodnia zaczynamy od zapewnienia, że życzenia **Sosenki, Zorzy, Gosposi z Podola**, (której niedługo już sama Gołąbka odpisze) **Ukraińki na Mazowszu**, zostaną spełnione.

**Zorzo** droga, dlatego właśnie tak nam są miłe twe liściki, że piszesz to co „myślisz” widzimy co myślisz, co czujesz, co za ideały sobie stawiasz i do jakich celów dążysz... To więc nie pochwała, to proste uznanie za dobry kierunek jakim cię poprowadzono, zanim samodzielnie iść nim zaczęłaś... Szczyć Boże!

**Niezapominajce z nad Jabłoni** serdecznie życzymy jak najprędszego polepszenia. Wieczory wysyłać będziemy pod wskazanym adresem.

**Ukraińka na Mazowszu** nie myli się: jej to „Terenie” mieliśmy na myśli.

My z kolei zapytujemy ciebie **Kuropatewko z nad Warty** jak nie kochać takich pocziwych dzieci? Trzebaby chyba być „złą” a tak brzydkiego przydomku, któżby się z całych sił nie wystrzegał? Liścik bierzemy pod opiekę.

**Ułanko**, nie wprawę i umiejętność, ale dobrą wolę cenimy przedewszystkiem.

**Niezapominajko z nad Warty** tak tobie jak w ogóle młodzieńskim kandydatom i kandydatkom do zaszczytów autorskich radzimy jak najwięcej pracy i jak najwięcej surowości w sądzeniu własnych utworów. Należność za numer otrzymaliśmy. Szarada nie dobrze ułożona: „całość nie będzie w ptaków rzedzie”. To nie ptak, to bajeczne stworzenie.

**Złota Pszczółko**, nie podobieństwem jest odpowiadać na tego rodzaju pytania. Nie wypada też zdradzać pseudonimów... Zdaje nam się jednak, że takiego jak ten, o który pytasz, niema wcale.

**Lilia wodna** przysłała pod adresem Gołąbki logogryf, którego wszakże nie umieścimy; niepodobna prawie szukać rozwiązań podanych w języku francuzkim.

Nie, **Niezapominajko z Zacisza**, nie wymagamy adresu w „każdym liście” zażądaliśmy go dlatego, że jest was dwie używających tego samego pseudonimu i nie wiedzieliśmy, z którą mianowicie mamy do czynienia. Już to z „Niezapominajek” kwitnących w naszej Redakcyi możnaby bukiet ułożyć! Niteczka Aryadny wadliwie ułożona, gdyż i w tem trzeba się stosować do pewnych zasad.

**Semitka** nie powinna brać nam za złe zwłoki w umieszczeniu liścików; tyle ich zawsze zalega z powodu braku miejsca! Za Gołąbkę zaręczycy możemy, że odpisałyby równie „chętnie”.

Cieszymy się, że **Czubatęj Kokoszce** tyle wagi przybyło; to najlepszy dowód pomyslnego skutku kuracyi. Śliczna przysłana nam trawka pokruszyła się w drodze; postaramy się jednak wkrótce na pytanie **Kokoszki** odpowiedzieć.

Kochane czytelniczki **Wieczorów Rodziny**! Zmieniłam pseudonym **Czarodziejki** na **Złotą pszczółkę** i proszę was o rozpoznanie ze mną korespondencyi, a ja chętnie na wszystkie wasze pytania odpowiadać będę. Całuję was serdecznie i polecam się pamięci. Cyganeccze z nad Wisły i Wiedence z **Żywopłotu** uścisnienia przysyłam. **Złota Pszczółka** dawniej **Czarodziejka**.

Droga **Trusiu!** Przepraszam cię bardzo za tak spóźnioną odpowiedź. Omyliłaś się biorąc mnie za kogo innego, gdyż nie mieszkam na ulicy **Bannej** ani w sąsiedztwie **Czarnej Perelki**, lecz z **Hrubieszowa** przenieśliśmy się za **Bug**. Przez **Wieczory** możemy przecież pisywać do siebie o co bardzo proszę. **Prawdę, Światelko** i **Kołowrotek** serdecznie pozdrawiam i zapytuję ostatniej, dlaczego nie odpisuje **Małej Lasce?**

Kochana **Muchołówko!** Odzywam się do ciebie w nadziei że zechcesz odpowiedzieć swęj dobrej znajomej. Gdzie chodzisz na pensyę? pod jakim pseudonimem **Dziudzina** pisuje do **Wieczorów?** Ścisłam cię serdecznie. **Burzliwa Natura**.

Drogi moje **Kalino** z nad **Dniepru** i **Kwaciarko!** Bardzo wam dziękuję za liścik, który mnie niezmiernie ucieszył; spodziewam się że nie będzie ostatnim. Ale dlaczego nie doniosłyście jak wyglądacie, ile macie lat, co porabiacie? Co do mnie mam 14 lat, jestem jedynaczką i mieszkam z rodzicami na wsi na **Podolu**. Pytacie co mi się najwięcej podoba w „**Wieczorach**”. Wszystko, wszystko bez wyjątku, moje drogie, ale najwięcej „**Szesnastoletni Wojewoda**”. Odpisujcie prędko kochającej **Niezapominajce z Zacisza**.

**P. S.** **Niezapominajkę z nad Warty, Szarotkę, Wróżbiarkę** szczęścia, **Białą Perelkę, Błękitną Kokardkę, Poranka majowego** i **Blaskawicę** serdecznie całuję, i proszę by do mnie napisały.

Droga **Gwiazdko Jerolimaska!** Bardzo mi się twój pseudonym podoba, napisz mi ile masz lat? Czy mieszkasz w mieście czy na wsi. Czy uczysz się w domu czy na pensyi? Ścisłam cię serdecznie, i proszę odpisz mi czém mi bardzo ucieszysz. Twoja **Ismena**.

Kochane **Pieszczotko** z małego ogródka i **Muszko** brzęcząca! Czy wszystkie kwiatki deszcze u was zniszczyły? bo u nas już zimno. A ty **Muszko** jak wyglądasz w gimnazjalnym mundurku? Chciałabym was zobaczyć. Całuję was serdecznie obiedwie. **Pocieszka rodziców**.

Droga **Artystko!** Mylisz się pisząc że długo każe czekać na odpowiedź, lecz ja dotychczas nie miałam od ciebie listu. **Petersburg** porzuciłam 18-go maja, po skończeniu egzaminów, które zdałam do V-tej klasy tak, że latem nie potrzebowałam męczyć się nauką. A ty **Artystko** czy uczęszczasz do gimnazjum lub na pensyę? **Śpiwna Lira**.

Miły **Barwinku!** Przepraszam cię że tak długo nie odpowiadałam na twoje miłe, a zupełnie nie spodziewane słowa; wypowiedźką będą mi najpierw lekcye zajmujące dzień cały, a następnie wyjazd mamy mojej i zdwojone z tego powodu zajęcia gospodarckie. Teraz postaram się odpowiedzieć ci. Podobała mi się bardzo powieść o **Petofim**, a teraz znów żywo pobudziła moją ciekawość „**Druga Matka**”. Na imię mi **Marya**, co zaś do lat moich niech lepiej pozostaną w tajemnicy. Łączę uprzejme pozdrowienia. **Złota Wierzba**.

Chciałabym z tobą korespondować kochana **Serdeczna Dziewczynko**. Ja mam lat 10, na imię mi **Mela**, mieszkam na wsi, uczę się w domu. Ścisłam cię i proszę o prędką odpowiedź. **Wiejska Dzieweczka**.

Kochana **Wierzbo** płacząca ze **Żmujdzi**. Przeczytawszy twoją odezwę w Nr. 26 „**Wieczorów**”, chętnie ci odpisuję. Na imię mi **Wiktoryja**, jestem już staruszką. Dlaczego obrałaś sobie taki pseudonym. Spodziewam się że nie zostawisz mego liściku bez odpowiedzi. **Nieznana**, lecz kochająca cię **Gospośia z nad Wkry**.





TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.



ołudnie już było, słońce przygrzewało mocno, więc wracając szedłem nad samym brzegiem morza, którego chłodzące powiewy, orzeźwiały mię przyjemnie. Przypatrywałem się śladom przypływu fal

na piasku, ślimakom, muszłom, a że to były dla mnie rzeczy nowe, nigdy przedtem nie widziane, więc zajmowały mnie bardzo, i napełniłem muszlami kieszenie. Ale na morzu pojawił się statek bardzo osobliwy, który całą moją uwagę pochłonął, a że płynął wzdłuż wybrzeża, więc mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Wyrobiony z szylkretu, miał kształt napół rydwanu starożytnego, napół łodzi i posuwał się powoli po powierzchni wód, ciągniony przez dwa olbrzymie żółwie. Uprząż

na nich była ze złota i jedwabiu, ozdobiona klejnotami świata zwierzęcego, perlami i koralami — a w łodzi téj czy rydwanie, bo nie wiedziałem jak ją mam nazywać, siedział młodzieńki ciemnowłosy chłopiec, strojny w błękitny aksamit i czapkę ze strusim piórem. Kierował on zaprzęgiem trzymając w ręku cugle. Na przodzie statku powiewała flaga z białej jedwabnej materii, z wyhaftowanymi na niej szafirowymi goryczkami. Dziwny ten pojazd poprzedzany był przez dziwniejszego jeszcze laufra. Na żółwiu podobnym do tych jakie były w zaprzęgu, stał wspaniały ptak w różowym upierzeniu, a nogi jego cienkie, wysokie i bardzo długa szyja, czyniłyby go podobnym do bociana, gdyby nie dziób bardzo zakrzywiony.

Cały ten widok nasunął mi przypuszczenie, które od czasu mego przybycia na Atlantę, nieraz już przychodziło mi do głowy, że to lub owo nie jest rzeczywistością, ale bajką z „Tysiąca nocy.” Chcąc się przekonać czy bajka jest prawdziwą, postąpiłem tak blisko nad brzeg morza, że obuwie moje maczało się prawie w wodzie i zawolałem:

— Zmłuj się chłopcze i powiedz mi kto jesteś, złudzeniem mój wyobraźni czy księciem zaczarowanym? Czyż być może aby takie pojazdy jak ten, istniały naprawdę?

Chłopiec rozśmiał się i zwracając ku mnie rozweseloną twarzą, odpowiedział:

— Nie jestem księciem zaczarowanym, ale paziem królewicza Pióropuszka, który mnie posyła z darem do swój siostrzenicy, księżniczki Gori. Królewicz wyczytał niedawno w gazetach, że jakiś Anglik kazał taki pojazd sporządzić i zaprządz do niego żółwie, ale wyjechawszy na morze, nie mógł sobie dać rady z rumakami, które w jedną stronę ciągnęły chętnie, ale w drugą nie chciały. Kazał więc królewicz podobny pojazd z szylkretu zbudować dla swoich synów i tresować do niego żółwie, które są już tak przyuczone, że chyba nie



. . . poprzeczany był przez dziwniejszego jeszcze laufra.

sprawia koniuszemu kłopotu podobnego temu, jaki miał ów Anglik ze swojemi. Ale uradowany posiadaniem latającej za-  
by, przysłanej przez Zielonkę, królewicz nasz polecił zbudować inny pojazd dla książąt, a ten posyła w zamian bratu dla córeczki, wraz ze mną jako koniuszym wprawionym już do powożenia żółwiami. Prześliczne cacko, nieprawdaż!

A gdy pochłaniałem statek zachwyconemi oczyma, chłopiec rzekł jeszcze.

— Widzę że nosisz barwy królewicza Zielonki, drogi nasze zatem idą w jedną stronę. Siadaj ze mną i użyj przejażdżki, jakiej pewnie nikt jeszcze na świecie nie próbował!

— Prócz Anglika — wtrąciłem.

— Tak jest prócz Anglika. Widzę że jesteś szczupły i delikatny, nie obawiam się przeto, aby statek z twój przyczyny zatonał.

Nie dałem się prosić i siadłem do szylkretowego pojazdu, przypomniawszy sobie com czytał w Wieczorach o Alfonsie XIII że jeździ do senatu w karocie z szylkretu i złota. Jechałem jak król i to bez niańki, bez której się Alfons jeszcze nie obywa; byłem szczęśliwy, prawie upojony niezwykłością jazdy i zaczęłem pazika rozpytywać o rumaki użyte do zaprzęgu. Dziwiła mnie zwłaszcza wielkość tych żółwi, gdy ja widywałem dotąd tylko małe. Albatros — takie było imię pazia — objaśnił mnie że morskie żółwie zawsze bywają takie, a te które idą w zaprzęgu, ważą każdy około ośmiuset funtów, czyli są o mało co lżejsze od wołu. Widząc pazik z jakim słuchałem go zajęciem, opowiadał mi że są cztery gatunki żółwia: *lądowy, błotny, rzeczny i morski*. Żółw rzeczny, tem się różni od lądowego, że ma długie palce spięte błoną; wszystkie — prócz morskiego, który się tem szczególnie wyróżnia, że ma nogi do wiosel podobne — mogą głowę i nogi do środka swego domku chować, i wówczas bez-

pieczne są zupełnie od napaści nieprzyjaciela. Żółw błotny, najpospolitszy w Europie, przebywa w części na lądzie, w części na wodzie; żółwie rzeczne, prawie wyłącznie w wodzie w krajach cieplejszych.

— Jakże schwymano te żółwie?

— Polowanie na nie łatwiejsze jest niż jakiegokolwiek bądź łowy na świecie — odpowiedział. — Dość jest łodzią dopędzić pływającego żółwia i przewrócić go na grzbiet, dla uczynienia go bezwładnym. Żółwie morskie pływają ogromnemi gromadami, a najwięcej ich widzieć można na oceanie Spokojnym, około Peru i wysp Galapagos. Podczas pięknych nocy, wydają właściwy sobie gwizd, który zdradza ich obecność przed ludźmi.

— Czem one się żywią?

— Zwierzętami wodnymi, roślinami, ślimakami, owadami.

— A jakże się mnożą?

— Składają jajka na brzegu mórz lub rzek, a słońce dokonywa reszty. Pod jego ciepłemi promieniami wylęgają się młode. Samice niektórych gatunków znoszą do stu jaj.

— Mięso żółwia ma być bardzo smaczne?

— Wyborne! Na dworze królewicza Pióropuszka jadają często zupełną żółwiową, zaprawioną jajkami i winem: potrawka z żółwia i jego jaja, są także bardzo smaczne. Czy nigdy ich nie próbowałeś?

— Nigdy.

— Wyrabiają też z nich u nas wyborną oliwę.

Mięso z żółwi morskich najwięcej jest poszukiwane. Te które przebywają na morzach międzyzwrotnikowych, mają najpiękniejszą, najwięcej przezroczystą tarczę, więc najpożądniejszą na wyrób szylkretu. Blaszki tej tarczy dachówkowato na siebie założone, przy rozgrzaniu nad ogniem łatwo dają się zdejmować, a bywa ich do trzynastu warstw. Tu oto na bokach tego statku, masz dokładne rysunki różnych gatunków żółwia, złotą wykonane inkrustacją; przypatrz się im.

Spojrzałem uważnie i istotnie zobaczyłem rysunki o których mówił Albatros. Wyjąłem notatnik i skopijowałem je dla czytelników Wieczorów rodzinnych, a także narysowałem z natury żółwia, który płynął przed nami razem z jadącym na nim ptakiem. Albatros przypatrywał się z zajęciem mojej robocie. Wytłomaczyłem mu, że posyłam korespondencye z Atlanty do pewnego pisma dla młodzieży, a że umiem rysować, więc dopełniam je własnymi ilustracjami. Widziałem że wzbudziło to w nim szacunek dla mnie.

— Żółw ma dwa przymioty, któremi szczególnież zadziwia — mówił dalej — może sześć do ośmiu miesięcy pościć czem zawstydzają najsławniejszych głodomorów i żyje bardzo długo. Pewien Amerykanin kilka lat temu, schwytał żółwia wlokącego się z trudnością i spostrzegł na jego skorupie wyrytą datę 1777 r.; było to dowodem, że żółw ten żył już co najmniej sto siedemnaście lat.

— Ile to on przez tak długi przeciąg czasu widzieć musiał — zawołałem — ile ciekawych rzeczy mógłby nam opowiedzieć! Ale powiedz mi Albatrosie, co znaczy ten żółw pływający ciągle na przodzie i niosący na grzbiecie różowego ptaka? Czy te ptaki także są tresowane?

— O, bynajmniej — odpowiedział ze śmiechem — na morzu bardzo często widzieć można ptaki podróżujące na żółwiach lub większych rybach. Jest to *czerwonak*. Ptaki te trzy-

mają się zwykle stadami i tem są zabawne, że zawsze chodzą gęsiego, jeden za drugim; ale gdy się któremu zachce użyć wodnej przejażdżki, siada na żółwia lub...

— A ja myślałem że on tu pełni służbę lauffra!

— Tak to wygląda, a oto właśnie tamten żółw popłynął z ptakiem na morze, a my staniemy przy brzegu.

Domawiając tych słów zatrzymał pojazd, bo właściwie przybyliśmy do Różanego gaju, w miejscu gdzie granitowe arkady ogrodów wiszących tworzyły las kamienny. Ażem się zdziwił że czas tak prędko upłynął i dziękowałem serdecznie Albatrosowi, za przyjemność jaką mi sprawił.

Po południu był obiad galowy dla posła indyjskiego. Zastawiono go w sali róż, ozdobionej przepysznyemi freskami i festonami z żywych kwiatów. Marszałek dworu zapytał mnie, czy nie życzę sobie pozbyć się swego incognito na dzień dzisiejszy i zasiąść u stołu w gronie posłów, ale odpowiedziałem mu że wolę je zachować i stanąłem za krzesłem królewicza. Indyjanin przybył w innym stroju niż go widzałem w sali tronowej, ale równie błyszczącym od dyamentów. Biła od niego luna, zwłaszcza gdy z nastaniem zmroku pozapalano świeczniki. Mówił wiele o roślinności Indyi Wschodnich i o cieszącej się dziś po całym świecie rozgłosną sławą roślinie *Cola*, o której piszą gazety że rośnie w Afryce i Ameryce, a która znajduje się także w Indyach. Gdy damy zarzuciły go pytaniami, opowiadał że *Cola* lubi grunta nizkie, wilgotne i wyrasta od dziesięciu do dwudziestu metrów wysoko, że jest podobna do kasztana, lecz większa od niego, a gałęzie jej malowniczo zwieszają się ku ziemi. Kwiat pachnie wanilią, jest żółto-zielony lub biały z czerwonym brzeżkiem i cały włosem pokryty. Dojrzałe owoce przybierają barwę brunatną i otwierając się, ukazują kilka nasion czerwonych lub białych. Nazywają je powszechnie orzechami, choć nie wspólnego z orzechem nie mają. Roślina ta daje dwa zbiory, ztąd ciągle prawie pokryta jest kwiatami i owocami.

— Powiadają o *Coli* że ma cudowne własności uzdrawiające — odezwała się królowiczowa — chciej mnie objaśnić ekscelencyo, ile w tem jest prawdy!

— Daje napój smaczny, i podniecający — odrzekł Indyjanin — łagodzi uczucie głodu, ułatwia znoszenie trudów podróży, podtrzymuje przy pracy i może zastąpić wszelki inny pokarm. Najpospolitsze potrawy nabierają wyborowego smaku po użyciu *Coli*. Zapobiega chorobom żołądka i sprowadza odporność na wpływy atmosferyczne; wmacnia też czynności serca. Powiadają wreszcie o *Coli*, że działa przeciwko nałogowi pijaństwa.

— Słynny głodomor *Succhi*, który przy pomocy jakiegoś elixiru długo obywał się bez jedzenia, prawdopodobnie ekstraktem *Coli* podtrzymywał siły — wtrącił *Zielonko*.  
— Bardzo być może — odrzekł Indyjanin. — Ludy Afryki a także i ludy Indyi przywiązują szczególną wagę do *Coli*, ze względu na dobrodziejstwa jakie posiadanie jej maściągnąć na człowieka. Uważa się ona za owoc pochodzenia Boskiego, przyniesiony przez samego proroka *Mahometa*. Nad brzegiem *Nigru* gdy *Coli* braknie, dają za jeden orzech niewolnika, lub zamieniają go na złoto. *Cola* biała używa się jako znak pokoju; czerwona jako znak wojny. *Murzyn* przysięgający kładzie rękę na *Coli*, poczem orzech spożywa. *Cola*

gra ważną rolę przy zawieraniu małżeństw, i zajmuje pierwsze miejsce w podarunkach ślubnych; *Cola* wreszcie kładzie się na zwłokach.

Królowiczowa opowiadania tego z wielkiem słuchała zajęciem i oświadczyła, że pragnęłaby widzieć owoce *Coli*, bo królewicz wprawdzie posiada jedno drzewko, ale to jeszcze nie kwitnie. Na to poseł grzecznie oświadczył, że jak tylko powróci do Indyi, natychmiast przysła cały worek orzechów.

Stół był przesłicznie przystrojony w kwiaty. Na obiad składało się w znacznej części królestwo *Pióropuszka*, a ryż podawano przyrządzony na rozmaite sposoby. Ale koroną obiadu były owoce, osobliwością zaś ciastka podane na ostatnie danie, ciastka z kwiatów! Był to rodzaj uprzejmości dla honorowanego posła, potrawa czysto indyjska. W Indyach Północno-Zachodnich używają podobno kwiatów rośliny *Calligonum* jako środka żywności. Ubożsi gotują z niego jarzynę zaprawną solą, mąką i korzeniami, bogatsi pieką ciastka. Kwiat ów po zerwaniu, trzymany jest przez jedną noc w zamkniętem glinianem naczyniu, gdzie wędnie. Przechowywać go można bardzo długo. *Viola* stojący za krzesłem królowiczowej, szepnął mi do ucha, że gdy przyjmowano posła chińskiego, podano na jego cześć cebule lilii białych, sporządzone podług chińskiej recepty, bo używanie takich przypraw do potraw, jest u *Chińczyków* rzeczą zwykłą.

Pod koniec obiadu, gdy wniesiono dzbany z miodem i różnemi słodkimi winami, rozsuwał się po nad stołem sufit i wszyscy biesiadnicy, obyczajem rzymskim, obsypani zostali deszczem kwiatów. Przy mnie, dziwnym trafem upadła wiązka stokrotek... Potem śpiewacy nadworni śpiewali naprzemian indyjskie i atlantyjskie pieśni, gdy wtem straż na wieży otrąbiła powitalną fanfarę i dano znak *Zielonce* że królewicz *Pióropuszek* przyjechał. Porwał się zaraz od stołu *Zielonko* i biegł na powitanie gościa, ale tenże wchodził już do sali z orszakiem. I on i orszak jego, jaśnieli przepychem jedwabiów, aksamitów i piór, które chwiały się na ich głowach, a twarz królewicza promieniała jak słońce.

— Bracie — przemówił wyciągając do gospodarza obie ręce — pozwól sobie podziękować za cenny dar, który mi przysłałeś. Jest on dowodem twojej braterskiej pamięci i rozradował mi serce!

Gorące to powitanie *Zielonko* przyjął z pewnem dziwieniem.

— Podobały się więc klejnoty *Perełce* — przemówił — bardzo mnie to cieszy.

— Przez moje usta przysła ci podziękowanie; ale nie klejnoty mam na myśli, mówię o tem co się jeszcze prócz nich znajdowało w szkatułce.

— Cóż takiego było tam jeszcze? — zapytał.

— Nie udawajże nieświadomego, bo to dziś przecie nie *Prima Aprilis*? Znajdowała się tam ta którą dawno posiadać pragnąłem, żaba latająca!

— Żaba latająca — powtórzył *Zielonko* — więc *Mewa* powróciła z Afryki? Jakimże cudem zdołała tak prędko odbyć podróż?

Teraz z kolei *Pióropuszek* patrzył ze zdziwieniem na brata.

— *Mewa* dotąd przy brzegach Afryki... Więc nie ty przysłałeś mi żabę?

— Nie widziałem jej nawet na oczy!

— Gdzież jest paż który przyniósł szkatułkę?



Owoc *Coli* i pojedynczy orzech.

— Tutaj — odrzekł Zielonko wskazując na mnie, a Pióropuszek przypatrzawszy mi się rzekł:

— Tak, to on, poznaję go.

— Czy otwierałeś szkatułkę? — zapytał Zielonko.

— Otwierałem, Wasza Królewiczowska Mości.

— W jakim celu?

— Żeby schować w nią żabę którą znalazłem. Jeżeli wykroczyłem przeciwko przepisom etykiety, proszę o przebaczenie.

— Zkąd wiedziałeś że to jest żaba latająca?

— Widziałem ją w kajucie Tygrysa, gdy Mewa spotkała się z Narcyzem.

Ogólne zdumienie zapanowało w sali: wszyscy mieli oczy na mnie zwrócone.

— Jakimże sposobem ona dostać się tutaj mogła, zginawszy z kajuty Tygrysa? — zapytał Pióropuszek.

Wyraziłem mu moje domysły i przyznał że są trafne!

— Dlaczego nie mi o tem w Korolowym dworze nie powiedziałaś?

— Nikt mnie o to nie pytał.

— Ale czemu nie mówiłeś nic w Różanym gaju? — zapytał z kolei Zielonko?

— Bo było tylko przypadek szczęśliwy, a nie czyn jakiś, któryby warto było rozgłaszać.

— Chłopcze — przemówił Pióropuszek — zasługujesz na odznaczenie, nie tylko za przysługę jaką mi oddałeś, ale i za twą skromność. Gdyby przepisy nie wzbraniały paziom nosić orderów, dałbym ci order czarnego sokoła.

— Ale przepisy nie wzbraniają posłom nosić orderów — odezwał się Zielonko. — Janek tylko incognito jest paziem, a przebywa na moim dworze w charakterze nadzwyczajnego posła Wieczorów rodzinnych. Wolno mu nosić order.

— A więc niech go zdobi — rzekł Pióropuszek — odpinając swój własny znak czarnego sokoła z perłami, na czerwonej wstążce. — Zbliź się młodzieńcze!

— Wasza Królewiczowska Mość niechaj raczy mi wybaczyć — odrzekłem — ale nie mogę przyjąć tego orderu, należy się on bowiem kapitanowi Tygrynowi, który nie mało trudów poniósł dla odszukania żaby. Zdaje mi się, że w tym kraju, jak wszędzie, ordery dają się za zasługę, nie za przypadek. Zadowolenie Waszjej Królewiczowskiej Mości jest dla mnie najlepszą nagrodą za to, że żabie która niemal sama weszła mi w ręce, uciec nie dałem.

— A więc podaj mi rękę — rzekł Pióropuszek serdecznie — niech ją uścisknę. Jeśli kiedy zapragniesz być gościem Korolowego grodu, wiedz że bramy mego królestwa są dla ciebie otwarte!

Podziękowałem królewiczowi jak umiałem najuprzejmiej,

za jego dla mnie łaskawość i wróciłem na swoje miejsce, mówiąc do Violi.

— Tobie byłbym powiedział o tój żabie, ale nie było kiedy.

Teraz Zielonko przedstawił bratu posła indyjskiego i jego orszak, a posadziwszy go na głównem miejscu przy stole, rzekł z uśmiechem.

— Kochany bracie, wiem że w twoich zbiornikach wodnych odbywają się co dzień wspaniałe koncerty, ale repertoar zawsze jednakowy musiał cię już cokolwiek znudzić. Chcąc ci zrobić przyjemność, pomyślałem o zasileniu go nowymi siłami artystycznymi. Będziesz mógł urządzać sola i chóry, co zechcesz.

Pióropuszek oczy szeroko otworzył.

— Dowiedziałem się że w zatokach Ameryki Południowej, przy ujściu rzek do Oceanu spokojnego, zbierają się gromadnie ryby z rodzaju Clupiidów czyli śledzi. Wydają one w wodzie głos, który podróżnicy przyrównują to do odgłosu harfy eolskiej, to do organów. Miejscowi nazywają je muzykantami lub syrenami. Nigdy jednak odgłosu tego nie słycać w dzień, tylko wieczorem lub nocą i to całemi godzinami. Ryby te żyć mogą w morskiej, jak i w rzecznej wodzie i nieraz wpływają w rzeki. Są białawe z kilkoma niebieskimi plamkami na grzbiecie. Uczony francuzki Girard nazwał je *Alosa musica*. Wysłałem okręt w tante strony na poszukiwanie tych artystów.

— O, bracie, czemu ci się odzwieczę! — zawołał uszczęśliwiony Pióropuszek.

— Wasza Królewiczowska Mość zapewne zechce seryę tych koncertów urządzić w Wielkim

Poście — odezwała się jedna z dam honorowych. — Śledzie śpiewające, i śpiewające głosem podobnym do dźwięku organów, to się właśnie doskonale składa!

Królewicz Pióropuszek uśmiechnął się a Zielonko mówił dalej.

— Ale za to chcę cię prosić abyś mi wyświadczył pewną łaskę.

— Wszystko co zechcesz, mów!

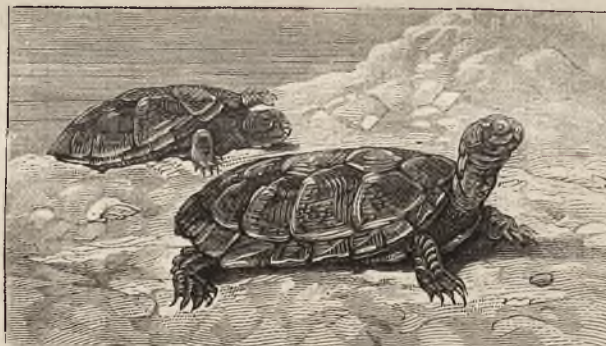
— Złośliwe owady niszczą moje drzewa pomarańczowe. Wysysają z nich soki pożywne, objadają liście, kwiaty, a nawet pędy owocowe. Te owady są twoją prawowitą własnością: zabierz je sobie!

— Wierz mi bracie, że im bynajmniej nie zalecałem by ci szkodę czyniły. Ale bądź spokojny, przysługę ja tu jutro moją policję, która ukarze tych szkodników.

Spojrzałem ze zdziwieniem na Pióropuszkę. Gdyby był powiedział że przysługę ludzi do obierania drzew, lub pływającego do skrapiania, nie dziwiłbym się — ale policję!



Żółw szylkretowy.



Żółw błotny i rzeczny.



Wybrzeże Jordanu.

mrówek. Mrówki rozpoczęły natychmiast walkę z drapieżnymi owadami. Odwróciłem oczy od tego widoku.

Dworzanin objaśnił mnie, że Chińczycy używali tej policyi już od roku 1690, a inne prowincje Azji jeszcze dawniej; że używano mrówek na wyspie Ceylon przeciw szkodnikom niszczącym plantacje kawy, i oczyścili drzewa w zupełności, ale okazały się nabyt gorliwymi, gdyż załatwiwszy się z owadami, rzuciły się na pracujących w plantacjach niewolników; dokuczały im tak okropnie, iż nie było innego środka, jak wytepić zbyt krewkich policyantów.

Co się to dzieje na świecie, mój Boże! co się to dzieje!  
*Janek sierota.*

Co pomoże mundur policyanta i jego szpada, przeciw takim szkodnikom?

Sprawa ta tak mnie zaciekaiała, że gdym się nazajutrz rano obudził, pierwszą moją myślą było czy też królewicz Pióropuszek przysłał swoją policyę. Pobiegłem do pomarańczarni i zobaczyłem tam już dworzanina w barwie Pióropuszką, ale tylko jednego. Napróżno oglądałem się za innymi, nie nadchodzili. Dworzanin rozwiązał pęk trzciny, które mu przyniesiono i przeprowadził od gałęzi do gałęzi rodzaj małych mostów z trzciny, a następnie połączył temiż mostami drzewa pomiędzy sobą. Następnie wyjął z kieszeni małe pudełeczko, które gdy otworzył, wnet rozeszła się po wszystkich mostach i po gałęziach niezliczona moc żółtych i czerwonych

## OBRAZKI Z ZIEMI ŚWIĘTEJ.

### II.

#### Wybrzeże Jordanu.

Wybrzeże Jordanu przedstawione na rycinie naszój, ciągnie się od jeziora Genezareth do morza Martwego, gdzie wpada rzeka Jordan. Powstawszy z trzech źródeł na szczytach Antilibanu, ubiega ona wpierw blisko mil trzydziestu, przepływając jezioro Genezareth.

Cała ta okolica ma charakter odludny, dziki, oderwany od otaczającego świata. Palestyna albowiem, ziemia obieca-

na, kraina płynąca mlekiem i miodem, słynie ze swęj urodzajności jak zawsze słyneła, będąc cała niby jednym rozkosznym ogrodem, pełnym obfitości wszelkiego rodzaju. Dolina Jordana jest przeciwstawieniem tęj powabnej krainy. To też jeszcze za czasów izraelskich, odludna ta okolica była miejscem dobrowolnej pokuty, rozmyślań i modlitwy. dla ludzi zniechęconych do rozkoszy świata, starających się wznieść duchem ku mądrości i sprawom wiekiustego życia, przez wyrzeczenie się ziemskich marności. Jednem słowem, służyła za rozległą pustelnię, siedzibę proroków, z której głębi od czasu do czasu rozlegały się ku światu zamieszkałemu przestrogi, napomnienia, „głosy wołające na puszczy”. W głąb tęj to pustyni szedł Jezus do Jana, aby był przezeń ochrzczony w wodach Jordana.

## LIST Z WARSZAWY.

Wróciłam nareszcie, moje drogie, wróciłam, zadowolona z podróży która oczom moim dostarczyła nowych widoków, a myślom szersze odsłoniła horyzonty, ale tak stęskiona za wszystkim z czem się tu zżyłam od dziecka, że od Skierniewic usiedzieć już nie mogę spokojnie i ciągle stojąc w oknie wagonu, wyglądam: rychło-li zobaczę Warszawę. Widzę ją wreszcie, a raczej w mglisty, pośpny wieczór coś niby jasną chmurę mającą już niedaleko, więc zbierać zaczynam pakuiki, torebki, koszyki, kosze, i właśnie już je wszystkie zebrałam gdy pociąg zwalnia biegu, staje... Warszawa! Powitanie z braćmi, których od kilku miesięcy nie widziałam, powrót do domu, którego wszystkie kąty obiegam projektując w myśli, gdzie który z przywiezionych gracików zawieszę lub postawię, wieczera, gawęda rozpakowywanie się...

Na drugi dzień wybiegłam do naszej Redakcyi, gdzie po radosnych powitaniach, chwytam za czekającą na mnie paczkę listów waszych i zagłębiając się w ich odczytywaniu. Wiem, że mię zastępowano w Redakcyi w załatwianiu tych drobnych interesów, które mi nieraz ku wielkiej mojej przyjemności powierzacie, wiem także iż każdej z was zawsze słówkiem miłem odpowiedziano, więc pozostaje mi tylko podziękować każdej, która mnie obdarzyła liścikiem. Zaczynam od podziękowania tobie, *Cicha Wodo*, której śliczny opis wzniecił we mnie zazdrość, że nie patrzyłam razem z tobą na wszystko, co z takim przejęciem opisujesz. Dziękuję ci też serdecznie za przyslaną mi pamięteczkę: zachowam ją między najdroższymi... *Ballady na, Kulka śniegowa, Wróźbiarka szczęścia, Horpyna*, (jaką ty masz pocziwą siostrzyczkę tę *Zawieruchę*, co młodszego braciuszka kołysz!) *Gospoia z Podola, Wiewióreczka inflancka, Gama C-dur, Stokrotka z nad Pilicy, Gospoia z pod Lublina, Biału Ostróżka, i Niezapominajka z nad Warty*, oto poczet korespondentek, którym się odemnie podziękowanie należy. Dwom zaś ostatnim specjalnie; i Białej Ostróżce za opis podróży do Krymu, tobie zaś, droga Niezapominajko z nad Warty za fotografię, której widokiem ucieszyłam się serdecznie. Sympatya, przyjaźń wasza czynią mi niewypowiedziane szczęśliwą a w szczerść ich tak wierzę, że się do nich odwołać zamierzam z prośbą bardzo usilną, bardzo nagłą, której spełnienia nadzieję opieram na znanęj mi pocziwości serc waszych. Już się może domyślać o co chodzi: o biedę ludzką, której zaradzić by trzeba, o tę z bied najsmutniejszą, dziecięcą, której wam właśnie tak zaradzić łatwo, bo każde znoszone już ubranie, przyda się ubogim, nie mającym się w co odziać dzieciom, tak samo jak każdą nie używaną już przez was zabawkę przyjmą z radością Siostry miłosierdzia, czuwające w Szpitalu dla dzieci. Gdybyście widzieć mogły, jak rozzewniającym jest widok tych małych, wynędzniałych pacjentów, których osłabione jeszcze paluszki z uśmiechem ujmują zabawkę! To pierwsza oznaka przychodzenia do zdrowia, a dostarczenie zabawki, to nietylko umilenie choręj dziecinie chwil wolno wlokących się w łóżeczku, ale jeszcze ujęcie trudu zacnym Siostram, które nieraz nie wiedzą czem zająć i rozerwać powierzone ich straży biedactwa. A ileż to takich dzieci już

zdrowych, już ze szpitalika wyjść mogących, wyjść zeń jednak nie może, bo podarte ubranie w jakim je przyniesiono chore, spalić było potrzeba, a teraz niema czem okryć zdrowych.

Więc tym wszystkim ubrania lub rozrywki pozbawionym rówieśnikom waszym przyjdźcie w pomoc, wy, które praca i opieka rodziców strzeże od niedostatku. Przyjdźcie w pomoc, a prędko bo zima zagłada już w oczy i chorobą grozi tym, których nieprzygotowanych na swe przyjęcie zastanie. Przyjdźcie w pomoc! prosi was i błaga o to ta, której dajecie tyle dowodów serca, że się na nie liczy naucezła, i liczy z wiarą, że ją zawód nie spotka.

A tymczasem aby sobie łaski wasze zaskarbić, zdać wam muszę sprawę z ciekawęj nowości, jaką tu zastałam.

W salonach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa otworzoną została od niedawna wystawa, ochrzczona mianem *etnograficznej*, złożona z przedmiotów, które zebrał podczas pobytu swego w Afryce p. Leopold Janikowski. Po ukończeniu obecnej wystawy ma on zamiar wcielić swoje zbiory do jednego z muzeów krajowych, warto więc zobaczyć je teraz każdemu, kto mieszkając w Warszawie, ma ku temu sposobność, bo zawierają dużo ciekawych okazów tak przyrodniczych, jak i właściwych etnograficznych. P. Janikowski wziął głównie za przedmiot swych badań plemiona zamieszkałe w górach Kryształowych, pomiędzy niemi zaś ludożercze plemię *Mpangue* czyli *Tanów* i zebrał też sporo przedmiotów, odnoszących się do ich religii, obrzędów, życia domowego i t. d.

Nie powiem, żeby świadczyły one o zbyt wysokim rozwoju cywilizacyi, ale zawsze ciekawa to rzecz widzieć jak oddaje część swoim bożyszczom, jak się ubiera, jakich sprzętów używa naród tak od nas odmienny, pod względem umysłowym i fizycznym. Właściwie mówiąc: plemię Mpangue za przedmiot największej czci religijnej uważa czaszki swoich przodków, które wraz z bożkami z czarnego jakiegoś drzewa, przechowuje w pudłach z kory drzewnej. Czaszki, pudła, bożki, wszystko to znajduje się na wystawie, a obok tego ubranie z suchej trawy oraz maska, używana przy religijnych tańcach i obrzędach przez kapłana, *fetyszera*, który zarazem lekarzem jest i czarodziejem i dla nadania sobie uroku potrzebnego przy występach publicznych, potrzeba wielką łaską z grzechotką i zapewne bije w dzwony, których okazy znajdują się także wśród przedmiotów kultu religijnego. Strachem prawdziwym przejmuję ogromny tasak, służący do ścinania głów ofiar, poświęconych bożkom i nóż ofiarny, na którym przez imaginację gotowa byłam widzieć ślady krwi... Ale ponure te wrażenia rozproszył widok talizmanów i amuletów, bez których tamtejszy krajowiec się nie ruszy. Wyrabiane są one przez fetyszerów i chronić mają od złych duchów, przybierających w sennem marzeniu postać lamparta, od chorób, od czarów, od kuli, i t. d.

Zbiór broni obfituje w dużo pięknych zapewne w swoim rodzaju okazów, ale ja się na broni nie znam i z uszanowaniem spoglądam tylko na zatrute ostrza dzid, których najmniejsze draśnięcie zabija, oraz na kołczany z zatrutemi strzałami i na zatrute także ostrza z drzewa bambusowego, używane do zasadzek. W czasie wojny ludność Mpangue zakopuje je w ziemię na ulicach miasta w ten sposób, że wystające zatrute końce śmiertelnie kaleczą nogi nieprzyjaciół. Są tam i toporki wojenne, przeznaczone do rozłupywania czaszek ofiar ludożerstwa krajowców i pochwy do nożów ze skóry jaszczura zwanego *Iguanem*, ze skóry goryla lub węża, oraz pochwy drewniane z wypaleniami na nich ozdobami, świadczącymi o jakimś zamilowaniu piękna u tych ciemnych i dzikich ludów. Zamilowanie to objawia się jeszcze wyraźniej w strojach, ozdobach i innych wyrobach miejscowych. Bransolety z kości słoniowęj, używane do stroju przez bogatych krajowców Kamerunu, są więcej wartościowe niż piękne, chętnie bowiem przyjmowane bywają przez murzynów w charakterze monety. Robione są z kłów słoniowych zazwyczaj przy osadzie pustych w środku, kieł taki tną na krążki i szlifują takowe kamieniami i piaskiem. Bransolety z żelaza i mosiądzu, naszyjniki mosiężne, bransolety na nogi, wszystko to stanowi ulubione przedmioty stroju, tak nieraz ciężkie że gdy kobieta,

obwieszona podobnemi ozdobami (zakutemi na niej raz na zawsze) wpadnie naprzykład podczas połowu ryb w wodę, wszelki ratunek staje się niemożliwym. Waga jednego naszyjnika dochodzi czasem do 10-ciu funtów!

(d. n.)

## PAGÓREK.

Wśród płaskiej okolicy pagórek piaskowy  
Wzniósł się na parę łokci nad rodzinną ziemię,  
Ach! jakiż on strudzony! Trzech drzew nosi brzemię!  
U stóp jego się wije strumień dwumilowy.  
Jakież poszanowanie winne mu są łąki!  
Toż chrząszcze trzmiele i bąki  
W dziewięć sekund zaledwie zmierzą jego czoło,  
A na niem jastrząb mieszka, co strach szerzy wkoło.

Wicher, co się kołysał na Alp silnem łonie  
Usłyszał to. Z uśmiechem na pagórek wionie:  
Tam gdzie się tak pyszniła mil dziesięciu chwała,  
Kupa piasku pozostała.

Marya Leona.

## W INDIACH.

(Dalszy ciąg).

— Ależ przez litość od czego zacząć teraz?... Mahoro, tyś rozsądniejszy od tych, którzy z urzędu swego rozsądnymi być powinni, czy nie doradzisz nam od czego zacząć należy? — zapytał gwałtownie kapitan, wyciągając dłoń do Indyanina, jakby w milczeniu przeproszał za niedawne lekceważenie jego zdania. Mahora rozczulony pocałował tę rękę, zrozumiawszy podobno trafnie znaczenie gestu, a potem rzekł ze smutnym uśmiechem:

— Od czego zacząć w tej chwili, to widoczne jest samo przez się panie kapitanie, najsilniejsi z nas upadają ze zmęczenia, a przecież mamy i słabych jeszcze: potrzeba spocząć jeśli działać chcemy jutro...

Wszyscy spojrzeli wzajemnie po sobie i dopiero nagle uczyli gwałtowny upadek sił, sztucznie zapalem dotąd podtrzymywanych. Wiliam leżał na ziemi wyczerpany zupełnie, załany łzami próżno powstrzymywanymi; Edward siedział na głazie bezsilny z oczyma błędnie wlepionymi w przestrzeń. Thorn i Mac-Ulm porozumieli się spojrzeniem i zadrżeli: strata jednego dziecka nie powinna być przecież być utraty innych przyczyną. Szybko zaprzestając demoralizującej wszystkich rozpacz, bez straty czasu, nie dając już do własnego domostwa, urządzono możliwie wygodny nocleg wśród gruzów bezładnej Tungary, a nadmiar zmęczenia, po lichym lecz koniecznym także posiłku, uspił prawie natychmiast garstkę udreżonych fizycznie i moralnie ludzi. Tylko miarowe stapania straży i odległe głosy nocnych drapieżników słyszeć się dawały w spustoszonej okolicy, wśród cichej nocy oblanej srebrzystym blaskiem księżyca.

### XI.

Jednocześnie, w gęstwinie potężnego lasu niezbyt odległego od lasku Piuktu, sąsiadującego z parkiem otaczającym posiadłości Mac-Ulmów, spora ilość Indyan zgromadziła się w pośrodku dużej polany, przy blasku tego samego księżyca, który oświecał strudzonych i spoczywających w Tungara wędrowców. Bezładne stosy wykwintnych sprzętów, odzieży, pościeli, wszystko popsute, połamane, podarte, leżało z boku pod drzewami, a były to zrabowane na okolicznych Europejczykach łupy, nieznanego po większej części dla rabujących

użytku. Obok stały i leżały konie i powozy, różny dobytek domowy, jednym słowem wszystko, co z domów zrabowanych porwać się dało. Na środku polany spoczywali w najrozmaitszych pozycjach ranni Indyanie, których coraz to więcej nadechodziło, w miarę jak zapadające cienie nocne pozwalały im opuszczać chwilowe kryjówki, dokąd zapędziły ich ciosy kapitana Lory i jego towarzyszy. Obok tych jęczących niedobitków stali i siedzieli nieliczni, którzy twardszy szczęśliwie z walki, zdołali schronić się przed Europejczykami do Tungara, a zabrawszy ztamtąd wszystkie swoje i swoich ziomków rodziny i dostatki, unieśli je i tu uprowadzili w niedostępną, w głębi skał i lasów kryjówkę.

W jednym z połamanych powozów, swoim własnym niedgdyś podobno, leżała Klara, skrępowana, uspiona niespokojnym, gorączkowym snem znużenia. Stary Indyanin siedział naprzeciw niej i nie spuszczał z niej oczu, pilnował. Błada i wychudzona dziewczyna, obłana srebrnym księżycowym światłem, podobniejsza była raczej do marmurowego posągu, niż do żyjącej istoty. Pomiedzy zebranymi, z których wielu było odzianych w obszerne indostańskie suknie, odbywała się narada, a zdania objawiane były tak zgodnie, jak to niezmiernie rzadko się zdarza, nawet wśród ucywilizowanych ludzi; wszyscy bowiem jednomyślnie złorzeczyli fakirowi Mahalowi, że sztukami swojemi nakłonił ich do chwycenia za broń przeciwko Anglikom. Wprawdzie w innych stronach półwyspu powodziło się lepiej krajowcom w takichże samych okolicznościach, ale w Tungara Anglicy od chwili napadu bronili się skutecznie, później znów z pomocą kapitana Lory napastowali uciekających tak natarczywie, że strach i groza zawładnęły Tungarczykami i dziką obcą tłuszcą, gromadzącą się około nich dla rabunku. Nadechdły też do nich wieści że rozruchy już wszędzie zostały stłumione, że wojska angielskie odcięły Tungarę od reszty kraju ażeby nikt ująć nie mógł, że winni karani będą bez litości; słowem postrach doprowadzał dzikich do rozpacz, którą zwiększyły jeszcze celne strzały Anglików i Francuzów, dziesiątkujące napastników. Z tych to powodów, nie mogąc jak mieli zamiar uciekać w głąb kraju, w przekonaniu że wojska angielskie postępują z powracającymi Anglikami, aby ukarać rozboje nie przepuszczając nikomu, winowajcy rozpaczali, złorzeczając fakirowi Mahalowi, jako jedynę prawdziwą przyczynę win i nieszczęść całej ludności tungarskiej.

Zadowoleni byli że nie udało się im sprzedać białej dziewczyny, i postanowili dobrze się z nią obchodzić w nadziei że jej ojciec, wielki sułtan, jeżeli nie da okupu, to chociaż życie im daruje i do chat wrócić pozwoli, gdy mu ją zywą i zdrową oddadzą. Tak twierdził jeden z dalszych mieszkańców okolicy, spoglądając w stronę śpiącej Klary. Na to odrzekł inny, mieszkający bliżej posiadłości Europejczyków, i przeto cokolwiek więcej mający pojęcia o rzeczywistych stosunkach, i prawdziwym stanie rzeczy:

— Dziewczyna ta nie jest córką sułtana, nie jęj to szukali dwaj ludzie w zawojach i białych sukniach; sami nie wiecie co za bajki rozprowadacie. Dziewczyna jest córką bardzo bogatego Anglika z tej okolicy, którego dom zniszczyliście tak jak i innych z namowy tego zbójcy Mahala. To nie my zawiniliśmy lecz on; i on powinien być ukarany za nas wszystkich, lecz to prawda, że za dziewczynę, możeby nam ojciec jęj, chociaż niektórym życie wyprosił u swych braci; nawet Kumasy tak powiedział, tylko niewiedzieć jak oznajmić Anglikom, że chcemy ją oddać, pogodzić się i wrócić do chat, bo oni z pewnością strzelać będą do każdego z nas, który zbliży się do nich, zanim zdąży powiedzieć z czem idzie.

— Niektórym?... tak!... niektórym życie darować... — mrucał ten i ów niezadowolony; każdy bowiem czuł się tak dalece winnym, że nie miał nadziei należenia do tych niektórych. Wtem popłoch powstał nagle wśród tłumu, z gęstwiny na polanę wybiegł krajowiec drżący z przerażenia i śmiertelnie blady, co przy ciemnej skórze, okropnym go czyniło, padł na ziemię, zaledwie mogąc wymówić jeden, jedyny wyraz:

— Straszni!... — wyraz ten wystarczył, aby przerażenie tłumu podniecić do szaleństwa, wielu, jak martwi padali na

ziemię tracąc przytomność, inni tulili się do siebie zwiijając w kłębek i drżąc, lecz wszyscy milczeli jak nieżywi, bo życie ich zależało od ciszy. Nieszczęście nigdy nie przychodzi samo jedno, do grozy przed Anglikami przyłączyła się druga stokróć okropniejsza, bo to co powiedział przybiegający Indyanin, *Straszni*, znaczyło że są w okolicy ludzie z okropnej tajemniczej sekty „dusicieli” straszni wszelkiej żywej ludzkiej istocie. — Widziałem ich! — wołał.

Jeden tylko człowiek wśród obecnych, mimo przestachu, zachował przytomność umysłu i przystąpiwszy do zwiastuna okropnej wieści, zapytał:

— Gdzie ich widziałeś? Ilu? Po czem poznałeś?

— Leżałem na brzegu ogrodu Anglików, ukryty w gruzach i trawie i śledziłem ztamtąd co robią Anglicy w Tungara, tak jak mi wodzu Kumasy kazałeś, Anglicy spali, lecz wkrótce ten młody w błyszczącej sukni, na którego wołają „kapitan” wstał, przeszedł obok straży i z założonemi w tył rękami przy jasnym świetle księżyca w pobliżu mnie, przypatrząc się gruzom, przechadzał się zamyślony. Wtem dał się słyszeć trochę opodal cichy jęk, zupełnie jakby płaczliwy głosik dziecinny, zadrżałem, bo mi zaraz na myśl przyszło, kto chce kapitana odprowadzić od jego towarzyszy. Jakoż po chwili gdy kapitan pośpieszył na ratunek jęczącego dziecka, jęki ozwały się znów dalej, kapitan pobiegł jeszcze zwawiej, dobywszy pałasza, myślał pewno że zwierz jaki dziecko zbłąkane unosi, ale zaledwie oddalił się od swoich, wnet niewidzialne ręce zarzuciły mu z tyłu szal na twarz, kępując od razu usta tak, że ani pisał, i *pięciu*... wyskoczyło z trawy, spętało schwytanego i prowadzą go teraz przez las, a ja przypadłem tutaj ostrzedz was... ich tu pewno jest dużo, oni nas wszystkich wymordują, oni gorsi niż wszyscy Anglicy na świecie!

Opowiadający zarówno jak słuchacze łamał ręce, kaleczył się paznogciami i wyprawiał dzikie a właściwe Indusom sceny rozpaczy.

Kumasy nie napróżno był wodzem Tungaryanów, nietylko wodzem, lecz naczelnikiem okolicznym, coś w rodzaju wójta z ramienia lokalnego rządu. Zył on oddawna w większym od innych zbliżeniu z ludźmi ucywilizowanymi i jeżeli dał się unieść prądom wywołanym przez Mahala, to tylko dla tego, że sam jeden nie mógł nic poradzić przeciwko całej obalamuconej ludności. Rozumiał jednak dobrze własny interes i przeto ledwie dosłuchawszy opowiadania, szepnął do swoich:

— Tyso! Mas! Kiza! Raska! Tohty!... wy, którzy macie nogi jak skrzydła, a mniej niemi robicie szelestu niż mucha skrzydłami, pędźcie za „strasznymi”. Nie koniecznie zbliżka — dodał widząc przerażenie pięciu wywołanych — byleście tylko rozstawili się po drodze umieli mi wskazać gdzie oni pójdą, bo musi tu być gdzieś ich okropna kryjówka, kiedy kapitana do niej wiodą, inaczej zamordowałiby go na miejscu. Ja pędzę do Anglików w Tungara, za mądry i za dobry oni żeby strzelać mieli do każdego kto się zbliża, powiem im co się stało z ich bratem, którego zowią kapitanem, a jeżeli za naszą pomocą odzyskają go tak jak i swoje dziewczynę, to z pewnością przebaczą nam wszystkie winy.

(d. n.)

S Z A R A D A.

przez Ewę Maryę.

Tęskni sierota, lecz w smutnej doli,  
Głośno nie *pierwsze, drugie i trzecie*;  
Choć dusza cierpi, choć serce boli  
Opieki szuka nie w ziemskim świecie.

Zmienne są losów burze i cienie,  
Ona nie sarka *pierwsze i czwarte*,  
Ufna że kiedyś Boże promienie  
Padną przez chmury nagle rozdarte.

I że lzy ciche tajnej zasługi  
Ściekną gdzie czysta *druga i trzecia*  
Odświeża, biegnąc przez rajskie smugi,  
Niezwiędłe pąki wiecznego kwiecia.

Tam w blaskach mkną ponure noce,  
Zima pogodną rozkwita wiosną:  
Za opuszczenie, smutki sieroce,  
*Wszystko* się głuszy pieśnią radosną!...

Łamigłówka geograficzna.

ulożył Ikar.

Z następujących sylab: Al—rzec—bra—ham—Nu—bra  
—a—ze—do—res—im—O—nia—myśl—Er—ka—Co—rum  
—ber—Al—tyn—Be—Lo—ba—na—ra— ułożyć wyrazów 9,  
których znaczenie jest następujące: 1. Miasto w Indjach.  
2. Miasto w Hiszpanii. 3. Miasto w gub. kijowskiej. 4. Miasto w Portugalii. 5. Miasto w Armenii. 6. Rzeka we Francji.  
7. Miasto w Galicji. 8. Dopływ Bugu. 9: Prowincya Turcyi.  
Początkowe i końcowe litery tych wyrazów cytane z góry na dół, utworzą nazwy dwóch miast w Hiszpanii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

S z a r a d y:

Pa — ro — be — czek.

Zadania liczbowego:

1	15	2	16	3	17	4
14	13	12	11	10	9	8
18	5	19	6	20	7	21

PIERWSZA KSIĄŻECZKA DO CZYTANIA  
**H. WERNICA.**

Wyszła z druku, nadająca się znakomicie do nauki prywatnej i w szkołkach początkowych, cena kop. 25.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakeji, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Obrazki z Ziemi Świętej (z drzew.) List z Warszawy. — Pagórek, wiersz p. Maryą Leonę. — W Indjach. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Więzień (z drzew.) — Chłopczyk i Jabłonka, wiersz, p. Maryą Leonę. — Legendy. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



## WIĘZIEN.

Pewnego dnia siedmioro dzieci bawiło się na podwórzu. Wyprowadzili z mieszkania dużego konia na biegunach; pozbiali, co kto miał: pałasze, fuzyjki, bębenki, chorągwie, armaty, czapki z piórami i pięknie uzbrojeni zaczęli bawić się w wojnę.

Najmłodsza Zosia, nie mając nic innego, wzięła lalkę na rękę, mówiąc, że to ranny żołnierz, a u niej jest szpital. Zabawa szła ochoczo.

A w kąciku podwórza tymczasem stał cicho i przypatrywał się jej ciekawie biedny, mały chłopczyzna,

— A więc czemu tu w kącie stoisz próżniaku i oczy na nas wytrzeszczasz, co? kto ci to pozwolił?!

— Ej, kto mi ta miał pozwalać! ja se tak stoję i patrzę, bom nigdy takich ślicznych sukienek i zabawek nie widział. Miło choć popatrzeć na nie z daleka.

— Och! właśnie! nie wierzę ci. Ty jesteś taki brzydki, z pewnością kłamiesz — dowodził Adaś. — Znam cię ptaszku! ale poczekaj, my cię ukarzymy, za to że nas podsłuchujesz. O, damy my sobie radę z tobą; jest nas tyłu!

— Oj oj, paniczu! co panicz chce odemnie, ja przecie nic nie zawinił! — prosił się biedny Jaś, gdy Adaś, przejęty godnością swego żołnierskiego powołania, wią-



okryty zaledwie nędznymi łachmanki, a mizerna zapadła twarzyczka wyraźnie świadczyła, że często z głodem miał do czynienia.

Adaś trębacz, śliczny i szczęśliwy chłopczek ujrzał go pierwszy, opuszczając więc gromadkę bawiących się dzieci, pobiegł w jego stronę.

— Czego chcesz obdartusie! czemu się tak patrzysz na nas? — zapytał dosyć niegrzecznie, a widząc, że biedny Jaś zmieszany, słowa odpowiedzi nie może, ciągnął dalej. — Pewnie szukasz, czyby się co nie dało ukraść!

Chłopiec zadrzał i twarzyczka jego pobladła jeszcze bardziej, ale oczy żywo mu zabłyśły i spojrzał prosto w twarz Adasia:

— O nie, paniczu! ja nie złodziej! jam jeszcze nigdy w życiu nic nie ukradł i da Bóg nie ukradnę, choćbym z głodu miał umrzeć.

zał mu ręce znalezionym w kieszeni sznurkiem. Jaś się nie wrywał, bez wielkiego przestachu dał z sobą robić co się temu ładnie ubranemu paniczowi podobało.

— Teraz mi nie uciekniesz. Jesteś więźniem. Chodź, zaprowadzę cię do naszego dowódcy — rzekł wkońcu Adaś, wskazując na Gucia, który pysznie jechał na drewnianym koniu i miał bardzo fantazyjną minę w dużym kapeluszu z pióropuszem.

— Kto to jest? Adasiu — zapytały hurmem dzieci, gdy obaj chłopcy zbliżyli się do nich. — Co to za chłopiec i co chcesz z nim zrobić?

— To bardzo niebezpieczny włóczęga, szpieg może złapałem go i uwięziłem. Trzeba go ukarać, bo próżnował i patrzył na nas i z pewnością miał ochotę coś ukraść.

— Ach szkaradny! — zawołano chórem, ale zaraz któraś z dziewczynek zapytała:

— Zkąd ty wiesz, że on chciał co ukraść, może on jest dobry chłopiec?

— Zkąd wiem, to wiem — rzekł Adaś dumnie, jestem trębacz od tego, a ty żołnierzu nie wtrącaj się do nieswoich rzeczy. Już ja wam powiadam, że trzeba go ukarać.—Pomiędzy dziećmi zawrzało jak w ulu, chłopcy byli oburzeni na więźnia, dziewczynki próbowały go bronić, ale nadaremnie. Wkrótce zdecydował dowódzca że więźnia trzeba wybić, bo pewnie jest z nieprzyjacielskiego obozu. Jaś przez cały czas rozpraw milczał i z zadowoleniem przyglądał się zabawkom, niektórych nawet dotykał, ku wielkiemu oburzeniu dzieci. W ostatniej dopiero chwili, gdy była mowa o karze, podniósł zarumienioną od gniewu twarz, oczy znowu zabłysły mu zapalem i zawołał energicznie:

— OO! panicze! Co wy chcecie ze mną zrobić! Mnie nikt nie bije, a wy tembardziej do tego prawa nie macie.

— Widział to kto! — wołali chłopcy oburzeni śmiałością biedaka — on o jakichś prawach będzie mówił, on, ten włóczęga! — i czterech chłopców rzuciło się na Jasia, który stał opodał w obronnej postawie.

— Nie dam się wam — zawołał — to niesprawiedliwość, za co na mnie napadacie i to tylu na jednego — i Jaś zaczął się rozpaczliwie bronić, ale że był słaby i sam jeden, nie trwało to długo; chłopcy z tryumfem opanowali go zupełnie i już mieli wymierzyć przysądzoną samowolnie karę, już Gucio, zszedłszy z konia, podniósł bat nad plecami Jasia, a dziewczynki zaczęły płakać z przestachu i żalu, gdy wtem z pomiędzy nich surowy głos zabrzmiał groźnie:

— Stój, wstrzymaj się, Guciu, co ty robisz! co to się stało dzieci? — Ojciec Gucia stanął w pośrodku, rozsunął chłopców i podniósł z ziemi leżącego Janka.

— Co to jest? — powtórzył, a ściągnięte brwi i bruzda głęboka na czole świadczyły, że był mocno niezadowolony. — Co wam zrobił ten chłopiec?

Chłopcy milczeli, stojąc w około ze spuszczone mi oczyma. Pan X., nie rozumiejąc o co chodzi, nie wyrzekł jeszcze słowa nagany, a oni już się opamiętali, żywo w oczach stanęło im szkaradne ich postępowanie i straszny wstyd rumieńcem wystąpił na pochylone twarze. Żaden z nich słowa wymówić nie mógł, a gdy Pan X. niecierpliwie dalej żądał wytłómaczenia tego dziwnego zachowania się, Jaś, uwolniony od grożącego mu niebezpieczeństwa, pierwszy odzyskał przytomność:

— Ej to nic, proszę pana — rzekł, usprawiedliwiając swoich prześladowców. — Ci mali panicze i te małe panienki chcieli się tylko pobawić.

— Co? pobawić — powtórzył pan X. i surowo spojrzął po dzieciach. — Wy, kosztem cudzym chcieliście się pobawić, kosztem tego małego, biednego, sieroty może. O wstydźcie się szkaradne, złe dzieci, tegom się po was nie spodziewałem, i tu głos pana X. zdrzał z oburzenia. — Tak nie postępują ludzie dobrzy i honorowi — dodał — pastwić się nad bezbronnym, biedakiem jest nikczemnie.

Dzieci zdrzały, dziewczynki rozplakały się jeszcze głośniej, chłopcy zawstyżeni długo przyjsć do siebie nie mogli, ujrzeli oni nagle całą ohydę i niespra-

wiedliwość swego postępku, w głębi serc swych oskarżali się jeszcze bardziej i pogardzali sobą. Poczciwy Jaś chciał ich usprawiedliwiać, ale p. X. nie dał mu przyjsć do słowa, pocałował go w czoło i nie spojrzawszy nawet na dzieci, opuścił ich gromadkę.

Jakis czas panowało milczenie. Jasiowi lzy stanęły w oczach: O jak mi przykro, że to przezemnie... lecz nie dokończył, bo raptem dzieci, wyrwane tym szlachetnym okrzykiem z ponurego zamyślenia, otoczyły go w koło, postanowiwszy przedtem jednomyślnie wynagrodzić krzywdę, jaką w chwili dziwnego zapomnienia się, chciały mu wyrządzić. Każde z nich, własnem kierowane natchnieniem, przyszło do Jasia i przeproszało go serdecznie, a potem wszyscy wypytywali się gdzie mieszka i co robi jego matka?

Dowiedziawszy się, że ojca niema, a matka jego ciężko pracuje na czworo drobnych dzieci, tak, że nietylko ślicznych zabawek, ale nawet chleba niema im nieraz za co kupić, dzieci postanowiły własnemi siłami przyjsć ję w pomoc, a Jasia, którego szlachetność i prawość z uwielbieniem oceniali, wziąć już całkiem pod swą opiekę, uczyć się od niego dobroci serca, a jego kształcić w mogących się przydać kiedyś dla utrzymania rodziny, pożytecznych przedmiotach. Postanowienie to pochwalili rodzice i dopomogli do spełnienia go, zajmując się losem nietylko Jasia lecz matki jego i rodzeństwa.

*Anna Załęska.*

## CHŁOPCZYK I JABŁONKA.

Młoda jabłonka wiosną rozkwitała,  
Wnet ją znudziły kwiateczki różowe...  
„Ja chcę owoców!...” Gdy jesień nastąpiła  
To ję się znowu liście marzą nowe.

Henryś, gdy lekcyi uczy się od mamy,  
Woła że nudno... że on pisać woli,  
Dali mu pióro... maże same plamy...  
„Niechaj mi mama rysować pozwoli!...”

Jabłka na drzewku nigdy nie dojrzały,  
Kwiatów swych nigdy rozwinąć nie umie,  
Henryś tak zdolny gdy był jeszcze mały,  
Został przy swoim dziecinnym rozumie.

*Marya Leona.*

## LEGENDY.

O PTAKACH.

I.

Widzieliście kiedy zimorodka? Malutka to ptaszyna, pierś ma purpurowo-czerwoną, oczki wesołe a mądre, nie odlatuje od nas na zimę, budzi się najwcześniej ze wszystkich ptaków i śpiewa raniiej od skowronka, około południa milknie, a z wieczora zasypia tak późno że po nim odzywa się już tylko słowik... lub sowa. Nie płochliwy, garnący się do ludzi, zbliża się w zimie do mieszkań naszych i siadłszy nieopodał od chaty drwała

lub dworskiej zagrody, kręci zgrabnym łebkiem, zdaje się, ludziom przypatrywać i przyśpiewuje im dźwięcznie: „Dzień dobry, jak się macie? Błogosław Boże chacie! Oj, zimno, mróz na dworze, nic ptak znaleźć nie może... Wszędzie śniegi i lody, nigdzie niema jagody... Czy przyjmiecie ptaszynę? czy chleba okruszynę, mnie maleńkiemu dacie, wraz z miejscem w ciepłej chacie”. Tak śpiewa zimorodek, prosząc o ciepłe schronienie; nie prosi jednak o nie darmo, bo tym którzy go przyjmą w gościnę, płaci dźwięcznymi piosenkami.

Trzebaby też mieć bardzo twarde serce, aby odmówić gościnności takiej milutkiej ptaszynie, tak ogólnie lubionej, że w Anglii istnieje nawet przysłowie. „Kto skrzywdzi mysiego królika albo zimorodka, tego na lądzie ani na morzu pomyślność nie spotka”.

Krązą też o zimorodku podania malujące go w bardzo wdzięcznym świetle. Czy wiecie naprzykład, z kąd mu się wzięła na piersiach ta plama, szkarłatem w oczy bijąca? „Daleko ztąd — mówi podanie — daleko, za dziesiątą górą, za siódmą rzeką, jest otchłań pełna płomieni, gdzie jęczą dusze pokutujące. Litością zdjęte ptasze niewielkie, codzień wody im zanoszą kropelkę i ztąd znak ma na piersiach czerwony, że płomieniem jest upalony.”

Inne znowu podanie opowiada, jako: „Zimorodek, ptaszek ów maleńki, w dzień bolesnej Chrystusowej męki, widząc Pana w cierniowej koronie, wielką żalność poczuł w swoim łonie. Słabe ptaszę męce Chrystusowej czemże ulży? Cierń Mu wyjmie z głowy. To przysługa drobna, lecz jedyna, jaką Panu dać może ptaszyna. Więc z serduszkim litością wezbranem, krąży ptaszę nad cierpiącym Panem i w przelocie, raz wraz, miłosierdzie, drobnym dziobkiem uderza o ciernie, by się twarde ich kolce stępiły, by mniej cierpiał Zbawiciel nasz miły. Krąży ptaszę, pracuje jak może, aż mu kolec pierś do krwi rozporze, krwawa struga po piersi mu spłynie... A głos z góry powiada ptaszynie: „Żeś się męki ulitował Pana, więc nagroda ci w niebie przyznana: krwawym tobie naznaczę pierś wieńcem, dzieci wszystkich będziesz ulubieńcem”...

Inne znowu podanie twierdzi, iż zimorodek natrafwszy na niepogrzebione zwłoki ludzkie, póty nosi żdzibła trawy i mchy leśne, aż z nich mogiłę nad trupem usypie.

Miłosierdzie zimorodka sławi także bardzo rozpowszechniona w Anglii piosenka — *ballada* tam zwana „*Dzieci w lesie*” którą wam innym razem przytoczę.

P.

## MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. **A. DO.**

(Dalszy ciąg).

— No to chodźcie nalałam wam herbaty.

E, herbaty... ja wolę kakao! A kawy to niema dzisiaj?

— Oj nudziarze, nudziarzel! Co dzień to samo, zawsze wolą to, czego nie dostali.

— Cóż, grzeczne dzieci? — spytała mama wchodząc do jadalnego pokoju. — Czy Helenka mówiła pacierz? A Staś? A... oczy znowu czerwone jak u królika.

— Bo mi tak wszyscy dokuczają...

— Naturalnie, codzień ta sama piosenka, wstydział byś się być takim mazgajem. Ja słyszę z mego pokoju co robicie, choć nie jestem ciągle z wami, i wiem, że czy jest czy niema o co, to Staś zawsze płacze. Dziwię się że mu jeszcze łez wystarczy.

— Bo on bardzo dużo pije wody proszę mamy!

— Teraz kiedy już po pacierzu i po herbacie, możecie się razem bawić, tylko zapowiadam, bez kłótni i płaczu, wiecie jakie u mnie lekarstwo. Staś osobno tu, Helenka osobno u mnie, na półgodzinne rekolekcyje.

— Nie, nie! Niech się mama nie boi! — wołają razem dzieci. — My się będziemy wybornie bawić.

— Wiesz co Stasiu, w przedpokoju są wszystkie kanapy i fotele, bo to dziś sobota, Wojciech trzepie meble. Zanim je powynoszą na ganek, możemy sobie pyszny domek zbudować. Dach zrobimy z dużej maminiej chustki i będziemy sobie mieszkać jak rozbitki na bezludnej wyspie.

— Posiedzimy sobie chwilkę a potem co? — skrzykował Staś propozycyę siostry. — Ot lepiej wstawmy dwa fotele na kanapie, wydrapiemy się na nią i będzie okręt a my korsarze.

— A co to są korsarze?

— To są rozbójnicy morscy, czyli Hiszpanie.

— Dlaczego Hiszpanie?

— Bo widzisz, prawie wszyscy Hiszpanie są korsarzami, jest może kilku dobrych, a zresztą sami rozbójnicy.

— E, albo to prawda?

— Prawda — Jerzy mi o tych rozbójnikach opowiadał, bo on czytał w takiej książce zielonój ze złotem co to dostał od babci.

Połączonemi siłami dzieci budują okręt i z tryumfem zasiadają na wysokości.

— Ja będę kapitanem a ty moim pomocnikiem.

— I tak tylko we dwoje? To nikogo nie zwyciężymy.

— Poczekaj, ja przyniosę wszystkie moje lalki, to chociaż się nie będą ruszać, ale zawsze będzie więcej ludzi na okręcie, i tamci się nas nastraszają. O widzisz, trzy; dwie to będą majtkowie, a ta malutka to będzie chłopiec okrętowy. Aha jeszcze mam w szufladzie porcelanowego murzynka, to będzie kucharz, bo kucharze na okręcie są zawsze murzyni.

— No, to teraz bijmy się! Ale poczekaj, bo ci muszę wytłomaczyć: te wszystkie fotele i czerwona kanapa to będzie bogaty okręt kupiecki, który my napadniemy i zrabujemy.

Staś i Helenka z nieludzkim piskiem rzucają się na nieszczęśliwy okręt i zdobywają go po kilku minutach.

— Uf! Zmęczyłam się okropnie! Ale bronili się mężnie... gdyby nie nasza waleczna i dobrze uzbrojona załoga, kto wie coby było.

— Ach! i ja także ledwie żyję, zabiłam dwudziestu! A ty?

— A ja czterdziestu!

— Ej, wiesz co? lepiej się tak nie bawmy, bo może

się Bóg rozniewać, i nas kto potem pozabija. Bawmy się lepiej w co innego.

— Dobrze; ja będę dobrym królem, który bardzo lubi chłopów. Tak że go królem chłopków przewali, i ty będziesz niby to chłopem, a ja ciebie na obiad zaproszę: bo widzisz żeby tym możliwym panom pokazać, że wszyscy ludzie są równi.

— A dla czego ja mam być chłopem? Ja wolę być babą wiejską, a kiedyś ty król, to możesz mnie i tak na obiad zaprosić...

— Kiedy ja chcę być królem chłopów.

— To pewno tylko przezwisko, a ja chłopem nie będę.

— No, zresztą, bądź sobie babą.

Ustąpiwszy wspaniałomyślnie, (co mu się bardzo rzadko zdarza) Staś rozpoczął pompatycznie maszerować jak na monarchę przystało, Helenka zaś wzięła się do ubierania lalki, która w bitwie z korsarzami wiele ucierpiała. Po chwili król zbliżył się z godnością do stołu, pod którym jako w skromnej chatce siedziała uboga wieśniaczka i rzekł:

— Moja kochana kobiecino, możebyście przyszli do mnie na obiad! Właśnie kazałem kucharzowi upiec dwadzieścioro kurcząt; będzie zupa szparagowa i ryż ze śmietaną!

— Ach zaraz, zaraz niech wielmożny król trochę poczeka, muszę zawiązać suknię mojej córce i chałupę pozamiatać, boby mnie mąż wybił, No! no teraz już idę.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Pierwsza, miasto w Prusach,  
Drugie, w alfabecie  
Wszystko, w liczbie naszych miast znajdziecie.

REBUSIK.

igi igi igi igi    **dzi**    ie ie ie ie ie  
igi lijny igi        **cho**    ie czór ie  
igi igi igi igi        fo ie ie ie ie

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Szarady:

K a r o l i n a.

ŁamigłóWKi kryształowój:

B  
l a k  
k a w o n  
b a w e ł n a  
h a ł a s  
d n o  
a

Skrzynka do listów.

Miłą nam była niezmiernie pamięć **Niezabudki Czeskiej**, a nie mniejszą przyjemność mieliśmy czytając opis jej zajęć codziennych. Niech Bóg dopomaga w pożytecznej pracy i staraniach około młodszego rodzeństwa. Kto tak czas sobie zapewnić umie nie znudzi się pewno w wiejskiem zaciszu. Z zajęciem czytać będziemy powiastkę i czekamy przesyłki od kochanej naszej staruszki. Gołąbka serdecznie przesyła pozdrowienie.

Tysiączne dzięki miłej **Brzydotce z nad Tamizy** za pamięć o ubogich dzieciach. Przyda się ona bardzo niejednemu biedactwu, z marek przysłanych na ten cel nie możemy tu zrobić użytku. Bardzo będziemy radzi jeźeli „Małgosia” powiększy liczbę naszych małych przyjaciółek w Londynie.

Życzeniu **Sarenki z nad Bałtyku** stało się zadość, rs. 3 przeznaczone przez nią na Zwierzyniec, którego istnienie nie jest jeszcze udecydowane, odesłaliśmy do Kurjera Warszawskiego.

**M. Lub.** Za posłany dodatek należy się kop. 30.

**Janin. Dąbs.** Sosenka ślicznie zrobiła, że siostrzyczkę swoją namówiła do napisania listu, ale dlaczegoż potrzeba było tak długo ją namawiać? Miała rację Sosenka twierdząc, że aby pozyskać naszą życzliwość, trzeba napisać „co serce podyktuje”, to też pozyskała ją serdecznem słówkiem, nowa a już nam miła korespondentko.

Nie wykreślamy nigdy z listy niczyjego imienia; dziwiło nas wszakże tak długie milczenie **Mazurki z nad Narwi**. Nie wiedzieliśmy, że tyle zmartwień rodzinnych było jego powodem. Chwała Bogu, że wszystko się już ku lepszemu przechyliło. Gołąbka wróciła, list jej z podróży zaledwie skończyliśmy drukować (spóźniwszy się z ogłoszeniem go) niedługo damy drugi. ŁamigłóWKę w swojej porze przejrzymy, uprzedzamy wszakże, iż tylko dobre umieszczamy. Liściki bierzemy pod opiekę.

**Bluszczowi** posłaliśmy wszystko, czego żąda, z przysłanych pieniędzy pozostało rs. 1 kop. 70, które mi według danego im przeznaczenia rozporządzimy.

**An. Mont.** Liścik chętnie wydrukujemy, gdy kolej nań przyjdzie.

**Niezabudka z nad Chomoru** nadesłała dobre rozwiązanie.

Jestem nową korespondentką „Wieczorów”, więc chciałabym z wami korespondować kochane siostrzyczki: Niezapominajko z nad Warty, Kulko Śniegowa i Prawdo! Podobałyście mi się bardzo, proszę napiszcie do mnie. Całuję was po tysiąc razy. *Szumiąca Woda.*

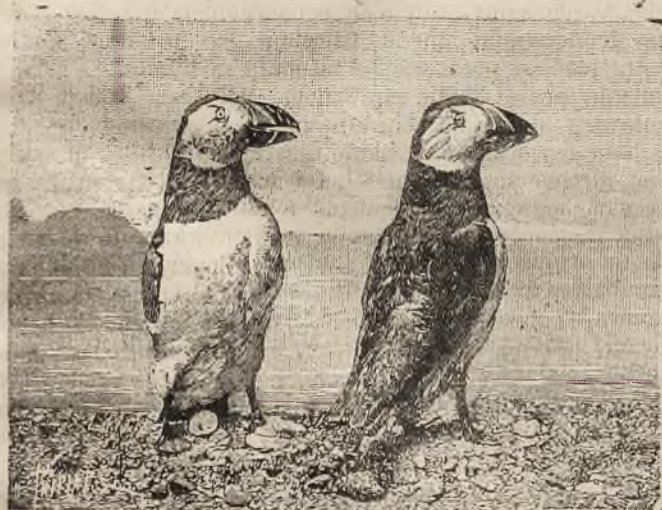
Kochana Różowa Jutrzenko. Pomimo że nie zgadłaś kto jestem, cieszę się żeś do mnie napisała, zapewne jesteśmy w jednym wieku, nazywam się Erna N., mam 10 lat i mieszkam na wsi. Donieś mi także coś o sobie. Wieczory bardzo mi się podobają szczególnie powieść „Szesnastoletni Wojewoda” a tobie? Twoja *Lilijka z nad Wisły.*

Drogie moje: Ukrainko na Mazowszu, Jesieni, Cyganeczko i Iras! Jakże mi miło żeś się do mnie odezwała, sympatyczna Ukrainko! Od tak dawna spotykam twój pseudonym w „Wiecz. Rodz”. ztąd interesujesz mnie bardzo. Ja mam lat 17, siostry zaś moje o które pytasz, Topolka srebrna i Chmurka złocista, mają 15 i 11 lat. Iras, czemu mi nie odpisujesz? Czy nie nazywasz się czasem Am. Cz.? Jesieni kochana, nie wiem dotąd w jakich stronach kraju mieszkasz? Luba Cyganeczko, dziękuję ci za łamigłóWKę i przyjmij szaradę w zamian. Ściskam was wszystkie, drogie siostrzyczki i przyjaciółki. *Sarenka z nad Mroczu.*

Kochane siostrzyczki! Chociaż już od trzech lat blisko czytuję Wieczory, żadna mnie jeszcze prawie nie obdarzyła liścikiem, z wyjątkiem Białej Różyczki i Dumki, za co im jestem wdzięczną. Postanowiłam teraz sama zapukać do waszych serduszek, może które do mnie żywiej uderzy. Lecz muszę się wam przedstawić: mam lat 14 na imię mi Aniela, mieszkam na wsi, uczę się w domu; z nauk najlepiej lubię muzykę, język francuzki i fizykę. Tobie Różyczko już odpisałam, lecz liścik dotąd nie drukowany. Niezapominajcie, o kochającej was *Horpynie.*



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### MASKONUR (TOPOREK).

Wodne ptaki maskonurami zwane, przedstawione na rycinie naszej, odznaczają się wielu odrębnymi cechami, które zwróciły na nie uwagę ornitologów. Ojczyzną maskonurów zwanych w języku naukowym *Fratercula Armoricana* jest Grönlandya, Norwegia i wyspy Faröer. Z nadejściem jednak wiosny przybywają gromadnie do małej skalistej wysepki *Ruric*, w Kanale la Manche, aby tam sobie pobudować gniazda. Maskonur jest wielkości dużego gołębia, grzbiet, ogon i skrzydła ma czarne, dokoła szyi czarną połyskliwą, niby aksamitną opaskę, piersi i podbrzusze niezwyklej białości, nogi zaś szkarłatnego koloru, których połączone błoną palce, są opatrzone silnymi szponami. Lecz najciekawszą osobliwością u maskonura jest dziób jego, który w porze budowania gniazd pokrywa się gru-

bym ochronnym pancerzem, kształtem swym przypominającym toporek. Podziwiać tu musimy przezorną Opatrzność, zaradzającą potrzebom wszystkich żyjących istot. Ptaki te bowiem nie gnieźdzą się jak inne na powierzchni ziemi, lecz w rozpadlinach skał, gdzie za pomocą silnych i ostrych dziobów, robią wydrążenia głębokie, w których budują swe gniazda. Samce pracują tu wspólnie z samicami, czując instynktownie, że należy im się kryć przed okiem ludzkim, gdyż jaja ich i młode są bardzo poszukiwane jako smaczne i pożywne. Gdy samiczka gniazdo mchem zaściele, składa w niem jedno tylko jajko, a następnie troskliwie pielęgnuje wylęgłe pisklę, dopóki to nie podrośnie i nie puści się na morze, z kądem już nie powraca. Stare pozostają na wyspie jeszcze czas jakiś i wtenczas upierzenie ich traci na swój świetności, z dzioba opada owa tarcz ochronna, przez co kształt jego staje się prosty, stożkowaty, nogi nabierają barwy żółtj; słowem ptak zmienia wtenczas swój wygląd zewnętrzny zupełnie; tem też właśnie zaciekawiał długi czas przyrodników, którzy brali go po tej przemianie za całkiem odmienny gatunek.

### ZBUDZONE SUMIENIE.

Noc była głęboka, grudniowy wicher wył, roznosząc tu-many śniegu po białych przestworzach, zasypując chaty i lasy. Prócz tego wichru, świat cały zdawał się spać lub zamierać w groźnych objęciach zimy. I stara karczma pod lasem, ledwo wyglądająca trochę z zasp śnieżnych, spała także, lub może nawet wcale zamieszkaną nie była, tak z pewnością sądziłby każdy, toby przypadkiem koło tej gromady gruzów czarnych, białym przysypanych śniegiem, pod ową noc przejeżdżał. Ale zmieniłby zdanie, gdyby zjechałszy z drogi zechciał się do rudery tej przybliżyć. Czarne było to zbliżka

zarówno jak zdaleka, bo starannie wszystkie szpary i otwory były tam pozalepiane i pozasłaniane, ale huczny gwar i brzęk kubków wydostawał się z wnętrza, mimo wszelkich zaporów. Liczono oczywiście na ustronność miejsca i słusznie: rzadko kto przejeżdżał drożyną uboczną, a i taki nie zatrzymał się zazwyczaj przy karczmie, która wyglądała jakby od drogi pod las uciekła. A jednak pełno w niej było gości w ową noc z 23 na 24 grudnia. Suty ogień płonął na kominie, a arendarz z żoną usługiwali gościom, rozdając na wszystkie strony napitek i zakąski z chleba z serem, lub porcey nadziewanego szczupaka. Izba przepelniona była gwarem rozmowy, w jakimś szczególnym niezrozumiałym języku. Wszyscy goście krzyčili na raz, jakby kłócąc się bezustannie, tak zawzięcie, że nie uważali wcale iż małe boczne drzwiczki uchylły się i zgięty w nich do połowy, wszedł drab ogromnego wzrostu.

— Hu!... — krzyknął niespodzianie, aż się karczma zatrzęsła, gwar ucichł i wszyscy spojrzeli ku niemu, on jedną ręką wziął się w bok, drugą ujął podaną mu skwapliwie przez arendarza miarękę, wychylił i rzekł wiodąc dzikim wzrokiem po obecnych:

— Jest robota!

— Dalej... — zahuczano gwałtownie i wszyscy otoczyli przybyłego; on wychylił drugą miarękę, siadł ciężko na ławie i mówił:

— Pan z Limowa wziął dzisiaj z miasteczka 10,000 złotych za zboże...

— I jedzie z nimi do dom?... hejże do roboty... w lesie trzeba się zacząć — zawołano, rzucając się ku drzwiom.

— Już przyjechał; śpi w swoim dworze w Limowie — machnął ręką nowo przybyły.

— A czemużeś wprzód znać o tem nie dał?

— A czemużeście wy się o tem nie dowiedzieli? Ja nie byłem w tych stronach, dopiero w tej chwili przybywam.

— Cóż teraz zrobić?

— Napaść zniemacka i zabrać pieniądze.

— Szlachcic ma broń... będzie strzelał...

— Ale często z domu wyjeżdża: niech jeden z nas pilnuje dworu w Limowie i da nam znać gdy wyjedzie.

— A jeżeli wyjedzie z pieniędzmi?

— Tem lepiej, spotkamy się w drodze: rzecz w tem właśnie żeby odgadnąć czy pojedzie z pieniędzmi, czy bez nich.

— To Chlust, niech idzie pilnować, on ma rozum na to!

— Niech idzie Chlust!

— O!... wszędzie ja! zawsze ja! — mrucał olbrzym nowoprzybyły, nie miał iść ochoty bo był zdruzony, ale pod naciskiem woli całej bandy, musiał uleść. Wyszedł przebrawszy się za starca żebraka. W parę godzin później wpadł napowrót do karczmy, wołając:

— Wyjeżdża o świecie!... z żoną i dwoma parobkami! Zostaje kilkoro dzieci ze służbą! Ja wproszę się tam na przyszłą noc, otworzę, wejdziecie cicho, jeżeli się uda załatwić nim się na wsi dowiedzą, robota będzie wyborna! Jeżeli zechcą robić hałas... trzeba ich *uciszyć*...

— A jeżeli jedzie z pieniędzmi!...

— Nie; przy mnie dopadł posłaniec z listem... jadą do umierającego ojca, ani im w myśli pieniądze. Dalej do roboty!

Za chwilę później karczma była pusta. Wychodząc Chlust powiedział:

— Ukryjcie się w pobliżu dworu, żebym miał was pod ręką na zawołanie.

\* \* \*

W skromnym dworze Limowieckim panował straszliwy zamęt. Pani spłakana, wybierając się w podróż, upominała poraz setny nieledwie służbę, aby dawała bacność nad dziećmi, których zabierać było niepodobna dla nagłości podróży i zimnej pory. Pan, błąd jak chusta wydawał także polecenia

— Zosiu!... najstarsza jesteś, pilnuj rodzeństwa! Na miłość boską nie pozwól Rózi płakać, żeby znów gorączki nie dostała!... — zawołała matka siedząc już w powozie. W kwadrans później podróżni znikli na zakręcie drogi. Dzieci zanosily się od płaczu. Starsze płakały nad chorym dziadkiem; młodsze znów nad rozstaniem chwilowem z odjeżdżającymi, a malcy: za wieczerką, za gwiazdką, za zmarnowanemi świętami, które nadchodziły podczas nieobecności rodziców. Bo wszystko przepadło oczywiście; a właśnie każdy spodziewał się takiej przepysznej gwiazdki, jak corok zresztą. Sute przygotowania do wieczery, także zmarnować się musiały, bo pani Limowska, rzadna i niebogata, nie trzymała kucharza ani gospodyni, pilnowała sama kucharki i przykładła ręki własnej do wszystkiego, więc bez niej nie umiano nic poradzić. Nauczycielka odjechała przed dwoma dniami na święta do swoich rodziców, stało się przeto, że na czele całego domu, znajdowała się teraz trzynastoletnia Zosia najstarsza, płacząca niemniej głośno jak reszta dzieci. Trzeba jednak wyznać, że Zosia więcej od innych miała powodów do płaczu, bo zimno było porządne, więc myślała nuż się rodzice pozaziębiają?... albo ze zmartwienia pochorują?... a przecież i przez las przejeżdżać będą, a w lesie są wilki!... mówią też ludzie, że i banda złoczyńców jakichś krąży w okolicy... żeby choć futer rodzicom nie zabrali, bo wtedy to już pewna choroba z zaziębienia!... O Boże, Boże!...

Było w istocie czego płakać i ręce załamywać, gdy takie myśli szarpały trzynastoletniem serduszkiem, co dowodziło z resztą, że Zosia była już myślącą dziewczynką. I dla tego też płacząc serdecznie, pomyślała jednak wkrótce o tem, o czem matka jej ostatnio przykazywała pamiętać:

— Na miłość boską pilnuj rodzeństwa! Nie pozwól Rózi płakać, żeby znów gorączki nie dostała! — Różia była wątlę dzieckiem i lekarze kazali ją strzedz od wzruszeń. Zosia więc łkając sama, zajęła się uspakajaniem dzieciny, wmawiając jednocześnie innym dzieciom, że powinny koniecznie wstrzymać łzy przez wzgląd na małą siostrzyczkę. Nie przesadzała wcale; Różia przytulona, spłakana i zbyt wczesnie wstawszy, drzemała chorobliwym snem, zrywając się co chwila, inne dzieci skupione około najstarszej siostry, płakały silnie, ale tem skutniej może; tak minął ranek. Służące zcichła krzątały się około codziennych domowych porządków, sprzątając rozpoczęte przez panią przygotowania do wesołego obchodu wigilijnej wieczery: nieka z mąką na najdelikatniejsze ciasto, które dziś dopiero piec się miało, cukier, rodzenki, konfitury, formy, wszystko zniknęło odoszone do spiżarni, firanki świetnej białości, mające być jak zawsze ręką pani założone, składały się do kufra, pokoje narażone chwilowo na miły dzieciom nieład, którego następstwem miał być tem miłszy zdwojony porządek świąteczny, przybierały codzienny pospolity pozor. Smuciło to dzieci jeszcze bardziej:

— Otóż to dopiero będą święta tego roku!... myślały zrozpaczone. Zosia kazała podać śniadanie i pocichu namawiała młodszych aby poszli do jadalni, dając im do zrozumienia, że sama nie może się ruszyć z miejsca, aby nie zbudzić Rózi, która właśnie drzemała u niej na kolanach; spojrzano po sobie, wzruszono ramionami i nikt nie poszedł; nikomu jeść się nie chciało. W tem szept, jakkolwiek bardzo cichy, zbudził chorą. To Józefka, pytała po cichutku o coś Janowej, Janowa zaś, zastanowiła się i odrzekła:

— Oczywiście że nie, niech ją Jasiak zabierze napowrót, ktoby tam o tem myślał przy zmartwieniu i ktoby potrafił...

Różia krzyknęła!

-- Zabierze?... Czy już przyniósł?... Dziadzio ciężko chory, mama i ojciec odjechali i choinkę Jasiak napowrót zabierze, nie będzie gwiazdki, nic nie będzie, nic!... — wołała Różia z nowym wybuchem płaczu, zrozumiawszy jakimś niepojętym sposobem szeptu służących.

Zosia zerwała się nagle.

— Nie, tak być nie może dłużej!... zawołała — wszyscy chodzą jak błędni, już blisko południe, a nikt śniadania nie jadł, Różia się rozechoruje, porządek cały domowy przepadnie, a przez to nic a nic dziadzi nie pomożemy! Niech Janowa

idzie do kuchni; piecze i gotuje co trzeba, stół się nakryje w czeladnej izbie, zaprosi się Walków, żeby było weselej, bo oni są nam zawsze życzliwi, kto żyw w domu, siądzie do wigilii i my też razem. W jadalni nakrywać nie można, bo siadłszy w zwykłym miejscu bez rodziców, dziadzi i babci, popłakali-byśmy się znowu! Niech Jasiek nie zabiera tego co przyniósł! Józefko, nie chowaj firanek! nie wielka rzecz je zawiesić, co potrafię to zrobię wszystko jak mama!

Dokończając tych słów, chwyciła firanki i natychmiast upinać je zaczęła. Płacz ustał, jak pod czarów działaniem, dzieci spoglądały na starszą siostrę zdziwione, nawet Różia wytrzeszczając oczki pomyślała, że Zosia w jednej chwili staje się jakby do mamy podobną; skryta tajemnicza nadzieja, że nie wszystko jeszcze przepadło, kiedy Jasiek dostał rozkaz nie nie zabierać, ożywiła zmartwionych; nawet służące mocno zdziwione w pierwszej chwili, potem żywo zabrały się pełnić pierwsze w życiu od panienki otrzymane rozkazy. Ruch i czynność napełniły dwór, i wszystkim mimo zmartwienia lżej się jakoś zrobiło na sercach.

Nad wieczorem wszystko było gotowe, chociaż oczywiście nie tak jak bywało przy rodzicach, jednak dom wyglądał odświętnie, a dla Zosi każdy miał wyrozumienie; ona tymczasem przepędziwszy z godzinę w salonie, wyszła zamykając drzwi szczelnie za sobą, zupełnie jak mama co rok robiła:

— Co też ona tam robiła? Co mogła robić bez mamy? Jednak ta Zosia musiała chyba urość dzisiaj nagle!... — szeptały dzieci, patrząc na nią z mimowolnym uszanowaniem.

— Wszystko gotowe, pójdźmy do stołu, oto gwiazdka wschodzi! — powiedziała Zosia. Wzięła Rózię za rączkę i otoczona malcami weszła do czeladnej izby, gdzie długi stół stał nakryty w pośrodku, z opłatkami na talerzu u jednego krańca, a wszyscy słudzy, parobcy i Walkowie porządni gospodarze, a najbliżsi ze wsi sąsiedzi — zaproszeni w gościnę, stali już rzędem, postrojeni świątecznie, okrutnie zaciekawieni i ujęci zarazem niezwykłym pomysłem panienki, której powaga najniespodziewanej jakoś objawiona, dziwne na nich robiła wrażenie. Zosia pozdrowiła ich, mówiąc: „Niech będzie pochwalony” i przystąpiwszy do stołu, wzięła opłatki, zwracając się z nimi ku Walkowi, gdy w tem spojrzawszy przypadkiem w odległy kąt izby:

— Kto tam stoi pod piecem? — spytała.

— Ah, to staruszek dziadziina jak gołąbek siwy, żebrak wpół zmarznięty, przyszedł ażeby się rozgrzać i posilić—odpowiedziano.

A Zosia na to:

— Ubogi w domu, to Chrystus w gościnie, niechże więc ten dziadek zasiądzie z nami do stołu.

— Pójdźcie dziadku, proszę przełamać się ze mną opłatkami. Życzę wam zdrowia i dosiego roku! — dodała podchodząc do starca, który wahał się, zdziwiony, po chwili przecież przełamał z Zosią opłatek i usiadł na wskazanym miejscu. Jeżeli starsza siostra chciała oderwać umysł dzieci od dręczącego je zmartwienia, to dokazała swego: były tak zdumione i zajęte, że po dziecinnemu zapomniały chwilowo o wszystkim. Wszyscy zresztą byli zdumieni, ale ich zdumienie graniczyło z uwielbieniem dla panienki. Nie dobrze zdawano sobie sprawę z tego co zrobiła, ale spoglądano na nią z coraz większym uszanowaniem.

— Ach, jaka ona rozumna — szeptano! i zajmowano się tak bardzo panienką, że przeto mniej nawet zważano na niespodzianego gościa. Dziadziina tymczasem wyszedłszy z ciemnego kąta, okazał się dziadem ogromnym, acz mocno zgarbionym, białe jak śnieg włosy, wasy i broda zakrywały mu twarz tak, że ledwo było widać błyszczące oczy, a i te spuszczał ciągle unikając spotkania wzroku innych. Zosia zajęta przedewszystkiem rodzeństwem, a zwłaszcza słabowitą Rózią, wcale nie zważała już na dziada, jedna rzecz przecież mocno ją w nim zdziwiła, a nawet wszystkich zresztą, starzec żebrak posadzony na pierwszym miejscu u stołu, powinien był

odmówić głośno modlitwę choćby najkrótszą, a on nawet się nie przeżegnał... Zosia więc powstawszy odmówiła modlitwę, poczem zabrano się do jedzenia szepcząc:

— Nie chrześcijanin on czy co?

Długo byłoby opowiadać jak po wieczerzy, pożegnawszy panienkę, włóścianie gawędzili o niej w swych chatkach, a dłużej jeszcze gdyby opowiadać trzeba co jednocześnie działo się we dworze. Zosia zajmowała się wraz z matką przygotowaniem podarków dla rodzeństwa, była we wszystko wtajemniczoną, prócz tego co ją samą osobiście dotyczyło, wszystko też było już na ostatni dzień gotowe. Łatwo zatem ku wielkiemu zdumieniu dzieci, mogła Zosia choinkę przystroić. I tak, dzień rozpaczliwie zaczęty, kończył się serdeczną uciechą wszystkich, połączoną z nieopisanym zdziwieniem...

— Ależ ta Zosia to prawie mama!... — szeptały zdziwione dzieci.

(d. n.)

## W imienniku Marysi Ch.

Mówią ludzie że na świecie

Szczęście nie istnieje...

— Ależ Pan Bóg stworzył przecie

Wiarę i nadzieję;

Ubrał błękit w cudne blaski

A ziemię w kobierce

I dał dowód Swojej łaski

Człowiekowi... serce;

I dał w młodych lat rozkwicie

Marzeń skarb zakłęty

I wzbogacił dalsze życie

W uczuć dyamenty;

I przepasał, gdy pomału

Inne światła gasną,

Wschód wieszczego ideału

Tęczę wspomnień jasną,

Niema szczęścia?... O, ja wierzę

W większą dobroć nieba,

Jest i będzie... tylko szczerze

Szukać go potrzeba.

D. H.

## LIST Z WARSZAWY.

(Dokończenie).

Naszyjniki z białych paciorków kamiennych, z włókien roślinnych, pasy, bransolety i naszyjniki z muszelek dowodzą, że czarne nasze siostrzyce wysylają swój dowcip na przyozdabianie swych postaci, którym niewiele chyba uroku dodaje nakrycie czy ubranie głowy zrobione z włókien roślinnych z których warkoczyki posplatane są razem z włosami kobiety. Naturalnie, zdjąć ona nie może tego ubrania bez odcięcia włosów splątanych i skręconych z włóknami i, jak p. Janikowski objaśnia w katalogu „zazwyczaj nie zdejmuję go przez całe życie”. Zwyczaj ten mało mi trafia do przekonania!

Nie zachwyca mnie również inna część stroju kobiecego: fartuszki ze skór małych, przyozdobione muszelkami *Kauri*

i guziczkami europejskimi, (z rodzaju tych, jakie się używają do rękawiczek) które stanowią całe ubranie kobiety z plemienia Mpangue. Robią też podobne osłony z włókien roślinnych naturalnego koloru lub farbowanych, nie a nie nie piękniejsze od skórzanych. Za to pewnym smakiem estetycznym odznaczają się szpilki do włosów z kości słoniowej, bardzo rozpowszechnione wśród elegantek zachodniego brze-

prawdziwie już ozdobami stroju będące, są wyrobem krajowców Akra, ze Złotego Wybrzeża. Ozdoby stroju męskiego noszą cechę dzikich upodobań: zęby lampartów, małą „babu”, dzików, aligatorów, używane są do noszenia na szyi a świąteczny strój głowy mężczyzn, używany podczas uroczystych tańców i na wojnach, a wyrabiany z piór ptaków, upolowanych przez właścicieli, śmiesznie wygląda na głowie kędzie-



Czarny zębaty posąg bogini Kali stał na wysokim głazie...

gu Afryki, nie zeszpeciłyby czarnych warkoczów kobiety europejskiej. Pierścień złoty, dar króla murzyńskiego, wykonany w ciągu jednego dnia przez złotnika miejscowego, objawia także niejakię pojęcie o harmonii linii spiralnych, z których składa się oczko pierścienia: Nie mówię tu o pazurze lamparcim oprawnym w złoto na brelok, z wyobrażeniem zodyaku na oprawie, o tegoż rodzaju złotych pierścieniach, o broszkach z drucików srebrnych w kształcie kotwicy, bo te zdają mi się zdradzać czy znajomość wzorów europejskiego złotnictwa, czy też może przechowaną tradycję złotnictwa egipskiego, wysoko rozwiniętego, jak wiadomo. Te ostatnie przedmioty,

rzawym włosem okrytej. Ozdoby na szyję z ogonków zwierzęcych, oraz włosów z brody słonia, w Afryce chyba tylko mogą uchodzić za ozdobę!

Co mi się zaś naprawdę podoba, to tkaniny z włókien roślinnych: hamaki, bawełnice wyrabiane na ręcznych warsztatach tkackich, przez krajowców z nad górnego Nigru na Wybrzeżu Złotym, lecz na miejscu mało rozpowszechnione z powodu swęj wysokiej ceny. Maty roślinne, torby z włókien roślinnych używane do noszenia dzieci, kapelusze, czapki z roślinnych włókien starannie wykonane, dowodzą że kobietom murzyńskim nie obce są te zalety, które i u nas uważane



są za niezbędne dla osób, trudniących się robotkami ręcznymi. Patarafki i wachlarze z włókien roślinnych, zupełnie nie brzydkie, uderzają mnie przedewszystkiem harmonijnym doborem kolorów. Katalog mnie objaśnia, że są one mało używane przez krajowców, lecz zato chętnie nabywane przez Europejczyków i w znacznych ilościach wywożone do Europy. Koszyki mniejsze i większe, do różnych gospodarskich uży-

czas obrzędów religijnych u Mpangue, „tam-tam” „kula”, także rodzaje bębnów muszą wydawać ogłuszające dźwięki. Grzechotki używane do tańca, kołatki, zawieszane na szyi domowych zwierząt, grzechocące koszyczki, które kobiety przywiązują sobie do nóg podczas tańca, dzwonki żelazne, używane jako ozdoba przy amuletach, trąbki drewniane, oraz różne instrumenta, których kształtu, ani sposobu używania nie



Książęta indyjscy zwani radża wyprawili kilka wspaniałych polowań..

tków, odrębne kształtem od naszych, nie wydałyby się źle w kuchniach, przedpokojach a nawet na stolikach do robót, a jużco koszyczki z wyspy Madagaskar, są poprostu sliczną zabawką! Jest ich kilkanaście, układanych jeden w drugi, od maluskiego mającego niespełna 2 cale w kwadrat, aż do największego, który dochodzi ćwierćlokciowych blisko rozmiarów. Zato, niewiem czy przydałby się na co unas pas, pleciony przez kobiety Mpangue, a przeznaczony do noszenia dzieci!

Narzędzia muzyczne w osobnej szafie zebrane, wyglądają na to, że możnaby z nich wytworzyć najpyszniejszą „kocią muzykę”. Ogromne bębny „mbeń” używane do tańca i pod-

umiem wam bliżej określić, dowodzą że dzicy ci ludzie doznają także idealniejszych jakichś potrzeb, chociaż w zadośćczynieniu im nie są zapewne wybredni.

Sprzęty domowe, narzędzia gospodarskie, proste niewykwintne, dowodzą bardzo niewielkich potrzeb i braku wszelkiego pojęcia o wygodzie. Pomiędzy niemi odznacza się slicznym kształtem wazonik do kwiatów z wysp Kanaryjskich, wygląda jakby z palonej gliny i wyobrażam sobie, że ładnie by wyglądał z włożonym weń bukiecikiem fijołków. Łyżki drewniane wyrobu Mpangue, więcej wyglądają na kopystki i sądząc z ich kształtu, przypuszczać by można, że Murzyni

## Ś-ty Stanisław Kostka.

nie zwykli jadać zupy. Szczoteczki do zębów to jest kawałki miękiego drzewa, rozgryzione na końcu w formie pendzelka, grzebienie do czesania włosów, miotelki z liści bambusowych pozwalają mi wierzyć, że poczuwają się do obowiązku utrzymywania w czystości osób swoich jakoteż i chat, czego tylko powinszować im można. Miotelki jednak służą i do innych, wyższych celów: używane są bowiem jako berła przez naczelników plenion podczas rozpraw sądowych i narad publicznych. Mówcy, występując w koło, podnoszą w górę miotelkę dla uciszenia gwaru zebranych.

Narzędzia żeglarskie i rybackie, monety, bity ze skóry hipopotama, nie odznaczają się ani pięknnością kształtów, ani misternem obrobieniem, pobeźnie je więc obejrzawszy, zbliżam się do fotografii i rysunków, przedstawiających typy i widoki miejscowe. O ile na wieśniakach Madery z przyjemnością oko spoczywa, o tyle podobizny ludożerców Mpangue, kobiet gabońskich, kameruńskich, krajowców ze Złotego Wybrzeża, nie dają pochlebnego wyobrażenia o urodzie tamtejszych mieszkańców. Widoki zato przedstawiają przyrodę i miejscowość tak odrębne od naszych, krajobrazy o tak niezwykłych dla oka naszego liniach, a tak po swojemu piękne, że się ich napatrzeć nie mogę. Z równą też przyjemnością przyglądam się zbiorowi motyli, między którymi są prześlizne, ogromne, o żywych barwach i ślicznym rysunku upstrzenia. Zbiór muszli przykuwa mnie też na długo; niektóre jak misterne cacka z porcelany, inne jak cukierki, a są znowu jakieś niewielkie, kształtnie wypukłe, okrągławe, o wnętrzu tak delikatnie różowym jak najpiękniejsza róża Thea.

Cóż! kiedy miłe wrażenie sprawione przez muszle i motyle psuje mi widok olbrzymiego węża, który wielokrotnymi sploty owinał się w koło wysokiego drzewa, skręty ogona ma jeszcze na ziemi, a płaską głowę wyciąga z góry ku tobie. Szkaradne stworzenie! aż zimno się robi na myśl, że są kraje, w których, poszedłszy na przechadzkę, spotkać się można z takim potworem! Nie wiele też przyjemniejszym jest widok różnych wężów *drzewnych, niebieskich, jadowitych, położów, krocionogów, węzłowców, świerczków, termit, gosienic, kameleonów* i tym podobnych gadzin, owadów i poczwiar, zakonserwowanych w spirytusie. Człowiek patrząc na nie, dziękując Bogu, że wtedy tylko narażonym jest na ich oglądanie, gdy sam oglądać je zechce w muzeum, lub na wystawie jakiej. Więcej od nich są zajmującymi polipy morskie, do różdżek wydłużonych podobne, ziarna różnych roślin, prześliznie wypchane i prześlizne ptaki z rodziny *Wróblowatych*, czapła niewielka, ale jak przystało „na wysokich nogach” zabawny jakiś sokół z wachlarzem piór, umieszczonym w ogonie i czaszki wielkich ssących zwierząt: słonia, hipopotama, goryla, mandryla, oraz szczeka rekina, piła morska i tym podobne okazy przyrodnicze, pochodzące po większej części z okolic gór Kryształowych, to jest z zachodnio południowej Afryki. Motyle pochodzą z wyspy Fernando-Poo; szkoda tylko, że obok każdego gatunku niema gąsienicy i poczwarki, co uczyniłoby zbiór kompletnym. Muszle zostały zebrane na wybrzeżach rzeki Corisco, a zważywszy ilość zebranych na wystawie okazów (1,200) oraz ich różnorodność, podziwiać należy energię i zabieglwość, p. Janikowskiego, który wszystko to zgromadził i tak dobrze przechowane do Europy przywieść potrafił. Niełatwe to było zadanie: raz już, po dwuletnim pobycie w Afryce dzicy napadli i spalili dom, a wraz z nim i znajdujące się tam zbiory, których gromadzeniem na nowo zająć się musiał p. Janikowski. Wystawa reprezentuje więc owoc kilkoletniej pracy, a przytém o murzynach i życiu ich więcej nauczyć może niż godzina geografii, szczególnie gdy się nie bardzo zważa na wykład... bo i to się czasem zdarza! Nieprawdaż!

Zdarzało się przynajmniej waszej Gołąbce, która teraz stara się okupić winy przeszłości, z uwagą oglądając na wasz użytek wszystko, co przypuszcza że was zająć może lub korzystać jaką wam przynieść. Wiem, że dobre jej chęci cenieć nad zasługi, ale i wy wiedziecie o tem, że za życziwością waszą całym, wiernym, szczerze kochającym sercem starszej siostry, płaci wam wasza na zawsze

Gołąbka.

Święty Stanisław Kostka, uważany za patrona młodzieży, urodził się w roku 1550 w Rostkowie, w guberni płockiej, niedaleko Przasnysza. Pochodził on ze znanej, starożytnej rodziny: ojcem jego był Jan Kostka, matką Małgorzata z Kryskich. Chłopię od lat najmłodszych okazywało niepospolite zdolności, i chęć poświęcenia się stanowi duchownemu. Ojciec sprzeciwiał się temu, sądził też, że z wiekiem chęć ta przemienie i Stanisław o innym pomyśli zawoździe. W czternastym roku życia chłopczyna oddany został na naukę do Wiednia; tu zwrócił uwagę przełożonych i nauczycieli swą pilnością i wzorowem, niemal świątobliwem postępowaniem. Pragnął on wstąpić do zgromadzenia OO. Jezuitów, ale dla zbyt młodego wieku nie mógł być przyjętym, zamiar jednak powzięty w dzieciństwie, nie opuszczał go ani na chwilę; poświęcić się służbie Bożej był to jego cel, jego jedyne marzenie. Udał się też młody Stanisław do Augsburga i Dellingen, następnie nawet do Rzymu i tu odbył nowicyat, ale Bóg właśnie wtedy oznaczył kres jego doczesnego istnienia, zachorował ciężko i śmierć zabrała go w 1567 roku gdyliczył 17 lat zaledwie. Dla świątobliwego życia i cudów, jakie się działy po jego zgonie, policzony został w poczet świętych.

Podług niektórych, kanonizacyi dopełnił Papież Klemens XI 1714 r., podług innych zaś, nastąpiło to cokolwiek później, za Papieża Benedykta XIII-go.

Wytrwałość Stanisława na drodze cnoty i obowiązku jest wzorem godnym naśladowania.

Uroczystość tego świętego obchodzi kościół katolicki w pierwszą niedzielę po 13-tym listopada.

## W INDYACH.

(Dokończenie).

Kończąc te słowa, Kumasy pędził już do wsi Tungara a pięciu, jego wysłańców biegli do lasu Pinktu. Na ten raz wyteżyli wszystkie siły, czując że od ich pośpiechu i udania się zamiaru wójta, zależy byt całej ludności okolicznej.

Thorn, Mac-Ulm i majtkowie z parowca, przebudzeni przez straż zdziwioną zbyt długą nieobecnością kapitana, zachodzili w głowę co się z nim stało, na najdziwniejsze wpadając przypuszczenia, jakby przeczuwając że stało się coś złego. Gotowi byli do walki w jego obronie, nie wiedząc jednakże przeciw komu; gdy ujrzano mądrego Kumasy, machającego zdaleka jakąś białą płachtą, dla oznaczenia pokojowych swych zamiarów, i biegnącego z ptasią nieledwie chyżością. Zbliżywszy się do statecznie, wzięliśmy słowy wnet zawiadomili obecnych co się stało. Okrzyk przerażenia wydarł się ze wszystkich piersi: jak rozbójnicy z Tungara na wieść o pojawieniu się „strasznych”, uznali że to stokroć gorsze jest niż sprawa z Anglikami, tak i ci ostatni, teraz dopiero, poraz pierwszy poczuli strach, prawdziwy *strach*. Wszystkie serca ścisnęły się na myśl o nieszczęsnym kapitanie, którego należało uznać zgubionym; starzy majtkowie nawet, ryknęli płaczem okropnym...

— A przecież może jeszcze możnaby go ocalić — zawołał Kumasy.

— Jak? znasz się na rzeczy? jeżeli jest choć cień nadziei, mów co czynić? — zawołano porywając za broń, bo sama wzmianka o nadziei budziła odwagę.

— Jeżeli go nie zamordowali na miejscu i uprowadzili, to wiedzą go snadź do tajemnej rozbójniczej nory, zwaną przez nich świątynią, aby go oddać na ofiarę swęj okropnej bogini „Kali”. Moi ludzie rozstawieni po drodze, wskażą nam dokąd idą, śpieszmy!...

Nikt nie odpowiedział nawet, bo już wszyscy biegli, dążąc za Kumasym i bezwiednie, z przyzwyczajenia porządkując się w szeregi po drodze.

— Nieszczęście! nie zdążymy, w żadnym razie nie możemy zdążyć — rozpaczali majtkowie przypominając sobie, jak wczoraj biegli niby zające, a jednak prześcignieni i to tak znacznie prześcignieni zostali.

— Owszem — odparł Wilko, zrozumiawszy ich myśl — byle tylko można znaleźć wejście do ich nory... Zdążyć możemy, przecież oni prowadząc jeńca nie biegną, lecz idą, a potem... długie zazwyczaj przygotowania poprzedzają spełnienie ohydnych ofiar...

— A jak ty możesz wiedzieć o tem tak na pewno? — spytał ten i ów zdziwiony.

— Tak coś słyszałem od moich dziadów... — odmruknął, spuszczając oczy nowonawrócony chrześcianin. Robert, idący w pobliżu spojrzął w tej chwili na niego, a Wilko zaczerwienił się jak miód pod tem spojrzeniem. Noc uchodziła, śpieszono co siły, wkrótce napotkano leżącego w trawie Masa, który wskazał Kumasie dalszy kierunek, dalej tak samo objaśnił idących Kiza, w którą stronę poszli „Straszni” ze spętaniem kapitanem, tak Tyso i Raska, jeden w znacznej odległości od drugiego, wskazywali drogę, dalej dopiero, leżący za skałą Tochty, powstał za zbliżeniem się Kumasego z Anglikami i rzekł:

— Wodzu, przysięgam ci na niebo i ziemię, że wiernie pełnię twoje rozkazy, i w strachu, pewno spać mi się nie chciało, a jednak stało się coś, czego nie pojmuję, czary oczywiście: oto pięciu „strasznym” z młodym kapitanem, w moich oczach zaszli ot tu, za tę skałę, nie wyższą odemnie i nagle zniknęli, nie ujrzałem ich więcej. — Słuchacze zaledwie powstrzymali okrzyk przerażenia, nieduża skała czyli ogromny głaz, leżała na środku pustynnej miejscowości. W sekundę każdy obiegł to miejsce w około i nic nie odkrył. Zbójcy z ofiarą zniknęli bez śladu.

Jeszcze nikt ani nawet sam Kumasy nie zdążył pomyśleć nad tem niepojętem nieszczęściem, gdy Wilko obiegając ową skałę kilkakrotnie i stukając w piasek kolbą swęj strzelby, przyczem ucho przykładał do ziemi, począł nagle ze zrećznością godną małpy, odrzucać piasek. Robert, Mahora i Rahib pomogli mu natychmiast i wśród ogólnego osłupienia, podważyli wkrótce kolbami spory, płaski kamień i odjęli go na bok. Pod kamieniem znaleźli coś podobnego do ciasnej studni, zaopatrzonej występami u ściany, tworzącymi rodzaj niezgrabnych schodów. Wilko bez namysłu począł spuszczać się pierwszy, szepnąwszy Kumasie:

— Nakryj i zasyp wejście i zostań przy nim! Zwołaj do pomocy twoich, pilnuj żeby nas nie podusili zamknięszy odwrót!... — W milczeniu, ale bez wahania zaczęli się wszyscy spuszczać w ową czeluść, za przykładem Mahory i Roberta, którzy tuż za Wilkiem znikli w głębi ziemi.

Hm — mruczał Mahora, spoglądając na Wilka, póki jeszcze dostrzegali go w świetle księżycy — co za szczęście, że ci zbrodniarze nie są plemieniem, lecz tylko sektą obrzydliwą... — Wkrótce straszny widok przedstawił się stojącym na schodach jeden ponad drugim: ujrzeni oni przed sobą nagle rozszerzoną i pochodniami oświeconą jaskinię, ręką przyrody wytworzoną w skałe, ręką ludzką przyozdobioną potwornie i przepelnioną tłumem dzikich postaci. Czarny zębaty posąg bogini Kali, olbrzymich rozmiarów stał w głębi na wysokim głazie. U stóp jego leżał silnie skrzepowany, ale z oswojonymi ustami kapitan, patrzył on spokojnie prosto w kamienne urwiste sklepienie, jakby chciał przez to uniknąć widoku wrogów; tuż nad nim stał schylony dziki, z palcami roztorzonemi, przygotowanemi do schwycenia go za gardło. Wieniec ognisty utworzony na ziemi ze smolnych gałązek i dymnych ziół, otaczał ich obu w około; wewnątrz tego wieńca tuż u piersi kapitana kłębała z piszczalką w rękę, skurczony inny dziki i wydobywał niemiłe dźwięki: odziany on był jedynie zwojami kilku ogromnych węży, owiniętych około jego ciała w różnych kierunkach i poruszających w takt muzyki szkaradnemi głowami, a syczących żądłach. Przed ognistym wieńcem

stał ogromny dziki udrapowany w długie szaty, i z rękoma w górę wzniesionemi, wyśpiewywał hałaśliwie jakąś pieśń porurą.

— Gdy śpiew się skończy, palce te gotowe do uduszenia, ścisną szyję kapitana — szepnął Wilko, stojący najniżej, spoglądając na swoich; i widząc, że wszystkie lufy karabinów skierowane są w gromadę i śpiewającego, sam uważnie wziął na cel właściciela palców zawisłych nad gardłem kapitana, i dotykając cyngla, szepnął:

— Ognia!

Huknął zbiorowy wystrzał, potem rozległa się komenda powtórzona:

— Ognia! Ognia!... — Jęki i wycia napełniły podziemie. Odurzony zupełnie kapitan, nakryty w pierwszej chwili ciałem upadającego nań Indyanina, którego palce dopieroco groziły jego szyi, oprzytomniał wtenczas, gdy uczył nagle zwolnienie rąk, silnie skrzepowanych: to mały Franek wsunawszy się pod nogi walczącym, zdołał najpierwszy dojść do niego i przeciąć mu więzy:

— Do mnie dziecięcki! — zawołał natychmiast wesoło kapitan, uderzeniem pięści wywracając najbliższego wroga i porywając broń jego. Radosny okrzyk „dzieciątek” był mu odpowiedzią. Anglicy i Francuzi ciągle skupieni, pochwycający tylko kapitana między siebie, strzelali w tłum dzikich wyznawców Kali, cofając się przytem zwolna w górę schodów, wiodących do wyjścia z podziemia i nawołując się starannie, w obawie, aby który nie pozostał w głębi.

Wychodzący na świat cofali się zdziwieni wobec krwawego pobojuwiska, jakie roztaczało się przed nimi na niedużej piaszczystej przestrzeni, okrążającej niewinną skałę, służącą jedynie za znak, około którego istniało skryte wejście do jednej ze strasznych, a tajemniczych świątyń, jakie znajdują się w znacznej liczbie na półwyspie Indyi Wschodnich. To Tungarczycy za radą Wilka, zwołani ptasiemi głosami Kumasego, zaczaiwszy się w pobliskich zaroślach, wypatrywali przybywających po kilku sekcjarzy, i poznając ich po tem właśnie, że zabierali się odkopywać tajemnicze wejście do nory, rzucali się na nich zapamiętale z bronią w rękę. Walczyli szczerze, mając cel podwójny, wyćpienie szkaradnej najdzikszej z dzikich, wstrętnej wszystkim innym Indyanom, sekty szaleńców, i zasłużenia na względy Anglików.

Thorna, Mac-Ulma i kapitana, wychodzących z jaskini, powitała cała ludność tungarska wielkimi czci oznakami, a wteje chwili, gdy słońce nagle zalało ciemny krajobraz blaskiem ognistego dnia, dwa przenikliwe okrzyki zabrzmiwały w powietrzu, to Klara Mac-Ulm, wyskakując ze złamanego powozu, zaprzęzonego w jednego okaleczonego konia, rzuciła się w ramiona biegnącego ku niej ojca...

Długie i serdeczne było powitanie złączonych po długim rozdziale dwóch rodzin.

O południu dopiero, gdy wszyscy, wraz z Francuzami, zgromadzili się, tak samo jak w początkach swych nieszczęść w jadalni Mac-Ulmów, niemniej jak wówczas szczęśliwi, głuchy szmer na zewnątrz domu zwrócił ich uwagę.

— Co to jest — spytał Mac-Ulm zjawiającego się Mahory.

— To Tungaryanie oblegli znowu nasz dom — odparł tenże z uśmiechem — błagają oni z mądrym Kumasym na czele, aby pan kapitan i panna Klara wstawili się za nimi, aby darowano im życie i dozwolono powrócić do chat własnych.

Klara spojrzała na swoich przyjaciół:

— O!... wiem co zrobić — zawołała radośnie i pobiegłszy do okna wionęła kilkakrotnie białą chustką i wnet szalone okrzyki radości napełniły cały dom i okolice. Dzicy pewni byli teraz opieki znakomitej córki wielkiego sultana, tem większego, że prawdopodobnie nie umieli zdać sobie sprawy z jego godności, miesząc i jednocząc go w swych wyobrażeniach z królową Wielkiej Brytanii.

Powozy naprawiono jak było można naprędce, dostarczono koni i kapitan Lory ściskany przez towarzyszy, pobłogosławiony przez starców, odjechał ze swą załogą, wielce zadowolony i wesoły ze spełnienia dobrego uczynku, ponieważ

jak utrzymywał wedle francuzkiego przysłowia: „wszystko jest dobrze, gdy się dobrze kończy”.

W kilka dni później krajowcy zabierali się gorliwie do pracy i pomagali Anglikom w odbudowaniu mieszkań; wszystko miało skończyć się zgodnie dla tungarskiej okolicy przynajmniej... gdy wtém szereg angielskich mundurów zabłysnął pod lasem, strach paniczny na nowo przepełnił serca. Napróżno Kumasy zapewniał, że to on dał znać do władzy prosząc o pomoc w obawie przed owymi „strasznymi”

— Córka sultańska przyrzekła nam opiekę; białą szatą wionęła; ale czyliż posiada ona dosyć władzy nad ojcem swoim aby go od pomsty nad nami powstrzymać?... Takie pytanie wstrząsało ludźmi, dopóki po wspólnem porozumieniu Klara nie stanęła wśród nich, obok nowoprzybyłego pułkownika i nie objaśniła o co chodzi: oto Tungaryanie, jeżeli znali jeszcze jaką prócz już wiadomej kryjówki strasznej sekty morderców, powinni ją wydać natychmiast i poprowadzić do niej wojsko świeżo przybyłe, gdyż rząd angielski usilnie pracujący nad zniweczeniem wszystkich nieludzkich zwyczajów miejscowych, ściga tę sektę i zasłyszawszy o przygodzie kapitana Lory, przysłał wojsko do Tungary. O taką przysługę nie trzeba było Indyan miejscowych prosić, gdyż nienawidzą oni tych wyrodných współmieszkańców, nie uważając ich wcale za ziomków, lecz za plemię obce, z wyspy Jawy przybyłe przed wiekami. Jednakże mimo usilnych poszukiwań nie wiadano o istnieniu drugiej jaskini, tę jedną tylko, z resztą zapartych w nią i pilnowanych z rozkazu Kumasy niedobitków, oddano w ręce przybyłego pułkownika. Jeden z pochwyconych w ten sposób żywcem sekciarzy, wydał przeciw istnieniu nie już jaskini, lecz zboru jakiegoś w głębi lasów, gdzie mordercy przeciw zwyczajowi innych Indyan, schodzili się o północy na nowiu księżyca. We właściwej zatem chwili otoczono las, urządziwszy oblławę i dostawszy się za pomocą siekier do niedostępnej, dla niewtajemniczonych, gęstwiny środkowej, otoczonej żywopłotem zasłaniającym ostrokół, rozrąbawszy i tę przeszkodę, ujrano istotnie garść dzikich sekciarzy przed posągami Kali, wielce wstrętnych kształtów i ozdób, takim samym jak posag w podziemiu... padł bałwan pod ciosami żołnierzy, a wraz z nim upadła podobno w okolicy Tungary straszna sekta... której obrzędy rząd angielski nieprzestaje tępić na całym półwyspie, niemniej jak zwyczaj palenia wdów na stosie wraz zwłokami męża, i inne tym podobne okrucieństwa i zabobony miejscowe.

Nieprędko jednak spokój wrócił całkowicie w Indyach Wschodnich. Wypadki te należą już dzisiaj do historii i notowane są we właściwych książkach dokładnie. Gdy przeciw spokój zakwitł nareszcie w kolonii angielskiej, panowie Thorn; Mac-Ulm wyprawili świetne wesele Klarze i Wiliamowi, dzieciom swym zaręczonym od lat dawnych, a na uczczenie tej uroczystości rodzinną dwójką poważnych i lubionych powszechnie bogatych domów kupieckich, sąsiedni książęta indyjscy, tak zwani *radża* wyprawili kilka tak wspaniałych polowań że dotąd matki Indyanki w Tungara opowiadają o nich cuda niewybrałe dzieciom swoim.

## ZAGADKA.

Pierwsze wskazuje  
Drugie posiada,  
Wspak trzecie płynąc  
Do Kamy wpada;  
Drugie i trzecie  
Czerwone kwiecie;  
A wszystko grzeje  
Gdy się je wdzieje.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Jadwigi Z. dla braciszka Zygmusia.

Z następujących zgłosek: Pe — deb — le — E — kin — Aa — Ług — Ba — hów — ni — Za — Nu — ba — nik — di — czno — Go — ma — rie — Ko — wa — myśl — po — tard — po — O — per — I — ra — man — li — bel — II — ni — nie — O — Czer — rzec — El — e — złożyć wyrazy oznaczające: 1. Miasto w Chinach. 2. Szczyt gór w Ameryce. 3. Jezioro w Ameryce. 4. Miasto w gub. ros. 5. Miasto w Poznańskiem. 6. Miasto na Szląsku. 7. Dopływ Bugi. 8. Rzeka w Niem. p. 6 l. p. 9. Nazwa gór w Szwajcaryi. 10. Miasto w gub. radomskiej. 11. Wytwór z popiołu i wody. 12. Dwie samogłoski. 13. Ciężnina łącząca Ocean Ind. z morzem Czer. 14. Sławny astronom. 15. Rzeka w Azji. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół tworzą znane przysłowie.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

### Zagadki homonimu:

Waga (Teodor, Antoni, Jakób i t. d.)

## METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografiję, historyję, kaligrafiję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdz. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela *porady* we wszelkich kwestyach wychowawczych. *Posredniczy* między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. *Przenumerata* „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — *Adres Redakcyi*: Warszawa, Widok Nr. 14.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Maskonur (toporek) (z drzew.) — Zbudzone sumienie. — W imienniku Maryni Ch. wiersz p. D. H. — List z Warszawy. — Śty Stanisław Kostka — W Indyach (z drzeworytami) dokończenie. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Łososie (z drzew.) — Mała nauczycielka, wiersz. — Kasztany p. W. Ł. — Nabożna Ludka, wiersz p. Helenę Bojarską. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów, do której do numeru obecnego dodaje się oddzielna kartka. **Dodatek** książkowy: Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).

## ŁOSOSIE.

— Mamo, proszę o kawałek szynki — mówił siedmioletni Janek, wskazując na talerz, na którym ułożone były różowe plasterki jakiegoś mięsa.

Zaledwie to wypowiedział, jego siostrzyczka Mania o trzy lata od braciszka starsza, zaśmiała się wesoło.

— Ha! ha! ha! Mamusiu, Janek myśli, że to szynka, ja przecież wiem że to łosoś.

— A cóż to jest łosoś? — spytał Janek.

— Łosoś? — powtórzyła Mania. No, to jest łosoś — dodała po chwili.

— A czy łosoś także w wodzie mieszka? — pytał Janek.

— Wszystkie ryby przebywają w wodzie, Janku — odrzekła mama.

— I duże i małe? — pytał dalej.

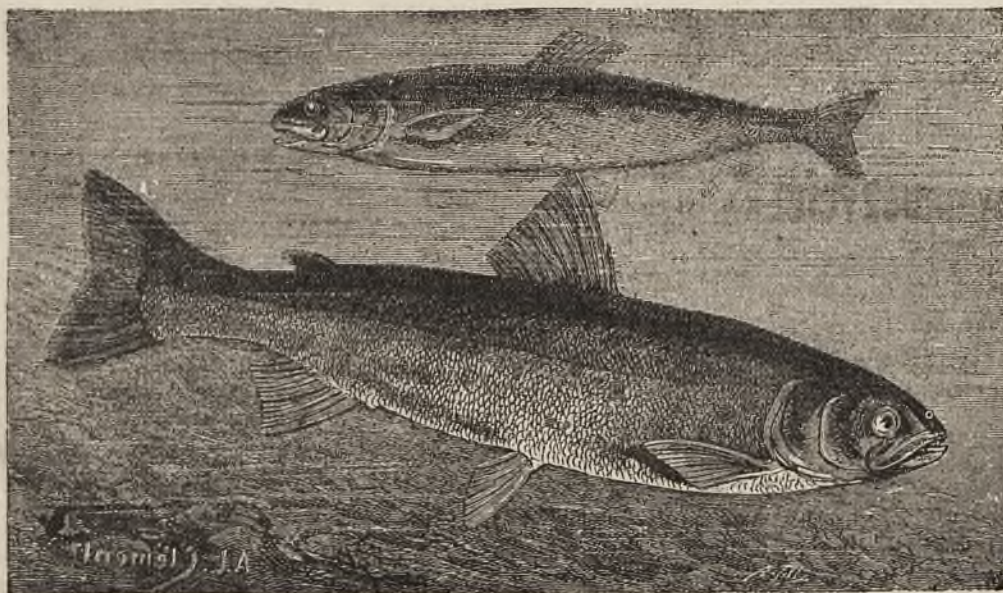
— I duże i małe. Jedne rybki pływają sobie w rzekach...

— Naprzykład w Wiśle, prawda mamó?

— Tak synku. Inne znów w morzu.

— Ja się już uczyłam o morzu Czerwonem, mamó — mówiła Mania. — Tamtędy przechodzili żydzi, gdy uciekali z Egiptu, gdzie kazano im tak ciężko pracować.

— A mnie Mania mówiła — dodał Janek — że mo-



Łososie.

— Łosoś jest rybą, moje dzieci — odrzekła mama.

— Jakto rybą? — zdziwiła się Mania, a Jaś odezwał się:

— Śmiałaś się ze mnie, a sama nic nie wiesz.

— Przepraszam cię, mój Janku, ja przecież nie mówiłam o szynce. Ależ ten łosoś wcale do ryby niepodobny. Rybki mają białe mięso i w niem dużo cieniutkich ości, a tu wcale ich nie widać.

— Bo też różne są ryby — wyjaśniła ją mama. — Łosoś jest bardzo dużą rybą, a ciężki nieraz bywa tak, że ani Janek, ani ty nawet Maniu unieść byście go nie potrafili.

— Ileż on waży? — zapytała Mania.

— Piętnaście do trzydziestu funtów.

— O to dużo! Ja raz próbowałam unieść dziesięć funtów i nie mogłam.

rze, to takie miejsce gdzie jest wiele, wiele wody, tak wiele, że gdy stoisz na jednym brzegu, to drugiego wcale nie widać. I ta woda jest słona. Czy to prawda, mamó?

— Prawda Janku. Łososie zaś żyją i w morzu i w rzekach, przez rok jeden przebywają w słonej morskiej wodzie, a przez drugi w słodkiej, w rzekach, wtedy to rybacy łapią je, potem złowione ryby wędzą i sprzedają. Na tym talerzyku widzisz kawałki wędzonego łososia. Ponieważ łosoś jest dużą rybą, więc też ma i duże ości, które przed wędzeniem wyjmują z mięsa i dla tego ich tu nie widzisz. A teraz pokażę wam łososia na obrazku.

Mama wyszła na chwilę i wróciła niosąc dużą książkę, oprawną w płótno ciemno zielone, na której Janek wyczytał tytuł: „Opis zwierząt”. W tej książce było wiele obrazków a między innymi jeden przedstawia-

jący łososie, które widzicie przedstawione na naszej rycinie.

Patrząc na ten obrazek Janek zamyślił się.

— Mamusiu, mama mówiła, że te łososie takie duże, a tutaj są takie malutkie, że mógłbym je ręką zakryć.

— A pamiętasz Janku twoją fotografię? — zapytała Mania. — przecież ty jesteś duży, fotografia mała, a każdy zaraz widzi, że to ty jesteś na niej przedstawiony.

— Prawda—zgodził się Janek—te łososie na obrazku pewno głodne są bo pootwierały pyszczki. A co one jedzą, mamó?

— Robaki, drobne mięczaki i inne żyjątka, o których posłyszycie gdy podrośniecie trochę.

Dzieci ciekawie pytały jakiego koloru jest łuska łososi. Mama objaśniła je, że mają łuskę drobną, srebrzystą, a pletwy żółtawe z brunatnymi brzegami.

— A teraz chciałbym skosztować tego łososia, mamusiu — poprosił Janek.

Mama w odpowiedzi przekroiła okrągłą, świeżą bułeczkę na połowę, na każdej połowce położyła po plasterku łososia i podała dzieciom. Ta przekąska bardzo im smakowała. Janek utrzymywał, że łosoś o wiele od szynki smaczniejszy.

A. M.

## MAŁA NAUCZYCIELKA.

Pięć córeczek miała mama,  
Dobrych jak anioły,  
Była nazbyt biedna sama,  
Żeby płacić szkoły,

Więc najstarsza z siostrz jedyne,  
Uczyła się w szkole,  
W domu w wolnej zaś godzinie  
W jadalni na dole,

Po wieczery urządzała  
Dla siostrzyczek szkółkę,  
Razem z niemi, sama mała,  
Ucząc się na wspólkę.

Najdokładniej powtarzały  
To co było w szkole  
I kurs nauk przeszły cały...  
Przy jadalnym stole.

## KASZTANY.

— Jaka szkoda że kasztany na nic się nie przydają — mówił Włodzio do młodszego brata, przechodząc ogrodową aleją zasłaną liśćmi i kasztanami: — tak piękne i okazałe drzewa, prócz cienia i ozdoby żadnego więcj nie przynoszą pożytku!

— Niepodobna, aby tak było jak mówisz — odezwał się Boles:—z tak grubych pni i gałęzi muszą chyba wyrabiać jakieś narzędzia lub sprzęty...

— A właśnie że nie, sam słyszałem, jak ojciec mój wiał wczoraj do ogrodnika, żeby pień tego złamanego przez piorun kasztana, porąbać i spalić, gdyż z tak kruchego drzewa niema nawet i jednej deski.

— Nie zapominaj jednak, że na południu Europy rosą kasztany, których owoc jest bardzo słodki i jadalny, stanowi on tam ważną część pożywienia, otrzymywaną bowiem zeń mąka, zastępuje w zupełności zbożową. Niedawno wszak jedliśmy pieczone a raczej gotowane kasztany, kiedy to mama opowiadała nam o kasztanach w obcych krajach.

— I cóż mi z tego, że tam gdzieś we Włoszech są takie kasztany, gdy naszych wziąć do ust nie można. Zresztą tamte, jak to mówiła mama, należą do zupełnie odrębnego rodzaju.

Boles, przekonany widocznie słowami brata, nie odrzekł nic na to, Włodzio zaś, po krótkiej chwili milczenia mówił dalej:

— Wiesz co, przychodzi mi świetna myśl, w jak sposób moglibyśmy zużytkować te opadłe z drzew kasztany: w jadalnym pokoju na szafie leży jeszcze w pudełku cała setka żołnierzy, których dawno już dostałem od wuja na imieniny, nie długo bawiliśmy się nimi bo i cóż to była za zabawa, ustawiać ich ciągle w szeregi, otóż teraz przy pomocy kasztanów urządzimy sobie wojnę: rozdzielimy wszystkich żołnierzy na dwie równe części, ja będę w twoich celował kasztanami, ty w moich, a który z nas dwóch straci wszystkich pierwszy, ten przegra.

— Kasztany zastąpią nam zatem kule, wyborny pomysł! Że też to wcześniej nie przyszło nam do myśli! — zawołał Boles.

— Lepiej późno niż nigdy — odparł Włodzio — teraz właśnie w jesieni najwięcej kasztanów opada z drzew na ziemię, patrz, cała aleja niemi zasłana, zbierajmy ich tak dużo, abyśmy mieli odpowiedni zapas na całą zimę.

To rzekłszy począł gorliwie zbierać leżące na ziemi kasztany, Boles poszedł wnet za przykładem brata, i po półgodzinnej pracy, obaj chłopcy z wypchanymi kieszeniami powrócili do domu.

— Co myślicie zrobić z temi kasztanami — zapytała matka, wchodząc do jadalnego pokoju, w którym Włodzio i Boles wyładowali na stół przyszłe swe kule bojowe: czy nie macie czasem zamiaru upiec je na podwieczorek?

— E, nie, wiemy przecież, że te kasztany nie są do jedzenia — odrzekł Włodzio — lecz przechadzając się dziś po ogrodzie, zastanawiałem się nad tem, że owoce tak pięknych i wspaniałych drzew, jakimi są kasztany, na nic się nie przydają i wynalazłem sposób spożytkowania ich.

— I jakież to?

— Kasztany te posłużą nam za kule do nowej gry w wojnę: Boles będzie niemi rzucał w moich, ja zaś w jego żołnierzy, a który z nas straci wszystkich pierwszy, ten przegrywa.

— Wcale niezły pomysł—powiedziała matka z uśmiechem: mylnie jednakże sądziłeś, mój Włodziu, jakoby te

kasztany nie mogły się na nic przydać, używają je na pokarm dla zwierząt domowych i wyrabiają z nich krochmal.

— Jakto proszę mamy — zawołał Bolesław — więc może moje mankiety i kołnierzyki zawdzięczają swą białość i sztywność kasztanom!

— Zapewne, jeżeli użytego do nich krochmalu nie wyrobiono z kartofli lub pszenicy.

— No, to zamiast brać te kasztany do zabawy — odezwał się Włodzio — wolę aby mama kazała służącym zrobić z nich krochmal, nie będzie przynajmniej potrzeba kupować go w sklepie.

— Dziękuję ci za nie, mój Włodziu — odrzekła matka — bo wyrób krochmalu w domu, gdyby nawet był możebnym, kosztowałby o wiele więcej, niż otrzymana jego ilość, możesz zatem spokojnie bawić się swemi kasztanami.

Czyż potrzebuję dodawać, że tegoż jeszcze wieczoru przyniesione kasztany bębniły po stole, na którym toczyła się zacięta walka pomiędzy żołnierzami Włodzka i Bolesia.

W. Ł.

## NABOŻNA LUDKA.

Jak tylko rano wstanie z łóżeczka,  
Zaraz paciorek mówi Ludeczka,  
I wieczór także, o! bo wie przecie,  
Że takim dziatkom dobrze na świecie,  
Które w swem życiu myślą o niebie  
Bóg im pomaga w każdej potrzebie.

*Helena Bojaraska.*

## MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

P. A. DO.

(Dalszy ciąg).

Król podaje z powagą rękę wieśniaczce i obchodzi kilka razy naokoło stołu, zasłaniając się parasolką.

— No! Po jakiemu trzymasz parasolkę! Dziubnąłeś mnie w oko. Masz! To mówiąc zuchwała poddanka uderzyła biednego monarchę z całej siły w plecy. Że zaś nasz król był wierutnym mazgajem, zamiast znieść ten cios obojętnie, zapiszczał przeraźliwie:

— Hihihih! Ty obrzydliwa! Będiesz swojego króla biła! Szkaradna jesteś hihih! Już nigdy się z tobą bawić nie będę! Nigdy a nigdy! hihih! Ale myślisz, że ci nie oddam? Masz, masz, masz!

— A to co się dzieje! — zawołała mama uchylając drzwi od swego pokoju. Śliczna mi zabawa... Dzieci zapomniały co ja mówiłam?

— Bo to ona pierwsza zaczęła...

— Nieprawda! Tyś mię pierwszy w oko parasolką dziobnął.

— Ale niechący, a ty mnie umyślnie biłaś!

— A ty mi trzy razy oddałeś!

— Dosyć już tego! Obojeście winni. Proszę pana Stanisława usiąść sobie w tym kąciuku i pomyśleć trochę nad sobą. Panna Helena pójdzie do mego pokoju.

— Ach mammo! Już się nie będziemy bili; niech nam mama przebaczy! myśmy się bawili tak doskonale, mieliśmy taki wyborny obiad...

— Moja mamusiu droga, brylantowa, srebrna, cukierkowa, to już ostatni raz! Ja go pierwsza przeproszę, tylko niech się mama nie gniewa!

— No, pamiętajcie! Ostatni raz, ale jak usłyszę najmniejszą kłótnię, to już z pewnością ukarzę, i żadne prośby nie pomogą.

Po odejściu mamy, nastąpiła chwilowa cisza.

Wrócić do przechadzki dobrego króla z babą wiejską, nie miały dzieci ochoty, trochę żalu w sercu po kuksańcach także wpływało na humor, słowem, zabawa już się nie kleiła. Staś, który lubi nadzwyczaj czytać, rozparł się z powagą na kanapie i po chwili zagłębiony w książkę, zapomniał o Bożym świecie. Helenka zajęła się swemi lalkami, i tak w rzeczywistym spokoju minął czas do obiadu, na czem najwięcej skorzystała Marynia. Maleństwo przyzwyczajone sypiać przed południem, w czasie krwawej i hałaśliwej wojny z korsarzami ani oka zmrużyć nie mogło.

O godzinie pierwszej punktualnie podano obiad; zajęcie taty jest tego rodzaju, że wszystko w domu musi iść podług zegarka. Równocześnie z wagą, Jerzy ukazał się w jadalnym pokoju. Mama od godziny była w ogromnej trwodze, gdyż wykłady w gimnazyum kończą się o jedenastej, a w sobotę o dwunastej, niepokoiła się więc mocno, że Jerzy tak długo nie wraca.

— Wyobraźcie sobie, co za niesprawiedliwi są ci profesorowie! To już doprawdy pojęcie przechodzi! Musiałem siedzieć godzinę w kozie... a za co? Panie święty! Muzyka przechodziła przez ulicę, nie mogąc dojrzeć, wylazłem na ławkę żeby lepiej zobaczyć, i ten stary nudziarz, capnął mnie po lekcyi na całą godzinę. To już za ostro! A sam to się patrzy przez okno, chociaż starszy od nas, i tyś się, ale! co ja mówię... sto tysięcy razy najrozmaitsze muzyki słyszał.

Mama i tata stanęli naturalnie po stronie nauczyciela i biedny Jerzy, oberwawszy w dodatku burę w domu, jak niepyszny zamilknąć musiał. Że jednak usposobienie ma wesołe i niełatwo fantazyę traci, zjadłszy więc rosół zapomniał o wszelkich utrapieniach i kłopotach studenckiego żywota.

— Ale ale! Jakie śmieszne psy w kagańcach widziałem. Ten pudel u naszego sąsiada siedział biedny przed sklepem i tylko od czasu do czasu, łapą zedrzcąc kaganiec próbował. Potem widziałem ogromnego czarnego, który szurował głową o mur, myśląc zapewne, że to co pomoże; ja mu tłómaczyłem, że to się na nic nie przyda, że przecież przy łowie uczy: „głową muru nie przebijesz”, ale ja swoje a on swoje. Mammo! na co to wymyślili?

— Widzisz jak ty nic nie uważasz — wyrwała się Helenka — przecie wczoraj mama głośno czytała w gazecie, że *magister* wydał rozkazanie aby wszystkie psy chodziły w kagańcach, bo jakby się który wściekł, niko-

## Skrzynka do listów.

goby już nie pokąsał, a magistra wszyscy muszą słuchać; widzisz? ja młodsza, a wiem. (Naturalnie w główce Henki magister a magistrat, wyraz którego nie rozumie, to zupełnie wszystko jedno).

— Mamo! a jaka będzie legomina! Ja najlepiej lubię mleczko czekoladowe! A ty?

— A ja kruche ciastka z wiśniami.

— Mamo, a kiedy będą wiśnie? A kiedy my na wieś pojedziemy?

— A mam, czy dzicy ludzie lubią poziomki? Pewno nie lubią, bo kiedy są ludożercami...

— Mamo, a dla czego był taki król co się nazywał Wstydlivy?

— Mamo, mam! niech mamusia nie mówi, ja mu powiem! Bo był bardzo dobry i wstydził się jak tylko co złego zrobił; o! wcale nie tak jak ty, co się ze wszystkimi bijesz, a potem jeszcze się nie wstydzisz beczeć jak oaran. Mamo dla czego Chińczycy noszą taki długi warkocz? Widziała mama kiedy Chińczyka? A mam czy są takie maszyny co obiad gotują?

— Mamo, kiedy będzie koniec świata?

(d. c. n.)

### Szarada:

Dla Heli, Henia i Hanki od cioci Adelci.

Gdy chcesz oznaczyć coś odległego,  
Używasz czasem mego *pierwszego*,  
Drugi cię dojdzie gdy wieczorna pora  
Sprowadza trzodę z pola do dwora.  
Wszystko imieniem każdemu znanem,  
A i na tronie nawet spotykanem.

### Łamigłówka kryształowa.

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie wstrętne choć u nas nieszkodliwe.
3. . . . .
4. Narzędzie wzroku.
5. Samogłoska.

Rząd środkowy wzdłuż i środkowe litery w poprzek powinny utworzyć zdrobniałą nazwę ptaków domowych.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go

#### Szarady:

Sa — ren — ka.

#### Łamigłówki zegarkowej:

Marek — Moero — Major — Miecz — Morze — Melon  
— Mruki — Mleko — Maków — Maros — Magik — Mięki.

Korzeniowski.

**Kokoszce czubatej.** Nadesłana nam trawka ogrodowa, jest pewną odmianą *szczeciny*, zwanej po łacinie *Penisetum longistilbum*.

Chętnie w swoim czasie zadość uczynimy żądaniu **Pluga poleskiego**.

Słowa, które zasmuciły **Wierzbę płaczącą ze Żmudzi** wywołane zostały własnym jej listem, w którym wyznawałaś nam, Wierzbo miła, że cię coraz to coś innego zajmuje. Nie powiedzieliśmy tego jednak w sposobie przygany, lecz jako żartobliwe napomnienie, którego brać nie należy do serca.

**Rusałka z nad Dźwiny** miłą nam będzie korespondentką. Każde słówko serdeczne, otrzymane od której z młodych naszych czytelniczek, sprawia nam istotną radość, przekonywa nas bowiem że umiecie, dzieci drogie, sercem płacić za serce tym, którzy was kochają i pracują dla dobra waszego. Łamigłówka niema rozwiązania, więc musimy je mieć pierwój aby widzieć co warta.

**Jank. i Ewel. Dow** Łamigłówki przejrzelśmy, lecz nadmieniamy jak zawsze że lepsze, dowcipniejsze, prędzej bywają umieszczane.

**Janek D.** przekonał się teraz z własnego doświadczenia że każdy rodzaj pracy łatwiejszym się wydaje, gdy się już do niej zaprawimy. Tak i z obowiązkami bywa: każdy nowo-przyjęty wydaje się ciężkim, a jednak przy dobrej woli podoląć mu można. Powodzenia w naukach życzymy, Jankowi, zarówno jak i siostrze jego.

**Stasiowi K.** posłaliśmy chętnie zagubiony numer; cieszymy się że zaciekawiają go losy „Janka sieroty”

**Sosenka** dopytująca się o fotografię p. Z. odbierze ją wkrótce.

Nie dziwimy się że **Prawda** czyta „Księżniczkę” bo jest to rzecz bardzo zajmująca. Dobrze spędzasz czas kochana, i choćby praca twoja nie przyniosła pożądaných owoców, to jednak tobie samój zawsze przyniesie korzyść moralną: zadowolenie, płynące z poczucia spełnionego obowiązku.

**Stokrotce z nad Stochodu** donosimy że posiadamy kwit świadczący, jako że na Tyg. M. wniesioną została opłata *caloroczna*; tam więc musiała zająć jakaś pomyłka. Prosimy o doniesienie, czy kazać posłać 1-sze półrocze roku bieżącego czy też policzyć złożone pieniądze na 1-sze półrocze r. 1891?

Postaramy się zadość uczynić żądaniu **Czarnotki**, której nagroda poraz pierwszy otrzymana, sprawiła taką przyjemność.

Kochana Różyczko Jerychońska. Bardzo mi się podobał twój pseudonym, dla tego pierwsza piszę do ciebie prosząc o odpowiedź. Napisz mi jak się nazywasz, ile masz lat, gdzie się uczysz gdzie mieszkasz, i co cię najwięcej zajmuje w Wieczorach? mnie bardzo zajęło: W złotój klatce i Indy. Uczę się w domu, mieszkam w Warszawie, na imię mi Alicya, lecz w domu nazywają mnie Lilą, mam lat jedenaście. Nauki lubię, najlepiej jednak muzykę i roboty. Całuję cię serdecznie. *Galazka Osiny*.

Kochana Królowo Wrózek, Wróźbiarko szczęścia i Halko z Litwy. Pisałam już raz do was, lecz list zapewne zaginął. Jestem już stara kochana królowo, bo już 17-stą wiosnę skończyłam, lecz wcale nie myślę młodsze pogardzać. Wróźbiarka zamieniła się w Gosposię, prawda? Tobie Halko donoszę że jestem nauczycielką młodszego rodzeństwa, przytem sama się też jeszcze uczę, a na przyszły rok mam inne zamiary. A ty co myślisz? donieś mi proszę. *Iesień*.

Droga Czarna Perelko. Zaszła jakaś pomyłka, bo to nie ja pozdrawiam ciebie i Polną Różyczkę w liście do Goryczki, pomimo to dziękuję ci że się do mnie odezwałaś. Kocham was wszystkie moje panienki. Gdzie mieszkasz? Czy także jak ja na Ukrainie? Do Goryczki i Wańdzi pisałam już dawno, ale liścik nie był drukowany. Odpiszcie mi wszystkie i kochajcie *Rajskie Jabłuszko*.

Kochana Pomarańczarko rzymska. Jestem nową korespondentką Wieczorów i pierwszy raz piszę do ciebie, bo bardzo podoba się mi twój pseudonym. Proszę napisz do mnie wiele masz lat? jak się nazywasz, i gdzie mieszkasz? ja obecnie jestem w Warszawie, nazywam się M. L. i mam lat dziesięć. Proszę cię o prędką odpowiedź, nieznana ci dotąd *Zorza północna*.





TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

## POGADANKA NAUKOWA.

Połączenia chemiczne różnych ciał. — Ogień powstający z wody. — Podwodna burza z grzmotem i błyskawicą.

Pewnej niedzieli, Wacio i Helenka zapukali do drzwi swego nauczyciela.

Pan W. był przyrodnikiem, i w chwilach wolnych od swoich zajęć, lubił niezmiernie pogawędki naukowe z młodymi przyjaciółmi. Wacio i Helenka wiedzieli dobrze, że ile razy odwiedzą nauczyciela, tyle razy jakaś ciekawa wiadomość umysł ich wzbogaci, nieraz też niecierpliwie wyglądali niedzieli, by panu W. przedstawić jakiś spór do rozstrzygnięcia.

— Proszę pana — wołała Helenka po powitaniu — czy to prawda że potaż pali się w wodzie?

— Któż to powiedział Helenko? — zapytał nauczyciel.

— Ja panie — odezwał się Wacio.

Byłeś blizkim prawdy, mój chłopcze — rzekł pan W. — gdybyś zamiast wyrazu potaż, użył był podobnego bardzo wyrazu potas, przyznałbym ci zupełną słusność.

— Potaż, potas, czyż to nie wszystko jedno? — zagadnął Wacio.

— Bynajmniej. Jeśli chcesz zaraz cię o tem przekonać.

— Ach! proszę, proszę pana — zawołała Helenka.

Pan W. poszedł do szafki oszklonej, w której stały mniejsze i większe fiaszki i fiaszeczki, słoiki, pudełka i wyjął z niej słoik napełniony żółtym płynem, wśród którego białł jakiś kawałek brudno białej barwy.

— Co to jest? Co to takiego? — pytały dzieci.

Pan W. postawił słoik na stole, a ciekawa Helenka przeczytała na nalepionej karteczce wyraz: *Kalium*.

— To po łacinie? — spytała.

— Tak, kalium, znaczy potas — objaśnił ją nauczyciel. — Ten kawałek białawy z nieco srebrzystym połyskiem, jest właśnie jednym z najpospolitszych w przyrodzie metali, zwanym potasem — mówił dalej. — Lecz gdybym go trzymał na powietrzu, gdybym go nie zatopił w tym żółtym płynie, (jest to zwyczajna nafta), natychmiast straciłby połysk, zbielałby i pomału rozpadł się w drobny proszek, a wtedy nie byłyby to już potas, lecz

potaż, czyli ciało wytworzone z połączenia sodu z tlenem i z wodorem. Słyszeliście zapewne o tlenie i o wodorze?

— Tak — potwierdził Wacio — są to gazy, tlen pomieszany z innym gazem, z azotem, tworzy powietrze, a tlen z wodorem daje wodę.

— Bardzo dobrze — mówił pan W. — w powietrzu jednak oprócz tlenu i azotu znajdujemy odrobinę kwasu węglanego, par wodnych, no i innych domieszek, o których może kiedy pomówimy.

— Więc dwa gazy pomieszane z sobą mogą wytworzyć płyn — rzekła Helenka.

— Nie pomieszane ale połączone — poprawił nauczyciel.

— Alboż to nie wszystko jedno? — spytała Helenka.

— Nie, moje dziecko. Istnieje tu ważna różnica, którą postaram się wam wytłómaczyć. Gdybyś na przykład, wzięła kwartę grochu i kwartę fasoli, i zesypała je razem, byłyby to mieszanina, gdybyś je nawet potłukła i na masę zamieniła, jeszcze nie wytworzyłabyś połączenia, jeszcze każda odrobina grochu różniłaby się od odrobinki fasoli, i miałabyś tylko mieszaninę odrobinek dwóch różnych ziarn. Przy połączeniu zaś chemicznem, z dwóch lub więcej ciał wytwarza się inne, które posiada własności różne od tych, jakimi odznaczały się ciała pierwotne, na przykład, tlen z wodorem połączone z sobą dają płyn, bez którego umarlibyśmy z pragnienia, a zaś gdyby nam pozwolono wdychać oddzielnie tlen, oddzielnie wodór, umarlibyśmy otruci.

— Jakież to szczególne — dziwiła się Helenka.

— Badanie przyrody, rzuca przed nasze oczy mnóstwo równie szczególnych faktów, to są codzienne cuda, o których tyle ludzi najmniejszego niema pojęcia; nie zastanawiamy się nad różnemi faktami, nie dociekamy ich przyczyn, dla tego jedynie, że od dzieciństwa spotykamy się z nimi i przyzwyczajeni jesteśmy do ich widoku. Ale wróćmy do naszego potasu, za jego pomocą zobaczysz Helenko, jakie zmiany wywołuje połączenie chemiczne.

Pan W. wlał trochę wody zimnej w głęboką miseczkę porcelanową, szczypczykami wyjął kawałek potasu ze słoika i rzucił go na wodę. W tej chwili ku zdumieniu dzieci, woda zasyczała i po chwili wybiegł z niej płomień pięknej fioletowej barwy. Po kilku minutach płomień zgasł, na dnie miseczki pozostało trochę wody.

— Jakież to śliczny płomień — zawołała Helenka. — Jeszcze wody trochę zostało — zauważyła.

— W tej wodzie znajdziemy rozpuszczone ciało złożone z potasu, tlenu i wodoru i nazywamy je potażem gryzącym.

Mówiąc to pan W. wyjął z szuflady starą rękawiczkę i zanurzył ję kawałek w wodzie pozostałej w miseczce.

— Ta rękawiczka przekona was, że w wodzie znajduje się ów potaż gryzący, bo kawałek zanurzony w niej, rozpadnie się w drobne strzępki, co nie nastąpiłoby, gdyby woda była czystą, bez obcej domieszki.

— Proszę pana — odezwał się Wacio — ja nie rozumiem, dla czego potas pali się w wodzie?

— Doświadczenia chemiczne nauczyły nas, że są ciała, które posiadają względem innych ciał wielką sympatyę, przy zetknięciu z sobą zaraz łączą się, a to połączenie wywołuje nieraz wielkie ciepło. Otóż metal potas ma wielką taką sympatyę do wodoru i tlenu, w wodzie znajdują się oba te gazy, skoro więc potas zetknie się z nią, wnet płyn rozkłada,

wciągając w siebie jego składowe części, przytem wywiązuje się takie ciepło, że część wyzwolonego wodoru zapala się.

— Więc właściwie nie potas pali się w wodzie, lecz tylko wodór? — rzekł Wacio.

— Tak, lecz gazy unoszące się przy paleniu, zabierają z sobą drobnutkie cząstki potasu, on to właśnie nadaje płomieniowi barwę fioletu, która tak podobała się Helence.

— Gdzie się też potas znajduje?

— Do czego służy? — pytały dzieci.

— A jak wam się zdaje, czy można znaleźć czysty potas w naturze?

Dzieci pomyślały chwilę.

— Nie! — zawołała Helenka.

— A dlaczego?

— No, bo zaledwie zetknie się z powietrzem, albo z wodą, zaraz połączy się z niemi i przestaje być czystym metalem.

— Rzeczywiście, czystego potasu w naturze nie znajdujemy. Za to wszędzie prawie spotykamy się z jego solami.

— Solami? Jakto panie?...

— Nie inaczej. Pospolicie zwiemy solą tylko sól kuchenną, bez której nie ma smaku w potrawach; dla chemika jednak każdy związek metalu z kwasem (niekoniecznie octowym — uśmiechnął się pan W.) — jest solą.

— Z kwasem siarczanym na przykład — dorzucił Wacio.

— Naturalnie, mój chłopcze. Otóż owe sole potasowe znajdujemy rozpuszczone w wodzie morskiej, znajdujemy je w roślinach...

— Doprawdy? — zawołała Helenka.

— Nie przerywaj — niecierpliwił się Wacio, ciekawemi oczami wpatrując się w nauczyciela.

— Zaraz skończę. Dodam tylko, że w popiele pozostałym po spaleniu drzewa, znajdujemy potas w obfitości wielkiej. Dalej znajdujemy go w wielu minerałach pod postacią siarczanów, węglanów potasu i t. p.

— Nasza kucharka kupiła też raz potażu — odezwała się Helenka — to także była pewnie sól.

— Był to bezwątpienia węglan potasu, pospolicie potażem zwany. Używają go do prania ci, którzy nie wiedzą, że to ciało niszczy, przepala białiznę jak i w ogóle wszystkie tkanki roślinne i zwierzęce.

Azotan potasu używają głównie do wyrobu prochu strzelniczego. Azotan jest to związek gazu azotu z potasem i tlenem — dodał pan W. w odpowiedzi na zaciekawioną minkę Helenki. — Wreszcie potas gryzący pomieszany z odpowiedniami tłuszczami daje mydło.

— Nie wiedziałam, że mam codzienną styczność z potasem — zauważyła Helenka. — Chemia zaczyna mnie bardzo zajmować, mama mówiła mi, że jest to jedna z najświeższych nauk.

— Rozwinęła się istotnie dopiero w naszym wieku. A jeśli cię tak chemia zajmuje, pokażę ci tu małą burzę podwodną z iskrami i grzmotami.

— Burza podwodna! grzmoty w wodzie? No, o tem nie słyszałem dotąd. Opowiem o tem dziś jeszcze Stasiowi — mówił Wacio. A do Stasia mam ogromną sympatyę.

— Czy taką jak wodór do potasu? — zaśmiała się Helenka.

Wacio pokręcił głową.

— Ot dowcipna — odparł. — Nasze spotkanie nie wywołuje pożaru.

— Ale radość w oczach wam wtedy świeci — zauważył pan W.

— Prawda! — zawołał Wacio — i duszę nam rozgrze-  
wa, więc jest i ogień moralny. Co pan nalał do téj szklanki?—  
zapytał po chwili.

— Oto, do téj szklanki nalewam pewną ilość kwasu  
azotnego i kwasu siarczanego, wrzucam kawałek fosforu,  
a wreszcie dodaję 3 gramy chlorku potasu i dolewam...

Tu żywe światło i słaby huk przerwały mowę panu W.  
z płynu wylatywały iskry i spadały ognistym deszczem na ta-  
lerz podstawiony pod szklankę. Dzieci klaskały w ręce  
i skakały w około miniaturowej burzy.

A gdy wreszcie iskry pogasły, Helenka zapytała:

— Ale pan nie powiedział nam jeszcze, co pan dołał na  
końcu?

— Alkohol. On to wywołuje ten huk, naśladujący  
grzmoty. Zaś ogień wywołuje zetknięcie się chlorku potasu  
z kwasami, te ostatnie łączą się z potasem, uwolniony chlor  
łączy się z wodorem, wywiązując tak silne ciepło, że kawałek  
fosforu zapala się i ot, cała tajemnica wyjaśniona. Doświad-  
czenie to można nazwać podwodną burzą, z tego względu, że  
kwasy, siarczany i azotny rozpuszczone są w wodzie.

— Jakże chciałbym tę burzę podwodną pokazać Sta-  
siovi — odezwał się Wacio.

— Przyprawdź go do mnie, Waciu.

— Dziękuję panu za pozwolenie — odparł chłopiec —  
lecz czy nie mógłbym ja sam to doświadczenie wykonać?

— O nie! — zaprzeczył stanowczo nauczyciel. — Nie  
wypróbowałem jeszcze twojej ostrożności i mógłbyś zamiast  
burzy podwodnej pokazać Stasiowi, jak to łatwo można fosfo-  
rem palec poparzyć.

— Panie kochany, już będę bardzo ostrożnym — prosił  
Wacio.

— Zobaczmy — odparł pan W. — w przyszłą niedzie-  
lę przyprowadź Stasia, doświadczenie powtórzymy, i dla cie-  
bie znajdzie się może robota.

— A dla mnie? — upomniała się Helenka.

— A więc dla obojga, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim? — zapytały dzieci.

— Pod tym warunkiem, że nigdy same nie zabierzecie  
się do doświadczeń chemicznych; są one ciekawe, ale wyma-  
gają znajomości dokładnej własności związków chemicznych...  
i pewnej wprawy, której tylko pod kierunkiem chemików na-  
brać możecie.

Dzieci uznały słuszność warunku postawionego przez  
pana W. i pożegnały go, dziękując za burzę podwodną i za-  
braną z potasem znajomość.

— Do przyszłej niedzieli! — pożegnał ich nauczyciel.

*Młody przyjaciel dzieci.*

## DZBAN ROZBITY,

Legenda o Świętym Janie Kantym

p. Sewerynę Duchyńską.

Coraz to żywięj słońce przypieka,  
Łożysko Wisły świeci z daleka,  
Rudawa płynie coraz to szerzej,  
Śpieszy w objęcia miłej macierzy.

Znużony kapłan spoczął w olch cieniu,  
Za biegiem rzeki patrzy w milczeniu;  
Słucha i słucha pogwaru Wisły  
I nagle zadrżał, oczy mu błysły,  
Jęk go żaloszny dobieży z dala.  
Czy tak wiślana załkała fala,  
Gdy chwyta w łono prądy Rudawy?  
Zkądże ta skarga i ten jęk łzawy?...  
Powstał na nogi, otarł pot z czoła,  
Jakby go niosły skrzydła anioła,  
Dąży za głosem ile tchu stanie,  
I coraz bliżej dobiega łkanie.  
Spojrzy, a oto widzi nad rzeką  
Rozlane strugą bieluchne mleko,  
A dalej dziewczę włos z głowy targa,  
Z ust jęj żaloszna wybiega skarga,  
Na ziemi leżą czerepy z gliny,  
To roztrzaskany dzbanek dziewczyny.  
Płacze i woła: „Boże, mój Boże!  
Kto mi poradzi? kto mnie wspomóż?  
Jam się poślizgła na drodze gładkiej,  
Było w tym dzbanku mleko dla matki,  
Czemże nieboga siły pokrzepi?  
Nieszczęsna doła, umrzeby lepij!  
Jam zawiniła, biadaż mi biada!  
I obie ręce pobożnie składa:  
„Tyś jeden mocen wesprzeć mnie Panie!  
Rzecz tylko słowo, a cud się stanie.  
Kto świat zbudował mocą swęj woli,  
Ten i czerepom zrość się pozwoli  
I nowe mleko wleje do dzbana”...  
Słyszy to święty... padł na kolana:  
„Panie! zawoła, odpuść jęj winy,  
Wielkaż to wiara w sercu dziewczyny,  
Ona ku Tobie podniosła oczy,  
Promień Twęj łaski niech ją otoczy!”  
Powstał z miłością, wiarą, nadzieją,  
Niby dwie gwiazdy oczy mu tleją,  
Zbiera czerepy... i w dłoni świętej,  
Zrosł się cudownie dzban rozprysnięty.  
Pótem go wodą napelni rzeczną,  
Kreśli znak krzyża z wiarą serdeczną.  
I cudem w mleko zmieni się woda.  
Schwyliła dzbanek dziewczeczka młoda,  
Zaledwie szczęściu własnemu wierzy,  
Poskoczy w płasach w progi macierzy.  
Skwarem południa słońko zabłysło,  
Piosnka flisaków zabrzmiał nad Wisłą,  
Kmiotek za pługiem po czarnej roli  
Z pieśnią na ustach idzie powoli,  
Woń macierzanki z wiatrem powiewa,  
Szumi murawa, szeleszczą drzewa,  
I dzwon trzykrotnie z Wawelu bije,  
Śpiżowym dźwiękiem sławi Maryę.  
A święty kapłan, drżący i łzawy,  
Ukląkł na brzegu wartkiej Rudawy,  
Wyciągnął ręce, modli się długo,  
A łzy z pod powiek płyną mu strugą.

## ZBUDZONE SUMIENIE.

(Dokończenie).

Teżże saméj nocy, prawie jednocześnie z dziatwy limowieckiej uciechą, lekka bryczuszka pędziła pobliskim lasem, podskakując na korzeniach drzew.

— Wio! wio! — popędzał woźnica cmokając.

— Jantek!... co się tobie zrobiło? Czy chcesz koniecznie wywrócić? Czego tak pędzisz konięta? — spytał bardzo spokojnym głosem podróżny w płaszcz owinięty. Nawiasem mówiąc „konięta”, pędziły ochoczo bez wielkiego przymusu; bata nie znały podobno.

— Jegomość!... toć przecie las, las limowiecki!... i północ!... — mruknął w odpowiedzi Jantek, półgłosem groźno, a ostrzegająco jakoś.

— To co z tego?...

— Jakże, co?... Nie wiedzą to jegomość że „złoczyństwa dzieją się w okolicy?

— Boisz się rozbójników? hm, prawda, mogą zabrać ci sukmanę...

— A jegomości bryczkę, konięta, i płaszcz!

— Nie, mnie nic nie zabiorą! — stanowczo ksiądz zapewnił.

— Aha, zaraz jegomość myśli że takie złoczyńniki mają jakie szanowanie dla księdza, zedrą gwałtem i sutannę!

— Nie zedrą!

— Zedrą!

— Nie zedrą gwałtem, powiadam tobie!

— No, a co jegomość na to poradzi?

— Oddam im sam.

— Bodaj jegomości! zawsze żarty się trzymają — zaśmiał się woźnica.

Nie dokończył: konie stanęły dęba, o mało nie wywracając bryczki, postać jakaś ogromna niewidzialna przed chwilą, wyskoczyła z przydrożnego rowu.

— Za jaką godzinę lub dwie, dwór limowiecki napaźnięty będzie i ludzie ubici, jeżeli bronić się zechcą, albo nie wydadzą odrazu pieniędzy! — szepnął ten człowiek w ucho księdzu i jak prędko się zjawił tak szybko zniknął w krzakach z drugiej strony drogi.

— W konie! w konie choćby popadać miały! — krzyknął ksiądz, i dodał w pół nieprzytomnie sam do siebie: — Wielki Boże, kilkoro dzieci bez żadnej obrony, ja wracam od ich dziada uszczęśliwiony, że mu się po pojednaniu z Bogiem lepiej zrobiło, a ot masz!... W konie!

Nie potrzebował ksiądz zachęcać, bryczka leciała jak szalona, bo konie przestraszone ponosiły, a parobczak ani myślał ich hamować.

\* \* \*

W półtoréj godziny później okropna wrzawa zbudziła dziatwę w Limowie. Zosia uchyliwszy wewnątrznią okiennicę krzyknęła, zamknęła ją coprędzej, zaryglowała drzwi, i oburącz objąwszy tulące się do niej rozespiane i nieprzytomne z przerażenia rodzeństwo, uklękła i modlić się cicho zaczęła. Kilka chwil zdawały się rokiem; jęki i walka jakaś niedługo trwały, ktoś zapukał do drzwi.

— To ja! ksiądz Anzelm!

Z krzykiem radości Zosia otworzyła proboszczowi, za nim, w oświetleniu łuczywa stali chłopci, sąsiad jeden najbliższy i żandarmi z miasteczka.

— A co? Cali jesteście? Zdrowi? Nikt tu nie był? Chwała Bogu zdążyło się na czas! No, brać tych związanych rabusiów na wozy i odwieźć do więzienia w mieście.

O świcie cicho już było w Limowie, dopiero gdy tegoż dnia wrócili rodzice pędząc co siłą, bo głucha wieść o napadzie doszła do nich, rozpoczęła się wrzawa, radosna tym razem,

tembardziej że i dziaduś niespodziewanie miał się lepiej, choć wczoraj żadnej nadziei wyzdrowienia nie było.

W miasteczku tymczasem wrzało jak w kotle; cała banda złoczyńców schwytana niespodzianie, a brojąca oddawna, siedziała w więzieniu. Nikt pojąć nie mógł jakim sposobem ją schwytano. Ksiądz Anzelm, opowiedział samym tylko sędziom całą prawdę; ucześnieł on także na sądy, ale miał ku temu przyczynę ważniejszą, niż pospolitą ciekawość.

— Kto mógł być ten, co w tak tajemniczy sposób, ocalił Limowieckich? — myślał, dlaczego się ukrywa? Kto mógł wiedzieć ich zamiary? — i bacznie się przyglądał oskarżonym, aż na widok olbrzymiej niepospolicie postaci, zadrżał, a gdy ów złoczyńca, odpowiedział na zadane mu przez sędziego pytanie, Ksiądz dźwiękiem jego głosu, upewniony został w swych domysłach. Tegoż dnia wieczorem, poszedł do więzienia złoczyńcy i powiedziawszy mu, że poznaje w nim tego, który go ostrzegł o zamierzonym na dwór limowiecki napadzie, spytał dla czego nie korzysta z tej okoliczności? Sprawiedliwość uwzględniłaby wtedy jego powrót na lepszą drogę, boć jemu tylko można owo ostrzeżenie przypisać. Z wielkiem księdza zdziwieniem, więzień uparcie zapierał się dobrego czynu. Niezrażony tem przecie proboszcz, powrócił do niego nazajutrz, chcąc go wybadać. Po kilku dopiero takich odwiedzinach, obwiniony obiecał, że wyjawi prawdę z warunkiem, aby ksiądz nie starał się go sprawiedliwie przed sądem.

— Nie chciałem zdradzić moich towarzyszy — wyrzekł, więc gotów jestem cierpieć karę wraz z nimi. Miałem szczerą ochotę, zarabować dwór w Limowie, owszem sam nawet urządziłem tę „robotę” i poszedłszy na zwiady, nocować miałem w czeladnej izbie we dworze, aby w nocy drugim wejście ułatwić. Ale gdy mała panienska Limowiecka, mnie — dziada, żebraka, posadziła obok siebie za stół, biało nakryty i opłatek przelała ze mną, tedy zrobiło się coś takiego, że nie mogłem już spełnić tego — co zamierzyłem. Myślałem, że ta izba jest zupełnie taką samą, jak ta, w której kiedyś będąc dzieckiem, łamałem opłatek z moją własną rodziną, owa mała panienska, zbudziła we mnie, dawno już uspięne sumienie... Zdało mi się, że widzę: raz moją matkę, a raz znów siostrę — naprzeciw siebie... Wypadłem po wieczery z izby i pędziłem na oślep, sam nie wiedząc gdzie, raz chciałem bić się z towarzyszami, aby ich do Limowa nie puścić, to znów chciałem uciekać daleko na koniec świata, żeby nie słyszeć tego, co się stanie... Wtedy spotkałem przypadkiem ciebie, księżu i wiedząc, że jesteś proboszczem miejscowym, ostrzegłem o niebezpieczeństwie, a potem powróciłem do swoich i poszedłem wraz z nimi do dworu, w nadziei, że się tam już przed nami obwarowano.

Wysłuchawszy tego opowiadania, proboszcz chciał uwolnić więźnia, ale próżne były jego namowy, człowiek ten nie chciał uniknąć wiszącej nad nim kary i poszedł pokutować wraz z drugimi.

— A może też niema i czego żałować, że nie mogłem go przywrócić społeczeństwu, dodał ksiądz Anzelm w lat wiele później, opowiadając mi to prawdziwe wydarzenie. Boć ta dusza, za sprawą dziecięcy owej, była już podobno na dobrej drodze, odkąd zbudziły się w niej święte wspomnienia rodzinne i żal za popełnione winy.

M. Z.

## OBRAZKI Z ZIEMI ŚWIĘTÉJ.

III.

### Pracownia wyrobów z masy perłowej.

Wszyscy znamy i podziwiamy nieraz śliczne wyroby z konchy perłowej, najczęściej różańce, krzyżyki i t. p. przywożone jako pamiątki przez pielgrzymów z ziemi świętój, otóż na rycinie naszej przedstawiono wnętrze jednéj z tych



Pracownia wyrobów z masy perłowej.

pracowni, w jakich wyrabiają się wdzięczne te przedmioty w Betleem, „w Betleem Judzkim” słynnym narodzinami Zbawiciela oddalonym o dwie godziny drogi od Jeruzalem.

Na pochyłości przesłonecznego wzgórza bielą się domki betleemskie; miasteczko jest zabudowane w półkole, na którego krańcu stoi klasztor, w miejscu stajenki, a właściwie grotty Narodzenia. Dokoła rozpostarły się bujne urodzajne niwy, śliczne zielone łąki, w dolinach zaś gaje figowe i oliwne. W oddaleniu pomiędzy wzgórkami przeblyskują tu i owdzie srebrzyste wody morza Martwego, a za niem wznoszą się góry kraju Moabitów. Niebo ponad tym cudnie pięknym sielskim

obrazkiem jest zazwyczaj dziwnie jasne, błyszczące najczystsza barwą turkus.

Życie tu spokojne i wesołe, mnóstwo chłopaczków z wielkimi czarnymi oczami biega po ulicach, lub bawi się w pięknym ogrodzie, a każdy wesoło i uprzejmie odpowie na zapytanie, usłuży nieznanemu gdy o to poprosi. Patryarchalna enota zdaje się tu mieć siedlisko. Podróźni niejednokrotnie mieli sposobność przekonać się, że dzieci tutejsze nie znały kłamstwa, nie wiedziały nawet co podobny wyraz znaczy. Jest to widocznie wpływ zbawienny szkółek chrześcijańskich kierowanych przez księży i zakonnice, do których uczęszczają,

Wspaniała bazylika, ponad grota Narodzenia wzniesiona tu została niegdyś przez S- tą Helenę.

Głównym przemysłem chrześcijan Betleemskich jest wyrabianie różnych drobiazgów z konchy perłowej. W dużych izbach sklepowych, a czasem i w jaskiniach obszernych, mieszczą się pracownice; w każdym razie jest tam czysto, schludnie, biało. Na podłodze przy ścianach rozesłane dywaniki do siedzenia w dzień i spania w nocy. Piętnastu i niekiedy więcej chłopców przy warstatach pierwotnej prostoty, zajmuje się wyrobem paciorków i t. p. Gdy chłopców nie starczy w rodzinie robią to i kobiety zwłaszcza młodsze, w jaskrawych i bogatych wschodnich strojach, i w długich białych zasłonach. Błękitna barwa zawsze przeważa w ich ubiorach. Kobiety najczęściej niszają różańce z gotowych już paciorek, lub dopasowują i wykończają składowe części innych wyrobów przygotowane już przez mężczyzn. Drzwi i okna ootwierane zazwyczaj na uroczą dolinę, a szyb nie bywa w tych oknach, tylko drewniana okiennica zamyka się na noc. Często kobiety pracują na podwórzu, a śliczne dzieci biegają swawoląc i śmiejąc się między niemi, wybiegają i na drogę, zrywając wielkie, jak największy mak czerwone przyłaszczki, lub goniąc duże jaszczurki, przypatrujące im się ciekawie z podniesionemi do góry wsmukłemi łebkami.

## NOWY KONKURS.

„Staruszki” nasze od tak dawna już upominają się o konkurs dla nich wyłącznie ogłoszony, że dzisiaj, czyniąc zadość ich wielokrotnym naleganiom, podajemy im temat do wypracowania konkursowego.

Stanowić go będzie podana tu w streszczeniu prześlizniona, pełna głębokiej myśli nowelka, amerykańskiego pisarza, Nathaniel'a Hawthorne'a p. t.: „Kamienna-Postać.”

Wypracowanie zawierać powinno objaśnienie i rozwinięcie przewodniej myśli autora, z toku opowiadania do zrozumienia łatwej, chociaż umyślnie niedopowiedzianej. Zawierać też powinno odpowiedź na postawione przez nas pytania, następujące się same z siebie każdemu, kto rzeczy piękne z uwagą czyta i zastanawiać się lubi nad niemi. Objasnienie i odpowiedzi powinny się łączyć w całość pod względem stylowym, opracowaną tak, jak to z doświadczenia wiemy, że opracować potrafią „staruszki” nasze, do ćwiczeń piśmiennych już zaprawione.

Nagrodą najlepszemu wypracowaniu będzie: „Wanda” najnowszy poemat Deotymy.

Ponieważ stare i dawne nasze przyjaciółki zawsze nam wierne pozostają, nie czujemy się przeto w obowiązku rozstrzygnięcia konkursu w roku bieżącym i termin nadsyłania odpowiedzi oznaczamy na pierwszego marca r. 1891.

Prosimy przytém o dokładne wymienienie adresu, imienia, nazwiska, pseudonimu i sędziwych owych lalek, których liczba upoważnia nas do stawiania wiernym naszym przyjaciółkom większych wymagań i trudniejszych warunków, niż te, któremi zwykle obostrzone bywają konkursy Wieczorów Rodzinnych. Do konkursu należeć mogą czytelniczki i czytelniczki starsi nad wiek dotąd oznaczony.

### Kamienna-Postać.

„W dolinie zewsząd opasanej łańcuchem gór niebotycznych, głuchemi puszciami porośniętą, żyła kilkotysięczna ludność złożona z drwali, rolników, z drobnych i większych właścicieli ziemskich, jednem słowem z ludzi, którzy w pracy, a często nawet w trosce o byt, życie całe pędzili.

„Za opiekuńczego nad sobą ducha, uważali mieszkańcy doliny, olbrzymią Kamienną-Postać, którą wyciosała ręka przyrody i postawiła na jednym z najwyższych wierzchołków górskich. Z granitowych złomów ukształtowana, nad przepaścią zawieszona, olbrzymia, a dobroduszenie uśmiechnięta, wspaniale pięknymi rysami oblicza od tła powietrznego wyra-

ziście odbijająca, zdawała się straż trzymać nad rozesłaną u jej podnóża dolinę.

„Według odwiecznego podania, zdrowo się chowały i wyrastały na ludzi, nad tłum wyższych, dzieci, które rosły, spoglądając na Kamienną-Postać.

„Mniemano, że łagodność jej rysów, słodycz wlewa w serca dziecinne, i uczy je ludzkość miłować, że spojrzenie jej chmury rozprasza i wpływem swym dobroczynnym, urodzaju dolinie, a sercom jej dzieci cnót przysparza, że szlachetna zaduma jej czoła, budzi w nich wzniosłe myśli, szczęście ludzkości za cel mające, że patrzenie na nią, za najlepszą naukę starczy.

„Mniemanie to, podzielał wraz z matką swoją chłopczyk, imieniem Ernest, który siedząc na progu swjej chaty, zwierzał się matce z pragnieniem ujrzenia i poznania kogoś podobnego do Kamiennj-Postaci, do której czuł pociąg serdeczny. Pragnienie to — przyrzekała mu matka — ziści się kiedyś może. Prastara legenda indyjska przepowiadała, że narodzi się kiedyś w dolinie dziecior, z rysów oblicza do Kamiennj-Postaci podobne, które stanie się największym, najcnotliwszym, najmądrzejszym mężem swojej epoki. Starcy, zarówno jak i młodzieńcy, niezłomnie wierzyli w ziszczenie się przepowiedni, która dotąd wszakże niespełnioną jeszcze pozostała.

— „Matko — zawołał Ernest z zapalem — więc mogę jeszcze mieć nadzieję, że ujrzę owego męża?”

„Matka Ernesta roztropną i mądrą była niewiastą; pojmowała to dobrze, iż nie godzi się zaszczebiać przedwczesnego zniechęcenia w sercu gorejącem szlachetną żądzą, odpowiedziała więc tylko: — Kto wie, ujrzysz go może, synu.

„I rósł Ernest, często patrząc na Kamienną-Postać, nieruchomo czuwającą nad doliną; rósł posłuszny, kochający, do łagodnej zadumy skłonny, pracowity i cichy. Nauczycielem i mistrzem po całodziennj w polu pracy była mu Kamienna-Postać; on — patrzył na nią miłośnie, zdawał się pytać ją o coś, i uważnie odpowiedzi jej słuchać, ona — cała w zachodu purpurze, zdawała się życzliwiej na niego, niż na innych spojierać i darzyć go uśmiechem przyjaznym.

„Młodzieniaszkiem był już Ernest, gdy rozeszła się wieść po dolinie, że wraca do niej, na wysłużony wieloma trudami wypoczynek, jeden z jej synów, oddawna chleba i mienia dorabiający się na świecie. Kupiec to był, szczęśliwemi spekulacyami zubożony, Złota-Stos miał na imię, a mówiono o nim powszechnie, iż on to owym przepowiedzianym jest mężem, do Kamiennj-Postaci bliźnięco podobnym rysami.

„Przybycie jego, poprzedzili architekci, którzy wnieśli mu pałac przepyszny, tapicerowie, oraz liczna służba z białych i murzynów złożona, która przygotowała mieszkanie dla pana, a godzinie przyjazdu jego zapowiedziała. Nieliczna garstka mieszkańców doliny, wyszła na spotkanie bogacza, wśród nich znajdował się i Ernest, bo chociaż młodym był jeszcze, pojmował, jakim dobroczyńcą stać się może dla mieszkańców doliny człowiek, rozporządzający tak ogromnemi środkami materyalnemi. Nie wątpił wówczas, że Złota-Stos, jest istnym obrazem Kamiennj-Postaci.

„Aż oto przez okno karety, wychyla się twarz zwiedła i żółkła, z nieprzyjemnie zacieniętymi ustami — a ubogiej żebraczce, która się z dwójgim dzieci, do pańskiej karocy zbliżyła, żółta i chuda ręka rzuca niedbale kilka sztuk miedzianej monety.

„Zebrani wołają wprawdzie: „Oto, jak żywa Kamienna-Postać nasza!” — ale Ernest już wie, że na męża do niej podobnego, jeszcze mu czekać trzeba, a Kamienna-Postać uśmiechać się zdaje do swego miłośnika, jakby powiedzieć mu chciała: Nie trać wiary i czekaj!

„Z młodzieniaszka, młodym człowiekiem został już Ernest. Życie pędził regularne i proste, spokojne i pracy oddane, a codzień wieczór, wzrok utkwwszy w Kamienną-Postać, brał od niej naukę życia. I dobrym znać była mu mistrzem, bo serce jego rozszerzało się coraz to większem ukochaniem ludzkości, a w głowie budziły się i kielkowały szlachetne i mądre myśli, od wszelkiego samolubstwa wolne.

„A tymczasem, zapowiedziany mąż wielki nie zjawił się dotychczas jeszcze, bo ci, co najgłośniej krzyczeli na powitanie Złota-Stosu, gdy cały majątek utracił, jednogłośnie uznali, iż jego rzekome do Kamiennój-Postaci podobieństwo, złudzeniem było tylko.

„I znowu wieść się rozbiegła, że niebawem przybędzie przepowiedziany. I ten był synem doliny, ale nie skarby i klęjnoty, lecz sławę na polu bitew zdobył, miał za sobą na świadectwo, że nie przemarnował życia beczynnym. *Krew-i-Piorun* na imię mu było, a powszechnie o nim głoszone, jako żywym jest Kamiennój-Postaci obrazem. Uroczyste mu zgotowano przyjęcie, salwami artylerji i wielką ucztą publiczną witano wracającego bohatera. Ernest spodziewał się wprawdzie, że mąż, od tak dawna zapowiadany, słynąc będzie, jako miłośnik pokoju i cichy dobroczyńca ludzkości, nie jako mąż, wawrzynami wojennymi zdobny, ale wiedział, iż niezbadane są czasem drogi Opatrzności. Ujrzał wreszcie ową twarz, trudami wojennymi zoraną, bliznami pociętą, groźną, dumną i surową — twarz zdobywcy, nie apostoła, rycerza, nie mędrca.

„I znowu życzliwym uśmiechem zachęty odpowiedziała Kamienna-Postać, na smutnie skarżące się spojrzenie, które słał Ernest ku niej, w blaskach zachodu stojącej. Nie trać nadziei! czekaj jeszcze! — zdawały się szeptać usta z głazu, łagodnym uśmiechem rozchylone.

„I czekał Ernest cierpliwie, aż z młodzieńca mężem stał się dojrzałym. Nauczono się znać go i cenić: życiem swoim, mądrości uczył i cnoty, a myśli swoje i marzenia, których celem i treścią było szczęście ludzkości, urzeczywistniał zacnym i pożytecznym czynem. Gdy czasem wśród równych sobie, głos zabrał, wypowiadał zawsze wzniosłą i czystą jakąś prawdę, której ziarno zapadało w serca słuchaczy, by zejść w niem kiedyś bujnym plonem. I znowu lata mijały, a nie zjawiał się mąż przepowiedziany.

„Aż opatrzone się wreszcie, że jest nim nie kto inny, jak słynny mąż stanu, polityk i prawoznawca, syn doliny, *Kamiień-Głowy*, nazwisko noszący. Ognistą, porywającą wymową, pierwszeństwo zdobył sobie w radzie, wymowy obosieczną bronią posługiwał się tak umiejętnie, że krzywdę za słusność, prawo za bezprawie mógł przedstawić; wymową też tego dokazał, że ziomkowie jego, mieszkańcy doliny, postawili go u steru rządów.

I wtedy w nim znowu dopatrzone podobieństwa do Kamiennój-Postaci, tém więcej uderzającego, że i nazwisko: *Kamiień-Głowa* przypominało poniekąd Kamienną-Postać, od wieków czuwającą nad doliną.

„Wspaniałe też poczyniono przygotowania, na przyjęcie męża stanu, który zdawał się być także owym przepowiedzianym mężem, wyglądanym już od tak dawna napróżno. Świętym orszakiem otoczony, zawitał wreszcie do rodzinnego miejsca, mąż wielki i w samą rzecz zdawać się mogło, iż nie mylą się tym razem ci, co w nim dopatrują do Kamiennój-Postaci podobieństwo. To samo miał czoło wyniosłe i mądre, te same rysy twarzy szlachetnie piękne, tylko w oku nie błyskała święta iskra gieniuszu, a ustom brakło wyrazu tój słodyczy, która serca ku sobie pociąga.

„Ze smutkiem, z rozpaczą prawie, odwrócił się Ernest, znowu w oczekiwaniu zawiedziony i spojrzął na Kamienną-Postać, której pogodnie oblicze mówiło: Nie trać nadziei i czekaj. czekaj dłużej jeszcze cierpliwie... Ja przecież dawniej od ciebie czekam, przyjacielu.

„I znowu czekał Ernest czas długi, aż lata szronem osypały mu głowę i zmarszczkami czoło poryły. Starcem już był teraz poważnym i majestatem mądrój, a cnotliwej starości jaśniejący, szeroko słynął na świecie. Uczeni, w światowych sprawach ćwiczeni od młodu ludzie, zdaleka przybywali, zasięgać jego rady, lub rozkoszować się wzajemną myśli wymianą. Serce Ernesta było jakoby kryształowem naczyńcem, z którego każdy mógł czerpać do woli, orzeźwiający napój-współczucia i miłości. To też przybyli doń goście, opuszczali go wzruszeni i zadumani, a gdy który z nich spojrzął na oblicze Kamiennój-Postaci, zawsze mu się zdawało, że kędyś widział już podobne.

„I znowu jeden z synów doliny sławą się okrył, na szerokim świecie zdobył. Poeta był to natchniony, co dźwiękiem lutni, przygrywał pochodowi ludzkości i wtórował serc bratnich drgnieniu, i wzniosłe, czyste głosił prawdy. Poeta, co za milion czuł i cierpiał, poeta, co kochał i wierzył i wyższe wskazywał cele.

„Pieśni jego, dostały się do rąk Ernesta. Czytał je starzec z zachwytem, a przeczytawszy, zwrócił na Kamienną-Postać oczy, blaskiem nadziei rozpromienione: O przyjaciółko wierna! nieprawdąż? — ten oto do ciebie podobnym będzie? A ona uśmiechnęła się w odpowiedzi tajemniczo.

„Aż dnia pewnego, stanął przed Ernestem poeta, który przybył do starca, by z czcigodnych ust jego posłyszeć słowo mądrości życia, słowo tak ciągle w czyn wcielane, że za naukę stało najlepszą. Nie wyjawivszy swego nazwiska, prosił podróżną o gościnę i w długiej, o wszystkie ważne zagadnienia potrącającej rozmowie, tak zjednoczyły się ich umysły, tak zgodnem uczuciem uderzyły serca, tak wysoko wzniosły się myśli, że zdumiony zapytał wreszcie Ernest: Kimże jesteś, gościu mój? — A gość, dotykając poezji, które w rękę trzymał Ernest, odpowiedział poprostu: — Tym, który je napisał.

„Teraz więc, z większą niż poprzednio słusnością, mniemać mógł Ernest, że zjawił się nareszcie mąż, do Kamiennój-Postaci podobny i mniemanie to rozkoszą go napawa. Lecz poeta sam nie czuje się godnym zaszczytu podobieństwa, bo choć słowa jego wzniosłe były i czyste, czyny nie zawsze odpowiadały słowom, bo brakło mu nieraz wiary w zasady, które głośno wyznawał. I łzami zaszyły przy tém wyznaniu oczy poety, łzy zaćmiły oczy Ernesta.

„Lecz oto o zachodzie słońca, jak zwykle to czyni od lat wielu, Ernest przemawia do zgromadzonych sąsiadów, prostem, z serca płynącym słowem. Nie czcze to jednak słowa, płyną z ust mówcy, lecz miłości, cnoty, zacnego życia nauka, od lat młodych, do siwego włosa ciągle przykładem stwierdzana. I z oczyma łez pełnemi, z głębokim uczuciem poszanowania, poeta słowa, spogląda na siwowłosego poetę — czynu...

„A Kamienna-Postać, w purpurze zachodu stojąca, uśmiechać się zdaje pogodnie, dobroliwie, uśmiechać do mędrca, któremu ona mistrzynią była jedyną.

„I widząc to, wyciągnął ku Ernestowi poeta ramiona, do uścisku bratniego rozwarł i wielkim głosem zawołał: — Patrzcie! ten oto do Kamiennój-Postaci jest podobnym.

„I uznali wszyscy jednogłośnie, że prawdę powiedział poeta.

„Lecz Ernest, ująwszy go pod ramię, z nim razem do skromnej swój chaty powrócił, nie tracąc nadziei, że zjawi się jeszcze mąż, od niego mędrszy i cnotliwszy, mąż do Kamiennój-Postaci podobny.”

Treść powyższej nowelki, sama z siebie zrozumiała, nie potrzebuje byśmy do niej udzielali objaśnień. My za to żądamy od amatek konkursu, rozumowanego tłumaczenia, jak rozumieją myśl autora i o ile wydaje się im ona prawdziwą. Jakie były zewnętrzne wpływy i zalety wewnętrzne, które Ernesta usposobiły do ziszczenia przepowiedni na własnej swojej osobie? Dlaczego owym mężem przepowiedzianym, nie był i być nie mógł — ani: *Złota-Stos*, chociaż majątek jest niezaprzeczenie potężną dźwignią — ani *Krew-i-Piorun*, wojownik i rycerz — ani wreszcie *Kamiień-Głowa*, służbie kraju oddany, stróż moralnego porządku, którego podstawą jest prawo, wyobraziciel siły rozumu, wyższej nad siłę bogactwa i miecza? Dlaczego nie był nim poeta, rzecznik wzniosłych prawd, wiodący ludzkość do ideału, myśliciel, któremu w świecie ducha, nie obcym nie było? Dlaczego zaś owym przepowiedzianym „największym, najsłynniejszym, dobroczyńcą doliny” — został Ernest, w pracy i w ukryciu życie pędzący? co nas utwierdza w tém mniemaniu, że on to nim był rzeczywście? jaka nauka moralna da się wyprowadzić z treści opowiadania o Kamiennój-Postaci, czy takową nauką każdy do siebie zastosować może i w jaki sposób dokonać tego zdoła?

Mamy nadzieję, że odpowiedź na powyższe pytania dostarczy obfitego materiału do wypracowań konkursowych; wymagać bowiem będzie zastanowienia się nad wielkiej wagi kwestyami moralnymi, które są podstawą zarówno cnoty, jak i szczęścia, a żadnej myślącej istocie obcemi być nie powinny.

## PYTANIE.

— Kaziu — rzekła Mania — patrz jakie mam ładne figurki.

Mówiąc to, pokazała bratu dwie malutkie, bo zaledwie na długość palca wysokie laleczki z rdzenia brzozonego wycięte.

— Kto ci to dał? — zapytał zaciekawiony Kazio.

— Wujaszek. Ale patrz, jakie one zwinne.

Tu postawiła figurki na stole, i silnie dłonią o stół uderzyła. W jednej chwili laleczki podskoczyły w górę i stanęły głowami na dół.

— A to co? — zawołał Kazio.

Wziął w rękę figurki, przyjrzał się im uważnie.

— Czy wiesz dla czego te lalki zawsze głową na dół upadną, jeżeli tylko spuścimy je wolno na ziemię? — zapytała Mania.

Kazio pomyślał chwilkę.

— Widzę, że tym laleczkom włożono zamiast mózgu kawałek ołowiu w głowę. Teraz rozumiem, dla czego przybierają pozycję akrobatów cyrkowych. A wy, mili czytelnicy czy wiecie dla czego?

### Łamigłówka kryształowa.

ułożyła Gama C-dur.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Egipcie.
3. Inaczej rola.
4. Miejsce gdzie wyrabiają monetę.
5. Pseudonym poety polskiego.
6. . . . .
7. Imię żeńskie.
8. Niedopalone drzewo.
9. Gatunek ziemi.
10. Spójnik.
11. Spółgłoska.

### SZARADA.

ułożona przez Poranka.

Moje *pierwsze* rzeka będzie,  
*Drugie* *wspak* w przyimków rzedzie,  
*Wszystko* zaś, imię poety,  
 Już zmarłego niestety!

A gdy już tę mą pierwszą szaradę zgadniecie  
 Zgadujcie dalej. Pierwsze przyimkiem zowiecie.  
*Drugie wstecz* to znana każdemu litera;  
 Gdy *trzecie* nazwisko na końcu zawiera  
 Wówczas prawie zawsze rodaka nam głosi;  
 A *wszystko* nazwa, którą ów poeta nosi.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

### Szarady:

Na — rze — ka — nie.

### Łamigłówki geograficznej:

1. Benares. 2. Alhambra. 3. Radomyśl. 4. Coimbra.
  5. Erzerum. 6. Loara. 7. Obertyn. 8. Nurzec. 9. Albania.
- Barcelona — Salamanca.

## OD REDAKCYI.

Wieczory rodzinne wychodzić będą w roku przyszłym 1891, w tymże samym kierunku, warunkach i formacie z dwoma dodatkami.

Nagrody główne za konkursa, których liczba będzie powiększona, wyznaczają się obecnie przeważnie z wyborowych dla młodzieży książek, pomniejsze zaś tylko, z albumów, rycin-fotografij i t. p. przedmiotów.

Po ukończeniu „Drugiej Matki” powieści Bronisławy Porawskiej, pomieszczymy w dodatku powieściowym zajmującą powieść angielską „Mała Księżniczka z Tower Hill'u.” Nadto Redakcyja ma przygotowane do druku oprócz innych artykułów Zofii Urbanowskiej, dalszy ciąg jej opowiadania „Z wyspy Atlanty,” stanowiący odrębną całość, „Przygody młodego chłopca,” przez znanego pedagoga Henryka Wernica, Pogadanki naukowe przez Młodego przyjaciela dzieci, powieść Bronisławy Porawskiej „O własnych siłach,” Teresy Jadwigi „Szwedzka królowa” teje „Powrót do gniazda.” Zuzanny Morawskiej „Książeczka Władzia,” Maryi Weryho „Obrazki z życia zwierząt,” znakomitą powieść angielską „Przed lat tysiącem,” oraz z działu podróży. „Przygody rodziny zabłąkanej wśród dziewiczych lasów Ameryki.”

Prenumeratorem, którzy nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce Pisma, prosimy o wczesne złożenie przedpłaty.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Pogadanka naukowa p. Młodego przyjaciela dzieci. — Dzban rozbity, legenda o św. Janie Kantym wiersz p. Sewerynę Duchinińską. — Zbudzone sumienie. — Obrazki z ziemi świętej (z drzew.) — Nowy konkurs. — Pytanie. — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Ciocia Scholasia (z drzew.) — Niezgodna w rodzinie, wiersz — Moje dzieci opowiadanie jednej mamy. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów, Dodatek książkowy: Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.



Drogi moje: Cicha Falo i Bolciu H.! Cicha Falo, twój pseudonym bardzo mi się podobał. Czy chcesz ze mną korespondować? Bolciu H. kiedy się zdecydujesz napisać do Wieczorów? Całuję was serdecznie. *Barwinek.*

P. S. Królowej Elfów, Litwince z nad Szczary i Gwiazdce nadziei przysyłam uściśnienia.

Droga Babuńciu! Obie z Błękitną Kokardką gubimy się w domysłach co to za figlarna osobka ukrywa się pod tym pseudonymem? Nie męcz dłużej nasze biedne głowy ale napisz choć pierwsze litery swego imienia i nazwiska, gdyż niezmiernie zainteresowane jesteśmy. Tysiąc uściśków przysyłamy ci złota Babuńciu nasza. *Biała Perelka i Błękitna Kokardka.*

Drogi Biały Bzie. Dawno do Wieczorów nie pisałam bo byłam chorą; proszę napisz mi jak się nazywasz i wiele masz lat? o mnie dowiesz się w Nr. 28 Wieczorów. Kochana Myszeko, Sosenko, Modrooka dlaczego nie piszecie do mnie? Sasance, Niezapominajce z nad Warty posyłam serdeczne uściśnienia. *Cyganecka.*

Drogi, Czeska Niezapudko, Cyganecko z nad Wisły, Czarnooka, z puszczy i Nocy księżycowa! Niezapudko! za uściśki uściśnieniem płacę; donosząc; że należą już do poważnego grona staruszek; Cyganecko i Czarnooko! czy zechcecie korespondować ze mną? A ty czarująca Nocy księżycowa strojna w gwiazd miliony, czy także do staruszek należysz? Całuję was serdecznie kochane siostrzyczki, prosząc: odpiszcie koniecznie *Wróźbiarce szczęścia.* Litwince z nad Szczary, Ukraince na Mazowszu i Sarence z nad Moroczku przysyłam uściśnienia.

Drogi Bławatko z nad Horynia, Stokrotko z nad Stochodu i Wiedenko z Żywopłotu! Wybaczcie mi że tak długo nie odpisywałam. Bławatko z nad Horynia, co porabiasz wieczorami? i która powieść najwięcej podoba się tobie? mnie „Druga Matka”. Jak zobaczysz Antosię M. ucałuj ją odemnie. Wińciu droga mieszkam na Wołyniu, w małym miasteczku. Czy grasz na fortepianie? Wiedenko z Żywopłotu, zgadłaś nazywam się M, K. i mieszkam u H. Wieczory prenumeruję już od trzech lat. Ponieważ nie domyślałam się kto jesteś, proszę donieś mi coś o sobie. Ścisłam was po tysiąc razy. *Niezabudka z nad Chomoru.*

Kochane moje: Tęsknoto za Wisłą, Śpiewna Liro, Brzydotko z nad Tamizy, Gałązko Heliotropu i Poranku Majowy! Droga Tęsknoto, śliczny twój pseudonym skłonił mnie do napisania do ciebie, sądzę że mi odpowiesz, bo wiesz jak to przykro nie otrzymać odpowiedzi. Brzydotko miła i Śpiewna Liro, może będziemy ze sobą korespondować, czy dobrze? Gałązko Heliotropu, zgadłaś! istotnie jestem Janinką S. Poranecku, mieszkam w Kaliszu, donieś mi co ci się najwięcej podoba w Wieczorach, bo mnie: „Pod Wpływem Błogosławieństwa.” Czekam odpowiedzi i ścisła was serdecznie *Kwiat Lotosu.*

Drogi moje Jaskółko z nad Sekwany, Stokrotko z nad Stochodu, Liro Śpiewna, Pomarańczarko, Wiochno z pod Lublina! Niedawno pisuję do Wieczorów i chciałabym się z wami zapoznać. Do Psotnicy także liścik pisałam ale odpowiedzi od niej jeszcze nie dostałam, czemu? Piszcie do mnie, drogie korespondentki, gdyż jestem bardzo niecierpliwa, całuję was. *Figlarka.*

Kochana Niezapominajko z nad Warty. Z sióstr moich jedna należała teraz do konkursu pod pseudonymem Zręczna Gospośia; dwie zaś są jeszcze małe. Wakacje spędziłyśmy we Florencji bardzo wesoło. Pisuj do nas często, i kochaj nas bo i my cię kochamy. *Wesoła Krakowianka i Serdeczna Dziewczynka.*

Drogi Czytelniczki! Już od kilku lat, pisujemy do kochanych „Wieczorów”, a jeszcze żadna z was nie pisała do nas. Chciałybyśmy bardzo zapoznać się z wami, i na początek posyłałyśmy wam łamiągłówek. Imiona mamy Zocha i Janka. Mieszkamy w Warszawie, a lato przepędzamy w Wilanowie. Napiszcie do nas, proszą o to bardzo. *Róża Edenu i Margeryta.*

Droga Srebrna Lilijko! Oddawna pragnęłam napisać do której z czytelniczek, gdy ciebie moją imienniczkę spostrzegłam, z czego się bardzo cieszę i zapytuję czy zechcesz pisywać do mnie? Ciekawam czy jesteście w jednym wieku. Ja mam lat 11 mieszkam na wsi. Prosi o spieszna odpowiedź *Lilijka z nad Wisły.*

Droga moja Tęsknoto za Wisłą! Z przyjemnością odpisuję

ci dziękując za liścik i ścisłam serdecznie. Powiedz gdzie mieszkaś, i bądź pewną życzliwości, na której się nie zawiedziesz. *Jaskółka z nad Sekwany.* Ścisłam Brzydotkę, Niezapudkę i Jaskółki nasze. Cóż się z tobą dzieje Piosneczko ze Słobódki? Często myślę o tobie jakoteż i o twym braciszku, którego mój pozdrawia.

Zgadnij kto jestem droga Oleńko ze Żmudzi, wiem że jesteś o rok starszą odemnie a ja mam lat 12 i że ci Olga na imię. Może się niedługo zobaczymy, ciebie wraz z Pączkiem ścisłam serdecznie. *Czterooceki.*

Kochane Ziarnko przynicy, Anusiu, Helo i Maniu, nie pisałam dotychczas oczekując waszych listów; przysyłam wam łamiągłówek, i proszę o spieszna odpowiedź. Muszka i ja całujemy was. *Jaskółka z nad Ussy.* Czeskiej Niezapudce za życzenia dziękuję i uściśnienia posyłam.

Droga, milutka moja Wiochno z pod Lublina! Nieuwierzysz jak bardzo żałuję że nadzieja poznania cię bliżej zawiodła mnie. Szczerose jest może jedynym przymiotem jaki posiadam, więc wyznam że czuję do twój osobki niewytłomaczoną sympatyę. Czy odebrałaś uściśnienia przesłane ci przez Lorcię G? Teraz tem trudniej będzie nam się poznać, bo spędzam zimę w Warszawie, może więc chociaż przez Wieczory zechcesz utrwalić naszą znajomość. Zazdroścę ci pobytu na wsi. Ja chociaż tak bardzo kocham naturę, niestety obcować z nią nie mogę. A jakie tam obszerne pole do działania! Jednej jeszcze rzeczy nie wiem o tobie droga moja równieczko. Czy lubisz i uprawiasz śpiew lub muzykę? bardzo jestem tego ciekawą. Widzę że obszarem mego liściku zaczynam nadużywać uprzejmość naszego pisemka, więc kończę prośbą byś mi niedługo kazała czekać na odpowiedź, jako post-scriptum posyłam ci najserdeczniejsze uściśnienia. *V Cairo.*

Mieszkamy w jednej z tój samej gubernii i nad tą samą rzeką moja droga *Niezajomo*, może się kiedy poznamy, czego pragnę bardzo, gdyż wszystkie was przybrane moje siostrzyczki kocham niezmiernie. Ja mieszkam w Warcie; niedawno zostałam zaliczoną w grono naszych staruszek, na imię mi Waclawa. Czy twoje imię kochana *Gwiazdka na Zachodzie*, nie zaczyna się czasem na J. a nazwisko na A.? Ścisła was i prosi o odpowiedź *Niezapominajka z nad Warty.*

Najdroższa Ako! Czy już nie chcesz korespondować ze mną? Nie mogę pisać do ciebie pocztą bo nie wiem gdzie mieszkaś obecnie; donieś mi proszę jaknajprędzej twój adres. Całuję cię, twoja przyjaciółka *Różyczka Alpejska.*

Dla braku miejsca w kochanem Pisemku piszę do was razem: *Główo Cukrowa* rada jestem iż życzeniu twemu stało się zadość i liścik twój wydrukowano. Nie odpowiadałam ci długo luba *Szczerosci*, dla braku miejsca, nie gniewaj się proszę i donieś coś więcej o swęj osobce. Miluchna *Niezapominajko z Zacisza*, wielką mam chęć bliżej cię poznać. Jakże jesteś szczęśliwą, że mieszkasz w L! byłam tam podczas wakacyi, zachwyconą jestem kościołem. Dla czego tak milczysz kochana *Sosenko*? zapomniałaś już widzę o mnie. Ścisłam was wszystkie lube siostrzyczki, nie zapominajcie o *Białej Perelce.*

Milutka Boginko z nad Łydyni! Z przyjemnością odpisuję na twój liścik gdyż lubię bardzo takie małe panienezki, ja już jestem staruszką i mieszkam w miasteczku przy fabryce cukru. Luba *Szarotka Alpejska*! pragnę bardzo poznać cię bliżej, mnie na imię Helena, donieś mi wzajemnie o sobie. Droga *Tęsknoto za Wisłą*! uskarżałaś się że dotychczas nikt do ciebie nie napisał, może więc ze mną zechcesz korespondować? Donieś mi co lubisz najlepiej? bo ja muzykę i konną jazdę. Czekam twęj odpowiedzi z niecierpliwością. Was wszystkie kochane moje siostrzyczki jak i Niezapudkę z nad Chomoru ścisłam po milion razy. *Błękitna Kokardka.*

Droga Jaskółko z nad Wili! Dziękuję ci za liścik, bardzo mnie ucieszył. Na imię mi Ewelina, mieszkam na wsi. Niedawno zaczęłam uczyć się grać na fortepianie, z czego jestem bardzo zadowolona. *Pieszczotka z małego ogródku.*

Westalko kochana napisz mi proszę o swoich upodobaniach, pragnęłabym poznać ciebie jak i Cyganeckę. Topoleczko luba zgadzam się na twój projekt, widocznie pierwszy. Twój liścik zaginął. Halko moja poznałam waszego znajomego, który nam o was opowiadał. Czarodziejko droga na imię mi Janina, mie-

szkam na Litwie i zaliczam się do staruszek. Jaskółko miła oczekujemy cię Lilijko moja, czuję do ciebie wielką sympatyę. Piszcie do mnie moje złote, bo liściki od was i siostrzyczek wiele mi sprawiają przyjemności. Ścisła was *Topolka srebrna*.

Brzydotko miła co porabiasz? Kuropatwo moja milutka czy nie chcesz do nas pisywać? Lilijko moja! donieś mi o sobie. W „Wieczorach” najwięcej lubiłam „Najnowszą powieść Deotymy”. Westalko droga bardzo cię polubiłam i zwracam się do ciebie. Choć jesteś znacznie starszą, lecz może zechcesz mi odpisać. Jesień i zimę w Warszawie spędzimy. Cyganeczko złota! Wstydz się, nie odpisałaś mi dotąd, czyś zapomniała o tej, która was wszystkie kocha? *Życzliwa, Chmurka złocista*.

Kochana Kukułko z pod Lublina! Przepraszam że ci tak długo nie odpisywałam, ale brak czasu nie pozwalał; nawet do konkursu żadnego nie należałam. Dziękuję ci bardzo za konfiturki; proszę uściskaj Jańcię i powiedz, że niedługo napiszę do niej. Całuję cię serdecznie. *Artystka*.

Kochana Błyskawico! Z miłą chęcią będę korespondować z tobą. Na imię mi Zofja, mam lat 16, zatem już jestem staruszką. Mieszkam w Warszawie. Nie daj długo czekać na odpowiedź niecierpliwęj. *Fijołeczek z nod Wisły*.

Kochana Mgło! Obecnie wiesz już kim są Radomianka i Gloksynia, możemy więc z sobą korespondować, jeżeli zechcesz. Mimoza kazała ci donieść, że mylisz się biorąc ją za swoją znajomą; nazywa się ona Mania J. ma lat 14 i mieszka w Radomiu. Ścisła cię serdecznie *Gloksynia*.

Drogi Współczelniczki! Przebaczenie mi wszystkie, które pisywałyście do mnie, że wam dotąd nie odpowiedziałam, bom przysposabiała się do egzaminu, musicie mi to uwzględnić, a odtąd tylko parę razy do roku Wieczory czytać będę, nie zapomnę przecież o nich i o was drogie siostrzyczki, jak również wy nie zapomnijcie o *Cichéj Wodzie*.

Kochana dziewczeczko z nad Prypeci! Nazywam cię tak, ponieważ nie znam twego pseudonimu, imienia zaś nie chciałam wymieniać. Mieszkasz w Kijowie, lato spędziłaś w majątku Dernowicze. Jesteś wysmukłą blondynką o krótkich włosach. Pierwsze litery twego imienia są Ur. Zgadnij teraz kto ja jestem. Czarną Perelkę uściśnij. Prosi o odpowiedź *Jaskółka z nad Rosi*.

Kochana Niezapominajko z nad Warty. Zaciekawiałaś mnie swoim liścikiem, kto cię tak objaśnił co do mojej osoby? Może sz. Książd? W każdym razie, choć nie jestem tego pewna, dziękuję za pamięć, ciebie ścisłam serdecznie i napisz proszę, czy nie jesteś siostrzyczką Wróźbiarki szczęścia? *Ukrainka na Mazowszu*.

Drogi: Piosenko, Horypyno, Niezapominajko z nad Warty, Kulko Śniegowa, Wiochno z pod Lublina, Błękitna kokardko, Halutko S., Jodelko z nad Noteci, Stokrotko z nad Stochodu, Błyskawico, Szarotko Alpejska, Gosposiu taty i Gołabko Wersalska! Przepraszam was kochane moje, że tak długo nie odpisywałam na wasze milutkie liściki, za które z całego serca dziękuję. Kuleczko! miejsce twego zamieszkania, jest miejscem rodzinnym mój matenki. Piosenko milutka! bardzo pragnęłabym cię poznać! Niezapominajko! w Kaliszu bywam rzadko, do konkursu straciłam już prawo; pseudonym Gosposi z nad Warty zmieniła dawno, kochająca was *Wróźbiarka szczęścia*.

Droga Cicha Wodo! Z powodu bólu ręki nie mogłam ci wcześniej odpisać, donoszę ci że jestem blondynką z ciemnymi oczami, średniego wzrostu, mam lat 13 i mieszkam na wsi. Jak ci się podoba powieść „Druha matka” bo ja jestem nią zachwycona. Twoja *Burzliwa Natura*.

Kochana Sosenko! Zrobisz mi wielką przyjemność jeżeli zechcesz napisać mi coś o sobie. Ja mieszkam w Warszawie, uczę się w domu. Mam trzy siostry, i jednego małego braciszka. Całuję cię serdecznie i proszę o prędką odpowiedź. *Zorza północna*.

Kochana Gwiazdka na zachodzie. Nie mogę ci opisać zdziwienia jakie mię owładnęło po przeczytaniu twego listu; nie nie mogłam się domyśleć, z kąd nieznaną wie wszystko o mnie, nawet i to że się lubię stroić. Sądziłam że jakaś gwiazdka to, co wypatrzyła opisuje teraz w Wieczorach. W końcu dopiero przy-

szło mi na myśl że wiesz to może od p. Louizy... Przypuszczam że masz lat 13, mieszkasz koło Przeworska wraz z dwoma braćmi i siostrą. Donieś mi czym zgadła jak ci na imię. Całuję cię milion razy. Twoja *Rybka z małej wody*.

Nie odpisałam ci, droga Niezapominajko, bo przez dwa miesiące byłam u cici, Wieczorów nie czytałam. List twój sprawił mi nadzwyczaj miłą niespodziankę. Nazywam się Jadwiga Rom... mam lat 15 jestem jedynaczką, wysoką szatynką. Uczę się w V-téj klasie. Napisz mi więcej szczegółów o sobie. Z kąd znasz Madzię D...? Drogi: Kapłanko i Gałazko! Bardzo mi się podobały wasze pseudonimy; sądzę, że i właścicielki ich są sympatyczne i dla tego piszę do was. Opiszcie mi swoje osóbkę, gdzie mieszkacie, co wam się najlepiej w Wieczorach podoba i t. d. Całuję was wszystkie serdecznie, *życzliwa Gałazka jaśminu z Radomia*.

Droga Szarotko tatrzańska! Nie pisałam do ciebie z powodu egzaminów i wyjazdu do Krynicy, gdzie poznałam Marcję, twoją koleżankę. Nazywam się Marya, mam lat dwanaście, jestem w trzeciej klasie. Która powiastka najwięcej ci się podobała w Wieczorach? mnie Osadnicy Kanadyjscy. Proszę cię odpisz twojej *Lilijce z nad Bzury*. Ślizgawkę, Lampę błyskawiczną, zapytuję, dlaczego nie pisują do Wieczorów?

Drogi Poranku i Gałazko heliotropu, obie zgadłyście! istotnie mieszkam w Kaliszu i nazywam się Janinka S. Co wam się najwięcej podoba w W. R.? bo mnie „Szesnaścieletni Wojewoda.” Pomarańczarko Rzymaska i Ty malenka Kuropatewko z nad Warty, chętnie z wami korespondować będę, napiszcie, jakie zajęcia najlepiej lubicie? Kochana Czarodziejko, Złota Przędzo i Biała Myszko! może będziemy do siebie pisywać tem więcej, że wszystkie mamy po lat 13; donoszę wam, że jestem szatynką, z czarnymi oczami, dosyć wysoką, a przytem bardzo żywą. Przyjmijcie teraz serdeczne uściśnienia i nie zapominajcie, o *Kwiecie Lotosu*.

Drogi rówieśniczki! Chciałabym pisać do której z was, mam lat 8, mieszkam w Stopnicy, a obecnie jestem w Hołudzy, u mojej cici; nauczycielki Zorzy i jej siostr. Bardzo lubię czytać Wieczory, historyjki w dodatku niezmiernie mi się podobają. Mam dwoje rodzeństwa: braciszka i siostrzyczkę. Z Pękata Baryłeczką grywamy z zapalem w krokieta. Odpiszcie mi, prosi bardzo, *Cienka Tyczka*.

Czytając w Wieczorach liściki różnych panienek, nabrałam ochoty napisać do was. Mieszkam w Hołudzy i mam 3 starsze siostry, młodszego brata i siostrę. Teraz się bawimy z Cienką Tyczką, która jest u nas. Całuję was, a odpiszcie waszej *Pękatej Baryłeczce*.

Moja droga Sosenko! Z największą ochotą odzywam się do ciebie. Szczegóły o mnie znajdziesz w N. N. 3 i 43 r. b. Dodam to tylko, że mam kochające siostrzyczki, które w dniu moich imienin i urodzin, między innymi, dały mi małe skrzypce i królika przebiegającego łapkami na bębenku. Jak ty, lubię otrzymywać liściki, napisz mi więc o sobie szczegółowo. Ścisłam cię mocno, *Czarnotka*. Moja starsza siostra, Błada Różyczka, ścisła cię i chce się z tobą poznać przez Wieczory.

Najdroższe moje: Sosenko, Cicha Wodo i Cieciorczko! Przeczytałam twą odezwę Sosenko i chciałabym pisywać do ciebie. Donieś mi: ile masz lat, gdzie mieszkasz, jakie nauki lubisz, a jeżeli zechcesz to i ja ci coś o sobie doniosę. A ty, Cicha Wodo, czy naprawdę chcesz być cichą, że tak długo nie odpowiadasz na me liściki? Czy się gniewasz, czy też nie masz czasu? Cieciorczko droga, czy zgadzasz się pisywać do mnie? Ja, mieszkam na wsi, w gub. Kijowskiej. Oczekuję odpowiedzi od was, kochane współczelniczki. Wasza *Biała Ostróżka*.

Moje najmilsze! Jaskółeczko z Rusi, Błyskawico i Czarodziejko. Czy mi przebaczyacie, że na tak serdeczne liściki mimowoli długo nie odpowiadałam? Jaskółeczko, z radością pisywać będę do ciebie, na imię mi Marta, mam lat 17, jestem wesołego usposobienia. Błyskawico kochana, dlatego obrałam mój pseudonym, że mam pleć cyganki. Czarodziejko miła, nie jestem wcale tą, o której myślisz, ale ją znam i twoich krewnych B. Ścisłam was moje drogie. *Cyganeczka z nad Wisły*.



Ciocia Scholasia.

## CIOCIA SCHOLASIA.

— Moja Balbisiu, moja złota, śpiesz się z tem czesaniem, bo doprawdy, chyba już nie wytrzymam i ucieknę — mówiła sześćioletnia Niunia.

— Już Niuni pilno do figłów — odrzekła Balbisia niemłoda już służąca, która czesała starannie ciemne

włosy dziewczynki, daremnie siląc się, by gładko leżały.

— Może też i nie do figłów — rzekła Niunia wspinając się na paluszkach aby wyrzeć oknem.

Balbisia myśli, że ja tylko swawolić umiem.

A nie wiem co Niunia więcej potrafi — mówiła Balbisia ze śmiechem — toż w całym domu, wszyscy mówią, że większej swawolnicy niema na świecie.

— E, co oni tam wiedzą — rzekła Niunia bębniąc paluszkami po stole — przecież umiem już czytać, i pisać się uczyć, a co bajeczek to umiem chyba ze sto.

— Wielka mi rzecz takie bajeczki!

— Bo i ja też nie wielka, to i bajeczki małe, jak urosnę duża, będą wszystko umiała.

— Kto chce wszystko umieć jak będzie duży, musi uczyć się dużo, .gdy jest mały — zakończyła Balbisia, robiąc ostatnie pociągnięcie szcnotką po lśniących włosach dziewczynki, które nareszcie udało jej się przyprowadzić do porządku.

— E, Balbisia aby marudzić, więcej też nic nie umie — zawołała dziewczynka odbiegając na środek pokoju, i wstrząsając głową, przyczem włoski tak staranie przyczesane, rozrzuciły się z całą swobodą.

— Boże drogi! — krzyknęła Balbisia załamując ręce — już znów Niunia wygląda jakby ze trzy dni nie była czesana.

— Do miłego widzenia! żagnam Balbisję — rzekła Niunia wybiegając z pokoju, a będąc już we drzwiach, przesłała rączką całusa starszej służącej, która za nią z tajonym uśmiechem spoglądała.

— Złoty dzieciak — mówiła Balbisia do siebie, chowając grzebień — dobre to i serdeczne, ale co figle to się już i w głowie pomieścić nie chcą.

Tymczasem Niunia, biegnąc przez pokój stołowy, zobaczyła w kąci przy kredensie swoją lalkę, którą służąca sprzątając, umyślnie widać zostawiła na ziemi, aby się Niunia zawstydziała, i więcej dbała o to, co do niej należało.

— A, dzień dobry ci Filo — rzekła Niunia nie tracąc nic z dobrej miny, i podnosząc porzuconą lalkę — fil! jesteś niegrzeczna, któż słyszał siedzieć na ziemi i smolić sukienkę. Ja ci nastarczyć nie mogę, proszę się poprawić, bo inaczej wcale o ciebie dbać nie będę, i kochać cię przestanę.

— Wcale o nią dbać nie będziesz? — zapytała mama wchodząc z przyległego pokoju — czy można dbać mniej jeszcze, aniżeli ty dbasz, jeżeli lalka od wczoraj, leży porzucona na ziemi?

— Ach! mamusiu kochana, czy ja tylko o lalce mam myśleć — rzekła Niunia całując matkę w rękę na dzień dobry — ta moja Fila, jest już tak duża, że mogłaby myśleć o sobie.

— Zastanów że się Niuniu co mówisz, jakże twoja Fila może myśleć o sobie, nie będąc żywą — rzekła mama wzruszając ramionami.

— I to prawda mamusiu — rzekła dziewczynka — ale kiedy to taki kłopot z temi dziećmi, że człowiek sobie rady dać nie może.

— Tak sądzisz? — zapytała mama spoglądając na dziewczynkę.

— Ależ tak mamusiu, ja mam tylko dwie córeczki i trzeciego kota, a czasem myślę że chyba osiwieję — mówiła Niunia poważnie.

Mama uśmiechnęła się momowolnie.

— Cóż jabym powinna zrobić, mając was kilkoro — rzekła po chwili.

— Ach! przecież z nami nie taka znów wielka bieda, Staś już w drugiej klasie, Jadzia w pierwszej, Zygmus

uczy się ze mną w domu, a Zochna, to już taka grzeczna, choć ma dopiero trzy latka, że chyba z nią niema kłopotu.

— A cóż ty masz za kłopot z lalkami?

— Mamuchno, tego to by i na wołowej skórce nie spisał! — zawołała Niunia biorąc się za głowę — a co z kotem, to doprawdy jeszcze większa bieda.

— Nie wiedziałam o tem.

— Jest on strasznie nieposłuszny — mówiła Niunia — i zawsze mi ucieka do pokoju cioci Scholasi, tego przecież robić nie powinien.

— Widocznie, lepiej mu u cioci Scholasi aniżeli u ciebie — rzekła mama.

Niunia wzruszyła ramionami.

— Nie wiem co mu tam lepszego — rzekła krzywiąc nieco usta — ciocia Scholasia nigdy się z nim tyle nie bawi co ja. Wczoraj mamusiu, jak go wzięłam za dwie łapki, tośmy tańczyli, ale to tak tańczyli w koło pokoju, że i ja się zmęczyłam, i Mruczuś ledwie oddychał.

— Przed tym tańcem pewnie, Mruczuś chowa się do pokoju cioci Scholasi — mówiła mama. — No, ale dość téj, rozmowy, idź powiedz cioci Scholasi dzień dobry, i proś jej na śniadanie.

— Właśnie tam idę mamusiu, bo nie widziałam się dziś jeszcze z Mruczkiem, a on tam z pewnością być musi — rzekła Niunia wychodząc z pokoju.

— Pamiętaj tylko Niuniu, powiedzieć cioci że czekam z herbatą, a i ty przyjdź razem z ciocią.

— Przyjdziemy mamusiu wszystko troje, bo przecie Mruczuś musi dostać śniadanie.

I Niunia znikła za drzwiami.

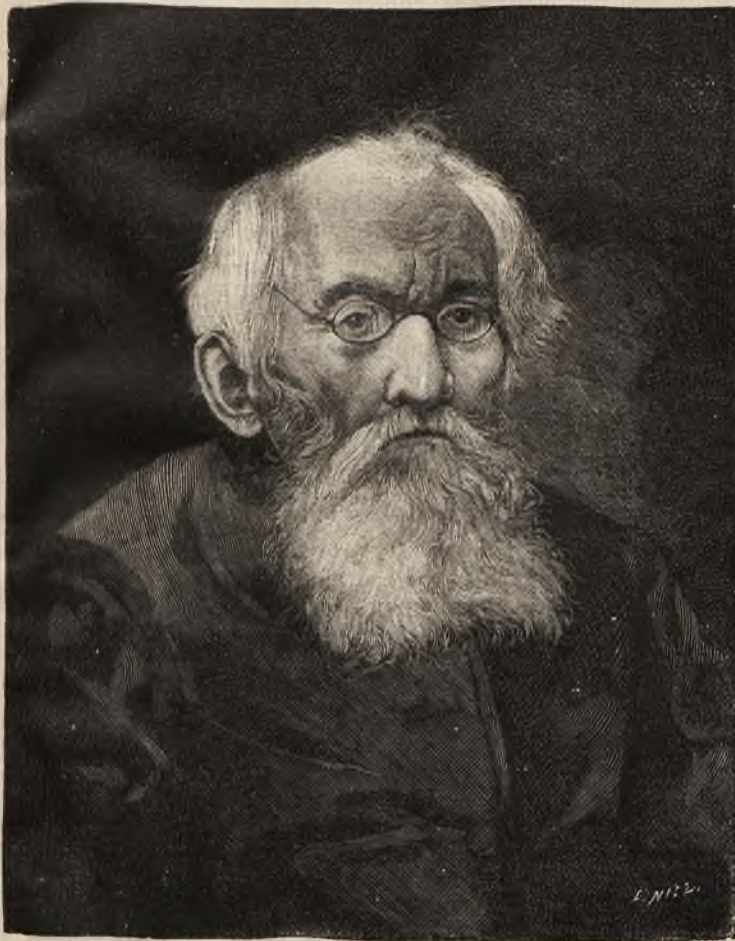
(d. c. n.)

## NIEZGODA W RODZINIE.

Wyszedłszy na przechadzkę na wiejskie podwórko Spotkała się kaczochna z młodą panią kurką, Nuż w gawędkę o dziatwie, o ciasnym kurniku, O kłopotach tych jakich ma każdy bez liku... A tymczasem dziateczki skupione w gromadki Cisnęły się swarliwie każde do swęj matki, Czepiając się skrzydełek to kaczkki, to kurki, Tak jak to rozpieszczeni synowie i córki, Którzy radziby rączki nie puszczać maminęj, Różne przytem płaczliwe wyrabiając miny, Nie pomnąc co po dziatwie żąda grzeczność sama, Piszcząc. — Idź, idź precz sobie, bo to moja mama! — Depcząc się, by się dostać pod jęj skrzydło same Gdyż każde chciało bardziej kochać swoją mamę. Aż kurka zawstydzona piskłał niesfornością Staneła by nie spotkać się z indyczą mością, I rzekła: — Żle kochania matkom dowodzicie: Posłuszeństwem dowodzi swęj miłości dziecięj, A ja wam przykazuję od rana do rana Byś w miłęj zgodzie żyła dziatwo ukochana: Gdy się swarzą w rodzinie jednęj kurki dziatki, Choć piszczą o kochaniu nie kochają matki,



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### Antoni Waga.

Dnia 23-go listopada, nie chorując wcale, zgasł sędziwy i uczoney nasz przyrodnik, Antoni Waga, urodzony w r. 1799 w Grabowie, w guberni piotrkowskiej. Ukończywszy w roku

1817 szkołę wojewódzką ks. Pijarów w Warszawie, zaraz mianowany w niej został nauczycielem i w trzy lata potem wysłany za granicę dla odbycia obszerniejszych studyów przyrodniczych. Wróciwszy do kraju, ukończył jeszcze wydział filozoficzny w uniwersytecie warszawskim i następnie aż do wysłużenia emerytury, poświęcał się zawodowi nauczycielskiemu. Na Lesznie istniała wówczas szkoła „pedagogiczno-praktyczna” w której Waga wykładał nauki przyrodnicze, był też profesorem w rządowym instytucie guwernantek a w roku 1832 mianowano go nauczycielem gimnazjum w Warszawie i członkiem komitetu egzaminacyjnego.

Czynne to więc i pracowicie zajęte było życie, ale że Waga szczerze ukochał swój przedmiot, więc też „z własnej ochoty i przywiązania do nauki” (jak się wyraża ówczesny raport urzędowy) przedsięwziął w r. 1829, wspólnie z prof. Wojciechem Jastrzębowskiem, badaczem i miłośnikiem przyrody, *pieszą* wędrowkę po kraju, i powtarzając ją potem co rok prawie, zwiedził kolejno znaczną część guberni augustowskiej, suwalskiej, siedleckiej i lubelskiej. Owocem takowych wycieczek było nie tylko zbadanie flory krajowej, ale jeszcze bogate zbiory nieznanych dotąd owadów, któremi głównie zajmował się zmarły profesor. Nauka entomologii dużo mu też zawdzięcza, tem więcej, że wysłużwszy emeryturę, ję się zupełnie poświęcił, w czym mu dopomagali hr. Branickcy. Jeden z nich, wielki miłośnik badań przyrodniczych, zaproponował Wadze podróż do Afryki i 60-letni przeszło starzec puścił się w drogę w r. 1864, a przywiózłszy z tęg wycieczki bogate plony, powtórzył ją w r. 1866. Znaczna część okazów przywieziona przez niego z Afryki znajduje się we Frascati w muzeum hr. Branickich przy ulicy Wiejskiej.

Waga pisał wiele, wzorowym, poprawnym językiem, które to zalety pozwalają zaliczyć go do rzędu najlepszych naszych stylistów. Z licznych jego prac wymieniamy:

„O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych”, „Książka dla dobrego chłopca”, „Historia naturalna” i „Atlas do nauki historii naturalnej z 220 kolorowanymi rycinami” bo książki powyższe stanowiły dla trzech blisko pokoleń podręczniki naukowe lub pouczającą rozrywkę. Zasługuje też na uwagę rzecz specjalnie dla dziewcząt przeznaczona: „Teoria gospodarowania wewnętrznego, czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodyniom dla użytku instytucji żeńskich”, świadczy ona bowiem, jaką wagę przywiązywał uczony przyrodnik do należytej znajomości gospodarstwa, które jest nauką, opartą przede wszystkim na znajomości praw przyrody.

Po życiu w pracy spędzonym, starość miał czerstwą i czynną; ciągle ulubioną pracą zajęty, cieszył się aż do ostatniej chwili zupełną przytomnością umysłu, aż wreszcie „sył lat i sławy”, zakończył długi żywot, pozostawiając po sobie niezapomniane imię w nauce.

T. P.

## MODLITWA.

Wiersz niedrukowany Stanisława Jachowicza, ze zbioru autografów hr. Przeddzieckich.

Na stopniach ołtarza dziewczeczka klęczała,  
Pobożność anielska w jej oczach jaśniała,  
I tylko głos czasem zabrzmiął przerywany:  
„Daj zdrowie, daj szczęście babuni kochanej!”

Pytała matuli dziewczeczka uboga:  
— I czegoż panienka tak prosi u Boga?  
Bogata babunia tej ślicznej panienki  
Ma konie, pojazdy, ma piękne sukienki  
Ma srebro, ma złoto, ubogim rozdaje;  
A ona tu jeszcze prosić nie przestaje?

— To twoje pytanie nie dziwi mię, duszko,  
Lecz własne niech za mnie odpowie serduszko,  
Miłość się nie pyta o srebro, o złoto;  
Kto kocha, to kocha, bo kochać jest cnotą.  
Za lubyh kochanych, głos wnosim do nieba,  
A komuż pomocy boskiej nie potrzeba?  
Czy w lichy i wątły lepiance chróścianej  
Czy tam, gdzie od złota połyskują ściany,  
Wszędzie jest potrzebne do Stwórcy wołanie:  
Bo nic się bez Jego rozkazu nie stanie.  
Przy skarbach największych nieszczęsnym być może,  
Kto Ciebie na pomoc nie wezwie, o Boże:  
Tak, dziecię kochane, nie dziw się panience,  
Co klęczy na stopniach w tej białej sukience,  
I rączki pobożnie podnosi do Boga:  
Gdybym też ja taka nie była uboga,  
Lecz w złocie jaśniała, w karecie jeździła,  
Czyżbyś się też za mnie także nie modliła?  
— Modliłabym matko, modliła ze łzami;  
— Więc widzisz, że serca są zawsze sercami.

## W WIGILIĄ.

Wieczór nadchodził cichy, spokojny, majestatyczny.

Słońce, skrywszy już na zachodzie złocistą tarczę, pozostawiło tam jeszcze jasne, krwawe promienie, które jako zapowiedź silnego mrozu, obrzucały już ostatnim uśmiechem białe przestrzenie ziemi, pokrytej puszystym śniegiem; i cieszyć się zdawały, patrząc na iskrzącą purpurę, pożyczonego od siebie blasku. Na wschodniej części nieba gasły zwolna

mieniające się barwy fioletu i seledynu, ustępując miejsca szarym przezroczystym mrokom. Ponad ognistemi wierzchołkami drzew przeciągały sznurem wrony i kawki, przerywając przeraźliwym krakaniem spokój, zalegający całą naturę. Wiatr ustał. Stare sosny, brzozy, dęby i graby, przyobleczone w sukienki niepokalaną bielą, zarumienione chwilowo jakby z zachwytu, podziwiając ten cudny zachód, przerywały nawet swą tajemniczą codzienną pogadankę, odkładaną na szarą godzinę, jakby i one społem z naturą i ludźmi gotowały się do godnego uczczenia tego wieczoru oczekiwania i radości wszechświata — wieczoru wigilii Bożego Narodzenia.

I cisza zapanowała wszędzie. Zda się anioł, zwiastun dobrej nowiny, przeleciał ponad tą krainą przysypaną śniegiem, tchnąwszy nań tchnieniem ukojenia, gdy oto na skraju drożyny kręto w las wiodącej, ukazała się jakaś mała czarna plamka, w miarę zbliżania się rosła, aż wreszcie przybrała kształty dziecka, samotnie idącego chłopczyny, któremu przeciwieć musiało być gdzieś bardzo pilno, bo drobnymi ubogo obutymi nóżkami prędko przebierał po nieudeptanej jeszcze ścieżynce, a śnieg stwardniały od mrozu skrzypiał za każdym jego krokiem.

Chłopiec szedł szybko. Chwilami tylko zwalniał biegu jakby dla zaczerpięcia oddechu, lub też wydobywszy czerwone piąstki, wciśnięte w kieszenie wynoszonej już dobrze sukienki, prostował je, chuchał w nie, poczem nasunawszy sobie więcej na oczy czapeczkę z poźółkłym dokoła barankiem, chował je napowrót, a rzuciwszy przed siebie bystre spojrzenie, które tonęło w zamykającej się perspektywie leśnej drożyny, przyspieszał kroku. Zwolna robiło się na dworze coraz ciemniej. Purpurowe smugi u wschodu znikły już całkiem na krańcach horyzontu, i mrok jał tulić w swych objęciach gąszcze leśne, jakby je najpierw do snu chciał ułożyć. Mróz brał pod noc coraz silniej, naszego małego wędrowca nie przerażał przeciwieć ani mrok ani zimno. Gdy czasami podniósłszy głowę spoglądał w koło siebie, z ciemnych oczu tryskał mu spryt dziecinny i odwaga; zresztą nie miał i czasu zastanawiać się nad obawą — jego uwagę zajmowało tyle innych, tak całkiem innych myśli!...

I przebiegał wspomnieniem, śpiesząc tak drogą, całe swe życie, co choć krótkie, miało jednak tyle, tyle chwil różnych, smutnych, nad którymi mniej myślał, i szczęśliwych, które wyryły mu się w pamięci na zawsze, a teraz, odezawszy się serdecznem echem, cisnęły łzy do oczu, i na usta wywoływały smętny uśmiech.

A przeciwieć te wspomnienia Jędrusia, nie sięgają tak odległej epoki!... Niedalęj jak dwa lata żyła jeszcze jego opiekuńcza gwiazda na ziemi, matuś ukochana, a on chował się przy niej, w chacie, w której wzrósł od kolebki, i żył szczęśliwy, osłonięty tą miłością i staraniem, które w każdym stanie człowiek ocenić i odczuć potrafi, a które zapewnia macierzyńską opieką. Ze śmiercią też matki skończyło się dlań wszystko. Daleki, krewny który rościł sobie prawa do spadku z powodu że kiedyś pożyczyl rodzicom Jędrusia trochę pieniędzy, objął chatę w posiadanie i znęcał się nad biednym sierotą w jak najcięższy sposób.

Jędrus długo znosił cierpliwie wszystkie udęczenia. Przez pamięć na zmarłą matkę żał mu było opuszczać starego domu, z którym wiązało go, tkliwe z natury serce, ale w końcu poczucie dumy dokonało, czego nie mogło dokazać gorące uczucie. Nowy gospodarz chaty i jego żona wymawiali mu wciąż lenistwo, choć Bóg widział, iż pracował, ile mu sił starczyło, i kiedyś nazwali go „darmozjadem”. Szlachetna natura dziesięcioletniego chłopca, zawrzała na to niezasłużone oskarżenie i odtąd powiedział sobie, że choćby najwięcej na tem cierpiał, to w domu dłużej nie pozostanie.

Widocznie czuwał nad nim anioł stróż, który to kieruje krokami wszystkich sierot na świecie. Będąc pewnego razu, jeszcze z polecenia krewnego w pobliskiej wiosce u kowala, usłyszał z jego ust pytanie czyby nie chciał przyjąć u niego miejsca „chłopaka”. Wówczas dał odpowiedź odmowną, ale skoro tylko uczynił postanowienie opuszczenia domu, przysłała mu na myśl służba u kowala.

Na szczęście kowal nie miał jeszcze nikogo i niebawem Jędrus znalazł się w kuźni, ze skórzanym fartuchem przed sobą, już to poruszając dziarsko miechy, już dosypując węgla do komina, lub przytrzymując szczypcami sztabę żelaza rozpalonego do czerwoności, która pod uderzeniem młotu majstra, sypała dokoła snopy złocistych iskier. Chłopak był gorliwym, silnym i zręcznym. Majster poznał się na nim, a że był poczciwym człowiekiem, więc mu też krzywdy nie robił.

Polubił nawet malca. Właśnie pół roku służby Jędrusia dobiegało, gdy oto nadeszły święta Bożego Narodzenia. Wszyscy we wsi obchodzili trzy dni świąt uroczyste, więc też i kowal chcąc mu dogodzić, pozwolił na trzy dni odejść do domu. Do domu!... Jędrusiowi ścisnęło się serce na te słowa. Nigdy, przez całe pół roku jak był na służbie, majstrowi nie przyszło na myśl zapytać swego małego pomocnika o dom i rodzinę. Cóż to go mogło obchodzić! I teraz więc pozwalając mu użyć świąt do woli, nie uczynił tego. Jędrusiowi zaś brakło sił zawsze wtedy, gdy mu chciał wyznać, iż dzisiaj on, prócz w jego kuźni, niema na świecie dachu. Stał jeszcze przed majstrem z bólem w sercu i spuszczoną na piersi głową, by ukryć oczy przepelnione łzami, gdy mu zabłysła jak promyk świetlany myśl nowa. Prawda, domu on już nie ma, bo nieludzkiego krewnego progów nie przestąpiłby za nie w świecie, ale ma przecież jeszcze swoją wioskę, gdzie chociaż nie razem z rodziną, miliej mu będzie przebyć te święta niż w obcej stronie. W wiosce zna każdą chatę, każdy płot i kamyk nieledwie; pójdzie stamtąd razem z innymi do małego parafialnego kościółka, dokąd to dawniej prowadziła go matuś za rękę i przed świętym obrazem uczyła wymawiać pierwsze słowa modlitwy... Najwięcej chodziło mu o wieczór wigilii. Być tam choćby w ten jeden wieczór, myślał sobie chłopczyzna, a potem choćby przyszło powrócić, to i nic więcej nie pragnę!... Będę chodził pod oknami cichutko, żeby nie zamącić spokoju zebranych przy rodzinnej wieczerzy, i przechodząc, spojrzę przez małą szybkę do wnętrza swojej chaty. Jak też tam będzie? Czy jak dawniej, czy nie się nie zmieniło?!... Jędrus tedy postanowił pójść choćby dla tego, by spojrzeć przez szybkę do wnętrza swej ukochanej chaty. Po południu więc, zjadłszy jeszcze łyżkę postnej strawy, ubrał się w co miał najlepszego, pocałował majstra w rękę i wyszedł.

— Idziesz do domu? — zapytał go kowal, nim zamknął drzwi za sobą.

Kiwnął tylko głową, nie chciał skłamać, i aby ukryć rumieńce za przez pół wyrzeczone kłamstwo, zamknął drzwi coperędzej.

Miał przed sobą dobrą milę kopnej drogi, a wiadomo iż w tej właśnie porze roku dzień jest bardzo krótki. I oto jakim sposobem zmierzch zaskoczył go wśród lasu, na połowie drogi do rodzinnego miejsca.

Jędrus tak był zajęty myślami, że długi czas nie zwracał uwagi na zalegającą ciemność i wzmagający się mróz. Ale takich rzeczy nie zauważyć całkiem, niestety niepodobna, tembardziej kiedy się jest lekko i biednie odzianym. Wkrótce przyspieszył kroku w dwójnasób, bo wiedział że droga jeszcze i daleka i ciężka, a nielitościwie zimno zaczęło go przejmować przez lichą sukmanę, i z każdą chwilą bardziej paraliżowało mu swobodę ruchów. Najwięcej marży ręce i nogi. Ręce jeszcze jakoś chuchaniem mógł trochę rozgrzać, ale nogi bolały go dotkliwie. — To nic, próbował sobie mówić na pociechę, już niedaleko, a jak tylko wejść do wioski, to zrobi mi się ciepło. Toż to już z pół roku, bo od Bożego Ciała, jakim tam niebył! — Tem dodawał sobie otuchy i uśmiechał się do swych myśli, ale mimo wszystkiego zimno dokuczało mu coraz bardziej. Po chwili, chociaż biedz wciąż nie przestawał, ale jakoś ta ochota zaczęła go opuszczać. W miarę jak ziąbł, radość ustępowała, a zaczynał go ogarniać jakiś smutek przykry. Nagle zatrzymał się, rozejrzął, było już prawie ciemno.

Z dwóch stron drogi czerniły się drzewa niby zastępy olbrzymów, w których łonie nikła jasna, śnieżna drożyna; niebo przybrało ciemno szafirową barwę.

— Poco ja tam idę? — rzekł do siebie niemal głośno — poco ja idę — powtórzył ciszej — do kogo?!... Lekki powiew przeleciał, odpowiadając mu na pytanie szmerem strząsanego śniegu i jodłowych gałązek. Stał jeszcze chwilę i ruszył dalej. Lecz tym razem nie szedł długo. Kroki stały się coraz słabsze, niepewniejsze, aż ustały całkiem.

— A tom zmarł! — szepnął sobie znowu — usiądę sobie tu odrobnie i odпочnę, to mi się i nogi rozgrzeją, a potem jak się nie puszcze!... duchem zalecę...

Nie miał już snuć siły odejść dalej, bo tak jak stał na środku drogi tak przysiadł, opierając się tylko plecami o wał śniegu, którego tu więcej wiatr nawiał niż gdzieindziej. Skurczył się we dwoje, i położywszy skostniałe ręce na podkolanach, wsparł się o nie czołem i jał chuchać żarliwie. Trudno mu było z ich rozgrzaniem, ale po długich usiłowaniach był pewnym iż tego dokazał; jakieś rozrzewnienie go opanowało, zrobiło mu się dziwnie przyjemnie, zapomniał nawet o tem, iż przed chwilą jeszcze tak śpieszno mu było zdążyć do wioski na wieczór, i poddawszy się tej błogiej rzewności, utonął cały we wspomnieniach. Jakimś dziwnym sposobem stanął mu w myśli ostatni wieczór wigilijny przed dwoma laty, a wyobraził mu się z taką dokładnością, iż patrzeć zdawał się nań własnymi oczyma. I czuł zda się ten uroczysty spokój, jaki zapanował nad całym sołem, czuł ów niepojęty nastrój, mający coś wspólnego ze świętością, co ogarniał wtedy jego mieszkańców. W każdej chacie było ciepło i widno, a ściany i sprzęty lśniły czystością. Wówczas to i u nich na kominku buchał wesoły ogień, a matusia krzątała się po chacie, przygotowując do skromnego „pośniku”. Na białym stole poproszone było siano i stały talerze jak szkło czyste, a na jednym spoczywała paczka opłatków. Matuś łamała się niemi ze wszystkimi i gdy do niego przystąpiła, a on był czegoś smutny, rzekła łagodnie. — „Nie smuć się ty, Jędrusiu, a raduj, bo wieczór dzisiejszy wszystkim ludziom wesołość przynosi i szczęście. Dziś się narodzi Dzieciątko Jezus...” Jędrusia zdziwiły bardzo te słowa, to też zapytał:

— A czy i biednym ludziom szczęście przynosi?

— Jakżeby! Wszystkim — odparła. — Dziś niema ludzi biednych ani bogatych, bo wszyscy społem radują się i są szczęśliwi...

Potem zaprowadziła go do obrazka w kąciku izdebki, przed którym dzisiaj gorzały dwie woskowe świeczki. Jędrus jak dziś pamięta, co na nim było. Był malowany jaskrawymi kolorami, które przemawiały do chłopczyka wyobraźni, i przedstawiał ubogą stajenkę, a w niej pośrodku, w nędznym żłobku nowonarodzone dzieciątko. Matuś pokazała mu na nim wszystko po kolei i objaśniła, że to był mały Jezunio i święta Marya i Józef i pastuszkowie. Jakiż to był śliczny obrazek!... Od tej chwili Jędrus wpatrywał się weń długo i często, i zachwycał się dzieciątkiem co tak pięknie się uśmiechało i wyciągało rączki, jakby objąć i utulić chciało świat cały do swej piersi. Teraz, w tej chwili tak to sobie właśnie dobrze przypomina, że choć przymknął oczy i siedzi skurczony w śniegu, zdaje mu się, że na niego patrzy. Mój Boże! myśli sobie, jacy toż to szczęśliwi byli ci pastuszkowie, co tak cudne, święte dzieciątko oglądać mogli!... Opanował go prawie jakiś zachwyty; skostniałe dłonie złożył jak do modlitwy i myślał dalej.

— Matuś mówili, że dziś każdy jest szczęśliwy i każdy radować się jeno powinien, toć i mnie może Bóg miłosierny nie dopuści zmarznąć na mrozie i doprowadzi do wioski, A i to dzieciątko co dziś się ma narodzić, nie da zmarnieć biednemu sierocie, i uchroni go od wszelkiego złego... — Tak sobie powiedziawszy, postanowił nawet wstać i ruszyć w dalszą drogę. Otworzył oczy, spojrział w niebo na którym jedną po drugiej zapalały się złote gwiazdy i był pewny nawet, że już wstał i idzie. On przecież spuścił głowę napowrót i siedział wciąż w miejscu. Ten jaskrawy śliczny obrazek, co wisiał niegdyś w chacie, z coraz więcej ludzącą prawdą rozsnuwał mu się przed oczami, i pojąc dalej wyobraźnię świetnymi barwy, rozkołysał mu duszę czarem świętości, i echem drogich wspomnień. Nagle poruszył się niespokojnie. Jakaś jasność sil-

na uderzyła go tak, że nawet przysłonił wzrok dłonią i drżąc cały, zatopił go przed siebie. Z cieniów sosnowego lasu zwolna odkrywało się przed nim niby wnętrze ubogiej stajenki i przybierało coraz wyraźniejszą formę złudzenia. Na świeżym sianie w żłobeczku ujrzał, zupełnie jak tam, na obrazku, leżące święte dzieciątko, skąpane całe w tej nadziemskiej oślepiającej jasności. Tylko, że tamto spoczywało spokojnie, bo było malowane, i nie patrzyło tak słodko, jak to teraz swem jasnym, boskim wejrzaniem wprost w oczy biednego Jędrusia. I patrzył jak mały Jezunio wysuwał się zwolna z rąk trzymającej go Maryi, idąc tak wprost ku niemu i nie przestając spoglądać nań tak serdecznie. Wielki blask słoneczny, oblewał jego złotowłosą główkę, a kiedy już stanął tak blisko, że Jędrus mógł Go ręką dotknąć, podniósł swe małe rączki nad kornie schyloną przed tą świętością i światłem jego głową. i rzekł słodko:

— Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą!...

Chłopczyna zacisnął silniej złożone dłonie i, załkał z radości. Uczuł się tak szczęśliwym jak nigdy jeszcze na świecie, ale dalej... nie już nie wiedział co się z nim działo.

\* \* \*

(d. c. n.)

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Redakcja Wieczorów rodzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa dnia 10-go Sierpnia 1890 r.



Dostojny mistrzu!

Otrzymałmśmy już trzy listy od Janka sieroty, z opisami różnych ciekawości Atlanty, ale niepokoi nas zupełnie milczenie Waszój Dostojności. Czyżby w zachowaniu się chłopca znalazło się coś godnego nagany? Z listów jego bardzo szczegółowych,

technących szczerością i pozwalających czytać w jego duszy jak w zwierciadle, nic podobnego domyślać się nie można — ale kto wie!

Może bez świadomości popełnił jaką niewłaściwość, nie licując z obyczajami wyspy i dworu i dla tego w opowiadaniu swoim pominął, boć stare nasze przysłowie „co kraj to obyczaj” sprawdza się pod każdym niemal stopniem długości i szerokości geograficznej. Przykroby nam było bardzo, gdyby Janek jako paź przyboczny nie przypadł do gustu królewiczowi, który tak łaskawym dla nas się okazał. Ufni w życzliwość Waszój Dostojności, życzliwość jakiej mieliśmy już wymowne dowody, prosimy o kilka słów objaśnienia.

Czytelnicy Wieczorów rodzinnych, zasypują nas ciągłymi pytaniami co do położenia geograficznego wyspy Atlanty, której wytrwale choć bezskutecznie szukają na mapie. Pojmuje Wasza Dostojność jaki to nam sprawia kłopot; nie możemy zdradzić tajemnicy, której sami nie znamy. Zrazu odpowiadaliśmy im tak jak jest rzeczywiście, gdy jednak słowa nasze budziły ich wątpliwość i wywoływały nowe pytania, daliśmy odpowiedź taką jakiej domagali się koniecznie, to jest pozwoliliśmy im się domyślać że to powieść. Może się prędzej uspokoją. Rzeczywiście bowiem jest to dla nich wszystko jedno, byle cel dla którego Wasza Dostojność czyniła tyle starań i dla którego Janek pojechał, to jest korzyść młodych czytelników, został osiągnięty.

Redakcja.

## Abrakadabrus do Redakcji Wieczorów rodzinnych.

Marmurowa góra dnia 12-go Sierpnia 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Możecie być spokojni o Waszego Janka. Nic w jego zachowaniu się niema zasługującego na nagane, a choć stare przysłowie Wasze jest bardzo trafne, jednakże szczerość, prostota, szlachetność, na całej kuli ziemskiej jednakowe mają uznanie. Janek nie wiele mówi, ale umie patrzeć i słuchać i nie tylko słuchać, ale zdawać sobie sprawę z tego co słyszy, jak się o tem pewnie przekonywacie z jego listów. Patrzę ja na niego uważnie, choć on się tego nie domyśla. Widzę że wszystko czego się tutaj dowiaduje, otwiera w jego duszy nowe pojęcia, widzę ustawiczną pracę myśli na jego twarzy. Janek choć skromny i cichy, jest ulubieńcem całego dworu. Królewicza Zielonkę chwycił za serce tem że zdeptaną roślinkę podniósł i przywrócił do życia; królewiczową uczuciem z jakim śpiewał pieśń swego rodzinnego kraju; królewicza Pióropuszką zjednał nietyle znalezieniem żaby latającej, ile, nieprzyjęciem orderu, który słusznie należał się Tygrysowi. Każdy inny chłopiec byłby się może przed wszystkimi z tego chwalił, Janek milczał — i gdyby nie przypadkowe wyjaśnienie, niktby nie wiedział że on był znalazcą. Dwaj jego koledzy Viola i Albatros kochają go bardzo, a księżniczka Gori lubi się z nim bawić. Obowiązki pазia Janek pełni z zupełnym zadowoleniem królewicza, a godność posła nosi ze szlachetną dumą — ale bez chępliwości, przypisując otrzymanie nagrody konkursowej raczej szczęśliwemu trafowi, niż własnej zasłudze. Niewiem jakim był Wasz poseł zanim przybył na Atlantę, ale tu jego postępowanie odznacza się taktem przewyższającym często jego wiek młodzieńczy. Widocznie myśl że z niego wnioskować tu będą o całym narodzie, nie odstępuje go nigdy. Ach, gdyby wszyscy chcieli pamiętać że są częścią narodu, że ich wady rzucają na niego cień a przymioty blask, jakże kraje byłyby szczęśliwe! Przypuszczam że musi tu być dobrze Jankowi, bo kaszel jego cokolwiek złagodniał a blada twarzyczka zawsze jest ożywiona. Mam nadzieję że wkrótce pojawią się na niej rumieńce.

Wczoraj wieczorem siedziałem zatopiony w czytaniu moich ksiąg i rozwinąłem właśnie stary egipski papyrus, gdy posłyszałem szelest w przyległej komnacie, uchyliły się drzwi i zakwefiona postać niewieścia stanęła przedemną. Czekałem w milczeniu aż przemówi, a ona odrzuciwszy zasłonę, ukazała mi cudownie piękne oblicze, głęboką nacechowaną troską — w oczach nawet błyszczały łzy. Podniosłem się zdumiony, była to bowiem królewiczowa Jagódka.

— Moja kochana królewiczowa, tu o tój porze, sama jedna? — wyszeptalem.

— Drogi mistrzu — zaczęła głosem wrzuszonym — przyszedłam do ciebie nie jako monarchini, ale jak twoja dawna uczennica do swego ukochanego przewodnika i nauczyciela, który mnie małą jeszcze dziewczynkę nosił niegdyś na ręku... z prośbą o radę... o pomoc w ważnej sprawie. Wysłałam z domu niepostrzeżoną, w towarzystwie jednego tylko pазia, i nie chcę aby mnie tu widziano, bo sprawa jest pilna i nie można odkładać jój do jutra, a byłam przekonana że nikt tak dobrze nie spełni mego poselstwa, jak ja sama. Wszakże mi nie odmówisz! Nieprawdaż?

— Na Boga, co się stało? — spytałem zaniepokojony — uczynię wszystko co tylko będzie w mej mocy, ale racz usiąść najprzód miłościwa pani. Odpocznij i powiedz mi o co chodzi.

— O nic... a raczej o bardzo wiele — odrzekła siadając na krzesle które jój podsunąłem. — Popełniłam omyłkę, drogi mistrzu, przez zbytek dobrych chęci... Chciałam uzdrowić człowieka, a ja w większą jeszcze wtrąciłam go chorobę!

— Pewnie mowa o chorym cudzoziemcu — odezwałem się — czyżby z nim było gorzej?

— Tak, i to z mego powodu: posłuchaj mistrzu. Wiadomo ci że ten człowiek cierpiał oddawna na uporczywą febrę, z powodu że chata jego stoi wśród leśnych moczarów z których parująca ciagle wilgoć, czyni to miejsce niezdrowem





Sprzedaż choinek za Żelazną Bramą w Warszawie.

i sprzyjającym gorączkom. Ja i mój mąż usiłowaliśmy go niejednokrotnie nakłonić do opuszczenia tego mieszkania, ofiarując mu dom nowy, wygodny, na innym suchszym miejscu, ale ofiarę naszą zawsze odrzucił, dla powodów o których już słyszałeś. Zielonko więc posłał mu *Eucalyptus* mający działać przeciwko febrze i sprowadził z Anglii rozsadniki *Elo-dei kanadyjskiej*, którą mu sam poleciłeś mistrzu, owęj dobroczynnej rośliny osuszającej bagna i która też dobrze się przy-

jęła, choć trzeba czasu pewnego aby jej rozrost od powiedział celowi. Ale mnie przyszło na myśl, że skoro biedny dziwak nie chce tych stron opuścić, trzeba mu to schronienie uczynić jak można najmilszem, bo jestem mocno przekonana że jedno wrażenie przyjemne, jedna myśl weselsza, jeden uśmiech, więcej wzmacniają organizm chorego, niż dziesięć gramów chininy.

— Bardzo słusznie — odpowiedziałem — medycyna ma

potężne środki do rozporządzenia, ale serce ludzkie, gdy je natchnie uczucie miłosierdzia, ma jeszcze potężniejsze...! Tam gdzie medycyna odchodzi pokonana i bezsilna, miłość bliźniego czyni cuda i wskrzesza niemal umarłe.

— A jednak mistrzu, omyliłam się! Mówił mi nieraz o balsamicznej woni drzew swego rodzinnego kraju, o aromatycznej trawie *żubrówce*, znanej w botanice pod nazwą *Hyrneola borealis*, rosnącej w puszczy białowieżkiej gdzie długo przebywał jako leśniczy, i o swojej za tym zapachem tęsknocie... Myślałam że będzie zdrowszy gdy go powiewy łąk rodzinnych owioną... i okręt Narcyz umyślnie popłynął po ową trawę do brzegów Bałtyku. Kapitan Tamarix doskonale się wywiązał z powierzonego mu zlecenia; przywiózł tej trawy wielką ilość w kilkunastu skrzyniach, wykopanej starannie razem z ziemią, i gdy cudzoziemiec leżał w gorączce, o Bożym świecie nie wiedząc, wysadzono roślinki w blizkości jego chaty, skrapiano je obficie wodą, a że korzenie ich były prawie nienaruszone, że trawa była w pączkach, więc wkrótce zakwitła, a aromatyczna woń żubrówki napełniła powietrze...

Zamilkła jakby jej ciężko było mówić dalej i odetchnąwszy głęboko zaczęła znowu.

— Chciałam być świadkiem jego radości i gdy mu dotkór wstać pozwolił, wezwałam go przed chatę. Ciepłe promienie słońca zdawały się szczególną sprawiać mu przyjemność: siedział chwilę w milczeniu, a uśmiech, gość dawno niewidziany ożywił jego twarz. Nagle wiatr zawaiał lekko od strony morza, cudzoziemiec poblądł śmiertelnie i szepnął: „O Boże! co to jest? co się ze mną dzieje? Wiatr niesie mi woń żubrówki... Gdzie ja jestem? Jestże to powietrze mego rodzinnego kraju, a te długie lata cierpień, były tylko snem, snem ciężkim... Może moja żona nie umarła i moje dziecko żyje...! Ale nie, jam przecie przytomny... Boże! Boże! jakże mnie ciężko doświadczasz takim złudzeniem! Przeszłość nie wraca, a umarli z grobów nie wstają...!” I zaniósł się spazmatycznym płaczem którego paroksyzm trwał dwie godziny, niczem nie dając się uspokoić. Zrazu pomyślałam że ten wybuch boleści podziąła na jego serce, jak wstrząśnienie burzy działa na ciężką, przenikniętą elektrycznością atmosferę, oczyści je i uspokoi; myślałam że z potokiem łez spłynie reszta goryczy i nastąpi po niej cicha pogoda rezygnacyi, ale omyliłam się po raz drugi. Mój chory wpadł w apatyę i znowu leży w gorączce. Posyłałam do niego nadwornego lekarza, ale lekarz tylko kiwa głową i wzrusza ramionami. Widzę że jest bezsilny. Ach mistrzu — mówiła ujmując moje ręce i ściskając je w swoich — ja chciałam dobrze zrobić, a źle zrobiłam! Pamiętając jak się ucieszył widokiem niezapominajek, które mu raz mąż mój posłał, sądziłam że to jest wskazówka jak z nim postępować trzeba, i że dalsze działanie w tym kierunku zbawienne wywoła skutki, tymczasem... Radź mi co czynić, ty co wiesz wszystko, coś zgłębił mądrość Wschodu i Zachodu, ty co znasz tajemnice ziół uzdrawiających, pomóż mi go ratować, wskaż czem go można wzmocnić i podźwignąć!

— Są cierpienia na które ziemia nie rodzi ziół uzdrawiających, moje dziecko — rzekłam głęboko zmartwiony. — Odeślij go do jego rodzinną puszczy i wróć mu, jeżeli możesz kogós z tych których utracił, a będzie zdrow.

— Niestety, to jest niemożliwe!

— A więc żadne zioła nie tu nie pomogą, bo to dusza boli.

— Ale czy choréj duszy nie można leczyć, wzmacniając ciało w którym ona przebywa? Starożytni przecież mawiali: „Zdrowa dusza w zdrowem ciełe.”

Zamyśliłem się, szukając w głowie środków spełnienia życzeń szlachetnej królewiczowej, do której ze wszystkich jej sióstr, największą zawsze miałem słabość. Na Wschodzie nauczyłem się trochę sztuki leczenia, choć nie wiele jej używałem... Otworzyłem szkatułkę w którą chowałem cenniejsze przedmioty, wyjąłem z niej woreczek zawierający kilkanaście niewielkich orzechów i podałem Jagódce.

— Co to jest? — zapytała oglądając je ciekawie.

— Cola — odpowiedziałem.

Królewiczowa wydała okrzyk radości.

— Cola! zawołała — to cudowna roślina, której sława w tej chwili rozbrzmiewa po całym świecie! Zkąd ją masz mistrzu?

— Przywiózłem ją z ostatniej mej podróży po świecie, z Sudanu, zatem z Afryki.

— Co za szczęście! Myślałam ciągle prawie o tej roślinie, zwłaszcza od czasu gdy poseł indyjski opowiadał o niej prawdziwe cuda. Gdyby chociaż połowa z tego co mówił była prawdą, jużby ją można nazwać błogosławieństwem świata, a ja jeszcze wyczytałam w gazetach mistrzu, że tym dla których życie tak dalece straciło urok, że własną ręką skróci je chcieli, Cola usuwała przyczyny fizyczne tej moralnej choroby, budząc na nowo uśpioną energię. Jeżeli to prawda, mistrzu, Cola byłaby jedynym lekarstwem dla cudzoziemca, ale wiedziałam że zanimby została sprowadzoną na Atlantę, chory ostatki sił wyczerpie.

— Te orzechy, są to nasiona Coli — przemówiłem — trzeba je utłuc na mąkę a następnie zmieszać z mlekiem i miodem. Będzie to napój smaczny, pożywny i podniecający. Niech go chory pije kilka razy w ciągu dnia. Można też proszek ten zamoczyć w winie. Nie miałem sposobności przekonać się, ile jest prawdy w tem co mówił o Coli Indyanin, ale wiem że to jest wyborny środek odżywczy, że wzmacnia czynności serca i wzmaga odporność organizmu na wpływy atmosferyczne, może więc być bardzo pomocny w tej długiej, uporczywej febrze. Cola zawiera te same pierwiastki, co kawa i herbata, ale w większej ilości, zawiera zwłaszcza garbnik posiadający własności ściągające. Jeżeli woda którą chory pije jest szkodliwą, Cola najwięcej zanieczyszczoną uczyni przydatną do picia i przyjemną w smaku. Afrykanie żują w ustach świeże orzechy; smak ich jest najprzód słodki a następnie gorzki i ściągający. Te tu jednakże orzechy ponieważ straciły swoją świeżość, muszą być zamienione na proszek i podane w mleku lub winie.

— Dzięki ci drogi mistrzu — odrzekła chowając starannie woreczek — dziś jeszcze mój chory przed nocą będzie miał sporządzony napój. Sam Bóg natchnął mnie myślą przyjsia do ciebie! Bądź zdrow.

Odeszła. Zostałem sam i długo, długo myślałem o niej, co nie jak królowa, ale jak matka i siostra odczuwała cierpienia swoich poddanych, o tym nieszczęśliwym człowieku i o kraju za którym tak tęsknił... Brałem kolejno księgi mędrców starych i nowych, szukając w nich lekarstwa na chorobę duszy, pytałem o radę filozofów, całego świata, i nic nie znalazłem. Otworzyłem Pismo Święte i oczy moje padły na wiersz następujący:

„Przyjdźcie do mnie wszyscy którzy obciążeni jesteście, a ja wam ulgę przyniosę...”

— Ach, gdyby on mógł się modlić!

(d. c. n.)

## Korespondencya z Bretanii.

Daleko, daleko od was, drogie czytelniczki, we Francyi, istnieje kraina przezwana świętą, to malownicza Bretania.

Żyje tam lud pobożny, ucziwy, przywiązany do starych podań i zwyczajów, a szare, chmurne niebo rozlata sine fale ponad krajobrazem poważnym, niemal dzikim.

W jednym kąciuku świętej Bretanii leży małe, a urocze miasteczko. Ubogie domki tulą się jeden do drugiego, pod opieką wielkiego, nowego kościoła, z wysmukłą wieżą z daleka widzianą. W tem miasteczku istnieją ruiny starego zamku, na brzegu cichego, szerokiego stawu. Na tych ruinach widać wspaniałe ogrody i dom ich właściciela, do którego i staw ten należy. Poza stawem leżą obszerne łąki i winnice, a pośród nich bieleją drogi, gdzie od czasu do czasu wznosi się krzyż smukły i wysoki. Noc zapadła. Cicho zupełnie było

w miasteczku. Oddawna już praczki opuściły brzegi stawu, lekki wietrzyk tylko poruszał wierzchołki topoli i powierzchnię wody, w której odbijały się księżyc, baszty starego zamku i wieżyca kościelna. Wtem na drodze przeszedł spóźniony wieśniak i podniósłszy oczy ku zwaliskom z niemem uszanowaniem, odkrył głowę. Któż tam był? Wysoka jakaś postać w ciemnym ubiorze z głową otuloną śnieżną osłoną. Byłżeby to cień samą pani zamku, czy też zjawienie się jakiejś świętej? Istotnie była ona zarazem panią i świętą. Panna Teresa mogłaby prowadzić życie światowe, była cnotliwą, piękną i bogatą. Niejeden młodzian ubiegał się niegdyś o jej rękę, czemu odmówną zawsze dawała odpowiedź? Nie chciała rzec się posłannictwa swego, nie chciała opuścić rodzinnego gniazda i ludu pocziwego, dla którego była aniołem stróżem, ażeby żyć wśród tego świata zabaw i błyskotek, którym pogardziła. Przyjęła strój wieśniaczek, ciemne szaty i biały, przezroczysty czepiec, który nad jej czołem tworzył rodzaj dyademu lub aureoli. Poświęciła się w zupełności Bogu i bliźnim. Służyła najpierw rodzicom, potem siostrze i siostrzenicom, teraz zajmuje się dziećmi siostrzenicy. Nie chciała wiedzieć że obszerne posiada ziemie, zajmowała się nimi równie jak dobrami całej rodziny. Bo całej rodzinie służyła. Panna Teresa, która mogłaby jako pani rozkazywać, z rozkoszą żyła życiem posłuszeństwa. Posłuszną była zawsze nie tylko obowiązkowi, ale głosowi najzupełniejszego poświęcenia.

W kuchni, w folwarkach, przy dzieciach, wszędzie gdzie ktoś jej potrzebował, zajaśniał biały czepiec, i pod nim białe czoło, spokojne a promieniste oczy, łagodne a wesołe oblicze. Jakże umiała chorych pielęgnować, i uspokajać ich opowiadaniem lub modlitwą! Doprawdy, kto raz był przez nią pielęgnowany, ten pragnął znów u niej zachorować!

Pewnego wieczora, stała nieruchoma na wysokości wieży, wśród krzaków róż wszelkiego gatunku jakie rosły w tej części ogrodu. Myślała o gościach, którzy rano pojechali z cichego miasteczka do Paryża. Goście ci nie byli wcale jej krewnymi, ale należeli do rodziny męża jej siostrzenicy, dosyć to było by panna Teresa czuła dla nich uczucie siostrzane. Szczególnie miała upodobanie do młodej panienki. Ona w Paryżu żyje, myślała, ale wiem że się jej nie podobają światowe uciechy, wiem że się rzekła ich, jak ja kiedyś, dla Ciebie o Boże i dla bliźnich! Srebrzysty dźwięk zegara kościelnego przerwał to rozmyślanie.

Zadrżała, i porachowawszy uderzenia, zawołała: Już dziesiąta! zapomniałam się! tyle mam jeszcze do czynienia! I lekkim, pośpiesznym krokiem podążyła ku domowi przez milczący, pachnący ogród. W domu wszyscy spali.

Panna Teresa otworzyła cicho drzwi swojej sypialni. Gdy mówimy *swojej*, zdaje się iż się mylimy, istotnie, można by nazwać ten pokój dziecięcą sypialnią. Dwie kolebki i jedno łóżeczko białe, każde ze śpiącym aniołkiem zajmowały najwygodniejsze miejsce, a pośród nich widać było wązkie łóżko także białe, lecz próżne jeszcze, łóżko panny Teresy. Zatrzymała się długo przed każdym dzieckiem, poprawiając poduszki, to pokrycie, spoglądając na śpiące aniołki z wyrazem prawdziwie macierzyńskiego uczucia i w końcu złożyła na każde różowe czołko gorący, długi pocałunek, kreśląc nad niem krzyżyk. Nareszcie, stanęła przed łóżkiem starszej dziewczynki, której była matką chrzestną, a patrząc na nią mówiła po cichu:

— Co będzie z tobą w życiu gołąbeczko ty moja? Jakie losy Bóg dla ciebie zachowuje? Ja nie zobaczę twego lata pączku mój drogi! I pocichu westchnęła. Wtem jakby usłyszała słowa ciotki mała Marynia, poruszyła się przez sen i z koralowych jej ustek wysunęły się ciche wyrazy:

— Ja będę taką jak ciocia Teresa!

— Daj Boże, dziecińce mojej tyle co mnie błogosławieństw, tyle co mnie szczęścia w spełnieniu powinności! — wyrzekła panna Teresa i czule pocałowawszy przyszłą swą naśladowczynię, siadła przy stoliku pokrytym papierami i przy blasku lampy zaczęła przeglądać liczne różne rachunki. Były tam rachunki dzierżawców i służby, i robotników, były wydatki różne dla domu na ubranie pani i dzieci, panna Tere-

sa która, dla siebie wydawała bardzo mało, cieszyła się gdy jej gołąbeczki ładnie były ubrane. Długo oddała się sumieniu tej uciążliwej pracy, późno w nocy wstała od stolika i ukłękła przed wielkim, drewnianym krucyfiksem, modliła się długo, ta prawdziwa zakonnica wśród świata, modliła się za rodzinę, za swoją Bretanię, za Francję, za wszystkich tych co kochała, a wiele ich było! szczególnież zaś za młodą Julię, co w Paryżu mieszkała, za małą Marynię, co w kolebce spała, a obie miały żyć kiedyś jak ona. Westchnąwszy za wszystkich swych zmarłych, położyła się nakońiec, i usnęła snem błogim, by w nocy nieraz się obudzić, gdy które dziecko się poruszy. Jakby nianka jaka, nawet matka nie mogłaby troskliwiej czuwać nad dziećmi! Taka istota, to skarb dla rodziny, powiecie, a ja wam powiem że ciotka Teresa nie jest wcale zmyśloną postacią. Żyje ona w swęj drogiej Bretanii, miałam szczęście przepędzić z nią chwil kilka w czasie wakacji i wiem że o mnie nie zapomina w swych modlitwach. W przyszłym roku jej Marynia przystąpi do pierwszej komunii, będzie to wielkie święto dla ciotki Teresy. Nie przeczyta ona nigdy tego co o niej do was piszę, ale rada będę jeśli zdołałam dać wam o niej jakieś wyobrażenie zgodne z prawdą. Takie dusze nie często w życiu spotkać można, umiejmy je więc należycie poznać i ocenić.

*Jaskółka z nad Sekwany.*

## ZE WSPOMNIENIĘ MŁODEGO CHIŃCZYKA.

Wydane niedawno pod powyższym tytułem dziełko zostało wkrótce wyczerpane z księgarskiego obiegu w Ameryce, gdzie się najpierw ukazało.

Chińczyk Yau-Fu Lee, autor tej książeczki, wychowany od trzynastego roku życia w Ameryce, tak się zżył z nową swą ojczyzną, że pozostał w niej na zawsze, i w Nevhaven redaguje dziennik polityczny. Wspomnienia jego dzieciństwa są wiernym obrazem życia i uczuć młodych synów państwa niebieskiego, dajemy więc kilka z nich wyjątków sądząc że zajmą naszych czytelników.

Nie potrafię określić dokładnie daty mego urodzenia — mówi autor — gdyż rachunek czasu w Chinach zupełnie jest inny jak w Europie, miesiące nasze liczą się podług obrotów księżyca i są daleko krótsze, a lata rachują się od wstąpienia na tron panującego cesarza. Przyjście moje na świat w małym miasteczku położonym daleko na północ Kantonu, wielką sprawiło radość w całej rodzinie, która pragnęła zawsze męskiego potomka. Pod postacią bogatych ubiorów, klejnotów, i nóg wieprzowych sypały się dary i życzenia, które w miesiąc po moim urodzeniu składali krewni i znajomi, w dniu w którym dostałem imiona Lee będące rodzinnym naszym nazwiskiem i Yan-Fu to jest „Bogactwo z łaski cesarskiej” gdyż w Chinach nazwy podobne nadają dzieciom w mniemaniu że one szczęście przyniosą.

W zamian za подарunki, każdy z gości obecnych przy tej uroczystości, otrzymał kawał pieczonej wieprzowiny, jest to narodowa świąteczna potrawa w Chinach; niema uroczystości, czy to religijnej, czy rodzinnej któraby się bez niej obeszła.

Zdaje się że musiałem ujrzeć światło dziennie w porze zimowej, bo ilość odzieży którą mnie okryto zadusiłaby z pewnością w lecie każde dziecko! Na bawelnianą bieliznę dano mi jeden i drugi kaftanik, potem dwie suknie wataowane; ogoliwszy potem głowę, zostawiono tylko jeden kosmyk włosów jako zadatek przyszłego warkocza.

Klimat w tej części Chin jest dosyć zimny; niema wprawdzie ani śniegu ani mrozu w zimie, ale powietrze jest ostre, domy zaś budowane w sposób zabezpieczający je jedynie przeciw upałom, nie posiadają ani pieców, ani kominów. Za nastaniem więc ostrzej zimnej pory, każdy rozgrzewa się grub-

szem ubraniem, które na siebie kładzie, i tak starsi jak młodzi dwa razy większą mają objętość w ziemie jak w lecie.

Kołysek równie jak owych wózków tak wygodnych dla spacerujących dzieci, nie znajdują wcale w Chinach. Posiadamy natomiast przyrząd składający się z kwadratowego kawałka grubego sukna, haftowanego w dziwaczne wzory, opatrzony wstążką na każdym rogu. Matka lub niania bierze na plecy dziecko, które przywiązuje się owym sukniem krzyżując wstążki na przodzie. W ten sposób można nosić wygodnie dziecko, oddając się swoim zajęciom. Miałem dwóch braci cokolwiek starszych odemnie. Podług przyjętego ogólnie zwyczaju mieszkaliśmy wszyscy u rodziców ojca. Dom ich był obszerny i wygodnie mógł pomieścić liczną rodzinę składającą się z kilku synów wraz z ich żonami i dziećmi. Miał kilka dziedzińców i podzielony był na dwie części. Pierwszą z nich zajmowali mężczyźni; znajdowała się tu wielka sala do przyjęcia gości, dalej były pokoje kobiet. W całym mieszkaniu nie było okien tylko drzwi, i otwory w dachu, któremi wchodziło powietrze i światło, zarówno jak deszcz i zimno. Umebrowanie wszędzie skromne, sofa, stół, kilka stołków i ławek, oto wszystko. W sypialniach znajdowały się łóżka z desek; bawialnią ozdabiała akwarele i napisy na ścianach, oraz czary porcelanowe na stołach, w ogóle zbytek jest rzeczą nieznaną w Chinach.

Babka moja zarządzała całym gospodarstwem, z pomocą synowych, niezamężnych córek i kilku służących. Ci ostatni co rano znosili zapasy zakupione w mieście, po długim i mozolnym targu z handlarzami. Przyrządzano je w ciemnej zakopconej kuchni, z której dym wydobywał się otworem w dachu. Mięso, jarzyny, wszystko krajano na drobne kawałki gdyż przy stole niema u nas noży, a widelce zastępują okrągłe patyczki; ryż jest głównym naszym pożywieniem i podaje się przy każdej innej potrawie. Kawa prawie nieznaną, za to herbata jest ogólnym napojem, zastępuje nawet czystą wodę, której nigdy nie pijamy.

Najszczęśliwszą porą życia dla Chińczyka jest niemowlęstwo, wtedy jedynie zadawalniają jego pragnienia, i nie skąpią mu pieczęci; zaledwie wszakże cokolwiek podrośnie, musi słuchać starszych i traci wszelką swobodę, której nie odzyskuje jak w dużo późniejszym wieku. Przedewszystkiem wymagają od niego ślepego posłuszeństwa i uszanowania, nie dbając o przywiązanie. Chłopiec powinien poskramiać wszelkie oznaki wzruszenia i miłości, i okazywać się pełnym czci dla przełożonych, a godności względem niższych, nie może się odzywać dopóki do niego nie przemówią, ani usiąść bez pozwolenia; nie powinien wyjawiać przeciwnego zdania, ani się tłumaczyć gdy go łają. Nieraz ciężko zostałem ukarany za podobne przewinienie; pomimo niesłuszności kary nie wolno mi było na nią powstawać, ani się usprawiedliwiać aby jej uniknąć. Karność i poszanowanie dla władzy rodzicielskiej jest pierwszą u nas zasadą wychowania. Trzcina w każdej rodzinie zawsze gotowa, aby poskromić wszelkie wybryki.

Nie sądźcie po tem żeby Chińczycy byli okrutnymi; wierni są prosto zasadom przekazanym im od przodków i zwyczajom, w których byli wychowani.

(d. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsza, trzecia, nigdy się inną nie okaże;  
Czwartego z pierwszym, widząc, drżą wielcy zbrodniarze;  
Oburza nas nikczemność w złości swój uparta,  
Co, jak mówią, drugiego, pierwszego jest warta.  
Drugi z trzecim zostawił poemat o śmierci,  
Wszystko, zda się, aż w mózgu szczypie, kręci, wierci.

## ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

ułożył Warszawiak.

Z następujących zgłosek: lin—kaj—das—stan—rat—bir—zem—a—sa—szczuk—dy—lew—dło—gar—a—berg—wel—szau—bel—ny—al—wę—wa—pie—a—ru—żysz—dzi—ra—in—da—pa—go—e—szta—mi—ta—tort—szpic—ci—bad—ny—do—non—la—kor—in—ha—fu—basz—o—ki—ułożyć wyrazy: 1. Miejscowość kuracyjna. 2. Półwysep w Azji. 3. Wieża obronna. 4. Król zwierząt. 5. Farba roślinna. 6. Gatunek psa. 7. Wyrób cukierniczy. 8. Wódz tebańsk. 9. Wyspa na morzu Śródziemnem. 10. Syn Adama i Ewy. 11. Rodzaj paliwa. 12. Plemię afrykańskie. 13. Miasto w Bułgarii. 14. Miasteczko nad Niemnem. 15. Miasto przy ujściu Sawy. 16. Miasto nad Gaugesem. 17. Część uprzęży na konia. 18. Wyspa na oceanie północnym. 19. Noszenie żelazne. 20. Góra w Armenii. Początkowe litery czytane z góry do dołu i końcowe w przeciwnym kierunku, utworzą nazwy dwóch pism warszawskich.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

### Zagadki:

T u m a k i.

### Łamigłówni sylabowej:

1. Pekin. 2. Illimani. 3. Erie. 4. Czernichów. 5. Zanie-myśl. 6. Opole. 7. Nurzec. 8. Elba. 9. Gotard. 10. Opoczno. 11. Ług. 12. Aą. 13. Babelmandeb. 14. Kopernik. 15. Irawadi.

Pieczone gołąbki nie wleczą do gąbki.

## KSIĘGARNIA

### TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki.

w WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT NR. 41.

Poleca następujące dzieła, świeżo wydane własnym nakładem,

	Rs. k.
Amicis Edmund de. Na oceanie . . . . .	1 —
Bert Paweł. Pierwszy rok nauczania . . . . .	1 50
Historia naturalna w obrazach. Zoologia w 25 kolorowych obrazkach, z tekstem Adolfa Dygasińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic . . . . .	3 —
Mantegazza Paweł, prof. antrop. Głowa. Książka dla młodzieży . . . . .	1 20
Seignobos Ch. d-r. Historia cywilizacji. Przełożył Adolf Dygasiński. Ze 177 drzeworytami w tekście . . . . .	5* 20

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Antoni Waga (z portretem). — Modlitwa, wiersz p. St. Jachowicza. — W wigilią opowiadanie p. V. Cairo. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Korespondencya z Bretanii p. Jaskółkę z nad Sekwany. — Ze wspomnień młodego Chińczyka. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Psy górskie (z drzew). — Ciocia Scholasia (c. d.) — Bocian i wrona. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

# MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

p. **A. Do.**

(Dalszy ciąg).

— A cicho już! Dostyc tych pytań! Proszę jeść bo kto mięsa nie zje, leguminy nie dostanie. Po tak strasnej groźbie umilkło bractwo świergotliwe; ale błogi spoczynek trwał kilka minut za ledwie; powoli, znowu zaczęły się sypać pytania, pełne związku jak poprzednie. Mama jednak przyzwyczajona już do tego hałasu, radziła sobie jak mogła, to odpowiadając raz na jedno z pięciu lub sześciu pytań, to nakazując milczenie, a w końcu wstała od stołu i wyszła do swego pokoju, co w podobnych chwilach zbyt niżej gadatliwości dzieci, bywa jej ostatnim ratunkiem.

## ROZDZIAŁ II.

Goście. — Zabawa w szkole. — Lekcja fizyki.

Po obiedzie, tata poszedł również do swego pokoju, a znając niebezpieczeństwo z doświadczenia, zamknął się przed malcami na klucz. Biedna mama, nie mogła w ten sam sposób zapewnić sobie spokoju, bo często bardzo z najrozmaitszymi interesami i pytaniami służące do niej przychodzą; to przynoszą karteczki od znajomych, na które odpowiadać trzeba; musiałaby więc co chwila wstawać, otwierać i znów zamykać. Lepiej już poddać się losowi. Dziś właśnie jakoś szczęśliwie okoliczności się złożyły: Jerzy zasiadł przy swoim stoliku, pisać list do „Wieczorów Rodziny”, korzystając z sobotniej rekreacji. Helenka pobiegła na ganek posłuchać kataryniarza, który przecudne wygrywał melode, a potem miała zaproszenie na podwieczorek do cioci Zosi. Staś przypomniał sobie w porę jeszcze, że zadanie dla nauczycielki za ledwie rozpoczął, z gorączkowym pośpiechem zabrał się do pisania. Tak więc można było rachować przynajmniej na godzinę niczem, niezamąconej ciszy. Godzina ciszy. Dla pustelnika co w głębi lasów pędzi życie pobożne, to krótka chwila, mała część dnia, poświęcona rozmyślaniu i modlitwie. Ale dla kogoś, co w gwarze i hałasie całodziennym nie może znaleźć chwili spoczynku dla zmęczonego umysłu, taka godzina ciszy jest nieocenionym skarbem i radością. To też mama uszczęśliwiona darowaną godzinką, postanowiła prawdziwy bal sobie wyprawić. Najprzód usiadła na wygodnym fotelu, i zamknawszy oczy, siedziała cichutko cały kwadrans. Myślicie może, że spała? Bynajmniej; tylko poświeciła ten kwadrans, na wypoczynek oczom, uszom i myślom. (Jak wyrośnięcie, i same gospodarstwo i dzieci mieć będziecie, to nieraz przyjdzie wam na pamięć kwadrans wypoczynku dla ciała i duszy.) Potem... o! potem tylko wybierać trudno było, masę rzeczy miłych dla siebie lub potrzebnych dla domu miała mama ochotę robić, skończyło się na pisaniu listu do siostry, która od niedawna zamieszkała w Warszawie, z jedenastoletnią córeczką Alinką. Gdy piszemy do kogoś kochanego, myśli tak się cisną do głowy tłumnie, że ręka służyć im nie nastarczy; to też dwa arkusze gęściutko zapisane po kilkunastu minutach leżały na biurku. W całym do-

mu spokojniutko, jakby makiem zasiał... ach jak to miło! Nie myślcie jednak dzieci kochane, że ten gwar i hałas jaki młode wasze lata niezbędnie otaczać musi, jest przykrym i nieznośnym dla rodziców! Oni się cieszą patrząc na wesołość waszą słuchając figlów, i najrozmaitszych wykrzykników. Tylko... każdy wiek ma swoje prawa. To co stanowi treść życia waszego, czem natura rozwój nasz fizyczny ułatwia: żywość ruchów i głos trochę przeraźliwy, którego jeszcze miarkować nie umiecie, wszystko to starszych męczy trochę. I dlatego kaźda mama ucieka czasem przed wami, tata na klucz się zamyka, a jednak... gdyby im kto obiecał miesiąc spokoju, pod warunkiem, że przez cały ten miesiąc widzieć was nie będą... zaręczam wam dzieci drogie, niema na świecie mamy, która by przystała na podobny warunek.

Napisawszy więc list do cioci, przeczytawszy kilka rozdziałów bardzo zajmującej książki; mama wstała i poszła się dowiedzieć, co z dziećmi się dzieje. I ot, jak na zawołanie, krzyk bolesny uszy jej uderzył: był to biedny Staś, który, przy swęj trochę mazgajowatej naturze ma jeszcze dziwne jakieś niezgrabne nogi. Biegać lubi i wyskakiwać, a niema dnia żeby guza nie nabił. Dziś znowu, miał jakiś interes do kucharki, biegnąc przez ganek potknął się na równej drodze i głową o krawędź szafy uderzył. Bolało go bardzo i byłby może długo w niebogłoty zawodził, gdyby nie to, że ma bardzo dobre i czule serce. Widząc mamę bladą i przerażoną, w jednej chwili przestał płakać, i zapewniał ją że go już prawie nic nie boli. Wiktusia przyniosła szmatkę w zimnej wodzie umaczaną, mama sama owiązała główkę i zaprowadziła biedaka do swego pokoju, gdzie jest w biurku pewna tajemnicza szufladka, a w niej karmelki i cukierki, na pociechę w ciężkich utrapieniach przez mamę wydzielane, a które dzieci plasterkami na rany nazywają.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Ułożona przez Janka dla Lilly.

Pierwsze i drugie sprzyjają poecie,  
A trzecie znajdziesz w naszym alfabcie;  
Wszystko jest sztuką — każdy ci to powie  
Zgadnijże Lilly, jak się całość zowie?

## REBUSIKI.

róż	100	li	paścią
ni	100		prze

a a a a a a		o o o o o o
a zony a	sq	o da o
a a a a a a	nió peł	o o o o o o

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Zagadki:

K i e l c e.

Rebusika:

Wigilijny nadchodzi wieczór.

## Skrzynka do listów.

**P. J. S. w Odessie.** Powiastka o pieszku nie przyda się dla nas. Tłómaczeń nie potrzebujemy. Co do ostatniego pytania to odpowiedzieć możemy tylko, że potrzeba nielada wprawy i talentu aby za podobną pracę pobierać zapłatę.

**P. Anieli B. w Dobkiszkach.** Kwartał posłany, opłacony wszakże nie jest.

**Sarence z nad Bałtyku** donosimy, że nazajutrz po doręczeniu do Kurjera jój przesyłki, ogłoszono wiadomość o zwinięciu ogrodu zoologicznego i sprzedaży pozostałych zwierząt.

**Porankowi majowemu.** Czy Janek sierota tęsknił za krajem, to się okaże w następnych jego listach, które leżą w naszej Redakcyi, czekając na swoją kolej, mamy bowiem wiele innych rzeczy do pomieszczenia w *Wieczorach* i nie możemy całego numeru poświęcać Jankowi. Dla tego to listy otrzymane z Atlanty w sierpniu drukują się dopiero teraz. Nie godzi się jednak wątpić, aby ktokolwiek przywiązany do ziemi rodzinnej, mógł do niej z obcyzyną nie tęsknić, ale drukujące się obecnie listy Janka, pochodzą dopiero z pierwszego tygodnia jego pobytu na wyspie, gdy chłopiec oszołomiony widokiem nowych ludzi, nowych rzeczy, wreszcie nowością własnego położenia, nie miał jeszcze czasu zastanowić się głębiej nad samym sobą. Cierpliwi dowiedzą się powoli wszystkiego.

**Paproc Mazowiecka** niech przeczyta odpowiedź Redakcyi daną *Balladynie* w Nr. 38 *Wieczorów*, a dowie się w niej tego co wiedzieć pragnie.

Nie pamiętamy, **Rybko z Teterowa**, abyśmy list od ciebie odebrany zostawili bez odpowiedzi: widocznie nas nie doszedł. Wyobrażamy sobie z łatwością, jakiem szczęściem przejmujemy was powrót do zdrowia matki waszjej i wraz z wami cieszymy się szczerze. Sędziwa staruszka, Rybka, ucieszyła nas obietnicą korespondencyi, jaką wybiera się nam posłać najmłodszy braciszek, niecierpliwie czekamy chwili, w której przyobiecany korespondent nauczy się trudnej sztuki pisania. Gołąbka prosi także o dotrzymanie obietnicy; w ostatnim numerze doniosła wam, że znowu powróciła do miłych jój zajęć.

Zyczeniu **Jutrzenki i Pszeniczki** chętnie zadość uczyniliśmy.

**Niezapominajka z nad Warty** przysłała tym razem dobrze włożony homonim. Bardzo chwalimy powzięte przez ciebie postanowienie surowego sądenia własnych utworów, bo z natury rzeczy wypływa, że prace młodocianego umysłu nie mogą być zupełnie dobrmi. Łatwość zaś pisania jest jedną z oznak talentu, ale sama przez siebie talentu jeszcze nie stanowi i dlatego też do wierzać jój nie można. Znamy osobę, dużo dzisiaj pisującą, której mówiono, gdy dziewczeczką będąc, brała się do pióra: „Lepiej się nauczyć i piec placki, niż pisać pod placki”. Wtedy jój się to wydawało nieledwie tyranią, dziś dopiero rozumie ile w tém napomnieniu było słuszności, tembardziej, że jedna z tych umiejętności bynajmniej nie wyłącza drugiej.

**Szara ptaszyna z Podola** zapytuje, czy w naszym języku istnieje wyraz „bryzgać”? A jakże! czasownika tego używali najlepsi nasi pisarze i za ich przykładem śmiało iść można.

Pseudonym **Gwiazdy Porannej** wciągnięty już został do listy pseudonymów, obejmującej imiona stałych naszych korespondentów. Przyjemnie nam jest widzieć, że się ona powiększa z dniem każdym rozszerzając miłe nam gronko tych, którzy się do nas zwracają z serdecznemi słowy.

Drogie moje: **Kometa**, **Biała Perełko** i **Jaskółko z nad Ussy**. Wróciwszy z miłej wakacyjnej wycieczki; zastałam twój liścik miła Kometo, zaciekał mi on mnie bardzo, ale się domyśliłam, że jesteś M. Sz. i wiesz o mnie, od mojej ciotki, od której ja wiedziałam o tobie. Chciałam dawniej napisać do ciebie, aleś mnie uprzedziła. Nie zniechęcaj się, mojem długim milczeniem i napisz mi coś więcej o sobie. Jak wyglądasz, którą z nauk, najlepiej lubisz i gdzie obecnie mieszkasz? Nie wiem doprawdy najdroższa **Biała Perełko**, jak do ciebie pisać, tak mi wstyd, mego długiego milczenia. Po mnóstwie

rozmaitych wyjazdów, teraz zaledwie pisać mogę, nie gniewaj się więc na mnie i odpowiedz mi. Jaskółko droga, **Piszczalka z nad Ussy** nie mieszka już ze mną, ale przesyła ci serdeczne pozdrowienie. Ściskam Was wszystkie trzy najserdeczniej. Wasza *Sosna Polska*.

**Kochana Czarnotko!** Przeczytawszy twe miłutkie liściki; do **Jerychońskiej Różycki** i **Cieciorecki**, powzięłam chęć napisania do ciebie słów kilku. Nigdy nie byłam w Słucku, lecz mię ta okolica zajmuje, bo mam w niej krewnych, a mój ojciec majątek z kościołem parafialnym. Zgadnij kto jestem i jak się nazywam? Może się kiedyś poznamy, tymczasem donoszę ci, że mam własny ogródek i bardzo lubię kwiatki; mam też dwa kanarki, dwie kaczuski indyjskie, klaczkę i muliczkę; lubię także naukę, czytanie, muzykę i robótki. Odpisz mi, to znów napiszę do ciebie; tymczasem przyjmij serdeczne uściśnienia od dziewięcioletniej *Wiewióreczki Instantskiej*. Jak się nazywa miejsce twego zamieszkania?

**Kochane moje: Niezapominajko z nad Warty**, **Amazonko Podlaska**, **Jaskółko z nad Ussy**, **Mitko Ł.** i **Stokrotko z nad Stochodu!** **Niezapominajko miła**, serdecznie za lamigłówkę dziękuję i liścik ci przesyłam. **Amazonko kochana**, znam ciebie, i wiele o tobie słyszałam, lecz pewnie na moją osobkę uwagi nie zwróciłaś. **Jaskółeczko** i **Mitko**, **Ninusia** wam uściśnienia przesyła, a ja waszej pamięci się przypominam. Tobie droga **Stokrotko** serdeczne uściśnienia z prośbą o liścik zasyła *Niezabudka Czeska*. **Figlarce**, **Psotnicy** i **Jaskółce z nad Sekwany** czułe pozdrowienia.

**Miłe moje: Wiochno z pod Lublina** i **Niezapominajko z nad Warty!** Odpiszcie mi, bo pragnę poznać się z wami, przeczytawszy wasze powiastki. Mam lat trzynaście, mieszkam na Podolu, jestem wysoką blondynką o niebieskich oczach i najstarszą z czworga rodzeństwa. Od roku niespełna czytuję *Wieczory*, które bardzo mię zajmują, szczególnie: „z *Wyspy Atlanty*,” „*Druga Matka*” i „*W Indjach*.” Donieście mi co o sobie. **Kochany Kwiatku Paproci**, zgadnij kto jestem? Znam ciebie dobrze z opowiadania. Dlaczego tak rzadko pisujesz do Redakcyi? Powiedz mi, proszę, czy **Biała Myszka**, jest to pseudonym twjej młodziej siostry? Rzadko widuję pannę H. gdyż nie wyjeżdżamy z domu. Ściskam cię, prosząc o jak najprędszą odpowiedź. *Bluszcz*.

**Kochana Stokrotko z nad Stochodu** i **Sosenko!** Przepraszam cię **Stokrotko**, że długo nie odpisywałam, donoszę ci teraz, że na imię mi **Zofja**. Proszę nie gniewaj się i pisuj do mnie nadal. **Sosenko droga!** Przeczytawszy twą miłuchną odezwę, pragnę do ciebie pisywać, a może zaprzyjaźnimy się; donieś mi tymczasem bliższe o sobie szczegóły. *Mazurka z nad Narwi*.

**Kochana Jaskółko z nad Ussy!** Wyczytałam w *Wieczorach*, że otrzymałaś nagrodę, której ci szczerze wieszuję. Czy ci się podoba powieść „*Druga Matka*,”? mnie bardzo zajmuje. Podobna mi się w niej **Madzia**. Czy zgadniesz kim jestem? bo ja cię znam dobrze. Jak się ma **Muszka**? Dawno widziałas **Maniusia** i **Kotka**. Twoja *Litwinka*.

Donoszę ci, **Niezapominajko z nad Warty**, że mieszkam w ks. **Poznańskim** na wsi, od roku jestem na pensyi, przedtem uczyłam się w domu przy nauczycielce, mam imię bardzo brzydkie, zgadnij jakie? **Jaskółko z nad Sekwany**, bardzo mi przyjemnie, że jestem ci znaną, chociaż z opisu i ty również nie jesteś mi zupełnie nieznaną. **Biała Perełko**, czy nie jesteś czasem **Walunią Pruszką**? jeżeli tak, to cię znam bardzo dobrze. **Mieszkaś** w okolicy **Żytomierza**, nieprawdaż? **Cezaryno** i **Liljano** nie wiem zkąd, ale czuję do was wielką sympatyę, donieście mi co o sobie. **Poranku majowy**, dziękuję za szaradę, odpisałam ci dawno, ale liścik jeszcze nie wydrukowany. *Filaretka*. **Kuropatewko z nad Ikopetiu**, ściskam serdecznie.

**Droga Palermitanko!** Zaciekał mię twój pseudonym, donieś mi czyli rzeczywiście mieszkasz w **Palermo**? **Cicha Wodo**, z twych liścików do czytelniczek **W. R.**, dowiedziałam się, iż nie masz szczęścia do nich, jeżeli chcesz, korespondujemy ze sobą, donieś mi, imię i wiek twój, i czy jesteś tak „cichą” i spokojną. Posyłam wam serdeczne uściśnienia, które przyjmijcie obiedwie od waszej, *Galazki-Paproci*.

**P. S.** Załączam pozdrowienia dla małej **Brzydotki z nad Tamizy**, **Czarnookiej**, donosząc, iż nie należę do konkursu, bo w tym czasie 15 rok skończyłam, posyłam więc pozdrowienia „staruszkom,” bo teraz należę już do ich rzędu.



## PSY GÓRSKIE.

— Tatusiu! tatusiu! — wołał Kazio — kup mi takie-  
go psa, abym mógł na nim jeździć, jak ten chłopczyk na  
obrazku.

— Pokażę mi, chłopcze, ten obrazek.

Kazio poskoczył i przyniósł ojcu książeczkę z takim  
samym obrazkiem, jak ten, który wyżej umieściliśmy.

— Jaki ten chłopczyk szczęśliwy — wołał Kazio. —  
Ja nieraz próbowałem jechać na naszym Burku, ale nie  
mogłem utrzymać się na nim.

— Bo pieski lubią biegać, skakać, ale nie lubią  
dźwigać ciężarów, choćby takich, jak ty.

— A ten piesek na obrazku tak spokojnie stoi?

— Gdyby ten pies był nie malowany ale żywy, nie  
wiadomo, jak długo zechciałby dźwigać chłopczyka na  
grzbiecie. Jest to wprawdzie silny pies, daleko wyższy  
od Burka.

— Taki duży?

— Trochę niższy od ciebie, Kaziu.

— Doprawdy, nigdy takiego dużego psa nie wi-  
działem. Lecz jeśli nie mogę na nim jeździć, cóż mi po  
nim? Czy on gryzie dzieci?

— Nie, jest to pies bardzo łagodny, zowią go psem  
z góry św. Bernarda, albo po prostu Bernardem.

— A dla czego tak go nazywają, tatusiu?

— Bo głównie w tych górach przebywa. Ty, Ka-  
ziu, gór jeszcze nie widziałeś.

— Owszem, tatusiu — przerwał Kazio — mama po-  
kazywała mi w ogrodzie Saskim pagórek, koło sadzawki,  
i mówiła, że pagórek jest taką małą górką. I to w takich  
dużych, dużych jak cztery, nie, jak dziesięć razy pagórek  
z ogrodu saskiego, żyją te duże psy, Ber... Ber... — tu  
przerwał, nie mogąc przypomnieć sobie nazwy psa.

— Bernarda — dokończył ojciec. — Tak, Kaziu;  
góry św. Bernarda są bardzo wielkie, zimą pokryte gru-  
bo śniegiem, tak grubo, że duży człowiek schować się  
w nim może. Otóż, zdarzało się czasem, że szedł sobie  
piechotą po górach jaki podróżny, wśród białych śnie-  
gów zgubił drogę i błąkał się tak czasem dzień cały, zzię-  
bły, zgłodniały, aż wreszcie ze zmęczenia ustawał, iść  
już nie mógł i zmarł nieraz wśród śniegu.

— O biedny, nieszczęśliwy podróżny — zawołał  
Kazio. — Ja, tatusiu, nigdy nie chcę w zimie podróżować  
piechotą.

— Otóż, wyobraź sobie Kaziu, że taki pies górski  
nieraz życie uratował podróżnemu. Bo na najwyższej  
górze, zbudowano wielki klasztor, a mieszkający w nim  
zakonnicy postanowili sobie ratować zbłąkanych w zi-  
mie biedaków. Codziennie wypuszczali z klasztoru takie  
psy i wiązali im u szyi dzwonek i butelkę z rozgrzewają-  
cem winem lub wódką. Otóż zmyślnie te zwierzęta,  
u których węch, jak u wszystkich w ogóle psów, jest bar-  
dzo rozwinięty, umiały zawsze natrafić na ślady ludzkie,  
nieraz wygrzebały ze śniegu skostniałego wędrowca  
i głośnym szczekaniem wieść o nim dawały zakonnikom,  
którzy, opierając się na długich kijach, przebiegali stoki  
gór. A jaką radością napelniało wędrowców szczeka-  
nie tych psów! Były to dla nich zwiastuny odpoczynku,  
zbawienia, bowiem pocziwe zwierzęta doprowadzały  
podróżnych do klasztoru, gdzie gościnni zakonnicy kar-  
mili ich, poili i na nocleg oddawali im ciepłe pokoje  
i wygodne łóżka.

— Ach, jakże chciałbym mieć takiego psa, tatusiu.  
A jaką sierść one mają? — zapytał po chwili.

— Sierść ich jest długa, miękka; zwykle są białego  
koloru, a na grzbiecie i na łbie pomarańczowo brunatna;  
lecz jak widzisz na obrazku psy te mają pysk biały,  
z wierzchu cienka biała linia przez łeb przechodzi, sięga-  
jąc karku.

Kazio podziękował tatusiowi za opowiadanie o psach  
z gór św. Bernarda. Już odchodził, gdy nowe zapytanie  
przyszło mu na myśl.

— A gdzie są te góry, tatusiu?

— W kraju w ogóle bardzo górzystym, zwanym  
Szwajcaryą.

— Tatusiu, pojedźmy tam, zobaczyć pocziwe Ber-  
nardy.

Ojciec uśmiechnął się,

— Nie potrzebujemy po to tak daleko jeździć, tu  
w Warszawie pokażę ci przy sposobności takiego psa.

— Ach jak to dobrze, tatusiu, jakże się tem cieszę, i skacząc wybiegł Kazio z pokoju, a przedtem uściśkał swego kochanego tatusia, dziękując za obietnicę.

## CIOCIA SCHOLASIA.

(Dalszy ciąg).

Ciocia Scholasia, była to daleka krewna mamy Niuni, osoba już niemłoda, lubiąca bardzo swój cichy pokój, w którym miała tak wszystko systematycznie poustawiane, tak każda rzecz przeznaczone miała dla siebie miejsce, że mówiono: iż u cioci Scholasi w pokoiku, jak w pudełeczku. Łatwo się domyśleć, że kto tak lubi porządek, to musi nie lubić, aby mu porządek ten naruszono. Znali to wszyscy, i szanowali upodobanie cioci, i tylko jednej Niuni, zdarzało się czasami, nie pamiętać o tem upodobaniu, a jak mówiła potem, zupełnie „niechcący” wyjęła pończoszkę z koszyczka, położyła w innym miejscu okulary, a ciocia szukając tych przedmiotów mówiła:

— Oho, już tu Niunia gospodarowała.

I teraz wbiegła do pokoiku z wesołą minką, i le dwie drzwi otworzyła, zawołała:

— Dzień dobry cioci! mamusia prosi na śniadanie.

Ale nikt jej nie odpowiedział, i Niunia spostrzegła że cioci niema w pokoju, tylko Mruczuś siedział na fotelu, i powitał dziewczynkę mruzeniem.

— Aha, ciocia w kościele, domyślam się tego — rzekła Niunia głośno — to dzień dobry tobie Mruczusiu, cóż to, nie witasz się ze mną? wstydz się, już znów jesześ niegrzeczny. Patrz jak robić należy:

I dziewczynka wzięwszy paluszkami za fartuszek, dygnęła przed kotem.

Wtedy Mruczuś, przeciągnął się na fotelu, ziewnął i zeskoczywszy, otarł się o sukienkę Niuni.

— Ach, jak u tej cioci Scholasi zawsze jednakowo w tym pokoju — mówiła Niunia biorąc kota na ręce — prawda Mruczusiu, że to strasznie tak nudno, jabym to zaraz przemieniła. Tu, w tym koszyczku, zawsze pończocha, bawełna, na stoliku okulary, za kotarą łóżko jednakowo wiecznie posłane, a tu pantofle z kokardkami, stoją jakby wrosły. Albo i ta spódniczka ze szlakiem, wisi i wisi w kąciku za szafą, już nawet nie wiem, czemu nie w szafie. Aha! jest coś nowego! — wykrzyknęła Niunia rzucając kota na ziemię, i poskoczyła do łóżka. — To widocznie jakiś czepek ogromny, doprawdy czepek, tylko nie wykończony. O, tu są tasiemeczki, to pewnie się ściągnie, i robi się czepek.

I Niunia pochwywszy czepek, związała w jednym miejscu tasiemkę i włożyła na głowę.

— W tym czepku pewnie jestem podobna do cioci Scholasi — mówiła idąc do lustra, zawieszzonego w rogu pokoju nad stolikiem. — Chodź Mruczusiu, przyjrzyj mi się, prawda, że zupełnie jestem jak ciocia Scholasia? Ale trzeba jeszcze włożyć okulary, pantofelki, to doprawdy, nikt mnie nie pozna.

To powiedziawszy, pobiegła za kotatę, włożyła cie-

plę bambosze na nogi, podciągnęła ze szlakiem spódnice pod fartuszek, wzięła z koszyczka pończochę, i siadłszy na krzeselku prowadziła dalej rozmowę z kotem.

— Widzisz, Mruczusiu, teraz jestem zupełnie jak ciocia Scholasia, wiem, że niktby mię nie poznał. (str. 197).

Ale Mruczuś widocznie nie był zadowolony z tej przemiany, bo chociaż siedział przy nogach dziewczynki, ale głowę spuścił, jakby nie słyszał i nie rozumiał co do niego mówiono, tylko się zamyślił bardzo poważnie.

— Zrobię cioci niespodziankę, poceruję tę pończoszkę, a choć jeszcze dobrze tego robić nie umiem, ba, nawet jeszcze nigdy, co prawda, pończoch nie cerowałam, ale przecież nie taka to znów wielka historia.

I Niunia wzięwszy igłę, zaczęła robić wcale nieciekawę ścięgę.

Tymczasem mama, nie mogąca się doczekać ani cioci Scholasi, ani córeczki którą posłała, rzekła do Jadzi:

— Moje dziecko, idź, proś cioci na herbatę i Niunię sprowadź.

Jadzia, otworzywszy drzwi do pokoju, lewie nie wybuchnęła śmiechem na widok Niuni, która chciała z całą powagą udawać ciocię Scholasię, a oczęta śmiały się dziecinną pustotą.

Jadzia chciała jej zrobić przyjemność i rzekła:

— Proszę cioci na herbatę; a czy niema tu czasem Niuni?

— Nie, niema — odrzekła Niunia zmieniając głos — jeszcze tu dziś nie była.

(d. n.)

## BOCIAN I WRONA.

Pewnego razu, wrona dobrze znana, Zwróciła mowę do pana bociana:  
„Powiedz mi szczerze, drogi przyjacielu,  
Co tu przebywasz już od lat tak wielu,  
Skąd to pochodzi, iż zawsze i wszędy  
Wszyscy dla ciebie wielkie mają względy?  
Każdy cię lubi i każdy szanuje,  
A mnie nie cierpi, srodze prześladuje,  
Choć ja nic złego nikomu nie robię,  
Tylko, gdym głodna, pamiętam o sobie.  
Powiedz mi, proszę, bocianie szczęśliwy,  
Czemu świat dla mnie tak niesprawiedliwy?”  
Bocian, co gniazdo miał swoje na bronie,  
Odrzekł w ten sposób biadającą wronie:  
„Gdy tyle we mnie pokładasz ufności,  
To muszę prawdę powiedzieć jejmości,  
Niechaj się jednak jejmość nie obraża...  
Mnie każdy rolnik ceni i poważa,  
Każdy gospodarz jest dla mnie łaskawy,  
Bo w lecie z gadów oczyszczam mu stawy,  
Wszelkie bagniska, a nawet kałuże;  
Słowem, jak mogę, dziobem moim służę.  
Ty zaś przeciwnie, ziarna chciwa wrono,  
Chodzisz za pługiem, za radłem, za broną,  
I często wielkie robisz szkody w roli.  
Alboż to jejmość sobie nie pozwoli





TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

KOLEDA.



Marya na kolana małego wzięła Pana ;  
 Twarz Matki zadumana :  
 Bo choć małe to dziecię, dobrze ona wie przecie  
 Że mu królem być w świecie.  
 — Héj! kolęda! kolęda!

Skrzydłaci, jaśni, bieli, z cichym szumem zlecieli  
 Prosto z nieba anieli ;  
 Dzieciątku posły Boże, czołem biją w pokorze,  
 I gra każdy jak może :  
 — Héj! kolęda! kolęda!

Oj! precudna muzyka! w smutne serce grzesznika  
 Jako balsam przenika,  
 Miodem ze skrzypek płynie! Przygrywają dziecinie  
 Co boskością zasłynie :  
 — Héj! kolęda! kolęda!

„Chwała Panu nad Pany! Ludziom na wszystkie stany  
 Pokój niech będzie dany!  
 „Kto w sercu dobrej woli rozkrzewić się pozwoli,  
 „Temu na życia roli  
 Héj! kolęda! kolęda!

„Spokoju kwiat wyrośnie ; tego w młodości wiośnie,  
 „Pan strzedz będzie miłośnie  
 „I w późnej mu starości, spokój w sercu zagości ;  
 „Dziećmi Bożemi prości!”  
 Héj! kolęda! kolęda!

## Osobliwe narzędzia muzyczne.

Na wyspach Nowe Hebrydy, w Oceanii, mieszkają jedne z najdzikszych plemion naszej planety. Pokryjomu potrafią one jeszcze oddawać się ludożerstwu, ztąd widzimy, że stoją na najniższym szczeblu moralności i oświaty.

Nowo-Hebrydcy lubują się też w dzikich krwawych zabawach i tańcach, używając przytem instrumentów muzycznych, które przedstawia nam dołączona rycina. Te instrumenty są to poprostu grubsze i cieńsze pnie drzew wydrążone, i często opatrzone okrągłemi lub podłużnemi przecięciami. Górną część pni ozdabiają z gruba wyciosane głowy, nogi, strzały, wreszcie okręty, a wyspiarze kijem po pniach bijąc, wywołują rytmiczne odgłosy, które są dla nich balową muzyką. Przed taką zabawą malują sobie zwykle twarz na czarno i czerwono.

Na Nowych Hebrydach znaleziono jeszcze inne narzędzia muzyczne, któremi jednak bawią się tylko małe dzieci: jest to rodzaj trąbki zrobionej z przedziurawionej muszli, albo długiej fletni bambusowej z trzema otworami, którą porównać można co do kształtu z naszą, tak miłą dla ucha, fujarką wiejską.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

(d. c.)

Dziś wstałem o wschodzie słońca, a że ranek był śliczny, poszedłem cicho do stajen i osiodławszy mego pocziwego muła, wyjechałem w kierunku moczarów. Ciekawy byłam czy też napój Coli zrobił jakiś skutek.

Puszcza to była prawdziwa: dziko rosnące drzewa, gęsto poplątane z sobą gałęziami, skąpe tylko promienie światła przepuszczają. Jechałem tak może ze dwie godziny, nie znając drogi i spuszczać się na instykt zwierzęcia, aż trafiłem na wydeptaną drożynę, wiodącą tu widocznie z Różanego gaju. Wkrótce też las zaczął się przerzedzać i ujrzałem rodzaj małej polanki, z jednej strony półkolem lasu otoczonej, z drugiej objętej ogromną przestrzenią moczarów, w których przeglądały się olsze, trzciny, tataraki, paprocie, trawy bujne wysokie, a między niemi kołysały się na powierzchni wody wspaniałe liście i przepyszne kwiaty białych i żółtych grzybieni. Zdawało to wyglądać jak wielka łąka, zbliska jak zwierciadło wodne na którym olbrzym jakiś namalował fantastyczny ogród. Doleciał mnie zapach traw aromatycznych i macierzanki — i idąc za tym zapachem dostrzegłem na końcu polanki, przytulony pod cienie drzew mały domek a raczej chatę zbudowaną z okrągłaków. Przed chatą był ogródek, a w ogródku rosły kwiaty bardzo zwyczajne, bardzo pospolite, ale nie było między niemi ani jednego, jakiegoby się nie spotykało tradycyjnie niemal przy wszystkich dworkach wiejskich. Rosły tam więc geranie, stokrotki, astry, malwy, georginie, róże, powoje, groszek pachnący, a pomiędzy tem wszystkiem królowały dwa wielkie słoneczniki. Lekki dym wychodzący z komina, dowodził że tam już rozpalono ogień. Jedno okno było otwarte.

Uwiązałem muła do drzewa i cicho tłumiąc szelest kroków, podszedłem pod chatę. Zajrzałem przez okno: izba była duża, schludna, ze spartańską urządzoną prostotą, ale zaopatrzona we wszystkie niezbędne przedmioty. W głębi stał tapczan, a raczej łóżko pokryte skórą niedźwiedzia, a przy

łóżku na stoliku kryształowa czara z mlecznym napojem, wypróżniona do połowy. Na ścianie wisi obrazek Matki Boskiej, a pod nim fotografia młodej kobiety z dzieckiem na ręku. Reszta pokoju pozostawała w cieniu padającym od drzew.

Przed tym obrazem klęczał człowiek z twarzą pożółkłą, schorzałą, i głęboko zapadniętymi oczyma, a słowa jego modlitwy która przypominała mi hymn włoski „Ave Maris Stella” dochodziły mi wyraźnie:

Modli się... może się modlić, a więc będzie ocalony! Królewiczowa może być o niego spokojną. Czyżby napój Coli tak cudownie na niego podziałał, czy też wczorajsze wstrząśnienie wywołane zapachem zębówki? Kto wie czy to nie ono właśnie i czy Jagódka instyktem swego anielskiego serca natchniona, nie spowodowała owego cudu na jaki nie umiała się zdobyć medycyna? Serce ludzkie pełne jest niezgłębionych otchłani i nigdy napewno wiedzieć nie można, z kąd źródło wzdrwiające wytrysnie! Przyszedłem tu z zamiarem powiedzenia mu kilku słów pociechy, ale gdzie człowiek sam rozmawia z Bogiem, tam żadne pośrednictwo nie potrzebne.

Cicho i bez szelestu opuściłem okno, odszukałem mego muła i powróciłem do domu. Dziwna rzecz! Wpatrując się w twarz cudzoziemca, dojrzałem rysy znajome... Tak... znałem te rysy, choć nie mogę sobie przypomnieć gdzie i kiedy je widziałem. Jestem pewny że widywałem je nawet często... Z kąd ja go znam? Może powoli pamięć dozwoli mi uchwycić nie tę zagadki.

Co do czytelników Wieczorów rodzinnych wprawiających w kłopot Redakcję ciągłemi pytaniami, to nic nie szkodzi jeżeli pozostaną w mniemaniu że to powieść, bo tajemnica królewicza będzie przez to lepiej zabezpieczona, a w przeciwnym razie, może, może nareszcie wpadliby na jakiś ślad...

*AbraKadabrus.*

### Janek sierota do Redakcyi Wieczorów rodzinnych.

*Różany gaj dnia 13-go Sierpnia 1890 r.*

Szanowna Redakcyo!

Co ja mam! co ja mam! Czytelnicy Wieczorów rodzinnych może nie zechcą uwierzyć, a jednak to jest prawda! Mam swego własnego konia, tak jest, nie żartuję, *swego własnego*. A jaki śliczny! Maści białej jak mleko, połyskującej jak jedwab, gdy się zgrzeje cokolwiek, wygląda jakby był bladuróżową powleczony gazą — tak krew szlachetna, najczystsza krew arabska, przebija przez skórę. Łepki jego mały, tak jest zgrabny, że nie znajduję w tej chwili w myśli nic z czymby go można porównać. A jaka grzywa wspaniała, co za ogon! Niesie bardzo lekko, a chodzi jak panienka. Zawsze lubiłem bardzo konną jazdę, ale rzadko używać jej mogłem. W Dębowej woli jeden był tylko kucyk, i moi bracia stryjeczni przeważnie na nim jeździli, bo choć pocziwi chłopcy chętnie mi go pożyczali, ale ja przez samą delikatność nie chciałem go często zabierać. Ach gdybym im mógł pokazać mego Farysa! — bo Farysem nazwałem go od chwili, gdy dosiadłszy go po raz pierwszy, pędziłem na nim jak wicher po błoni, powtarzając słowa poety:

„Pędź latawce białonogi,  
Góry z drogi, lasy z drogi!”

Farys mnie już zna, rozumie, poddaje się mojej woli i choć umie być ognistym, bywa posłusznym i łagodnym jak dziecko; jada chleb z mojej ręki, a dzisiaj nawet położył mi na chwilę łepki na ramieniu. Dobry, pocziwy konik! Gdybym się nie bał ubliżyć godności posła, przeniósłbym się chętnie z pawilonu który zajmuję, na mieszkanie do stajni! Ale nie powiedziałem jeszcze jakim sposobem przyszedłem do posiadania Farysa, a opowiedzieć muszę od początku. Spadło to na mnie zupełnie nagle, jak z nieba.

Muszę się przyznać Szanownej Redakcyi, że choć mi tu jest bardzo dobrze, jedna drobna, bardzo drobna chmurka psuje mi humor. Chmurką tą jest nauka języka atlantyjskiego. Język jest wprawdzie tak piękny, tak melodyjny, że słucham z przyjemnością gdy inni mówią, chociaż mówiących nie rozumiem—ale prawidła jego tak są trudne do spamiętania, że doprawdy rady dać sobie z niemi nie mogę. Już to ja zawsze wołałem historję, matematykę, nauki przyrodnicze, niż jakąkolwiek gramatykę—ale w kraju nauka języków jakoś szła mi z mniejszym oporem (w łacinie nawet celowałem), może dla tego że mniej miałem powodów do roztargnienia. Ale tu na Atlancie, tyle naraz przedmiotów wzrok mój ciąga, tyle na każdym kroku spotykam nieznanych mi dotąd, a zaciekawiających mnie do najwyższego stopnia szczegółów; sama tajemniczość wyspy i nieświadomość jej położenia geograficznego, tak mnie ciągle zajmuje, że gdy przyjdzie godzina lekcji, czynię prawdziwe wysilenia żeby skupić uwagę na nudzącym mnie przedmiocie. Ciągle tylko myślę jak prędko się to skończy i tłumię poziewania, żeby ich Viola nie spostrzegł, bo poczciwy ten chłopiec szczerze pragnie mię po atlantyjsku nauczyć. A jednak czuję że muszę sobie przyswoić ten język i to prędko, bo inaczej nie mógłbym się rozmówić z krąjowcami, którzy prócz swego własnego języka, żadnego innego nie znają. Nie mogę też wymagać, aby na dworze królewskim, gdzie wszyscy po atlantyjsku mówią, do mnie jednego odzywano się po francuzku lub po łacinie, zwłaszcza że moje obowiązki pazia przybocznego, stawiają mnie często w potrzebie zanoszenia rozkazów królewicza, ludziom z którymi rozmówić się nie mogę. Jużem sobie kilkakrotnie powiedział, że moja mateczka, gdyby żyła, nie byłaby ze mnie kontenta i że trzeba się przezwyciężyć, ale kiedy to tak trudno, ach tak trudno!

I choć to sobie powiedziałem, jednakże gdy Viola dziś o zwykłej godzinie oznajmił mi że lekcji nie będzie, bo go królewiczowa gdzieś posyła, szczerze się ucieszyłem i pobiegłem nad brzeg morza, a potem przez pola ku ogrodom. Chodząc upatrywałem wszędzie moich nowych znajomych, to jest przedstawicieli rodziny Krzyżowych, ale niewiele znalazłem; zato w stronie ogrodów warzywnych zebrałem sporą wiązkę: była tam kapusta, brukiew, rzodkiewka, gorczyca, rzepak, urzet, tasznik, dzika lewkonia i wiele innych. Gdy się im przypatrywałem, nie bez żalu do każdego z osobna, że nie pachnęły, dogonił mnie Viola w podskokach i ofiarował bukiecik przesłiznych wonnych fiołków.

— Fiolki o tej porze, w sierpniu? — zapytałem zdziwiony.

— Ach, mój drogi, widać że niedawno przybyłeś na Atlantę! W królestwie Zielonki kwiaty posłuszne są woli ogrodników, umiających je zmusić do kwitnienia w każdej porze. Fiolki, konwalia, narcyzy, lilie, pierwiosnki i wiele, bardzo wiele innych mamy przez całą zimę, co jest wynikiem sztucznej hodowli, znaniej i rozpowszechnioniej nietylko na Atlancie, ale w całym świecie.

— To prawda — odrzekłem — ale ja w żadnym wielkim mieście nie mieszkałem, więc jest to zawsze dla mnie widok niezwykły.

— Z powodu śmierci jakiegoś zagranicznego księcia, wszystkie dwory monarsze przybierają jednodniową żałobę a więc i dwór Zielonki przystraja się dzisiaj w fiolety — mówił dalej. — Chodziłem z polecenia królewiczowej do jubilerów, aby czempredziej przygotowali klejnoty fiołkowe. Biedni artyści są zawaleni robotą, bo wedle obowiązującej etykiety, wszystkie damy dworskie muszą także wystąpić we fioletkach.

Lubiłem zawsze niezmiernie te wdzięczne kwiatki, kryjące się skromnie w trawie i wydające tylko zapachem swoją obecność—więc podarunek Violi zrobił mi przyjemność, ale ja com zawsze we fiołkach widział tylko ich wdzięk, ich barwę i napawał się ich wonią, dziś innym niż dotąd patrzyłem na nie wzrokiem.

— Co się tak wpatrujesz w te kwiaty? — zapytał Viola. — Czy odkryłeś w którym poddanego królewicza Pióropuszką,

jakiego nieśmiałego robaczka, albo ciekawą muszkę? Jużto poddani tego monarchy zawsze szukają towarzystwa poddanych Zielonki!

— Nie — odrzekłem — ale odkąd królewicz Zielonko odkrył mi tajemnice rodu krzyżowych, widok każdego napotkanego kwiatka budzi we mnie ciekawość poznania jego tajemnic. Chciałbym go zaraz pytać o metrykę, dowiedzieć się co jest za jeden, kto go rodzi...

— Cóż jeszcze budzi twoją ciekawość?

— Gospodarstwo domowe roślinki, sposób w jaki wychowuje swoje dzieci, to jest nasionka.

— Widzę że wasz naród jest bardzo ciekawy, ale to mu bynajmniej nie ubliża, przeciwnie, to mu zaszczyt przynosi, bo kto o nic nie pyta, ten nic nie wie. Ten ciemny fiołek będący słusznie symbolem skromności, jest niepospolitą istotą, istotą tak szczególną, tak oryginalną, że nie ma nic wspólnego z żadnym innym kwiatem...

— Doprawdy? tego nie przypuszczałem.

— Ród krzyżowych który cię królewicz poznawać nauczył, jest tak liczny, że mało kto zdola zapoznać się z wszystkimi jego członkami, a rodzina fiołka ogranicza się do samego fiołka, i zowie się *Violaceae*, fiołkowate. Zdaje mi się że nietylko na wyspie Atlancie, ale na całym świecie nie znajdzie się roślina, mająca jakikolwiek pozór prostego z nim pokrewieństwa.

— Biedny samotnik — szepnąłem — a jednak to przyjemnie mieć krewnych.

— Krewni odznaczają się zwykle podobieństwem nietylko rysów familijnych ale często i charakterów, a fiołek jest całkowitym oryginałem. Ma on swoje osobliwe obyczaje, sobie tylko właściwy sposób układania kielicha, swoją koronę, swoje preciki, swój słupek, swój owoc — słowem, urządza się po swojemu, a inaczej niż wszystkie inne kwiaty. Wyjmij z bukieciu jeden i rozbierz go sztuka po sztuce, tak jak to uczyniłeś raz z lewkonią.

Wyjąłem jeden kwiatek, i zacząłem odejmować pojedyncze jego części, jak mnie nauczył królewicz. Znalazłem kielich bardzo nieregularnego kształtu, o pięciu działkach; potem koronę jeszcze nieregularniejszą, o pięciu płatkach także, z których cztery wydłużone z jednego końca, rozszerzone były u góry, a piąty zakończony rodzajem różka czy trąbki nieco zakrzywionej.

— Botanicy nazywają to ostrogą — pospieszył objaśnić mnie Viola, wzruszając lekko ramionami—choć nie wiem czemu, bo przecież kwiatek na koniu nie jeździ!

Badając dalej kwiat, widziałem pięć precików umocowanych na króciutkich nitkach stykających się z sobą w okrąg. Przeciąłem kwiatek scyzorykiem, a następnie samą trąbkę i zobaczyłem że dwa z precików umieszczone w samym środku kwiatka, wydłużały się w rodzaj małej łopatki w tej trąbce — jajecznik zaś, którego słupek podnosił się najprzód prosto, kończył się u góry zabawnym haczykiem.



...jest niepospolitą istotą.



Wyjąłem jeden kwiatek.



Przeciąłem kwiatek scyzorykiem.



Wilhelmina - Helena - Paulina królowa Holandyi.

— Co jest najosobliwsiem — mówił dalej Viola — to że gdy jajecznik czyli zalążek, stanie się owocem i dojrzeje, otwiera się niby gwiazdka o trzech ramionach i wysypuje swoje ziarneczka. Spozrzegam w twoim bukietcie jeden owoc zupełnie dojrzały, o patrz! czy widzisz?

Patrzyłem i dziwiłem się coraz więcej: wszystkie części których nazw nauczyłem mnie królewicz, były tu tak osobliwie obsadzone i połączone, tak dalekie od porządku jaki poznałem w Krzyżowych!

— No, dowiedziałeś się już wszystkiego o tej dziwniej istocie — mówił dalej Viola. — Cóż teraz powiesz o fiołku? Jak ci się podoba jego charakter?

— Przywodzi na myśl owych pustelników, co to niegdyś żyli w puszczech samotnie, kryjąc się przed światem i spędzając czas na mo-

dlitwie, dla fiołka bowiem trawa jest tem samem, czem drzewa puszczą dla człowieka.

— Masz słusność, a ja ci wynajdę jeszcze więcej podobieństw. Zabłąkany w puszczy podróżny, idąc za odgłosem pieśni pobożnej, trafił do chatki pustelnika gdzie znajdował wypoczynek, posiłek i lekarstwo. Fiołek śpiewać nie umie, ale delikatnym zapachem daje znać o sobie i uprzyjemnia człowiekowi odpoczynek w cieniu. Pustelnik leczył chorych, i fiołek leczy. Korzeń jego ma własności lekko przeczyszczające, stosowane zwłaszcza dla dzieci i używany bywa także na wymioty. Jest jeszcze inny z tego korzenia użytek: musisz pamiętać Janku te czasy, kiedy uwiązany na sznureczku, dawano ci go do gryzienia, zanim ci się zęby wykłuży.

Oburzyłem się bardzo na to złośliwe przypuszczenie.

— Mam czternaście lat — odrzekłem z powagą — jestem dorosłym mężczyzną i nie mogę pamiętać takich rzeczy.

— Doprawdy — odrzekł śmiejąc się — ja tylko pół czternasta i zdaje mi się że sobie przypominam jakem go językiem obrabiał.

— Powiadasz że fiołek nie jest do żadnej innej roślinki podobny — rzekłem chcąc przerwać te żarty, uwłaczające mojej godności poselskiej, mającej jak wiadomo prawo do tytułu ekscelencyi — a ja znam przecież podobny: bratek.

Viola parsknął śmiechem.



...kończył się u góry zabawnym haczykiem.



...gdy zalążek stanie się owocem, otwiera się niby gwiazdka o trzech ramionach.



Osobliwe narzędzia muzyczne.

— Bratek jest także fiołkiem — odrzekł. — Ogrodnicy wzięli go z pól, i przez coroczne wysiewanie i wybieranie ziarenek najpiękniejszych okazów, na matki, których nasiona były znów wysiewane, oraz przez staranne pielęgnowanie, wyro-

dałem, zowią się *Viola odorata*; a trójkolorowe niepachnące o barwach: białej, niebieskiej i żółtej, których tak wiele spotyka się na łąkach i polach, zowią się *Viola tricolor*, tak jak ja, i są bratkami dzikimi, czyli należą do fiołkowatych, bo jak ci mówiłem, bratek nie jest czem innym tylko fiołkiem. Są także fiołki białe.

— Wiem. Mówił mi Astragalus że je królewiczowa otrzymała od jakiegoś monarchy, i że postąpiły po tatarsku z szafirowemi, wyparły je z ich stanowisk i rozgospodarowały się na ich miejscu.

Porównanie fiołka do pustelnika, przywiodło mi nie wiem czemu na myśl cudzoziemca, zamieszkałego wśród moczarów.

— Słuchaj Viola — rzekłem po chwili — gdzie ty chodziłeś wczoraj późno wieczorem?

— Nosilem choremu cudzoziemcowi czarę z napojem przyrządzonym przez królewiczową.

— Z napojem... jakim?

— Napojem z Coli.

— Z tej cudownej rośliny? A więc poseł indyjski przysłał już obiecany worek orzechów? Tak prędko! Więc chyba Atlanta leży gdzieś w pobliżu Indyi... Ale jakim to być może sposobem, kiedy moja podróż z Warszawy trwała tylko dni cztery!

— Poseł indyjski nie przysłał. Dostaliśmy orzechy



..wychodowali te wspaniałe kwiaty.



...zwie się *Viola tricolor*.

bili z niego te wspaniałe kwiaty o najrozmaitszych barwach. Ale jeżelibyś taki krzaczek zostawił zapomniany gdzie w kącie ogrodu, pozostawiwszy go samemu sobie, to przez szereg lat roślina pozbyłaby się powoli wszystkich cech nabytych starannem wychowaniem i wróciła do stanu dzikiego, czyli do pierwotnego typu. Gatunków najrozmaitszych fiołków jest przeszło dwieście. Te oto kwiatki pachnące które ci

Coli od Abrakadabrusa, do którego towarzyszyłem wczoraj królewiczowej.

— Jakto? Jój Królewiczowska Mość sama chodziła po to, o tak późnej porze? O jakże ona musi być dobrą! Czyżby cudzoziemcowi było gorzej?

— Tak: był chory, bardzo chory.

Słowa te rzuciły mi w duszę taki smutek, jak gdyby to był ktoś bardzo mi bliski, bardzo drogi, aż się sam temu wrażeniu zdziwiłem, bo czyż mnie mógł tak dalece obchodzić człowiek obcy? Tyle ludzi jest na świecie nieszczęśliwych, tylu choruje i umiera... Współczucie ma się dla wszystkich cierpiących, ale nie zawsze ono objawia się bólem.

— Viola! — przemówiłem do mego przyjaciela — mam do ciebie prośbę. Pokaż mi drogę do moczarów; chciałbym go zobaczyć.

— Kogo? Cudzoziemca? Mogę cię uspokoić: dzisiaj jest znacznie zdrowszy.

— To nic nie znaczy. Chcę go zobaczyć.

Viola zawahał się.

— To być nie może — rzekł stanowczo — gdy cudzoziemiec jest chory, wtedy nie znosi żadnej obcej twarzy. Zaprowadzę cię do niego gdy wyzdrowieje.

Zasmuciłem się.

— A więc pokaż mi choć zdaleka jego chatę...

— No, to życzenie twoje mogę spełnić — rzekł po namyśle. — Chodźmy.

(d. c. n.)

## Dziesięcioletnia królowa.

Młodzietka królowa holenderska, którą tu na rycinie przedstawioną widzicie, ostatnią jest odroślą starej i zasłużonej swemu krajowi dynastii, i gdy dorośnie, rządzić będzie krajem, choć niewielkim, ale mającym za sobą świetną i dawną bardzo przeszłość. Jeszcze za czasów Juliusza Cezara, północną część nizin, objętych ogólną nazwą Niderlandów, pomiędzy rzekami Maasem, Waalem i Renem zamieszkiwali *Batawowie*, którzy dopiero po długich walkach z Rzymem, ulegli jego potęgze. W V-ym wieku po Chrystusie nie słychać już o nich: na ich miejscu występują *Fryzowie*, którzy wraz z Frankami i Sasami weszli w skład monarchii Karola W-go. Przy podziale państwa pomiędzy wnuków Karola, część Niderlandów przypadła Francji, część Lotaryngii, część Niemcom, a gdy w X-ym w. Lotaryngia wcieloną została do Niemiec, cała „nizina“ — z wyjątkiem ziem położonych za Skaldą — zaliczoną została do krajów składających cesarstwo rzymsko-niemieckie.

Gdy w całej Europie zapanował system lenny, i tu także potworzyły się księstwa, hrabstwa, pomiędzy którymi hrabstwo Hollandyi nie należało do ostatnich. Wszystkie te lenne państewka zjednoczyły się w w. XIV pod berłem książąt burgundzkich, (którzy dostali Hollandyę po hrabinie holenderskiej, Jakóbinie), a w w. XV-ym dostały się ich spadkobiercom Habsburgom. (Córka Karola Śmiałego, ks. burgundzkiego, Marya, wydana za Maksymiliana Habsburga, była babką Karola V-go). Karol V-ty, odziedziczywszy Niderlandy, starał się z nich utworzyć państwo potężne i jednolite, ale gdy kraj ten przyjął Reformacyę, syn i następca Karola, Filip II, powierzwszy namiestnictwo ks. Albie, niszczyć je kazał ogniem i mieczem, aż wreszcie w r. 1566 naród cały pod wodzą Wilhelma ks. Oranii, powstał przeciwko zniestanym rządóm hiszpańskim. Ów Wilhelm, pierwszy w historii znany przodek dzisiejszej następczyni tronu, zginął wprawdzie zamordowany, ale pomimo to, król hiszpański, Filip III musiał zawrzeć w r. 1609 dwunastoletni pokój, mocą którego uznawał niepodległość 7-iu prowincyj, które przybrały nazwę „*Rzeczypospolitej Zjednoczonych Niderlandów*” (Prowincye południowe, czyli dzisiejsza Belgia, pozostały katolickimi i pod rządem Habsburgów). Na czele nowo-utwo-

roniej rzeczypospolitej stanął Maurycy, ks. Oranii, który wdał się w zatargi ze stanami największej z prowincyj, Hollandyi, zostającej pod zarządem Oldenbarnewelta, co wywołało ciągle waśni wewnętrzne.

Pomimo to jednak, handel, przemysł, żegluga, rozwijały się pomyślnie: handel za cieśniną Magelańską i Przylądkiem Dobrej Nadziei cały był w ręku Niderlandów; w Indyach tak wschodnich jak i zachodnich, posiadała Rzeczypospolita kolonie, przysparzające krajowi bogactwa. To też gdy po upływie rozejmu, znowu się rozpoczęła wojna z Hiszpanią, zakończona w roku 1648 pokojem westfalskim, Rzeczypospolita — uznana teraz przez wszystkie mocarstwa — stała na szczycie swjej potęgi i należała do najpotężniejszych państw europejskich. W r. 1650 zarząd kraju objął Jan de Witt i całych sił dołożył, by wyżej jeszcze podnieść marynarkę, która w wojnie z Anglią, (zostającą wówczas pod protektoratem Cromwella), okryła się niezapomnianą sławą. W wojnie podówczas właśnie wszczętej z Ludwikiem XIV, Niderlandy zrazu zwycięskie, później porażkę poniosły. Jan de Witt zginął z rąk rozjątrzonego ludu, a namiestnikiem, oraz naczelnym wodzem wojsk, mianowany został Wilhelm III, ks. Oranii, za rządów którego wojna z Francją wzięła pomyślniejszy obrót. Pokojem nimwęskim, zawartym w r. 1678, Niderlandy nie straciły ani jednej piędzi ziemi, a Rzeczypospolita, wdzięczna swemu naczelnikowi, dopomogła mu do objęcia tronu angielskiego w r. 1688.

W wojnie o następstwo tronu tak hiszpańskiego, jak i austriackiego, mniej dobrze wiodło się Niderlandom; w roku 1782 przychodząc z pomocą wzburzonym koloniom anglo-amerykańskim, wypowiedziały Anglii wojnę, i kraj cały podzielił się na dwa stronnictwa: stronników domu orańskiego i jego przeciwników, którzy z początku prześladowani i zmuszeni z kraju uciekać, w końcu jednak wzięli górę nad „*orańczykami*.” Wilhelm V-ty ówczesny namiestnik, uciekł do Anglii w r. 1795, a przeciwnie stronnictwo ogłosiło „*Rzeczypospolitą Batawską*” i nadało jej konstytucyę, podobną do ówczesnej francuskiej. Anglia, mszcząc się za nieprzyjacielskie kroki Niderlandów, niszczyła ich flotę i kolonie, skutkiem czego zmniejszył się przyrost bogactwa, upadła żegluga i handel, a z niemi razem i dawna potęga Niderlandów.

Napoleon I-szy, który zmieniał i przekształcał postać Europy, zamienił Rzeczypospolitą na „*Królestwo holenderskie*,” w r. 1806 i osadził na tronie brata swojego, Ludwika Bonapartego, który abdykował w r. 1810 na rzecz nieletniego syna. Napoleon wcielił wtedy Niderlandy do Francji, i namiestnikiem mianował Lebrun'a, księcia Placenzy.

Z upadkiem Napoleona powrócił do władzy dom orański w osobie Wilhelma (syna Wilhelma V-go), a kongres wiedeński w r. 1815 uchwalił, że Belgia z Hollandyą, stanowić będą „*Królestwo Niderlandzkie*” pod berłem tegoż Wilhelma, który zwać się począł „*pieruszym*” chociaż synem był *piątego*. Za ustąpienie Niemcom posiadłości nassauskich otrzymały wtedy Niderlandy księstwo luksemburskie i król Wilhelm I, który zaznał w młodości goryczy wygnania, został teraz władcą przemysłnego i bogatego kraju, który pracą wytrwała piędź po piędzi ziemię swą morzu wydzieriał, sypiąc dla zabezpieczenia się od wylewów olbrzymie wały i tamy — powierzchnia bowiem Hollandyi niższą jest w wielu miejscach od poziomu morza.

Belgia nie czuła się jednak zadowoloną ze swego położenia i po kilkoletnich z Hollandyą rozterkach ogłosiła się niepodległą w r. 1830. Wilhelm I-szy zamierzał wkroczyć z wojskiem w jej granice, gdy Anglia i Francya, wziąwszy Belgią w opiekę, zmusiły króla do ustąpienia.

W r. 1839 zawarł Wilhelm z Belgią ugodę, mocą której uznał jej niezależność, ale w r. 1840 złożył koronę rozłączoną z południową sąsiadką Hollandyi, pod nazwą której rozumieć już odtąd należy dwie prowincye, stanowiące dawniej *hrabstwo Hollandyi*, a dziś noszące nazwę *Północnej Hollandyi* i *Hollandyi Południowej*. Północna ze stolicą Amsterdam, ma 49 i pół mil kwadratowych; południowa, ze stolicą Haga, ma 54 i pół m. kwadr. Obie stanowią kraj płaski,

niski, urodzajny, obfitujący w pastwiska, które pozwalają na hodowanie wyborowej rasy bydła; w obydwóch mieszkańcy trudnią się handlem, rybołówstwem, przemysłem płócienniczym, nie zapominając o hodowli roślin cebulowych, któremi handel głównie prowadzi Harlem. Był czas, że to zamięłowanie do roślin cebulowych, a głównie do tulipanów, pobudzało do szaleństw spokojnych i flegmatycznych Holendrów, ale dziś pozostaje ono w granicach umiarkowania, a jeżeli co do przesady posuwają Hollendrzy, to zamięłowanie w czystości, czego wszakże ganić im trudno.

(d. n.)

## W WIGILIĄ.

(Dalszy ciąg.)

Skoro Jędrus powrócił do przytomności, ujrzał się w jasnym, dużym i ciepłym pokoju, a przy nim stały dwie osoby.

Jedną była młoda, siednastoletnia może panienska, drugą młodszy o jakie trzy lata chłopczyk w gimnazyalnym mundurku. Chłopczyk ten trzymał jeszcze jedną jego rękę i rozcierając ją wolno w swych dłoniach, rozmawiał z siostrą. Jędrus z razu nie dowierzał własnym oczom, ale skoro przetrząsłszy je silnie pięścią ujrzał się w tem samym otoczeniu, zrobił ruch, jakby się chciał zerwać z miejsca, na którym go położono:

— O mój Boże! co ja widzę! Toć to mój panicz i panienska... — wymówił, chwytając z szaloną radością ich ręce i okrywając je pocałunkami.

— Tak, to my — odparł, niemniej ucieszony tem nagłym oprzytomnieniem chorego, chłopczyk w mundurku — i nie patrz z takim zdziwieniem dokoła siebie. Jesteś u nas w domu i nic ci się złego nie stanie. A czy wiesz jakim sposobem się tu znalazłeś?... I nie czekając odpowiedzi Jędrusia, który oszołomiony nagłą taką przemianą miejsca, nie przyszedł jeszcze do słowa, mówił:

— Otóż, widzisz, bardzo prostym. Wraciałem właśnie ze szkół jadąc do domu na święta, gdy oto nagle na prostej drodze między lasem, jeden z lejcowych kaszanków staje dęba i rzuca się w bok, wysypując nas tem szarpnięciem niespodzianem, na śnieg z sani. Stary Szymon zaklął aż półgłosem, przypisując ten wypadek lekliwości młodego łyska, aż tu w chwili kiedy sadowiliśmy się już na nowo na siedzeniach, bo pilno nam było dojechać jaknajprędzej do domu na wieczór, dostrzegam w śniegu coś ciemnego. Wskakuję po raz drugi, macam rękę, a oto ty Jędrusiu! Poznałem cię zaraz zapaliwszy zapalną, tylko przeraziłem się twoją błałością. Byłeś zamrznięty i bezprzytomny. Już z kradrans tutaj nacieramy cię śniegiem i Bóg wie czem. Ale otóż powraca Anulka i niesie ci wino — mówił chłopczyk, w którego szybkiej mowie przebijada trzpiotowata natura, niemniej jak dobre serduszko. W tejsze chwili nadeszła panienska, która wysunęła się była zaraz, skoro tylko Jędrus przyszedł do siebie i otworzył oczy, a podając mu szklanke napełnioną złotawym płynem.

— Wypij to Jędrusiu — rzekła serdecznie — może ci smakować nie będzie, ale ci bezwątpienia dobrze zrobi — a potem dodała zwracając się do brata — Pójdziemy Kaziu; rodzice już dzieła się opłatkami i niezadługo zasiądą do stołu, a tatuś powiedział że ponieważ brakuje jednej osoby do pary, pozwala ci zabrać ze sobą Jędrusia. Kaziuwi zabłysły oczy na ostatnie słowa siostry.

— Doskonale — wykrzyknął — pójdiesz Jędrusiu! zasiądziesz z nami przy stole wigilijnym, i tam, opowiesz, jakim sposobem znalazłem cię na środku leśnej drożyny. Ach, doprawdy, byłem przerażony, widząc cię tak skostniałym i bla-

dym. Jaki ten tatuś jest dobry, że nam razem pójść pozwolił.

Przez ten czas, od chwili oprzytomnienia, choć Jędrus słyszał co do niego mówiono, lecz jednocześnie przeróżne myśli snuły mu się po głowie.

— Co za dziwny i szczęśliwy zbieg okoliczności! — dumał. — On, który biegł tak, niemal bez celu, do wioski rodzinnej, bo poto tylko by nań popatrzeć chwilę, jak wygląda w ów uroczysty wieczór, byłby zmarł niechybnie przy drodze gdyby Opatrzność nie zesłała tam panicza, tego panicza z jego wioski, z którym niegdyś, gdy oba byli jeszcze dziećmi, przychodził się bawić do dworu. A potem... potem, wieleż to razy bywał tu jeszcze z kolegą, gwiazdą, lub kozą!... Znał cały dwór doskonale; i pana, panią i panienkę, która dawniej nawet uczyła go przez czas jakiś czytać na książce, a była taka dobra, łagodna i zawsze uśmiechnięta, że wszystkie dzieci ze wsi skoczłyby za nią choć w ogień!... Widać jeszcze Bóg miłosierny nie zapomniał o sierocie, kiedy uchronił go od śmierci, a przedtem zesłał nań takie cudne widzenie o Jezusie Dzieciątku... Tak, bo też to chyba widzenie być musiało — choć zapamiętał zeń wszystko, jakby było na jawie...

Z tych to myśli wyrwała go panienska, przynosząc mu napój. Wypił go do dna, choć mu bardzo nie smakowało to cierpkie wino, obtarł usta rękawem i uczuwszy się już zupełnie silnym, odezwał się nieśmiało.

— A gdzieżbym ja też się ośmielił zasiadać z państwem do stołu, paniczku, ja, taki smoluch i obdarty...

— Dzieciństwo! — zawołał chłopczyk — umyjesz się tylko i uczesziesz, a zresztą nie troszcz się o nic. Znasz przecież tatusia; bo niedalek jak dwa lata przychodziłeś tutaj z kozą do kredensu, a on podarował ci dwuzłotówkę i książeczkę do nabożeństwa. Tatuś cię zawsze lubił dawniej, i mówił, że z ciebie wyrośnie poczciwy i sprytny chłopak...

— Chodź, chodź, Jędrusiu — dorzuciła ze swej strony panienska, nie wstydź się, na ubranie nikt tu nie zwraca uwagi, bo nie ono, ale tylko serce i dobre czyny zalecają człowieka, a ja ręczę, że serce masz czyste i nie popełniłeś nic złego.

Biedny chłopczyna uczył się bardzo zawstydzony, skoro się znalazł niebawem w obszernej sali jadalnej, gdzie cały dom, prawie, zebrany dzielił się opłatkami. Była tam i służba i domownicy. Życzenia szczerze, i płynące z serca błogosławieństwa krzyżowały się co chwila. Jędrus choć z razu ośmielony, nie stracił bynajmniej przytomności. Wszystkich niemal znał tutaj, pochylił się najpierw do kolan państwa, a potem zaczął witać radośnie innych.

Dziedzic, poparty pamięcią syna, przypomniał sobie ła-two Jędrusia i wypytywał o powód dzisiejszego zbłąkania, jak mniemał, wśród śniegu w lesie.

Opowiedział szczerze i śmiało całą prawdę, jako też, na dalsze pytania, o całym swem życiu i losach, jakie go spotykały, od śmierci znanej tu we wsi z zacności, ukochanej swej matusi. Pan wysłuchał wszystkiego, poczem pogładził jasne jego włosy i z uśmiechem rzekł mu:

— Zuch z ciebie, mój chłopcze, jak widzę, dasz sobie radę na świecie, a i drugim potrafisz być pomocnym!...

Kazio rósł z radości, słuchając tej pochwały, surowego zazwyczaj, choć sprawiedliwego ojca, a Jędrus aż pokraśniał cały z zadowolenia.

Przy wieczerzy siedział na końcu stołu, ale nie prawie nie mógł wziąć do ust, choć był nieledwie naczczo od rana, a paniczek z panienką pamiętali o nim ciągle. Wielka radość i wzruszenie dusiły go w gardle.

A jednak ani się spodziewał, jakie go jeszcze tego dnia szczęście spotkać miało.

Wstawszy od stołu, wszyscy gotowali się przejść do drugiego pokoju; otworzono drzwi boczne, dotąd zamknięte, i nagła jasność rozległa się dokoła. Na środku stała tam smukła zielona sosenka, z tysiącem gorejących świeczek u rozpostartych gałązek. Na choince rumieniły się czerwone jabłuszka, jakby malowane, lukrowawe pierniki, orzechy, i mi-

sternie pracowitemi paluszkami w domu urządzone drobne zabawki. Lecz najciekawszem było to, czem zasłany był niemal cały stół pod drzewkiem. Były tam ciepłe wełniane kaftaniki i spódniczki, całe ubranka dla chłopców, i bawełniane kolorowe pończoszki... Aż się miło robiło, patrząc w jakim to ślicznym porządku leżało poskładane jedno obok drugiego!... Kiedy już wszyscy weszli, a Jędrus, zapatrzony na to jarzące drzewko i wszystkie cuda w koło niego rozłożone, zapomniał w zachwyceniu o świecie całym, otworzono drugie drzwi, wiodące do obszernej sieni, a na odgłos ten spora gromadka wiejskich dzieci wtargnęła do pokoju z radośnym rumieńcem na okrągłych twarzyczkach. Działwa biegła dookoła choinki, śmiała się i sprawiała szmer podobny do brzęku pszczoł w ulu. Co chwila przecież rzucała się do rąk państwa, a głównie panienki, dziękując im z serca za tę uciechę. Anielka stała na uboczu, jakby chcąc uniknąć tych podziękowań, a ciemne jej oczy, lśniące dziwnym blaskiem pogody, mówiły jedynie, jak bardzo cieszy ją ta radość gromadki. Wreszcie, skoro już dość nazachwycano się tak pięknie przystrojoną choinką, przystąpiła do niej bliżej i z pomocą brata zaczęło się rozdawanie podarunków. Wrzawa wzmogła się jeszcze, i za każdym wsypaniem do małej kieszonki lub fartuszka jabłek, orzechów lub pierników, dochodziła do najwyższego punktu... potem nastąpiło rozdawanie ciepłej odzieży, przyjęte z niemniejszym entuzjazmem małej rzeszy, a kiedy wkońcu do pokoju wsunęło się kilka matek, prostych, wiejskich kobiet, ubogo odzianych, by w imieniu wszystkich innych podziękować za radość i miłosierdzie wyświadczone ich dzieciom, oboje państwo, którym one chyliły się do kolan, przejęte wdzięcznością, rzekli jednogłośnie z pewnym drżeniem w głosie:

— To nie nam dziękujcie, dobre kobiety, myśmy o tem zaledwie wiedzieli, to nasza córka...

(d. c. n.)

### SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Wszystko*, jak uczą dziejowe karty,  
Jest razem czterech mężów imieniem,  
Którzy władali nad ludem Sparty,  
Zbrojnym królewskim ramieniem.

Jeden z nich pierwszy niegdyś na tronie,  
Z imienia nazwę tworząc rodową.  
Jak protoplasta, po ojca zgonie  
Dynastją rozpoczął nową.

Drugi, rządzący potem z kolei,  
Swoj miecz podnosił w górę zwycięzki,  
Pokonał Argian przy Mantynei,  
Często lud gromił ateński.

Trzeci, gdy śmiało dobywszy broni,  
Wzruszony Greków pobitych losem,  
Wraz Macedonów karciał, w pogoni  
Legł pod oręża ich ciosem.

Czwarty, wskrzeszając Likurga prawa,  
Następnie pośród zaciętych sporów,  
Jakie wzniciła dawna ustawa,  
Zginął z rozkazu Eforów.

To imię zgłoski krótkie zamyka,  
A jak się pierwsza i druga zowie?  
Komu gruntowniej znana muzyka,  
Ten zaraz powie.

### REBUS.



### ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go

#### Szarady:

Bohdan — Zaleski.

#### Łamigłówniki kryształowej:

	S				
		N	i	l	
		G	l	e	b
					a
	M	e	n	n	i
					c
					a
S	y	r	o	k	o
					m
					l
S	i	e	n	k	i
					e
					w
					i
					c
					z
H	o	r	t	e	n
					s
					y
					a
G	ł	o	w	n	i
					a
					G
					l
					i
					n
					a
					A
					c
					z
					z

Zalecamy następujące wydawnictwa dla młodzieży i dzieci pp. Gebethnera i Wolffa:

**Przygody młodych podróżników** p. M. J. Zaleską (z rycin.)

**Opowiadania Ciooci Łudmiły** p. Teresę Jadwigę (z rycinami).

**Kopalnia króla Salomona** powieść z angielskiego dla młodzieży, przez Riders Hagarda.

**Zabawka** dla młodszej dziatwy, z obrazkami kolorowanemi i wierszykami, J. Checiskiego (wydanie trzecie).

**Opisy i przygody podróży w różnych częściach świata** (z rycinami) Wł. Anczyca (wydanie trzecie).

**Przypadki Robinsona Kruzoe** (z rycinami, wydanie piąte).

**Robinson szwajcarski** (z rycinami, wydanie piąte).

**Pamiętnik Franc. Kostrzewskiego**, wyjdzie w lutym r. przyszłego, cena rs. 1 kop. 50 z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 75 w prenumeracie, następnie zaś podwyższoną zostanie.

**Wszystkim prenumeratom przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

**TREŚĆ:** Kolęda, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Osobliwe narzędzia muzyczne (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Dziesięcioletnia królowa (z portretem). — W wigilią opowiadanie p. V. Cairo. — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Anioł, wiersz, p. Z. Morawską (z drzew.) — Cioocia Scholasia. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówniki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.



Zjadać to ziarno, które człek zasiewa?...  
 Nie dziw więc, że on za to się tak gniewa.  
 Wszak ty i owcy nie oszczędzasz przecie,  
 Skubiąc z niej wełnę, gdy siądziesz na grzbiecie.  
 To też cię człowiek szczerze nienawidzi,  
 Bo w tobie wroga pracy swojej widzi!"

## MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY,

p. **A. Do.**

(Dalszy ciąg).

— Widzisz Stasiu — rzekła mama, podając mu dwa plasterki; tyle razy ci powtarzam, nie biegaj tak prędko znasz dobrze swoją niezręczność, czy też nieuwagę, a wiesznie się zapominasz i potem cierpieć musisz. Choćby ci już nie chodziło o ból chwilowy, to pomyśl, że mnie zawsze przestraszasz swemi codziennymi przygodami. Niedaléj, jak wczoraj, spadłeś znowu ze schodów; dzięki Bogu, nic ci się złego nie stało, ale przed dwoma laty, z trzech tylko schodów zleciałeś; złamałeś nogę. Pamiętasz, jak bardzo bolała? Jak trzewiczka zdjąć nie było można, tylko nożyczkami rozcinać musiałam? Jak płakałeś gdy ci doktor nóżkę składał i gipsem oklejał? A potem, cały miesiąc trzeba było leżeć spokojnie, z nóżką w kamiennej pończoszce. A widzisz! wspomnienie tych smutnych dni nie tak łatwo wyjdzie ci z pamięci, pomyśl co by to było, gdyby podobne nieszczęście drugi raz cię spotkać miało? Cóż?... obiecujesz dla miłości mamy od dziś być uważniejszym?

— Obiecuję, mamusiu, obiecuję!

— Spuszczam się na twą obietnicę; zobaczymy czy mamę tak bardzo kochasz jak mówisz. Idź-no, zobacz, kto tam dzwoni.

— To ja mamó — rzekła wchodząc Helenka. — Wiktusia odprowadziła mnie do cioci, ale ciocię bardzo głowa boli, więc prosiła, żebym przyszła kiedyindziej, a dziś zabrałam Henrysia i Józia do nas. Czy mama się o to nie gniewa?

— Ale owszem, bardzo dobrze, że dzieci przyszły tu się pobawić, kiedy mama niezdrowa; będzie mogła przespać się spokojnie, a to na ból głowy najlepsze lekarstwo. Bawcie się teraz grzecznie, a za chwilę dostaniecie podwieczorek.

Henryś i Józia są prawie rówienikami Stasia i Helenki, to też bawią się razem wybornie, a choć czasem i posprzecząją się trochę, to prędko następuje zgoda, gdyż wszystkie te dzieci pomimo wad właściwych wiekowi swemu, są poczciwe i grzeczne.

— Jakże się będziemy bawić? — spytała Józia.

— W ciuciubabkę — zaproponował Henryś.

— Kiedy ja obiecałem mamie, że już nigdy nie upadnę, a przy téj grze trzeba uciekać albo gonić; na ślepo, jeszcze się przewrócę i będzie piękna robota, ani pół godziny słowa nie dotrzymam. Bawmy się w chowanego.

— A gdzie się będziemy chowali? W dziecinnym pokoju śpi teraz Maryria, tu w jadalnym niema żadnej

kryjówki, do mamy lepiej nie chodźmy, bo coś czyta, to byśmy jej przeszkadzali. Bawmy się w kotka i myszkę.

— Helenka zawsze coś ni w pięć ni w dziewięć wymyśli — skrytykował Staś — jedno będzie kotkiem, drugie myszką, a dwoje będzie robić koło! Na taką grę trzeba przynajmniej dziesięcioro dzieci.

— No, to bawmy się w lisa!

— To bawmy się w lisa!

— To wszystko jedno, także nas za mało...

— To w mručka!

— W wilka i owce!

— W talarka!

— W żywe obrazy!

— Poczekajcie! — przerwał Jerzy, odkładając na jutro zakończenie swego listu. Ja was pogodzę.

— Będziemy się bawili w *Szkołę*.

— Wybornie! — krzyknęły dzieci.

— Tylko — dodała Józia — kto będzie profesorem? Jabym chciała...

— O, i ja także! — przerwał Staś.

— A dopiero ja! Muszę być profesorem — zawyrokował Jerzy. — Ale żeby uniknąć znowu niezgody, poszukajmy sposobu, któryby nam wszystkim dogodził. Wiecie jak? Każde z nas będzie uczyć innego przedmiotu, (jak prawdziwi profesorowie) i wtedy kiedy będzie jego lekcyja, wszyscy będziemy uczniami; potem nauczyciel pójdzie do ławki, a kto inny zajmie jego miejsce i będzie druga lekcyja. Dobrze tak?

— Doskonale! — pochwaliła Józia — czegoż ty będziesz nas uczył?

— Fizyki — odparł Jerzy z przemądrzałą minką. — A ty, Józiu?

— Ja historii świętej.

(d. c. n.)

### SZARADY.

Dla Heli, Henia i Hanki, od cioci Adelci.

*Pierwszy* na Tatarów czele,

A *drugiego* szukaj śmieie

Pomiędzy literami.

*Wszystko* jest między wami.

Moja *pierwsza* jest w nut rzędzie,

Moja *druga* takąż będzie;

*Wszystka* przy wichrach niebezpieczną bywa,

I groźną dla żeglarza, co wśród burzy pływa.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

Szarady:

H e n r y k.

Łamigłówek kryształowej:

	g			
w	ą	ż		
g	ą	s	k	a
	o	k	o	
		a		

## Skrzynka do listów.

W samej rzeczy, **Ogrodniczko**, nie odebraliśmy pierwszego listu, a obecny bardzo ładnie świadczy o grzeczności, do której czujesz się zobowiązana, jak się nią czuć powinna każda dobrze wychowana dziewczynka.

Nowym pseudonimem nazwaną „**Wiare**” zaciągnęliśmy na listę korespondentów.

Jakże tu **Ciekawemu** nie posłać numeru, o który prosi! Gotówby zachorować z niezaspokojonej ciekawości. Liścik siostrzyczki przyjmujemy pod opiekę.

**Sówko błękitko**, mamusia ma słuszość: wielu, bardzo wielu jest teraz „takich, co im zimno.” W imieniu ich dziękujemy serdecznie. Dodatek posłano; dla biednych pozostało kop. 70. Gołąbkę nic więcej od listu ucieszyć nie może; Redakcja zaś chętnie „pokocha jak i innych” takiego błękitnego motylka, któremu bynajmniej nie wzbrania korespondencyi z innymi stworzonkami, nawiedzającymi skrzynkę do listów.

**Królowa lalek** niedługo już będzie miała prawo nazwać się babunią poddanych swoich, a przynajmniej zajmować się niemi przestanie, skoro ją tak zajmuje to, co czyta w **Wieczorach**. A i korespondencya z nami, której bardzo radzi jesteście, także czasu trochę zabiera? Brakujący numer wysłamy, aby koniec położył zmartwieniu.

**Macierzanka**, choć ma dopiero lat 10, należy do bardzo dawnych czytelniczek, skoro od połowy niedługiego życia już czytuje nasze **Pisemko**. Dlaczegoż dopiero teraz przyłącza się do grona korespondentek?

**Niezabudka z nad Chomoru** przysłała dobre rozwiązanie.

**Słonecznik polny** przysłał nam szarady nie nadające się do druku. Ta, w której każe „nastawiać sieci” wadliwie jest ułożoną: nie wiadomo bowiem *na kogo* je nastawiać? Odpowiedź mieszcząca się w wyrazie jest naciągniętą i zawiera w sobie błąd deklinacyi. Wyraz użyty do drugiej szarady jest prowincjonalizmem zupełnie nie używanym w poprawnej mowie i nawet nie wszędzie znanym.

Przyjemnie nam się dowiedzieć, że **Opocznik z nad Czarnéj** „skacze z radości do sufitu” jak zobaczy, że przysły **Wieczory**, bo cóż miłszego nad przekonanie, że się kogoś tak zadawalnia.

**Violi tricolor** bardzo jesteście wdzięczni, że nam zjednała nową korespondentkę, **Śnieżyczkę**. Ta ostatnia widocznie dobrze się bawi w klasztorze i z łatwością uczyć się musi, skoro przygotowywanie się do lekcji nie zabiera jéj wszystkiego czasu i pozwala brać udział w przedstawieniach amatorskich, uświetnionych obecnością tak dostojnego gościa. Życzenie wyjawione przez **Violę tricolor** już jest spełnione: artykuł, którego ukazania się pragniesz, już przygotowany do druku.

Nie jest grzechem lubić czekoladki; gust ten podzielają ze **Śnieżyczką** i **Kaziem** osoby dużo od nich starsze. Spytaj się o to **Gołąbki**: będzie miała dużo do powiedzenia.

Najmocniej zapraszamy **Polską dziewczoję** do przyjęcia udziału w konkursie, do którego naturalną jest rzeczą, że należeć mogą i chłopcy. Jeden z nich zrobił już nawet szczęśliwy początek.

Dobrze czyni **Zorza**, że do pisania na konkurs namówiła i dużo młodszą siostrzyczkę. Obrazek nasz jest tego rodzaju, że i młodszy i starsi znajdują w nim materiał do opowiadania. **Książka**, o którą pytasz jest w tym samym rodzaju co poprzednia.

Godzimy się z tobą, **Rezedo**, że niemłą jest jesień, ta szara, mglista posepna, która w mieście nic a nic nie jest ładniejszą niż na wsi. Ale, wybory znamy aforyzm: „*Czego nie można zmienić to znieść potrzeba*” i stosujemy go w tym razie, co nam pewną pociechę przynosi.

Liściki **Białego bzu** pójdą do druku w swoim czasie, również jak i liścik **Kaliny z nad Dniepru**. Na pytanie, przez tę ostatnią zadane, odpowiedzieliśmy już **Polskiej dziewczoi**.

„Zebrało się” wreszcie zajrzeć do nas **Słoneczko!** tém požądane, że tak teraz chmurno i szaro. Pseudonym panienci, którą sobie obierasz za korespondentkę, tak odpowiada twójemu, jak

skutek przyczynie; postaramy się więc zadość uczynić twój prośbie w możliwie najkrótszym czasie.

Niepodobna odebrać miłszego dla nas liściku nad twój **Antoniczanko** droga; to, co w nim nazywasz nieładem, jest naturalnością i prostotą, wielce pożądaną w każdej czynności, a pismo bardzo dobre i nie widzimy w nim owych „ogonków”, których tak się wstydzisz. Obmawiasz się niesłusznie, kochana. Pisuj do nas choć niekiedy z Kr. bo żałowalibyśmy, gdyby nam ubyla tak miła korespondentka. Czemu się uczysz muzyki skoro, jak mówisz, nie masz ani odrobiny talentu? Czy nie lepiej byłoby poświęcić czas ten rysunkom?

Niech **Sosenka modrooka** prześle nam swój adres, to na jéj pytanie odpowiemy.

Nie miałam czasu rozpatrzyć zaraz po powrocie do Warszawy wszystkich liścików i dla tego tak późno odpowiadam ci kochana **Polna różyczko**. Cieszę się najpierw, że cię zajmują artykułiki **Wieczorów** i że je czytasz uważnie, czego dowodzi spostrzeżenie nie dostrzeżonej niestety w korekcie, omyłki drukarskiej która brzmi jak następuje: „*Karola 4-go* osobiście położył kamień węgielny pod budowę, którą *w ciągu czternastego wieku za panowania Władysława Jagiellończyka ukończono.*” Gdy zaś być powinno: „*Karol 4-ty* osobiście położył kamień węgielny pod budowę, którą *w ciągu czternastego wieku prowadzono, a za panowania Władysława Jagiellończyka ukończono.*” Oczekując przybiecanéj mi dalszej korespondencyi, ściska serdecznie miłą **Różyczkę**. *Gołąbka*.

Do was to zwracam się dzisiaj; stara, wierna gwardyo **Wieczorów**: **Ukrainko**, **Jaskółko** i **Niezabudko!**... Wiedzie, moje drogie, wszystkie razem tworzymy wcale poważną cyfrę kilku dziesiątków lat, ręczę jednak, że trudno byłoby znaleźć weselszej czwórki, gdybyśmy zeszyli się kiedy w życiu. **Ukrainko** miła, śliczne masz o mnie zdanie, lecz za pochlebne trochę; nie posiadam jeszcze wiele hartu duszy, choć go się staram nabyć. **Jaskółko**, znam **Hôtel Lambert** z opowiadania mej nauczycielki, byłej wychowanki tamtejszej. Czy p. **Rust.**, jest zawsze wyjazkiem całego zakładu i starym, dobrym przyjacielem wszystkich uczennic? **Niezabudeczko**, jesteś **Sandomierzanką**, **Zosią** podobno? Donieś mi co więcej o sobie, a może mamy wspólnych znajomych, skoro niedaleko od siebie mieszkamy. Do widzenia, kochane weteranki naszego **Pisma**. **Czwarta z Waszego grona**, *Wiochna z pod Lublina*.

**Lube Siostrzyczki**: **Gałązko-Paproci**, **Jodelko z nad Noteci**, **Kulko Śniegowa** i **Iskierko z pod Lublina!** Dziękuję każdej z was osobno, za przyjaźne o mnie wspomnienie i łączę was za to wszystkie, w jednym serdecznym uścisku! Nie spędzałam, droga **Gałązko**, wakacyi nad brzegami **Tamizy**, ale blisko wybrzeży **Baltyckiego morza**, a nieraz patrząc na jego fale, myślałam, że może która z nich od **Wisły** przyplywa, aby mnie na obczyźnie pozdrowić? I mnie także, kochana **Iskierko**, podoba się „**Druga Matka**,” lecz mimo tego tak sobie jak i każdej z was życzę, by **Bóg** nam zachował pierwszą, najukochańszą matkę! *Brzydotka z nad Tamizy*.

Kopciuszku kochana,  
Jedynie mi znana,  
Z tego naszego,  
Pisemka miłego.  
Przyjmij, ten wierszyk odemnie,  
A sama wzajemnie  
Napisz słów kilka do *Gwiazdeczki*.

Kochana **Wielkopolancko z nad Odry** i **Dobruniu!** Proszę was podajcie mi w liście dokładny wasz adres. Domyślcie się, kto jestem, gdy wam przypomnę „**Grabinę**.” Czemu **Iza** do mnie nie pisze? Całuję was serdecznie. *Gwiazdka wieczorna*.

Kochana **Sosenko**, jesteś w moim wieku; donieś mi więc gdzie mieszkasz i jak się nazywasz? Mnie na imię **Tonia** i mam lat 8, mieszkam na wsi, na **Ukrainie** u cioci, uczę się dużo i bardzo lubię naukę. **Wieczory** czytam z przyjemnością, jak ci się podoba **Jadwiga** w „**Szesnastoletnim Wojewodzie**”? Należę do wszystkich konkursów, na ostatni uszyłam spódniczkę. Odpisz mi prędko **Sosenko**, całuję cię. *Tęcza z nad Jatrani*.

bym więc udawać profesora, ale co koszty przewracać, to umiem przepysznie.

— A ja — zakończyła Helenka — to już wolę cały czas być uczniem, bo mnie to bardzo bawi; a gdybym była nauczycielem, tobyście mnie pewno nie słuchali. Któż zaczyna?

— Naturalnie ksiądz katecheta. Siadajcie, dzieci Ale, ale — dodał Jerzy — pamiętajcie, że każda lekcja ma być krótka, najwyżej jedno lub dwa pytania, a potem zaraz kto inny ma lekcję, boby nam się uprzykrzyło. Józiu, zaczynaj, tylko bez śmiechów, porządnie.

Dzieci siadają rzędem na krzeselkach; Józia staje z powagą na ławeczce za stołem. I rozpoczyna się lekcja, ale niestety, i tu się nie obeszło bez sprzeczek, bo jedni nie umieli odpowiadać stosownie na czynione im zapytania, drudzy znów czynili jakieś niewłaściwe uwagi w tym przedmiocie. Przy lekcji gimnastyki, Staś pamiętny obietnicy danej mamie, nie chciał skakać, inni znów skakali lecz bardzo niezgrabnie, ale najtragiczniej o mało nie wypadła lekcja fizyki. Jerzy obiecał robić maszynę elektryczną ze starego drewnianego pudełka. Kazał dzieciom trzymać je rękami, a dobywszy z kieszeni tutkę z jakimś miałkim proszkiem, miał ją podłożyć pod pudełko i zapalić, poczem wszystkie dzieci miały uczuć mocne wstrząśnienie elektryczne. Na szczęście nie miał zapalek i poszedł ich szukać u mamy, mama znów zaniepokojona robotą z zapalnikami, zaprzagnęła obejrzeć cały przyrząd. Wyjęła więc tutkę z pudełka i poszła z nią ku oknu.

— Jezus Maryja! Ależ to proch strzelniczy! — zawołała w najwyższym przerażeniu. — Dziecko, skądęś to wziął? Wzruszenie i przestraszony mamy, były tak silne, że nie była w stanie utrzymać się na nogach; siadła więc przy stole i jakby oczom własnym nie wierząc, wpatrywała się w osłupieniu w straszne „corpus delicti.”

Jerzy nawpół zdziwiony, a nawpół widokiem mamy przerażony, stał pokorwie, jak winowajca bezwiedny.

— Skąd wzięłeś ten proch? — powtórzyła mama.

— Jaś, mój kolega, którego ojciec ma skład broni, dał mi to dziś po lekcji.

— I cóżś myślał z tem zrobić?

— Włożyłem to do pudełka i chciałem podpalić, a potem, jakby wystrzelił i dzieci się nastraszyły, tobym im powiedział, że to jest elektryczność.

— A nie pomyślałeś — mówiła z wyrzutem mama — na co rodzeństwo, dzieci cioci Zosi i siebie narażasz. Czy nie wiesz, że proch wszystko rozsądza? że na wystrzale nie byłoby się skończyło, ale prawdopodobnie, (gdyby nie Opatrzność Boża nad wami) proch wypaliłby wam oczy, poszarpał twarz i ręce...

— Ale, co też mamusia mówi? Taka odrobina?

— Ta odrobina, moje dziecko, wystarczy aż nadto by was wszystkich okaleczyć na całe życie.

— Ach! Ktoby się był tego spodziewał... ja właśnie sobie myślałem, że papierowe pudełko będzie za słabe i moglibyśmy się sparzyć, dla tego wzięłem drewniane w przekonaniu, że go proch nie potrafi rozsądzić.

— Lekkomysłne i niedobre z ciebie dziecko; — mówiła dalej mama. — Nie pojmuję nawet, jak podobny

koncept mógł ci przyjść do głowy! Wszak tyle razy słyszałeś o strasznych wypadkach, jakich proch bywa przyczyną. A gdybyś nawet o niczem nie wiedział, to jeszcze mając w ręku materiał zupełnie sobie nieznany, powinieneś był pokazać go mnie albo ojcu, i spytać o jego właściwość. Nieświadomością jednak nie możesz się tłumaczyć, bo już tajemnica, w jakiej posiadanie prochu zachowywałeś, potępia cię w moich oczach.

— Mamo! mammo! Niech mama tak nie mówi... niech mama tak na mnie nie patrzy... o moja mamusiul! — zapłakał Jerzy, i rzucając się do nóg matce, schował głowę na jej kolanach.

— A wy, moje dzieci — zwróciła się mama do gromadki wylęknionych malców — podziękujcie bogu, że was od straszego bólu i kalectwa tak cudownie ocalił. Gdyby bowiem Jerzy znalazł w tym pokoju zapaliki... nie wiem... myśleć nawet nie potrafię o tem, co by się stać mogło. No, no, nie płacz już tak bardzo, wierzę ci, że szczerze swój lekkomyślności żałujesz. Tak drobna okoliczność uratowała was, moje drogie dzieci! Tu mama, ze łzami w oczach, wstała z krzesła i biorąc dzieci za rączki, poszła z niemi do drugiego pokoju, gdzie nad łóżeczkiem Helenki, wisiał śliczny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Ukłękli wszyscy razem przed tą najlepszą opiekunką naszą, i z przepełnionego serca, mówiła mama głośno modlitwę dziękczynną, a pięć wzruszonych głosików słowa modlitwy za nią powtarzało.

(d. c. n.)

#### HOMONIM.

(Dla Gałązki Heliotropu, od Niezapominajki z nad Warty).

Znam wyraz, który ma trzy znaczenia:  
Można go użyć jako imienia,  
Spotkasz go w amerykańskich miast rządzie,  
A gdy zechcesz, to i krainą w Europie będzie.

#### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(od Błyskawicy dla Niezapominajki z nad Warty).

Z następujących sylab: Czer — top — rya — A ka — fet — ra — bia — A — wiec — Ra — Ja — za — wił — Po — A — dzi — A — rek — za — stu — na — l ia — złożyć wyrazy oznaczające: 1. Syn Noego. 2. Gatunek papugi. 3. Ptaszek śpiewający. 4. Prowincja w Hiszpanii. 5. Tytuł powieści Sienkiewicza. 6. Książę litewski. 7. Kraj w Azji. 8. Nazwa miesiąca. 9. Kwiat cieplarniany. Początkowe i końcowe litery tych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą znane przysłowie.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 45-go.

##### Szarady:

M u z y k a .

##### Rebusików:

Podróżni stali nad przepaścią.

Wazony są napełnione wodą.

## Skrzynka do listów.

**Niezapominajce z nad Warty** posyłamy żądany numer; liścik bierzemy pod opiekę, również jak i te, które nadesłała **Kulka śniegowa**. O opisie, jaki nam przysłać obiecuje, nie teraz jeszcze powiedzieć nie możemy. Powodzenia przy egzaminie życzymy, dziękujemy serdecznie za życzenia i polecamy: Zoologię Wrześniowskiego, rs. 2 kop. 40, lub Szaedlera, rs. 1 kop. 20, Geometrię Hertza, kop. 50

Przyjemnie nam wiedzieć, że **Sosenka** tak szczerze zadowolona ze swęj nagrody, na którą tak sprawiedliwie zasłużyła.

Na sam koniec zostawiamy odpowiedź do **Złotej Przędzy** która tym razem nie złotą ale czarną nić smutków wyprzedła z myśli—z serca raczej. Odczuwamy, dziecko drogie, tęsknoty twoje i żale, ale skoro wieszować ci mamy „sily woli”, to nią właśnie pokonaj opadające cię smutki. Serdecznego słowa nie poskąpimy nigdy; za te, któremi się do nas odzywasz, dziękujemy, uważamy bowiem zaufanie wasze za dowód prawdziwego przywiązania. Bóg niech będzie z tobą, dziewczeczko, tak w złotych jak i w czarnych chwilach życia...

**P. Witkomirskiemu w Tyflisie**. Książki według przesłanego wraz z innemi rachunku z księgarni kosztują, rs. 4 kop. 80 z przesyłką pocztową. Na rachunek więc należności naszój kop. 80 pozostało nam kop. 20.

Siostrzyczki drogie, z prawdziwą radością powracam do korespondencji z wami, przerwanej podróżą oraz zajęciami, jakie na mnie czekały za powrotem. Zastałam was równie serdeczne, z równą zawsze gotowością odpowiadające na wezwanie Redakcyi, bo oto ćwiczenia konkursowe zaczynają gromadzić się w dość znacznej ilości, do której jeszcze dodała i swoje **Biała karta**, również jak i **Zakryta karta**, dawna, przez dłuższy już czas milcząca korespondentka, która uprzejmem słówkiem do mnie przerwała wreszcie milczenie. **Poika z nad Szczary** prosi mnie o odpowiedź; pospieszam jej udzielić i z przyjemnością to czynię, bo domysł twój... trafny. Za obietnicę dziękuję.

**Gospozi z Podola** dziękuje serdecznie za książki przysła-  
ne dla ubogiej dziewczynki.

**Złota Pszczółko** kochana, piszesz mi, że stęsknioną byłaś do moich liścików: gdybyś ty wiedziała, jak ja wszędzie za wami tęskniłam! Bawiłam się wybornie, widziałam mnóstwo ślicznych rzeczy i piękne okolice i wielkie miasta, i ogromne morze, a dla tego swoich kątów i swoich ludzi brakowało mi na każdym kroku. Na domowe ptaszę Bóg mnie stworzył widocznie: nawet nie „**Gołąbka**” ale „**Kura**” nazywać bym się powinna. Panienci, na których milczenie się skarżysz, chociaż sama do nich pisałaś, poprawią się zapewne podczas świątecznych wakacyj, które zostawiają więcej czasu do korespondencji.

**Carmen** zadaje mi trzy pytania: na pierwsze znajdzie odpowiedź w numerze 38-ym pod adresem Redakcyi; na drugie *po namyśle* sama sobie odpowie. Na trzecie odpowiedź odbierze później.

Czy sądziłaś **Niezapominajko z nad Warty**, że morze usposabia mnie do gadatliwości? Nie, wcale nie! nie zdradziłam tajemnicy od kilku lat dochowywanej. Już też, gdybym kiedy uczynić to miała, to przedź dla was, z którymi łączą mnie węzły serdeczne.

**Zorzo**, czy się godzi być tak uszczypliwą i przypominać mi ów „pejzaż”? Za karę nie powiem ci, że często myślałam nad morzem... o tobie i o miłych twoich liścikach.

**Ismena**, która się trafnie nazwała moją „siostrą w Wieczorach” zajęła mnie i zabawiła listem swoim. No! tyś się chyba nie nudziła podczas wakacyj? Nie obawiam się też, abyś chorowała z braku ruchu. W ogóle widzę, że pędzisz czynne życie *nawet i pod względem umysłowym*—w czem wszakże sekretu ci dochowam. Za przyslaną fotografię serdecznie ci dziękuję, ale proszę koniecznie o twoją, bo pragnę poznać właścicielkę tej menażeryi, której posiadania ci zazdroścuję, sama bowiem lubię psy i konie. Ostenda mi się podobała, ale dla morza głównie. W Zakopanem

byłam dość już dawno temu i robiłam wycieczki dość dalekie, nie kuszając się jednak o dotarcie na Gerlach. Za pamięć o biednych dzieciach wdzięczne ci wyrazy przysyła, a wszystkim swoim korespondentkom uścisk serdeczny.

*Gołąbka.*

Droga **Bocianiczko z nad Sanny!** Obiecałam ci, pisać do ciebie przez „**Wieczory**” i dotrzymuję słowa. Spodziewamy się zawsze, że odwiedzicie nas, przed wyjazdem do Warszawy, choć nie możemy się tego doczekać. Miłe wspomnienie Pot., zachowam zawsze w pamięci. Donieś mi co porabia kotek, Warszawianka, Lady i Muszka? Czy zabraliście kotka do Warszawy? Czy po naszym wyjeździe grywałyście jeszcze długo w krokietu? Proszę odpisz mi niedługo. Całuję cię **Luciu** najserdeczniej wraz z **Manusią**. *Iskierka z pod Lublina.*

Kochana **Biała Ostróżko!** Chciałabym bardzo odbierać od ciebie takie miłe liściki, jakimi obdarzasz inne panienki. Donieś mi coś o sobie. Ja mieszkam na wsi, pod Szczekocinami, mam lat 14, na imię mi **Hanna**. Powieść „**Druga Matka**,” rzeczywiście jest ładną, dziwię się jednak, że wolisz charakter **Poli**, gdyż ja nie widzę w niej nic godnego naśladowania, chyba tylko uwielbiasz jej artystyczną duszę, ja jednak dla... muzyki nie poświęcałabym rodziny. Mam nadzieję, że odbiorę od ciebie nie długo liścik. Tymczasem ściska cię serdecznie nieznaną *Stokrotka z nad Pilicy.*

Droga **Kukuleczko!** Liścik twój ucieszył mnie niezmiernie, gdyż jest to pierwszy odebrany przez **Wieczory**, chociaż czytuję je od czasu, jak się tylko nauczyłam czytać. Pewnie nie należałaś do ostatniego konkursu, jako staruszka, ja opisałam *stokrotkę* i dostałam nagrodę. Napisz mi jaką lekcję najlepiej lubisz i co ci się najlepiej podoba w **Wieczorach**? Ja z nauk, najlepiej lubię historję powszechną, nauki przyrodnicze i muzykę. W **Wieczorach** najlepiej mi się podoba: „**Pod Wpływem Błogosławieństwa**” i „**W Złotej Klatce**,” a także: „**W Indyach**” i „**Szesnaścieletni Wojewoda**.” Posyła Ci serdeczne uściśnienia *Kukuleczko z pod Lublina.*

Kochana **Rybko z Huliopiaty!** Serdecznie ci dziękuję za odpowiedź i żaluję mocno, że już wyjeżdżasz; ale może jeszcze choć parę słówek do mnie napiszesz. *Białonóżko z Karpot*; donoszę ci, skoro tego pragniesz, że jestem ciemną blondynką, dosyć wysoką i poważną. Za to, żeś pospieszyła z odpowiedzią, przesyłam ci całusa, prosząc, abyś nie przestała pisywać do mnie. *Sosenko* luba! Dowiedziałam się, że wdychasz za długą sukienką, a ja znów prawie się jej boję, pisuj do mnie. Ściskam was i polecam się waszej pamięci. *Niezapominajka z nad Warty.*

Kochana **Cicieczko!** Nakłonił nas do pisania twój śliczny pseudonym, co on ma znaczyć? Radebysmy poznać cię i prosimy o opis twej osóбки. Co do nas jesteśmy obie wysokie, smukłe, z tą różnicą, że jedna z nas jest złocistowłosą o czarnych oczach, druga zaś brunetką o szafirowych. Nasze imiona są: **Hermenegilda** i **Prakseda**. Mamy w naszym gospodarstwie psa, kuca i dwie kotki: **Filcię** i **Femcię**. Mamy nadzieję, że nie dasz nam długo czekać na odpowiedź. *Fusia i Wurcia.*

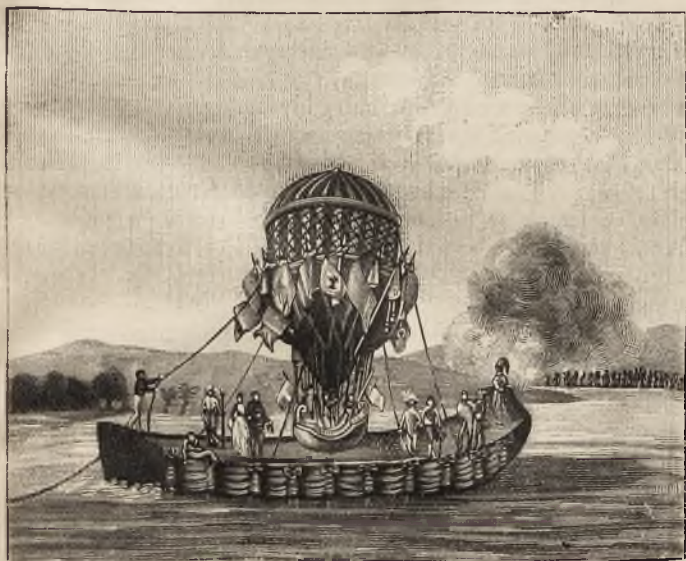
Długo czekałam czy też która z panienek do mnie się odezwie, aż wreszcie postanowiłam pierwsza liścik napisać, wybierając sobie ciebie za korespondentkę **Lilijko z nad Wisły**, bo i ja nad **Wisłą** mieszkam. Donieś mi więc coś o sobie, a ucieszysz mnie bardzo. I ty luba **Córo Mazurów** proszę napisz do mnie, jako do **Mazurki**, a i ty droga **Cyganeczko** także się do mnie odezwij, bo mi się podobały twoje liściki. Ściskam was wszystkie, kochająca *Semilka.*

### Od warszawskiego szpitalika dla dzieci.

Gwiazdka wigilijna zaświeci rannym blaskiem dla dzieci — przynosi im choinki ubrane w podarunki. Pozbawiona ich uboga, chora dziatwa w szpitaliku przy ulicy Aleksandrja przypomina się serduszkom możniejszych siostr i braci w nadziei, że zechcą jej ofiarować stare, choćby nawet popsute zabawki, zużyte odzienie, i obuwie, które z wdzięcznością przyjmować będzie Siostra przełożona Szpitala, aby z nich urządzić kolebę dla swoich małych chorych.



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Balon Garnerin'a puszczony w 1801 r.

## WYPRAWY BALONEM.

W roku bieżącym, dwóch uczniów francuskiej szkoły żeglugi powietrznej, panowie: Besançon i Hermite, postanowili badać ziemie bieguna północnego za pomocą balonu. Wiadomo, że olbrzymie kry i lodowce podbiegunowe, tylu już naukowym wyprawom kres położyły, rozbijając okręty lub więżąc je lodowymi okowami, że nareszcie należało spróbować innego środka lokomocyi, mianowicie balonów. Gdyby sposób kierowania balonami był już znany, podróż taką otaczałyby jeszcze liczne trudności. Jakkolwiek wszakże wiele czasu upłynęło od chwili, gdy balon Garnerin'a wzniósł się w powietrze

ze statku na Sekwanie (1801 r.) wśród tłumu widzów, sposobu takiego dotąd nie wynaleźli najbiedlejsi aronauci. Tylko dopiero później już po wyprawie marynarza Prince, przedsięwziętej w czasie oblężenia Paryża, w której odważny żeglarz śmierć znalazł w nurtach oceanu, udało się we Francyi, przy zupełnym spokoju atmosfery, przy braku wiatru jednym słowem, pokierować balonem dwom Francuzom: Krebs'owi i Renard'owi.

Pomimo więc szalonych trudności w przedsięwziętej podróży, za lat dwa odbyć ją mają powyżej przytoczeni pp. Besançon i Hermite.

Obecnie przystąpiono do budowy balonów, jest ich bowiem dwadzieścia dwa; z tych jeden, balon główny, kolisty, objętości 15,000 metrów kubicznych, oraz szesnaście baloników, które wieńcem go otoczą, napełnione zostaną najlżejszym z gazów, wodorem. Wewnątrz balonu głównego, ochrzczonego nazwą *Sirel*, znajdować ma się drugi mały balon napełniony powietrzem. Oprócz tego cztery małe, wodorem napełnione balony, spuszczone będą pod biegunem w celu badania prądów powietrznych.

— Lecz do czegoż służą te baloniki dodatkowe i ów wewnętrzny, powietrzem napełniony?—spytacie może znając już sposób budowania balonów z opisów ich, umieszczanych dawniej w *Wieczorach*.

Otóż pierwsze dostarczać będą wodoru *Sirel*'owi, gdyby przypadkiem uleciało z niego trochę gazu. Że zaś temperatura wpływa na rozszerzenie lub ściskanie się gazu, przez co balon to wznosiłby się, to opadał, tracąc lub zyskując na objętości,—przeto by utrzymać balon w jednakim ciągle napełnieniu, podróżni wprowadzać będą mogli powietrze do wewnętrznego balonu, lub też je ztamtąd wypuszczać.

*Sirel* uniesie z sobą ciężar 16,500 kilogramów.

Przepatrzmy szczegółowe rubryki tego ciężaru. Najwięcej wagi daje nam balast balonu, następnie sam Sirel z wieńcem baloników, potem idzie waga łodzi, wynosząca 2,500, kilo. tyleż waży prowiant, którym przez osmdziesiąt dni żywić się będą nasi dwaj uczeni, trzech służących i ośm psów, które z sobą zabierają. Wreszcie, 1850 kilo ważyć będzie, kotwica, ciężka kotwica żelazna, która do długiej liny przyczepiona, wlec się będzie po lodach i morzu nie pozwalając balonowi ulecieć zbyt wysoko, przeciwnie, utrzymując go w jednym poziomie.

Lecz najciekawszą osobliwością będzie łódka. Stalowy jój szkielec opleciony szczelnie wtkami, zawierać będzie oprócz ludzi, psów, wodę, kuchenkę i piecyk naftowy, łózka wiszące, stoły, krzesła, wreszcie sanki; domyślcie się zapewne, że sanki ciągnąć będą psy, w tym celu jedynie wzięte. Wreszcie łódka zaopatrzona zostanie w kilka niezbędnych do obserwacji oszklonych otworów, a pod nią znajdować się będą olbrzymie łyżwy, które w razie upadku, ułatwią przesuwanie łódki po lodzie. Gdy już statek powietrzny będzie gotowym, dwa parostatki popłyną z nim ku wyspie Szpitzberg, balony będą napełnione wodorem i ztąd dzielni badacze wyruszą. Postaramy się wtedy dać czytelnikom naszym wizerunek owego najnowszego balonu, i uwiadamiać ich będziemy o losach wyprawy.

Koszt całej wyprawy obrachowano na 560,000 fr.

## W WIGILIĄ.

(Dokończenie).

Anulce na te słowa łzy zakręciły się w oczach, a gdy z kolei rodzice przycisnęli ją do piersi, musiała aż odwrócić zarumienioną twarzyczkę, by nie poznano jej wzruszenia. Czyż nie dość była wynagrodzoną za swój trud i pracę, ponoszona dla zebrania potrzebnej na ten cel kwoty pieniędzy, tą szczerą radością dziatwy!...

Jędrus nie był zapomnianym w tem młodocianem gronku.

I jemu się dostało ciepłe barchanowe ubranko i kilka garstek łakoci. Z rozradowanemi oczami patrzył teraz właśnie, jak ten dobry paniczyk, który tak pamiętał ciągle o nim, z pewną dumą podawał ojcu jakiś papier, który nazwał „cenzurą“ i śledził potem bacznie twarz jego w ciągu jój przeglądania. Nakoniec pan złożył papier i podał go żonie, sam zaś z zadowoleniem zwrócił oczy na syna.

— Jestem z ciebie kontent, Kaziu—rzekł mu—uczysz się pięknie i przynosisz mi zaszczyt swoim sprawowaniem. Pamiętasz pewnie, że kiedyś obiecałem ci wierzchowego konika. Chciałbym ci dzisiaj go ofiarować „na Gwiazdkę“, ale może, powiedz, może pragniesz czego innego?...

Kazio zarumienił się, zmieszał i zadumał.

— Tak, tatusiu, odgadłeś—odparł cicho po chwili—dzisiaj pragnę czego innego.

— No to mów śmiało, chłopcze!—zachęcał go ojciec.

— Skoro mi pozwalasz, tatusiu, to powiem.—Dawniej marzyłem o koniu, dzisiaj zaś pragnę, abyś pozwolił zostać przy nas nazawsze Jędrusiowi. On taki biedny, tatuńciu, byłby u nas przy ogrodzie czy przy kredensie. A gdybym jeszcze kiedy w przyszłości zasłużył w twoich oczach na konia, miałbym już gotowego masztelarza... On tak kocha swą wioskę!... podniósł nieśmiało oczy i spotkał się z pogodnym wejrzeniem ojca.

Ten ostatni przyciągnął go i pocałował w czoło.

— Dobrze synku, że przed swemi własnymi przyjemnościami kładziesz zadowolenie drugich. Jędrus pozostanie

u nas. Wszak pozwolisz na to — rzekł, zwracając się do żony.

— Z całego serca—odparła z prostotą pani.

A Jędrus na te słowa pobladł, jakby mu wszystka krew zbiegła do serca. Jaktó! Jestże to prawdą! On, biedny sierota nie będzie się dłużej błąkał po obcych stronach, tylko pozostanie tutaj, w swej rodzinnej wiosce, i u takich dobrych państwa!

Nisko, ku samej ziemi, pochylił się znów do kolan pana pod wpływem wdzięczności, przepelniającej mu serce.

— Wstań, chłopcze, wstań i nie dziękuj!—rzekł, podnosząc go dziedzić. — Dzień dzisiejszy jest dniem łaski. Bóg Ojciec bowiem zesłał światu Dzieciątko, Syna swego, by nam się stało wzorem prawdziwej miłości. Dziś wszyscy powinni być szczęśliwi...

Podniósł się.—W tej samej chwili, z drugiego pokoju, dokąd przez ten czas zdołali przejść wszyscy, zabrzmiały poważnie dźwięki kołedy, która z kilkudziesięciu dzieciennych piersi, rozbrzmiewała czysto, zgodnie i dziwnie uroczysto. Panienska grała na fortepianie, dokoła zaś, we wzorowym porządku stały uszykowane dzieci, ta sama hałaśliwa gromadka, która przed chwilą nie umiała ukryć okrzyków radości, a teraz stojąc cicho i całkiem poważnie, intonowała pieśń na cześć Tego, którego chwala przed wiekami, dziś powstała, i rozejść się miała po krańce świata:

Bóg się rodzi, moc truchleje  
Pan niebiosów obnażony;  
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,  
Ma granice nieskończony.

Dziecinne głosiki, zda się, chciały z dźwiękami tej pieśni wyrzucić całą swą wdzięczność i radość z serca, bo płynęła ona ku górze coraz czystiej, donośniej, a serdeczniej.

Jędrus przepelniony nieopisanem wzruszeniem, zbliżył się do okna, poza które rzucił tęskne spojrzenie. Tam ukryta, niby puchem, białym całunem śniegu osłonięta, leżała jego rodzinna wioseczka... Z okienek niskich chatek błyszczą słabe światełka, niby błędne ogniki, a płatki śniegu iskrzą się w nich zmrożone nakształt brylantów, lub świeżych kropelek rosy, skąpanych w blaskach tęczy. Na ciemnym szafirze nieba, mrugają przyjaźnie roje złocistych gwiazdek, a spokój w naturze ma w sobie coś świętego. Śnać Anioł przeleciał ponad dachami sioła, a lecąc szeptał: Pokój, pokój wam ludziom i radość! Dzisiejszy dzień jest dniem łaski!

Chłopczyna stał tak chwilę, a potem postąpił ku gromadce śpiewającej i chcąc ulżyć wezbranym uczuciom, dołączył swój dźwięczny głosik do ogólnego chóru:

Wzgardzony, okryty chwałą  
Śmiertelny, król nad wiekami  
A Słowo Ciałem się stało  
I mieszkało między nami.

Na słowa ostatnich dwóch wierszy dziecinne jeszcze główki, odkryte, chyła się ze czcią ku ziemi niby kłosa zbożowe poruszane falą, różowe usteczka drżą lekko z przejęcia, a pieśń rwąc się z głębi serca płynie coraz wyżej, a wyżej.

V. Cairo.

## Dziesięcioletnia królowa.

(Dokończenie).

Po Wilhelmie I-ym wstąpił syn jego Wilhelm II, po tym zaś w r. 1849 Wilhelm III, którego śmierć przypadła w przeszłym miesiącu (d. 23 Listopada), opłakuje dzisiaj cała Holandya. Szczerze pragnący dobra kraju, monarcha ten miał dzielnego w zamiarach swoich pomocnika w profesorze Thorbecke, przez długie lata zajmującym stanowisko ministra. Wzięto się z energią i zapałem do budowy dróg żelaznych, do urządzania telegrafów, pozawierano nowe, a korzy-

ne dla kraju traktaty handlowe, polepszo stan kolonii, pomyślano o kopaniu kanałów i osuszeniu morza *Harlemskiego* (Jezioro w półn. Holl. nieopodal od Leydy, Harlem i Amsterdamu. Od r. 1850 stopniowo osuszane, przedstawia dziś wielką wyspę, mającą 3 $\frac{1}{2}$  mil powierzchni, otoczoną kanałem i podzieloną na 4 symetryczne części). Jednym słowem, rząd ministerjalny Thorbeckego były dla kraju jak najkorzystniejsze. Minister, który po nim nastąpił, przyrzekł Francji odstąpić jej Luksemburg, co wywołało pomiędzy Francją a Prusami nieporozumienie, zakończone w r. 1867 układem, mocą którego *księstwo* luksemburskie pozostawało neutralnym i dziedzicznym w domu ks. nassauskich, spokrewnionych z domem orańskim, a *miasto* Luksemburg przestało być twierdzą.

Podczas wojny francusko-pruskiej w r. 1870—71 Wilhelm III zachowywał neutralność: sercem wszakże sprzyjał Francji a nienawidził Niemiec, mianowicie zaś panującego domu Hohenzollernów. W roku 1866 skorzystał ze sposobności i oderwał od związku niemieckiego Luksemburg oraz Limburg i namiestnikiem mianował brata swego, księcia Henryka, ożenionego z księżniczką pruską, a tak się bał, aby dziedzictwa po nim nie zagarnęli Hohenzollernowie, że chociaż ks. Henryk umarł bezdzietnie, a Luksemburgiem po śmierci jego rozporządzono tak, jak się wyżej powiedziało, to jednak król, straciwszy obu synów (urodzonych z małżeństwa z księżniczką Zofią wirtemburską) ożenił się powtórnie w nadziei, że spadek po sobie przekaże dzieciom. Jakoż z tego drugiego małżeństwa z młodszą od siebie o lat 40 księżniczką, Emmą Waldeck-Pyrmont, urodziła mu się córka Wilhelmina obecna królowa, dziesięć lat mająca dopiero.

Następcą na ks. luksemburskie jest ks. Adolf Nassau, hrabia-Palatyn Renu, który ma 38-letniego syna, ks. Wilhelma-Aleksandra, pułkownika dragonów w wojsku austriackim. Wilhelm III przewidział dalej nawet, bo na wypadek śmierci małej królowej, ustanowił porządek następstw na tron, który w żadnym razie nie dostanie się Hohenzollernom.

Nietylko wszakże tą troskliwością o przyszłe losy kraju zjednał sobie Wilhelm III serca poddanych i wywołał ten żal, jaki dziś trumnę jego otacza; nietylko dobrym był królem, był jeszcze dobrym—litościwym a odważnym—człowiekiem, bo gdy w r. 1855 straszliwa powódź spustoszyła najbogatsze prowincje: Utrecht i Brabant, słynny z wyrobu koronek, król własnymi rękoma, z narażeniem życia dobywał z toni ludzi i zwierzęta, a dolą nieszczęśliwej ludności zajął się z współczuciem serdecznym, które pomiędzy nim a ludem jego zadzierzgnęło węzeł trwałego przywiązania. Wyraża się ono dzisiaj tym smutkiem głębokim, z jakim naród żegna zwłoki króla, zgasłego w zamku Loo pod Hagą, a niemniej i miłością ogólną, jaka otacza małą królowę swoją. Jak ojciec dobra i miłosierna, i na ludzkie niedole tkliwa, jak on porywca i łatwo się gniewem unosząca, obdarzona zdolnościami umysłu i wielką siłą charakteru, młoda królowa, ubóstwiająca matkę swoją, wyrośnie zapewne pod jej kierunkiem na kobietę, rozumiejącą ważność swego zadania i dość silną, by mu podołać. Matka ta, królowa-regentka, na parę tygodni przed śmiercią króla, regentką ogłoszona, gdy składała przysięgę, że „całości konstytucji krajowej strzedz i bronić będzie wiecznie,“ drżała ze wzruszenia—musi więc należeć do rzędu tych, którzy obowiązków swoich nie lekceważą i córkę przykładem swoim tak samo nauczy cnot królewskich, jak ją uczy chrześcijańskich i niewieścich. Mówią, że dotychczas nauczyciele i nauczycielki obchodzili się z księżniczką, jak ze zwykłą uczennicą. Królowa Emma poleciła im nazywać ją nie inaczej, jak „mademoiselle.“ Kształceniu małej Wilhelminy przewodniczy guwernantka Angielka, lecz matka ma ogólny kierunek nad wychowaniem, bardzo skromnym i mającym głównie na celu rozwój fizyczny dziecka. Przyszła królowa jeździ konno, wiosłuje, gra w krokiet z rówieśniczkami.

Przed dwoma laty w marcu, wyjechawszy na przejażdżkę z matką spostrzegła, iż na placu publicznym dzieci bawią się w śnieżki. Na usilne jej prośby, matka kazała woźnicy stanąć i pozwoliła Wilhelminie przyglądać się tej zabawie. Lecz księżniczka, im bardziej się jej przypatrywała, tem większą

miała ochotę przyjąć w niej udział. Królowa nie mogła się oprzeć jej naleganiom i po krótkiej chwili wraz z innymi dziećmi przyszła królowa rzucała kule śnieżne, a współzapaśnicy obsypywali ją śniegiem. Opowiadają także że gdy przed dwoma laty, pies-faworyt, porwał z figłów ulubioną jej lalkę, i nosząc ją w zębach, rozbił jej głowę, dziewczynka rozgniewana, chciała go uderzyć. Powstrzymała się jednak i rzekła z westchnieniem: „Oj! żebym ja nie miała być królową, tobym cię wybiła, aż miło!“

Można więc mieć nadzieję, że dobrze kiedyś będzie panowała ludowi ta, która zaczyna od panowania nad sobą.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.



(d. c.)

aleko to zapytałem?

— Nie bardzo.

Choć Viola raz po raz zagadywał do mnie, gdy szliśmy przez las ku moczczarom, rozmowa nie wią-

zała się jakoś. Myślałem ciągle o cudzoziemcu. Ale widocznie nie było przeznaczonem, żebym dnia tego choć zdaleka ujrzał jego mieszkanie, bo gdy skręcaliśmy w wąską, wiodącą do niego drożynę, coś ciężkiego nagle spadło z drzewa na ziemię i jednocześnie

z odgłosem upadku, usłyszeliśmy gwałtowne trzepotanie skrzydeł i rozpaczliwy krzyk ptaka, krzyk przenikający do głębi, streszczający całą trwogę istoty, której gwałtem wydzierają życie. Obejrzelśmy się. Tuż prawie przed naszymi oczami, na ziemi, pomiędzy dwoma pniami świętych drzew, toczyła się walka: ptak duży jak kura, ciemno-żółtawy, z długim ogonem nasadzonym piórami nakształt wachlarza, walczył z małą ptaszyną, usiłującą wydobyć się z jego szponów. Co jednak było najwięcej wzruszającym, to że druga, także drobna ptaszyna, snąc matka napadniętej, siadłszy na głowie napastnika, biła go dziobkiem i skrzydłami, chcąc zmusić do puszczenia zdobyczy, i choć tak mała, krzyczała wielkim głosem, ochryplym z wysilenia. Zrobiło mi się gorąco i zimno na ten widok. Moje opowiadanie trwa długo, ale scena ta trwała tylko chwilę: Viola zawołał:—Jastrząb! jastrząb!—a ja rzucilem się na ratunek. Ale ptak zerwał się i lecał nisko przy ziemi, unosił szybko swoją ofiarę; wszystko troje zniknęło mi z oczu.

Puściłem się za niemi w pogoń i dopędziłem jastrzębia w chwili, gdy przysiadłszy na ziemi, zaczął żywcem oskubywać ptaszka, a że spadłem na niego nagle, więc nie mógł mi się wyrwać! Bił mnie skrzydłami po twarzy, szarpał na mnie ubranie, poranił mi ręce ostrym, zakrzywionym dziobem, ale ja nie puszczałem go mimo bólu—dopiero gdy szpony jego otworzyły się i puścił ptaszka, ja też puściłem mordercę, który wzbіл się wysoko ponad drzewa i zniknął.

Biedna ptaszyna leżała na ziemi, omdlała ze strachu i bólu, pokrwawiona, a zamknięte jej oczy zdawały się wskazywać, że już nie żyje; druga zaś, ta co bronila jej tak dzielnie, skakała dokoła niej, ćwierkając żałośnie. Widząc nadbiegającego Violę, zawołałem na niego, żeby mi przyniósł

wody ze strumienia, a że potok szumiał niedaleko, więc poczciwy chłopiec zaczerpnął jej w dłonie i prysnął kilkakrotnie na ptaszka, który też wkrótce zaczął dawać znaki życia i otworzył oczy. Wtedy ja wzięwszy wody w usta, otworzyłem mu delikatnie dziobek i napoiłem go — następnie obejrzałem ptaszka starannie i przekonałem się, że oprócz kilku piórek wyrwanych i kilku nieznacznych powierzchniowych skaleczeń, nie miał żadnej rany śmiertelnej, nie złamanego. Nie potrafię wyrazić jak mnie to ucieszyło. Viola przypatrywał się także ptakowi poważnie, a gdy ten już przyszedł do siebie i zaczął skrzydełkami trzepotać, rzekł z miną uroczą.

— Czy wiesz Janku komu uratowałeś życie?

— Jakto, czy wiem! ptaszekowi.

— Tak, ale czy wiesz co to za ptaszek? Nie myśl, że on jest rodem z wyspy Atlanty... to przybysz ze stron dale-



Śmierć marynarza Prince przy spadku balonu w morze.

kich, *Snowacz bengalski*, po łacinie *Ploccus*, znakomity budowniczy, umiejący stawiać wygodne pałace o kilku pokojach.

Dotąd widziałem w ocalonym ptaszku tylko istotę cierpiącą, ale teraz spojrzałem na niego uważniej: pióra jego trochę brunatne, trochę żółte, nie należały do najświetniejszych. Był on wymownym dowodem, że pod skromną powierzchownością kryje się często prawdziwa zasługa.

— A ty zkąd to wiesz? — zapytałem — nie jesteś przecież pazim Pióropuszką.

— Ba! ale wiem, bo to nie tak dawny nabytek, od wiosny dopiero przywieziony z Bengalu. Cały nasz dwór jeździł go wtedy do Koralewego grodu oglądać, i Pióropuszek bardzo się nim cieszył, a że to jest ptaszek wielce inteligentny, łatwo dający się obłaskawić i chętnie w towarzystwie ludzi przebywa, więc królewicz zrobił sobie z niego kuryera.

— A to jakim sposobem?

— Jedzie naprzykład na polowanie i bierze Snowacza z sobą w małej klateczce, którą wiezie za nim koniuszy. Przyj-

dzie mu ochota zawiadomić Perekłę o której godzinie powróci, więc pisze na cienkim papierze depezę, daje ją Snowaczowi, a ptaszek wiernie odnosi, bo ma dobrą pamięć i dom jakiś, raz lub dwa pokazany, z łatwością poznaje.

— Czy nie lepsze są do noszenia listów gołębie?

— Może lepsze, ale to jest, widzisz, coś nowego. Jestto ulubieniec małych książąt, Daniela i Pstraga. Rzucają mu oni często pierścień w wodę, a ptaszek na dany znak chwytą go, zanim jeszcze dotknął powierzchni wody.

— Opowiadasz mi same nadzwyczajności...

— Hej! chłopcy! czy nie widzieliście tu gdzie czasem dwóch Snowaczy bengalskich? — rozległ się głos donośny i męczyzna wysoki, okazałej postaci, w kapeluszu z piórem, wyszedł z poza drzew. — Snowacz z piskłkiem uciekł mi z ptaszarni i pomimo nawoływań znaleźć go nie możemy. A, Viola! ty znasz tego ptaka. Czy nie spotkałeś go przypadkiem?

Mężczyzną tym, jak się później dowiedziałem, był Ibis wielki ptasznik królewicza Pióropuszka.

— Oto są panie, matka i dziecko — odrzekł Viola wskazując na ptaszki. — Jastrząb przed chwilą porwał to młode piskłę i mój przyjaciel mu je odebrał.

Ptasznik zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

— Twój przyjaciel? któż to jest?

— Paż przyboczny królewicza Zielonki: nazywa się Janek sierota.

— A! czy ten co znalazł żabę?

— Ten sam.

— Widzę młodzieńcze, że cię to drogo kosztowało — przemówił do mnie Ibis, ale Viola uprzedził go że nie rozumiem po atlantyjsku, skończył więc zaczęty frazes po łacinie. — Ręce masz porządnie pokaleczone.

— Mniejsza o to — odrzekłem, obcierając krew.

— Jakto mniejsza? Alboż to nie boli?

— Boli trochę, ale więcej bolałoby tego biednego ptaszka, gdyby go był jastrząb żywcem oskubał.

Popatrzył na mnie uważnie i zapytał.

— Czy w twoim kraju, młodzieńcze, wszyscy są tak wytrwali na ból?

— Wszyscy — odrzekłem — uczą nas tego wcześniej.

— Szczęśliwa gleba, w której ziarna nauki tak dobrze wschodzą — powiedział poważnie. — Może chciałbyś młodzieńcze, obejrzeć domek tego którego uratowałeś, to choć z mną. Wszystkie ptaki wprowadzić umieją budować, ale żaden nie potrafi z taką jak Snowacz urządzać się wygodą.

— Bardzo chętnie — odpowiedziałem, a Viola zawołał:

— Powiadam ci, że on ma pałac prawdziwy, pałac w stylu wschodnim, z pokojami kopulastymi!

Ibis uśmiechnął się na ten okrzyk pełen zapału i wzięwszy ostrożnie rannego ptaszka, zawrócił się w głąb lasu, w kierunku zupełnie przeciwnym temu jakim szliśmy dotąd, a my oba postępowaliśmy za nim, bo nie było drogi, tylko wązka ścieżka między drzewami. Matka piskłęcia leciała nad naszymi głowami. Nie wiem jak długo szliśmy, ale zdaje mi się, że to nie mogło być dłużej nad pół godziny — i gdy się las cokolwiek przerzedził, zdziwiłem się ujrawszy zdala mury Koralewego grodu. Droga to była znacznie krótsza od tamtej, którą pierwszy raz prowadził mnie tu Viola nad brzegiem morza, choć i tamta była także lesista.

Ptaszarnie królewicza Pióropuszka są to olbrzymie budynki ze szkła i żelaza, zapełnione wszelką roślinnością, bo gdzie ptaki żyć mają, tam muszą być koniecznie drzewa i krzewy. W zimie budynki te są ogrzewane, żeby mieszkańcy gorących stref mieli temperaturę taką samą, do jakiej się przyzwyczaili w ojczyźnie. Na lato szyby szklane usuwają się, a ptaszarnie wystawione na działanie świeżego powietrza, są od niego tylko delikatną siatką drucianą oddzielone, a i tę zaporę często usuwa się zupełnie.

Ibis wskazał mi drzewo palmowe, na którego jednej z wyższych gałęzi, zawieszony był przedmiot dziwnego kształ-



tu. Wyglądało to niby wazki worek długi na półtora łokcia, w kilku miejscach kulisto wydęty, niby koszyk misternie spleciony z suchej trawy, pokrzyżowanej w rozmaity sposób, co tworzyło razem gęstą tkaninę o oczkach ściśniętych. Worek ten zwrócony był otworem ku dołowi. Ibis wpuścił tam skalczanego ptaszka, a drugi ptaszek usiadł na wyższej części gniazdka.

— Więc to ma być gniazdo Snowacza bengalskiego?—

— Czy on na Atlantycie już wybudował sobie to gniazdo? — spytałem.

— O nie — odrzekł — tutaj dobudował tylko jeden pokój. Przywozłem go z Indostanu razem z gniazdem. Jest on bardzo pospolity w Indjach. Nad brzegami rzek i potoków, wszędzie tam spotyka się te gniazda zawieszane na najwyższych gałęziach drzew palmowych lub figowych, bujające w powietrzu za każdym powiewem wiatru, niby dzi-



... na jednej z wyższych gałęzi zawieszony był przedmiot dziwnego kształtu.

przemówiłem, przypatrując się z podziwieniem.—Prawdziwe arcydzieło, chociaż wielce dziwaczne. Czy ptak od razu całe gniazdo buduje?

— Bynajmniej: jego budowa prowadzi się powoli i z rozmysłem; co rok dobudowuje ptaszek jeden pokój, stosownie do zwiększania się jego potrzeb.

— Zupełnie jak człowiek — wtrącił Viola.

— A jednak w budowie jego nie znać łątaniny — mówił Ibis dalej — punkta połączenia są niewidoczne, niema nawet różnicy w barwie materiału. Nie jestże to dowód, że Snowacz jest nie tylko budowniczym ale i artystą?

waczna, pnąca się roślina. Sąsiedztwo wody i zwrócenie otworu gniazda ku dołowi, czyni je niedostępnem dla ptaków drapieżnych i węzów. Ale nie koniec na tem: ten artysta nie lubi ciemności, więc oświetla swoje mieszkanie.

Spojrzałem na ptasznika niemal z przestraczem, przypuszczając że mówi od rzeczy, ale on uśmiechnął się tylko i kazał mi zajrzeć w otwór gniazda. Usłuchałem go, i zobaczyłem z najwyższem zdumieniem, że mówił prawdę. Pokoiki Snowacza, połączone z sobą wazkami korytarzami, były oświetlone wprawdzie światłem słabem, ale wystarczającym dla rozejrzenia się w ich urządzeniu wewnętrznem. Na prze-

pierzeniu, na grudce ziemi gliniastej, przyczepiony był świecący, żywy jeszcze robaczek, tak aby światło padało z góry, zupełnie jak kiedy kto świecznik zawiesza. Słaby blask płynący z drugiego pokoiku, dowodził że i tamten był oświetlony.

— Może te robaczki służyć mają na pożywienie — powiedziałem, nie dowierając własnym oczom.

— Może — odrzekł Ibis — ale gdyby tak było, ptaszek umieściłby go gdziekolwiek, nie zadając sobie trudu przyklejania na ścianie.

Byłem jak oszołomiony: ten instykt cudowny drobnej ptaszyny, uczący ją jak ma sobie radzić, zdumiewał mnie.

— Skoro cię to zajmuje młodzieńcze, pokażę ci coś więcej jeszcze — mówił Ibis dalej. — Mamy tu różnych rzemieślników i artystów ptasiego rodu. Widziałeś już budowniczego, pokażę ci jeszcze garniarza, krawca i ogrodnika.

I poprowadził nas dalej, gdzie na grubych łodygach kaktusów były mocno osadzone dziwne kule, ulepione starannie z gliny i podobne do tykw. Z głębi jednej kuli, niby z pękatego garnuszka, wyglądał ptaszek z białą piersią i brunatnym łepkiem.

— To są gniazda *garniarzy*, ulepione z niemalym trudem i starannie we środku mchem miękim wysłane — powiedział. — Są to ptaki brazylijskie, zwane w języku naukowym *Furnarius rufus*.

A gdy stałem zapatrzony w ten garnuszek, Ibis oderwał mnie, mówiąc:

— Krawiec w tej chwili właśnie szyciem jest zajęty. Chodźmy przypatrzeć się jego robocie.

Poszedłem za nim dalej i na innym drzewie zobaczyłem dziwne zjawisko. Ptak w żółtozielonkawym upierzeniu, z białą piersią, czerwoną szyją i długim, do góry zadartym ogonkiem, zeszywał własne gniazdo z dwóch mniejszych liści, nitką bawełny, a dziobkiem posługiwał się zamiast igły. Ibis utrzymywał, że nitkę ptaszek zawsze sam sobie przędzie. Spytałem o nazwę ptaka i dowiedziałem się, że *krawiec indyjski* zowie się *Otrchotomus longicauda*.

— A teraz — rzekł — idźmy odwiedzić ptaka ogrodnika.

Na małej polance między drzewami ujrzałem budynek bardzo misternie urządzony, niby altana dla lalki, a przed nim prześliczny ogródek, po którym spacerował ptaszek w brunatnym upierzeniu, nie większy od naszego szpaka. Byłem pewny, że ta altanka i ogródek są owocem zabawy młodych książąt, bo ogród wyłożony zielonym mchem, poprzetykanym kwiatami i ozdobionym czerwonymi jagodami, wyglądał zupełnie na dziecinną zabawkę, ale Ibis wyprowadził mnie z błędu. Ptaszek to sam urządził sobie altanę, jako salon do zabawy dla siebie i dla gości, bo sypia w innym gnieździe, gdzie też składa jaja.

— Urządzenie altany dowodzi nawet pewnej znajomości sztuki ogrodniczej — mówił Ibis — ptaszek wybiera sobie młode niskie drzewko lub krzew, najczęściej pasożytną pokrytą rośliną, przyciąga do ziemi giętkie gałązki, i wtyka je, aby się zakorzeniły i utworzyły dokoła zielone sklepienie. Z jednej strony, jak pan widzisz, pozostawiony jest wielki otwór, niby drzwi wychodzące prosto na ogródek. Całą tę piękną murawę z mchu on sam ułożył, on powsadzał w nią kwiaty i jagody.

— Ależ te kwiaty na drugi dzień zwiędną, jagody zeschną i zczernieją — zawołałem — a tę murawę pierwszy lepszy wiatr zarzuci zeschłymi liśćmi!

— Ptaszek wie o tym — odrzekł. — Zbiera on starannie każde zdźbło słomy, każdy liść zeschły, każdy okruch kory nawet i oczyszcza swój trawnik najstaranniej, a na miejsce zeschłych kwiatów, przynosi inne, i ogród jego zawsze świeżo i czysto wygląda. Nie jestże to dowodem, że ptak ten ma wrodzone poczucie piękna? Przywieziono go tu z Nowej Gwinei, gdzie żyje po lasach. Krajowcy zowią go ogrodnikiem, a nauka *Amblyornis inornata*.

Gdy jeszcze w Dębowej Woli czytałem listy Abrakadabrusa, do Redakcyi Wieczorów pisane, dziwaczne i pra-

wie śmieszne wydawało mi się marzenie Pióropuszka o zbadaniu mowy zwierząt — ale teraz mając tak widoczne dowody ich inteligencji, przestałem się dziwić królewiczowi. Byłoby istotnie pożyteczne dowiedzieć się, co też one mówią między sobą o ludziach, którzy choć mają więcej rozumu niż zwierzęta, jednakże nieraz w tyle poza nimi zostają.

— Idę teraz do królewicza z raportem o wypadku Snowacza — rzekł Ibis — czy nie życzysz sobie czasem, młodzieńcze, towarzyszyć mi? Usłyszałbyś podziękowanie z własnych ust Jego Królewiczowskiej Mości.

— Nie zrobiłem tego dla Jego Królewiczowskiej Mości — odpowiedziałem — ale dla siebie samego, a także dlatego, że ten ptaszek miał matkę, która... której chciałem oszczędzić cierpienia... Nie oczekuję wcale podziękowania. Zegnam pana i dziękuję serdecznie za pokazanie mi tyłu zajmujących rzeczy, których nie znałem.

Zaledwie jednak z Violą opuściliśmy ptaszarnię, zobaczyłem zdaleka coś, co w większe jeszcze wprawiło mię zdumienie, niż wszystko dotąd przezemnie widziane. Była tam grupa skał sztucznie ułożona z kamieni, między którymi szczytyny wypełniły gęste rośliny skalne — ale nie to było powodem mego zdumienia. Kręcił się tam ptak podobny trochę z powierzchowności do czajki, wysmukły, w pstrem ubarwieniu. Nogi jego muskularne, krótkie, zaopatrzone były w długie zaostrome palce; pierś miał szeroką i nieco wystającą. Otóż ptak ten zbliżył się do jednego kamienia i usiłował go poruszyć. Próbował nogami, piersią, ale kamień ani drgnął, bo też był stosunkowo dość duży. Ptak stał chwilę nieruchomy, jakby się namyślając, obszedł kamień dokoła, uważnie go oglądał, spróbował znowu skrzydłem — nic nie pomogło. Myślałem że go to zmiechęci, ale ptak wziął się na sposób: skopał dokoła ziemię, ponowił próby i po długich ciężkich wysileniach, nareszcie zdołał kamień odwrócić. Wówczas cel tych wysiłen stał się dla mnie zrozumiałym. Pod kamieniem były ukryte drobne owady i muszelki, z których teraz wyprawił sobie ucztę. Viola, mający wiele wiadomości o ptakach, objaśnił mnie, że ten wytrzymały pracownik zowie się *Kamusznikiem*, *Strepsilas*; że zawsze tak ciężko pracuje na swoje pożywienie, bo te owady; skorupiaki i drobne robaczki, wyłączny jego pokarm stanowią, że żyje w Europie na wyspach i wybrzeżach morskich. Ten nawet schwytyany został podobno na brzegach Bałtyku, gdzie ma być bardzo pospolity. Należy do rodziny *Siewkowatych*, do rzędu *brodzących*.

Ptak ten zdumiewał mnie: to czego byłem teraz świadkiem, napełniło mnie uczuciem wstydu i upokorzenia.

— Jakto! — myślałem — ptak dźwiga kamienie i nie ustaje w pracy przechodzącej chwilami jego siły, póki jej nie dokona, a ja nie mogę przewyciężyć trudności w nauce języka atlantyjskiego, ja co już jestem mężczyzną, ja co się mam za coś i noszę zaszczytną godność posła? Cóż ja wart jestem? Precz ze słabością! Niech Atlanta nie powie, że Polak chętnie się bierze tylko do tego, co łatwo przychodzi! Viola, nie mieliśmy dziś jeszcze z sobą lekcji, wracajmy spiesźnie do domu, żeby ją odbyć przed obiadem.

I choć byłem tak zmęczony daleką wędrówką, że nawet kaszleć mocno zacząłem, zasiadłem chętnie do nauki, podniecony przykładem kamusznika i tak byłem uważny, żem aż zadziwił mego nauczyciela. Nie myślałem już tego dnia o cudzoziemcu, bo musiałem pełnić moje obowiązki paza, przy boku królewicza.

Damy dworskie wystąpiły przy obiedzie w klejnotach, będących prześliczną kombinacją fijołków białych z szafrowemi i bratków ciemnobarwnych, zaćmiewających puszystością płatków, aksamity Pióropuszka — o przy sukniach koloru jasno lilla, pięknie odbijało. Lekka ta żałoba, była im bardzo do twarzy. Dworzanie mieli ozdobne przepaski z tychże kwiatów na lewém ramieniu, a paziowie fijołkowe wiązanki przy czapkach, zamiast róż. Po obiedzie królewicz złożył wizytę kondolencyjną posłowi mocarstwa, którego książę zakończył życie.

Cały pałac królewski tego dnia przepełniony był wonią

fiołków. Przed wieczorem pokojowiec wręczył mi list opatrzony królewską pieczęcią, na którym był adres następujący:

„Do Jego Ekselencji posła nadzwyczajnego  
Wieczorów rodzinnych.

Otworzyłem kopertę z niemałym zdziwieniem i wyczytałem słowa następujące:

Młodzieńcze!

Dwukrotnie wyświadczyłeś mi ważną przysługę: raz znalazłszy żabę latającą, drugi raz, ocaliwszy Snowacza bengalskiego. Nie ofiaruję Ci orderu, boś go już raz odrzucił, ale posyłam Ci w podarunku konia z rzędem. W jego żyłach płynie najczystsza krew arabska; mam nadzieję że ci sprawi przyjemność. Chciej go uważać, nie jako wynagrodzenie za jedną z oddanych mi przysług, ale jako objaw mojej królewskiej życzliwości dla ciebie i Pisma które reprezentujesz.

*Pióropuszek.*

*Koralowy gród dnia 12-go sierpnia 1890 r.*

Ten dar niespodziany, ta łaska nadzwyczajna, o mało mnie nie przyprawiły o zawrót głowy. Zbiegłem szybko po schodach i ujrzałem przed drzwiami pawilonu białego konia, odkrytego zielonym aksamitnym czaprakiem, haftowanym w białe stokrotki po rogach. Rzęd na koniu był bogaty, zdobny tu i owdzie w klejnoty zwierzęcego królestwa, perły i korale. Koniuszy trzymał go za uzdę.

— I ten przesliczny konik jest mój, mój naprawdę? — myślałem, patrząc na niego z niedowierzaniem. — Ach, jeżeli naprawdę, to Viola musi na nim jeździć tyleż co i ja, bo gdybym się z nim nie mógł podzielić, byłaby to tylko połowa mej radości. Co za szkoda, że moi bracia stryjeczni tak daleko; Jakby się oni cieszyli tym koniem, jakby go używali!

Wskoczyłem na siodło i objechałem dokoła zegar Florry, a potem cały dziedziniec; zdawało mi się, że cała gwardya i Astragalus będący tego dnia na służbie, podziwiali mego rumaka. Szedł on posłusznie, klusem, truchtem, jak chciałem, wreszcie puściłem go galopem po błoni.

Może zawiele mówię o tym koniu, ale on jest tak piękny, tak piękny, że gdyby go Szanowna Redakcyja widziała, to doprawdy, sama zaraz miałaby ochotę na nim się przejechać.

*Janek sierota.*

## ZE WSPOMNIENIĘ MŁODEGO CHIŃCZYKA.

(Dokończenie).

Lata dziecinne minęły więc dla mnie w stanie ciągłego przymusu. Miałem ochotę krzyżeć, hałasować, biegać, skakać, głośno objawiać wszelkie uczucia, ale jak młody źrebię w zaprzęgu, musiałem wszystkie me upodobania i chęci poskramiać. Ojciec mój był dobry i kochający, ale surowy i twardy, tak jak ojciec jego był względem niego, i pamiętam że żyłem w stanie ciągłej trwogi przed jego bambusową laską. Matka moja, chociaż nie znała niemądrej czułościowości wzbraniającej słusznój kary, nieraz zataiła lżejsze przewinienie, żebym uszedł razów.

Gry hałaśliwe mało są uprawiane w Chinach; chłopiec szesnastoletni jest tam poważny i spokojny jak starzec, woli siedzieć i rozmawiać niż biegać lub skakać, bawi się wszakże czasami. Puszczanie latawca jest prawdziwie grą narodową, wszyscy, nawet starsi biorą w tem udział; latawce bywają rozmaitych rozmiarów, miewają od trzech do czterech łokci szerokości. Są daleko lepsze od tych, które widziałem w cywilizowanych krajach, cienkie laseczki bambusowe podtrzymują w nich ryżowy papier, barwnie zamalowany. Wiatr uderzając

w nie, wydobywa dźwięki naśladowujące jakiś odgłos ze sfer wyższych, czasem dwóch lub trzech ludzi musi trzymać długi i mocny sznur, na którym wznosi się w chmury latawiec, do sznura tego przywiązują papierowego motyla, który szybko unosi się w górę, a wkońcu spada, obsuwając się własnym ciężarem. W miesiącu październiku obchodzą święto latawców; w dniu tym wszyscy, starzy, młodzi, dzieci wychodzą za miasto i wypuszczają latawce w lazurową przestrzeń; zabawa na tem polega, aby płać sznury, obcinać je, tworzyć prawdziwe bójkę pomiędzy latawcami.

Drugą grą jest wolant, znany także w Europie. Tańca Chińczycy nie uprawiają wcale, nie pojmują oni przyjemności jaką mieć można skacząc przez noc całą.

Chłopcy bawią się z dziewczynkami tylko do lat dziesięciu lub dwunastu. Miałem wiele kuzynek, niektóre mieszkaly w tym samym domu, inne w sąsiedztwie. Córki bynajmniej nie bywają porzucane w niemowlęctwie, czynią to tylko bardzo ubodzy ludzie. Ubogie kobiety zachowują także zwykle kształt nóg, tylko panny domów zamożnych i szlachetnych podlegają operacji, która zmniejsza ich rozmiary. Gdyby tego zamiechały, stałyby się zakałą rodziny. Z początku nogi dziewcząt są starannie obandażowane aby więcej nie rosły, ale trzewiki ich dopasowane są jeszcze do nogi; w rok jednak obuwie staje się dużo mniejsze, i w miarę jak noga coraz jest krótsza, trzewik także się zmniejsza, i nareszcie nie jest dłuższy nad trzy cale, czasem nawet dwa i pół. Cierpienia towarzyszące tej operacji są nieznośne, nieraz słyszałem kuzynki moje jęczące z bólu, ale jednak za nic w świecie nie byłyby chciały uniknąć tego męczeństwa i mieć nogi duże jak służące lub kobiety z ludu. Młoda Chinka woli przebyć męczarnie za młodu, a później zostać kaleką, jak wyrzec się modnej drobnej stopki. Wprawdzie kobiety nasze mogą chodzić i odbywać krótkie spacerki, ale cierpienie przy zmniejszeniu stopniowym nogi, zdaje się działać na ducha i czyni ją nieradną, pozbawia swobody na całe życie. To też Chinka nie wychodzi prawie, a w domu nie ukazuje się obcym. Wychowanie odbiera bardzo skromne, uczy się czytać, pisać, robót i pomagać w kuchni-

Nie mamy szkół publicznych, ale w kraju w którym jedynie nauka prowadzi do wszystkiego, nie braknie szkół prywatnych, i najmniejsza wioska je posiada. We wszystkich jeden tylko nauczyciel wyklada, a podział na klasy nie znany jest. Miałem lat sześć kiedy mnie oddano do szkoły mieszczącej się jak często bywa, w świątyni przodków, która pustkami stojąc doskonale się nadawała do tego użytku, tak jak tysiące jej podobnych.

Od szóstej z rana do czwartej po południu, z wyjątkiem dwóch przestanków na śniadanie i na obiad, zgromadzało się tam kilkunastu chłopców od lat sześciu do siedemnastu. Uczono nas czytać i pisać, ale że chiński język nie posiada alfabetu, każdego słowa trzeba się uczyć osobno, na czem całe lata schodzą. Książkę każdą czyta się od końca, zaczynając od góry z prawej strony kartki na dół do końca każdego wiersza, poczem wraca się w górę. Wszyscy razem głośno czytają i uczą się, i im kto głośniej wrzeszczy, za tem lepszego ucznia bywa uważany. Jest to jedyny sposób, jaki posiada nauczyciel dla przekonania się, czy uczniowie czem innem jak lekcya nie są zajęci.

Nauka pisania nie jest łatwiejsza. Z pedzelkiem umaczanym w tuszu trzeba naprzód przerysowywać charakterki podłożone pod cienki papier, na którym uczeń wiernie każdy rys naśladowuje, później dopiero zaczyna on kopiować bez podobnej pomocy. Pisanie jest u nas talentem tak jak malarstwo i rysunek, i piękne pismo ma wielkie znaczenie. Nieposłusznicy i leniwi surowo bywają karani przez nauczyciela, który razów nie szczędzi, mając przy sobie nieustannie, drewnianą linję i bambusową trzcinę. Wakacje są krótkie, a uczniowie w Chinach nie znają niedzieli ani świąt innych. Gdyby jednak i święta zachowywali, nie wieleby się uczyli, gdyż niema prawie dnia w roku, któryby nie był poświęcony jednemu z niezliczonych bóstw, mających wiernych czcicieli. Do świąt należy w Chinach nowy rok, w którym zamieniają także życzenia

i podarunki, oraz święto latarni obchodzone w nocy. Gdy tylko mrok zapadnie, mężczyźni i chłopcy zbierają się, każdy trzymając na wysokości tyce latarnie o fantastycznych kształtach, przedstawiające zwierzęta, ptaki, ryby, kwiaty, i suną długim pochodem. Łatwo sobie wyobrazić jakie wrażenie czyni widok tylu latarni malowanych jaskrawymi kolorami i oświetlonych ze środka. Zapach palonego sandałowego drzewa napętnia powietrze, muzyka gra, i lud cały oddaje się radości.

Czterdzieści lat temu, młody Chińczyk imieniem Yung-Wing dostawszy się do Ameryki, przeszedł przez wszystkie szkoły, aż do uniwersytetu. Powróciwszy do ojczyzny zapragnął, aby młodzi jego współobywatele mogli podobnie odnosić korzyści, niełatwo mu to jednak przyszło, i zaledwie po dwunastu latach udało mu się przekonać dwóch ministrów w Pekinie, którzy otrzymali od cesarza stosowne prawo.

Ogłoszono więc że rząd przeznaczył znaczne pieniądze na wysłanie do Ameryki 120 chłopców, którzy tam mieli otrzymać najstarsze wychowanie, wyprawiając co rok po trzydziestu. W tym celu otworzono w Szang-hai szkołę przygotowawczą dla nich. Mieli oni pozostać w Ameryce piętnaście lat na koszcie rządu, a za powrotem do kraju otrzymać urzędowania. Świeżne te obietnice powinny były zwabić wielu, ale z powodu braku gazet rozgłaszających je po całym kraju, mało kto o tem wiedział, i przedstawiło się zaledwie kilku kandydatów.

Wreszcie rodzice nie mieli może wielkiej ochoty posyłać synów do kraju nieznanego, którego mieszkańcy byli dla nich barbarzyńcami.

Jeden z naszych krewnych, który jeździł za interesem do Szang-hai nie był jednak tego zdania, i za powrotem jał namawiać moją matkę aby mię posłała do Ameryki. Ojciec mój od lat trzech już nie żył i cały ciężar naszego wychowania spadł na matkę, nie chciała jednak sama stanowić o moim losie, i zostawiła mi swobodę działania, a że byłem usposobienia dosyć awanturniczego, chętnie zgodziłem się kraj opuścić, aby poznać świat inny.

Matka zajęła się więc przygotowaniem do mej podróży, i zacząłem się żegnać z krewnymi i znajomymi. Nadszedł dzień rozłączenia, pożegnałem matkę nie serdecznym uściskiem, co było niegodnem Chińczyka, ale skłaniając się cztery razy aż do ziemi; ona starała się okazywać mi wesołe oblicze, ale oczy jęj były wilgotne, gdy polecała mi abym zawsze dobrze się prowadził, i zaopatrzyła w trochę pieniędzy. Ze wspomnieniem jęj smutku, i wrażeniem wywołanem jęj mową, wsiałem na łódź mającą mię zawieźć do Hong-kong, i żał za rodziną oraz uczucie osamotnienia, pierwszy raz napęlniło me serce.

W Kong-kong jednak prędko otrząsnąłem się ze smutnych wrażeń, cudzoziemcy w strojach tak dla mnie dziwacznych, zajęli całą moją uwagę.

Po kilku dniach wsiedliśmy na okręt, i po czterodniowej żegludze znalazłem się w Szang-hai u wuja, który był *compradore*, to jest agentem przy amerykańskim domu handlującym herbata. U niego pierwszy raz zetknąłem się z obyczajami zagranicznymi. Nie mogłem się przyzwyczaić do kusznych i obcisłych sukien europejskich, dziwiłem się jak lu-

dzie mogli w nich chodzić i biegać, a ubranie kobiet niemniej mnie raziło.

Zaprowadzono mnie do szkoły przygotowawczej, gdzie rozpocząłem naukę języka angielskiego. Początki wydały mi się bardzo śmieszne, i z niemalym trudem nauczyłem się alfabetu. Jednak gdy po roku przystąpiono do egzaminów, zostałem wliczony do trzydziestu wybranych, którzy wkrótce potem opuścili Chiny aby zostać wychowawcami szkół i uniwersytetów amerykańskich.

## Odpowiedź na pytanie z N-ru 49-go.

Aby ciało pozostawało w równowadze, trzeba aby jego punkt ciężkości znajdował się na linii pionowej wewnątrz powierzchni, jaką się ciało dotyka swęj podpory; tak nas uczy fizyka; lecz odróżniamy trzy stany równowagi: stałą, niestałą i obojętną. Z samego już określenia widzimy, że równowaga będzie tem stałą, im trudniej nam przyjdzie wprowadzić z nięj ciało, a dalej doświadczenie pokazało nam, że im punkt ciężkości znajdować się będzie bliżej podstawy, tem równowaga będzie pewniejszą i że ciała dążą zawsze do tego stanu. Otóż w figurkach wyrobionych z rdzenia bżowego, znajdował się ołów w samych główkach, stąd za lada silniejszym wstrząśnieniem, figurki, pochylając się, wychodziły z równowagi, a że punkt ciężkości znajdował się w tęg stronie, w której umieszczono ołów, więc sama siła ciężenia sprawiała, że cięższa część figurki opadała na podstawę i w tęg dopiero pozycyi pozostawały w równowadze stałą.

*Jaskółka z Czerwonej Rusi.*

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go

### S z a r a d y:

T a b a k a.

### Łamigłównki zgłoskowe:

1. BirsztanY. 2. IndostaN. 3. BasztA. 4. LeW. 5. IndygO. 6. OgaR. 7. TorT. 8. EpaminondaS. 9. KorfU. 10. AbeL. 11. WęgieL. 12. AszancI. 13. RuszczuK. 14. Sapieżyski. 15. ZemliN. 16. AllahabaD. 17. WędzidŁO. 18. Szpicberg. 19. KajdanY. 20. AraraT.

Biblioteka warszawska Tygodnik ilustrowany.

Do niniejszego N-ru dołącza się spis rzeczy i karta tytułowa.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tęg ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Wyprawy balonem (z drzew). — W wigilią, opowiadanie p. V. Cairo (dokończenie). — Dziesięcioletnia królowa. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska (z drzew.) — Ze wspomnień młodego Chińczyka (dokończenie). — Odpowiedź na pytanie z Nru 49-go. **Dodatek:** Wyręczycielka mamy p. V. C (z drzew.) — Kasztany, wiersz p. Helenę Bojarską. — Pawełek p. Henryka Wernica. — Nieudana ślizgawka p. A. M. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

## Wyřęczyelka mamy.

— Kamilciu, moje dziecko, nie kręć mi się tak ciągle pod ręką! Czyż to już w pokoju niema zajęcia, że ciągle snujesz się tutaj, i przeszkadzasz mi w robocie!... To nawet wcale nie przystoi dla panienki siedzieć w kuchni, i wsuwać swój nosek tam, gdzie go najmniej potrze-

— Łęczysia bo zawsze musi gderać — odparła z nadąsaną minką — tak, jakby jęj co szkodziło, że sobie pochodzę po kuchni...

I zwróciła się w inną stronę, a dostrzegłszy na stole donicę z uwierconym makiem do strucli, nabrała go napaluszek i poniosła do ust. Gospodyni zajęta wsadzaniem ciasta do pieca, nie widziała tego, ale na nieszczęście w teje samej chwili weszła do kuchni mama.



Wyřęczyelka mamy.

ba... Ot widzisz! Znów odkrywasz mi ciasto, które przez to zziębnie i nie wyrośnie jak należy!...

Tak mówiła stara gospodyni Łęczyska, do siedmioletniej córeczki swych państwa, która wzrosła w jęj oczach, i mogła ją przeto bez ceremonii wyprosić z kuchni, gdzie właśnie była zajęta pieczeniem ciast na święta. A przecież kochała ją tak bardzo, że nigdy, co było nawet jęj wadą, nie mogła się zdobyć na odrobinę energii, chcąc jedynie perswazyą i prośbami dopiąć celu. Ale nie było to tak łatwe z ciekawą i dość samowolną Kamilcią. I teraz więc po tych jęj słowach, dziewczynka zakryła wprawdzie dzieję z ciastem, ale kuchni nie opuszczała.

— Kamusia tutaj? — rzekła zdziwiona — a to poco? czy to tu miejsce dla panienek? proszę iść do pokoju, jesteś tu niepotrzebna.

— Oto to, że też pani zabierze — odezwała się Łęczyska — bo już tak mi ciągle przeszkadza i wchodzi pod rękę!...

— Mateczko, jeszcze tylko chwileczkę pozwól mi pozostać! Chwileczkę. Już nie będę nic przeszkadzała, tylko zobaczę, czy nasze struclki już upieczone!... — błagała zawstydzona nieco dziewczynka, rzucając w stronę Łęczysi niechętnie spojrzenie.

— Nie, moje dziecko! Najpierw, że przeszkadzasz tylko w zajęciu, a powtóre, patrząc na wszystkie przygo-

owania, mimowoli ulegasz bardzo brzydkiemu popędowi łakomstwa, jak to już zauważyłam. Strucelki, skoro będą gotowe, to je zobaczysz, a będą jeszcze nie tak prędko, tymczasem zaś wyjdź ztąd, proszę, natychmiast!

Kamilcia nadąsała się jeszcze bardziej.

— I ciekawam, co ja będę robiła w pokoju! — zawołała idąc ku drzwiom. — Tam siedząc, ciągle tylko myślę co się tu robi i tak samo próżnuję!

— Otóż to właśnie, że to próżnowanie najbardziej ci szkodzi. Nie zajmując się niczem, bardzo naturalnie, że nie myślisz, jak tylko o tem, co się dzieje w kuchni, ale gdybyś się tak zabrała choćby do wykończenia dla lalki tej nowój sukienki na święta, czas mijałby ci niepostrzeżenie.

Kamcica już miała odpowiedzieć, jak ją nudzi to szybie lalczynój sukienki, gdy we drzwiach ukazała się główka Ewelinki, starszój jój siostrzyczki, przezwanój także w domu „wyręczycielką mateczki”, dla wielkój zręczności w wypełnianiu jój poleceń.

— Kamusiu, chodź prędej! — zawołała — szukam cię wszędzie, przysłała do ciebie właśnie Helenka od cioci na parę godzin, będziecie się bawiły. Mówi, że ją także wysłała z domu jój mama, by nie przeszkadzała w przedświątecznych zajęciach... — dodała patrząc z uśmiechem na siostrzyczkę. I już miała wraz z nią odbiedz, gdy na skinienie pośpieszyła do mamy. Ta ostatnia szepnęła jej coś do uszka, a Ewunia poruszyła roztropnie ciemnymi loczkami i powiedziawszy: Dobrze, mateczko, zrobię co będę mogła! znikła za drzwiami pokoju.

Minęło dobre parę godzin, a w kuchni panował ład i spokój, bo nikt nie odrywał od zajęcia, i pieczenie szło szybko i zreźnie. Mamę nawet, skoro potem weszła do pokoju, aż zadziwiła cisza tu panująca.

Na palcach więc zajrzała do dziecinnego pokoju, skąd dochodził ją głos starszój córeczki, i uchyliwszy drzwi, aż uśmiechnęła się na widok, jaki ujrzała. Na niskiej ławeczce siedziała Ewunia z książką otwartą na kolanach, z którój wolno i płynnie czytała jedną z pięknych powiastek; z prawej strony mając zasłuchaną Helę, która widocznie nawet wybierała się do odejścia, jak o tem świadczyła oczekująca na nią w przedpokoju służąca i kapelusik na główce, lecz ciekawa historyjka zajęła ją tak mocno, iż zapomniawszy o tem, podparta na łokciach, myślała tylko o niój. Z lewej strony, na stoleczku, siedziała Kamusia równie cała zasłuchana, podtrzymując ostrożnie połowę kartek. Gronko to było tak zajęte, że nawet odgłos kroków nie zdołał oderwać jego uwagi. Mama więc postąpiła chwilkę i ponieważ właśnie skończyła się powiastka, podeszła do dziewczynek.

— O! tak to lubię! — rzekła całując wszystkie — takie to właściwe zajęcia dla was, i ręczę że i wam ten czas szybko i przyjemnie ubiegł. Czy nie tak?

— O tak — zawołały dwie młodsze — powiastka była prześliczna, ale bo przecież to tak krótko trwało, to czytanie!... — dodały z żalem.

— Nie tak znów bardzo jak się wam zdaje, bo już przeszło dwie godziny — odparła mama, zdziwionym niezmiernie tem oznajmieniem dziewczynkom, a kładąc każdój na fartuszek świeżuchną, pachnącą strucelkę, ciągnęła: — A to macie w nagrodę za cierpliwość. Pamię-

tajcie też, moje dziecińki, że nic tak nie skraca oczekiwań jak zajęcie i nic tak nie koi cierpień jak praca z całkowitem się jój oddaniem. Dziś dopomogła wam do skrócenia i zajęcia czasu, którój miałyście za wiele, moja wyręczycielka Ewunia, którą też za to bardzo kocham, ale nie zawsze mieć będziecie kogoś takiego. Uczcie się więc same zajmować ręce i myśli, bo niema człowieka, którójby w życiu nie przechodził ciężkich chwil niepokoju i oczekiwania, a w takim razie praca jest mu niejednokrotnie całym zbawieniem.

V. C.

## KASZTANY.

— Patrz, ojczy kochany,  
Sprzedają kasztany,  
O, kup mi choć ćwiartkę funcika!  
— Patrz synku, kochanie,  
Czy widzisz przy ścianie  
Drżącego od zimna chłopczyka?  
Biedaczek, niebożę,  
Nic nie jadł dziś może  
A tobie na zbytki potrzeba;  
Za ciężkie dziś czasy  
By jadać frykasy;  
Ot, lepiej biedakom dać chleba,  
Masz tutaj, syneczku,  
Pieniądze w woreczku,  
Wiesz, na co ich użyć należy. —  
Staś o nic nie pyta,  
Woreczek wnet chwyta,  
Do chłopca drżącego już bieży.  
O! jakże mu było  
Przyjemnie i miło.  
Że ulżył w potrzebie, w niedoli;  
Choć lubi przysmaki,  
Lecz gdy ma grosz jaki,  
To teraz biednemu dać woli.

Helena Bojarska.

## PAWELEK.

Chociaż Pawelek był ładnym chłopczykiem, nikt go nie lubił. Dla czego? zaraz wam opowiem.

Oto Pawelek był bardzo niegrzeczny. Wchodząc do obcego domu, dopiero na środku pokoju zdejmował czapkę. „Dzień dobry” lub „do widzenia” wymawiał tak pocichu, że nikt tego nie słyszał. Kiedy otrzymywał jakiś podarunek, chwytał go czempredzej i oddalał się, nie myśląc o podziękowaniu; a kiedy ujrział na ulicy kogo ze starszych znajomych sobie osób, wlepiął w niego duże swe oczy, ale czapki nie zdejmował, jakby obawiając się, żeby wróble z niój nie wyleciały. Rozmawiając ze starszymi kładł ręce do kieszeni, wodził oczami po ścianie lub murze, jakby czego szukał. Jeśli czego żądał, zamiast grzecznie poprosić, mówił: „Chcę tego,” a nawet raz ośmielił się powiedzieć do swój mamy: „Mamo, musisz

mi kupić tę zabawkę.” Przy obiedzie z tak wielką jałdł chciwością, iż zdawało się, jakby od kilku dni głodem go morzono. Nigdy nie był zadowolony z tego co otrzymywał, zawsze żądał więcej, a jedząc, kłaskał ustami, jak pewne zwierzę. którego nie chce wymieniać.

Nie dziw tedy, że nikt nie lubił Pawełka. Własna jego matka musiała się nieraz do niego gniewać, a pewna pani mówiła:

— Chciałabym zaprosić matkę Pawełka do siebie, ale nie mogę, bo przyprowadza ze sobą swego niegrzecznego malca, który mnie zawsze gniewa. — Pewien znów ojciec powiedział do swego syna: Pamiętaj, Karolku, nie zadawaj się z Pawełkiem, bo on bardzo nie grzeczny. Cóż to za wstyd był dla Pawełka, co za zmartwienie dla jego rodziców, gdy się o tem dowiedzieli.

*Henryk Wernic.*

## NIUDANA ŚLIZGAWKA.

Rodzice Janka i Maryni mieszkali na wsi, a razem z nimi mieszkała też i ciocia Kazia. Dzieci bardzo kochały tę ciocię, która opowiadała im nieraz różne ciekawe bajki i prawdziwe zdarzenia.

Pewnego dnia ośmioletni Janek przybiegł do pokoju cioci Kazi, wołając:

— Ciociu, czy wiesz, sadzawka w ogrodzie zamrzła, pójdziemy się ślizgać.

Ciocia złożyła robótkę, którą w rękę trzymała i pogładziła jasną główkę siostrzeńca.

— A czy Janek już napisał stronkę kaligrafii?—spytała?

— Napisałem — zawołał wesoło. — Marynia także kończy, a potem pójdziemy do ogrodu z ciocią.

— A teraz idź i poproś Marcysi, aby ci dała kamasze i watowany paltoćik.

— Dobrze, ciociu, powiem jój też, aby przygotowała kamasze i okrycie dla Maryni.

W kwadrans później dzieci stały już nad brzegiem sadzawki, lecz chmurne ich minki wskazywały, że coś nieprzewidzianego zepsuło im zabawę.

Niestety! Ciocia Kazia oświadczyła im, że lód jest jeszcze zbyt cienki, by po nim ślizgać się mogły. Gdyby tylko które nań weszło, wnet pękłaby warstwa lodu, a dzieci nie miały wcale ochoty używać w grudniu zimnej kąpieli.

— No, nie martwcie się — rzekła ciocia — dzisiaj pobiegamy trochę po ogrodzie, a za parę dni może czeka was pyszna po sadzawce ślizgawka.

Marynia tymczasem przypatrywała się pilnie śniegowi.

— Czy to prawda, ciociu, że śnieg jest poprostu zamrzniętą wodą?

— Tak, Maryniu.

— A czemu to woda marznie od wierzchu, ciociu.

— Wiesz już, Maryniu, zapewne, że ciała lżejsze od wody, zawsze po jój powierzchni pływają, otóż lód czyli woda zamrznięta, lżejszą jest od wody płynnej, i dlatego

każda cząsteczka zmarzłej wody wypływa na wierzch łączy się z innymi cząsteczkami zmarzłymi i wszystkie razem tworzą powłokę lodową, po której ślizgać się będziemy; gdyby woda marzła tylko po wierzchu, to lód nie mógłby nabierać grubości, tymczasem, jeśli tylko mróz powiększy się do jutra, to i warstwa lodu będzie grubsza; ztąd widzimy, że woda znów marznąc będzie pod istniejącą już dzisiaj warstwą lodu. Ale zauważcie, jak to dobrze dla łyżwiarzy, że lód nie jest od wody cięższym. Bo coby się wówczas stało, Maryniu?

— Lód opadłby na dno, ciociu.

— Doskonale. A wtedy musielibyście czekać, aż zamarznie cała ilość wody zawarta w sadzawce, by przypiąć łyżwy i używać ślizgawki.

— Ciociu — odezwał się Janek — pobiegajmy trochę.

— Zaraz, zaraz — przerwała Marynia...

— O! panna ciekawska! — zawołał Jaś, takie bowiem nazwisko nadał swojej siostrze za liczne pytania, kómi ciocię zwykle obsypywała.

Pamiętaj Janku, że kto pyta nie błądzi — odezwała się ciocia do Kazia — ciekawość Maryni zasługuje tu na pochwałę, ale porozmawiamy dłużej w moim pokoju, tymczasem gońcie mnie.

Gonitwa po ogrodzie pocieszyła trochę Janka po nieudanej ślizgawce, a gdy dzieci do domu wróciły, Janek podziękował cioci za zabawę a Marynia uściskała ją za obronę „panny Ciekawskiej.”

*A. M.*

### Łamigłówka w kwadraciku.

ułożył P...z.

5 A—3 I—2 M—4 N—1 B—1 Z — z liter tych utworzyć cztery wyrazy, dające się czytać poziomo i pionowo. Znaczenie wyrazów: 1. Pora roku. 2. Kraj w Azji. 3. Rzeka w Europie. 4. Imię żeńskie.

### REBUSIKI.

100	y y y y y		u u u u u
100	y	y	u
	y	biegł y	u ja u
	y	y	u
	y y y y y	prze	u u u u u

wie	rek	A	og og og og
		no	og
czo			og rodzie og
			og
			og og og og og

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

#### Szarady:

1-éj H a n k a      2-iéj F a l a.

## Skrzynka do listów.

Dawno, dawno nie zaświeciłaś nam już, **Gwiazdko nadziei**, tém też miłszą nam jest wiadomość, że zdecydowałaś się należeć do konkursu, który z powodu wielkiej ilości odpowiedzi oraz braku miejsca rozstrzygniętym zostanie w jednym z pierwszych numerów przyszłorocznych. Osoba o której myślisz nie jest autorką „Księ. żniczki”.

**Barwinkowi**, oraz wszystkim, którzy nam przysyłają świąteczne życzenia, serdecznie za nie dziękujemy. Barwinek zaś specjalnie na podziękę zasługuje, skoro tak dużo ma zajęć. Szczerych pragnęlibyśmy dogodzić tak chętniej czytelniczce **Wieczorów** i częściej niż w tygodniu dawać numera, ale... to niepodobna!

**Jutrzenka** i **Pszeniczka** zadowolone z nagród swoich. Jak to dobrze samym sobie zawdzięczać przyjemność. Chętnie chcieli byśmy dogodzić żądaniu, ale w tegorocznym numerze nie będzie już miejsca na liściki.

**Mila T.** „z wielkim trudem” już po konkursie, który był w lecie skończyła robótkę, którą nam dla ubogich dzieci przysłała i nie dziw, bo ma dopiero rok dziewiąty, a wiadomo, że w tym wieku paluszki łatwiej psocą niż pożytecznie pracują. Ale te paluszki usłuchały pocziwego serca. Niechże takie złote serduszko Bóg błogosławi, które kazalo przewyciężyć trudność dla przyodziania jakiegoś biedactwa. Szanownej Mamie dziękujemy za pamięć o ubogiej diatwie.

**Biedną Jaskótkę z Czerwonéj Rusi** spotkał zawód, którego przykrość z nią podzielały. Przesyłka została zwróconą z powodu nieopłacenia należnego za nią cła; jest zaś tak wysokie, iż za cenę możnaby mieć parę takich koszulek. Trzeba korzystać z okazji.

Więc i ty, **Królowo Wrózek**, przechodzisz już do grona „staruszek”? coraz ono liczniejsze, a zawsze nam wierne. Sędziwe te istoty same się domagały konkursu, i cieszy nas, jeżeliśmy im dogodzić mogli.

Od **Białonózki z pod Karpat** niezaskuszone otrzymuję podziękowanie; nie przyczyniłam się w niczem do przyznania ci nagrody, bo nawet wyjechałam z Warszawy już przed rozstrzygnięciem konkursu botanicznego. Doświadczenie mnie nauczyło, że naftalinę póty sypać trzeba do benzyny, póki się w niej rozpuszcza; toż samo jednak doświadczenie przekonało mnie, że kwiaty lepiej się zaszają i mniej tracą kolor w czystym, delikatnym piasku. Życzeniu memu co do liścików żadną miarą zadość uczynić nie można, bo w numerach tego roku wyjść mających niema już miejsca. Odpowiedź tyczącą się konkursu udzieliła już redakcyja.

Dlaczego wątpisz, **Praco**, że w mojem sercu znajdzie się miejsce i dla ciebie? Od pierwszego listu uczulałam do ciebie sympatyę, ale ponieważ nie odebrałam ostatniego, który zaginać musiał, nie wiem więc dlaczego „zdaleka jesteś od wszystkiego, co kochasz” wiem tylko, że tęsknocie twojej współczuję i na osłodzenie jej chociażby chwilowe wyrazy tego współczucia zasyłam.

Jakto, **Chmurko zimowa**, ja wznieciam w tobie „obawę”? Chwała Bogu, żeś ją przewyciężyła nareszcie, boby cię nazwała *Brzydka* i *Niedobra* chmurą, a tak, za sympatyę, jaką czujesz do mnie, płacę ci wzajemnością. **Lipcową** zaś **Chmurkę** serdecznie pozdrawiam; ta jakoś łaskawsza na ptaszki: nie lęka się ich!

**Jaskótko z nad Bugu** nazywa mnie „szanowną”, ja zaś wolałabym, żeby mnie uściskała, choćby w zamian za ten uścisk, który jej przesyłam za robótki dla ubogich dzieci. I śliczne równe piśmo pochwalić też warto, tembardziej, że z dwóch linii wnoszę, jak niewielkie muszą być jeszcze rączki, co takie foremne literki kreśla.

Nie, **Figlarko**, nie trafny jest twój domysł; z nikim nie koresponduję inaczej, jak pod pseudonymem i miło mi będzie tak korespondować z tobą, ale... *tylko tak*.

**Lobelii**, oraz wszystkim siostrzyczkom, które mi zasyłają życzenia Świąt wesolych, serdecznie za pamięć dziękuję i nawzajem przesyłam życzenia.

**Osóbce**, której pseudonym wyjawić nie mogę, nie chcąc zdradzić niepodzianki, jaką dla rodziców przygotowuje, polecam komedyjki... „Obrazki sceniczne: Trójlistek przez Tomasza A. świeżo wyszłe.

*Gołąbka.*

**Droga Stokrotko z nad Stochodu!** Jakąż przyjemność sprawiłaś mi twą serdeczną odpowiedzią! Tak, to ja pisałam do ciebie w N. 12. Wierzaj mi droga Wińciu, iż, szczerze podzielałam twój wielki smutek, po przebytem nieszczęściu. Co ci się najlepiej podoba w *Wieczorach*? Mnie, „*W Złotej klatce*” i „*W Indyach*.” Proszę cię nie zwlekać długo z odpowiedzią, bom cię bardzo pokochała, a tymczasem przesyłam ci milion serdecznych pocałunków. Zmieniam pseudonym *Kukuleczki* na *Wioczną z pod Radomia*.

**Bławatce z nad Horynia, Wiochnie z pod Lublina i Białej Ostróżce**, serdeczne pozdrowienia zasyłam.

**Kochana Gosposiu z nad Warty!** Zdziwisz się z pewnością, że *Rybka* ma z tobą korespondować, ale mimo to odpisz proszę. Mam lat 14, jestem wysoką, szatynką, od roku czytuję *Wieczory*, na imię mi Helena, uczę się w domu. Donieś mi nawzajem toż samo o sobie, oraz co ci się w *Wieczorach* najbardziej podoba? Całuję cię serdecznie, twoja *Rybka z malej wody*.

**Kochane: Sarenko z nad morza Bałtyckiego, Jarzębino i Leśna Konwaljo!** Wiem Sarenko, jesteś Kaziutą W. z Libawy. Na pytanie twoje dokładnie odpowiedzieć nie mogę, mniej więcej za miesiąc wyjadę z Kalisza. Domyślam się Jarzębino, że jesteś Helenką B. Śliczny masz pseudonym, Konwalijko, pragnęłabym więc z tobą korespondować, ile masz lat? Donieście mi wszystkie coś o sobie i odpiszcie jaknajprędzej. Kochane: **Jutrzenko, Poranku majowy i Srebrna kropelko!** Przepraszam was najserdeczniej, że tak długo czekałyście na moją odpowiedź, lecz list mój widać zaginął. Cóż ci donieść droga **Jutrzenko** po krótko o Szwajcaryi? chyba, że jest przesłicznym krajem. Mam 12 lat, na imię mi Marya. Cieszę się **Poranku** że chcesz do mnie pisywać. Nie mogę się domyślić **Kropelko**, kim jesteś? Donieś mi więc jak ci na imię i gdzie mieszkasz? Ścisłam was serdecznie kochane siostrzyczki i proszę o odpowiedź. *Gołąbka heljotropu.*

**Kochana Gołąbko Paproci!** Liścik twój bardzo mnie ucieszył, w N. 30 W. R. jest odpowiedź moja dla ciebie. Mylisz się kochana **Gołąbko**, **Horpyna** nie jest moją siostrą. W czasie wakacyi, bawiłam się dobrze, bo zwykle przyjeżdżają do nas na lato znajomi z miasta. W *Wieczorach* podobają mi się wszystkie powieści, a najwięcej „*Pod w pływem błogosławieństwa*” i „*W Indyach*.”

**Kochane moje: Burzliwa Naturo i Poranku!** Pisałam do was zaraz po odebraniu liścików, lecz odpowiedź moja musiała zaginać, skoro nie była umieszczona. Nie gniewajciez się na mnie i odpisujcie. Masz słuszność że *każden* zakątek P. jest śliczny. Opisz mi, gdzie mieszkasz, kochany **Poranku**, może jesteśmy sąsiadkami. Napisz do mnie także **Burzliwa Naturo**. Kochająca was wszystkie **Czarnooka z Puszczy**.

**P. S. Stokrotce z nad Stochodu i Królowej Wrózek**, serdeczne, choć nieznanym uściśnienia posyłam.

**Kochana Wolyńska Pszeniczko!** Podobał mi się twój pseudonym, więc postanowiłam do ciebie napisać. Odpowiedz mi, a zrobisz mi wielką przyjemność. Jestem twoją imienniczką, a zarazem i rówieśniczką, uczę się w domu. Będę czekała odpowiedzi twojej, życzliwa ci *Polka z nad Szczary*.

Jestem nową korespondentką, więc chciałabym zapoznać się z wami kochane *Siostrzyczki*, ale z panienek, do których pisałam, żadna nie czuła się w obowiązku mi odpisać. A ja was wszystkie tak pokochałam, że powinnyście mi choć trochę polubić. Polecając się więc waszej pamięci kochane panienki, ścisłam was i całuję *Figlarko*.